

JACEK

DUKAJ

LÓD



*Wydawnictwo*

My nie marzniemy.

I

WARSZAWA

„Jeżeli żołnierz daje strzał z karabinu, to w tej chwili zaczyna istnieć rana, jaką kula w nieprzyjacielu wywierci za jakiś czas; jeśli kto zażywa dawkę nieuleczalnej trucizny, to w tej chwili zaczyna istnieć ostateczny proces śmiertelny, choćby jego chwila nadeszła dopiero za parę dni. Słusznie mówili starożytni: umarliśmy już z chwilą narodzin. Władzy nad dalszą drogą kuli i trucizny (i po części przeżywania się) nie mamy”.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### O synu tysiącrublowym

14 lipca 1924 roku, gdy przyszli po mnie czynownicy Ministerjum Zimy, wieczorem tego dnia, w wigilję syberjady, dopiero wtedy zacząłem podejrzewać, że nie istnieję.

Pod pierzyną, pod trzema kocami i starym płaszczem gabardynowym, w barchanowych kalesonach i swetrze włóczkowym, w skarpetach naciągniętych na skarpety - tylko stopy wystawały spod pierzyny i koców - po kilkunastu godzinach snu nareszcie rozmrożony, zwinięty prawie w kulę, z głową wciśniętą pod poduchę w grubej obszewce, że i dźwięki docierały już miękkie, ogrzane, oblane w wosku, jak mrówki ugrzęzłe w żywicy, tak one przedzierały się w głąb powoli i z wielkim mozołem, przez sen i przez poduszkę, milimetr za milimetrem, słowo za słowem:

- Gaspadin Wieniedikt Jerosławski.
- On.
- Spit?
- Spit, Iwan Iwanowicz.

Głos i głos, a pierwszy niski i ochryply, a drugi niski i śpiewny; zanim uniosłem koc i powiekę, już ich widziałem, jak się nade mną pochylają, ten ochryply od głowy, ten zaśpiewny od strony stóp, carscy aniołowie moi.

- Obudziliśmy panicza Wieniedikta - stwierdził Iwan, gdy podźwignąłem powiekę drugą. Skinął na Biernatową; gospodyni potulnie opuściła izbę.

Iwan przysunął sobie taburet i usiadł; kolana trzymał razem, a na kolanach czarny melonik o wąskim rondzie. Wysoki waternórder, biały jak śnieg w południowym słońcu, raził mnie w oczy, biały waternórder i białe biurowe mankiety, oślepiające na tle jednolitej czerni ich ubiorów. Mrugałem.

- Pozwólcie, Wieniedikt Filipowicz.

Pozwolili sobie. Drugi przysiadł w nogach łóżka, swoim ciężarem pierzynę ściągając, aż

musiałem ją puścić; złapawszy z kolei za koce, uniosłem się na barłogu, i tak oto odkryłem także plecy, powietrze zimne wcisnęło się pod sweter i kalesony, zadrzałem, rozbudzony.

Narzućłem na ramiona płaszcz, kolana podsunąłem pod brodę.

Spoglądali na mnie z rozbawieniem.

- Jak zdrowie?

Odchrząknąłem. W gardle zebrała się flegma nocna, żrący kwas na wszystkich treściach żołądka, z kiełbasy czosnkowej, korniszonów, czego tam jeszcze wczoraj zażywaliśmy, z ciepłej dereniówki i papierosów, mnóstwa papierosów. Wychyliłem się ku ścianie i charknąłem do kraszarki. Aż mnie zgięło. Zgięty, przez długą chwilę kaszlałem ciężko. Otarłem usta rozdartym rękawem płaszcza.

- Końskie.

- A to dobrze, to dobrze, baliśmy się, że z łóżka nie wstaniecie.

Wstałem. Pugilares leżał na parapecie, wciśnięty za doniczkę z martwą pelargonią. Wyjąłem bumagę, pod nos Iwanowi podetknąłem. Ani spojrział.

- Ależ gaspadin Jerosławski! Czy my stójkowi jacy jesteśmy! - Wyprostował się na tym taburecie jeszcze bardziej, myślałem, że to niemożliwe, ale jeszcze się wyprostował, teraz to ściany krzywemi się zdawały, szafa garbatą, futryna skoljotyczną; obrażony, unosił czynownik podbródek i pierś wypinał. - Bardzo grzecznie prosimy pana do nas na Miodową, na herbatkę i słodkości, komisarz zawsze sprowadza sobie sorbety, babeczki, rożki śmietankowe, prosto od Semadeniego, prawdziwa rozpusta podniebienia, jeśli mogę się tak wyrazić, co, Kirył?

- Możecie, Iwan Iwanowicz, jak najbardziej - zaśpiewał Kirył.

Iwan Iwanowicz miał sumiaste wąsy, wypomadowane mocno i ku górze podwinięte; Kirył natomiast cały był gładziutko wygolony. Iwan wyjął z kieszonki kamizelki cebulę na dewizce splątanej i oznajmił, że jest pięć do piątej, komisarz Preiss wielce sobie ceni punktualność, a o której wychodzi na kolację? Umówili się z generałem-majorem we Francuskim.

Kirył poczęstował Iwana tabaką, Iwan poczęstował Kiryła papirosem, przyglądali mi się, jak się ubieram. Chlusnąłem w miednicę wody lodowatej. Kafle pieca były zimne. Podkręciłem knot w lampie. Jedyne okno pokoju wychodziło na podwórko ciasne, szyby zaś

tak brudem i szronem zarosły, że nawet w południe niewiele blasku słonecznego przez nie przecieka. Kiedy się goliłem - kiedy jeszcze się goliłem - musiałem być stawiać sobie przed lustrem lampę na pełny płomień odkręconą. Zyga rozstał się z brzytwą zaraz po przybyciu do Warszawy; wyhodował brodę godną popa. Zerknąłem na jego posłanie po drugiej stronie pieca. W poniedziałki ma wykłady, wstał pewnie o świcie. Na łóżku Zygmunta leżały czarne szuby czynowników, ich rękawice, laska i szal. Stół bowiem zastawiony był po brzegi brudnymi naczyniami, flaszkami (pustymi), książkami, czasopismami, zeszytami, Zyga suszył sobie skarpety i bieliznę, zwieszając je z krawędzi blatu, przyciśnięte atlasami anatomji i łacińskimi dykcjonarzami. A na środku stołu, na rozczytanym, zatłuszczonym *Über die Hypothesen welche der Geometrie zu Grunde liegen* Riemanna i na stercie pożółkłych „Kuryerów Warszawskich”, trzymany na podpałkę, do Majstrowania szczelin mrozem rozpartych i odwilgacania butów, a także na obwiązkę butersznytów - tam wznosił się podwójny rząd świec i ogarków, ruiny stearynowego Partenonu. Pod ścianą naprzeciwko pieca piętrzyły się natomiast równe stosy woluminów w twardej obwolucie, poukładanych według formatu i grubości, i według częstości lektury. Wiszący nad nimi na okopconej ścianie ryngraf z Matką Boską Ostrobramską - jedyna pozostałość po poprzednich lokatorach, których Biernatowa wyrzuciła na bruk z powodu „nieprzystojnego prowadzenia” - do reszty szerniał i teraz wyglądał raczej jak element średniowiecznej zbroji dla liliputów. Iwan przypatrywał mu się długo, w natężeniu wielkiem, sztywno usadzon na stołku, z lewą ręką z papirosem odsuniętą w bok pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ciała, prawą ułożoną na udzie obok melonika, marszcząc brwi i nos, strosząc wąsa - wtędym zrozumiał, że on jest prawie ślepy, że to kancelaryjny krótkowidz, na nosie i pod oczodołami miał ślady po binoklach, bez binokli pozostało mu zdać się na Kiryła. Weszli prosto z mrozu i Iwan musiał być zdjąć okulary. Mnie samemu czasami łzawią tu oczy. Powietrze we wnętrzu kamienicy jest gęste, ciężkie, natarte wszystkimi woniami ludzkich i zwierzęcych organizmów, okien nie otwiera nikt, drzwi zaraz się zatrzaskuje i zatyka szmatami szczeliny nad progami, iżby nie uciekło ciepło z budynku - za opał trzeba przecie płacić, a kto by miał dosyć pieniędzy na węgiel, w ogóle nie gnieździłby się w takich ciemnych oficynach, gdzie powietrze jest gęste, ciężkie, oddychasz nim, jakbyś pił wodę wyplutą przez sąsiada i psa jego, każdy twój oddech milion razy wcześniej przeszedł przez gruźlicze płuca chłopów, Żydów, wozaków, rzeźników i dziwek, wykrztuszony z czarnych krtani powraca do ciebie znowu i znowu, przesączony przez ich ślinę i śluz, przepuszczony przez zagrzybione, zawszone i zaropiałe ciała, oni wykaszleli, wysmarkali, wyrzygali go tobie prosto w usta, musisz połknąć, musisz oddychać, oddychaj!

- Prze-przepraszam.

Wychodek na końcu korytarza szczęściem nie był akurat zajęty. Wymiotowałem w dziurę, z której wionęło mi w twarz smrodem lodowatym. Spod obsranej deski wyłaziły prusaki. Rozgniałem je kciukiem, gdy podchodziły mi pod brodę.

Wyszedłszy z powrotem na korytarz, zobaczyłem Kiryła stojącego w progu pokoju - miał na mnie oko, trzymał straż, czy nie ucieknę im na mróz w kalesonach i swetrze. Uśmiechnąłem się porozumiewawczo. Podał mi chusteczkę i wskazał na policzek lewy. Wytarłem. Gdy chciałem mu ją oddać, odsunął się krok. Uśmiechnąłem się po raz drugi. Mam szerokie usta, bardzo łatwo się uśmiechają.

Wdziałem jedyny mój strój wyjściowy, czyli czarny garnitur, w którym zdawałem egzaminy ostatnie; gdyby nie warstwy bielizny pod spodem, zwisałby teraz na mnie jak na szkielecie. Urzędnicy patrzyli, gdy sznurowałem buty, gdy zapinałem kamizelkę, gdy walczyłem ze sztywnym kołnierzykiem celuloidowym do ostatniej bawelnianej koszuli przypiętym. Zabrałem dokumenta i resztkę gotówki, trzy ruble i czterdzieści dwie kopiejki - łapówka z tego będzie ledwo symboliczna, ale z pustymi kieszeniami w urzędzie człowiek czuje się nagim. Na stary kozuch barani nic natomiast nie mogłem poradzić, łaty, plamy, krzywe szwy, innego nie miałem. Przyglądali się w milczeniu, jak wciskam ramiona w niesymetryczne rękawy, lewy dłuższy. Uśmiechnąłem się przepraszająco. Kirył poślinił ołówek i skrupulatnie zanotował coś na mankiecie.

Wyszliśmy. Biernatowa widać podglądała przez uchylone drzwi - natychmiast pojawiła się przy czynownikach, zarumieniona i roztrajkotana, by poprowadzić ich z powrotem schodami z drugiego piętra i przez oba podwórka-studnie do bramy głównej, gdzie stróż Walenty, poprawiwszy czapkę z mosiężną blaszką i schowawszy fajkę do kieszeni, zamiótł pośpiesznie śnieg z chodnika i pomógł czynownikom wsiąść do sani, ujmując panów pod łokcie, aby nie poślizgnęli się na trotuarze zalodzonym, Biernatowa zaś już siedzących, gdy obwijali sobie nogi pledami, zasypała potokami skarg na lokatorów złośliwych, na bandy powiślańskich złodzieji, co włamują się do domów nawet za dnia, oraz na mrozy okrutne, przez które okna zewnątrz nawilgotniałe się paczą, a rury pękają w ścianach, i żadna hydraulika ni kanalizacja nie przetrzyma długo w ziemi; na koniec zapewniła gorąco, że dawno podejrzewała mnie o rozmaite występki i bezceństwa, i niechybnie doniosłaby stosownej władzi, gdyby nie tysiąc i jeden innych frasunków na jej głowie spiętrzonych - aż woźnica ze swego kozła za plecami Kiryła strzelił batem i konie szarpnęły sanie w lewo,



zmuszając kobietę do odstąpienia, i tak ruszyliśmy w drogę do warszawskiej delegatury Ministerjum Zimy, do dawnego Pałacu Biskupów Krakowskich, Miodowa 5, róg Senatorskiej.

Zanim skręciliśmy z Koszykowej na Marszałkowską, zaczął prószyć śnieg; naciągnąłem szapkę na uszy. Urzędnicy w swych futrach obszernych i melonikach podobnych łupinom orzecha, usadzeni na niskich ławach sań, Iwan obok mnie, Kirył tyłem do izwozcika, przypominali żuki, które widziałem w Zygmuntowym uczniu: grube, owalne tułowia, krótkie łapki, mała głowa, wszystko glanc-czarne, zamknięte w geometrycznej symetrii elips i okręgów. Kształt tak bliski ideałowi kuli sam się ze świata wycina. Patrzyli przed się beznamiętnym wzrokiem, z zaciśniętymi ustami i podbródkami wysoko podniesionymi przez sztywne kołnierzyki, bezwładnie poddając się ruchowi sań. Myślałem, że czegoś się od nich dowiem po drodze. Myślałem, że zaczną się dopominać o datki za przychylność, za brak pośpiechu i pilności. Milczeli. Zapytam ich - jak? o co? Udadzą, że nie słyszą. Płatki lepkiego śniegu wirowały między nami. Schowałem dłonie zimne w rękawach kozucha.

W Cukierni Francuskiej paliły się światła, blask elektryczny bijący przez wielkie okna dziergał wokół sylwetek przechodniów aureole z wełny. Letnie słońce powinno było stać jeszcze hen na niebie, ale jak zwykle nad miastem wisiały ciężkie chmury, zapalono nawet latarnie - bardzo wysokie, o zawiniętym spiralnie szczycie. Skręciliśmy na północ. Z cukierni Ostrowskiego, przy skrzyżowaniu z Piękną, wybiegały dziewczęta w czerwonych płaszczkach i białych pelerynach z kapturkami, ich śmiech przebił się na moment ponad gwar uliczny. Przypomniał mi się niedokończony list do panny Julji i jej ostatnie krzyk-pytanie. Obok Ostrowskiego, u Wedla, umawialiśmy się z Fredkiem i Kiwajsem na wieczory karciane. Tu zaraz, za kinem „Sokół”, u Kalki, Miły Książę wynajmował pokój na sesje nocne. Gdybym uniósł głowę i spojrział w lewo, ponad melonikiem Iwana, dojrzałbym okno na drugim piętrze kamienicy pod numerem 71, okno, przez które wypadł Fredek.

Przy skrzyżowaniu z Nowogrodzką wisiała przymarznięta do latarni tłusta krowa, ścięgno ciemnego lodu łączyło ją ze szczytem elewacji czterokondygnacyjnego budynku. Krowa musiała pochodzić z ostatniego spędu bydła do rzeźni na Ochocie, zimownicy jeszcze jej nie odrąbali. W perspektywie ulicy, nad dachem kamienicy „Sfinks” majaczyło sinoczarne gniazdo lodu, skrzep wielki twardej jak djament zmarzliny, połączony siecią lodowych nici, sopli, pręseł i kolumn z kamienicami po obu stronach Marszałkowskiej i Złotej - z kamienicami, z lampami, kikutami zamrażniętych drzew, balustradami balkonów, wykuszami, iglicami kopuł i wieżyczek, attykami i kominami. Kino „Sfinks” pozostawało

oczywiście od dawna nieczynne; na najwyższych piętrach nie paliły się światła.

Sanie zwolniły, gdy mineliśmy Nowogrodzką. Woźnica wskazał coś batem. Wóz przed nami zjeżdżał na trotuar. Kirył obejrzał się za siebie. Wychyliłem się w prawo. Na skrzyżowaniu z Alejami Jerozolimskimi stali dwaj policjanci, za pomocą gwizdków i krzyku spędzając ruch ze środka jezdni - nad jezdnią przemarzał właśnie luty.

Na kilka minut utknęliśmy w spowodowanym przezeń zatorze. Zazwyczaj lute przemieszczają się ponad dachami, w miastach rzadziej do ziemi schodząc. Nawet z takiej odległości zdawało mi się, że czuję płynące od niego fale zimna. Zadrzałem i odruchowo wcisnąłem brodę w kołnierz kożucha. Czynownicy Ministerjum Zimy wymienili spojrzenia. Iwan zerknął na zegarek. Po drugiej stronie ulicy, za słupem ogłoszeniowym oblepionym plakatami reklamującymi walkę zapaśniczą w cyrku na Okólniku, po angielsku ubrany mężczyzna rozstawiał archaiczny aparat fotograficzny, by zrobić zdjęcie lutego; zdjęcie najpewniej i tak nie ukaże się w gazecie, skonfiskowane przez ludzi z Miodowej. Iwan i Kirył nawet nie zwrócili na niego uwagi.

Luty był wyjątkowo zwawy, przed zmrokiem powinien zdążyć przejść na drugą stronę Marszałkowskiej, przez noc wespnie się nad dachy, do piątku zdoła dotrzeć do gniazda nad kinoteatrem. Kiedy w zeszłym roku mroźnik przechodził z Pragi do Zamku Mostem Aleksandryjskim, Most zamknięto na blisko dwa miesiące. Tymczasem ten tutaj glaciejusz - poczekać kwadransik i pewnie mógłbym dostrzec jego ruch, jak przemarza z miejsca na miejsce, przesuwa się w lodzie, lodem, od lodu do lodu, jak pęka za nim jedna, potem druga nie krystaliczna i osypuje się powoli sinobiałą rozkrusz, minuta, ksztr, dwie minuty, ksztr, wiatr porywał wraz ze śniegiem co lżejsze drobiny, lecz większość wmarzała w czarną taflę ścinającą za lutym uliczne błoto, lód lodu; i ta ścieżka chropowatej zmarzliny jak ślad ślimaczego śluzu, ciągnęła się kilkadziesiąt metrów na wschód Jerozolimskich, i po trotuarze, i po elewacji hotelu. Resztę skuli już zimownicy lub sama odmarzła; wczoraj po południu termometr u Szniccera pokazywał pięć stopni wyżej zera.

Luty nie poruszał się po linii prostej ani też nie utrzymywał się na stałej wysokości nad brukiem (wmarzają także pod powierzchnię ziemi). Trzy-cztery godziny temu, szacując podług skruszonej architektury lodu, luty jał zmieniać trajektorję: dotąd przemieszczał się ledwie metr nad środkiem ulicy, lecz wtedy, przed trzema godzinami, ruszył po ostrej paraboli wzwyż, ponad szczyty lamp i wierzchołki drzew zamrożonych. Widziałem pozostawiony przez niego szereg smukłych stalagmitów, lśniły odbijanym blaskiem latarni, refleksami

neonów kolorowych, świateł bijących przez okna i wystawy. Szereg urywał się nad szynami tramwajowymi - luty zawisł całym ciężarem na gwiaździstej sieci mrozostrun, rozpiętych w poziomie oraz sięgających wzwyż, ku fasadom narożnych budynków. Można było pod niego wejść, gdyby znalazł się ktoś na tyle szalony.

Iwan skinął na Kiryła i ten wygramolił się z sań z niechętnym grymasem na twarzy od szczypiącego mrozu obrumienionej. Może mi się poszczęści, pomyślałem, może się spóźnimy, komisarz Preiss wyjdzie już na kolację z generałem-majorem umówioną, odprawia mnie z Miodowej z kwitkiem. Dzięki Ci, Boże, za tę sopol-pokrakę. Przesunąłem się na ławie, opierając bark o bok sań. Podbiegł gazeciarz - „Hirohito pobito!”, „Express specjalny, Mierzow tryjumfalny!” - pokręciłem głową. Przy zatorach w centrum zaraz tworzą się zbiegowiska, pojawiają się handlarze uliczni, sprzedawcy papierosów i wody święconej, święconego ognia. Policjanci przeganiali przechodniów od lutego, przecież nie są w stanie upilnować wszystkich. Banda urwisów podkrađła się od strony restauracji Briesemeistra. Najodważniejszy, z twarzą szalikiem przewiazaną i w grubych, nieforemnych rękawicach, podbiegł na kilkanaście kroków do lutego i rzucił w niego kotem. Kocisko leciało wysokim łukiem, rozłożywszy łapy, drąc się wniebogłosy... zaraz urwał się wrzask przeraźliwy. Spadło na lutego już chyba martwe, by powoli stoczyć się zeń w śnieg, zamrożone na kość: lodowa rzeźba kota o kończynach rozcapierzonych i ogonie w drut wyprostowanym. Chłopcy odbiegli, z uciechy aż wyjąc. Pejsaty Żyd wygrażał za nimi z progu sklepu jubilerskiego Epsteina, klnąc siarczyście w jidysz.

Kirył tymczasem dopadł starszego policjanta i, chwyciwszy go pod łokieć, by nie oddalił się w pościgu za ulicznikami, jał mu coś perswadować głosem przyciszonym, lecz z wydatną pomocą zamasztych gestów drugiej ręki. Stójkowy odwracał głowę, wzruszał ramionami, w ciemność się drapał. Młodszy z policyjnej pary pokrzykiwał na towarzysza, rusz się, pomóż! Na Alejach szepiło się płozami dwoje sań, jeszcze większy harmider powodując, wozy wjeżdżały na chodniki, piesi, klnąc po polsku, rosyjsku, niemiecku i żydowsku, uciekali spod kół i kopyt, przed składem win przewróciła się na zmarzniętym błocie matrona o gabarytach szafy gdańskiej, trzech gentlemanów podnieść ją usiłowało, pośpieszył z pomocą oficer brzuchaty, i tak dźwigali ją wczwórsił, na raz - upadła - na dwa - upadła - na trzy - już pół ulicy pękało ze śmiechu, a kobiecina, na wiśnię skraśniała, piszcząc przeraźliwie, mając grubymi nóżkami w trzewikach drobnych... Nic dziwnego, że dopiero na dźwięk dartej blachy i trzask pękającego drewna spojrzeliśmy nazad ku skrzyżowaniu. Automobil zderzył się z wozem węglarza; jeden koń się przewrócił, jedno koło odpadło. Policjant odepchnął Kiryła,

rzucił się biegiem ku kraksie. Uwięziony we wnętrzu krytej maszyny automobilista począł cisnąć trąbkę alarmową; na dodatek coś strzeliło pod maską bolidu, jakby z dubeltowy palnął. Tego było już za wiele dla siwka zaprzęgniętego do sani obok. Spłoszony, szarpnął w przód, wprost ku lutemu. Woźnica złapał za lejce, ale sam koń też musiał poczuć, w jaką ścianę mrozu wpadł - jeszcze energiczniej wierzgnął w bok, zakręcając saniami w miejscu. Czy płoza o krawężnik zahaczyła? Czy siwek poślizgnął się na czarnej tafli lodu? Już stałem w saniach ministerjalnych, razem z Iwanem przyglądając się wypadkowi ponad szeregiem pojazdów przed nami, ale to wszystko szło za szybko, zbyt niespodziewanie, zbyt wiele ruchu, krzyku, świateł i cieni. Przewrócił się siwek, przewróciły się ciągnione przezeń sanie, spadł z nich ładunek, kilkanaście pękatych butli w koszach z trocinami, kosze i butle potoczyły się na środek skrzyżowania, część z nich musiała się rozbić, po lodzie rozlała się bowiem lśniąca seledynowo ciecz - nafta, pomyślałem - i już buchnął ogień, od czego, od iskry elektrycznej z automobilu, upuszczonego papierosa, uderzenia kopyta podkutego o bruk, nie wiem. Błękitny płomień skakał po całej szerokości kałuży, wysoko, coraz wyżej, na metr, półtora wzwyż - prawie sięgając wzmrożonego w napowietrzną sieć lutego.

Fotograf, zgarbiony nad aparatem, powoli, metodycznie wypalał zdjęcie za zdjęciem. I co na nich potem ujrzy, co się zachowa na szkle i odbije na papierze: śnieg - śnieg - blade aureole latarni - ciemne błoto, ciemny bruk, niebo ciemne - szare elewacje kamienic w perspektywie szerokiego wąwozu miasta - na pierwszym planie chaos kanciastych kształtów pojazdów zablokowanych w zatorze - spomiędzy nich i spomiędzy sylwetek ludzkich bucha blask ognia czystego, tak jasny, że karta wydaje się w tym miejscu zupełnie nienaświetlona - a nad nim, nad płomieniem bieli bielszej od bieli, w sercu wiszącej arabeski lodu rozpościera się luty, luty, masywny piorun mrozu, rozgwiazda szronu, żywe ognisko chłodu, luty, luty, luty nad futrzanymi toczkami niewiast, luty nad czapami i melonikami mężczyzn, luty nad łbami końskimi i budami powozów, luty nad neonami kawiarni i salonów, sklepów i hoteli, cukierni i owocarni, luty nad Marszałkowską i Alejami Jerozolimskimi, luty nad Warszawą, luty nad Cesarstwem Rosyjskim.

Gdyśmy potem jechali do Saskiego, i Królewską, obok Ogrodu martwego pod wieloletnią zmarzliną i kolumnady soplami obwieszanej, obok przykrytych nawisami śnieżnymi wieży i soboru na Placu Saskim, ku Krakowskiemu Przedmieściu, tamten obraz - powidok obrazu i wyobrażenia - nawiedzał mnie raz za razem, natrętne wspomnienie o niejasnym znaczeniu, widok ujrzany a niezrozumiany.

Urzednicy wymieniali półgłosem uwagi burkliwe, woźnica krzyczał na nieuważnych

przechodniów; śnieżyca zelżała, lecz robiło się coraz zimniej, oddech na wargach mi zamarzał, białym obłokiem przed twarzą zawisając, spocone konie poruszały się w chmurach lepkiej wilgoci - Zamek Królewski był coraz bliżej. Przed skretem w Miodową zobaczyłem go ponad kolumną Zygmunta: zamknięty w bryle cienistego lodu Zamek - i wielkie gniazdo lutyh nad nim. Fioletowo-czarna skrzelica sięgała połowy dachów Starego Miasta. W pogodne dni można zobaczyć dookoła Wielkiej Wieży stojące w powietrzu fale mrozu. Brak skali na termometrach dla pomierzenia tego zimna. Przy ogniskach na granicy Placu Zamkowego trzymają straż żandarmi. Kiedy z gniazda wymraża się luty, zamykają ulice. Generał-gubernator ustanowił był tu kordon z dragonów z Czternastego Pułku Małorosyjskiego, ale pułk wyekspedjowano tymczasem na front japoński.

Dach Pałacu Biskupów Krakowskich pozostawał wszakże wolny od lodowego narostu. W oficynie od strony ulicy Senatorskiej nadal mieściły się wytworne sklepy - elektryczne reflektory oświetlały reklamy Ekskluzywnych Delikatesów Mikołaja Szelechowa i herbat Moskiewskiego Domu Handlowego Siergieja Bazyłowicza Perłowa - lecz główne skrzydło od Miodowej, pod rokokowem zwieńczeniem i w pilastrach z korynckimi głowicami, należało do Ministerjum Zimy. Nad oboma przejazdami bramnemi wisiały czarne, dwugłowe orły pod koronami Romanowów, inkrustowane onyksowym tungetytem.

Wjechaliśmy na wewnętrzny dziedziniec, płozy sań zazgrzytały na bruku. Urzędnicy wysiedli pierwsi, Iwan od razu zniknął w drzwiach, nasadzając na nos cwikier; Kirył stanął na schodach, przed progiem, i obejrzał się na mnie. Otworzyłem usta. Uniósł brew. Opuściłem wzrok. Weszliśmy.

Woźny zabrał mi kozuch i szapkę, a odźwierny podsunął księgę wielką, do której musiałem się wpisać w dwóch miejscach, pióro wypadało ze zgrabiałyh palców, może wpisać za wielmożnego pana, nie, ja, ja sam. Niepiśmienne pospólstwo też odwiedza korytarze naczalstwa Zimy.

Wszystko lśniło tu czystością: marmur, parkiety, szkła i kryształy i tęczowe zimnazo. Kirył poprowadził mnie główną klatką schodową, przez dwa sekretarjaty. Na ścianach, pod portretami Mikołaja II Aleksandrowicza i Piotra Rappackiego, wisiały słoneczne pejzaże stepu i lasu, wiosennego Sankt Peterburga i letniej Moskwy, z czasów, gdy wiosna i lato miały jeszcze do nich wstęp. Personel nie unosił głów znad biurka, ale widziałem, jak radcy, referenci, biuraliści i pisarze ukradkiem odprowadzają mnie wzrokiem, a potem wymieniają między sobą spojrzenia krzywe. Kiedy kończy się czas urzędowania? Ministerjum Zimy

nigdy nie zasypia.

Komisarz nadzwyczajny Preiss W. W. zajmował obszerny gabinet z zabytkowym piecem i nieczynnym kominkiem, wysokie okna wychodziły na Miodową i Plac Zamkowy. Gdy wszedłem, mijając się w progu z Iwanem, który najwyraźniej już mnie zapowiedział, pan komisarz krzątał się przy samowarze, odwrócony plecami. Sam miał figurę samowara, korpus pękaty, gruszkowaty, i małą, łysą głowę. Poruszał się z frenetyczną energią, dłonie trzepotały nad stołem, stopy nie ustawały w tańcu, kroczył w lewo, kroczył w prawo - byłem pewien, że nuci sobie pod nosem, że pod nosem się uśmiecha, z rumianej twarzy spoglądają na świat oczka wesołe, nie marszczy się gładkie czoło komisarza Zimy. Tymczasem, ponieważ się nie odwracał, stałem przy drzwiach z rękoma za plecami założonemi, i pozwalałem ciepłemu powietrzu wypełniać płuca, obmywać skórę, roztopiać krew w żyłach stężalą. W gabinecie było niemal gorąco, wielki, kolorowo malowany piec majolikowy nie stygł ani na moment, szyby w końcu tak zaparowały, że widziałem przez nie głównie rozmyte tęczę światel ulicznych, dziwnie rozlewających się i zlewających na szkło. Jest kwestją wielkiej politycznej wagi, by w Ministerjum Zimy nigdy nie panowało zimno.

- No i czemuż nie siadacie, Wieniedikt Filipowicz? Usiądźcie, usiądźcie.

Rumiana twarz, wesołe oczka.

Usiadłem.

Westchnąwszy donośnie, opadł po swojej stronie biurka, tuląc w dłoniach filiżankę z czajem parującym. (Mnie nie poczęstował). Niezbyt długo tu urzędował, biurko nie było jego, wyglądał za nim jak dziecko w ministry się bawiące, na pewno by mebel wymienił. Musieli go dopiero co przysłać, przysłali go, carskiego komisarza nadzwyczajnego - skąd? z Peterburga, z Moskwy, z Jekaterynburga, z Syberji?

Wziąłem głębszy oddech.

- Wasze Błagarodje pozwoli... Czy jestem aresztowany?

- Aresztowany? Aresztowany? Jakżesz myśl taka mogła powstać w waszej głowie?

- Wasi urzędnicy -

- Moi urzędnicy!

- Gdybym otrzymał wezwanie, na pewno bym sam -

- Czy nie zaprosili pana uprzejmie, panie Gierosławski? - On wreszcie wymówił

nazwisko poprawnie.

- Sądziłem -

- Boże mój! Aresztowany!

Zasapał się.

Splotłem dłonie na kolanie. Jest gorzej, niż myślałem. Nie wsadzą mnie do ciurmy. Wysoki urzędnik carski chce ze mną porozmawiać.

Zaczął wyjmować z biurka papiery. Wyjął gruby plik rubli. Wyjął pieczęcie. Pot spływał po mnie pod bielizną.

- Taak. - Preiss siorbnał głośno herbatę. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Słucham?

- W zeszłym roku zmarła wam matka, prawda?

- Tak, w kwietniu.

- Zostaliście sami. To przykre. Człowiek bez rodziny jest jak... no, sam jest. To źle, oj, źle. - Przewrócił kartę, siorbnał, przewrócił następną.

- Mam brata - mruknąłem.

- Tak, tak, brata na drugim końcu świata. Dokąd to wyjechał, do Brazylii?

- Peru.

- Peru! Co on tam robi?

- Kościoły buduje.

- Kościoły! Na pewno często pisze.

- No, częściej ode mnie.

- To ładnie. Tęskni.

- Ano.

- Wy nie tęsknicie?

- Za nim?

- Za rodziną. Kiedy ostatni raz słyszeliście od ojca? - Kartka, kartka, siorbnięcie.

Ojciec. Wiedziałem. O cóż innego mogło chodzić?

- Nie korespondujemy, jeśli o to pytacie.

- To fatalnie, fatalnie. Nie interesuje was, czy w ogóle żyje?

- A żyje?

- A! Czy Filip Filipowicz Gierosławski żyje! Czy żyje! - Aż się poderwał z za swojego operowego biurka. Pod ścianą stał wielki globus na leciutkim stelażu z mokrego zimnaza, na ścianie wisiała mapa Azji i Europy; zakręcił tym globusem, trzepnął grzbietem dłoni w mapę.

Gdy z powrotem na mnie spojrział, na puciołowatym obliczu nie pozostał najmniejszy ślad niedawnej wesołości, ciemne głaza spoglądały z kliniczną uwagą.

- Czy żyje - szepnął.

Podniósł z biurka papiery poźółkłe.

- Filip Gierosławski, syn Filipa, urodzony w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym w Wilkówe, w Królestwie Pruskim, w Prusiech Wschodnich, powiat lidzbarski, od roku tysiąc dziewięćset piątego poddany rosyjski, mąż Eulagji, ojciec Bolesława, Benedykta i Emilji, skazany w roku tysiąc dziewięćset siódmym na śmierć za udział w spisku na życie Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa oraz w buncie zbrojnym; nu, w drodze ulaskawienia karę zamieniono na piętnaście lat katorgi z pozbawieniem praw stanu i sekwestrem majątku. W roku tysiąc dziewięćset siedemnastym darowano mu resztę kary, nakładając prikaz na żytielstwo w granicach gienerał-gubernatorstwa amurskiego i irkuckiego. Nie pisał? Nigdy?

- Do matki. Może. Z początku.

- Ale teraz? Ostatnio? Od siedemnastego. W ogóle?

Wzruszyłem ramionami.

- Na pewno sami dobrze wiecie, kiedy i do kogo on pisze.

- Nie bądź bezczelny, młodzieńcze!

Uśmiechnąłem się słabo.

- Przepraszam.

Przypatrywał mi się chwilę długą. Na palcu lewej ręki miał pierścień z jakimś ciemnym kamieniem w obejmie drogocennego tungetytu, z wygrawerowanym emblematem Zimy; postukiwał pierścieniem o blat biurka, truk, truck, parzyste uderzenia były silniejsze.

- Ukończyliście Uniwersytet Imperatorski. Czym się teraz zajmujecie?



- Szykowałem się do rygorozum -

- Z czego się utrzymujecie?

- Daję korepetycje z matematyki.

- I wiele zarabiacie na tych korepetycjach?

Jako że już się uśmiechałem, pozostało mi opuścić wzrok na zaciśnięte dłonie.

- Wiele, niewiele.

- Jesteście częstym gościem u lichwiarzy, wszyscy Żydzi na Nalewkach was znają. Samemu Abiezerowi Blumsteinowi winniście ponad trzysta rubli. Trzysta rubli! Prawda to?

- Jak już mi Wasze Błagarodje powie, w jakiej sprawie jestem przesłuchiwanym, łatwiej będzie mi się przyznać.

Truk, truk, truk, truk.

- A może wy naprawdę popełniliście jakieś przestępstwo, że się tu tak ze strachu pocicie, a?

- Wasze Błagarodje raczy rozemknąć okna.

Stanął nade mną; nawet nie musiał się specjalnie nachylać, żeby mi wprost do ucha mówić, wpięty szept, potem warkotliwy ton żołnierski, na końcu krzyk niemalże.

- Wy hazardzista jesteście, mój Benedykcie, kartownik nałogowy. Co wygracie, przegrywacie - co zarobicie, przegrywacie - co pożyczycie, przegrywacie - co wyżebracie od przyjaciół, przegrywacie - nie macie już przyjaciół - niczego już nie macie, a i to przegrywacie, przegrywacie wszystko. Oczko, bakarat, zimucha, poker, każdy sposób dobry. Raz wygraliście pół tartaku - przegraliście je tej samej nocy. Musicie przegrywać, nie potraficie wstać od stołu, póki nie przegracie się tak doszczętnie, że nikt już z wami nie chce grać. Nikt już z wami nie chce grać, Wieniedikt Filipowicz. Nikt już nie chce pożyczać. Zastawiliście się na dwa lata w przód. Bolesław do was nie pisuje, to wy piszecie do niego, błagacie o pieniądze, ale nie przysyła ich więcej. Do ojca nie piszecie, bo ojciec nie ma pieniędzy. Chcieliście się żenić, ale niedoszły teść was psami poszczuł, jak żeście zastawili i przegrali posag narzeczonej. Żebyście chociaż w łeb sobie palnęli, jak na szlachcica przystało, ale nie palniecicie, tfu, i taki z was szlachcic, szumowina!

Uśmiechałem się przepaszająco.

Komisarz Preiss odsapnął, poczem poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

- No, nie bójcie się, my się znamy i z szumowinami. Nic to, że ojciec rodzony tyle was obchodzi, co podagra cesarza Japonji - za to obchodzi was tysiąc rubli! Prawda? Tysiąc rubli was obchodzi jak... no, bardzo was obchodzi. My wam damy tysiąc, a potem może i drugi, jak się dobrze sprawicie. Pojedziecie odwiedzić ojca.

Tu zamilkł, widać czekając mojej odpowiedzi. Ponieważ się jej nie doczekał, wrócił za biurko, do parującej herbaty (ostygła nieco, teraz więc dłużej i głośniejsze ją siorbał), do papierów i pieczęci. Masywnym piórem złożył podpis na dokumencie, uderzył pieczęcią, poprawił drugą; usatysfakcjonowany, zatarł rączki i rozparł się w fotelu skórą obitym.

- Tu macie paszport i naprawienie do naszej delegatury w Irkucku, oni się wami zajmą na miejscu. Kupili wam od razu bilet, jutro wyjeżdżacie do Moskwy, inaczej nie zdążycie na ten Ekspres Syberyjski - dzisiaj jest pierwszy lipca, bilet macie na piątego, odjazd o dziesiątej wieczorem z Dworca Jarosławskiego, w Irkucku będziecie jedenastego, tam was wsadzą do Zimnej na Kieźnę. Tu macie tysiąc, pokwitujcie. Kupcie sobie jakieś ubranie, co byście wyglądali jak człowiek! A jakby wam przyszło do głowy wziąć pieniądze i przegrać wszystko - a zresztą, przegrywajcie, byleście dojechali nad Bajkał. No, podpisujcie!

Tysiąc rubli. Co oni chcą, żebym tam zrobił? Wyciągnął od ojca nazwiska, których nie zdradził na procesie? Tylko dlaczego zwraca się z tym do mnie Ministerjum Zimy, a nie Spraw Wewnętrznych?

- Pojadę - powiedziałem - odwiedzę ojca. I co? I tyle?

- Porozmawiacie z nim.

- Porozmawiam.

- Jak porozmawiacie, no, to już będzie dobrze.

- Nie rozumiem, co Wasze Błagarodje -

- Nie słał listów, a was to oczywiście nie dziwiło. - Komisarz Preiss otworzył oprawną w sukno i szyldkret teczkę. - Irkuck nam pisze... Był geologiem, prawda?

- Proszę?

- Filip Filipowicz studjował geologję. Nie przestał się nią interesować i na Syberji. Donoszą mi tu... Od początku był bardzo blisko, jego rotę wzięli do drugiej czy trzeciej ekspedycji, co poszła tam na wiosnę tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Większość zginęła od odmrożeń. Albo zamarзли na miejscu. On przeżył. Potem wrócił. Do nich. Ja w to nie wierzę,

ale tak mi tu piszą. Dali rozkaz, dali pieniądze, no to wysyłam człowieka. Wasz ojciec rozmawia z lutymi.

### **O tym, czego nie można wypowiedzieć**

Moim życiem rządzi zasada wstydu.

Poznaje się świat, poznaje język opisu świata, ale nie poznaje się siebie. Większość ludzi - prawie wszyscy, jak sądzę - do śmierci nie nauczy się języka, w którym mogliby siebie opisać.

Kiedy mówię o kimś, że jest tchórzem, to znaczy, że uważam, iż zachowuje się tchórzliwie - nie znaczy to nic więcej, ponieważ oczywiście nie zajrzę mu w głąb duszy i nie dowiem się, czy jest tchórzem. Tego języka nie mogę jednak użyć do opisu samego siebie: w zakresie mojego doświadczenia pozostają jedyną osobą, dla której jej słowa, czyny, zaniechania stanowią zaledwie blade i w gruncie rzeczy przypadkowie odbicie tego, co kryje się pod nimi, co stanowi ich przyczynę i źródło. Istnienia owego źródła doświadczam bezpośrednio, podczas gdy części mych zachowań nie jestem w ogóle świadom, a wszystkie odbieram w sposób niepełny, skrzywiony. Sami zawsze ostatni się dowiadujemy, jakiego idjotę zrobiliśmy z siebie w towarzystwie. Lepiej znamy intencje naszych czynów niż owe czyny. Lepiej wiemy, co chcieliśmy powiedzieć, niż co naprawdę powiedzieliśmy. Wiemy, kim chcemy być - nie wiemy, kim jesteśmy.

Język do opisu naszych zachowań istnieje, ponieważ tej rzeczywistości doświadczą wielu ludzi i mogą między sobą omówić czyjaś ostentacyjną uprzejmość lub czyjeś *faux pas*. Język do opisu mnie samego nie istnieje, ponieważ tej rzeczywistości nie doświadczą nikt poza mną.

Byłby to język do jednoosobowego użytku, język niewypowiadalny, niezapisywalny. Każdy musi sam go stworzyć. Większość ludzi - prawie wszyscy, jestem przekonany - do śmierci się na to nie zdobywa. Co najwyżej powtarzają w duchu cudze opisy własnej osoby, wyrażone w owym języku pochodnym - w języku drugiego rodzaju - albo wyobrażają sobie, co by w nim o sobie powiedzieli, gdyby dane im było spojrzeć na się z zewnątrz.

Żeby cokolwiek o sobie rzec, muszą sami dla siebie uczynić się obcymi.

Moim życiem rządzi zasada wstydu. Nie mam lepszych słów, by opowiedzieć tę prawdę.

Żebrak wyciąga dłoń w błagalnym geście, mam pieniądze, mogę mu dać, choćby pięć, choćby dwie, choćby jedną kopiejkę, nikt inny nie patrzy, jesteście tylko my dwaj, ja i żebrak - nie daję nic, odwracam się i odchodzę szybko, chowając głowę w ramionach.

Kto rozbił słoje z konfiturami? Matka podnosi głos. Kto rozbił? Nie ja, i nie mam pojęcia, czy winien jest Bolek, czy Emilka, ale matka pyta raz jeszcze, i jeszcze, i wtedy wskazuję zdecydowanie na Bolka. On.

Śmiech w towarzystwie, wyśmiewamy wszyscy wspólnego znajomego, którego teraz tu z nami oczywiście nie ma, jeden po drugim, przywołujemy wspomnienia jego kompromitacji i słabości. Wstaję, nie śmieję się, zmarszczone brwi i zaciśnięte wargi, wstaję i - jak wam nie wstyd!

Krasawica klei się do mnie, przelewa przez ramiona, osuwa mi się na pierś, na podolek, gdy dorożka zwalnia i staje przed bramą kamienicy, gdzie wynajmuję pokój z Kiwajsem, Kiwajs jest u dalekiej rodziny na prowincji, pokój wolny, pijane dziewczę chichocze, gryząc mi guzik surduta - dorożkarz obraca się, puszcza do mnie oko, pomoc jaśnie panu? Spoglądam przerażony. Wciskam mu w garść rubel zmięty. Odwieź bladź, dokąd chce! Zrzucam z siebie dziewczę, wyskakuję z dorożki i uciekam w głąb ciemnej bramy.

W lesie, za wsią dziadka, w wykrocie nad strumieniem leży truchło sarny. Nadjedzone przez drapieżniki i padlinożerców, pod czarnym baldachimem much. Nikomu nie mówię, przychodzę co rano i co wieczór, dźgam kijem, przewracam, przyglądam się, jak od nowa oblażą je owady, jak mięso zmienia kolor, a z ciała wypływają ciemne ciecze, wsiąkając powoli w ziemię. Gdzie spędzam tyle czasu, pyta dziadek. Kłamię. Widzi, że kłamię. Dokąd chodzę, pyta. Milczę. Łoi mnie pasem. Płaczę. Nie mówię prawdy, nie mówię nic. Przez całe lato chodzę po lesie, szukając martwych zwierząt. Noszę ze sobą gruby kij, jak maczugę. Biję padlinę tym kijem w tępe zapamiętaniu, aż zgnilizna odchodzi od kości. A masz! a masz! a masz!

Osiemnaście i siedemdziesiąt cztery! Osiemnaście i siedemdziesiąt cztery! Krzykacz jarmarczny zdziera gardło, ogłaszając zwycięskie numery. Wszyscy kupiliśmy losy, wchodząc na jarmark. Roześmiani, czerwoni od mrozu i śliwowicy, szukamy teraz kartoników po kieszeniach. Znajduję, wyjmuję. Osiemnaście i siedemdziesiąt cztery. Odgrywając wielki zawód i wściekłość, ciskają losy w błoto, przeklinają pecha i nabijają się z głupca, który nie przychodzi po wygraną. Drę zwycięski los i robię to samo, co oni.

Nocą, gdy nikt nie widzi, ćwiczę straszne miny, wytrzeszcz oczu i szczerz zębów, nazbyt

dzikie, by znaczyły cokolwiek w mowie człowieczej fizjognomji; straszne miny, a także absolutną martwość oblicza, bezruch najdrobniejszych mięśni czaszki, którego w świetle dnia i między ludźmi nigdy nie potrafię osiągnąć, nie mam wówczas władzy nad grymasami twarzy. Nocą, gdy śpię, widzę pod powiekami schemat, jak z poźółkłych rycin Zygi, anatomiczny schemat owej zdrady: dziesiątki twardych nici szpagatowych przewleczonych pod skórą policzków, brwi, podbródka, warg; a drugie końce tych nici trzymają otaczający mnie ludzie, w dłoniach, między zębami, zawiązane wokół dewizek zegarków i mankietowych spinek, na obrączkach, na główkach lasek i cybuchach fajek, niektórzy sami mają je wszyte w mięśnie mimiczne, albo i w serca, wprost przez pierś i kość mostka. Potem rycina ożywa - jest dzień - jest ruch - ludzie - ja -

Uśmiecham się - uśmiecham się - uśmiecham się.

...

Wspominam zachowania, posługuję się drugim językiem...

Muszę sam dla siebie stać się obcym.

Benedykt Gierosławski był dobrem dzieckiem. Kto nie chciałby mieć takiego dziecka? Był grzeczny - zawsze słuchał się rodziców, słuchał się starszych, nie odzywał się niepytany, nie broił, nie bił się z innymi dziećmi, mówił przed snem pacierz, w szkole miał najlepsze stopnie. Inni chłopcy włóczyli się po mieście, spędzali czas na ulicach - on czytał książki. Inni chłopcy podglądali dziewczęta i droczyli się z siostrami - on uczył siostrzyczkę liter. Mył uszy. Kłaniał się sąsiadom i znajomym. Nie dłuwał w nosie, nie pokazywał palcem. Nie chorował. Nie sprawiał rodzicom kłopotów. Któż nie chciałby mieć takiego dziecka?

Kiedy skończył siedemnaście lat i wstąpił na Uniwersytet Cesarski, spotkał innych, którzy byli dobrymi dziećmi.

Rozpoznali się po uśmiechach.

Czy było już za późno? Czy mogłem się cofnąć - cofnąć do czego, do kogo, do jakiego mnie? Nie ma żadnego momentu w przeszłości, który, cudownie zmieniony, odwróciłby bieg mego życia, żadnej katastrofy, która mi się przydarzyła, wskutek czego jestem inny, niż być powinienem; niczego takiego nie potrafię wskazać.

Jest wręcz dokładnie na odwrót: dokiedykolwiek sięgnąłbym wspomnieniem, zawsze odnajdę pod cienkim naskórkiem mych słów i czynów tę samą zasadę, mięsień niepokoju, nadziei i wstępu napięty w tym samym kierunku, gdy miałem lat trzy, trzynaście i

dwadzieścia trzy. Nie uczucie, coś innego, nie myśl - ucieka, wymyka się, wyślizguje, niematerialne, nieopisywalne - stój! spójrz mi w oczy! - ty, ty - nazwę cię Wstydem, choć nim nie jesteś, nazwę cię Wstydem, bo nie ma lepszych słów w języku międzyludzkim.

## **O prawach logiki i prawach polityki**

Alfred Tajtelbaum czekał na mnie w restauracji Herszfielda. Siedział samotnie przy wielkim oknie wychodzącym na pasaż Simonsa, poczytując gazetę krzywo złożoną. Zamówił pejsachówkę z gęsiemi skwarkami i był już chyba przy drugiej porcji - z Miodowej na Długą są trzy kroki, ale po tym, jak do niego przetelefonowałem z sieni Pałacu, zatrzymali mnie znowu Iwan z Kiryłem: trzeba było wypełnić formularze, wydobyć świadectwo błagonadiożności, wypisać pomniejsze dokumenty podrózne... Gdy wchodziłem do Herszfielda, zegary wskazywały siódmą.

- Masz.

Alfred spojrział na rzucone na blat stolika banknoty. Czy w ogóle jeszcze pamiętał o długu? Czy też przestał już mieć nadzieję, że kiedykolwiek go ureguluję? Powiesiłem kożuch i czapkę. Liczył ruble, powoli przekładając je między palcami.

Usiadłem.

- Wyjeżdżam.

Uniósł głowę.

- Na ile?

- Nie wiem.

- Dokąd?

- Na Syberję.

Odchrząknął.

- Co się stało?

Opowiedziałem mu o ojcu, pokazałem papiery.

- Bałeś się, że ci nie uwierzę - mruknął.

- Od miesiąca straszysz, że przeniesiesz się do Lwowa.

Zapalił papierosa. Zamówił wódkę dla rozgrzania. Za oknem naprzeciwko nas, przy drzwiach pod szyldem modystki, rozmawiały dwie młode kobiety w szykownych etolach. Mówiliśmy w półobróce ku szybie, przez siny dym i przez szum głosów innych gości, o tej porze lokal Herszfelda był wypełniony; mówiliśmy głośno i wyraźnie, jakbyśmy deklamowali teatralne kwestje, zeznawali przed wysokim trybunałem. Kobiety pod szyldem modystki śmiały się, zakrywając czerwone usta dłońmi w czarnych rękawiczkach. Mróz czynił ich twarze jeszcze piękniejszymi, wyiskrzyła światło w oczach, różowił lica, rzeźbił nozdrza.

- Leśniewski i Sierpiński zapraszają mnie oficjalnie, w imieniu Uniwersytetu Lwowskiego.

- Akurat się pogniewali z Kotarbińskim.

- Zrobię tam doktorat w rok, dwa.

- Zacziesz od nowa?

- Ba! Myślałem, czy nie zmienić sobie nazwiska.

- Żarty.

Alfred wzruszył ramionami.

- Bieżkow słyszał, że będę się starał o docenturę i posadę na uczelni. A sam dobrze wiesz, co on wygaduje o Żydach.

- Od jesieni Łukasiewicz ma wyklądać na Cesarskim. Może -

- Polski język wykładowy to nie wszystko. Ten bojkot za długo się ciągnął. Uniwersytet Cesarski ma ponad pół wieku, trzeba się liczyć z tradycją.

- Więc za granicę, do Lwowa? Zdecydowałeś się?

- Sam mówisz, że nie wiesz, kiedy wrócisz. Zresztą przyznaj, utknęliśmy z tą pracą. - Sięgnął do wsuniętej pod krzesło teczki, wyjął gruby plik papierów, dobre pół ryzy. - Proszę, wszystko, łącznie z moimi ostatnimi wypocinami.

Przekartkowałem w roztargnieniu. Rzeczywiście, był tam nawet artykuł Kotarbińskiego z „Przeglądu Filozoficznego” sprzed jedenastu lat i ostatnia, odrzucona wersja naszych *Teorii i zastosowań logik ponaddwuwartościowych*.

- I co, teraz tylko teoria mnogości i Boole? - burknąłem zgryźliwie.

- Na *Zasadę sprzeczności* to ja nie mogę już patrzeć. Pewnie wgrzęzę się od nowa w wyrazy pierwotne dla logik *Principia mathematica*. Jeśli weźmiesz kwantyfikatory zmiennych zdaniowych i funktorowych... Zresztą mówiłem ci - westchnął.

Rozmowa zdechła.

Miałem w dłoniach Alfredową gazetę.

Wojna prawie wygrana, Rosja bierze się za wrogów bliższych sercu Imperjum. W Peterburgu głośny proces polityczny. *Oskarżenie zarzuca Wilinkowiczowi A. D. przynależność do stronnictwa dążącego do zaprowadzenia w Rosji demokratycznej republiki. W ogniu pytań prokuratora na koniec trzeciego dnia procesu oskarżony się przyznał.* Na szpaltach gospodarczych kwestje taryf celnych i wystąpień w parlamencie brytyjskim przeciwko wolnemu handlowi, a także bankructw w przemyśle ciężkim. *Miljarder amerykański, Morgan, pertraktuje z bankami niemieckimi i francuskimi o założenie wielkiego trustu antyzimnawowego i wspólnie z temi bankami przedłożył już rządowi krajów przez Lód nietkniętych ofertę na wyłączny handel po cenach gwarantowanych, domagając się wszakże przeciwrosyjskich zapór celnych. Powiadamy: niech sobie mister Morgan własne państwo ufunduje!* Pff, trudno o rzecz, która mniej by mnie obchodziła. Wychyliłem kieliszek wódki. Kolumnę dalej, pod reklamą Szkoły Dobrego Zachowania J. Joujou - karykatura niewiast na samochodach szalejących. *Nowe wybryki sufrażystek. Sufrażystki angielskie posługują się w agitacji wyborczej coraz gwałtowniejszymi środkami. Jedna z nich wpadła onegdaj do biura wyborczego ministra Carra, w chwilę po wyjściu ministra i oblała gorącą cieczą wszystkie dokumenty i odezwy leżące na stole. Kropla cieczy prysnęła w oko sekretarza ministra i sparzyła go boleśnie. Mimo dotkliwego bólu sekretarz zaczął ścigać napastniczkę, ta jednak wybiegła z lokalu, wsiadła na automobil i pomknęła pod prąd ulicą ciasną. Dzielny sekretarz kontynuował pościg na pożyczonym bicyklu, lecz zwarjowana niewiasta rozpędziła maszynę bez respektu dla zdrowia i życia ludzi i zwierząt, i tak uszła spod sprawiedliwości. Dzięki Bogu obce są nam w Królestwie i Imperjum Rosyjskim podobne obyczaje wulgarne.*

Miałem gazetę, z myśli własnych pusty.

Od modystki wychodziły ostatnie klientki; kobiety odstąpiły od wejścia do sklepu, znikając nam z pola widzenia. Pasmanterję obok też zamykano, gasły światła wewnątrz.

Zacisnąłem powieki, jakby mi nagle płatek śniegu wprost na źrenicę opadł.



- Nie potrafię zapomnieć tego widoku, gdy jechałem na Miodową... Wiesz, że na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Jerozolimskich stoi teraz luty.

- Aha.

- Był wypadek, rozlała się nafta, ogień buchnął na dobry metr, wyżej, dwa metry. Tylko że, uważasz, luty wisiał ponad tym, przymroził się już do budynków, latarni, słupów. Wcześniej ciągnął po ziemi - nad skrzyżowaniem poszedł w powietrze. Musiał zacząć się podnosić dobre pół dnia wcześniej. Ale, Alfred, ten wypadek był kompletnie nie do przewidzenia! Przypadek spiętrzony na przypadku!

Przyglądał mi się z miną na pół rozbawioną, na pół przestraszoną.

- Co to ma być, polowe testy logiki?

- A-a, czy logika jest nauką zbudowaną na empirji? Z pozoru cóż może być bardziej od empirji oderwanego? A jednak wszyscy opieramy się w tych rozważaniach na naszym doświadczeniu, na obserwacji zdarzeń zachodzących w świecie - naszym świecie i naszej obserwacji. Prawda i fałsz nie istnieją na zewnątrz naszych głów. Bez języka, w którym je wypowiadamy, bez wrażeń zmysłowych, na których wszystkiego się uczyliśmy - nie byłoby ani prawdy, ani fałszu.

Rozgniół niedopałek w popielnicze.

- Bez języka... Właśnie w tym języku! W tym języku, którym mówimy, nie ma prawdy ani fałszu.

- W języku, którym mówimy... - zacząłem i urwałem, po raz tysięczny doświadczwszy tej jednej prawdy niełamlwej: że w języku, w którym mówimy, nie wypowie się wszystkich tych tragicznych kalectw i ograniczeń języka, którym mówimy. Nie da się nawet opowiedzieć, dlaczego pewnych rzeczy nie da się opowiedzieć.

- Nadal prześladowuje cię antynomja kłamcy - cmoknąłem z desgustu.

Staje przed wami człowiek i mówi, że kłamie. Powiedział prawdę? Więc nie kłamie. Skłamał? Więc powiedział prawdę.

Jaką wartość przypisać takim zdaniom? Skoro nie prawdy i nie kłamstwa.

- Pomóż mi! - Alfred Tajtelbaum zastukał popielniczką w blat. - Gdzie tu tkwi błąd?

- Zakładamy, że język ludzki w ogóle wiąże prawa logiki. Tymczasem jest na odwrót: to język krępuje logikę.

- Przykroić język do logiki - ale to już nie będzie nasz język.

- Cóż z tego? Jeśli logika jest odbiciem obiektywnej rzeczywistości, a nie jedynie uświęconym przez tradycję przesądem żyjącym w naszych głowach - to powinniśmy tu postępować tak samo jak fizycy, stopniowo przykrawający język matematycznego opisu świata do tego świata.

- Znaleźć taki język, w którym da się wypowiedzieć prawdę... To znaczy: w którym wszystko, co da się wypowiedzieć, będzie albo fałszem, albo prawdą. Mhm. - Znowu zapatrzył się przez okno na pasaż śnieżny. - Po pierwsze, w takim języku logicznym nie mógłbyś mówić o samym sobie. A żeby ominąć antynomję kłamcy, musiałbyś wyrzucić poza język wszystkie stwierdzenia prawdy bądź fałszu o zdaniach tego języka.

Parsknąłem.

- Więc znowu byłby to język nienadający się do wysłowienia prawdy.

- Nie! Powiedziałbyś, że śnieg pada - machnął ku szybie - lecz nie powiedziałbyś, iż rzekłeś prawdę, mówiąc, że śnieg pada. Nie w tym samym języku. Pojmujesz?

- Ale to z kolei nie bardzo przystaje do naszego świata. Czy rzeczywiście mamy w nim tylko prawdę lub fałsz?

- A-a, to inna para kaloszy! Kotarbiński ma rację: pewne twierdzenia mogą nie być ani prawdziwe, ani fałszywe, dopóki nie zaszły zdarzenia, o jakich mówią. Leśniewski jest ortodoks Laplace'a, tylko dlatego ma całą przyszłość za już ziszczone. Ale zdanie „Car Mikołaj Drugi nie dożył swoich sześćdziesiątych urodzin” nie będzie ani prawdziwym, ani fałszywym jeszcze przez cztery lata. Lecz gdy już zdarzenia zajdą, i gdy owe twierdzenia staną się prawdziwymi lub fałszywymi, nie mogą z czasem przestać takimi być.

- Bo ty patrzysz jak na proces, jak na jakąś logiczną maszynkę do mięsa, do której z jednej strony - z przyszłości - wpychasz nieforemne kawały mięcha zdarzeń, łup-cup, przekręcamy je przez Teraźniejszość i z drugiej strony maszynki - w przeszłość - wychodzi mielonka logiczna w dwóch równo oddzielonych wstęgach: prawdy i fałszu.

- No, to się mniej więcej zgadza...

- A teraz zamróż to.

Żachnął się.

- Co?

- Zamróż, zatrzymaj, zastopuj. Możesz być pewien tylko twojego Teraz. Cała reszta - wszystko, co do Teraz przylega, lecz nie mieści się w jego granicach - jest wątpliwa, istnieje tylko jako domysł zbudowany na Teraz, i tylko właśnie o tyle, o ile możesz się tego domyślić.

Tajtelbaum patrzył na mnie już z politowaniem.

- Ty istotnie uważasz, że sądy o przeszłości czynimy prawdziwymi lub fałszywymi - odkrywając ją? I że odbieramy im fałszywość i prawdziwość - zapominając, tracąc wiedzę? Benek!

- Tak przecież się dzieje z sądami o przyszłości, co do tego się zgadzamy, nie? Bóg nie posługuje się logiką trójwartościową, bo On wie wszystko; Jego język jest językiem „tak-tak, nie-nie”. Jak powiada Pismo i doktor Einstein. A że ludzie mogą poznać tylko te zdarzenia, które dotyczą ich Teraz... Co mam w takim razie powiedzieć o lutyh? Ten na skrzyżowaniu dzisiaj... Powiedz mi: gdybyśmy postrzegali rzeczywistość zupełnie inaczej, gdybyśmy żyli w innej rzeczywistości, w innym nurcie czasu - czy posługivalibyśmy się tą samą logiką? Wiesz, że nie!

Alfred zamówił kawę. Rozpiął kołnierzyk i nawet odchylił się na oparcie krzesła.

- Czyli bez kogoś, kto by tę prawdę wysłowił, nie można by stwierdzić, że świat istnieje, tak? Zdanie „Świat istnieje” nie będzie prawdziwe - ani fałszywe - dopóki ktoś go nie wypowie.

- Wcześniej w ogóle nie będzie takiego zdania, więc -

- Jak to się zatem dzieje, że we wszystkich kulturach, we wszystkich czasach wszystkie języki tworzą te same kategorie prawdy i fałszu, ba!, że wszystkie odwołują się do zasady niesprzeczności?

- Bo nadal są to kultury ludzkie, zbudowane na doświadczeniu wchodzącym przez dwoje oczu, dwoje uszu, w małym mózgu obracaniem... Studjowałeś przecież biologię. Pomyśl: ile jest gatunków ziemskich w inne aparaty czuciowe obrośniętych, w innych środowiskach zasadzonych.

- Jakże więc: masz jedną, obiektywną logikę, zakorzenioną w samej rzeczywistości - czy setki różnych logik zależnych od aparatu myślowego i czuciowego gatunku?

- A każda w innym stopniu i od innej strony zbliża się do logicznych zasad wszechświata.

- Ach! I według ciebie lute -

- Nie postrzegają świata jak my. W innym świecie żyją.
- Masz na myśli świat w pełni deterministyczny? Bezwolne zwierzęta znające całą swoją przyszłość?
- Nie, nie, gdyby znał przyszłość, w ogóle by tamtędy nie laził!
- O co zatem -
- Zagadka: świat, który najlepiej opisuje logika Kotarbińskiego - i świat opisywany przez moją logikę, w której tylko sądy o teraźniejszości są zamrożone: albo fałszywe, albo prawdziwe. Po czym odróżniłbyś te światy?
- Mhm, po płynności prawdy o przeszłości?
- Co to znaczy? Porozmawiaj z kimkolwiek o tysiąc dziewięćset dwunastym albo o powstaniu styczniowem.
- Co innego fakt, a co innego pamięć, opinia o nim.
- Pamięć! - parsknąłem gniewnie. - Taka pamięć to nie dar, lecz przekleństwo: ponieważ pamiętamy tylko przeszłość, i pamiętamy jedną przeszłość, każdy swoją, ulegamy złudzeniu - także doktor Kotarbiński mu uległ - że zdarzenia minione pozostają na wieczność ustalone, zamrożone w prawdzie. I wszystkie logiki budujemy opierając się na tym złudzeniu.. Alfred w zamyśleniu zwijał i rozwijał białą chusteczkę.
- Po czym odróżniłbym te światy... Czyżbyś sądził, że są nie do odróżnienia? Ależ w twoim świecie istniałoby jednocześnie wiele przeszłości równie prawdziwych-nieprawdziwych, podobnie jak w tej chwili istnieje wiele przyszłości naszego tu *rendez-vous*: w niektórych ty wychodzisz pierwszy, w niektórych ja, w niektórych spotykamy -
- Pan Tajtelbaum! Pan Gierosławski! Kogo widzą piękne oczy moje!
- Otóż i objawił się nam Miczka Fidelberg ze Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Subiektów Handlowych Wyznania Mojżeszowego Warszawy, sekretarz Koła Socjalistów Warszawskich i pociotek Abiezera Blumsteina. Dobrze już podpity i obficie spocony pod świeżo krochmaloną koszulą, z twarzą alkoholowym blaskiem rozświetloną, aż mu się kinkiety odbijały na gładkich jagodach, niczym słońce na kopułach Soboru Aleksandra Newskiego - gdy się nade mną pochylił, z chuchem ognistym prosto w mój nos wymierzonym, to jakby się reflektor gorący zapalił mi przed oczyma, jakby rozтворzył się przede mną piec huczący. Miczka ważył blisko dwieście kilo, słusznego był również wzrostu.

Kiedy się oparł o blat stolika, usłyszeliśmy trzeszczenie i trzask drewna, zagrzecotało szkło; kiedy się na powrót wyprostował, zaćmiły się za jego plecami neony uliczne.

- Uszanowanie, uszanowanie, niechże uściskam jeniussy moich, panie Benedykcie, morda ty, nu -

- Miczka, co ci?

Zionął na mnie czosnkiem i skondensowaną euforją.

- No jakże! Nie słyszeliście? - Capnął gazetę zmiętoloną i załopotał nią nad głową niczym sztandarem. - Mierzow pobił Japońców pod Yule!

- Być to bardzo może, gazeciarze coś tam wykrzykiwali - ale czemuż to akurat u ciebie rozkosz taką budzi?

- Będzie rozejm zimowy! Amnestyja wielka! Pójdą nowe ukazy o ziemstwach! Podatki w dół, ottepielnicy w górę! O! - Wygarnął z kieszeni rulon cienkich broszur agitacyjnych i wcisnął nam po kilka. - Macie! Macie!

- A dobry komunista się cieszy z trjumfu Imperatora, ponieważ?

- Iii-tam, trjumf - trjumf czy klęska, cokolwiek, byle nie trzynasty rok wojny bez końca, celu i sensu. A teraz się ruszy! - Ucałował mnie zamaszycie z prawej i z lewej i z prawej. - Teraz się ruszy! Odwilż! Wiosna!

Alfred odepchnął od siebie propagandę, otarł chusteczką usta i czoło, wyjął drugiego papierosa.

- Rewolucję najłatwiej zapalić od ognia wojny, nieprawdaż? Lud nie wyjdzie na ulice umierać za słowa i ideje, ale za chleb, pracę i parę kopiejek dniówki więcej - owszem. Zatem im lepiej stoi gospodarka, tem węższe szanse na powstanie ogólnorosyjskie. Przewlekła wojna dwóch mocarstw zawsze daje nadzieję na krach ekonomiczny. Ale kto powstanie przeciwko zwycięskiemu Gasudariu Impieratoru w czas pokoju?

Miczka przysunął sobie krzesło, poczem usiadł z przeciągiem westchnieniem, jakby z samowara parę spuszczone, pffch! - i już podwija rękawy koszuli, luzuje kołnierzyk, rozstawia szerzej nogi słoniowe, krzesło trzeszczy, Miczka Fidelberg nachyla się ku interlokutorowi, nadyma pierś, będzie własną tą pierśią Rewolucji bronił.

- Tysiąc dziewięćset piąty! - ryknął. - Tysiąc dziewięćset dwunasty! Ile razy można, panowie! Ile razy te same błędy! Bolszewicy i eserowcy nigdy się nie nauczą, przynajmniej

Bund poszedł już po rozum do głowy. Gdybyśmy mieli klasę robotniczą jak w Anglii czy Niemczech - ale kto tu ma robić rewolucję, się zapytujemy, chłopci ciemni? Jak narodnicy na tym wyszli, wiemy; łatwiej im zwerbować dla idei agentów ochrony niż chłopstwo, lud przywiązany do ziemi sam jest klasą reakcyjną. Co z tego, że nawystrzelają carskich ministrów, zbombardują generałów? Generałów u cara mnogo!

- Znaczą, szto? - przyłączacie się do struwowców i socjalistów dworskich?

- Plwam na nich! - Plunął. - Nie idzie o takie i owakie kamaryle, ale o Historję! Bo cała rzecz w tym, że w obecnym stanie kraju rewolucja nie ma szans powodzenia. Przekonaliśmy się na własnej skórze, dwakroć płacąc krwią robotniczą, w piątym i dwunastym właśnie, a też samodzierżca zdawał się wtenczas osłabionym wojnami japońskimi i wszystko niby przemawiało na naszą korzyść. Ale tak samo nie zrobilibyście panowie rewolucji socjalnej w starożytnym Rzymie! Marks to dobrze wiedział: Historja toczy się podług żelaznych reguł logiki dziejów i nie można po prostu przeskoczyć jednego czy drugiego etapu - toż nie od razu rodzi się motyl, trzeba wpierw larwy, trzeba kokonu.

- Lenin -

- Lenin już tylko kąsa po łydkach szwajcarskie pielęgniarce.

- Miczka - nachyliłem się ku zasapanemu Fidelbergowi - czy ja cię dobrze rozumiem? Będziesz popierał burżuazję i kapitalistów, bo dopiero po nich może przyjść prawdziwa rewolucja proletariatu?

- Musisz mieć proletariata, żeby zrobić rewolucję proletariatu! Chyba że uwierzysz w bagaistrailstwo albo mrzonki Bierdiajewa *et consortes* albo tych socjalistów narodnickich, co im Hercen i Czernyszewski na umie zakwitli i do dziś prawią o dziejowym posłannictwie Rosji i że nie trzeba wcale gonić Zachodu i powtarzać jego błędów, jeno bez burżuazji i mieszczaństwa, omijając meandry kapitalizmu, wyhodują tam sobie rdzenie rosyjski socjalizm z nieskażonego ludowego ducha wspólnoty, ech. Ruska mistyka! Co zaś mówi Trocki? Nawet gdy jakimś sposobem cudownym - spisek Czteryestu, szaleństwo władcy, katastrofa naturalna, nienaturalna - nawet gdy jedno państwo wpadnie pod rząd ludu pracującego, zaraz wszystkie bliższe i dalsze państwa starego porządku rzucą się na nie i rozbiją w drebiezgi, nie pozwalając socjalizmowi wyjść na dojrzałość silną. Musiałaby Rewolucja wraz objąć sobą państwa wszystkie, a przynajmniej ich większość, tę większość po mocy gospodarczej, militarnej mierzoną. Nie dość bowiem obliczyć historję jednego kraju; liczyć skutecznie można tylko Historję, to znaczy system dziejów wszechobjmujący,

wszechregulujący. Czy widzą to panowie matematycy? Widzicie przecie!

...Co więc należy zrobić? Otworzyć tę konserwę! Wciągnąć Rosję w dwudziesty wiek, choćby wbrew jej samej! Tak, tak: przemocą rozmrozić Historję! Rozmrozić Historję, powiadam! Najpierw Ottiepiel, potem Rewolucja! Ale nie Ottiepiel z nadania boskiego, z cykliów metafizycznych zesłana, lecz - zacisnął piąchy maczugowate - naszymi, człowieczymi rękami zrobiona! Z pracy, z rozumu, z nauki, z pieniądza! Ot - odsapnął, dech na koniec łapiąc - taki ja ottiepielnik nowy...

- Przestałem już śledzić perturbacje w Dumie - czy trockiści nie są teraz w jakimś sojuszu taktycznym ze struwowcami i trudownikami stołypinowskimi? Zresztą, na dobrą sprawę, co to wszystko zmienia? Jaka różnica dla Polaka? Taka władza rosyjska, insza władza rosyjska.

- Odrodzona Polska musi być Polską socjalistyczną! Będzie!

- No, ale to i tak się nie kalkuluje. - Tajtelbaum zaciągnął się dymem tytoniowym. - Jeśli wejdziecie w alianse skutkujące rozmiękczeniem polityki reakcyjnej, to właśnie utrudnicie robotę rewolucyjną: o to przecież chodzi, żeby carstwo i burżuazja uciskały proletarijat, nie?

Uniosłem palec.

- Dialektyka, Alfred, dja-le-kty-ka!

- Dlaczego zatem nie możemy się doczekać rewolucji także w Niemczech, w Anglii, w Ameryce?

- Się nie znają na ucisku, zapadnyje kapitalisty. Tylko Rosjanin umie tak uciskać słabych i biednych, żeby im nawet na życiu zależeć przestało.

- Co za bzdury gadacie! - Miczka aż walnął piąchą w blat. - Tam burżuazja trzyma się jeszcze silniej, bo miała więcej czasu, żeby się wkorzenić i okopać! Za to w Rosji - w Rosji, w Królestwie od początku jesteśmy gotowi! Niech tylko Historja ruszy z miejsca, niech osiągniemy konieczne warunki - rewolucja jest nieunikniona!

- Bo ja wiem... Z Piotrem Struve u steru rządu i socjalistami od dwudziestu lat zasiadającymi w Dumie...

- Może jednak lepiej liczyć na jakąś masakrę na froncie i zamieszki uliczne... I głód na wsi. Chociaż do tej pory umierają z głodu dosyć pokornie, szlachty ani czynowników nie rzezają, Pugaczowa nie pomną. - Alfred skrzywił się sceptycznie. - No i wojsko, wojsko przede wszystkim - nie jeden czy drugi okręt zbuntowany, ale pułki, armje.

- Które właśnie zaczną wracać do kraju.

- Gospodarka powinna ruszyć, to na pewno - przyznałem. - Chociaż nie wiem, czy akurat dla lichwiarzy to taka dobra wiadomość.

Fidelberg pacnął się w spocone czoło, co zabrzmiało jak soczysty klaps.

- Ach, panie Benedyckcie, dziadek już -

- O, właśnie, Miczka! - rozpromieniłem się. - Będziesz tak dobry i zapytasz starego, czy nie pożyczy mi w nagłej okoliczności życiowej choćby dziesiątaka? Czekam na długą podróż, wydatki -

- Brońcie mnie, archanioły! - Fidelberg podskoczył i, cofając się przez restaurację, machał przed czerwoną twarzą wielkimi dłońmi, czyniąc znaki przeciw złemu. - Mało to już mnie kosztowały takie pośrednictwa! A idźże!

Alfred odprowadzał go wzrokiem.

- Naprawdę, Benek, nie musiałeś mi teraz oddawać, jeśli -

- A-tam! Zanim zdążą się upomnieć o zwrot, trzeba poprosić o następną pożyczkę - cieszą się, że uszli z portfelem.

- No tak. - Zdusił peta, zapiął marynarkę, podniósł teczkę. - To kiedy wyjeżdżasz?

Obracałem w dłoniach legalną-nielegalną bibułę Miczki, drukiem drobnym, niewyraźnym wypełnioną, z tuzinem artykułów wątpliwej ortografii, wykrzyknikami gęsto upstrzonych, z jedną karykaturą bohomazowatą i jednym wierszem Jesienina na dole ostatniej strony.

- Jutro.

- Na Syberję, powiadasz. Przez Tiumeń i Irkuck, tak?

- Co znowu?

- Nie, nic... - Zawahał się, zamyślił. - Kiedy dostałem tę nagrodę z Kasy Mianowskiego... Ich głównie finansują wschodnie fortuny, Polacy z Azji, z Kaukazu, z Dalekiego Wschodu. Czy ty byłeś wtedy na bankiecie...? Nie, chyba nie. Poznałem jednego z owych magnatów futer, złota, węgla i zimnaza, fundował kilka stypendjów dla młodych matematyków z Kongresówki, Bielecki czy Bielawski...

- No więc?



- Rozserdecznił się przy wódce, aż myślałem, że drzewo rodowe zacznie mi recytować; ledwom się go pozbył, taka natura, nieba ci przychyli i w gardło wepchnie. Przysyła mi na każde święta niewymownie brzydkie kartki z powinszowaniami i obiecuje, że jak znowu zawita do Warszawy... Taak, znajdę jego adres, napiszę ci list polecający. Może się na coś przyda. Pociąg odchodzi z Terespolskiego?

- Mhm.

- Głowa do góry! Nie daj się lutym, Benek! Nie daj się Lodowi! Przygryzłszy język, składałem broszurę w geometryczne figury, Jesieninem do wierzchu.

*Śnieżysta równina, biały krąg Księżyca,*

*Pod lodem zamknięta cała okolica,*

*I zachodzą nas wkrąg mroźniki niehumanitarne.*

*Zasnąć tu? Zamarznąć? Śnieg o Rewolucji.*

### **O palcu pana Tadeusza Korzyńskiego**

Nie wobec każdego wierzyiciela można sobie pozwolić na taktykę, która się sprawdza wobec Abiezera Blumsteina; nie wobec każdego warto tak postępować. Prosto od Herszfelda poszedłem na Bielańską, do domu Korzyńskich. Zastałem pana, poproszono mnie do salonu. Długo czyściłem buty ze śniegu i błota pod okiem pokojowego, zanim wpuścił mnie na parkiety i dywany. Przeszliśmy z jasno oświetlonej sieni po szerokich, drewnianych schodach na pierwsze piętro. Pachniało cynamonem i wanilią. Z głębi korytarza słyszałem głosy kobiece i chyba głos Stasia. Tu paliły się lampy gazowe, ale w salonie nie zaciągnięto jeszcze na oknach rolet drelichowych ani stor z angielskiego kretonu. Pod ciemnym niebem zasnutym śniegowymi chmurami łatwo zapomnieć, że w istocie mamy lato, że Słońce wschodzi i zachodzi w porach letnich. Przez aurę zimową nie przedostaje się do ziemi tyle ciepła i światła, ile w lipcu powinno, niemniej to nadal jest słońce lipcowe - wystarczy spojrzeć, pod jakim kątem uderza przez chmury, jak odbija się od śniegu, jakimi kolorami szyby maluje. Okna salonu wychodziły na zachód i panował tu przedziwny półmrok zimowo-letniego wieczora, szara jasność.

Tadeusz Korzyński wyglądał na ulicę - stąpałem cicho po grubym dywanie, ale musiał mnie usłyszeć - odwrócił się, wskazał wyściełane czerwonym rypsem krzesła.

- Coś się stało, panie Benku?

Zazwyczaj przychodzę do Staszka we wtorki, czwartki i soboty.

- Ja nie w sprawie lekcyj, proszę pana. - Wyjąłem plik rubli; wcześniej już odliczyłem dokładną sumę. - Muszę zwrócić zaliczkę. - Nie poruszył się ani nie wyciągnął ręki, więc położyłem ruble na stole. - Bardzo przepraszam, polecę panu innego tutora.

- Czy Staś -

- Nie, skądże, to nie ma nic do Staszka.

Czekał, z rękoma założonemi za plecami, wyprostowany, w ciasno skrojonym surducie *tout jour*. Stał między dwoma wysokimi oknami, na tle zwierciadła w złożonych ramach - sylwetka mężczyzny lub ciemne odbicie sylwetki w lustrze, nie do odróżnienia. Światło zimowego lipca określało go z lewa i z prawa, jak figurę świętego na witrażu. Czekał w milczeniu, potrafił tak czekać długie minuty. Czuję, jak wargi rozciągają mi się w przymilnym uśmiechu: kauczuk, legumina, smalec roztopiany na gorącej blasze.

Opowiedziałem mu o ojcu, piłsudczykach, wyroku i Syberji. Milczał dalej. Opowiedziałem mu o wizycie na Miodowej i bilecie do Irkucka. Milczał. Opowiedziałem mu o ojcu i lutyh. Milcząc, wyszedł z salonu bocznymi drzwiami. Siedziałem z dłońmi splecionymi na kolanach, przede mną na stole - czerwone dieńgi, nade mną na ścianie - huzar i panna z kwiatami, wkoło - profuzja bibelotów delikatnych i rodzinnych memorabiljów państwa Korzyńskich. Wielki zegar stojący wybił ósmą.

Pan Korzyński wrócił z księgą pod pachą i szkatułką w dłoni. Zawołał na służącą, żeby zapaliła lampę. Usiadłszy przy stole, przypatrywał mi się chwilę spod grubych brwi; lewą, zdrową ręką, ozdobioną masywnym sygnetem z okiem w trójkącie i Słońcu, gładził machinalnie wieko szkatułki, pokrywały je zawile symbole roślinne.

Gdy służąca zamknęła za sobą drzwi, otworzył księgę. Był to album z fotografiami.

- Nie znałem twojego ojca, młodzieńcze, ale wiedz, że nie przez przypadek zostałeś mi polecony na nauczyciela Stasia. Staramy się pomagać rodzinom starych towarzyszy. Napisał o tobie znajomy znajomego; ja napisałem znajomym.

Przerwał.

Opuściłem wzrok.

- Chyba się już trochę domyślałem -

- W tysiąc dziewięćset dwunastym - podjął, wchodząc mi w słowo - brałem udział w akcji odbicia towarzyszy z ZWC transportowanych na Jekaterynosław i Sewastopol, na Procesy Czarnomorskie. Jak pan zapewne wie, akcja się powiodła, ale z tym większym uporem nas potem ścigano. Rozdzieliliśmy się; miasta nie były bezpieczne; większość z nas próbowała się przedostać do Galicji, wielu wyłapano. Mój oddział wybrał kierunek na Rumunję, w końcu został przegrany przez Kresy i odcięty nad Dniestrem, uciekaliśmy trzeci tydzień, był już październik i wiedzieliśmy, że Piłsudskiego schwytano, rewolucja w Rosji padła, a Japończycy cofają się na całym froncie. Chodziło teraz o to tylko, żeby zgubić kozaków; na koniec sami prawie się zgubiliśmy. Jechaliśmy w step, z dala od ludzi. Wioski widać było z daleka po dymie na niebie. Na tamtą natknęliśmy się po zmierzchu i z zaskoczenia. Sądziliśmy, że i tak nas zobaczyli, a że potrzebowaliśmy prowiantu... Nędzny chutor, kilka chałup, po prawdzie ziemianki, lepianki. Nigdzie ognia, żadnego dymu, żadnych świateł, i cisza, taka cisza stepowa, że ciarki po człeku przechodzą, ani pies zawyje, ani bydło zaryczy, ani wóz zaskrzypi. Nic. Wjeżdżamy, kurki odwiedzione. Zaraz widać, że coś jest na rzeczy, bo ni jedna chałupa nie stoi prosto: ściany pochyle, drzwi z futryn wypchnięte, obsunięte dachy. Ze sprzętami tak samo, jakby je kto wypaczył na imadle, deski krzywe, koła koślawe, słupy rozpękłe. Jedziemy do studni - studnia zawalona. Patrzymy do zagród. Bydłęta martwe, tylko muchy się roją nad truchłami. Zaraza, ktoś szepcze. Dowódca każe sprawdzić, co z ludźmi. Patrzymy do chałup. Z ludźmi to samo, trupy. Odganiamy muchy. Twarze, jakby się wszyscy potopili, rozpuchłe, rozmiękłe. A przytem czerwone i czarne niczym od oparzeń. Objeżdżamy wioskę, patrzymy po ziemi. Idzie ślad z północy na południe, szeroki na cztery wozy: ziemia rozkopana, wywrócona, rozryta, ale nie od orki, jeno jakby się sama rozsypała, rozmyła, rozumiecie, nie ma śladu narzędzia. Nawet kamienie na tym trakcie są rozłupane, żwir pomiażdżony. Patrzymy po sobie. Na południe, mówi dowódca. Jedziemy - ale noc, trzeba stanąć. Rano zaraz ślad się urywa. Jest, a potem nie ma - pośrodku stepu, miejsce jak miejsce, ale tu ziemia wywrócona, a kilkanaście kroków dalej już trawa się zieleni. Północ, mówi dowódca, nazad. Jedziemy. Mijamy wioskę, ślad jest wyraźny, można iść klusem. Po południu, jakieś trzydzieści mil dalej, widzimy to na horyzoncie. Zaraz robi się zimno. Jeszcze trochę i oddech zamarza na ustach. Luty, miarkujemy. Pamiętacie, w tysiąc dziewięćset dwunastym na zachód od Bugu o lutyh tylko się słyszało. Luty, mówimy sobie, i sznurujemy kurty, obwijamy się płaszczami, popędzamy konie. Potem dopiero, jak wróciłem

do Królestwa i poczytałem gazety z Galicji, zrozumiałem, co to było. Królewiecka eskpedycja znalazła wtedy podobne w Wielkim Księstwie Finlandzkim, w guberni nylandzkiej. Pierwsze soplicowo.

Obrócił album ze zdjęciami w moją stronę. Teraz, gdy paliła się na stole lampa, wszystko, co znajdowało się poza kręgiem jej blasku, kryło się w podwójnych cieniach; raz spojrzawszy w płamę światła, całe zewnątrz oddawało się we władanie nocy. Za to tu, w świetle, przedmioty były bliższe, cieplejsze, przyjazne człowiekowi, same podsuwały się pod dotyk, podnosiły ku oczom. Wyciągnąłem rękę po album. Ręka Tadeusza Korzyńskiego, prawa, ta zdeformowana, wskazywała fotografię na pierwszej karcie.

Ośmiu mężczyzn pozuje do zdjęcia, stoją w polu z karabinami w dłoniach lub opierając się o lufy, w szeregu. Kurtki przypominają szare mundury Strzelców, ale reszta - reszta przypomina łachmany. Zarośnięci, lecz o czystych twarzach. Nie uśmiechają się. Jest dzień, nad nimi jasne niebo. Za nimi - masyw lśniącej bieli.

Czarny kikut wskazuje kolejne fotografie. Tu już widać samo soplicowo. Rozciąga się na pięćdziesiąt metrów, może więcej. Fotografia nie jest najwyższej jakości, ktokolwiek z nich zabrał ze sobą aparat, nie zabrał z pewnością sprzętu najlepszego. Nie mógł też ująć soplicowa w panoramie z góry, to równina bez większych wzniesień. Są tylko ujęcia z wysokości człowieka, z siodła może, i tylko ujęcia warstw zewnętrznych.

Nie jest to budynek ani rzeźba ani żywy organizm. Lute wchodzą w to i wychodzą, ale równie dobrze można powiedzieć, że soplicowo ich połyka i wypluwa. Tak samo nie sposób rzec, czy wiszące nad miastami Azji i Europy gniazda lutech to po prostu miejsca, gdzie kilka, kilkanaście lutech zmroziło się razem - czy też coś więcej, coś zupełnie innego.

Soplicowo jest tym w stosunku do gniazda, czym gniazdo w stosunku do pojedynczego lutego. Lecz w przypadku soplicowa wiemy już z pewnością, że stanowi ono coś ponad proste złożenie lutech. Na zdjęciach uwieczniono uwiecznione w lodzie fragmenty rolniczych sprzętów, przedmioty domowego użytku, pół stołu, garniec, ikonę, ułamek kowadła, i rzeczy mniej trwałe, placek zbożowy, wiązkę cebuli, pęto kiełbasy, i części ciał, zwierzęcych oraz ludzkich, i ich organy wewnętrzne, i obiekty, których zupełnie się nie da na tym czarno-białym obrazie rozpoznać. Formacje lodu zdają się korespondować swym kształtem z zamkniętymi w nich rekwizytami. Wyrastający z ziemi pochyły sople, w którym wisi nad równiną ćwiartka otyłej kobiety, zwieńczony jest dziwną karykaturą ludzkiej stopy.

Odbijające się w lodzie stepowe słońce zamazuje jednak szczegóły soplicowa białymi

refleksami.

- Bez szkła powiększającego nie zobaczysz, ale ten tu fragment - szpon, który kiedyś był kością palca wskazującego, dotyka fotografii - to coś jakby twarz, z drugiej strony ma nawet warkocz, tylko że całe jest rozciągnięte w pionie, zobacz, nos, usta. Tu, tu. Siedem metrów, co najmniej.

Pokazuje następne zdjęcia. Nachylam się, prawie dotykając nosem albumu. Światło lampy ogrzewa mi twarz i kark.

- Więcej fotografii nie mamy, kamera nie wytrzymała mrozu. To miała być kronika wolności, nie panopticum lodu.

Zamyka księgę.

Na powrót siadam prosto; dłonie pozostają w kole drżącego blasku - cofam je, gdy Korzyński obraca na nie oczy.

- Dalej, za tym fragmentem - podejmuje, odchrząknawszy - była zatoka, to znaczy przerwa w lodu formacji zewnętrznej i wyłom prowadzący do jego wnętrza, niby korytarz między białymi ścianami. Chciałem spróbować tam wjechać, przynajmniej zobaczyć, co się kryje w soplicowie, jeśli kryje się cokolwiek więcej niż to, co już widzieliśmy. Dowódca zabronił.

...Wtedy, za wlotem korytarza, w drugiej ścianie, ścianie wschodniej, zobaczyliśmy tego młodzieńca uwięzionego w lodzie. Nie ma fotografii, musisz zawierzyć mojej pamięci. Był pogrążony w soplicowie aż do żeber. Ale nie uwiązł w pozycji stojącej, raczej leżał - jakieś trzy metry nad ziemią. Nad nim jeszcze zwieszał się czub zmarzliny z zamkniętą w nim połówką garncarskiego koła; cały ten masyw był z grubsza półkolisty. Na młodzieńca w lodzie od razu zwróciliśmy uwagę, ale dopiero jak ktoś krzyknął: „Oddech!”, zobaczyliśmy obłoczki pary przed sinem obliczem, pod zwieszoną na pierś głową zakrytą włosami w szronie. Żył. Oddychał.

...Rozkuć soplicowo! Ledwo mogliśmy się na tyle doń zbliżyć, by dotknąć nieszczęśnika, mróz szedł ostreimi falami; głębszy wdech i dusza w człowieku zamarza. Ktoś strzelił w ścianę, metr pod uwięzionym. Kula ugrzęzła w lodzie; nawet rysa się nie pokazała. Co robić? Dowódca kazał rozpalić ognisko pod chłopcem. Zwieźliśmy drewno i chrust. Dzięki temu można było stać tam przez dłuższą chwilę, doprowadzić do ściany konia. Miałem jeszcze odrobinę samogonu, chciałem z siodła napić nieszczęśnika. Wciąż był nieprzytomny, zwiślał

tam bezwładnie. Nie mogłem otworzyć mu ust, a wlać do gardła trunku nie było jak, głowę miał opuszczoną w dół, na ile było to możliwe w zgodzie z anatomją; leżał w tym lodzie plecami do nieba, twarzą do ziemi, jak przytrzaśnięty przezroczystymi taflami od dołu i od góry, zanim zdążył się być spomiędzy nich wyczołgać. Wówczas zmiarkowałem, że w najlepszym razie podarujemy mu kilka godzin życia więcej - albo skrócimy męki, czy to byłoby wyjście gorsze? Jeśli istotnie miałby odzyskać przytomność przed śmiercią... Ginący od mrozu zazwyczaj po prostu zasypiają, ponoć nie są świadomi nadchodzącej śmierci, tak mi mówiono. Po cóż więc go budzić? Połowę organów wewnętrznych, jelita, wątrobę, trzustkę, nerki, ma już najpewniej zmienione w twarde grudy lodu. Co oddycha - nie człowiek - trupowi też jeszcze rosną paznokcie i włosy.

...Przesunąłem dłonią po jego piersi (był w szorstkiej koszulinie konopnej), by sprawdzić, dokąd sięga życie. Dłoń - tu Tadeusz Korzyński uniósł prawą rękę ku umbrze lampy i rozcapierzył przed nią czarne kikuty - osunęła się ku lodowi, może koń poruszył się pod mną, może straciłem orientację w ogłupiającym zimnie... dotknąłem lodu. Przymarzłem. Musiałem strasznie krzyczeć, mówili mi, że darłem się niczym obdzierany ze skóry. Prawda, skóra odchodziła od ciała jak darty papier. Koń się spłoszył, skoczył od lodu i od ogniska. Spadłem. Palce - poruszył przed lampą tym, co z nich pozostało, jakby igrając rzucanymi cieniami - pozostały w lodzie. Spadłem na sople, wybiłem sobie kilka zębów, rozciąłem skórę. Ot, i blizna.

Pochylił się ku mnie, uśmiechnięty. Blizna wykrzywiła się na jego obliczu symetrycznie do pozbawionego radości uśmiechu, gruba krecha jak ślad po pojedynkowej kuli.

- Odciągnęli mnie. Obwiązali rękę. Mróz spiekł rany. Napoili tą wódką, którą chciałem napoić chłopca w lodzie. Spałem. Rano młodzieniec już nie oddychał, ciemny szron zarósł mu powieki, nos, usta. Poszedłem tam z wysoką pochodnią, wypaliłem palce z lodu, odpadły po kilku minutach. Cały kciuk, kawałki trzech innych. Przez noc zdążyły głęboko wmarznąć w sople. Czy odcisnęłyby się w nim także ich kształty? Przyjrzałem się kciukowi. Został odgryziony, ślady były wyraźne, rozszarpany mięsień u podstawy i jeszcze tkwiący w nim, wklinowany między kość i chrząstkę, ząb, mój ząb trzonowy, który straciłem przy upadku.

Tadeusz Korzyński otworzył japońską szkatułkę lakową. W niej znajdowało się zamshowe zawiniątko o kształcie i rozmiarach cygara. Wyjął je, poczem delikatnie rozsuptał materiał.

Kciuk wyglądał jak zmumifikowany, spetryfikowany - jednolicie czarny, prosty, z

paznokciem wtopionym w skórę, mocno i gładko naciągniętą. Pan Korzyński przeturlał go na zamszu, obracając ku woskowemu światłu lampy naftowej drugą stronę podstawy palucha, gdzie - aż się nachyliłem nad stołem - gdzie z ciemnej kości wystawał żółty korzeń zęba.

Zegar domowy wybił pół do dziewiątej.

Pan Tadeusz zaśmiał się cicho. Spojrzałem na niego pytająco - czy objaśni teraz żart? Nie żartował, sam spoglądał na kciuk z ponurem zamyśleniem.

- Szukałem tych wybitych zębów w trawie i błocie i śniegu, ale nie znalazłem. Po powrocie zdałem o wszystkim relację mojemu mistrzowi, przekazałem zdjęcia. Bracia z Francji bardzo się już interesowali lutymi, zostałem poproszony o zbieranie dalszych informacji. Z początku Rosjanie nie nakładali w guberniach frontowych Łodu takiej nań cenzury. Nie mogłem poświęcić temu zajęciu wiele czasu, ale odkąd lute dotarły do Warszawy... - Podniósł wzrok na mnie. - Co dokładnie powiedzieli ci o ojcu?

Powtórzyłem mu.

Pokręcił głową.

- Rozmawia... Zimownicy - ci, co przeżyli bliskość lutego - to zazwyczaj po prostu biedacy, którzy mieli szczęście w nieszczęściu po tym, jak zasnęli na ulicy pijani. Ministerjum Zimy wykorzystuje ich i opłaca, żeby utrzymywali w mieście porządek po lutyh, skoro ten dotyk uodpornił ich na zimno.

- Może też być inaczej, może być na odwrót.

- Proszę? - Nachylił się ku mnie sztywno, znowu zanurzając ściągnięte oblicze w obłoku żółtego blasku ponad ciemnym blatem.

- Mówię - zająknąłem się - mówię, że to jest fałszywe rozpoznanie. Wiemy tyle, że ci, co przeżywają, są wyjątkowo odporni na mróz - no ale właśnie nie przeżyliby, gdyby odporni nie byli, prawda?

- Nie jestem pewien, do czego -

- Czy katorga też czyni sybiraków nadzwyczaj odpornymi i wytrzymałymi? Czy też po prostu ci mniej silni nie wracają, więc nie bierzemy ich w ogóle w rachubę? Być może nie ma żadnej cudownej zmiany - jeno selekcja.

Wyprostował się, na powrót niknąc w cieniu.

- Tak, rozumiem, ma pan rację.

- Przyczyna i skutek to iluzje słabego umysłu - mruknąłem pod nosem.

Oddychał powoli w półmroku.

- Panie Benku - podjął po chwili łagodnie - nawet jeśli pana ojciec jest zimownikiem...

Po prawdzie, nie wiem, co gorsze. Niech pan posłucha. Dlaczego to panu opowiadam. Wiosną dwudziestego pierwszego doszła mnie wieść, że ktoś poszukuje ochotników do ciśnięcia bomb w gniazdo lutych. Zamknęła go ochrana: ten eserowiec, który miał mu sporządzać bomby, okazał się ochrony agentem. Ale już się ponoć zgłosili chętni, utrzymujący, że są w stanie tak podejść do gniazda, ba, włożyć bombę do środka, i że zrobią to za stosowną opłatą, marcynowcy-renegaci. Wtedy to usłyszałem o sekcje świętego Marcyna. Idą w uścisk lutego z zamysłu. Umierają, oczywiście, zmrożeni na śmierć. Są stopnie, progi wtajemniczeń, progi szaleństwa raczej. Na ile się zbliży taki wyznawca. Dwa metry. Metr. Na sekundę; czy zdzierzy dłużej. Można wstrzymywać oddech, to pomaga, jeśli powietrze od lutego nie wchodzi ci do płuc. Podejdiesz za blisko i weźmiesz wdech głęboki - padasz trupem, serce staje. Oni się w tym ćwiczą. Biorą kąpiele w przereblach. Śpią w śniegu. Spowalniają krew w żyłach, spowalniają tętno. Poruszają się powoli, nie mówią, nie jedzą, przyjmują tylko płyny, regularnie upuszczają sobie krew, regularnie lód łykają. Ponoć należy do nich także Rasputin - dla umartwienia w Newie pod krą pływa. Ponoć marcynowcy najwyższego wtajemniczenia naprawdę dotykają - nie soplicowa puste, ciepłe, ale samych lutych. Nikt takowych mistrzów Zimy nie spotkał. Może żyją tam, na Syberji.

...Powiadasz, że Filip Gierosławski rozmawia z lutymi. Tak ci rzekli. - Zawinął kciuk martwy w miękkiej materjał, schował do szkatułki. - Jeśli nie musisz, jeśli masz wybór... być może rozsądniej by było, gdybyś sobie oszczędził tego spotkania.

Wstał.

- A pieniądze zabierz.

- Dziękuję.

Różne taktyki skutkują wobec różnych wierzyteli. Są i tacy, wobec których najlepiej sprawdza się szczerłość.

## **O ciemności oślepiającej i innych niejasnościach**



Luty nadal wisiał nad Marszałkowską. Zajrzałem do „mleczarni” na rogu, ale Zygi nie zastałem. Przełknąłem szybko ziemniaki z koperkiem, kefirem popijając. Wypełniające jadłodajnię gorące, wilgotne powietrze - tłusta mgła - wciskało się do płuc, nasączało ubranie zapachami taniej kuchni. Drapiąc się pod kożuchem, pomyślałem, że być może osiągnąłem już ów stopień abnegacji, gdy czując cudzy, nie czuję odoru własnego. Te spojrzenia i uśmieški czynowników Zimy... Czy i Tadeusz Korzyński nie odsuwał się dyskretnie ode mnie, nie odchyłał od stołu? Potrafię nie zauważać, czego zauważyć nie chcę; potrafię się uśmiechać przez smród.

Poszedłem do łaźni pod Messalką. Niedawno odnowiono wychodzącą na kościół Świętego Krzyża elewację wysokiej kamienicy, w witryny frontowych biur wstawiono marostieklowe witraże w mrożonym zimnazię, bliźniacze łazienkowym. Sylwetki przechodniów odbijały się w kolorowym szkle, przepływając falami, niby egzotyczne obrazy podmorskiego życia, dziwna flora i fauna pod przebarwioną taflą wody - palta, szuby, kożuchy, etole, mufki, peleryny, kapelusze, meloniki, czapy, twarze jasne, twarze z zarostem czarnym, owinięte szalikami, w binoklach... Przystanąłem. Tam: melonik, błękitne oczy pod czarnem rondem, gładkie lica - odwróciłem się - zniknął między ludźmi. Przywidzenie, czy rzeczywiście był to Kirył z Miodowej? A jeśli nawet - dlaczego od razu zakładać, że Kirył mnie śledzi? Po cóż miałby? I czemu on, a nie jakiś anonimowy szpicel ochrony? Nie chciało mi się w to wierzyć.

Mocząc się w gorącej wodzie, powtarzałem w myślach słowa opowieści Korzyńskiego. Zdjęcia robiły mniejsze wrażenie niż słowa właśnie - widziałem już niemało zdjęć lutyh, ich gniazd i nawet soplicowów, w gazetach austrijackich i pruskich; zresztą jeszcze za Stołypina Gebethner & Wolff wydało poświęconą im monografię autorstwa peterburskich przyrodników, Ministerjum Zimy nie skonfiskowało całego nakładu, tam były fotografie znacznie lepszej jakości. Ale zmrożony na czarno paluch Korzyńskiego z wbitym weń zębem - kciuk, którego nie odgryzł - lecz który odgryzł -

Z drugiej strony, może być to zwykła przypadłość ludzi starych: połyka ich własna pamięć, coraz mniej żyją tym, co doświadczane na co dzień, coraz bardziej tym, co pamiętane. Szala przeszłości przeważa szalę teraźniejszości i przyszłości, i zdarza się, że w odpowiedzi na pytanie o pogodę za oknem człowiek opisuje burzę zapamiętaną z dzieciństwa - po raz piąty, dziesiąty - nie zdając sobie nawet sprawy z powtórzeń; bo że już rzecz opowiadał - tego właśnie nie pamięta.

Ile razy opowiadał swoją historję Tadeusz Korzyński? Zawsze zapewne w ciemnym

pokoju, po zmroku, przy jednej zapalanej lampie, w ciszy. Ile razy wyjmował szkatułkę i pieczołowicie rozwijał miodowy zamsz? Nie ma fotografii, musisz zawierzyć mojej pamięci. Zwykła przypadłość ludzi starych. Na pewno ma ponad pięćdziesiąt lat. Przypomniała mi się matka Fredka Welca, niewiele przecież starsza. Od śmierci Fredka jej pamięć zatrzymała się jak widok w fotoplastikonie, nie przesuwa się do przodu, nie akumuluje nowych obrazów - nie akceptuje świata, w którym Fredka nie ma pośród żywych. Jest to rodzaj dobrotliwego obłądu, który u schyłku życia często dotyka ludzi ufnych, pogodnych i łagodnego serca.

Nigdy nie kładzie się spać przed północą, potem za to podrzemując przez większość dnia; wiedziałem, że mnie przyjmie. Zazwyczaj zachodzę do niej właśnie w drodze od Korzyńskich - jak minął dzień, jak się pani czuje, pani Marjo, czy gospodarz nie zapomniał znowu przynieść węgla, a te parę rubli to od Fredka, sam nie mógł, niestety, jutro przyjdzie na pewno, był przecież wczoraj, prawda?

Otworzyła mi, ledwo zapukałem, jakby czuwała przy drzwiach albo wypatrywała mnie przez okno. Gospośia wróciła już do Niemców, którzy wynajmowali sześciopokojowe mieszkanie na czwartym piętrze; do wdowy zachodziła tylko na dwie-trzy godziny. Resztę dnia pani Welc spędzała w samotności. Nie opuszczała kamienicy. Czasami przychodzili do niej sąsiedzi lub sąsiadów znajomi - wróżyła im z kart, z ręki, objaśniała sny. Cóż innego pozostaje na starość kobiecie z dobrego mieszczańskiego domu? Plotkować, na tamburku haftować, swatać młodych, wspominać młodość własną. Kiedyś wywróżyła mi, że poślubię kobiet pięć czy sześć, spłodzę czterech synów i zgromadzę fortunę światową, na dodatek młodo bardzo umierając.

- No niechże pan wejdzie, panie Benku, zalej herbatkę, znowu mróz okrutny, widział pan te chmury na zachodzie, w nocy spadnie taki śnieg, że -

- Ja tylko na chwilę, jutro nie będę mógł, więc -

- Rano wstąpił na śniadanko Fryderyk, zostawił coś dla pana, proszę, tam, na kredensie.

- Ach, Fryderyk... tak.

Pani Welc wciągnęła mnie z przedpokoju do saloniku prawie przemocą, drobna, lekko przygarbiona kobieta w czarnej sukni, czarnym czepku, cała w czarnych koronkach - od dziewięciu lat nosiła żałobę po inżynierze Welcu, który zszedł był na zapalenie płuc podczas pierwszej zimy luty. Ucałowałem suchą, pomarszczoną skórę jej dłoni (pachniała rumiankiem i naftaliną). Zaraz wyrwała się z uśmiechem i podreptała do kuchenki.

Paczuszka na kredensie była wielkości portcygara. Rozwinąłem papier. *Wiener Spielkartenfabrik - Ferd. Piatnik & Söhne*. Talja kart, używana. Fredek przeważnie grywał Piatnikami, kupował po pół tuzina talij naraz, tych tańszych.

- Skąd pani to ma? - spytałem, gdy wróciła z herbatą i ciasteczkami na tacy.

- Co, karty? - spojrzała bystro. - A mówiłam mu, żeby przestał się hazardować, nie dobrego z tego nie będzie, doprawdy, panie Benku kochany, nie mógłby mu pan jakoś do rozumu przemówić, z pana jest taki rozsądny młody człowiek, a Fryderyk, mój Boże, żeby on się w swojego świętej pamięci fatra wrodził, ale nie, to chyba po babce Horacji ma, dobre serce, ale lekkoduch i roztrzepaniec - jak wie, że nikt go nie pilnuje, to zaraz słucha, co mu tam zły duch podszeptuje...

Skąd ona wzięła tę talję? Pewnie znalazła w rzeczach po synu - akurat dzisiaj? czy też czekała z nią - na co?

Schowałem karty do kieszeni kozucha. Sięgnąłem po pugilares, odliczyłem dwadzieścia rubli, po namyśle jeszcze pięć.

- Pani Marjo, muszę je zwrócić Fredkowi, byłaby pani tak dobra i przekazała mu je, jak zajdzie następnym razem? Wyjeżdżam na parę tygodni, proszę się nie niepokoić, że nie -

- Ucieka pan do słońca, na wieś, co, panie Benku? - Odmierzyła z dzbanuszka łyżeczkę miodu. - Wcale się wam nie dziwię, doktor też mi mówił, że to niebezpieczne dla mojego zdrowia, i żebym się przeprowadziła z Warszawy, ale dokąd miałabym się przeprowadzić, i czy to warto, mnie i tak niewiele życia już zostało, ale wy, młodzi, rzeczywiście, skończył się już semestr na uniwersytecie?

- Cesarski przerwę wakacyjną ma w zimie. Pani Marjo -

- To gdzie pan jedzie?

Zacisnąłem zęby.

- Odwiedzić ojca.

Zamrugła, speszona.

- A nie mówił pan, że ojciec pański nie żyje...?

- Jakże, nic podobnego. Żyje. Jeszcze. Chyba.

- Ach.

Przyglądała mi się uważnie, przechyliwszy kościstą głowę w czarnym czepku, z łyżeczką z miodem wpółuniesioną do ściągniętych w zamyśleniu warg. Teraz powinienem był odwrócić się i wyjść - uciec - nie zważając na jej prośby i błagania. Tylko że ona właśnie milczała - patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, jakby czekając znaku jakiegoś - zawieszona w powietrzu dłoń drżała coraz wyraźniej.

W końcu odłożyła łyżeczkę i cmoknęła głośno.

- Ale czego ty się tak boisz, synku?

Uśmiechnąłem się niepewnie.

- Chodź-no - skinęła zachęcająco - no chodź, nie zjem cię.

Złapała mnie za rękę.

- Pokaż.

Zdażyła tylko wyprostować mi palce i pokręcić głową nad obgryzionymi do krwi paznokciami; zanim obróciła mi dłoń wnętrzem do góry, wyrwałem się.

- Nie puszcze cię tak - sarknęła, wstając. - Chcesz, żebym się zamartwiła na śmierć? Fryderyk też mi nic nie mówi, nigdy mi nic nie mówicie. Gdyby Wincenty, świeć Panie nad jego duszą, mnie posłuchał i nie chodził wtedy na Pragę -

- Nie mam czasu na te pasjanse!

- Cśśś, dziecino, zaraz sobie szybciotko wszystko wyjaśnimy - wyjaśnimy, objaśnimy, odciemnimy - zaraz zobaczymy, *lux in tenebris*, już, już.

Nucąc rażno pod nosem, pani Marja wyjęła z kredensu słoiczek z czarnym ogarkiem, uprzątnęła ze stołu tacę z filizankami i spodeczkami, koszyczek z zasuszonemi kwiatkami, robótkę i włóczkę do robótki, a także zwitek rubli, poprawiła koronkowy obrus i przestawiła lampę na przysadzistą komódkę, która za ornamentowemi drzwiczkami kryła zepsuty orkiestron. Wyjąwszy ogarek, usadziła go pośrodku stołu na odwróconej przykrywce słoika. Poczem ujęła mnie za rękę, za rękaw kożucha i pociągnęła energicznie naprzeciw okna. - Tu - oznajmiła, ustawivszy mnie jakiś metr od ściany pokrytej wyblakłą tapetą o wzorze z trzciny i żurawii. - I proszę się nie ruszać, no, bardzo proszę. - Mruknąłem coś na znak zgody. Stałem tam z dłońmi wciśniętymi w kieszenie kożucha rozpiętego, z nogą cofniętą do kroku ku drzwiom. Wróciła do stołu. Poślinivszy opuszki palców, skrzyła między nimi czarny knot ćmieczi, skrzyła, wyprostowała i aż zamruczała z zadowolenia. Bawiła się doskonale, nie

miałem wątpliwości, dla takich chwil żyła. Przysunęła płonąca zapałkę do knotu. Widziałem panią Marję z boku, pochyloną nad mahoniowym stołem, jak ostrożnie sięga ku ćmiecze od góry, płomień niemal dotykał jej palców. Rozległ się cichy trzask, niczym pęknięcie drobnej kości albo uderzenie rzemienia o drewno, i ogień przeskoczył na ćmieczkę, w ułamku sekundy odwracając barwę. Pokój wypełniła jaskrawa ciemność. Drżące ćmiałło rozlało się na świat, połykając w gęsty cień stół okrągły, przygarbioną nad nim Marję Welc, empirowe krzesła, orkiestron, złotooprawny obraz Maryji z Dzieciątkiem, stary kredens, fotografie zmarłego inżyniera, serwis porcelany berlińskiej, tuzin glinianych dzbanuszków na niskiej żardinierce, gramofon z pękniętą tubą, rolety, firany i paproć pod oknem. Ćmiałło zapewne wyciekło dalej, za okno - nad ulicą Chłodną musiało zrobić się ciemniej i jeśli któryś z przechodniów uniósł głowę, ujrzał na drugim piętrze czynszowej kamienicy, między prostokątami rozświetlonych żółto szyb, jedno okno smoliście czarne. Natomiast tu, wewnątrz, granice mroku wyznaczały przedmioty znajdujące się na drodze ćmiałła - rzucane przez nie świecienie kładły geometryczne plamy światłości: pod stołem, w kącie za szafą, za panią Welc. Gdy się poruszyła, poruszył się jej jasny świecień. Ćmiałło nie stanowiło jednak prostego rewersu światła; nie opływało przeszkód po liniach prostych, a same granice mroku i świecienia nie pozostawały niezmiennie. Szafa się nie poruszała, ćmieczka nie zmieniała położenia, a przecież prostokąt blasku na tapecie za boczną ścianką mebla to kurczył się, to rozdymał, linja światła i ciemności wyginała się elipsoidalnie, to na zewnątrz, to do wewnątrz, z górnego rogu świecienia wyrastało co chwila lejkowate przedłużenie blasku, rozszerzające się aż na sufit, by zaraz zwinąć się w siebie i wbić krzywym kłębem ciemności w głąb świecienia... Gorączkowe łopotanie światła i ćmiałła nie zwalniało ani na sekundę. - Stój. - Stałem. Pani Marja, mamrocząc pośpiesznie litanję do Matki Boskiej, obeszła stół dookoła i skryła się w blasku w kącie za szafą. Stąd widziała dokładnie świecień tańczący na tapecie za moimi plecami. Odruchowo chciałem się obejrzeć przez ramię, odczytać kształt światła rzucanego na ścianę. - Stój! - Zamarłem. Zmuszony patrzeć teraz prosto przed siebie, nierozważnie spojrzałem w czarny płomień ćmieczki i na długą chwilę zostałem ociemniony, tłusta smoła oczy mi zalała. Zacisnąłem powieki. Pani Marja nadal mamrotała pod nosem, słowa zlewały się w melodyjne mruczenie. Jakie to obrazy wyświetlałem na wyblakłym papierze z trzciniami i żurawiami? W dzień świętego Andrzeja leją воск przez klucze, te kształty również nie znaczą nic, dziecinna wieszczba, zabawa, przesąd. - A teraz myśl o nim. - Co? - O ojcu. Myśl! Przywołaj przed oczy! Powtarzaj! - Zdjęła mnie irytacja. Obróciłem się na pięcie, twarzą do swego świecienia, i otworzyłem oczy. Sylwetka zimnego ognia rozłożyła przede mną ramiona, w krzaczastej koronie iskier, na splełanych korzeniach piorunów, jak w

wiktorjańskiej sukni z elektrycznych nici, z iglicą długą wskos pod się wbitą. Zatoczyłem się, porażony. - Pani to zgasi! - Marja popędziła do stołu, nakryła dłonią ćmieczkę, dusząc węglowy płomień. Do pokoju wróciło światło lampy i szary blask zimowo-lipcowego wieczora zza okna.

Tarłem oczy, dwakroć oślepione - od ciemności i od jasności - pewny, że pod powiekami źrenice jeszcze mi pulsują niczym błędne ogniki ćmiatła.

Wdowa Welc napoiła mnie gorącą herbatą, podsunęła ciasteczka.

- Nikt sam nie może sobie wróżyć od ćmieczki, panie Benku, nie trzeba było. Co pan zobaczył?

- Odlepiło mnie.

- Niedobrze, niedobrze. Pan jest pewien, że jego ojciec żyje?

- Bo co?

- Nic, nic, mam nadzieję, że jest cały i zdrowy, proszę mi wybaczyć, nie chciałam pana straszyć -

- Straszyć? - zaśmiałem się sucho. - Czym?

Po raz pierwszy uciekła ode mnie wzrokiem. Schowała ćmieczkę do słoika, zakreśliła pokrywkę, słoik odstawiła na półkę do kredensu, zamknęła go na kluczyk. Poruszała się z charakterystyczną dla ludzi starych przesadną ostrożnością, jakby każdy ruch musiała wpiern przemyśleć, zaplanować i dopiero wykonać.

Rzadkie były momenty - jak ten, jak teraz - gdy wyraz radości opuszczał jej twarz, wiotka skóra ujawniała wtedy wszystkie zmarszczki, ptasie fałdy rozciągały się pod brodą i gardłem, opadały powieki.

- Kiedy Fryderyk mnie odwiedza, też mu wróżę, jak tylko mogę. Staram się zapomnieć, a skoro nie mogę zapomnieć, staram się odwrócić los - ostrzec go, żeby losu uniknął. Znam światło śmierci, ten świecień, który on rzuca, to jest jego przeznaczenie - mówię mu, ale mnie nie słucha, może pana posłucha, proszę mieć na niego baczenie, panie Benku, błagam pana - gdyby on jeszcze zginął, jak ćmiatło pokazuje, nagle, młodo, tragicznie, w gniewie, gdyby on zginął, nie wiem, co bym zrobiła.

Przysiadła ostrożnie na krześle, zgarbiona prawie w pół; trzęsącą się ręką uniosła do twarzy batystową chustkę.

- A teraz pan wyjeżdża i też - też - znam to światło! - kto na pana będzie baczył?

Z każdym słowem coraz bardziej kurczyła się na tym krześle, coraz bardziej krucha, bezsilna, nieszczęśliwa, coraz bliższa małej, zagubionej dziewczynce - pod miljonem zmarszczek, w czerni żałobnej.

- Będę się za pana codziennie modliła. Panie Benku. Niech pan już idzie.

### **O złudzeniach szronu**

Na Żelaznej z rozbitego wozu wylała się gnojówka, płynny nawóz zamarzał na bruku, na trotuarze. Stapałem uważnie wzdłuż muru. Zza rogu, z Ceglanej wypadła wtem grupa pijanych robotników, omal się nie przewróciłem. Obrzucili mnie rubasznymi wyzwiskami i pohalsowali w swoją stronę. Z szynków, knajp, melin i mordowni wtórowały im echa ochrypłych śpiewów, knajackie okrzyki, wydobywały się z oficyn i suterren dźwięki mandoliny i harmonji. W głębi Żelaznej, gdzie nad śniegiem płonęły ognie w koszach węglowych, bity metal huczał niczym dzwon pęknięty. Tramwaje przynajmniej w lecie powinny były normalnie kursować, tymczasem tory obmarzały twardym lodem, a wystarczało jedno przejście lutego, by najlepsza stal kruszyła się jak kreda. Prezydent Miller podjął więc decyzję o wymianie wszystkich szyn na zimnazowe, podpisano z Sibirchożetem miljonowy kontrakt i teraz w dzień i w noc uderzenia młotów niosły się ulicami Warszawy. Mijałem grupki pracujących mężczyzn, mimo mrozu rozebranych do koszul. Będą musieli wymienić także trakcje. Tramwaje konne wracały do łask. Odkąd lute przeszły Powiślem, by zagnieździć się na Leszczyńskiej opodal elektrowni, *Compagnie d'Electricite de Varsovie* przeżywała ciągle kłopoty, raz była już bliska plajty; a warszawski oddział Towarzystwa Elektrycznego Schuckerta i Spółki regularnie płacił miastu kary licencyjne, gdy oświetlenie uliczne raz po raz odmawiało posłuszeństwa i całe kwartały pozostawały ciemne. Akurat zachodni cyrkuł nadal był słabo zelektryfikowany. Oparty o gazową latarnię stójkowy ćmił fajkę, zabijając smród przemysłowej spalenizny. Z kuchni, pralni, z głębokich rynsztoków i ciemnych podwórek również płynęły wonie ostre, niezduzione niską temperaturą. Tę okolicę starałem się przebyć możliwie szybko. Gdzieś za mną inny przechodzień spotkał się z wesołą kompanią proletariatu; rozległy się wołania po rosyjsku, wpierw pełne oburzenia, potem - przerażenia. Nawet nie spojrzałem. Śnieg przestał prószyc; wszystkie płaszczyzny, poziome i pochyłe, pokrywała warstwa czystej bieli, skrzęcej się krystalicznie w gazowych i

elektrycznych światłach metropolji - w takich chwilach Warszawa jest naprawdę piękna: gdy mniej przypomina Warszawę, a bardziej pocztówkę z Warszawy.

Żyłem w tym mieście, ale miasto żyło poza mną. Nie łączyły się nasze krwiobiegi i nie przecinały myśli. Tak żyją obok siebie, na sobie - ofiary i pasożyty. Lecz kto pasożytuje tu na kim? Pewną wskazówkę może stanowić zachowanie lutech: gnieźdzą się w największych skupiskach ludzkich.

Pod Dworcem Kaliskim kupiłem chleb, kielbasę, słoik żuru i suszone śliwki. Wczoraj żebrak kawiarniany - dzisiaj niemal bogacz; wczoraj jeden z warszawskich wiecznych studentów, z prospektem kolejnego tysiąca wieczorów spędzonych nad wódką, papierosami i kartami, na drodze ku wczesnej starości zwieńczonej mniej lub bardziej romantycznym zejściem na gruźlicę lub syfilis - dzisiaj... kto? A przecież już od ponad roku, od śmierci matki tylko czekałem na okazję, czekałem na pieniądze - by uciec. Precz z tego miasta, precz od tych ludzi, precz ode mnie w tym mieście. Jakimż błogosławieństwem są dla nas nieznajomi: powiem im, że jestem niewinnym młodym nauczycielem matematyki gnębionym przez kongresowych rusyfikatorów, i tym dla nich będę, i zaraz tym stanę się też dla siebie samego, Benedykt Gierosławski zejdzie ze mnie jak zliniała skóra z węża - albowiem tylko tak możemy się odrodzić jeszcze za tego życia, ponownie narodzić na tym świecie - jakież błogosławieństwo - nieznajomi, obcy.

Więc Kraj Przylądkowy, Antypody, Indje Zachodnie, Konstantynopol może. Tysiąc rubli - starczy.

Wędlinę wywęszył zaraz beznamiętny kundel, obszczekiwał mnie od stacji filtrów do Koszar Artylerji. A pod samą bramą dopadł mnie jakiś suchotniczy kurdupel w kolejarskiej czapce; wyrwałem się, chowając zakupy za pazuchę. Suchotnik machał papierem, kaszląc chrapliwie. Już chciałem krzyknąć na Walentego, gdy nieznajomy uspokoił się; przyciskając dłoń do piersi, oddychał płytko, rytmicznie głową kiwając, jakby naprawdę łykał powietrze, para wydobywała mu się z ust w krótkich upustach. Spojrzałem wtedy, że nie ma on lewego ucha, pod czapką pozostała czerwona blizna i opuchnięty strzęp ciała. Najpewniej odmrożone.

- P-pan Benedykt Gie-erossławski - zaświszczał.

- Zaszczyconym - mruknąłem, przesuwając się pod murem ku bramie.

- S-s-syn Filipa. Mamy proś-śbę do pana.



- Ostatniego kopiejansa właśnie przepięłem. Przepuść mnie pan, do licha, bo zawołam strupla!

Wcisnął mi w kieszeń kozucha ten papier - zaklejoną kopertę.

- Przekaze mu j-ja pan, on będzie wiedział.

- Co? - Wyszarpnąłem kopertę na śnieg. - Zabieraj się pan!

Suchotnik spojrział z wyrzutem. Podniósł ją, otrzepał, obtarł rękawem.

- Myśśliśz pan, że nie wiemy, co s-się dzieje na Miodowej? Czynnownicy mówią. -  
Znowu zakaszłał. - Bierz!

Krzyknąć? Uciec? Grzmotnąć go słoikiem w łeb? Ostrożnie ująłem kopertę w orękwicznioną dłoń.

- Jeśli to jakieś przekłete piłsudczykowskie -

- Nie s-strachaj s-się, s-synu. Kilka s-słów od przyjaciół ze S-strzelców.

- Nie macie swoich ludzi na Syberji?

- Będzie pięć lat, jak naśsi ludzie się z nim widzieli.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż. Tak okrutnie wam zależy, kopnijcie tam z listem umyślnego.

Jednouchy nic nie odparł - spojrziałem, odwrócił wzrok - i wtedy pojąłem, że pepeesowcom i piłsudczykom zależy na ojcu z dokładnie tych samych względów, co carskim.

Rozglądałem się po ulicy; noc była młoda, chodnikami nadal przemykali piesi, ciągnęły po oblodzonym bruku sanie i wozy. Cofnąłem się ku cienistej bramie.

- Zima mnie śledzi.

- Już nie.

Cofałem się, aż wszedłem na pierwsze podwórko kamienicy. Mały suchotnik pozostał przed bramą, chuda postać w półkolistej ramie ciemnej sieni. Patrzył na mnie spod krzywego daszku, z rękoma w kieszeniach długiego płaszcza.

- Przekaż mu. On będzie wiedział.

- A może ty agent ochrony jesteś!

- No, nie s-strachaj s-się.

Nasunął czapkę na bezucho i odszedł.

Zyga jeszcze nie wrócił. Przegryzłem kielbasę z chlebem, popijając żurem zimnym. Kopertę rzuciłem na stertę książek, prostokąt czystej bieli przyciągał wzrok. Zszedłem do Biernatowej, kupiłem wiadro węgla i napaliłem w piecu. Uprzątnąwszy ze stołu część bałaganu, otworzyłem teczkę Alfreda - ale zaraz przypomniał mi się niedokończony list do panny Julji, znalazłem go włożony w ostatni numer „Mathesis”. Trzeba jej będzie teraz wperswadować coś zgoła przeciwnego... Chuchałem na pióro, maczałem stalówkę w ciepłej ślinie. *Zapomnij panna, com wyżej tu napisał. Zaszły tymczasem zdarzenia, które czynią niemożliwym spełnienie naszych planów do końca, jak sobie to byliśmy zamyślili. Wyjeżdżam i nie będzie mnie w Królestwie przez miesiąc, zapewne dłużej. Ojciec mój, którego panna nie znasz, choć, jak teraz mi wraca w pamięci, spotkałaś go przecież raz i dwa, gdyśmy jeszcze dziećmi byli -* W Wilkówce, tysiąc dziewięćset piąty lub szósty, wczesna wiosna, zieleń świeżych traw i lodowata rosa poranna na jabłoniach w sadzie, białe obłoki na niebie i gładkie skiby ziemi na polach, ziemi tak czarnej, że niemal fioletowej, wiosna, i o świcie za oknami ptaki rozświergotane, młode pajęczki w szparach drewnianych ścian, w powietrzu zapach świeżego masła, i świeżej gnojówki, kiedy krowy wychodzą z obory, i co jeszcze: zapach dzieciństwa, gdy budzę się z gorącym słońcem na wargach, pod lnem czystym, na gęsim pierzu, a dwór już trzeszczy i skrzypi i jęczy i strzelają stare deski pod stopami Grety, gdy wspina się ona do nas na piętro, by pobudzić dzieci i przypilnować porannego pacierza, a za oknem - drdzyń-drdzyń, łańcuch studni, kłę-kłę-głyk, kaczki, gęsi i kury, i czasami krótkie szczeknięcie psa, pokrzykiwania parobków, stukot kopyt i terkot wozu, gdy zajeżdżają goście.

...Przyjechało kuzynostwo Trzcinińscy, i wuj Bogasz, i krewni matki z Prus Zachodnich, i mnóstwo ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałem, aż dwór zmienił się w obcy dom wypełniony obcymi osobami, obcymi głosami, gdzie wszyscy byli po równo gospodarzami i gośćmi. Przewijały się przezeń i przez gajówkę całe rodziny, z dziećmi, służącymi, psami i dziećmi służących. Z początku bardzo to było ekscytujące - trzeba jeździć na jarmarki, do miasta, żeby ujrzeć co nowego, a tu nowe przyjeżdżało do nas, ludzie, których nie znaliśmy, ubiory, jakich nie widzieliśmy, mowa, jakiej nie słyszeliśmy, ani polska, ani niemiecka, ani francuska, ani łacina; zajechał też pod dwór automobil, w wielkim smrodzie i huku, to już było święto, głaskaliśmy lśniącą *carrosserie* z czią nabożną, Andrucha przeganiał nas, krzyżąc z ganku... Lecz po kilku dniach przeważało dziecięce znużenie, zmęczenie tym ciągłym naporem atrakcyj, nie rozróżniałem krewnych, nie liczyłem gości, czy oni właśnie przyjechali, czy tylko wracali z przejażdżki nad jezioro - leżałem na stryszku w stodole,

spoglądając na podwórze przez pusty sęk, i tak zasypiając w sianie chłodnym; aż zjawiała się pod drabiną matka, która zawsze wiedziała, gdzie jesteśmy, i to był czas, ażeby umyć ręce i sięść do kolacji.

...Na tydzień bądź dwa pojawiła się też z rodzicami Julka; nawet bawiliśmy się razem. Nie pamiętam, jak wyglądała - mówi, że była niezgrabnym dzieckiem - za to pamiętam, jak to panna Alicja zawsze spełniała jej najdrobniejsze zachcianki. Pamiętam, że pytałem matkę, czy Julka nie mogłaby z nami zostać na dłużej - o ileż łatwiejsze byłyby lekcje, gdyby guwernantka przychyliła się choćby do części naszych kaprysów. Widać matka zachowała to w pamięci jako dowód mojej do Julki sympatii.

...Emilka jeszcze wtedy żyła, chodziła wszędzie za nami, a za nią chodził kulawy jamnik Michałka - stawali z dala i przypatrywali się naszym zabawom wielkimi, wilgotnymi oczyma. Sad w szczególności nadawał się na gry w chowanego, w Indjan i kowbojów, w podchody. Przeganiał nas tylko przygięty do ziemi Tatar Uczaj, który dnia każdego obchodził zagajniki, obejmując pnie i głaszcząc wiotkie gałązki, listki nowowyrośłe. Starsze dzieci, dzieci przyjezdnych, przedrzeźniały go okrutnie. Wygrażał im brzozową laską. Dla Emilki chował w kieszeni cukierki ślazowe; Julka to podpatrzyła i nuże przymilać się i łasić, obracać błękitne oczka i gryźć warkoczyki - aż stary przepędził i ją. Dąsała się potem dzień cały.

...Ojciec pojawił się dopiero, gdy rady rodowe miały się ku końcowi, gdy część wizytantów już wróciła do siebie. Nachyliwszy się nad łóżkiem, cień w księżycowej poświacie, Bolek szepnął mi któregoś wieczora: - Przyjechał! - i pamiętam, że całą noc nie mogłem potem spać, leżałem z szeroko otwartymi oczyma, wsłuchując się w przeciągły oddech domu i szept owadów nocnych. Ojciec przyjechał! Zobaczyłem go rano, krzyczącego w gniewie na zebranych w salonie krewnych; podpatrywaliśmy przez okno, dopóki matka nas nie przepędziła. Nie pamiętam, co pamiętałem uprzednio - czy ojciec był inny od wyobrażenia o ojcu, czy też zlał się z nim w jedno w mojej pamięci, aż żadne cechy przygodne nie mogły go odmienić, w koszuli czy w surducie, z brodą czy bez brody, w krzyku czy w śmiechu, zdrowy czy wynędzniały, ten czy inny - Ojciec. Ponieważ widywaliśmy go tak rzadko, raz na kilka miesięcy, o ileż silniej musiałem pamiętać wyobrażenie o nim. Gdyby się nie pojawiał w ogóle, pozbawiony ciała, twarzy, głosu i cech charakteru, czy byłby mniej prawdziwy? Istnienie nie jest koniecznym atrybutem dobrego ojca.

...Przed obiadem wszyscy wyszli jeszcze do ogrodu, tam podzielili się na grupki, frakcje

wewnątrzfamilijne, które stopniowo rozeszły się między drzewa. My, dzieci, nie mieliśmy oczywiście pojęcia, o czym dorośli tak zawzięcie dyskutują. Nie obywało się bez wygrażania pięściami, wznoszenia ramion ku niebu, wzywania imienia boskiego nadaremno i nawet rękoczynów, gdy ten i ów zamierzał się na oponenta, akurat na tyle wolno, by inni wāsaci i brodaci wujowie mogli złapać i zatrzymać w powietrzu zaciśniętą w kułak prawicę. Rozchodzili się i schodzili. Greta i Michałkowa przynosiły z dworu zimne mleko i limoniady, piwo w studni chłodzone i samą studzienną wodę. Oni spacerowali potem między drzewami z kuflami i szklanicami w dłoniach, z kubkami metalowymi i porcelanowymi filiżankami, gdy nie starczyło innych naczyń.

...Kryłem się za jabłonią, wyglądając zza pni i spod gałęzi - tak ich teraz podglądałem, tak podśluchiwałem, Indjanin w białych bucikach i słomkowym kapelusiku, kowboj z gładko przylizanym przedziałkiem. To też była zabawa; chichotałem bezgłośnie, przebiegając od jabłoni do jabłoni. Zapatrzone na gestykującego fajką ojca, niemal wpadłem na Uczaja. Chciał mnie capnąć za kołnierz, umknąłem, gubiąc kapelusz - umknąłem w złą stronę. - Czyje to szczeniaki! - wybuchnął ojciec. - Nawet tu człowiek nie ma spokoju! Muszą się plątać pod nogami! - Syna własnego nie poznajesz? - Bolek? - Benedykt - poprawił go chrapliwie stary Uczaj. - A tak, tak - mruknął ojciec, uśmiechnął się i zmierzwił mi dłonią włosy. Uniósłem głowę, uśmiechając się szeroko w odpowiedzi. Patrzył już ponad mną, na wuja Bogasza, który perorował coś o cenach ziemi i o czynszach w Warszawie, i że tak byłoby lepiej dla całej familji, i nie mogą wszyscy cierpieć za jednego *aufbrausend Dummkopf*. - Nie przeszkadzaj tacie - matka odciągnęła mnie na bok. Stałem potulnie przy Emilce. - Bolek! - chichotała mała Emilja, wskazując mnie palcem. - Bolek! - Jamnik, też rozbawiony, wywalił jęzor długi. Kopnąć tego psa! Wyrwać Emilji złote loki! Wepchnąć ją w gnojownicę! Zadusić! A jeśli nie można - uciec stąd, zanim cały zrobię się czerwony, zanim się rozplączę. A jeśli nie można - Bolek! - śmiałem się razem z nią. - Bolek! - śmialiśmy się - z czego? Nie potrafiłem się powstrzymać, zasada wstydu była silniejsza nawet od gniewu, nawet od -

- Ale chleba na podłogę rzucać nie musiałeś!

Podźwignąłem się ze stołu, rozespany. Ostatnia kartka listu przyklepiła mi się do policzka; dmuchnąłem - poszybowała na podłogę, gdzie Zyga, przykleknąwszy, otrzepywał z brudu połówkę bochenka.

Ziewnąłem głośnie.

- Wychodzę - ciebie nie ma; przychodzę - ciebie nie ma; wczoraj urżnąłeś się z nami w

trupa, a dzisiaj znowu ranny ptaszek, uuu, obrzydzenie bierze.

Zygmunt położył chleb na świeżej gazecie, powąchał drugą laskę kiełbasy, uniósł brew.

- Wypuścili cię, ha.

- Już się zdążyłeś nasłuchać.

- Ano. Uważasz, pół Cytadeli przyjechało tu po ciebie, wywlekli cię w kajdanach prosto do Dziesiątego.

Znalazłem czystą kartkę, podstrugałem kozikiem ołówkę.

- Zapiszę ci nazwiska i sumy. Tylko im dasz, nikomu innemu, choćby się krzyżem tu zaprzysięgali; i tylko tyle, ni kopiejki więcej. Niech wypisują pokwitowania, koniecznie. Aha, i nie wiesz, kiedy wracam.

- Kiedy wracasz?

Wyjąłem pugilares, przeliczyłem banknoty.

Zyga zrzucił kozuch wierzchni, przewiązał mocniej bekieszę fuksowską i już miał iść do kuchni Biernatowej wodę zagotować - ale na ten widok spoczął, zapalił papierosa, podkręcił węża.

- Nie myślałem, że ty takich szczodrych znajomych masz.

- Nie pytasz o procenty?

- Takich miękodusznych szajloków. No dobra, gadaj.

Opowiedziałem mu o wyroku ojca i o propozycji Ministerjum Zimy. Szarpał się za brodę, aż mu w oczach łzy stanęły.

- I ty tam jedziesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Tysiąc rubelków, no i ojczulkowi kochanemu do nóg upaść...

- Jakbym cię nie znał, tobym może dał wiarę. - Strzepnął popiół z papierosa między stare świece. - To dieńgi dla Żydów - ale zostawiasz coś na komorne? Czy mam zacząć szukać na uczelni współlokatora? Ty w ogóle zamierzasz wrócić z tego Sybiru?

- Bo co?

- Oj, niewyraźnie ci z oczu patrzy.

- Nie kombinuj. - Odliczyłem jeszcze szesnaście rubli. - Masz, zapłać z góry. Jakby co, zatelegrafuję.

Przysunął się do mnie.

- Szantażują cię czymś? - szepnął. - Co, Benek?

Uśmiechnąłem się.

- Powiedzmy, że mam złe przeczucia.

Pokiwał głową.

- Złe przeczucia! Sam się przed sobą nie przyznajesz do oczywistości, więc co zostaje? Przeczucia. Bardzo dobrze wiesz, o co tu idzie. Zamierują cię użyć przeciwko niemu, nie mają widać innego sposobu. Ludziom po procesach z czternastego i piętnastego zaraz będą się kończyć wyroki, a wygodniej by ich tam przetrzymać na zesłaniu. Jakaś prowokacja, podrzucony list z planem zamachu albo bomba w bagażu... Pamiętasz sprawę kapuścianych eserowców? W co ty się pchasz, Benek, na rany Chrystusa!

- Miodowa mówi, że idzie o lute.

- I ty w to wierzysz!

- Chcesz śliwkę?

Po raz ostatni szarpnął za brodę i poszedł zagotować wody.

Wyciągnąłem spod łóżka sakwojaż stary. Delegatura Zimy z Irkucka kupiła mi miejsce w wagonie pierwszej klasy, taki bilet kosztuje prawie trzysta rubli, myślałem, czyby nie wymienić go na tańszy i nie zarobić na różnicy. Trzeba się będzie rozpytać w Moskwie. Tak czy owak, komisarz Preiss miał rację: muszę sobie obstałować jakieś ubranie porządne, w tej chwili nie bardzo mam co pakować. Wyciągnąłem spod łóżka skórzane półbuty. Kiedy ostatnio w nich chodziłem? Brązowa skóra zawilgotniała i porosła jakąś pleśnią czy mchem... No i trzeba kupić też coś nadającego się na prawdziwą zimę. Niby jest lato, ale z drugiej strony - Syberja, i z trzeciej strony - Lód. Jak to właściwie wygląda? Świat luty. Powinienem był dopytać się na Miodowej...

Trzasnęły drzwi.

- Zyga, ty na pewno słyszałeś coś na wydziale...

- A?

- O lutyh. Co mówią profesorowie?

- Na jaki temat?

- Noo, jak to żyje.

- Nie żyje.

- Co?

- Nie może żyć, to jest taki mróz, że nic tam żyć nie może, zatrzymuje w żywych organizmach wszelki ruch.

- Ale przecież poruszają się -

- No i co z tego? Ruch, zmiana - o czym to miałyby przesądzać? - Zalał wrzątkiem fusy, ujął garnuszek gorący w dłonie, zasyczał. - Popatrz, jak szron zarasta okna.

- Mhm?

- Popatrz na szron. - Skinął głową. - Nawet kształtem przypomina żywą roślinę.

- To właśnie mówią przyrodnicy o lutyh?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Miały być gościnne wykłady Bondarczuka z Sankt Peterburga, ale odwołali. Różne są domysły. Czasami słyszę jedno, czasami drugie. Spółki syberyjskie i car sypią pieniędzmi na badania, Sibirskoje Chołod-Żeliezapramyszlienneje Tawariszcziestwo ufundowało w Peterburskim Instytucie Technologicznym katedrę Lodu, z Cesarskiego i Lwowskiego też tam jeżdżą ludzie, prędzej czy później się wyjaśni.

- Jeśli to w ogóle można wyjaśnić badaniami.

- Co?

Oderwałem wzrok od szyby okiennej.

- Kwestję istnienia.

Zygmunt tylko prychnął.

- A idź! Ja jestem prosty felczer. Złożyć złamaną nogę - złożę, ale czy ta noga istnieje - eta prablerna triebujet drugich daktarow.

Wiedziałem, że naciągnie taką maskę. *Ja jestem prosty felczer.* Zaraz zacznie zawodzić jak chłop niegramotny i drapać się po tyłku. Wstyd rządzi nami na różne sposoby; teraz już

widzę go, gdzie nie spojrzę. Odwróciłem się od Zygi, ostentacyjnie go ignorując, pochyliłem się nad sakwojazem. Nie patrzę, nie słucham, nie pamiętam. To jedyny sposób.

Ojciec Zygmunta urodził się w chacie węglarzy, dziadek Zygmunta گیا się w pas przed moim dziadkiem, całował pańskie dłonie i czapkował u dworu. Gdybym Zyge spytał, czy nazwałby to wstydem? Zapewne także nie - w języku drugiego rodzaju inaczej musimy opowiedzieć objawy: to gniew, zazdrość, nienawiść, pogarda, to współczucie, to jest przyjaźń.

Nikt nie nazwałby tego wstydem. Ale ja wiem, ja widzę. Jego troska o mnie, jak się zaniepokoił i zaczął wypytywać, czy aby nie szantażują, czy nie prowokacja, ta szorstka kordjalność, jakbyśmy od dziecka w zażyłości wielkiej byli, a przecież ledwo drugi rok pod tym dachem żyjemy, wcale nieczęsto się widując; jak się zawsze zamartwia moimi kłopotami i zaraz chce pomóc... Czy nie szczerze? Ależ szczerze jak najbardziej! I komu mógłbym powierzyć tyle pieniędzy, pewien, że dla siebie nie zatrzyma ni kopiejki? Tylko jemu, tylko Zydze - nigdy nie miałem i nie mógłbym mieć lepszego przyjaciela.

Owa przyjaźń jest z jego strony niezaprzeczalnie prawdziwa - wzniesiona na kamiennych fundamentach zasady wstydu.

Poszedł spać, przeniósłem lampę na stół, zmiotłem na podłogę okruszyny i wyciągnąłem spod zwału gazet i zatłuszczonych papierzysk dwie grube teczki szpagatem przewiązane. Pomagając sobie krzywozębym widelcem, rozsuplałem węzły. Nie otwierałem tych teczek od Wielkiejnocy. Może lepiej od razu wrzucić je do pieca? Uniosłem do oczu pierwszą stronę. *W niniejszej pracy staramy się pokazać, że nie są słuszne nietylko logiczne ujęcia prawdy i fałszu wychodzące z myśli starożytnych, ale zarówno słuszne nie są ich formułowania nowe.* Pokazaliśmy, że nasze również niewiele wartają. Uchyliłem pogrzebaczem drzwiczki pieca i cisnąłem zeszyt w żar. Drugi - poznałem po kleksie na okładce - był brudnopisem mojej nieukończonej polemiki z Kotarbińskim; w myślach zwałem go „Księgą Zmarłych”. *Czy prawdziwie „pozycja umarłego jest tak silna, że wyrugować go z przeszłości ludzie nie mogą, chociażby wszyscy o nim umyślnie zapomnieli”? W jakim więc sensie „istnieje” to, co już nie istnieje? Czy wszystkie twierdzenia o przeszłości są w sposób konieczny albo prawdziwe, albo fałszywe?* Gdzieś tu powinny być też notatki Alfreda do jego wersji. Być może coś z tego nadaje się jeszcze do publikacji. Rozwiązałem teczkę. Przynajmniej miałbym się czym zająć w podróży.

Alfred jednak ma rację: straciliśmy do tego serce, ja straciłem. Czuję, że nadal coś tu szwankuje - wszystkie te logiki są ułomne, a my, a ja widzę to tym wyraźniej, że już



wyzwoliłem się ze starych schematów. Nie potrafię wszakże wskazać lepszego rozwiązania, które obroniłoby się w rygorach matematyki. Co więc mi pozostaje: przeczucia, ulotne skojarzenia, obrazowe impresje - jak owo powracające wspomnienie lutego zawieszzonego ponad ogniem w centrum miasta. A także intuicje, których nawet w ten sposób - obrazem, słowem - nie mogę opisać: wiedza budowana w języku pierwszego rodzaju, na zawsze zamknięta w moim sercu.

Zyga mamrotał coś do siebie przez sen (czasami prowadził z marami sennemi konwersacje długie), poszczególnych słów nie szło zrozumieć, lecz intonacja była wyraźna: zdumienie, lęk, irytacja. Zamknąłem drzwiczki pieca. Kominarz dopiero co przetykał ciąg, mimo to powietrze gryzło w oczy, drapało w gardle, rano ściana i sufit nad lufoikiem znowu będą szaro-czarne od dymu. Sąsiad z dołu wrócił ze zmiany w stacji pomp i filtrów miejskich, poznałem jego chrapliwy zaśpiew, z jakim kłął teściową i jej rodzinę; zaraz do robotniczej opery przyłączy się żona. Wyciągnąłem zza pieca szmaty, którymi pogardził handełes, i zatkałem nimi szparę między drzwiami i progiem - przynajmniej tędy nie wejdzie nocą mróz. Za oknem rozbuchała się już sroga śnieżycy, na pewno było dziesięć stopni poniżej zera. Mimo woli zadrzałem, wspomniawszy kota zamrożonego na twardo. Na początku próbowano mierzyć temperaturę lutech termometrami rtęciowymi - ale brakowało skali. Zimownicy tak naprawdę przecież nie dotykają lutech. Marcynowcy mogą utrzymywać, co chcą - jeśli to prawda, co mówił Korzyński - ale człowiek jest człowiek, musi oddychać, krew musi krążyć w żyłach, mięśnie muszą pracować. Podniosłem rurę lampy naftowej, zapaliłem papierosa od błękitnego płomienia. Jak, u licha, można rozmawiać z lutymi? Równie dobrze mógłby prowadzić dialogi z formacją geologiczną. Równie dobrze mógłby konwersować z równaniem matematycznym. Zaciągnąłem się, odkaszlnąłem. *Ruch, zmiana - o czym to miałoby przesadzać?*

Spojrzeć na szron na szybie, na te niby-kwiaty zarastające ją od okiennicy ku środkowi... Jest tylko mróz, presja zewnętrznych warunków; pod nią wilgoć objawia się w tej i innej postaci. Gdyby szron przyjmował jeszcze bardziej skomplikowane formy, gdyby szybciej reagował na zmiany warunków zewnętrznych, gdyby w jego zawiłościach ukazywały się sensory głębsze - czy wówczas uznalibyśmy go za niepodległą, świadomą istotę?

Dlaczego więc o lutych mówimy „oni”?

Dlaczego o sobie mówię „ja”?

O ile bardziej, o ile prawdziwiej istnieję niż wymalowana na szybie paproć szronu? Że

potrafię sam siebie objąć myślą? Cóż z tego? Zdolność do samooszustwa to tylko jeden więcej zakrętas w kształcie lodu, wymrożony na wiwat barokowy ozdobnik.

Tak powstaje iluzja bytu: narzucony przez nieznaną prawa wzór organizuje przypadkowe elementy, domarzają do niego kolejne, w obu kierunkach, w przyszłość i w przeszłość, coraz dłuższe gałęzie szronu, powielające tę samą złudną regularność: że był, że jest, że będzie, że żył, że żyje, że żyć będzie - kwiat lodu - luty - ja.

Trzeba w końcu spróbować wyzwolić się z języka drugiego rodzaju, wypowiedzieć prawdę tak, jak można ją wypowiedzieć. Nie istnieję. Nie istnieje się. Ja tego nie myślę. Ja tu nie stoję, nie patrzę przez omrożone okno na zawieję śnieżną nad dachami Warszawy, na wiry białej kurzawy wsysane w pułapkę podwórkowej studni, na światła brudne błyskające przez zamieć z okien naprzeciw - nie wrzucam peta do pieca - nie naciągam na grzbiet włóczkowego swetra, nie wdziewam drugiej pary skarpet, barchanowych kalesonów, przetartego płaszcza - nie zbieram ze stołu pożółkłych notatek, listu niedokończonego, Tajtelbaumowych papierów, nie kartkuję zapisków i maszynopisów. Każda ta czynność zachodzi i dzieje się, co się dzieje - ale przecież to nie kwiat lodu poruszył się na szybie, jeno mróz stężał. Oziębła się.

Oziębła się, trzeba dorzucić do pieca. Dorzuca się. Przykręca się knot lampy. Za oknem wyje wiatr, klekoczą dachówki. Sika się do nocnika. Się przykrywa się pierzyną, trzema kocami. Chucha się w grabiejące dłonie. Zyga chrapie głośno, słyszy się, jak on się przewraca z boku na bok i przez sen mlaska.

Zamyka się oczy i wtedy powracają obrazy, słowa i myśli. Czerstwe oblicza czynowników Zimy nad sztywnymi kołnierzykami. Luty ponad naftowym ogniem na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Jerozolimskich. Komisarz Preiss z ręką na globusie starym, rumiana twarz, wesołe oczka. Grzmiący prawdy nieubłaganej rewolucji Miczka Fidelberg. Pan Korzyński wypływający z mroku w obłok żółtego światła, czarny kikut dłoni na albumie lodu. Wściekły świecień na tapecie salonu Marji Welc. Zarys sylwetki bezuchego piłsudczyka - i koperta biała jak sybirski śnieg. Nie s-strachaj s-się. Ojciec z rewolwerem w dłoni, podwójna plamka krwi na czystym gorsie jego koszuli niczym czerwony cudzysłów domykający krzyk, strzał i masakrę.

Wiatr huczy i gwizdże. Robactwo biega po ciemnej izbie.

Jechać? nie jechać?

*Jeżeli nie wszystkie drogi prowadzą do absurdu, to jednak niema może takiej udeptanej,*

*któraby nie prowadziła tam, jeżeli wiecie po niej ktoś dziwny. Ktoś, kto tam, gdzie go nie  
potrzeba, jest, - w chwilach zmęczenia rękę nam podaje, - gdy go szukamy, w nas samych się  
chowa i wzrokiem naszym badawczym kieruje, - idzie przed nami niepostrzeżony i ciemnym  
światłem drogę nam oświeca, - dziwny przewodnik, wróg, przyjaciel?*

**II**

**TRANS-SYBERJA**

„Naprawdę jest jeszcze poza istnieniem i nieistnieniem trzecia ewentualność, podobnie, jak poza tym, że lampa jest zwierzęciem żywym, i tym, że lampa jest zwierzęciem nieżywym, leży jeszcze trzecia ewentualność, że lampa wcale nie jest zwierzęciem. Oczywiście, jeśli lampa jest zwierzęciem, to musi być albo żywa albo nieżywa w sensie umarłości. Zarówno wtedy, gdy mówimy o czymś, że żyje, jak że jest umarłym, suponujemy, że jest wogóle organizmem. Podobnie wtedy, gdy mówimy o czymś, że istnieje, to coś stwierdzając, oraz gdy mówimy, że «nie istnieje», gdy negujemy, wydając sąd przeczący, - suponujemy pewien warunek wspólny istnieniu i t. zw. nieistnieniu. Ale można i ten warunek zanegować; powiedzieć, że lampa nie jest ani zwierzęciem żywym, ani zwierzęciem nieżywym, tylko że nie jest żadnym zwierzęciem, powiedzieć, że przedmiot dany wogóle ani jest, ani «nie jest», tylko że «nie jest» w innym, szerszym sensie, że nie istnieje nawet to, co jest warunkiem, aby można było słusznie orzec, że dany przedmiot «nie jest» w pierwszym sensie. Język tych rzeczy nie odróżnia”.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### O miazmatach luksusu

17 marca 1891 roku według rachuby juljańskiej ukazał się reskrypt cara Aleksandra III nakazujący budowę linii kolejowej prowadzącej od stacji Miasy przez Czelabińsk, Pietropawłowsk, Omsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck, Czytę, Błagowieszczeńsk i Chabarowsk do Władywostoku. 19 maja we Władywostoku następca tronu, przyszły Imperator Wsjerassijskij Mikołaj II, położył kamień węgielny pod drogę żelazną znaną potem jako Wielikij Sibirskij Put', Transsibirskaja Żelieznadarożnaja Magistral, Transsib.

Oddawano ją do użytku etapami - tak jak postępowała budowa prowadzona jednocześnie od różnych stacyj - ostatecznie przyłączając do linii także Moskwę i Sankt Peterburg; w październiku 1904 linja sięgnęła od brzegu Oceanu Spokojnego do Bałtyku. Transsib liczy sobie blisko dziesięć tysięcy kilometrów długości. Położenie tej magistrali uszczupliło Skarb cesarstwa o ponad półtora miljarada rubli.

W broszurze historii i szczegółom budowy Koleji Transsyberyjskiej poświęcono kilkanaście stron, a o kwestji mandżurskiej i wojnach rosyjsko-japońskich ledwie wspomniano. Najkrótsza droga do Władywostoku prowadzi nie przez Błagowieszczeńsk i Chabarowsk, lecz przez Mandżurję, przez Zabajkalsk, Charbin i Ussurijsk. Mandżurja po zdobyciu przez Japończyków Port Artura i klęsce floty rosyjskiej pod Wyspami Cuszimskimi została w sierpniu 1905 roku, w traktacie pokojowym zamykającym pierwszą wojnę, oddana „w wyłączne władanie Chin”. Jednak na początku drugiej wojny Rosja ją odzyskała, koncentrując następnie zmagania wokół kontroli niezamarzających portów amurskich i Sachalinu oraz problemu zabezpieczenia Kamczatki i północnych tras syberyjskich; sprawa Koreji, Półwyspu Liaotuińskiego i Port Artura zapadła w plan dalszy. W traktacie rosyjsko-chińskim z roku 1911 Mandżurja przeszła oficjalnie pod władztwo cara; kosztowało to rosyjską dyplomację dwa miliony rubli łapówki dla ministrów Państwa Środka. Czymże jednak były owe miliony w porównaniu z budżetem budowy Transsibu? A nareszcie cała trasa Magistrali znalazła się na terytorjum Rosji.

Ostatnie strony broszury, jaką znajdował w swym przedziale każdy pasażer w klasie

Luks, zajmował opis projektu Koleji Dookołaświatowej, w którą miał się przeobrazić Transsib po zapewnieniu połączenia z linią biegnącą z Półwyspu Czukockiego przez Cieśninę Beringa na Alaskę; Transsib stanie się wówczas Trójkontynentalną Koleją Paryż-Nowy Jork. Koncesję na tę linię otrzymało konsorcjum Edwarda Harrimana, finansowane w większości przez inwestorów z Wall Street, i w 1917 roku rozpoczęło budowę tunelu pod Cieśniną, od wschodu i od zachodu. Budowa, samo w sobie niezwykle trudne przedsięwzięcie inżynierskie, była ciągle opóźniana i wstrzymywana przez rozmaite czynniki zewnętrzne: a to wojnę z Japonią, a to intrygi dworskie kilku Wielkich Książąt, którzy - jako udziałowcy Lenzota - byli bezpośrednio zainteresowani w utrzymaniu Amerykanów z dala od syberyjskich bogactw, a to przez petycje Dumy, gdzie co chwila odzywały się resentymenty po sprzedaży Stanom Zjednoczonym Alaski, a to wreszcie mniej lub bardziej jawne akcje sabotażowe konkurencyjnych wobec Harrimana *Societes Anonymes, Aktiengesellschaften i Companies Limited*, których pod rządami Stołypina i Struwa rozmnożyło się w carskiej Azji co niemiara - które wszakże coraz mocniej i głębiej zrastały się z organizmem gospodarczym Rosji i w dużej mierze to im zawdzięczała ona poprawiającą się sytuację ekonomiczną, mimo krachów na światowych rynkach. Jedno, co w czas kryzysu nie traci na wartości, to właśnie kamienie i metale szlachetne, a dobywanie bogactw naturalnych ziemi to najpewniejszy interes ze wszystkich. Tylko podczas budowy Transsibu znaleziono kilkadziesiąt pokładów rud metali i węgla. Cudzoziemscy geolodzy spekulowali zresztą także na temat ukrytych w zachodniej Syberji złóż ropy. Eksport zinnaza rósł co roku o kilkadziesiąt procent; irkucka wieża Sibirchożeta była ponoć najwyższym budynkiem w Azji. W grudniu 1923 roku na giełdzie w Nowym Jorku za uncję tungetytu płacono 446 dolarów i 30 centów, więcej niż dwudziestokrotność ceny uncji złota.

Bez wątplenia sporo było w tym carskiej propagandy - ale że z Syberji płyną wielkie bogactwa, o tym świadczył chociażby wystrój wagonów pierwszej klasy w Ekspresie Transsyberyjskim, „najbardziej luksusowym pociągu świata”. Z broszury się dowiedziało się, że obecny tabor - trzecia generacja po imponującym przepychem składzie prezentowanym na Wystawie Światowej w Paryżu w roku 1900 - był dziełem Sanockiej Fabryki Wagonów L. Zieleniewskiego oraz Lwowskiej Fabryki Maszyn, Kotłów i Pomp. Przynajmniej więc podwozia i stalowy szkielet wyszły spod ręki polskiego inżyniera; wnętrza projektowali Rosjanie, po części wzorując się na wypełnionej lustrami empirowej salonce Mikołaja I, zresztą też zbudowanej przez Polaków. Ściany ponad boazerją i sufit atdielienja obito ciemnozieloną croisą, ozdobioną złotem i szarymi motywami roślinnymi. Mosiężne

wykończenia - guzy, klamki, zamki, zatrzaski, ramy, okucia, kraty, uchwyty i haki - wypolerowano, aż lśniły w świetle elektrycznym, przypominając raczej zawieszono w powietrzu krople i kleksy metalicznej cieczy. Wszystkim nadano finezyjne, cokolwiek niepraktyczne kształty, niekiedy tak skomplikowane, że zupełnie maskujące ich rzeczywiste funkcje. Dobrą minutę studjowało się symetryczne rączki okna, odlane w formie ryczących lwów z uniesionymi ogonami. Otóż aby otworzyć okno w przedziale, należało szarpnąć lwy za ogony; aby zamknąć - wcisnąć metalowe języki w paszcze zwierząt. Żarówki skryte za kolorowymi kloszami włączał ścienny pokrętnik: złote Słońce z grubymi, spiralnymi promieniami. Potem pomyślało się, że pokrętnik najpewniej rzeczywiście wykonany jest ze złota. Pościel uszyto wyłącznie z najłżejszej bawełny i jedwabiu. Podłogę pokrywał gruby dywan koloru rdzy. Zzuło się buty i stanęło się na nim w samych skarpetach, potem bosonóż - pieszczoła nagich stóp. Czuło się, jak dotyk, zapach i barwy luksusu przenikają przez skórę, w powietrzu i w świetle, fala za falą, osadzając się w mięśniach, we krwi, w kościach - maleńkimi molekułami rozkoszy.

Ekspres Transsyberyjski opuścił Dworzec Jarosławski w Moskwie 18 lipca, w piątek, o godzinie dziesiątej wieczorem, co się zgadzało z rozkładem jazdy wydrukowanym w *Puttewaditielu*. W ścianie, obok minisekretarzyka i szafki na ubrania, naprzeciwko ukrytej za lustrem umywalki, znajdował się niewielki barek. Ledwo pociąg się rozpedził, nalało się z butelczyny powitalnej ładnie przechłodzone szampanskoje. Do dna! Za Benedykta Gierosławskiego, jakim się będzie pośród tych, co nie znają Benedykta Gierosławskiego! Za oknami przemykały cienie zabudowań przedmieść, potem wsie i drzewa - pociąg wyjechał z moskiewskiej zimy, nagle szybę zalał czereśniowy karmin letniego słońca, zorzy posłonecznej, bo samo Słońce schowało się już pod horyzontem, ale i tak zaśniły płomiennie w przedziale wszystkie glanc-wypolerowane stalunki, zajaśniała boazerja i obicia sukienne. Szarpnęło się lwie ogony, otwierając okno, i lato wlało się do środka, ciepły wiatr nadał haftowane zazdrostki i firanki aksamitne. Stało się z głową wsuniętą w strumień tego wiatru, pod kataraktą słonecznego różu, z półprzymkniętymi oczyma i wpółotwartymi ustami. Minuta, dwie, i więcej, aż się utraciło poczucie czasu - pozostała tylko jedna miara: tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Nie rozpakowało się bagaży. Miało się trzy walizy i torbę podręczną - sfatygowany sakwojaż sprzedało się w moskiewskim lombardzie, podobnie jak kozuch i resztę starej odzieży, to jest tę niewielką jej część, jaką chcieli tam wziąć. W tym samym lombardzie, w którym kupiło się gustowną laskę z główką z kości słoniowej w kształcie delfina, pióro



Watermana (złożony Eyedropper), a także zegarek markowany przez *Ubrenfabrik* von J. Rauschenbacha, z posrebrzaną dewizką - oraz sygnet z Korabiem w heliotropie. Skąd w arbackim zastawie sygnet z polskim herbem? Skoro się go znalazło w takim zbiegu okoliczności, nie kupić go, to jak odwrócić się plecami do miłości od pierwszego wejrzenia. Gierosławscy pieczętują się Lubiczem, ale jaka to różnica pośród tych, co Gierosławskich nie znają? Szlachcic a szlachcic, jeden pies, byle sygnet dobrze na palcu leżał.

Wsunęło się walizy do schowków, wyjąwszy tylko pyjamę, schlafrock i łazienne utensylja. (W klasie Luks znajdowały się obszerne, w pełni wyposażone łazienki). Zanim zmierzchno na dobre, do drzwi zapukał prowadnik wagonu, grubas o chłopskiej twarzy, w przypominającym kozacki mundurze z szamerunkami złotymi i lśniącymi galonami. Witął wszystkich nowych pasażerów, wypytyjąc, czy czego im nie trzeba, czy znajdują przedziały wygodnemi, a gdyby jednak coś - do usług, do usług, Wasze Wielmożności. Wsunęło się mu w paluchy trzyrublówkę. W dzień i w nocy, Wasze Błagarodje! Przyniósł potem dzbanek gorącego czaju; jednym z głównych zadań prowadnika jest pilnowanie ognia w wagonowym samowarze. Czaj się przydał: natrafiwszy w papierach na kopertę bezuchego piłsudczyka, pogwizdując i bijąc obcasem do rytmu, otwarło się ją nad parą. Benedykt Gierosławski spaliłby kopertę bez otwierania - ale tamten Benedykt Gierosławski oddalał się z każdym obrotem kół Ekspresu, tuk-tuk-tuk-TUK, trzeba zapamiętać o Benku biedaczynie. W kopercie znajdowała się pojedyncza kartka papieru, wtrójłożona, na której grubą, tłustą czcionką maszynową wybito w dwunastu rzędach bezsensowne ciągi liter.

XROZOULBEXWABTXVEFIS

AMOKOREWSDXWFCEYTKUY

HVOZLFARJSODLAYTOREE

KJPVORAABTXWBATFBAOG

LJZBKNCGBBKVNIEUTJCF

JCARSXSFBYOKMXDLNGWZ

AHSALREZSXDRJCARYDWH

HJMSPMZPJXCPFYILNWIR

JYRGFLIDARMPFGBYPWLB

UNXUJNWPFAZZUJRLNDXR

VAYLSYRGZKEKAREEAHDL

TI

Ha, wiedzieli, że nie mogą zawierzyć posłańcowi! Każdy by otworzył kopertę - cud, że wytrzymało się tak długo.

A jednak zaraz pojawia się zażenowanie i coś jakby złość - na kogo? Spodziewali się nieuczciwości i, proszę, mieli rację!

Przepisawszy zakodowany list, przygryzło się skuwkę pióra. Jak złamać ten szyfr? Czy w ogóle jest do złamania? Matematycy nie zajmują się szyframi, to domena lingwistów, specjalistów od struktury języka, zwłaszcza klasycy z upodobaniem się w to bawią, łacinnicy, helleniści. Na czym taki szyfr się zasadza? Na podstawianiu jednych liter za inne, zamienianiu ich kolejności, dopisywaniu liter zaciemniających treść? Może znaczenie ma układ znaków na stronie, te jedenaście wierszy po - policzyło się - po dwadzieścia liter, i dwunasty z dwiema. Spróbowało się czytać co którąś kolejną literę. Spróbowało się wykreślać słowa w poziomie, i w pionie, i na ukos, i nawet ruchem konika szachowego. Bez skutku, bezsens tłumaczył się na bezsens, xvzafy robllr ozkrig zlnedz...

Bfuchch! Się obudziło się dopiero po nagłym szarpnięciu pociągu, Ekspres hamował gwałtownie, piszczały na szynach zablokowane koła; list, pióro i błaknot wypełniony zdaniem niewymawialnego bełkotu zsunęły się z wąskiego blatu sekretarzyka. Spojrzało się na zegarek. Dziesięć do drugiej czasu moskiewskiego. Według broszury pociąg powinien był już minąć Włodzimierz nad Kłazmą i wyjeżdżać z Załatowo Kalca, nie były tu przewidziane żadne przystanki.

Otworzyło się okno, wyjrzało się w noc. Skład stał w szczerem polu, jedyne światła dobywały się z okien wagonów. Z okna obok, po prawej, wychylała się okrągła głowa starszego pana, w okularach drucianych, z niedorozwiniętą łysiną, imponującymi wąsami. Wymieniło się uśmiechy i grzecznościowe powitania. W łamanym rosyjskim pytał, skąd ten alarmowy postój, czy zdarzył się jakiś wypadek. Przedstawił się jako inżynier White-Gessling, Anglik zatrudniony w jednej ze spółek Sibirchożeta. Przeszło się na niemiecki.

- Tam dalej widzę chyba szosę, są jakieś zabudowania. Pewnie maszynista po wódkę wyskoczył.

- Pan żartuje, panie Gerosasky.

- Tak, oczywiście.

Ekspres ruszył, powoli przyspieszając. W tyle zostały światła zakręcającego na owej drodze automobilu.

- Zdaje mi się, że ktoś się do nas dosiadł, panie inżynierze.

- Że aż specjalnie dla niego zatrzymali Ekspres? Kto to, cesarzewicz?

- Albo ulubiona baletnica Rasputina.

Się musiało się cofnąć do przedziału, zasunąć okno, nocny wiatr bił po oczach.

Ktoś zapukał - inżynier przyszedł pogadać. Podniosło się zasuwkę i otworzyło. Przez korytarz szedł prowadnik, w tyle za nim zostało trzech panów w ciemnych garniturach, najstarszy - siwy, o obliczu dostojnym - nasadzał właśnie na nos binokle i rozwijał wyjęte zza pazuchy papiery. Inżynier nie przyszedł pogadać - teraz dopiero wystąpił ze swojego przedziału, też wywołany pukaniem. Sponad ramienia wyglądała mu rozespana małżonka.

- Sprawdzają dokumenty - rzekło się.

- Co, policja?

- Jeśli nie gorzej.

Wszyscy pasażerowie trzeciego wagonu Luksu wyszli już na korytarz. Zaprojektowano naprzemiennie atdielienja jedno - i dwuosobowe: po drugiej stronie, spod numeru czwartego, wyłoniły się dwie niewiasty, grubokoścista matrona z chuderlawem i chorobliwie bladym dziewczeńcem pod skrzydłem, dalej, za nimi, legitymował się szpakowaty gentleman ze szklanem okiem.

- Pozwolisz, moja droga - inżynier White-Gessling, nie bacząc na noc, pyjamy, dezabile i niezwykajne okoliczności, wziął się do formalnych prezentacyj - Benedykt hrabia Gero-Sasky.

Zawinięta w biały schlafrock, sięgnęła ręką zza pleców korpulentnego męża.

- Miło mi pana poznać, panie hrabio.

Skąd, do stu djabłów, wyskoczył mu ten hrabia?! Nie padło w ogóle takie słowo w rozmowie przezokiennej. Co też durnemu Anglikowi do łba strzeliło?

Zanim miało się możliwość zaprzeczyć fałszowi, ledwo się uniosło głowę znad

szponiastej dłoni pani inżynierowej - przystąpili policjanci, opowiedzieli się grzecznie jako funkcjonariusze specjalnego poruczenia z Atdielienja pa achranienju abszcziestwiennoj biezapasnosti i pariadka, siwy nawet się przedstawił: Paweł Władimirowicz Fogiel - i poprosili o dokumenty podrózne. Fogiel mówił po niemiecku; na pytanie Anglika o powód nocnej kontroli rzekł coś wymijająco o terrorystach - ale nie ma powodu do obaw, proszę spać spokojnie, na wszystko mamy baczenie, za kłopot bardzo przepraszamy. Wróciło się z bumagami i ten drugi pan za Fogielem, skoro tylko rzucił okiem na nadruki i pieczęcie i zamaszyste podpisy na dokumentach Ministerjum Zimy, prawie że stanął na baczność; zwróciwszy je z przymilnym uśmiechem i ukłonem, życzył wylewnie dobrej nocy. Inżynier, nie rozumiejąc do końca rosyjskiego słowotoku, tem pilniej obserwował zachowania. No i cóż teraz, już na pewno nie wyperswaduje się w dwóch zdaniach tego hrabiego, trzeba będzie naprostować rzecz rano.

Się zamknęło się w przedziale. Na podklejonej aksamitną ciemnością szybie okiennej migotał portret młodego mężczyzny. Bordowa bonzurka z zielonemi obszyciami, z białym sznurem plecionym z chwostkami, nad szerokimi wyłogami lica blade, wąski nos, czarne włosy przycięte do pół karku i zaczesane do tyłu od wysokiego czoła, przyklejone do czaszki pod lśniącą pomadą nałożoną przez moskiewskiego parikmachiera, czarny wąs schodzący ku podbródkowi wzdłuż ust szerokich - a gdy uniosło się dłoń do gładko wygolonego policzka, błysnął jeszcze w odbiciu masywny sygnet herbowy. Patrzyło się w zdumieniu.

Cóż za przekleństwo - nieznajomi.

### **O węgierskim hrabim, rosyjskiej władzy, angielskich papierosach i amerykańskim cieniu**

- Hrabia Gyero-Saski, pan pozwoli, panie hrabio: państwo Blutfeld, pan doktor Konieszyn, pan Verousse, kapitan Priwieżeński.

Się ukloniło się.

- *Je suis enchanté.*

- Ach, co za towarzystwo, pan hrabia to spod Franciszka Ferdynanda, tak?

Kelner podsunął krzesło. Usiadło się.

- Droga pani -

- Tylko akcent coś mi nie brzmi, ja mam ucho, prawda, panie Adamie?

Małżonek *Frau* Blutfeld mruknął potakująco z pełnymi ustami.

- Niech zgadnę - ciągnęła Blutfeldowa na tym samym wydechu - krew węgierska po mieczu i przez przodków z Prus koligacja z polską szlachtą, prawda? O, panie hrabio, proszę nie robić zdumionej miny, ja się nie mylę w takich sprawach - w zeszłym roku w Marienbadzie po linii ust rozpoznałam hrabiankę von Meran, a jak mnie błagała, żebym nie skompromitowała jej incognito, powiadam panu -

- Nie jestem hrabią.

- A nie mówiłam! Kobieca intuicja! - Rozglądała się z dumą, jakby cały wagon restauracyjny Luksu podziwiał właśnie w niemych zachwycie jej biegłość genealogiczną.

- Proszę się nie obawiać - szepnęła teatralnie, pochyliwszy się nad stołem, koronkowa kokarda zawisła nad śmietaną, potężny gors ozdobiony ciężką broszą groził zmiążdżeniem porcelany - nikomu nie zdradzimy pana sekretu, panie hrabio. Prawda? - Powiodła wzrokiem wokół stołu. - Prawda?

Czy można było żywić jakąś wątpliwość, że do południa nawet młodszy pomocnik maszynisty usłyszy o węgierskim grafie Gyero-Saskim? Zawinęło się serwetę pod brodą.

- Założmy - powiedziało się z namysłem - ale tylko założmy, że naprawdę nie jestem żadnym hrabią, a nazywam się tak, jak stoi w papierach, Gierosławski, Gie-ro-sław-ski, ot, szlachciura zubożały - cóż mógłbym rzec lub uczynić, by przekonać panią, że pozostaje w błędzie?

- Nic! - zawołała trjumfalnie. - Nic!

Poza tym śniadanie upłynęło przy mniej i bardziej ożywionej konwersacji na aktualne tematy polityczne, na błahych plotkach towarzyskich. (W których celowała niezawodna pani Blutfeldowa). Za oknami rozpędzonego Ekspresu migały zagajniki bieriozowe, gorąca zieleń nad biało-czarnymi kreskami szczupłych pni, wszystko rozmazane w tym pędzie, niczym na płótnach francuskich impresjonistów, kolory, światła, cienie, kształty: las brzozowy w lipcowym słońcu - wyobrażenie lasu. Daniłow i Buj dawno zostały w tyle, pociąg odpoczywał tam zaledwie po kwadransie; gdy opuścił Buj, prowadniki przeszli korytarzami Luksu, stukając do drzwi przedziałów i przypominając pasażerom o śniadaniu. Myślało się, czyby nie wcisnąć obsłudze jeszcze paru rubli i nie poprosić o przynoszenie posiłków do *atdielienja*,

choćby zimnych. W ten sposób się nie musiałyby się stykać z innymi pasażerami; tyle, co na korytarzu w drodze do łazienki i z powrotem. Już przeczuwało się tę spiralę wstydu: każdy dzień w zamknięciu tern bardziej utrudniałby wyjście, narastałyby lęki i wstręty chorobliwe - hrabia Gyero-Saski zwinięty za drzwiami w drżący kłęb, zaszczute zwierzę, gryzie palce i przyciska ucho do ściany, by dosłyszeć przez stukot kół kroki nadchodzących - po tygodniu podróży istotnie mogło się osiągnąć podobny stan, nie było to nie do pomyślenia. Należało zatem już pierwszego ranka wyjść na świat z uśmiechem na ustach, w białym angielskim garniturze i z zawadiacko przekrzywionym goździkiem w butonierce, swobodnym krokiem podążyć do wagonu restauracyjnego, który zresztą przylegał bezpośrednio do trzeciego wagonu pasażerskiego Luksu, i bez mrugnięcia przyjąć zaproszenie do stołu inżyniera White-Gesslinga, ukłoniwszy się szarmancko, a jakże - panie, panowie, *enchanté*.

Konwersacja toczyła się po niemiecku, z dłuższymi lub krótszymi wtrętami we francuski, gdy na germańskiej składni potykał się Jules Verousse. *Monsieur* Verousse na dodatek jąkał się i w ogóle mówił bardzo niewyraźnie: zaczynał zdania, mamrocząc cicho pod nosem, lub też tak je kończył, czasami słychać było ponad stołem tylko środkową część wypowiedzi, czasami kilka wyrazów pozbawionych orzeczenia. Się dowiedziało się, że Verousse jest słynnym i majątnym żurnalistą, wykupionym przez Maurice'a Bunau-Varillę z „Le Petit Parisien” za jakąś horrendalną sumę. Jedzie na Syberję, by napisać do „Le Matin” serję reportaży z Kraju Lutych. Z pochodzenia był Flamandczykiem, miał w głębokim niepoważaniu wszystkie rody panujące i gabinety rządzące, podobnie zresztą jak samego Bunau-Varillę z jego fortuną ostentacyjną i głośną pasją antykomunistyczną. Owe kilkuwyrazowe dogadki Verousse'a to zazwyczaj były polityczne szyderstwa lub francuskie aforyzmy. Chudy jak szczapa i bardzo wysoki, służył wszystkim przy stole zasięgiem swych patykowatych ramion, podając ten i ów półmisek, salaterkę, dzbanek, łabądki do soli i pieprzu. Stół był ośmioosobowy, na cztery i cztery miejsca, a *monsieur* Verousse zajmował krzesło drugie od przejścia - miało się go wprost naprzeciw: końską szczękę, garbaty nos i drucziane okularki na tym nosie.

Ponieważ kapitan Priwieżeński nie odzywał się w ogóle, a pan Blutfeld ani na sekundę nie przestawał jeść - jadł, jadł i jadł, zgoła jakby jedzenie zastępowało mu oddychanie, przestanie napychać sobie otwór gębowy i zaraz padnie martwy z obliczem purpurowo obrzękłym od bezjadła - ponieważ więc oni się nie odzywali, a pani inżynierowa ograniczała się do przytakiwania małżonkowi, dialog krążył między inżynierem White-Gesslingiem, Gertrudą Blutfeld, hrabią Gyero-Saskim oraz doktorem Konieszynem.

Doktor Konieszyn - mieszczanin o surowej twarzy obramowanej ogniście rudemi faworytami - jechał do Władywostoku, by przeprowadzić badania Białej Zarazy nawiedzającej kolonialne społeczności wschodniej Syberji i portów nadpacyficznych. - Boją się, żeby resztki Floty Pacyfiku im nie pomarła - pośpieszyła z szeptanem objaśnieniem pani Blutfeld, ledwo wymieniło się spojrzenie z krępyim doktorem. - Ministerjum Wojny pewnie nie zamierzało dawać im przepustek na powrót do domu, ale teraz, po wiktory Marżowa, medycyna musi przyjść Ministerjum z pomocą. Żeby się znowu marynarzyki nie pobuntowały. Rozerwą tam biednego doktora na strzępy. - Szept Gertrudy Blutfeld był bardziej przenikliwy od najgłośniejszego zwisehrufa *monsieur* Verousse'a, Konieszyn musiał go słyszeć. Ale tylko przetarł *pince-nez* i wrócił do metodycznego krojenia jajka na ćwierć, osiem i szesnaście (potem te płatki białka i żółtka układał na białym pieczywie w symetryczne wzory).

Pani Blutfeldowa szeptala informacje ze swojego plotkarskiego *Who is who*, czy kto chciał słuhać, czy nie; węgierski hrabia był tak samo dobrą ofiarą - no, bądźmy szczerzy, jednak trochę atrakcyjniejszą. Blutfeldowie jechali od Sankt Peterburga, niektórych pasażerów zdążyli już poznać, historyj innych pani Gertruda dowiedziala się swoimi tajemnymi sposobami (frenologja, genealogja, kieliszek wina i sen o świcie, jak się przypuszczało). Tak więc słuhało się opowieści najpierw o towarzyszach stołu, potem o innych pasażerach klasy Luks właśnie śniadających, potem o tych nieobecnych.

Bankier z siostrzeńcem - matka z dzieckiem, żona potentata futrzarskiego - prokurator z amurskiej oblasti, wracający z ministerjalnej odprawy - panna-gruźliczka z ciotką, w drodze do sanatorjum Lodu (były to owe sąsiadki ujrzone nocą), ale bez obaw, panna już nieprątkująca - oficer carskiej marynarki z przydziałem na okręt w Nikołajewsku - bracia utracjusze z piwowarskiego rodu z Moraw, w trakcie podróży dookoła świata - emerytowany rotmistrz huzarów kajzera - stary amerykański inżynier chemik czy elektryk, wraz z żoną, także zakontraktowany przez Sibirchożeto - podróżująca samotnie młoda wdowa o zbyt wyzywającej urodzie, by mogła być w oczach pani Blutfeld przyzwoitą kobietą - starzec jadący na Sachalin na groby synów zesłańców - pastor z Lotaryngji z rodziną, wysiadający jeszcze przed Uralem -

A dwa stoły dalej - tylko niech pan teraz nie patrzy! - popijał poranną kawę książę Błucki-Osiej, ponoć udający się do Władywostoku z osobistego poruczenia Mikołaja II.

- I niech mnie tu apopleksyja ściśnie, jeśli to nie z jego powodu te nocne alarmy

cierpieliśmy!

- Policja tajna, Korpus Żandarmów, Trzeci Oddział, albo i ochrona - na pewno przydzielili mu kogoś - mruknął doktor. - Przecież wiedzieli, gdzie i kiedy jedzie, nie musieli nocą ścigać pociągu. Na pewno też ma swoich ludzi.

- Może informacje o zamysłach terrorystów zdobyli w ostatniej chwili - zasugerował inżynier.

- ...przecieki w ostatniej chwili wygodne bardzo zawsze...

- Wczoraj wieczorem objaśniono nam tu rzecz z detalami. Oficjalnie księżę udaje się do Ameryki, by odwiedzić swoją młodszą córkę, Agafję, co wyszła za wiceprezesa Kompanji Rosyjsko-Amerykańskiej, ale tak naprawdę księżę jedzie negocjować traktat pokojowy z Japończykami. Wyobrażacie sobie państwo, gdyby negocjacje nie doszły do skutku, ile osób by się ucieszyło, w Rosji i w Europie.

- Ile? - spytało się w naiwnym zdumieniu. - Komu tak naprawdę zależy na tej wojnie? Komu spośród tych, co rzucają bomby i strzelają do dygnitarzy?

- Wszystkim - rzekł doktor. - Przecie te anarchysty i socjaliści wszelkiej maści tylko na nieszczęściu i chaosie żerują. Jaką mieliby szansę, gdyby nie wojna? Pomnijcie piąty i dwunasty.

- Otóż ponieśli wtedy krwawe porażki, czyż nie?

- Ba, wtedy byli powodzenia rewolucji najbliżsi. Wielka wojna, niezadowolenie ludu, krwawe masakry właśnie - tego im trzeba. Także rozmaitym narodnikom-buntowszczikom, Polaczkom cholernym, *excusez-moi, mon comte*, Czerkiesom i Gruzinom, wszyscy tylko czekają chwili słabości Imperatora, zaraz skoczą Rosji do gardła.

- Pan doktor był na Krieszczatiku w Kijowie w Czerwonej Sobocie - poinformowała wszystkich swoim scenicznym szeptem Gertruda Blutfeld.

- Ano, byłem, wybiegłem z domu, jak tylko huknęło. Do wieczora przewoziliśmy rannych, zbierali zabitych. Korpusy osobno, członki osobno, jelita, galony krwi.

- ...przez przypadek się im chemikalja - jak to żacy niedouczeni za bomby się biorą...

- Żeby nie Lód, jeszcze byśmy w środku lata epidemję w mieście mieli, wystarczy jeden masowy grób nie dość szybko zalany wapnem, widywałem takie rzeczy na froncie.

Anglik wymienił z żoną spojrzenia pełne niesmaku i zażenowania.



- Panie doktorze, doprawdy...!

- Proszę o wybaczenie - mruknął doktor Konieszyn i wrócił do metodycznego smarowania grzanki marmeladą.

*Frau* Blutfeld zachichotała, zakrywając usta chustką.

- Pan doktor już tu mało awantury nie wywołał. Osobnik, który siedział tam przy oknie - już go nie ma, poszedł - taki zarośnięty, czarny, ubrany bardzo niemodnie, widział go pan, panie hrabio, otóż wczoraj się zeszli z doktorem, i co, i zaraz się pokazuje, kto zaczął, Filimon Romanowicz Ziejcow, nie słyszał hrabia? - noo, ja też nie, ale widać figura to jakaś znaczna między czerwonymi, ach, ja się na polityce nie znam - czy dobrze mówię, panie doktorze?

- Ziejcow, podżegacz gazetowy, po dwunastym go posadzili, widać na zbyt krótko.

- No i dobremu doktorowi od razu krew do głowy uderzyła! - Pani Blutfeld delectowała się wspomnieniem smakowitego skandaliku.

- ...komunistów w pierwszej klasie, rewolucje się z nadmiaru wygód...

- Nie sądzi pani chyba, że ten Ziejcow zamierzył się na księcia? - Się skrzywiło się powątpiewająco. - Skorzy do przelewania atramentu zazwyczaj mdleją na widok krwi.

Blutfeldowa spojrzała za siebie z ostentacyjną dyskrecją, teatralna konspiratorka.

- O! Ten tam w rogu! Co się tak garbi nad sałatką. Ten z nosem łamanym.

Zerknęło się. Człek miał posturę emerytowanego zapaśnika, bary rozsadały rękawy źle skrojonej marynarki, ogolony na łyso łeb przecinała sina blizna, długie wypiętrzenie brzydko zrośniętej tkanki. Rzeczywiście, do pierwszej klasy Transsibu pasował jak kastet do porcelany.

Inżynier White-Gessling popatrywał na złamonosa to przez szkła okularków, to ponad, z zachłanną ciekawością.

- Co? Kolejny rewolucjonista?

- Ależ! Rozmawiał z naczelnikiem Ekspresu, widzieliśmy go, podpisywali jakieś druki, prawda? panie mężu?

*Herr* Blutfeld zabalgotał potwierdzająco.

- A potem, jak szliśmy na kolację - ciągnęła, znowu nachyliwszy się nad stołem ku interlokutorowi, znak nadciągającej sensacji - przez uchylone drzwi przedziału - co?

rewolwer ładował! Ot!

- Policjant, jak rozumiem.

- Musieli przydzielić go księciu - skwitował doktor Konieszyn. - Przecież mówiłem.

- Tylko jednego?

- Gdyby mnie tak bardzo zależało na jego śmierci - rzekło się, ocierając usta serwetką i odsuwając się od stołu - rozkręciłbym po prostu szyny.

- ...nie grozi, skoro jeszcze więcej tu policjantów w nocy - wtrącił się ponownie Verousse.

- Dostali o terrorystach w pociągu, a kto jedzie pociągiem, który sam chce z torów?

- Ci, co i tak zwykli ginąć od rzuconych przez siebie bomb. Mhm. Tak. Panie. Panowie.

Mężczyźni przeszli potem do palarni, na kawę, fajkę, cygaro, papierosa; jedynie pan Blutfeld wymówił się lekarskim zaleceniem półgodzinnej drzemki po posiłku. Szerokie, rozsuwane drzwi pod zimnawymi archiwoltami (z których spoglądały ślepe oczy Królowej Zimy o śnieżnobiałych piersiach, wspartej na sopłoskrzydłych puttach) oddzielały palarnię od głównego pomieszczenia salonki. W nim znajdował się stół bilardowy - najbardziej absurdalny zbytek - i mała biblioteka, zaopatrywana na stacjach postojów w aktualne wydania gazet lokalnych. Stał tam także wysoki odbiornik radiowy o podświetlanej tarczy. Co jakiś czas wypadał z częstotliwości, zapewne z powodu drgań i wstrząsów pędzącego pociągu; wkrótce zresztą znajdzie się poza zasięgiem europejskich radjostacji - im dalej na wschód i ku Zimie, tem mniej licznych i słabszych. Za kolejnymi drzwiami znajdował się właściwy salon; tam udały się panie. Skład pierwszej klasy Ekspresu Transsyberyjskiego z pierwotnego projektu zawierał wagon-kaplicę (z niewielką dzwonnica wypuszczoną ponad dach), wagon-salę gimnastyczną... Obecnie inne ekstrawagancje były w modzie. Wagon wieczorny, umieszczony tuż przed salonką, mógł służyć choćby za salę taneczną; wbudowano mu kominek, wyposażono w pianino. Otwierał się na przeszkloną galerję, z której podróżni mogli podziwiać krajobrazy, jakie przecina na dwu kontynentach Magistrała Transsyberyjska. Za galerją był jeszcze podest widokowy otoczony fantazyjną balustradą żelazną, pod ekranem przeciwdymnym.

Palarnia, urządzona według rosyjskiej odmiany *art nouveau*, to znaczy z nadmiernym przepychem orjentalnym (znowu złocenia i ciężkie ornamenta), sprawiała jednak wrażenie jasnej i przestronnej. Odsunięto rolety z wysokich okien i pokrywę z owalnego świetlika, uchylono nawietrzniki - słońce wpadało do tonącego w brązach i czerniach wnętrza w

snopach żywego błękitu oraz zieleni, z nieba i z głębi lasu wystrzeliwanych. Strumienie blasku wbiły się w armeński dywan z impetem, obłoczki lśniącego kurzu podnosząc.

Usiadło się w narożnym fotelu, pod lustrem. Anglik częstował wszystkich papierosami Wild Woodbine. Steward podał ogień. Zapaliło się. Flamandczyk i doktor również sięgnęli do srebrnej papierośnicy inżyniera; natomiast kapitan Priwieżeński wyjął z kieszeni fajkę z jasnego drewna i skórzany kapciuch.

Dym tytoniowy układał się w świetle w fantasmagoryjne kształty, mienił i migotał. Ruch pociągu, szarpnięcia i podskoki - nijak nie wpływały na powolną, hypnotyczną pantomimę siwych obłoków.

- Tam stoi następny. - Konieszyn ruchem głowy wskazał mocno zbudowanego mężczyznę o azjatyckich rysach twarzy i karku jak baleron. Mężczyzna, oparty o okno, zdawał się pogrążony w lekturze gazety.

- A tych trzech z nocy? Jada w drugiej klasie?

- Albo w wagonie służby. Nie wyrzucą przecież pasażerów, żeby zrobić dla siebie miejsce w Luksie.

Siedziało się z nogą założoną na nogę, z poluzowanym fularowym krawatem, w rozpiętej marynarce; paliło się papierosa, obserwowało się kalejdoskopy światła i dymu. W przeciwległym kącie, pod palmą, siedział ów amerykański inżynier, którego wskazała w restauracyjnym pani Blutfeld. Czytał książkę, co chwila czyniąc na założonej pod okładkę kartce pośpieszne notatki; ani razu nie unióśł głowy. Miało się go dokładnie na linii wzroku, na przedłużeniu spojrzenia, które przebijało się przez dym, nie napotykając oporu, by skupić się dopiero po drugiej stronie wagonu. Słońce nie sięgało do wszystkich kątów i zakamarków palarni, za Amerykaninem stał już tylko cień. Jankeś był wysoki, miał ostre rysy i ciemną cerę, włosy (czarne, z jednym siwym pasmem po prawej) czesał prosto na boki od przedziałka pośrodku. Z półprofilu przypominał cygańskich patrijarchów. Kościsty podbródek, podany do przodu, opierał się na sztywnym kołnierzyku. W zamyśleniu nad książką marszczył krzaczaste brwi. Ręka w rękawicze białej unosiła się, by przewrócić kartkę - cień oczywiście także unosił rękę. Obserwowało się ten cień. Ruch, bezruch, ruch, bezruch, światło drżące - jak to możliwe, to niemożliwe - bo gdy on właśnie nie porusza się w tym fotelu pod palmą, i nie poruszają się strumienie światła, nie zmieniają położenia okna w wagonie, ani Słońce na nieboskłonie, ani pociąg nie zakręca na torach, to jednak cień za Amerykaninem tańczy na ścianie niczym dym papierosowy w powietrzu, ciecz rozpuszczająca się w cieczy, przepływa

od figury do figury, wygina się i kurczy, wygina się i puchnie, igra sam z sobą i pełga jak refleks na płynącej wodzie.

Cień, nie światło - cień jak świecień, żywy negatyw negatywu - obraz niemożliwy ujrzany na dębowej boazerji w palarni Ekspresu Transsyberyjskiego.

W wagonie wieczornym ktoś grał na pianinie mazurka Chopina, okrutnie fałszując.

- Ja jednak sądzę - mówiło się, otrzepując papieros nad kielichem szklanego tulipana - że pod względem politycznym zakończenie tej wojny będzie na rękę wszystkim. Wojny zazwyczaj prowadzą do przełomów, przenoszą narody z jednej epoki w drugą - ale ta wojna donikąd nie prowadzi i niczego nie zmienia. Nawet liedniacy niespecjalnie gardłują za nią w Dumie; a ottiepielnikom jak najbardziej zależy na wyjściu z impasu w Azji. Można się spodziewać nieracjonalnych aktów desperacji ze strony tych czy innych terrorystów, tego spodziewać się można zawsze - nie widzę jednak żadnego konkretnego planu, w którym ktoś w Rosji zyskiwałby na śmierci księcia Błuckiego przed podpisaniem ugody z Japonją.

- ...nadzieję że wojnę zwyciężą a nie znowu jak przegrali Japonją to teraz rewanżu rewanżu...

- Ba, ale w tym rzecz cała, że tak naprawdę Rosja wojen prowadzić ani zwyciężać nie umie! - się zaśmiało się. - Nigdy nie umiała! No nie potrafi, i już. Jest to przedziwny fenomen Historji. - Uniosło się papierosa nad głowę. - Spójrzcie panowie na ostatnie dwa wieki, kiedy to Rosja stała się potęgą europejską. Daleko więcej wówczas ran wojennych ścierpiała, anizeli sama zadała. Gdzież jej piorunujące sukcesy bitewne, gdzie gienjalni wodzowie, kampanje wyśmienite, z których uczą się strategji i taktyki kadeci *L'école militaire de Saint-Cyr* i West Point? Nie ma. A ileż razy nieledwie cudem ratowała się od klęsk prawdziwie druzgoczących? Pomnijcie Piotra Pierwszego w tureckim oblężeniu nad Prutem, już-już kapitulującego. Pomnijcie Aleksandra Pierwszego po Austerlitz i Friedlandzie, Dybicza po Wawrze i Iganiach. A i choćby ostatnią wojnę turecką: uchodziliby Moskale w sromocie spod Plewny Osmana-baszy, gdyby nie Rumuni. Którym potem, oczywiście, w podzięcie południową Besarabję zagarnęli.

...Rosja ma za to wyśmienitą dyplomację, biegłą w sztuce dzielenia i skłócania, co rozbija w porę wszelkie przeciwrosyjskie sojusze; ma chytrych i elokwentnych agitatorów, gotowych we wszystkich stolicach Europy z nieskończoną beczelnością głosić jej trjumfy i wyższość jej racyj w chwilach największego Rosji poniżenia i klęski. I dzięki tej prowadzonej od pokoleń polityce zdołała zaszczepić kulturę nierozumnego moskalofilstwa nie tylko na

salonach Paryża, Berlina, Wiednia, ale także pośród narodów własną jej ręką rzuconych w błoto i pod jej butem upodlonych: Czechów, Litwinów, Polaków. Oto jest zwycięstwo nad zwycięstwami: nie dość, że pobić, to zmusić pobitych - nie, nie zmusić - sprawić, że z własnej swej woli przyjdą całować knut gnębiela.

- ...nie u Anglosasów po Kiszyniowie i masakrach prasa nie da Rosji, nie dadzą Żydzi i socjaliści zachodni, nieprawdaż, *n'est ce pas?*

Co właściwie dzieje się z cieniem tego człowieka? Się przypatrywało się Jankesowi spod zmrużonych powiek, przez dym i słońce. Może to nie o człowieka chodzi, lecz o miejsce, ów kąt półmroku, dokąd nie sięgają promienie lata. Ale nie: Jankes wstał, skinął na stewarda, przeszedł na moment do salonu po szklankę wody - obracało się w ślad za nim głowę, śledziło się go wzrokiem zza tiulowej zasłony dymu - a migoczący i drżący cień, cień-niecień, arabeska światła oślepiającego i światła nieco słabszego, ten żywy fenomen optyki podążał w ślad za Amerykaninem, otaczał go jak wędrowny słup gorąca, wypaczający obrazy, mącący widoki. Ale wszystko to delikatnie, subtelnie, leciutko, na granicach sylwetki, na szwach oomy. Spojrzało się po siedzących w palarni. Nie zwracali uwagi na skrytego w kącie pod palmą chudego Jankesa.

- Może my jednak w złą stronę spoglądamy - rzekł White-Gessling. - Zapomnieli panowie, dlaczego w ogóle wybuchła ta wojna? Pierwszy konflikt z Japonją był o Mandzurję, w Chinach starły się ambicje Japonji i Rosji, o Koreję i strefy wpływów - ale za drugim razem wszystko zaczęło się od gospodarki, od złóż tunguskich. I, proszę ja was, na tym też się skończy. Na terytorjum Rosji znajduje się sto procent światowych złóż tungetytu i zimnaza; Rosja kontroluje wszystkie prowadzące do nich szlaki handlowe. Czy można się dziwić, że Japończycy zaryzykowali wojnę dla przesunięcia granic traktatowych o kilkaset mil? Zwłaszcza że, Lód, nie Lód, to i tak wisiało w powietrzu: w tysiąc dziewięćset jedenastym odbudowali się już militarnie po pierwszej wojnie, upływały im akurat terminy rozmaitych umów międzynarodowych, no i, przede wszystkim, musieli zdążyć, zanim Stany Zjednoczone Ameryki otworzą Kanał Panamski, żeby nie zostać wziętym w ogień z dwu stron. Ale przecież tu i tu na decyzje mają wpływ ludzie interesu. Wiecie panowie, ile wyniósł zeszłoroczny zysk Sibirchożeta? - Anglik parsknął głośno i dmuchnął dymem pod sufit. - Więc kto miałby korzyść w zabójstwie księcia Błuckiego? Oto kto: konkurenci spółek Sibirchożeta. Przegrani w boju o koncesje. Oni. To jest korzyść liczona na dziesiątki, setki milionów rubli. Albo: cudzoziemskie firmy, którym załamałby się rynek po połączeniu Azji z Ameryką Linją Alaskańską. Póki trwa wojna z Japonją, budowa się wlecze, toteż są w miarę

bezpieczni. Albo -

- Więc mówi pan: nie anarchiści i socjaliści, lecz chciwi burżuje? - uśmiechnął się Konieszyn.

- Jedno drugiego nie wyklucza - zauważyło się półgłosem. - Cóż prostszego, jak podrzucić gorącogłowym eserom precyzyjną informację o czasie i miejscu? I kto potem będzie szukał tajemniczych donosicieli? Terrorysty sami się przyznają, nie wyprą się idei. Jak już mordować, to cudzemi rękoma, panowie, cudzemi rękoma.

Doktor skrzywił się z niesmakiem, potarł nos, poprawił binokle.

- Rozumując w ten sposób, za każdą bombą ciśniętą w sanowników przez naiwnego anarchistę winniśmy się domyślać pałacowej walki otłepielników z liedniakami, spisku jednego syndykatu choładpramyszlenników przeciwko innemu, ambicji jakiegoś ministra czy Wielkiego Księcia...

- Żeby już nie wspomnieć o kłótniach w Dumie: niedługo wybory, a Struve może stracić większość, jeśli wyłoży się na negocjacjach pokojowych.

- Minister Wojny -

Kapitan Priwieżeński wybuchnął gromkim śmiechem. Umilkły wszystkie rozmowy, nawet z pokoju bilardowego wyjrzało kilka osób. Kapitan zasłonił usta dłonią. Doktor Konieszyn spoglądał nań z brwiami pytająco uniesionymi, inżynier White-Gessling - zmieszany.

Priwieżeński odłożył fajkę, skrzyżował ramiona na mundurze.

- O czym panowie mówią? - spytał cicho, wciąż ze śmiechem w chrapliwym głosie. - Proszę o wybaczenie, ale dłużej nie mogłem zstrzymać. Panie inżynierze - zwrócił się do White-Gesslinga - te pana kalkulacje gospodarcze, analizy walki interesów...

- Co? - zaperzył się Brytyjczyk. - Co pan się -

- Nie, nie - kapitan z wysiłkiem tłumił wesołość, chyba nie do końca szczerą. - Ma pan rację, oczywiście. To znaczy - miałby pan rację, gdyby to była Wielka Brytania. Widzi pan, tak się złożyło, że w swojej krótkiej przecież jeszcze karierze zdążyłem się otrzeć o ludzi z wewnętrznych kręgów władzy, zająrzeć, że tak powiem, pod pałacowe dywany... O czym panowie mówią, na rany Zbawiciela! - Kręcił głową z szyderczem niedowierzaniem. - To jest Rosja!

- ...uwagi temu faktowi nie omieszkamy dziękujemy serdecznie...

- Proszę się nie gniewać, panie inżynierze, ale nie ma pan pojęcia o zasadach, którymi rządzi się nasz kraj.

- Doprawdy? - sarknął White-Gessling, tocząc między palcami drugiego papierosa.

- To nawet nie jest kwestja władzy i rządzenia państwem, tak, jak pan to ujmuje rozumem swoim. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu cała Rosja należała do Gasudaria Impieratora, Impierator ją posiadał - ziemie, bogactwa w nich ukryte, i to, co na ziemi rośnie, i góry, rzeki, jeziora, ćwierć kontynentu. - Kapitan Priwieżeński objął gestem słoneczne przestrzenie migające za oknami Ekspresu. - Posiadał, tak jak panowie posiadają swoje zegarki czy buty. Dopiero niedawno zgodził się łaskawie przeprowadzić podział na to, co należy do Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa i Rodziny, i to, co należy do Rosji. Zachował dla siebie połowę. Więc nie mówię już o Stanach Zjednoczonych Ameryki, nie mówię o Francji czy Wielkiej Brytanji z jej *Magna Charta* i parlamentami - ale jest to zupełnie inny rodzaj władztwa niż ten, jaki znacie z nawet najbardziej reakcyjnych monarchij europejskich. Niech pan zrozumie, inżynierze: Habsburgowie rządzą - Imperatorzy Wszechrosyjscy posiadają.

...Panowie domyślają się wielkich sporów politycznych i konfliktów finansjery za decyzjami samodzierzcy. Mój Boże. Gdybyż tak było! Gdybyż te hipotezy spisków i piętrowych knowań mogły być słuszne! Choćby ten pociąg, którym jedziemy, Kolej Transsyberyjska. Jak panowie sądzą, jak doszło do powstania Linji Mandżurskiej i wybuchu pierwszej wojny z Japonją? Polityka? Kalkulacje gospodarcze, co, panie inżynierze? Rachunek korzyści inwestycyj? A może stoi za tym cała rosyjska strategja kolonizacji dalekiej Azji...? Ha!

...Prawda zaczyna się od tego, że Imperator nasz, Mikołaj Drugi Aleksandrowicz, w dzieciństwie i za lat młodzięńczych oddawał się bez umiaru grzechowi Onana. Kiedy ogólna apatja, zmęczenie i dzienna słabość umysłu następcy tronu stały się aż nadto widocznymi, wezwano inastrannyh profesorów. Ich diagnoza dotarła w końcu do uszu Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa, który nakazał czem prędzej rozwiązać wstydlivy problem wychowawczy. Tak więc starzy jenerałowie, tajni radcy i ministrowie dworscy po długich konsultacjach wybrali metodę wielokroć sprawdzoną: należy dać ujście siłom męskim młodzięńca w naturalny sposób. Zaczęto zatem prowadzić przy rozmaitych okazjach przed oczy cesarzewicza Mikołaja Aleksandrowicza najgładsze krasawice, zazwyczaj córki rodzin dworowi bliskich. Zrazu cesarscy doradcy gratulowali sobie powodzenia planu, bo istotnie

cesarzewicz szybko poznał, który grzech smakuje lepiej, i całkiem porzucił jeden na rzecz drugiego - rychło wszakże pokazało się, że i w tym umiaru nie zna, obróciwszy go w nałóg jawny. A przecie rzecz to jest wielkiej politycznej wagi, aby nic nie stało na przeszkodzie przyszłego aliansu z inną potęgą przez mądre małżeństwo Imperatora. Nowy więc powstał ból głowy u radców tajnych i emerytowanych jenerałów: by w porę rozbijać wszystkie romanse Mikołaja Aleksandrowicza, zanim nazbyt się przywiąże do wybranki i w afekcie wzrośnie. Póki się bowiem cesarzewicz puszczał z Wielkim Księciem Sergiuszem Aleksandrowiczem w nocne wyprawy po peterburskich spelunach i domach wysokodostojnych prostytutek, groźby wielkiej nie było. Ale wkrótce koszta poczęły rosnać: oto już za zerwanie *mademoiselle* Miatlewej z następcą tronu cesarzowa zapłaciła rodzinie Miatlewów trzysta tysięcy rubli, wykupując z wielokrotną przepłatą ich majątek przy Peterhofskim Trakcie. I szło ku gorszemu. Cesarzewicz z kolei ogłupiał bez reszty na punkcie baletnicy Krzezińskiej. Gasudar' Impierator, zwiedziawszy się o tym, a i o tym, że owa Krzezińska jest Polką i gotowa przyszłego Impieratora przez alkowę przeprowadzić z prawosławia do obrządku rzymskiego, popadł w rozpacz ostateczną. Wyszukowano najwyższy rozkaz wydalający urodziwą baletnicę z Peterburga w drodze administracyjnej i wyprawiono z nirn do Krzezińskiej oberpolicmajstra peterburskiego, jenerała Gressera. Krzezińska przyjęła Gressera uprzejmie, przeczytała rozkaz i poprosiła jenerała do buduaru - a w buduarze kto? Cesarzewicz Mikołaj Aleksandrowicz. On, wiele nie myśląc, papier podał i drzwi Gresserowi wskazał. Tu już jasno zobaczyli wszyscy radcy dworscy, że przyszłość Imperjum jest zagrożoną. Nie można odsunąć od Mikołaja Aleksandrowicza pokus sercowych - należy odsunąć od nich samego Mikołaja Aleksandrowicza. Jak to uczynić? Ano, wsadzono go na okręt i wyprawiono w podróż dookoła świata. Ale okręt nie monastyr, cesarzewicz nie mnich. O bezeceństwach i rozpustach dziejących się na pokładzie krążownika „Pamiat' Azowa” podczas rejsu cesarzewicza pisały ponoć światowe gazety; do Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa docierały tylko te informacje, które musiały dotrzeć. W okolicy Indyj z rejsu wyłączył się podróżujący z Mikołajem Aleksandrowiczem Wielki Książę Jerzy; wrócił do kraju połamany, z rozbitą piersią i ledwie żyw. Co się pokazało: podczas jednej z hulank na okręcie tak się wysokourodzeni spili, że najdziksze ideje im do głów przychodziły i założył się książę Jerzy z księciem greckim, kto wyżej wejdzie na maszt. Grek wygrał; Jewo Wysocziestwo książę Jerzy spadł zaś z wysokości, tylko dzięki boskiej interwencji lub pijackiemu szczęściu nie skręcając sobie karku. Następnym przystankiem w podróży młodego następcy tronu, przed Władywostokiem, gdzie miał wziąć udział w uroczystości otwarcia budowy Koleji Transsyberyjskiej, była Japonja. Ma się rozumieć, każdorazowemu zejściu na



brzeg dziedzica Imperjum towarzyszyły wielkie manewry sił porządku; wiecie panowie, w jakim strachu przed zamachowcami żyje rodzina panująca. Nie inaczej było wtedy, a kordon miał przytem służyć ograniczeniu samodzielnych ruchów cesarzewicza. Na nic wszakże wszystkie ostrożności i armje japońskich konstablów na ulicach wystawione. W drodze powrotnej znad jeziora Biwa do Kioto rzucił się na niego - nie jakiś przypadkowy przechodzień, bo takowych w zasięgu wzroku zapewne w ogóle nie było, ale jeden z wystawionych w kordonie policyjnym dla ochrony znamienitego gościa agentów, fanatyk wychowany w idejach nacjonalnych. Zaatakowałby cesarzewicza już przy pierwszej sposobności, no nie potrafił go odróżnić od innych cudzoziemców. Pomógł mu dopiero tatuaż, jaki Jewo Wysociestwo Mikołaj Aleksandrowicz kazał sobie sporządzić w Nagasaki, gdy wraz z księciem greckim w tamecznych domach rozpusty się bawił. Prasa japońska opisała ów malunek na skórze prawej ręki cesarzewicza w detalach: smok z żółtymi rogami, czerwonym brzuchem. Tak i rozpoznał następcę tronu Rosji samuraj obłąkany. Zanim go obezwładniono, zdążył dwakroć siec Mikołaja Aleksandrowicza swoim mieczem; cesarzewicz rzucił się do ucieczki, lecz gdyby nie bambusowa laska greckiego księcia, nie żyłby, to pewne. Oba cięcia sięgnęły głowy. Zrazu wszakże rany zdawały się powierzchownymi: już po paru dniach był przyszły Imperator na nogach, pozostała blizna, nie bardzo szpetna. Lecz od tego czasu Jego Wysokość Mikołaj Aleksandrowicz cierpi na rozmaite przypadłości psychiczne. Które z czasem się nasilają. Na ten przykład Imperator nasz widzi wszędzie pajęczyny i rzuca się do ich zrywania, nakazuje służbie czyścić z nich pokoje i korytarze. Miecz japoński naznaczył Najjaśniejszego Pana na całe życie - straszliwe migreny, halucynacje, depresje, apatje i słabości umysłu wystawiają go na żer szarlatanów, spirytystów, mesmerystów, mistyków i świętych szaleńców. Od *pere* Philippe'a, który miał sprawić, że cesarzowa urodzi następcę tronu, i wywoływał na żądanie duchy przodków Mikołaja Aleksandrowicza, by dyktowały mu politykę państwową, a który na koniec okazał się marsylskim fryzjerem - przez Dziewicę Gałacką, co przepowiadała Imperatorowi wyniki wojen - skończywszy na nieśmiertelnym Rasputinie. A w swoim czasie taką mesmeryczną władzę nad wolą samodzierzcy posiadał niejaki Biezobrazow, ongiś radca rządu i członek Świętej Ligi. Biezobrazow uważał się za znawcę polityki wschodniej i zwłaszcza w jej sprawach narzucał swoje zdanie. Gdy sprzeciwił się mu Witte - „Komu Wasza Wysokość ufa bardziej: człowiekowi prywatnemu, czy swemu sztats-sekretarzowi i ministrowi?” - Imperator mianował Biezobrazowa sztats-sekretarzem. Biezobrazow powchodził w liczne spółki z urzędnikami kancelarji Gasudaria Impieratora, konsulem w Koreji, Wielkimi Książętami, inwestując nawet miljony rubli z majątku samego Imperatora. Utworzyli oni mianowicie

towarzystwo akcyjne, które otrzymało od rządu koreańskiego koncesję na eksploatację lasów i minerałów w Koreji. Aby realizować te i dalsze fantasmagorie finansowe, Biezobrazow zahypnotyzował Imperatora Wsjerassijskawa do decyzji o ustanowieniu namiestnictwa Aleksiejewa, o Linji Mandżurskiej Transsibu, urządzeniu Port Artura i Dalnego, w rezultacie - do samej wojny z Japonją. Koncesja eksploatacyjna Biezobrazowa była w istocie główną przyczyną pierwszej wojny: żądania terytorjalne Rosji odpowiadały ziemiom przyznanym jego towarzystwu akcyjnemu. Pan inżynier mówił o kalkulacjach ludzi interesu? Zyski Imperatora z udziałów w przedsięwzięciu Biezobrazowa mogły wynieść co najwyżej kilka-, kilkanaście milionów - podczas gdy samo namiestnictwo pożerało sto dwadzieścia milionów rubli rocznie. Nie powiem już nic o kosztach wojny. Pan inżynier mówił o przyczynach i skutkach, następstwie rozumowych wyborów i planach politycznych. Otóż takie są przyczyny i taki rozum w państwie rosyjskim: miecz samuraja, omam duszny i głos szarlatana szepczący do imperatorskiego ucha.

...Zasada obowiązuje tak samo na dworze jedynowładcy, jak w najmniejszej wsi, w stepie pustym, tajdze zimnej - nie ma żadnej linii, żadnej granicy, poza którą mógłbyś pan tu bezpiecznie stosować swoje narzędzia umysłu. Jedna jest Rosja. Znalazł się pan, inżynierze, w krainie, gdzie ludzie - nie ludzie, ludzie-przedmioty poddane są istocie nieskończonej wyższej, a ona dowolnie kształtuje ich rzeczywistość podług swoich zmiennych kaprysów i zachcianek, nijak niczego nie tłumacząc, bo też nie są to rzeczy do wytłumaczenia. Zrozumieć - zrozumieć można prawa natury. Ale czy człowiek rozumiałby prawa natury, gdyby Bóg zmieniał je bez widocznej przyczyny, między sekundą a sekundą?

Milczało się. Kto opowiada publicznie o obyczajach buduaru, kto mówi w towarzystwie przystojnym o sprawach tak wstydliwych jak nałogi zrodzone z popędów zwierzęcych ciała? I żeby jeszcze o sprawach byle kogo dotyczących - ale monarchy panującego? Oficer! Nie może to być! Wstyd, wstyd, wstyd! Że nie spalił się tu na miejscu - cóż to za demon wewnętrzny rozsada Priwieżeńskiego? Spoglądało się za okno, na pola i lasy, rozlewisko rzeczne i głaz biały, tuk-tuk-tuk-TUK, już pozostawione w tyle.

Konieszyn, White-Gessling i Verousse wymieniali luźne uwagi, z niepewnymi minami trawiąc słowa młodego kapitana.

- ...no, szczerze, Yoshihito też normalny nie jest...

- Ze spirytyzmem rzeczywiście musi być coś na rzeczy, znowu bardzo modny na salonach petersburskich, księżna Błucka zapowiadała tu na dzisiaj prawdziwy seans, czujcie

się panowie ostrzeżeni...

- Kapitan podobne historie przypadkowym towarzyszom podróży opowiada - nie może być z wolnością obywatelską w Rosji aż tak źle.

Priwieżeński uśmiechnął się gorzko.

- A pan inżynier myśli, że niby dlaczego wyprawiono mnie z Peterburga na drugi koniec świata?

Zapaliło się drugiego papierosa. Dym szczypał w oczy, rozmyte obrazy wyłaniały się ze słonecznej jasności i w słońcu rozplywały.

Jankes zamknął książkę, wstał, naciągnął mankiety, rozejrzał się po palarni, poczem wyszedł do sąsiedniego wagonu. Silnoręki Azjata, gdy przechodził chwilę potem mimo palmy, rzucał na zwieńczoną bluszczowemi rzeźbieniami boazerję cień jak najbardziej zwyczajny, o ostrych, stałych krawędziach. Na czymkolwiek więc polegał ów fenomen, wiązał się bezpośrednio z osobą Amerykanina.

- ...hrabia, posiadając polskie korzenie, powinien zdawać sobie z tego sprawę.

- Proszę?

Się obróciło się do kapitana. Priwieżeński pozostał skupiony na czyszczonym cybuchu fajki, nie podniósł wzroku.

- Brytyjczykowi się nie dziwię, ale że pan hrabia -

- Nie ma między naszymi nacji żadnego pokrewieństwa - rzekło się sucho.

- Słuchałem, co hrabia mówił o rosyjskich żołnierzach i dyplomatach. Wszystkie narody podbite tak potem -

- Podbite? Wyście nas podbili? W jakiej to bitwie, można wiedzieć? W jakiej wojnie?

- ...no no spokojnie w pociągu gdzie ubitej ziemi spokojnie nie ma o co taka *quarelle d'Allemand...*

Zapaliło się. Priwieżeński stukał fajką o poręcz krzesła. Założyło się wygodniej nogę na nogę, szarpnęło się kant nogawki.

- Rosja nie podbija - powiedziało się łagodnie i cicho, tuż ponad rytmicznym stukotem stali. - Rosja zagarnia. Niemcy podbijają. Francja podbija. Turcy podbijają.

...Pan kapitan ma żal do swojego kamandawanja, więc łatwo mu teraz wylewać gorycz -

czy to nie jakiś pomniejszy Biezobrazow stoi za waszem przeniesieniem? - ale przecież nie zaprze się ojczyzny. Czy chciałby, żeby Rosja była inna? Wtedy nie byłaby Rosją. A to jest przecie największe zaprzęństwo wszystkich rewolucjonistów: wypierają się Rosji. Pozwoli kapitan, że go zapytam...

Priwieżeński zmarszczył brwi. Czekano się. Wykonał zachęcający gest fajką.

- Gdyby to leżało w jego mocy, gdyby miał taką władzę boską - rzekło się - czy kazałby zlikwidować w Rosji samodzierżawie?

- Co to znaczy: zlikwidować? A rządy zostawić - komu? Dumie?

- Na przykład. W każdym razie w rękach przedstawicieli systemu radykalnie odmiennego od samodzierżawia. Kazałby pan? Ale szczerze. Uważa się pan za ottiepielnika, prawda?

Priwieżeński przygryzł ustnik zimnej fajki. Złożywszy głowę na oparciu krzesła, błędnął wzrokiem po suficie i niebie nad świetlikiem. Jeszcze kilka sekund i samo jego milczenie dało jasną odpowiedź.

Się zaśmiało się cicho.

- Ciekaw jestem, na ile też ci narodnicy i rewolucjoniści wierzą w swoje utopje. Obalą samowładztwo - i co zbudują na jego miejsce? Cokolwiek by postanowili, choćby i władzę mas robotniczych, na koniec i tak urodziłyby się im jakaś forma samodzierżawia.

...Nie ma między naszymi nacjami żadnego pokrewieństwa, panie kapitanie. Wierzymy w tego samego Boga, ale inaczej się ta wiara uleżała w naszych sercach. Dla was najważniejsze jest odkupienie pośmiertne, szczęśliwość pozagrobowa przesłania wam wszystkie cnoty doczesne - wszak zbawienie możliwe jest dopiero po opuszczeniu tego świata. On zawsze będzie wam zły, niesprawiedliwy, pełen bólu i krzywd, których za życia naprawić się nie da. W jakie więc szlachectwo ducha zapatrzeni trwacie - nie to, co sławi działanie, opór i czyny zmieniające oblicze Ziemi, lecz w bierną ascezę, pokorę milczącego znoszenia koniecznych cierpień, uwielbienie Boga wbrew cierpieniom; życie we śnie o szczęściu pośmiertnym. Najczarniejszy pesymizm i fatalizm spowijają tę wiarę jak kir trupa żywego. Cóż się dziwić, że chłopci wasi, lud najniższy sprawia wrażenie dotkniętego dziedziczną odmianą apatji, z krwią przenoszonej zwierzęcej rezygnacji i bezwoli. Nawet jak giną tysiącami z głodu, giną bez buntu, pustymi oczyma wpatrzeni w niebo. Ten sam obraz oddaje wasza sztuka, wasza literatura - nihilizm albo apokalipsa - za każdym razem, gdy czytam Dostojewskiego, mam ochotę zapisać się na śmierć.

...I gdzie szukać podobieństw, skoro i tradycja rządu i prawa tak różna między nami? Polska, która jedyna nie dopuściła nigdy do siebie absolutyzmu, zmuszona jest teraz znosić instytucje i obyczaje samodzierżawia. U nas prawo czyniło człowieka bezpiecznym i równym nawet przed królem - u was miejsce prawa zajmuje zasada władzy. Wolność' bojarów nigdy równać się nie mogła z wolnością naszych choćby parobków. A, jak woda spadająca po kamieniach, spływa to z samej góry na sam dół: każdy wykonawca i podwykonawca woli samowładcy także czuje się wszechmocnym i stojącym ponad prawem. Nie macie więc prawdziwych szlachciców, najwyżej cudzoziemskie podróbki arystokracji, dwarianów zsabaczonych - za to czynownicy wasi najpotężniejsi są na świecie. Jak u nas byle chłop czy mieszczanin, skoro się wybił i urósł ponad stan, w szlachcica zaraz chce się zmienić, choć, oczywista, zmienić się nie może, ale w taki ideał jest zapatrzonym - jakie są ideały waszych parweniuszy? Nigdy się pod butem samodzierżcy nie miała sposobności rozwinąć i taka namiastka rycerskiego obyczaju; nie ma miejsca na honor, gdy nad wszystkimi zaletami stoi ślepe posłuszeństwo wobec autarchy. Miast honoru, dumy, prawości, samodzielności rozumu - kark miękki i kolana do zginania giętkie, spryt dworski, przymilność, okrucieństwo i dwulicowość.

...Nie ma między nami, nie było i nie będzie żadnego pokrewieństwa.

Kapitan Priwieżeński bez słowa wstał i wyszedł.

Zduśliło się niedopałek w kwiatowej popielniczce. Pochwyciło się spojrzenie doktora Konieszyna. Doktor mrużył oczy za pochylonem na grzbiecie nosa *pince-nez*, lecz wzrok miał ostry, badawczy.

- Gdzie pan wysiada, panie hrabio?

- W Irkucku.

- To dobrze. Strzelał się hrabia kiedy?

- Żartuje pan - się zachnęło się. - Carskim oficerom za to sąd i degradacja.

- Prawda. Ale też przysiągłbym, że hrabia go umyślnie prowokuje.

- Nie widziałem go wcześniej, nie znam wcale - po cóż miałbym...?

- Och, *pour passer le temps*.

- Pan przecież nie obraził się na moje słowa.

Konieszyn zaśmiał się. Po raz pierwszy usłyszało się jego śmiech: odgłos

przypominający po trosze czkawkę i kaszel.

Doktor przycisnął do ust chusteczkę, pochylił głowę - dopiero się uspokoił.

- Ja znam Polaków, panie hrabio - rzekł po chwili. - Mieszkałem w Wilnie. Znam chyba nawet tę książkę.

- Jaką książkę?

- Tę, którą hrabia cytował. *Poznaj nieprzyjaciela swego* czy jakoś tak. - Doktor złożył chusteczkę i przetarł nią okulary. - Jak w anegdocie o Żydzie, który zaczytywał się prasą antysemitką. „A bo, panie, u nas to piszą tylko o nieszczęściach, biedzie i prześladowaniach - a tu czytam, jak to rządzą światem; od razu cieplej na sercu!” - Konieszyn wyszczerzył szerokie, proste zęby. - Uwielbiam te paszkwile Polaków! Niemal gotówem uwierzyć, że my, Rosjanie, naprawdę dosiedliśmy i ujeździliśmy demona Historji.

Odpowiedziało się mu uśmiechem.

- Cieszę się, że dostarczyłem rozrywki. Czeka nas długa podróż, powinniśmy zapełnić czymś nudę, jak słusznie pan zauważył.

- ...o czym panowie na litość boską żebym zrozumiał ktoś mi wytłómaczy żart czy poważnie on pojedynek a wy Polska Rosja przyjaciele wrogowie doktorze hrabio ktoś mi ktoś ale nic z tego a potem pisać i jak wytłómaczy proszę...

Się nachyliło się ku Verousse'owi.

- Proszę się nie przejmować, tego nikt nie rozumie.

- Osobliwe zwyczaje tubylców - przytaknął doktor - one zawsze dodają smaku reportażom.

Długi Flamandczyk szarpnął się, urażony, zapewne w przekonaniu, że się z niego nabijają. Podźwignął się z krzesła, przez chwilę się prostował w wahaniu, co rzec, czy się pożegnać - zaniechał i odmaszerował bocianim krokiem w głąb salonki.

Skinęło się na Konieszyn, by przysunął się bliżej.

- Pan słyszał, doktorze, co pani Blutfeldowa mówiła o tym amerykańskim inżynierze? Przyznaję ze wstydem, że większość jej monologu zupełnie umknęła mej uwadze.

- Amerykańskim...?

- Tam siedział.

- A! Nazywa się bodajże Dragan. Niewyraźna postać, jeśli chce hrabia znać moje zdanie.

- O?

- Ta kobieta, z którą podróżuje... Mógłby być jej dziadkiem.

- Nie są małżeństwem?

- *On dit.*

Wymieniło się z doktorem porozumiewawcze spojrzenia.

- W podróży, gdy przez krótki czas obracamy się między ludźmi, których nigdy potem już nie spotkamy, pozwalamy sobie ukazać znacznie więcej prawdy o nas, aniżeli to mądre i przyzwoite - rzekł doktor, także dusząc już papierosa. - Jest w tym coś magicznego, to czas magiczny.

Się uśmiechnęło się ironicznie.

- Więcej prawdy?

- Prawdy - tej, którą znamy, i tej, której nie znamy.

Konieszyn wstał, otrzepał marynarkę z popiołu. Pociąg właśnie zakręcał i doktor, zachwiawszy się lekko, oparł ramię o odsunięte drzwi sali bilardowej. Uniosło się spojrzenie. Nachylił się konfidencjonalnie.

- A *Frau* Blutfeld, proszę mi wierzyć, już nas wszystkich zdążyła dokładnie opowiedzieć z najgorszych stron.

Jeszcze czknął-kaszlnął przeciągle i odszedł.

Zostało się w palarni, dopóki las brzozowy za oknem nie zmienił się w zaczątki mieszanej tajgi, a słońce nie odpłynęło z asymetrycznego świetlika w dachu wagonu. Teraz to ucieczka do przedziału i samotne spędzenie dnia w zamknięciu nie wchodziły w grę: każda minuta między ludźmi, każda wymiana zdań z innymi pasażerami, każdy papieros wypalony w palarni Luksu - utrudniały wyjście z hrabiego Gyero-Saskiego; a przecież była to taka sama klatka i to samo zwierzę skowyczało za jej prętami - gdy śniadało się na srebrze i porcelanie, gdy wygłaszało się kazania narodowe.

Książeczka nosiła tytuł *Sytuacja Rosyi w historii, czyli co Polak każdy o wrogu swem wiedzieć winien*, a napisał ją Filip Gierosławski na krótko przed zesłaniem; do zabójstwa Dmowskiego cieszyła się nawet sporą popularnością. Czytało się ją, oczywiście - ale że aż tak dobrze zalegała w pamięci... Czy można było przewidzieć, że hrabia Gyero-Saski okaże się

zatwardziałym patryotą-rusofobem? (Przynajmniej nie jest pozbawiony poczucia humoru). Czyimi jednak słowy miał się posłużyć, skąd, od kogo, z jakiego cienia zaczerpnąć te słowa - słowa, które, gdy wypowiedziane na głos w obecności innych ludzi, okazały się jego prawdą najprawdziwszą - skąd przybył ów hrabia Gyero-Saski, który na gniew carskiego oficera odpowiada leniwą ironią, swobodnym ruchem dłoni z papierosem? Istnienie nie jest koniecznym atrybutem ojca, a w podróży - podróż to czas magiczny.

Odszyfrować list! W korytarzu wpadło się na chudą gruźliczkę. - Przepraszam. - Przepraszam. - I światło nagłego rozpoznania w oczach, odruchowa serdeczność. - Myślałam, że nikt więcej z Polski tu z nami nie jedzie...!

- Panna i ciotunia, jak rozumiem. - Tak, będzie nam bardzo przyjemnie, jeśli... - Benedykt Gierosławski. - Ucałowało się jej dłoń. Dygnęła niezgrabnie w wąskim przejściu. - Jelena Muklanowiczówna. - Bogu dziękować, już się tu mało nie pożarłem z jednym dworskim sałdatem, po tygodniu w takim towarzystwie chyba bym oszalał. - Zachichotała. - Pani Blutfeldowa nam... - O Boże! - się wyrwało się. - To ja uciekam! - Ale proszę się na obiad przy naszym stole -

Ciemne oczy malowała mocną henną, przez to jej cera zdawała się tem bardziej bladą, na granicy śmiertelnej anemji. Się zatrzymało się na moment z kluczem już w drzwiach przedziału, z dłonią na klamce-złotej gałązce wrzосу, gdy uderzył piorun złych skojarzeń: pani Blutfeldowa - hrabia Gyero-Saski - pozornie przypadkowe spotkanie sam na sam - panna, kawaler, ciotka cwana - pięć dni do Irkucka w jednym pociągu. Potrzęsnęło się głową, się zaśmiało się. Opisać Julji całą tę historję, będzie wniebowzięta.

Otworzyło się okno, wyjęło się notes w płótno i gumę oprawny. List piłsudczyków był włożony stronę dalej, niż się go zostawiło. Przygryzło się wargę. Ktoś włamał się do przedziału i przeszukał rzeczy. A cóż bardziej interesującego dla szpicla od tajnej, zakodowanej wiadomości, która w tak oczywisty sposób jest tajną, zakodowaną wiadomością? Na drzwiach, na zamku - najmniejszego śladu. Fachura.

Usiadło się, rozwiązało się do reszty krawat, uspokoiło się oddech. Zza ścianki atdielienja dochodziły przytłumione głosy Mr. & Mrs. White-Gessling. Ci, co się włamali... Jeśli sami nie znają klucza - jaka jest szansa, że złamią szyfr jeszcze na trasie Ekspresu Transsyberyjskiego? Wiozą ze sobą w tym celu specjalistę? Wątpliwe. Cmoknęło się pod wąsem. A zatem: kto pierwszy. Rozum przeciwko rozumowi. Odkręciło się Eyedropera, strzepnęło się stalówkę. Może Zygmunt miał rację i to prowokacja ochrony, a szyfr jest tylko



po to, żeby się nie wiedziało, iż wiezie się tu osobiście swój wyrok śmierci-a może za tym dysalfabetycznym bełkotem naprawdę kryje się tajemnica ojca. Kto w takim razie się włamał, jeśli nie pan Blizna lub pan Baleroni Kark? Ukryty między pasażerami pierwszej klasy wyznawca świętego Marcyna?

Pióro podskakuje nad kartką i sadzi kleksy do rytmu pędzącego pociągu, tap-tap-tap-TAP. W głowie rebusy i spiski, w sercu zimny strach, a za oknem Rosja rozświetlona, Hospodi pamięłuj.

### **O potędze wstydu**

- Panie hrabio! Tutaj! - wołała *Frau* Blutfeld. Książę Błucki-Osiej skinął przyzwalająco.

Się zatrzymało się w pół kroku. Panna Muklanowiczówna zrobiła zawiedzioną minkę. Wzruszyło się z rezygnacją ramionami i zawróciło się do książęcego stołu.

Nastąpiły ukłony i wymiany rytualnych uprzejmości. Nie miało się pojęcia, jakie dokładnie formy obowiązują wobec książąt rosyjskich, przyjęło się więc zasadę surowej małomówności, zawsze bezpieczną. Steward podsunął krzesło. Zupy chlupotały w wazach, miskach i talerzach, gdy Ekspres podskakiwał na spojeniach szyn.

Obok Blutfeldów, których obecność nie powinna chyba dziwić w żadnym towarzystwie, przy stole książęcym zasiadł także niemłody czynownik o krogulczem spojrzeniu lekko skośnych oczu. Pani Blutfeld przedstawiła go jako radcę Dusina (tajnego i nadzwyczajnego, oczywista). Na wszystko i wszystkich spoglądał z inkwizycyjną podejrzliwością - na bursztynowy zegar ścienny wybijający godzinę obiadu, na *consomme* z djablotkami i krutonami, na kawior astrachański, na nie dosyć białe rękawiczki serwującego go kelnera i na węgierskiego hrabiego.

Rozmowa obracała się wokół mody, brzydka jak noc księżna starucha obmawiała z *Frau* Blutfeld zachodnią dekadencję, temat to zawsze aktualny.

- A w Paryżu, widziała pani? To już przechodzi ludzkie pojęcie! Jakiż wzór one młodzieży przedstawiają, gorsety wtem wszystkie wyrzuciwszy? Żadnego wyczucia stylu, elegancji ani zdrowej linii choćby, nic - nie trzyma to kroju ni fasonu, spódnice wiszą jak na strachach na wróble, talja zupełnie gdzieś zgubiona, i garbią się wszystkie, jak to wygląda!

- W Berlinie i Stuttgarcie z początku też się tak nosić chcieli; dzięki Bogu, przeszło im. Ale, Wasza Wysokość, dwa lata temu byliśmy w Italji - a tam otóż taka właśnie moda, jeśli zwać ją modą, doprawdy!

- Żeby jeszcze się to jakoś prezentowało... Ale najgorsze, że człowiek wyjdzie na ulicę i nie wie, gdzie oczy podziać, co rzec dziatkom, szczyt nieprzyzwoitości, kostka i pół łydki, do kolana czasami, podniesiesz wzrok, a tu znowuż buzia pod fryzurą jakąś przeciwkobiecą zupełnie, mało do skóry nie przystrzyżoną, sama widziałam - a jak jeżdżą na welocypedach, w spódnicach ciętych - no a gdy zatrzymaliśmy się w Les Terreaux w Lyonie, nie uwierzy pani, w jakich strojach dziewczęta grywają tam w tenisa!

Książę znosił to w milczeniu. Zapewne ani *Herr* Blutfeld, wchłaniający zawieszony barszcz z wydajnością pompy strażackiej, ani radca Dusin, który przyglądał się każdemu kawałkowi brokuła z czterech stron, zanim uniósł go ostrożnie do ust, nie oferowali wiele okazji do interesującej konwersacji.

- Zatem - westchnął melancholijnie książę, umoczywszy wąsy w zupie rybnej - to pan chciał się bić z naszym kapitanem o pryncypia polityczne?

Spojrzało się z przerażeniem na *Frau* Blutfeld.

- Zaszło nieporozumienie, Wasze Sijatielstwo, wyolbrzymiono drobną różnicę zdań.

Pani Blutfeld pochwyciła to spojrzenie i pośpieszyła z pomocą.

- Pan hrabia podróżuje incognito - oznajmiła swoim alarmowym szeptem. - Prosił mnie, żebym nie wymieniała nazwiska Gyero-Saskich.

Książę wydał wargi, zaciekawiony.

- No i spójrz, moja droga - rzekł do małżonki, nie podnosząc oczu znad talerza - oto jest kobieca dyskrecja: nie mógł wybrać lepszej powierniczki.

Gertruda Blutfeld nie wiedziała, czy się obrazić, czy udać obrażoną, czy udać, że nie rozumie ironji księcia, czy też rzeczywiście jej nie rozumiała - zacisnęła wargi, nie rzekła już nic.

- Gyero-Saski z Prus, no tak - mamrotał tymczasem książę. Musi mieć blisko siedemdziesiąt lat, pomyślało się, ale trzyma się staruszek niezłe. Dwa ogromne pierścienie z kamieniami szlachetnymi i bardzo lśniący order na sercu stanowiły jedyne wskazówki wysokiego urodzenia. Lewa ręka drżała mu lekko, gdy ciężkimi sztucami operował. Czy

istotnie sprawniejszego negocjatora nie mógł car wysłać na rozmowy z Japończykami? Kapitan Priwieżeński zapewne zaśmiałyby się szyderczo: a co w pałacowych decyzjach ma do rzeczy sprawność umysłowa?

- Ci pruscy junkrzy, co pożenili się z dunajskimi rodami, siedzą teraz na pięknych majątkach, wasza familja trzyma chyba też wsie pod Kownem, prawda? Kto to, ach - Piotr Dawidowicz Korobiel sprzedał wam kawał ziemi za naszymi lasami w Iłkuszowskim, byłeś tam kiedyś, młodzieńcze? Nie pamiętam, żebym lepszych miodów próbował, miody to Polakom wyśmienite się udają, trzeba przyznać.

- Bogata rodzina - odezwał się Dusiń, mrużąc ślepią.

- Naprawdę, przesadza Wasze Sijatielstwo.

- Ach, przecież wizytowaliśmy Tódora Gyero w Wiedniu wiosną zeszłego roku, pamiętasz, moja droga, tuż po skandalu u Prünzlów, co to ten południowy skrzypek rzucił się z okna i połamał ręce i nogi, powiadam wam, Boży palec jest w podobnych tragedjach, nic nie dzieje się bez morału: mamił i zwodził niewiasty cnotliwe swoją sztuką zmysłową, teraz nigdy już skrzypiec ni smyczka w dłonie nie ujmie. Tódor odnawiał właśnie swój dworek pod Gödöllő, stanęliśmy u Wierszynów - odnowił go w końcu, prawda? Pięknie musi wyglądać latem.

- Owszem - mruknęło się, spuszczać głowę nad talerz. - Latem zwłaszcza.

- A córka grafa Gyero wychodzi za von Kuszlą, on jest trzeci czy czwarty kuzyn dla przyrodniej siostry mojej żony, po linii Battenbergów, czyli poniekąd spokrewniony także z Gasudariem Impieratorem - kiedyż te zaręczyny ogłoszono, w kwietniu, w maju? W maju, byliśmy wtedy na Krymie, łało zresztą bez przerwy, młody von Kuszel wydaje się sympatyczny i mądry nad wiek, to u nich rodzinne, krew szybko dojrzewająca, *non?*

- Mhm... nie znam go za dobrze.

- W ogóle przyzwoici ludzie, ufundowali szpital po epidemji w jedenastym, widziałem w sieni tablicę dziękczynną, wy też tam widniejecie, he?

- Na pewno.

- Nic nie dzieje się bez morału - ciągnął rozgrzany książę Błucki, krusząc sobie do wina suchary, ile mu zębów zostało, czy zostały jakieś w ogóle, poruszał dolną szczęką jakby jej kości przegniły już do konsystencji gumy, jedząc w identyczny sposób, co stary Uczaj, który zawsze kroił sobie kozikiem na drobniutkie kawałki jabłka, placki i mięsiwa, tylko tak mógł

je przetykać, nie gryząc. - I to powiadam ci, młodzieńcze, że wszystko złe, co robisz i mówisz, prędzej czy później wraca do ciebie i daje ci w twarz jak zdradzona kobieta, a dlaczego, a dlatego, że podobieństwa się przyciągają, rzeczy podobne szukają się wzajem, czy zastanawiałeś się, czemu to zawsze tak się układa - w miastach: dzielnicami, ulicami, ludzie tacy i tacy, zaułek złodzieji, pasaż nożowników, bulwar panien lekkich, i dzielnica kupców, i dzielnica urodzonych, a jak biją dzwony świątyń, to też staniesz i posłuchasz, na ucho trafisz od cerkwi do cerkwi; i tak samo w każdym towarzystwie, czy pamiętasz szkołę, jeśli cię do szkół rodziciel syłał, albo wojsko, gdziekolwiek zbierzesz ludzi różnej proveniencji i różnej eksperyencji życiowej, tak zaraz się zaczną sami mieszać, szukać wzajem, łączyć i ściągać ku sobie, podobne do podobnego, inne do innego, i patrzysz: tu masz awanturników i rozrabiaków, tu masz krętaczy i podlizusów, tam dusze szlachetne, tam marzycieli. I tak samo w życiu, nic nie dzieje się bez morału, człowiek prosty i prawego serca nie znajdzie się nagle między złoczyńcami i nie uświadczysz morderców zatwardziałych bytujących szczęśliwie między poczciwcami, tak wszystko wraca do ciebie i układa się w moralnej symetrii, złe do złego, dobre do dobrego, prawda do prawdy, kłamstwo do kłamstwa, o tym powinieneś być wiedzieć, młodzieńcze, kimkolwiek jesteś, bo Piotr Dawidowicz żadnego majątku w Hłuszkowskiem nie sprzedawał, nie znam i nie słyszałem nigdy o madziarskim rodzie Gyero, a tern bardziej nie odwiedzaliśmy ich w Wiedniu, von Kuszel wabi się jeden z moich chartów, a niech mnie kule biją, jeśliś ty, nicponiu, w życiu dał kopiejkę na jakie dobroczynne dzieło, nie mówiąc o fundowaniu szpitali, i precz sprzed moich oczu, zanim każe cię obić i z pociągu wyrzucić, łotrze bezczelny, khm, khm, czy mógłbym prosić do deseru filiżankę grzanego mleka z odrobiną masła i miodu spadziowego, dziękuję.

Splonąć teraz, od głowy, twarzy czerwonej i ust rozciągniętych w przymilnym uśmiechu sabaczym, do palców rozdygotanych jak w napadzie febry, bijących o stół i półmisek, szarpiących obrus, szczeznąć na miejscu w czarny popiół, żeby nie musieć patrzeć im w twarze, nie musieć słyszeć ich szeptów, bo nagle wielka cisza objęła wagon restauracyjny i wszyscy skupili uwagę na książęcym stole, książę nie podnosił przecie głosu, ale czy znajdzie się tu ktoś, kto nie słyszał jego słów, słyszeli wszyscy - splonąć! Lecz ogień nie uderzył. Gorączka pali bez płomienia. Mówią coraz głośniejsze słowa nie do rozróżnienia, zbyt mocno wali serce, huczy krew w uszach. Co mówią - wiadomo.

Teraz nadszedł czas na czyn prawdziwie heroiczny, trzeba zrobić to, co ponad siły człowieka. Opuścić ręce, cofnąć stopy, podnieść się, podźwignąć tułów i odsunąć krzesło, wszystko ze wzrokiem skierowanym prosto w dół, ku czeluściom piekielnym, obrócić się,

postąpić krok w bok i do przejścia i -

Mało się nie rozplakało się, wargi już zaczynały drzeć i wibrował pod skórą jakiś mięsień między podbródkiem i policzkiem, łzawiły oczy. To jest ponad ludzką moc! Wstyd zgniótł krtań i tchawicę, gardło wyschło w kilka sekund, nie można przełknąć śliny, nie można złapać tchu, coś dusi w piersi, ciśnię płuca - jakże się tu ruszyć, skąd wziąć energię, ramiona jak kamienie, nogi jak z ołowiu. Nie da się. Dłonie trzęsły się coraz mocniej, spadł na podłogę potracony kciukiem widelec. Wysilony oddech przypominał rżenie rannego konia, ślina ciekła z kącika ust, ale nie było się w stanie kontrolować nawet ust - przede wszystkim ust.

Szarpnęło się lewą nogę. Krzesło szurnęło po dywanie. Pani Blutfeldowa wstała, żeby dać miejsce. Czy możliwe większe upokorzenie! Szloch budził się w piersi. Spłonać! Szarpnęło się nogę prawą. Uda nie posłuchały, trzeba się podeprzeć na podłokietnikach. Za pierwszym razem dłonie się ześlizgnęły, za drugim też, dopiero trzecia próba - i stanęło się na nogi. Teraz krok w lewo. Czy nie ugną się kolana. Czuło się dygot łydek, straszne wrażenie, gdy własne ciało wymyka ci się spod kontroli i zapada się pod tobą jak domek z kart, dygot szedł do podudzi i drżały nawet mięśnie brzucha.

Zrobiło się ten krok i omal nie zakrzyknęło się z ulgi.

Uniosło się głowę.

Wszyscy patrzyli.

Się uśmiechało się.

I z uśmiechem wypalonym na obliczu postąpiło się drugi, trzeci, czwarty krok - stewardzi schodzili z drogi, siedzący odsuwali się z krzesłami, prawadnik otworzył drzwi - piąty, szósty, siódmy - w ciszy - już blisko, już zaraz zniknie się im z oczu, ucieknie spod spojrzeń. Tymczasem jeszcze odbicie w szybie, ostatni obraz jadalni ponad ramieniem: wszyscy patrzą.

Się uśmiechało się.

Nawet gdy trzasnęły za plecami jedne i drugie drzwi, gdy przeszło się na korytarz kolejnego wagonu i tym korytarzem do końca, i wagon za wagonem, już biegnąc, trącąc barkiem odrzwia i odpychając ludzi, którym nie można zajrzeć w twarz, i dalej, do salonki, przez palarnię i salę bilardową, i do wagonu wieczornego - ucieczka paniczna - przez pustą oszkloną galerję, ale to nie wystarcza, przeklęty uśmiech nadal nie chce zejść z twarzy, przyjdzie zdrapywać go paznokciami, nożami, szkłem tłuczonym, więc jeszcze dalej, żelazne drzwi na podest widokowy, zablokowane - wyważyć.

Wypadło się na świeże powietrze, w blask popołudniowego słońca i hałas wielkich maszyn pędzących po szynach, wprost na -

Osilek z blizną dusił inżyniera Dragana, przyciskając go kolanem do metalowego siedziska i miażdżąc w kwadratowych łapskach jego szyję. Obok na wagonowym tarasie leżał drugi ochrannik, ten o azjatyckiej fizjonomji - z roztrzaskaną czaszką.

Łapiąc dech szeroko otwartymi ustami, stało się i patrzyło. Oni zamarli w śmiertelnym uścisku - ręce na szyji, ręce na rękach szyję ściskających - obróciwszy oblicza nabrzmiałe ku drzwiom, tak zamarli w pół mordy, jak rzeźba antyczna, obraz mitologicznych zmagają: mocarz okrutny i ofiara, brutalna siła i bezsilna starość.

Się cofnęło się o krok, na próg galerji.

Na co Blizna obrócił głowę i z powrotem zabrał się do duszenia, gniotąc kolanem pierś Jankesa.

Dragan jednak nie oderwał spojrzenia, umrze ze wzrokiem utkwionym w twarzy przypadkowego świadka - nie może zawołać o pomoc, nie może wykonać gestu, może tylko patrzeć uporczywie. Oczy miał głębokie, ciemne.

Postąpiło się drugi krok wstecz.

Dragan patrzył. Czy przekłety uśmiech spełził w końcu z ust? Czy Amerykanin patrzył na ten uśmiech właśnie? Intensywność jego spojrzenia była zbyt wielka, nie pozwalała oderwać wzroku.

Spod poły rozchelstanej marynarki Blizny wyzierała kolba rewolweru zapiętego w skórzanym olstrze. Dusiciel był o dobrą głowę wyższy, a ta marynarka mało mu nie pękła na barach herkulesowych. Szczerzył ciemne zęby, pot kapął z czubka jego krzywego nosa na czoło tracącego przytomność inżyniera.

Uciekać, póki można!

Lecz już niepodzielnie rządził wstyd. Wyjęło się z kieszeni garnituru złoczonego Eyedropera, odkręciło się skuwkę i z uśmiechem drżącym na szerokich wargach - przyskoczywszy do Blizny - wbiło się mu pióro w kark.

Krzywonos ryknął i zwałił się na kolana, wypuszczając z uścisku starego Jankesa. Jedną ręką sięgnął do wystającego znad kołnierza Watermana, drugą - po rewolwer. Kopnęło się go w tę rękę - broń poleciała wysokim łukiem ponad balustradą, spadając za nasyp i zaraz ginąc

z oczu.

Dragan, kaszląc i szorując plecami po ścianie, podźwignął się na nogi. Wskazał wzrokiem ciało drugiego policjanta. Czy on także był uzbrojony? Się rzuciło się do trupa. Twardy kształt pod tkaniną - targnąć za połę, strzelają guziki - oto i skórzane szelki, olstro, czarna kolba. Wyjęło się zimny rewolwer. Dragan charczał coś niezrozumiale. Się obejrzało się. Blizna uciekał.

Od wejścia do galerji był odcięty, drzwi do następnego wagonu, za podestem długim i sprzęgiem amortyzacyjnym, nie miały nawet klamki, zamknięte od środka - to był już wagon służbowy, za nim zaraz tender i lokomotywa - co więc zabójcy pozostało? Wdrapał się na wygiętą tu w kształt winorośli balustradę, złapał za krawędź dachu i wlaź nań za pierwszym podrzutem nóg, z małą zręcznością, mimo krwi lejącej się po karku i kołnierzu koszuli; raz, dwa, jeszcze podzielowana podeszwa buta na tle błękitnego nieba - i po Bliźnie.

Wsunęło się długolufy rewolwer za pasek, pod kamizelkę i marynarkę, i skoczyło się na balustradę w ślad za Blizną. Nagle, gdy ramię i głowa znalazły się poza tunelem wybijanym w masie powietrznej przez lokomotywę, uderzył w nie zimny wiatr, rozfurkotał się luźny materiał garnituru, poczuło się szybkie szarpnięcia drobnych rączek, miękkie palce mierzwiące włosy i ciągnące za uszy - wiatr, siła pędu, z jakim w powietrze uderza masyw Ekspresu. Drzewa i pola migały w rozmazanych smugach, już nawet nie impresjonistyczne obłoki kolorów, ale samo wrażenie obrazu i ruchu w obrazie, barwne światło letniej sielanki. Tylko niebo, ku któremu się zwróciło głowę, sięgając dachu, tylko niebo było spokojne, nieruchome, fotograficznie wyraźne.

Mógł tam stać, czaić się tuż za krawędzią, by kopnąć w skroń pierwszego głupca, co łeb wystawi - nie pomyślało się o tym. Ale nie stał, nie czaił się. Wpełzło się na dach jaszczurczym sposobem, z piersią przyciśniętą do brudnej płaszczyzny, z rękoma szeroko rozłożonemi. Blizna posuwał się na czworakach kilka metrów dalej, wiatr zawijał mu marynarkę na głowę, chłop szarpał się z nią, aż musiał się zatrzymać, by zsunąć ją z ramion - poleciała w tajgę, łopocząc nad mijanemi wagonami i zielonemi koronami drzew, czarna flaga, strzep kruczego skrzydła, piórko, punkt, zniknęła. Blizna coś krzyknął, nie dało się rozpoznać słów w szumie powietrza i huku pędzącego pociągu, w przeciągiem sapaniu parowozu. Krzyknawszy, obejrzał się przez ramię, jak gdyby w odpowiedzi na ten skowyt otrzymał skądś ostrzeżenie. Ujrzało się wtedy, że Blizna oderwał był kawał materiału koszuli i obwiązał nim sobie całą szyję; lecz stalówka musiała wejść głęboko, ten prowizoryczny

bandaż przesiąkł już krwią, czerwona plama rozlewała się po plecach Blizny.

Krzyknął po raz drugi i rzucił się wstecz, obracając się na kolanach - nie zobaczył wymierzonego w siebie rewolweru, więc to była jego szansa. Ale lewe kolano poślizgnęło się na tłustym brudzie pokrywającym dach wagonu i Krzywonos pojechał w bok, impet własnego ruchu obrócił go jeszcze tyłem do krawędzi, chciał się złapać nitów, nie sięgnął, buty wyjechały poza brzeg dachu, leciał coraz szybciej, wierzgając nogami, otworzywszy usta w komicznym wdechu-wydechu, jak zarzynana ryba, piskłę głodne - zsunęły się mu kolana, spadł.

Ostrożnie się przesunęło się ku krawędzi. Blizna wisiał wczepiony obiema rękoma w zimnawo okucia wysokiego okna. Czy widzieli go pasażerowie? Bandaż odwinął mu się z szyji, wiatr porywał kropelki krwi, łopotąła podarta koszula. Widziało się, jak drżą mu z wysiłku mięśnie ramion, bieleją palce, jak wykrzywia twarz w grymasach bóleści.

Uniósł wzrok, spojrzęło się mu w oczy. Odwrócić głowę? Patrzyć, jak odpada i ginie? Coś zrobić, nic nie robić - takie są czyny i zaniechania, ale co jest przed nimi, u źródła? jeszcze nie zagaś ogień wstydu. Sięgnęło się i podało się mężczyźnie rękę.

Leżało się potem, dysząc, głową ku Azji, nogami ku Europie, na wznak, i patrzyło się, jak pojedyncze obłoczki żeglują przez błękit, nic poza nimi nie zmienia się na błękiecie. No, od czasu do czasu przemykały w górze szare kłęby dymu z lokomotywy. Raz przeleciał ptak.

Blizna dyszał jeszcze ciężiej.

- Przeklętnik. Pokarz go, Boże. Oj, zdechnę tutaj.

- Ano.

- Ech, i takie życie, tfu.

- Nie trza było ręki przeciw przykazaniom boskim podnosić, tak i grzech wrócił do was na koniec.

- Prawdę mówicie, panie. Ale co robić. Człowiek służy, Car'-Batuszka rozkazuje.

- Car kazał wam zadusić Amerykańca? Nie gadajcie.

- A-a, wola zwierzchności, kto tam się wyzna, raz liedniaki, raz ottiepielniki, każdy w krzyk i groźby.

- A ów drugi - nie był z ochrony? Od księcia może?

- Pies lizał księcia. Żeby tamten wagon nie wyszedł z Peterburga zapieczętowany - ale



gównu.

- Znaczy - na Amerykańca?

- Jaki on tam Amerykaniec. Czort piorunownik. Ojciec niebieski, wszyscy święci, już mnie chwyta, kch.

- Nie ruszaj się.

- Pobłogosławcie mi, panie.

- A co to ja, pop, żeby ludziom błogosławić?

- Pop, nie pop.

- Samem cię przecie -

- Ale zawsze jakoś to lżej z dobrem słowem. No.

- Jak was zwa?

- Wazow Jurij Daniłowicz, kch, po matce Wasylisie z Marczyków, z Borysowa.

- Wierzę, Jurij, że mogłeś być zostać dobrym człowiekiem.

- Tak. Tak. - Dyszał coraz szybciej, dobiegał mety. - To prawda.

- Nie ma we mnie łaski od Boga, by błogosławić ci w Jego imieniu według tego, kim jesteś, i nie ma we mnie łaski od ludzi, by błogosławić ci od ludzi podług tego, coś im uczynił, jedyną łaską obdarzyłeś mnie ty sam, prosząc o to błogosławieństwo, dając ci je zatem ze szczerego serca: obyś z tą samą pokorą stanął przed Panem. I o wybaczenie proszę.

- Kchr. Boże mój. Nie pozwolili. Tak.

Obróciło się głowę w lewo. Na odległość ciepłego oddechu miało się jego otwarte oczy - już puste. Wiatr porывał ślinę z rozchylnych ust Jurija. Umarł z dłońmi zaciśniętymi na swojej szyji, w takim samym krzyżowym chwycie, jakim dusił był starego inżyniera.

Po niebie przepływały białe obłoczki jak kleksy mleka w atramencie. Złoty Eyedropper musiał być wejść w tętnicę - nie w tętnicę, chłop wykrwawiłby się od razu - ale z każdym ruchem, z każdym jego wysiłkiem wbita stalówka, jakiś stalówki ułamek - otwierał ranę, i tak serce stopniowo wypompuowało życie z Jurija.

Z lasów podrywały się spłoszone przejazdem Ekspresu klucze kaczek, warkocze dymu z wysokiego komina parowozu wiły się z prawej i lewej, skręcając, w miarę jak zakreślały tory... Co zdarzało się rzadko, pociąg sunął prosto na wschód; gdy wszakże zakolebał się i

przechylił na wirażu, trzeba się było łapać nitów, wpierać szeroko rozłożonemi rękoma w nagrzaną przez słońce blachę. Trup natomiast jeździł po dachu swobodnie. Prędzej czy później spadnie.

Myślało się, że zaraz pojawi się tu obsługa, Dragan przyprowadzi pomoc, przybiegną ochranniki z drugiej klasy, wyroją się ze swoich przedziałów pasażerowie, wielki skandal i sensacja, może nawet naczelnik zatrzyma pociąg, czekało się tego szarpnięcia, czekało się ich krzyków i nawoływań. Nadaremno. Sięgnęło się do kieszonki kamizelki - zegarek wskazywał absurdalną godzinę, zgnieciony. No więc co? Zejść tam i - i - spojrzało się na garnitur, niegdyś biały, teraz brunatno-szary, w smugach czarnej mazi, z rękawem rozerwanym i na dodatek umoczonem w Jurijowej krwi - i w tym garniturze, łachmaniarz zasmarkany, tak ma się im stawić czoło? Hrabia! Przecież to klątwa jakaś jest. *Nic nie dzieje się bez morahu. A bodaj was...!*

Złorzecząc i gryząc wargi, ściągnęło się z palca sygnet z Korabiem w heliotropie - zszedł gładko po warstwie śliskiego brudu - i cisnęło się go precz. Podskakując, potoczył się po dachu wagonu.

Ale nie tak łatwo się wyzwolić, to tylko gest pusty. Bo dlaczego nie zaprzeczyło się na samym początku? Dlaczego nie naprostowało się White-Gesslinga, Blutfeldowej, lecz pozwoliło się rósć konfabulacji, aż istotnie stała się nie do wyprostowania? Nie ma ucieczki od wstydu, jak tylko w inny wstyd. Nawet na dachu pędzącego przez tajgę Ekspresu Transsyberyjskiego, w jedynym towarzystwie trupa, pod wielkim błękitem i Słońcem wysokim, nawet tu się kuli się, z kolanami podciągniętymi pod brodę, czołem opuszczonem, zaplecionemi kurczowo ramionami, zapięły w szlochu suchym, się trzęsie się w rytm pociągu i rytmowi wbrew, w dreszczach niepowstrzymanych - ze wstydu.

Aż pociąg począł zwalniać, dymy i światła pokazały się w oddali przed parowozem, na tle majaczącego na horyzoncie niskiego zarysu gór - kolejna stacja Transsibu, Swieczka albo Kotielnicz, nie ma na co czekać, teraz czy potem, wsjo rawno, trzeba zejść, wrócić do przedziału.

Zsunęło się ostrożnie na balustradę i zeskoczyło się na podest widokowy. Po zwłokach drugiego ochrannika nie pozostał ślad. No, ślad był: kilka kropel krwi. Może jednak przeżył? Zdjęło się marynarkę, wywróciło się ją na lewą stronę i, zwiniętą, przełożyło się przez przedramię pod mostkiem - powinna zasłonić najbardziej ubrudzone fragmenty koszuli, kamizelki i spodni. Przyglądziło się zmierzwiłone przez wiatr włosy (na palcach tłusty brud

miast brylantyny). Dłonie nadal się trzęsą i głowa, zdradliwie lekka, kołysze się jak latawiec na bryzie. Spokój, spokój, spokój. Jeszcze głęboki oddech... Klamka.

W galerji nie było nikogo. Podeszło się do zasuniętych drzwi sali kominkowej, przyłożyło się do nich ucho. Głos, głosy, kobiece, męskie. Może przeczekać tutaj? W końcu sobie pójdą.

Albo właśnie wejdą do galerji. Odkryją, przyczajonego w kącie. Nie ma ucieczki.

Szarpnęło się podwójne drzwi i weszło się do środka.

Czarna oćma spadła na oczy, smoła węglowa wlała się pod powieki. W jednolitej ciemności dygotały połamane na ścianach i suficie wagonu świciecie kilkunastu osób i kilku mebli: okrągłego stolika, krzeseł. Najbliższa stolikowi sylwetka w ćmiele - postać kobiety - wskazywała wyprostowaną ręką na przeciwną ścianę. Tańczył na niej świeciecie wysokiego mężczyzny. Ćmiało oblewało wszystkich i wszystko, zamazując krawędzie, topiąc w mroku kształty i splaszczając bryły. Jediną pewną informację dawały właśnie świciecie: zmienne, rozedrgane, zdeformowane rzutem na nierówne płaszczyzny - ale policzalne, widoczne dla ludzkiego oka. Mężczyzna przy ścianie uniósł dłoń, zapewne poprawiał okulary. Kobieta przesunęła ręką nad stolikiem, rzucając na sufit wielki zablask, który na moment wszystkich oślepił, aż się targnęli odruchowo wstecz i odwrócili głowy, co z kolei tern bardziej rozzuchwaliło ich świciecie, i przez chwilę świetliste sylwetki skakały po ścianach, łopocząc ramionami jak niedołączne anioły. Po sali przepłynęła fala szeptów rosyjskich, niemieckich i francuskich.

- On! - zawołała księżna Błucka. - Powie, co to było!

- *Une créature de la vérité* - rzekł Jules Verousse, odsuwając się od ściany i ogromniejąc w swym świciecie niczym biała skaza na gwałtownie wywoływanej fotografii. - Potwór tronie *die Dunkelbeitmat* nad nad nad maszyny.

Się cofnęło się ku galerji. Chciało się wyjść niepostrzeżenie, ale trąciło się plecami drzwi, opadła ręka z marynarką i spod niedopiętej kamizelki buchnął na salę snop zimnego ognia, jakby to smok w jelitach ukryty ryknął wtem przez pępek płomieniem siarczystym. Spojrzało się z przerażeniem na brudną westkę, sięgnęło się dłonią - weszła w ogień jak w miękki strumień wody, blask przebijał palce, prześwietlał paznokcie, skórę, ścięga i mięśnie, naczynia krwionośne, dłoń zawisała w nim jak oranżowa galareta, rzucając różowe poblaski na pół sali. Pomyślało się o owych malunkach dewocyjnych, na których Chrystus Pan otwiera swą pierś, z przebitego serca biją w skupionych wiązkach promienie złociste. Wszyscy

uczestnicy seansu zamarli, kobiety i mężczyźni, siedzący, stojący, wokół stolika, pod ścianami, teraz naprawdę oślepieni, zaciskając powieki, osłaniając twarze - ich suknie o bardzo długich rękawach, z riuszkami, gipiurami i gorsami wysokimi, pod medaljonami i kameami, kołnierzyki sztywne koszul, wywinięte w strome karczki kołnierze sukni, zaciśnięte wokół szyji krawaty plisowane i gładkie, aksamitne i fularowe, krawatki jedwabne, zaboty i rabaciki batystowe, kokardy i tiule, spinki złote, srebrne i jantarrowe, koralowe cygarniczki i kościane fajki, białe mankiety, białe plastry, w objęciu ciemnych renwersów surdutów i marynarek, z wełnianych *deux-pieces* i tweedowych anglezów trzyczęściowych, z trójkątami chusteczek na piersi, z błyskiem dewizek, błyskiem szyldkretowych *lorgnons*, monokli i binokli mocowanych długimi łańcuszkami do tych sztywnych kołnierzyków - zbiorowy portret Europejczyków *Anno Domini* 1924 wypalony pod powiekami jak w wybuchu fotograficznej magnezji. Ktoś krzyknął, ktoś się przewrócił, jedna panna zemdłała, osuwając się bezwładnie na krześle. Sięgnęło się prześwietloną dłonią w głąb ognia, zarazem na powrót zakrywając kamizelkę marynarką. Palce zacisnęły się na kolbie rewolweru.

Nie na długo powróciła ciemność - księżna zaraz zdusiła ćmieczkę i wieczorne słońce zalało wagon.

Uniosło się głowę.

Wszyscy patrzyli.

Się uśmiechało się.

## **O piórach i rewolwerach**

Był chłodny w dotyku, pokryty perlistą rosą, a w silniejszym świetle mienił się na krzywiznach i krawędziach wszystkimi barwami tęczy - po tym najłatwiej rozpoznać metale zimnazowe. Obracało się go w rękach z przesadną ostrożnością: nigdy wcześniej żadna broń palna w te ręce nie trafiła. Był lekki, to pierwsze zaskoczenie. Się obmyło się pobieżnie w przedziałowej umywalce (na wyprawę do łazienki przyjdzie pora za parę godzin, gdy wszyscy posną), ale i tak odciski palców pozostawały na gładkiej stali. Mimo tęczowych refleksów i powidoków samo zimnazo było jednolicie czarne - lecz wypolerowano je do tak lustrzanej czystości, że dało się na nim policzyć linje papilarne kciuka, gdy spoczął na moment na kurku. Kurek miał kształt skorpiona o długim, wzniesionym do ukąszenia ogonie; odwodziło

się i opuszczało właśnie ten ogon, skorpion uderzał w spłonkę złączonemi szczypcami. Zresztą cały rewolwer wyglądał jak zaprojektowany przez francuskiego miłośnika *art nouveau*, drogie cacko wykonane na indywidualne zamówienie; to było drugie zaskoczenie. Asymetryczna rękojeść okazała się spiralnym splotem węża, który na koniec, u dołu, otwierał paszczę, ujawniając parę kłów i zawinięty język - między temi kłami i językiem można było przewlec rzemień, zawiesić stalowy pierścień. Osłona na spust składała się z kilku łodyg kwiatów, których kielichy przechodziły bezpośrednio w komory bębena. Komór było pięć. Bębenek nie wysuwał się w bok - żeby go załadować, należało złamać rewolwer wpół. Zajrzało się do wnętrza komór, wyjęło się i włożyło naboje: matowoczarne, o tępych, niemal płaskich czubkach. Zapaliło się lampę i przyjrzało się im pod żarówką. Wokół podstawy każdego pocisku biegł delikatny grawerunek, trzy litery: P. P. M. i liczby trzycyfrowe: 156, 157, 159, 160, 163. Przyjrzało się dokładniej samemu rewolwerowi. Długa lufa odlana została w kształt kościstego gada, jakiegoś jaszczurczego stwora o kolczastym grzebieniu, który piętrzył się mu wzdłuż kręgosłupa, by nad karkiem wystrzelić wysoko naroślą jak pochyłym rogiem - to była muszka. Jaszczur nie miał oczu, a szeroko otwarta gęba - wylot długiej lufy - prezentowała pełny garnitur ostrego uzębienia - starannie wyszlifowanego na krawędzi lufy, kiel po kle. Szponiaste łapy gad trzymał przyciśnięte do łuskowatego brzucha. Na tym brzuchu wygrawerowano tuzin liter układających się w jedno słowo:

### **Гроссмейстер**

Złożyło się Arcymistrza, zawinęło się go w brudny ręcznik i schowało na dno walizy.

A jeśli znowu zakradną się przeszukać przedział? Się zawahało się. Nie ma wyjścia, trzeba zawsze zabierać go ze sobą.

A wtedy znowu wybuchnie zimnym ogniem w najmniej spodziewanym momencie...

Trzykrotnie pukano do drzwi atdielienja, po raz czwarty zapukał przewodnik, ogłaszający porę kolacji. Nie otwierało się nikomu. Zostawiło się w zamku przekreślony klucz, by przewodnik nie mógł z drugiej strony otworzyć swoim. Na okno zaciągnęło się zasłony, żeby nie zajrzał też nikt w czasie postoju.

Stukający do drzwi opowiadali się wylewnie, przekonując do otwarcia - najpierw oczywiście pani Blutfeld, potem panna Muklanowiczówna, potem radca Dusin. Ten ostatni na

odchodnym wsunął pod drzwi wizytówkę z zapisanym na odwrocie numerem przedziału. Gertrudzie Blutfeld zależało oczywiście na materiale do plotek, Jelena przybyła z niezgrabnym pocieszeniem, ale radca Dusin - Dusin nie zjawił się w swoim imieniu, lecz w imieniu księżnej Błuckiej, która najwyraźniej domagała się wyjaśnień od intruza, co zsabotował jej seans. Nikt natomiast nie pytał o martwych lub zaginionych funkcjonariuszy ochrony.

Ponieważ zegarek nie działał, odmierzano się czas podług zamieszczonego w *Putiewaditielu* rozkładu jazdy Transsibu. Pociąg stanął w Wiatce, musiała zatem minąć dziesiąta wieczorem.

Okolo pół do jedenastej zapukał inżynier Dragan.

- Pan tam jest - powiedział w pozbawionym śladu akcentu niemieckim. - Pan mnie słyszy. Uratował mi pan życie. Wypatrywałem pana na kolacji. Proszę otworzyć. Nie będę tu stał.

Uchyliło się drzwi. Pchnął je i wszedł do przedziału. Odstąpiło się - był wyższy o dobre kilkanaście centymetrów, zmuszał do zadzierania głowy. Odległość, w jakiej człowiek się podświadomie układa względem drugiej osoby, nie zależy od jej tuszy ani wzrostu, lecz od kąta spojrzenia między nimi. Dzieci i kobiety wykazują większą tolerancję; mężczyźni natomiast szukają nieustannie dobrej pozycji niczym owi rewolwerowcy z westernowych widowisk w kinematografie. Nauka o duszy, gdy powstanie, powstanie na bazie stereometrii.

Zamknął za sobą drzwi, poczem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złamanego Watermana.

- Proszę.

Był śmiertelnie poważny, ani mięsień drgnął mu na twarzy; gest niósł przeciw z sobą jakiś uroczysty formalizm. Przyjąć, nie przyjąć, cokolwiek się uczyni, będzie to miało znaczenie większe niż to, które można wypowiedzieć w języku drugiego rodzaju. Dragan czekał z wyciągniętą ręką.

- Dziękuję.

Usiadło się na zaścielonym posłaniu, obracając kalekiego Eyedropera w palcach brudnych. Absurd sytuacji był w pewien sposób uspokajający. To prawda, uratowało się temu człowiekowi życie. Jest wdzięczny, musi być wdzięczny, ma dług wdzięczności, jest dłużnikiem.

Jakież to... krępujące.

Uniosło się spojrzenie na Amerykanina, by zaraz je opuścić - stał i patrzył z góry, chwiejąc się lekko w rytm pociągu, w nieskazitelnej dwurzędowej garniturze barwy popiołu, z szeroką, białą chustą zawiązaną na szyji, wyprostowany, chorobliwie chudy, o oczach jak dwa kawałki węgla wbite pod łuki brwiowe. Przechylił głowę i zaśmiał się jaśniej, nagle prawie szarobłękitnie.

- Naciągnął się krwią - mruknięło się pod nosem.

Usłyszał.

- Pióro zwyciężyło miecz - zaśmiał się chrapliwie. - Gdzie on jest?

- Co?

- Zabrał pan go Michaiłowi. Wszyscy w pociągu mówią o aniele w ćmiele, *an angel in shlight*.

- Nie posiadam żadnego anielskiego oręża. Co się stało z ciałem Michaiła?

- Drogi panie, ocalił mi pan życie, ja nie pytam, co zaszło potem na dachu.

Cień tego człowieka znowu wyczyniał dziwne harce, puchł i klęsnął, jakby ktoś go na przemian nadmuchiwał i wysysał zza Dragana; linja cienia i światła gięła się i wibrowała.

Przygryzło się paznokieć kciuka.

- Pracuje pan dla Kompanji Rosyjsko-Amerykańskiej. Może chodzi o Linję Alaskańską. Rosyjscy konkurenci najęli sabotażystę, to dla pana ochrony dogoniło nas wczoraj w nocy tych trzech policjantów. Nie siedzą w drugiej klasie, nie wszyscy - co najmniej jeden jedzie w wagonie służbowym za tendrem. To tam przenieśli ciało Michaiła, nie ciągnęli go przecież przez galerję i salę kominkową, nie wyrzucili z pociągu. Po co chodził pan na ten podest widokowy, skoro wiedział pan, że jest w niebezpieczeństwie? To była zasadzka, Michaił się zasadził na Jurija. Obaj z ochrony? Liedniacy i ottepielnicy popierają różne spółki syberyjskie, albo też ottepielnicy w ogóle są przeciwnikami Sibirchożeta, dostał się pan między młot i kowadło. Ale Jurij jechał w Luksie od Sankt Peterburga, ostrzeżenie musiało przyjść o kimś zupełnie innym. Teraz się pan boi, bo został pan bez Michaiła, bez ochrony w pierwszej klasie. Nie wie pan, kto to jest.

Przysunął sobie taburet od sekretarzyka i usiadł. Wyjął papierosy, zapalił. Spojrzenie biegło niemal równoległe do podłogi; podniosło się wzrok, zajrzało mu się prosto w oczy.

Przedział był mimo wszystko ciasny - gdyby jeszcze Dragan pochylił się, gdyby oparł ręce na kolanach, łykałoby się dym prosto z jego płuc. Ten kąt, ta odległość... spowiednik i spowiadający, adwokat i oskarżony, ojciec panny i kawaler proszący o jej rękę, mistrz i uczeń.

Zamamrotał coś do siebie w charkotliwym języku. Rozejrzył się po przedziale. Wskazało mu się popielniczkę. Był stary, z sylwetki i ruchów nie wyglądał na to, ale przecież mógł być rówieśnikiem księcia Błuckiego.

- Ów rewolwer - rzekł po chwili - wart jest więcej niż swoją wagę w złocie. Ja to rozumiem. Pan jest biednym człowiekiem. Przepraszam, nie chcę obrazić. Pan jest biednym człowiekiem, wykorzystywał pan okazję, by otrzeć się o *high society*, wejść w lepszy świat, cóż, nieszczęście z Jego Wysokością. Pozwoli pan, że zaproponuję wykup fantu. Pan poda cenę. Bardzo proszę, bez obrazy. Pan nie wie, co wziął w swoje ręce, panie... Gerosłaski.

- Gerosławski.

- Gerosławski. Tak?

- Tak. Benedykt Gerosławski.

Uśmiechnął się.

- Jak w końcu wygląda sprawa pańskiego urodzenia?

- *Moi, je suis mon ancêtre.*

- Ach! Gdyby ktokolwiek mógł to o sobie powiedzieć szczerze! Nawet potwór Frankensteina... Pan czytał Mary Shelley? Nie znajduje pan fascynującym, jak w literaturze siła elektryczności zawsze -

- To jest zimnazo, jakiś chłód zimnaza. Kule są z tungetytu. Nie wiedziałem, że produkuje się taką broń.

- Nie produkuje się.

- I po co? Co takiego można zabić kulami tungetytowymi, czego nie można zabić w żaden inny sposób? Skoro to takie kosztowne.

Dragan skinął zachęcająco dłonią w białej rękawiczce.

Odgryzło się paznokieć od drugiego palca.

- To nie jest broń na ludzi. To jest broń na lute.

- O?



- Zastanawiam się... Djabli, jaka szkoda, że nie czytałem o tym więcej. Jakie właściwości posiada tungetyt w wysokich temperaturach, pod Wysokim ciśnieniem? Taki chłód zimnaza... Gdybym nie zasłonił tego piorunującego blasku -

- Czym? Ręką, ubraniem? Nie da się go tak zasłonić. Mam tuzin patentów na tungetytowe systemy oświetlenia - przy tych cenach zresztą wyjątkowo niepraktyczne - znam się na tym.

- Jak to: nie da się zasłonić? No przecież -

- *Dammit*, pomyśl, młodzieńcze! - warknął Dragan, poczem założył nogę na nogę i zaciągnął się papierosem.

Się przypomniało się egzaminy na uniwersytecie, ową charakterystyczną irytację profesorów, którzy ostatkiem siły woli powstrzymują się, by nie wybuchnąć w obliczu wołającej o pomstę do nieba tępoty studenta - więc studentowi tem trudniej pozbierać myśli - więc oni tem wyraźniej się irytują - więc student płonie żywcem i marzy już tylko, by zejść im z oczu - więc przeganiają go zrezygnowanym machnięciem. Uszedł sprzed plutonu egzaminacyjnego, wrócił do życia i rozumu.

Teraz pokazać gienjusz i wiedzę! Nie może, nikt nie pyta.

Tak samo, jak nie ten jest dobrym saperem, kto potrafi rozbroić makietę miny, lecz kto rozbraja miny prawdziwe, które grożą wysadzeniem go w powietrze - tak i nie ten jest dobrym studentem, kto prezentuje wiedzę i umiejętności, lecz kto prezentuje wiedzę i umiejętności przed najsrozszyimi egzaminatorami.

Wpierw długi czas sądziło się, iż jest to uogólnienie służące jedynie do usprawiedliwiania uczelnianych obiboków; potem zrozumiało się, że ów podział przebiega wśród ludzi w ogóle, w dowolnej dziedzinie. Ilu jest takich, co doskonale radzą sobie z każdą atrapą życia, ale gdy przychodzi do prób na życiu prawdziwym - trzęsą się im ręce? Prymusi w naukach bez znaczenia, celujący w odpowiedziach na pytania niezadane, wszystkowiedzący minutę po. Gdyby tylko pozwolić im podejść raz jeszcze, dać jeszcze jedną minę do rozbrojenia, jeszcze jedno życie...!

- To jest reakcja wzbudzana przez ćmiatło, tak? Przesłoniłem źródło ćmiatła, reakcja ustała.

- Nikiel zimnazowy symetrii KT. Reaguje na ćmiatło jak czysty tungetyt. W knotach ćmieczek spala się węglowe związki tungetytu, a w tanich ćmieczkach nawet sam węgiel

przemrożony. Z kolei niektóre reakcje utlenienia izotopów krjowęglowych -

- Na co była Michaiłowi taka broń? Zakradł się do Ekspresu jakiś luty w przebraniu? - zachichotało się.

Dragan przyjrzał się w zadumie niedopałkowi.

- Nie pracuję dla Kompanji Rosyjsko-Amerykańskiej. Nie chodzi o Linję Alaskańską. Nie zajmuję się inżynierją lądową.

- Nie jest pan inżynierem?

Uśmiechnął się lekko.

- Wie pan, studjowałem, ale jakoś nigdy nie uzyskałem dyplomu inżyniera. Doktoraty - owszem.

- Nie o sabotaż przemysłowy idzie? No to czemu chcą pana zabić?

- Nie będę zdziwionym, gdy się okaże, że Pobiedonoscew milion rubli za moją głowę płaci. Słyszał pan, że jedzie z nami zięć trzeciego udziałowca Sibirchożeta? Widzieli w tym jakieś zabezpieczenie... Piotr pilnuje Pawła, który pilnuje Jana, który trzyma brzytwę na szyji Piotra. Tych dwóch ochranników - *poor bastards* - wobec ilu panów wraz musieli pozostawać lojalnymi? No i rozerwało to ich na strzepy, jak konie w cztery strony świata ciągnące. I teraz też - kogo przysłali w trwodze? Nie żandarmów jawnych, ale jakichś emerytowanych czynowników z Trzeciego Oddziału Kancelarji Osobistej Imperatora, brzuchatych kancelistów, którzy, wyobraź pan to sobie, są dziś agentami ochrony, ba, papiery na to mają! - Zdusił papierosa. - Nie powinienem obarczać pana tym wszystkim, panie Gierszewski, czy jak tam pan się chce nazywać, młodzieńcze. Skoro nie odda pan rewolweru - a na co on panu, jeśli nie na sprzedaż? - no cóż, nie odda pan. Proszę się jednak mieć na baczności. Słusznie się pan domyśla, jest się czego bać. Tern wejściem przed księżną ogłosił się pan całemu pociągowi, wezmą pana za Bóg wie kogo; cóż prostszego, jak wsunąć rubla prawadnikowi, jak ja wsunąłem, i dowiedzieć się, na jakich to papierach ministerjalnych pan podróżuje?

Wstał.

- Gdybym mógł jakoś w przyszłości... Prawadnik powiedział również, że jedzie pan do Irkucka, prawda to? Wagon drugi, numer osiem, to znaczy H. Proszę się nie wahać, ja panu tego nie zapomnę.

- Nazywam się Benedykt Gierosławski, *mister* Dragan.

- To się ciekawie składa, bo ja również zmuszony zostałem chwilowo ukrywać się za fałszywą tożsamością. Mhm, teraz to i tak nie ma znaczenia, jesteśmy już w drodze. Wspomnij pan słowa Wielkiego Goethego. Podróż jest jak gra, zawsze towarzyszy jej korzyść albo strata, i to zwykle z nieoczekiwanej strony. - Poprawił rękawiczki. - Nie nazywam się Dragan; pochodzę z zadruży Draganic, stąd ów pseudonim. Posiadam obywatelstwo USA, lecz urodziłem się Serbem, w Smiljanie, w Chorwacji. Mogło się panu obić o uszy moje nazwisko. Jestem Nikola Tesla.

Uklonił się sztywno i wyszedł.

O północy Ekspres Transsyberyjski minął dziewięćset siedemdziesiąty kilometr Magistrali. Skończył się pierwszy dzień podróży.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### O logice dwuwartościowej, trójwartościowej i bezwartościowej, a także o logice kobiecej

- Na litość boską, panie Benedykcie, nie może pan w ogóle nic nie jeść!

- *Qui dort dîne*. A zresztą zapłacę, przyniosą mi, co tam zostanie ze śniadania.

- Niechże pan będzie rozsądnym! Proszę otworzyć.

- Nie wstałem jeszcze.

- To niezdrowo tyle sypiać, melancholja od tego w człowieka wchodzi, dusi apatja i dręczą migreny.

- Długo zamierza panna tak krzyżeć przez drzwi?

- Ściana tu niewiele grubsza.

- A się też panna uwzięła! Szanowna ciocia nie nauczyła, jak to niestosownie nagabywać nieznajomych mężczyzn?

- Mam zawołać ciotkę? Ciociu!

- Już!

Panna Jelena Muklanowiczówna: w białej jedwabnej bluzce o zakrywających dłonie koronkach, z kruczą aksamitką na szyji, ściśnięta gorsetem wysokim, w wąskiej beige'owej spódnicy, spod rąbka której tylko noski skórzanych pantofelków widać, z czarnymi włosami ściągniętymi mocno w kok przebity dwiema szpilkami o główkach srebrnych. Ciemne oczy, blada cera, jeszcze obielona pudrem - gdyby nie błyszczak na wargach, wyglądałaby, jakby już spuszczone z dziewczynki wszystką krew i barwę. Przysiadła przy sekretarzyku, obracając nogi na lewo, że miękki materiał spływał od bioder jedną długą falą. Dłonie splotła na podolku.

Nie wstało się na jej powitanie; siedziało się na przykrytym kapą posłaniu, przy oknie, w bonzurce narzuconej na koszulę.

Panna Muklanowiczówna spoglądała jak guwernantka na krnąbrnego sześciolatka.

Obróciło się wzrok na deszczowy krajobraz za szybą.

- Drzwi się za panną zamknęły, co sobie ludzie pomyślą.

- Mój Boże! - panna Jelena szepnęła głosem *à la Frau* Blutfeld. - Skandal! - Klasnęła uradowana. - Tak!

Oparło się skroń o szybę chłodną.

- Poddaję się.

Cmoknęła z dezaprobatą.

- Na początek może by kawaler wyjął ręce z kieszeni.

Wyjęło się.

- No i czemu tak... Ach. - Tu nareszcie zmieszała się - na krótką chwilę, bo zaraz przybrała minę nową. - Bardzo nieładnie. Tatuś nie moczył malczukowi paluszków w occie? A jeśli aż tak kawaler zgłodniał, no to tern bardziej - zjeść śniadanie, nie palce własne.

Ten jej ton... Albo wychowywała młodszych braci, albo rzeczywiście pracowała jako guwernantka. Ale guwernantki raczej nie jeżdżą pierwszą klasą Transsibu.

- To nie jest zabawne. - Uderzyło się głową o szybę, raz, drugi, mocniej. - Panna znalazła sobie rozrywkę na czas podróży, a mnie -

- Jak pan może! To ja się zamartwiam i mało pośmiewiska tu z siebie nie robię, żeby pana na świat wyciągnąć, chrześcijańskim miłosierdziem powodowana... - ale już się ponownie uśmiechała, już chochlik skakał w jej źrenicach i na drżącym kąciku warg - ...a pan śmie takie rzeczy mówić!

Wyraźnie oczekiwała odpowiedzi także podanej w lekkim tonie - roześmiałyby się wówczas w głos, przeczuwało się, jak zaraźliwy jest jej śmiech, nie można mu się oprzeć; więc roześmiałyby się w głos i potem wszystko popłynęłoby już jasno wytyczonym torem - ku większej naturalności, szczerości, większej otwartości. Tak się poznaje ludzi, tak zmienia się nieznajomych w znajomych, z takiego materiału najłatwiej zbudować most łączący brzegi obcych światów. A panna Jelena jest inżynierem wyjątkowo biegłym we wznoszeniu mostów międzyludzkich, to było oczywiście od pierwszego spotkania, kilka zdań zamienionych w pośpiechu w przejściu ciasnem - i już żarty, już kordjalne docinki. Że jest rodaczką - to nie ma wielkiego znaczenia. Właściwie nie ma też wielkiego znaczenia, co ona mówi i w jakim

mówi języku. Roześmieje się - to wystarczy. Gdyby się ją spotkało w kraju, na ulicy w Warszawie, oczywiście nie mogłoby to przebiec tak szybko i prosto, ale - to jest Ekspres Transsyberyjski, podróż, czas magiczny, godziny jak dni, dni jak miesiące. Roześmieje się.

Nie. Odwróciło się twarz do szyby. Może sobie pójdzie. Cisza się przeciągała, cisza, to znaczy hipnotyczny hałas pociągu, tuk-tuk-tuk-TUK. Spoglądało się na przezroczyste odbicie panny Jeleny w oknie, zawieszona na tle lesistych wzgórz i chmur deszczowych; przepływało po pejzażu jak refleks po powierzchni wody, bladych dziewczęcia. Czarny lok, który wymknął się z fryzury, wsunęła za uszko, unosząc ku twarzy dłoń w obłoku koronek białych, nawet ten gest stanowił zaproszenie do rozmowy. Gdy Jelena obracała głowę, na aksamitce migotała ciemnoczerwona gwiazdka - rubin? W srebrze drobnych kolczyków lśniły czarne perły. Rysy jej twarzy nakładały się na odległe wspomnienie o - kuzynce? córce sąsiadów z Wilkówki? Zbyt duże oczy, zbyt ostry nos, uroda zrodzona z niedoskonałości, czarno-biały makijaż jeszcze je podkreśla, trudno oderwać spojrzenie, trudno zapomnieć.

Rozglądnęła się po przedziale, szukając ujścia dla energii niecierplivej, pretekstu dla rozładowania sytuacji. Zatrzymała wzrok na papierach rozrzuconych na blacie.

- Co to za szyfry?

Się poderwało się, przyskoczyło się do sekretarzyka.

- A-ach, nie - się zaśmiało się, zbierając maszynopisy i rękopisy do teczki - żadne szyfry; ot, zabawa w logikę matematyczną.

- Tak?

Spojrzało się podejrzliwie.

- Panna znajduje matematykę interesującą?

Zrobiła obrażoną minę.

- Czy nie mogę się zainteresować tym, czego nie znam? Czyż każdy zdrowy umysł nie intrygują najmocniej właśnie te rzeczy, z którymi nie miał się okazji zetknąć, rzeczy jeszcze niepojęte, tajemnicze i egzotyczne - w przeciwieństwie do tego, co znane i już nudne? Dlaczego pan się dziwi, panie Benedykcie? - Sięgnęła po jedną z kartek. - Proszę mi powiedzieć, to na przykład, o co w tym chodzi?

- Och. Tego raczej się nie da... No dobrze, niech panna tak nie patrzy.

Mój Boże, czy istnieje bardziej banalny chwyt konwersacyjny? Należy pozwolić

mężczyźnie rozgadać się o jego pracy, jego *hobbies*, pozwolić zaimponować salonowo, niech sądzi, że kobieta naprawdę jest tego ciekawą i słucha pilnie; niech paw rozpostrze swój ogon. Znało się przeciwieństwo tej zasady.

A jednak:

- Logika, mhm, logika zajmuje się regułami rozumowania, poprawnością metod wyciągania wniosków, czy panna naprawdę chce o tym słuchać?

- Kiedy pytają, czym się pan para, to co pan mówi?

- Że jakoś wiązę koniec z końcem.

Uniosła brew.

- No dobrze. - Usiadło się naprzeciw panny Jeleny, położyło się teczkę na kolanach, wygładziło się papiery. - Pracuję nad logiką zdań. Każde zdanie ma jakąś wartość logiczną. Wartość - w odniesieniu do prawdy. Ale nie wszystko, co mówimy, jest zdaniem w sensie logicznym. Nie są nimi na przykład pytania, nie są rozkazy, wypowiedzi pozbawione podmiotu lub orzeczenia bądź w inny sposób upośledzone na znaczeniu. Bambarara bumberuje bimbararka. Czy jest to prawda, czy fałsz? Rozumie panna?

- Tak, tak.

- Od starożytności, od Arystotelesa przyjmowano za obowiązującą klasyczną logikę dwuwartościową. Nazywa się ją dwuwartościową, ponieważ operuje dwiema wartościami: prawdy i fałszu. Każde zdanie jest albo prawdziwe, albo fałszywe. Od Arystotelesa pochodzi też kilka podstawowych reguł logiki, o których mogła panna słyszeć. Reguła niesprzeczności, głosząca, że to samo zdanie nie może być zarazem prawdziwym i fałszywym. Rozmawiamy i nie rozmawiamy. Żyję i nie żyję. Jestem człowiekiem i nie jestem człowiekiem. Absurdy oczywiste. Reguła wyłączonego środka - że dla dowolnego zdania są tylko dwie możliwości: albo prawdziwe jest to zdanie, albo jego zaprzeczenie. Pada albo nie pada. Jest dzień albo nie jest dzień. Jedziemy pociągiem albo nie jedziemy pociągiem.

...Już jednak w starożytności polemizowano z zasadami logiki Arystotelesa. - Się rozpędzało się. - Znamy z Cycerona spór Chryzypa z Diodorem o prawomocność przepowiedni augurów i chaldejskich wróżbitów. Ze stoików byli zatwardziali determiniści i dwuwartościowcy, panno Jeleno, *omnem enuntiationem aut veram, aut falsam esse*. Ale sam Arystoteles miał takie chwile zwątpienia w *Hermeneutyce*, gdy rozważał na przykład bitwę morską, która może, ale nie musi się rozegrać dnia jutrzejszego. Potem to przemykało przez

scholastykę średniowieczną, Paulus Venetus w *Logica Magna* wrzucił wszystkie owe przyszłe bitwy morskie do kategorii zdań „nierozstrzygalnych”, *insolubilia*. A kilkanaście lat temu problem podniósł na nowo doktor Kotarbiński, w miejsce logiki dwuwartościowej proponując logikę trójwartościową.

...Otóż nie wszystkie sensowne zdania są prawdziwymi lub fałszywymi w momencie wypowiedzania. „Wszelka prawda jest wieczna, ale nie wszelka prawda jest odwieczna”. Znaczący to, panno Jeleno - się rozpędziło się już do słowotoku prawie - że gdy zdarzenie jakieś zajdzie, prawda o nim zostaje ustalona i cokolwiek o nim stwierdzimy, będzie to już prawdą lub fałszem; dopóki jednak przebieg owego zdarzenia nie został przesądzony, twierdzenia o nim nie są ani prawdziwe, ani fałszywe. Takie zdania posiadają inną wartość logiczną, są właśnie „niezdecydowane”. Czy dojedziemy na czas do Irkucka? Cokolwiek teraz o tym powiem, nijak się to będzie miało do prawdy i fałszu.

- Czy dobrze pojmuję: stara logika ma dotyczyć tylko przeszłości, tak?

- Mniej więcej. W tym punkcie różnię się bowiem z Kotarbińskim. Nie mam owej pewności. Trzeba odpowiedzieć sobie na trzy pytania:

...Czy prawa logiki wszyte są w samą rzeczywistość - jak osnowa w tkaninę, rytm w melodię, kolor w światło - czy też tworzymy je sobie jako swoisty język służący do opowiadania o świecie? Czy zatem byłyby inne, gdybyśmy inaczej mówili, inaczej myśleli, pochodzili z innej kultury, innej Historji, innymi ciałami uczestniczyli w świecie, innymi zmysłami świat odbierali? Czy byłyby one dla nas inne, gdybyśmy nie byli ludźmi? Czy zatem są inne dla lutech?

...Czy w ogóle istnieje ta prawda, do której odnosi się każda logika, prawda jako taka, to znaczy obiektywna, absolutna miara słuszności wszystkich sądów - czy też mamy tylko niepełne przybliżenia, oparte na tym, co wiemy, co możemy poznać, tacy, jakimi się rodzimy? Jeśli jednak nie ma prawdy obiektywnej i absolutnej, to nie mamy także prawa mówić o żadnych przybliżeniach do niej: można być bliżej lub dalej konkretnego punktu, w odległości liczonej po konkretnej skali - lecz nie można się przybliżać ani oddalać od miejsca, które nie istnieje, lub które pozostaje nieokreślone w przestrzeni. Albo więc dano nam prawdę obiektywną, niezależną od tego, kto ją poznaje, albo w ogóle nie ma prawdy i fałszu w takim sensie, w jakim wszyscy posługują się temi słowami.

...I wreszcie: jaki argument stoi za przyznaniem specjalnego statusu zdarzeniom przeszłym, że do nich stosuje się logika dwuwartościowa, a do zdarzeń przyszłych już nie?



One pozostają nieokreślone, im dalsze od naszego bezpośredniego doświadczenia, im mniej zdeterminowane, tem bardziej. Dlaczego analogicznej zasady trójwartościowości nie stosujemy do rzeczy minionych? Czy nie jest to zaledwie uprzedzeniem wynikiem z natury ludzkiej - bo człowiek pamięta przeszłość, lecz przyszłość tylko sobie wyobraża, tylko przewiduje? Czy więc logika dwuwartościowa nie powinna obowiązywać jedynie w stosunku do najbardziej bezpośrednio nam danej terażniejszości?

Panna Jelena słuchała z wielką uwagą, pierś w przód podana, czołko do góry, oczka szeroko otwarte, to trzeba było jej przyznać, bardzo dobrze odgrywała zainteresowanie.

- Chyba jednak nie do końca pojmuję, proszę mi pomóc, panie Benedykcie. Czym by się to różniło od przyznania, że po prostu nie wiemy, co zaszło w przeszłości? Tak samo, jak nie wiemy, co zajdzie w przyszłości.

- Myli się panna. „Nie wiem, co się działo w tych lasach sto tysięcy lat temu” - wiem albo nie wiem. Gdy zaś powiem: „Sto tysięcy lat temu szalały tu pożary” - to niezależnie od tego, czy to wiem, czy zgaduję, czy miałem sen, czy wyczytałem rzecz z pokładów geologicznych, czy wręcz jestem przekonany, że kłamię - zgodnie z logiką Arystotelesa i Kotarbińskiego zdanie jest prawdziwe albo fałszywe, kropka.

- Ale zgodnie z pana logiką... Pół-prawda, pół-falsz, jedna z możliwości, tak? Jaki więc jest ten - panna Jelena zakreśliła w powietrzu okrąg - ten obszar pewności, w którym logika -

- Zamarza? Terażniejszość. Tu i teraz. To, co odbieramy zmysłami.

- Zatem już nie dzień wczorajszy? Nie wierzy pan własnej pamięci?

- Cóż, różni ludzie pamiętają różne wersje tych samych wydarzeń... Naturalnie o tym, co działo się wczoraj, mogę wysnuć dosyć pewne wnioski. Kotarbiński pisał o przyszłości zdeterminowanej: połknę teraz truciznę zabijającą niechybnie po godzinie i mogę już w tej chwili rzec prawdziwie, iż jutro nie będę żył. Podobnie mogę rzec to i owo o zdeterminowanej przez terażniejszość przeszłości. Że jeśli żyję dziś, to żyłem i wczoraj. Chociaż może trzeba by innego słowa użyć na determinizm pod prąd czasu skierowany. No ale tak właśnie dedukujemy o istnieniu rzeczy znajdujących się poza naszym bezpośrednim doświadczeniem. - Objęło się szybkim gestem wnętrze przedziału, pociąg, deszczową równinę. - O tym, co było kilka lat temu... znacznie mniej pewnie.

Panna Jelena Muklanowiczówna przycisnęła paznokcie do czerwonych warg.

- To może mimo wszystko jest pan tym hrabią, co?

- O Boże!

- Tak w jednej dziesiątej, mhm?

I roześmiała się.

Schowało się teczkę z papierami do szuflady sekretarzyka.

Jelena sięgnęła marmurowo białą dłonią; lekki dotyk panny spoczał na rękawie bonzurki, ześlignął się po materjale gładkim na nadgarstek, miała suchą, chłodną skórę.

- No, proszę się nie gniewać, bardzo proszę. To wszystko naprawdę jest interesujące. Słowo! Tylko że pan bierze siebie tak strasznie poważnie... Żeby pan widział własną minę... A jak się pan przejął tą historją z księciem Błuckim...! Czy pan się w ogóle uśmiecha? Proszę się uśmiechnąć. No! Ja pana tak ładnie proszę, panie Benedykcie!

Wyszczrzyło się zęby.

- Jestem szczęśliwy jak pijany zając.

- O! Tak już lepiej! Jeszcze pana nawrócę, zobaczy pan. A gdyby pan myślał, że -  
Zastukano w ścianę atdielienja.

- Jelenko, czas na twoje lekarstwa!

Panna przewróciła oczyma.

- Już, ciociu!

Przygryzło się kciuk.

- Podsluchuje, co? - spytało się szeptem.

Jelena wzruszyła ramionami. Wstała, pociąg podskoczył na torach, chwyciła się złotych węży kłamki od garderoby. Odruchowo wstało się również.

Oparła palec wskazujący lewej ręki na kołnierzu bonzurki, na wysokości serca.

- A teraz - zaczęła tonem surowym - proszę mi obiecać, że pójdzie pan do restauracyjnego, zje śniadanie jak normalny człowiek, potem w palarni wypali pan spokojnie papierosa na dobre trawienie i -

- Panno Jeleno! - się zachnęło się.

- Co? No co? Nie wyjdę, dopóki mi pan nie obieca! Myśli pan, że żartuję? A dla większego efektu tupnęła, co prawda bezgłośnie, dywan stłumił uderzenie pantofelka.

- I z czego się pan teraz śmieje, a? Teraz się śmieje!

Odjęło się jej dłoń od piersi, uniosło i musnęło się ją lekko wargami.

- Obiecuję, panno Jeleno, obiecuję.

Na to oblały ją rumieńce - wobec bladości jej cery czerwone jak plamy odmrożeńiowe.

Wyrwała rękę, cofnęła się. Nagła nieśmiałość nie pozwalała jej teraz podnieść oczu, panna krążyła spojrzeniem po ścianach zielonych, spętlonym wzorze dywanu, po złoceniach i ornamentach.

Z każdym krokiem wstecz wracała jej jednak pewność siebie. Stojąc już na korytarzu, na chwilę przytrzymała drzwi i nachyliła się do wnętrza przedziału.

- I oczywiście widzimy się na obiedzie! - zapowiedziała dziarsko. - Musi mi pan przecież opowiedzieć, co właściwie się wydarzyło na seansie księżnej Błuckiej! Koniecznie!

I poszła.

Taak. Stryjenka Laurencja, która cierpiała na przewlekłą chorobę krwi i większość czasu spędzała w szpitalach i uzdrowiskach Italji i Szwajcarii, gdy się jej wtem poprawiało i na kilka tygodni podnosiła się z łoża, eksplodowała tą samą emocjonalną energią, zgoła narzucając się krewnym, znajomym i nieznanym, z charakterystyczną dla dzieci naiwnością i otwartością, z niewinną ciekawością świata i ludzi. Choroba polaryzuje charaktery, im cięższa, tem bardziej; wychodzi się z niej albo przygaszonym, stłamszonym, wycieńczonym na ciele i duszy, albo właśnie z wielkim głodem życia, wiecznym wrażeń niedosytem.

Włożyło się szary garnitur, zaczesano się włosy, jeszcze się przejrzano się w lustrze, jeszcze sprawdzono się zarost... Ale im dłużej to potrwa, tem większej siły będzie trzeba, by w końcu jednak przekroczyć próg; jedyny tu ratunek w odruchach i bezmyślnej bezczelności - klamka, klucz, zamek, głowa do góry, naprzód! Byle bez uśmiechu.

W restauracyjnym zastało się już tylko dwoje pasażerów; siadło się w przeciwległym kącie. Steward z nieprzeniknioną miną podał menu. Twarze służby zawsze mają podobny wyraz, są to maski wieloznacznej obojętności: czegokolwiek w nich szukasz, cokolwiek lękasz się lub masz nadzieję w nich ujrzeć - to właśnie ujrzysz. Nie spoglądało się na kelnera, zamawiając posiłek. Tamtych dwoje wyszło. Gdzieś w wagonie uchylono okno i jadalnię wypełnił zapach deszczu, chłodna wilgoć zawisała w powietrzu. Naczynia i sztućce, porcelana i metal, szkło i srebro dźwięczały w ciszy (w ciszy, to znaczy na tle ciężkiego metronomu

pociągu). W drzwiach do kuchni stał główny steward, wyprostowany, z serwetą przewieszoną przez rękę, wzrokiem w przestrzeń wbitym. Nie patrzył, ale widział. Jadło się w pośpiechu, przelękając nieprzeżute kęsy. Była niedziela, w menu widniały angielskie puddingi pod siedmioma postaciami, opisane w czterech językach. Można zjeść jeszcze szybciej.

W przejściu do salonki przystanęło się na moment. Co za obłąd, świadomie iść na mękę. I po co, po nic. Jedyne, co musi się zrobić, to dojechać do Irkucka. A obietnice na piękne oczy - furda obietnice. Przecie to nie ma sensu. Jeden krok i wszyscy będą się gapić jak na cielę o dwóch łbach.

Weszło się do środka.

Mężczyźni unieśli głowy, przycichły rozmowy. Podeszło się do stewarda, poprosiło się o ogień. Patrzyło się przez okno, zaciągając się pierwszym dymem; patrzyło się przez świetlik sufitowy, wydmuchując pierwszy dym. Powoli wracali do przerwanych konwersacyj. Wiatr gwałcił gałęzie świerków i sosen, przeganiał ciemne chmury po niebie, nad wzgórzami błyskało pomiędzy naniebnych zacieków słońce białe, elektryczny ogień bogów, Ekspres pędził ku tęczy. Czy można się już bezpiecznie odwrócić od okna? Się odwróciło się.

Drzwi do sali bilardowej były rozsunięte. Do wielkiego stołu przysunięto krzesła, czterech mężczyzn grało tam w karty. Na nieskazitelnej zieleni rozrzucono banknoty, na krawędziach stołu stały filizanki i kieliszki, pod stół wepchnięto popielniczki i spluwaczki. Doktor Konieszyn właśnie tasował; obok łysy południowiec przycinał grube cygaro z równie wielką starannością, wysuwając spoza krzywych zębów język ciemny. Kapitan Priwieżeński przygarnął do siebie stosik pieniędzy i uniósł wzrok. Odpowiedziało się spojrzeniem bez uśmiechu.

Priwieżeński wyjął z ust fajkę, zmrużył kpiąco oczy, wydał wargi.

Jedno z krzeseł było puste. Postukał cybuchem o łuzę.

Wyciągnęło się pugilares i się przyłączyło się do gry.

### **O tym, czego nie można pomyśleć**

Z większości swych czynów potrafimy się wytłómaczyć w języku drugiego rodzaju: potrafimy wysłowić jasno i zrozumiale, dlaczego postąpiliśmy tak i tak. Nawet gdy rozmówca

się z tłumaczeniem nie zgadza, przecież je rozumie.

Są jednak uczynki - znacznie mniej - z których nie jesteśmy w stanie opowiedzieć się innemu człowiekowi. Rozumiemy je tylko my sami, tylko język pierwszego rodzaju je ogarnia; a język pierwszego rodzaju nie składa się ze słów, nie organizuje go składnia odpowiadająca gramatyce mowy międzyludzkiej. Kiedy więc mimo wszystko podejmujemy próby takiej spowiedzi - w konfesjonale, w objęciach kochanki, na łożu śmierci, przed sądem wysokim - z naszych ust wydobywa się jeno nielogiczny bełkot, któremu sami przysłuchujemy się w bezradnym zdumieniu.

Są wreszcie i takie uczynki - najrzadsze - z których nie potrafimy się wytłómaczyć także w języku pierwszego rodzaju, przed nami samymi.

Potrafimy je sobie wyobrazić (wyobrazić można sobie największe absurdy, zwłaszcza *post factum*), ale nijak nie możemy ich uzasadnić, jak pozostaje uzasadnionym logiką następstwa zdarzeń każdy czyn i każde słowo postaci w sztuce czy w książce: w danej scenie bohater robi to a to, z takiego a takiego powodu, ponieważ jest takim a takim człowiekiem.

Lecz życie tym różni się od opowieści o życiu - czyli od odbicia życia wypaczonego przez język drugiego rodzaju - że najpierw jest prawdą, a dopiero potem bywa opowiedziane.

Są więc takie uczynki, których motywów, przyczyn, emocyj i myśli za nimi stojących nie mamy sposobu opisać nawet sami sobie.

Jeśli jednak w ogóle istnieje jedna reguła rządząca zachowaniem wszystkich ludzi, jest to Reguła Mniejszego Wstydu. Można świadomie działać ku swemu cierpieniu, można ku śmierci własnej nawet - ale nikt nie działa ku większemu wstydu. Jak woda spływająca po nierównościach powierzchni zawsze do stanów najniższych, jak ciepło uciekające z ciała, tak człowiek w każdej sytuacji kieruje się ku mniejszemu wstydu.

Niekiedy wstyd odległy w czasie jawi nam się skutek tego oddalenia nie tak dotkliwym - oto jak rodzi się lenistwo - ale kto przy zdrowych zmysłach wybierze z dwóch bezpośrednio grożących mu wstydom ten większy? Nie znało się racji podobnego wyboru, nie potrafiło się nijak przedstawić myśli i uczuć stojących za podobnym wyborem. Była to niemożliwość równie fundamentalna, co Słońce na nocnym niebie albo żonaty kawaler.

A przecież -

Siedziało się na poddaszu u Zbyszka, na stole dwadzieścia cztery ruble, po raz pierwszy gra szła o pieniądze, których utrata mogła realnie wpłynąć na bieg życia, karty złe, w kieszeni

resztką oszczędności, należy spasować, wymówić się porą późną i wyjść, to jest tak oczywiste, tak niewątpliwie rozsądne i słuszne - widzi się, jak się to robi, słyszy się, co się im mówi, słyszy się ich, jak w odpowiedzi mamroczą półprzytomnie pożegnania... Już wyciągnęło się ostatnie dieńgi i postawiło się wszystko na przegraną kartę.

Albo:

Julja gestykulująca histerycznie i czyniąca gniewne grymasy zza pleców swego ojca, który na moment powściągnął furję i stanął w drzwiach z rękoma rozłożonemi: proszę, mów zatem - i otwiera się usta, żeby wypluć wstyd największy - na kogo, na Julję, na niego, na wszystkich, spłynie jak gorąca płwocina, przylepi się do twarzy, ubrań, skleci włosy, skleci powieki - niech ojciec słucha pilnie - a Julja sylabizuje niemo: nie mów, nie mów, nie mów - ale język już oderwał się od podniebienia, już się wypowiada klątwę, ojciec panny błędnie, zatacza się, ogląda się na córkę, lecz córeczka zakręciła się na pięcie i uciekła w głąb domu, trzaskając drzwiami, tyle się jej widziało. Ostatni obraz panny Julji: twarz pod rumieńcem jak blizną oparzeniową, oczy rozszerzone, w oczach zimna desperacja. Wstyd uderzył jak zatruta strzała.

Albo:

Miły Książę siada do stolika, w puli sto dwadzieścia rubli, Kiwajs i Modrzykowski wypisują weksle, w ręce znowu nawet parki, partja do spasowania, a dług przecie już tak wielki, że po raz kolejny trzeba będzie brać kredyt u Księcia i płaszczyć się przed Żydami - jest więc zamiar, myśl i wola, by rzucić karty i wstać od gry, lecz zamiast tego: - Podbijam. - I potem najmniejszego zdziwienia, gdy przepadają pieniądze na czynsz, pieniądze na lekarstwa, pieniądze na życie. Nawet serce szybciej nie zabiło. Tym razem nie było także nadziei na zwycięstwo. Dlaczego więc się grało?

Powiedzą: nałóg. Nałóg, czyli natrętna powtarzalność zachowań - ale jak w języku drugiego rodzaju spytać o to, co stoi za temi zachowaniami? Tu załamuje się on do reszty; pozostają pytania, zdania oznajmujące nie mają już sensu.

Język pierwszego rodzaju nie radzi sobie również: nie wiemy, dlaczego robimy, co robimy.

Czyny nie są naszymi czynami. Słowa nie są naszymi słowami. Gra się, ale nie ma żadnego „ja”, które gra.

Myśl: „Ja jestem” - nie oznacza, że istnieje ktoś, kto myśli, że jest; oznacza jedynie, że

pomyślana została myśl o istnieniu.

Myśli się myśli, ciało się widzi, dotyka, słyszy się pracę jego mokrych mechanizmów; widzi się, słyszy, dotyka, wącha, smakuje świat zewnętrzny, przedmioty należące do tego świata, ożywione i nieożywione - ale jakim zmysłem miałyby się odbierać istnienie owego rzekomego „ja”?

Nie ma takiego zmysłu. Małe dzieci opowiadają się w trzeciej osobie, dopiero konwencje języka międzyludzkiego zmuszają je do wejścia w rolę „mnie”. I z czasem uchwycenie owej najpierwszej prawdy staje się coraz trudniejsze - to już są bowiem rzeczy nie do pomyślenia.

### **O bohaterach hazardu i prędkości Lodu**

- Cztery.
- Cztery.
- Takoz.
- To ja ósemkę.
- Stoję.
- Spokój.
- Podbija ktoś?
- Osiem.
- Pan Fessar?
- Nicziewo.
- Kapitan?
- Mhm.
- Pan Benedykt?
- Sprawdzamy, sprawdzamy.
- Spalony czwórka.
- Lód od piątki.

- No ja przepraszam! Z dwiema ognistemi damami na ręce, i to drugi raz z rzędu! Jak pan rozdawałeś te karty, na miły Bóg!

- He he, gaspadin Cuszyn roztrwoni cały kapitał, zanim kopalnie swoje zobaczy.

- Wy się nie martwcie o moje kopalnie, wy się martwcie o swoje bumażniki. Podnosimy stawkę do dziesięciu, zgoda?

Wcześniej grano przez chwilę w wista i *vingt-et-un*, *alt* od kilku godzin szedł hazard podług reguł zimuchy. Dwie osoby przysiadły się na paręnaście rozdań; teraz znowu pozostała tylko piątka. Ludzie przechodzili, przystawali, przyglądali się. Wysokie pile przyciągały uwagę. Stewardzi uzupełniali trunki, opróżniali popielniczki, otwierano i zamykano okna. Bile grzechotały w łuzach, gdy Ekspres zakręcał, hamował i przyśpieszał.

- A cóż oni sobie myśleli, wkładając stół bilardowy do pociągu? - dziwował się Ūnal Tayyib Fessar. - Kiedy już wydaje mi się, że przywykłem i zaczynam rozumieć ten kraj, natrafiam na coś podobnego i znowu zachodzę w głowę. Leży król.

- Leży as.

- Leży dziewiątka.

- Panowie...!

- Zdrów.

- Oho!

- Musieli chyba obudować cały wagon dookoła stołu.

- Albo opuścić go przez dach. Druga rundka.

- Monumentalna głupota oprawna w kosztowny luksus - mruknięto się pod wąsem.

- Co pan powiedział?

- *Grand seigneur* raczył uczynić aluzję do naszej ojczyzny - kapitan Priwieżeński wyjaśnił uprzejmie doktorowi. Nie potrafił powstrzymać się od sarkazmu. Na razie się udawało się nie odpowiadać mu lepkiem uśmiechem i spojrzeniem błagalnym - ponieważ nie spoglądało się na niego w ogóle.

- Leży as.

- Ależ pan masz rozdania. Leży siódemka.

- *Heureux au jeu, malheureux en amour*, jak by rzekł pan dziennikarz. No dobrze, ale po



prawdzie - jaki sens? Czy jest coś bardziej idjotycznego od stołu bilardowego w pociągu?

- Mhm, można założyć nowe reguły - zauważyło się, sprzedając do puli waleta. - Są szachy i jest zimucha.

- Co macie na myśli?

- Bilard z, mhm, dodatkowym elementem losowym.

- Człowiek uderza, Pan Bóg bile nosi. Leży piątka.

- Uch. Trzeba znać umiar w bluffach, panie doktorze!

- Kapitan powie to Aleksiejowi Fiodorowiczowi.

- Gaspadina Czuszyzna stać na bluffy głupie.

Aleksiej Czuszyn odziedziczył po wuju (stryju, teściu, dziadku, innym krewnym lub powinowatym) pakiet kontrolny w spółce wydobywającej zinnazo i jechał objąć w posiadanie niespodziewany majątek. Czy już przedtem zajmował się górnictwem? Czy miał jakiegokolwiek doświadczenie w interesach? Teraz, w podróży, tak czy owak pozostawało to nie do sprawdzenia i w gruncie rzeczy nie miało znaczenia: był tym, kim się współpodróżnikom przedstawił. Ciemnogrnatowy surdut opinał jego korpus baryłkowaty jak flak kiełbase; w czarnym muszniku żorzetowym lśniła szpilka z brylantem. Najstarszy z grających, objawiał przy kartach chwiejność wielką i brak spójnej strategii; zdarzało mu się sprzedawać pięć, sześć kart w rozdaniu, by potem spasować w licytacji. Ocierał wysokie czoło chustą ogromną i wzdychał głęboko, kręcąc głową nad rozdaniem. Się zastanawiało się, na ile owa teatralność jest dla Czuszyzna naturalna, a na ile wynika z jego przekonania, iż tak właśnie powinien się w grze zachowywać niefrasośliwy bogacz. Nie pił kawy, herbaty, nie pił wódki - prosił o szampańskie. Przed rozdawaniem długo wycierał pulchne dłonie; karty kleiły mu się do palców.

Sposób zachowania podczas gry hazardowej - a właściwie nie ma tu znaczenia wysokość stawki, skoro naprawdę się w grę zaangażujemy - zdradza o nas rzeczy, których inaczej nijak byśmy nie ujawnili. Nie jest to wyłącznie kwestja silnych nerwów; można mieć nerwy ze stali i grząść w bluffach beznadziejnych. Powiadają, że nie odróżnisz bohatera od tchórze, dopóki nie zostaną oni poddani próbie, to znaczy dopóki ktoś im nie przystawi ostrza do piersi, dopóki nie staną pod ogniem nieprzyjaciela. W codziennym życiu bowiem, ani zimnem, ani gorącem, w domowym cieple, w temperaturze ciała - dusza gnije i rozkłada się jak mięso w słońcu czerwcowem. Otóż hazard oferuje jedno z najlepszych przybliżeń sytuacji prawdziwej

próby. Bohaterowie wojenni, ci, co przeżyli, kiedy opowiadają potem swe bitewne dzieje, zawsze wspominają momenty, gdy, wzruszywszy ramionami, przeżegnawszy się i splunąwszy - „Raz się żyje!” - rzucali się w ryzyko śmiertelne, zdając się na los, nierzadko przekonani, że istotnie nie wyjdą z opresji cało.

Kapitan Priwieżeński grał bardzo ostrożnie, gorących rąk nie sprzedając w ogóle i często pasując tuż po rozdaniu; trzy razy jednak konsekwentnie podbijał i licytował do samego końca. Ale ponieważ robił to z tak żołnierską regularnością, szybko się wszyscy na nim poznali i wycofywali się, gdy tylko on podejmował wyzwanie. Choć więc zachowuje podziwu godny spokój i nie zdradza się słowem, gestem ni miną, nasz kapitan nigdy sum wielkich nie wygra.

Doktor Konieszyn z kolei był konsekwentnie nieprzewidywalny. Znało się takich graczy - gdy mają szczęście, zgarniają fortuny, gdy mają pecha, fortuny tracą.

Ünal Tayyib Fessar stanowił przypadek osobny. Nudził się. Nudził się, gdy przegrywał, i nudził się, gdy wygrywał. Wszystko przy stole robił od niechcenia, mimo woli i machinalnie. Czy rzeczywiście gra i pieniądze nie miały dla niego znaczenia i wobec tego nie była to żadna próba - czy też Turek w ten właśnie sposób radził sobie w chwilach próby? Łysy chudzielec lewantyńskiej urody, z żyłami naciągniętymi pod spaloną przez słońce i mróz tkanką jak struny fortepianowe - nie ma w nim kości i mięśni, są tylko ścięgna i stawy; kiedy się uśmiecha, krzywe zęby trzeszczą w dziąsłach, kiedy przetyka kawę gęstą, grdyka kłuje skórę szyji niczym wykluwający się z gardła jedwabnik. Długimi paznokciami postukuje w koszulki kart, strzela palcami jak kastanietami. Gdyby uderzyć w jego czaszkę o kształcie jaja, rozległby się stukot suchy, jak od dębowego drewna.

Pan Fessar wracał z rozmów w Konstantynopolu. Prowadził w Irkucku interesy kompanji handlowej sprzedającej w basenie Morza Śródziemnego bogactwa naturalne Syberji, głównie zimnazo, tungetyt i cynę. Twierdził, że w gubernatorstwie irkuckim spędził połowę życia.

Opowiadając Aleksiejowi Fiodorowiczowi malownicze historie z Kraju Lutyh, zdawał się nudzić trochę mniej.

- I nie wierz pan zachodnim geologom, sprzedadzą wam mapy, z których można wyczytać dzieje gór, położenie prehistorycznych wiosek Jakutów i złoża najrzadszych minerałów, ale do lutyh to nosa oni nie mają. Bierz pan Rosjan, Polaków, w ostateczności ludzi z Bałkanów po austryjackich uczelniach. Mieliśmy kiedyś specjalistę z Ameryki, no i czyja kolej teraz, panie doktorze, mieliśmy takiego cwaniaka z pól alaskańskich, cóż, *kurtlu*

*baklanin kor alicisi olur*, dwadzieścia tysięcy poszło w ślepe odwierty i ciepłe odkrywki.

- Słyszałem, że istnieje kompletna mapa zimnych złóż...

- Ach, słynna Karta Grochowskiego! Możesz być pan pewien, w pierwszym tygodniu po przyjeździe dostaniesz pan tuzin propozycji zakupu Grochowszczyka, ciemne typy, włóczędzy, bywšie katorżniki, marcynowcy, łowcy fortun, nie masz pan pojęcia, co to za miejsce; jeszcze niedawno Kraj Przylądkowy, przedtem Kalifornia - a teraz awanturnicy i błękitne ptaki z całego świata walą tam właśnie: za Bajkał, w Zimę. Panie Benedykcie, sprzedaje pan czy nie? No nie międl pan tej karty bez końca - kładziesz albo puszczasz. Ech, i kawa wystygła, psu dać takie pomyje.

- Leży dama w ogniu.

- Leży ósemka - rzekł kapitan Priwieżeński. - Zaraz, czy obszcziestwo pana Cuszyna nie posiada już koncesyj na eksploatację tych złóż? Przecież chyba wiedzą, co gdzie wydobywają?

- Zależy, w czym robią. Jeśli idzie na ten przykład o czeremchowski węgiel przemrożony, to błogosław im Bóg. Ale jeśli mowa o zimnacie... Co? Aleksiej Fiodorowicz?

Cuszyn otarł czoło.

- Pan lubisz mnie straszyć, panie Fessar, pan jesteś zły człowiek.

- Ja go straszę! No patrzcie panowie! Zdrow i czekam, dziesięć i dziesięć. Panie doktorze?

- Spokój. - Konieszyn odłożył skompletowaną rękę i zapalił nowego papierosa. - Czyta się jednak tołstyje żurnały, „Abrazawanje” albo „Sawriemiennyj Mir” dał ostatnio spory artykuł. Tungetyt syberyjski... tak czy owak, kopalni tungetytu nie ma, prawda?

- Od tego są soroki, miejscowi prospektorzy. Część to myśliwi, także z Jakutów i Tunguzów; za tungetyt płaci się wszak zdecydowanie lepiej niż za lisy, sobole, wydry i kuny, i po prawdzie łatwiej już na niego trafić. Część to chłopci stołypinowscy, część - byli poszukiwacze złota. Wreszcie zwykła syberyjska hołota - jak już przepiją kopiejkę ostatnią, a do uczciwej roboty w hutach i choładnicach w Zimnym Nikołajewsku czują wstręt nieodparty, to co robi jeden z drugim próżniak i biezdielnik? Ciągną na północ, soroczyć.

Ūnal sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął świeże cygaro, zdarł banderole, następnie dobył kozik ciężki, bardziej zdatny chyba do skórowania tygrysa, poczem

przymrużył lewe oko, coby ciąć równo i dokładnie - była to bodaj jedyna czynność, która na tyle angażowała jego uwagę.

- Mhm. Oczywiście ci poszukiwacze sprzedają nam także wieści o złożach zimnaza - to też jest branża cała naciągaczy i oszustów. Ale za informację o dobrym złożu płaci się kilkanaście tysięcy rubli. Potem naturalnie trzeba zabezpieczyć prawa wydobywcze, i to na tyle szybko, żeby konkurencja nas nie ubiegła. Wszystkie większe spółki nawzajem u siebie szpiegów trzymają. W końcu przekupić można każdego, trzeba się pilnować. Informatora się zamyka, żeby nie mógł komuś po raz drugi sprzedać tego samego miejsca.

- A jak się okaże, że to właśnie wy byliście drudzy, trzeci?

- Toż na to jest zamknięty, żeby mu wonczas kulasy połamać. Oni wiedzą. To jest interes dla ostrych noży. Taak.

Obrócił kozik w palcach, raz, drugi, dopiero go schował i zapalił cygaro.

- A pan znowuż wstrzymujesz grę, panie Saski, sprzedajesz pan kartę, czekasz, na cud liczysz, no co w końcu?

- Nie może się zdecydować, czy tchórza teraz odegrać, czy ryzykanta - mruknął kapitan Priwieżeński.

Po raz kolejny zerknęło się w karty. Rozdanie fatalne, sam wysoki ogień: dama karo, dziesiątka kier, dziewiątka kier i siódemka karo. Sprzedało się damę, przyszedł na to miejsce zimny król. Sprzedać teraz dziesiątkę? Poznają się na gorącej ręce, równie dobrze można od razu spasować. Nie sprzedawać? To już lepiej darować sobie to rozdanie i odżalować wiano damy.

- Zdrów.

Turek uniósł brew.

- Charaszo. Kapitanie?

- Leży zimna dziewiątka. Czyli, powiada pan, wszystkie kopalnie zimnaza to kopalnie odkrywkowe. Skoro jednak lute dochodzą już do Odry...

Wyglądziło się na brzegu stołu serwetkę, skinęło się na stewarda.

- Mógłbym prosić o ołówek? Dziękuję. - Odruchowo pośliniło się czubek. - Mhm, do Warszawy dotarły w tysiąc dziewięćset piętnastym, to jest sześć lat i jakieś osiem miesięcy, cztery tysiące dziewięćset kilometrów na pięćdziesiąt osiem tysięcy trzysta dwadzieścia

godzin, mhm, osiemdziesiąt cztery metry na godzinę, coś tu nie pasuje, w mieście, jak będzie osiem metrów na godzinę, to góra, szybciej nie przemarzają.

- Widać ziemię ciągną dziesięć razy szybciej.

- Ziemia lepiej przewodzi Lód, to fakt. - Űnal skinął cygarem. - Pokaż pan ten rachunek.

Podsunęło się mu serwetkę.

- Taak. Zabawna sprawa, swego czasu liczyliśmy to w firmie, wyszło nam coś blisko stu metrów na godzinę po Drogach Mamutów. Dobrze pamiętam, dziewięćdziesiąt sześć czy siedem.

- Zwalnia.

- To możliwe.

- Na samym początku w ogóle szło znacznie szybciej!

- Nie powinniśmy się jednak sugerować moimi rachubami. Być może Lód nie rozchodzi się równomiernie. Być może istnieją kierunki uprzywilejowane. Uprzywilejowane miejsca. Wtórne epicentra. To też da się obliczyć. Dlaczego Zima panuje w miastach? Następnym etapem byłaby celowa indukcja i... Przepraszam.

Turek aż wyjął cygaro z ust, już mu się napięły ścięgna twarzy i karku - ale zawahał się i zamarł tak, sekunda, dwie, trzy, walcząc sam z sobą; w końcu przegrał i nie rzekł nic.

- Jak fala oddalająca się od miejsca zaburzenia - powiedział doktor Konieszyn. - Aleksiej Fiodorowicz, rozumiem, spasował?

- No... chyba tak, tak.

- Pan kapitan.

- Dziesięć.

- I ja.

- I ja.

- Pażałsta.

- Otóż myślę ja sobie tak. - Doktor rozparł się na krześle, wypuścił z ust dym, szarpnął się w zamyśleniu za lewy z bokobrodów. - Wrzucić kamień do stawu, pójdą okręgi po wodzie. Ale są różne ośrodki, woda, nie woda, niech się zdarzy zaburzenie, jakie nie zdarzyło się nigdy wcześniej za naszej przytomności. Jak poznamy? Nie poznamy. Fenomen

doświadczony sto razy to prawo natury, fenomen doświadczony raz - cud. Więc to się tak rozchodzi, jak koła na wodzie...

- Lute, Lód.

- Tak.

- Tylko że, panie doktorze, to jest nieporównanie bardziej skomplikowane od prostej arytmetyki fal. Nie znamy praw, jakie tym rządzą, bo i skąd mielibyśmy znać? - Dotknęło się językiem podniebienia, szukając słów możliwie bliskich myśli. - Ale powiedzmy, że człowiek po raz pierwszy staje na brzegu morza, po raz pierwszy widzi bałwany morskie... Tak samo jak nieznamość praw rządzących zachowaniem cieczy nie uczyni w naszych oczach z fal - niepodległych, inteligentnych istot, tak samo nieznamość fizyki Lodu nie czyni ich z lutech. Panie Fessar?

- Tak. Dziesięć i dwadzieścia i idę dalej. Pan kapitan?

- O, to ja podziękuję.

- A co powie nasz hrabia?

Na stole leżało już blisko dwieście rubli. Konieszyn i Fessar zostali w grze, oni nie sprzedawali prawie niczego - doktor tylko jedną czarną siódemkę; szli na zimnych kartach. Albo na twardych bluffach. Tak czy siak, byli poza zasięgiem: zdążyło się dzisiaj przegrać ponad osiemdziesiąt rubli, w portfelu zostały niecałe dwie setki, resztką z ministerjalnego tysiąca. Kredytu skompromitowanemu oszustowi oczywiście nikt tu nie da. Choćby się więc weszło za wszystko, Turek zawsze może przelicytować. I sprawdzić. A w ręce ogień. Czyż nie idealny sposób na splukanie się do kopiejki ostatniej?

Wiadomo zatem dokładnie, co należy zrobić, jest zamiar, myśl i wola, by rzucić karty i wstać od gry.

Zamiast tego:

- Podbijam.

Wyłożyło się wszystkie banknoty z bumażnika. Serce nawet mocniej nie zabiło.

Przyglądali się z zaciekawieniem. Czuszyn poprosił jeszcze o szampańskie. Kapitan Priwieżeński z kpiącym uśmiechem stuknął fajką o stół, pan Fessar gryzł swoje cygaro. Za plecami grających i po drugiej stronie stołu bilardowego przystanąło kilka osób, przyciągniętych widokiem wyłożonej gotówki. Zajrzała nawet kobieta z salonu, poznało się

po szeleście sukni. Trzymało się wzrok na wysokości kart.

- Taak - westchnął Ũnal, odliczając i rzucając na sukno czterdzieści rubli i potem drugie czterdzieści. - Muszę wyznać, że znajduję analogię pana doktora niezmiernie fascynującą. Ale czemu nie pójść dalej? Może życie w ogóle, może my - rośliny, zwierzęta, ludzie - też stanowimy jedynie takie „bardziej skomplikowane fale” rozchodzące się od czasu, od miejsca Pierwszego Uderzenia? Co? W jaki sposób odróżnić? Doktorze?

Doktor Konieszyn policzył wzrokiem wyłożone stawki, poprawił na nosie *pince-nez*, wydał wargi.

- Panowie wybaczą, popatrzę sobie z boku.

- Gaspadin Jerosławski?

- Pan sam nie wierzy w to, co mówi. - Się wyprostowało się na krześle, oparło się nadgarstki o wypolerowaną krawędź stołu. - Zdaje się panu nazbyt absurdalnym, by poświęcić temu uczciwą myśl. Rozumuje pan tak: „Ja na pewno nie jestem tylko jakąś falą”. Pan sądzi, że istnieje w inny, bardziej niepodległy sposób. Pan myśli, że skoro pan myśli, to pan jest. Pan się myli.

- O! - Turek nachylił się nad stołem, nareszcie rozbudzony i zaintrygowany. - A więc pan sobie nas śni, tak? Mam rację, młodzieńcze?

- Nic podobnego. Ja także nie istnieję. Czterdzieści i moje czterdzieści. Ũnalowi zaświeciły się oczy. Opuszkami palców lewej dłoni pogłaskał czule skórę opiętą na krągłej czaszce.

- Pan nie istnieje. Pan mi mówi, że nie istnieje. Kto mi to mówi?

Machnęło się lekceważąco papierosem.

- Język, też mi argument. Nazwę sobie te promienie Słońca efektownym imieniem i stwierdzę, że oto istnieje taki anioł światła - bo inaczej kto by nas tu ogrzewał?

- Ach, więc nie chodzi o to, że w ogóle pana nie ma, ale -

- Dokładnie tak, jak powiedział doktor. Istniejemy o tyle, o ile istnieją lute, o ile istnieje kwiat szronu na szybie. Chwilowe zaburzenie materji, w którego kształcie zawiera się akurat zdolność do postrzegania myśli. - Zarysowało się dłonią w powietrzu krzywą sinusoidalną.

- Chwilowe?

- Chwilowe, to znaczy dotyczące tylko terażniejszości, tej nieskończenie cienkiej linji, na

której nieistniejące graniczy z nieistniejącem. Nie potrafię tego dowieść, ale jestem przekonany, że w kategoriach prawdy i fałszu można mówić tylko o tym, co zamarza w Teraz. Przeszłości i przyszłości jest zaś wiele, równie prawdziwych-nieprawdziwych. To stan naturalny. Natomiast lute...

- Tak?

- Zamrażają wszystko, czego się dotkną. Czyż nie takie są legendy o Królestwie Lodu? „A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest. Nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest”.  
Grasz pan, czy nie, ile mam czekać?

Pan Fessar założył ręce na piersi.

- Pas.

- Pas? - podskoczył Cuszyn. - Co pan robisz, na miły Bóg...!

- Pas.

Zdumienie było zbyt wielkie, zmroziło twarz i krtań, żadna emocja nie uszła na zewnątrz. Grało się - grało się - grało się - wygrało się.

Zgarnęło się z zielonej gładzi stos rubli. Widzowie zgromadzeni wokół stołu wymieniali głośne uwagi. Stasowało się z talją karty z ręki. W drzwiach palarni stanął główny steward, ogłosił, że podano obiad. Ekspres zwalniał, dojeżdżając do jakiejś stacji, za oknami rozpościerało się szerokie torowisko, składy tartaczne. Cuszyn wstał, przeciągnął się; doktor Konieszyn poszedł w jego ślady.

Wcisnęło się pieniądze do pugilaresu, zdusiło się niedopałek, dopiło się resztę czaju zimnego i splunęło się do spluwaczki.

Nie odszedł, nadal stał pod ścianą sali, po drugiej stronie; widziało się go, nie unosząc wzroku, niespokojny taniec cieni wokół sylwetki wysokiej. W którym momencie zaczął się przyglądać grze?

Chciało się go przepuścić w przejściu; uniósł dłoń w białej rękawiczce i pochylił się lekko.

- Proszę po obiedzie zajrzeć do mnie. Być może otrzyma pan swój dowód.

- Słucham?

- Zna pan tę pannę? Nie pozwoli jej pan czekać.



Jelena Muklanowiczówna obrzuciła odchodzącego doktora Tesłę podejrzliwym spojrzeniem.

- Kto to był?

- Nie jestem pewien. Wybaczą panie -

- O, nigdzie mi pan nie ucieknie. Ciociu - pan Benedykt Gierosławski.

- Mhm... *Enchanté*.

### **O maszynie, która pożera logikę, i innych wynalazkach doktora Tesli**

- Kiedy studjowałem na Politechnice w Grazu, znudzony wykładami, z których niczego przydatnego nie mogłem już wynieść, coraz więcej czasu poświęcałem grom towarzyskim. Na trzecim roku, pamiętam, zdarzało mi się grywać w karty, w szachy, w bilard przez okrągłą dobę. Graliśmy na pieniądze, mniejsze i większe sumy. W tamtym czasie utrzymywałem się z tego, co przysyłała mi rodzina. Nie powiem, że cierpieli biedę, ale łatwiej spotkać z naszej krwi biskupa czy generała niż zamożnego człowieka interesu. Czy brakowało mi szczęścia lub sprytu? Nie sądzę. Jeśli już, należy winić serce nazbyt miękkie. Widząc, że przeciwnik nie zniesie tak poważnej straty, zwracałem co większe wygrane. A nikt się nie poczuwał do rewanzu względem mnie; wyznać muszę, że nie byłem lubiany przez innych studentów. Tak oto popadłem w ciężkie długi. Pisałem do domu. Przysyłali mi więcej i więcej; więcej, niż mogli. Na koniec przyjechała matka. Zjawiła się któregoś dnia z rulonem banknotów. Sądzę, że istotnie były to całe ich oszczędności. „Masz, idź, zabaw się”, powiedziała. „Im szybciej roztrwonisz wszystko, co posiadamy, tem lepiej. Wiem, że w końcu minie ci ta gorączka”. Wziąłem pieniądze, poszedłem do kawiarni, odegrałem z nawiązką wszystkie przegrane i zwróciłem je rodzicom. Powiadam panu, nigdy później nie kusił mnie już hazard; zostałem uleczony.

- Zawstydzila pana.

Doktor Tesla spojrzal ponad zlozonemi w pyramidke dloñmi.

- Tak, można tak powiedzieć.

Zadźwięczało szkło w barku, gdy Ekspres wszedł w wyjątkowo ciasny zakręt. Tory nie biegly już tu tak prosto, pociąg też częściej wspinał się na pochyłości, podczas obiadu doszło

w jadalni do kilku wypadków z zupą, sosem i winem. Po postoju w Permi nie przewidywano dłuższych przystanków aż do Jekaterynburga, po azjatyckiej stronie Uralu. Magistrała Transsyberyjska biegła tu głównie przełęczami i zboczami niskich, rozczarowująco płaskich gór, trasą Bohdanowicza. Okno przedziału Tesli wychodziło na południową dolinę, zieloną, błękitną i żółtą w słońcu przedwieczornem, smoliście czarną za granicą cienia. Wysoko nad porośłym gęstymi lasami Uralem wisiały chmury barwy mydliny, był to jeden z nielicznych momentów w dotychczasowej podróży, gdy niebo nie jawiło się piękniejszym od ziemi.

Doktor uchylił drzwiczki barku. W atdielienjach dwuosobowych przy oknach umieszczono owalne stoliki na nóżkach finezyjnie giętych, o blatach z masy perłowej. O białą gładź stuknęły małe kieliszki złotymi obmalunkami ozdobione.

- Zastanawiał się pan, dlaczego ten turecki kupiec na koniec spasował? Nie powinien był.

- Tak.

- Co: tak?

- Nie powinien był. Zastanawiałem się.

Tesla przez chwilę studjował w milczeniu etykietę trunku.

- I?

- Dał mi wygrać, to oczywiste.

- A dlaczego?

- Wydaje mi się, że go przekonałem.

- Mhm?

- Że nie istnieje.

Nalawszy, Tesla uniósł kieliszek pod światło, zmrużył oczy. Na wargach błąkał się mu charakterystyczny półuśmiech ironji, który zapamiętało się z wczorajszej rozmowy; ale ironji skierowanej raczej do niego samego, nie przeciwko interlokutorowi.

- To chyba niezbyt pewna metoda. Często ją pan stosuje?

- Ubawiłem go na chwilę.

- Ale pana to nie bawi, pan w to wierzy. Prawda?

- Tak.

- Że nie istnieje. Mhm. - Doktor Tesla powąchał alkohol, posmakował. - Gróf Keglevich, mhm. - Znowu powąchał. - Tak jak sądziłem, bardzo dziwny z pana młodzieniec.

Się zaśmiało się.

- Czy pan się przeglądał w lustrze, doktorze? Po zmroku, przy świetle włączonym?

- Ach!

Odchylił się, cofając barki do krzesła; broda prawie mu opadła na pierś, włosy zsunęły się na skronie, spoglądał teraz spod brwi kruczych, siwy kosmyk wskazywał kość ostro zarysowaną nad wklęsłym policzkiem. Znowu uwydatniło się podobieństwo Nikoli Tesli do cygańskiego patriarchy. Gdy rzekł, iż pochodzi z rodu biskupów i generałów, tylko potwierdził pierwsze przeczucie.

- Mogłem się spodziewać, że pan zwróci uwagę. Tak. Są pewne skutki uboczne, których... Mhm. Przebywał pan niedawno przez dłuższy czas w ćmiele? Godziny. W ciągu ostatnich tygodni.

- Nie.

- Ludzkie oko -

- Nie.

Siedziało się po przeciwnej stronie stolika, plecy równo na oparciu, głowa odchylona, nadgarstki na blacie. Symetria spojrzeń była zupełna - ta sama wysokość, ta sama poza, ten sam po obu stronach układ pomieszczenia, zaścielone posłanie pod jedną ścianą, zaścielone posłanie pod drugą ścianą, smuga przyćmionego przez chmury słońca pomiędzy - teraz mógł toczyć się dialog, w którym każde pytanie i każda odpowiedź będzie mieć równą wagę.

Tesla zamoczył wargi w koniaku.

- W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku Mark Twain wybrał się w podróż po Europie. Stały przed nim otworem wszystkie salony kontynentu. Odwiedził między innymi dwór Jego Imperatorskiej Wysokości Mikołaja Drugiego. Wcześniej już pan Twain pisał do mnie, z własnej inicjatywy działając jako mój agent *optima fide*. Miałem zaszczyt zaliczać się do jego przyjaciół, poznaliśmy się kilka lat wcześniej przez nowojorską *high society*. Rozmawiał w moim imieniu także z ministrami Wielkiej Brytanji, Niemiec i Austrii. Wówczas chodziło przede wszystkim o sprzedaż patentów na systemy wielofazowego prądu zmiennego; ministerja wojny były zainteresowane również moimi teleautomatami,

pracowałem nad torpedami zdalnie sterowanymi. Większość owych starań pana Twaina nie przyniosła owoców. Niemniej z carem Mikołajem Aleksandrowiczem prowadziłem osobiście negocjacje jeszcze przez długi czas. Rosja wielokrotnie wyrażała zainteresowanie zakupem rozmaitych moich patentów o zastosowaniu militarnym, niektóre rzeczywiście nabyła. Dopiero jednak około dziesięciu lat temu, gdy ja zastałem, mhm, poważnych kłopotów finansowych na skutek przeniewierstwa i nieuczciwości partnerów, a w Imperjum Rosyjskim zaczął się na dobre szerzyć Lód, car zaproponował mi długoterminowy kontrakt i środki do prowadzenia badań, pozostawiając mi przytem prawa do patentów na wszelkie wynalazki, jakie stworzę w okresie obowiązywania kontraktu. Imperator wydaje się żywić do mnie pewną, mhm, słabość, być może ze względu na moje pochodzenie. Rozumie pan, panie Benedykcie, w sumie były to zbyt dobre warunki, by ich nie przyjąć, zwłaszcza wobec mojej ówczesnej sytuacji w Ameryce.

Uniosło się kieliszek do ust. Jasna powierzchnia cieczy marszczyła się w koncentrycznych wzorach w rytm drgań pociągu, tuk-tuk-tuk-TUK. Doktor Tesla machinalnie obracał złożone szkło między palcami w bawelnie białej. Przyglądał się, jak ostrożnie się pije.

Kaszlęło się.

- Ten carski kontrakt.

- Tak?

- Co właściwie Mikołaj Aleksandrowicz u pana zakontraktował, doktorze?

Tesla uśmiechnął się z sympatją szczerą.

- Proszę sprawić mi przyjemność i powiedzieć, że nie myliłem się co do pana, że to wszystko - to nie ślepy przypadek.

- Ależ! Nie jestem pańskim asystentem, żeby urządzał mi pan wciąż egzaminy.

- To prawda. Nie jest pan. Nie mam obecnie żadnego asystenta. Koniak węgierski szczypał w język mało przyjemnie. Uderzyło się kieliszkiem o blat, zabrzmiało to jak klekot kości pustych, trzask mokrego bicza.

- Car zamówił u pana broń przeciw lutym.

- Tak?

- Grossmajster, Arcymistrz, to tylko pukaweczka na wróble. Ręczna robota, pewnie nie zmontowaliście jeszcze linii fabrycznej, dla każdego egzemplarza osobny projekt i nazwa.

Rzemiosło. Ile sztuk wykonano, tuzin?

- Osiem. Dalej.

Oblizalo się wargi.

- To tylko pukaweczki, ale pan wywiązał się z kontraktu, doktorze, jedzie pan wypróbować swoje wynalazki w krainach Lodu, gdzieś w składzie tego pociągu znajduje się zapieczętowany wagon, w którym -

- Tak. - Uniósł dłoń białą, słowotok ustał. Tesla nachylił się nad stolikiem, nagle łamiąc symetrię. Nowa stereometria spojrzeń narzuciła nowe konteksty. - Pan rozumie, że rozmawiam teraz z panem mimo wszystko nie ze względu na dług życia. Obaj jesteśmy ludźmi rozumu. Podobieństwa lgną ku sobie, doświadczałem tego w życiu wielokrotnie, ludzie się znajdują nieświadomie, znają się, zanim się poznają, zanim o sobie usłyszeli.

- Złe do złego, dobre do dobrego, prawda do prawdy, kłamstwo do kłamstwa.

- Pokażę coś panu. Proszę siedzieć.

Przeszedł na drugi koniec przedziału, w kąt przy drzwiach; po obu ich stronach znajdowały się bliźniacze szafy, otworzył tę lewą, sięgnął w dół i wyciągnął na dywan wielki skórzany sakwojaż. Musiał być ciężki bardzo, zważywszy, z jakim wysiłkiem Tesla obrócił go i przysunął ku stolikowi, pod okno. Cofnęło się stopy. Doktor Tesla wyłowił z kieszonki misternej roboty kluczyk, zgiął się wpół i otworzył zamek torby czarnej. Ledwo rozchyliwszy jej zanitowane w stal szczęki, sięgnął pewnym ruchem do przegródki wewnętrznej i wyjął czerwony, zamszowy futerał w kształcie walca. Wyprostowawszy się następnie na całą swą wysokość, wyrzucił z futerału na dłoń lekką metalową lunetę. Lunetę, kalejdoskop, jakiś przyrząd optyczny zakończony z obu stron soczewkami, nieco mniejszą i nieco większą. Uniósł go do oka - spoglądał w tę większą.

Mruknął coś pod nosem po serbsku.

- Proszę.

Ujęło się aparat z przesadną ostrożnością. Pierścienie ciemnego metalu zachodziły na siebie, zbiegając się w białych obejmach z kości słoniowej; na pierścieniu środkowym znajdował się mały emblemat przedstawiający symboliczne zaćmienie Słońca. Słońce było z laki żółtej, Księżyc - z matowoczarnej.

Doktor Tesla patrzył wyczekująco. Wzruszyło się ramionami.

- Co to jest?

- Interferograf. Pan spojrz.

Spojrzało się. Odruchowo skierowało się tuleją na okno, ku Słońcu i uralskiemu krajobrazowi - ale to nie była luneta, nie przybliżała widoków, nie pokazywała w ogóle niczego oprócz biegnącego po średnicy soczewki prostego ciągu kilkunastu koralików światła. Tło natomiast pozostawało jednolicie czarne.

- No i?

- Pamięta pan, co mówił o Królestwie Lodu? Jest, jest. Nie, nie”.

- To raczej przecucie... Lód... Lute żyją w świecie logiki dwuwartościowej. Znaczy - jeśli żyją.

- Tym się pan zajmuje?

- Matematyka, logika, no, zajmowałem się.

- Sam pan mi więc powie, czy można to uznać za rodzaj dowodu.

- Co?

- Światło. - Usiadł, przywracając symetrię. - Zacząłem się tym interesować po pierwszych doświadczeniach ze spalaniem związków tungetytu. Czym właściwie jest ciemność? Ciemność to brak światła - jak ciemność może wyprzeć światło? jak może rzucać cienie, które są światłem?

- Zabawka dla salonowych spirytystów.

- To też. A jednak...

Położyło się tuleją na stoliku. Turlała się między kieliszkami.

- Wierzy pan w takie rzeczy, doktorze? Wróżby, jasnowidzenia, przywoływanie duchów? Tu w Europie nadal się tym pasjonują, teozofowie, różokrzyżowcy, gnostycy, okultyści od Rudolfa Steinera, zresztą widział pan, jak bawi się księżna - widział pan?

Potarł nos kościsty, po raz pierwszy okazując zmieszanie.

- Niech pan mnie nie myli z Edisonem, ja nie budowałem telefonu do rozmów ze zmarłymi. Nazywają mnie Czarodziejem, *Wizard*, ponieważ łatwo olśnić ignorantów, ale od dziecka jestem człowiekiem nauki. Człowiekiem nauki, który rozumie, jak wiele zjawisk nauka jeszcze nie ogarnia. Gdy byłem gościem Królewskiego Towarzystwa w Londynie,

miałem okazję zapoznać się z dowodami na przesyłanie myśli. Lord Rayleigh pokazał mi fotografie materjalizującej się ektoplazmy. Żona sir Williama Crookesa zadziwiła mnie biegłością w sztuce lewitacji. A wiele przydatnych inspiracji wyniosłem z rozmów ze swami Vivekanandą o kosmologii wedyjskiej.

...Nie znam wszystkich właściwości émiatła. Tak czy owak, nie zajmuję się tym, czego nie mogę zobaczyć, zmierzyć, opisać. To - wskazał na interferograf - jest proste urządzenie, składające się ze szkła, dwóch przegród ze szczelinami oraz filtra. Interferencja światła stanowi dowód, że światło jest falą - że jest falą, było oczywiste od czasów Maxwella, od doświadczeń Younga. Zarazem jest oczywiste, że światło składa się z pojedynczych molekuł, pędzących przed się z określoną energją. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym, gdy furorę robiły cieniografy Wilhelma Roentgena, przeprowadzałem osobiście liczne eksperymenta, w których strumienie cząstek światła uderzały w cienką tarczę, przekazując jej swój impet. Kilka lat później ujął rzecz w teorii kwantów doktor Einstein. Nie ma zatem wątpliwości, że na tym najbardziej podstawowym poziomie rzeczywistości zachodzi sprzeczność: światło zarazem jest i nie jest falami, jest i nie jest molekułami. Gdyby było tylko molekułami, zobaczyłby pan w interferografie dwa jasne punkty - miejsca, w których promienie przechodzą przez dwie szczeliny. Ponieważ światło jest także falami, interferuje i nakłada się na siebie; tam, gdzie amplitudy się dodają, jest jaśniejsze, a - chociaż dla tego efektu nie ma całkiem dobrego wyjaśnienia - tam, gdzie się niwelują, ma pan przerwy w linii. *Lichtquant* w tym samym miejscu jest i go nie ma; ten sam *Lichtteilchen* jest i tu, i tam. Czy to logika Arystotelesa? To zaprzeczenie logiki Arystotelesa! A przecież widzimy na własne oczy.

Jeszcze raz uniosło się tuleję.

- Zgadza się.

- Proszę go zatrzymać. - Skinął głową, gdy się zawahało się. - Proszę, łatwo go sporządzić według schematu Billeta, tylko filtr stosowny dla światła słonecznego potrzebny i miara precyzyjna szczelin. Niech pan spojrzy w interferograf, gdy dojedziemy na miejsce.

Doktor Tesla podał futerał zamszowy. Obróciwszy jeszcze aparat w dłoni, schowało się go do kieszeni.

- I co wtedy zobaczę?

Uśmiechnął się. Sięgnąwszy do torby, tym razem rozwarł jej stalowe szczęki jak najszerszej. Energicznym szarpnięciem - aż marynarka napięła mu się na plecach i zarysowały

się pod materiałem łopatki kościste, aż biała chusta osunęła się z szyji i pokazały się nad sztywnym kołnierzykiem sińce czarne, negatywy grubych paluchów Jurija-duszytielia - wydzwignął na stolik beczułkowate urządzenie z drewna i metalu. W ostatniej chwili uratowało się przed zmiążdżeniem kieliszki.

Doktor Tesla doprawił z jednej strony beczułki korbę opatrzoną gumową rączką, z drugiej strony wpiął w mały otwór kabel zakończony pierścieniem zimnazowym. Masywna podstawa urządzenia wykonana została z ciemnego drewna, wśrubowano w nie obejmujące żelazne listwy, na których wspierał się korpus, a w nim, jak w zawieszonym poziomo koszyku o gęstym splocie, zamknięte były dyski, walce, pręty, zwoje drutu i pierścienie stali.

Odstawiło się kieliszki. Spojrzawszy z bliska, dojrzało się pośrodku drewnianej platformy mosiężną tabliczkę z grawerunkiem eleganckim.

### **Teslectric Generator**

### **Tesla Tungetitum Co.**

### **Prague - New York 1922**

- Co to takiego?

- Dynamomaszyna teslektryczna. Konstrukcja jest podobna do konstrukcji generatora prądu stałego, ale zamiast magnesów zastosowałem czysty tungetyt, a uzwojenie jest z cynkowego zimnaza.

- Czysty tungetyt! Sądzi pan, że coś takiego może okazać się opłacalnym?

Oczy mu zalśniły - teraz radował się jak dziecko, miało się wrażenie, że ten kościsty starzec za moment zatrze dłonie i podskoczy na krześle.

- Nie prąd elektryczny tu powstaje, drogi panie, nie prąd!

- A co?

- Inna siła. Spływa swobodnie w drewno, w liczne chłody zimnaza, w rośliny i zwierzęta, w struktury krystaliczne. Istnieją wysokowęglowe odmiany zimnaza - jak sam krjokarbon grafitowy - które po podłączeniu do owej energii ciemnej emitują ćmiałło. Na tym opiera się mój patent mrokówki; już go wykupiła jedna i druga fabryka syberyjska. Natomiast niekontrolowane wyzwolenie teslektryczności skutkuje raptownym obniżeniem temperatury.



Car dostarczył mi dosyć tungetytu, mogłem do woli eksperymentować. Wiem już, że nie da się tu bezpośrednio stosować prawideł starej fizyki, ów „pływ teslektryczny” nie zachowuje się jak prąd elektryczny - ale też nie do końca przypomina przepływ cieczy. Wylewa się, wylewa, wylewa; są takie naczynia, przedmioty, materiały, których zdaje się, iż nigdy nie wypełni do reszty, spływa bez końca.

...I w takim pomieszczeniu, pod upustem energii teslektrycznej - jeśli następnie spojrzeć w takim pomieszczeniu w interferograf, nie zobaczy się rozciągniętego pasma jaśniejszych i ciemniejszych plam, ale dwa samotne punkty światła.

Przez chwilę nie rozumiało się, co on właściwie powiedział. Potem złapało się za kieliszek, wychyliło się resztę koniaku. Sięgnęło się po drugi. Czy to ręka drżała, czy pociąg dygotał na zjeździe w przełęcz uralską?

Nikola Tesla przyglądał się, uśmiechnięty.

Czort wziął wszelkie symetrie.

- To... - Odchrząknęło się. - To jest mocna przesłanka.

Westchnął.

- Ale nie dowód.

- Nie. Nie można wykluczyć, że owa tungetytowa siła wpływa tak jedynie na naturę światła. Bo ja wiem - prostuje drogi *Lichtquanten*? Logika... to coś znacznie bardziej fundamentalnego, logiki nie sposób sprowadzić do jednego czy drugiego fizycznego fenomenu. Nawet jeśli istotnie pana „siła teslektryczna” odejmuje światłu falowość i zatrzaskuje kwant światła w jednym miejscu, do zupełnego istnienia lub zupełnego nieistnienia.

- Tak właśnie myślałem. Ba, przecież dotąd w ogóle mi nie powstało, iż to jednoznaczne „zamrożenie” natury światła może stanowić zaledwie skutek uboczny innej zmiany, o tyle głębszej - mimo wszystkie legendy syberyjskie, mimo opowieści z Kraju Lodu. Dopiero dzisiaj przed obiadem, gdy usłyszałem, co mówił pan o lutyh...

- Tak.

- Nagłe olśnienie, jakbym zobaczył od razu schemat gotowego rozwiązania, teraz tylko go odczytać. Zwykłem wierzyć podobnym objawieniom, kiedyś jedno uratowało mi życie. Bo zobacz. Jeśli siła teslektryczna rzeczywiście narzuca dwuwartościowość logiki... - Zgarbił się,

jak widać zdarzało mu się w momentach większego zamyślenia, gdy odwracał uwagę od kontroli ciała. - Jak pan sądzi, jaki to może mieć wpływ na organizmy żywe? Na człowieka?

- Nie mam pojęcia. To wszystko jest... - Wykonało się chaotyczny ruch rękoma. Prawa ręka zahaczyła o obudowę dynama, metal był chłodny, nie zimnazo, ale zaskakująco chłodny; się wzdrygnęło się, opuściło się ramiona. - Na takie rzeczy nie ma w ogóle słów, panie doktorze, łamiemy sobie języki, łamiemy sobie rozumy.

- O to właśnie pana pytam. Mówił pan przecież, że się tym zajmuje. Tak? Więc głowa, jaki to może mieć wpływ na głowę? - Przytknął dwa palce białe do skroni, niczym lufę rewolweru. - Czy człowiek powinien to jakoś... czuć?

- Ma pan na myśli mieszkańców Syberji? A może zimowników, marcynowców?

Tesla machnął lekceważąco, nagle zirytowany, rozczarowany.

- Pan nie potrafi mi powiedzieć. Tak. Przepraszam.

Się zachnęło się.

- Ale o co panu chodzi, doktorze! O wpływ na myśli - czy też na to, z czego myśli się biorą? Myśli! Ha! Taki człowiek nie powinien w ogóle oddychać! Na litość boską! - Im bardziej podnosiło się głos, tym szybciej się mówiło, z tym większym przekonaniem. Oblizano się wargi. Wracały obrazy z anatomicznych atlasów Zygi, jego słowa, słowa jego kolegów z medycyny, urywki rozmów. - Zmieniłby pan jeden pierwiastek i nie miałby pan człowieka. A to - to jest zmiana największa! Ciało odpadłoby od kości, krew rozłożyłaby się w żyłach, nie byłoby kości, nie byłoby ciała, żył, żadnej tkanki żywej, niczego, niczego, niczego -

Stał już. W lewej pięści ścisnął pierścień zimnazowy, jakim kończył się wychodzący z dynamomaszyny teslektrycznej kabel, prawą dłonią za korbę złapał. Zakręcił. Coś szcęknęło w maszynie i stalowe jelita zaczęły się obracać w brzuchu beczułkowatym, zawirowały jaśniejsze i ciemniejsze elementa, Tesla kręcił coraz szybciej, wirowanie przekroczyło tempo, po którym ludzkie oko przestaje rozróżniać podmioty ruchu i postrzega tylko ruch, jego kierunek i barwę. Gienerator świszczwał i warczał. Doktor Tesla miarowo obracał korbą, długie ramię pracowało w spokojnym rytmie. Stał twarzą do okna, znowu wyprostowany, z ręką z kablem uniesioną przed się na wysokość piersi, kabel zwisał jak wąż zdechły, odsunęło się kolano, by przypadkiem on nie zahaczyć. Zaszło w gardle, przełknęło się ślinę, mdłą po koniaku. Z gieneratora począł się dobywać szczypiący nos swąd. Pojawiły się maleńkie kropelki wilgoci na metalowym korpusie. Na skórze podnosiły się włoski, mrowiły palce,



- No tak, odrobina gimnastyki nikomu nie zaszkodziła.

Dyszał lekko. Bynajmniej nie wyglądał na zmęczonego - oddychał teraz głębiej, lica miał zaróżowione, rozszerzone źrenice.

- Od dawna pan to robi?

- Zauważyłem, że pomaga mi w pracy. Oczyszcza umysł, jeśli można tak powiedzieć. - Wyjął portcygar. - Są też inne efekty, trudniejsze do opisanie.

- To, co się dzieje z pana cieniem -

- Miałem na myśli stany umysłu. Ciało to potęga, ale umysł, *mon ami*, jest jedyną rzeczą, za jaką człowiek w pełni odpowiada na tym świecie.

- I nie boi się pan, że w ten sposób naraża go pan na szwank? Cóż pan w końcu wie o tej sile tungetytowej?

Tesla zaśmiał się serdecznie.

- Mój drogi, onegdaj przepuszczałem sobie przez głowę prąd elektryczny o napięciu stu pięćdziesięciu tysięcy voltów. A sądzi pan, że o elektryczności wiemy już wszystko? Po to czyni się eksperymenty, by dowiedzieć się czegoś nowego; z tym, co znane, nie eksperymentuje się, bo nie ma po co. - Zapalił papierosa; płomień zapalki na ułamek sekundy rozbłysł kleksem czarnym, gdy Tesla go zdmuchnął. - Co teraz mnie frapuje... Niech pan mi powie, jakie mógłbym przeprowadzić eksperymenty dla sprawdzenia pańskiej hipotezy.

Kopnęło się czubkiem buta leżący na dywanie kabel.

- A co my właściwie wiemy o związku teslektryki z lutymi? Skąd pan -

Otworzyły się drzwi przedziału. Weszła żona - nie żona, towarzyszka Nikoli Tesli, młoda kobieta, którą widziało się z nim w jadalni. Weszła i zaraz za progiem stanęła jak przymrożona. Granatowa spódnica od kostjumu angielskiego, wysoki stan, medaljon srebrny na żabocie z irlandzką gipiurą, jasne włosy ujęte w koronie warkoczy. Ile mogła mieć lat, siedemnaście? Bez wątpienia była młodsza od panny Muklanowiczówny.

Spojrzała na Tesłę, na dynamomaszynę, znowu na Tesłę, zacisnęła wargi -

- Christine! - zawołał doktor.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Wymieniło się z Tesłą porozumiewawcze spojrzenia. Wyrzucił papierosa przez okno,

wdział na powrót białe rękawiczki, przyglądził włosy. Odmontował od generatora korbę i kabel, poczem zdjął maszynę ze stolika i spakował to wszystko do torby. Nie od razu trafił kluczykiem w zamek maleńki - pociąg zwalniał gwałtownie, coraz bardziej trzęsło. Gdy doktor targał sakwojąż do szafy, wstało się i wystawiło się głowę za okno.

Nie było tu żadnej stacji, żadnych zabudowań w zasięgu wzroku, przynajmniej nie po tej stronie torów; w ogóle żadnego śladu cywilizacji - jeno góry i górską przyrodą, Ural dziki. Słońce do reszty wyszło zza brudnych chmur i z rozpościerającego się na łagodnych zboczach lasu buchała soczysta zieleń.

Zapisać hamulce, wagon szarpnął się jeszcze raz do przodu i pociąg stanął. Sapanie lokomotywy i syk pary słychać było nawet tutaj.

- Co się stało?

- Może jakaś awaria - rzekło się. - Może coś z torami. Trzeba zapytać prowadnika.

Tesla zerknął na zegarek, złapał za laskę i otworzył drzwi.

- Sabotaż!

Wyszło się za nim na korytarz. Z innych przedziałów też wysypali się pasażerowie, powstał tłok i zamieszanie, wszyscy pytali o to samo. Tymczasem prowadnika ani widu. Otwarto okna. Przeciąg zawijał firanki na głowy wyglądających.

- Czy pan aby nie przesadza doktorze, przecież -

- Pomyśl pan, *dammit!* Skąd się bierze zimnazo? Bez najmniejszego wahania wysadziliby w powietrze cały ten Ekspres Transsyberyjski.

- I siebie razem z nim? A co z zięciem dyrektora Sibirchożeta?

Tesla zamknął przedział.

- Dlatego w takich właśnie chwilach najbardziej się lękam o moje prototypy.

- Na stacjach, na postojach. - Ujrzało się teraz lukę w rozumowaniu przeprowadzonym wczoraj przy śniadaniu. Podczas jazdy każdy potężniejszy atak bombowy spowoduje zagrożenie dla całego pociągu i wszystkich pasażerów - ale gdy pociąg stoi, można bezpiecznie wysadzić w powietrze konkretny wagon. A co za tern idzie: jeśli zamachowcy zamierzeli się na jednego człowieka podróżującego w Luksie - czy księcia Błuckiego, czy doktora Teslę - rzeczywiście powinni byli umieścić zabójcę w tej samej klasie; jeśli natomiast chodzi im tylko o wagon ze sprzętem Tesli, bombowiec równie dobrze może jechać klasą

drugą.

Serb ze z trudem ukrywanem obrzydzeniem bronił się przed napierającymi ciałami i sam parł naprzód.

- Proszę mnie przepuścić, pani wybaczy, izwinitie, pażałsta, *excusez-moi, entschuldigen Sie, let me through, please*, czy mógłbym przejść, dziękuję.

Nikt nie spostrzegł delikatnego rozmycia konturów sylwetki doktora Tesli, gdy pomagając sobie laską, przepychał się przez tę ciżbę, o pół głowy wyższy od prawie wszystkich pasażerów; nie zwrócili uwagi na migotliwą koronę cienia, jaki Nikola Tesla rzucał sam na siebie - noktaureolę drżącą - powidok ćmiatła.

### **O kilku kluczowych różnicach między niebem Europy i niebem Azji**

Wilk stał na powalonym pniu, wysuwając łeb trójkątny zza gałęzi.

- A jak podejść -

- Nie podejdzie panna.

- Czy one nie boją się ludzi?

- Ten nie.

- ...strzelby albo coś przepłoszenia panowie pociągu...

- Zwierzęta potrafią się oswoić, *vous comprenez*, najdziksza bestja przyzwyczai się w końcu, wschód czy zachód Słońca, przejazd parowozu, lato i zima, byle była w tym jakaś regularność. Przyroda to największy z zegarów.

- Pan inżynier oszczędzi nam tych poezyj industrialnych.

Ünal Fessar, który dotąd z obojętną miną grzebał laską w ziemi, wtem podniósł sporej wielkości kamień i cisnął nim w wilka. Inni pasażerowie krzyknęli głośno. Kamień minął zwierzę i pień o dobry metr. Wilk drgnął nerwowo, ale nie ruszył się z miejsca. Odsłonił kły i obserwował ludzi, przechyliwszy łeb na lewo.

Panna Jelena podkasała spódnicę i pobiegła. *Monsieur* Verousse i inżynier White-Gessling, stojący najbliżej, próbowali ją złapać, zatrzymać, ale wywinęła się im bez problemu. Od granicy lasu i leżącej na tej granicy obalanej olchy dzieliło ją dziesięć-

dwanaście metrów. Zanim kto zdobył się na akcję bardziej zdecydowaną, panna Muklanowiczówna podchodziła już do wilka.

Wyciągnęła doń rękę.

- Oszalała, święci Pańscy, ona chce go pogłaskać!

- Odgryzie jej te paluszki - mruknął pan Fessar.

- Gdzie doktor Konieszyn?

- Został chyba w pociągu.

- A kto to w ogóle jest?

- Panna Jelena Muklanowiczówna - powiedziało się.

Jeszcze przyklękła na pniu, pochylając głowę nad uniesionym ku niej łbem zwierzęcia. Na jego żółtych kłach błyszczała ślina, drżały odwiniete wargi drapieżnika. Panna sięgnęła z góry, ku jego grzbietowi. Wilk zawinął się w miejscu, zeskoczył z pnia i zniknął w lesie.

Inżynier White-Gessling złapał się za serce.

- Co ona sobie myśli! Małom zawału nie dostał. Gdzie jej opiekun?

Się rozglądnęło się za ciotką Urszulą. Wysoka kobieta o ramionach szerokich - po tej stronie torów nie było nikogo o tak charakterystycznej sylwetce. Pewnie leży w przedziale pod termoforem, podczas obiadu skarżyła się na krążenie.

Podeszło się do panny Jeleny. Z niewinną miną otrzepywała spódnice.

- Samobójstwo to grzech śmiertelny.

- No wie pan! A gdyby to kapitan Priwieżeński -

- Wtedy byłaby to godna podziwu brawura. Proszę.

- Dziękuję.

Ujęła podane ramię. Zeszło się spacerem z powrotem na łąkę. Mijany Ünal Fessar uchylił kapelusza. Panna Jelena udała, że go nie widzi. Gdy jednak spostrzegła, że od lokomotywy przygląda się jej książę Błucki w towarzystwie tajnego radcy Dusina i dwóch mężczyzn w mundurach książęcej służby - przystanęła i dygnęła.

Pociągnęło się pannę w przeciwną stronę.

- Książę pewnie nagadał im do słuchu. Myśli pan, że on rzeczywiście spodziewa się

zamachu? Mówili, że przypadkowa awaria - no ale co mieli mówić? Nie można tu stać za długo, jeszcze coś na nas wjedzie. Inna rzecz, że tych dwóch panów z ochrony, co płątali się po Luksie, oni już z nami nie jada, wysiedli chyba wczoraj wieczorem. Czyli sprawa się wyjaśniła. Chociaż po księciu nie widać wielkiej ulgi... Panie Benedyckie! Doprawdy! Co takiego fascynującego znajduje pan w tutejszej trawie? Czy pan mnie w ogóle słucha?

- Słucham.

- Ma pan okazję - szepnęła.

- Mhm?

- Oto i pański wilk. Czeka. Chodźmy.

- Co?

- Sądzi pan, że ugryzie? Założę się, że niewiele zębów mu zostało.

Czuło się rumieniec gorący na policzkach.

- Wystarczy.

Uniosła głowę.

- Pokazują się pierwsze gwiazdy. Pan spojrz. Co to za konstelacja?

- Nie wiem. - Uwolniło się ramię. - Wybacz mi panna.

Wskoczyło się na podest i się skryło się we wnętrzu wagonu. Pomysł przeczekania do Irkucka za zamkniętymi drzwiami przedziału znowu zyskał na atrakcyjności.

W perspektywie korytarza pojawiła się pani Blutfeldowa. Wyskoczyło się na drugą stronę składu.

Tutaj znacznie mniej pasażerów wybrało się na przechadzkę, od północy nie było zielonego pola podchodzącego pod liściasto-iglasty las, jak na południu; tu niemal od razu za nasypem zaczynał się nagi piarg, z zachodu łamany przez tarasy schodkowe i cięty przez głęboką rzekę skalnego rumoszu, ze wschodu ciągnący się prawie do samego szczytu, górującego nad przełęczą i doliną niczym baszta strażnicza. Się wspięło się kilkanaście metrów, przysiadło się na nagrzanym przez słońce piaskowcu. Ekspres zatrzymał się tuż przed zakrętem, za którym tory schodzą po wielomilowym łuku w dolinę jeszcze niższą. Pasażerowie rozeszli się po okolicy, stąd widziało się całą łąkę za pociągiem, zbocza przeciwległych gór, dziwnie spłaszczonych i zaokrąglonych; także przykryty wieczornym cieniem wąwóz, z którego tory się wyłaniają. Nawet w swych spacerach i wyborze miejsc,



gdzie rozkładali na trawie koce i improwizowali małe pikniki, pasażerowie instynktownie zachowywali podział na pierwszą i drugą klasę: nikt z jadących w Luksie nie zawędrował na zachód, poza linię wagonu restauracyjnego, i również niewielu z kupiejszych wagonów ją przekraczało. Widziało się kapelusze i meloniki mężczyzn i białe parasolki kobiet na tle zieleni ciemnej, grupki spacerujących docierały do zarośli i drzew. Były też dzieci - ścigały się, pokrzykując, między wagonami Ekspresu; dzieci, choć nieliczne, robiły najwięcej hałasu. Góry Uralu stały natomiast ciche, spokojne - obraz sennej dziczy sprzed inwazji człowieka. Niskie Słońce kładło nań czerwień, żółć i sepię długimi maźnięciami promieni. Kolory były ciepłe, lecz wiał tu wiatr chłodny - zapięło się marynarkę, podciągnęło się kolana. Nikt nie patrzył. Książę ze świtą pozostał po drugiej stronie, za lokomotywą. Stalowy potwór nie dawał znaku życia, z komina nie unosił się oddech, nic się nie poruszało w okienkach maszynowni.

Wyjęło się papierosnicę i zapalniczkę. Przemyślmy rzecz spokojnie. Się zaciągnęło się dymem. Czy rzeczywiście mogą chcieć wysadzić w powietrze cały Ekspres z powodu Nikoli Tesli? I czy rzeczywiście przyciągnęło się ich uwagę tą sceną na seansie księżnej Błuckiej? Tesla najwyraźniej ma skłonności do teatralnych gestów i megalomanji, mógł wszystko nieumyślnie przejaskrawić. Czy naprawdę jest się w niebezpieczeństwie? Już wcześniej ktoś włamał się do przedziału, zrewidował bagaże. Książę Błucki-Osiej, księżna, panna Muklanowiczówna, ich gierki - to wszystko przecież nieważne. Czy jest się w niebezpieczeństwie?

Prawda, gdyby Tesla jakimś cudem zdołał wypalić Lód z Rosji, zlikwidowałby tym samym cały przemysł zimnazowy. W normalnym kraju podobna decyzja byłaby kwestją rachunku korzyści i strat, bilansu nacisków politycznych i gospodarczych. Ale w Cesarstwie Rosyjskim - kapitan Priwieżeński słusznie prawił - przeważył zapewne sen Imperatora albo święta wizja Rasputina. Miecz samuraja! I Mikołaj złapał za pióro i zamówił u swego serbskiego imiennika ogień święcony na lute. Co więc pozostało ludziom Sibirchożeta i ich poplecznikom, skoro żadne racjonalne argumenty nie mają tu wpływu na proces decyzyjny?

Należy wszelkimi środkami uniemożliwić wykonanie carskiego zlecenia przez Tesłę.

Który to wagon zawiera jego bezcenne wynalazki? Spojrzało się ku końcowi składu. Za drugą klasą (trzecia klasa i wagony najtańsze chodzą według innego rozkładu Transsibu) znajdowało się kilka wozów towarowych, wszystkie głucho zamknięte. Nie było przy nich nikogo. Zmrużyło się oczy pod zachodzące Słońce. Od tamtej właśnie strony, od zachodu

wspinała się na piarg - jasny oblask nad głową, ciemna spódnica - panna Christine, tak, to ona.

Wstało się, podało się rękę.

- *Merci*. - Zadyszła się lekko. - Chciałam z panem porozmawiać bez Nikoli... - Rozłożyło się na głazie chustkę, usiadła. - Opowiadał mi, że uratował mu pan życie, może pana posłucha, pana musi posłuchać. - Na jej niemieckim ciążył angielski akcent, niektóre słowa wymagały od Christine chwili namysłu, marszczyła wtedy czołko i wydymała wargi. - Widział pan, co on ze sobą robi.

Wyrzuciło się niedopałek.

- Benedykt Gierosławski.

- Ach. Ja - przepraszam. Christine Filipov.

- Miło mi.

- Bardzo przepraszam, że tak... Ale pomyślałam, że okazja może się już nie nadarzyć. Czy mógłby pan... Nikola rzadko pozwala się oderwać od swojej pracy, nie poświęca wiele uwagi ludziom. Rozmawiał z panem, prawda?

- Chodzi pannie o to jego dynamo tungetytowe?

- Podłącza się co dzień. Nie mogę na to patrzeć. Proszę pana, on ma sześćdziesiąt osiem lat! Czasami trwa to kwadrans i dłużej, nie potrafi się oderwać. Mówi potem do siebie na głos, opisuje jakieś fantastyczne miasta; każe się prowadzić za rękę, bo nie potrafi już odróżnić wyobrażenia od rzeczywistości, gubi się w tych imaginacjach jak we mgle. Chciał nawet, żebym ja mu nakręcała maszynę. W Pradze ma generatory elektryczno-tungetytowe, korzysta z elektrowni miejskiej. Myślałam, że teraz, jak wyjedziemy... Niechże mu pan przemówi do rozumu!

Kim ona właściwie jest dla Tesli? Czy rzeczywiście skandalicznie młodą *paramour*; jak chcieliby plotkarze Luksu? Przecież nie można spytać ją wprost. Pytania nie wprost - „Cóż za podobieństwo! Nie córka aby? Wnuczka?” - byłyby nie mniej obraźliwe, zrozumiałaby intencję w lot.

Nie ma żadnego podobieństwa.

- Stawia mnie panna w niezręcznej sytuacji...

- Uratował mu pan życie!

- Właściwie jakie argumenty miałbym wytoczyć? Czy ktoś lepiej od niego zna się na tej całej teslektryczności?

- Och, on zawsze uważa, że na wszystkim zna się najlepiej! - Zatrzęsła się w zimnym wietrze, mimo zakietu zapiętego. Zdjęło się marynarkę. Christine zawinęła się w nią, krzyżując ręce na piersiach. - *It's just so frustrating, I cannot bear the sight, he's really the sweetest man on Earth but...* - Pociągnęła noskiem. - Wie pan, on to robi od lat, od dziesięcioleci. Przedtem podłączał się bezpośrednio do prądu elektrycznego. To jest nałóg! Powiada, że za młodu spojrzął przez mikroskop, zobaczył bakcylusy, jak one ohydnie wyglądają w powiększeniu, mnie też chciał pokazywać; a że człowiek wdycha, pije te szkaradzieństwa, styka się z nimi bez przerwy - Nikola stara się chronić na wszelkie możliwe sposoby. Pojmuje pan, traktował prąd elektryczny jako środek bakterjobójczy. Ale od kiedy spaliło mu się laboratorium na South Fifth Avenue - matka mi opowiadała - zaczął żywić się elektrycznością; niekiedy w ogóle nie jadał posiłków, jeno zaraz z rana podłączał się do aparatury. Mówi, że to utrzymuje go przy zdrowiu. Być może. Ale teraz - to już nawet nie jest elektryczność. Boję się o niego.

- Nie wiem, ile on panie powiedział o celu tej podróży... - zawiesiło się głos. Spojrzała pytająco. - Martwi się panna o jego zdrowie; powinna się raczej martwić o jego i swoje życie. Jak to się stało, że w ogóle wziął pannę ze sobą w tak niebezpieczną podróż? Od początku wiedział, co mu grozi.

- Jakby Nikola uważał się za człowieka śmiertelnego...! - prychnęła. - To ja go zmusiłam, żeby kupił bilet na fałszywe nazwisko. Ja wybrałam ten sam pociąg, którym jedzie Bielomyszow. Ja pisałam do Kancelarii Osobistej Cara i wydzwaniałam do Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

- Ach. Anioł Stróż.

Zmarszczyła brwi.

- *Pardonnez-moi.* - Spróbowało się ująć ją za rękę, ale skryła dłoń pod marynarkę. - *Mademoiselle* Christine, czuję się zaszczyconym, że obdarza mnie panna takim zaufaniem.

- Niech pan sobie ze mnie kpi, proszę, znam pana reputację, może istotnie Nikola się co do pana myli -

- Moja reputacja!

- Bлагier salonowy!

- Ach!

Panna Christine zreflektowała się, zamknęła już otwarte do następnej inwektywy usta. Wydeła wargi, teraz urażona.

- Dlaczego pan mnie zmusza, żebym pana obrażała? Panu to przyjemność sprawia?

Się oparło się o kanciaste łożo ciepłego głazu, uniosło się twarz ku konstelacjom bladym.

- Rzeczywiście, wyszły już gwiazdy. Niebo się oczyściło, szybkie wiatry tu wieją. Jeszcze kilka godzin temu, kilkaset kilometrów na zachód - od horyzontu po horyzont wisiała jedna, powolna burza. Obudziłem się w nocy, przejeżdżaliśmy po moście nad Kamą, padało już, szły pod nami jakieś barki, spław drewna, długie transporty, rzeka była wzburzona, chyba wylała, palili światła na brzegach, ogniska, lampy, jakby dawali sobie znaki, przez deszcz, w ciemnościach nocy, i odezwały się światła na rzece, nieba nie było widać, mokra czerń, tylko te migoczące gwiazdy na ziemi i na wodzie. Jechaliśmy? Płynęliśmy? Leciliśmy? Potem myślałem, że to mi się śniło. Dawali sobie znaki.

- Kim pan właściwie jest, panie Yeroshaski?

- Mam reputację, czyż nie? - Obróciło się głowę w lewo, w prawo, w lewo. - Spójrzy panna za tę dolinę, między te szczyty. Tam już Azja. Powiadają, że nad Krajem Lutych inne gwiazdy świecą. Rzadkie są dni czystego nieba, Zima bardzo poszarpała pogodę. Proszę spojrzeć. Czy nie jest trochę niżej zawieszona? Widać krzywiznę. - Zatoczyło się ręką łuk. - Naciska, napiera na ziemię, dusi. Niebo Europy ucieka od ziemi, odpychają się wzajem. A tam, a tu, w Azji - *regarde!* - następuje odwrócenie biegunów - one się przyciągają. Mamy dobre miejsca, centralna łoża w teatrze kontynentów, wszystko widać jak na dłoni. Pod niebem Europy można stanąć wyprostowanym, wziąć głęboki oddech, skoczyć bez strachu w górę, budować w górę, patrzeć w górę. Niebo Azji nawet stąd wygląda na przytłaczające, trzeba się zgarbić, opuścić wzrok, przygiąć grzbiet do gruntu, poruszać się krokiem krótkim, ostrożnym, budować wszcz i w dół. Widzi panna, jak niewiele tam miejsca między gwiazdami i puszcza.

- Może to jeszcze są wyżyny, i dlatego.

- Może.

Diewuszka uśmiechała się niepewnie. Uśmiech miała uroczy - policzki jej się zaokrąglały, wypełniały, dwa ciepłe jabłuszka, wyniosła ten uśmiech z kołyski.

- Pan jest poeta, panie Yeroshaski.

- *Au contraire, mademoiselle, au contraire.*

Rozglądnęła się rozpaczliwie za pretekstem dla odwrócenia konwersacji. Była zbyt młoda, o rok, może dwa - nadal zbyt młoda.

- Wołają nas! - ucieszyła się.

- Mhm?

- Widać już naprawili, jedziemy dalej.

Zeszło się do torów, pomagając pannie na zbiegu zdradliwym. Prowadnicy biegali, licząc pasażerów, rodzice krzyczeli na dzieci, lokomotywa posapywała cicho. Panna Christine zwróciła marynarkę. - Ja wiem, że to się panu wydaje dziecinne... - Opuściła wzrok. Się uderzyło się w pierś. - Przemówię do doktora Tesli, obiecuję. - Na co podziękowała skinieniem i skryła się w wagonie. Bardzo łatwo obiecuje się tu kobietom różne rzeczy. Co gorsza, potem się tych obietnic dotrzymuje. Może ona istotnie jest Aniołem Stróżem Tesli, usuwającym mu sprzed nóg kłody, których sam doktor w ogóle nie dostrzega - a może tylko bawi się w Anioła Stróża, a Tesla folguje jej kaprysom, starcy mają słabość do naiwnej -

Nieogolony wyrostek przeskoczył ponad sprzęgiem międzywagonowym, zahaczając stopą o luźny łańcuch; łańcuch zagrzechotał głośno, niczym dzwon okrętowy. Chłopak zatrzymał się przy podstawionych pod wejściem do Luksu schodkach.

Prowadnik z daleka bezbłędnie rozpoznał pasażera niższej klasy i ruszył ku niemu zdecydowanym krokiem. Malczik wszakże nie zwrócił nań uwagi.

- Gaspadin Gierosławski!

Dopięło się marynarkę.

- Czego chcecie? - warknęło się ostro, maskując odruchowo strach nagły.

- Nie wysiadajcie w Jekaterynburgu!

- Jadę dalej. Ale co wam do tego, gdzie -

- Nie wychodźcie z pociągu! Zmówili się na was!

- Co? Kto?

- Że wy otwiepelnikom zaprzędani, taka pewność u nich.

Malczik przyskoczył jeszcze bliżej, wytrzeszczył wylupiaście ślepka, coś mu zaświeciło i zapulsowało w lewym oku, czarna tętnica w źrenicy czarnej; był przerażony, przerażał

własnym strachem. Chciało się go odepchnąć - chwycił za nadgarstek. Palce miał lodowate, ten dotyk prawie parzył.

- Nie możemy strzec Waszego Błagarodja, nie było czasu, nie przekonał ja ich, nie wychodźcie z pociągu.

Przeżegnał się od prawej i odruchowo przycisnął do warg sinych zimnawy medalik.

- Miej nas w opiece, Tobie się oddajemy, miej nas w opiece.

Prawadnik złapał go za kołnierz, ale młodzik się wywinął i odbiegł, zaraz skręcając za wagon. Prawadnik wygrażał za nim kułakiem.

- Tfu, utrapienie, pcha się taki z łapami do lepszych od siebie i tylko wstyd przynosi - ta młodzież dzisiaj - za grosz szacunku -

- Słuchajcie-no - wcisnęło mu się banknot do kieszeni mundira - pogadajcie z obsługą kupiejnych i wywieźcie się, kto on jest.

- Już ja go-

- Ale po cichu, dobrodzieju, po cichu, na paluszkach, by mi się ptaszyna nie spłoszyła. - Weszło się na schodki. - Ile mamy opóźnienia?

- Trzy godziny, trzy i kwadrans, Wasze Wysokabłagarodje, ale staniemy jeszcze na dłużej w Jekaterynburgu, trza wymienić parowóz i sprawdzić podwozia.

- Na dłużej. Na ile?

- Ile będzie trzeba. Wasza Wielmożność zechce wyjść do miasta? Tam pewnikiem dalej zima trzyma, poprzednią razą mroźnik przeklęty usadził się w samym środku grodu. No. Wchodzić! Wchodzić, proszę! Odjeżdżamy!

### **O mrozie jekaterynberskim**

Płatki śniegu, igiełki srebrzyste, kryształki cukru sypały się z nieba, migocząc filuternie w aureolach gazowych lamp. Zegary dworcowe pokazywały drugą w nocy - w Jekaterynburgu była już czwarta, lecz wszystkie koleje Imperjum funkcjonują według czasu Sankt Peterburga i Moskwy. Niezadługo wszędzie nad ośnieżonym miastem letnie Słońce - noc jednak niepodzielnie należy do Zimy. Mimo to na jedynym wysokim peronie pasażerskiej

stacji panował spory tłok, z wysypującymi się z wagonów podróżnymi mieszała się tubylcy: naganiacze tragarzy i wozaków, sprzedawcy futer, sprzedawcy amuletów przeciwko lutym i samorodków tungetytu, cziernarodkami zwanych (zapewne fałszywych), babuszki oferujące w głośnym zaśpiewie pirożki s kapustoj tudzież czieburieki s miasom, a najczęściej ruchu powodowały malcziki obrotne, odmierzające garnuszkami arieszki, bardzo tanie i bardzo smaczne. Prowadniki nie wkładali wiele serca ni wysiłku w symboliczne próby zapanowania nad tym chaosem - podobne sceny powtarzały się na prawie wszystkich stacjach, gdzie stawał Ekspres Transsyberyjski. Późna pora ograniczyła natomiast energję pasażerów; większość jadących Luksem postanowiła przespać Jekaterynburg. Wysiadł *monsieur* Verousse, poważnie traktujący obowiązki reportera, wysiadł starszy pan ze sztucznem okiem i bracia utracjusze, a z wagonu numer jeden także francuska rodzina z dziećmi; ona zabrała się od razu na przejażdżkę po mieście. Zapowiedziano postój co najmniej dwugodzinny. Część pasażerów zapewne planowała była zajść do jekaterynberskiej cerkwi na późne nabożeństwo niedzielne; może nie wszyscy zrezygnowali, mimo opóźnienia. Śnieg, ani gęsty, ani ciężki, tańczył wesoło w żółtych światłach, kładąc się delikatnie na deski peronu, na świeżowzniesiony z uralskiego marmuru budynek dworca, na czapki, szuby i palta ludzi, na ciepły pancierz parowozu, co właśnie zamilkł i wstrzymał dech maszynowy.

Zapiąwszy ciepły płaszcz z sobolim kołnierzem i naciągnąwszy rękawiczki, zeszło się na peron. Przyskoczył naganiacz. Odprawiło się go w zniecierpliwieniu.

- Rozprostować nogi?

Się obejrzało się. Ünal Tayyib Fessar.

- Chce pan rzucić okiem na Jekaterynburg? Nic ciekawego tu nie ma, jeszcze jedna przemysłowa miejscina nadrzeczna; teraz podupada przez Transsib i Zimny Nikołajewsk. - Ująwszy laskę pod pachę, sięgnął za pazuchę i wydobyl z futerału dwa cygara. - Poczęstuje się pan, panie Benedyckie? Partagas, prosto z Meksyku.

- A dziękuję, dziękuję.

Wyjął kozik, przyciął zwoje tytuniowe. Zapalił. Zapaliło się.

- Wybaczy pan, że zapytam - nie wygląda mi pan na łowcę posagów, *un tricheur*, nie wierzę w te historie. Mam siostrzeńca niewiele młodszego... Czy to był żart? Zakład może? Niech zgadnę: zakochany nieszczęśliwie w pannie wysokiego urodzenia.

Się skrzywiło się bez słowa.

- Co? - Kupiec uniósł brwi, rozbawiony. - Kawaler nie wierzy w miłość?

- Klóci się z innemi moimi nałogami.

Fessar zaśmiał się.

- Dobrze! Zapamiętam. A poważnie?

- To było poważnie.

Spojrzał bystro, już bez uśmiechu.

- Aforyzmy nie służą do tego, żeby podług nich żyć; służą do zabawiania towarzystwa przy stole.

Się ukloniło się lekko.

- Też dobre.

Westchnąwszy z rezygnacją, odwrócił wzrok i wskazał laską na południe, poza stację.

- Zapewne więc chciał pan zobaczyć na własne oczy lutego.

- Jestem z Warszawy.

- Ach, tak. - Turek pogłaskał mahoniową gładź sklepienia czaszki. - Są już chyba w Odessie, mhm.

Ruszyło się wolnym krokiem za dworzec, ku bładem i rozproszonem światłom miasta. Fessar przyłączył się bez słowa. Poddreptała babuszka z szerokim koszykiem przykrytym białą szmatą, Ünal Tayyib kupił bułkę nadziewaną. Zawinał ją w chusteczkę i schował do kieszeni obszernego futra.

Obróciwszy się na pięcie, przez chwilę szedł tyłem, przyglądając się pozostawianem w płytkim śniegu śladom; gdy deski i kostkę zastąpiła zmrożona glina, wbił w nią kilkakroć obcas kozackiego buta, jeszcze poprawił laską masywną.

- Mhm, mhm. - Wypuścił dym po wysuniętym na dolną wargę języku, zlizując przytem lubieżnie kilka iskierok mrozu. - Ciekawym, czy robił tu kto ostatnio odwierty. A jak u was? W Warszawie?

- Proszę?

- Ziemia, czy sprawdzaliście ziemię. - Dziabnął laską w bruzdę twardego błota. - Dała mi do myślenia nasza pogawędka przy kartach. Ten rachunek prędkości Lodu. I inne rzeczy. - Uniósł wzrok ku chmurom. Jekaterynburg leżał w dolinie, w siodle Uralu, u wrót Wielkiego



Kamienia, w pogodną noc cień na zachodnim gwiazdoskłonie powinien wyznaczać granicę łańcucha górskiego. Turek wskazał w lewo, na wschodni horyzont, ciemny, bezświatny. - Może przejedzie się pan nad Szartasz, latem to było bardzo przyjemne jezioro. No ale od paru lat nie schodzi zeń lód; tam mróz najtęższy. Taak, to idzie ziemią, wieczną zmarzliną, jak opowiadają dzikusy Pobiedonoscewa i panowie geologowie hurtem przez Sibirchożeto najmowani, idzie czarnymi rzekami podziemnymi, Drogami Mamutów. Przecież jeden luty, nawet kilka silniejszych ognisk zimna - nie zmieni aury.

- Ziemią, chyba tak, w Warszawie były jakieś kłopoty z wodociągami, roboty drogowe też bardzo się przeciągają...

Minęło się samotną dorożkę oczekującą na kolejnych podróżnych ze spóźnionego Ekspresu; dorożkarz pociągał z flaszki ukrytej w rękawicy nieforemnej. Stróżujący pod okapem dworca żandarm popatrywał na chłopa z zawiścią.

- Tutaj przychodzi i odchodzi, miesiąc ciepły, miesiąc zimny - a przecież bliżej Kraju Lodu niż wasza Warszawa. Co takiego przyciąga je do jednych miast, od innych odpędzając?

- Ba!

Od szerokiej drogi biegnącej równoległe do torów odchodziły stąd pod kątem dwa trakty, ten z lewej prowadzący prosto ku nielicznym światłom w oknach drugiego i trzeciego piętra budynków centrum Jekaterynburga. Wszystkie domy widoczne z ulicy przydworcowej wzniesiono z drewna, na planie długiego prostokąta. Bardziej przypominały przerośnięte chałupy niż dworki szlacheckie, nie wspominając już o warszawskich kamienicach; niskie, pochyłe, wyglądały na wpółzakopane w płytkich przecież zaspach. Szerokie okiennice były zatrzaśnięte, śnieg lepił się do szczelin i załomów, układał na dachach pochyłych w schodkowe gładzie, słaby wiatr wciągał go w zaułki i przejścia między domami.

Szło się w milczeniu.

- Panie Benedykcie? Za czym pan się tak rozgląda? Umówił się pan z kimś? - Fessar uśmiechał się z dwuznaczną ironją. - Narzucam się, niech pan powie, że się narzucam.

Nagła myśl: to on! on, on, Turek przeklęty, no przecież! wyszedł, czekał, przylepił się bez pytania, pod tym futrem może mieć dwa sztucery, tuzin bagnetów, i jak się uśmiecha, on, on!

- Coś mi pan nietęgo wygląda. - Fessar przystanął. - Nie jest aż tak zimno. - Spojrzał uważnie. - Bardzo pan blady. Ręka się panu trzęsie.

Natychmiast opuściło się dłoń z cygarem. Uciec z oczyma - tam: grupka mężczyzn o

topornych gębach, pewnie robotnicy z jakiejś huty, idą poboczem, wymieniając głośno uwagi, surowa scenka rodzajowa - patrzeć na nich, nie patrzeć na Turka, nie dać po sobie niczego poznać.

A on swoje:

- Tu nad Isetską jest w hotelu wcale przyzwoita restauracja i jeśli pozwoli się pan zaprosić na bardzo wczesne śniadanie, mielibyśmy okazję porozmawiać w cztery oczy i cztery uszy, co w pociągu po prawdzie nigdy nie jest możliwym.

- Ale o czym? - spytało się ostro.

Turek skrzywił się, ścięgnięta twarzy wystąpiły mu pod skórą jak od wielkiego wysiłku, przesunął w ustach cygaro, pomasaował potylicę.

- Oni mogą gadać o duchach i inszych mamidlach, ale ja siedzę w tym interesie od lat, żyję w Mieście Lodu, widziałem Cziornoje Sijanije i blaski Soboru Chrystusa Zbawiciela, miał pan przy sobie tungetyt, czysty lub chłód węglowy, tylko że kto wozi drewno do lasu, kto? - Rozpędził się, gestykulując cygarem i laską z coraz większym zapalem, już nie był znudzony, o nie, już inny człowiek mówił: - I po co te tajemnice, miano fałszywe, a książkę Błucki-Osiej niby dlaczego jedzie do Japońców, to znany ottepielnik, a skoro takie publiczne wstręty panu czyni, to znaczy, że pewnie trzymacie z liedniakami, żeby nie drażnić Sibirchożeta, bo oni pierwsi się wystraszą, no ale to jest okazja, grzech nie wykorzystać, uff, no i dokąd pan tak pędzi, że -

Krzyk przeciął mróz jekaterynburski - urwane rzeźenie konającego - krzyk i rzeźenie; człowiek umiera pośród nocy śnieżnej.

Spojrzało się między domy. Tam ruch w cieniu - postać ludzka - nisko - czarny kształt wznosi się i opada. Postąpiło się krok. Na moment wpłynęło w śnieżną jasność lico ciemnoookiego młodzika - *Miej nas w opiece!* - z szeroko otwartymi ustami i smugą brudu na policzku, bardzo blade. A wznosiło się i opadało jego ramię z kamieniem w garści, którym to kamieniem rozbijał czaszkę rozciągniętego na ziemi człowieka.

Rozległ się przenikliwy gwizd. Trzasnęło drewno. Się odwróciło się. Ünal Tayyib Fessar, naciągnięty jak cięciwa łuku, z zębami zaciśniętymi na cygarze i w futrze rozchełstanem, brał oburącz znad głowy zamach laską ciężką. Trafi, zgruchocze kości. Mróz pękł ponownie, od strzału karabinowego: pierwszy z robotników zwałił się na środek ulicy, twarzą w lód. Drugi uchylił się przed laską Turka. Mieli noże. Padł kolejny strzał. Się kręciło się w miejscu jak

pajac na patyku, zawsze o jeden obrót w tyle. Nożownicy, potykając się, umykali w ciemność zaułka; ostatni obejrzał się ze strachem i wściekłością - za siebie, na bramę domu po przeciwnej stronie ulicy.

Stopy oderwały się od ziemi, pobiegło się ku tej bramie. Człowiek w żółtym płaszczu rzucił się do ucieczki.

Ulica była szeroka, pusta, śnieg cicho opadał na śnieg, biegło się przez skryte w ciemności obce miasto, drzwi pozamykane, pozatraskiwane okiennice, ani żywej duszy, jedna latarnia na skrzyżowaniu, skrzyżowanie też puste, tylko szelest wiatru, trzeszczenie zmarzliny pod butami i oddech chrapliwy, goni się człowieka w żółtym płaszczu.

Ulica była prosta jak strzeł, ale rozciągnięta na pagórkach, falowała nieprzerwanie, góra, dół, on pojawiał się i znikał za szczytem wzniesienia, się bało się, że skreśli wówczas gdzieś w bok, skryje się w cieniu - ale nie, gnał przed siebie, nawet nieczęsto się oglądając wstecz, miał konkretny cel, nie uciekał na oślep.

Zrozumiało się, gdy temperatura powietrza spadła na tyle, że chrapliwy oddech zmienił się w duszący kaszel i mróz wkręcił się w gardło jak gwintowany sople - a człowiek w żółtym płaszczu biegł dalej, prosto w objęcia Lodu.

Wzdłuż bulwaru nadrzecznego paliło się kilka latarni, z głębi przecznicy płynęła także żółta poświata; lśnienie lodu przebijało przez padający śnieg i półmrok letnio-zimowego przedświtu. Luty przemarzał ponad bulwarem od budynku do budynku, w trójzokroku czarnych odnóży obmarzliny, zawieszony na poziomie drugiego piętra. Rosły tam z bruku iglice śnieżne, drżało powietrze katowane nieziemskimi chłódami. Cudownie przezroczyste sople zwieszały się pod glacjuszem niczym kryształowa broda, odwrócone pole szklanej pszenicy.

Człowiek w żółtym płaszczu biegł prosto w ten lód. Zaraz przekroczy granicę ludzkiego mrozu, to śmierć nawet dla zimownika - rozumiało się już doskonale - marcynowiec, który zawiódł - jedyne jego zbawienie - już, zaraz - ucieknie.

Wyszarpnęło się spod płaszcza Arcymistrza, odkręciło się zwoje płótna pokostowego i aksamitu, szmaty i ceraty, uniosło się broń na wysokość oczu. Rozdwojone żądło skorpiona zrównało się z rogiem jaszczura. Ścisnęło się lodowate sploty węzowe; dłoń nie drżała, było zbyt zimno, została zamrożona z palcem na ogonie węża.

Żółty płaszcz - gadzi róg - żądło - źrenica. Czy należy cofnąć oddech? Czy przymknąć

drugie oko? Czy odrzut nie strzaska nadgarstka? Gdzie strzelać - w nogę, w ramię, byle go powstrzymać. Pociągnęło się za ogon źmiji.

Grossmajster eksplodował mrozem. Całe prawe ramię, przez rękawiczkę, od palców do barku, poraziło zimno. Wrzasnęło się. Zimno, ogień, nie ma różnicy - ten sam ból, przeciwny wektor. Włożyło się prawicę w piec mrozu. Czarny powidok nadal pulsował pod powiekami, obraz błysku ćmiatła, gdy huknął rewolwer i tungetytowa kula uderzyła w ziemię, w lód obok stopy biegnącego marcynowca. Chybiło się, oczywiście. Wrzask zgasł w zmrożonym gardle, się zgięło się wpół, kaszląc. Arcymistrz nie wypadł z dłoni, bo przymarzył do rękawiczki, która przymarzła do skóry. Nie czuło się prawej ręki, wisiała u boku jak kawał drewna, proteza ciężka.

Teraz krzyczał człowiek w żółtym płaszczu. Uniosło się głowę. Tungetytowy pocisk wybuchł był jak szrapnel Lodu, ogarniając falą czarnego zimna wszystko w promieniu kilku metrów. Z wybitej w ziemi dziury sterczały długie jęczory brudnej zmarzliny, niczym gigantyczne płatki brzytw-tulipana. Podniesiony z ulicy śnieg świeży, odłamki kamieni, błoto i glina i żwir - zamarły w ułamku sekundy, tworząc w powietrzu skomplikowaną rzeźbę, ekspresyjne dzieło sztuki zawieszona nad kielichem tulipana na geometrycznie prostych strunach sopli; jakby zostały wypchnięte pod niebo z wnętrza gwałtownie otwartego kwiatu. Jeszcze migotał dookoła pył lodowy i opadały wolne skrzepy omrozu.

Człowiek w żółtym płaszczu znalazł się na granicy rażonego obszaru, lód go nie pochłonał. Skuł mu nogi do kolan, przebił długim soplem biodro, przygniótł plecy wywiniętym spiralnie płatem obmarzliny, urwał rękę i pokrył twarz szronem czarnym - ale nie pochłonał. Człowiek wrzeszczał. Z żółtego płaszcza zostały strzępy.

Oddychało się w kołnierz soboli, żeby mróz nie wpływał bezpośrednio do płuc; już powoli, miarowo, jeden oddech na myśl jedną. Wrzeszczał, mógł więc mówić. Przyciskając do boku bezwładne ramię, podeszło się do zmroźca.

Poruszał głową, szron schodził płatami z jego szyji; szarpnął się na palu lodowym i pękł szron na powiekach - marcynowiec otworzył oczy. Spojrzał.

- Puściecie! - zajęczał.

- Powiecie, a puszcze was.

Potrząsnął głową.

- Z chłodu w chłód, człowiek się rodzi, w chłód odchodzi, zimny jest Bóg, z chłodu w

chłód -

Podeszło się bliżej. Wybuch uderzył go z tyłu i z prawej, marcynowiec wisiał na tym krzywym soplu jak na pochyłym różnie, pice średniowiecznej, stopy miał zamknięte w lodzie, ale pewnie i tak nie dotykałyby gruntu, płat ziemi wykrywał mu kręgosłup pod niemożliwym kątem, chłop wyglądał, jakby już mu kark przetrącono. Urwanej ręki nie było nigdzie widać. Pod barkiem zamarzał krótki strzęp żółtego materiału.

Lewą dłonią wskazało się wschodni horyzont, ponad dachami miasta.

- Zaraz słoneczko się pokaże. Luty też ciągnie w przeciwną stronę. Roztopisz się, brateńku.

Chciał splunąć; ślina mu na wargach zamarzała.

- Tak? - warknęło się. - Tak będzie? No to bywajcie w pokoju!

Się odwróciło się.

Wybuchnął szlochem.

- Nie zostawicie mnie tak! Mówię, mówię! Co ja wiem - khr - ojciec nasz najzimniejszy w guberni permskiej kazał, coby bracia baczenie dawali, taki a taki pan polski, pod imieniem Wieniedikta - khr - Filipowicza Jerosławskiego jechać będzie Sybirskim Ekspresem, i dojechać nie może, puście mnie!

- A wy się słuchacie ojców swoich.

- Panie!

- A gdybym z pociągu nie wyszedł, to co?

- Aleście wyszli, wyszliście, chocia się my nie spodziewali - o Matko Najniepokalańsza, żebyście nie wychodzili...!

- Prawdaż to, że patriarchą waszym jedynym jest Grigorij Jefimowicz Rasputin?

- Panie! Puściecie!

- No tylko powiecie mi: w dalszych miastach też na mnie czekają? a w pociągu samym? jest kto? i z jakiej przyczyny nienawiść do mnie taka, a?

- A skąd mnie wiedzieć, co w inszych miastach, puściecie! Co w pociągu! Dla mnie takie słowo ojca, lód na sercu, najmiłościwszy, puściecie!

- Ale jaki powód, powód być musi!

- No taki, jaki! - Marcynowiec łypnął spod zlepijącego rzęsy czarnego szronu. Wychudzony, z cerą poharataną i przebarwioną od odmrożeń starych, z zarostem kilkudniowym na policzkach zapadniętych, sprawiał wrażenie karykatury sybirakatorznika, tylko kajdan mu brakowało. Teraz skuwały go okowy od żelaza twardsze. - Wy już tam wiecie sami najlepiej, khr. Ottiepielnicka zaraza, czy trockista, czy narodnik, czy anarchista, czy zapadnik peterburski, abo inszy rewolucyjonista, zawsze jedno w głowie: rozmrozić, rozmrozić, rozmrozić nam Rosję.

- Co?

- Puśćcie!

- Że niby co ja chcę zrobić...?

- A po co jedziecie do ziemi świętej? Wszyscyście tacy sami! Ogień nam w oczy! Ale Bóg zesłał Rosji lute. To zabić lute! Zabić Batuszkę Caria! Zgubić kraj! Wszyscyście tacy sami!

- Jezu Chryste na krzyżu cierpiący, o czym wy gadacie?!

- Harmata lodem bijąca w garści i jeszcze się zapiera, rusobójca! - Szarpnął się ponownie. Gdyby gniew istotnie palił ogniem żywym, marcynowiec przetopiłby się na wylot przez całą obmarzlinę. - Już na was czekają! Cziort z wami!

Rozejrzało się po ulicy. Ta rozmowa donikąd nie prowadzi. Lewą ręką wyjęło się ostrożnie Arcymistrza z ręki prawej. Wróciło się po płótno i aksamit.

- Puśćcie! - darł się zmrożeń. - Powiedzieliście, puśćcie!

Podniosło się szmaty, zawinęło w nie rewolwer.

- Kłamstwa poznać nie potraficie?

Coraz więcej świateł paliło się w oknach - dokąd zaniósł się huk wystrzału Grossmajstera i krzyki marcynowca. Ulice przecinają się w Jekaterynburgu pod kątem prostym, miasto pobudowano podług XVIII-wiecznego regularnika, nawet most przeskakujący Gorodskoj Prud Isetskij stanowi proste przedłużenie ulicy. W tym kierunku - most; w tamtym - dworzec. Schowawszy Arcymistrza, ruszyło się szybkim krokiem na północ, masując ramię złodowaciale. Dzięki Bogu za ten mróz, inaczej na pewno już jakiś rozbudzony mieszczanin pofatygowałby się sprawdzić przyczynę nocnych hałasów. Marcynowiec wrzeszczał nadal.

Na szczycie ulicznej pochyłości przystało się, spojrzano się przez ramię. Śnieg nie

przestał sypać, pierwsze promienie wschodzącego Słońca rozszczepiały się na wirujących w powietrzu płatkach, igiełkach srebrzystych, cukrowych kryształkach. Wokół lutego i lodowego kielicha krateru, wokół otaczającej go korony sopli oraz zawieszzonego na jednym z nich człowieka - rozkwitały błękitne łuny, bił blask zimowo-letniej jutrzeńki. Przesunęły się chmury na niebie, zamykało się w nich okno słoneczne, i łuny gasły; potem zaraz rozwijały się od nowa - na krócej - dłużej - krócej... Przypląwy dnia na płytkim szelfie nocy. Gały Jekaterynburg przykryty był bielą, i to prawie wyłącznie płaskimi powierzchniami bieli, jakby ktoś postawił tu wycinankę z czystego kartonu w kształcie miasta zamiast miasta; a pod tym słońcem kartony ożywały, biel rodziła kolory. Nawet luty promieniował cieplejszymi barwami, po rozgałęzieniach jego asymetrycznej zmarzliny spływały tęcze zimnawowe. Tylko człowiek w żółtym płaszczu, im cieplejsze światło dotykało jego twarzy, im wyżej podchodziły po jego szronie fale dnia - tym większe wykrzykiwał przerażenie. Gdy lód w końcu zejdzie z jego barków i marcynowiec poczuje ranę po oderwanem ramieniu - gdy lód puści i zawieszony nad marcynowcem masy spadną na jego kark -

Szybkim krokiem pomaszowało się ku dworcowi.

Ünal Tayyib Fessar stał nad zwłokami nożownika, oparty o koło pustej dorożki, i palił swoje cygaro.

- O! - Wypluł dym. - Nie pobiegli za panem?

- Kto?

- Książęcy.

Dorożkarza ujrzało się w zaułku, przyświecał ręczną latarnią żandarmowi, który pochylał się nad ciałem o zgniecionej czaszce. Śnieg padał na krew w śniegu rozlaną.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do pociągu. Miejscowa policja może chcieć nas zatrzymać.

- Mhm?

- Żebyśmy świadczyli w sprawie.

Turek spojrział z niezdrowym zaciekawieniem.

- Radca Dusin już się tym zajął. Co się panu stało w ramię, panie Benedykcie? Jest pan ranny?

- Radca Dusin?

- Przecież mówię panu, że to księżęcy ludzie.

- Kto?

Fessar zatroskał się.

- No, no, lepiej rzeczywiście wracajmy do pociągu. Proszę -

- Nic mi nie jest! - Odtrąciło się rękę kupca. - Skąd Dusin? - A kto ich ustrzelił? Znaczący, tego tu? Ludzie księcia Błuckiego przecież.

Ponownie zajrzało się w głąb zaułka. Żandarm przeszukiwał kieszenie trupa.

- Nie, jego nie - rzekł Turek. - A jeśli nawet, to się nie przyznają, wyjątkowo nieprzyjemny widok. Chodźmy.

Zadrzało się.

- Kto -

- Przecież widzę, że ledwo się pan trzyma na nogach. Właściwie mógłby nas podwieźć, nasz tu geniusz-policmajster sam sobie poradzi, zaraz -

- Nie!

- No to chodźmy, chodźmy.

Szło się po własnych śladach. Za kim pobiegła służba księcia? Za chłopcem o czarnych oczach? Za pozostałymi nożownikami? Zapewne.

- Sibirchożeto zrobi wszystko, żeby zachować monopol - mówił cicho Ūnal Tayyib, patrząc przed siebie i pod nogi. - Jak Thyssen próbował postawić choładnicę na gnieździe nad Dunajem, cztery pożary jeden po drugim im zakwitły, aż się w końcu lute nazad rozeszły. Potrzebujecie protektorów. Książę jedzie do Władywostoku, jakżeście się z nim umówili? Na kogo możecie liczyć tam na miejscu? Kto w to pieniądze wkłada? Kto udziały ma? Moglibyśmy wam pomóc. Powiedzmy, wyłączność z nowych złóż i choładnic na Indje, Azję Mniejszą i Afrykę, na dwadzieścia pięć lat. Co? Niech będzie piętnaście. Gwarancja na miejscu i otwieram akredytywę na sto tysięcy w godzinę po tym, jak staniemy w Irkucku, moje słowo wystarczy. Co? *Je suis homme d'affaires*. Panie Benedykcie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówisz.

- Tak samo jak nie miał pan pojęcia, że tu na pana czekają, a? Przecieżem nie ślepy, mało pan ze skóry nie wyskoczył - no i po co było pod nóż pędzić? Tak się dogadaliście z radcą



Dusinem? Że będzie pan robił za przynętę, a ludzie księcia ich powystrzelają? Po to był ten teatr wczoraj przy obiedzie? Teraz nie na wiele się zda. Niech pan spojrzy: *madame* Blutfeld, nasz pan pisarz żurnalista, już gadają, stróż dworcowy wszystko wypaplał, niby ulica pusta, a jedna chwila i cała służba wie. Powiemy, że jakaś banda chciała nas okraść - ale to się długo nie utrzyma - dwa trupy... a może trzy?

- Dwa.

- Dwa. Nie trzeba było wychodzić z przedziału, po coś pan tam szedł?

Przysiadło się na ławce dworcowej. Na szczęście ci pasażerowie dyskutujący w świetle lamp peronowych z prawadnikami i roslým dorożkarzem nie patrzyli w tę stronę. Fala śniegu stała w powietrzu w poprzek torów, pomarszczona firana mrozu. Czy strzały słycać było i na dworcu? Czy ktoś z nich przejeżdżał tamtą ulicą? Żandarm sam przybiegł, czy też został wezwany przez Dusina? Fessar ma rację, to nie ma znaczenia, plotki nie sposób powstrzymać.- Pan jednak jest ranny. Obudzę doktora Konieszyna.

- Nie! - Wstało się. - To nie rana. Zaraz się zbiorę.

Turek kręcił głową.

- Po coś pan tam szedł, po co.

- Pan nie zrozumie... nikt tego nie zrozumie... nie można opowiedzieć... - A mimo to oczywiście próbuje się: - Nie powinienem był iść. Zostałem ostrzeżony. Nie miałem żadnych powodów. Wszystkie powody przeciw.

Fessar pierwszy wszedł do wagonu i pomógł wspiąć się po schodkach. Się oparło się plecami o ścianę korytarza.

- Zastanawiałem się, skąd tłucze mi się po pamięci to nazwisko. - Ünal Tayyib machinalnie sięgnął po zegarek, zerknął w roztargnieniu na cyferblat. - Jeszcze godzina co najmniej. I teraz dopiero - jak pomyślałem o mapach, jakie krążą po Kraju Lutych - nie, nie Grochowskiego - ale przecież wielu polskich zesłańców pracuje na tych ziemiach. Musiała mi wpaść w ręce - mapa? raport? patent może? Gierosławski, tak? Gierosławski. Był taki geolog - Kruppa? Żylcewa? A ostatnio chyba także na listach gończych. Jakaś sprawa głośna, a religijna. To dlatego, prawda?

Nie odpowiedziało się.

- Dlatego - szepnął. - Brat? Ojciec? Krewny. Odkrył metodę, nareszcie. - Turek schował

zgasłe cygaro, ściągnął rękawiczki. - Nie musi pan nic mówić, już rozumiem, rozumiem.

Co on rozumiał? Zaciskało się zęby, w tym bólu nie sposób było jasno myśleć. Zresztą Turek rzeczywiście nie czekał odpowiedzi.

- Ale że za pana bilet płaci carskie Ministerjum Zimy! To mnie zbiło z tropu. Polityka, myślałem sobie. A tu wyskakuje księżę Błucki-Osiej. No jakże! Ministerjum Zimy od początku obsadzali ottiepielnicy. Von Zielke, Rappacki. A Pobiedonoscew z kolei musi opłacać liedniaków, choćby nie chciał. I tak to się kręci -

- Pan wybaczy, trzeba mi już -

- *Hay hay, olur.* - Ukłonił się i odsunął, robiąc przejście w wąskim korytarzu. Stał tam jeszcze przez chwilę, wsparty na lasce, w futrze ciężkim podobny sylwetką staremu niedźwiedziowi.

Długo walczyło się ze zgrabiałymi palcami lewej dłoni, zanim trafiło się kluczem w zamek.

Drzwi atdielienja były jednak otwarte.

- Proszę wejść.

Siedział na krześle pod oknem. Zaciągnął zasłony - czarny garnitur i cień zamiast twarzy, a na kolanach melonik, tyle było widać. Wróciło wspomnienie czynowników Zimy, ich pierwszego obrazu rozlanego na źrenicach zaraz po przebudzeniu. Nigdy nie pytają o pozwolenie, zanim wejdą; ich jest władza.

- Zamknij pan drzwi.

Zapaliło się światło. Paweł Władimirowicz Fogiel zamrugał, poprawił na nosie binokle.

- Zamknij pan drzwi, gaspadin Jerosławski, nie mam wiele czasu, proszę słuchać. Mówili mi, że lepiej pozostawić pana w nieświadomości, ale to nie byłoby uczciwe. Naszem -

Się osunęło się na posłanie, głowa uderzyła o boazerję. Siwowłosy ochrannik zmarszczył brwi.

- Naszem zadaniem jest ochrona doktora Tesli i jego aparatury. Otrzymaliśmy informację, że w ostatniej chwili liedniacy umieścili pośród pasażerów Luksu jeszcze jednego człowieka. Zwiedzili się jakoś, że mamy Wazowa na widelcu. Zajęliśmy się Wazowem pierwszego dnia; nie poszło wedle planu i jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za interwencję, niemniej w ten sposób pan się na niebezpieczeństwo wystawił. - Fogiel nachylił się ku posłaniu. - Czy wy

mnie słuchacie? Nie wiemy, na coście potrzebni Zimie, i nie wiemy, co was łączy z Jego Wysokością. Ale wiemy, że teraz już liedniaki mają was za zagrożenie chyba nie mniejsze od doktora Tesli. A naszym zadaniem jest ochrona doktora Tesli i jego aparatury. Rozumiecie, co do was mówię?

- Jestem wysta... na odstrzał.

- Może i nie powinienem. Zrobicie, jak uważacie. Teraz wiecie. To może być każdy z nich.

- Każdy i żaden i wszyscy na -

- Co?

- Tsssss. Powiedzcie mi, Fogiel. Dlaczego liedniacy? Co mnie do... Khr.

- A wasza sprawa z Zimą? Po co tam jedzicie?

- Ojciec mój, Zima tak mi rzekła, on gada z lutymi.

- Ach! I wy się dziwicie? Na dworze też się czytuje Bierdiajewa. Ja jestem urzędnik porządku państwowego, mnie nie postawiono do prostowania Historji, nie modłę się do Lodu. Ale są tacy, są, i tu, i tu.

- To nie ma -

- Co z panem? Dobrze się pan czuje?

Wstał, nachylił się z troską, elektryczne światło ozłociło włosy siwe. W szklach jego binokli odbiła się wykrzywiona w wielkim cierpieniu twarz o krogulczym nosie i czarnych wąsach - czyja twarz - znajoma. Wyciągnął rękę. Się zawinęło się w pled.

- Gaspadin Jerosławski?

Dreszcze uniemożliwiały wyraźną mowę.

- Się-roz-roz-ta-pia-się.

Nie spostrzegło się jego wyjścia; nie zauważyło się, kiedy Ekspres ruszył ze stacji w Jekaterynburgu. Gdy wkrótce potem pociąg mijał na dwa tysiące siedemdziesiątym ósmym kilometrze czworokątny słup wyznaczający zachodnią granicę Syberji - ów totem władci carskiej nad Europą i Azją, pokryty wielojęzycznymi inskrypcjami pożegnalnymi, modlitewnymi i złorzecznymi, setkami nazwisk rosyjskich, polskich, żydowskich, niemieckich, arabskich, przy którym ongi zatrzymywały się kibitki, a rodziny opuszczały

zesłańców - gdy pociąg mijał granicę, leżało się nieprzytomnym w gorączce pozmrozeniowej. Ottiepiel przemogła w organizmie lod, krew napływała z powrotem do zimnej prawicy. Się śniło o krze pękającej, o rwących strumieniach odwilży i Słońcu wschodzącym nad kontynentami, śniło się - aż Słońce naprawdę wzeszło, i to było lato.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### O czterdziestu siedmiu półmordercach i dwojgu jeśli-śledczych

Zwyciężyła, obracając łyżeczkę na obrusie o dziewięćdziesiąt stopni. Kombinacja trzech porcelanowych kubeczków paraliżowała maselniczkę. Pod chlebnikiem padły szklanki i kieliszki; śmiała szarża flakonika z bukiecikiem świeżych kwiatów unieruchomiła pancerniki talerzy metalowych. Nóż zatonął w bagnistej konfiturze. Słońce padało na serwetki; cień solniczki wskazywał lewy róg stołu. Odwody półmisków z wędlinami nie przybywały. Chleb był biały, drobnoziarnisty. Pozostało poddać sałatkę.

Poszło się na śniadanie, zanim jeszcze prowadnik prosił na posiłek, coby wyprzedzić i rozminąć się z pozostałymi pasażerami. Teraz, gdy chwilowo obróciło się wstyd na własną korzyść, inny imperatyw nakazywał te same zachowania: skryć się, schować głowę, przeczekać. Bo - *to może być każdy z nich*. Nie wiedząc, czego lękać się bardziej, wybierało się rozwiązania pośrednie. Rozwiązania pośrednie, działania po ścieżce niższego oporu, wybory kompromisowe - tern bardziej nie czynimy wówczas tego, co chcemy zrobić; czyni się samo.

Usiadło się przy pustym stole, skinęło się na stewarda. Wskazał zegar. Się oparło się ramieniem o futrynę okna, poranne słońce płynęło zza pleców ciepłymi falami wprost nad równin zielonych, rozległej szych od przestworu niebieskiego, Bogdanowicz został już w tyle, do Tiumieni Ekspres powinien dotrzeć przed południem, maszynista starał się nadrobić opóźnienie. Zadzwończyła okucia drzwi jadalni. Spojrzało się. Panna Muklanowiczówna.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Musiała słyszeć ze swojego przedziału kroki i szcęk zamka, przed nią się nie skryje się. Ziewając dyskretnie, mrugała w słońcu zalewającym pusty wagon restauracyjny.

Naturalnie przysiadła się. Ucałowało się jej dłoń.

- Gdzież panny ciocia szanowna?
- Ciocia źle się czuje.
- O, mam nadzieję, że nic poważnego.

Nadal się uśmiechała, pamiętało się ten uśmiech: chochliki w oczach, chochlik w kąciku ust. Wygładziła starannie serwetę. Złe przecucie rosło wewnątrz jak bąbel gazów gnilnych.

Splotła dłonie w koszyczek.

- Spotkałam o świcie panią Blutfeldową.

- Nawet nie pytam.

- Pan się nie docenia, panie Benedykcie. Alibaba potrzebował czterdziestu rozbójników.

- Litości.

- A ja panu chciałam pomóc, co by się pan w samotności nie spalił, biedaczysko. I przed księciem odwagi dodać. Aleście nas wszystkich nabrali!

- Dobrze więc, pytam. Cóż ta straszna kobieta znowu rozpowiada?

- Był pan już hrabią - panna Jelena liczyła na chudych paluszkach - hrabią, szelmą salonowym, teraz okazuje się nocnym awanturnikiem, brutalem krwawym. To kim pan jest naprawdę?

Zamknęło się oczy.

- Tak jak panna mówiła.

- Mhm?

- Każdym w jednej dziesiątej. Wszystkimi naraz.

- Akurat.

- A niby skąd można takie rzeczy wiedzieć? Słucha się innych ludzi, powtarza, co o tobie mówią. Albo słucha się własnych marzeń i snów. Hrabia, awanturnik, bałamut, proszę bardzo. Cokolwiek panna wybierze. Jesteśmy w podróży, nie znamy się, któż bronі zawierzyć plotkom?

- Plotkom - zanuciła. - Plotkom. Plotkom.

Uniosło się lewą powiekę.

- Co?

- Plotki *Frau* Blutfeld ani dorównują prawdzie. - Pokiwała karcąco palcem wskazującym.

- Ja wiem, ja wiem, nie wyprze się pan Benedykt. Uknuliście z księciem Błuckim całą intrygę, w Jekaterynburgu krew się połała, to wszystko są petersburskie igry, tak, tak.

Się przeżegnało się zamazyście.

- Jak mi Bóg miły, panno Jeleno, przedwczoraj, w sobotę, księcia Błuckiego pierwszy raz na oczy widziałem, na polityce rosyjskiej nie znam się w ogóle, a do awantur ulicznych nadaję się jak *Frau* Blutfeld do baletu! O, jeszcze mi się ręce trzęsą. Jacyś podpici rabusie nas opadli, pan Fessar może poświadczyć, żulia miejscowa, cud, że ludzie księcia byli w pobliżu, inaczej w trumnie bym dziś podróżował, no i czemu panna robi takie oczy!

- Ależ pan łże, panie Benedykcie! - zachwyciła się Jelena Muklanowiczówna i w tym uniesieniu aż złożyła dłonie jak do modlitwy. - Ależ pan łże!

Zazgrzytało się zębami.

- A żeby cię, naczytała się durnych romansideł i -

- Pociąg nie jechał.

- Co?

- Pociąg nie jechał. - Pochyliła się nad blatem, dłonią marmurowo białą przyciskając żabocik do piersi. - Staliśmy na stacji. Środek nocy, cisza jak makiem zasiał. - Obniżyła głos do szeptu. - Nie spałam. Słyszałam każde słowo.

- O czym panna -

- „Naszem zadaniem jest ochrona doktora Tesli i jego aparatury”.

- O Boże.

- „To może być każdy z nich”.

Skryło się twarz w dłoniach.

Panna Muklanowiczówna zachichotała.

Jęknęło się cicho.

- Ratunku.

- Czy podać śniadanie klubowe, czy wybiorą państwo z menu -

- Prosimy, prosimy. - Jelena uśmiechnęła się do stewarda.

Pojawiła się na stole zastawa, wypolerowany samowarek, dzbanuszki z mlekiem, misa z owocami. Panna Jelena, z główką lekko pochyloną, spoglądając spod rzęs czarnych, zaczęła bawić się rajskim jabłuszkiem. Obserwowało się ją przez palce lewej ręki, na której wspierał

się teraz ciężar głowy bezwładnej. Panna śpiewała coś pod nosem, chochlik-iskiernik przeskakiwał z jej oczu w rubin na szyji i z powrotem. Wysunąwszy w wielkim namyśle koniuszek języka, położyła różowe jabłuszko pomiędzy samowarem a cukierniczką, na linii dzielącej w poprzek ośmioosobowy stół. Spojrzało się na jabłuszko, na pannę, na stół, na jabłuszko. Czekala. Wybrało się z koszyczka maślaną bułeczkę i umieściło się ją w takiej samej odległości po przeciwnej stronie samowara. Panna Jelena przycisnęła grzbiet dłoni do warg czerwonych. Po chwili zastanowienia przesunęła sąsiednią zastawę, otwierając białą równinę obrusu na swojej lewej flance. Odpowiedziało się generalną rearanżacją sztucców. Panna Jelena, nądawszy uroczo policzek, ustawiła karafkę z wodą w środku strugi promieni słonecznych, kładąc na swoją część stołu błękitno-zielone tęczę. Się szarpnęło się za wąż, przygryzło się paznokieć. Solniczka, cała nadzieja w solniczce.

Nie zna się zasad gry, a jednak się gra. Spoglądało się na pannę Jelenę z nieskrywaną podejrzliwością. Czy był to jedynie kolejny odruch nadenergicznego dziewczęcia, czy też ona dobrze wiedziała, co czyni? Być może nie tylko ów wyjęty z życia epizod, kilkudniową podróż Transsibem, czas poza czasem - ale całe życie swoje rozgrywa podobnie. Nie zna się zasad gry, a jednak się gra. Tak osiągnie się mądrość, której nie osiągnie się w żaden inny sposób. Rodzimy się - nie wiemy po co. Dorastamy - nie wiemy do czego. Żyjemy - nie wiemy dla czego. Umieramy - nie wiemy w co. Szachy mają reguły, zimucha ma reguły, nawet dworskie intrygi rządzą się swoimi zasadami-a jakie są prawidła życia? Kto w nim wygrywa, kto przegrywa, jakie są kryteria zwycięstwa i klęski? Nóż służy do krojenia, zegar - do odmierzania czasu, pociąg - do przewożenia towarów i pasażerów; do czego służy człowiek? Nie zna się zasad gry, a jednak się gra. Wszystkie inne gry stanowią wobec niej dziecinne uproszczenia na granicy oszustwa, ogłupiające ćwiczenia w mechanicznej sprawności rozumu. A to jest gra prawdziwa. Jej reguły i cel pozostają nieznane - można o nich wnioskować jedynie z samego gry przebiegu, tylko tak się przejawiają, w naszych własnych posunięciach. Nie ma sędziego. Przegrywasz, wygrywasz - ale dlaczego i skąd ta pewność, nie potrafisz wyrazić w żadnym języku międzyludzkim. Solniczka szachuje musztardę. Nie zna się zasad gry, a jednak się gra.

Zwyciężyła, obracając łyżeczkę na obrusie o dziewięćdziesiąt stopni. Kombinacja trzech porcelanowych kubeczków paraliżowała maselniczkę. Pod chlebnikiem padły szklanki i kieliszki; śmiała szarża flakonika z bukiecikiem świeżych kwiatów unieruchomiła pancerniki talerzy metalowych. Nóż zatonął w bagnistej konfiturze. Słońce padało na serwetki; cień solniczki wskazywał lewy róg stołu. Odwody półmisków z wędlinami nie przybywały. Chleb



był biały, drobnoziarnisty. Pozostało poddać sałatkę.

Panna Jelena przyjęła triumf w milczeniu. Nie odezwała się, jedząc. Spokojnie dopiła herbatę ziołową, osuszyła wargi serwetką. Ani razu nie odwróciła wzroku, jej uśmiech karmił się oświetlającym ją słońcem, było to istne *perpetuum mobile*, radość w odpowiedzi na zgryzotę, radość w odpowiedzi na irytację, radość w odpowiedzi na obojętność - nie można było pozostać obojętnym. Mały palec unosiła i opuszczała do muzyki pociągu, tuk-tuk-tuk-TUK, aż zaczęło się podświadomie postukiwać kłykciami o blat w kontrapunkcie do jej rytmu. Tylko uśmiechnęła się szerzej, był to dalszy ciąg tej samej gry, teraz się to rozumiało - od pierwszego przelotnego spotkania, wcześniej, od krótkiego spojrzenia owej nocy, gdy ochranniki sprawdzali na korytarzu dokumenty pasażerów - czy w ogóle zdawała sobie sprawę, wątpliwe. Nie zna się zasad gry, a jednak.

- Dziękuję.

Wstało się. Steward odsunął jej krzesło. Otworzyło się drzwi.

W przejściu nagle przystanęła.

- Zatem zaczynamy.

- Zaczynamy...?

- Śledztwo.

- Śledztwo - powtórzyło się głucho.

- Sporządziłam listę. Odliczając dzieci i pasażerów, którzy dosiedli się za Moskwą, mamy czterdziestu pięciu podejrzanych.

- Sporządziła panna listę.

- To oczywiste. Wiemy, że jedna z osób podróżujących Luksem jest mordercą. Pytanie: która?

- Jeszcze nikogo nie zamordowała.

- A! Tem trudniejsza zagadka! Musi mi pan wszystko dokładnie opowiedzieć. Doktor Tesla to ten wysoki starzec, z którym rozmawiał pan wczoraj po grze, prawda? A ta blondyneczka, z którą widziałam pana na wieczornym postoju?

- Panna się naczytała sześciokopiejkowych *Sherlocków Holmesów* i *Przygód agentów policyjnych*.

Panna Jelena chciała się dla większego efektu wziąć pod boki, ale korytarzyk był zbyt ciasny; zadowolila się założeniem rąk na gorsie.

- A pan Benedykt co ma przeciwko Sherlockowi Holmesowi?

- Poza tym, że to nieprawdziwy detektyw rozwiązujący zagadki nieprawdziwych zbrodni? Nic.

- Niechże się więc pan podzieli swoim doświadczeniem w rozwiązywaniu prawdziwych -

- Cicho.

Prawadnik uklonił się i podszedł bliżej. Zerknął pytająco na pannę. Skinęło się dłonią. Nachylił się, niemal przyciskając wargi do ucha, gorący chuch sparzył małżowinę.

- Wasza Wielmożność chcieli wiedzieć o tym chłopcu z kupiejnego... - zawiesił głos.

Sięgnęło się drżącą ręką po pugilares, wyłowiło się banknot.

- Zwie się Miefodij Karpowicz Pielka - wyrecytował prawadnik. - Siedem ce w czwartym wagonie drugiej klasy.

- Gdzie wysiada?

- Opłacił miejsce do Irkucka.

- Jedzie od Moskwy?

- Od Buju, Wasza Wielmożność.

Zerknęło się na Jelene. Udawała, że nie podsłuchuje, ale marnie jej to szło; zwróciwszy głowę w inną stronę, chyliła się jednak ku prawadnikowi - stukot i hałas pędzącego pociągu bardzo podsłuchiwanie utrudniały, zwłaszcza tutaj, przy przejściu międzywagonem.

- Chce panna znaleźć mordercę? - szepnęło się po polsku. - Może na początek maładca, co wczoraj rozłukł człowieka na miazgę.

Otworzyła szerzej oczy. Zaraz wszakże wrócił uśmiech, ujęła w mocny uścisk podane ramię, uniosła podbródek.

- Niech się pan Benedykt nie boi, ja pana Benedykta obronię.

Prawadnik prowadził.

Ciasnota pociągu bardzo jednak utrudniała konwencjonalne gesty afektu (konwencjonalne, czyli takie, w których człowiek zbliża się do człowieka, nie zbliżając się

wcale). Syknęło się z bólu i w korytarzyku po drugiej stronie jadalni Jelena musiała puścić ramię.

- Coś się panu stało? Nie spytałam, przepraszam, ten człowiek wczoraj w nocy też się niepokoił. Pobili pana?

- Nie.

- To ręka.

Za wagonem restauracyjnym prowadnik otworzył drzwi do pomieszczeń służbowych. Puściło się pannę Muklanowiczównę przodem. Oglądała się przez ramię.

- Zauważyłam przy stole, drżała panu dłoń.

- I pewnie sądziła panna, że to z nerwów.

- Boli pana? Co się stało?

- Zmarzłem.

- Gdyby coś sobie pan odmroził -

- Nigdy nie straciła tak panna czucia w kończynie? Że krew przestała krążyć w ręce, nodze, dotknie panna skóry, ale brak wrażenia dotyku, obce mięso, i żadnej nie ma panna nad nim władzy, to balast martwy - a potem nagle wraca weń ciepło, wraca czucie i krew świeża. Mrowi, swędzi, piecze, kłuje, boli. Boli, prawda? Niech sobie panna przemnoży to tysiąckroć. Jakby kto wlał w żyły kwas gorący. Lód jest bezbolesny; boli wyjście z lodu.

Przystanęła, spojrzała z uwagą, znowu oczy zachłanne i głowa przechylona ku interlokutorowi, jak to *mademoiselle* Muklanowiczówna potrafi.

- Mówi pan teraz o ciele?

- A o czym?

- Jaki to mróz musiałby panować w Jekaterynburgu, żeby tak człowieka ściąć?

- Był tam luty. I marcynowcy. Słyszała panna o marcynowcach?

- Sanatorium profesora Kryspina stoi pono tuż nad spalonym eremem Świętego Samozmrożeńca.

- No tak. Panna więc pewno o nim czytała, to i pozna. Miefodij Karpowicz nosi medaljon ze świętym w lodzie. Niech panna idzie, prowadnik czeka.

Na korytarzu w wagonach kupiejszych panował znacznie większy ruch, prawie wszystkie przedziały pozostawały otwarte, dochodziły z nich odgłosy rozmów, odgłosy przygotowywanych naprędce posiłków, szkło stukało o szkło, ktoś śpiewał, ktoś chrapał, życie toczyło się też na korytarzu, przed łazienką tłoczyła się kolejka, przy uchylonych oknach stali mężczyźni, palili papierosy; mała dziewczynka biegła wzdłuż wagonu, zaglądając po kolei do wszystkich przedziałów, rozchichotana, zapewne bawiła się z kimś w chowanego. Weszło się do innego świata, to był inny pociąg.

Różnica klasy - to znaczy majątności - sama w sobie o niczym nie przesądzała. Zrozumiało się to dopiero po chwili, przechodząc już do kolejnego wagonu. Otóż tu jechali prawie wyłącznie Rosjanie. Pasażerowie Luksu, nawet jeśli z urodzenia podwładni cara, nie dzielali zwyczajów ludu Imperjum, skutecznie się od ludu odkleili. Jewrapejska etykieta, petersburska moda, wyważone konwersacje, po niemiecku, francusku... dystans i powściągliwość. One są sztuczne - naturalny jest natomiast właśnie ten duch wspólnoty, odwieczna pamięć obszczynnych społeczności; wystarczy parę dni, by instynktownie stworzyli ze współpodróżnymi więzi tak samo silne i szczere, by po - wrócili do tradycji ziemi.

- Miefodja? Ano, prawda, musiał już wstać. Fiodorze Iljiczu, widzieliście i dziś małego?

- A nie wstał on jeszcze przed świtem?

- A, przed Bogdanowiczem, tak, dosiadali się w przedziale obok i hałasowali okrutnie, tośmy się pobudzili. Ktoś zajrzał do chłopaka, gadali chwilę, wyszli. Na postoju watierklozet zakluczony, za przeproszeniem pięknej pani, no to pewnie zakurzyć poszli.

- A kto to był, panowie nie wiedzą?

- Spali my przecie. Tyle co otworzy człowiek oko i obruga jednego i drugiego, coby snu innym nie kłócili. No to poszli.

- Na korytarzu byśmy go spotkali. Może siedzi w którymś z tych zamkniętych przedziałów. - Skinęło się na prowadnika. - Przejdźcie się, z łaski swojej, i sprawdźcie.

Westchnął, zawrócił.

- A czego państwo od chłopaka chcą? - zatroskał się Fiodor Iljicz.

- Nic, pogadać tylko. Tu śpi?

- Ano. Ale, znaczy, pogadać czy pogadać, chodziły tu już od samej Moskwy żandarmy

tajne -

- Nie - się zaśmiało się - nie o takie rozmowy chodzi. Gdzie są jego koce?

Fiodor wzruszył ramionami.

- Oddał nam. Mówi, że nie potrzebuje, że mu gorąco. Skąd wy jesteście, z Litwy? Moja siostra Jewdokja, oby spoczywała w pokoju, żyła w Wilnie do tysiąc dziewięćset dwunastego, byliście może kiedy w traktierni Lubicza?

- Nie.

Wrócił prowadnik.

- Nie ma. - Teraz wyglądał na zaniepokojonego. - Mógł wysiąść w Bogdanowiczu.

- I zostawił swoje rzeczy?

Panna Jelena zrobiła tajemniczą minę.

- Zagadka Znikającego Pasażera - szepnęła.

Zjawił się prowadnik wagonu; zaczął się już bowiem robić tłok, zator w korytarzu - w takiej zamkniętej społeczności każde zakłócenie naturalnego rytmu dnia urasta do rangi sensacji.

- Chodźmy lepiej do służbowego.

Prowadniki wskazali drogę. Prowadnik kupiejący zamknął zaraz drzwi, zakrzętnął się przy samowarze, gości trzeba ugościć, nic to, że właśnie ze śniadania idą. Starszy służbowiec rozpiął wygalonowaną kurtę munduru, brzuch wylało mu się nad pas szeroki, tak rozsiadł się pod oknem. Targnąwszy za brodę, pokręcił głową, co też państwo wielmożne sobie myślą, w naszym pociągu takie rzeczy się nie zdarzają, za każdego pasażera odpowiadamy, każdego pasażera liczymy, musiał być wymknąć się cichaczem na postoj i nie zdążył na czas z powrotem, z podróżującymi Luksem nigdy rzecz taka się nie przydarzyła i przydarzyć nie ma prawa, zapewniam ja wasze łaskawości. Przyciskał dłoń do serca. Imię jego było Siergiej; kupiejnemu mówił „Niko”. Jeden był bardziej rozżalony, drugi bardziej zły; obaj zażenowani.

Się przyglądało się grze panny Muklanowiczówny. Ledwo teraz obróciła szklanicę w dłoniach, ledwo nachyliła się nad ebonitowym blatem stolika, gdzie spoczywały szczegółowe rozkłady jazdy i rozdzielniki wagonowe. Tyle co poruszy główką w strudze blasku słonecznego, co zmruży oczka przeciwko blaskowi. Co zrobić? Skapitulować znowu? Ba, skapitulowało się, nie odprawiając jej od razu po pierwszym szepcie Siergieja o Miefodiju.

- Powiada pan zatem - podjęła Jelena - że ów Pielka brał udział w jekaterynberskiej awanturze. Że był od świętego Marcyna. Niedługo potem, jak wyjeżdżamy z Jekaterynburga, ktoś przychodzi do atdielienja Pielki, wyprasza go - i tyle Pielkę widzieli. Prowadniki mogą się zaprzysięgać; tak czy owak, nigdzie w wagonach drugiej klasy naszego Miefodija Pielki nie ma.

- Mógł wsiąść i spóźnić się na odjazd, jak mówi Siergiej. Pewnie wysiadł.

- Albo wyskoczył.

- Albo wyskoczył.

- Albo został wyrzucony.

- To też możliwe.

- Albo wyrzucono jego zwłoki.

- Albo - przytaknęło się.

Panna zamoczyła wargi w parującym czaju. Sięgnęło się po cukier. Pociąg trząsał, szare kryształki rozsypały się na gładzi czarnej, suchy śnieg.

Przedział nie był obszerniejszy od przedziałów luksusowych, cztery osoby czyniły tu tłok, a że okno pozostawało zamknięte (przy otwartem nie dałoby się rozmawiać w czasie jazdy) i przez jego szybę stepowe słońce nagrzewało wewnątrz niczym szklarnię ogrodu botanicznego, i grzał je samowar, grzało spocone cielsko Siergieja - szybko zapanował charakterystyczny dla wagonów kupiejszych zaduch, tłusta wilgoć skropliła się na skórze, spłynęła po podniebieniu do gardła... Powróciły wspomnienia z kamienicy Biernatowej, przelknęło się ślinę, już gęstą, już lepłą. Gorąca herbata była po to, żeby jeszcze bardziej podnieść temperaturę ciała. Ci w klasach trzeciej, czwartej - pomyślało się - w tych wagonach prawie bydłowych, oni podróżują już w stanie całkowitego skłajstrowania, nie człowiek i człowiek, ale kolektyw i kolektyw, wielkie bloki muskularnego cielska Impierji, wielogębne, wieloreknie, wielojęzyczne, ale jedna krew w nich krąży, jedna ślina, jeden pot.

- A pan Benedykt zna tego Pielkę - skąd?

Wzruszyło się ramionami.

- Nie znam. Wczoraj go zobaczyłem przy trupiej rabocie, kazałem go tu odnaleźć, może by mi co z tego wyjaśnił, no i widać nie wyjaśni.

- Ciekawe, że w ogóle wyjechał z Jekaterynburga... Kto to tam był? Nadal będzie pan

utrzymywał, że przypadkowe rzezimieszki?

- Marcynowcy.

- Aha! - Zaświeciły się jej oczy. Coraz bardziej przypominała dziecko zaskakiwane kolejnymi prezentami: największa radość i podniecenie, zanim pociągnie się za pierwszą wstążkę, zanim rozedrze papier. Póki szczelnie zamknięta i tak efektownie opakowana, tajemnica zapiera dech w piersi: zawiera w sobie wszystkie możliwości najcudowniejsze. Zagadki kryminalne nie są po to, żeby je rozwiązywać; rozwiązane stają się bezużytecznymi.

- Tamci marcynowcy napadli pana i pana Fessara, a z kolei marcynowiec Piełka stanął w waszej obronie, czy tak? Mmm - pociągnęła długi łyk - coś mi to wygląda na religijną sprawę, musiał pan im nadepnąć na odcisk.

- Ba! Dopieram co w ogóle usłyszał o Marcynie. Pewnie jakaś schizma w sekcie. Albo inny swar pod ikonami. Wtedy rzeczywiście najsroższe okrucieństwo między braćmi, nie ma litości. Ale panna mi i tak nie wierzy, przecież spiskuję z księciem i pewnie z carem samym. Czort ich pabieri. Kto to w ogóle był - ten Marcyn?

Prawadnicy przysłuchiwali się prowadzonej po polsku rozmowie - rozpoznawszy imię Marcyna, wymienili spojrzenia, Siergiej sapnął, sięgnął do kieszeni mundira po piersiówkę i doprawił sobie ciemny czaj; siorbniejszy, sapnął po raz drugi... - Marcyn, ech, Marcyn. - Przeżegnał się. - Znamy go, panie, jeżdżą tu tacy, znamy, oj.

Któż znałby ich lepiej od odźwiernych Syberji: prawadników Ekspresu Transsyberyjskiego? Każda pielgrzymka wyznawców Marcyna zaczyna się od Transsibu. Chcąc nie chcąc, wierzą czy nie wierzą - to diakoni tego Kościoła.

Burknąwszy jeszcze, by Niko przykręcił poświstujący samowar, Siergiej rozpoczął opowieść, prędko wchodząc w ton i melodię skazki dworskiej: cudzy głos, cudze słowa - z ust najniższych heroldów Lodu.

Owóz był w kraju jakuckim Monastyr Awagiński, od czasu Raskołu i reform patryarchy Nikona obleczon złą sławą matecznika renegatów, odszczepieńców religijnych, przygarniska staroobrzędowców i rozmaitych sekciarzy. Pono tam właśnie szykowano kryjówkę dla zesłanego protopopa Awwakuma; Awwakuma jednak skazano na spalenie żywcem i zgładzono po torturach okrutnych. Podówczas wielu ginęło w ogniu, z własnej wszakże woli. Zbierali rodziny, z babami, z dziećmi, swoje księgi święte, i zamykali się w cerkwiach, a pod cerkwią kładli ogień. Płonęli samaszygatiele całymi gminami. Były lata, że szło z dymem do

nieba ponad trzydzieści tysięcy starowierców; Awwakum chwalił takie samasażzenie, ucieczkę ze świata razem z Cerkwią całkiem już przez Antychrysta opanowanego, oczyszczenie w płomieniach.

- A z czegoż to ów raskoł powstał?

- A-a, wielmożny panie, to Nikon przecie dopuścił w nabożeństwach kazania, procesje w cerkwiach w kierunku przeciwnym słonecznemu, *Alleluja* trzykrotne, krzyż dwubelkowy, i to zmienił, że można się było żegnać trzema palcami, zamiast dwóch, o.

- Trzema palcami. I o to się palili?

- Wasze Błagarodje lekce sobie waży prawdy wiary - obruszył się Siergiej-

- Ażbym śmiał! Zdaje mi się to jeno różnicą nazbyt błahą, by życie przez nią tracić. I czy istotnie przynależy do prawd wiary zewnętrzny gest obrzędu? Nie takie rzeczy stanowią o treści wierzeń, rozumiecie to przecie.

- W łacińskich herezjach pewnie nie ma to znaczenia - mruknął Niko - skoro i tak się żegnają jak popadnie, więc czemu nie „figą trójpalczastą”, tą pieczęcią Antychrysta, pod którą umysł się zaciemnia i przestaje odróżniać dobro od zła, rzecz istniejącą od fałszywej. Ale w wierze istinnoej nie może być dwóch prawd: jeśli zgodne z Bożą prawdą jest dwojepierstije, to nie trojepierstije; a jak trojepierstije, to nie dwojepierstije. A w tym groza, że Nikon dopuścił oba. Dozwolisz dyskusję nad Bogiem, zaprzeczysz Bogu. Zmienisz jedną literę Słowa Bożego, zabijesz Słowo Boże. Podniesiesz rękę w głosowaniu za lub przeciw Bogu, wyprzesz się Boga. Prawdę można tylko powtarzać wiernie; po tym poznać kłamstwo, że kłamstwo się zmienia, że jest go więcej niż jedno.

Zbliżał się był na dodatek rok Antychrysta, 1666, objawiali się prorocy i insze samozwańce, za Sabbatajem Cwi, skoro obwieścił się mesjaszem narodu wybranego, poszli prawie wszyscy Żydzi, czas był apokaliptyczny, i biorąc przykład z Monastynu Awagińskiego, zaczęto szykować monastyr na Wyspach Sołowieckich na azyl, gdzie bezpieczeństwo znaleźć mieli wszyscy prześladowani, przeciwnicy Nikona i jego reform. Syberja dawała schronienie.

...Aż się zabrała za nich władza i poszedł ukaz, coby rozgnieść te gniazda herezyj. Nasampierw trafiło w Monastyr Awagiński. Zburzyli go. Większość mnichów uszła, pochowali się po eremach, po chutorach i górskich jaskiniach, w dziczy. Mija wiek, drugi, a to się nie zmienia; tak powstał niewidzialny monastyr syberyjski, rozciągnięty na tysiącach



wiorst. Przyjeżdżali do nich współwyznawcy, jakoś się znajdowali, z drugiego końca świata ciągnęli, albo też sami sybiracy, starowiercy zesłani przez cara, popowcy i bezpopowcy, uczniowie, naśladowcy, następcy. Wywozili potem w świat pisma, częściej zostawali - wrosli w kraj. Ci i owi wymarli, ale też uciekali kolejni sektanci, i tak się wymieniali, pokoleniami, herezjami - znajdziecie tam i nieśmiertelników, i dobrolubowców, ewangelistów, żydowstwujuszczich, chłystów i skopców, szałoputów, kapitonowców, wazdychańców, skrytników, pierfiłowców, niemoliaków, nowych strigolników, fiedosiejewców, melchizedeków i babuszkinowców, pastuchowców i liubuszkiniów, akulinowców i stiepanowców, wędrownych biegunów jawnych i skrytych i skrytopodwójnych, małakanów, duchaborców, sztundystów, i tołstojowców pewno też, wioski i gminy, obszcziny całe sekciarzy innowierców, poza mapami i rejestrami cesarskimi, poza prawem i czasem, odcięte od świata, nie znajdziecie. Syberja daje schronienie.

...Marcyn, ten z eremu Marcyna, który on tam licząc od mistrza, nie wiadomo, wiadomo, że imię wzięło się od Marcjona z Synopy, którego był jeden z pierwszych heretyk, sto lat po Chrystusie, a tak zatwardziały, że go ojciec rodzony, biskup Pontu, ekskomuniką obłożył. Onże Marcjon, i ludzie jego, marcjonitami zwani, taką herezyję głosili: Bóg Starego Testamentu nie jest Bogiem Chrystusa, lecz rzeczywistą przyczyną grzechu i cierpienia człowieka - żyjemy w świecie złego stwórcy - a poznanie i odkupienie przyjsć musi spoza tego świata - od nowego Boga. I że tylko Ewangelia Apostoła Łukasza jest prawdziwą, a i to nie cała, i listów parę Pawła Apostoła. Ci, co tu jeżdżą, opowiadają jeszcze, że Marcjon taki właśnie Nowy Testament złożył i nie było innego Pisma chrześcijan, aż się dopiero przeciwko marcjonowemu zebrali i tak oto, dla zaprzeczenia prawdzie Marcjona Synopskiego, tak powstała nasza Biblia, oto, co opowiadają.

...Owóz kiedy Lód dotarł do niego, Marcyn ujrzał w mroźnikach tę wyczekiwaną siłę pozaświatową i objawienie Boga, które odmieni oblicze ziemi zła. Pierwsi marcynowcy, co szli w mgły lodowe, w soplicowa i do lutyh, nie szli wcale na samozmrożenie, ale dla doświadczenia oświeceń, iluminacyj - i ponoć niektórzy wracali, i opowiadali dziwy i cuda, i Marcyn spisywał swoje Proroctwa Zimy. W tysiąc dziewięćset dwudziestym zniknął, a w każdym razie taka wieść w Imperjum poszła. Pozostały pisma, tradycje i naśladowcy. Których przybywa w miarę jak Lód posuwa się przez Azję i Europę, i coraz to nowe sekty wchodzą w Mróz, aż doszło tu, w Lecie, do takiego pomieszania, że ani my, ani nawet oni sami nie mogą się zgodzić, kto jest prawdziwym synem Marcyna, kto wiernie głosi jego słowo, a kto wypacza ichnią wiarę i przekręca sens Proroctw; i są między nimi tacy, co w końcu dopatryli

się w luty Antychrysta, a spośród nich tacy, co chcą go ogniem przepędzić, i tacy, co witają go chętnie, czekając zagłady i końca świata w Lodzie; i są tacy, którym skarby Zimy zwiastują Złoty Wiek; i tacy, co w Lodzie widzą prospekt życia wiecznego, i jeżdżą tam, do swej ziemi świętej, na obrządek samozmrożenia, kupują bilety na Transsib w jedną stronę dla całych rodzin, widzieliśmy ich, zostają już na Sybirze, w bryłach kryształowych, w sarkofagach lodowych, tak.

- A nie wiecie może, po co jechał tam Miefodij Piełka?

Siergiej spojrział na Nika, Niko uniósł ręce ponad głowę.

- Nawet jeśli marcynowiec, to nie opowiadał się nam, Wasze Wielmożności.

- Należałoby przeszukać jego rzeczy... Ale kto to mógł zająć do niego w nocy? - spytało się. - Nie widzieliście, jak z kim rozmawiał?

- Z wami rozmawiał - rzekł Siergiej - to nie mówił, że wsiąść wcześniej zamierza? Jakbyście poświadczyli, panie -

- Nie.

- Ech.

Ktoś zapukał do drzwi. Niko przeprosił i wyszedł na korytarz; zaraz dobiegły odgłosy kłótni, dwóch krewkich pasażerów oskarżało się wzajem o bliżej nie sprecyzowaną obrazę.

Siergiej po raz kolejny wzdychnął głęboko. Zapiął mundur, burknął: - Też mi trzeba do roboty - i skłoniwszy się jeszcze niezgrabnie w wąskich drzwiach, przepchał się mimo drugiego prowadnika i pyskaczy. Drzwi trzasnęły głośno. Ekspres wspinał się właśnie na wzniesienie - zagrzechotała zawartość szaf i schowków w służbówce, niedopity czaj Siergieja zsunął się ze stołu, złapało się go w ostatniej chwili.

Panna Jelena stuknęła głośno szklanką o blat.

- Gdyby nie to, że sama pana słyszałam - stwierdziła - byłby pan Benedykt pierwszy na mojej liście podejrzanych.

- Że to niby ja przekradłem się nocą do kupiejących i wyrzuciłem Piełkę z pociągu?

- Coś niesamowitego, łże pan i łże. - Kręciła z podziwem głową, srebrne szpilki błyskały między lokami kruczemi.

- Jak to panna bezbłędnie poznaje.

- A tak, a poznaję, co, powtórzy pan teraz, że nigdy wcześniej Pielki nie widział, nie rozmawiał z nim, nic, nic, a?

- Mogę powtórzyć. Panna uwierzy, komu chce, mnie albo Sergiejowi. I niby jakim sposobem objawi się jej z tej wiary i niewiary prawda?

Zmarszczyła brwi.

- Więc jak? rozmawiał pan z nim czy nie?

Wzruszyło się ramionami, zamieszało się herbatę, wyrzało się przez zaparowaną szybę.

- *Mademoiselle* Holmes zaczyna dostrzegać różnice między śledztwem książkowym i śledztwem rzeczywistym. Pamięta panna, co mówiłem jej o logice dwój - i trójwartościowej? Historje kryminalne, te spisane, papierowe, one zawsze się rozgrywają podług logiki Arystotelesa, zawsze w świecie zasady wyłączonego środka i reguły niesprzeczności. O takiej a takiej godzinie morderca znajdował się tu i tu, a inny podejrzany - tu, a świadek - tu, a alibi takie, a prawda taka, a co się nie zgadza, to kłamstwo, pamięć zaś zawsze prawdziwa i przeszłość jak lustro. Na koniec detektyw opisuje, co w nim ujrzał. To jest maszyna - to są szachy: ponieważ teraz widzimy taki układ elementów, to, znając rządzące nimi prawa, możemy odtworzyć każdy ich stan przeszły, jak się cofa posunięcia na szachownicy, jak się obraca wstecz wskazówki zegarka, przekręcając do tyłu precyzyjny werk, jak się wędrowki ciał niebieskich oblicza. I nie dość, że ta mechanika zbrodni pozwala odgadnąć obraz zdarzeń minionych - ale wszyscy zgadzają się z tym obrazem! Nawet morderca! Nie ma luk, miejsc zamglonych, miejsc, gdzie rozdwiają się perspektywy i rozmywają widoki: ten pamięta to, tamten - tamto; nie ma niepasujących szczegółów, a przede wszystkim nie ma tego wielkiego marginesu niepewności, tych wszystkich „być może”, „około”, „albo - albo”, „o tyle, o ile”. A one, gdy tylekroć przemnożone przez się w śledztwie, powinny do reszty rozpuścić każdy konkret z obrazu rzeczy przeszłych, jak południowe słońce rozpuszcza lodowe zamki i bałwany przez dzieci lepione. Lecz w kryminałach świadkowie nieodmiennie spoglądają na tarczę zegara na moment przed kluczowym zdarzeniem, by zapamiętać bezbłędnie minutę, zegary zaś nigdy się nie późnią ani nie spieszą. A świadek, gdy kłamie, to wie, że kłamie, i gdy mówi prawdę, to wie, że mówi prawdę. A złoczyńca planuje swe występki jak karambole bilardowe: jeśli kąt słuszny i siła uderzenia dobra, to na koniec bile stać będą tak i tak. I się powodzi! Stoją! I właśnie dzięki temu detektyw bystry, spojrzawszy na kule, potrafi prześledzić z powrotem ich ruch i wskazać początek karambolu i rękę winowajczą. Są to abstrakcyjne gry logiczne, które nijak się mają do naszego świata.

Panna Muklanowiczówna spoglądała z rosnącym przerażeniem.

- Wielki Boże, pan go zabił!

- Co? - się zachnęło się. - Nie słuchała panna, co mówiłem?

- Słuchałam. Jak pan mówił. I mówił. I mówił. Rany boskie, i mówił! - Zasłoniła rączką usta. - Pan go zabił.

- Przed chwilą panna sama dała mi alibi!

- No to co. Takie tam alibi. Przecież widzę.

Jęknąwszy z rozpaczą, walnęło się głową o drzwiczki służbowego schowka, aż coś wewnątrz trzasnęło i zagruchotało złowieszczo. Jelena uniosła podbródek.

- Jak nie tego Pielkę, to kogoś innego. Ale ma pan na sumieniu. Może w Jekaterynburgu? Niech pan się przyzna, nikomu nie zdradzę, słowo honoru.

- Gratuluję. Doprawdy, któż się oprze panny dedukcjom? Drżycie, zbrodniarze. Powodzenia życzę.

Się podniosło się.

Złapała za poję marynarki.

- Przepraszam. No, pan Benedykt się nie gniewa. - Odsunęła szklankę i również wstała, odruchowo wygładzając spódnice i wyrównując rękawy koronkami gipiurami rozkwitające. - Ja tylko chcę pomóc. Naprawdę.

Zmieszana, szukała słów odpowiednich - szczerych, nie nazbyt szczerych. Ni z tego, ni z owego, powróciło wtem wspomnienie skonfundowanej Christine Filipov. Oto jest różnica, pomyślało się, ten cień dorosłości, tu przebiega linja rozdziału.

- Pan ma rację - powiedziała cicho - mnie nigdy nic, przez całe życie, tylko co wyczytam, co wyfantazjuję, co przez okno zobaczę. Co podsłucham. Proszę mi pozwolić. Do rana nie mogłam zasnąć. - Sięgnęła drżącymi palcami w głąb rękawa, pod jedwabie perłowe, i wyłowiła pomięty zwitek papieru. - Spisałam ich, z nazwiska, z miejsc zajmowanych, bo nie wszystkich zna Blutfeldowa. Czterdziestu pięciu podejrzanych z pierwszej klasy, jeden z nich to musi być człowiek nasłany na doktora Teslę, na pana, proszę, wystarczy wykreślać aż - aż - bardzo pana proszę.

Ujęło się jej dłoń - ptasi nadgarstek, kruchą gałązkę kości - i przycisnęło się ją do warg, trochę niezgrabnie, bokiem, stawiała opór, przytrzymało się tę zimną rączkę przy ustach

jeszcze chwilę, i jeszcze.

- Podróż, panno Jeleno, póki trwa podróż, mogę być i mordercą.

I w tym ciasnym, dusznym, nagrzanym przez słońce i ludzkie ciała pomieszczeniu, gdzie za tuzinami drzwiczek i zakrywek przewodnikowy kram klekocze i dzwoni w rytm werbla żelaznego, tuk-tuk-tuk-TUK, a dochodzący zza ścian gwar i rwetes poranny ani na sekundę nie pozwalają zapomnieć o bliskości dziesiątek obcych ludzi, tu i teraz następuje owa chwila zrozumienia - chwila milczenia, gdy myśl i sens przepływają od człowieka do człowieka nie wypaczone ograniczeniami języka międzyludzkiego. Porozumienie osiągnięte w trakcie gry nienazwanej, i właśnie dlatego, tylko dlatego możliwe-w grze bez zasad, stawki i celu.

Że odsuwa spojrzenie lekko w bok, unosi kąciki ust, drugą ręką sięga machinalnie do aksamitki, cofa tę rękę, wkłada ją w żółty strumień światła, obraca, więc oczywiście patrzy się już na ową dłoń promieniście oświetloną, nie na twarz panny, dłoń, ranny ptak w słońcu, ujmuje się i ją, czy to był dobry ruch, czy zwycięskie posunięcie, można teraz przyciągnąć pannę, można odepchnąć, ale nie za bardzo, przedział ciasny - ona podnosi wzrok, spogląda bez uśmiechu, tak, rozumie, czego się nie powiedziało, uścisk nadgarstka, drzenie palców, słowa, które znaczą co innego, nic nie znaczą, póki trwa podróż, mogę być i mordercą, widzi się to w jej oczach ciemnych, w pulsowaniu błękitnych żyłek pod cienką skórą, zrozumiała. Co mianowicie? To, czego nie da się wypowiedzieć.

- Oj, oj, wybaczycie, Wasze Wielmożności, sami widzicie, co ja tu mam na głowie, nie wypraszam, skądże, ale sprawa urzędowa -

- No, skoro urzędowa...

Wyszło się na korytarz. Pasażerowie kupiejnego popatrywali trochę spode łba, trochę z ciekawością, stłoczeni przy końcu wagonu: czerwoni na twarzach uczestnicy sporu i reszta, bawiąca się ich kosztem. Pociągnęło się pannę Jelenę dalej od tego zgromadzenia. Tu jednak wszędzie ktoś patrzy, ktoś słucha.

Panna Muklanowiczówna obejrzała się przez ramię.

- O co im poszło?

- Pewnie ktoś im w nocy wódkę wypił, nie ma winnego, krasnoludki transsibirne. Chodźmy. Gdzie ma panna tę listę?

Rozprostowała kartkę na szybie. Ostre słońce prześwieciło papier i czarny atrament, miała drobny, regularny charakter pisma, literki niskie, okrągłutkie, stłoczone w karnych

rządkach.

- Odjęła panna - kogo? Księcia? księżną? Bo liczyła panna również niewiasty, prawda?
- Tak.
- Można wykreślić pannę Filipov, to jest ta młoda towarzyszka doktora Tesli.
- Ach tak. Czterdzieści cztery.
- A ciotka Urszula? A sama panna?
- Słucham?
- A ja?
- Co?
- Czy może panna stwierdzić, że to nie ja zostałem wysłany na krzywdę doktorowi Tesli?
- Przecież pana też -
- Bardzo dobry sposób, by wkraść się w łaski doktora, nieprawdaż?
- Mówiliście o tym - Ministerjum Zimy pana posłało, do ojca lutowego, słyszałam.
- Ministerjum, czyli która frakcja petersburska? Liedniacy? Ottiepielnicy?
- Żarty pan sobie ze mnie stroi.
- Broń mnie Bóg.

Patrzyła już z podejrzliwością, moment porozumienia dawno minął, znowu płynęły słowa, słowa, słowa.

- Pan chce, żebym podejrzewała wszystkich, nawet pana, nawet siebie. Tak nigdy zamachowca nie znajdziemy.

Przeszło się do kolejnego wagonu, przytrzymałszy drzwi przed panną. Gdzieś sobie zabrudziła białą bluzkę, tarła teraz machinalnie materiał kciukiem poślinionym. Podało się jej chusteczkę.

- Gdyby akurat mordował doktora na panny oczach, mogłaby panna stwierdzić: to on. Natomiast w przeszłości, w przyszłości - tylu morderców, ile możliwości.

- Ale o to przecież chodzi, żeby złapać go, zanim zdąży zabić!
- Czyli mamy wysledzić - co? prawdopodobieństwo?

- Dziękuję. - Zwróciła chusteczkę. - Nie mam już pojęcia, jak z panem mówić. To pana zmartwienie przecie, nie moje. A miesza pan i miesza. Jeden z nich - machnęła kartką - jest człowiekiem liedniaków i on dobrze wie, po co jedzie do Irkucka i co ma zrobić.

- Wręcz przeciwnie. Jest czterdzieścioro siedmioro półmorderców - pstryknęło się paznokciem w papier - z których każdy jest i nie jest liedniackim agentem, planuje i nie planuje zbrodnię, wie i nie wie, co robi.

Panna Jelena zacisnęła wargi.

- Pan opowie mi wszystkie szczegóły, wypytam obsługę, wypytam podejrzanych, porównam zeznania i dojdę prawdy, tak się to załatwia, zobaczy pan.

Się uśmiechnęło się pod wąsem.

- Wręcz przeciwnie. Zbrodniarzy się nie odkrywa; ich się stwarza. Co panna będzie robić? Gromadzić sprzeczności, aż pozostanie tylko jedna możliwość niesprzeczna. Tak stworzy panna w świecie trójwartościowej logiki dwójwartościowego mordercę.

Zirytowała się.

- A jak on da wam cegłą w ten przemądrzały łeb, to iluwartościowy guz od tego wam wyrośnie?

- Khm, taak, to zależy, jak głęboko w Kraj Lutych już zajedziemy... Czy oni tam wszyscy posnęli?

Załomotało się pięścią w zamknięte od środka drzwi wagonu obsługi. Nareszcie szczęknął zamek i pokazało się w szczelinie rumiane lico młodego stewarda.

- Pamiętacie nas? Wracamy do Luksu.

Uklonił się, odstąpił.

Lecz panna Jelena zaraz za progiem przystanąła, tknięta myślą nagłą.

- Słuchajcie-no, dobry człowieku, to jak to jest, każdy może sobie tak przewędrować wte i z powrotem między pierwszą i drugą klasą?

- Noo, nie, nie może, zakaz jest, proszę panienki.

- Komu zakaz? Nam czy im?

- Noo, niby wszystkim, ale jak państwo nalegają...

Pokazało się zza pleców stewarda ruchem palców: dieńgi, dieńgi.

Panna zrobiła kwaśną minę.

- A prosił może kto z Luksu dzisiaj w nocy? Co?

- W nocy?

- Za Jekaterynburgiem.

- Ja w nocy spał, nie pytajcie mnie państwo.

Panna Jelena postukiwała obcasem w drewnianą podłogę, nie spuszczać wzroku ze stewarda. Puciołowaty Tatar nie wiedział, gdzie oczy podziać, założył ręce za plecami, zgarbił się, szurał stopami i z sekundy na sekundę coraz czerwiejszym rumieńcem płonął. Zapewne gdyby zagadnął go ktokolwiek inny niż młoda dama z Luksu, zaparłby się z azjatycką bezczelnością, spojrzenia Europejczyków spływają po tych okrągłych, gładkich obliczach jak tłuszcz po gęsi, zachodni wstyd nie dotyka ludzi Wschodu.

Złapało się pannę za ramię, pociągnęło się ją ku restauracyjnemu.

- No co, no co! - fuknęła. - Wyrzucił ten liedniak Pielku, to musiał jakoś przejść od siebie do kupiejnych, Duchem Świętym nie jest.

- I pewnie przeszedł, ale jak dał wziatku starszemu, to nigdy ci się młodziak nie przyzna, chyba że z żandarmami do niego przyjdiesz i katorgą nastraszysz. Albo zwrócisz się bezpośrednio do starszego i zapłacisz jeszcze więcej. A jak rzeczywiście ktoś z Luksu odesłał Pielkę na łono Abrahama, to możesz być panna pewną, że mnogo czerwonońców wpadło tu do służbowych kieszeni. Cóż, jeżeli stać ciotkę Urszulę na podobną rozrzutność... No i z czego się panna śmieje?

Chichocząc, złożyła starannie swoją listę podejrzanych i wsunęła ją z powrotem w rękaw.

- Nic, nic, *mister* Holmes, z niczego.

Weszło się do jadalni w restauracyjnym. Siedzący na wprost wejścia unieśli głowy i zatrzymali wzrok na dłużej. Wskazali dyskretnie innym, zaczęły się szepty, również dyskretnie, zaraz zresztą stłumione, wszyscy tu byli tak dobrze wychowani; przepraszający uśmiech już wypełzał na wargi. Cisza okazywała się jeszcze bardziej kępującą. Fessar miał rację: Blutfeldowa, nie Blutfeldowa, plotka rozejdzie się błyskawicznie.

Szczęście, że *Frau* Gertrudy nie było przy stole, doktor Konieszyn przeprowadzał samotnie operację na jajkach po wiedeńsku. Szło się szybko, nie oglądając się na pannę Muklanowiczównę.



Przy ostatnim stole zasiadł do posiłku łysy Turek; teraz uczynił ruch, jakby chciał się podnieść.

- Pozwoli pan Benedykt -

- Ależ -

- O zdrowie chciałem -

- Jedliśmy już, dziękuję.

- Gdyby -

- Wybacz pan, nie mogę, nie teraz.

- Ach! Panimaju, panimaju.

Pannie Jelenie zbrakło tchu; podbiegłszy korytarzem, oparła się o przepierzenie.

- No i do-dokąd... pędzić pana...

- Jak ja się wpakowałem w tę kabałę! - zrzędziło się pod nosem, spoglądając ku drzwiom restauracyjnego. - Przecież nic nie zrobiłem! Nie chciałem nic zrobić! Dojechać spokojnie. A teraz każdy. Wyobrażają sobie. Ten też, Turek cwany. Bóg wie co. Liedniaki, Sibirchożeto, marcynowcy, ochrana, nie ochrana, Tesla i Piełka i księżę Błucki i Zima i pewnie jeszcze cholerni piłsudczycy na dodatek. - Przygryzło się kciuk. - Idiot, idiot, idiot!

- Musi mi pan... wszystko...

- Się wpakowało się. Nu, ładna.

- Opowiedzieć, uff.

- A panna też dobra! Bezpieczny skandalik w podróży. Już nas widzieli razem. Co niby pomyślał sobie Fessar?

- Ależ pan się boi ludzi.

Czy to jest strach? To nie jest strach.

Wypuściło się powietrze, wzruszyło się ramionami.

- Zostaniemy w salonce, w otwartym - nie dadzą spokoju; zamkniemy się w przedziale, moim, panny - jeszcze gorzej.

- Nie jęcz pan już. - Jelena doszła do siebie. - Idziemy. Poprowadziła na przód składu, przez salonkę i wagon wieczorny: sala kominkowa, sala widokowa, drzwi żelazne - pchnęła,

wyszło się na podest.

Odruchowo spojrzano się pod nogi. Nie ma krwi. Ponad głową, przez błękitne niebo, przepływały warkocze ciemnosiwego dymu i monumentalne masywy białych obłoków. Po jednej stronie torów ciągnęły się zielone lasy, po drugiej - step szeroki; w ciepłym powietrzu spod zapachu żelaza i oleju przebijały wonie ziemi i mokrego drewna. Osłoniło się oczy od słońca.

Panna Muklanowiczówna oparła się o drzwi.

- A teraz niech pan mówi.

Się pomacało się po kieszeniach. Wyjęło się zamszowy futerał, z futerału interferograf. Uniósłszy tuleję ku niebu, przytknęło się oko do soczewki. Na średnicy czarnego koła migotało kilkanaście koralików światła. Westchnąwszy z rezygnacją, schowało się aparat.

- W arbackim zastawie - zaczęło się, masując obolałą prawicę - kupiłem sobie wieczne pióro, złotego Eyedropera Watermana...

## **O arsenale Lata**

Nikola Tesla przyłożył sobie lufę do skroni i pociągnął za spust.

Trzasnęło. Włosy stanęły mu dęba i zjeżyły się brwi. Czarny piorun przeskoczył między czaszką Serba i tungetytowem zwierciadłem. Stary agent ochrony przeżegnał się trzykrotnie. W zwierciadle płonął krzaczasty świecień, portret Tesli z profilu, głowa i szyja oraz fragment barku; zwierciadło było rozmiarów i kształtu weselnego monidła, akurat pozwalało na odbicie naturalnej wielkości popiersia.

Rzecz w tym, iż biały negatyw wypalony na węglowoczarnej tafli - już blednący, to znaczy ciemniejszy - w niczym nie przypominał fizycznej formy osoby portretowanej. Byłżeby to, jak chce doktor, symboliczny jego „karmograf”? Nie miało się wysokiego mniemania o tych wschodnich ezoteryzmach, które zaraził był wynalazcę przed laty jakiś guru spod ciemnej gwiazdy. To nie przystoi, nie przystoi.

- Lepiej pan odłóż to ustrojstwo, bardzo proszę.

- Ale podejdź-no, młodzieńcze!

- Proszę odłożyć.

- Podejdz i spojrz i powiedz, co widzisz.

Profil przywodzil na mysl raczej abrys ptasiej glowy: szczupla szyja, dziob wystajacy, u gory kolczasty grzebień. W miejscu policzka ziala dziura. Z oka rozchodzil sie rysy, a moze zyly, a moze skry, linje bialo-czarnych piorunow. Nie bylo ust, tylko kolejny piorun szponiasty, rozkrawajacy wpol plame twarzy-nietwarzy.

- O czym pan myslal?

- Pan mi powie, o czym myslalem.

Sie podrapalo sie w kark.

- O maszynach elektrycznych i burzach z blyskawicami?

Tesla cisnal kabel do skrzyni.

- Ja prawie zawsze myslę o maszynach elektrycznych. Nawet jak nie myslę.

- Czyli to dziala?

- Powinienem byl z gory sie umowic. Stiepan! Co wy sádzicie?

Ochrannik szarpnal za dewizke, zerknal nerwowo na cyferblat cebuli.

- Oj, wracajcie do siebie, doktorze, zaraz odjazd, Oleg Iwanowicz nie zatrzyma pociagu, telegram na pewno juz poszedl.

Tesla machnal z rezygnacja. Poprawiwszy biale rekawiczki, wyjal grzebień i energicznymi pociagnieciaми jal zaczesywac podniesione wlosy - najpierw do tyłu, potem symetrycznie na boki, od przedzialka posrodku. Przegladal sie przytem w wypolerowanej obudowie jednego z trzech wielkich metalowych cylindrów: oplecione skórczanemi pasami, konopnemi linami i cięzkimi lancuchami, zlozone na boku i unieruchomione w drewnianych obejmach, zajmowaly wieksza czesc wagonu. Stary Stiepan pilnowal, by drzwi pozostawaly zasuniete, swiatlo wpadalo tu tylko przez zakratowane okienka umieszczone u szczytu scian; Tesla garbil sie, lowiac refleksy w ciemnej stali to lewem, to prawem okiem.

- Jesli mialaby w tym tkwic choc czastka prawdy - mruchal pod nosem - efekt powinien byc do odtworzenia z kazdem zrodlem emiatla. Uzywaja emieczek, bo sa najtansze, sproszkowany tungetyt węgłowy w knocie. Ale chodzi o emiatlo, o wplyw czlowieka na emiatlo: ono samo lub to, co towarzyszy zawsze jego wyzwoleniu. - Zazezowal wzdluz cylindra. - Zgodzi sie pan Benedykt?

- Mhm, tez mi sie tak wydaje.

- Myślałem o tym w nocy i potem przy śniadaniu. Księżna przyparła do muru angielskiego inżyniera. A właśnie, gdzie pan się podziewał?

- Tylko dlaczego musi pan od razu przeprowadzać wszystkie eksperymenty na sobie?

Tesla schował grzebień.

- Christine z panem rozmawiała.

Przyglądziło się węża, się rozejrzało się po wnętrzu. Podłogę posypano trocinami, deski zostały niezbyt starannie zbite na nakładkę, ich spojeniami biegły krzywe linje smoły. Dwaj agenci ochrony urządzili się byli w kącie za stertami drewnianych i blaszanych skrzyń, mieli tam krzesła, sienniki, koce, lampę gazolinową. Jak jednak tutaj wytrzymają, gdy Ekspres wjedzie w Zimę?

- To nie ma sensu, doktorze, nikt nie musi się tu włamywać, żeby wysadzić wagon w powietrze. Albo i cały pociąg. Jakiej przepowiedni pan szukał? Czy dojedzie cały do Irkucka?

- Światło, te pojedyncze drobiny światła, nie eter, ale promienie, *die Licht quanten*, może i fala, póki jesteśmy w Lecie, musi być coś w naturze światła, w naturze ciemności, na tym najniższym poziomie przenikającej wszystką akaszę prany, co splata się bezpośrednio ze świadomością człowieka - czy przeźmianano także zwierzęta? - że ona wpływa na jego bieg, na polaryzację, że człowiek patrzy, a może tylko że myśli, i - i - tak. Pomóż mi pan.

Złapało się za drugi koniec zwierciadła.

- Ciężkie.

- Czysty tungetyt na srebrze.

- Musi być warte fortunę.

- Mhm, ma pan rację, o tym nie pomyślałem.

Tesla opuścił krawędź lustra do płaskiej skrzyni, obłożył je pakułami i przycisnął pokrywę. Podało się mu kłódkę.

- O czym?

- Że mogliby chcieć jeszcze na tym zarobić.

- Ukraść cały wagon?

Stiepan pokiwał głową.

- *Mademoiselle* Filipov starała się o ubezpieczenie, ale to wszystko i tak stanowi

własność Jego Wysokości.

- Szacowaliście wartość?

- Sto tysięcy rubli. Więcej. Jak oszacować wartość maszyn doktora?

Tesla zatrzasnął kłódkę.

- Dopóki ich nie przetestuję, nie wiadomo, czy w ogóle mają jakąś wartość.

- Ale samo to lustro -

- Lustro! Przecież wcale nie będzie służyć jako lustro. Myśli pan, że co to jest? - Ogarnął dramatycznym gestem pogrążone w półmroku wnętrze wagonu towarowego wraz z jego zawartością. Doktor Tesla bez wątplenia miał skłonność do scenicznej dramaturgii. - To arsenał Lata.

Postąpił ku piramidzie pak blaszanych, każda oznaczona liczbą porządkową i firmowym emblematem *Tesla Tungetitum Co.*; piramida przewyższała nawet wysokiego Serba, sięgała sufitu.

- Te trzy pływnice podłączymy do elektrycznej sieci Irkucka, powinniśmy dostać pływ rzędu czterdziestu megaciem, tu mam prawie kilometr izolowanego krzemem kabla na chłodzie wysokomiedziowym, a tam - z tego złożą się chwytaki. A z tego - klatkę cienia. Zobaczymy, jakie ciśnienie zdzierzą.

Będzie przepuszczać przez lute pływ teslektryczny. Zajrzało się do otwartej skrzyni. Kabel z dosztukowaną iglicą-lufą i nieporęcznym spustem ciągnął się stąd do beczułkowatej paki obok, w której powarkiwało niewidoczne urządzenie; identyczny kabel wybiegał z niej z drugiego otworu, zawracając w zbyt długich zwojach do tej samej skrzyni, gdzie w wiórach i szmatach spoczywały pękate słoje wypełnione węglem. Węglem?

- Nie jest to właśnie lutyh żywioł?

- Nie spalisz ich, nie zmroisz, nie rozbijesz. Tylko to, co daje im życie, może im życie odebrać. W Pradze nie było okazji dla testów... Odradzano mi zresztą pracę koncepcyjną w Kraju Lutyh.

Dotknęło się krawędzi słoja. Szkło było zimne, lekko oszronione, wilgoć lepiała się do palców, szczypała skórę.

- Chce pan ich - wydrenować? wyssać? Z czego? Z teslektryczności?

- Kiedy wyprawiamy się na pustynię, zabieramy z sobą zapasy wody, szukamy ochłody,

budujemy osłony przed żarem, rozpościeramy cień. Kiedy idziemy w mrozy arktyczne, idziemy w futrach, w ubiorach ciepłych, wnosimy ciepłe schroniska. Przyszły lute - co przynoszą ze sobą? w czym ich ratunek na obcej ziemi? Odebrać im to!

Uniosło się wzrok. Doktor Tesla sprawdzał plomby na pudłach, wyprostowany, z lewą ręką za plecami, biały gors odbijał się na szarej blasze trójkątną plamą. W tym brudnym półmroku trudno było to orzec z pewnością, ale cienie na postaci doktora, pod załomami jego stroju, w zmarszczkach na twarzy - czyż nie wylewały się znowu z koryt jak rzeki roztopowe? czy nie płynęły wartkimi strumieniami mimo światła i półświatła?

Jeszcze bardziej znaczące było zachowanie siwowłosego agenta ochrony. Skryty w milczeniu, bezruchu i ciemności, stał za Tesla, przesuwał się tylko, gdy Tesla od pudeł do pudeł się przesuwał; zawsze poza polem widzenia Serba, jednak zawsze blisko, jak matka obserwująca pierwsze kroki syna, jak pielęgniarz strzegący chorego - było coś takiego w sylwetce Stiepana, w napięciu jego ramion.

- Zimę? Odebrać Zimę?

- Mróz i śnieg i lód - no tak, to pierwsze rzuca się laikowi w oczy. Czego pan tam wypatruje?

- Panna Filipov pilnuje teraz doktora w przedziale, prawda? Musiał się doktor wymknąć tutaj na swoje śniadanie.

- Śniadanie?

- Pan się żywi tą siłą. Co znajduje się w słojach?

- Kryształ soli wypełnione tą czarną energią prany, tą ćmiecżą. Głównie soli metali z grupy żelaza..

- Co?

- Próbuję różnych metod akumulowania teslektryczności, szukam najefektywniejszych; tu akurat mam ałun amonowo-żelazowy. Co ona panu naopowiadała?

- Że to jest silniejsze od pana.

Tesla przysiadł na pojemniku opieczętowanym papierem z trupią czaszką.

- Jeśli nawet - rzekł powoli - jeśli do takiej decyzji doszedłem - żeby się temu poddać - skąd pewność, że była to decyzja zła?

Się zachnęło się.

- Na miłość boską, sam mi pan opowiadał o zmaganiach z nałogiem hazardowym! I czy ja nie znam uścisku tych pęt niewidzialnych? Znam! Miejże pan wzgląd na rozum własny i mój!

Tesla uniósł palec wskazujący.

- *Bene*, Benedetto, zważ i to: są nałogi dobre. Rzeczy, czynności, skojarzenia, którym zgodziliśmy się oddać w niewolę. Chociażby funkcje fizjologiczne, *pardon my rudeness*, gdyby życie pańskie na tym zawisło, nie potrafiłby się pan z własnej woli opróżnić w spodnie. Zważ pan na sposób, w jaki pan mówi, na sposób, w jaki pan myśli. I jeszcze na to: że różnimy się od zwierząt, od ludzi wychowanych między zwierzętami, iż pewnych rzeczy nie zrobimy, ręka będzie się sama cofać, nogi odmówią posłuszeństwa, usta się nie otworzą. Bo przecież każdą moją myślą i czynem demonstruję codziennie, że jestem jeno automatonem reagującym na zewnętrzne bodźce drażniące me zmysły; myślę i działam w odpowiedzi na nie. Niewiele pamiętam w całym moim życiu przypadków, gdy nie potrafiłem wskazać najpierwszej impresji, która sprowokowała ruch, myśl lub sen. Tern bardziej cenić należy każdy moment prawdziwej wolności umysłu, to święte szaleństwo rozumu! Lecz cywilizacja - cywilizacja jest zbiorem dobrodziejnych nałogów. Że wstaje pan od stołu przy kobiecie - zanim pan pomyślał, żeby wstać. Nie pan rządzi wstawaniem - wstawanie rządzi panem.

- Wstaje się.

- Wstaje się. Tak. Dziecko w niebezpieczeństwie - się rzuca się na pomoc dziecku. Mówi się prawdę, kiedy trzeba, kłamie się, kiedy trzeba. Jest się uprzejmym. Się myje się. Szanuje się starszych. Nie zabija się. Zamierza pan walczyć z temi nałogami? To jest możliwe, można się spod nich wyzwolić, znałem takich ludzi. *Well?*

- Lecz jaki nałóg rządzi naszym rozeznaniem, które nałogi są dobre, a które złe?

Uśmiechnął się; miał bardzo szczery, sympatyczny uśmiech, trochę nieśmiały. Podszedł do otwartej skrzyni, przepiął ponownie końcówki kabla w otworach beczułkowej paki, do wolnej końcówki dłuższego kabla doprawił zimnazowe imadło i włożył je w słój, zacisnął szczękę urządzenia na szarym kryształ. Iglicę-lufę miał w drugiej dłoni, palce spoczywały na izolacji i na spuście.

Spoglądał pogodnie. Przygryzło się paznokcie.

- Strzeli.

- Nie, przełączyłem, to swobodny spływ.

- Nie powinienem -

Złapało się za zimnazową iglicę. Nikola Tesla pociągnął spust. Popłynął pływ teslektryczny, ćmiecz zawrzała w ciele...I puściło się zimny metal.

- ...odjeżdża.

- Tak, już.

Się chwiała się na nogach. Doktor Tesla szybko wypiął kable, zwinął je do skrzyni, opuścił wieko. Drzwi wagonu były odsunięte, stał w nich młodszy ochrannik. Mrugało się w południowem słońcu bijącym znad tiumeńskiego peronu. Prowadniki wołali podróżnych, sapała lokomotywa. Pod zimnazową wieżą zegarową kołysała się drewniana tablica z krzywo pociągniętymi czerwoną farbą literami.

### **Льда нет**

Tesla zszedł na peron, machnął niecierpliwie. Zeskoczyło się - i upadło się, ziemia falowała pod stopami, jasność niebieska oślepiła, syberyjskie powietrze rozsadzało płuca, wszystkie dźwięki dworca wwierały się w uszy - w uszy, w mózg, gniazdo brzęczących trzmieli pod czaszką wybuchło.

Tesla pomógł podnieść się. Otrzepało się spodnie.

- Co się stało? Doktorze?

- Też nigdy nie pamiętam.

- Pan mnie zmusił -

- Zmusilem?

- Zahypnotyzował -

- Opowie mi pan potem o tym ze szczegółami, koniecznie.

Doktor maszerował długim, energicznym krokiem ku wagonom pierwszej klasy. Podbiegło się - a biegło się lekko, dobre duchy unosiły ciężar ciała nad ziemią. Jeszcze horyzont i błękit nieba i chmury na niebie śnieżnobiałe i budynek stacji i wąż Ekspresu Transsyberyjskiego i ludzie rojący się na peronie, jeszcze to wszystko nie bardzo się składało w harmonijną całość, może od oślepienia (mrugać, mrugać, mrugać!), może na skutek



wstrząsu przy upadku - ale biegło się jak we śnie: miękko, opadając na ziemię, gdy chce się opaść, bo gdyby kaprys taki, to uleciałoby się wprost pod obłoki. A chociaż obraz powoli sklejał się w sensowną mozaikę - pozostawała świadomość, że to jest mozaika, że można było ją skomponować inaczej. Chmury na torach, dworzec na niebie, niebo pod stopami, domy wydmuchiwane z komina parowozu, zimnawowy widnokrąg i żylaste szyny - mogło być i tak, akurat nie jest, ale mogło, pamiętaj o tym.

- A właściwie o co chodziło?

Zrównało się krok z Teslą.

- Słucham?

- Wpadł pan i zaraz chciał uciekać.

- Nie mogłem przy Stiepanie. W nocy odwiedził mnie pan Fogiel. Czy doktor ma na nich jakiś wpływ?

To go zdenerwowało wyraźnie. Wspiął się po schodkach do Luksu i, zawahawszy się, stanął odwrócony tyłem, oparty łokciem o otwarte okno wychodzące na miasto. Po raz pierwszy uciekał wzrokiem, krył twarz. Co niekoniecznie zwiastuje kłamstwo; może zwiastować równie krępującą prawdę.

- Nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego! Najchętniej trzymaliby mnie cały czas w złotej klatce!

- Przecież musiało pana dojść o mojej przygodzie jekaterynburskiej. Pan Fogiel mówił, że to przez te dworskie wojny ottepielników z liedniakami. I odniosłem wrażenie, że bynajmniej nie względy gospodarcze są tu najważniejsze. Pan mnie słucha, doktorze! To nie jest scjencja czysta i wolna - to sprawy życia i śmierci. Miał pan doktor do czynienia z marcynowcami?

Do reszty wyprowadziło go to z równowagi. Oderwawszy się od okna, z zaciśniętymi wargami i ramionami ściśle ułożonemi wzdłuż tułowia, ukłonił się sztywno. - Wybacz pan - i oddalił korytarzem, wysoka, chuda sylwetka, biały garnitur, tęcza ćmiatła wokół bieli.

Tu wspomnienie obrazu nałożyło się na obraz i myśl samowładna obróciła głowę ku szybie - ale słońce prześwietlało szybę - ku polerowanym stalunkom wagonu - ale słońce odbijało się od stali; pośpieszyło się więc do przedziału. Zaciągnąwszy szczelnie zasłony, zajrzało się w lustro.

A w lustrze - błądy cień zebrany za plecami i wokół twarzy pełgał i tańczył jak płomień na reflektorze lampy naftowej; cień oraz wątle smugi świecenia, poblask migotliwy na granicy percepcji. Stało się i patrzyło. Minuta, druga, dłużej, w bezruchu, a one pląsały, one przesuwały się w zwierciadle i deformowały w tle - aż pociąg szarpnął, się uderzyło się czołem w ramę złoconą, i czar prysł. Oto jest hypnoza; oto jest przymus.

Podskoczyło się w miejscu trzy razy, ugryzło się w nasadę kciuka, się zaśmiało się pusto i polizało się zimną tafelą lustra, siurpl, siurpl, siurpl, długie pociągnięcia języka po szkle. Następnie usiadło się przy sekretarzyku, podparło się głowę rękoma, coby nie runęła z głuchym łomotem na blat. Co robić? Co robić? Natychmiast powróciła stara pokusa: zamknąć się w atdielienju, nie wychodzić, żadnych kontaktów z innymi pasażerami, żadnych rozmów z panną Muklanowiczówną, a już broń Bóg z doktorem Teslą czy Unalem Fessarem. Może pan Fogiel przesadzał, myślał nastraszyć lekkoducha, żeby im w paradę więcej nie wchodził. (Nastraszył). Pielkę najpewniej sami marcynowcy capnęli z Transsibu, przecie im brata na miazgę roztlukł. Więc - nie wychodzić. Nie kusić losu. Załatwi się sprawę z Ministerjum Zimy w Irkucku, drugi tyśiąc do kieszeni i nazad. Sekciarze i liedniaki odczepią się, jak zobaczą, że syn ma tyle do ojca, co człowiek do małpy. Byle nie prowokować. Żadnych więcej awantur. Żadnych publicznych aluzyj. Głowa w piasek. Tak. Bo jak już się wyjdzie między ludzi, jak się wpadnie między wstyd a wstyd, to nie ma ratunku: czyny są silniejsze od ich podmiotu, słowa silniejsze od wypowiadającego, terażniejszość od przeszłości - nie ma się władzy nad każdą sekundową reakcją, każdym ruchem ręki i grymasem twarzy, uśmiechem przeklętym. Się boi się. Zwycięża kłamstwo chwili.

I łapie się za teslektrodę, i pali się w ćmieczy. Bo czy nie zamierzało się wyperswadować doktorowi nałóg abnaturalny? czy nie obiecało się szczerze *mademoiselle* Filipov w intencji rycerskiej? Ale przyszła chwila i działo się - tak, mówiło się - tak, robiło się - tak.

Żeby to przynajmniej były jakieś decyzje wielkiej wagi moralnej! Żeby ogień i bitwa i sztorm i krew niewinnych i bodaj Lord Jim czy inny szlachetny metal ludzki z kart Conrada, co nie gnie się, nie gnie, aż pęka - z wielkim hukiem i echem idącym po bliźnich. Ale nie. Ale na odwrót. Mały wstyd, wstydzik, wstydziałko, jedno, drugie, dziesiąte, setne, tak drobne, że niedostrzegalne gołem okiem, bakterje duszy, przed którymi nie ma obrony - chyba że właśnie kwarantanna ścisła.

Oby tylko ta przygoda z teslektryką nie ciągnęła za sobą chorobliwych konsekwencji, głupiemu szczęście sprzyja, ale na razie nie można się w tym pociągu obrócić, żeby nie wpaść

we wnyki nowe. Uspokoilo się oddech. Należy rozważyć rzecz na zimno i bez uprzedzeń. Po pierwsze, od tego się nie umiera. (Tesla nie umarł. Jeszcze). Po wtóre, to mija, w każdym razie słabnie, uchodzi z czasem. Po trzecie - po trzecie, właściwie co się dzieje...?

Uniosło się dłoń przed oczy. Nie drżała. Chuchnęło się w garść. Nie pojawił się żaden ciemny osad. Uchyliło się zasłonki i spojrzalo się przez interferograf. Bez zmian, światło nadal interferuje ze światłem.

Rzeczywiście, się czuje się nadnormalnie rześkim, ale też nie jest to nic niezwykłego, czasami wystarczy kieliszek wódki dobrej. Tesla dopytywał się był o wpływ na władze rozumu. Pamięć - czym jest pamięć ujmowana właśnie jako fenomen umysłowy: magazynem pracy duchowej czy prostem odbiciem stanów mózgu? Wyglądało się na migające za oknem ostatnie zabudowania Tiumenia. Jeśli ma się rację i nie istnieje jedna przeszłość, nie może również istnieć jedna pamięć przeszłości: pamięta się wiele wersji wzajem sobie przeczących, a umysł usiłuje je jakoś pogodzić, i stąd rozmyte wspomnienia, fałszywe memorje, białe plamy, gdzie pamięci się na siebie nałożyły, zamazały, zniwelowały. Lecz człowiek oświeczony, wdrożony w logikę lutyh, tak-tak, nie-nie, pod arystotelesowskim nożem prawdy - czy on nie powinien pamiętać przeszłości jasno i wyraźnie, bez żadnych wątpliwości?

A może Tesla zwyczajnie usprawiedliwiał w ten sposób swój nałóg? Spojrzalo się na szpargały na sekretarzyku. Gdzieś między nimi znajdował się zaszyfrowany list piłsudczyków. Znalazło się ołówek i, bez namysłu, na marginesie broszury Transsibu, odtworzyło się z pamięci cały list, jednaście wierszy po dwadzieścia liter, i jeszcze dwie, szeregi bezsensownych kombinacyj znaków, których nawet matematyk nie zapamięta łatwo. Następnie wyjęło się właściwy list.

Się zaśmiało się szyderczo. W rzeczy samej: bez namysłu, bez wątpliwości, jasno i wyraźnie! Tylko że zupełnie co innego niż w szyfrze. Odrzuciło się precz zgniły owoc pamięci.

A czy jest w ogóle sens łamać sobie nad tym listem głowę? Mogli się z góry umówić, że dana litera albo sekwencja liter oznacza konkretne słowo, zdanie - nie idzie ich nijak odgadnąć.

Mhm, tylko czy odbiorca takiego listu będzie nosił z sobą książkę kodów, latami, na zesłaniu, w dziczy i w mrozach Sybiru, na wyrębie tajgi i w kopalniach, w rotach wędrownych, pod okiem strażników i między szpiclami ministerjalnemi - niemożliwe, nie tak

się umówili.

A zatem jest to szyfr oparty wyłącznie na tym, co zaległo w pamięci adresata listu. Nie mogą mieć nawet pewności, czy odbiorca znajdzie akurat papier i ołówek; może pozostanie mu jeno badylem na śniegu bazgrać. Więc żadnych książek.

Metoda, którą zapamiętał na lata, wystarczająco bezpieczna i wystarczająco prosta. Jeśli klucz, to łatwy do zachowania w głowie.

Czy coś podobnego w ogóle istnieje? Obgryzało się w zamyśleniu paznokcie. Jaka metodę by się wybrało, będąc w identycznej sytuacji? Przesunięcie liter w alfabecie. O z góry ustaloną liczbę miejsc. Jeśli o jedno, to B zamiast A, C zamiast B, D zamiast C, i tak dalej. Jeśli o - mhm, ile jest warjantów takiego szyfru? Tyle, ile liter w alfabecie. Nie ma w liście polskich znaków, więc trzymają się notacji łacińskiej. Wystarczy teraz próbować z pierwszym wierszem: jeśli nie wyłoni się sens już na początku tekstu, nie ma po co męczyć się z resztą.

Wzięło się czystą kartkę, zapisało się łaciński alfabet, od A do Z, numerując litery od 0 do 25. No dobra, przesuwamy o jeden. YSPAPKMCFYXBCUYWFGJT. O dwa. ZTQBQLNDGZYCDVZXGHKU. O trzy...

Sprawdziwszy bezskutecznie wszystkie możliwe przesunięcia, zapatrzyło się w bieriozowe zagajniki przepływające za oknem na tle zielonych pól. Krajobraz podobny do krajobrazu, przez te równiny podróżuje się jak okrętem przez ocean, fala nie do odróżnienia od fali, trzeba wierzyć gwiazdom i zegarom, że inną wodę tną kadłub, niż ciął wczoraj. Ręka zmięła ostatnią zapisaną kartkę, cisnęła w ką. To istotnie byłby zbyt prosty system, skoro dwadzieścia pięć prób wystarcza dla jego złamania.

Jak można go skomplikować, nie komplikując samego sposobu deszyfracji ponad możliwości starego zesłańca? Spojrzało się na zapisany na poprzedniej kartce alfabet, liczby nad literami. Coś łatwego do zapamiętania - klucz - słowo, zdanie. JESZCZEPOLSKA. PRECZZCAREM. FILIPGIEROSŁAWSKI. EULAGJA. POLACYNIEGESIISWOJSZYFRMAJA. ABRAKADABRA. Rzecz w tym, by przesuwać litery nie zawsze o taką samą odległość w alfabecie, lecz - każdą literę według numeru odpowiedniej litery klucza. Jeśli kluczem byłaby JESZCZEPOLSKA, pierwszą literę listu zaszyfrowałoby się, przesuwając o 9 miejsc (J), drugą - o 4 (E), trzecią - o 18 (S), i tak dalej, a potem od początku klucza.

Jak złamać taki szyfr? Liczba kombinacji do sprawdzenia to 26 razy 26 razy 26 razy 26 razy 26... jak długi jest klucz. Porzućcie wszelką nadzieję, ignoranci. Nawet gdyby

podróżowało się dookoła świata, nie starczyłoby czasu.

Ścisnęło się nos u nasady. Palce, które dotykały były słoja z naćmieczonej solą, odciskały teraz na skórze między oczyma to samo wrażenie: wilgoć, zimno, drobne igielki wbijające się w ciało, płytki, piekący ból. Wcale przyjemny - jak lodowy okład na rozpalonem czole. Wytarło się dłoń w chusteczkę. Pojawiło się delikatne uczucie swędzenia.

Uchyliwszy okno, zapaliło się papierosa. Papiery na blacie podniosły szelest i zerwały się do lotu. Zebrało się je w jeden plik i przycisnęło kałamarzem. Ekspres mknął nad korytem jakiejś wyschniętej rzeki; może był to wyjątkowo długi wąwóz, płytka rozpadlina. Blizna, znak szczególny na gładkiem poza tym licu Azji. Wiatr, to znaczy powietrze wpychane do wnętrza przez pęd pociągu - było zaskakująco ciepłe, suche. Opuściło się papierosa. Czy to już zapach stepów? Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK. Rozpadlina się skończyła; z powrotem anonimowe odmęty oceanu traw. Może coś na niebie, profil góry, ptak, burza z piorunami - nie, nic, tylko te megalityczne obłoki jak wapienne grobowce archaniołów.

Słońce raziło oczy, wzrok spływał ku cieniowi, a w cieniu odznaczał się jasny prostokąt papieru. List piłsudczyków pozostał na wierzchu. Strzepnęło się popiół za okno. Tuk-tuk-tuk-TUK, jeszcze dzień, dwa, i nawet serce zacznie bić do rytmu kół pociągowych. Ta regularność doprowadzić może do obłędu, szaleństwo to właśnie nałóg przesadnej regularności, głód przesadnej regularności. Spojrzało się raz jeszcze. CAR. CAR. Car! OREE. REE. ORE. Się pochyliło się nad sekretarzykiem. Co to oznacza? Czy oznacza cokolwiek? Pewne sekwencje liter się powtarzają. Podniosło się z dywanu ołówkę, zakreśliło się identyczne odcinki.

Było 5 powtórzeń. ABT i 56 liter dalej ABT. ORE, 32 dalej - OREE, 156 dalej - REE. JCAR, 32 - JCAR. YRG, 44 - YRG. Wszystkie oddalone o parzystą liczbę znaków. Wszystkie oddalone o liczbę podzieloną przez 4. Przez 8 - już nie.

Co to oznacza? Czy oznacza cokolwiek? Się zaciągnęło się dymem. Czy to może być przypadek? Może. Ale niezwykle mało prawdopodobny. Stawiajmy na to, co pospolite i przeciętne. Klucz jest słowem czteroliterowym. List zaszyfrowano według czterech przesunięć. Litery nr 1,5,9,13 i tak dalej - przesunięte o pierwszą literę klucza; litery nr 2, 6, 10, 14 - o drugą literę klucza; nr 3, 7,11,15 - o trzecią; nr 4, 8, 12, 16 - o czwartą.

Tylko że sam klucz nadal pozostaje zagadką. Usiadło się na posłaniu. Przynajmniej zna się liczbę kombinacji do sprawdzenia: 456 976. Gdyby na każdą próbę poświęcić kwadrans... Zachichotało się pod wąsem. Szaleństwo.

Wiadomość składa się z 222 liter. Po 56 liter przesuniętych według reguły pierwszej i drugiej, po 55 - według trzeciej i czwartej. Zdusiło się niedopałek. 55 liter wyciąganych z tekstu co czwarta. Sieczka losowa. W tym już żadnej regularności się nie znajdzie.

Spojrzało się na stronę maszynopisu pracy Alfreda. Przecież to nieprawda: istnieją regularności, gołym okiem widać, że w tekście pisanym w języku polskim litery w rodzaju A, E, I występują znacznie liczniej od J czy G, nie mówiąc o X i Q. A dla statystyki nie ma znaczenia, czy bierzesz wszystkie po kolei, czy co czwartą.

I tak zaczęło się rachować częstość występowania liter. Najpierw porachowało się, ile razy każda została użyta na pierwszych dziesięciu stronach artykułu Alfreda Tajtelbauma o Łukasiewiczowej *Zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*, zaokrąglając je do alfabetu łacińskiego. Prowadziły I, A, K, R, z G i H na szarym końcu. Potem porachowało się częstość występowania liter w każdej z ćwiartek listu. I jęło się podstawiać: najczęstsze pod najczęstsze, najrzadsze pod najrzadsze. Tu już w grę wchodziło góra 30 kombinacji. Niektóre wykluczał charakter języka, Polak nie wymówi RGRH ani WCFZ; niektóre były w polskim aż nadto oczywiste. Wyłaniały się pierwsze sensowne połączenia. NIE. CIE. PIE. WIE. NIA. TAK. TAK. Zapaliło się kolejnego papierosa. Zbyt wiele sensu, by okazał się przypadkiem. Pierwsza litera klucza: B. Druga litera klucza: J. Trzecia litera klucza: A. Czwarta litera klucza: H. To znowu był bełkot. Ale odszyfrowany podług niego list - on zawierał konkretną treść.

WIOSNALUDOWTAKXODWIL

ZDODNIEPRUXPETERSBUR

GMOSKWAKIJOWKRYMNIEX

DAPONIATAKXPARTYARoz

KAZUJECZASKOMPENSACY

ITAKROSYAPODLODEMxWS

ZYSTKIESRODKITAKXUWA

GAMLODZIIIOCIEPIELNIK

I PRZECIwZIMIEXBRONLU

TEXNIEWIERZSTAREMUXK

URYERPRZYBEDZIEZYJE

SZ

Wykaligrafoowało się list na czystej kartce. Oczy przebiegały tekst raz po razie, konotując całe słowa i zdania, znało się go już na pamięć; rosła konfuzja. Pisali do ojca po latach sybiru pepeesowcy z Królestwa - ŻYJESZ - pisali starzy rewolucjoniści do chowańca mroźników - BRON' LUTE - pisali w tonie komendy - PARTYA ROZKAZUJE - jakby w ojca mocy leżało sprawić to wszystko - ROSYA POD LODEM - ODWILŻ DO DNIEPRU - pisali mu szyfrem, żeby syn, broń Boże, nie poznał ich planów - WSZYSTKIE ŚRODKI - a cóż to, na miłość Pana, ma znaczyć?!

Paznokiec był obgryziony; się zabrało się za naskórek kciuka. Co mówił ten jednouchy socjalista? Że nie mieli kontaktu z ojcem? I to jest pierwsza od nich wiadomość dlań po pięciu latach? Suchotnik łągał, to jasne. Wcale nie dowiedzieli się o ojcu przez ludzi z Miodowej. Najpewniej oni sami go do lutyh posłali. Chcą wykorzystać Łód do podniesienia rewolucji, dla trjumfu socjalizmu czy zmartwychwstania ojczyzny, która tam frakcja akurat -

Trzasnęły drzwi, przeciąg poderwał wszystkie papiery w przedziale, skoczyło się zamknąć okno.

- Panie Benedyckie!

- No i co wyprawiasz!

- Panie Benedyckie, mam go!

- Depczesz mi paszport.

Jelena nie słuchała. Złapała za rękaw, pociągnęła, mało szew w marynarce nie poszedł.

- Co za granda! To już żandarmi uprzejmiej sobie poczynają! - Się wyprostowało się z urazą.

Uśmiechała się radośnie, blade różyczki wykwitły na zazwyczaj kredowobiałych licach; trzy, cztery czarne loki wymknęły się z koka, ach, toż jak na pannę Muklanowiczównę - nieschludność niesłychana.

- Tak?

Zniżyła głos do szeptu, przysuwając się bliżej jeszcze.

- Filimon Romanowicz Ziejcow.

- Ten komunista?

- Aha.

Przyglądziło się wąsa, spojrzało się na nią z ukosa, bardzo była z siebie dumna.

- Dlaczego Ziejcow?

- A więc tak. Wzięłam pieniądze od cioci, poszłam kupić przewodników i stewardów. I -

- Co z Piełką?

- Nic z Piełką! - prychnęła. - Niech się pan Benedykt obudzi! Czy Fogiel nie mówił, że liedniaki włożyli swojego człowieka w ostatniej chwili? Nie mogli wiedzieć, dopóki doktor Tesla nie zdecydował, to znaczy - ta panna Filipov zdecydowała, na fałszywe nazwisko zresztą. Prawda? Czy pan Benedykt ma pojęcie, jakie kolejki i zapisy są na bilety Transsibu? Miesiącami trzeba czekać! - Znowu capnęła za połę marynarki; odstąpiło się pod ścianę, ale Jelena tym razem nie puściła. - Jeszcze zdąży pan na spóźniony obiad, Ziejcow zawsze przychodzi na koniec, je sam, przysiądzie się pan - on musi się zdradzić!

- Ale-

- Zdradzi się! Przewodniki mi opowiedzieli: odkupił bilet tuż przed odjazdem z Sankt Peterburga, od jakiegoś kupca futrzanego, za półtora tysiąca rubli. Półtora tysiąca! Burżuj-komunista! Ha! To on!

Sięgnęła za siebie, nacisnęła klamkę. Rozejrzało się bezradnie po przedziale. Dywan, sekretarzyk, posłanie, wszędzie leżały papiery, dziesiątki kartek zapisanych kombinacjami liter próbowanymi w trakcie kryptoanalizy, na pierwszy rzut oka - notatki szaleńca, nic innego.

BJAH. I to miał zapamiętać na lata sybiru? Jakże dziwną maszyną jest ludzki umysł: w im ściślejszy porządek wprzęgnie świat dookolny, z tem większą furją natrze na ostatnie w nim gniazda nieładu. BJAH! Być to nie może, klucz musi coś znaczyć.

Jelena mówiła swoje, perswadując i prosząc, i targając za rękę, jak uprzykrzona młodsza siostra - tymczasem ta ostatnia zagadka nie pozwalała się wyrwać z myśli, gwóźdź w czaszce, rana w głowie, dręczy, boli, nie daje spokoju, trzeba podrapać.

- Pan znowu mnie nie słucha!

BJAH. A jeśli litery naprawdę nie mają żadnego znaczenia? Jeśli to jest jeszcze prostsze?



Przesunięcia alfabetu o jeden, o dziewięć... 1-9-0-7. 1907. Wszystko zapomną - ale nie zapomną roku swego zesłania.

- Siedemnaście lat.

- Co?

Zerknęło się ponad ramieniem Jeleny, mężczyzna w lustrze miał bardzo dziwną minę. Siedemnaście lat. Twarz ojca, gdy szedł na Sybir - zapamiętana - niezapamiętana - o ile był wówczas starszy, kilka lat zaledwie; prawie rówieśnik przecież! Nie ma fotografii, nie ma obrazów, jeno rysopis policyjny i wspomnienie prawdziwe-fałszywe. Najpewniejszy i w istocie jedyny sposób to lustro: tylko tak, tylko na tyle istnieje ojciec w terażniejszości, tylko w tej postaci.

Jelena, zmarszczywszy brwi, obejrzała się przez ramię. Czy ona widzi, co dzieje się wokół z cieniem? Czy dostrzega kształt tej ażurowej poćmiaty?

Zapięło się kamizelkę pikową.

- Ziejcow. Jego powody mogły być zupełnie inne -

- Ale! Wypytałam ich dobrze: wszyscy mieli bilety z dawna wykupione, tylko Ziejcow nie, tylko na niego przepisali w ostatniej chwili. Więc albo to on - albo nikt. Chyba że liedniaki słuchają się jakichś jasnowidzów.

Postąpiło się za próg. Panna Muklanowiczówna dygnęła przed Mrs. White-Gessling. Zgorszona Angielka odwróciła głowę. Jelena syknęła ponaglająco.

- Nie będę pana ciągnąć za krawat, panie Benedyckie, jeśli na to pan liczy.

- Miałaś się położyć, znowu zasłabniesz.

- Zasłabnę? O czym pan mówi? I kiedyż to dopuściłam pana do podobnej poufałości w mowie? Panie Benedyckie!

Z kluczem w dłoni spojrzało się jeszcze na zabałaganiony przedział. Na wierzchu papierów rozrzuconych po posłaniu leżała broszura reklamowa Transsibu, otworzona na stronie zabazgranej błędnie zapamiętanym szyfrem.

Obróciło się klucz w zamku, zielony cień zalał okna, gdy Ekspres wpadł na chwilę między drzewa; zakręciło się w głowie i myśl nagła jak ów cień przesłoniła świadomość:

A gdyby dało się odszyfrować także ten list?

## O niektórych sposobach komunikacji Boga z człowiekiem

Nad drugą wódką Filimon Romanowicz wyjął fotografię matki.

- A to wiedzieć pan musi, że żadne zdjęcie ni malunek nie odda jej urody, piękna była matka moja, że, jak opowiadał nieraz, trzeźwy i pijany, a ja daję mu wiarę, tem bardziej gdy gorzałka już go rozbierze - że ledwo wzrok jego na niej spoczął, powiedział sobie fater mój: ta dzieci na świat mi wyda, z tej krasawicy wezmą co dobre, czego nie wezmą ode mnie. Tak mówi i, Bóg na niebie, słusznie mówi, bo i to wiedzieć pan musi, kak wam pa otcziestwu, a, Filipowicz, jeszcze jedną polejcie, dziękuję, to wiedzieć musicie, Wieniedikt Filipowicz, że ojciec mój, Roman Romanowicz, jest człowiek może i dobrego serca, ale złych namiętności. Języki zawistne, których nie brak w żadnym powiecie, osobliwie w ziemstwach takich, gdzie wszyscy urodzeni znają się z pradziadów i każdy grzech, każda przypadłość, jako i każda cnota, wielekroć zdążyły przepłynąć między nimi w krwi wymienionej z pokolenia na pokolenie, wszyscyśmy tam spokrewnieni, języki zawistne, powiadam, obmówiły go lubieżnikiem i bezwstydnikiem. Przykroć to, gdy syn o ojcu takie rzeczy słyszy; usłyszysz od obcego, zaprzeczy, bronić będzie ojcowego honoru, ale usłyszysz od krewnych, od familjantów, przyjaciół - co dzieje się z synem? Dopiero ze łzami w oczach pocznie wyklinać i potępiać bezceństwo ojca! Syn! On pierwszy oskarżyciel, on stróż prawości! Niech pan zrzuci ten grymas. Było tak i ze mną.

...Miał mój ojciec, jak się przekonałem, nie jedną rodzinę i nie jeden dom, lecz domów najmniej trzy, a w rodzinnych więzach i rachuby jasnej podać nie idzie, tak nawikłaną siecią *liaisons du coeur* się oplótl. Myśmy mieszkali w majątku; w miasteczku zaś utrzymywał dwa domy, gdzie żyły Sofija i Jelizawieta, każda z dzieckiem swoim, a z Sofiją jeszcze jej przyrodnia siostra młodsza, którą też, widzę, że już pan zgadujesz, też ojciec między swe kochanice liczył. Ot i rozpustnik, ot i grzesznik obmierzły, na przyzwoitość ludzką nie zważający! Gdym, dorastając, musiał setny i tysięczny raz wysłuchiwać opowieści o jego wszeteczeństwach, a ludzie lubują się w roztrząsaniu każdego szczegółliku grzechów cudzych, bo inaczej niż rany ciała, rany duszy większą przyjemność dają drapane, palcami macane i jątrzone - gdy nie twoje; a też i zmysłowość w tym jest jakaś właściwa przyjemnościom stołu, nadal o grzechach mówię, smakujemy je, wachamy bukiet, ważymy, czy ciężkie dosyć, czy skruszałe dobrze, czy gęste jak trzeba, a te odleżałe latami, pokoleniami - tern szlachetniejsze,

a te niepospolite, wyjątkowe - tem smaczniejsze, i uczyty też odbywają się nierzadko na podobieństwo rzymskich owych: w rozleniwieniu, półleżąc, już syci, a niesyci, na granicy snu, z przymkniętymi oczyma i uśmiechem słodkiej satysfakcji, słuchamy chciwie o upadku innych ludzi, więc przedstaw pan sobie, com ja przeżywał zmuszony tego wysłuchiwać, biesiadom takim świadczyć - jakby z mojego boku grzechy te wyjadano - prometeuszowe męki. Wytrzymać nie mogłem; nie wytrzymałem.

...Może inaczej by się wszystko potoczyło, gdyby matka moja żyła jeszcze. Zmarła w połogu, oddając nas pod opiekę niani i guwenera, nie, żeby ojciec się nami nie zajmował, wręcz przeciwnie; zmarła, rodząc drugiego syna, Fiodora, on pozostał w domu. Stary guwener, który był jeszcze jej wychowawcą, przywiozła go matka z sobą z Jarosławlia, on więc, na czas nieobecności ojca, gdy ten wyjeżdżał w interesach - a często były to miesiące całe i nie mógł się wtedy człowiek nie zdręzczać, gdzież ojciec spędza dni i noce, czy nie z inną swoją rodziną właśnie, inną żoną, żyjącą, piękniejszą, innymi synami, lepszymi, których prawdziwie umiłował - na ten czas guwener zarządzał prawie całym majątkiem i wtedy, ażeby zabić te myśli, żeby zająć głowę i serce, zacząłem mu towarzyszyć w obowiązkach właściciela ziemskiego i po trosze przejmować je nawet. Otwarły mi się oczy na dolę ludu rosyjskiego. A jak teraz się pan zaśmieje... no i dobrze.

...Łatwo budzi się w głowach młodych święte oburzenie i gniew wobec niesprawiedliwości. Lud nasz tak zwyczajny jest nieszczęściom i cierpieniom wszelakim, że nawet nie widzi i nie rozumie rozmiarów niekoniecznej krzywdy, jakiej doświadcza, ród za rodem, wioska i wioska, gubernia i gubernia; nawet te jęki, te lamenty bab u stóp popa i łzy pod ikonami, jak się tak patrzy z boku - to przecie też rytuał, też obyczaj ich uświęcony tradycją tysiącletnią. Bo właśnie trzeba dopiero, by kto z boku spojrział. On widzi nieprawość, on potrafi nazwać krzywdę, niepokrzywdzony, w nim żal i gniew, mówię, gniew wobec niesprawiedliwości powstaje. Zna Wieniedikt Filipowicz los Ijoba. I ten targ Pana przeciwko Ijobowi, i Ijoba w duchu targi hardej pokory. „I niewinnego, i niezbożnego on niszcza! Ziemia dana jest w ręce niezbożnika, oblicze sędziów jej zakrywa, a jeśli nie on jest, któż tedy jest?” A Ijob zatrzymał przynajmniej pamięć czasów szczęśliwości, znał więc miarę swego upadku i liczył dni krzywdy wobec dni prawa - ale chłop rosyjski niżej jeszcze od Ijoba leży, i bardziej w tym podobny jest zwierzęciu dzikiemu, bardziej bydłom bezmyślnym aniżeli rozumnemu człowiekowi, bo żadna w nim nadzieja odmiany losu się nie zapali, żadna trwała chęć zmiany swej doli, jak i szkapy pociągowej nigdyś pan nie widział zaprzęgającej do dyszla woźnicę i sadzającej się na koźle. I nie dziw się pan mojej na lud tu goryczy - ileż ja

wówczas dni i wieczorów poświęciłem, korzystając z pobłażliwości starego gubernera, na starania ku polepszeniu ich życia, stawając przeciwko zarządcom i innym ziemianinom, a na koniec kto obracał to wszystko wniwecz, kto obśmieszał moje wysiłki? Oni sami! Lud cierpiący! I wracałem z ich chałup nędznych, od ich dzieciąt wychorzałych i bab wyniszczonych, z izb ciemnych-zimnych, gdzie jeśli świeczka, to bodaj tylko lampadka przed ikoną świętą, do ciepłego domu, pod pierzyny puchowe, do stołu sutego, pod oko służby - i dopiero gniew niesprawiedliwości mnie chwycił, i szarpał, i w drżączkę taką wprawiał, jaką widział pan może u ludzi apopleksyją rażonych, u nich. Tak się odzywa w człowieku głos Bożej prawości; a że we mnie, jak panu mówiłem, rozbudził się on był na dobre i złe wobec ojca rodzzonego, tern bardziej nijak nie mogłem go już teraz zagłuszyć.

...Oto jest krzywdą! Oto jest męka, którą tylko Rosjanin pojąć może! Nie cierpienie Ijobowe, nie cierpienie niezasłużonego upadku - ale na odwrót, Anty-Ijob: cierpienie niezasłużonego wywyższenia! Gaspadin Jerosławski! Czy pan, czy pan, czy - a polej, bratku! - pan tego myślą nie ujmiesz, widzę, pan na warjata patrzysz. A przecie ból to nieporównany: Ijob każdy zawsze jest w swej krzywdzie szlachetny i uświęcony, bo cóż większą zasługę wobec nieba daje niż pokorne znoszenie nieszczęść niezawinionych, cóż z życia doczesnego z większą pewnością w życie wieczne przeprowadzi? - podczas gdy Przeciwi-Ijob potępion jest w swej męce i nie masz dla niego zbawienia: co luksus, co szczęście, co triumf i satysfakcja nad bliźnim, to większy ból sumienia i głębiej rana w duszę krwawiąca. Wytrzymać tego nie mogłem, nikt mnie tam przecie na scenie męki nie więził, miałem trochę pieniędzy oszczędzonych z darowizn ojcowych, pociąg do Sankt Peterburga chodził co sobota... Nie wytrzymałem. Nie wiedziałem, co w Peterburgu załagodzić mogłoby tę udrekę, przecież nie pomyliłem się - bólu nie można dzielić z drugą osobą, ale czyż ulgi nie przynosi nam sama świadomość, iż nie jesteśmy w nim samotni? W mieście spotkałem podobnych sobie, o podobnych doświadczeniach i przekonaniach, poznałem imiona wrogów, przeczytałem recepty Ławrowa, Lavelaye'a, Pisariewa i Marksa samego, i sposoby zaradzenia niesprawiedliwości... Przystałem do marksistów narodnickich, a potem do Peeseru.

...Ziemia jest dana w ręce niezbożnika! A imię jego car, a imię jego bogacz i burżuj i ciemna reakcja! Oblicze sędziów zakryte przed prostym człowiekiem; ani przemocą dobijesz się do sprawiedliwości za życia swego, na świecie tym, pod słońcem Złego. Nic nie wskórasz przeciwko jednej i drugiej krzywdzie ludzkiej, gdy wszystkie jenerały i czynownicy za nią stoją - zniszczyć trzeba wpierw ten świat, który w złym utwierdza, i stworzyć inny, co ku wszechdobru skłaniać będzie. Jeśli była pewność między nami, to właśnie taka. Ci, co

zaczynali od dołu, od jednego człowieka i jednego cierpienia, padali jak Syzyf; poddawali się lub na koniec i tak do nas przychodzili. Minimalizm okazywał się niepraktycznym - jedynie maksymalizm realnym. Była w tym jakaś jasność, jakaś wzniosłość właściwa projektom eschatologicznym: cel na granicy cudu, przeobrażenie tak totalne, że podobne tylko zostąpieniu Królestwa Bożego - konieczna niemożliwość. Żeby pan potrafił sobie przedstawić ów stan ducha... Czasami o świcie zimowym, gdy słońce sływa po śniegach i lodach miasta i mgła biała unosi się nad cichymi ulicami, otworzysz na rozcież okno po nocy nieprzespanej, wyjrzysz na jutrzenkę przeczystą, w pierś weźmiesz szorstkie, trzeszczące powietrze - zakręci ci się w głowie, ale zarazem właśnie uniesienie poczujesz i lekkość przedziwną, jakbyś został przez ten blask rześki prześwietlony, w ciele i w duszy, prześwietlony, oczyszczony i uanielony, że każda myśl, która zabłyśnie ci w głowie, będzie nieuchronnie prawdziwa, święcie słuszna - a myślisz TAK.

...Dobre więc były nasze zamachy, słuszne bomby w dygnitarzów ciskane, błogosławiony terror. Byłem na strajkach Pierwszej Rewolucji, opisywałem historję Rady Delegatów Robotniczych. Bardzośmy przeżyli to niepowodzenie. Bajewaja Arganizacyja ostatecznie skompromitowała się w Roku Lutych - jednak nie to było powodem mego rozczarowania. Nasza grupa od dawna skłaniała się ku bolszewikom. Byłem na tyle blisko, uczestniczyłem w tych dyskusjach, na papierze i wobec ludzi, widziałem, jak przesuwają się między nimi ideje, jak wizje wypierają wizje, i gdzieś tak pomiędzy papierosem a papierosem, między wiecem a kłótnią w oficynie - nowa konieczność zastępuje starą. Bolszewicy najpierw mówili o rewolucji proletariatu i chłopstwa dla obalenia samodzierżawia, dla wymazania obyczajów poddaństwa i wzniesienia na fundamentach demokracji Republiki Rosji. Ale potem rewolucja obróci się w socjalistyczną. Potem powstaną takie i takie rządy, taka a taka - nasza - ich - władza uczyni to a to, w ten sposób, nie, w tamten, nie, w jeszcze inny, i im bardziej upadały nadzieje, im pewniej czuł się Imperator, im lepiej szły reformy Stołypina, a oni im mniej głosów mieli w kolejnej Dumie, tern ostrzej się ścierali o przyszłe swe rządy i metody zaprowadzania sprawiedliwości. Powie pan, że powinienem był to ujrzeć już po sprawie Lenina z mieńszewikami - najstraszniejszy sen Przeciw-Ijoba: bo czymże była owa walka, jeśli nie drogą pewną do jeszcze większego wyniesienia?

...Przystalem do anarchistów, braci bakuninowskiej i antystruvowców. Wybuchła druga wojna japońska. Stołypin podał się do dymisji, głód wszedł do miast, Zwiozdnaja Pałata wymyśliła sobie Struva, Trocki przywiózł Lenina z Krakowa, ostatni ich raz pod jednym sztandarem, stanęliśmy na barykadach. Nie zostałem nawet draśnięty. Żandarmi wzięli nas

śpiących, posnęliśmy na mrozie, wraz z głodem weszła była Zima. Pokazało się, że ochrana od dawna miała nas wszystkich w rejestrach, przeczytali mi o mnie takie rzeczy, gaspadin Jerosławski, takie rzeczy... Osobliwa to jest sprawa, ujrzyć się szatańską ręką opisanego, usłyszeć własne swe życie z ust kolekcjonerów grzechu. Nie ukazał ci wiernego odbicia, to pewne, ale ich łgarstwo nie jest przypadkowym i nierozumnym, ba, nie jest nawet łgarstwem przez nich zamyślonem: mówią, co widzą, a w każdym zdarzeniu i w każdej duszy dojrzyć potrafią tylko to, co ciemne, ich oczy pracują tylko w cieniu, w tym podobni są ćlepcom, ich uszy słyszą tylko dźwięki nocy i podziemia, słowa złości, gniewu i zawiści, takie świadectwo dają i taki świat odbijają. I dopiero po czasie, po latach rozumiesz, jak wiele prawdy o tobie opowiedzieli w owym kłamstwie - albowiem sam nigdy byś się w tak ostrem ćmiele nie zobaczył: najgorszy człowiek, jakim mogłeś być. Takim stanąłem wobec sędziów. Co złe mogłem być zrobić, a nie zrobiłem - zrobiłem. Jakich podłości mogłem być dopuścić, a nie dopuściłem - oni mi je opowiedzą ze szczegółami. Z pokus odpartyh - wszystkie, którym-em uległ. Z prawdy - kłamstwo. Z kłamstwa - prawdę. A i z uczynków szlachetnych, którym zaprzeczyć nie w ich mocy - odejmą szlachetność, objawiając mi najczarniejsze z zamiarów przewrotnych, jakie mnie do nich były pchnęły. Jest to spowiedź tysięcy razy okrutniejsza i głębiej z duszy rwąca niż jakiegokolwiek wyznanie samomyślnie w Bogu dokonane. Kanieszna, można krzyżeć przed sędziami ziemskimi i zaprzysięgać się na obrazy święte, że wszystko to wypaczone i prawdzie mało podobne; uwierzą, nie uwierzą, nie w tym rzecz przecie. Czy byłeś pan kiedy kochany miłością icense bezgraniczną? I cóż widziałeś w oczach onej kochającej? jakiego siebie? Najlepszego, jakim mógłbyś być, czyż nie? I to też było kłamstwo. Ale właśnie takimi kłamstwami dowiadujemy się prawdy o sobie.

...I kto to słyszał, kto siedział od początku w pierwszej ławie... Znalazł mnie wtedy, przyjechał na proces - ojciec, od którego uciekłem, by dobro mnożyć przeciw jego wszeteczeństwu. Opłacił prawników, nie żałował pieniądza na łapówki; na nic wszystko. Czekala mnie katorga, zapisano mi ją jeszcze przed pierwszym słowem prokuratora. Zesłali nas na Sybir.

...Prawda i prawda, prawda to najwyższa, powtarzać trzeba: wie Bóg, jaką ścieżkę nam wybrać, jaki krzyż na barki złożyć - nie było wondrous lepszego życia dla mnie, nie było innego wyzwolenia, katorga tylko. Widzisz pan te blizny? A czego nie widzisz, co zarost kryje, i te palce, co jeszcze na ciele ucierpiałem - wszystko to są ślady pierwszego roku. Robiliśmy głównie przy wyrębie lasów, nie w samym Kraju Lutyh, choć potem Lód przyszedł i tam - tak czy owak zima. Pnie cedrów sybirskich zamarzyły na kamień, na kamień

ziemia, na kamień śnieg... Jedziesz pan do Irkucka, zobaczysz pan takie mrozy, że co będę panu opowiadał. Ci, którzy nie zdobyli sobie odzienia zdadnego na Syberję, od razu, jak trądem tknięci, tracili palce, uszy, całe płyty skóry odmrożone. Dozorcy nie mieli zresztą wiele lepiej. A żołnierze też trafiali tam jak na ssyłku. Gdy przyszedł Lód, cynowe guziki od mundurów kruszyły się niczym glina suszona. Pierwszego lutego, co spotkałem w tajdze, o, nie zapomnę, jest u Burjatów taki przesąd, że mroźniki przyciąga w dziczy ogień otwarty, ognisko, dym z chaty samotnej, jeśli przez kilka dni utrzymany, i ów luty tak się usadził na polanie kamienistej (bo wysłał już spod ziemi wszystek żwir i głązy), na środku której tkwiło trzech myśliwych skulonych przy ruszcie z padliną: zmrozeni - na kamień. Siedział na nich jak pająk na truchłach muszych. Trzeba było zameldować naczelnikowi. Jest prikaz, coby zaraz słać raporty o ruchach lutyh, pono Ministerjum Zimy kreśli z nich swoje Drogi Mamutów, mają wielkie atlasy, tak się u nas mówiło: horoskopy geomantyczne pływów Lodu. Z wyższego naczalstwa przyszedł papier: baczenie dawać i pisać z każdą pocztą. Potem przyjechało dwóch ludzi uczonych. Tak poznałem Siergieja Andriejewicza Aczuchowa.

...Siergieja Andriejewicza. On... Ale wpierw - nie żałuj pan, no, do pełna, uch - ale wpierw...

...Czy był pan kiedy zmęczony? Naprawdę zmęczony? Zmęczony ponad wszystko? Bo jak pomierzyć zmęczenie? Tak: rzeczami, które tracą dla ciebie w zmęczeniu znaczenie. Więc na początek nie zależy ci na jedzeniu: tak jesteś zmęczony, że ważne tylko paść w barłóg i zasnąć w ciepłe. Potem nie zależy ci także na ciepłe - byle uciec w sen od tej rzeczywistości i swojego w niej ciała, zmęczonego. Ostatni odchodzi cię wstyd: kiedy już żadna rzecz nie obudzi myśli sromotnej, kiedy już wobec nikogo i w żadnej sytuacji nie czujesz się poniżonym i zobojętniałeś na wszelkie upodlenie - znak to wyczerpania ostatecznego. Znałem bowiem ludzi, którzy nie unieśliby ręki, by osłonić się przed ciosem śmiertelnym, lecz dźwigali się w męce, coby nie dać satysfakcji pogardy znenawidzonemu dozorczy. Pogarda i wstyd: takie są sybirskie termometry ducha.

...Przez zmęczenie więc zaczął się mój powrót. Objawienie przyszło z ciała. Zmęczenie obiera nas po kolejki z wszystkich tych rzeczy, aż pozostaje tylko ciało. Widzisz to wtedy z tą samą mrozną, wzniosłą oczywistością, umysł jest pusty i czysty, widzisz, że człowiek nie jest niczym więcej ponad prostą mechanikę ciała. Ruch rąk, uniesienie siekiery, cios, szarpnięcie, nogi, barki, ręce, uniesienie siekiery, cios, szarpnięcie, nogi, barki, ręce, siekiera, ręce, nogi, barki, ręce, nogi, barki, ręce, nogi, barki, tak, tak, tak. I nie ma nawet myśli o tym: „ręce, nogi, barki”; nie. Są tylko ruchy monotonne i spokojna, zwierzęca świadomość ruchu,

przepływająca niezmaconym strumieniem jak woda po lodzie, umysł jest pusty i czysty. Obudzić się, wysrać, przełknąć ciepłą kaszę czy rzepe, dopiąć ubranie, buty, rękawice, czapka, idziemy w las, stopa lewa, stopa prawa, rąbiemy, więc ręce, nogi, barki, jemy, sramy, śpimy, budzimy się, ręce, nogi, barki, jemy, sramy, śpimy, ciało, ciało, ciało, tyle pozostaje, mechanika surowej fizjologii. Dzień zlewa się z dniem, czas przyjmuje formę koła, język przestaje służyć do przekazywania złożonych myśli - nie ma myśli innych jak proste refleksy procesów ciała - są tylko sygnały słowne: „tu”, „tam”, „daj”, „nie”, „tak”, „wróg”, „nie-wróg”, „ciepło”, „zimno”.

...Wtedy spotkałem Siergieja Andriejewicza Aczuchowa. On do mnie przemówił. To znaczy wpierw do mojego ciała. Nie wiem, czym przyciągnąłem jego uwagę. Ludzie rozpoznają się na podstawie sygnałów, jakimi zdradza ich właśnie ciało. Gdy odejdą wszystkie myśli i odpłyną motywacje, pozostaje to, co najgłębiej osadziło się w ciele: odruchy, maniery, rytm, postawa, a także coś ze znaków, jakie odczytują fizjognomiści, bo nie jest tak, że twarz narasta nam na czasce przez lata i lata nijak nie dotknięta codziennością naszego życia. Oczywiście nie potrafimy tego opowiedzieć; gdybyśmy je kontrolowali, gdyby podlegały naszej świadomości, nie przynależałyby owe cechy do rządu ciała, lecz do rządu ducha. Mówimy więc: przypadek. Mówimy: palec Boży. Mówimy: miłość od pierwszego wejrzenia. Mówimy: pokrewieństwo dusz.

...Siergiej Andriejewicz sam jest zesłańcem, wysokourodzonym tołstojowcem, wygnano go na Syberję z poduszczenia zawistnego krewniaka-dworaka. Zresztą Synod ekskomunikował Aczuchowa, a Czarna Sotnia pilnuje, by nie wrócił zbyt szybko z Sybiru; opuścili go przyjaciele, fortunę rozdał. Mieszkał tymczasem w Tomsku i bywał gościem u generał-gubernatora Szulca-Zimowego w Irkucku. Często jeździ śladem lutech i pisze do europejskich gazet listy z krain Lodu, prowadzi badania. Kiedy go poznałem, był jeszcze mężczyzną w sile wieku; mógłby pan go wziąć za chłopca, tak skromnie się odziewa, tak topornego jest oblicza, i jest w nim też jakaś twarda pokora, spokój niewzruszony i cierpliwość wielka, właściwe ludziom, których życie związało z powolnym rytmem ziemi, z tętnem przyrody. Miałem ich prowadzić na polanę lutego, Siergieja z towarzyszem. Tak się spotkaliśmy. Że co? Przypadek, oczywiście, przypadek.

...Siergiej zwalniał mnie z robót. Kiedy rozmawialiśmy... kiedy to już nie ciało mówiło... Więc co poza ciałem, co ponad ciałem? Nie musiał mnie przekonywać, wszystko było w pytaniach. Pod tym niebem syberyjskim, zimniejszem od zlodowaciałej ziemi, pod temi górami - pomyślałbyś pan, że nie ma i nigdy nie było człowieka między zwierzętami owej



dziczy, że to kraj prawdziwie przedludzki. Zdarzało się, że milczeliśmy godzinami. Jeśli nie o ciele, jeśli nie dla ciała, jeśli nie ciałem - to o czym mówić? o czym myśleć? w czym sens? dla czego życie? W tym, co cielesne, nie ma odpowiedzi. Popatrz pan! Gdy już kto poznał pustkę ukrytą za mechaniką mięsa, gdy już sam żył w tym kieracie fizjologicznej inercji, o jednym wie bez żadnej wątpliwości: ciało nie może być treścią i celem ciała. Cel życia jest poza życiem. Człowiek nie może być sensem i usprawiedliwieniem człowieka - one leżą poza nim, poza materją, a co jest poza materją? Tylko gdy żyjesz dla tego, co niematerialne, żyjesz naprawdę, to znaczy nie jesteś jeno falą powtarzanego ruchu: ręka, noga, ręka, noga, ręka, noga, po grób, a wtedy poruszają się robaki.

...Sam nie wiem, kiedy Siergiejowi Andriejewiczowi opowiedziałem swoją historję. Opowiadamy się nieznanym, żeby przestali być nieznanymi - wódka pomaga, tak - ale znajomym, cóż znajomym? Słowo przeciwko ich doświadczeniu? Poznali już najlepszą prawdę, jaką mogli o nas poznać. Wtedy właśnie rodzi się kłamstwo: próbujemy się tłómaczyć, szukamy objaśnień poza nami, wynajdujemy przyczyny, które, oczywista, przyszły z zewnątrz (z zewnątrz ciała). Ale Siergiej nie wiedział o mnie nic; wszystko, co mówiłem, było prawdą. Opowiedziałem mu o krzywdzie Przeciw-Ijoba, o rewolucji, o klęskach marksistów. A co wyszło z moich ust, to już sam słyszałem inaczej niż dotąd. Że czym właściwie miałyby się różnić kapitalizm i komunizm? Oba sprowadzają człowieka do tego, co materialne. Dla obu człowiek to jest ciało. I co zje, co wydali, a zwłaszcza ile to warte, eschatologia przełożona na liczby i ruble, nie dusza, lecz bilans handlowy. Nie stąd więc ratunek.

...Jedyna prawdziwa rewolucja, to znaczy zmiana świata, może nastąpić poprzez zmianę natury ludzkiej - nie przez takie czy owakie przesunięcia materji i systema rozporządzania materialnymi dobrami, ale przez odmianę tego, co materją rządzi. Ewangelizacja, mówił Siergiej Andriejewicz, nawrócenie narodu rosyjskiego. Czy ludzie wierzą w Boga? Nawet gdy mówią, że wierzą, żyją, jakby nie wierzyli. Patrzysz: ten żyje tak, tamten tak, ów tak, inny znowu - tak. Który jest chrześcijanin, a któremu w sercu tylko kasa rublowa dźwięczy? Nie poznasz! Nie poznasz! Jakże to możliwe? Co to za wiara, co to za Bóg, co za chrześcijanie zatraceni, że sami czynem i słowem wypierają się swej nadziei każdego dnia, w każdej godzinie? Powie taki: muszę to robić, muszę dbać o rodzinę, zapewnić im jadło i dach nad głową, muszę posłuszny być zwierzchności, prawa przestrzegać, a i przemocy wyrzec się nie mogę, bo jakże obroniłbym się przeciwko złu, czy nie wolno mi za kij i kamień złapać, gdy zbrodnień na progu staną i pokrzywdzić dziatki moje chce? Aczuchow mówi: otóż nie wolno,

otóż skoroś prawdziwie wróblem Bożym, skoro oddałeś się pod władztwo królestwa niewidzialnego i pozaczasowym prawom zawierzyłeś, kłamiesz teraz czynem i zaniechaniem, postępując tak, jakby Boga nie było i tylko prawo ciała, prawo cesarza mogło cię uratować. Zaprzecz prawu cesarza! - czyn prawo Boga! - stwórz rząd Boga na Ziemi! Dopiero gdy wszyscy ludzie żyć będą według tej myśli w każdej sekundzie przytomności swojej - jest Bóg, jest Bóg, Jego władza, Jego zamysł, Jego zwycięstwo w najskromniejszym zwycięstwie dobra, w Nim zmartwychwstanie i szczęśliwość wieczna - dopiero odmieni się oblicze Ziemi i nastanie Imperjum Dobra.

...Takie było nawrócenie Filimona Romanowicza Ziejcowa pod niebem Syberji.

...Kiedym wrócił z zesłania, zastałem brata, Fiodora, ożenionego i z dziećmi swemi, nadal w domu ojca mieszkającego. Poza tym wszystko było jak dawniej, ale ja byłem nowy i wszystko było inaczej. Cóż dla mnie znaczyły teraz spojrzenia krzywe sąsiadów, złe szeptki i plotka mściwa? Samem przyniósł ze sobą własny wstyd, mnie obmawiali, mnie palcami wytykali. A buntownik! A przestępca, katorżnik! A anarchista przeklęty! Wówczas spojrzałem na nich oczyma ojca. Bo i co nieszczęśnikowi takiemu pozostaje - da wiarę obcym ludziom, gdy go opisują językami czarnymi, czy da wiarę sercu własnemu? Kto raczej zna prawdę o człowieku: człowiek czy inni ludzie? Ale! Mówisz pan, że człowiek nie zna prawdy. Zna, zna. Nie wie, że zna, a zna. To posłuchaj jeszcze: zdarzyło się, że śniegi takie spadły na nasze miasteczko, że na dzień i drugi uwięźlimy wszyscy przejazdem w nim goszczący, nie mogąc wydostać się na trakt gubernialny, a że ojca również śnieżycą tam zastała, nie pozwolił mi w domu zajezdnym nocować - na dwa dni u ojcowej Sofiji zamieszkałem. Ot, i rozpustę zobaczyłem: rodzinę kochającą, mężczyznę i kobietę i córki ich, i tę miłość między nimi, którą właśnie najjaśniej widzi człowiek w miłości nieobyty - bo nie złota, nie zdrowia, nie zaszczytów, ale jej właśnie każdy najprędzej zazdrości. I potem, gdy odwiedziła ich Jelizawieta, i potem, jak dziewczynki śpiewały nad niemowlęciem kołysanki, i gdym ich wszystkich w izbie jednej z siostrą Sofiji widział, gaspadin Jerosławski, zem nie zapłakał tam gorącemi łzami, to pewnie tylko dlatego, że łzy ostatnie już mi dawno wymarżyły na Sybirze. Pan mówisz o wstydzie! Człowiek wyzwolon od praw cesarza ciała, on tylko przed sobą, przed Bogiem w sobie zawstydzić się może. Otóż ta bezinteresowna ojcowa miłość, może i z namiętności zrodzona, nie wiem, może i tak - niezazdrośna, szczodra, nie mierząca granic i nie licząca procentów - czymże wobec niej były wszelkie nasze projekta sprawiedliwości ludowej, programy altruizmów gospodarczych? czym rewolucje i powstania?

...Zaprawdę, bliższy Bogu jest szczery lubieżnik niż największy polityk dobru ludzkości

zaprzędany.

...Śmiejesz się pan? Śmiejesz?... No i dobrze.

...A teraz co - teraz też tylko dzięki ojcowym pieniądzom mogę Siergieja Andriejewicza wyratować. Ile to kosztowało, nie powiem, wiele, wiele. Już mu lewe płuco pono całkiem obeschło, jeszcze rok w Zimie i śmierć pewna, chociaż on lutowczyk stary. Trzy miesiące chodziłem po urzędach i pałacach, myślałem już sobie lokum w Peterburgu nająć, dawniej przekupiłem jednego i miałem pewność, rzecz załatwiona, dziś kupić trzeba władzę, i drugą, jakby tamta nie starczyła, i trzecią, jakby tym się odwidziało, a potem i tak lepiej przed obrazem świeczkę zapalić i pomodlić się na okoliczność, nie ma pewności, tak że do ostatniej chwili czekałem na papiery z ułaskawieniem, a jak sam nie dopilnuję, już Siergieja mogą nie zastać przy życiu, i na koniec fortunę na bilet wydać musiałem, jeden chętny z miejscem do Irkucka nawinął się ten Ormianin chciwiec, a z kupiejnego, com kogo zagadnął, przedstawił pan sobie, z kupiejnego żaden tam na peronie odstąpić miejsca nie chciał, to dopiero jest rzecz niepojęta i świat na głowie postawiony, nie idzie rozumem ludzkim objąć, polej pan jeszcze.

- Piękna.

- Oj, piękna, piękna była.

Oddało się mu pocięta fotografię.

- Więc, powiadacie, chrześcijanin nowy teraz jesteście, więc, nie dla materji, nie dla ciała, więc, nie do pomylenia z bezbożnikami, tak?

A on już głowę musiał podtrzymywać ręką, to prawą, to lewą, i tak przekładał ciężar mózgowy z piąchy na piączę, aż mu się omsknęła łepetyna i huknął czołem o stolik, zadzwoniły szkła i podskoczyła popielniczka - to go otrzeźwiło na dłużej. Naprostował się prędko w fotelu, rozglądając po salonce, mrugając z miną srogą. Drzwi sali bilardowej były rozsunięte, tam szła znowu ostra zimucha z udziałem kapitana Priwieżeńskiego i pana Fessara; po drugiej przekątnej od zielonego stołu, przy biblioteczkę siedziała panna Muklanowiczówna, udając zatopioną w lekturze mocno już zaczytanego żurnała dla pań, „Le Chic Parisien” czy „Wiener Chic”.

Wcześniej zajrzał tu tajny radca Dusin; widziało się, że ma on wielką ochotę podejść i zagadnąć, i tylko obecność Ziejcowa - skołtuniona grzywa jego włosów, pomięty surdut, zaśpiew pijacki i zamaszysta gestykulacja - tylko nieprzystojna prezencja eks-zesłańca go powstrzymała. Sięgnęło się odruchowo po zegarek - nie ma, zmiażdżony. Zerknęło się na

cyferblat zegara szafowego. Już po szóstej, wieczorne cienie zaraz zaczną się kłaść za oknami. Całe popołudnie stracone na popijawę z Ziejcowem.

- Nie do pomylenia, nie do pomylenia - mamrotał - ależ oczywiście, że dla ciała! tylko dla ciała! Czyż nie jestem słabym człowiekiem? Jeszcze jeden niewolnik! Tak, tak, pan dobrze mnie przejrzał - co z tego, że wiem, że poznałem drogę? Wszyscy znamy drogę do szczęśliwości, a jeśli nie znamy, to przeczuwamy, domyślamy się jej, a już na pewno odróżniamy drogi złe - ale cóż z tego, co innego ją znać, co innego drogą iść, patrzaj pan na mnie, słaby, słaby człowiek, i to właśnie w ten dzień u Sofiji, wobec ojca i jego kobiet i sióstr moich przyrodnych, wtędy pojął, że zawiodę Siergieja Andriejewicza, muszę zawieść, bo gdyby im choć włos z głowy miał spaść, aniby się zawahał krew krzywdziciela przelać, ani oglądał na Opatrzność Bożą, i teraz go zawodzę, właśnie kupując mu ułaskawienie, bijąc pokłony przed cesarzem, myśli pan, że nie widzę tego, widzę - jeśli go uratuję z Zimy, to wbrew jego woli. Tak.

Tu capnął za grafinczik i upuścił do szklanicy resztę alkoholu; uniósłszy pewną ręką szkło pod gęste wiechcie wąsisk, w brodę czarną, przelknął wódkę jednym haustem. Jeszcze pierś do przodu, głębszy oddech, piąchy wparte w blat kościany, wytrzeszcz oczu, jeszcze oddech drugi, i *voilà*, Filimon Romanowicz Ziejcow trzeźwy jak dzwon.

- Wieniedikt Filipowicz - zadeklamował, poczem wznosił paluch wyprostowany na wysokość czoła, jakby celował przed się z pistoletu, nawet oko przymrużył i brew zmarszczył - ja was widzę, widzę dobrze. Od nich jesteście. Myślicie, że nie wiem, o co wam idzie? Widzę dobrze.

- Upiliście się.

- A co to ma do rzeczy? Potrafię poznać. I Siergiej też mi opowiadał. Ten drugi doktor z Zimy z Bierdiajewem pod pachą... wszyscy oni lutowczycy... ani w karty pograsz, ani kośćmi rzucisz... sny, sny tłómaczyć... pod Lód. Khr, chrrrk! - Rozkaszał się gwałtownie. - O święty Jefremie, wszyscy święci, co za suchota - wody, wody! - ratujcież cierpiącego!

Poderwał się - chciał się poderwać; zbierał się do powstania tak niemrawo i takiej gimnastyki podźwignięcie się z fotela od niego wymagało, że zdążyło się złapać go, przytrzymać i przywołać stewarda. Pojawiła się trzecia karafka.

Ziejcow łyknął następną szklaneczkę i wygładziło mu się oblicze.

- Nie gniewajciez się, Wieniedikt Filipowicz, niczego zlem złego nie miał na myśli, jak

mówicie, że nigdy w Kraju Lutych nie byliście, to wam wierzę, dlaczego miałbym nie wierzyć, ale też dziwić się mi nie możecie. Sami zobaczycie. Chociaż z pozoru tak podobnym waszemu się zdaje, to inny świat jest, inne prawa w nim rządzą. - Obejrzał się na karciarzy. - Wjedziemy, zaraz im się odechce. Poznasz pan po pierwszym pasjansie.

- Co mówiliście o liedniakach - wy z liedniakami -

- Ja z liedniakami! Co - ja z liedniakami?! A pies ich jebał, liedniaków i suki ich liedniackie!

- Opanujcież się! Bo nas wyrzucą!

Rzeczywiście, w salonce Luksu od początku krzywem okiem spoglądano na Ziejcowa. Teraz znowu obróciły się głowy. Przy stole bilardowym skończyła się akurat partja, gracze wstali, rozprostowując kończyny; doktor Konieszyn, który był najbliżej, na wulgarny okrzyk zesłańca aż podskoczył. Powstrzymało się go uśmiechem przepaszającym.

- Filimon Romanowicz, ja was pytam, czy mieliście kiedy do czynienia z liedniakami wysokopolitycznemi, słyszycie mnie? - i co to w ogóle za sprawa jest, Lód i ten Bierdiajew, znaczy się, o co im chodzi? - i co też się panu o mnie zwidziało? Ale! No Filimonie drogi! Opanujcież się, na litość boską, wstyd przed ludźmi.

- Wstyd przed ludźmi, wstyd przed ludźmi - powtarzał brodaty niechluj, machinalnie drapiąc blizny po odmrożonych palcach - czyli co, czyli gdyby nie ludzie, to byś się pan nie wstydził, tak? Wszyscyśmy niewolnikami, mówię przecież.

...A co mi się zwidziało - abo to niby pan nie wiesz, połowa inżynierów z Zimnego Nikołajewska jest ciężko zaćmiewionych, w holu Dziurawego Pałacu wisi taka fotografia, przejdź się pan kiedy i zobacz, w tysiąc dziewięćset trzynastym, jak postawili choładnice, robili sobie tam wszyscy pamiątkowe zdjęcia, z tyłu panorama nowego miasta, dachy, kominy, ognie i lute, a tu, z przodu, cała brygada, no i tak na tej fotografii wyszli, co drugi jak upiór z grobu przegnany, lico czarne niby u jakiego Murzyna, oczy, gęba, włosy, wszystko na odwyrtkę, a jeszcze co poniektórych w ogóle odświeciło i tylko plama jest jak człowiek, na miejscu człowieka. A pan się mnie pytasz! Widzę dobrze.

...A jakżem przedpokoje cesarskie w Peterburgu kolanami wycierał, to o czym plotki, o czym szeptu po kątach? Tylko co wróciłem z Sybiru, cap za żurnały. A już mi wszyscy starzy znajomi z czasów spiskowych zdążyli naopowiadać. Ja na zesłaniu, a tam się nowe polityki na tle Zimy uplotły, tam partje i frakcje i tajne stronnictwa, sojusze w Dumie i na dworze. Są

ci, którym dobrze jest, jak jest, i żadnych zmian nie dopuszczają, tylko żeby właśnie zamrozić wszystko jak najdłużej, a jeśli już, to tak zmienić, coby nie zmienić; i są ci, którym właśnie roztop i Rosji odmiana wielka się marzy. Tylko że liedniak - wiadomo kto on i dlaczego; ale ottiepielnik, a-a! - ottiepielnik a ottiepielnik to nie to samo, bo i struvowiec, i szczerzy socjalista, i narodnik siwy, i anarchista, i byle okcydentalista, i kadet nawet, to jest demokratą konstytucyjny, wszyscy oni niby chcą zmian. Ale nijaki z tego sojusz między nimi powstać nie może. I tylko dziwią się razem, czemu nadal Rosja stara, jaka była, taka jest, ledwo ruszona przez Stołypina i Struwa, zaraz z powrotem zamarza i na pośmiewisko przed Europą i światem staje, cesarstwo samodzielną przeciw monarchjom demokratycznym pary, żelaza i elektryki - jak było w wieku osiemnastym, i dziewiętnastym, tak i w dwudziestym, i na wieki wieków, Rosja.

...Tedy Mikołaj Bierdiajew pisze *Istoriju Lda* i objaśnia po swojemu całe nieszczęście Rosji w nowych „Waprosach Żyzni”. Bierdiajew po trosze był i marksista, ale teraz już nade wszystko chrześcijanin gorący i idealista Historji. Więc pisze: Historja inaczej winna była się potoczyć. Uważasz pan! Pisze: nie tak miało być, prawda została przed nami zakryta, żyjemy w czasach Antychrysta, spełniają się fałszywe dzieje świata. No ale właśnie - dziwuje się pan i słusznie się dziwuje - bo po czym niby poznać można, że nasza Historja inna? Inna od czego? Zali dano nam wgląd w odmienne przebiegi czasu, dano zwierciadło losów, żeby obejrzeć w nim życia nieprzeżyte, wojny niestoczone i Imperatorów, co nigdy się nawet nie narodzili? Jedną tylko Historję znamy: naszą. Tak samo ujrzawszy z nieznanego gatunku jedno tylko zwierzę, nijak nie wyrozumujesz, czy to bestja całkiem i we wszystkim swym pobratymcom podobna, czy jaki wybryk i dziwadło cudaczne. Ale, jako się rzekło, Mikołaj Bierdiajew jest idealista Historji i wcale on nie uważa, żeby nie dało się rozumem ludzkim jej objąć. Rządzą nią prawa nieróżne prawom przyrody i nie przypadkiem dzieje się, co się dzieje. To znaczy: nie każde następstwo zdarzeń jest możliwe. W istocie możliwe jest tylko to, co konieczne - i tak epoki następują po sobie metodą logicznego wynikania: Renesans ze Średniowiecza, Oświecenie z Renesansu, a nie na ten przykład na odwrót. Ale! Ale! Co dalej pisze Bierdiajew: otóż na naszych oczach dzieje się taka właśnie niemożliwość! otóż rzeczywistość zaprzecza prawom Historji!

...Które według niego są takie, że z końcem wieku zakończyło się w świecie ducha władztwo idei Renesansu i nastąpić winna była stosowna zmiana w świecie ciała. Albowiem oczywistym jest, że myśl nowa i cel i wizja przyszłości nie powstają samoistnie z ruchu materji, lecz rodzą się w duchu i duch je narzuca bytom zmysłowym. Zawsze więc to, co

niecielesne, poprzedza to, co cielesne. Jedynie właśnie niewolnicy iluzji z kapitalizmu i marksizmu początych wierzą w samowładzę ciała. Co pan takie miny stroisz? Przecie to prawda święta! Niewolnikami są! Gdyby byli uczciwi, nie mówiliby nawet za siebie. Ale tak jakoś: moja ręka, moje usta, moja głowa. Znaczący, nie „ja się urodziłem”, ale „urodziło się ciało”. Nie „mówię”, ale „usta mówią”, „głowa mówi”. No co? No co? Wszyscyśmy niewolnikami, ale nie wszyscy oddaliśmy się we władzę ciała.

...Miał się więc właśnie w Rosji dokonać przełom - Rosja nigdy do końca nie wyszła ze Średniowiecza, nie było rosyjskiego Renesansu, tu się epoka rodzi i domyka, tu się stare łączy z nowem. Patrzymy na świat, na Zachód i widzimy koniec zgody na jakikolwiek duchowy porządek, teraz wszystko tam pędzi albo ku skrajnemu indywidualizmowi, albo ku skrajnemu kolektywizmowi. Taka więc zmiana rewolucyjna objawić się była musiała, z ducha w materji. Się nie objawiła; nie ma zmiany. Co się stało, że nic się nie stało? Ano, Rosja zamarzła pod Lodem i zamarzła nam Historia.

...Ponieważ nawet gdy rzeczywistość materji kłamie, rzeczywistość ducha mówi prawdę, tu więc trzeba nam wypatrywać oznak Historji takiej, jaką być powinna. Bierdiajew jeździł po Europie i co numer „Waprosy Żyzni” dawały wyniki jego śledztwa przeciwko materji. Było tam tego sporo. Zaraz, niech-no spluczę z gardła absmaki... O! Spójrz pan na tę pannę modną, na owe koronki, fiszbiny pod jedwabiami i satynami, na ową spódnice szczuplutki! Moda! W czym znajdujemy wtem upodobanie, co w naszych oczach jawi się ładnem, gustownem i przyzwoitem, a co nie - tak w odzieniu, tak w meblach i stroju domostw, jak w architekturze. Zdarza się, że zobaczysz zdjęcia z metropolij Europy, z Ameryki. I co? Różnice widać już gołym okiem. Od dziesięciu, piętnastu lat - od nadejścia Lodu; i tak, jak przebiega granica - dokąd dotarły lute - to najwyraźniej. Całe Imperjum Rosyjskie, trochę na południe, i Bałkany, Skandynawja, i Kitaj. Ale to się rozchodzi gradualnie, jak Zima, jak temperatury mroźne: tu cieplej, tam chłodniej. Bierdiajew powiada, że w ostatecznym rozrachunku, w stopniu dalece nierównym, ale - zamrożono cały glob. Czego, oczywista, nie ma jak sprawdzić, ni na szczegółach opisać. Nu, a że najmocniej rzuca się to w oczy w strojach kobiecych - o! - przez te wszystkie frymuszki, fififałki, fafliczki... Gdybyś pan miał kiedy sposobność zajrzeć w żurnale paryskie -

- Ja miałam.

- Całuję rączki jaśnie panienki! Panienska się nie gniewa, prawda, za to palcem wytykanie, ja paniencie zaraz wszystko -

- Słyszałam. Prawdę pan mówi. W zapomnienie tam poszły gorsety. Krój sukien zupełnie inny, jakieś chałaty luźne, szale lejące, pasy bajaderowe i wierzchnie halki gęsto draperjowane - co tylko *monsieur* Poiret z Orjentu podpatrzy. Spódnice nieraz ledwo kolan sięgające, a czasami i kolan nie; ba, żeby spódnice w ogóle - ale *jupe-culotte*'y? Nie mogłam uwierzyć, że damy naprawdę tak się noszą.

- Otóż to! A dlaczego nie dawała panienka wiary? Dlaczego sama by się tak nie ubrała?

- No wie pan... nie wypada.

- O! A skąd bierze się w panienki główce pięknej ten głosik podszeptujący, co wypada, a co nie, a? Co gustowne, a co nie? Dlaczego się podoba, co się podoba, i nie podoba, co nie podoba? A?

...I o tym także pisał Bierdiajew: nie tylko że mrozi, ale jak mrozi. Gorsety, mówi panna. Otóż w świecie ducha nie ma znowu wielkiej różnicy między odzieniem wiążącym, ściskającym, a uciskiem politycznym i więzieniem słowa. Ta sama idea przejawia się wszędzie jak może. Już myśleliśmy, że vatermórdery i stójki wysokie odeszły w przeszłość, a tu, proszę, w Europie Lodu znowu jakże popularne!

...I dlaczego nie przyjmują się tu wynalazki, które tam się przyjęły? Czemu z takimi oporami idzie elektryfikować nasze miasta? A automobile? Im bliżej Zimy, tern mniej maszyn na ulicach. I ten wynalazek kinematografu - w ogóle widziała kiedy panna film, ruchome obrazy? W Warszawie może. A książki, jakie czytamy? A melodie, jakie się gra na balach i w salonach? Dlaczego aparaty radjowe w Rosji nie chcą się sprzedawać? I niewielu jest chętnych do rozsyłania głosu i muzyki po domach telegrafem bezprzewodowym. Żle mówię? Panie Benedykcie?

...Oto więc jest Łód i fałsz Historji zamrożonej wbrew konieczności dziejów. Bo żeby nie lute, powiada Bierdiajew, żeby nie lute, mielibyśmy już tu taką czy inną rewolucję albo zapaść państwa samoistną: koniec Rosji w starej jej postaci; mielibyśmy Rosję rozerwaną między ekstrema Pośredniowiecza. A wszak Rosja i świat tak czy owak przejść przez to musi, aby wypełnić wolę Boga i zbliżyć się do Królestwa Jego. Bo, jakżem panu mówił, panienka może nie słyszała, a to jest rzecz w tern wszystkim najważniejsza: że u Bierdiajewa cały ów ruch Historji i prawa ją obracające są objawem boskiego zamysłu i konsekwencją jedyne go faktu w Historji, który jest niepowtarzalny i całkowicie wyrwany spod praw materji, mianowicie narodzin i śmierci Syna Bożego, Jezusa Chrystusa - od czego zaczyna się prawdziwa Historja Człowieka.



...A jakim sposobem Mikołaj Aleksandrowicz Bierdiajew o woli Bożej tak pewnie świadczy? Pytacie, i słusznie pytacie. Nie objawia się nam Bóg w krzakach gorejących, nie zsyła proroków ogłoszonych cudami, nie przemawia z nieba. Ale przecież znamy naszą przeszłość, znamy Historję, i dano nam rozum, by opowiedzieć ją sobie jasnymi słowy. Historja jest jedynym bezpośrednim sposobem komunikacji Boga z człowiekiem.

...I stąd macie liedniaków i ottepielników, bo chociaż nie wszyscy, co się podług tych frontów orjentują politycznie w Dumie i w gazetowych obgadankach, czytali Bierdiajewa, i nie wszyscy, co go czytali, dają mu wiarę, to jest ich jednak wraz wystarczająco wielu, tam, w Peterburgu, w Pałacu Taurydzkim i w Carskim Siele, i w ministerjach, między dwarianami i czynownikami, i to po obu stronach: liedniaków przeświadczonych, że tylko lute bronią Rosję przed upadkiem i krwawym chaosem, tylko Lód chroni ją przed zapaścią, i ottepielników przekonanych, że póki nie wygonią z kraju Mrozu, póty żadna reforma nie przyniesie skutku, żaden przewrót, rewolucja i demokratyzacja nie jest możliwą, i nic się na dobre nie zmieni w dziedzinie samodzielnicy; jest ich wystarczająco wielu, żeby obrócili politykę swoich partij i towarzystw wedle własnych strachów. Ale że nikt z tym głośno nie wystąpi, bo i tak mamy już legjony dziadów świętych zapowiadających w lutyh Antychrysta i zagładę świata, apokalipsy wielkie a ponure -

- Marcynowców.

- Żeby tylko! Pan Polak jest, nieprawdaż, a i panienka z Priwislinja - macie wy swoje mesjanizmy, nie jest wam przecie obcy ten głód, głód czego? Widzicie, u nas mistyka nie kończy się na religji. Ani nie zaczyna. Mesjanizm rosyjski zapłodnił i narodników, i socjalistów, i anarchistów, wszystkie polityki i strumienie idej wypływają w Rosji ze źródeł mistycznych - dlaczego inaczej miałyby być z liedniakami i ottepielnikami? Wyobraża pan sobie, że spada na kraj dopust nieludzki i obraca tu i tam i tam lato w zimę, miasta i łąki w Sybir Sybiru, a Rosjanin nie dojrzy w tym ręki Boga i tysiącznych symboli duchowych? Ha! Nie może to być! Czy ja panu Benedyktowi nie opowiadałem - opowiadałem - nie? - z losów mych braci marksistów: ten głód jest w nas tak wielki, że wszystko musimy brać w absolucie, totalnie i dogmatycznie - przecie nawet materjalizm stał się dla wielu religją, znałem ja ascetyków i mistyków materjalizmu, miewali widzenia, to znaczy olśnienia rozumowe, objawiały się im dowody na nieistnienie Boga i inne święte pewniki ateizmu, przeżywali ekstazy logiczne, historjozoficzne.

...Panienka się śmieje, panience się zdaje, że to, ach, *c'est tout à fait ridicule*, ale brać to

należy całkiem praktycznie. Nasi władcy znają dobrze ową przypadłość rosyjskiego ludu; rosyjski obskurantyzm ma swoje uzasadnienie. W połowie zeszłego wieku minister oświaty, książę Szyriński-Szachmatow, zabronił wykładać filozofję na uniwersytetach - wiedzieli, skąd groźba prawdziwa. Lecz mija lat naście i inny ukaz idzie z Peterburga: filozofji dozwolić, zakazać nauk przyrodniczych. Widzi panna, jak to się w Rosji kołacze? Raz bierze górę świat ciała, raz - świat ducha. Ale walka jedna i ta sama.

...Co więc naprawdę stoi za polityką liedniaków i ottiepielników? Toż gdyby nie pisma Mikołaja Bierdiajewa, inną metafizyką Lodu by się nadęli, pewne to jak dwa a dwa cztery. Tyle tylko że -

- Polityka jest funkcją kultury, a sercem kultury jest, niestety, religja.

- Słucham?

- Pozwolicie państwo, że się przysiądę? - Doktor Konieszyn zaszedł zza pleców Ziejcowa i zdusił papierosa w popielniczce pod jego nosem. Ziejcow zamarł w pół panicznego odruchu, nie wiedząc, czy wtulić łeb w ramiona, czy poderwać się i uciec.

- Właściwie, panie doktorze, my -

- Dziękuję.

Panna Muklanowiczówna zajęła była ostatni z trzech foteli dostawionych wkoło stolika, doktor Konieszyn porwał więc krzesło spod szafy radjowej i dosiadł się bokiem, przy Jelenie, którą cmoknął wpierw w rączkę, przedstawivszy się w półukłonie. Panna strzeliła ponad stolikiem spłoszonym spojrzeniem. Cóż niby miało się teraz począć? Upity a nieupity, ile miał wyznać, to już Ziejcow wyznał; można w niego dalej wlewać alkohole, ale jaki w tym sens? Szczerze się wątpiło, czy to właśnie Ziejcow jest owym liedniackim zamachowcem. Jeśli istotnie taka myśl polityczna stoi za liedniakami, to dla powstrzymania doktora Tesli i jego maszyn nie posłaliby zapijaczonego eks-katorznika - któren przecież sam najdalszy jest od myśli liedniackiej. Po prawdzie, czy cofnęliby się przed rozkręceniem torów i wykolejeniem całego Ekspresu? Nawet gdyby jechało w nim pół zarządu Sibirchożeta wraz z familjami.

Doktor Konieszyn założył nogę na nogę; pociąg szarpnął, doktor zachwiał się i z powrotem rozstawił stopy. Opuścił przytem ręce na kolana, nachylając się lekko ku zesłańcowi - było w tej pozie coś fałszywego, jakaś przesadna regularność członków, sprzeczna z naturą człowieka, z naturą ciała ludzkiego. Teraz dopiero zwróciło się uwagę - może dlatego, że jeszcze odbijały się w głowie słowa Ziejcowa o tajemnych znakach ciała i

prawach fizjognomiki - dopiero w tym momencie spostrzegło się, jak geometryczną symetrią naznaczony jest szanowny doktor Konieszyn: nie tylko w ułożeniu całej postaci, bo to jest do opanowania myślą, ale w wyglądzie samej twarzy, obramowanej rudemi faworytami (tak rudemi, że prawie czerwonemi). Nie było między temi bokobrodami niczego, co łamałoby symetrię fizys medyka. Każda zmarszczka, każdy włos i każda rzeźba oblicza odbijały się z prawej strony na lewą i z lewej na prawą. Zamrugalo się. Może wzrok zwoździ, może słabnące światło wieczornego słońca zza okien nie kładzie tu dosyć blasku, powinni byli zapalić już lampy... Nie, prawda jest jasna dla oka: doktor Konieszyn ma ciało symetryczne niczym kleks w złożonej na pół kartce.

Dlaczego wcześniej się tego nie zauważyło? Iluż aberracyj i cudów ludzie pozostają nieświadomi, nie potrafiąc dostrzec przede wszystkim natury tego, co pospolite.

Chuchnęło się w zwiniętą dłoń. Cienie zamigotały między palcami. Lepiej nie palić teraz papierosów. Nie spluwać, nie kichać, nie kaszleć.

Symetryczny doktor przewiercał spojrzeniem biednego Ziejcowa.

- Nie jestem pewien, czy ja dobrze pana zrozumiałem, panie...

- Ziejcow Filimon Romanowicz, do usług Waszej Wielmożności, do usług.

- Taak, pamiętam, pamiętam. Bo wiecie, ja się dosyć nasłuchałem rozmaitych bajek mistycznych, z których zawsze na koniec czyjaś krzywda i nieszczęście się wyłaniały. Miałem na rękach krew przelaną przez tych, co się w takie wizje zapatrzyli. I z tego, co mówiliście, ten wasz Bierdiajew, okazuje się, to kolejny podżegacz w imię Boże, życzący Europie i Rosji krwawej rewolucji -

-,Nie tak, nie tak! - Ziejcow zamachał rękoma, mało nie strącił karafki; przestraszony, wcisnął trzęsące się dłonie pod pachy, krzyżując ramiona na piersi. - To dopust Boży, kara za grzechy! Katharsis! Taka jest konieczność - nie ma innej drogi do epoki duchowej odnowy!

- To więc Bóg nam komunikuje? Żebyśmy sami wzięli w ręce pistolety i noże i zaczęli zabijać naszych braci i siostry?

Panna Jelena wydeła wargi.

- Cóż, nie byłby to pierwszy raz, dawał już takie rozkazy. Aby zabijać.

- Co też panna!

- Abrahamowi chociażby.

Ziejcow poczerwieniał na twarzy, ślina mu się pokazała na wargach i coś złego stało się z jego oczyma: zaczęły drżeć w objęciu powiek, strzelając wzrokiem to tu, to tam, jak wypuszczony z dłoni wąż ogrodowy, plujący wodą w przypadkowych kierunkach - na doktora, na sufit, za okno, na pannę Muklanowiczównę, na stół bilardowy, na sufit, na doktora, na regał, na dywan, na zegar, na szkło, na stewarda, na popielniczkę, na pannę, na doktora, na pannę.

- Panna zna Biblię? Pannie się wydaje, że pojęła Słowo Boże? Ile godzin spędziliście nad nim? Ile dni, ile nocy, ile, ile? Znacie Słowo czy Słowa echo głuche z ust waszych wychodzące? Napisane zaś jest tak: Kusił Bóg Abrahama i rzekł do niego: Abrahamie, Abrahamie! A on odpowiedział: Owom ja. Rzekł mu: Weźmi syna twego jednorodzzonego, którego miłujesz, Izaaka, a idź do ziemie Widzenia: i tam go ofiarujesz na całopalenie, na jednej górze, którą ukazę tobie -

Chuchnęło się ponownie, wykorzystując odwrócenie uwagi rozmówców przez rozpędzonego w biblijno-pijackim zaśpiewie Filimona Romanowicza. Zdałoby się jakieś lustro... Tu nie ma; jest z drugiej strony sali bilardowej.

Że widzi się tę poćmiatę - cóż, widziało się już wcześniej poćmiatę Nikoli Tesli, gdy inni nie widzieli. Teraz też nie widzą; albo nawet widząc, nie rozpoznają, nie zwracają uwagi. No, jeden Ziejcow. Może dlatego, że lata spędził w krainach Lodu, może dlatego, że się spił; może z obu tych przyczyn. A może dlatego, że to Ziejcow.

Jaką więc tu regułę przyłożyć? Trzeba wy badać doktora Teslę. Ba, ale sam Tesla niewiele wie. Ma wątpliwości, pyta, szuka. Eksperymentował na sobie - czy na kimś jeszcze? Jak odróżni to, co powszechne, od tego, co właściwe tylko jemu? Zdałoby się więcej ochotników.

Prawda, jednego znalazł. Czubkiem języka dotknęło się podniebienia. Jeszcze trochę mrowiło. Policzmy: raz, fenomeny światła; dwa, wrażenia dotykowe, owo pieczenie, swędzenie, lekkość głowy, i może rzeczywiście napływ ogólnej energii; trzy, ach, jeszcze kilka godzin temu wyśmiałoby się starego Serba, a przecież teraz, rozszyfrowawszy list pepeesowców - zaczyna się rozumieć nałóg wynalazcy. Za każdym razem, gdy uderza głową w mur jakiegoś problemu, zdawałoby się, że nie do rozbicia, staje wobec tej pokusy: kabel zimnawowy oraz słoje czarnej soli albo dynamomaszyna teslektryczna - i może mur pęknie. Jak mógłby się powstrzymać? Prędzej wyleczysz alkoholika.

I oto jest pytanie nowe: czy one się mieszają w organizmie, wpływ alkoholu i wpływ teslektryczności, a jeśli tak, to z jakim skutkiem? Sięgnęło się po szklanicę. Ćmiecz zamraża

pamięć, ćmiecz prostuje ścieżki myśli, a jednak niewiele różne są jej efekty od efektów dobrego alaszu.

- A gdy oba szli pospołu, rzekł Izaak ojcu swemu: Ojczy mój! A on odpowiedział: Czego chcesz, synu? Oto, prawi, ogień i drwa, a gdzież ofiara całopalenia? A Abraham rzekł: Bóg opatrzy sobie ofiarę całopalenia, synu mój -

Przełknawszy resztę wódki, odkaszlnęło się w grzbiet dłoni. Puste szkło, odstawione na blat z poźółkłej kości, spływało tęczami różu, karminu i oranżu. Trasa Ekspresu Transsyberyjskiego biegła tutaj z północnego zachodu na południowy wschód i za oknem po lewej ręce, a po prawej stronie pociągu, wisiało nad płaskim horyzontem, nad azjatyckimi równinami i rozplukanymi po niebie chmurami - Słońce, czerwone jajo, Słońce jak śliwa konfiturowa ociekająca na widnokrąg sokami likierowemi, zachodzące Słońce, któremu mogło się teraz spojrzeć prosto w białą źrenicę i nie oślepnąć; patrzeć przez długie sekundy bez mrugnięcia i żadne plamy kolorowe nie zalewały obrazu po odwróceniu wzroku. Raz, dwa, trzy - a więc to jest objaw czwarty. Jak długo jeszcze? Godzina? dzień? Jedno porażenie czarnym prądem, czy więcej - ile trzeba? Zanim naprawdę wejdzie w krew.

Nie było plam kolorowych na oczach - ale dopiero po chwili spostrzegło się, na co, na kogo się teraz spogląda, z kim wymienia się spojrzenie. Kapitan Priwieżeński patrzył sponad krawędzi kart. Siedział przy dalszym końcu stołu bilardowego, plecami do palarni, od stolika Ziejcowa dzieliło go może sześć-siedem metrów. Rozmowy oczywiście nie mógł słyszeć - ale też nie słyszało się rozmowy grających. Czy mówili o niesławnym Benedyckie niehrabim Gyero-Saskim, bohaterze jekaterynburskiej strzelaniny, co teraz upija się na oczach Luksu w kompanji katorżnika-komunisty? Kapitan uśmiechał się pod wąsem, rzucając banknoty na zielone płótno. Rzekł coś, nie odwracając oczu. Gracze zarechotali przeciągle. Uciekło się wzrokiem. Zachodzące Słońce grzało mocno, pewnie dlatego twarz tak gorąca.

- A związawszy Izaaka, syna swego, włożył go na ołtarz, na stos drew. I wyciągnął rękę, i porwał miecz, aby ofiarował syna swego -

I po co jeszcze tu siedzieć, wystawiać się na pośmiewisko? Akurat złapie się agenta liedniaków! Niech panna Jelena prowadzi swoje śledztwa, skoro tak lubi się w nie bawić. A jeśli się tym w ogóle przejmować, to po prawdzie należałoby jej rzecz całą jakoś wyperswadować: przyjmując, że ów agent tajemniczy istnieje, a pan Fogiel słusznie opowiedział jego intencje - to kiedy liedniak raczej dopisze sobie nowy cel do listy: zostawiony w spokoju, czy z amatorskimi detektywami na karku?

Jakby się nie miało na głowie zagadek prawdziwie ważnych - przed którymi nie można uciec, nie można się skryć, nie przepadną po wysiadnięciu z pociągu jak puste wspomnienie. ROSJA POD LODEM, WSZYSTKIE ŚRODKI - TAK. UWAGA: MŁODZI I OTTIEPIELNIKI PRZECIWIW ZIMIE! BRONŃ LUTE! Czyżby nie tylko frakcje petersburskie, ale także polscy bojownicy dawali wiarę tym rojeniom? Ba, ów list brzmiał zgoła jak rozkaz dla ojca - rozkaz dla Historji - zrób to i to i to; zakręć-no lutymi, coby Lód ściał Historję, jak sobie zamyśliliśmy. ODWILŻ DO DNIEPRU! Wykreślali mu linje na mapie! Jakby w jego mocy było wybrać taki czy inny bieg dziejów, to znaczy - spływ Lodu. Uroili to sobie bezpodstawnie czy też ojciec dał im takie słowo? Czy powiedział, że po to właśnie do lutyh idzie? Bardzo to doń podobne.

Gorzej! Oparło się rozpalone czoło o zaciśniętą dłoń. Gorzej, jest gorzej, bo że PPS wie, to jeszcze nic - ale jeśli wie Ministerjum Zimy? jeśli wiedzą Rosjanie, ichni ottepielnicy i liedniacy? ci z gatunku Pielkowych, z rodzaju Ziejcowowych, nastajaszczije fanatyki polityczne? Toż dawno już ojca by ubili! Gdyby mogli. Może jest jakaś przeszkoda. Czy ojciec w ogóle jeszcze żyje?

Podeszło przed oczy wspomnienie rozmowy z komisarzem nadzwyczajnym Preissem W. W. *Czy Filip Filipowicz Gierosławski żyje! Czy żyje!* I jego zachowanie. I jak wypytywał: *Kiedy ostatni raz słyszeliście od ojca?* Nie wiedział, czy wierzyć, czy nie. Dostał polecenie, musiał wykonać. W co go wtajemniczyli? Ile się domyślał? Do jakiej frakcji sam należał, czym był człowiekiem? Rappacki, Minister Zimy, jest ponoć ottepielnik zażarty (nie postawiliby innego na czele Zimy), ale to nic nie znaczy: może być ottepielnik w sprawach politycznych, za to nie wierzący zupełnie w historyczne projekcje Bierdiajewa.

A jeśli owe wspomnienia warszawskie odpowiadają prawdzie (jeśli nie pochodzą z przeszłości sprzecznej), to prawdą jest i to, że ludzie Preissa posłali zaraz z Miodowej na ulicę czynownika swojego w charakterze Anioła Stróża. Bali się, że to przecieknie - wiedzieli, że przecieknie. Z urzędu carskiego - jak mogło nie przecieknąć? Skoro nawet piłsudczycy tak się właśnie dowiedzieli, wedle słów samego listonosza-suchotnika.

Wot, kolejna zagadka: czyżby piłsudczycy nie wiedzieli wcześniej? Zapomnieli o ojcu, czy jak? Listonosz mówił także, iż od lat nie mieli z ojcem kontaktu. Akurat! Sama treść listu temu przeczy. Niemniej coś się musiało wydarzyć, że Zima wysyła wtem do delegatury warszawskiej pilny rozkaz wraz z biletem na pierwszą klasę Transsibu. Coś się musiało - co takiego?

Nikola Tesla?

- Mówi Pan: ponieważś uczynił tę rzecz, a nie sfolgowałeś synowi twemu jednorodzonemu dla mnie, błogosławić ci będę i rozmnożę nasienie twoje jako gwiazdy niebieskie i jako piasek, który jest na brzegu morskim: posiadzie nasienie twoje brony nieprzyjaciół swoich i błogosławione będą w nasieniu twoim wszystkie narody ziemie, żeś był posłuszny głosowi mego.

...Taka jest historia rozkazu Boga dla Abrahama. Żeby związał i zabił syna swego. Znaicie państwo tradycję żydowską - nie znacie - owóż inne są rozumienia związania Izaaka, *aqedat Yitzhak*, i wiele różnych rzeczy mówi tu Bóg Abrahamowi i ludziom, którzy czytają tę historię z myślą czystą. Jeśli czytają! Jeśli myślą!

...Są talmudyści, co bynajmniej nie widzą tu rozkazu - lecz prośbę. Bóg poprosił Abrahama; Abraham mógł się prośbie nie przychylić, ale się przychylił, a ponieważ właśnie przychylił się do Bożego nierozkazu, dlatego Bóg go nagrodził.

...I są talmudyści, co wcale nie nazywają tego próbą. Zali mógł Bóg nie znać jej wyniku? mógł nie wiedzieć, co Abraham zrobi? Bóg wie. Kto więc tu kogo próbował?

...Są też tacy, co uważają to za wyróżnienie uczynione przez Boga wobec Abrahama. Znak dla przyszłych pokoleń i lekcję na wieczność: oto masz już nóż przyłożony do gardła, leżysz związany na kamieniu i własny twój ojciec ścina cię w tej sekundzie - nie desperuj jednak, zaufaj Bogu, zaufaj do końca, zostaniesz ocalony - On wyratować cię może z każdej opresji.

- Oczywiście, tak naprawdę, to znaczy jeśli rzecz taka zdarzyła się rzeczywiście w historii narodu żydowskiego - rzekł spokojnie doktor Konieszyn - szło w niej o tę jedną zmianę zwyczaju Żydów: żeby zaprzestali ofiar z ludzi, żarzynając miast nich zwierzęta.

- O czym panowie mówią! - zachnęła się panna Jelena. Wzburzona, wyjęła chusteczkę i otarła czoło. Jej blada cera zdawała się odrobinę mniej bladą. - Talmudyści siacy, talmudyści owacy, jedna jest tu potworność, której nie da się omówić naokoło wzniosłymi słowami, choćby tysiąc Żydów przez tysiąc lat siedziało nad świętymi księgami. Próba - a pewnie, że próba: próba prawości Abrahama. I Abraham jej nie sprostął! Abraham zawiódł! Czy jest czyn bardziej sprzeczny z wszelką moralnością tego świata niż mord rodzica na własnym dziecku? Nie znajdziecie takiego; Bóg wiedział, co rozkazać w próbie. I co robi Abraham? Bez mrugnięcia idzie zamordować syna! To ma być wzór? Czego, ja się pytam! Na co nam taka przypowieść?!

- Zauważ panna, jak tu wszyscy są wspaniale posłuszni - rzekło się, gładząc wąsa. - Izaak Abrahamowi, Abraham Bogu. Który też przecież jest ojcem Abrahama. To jest opowieść o ślepej wierności.

Wciąż z rękoma skrzyżowanymi na piersi i okiem błędzącym, zakolebał się Filimon Romanowicz na fotelu jak w transie modlitewnym.

- Sprzeczny z moralnością, mówi panienka. A jaka była moralność Abrahama? Słowo Boże. Czy widzi panna te rozdroża? Niech mnie panna teraz słucha! Oddam pannie kierownictwo tego pociągu, w ręczce panienki przestawnia torów na drodze naszej. Oto jedziemy:

...Na lewo: Bóg zakazał zabijać, ponieważ zabijanie jest złe. Na prawo: zabijanie jest złe, ponieważ Bóg zakazał zabijać. I jak panna obróci wajchę?

...Na lewo: znaczy, zło i dobro nie od Boga zależy - Bóg jest im poddany i my jesteśmy im poddani. Bóg, wszechwiedzący, wie, że zabijanie jest złe, dlatego dał takie przykazanie: pilnuje, żebyśmy zła nie czynili. Wówczas istotnie On sam także nie może przykazania łamać ani zmieniać. Tylko że jeśli nie od Boga, to od kogo, od czego pochodzi Dekalog, skąd taki akurat podział na zło i dobro? I czemu nie mógłby być inny? A? Powie mi to panna? Bez owej wiedzy, bez twardego fundamentu zagubimy się zaraz w tej krainie, zapadniemy jak w bagno, zdani na własne siły, bo kto kiedy sam siebie z bagna wyciągnął? To jest droga w otchłań, jeśli panna tam pojedzie, w Kraj Biezprizornych, i nie ma zeń powrotu.

...Na prawo: a jak na te ziemie wjedziemy, musimy być gotowi, że w każdej chwili Bóg może rzec: zabijanie jest dobre, złe jest - o! - jeżdżenie pociągami i palenie papierosów - i od tej chwili takie właśnie będzie dobro i zło, ponieważ to Bóg jest jedyną i najwyższą racją moralności i nie ma sankcji ponad Bogiem. To ziemia samodzierzcy dusz, to Kraj Cara.

- Więc, więc - zająknęła się panna Jelena - więc pan mówi, że jak On ustalił Dziesięć Przykazań, to już może sam sobie w każdej chwili przeczyć? Bo cokolwiek rozkaże, to i tak będzie to dobre, bo to Bóg rozkazuje. Tak? Tak?

Wychyliwszy się z fotela, ujęło się delikatnie pannę pod łokieć.

- Nie ma żadnej sprzeczności. Pan biblista naprostuje, jeśli w błąd wejde - prawda, Filimon Romanowicz? - ale wedle mojej wiedzy, proszę posłuchać, panno Jeleno, sprzeczności być tu nie może. Bóg komunikuje się z ludźmi za pomocą zdań rozkazujących. „Nie zabijaj”. „Zabij”. „Nie cudzołóż”. „Idźcie i rozmnażajcie się”. Zdania rozkazujące nigdy



nie popadają ze sobą w sprzeczność, podobnie jak zdania pytające. Sprzeczne mogą być co najwyżej zdania oznajmujące o zdaniach rozkazujących: „Powiedział, żeby zabijać”, „Nie powiedział, żeby zabijać”. Ale same rozkazy mogą tylko zostać wykonane lub nie - nie mogą sobie przeczyć. Rozkazuje nie zabijać. Jesteś posłuszna albo nie jesteś. Rozkazuje zabijać. Jesteś posłuszna albo nie jesteś. Rozkazy następują po sobie, nie ma sprzeczności. Ten, wobec którego rozkazów winnaś posłuch bezwarunkowy, nie ma obowiązku tłumaczyć się ze swych intencji. Samodzierzca zawsze jest w prawie, niezależnie od tego, jak się ma jego rozkaz do rozkazów uprzednich. Sądzi panna, że dlaczego Mikołaj Aleksandrowicz tak się broni przed spisaniem dla Rosji jakiegokolwiek konstytucji?

- Więc, więc - dla pana to jest w porządku? pan nie znajduje tej historii okrutną i deprawującą? nie widzi ohydy? Ejże, nie ucieknie mi pan teraz! - Chciało się cofnąć rękę, ale złapała ją w czas i teraz ona trzymała w uścisku. Odwróciła się zupełnie od Ziejcowa, od doktora Konieszyna, w jedno uderzenie serca, w jedno skrzyżowanie spojrzeń uczyniła rozmowę osobistą: nie mówiła do nikogo innego, nikt inny nie słyszał, nawet jeśli słyszał. - Co pan by zrobił na miejscu Abrahama? Posłuchałby pan rozkazu?

Dlaczego zażenowanie nie mąci myśli? Dlaczego wstyd nie płącze języka i nie miesza słów? Czemu głos spokojny i wzrok pewny, naprzeciw jej wzroku? - czemu twarz nie zdradza, wobec jej twarzy?

Ćmiecz krąży w żyłach, skrzy w mózgu, spływa pod skórą.

- Co ja bym zrobił. Panna się nie obrazi - ni cholery mnie nie obchodzi panny pytanie. Na miejscu Abrahama! *On ne peut être au four et au moulin*. Bo moje miejsce jest inne, ja patrzę oczyma Izaaka. Dla niego nie ma znaczenia wszystko to, co my tu tak mądrze a bezdusznie rozważamy: czy prosił, czy rozkazywał, czy próba, czy Bóg miał prawo, czy Sobie nie przeczył... A co mnie to! Ja leżę na ołtarzu. Nic nie wiem. Wiem, że ojciec mnie tu zwiódł kłamstwem, związał i chce zabić, zabije.

...I wyobraź sobie panna, wyobraź sobie, że - chcę żyć! nie chcę zginąć na tym kamieniu! Uwalniam się z więzów. Uciekam. Ojciec goni mnie z mieczem. Dopadnie, to ubije. Jest stary, mam szansę. Ale, to mi powiedz panna, ale czy mam prawo się bronić? Czy uczynię źle, stając przeciw ojcu, który chce mnie złożyć w ofierze? Na czym polegałaby tu wina Izaaka?

...I czy byłaby dla niego jakaś w tym różnica, gdyby poznał ponad wszelką wątpliwość, że Abraham czyni to wszystko z Bożego rozkazu?

- Pan mnie pyta - dobrze słyszę - pyta mnie pan, czy jest moralnie dozwolona

samoobrona przed Bogiem?

- Bóg nie może uczynić nic złego! - zakrzyknął ktoś zza Ziejcowa. Uniosło się wzrok. Oparty o ścianę, w obłoku tytoniowego dymu stał tam Ünal Tayyib Fessar, ciemnopurpurowe słońce odbijało się na jego czaszce nagiej, jeszcze trochę pochylił się ku stolikowi, ku rozmówcom zgromadzonym wokół stolika, i pokazał się cały w oblewie karminowych refleksów, jakby spływał krwią od samego szczytu głowy. - Stajesz przeciwko Bogu, stajesz po stronie Szatana!

- Bóg-Car - mruknął doktor symetryczny - On, tak, On istotnie „nie może” uczynić nic złego. Cokolwiek czyni, dobrze czyni, bo On to czyni.

Się wyrwało się panie Muklanowiczównie. Wzrok jednak się nie uwolnił, pozostał przy Turku. Na grubych wargach pana Fessara migotał - to jest, to go nie ma - przedwidok drwiny, sugestia jadowitej ironji. Już się widziało podobny obraz ciemnoskórego oblicza, już było się świadkiem nieskrytego na nim samozadowolenia: noc, wirujące płatki śniegu, ciężka laska w rękę, ulica jekaterynburska, krew na lodzie. Jest coś takiego w satysfakcji zła, co sprawia, że nie potrafimy jej zatrzymać dla siebie, nawet gdy rozsądek podpowiada inaczej, gdy grozi to wielce przykre dla nas konsekwencjami - musimy dać jakiś znak, przemycić aluzję albo przynajmniej właśnie uśmiezek krzywy: to ja! to przeze mnie! moje! ja, ja, ja! Podczas gdy dobroczyńcom wystarczy cudza radość, świadomość samego uczynku, wspomnienie rozjaśnionej twarzy obdarowanego; dobro jest samowystarczalne.

A teraz Turek nawet nie bardzo się krył ze swoją ironją. Gdy obejrzał się nań doktor Konieszyn, kupiec puścił do niego oko.

- Pan tak mówi - się zachnęło się - zgoda, pan w to wierzy - ale co by pan naprawdę zrobił?

- Bóg jest Bóg.

- Nie broniłbyś się, gdyby przyszedł cię zabić?

Na co Ünal Fessar wyprostował się i oderwał od ściany, a wyjąwszy cygaro zmiędzy zębów, począł się śmiać. Ale jak się śmiał: nie chichotał, nie rechotał, nie śmiał się po prostu - ryczał śmiechem, trząsał się i zanosił jakimś wilczym wyciem, które głużyło i głosy hazardzistów, i dźwięki pianina z sąsiedniego wagonu, i sam hałas pędzącego pociągu. Doktor Konieszyn aż powstał i odstał od stolika, przyglądając się napadowi wesołości Turka z klinicznym zainteresowaniem. Musiała się właśnie skończyć partja na zielonem suknie, bo

podeszli też zaciekawieni karciarze; naraz powstał tłok i zamieszanie, gdy tamci pytali o powód wesołości. Wykorzystało się chwilę, by przepchnąć się ku drzwiom. Doktor spoglądał w milczeniu.

- Zdarzyło się i tak - mamrotał tymczasem rozkolebany do rytmu pociągu Filimon Romanowicz - zdarzyło się Jakubowi nad brodem Jabok siłować z Bogiem, i jak Go chwycił w uścisk zapaśniczy, przez noc całą, póki Słońce nie wstało nad ziemią, jak Go chwycił! - aż Bóg uległ, i poddawszy się, błogosławił Jakubowi, zwycięzcy Swemu; i tak się więc zdarzyło, tak się zdarzyło, tak, tak.

Ktoś precyzyjnie się z tyłu, naparł na plecy, szept spłynął prosto do ucha.

- ...pana widzieć jeszcze dzisiaj. Jeśli mimo wszystko jest pan człowiekiem honoru.

Się obejrzało się. Dusin.

- Czegóż pan znowu chce?

- Księżna pani -

Po drugiej stronie uwiesiła się ramienia panna Muklanowiczówna. Się szarpnęło się z irytacją. Z trudem łapała oddech, szukając słów.

- Tyle, co słyszałam, panie Benedykcie, a to przecie nie musi być cała prawda, ale on sam prawie przyznał, że daje wiarę temu Bierdiajewowi -

- Niechże panna tylko spojrzy na niego.

Ziejcow na powrót wyjął starą fotografię i, głęboko już pogrążony w majaku alkoholowym, kiwał się nad nią, zgarbiony w pałąk, prawie przyciskając nos do spękanej powierzchni ciemnego zdjęcia. - Piękna, piękna była. - Ot, rewolucjonista nawrócony, prawdziwy człowiek rosyjskiej idei - syn bez matki.

- A zresztą gdyby nawet, panno Jeleno, na miłość boską, toż on ottiepielnik do grobowej deski, zasłoniłby Teslę własną piersią. Idziemy.

- Ale! Właśnie na odwrót - bo jak mu powiedzieli, że pana ojciec rozmawia z lutymi, to teraz może mieć tysiąc motywów, żeby dybać na pańskie życie.

- O czym też panna! Fogiel mówił o liedniakach - tak czy nie? Idziemy!

Nic z tego, w drugie ramię wczepił się szponiastymi palcami tajny radca.

- Wasz ojciec - co ona mówi? - wasz ojciec - z lutymi?

- Puszczajcie!

- Wasz ojciec gada z lutymi?!

- Cicho!

Niestety, Ünal Fessar przestał się już śmiać i nie zagłuszył radcy Dusina. Nie usłyszeli go może wszyscy, ale doktor Konieszyn - na pewno. Podskoczył jak dźgnięty ostrogą, obracając się na obcasie, już czujnie pochylony, oczy wielkie (symetryczne), ręce wpółuniesione (symetrycznie), krzyk w ustach.

Lecz błyskawicznie też się zreflektował; cofnął się, zgasił wzrok, zmilczał.

- Co znaczy: gada z lutymi? - Młodszy z braci utracjuszy marszczył czoło, aż mu jasna czupryna najechała niemal nad brwi same. - To lute mó - wią?

- Znowu ludzi nabieracie, wstydzilibyście się! - obruszył się Aleksiej Czuszyn.

- Tak się właśnie zastanawiałem, co to będzie dzisiaj - rzekł kapitan Priwieżeński, przeciągając słowa na niskiej nucie. - Już chciałem się zakładać, ale nasz samozwaniec przeszedł samego siebie. Syn powiernika lutyh! *Chapeau bas*.

I znowu wszyscy patrzyli. A tym razem nie było dokąd uciec, nie było żadnej drogi otwartej; otoczyli, zamknęli, postawili pod ścianą. Panna Jelena ścisnęła za ramię.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam, nie chciałam, przepraszam.

- Może hrabia opowie nam tę historję? - ciągnął kapitan z cierpką drwiną. - No przecież, że opowie! Taki wzór polskiego honoru, dumy i prawości - nie to, co my, jak pan to powiedział? „Podróbki, przymilne, dwulicowe, karki miękkie”.

Czy się uśmiechało się? To możliwe. Czy zrobiłoby się coś energicznego, zdecydowanego, gdyby nie Jelena u jednego ramienia i Dusin u drugiego - coś: skoczyłoby się przez fotel i stół, cisnęło w Priwieżeńskiego popielniczką, złapało za Arcymistrza - czy zrobiłoby się? To możliwe. A co takiego by się powiedziało? Ust przecie nie zakleili. Co by się powiedziało - niech się powie!

Otóż nie powiedziało się nic.

- Pan hrabia nie zaszczyca nas wyjaśnieniem? - Kapitan Priwieżeński zapiął mundur, zsunął z palca sygnet oficerski. - Nie, pan hrabia będzie milczał z wyniosłym uśmiechem, aż kolejny nieszczęśnik nabierze się na jego aluzje i niedomówienia, i na owo spojrzenie dumne, widzicie państwo, w tym jednym mówił prawdę, nie masz na całym świecie dumniejszej nad

Polaków nacji.

Pół kroku w przód i ręka szybsza od oka: z prawej, w lewy policzek, z lewej, w prawy policzek, z prawej, w szczękę, aż głowa odskoczyła wstecz. Kapitan Priwieżeński wytarł dłoń w chusteczkę.

- Tak. Dobrze. Milczeć na kłamstwa jawne - to jak samemu kłamać. Ale... Tak. Wybacz panna, panowie.

Odwrócił się i odszedł.

Patrzyli chciwie. Niby zniesmaczeni, niby współczujący, niby zmieszani, a każdy wpija się wzrokiem ukradkowym w twarz ofiary, szuka jej oczu, na byle cień grymasu ponżenia otwierając z przejęcia usta, gotów połknąć ten ból, to ponżenie i ten wstyd, ten wstyd, najsmaczniejszy. To jest odruch ciała: współczucie - wspólne czucie bólu, ale także wspólne czucie przyjemności bijącego.

Ünal Fessar rzucił cygaro między grafinczik i szklanki, wcisnął się przed Cuszyna, odepchnął tajnego radcę, nadal wstrząśniętego.

- I co tak stoicie, pachołki smutne? Zróbcie przejście!

Rozpychał się bez pardonu, ciągnąc za połę i kołnierz. Drugą ręką podał chusteczkę. - Wytrzej się pan, rozkwaśił panu nos, koszula, szkoda koszuli. - Przycisnęło się chusteczkę do nozdrzy. Nie czuło się upływu krwi, nie czuło się bólu po uderzeniach ani od skóry rozciętej. Tylko nogi trochę drżały i pociąg trząśł się jakby bardziej niż zwykle.

Za przejściem międzywagonowem przystanęło się, opierając się barkiem o zamknięte drzwi przedziału. Teraz dopiero, gdy chciało się przełknąć ślinę - ciężka, lepka, zimna - zrozumiało się, że to nie ślina cieknie po podniebieniu i klei przełyk.

Odjęło się chusteczkę od twarzy, spojrzano się na plamy czerwone. Myśli podążały przed się z lunatycznym spokojem. A gdyby tak spalić tę krew w płomieniu ćmieczi...

Zamrugano się. Purpura słoneczna wlewała się oknami do korytarza, wszystko tonęło w ciepłych promieniach zachodu, pan Fessar, jego mahoniowa łysina, wzorzyste chodniki Luksu, ciemne boazerje.

Odkasznęło się.

- Dziękuję.

- Dziwne to jest nad wyraz - sapnął Turek. - Sam już nie wiem, w co wierzyć. Niech pan

mi powie, nikt nas nie słyszy, tylko my dwaj - może pan mówić? dobrze się pan czuje? - niech pan powie: macie wy tę technologię czy nie?

Uniosło się głowę.

- To pan wyrzucił z pociągu Pielkę.

- Co? Kogo? Co? Co?

Wyciągnęło się doń rękę z zakrwawioną chusteczką; odepchnął gniewnie. Pociąg szarpnął, Turek skoczył naprzód. Się zaparło się barkiem o ścianę, wbiło się łokieć w żebra Fessara. Mignął przed oczyma zaciśnięty kułak. Dwa ciała zatłukły się o drzwi przedziału i boczną ścianę korytarza, o rzeźbione okucia, metalowe ramy, szkło i drewno i zimnazo. On sapał i syczał przez zaciśnięte zęby - czy słowa jakieś po turecku, przekleństwa, groźby, imiona świętych? Pociąg pędził, tuk-tuk-tuk-TUK. Uwolniwszy poły marynarki, pchnęło się Turka w pierś. Poleciał w tył, chciał się złapać klamki okna, nie złapał, rąbnął o futrynę i padł jak ścięty, złożony ni to do przysiadu, ni do klęczek, z ramionami zawiniętymi za siebie, głową spuszczoną bezwładnie, pogięty w dziwaczny precel członków w wąskim korytarzu Transsibu. Jasny karmin rozlewał się po gładkiej czaszce jak oblewa lukrowa - czerwona ciecz pod czerwonym światłem. Podniosło się chusteczkę.

- ...czekać, panie Benedyckie, to moja wina, ja -

Panna Jelena stanęła w przejściu zdyszana, z dłonią rozpędzoną w geście zakłopotania - gest zgasł, dłoń opadła na usta panny, dławiąc okrzyk.

Jelena popatrzyła na nieruchome ciało Ünala Fessara - a wyraz jej chorobliwie bladego oblicza nader poważny, oczy niemrugające, wdech, wydech, wdech - uniosła głowę, obejrzała się za siebie i przycisnęła ucho do drzwi najbliższego przedziału. Ze ściągniętych w kok czarnych loków wyjęła cienką spinkę. Odsunawszy stópką w skórzanym trzewiku przegradzającą korytarz nogę Turka, przykłęka przed temi drzwiami i w pięć uderzeń serca otworzyła spinką luksusowy zamek.

- No już! Łap go pan! Proszono na kolację, już idą! Pan za ręce. Raz-dwa! Do środka.

Co powiedziawszy, ujęła trupa pod kolana.

**O ukrytych talentach panny Muklanowiczówny i innych sprawach niejawnych**

W pięć uderzeń serca otworzyła spinką luksusowy zamek.

- No już! Łap go pan! Proszono na kolację, już idą! Pan za ręce. Raz-dwa! Do środka.

Co powiedziawszy, ujęła trupa pod kolana. Schowało się chusteczkę do kieszeni i złapało się go pod pachy. Panna ciągnęła, ale bardzo był ciężki, i nieporęczny, i składał się - korpus, kończyny, głowa - jak połamana lalka, i ciągle czymś zaczepiał o futrynę, o chodnik, o sprzęty wewnątrz przedziału. Prawie się spodziewało usłyszeć głuchy stukot, niczym od drewnianego manekina. Na koniec pchnęło się go z całej siły na podłogę obok łóżka; złożył się wpół. Panna Muklanowiczówna podciągnęła spódnicę, odsłaniając łydki w białych pończoszках, by z powrotem przeskoczyć nad ciałem. Pchnęła z impetem drzwi, zamykając je w ostatniej chyba chwili - zaraz potem usłyszało się głosy i kroki i ktoś nawet zatłukł się o ściankę przedziału, przechodząc mimo. Jelena nie prezentowała już chorobliwej bladości. Przyciśnięta plecami do drzwi, oddychała bardzo szybko, biust unosił się w astmatycznym rytmie: każdy płytki oddech jeszcze bardziej spłycał oddech kolejny. Musiała odczekać minutę, by wykrztusić słowo.

- Plama.

- Co?

- Krew!

Dotknęło się zlepionych krzepnącą już krwią wąsów.

- Na chodniku w korytarzu! - syknęła Jelena.

- Ale mogła to być i moja, prawda? Tak sobie pomyślą.

Wyjęło się chusteczkę i przycisnęło się ją do nosa.

- Dobrze. - Odetchnęła panna Muklanowiczówna. - Czyj to przedział?

Zazezowało się znad chusteczki. Na sekretarzyku stała walizkowa maszyna do pisania z wkręconym papierem, obok leżał stos grubych książek. Na posłaniu - męska pyjama o orientalnym wzorze. Ze stojącego pod oknem kuferka wystawały szczotka do ubrań i drewniane prawidłó.

- A jak zechce w drodze na kolację wstąpić po coś do siebie?

Klasnęła języczkiem.

- To stryczek.

Podeszła do okna.

- Pomoże mi pan.

Szarpnęło się klamkę. Panna Muklanowiczówna pociągnęła ramę do samego dołu. Wiatr uderzył z szumem i świstem; kartka w maszynie załopotowała jak chorągiewka, trfffr, koc odwinął się z poduszek, a drzwi szafy garderobianej trzasnęły o ścianę.

Spojrzało się na Turka i usiadło się z westchnieniem na posłaniu.

- Nie damy rady. Za ciężki. To jest półtora metra od podłogi. Ktoś zobaczy.

- Kto niby? Co zobaczy? Panie Benedyckie!

- A co się namęczyliśmy, żeby tylko go tu przesunąć! Wyobraża to sobie panna: nogami czy głową, wystaje taki półtrup na Azję i majta rączkami na wietrze. A jak wejdziemy tu w zakręt, to wystarczy komu zerknąć przez szybę.

- Pan to jesteś! Oda do radości, jak Boga kocham.

- Zresztą zdążył zaświnić dywan.

- Siedź pan dalej ze zwieszonymi rękoma, rozgnije tu i kwiatki na nim wyrosną.

- Ha, ha, ha.

- Ależ proszę bardzo! - Otrzeпаła dłonie, obrażona. - Ja się nie narzucam. Pan Benedykt może kontynuować wedle własnego zamysłu, przepraszam, że przeszkodziłam. - Ruszyła do wyjścia. - No tak, rzeczywiście, pora kolacji. Do widzenia.

Nie wstając, złapało się ją w stanie. Straciła równowagę, gdy wagon się zakołysał; ścisnęło się pannę jeszcze mocniej, znowu przytem upuszczając chustkę.

- Na co pan sobie pozwala!

- My, mordercy, znani jesteśmy ze swobody obyczajów. Są tam czyste kartki?

- Kilka.

- Trzeba jakoś wytrzeć tę krew. Ile się da. I żeby w dywan nie wsiąkała. Imaginuj sobie panna: wraca człowiek do własnego *compartiment*, a tu na podłodze, ni z tego, ni z owego, wielka plama krwi.

- A trup - w szafie? Wszyscy widzieli, że Turek wyszedł z panem.

- Proszę mi je podać.



Wyciągnęła plik kartek przyciskanych do blatu przez francuski dykcjonarz. Spojrzało się. Połowę pierwszej strony zajmował hydrograficzny opis okolic Tiumieni (wiele potoków i rzeczek, długie drogi wodne) w suchej francuszczyźnie, spisany z wielką liczbą błędów, wyiksowanych całych słów i liter wybijanych na literach; potem biegły wiersze i wiersze ciągów jednoliterowych: aaaaaaaaaa, bbbbbbbbbb, ccccccccc *et cetera*.

- Ale czystemi, zostaw pan te. Bo pozna, że ktoś wziął.

Zmiąwszy w rękę kartkę, się pochyliło się nad głową Fessara.

- I co, bardziej się tym wzruszy niż kałużą juchy przed łóżkiem?

Panna Jelena spoglądała z góry, wskazując palcem.

- Tu. I tu. I tu. Tu, tu, tu. Tutaj! Tu też.

- Zaczynam rozumieć biednego Makbeta - stęknęło się.

- Pośpieszy się pan Benedykt, on w końcu wróci z tej kolacji.

- Uch. Usmaruję się jak rzeźnik.

- No przecież kapitan rozbił panu nos, ma pan alibi. - Pochyliła się. - Nie widzę, gdzie ta rana? Obróć go pan.

- Momencik.

Starło się krew ze skóry czaszki i z dywanu pod nią; i tak pozostała plama, ale jaskrawy wzór przynajmniej częściowo ją maskował. Złapawszy pod brodę, przycisnęło się głowę Turka lewą skronią do podłogi. Krew płynęła z rozcięcia nad prawą brwią. Wyciągnęło się rękę po następną kartkę.

- Jak już go okradamy - dywagowała panna Muklanowiczówna - to może ma tu na podorędziu ręcznik, też się przecież wyrzuci, nie będzie śladu.

- Jasne, zedrzeć od razu dywan z podłogi.

Trup jęknął i otworzył usta.

Się poderwało się na równe nogi.

Panna Jelena z wrażenia aż przysiadła na sekretarzyku, zrzucając zeń książki i papiery.

- Pan go nie sprawdził?!

- Nie zdążyłem. Panna od razu -

- Nie zdążył!

- Zresztą sama panna widziała. Trup jak żywy. To znaczy, jak martwy. To znaczy...  
Bardzo przekonujący nieboszczyk, to chciałem powiedzieć.

- Puls! Albo chociaż oddech! Cokolwiek!

- Nie obudził się, jakżeśmy go tu targali.

- Pan lepiej da na mszę w podzięce, zamiast się skarżyć.

- Ja się nie skarżę. Ja tylko... Przede wszystkim, to był przypadek. To panna zrobiła z tego morderstwo!

- Co ja słyszę...?

- Tak! Panna ma obsesję! Morderstwa, śledztwa, kryminały! Więc jak ciało we krwi, to na pewno trup. A jak trup, to na pewno morderstwo. Głupi wypadek, ale zjawia się panna Jelena i pół minuty i pozbywamy się zwłok, współnicy zbrodni. O tym właśnie mówiłem, gdy panna mnie wyśmiewała! Tak się zostaje w Lecie mordercą, nie popełniwszy morderstwa żadnego. Zresztą - nie inaczej zostałem tym przeklętym hrabią. I Bóg wie, kim jeszcze.

- No, jakbyśmy go wyrzucili przez okno z pędzącego pociągu, morderstwo by było bez dwóch zdań.

- Panna by wyrzuciła.

- Przecież sama ani bym uniosła.

- Ale chciała panna!

- Pomóc chciałam! Niewdzięcznik! Serce z lodu! To ja się poświęcam w przestępstwie, a ten -

- A prosił kto pannę? Nie! Czego w ogóle panna ode mnie chce?! Sama przyszła i dobijała się do drzwi! Kto to widział! Gdzie pannę tak wychowano! A teraz też - narzucać się - z trupem -

- Byś pan stał nad nim i ręce załamywał: a może martwy i nie martwy, a może powieszą i nie powieszą, a może zadyndam w trzech czwartych, tfu, chłop z jajami zerwartościowemi!

- I jeszcze język rynsztokowy, tak, tak, a proszę sobie pofolgować, proszę!

- U-u, swołocz...!

Ünal Fessar usiadł, pomacał się po głowie, zamrugął, poczem podniósł wzrok na

wykrzykujących nad nim po polsku niezrozumiałe obelgi.

- *Excusez-moi, mademoiselle, mais je ne comprends pas...*

Panna Muklanowiczówna przypadła doń z troską.

- A tak się zamartwialiśmy! - Dotknęła delikatnie rozciętej skóry. - Kość nie pęknięta, to najważniejsze. - Podała kupcowi rękę. - Wstanie pan?

Ujęło się Turka za drugie ramię.

- Ostrożnie. Z urazami głowy nigdy nic nie wiadomo. - Również przeszło się na francuski. - Słyszał pan właśnie, jaka różnica zdań powstała: czy należało w ogóle pana ruszać, lekarze zazwyczaj mówią, żeby nie, no ale pociąg i tak trzęsie, trzeba by posłać po doktora Konieszyna, jak pan się czuje, mamy posłać po niego?

Pan Fessar spoczął na posłaniu; oparłszy się o wezglównik i przycisnąwszy do rany podaną przez Jelenę jej chusteczkę batystową, rozejrzał się nieco przytomniej.

- Zaraz. Panie Gierosaski. Panna -

- Jelena Muklanowiczówna.

- A tak, pamiętam. Zaraz.

Przesuną} palcem po czole, popatrzył na zebraną na opuszku czerwień. Po raz trzeci podniosło się upuszczoną chusteczkę. Pan Fessar zerknął; rozpoznał swoją własność i uniósł wzrok. Twarz mu się wykrzywiła.

- To tak! - warknął. - O to wam chodzi!

Panna Jelena już miała przysiąść obok Turka; powstrzymała się. Stanęła przed oknem, wiatr targał jej bluzką, szarpał koronkami.

- O co nam chodzi?

- Szanowny pan Fessar - rzekło się powoli, sprawdzając, czy krwotok z nosa ustal na dobre - bardzo się był zdenerwował, gdy wysunąłem przypuszczenie, iż to on ponosi odpowiedzialność za, mhm, tajemnicze zniknięcie z pociągu Miefodija Karpowicza Pielki.

- Pielki! - parsknął Turek. - Co za Pielka, do kroćset!

- Szanowny pan Fessar - rzekło się, cisnąwszy mu zakrwawioną chusteczkę - z nieznanym mi powodów ubzrdał był sobie, że posiadam albo też jestem w spółce posiadającej sekret, mhm, hodowli zimnaza poza ziemią Kraju Lutych.

- Nieznanych powodów! - zakrzyknął Turek i złapał się za głowę w widocznym bólu; po chwili kontynuował już szeptem: - Bardzo jasno dawał pan to do zrozumienia. Przy kartach. Potem. A ci ludzie w Jekaterynburgu. A księżę. Warjata pan ze mnie robisz.

- Szanowny pan Fessar - rzekło się, sięgając pod marynarkę i kamizelkę - za wszelką cenę chciał pozyskać tę technologię. A przynajmniej włączyć się do przedsięwzięcia. Próbował się wkupić, wydobyć ze mnie szczegóły. Co mu się oczywiście nie udawało, bo żadnych szczegółów nie ma; zmyślił sobie wszystko.

- A Ojciec Mróz? - Turek podniósł machinalnie drugą chusteczkę i przez moment przyglądał się obu w dziwnej konsternacji, jedna w prawej, druga w lewej dłoni, obie białoczerwone. Zacisnął szczęki. - I panna wierzy temu łajdakowi. Widzi panna, jak łże. W żywe oczy.

- Szanowny pan Fessar - rzekło się, z prawicą pod kamizelką rozpiętą - spróbował więc z kolei dobrać się do mojego współnika, to znaczy, człowieka, którego uważał za mojego współnika. Musiał widzieć w Jekaterynburgu Pielkę. Nie wiem, co tam się działo; odbiegłem. Może miał okazję zamienić z nim parę słów. Potem, po odjeździe Ekspresu, od razu poszedł do Pielki do kupiejnego. Wywołał go z przedziału. Gdzie można tam w nocy porozmawiać na osobności? Wyszli na podest za wagonami kupiejnemi. Pan Fessar chciał od Pielki wyciągnąć to samo, co ode mnie - ale nie dość, że Pielka nie miał, rzecz jasna, o niczym pojęcia, to jeszcze, tak, niespodzianka, jak też Pielka zareagował na te propozycje - on, marcynowiec. Pan nie wiedział? Nie wiedział. Pobiliście się? Szamotanina jakaś? Pociąg szarpnął? Widzi pan przecie, jak to się może nieszczęśliwie ułożyć.

- Ałach jest wielki!

- I co - i wypadł, wyrzucił go pan, wypadł, może wcześniej już jakiś eksces śmiertelny, ale wypadł, nie ma ciała. Cóż za cudowne miejsce na morderstwo: pociąg przemierzający dwa kontynenty - kto znajdzie zwłoki? kto odtworzy warunki zbrodni? miejsce, czas? kto zbierze potem świadków? Nie ma po temu bladej szansy. A jeszcze dał pan obsłudze taki bakszysz - dopiero na Sądzie Ostatecznym się przyznają, że w ogóle pana widzieli; stać pana.

- *Abbas yolcuyum!*

- Nie mogło tak być? Mogło.

- Ale nie było!

- Bądźmy poważni, panie Fessar! Jak pan stwierdzisz, co się zdarzyło - w odróżnieniu od

tego, co mogło się zdarzyć? Kiedy mówimy o przeszłości, zawsze mówimy o tym, co mogło się zdarzyć; tylko i wyłącznie o tym. Wszystkie zdania w czasie przeszłym są zdaniami przypuszczającymi.

- Nie wiem, co się z panem dzieje, młody człowieku, ale doradzałbym sanatorja alpejskie. Panna wybaczy.

Jeszcze jedno spojrzenie przeciągłe - w pogardzie? w odrazie? w gniewie? - i dźwignąwszy się z wysiłkiem, Ünal Fessar postąpił ku drzwiom. Się usunęło się z drogi, obracając się w niewygodnej pozycji, coby ani przez moment nie mieć go za plecami. Zataczając się, z jedną dłonią przy skroni, wyszedł na korytarz. Tu na moment przystanął. Zdezorientowany, spoglądał to w jedną, to w drugą stronę - dokąd iść? dokąd szedł, zanim stracił świadomość? gdzie jego przedział? - tam. Odmaszerował ciężkimi krokami.

Panna Jelena czekała z rękoma założonemi na piersiach, postukując obcasem o kant mebla.

- A mieliśmy wspólnie prowadzić śledztwo.

- Przepraszam. Olśniło mnie nagle.

- Olśniło.

- Olśniło, oćmiło, objawiła się... możliwość.

- Cierpi pan na dolegliwości żołądkowe? Ciocia ma krople miętowe, poratuje.

- Co? Nie. - Wyszarpnęło się dłoń spod kamizelki, zapięło guziki. - Wynośmy się stąd, nie ma co kusić losu.

Zamknęło się okno. Panna pozbierała zakrwawione i pomięte kartki, położyła książki z powrotem przy maszynie. Z progu jeszcze się rozglądnęła po przedziale, sięgając już we włosy po spinkę.

Zamarła.

- O matko. Ma pan dobry wzrok, panie Benedykcie?

- Mhm, dzisiaj - sokoli.

- Musiałam ją tu gdzieś zgubić.

- Da panna spokój, w tym dywanie w życiu jej nie znajdziemy.

Jelena przygryzła wargę. Wsunęła spinkę z włosów po lewej. Wyszedłszy na korytarz,

rozglądnęła się szybko. Pusto. Podwinęła spódnicę, uklękła i - tszk, tszk, tsztuk - na powrót obróciła zatrask zamka. Pomogło się jej wstać. Otrzeпаła ciemny materiał. W przejściu pojawił się prowadnik. Puściło się pannę przodem. Wsunąwszy spinkę we włosy, obejrzała się przez ramię. - Panie Benedykcie? - Niech się panna nie martwi, nie ma śladu. - Rąbek mógł się umoczyć... - Nie. - Prowadnik cofnął się, uchyliło się drzwi. Panna przeglądnęła się w wąskim lustrze w przejściu w następnym wagonie. Skrupulatnie zawinęła czarny lok za ucho. Pośliniwszy opuszek, przejechała paluszkami po brwi. - Panie Benedykcie?

- Tak?

- To w końcu on zabił tego Pielkę czy nie?

Westchnąwszy, wyjęło się interferograf, ściągnęło się czerwony zamsz. Się obróciło się ku oknu i spojrzało się w okular tuleji pod czerwone słońce: ten sam łańcuszek identycznych koralików światła.

- Zabił, nie zabił, jeszcze wsjo rawno.

### **O prawdzie i o tym, co prawdziwsze od prawdy**

- Koniaczku?

- Może jednak wpierw pójdziemy coś przekąsić.

- Może jednak nie. Koniaczku?

- A i z Ziejcowem za kołnierz pan nie lał.

- Jestem trzeźwy jak pięć laplasjanów. Koniaczku?

- Poproszę.

Nalało się po kieliszku, rozcieńczając na kawarnianą modłę: pół na pół *fine a l'eau* i woda zwykła; poczem odstawiło się butelkę do barku. Przycupnięta na skraju posłania panna Jelena ledwo przytknęła szkło do warg. Bardzo była spięta: z łokciami przy ciele, nachylona lekko do przodu - ale głowę trzymała prosto. Posmakowała koniaku i zmarszczyła nos.

Zdjętą marynarkę odwiesiło się na oparcie krzesła. Kieszonki wypychały zakrwawione papiery. Szarpnęło się lwi ogon rączki okiennej i cisnęło się kartki na wiatr. Rozpierzchły się na tle zachodzącego Słońca jak stado spłoszonych ptaków. Zamknęło się okno, rytmiczny

hałas pociągu spadł z uszu. Panna Muklanowiczówna wolną ręką przyciskała do narzuty inne kartki: te zapisane szyfrem piłsudczykowskim. Pozbierało się je czem prędzej, ostatnią wrywając pannie.

- A jednak - zamruczała - a jednak... jest pan jakiś odmieniony.

Schowało się zapiski do szuflady.

- Puchnę?

- Co?

Podeszło się do zwierciadła. Na obitych policzkach się nie dopatrzyło się sińców, najwyżej lekkiego otarcia skóry pod okiem. Natomiast nos istotnie opuchł, podobnie jak górna warga, rozcięta w dwóch miejscach; krył ją nieco wąs. Jutro będzie gorzej.

- Przyglądałam się panu z Ziejcowem. Najpierw myślałam, że to jest arogancja -

- Arogancja? - się zdumiało się, łypiąc do lustra.

- Nikt panu nie mówił, że czasami zachowuje się pan arogancko?

- Nie jestem arogancki!

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Mówię panu, co ludzie widzą.

Dotknęło się wargi. Bolała.

- Rozumiem, że taki Priwieżeński może mieć uraz i u każdego urodzonego Polaka dopatrywać się zadzierania nosa...

- A to dziwne. - Przesunęła się ku środkowi posłania, by zajrzeć w zwierciadło. - Pana odbicie -

Się odwróciło się.

- Może jednak spocznie panna na krześle, nie przystoi pannie na łóżku mężczyzny...

- Zamknął pan drzwi?

- Tem bardziej.

- *Bien*. Nikt nie widzi, nikt nie słyszy.

- Jeśli ciocia szanowna nie siedzi tam z uchem przy ścianie.

- Ciocia nie siedzi. Zresztą podczas jazdy nic pan nie podsłuchasz.

Się uśmiechnęło się krzywo (odtąd, póki opuchlizna nie zejdzie, zawsze będzie się

uśmiechać się krzywo i szyderczo).

- Próbowała panna?

Jak należało się spodziewać, Jelena zarumieniła się i opuściła wzrok. Ponownie z wielką ostrożnością przysunęła kieliszek do ust. Różowy języczek pojawił się i zniknął między wargami. Nie piła - próbowała alkohol jak truciznę, kropla na smak, kropla, czy nie zabije.

- Przez moment... wydawało mi się, że ratuję panu życie, panie Benedykcie, tam, w salonce.

- Co?

- Już pan zapomniał, że to na pana dybią?

- Fogiel pewnie by tak wolał.

- Mhm?

- Żeby w to wierzył. Ale - w salonce? życie?

- Jak zrobiło się to zamieszanie. Siedziałam prawie naprzeciwko, widziałam go, jak się tam czaił, przy drzwiach do wieczornego, kwadrans, dłużej, palił papierosa, cofnął się, wrócił, i potem od razu skoczył do pana z tyłu, zza pleców.

- Dusin.

- No, tak, o panu radcy mówię. - Języczek, koniak, wargi. - Od razu pomyślałam: nóż pod żebro. Pan nie robi takiej miny! Przyznaję, czytuję romanse przygodowe, nie wolno? Tak wyglądało - no to pobiegłam, widział mnie, i pomyślałam...

- Romanse - się uśmiechnęło się.

Panna Jelena zrobiła urażoną minę.

- Z panem tak zawsze.

Usiadło się na krześle. Panna opuściła kieliszek, spojrzała czujnie.

- Romanse - rzekło się, już bez uśmiechu. - Nie wierzę, panno Jeleno.

Patrzyła tylko.

- Od lektury romansów zrobił się z panny tak wprawny klawisznik? Kim panna jest?

Spuściła wzrok, zmieszana.

- Nie zadaje się takich pytań.



- A na czym innym spędzamy godziny i dni w podróży? Podróż - taki czas - wymienia się anegdoty, opowiada się sobie nawzajem historie życia - cóż innego?

- Ja pana nie pytam - powiedziała cicho. - A ilu jest tych Benedyktów Gierosławskich? Dopiero co usłyszałam nową wersję, o jakichś planach hodowli zimnaza - to zimnazo się hoduje? - może pan Fessar mówił prawdę, a pan kłamał, nie wiem. No to kim pan naprawdę jest? Hrabia? Matematykiem? Oszustem? Awanturnikiem jakimś? Agientem Zimy? Synem lutowczyka? Zimnazowym przemysłowcem? Marcynowcem-renegatem może? Tylko proszę nie mówić, że wszystkimi naraz! Albo że w jednej dziesiątej! - Nerwowo obróciła kieliszek. - Takich pytań się nie zadaje - powtórzyła szeptem.

Ujęło się jej lewą dłoń; chciała cofnąć rękę, już spięła mięśnie - ale powstrzymała się świadomym wysiłkiem. Spojrzała, zmieszana. Zimne palce, sama skóra na kostkach drobniutkich, niebieskie żyłki pod tą skórą, a jak się naciśnie, to przemieszczają się pod nią wszystkie owe niewidzialne składniki organizmu, między kośćmi i między żyłami, i czuje się je wyraźnie, każdy z osobna i całą ich maszynową kompozycję; czuje się już, czym jest człowiek: materią gruzłowatą.

Dostrzega się bowiem jakąś nieprzyzwoitość w samym istnieniu ciała - nawet nie tyle w jego obnażeniu, co w ujawnieniu, iż ciało się posiada, w przyznaniu się do cielesności. Gdyby to nie bolało, gdyby się od tego nie umierało, gdyby było to możliwym - czy otwieralibyśmy się przed najbliższymi również tak: rozcinając skórę, rozwierając zapraszająco żebra, rozpinając mięśnie, rozsznurowując tętnice, wystawiając na światło dzienne i wzrok kochanka wstydlive zmarszczki i krągłości wątroby i jelit, nierówności kręgow, prostackie krzywizny miednicy, by na koniec nieśmiało odsłonić bijące, nagie serce? Byłaby to najwyższa i najtrudniejsza forma szczerości ciała.

- I jeśli nawet panu opowiem - szepnęła panna Jelena, zamykając dłoń w pięstkę - cokolwiek panu opowiem -

- Panna też mi nie wierzy.

- Cokolwiek pan mi opowie -

- Szczerość za szczerość.

- Ale przecież sam pan mówił: podróż to czas magiczny; ile nas znają, tym jesteśmy.

- Tak mówiłem?

- Bo nijak nikt nie sprawdzi, co z tego jest prawdą, a co nie.

- Nie sprawdzi. Ale jeśli nie prawda, jeśli kłamstwo - szczerść tym głębsza.

- Co pan opowiada!

- Panno Jeleno. Nasze kłamstwa więcej o nas zdradzają niż prawda najprawdziwsza. Kiedy mówisz o sobie prawdę - prawda to jest to, co ci się rzeczywiście przydarzyło: twój wycinek historii świata. I przecież nie masz, nie miałaś nad nim żadnej kontroli, nie wybrałaś miejsca swych narodzin, nie wybrałaś sobie rodziców, nie miałaś wpływu na to, jak cię wychowają, nie wybrałaś swojego życia; sytuacje, w jakich cię stawiało, nie były twojej kreacji, ludzie, z którymi musiałaś się zadawać, nie byli tworam i nie dawałaś przyzwolenia na szczęścia i nieszczęścia, jakie stały się twoim udziałem. Większość tego, co nam się przydarza, jest dziełem przypadku. Kłamstwo natomiast w całości pochodzi od ciebie, nad kłamstwem posiadasz kon:rolę zupełną, zrodziło się z ciebie, tobą się karmi i tylko ciebie opowiada. W czym więc odkrywasz się bardziej: w prawdzie czy w fałszu? Panno Jeleno. Podniosła wzrok.

- Mam kłamać...?

Puściło się jej rękę. Wyprostowała się; zamknęła na kieliszku obie dłonie, a palce splotła w koszycek. Nie oddaliła się wcale - a jakby już spoglądała z drugiego końca długiego korytarza. Mrużyła oczy w czerwonym blasku, pozostające w tyle za pędzącym Ekspresem Transsyberyjskim Słońce zalewało jej stronę przedziału od dywanu po płaskorzeźby podsufitowe, na których pulchne twarzyczki nimf wyglądały zza złotych bluszczy i powojów; a w gorącym świetle zachodu wszystko to lśniło, migotało i gorzało ciemnopurpurowemi ogniami - nad hardo uniesioną głową panny Muklanowiczówny.

- Niech panna mówi prawdę.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Czy to refleks słoneczny, czy też znów w oku Jeleny iskrzy ów chochlik dziecinnej przekory?

- Kiedy miałam lat dwanaście albo trzynaście - zaczęła - ciocia Urszula zabrała mnie na Ordynacką do cyrku. Wcześniej nieczęsto wychodziłam na miasto. Nigdy nie byłam w cyrku. Pamiętam, z jaką ekscytacją szykowałam się do tej wyprawy, to była wyprawa; od tygodnia nic innego nie zaprzętało mi myśli i snów. A ta sukienka, a te buciki, a taka okrywka, a inny kapelusik - i co zobaczymy, jakie zwierzęta, jakich klaunów, jakie cuda; siostrzenica stróża przyniosła mi plakat, na którym szczuplutka akrobatka w kraciastym trykocie szybuje w

powietrzu przez kręgi płomieni, a od dołu, spod ognia, sięgają ku niej lwy, ich rozwarte paszcze, wielkie zębiska i pazury.

...Pojechałyśmy na Okólnik zamkniętą dorożką, pamiętam ponurą słotę jesienną, było to jeszcze przed lutymi. Weszliśmy najpierw od Ordynackiej do cukierni, pozwolono mi na ciastko; i pamiętam też jego cytrynowy smak, szczypiący język słodki kwas, dobrze zapamiętuję smaki i zapachy, zdaje mi się, jakby pozostawiały już na zawsze w ciele - na języku, w głowie - jakieś cząsteczki-nosicielki wrażeń, a dźwięki, a obrazy, a dotyk, one nie mają żadnych odcisków materialnych, które mogłyby zasadzić w człowieku, czy tak jest w istocie, jak pan myśli, panie Benedykcie?

...Potem w westybulu ciocia spotkała znajomych, pułkownika dragonów z damą, pułkownik miał stałe miejsce w łoży na parterze rotundy, niedaleko areny, zaprosił nas, mnie częstował cukierkami, chciał kupić sachara; i z pułkownika zapamiętałam wąsiska wielkie, o, takie knoty skręcone w pomadzie. Siedzieliśmy w aksamicie. Inne damy, ich suknie, pióra, kapelusze, koafiury, szelest wachlarzy, zapach perfum - ach, panie Benedykcie, zapach tych perfum nadal jest we mnie. Myślałam wtedy, że dech mi odbierze, od nadmiernego podniecenia potrafi tak człowieka zatchnąć, jakby ktoś włożył ci rękę w pierś i cisnął rozłożoną wplask dłonią na kość, tutaj, tu -

- Na mostek.

- Tak. Oddech zaczyna się, zanim skończył się poprzedni, powietrze wypycha powietrze, płuca się zapadają, nigdy pan tak nie czuł? Biedna ciocia musiała się naprawdę o mnie wystraszyć. Zapalono wielki kandelabr gazowy pod kopułą. Zobaczyłam ten długi fryz nad galerią, fantastyczne sceny polowań. Kolje, kolczyki i pierścionki dam lśniły jak gwiazdy. Pan się będzie dziwić małej dziewczynce? To wszystko było zbyt piękne, nazbyt podobne bajce. Bajki nie kłamią. Panie Benedykcie, tu może mieć pan rację, bajki nie kłamią, zwłaszcza wtedy, gdy nie mówią prawdy.

...Znacznie później dowiedziałam się, że w łożach parterowych - kto tam zasiada? Głównie panie swobodnej konduity i utrzymanki oficerów.

...Do pierwszego antraktu zobaczyliśmy połykacza ognia, foki tresowane, łamacza podków i magika, co wyjmował z cylindra króliki, gołębie oraz węże, jeden wąż uciekł, klaunom w to graj, wyciągały go sobie zza kołnierzy, z uszu, z portek. Po antrakcie zapowiedziano gdańską trupę akrobatów, od razu pomyślałam o tej dziewczynie z plakatu, i rzeczywiście: wychodzi z nimi panienska w podobnym trykocie, krzykacz przedstawia:

Niesamowita Felitka Kauczuk! Oczywiście, *nom de scène* takie efektowne - ale zaraz oklaski, gdy wygina się jak z gumy, jakby kości nie miała, w tył głową do pięt, i nogi zawijając sobie wokół szyji, a gimnastycy przerzucają ją sobie jeszcze niczym piłkę, i wrzucają na rusztowanie wysokie, gdzie czyni akrobacje śmiertelne do werbla szybkiego, a mnie serce do gardła podchodzi i ściskam ciocię za rękę, a potem jeszcze rzeczywiście skacze pannica przez obręcz płomieni i z trampoliny wybija się w salta przez ogień; tylko lwów nie było. Na koniec cała trupa kłania się wokół areny, od naszej strony także, wychylam się z łoży. I ciocia mówi: Znam ją! To córka Boćwiałkiewiczów z Wroniej! Koń węglarza ją stratował i władzę w nogach jej odjęło, nieszczęsne dziecko, kaleka boża na całe życie. No ale widzimy, że nie, że - Niesamowita Felitka Kauczuk! Antrakt drugi wydzwonili, pan pułkownik ofiaruje się rozwikłać tajemnicę (dama szepcze mu coś do ucha). Posłał chłopca na zaplecze, bilecik z banknotem. Co sobie pomyślała Felitka? Czy zawsze przyjmowała takie zaproszenia oficerów? Zjawia się jeszcze nieprzebrana, w pelerynie na ramiona narzuconej. Od razu poznaje ciocię; całusy, obściski, śmiechy. Usiadła z nami na antrakt. Więc co się z nią przez te lata działo? Nie była wiele młodsza ode mnie, gdy wpadła na ulicy pod kopyta szkapy węglarza; stratowana, straciła władzę w nogach, chodziła o kulach, jeśli w ogóle chodziła, bo mówiła, że rodzice woleli ją trzymać w domu - tyle, co podwórka widziała z okna albo ulicy z podwórka, gdy w lecie ojciec ją wynosili na dwór. I niedługo potem dawał przedstawienie na ich ulicy linoskoczek - rozciągnął sznur między dachami, chadzał po nim wte i wewte, trzy piętra nad brukiem, zaraz też na sznur weszła córka linoskoczka, przemaszerowała w powietrzu nad zagapioną Felitką. Opowiada panna Kauczuk: patrzę i wiem, że jeśli będę chodzić, to będę chodzić w powietrzu. Od razu, tam na bruku pod liną rozciągniętą, wymyśliła sobie przyszłość i założyła się o nią. Wkrótce potem wróciło jej czucie w stopie - rozumie pan, opowiadała to ze śmiechem, jak żart, ale to nie był żart - wróciło jej czucie w palcach u nogi i tak została Kobieta-Gumą.

...Czy pan Benedykt słyszy, co ja mówię? Nie chodzi o to, że zobaczyłam w cyrku na Okólniku, jak się fantazje w życie zmieniają, życie w fantazje. Ale że Felitka, ale że jakaś Boćwiałkiewiczówna z Wroniej - napisała sobie jak bajkę, siebie wymyśliła, skłamała się i obróciła w prawdę, i oto stała przed nami, żywe kłamstwo, baśń samoopowiedziana, dziecko własnych snów. Więc nie jest się tym, kim się jest - jest się tym, kim się siebie wymyśli! Czy pan Benedykt pojmuje? Im cyrk bardziej egzotyczny, im bardziej kolorowe wystroje i większy zachwyt w oczach dziecka - tern bliższa granica między niemożliwością i marzeniem, na wyciągnięcie ręki, na dotyk. Oderwałam cekin z jej trykotu, zabrałam,

ukradłam, dotąd przechowuję w skarbczyku.

...I ja się panu przyznaję: od zawsze czytałam powieści przygodowe, co to ich bohaterowie przeżywają fantastyczne awantury, podróżują przez dzikie krainy, walczą z pozbawionymi honoru okrutnikami i własną brawurą i sprytem wydostają się z najsroźszych opresyj. I taką się sobie opowiedziałam, taki zakład przyjąłam, takie kłamstwo czynię prawdą.

...Sądzi pan, że jaki jest z urodzenia kolor mych włosów? Ale bohaterki romansów dramatycznych, nie te zalęknione przedmioty afektu awanturników - lecz *femmes d'esprit*, heroiny nieulekłe, i kobiety-szpiegi, i kobiety-zbójce, i *femmes fatales*, one występują pod czarnym włosiem i brwią kruczą. Więc henna, henna magiczna. Pan się uśmiecha szyderczo - że kokieteryja kobieca, że wszystko dla urody i przypodobania się mężczyźnie? A właśnie nie! Jak pan o sobie myśli? Jaki obraz Benedykta Gierosławskiego nosi w głowie? Kim pan jest dla samego siebie? Otóż to! Tylko tak bowiem można zacząć się przepisywać, kłamać sobie, to znaczy uprawdziwiać kłamstwo: jeden dzień, drugi, trzeci, dziesiąty, miesiąc, i jeszcze, i jeszcze, ale regularnie, konsekwentnie, bez przerwy, za każdym spojrzeniem w lustro, w każdej witrynie ulicznej, w każdym przypadkowym odbiciu pochwyconem kątem oka - aż pewnego dnia inna myśl już ci w głowie nie postanie, bo to będzie pierwszy obraz i pierwsze skojarzenie i najgłębsza prawda o tobie, gdy spojrzysz i zobaczysz tam cygańskiej urody brunetkę i zobaczysz siebie - to będziesz ty - kobieta-szpieg, tajemnicza kusicielka, akrobatka życia. Która otwiera spinką każdy zamek i rozwikłuje każdą zbrodnię tajemniczą.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Słońce bije sponad krawędzi widnokregu prosto w źrenice panny Jeleny, panna zaciągnęła zasłonę po swojej stronie, ale nie pomogło; unosi dłoń do czoła, broni się przed zalewem czerwieni. Nie sposób więc rzec - jest-li uśmiech i kpina w oczach panny Muklanowiczówny? czy te cienie różowe na jej licach to rumieńce żywe, czy ciepłe pocałunki Słońca? I wszystko, co mówiła - prawda to czy fałsz? Nie daje znaku żadnego.

Drugą ręką podniosła ostrożnie kieliszek. Błysnął krwawo rubin na czarnej aksamitce, załśnił skromny pierścionek. Przechyliła szkło. Języczek, koniak, wargi.

- Co się tyczy romansów czytanych w młodości. - Odchrząknęło się. - Panna Jelena doceni tę prawdę. Co się tyczy romansów. Historje pierwszych miłości, tak. - Odchrząknęło się ponownie. - Miała na imię Anna, Anna Magdalena, tak ją poznałem, jakbym jej nie poznał, to znaczy przez zasiedzenie, trudno przypuścić urok od pierwszego wejrzenia, gdy się tego spotkania nie kojarzy w ogóle, rozmyło się ono gdzieś w dziesiątku innych, w kim więc,

w czym się wówczas zakochujemy, nie w konkretnym obrazie konkretnej osoby, lecz w jakiejś tęczowej impresji, bukiecie wrażeń przemieszanych, jak zapach bukietu tuzina różnych kwiatów nie jest przecie w sumie zapachem żadnego kwiatu istniejącego - w kim się zakochujemy? A ona tak przemykała na granicy postrzeżeń, raz widziana, raz niewidziana, raz słyszana tylko zza ściany, gdy ćwiczyła na pianinie - ach, już mówię: dawałem jej bratu korepetycje.

...Brat był tępy niewyobrażenie, powiadam pannie, słusznie zarobione ruble, po każdej lekcji czułem, że sam mniej i mniej pojmuję własne tłumaczenia, gapił się na najprostszą arytmetykę i cieleca błogość nieporuszonego żadną myślą rozumu rozlewała się mu na krągłym obliczu, a próbując wczuć się w jego obstrukcje umysłowe, samemu zapadałem w jakąś przedziwną impotencję intelektu, bagno głupoty, miewałem takie przebłyski, to znaczy przeciwieństwo przebłysków, zaćmienia, gdy naprawdę udawało mi się spojrzeć na świat jego oczyma i traciły wówczas sens równania i grafy własną moją ręką dopiero co skreślone, nie wyobrażam sobie straszniejszego uczucia, otóż to były chwile, kiedy frustracja mnie ponosiła, potrafiłem nań wrzeszczeć, ciskać linjałami i kajetami, tłuc pięścią w stół, on oczywiście tylko spoglądał temi ślepiami jak krowa napasiona, więc ja już prawie włosy sobie rwałem - i wtedy Anna Magdalena zachodziła do pokoju i pytała, czy Jędrus robi postępy. „Tak, proszę pani, stara się bardzo”. Matko Boska Częstochowska, chroń mnie od uczniów tępych!

...Owóz tak przebiegło miesiące kilka i nie pomnę, ile razy zamieniłem z panną Anną słowa kurtuazyjne i grzeczne uwagi o jej młodszym bracie; aż dnia pewnego widzę, że kreślę mu kąty tangensowe, a myślę już tylko tak: pora by zakrzyknąć i hałas uczynić, coby Anna Magdalena odwiedzić nas raczyła. Bo i po prawdzie dawno już darowałbym sobie tę mordęgę, gdyby nie nadzieja ujrzenia jej twarzy, nadzieja na słowo, dotyk lekki, spojrzenie. Zważ panna: teraz ja tak o tym opowiadam, ale wtedy nie nazywałem uczuć po imieniu; uczuć żywych nigdy nie nazywamy albo też nazywamy błędnie, dopiero ich śmierć daje tę łatwość, łatwość w klasyfikacji przedmiotów martwych, żeby nie rzec: opisie wnętrzości trupa. Ale wtedy - myśl płocha. Dzień, tydzień, miesiąc. Rozmawiamy, a brat-debil ani słowa pojmie, z wywalonym jęzorem rzeźbiący w kajecie kolejne abominacje algebry. Więc śmiałość między nami coraz większa, a z czasem także coś jakby podniecenie gry, ekwilibrystyki słownej: powiedzieć rzecz tak, by nikt poza Anną jej nie zrozumiał, i nikt poza mną, gdy mówi ona; bo że brat, łeb kamienny, wyzwania wielkiego tu nie stanowił, to pewna, ale przecie rodzice ich, i dziadek nie głuchy bynajmniej, i gosposia, i wreszcie wścibska kuzynka kątem u nich mieszkująca od czasu, gdy lute siadły na jej kamienicy, też przecie

świadomi byli dłuższych i dłuższych konwersacyj naszych. Aż nadto - bo znowuż miesiąc mija i dzień jest taki: do wyjścia się szykuję, a tu u progu zatrzymuje mnie szanowny rodziciel Anny Magdaleny i Jędrzeja i na czaj do siebie prosi. Gdzie rozmowa oczień sieriozna. A czy przyzwoity młodzieniec, a z jakiej rodziny, a jakże uposażony, a gdzie żyjący, a prospekta na przyszłość jakie, a serce co mówi - co mówi serce! - Boże mój, dopierom pojął, co oczywistem było dla wszystkich poza mną, i raka spiekłem pięknego. Więc czy się zakochałem? Czy żenić się myślałem? Panna mi powie - co to za zapach - żaden kwiat, a bukiet splełany - kobieta, tysiąc odbić kobiety, kalejdoskop uczuć.

...Więc już afekt jawny i wymiany liścików francuskich i upominki drobne i dłuższe *tête à tête* za drzwiami przymkniętymi, i brat głupi mordę śmiejący: Pan narzeczony! A co za drzwiami, to już panny gorszyć nie będę, bo nie to w historii onej ważne, a co ważne - słuchaj panna. Miała Anna Magdalena sekretarzyk gdański na kluczyk zamykany, kluczyk w medaljonie na szyji noszony, w sekretarzyku zaś - sekrety swoje, to znaczy listy wszystkie, pamiętnik, skarby jakieś dziewczęce i co tam zachować w tajemnicy przed światem pragnęła; wiem, bom nieraz zastał ją przy piśmie, które prędko chowała, albo właśnie chcąc przekazać mi coś potajemnie, spod klucza od razu wyjmowała. I dzień jest taki - a właściwie wieczór już, lampy gazowe świecą jasno - że zachodzę do panny Anny, a ona woła mi ze schodów służby, że zaraz, że już, chwilka, więc zdejmuję palto, gosposia prowadzi, zostaję sam w pokoju, za oknem ciemno, wzrok zawraca ku światłu, minuta, sam, dwie minuty, sam, chodzę, oglądam bibeloty, i oko pada na sekretarzyk - który jest niedomknięty. Niedomknięty, spod piórnika i laki wystaje rozek złożonego papieru, piórnik też uchylony, na papierze kleks inkaustu świeży. I co się dzieje? Nogi prowadzą do mebla, ręka sięga, palce ujmują kartkę, wyciągają, rozkładają, czyta się. Poznałem charakter pisma Anny Magdaleny, i poznałem jej słowa. „Kochany mój!” - zawsze tak zaczynała. A więc list do mnie! Pisała, nie dokończyła. Uśmiechałem się w duchu. Nie przyznam się, udam, że nie czytałem. Tymczasem oczywiście czyta się dalej. „Kochany mój, drugi dzień mija, a już moje ciało tęskni do twojego ciała” - pamiętam, tak, ale daruję pannie, panna wie, jaki to był list. Wie panna: *lettres d'amour* nie są listami, to znaczy nie służą przekazaniu informacji od nadawcy do adresata; służą wywoływaniu w nieobecności obiektu miłości tych samych uczuć, jakie powoduje jego obecność. Kiedy piszemy: to samo uniesienie, już rumieniec oblewa piszącego, już serce bije szybciej, i gdy potem wspominamy, co napisaliśmy, i gdy wyobrażamy sobie ukochaną, która to czyta - i kiedy sami czytamy: identyczna euforja i poczucie bliskości, i myśl o tamtym, który to pisał, gdy pisał. Więc ze mną było nie inaczej; kilka chwil i już krew pulsuje pod

czaszką, ciepła błogość obejmuje ciało, jakieś odbierające energię rozczulenie, nawet nie wobec Anny Magdaleny, ale wobec samego siebie, to są małe lusterka Narcyza: listy miłosne. *Verte*, druga strona. Jakbym gazurką przez ciemność dostał. Jeszcze zdań parę i cóż pisze Anna - pisze o jego włosach jasnych, o wspólnych przejażdżkach konnych, wspomina rozkosze grzeszne, które nigdy nie były naszym udziałem... Powiniennem być wcześniej się domyślić, ale ogłupił mnie ten urok samouwielbienia z listu miłosnego płynący, wierzyłem, w co chciałem wierzyć. Czytam resztę. Kto, kto to jest, jakie jego imię? Nie dokończyła, brak szczegółów. Jest może koperta z adresem? Nie ma. Co robić? Słyszę kroki Anny Magdaleny, stoję z jej listem w dłoni jak morderca przyłapany z nożem okrwawionym. Co robić, zaatakować ją oskarżeniem, schować dowód i uciec, co robić. Mgnienie myśli - odkłada się list na miejsce, się cofa się do okna. Wpada Anna Magdalena, rozradowana, jak to dobrze, że jesteś! - a ja uśmiecham się, uśmiecham się, uśmiecham; poznałem słodki smak zdrady.

- Słodki?

- A tak, tak, słodki, słodko-mdlący, ciepła zgnilizna i truchło przez słońce nagrzane też taką woń oddają, nie chcemy, ale wciągamy powietrze, smakujemy, zaraz zemdli, ale jeszcze trochę, jeszcze raz - nie można się powstrzymać. Jest to na swój obrzydliwy sposób przyjemne. W czym znajduje pociechę człowiek zdradzony? W tym, że został zdradzony. Bycie zdradzonym bardzo szybko okazuje się formą szlachectwa ducha, pewnego rodzaju wywyższeniem, czy panna Jelena mnie rozumie, nie, chyba nie. To też jest rzecz, której nie da się opowiedzieć drugiemu człowiekowi. Czy można sobie wyobrazić, co by się czuło, gdyby zostało się zdradzonym - i przez kogo? A czy można wskazać człowieka na ulicy i wyobrazić sobie, co by się czuło, gdyby się go kochało?

- Wydaje mi się -

- Niech panna Jelena jeszcze za mną podąży. Więc było tak, że nie dałem nic po sobie poznać Annie Magdalenie. Żegnam się, wychodzę. Niby coś mówię, niby coś robię, ale przecie jedna tylko myśl w głowie: kto to jest, kto, z kim, kogo ona, kto ją, kto? Upić się - nie była to moja metoda; żołądek zresztą zbyt słaby mam na alkohol. Cóż zatem? Siadam przy biurku, spisuję na kartce: blondyn lub jasny szatyn; jeździ konno; nosi wąsy; spotykali się wtedy i wtedy; tam i tam; znają się odtąd - *et cetera*, co tylko zapamiętałem z listu. Tak, słusznie się panna domyśla: zacząłem śledzić Annę Magdaleny. Kto ich odwiedzał w domu i do kogo ona wychodziła, i kogo spotykała na ulicy, w sklepie, i nawet z kim się widywała w kościele. Podejrzani byli wszyscy mężczyźni pasujący do opisu. Ale żeby tylko! Z czasem



podejrzenie jęło się rozrastać, jak mróz na wodzie, zagarniać w siebie kolejne obszary. Bo - zobacz panna tę logikę - skoro może zdradzać z jednym, to czemu nie z drugim? Z drugim, z trzecim, z czwartym, z kimbądź. Podejrzani byli już wszyscy. Jeśli Anna Magdalena wymieniała w bramie z sąsiadem jeno formalne grzeczności, to pewnie właśnie dlatego, by nie zdradzić się przed jeszcze innym amatorem jej wdzięków; jeśli nie odpowiadała na ukłon nieznanego na Alejach, to nie dlatego, że był on jej nieznanym, ale że pamiętała, by pozory zachować; jeśli kto z jej otoczenia serdeczność mi okazywał, to nie z serdeczności, ale przez złośliwość i sprzymierzenie z przeniwierną. Niech panna Jelena za mną podąży! Tydzień i tydzień i miesiąc już prawie zdrady cudownej. Ojciec jej! Jeśli ojciec błogosławieństwo dał, to dlaczego? - zapytuje się zdradzony. I jak to możliwe, że takiemu nygusowi bez grosza przy duszy i z imieniem nie najczystsze córkę swą jedyną bez targów długich odstąpił - że z głosu serca? - ba! Spisek wszystko i teatr kurewski, *pardon pour le mot*. Musiał tatulo dobrze znać prawdziwą naturę pięknej Anny. Widzi więc panna - nie ma komu wierzyć. Sprzysięgli się, usidlili biednego tutora. Czyż nie mówiłem, że jest w czym znaleźć pociechę i satysfakcję?

...I Bóg wie, jak długo by to trwało i jak głęboko pogrążyłbym się w czarnych przyjemnościach zdrady, żeby nie Jędrus przeklętnik, Jędrus-zbawienie, który wszędzie się gapi, tylko nie tam, gdzie trzeba, i wszystko go interesuje, tylko nie to, co powinno, i w końcu raz i drugi wypatrzył mnie kryjącego się w cieniach i między przechodniami i zapewne wskazał też siostrze. Z początku Anna Magdalena również nic nie mówiła i grać usiłowała przede mną z twarzą czystą - ale już coś przeczuwałem; pokazało się potem, że przyuważała mnie sama, raz pod oknem jakimś, raz w bramie, gdy nie zdążył zejść z widoku, kiedy wizytowała krewnych na Powiślu. Nie mogło to trwać bez końca. Bo nie wyobrażaj sobie panna, że ja tak snułem się tylko za Anną i notowałem punkty zazdrości. To eskalowało. Żeby ja ją przyłapał *in flagranti*, żeby na własne oczy zobaczyć...! Ale ponieważ pozostawałem zdany na potworniejsze i potworniejsze domysły, trzeba było sięgać po środki coraz radykalniejsze. Nająłem doliniarza, żeby czyścił kieszenie mężczyzn, z którymi się widywała - czy jakiś liścik, czy chusteczka perfumowana, byle ślad najmniejszy. Był też goniec, z którego często korzystali, urwis taki, o, pyrotek dziesięcioletni może, smyrzał ze sprawunkami dla całej kamienicy. Przydybałem go któregoś wieczora śnieżnego na osobności, głowę sobie obwinawszy szalikiem dla niepoznania, i nuże go wypytywać, kiedy, do kogo, z czym, a listy jakie, a panna co mówiła, a plotki czy słyszał. On nic. To ja z krzykiem. On nic, ucieka. To ja już go tarמושę i grzmocę o mur i pięścią grozę i, tak,

stłukłem malca w zapamiętaniu, aż padł bez przytomności. I co jeszcze -

...Nie mogło trwać bez końca. Wchodzę, ona na sofie, dłonie splecione na chustce, podnosi oczy, płakała; ale już wargi zaciśnięte. Widzę, że się to łamie w niej, że rośnie wewnątrz w milczeniu, że właśnie dlatego nic Anna nie mówi, iżby nie wybuchnąć od razu spoza masek i póz, bo dłużej nie wytrzyma gry pozorów, była jakaś ostatnia kropla, której nie znam, Jędrus-kretyn może, może sama się domyśliła, że się domyśliłem. Ale - te jej oczy od szlochów czerwone! Ale rączki załamane! Teraz ofiara, teraz pokrzywdzona - ooo, niedoczekanie! I dalejże: przyznaj się, przyznaj się panna - ja zaczynam, mój krzyk, mój ból - kim on jest, kiedy mię w sercu ci zastąpił, czy kiedykolwiek w nim mieszkałem, nie masz ty serca, dziwka chciwa! Jakbym ją opluł, mało tam spazmów nie dostała. Przybiegł brat, zatrzasnąłem drzwi, dobijał się z zewnątrz. Anna Magdalena blada jak śnieg. „Czego ty ode mnie chcesz? Co ja ci złego zrobiłam? Co za szaleństwo! Boże!” I nowe łzy. Tu już mnie Furja na moment dotknęła ognistą ręką, nie pamiętam, com nawrzeszczał; aż dech mi zaparło i drżałem cały jak w febrze, złapałem się mebla, upadłbym. Anna u moich stóp, ścisła za kolana. „Nieprawda”, jęczy, „wszystko nieprawda, źli ludzie okłamali, nie wierz”. Toż sił na to brakuje - źli ludzie! okłamali! Zachryplę, więc już tylko szeptem, bardzo cicho: „Miałem ten list w ręce, twoją dłonią skreślony”. Jaki list?” Pokazuję na sekretarzyk. Ona tylko patrzy i kręci głową. Szepczę jej całe zdania, co w pamięci się zapisało, jej wyznania gorące, nieprzyzwoitości, jakie kochankowi przypominała. A, widzę, że pojęła - wzdryga się, spuszcza oczy; więc ja od nowa, szept zimny jak ostrze lancetu, znam twoje grzechy, ladacznico. Już mi nie spojrzysz w twarz, rumieniec czerwony aż na szyję jej spłynął, i też jeno szept pozostał - szepcze tak słabo, muszę się pochylić. „Nie mam, nie mam żadnego kochanka, nikogo poza tobą, nigdy nie miałam”. „List, list twój szczery!” „Tak, listy piszę, od lat, ile to już listów, wszystkie zamknięte pod kluczem, do niego”. „Do kogo?” „Odkąd czytam romanse francuskie, mój kochanek, którego nigdy nie miałam, z romansów, z książek, od lat, z nim każdą myśl, każdy grzech, bo jemu wszystko napisać mogę, który nie istnieje, nie istnieje, nie istnieje!” I co, panno Jeleno, co powiedzieć, co począć? Z czytania romansów wszystko! Chyba próbowałem przeproszać, rzuciłem się na kolana - odepchnęła, nie patrząc nawet, odwrócona, kryjąca twarz, przegoniła, łkając. W drzwiach jeszcze brat jej mało się na mnie z pięściami nie rzucił: „Durny ty, durny!”. Uciekłem. Mijaliśmy się potem raz i raz na ulicy, ja i Anna Magdalena, wyszła za zarządcę Tattersalu Wodzińskiej... ale nigdy już nie spojrzeliśmy sobie w oczy.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Języczek, koniak, wargi.

- A nie myślał pan, że ona mogła jednak zostawić ten list z zamysłem, żeby pan go znalazł i przeczytał?

- Dla obudzenia zazdrości?

- W głowie jej nie powstało, że uwierzyłby pan w jej zdradę.

- Więc po co?

Jelena przechyliła główkę, ściągnęła wargi.

- Są rzeczy, których nie powie się w oczy, lecz wyzna w liście; i są rzeczy, których nie sposób także wyznać w liście - ale można dać je do zrozumienia. Inaczej. Bo dama nie powie wprost: chcę tego i tego. Dama musi zawsze móc zaprzeczyć i wycofać się z twarzą. Mówi pan, że co ona z tym kochankiem swoim urojonym -

- Dajmy już temu pokój.

Panna Jelena Muklanowiczówna zaśmiała się dyskretnie, kryjąc usta dłonią. Słońce spadło już tak nisko i tak zakręciły względem Słońca tory, że bardzo niewiele światła zachodu wlewało się do atdielienja i cienie głębokie, miękkie, pofałdowane jak gruby aksamit umościły się wokół panny, zawijając całą jej sylwetkę w suty materiał nocy, aż się panna zapadła weń do reszty i tylko właśnie w ruchu, tylko sięgając poza cień - kieliszek do ust, do ust dłoń pusta - wyłaniała się na moment Jelena bladą plamą, zarysem kształtu zapamiętanego. Co to więc był za śmiech, można się było domyślać jeno po dźwięku cichym, głuszonego przez ciągły stukot pociągu; nie odczyta się wyrazu twarzy panny, nie pozna znaczenia śmiechu z jej oczu. Szyderstwo? litość? kpina? sympatja? I czy ona także nie zadaje sobie teraz tego nieuchronnego pytania: prawda czy fałsz? A może już wydaje się jej, że poznała odpowiedź - i dlatego się śmieje.

- Panna się ubawiła? Wesoła historyjka?

- Proszę się przyznać - nie, pan się nie przyzna. Brzmi prawdziwie, jakby rzeczywiście się zdarzyła - ale nie panu, nie leży na panu dobrze. Usłyszał ją pan gdzieś? Ktoś panu opowiedział? I powtarza pan teraz, przykrojoną na siebie.

- Nie leży dobrze? Jeśli nawet. Dlaczego to ją uważa panna za fałszywą? Może fałsz jest po drugiej stronie.

- Że niby poznałam tu nie Benedykta Gierosławskiego - ale kogo? kłamstwo o

Benedykcie Gierosławskim?

- Panna mnie poznała! - parsknęło się. Wstało się, przekreśliło się cyngiel elektryczny, zapłonęły w przedziale żarówki w kloszach kolorowych. Jelena zamrugła, dobrze już znanym gestem osłoniła oczy. Noc za oknem stężała w czarny monolit, gładką bryłę węglowego lodu. - Panna mnie poznała - czy to znaczy, że ja również pannę poznałem?

- Ależ proszę się uspokoić, nie miałam na myśli -

- Czego? Że zazwyczaj poznaje panna ludzi w dwa dni?

- Przepraszam. To było głupie. - Odjęła dłoń od oczu. - A znowuż z trzeciej strony patrząc: czy zdrada z kochankiem nieistniejącym mniej boli? czy mniej jest zdradą?

- Taka panna pewna, że nie może być owa historia prawdziwą!

- Bardzo się pan uniósł. - Spojrzała, nadal mrugając. - A zatem - zatem jest prawdziwa?

Usiadło się z powrotem, założyło się nogę na nogę, naciągnęło się kant nogawki.

- Tego nie powiedziałem. Panny kolej.

W zamyśleniu dotknęła paznokciem dołeczka pod dolną wargą.

- Wszyscy mężczyźni to potwory.

- *Pardon...?*

- Wszyscy mężczyźni to potwory. Pan Benedykt stwierdzi, czy kłamię. Zawsze byłam chorowita, szczególnie od ósmego roku życia, następne pięć-sześć lat - to był czas najcięższy, sama już nie wiem, ile razy doktorzy wróżyli mi rychłe zgaśnięcie, oczywiście mnie nic nie mówiąc, uśmiechali się tylko, głaskali po główce i zapewniali, że wszystko będzie dobrze; ale ja zawsze zdołałam albo podsłuchać, albo wyciągnąć od służby, albo z min i nastrojów cioci wyrozumować - źle się działo. Najgorzej, że nie była to nigdy jedna choroba śmiertelna, lecz tuziny pomniejszych infekcyj i przeciągłych niedomagań, następujących po sobie, nakładających się i wzajem siebie prowokujących: choroba była stanem permanentnym, nie konkretna choroba, ale chorowanie, *diathesis* jakaś wewnętrzna, bo zanim się z jednej maligny udało wyjść, już dwie inne słabości w organizmie zagnieździć się zdążyły, i tak bez końca. Można rzec, iż chorobą moją główną była właśnie owa nadzwyczajna podatność na boleźń wszelką, czyli ułomność jakaś wrodzona ciała, lecz jak to ocenić, skoro chorowałam, odkąd pamiętam - może o wszystkim przesądziła ta pierwsza, niewinna dolegliwość, kamyczek, który poruszył lawinę? Tak czy owak, rzadko podnosiłam się z łóżka.

...Teraz niech pan Benedykt spróbuje wejść w świat dziecka latami obłożnie chorego. Siłą rzeczy granica między prawdą a fikcją jest tu daleko przesunięta. Do dziecka docierają sygnały ze świata - odpryski, echa, ślady pozostawiane na ludziach przez świat, jak ślady pozostawiane przez mordercę na rekwizytach zbrodni - ale nie doświadczą ono świata bezpośrednio. Co więc robi? Buduje świat w wyobrażeniu. Nie miasto, ale wyobrażenie miasta. Nie zabawa na śniegu, ale wyobrażenie zabawy. Nie przyjaciel, ale wyobrażenie przyjaciela. Nie romans, ale wyobrażenie romansu. Nie życie, ale wyobrażenie życia. Powstaje myśl, że rekonstrukcja jest możliwa, że przecież wszystkie te ślady muszą do siebie pasować: istnieje morderca; była zbrodnia. Doświadczenie nie jest już konieczne: ono zawsze będzie przypadkowe, fragmentaryczne. Natomiast wyobrażenie jest kompletne. I wydaje mi się, że pan Benedykt jako matematyk - nie myślę się? - pan Benedykt zna to uczucie, nie jest mu obca owa pierwotna skłonność umysłu.

...Są ponoć takie kategorie obłędu, urazy duszy, które zostawiają ludzi całkowicie oderwanymi od doświadczenia, odciętymi od wrażeń zmysłowych. Powiada się: żyją we własnym świecie. W klinice profesora Zylberga widziałam katatoników. Świat namacalny nie jest im do niczego potrzebny, wyobrażenie zwyciężyło. Pewnie w końcu okazało się prawdziwsze. Czy to miał pan na myśli? Jeśli zgubimy miarę prawdy - co decyduje? Cokolwiek.

...Była to gorączka, bardzo męcząca, taka, od której bolą mięśnie i po potach nocnych zasypia się dopiero o chłodnym poranku, w ciele już lekkim i rozmiękłym; to są owe rzadkie przyjemności długiej choroby, których pan pewnie nie miał nigdy okazji poznać, nigdy w nich zasmakować. Ale dla mnie - rozkosz. Towarzyszy wszakże temu dziwna przejrzystość zmysłów; po takiej nocy widzisz rzeczy wyraźniej, z wielką ostrością, widzisz, słyszysz, czujesz, bo także dotyk, także zapachy, wszystko dociera z większą siłą - tem silniej, im słabszy jest człowiek, im bardziej wymęczyła go gorączka. Oczywiście najslabszy jest wówczas umysł.

- Porankiem, po nocy nieprzespanej.

- Tak.

- Panna słuchała Ziejcowa od początku?

- Ale proszę mi nie przerywać! Więc przychodzi świt, głowa się oczyszcza, unoszą się zasłony - i oto puch pod palcami bardziej jest puchowy, światło w oczach bardziej jasne, prawie razi, powietrze świeże, nawet jeśli nieświeże, i ludzie nowi, nawet gdy ci sami.

Wchodzi doktor. Doktor ma dobrze ponad pięćdziesiąt lat, brodę gęstą, brzuch baloniaste, paluchy jak serdelki, cuchnie tytuniem fajkowym i amoniakiem; ściskając mi nadgarstek (a skóra u doktora słoniowa, chropowata), mamrocze coś pod nosem, dźwięki dziwne i charkotliwe. Więc już patrzę oczyma szeroko otwartymi, podejrzliwie, a jemu - widzę - z nosa wyrastają wiechcie siwych włosów, z uszu krzaczkę czarne, pod brodą niczym igielnik jeża porusza się jakiś dziwny narząd, a jak doktor łypnie przez szkła binoklów, to dreszcz po mnie przechodzi od tego wilgotnego spojrzenia ślepiów ogromnych, i już z przecucia pewność powstaje w umyśle czystym, przejrzystym: przecież to nie jest istota mojego rodzaju, to coś innego - potwór jakiś, zwierzę, nie człowiek. Wydobywa się z jego gęby niski bulgot: „Ja-ak się czuje-emy-y?”. W strachu ledwo szepczę odpowiedź. Że dobrze.

...Myśli pan, przecież w końcu wyspałam się i mi przeszło? Ale w tym rzecz cała, że lepiej byłoby, gdyby nie przechodziło! Bo kto przynosił mi na co dzień ślady życia pozachorobowego, z kogo czytałam rzeczywistość leżącą na zewnątrz mojej sypialni, kto dawał mi poszlaki dla wyobrażenia świata? Ciocia Urszula. Mama. Julka i stara Guścowa. A czasami pani Feschik, która przychodziła czytać mi bajki, bo to była jej największa przyjemność w życiu: czytanie bajek chorym dzieciom. Widzi pan? Kobiety. Doktor natomiast zachodził, gdy coś się w moim stanie zmieniało, gdy się pogarszało, więc po nocy ciężkiej właśnie. I wtedy widziałam, co widziałam; co widzieć musiałam. Ile potrwało, zanim wyobrażenie ustaliło się na dobre? Reguła była nieodparta. Jestem ja, ja i inne kobiety; i są oni, jak doktor, te stwory dziwne, nieludzkie.

...We wspomnieniu nie ma różnicy między światem i wyobrażeniem świat ta. Jeśli sobie wyobrazisz, że jesz szarańczę - słyszał pan, że są ludy, które się nią żywią? - ale wyobrazisz porządnie, aż po wrażenia zmysłowe, to po jakimś czasie nie odróżnisz pamięci smaku szarańczy od pamięci smaku chleba: smakują inaczej, ale równie prawdziwie. No więc ja bardzo dobrze pamiętam, że żyłam w świecie, gdzie mężczyźni byli samcami innego gatunku istot. Co się stało z drugą połową rodzaju ludzkiego? Mężczyźni zapewne wybili ich, by zająć ich miejsce. Była to mistyfikacja na historyczną skalę. Kryli się z tym przed nami, kamuflowali, udawali, odgrywali role, jednak niedoskonale, nieumiejętnie, niechlujnie, ponieważ wszystko robią topornie i niechlujnie, taka ich nieludzka, mężczyznowata natura. Niewiele trzeba, by ich przejrzeć. Na przykład, jak się zachowują we własnym gronie, gdy sądzą, że nie ma nas w pobliżu. Od razu głos im się zmienia, grubiej, słowa tracą na znaczeniu, mężczyźni przechodzą na swój język, jakiś zwierzęcy dialekt bełkotliwych charknięć, warknięć, pomruków, rechotu; z języka ludzkiego znaleźli użytek jeno dla

wulgaryzmów. Wywodzą się od padlinożerców, jedzą jak padlinożercy, widziałam szczury, jak się wgryzają w mięso czerwone, wpychają żarcie do pysków, aż się cali purpurowi z wysiłku robią i ślepią im na wierzch wychodzą, wylewa się pot tłusty na skórę, ale szczęki pracują niezmordowanie, byle szybciej, byle więcej, i te dźwięki, jakie się wówczas z nich wydostają, to sapanie, i smród ich mężczyznowatych wydzielin cielesnych...! Albo owo drapieżnicze umiłowanie krwi i walki - żeby nie wiem, jak się pilnowali, starczy im pokazać jakąś masakrę, a choćby bójkę uliczną, niech jeden drugiemu nos rozbije: już im się oczy świecą, już nozdrza drgają - a, zwietrzyli! - i ruszają z mięśniami napiętymi. Wieczorami, po zmroku i późno w noc, odbywają w swoich jaskiniach rytuały mężczyznowate, kultywują tam prawdziwe obyczaje bólu, potu i przemocy; czasami wracają do domów, do nas, nie zatarłszy wszystkich śladów. W sekrecie oddają cześć bogom nieczłowieczym o ohydnych wizerunkach. Tak przecież wszystko urządzili, żebyśmy nie miały dostępu do miejsc ich spotkań. Całe pomieszczenia, budynki pozostają dla nas zakazane, tylko mężczyźni mają tam wstęp; dzielnice, a może i miasta, może są na Ziemi - wymazane z map przez kartografów-mężczyzn - takie miasta nie-dla-kobiet, metropolje podziemne, gdzie oni żyją w swoim stanie naturalnym, to znaczy wolni od teatru człowieczej kultury, nadzy, porośnięci twardą szczecina nie tylko na policzkach i brodzie, lecz na ciele całym, żyją w błocie, w ciemnościach i ciemnym blasku od czerwonego ognia, w dymie gorącym, okładający się pięściami i gryzący na oślep w stadach tysięcznych, tarzający się w moczu i krwi ofiar, a kto więcej ran odniesie i bardziej się oszpeci, ten bożkiem hordy jest czyniony i wywyższa się go ponad innych mężczyzn, ażeby podziwiali obraz boga, w rechocie, w krzykach wulgarnych, w splunięciach i pierdnięciach, wolni. A jak upolują samotną kobietę, odbywa się zaraz walka dzika o przywilej konsumpcji. A jak muszą między kobiety wrócić na dłużej, tęsknią i boleją nad wygnaniem i jęczą przez sen i mszczą się na nas jak mogą, że w takiej niewoli, ukryciu i zgnębieniu mężczyznowatej natury żyć im przyszło, i tylko wtedy mały błysk radości i wyraz satysfakcji na ich bryłowatych obliczach, gdy przykrość, gdy ból udało się im zadać kobiecie. Wszyscy mężczyźni to potwory.

...Jak wyjść z tego świata? Nie można, nie do końca, pamięć zawsze pozostanie. Rzecz jasna, da się ją z czasem przesłonić inną pamięcią. Stało się jednak tak, że zanim zdążyłam się z mężczyznami oswoić... Mówił pan o pierwszej miłości; to nie była miłość. Nie wiem, co to było - rytuał polowania może. Podchodził mnie w majątku przyjaciół ojca na Saskich Łężycach, ich kuzyn, młodzieniec ze szkół na lato przybyły, a ja akurat na tyle dobrze się czułam, by wyjechać wówczas na wieś, żadnej choroby ciężkiej, cud prawdziwy, lute zaś

nigdy w tamte okolice nie dotarli, więc i lato jak Pan Bóg przykazał, długie wieczory, ciepło, grają świerszcze, woń zieleni - on podchodził mnie przy świetle Księżyca. Nie było tak, że żyłam nadal w owym wyobrażeniu, nie gnęłam już przecie w pościeli miesiącami; ale nie było też tak, że zupełnie zapomniałam, mówię panu, że nie zapomniałam, nigdy nie zapomnę. Więc on -

- Nie wypowie panna jego imienia?

- Artur. Artur. Typ ziemianina, dobrze zbudowany, nogi mocne od konnej jazdy, spalony przez słońce, włosy także, jak zboże przejrzale, nigdy ich nie czesał, lwia grzywa - mój Boże, czy pan Benedykt słyszy, jak ja go opisuję? Od samego początku więcej w nim widziałam zwierzęcia. Czy potrafi pan docenić piękno rumaka szlachetnej krwi? Jak się porusza, stęp, kłus, galop, cwał, jak mięśnie płyną pod skórą, która lśni od ciepłego potu, i jest w tym wielka harmonia, rytm jak w muzyce, jest wielka moc w ciele doskonałym, doskonale nastrojonem. Artur chyba poznał to w moich oczach. Nauczycielka rysunku mówiła mi, że mam talent. Proszę się kiedyś przyjrzeć sposobowi, w jaki ludzie patrzą. Malarze, rzeźbiarze, tancerze i mieszkańcy Południa oglądają od razu całą sylwetkę człowieka, nawet przy powitaniu, przy pierwszym spotkaniu, nie pozostaną przy twarzy, muszą się przypatrzeć ciału. Artur poznał moje spojrzenie. Nie pamiętam, jakie uprzejmości wyrzekł, gdy nas sobie przedstawiano. Ale pamiętam, jak się uśmiechnął: pokazał zęby, odsłonił kły. Zaczęło się polowanie: mężczyzna poluje na człowieka, to znaczy na kobietę.

...W chłodnych cieniach dworku i pod błękitnym niebem żniw, na powietrzu drżącym od południc i żaru nasłonecznionej ziemi. Z każdym dniem wszystko coraz bardziej pasowało do wyobrażenia, a może to ja na powrót się w nie zapadałam, wciągając za sobą Artura jakimś sposobem mesmerycznym, próżne pytania, i tak opowiem tylko to, co pamiętam. Więc z każdym dniem. Od początku nie mówiliśmy wiele, ale Artur bardzo szybko zupełnie porzucił iluzję ludzkiego języka, pozostając przy wyrazach djalektu mężczyznawatego; nie rozmawialiśmy więc w ogóle, nie ma języka między naszymi gatunkami. Ziemia była gorąca - nie nosiłam butów, chodziłam boso, po raz pierwszy w życiu nagiemi stopami po nagiej glebie. Zwabiał mnie dzbankiem zimnej limoniady, jabłkiem soczystym. Nigdy nie podchodził, nie podawał. Stał z wyciągniętą ręką, musiałam się zbliżyć, wziąć. Wtedy pochylał się, szukając oczyma moich oczu. Chodziło o to, żebym z czasem zaczęła jeść mu z ręki, dosłownie, to jest bez użycia dłoni, ustami wprost z ręki, językiem ze skóry. Nie tropił mnie, nie podążał za mną, jak podążałby za zwierzyzną zwykłą; a jednak nawet na samotnym spacerze zawsze czułam jego obecność, jego spojrzenie czujne, i rzeczywiście, nie raz, nie



dwa mignął mi gdzieś w oddali, sylwetka na tle horyzontu albo cień między drzewami, że nabrałam nawyku oglądania się przez ramię, przystawiania i nasłuchiwania - jak sarna w lesie. Przy stole nie patrzył na mnie - patrzył na tych, na których ja patrzyłam, z którymi rozmawiałam. Wchodził i wychodził z pomieszczenia przede mną. Potem... Wracaliśmy czerwonym wieczorem znad rzeki, gospodarze, córki ekonoma, ktoś od sąsiadów, powolny spacer połą drogą; szłam boso i skaleczyłam się na kamyku ostrym, rozciął skórę jeszcze nie zgrubiałą między palcami, podskakiwałam na jednej nodze, i chłop jakiś podpity, przechodzący мимо, uczynił nieprzyzwoitą uwagę, zostałam w tyle, kulejąc, ale oto okazało się, że został też Artur, Artur capnął tego chłopca za ucho i tak począł je kręcić, szarpać i cisnąć, aż ściągnął pijanicę na kolana i w końcu twarz w pył drogi mu włożył i mało tego ucha nie oderwał, chłop został tam na ziemi z krwią na gębie. Pojmuje pan? Stałam, patrzyłam, milczałam. Artur oczywiście ani się obejrzał. Pokuśtykałam za nim. Czułam, że polowanie zbliża się do końca, to była kwestja dni. Nie będzie ostrzeżenia. Niczego nie powie, nie zapyta, nie będzie prosił, nie on, długie mięśnie pod spaloną na brąz skórą, mężczyznowata melodia ruchu, grzywa jasnych włosów, białe kły. Co robić? Nie mogłam spać. Nie przyszedł w nocy. Po świcie także nie zasnęłam. Nie przyszedł w dzień. Nie mogłam jeść. Przy stole wodziłam za Arturem wzrokiem, inni już zwrócili uwagę, stawało się to aż nazbyt oczywistym. Ktoś coś powiedział. Artur obrócił się i, uśmiechnięty, nachylił się ku mnie, na otwartej dłoni miał ćwiartkę soczystej gruszki, słodki syrop płynął mu po palcach, po nagiej skórze owłosionego przedramienia. Oblizawałam wargi. Wyjęłam nóż z szarlotki i wbiłam mu go w pierś.

...Odesłali mnie do kliniki profesora Zylberga. Tam mnie leczono z „załamania nerwowego” i tam, gdy zachorowałam, zachorowałam na tuberkulozę.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Bardzo się panna Jelena zaprehensjowała, opowiadając; już nie mogło być wątpliwości: rumieńce niezdrowe, oddech szybszy, nerwowe ruchy palców na kieliszku. Ale nadal nie wiedziało się, czego były to oznaki: prawdy czy fałszu. Czy takie wzburzenie uczuciowe spowodowało u niej wyznanie mężczyźnie prawd szczerych - czy też tak denerwowała się, szczerze kłamiąc? Pod elektryczną lampą każdy cień gwałtownej emocji wyświeślał się na gładkiej twarzy wyraźnie jak pejzaż bitewny w fotoplastikonie.

- Skoro pozwala sobie panna na tak, mhm, ordynarną bezpośredniość, niech i mnie będzie wolno, nie obrazi się panna. - Dopilo się koniak i odstawiło się energicznie kieliszek,

szkło mało nie prysło pod dłoń. Pojedynek trwał, podniesiono stawki. - Że się nareszcie przedstawię w należyty sposób: Benedykt Gierosławski, nałogowy hazardzista.

- Ach!

- Tak, tak, widziała mnie panna grającego, i co sobie pomyślała: silny, bo przełamał wstyd? Ha! Słaby, bo nie przełamał nałogu!

- A pan tylko tak wszystko liczy?

- Co?

Zakręciła palcem w powietrzu.

- Silny, słaby, silny.

- Panno Jeleno, doprawdy, czy ja tak liczę, jakie to ma znaczenie, silniejszy i tak przemoże słabszego, choćbym ich po francusku nazywał pięknymi słówkami i rozliczał w miarach perfumeryjnych. A hazardzista, a nałóg we mnie - on jest silniejszy.

...Historja więc będzie taka. Lat siedemnaście, rok pierwszy na Uniwersytecie Cesarskim, karty. Był taki student prawa, Fryderyk Welc, bo musi panna wiedzieć, że ten akurat początek pamiętam doskonale, i że w ogóle był tu początek, jasny i konkretny - na ile cokolwiek istnieje w przeszłości - wyraźna granica między czasem hazardu i czasem sprzed hazardu, ani bowiem w domu, ani w rodzinie i pośród krewnych, przyjaciół rodziny, ani w szkole wcześniej, nie dane mi było posmakować tego owocu pokuszenia, nie było takich tradycji u Gierosławskich, nie odziedziczyłem też złej krwi po kądzieli, dopiero na Cesarskim, owego dnia, gdyśmy się cofnęli spod zatrzaśniętych drzwi dicksteinówki, bo w nocy siadł na niej luty i przemroził wszystkie aule, odwołano zajęcia, rozchodziliśmy się, grupka tu, grupka tam - a Fryderyk Welc zapraszał na pokera. Teraz panna sobie pomyśli: no i cóż, niezobowiązujące słowo nieznajomego, musiałbym się wprosić. Otóż są osoby, dla których nie ma na świecie nieznajomych.

...Fredek był człowiek z ludzkością w objęciach. Panna zna takie charaktery? Zanim cię spotka, już jest twoim przyjacielem, serdeczność wylewa się z niego jak z kadzi dziurawej, wystarczy się zbliżyć, odsłonić, to łatwe. Wita cię zawsze z rozpostartymi ramionami, wołając głośno z daleka, im więcej ludzi naokoło, tern głośniej, z uśmiechem szerokim, a śmieje się z głębi brzucha, z trzewi; tacy ludzie zazwyczaj słusznej są postury, a w każdym razie tuszy niemalej, o twarzy okrągłej, ciastowatej, grubych wargach, łapskach długich. Fredek chwytu nie miał atletycznego, ale poza tym - jak mówię. Nie skończył dwudziestu lat, a już było w

nim widać ukochanego wuja i rubasznego dziadka. Często mylimy się co do natury osób tego pokroju, często mówimy: dusza towarzystwa. Nie od razu też zrozumiałem, co w Fredku było tu prawdziwe, co udawane. Śmiał się zbyt głośno. Zbyt szeroko otwierał ramiona. Zbyt energicznie potrzasał dłońią. Widzi panna, ja potrafię rozpoznać wstyd we wszystkich jego postaciach, także tej.

...Zagarnął mnie, jak zagarniał wielu - tych milczących, trzymających się na uboczu, studentów nie znanych przez innych studentów. Karmił nami swoją serdeczność, karmił swój wstyd. Kim by był, gdyby nie mógł być jowialnym przyjacielem każdej zagubionej duszy na Uniwersytecie? Kolejną zagubioną duszą. Serdecznie więc - na karty. Nasamprzód gra była okolicznością towarzyską: idzie się na wódkę, idzie się na uchę, idzie się na karty - znaczy to samo: spotkać się, sięść na kilka godzin pod wspólnym pretekstem, w oficynie zadymionej, w piwnicy ciemnej, na strychu jakimś, przez który luft zimny ciągnie i gdzie sopte na okiennicach rosną jak strąki fasoli, sięść, pogadać. Po to się studjuje; wiedzę można zdobyć na tysiąc sposobów, ale podobnych znajomych, którzy towarzyszyć ci mają na ścieżkach kariery przez całe życie i którzy wzajemnie sobie kariery ustawiają, oni tobie, ty im, przez samą żakowską komitwę, podobnych znajomych - tylko tak. I nikt mnie nie namawiał, żeby panna nie miała wątpliwości, nie zostałem wciągnięty. Grali, więc się przyglądałem. Grali, więc kombinowałem, jak sam bym zagrał na miejscu tego czy tamtego. Grali, więc w końcu i ja zagrałem.

...Hazard szedł między studentami, a większość z nich takie same chudopachołki jak ja. Sumy były niewielkie i graliśmy nie bardzo serjo. Kłopot w tym, panno Jeleno, w tym kłopot, że ja wygrywałem. Ale! Nawet i nie to przesądziło. Nie można wygrywać bez końca, wiedziałem to, wreszcie sparzyłbym się, cofnął. Ponieważ jednak wygrywałem, i wszyscy widzieli, że wygrywam - na dodatek widzieli, że studuję matematykę, i fetysz z tego uczynili, trochę żartem, trochę poważnie - naturalną rzeczą kolejną trafiłem do gier o stawki wyższe, między kartowników zatwardziałych, Fryderyk wprowadził. I kiedy z nimi wygrywałem, wygrywałem już ciężkie pieniądze. I co robiłem z temi pieniędzmi? Niech panna uważa, bo tu się dopiero nałóg zaczyna. Żeby ja je przepijał! Żeby na dziewczki przepuszczał! Już to by mnie wyrzutami sumienia należycie wstrząsnęło i zagasiło pragnienie. Miast tego dolewałem oliwy do ognia. Pierwsza wielka pula, pamiętam, sto szesnaście rubli - co zrobiłem? Posłałem matkę do słynnego doktora, kupiłem jej leki. Dzieciom z kamienicy cukierki i zabawki podarowałem. Widzi panna, od czego się zaczął nałóg? Uzależniłem się od ich radości, nawet nie od wdzięczności, ale od radości w ich oczach, od tej ciepłej satysfakcji

na sercu, gdy z taką łatwością dobro bezinteresownie czynimy.

...Panna się uśmiecha ironicznie. Co za prostacka wymówka! Ale ja wcale nie twierdzę, że dlatego grałem; kiedy gram, nie ma innych motywów poza grą. Jedynie opowiadam moją drogę. Od zapchlonych nor studenckich, przez zaplecza kawiarni i salony prywatne, do stolika Miłego Księcia. Fredek widział, ile wygrywam, i któregoś wieczora zaprowadził mnie do księcia karciarzy warszawskich - czy naprawdę wysokourodzonego, to możliwe, z powierzchowności, maniery i mowy sądząc, mógł być hrabią tak samo jak ja. Spotkasz na ulicy i pomyślisz: ładnie się zestarzał. Gentleman siwy, z nosem rzymskim, zaśpiewem wileńskim, uśmiechem miłym. Wstępne: dwieście rubli. Ale Fredek nie mógł wiedzieć, że ja z tych wygranych zachowywałem jeno tyle, coby mieć z czym się udać do rozdania następnego wieczora. Teraz więc przyszło mi się zapożyczyć. I, tak, tak, i oczywiście pierwszej nocy u Miłego Księcia przegrałem wszystko, do ostatniej kopiejki na kredyt postawionej.

...Co nakazuje rozsądek? Trzeba dług oddać, nie ma skąd, a dotąd przecież się wygrywało - najprościej więc odegrać się. Panna powie, że to wcale nie rozsądne. W ogóle hazardować się jest nierozsądnym i większość poczynań ludzkich niewiele z rozumem ma wspólnego - trudno mi sobie przypomnieć jedną rozsądną rzecz, jaką zrobiłem, wsiadłszy do tego pociągu - ale skoro już grałem, dlaczego ten akurat wieczór karciany miałby być błędem? Oczywiście, przegrałem wtedy znowu i zapadłem się w dług dwakroć głębszy, ale nie w tym sprawa. Wziąłem pieniądze odłożone na matki medykamentu; przegrałem. Zastawiłem rzeczy ojca; przegrałem. Wziąłem, co na chesne i czynsz; przegrałem. Zastawiłem zegarek złoty i co lepsze ubrania; przegrałem. Teraz proszę mnie spytać, dlaczego.

...Owóż nie ma „dlaczego”. To jest oszustwo wszystkich podobnych opowieści: spoglądamy wstecz - w pamięć - i łączymy zachodzące po sobie wydarzenia: to zrobiłem z takich przyczyn, a to z takich, i nawet jeśli wówczas nie wiedziałem, to teraz wiem. Kłamstwo! Kiedy siadam do gry, nie ma niczego poza grą. Żadnych przyczyn zewnętrznych, te wszystkie rzewne bajki o radości obdarowywanych - to był etap na drodze, ale nie motyw dla gry. Tak samo jak nie żyje panna dla granitowych aniołków na grobowcu - to ornament pośmiertny, to poza życiem. A życie - cóż, się urodziło się, żyje się, umrze się. Jakież, u licha, powód można tu podać? Pojmuje panna? Ja nie gram. Ja nigdy nie gram. Gra się.

...Przychodzę znowu do Miłego Księcia, wieczór sobotni, wielu gości, wyższe sfery, czasami organizował rauty przed dłuższymi nocami pokerowymi, a także kiedy wprowadzał znaczne osobistości z warszawskiej socjety, panowie wyfraczeni, panie w operowych

tualetach, lokaj mnie ani na korytarz nie wpuścił, mówiłem pannie, że co lepsze ciuchy zastawiłem już u Żydów. Ale jak się odegram, skoro nie mogę grać o takie stawki? Jak się odegram, skoro nie mam już co postawić? Wchodzi Fredek z pannicą przystojną u ramienia, dostrzegł mnie, zafrasował się, serdeczne współczucie rozmazało mu gębę, brachu, *c'est tragique*, czekaj tu tylko, zaraz zaradzimy. Jeszcze puścił oko, poklepał łapą szuflowatą po plecach i nurkuje w salony. Czekam kwadrans, czekam drugi, a ich głosy i muzyka tuż za ścianą, lokaj miłosierny przyniósł mi chleba z pasztetem, zjadłem szybko ze wzrokiem przylepionym do parkietu. Naraz słyszę kroki - Fredek przyprował Księcia. Książę strapiony, w czym mogę pomóc, miły przyjacielu, ramieniem otacza, po pugilares sięga. Wziąć od niego czerwońca? Ale to żadna pomoc, to jest właśnie kolejny kamień u szyji, przecież ja nie chciałem się zadłużać, nie przyszedłem żebrac. A on wpycha mi dieńgi w karman. Wtedy pojął. Oczu nie podnoszę, głowy nie obracam, pytam tylko grzecznie, jak dług swój uregulować mogę, czy w tym pomoc się dla mnie jaka znajdzie. Miły Książę wzdycha ciężko. Weksel jest weksel, dług musi zostać spleacony, na Sądzie Ostatecznym też rachować nam będą „winien” i „ma”, pan Benedykt najlepiej zna zimną niewzruszoność arytmetyki. Oczywiście, z czyjej kieszeni pieniądz wychodzi, to znaczenia wielkiego nie ma, rubel rublowi brat, byle trafił do tej, co trzeba, coby wyrównały się salda. Czy pan Benedykt zna może kogoś z upodobaniem do hazardu i paroma setkami do przepuszczenia w miłym towarzystwie? To ja pytam, ile procent. Mówi: siedem. Mówię: piętnaście. Stańło na dziesięciu. Fredek poklepał mnie po plecach.

...Wyszedłem od Księcia z gniewem i nienawiścią w sercu. Szybko zagasty. Trzeba rozumieć naturę wstydu, fałszywa serdeczność Fryderyka Welca była jak najbardziej szczerą - nie dlatego przyjaźń swą gromko ogłaszał, żeby człowieka w sieć Miłego Księcia wciągnąć, ale na odwrót: Miły Książę upatrzył był go sobie wykorzystać, bo Fredek z tą swoją gwałtem biorącą ludzi serdecznością był jak lep na dusze samotne. Widzi panna zależność? Wiedza o mechanice ludzkich serc może być równie śmiertelnością co znajomość chemji cyjanków i arseników.

...Ze mnie natomiast był żaden naganiacz i kusiciel, lata by mi zabrało wykupienie weksli z tych dziesięciu procent cudzego nieszczęścia. Com się nieco wydobył z długu u Miłego Księcia, tom zaraz na powrót w jeszcze większy debet wpadał. Otóż - grało się. Raz się wygrywało, dwa razy się przegrywało, grało się dalej, byle gdzie stolik, karty i paru chętnych, czy na kopiejek pięć czy rubli pięćdziesiąt, byle stawka i los w dłoniach spoconych ujęty - grało się. Czy nie chciałem przerwać nałogu, uwolnić się? Ależ chciałem! Dopóki nie

zaczynało się grać.

...Musiałem wymyśleć sposób, zaprojektować pułapkę na samego siebie, inaczej Miły Książę prędzej czy później pożarłby mnie wraz z duszą i butami. Cała rzecz w tym, żeby w ogóle nie siadać do gry. Żeby grę uniemożliwić, uczynić niegrą. Jak odebrać hazardowi znaczenie, jak przekreślić każdą stawkę? Proszę podążać za mną z szeroko otwartymi oczyma, to jest zdradziecka ścieżka, trzeba pilnie baczyć na znaki i zakręty. Jak obrócić grę w niegrę? A już pannie mówiłem, odjęcie motywów dla gry nic nie da: ona nie ma motywów. Gra się dla gry, gra się, bo się gra. A ta zasada - widziałem to z czasem coraz wyraźniej - nie ogranicza się jeno do nałogów hazardowych, nie ogranicza się do tego, co zwykle się nałogami nazywa; chyba że wszyscy wyłącznie z nałogów się składamy. Hazard wszelako czyni to wyraźniejszym, pcha przed oczy, nie możesz już skłamać sobie, że to ty rzucasz na stół ostatniego rubla, skoro wiesz, że nie powinieneś, skoro zaplanowałaś sobie wstać i odejść, skoro nie chcesz rzucić - a rzucasz. Po tak dotkliwych doświadczeniach bardzo trudno trwać w fałszu.

...Więc pozostaje unieważnić samą ideję gry. Odjąć hazard z hazardu. Logika pokazuje dwie metody, jak to zrobić: albo zastępując w grze każdą możliwość pewnością - wtedy gra nie będzie już grą, tak samo jak wschody i zachody Słońca nie są przypadkiem, o który można się zakładać; albo sprowadzając do zera wszelkie stawki w grze - wtedy gra nie będzie już grą, tak samo jak muzyka pozbawiona dźwięków nie jest muzyką, lecz ciszą. Pierwszy sposób byłby może dobry dla jasnowidzów. Drugi też zdawał mi się niepraktycznym. Przecież zawsze gra się o coś. Nawet gdy nie chodzi o pieniądze, gdy pieniądze nie mają znaczenia - to gramy o satysfakcję ze zwycięstwa, o poniżenie przeciwnika, o lepsze samopoczucie, o szacunek ludzi, o reputację, o dobre zdanie o sobie samym. Zresztą pieniądze zazwyczaj służą właśnie za materialną miarę owych dóbr niematerialnych.

...Więc jak to unieważnić, jak przekreślić? Niech panna idzie za mną i nie odwraca wzroku! A może już panna widzi?

- Samobójstwo?

- Ależ nie! Gdzieżby! Samobójstwo, no panno Jeleno, przecie samobójstwo to nic innego jak kolejna gra, kolejne rozdanie ślepe - nie powie mi panna, że wie z pewnością zupełną, co czeka ją po śmierci, czy czeka ją cokolwiek - może panna wierzyć, może mieć nadzieję, jak się ma nadzieję na asa pik - ale nic więcej - uciec od gier w grę, co za rozwiązanie, doprawdy - i jeszcze taka stawka, najwyższa - toż gdyby było to możliwe, byłbym samobójcą

nałogowym!

- Jak zatem?

- Kogo nie skusisz dobrem materialnym? Nie bogacza: temu zawsze będzie mało, nie ma bogaczy doskonałych, takich, od których większym bogaczem stać się nie można; po tej stronie skala otwarta jest na nieskończoność. Ma granicę z drugiej strony: ten, kto żyje w absolutnej biedzie, wolny jest nie tylko od strachu nędzy - bo już sięgnął tu ekstremum - ale i od potrzeby wzbogacenia: bo żyje w absolutnej biedzie. Czy panna Jelena -

...Otóż to. Otóż to. To jedyne możliwe wyzwolenie. I nie w skali bogactw materialnych - lecz tych ważniejszych: satysfakcji, szacunku, zadowolenia, czci, wszelkich bogactw ducha. Wtedy choćbyś siadł do gry: czy karta wyższa, czy karta niższa, czy stawka na stole symboliczna ledwie, czy stos złota i wyrok hańby, bez różnicy - wszystko to jak obracanie literami nieznanego alfabetu, jak gwiazdozbiory na niebie, kształt chmury nad lasem: puste i całkowicie ci obojętne. Gra wyprana z gry. Nie gra się - wykonuje się jeno pozbawione znaczenia i treści ruchy rękoma, zamienia przedmioty na przedmioty, przekłada papiery z miejsca na miejsce.

...Ale, okazuje się, nie ma nic trudniejszego, niż dotrzeć na sam dół. Pływała panna kiedy w głębinie? Woda wypiera ciało, unosi wzwyż. Trzeba wielkie-i go wysiłku, wielkiej siły woli, nieustannej pracy i żelaznej konsekwencji, by sięgnąć dna. Należy wyrwać z siebie po kolei wszystko, co ciągnie ku górze, wszelkie nadzieje, aspiracje jasne, wszystko, co nas we własnych naszych oczach wywyższa, każdy najmniejszy zarodek szacunku do samego siebie, każdy załączek wartości, które mogłyby się kiedyś okazać na tyle dla nas cennymi, że znowu byłoby o co grać - wszystko to wyrwać!

Panna Jelena przypatrywała się z trwożliwą uwagą, wychylona do przodu, z wargami w półrozwartymi, wargi spierzchły się jej w oddechu suchym, zapomniała je zwilżać, zapomniała przełykać ślinę.

- Mówił pan, że nie - a to jest samobójstwo!

- Przeciwnie: wolność właśnie, wolność od nałogu.

- Nie wierzę panu, panie Benedykcie, to jakieś monstrualne łgarstwo, w życiu nie słyszałam nic potworniejszego!

Wzruszyło się ramionami.

- Zresztą to jest sama w sobie niemożliwość oczywista, nie da się podobnego stanu

osiągnąć, niby jak pan to zrobił? Jak się panu udało?

- Nie udało mi się.

- Proszę?

- Ta historia nie ma puenty, nie zakończyła się jeszcze, przeżywam ją. Próbuję się wyrwać i próbuję. Raz w dół, raz w górę - pokazało się ręką - szamoczę się tuż nad dnem, jak ćma nad płomieniem, zawsze cal od ostatecznego upodlenia, podnosząc się znowu w nałóg świeży, gdy krew gorąca wraca do żył, ruble w pugilares, i świerzbią nerwy, podniecenie ożywia wstyd, i potem znowu z bólem łamiąc sobie duszę i wyszarpując z niej nadzieję po nadzieji, by jednak zatrzymać się w ostatniej chwili. Widziała panna podczas tej podróży na własne oczy niejedyn taki cykl zapaści zbawczej i odrodzenia dla grzechu. Co wyrwane, zaraz odrasta - a najszybciej duma, najszybciej ta wątroba duszy wstydem krwawiąca. I tak się telepię między ćmiatłem i światłem, Czarny Prometeusz.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

- Nie wierzę panu, nie wierzę.

Się zaśmiało się chrapliwie; od długiej perory zaschło w gardle.

- To jednak miłe, spotkać od czasu do czasu tak niewinną duszyczkę.

Panna Jelena poderwała głowę jak spoliczkowana.

- Teraz będzie mnie pan obrażał!

Się śmiało się.

- Któż inny bierze słowo o niewinności za obelgę - jeśli nie prawdziwie niewinny?

- Tak? Tak? Tak? - Panna Muklanowiczówna prawie się zatchnęła. Odstawiwszy kieliszek, przez chwilę łapała oddech; sięgnęła do rękawa, a nie znalazłszy chusteczki, przycisnęła do skroni koronkowy mankiet niczym okład chłodzący. - Tak - szepnęła i wtem, w mgnieniu oka, jakby z panny filtr jaki psychiczny podniesiono, jakby odwrócił się od niej reflektor niebieski, stała się inną osobą, podmieniono Jelenę Muklanowiczównę na Jelenę Muklanowiczównę, ten sam strój schludny, ta sama cera blada i brew węglowa, a kto inny zamieszkuje wewnątrz: ktoś starszy, ktoś o usposobieniu zimnem, statecznym, ktoś przyzwyczajony do swobody zdrowego, silnego ciała. Panna Jelena opuściła rękę, opadła ona luźno na posłanie. Założyła nogę na nogę, lewą dłonią wygładziła spódnicę wąską; w trakcie tego ruchu zerknęła bez uśmiechu spod rzęs, spod powiek ciężkich. - Dolej mi pan jeszcze -



powiedziała spokojnie, głosem niższym, chrapliwym.

Wstało się, otworzyło się barek, nalało się do obu kieliszków, nie rozcieńczając już.

Panna Jelena podniosła swój lewą ręką, nie uroniwszy ni kropli; energicznym ruchem obróciła szkło dnem do góry i przełknęła koniak jednym haustem.

- Jeszcze.

Nalało się ponownie.

Wypiła równie szybko.

- Siadaj pan.

Spojrzała na swoje odbicie w czarnej szybie okiennej. Dotknęła policzka, uniosła lekko brew w klinicznym zdumieniu. Nie odwracając głowy, wyciągnęła prawe ramię wzwyż i ku drzwiom, z kciukiem dłoni luźno zwieszoną; w inną stronę patrzyła, w inną wskazywała - był to gest diwy operowej, primadonny rozpiętej w pozie między figurami scenicznymi.

- Zagaś.

Przekręciło się cyngiel. Zapadł mrok. Po omacku sięgnęło się krzesła. Za oknem przesuwaly się na linii horyzontu smugi ciemnych kolorów nieba - ciemnych, jednak jaśniejszych od gruboziarnistej szarości, która przykryła przestrzenie Azji od wschodu do zachodu, od zachodu do wschodu. Żadnych świateł, żadnych ogni, refleksów odległych; może wypłynię nad równiny Księżyc złoty, gwiazdny lampjon Orjentu.

Usiadło się po omacku. Wewnątrz przedziału pozostały tylko nieruchome cienie, między nimi, na wyciągnięcie ręki - cień Jeleny. Błysnął rubin; zatem ten cień opowiada jej szyję, ten - głowę, w tych cieniach - oczy panny Jeleny. A tu - usta.

Oddychała głęboko.

- Urodziłam się w rodzinie garbarzy na Powiślu. Rodzice mnie odumarli, gdy miałam dziesięć lat, jak lute weszły w Warszawę. Ta Zima wrześniowa zabrała mi także wszystkie rodzeństwo, siostry i brata, wujostwo i powinowatych. Przed moimi narodzinami ojciec był majster u Gerlacha na Tamce; odstrzelili mu nogę na Placu Grzybowskim. Wrócił do garbarki i trzeba było się wynieść z czynszówki na Starym Mieście. Tydzień po tym, jak przyszłam na świat, w maju tysiąc dziewięćset piątego, robotnicy fabryczni i rzeźnicy poszli z nożami i toporami na domy publiczne, dziwki i sutenerzy musieli uciekać, żeby ratować życie, precz z Warszawy, niektórych ścigano aż do lasów. U wuja ukryła się dziewczyna raniona w głowę;

wykurowała się i potem już u nas została, sprzątała u państwa na Wilanowie, nosiła pranie, Marjolka Belcikówna. Po pierwszej zimie Zimy to ona się mną zaopiekowała; ona mnie odtąd chowała.

...Był jeden rok, kilka miesięcy długich, gdy zostaliśmy bez dachu nad głową. Myślałyśmy iść na prowincję, byle spod mrozu warszawskiego. Czy zauważył pan, o ile mniej bezdomnych widać na ulicach Warszawy za czasów lutyh? Zebraliśmy, między innymi. Zostały mi na ciele ślady po tamtych nocach w bramach na lodzie przemęczonych. Marjolkę wzięli na służbę państwo doktorostwo, sypiałam wtedy w kuchni, było ciepło. W końcu nas wyrzucili: pani doktorowej zginęły złote kolczyki i na kogo podejrzenie padło? Miałam już czternaście lat. Był grudzień, tydzień do Bożego Narodzenia, Lód wisiał na drzewach i między dachami, na Zamku Królewskim siadł czarny antychryst, wrony spadały z nieba umarznęte w kość. Marjolka pociągnęła mnie prosto na Mariensztat, do nowego niebotyka, wielki neon na parterze z frontu, ale weszliśmy od tyłu, stróż ją poznał. Czekamy, póki nie zjawia się właściciel - był to Grisza Buncwaj, a weszliśmy do „Tropicalu”, tylko że ja jeszcze nic nie rozumiałam i dopiero jak Marjolka wcisnęła mi coś w garść i szepnęła do ucha, a on się zaśmiał głośno i uściskał ją poufale... Tak, wkupiła się temi kolczykami do swojego starego opiekuna, on teraz miał lokal nocny dla panów lepiej urodzonych i nie cebule od doliniarzy, ale brylantowy majdan opylał frajerom dzianym, glansowany szopenfeldziarz. Tak zaczęłam pracować w „Tropicalu”.

...Marjolka zawsze mnie chroniła. Zaraz postawiła się Buncwajowi: żadna dla mnie robota z klientami, na zapleczu tylko - reperowałam kostjomy dziewczynom, sprzątałam po zamknięciu, czasami pomagałam w kuchni. Buncwaj bynajmniej nie prowadził tam domu publicznego, lokal był tipos-topes, kryształ, witraże, pióra i tancerki w cekinach, szampanskoje i kawior astrachański. Ale oczywiście do samotnego gentlemana zaraz dosiadała się dama towarzyska, każda jedna przez Griszę wybrana; a nad lokalem, na piętrze, i drugim, i trzecim, miał Grisza kilka apartamentów przemyślnie podzielonych z osobnymi wejściami, coby pary nie musiały na mróz wychodzić. O czym też dowiedziałam się nie od razu i nie wprost.

...A jak? Podpatrywałam. Podpatrywałam i podsłuchiwałam, tym się zajmowałam, nawet kiedy zajmowałam się czym innym; a gdy chwila była wolna od roboty, to tern bardziej: oko do szpary, do drzwi uchylonych, do lufcika, tak zza kotary, przez szkło ciemnione i nawet dziurkę od klucza - podglądałam życie prawdziwe. Między ludźmi Buncwaj a były różne typki szemrane, także i Jasio Brzóz, doliniarz i klawisznik, który uczył nas dla zabawy

otwierania zamków i sztuczek pajęczarskich. Zresztą nikt nie zauważa chudej dziewczyny w stroju służby, jesteśmy anonimowe jak żandarmy w mundurach. Tam ludzie żyją; a my tutaj wchłaniamy to życie, na nas się odciska, w nas pozostaje. Oni przeżywają miłosne dramaty na dansingach, awantury i skandale pod światłem elektrycznym na oczach hrabiów i książąt; my o tym śnimy. W kogo więc zapada głębiej?

...Pan Buncwaj przyuważył mnie raz pewnego w kompromitującej sytuacji, z za palmy podpatrującą jaśnie państwo w uścisku miłosnym u tylnych schodów „Tropicalu”. Złapał za włosy, zaciągnął do gabinetu, jeszcze Marjolkę wołając. Zbije, myślę sobie. Ale nie. Kazał mi zdjąć fartuszek, rozpuścić włosy, na palcach stanąć i obrócić się wkółko na dywanie przed biurkiem; i wykonał taki gest, taki ruch dłonią z cygarniczką w stronę Marjolki, jakby prezentował jej dowód, poddawał się w jakimś zakładzie albo wyrzucał z siebie długo wstrzymywany niesmak. Marjolka zrozumiała, ja nie; nie polecili mi wyjść, ale cała ich rozmowa była jak ów gest, półsłówka i niedopowiedzenia, targowali się o coś, Marjolka nigdy mi nie wyjaśniła - to znaczy kłamała, nigdy nie wyjaśniła prawdziwie.

...W rezultacie tych targów Grisza zaczął mnie posyłać na lekcje francuskiego, lekcje pisma i mowy poprawnej, tańca i gry na pianinie; do tego ostatniego nie miałam talentu. Spieszę rozwiać pańskie podejrzania: zamiar nie był wcale tak oczywistym, nie zależało Buncwajowi na kolejnej paniencie do sprzedania na utrzymanie jakiegoś finansisty czy ordynata. Powiedzmy, przyjmuje interesantów. Panowie siadają w fotelach w jego gabinecie, służąca przynosi poczęstunek, wyciągają papiery, zapalają papierosy, stukają w liczydła. A tu wpada do Griszy Buncwaja bratanica młodziutka w sukience domowej, dziewczę roztrzepane, ach, wuju, w paluszek się skaleczyłam, oj, naprawdę, no już, już, dobrze, panowie wybaczą, wychowanica moja, ależ oczywiście, cóż za urocze dziecko, czy więc będą mi panowie mieli za złe, ależ proszę, *ce que femme veut, Dieu le veut* - bo wszystko z uśmiechem, z chichotem, puszczając oczko do grubych ryb i kręcąc loki na paluszku zdrowym. Albo inaczej: idzie Buncwaj z wizytą na salony, on, morda kwadratowa, akcent knajacki, blizna na czole, kogo z sobą zabierze, panią lekkiego obyczaju z opatrzoną buźką i imieniem wytartem? Zabierze podlotka wątlęgo, który z uroczą nieśmiałością opowie starym damom po polsku i francusku o nieszczęściach swojej rodziny, opowie choroby straszliwe i dobroć pana Buncwaja, który może jest gburowaty po wierzchu, ale serce - serce jego złote! Miałam kilkanaście różnych historyj nagotowanych. Damy rozczulały się wielce. Grisza burczał coś pod nosem, on akurat autentycznie tam onieśmielony.

...Niewiele mi było trzeba, by to zrozumieć z natury własnej, co zresztą niemałą jest

rzeczą, własną naturę pojąć, znaleźć słowo na samą siebie, a ja znalazłam takie: kłamczucha. Nie, że dobrze kłamałam - chociaż dobrze kłamałam - ale że lubiłam kłamać. Pan mówił o nałogu hazardowym. To też jest nałóg i też jest hazard: wyda się czy się nie wyda. Grisza był bardzo ze mnie zadowolony i długo się nie orjentował w zagrożeniu; nawet gdyby je postrzegł, było już za późno. Ile ludzi przez całe swe życie we wszystkim płynie w przeciętności, ich praca jest jedynie pracą, to znaczy sposobem zarabiania na utrzymanie, ani ją wybrali wedle własnego upodobania, ani wedle własnych umiejętności, ani wedle zadowolenia, jakie im daje, jeno dlatego, że lepiej im płaci od innych, albo wręcz że ona jedna w ogóle jest im opłacalną, bo także poza pracą - co? że nadzwyczaj udatnie naśladują głos koguta? że wychleją więcej piwa niż każdy inny pijanica w cyrkule? Być w czymś rzeczywiście dobrą - to jest uczucie wyjątkowe, bo dostępne tak niewielu, wyjątkowe, bo czyni cię wyjątkową i określa na życie całe. Byłaś nikim - teraz jesteś kimś; tym mianowicie, czego dotyczy twój dar. A ja kłamię.

...Zaczęło się od tego, że kłamałam więcej, niż było trzeba. Wpierw ustalaliśmy dokładnie detale moich historyj; potem, widząc, jak sobie radzę, Buncwaj zaniechał kontroli ścisłej. Ja pilnowałam się na tyle, na ile koniecznym było utrzymanie spójności łągarstw. Ale zawsze można do kłamstwa coś dodać, zawsze można je uszczegółowić. I nie było przecież tak, że musiałam się trzymać wciąż jednej historii. W tym też leżała niezwykłość sytuacji Griszy Buncwaja, że działał on na granicy kilku zazwyczaj nieprzecinających się światów, miałam więc styczność z ludźmi, którzy nie mogli nigdy mieć styczności z sobą wzajem - jakież lepsze pole do popisu dla kłamcy? I w tym również się pilnowałam, aby mych kłamstw nie czynić przesadnymi, aby znać miarę prawdy, to znaczy tego, co brzmi jak prawda, bo po tym dorośli zawsze poznają kłamstwa dzieci: że dzieci przesadzają. A kłamstwa należy budować z drobnych okrucichów rzeczywistości, dodawanych cierpliwie jeden po drugim; a jeszcze lepiej, jeśli budujesz je nie ty, lecz okłamywany, to znaczy jeśli okłamuje on sam siebie - kiedy pozwalasz mu domyślić się historii, jaką mu przygotowałaś. Będzie wówczas bronił takiego kłamstwa do ostatka.

...Robi się to tak. Spotykasz nieznajomego. Chcesz mu wmówić, że jesteś kim innym, niż jesteś. Nie wmawiasz: podrzucasz okrucichy. Wskazówki ukryte w twoim zachowaniu, w mowie, w kadencji zdania, w tym, jak trzymasz głowę, w spojrzeniu, a może w unikaniu spojrzenia, jak się poruszasz, jak odnosisz do innych osób; jeśli można, w ubiorze; jeśli można, w zachowaniu współników. Słowa muszą być na samym końcu, słowa mają zaledwie potwierdzić wiedzę już skądinąd oczywistą. Zresztą najpierw powinnaś zaprzeczać, niech się

zaciekawi i samemu dopytuje.

- Panna opowiada sztukę uwodzenia.

- Kłamstwo i kłamstwo, jak by nie patrzeć. Jestem w tym dobra - przychodzi mi to tak łatwo, prawie bez udziału myśli, tak naturalnie... Ot i zagadka, panie Benedyckie: kłamstwo z natury. Kłamstwo z głębi duszy! Ktobądź, gdziebądź, kiedybądź - a ja już sugeruję mu tajemnice, opuszczam wzrok, albo właśnie z ogniem prosto w oczy spoglądam, załamuję głos, wchodzi Grisza ze znajomkiem, ja w pąsach cała, albo łyzy z trudem powstrzymująca, albo w drzeniu nerwowym, albo nagle milcząca, albo teatralnie radosna, albo śmiertelnie błada z przerażenia. Dlaczego? Plan jakiś? Czy Buncwaj mi kazał? Może to klient jego? Nie. Kłamię, bo chcę, bo lubię, bo potrafię. Dlaczego kasiarze wielcy wracają do fachu, ryzykując śmierć za kratami, chociaż spokojnie mogliby przeżyć rentierską starość? Bo w tym jednym są wyjątkowi, w tym najlepsi: w pruciu kas.

...Więc dokładnie tak potoczyła się sprawa ze sztabkapitanem Dmitrijem Siewastianowiczem Ałłą. Zachodził on do „Tropicalu” nie nazbyt często, z kompanami oficerami zazwyczaj, nawet go zresztą nie znałam z nazwiska, jeszcze jeden przystojny Rosjanin w mundurze. Ale czy się minęliśmy kiedy w holu, czy w wejściu rękawiczkę upuszczoną mi podniósł, czy ogień podał - nie pomnę czasu i miejsca - był moment, było spotkanie i był odruch z mojej strony: kłamstwo. Nic jeszcze nie powiedziałam, skłamałam bez słowa. Ałła uwierzył.

...Wiedziałam, bo wodził potem za mną wzrokiem, szukał oczu. Gdy szłam raz ulicą z panem Buncwajem, uklonił się i zatrzymał, by w rozmowę wejść z Griszą, a patrzył na mnie - nie odezwałam się przez cały czas, spojrzenie w ziemi, palce zaciśnięte na rękawie płaszcza Griszy. Czy kapitan zauważył? Na pewno. Potem kelner przychodzi i mówi, że Rosjanin mundurowy szuka mnie z opisu: czy taka tu pracuje, czy kochanica właściciela może. Co mówić, pyta. Ależ mów prawdę! Dmitrij sam sobie opowiadał resztę.

...Nie wiem, czy czekał na mnie, czy było to przypadkowe - wychodzę rankiem z niebotyka, a kapitan wysiada właśnie z dorożki. Dokąd panna zmierza, podwieziemy, ależ proszę, proszę. I jedziemy. Ja spłoszona. Bąkam słówka francuskie niezgrabne. Kapitan przejęty. Czy ten okropny Buncwaj pannę więzi? Czy ma na pannę jakieś kwity? Co na to panny rodzice? Czy można pannie pomóc? Zaprzeczam, oczywiście. Pan Buncwaj złote serce. Proszę mnie zostawić w spokoju! I wyskakuję z tej dorożki. Biedny Dmitrij był już święcie przekonany, że oto Bóg postawił na jego drodze dziewczę niewinne, od starego

lubieżnika cierpiące. Honorowa to konieczność - i jaka satysfakcja szlachetnej duszy! - ratować bezbronną ode złego. Co mi Dmitrij zawinił? Dlaczego to robiłam? Ale słusznie pan mówił: nie ma „dlaczego”, nie ma dla gry żadnych motywów poza grą.

...Tak to sobie igrałam kłamstwem i prawdą. Ilu było podobnych Dmitrijów Siewastianowiczów? Aniołowie wiedzą, jeśli rachowali; ja nie. Nie przejmowałam się, gdy jedni znikali z horyzontu; zawsze pojawiają się nowi. Ała zresztą również przepadł gdzieś na długie tygodnie, może rozkaz jakiś wysłał go poza Warszawę. Przedtem jeszcze słał liściki ogniste, zaklęcia i przysięgi na papierze garnizonowym. Na żaden list nie odpowiedziałam. Aż schodzę ja pewnego wieczora z pokojów - miałam bowiem już swoje pokoje na piętrze, razem z Marjolką - i widzę, że starszy kelner znaki paniczne mi daje. Co się dzieje? Pędź panna do pana szefa, powiada, awantura o pannę okropną. Na zapleczu, pod drzwiami gabinetu Buncwaja personel stoi, podsłuchuje. Przeganiem. Słucham sama. Krzyki po rosyjsku, moje imię, głos Griszy i drugi, którego nie poznałam, ale coś mnie tknęło, wchodzę. Buncwaj za tym swoim biurkiem fortecznym, cały czerwony na twarzy, wbity w fotel jak pod niewidzialnym głazem cetnarowym; a przez biurko pochyla się sztabskapitan Ała, wymachując rewolwerem i waląc pięścią w blat. Zbieraj się panna, woła na mój widok, koniec rządów tego szczura, herszt to jest całej szajki zbójeckiej, wyjdiesz dziś stąd panna wolną! Grisza tylko na mnie patrzy, ale tak patrzy, że oczy mu mało nie pękną od wysiłku, nadmuchany jak ropucha, łapie powietrze przez zęby, zacisnął szczęki, żeby zatrzymać erupcję furji, znałam ja furje Buncwajowe, ongi odkrywszy zdrajcę, złapał za palmę reprezentacyjną wraz z donicą i tak długo tłukł rośliną przeniewiercę, aż pozostał mu w ręku jeno łysy badyl, a na łbie oduczonego - kupa ziemi i skorup glinianych; innym znowu razem chciał Grisza kogoś wyrzucić przez okno, nieszczęśnik nie doleciał, przebiwszy się w połowie, spadł na resztki potłuczonej szyby i kiszki sobie poharatał brzydtko bardzo; a jeszcze innym razem gonił Grisza pyskatego kuchcika dwie przecznice z tłuczkiem w ręku, póki się nie zatchnął - a teraz siedzi tylko i patrzy, patrzy, patrzy, ja zaś czuję, że nogi się pode mną uginają, i nie przez Nagant w ręku sztabskapitana, ale od owego wzroku milczącego Griszy Buncwaja właśnie.

...Więc Ała krzyczy, Buncwaj milczy, obaj do mnie, i oto, panie Benedyckie, oto była chwila, żeby wybrać pomiędzy prawdą i kłamstwem: prawdą - dla sutenera, złodzieja i łotra niewątpliwego; kłamstwem - dla szlachetnego oficera, co bez pytania pośpieszył ratować smutną nieznaną. Co powiedzieć? Do kogo się zwrócić? Którą historję wybrać? A nie dano mi przecie czasu na zastanowienie, żebym mogła zważyć szanse, racje i konsekwencje, dobro

i zło, nie, zostałam zaskoczona, musiałam reagować bez namysłu - bez namysłu, to znaczy z odruchu, z natury swojej, bo dać nam czas, odpowie za nas rozum i logika, ale wziąć z nagła, bez uprzedzenia - odpowie serce. Załamalam ręce, padłam do stóp Dmitrija. Zabije nas oboje, łkam, nie daruje wam, uchodźcie! Kapitan odciąga kurek, Buncwaj łapie za popiersie Napoleona, huk, łomot, wrzask, Dmitrij Siewastianowicz osuwa się na dywan perski z czaszką zgruchotaną. Podnoszę głowę. Grisza Buncwaj wbity w fotel za biurkiem, jeszcze bardziej czerwony na gębie, ściska pierś, przez palce spływa mu krew. Ty, ryczy, ty, żmija na moim łonie, tak mi się odwdzięczasz, kochanka swojego nasyłasz, żeby mnie zrujnował, żeby ubił na miejscu, w domu moim, tu mnie zabił! Chcę się na klęczkach zaprzysiąc, ale on dalej swoje, piana na ustach, nie da mi dojść do głosu, nie słucha. Ty! Ty, przeklętnica! Spisek uknułiście wraz przeciwko mnie, nasłał szwagra-ochrannika, tajna policja wlaźła mi do lokalu - sięga drżącą ręką, potrząsa jakimiś bumagami rzuconymi na biurko - szantaż, wrzeszczy, szantażem wyzuć z dorobku życia chcieli, o, niedoczekanie, psy wściekłe, rękę karmiącą kłające, odstrzelić takie bez litości - i za Nagant łapie. Że ten rewolwer Dmitrijowy spadł na biurko! Że nie spadł na podłogę! Szczęście, nieszczęście, szczęście, raz mi się śni tak, raz owak, bo czy miałabym w sobie dość - czego? zawziętości? przerażenia? spokoju? - żeby podnieść, wycelować, wypalić, nie byłoby na mnie, byłoby na martwego sztabkapitana, wszystko by się ułożyło, zapewne, chyba, prawdopodobnie, może; ale spadł na biurko! Spadł na biurko i zanim Buncwaj zdążył go ująć w dłoń rozdygotaną, byłam już na korytarzu i wołałam Marjolkę Belcikównę, uchodziłyśmy z pustymi rękoma, tak, jak w nas los uderzył, peleryny narzucone na suknie i biegiem na mróz, w pierwsze sanie i uciekać z Warszawy - był ranek piętnastego, wtorek tydzień temu, gdy uciekłam z Warszawy.

Tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK, tuk-tuk-tuk-TUK.

Prawda czy fałsz? Noc zalała atdielienje, przelewa się od ściany do ściany, do taktu kół stalowych, w rytmie słów i oddechu głośnego panny Muklanowiczówny. Panna oddycha, jakby ciężar wielki piersi jej przygniatał. Nie widzi się jej twarzy, nawet się już na nią nie patrzy; więcej opowiedziałby dotyk palców ręki skroś przedziału wyciągniętej - ale tego oczywiście się nie zrobi. Się prostuje się na krześle. Panna porusza się na posłaniu, szeleści materiał spódnicy. Prawda czy fałsz? Na płaskim, szerokim niebie Azji przesuwiają się smugi licznych odcieni mroku - a może to ziemia - a może dziedzina jeszcze innego żywiołu; smugi ciemności ciemniejszej od ciemności, i linje ciemniejsze od tamtych, i chmury największej ciemności nad ciemnościami.

- Nie jestem hazardzistą - powiedziało się - żaden nałóg gry mną nie rządzi.

Przegrywałem, żeby kłamstwo przeprowadzić. Niechże się przedstawię: Benedykt Gierosławski, łotr. Oto jest historja.

...Prawda, karty nie były mi obce, trudno, żebym nie posmakował drobnego hazardu między studentami, wtedy też palić zacząłem tytuń i poznałem pragnienie alkoholowe. Ale hazardzistą nie byłem nigdy. Musiałem natomiast zdobyć reputację hazardzisty. Przegrywałem pieniądze, żeby zdobyć pieniądze. Bieda, panno Jeleno, bieda jest jedynym prawdziwym nałogiem, jaki mnie dotknął. Być może gdybym nie miał w pamięci dzieciństwa dostatniego... Tern bardziej nie do zniesienia było życie takie. Nędza przeżera człowieka jak choroba śmiertelna, wyniszcza to, co w nim najlepsze, przysposabia do niskich radości, niskich ambicji, przygniata do ziemi. Mówię: nałóg - bo w tym jej doń podobieństwo, że z czasem coraz trudniej się z niej wyrwać, brud przyciąga brud, niedostatek przyciąga niedostatek, choroba chorobę, marność marność - w królestwie materji i w królestwie ducha. Przyzwyczajamy się. Głupiec, kto wierzy romantynom i kapłanom: bieda nie uszlachetnia, nie prostuje ścieżek do życia wiecznego. Przeciwnie: zatrzuwa nas zawiścią, zazdrością, goryczą wobec świata i ludzi, że już nie potrafimy dostrzec w nich niczego dobrego, że budzimy się i kładziemy spać z grymasem na twarzy, z zaciśniętymi ustami, i takie są nasze sny, i takie marzenia, i nawet miłość taka, to znaczy nędza. Kiedym wsiadł tu do Luksu... Inne Słońce świeci nad głowami bogaczy, inne powietrze ich żywi, inna pneuma napędza ich dusze.

...Od zesłania ojca matka stopniowo podupadała na zdrowiu. Jakby wyciekająca z niej chęć życia istotnie pociągała za sobą odpływ sił witalnych z organizmu, pozostawiając pustkę. Jak w ciemnych kątach zapuszczonego domu zbiera się kurz, robactwo, lęgna się myszy - tak matkę wypełniały choroba po chorobie. I chciałbym móc rzec, że co zrobiłem, zrobiłem dla pieniędzy na jej leczenie, ale to nieprawda; był to za ledwie jeszcze jeden z objawów nędzy. Gdy tylko panna Julja wspomniała sumę - dziesięć tysięcy rubli - wiedziałem, co odpowiem. Tak. Tak, jestem gotów.

...Rzecz cała była możliwą wyłącznie dlatego, że znaleźliśmy się od dzieciństwa, nasze familje się znały, jej rodzice znali moich, znali mnie, być może już nas wówczas w żartach swatano; byliśmy spokrewnieni, ale odlegle, Kościół dałby permisję, nie takie koligacje znajdzie się w naszych drzewach genealogicznych. Rodzina Julji była bogata, lecz poznała się już dobrze na charakterze panny i trzymała ją krótko, nie dopuszczając do fortuny, cała gotowizna pójść miała na wiano i do ręki jej małżonka, gdy się Julja za męża wyda. Była więc Julja uwięziona pod groźbą nędzy; jam już był nędzy niewolnikiem. Zeszliśmy się jak dwa magnesy obrócone przeciwko sobie w polu jednej siły.



...Jak było z panną Julją ustalone, zacząłem się hazardować coraz intensywniej, wchodząc w towarzystwo graczy bardzo już poważnych, sumy wysokie w pokerze i zimusze stawiających, aż trafiłem do stolika Miłego Księcia, a tam świadkiem bywałem partyj, w których obracano tysiącami rubli. Jednocześnie wizytowałem pannę Julję wobec jej rodziny, umawiając się na schadzki i obiady, raz nawet z matką, gdy się z łoża podniosła, na odświętną wieczerzę się do nich udałem. Panna Julja bardzo mi była przychylną, nie czyniąc tajemnicy z wzajemnego afektu, że szybko poczęto mówić o zaręczynach i wypytany zostałem po wielokroć o moje intencje - jak najuczciwsze, zapewniłem - ale czy utrzymanie żonie zapewnić pan Benedykt zdoła - cóż, serce nie sługa, a czy winić mnie można za ojca, co poszedł w ślady powstańców i zapłacił majątkiem, nie można - ale panna posag spory ma zapewniony. Otóż padały już sumy konkretne. Tak więc doszło do zaręczyn i wszyscy w mieście usłyszeli, że Benedykt Gierosławski żeni się z dwudziestoma pięcioma tysiącami rubli; Żydzi stali się nagle znacznie bardziej hojni i otworzyły się przede mną kredyty nowe.

...Z których łącznie skorzystałem. Grałem już wówczas wyłącznie u Miłego Księcia, wynajmował on u Kalki na Marszałkowskiej pokoje, w których wieczorami i długo w noc grali najtwardsi hazardziści socjety warszawskiej, legendy krążyły o fortunach tam przepuszczonych i zdobytych, o graczach ich szaleństwach, ponoć jeden pułkownik z Cytadeli, wyszedłszy od Kalki, palnął sobie od razu w łeb, jako że przegrał fundusze zdefraudowane ze skarbu carskiego, inny nieszczęśnik, dyrektor Chrześcijańskiej Spółki Spożywczej z Chrzanowa, doznał tam przy stoliku udaru nerwowego i odtąd cierpi paraliż prawej strony ciała (przez co zmuszony jest trzymać karty w dłoni lewej i kiepsko mu idzie tasowanie i rozdawanie), a dla odmiany jakiś wygrany, imienia którego plotka nie pomni, tak na umie zasłabł po odzyskaniu folwarku i rzeźni dochodowej, że otworzywszy na rozcież okno, począł garściami ciskać tioszki i czerwońce na Marszałkowską, ludzie nogi sobie łamali na lodzie, żeby dopaść owego deszczu pieniędzy; krążyła też legenda o innym Rosjaninie z garnizonu, bodaj majorze, który po wyczerpaniu zastawu i kredytu, oferował się dać satysfakcję dłużnikowi wedle zasad loterii rewolwerowej, to jest zakręciwszy bębenkiem z jednym nabojem włożonym i palnąwszy sobie ślepo w skroń, stąd zwał ową zabawę „rosyjską ruletą”. Widzi więc panna, że przy tym stoliku nie żartowano. Chodziłem tam trzy-cztery razy w tygodniu, a już zawsze w soboty, zostając do niedzielnego świtu, bywało, że i do południa. Szło o to, żeby przegrać, ile można.

...Przegrać, ale nie do byle kogo. Wiadomo: trzeba mi było przegrywać konsekwentnie i od dłuższego już czasu, aby nie podnieść *post factum* żadnych podejrzeń. Ale na koniec

przyjść musiała jedna wielka przegrana, oczywisty i konieczny ciąg dalszy długiego łańcucha strat liczonych po kilkadziesiąt, kilkaset rubli. Był ranek zimowy, służba odsunęła zasłony, za oknami budziła się biała Warszawa, gasły wysokie latarnie, nad stolikiem wisiał dym siwy jak widmo uciekającej z ciała duszy, lokaj przyniósł kawę, Miły Książę rozdał, spojrzałem w karty, ale one akurat były najmniej ważne, postawiłem tysiąc, potem drugi, potem przebiłem na cztery, tak mineliśmy w licytacji dwadzieścia tysięcy, ja i Fryderyk Welc, jego poręczył Książę, ja postawiłem mój posag, podpisaliśmy weksle, i na koniec Fredek odkrył parkę króli i wygrał wszystko. Podziękowałem, pożegnałem się, zabrałem palto i wyszedłem na mróz. Patrzyli za mną z okna, może się spodziewali, że też będę sobie chciał w łeb strzelić - nie miałem broni - może, że pójdę pod lutego; widziała panna tych samobójców, zimownicy odkuwają ich potem młotami. Z trudem powstrzymywałem się, żeby nie wybuchnąć śmiechem do zimnego Słońca.

...Liczyliśmy, że nie zabierze to więcej niż miesiąc. Wszystko poszło zgodnie z planem. Przegrałem przy najśłynniejszym stoliku miasta, wieść rozniosła się błyskawicznie, do wieczora wszyscy zainteresowani wiedzieli, że Benedykt Gierosławski przeputał w pokera u Miłego Księcia cały posag narzeczonej. Skandal napędzał sam siebie. Familja Julji oczywiście wymusiła zerwanie zaręczyn - ale to tylko odkryło nowe zarzewia wstydu, bo teraz niedoszły jej mąż najpewniej trafi do więzienia, wystawiwszy weksle bez pokrycia. To już będzie hańba publiczna, w którą wciągnięta zostanie bezpośrednio rodzina Julji. Panna zaczęła błagać ojca, coby oszczędził jej takiego piętna; toż musiałyby wynieść się z Warszawy. Na koniec - po trzech tygodniach, jak to sobie obliczyliśmy - fater Julji spłacił moich wierzycieli, pozbawiając równocześnie córkę całego wiana. Mnie zaś otlukł laską na środku Alej Ujazdowskich. Chodziłem w aureoli wstydu jak męczennicy Boży chodzą w nimbie świętości; tylko on przecież pozostał mi na sprzedaż: mój wstyd. W następną niedzielę po mszy mieliśmy się z Fredkiem podzielić sumą: dziesięć tysięcy dla mnie, dziesięć dla Julji, pięć dla Fryderyka.

...Nie przyszli. Nie zjawił się ani Fredek, ani Julja, próżno wypatrywałem ich w nawie umówionej i sterczałem potem na śniegu jak głupi, aż wydzwoniono sumę. I mimo to jeszcze nie chciałem uwierzyć. Pierwsza myśl: do Julji. Ale właśnie objawiła mi się ostatnia perfidja jej planu: teraz przecie nijak się do Julji nie dostanę, sam bardzo dokładnie odciąłem sobie wszelki do panny dostęp, nawet listy przechwyca, spod okna przegonia, teść niedoszły znowu objje. Druga myśl: do Fredka. Na wykładach się nie pojawiał, u znajomych nie bywał. Zaszedłem do jego matki, nic nie wiedziała. Co począć? Filuję w cieniu bramy na

Marszałkowskiej, okna nad „Sokołem” u Kalki rozświetlone, idą tam gry na setki i tysiące rubli - bo co zrobi Fryderyk Welc z fortuną nagłą? - on jest hazardzista, on nałogowiec nastajaszczij, nie będzie mógł się powstrzymać, zresztą i plan był taki, żeby się pokazał tu i ówdzie z pularesem grubym, wszak niby dostał dwadzieścia pięć tysięcy - ale jeśli dostał je naprawdę? Palę papierosy, odmrażam nogi, wypatruję oczy. Fryderyk może wejść od ulicy, może od tyłu, może boczną klatką, może z widzami do „Sokoła”, a może już tam od wczoraj siedzi i gra. I tak, w końcu widzę cień jego profilu na szybie - wstał, przeciąga się; zatem przerwa między rozdaniem. Pędzę przez ulicę, po schodach, na górę, służący Miłego Księcia poznaje mnie, czy ma polecenie nie wpuszczać, nie wiem, nie czekam, wpycham się do środka, jest Fredek - przerażony moim wtargnięciem. Zanim Miły Książę zdążył się wmieszać, pociągnąłem Welca do pokoju obok, zamknąłem drzwi. „Gdzie moja dola?”. On się zapiera: nie ja, nie mnie, oszalałeś, po coś przyszedł, wszystko się wyda. „Gdzie moja dola?!”. On zagniewany: ja zrobiłem, jak umówione, zachowałem sobie pięć tysięcy, reszta u Julji, przecież się z tobą rozliczyła. I z uśmiechem domyślnym obejmuje kordjalnie: och, czyżby panna Julja oszukała swego narzeczonego? Tegom już nie strzymał, tej trjumfującej bezczelności, wrywam się, odsuwam się od Fredka, ale on zwietrzył ofiarę, atakuje serdecznością lepka, napada jowialnością jadowitą, będzie pocieszał! Trzeba całej siły, całej wściekłości w sprężynę napiętej, żeby go odrzucić, pchnąć cielsko masywne. A jak już się pchnęło, impet niesie Fryderyka na okno uchylone, niski parapet podcina go pod środkiem ciężkości, jeszcze się chłop próbuje łapać firanek, firanki zostają mu w rękach, spada z wysokości na bruk lodowy w kokonie tych białych firanek, umiera pod firankami.

- I co, i nie dostali pana za morderstwo?

- Panna też uszła katu. O ile prawdę mówiła.

- Ale jak się ta historia kończy? Kto oszukał: Fryderyk czy Julja?

- Nie znaleziono przy nim więcej jak te parę tysięcy.

- Więc ona. I co dalej?

- Dalej?

- Na pewno było coś dalej.

- No, chciałem odzyskać swoją część. Pomyślałem, że przynajmniej taka korzyść z Fredkowego nieszczęścia: Julja uwierzy, że jestem zdolny do wszystkiego, wystraszy się, odda, co moje. Ale nie mogłem nawet z nią porozmawiać. Po długim przekonywaniu udało mi

się namówić kucharkę, żeby przemyciła liścik do panienki. Julja nie odpowiedziała.

...Do sądu jej przecież nie pozwę, wiedziała o tym. Muszę milczeć, bo sam bym siebie oskarżył. Czy nie tak kalkulowała? Ale! Nie doceniła mojego ze wstydem obycia. Poszedłem do nich w niedzielę, w porze obiadowej. Nie zrobią sceny przy gościach. Ojciec wybiegł do przedpokoju - trzeba mi było tylko chwili, żeby usłyszał moje słowa, żeby zrozumiał, co mówię.

- Ach! Zniszczył ją pan przed jej rodziną!

- Tern bardziej będą chcieli zachować rzecz w tajemnicy, hańba stukrotna. Ale ona, ale Julja, o, ona posmakuje wstydu, za który mi nie zapłaciła - tak myślałem - przez resztę życia będzie musiała cierpieć wstyd za te dwadzieścia tysięcy.

- Zemsta!

- Tak.

- W końcu jednak pogodził się pan z Julją.

- Dlaczego panna tak sądzi?

- To jakaś stacja, dojeżdżamy do stacji.

Ekspres starał się nadrobić opóźnienie, Nazywajewskaja została w tyle już parę godzin temu, według *Putiewaditiela* następny dłuższy postój zaplanowany był w Omsku; pewnie to Omsk. Światła powoli się zbliżały, narastała w nocy zimna łuna i szarzała ciemność płynna we wnętrzu przedziału. Panna Muklanowiczówna wyłaniała się z niej jak kształt zanurzony w klarującej się wodzie: zarys sylwetki - kibić, głowa - ręka wsparta na ramie okiennej - palce szczupłe przyciśnięte do szyby - pierścionek - biel bluzki, czerń aksamitki - wargi rozchylone - oczy szeroko otwarte. Patrzyła wyzywająco. Pociąg hamował, zakołysała się, wyprostowana, nie odrywając spojrzenia. Prawda czy fałsz, teraz panny pora rzucić kartę na stół.

Uniosła podbródek.

- Pan mi się tak przygląda i myśli: przechwala się smarkula kłamstwami ponuremi.

...A to ta smarkula niewinna jest kłamstwem, od początku na zimno obmyślonemu

- Panno Jeleno, doprawdy -

Zacisnęła wargi.

- Nie ma panny Jeleny. Wsiadliśmy na Pradze pod Terespoliskm, już zmarznięte, przerażone; Marjolka, policzywszy pieniądze, stwierdziła, że ledwo nam starczy na najtańszy bilet, coby wyjechać z Warszawy, a potem trzeba będzie szukać noclegu u obcych ludzi. Żadna z nas nie ma krewnych poza miastem; ja nie mam krewnych w ogóle. Nie było mowy, żeby ukrywać się w Warszawie: ludzie Buncwaja zaraz nas wypatrzą, ferajna spowiada mu się ze wszystkiego. Kupiliśmy w bufecie trzeciej klasy mleka grzanego, siedzimy w kącie, myślimy. Musiałam opowiedzieć jej wszystko, ponad godzinę mi zajęło, wtedy jedyny raz przyszło mi do głowy, że Marjolka może naprawdę odwrócić się ode mnie, zostawić i odejść, w końcu gdyby padła Buncwajowi do nóg, gdyby się jakoś od nowa wkupiła w jego łaski, ba, gdyby mnie za włosy doń zaciągnęła i rzuciła na ofiarę, byłaby bezpieczną; wcale więc nie musiała uciekać. Mogła się odwrócić, to był moment po temu.

...Zoczył nas Jasio Brzóz. Co robi na dworcu? Jasio należy do jednej z szajek czyszczących nocami na bocznicach Drogi Terespolskiej całe wagony towarowe, z pierwszej klasy rżnących płatami pluszowe obicia, rwących tam z przedziałów sprzęty i wykładziny. Zaraz przypadł do nas, pod ramię chwycił, co wy tu jeszcze robicie, poszło słowo za wami - wiemy, toż właśnie chcemy zniknąć z oczu - ale tam! Grisza pod łapą konowała, o Bożym świecie nie wie! Słowo zaś do salcesonów poszło, policjanty gonią wszystkich, ochrana pono list na was obie wydała, do wieczora filować za wami będą na każdym dworcu! Zbladły my na wapięń. Co Buncwaj był wykrzykiwał? Że sztabskapitan Ałła miał szwagra w ochronie? No to krewa, szwagier nie odpuści śmierci Dmitrija, a jak Grisza wróci do przytomności, to tem bardziej mnie pograży, przecie uciekłam; a na pewno już dokładnie o mnie swemu szwagrowi Dmitrij naopowiadał. Nie dość zbiec z Warszawy - należałoby raczej uchodzić z Królestwa. A na jakich papierach? Nasze zostały w „Tropicalu”, zresztą i tak byłyby tylko zawadą. Sprokurowanie nowych zajmie kilka dni, i niby kto miałyby to zrobić, każdy fachura w mieście jest kumpel kumpla Grisy Buncwaja, i niby za jakie dieńgi, i niby gdzie miałybyśmy na bumagi czekać? Jasio też w konflikcie lojalności, drapie się w gardłę, oczkiem łypie, idźcie już stąd lepiej, nie widziałem was, no jak babcię drypcię, nie siedźcie w trzeciej klasie, tu nasampierw zajrzą.

...Przeszliśmy do bufetu pierwszej, na szczęście odzienie nas nie zdradzało. Przeczekać do nocy, myślimy, wskoczyć do jakiegoś pociągu. Ale wiemy, że to się nie ma szans powieść, teraz to trzeba by cudu; idziemy na dno w brzuchu wieloryba. I wtedy cud: dwie panusie siedzące przy stoliku za nami sprzeczą się o jakieś dokumenta podrózne, że jedna z nich, ta starsza, musiała się była specjalnie wracać po nie do domu, ale zaraz pojawia się reszta ich

familji i sprzeczka się urywa, bo znowu zamieszanie z bagażami, łzy, całusy, pochlipujące dziatki - i tak od jednego podsłuchanego słowa do drugiego, dowiadujemy się co następuje: niejaka Jelena Muklanowiczówna udaje się w towarzystwie swej ciotki na Syberję, do sanatorium Lodu, zamrozić gniazdo gruźlicze w lewym płucu, zaraz wsiądzie do pociągu do Moskwy, skąd już podróż prosto na drugi koniec świata Ekspresem Transsyberyjskim; panna Jelena i ciotka mają miejsca w pierwszej klasie, z dawna wykupione, a oto i bilety, o mały włos zapomniane.

...Czyż trzeba nam było opowiadać cały plan na głos? Spojrzałyśmy tylko po sobie, Marjolka ani mrugnęła. O żadnym wyborze, żadnej decyzji nie mogło być mowy - zostałyśmy olśnione przez oczywistość. Kupiłyśmy za resztę pieniędzy dwie miejscówki w pierwszej klasie do najbliższej stacji - żeby w ogóle wsiąść do ichniego wagonu. Trzeba było tylko przyważyć, w którym dokładnie przedziale one jechać będą - ale z tak hałaśliwą rodziną dookoła nie mogły się przed nami ukryć.

...Jak tylko pociąg ruszył, pukamy do ich *compartimentu*. Otwiera ciotka. Marjolka schowała w szalu kamień z torowiska podniesiony. Ciocia dostaje w czółko. Wpadamy do środka, zapieram drzwi plecami. Panienska piszczy, ale piszczy i gwizdże i świszczy także parowóz, zresztą Marjolka zaraz zatyka jej gębę, widział pan: Belcikówna chłopskiej bez mała jest postury, silna w rękach żeńszczina. Szamotały się tam chwilę, Marjolka owinęła jej szal wkoło szyji, złapałam za drugi koniec, zadusiłyśmy ją w try miga. Potem ciocie; dychała przecie jeszcze. Pojmuje pan, czas był najważniejszy, czas, zanim zjawi się konduktor. Przeszukujemy bagaże, ubrania, torebki, gdzie bilety, gdzie bumażki - są. Schować ciała - pod siedzenia, i kocami przykryć; znaczy, ja się położyłam i przykryłam, że niby gorączkująca, nazbyt słaba, by siedzieć; pled objął wszystko. Puka konduktor. Marjolka mu szeptem tłumaczy okoliczność, pokazuje papiery, panna Jelena śmiertelnie chora, w drodze do kliniki cudownej Lodu sybirskiego, czy bylibyście tak grzeczni dopilnować, aby nikt w podróży nam już nie przeszkadzał, Pan Bóg wam to wynagrodzi, dobry człowieku - i rubelek w garść wciska. Zamknęłyśmy więc przedział. Z trupów zdarłyśmy ubrania. Pomierzyłyśmy szybko. Inne rozmiary, w Moskwie trzeba będzie szybko je sprzedać i kupić stosowną wyprawkę dla szlachetnie urodzonej panny i jej towarzyszki. Podzieliłyśmy od razu wszystkie kosztowności. Znalazłam też wtedy kajecik w skórę oprawny, pamiętnik panny Jeleny. Co ona tam wypisywała! - śmiać się z tego czy płakać - głupie fantazje chorowitej dziewczyny, co nie zna świata. A jednak czytałam czerwona od wypieków, jak romans egzotyczny: zjadłam jej duszę razem z temi fantazjami. Jaśnie państwo! Panowie elegancy, panie brylantowe! Tyle

się na nich napatrzyłam, tyle razy przeżyłam ich życie we śnie, w marzeniu, silniej, głębiej, dłużej od nich - teraz będę damą wyższą od damy, panną niewinną bielszą od lilij białych, Jeleną Muklanowiczówną prawdziwszą od Jeleny Muklanowiczówny

...Czekałyśmy nocy czarnej i takiego pustkowiecia, dżiczy za torowiskiem, żeby nikt nie widział, jak wypychamy ciała z okna przedziału - można to zrobić, panie Benedyckie, dwie kobiety sobie poradzą, naprawdę - i żeby nikt tych ciał nie znalazł. Wyrzuciłyśmy je w las, pociąg jechał przez ciemną puszcze, stoczyły się pewnie od razu z nasypu w zarośla, dobrały się do nich zwierzęta. Nawet jak kto znajdzie ogryzione, zgniłe truchła, nikt nie rozpozna nagich kobiet bez twarzy, zresztą jeśli i skojarzy zaginione, to właśnie nas - a nie Jelenę Muklanowiczównę i jej ciotkę, one podróżują po Syberji.

...Bałyśmy się tylko, czy nie czeka na nie kto w Moskwie; ale nie. Wszystko poszło gładko. Jednak pierwsza noc w Transsibie wiele nerwów nas kosztowała. Widział mnie pan, bynajmniej nie od pudru byłam tak bladą, naprawdę myślałam, że to nas właśnie szukają. Marjolka zdecydowała przesiedzieć w przedziale, ile się da, symulując dolegliwości kobiece, żeby się nie zdradzić brakiem manier i wymową niepiękną, nie zna zresztą języków. A ja mam alibi, jestem chora, zżera mnie gruźlica, wszystko mi wolno, dziewczęcę płocze w cieniu przedwczesnej śmierci, czyż nie może się bawić w zbrodnie i detektywy, czyż nie może łączyć ponure historie dla zainteresowania mężczyzny, historie o mordach, oszustwach i awanturycznej przeszłości? Ha!

Pociąg stał na omskim dworcu, w półmrokach między latarniami za oknem przesuwały się ludzkie postaci, niosły się przez noc głosy samotne, niekiedy zaklekotał dzwon stacyjny; poza tym panowała cisza, nie stukały koła, nie huczały maszyny, nie gwizdała lokomotywa. Kto miał wsiąść, wysiadł; kto miał wsiąść, wsiadł; pozostali podróżni w Luksie spali głęboko. Raz ktoś przeszedł korytarzem. Ani na moment nie odwróciło się wzroku od twarzy panny - trzeba ją jakoś nazywać - panny Jeleny. Skończyła opowieść i uśmiechnęła się lekko.

Prawda czy fałsz?

Zimne światło elektryczne, zmieszane pół na pół z zimnym cieniem, spływało z bladych lic, po szyji białej, wsiąkało w koronki i riuszki, ściekało równoległymi strużkami po załamaniach gładkiego materiału, zlewając się w płytkie residuum na podołku, gdzie panna skromnie złożyła dłonie szczupłe. Pomyślało się o znakach cienia wokół Tesli, o własnym odbiciu w lustrze. Obraz panny Jeleny był natomiast wolny od najmniejszego przekłamania, zgadzały się linje blasku i ciemności, zgadzał ruch i brak ruchu, wszystko było schludne,

regularne, oczywiste. Pociąg odpoczywał na dworcu, toteż ustało rytmiczne kołysanie, siedziała spokojna, wyprostowana, spoglądając oczyma niemrugającymi, z głową ćwierćodwroconą, podbródkiem podniesionym, nawet nie jak do fotografii, ale jak do obrazu, do portretu mistrzowi pędzla pozująca.

Sięgnęło się po koniak. Akurat mogło się teraz nalać pełne kieliszki. Panna nie skorzystała. Wychyliło się jeden; potem, z uśmiechem (krzywym), także jej. Nie odezwała się, czekała. Im dłużej milczenie trwało, tem większa pula gromadziła się na stole. Rozpięło się kołnierzyk. Może po prostu wstać i wyjść - nie, przecież to nie jej przedział - wyprosić ją - ale jak, nic nie przychodzi do głowy, żadne słowo, żaden gest - zwyciężyła, obracając podbródek o kilkanaście stopni, kombinacja smukłych palców na szybie i skórzanego bucika na dywanie paraliżowała interlokutora.

Nie zna się zasad gry, a jednak się gra.

Odkaszlnęło się.

- Sen mara, Bóg wiara, panno Jeleno. - Szeptem już, cicho bardzo w tej ciszy nocnej, szeptem chrapliwym. - Wszystko, co tu opowiadamy, opowiadamy z własnej pamięci, czyli tak czy owak z prawdą tyle to ma wspólnego, co Mit z Historją. Ja nie będę udawał, że... No dobrze, Ziejcow zaczął, to jest zaraźliwe, pewnie rzeczywiście nie powinienem był mieszać ćmieczy z alkoholem. Ach, nie przyznałem się pannie...! Proszę tak nie patrzeć, nie jestem pijany. Chciałem -

...Sen mara, Bóg wiara, czy nie zdaje się pannie, że całe panny dzieciństwo to jeden wielki sen - czy nie pamięta go panna, jak się pamięta sny: urywkami, posklejane nie po kolei, scena po scenie bez związku logicznego, w jednej jestem ptakiem, w następnej rybą, w następnej człowiekiem, potem znowu ptakiem, a najdziwniejsze - najdziwniejsze jest to, że wcale się temu nie dziwię, że jakoś to wszystko przepływa bez zgrzytów, łączy się ze sobą, nakłada, bez logiki, niemniej - jedno z drugiego wynika, jak kwiat wynika z nasienia, jak kurczę wynika z jajka, jak człowiek dorosły wynika z dziecka; tak się te sceny rozwijają podług reguł tajemnych, z miłą oczywistością, w uspokajającej ciszy, pod ciepłym światłem - sen - dzieciństwo. I tak spróbuję je pannie opowiedzieć.

...Oto jest scena, której nie mogłem być świadkiem, lecz we śnie widzimy także zdarzenia, przy których nie byliśmy obecni i w których nie śnimy własnej obecności: dwór cudzoziemski, obce stroje panów poważnych, na stole księga i krzyż, na który panowie się zaprzysięgają, a między nimi mój ojciec. I kiedy ojciec mówi, wszyscy słuchają z wielką



uwagą i potakują mu i klaszczą i wiwatują i na koniec ojciec wznosi ręce, a wtedy tak wielka emocja udziela się wszystkim - również mnie, którego tam nie ma - że wspomnienie się urywa i następuje po nim zupełnie inne -

...W którym pływam w rzece pod lasem, a na łące, w plamie słońca jak w strugach żółtego wodospadu, siedzi matka z moją siostrą Emilką, Emilka jest jeszcze prawie niemowlę, ale my, ja i brat, jakimś cudem niemal dorośli, ochlapujemy się wodą, krzyczymy, Emilka, baraszkująca w trawie, rozchichotana, chwyta tłustymi rączkami łaskoczące ją w buzię promienie, a matka w wielkim słomkowym kapeluszu pochyla się nad nią; obie zaś rozpadają się W tym słońcospadzie na smugi i drobiny światła, rozkolorowane, rozteżone - tyle widzę, jasne rozpryski szczęścia. Coś do nich wołam, pokazuję kogoś stojącego na drugim brzegu, sylwetkę niewyraźną, cień sylwetki czarny; wtedy brat z wyciem indjańskim ściąga mnie pod wodę. Emilka ginie mi z oczu. Nie ma w tym żadnego sensu, nie ma żadnej prawdy, a jednak we śnie, w dzieciństwie, we śnie o dzieciństwie bardzo silne jest wrażenie, iż to był ostatni raz, gdy siostrę widziałem żywą.

...Straszny najazd nocny, z końmi grzmiącymi po gościńcu, latarniami czerwonymi błyskającymi w ciemności, łomotaniem w drzwi, buciarami podkutymi bijącymi po podłogach dworu, krzykami gniewnymi i krzykami przerażenia - budzę się, już mokry od potu, nasłuchuję w drzeniu. Kogo szukają, kogo przeklinają, o kogo ta wściekłość i wrzaski? Filip Gierosławski, gdzie Filip Gierosławski, gadać, gdzie on! Dobrze wiemy, że wiecie! Dlaczego krzyczą po rosyjsku - to jeszcze nie Warszawa. Ale okazuje się, że zajechali do naszego dworu w Wilkówce, a przeszukują dom warszawski: wyglądam na ulicę, nad dachami dymy fabryk i łuna przedświtu. Szukają ojca, zawsze i wszędzie szukają ojca, tam i tu. Powóz policji carskiej stoi przed bramą, sałdat wąsaty, poklepujący konia po szyji, unosi głowę i spogląda prosto na mnie, dojrzał twarz dziecka w oknie, wyciąga rękę - chciał pozdrowić? przywołać? pogrozić palcem? Odskakuję, wystraszony, przewracając się boleśnie. Szukają ojca, zawsze szukają ojca!

...A teraz jesteśmy na odpuście, w tłumie ludzi, w gwarze i muzyce, między zwierzętami i dziećmi chłopskimi ubłoconymi, boso biegającymi - ja zaś w ubranku niedzielnym podążam u boku fatra, z dłonią zamkniętą w jego dłoni, tak mały, że muszę zadzierać głowę, żeby zobaczyć, czy tato właśnie uśmiecha się, czy też mina marsowa ściąga jego oblicze; częściej to drugie. Idziemy od straganu do straganu, wszyscy się ojcu kłaniają, przystaje, by pogawędzić z tym i owym, z wójtem, z księdzem proboszczem, ksiądz dobrodziej głaszcze mnie po główce. Zastanawiam się, skąd ci wszyscy ludzie ojca znają, skoro nigdy go nie ma,

tak rzadko go widzujemy, czyżby częściej do obcych zachodził? Bardzo długo myślę, jak go o to zapytać, w końcu oczywiście nie mówię ani słowa. Ojciec nachyla się troskliwie - czy chciałbym lizaka cukrowego? Kiwam głową. Targuje się z chłopem. Ktoś odwrócony do nas plecami wyklóca się obok gromko, klnąc przytem okropnie; ojciec karci go głośno. Tamten, gospodarz z papierosem na wardze, spogląda na mnie z wysokości z nienawiścią, nie pamiętam czystszej nienawiści na twarzy człowieka. Kryję się za ojca. Ojciec kłuje gospodarza palcem w pierś, pohamujcie język niewyparzony przy dzieciach i kobietach, zgorzenie w dzień Pański czynicie. Im bardziej go karcił, tern bardziej gospodarz mnie nienawidził. Rozplakałem się. Ojciec wściekł się i zaciągnął mnie z powrotem do matki, tarmosząc za ucho. Lizaka nie kupił.

...Sekret kościelny, pod krzyżem Chrystusowym wyszeptany - w kościele, bo tu nikt nas nie podsłucha, a ty jesteś już duży chłopczyk, musisz zrozumieć pewne rzeczy. To matka mi szepcze, gdy klęczymy sami w pustej ławce po majówce. Sekret! Słucham przejęty. Matka uśmiecha się, żeby odegnać strachy dziecięce. Pewnego dnia zrozumiesz wszystko, mówi, będziesz dumny z ojca. Ale nie żyjemy na dobrym świecie, to nie jest dobry świat, ludzie ukrzyżywali Boga, Pana Naszego, ludzie wiele zła sobie wzajem czynią, gnębią jedni drugich, a najbardziej tych, co mają śmiałość za zgnębionymi właśnie się ująć - jak twój ojciec. Ojciec niczego się nie boi, szepczę. Tak, ojciec niczego się nie boi. Są ludzie, którzy go za to nienawidzą, mówi. Przypominam sobie gospodarza na odpuście - nienawidzą, nienawidzą. Matka nachyla się ku mnie. Gdyby cię pytali, gdyby ktokolwiek obcy cię pytał - nic nie powiesz, prawda? - bo nie widziałeś, nie widzieliśmy ojca od miesiący, odkąd się do miasta przenieśliśmy, nie widzieliśmy go. Zrozumiałem, że mam kłamać. Matka niczego mi nie sugerowała; sam się uroczyście przeżegnałem i, przyciskając dłoń do serca, przysięgłem odtąd fałszywe świadectwo dawać. Zaśmiała się cicho i pocałowała mnie w czoło.

...Sen we śnie we śnie, panno Jeleno, i nie ma sposobu ich odróżnić. Wiezorami, gdy już leżeliśmy w łózkach, brat lubił opowiadać mi przerażające i ekscytujące historie, które, jak twierdził, naprawdę przydarzyły się ojcu: jak na konwoje carskie napadał, ujętych przez Rosjan Polaków uwalniając, jak z więzienia uciekał, jak z pociągów złoto kradł (na dobrą sprawę je przeznaczając, oczywiście!), jak z innymi bohaterami w tajemnych ich kryjówkach wielkie powstanie szykował, broń i proch gromadząc, jak do królów w Europie i na świecie posłował, dla sprawy Polski prawem słowem ich zjednując. Brat zmyślał, a może podsłuchiwał z rozmów dorosłych, a może usłyszał już zmyślane przez dzieci; tak czy owak, ja potem o tym śniłem. A może zdarzyło się naprawdę, a śniłem o brata opowieściach? Widziałem ojca w

nocnym pościgu konnym - widziałem w bitwie leśnej - widziałem na ulicznej barykadzie - widziałem w oracjach pod złotymi godłami - widziałem z karabinem w rękach - widziałem w mundurze dziwnym, fantastycznym, z kolorami biało-czerwonymi. Musiałem kłamać, nikt by mi nie uwierzył, wyśmialiby mnie, tak.

...A jednak on przychodził, przychodził naprawdę, nocą, gdy nikt nie widział, zakradał się przez okno, albo przez piwnicę, albo z dachu, albo pukając cicho na umówiony sposób w tylne drzwi, a matka mu otwierała, nie paląc światła, w czarny szal otulona. Prowadziła go zaraz bez słowa w głąb domu, znikali w ciemności. Czy ja to widziałem? Czy mogłem widzieć? Czy śniłem, że widziałem? A żołnierze i żandarmi też nie ustawali w niespodziewanych najściach, czasami tylko jeden, dwóch, czasami uprzejmie, czasami z hałasem i groźbami. Raz zaszedł nas na ulicy grubasek w za dużym meloniku, i nawet cukierkami częstował: a gdybyście, dzieci, ochotę miały podzielić się jakąś tajemnicą... tatusiowi grozi niebezpieczeństwo, jeśli go na czas nie znajdziemy... nie chcecie przykrości robić mamusi, prawda? Rozdawał karty wizytowe, małym i dużym, komu popadło, wciskał łakocie do kieszeni. O nim też śniłem. Przez pewien czas bałem się wszystkich panów w melonikach - znajdą i zabiorą tatę.

...A jednak on przychodził, czy to była jedna noc, czy kilka różnych nocy, widać zbiegałem z piętra, podpatrywałem, ukryty w cieniu, skoro pamiętam: jego krok szybki, cichy, i uścisk, w jakim aż unosił matkę w powietrze, myślałem, że wycisnąć z niej chce życie, czepiała się jego ubrania, kładła mu palec na wargach; raz znalazła u niego za paskiem rewolwer z długą lufą, wyrwał jej go natychmiast. Widziałem też, jak odchodził, słyszałem w ciszy przedświtów ich szepty pośpieszne, adresy wymieniane, nazwiska, dni, godziny. Słuchałem pilnie: to były sekrety, których miałem dochować; a przecież wprawdzie należało je poznać, żeby móc ich nie zdradzić, w kłamstwo obwinąć - prawda?

...Innej nocy, a może właśnie tej samej, wpadli bez pukania, wyważając drzwi, rozbiegając się po domu, musiałem zmykać po schodach i do łóżka, zanim mnie przyuważyli. Jeszcze innej nocy... to nie mogło być na parterze, bo spaliliśmy, ja z bratem i Emilka, na piętrze, i to nie mogło być na piętrze, bo po cóż by tu wchodził ojciec, po co tędy uciekał?... tej nocy przyszedł chyba prosto z jakiegoś balu, we fraku, z brodą przystrzyżoną i pod muchą białą. Czy to ma sens? Co, na Boga, robiłby na balu, ukrywając się przed policją? Kiedy wpadli z krzykiem - Filip Gierosławski, gdzie Filip Gierosławski! - przebiegł korytarzem do pokoju Emilki. Po co? Matka biegła w jedną stronę, służąca w drugą, z tylnych schodów wyskoczył żandarm gruby z latarnią w ręku. Drzwi się otwierały i zamykały, matka zawróciła

z półpiętra, żandarm wrzasnął okropnie głośno, barn, bam, bam, palnęły strzały, na co z dołu podniosło się jeszcze więcej wrzasków i ojciec ukazał się na progu pokoiku Emilki z rewolwerem w dłoni. Na balowym stroju lśniło kilka czerwonych plamek. Zobaczył mamę, zobaczył mnie - a więc tam byłem! a więc patrzyłem własnymi oczyma! - i odepchnął mnie gniewnie. „Zabierz go!”. Matka pociągnęła mnie do sypialni. Ojciec uciekł. W pokoju Emilki znaleźli żandarma i Emilkę, zastrzelonych.

...Panno Jeleno? Czy to ma w ogóle sens? To się kupy nie trzyma! Sen, sen, koszmar. Co ja pannie... Zresztą, gdybym faktycznie był pijany... O! Przepraszam.

Odgwizdano odjazd, lokomotywa zaświszczała, zasapała i szarpnęła skład. Ekspres wytaczał się z omskiej stacji. Na szybie rozlewały się na przemian plamy blasku i czerni, w miarę jak wagon mijał kolejne lampy; interwały stawały się coraz krótsze, aż na koniec na dobre zwyciężyła czerń, gdy wagon zostawił za sobą lampę ostatnią. Tuuk-tuuk-tuuk-TUUK, tuk-tuk-tuk-TUK, nie było ratunku, azjatycka noc - kłęb atramentowej cieczy rozpelzający się w powietrzu - wypełniła wnętrze atdielienja, opadła na dywan, zakleiła czarną krepą obicia i boazerje, rozpostarła się na posłaniu, owinęła węglowym woalem dookoła panny Jeleny, która (to było nieludzkie) przez cały ten czas, słuchając, ani drgnęła; teraz drgnęła, gdy wytrącił ją z pozy ruch pociągu. Czy wykonała jakiś gest, czy tylko wygładziła spódnice - nie ujrzało się, ciemność zatopiła cały przedział wraz z panną Muklanowiczówną, ciemność nad ciemnościami, najciemniejsza.

- Panno Jeleno, panna mi nie wierzy, prawda? - Sięgnęło się po omacku po prawie pustą butelkę koniaku. Zadźwięczało w mroku szkło. - To nie alkohol, nie jestem pijany, to ta ćmiecz. Czy panna mnie słyszy? - Pociąg przyśpieszał, podniosło się głos. - Ja bardzo pannę proszę! Wygrała panna, poddaję się. Padłbym do panny nóżek, ale... Ale. Sen wiara, Bóg mara, ja tego nie potrafię wytłómaczyć, przecież ani przez moment mi nie powstało, że ojciec chciał Emilkę zabić, że to nie był jeno makabryczny wypadek, śmierć niezawiniona, więc nie da się tego objaśnić, widzi panna, próbuję, ale co ja mogę, co ja mogę, bełkoć bez sensu, to są właśnie rzeczy, których nie sposób opowiedzieć drugiemu człowiekowi. Że dlaczego to zrobiłem - a może nie zrobiłem - ile miałem wtedy lat, sześć, siedem, mój Boże, jak sobie próbuję teraz wyobrazić: cyzelujący ten list w nocy przy świeczce, w strasliwej trwodze, że ktoś wejdzie i przyłapie, ale nikt nie przyłapał; dziecinną cyrylicą adresujący starannie kopertę, z językiem wysuniętym, z palcami bosych stóp podwiniętymi kurczowo w przejściu; chuchający na papier, rozcierający kleksy, sprawdzający każde zdanie i słowo po tysiokroć. „Gdzie jest Filip Gierosławski”. Na odwrocie narysowałem nawet mapkę. Złapali go w

następną niedzielę.

...Ale oczywiście mogli złapać przypadkiem, mogli bez mojej pomocy, byli już przecież coraz bliżej, jaka jest szansa, że list w ogóle dotarł gdzie trzeba, że dobrze zapamiętałem adres z karty wizytowej Pana w Meloniku, jaka szansa, że ktokolwiek uwierzył w anonimowy donos niewprawnymi kulfonami podany, no niech panna sama powie. Zresztą ile lat minęło - ojciec nie napisał do mnie ani razu. Ja do niego też nie pisałem. Nie wiem, czy zdradził coś matce, nigdy się nie przyznała, a wszak jeśli powiedzieli mu w śledztwie, jeśli pokazali ten anonim... czy mógł się domyślić? Jak panna sądzi? Panno Jeleno? Panno Jeleno. Panno Jeleno!

Prawda czy fałsz?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### O jasnych i ciemnych stronach katzenjammera (jasnego i ciemnego)

Wejrzało się w tuleję interferografu: światło, światło, światło, światło, światło - tyle prawdy i nieprawdy, co koralu słońca, czyli wiele.

Dotknęło się delikatnie skroni, gdzie swój rytm - łub-łub-łub-ŁUB - wybijał katz poranny. W nocy, we śnie, zgrał się on z rytmem kół Ekspresu; po przebudzeniu usłyszało się drugi pociąg, maszynę rozpędzoną na wewnętrznych łukach czaszki, od czoła do potylicy. Mijając lewą skroń, przeskakiwała z hurgotem spojenie szyn mózgowych: to było to czwarte ŁUB. Wypiło się wszak całą butelkę koniaku - panna Jelena skończyła na trzech kieliszkach - a potem jeszcze, po jej wyjściu, otworzyło się gin. Trzeba też pamiętać o wódce Ziejcowa. Nic dziwnego, że plotło się, co ślina na język przyniosła.

Schowało się interferograf, się podźwignęło się z posłania. Nad minjaturową umywalką przepłukało się usta. W zwierciadle pokazała się nieogolona twarz z rozpuchniętym nosem i strupem na wardze. Sięgnęło się po przybory toaletowe, narzuciło się schlafrock. Która to godzina? Bez zegarka trudno ocenić nawet porę dnia, gdy za oknem nad brudnozielonemi równinami wisi takie niebo ołowiane - niebo, jak okiem sięgnąć, równina, jak okiem sięgnąć, Syberja. Tuż pod horyzontem przestwór stepu odkreśla ciemniejsza linja lasu; zaraz Transsib na powrót wjedzie w tajgę. Na tle zieleni - gdy się tak patrzyło, trąc oczy - przesunął się czarny punkcik: koń, jeździec na koniu, tubylec w skórach zwierzęcych z kijem długim u siodła. Przez chwilę galopował równoległe do Magistrali, wtem zniknął, jakby się pod ziemię zapadł. Zerknęło się w *Putiewaditiela*. Wtorek, dwudziesty drugi dzień lipca (w kalendarzu rosyjskim - dziewiąty), jeśli więc jeszcze nie wołali na obiad, to znaczy, że Ekspres znajduje się gdzieś pomiędzy Tatarską i Czuluyską.

Zakluczywszy atdielienje, się udało się do łazienki. Pierwsza była wolna. Pokręciło się złoconą armaturą, woda chlusnęła do wanny w marmurze. Łazienka miała jedno małe, owalne okno; mleczna szyba prędko zaparowała i tak oto Azja do reszty usunęła się poza granice europejskiego świata Luksu. Tuk-tuk, chlup-chlup, się zanurzyło się po szyję. Skoro nie można się naprawdę oczyścić, niech przynajmniej oczyści się ciało. Brud ze skóry zejdzie

łatwo - natomiast to, co zalega w głowie...

Ta gra nie mogła się była dobrze skończyć - na którąkolwiek stronę upadłaby moneta, prawdy czy fałszu - bo słowo wypowiedziane pozostaje z nami, prawdziwe czy fałszywe: póki o nim pamiętamy, prawdą bezwzględną będzie dla nas to, że je wypowiedzieliśmy. Czyż w istocie nie na tym zasadza się fenomen Spowiedzi Świętej? Nie liczy się grzech, lecz słowo o grzechu. Nie życie, lecz słowo o życiu. Nie człowiek, lecz o człowieku. Nie prawda, lecz o prawdzie. O tym, co zrobiliśmy. O tym, czego nie zrobiliśmy. O dobru, o złu, o wszystkim, co da się wypowiedzieć. O, o, o.

Czy rzeczywiście po przekroczeniu granicy Kraju Lutych, gdy interferograf Tesli pokaże dwuwartościową logikę światła, nastąpi tu jakaś widoczna zmiana? Ludzie przecież dalej będą kłamać bez umiaru. Nie nabędą też nagle cudownych zdolności rozpoznawania słów prawdy.

Czy więc jest sens pytać o „prawdziwą” pannę Jelenę Muklanowiczównę? A jednak nie mogło się przegnać z głowy owej myśli, nawracała wciąż jak pociąg wewnątrzczaszkowy, okrążenie za okrążeniem, i jeszcze raz, i jeszcze, chociaż łupie w skroniach, chociaż smak przykry do ust podnosi, i znowu:

Czy to warszawska cwaniara, córka garbarzy wyszkolona przez szuję Buncwaja, złodziejka i morderczyni, z cichą pomocą równie cwanej Marjolki, kłamie Jelenę Muklanowiczównę? - czy też Jelena Muklanowiczówna, zgębione latami chorób, wrażliwe dziewczę z przerostem fantazji, kłamie Buncwajową spryciarę, oszustkę krwawą?

Jeszcze Ekspres nie dojechał do Zimy, jeszcze trwa podróż, jeszcze prawda nie zamarzała - równie prawdziwe są obie panny.

Się opłukało się zimną wodą, aż w skórę weszły lodowe igielki i dreszcz otrzeźwienia przebiegł po ciele. Przetarło się zaparowane zwierciadło. Przynajmniej światło i cień się uspokoiły, nie ma śladu po wczorajszej poćmiacie. Jakiemi efektami objawia się katzenjammer po naładowaniu teslektrycznością? Bardzo możliwe, że sam doktor Tesla nigdy go nie doświadczył, ośmieszając się dzień w dzień, zawsze zanim jeszcze ustąpił wpływ poprzedniego porażenia.

Goląc się, zdrapało się strup z wargi. Wargę szybko się zagoi; gorzej z nosem. Ostrze nacierało na skórę pod precyzyjnie przyłożonym kątem, w rozchybotanym wagonie trzeba było się wykazać artystyczną zgoła biegłością, wyczuciem skrzypka wirtuoza. Uda się - albo nie uda, a wtedy krew na skórze.

Z brzytwą na policzku zaczęło się nucić skoczną melodję. Skąd ten nagły przyływ dobrego humoru? Nie ma ku niemu żadnego powodu, wszystkie przeciw. Może tylko panna Jelena - że jeszcze dwa dni podróży wspólnej - ha, co za powód! Obmyło się twarz. Na ustach pokazał się uśmiech krzywy, nieprzyjemny. Panna Jelena, obie panny Jeleny, starsza i młodsza. Co z pamięci pochodzi, nie jest ani prawdą, ani nieprawdą. (Pociąg w czasie przeskoczył z toru na tor). Było się wtedy ciężko oćmieczonym. Pamięć przeszłości - przeszłość w pamięci - inna pamięć, inna przeszłość - jakież to więc kłamstwo prawdziwsze od prawdy zawarte jest w drugim zaszyfrowanym liście?

Zawiązało się pośpiesznie schlafrock. Na korytarzu ujrzało się idącego z naprzeciwka pana Cuszyna. Się cofnęło się, by przepuścić go przed łazienkami. Zrobił się czerwony jak burak, burknął coś przepaszająco, uciekł wzrokiem od twarzy obitej. Przełknęło się wstyd - to była czynność fizjologiczna, coś przepłynęło od głowy, wzdłuż kręgosłupa, do stóp samych: jakiś jad gorący, od którego tężeją mięśnie i napinają się ścięgna i kwas zalewa wnętrzności.

Nie zdążyło się skryć w przedziale - od strony przejścia pokazał się prowadnik, nie gruby Siergiej, lecz prowadnik innego wagonu Luksu.

- Wasza Wielmożność! - zawołał, unosząc przytem rękę. Podbiegł. W ręce miał bumagę złożoną w drobny kwadracik. Spojrzało się, gdy zaprezentował ją na otwartej dłoni niczym na tacy listowej. - Panna bardzo nalegała, żeby jak najszybciej -

- Która godzina? Panna Muklanowiczówna jest na śniadaniu?

- Ach, nie, łaskawy panie, to panna Filipov z ósemki wagonu drugiego.

Po przekazaniu listu uklonił się. Złapało się go za rękę.

- Co to jest?

- Co?

- Skąd to masz? - warknęło się, szarpiąc prowadnikiem, raz, drugi, aż chłop mundurowy postawił się pasażerowi i wyrwał ramię z miną wielce urażoną. Odstąpiwszy, rozprostował materiał kurty kolorowej, otrzepał szamerunki.

- Ten pierścień - wskazało się palcem. - Pokaż!

Ostrożnie wyciągnął zwiniętą w pięść dłoń. Błysnął heliotrop z Korabiem.

- Zapewniam Waszą Wielmożność -



- Skąd go masz?

- Znalazłem.

- Gdzie?

Wzruszył ramionami.

- Na podeście, na końcu składu pasażerskiego. Leżał sobie. W szparze między żelastwem.

Się zaśmiało się. Prowadnik łypnął ponuro, pewny, że szyderstwo skierowane jest przeciwko niemu. Zamachało się, by go powstrzymać. Czem prędzej otworzyło się przedział i znalazło się pugilares.

- Dam ci za niego dziesiątaka.

Prowadnik zamyślił się głęboko.

- Ale jak dowie się naczalnik -

- Piętnaście.

W końcu kupiło się pierścień za rubli osiemnaście. Wytarłszy łątką zamszową, wsunęło się go na palec. Pasował równie dobrze, co trzy dni temu, czyli idealnie. Wiążąc potem krawat, z brodą zadartą nad sztywny kołnierzyk, wyprostowany - kogo widziało się w lustrze? Hrabiego Gyero-Saskiego z mordą osiniaczoną.

Pierwsza rzecz, zanim pójdzie się między ludzi: strzaskać wszystkie zwierciadła.

Rzecz druga: nigdy nie mówić dwa razy tego samego kłamstwa ani tej samej prawdy. Nie można wejść ponownie do tej samej rzeki, nie można wejść w tego samego człowieka. Ale kto to zrozumie? Oprócz panny Jeleny - nikt. Wszyscy udają, że pochodzą z jednej przeszłości, ba, nawet kłócą się o tę przeszłość: nie tak było! ja pamiętam lepiej! Trudno o większą głupotę. Wyjęło się z szuflady pomięty rozkład jazdy. Na nim został zapisany drugi list ojca - ten z pamięci przećmiezonej.

ZCZQPQAMKEDJWROXUUZX

IBJUYKBVJMMWTYDPXNB

TWJWPUPGRSPTGEKNKMUX

TIVSLRGZCRSLGDRKNKEA

WKZIZFBXVSEMSIZFSEDL

KJCQPCFDEXQRKXOEEXEIZ

CUELTMDHABBTWULJMTQI

VW0ZBEBLTAXNC0BLI ZNJ

MKWYWNCOKKXYVBXOWEGE

WTKWOPKXSUZDLVUEZZKA

WFWDCZQMAMODYZNFDIUE

EM

Przepisało się go na czystej kartce. Należy przyjąć, że metoda szyfru jest identyczna, co w pierwszym liście. Lecz wypatrywanie regularności nie szło już tak łatwo - KNK, KNK, co więcej? Odstęp 21 liter - hasło trzy-, siedmio-, lub dwudziestojednoznakowe. Należy więc rozbić list na 31 alfabetów... Bez sensu. Czegoś się tu nie dostrzega, coś tu musi umykać uwagi źle skierowanej. Inne powtórzenia...?

A może to zwyczajny katz, efekt uboczny - może po prostu nie idzie tego rozszyfrować bez ładunku teslektryki w ciele, bez płynu ćmieczowego w mózgu. Trzeba sobie rozciemnić w głowie, dopiero -

Dosyć!

Ekspres minął bez zatrzymywania stację Kozurła. Nieboskłon pojaśniał nieco, paleta światła spływającego na ziemię bardziej odpowiadała porze letniej, odrobinę żółci, odrobinę błękitu, gdzieś biel oślepiająca - słupy światła przebite przez niewidoczne chmury. Nawet dźwięk kół pociągu brzmiał jakoś inaczej, bardziej miękko, głucho, przeciągle, dłu-dłu-dłu-DŁUK, dłu-dłu-dłu-DŁUK. Otworło się okno, wystawiło się głowę. Wiatr zmierzwił włosy, spojrzano się ku tyłowi pociągu. Zakrecał lekko na tę stronę, widać było za nim mierzącą pod horyzont linię torów. Gdy się tak patrzyło, w niebiesiech obróciły się filtry boskiego fotoplastikonu i wprost na tory za Ekspresem spadł filar słonecznego blasku, jakby aniołowie skierowali na ten punkt swoje reflektory; i zagrały wzdłuż szyn kolorowe tęcze, podniosły się seledynowe, fioletowe, różowe, purpurowe refleksy, wstążki migotliwe, jak pasma *aurora borealis*, tylko że nie na zorzach północnych, lecz na podkładach Transsibu rozciągnięte. Dłu-dłu-dłu-DŁUK. Zrozumiało się, że pociąg sunie już po szynach zimnazowych, że to są już kraje Przedzimia, dzisiaj lub jutro wjedzie się w Królestwo Lodu. Namacało się machinalnie interferograf w wewnętrznej kieszeni marynarki, Arcymistrza za

paskiem pod kamizelką. Inny odruch powodował palcami, które nerwowo obróciły pierścieniem korabiowym, w tę i w przeciwną stronę. Przekręć pierścień, wypowiedz życzenie. Zamknęło się okno. Dżinnie szczodry, zabierz mnie z tego przeklętego pociągu! Z panną Jeleną lub bez. Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyło się. Ziejcow.

- Dzień dobry.

- A tak, tak, witam, o co chodzi?

Zmieszał się nieco na ten obces. Przeczesał palcami włosy, mniej już skołtunione niż wczoraj, w ogóle prezentował się wcale porządnie, jeśli porównać do zwyczajnego stanu Filimona Romanowicza Ziejcowa, nawet garnitur jakiś świeży nałożył, jasny beż czerwono prążkowany, co prawda wielce niegustowny - ale czysty; i nie znać też było po eks-katorżniku wczorajszej popijawy, spoglądał okiem przytomnym, niezakrwionem, prosto trzymał głowę. Tylko że skonfundował się zaraz mocno i stał teraz na progu, ściskając się za łokcie i krążąc wzrokiem naokoło, jakby zapomniał, po co w ogóle do drzwi był pukał.

- No gadajcież! Bo już - a właśnie, która u was godzina?

Ziejcow wyjął zegarek.

- Po jedenastej.

- Znaczy, bliżej obiadowi. Tak? Słucham?

Podrapał się po bliźnie po odmrożonych palcach i raptem uniósł wzrok.

- Ja do was z prośbą, Wieniedikt Filipowicz. Mogę wejść? Wybaczcie, trudno mi się jakoś zebrać tu na korytarzu... Zresztą przeprosić też was muszę, na sam początek przeprosić, tak. A za co? A za to, com wczoraj naopowiadał, a przecie nie wiedziałem nic o ojcu waszym, w to musicie mi uwierzyć, że gdybym wiedział -

- Wejdźcie już, wejdźcie. Ale w czym sprawa właściwie? Bo nie pojmuję. Co wam do mojego fatra?

- No bo to dzisiaj już przy śniadaniu, dziękuję, dzisiaj już wszyscy o tym plotkują; nie żebym w towarzystwie tu brylował i w konwersacjach owych sam brał udział, chłe, chłe, wiecie, jak to jest: raz katorżnik, parjas na życie całe; ale tern bardziej ucha nadstawiam, i com z wczora zapomniał, to mi się odpomniało, jakżem usłyszał ich opowieści, pani Blutfeldowej zwłaszcza, która opowiedziała taką historję ojca waszego -

- Ach! Więc *Frau* Blutfeld opowiedziała historję ojca! No to już cały pociąg wie, nie

może być inaczej. Mówcie, mówcie.

- Ojciec Mróz, takie miano, Ojciec Mróz. Gada z lutymi, uważacie, a co im szepnie, to lute wykonują, i taki porządek Zimy kładzie się na Ziemi, tak wedle słowa ojca waszego Lód płynie przez kraje i narody, a teraz wy po co na Sybir jedziecie?

- Po co?

- Ano, tu przeprosiny złożyć muszę, nie gniewajcie się, Wieniedikt Filipowicz, nie będziecie się gniewać, prawda? - widzę przecie, że dobry z was człowiek.

- Ale o co mam się nie gniewać, do kroćset!

- Oj! Oj! Już się sierzdi, dusza gorąca. - Ziejcow sapnął, skrzywił się, wyrżał nerwowo za okno. Przesunął się przytem na posłaniu, byle dalej, i znowu zabrał się do drapania blizn. - Bo, widzicie, żebym ja tego wczoraj nie nagadał, com nagadał, o Abrahamie, o Historji, o ottiepielnikach i liedniakach, a przede wszystkim o Bierdiajewie... A oni słyszeli, jeden powtarza drugiemu piąte przez dziesiąte, i wyszło tak, że, uważacie, myśmy o tym rozmawiali, nie że ja mówiłem, ale że rozmawiali - a kto konkretnie co powiedział, nikt nie spamięta. I okazuje się teraz, że to wy opowiadaliście tak swoje plany.

- Co?

- Znaczy, po co tam jedziecie.

- Zaraz, zwolnijcie, Ziejcow, widać katzenjammer nadal okrutny mnie ściska, bo nic nie pojmuję z waszych obgadań, krążycie jak Żyd wkoło wieprza, weźcie się w garść i rzeknijcie prosto: jakie plany?

- No, żeby Historję namrozić.

- Że jak?

- Syn ze świata do Ojca Mroza z wieściami jedzie, jak obrócić bieg dziejów pod Lodem zamrożony: wte czy wewte. No. Tak wyszło. - Westchnął żałośnie. - Wybaczycie? Wieniedikt Filipowicz?

Spoglądało się na niego w milczeniu.

- Oj, gniewacie się, widzę, gniewacie.

- Wiecie, to jakaś klątwa jest.

- A?

- Nie ma dnia w tym Ekspresie cholernym, żebym się nie położył spać jednym człowiekiem, a obudził drugim.

- Ba, ludzie się zmieniają - pokiwał głową Ziejcow.

- Nie w tym rzecz. A, zresztą...! Mówcie, co to znowu za prośba.

- Ale nie przebaczyliście mi jeszcze!

- Co wy z tym przebaczeniem! Co wam jedno słowo obcego człowieka tak na sumieniu waży! Obsesjonat miłosierdzia!

Ziejcow spojrział poważnie.

- Widać wy sobie jeszcze nie zdajecie sprawy, jaką krzywdę wam niechcący wyrządziłem. A przebaczenie - przebaczenie to rzecz najpierwsza, bez przebaczenia nie ma życia, nie ma i nie może być szczęścia w życiu, bo jak to sobie wyobrażacie: cieszyć się swoimi przyjemnościami, radować swoimi radościami, gdy wiecie, że ktoś tam chowa przeciw wam słuszną urazę, bo cierpiał, cierpi za waszą sprawą? Więc co to za radość - jakbyś ucztować miał w obecności konających z głodu biedaków, którym od ust owo jądło odebrałeś, żadna ambrozja nie będzie ci wówczas słodką. Wszystko zaczyna się od przebaczenia, bo z drugiej strony, gdy sam trzymasz w sercu nienawiść albo chociaż niechęć lekką przeciw komu, to czy się możesz radować szczerze jaką i najdrobniejszą rzeczą? A widać to najwięcej, oczywista, w sprawach największych: jak kto zemstę na wrogu śmiertelnym poprzysiągł - mijają lata, dzieci i wnuczka się dochował, szacunek ludzki zdobył, majątek wypracował, czy go to cieszy, czy w spokoju na śmierć będzie się gotował, czy z uśmiechem Bogu w twarz spojrzy, nie, bo nie mógł za życia ani kwiatka powąchać, żeby zaraz czoło mu się nie marszczyło, żeby wargi się nie skrzywiły, a chmura ciemna oblicze przesłoniła: sama myśl o możliwym szczęściu wroga niszczyła szczęście własne. Dlatego to ważne, by od małych spraw już przebaczenie zacząć praktykować. Gdyż jest ono kwestią praktyki, jak sztuka jazdy konnej albo biegłość strzelecka - nie wskażesz człowieka na bulwarze i nie powiesz mu: ustrzel wróbla ze stu kroków. Nie ustrzeli. Tak samo jest z przykazaniem miłości bliźniego. Wielki to błąd - największy! - gdy przyjmuje je człowiek jak ukaz imperjalny: od wtorku jeździmy prawą stroną drogi, od środy przebaczymy. A tak często mówią kapłani, tak mówią dzieciom wychowawcy, sami źle wychowani. W przebaczeniu zaś trzeba się ćwiczyć jak sportsmeni ćwiczą swe ciała w dyscyplinach ciężkich, to jest latami, mozolnie, w bólu, od błędu do błędu, nie rzucając się od razu na sztangi rekordowe, lecz zaczynając od obciążeń najmniejszych: przebacznie nieuprzejmość, przebacznie opieszałość, proś o

przebaczenie za złe słowo nieumyślne. Tak zbudujesz w sobie mięśnie do udźwignięcia przebaczeń, które zmiążdżyły pod sobą miliony niewyćwiczonych.

...Ja was proszę, Wieniedikt Filipowicz: wybaczcie.

Mimowolnie opuściło się wzrok, ręka spoczęła na kamizelce. Wazow - ale jak on miał na imię? Jurij? Czy zdążył jeszcze odpowiedzieć przed śmiercią? Krew zalewała mu usta, mówił, ale nie słyszało się.

Potrząsnęło się głową.

- Bardzo musicie być wysokiego mniemania o ludziach, Filimon Romanowicz. Wielu, ba, większość, ba, wszyscy prawie nie mają bynajmniej żadnych problemów z życiem szczęśliwym w nieprzebaczeniu.

- Tak sądzicie. Tak sądzicie.

- No już, dobrze - się pochyliło się, ścisnęło się go za kolano - wybaczam wam, wybaczam.

- Myślicie sobie: co za trudność, wyrzec słowo - powiedzieć można wszystko; tak sobie myślicie.

- Dajcie już spokój. Jaka to prośba?

Odetchnął głębiej - oddychając, wyrzucał z płuc powietrze zatechłe złemi myślami, wydalając ekskrementy duszy, lęki nieprzetrawione.

- No tak, no tak. Przepędzicie mnie, możecie przepędzić, ale poprosić was muszę, chociaż, widzicie sami, trudno mi się zebrać na bezczelność. - Opuścił wzrok. - Powiedzcie mi: pamiętacie, co wam mówiłem o Aczuchowie, o naprawie świata według przykazań Bożych, o rewolucji ducha - pamiętacie?

- Mówiliście, pamiętam.

- A więc... A więc prośba moja jest taka: jak już będziecie rozmawiać z ojcem waszym, szepnijcie mu słówko i za tym.

Zrazu się nie zrozumiało.

- Za czym?

- Za taką drogą Historji - o to tylko was proszę - żeby dać Rosji szansę, żeby ludzie mieli szansę stanąć wolni wobec dobrego i złego, a już Królestwo Boże, jeśli nastanie, kiedy

nastanie -

- Oszaleliście!

- Oj.

- Albo spiliście się od nowa z rana. Właśnie przepraszaście mnie za to, że z waszych słów upletli plotkę fałszywą na mnie i fatra mojego - a teraz mówicie, że wierzycie w tę plotkę?!

- Plotka jest plotka, Wieniedikt Filipowicz, ja nie mówię, że mieliście taki zamiar, że po to jedziecie nad Bajkał - ale skoro już rozprawiają o tym głośno, a nie zaprzeczyliście przecie w sprawie ojca, to czy nie mogę poprosić? Nie spełnicie, jak nie będziecie chcieli. Ale co wam szkodzi? I tak rozmawiać będziecie z ojcem, a on, powiadacie, gada z lutymi, a o czym, nie wiemy, i czy Ojciec Mróz rzeczywiście zawiaduje Mrozem, nie wiemy, ale co szkodzi, jak poproszę, co szkodzi, jak on rzeknie słowo za dobrą sprawą, no gaspadin Jerosławski, przecie to żaden kłopot, a gdyby naprawdę za pana sprawą obrócił się nareszcie czas Rosji ku epoce ducha -

- Uwierzyliście! - Się złapało się za głowę. - Co to jest! Co za obłęd! Wiecie, że kłamstwo, a wierzycie!

Ziejcow przygryzł wąsa.

- Nie mnie rozsądzać Waszej Wielmożności o prawdzie, gdy ledwo się w podróży poznaliśmy. Może plotka się myli; może wpierw myliła się, ale usłyszawszy ją, z czasem uczynicie ją prawdziwą; a może prawdziwa była od początku. Nie prosiłem o wybaczenie za kłamstwo - ba, pewnie tem większa krzywda dla was, jeśli to prawda. Nie ma takiego prawa, że pani Blutfeldowa nigdy przy racji być nie może.

- Nie wam rozsądzać - powtórzyło się sucho. Wyjęło się papierosa, zapaliło się. Ciężką popielniczką uderzyło się o blat. Ziejcow potarł oko podrażnione dymem. Założyło się nogę na nogę, strzepnęło się popiół. - A więc dobrze! Powiem wam, jak jest! Po co jadę w Kraj Bajkalski? Dla dwóch tysięcy rubli. Jeden przed, drugi po. Zapłacili mi, to jadę. Ministerjum Zimy mnie najęło. Jadę, żeby gadać z Ojcem Mrozem dla Rappackiego. Ot, i macie zawiadowcę Historji. A chcecie wiedzieć więcej? Ni djabła nie wierzę w te Bierdiajewowe metafizyki dmuchane, i ni cholery mnie to wszystko nie obchodzi: jak mi cesarska Zima zapłaci tysiączek więcej, to namówię tatusia nawet na powrót Iwana Groźnego. No i? He?

Filimon Romanowicz Ziejcow wstał z ociąganiem. Obrócił się, żeby wyjść, zaplątał się w

ciasnym przedziale, nogi o nogi, i gdy wagonem mocniej zakołysało, zmuszony został pochylić się i oprzeć wyciągniętą ręką o ścianę; pochyłony, szepnął z bliska: - Wybaczyć, to najważniejsze, od tego zaczynajcie, od przebaczenia - poczem odepchnął się ku drzwiom. Chciał się jeszcze uklonić, ale znowu w ciasnocie niezbyt mu to wyszło. Wycofał się tyłem, mało na kogoś nie wpadając na korytarzu.

Tarło się czoło spoconą dłonią. Łub-łub-łub-ŁUB, wszystko przez katza okrutnego, po co było się tak unosić, przecie pijakowi dawno już pomieszało się we łbie, gada to, gada owo, a sam głupi ten, kto przejmuje się słowami głupca. *Od tego zaczynajcie, od przebaczenia.* Niby za co, niby komu? A szeptał z taką miodową litością w głosie, z takim zaszlochom w piersi, jakby skazańca pod szafotem do nawrócenia namawiał. Pijaczyna nawiedzony. Pewnie zresztą wyolbrzymił siłę tej plotki Blutfeldowej jak wszystko inne. Kto niby mógł być wczoraj słyszeć ową przy wódce rozmowę? Panna Muklanowiczówna. Pod koniec także doktor Konieszyn i kto tam jeszcze podszedł od stołu bilardowego. Dusin może, ale on w głębi się chował. Siedział ktoś bliżej? Nie pamiętało się. Blutfeldowa musiała dostać wersję z drugiej, z trzeciej ręki; co prawda jej to nigdy nie przeszkadzało -

- Można? Panie Benedykcie? Puk-puk.

Spojrzało się. O wilku myśl, wilk dziś.

- Proszę.

Jelena przymknęła za sobą drzwi.

- Usłyszałam głosy podniesione, pomyślałam, że już pan wstał.

- Słuszna dedukcja. Oczywiście, mogę stanowić rzadki przypadek somnambulicznego brzuchomówcy, to byłby twardy orzech do zgryzienia dla Sherlocka Holmesa.

- Co pan taki zgryźliwy?

- Nic. Katz.

- Ach.

Dzisiaj była w bluzce z czarnego jedwabiu, pasującej do czarnej spódnicy; miast aksamitki z rubinem, podwójny sznur białych pereł oplatał szyję, spadając na rabacik z czarnego tiulu. I ta czerń, i gorset mocniej chyba jeszcze ściskający szczupłą talję panny, i oprawa ciemnego tuszu dla oczu piwnych i kredka na wargach mocna - wszystko służyło podkreśleniu błości cery Jeleny i kruchości jej ciała. Nie jest chora, pomyślało się, ale jakże



sprawnie narzuca kłamstwo o chorobie - bez słowa. Odwróciło się spojrzenie.

- Przepraszam za to, co w nocy -

- Ależ! Przecież wiedzieliśmy z góry, czyż nie? Przecież zapowiedział pan.

- Co?

- Że będziemy kłamać.

- Więc panna kłamała.

- *Naturellement!*

Lecz przytem uśmiechała się ironicznie z paluszkami przytkniętym do kącika warg, z okiem zmrużonym. Dmuchało się dymem pod sufit.

- Panna nigdy nie spazuje.

- Mhm?

- No dobrze, o co znowu chodzi? O śniadanie proszę mnie nie męczyć: zasnęłam. Czy pan Fessar robił jakieś przykrości?

- Pan Fessar paraduje w takim śmiesznym fezie, pod spodem ma bandaż, nie odezwał się ani słowem. Za to od stołu księcia przyszło zapytanie o pana, steward zagadnął u Blutfeldów, więc nowa plotka. Co właściwie książę Błucki-Osiej ma do pana, panie Benedyckie?

- Żebym to ja wiedział. Pogardę, nic więcej..A *propos* plotki, Ziejcow mi tu naopowiadał, jakoby nasza wczorajsza z nim rozmowa, i co panna tak lekko wypaplała wtedy o moim ojcu

-

- No niestety. Został pan ambasadorem lutyh czy kimś takim.

Spojrzało się ze zgrozą. Panna Jelena wzruszyła ramionami z beztróskim uśmiechem.

- Wygodniej samemu wybierać kłamstwa, nie sądzi pan?

Pokręciło się głową.

- To wszystko minie, minie, minie.

- Zapewne. Tymczasem trzeba się zająć tym agientem liedniackim, co na pana dybie, nie zapomniął pan chyba? Jeśli chce pan żyw do Irkucka dojechać.

- Chodzi pannie o Ziejcowa? Że nie powinienem był go wpuszczać do siebie do przedziału?

- Nie myślę, żeby to był Ziejcow.

- Wczoraj się panna zaprzysięgała! Jak nie on, to nikt!

- A dzisiaj w nocy, w Omsku, dosiadł się do Luksu, na miejsce niejakiego von Pruta z wagonu drugiego, nowy podróżny, też z wykupionym biletem do Irkucka. Poznałam go na śniadaniu. Widzi pan, o tym nie pomyśleliśmy! Fogiel przecie nie twierdził, że on, ten agent, wsiadł był równo z nami. To nawet dla niego poręczniej, dosiąść się na krótko, zabić, umknąć.

- Ma panna zatem nowego podejrzanego - westchnęło się. - Kto zacz?

- Pan Porfiry Pocięgło, ponoć przemysłowiec syberyjski, a okazuje się, że z krwi i wyznania Polak, więc na pewno będzie chciał z panem pogadać. Z tym właśnie do pana przyszedłam: proszę czekać na mój znak i, broń Bóg, nie spotykać się z nim nigdzie na osobności. Należałoby bowiem urządzić to jakoś tak, żeby jedno z nas zajęło go rozmową, wtenczas drugie sprawdzi jego przedział.

- Zaczynam już pojmować panny niedopowiedzenia. „Sprawdzić”, znaczyt, włamać się. A ponieważ od włamań panna jest specjalistka, ja to mam bawić pana Pocięglę w miejscu publicznem.

- Tylko proszę czekać na mój znak.

- O, nie ma obawy, poczekam.

Panna Muklanowiczówna skierowała się do wyjścia. Wstało się, się ukloniło się teatralnie. Panna dygnęła. W progu obejrzała się jeszcze przez ramię, zmarszczyła nosek.

- Jakiej wody kolońskiej pan Benedykt używa?

- Mhm, prawdę mówiąc, nie pamiętam marki. Bo co?

- Nic. Przypomina mi kogoś. Mówiłam panu: zapachy zostają we mnie.

I zniknęła w swoim przedziale.

Na korytarzu dojrzało się prowadnika Siergieja. Przywołało się go, poprosiło się o dzbanuszek czaju z wagonowego samowara. Zapaliwszy drugiego papierosa, uchyliło się okno. Z miejsca rozszeptaly się papiery na sekretarzyku, rozszeleściły luźne kartki zabazgrane deszyframi nietrafionemi. Podniosło się kopje obu listów do ojca, pod pierwszym zapisana była treść rozkodowana; drugi pokreślony był grafami poszukującemi w kodzie urojonych regularności. Oczywiście, najpewniej rację ma ten głos kpiący zza lewego ucha, lewy anioł ironiczny, który od początku zapowiadał, że to bełkot, nie szyfr, zmyślenie, nie pamięć, nie

ma drugiego listu z drugiej przeszłości, jeno szum pusty wypluty z oćmiezonego umysłu matematyka.

Ale odzywał się i głos inny, głos z prawej strony. Drugi list, druga przeszłość, pamięć przeciwko dowodowi namacalnemu... Mimo wszystko byłby to jakiś ratunek! Fragmenty listu pierwszego, te całe zdania-hasła-rozkazy - ODWILŻ DO DNIEPRU, BRON LUTE, JAPONIA TAK, ROSJA POD LODEM, ŻYJESZ - wybuchały w myśli w niespodziewanych momentach, burząc spokój, prowokując do gniewnych grymasów i nerwowych reakcyj. Jeśli przyszłość miałyby się ułożyć spójnie z tą właśnie przeszłością, jeśli tak zamarznie, to może i nie do końca w błędzie jest Ziejcow, może plotka Blutfeldowej trafia jednak niedaleko od prawdy: rozkazują piłsudczycy ojcu, bo on rozkazuje lutym. A przynajmniej ma na nie jakiś wpływ. A syn z kolei - myślą sobie wszyscy - ma wpływ na ojca. Więc co - więc mieliby rację? Więc słusznie liedniacy nastają na życie syna? Więc jest metoda w szaleństwach marcynowców? Więc prawdziwe są strachy Fogiela?

Zawiadowca Historji! Śmiechu warte! Siorbiąc czaj gorący, od nowa się zabrało się do kryptoanalizy. Głowa ciążyła jak balon smołą wypełniony, poruszyć wte, poruszyć wewte, przeleje się w środku czarna fala i zatepie czaszką z barku na bark. Najbezpieczniej więc trzymać się zupełnie prosto, nie poruszać w ogóle. Poznać ofiarę katzenjammeru po sztywnym karku i dostojnych obrotach łepetyny. Kryptoanaliza postępowała tern trudniej, że uwaga co chwila odbiegała ku listowi już rozszyfrowanemu. Czy nie odczytało się jego sensu opacznie, czy nie dopisuje mu się znaczeń z cudzych strachów wziętych? Komisarz Preiss nigdy nie powiedział, czego właściwie chce irkucka delegatura Ministerjum Zimy. Naślą syna na ojca? Zaszantażują? Będą przekonywać? Czy bajkalscy czynownicy również podzielają wiarę bierdiajewowych ottepielników i liedniaków we wpływ Lodu na Historję? „Ojciec Mróz”...! Litości.

Jedna rzecz jeszcze zdarzyła się przed obiadem. W drodze już na obiad mianowicie, w przejściu do wagonu restauracyjnego, wpadło się - no, prawie się wpadło: się zdążyło się odsunąć od drzwi, uniknęło się więc zderzenia - z kapitanem Priwieżeńskim. Zamarł w pół kroku, na ułamek sekundy skonfundowany, nawet zamrugał niepewnie; zaraz odzyskał rezon, klepnął dłonią po kieszeni munduru i ruszył z podniesionem czołem naprzód, patrząc gdzieś obok, w powietrze, w ścianę wagonu, jakby przejście przed nim było puste i szedł, nie zwracając w ogóle uwagi na drogę - na której nikt mu nie stoi. Nie ruszyło się z miejsca. Musiał się zatrzymać. Prychnął pod wąsem, nadal spoglądając w bok. - Hrabia Mróz... - zaczął kpinę. - Hrabia Mróz udaje się na obiad - rzekło się powoli, rozpiąwszy marynarkę i

rozpinając guziki kamizelki, sięgając kanciastego zawiniątka za paskiem. Czy kapitan widział ów ruch ręki? Czy widział sygnet gruby na palcu? Prychnął ponownie. - A zejdz-że mi z oczu, liebiego nieszczęsna - warknął i cofnął się na korytarz. Nie oglądając się, weszło się do restauracyjnego. Serce biło jak rozpędzona maszyna parowa. Młuch-młuch-młuch-MŁUCH. Łub-łub-łub-ŁUB. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK. Się zachwiało się, opierając się o puste krzesło. Księżna Błucka-Osiej machała przyzywająco, wołając przez całą długość sali. Obiad. Wszyscy patrzyli. Wytrzymało się sześć kroków, zanim uśmiech przymilny, sabaczy rozparł gębę. Ale gęba była zbita i ci, co patrzyli - wszyscy - ujrzeli na niej tylko krzywy grymas aroganckiego szyderstwa. Benedykt hrabia Gyero-Saski-Mróż przysiadł się do księcia i księżnej.

### **O snach księżnej Błuckiej**

- *Pourquoi?* A sortilegia pod Czarnemi Zorzami?

- To już pan Porfiry wie najlepiej.

- Cóż, nie wszyscy zawracają sobie głowy temi przesadami.

Księżna zachnęła się, obruszona. Książę zaś parsknął ze złośliwą uciechą - konsekwentnie jednak nie odezwał się ani słowem.

- Gdyby nie ten pośpiech mojego małżonka - rzekła, ostentacyjnie nie patrząc w jego stronę - zatrzymalibyśmy się w Kraju Lutych, mogłabym się sama przekonać. Czy owe Zorze pojawiają się o określonych porach roku? Według kalendarza? Kiedy?

Pan Pocięgło przełknął kęs mięsiwa, popił winem czerwonym.

- Mhm, Wasza Wysokość, jak widzę, znacznie więcej temu poświęciła uwagi, to raczej ja mógłbym się czegoś dowiedzieć od Waszej Wysokości...

- Niech pan nie udaje, młody człowieku, przecież od dziecka pan tam mieszka, zna pan je najlepiej. Założę się, że gdybym zapaliła panu ómieczkę-

- Nawet do Peterburga to zawędrowało? - Pan Pocięgło pokręcił głową. - Moda, w końcu przeminie, jak wszystko, co opiera się na guście, a nie na korzyści praktycznej.

- A pan jak myśli, gaspadin Jerosławski?

- Czarno to widzę - mruknęło się, nie unosząc głowy znad talerza.

Czy rzeczywiście nikt z nich tego nie dostrzegał? Poćmiata opływająca sylwetkę Porfirego Pocięgły, choć wielekroć słabsza od Teslowej, przecież nie mogła ujść uwagi. Pocięgło miał oczy głęboko osadzone w kościanych koszykach oczodołów o krawędziach ostrych, wyraźnych, i starczyło, że opuścił powieki, albo obrócił głowę do światła, albo pochylił się nad stołem - i już pełgi ćmietlane gromadziły się pod brwiami, osadzały nad wysokimi policzkami, zasnuwały mgłą czarną błękitne źrenice. Na twarzy widać to było najwyraźniej, ale podobnie oćmietłały się fałdy ubioru Sybiraka, załomy garnitur, nawet metalowe guziki błyskały mrocznymi refleksami. Porfiry Pocięgło wracał do Irkucka po tygodniowej zaledwie wizycie w Omsku; miał trzydzieści trzy lata, z czego trzydzieści spędził nad Bajkałem, a z tych trzynaście już w Kraju Lutych. Najwyraźniej był jednym z tych tubylców, o których mówił wczoraj z pijacką emfazą Ziejcow: co noszą Zimę w sobie, przepaleni przez Lód, i nawet z dala odeń poznają się wzajem nieomylnie, „lutowczyki”. Przywykli nie po prostu do mrozu, jak zimownicy, lecz do Zimy wpływów pozamaterjalnych; a przecież rosło już pierwsze pokolenie poczęte i urodzone w cieniu lutych.

Księżna Błucka bardzo szybko wyciągnęła była z Pocięgły datę jego urodzin, znak zodiaku, imiona rodziców, jaki kolor i kamień szlachetny lubi, jakim patronom świętym się kłania i jakie sny ostatnio wyśnił. Książę nie uczestniczył w konwersacji, mamrocząc tylko starcze zgryźliwości do siedzącego po drugiej jego ręce Dusina. Tajny radca patrzył za ich obu: to na jednego, to na drugiego gościa przy książęcym stole, z podwójną intensywnością oczu wężowych. Unikało się jego wzroku i nie podejmowało się rozmowy w obawie, że jedno śmiałe słowo sprowokuje księcia do ponownego wybuchu; sam książę bardzo się starał spoglądać w przeciwną stronę i w ogóle sprawiał wrażenie nieskończenie zde gustowanego towarzystwem przy obiedzie. Siorbał głośniejsz niż zwykle, poruszając szczęką jak chochlą na kauczukowych zawiasach.

- Nazbyt się przyzwyczaiłem - mówił pan Pocięgło. - Pewnie w ogóle bym ich nie zauważał, gdyby nie blask kopuł Soboru Chrystusa Zbawiciela nad Angarą. Kiedy się podniesie silna Zorza, Sobór potrafi oświetlić pół miasta, w nocy widać łunę aż w Zimnym Nikołajewsku.

- Ale wróżby, ale sortilegia, i sny, sny pod Zorzami, Porfiry Danielewicz, o to pytam! Powiedzcie mi, proszę!

- Cóż. Właściwie trzeba by pytać szamanów Burjatów. Nie wiem, nigdy nawet nie kładłem tarota. Nie gra się w kości ani w karty, jeśli o to Wasze Sijatielstwo pyta. Książę

Różga w co drugim kazaniu ostrzega przed dawaniem wiary snom porannym. Mamy się na bacności, kiedy Czornoje Sijanije wisi na niebie. - Otarł usta serwetką, wyprostował się, noktaureola zamigotała wokół włosów. - Człowiek się przyzwyczaja, jak mówię, właściwie nie zauważa takich rzeczy, przecież żyje z tym na co dzień. Dopiero jak na parę dni wyjedzie z Zimy... Tu teraz wszędzie takie piękne lato. - Wyrżał na ołowiane niebo nad szarą równiną; może rzeczywiście jawił mu się ów krajobraz niewypowiedzianie urokliwym. Strach zatem pomyśleć o urodzie pejzaży Kraju Lutych. - Istnieją różnice bardziej subtelne. Wasze Sijatielstwo temu wszystkiemu naprawdę ciekawa?

- Myślałam nawet posłać kogoś z Towarzystwa specjalnie w owym celu, żeby zbadał, spisał, w Europie obwieścił.

- Towarzystwa?

- Petersburskiego Towarzystwa Teozoficznego. - Księżna nachyliła się nad blatem, łańcuszek z binoklami zawisł nad sosjerką. - Jestem jego honorową przewodniczącą.

- Ach. - Porfiry zerknął w bok, wyraźnie szukając ratunku; wcisnęło się nos w mózdzek w naleśnikach. Pocięło westchnął, poglądził brodę gęstą. - Ludzie zachowują się... jak ludzie. Tu natomiast, tak mi się wydaje, są bardziej, mhm, wywichnięci.

- Co macie na myśli?

- Taak, widzę, że trudno mi opowiedzieć. Są to przeważnie drobne rzeczy. W Kraju Lutych... Spotyka Wasze Sijatielstwo nieznanego i wie od razu, że doświadczył on niedawno zawodu miłosnego - ale skąd Wasze Sijatielstwo to wie? Nie zdążył jeszcze nic powiedzieć. Nie ma tego wypisanego na czole. Różnice w tym rodzaju. - Pocięło wyprostował się na krześle, założył na piersi kościste ramiona. - Dobrze, opowiem z własnego doświadczenia. Przedwczoraj w Omsku wstałem w środku nocy, wyszedłem na ganek i przez kilka minut krzychałem do Księżyca. Jakieś słowa bez sensu, wilcze sylaby. Sąsiedzi się pobudzili. Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem. Nie miało to przyczyny ni celu. Nie byłem wściekły, byłem spokojny.

- Wyliście do Księżyca?

- Chodzi o to, że nad Bajkałem się coś takiego nie zdarza.

Księżna zachichotała.

- Nie macie tam warjatów?

- A rzeczywiście, nie słyszałem o żadnym przypadku obłądu. Ale nie w tym sprawa: obłąd, likantropizm, to już konkrety. A mnie idzie o te rzeczy drobne, te, co przeciekają między słowami.

- Zabójstwa w afekcie? Z wielkiej miłości? Z zazdrości? Nie zdarzają się?

- Kradną ludzie na potęgę. Bójki, rozboje, oszustwa, dosyć u nas bradiagów i Kitajców, a ciągle jeszcze chłopstwo niespokojne się zjeżdża, to już taka tradycja, proszę Waszej Wysokości, od opriczniny, od Kisielowa, byle za Ural. I gdzie się muzyki zatrzymują? Oni ciągnęli jeszcze do Jakucka, który był stolica Dzikiego Wschodu i ośrodek gorączki złota, ale teraz - nowe jest syberyjskie Eldorado, to nad Bajkałem. Pół świata, dwa tuziny języków na ulicach Irkucka. I to też rzecz, której oni się dziwią - a ja się dziwiłem, że się dziwią - a mianowicie, iż nie znają ludzie wzajem swojej mowy, a zawsze jakoś się porozumieją. Nie pojmujesz słów, lecz intencja za nimi stojąca wydaje ci się zawsze oczywistą. Albo coś takiego -

Książę Błucki-Osiej podniósł się od stołu.

- Podziękujemy - mruknął. - Khm, tak, prawda, podziękujemy pięknie i pójdziemy się zdrzemnąć, moja droga, nie będę cię prosił.

Księżna również wstała, wszyscy wstali. Stewardzi zakrzętnęli się wokół stołu. Odsunęło się krzesło. Panna Muklanowiczówna dawała dyskretne znaki. Obróciło się do Pocięgły.

- Czy pan -

- Czy pan - zaczęło się równocześnie.

Zaśmiał się serdecznie.

- Coraz bliżej Zimy!

Księżna sięgnęła ponad stołem swoją laską.

- Was, was, młodzieńcze - dźgnęła nią jak floretem - hrabio-niehrabio wielu nazwisk, was tak nie wypuszczę, Porfiry Danielewicz będzie musiał nam wybaczyć, bo was ja teraz porywam, idziemy, już, już, porwałam, no!

Rozłożyło się bezradnie ręce. Panna Jelena musiała widzieć zajście. Porfiry Pocięgło skłonił się grzecznie. Obeszło się stół i podało się ramię zasuszonej starusze.

Roztaczała wkoło woń zatęchłych tkanin i ziołowych medykamentów, nawet nie ostrą, ale na tyle nieprzyjemną, by, wciągając powietrze, odruchowo odwracać głowę. Maszerowała

z upartą energią: miała tylko jeden rytm ruchu, jeden rytm mowy, jeden - oddechu. Z tak bliska słyszało się go wyraźnie: chr,:hrrr, chr, chrrr. Laska była po to, żeby zapierać się przeciw nagłym szarpnięciom pojezda. Z przodu szedł steward, otwierając i przytrzymując drzwi.

Księżna przystanąła dopiero za salonką, w wagonie wieczornym. Przy wielkim kominku marmurowym palił cygaro jednooki gentleman, sąsiad panny Muklanowiczówny. Księżna Błucka wycelowała w niego laskę. - Wy! - Gentleman zmieszał się, łypnął szklanem okiem, łypnął żywym, pochylił sztywno głowę i wyszedł. Księżna skinęła na stewarda. Podsunął jej krzesło. Mniej więcej w tym miejscu trzy dni temu odprawiała seans z ćmieczką, został jeszcze stolik, schowany za pianino. Się rozglądnęło się za innymi krzesłami - stały rzędem przy drzwiach do galerji.

- Małżonek mój... - zaczęła księżna i urwała, by złapać oddech, chr, chrrr. Ponownie się obejrzało się na te krzesła. Ale ona już oddech złapała i złapała za rękę, szarpiąc rękaw marynarki, wpijając się kościstymi palcami w nadgarstek, aż, chcąc nie chcąc, się pochyliło się ku starusze, się złamało się w pozę lokajską: zgięty w pasie niczym sługa wierny kłoniący się, ucho do ust jaśnie pani.

- ...mówi, że drań z was na cztery nogi kuty, zresztą wystarczy spojrzeć na waszą facjatę, no i co się tak szczerzycie, młody człowieku?

- Przepraszam, nie chciałem -

- I z temi kłamstwami o urodzeniu waszem, o, jeszcze pierścień - przesunęła uścisk z nadgarstka na palce - powiecie mi może, że to wasz herb rodowy?

- Nie.

- Szarlatan, mówi księżę pan, i trzeba mi się zgodzić, szarlatan, tak, ale teraz mi nie uciekniecie! teraz mnie słuchacie! teraz prawda!

Zionęła oddechem starczym, gdyby powietrze posiadało barwę, byłoby to powietrze czarne, wydychałaby czerń, to znaczy ćmiatło w gaz zdestylowane. Przymykając oczy, obróciło się głowę, niby dla przysunięcia ucha do warg księżnej Błuckiej, ale naprawdę jedynie po to, aby uwolnić się spod jej oddechu. Patrzyło się w bok, gdy ona mówiła, patrzyło się przez rzęsy na zieloną szarość tajgi przepływającej za oknami Ekspresu. Bardzo się starało się powściągnąć skore do uśmiechu przebłągalnego mięśnie twarzy, by pozostały w neutralnej symetrii, lecz gdy usłyszało się jej słowa - *teraz prawda!* - jakby pływ teslektryczny przeszedł



przez ciało, podrywając cugle wszystkich w ciele nerwów. Prawda! Hasło złowrogie, znak ostrzegawczy, broń w dłoń, pancerz na serce, pilnować duszy, będzie mowa o - prawdzie.

- Bo dlaczego unikaliście nas ciągle? Dlaczego zaproszeń nie przyjmowaliście? Dlaczego radcy uciekaliście?

- Nie uciekałem.

- O! Nie uciekał! Uciekał, dobrze wie, że uciekał, łże, nieładnie, nieładnie. Pytałam Porfirego Danielewicza, zanim się dosiedliście, pytam tu ich wszystkich, którzy znają owe strony, którzy mogliby o nim słyszeć: czy jest taki w Kraju Lutych człowiek, Ojciec Mróz, *le Père du Gel*, spowiednik lutych, jak mówicie, wasz ojciec. - I co?

- Powiada, że się nie interesował. A czy ja wam zawierzyć mogę? Nie mogę. Szarlatan jesteście. Zresztą Rasputin też szarlatan, wszyscy szarlatany. Tylko Lód prawdziwy, tylko w Lodzie zbawienie, z chłodu w chłód, człowiek się rodzi, w chłód odchodzi, im kto bliżej śmierci, tem wyraźniej czuje mróz w kościach rosnący, widzicie starców - opatuleni, zawinięci w słonku ciepłym w pięć pierzyn i futer... Co? Co tak patrzycie?

Z powrotem odwróciło się głowę ku oknu.

- Wasze Sijatielstwo zna nauki świętego Marcyna.

Zacisnęła mocniej szpony ostre.

- Znam! Wy znacie! Na dworze nie tylko Rasputin przecie - ale! ale! Że mnie od razu tknęło! Że poznałam was pierwszego dnia! Tak przemawia do nas Bóg prawdziwy, że trudno głośniej, jasnymi objawieniami. Gdyście wtedy weszli w ćmiatło, gdy blask wylał się z was oślepiający, jak staliście w drzwiach od słońca, anioł świecienia, złękłam się, że serce mi wyskoczy z piersi, myślałam, że znowu mi się co śni, czasami przysypiam w środku dnia, na godzinkę, na minutkę, budzę się, nie wiem, co, gdzie, kiedy, jaki czas, co się stało, tylko sen nagły pozostaje we mnie, i tak żeście weszli w ćmiatło, i otworzył się w was piec ognia zimnego, widziałam, jak wyjęliście z siebie ręką czerwoną piorun lodowy, ręka w ulewie beziepłej bieli, o mój Boże, od razu mnie tknęło. Śnię o was od tej pory we dnie i w nocy.

- Wasza Wysokość -

- Najpierw nie rozumiałam. Ale teraz! teraz prawda! Sami żeście się z ćmiatła wyróżyli! Syn Mroza!

- Nie wiercie mi, Wasza Wysokość. Nie wiercie sobie. To wszystko -

- Ale one się sprawdzają! O tym mówię! Słuchacie mnie teraz! Jak stanęliśmy w Jekaterynburgu - przecknęłam się w środku nocy, sen był straszny, serce bije jak młot, o was oczywiście śniłam, i odsuwam zasłonkę, i co widzę, was widzę, pod śniegiem srebrnym, pod ścianą ciemną. O, jak mnie zakłuło, tutaj, pod piersią, tylko spojrzałam, już. Księżę pan zwymyślał mnie straszliwie, ale ja wiedziałam, i jeszcze Zachary Fieafilowicz mnie przekonał, posłałam go za wami od razu z ludźmi. I co? I sprawdziło się! Wy mi chyba nie powiecie, że to przesąd durny - sny - sny, karty, sortilegja wszelakie - im bliżej Kraju Lutych, tem bardziej. Jak inaczej ma się z nami porozumiewać Bóg?

- Nie wszystko, co prawda, od Boga tylko pochodzi.

Myślało się wszakże o czym innym. Księżna Błucka należy do marcynowców dworskich, może również tajny radca Dusin, a może on tylko tak się jej jak pies wierny słucha, wychodzi na jedno - że to nie z intencji samego księcia, lecz księżnej pośpieszyli w Jekaterynburgu silnoręcy Błuckich na ratunek. I co zdarzyło się potem: księżna szuka kontaktu, Dusin coraz nachalniejszy - a czy w Jekaterynburgu nie widzieli, kto jeszcze wystąpił przeciw miejscowym marcynowcom? czy nie rozpoznali Pielki? Lecz skąd niby mieliby się znać, wyrostek z Buju i dama peterburska? Jakie są hierarchie wśród marcynowców? jakie frakcje i podziały? jak rozkazy między nimi krążą? Bo Pielka wiedział; księżna nie. Czy nie posłała Dusina, by wypytał chłopaka, jak tylko radca zdał jej sprawę z awantury w mieście? Więc Dusin idzie, środek nocy, budzi Pielkę, wyciąga z przedziału na zewnątrz, na podest, żeby w sekrecie pogadać o sprawach sekretnych, i - co się stało? co powiedział Pielka? co Dusin powiedział Pielce? jak Pielka zareagował? Pobili się? Czy księżna mogła wydać radcy taki rozkaz: „wyrzuć Pielkę z pociągu”? Przecież sama wcale nie musi teraz przyznawać całej prawdy, starcza maniera mowy nie oznacza starczego uwiadu rozumu. Ba, toż całe to jojczenie o snach, przecuciach, sortilegjach też najpewniej stanowi jeno zasłonę dymną. Przyśniło się jej, akurat! Nie temi samymi drogami, co Pielka i marcynowcy jekaterynburscy, ale mogła się przecież księżna dowiedzieć o Ojcu Mrozie i nowym pomysle ludzi Rappackiego, ot, choćby goszcząc na obiedzie samego Ministra Zimy. Nadto zna Rasputina, może być wtajemniczoną w najwyższe misterja marcynowców. Od prawadników i stewardów niczego człowiek nie wydobędzie, Dusin zastraszył ich skuteczniej, niżby ich przekupiło tuzin kupców kalibru Fessara.

W jakie kłamstwo powinna więc teraz księżna uwierzyć? Jakie kłamstwo będzie najbezpieczniejszym? Przyśni się jej coś w drugą stronę i gotowa posłać Dusina z czeladzią, żeby usunęli „szarlatana”.

- Czego Wasza Wysokość ode mnie chce?

- Wyście to, wy.

- Ja?

Zerknęła podejrzliwie w lewo i w prawo, i znowu w lewo, na stewarda, który stał przed przejściem do salonki, wyprostowany, ze wzrokiem puszczonego prosto przed się: patrzy a nie patrzy, słucha a nie słucha - jednak słucha. Księżna złapała za rękę wyżej, pod łokieć, i pociągnęła, aż naprawdę przysunęło się ucho do jej warg strupieszających; oddychała teraz w samą małżowinę, chr, chrrr.

- Imperator oszalał - szepnęła.

- O?

- Jego Imperatorska Wysokość chce iść na wojnę z lutymi. Słuchacie mnie teraz! - Pociągnęła jeszcze mocniej; się musiało się złapać oparcia krzesła, żeby nie stracić równowagi przy kolejnym chybotnięciu wagonu i nie wpaść na księżną całym ciężarem. - Kiedy go w środku nocy mara opadnie, dzwoni i krzyczy i pół dworu na nogi stawia, ministrowie i generały każą sobie doprowadzać, premiera z łóżka wyciąga, rady tajne zwołuje. Ma w Pałacu Zimowym sale wielkie, gdzie na posadzce pół świata mu odrysowano, dwa kontynenty z przyległościami, całe Imperjum Rosyjskie, i tam Gasudar' Impierator przesiaduje godzinami, gdy chimery mózgowie go dręczyć poczynają, przesiaduje i linje po Imperjum przesuwa: tu Zima, tu Lato, przestrzenie wolne od Zimy, tu miasta pod Lodem, gdzie się lute zagnieździły, tu rzeki krą zakryte, fronty Mrozu, jak daleko z Syberji rozeszły się jego fale, na tyle mu jeszcze samowładztwa w kraju pozostało, resztę zagarnęły lute - bo tak na to patrzy, tak widzi, oszalały, jakby inwazję jakąś cierpieć musiał na własnej swej ziemi, więc kiedy przychodziła wieść o nowym w Rosji mieście, w którym wymarzał luty, zdarzało się, że Jego Imperatorska Wysokość, przelęknięty, roznerwiony, zamykał się u siebie w pokojach na dni i tygodnie całe, ani go Aleksandra Fiodorowna wyciągnąć na świat mogła, ani doktory; a kiedy lute wymroziły się w Sankt Peterburgu samym i zatrzasnął się lód nad Newą i zawisło w sieciach czarnych gniazdo żywych sopli nad Placem Pałacowym, od kolumny Aleksandryjskiej do prospektu Wozniesińskiego, o, żebyście go wtedy widzieli, kazał palić do lutech z karabinów i armat, kazał ogień podkładać pod lutymi, połowa oficerów ze Sztabu i Admiralicji się zbiegła, też mu nie mogli do rozumu przemówić, dopiero profesor jakiś pruski zaaplikował Jego Wysokości Mikołajowi Aleksandrowiczowi środki uspokajające, to biedaczysko zasnął. Ale nie da się przecie upilnować Imperatora, nie da się kontrolować

każdego zamierzenia i polecenia jedynowładcy. Wszyscy się boją, że w końcu wyda Ukaz Przeciw Lodowi, że będzie próbował siłą jakoś lute przepędzić, wojsko go przecie posłucha, chociaż niby co poradzi ludzka potęga przeciw nieludzkiemu Mrozowi, ale nieszczęście, powiadam wam, nieszczęście z tego tak czy owak pewne. Jeszcze póki trwała wojna z Japonją, miał Imperator nasz na tyle rozumu, by przyjąć rację, że trzeba się wpierw z jednym wrogiem uporać - ale teraz, widzicie, rozejm i pewnie pokój, Żółte Cesarstwo odparte, kto wie, co znowu Jego Wysokości do głowy strzeli, co już mu strzeliło? Chr, chr. Tyle możemy zrobić - przynajmniej ostrzec lute, skoro nic więcej. Wasz ojciec... powiedzcie mu! koniecznie! - Zatchnęła się i chrypiała przez chwilę, łapiąc oddech. Znowu musiała obniżyć głos do szeptu. - Wieniedikt Filipowicz. Brońcie lute. Póki Lodu, póty Rosji. Są heretycy, co przekręcają słowa Marcyna dla swoich celów małych, ale prawda jest jedna. Miałam sny. Rosja to Lód, Lód to Rosja. Brońcie lute!

Spodziewała się może przysięgi uroczystej? Się wyszarpnęło się z jej uchwytu, nie miała już siły łapać ręki ponownie. Odstąpiło się o krok.

- Mówiłem, żeby mi Wasza Wysokość nie wierzyła.

- Co, powiecie może, że nie jesteście synem Ojca Mroza?

Pokręciło się głową.

- Ci marcynowcy w Jekaterynburgu - myśli Wasza Wysokość, że dlaczego chcieli mnie ubić? Boją się tego samego, co Wasza Wysokość - i właśnie to jest powód, żeby mnie żywego do ojca nie dopuścić.

- Kiedy ja mówię wam: miałam sny! I gdy tylko was zobaczyłam - od razu - wiedziałam - wiem! W waszej to mocy odwrócić los, zachować Rosję pod Lodem. Wy nie wierzycie, ale ja w was wierzę.

Umknęło się spojrzeniem. Właściwie czemu nie przysiąc jej, czego chce? Byłoby to bardzo rozsądne, bardzo bezpieczne, dobre kłamstwo. Że wstyd? Wobec kogo?

- Wasza Książęca Wysokość raczy bzdury opowiadać. Niby skąd się mój ojciec wziął na tej Syberji pośród lutech? Zesłaliście go za bunt przeciw Imperatorowi. A ta fizys krzywa - widzi Wasza Wysokość? - niby dlaczego wasz kapitan piękny obił mnie wczora na oczach wszystkich? Bom Polak. Niech mi Wasza Wysokość poda jeden powód, dla którego miałbym pragnąć ocalenia Rosji, jeden!

Księżna Błucka zamachnęła się z krzesła laską; odskoczyło się. Przez sekundę myślało

się, że ona wstanie i zacznie gonić z tą laską po sali balowej, dysząc czarnym smrodem, rżąc przez zęby krzywe, na sztywnych nogach, w kaczym chodzie chorych bioder i zgiętego kręgosłupa, jedna koścista ręka wygrażająca mściwie, druga wzniesiona nad głowę z lagą jak berłem wiedźmim - ale nie, machnęła raz i skłęsa na krzesło, zrezygnowana.

- Dobrze - sapnęła. - Miałam sny i wiem swoje, nawet jeśli wy o sobie nie wiecie, ale... Dobrze. Niech Marcyn za mnie przemówi.

- Pluję na Marcyna.

Spojrzała jak na warjata.

- Co was napadło, młody człowieku? Czemu się tak zachowujecie?

Się zaśmiało się gorzko, aż echo poszło po pustej sali.

- Dlaczego wy wszyscy chcecie, żebym bez przerwy kłamał?! Nie jestem marcynowcem! Nie jestem żadnym hrabią! Nie znam się na waszej polityce! Nic mnie Rosja nie obchodzi! Ani Polska zresztą! Ojca zaś od dziecka nie widziałem! Pluję na to wszystko! Lód, nie Lód, byłem z tego żyw i z pieniądzem wyszedł!

Spostrzegło się, że to już nie jest śmiech, w istocie coś bardzo od śmiechu różnego, bliższe szlochowi historycznemu, ów głos, co z gardła suchego w krótkich erupcjach się wydobywa. Ręce przytem drżą, roztrzepotane w równie historycznej gestykulacji, ręce drżą, a noga podskakuje na parkiecie, tap-tap, jeszcze trochę i atak nerwowy obejmie całe ciało, siła opętająca zazwyczaj dobrze skryta za uśmiechem krzywym, niepewnym wyrwie się na wolność. Się rozejrzało się w panice. Jedna ręka capnęła za kołnierzyk, druga poczęła macać za Arcymistrzem. Chichot piskliwy parł wwyż od przepony, zaraz wyprysnie przez zęby. Się zakolebało się na piętach, wagon się chybnął, poleciało się na księżną. Wyciągnęła laskę - nie żeby odepchnąć, ale by zahaczyć o ramię, tem mocniej ściągnąć w dół. Się zważyło się na kolana. Koścista dłoń księżnej Błuckiej zamknęła się na szyji nad rozpiętym kołnierzykiem stójkowym, podążyła wwyż, we włosy; księżna przycisnęła do czarnej sukni głowę bezwładnie jej na podołku złożoną.

- Ćśśś, ćśśś, cicho. - Głaskała opomadowane loki. - Już dobrze, synku, już dobrze, mama Katja wszystko rozumie, nie musisz mówić, mama Katja zna was najlepiej, możesz się jej wypłakać, możesz zespowiadać, Katja zabierze to do grobu. Myślisz, że starą Katję czym zdziwisz, myślisz, że zgorszysz, że odepchniesz prawdą złą - nie ma takiej prawdy. Nie musisz się wstydzić, ja znam was najlepiej, czterech takich synków miałam, do kogo

przybiegali się wyplakać, do mnie, do mnie. Ćśśś.

- Za-zabić mnie chcą. Nie przeży-yję.
- Nikt cię nie zabije, dasz sobie radę, zobaczysz.
- Sprze-przedałem im. Za tysiąc rubli.
- Poprosisz o przebaczenie.
- Przebaczenie. Kogo?
- Oddasz pieniądze.
- Oddam.
- Widzisz? Już ulżyło.

Pocałowało się jej dłoń (pomarszczona skóra pokryta brązowymi plamami wydzielala woń starego drewna).

- Dziękuję.
- Masz ty jaką rodzinę?
- Nie. Ojca. Nie.
- Nikogo bliskiego przy sobie? Ano tak. To najciężej.
- Przepraszam.
- Ożeń się, moje dziecko.
- Komu ja bym taką krzywdę mógł wyrządzić - nie ukochanej przecie.

- Ale czemu tak źle o sobie sądzisz? Wy wszyscy od razu w piekło gotowicie się zapaść, każdy przysięgnie, że on najgorszy człowiek na Ziemi, młodość to, młodość. Prawdziwie złych ludzi jest tak niewielu!

- Zły? - się zaśmiało się. - Kiedy mnie w ogóle nie ma. Nie ma mnie, nie ma, nie istnieję.
- Ćśśś, ćśśś.

Się uspokoiło się. Wróciła regularność oddechu, ręce powróciły pod władzę myśli świadomych: nieruchome, gdy myślało się bezruch, zamykające się i otwierające z pięści, gdy myślało się porządek i siłę. Uniosło się powieki. Zielone echa tajgi odbijały się we wnętrzu pustego wagonu, to też było w pewien sposób uspokajające. Spojrzało się w drugą stronę - a tam stoi steward, steward, o którym na chwilę się zapomniało, wyprostowany, z twarzą bez

wyrazu, oczyma niemrugającymi, patrzy a nie patrzy, słucha a nie słucha - jednak słucha. Się poderwało się na nogi.

Księżna Błucka spoglądała melancholijnie, zmęczona.

- Bardzo przepraszam. - Się ukloniło się. - Nie znajduję usprawiedliwienia. Wasza Wysokość słusznie ma mnie w pogardzie, i czcigodny małżonek Waszej Wysokości też się nie myli. Pozwolicie -

- O jedną rzecz pytaliście.

- Słucham?

- Jedną rzecz, żeby zachować Rosję. - Znalazła chusteczkę, otarła obślinione usta. - Widzicie, oto ona.

- Co takiego?

- Przebaczenie.

Się zmieszało się.

- Nie moje prawo przebaczać w imieniu -

- Nie wasze. Ale tylko żywi żywych mogą o przebaczenie prosić. Historja nie zna miłosierdzia, Historja nie przebacza. Gaspadin Jerosławski.

Podniosła rękę. Ucałowało się jej dłoń, tym razem w bardzo formalnym geście. Stuknęła dwakroć laską w parkiet. Steward otworzył drzwi. Wyszło się do salonki.

*Mademoiselle* Christine Filipov poderwała się z otomany.

- Czekam na pana i czekam! - szepnęła, wielce zdenerwowana, chwyciwszy za ramię w uścisku panicznym i ciągnąc ku sobie i przez salonkę. - On już wcale nie oddycha! Ten cerber nie chciał mnie tam wpuścić, a każda minuta-

- O czym panna -

- Prawadnik nie przekazał listu? Czemu, ach, czemu pan nie przyszedł?!

Sięgnęło się do kieszeni marynarki - był tam, nieotwarty.

- Zapomniałem.

- Zapomniał pan?! Zapomniał?!

- Głowa mnie boli. Katzenjammer ciężki. O co chodzi?

- Nikola nie żyje.

### **O śmierci w czasie przeszłym**

- Nie żyje.

Się pochyliło się nad ciałem doktora Tesli, przyciskając interferograf do oka. Światło - światło - światło - światło - światło - światło - światło.

- Nie żyje, panno Christine, ale może żyje.

Zachichotała cokolwiek histerycznie.

- Żeście się dobrali!

Zerknęło się na nią podejrzliwie.

- Co panna ma na myśli?

- *For the love of God*, niech go pan ratuje!

- Opowiedział pannie.

Zadrżały jej wargi.

- Obiecał mi pan! I co? Zamiast jego odwieść, sam pan uległ!

- Zaraz powie panna, że to moja wina; że ja go zabiłem.

Było jednak ze wszech miar godnym podziwu, jak dobrze się *mademoiselle* Filipov trzyma w tych okolicznościach. Kimkolwiek był dla niej doktor Tesla - ojcem, krewnym dalszym, kochankiem - był przecież jedyną bliską osobą w podróży przez kraj obcy, dziwny, między obcymi ludźmi, w Transsibie pośrodku dziczy azjatyckiej, w drodze na jeszcze większe ujediniemje. Teraz została sama. Czy może liczyć na ochranników? To funkcjonariusze carskiej policji politycznej, kto wie, jak naprawdę brzmiały ich rozkazy; mieli chronić doktora, nie ochronili - co zrobią? Została sama. Siedziała na krawędzi posłania naprzeciw, szarpiąc nerwowo rękawy sukni organdynowej, skubiąc warkocz jasny i co chwila nachylając się ku Nikoli, jakby wciąż jeszcze tylko czekała, aż Serb się przecknie i uniesie powieki.

Doktor Tesla spoczywał na swoim łóżku, na przeszywanej szkarłatną nicią kapie, z poduszką pod głową, głową obrócony ku oknu, za którym przesuwiała się ponura zieleń



nieskończonej tajgi, w miarę jak Ekspres oddalał się od ostatnich ośrodków cywilizacji przed przekroczeniem granicy prawdziwej Syberji i Zimy, dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, a z każdym podskokiem wagonu podskakiwało ciało Tesli i zsuwały się z kapy ułożone wzdłuż jego boków długie ręce doktora, z dłońmi skrytymi w nieskazitelnie białych rękawiczkach bawełnianych. Mankiet lewego rękawa koszuli był podciągnięty, odsłaniał nad rękawiczką czerwoną obręcz odcisku: tu Tesla owinał był sobie zimnawowy drut dynamo maszyny. Generator pozostał na stoliku, kabel spływał na dywan, wijąc się węzowo, korbka kiwała się wte i wewte. Metalowe elementy zdążyły już obeschnąć, zniknął szron ze sprzętów i ścian.

Opowieść *mademoiselle* Filipov była krótka i konkretna. Christine zagadała się z kimś po śniadaniu - wraca do przedziału, a tam mróz, ćmiatło, Tesla kręci korbą, czarne iskry sypią się mu ze skóry i z włosów, jęk przeciągły wydobywa się z ust, ale stoi, ale kręci - panna go dopada, odrywa od maszyny, sadza na posłaniu - już zimny jak śmierć - traci przytomność - serce bije coraz wolniej, po kilku godzinach bić przestaje.

Pamiętając przypadek Ünala Fessara, nie uwierzyło się pannie na słowo. Okular interferografu posłużył za trumienne lustro, przysunęło się go do warg doktora. Nie pojawił się na szkle żaden znak oddechu. Nie żyje.

- Zdarzało mu się to wcześniej?

- Co?

- Umrzeć.

- Jak pan może żartować!

- Noo, oboje sobie żartujemy. „Niech go pan ratuje!” Powstań, Łazarzu!

- Sam pan przecież powiedział: nie żyje, ale może żyje.

Postukało się w zamyśleniu o podbródek metalową tuleją.

- Nie zamarzę, jeśli rozumie panna, co mam na myśli. Ale to samo może o sobie powiedzieć kilka miliardów innych trupów spoza Kraju Lutych. To znaczy - się uśmiechnęło się pod wąsem - trupy nie mówią, ale -

*Mademoiselle* Filipov rozplakała się.

Jakże szybko się znalazło się w roli odwróconej o 180 stopni: teraz przyszło objąć płaczącą, przytulić, szeptać dobre słowa, po główce głaskać, kołysać do zapomnienia, ćśśś, ćśśś, ćśśś. Pociągała nosem. Dłonie zwinęła w miękkie piąstki, niemowlęca bezradność.

- My-myślałam, że pan - bo pan sam przecież też - a on mówił o panu -

- Co mówił?

- Że pan ro-ro-rozuuumie!

Czegóż się spodziewać po dziecku? „Mamusiu, piesek mi się zepsuł, napraw pieska!” I podsuwa pod nos martwego zwierzaka, w szeroko otwartych oczach dziecka nie pojawi się ni cień zwątpienia, od tego są dorośli, żeby doprowadzać świat do porządku.

Uspokoila się.

- Nie żyje - powtórzyła cicho.

- Może pójde po doktora Konieszyna...

- Prosiłam go, żeby nie jechał. Od początku złe nad tą podróżą wisiało.

- Uparł się.

- Tak. Sam musiał wszystkie eksperymenty wykonać, zawsze tak było. Wpierw chciał jechać tam od razu i na miejscu badania prowadzić. Wybłągałam tę Pragę. - Znalazła chusteczkę, wysiąkała nos, przeprosiła. - Wie pan, że to Nikoła oskarżali o sprowadzenie lutyh?

- Słucham?

- Tak, tak, znowu paszkwile na niego w prasie wypisywali. Po tym, jak Pierpont Morgan odmówił mu funduszy, Nikola musiał zamknąć wieżę w Wardenclyffe, jeszcze w tysiąc dziewięćset trzecim czy czwartym. Cała sprawa z Morganem... Nikola nie miałby tych wszystkich kłopotów, gdyby nie był tak ślepy na pewne oczywistości w obcowaniu z ludźmi; ale jego myśl zawsze biegła raczej ku temu, co nieoczywiste, czego nikt by w podobnym obrazie nie ujął. Tak sobie ludzi zjednywał, tak sobie ludzi zrażał. Że się nigdy nie ożenił... Bywa na ludzi ślepy; ślepy, głuchy i nieczuły. Z Morganem też chyba rozmawiał jak z miłośnikiem nauki, a nie jak z chytrym finansistą. No i stracił Wardenclyffe. - Ręka doktora Tesli zsunęła się z posłania, *mademoiselle* Filipov podniosła ją i z wielką czułością ułożyła na kapie. - Ale ponieważ od lat zapowiadał, że wyzwoli energię magnetyczną Ziemi, że będzie mógł strącać z nieba Zeppeliny i zatapiać okręty niewidzialną siłą, trzęsienia ziemi gdziebądź wywoływać... Wie pan, jaki on potrafi być melodramatyczny. I po pierwszych doniesieniach z Rosji tak to właśnie wyglądało: jakby pośrodku pustkowia na drugim końcu planety eksplodowała niewidzialna energia; czytałam artykuły w starych gazetach. A za Nikołą

ciągnęła się jeszcze ta sprawa z Colorado... - Zamilkła.

- Tak?

Christine potrząsnęła głową, wybudzając się z niebezpiecznego zamyślenia, w jakie sama sobie dała się pochwycić; póki mówiła, wszystko było dobrze, niech mówi, niech się skupi na własnych słowach, to początek wszelkich obrządków żałobnych - wspomnianie zmarłych.

- W lipcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego w laboratorium w Colorado Springs, kiedy pracował nad rejestracją pulsu elektrycznego Ziemi, dobrze mówię, pulsu elektrycznego - odebrał wtedy z kosmosu sygnał, powtarzające się ciągi liczb. Proszę pamiętać, nie było jeszcze na Ziemi żadnych nadajników radiowych. Nikola obliczył, że sygnał pochodzi z Marsa. Z miejsca ogłosił to w prasie. - Spojrzała z delikatnym uśmiechem na martwą twarz wynalazcy. - Nigdy w sobie nie wątpił, tym najbardziej sobie szkodził. Matka opowiadała mi...

- Tak?

- I kiedy dostał to zlecenie od cara, najpierw tylko na badania zbrojeniowe, bo dopiero na wiosnę zeszłego roku kontrakt jasny przeciwko lutym - z trudem namówiliśmy go na utrzymanie sprawy w tajemnicy. Strasznie się bał, że znowu ktoś go wyprzedzi i zabezpieczy przed nim patenty; żeby pan wiedział, ile nerwów go to kosztowało! Spotkał się z inżynierami z Sibirchożeta, oni go chyba dopiero przekonali. Zna pan ten przesąd? Że w Kraju Lutych nie sposób wymyślić niczego naprawdę nowego, wszystkich przełomowych odkryć w sprawach zimnazowych dokonywano gdzie indziej, inżynierowie mówili, że specjalnie wyjeżdżają do Władywostoku, do Tomaska, ażeby głowy sobie otworzyć. Jak już wpadną na pomysł, to jadą z powrotem, bo same obliczenia, praca rozumowa, to nad Bajkałem idzie wyjątkowo łatwo - ale jak czego nie masz w pamięci wcześniej, tego u lutych nie wlamiesz do myśli za żadne skarby świata. A cóż większy lęk u Nikoli budzi, niż że stanie się jak inni ludzie, myślący jak oni myślą, dostrzegający tylko oczywistości już dostrzeżone? Może i więcej byłoby w nim wtedy normalnego człowieka - ale mniej gienjusza. Trzeba panu wiedzieć, że Nikola jest przesądny, wierzy we wszystkie takie -

- Zaraz, panno Christine, co panna opowiada, przecież on pompował się tą ćmieczą właśnie po to, żeby sobie umysł rozjaśnić, sam mi mówił.

- Musiał pan go źle zrozumieć. Do pracy późno w nocy albo kiedy trzeba było śpieszyć się z konstrukcją prototypów, to owszem; ale dla myśli nowych i tej odrobiny szaleństwa -

- Co?

Się poderwało się. Doskoczyło się do stolika, złapało się za korbę, za kabel zimnawowy, zakręciło się dynamem. Poszła po drucie ćmiecz, zamigotało w maszynie ćmiatło blade, ttrrrrrrrr, chłód piekący wszedł w dłoń, w przedramię.

- Co pan robi?! Pan to rzuci!

Wyrwała kabel, drugą ręką zatrzymała korbę, przerażona, zagniewana.

Odstąpiło się.

- Pamięć, dla pamięci - mrucało się pod nosem. - On się pytał nie o takie efekty, nie o takie, sam przecież nie wiedział, eksperymentował.

- Panie Benedyckie!

Schowało się interferograf.

- Człowiek, który żyje pamięcią... Mówiła panna, że on rozmawia z nieistniejącymi ludźmi, że myli wyobrażenia z rzeczywistością? Dzisiaj przy obiedzie przemysłowiec z Irkucka opowiadał o lokalnych cziudacziestwach: otóż nie ma w Kraju Lutych warjatów.

Panna Filipov zmarszczyła brwi.

- Czy pan się dobrze -

- Nie ma warjatów! Nie pojmuje panna? To nie po to Nikola chodził do wagonu z arsenałem Lata! Tu miał dynamo maszynę, ale tam - nie pokazał mi, przepiął kabel do czarnej soli, przestawił aparaturę ukrytą, wyciągnął zwierciadło tungetytowe - tam ma pływnice do odwrotnej roboty przeznaczone! Boże drogi, mówił mi przecież otwarcie: jak zabić lute - ano tylko tak: bynajmniej nie zalewając je jeszcze większą ćmieczą, lecz wysysając z nich ćmiecz wszelką! Jak prąd elektryczny, czy do katody, czy do anody płynie, zawsze to prąd; tak i dwa kierunki są pływu Tesli: więcej ćmieczy - mniej ćmieczy. Rozumie panna? To jest sposób na szaleństwo, to jest sposób na myśli odkrywcze, przez nikogo wcześniej niepomysłane, maszyna cudowna poetów i wynalazców - to jest pompa logiki Kotarbińskiego! Ten sam pływ, tyle że w przeciwną stronę obrócony! Arsenał Lata: to, co ani jest, ani nie jest, ani prawda, ani fałsz, ani tak, ani nie - spojrzęło się na zwłoki Nikoli Tesli - ani żywe, ani martwe, panno Christine, ani żywe, ani martwe! Następny przystanek! Kiedy? Gdzie? Która jest godzina?!

Ręce się jej trzęsły. Wyciągnęła z szuflady swój egzemplarz *Putiewaditiela*,

przekartkowała nerwowo.

- Nie wiem, ile mamy opóźnienia - jęknęła. - Nowonikołajewsk? Widział pan może, jaką stację ostatnią -

- Zaraz.

Wypadło się na korytarz. Przedział prowadnika znajdował się na końcu wagonu, przed łazienkami. Zastało się człowieka z paluchami w maśle i z kielbasą między zębami. Mało co, a skrzusiłby się śmiertelnie. W odpowiedzi na pytanie gwałtowne wskazał najpierw na zegar mały stojący nad samowarem, potem na rozkład jazdy przyszpilony do drzwi, z ręcznymi dopiskami dokonanymi czerwonym atramentem, zamasytą, fikuśną cyrylicą. Dla jej odczytania musiało się niemal przytknąć nos do papieru. Nowonikołajewsk, postój godzinny za minut dwadzieścia osiem. Dwadzieścia siedem. Czas ucieka, pobiegło się z powrotem do atdielienja Tesli.

Złapało się za ramię doktora (skóra zimna jak lód), szarpnęło się. *Mademoiselle* Filipov krzyknęła cicho.

- Co pan robi?!

- A jednak, pioruny, ciężkie te trupy - sapnęło się. - Moja panno, weźcie się lepiej od razu potraktujcie jakimiś solami trzeźwiącemi, bo będę potrzebować waszej pomocy, i ręki, i głowy sprawnej.

- Ale-

- Za pół godziny Nikola musi się znaleźć w swoim wagonie towarowym, spróbuję dokonać cudu. Teraz - wzięło się kilka głębszych oddechów, usiadło się w nogach łoża zmarłego, otarło się czoło - teraz musimy pomyśleć, jak to przeprowadzić. Kto przeniesie. I jak. Żeby zbiegowiska na stacji nie sprowokować i nie ściągnąć tłumu do arsenału Lata; pan Tesla nigdy by mi nie darował. Myślę, że powinna panna zaraz po zatrzymaniu pociągu zapukać do tamtego wagonu i sprowadzić tu tych dwóch agentów, pannę znając najlepiej, posłuchają; wtedy szybko -

Panna Christine wymontowała z dynamomaszyny korbkę i, pochyliwszy się nad posłaniem pustym, uderzyła drewnianą rączką w ścianę, łup, łup, łup, trzy razy, raz po razie.

Spojrzało się pytająco. Odłożyła korbkę. Otworzyły się drzwi i do przedziału wpadł Paweł Władimirowicz Fogiel z Nagantem w dłoni.

- Panie dokto -

- Schowajcie to działo! - warknęło się na siwowłosego ochrannika, bo, zapatrzony na zwłoki Tesli, zamarł on z bronią nacelowaną niebezpiecznie, z palcem napiętym na spuście, mrugający ptasio we wzburzeniu wielkim.

- Coś mu się stało? - spytał słabo.

- Pan doktor nie żyje - stwierdziła Christine Filipov. - Jak tylko pociąg stanie w Nowonikołajewsku, musimy przenieść Nikolę do towarowego. Pójdziecie po Olega.

- Nie żyje?

- Schowajcie to!

Schował rewolwer. Nasadziwszy cwikier na nos, zbliżył się do ciała Tesli. Ujął ostrożnie nadgarstek trupa. Przez chwilę zdawał się mierzyć mu puls; spoglądał przytem pustym wzrokiem na stojący pod oknem generator teslektryczny.

- Tak - mruknął i przeżegnał się powoli, z biurokratyczną skrupulatnością. - Będziemy musieli zatelegrafować. Panna poświadczy, że to był wypadek? Że nie mogliśmy nijak zapobiec?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Co?

- Czy trzeba będzie świadczyć. - Christine uciekła wzrokiem, zawięła na palce warkocz.

- Pan Benedykt panu powie.

Wstało się, ujęło się starego policjanta za ramię.

- Musicie zorganizować kufer, jak największy, pusty oczywiście, żeby się ciało doktora pomieściło bez trudu. Przeniesiemy go w kufrze.

Fogiel poprawił szkła, zmarszczył brwi.

- Po co?

- Sami zobaczycie. Co macie do stracenia? Teraz jest martwy, bardziej wam nie zaszkodzi. No idźcie już, czas ucieka! Kufer, duży!

Wyszedł, w progu jeszcze się oglądając na wyciągniętego na szkarłatnej kapie Serba - długie nogi wystające poza posłanie, ręka w białej rękawiczce zsuwająca się powoli na dywan, chusta na szyji rozplątana, sińce krwawe ukazująca, a z rozczesanych na boki

czarnych włosów biały lok opadający na skroń wysklepioną - stanął Fogiel i gapił się, aż zamknęło się drzwi.

- Posłucha?

Z panny Christine z powrotem uszedł duch, osunęła się przy ścianie pod oknem, czoło klejąc do szyby zimnej.

- Może. Chyba tak. Powinien.

- Myślałem, że podróżuje w służbowym za tendrem.

- Przeniósł się na miejsce Wazowa. Zostawili puste przedziały do Irkucka.

- Ach!

Wazow i ten drugi, z czerepem przez Wazowa rozłupanym, zapomniało się jego nazwiska, dwaj aniołowie stróże od początku asygnowani do ochrony Nikoli Tesli, oni mieli wykupione miejsca w Luksie, i rzeczywiście, po śmierci pozostawili przedziały puste, zapewne właśnie te dwie jedyne po obu stronach atdielienja Nikoli Tesli i Christine Filipov - to byłoby logiczne. I Fogiel przeniósł się do jednego z nich, niewątpliwie za wiedzą przewodnika. Niemniej nie posiadał biletu, nie był pełnoprawnym pasażerem; nie pokazywał się na posiłkach, najpewniej w ogóle nie opuszczał przedziału. (Wyjawszy nocne wizyty w sąsiednich wagonach dla zastraszenia wchodzących mu w paradę pasażerów). Pilnował Tesli.

- Pan naprawdę ma nadzieję... że... Nikołą...

- Jeszcze nie dotarliśmy do krain Lodu, panno Christine, jeszcze jest miejsce na kłamstwo, nawet to największe.

Zapaliło się papierosa. Byłoby w pewien sposób niepokojącym, jak nagle wszystko wyjaśnia się i układa w porządku przyjemnym dla umysłu - gdyby nie świadomość, że nie jest to bynajmniej pierwsze tak doskonale wyjaśnienie; każde uprzednie rychło zaś okazywało się fałszywym, a przynajmniej niepełnym. W końcu mamy tu do czynienia z nową dziedziną wiedzy, nową nauką - nauką o ćmietle, o teslektryczności, o fizykalnych podstawach logiki - i tak też w trakcie owej podróży do serca Zimy podróżuje się przez kolejne epoki historii nauki, teoria zastępuje teorię, hipoteza wypiera hipotezę.

...Otóż zostało się odmieczonym, Nikola Tesla odwrócił kierunek pływu w tej swojej maszynie i kiedy chwyciło się za zimnazową iglicę, ćmiec bynajmniej nie wlała się w ciało, lecz została z niego wyssana. Pamięta się: kryształ soli - jako jeden z nielicznych w słoju - z

początku nie był czarny. Pamięta się: że się zapomniało całe zdarzenie, od schwycenia do puszczenia kabla. Teraz rozumie się słowa doktora Tesli. Arsenał Lata. Zabić lute. Każdy organizm, każda struktura biologiczna posiada nie tylko określony ładunek elektryczny, lecz także teslektryczny: jest naczyniem ćmieczy. W stanie naturalnym na Ziemi pozostają one nie do końca wypełnionymi. (Zapewne da się jakoś obliczyć maksymalną pojemność danej struktury oraz stopień jej oćmieczenia. O ile takowe maksimum istnieje. Czy bowiem Nikola nie wspominał o teslektryczności spływie nieograniczonym...?) Lato jest królestwem prawdziwych kłamstw i kłamliwych prawd. Natomiast Zima nie dopuszcza niczego pomiędzy prawdą i fałszem. Lute, dzieci Zimy, żyją w wielkim zalewie ćmieczy. Tak jak można odpompować ćmiecz z lutego, tak można odpompować ją z każdego innego organizmu, ile jej w sobie nosi. Czy człowiek całkowicie odćmieczonej - „rozmrózony” - będzie jeszcze żył? to znaczy, czy będzie można cokolwiek rzec o nim ze skończoną pewnością: że żyje, że nie żyje, że jest, że go nie ma? czy też wszelkie twierdzenia o nim będą równie prawdziwie-nieprawdziwe i po równo przynależać mu będą wszystkie atrybuty bytu-niebytu? Czy Nikola Tesla przeprowadził takie eksperymenty na ludziach? albo na zwierzętach? Bez wątplenia liczy, że dla lutech okaże się pompa Kotarbińskiego narzędziem zguby.

...Zatem zostało się odćmieczonej, a niedobór i nadmiar ćmieczy objawiają się dla widzącego oka jednakowo: owymi drobnymi fenomenami światła, światła i ćmiałta, cienia i świecienia. Czy magnes przyłożony jest dolnym, czy górnym biegunem - siła ta sama; czy prąd elektryczny płynie w tę, czy w tę stronę - siła ta sama. Ale już nacisk bezpośredni na organizm i umysł, on różny jest przy niedoborze i nadmiarze ćmieczy.

...Teraz wszystko się układa w głowie niebezpiecznie gładko, wszystko do siebie pasuje: bo i drugi list piłsudczyków wydobyty z „fałszywej” pamięci, i te podejrzenie łatwe olśnienia i dedukcje minionego dnia, i nocne opowieści... Zostało się odćmieczonej, odpompowano logikę jedynoprawdy i jedynofałszu. Z czasem efekt zanika, poziomy ćmieczy się wyrównują do średniej lokalnej Lata. Lub Zimy, gdzie średnia ćmieczy jest znacznie wyższa - stąd zapowiedzi Ziejcowa i Pocięły: to inny kraj, ludzie nabierają tam innych nawyków, zmienia się sposób myślenia, inne prawa tam rządzą, Bóg-Samodzierzca przerzucił wajchę.

Położyło się dłoń na obudowie dynamomaszyny Tesli. Nie była już nawet zimna. Wpierw pomyślało się, czyby jednak nie zakręcić korbą i nie doćmieczyć się dla zdrowej równowagi. Ale minęła już prawie doba, nawet w lustrze nie widać różnicy. Poza tym - czy rzeczywiście tego się pragnęło: doćmieczenia? więcej Mrozu?



Wyciągnęło się sakwę spod stolika, zapakowało się w nią generator, kabel, korbę. Kluczyka nigdzie się nie znalazło; nie zamierzało się przeszukiwać kieszeni trupa. Szafa na szczęście nie była zamknięta. Wrzuciło się do środka ciężką torbę, załomotała o drewniane dno. Panna Filipov poderwała głowę, jakby niespodzianie wybudzona; może naprawdę się obudziła, przysnęło się jej z policzkiem przyciśniętym do szyby, pozostał czerwony odcisk na skórze. Chwilę mrugała zdumiona, na nowo orjentując się w sytuacji: zwłoki Nikoli na posłaniu, obcy mężczyzna krząta się po przedziale. We śnie ludzie puchną; rozespani, obracają ku światłu twarze miękkie, rozpulchnione, oblicza pełniejsze, krągłejsze. Jasnowłosa Christine zdała się teraz dziewczynką ledwo rozkwitającą, o buzi cherubinowej, oczach wielkich, witrażowo błękitnych. Nawet niezdecydowany ruch ręki, gest ścięty w połowie, on również opowiadał dziecięcą bezradność i zagubienie. Spała - to też jest rodzaj ucieczki.

Odkleilo się papierosa z wargi i uchyliwszy okno, strzepnęło się popiół na wiatr. Chłodne powietrze nadymało czarne zasłonki nad łóżem zmarłego. *Mademoiselle* Filipov wzięła kilka głębszych oddechów.

- Wróci panna? - spytało się cicho.

- Tak. - Przełknęła ślinę. - Najpierw do Pragi, muszę zająć się Czito, jego asystentem; potem do Ameryki.

- Co się stanie z tamtym wagonem? Z jego zawartością? Maszynami i całą resztą?

- I tak wszystko należy do cara.

- Ma kogoś, kto się na tym zna?

Christine zerknęła na martwego wynalazcę.

- Sam Nikola się nie znał, nikt się nie znał; nie znają się nawet inżynierowie z Zimnego Nikolaiewska. Inaczej można byłoby pójść i spytać. Albo wyczytałoby się o tym w jakichś książkach, nie sądzi pan?

- Chodzi mi o to... czy ktoś będzie kontynuował eksperymenta doktora Tesli? czy podejmie pracę, wykorzysta te odkrycia?

Christine uniosła wzrok.

Przeżegnało się energicznie.

- A broń mnie Bóg! Niech panna tak na mnie nie patrzy! Nie dlatego pytam, naprawdę! Zresztą ja w ogóle nie mam o tym pojęcia!

Zasłoniła usta dłonią.

- A ja prawie panu uwierzyłam! Że wie pan, co robi. Że jak go tam przeniesiemy... że, jak mówił Nikola, pan się domyślił czegoś więcej i -

- Zmartwychwstanie.

- Co?

Się zaciągnęło się dymem.

- Mówię na głos, żeby sprawdzić, czy sam się nie zaśmieję. Zmartwychwstanie, wskrzeszenie, z grobu podniesienie, rezurekcja ciała.

Nachyliła się przez szerokość przedziału i poprawiła doktorowi Tesli chustę na szyji.

- Pewnie niepotrzebnie pana w ogóle kłopotalam, powinnam była powiadomić prowadnika i niech złożą je do trumny, a nie po kufkach zwłoki Nikoli bezcześcić, przepraszam, wiem, że zachowuję się karygodnie, widzi pan, nie płaczę już, przepraszam. To wszystko nie ma sensu. - Wstała. - Pozwoli pan, że -

- Panna mnie wyprasza? Nie śpieszy mi się nigdzie.

Się usadowiło się na krześle.

- Co jest potrzebne do zmartwychwstania? Nie trup. Panna spocznie, opowiem i panna zmiarkuje, czy jest sens męczyć się z kufrem. Taak. Do zmartwychwstania - nie trup. Potrzebny jest człowiek żywy i pamięć co najmniej jednego świadka, że żywy był ongi trupem.

...Bo, widzi panna, jest tylko terażniejszość: terażniejszy Benedykt Gierosławski, terażniejsza Christine Filipov, terażniejszy papieros, terażniejszy pociąg, terażniejsze ciało Nikoli Tesli. Ich przeszłość i przyszłość - one domarzają do terażniejszości rozmaitemi kształtami możliwymi. Albowiem nie istnieje przecież wczorajsza Christine Filipov i nie istnieje jutrzejsza Christine Filipov.

...Ale: do terażniejszości należą także nasze umysły, i ich wyobrażenia przyszłości, i ich pamięć przeszłości. Ponieważ jednak pamięć tak trudno przyłapać na kłamstwie, a wyobrażenie dnia jutrzejszego zawsze podlega ostrej weryfikacji, uważamy pamięć za pewną, i za pewną - odbitą w pamięci przeszłość. Ale, panno Christine, to złudzenie terażniejszego umysłu! Czy nie zdarzyło się pannie nigdy, że pamiętała jakieś zdarzenie minione jasno i wyraźnie, a inni jego świadkowie pamiętali je zupełnie inaczej? Czyżby kłamali? Nic

podobnego. Do terażniejszości prowadzi milion dróg, i milion dróg z niej wybiega. Grywa panna w szachy? Jak często się przydarza, że spojrzawszy na szachownicę, wie panna z całą pewnością, jaki był układ na niej figur ruch wcześniej i jaki będzie - ruch później? Jak często z układu obecnego można odtworzyć tylko i wyłącznie jeden układ przeszły?

...Jakże rzadkie są w dominjach Lata momenty, gdy to, co możliwe, pokrywa się w zupełności z tym, co konieczne!

...Pan Ziejcow służyłby wiedzą pewniejszą, ale wszyscy znamy przecież historie zmartwychwstań biblijnych. Jak Jezus podnosił z grobu? Przychodzi do niego dostojnik świątynny, ręce załamuje, szatę całuje, Mistrzu, córeczka mi zmarła, martwa w domu leży, rodzina oplakuje dziewczę ścięte zanim rozkwitłe, ale wierzę, że w Twojej mocy jest ją z martwych wrócić, jeśli tylko zechcesz, czy zechcesz? Jezus idzie do domu zmarłej, między żałobników, czemu płaczecie, pyta - niech panna uważa - czemu płaczecie, bo dziecko umarło, mówią, i wszyscy wiedzą, że umarło. Ależ nie, rzecze Jezus, ona nie umarła, śpi tylko. I idzie do izby żałobnej, nad marami się pochyla, powstań, panienko, szepcze. I dziewczeczka wstaje. Wyobraża sobie panna zdumienie rodziny. A więc wskrzesił! Co zrobił! Cud! Śmierci wyrwał dziewczę w śmierć już zapadłe: nie żyło, teraz żyje. Ależ nie, rzecze Jezus, ona teraz żyje, lecz przedtem spała tylko. Nie mówcie o tym nikomu, zabraniam. Żle pamiętacie, oto macie ją przecież przed sobą oddychającą. Pojmuje panna? Co On zrobił - czy mógł zmienić przeszłość, skoro przeszłości nie ma? Na koniec pozostaje bowiem wyłącznie zawodna pamięć świadków. Liczy się stan terażniejszy - jedynie terażniejsza córka dostojnika istnieje - a przeszłość przymarza w naszych oczach taka, jaką najłatwiej rozumem obejmujemy, to znaczy najprostsza z możliwych. „Spała tylko”.

Ekspres szarpnął, kończąc hamowanie, i ciało Nikoli Tesli zsunęło się wraz z kapą; złapało się je obiema rękoma, upuszczając niedopałek na dywan. Otworzyły się drzwi, pan Fogiel wsunął siwą głowę. - Jest kufer, idę po Olega. - Za oknem przepłynął budynek dworca w Nowonikołajewsku i szereg wagonów towarowych na bocznicę.

*Mademoiselle* Filipov wysiąkała nos.

- Co pan mówi - nie wierzę, zresztą nie rozumiem. Ale jak pan to mówi - panie Benedykcie - on mówił tak samo, *or is it my memory playing tricks on me, so I could hear him once more, his manner of speaking, his manner of thinking*, dokładnie tak samo - temu zawierzę.

- Gdzie ten kufer?

Poczem nastąpiła kolejna komedia trupia, czyli walka w luksusowej ciasnocie Ekspresu Transsyberyjskiego z ciałem martwym, bezwładnym. Zaraz bowiem po zatrzymaniu pociągu powstał ruch na korytarzu i w przejściach; trzeba było zamknąć drzwi i mieć się na baczności przed przypadkowymi wściubinosami. Wykradziony lub wykupiony przez Pawła Władimirowicza kufer (może po prostu kufer opróżniony z bagażu martwego ochrannika) czekał w atdielienju po prawej; gdy Fogiel wrócił z Olegiem, przenieśli pudło puste do numeru Tesli, blokując przytem korytarz na dobrą minutę, bo już w trakcie operacji okazało się, że nawet podwójny *compartiment* nie pomieści wielkiej skrzyni podróźnej, czworga osób żywych oraz jednego trupa - nasampierw więc wyprosiła się *mademoiselle* Filipov, uciekając na wysypany żwirem i kamieniem peron stacji Nowonikołajewsk (dawniej: Obóz Ob). Samotrzcę się zabrało się do pakowania Nikoli Tesli do kufra. Trzeba też było zamknąć i zasłonić okno wychodzące na parterowy budynek dworca, gdzie teraz, z okazji przejazdu Transsibu, zebrało się chyba pół mieściny i gwar iście jarmarczny panował, oboje drzwi pod stromemi frontonami było szeroko otwartych, w niskich oknach siedzieli urzędnicy i insze darmożjady, a na peronie i między torami kręcili się sprzedawcy i agienci pocztowi, inarodcy o azjatyckich twarzach, w ubraniach europejskich i w skórzanych strojach plemiennych, a w ogródku po prawej, za biało pomalowanym płotem, jazgotały półdzikie kundły, zagłuszając nawet straszliwy klekot zardzewiałej drezyny, która wlokła się po drugim torze z trójką uroczyście umundurowanych żeliezniadaroźników na platformie. Na dodatek lokomotywa bynajmniej nie zagasła i nie zamilkła; gwizdząc, sapiąc i powizgując stała o stal, z jakiejś przyczyny co chwila szarpała całym składem, cał wte, cał wewte, ale to mogło wystarczyć: zagapi się człowiek, straci równowagę i wpadnie do skrzyni w objęcia trupa, pyskiem naprzód. Zamknęło się okno, więc harmider stacyjny przycichł nieco, za to w przedziale wokamgnieniu zrobiło się gorąco, duszno i parno nie do wytrzymania. Ciało wynalazcy jeszcze się nie zaśmierdło, łaska Boska. Ale Olegowi niewiele było trzeba - słusznej tuszy będąc, zasapał się zaraz, lico mu pobladło, pot na czoło mięsiste wystąpił, i już-już głaza mu się białkami do góry obracały, już kolana się pod nim gięły - puścił wieko kufra, wagon szarpnął, Oleg zemdłał. Ale ponieważ puścił wieko kufra, padł na szczęście nie na zwłoki, lecz już na skrzynię zamkniętą. Trza było cucić ochrannika. Czas uciekał. Na powrót otworzyło się okno, nie odsuwając zasłonek. Znowu zawyły sabaki, zahuczał parowóz, rozkrzyczeli się ludzie. Pan Fogiel usiłował obrócić Olega na plecy, coby móc go spoliczkować, ale zadanie okazało się ponad siły siwego policjanta; tylko się Oleg przekręcił w skos na wypukłej pokrywie, nogi rozjechały mu się na boki, łeb stuknął o blat stolika, z kieszeni posypała się machorka, monety miedziane i srebrne - złapało się Olega za kołnierz,

ręce opadły mu na dywan, nogi rozjechały się jeszcze bardziej i pośrodku żelazem obitej trumny Nikoli Tesli wypiętrzał się teraz ogromny zad ochrannika, lewa półkula, prawa półkula, balony wodne napinające czarny szewiot, a co ruszył pociąg, to przechodziły po nich kolejne fale i drgawki, a kiedy rozeźlony ponad ludzką cierpliwość Paweł Władimirowicz Fogiel zabrał się jednak do policzkowania, bijąc rytmicznie w lewą półkulę, w prawą półkulę, Oleg Iwanowicz, przytomniejący powoli, podskakiwał na tym kufrze nieprzystojnie, łomocząc nim i tłukąc o sprzęty w przedziale, aż rysy długie wybił na drzwiach szafy, zmiażdżył strąconą na podłogę popielniczkę, łomocząc, łomocząc jak potępieniec. - Umarłego by obudził! - zawołał w świętem oburzeniu pan Fogiel, potrząsając nad głową spracowaną prawicą. Się śmiało się.

Targało się potem ten kufer wedle składu Transsibu po zwirowym peronie; zaraz pojawiły się chętne nasilszcziki, ale odpędziło się ich przekleństwem. Ocucony Oleg dźwigał skrzynię z przodu, stary Fogiel pomagał z tyłu. *Mademoiselle* Filipov pośpieszyła uprzedzić Stiepana. Trudno było zgrać kroki, kufer kolebał się niebezpiecznie, czuło się, jak wewnątrz obraca się i objija ciało Serba, jego długie kończyny i głowa ptasia. Należało przenieść ciężar jak najszybciej, zanim przylepi się któryś z pasażerów, ktoś znajomy z Luksu; drobiło się kroki w półbiegu. Z drugiej strony - właśnie ów pośpiech mógł wszystko zdradzić.

Jakby rzeka Ob stanowiła naturalną granicę frontu pogodowego, niebo nad Nowonikołajewskiem utraciło posępną barwę ołowianą i rozśłoneczniło się jaskrawo, spuszczając na dworzec, na jego biały budynek, biały płot, biały żwir, biały piasek - lawiny oślepiającego światła. Były takie miejsca, takie kierunki spojrzenia, na których biel przemnożona przez biel wypalała z obrazu wszelki kolor i kształt i skalę, i spoglądało się wtedy w nieskończonej głębokości dziury w materji świata, ogniska gorącej nicości - tu, tu, tam, połączone sieciami refleksów, niemi promieni słonecznych - nad dachem dworca, za ogrodem, w chmurach nad Nowonikołajewskiem, na szybie wagonu, w perspektywie linii kolejowej. Czmuch, czmucha, czmuff, tak z białej nicości wyłoniła się bryła lokomotywy sunącej powoli po bocznym torze - mrużyło się oczy, patrząc wprost na nią, obok ramienia zadyszanego Olega - najpierw bryła, potem, opóźnione, zassane w biel, długie tęcze zimnawowe, łuki i bańki migotliwych kolorów, okrywające parowóz jak wydęte przez wiatr żagle czteromasztowego galeonu; i im bardziej parowóz oddalał się od słonecznej dziury, tem potężniej obrastał wielobarwnymi tęczkami, aż zrównał się z ostatnim wagonem Transsibu i wówczas rozwinął pełen takielunek akwarelowych widm, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów nad kominem, i w równie szeroko rozłożonych na boki skrzydłach: ociężała machina

węglowa w glorii motyli blasków. Była to lokomotywa wykonana w całości z żelaza. Była to lokomotywa w całości zaprojektowana dla żelaza: nie kopia maszyn starych, lecz maszyna de facto nowa. Ujrzało się wtedy po raz pierwszy w tej skali technologię epoki Lodu. Jej estetykę zapowiedział już Grossmajster - ale to nie było narzędzie proste, które można ująć w dłoń; to była lokomotywa. Cienkie jak bibuła koła o pajęczych szprychach obracały się po bokach czarnej gąsienicy, każde dwakroć od gąsienicy wyższe; wygięty w łuskowaty odwłok dach parowozu zdawał się wisieć na osiach tych kół. Komin nie wyrastał pośrodku czoła czarnego robaka - odwijał się parabolicznie od lewej jego skroni, jedyny ocalały róg bestji. Szary dym wydobywał się zeń, począwszy od dwóch trzecich wysokości, nie bijąc w górę jedną strugą, lecz rozpościerając się za drzewcem komina szerokim sztandarem. Asymetria maszyny była widoczna w każdym elemencie, nawet okna pociągnięto w skos jej frontu, że przypominały jedno zmrużone ślepie wilcze; szyby w nich raz odbijały jasne refleksy, raz okazywały się całkowicie przezroczyste, by mgnienie oka później zaciągnąć się inkaustowymi kleksami, mgnienie później - kalejdoskopami barwnymi. Musiało to być owo słynne szkło lodowe, które widywało się w Warszawie jeno jako ozdobę ekskluzywną, owo marostiekło: nie można go rozbić, można tylko roztopić. Latarnie były dwie, ta prawa większa i wyżej umieszczona. Jęzor zgarniacza wysuwał się nad tor na dobre trzy arszyny przed chłodwozem, ażurowy tren poprzedzający pancerną pannę. Nad żmijowo spętłonym zgarniaczem, nad latarniami i oknami lśnił lodowato dwugłowy orzeł Romanowów. Na prawej burcie zaś, na wywiniętej płetwiasto osłonie, za drabiną łukowatą i przypominającymi rybnie skrzela drzwiami do kabiny maszynisty, farbą barwy kości pociągnięto na czarnej łusce numer i nazwę maszyny:

### **В-Сиб 5 ХЗ паровоз „Чёрный Соболь”**

- Co to jest? - spytało się.

- Przepinają nas, od Obu Transsib obsługują lokomotywy bajkalskie - odparł Fogiel. - Uff, lepiej się pośpieszmy, Wieniedikt Filipowicz.

- Będziecie mnie tu straszyć? Agent liedniacki ustrzeli mnie na oczach wszystkich?

- Na oczach wszystkich, uff, nie ustrzeli, ale - tak, jesteśmy na oczach wszystkich!

Była to prawda, przybycie „Czarnego Sobola” przyciągnęło na tę stronę pociągu z setką

pasażerów; kto nie wysiadł, ten wystawił przez okno głowę. Na szczęście mijało się już ostatni wagon kupiejszy. Się obejrzało się przez ramię. Jeden człowiek na peronie nie patrzył na zimnawowy parowóz: szczupła, wyprostowana sylwetka w fezie, z laską w ręku. W odpowiedzi na spojrzenie Ünal Tayyib Fessar zasalutował cygarem.

Z pomocą Stiepana wrzuciło się kufer do wnętrza wagonu. Ostatni wspiął się do środka Fogiel; zasunęło się za nim drzwi i otrzepało się dłonie.

Odwróciwszy się, wpadło się pod milczący wzrok agentów i *mademoiselle* Filipov.

- Tak?

Christine założyła ręce na piersiach.

- Czekamy.

Z trudem się powstrzymało się, by nie przygryźć paznokcia.

- Dobrze. Wy, Paweł Władimirowicz, Oleg Iwanowicz, wyjmijcie go i połóżcie tutaj. A was, Stiepan, was poproszę o otworzenie tej skrzyni, gdzie doktor Tesla trzyma maszynę, na której pracował wczoraj rano, gdy tu was odwiedził. Potrzebuję też kabli do niej. A jakichś schematów konstrukcyjnych z opisem... cóż, tak myślałem. Która to skrzynia?

- Ta.

- Macie klucze do kłódek?

- Do tych? Nie. Ale doktor też ich nie otwierał. Tu, o, widzicie, powiercił dziury, takie niby sęki, które sobie korkował szpuntami gumowymi. On tak codziennie przychodził i wtykał te druty i wpuszczał to w siebie, tfu, mówię Waszej Wielmożności, wiedziałem, że tak się to skończy, i jego też błagałem, ale co zrobisz, co zrobisz, słuchać trzeba zwierzchności, i tak patrzyłem, jak się człek truje tym plugastwem nieludzkim - co Wasza Wielmożność zamiaruje?

- Podpiąć go do plugastwa. Jak to się włącza?

Wydłubało się z desek korki. Stiepan wyciągnął zza siennika służbową walizeczkę i wyjął z niej pęk kluczy. Chwilę w nich przebierał, zerkając podejrzliwie. Czekano się. *Mademoiselle* Filipov jęknęła ponagląco. Westchnąwszy, Stiepan otworzył skrzynię ze słojami solnemi i wydobył kable. Ten z imadłem na końcu (ochrannik zacisnął jego szczęki na kryształ) i ten z iglicą - który to ma wejść po prawej, a który po lewej? Pamięć podpowiadała raz taki obraz, raz odwrotny. Spojrzało się pytająco na starego agenta. Odstąpił, zasłaniając

się ręką z kluczami.

- I co? - nalegała panna Filipov. - Co teraz? Wie pan w ogóle, co robi?

Stało się z kablami w rękach przed zapieczętowaną skrzynią z banderolą *Tesla Tungetitum Company*.

- Cóż, to i tak będzie zmartwychwstanie *d l'improviste*. - Wetknęło się kable w otwory i w gniazda maszynowe ukryte za otworami. - *Fifty-fifty*. Jak to się włącza? - Ale już poczuło się drzenie budzącego się mechanizmu, pył i wióry posypały się ze skrzyni. W którymś z gniazd musiał się znajdować główny włącznik. Nie widziało się dymu. Co napędzało tę pływnicę? Czy pozostawała podłączona do zewnętrznego źródła elektryczności? Porównanie rozmiarów z trzema wielkimi pływnicami wypełniającymi większość wagonu wskazywało, iż był to raczej rodzaj minjaturowego prototypu.

Splunęło się w dłoń, poczem przełożyło się ją na spust, na nagą iglicę.

...Upuściło się na podłogę.

- Dobrze - rzekło się i się osunęło się na deski, szorując marynarką po nieoheblowanym drewnie skrzyni. - Dobrze. Niech ktoś... Lepiej ja. Za chwilę.

- Pan znowu to zrobił! - wołała panna Filipov. - Wpadł pan w ten sam nałóg, co Nikola! Mój Boże, po to wciskał go pan do kufra, po to tarmosił zwłoki, żebym uwierzyła, żeby mógł się pan - co o panu mówią - *lying bastard* - wszystko prawda!

- Wszystko nie może być prawdą - mruknęło się, unosząc rękę przed oczy. Czarne plamki migotały na powierzchni skóry, a może tuż pod naskórkiem; czasami, gdy kończyła ścierpnie, układają się tak we wnętrzu dłoni biało-różowe mandale, ale teraz wyglądało, jakby walczyły tam ze sobą żywe ciała cienia i ciała świecienia. Spojrzało się okiem lewym, spojrzało się okiem prawym. W wagonie panował półmrok, światło wpadało przez zakratowane okienka, zresztą częściowo przesłonięte stertami pak. W powietrzu unosiły się miliony drobin kurzu, wszystkie teraz wirowały i mieniły się złociście, i wszystkie rzucały swoje cienie, to nieprawdopodobne, ale widziało się je z kliniczną dokładnością, każdy z osobna, plamki czarne, plamki białe, plamki złote; całe wnętrze wagonu rozbite na kalejdoskopowe ułamki kolorów. Kalejdoskop, tak, to było słuszne skojarzenie - że one się nadal obracają, pozostają w kosmicznym ruchu, i niewiele trzeba, by przeskoczyły w zupełnie inną konfigurację, myk, myk, a to już nie będzie wagon, to nie będą deski, to nie będą ludzie, to nie będzie trup.

To nie będzie trup. Uniosło się wzrok. Trzej agenci ochrony stali wokół z poważnemi



minami, Oleg z chustą żółtą w garści, Stiepan z kluczami przyciśniętymi do piersi, Paweł z ręką wsuniętą pod marynarkę, ręką na kolbie Naganta, postaci ikoniczne, każda ma swoje miejsce - Paweł pośrodku, Stiepan po prawicy, Oleg po lewicy - każda atrybut - broń, klucze, chusta - każda rolę przez Boga wyznaczoną, trójca czynowników carskiego porządku.

- Szkło - powiedziało się. - Krzem. Kamienie. W ostateczności metal. Znajdźcie coś, co można pod niego podłożyć.

- Po co? - prychnęła Christine.

- Dla izolacji. Inaczej ćmiecz pójdzie z desek, z podłogi. Zaraz wstanę. Niech ktoś sprawdza czas, na dziesięć minut przed odjazdem musimy wrócić do Luksu. Rozepnijcie mu kamizelkę i koszulę na piersi. Jest tu woda? Coś do picia? O co chodzi? Zaraz wstanę.

- Macie światło we włosach. - Oleg wskazał chustą. - Sypie wam się z brwi, Wieniedikt Filipowicz.

- Co? Szron?

- Światła, światełka, świetliczki.

Przejechało się po głowie ręką. Po zamknięciu pięści, wzdłuż kłykci i między palcami ułożyły się jasne świcień. Zacisnęło się powieki. Wybuchnęła pod nimi oślepiająca czerwień. Szarpnęło się głową wstecz, uderzając potylicą o drewno, raz, drugi, trzeci, coraz mocniej. *Mademoiselle* Filipov podbiegła, złapała za kołnierz, pociągnęła za ramię. Wstało się niezgrabnie.

- Co pan najlepszego wyprawia? - szepnęła, wyraźnie przestraszona. - Co w pana wstąpiło?

Wzruszyło się ramionami.

- Nie wiem. Najmocniej przepraszam. Może mi się teraz zdarzać, że... No, to może dziwnie wyglądać. Nie potrafię tego opowiedzieć.

Przygryzła wargę.

- On mówił to samo! I potem...

- Potem szedł do drugiej maszyny, tak?

Położyli Teslę na trzech blaszanych pudłach, powstał rodzaj katafalku, stopy Serba wystawały poza, był za wysoki, to znaczy za długi. Chwyciwszy ostrożnie za izolację, podniosło się kabel. (Skłon okazał się jednak zbyt gwałtownym, zakręciło się w głowie).

Położyło się iglicę na odsłoniętej piersi wynalazcy, przycisnęło się zimnazo jego otwartą dłonią, zaginając kciuk trupa na cynglu. Sprawdzisz, że spust odciągnięty jest do oporu, odstąpiło się pod skrzynie.

Zapieczętowana pływnica pracowała z niskim warkotem. Pompa Kotarbińskiego ciągnęła teslektryczność z ciała Nikoli Tesli do słoja kryształów solnych.

- Powtarzał to codziennie, prawda? Panno Christine?

Z trudem oderwała wzrok od Nikoli.

- Tak.

- Rano się odćmieczał, po południu zaćmieczał.

- Tak, chyba tak. Pan chce go teraz - w drugą stronę? Wyciągnąć z niego, co tam w sobie wpuścił? Tak?

- Po wyjęciu kuli z rany zmarli nie wracają do życia. Nie można wyleczyć kogoś, kto już nie żyje.

Trzej ochranniki stali nad zwłokami doktora, popatrując w milczeniu. Oleg nadal ścisnął chustę (od czasu do czasu ocierał nią czoło), Stiepan nadal obracał w palcach klucze, Paweł machinalnie chował dłoń pod poję marynarki.

- Mówił panie, po co to robi? - spytało się cicho. - Zwłaszcza teraz musiał się z tym rzucać w oczy, w podróży. Gienerator teslektryczny miał pod ręką w przedziale, ale do pompy chodził tu, do arsenału. To dlatego panna się zdenerwowała, prawda? Nie mógł się z tym kryć, jak się był krył w swoim laboratorium. Proszę mi powiedzieć. Objasnił to kiedyś? Dlaczego tak? Jedno na śniadanie, drugie na obiad.

- Przed Uralem, jak spostrzegłam, że to jest silniejsze od niego, pokłóciliśmy się i... - urwała. - Nazwał to, *pardon pour le mot*, lewatywą umysłu. Powiedział, że przed południem przychodzą mu do głowy najlepsze idee. A potem je zapisuje. I że musi... musi... musi...

Zakrztusiła się suchym szlochem. Chciało się ponownie objąć ją, utulić, pocieszyć - ale szybko odsunęła się w kąt za wielki cylinder megapływnicy, kryjąc twarz w chustce. Zresztą ochranniki patrzyli.

Ciało Tesli wyglądało na tak samo martwe, co minutę wcześniej, bardziej nawet martwe niż na łożu w Luksie, bo teraz, z dłonią przyciśniętą do nagiej piersi, spoczywało w pozie jawnie nienaturalnej, manekinowej, na tym katafalku blaszanym, jak w trumnie przez

balsamiarza umodelowane.

Podeszło się, stanęło się nad Teslą. Czy to złudzenie optyczne, czy rzeczywiście iskry cienia - ćmieliki węglowe - zbierają się już na rzęsach Serba? Przesunęło się dłonią ponad jego twarzą. Czy organizm po odpompowaniu ćmieczy powinien się ocieplić, skoro przedmiot naćmieczony ulega wychłodzeniu?

Oleg sapnął przeciągle, ocierając czoło i wachlując się chustą; znowu prezentował niezdrową bladość oblicza.

- Odstąpcie - rzekło się. - Nie patrzcie.

- Co? Czemu?

- To nie jest publiczna sprawa. Takie rzeczy dokonują się w ciemności, w ciszy, pod ziemią, za kamieniem, gdy nikt nie patrzy. - Gdy nikt nie patrzy, pomyślało się, gdy nie ma ciągłości między przeszłością i terażniejszością; za zasłoną Być Może. To tylko w Zimie, tylko w samym sercu Lodu, w bryłach soplicowych, tylko tam istnieje jedynie to, co istnieje, i nie istnieje jedynie to, co nie istnieje. - Wyjdźcie.

Trójca ochranników spojrziała po sobie.

- Wyjdźcie! Zakuricie, rozprostujcie nogi, zawołam was. No!

Pan Fogiel skinął głową i złapał za zasuwę drzwi. Słońce wlało się do wagonu, się cofnęło się w cień. Wychodzili powoli, oglądając się za siebie, Stiepan ostatni. Zostawili drzwi odsunięte na dłoń, szparę dla strumieni ciepłego blasku wlewających się w piwniczny półmrok.

Zaszło się w kąt za pływnicę, do *mademoiselle* Filipov. Siedziała na przykrytej płem klatce żelaznej, ze skronią opartą o obudowę pływnicy.

Przycupnęło się na skrzyni obok.

- Czy rozważała panna możliwość - spytało się bez wstępu - że to tylko wygląda jak wypadek, że miało wyglądać jak wypadek?

Zrazu nie zrozumiała; zrozumiawszy, zacisnęła wargi.

- Widziałam na własne oczy. Sam się wykończył tą maszyną piekielną.

- Proszę pomyśleć. On te urządzenia zaprojektował, on zbudował, nikt nie zna się na nich lepiej. Stosował je na sobie od miesięcy, jeśli nie od lat. Jak przedtem dynama elektryczne - pioruny przez siebie przepuszczał, sama mi panna opowiadała, trzymał w dłoniach

błyskawice, rozświetlał żarówki swoim dotykiem, prowadził moce niszczycielskie przez ziemię, powietrze i ciało, nigdy nie cierpiąc z własnej omyłki i rachuby błędnej. Dlaczego więc teraz? Gdy zabójca liedniacki czai się na niego i agenci carscy muszą go chronić od świtu do nocy. Przypadek?

- Widziałam!

- Widziała panna efekt końcowy. Czy Nikola poznałby od razu, gdyby ktoś pod waszą nieobecność zakradł się do przedziału i przestawił w mechanizmie dynamomaszyny kalibrator mocy, jakiś trybik podnoszący ciśnienie pływu teslektrycznego? Prawie każda rzecz okazuje się zabójczą, gdy podana w dawce zbyt wielkiej.

- To można sprawdzić! Zajrzeć do wnętrza dynama!

Pokręciło się głową.

- Teraz? Gdy zostawiliśmy je niepilnowane, w szafie otwartej, otwartej sakwie? Czy zakluczyła panna w ogóle przedział?

- Ale kto mógłby to zrobić! Kto w ogóle wiedział o zwyczajach Nikoli!

- Kto?

*Mademoiselle* Filipov otwarła szerzej oczy.

- Pan!

- To prawda. Kto jeszcze?

- Nikt! Pan tylko! Tylko panu opowiedziałam!

- A ochranniki? A sam doktor Tesla - z kim jeszcze rozmawiał? A ludzie z praskiego laboratorium - czy tam się liedniaki nie mogli zwiedzić? Poza tym, skąd panna wie, czy ja z kolei komuś nie powiedziałem?

- Powiedział pan?

- Nie w tym rzecz. - Potarło się wąż z irytacją. - Panna mnie nie słucha. Nie idzie o to, jak było i jak nie było, ale jak być mogło. Widzi panna, słońeczko świeci, lato, niebo błękitne, stoimy jeszcze w Nowonikołajewsku, Lód daleko za horyzontem.

Pociągnęła nosem, dmuchnęła w zwiniętą w gałgan chusteczkę.

- Nie pojmuję, do czego pan zmierza, panie Benedyckie.

- Błagam pannę o chwilę uwagi. Jak wygląda teraz sytuacja: nie ma żadnego sposobu,

żeby stwierdzić, czy Nikola Tesla zginął w wypadku, czy został zamordowanym. Wszystkie przesłanki pasują do obu przeszłości. Nawet sam doktor Tesla nie mógłby orzec, która jest prawdziwą. Zabili go i nie zabili. W panny władzy jest wybrać, jaka historia się zamrozi: mord czy wypadek.

Coś zaczęło do niej docierać. Mimo woli pochyliła się w przód, zniżyła głos.

- Pan mnie namawia, żebym rozgłosiła, że go zabili?

- O rozgłaszaniu póki co nie ma mowy, ale, tak, taka przeszłość byłaby, mhm, mądrzejsza.

- Mam kłamać?

- Ależ nie! Kłamać? Skądże! I to prawda, i to prawda, a przynajmniej prawda w takim samym stopniu. Powie panna „A” - powie panna prawdę; powie panna „nie-A” - powie panna prawdę. - Zapięło się marynarkę, założyło się nogę na nogę. - To jak będzie? Znaczą, jak było?

- Ale - dlaczego?

- Dlaczego zabójstwo byłoby dla panny mądrzejsze? To chyba oczywiste, zważywszy na kontrakt doktora z carem i zobowiązania, które po przybyciu do Irkucka -

- Dlaczego panu na tym zależy? - Christine zmarszczyła brwi. - Co pan na tym zyska, że powiedzą, że... - Wciągnęła głośno powietrze, zasłoniła usta chusteczką. - *Father Frost!* Co oni mówili na śniadaniu o pana ojcu - że jedzie pan z lutymi Rosję negocjować - że -

Odgłos splunięcia i głośny kaszel przerwały jej w pół myśli. Wyjrzało się zza pływnicy. Doktor Tesla siedział na blaszanych pudłach, jedną ręką masując sobie pierś, drugą unosił do ust przygotowany przez Olega kubek z wodą.

- Panno Christine - rzekło się cicho - panna nie będzie krzyżeć ani nie robi niczego głupiego -

Poderwała się. Ujrzawszy Nikołą, jęknęła przeciągle. Tesla uniósł głowę, uśmiechnął się. Przypadła do niego, mało mu nie wytrącając kubka; przygarnął ją, uściśnął, ucałował dłoń. *Mademoiselle* Filipov znowu się rozplakała. Serb spojrzął ponad panną, zmieszany. Podeszło się do drzwi, pociągnęło się za zasuwę. Paweł Władimirowicz stał zaledwie kilka kroków dalej, obejrzał się zaraz. Skinęło się nań. Przydeptał niedopałek, poczem zawołał Olega i Stiepana.

Wypięło się z pompy oba kable; maszyna kichnęła, zaświszczała, zacharczała i zamilkła. Zakorkowało się otwory w deskach obudowy, zwinęło się przewody, ułożyło się je w skrzyni ze słojami. Bryła soli w objętej zimnawym imadła była czarna jak węgiel. Otarło się dłonie o spodnie - zimna wilgoć zebrała się na kablach mimo izolacji grubej.

Agienci stali wokół Tesli, bezradnie opuszczone ramiona i rozmiękłe, maślane oblicza mówiły wszystko.

Serb wypił resztę wody.

- Zaszło mi w gardle - zachrypiał.

Zazezował w głąb kubka i zachichotał cienko. Zrobiło to upiorne wrażenie: Nikola Tesla się tak nie zachowuje.

- Nie wiem - powiedział Paweł.

- Oddycha - powiedział Stiepan.

- Żyje - powiedział Oleg.

Tesla postawił delikatnie kubek na blasze. Christine Filipov usiadła mu na kolanach. Szeptał jej coś do ucha. Bawiła się guzikami, zapinając koszulę starca.

- Trzeba będzie napisać w raporcie - powiedział Paweł.

- Że żyje, a nie żył - powiedział Stiepan.

- Że żyje - powiedział Oleg.

- Sprawdziłem mu puls. Nie miał puls. Nie oddychał.

- Mogliście się pomylić.

- Nie jesteście lekarzem.

- Byliście zdenerwowani.

- Byłem, to prawda, byłem.

- Widzicie przecież.

- Żyje.

Się zaśmiało się pod wąsem. Spojrzeli. Rozłożyło się ramiona.

- Spał tylko.

## O konieczności ręcznego zawiadywania Historją

Na srebrnym wieku papierońnicy wygrawerowano heraldyczny symbol z tygrysem ściskającym w szczękach zwierzę podobne do łasicy.

- Tygrys ussuryjski - rzekł pan Porfiry Pocięgło, częstując papierosem. - Ponoć żył ongiś w okolicach Irkucka, myśliwi Burjatów powtarzają opowieści dziadów swoich dziadów. I syberyjski soból, na handlu ich skórami urosły tu pierwsze fortuny.

- To pieczęć waszego domu?

Pocięgło roześmiał się.

- Herb Irkucka, drogi panie, herb Irkucka! Tygrys i soból.

- Pan, rozumiem, jest Sybirakiem z urodzenia, ojciec trafił nad Bajkał - kiedy? po styczniowem?

Wyjął kartę wizytową. Zerknęło się. Wydrukowana cyrylicą, z adresami irkuckim i petersburskim, opiewała na Pocięglę P. D., dyrektora Syberyjskiego Towarzystwa Metalurgicznego i Górniczego Kossowskiego i Boulangiera, pod podwójnym herbem Irkucka oraz Sibirchożeta.

Zapaliło się papierosa. Pan Pocięgło skinął na stewarda, by ten uchylił okno w salonie. Malczik począł się szarpać z lśniącą aparaturą powietrza sufitowego. Pocięgło westchnął, wskazał dłonią ku przodowi pociągu. Wzruszyło się ramionami. W palarni i przy stole bilardowym zebrała się była, jak co wieczór, bodaj połowa pasażerów Luksu, bardzo trudno w takich warunkach przez dłuższy czas rozmawiać na osobności, zaraz ktoś się przyłącza, interlokutorzy się schodzą i rozchodzą, odbijają się od siebie jak - jak kule bilardowe. A trzeba podarować pannie Jelenie przynajmniej pół godziny. Zerknęło się w jej stronę. Wyszła już; dała znak i wyszła.

Się przeniosło się do wagonu wieczornego. Tu z kolei trafiło się na *Frau* Blutfeld, brylowała w towarzystwie, uczepona ramienia wysokiego prokuratora, nie odstępująca pianina, na którym wystukiwał smętne melodie *monsieur* Verousse, robiący przytem słodkie oczy do pięknej wdowy czarnowłosej. Gertruda Blutfeld, mój Boże, z deszczu pod rynnę. Spozstrzegła? Nie spozstrzegła. Pociągnęło się czem prędzej pana Porfirogo do galerji. Dopiero zamknąwszy jej drzwi, odetchnęło się głębiej. Przemysłowiec przyglądał się z rozbawieniem.

- Klaustrofobia towarzyska - rzekło się z kwaśnym uśmiechem. Się rozejrzało się. Nikogo, tylko Ziejców pochrapuje cicho na zydłu w kącie. Bliźniacze panele szklane po obu stronach żelaznej przegrody przed podestem widokowym były uchylone, wiatr wpadał swobodnie do środka. Stańło się przy samej przegrodzie, jeszcze przed strumieniami nawiewu, a już w ruchu świeżego, chłodnego powietrza; wydmuchiwany dym zwijał się w nim w spirale i kokardy. Jeśli spojrzeć stąd z okiem tuż przy szkle, widać w przodzie, na flance pędzącego Ekspresu, na tle rozmytych zieleni i żółci tajgi, pod długim sztandarem dymu - kolorowe skrzydła zórz zimnazowych bijące na arszyny i arszyny od lodowatego cielska „Czarnego Sobola” (którego nie widać).

Schowało się bilecik do kieszeni.

- Jestem pod wrażeniem. Sibirskoje Choład-Żeliezapramyszliennoje Tawariszcziestwo uścisnęło mi prawicę, będę ją wnukom pokazywał.

Pocięgło zaśmiał się ponownie, miał dużą łatwość swobodnego śmiechu, aż chciało się śmiać wraz z nim.

- Nasz jest tylko jeden głos na radzie Sibirchożeta. Nie chadzam na wódkę z Pobiedonoscewem, jeśli tak pan to sobie wyobrażał. Zresztą w samym Towarzystwie Metalurgicznym i Górniczym mam ledwie mniejszościowe udziały. Ale to charakterystyczne, że z góry przyjął pan, że albo sam jestem zesłańcem, albo rodzic mój został zesłany. Nigdy nie byłem w dawnym Królestwie - rzeczywiście wszyscy tam macie taki obraz Syberji?

- No, po boomie zimnazowym to się nieco zmieniło, wiem, że wielu wyjeżdża dla zarobku...

- Nawet teraz - Pocięgło rozejrzał się za piepielnicą i strzepnął papierosa za oknem - nawet teraz mówi pan to w taki sposób...

- Jaki?

- Jakby tkwiła w tym jakaś nieprzyzwoitość. No proszę się nie krzywić, tak, tak, już słyszałem o pana ojcu, zesłanym za sprawki przeciwcarskie, *le Père du Gel*, jakże mógłbym nie usłyszeć; więc wyobraź pan sobie, jak dziwne sensacje uczuciowe to budzi u samych zesłańców. Staramy się najmować ich w pierwszej kolejności, tych, co po zwolnieniu nie dostają permisji na powrót do Polski, z wyrokiem wadwarienja, pasielienja - i to zawsze jest na początku wielce, mhm, niezręczne.

- Jeśli cała Syberja jest Polaków więzieniem, kim są ci, co na więzieniu owym bogactwo



swe tuczą?

Spojrzał poważnie.

- A kim są ci, co w więzieniu się porodzili? Słuchaj pan, ojciec mój był inżynier, sprowadził go do Irkucka pan Sawicki za czasu gorączki złota, szło o kotły grafitowe, jakiś Francuz odkrył tam wtedy pokłady grafitu i pola złotonośne Sawickiego nad Angarą okazały się wtem dwakroć cenniejszemi. Ojciec z kolei sprowadził sobie potem narzeczoną z Kraju Zabranego, tu się pobrali, znaczy, w Irkucku, w kościele u ojca Szvernickiego. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym kościół spłonął, po pięciu latach zbudowano na jego miejscu świątynię już ceglana, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryji Panny, wysiłkiem i majątkiem Michała Kossowskiego; w tym kościele zostałem ochrzczony, pan Kossowski do chrztu mnie trzymał. Kiedy ruszyły wielkie projekty kolei rosyjskiej, Transsib i Wschodniochińska, zaczęło się drugie życie Nadbajkała, Kossowski z Edgarem Boulangierem założyli wtedy swoje Towarzystwo, koncern na skalę światową, z siedzibą w Sankt Peterburgu, z filjami w Irkucku, w Tomsku, w Paryżu. Wbrew nazwie Towarzystwa, zajmuje się ono także handlem, buduje porty rzeczne. Najpierw istotnie profitowało głównie z górnictwa, z wydobycia rud miedzi i niklu. Wszystko się zmieniło z nadejściem Lodu. Ja z początku pracowałem dla braci Butinych, gdy przenieśli się z Nikołajewska do Irkucka. Ale po pierwszym Mrozie zawiązaliśmy własną spółkę. I kiedy car wydał ukaz o monopolu i Pobiedonoscew ustanowił Sibirchożeto, Towarzystwo złożyło wielu takim firmom jak nasza hojne oferty. Zgodziliśmy się. Pan Kossowski nie żył, Boulangier zmarł jeszcze w zeszłym wieku. Wszedłem do rady dyrektorów, postawiliśmy siedzibę Towarzystwa w Zimnym Nikołajewsku. Od tysiąc dziewięćset trzynastego zwiększyliśmy obroty ponaddziesięciokrotnie. W tej chwili, panie Gierosławski, sześć koma trzy procenta globalnego eksportu zimnaza przechodzi przez Towarzystwo Metalurgiczne i Górnicze. Trzymamy patenty na szesnaście chłódów zimnaza, w tym chłód niklowy, tomską jedynkę. I na przewodniki tungetytowe. A wy mi mówicie o więzieniach? Że uciec? Że ubić strażników może? - Pan Porfiry Pocięgło zwinął dłoń w kościsty kułak i, nie, nie potrząsnął nim, lecz zatrzymał przed oczyma w kamiennym geście, sekunda, dwie, długa chwila milczącego bezruchu pod znakiem pięści, i dopiero wtedy warknął z wilczą radością: - My wykupimy to więzienie!

- *Autres temps, autres moeurs*, skoro teraz można takie rzeczy po prostu kupić, to widać istotnie nie warto o nie walczyć. A tern bardziej za nie umierać.

- O! Jakbym ich słyszał! Pieniądze, dzieło Szatana, trza nam się wyrzec wszystkich spraw jego! - zaśmiał się choładpramyszlennik, już trochę z ironją skierowaną także przeciw samemu sobie. Wyrzucił papierosa, wyjął następnego. Słońce błysnęło w oku tygrysa na srebrnym portcygarze. Pan Pociągło obrócił nim tak i owak, łapiąc refleksy, własne odbicie, odbicie wnętrza galerji. Uniósł wzrok. - Przy stole księcia jakoś tego nie zauważyłem, ale teraz - przecież pan jest nasz człowiek! Lutowczyk jak się patrzy!

Machnęło się z irytacją.

- Złudzenie optyczne.

- No jakże!

- Złudzenie optyczne, panie Porfiry, w rzeczywistości jest dokładnie na odwrót -

- Franca tam złudzenie! Stań pan tu w słońcu. A teraz przejrzyj się, o, toż urodzony lutowczyk, nawet oczy, o, nawet oczy panu nie uciekają od słońca, źrenicom nie -

Otworzyły się drzwi sali balowej, popłynęły dźwięki pianina i gwar głosów kobiecych; się obkręciło się na pięcie, plecami do Słońca.

W drzwiach stał Ünal Tayyib Fessar, w zawadiacko przekrzywionym fezie i ze szklanicą na pół pełną w dłoni.

- Tu! - zawołał. - A, tu mi uszedł, pan Mróz szanowny, niewiniątko zagubione - jakbyście nie widzieli mordy niewinnej, to spojrzycie - czyż nie aniołek jasny - *piç* - *sherrefseez* - niechże uściskam biedaczysko - pódź w ramiona zbója krwawego!

Był pijany. W progu się potknął. Spod fezu wyzierał mu biały otok bandaża, spod bandaża - szrama czerwona. Pociąg akurat wcale bardzo nie kołysał, ale Turek szedł jak marynarz na statku miotanym przez szkwał: szeroko rozstawiając stopy, na ugiętych nogach, z torsem w przód podanym, z wysuniętą daleko w bok ręką ze szklanicą, dodatkowym środkiem balansu. Na błękitnym tużurku widniała świeża plama.

- Nic nie wie! O niczym nie słyszał! - wołał. - O, święty prostaczek, Kossowskiego i Boulangiera też nie zna, a jakże - nie wiezie tu w wagonie opieczętowanym maszyn lodowych - kto by go podejrzewał o konszachty z policją tajną, z księciem, z Bóg wie kim - on nikogo nie zna, nic, nic nie wie!

Za plecami Fessara pojawiła się w drzwiach symetryczna sylwetka doktora Konieszyna. Dawał znaki: bezradne, gniewne, ostrzegawcze, bezradne.

Pan Pocięgło postąpił żwawo, wyjął Turkowi z dłoni szklanice, cisnął ją przez okno, struga alkoholu chlusnęła na odchyloną szybę.

- Znowu pan zaczyna! - warknął. - Koniecznie musi się pan schlać!

Fessar rozdziawił szczęki w czymś w rodzaju uśmiechu.

- U lutyh się tak człowiek nie upije, trzeba korzystać, póki można. - Kłapnął zuchwą jak kołatką drewnianą. - Potem będę przepraszał, a tak, przepraszał będę nisko. - Tu istotnie zgiął się wpół w prawdziwie rosyjskim pokłonie, głową do ziemi, to jest do podłogi, do parkietu gładkiego, a że zaraz stracił równowagę w tym pokracczym nóg rozstawie, to podparł się ręką, drugą za plecy unosząc, też wyprostowaną. - A tymczasem, epch, tymczasem, pijany jak pies nieczysty, mogę złożyć stosowne uszanowanie panu hrrrabiemu, w życiu nikt mnie tak w interesach nie omamił, uszanowanie najgłębsze moje! - I z podparcia, zgięty twardo, runął naprzód w byczym ataku, gubiąc fez, powiewając tuzurkiem rozchełstanym.

Odskoczyło się bez trudu.

Rąbnął łbem mahoniowym w żelazną ścianę, zahuczało jak we dzwonie. Porfiry wzdrygnął się, niby sam uderzony.

- *Rahim Allah* - kwiknął jeszcze pan Fessar, poczem padł.

Doktor Konieszyn zawołał stewardów. Podniósł fez, otrzepał, pochylił się nad Turkiem. Obmacał mu czaszkę; obmacawszy, wzruszył ramionami. Stewardzi podźwignęli kupca we wprawnym uchwycie, jeden z prawej, jeden z lewej, trzeci idzie przodem, otwiera drzwi, pasażerów przeprasza. Doktor nasadził fez na kołyszącą się bezwładnie głowę Turka i zamknął za nimi drzwi.

- Miewa napady alkoholowe, gdy Ałlach nie patrzy - mruknął pan Pocięgło - ale, prawda, u nas się mu podobne ekscesy nie zdarzały. Często tak...?

- Wydawał mi się człowiekiem twardo stąpającym po ziemi - rzekło się, cisnąwszy niedopałek z wiatrem.

Pocięgło po raz kolejny wyjął swoją papierośnicę. Teraz poczęstował się także doktor Konieszyn.

- A to? - Porfiry powiódł palcem wkoło głowy. - Skąd?

Się uśmiechnęło się skromnie.

- Jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Doktor czknał, ubawiony. Wydmuchując dym, mrużył oczy w blasku wieczornego Słońca. Zmarszczki wokół powiek też układały mu się w lustrzanym porządku.

- Nie chciał mi powiedzieć, kiedy go pytałem. To jakieś wielkofinansowe rozgrywki, jak widzę. Jesteście panowie dla siebie konkurencją, *n'est ce pas?* A tu, widzi, Polak i Polak, w komitywie dobrej... Pan mu coś obiecywał, panie Benedykcie?

- Ja? Broń mnie Bóg! Sam sobie wmówił.

- Co takiego mianowicie? - zainteresował się Pociągło.

- Och, bzdura księżycowa. Że wynaleziono sposób swobodnej hodowli zimnaza i ja coś o tym wiem.

Pan Pociągło zamarł z niedomkniętym portcygarem w uniesionej dłoni.

- Co pan o tym wie?

- O Chryste Panie! - Kopnęło się w stalową futrynę. - Następny! Kłątwa jakaś! Nic nie wiem! Nie ma o czym wiedzieć! Nie znam się w ogóle!

- Święty prostaczek - mruknął doktor.

Zacisnęło się zęby. Przyglądali się teraz z uwagą, bardzo niegrzecznie, nie odwracając oczu przez długie sekundy, nie udając nawet, że to ledwie przelotna wymiana spojrzeń, jak to w rozmowie, jak w towarzystwie; nie, oni patrzyli niczym na okaz przedziwny, zwierzę egzotyczne w kącie zapędzone, co teraz pocnie, czym ich zaskoczy, jak ubawi? Więc ciekawość, uśmiech lekki, szczypta współczucia na obliczach nad zwierzęciem głupim pochylonych - cały ten teatr.

Wstyd spływał wszystkimi organami ciała - flegma lepka, gorąca.

Jakich słów ma użyć kłamca, by odwrócić opinię o sobie? Czy winien przyznać, że kłamie? Nawet jeśli nie kłamie? Ale i nie mówi prawdy - nie zna prawdy. Ręka drgnęła, mimowiednie sięgając po interferograf. Jak się z tego wyplątać! Jak zamarznąć! Opuściło się wzrok, odwróciło się głowę. Lodu! Lodu! Lodu!

- Gaspadin Jerosławski - rzekł doktor symetryczny - jedzie do ojca swego w Zimie, którego jest przyjacielem lutek, uważacie, diak ich zaufany z rodu człowieczego. Czy wy, Porfiry Danielewicz, znacie wiarę Bierdiajewową? Znacie egzegezy mistyków liedniackich i ottiepielnickich? Wczoraj usłyszeliśmy z ust panabenedyktowych i tego tam katorznika całą koncepcję rządów Historją poprzez rządy mroźnikami. Znacie? Jesteście z ich miasta, musicie

znać. Co powiecie? Po co pan Jerośławski tak naprawdę do ojca jedzie? - Przyłożył palec do warg, tylko podkreślając symetrię, bo dokładnie pośrodku. - Jak między Polakami. O czym tu ze sobą mówiliście? Już pierwszego dnia pan hrabia, wtedy jeszcze pan hrabia, jasno nam opowiedział swój stosunek do Rosji i narodu rosyjskiego. Gdybym wierzył w te idejalizmy Bierdiajewowe... jako lojalny poddany Jewo Impiatorskawo Wieliczestwa... czy nie powinienem was raczej potraktować jak nasz kapitan?

Spróbowało się zaśmiać lekceważąco; nie wyszło.

- Mogą wierzyć, w co chcą! - zakrzyknęło się w nerwach. - Tak czy owak, pozostanie to bzdurą wierutną. Co Ziejcow mówił o Historji - jak Bóg porozumiewa się z człowiekiem poprzez Historję - że w jej biegu, z następstwa jej kształtów da się odczytać myśl i zamiar Boży... Otóż może być to słuszne tylko wtedy, jeśli świat rządzony jest przez logikę dwuwartościową - jeśli naprawdę ta Historja istnieje, to znaczy jeśli istnieje jedna i konkretna przeszłość naszej terażniejszości. Bo jeśli słuszną pozostaje dla przeszłości i przyszłości logika trójwartościowa, to jest Historji tyle, co gwiazd na niebie, więcej, dla każdego człowieka różna, i różna dla jednego człowieka w różnych jego momentach pamięci; zmienna jak zamysł cara. I tyle z niej odczytasz sensu i porządku, co z kolejnych ukazów samodzierzcy, to znaczy w ogóle, bo taką Historją rządzi właśnie skojarzenie przygodne, mara senna i strach nocny.

- Ale pan mówi, że w Kraju Lutych -

- Tak.

- Że Lód -

- Tak. Przeszłość musi zamarznąć, wtedy staje się Historją. - Uniosło się wzrok. Spoglądali przez dym siwy, czerwone słońce rozmywało rysy ich twarzy, rozplywały się w różowy kisiel. Odstąpiło się ku uchylonemu panelowi, weszło się w wiatr. Wdech, wydech, wdech. - Musi zamarznąć. Tyle Historji, ile Lodu.

- A pana ojciec - pana ojciec rozmawia z lutymi.

- Tak powiadają.

- I nadal nie pojmuje pan, w jakiej sytuacji to pana stawia? - Doktor Konieszyn zerknął na Pociągę, jakby szukając świadka niewiarygodnej tępoty interlokutora. - Nie ma znaczenia, co z tego jest prawdą; ważne, że oni w to święcie wierzą - liedniacy, ottepielnicy, obrońcy starego porządku i anarchiści, socjaliści -

- No, marksieści twardzi akurat nie sędzę, żeby się mną przejmowali: oni wierzą, że Historia i tak jest po ich stronie, nie należy jej tylko przeszkadzać, a zrobić swoje. Po co mieliby przez Ojca Mroza -

- Myślisz pan, że nie ma między marksistami rosyjskimi takich, co dają zarazem wiarę teorjom Bierdiajewa? A to są ottiepielnicy najzagorzalsi, takich się strzeż, zrobią wszystko, żeby zniszczyć Lód, przepędzić lute. Dziw, że w ogóle opuścił pan Warszawę!

- Widać mnie chronili. Jak sobie teraz przypominam... - Się skrzywiło się. - No ale teraz to przypomnieć sobie mogę, cokolwiek mi konweniuje.

- Pójdzie pan, szepnie słowo ojcu... Polak! Syn spiskowca przeciwcesarskiego! Niektórym ottiepielnikom może to być jakoś na rękę - ale liedniacy! Że też pan jeszcze żyw chodzisz! Cud, nie inaczej! - Doktor symetryczny, już bez śladu rozbawienia, za to wzburzony wyraźnie, sapał dymem gęstym i szarpał się za faworyty, ogniście teraz czerwone. - Jak wy to sobie wyobrażacie - przecież tu w pociągu wszyscy wiedzą i wszyscy będą wiedzieć na miejscu, w Irkucku, ledwo postawicie stopę na ziemi Lodu; połowa ich tam wysiada. Nie dadzą wam spokoju!

- Co się tak o mnie martwicie, najwyżej zadżgają mnie gdzie w ciemnym zaułku, co was to?

- Ach tak, przecie już próbowali, wtedy, w Jekaterynburgu. Chłopcze, ty na śmierć tam jedziesz!

Pan Pocięgło machinalnie strzepnął popiół za okno. Nacisnął w zamyśleniu kłykiem na ostrą krawędź oczodołu, powieka uniosła się mu nad ptasio wybałuszonym białkiem, świeceń błysnął pode brwią.

- Z drugiej strony patrząc - odezwał się - skoro chcą ubić, to z drugiej patrząc - to jest władza! Czy dobrze rozumiem? Pan mówisz ojcu, ojciec, który widać sam w myśli ni woli niezborny, mówi lutym, lute zamarzają Historję. Wojna czy pokój, jedynowładza czy anarchja, Rosja czy Polska, rewolucja czy nie rewolucja - tak? Panie Benedykcie! Czy w ogóle jest wyobrażalną większa na Ziemi potęga dla człowieka, aniżeli moc ręcznego zawiadywania Historją?

ODWILŻ DO DNIEPRU - ROSYA POD LODEM - PARTYA ROZKAZUJE - WIOSNA LUDÓW. Przygryzło się paznokcieć.

Porfiry wyrzucił niedopałek. Jedną ręką przesuwając po pikowej kamizelce, jakby w

ślepem poszukiwaniu zegarka bądź tabakierki, drugą sięgnął od strony słońca, obejmując, przyciągając ku sobie w geście wielkiej konfidencji i kordjalności.

- Będą do ciebie przychodzić, w pas, tak, w pas się kłaniać, dary wszelkie u stóp twoich składać, namawiać, przekupywać, błagać, grozić, tak, grozić na pewno będą także, ale i dawać, dadzą wszystko za władzę nad Historją!

- Co pan mu w ucho sączysz! - warknął doktor symetryczny z drugiej strony złoto-karminowej ulewy. - Do czego namawiasz! Żeby na korzyść własną w tym patrzył? Żeby - co? na licytację Historję wystawił? Dusza kupiecka!

- A wy, doktorze - spytało się - wy to wiecie, jaką Historja być powinna?

- Taa, z Królestwem Polskim od morza do morza, a Imperjum Rosyjskim w pyle - parsknął doktor Konieszyn.

Zrzuciło się z barku rękę Porfirego.

- Ale ja pytam poważnie. Bierdiajew uważa, że lute wypaczyły bieg Historji. Więc wystarczy cofnąć Zimę i będzie, jak być powinno? Czy też istotnie należy Historję ręcznie... dostrajać?

- Gdyby istniał taki sposób - przymknąwszy oczy, grzejąc lico w blasku słonecznym, rozmarzył się doktor Konieszyn - gdyby istniała metoda jakaś naukowa na poznanie tego, co być musi, nie co być może, ale co być powinno-

- Myśli Boga.

- Na co nam tu jeszcze Bóg! Historja nie jest komunikatem od Boga - chyba że w takim samym stopniu, co gwiazdozbiory na niebie, recepty chemiczne albo kompozycja kiszek i wątroby w organizmie. Więc gdyby istniał sposób naukowy na rozpoznanie, jak się poznaje po wyglądzie kiszek, który organizm dotknięty jest chorobą, a który obraz zdrowia i poprawności biologicznej sobą prezentuje - taki sposób na rozpoznanie Historji chorej i zdrowej, wtedy, tak, mógłbyś pan skrzywioną Historję naprostować, to znaczy wyleczyć; i to byłby jedyny słuszny użytek z władzy ręcznego nią powodowania.

- Pan doktor jest ateista - stwierdził bez zdumienia Porfiry Pocięgło.

- Tego nie powiedziałem. Po prostu Bóg nie jest mi w Historji do niczego potrzebny.

- Toż mówię: pan doktor jest ateista - powtórzył Pocięgło.

- Albo rację mają marcynowcy - rzekło się powoli - i Historja została wypaczoną już

dawno temu, bo świat jest we władzy Złego i dopiero nadejść musi Bóg prawdziwy, który uleczy w świecie, co chore, czyli Historję też, Historję ozdrowi przede wszystkim, On, nie ludzie.

- On? - uniósł brew pan Porfiry. - Znaczy, Lód? Lute?

Dotknęło się językiem spuchniętej wargi.

- Żeby spojrzeć na Historję jak luty - zamrozić się tak, to znaczy zaćmieczyć, zalać ćmieczą aż po Mróz kamienny -

- Czym?

- Nie to, co można, ale to, co się musi - się robi - prawdę -

- Czy pan się dobrze czuje? - Pocięło zbliżył się znowu, nachylił, przysunął usta do ucha. - Stoisz w słońcu - szepnął - uważaj, pan doktor też to w końcu zauważy, wypalasz ćmiatło jak stary chołodnicowy.

- Precz! - wrzasnęło się. - Paszli! Kusiciele! Nie będę kłamał!

Odepchnęło się Porfirego i skoczyło się do przegrody żelaznej. Wypadłszy na podest widokowy, zatrzasnęło się drzwi i wparło się plecami w metal zimny. Czy próbowali się dobijać, otwierać przemocą? Jeśli nawet, nie poczuło się tego wcale. Wszystkie dźwięki wnętrza wagonu pozostały za tą śluzą; tu natomiast był tylko huk maszynowy „Czarnego Sobola”, świst wiatru i hipnotyczny rytm zimnaza bitego przez stal ciepłą: dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK. Odetchnęło się pełną piersią. Rytm wędrował od kół przez zawieszenie i podwozie, przez ściany i drzwi, w ciało, w krew i w kości, i do wnętrza czaszki, napędzając ów pociąg mózgowy, o którym już prawie się zapomniało: dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, myśl-myśl-myśl-MYSL!

Otrzeźwieć trzeba. Cierpki smak przerażenia szczypał jeszcze język i podniebienie (smak przerażenia, a może pływu teslektrycznego). Po raz pierwszy bowiem z pełnym przekonaniem dopuściło się możliwość, że to wszystko od początku jest prawdą: lute zamrażają Historję - fater rozmawia z lutymi - Ministerjum Zimy chce przez syna sterować ojcem - lutymi - Historją. Liedniaki i ottepielniki, Polacy i Rosjanie, socjaliści i marcynowcy, ochrana i piłsudczycy, Tesla i Sibirchożeto, ci i owi, tamci i tamci, ciągnąć będą każdy w swoją stronę, a jak nie przeciągną, to zabiją, coby nie dać przeciągnąć inszym frakcjom.

To strach - a co mówi rozum? Trzeba pomyśleć na trzeźwo. Pióropusz szarego dymu rozpościerał się na niebie nad Ekspresem - gdy zadarło się głowę, widziało się między



wagonem i wagonem rwącą po wieczornym nieboskłonie rzekę dymu; gdy zaś spojrzeć prosto wzdłuż składu, w oczy uderzają rozsierzdzone ogniami zachodzącego Słońca zorze i tęcze i łuki widmowe zimnych kolorów krzesanych na krawędziach czarnej lokomotywy, pół horyzontu ginęło za feerjami tych rozblasków migotliwych. Ekspres Transsyberyjski parł przez tajgę w huku rozpychanego powietrza i grzmocie setek ton stali, ale wyglądało to tak, jakby ciągnął go zaprzęg baboczkowy, wielka chmura jasnobarwnych motyli poprzedzająca, otaczająca, przygniatająca sam parowóz.

Na trzeźwo. Jeśli Lód zaciska na świecie logikę Arystotelesa i dopiero tam, pod Lodem, istnieje Historia, to znaczy ciągłość prawdy między przeszłością, terażniejszością i przyszłością, natomiast w trójwartościowym świecie Lata panuje jeno chaos milionów możliwych przeszłości i przyszłości - jeśli tak, to lute bynajmniej nie wypaczyły Historji: lute ustanawiają Historję, jedyną prawdziwą, jedyną możliwą. A wszystko, co poza Lodem - to nie-Historja, kolejne złudzenie szronu na historyczną skalę.

Jeśli zaś rację ma Mikołaj Bierdiajew i Historia realizowała się w prawdzie, dopóki nie pojawiły się lute, które zamroziły ją w sensie jak najbardziej dosłownym, to jest: zahamowały w biegu - jeśli rację mają ichni liedniacy i ottepielnicy i od utrzymania Lodu zależy przetrwanie Rosji w obecnej jej postaci - to jakie znaczenie dla Historji ma różnica logiki Zimy i logiki Lata? To akurat przecież nie jest złudzeniem. Doktor Tesla zbudował maszyny. Pompuje ómiecz. Tungetytowe pola teslektryczne zmieniają naturę światła.

...Więc w jakiz to sposób świat oparty na „być może” jest bardziej słuszny od świata opartego na prawdzie? W jaki sposób Historia tego, co nie istnieje, jest bardziej prawdziwa od Historji tego, co istnieje? Niepewność pewniejsza od pewności. Nieprawda prawdziwsza od prawdy! Bóg stojący po stronie kłamstwa! Historia świata jak ta nocna opowieść pociągowa wyznawana nieznanemu przez nieznanego - Bóg nachylający się w półmroku z uśmiechem przekornym, niewyraźny kształt na tle ciemności nad ciemnościami - w czas podróży - Jego słowa przeczące Jego słowom - Historia - prawda czy fałsz? prawda czy fałsz?...

Tak być nie może!

Splunęło się w bok, wiatr porwał ślinę. Cała nadzieja w Nikoli Tesli. Że żyje, że na dobre stracił śmierć z terażniejszości do jednej z przeszłości, i odćmieczony, wielomozliwy, Tesla dojedzie do Irkucka, złoży te swoje maszyny, przepuści pływ teslektryczny przez lute, cała nadzieja w gienjalnym Serbie - on uczyni Historję przedmiotem nauki eksperymentalnej,

podłączy Historję do elektrod, przełoży wajchę, wiuuu, strzelą czarne pioruny i zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Podeszło się do barjerki, oparło się ciężko o balustradę. Podkłady kolejowe migają pod sprzęgiem międzywagonowym, zlewając się w geometryczną falę. Dzień już tylko, pojutrze rano Irkuck. Co począć? Pójść pod adres przez Preissa podany, zgłosić się do Ministerjum Zimy, dać się poszczuć na ojca? A jeśli jakiś szpicel liedniacki, jeśli wyznawca Marcyna z frakcji rasputinowej, jeśli kto zoczy i znak da, wiele to trzeba, w takim mieście na końcu świata, gdzie tłumy Kitajców, dzikusów sybirskich, bywanych katorżników i wszelkiej szumowiny światowej przewalają się ulicami, wiele to trzeba - czerwonec i flasza chanszynu, nie więcej, i już wchodzi kindżał pod żebro, masz swoje tysiąc rubli, w piekle z Iskariotą w zimuchę rznij teraz.

Uciec może? Kiedy? jak? Wysiść na stacji przed Irkuckiem, rozplynać się na Syberji, to możliwe, ma się wystarczająco dużo pieniędzy, zachowanych z puli komisarza i wygranych od Fessara; a tu nikt nie pyta o papiery, można żyć latami poza zasięgiem państwa, wymienić się tożsamością z jednym, z drugim uciekinierem. Albo zdobyć potem *incognito* bilet w kupieijnym do Władywostoku, skąd wypływają statki do wszystkich portów świata - czyż nie taki był zamysł najpierwszy? - Kraj Przylądkowy, Antypody, Indje Zachodnie, Ameryka.

- Pozwolicie, Wieniedikt Filipowicz.

Stanąwszy obok, Ziejcow złapał za poręcz ręką małopalcą, gdy Ekspres chybnął się na lekkim wirażu.

- Poszli sobie?

- Proszę?

- Doktor i pan Pociągło. Obudzili was?

- Nie wiem... tak... ja tylko... - A czemuż on znowu się tak miesza, czemu za brodę łapie, w kołtunach czarnych skrobie, czemu znowu materiał garnituru międli i gniecie, smugi tłuste pozostawiając? - Pozwolicie, że...

- No to nasłuchaliście się, Filimon Romanowicz, głupot a głupot, jak rzadko się zdarza.

- Ja... nie myślę wcale, żeby to głupoty były. - Podrapał się nerwowo po bliźnie. - Wasza Wielmożność pamięta, o com go rano dziś prosił.

Się wyprostowało się.

- Jak chcecie mnie męczyć o to od nowa -

- Nie, nie! - Zakreślił rękoma, puściwszy poręcz. - Ja właśnie z przeciwną prośbą: skoro pamiętacie... zapomnijcie.

- Co?

- Zapomnijcie, źle, że prosiłem. - Odwrócił wzrok. - Do złego namawiałem, zapomnijcie.

Się przyglądało się mu dłuższą chwilę. Wiercił się i krzywił pod spojrzeniem jak przypiekany.

- Zupełnie nie mogę was pojąć, Ziejcow. Nie piliście teraz, co?

- Nie jest tak, jak myślicie, Wieniedikt Filipowicz. Słyszałem, co żeście tu mówili, i przemyślałem sobie rzecz całą. Źle, że prośba taka wyszła ode mnie, a jeszcze gorzej, gdybyście chcieli ją spełnić, gdybyście mogli ją spełnić.

Machnęło się bezradnie.

- A co mnie to wszystko! Dajcie mi spokój ze swoimi prośbami, Królestwami Bożemi i głębokodusznymi spowiedziami. Idźcie precz!

Teraz dopiero poczuł ostrogę; poderwał się z ogniem w oczach, brwią zmarszczoną.

- Gaspadin Jerośławski! Ty tak nie myślisz!

- Jak nie myślę?

- Do czego oni was namawiali - co mówiliście, że zrobicie, spotkawszy wreszcie ojca - jaki użytek z władzy nad Historją. Słuchacie, pytacie, pokrzykujecie, obrażacie się - ale jakie jest wasze zdanie? Wasze najszczerze!

...Powiedzcie mi: naprawdę sądzicie, że Historja jest dziełem ludzi? Że gdyby ktoś w swoim momencie postąpił inaczej, niż postąpił, to Rzym by nie upadł, albo nie umarłoby nigdy Średniowiecze, albo nie padłaby Bastylia? Albo że teraz: ktoś coś zrobi i rewolucja odmieni oblicze Rosji, oblicze świata; nie robi - i wszystko zostanie po staremu. Czy rzeczywiście z tego bierze się Historja? Tak myślicie?

...Czy raczej jest ona obrazem konieczności niezwiązanych czyimikolwiek czynami: Rzym upadł, nadeszły wieki ciemne, po nich druga epoka rzymska, po niej druga epoka rozumu - jak liczba parzysta następuje po nieparzystej, która następuje po parzystej.

...Wieniedikt Filipowicz! To mi powiedzcie szczerze: w którą Historję wierzycie?

Patrzył prosto w oczy, bez świadków, z twarzą czystą od znaków i grymasów prześmiewczych, ironicznych. Oto złapał w pułapkę szczerości; bo gdyby jakaś osoba trzecia, gdyby choć najmniejszy ślad szyderstwa w mowie bądź geście - weszłoby się natychmiast w tę zewnętrzną konwencję, obracając całą rozmowę w kolejną zabawę towarzyską. A tak - jest tylko człowiek i człowiek i to, co można wyrazić w języku międzyludzkim.

- W co wierzę, Ziejcow: nie Historia tworzy ludzi, lecz ludzie tworzą Historję.

Eks-katorżnik pokiwał głową. Cofnąwszy się wedle balustrady o krok, zgiął się wpół. Następny, co odgrywa teatr pokłonów, pomyślało się. Rzeczywiście, prawie sięgnął grzywą splątaną żelaznych płyt podestu.

- Wybaczcie - rzekł głośno, bardzo wyraźnie.

Poczem złapał oburącz pod kolana - chwyciło się poręczy - złapał, pociągnął - rzeka dymu na niebie - prostując się gwałtownie, cisnął wzwyż - niebo, tajga, stal, nasyp, ziemia - musiało się puścić poręcz, zanim co trzaśnie w wykręconym nadgarstku - nasyp, ziemia, huk i świst wiatru w uszach, poleciało się, koziołkując, nogami naprzód. Ani się zdążyło krzyknąć. Bicz - konar giętki - smagnał po plecach, spadło się w trawę i piach; toczyło się dalej. Zapłonął ból w ciele siniaczonym, miażdżonym. Się zatrzymało się wreszcie na żwirze i kamieniach. Rozdarły twarz, wbiły się w szyję, podziurawiły ubranie i skórę. Się uniosło się na łokciu. Wybity ząb wypłynął na brodę wraz ze śliną. Huk powoli cichł - huk cichł, ponieważ pociąg się oddalał, ostatni wagon Ekspresu Transsyberyjskiego nikł w perspektywie przesieki wyciętej w tajdze dla nasypu kolejowego. Jeszcze błysnęła lampa oznaczająca koniec składu i już tylko zimny blask zorzy „Czarnego Sobola” świecił nad drzewami - ale i ta chmura tęczowych motyli szybko blakła i malała na ciemniejącym horyzoncie. Dłuk, dłuk, dłuuk, cisza. Splunąwszy drugim zębem, spojrzęło się w przeciwną stronę. Na tle czerwonego Słońca poruszyła się w oddali mała sylwetka jeźdźca z drzewcem u siodła. Usiadło się powoli, połamane palce sterczały pod dziwnymi kątami. Od lśniących szyn szedł mróz. Pierwsze gwiazdy azjatyckiej nocy wyiskrzały się na niskim niebie. Jedna, druga, trzecia, piąta, konstelacja myśliwego. Zaszły tęcze zimnawowe. W leśnych ostępach odezwały się zwierzęta. Dreszcze wstrząsały zmaltretowanym ciałem. Sięgnęło się po Arcymistrza.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### O snach Benedykta Gierosławskiego

Wypadnie z szyn. Odciągnęło się ogon skorpiona. Wypadnie z szyn, wykoleji się, masakra. Jak często chodzą pociągi po Magistrali Transsybirskiej? Pasażerski wyrusza z Peterburga kilka razy w tygodniu - a towarowe? lokalne? a transporty wojskowe? Lewą nitką? prawą nitką? Się oparło się plecami o pień świerka, uniosło się ramię wyprostowane, zawinęło się palec na ogonie węzowym - palec środkowy, jedyny w pełni sprawny w prawej dłoni. Błękitne poblaski migotały nad szynami. Wypadnie z szyn; nawet jeśli kula tungetytowa uderzająca w zimnazo nie spowoduje dodatkowych szkód, to nastąpi tu eksplozja lodu, jak w Jekaterynburgu, i tory pokryją się twardą zmarzliną. Samych szyn lód nie wypaczy - na to je kładą tu z zimnaza chłodzone, żaden mróz im nie straszny - ale powstanie barjera, na której pociąg będzie musiał się zatrzymać. A przynajmniej zwolnić. Wtedy się wsiądzie. Wtedy maszynista zauważy Europejczyka przy torach, naciśnie hamulec, zabiorą do środka. Chyba że - skład wypadnie z szyn. Ba, ale czy zimnazowe parowozy nie zostały zaprojektowane właśnie do rozbijania takich zapór na torach, kolejowe lodołamacze? Najpewniej przejedzie, rozpędzony, nawet nie poczuje obstrukcji. Tylko zadzwonią głośniejszy krysztalowe kieliszki w Luksie. Jednak - jeśli wypadnie z szyn? Dotknęło się językiem krwawiącej dziury w dziąśle. Towarowy czy pasażerski, lokalny czy Ekspres - masakra. Powie się, że to luty, że wymroził się tu luty. Tak czy owak - zabiorą stąd. Bo inaczej - co? Zdechnąć w środku dziczy? Nie wiadomo nawet, ile do następnej stacji. Przejechało się Jurge, ale potem - co stało w *Putiewaditielu*? Nie pamiętało się. Dwadzieścia, trzydzieści wiorst między kolejnymi przystankami w tajdze, kolano rwie jak czort przy każdym kroku, coś tam trzasnęło w ścięgnach, w kościach, w mięśniach, zapowiada się wielodniowa wędrówka w męce. Jeśli jaki niedźwiedź nie zeżre człeka już pierwszej nocy. Pociągnęło się za spust. Klakk, szczypcy skorpiona uderzyły z miękkim szczękiem.

Zepsuł się? Złamało się Grossmajstera wpół, zajrzało się w kwiatowe kielichy komór nabojoych. Pusta - strzeliło się z komory pustej. Czy przekreślało się bębenek wstecz po strzale w Jekaterynburgu? Czy mógł się sam przypadkiem przekreślić? Kląc głośno, żałośnie, złożyło się rewolwer i schowało się go za pasek, pod kamizelkę. Otarło się rękawem nos

(krew już nie ciekła). Się obejrzało się na zachód - ćwierć tarczy Słońca schowane za las. Nadal mogło się patrzeć Słońcu prosto w źrenicę - na ile na cokolwiek dało się spojrzeć wprost i bez drżenia. Lewa powieka puchła powoli, zawijając się pod brwią w fałdę mongolską, z której też ciekła krew, zalewając oko; mrugało się co chwila. Z gałęzi u góry odezwała się sowa, huuu-hu. Się wzdrygnęło się. Długie cienie drzew wyciągnęły się wzdłuż torowiska jak ostrza kierunkowskazów: wschód, wschód, wschód. Potrząsnęło się głową. Za nic nie było się w stanie przypomnieć ostatniej strony *Putiewaditiela*. A gdyby nawet - bez wiedzy o aktualnym położeniu na linii Transsibu, na nic wszelkie rozkłady i mapy. Wyjęło się miedzianą trzykopieskową. Orzeł dwugłowy - nazad, ku Moskwie; reszka - wastok. Rzuciło się. Reszka na wierzchu.

Dziesięć kroków i już trzeba stanąć, złapać oddech. Złamało się ogryzioną przez jakieś zwierzę młodziutką brzoźkę, będzie kostur dla podparcia. Weszło się na tory, to przynajmniej równa droga. Szybko dostosowało się rytm marszu do taktu podkładów kolejowych, kij uderzał w drewno co drugie stąpienie, i szło to tak: człap, człap, tuk, człap, człap, tuk. Palce nie chciały się zaginać wokół lagi, bolały, więc ścisnęło się je przy kciuku drugiej dłoni, bolały bardziej, o, teraz ulga: ból większy, zatem także ból mniejszy. Szarpnęło się jeden palec, drugi, ze skórą odartą przez sygnet. Większość jednak została chyba tylko wybita, naciągnęło się wskazujący, naciągnęło się prawy kciuk. Na konar wiązu wykicała złotoruda wiewiórka, wychyliła się ku torom, przekrzywiając główkę. Chciało się zagwizdać, tylko splunęło się krwią. Ruszał się trzeci ząb. Człap, człap, tuk. A może rozpalić ognisko? Czy wtedy pociąg by się zatrzymał? Wielkie ognisko na szynach. Pomacało się po kieszeniach za zapalkami. Nie ma, nie ma. Zakłęło się cicho (już tylko melancholja w głosie). Strzyka w kolanie, łupie w pacierzu. Człapu-człap.

Wyrzucił, wziął i jak worek owsa wyrzucił! A więc panna Muklanowiczówna miała rację! Chciał zabić! Agient liedniacki! Filimon Romanowicz Ziejcow, job jewo mat'! *Przebaczcie...*! O, wyjdzie mu to przebaczenie uszami, krześcijańskie miłosierdzie będzie zbierał z bruku razem z flakami swoimi.

Zaraz jednak rozum począł produkować wątpliwości. Czy rzeczywiście chciał zabić? Czy rzeczywiście z rozkazu liedniaków? Inaczej to wyglądało. Ziejcow sam najpewniej nie wiedział, co robi, zanim to zrobił. Nie ma w nim jednej twardej kości, to człowiek do reszty rozmiękły, zamiast kręgosłupa została mu struna jęku i szkło alkoholowe. O co mu tak naprawdę chodziło, gdy pytał o Historję? Raz prosi, żeby nakłaniać ojca do Królestwa Bożego na Ziemi; raz - żeby nie, że na odwrót, że znowu mu się wszystko odmieniło. Ani

sojalista, ani anarchista, ani tołstojowiec, sam się nawraca-zawraca między śniadaniem i wieczerzą, to jest między flaszką i flaszką. Czy gdyby inaczej odpowiedziało się mu na owo pytanie, zaniechałby zamiaru morderczego? Usłyszał przez sen rozmowę z Konieszynem i Pocięglą, Bóg wie, co mu się naroilo... Że jak pozwoli synowi nakłonić Ojca Mroza do takiej czy owakiej strategii lutyh, to niby co stanie się z Historją...? Oddać człowiekowi władzę nad Historją człowieka - to go przeraziło?

A cóż w tym takiego przerażającego?

Upił się, to jasne, schlał się i spał tam, uchłany, aż nowy majak go objął i poddał się Filimon Romanowicz majakowi, jak przez całe życie poddawał się był wszystkim sennym objawieniom i idejom monumentalnym; takim ludziom nie trzeba płacić dienieg czerwonych, starczy szepnąć do ucha wielkie słowo - zabiją, z głębi serca błagając ofiarę o przebaczenie.

Człap, człap, tuk. Tuk, tuk, nie można dalej, pora odpocząć. Jeszcze do tej polanki... Kulejąc, zeszło się z torów i przysiadło się na spróchniałym pniu obalonego cedru - cedru, limby, giganta dwudziestometrowego, który, padając, wyrąbał tu w puszczy szczerbę głęboką, teraz powleczoną pajęczynami cieni wilgotnych i zaciągniętą chmurami owadów. Ile się przeszło? - pół wiorsty? wiorstę może? Już Słońca nie widać nad koronami drzew, już noc zapada. Wyjęło się chusteczkę; wydmuchawszy z nosa krew zakrzepłą, obwiązało się na sztywno trzy opuchnięte palce lewej dłoni. I tak cud, że większe kości ocalały, że kark nie skręcony i gałąź jaka nie przebiła płuca. Muszki malutkie, tak małe, że w ogóle niewidoczne w półmroku wieczornym, włożyły do uszu, do oczu, za kołnierz, do ust. Pluło się, parszkając głośno. Ślina schodziła już czysta, bez czerwonej flegmy.

Przetrzęsnęło się kieszenie. Ołówek chemiczny, papierosy, pugilares, bilon luzem, trzyrubłówka zwinięta w śmieć, a to co? - liścik panny Filipov. Jeszcze grzebień, wykałaczką. Czerwony futerał z interferografem. Wyjęło się tuleję. Cała, nawet szkła niepeknięte. Pomyślało się zaraz o ogniu. Wybić z obejmy soczewki, rozpalić próchno, rzucić w stos chrustu... Ale to dopiero rano, po powrocie Słońca. Trzeba nazbierać sporo tego drewna, nie wiadomo, kiedy pociąg nadjedzie, ognisko musi się palić godzinami. A jak wiatr powieje, poniesie skry... Czy tu niedawno padało? Się otrząsnęło się, otworzyło się oczy, wciągnęło się powietrze. Pachniało soczyście wszystkimi perfumami i odorami żywego runa leśnego. Wraz z ciepłymi woniami weszły jednak w nozdrza muszki przeklęte, pluło się, smarkało i parskało dobrą minutę. Aż odpowiedziały głośne parsknięcia końskie.

Wyjechał z za brzóz białych, skręcając w szczerbę od nasypu kolejowego, tak się objawił

w prześwicie: najpierw cień blady, niewyraźny w szarej półciemności, potem łeb, kark, kij, jeździec. Kasztan przysadzisty, kudłaty, z człowiekiem na grzbiecie. Stanęli i stoją, spoziera człowiek, spoziera zwierzę, łypiąc ślepiem wielkiem, wylupiastem. Się wyprostowało się na limbie, ujęło się mocniej łagę. Jeździec pochylił się, opuścił swój kij. Ze skórzanego ubioru zwisały tuziny frędzli, sznurków z ponawlekanymi figurkami i kamykami, które grzechotały przy każdym ruchu tuziemca. Wąskie oczy spoglądały z pogodną ciekawością. Przez pyzate lica szły ściegi czarnych blizn. Coś zwisało też z zakończonego krótką poprzeczką kija - truchło ptasie.

Koń parsknął i grzebnał kopytem w ziemi. Wsadziło się palce w gębę i zabulgotało się obrzydliwie, nadymając policzki i wybałuszając oczy, aż echo poszło po tajdze i przymilkła na chwilę okoliczna zwierzyna.

Dzikus powiedział coś cicho i zeskoczył z konia. Podpierając się kijem, pomaszerował ku limbie. Teraz wyszło na jaw, że to kaleka: kuleje wyraźnie, lewa noga krótsza, musi się podierać. Na głowie miał szpiczastą wojłokową czapkę, obszerną burkę zdobily czerwone, zielone i żółte aplikacje, powszywane bez sensu, łaty na łatach. Z szyji zwieszały mu się kolejne warkocze frędzli, kolekcje ponawlekanych na rzemienie drewnianych, kamiennych i żelaznych figurynek prymitywnych, niektóre do złudzenia przypominały laleczki klecone przez biedne dzieci ze szmat i patyków. Podeszedłszy, wbił kij w ziemię (ptica wisiała łebkiem ku ziemi) i klepnął się trzykrotnie w brzuch. Cuchnął tłuszczami zwierzęcymi, długie, czarne włosy spadały mu na ramiona i plecy, pozlepiane w strąki, powiązane wstążkami kolorowymi. Skośne głąza wydawały się spoglądać pogodnie - innego wyrazu nie dopuszczały fałdy skóry wokół oczodołów napiętej.

Przygarbiony, nachylony ptasio, przypatrywał się długo, mlaskając i burcząc pod nosem. Poczem uderzył z lewej - się uchyliło się niezgrabnie, ale nie, to nie było uderzenie: lewa ręka, prawa ręka, lewa znowu, dzikus szybkimi szarpnięciami zdierał wokół z powietrza niewidzialne zasłony. Muszki odgania? Się przestało się kiwać na pniu, siedziało się prosto, a on, nuąc coś do siebie grubo, wykonywał serje zdecydowanych ruchów - wokół głowy, wzdłuż ramion, przed piersią, muskając brudnymi palcami jeszcze brudniejszą marynarkę i koszulę, wzdłuż nogawek spodni, i znowu od twarzy w dół. Ściemniało do reszty, wyświetliły się nad polanką, w okręgu między koronami drzew gwiazdy srebrne, gęste zasieki zodiakalnych konstelacyj. Spojrzało się na dłoń z pierścieniem szlacheckim zaciśniętą na brzozywym kosturze - i dopiero pojęło się, co ów dzikus wyprawia. Dlaczego zatrzymał się, zagapił, dlaczego zsiadł. Maszyna doktora Tesli, pompa Kotarbińskiego... Widział pan



Pocięło, zobaczył i ten Azjata: poćmiatę czystą, mocną, pomieszanie światła i ćmiatła, pieczęć lutowczyków. Cień odgwiezdny pod ręką wyciągniętą kładł się białym blaskiem, ostrym negatywem nocy. Siedziało się prosto, bez ruchu, żałując tylko braku zwierciadła. Przejrzeć się teraz, zobaczyć z zewnątrz noktaureolę w zmierzchu! Czy to jest światło? Czy się świeci się? Patrzyło się po ziemi, po korze spróchniałego pnia, po krzakach bliskich. Naprawdę jaśniejsze? Patrzyło się na materiał garnituru, na skórę dłoni, na buty. Cóż bowiem widzi ten dzikus? Kogo widzi? Zaszło Słońce, koniec dnia, czas przecie najwyższy na kolejne kłamstwo o Benedyckie Gierosławskim. Proszę: środa, dwudziesty trzeci lipca, na scenę wchodzi Je-Ro-Sza-Ski, demon syberyjski. Się zaśmiało się szaleńczo. Kuternoga zachichotał w odpowiedzi i poklepał przyjacielsko po ramieniu.

Najwyraźniej zakończywszy rytuał oczyszczania z ćmiatła, wziął się za rozbijanie obozu. Konia poprowadził za limbę. Szybko zebrał drewno, jeszcze szybciej uwinął się z urządzeniem ogniska: kilka kopnięć w miękki grunt, kamienie, liście, z koca odwinął żerdzie żelazne i kociołek, spod frędzli wyjął zapałki, splunął jeszcze i sypnął czymś w palenisko, i już: ogień jasny, hipnotyczny skacze na suchych badyłach, trzaska i skwierczy. Uśmiechnięty kulawiec mlasnął z zadowoleniem. Ze skórzanego bukłaka chlusnął do kociołka wodę. Zrzuciwszy z grzbietu konia bagaże, wygmerał z wora parcianego metalową puszkę; wytrząsł z niej do kociołka grudy prasowanej chińskiej herbaty, jedną cisnął w ogień. Pić! Przełknęło się ślinę. Dzikus dopiero się rozpędzał. Z inszej puszki blaszanej wyczarował cały skład apteczny: zioła takie, zioła owakie, liście i kwiatuszki i grona nasienne i suszone owoce i tuzin wiązek zmumifikowanych resztek roślinnych i Bóg wie, co jeszcze; gmerał w tym i przebierał, podnosząc do oczu, wachając i liżąc nawet. Aha, pomyślało się, ichni medyk, znachor, znaczy się. Widzi, że człek sponiewierany, poleczyć chce, dusza dobra, Bóg mu wynagrodzi. Zagotował czaju, nalał do kubka cynowego. Podał z uśmiechem. Wyszczzerzyło się zęby.

Sss, gorące! Odstawiło się kubek na pień. Tuziemiec pokazał energicznym gestem: pij, pij. Wzruszyło się ramionami. Położywszy brzożową laskę przez uda, zawinęło się kubek w połę marynarki; tak uniosło się go do ust. W ciemnym napoju pływały martwe muszki. Kuternoga uśmiechał się szeroko; jemu też brakowało zębów. Siorbnęło się parującą cieczą. Poszła przez ciało gorącą strugą, czuło się w wewnętrznych organach zmianę temperatury, w miarę jak łyk spływał w dół. Teraz ponownie zatrzęsło się w dreszczu chorobliwym. Jak prędko zapadała w tajdze ciemność! jak szybko przyplływ wilgotnego chłodu parł ponad ziemią! Jakby wraz z zachodem Słońca odmieniały się pory roku: lato - jesień - zima. Mimo

gwiazd o świetle ostrem jak ruska brzytwa, wzrok nie sięgał już dalej niż na kilka kroków od dzikiego ogniska; podniosła się mgła. HUU-huuuu, crw, crwiii, tliiiiik, ptaki nocy rozmawiały ze sobą z głębi lasu. Kuternoga klepnął się w brzuch i cisnął w ogień kolejne zioła. W skuleniu, w drzeniu, w chłodzie - piło się gorący czaj.

Wyciągnął bęben. Na napiętej skórze wymalowano jakieś schematyczne figury, a może krajobrazy, a może mapy, a może szkielety zwierząt. Czknawszy, ziewnąwszy, mlasnąwszy, przymknawszy oczy, dzikus począł bić w ten bęben. Z początku leciutko, pieszczotliwie zgoła, nie całą dłonią nawet, lecz czubkami palców, jakby go głaskał, jakby budził go ze snu - pam-płam, pam-płak. Mgła zafalowała i zaszumiała tajga, gdy powiał wiatr; nachylił się strumień dymu z ogniska, teraz kładł się prawie poziomo, wprost na pień limby. Zakaszłało się, rozpędzając sprzed twarzy spaleniznę. Bam-błam, bam-błag, kaleka walił już mocniej, grubą pałką kościaną, nucił coś przytem pod nosem, zacisnąwszy zęby; krótsza noga podskakiwała do rytmu. Przełknęło się resztę herbaty, rzeczywiście rozgrzewała. Można by pomyśleć, że rumu do niej dołał. Się przesunęło się na pniu, by uciec z dymu. Bam-błam! Bam-błag! Dzikus bębni z całej siły, a na dodatek zaczyna wyć i jęczeć, odpowiadają mu zwierzęta z lasu. Czy to wilk zaskowyczał? Się rozgląda się bezradnie po ciemności. Dym nadal wali w oczy. Co ten Mongoł wyprawia? Może istotnie zawierzył wrażeniu nocnemu - bo co zazwyczaj robi taki niecywilizowany Syberyjczyk, napotkawszy demona? próbuje go przepędzić? przebłagać? zabić? egzorcyzmować metodami pogańskimi? Z uśmiechem szerokim na tej twarzy jak bochenek pszonego chleba.

Wspierając się na kosturze, wstaje się i obchodzi się dym i ogień. BUM-BŁAM! BAM-BŁAG! Wszystko się trzęsie i wibruje od tego dźwięku, nie po ciele wychłodzonym, ale po świetle przechodzą dreszcze, widać te zmarszczki w skaczących płomieniach, na linii dymu, zmarszczki na powierzchni mgły - tylko nie widać samego bębniącego. Schował się we mgłę? Przecie - BUM-BŁAM! - bębni tuż obok, tuż przy uchu. Dźga się kijem naokoło, się obraca się, okrąża się ogień. Aż dopiero trzeba przystanąć, potrząsnąć głową, przetrzeć olżawione oczy - co to jest, co się dzieje, co to za obrządek, czemu łązi się wkoło płomienia, trzy, cztery razy, gdzie pień spróchniały, gdzie szaman, gdzie jego rzeczy, gdzie koń i tory? Ręka wyciąga się we mgłę, mgła rozstępuje się przed ręką. Ręka się cofa - wraca mgła, to znaczy ciemność. Skąd zatem światło, jak to się dzieje, że w ogóle widzę rękę? Źródło światła, tak, ognisko! Podchodzę, pochylam się - ale to też nie jest już ognisko, to filar blasku, prosta kolumna światła, jednym końcem wbita głęboko w ziemię, drugim końcem wbita głęboko w niebo; aż zadarłem głowę - kolumna, a może drzewo, tu są jego korzenie, a tam jego gałęzie i owoce, to

znaczy gwiazdy. Powolnym, podwodnym ruchem wyciągnąłem ramię ku nim, wzwyż; sięgnąłem gwiazd. W dotyku były śliskie, chłodne, lekko piekące, odskakiwały od skóry niczym zgalwanizowane. Zaśmiałem się głośno. Światło drzewa poniosło śmiech po równinie. Mrużąc oczy, rozglądałem się po podgwiezdnym przestworze. Białe źdźbła traw, każde ponad metr wysokie, każde z miliona widoczne z osobna, o wyraźnych, ostrych krawędziach, giętkie szablice - kładły się w falach miękkich od horyzontu do horyzontu. Stada rogatych zwierząt - łosi? jeleni? nie, to są renifery - płynęły w morzu tych traw, na wpół w nich zanurzone, a każdy ren też z osobna widoczny i policzalny, na każdym sierść lśni jak posypana srebrnym pyłem, skroplona wodą źródlaną. Obszedłem drzewo światła. Po drugiej stronie stały namioty myśliwych - namioty, szałas, niewysokie konstrukcje na żerdziach drewnianych, przykryte korą i skórą. Biały dym wydobywał się z ich otworów. Ruszyłem wolnym krokiem - a ledwo zdołałem przełożyć kij z ręki do ręki, już byłem przy nich. Wszedłem do pierwszej. Obejrzeni się na mnie od pieca. Panował półmrok, śnieżycą huczała za oknami, brudne chmury wisiały nad Warszawą; a w kominie coś się zapchało i dym szedł pod sufit, zanieczyszczając i tak nieczysty blask lamp gazowych. Ojciec, klęcząc, gmerał w palenisku długim pogrzebaczem. Objane o drzwiczki i cegły żelazo nie wydawało jednak żadnego dźwięku. Dotknąłem uszu. Czyżbym ogłuchł? Matka mówiła coś do ojca, wymachując w powietrzu chustką. Podeszedłem do okna. To była Warszawa, ale nie potrafiłem zidentyfikować ulicy ani nawet dzielnicy. Prawy brzeg? Lewy brzeg? Konfiguracja dachów i świateł zdawała się zupełnie obcą, a jednak - to była Warszawa. Podeszedłem do drugiego okna. Coś przesłaniało tu widok. Zamknięta okiennica? Przycisnąłem policzek do szyby. Igła mrozu weszła mi w kość pod okiem, przebiła się do mózgu, uderzyła od spodu w czaszkę i wybuchła tam pod kopułą kwiatem lodu, krzakiem-śnieżynką, którego boczne pęki wystrzeliły mi uszami. Ta masa za oknem to był luty, wmrózony w elewację i mury kamienicy. Wszedł do komina, czy dlatego zadymił mieszkanie? W drzwiach pokazała się panna jasnowłosa w czerwonym kubraczku, pociągnęła mamę za rękę. Wyszły. Odłamałem się od szyby, zostawiając na niej pół ucha, i poszedłem za nimi. W salonie siedział przy stole Bolek, wuj Bogasz i Zyga. Matka i panna spoczęły na wolnych krzesłach. Bolek poprawił okulary na nosie i sięgnął po zapalki. Na środku pustego blatu stała wysoka ćmieczka. Nie! Cóż wy najlepszego robicie! Boże drogi! Sypiąc na dywan śniegiem, doskoczyłem do stołu, złapałem najbliższą osobę za rękę, szarpnąłem - panna poderwała się jak oparzona, spojrzała na mnie, na swoje ramię, na mnie, otworzyła usta, oczy obróciły się jej białkami do góry, padła zemdlona. Czuwaliśmy przy jej łóżu, gdy walczyła z gorączką. Drugiej nocy ręka poczęła jej czernieć, pojawiły się wrzody, popłynęły wybroczyny ropne. Majaczyła w

malignie. Przypatrywałem się jej z odległości, z kąta pod konterfektem dziadków Gierosławskich. Lśniaca od potu, z cerą bladą, włosami zawiniętymi w ciasny czepek, że tylko prostokąt gładkiego oblicza świecił w objęciu płótna białego - kim ona była? kogo mi przypominała? Nasampierw myślałem: Julja, no tak, Julja, oczywiście, zmieniła się, ale to Julja, nikt inny - cóżem ci znowu uczynił, Juleńko, obudź się, popatrz na mnie, nie chciałem, nie chciałem! - ale potem przyjrzałem się matce, przyjrzałem się ojcu, jak się postarzeli, ile lat minęło, i pojąłem: ta pannica w chorobie cierpiąca to Emilja. Czwartej nocy zakażenie zeszło jej na bark, na pierś. Doktory rozkładali ręce. Był ksiądz. Wszyscy wyszli (ja zostałem), Emilka wyznawała swoje grzechy (których nie słyszałem, sople zabiły uszy). O świcie zdesperowany ojciec sprowadził ostatni ratunek. Błum-błum, szaman wszedł, kulejąc, na ścieżce dymu i mgły, i zaraz z progu obrócił wzrok na mnie; nachylił kij jak dzidę i szturchając nią, postępował krok za krokiem, wypychając mnie precz, truchło ptaka zawieszona na poprzeczce dyndało mi przed twarzą, cofałem się w obrzydzeniu, jeszcze, jeszcze, jeszcze, precz od nich, od Emilji, od matki, od ojca, precz - aż podłoga warszawskiego apartamentu do reszty uciekła mi spod nóg i spadłem, błum-błum. Uderzyłem plecami w twardy grunt, wypchnęło mi powietrze z płuc. To, co weszło w nie z powrotem, to nie było powietrze, a raczej inne powietrze: masa ziemista, żwirowata, którą oddychało się, mieląc ją w płucach na piasek, płuca obracały się w piersi ciężkimi żarnami - wdech kamienny, wydech kamienny. Usiadłem. Kij brzozy został mi w ręce. Był jasny dzień, na czarnem niebie wisiał czarny cień Słońca, wyszczerbiona tarcza, z której skakały zygzakami krzywe promienie na całą trawiastą równinę. Tym razem nie tkwił na jej środku żaden słup światła ni ćmiatła. Wstałem. Powiał wiatr i z żelaznych ździebeł trawy posypała się rdza. Opodal nad jeziorem pasterze poili renifery. Z łbów renów, miast poroża, wyrastały białe szkielety innych zwierząt: psów, ryb, orłów, szczurów, także małych dzieci. Podszedłem do pasterzy. Wszyscy byli jednonodzy, jednoręcy, jednoocy. Zapytałem o drogę do domu. Odpowiedzieli mi w języku, który spalił mi pół twarzy, urwał drugie ucho i wybił zęby. Chciałem się napić wody z jeziora, ale była gorętsza od smoły piekielnej, wrzała i bulgotała, eksplodując czarnymi bąblami. Z jeziora wypływała szeroka rzeka, prąc do swego źródła w odwrotnych falach. U jej odujścia dojrzałem sylwetkę dwuręką i dwunogą. Podszedłem, podpierając się laską. Pan w Meloniku pochylił się nade mną, podając mi kartę wizytową. Na jednej stronie wydrukowany był adres, a na odwrocie - zapisane białym atramentem nazwisko Gustawa Gierosławskiego. Przypomniałem sobie, że pradziadek miał na imię Gustaw; ponoć zginął w powstaniu listopadowem. Schowałem wizytówkę do kieszeni. Pan w Meloniku pogłaskał mnie po włosach. Spostrzegłem teraz, że ma dziurę w piersi, krwawy krater

wypalony przez pocisk wielkiego kalibru; i że wszystka jego odzież jest jakoś popsuta: buty takż dziurawe, spodnie wzdłuż szwów rozprute, kamizelka bez guzików, nawet w jego geometrycznie krągłym nakryciu głowy wycięto kanciasty otwór. Pomaszerowałem wzdłuż rzeki. Kilka wiorst dalej czekał następny Pan w Meloniku. Wręczył mi swoją wizytówkę. Na odwrocie zapisał nazwisko Lise Grünz. Pamiętałem, że tak nazywała się któraś z ciotecznych babek matki - czy nie ta, która otruła męża i uciekła z rodzinnymi kosztownościami do Ameryki? Szedłem dalej. Wizytówki Panów w Meloniku różniły się tylko nazwiskami na rewersie. Jerzy Bertrand Gierosławski. Marja Gierosławska. Juljusz Watzel. Antoni Wilk. Grzegorz Bogasz. Rzeka wpłynęła między żelazne zarośla, brodziłem w rdzy, musiałem iść samym brzegiem, zapierając się kijem na stoku nad wodą. Izydor Hertz. Waclaw Salomon Gierosławski. Bolesław Gierosławski. W leśnym gąszczu do reszty straciłem poczucie kierunku, liczył się jeden tylko kierunek: z biegiem wód, to znaczy przeciw biegowi wód. Tymczasem zresztą zapadła noc, czarne gwiazdy rozlały się na lodowej tafli nieba atramentowemi kleksami. Eulagja Gierosławska. Filip Gierosławski. Szedłem coraz szybciej, chociaż też coraz szybciej ubywało mi sił, żarna płuc zacinały się w pół obrotu, powietrze stawało mi w ustach granitowemi nagrobkami. Benedykt Gierosławski. Wrzasnąłem. Pan w Meloniku podał mi jeszcze cukierka. Wrzuciłem go do rzeki. Wyciągnął drugą wizytówkę. Skoczyłem między drzewa. Kijem rozgarniałem druty kolczaste świerków i jodeł. Gąszcz był już taki, że z każdym krokiem musiałem się przepychać przez żelazną roślinność, jakbym parł przez zasyпы śnieżne; zaraz padnę bez tchu. Nadal jednak pośród nocy, między stalowemi igłami i liśćmi, migotało przede mną światło jasne, światło, światełko, świetliczek - bliższy, dalszy, bliższy, dalszy, bliższy, bliższy, za tym pniem, za gałęzią, na wyciągnięcie ręki - łuna elektryczna, człowiek w poświęcie zimnego ognia, w krzaczastej koronie iskier, na splełanych korzeniach piorunów - Nikola Tesla podał mi dłoń, przygarnął, objął, uściskał. Zaśmiawszy się z ulgą, oddałem uścisk. Odwrócił się i teatralnym gestem wskazał drogę. Wstąpiliśmy w złoty luksus Ekspresu Transsyberyjskiego.

### **O aniołach wstydu i bezwstydu**

A jeśli to nie sen?

- ...go budzić.

- Na pewno?

- Nie powinien, ale proszę, zostawiam termometr.

- Dziękujemy, panie doktorze.

- *C'est mon devoir, ma chérie.*

I doktor Konieszyn odpływa w jasność poranka. Chłodna pościel nakrywa policzek, jedwab na skórze. Ruch powietrza przynosi woń jaśminowych pachnideł. Śpiewa ptak. Dlaczego nie słysząc stukotu kół na szynach? Cisza, spokój, ciepło.

A jeśli to nie sen?

Różowe plamki słonecznego blasku tańczą na powierzchni powiek.

Otworzyło się oczy.

Panna Jelena Muklanowiczówna nachylała się nad posłaniem z gazą białą w dłoni, sznur mlecznych pereł kołysał się na tle czarnego tiulu, tik-tak - sięgnęło się i zatrzymało wahadło.

Jelena uśmiechnęła się przekornie, dotykając języczkiem górnej wargi.

- A, wyspał się nareszcie!

- Żeby to panna wiedziała, jakie sny miałem...!

- Opowie, opowie.

- Śniło mi się, że Ziejcow wyrzucił mnie z pociągu i -

- Ziejcow! Ten pijaczyna zatracony! On! - Trzepnęła gazą jak pejczem. - A-ż ja głupia byłam!

Się obróciło się na posłaniu, podciągając wyżej poduszkę.

- Zaraz, bo chyba coś mi się - stoimy na jakiejś stacji? - która godzina? - co się -

- Pan się obudził! - zakrzyknęła *mademoiselle* Filipov, przymykając za sobą drzwi atdielienja.

Przeszło się na niemiecki.

- Całuję rączki aniołów moich, panien miłosierdzia, ale czy nie mogłybyście z łaski swojej -

- To prawda, że bił się pan z panem Pocięglą? - zapytała na bezdechu Christine.

- Co? Nie! Przepraszam, naprawdę muszę teraz -

- Nigdzie się pan nie ruszy, dopóki nie pozwolę - zakomenderowała panna Jelena i wyjęła

termometr. - Otworzyć buzię, a-a.

Omacało się bandaż na szyji i twarzy, cały lewy policzek pod grubymi przylepcami. Trzy palce były unieruchomione przy zaimprovizowanych deszczułkach. Pomacało się po żebrach. Też obandażowane. Na lewym kolanie wyczuwało się pod pyjamą wielką bulwę ciasnego opatrunku, właściwie uniemożliwiającego zgięcie nogi.

Przesunęło się szkło rtęciowe w kąt ust.

- To chyba jednak mi się nie śniło. Doktor Tesla - była noc - w tajdze -

- A co pan myślał? - *Mademoiselle* Christine przysiadła w nogach łóżka, zawinawszy koc pod spódnicę. Słońce z okna padało wprost na jej twarz, mrużyła oczy; rozpuszczone z warkocza jasne włosy rozłocily się w widmowej aureoli, jak uniesione na zefirze słonecznego blasku. - Że Nikola tak pana zostawi - po tym, jak dwakroć życie mu pan ratował? Zapowiedział, że nie wróci bez pana.

- Więc to doktor Tesla... A ten szaman... - Poszukało się na czole ran od liści stalowych.

Panna Jelena odmierzyła do szklanki wody łyżeczkę żółtego proszku.

- Czyli był jeszcze szaman. W tym śnie? Tylko proszę uważać, nie przegryźć termometru!

Spróbowało się opowiedzieć całą historję, ale z każdym zdaniem bełkot okazywał się mniej i mniej sensownym, aż zasluchawszy się w zdumieniu w wypowiedane słowa, zamilkło się w pół kwestji.

Diewuszki przypatrywały się z wielkiem zainteresowaniem. Uciekło się wzrokiem na sufit, na ścianę.

- Dlaczego nie poprosił go pan, żeby podwiózł pana do najbliższej stacji? - dociekała panna Muklanowiczówna.

- W jakim języku niby?

- W rosyjskim, rzecz jasna. Mówi pan, że on miał zapalki, herbatę chińską, nie wyszedł prosto z tajgi, pewnie coś rozumiał po rosyjsku, przynajmniej parę słów.

- Nie pomyślałem o tym.

- Mhm, to rzeczywiście brzmi jak sen.

Sen, sen, a czyż nie zostało się ostrzeżonym, pan Pociągło i ktoś jeszcze wcześniej, mówili wyraźnie: nie dawać snom wiary, strzec się snów i sortilegjų, wróżb wszelakich, im

bliżej Kraju Lutych, tern bardziej.

Ale to nie był zwyczajny sen, Bóg wie, czego ów dzikus dosypał do czaju, czym oddychało się w dymie, a i ten bęben, ten bęben przeklęty -

- A-a, do dna, o, bardzo dobrze. Mhm, a tu jeno lekka gorączka. Wszystko będzie w porządku, panie Benedyckie. Doktor Konieszyn powiedział, że musi się pan wyspać, odpocząć, sprawdzi jeszcze, czy nie pojawi się jakieś zakażenie, ale i tak ma pan za co dziękować Matce Boskiej, a tego pijaka to ja już -

- Nie! - Chwyciło się pannę Jelenę za rękę z termometrem. - Niech panna da spokój. Sam to załatwię. - Usiadło się, odetchnęło się. Gorzki smak medykamentu został w ustach, przełknęło się ślinę. - Przede wszystkim powinienem podziękować Nikoli Tesli. Jakim cudem zdołał -

- Ależ! - zachnęła się Christine Filipov. - To pan nie wie! No jakże! Jej, jej musi pan dziękować! Żeby pan widział, co ona wyprawiała, niech pan tylko usłyszysz wersję *madame* Blutfeld, *mademoiselle* Muklanowicz walczyła jak lwica, na księcia Błuckiego to mało z paznokciami nie skoczyła, ten Dusin musiał ją odciągać siłą, żeby pan ją widział!

Jelena wachlowała się gazą, opuściwszy spojrzenie, pąsowa od równej linii czarnych włosów do czarnego rabaciku.

Christine uśmiechała się szeroko. Opowie rzecz dwa razy, żeby nie pominąć żadnego szczegółu. I tak, wedle jej słów, układało się w głowie obraz owych zdarzeń: Jelena wraca po przeszukaniu przedziału Porfirego Pociągły - gdzie pan Gierosławski, został w galerji - idzie do galerji, nie ma pana Gierosławskiego, nie ma go też na podeście widokowym - więc jaka myśl pierwsza: Pociągło! pan Benedykt miał się z nim trzymać miejsc publicznych, a co zrobił, uciekł na osobność przy pierwszej okazji, i proszę, nie ma pana Benedykta - pyta stewardów, pyta prowadników, nie ma pana Benedykta - dopada Pociągły, Pociągło wskazuje doktora Konieszyna, ale doktor powiada, iż wrócił do salonki wcześniej, zostali pan Porfiry i pan Benedykt, który wyszedł na podest - Boże drogi, więc powtarza się historia Pielki! - zabił! zabił i wyrzucił ciało! ale może tylko wyrzucił, wypchnął, może Benedykt żyje! leży tam i kona, połamany! - już sensacja, już skandal, zamieszanie w Luksie, obsługa biega jak opętana - myśl druga: kto jest władny zatrzymać pociąg, kto może wydać rozkaz naczelnikowi Ekspresu Transsyberyjskiego? - tylko księżę Błucki-Osiej, księżę Błucki, który wykazywał był niezwykle zainteresowanie panem Benedyktem, wypytywał, zapraszał do swojego stołu - panna Jelena biegnie tedy do księcia i nuże błagać go, przekonywać, grozić i



krzyczeć i płakać i jęczeć, aż - aż księżna pani zmusza małżonka do wydania polecenia naczelnikowi - i pociąg się zatrzymuje, zjeżdża na pierwszą napotkaną bocznice, staje w środku tajgi i ruszają wstecz po torach ekspedycje poszukiwawcze, doktor Tesla prowadzący pierwszą.

- Cały Ekspres stoi z mojego powodu?!

- Jeszcze do reszty nie sprzytomniał - mruknęła panna Muklanowiczówna do Amerykanki.

Się okręciło się na posłaniu, by wyjrzeć przez okno. Żadnej stacji, żadnego peronu, żadnej szopy dróżnika nawet - las, las, las. Podróżni spacerują między drzewami, dzieci okładają się zielonemi badyłami, Jules Verousse zbiera bukiet dzikich kwiatów dla pięknej wdowy, amurski prokurator wraca z lasu z koszem pełnym grzybów.

Popatrzyło się z rozpaczą na pannę Muklanowiczównę, na pannę Filipov. Siedziały grzecznie z buziami w ciup i tylko po ukradkiem wymienianych przez nie spojrzeniach można się było domyślić, jaką uciechę sprawia im cała sytuacja, jak się napawają cudzą konfuzją. Nawet ręce tak samo ułożyły, równo wzdłuż linii gorsetu i z dłońmi na podołku, nawet głowy tak samo pochylają: trochę w przód, trochę na prawo. Jelena: czarny jedwab z koronkami, czarna spódnica wąska wysoko ujęta w stanie, czarny malunek oczu piwnych, czarne włosy w koku ciasnym, nie przebrała się przez noc, czy spała w ogóle? Christine: batyst *écru*, szerokie rękawy *gigot*, falbany, zielony kostjum amazonki, źródlany błękit oczu, rozświetlona witrażowo twarz. Anioł prawy, anioł lewy - gdzie się nie obrócić, patrzą, patrzą, patrzą.

- Jak ja się im teraz na oczy pokażę!

Jelena cmoknęła głośno.

- Pan Benedykt jest bardzo wstydzący, gdy wstydzic się nie ma czego, i bardzo pewny siebie, gdy najmniej mu z tym do twarzy. - Znowu, niby na nią nie spoglądając, kierowała słowa do młodziutkiej Amerykanki. - Może panna przemówi mu do rozumu. Inteligentny człowiek, zdawałoby się. A takie w sobie strachy wyhodował, że przechodzi to ludzkie pojęcie. Powiada, że nie istnieje. Powiada, że rządzi nim wstyd. Logik wielki! Jak się w ogóle może czegokolwiek wstydzic, skoro nie istnieje?

Podciągnęło się kołdrę pod brodę. Gdzie tu się ukryć, jak uciec? Głowę pod poduchę wcisnąć? Chory zdany na łaskę zdrowych nasamprzód pozbawiony zostaje właśnie prawa do wstydu. Obsiadły łóżko jak - jak - nie jak anioły; hjeny, hjeny miłosierdzia.

- Panna od początku chce mnie na bezwstyd nawrócić.

- Dałby Bóg, by mi się powiodło.

Się okręciło się ostentacyjnie plecami do Jeleny, skupiając się na *mademoiselle* Filipov, szukając jej oczu i jej uwagi.

- Z pewnością słyszała to panna, nie raz, od osób cieszących się wielką estymą i autorytetem, gdy ich pytają o maksymę jakąś, którą człowiek mógłby się w życiu bezpiecznie kierować, to znaczy na życie przepis, krótki, prosty, zrozumiały. „Postępować tak, żebyś nigdy nie musiał się swych postępków wstydzić”. Słyszała panna, prawda?

...Trudno o większą bzdurę! To, czego się wstydzimy, i to, czego się nie wstydzimy - dzięki temu właśnie człowiek różni się od człowieka, że nie wszyscy wstydzą się tego samego, nie w tym samym stopniu, nie w tej samej sytuacji, nie wobec tych samych ludzi. On czyni mnie mną - mój wstyd.

...A teraz panna sobie przedstawi osobnika, który nie wstydzi się żadnych swoich czynów. Dwie są możliwości: albo jest największym bezwstydnikiem, jakiego ziemia nosiła, i nie wstydzi się zgoła niczego; albo od początku postępował zgodnie z niezmiennym poczuciem wstydu: dziecko, które wstydzi się tego samego, co człek dorosły, dorosły, co wstydzi się jak dziecko, starzec o wstydzie młodzieńca, młodzieniec o wstydzie starca na łożu śmierci. Niech sobie go panna przedstawi. Kto to jest? Kto to jest?

Christine spojrzała pytająco na Jelenę.

Panna Muklanowiczówna założyła ręce na piersi, wyduła wargi.

- Tak? Tak? „Największy bezwstydnik, jakiego ziemia nosiła”! A co to za inwektywa, ja się pytam! To jest komplement! To jest najwyższe szczęście i cel życia ludzkiego! Bezwstydna, wolna od wstydu, tak!

...Więc nie istnieje, ale się wstydzi! Nie chciał powiedzieć - ja to powiem: nie istnieje, ponieważ się wstydzi. Mój wstyd zaczyna się tam, gdzie kończy się „ja”; „ja” stanowi granicę wstydu. Zaiste, człowiek w zupełności rządzony przez wstyd to człowiek nieistniejący. Jest jak liść miotany przez wiatr na wszystkie strony, nie wedle własnej woli, ale wedle woli wiatru, to znaczy przypadkowych pchnięć żywiołu. Śmieć unoszony przez fale.

...Człowiek istnieje tylko wtedy i tylko na tyle, na ile postępuje wbrew wstydomu. Więcej: nie „wbrew”, bo wówczas wstyd nadal trzymałby nad nim rząd - ale mimo wstydu, to znaczy nie zwracając zupełnie uwagi na jego wskazania, nie pamiętając o nim, nigdy i w żadnej

sytuacji wstydu nie doznając.

...Natomiast ludzi pozostających we władzy wstydu, ludzi nieistniejących - iluż ich spotykamy każdego dnia!

...Jedno uczucie bezbłędnie odróżni człowieka od pozoru człowieka: nuda. Spotkanie człowieka z człowiekiem nigdy nie jest nudne: coś prawdziwego dotyka czegoś prawdziwego, tajemnica tajemnicy, zagadka rozwiązuje zagadkę. Ale jak wielu zna panna podobnych ludzi? Bywała panna na salonach, to widziała setki tych kukieł zamrożonych między przyzwoitością a koniecznością. Nie muszą jeździć na Syberję - urodzili się w Łodzi, umrą w Łodzi, lute przemarzają ich dusze.

Usiadło się prosto, opierając poduchę o ścianę przy oknie. Szarpnięta dla podparcia noga stawiała opór, poszedł od kolana sygnał protestacyjny; syknęło się przeciągle.

- Boli? - zatroskała się Jelena, w mgnieniu oka zmieniając ton i pozę.

- Ten proszek -

- On na sen był, doktor powiedział -

- Chyba dosyć się wyleżałem. - Pomasowało się nogę. - Ból, tak, moje drogie, więc jest ból ciała, nakłujesz szpilką, przetniesz skórę, złamiesz, uszkodzisz - ciało da o tym natychmiast znać. Ale ból duszy... Tu panna Jelena może mieć rację, to jest rodzaj zniewolenia. Czasami wydaje mi się -

...Wyobraź sobie panna, że wisisz na sieci stalowych nici rozpiętej między tysiącami ludzi, twoją rodziną, znajomymi, sąsiadami, „towarzystwem”, a każda nić zakończona jest zadziorowym haczykiem, wklutym w mięśnie, do kości... I teraz - teraz spróbuj poruszyć się wbrew ruchom cudzym, połamiesz sobie kręgosłup, teraz spróbuj powiedzieć coś wbrew cudzym gardłom i językom, wyrwiesz sobie swój język, teraz zaprzecz Wstydowni!

*Mademoiselle* Filipov już nie słuchała z rozbawieniem, nie wymieniała spojrzeń chochlikowych z warszawianką. Że wszystkie te argumentacje skierowane były właśnie do Christine, jakby stała się *ad hoc* sądem, na werdykt, którego czekają strony - to ją tylko stropiło i jakoś zasmuciło.

- A-ale - ale czemu wy oboje mówicie o tym jak o przykrej dolegliwości, jak o przekleństwie? Nawet pan, pan także. Wstyd - że najlepiej, jakby go w ogóle nie było. Czyli po czym wówczas poznawalibyśmy, że robimy coś złego? Że jak? - ukradnę i mam się tego nie wstydzić? skłamię i nic, nawet rumieńca?

...*I'm sorry, I...* może nie rozumiem, pewnie nie rozumiem, wy rozmawiacie o czymś innym, to są metafory, chcecie coś sobie powiedzieć pod słowami, tak - ale... wstyd jest dobry! Wstyd jest dobry, wstyd jest potrzebny, dzięki wstydowni człowiek żyje obok człowieka w braterstwie, a nie jak wilki głodne, pożądlive. Pomyślcie tylko!

...Pan Benedykt go broni, też źle: że jego wstyd odróżnia go od innych ludzi. Ależ nie! Na odwrót przecie! Gdyby jeden wstydział się tego, a drugi - tamtego, jak w ogóle moglibyśmy razem żyć? Jak w ogóle moglibyśmy rozmawiać? Panno Jeleno - spotkanie tajemnicy z tajemnicą, tak; ale jak w ogóle mogłyby się one spotkać?

...I dlaczego te druty biegają na zewnątrz? Kto wam kazał oddawać wasz wstyd w ręce innych ludzi? Więc jak nikt nie patrzy, to żaden hak zimny nie szarpnie panu duszy, gdy krzywdę komu niewinnemu pan wyrządza?

- Zawsze ktoś patrzy, nawet jak nikt nie patrzy - mruknięło się.

Jelena przycisnęła paznokcie do warg.

- To pannie Christine nigdy się nie zdarzyło wstydzic się dobrego uczynku?

*Mademoiselle* Filipov uniosła wysoko głowę.

- Nie.

- O! Naprawdę?

*Mademoiselle* Filipov zacisnęła usta.

- A skoro wstydzi się panna jeno wobec siebie - drażyła Jelena - to znaczy, że panna sama jest wyłącznym źródłem dobra i zła, tak? Panna sobie powie: to jest dobre - i to będzie dobre. A nazajutrz powie, że złe - i będzie złe. Tak?

- Wszelkie dobro pochodzi od Boga.

- Od Boga! O! A zatem to Bóg pannie powiedział, czego się wstydzic?

- Wyśmiewacie się ze mnie.

- Skąd myśl taka? Czy ja się śmieję? Czy śmieje się pan Benedykt? Czegóż to się panna wstydzi? Swoich przekonań?

- Nie wstydzę się!

- Więc jak to było z Bogiem?

- A chociażby Dziesięć Przykazań!

- Przekazał je pannie osobiście?

- Biblia!

- A o jej prawdziwości usłyszała panna od kogo?

- Panna nie wierzy w Boga.

- Czy ja coś podobnego powiedziałam? Usiłuję jedynie znaleźć końce, to znaczy początki nici panny wstydu, kto szarpie za panny haczyki, panna odpowie mi szczerze, przecież nie ma się czego wtydzić. Więc kto?

- Pismo Święte mówi prawdę!

- Kto?

- Bóg patrzy, gdy nikt nie patrzy!

- Kto?

- Popelnili pierwszy grzech, dopiero poznali wstyd!

- Kto?

- I dzieci najmniejsze, które są niewinne.

- Kto?

- Papa - rzekła cicho Christine i opuściła wzrok. - Niania. Guwernantka.

- Dziękuję. - Panna Jelena odjęła paznokiec od wargi.

Christine rękawem bluzki ocierała łzy.

- Powinna się panna wstydzić - szepnęło się pannie Muklanowiczównie.

- Co, wobec pana może?

- A przez kogo był dopiero co ten rumieniec piękny?

- Niech pan sobie nie wyobraża za wiele, każdy miewa chwile słabości.

- Których się potem wstydzi.

Wstała, nachyliła się nad Christine, odgarnęła jej włosy z twarzy, musnęła dłonią pulchne policzki dziewczęcia. Panna Filipov przytuliła się do Jeleny. Przestało się cokolwiek z tego rozumieć. Jelena pocałowała Christine w czubek głowy, Amerykanka zaśmiała się cicho. Przez noc, gdy czekały na powrót poszukiwaczy - czy czekały razem? o czym rozmawiały? co Jelena powiedziała Christine, co Christine powiedziała Jelenie? Kobiety inaczej nawiązują

przyjaźnie, w inny sposób zadzierzgują znajomości, splot powstaje znacznie szybciej, jest znacznie silniejszy (wyznają sobie od razu najgłębsze sekrety, których mężczyzna ani bratu, ani żonie by nie zdradził), lecz zarazem znacznie bardziej skomplikowany, to nigdy nie jest tylko przyjaźń, wchodzą w ten splot nici rywalizacji, zazdrości, litości, miękka wełna okrucieństwa, lniane więzy krępujące posiadacza z posiadanym. Panna Muklanowiczówna wyprowadziła Amerykankę z przedziału, ujęła jeszcze jej dłonie, szepnęła coś do ucha, tamta kiwała głową... Śmiały się. Nie rozumiało się nic.

Wróciwszy, Jelena oparła się o drzwi. Uniósłszy głowę, spojrzała z góry; kto tak patrzy? - córka garbarza, wychowanka Buncwaja, Jelena Muklanowiczówna prawdziwsza od Jeleny Muklanowiczówny.

- Christine dotrzyma tajemnicy - powiedziała. - Teraz pan zaśnie. Trzy, cztery godziny, zanim naczałnik i księżę pana przepytają. Naczałnik będzie musiał sporządzić szczegółowy raport, to wyjątkowa sytuacja, zdaje pan sobie sprawę; wypadliśmy z rozkładu, z frontu japońskiego i na front ślą Transsibem transporty wojskowe, tabory Mierzowa, musimy przeczekać do następnego wolnego przejazdu, do popołudnia, gdzieś tu idzie kabel telegrafu. Trzeba ustalić wersję, będą się pytać o motywy Ziejcowa. Pan zaśnie, ja się nim zajmę. Leży u siebie pijany w sztok, przekupiłam przewodnika, wiem.

- Ziejcow jest niegroźny.

- *Pardon?*

- To nie Ziejcowa szukamy.

- Wyrzucił pana z pociągu! Tak czy nie? Zabić chciał!

- O Chryste. Usiądzie panna z łaski swojej, nie będziemy tak krzyczeć.

Zmarszczyła brwi. Wskazało się krzesło przy sekretarzyku.

- Już panna zapomniała? - szepnęło się. - Drugi raz nie popełnię tego samego błędu. Jak było z Fogielem? Stoimy, cisza, ściany jak bibuła, nikt nie śpi...

Usiadła.

- Fogiel mówił po rosyjsku - a kto jeszcze tu rozumie polski?

Przyłożyło się dłoń do bocznej ścianki atdielienja.

- Ciocia, ciotunia. Co? Myślała panna, że jak mnie struje proszkiem otepiającym, to już mi wszystkie klepki we łbie z miejsc powyskakują i zapomnę języka w gębie?

Panna Jelena przewróciła oczyma.

- Czuję, że znowu wymyślił pan jakąś teorię straszliwą, która wykręci wszystko do góry nogami.

- Powiedz mi panna wpierw, co znalazłaś w przedziale pana Porfirego.

Wzruszyła ramionami.

- Nic. - Przez otwarte okno wleciał motyl, zatańczył wkoło głowy Jeleny, odpędziła go niecierpliwym machnięciem. - Nic, co wskazywałoby, że jest kimś więcej niż kolejnym przedsiębiorcą z Sibirchożeta. W podszewce futra ma zaszyte jakieś papiery.

- Papiery?

- Może banknoty. Przecie nie mogłam pruć, poznałby. O co chodzi?

- Ciszej! Ja mówię pannie, że to nie Ziejcow jest liedniackim agentem. A teraz panna powiada, że i nie Pociągło.

- Nie wiem, czy nie Pociągło. Nie ma dowodów za, nie ma dowodów przeciw. - Postukała się w czoło. - Sherlock Holmes pracuje. Pan Porfiry dla mnie nadal pozostaje pierwszym podejrzanym. Ten postój jest mu zresztą na rękę. Ale panna Christine dobrze pilnuje doktora Tesli, nigdzie go teraz nie puści bez ochrannika. Na pana poszukiwania poszło z nim w tajgę czterech ludzi księcia, dopiero ustąpiła.

Potarło się oczy; powieki zaczynały z powrotem ciężać.

- Dusin też?

- Co? Nie. Dlaczego?

- Panna wie, że księżna Błucka to marcynowiec dworski? Liedniak zakuty na dodatek. Zna się z Rasputinem.

Panna przycisnęła palce do skroni.

- W takim razie... to ją oczyszcza.

- Proszę?

- Miała wymarzoną okazję. Doktor Tesla idzie w nocy w dzicz na pana poszukiwanie. I słuch po nim ginie, słuch ginie po panu. Nie ma Nikoli Tesli, nie ma Benedykta Gierosławskiego. A ona co zrobiła? Zmusiła księcia do zatrzymania pociągu dla pana ratunku. Jej ludzie, księcia ludzie przynieśli pana żywego. Więc to nie księżna, kto inny jest tym

Fogielowym agentem.

- Panna zakłada, że księżna wie cokolwiek o doktorze Tesli, o jego arsenale, o kontrakcie z carem. Zgadzam się, że agent z niej żaden - ale gdyby wiedziała... nie zawahałaby się. To ona posłała za mną Dusina w Jekaterynburgu. I potem pewnie posłała go do Pielki. - Nacisnęło się kciukiem na gałkę oczną, aż zapłonęły na źrenicy słońca czerwone. - Tego właśnie ni w ząb nie mogę pojąć: Pielka marcynowiec, księżna marcynowiec, ubijce w Jekaterynburgu - marcynowcy; a rzną się wzajem bez pardonu i co jeden, to inne bajki o Ojcu Mrozie opowiada. Nawet jeśli się nie znają - bo i co księżna mogłaby mieć wspólnego z takim Miefodijem Karpowiczem Pielką? - to wszak wiara jedna.

Jelena poprawiła kołdrę zsuwającą się na dywan.

- Tu logika pana zawodzi, prawda?

- Mhm?

- Pan chce znaleźć rozum w wojnach religijnych. A bo to inaczej jest; z chrześcijanami? Jeden Bóg, jedno Pismo Święte, jeden głos dobra i zła - a ile krwi już o to popłynęło?

Nacisnęło się mocniej, słońca rozgorzały do intensywnej czerni.

- Nie ma takiego problemu, przed którym zmusi mnie panna do poddania rozumu. Każde szaleństwo, skoro dzieje się w świecie, musi się dziać weI dle reguł świata. Gdy uznam, że nie mam prawa zapytać „dlaczego?”, równie dobrze mogę sobie palnąć w łeb.

- *Vive la raison*. Dlaczego zatem?

Czarne słońce pulsowało w rytmie krwi: zaćmienie, odćmienie, zaćmienie.

- Rozumiem, dlaczego marcynowcy w guberni permskiej dostali rozkaz na mnie: jakiś oddany Marcynowi czynownik Ministerjum Zimy dowiedział się, że ottiepielnicy wysyłają syna do Ojca Mroza, któren sam jest Polak i buntownik, i frakcja liedniacka marcynowców musiała zareagować, w ogóle liedniacy musieli zareagować. Ale Pielka? Czy był marcynowcem-ottiepielnikiem? Chciał mnie chronić, chronił mnie. Dlaczego? Podobnie księżna - ale księżnej się przyśniło. A Pielce?

- Ma pan wśród marcynowców wiernych wyznawców - mruknęła panna Muklanowiczówna - gotowych oddać za pana życie. To miłe. Ale co powiemy księciu?

- Można to rozpisać jak na tabeli logicznej, w pion i w poziom: marcynowcy - niemarcynowcy; liedniaki - ottiepielniki. I każdą tu między nimi kombinację. Tak więc są co



najmniej cztery różne obrazy Historji. Widzi to panna? Kto jaką Historję sobie życzy, w jaką Historję wierzy, jakiej Historji się oddał - taki cel na Ojca Mroza i jego syna nakłada. Nie mogą zabić Historji, ale mogą zabić mnie. Nie mogą ocalić Historji, ale mogą ocalić mnie. - Zacisnęło się powieki. Głowa opadła bezwładnie na poduszkę. Leciało się w czarną studnię słońca. - Widzi, widzi to panna? Nie mogą rządzić Historją, lecz mogą związać swą władzą *le Père du Gel* i *le Fils du Gel* i przez nich -

- Co powiemy księciu? Co pan powie? Że dlaczego Ziejcow wyrzucił pana z pociągu?

- Zostaw panna Ziejcowa w spokoju. Nikogo nie wyrzucił.

- No to kto? Jednak Pociągło? A może Turek? Też się na pana zawziął, są świadkowie. Sporo tych kandydatów, jak się dobrze zastanowić, bo i kapitan Priwieżeński... Wkrótce pół Luksu będzie chciało ubić Benedykta Gierosławskiego.

- Nie Benedykta Gierosławskiego. Kłamstwo o Benedykcie Gierosławskim. Jakiegoś chochoła z prorocत्व świętego Marcyna. Hrabiego węgierskiego. Wroga Sibirchożeta. Syna Mroza.

- Taa. A wielki sygnet herbowy kto na palcu nosi? Mówił pan, że go wyrzucił.

- Wyrzuciłem. Wrócił.

- Co, w brzuchu ryby pieczonej może?

Pomacało się po palcach.

- Gdzie on się podział?

- Schowałam z resztą pana rzeczy. Tak, niech pan się nie boi, ten rewolwer także. Ciotka i doktor Konieszyn zajęli się panem w nocy, musieli pana rozebrać, odziać w pyjamę...

Uniosło się powiekę. Czarne powidoki odpłynęły na moment. Panna Jelena siedziała gorsetowo wyprostowana w promieniach porannego słońca, motyl przycupnął na półce nad jej głową.

- Zabrała panna... Tam był list...

- I gdy go jej przeczytałam, Christine wszystko mi opowiedziała.

- To nie...

- Że umarł. I żyje. - Uśmiechnęła się szeroko. - Teraz będzie mi pan wmawiał, że marcynowcy zabijają się o pana bez powodu?

- Spał tylko...

Panna Muklanowiczówna zagrała na nosie.

Chciało się chwycić ją za rękę, przyciągnąć, tchnąć prawdę prosto do ucha - czarne słońce zaćmiło wzrok, czarna studnia odessała krew z głowy. Ciepło, cicho, spokój, śpiewają ptaki.

- Wszystko kłamstwo.

Poczuło się na czole chłodną dłoń dziewczynki.

- Ciocia pana teraz przypilnuje, ja też muszę się wyspać, będę wyglądała jak upiór. Wieczorem mają urządzić tańce. Jak księżkę zapyta, niech pan powie, że się nie znamy, że spotkaliśmy się w podróży.

- Przecież -

Przesunęła dłoń na usta, tłumiąc słowa. Dotknęło się końcem języka opuszcza jej palca.

Pochyliła się nad posłaniem.

- Jak panu nie wstyd, panie Gierosławski! - szepnęła.

- Nikt nie patrzy, *mon ange sans bonte...*

- *Je regarde.*

- *Qui êtes-vous?*

- *Un rêve, naturellement. Nous sommes dans l'Été.*

Wszystko kłamstwo.

### **O syberyjskich szaleństwach**

- Wypadłem.

- Wypadł!

- Wypadłem.

- Już ja go wypadnę...! Zbierać go będą stąd do Władywostoku!

- I po cóż się tak turbować - mitygowała małżonka księżna Błucka - znowu niestrawności

się nabawisz, odchorować ci go przyjdzie.

Książę Błucki-Osiej sapał, dyszał, zgrzytał, dreptał po atdielienju od ściany do ściany, kręcił głową i łapał się to za pierś, to za szczękę, ona to bowiem zgrzytała, metalowa rzeźba ortodontyczna, się bało się, że przy kolejnym okrzyku starzec wypluje ją razem ze słowami i śliną, z impetem ciśnięta może wybić oko, złamać nos, a odległość nie była wielka, arszyn, pół arszyna, gdy się tak książę przybliżał, rozpędzony w krótkich kroczkach na małej przestrzeni, przybliżał, nachylał, wybuchał nowym gniewem, a szczęka gadzia chodziła mu w gębie w lewo i w prawo jak na sworzniach kauczukowych.

- Wypadł! Pijany był, a?

- Nie.

- Widzi? Widzi? - podniecał się książę. - Raz powiedział prawdę!

- Oczywiście jestem niezmiernie zobowiązany Waszej Książęcej Wysokości, że zatrzymał dla mnie pociąg, nie wiem, jak dziękować, jak przeproszać, że z mojej przyczyny całe to zamieszanie i kłopot na głowie Waszej Wysokości, jeśli tylko mógłbym jakoś -

- Żarty! - ryknął książę. - Żarty będzie sobie ze mnie prawil! - Capnął za laskę żony i uniósł ją w nieporadnym zamachu, lecz zahaczył o fikuśne zawieszenie wysokiej półki nad posłaniem i zatoczył się, mało się nie przewracając.

- Panie radco! - zawołała księżna; zawołała i zakaszła. - Zachary Fieafłowicz, bądźcie tak dobrzy i weźcie księcia pana ze sobą na świeże powietrze, spacer dobrze mu robi przed obiadem.

Dusin wsunął głowę z korytarza przez otwarte drzwi. Książę rzucił laskę na podłogę i wymaszerował z przedziału. Dusin spojrzał pytająco na księżną. Odprawiła go, machnąwszy chusteczką koronkową.

Podniosło się laskę i podało się ją starusze.

- *Merci*. Musicie wybaczyć mojemu mężowi, znowu mu łzecie w żywe oczy, nie jest przyzwyczajony.

- Wasza Wysokość, mogę usiąść? Moja noga -

- Postoicie, postoicie. Nie myślcie sobie, że pieczęć Rappackiego daje wam wolność do wszelkiego cygaństwa. Widzicie, kiedy doktor Nikola Tesla i nasi ludzie szukali za wami po lesie wedle torów, przyszedł tu Paweł Władimirowicz Fogiel, bywszy czynownik Trzeciego

Oddziału Osobistej Kancelarii Imperatora, teraz na rozkazie ochrony, przyszedł z *mademoiselle* Christine Filipov, i opowiedzieli nam oni dzieło Tesli i groźby nad nim wielkie wiszące, i jakżeście mu życie uratowali, i że wasze takóž jest w zagrożeniu od tych samych zamachowców. Za których to sprawą, tak nam mówili, zniknęliście z pociągu, zmyślnie bowiem usunęli z widoku ciało zamordowanego. Kch, kch. Bądźcie tak mili i nalejcie mi z tego imbryczka - *merci bien*.

...Więc ksiązę wielce się tym przejął i dopiero przestał mi wypominać, że na zatrzymanie Ekspresu nalegałam. I ja się przejęłam, i pytać siebie poczęłam: zali dobrze uczyniłam? Drugi raz was ratuję. I myślę sobie: sen się spełnił. Miałam rację, wasza była władza ochronić Rosję - gdybyście umrzeć zezwolili doktorowi Tesli. Który w tym oto pociągu wiezie z nami swoje armaty na lute naszykowane, jak mówią pan Fogiel i *mademoiselle* Christine. Więc sen prawdę pokazał, tylko że ja na opak ją pojęłam. No, młodzieńcze, powiedzcie mi, bo już się zmęczyłam tym gadaniem - mam rację?

Przedział Błuckich nie był obszerniejszy od innych przedziałów dwuosobowych, księżna siedziała na łóżku zasłanem i przykrytem stosami poduch, poduszek i poduszczynek, obłożona z obu stron miękkościami i krągłościami, jak na tronie puchu i pluszu, zapadła w nie, zagrzebana; chciało się stanąć w stosownej odległości, ale jak daleko można uciec w pociągowie atdielienju? - stało się nad księżną, patrzyło się z góry, gięło się mimowolnie w garbie-ukłonie, gdy unosiła twarzą pomarszczoną, zasuszoną, gdy spoglądała, mrugając, spod czepka koronkowego. Uśmiechnięta, nie uśmiechnięta, babka, babuszka, matka matek.

- Wasza Wysokość chce, żebym jej rzekł, kto mnie wyrzucił, bo szuka sprzymierzeńca przeciwko własnemu mężowi.

Mało się nie skrzusiła czajem gorącym.

- Kchrkk, wy naprawdę wszystko robicie na opak, nikt was nie nauczył, kiedy kłamać, a kiedy prawdę mówić?

- Ksiązę wcale nie uważa, że Imperator oszalał, *c'est invraisemblable*. Ksiązę jedzie układać się z Japończykami, żeby dać Imperatorowi pokój na wschodnim froncie i wolną rękę przeciwko lutym. A wy zabraliście się z nim w tę podróż, coby mu w robocie przeszkadzać, psuć negocjacje i przy pierwszej okazji złamać ów pokój. Ledwo o własnych siłach chodzicie, ale w imię swojej wiary marcynowej nie odpuście: póki wojna z Japońcami, póty pokój lutym.

Księżna uniosła głowę jeszcze wyżej, teraz niemal prostując plecy; usta otwały się jej

szeroko, zapewne nie panowała nad tym, nitka śliny zawisła w kąciku warg bladych.

- Kchr, kch, szalony, to jest szaleństwo, tak, tak.

- Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa -

- Nie Imperatora; wasze. Powiedzcie: w jakim obłędzie musi żyć człowiek, żeby nie tylko spodziewać się po bliźnich wszelkiego najgorszego, ale tak otwarcie i bez wstydu im to zło omawiać?

- Obłędzie?! Gdybyście wiedzieli o Tesli, zanim wyszły ekspedycje, jaki rozkaz wydalibyście swoim ludziom? A? Jaki?!

Stara stuknęła laską w podłogę, dywan stłumił odgłos.

- Cisz! - syknęła. - Dostyc już! *De quooi parlez-vous!* Opanujciez się! Znowu histerja w was weszła! To nie przystoi!

- Przystoi, nie przystoi - powiedziało się jej spokojnie - ja nie wiem i mnie to nie obchodzi, każcie mnie drabom swoim obić, jeśli wam taka obraza słowo szczere. Ale czemu ja w ogóle z wami gadam? Po co tu przyszedłem? Że grzeczność? Że wdzięczność? Kłaniam się Jego Wysokości, on, zdaje się, prawdziwie dobry człowiek; jemu dziękuję. Wam - nic już. Nie będzie żadnej zgody, żadnego układu między nami, a jak przez to uwidzi się wam na odwrót: zgubić mnie własnem waszem słowem lub na pastwę nocnych ubijców wydać - to wasza wola, mateczko. Lód z wami.

Wyszło się na korytarz. W oddaleniu, przedział i dwa dalej, stali prawadnik, naczalnik składu, stary steward i jeszcze sługa siwobrody w barwach książęcych. Naczalnik zaraz skłonił się, przycisnął dłonią na sercu mundir suty. Ile słyszeli? Kuśtykając, podążyło się za nim, do służbówki prawadnika. Księstwo jechali w wagonie Luksu numer jeden, tuż za salonką. Symulując kłopoty z kolanem, przystanąło się na moment, spojrzano się pod nogi. Na chodniku pozostały ciemne plamy krwi, już nie tak wyraźne, przecież nie do przeoczenia. Wszystkie okna były otwarte, światło słoneczne wpadało do środka razem z ciepłym powietrzem przesyconem zapachem lasu. Naczalnik pchnął drzwi służbówki. Ze swojego przedziału wychynął *monsieur* Verousse, rozwarł szeroko oczy i podskoczył jak szpilką w siedzenie skłuty. - ...mi koniecznie czytelnicy Paryż Francja świat historji pan awanturnicze Syberji przecież koniecznie zbójcom i teraz przygody uratowany opowie spiszę spiszę, koniecznie! - Pan wybaczy, potem. - Uciekło się do służbówki.

Naczalnik spisywał raport z namaszczeniem godnem kancelisty Świętego Synodu, tern

bardziej że pociąg przecież stał, stół się nie trząsał, mógł człowiek z pełną celebrą maczać w atramencie stalówkę, prowadzić obsadkę z całym arcyzmem urzędowej kaligrafji, kto wie, czyje oczy będą ten raport oglądać, kto wie, co zaważy na decyzji o posadzie naczalnika, może uratuje ją właśnie pismo schludne i równe, a pograży jeden kleks nieuważny, bukwa rozmemłana, zdradzająca niekarny charakter służaszczewo żelieznaaroznawo, kto wie. Przypatrzeć tak się naczalnikowi pocącemu się nad listem do zwierzchności, wejrzeć mu w oczy skupione, w duszę sądacką, w jakim nabożeństwie składa on dla Władzy słowo do słowa - więcej się pojmie z Rosji aniżeli po długich studjach politycznych.

Widział papiery z pieczęciami Ministerjum Zimy, pytał więc też z uprzejmem uniżeniem, przepraszając, że pyta, mało nie przepraszając, że przeprasza. Powtarzało się krótką, prostą historję wypadnięcia z podestu widokowego - zawrót głowy, a z czego zawrót, ano, zapatrzyłem się w niebo, na dym, na tęcze zimnawowe, zapatrzyłem i wypadłem, głupiec patentowany, tak, to ja - a naczalnik przekładał ją na urzędowe formy. Się gapiło się przez okno na wysokie drzewa tajgi, zielenie rozłożystych sosen i świerków, biel kory brzóz, tu, przy torach, rosnących rzadziej, z przestrzeniami słonecznego prześwitu między bielą i bielą, zielenią i zielenią, że spacerujący pasażerowie, wchodząc między drzewa i znikając za pniem, drugim, trzecim, ani się mogli spostrzec, czy i kiedy wchodzą w tajgę, nie było granicy, początku tajgi - tylko już jej masyw oceaniczny dobrze widoczny od horyzontu po horyzont i głębokie echo ryku tego oceanu drzew, gdy wiatr nagły poszedł nad Azją i szum budził się w puszczy, szum wielki, przeciągły, fala dźwięku żywego, szszszszszsch, aż mierzwiły się firanki i zasłonki w oknach Luksu, podnosiły się papiery pod toporną dłonią naczalnika i naczalnik spozierał znad pióra i kałamarza z brwią zmarszczoną, karcąc wzrokiem urzędowym nieposłuszną przyrodę. Tak, zawrót głowy, zapatrzyłem się, głupiec ja. Wyszedł spomiędzy brzóz jelonek, zastrzygł uszkami, obrócił łebek ku łunom migotliwym „Czarnego Sobola”... Myślało się o księżnej Błuckiej.

Babsko było przerażające. Z krwi uszły już ostatnie miazmaty chemji nasennej, odeszła ponocna słabość i katz po halucynacjach dymnych; wróciła ostrość sądu. Księżna Błucka! Jak argumentować wobec kogoś, kto stał się wyrocznią sam dla siebie, to znaczy mierzy wszystko do własnego snu, do przeczucia, wedle jakiegoś wewnętrznego obrazu, który nie jest widocznym dla nikogo innego? A zdarza się często, że właśnie ludzie starzy nabierają podobnego przekonania o własnym autorytecie: sami dla siebie trzymają autorytet - patryjarchowie rodu, babki zasuszone, wyrocznice święte. Z takimi ludźmi nie sposób się w ogóle porozumieć. Słuchają cię, jak się słucha szczekania psa albo gaworzenia dziecka.

Mówią, ale zawsze tak naprawdę mówią do siebie. Na zewnątrz, do innych wypowiadają tylko rozkazy - rozkazy w formie rozkazów, rozkazy w formie subtelnych manipulacji, rozkazy w formie kłamstw bezsłownych. Nigdy ich nie przekonasz, że postępują w czymś złe. To oni zwykli osądzać, co dobre, co złe.

...Wczoraj księżna życie ratowała i supliki ufne składała, dzisiaj skorzysta pewnie z pierwszej okazji, by życie odebrać. Bo sen, bo mara, bo przecucie - trask!, przerzuciła wajchę, i oto dobro i zło, prawda i fałsz zamieniły się miejscami. Pomstowała na samowładcę - a kimże ona jest? Ten sam obłąd ją toczy. Więc jak z kimś takim rozmawiać? Z rzeczywistym samodzierzcą nie ma rozmowy: można się tylko podporządkować lub nie. Abraham nie pytał Boga o przyczyny, motywy, racje; pytania nie miały sensu.

W codziennym życiu nie myśli się podobnymi kategorjami - czy choć raz spotkało się człowieka prawdziwie złego? a prawdziwie dobrego? - jednak księżna Błucka zdawała się najbliższa owemu złu, które znamy z ksiąg biblijnych, ona, nie Ziejcow, nie Priwieżeński, nie Miły Książę i lichwiarze bezlitośni, nie zbroje marcynowi i nie ochranniki rozkazom posłuszne, lecz to babsko straszne, wiedźma czuła, schorowana, w chustkę rzeżąca, ona.

Wyszło się na korytarz, Flamandczyka ani śladu, stanęło się przy oknie, wyjęło się papierosa. Naczelnik podał ogień. Podróżni z kupiejnych grali w piłkę między limbami na przedlesiu tajgi. Z przedziału za książęcym wychyliła się Francuzka, ta od dzieci schludnych i męża nobliwego, pozdrowiło się ją gestem. Spojrzała lodowato i zawołała syna. Wszystko było niewiarygodnie, bajkowo ciche, spokojne, jasne, nawet ciasny korytarz wagonu zdawał się jakiś przestronniejszy. Ekspres Transsyberyjski stojący w środku dnia na zapomnianej bocznicy w tajdze. Dzikie ptaki i prawdziwe, żywe motyle siadają na zimnym panczerzu „Czarnego Sobola”, wyćwierkują nad maszyną melodje lasu... Się usunęło się z drogi, chłopczyk biegł do matki z książką pod pachą. Zerknęło się skroś strumienia słonecznego: *Michel Strogoff, le Courier du Tzar* Julesa Verne'a, tom drugi. Egzemplarz wyraźnie zaczytany, dzieciak musiał go znaleźć w biblioteczce Luksu. Strzepnęło się popiół i pokuśtykało się do salonki.

Niesamowite, ale była pusta, ani żywej duszy, wszystkich wyciągnęło na słońce. Regały z książkami stały w głębi, za stołem bilardowym i odbiornikiem radiowym. Przesuwało się obandażowanymi na sztywno palcami po grzbietach tomów oprawnych w brązową skórę z wytłoczonym emblematem Koleji Transsyberyjskiej. Niżej ustawiono literaturę przygodową - jak, powieść Gołypina *Doktor Omega. Fantastyczne przygody na Marsie* - wyżej zaś szły

knigi poważne bardziej. Mhm, atlas geograficzny, nie, ilustrowane dzieje Romanowów, nie, opowieści z czasów syberyjskiej gorączki złota, nie, poezja stepowa, na pewno nie, przewodnik po „Syberji nowej i starej”, mhm. Siadło się w fotelu z książką na kolanach.

Jak na kompendjum naukowe, nazbyt była chaotyczną w kompozycji i doborze tematów, skakała od ciekawostki do ciekawostki; rzecz akurat dla zblazowanych pasażerów Luksu. Przekartkowało się przydługi wstęp. Zaczyna się częścią historyczną. Pierwsze konkretne świadectwa podróżników z Syberji: Kroniki Nowogrodzkie, *De Itinere Fratrum Minorum ad Tartaros* Benedykta Polaka, *Opisanie świata* Marco Polo. Rozdział CCXIX *Opisanie* nosi tytuł „Tu opowiada się o Krainie Ciemności”. Czyli o Syberji, gdzie *panuje zawsze noc i nie ma tam słońca ani księżyca, ni gwiazd, lecz stale jest mrok, tak jak u nas o zmierzchu*. Ludy tutejsze, nie znające świata poza ciemnością, nie mają pana, nikomu nie podlegają i żyją jak bydłeta. Mają one jednak *olbrzymią ilość bardzo drogich skór. Sąsiadujące z nimi ludy, mieszkające już w światłości, zakupują od nich te wszystkie futra*. O co chodziło z Krainą Ciemności? Wenecjanin zapuścił się tak daleko na północ, że trafił w noc polarną? A może tylko słyszał o niej plotki?

...Ale w kronikach ruskich też piszą o „Krainie Ciemności”. Kronika Ławrientiewska, rok 1096: kupcy z Nowogrodu przechodzą „Wielki Kamień”, wędrują do dolnego Obu. 1114: *jeszcze starzy mężowie chodzili do Jugry i Samojedów*. Kroniki Nowogrodzkie, powtarzające relacje kupców sprzed czasów Iwana Groźnego: w Krainie Ciemności żyją ludzie jednoocy, a pod ziemią - ludzie bez głów, myśliwi. Polują tam na mamuty. Obok zamieszczono nieporadną rycinę, przedstawiającą przekrój przez poziomy uniwersum: u góry drzewka, słończko, zaraz niżej linja gruntu, a pod nią zaczynają się ciemniejsze i jaśniejsze pokłady podziemnego świata, równiny i rzeki i ścieżki ziemi, które, między korzeniami roślin i piętrami wiecznej zmarzliny, biegają mamuty i jednonodzy, jednoręcy łowcy z dzidami i łukami, ścigający się wzajem, ludzie mamuty, mamuty ludzi. Papieros wypadł między palców. Się nachyliło się nad książką. Pod ziemią, co oczywiste, nie pali się żadne słońce, pod ziemią panuje wieczny mrok.

...XVII-wieczna mapa Jodocusa Hondiusza, podpisana: *Tartaria*, pokazuje mityczne Bargu Campestria, stepy sięgające kręgu polarnego, dalej rzeki Apokalipsy Gog i Magog, krainę Ung, pod berłem Księdza Jana, oraz krainę Munguł, gdzie mieszkają Tatarzy. Karakorum, czyli stolica mongolskich chanów, znajdowała się w kole podbiegunowem. Poniżej: Cataio i Wielki Mur i *Xuntien albo Quinsay, czyli miasto, które jest siedzibą chińskich cesarzy*. Fantazje ignorantów, pomyślało się, podnosząc z dywanu niedopałek i



kładąc go na popielniczce. Fantazje o krainach, których nie ma - innymi słowy: Historia ręką człowieka Lata spisana. To, co nie istnieje. To, czemu nie można przypisać wartości prawdy lub nieprawdy. Gdzie ten Ung, gdzie polarne Karakorum? Nie ma. Ale też mapa Hondiusza nie pokazuje Syberji *Anno Domini* 1924. Gdzie Kraina Ciemności? Zali są to rzeczy tak samo niemożliwe, jak niemożliwym jest sprzeczny z regułami gry ruch piona w odtwarzanej wstecz partii szachów? Wstecz, do XVII, XIII, X wieku, i w czasy przed narodzeniem Chrystusa, w wieki przedhistoryczne. Wychodząc od danej w bezpośrednim doświadczeniu teraźniejszości, które przeszłości poznamy fałszywymi, które - możliwymi, a które - prawdziwymi?

...Jakie są reguły gry w Historję? Czy określa je fizyka ludzkiego świata? Może skromniej - matematyka? A może tylko logika?

...Otworzyło się następny rozdział. 1574, Stroganowowie otrzymują od Iwana Groźnego milion dziesięcin zauralskich. 1579, Jermak Timofiejewicz, ataman kozacki i zbójca krwawy znad Wołgi, z carskim wyrokiem śmierci nad głową, idzie ze swoim oddziałem za Ural, tysiąc grabieżców dzikich, między nimi awanturnicy polscy, zbiesieni szlachcice - oni odkrywają, oni podbijają Syberję, taki był Cortez tej złotej Ameryki Wschodu: kozak doński; i jak Cortez sobie poczynał, na koniec ściągając w puszcze przeciw tuziemcom artylerję, splawianą przez tajgę na łodziach. Z tychże opowieści spisanych po Jermakowych ekspedycjach pochodzą wzmianki o „włochatych słoniach” napotkanych przez Jermaka na Syberji - lub jedynie opisywanych mu przez Tunguzów, to nie było jasne.

...Koniec XVII wieku, kupiec holenderski Evert Ysbrants Ides, splajtowawszy, wyprasza u cara misję do Chin i kredyt na towary z magazynów państwowych. Car się zgadza, Ides jedzie przez Syberję do Kitaju i wraca, dorobiwszy się fortuny. Kancelista Idesa, niejaki Adam Brand z Lubeki, w roku 1698 wydaje w Hamburgu wspomnienia z tej podróży: *Beschreibung der chinesischen Reise*. Książka robi furorę i w 1704 roku sam Ides publikuje w Niderlandach swoją wersję: *Driejaarige Reize naar China*. Stąd pochodzą pierwsze informacje o Tunguzach i ich wierzeniach. *Niegdyś był to wojowniczy i niezależny naród, zamieszkujący olbrzymie terytorjum, teraz jednak pozbawiony został wolności. I zimą, i latem Tunguzi noszą futra wywrócone włosiem na zewnątrz, zszyte z kawałków o różnym zabarwieniu. Taką odzież noszą zarówno mężczyźni, jak i kobiety, starzy i młodzi - i są z niej bardzo dumni. W młodości przeszywają oni sobie twarze wzdłuż i wszerz zaczerwionymi sadzą nicmi dla ozdoby (co u tego narodu cenione jest bardzo wysoko), w formie kółek, kwadracików, w zależności od życzenia lub kaprysu każdego z osobna. O tym, jak straszliwy*

*ból powinno to powodować, łaskawy czytelnik może osądzić sam. Poprawiło się opatrunek na policzku. Łaskawy czytelnik może. Ten szaman rzeczywiście miał bardzo regularne blizny na twarzy. W każdym razie w nocy wyglądały na blizny. Szaman, szaman, kartkowało się niecierpliwie, śliniąc kciuk. Kilka mil stąd, wyżej nad rzeką, pisał Ides, zamieszkują Tunguzi, którzy mają słynnego szamana lub mistrza od spraw djabelskich. Wieści o tym oszuście wzbudziły we mnie chęć jego zobaczenia. Okazał się on starcem wysokiego wzrostu, miał dwanaście żon i wcale nie wstydził się swego procederu. Najpierw zapoznałem się z jego ubiorem, składającym się z połączonych ze sobą żelaznych płytek w postaci ptaków, sów, wron, ryb, pazurów zwierząt i ptaków, toporów, pił, młotków, noży, szabel i wizerunków niektórych zwierząt. Jego pończochy na kolanach, podobnie jak i strój, były z żelaza. Również żelazem były pokryte stopy nóg zaś na rękach miał dwa duże, wykonane z żelaza, pazury niedźwiedzie. Na głowie było mnóstwo żelaznych ozdób, zaś z góry sterczały dwa żelazne jelenie rogi. Brand: Obejrzelśmy i obmacaliśmy ten ubiór z najwyższym zdumieniem. Gdy szaman nałożył go na siebie, wziął do ręki długi bęben i zaczął w niego uderzać, wywołując przytem nieprzyjemne dla ucha dźwięki. Przy dźwiękach bębna wszyscy zaczynają wyć jak psy.*

Przy dźwiękach bębna. Uniosło się głowę pod strumień światła słonecznego. To był sen, wszystko się przysniło. Jaka kolejność? Najpierw cień jeźdźca na niebie zachodniem, sylweta dzikusa na koniu; potem siada się na pniu, przysypia się - i co się śni? Dzikus na koniu. A co się śniło jeszcze później - to sen we śnie. Z dymem, z bębniem, z herbatą i ziołami szamańskimi.

Że jednak wtedy wymajaczyło się to, o czym przeczytało się dopiero teraz...! Można wszakże spojrzeć na rzecz całą z innej znowuż strony, z jedynej słusznej strony: z terażniejszości. Kniha w rękach, a sen w głowie: sen nie istnieje, sen tylko się pamięta. I pamięć o nim należy do tej samej terażniejszości, w której czyta się o tunguskich czarownikach. A tu, tak blisko Zimy... Jak to mówił pan Pociągło? Myśl zgadza się z myślą. Coraz mniej miejsca między prawdą i fałszem.

Niemniej to nadal nie tłumaczy Krainy Ciemności, mamutów, całego świata podziemnego Syberji. Teraz się to nazywa „geologia”. Teraz nie szamani na skórach renów i kamieniach płaskich, lecz carscy kartografowie z Instytutu Górniczego w Sankt Peterburgu na bristolowych planszach kreślą z topograficznego odwzorowania Drogi Mamutów. Po świecie podziemnym poluje na cudowny łup Sibirskoje Choład-Żeliezapramyszliennoje Tawariszcziestwo, jeden załatnik czystego zimnaza żelazowego wart we Władywostoku tyle,

co prawie funt zwykłego żelaza. A nad miastem tygrysa i sobola rosna zorze ćmiatła, luno od bizantyjskich kopul cerkwi tungetytowej, bo to była i jest Kraina Ciemności...

Szaleństwo.

Wstało się, zakrećilo się ramionami, aż coś strzeliło w krzyżu. Przycupnięty na gałęzi ptak o obłym dzióbku przekrzywił łebek, spoglądając prosto w oczy, zaciekawiony. Oparło się przedramieniem na zsuniętem oknie. Zaglądał z góry, nachylając się tak, że mało nie spadł ze swojej grędy. Krótka myśl przemknęła przez głowę: to już doba minęła - na pewno zeszy z ciała ostatnie ślady poćmiaty - czy zwierzęta dostrzegają zaburzenia teslektryczne? ptaki, koty? czy są na nie wyczulone? Co jak co, ale koty z pewnością są stworzeniami Lata. Dmuchało się wpółzwiniętą dłoń. Nic.

Pod oknami, ku tyłowi składu, sapiąc i łapiąc się za brzuch wypadające z munduru, dreptał pośpiesznie Siergiej.

- Hej! Stało się co? Odjeżdżamy może?

- Wielmożny pan Fessar, uff, raczył był zwarzjować.

Się wychyliło się. Bocznica wchodziła tu w lekki łuk, odleglejsze wagony widziało się po wewnętrznej stronie pod większym kątem; a już bardzo wyraźnie - osoby zebrane przy końcu składu, dokąd podążał Siergiej. Zmrużyło się oczy. Stali przy odsuniętych drzwiach wagonu towarowego, tak, oczywiście: wagonu doktora Tesli. Tajny radca Dusin, dwóch starych ochranników, człowiek w mundurze księcia Błuckiego (z dubeltówką na ramieniu). Od drugiej strony, okrążając ostatni wagon, podbiegła ku nim panna Filipov, podkasując spódnice. Dyskutowali o czymś zawzięcie, gestykułując na wszystkie strony świata, do wnętrza wagonu i w tajgę. Zaraz dołączył do nich Siergiej, on też zabrał się do wymachiwania rękoma. Wyłoniwszy się z cienia, stanęli w drzwiach wagonu doktor Konieszyn i Tesla, doktor Konieszyn miał pod pachą torbę lekarską.

Wyszło się z salonki, zstąpiło się po schodkach na ziemię i pokuśtykało się ku dyskutantom zaaferowanym.

Pierwszy obejrzał się Stiepan. Położył palec na ustach, złapał za ramię, odciągnął w bok, między wagony. Się wyszarpnęło się.

- Co jest? Wpuszczacie ludzi do środka? Czego tam szuka doktor Konieszyn?

Siwy ochrannik uniósł ręce nad głowę.

- Oj, porobiło się, porobiło! Oleg leży bez ducha z guzem jak orzech, doktor mówi, że mózg mógł mu obić.

- Co? Kto?

- Turek nieszczęśliwy! Włamał się, Olega przez łeb tą lagą swoją zdzielił, do aparatów doktora Tesli się dobrał! Oj, nada dakładywat', winę przed naczałstwem pieriestradat'.

- Złapaliście go?

- A tam! Uciekł.

- Uciekł? - się zachnęło się. - A dokądże on mógł tu uciec?

- A ot - Stiepan machnął ku horyzontowi - w tajgę.

- Że co? - Się zapatrzyło się w puszcę monumentalną, wzrok grzął między wysokimi pniami. - Uchłał się znowu?

- A nie, mówią, że trzeźwy.

- No to jak? Będzie wracał do Europy na piechotę?

Ochrannik wzruszył ramionami.

- Rozum stracił, to pewne.

Podeszło się do drzwi wagonu, zajrzało się do środka. Oleg odzyskał już przytomność, siedział na pace blaszanej, trzymając się za głowę i postępując cicho, doktor symetryczny w oczy mu zaglądał. Nikola Tesla i Paweł Władimirowicz Fogiel uwijali się przy skrzyniach rozprutych przez włamywacza, przybijali prowizoryczne osłony, zakrywali wnętrzości maszyn kocami i deskami; jak jucha ze zwierza żywego, wylały się na podłogę z pokierszowanych obudów i okładzin kubły trocin jasnych. Ūnal Fessar musiał być także rozbić przynajmniej jeden słój z kryształami ćmieczy, nasączone atramentem bryłki soli, lśniący węgiel, walały się w trocinach, doktor Konieszyn stapał po nich, trzaskały mu pod obcasami. Rozbita była również obudowa pompy Kotarbińskiego, sterczały w światło słoneczne obscenicznie pogięte wiązki drutów, jakieś cewki czarne, jakieś zwoje zimnazowe, ciężka anatomja maszynowa.

Ktoś stanął za plecami. Spojrzało się. Dusin, on zawsze staje za plecami.

- Myślałem, że mieliście odspacerować księcia.

Skinął głową.

- To myśmy go przyuważyli.

- Znaczy, wy i książę? Turek był tu w środku, prawda? Zostawił drzwi otwarte czy jak?

- Wrzeszczał.

- Co?

- Wrzeszczał - powiedział Dusin. - Słuchajcie-no, co do tej sprawy z Jej Księżęcą Wysokością -

- Ale! Zaraz! Mówicie, że... Zaraz. Wiedzieliście, czyj to wagon.

- Wiem, co w nocy opowiadała Ich Wysokościom *mademoiselle* Filipov. Doktor Tesla wiezie tu maszyny na zamówienie Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa.

- Więc usłyszeliście, że ktoś krzyczy w środku... Wzywał pomocy?

- Wrzeszczał po turecku. Zawołałem ludzi, odesłałem Jego Wysokość, odsunąłem drzwi - on wypadł jak od sprężyny, wyskoczył mi nad głową i pognął prosto przed się, raz, dwa, jeszcze koziołka fiknął i tyle go widzieliśmy.

- Pijany.

Dusin pokręcił głową.

- Wczoraj pół dnia upijał tego durnego żurnalistę, ale dzisiaj niedawno rozmawiała z nim *mademoiselle* Filipov i mówi, że pan Fessar -

- Trzeźwy, tak. - Spojrzało się jeszcze na odkrytą pompę Kotarbińskiego, nad którą załamywał ręce doktor Tesla. - Chyba pojmuję. Powiedźcie, zdążyliście przynajmniej ujrzyć dobrze jego sylwetkę, jak uciekał, musieliście się za nim obrócić, odruch ludzki - plecy, postać biegnąca, kilka sekund, prawda?

- Bo co?

- Czy spostrzeżliście w nim coś - coś dziwnego?

Dusin przeżegnał się dyskretnie.

- Przecież dobrze wiecie. Wy krew z krwi Mrozu, wam słowo Marcyna, czy Jej Wysokość z wami o tym nie mówiła? Pamiętajcie wszakże, że różni są marcynowcy. Ale - Amerykanin wiezie zagładę lutym, to się tak nie może skończyć.

- Jak? Nie idźcie ze mną w ten bełkot, to dobre na salonach Rasputina. Zresztą jesteście spóźnieni, księżnej zdążyło się odmienić, teraz życzy sobie mojego trupa, im prędzej, tern

lepiej.

Dusin znowu pokręcił głową.

- Nie rozumiecie starych ludzi.

- Rozumiem doskonale - westchnęło się pod wąsem. - Cieszę się, że była sposobność zamienić słowo na osobności. Możecie jej powiedzieć, że tak czy owak pozostaję na usługach Ministerjum Zimy i nie myślę nic robić przeciwko Imperatorowi. I jak się co stanie doktorowi Tesli, napiszę o wszystkim Rappackiemu. List od Syna Mroza chyba przeczyta, nie? Więc lepiej szepnijcie jej do ucha co trzeba, zanim zawezmie się na głupotę nową.

Zacisnął wargi.

- Dwa razy was ratowała.

- Sama wam powie, pomyłka to była.

- Świętego Marcyna -

- Luty w piekle dyma. Odszwarcujcie się już ode mnie! Im większe kłamstwa we mnie wmawiacie, tym bardziej miesza mi się w głowie. Módlcie się, żebym nie uwierzył w nie.

Odstąpiło się, gdy doktor Konieszyn zeskakiwał na ziemię. Tesla cisnął za nim z wściekłością łaskę Ünala Fessara. Złapało się ją, zanim spadła między zagadanych pasażerów. Tymczasem doszedł do nich *monsieur* Verousse z piękną wdową u boku, para z kupiejszego, kapitan imperjalnej marynarki z Luksu, dochodzili kolejni podróżni, powstał mały tłum.

- ...pięć godzin najdłużej - powtarzał Siergiej, ocierając pot z czoła. - I nie ma innej możliwości! Wasze Wielmożności muszą zrozumieć. To jest Ekspres Transsyberyjski, takie rzeczy się nie zdarzają, wszyscy stracimy przez to posady. Chociażby połowa pasażerów uciekła w las - pięć godzin, nie więcej, a pewnie nawet szybciej zwolni się tor.

- Konkurencja, nic innego, moja droga, chciał poznać sekrety konkurencji, przyłapali go i stracił głowę.

- Jak byś rubla nie obracał, Sibirchożeto na wierzchu.

- Tak czy inaczej - rzekł doktor symetryczny - mamy tu włamanie, zniszczenie własności, napaść na człowieka, na urzędnika cesarskiego, kto wie, czy nie zamysł morderczy, gdyby cios trochę inaczej poszedł, biedak mógłby nie wyżyć; to jest robota dla czynowników prawa.

- Słusznie doktor mówi! Posłać po żandarmów!

- Skąd żandarmów! Dopiero co wrócił tarantas z wioski podwodowej, zatelegrafujemy ze stacji, jak się da.

Się przecisnęło się do panny Christine, masywna laska Fessara bardzo pomogła.

- Panna rozmawiała z nim dzisiaj, prawdaż to?

- Wstał pan. Dobrze już się pan czuje? Opatrunek spada panu na brodę.

- Z panem Fessarem. O czym?

- Widać rozeszło się już o Nikoli. Pytał, czy to ten doktor Tesla. Wyrazy uszanowania i takie tam.

- Mówił wcześniej z radcą Dusinem? Z kim jeszcze? Zdaje się, że już wczoraj próbował coś wydobyć od Verousse'a.

- Skąd mogę wiedzieć? A-a, pan mi wybaczy, śpię tu na stojąco. Odwróciła się i odeszła do Luksu. Strażnicy książęcy ukłonili się z szacunkiem, gdy ich mijala.

Zbiegowisko pod wagonami towarowymi powiększyło się tymczasem do kilkudziesięciu osób.

- ...kogo zażalenia? Przecie to niesłychana sprawa! Najpierw wypada jakiś idjota i wszyscy stoimy, potem znowu ten warjat! Ja mam bilet na statek z Władywostoku, kto mi pieniądze zwróci?!

- A taki grzeczny gentleman był *mister* Fessar, doprawdy!

- ...się nie godzi człowieka na pastwę niedźwiedzi jakże nawet przestępca a wiemy nie wiemy to co jeden dzień przy stole chleba wina drugi dzień giń w puszczy ciemnej my jedziemy jakże a widzicie ranny może oszalały kto wie pan kolejowy że pięć niech cztery to przecież ile gwizdkiem jakoś kto może po paru proszę wtę wtę wtę ja pierwszy człowieka znajdziemy!

- Dobrze mówi, wódki mu dać!

Siergiej złapał się za głowę. Począł prosić, jęczeć, zaklinać, mało kto go słuchał, nowa rozrywka rozogniła wyobraźnię pasażerów Transsibu, przywoływali towarzyszy, dobierali się w grupy jak w kompanje piknikowe, podekscytowany młodzik przybiegł z lornetką, ktoś kopnął się po gwizdki do naczelnika składu. Panowie wyjęli zegarki, sprawdzali godziny, przy okazji porównując według krótszych wskazówek ojczyste strefy czasowe. Pojawił się Żyd z kupiejnego z psem na smyczy, kundlem krzywołapym bardzo niewyraźnej

proweniencji, i zaraz ktoś zakrzyknął o ubranie zbiega, trop, trop musi zwierzę podjąć, niech zaniucha! Rozdano gwizdki. Przyszedł naczelnik, ale jego nie słuchał już nikt. *Frau* Blutfeld przyprowadziła stewardów z kosztami kanapek; pochowano prowiant po kieszeniach. Tatar z kupieжного sprzedał dwa stare kompasy, po pięć rubli sztuka. *Monsieur* Verousse, obcałowawszy dłoń wdowy, pobiegł do przedziału po notes i ołówek, wymachując wielkim koszem piknikowym, jeszcze widać pełnym niespożytych wiktuałów. Rozochoczone dzieci próbowały się wspiąć do wagonu Tesli; Serb zatrzasnął z hukiem masywne drzwi. Jednooki gentleman, sąsiad panny Muklanowiczówny z Luksu, pomaszerował samotnie w tajgę z flintą w rękę i pasem naboju na ramieniu. Jak na sygnał, poszły w puszcę kolejne ekspedycje. Naczelnik pociągu machał czapką, krzycząc za nimi o umówionych sygnałach - jeden długi: powrót; trzy krótkie: znaleziony - ale o żadnej umowie nie mogło tu być mowy. Siergiej siedział z ponurą miną na zimnawej szynie i gryzł wąsy. Służba w mundurach książęcych, odstawiwszy długolufę wintowki, pluła machorką w krzewy jeżyny. Nad roztwartymi na przestrzał wagonami pasażerskimi i rozmigotanym „Czarnym Sobolem” szumiały świerki i brzozy, gałęzie brzoź rozłożone w wygiętych zygzakach, jakby nerwowy malarz pociągnął je podskakującym na papierze piórkiem. Motyl różowy tańczył nad lśniącą od potu łysiną naczelnika, w końcu na niej przysiadł, dzieci pokazywały go palcami. W tle łopotała czysta biel: wiatr wydał firanki w oknach Luksu. Zdałby się do tego Gal, pomyślało się, któryś z tych impresjonistów od śródziemnomorskiego słońca rozmazującego kontury wapiennych dzwonnicy, gajów oliwnych, żaglówek na horyzoncie. Niewielki obrazek, prostokąt dziesięć na siedem cali, żółć, zieleń, błękit i czerń (czerń onyksowa, aby odmalować zimnawo parowozu). Tytuł: *Lato w tajdze*. Albo: *Tajga w Lecie*. Oprawiony w grube, toporne ramki z ciemnego drewna. *Letnicy, Azja i maszyna*.

Inżynier White-Gessling spoglądał za idącymi w las z niezdrową fascynacją.

- Kiedy tu naprawdę żyją niedźwiedzie.

- Powiada pan?

- I Bóg wie, jakie inne bestje. Poszaleli wszyscy!

- Fakt. Może to ostatnia okazja przed Zimą. - Podpierając się na Fessarowej lasce, pokuśtykało się w ślad za doktorem Konieszynem i panem Blutfeldem. - Ej, no, poczekacie przecież na kalekę! Panowie! Idę z wami!

**O wielkiem znaczeniu krótkiej różnicy zdań między doktorem Konieszynem i**



## panem Blutfeldem

Ptaki śpiewały w tajdze, w kościelnej ciszy między drzewami, światło spadało z witraży zielonych na dzikie ścieżki, na krzewy ciężkie od nieznanych owoców, na trawę upstrzoną nieznanym kwieciami, na mężczyzn w eleganckich ubraniach, podążających spacerowym krokiem od słonecznego prześwitu do prześwitu.

- Wczoraj wieczorem. Jurga, Tutalskaja. Teraz powóz przyszedł chyba od strony Litwinowa, jeśli dobrze usłyszałem naczelnika. Żadnych osad pomiędzy, tylko ta wieś podwodowa na prawie Stołypina; chyba że myśliwy lub poszukiwacze złota w sekretnym priisku. Może sobie pacan dumny biec na północ, aż wpadnie do Oceanu Arktycznego. Albo do jakiegoś bagna, to prędzej.

...Naprawdę doradzałbym panu nie forsować tego kolana; przy odrobinie szczęścia, jak da pan odpocząć nodze, za tydzień-dwa będzie jak nowa.

- Widzi doktor, że to *Herr* Blutfeld nie może nadażyć.

- A jakby co, to kto będzie niósł pana z powrotem? Te dwie urocze panny, które się panem zaopiekowały - nigdy by mi nie darowały. Piąty krzyżyk, a nadal znajduję to fascynującym fenomenem, tę właściwość charakteru, nie wiem nawet, jak ją nazwać - miód, który przyciąga kobiety. Pan zawsze miał powodzenie, prawda?

Wybuchnęło się śmiechem.

- Dziękuję, panie doktorze, dziękuję, to sobie zapamiętam, ubawił mnie pan setnie!

- Dobrze wychowany syn z zamożnej familji, o sercu czystym i reputacji nieskalanej - nie, nawet nie spojrzą. Ale niech tylko stanie w mieście awanturnik i hulaka, łajdak na trzy powiaty niesławny - zaraz ogień w panien oczach i szepty na salonach gorące. Dlaczego on taki magnes dla nich? Dlaczego to, co porządne, stałe i pewne, odpycha je tylko? Bo, widzicie, bo jest nudne, tak powiedzą: nudne.

- Wszystko przez romanse francuskie.

Doktor Konieszyn spojrział koso.

- Przez długie lata byłem szczęśliwie żonatym.

- Wierzę.

Doktor zadarł głowę, niby zapatrzony w korony drzew. Szło się w milczeniu,

rozgarniając badyle laską Turka. Kierunek północny, a zatem łatwo się orjentować podług mchu na pniach; znaczyło się mech poziomymi kreskami, zielony nalot pozostawał na lasce. Doktor natomiast dotykał kory mijanych drzew opuszkami palców, nawet nie opierając się o nie, lecz jakby sprawdzając, czy naprawdę stoją tam, gdzie je widzi, brzoza, brzoza, wiąz, świerk, klon, i jeszcze te nieznane potwory azjatyckiej dendrologji, wyższe od cedrów, dotknął dwukrotnie.

- Owa młoda Amerykanka, Filipov... to córka starego inżyniera? Wnuczka może?

- Nie wiem.

- Wydała mi się nazbyt niewinną... Mhm. - Doktor symetryczny szarpnął w zamyśleniu za rude faworyty. - Czasami trudno poznać.

- Co pan ma na myśli?

- Ponad pewną różnicę wieku, gdy mężczyzna angażuje się serdecznie, gdy wiąże się z kobietą, jeśli mnie pan rozumie, młodzieńcze, jeśli w ogóle może pan to zrozumieć... wtedy nie widzi już tylko kobiety. Jest w tym wonczas jakaś dwuznaczność, dwuwidok, nałożenie obrazów - pokazał rękoma na wysokości twarzy - jak w owych zabawkach szklanych: patrzysz lewym okiem, widzisz kochankę młodą, patrzysz prawem, widzisz córkę, której nie miałeś.

- Bo jest ona i tym, i tym.

- Tak. Nie. - Konieszyn kopnął z irytacją mrowisko, odskoczył. - Och, skoro już wyszliśmy z Luksu...

...Doświadczenia ojcostwa, panie Benedykcie, doświadczenia ojcostwa - że mężczyzna zostaje ojcem - nie można porównać do doświadczenia macierzyństwa. Matką staje się stopniowo, w wielomiesięcznym procesie, kobieta dorasta do tej myśli i roli, w miarę jak dziecko w niej rośnie. Ojciec zaś staje się ojcem nagle, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, w jednej chwili. Spada to na niego jak ostrze gilotyny oddzielające czas nieojcostwa od czasu ojcostwa. Gdy po raz pierwszy weźmie dziecko na ręce, wtedy „uwierzy” w jego realność. Albo, co gorsza, gdy dowie się wtem pewnego dnia: „Masz syna”, „Masz córkę”. Bez etapów pośrednich. Nie istnieje mężczyzn stan błogosławiony. Nie noszą ciąży. Nie doświadczają ojcostwa we własnym ciele. Nie można się przygotować.

- Ale matka zawsze wie, że jest matką; ojciec nigdy nie może mieć pewności, że jest ojcem. Może podejrzewać. Może wierzyć. Może udawać, to znaczy postanowić: ten będzie

mi synem, ta będzie mi córką - nawet jeśli przytem jest ona właśnie kimś zupełnie innym; to akt umysłu, nie biologii. Do końca pozostanie ojcem warunkowym, jeśli-ojcem, czymś pomiędzy prawdziwym rodzicem i nierodzicem. Matka zaś jest namacalnie, niewzruszenie pewna, jak ta ziemia, po której stąpamy.

- Ha, widać jednak zupełnie nie zna pan kobiet! Wystarczy chwila rozmowy, by się przekonać, że to one żyją w świecie pomiędzy prawdą a fałszem. My, mężczyźni, jesteśmy nieszczęsnymi synami Arystotelesa.

Się zaśmiało się.

- Dlaczego „nieszczęsnymi”?

- No jakże! Ten, który potrafi tylko kłamać i mówić prawdę, nie ma szans wobec kogoś, kto swobodnie zaprzecza zarazem i kłamstwu, i prawdzie. Ile razy wszedł pan w niezgodę z płcią piękną? Ile razy przyznała panu słusność? Ba, ile razy na koniec nie wiedział pan nawet, jaka w ogóle była jej racja?

Uderzyło się laską w pień brzozy, aż strzeliły naokoło odłamki białej kory.

- Wiem, czego pan chce! - warknęło się. - Też mi Lekarz Historji! Doktor Dziejów Człowieczych!

Konieszyn przystanął, zwolnił oddech.

- Próbuję pana ostrzec - rzekł spokojnie. - Jedno dobro może z tego wyniknąć, jak już panu mówiłem; a to wtedy, jeśli istotnie znajdzie pan sposób na uleczenie Historji. Trzeba wziąć ten obowiązek na siebie, rozsądzić wedle własnego rozumu. A nie sprzedawać się Pocięglom, nie najmować się jako bezmyślny wykonawca: jaką Historję sobie kupią, taką wyproście u Ojca Mroza. Tern bardziej więc nie pozwolic się zniewolic darmo! Nie dać się omotać jakiejś dziewczce przebiegłej, na piękne oczy, na czule słówko i litość rycerską, aż koniec końców nie będziesz już pan wiedział, czego chcesz, czego chce ona, co sam myślisz, a co ona między słowami ci podsunęła, co dobre, co złe, co prawda, co kłamstwo - taka Historja, jak kaprys niewieści.

- Pan sądzi, że panna Muklanowiczówna -

- To są wszystko zbędne dystrakcje! Pokuszenia świata zmysłów, które powinien pan czem szybciej odepchnąć! To, co przygodne i niekonieczne - życie, jakiego pan doświadczył, a mógł doświadczyć innego - jakież to ma znaczenie?

Za starym cedrem grunt opadał ku płytkiemu parowowi, zeszło się powoli po miękkim zboczu, zapierając się laską.

- Pan wmawia mi własne obsesje! - podniosło się głos, nie oglądając się na podążającego z tyłu doktora symetrycznego. - Po czym niby miałbym poznać „zdrową Historję”? Czy zdrowa jest ta zamrożona pod Lodem? A może zdrowsza - swobodna Historia Lata? Ba, czy w ogóle istnieje jakakolwiek namacalna różnica między światem wielu prawd i światem jednej prawdy? Jesteśmy ludźmi empirji, pan i ja, niech pan mi powie: jak mam pomierzyć na instrumentach przyrodnika koniec jednej logiki i początek innej?

...Mogę stawiać hipotezy, mogę kleić teorie, wyszukiwać zjawiska z tym czy owym oddziaływaniem fizykalnym powiązane, naprimier fenomeny światła, o których, zapewniam, wiele ciekawego ma do powiedzenia doktor Tesla, skonstruował nawet specjalne narzędzia optyczne po temu, mogę wreszcie badać rozmaite efekty przez tungetyt powodowane; ale po czym poznam, że nie są to właśnie nowe objawienia fizyczne, przypadki obnażające niedoskonałość naszego opisu przyrody - lecz skutki zmiany więżącej nas logiki?

...Że w ogóle logika jest siłą mierzalną, naciskającą bezpośrednio na materję lub na oddziaływania między materją, jak grawitacja, elektryka, i przekroczywszy granicę Lata i Zimy, logiki Gierosławskiego i logiki Arystotelesa, można na jakimś zmyślnym logometrze odczytać odpływ i przyływ tej siły? Przecież tak samo mógłbym rzec, iż wszelki mróz sprzyja logice dwuwartościowej, bo każda rzecz, gdy zamrożona, bardziej jest konkretna, pewna i jednokształtna, więc to słupek rtęci pokazuje moc logiki klasycznej - i czy nie nazwałby pan tego rozumowania prymitywnem, czyż nie byłoby to bezczelne nadużycie autorytetu nauki?

...A z drugiej strony - pan doktor spojrzysz wraz ze mną - z drugiej strony logika to po prostu język opisu rzeczywistości, kryterjum poprawności zdań tego języka, i teraz proszę mi powiedzieć: czy po przeprowadzce w kraj nieznany, egzotyczny, między ludy obce, innozyczajne, a pan doktor podróżował przecie wiele, więc znalazłszy się wtem na dalekiej obczyźnie, gdy siada pan do pisania listu do rodziny i przychodzi w nim zdać im relację z tej nowej rzeczywistości, co pan za oknem widzi, jakich ludzi spotyka, jak się zachowują, jakie ich święta i nawyki, jaki porządek między nimi, w domach, na ulicach i w ich głowach, kiedy próbuje pan pochwycić w słowa ducha tej krainy, ale wiernie, ale szczerze, bez cenzury świadomej-nieświadomej, czy nie znajduje pan wonczas swojego starego języka - języka innej ziemi - bardzo opornym, nieadekwatnym, nieporęcznym temu zadaniu?

Doktor Konieszyn zrównał się na ścieżce-nieścieżce, stawiając swój krok do kroku kulawego, i zerkając uważnie spod nachylnego czoła, to na grunt nierówny pod stopami, to na okolicę leśną, to w bok; wtedy najmocniej oczy mrużył.

- Myślał pan o tym niemało, jak widzę.

- Nie pozwalają mi myśleć o niczym innym.

- Pan jest matematyk, tak pan mówił, prawda? - matematyk, pan robi w absolutach; nawet pytając o logikę, pyta pan już według logiki z góry obranej, tak-tak, nie-nie. Granica, znaleźć granicę! Przyrządy pomiarowe! Kryterjum jasne, wyraźne! Taka jest pana „metoda naukowa”. A ja mam praktyk wiedzy zebranej z tysiącletniego doświadczenia innych praktyków, niepewnego, mylącego, zepsutego przesadami i ułomnościami zmysłów, ręce sobie brudzę w ranach cuchnących, we flakach śliskich po omacku grzebię. Nie muszę liczyć co do jednej krost na ciele pacjenta, by orzec, czy ma ospę. Od ilu kropel zaczyna się ulewa, a kończy mżawka?

...Widzę symptomy i nazywam chorobę. Od świata idei począwszy, jak słusznie mówił ten katorżnik, Ziejcow, bo tam się wszystko zaczyna, więc już w idejach: co było pewne, jest niepewne; co było jednym, jest wielością; co było konieczne, podlega wolnemu wyborowi. Prawa! Religie! Hierarchie! Systemy rządów! Porządki społeczne! Pan widzi, co się dzieje na świecie, przecież nie jest pan ślepy. Że ciskają bomby na ulicach i strzelają do ministrów, to ledwie dziesiąte echo.

...Zresztą pan też już nazwał rzeczy po imieniu. Tak, Historia może istnieć tylko pod Lodem: nie ma Historji, gdy nie istnieje przeszłość. Pozostawieni każdy w swoim Teraz, bez gwaranta ciągłości między tym, co było, tym, co jest, i tym, co będzie - oto, co dostajemy: wojnę, chaos, zniszczenie, niezgodę i nienawiść, pomieszanie wszelkich wartości, rozpad porządków - ludzi, którzy nie wierzą w nic, albo, co gorsza, wierzą w tyle rzeczy naraz, że sami nie wiedzą, iż wierzą - państwa, które podważają własną prawomocność - narody, które wypierają się własnej narodowości i malują się cudzą - władców, którzy boją się władać i pragną służyć, to znaczy być władanymi - poddanych, którzy pragną być suzerenami królów: chłopów ciemnych, wyrostków niedouczonej, analfabetów z fabryk i krzykaczy sprzedajnych, którzy chcą nakładać prawa na lepszych od siebie, ażeby odwrócić wszelki ład i postawić podłych nad cnotliwymi, głupców nad mędrkami, biednych nad bogatymi, leniwych nad pracowitymi, tępych nad utalentowanymi, pospolitych nad niepospolitymi, kłamstwo nad prawdą!

Się zaśmiało się ponownie.

- Różnica więc między nami jest taka, że pan chce na niepewnych, mglistych fundamentach kłaść konstrukcje żelaznej pewności, pomniki konieczności świętej, podczas gdy ja szukam pewnego, niezawodnego sposobu pochwylenia niepewności.

- Lekko pan to bierzesz...!

- Pan za to - aż strach!

Doktor symetryczny machnął z irytacją.

- Bo może słuszość miał wobec pana kapitan Priwieżeński... ale może nie. Może nie, może trafiła mi się szansa jedna na milion, spotkanie w podróży, taki przypadek: że moje słowo naprawdę coś zaważy na Historji! że dotknę Historję nagą dłonią, jak ciało ciała! I pan się mnie dziwi?

Parów przeszedł w kotlinkę, pośrodku której tajga nieco się przeredzała, tu stały wyłącznie stare olbrzymy o rozłożystych konarach. Otworzone pod okami czystego nieba polanki światła porośnięte były przez skłębione ciasno krzewy kolczaste, rodzaj małych drzewek o porozszczepianych, splątanych gałązkach. Na niektórych, między cierniami i liśćmi, pokazywały się niedojrzałe jagody, minjaturowe śliwki. Doktor zerwał kilka, rozgryzł, splunął.

- Ale konfitury z nich - palce lizać - mruknął.

Pod dębem za placem słońca wisiało gniazdo os lub szerszeni, krążyły one wokół nisko nad ziemią. Pan Blutfeld zamachnął się, próbując odpędzić owada, i potracił uschniętą gałąź, która obsypała go próchnem i szaremi igłami. Wleciało mu to we włosy, za kołnierz, podskakiwał potem i wytrzepywał z siebie kolejne drobiny kłujące. Doktor uśmiechnął się (symetrycznie). Pomyślało się, że tu naprawdę mogą zachodzić niedźwiedzie - do tych os, do pszczoł - czy niedźwiedzie nie gustują w dzikim miodzie? Te ze skazek ruskich - na pewno.

Za dębem trzasnęła gałąź, zaszeleściły zarośla, coś zaszurało głośno. Przystanąło się, uniosło się odruchowo laskę, serce podskoczyło na dwa tempa. Wymieniło się spojrzenia z doktorem Konieszynem. Doktor zrobił pytającą minę.

Teatralnym gestem przyłożył dłoń do ust i zawołał:

- Panie Fessar! Panie Fessar, proszę się odezwać!

Zagryzło się zęby. Laska laską, ale rzeczywiście - daleko człowiek nie ucieknie z taką

nogą. Oparło się plecami o sosnę. Może lepiej od razu Grossmajstera -

- Panie Fessar!

- Cicho tam, to nie on! - odkrzyknął ktoś z gęstwiny.

Odetchnąwszy, poczłapało się przez zarośla, obchodząc z daleka gałąź z gniazdem. Doktor czał i kaszłał z tyłu, ubawiony.

Kilkanaście arszynów za dębem, pod trzema brzożami nachylnymi jedna nad drugą jak przewrócone na siebie kości domina, stał ów oficer carskiej marynarki wojennej z wagonu Luksu numer dwa, wedle słów Gertrudy Blutfeld posłany przez Azję z przydziałem na nowy okręt w Nikołajewsku. Spowijała go ciemna chmura much i drobniejszych owadów, w ręce miał rewolwer. Odstąpił trzy kroki, wtedy spostrzegło się truchło zwierzęcia: jeleni lub coś do jelenia podobnego, ale znacznie mniejsze, bez rogów, mocno już poszarpane, z szyją wykręconą nad grzbiet, rozerwanym korpusem, wnętrznościami rozwleczonemi wszędzie naokoło, cuchnące pod niebiosami.

- Usłyszałem, jak jadł - powiedział kapitan. - Podeszedłem, uciekł. Ryś, jak sądzę.

Konieszyn i Blutfeld stanęli obok. Wojskowy przedstawił się: kapitan drugiej rangi Dietmar Klausowicz Nasboldt, oficer na krążowniku pancernym Zimy „Miest’ Władimira Manamacha”, uszanowanie. Schował rewolwer, uściśnął dłonie.

- Pan kapitan był sam?

- Nie, jeszcze trzy osoby, rozeszliśmy się jakoś.

- Z tym psem?

- Prawda, najprędzej powiedzie do świeżej padliny.

Dźgnęło się truchło laską. Muchy rozbrzęczały się na nowo, wybuchając czarną flarą na trzy-cztery arszyny nad mięsem. Trąciło się łeb jelenia, mocniej, obrócił się bez oporu na szyji miękkiej jak galareta. Pociągnęło się nosem, słodki odór wlał się w gardło, skleił język i podniebienie, przełknęło się ślinę, ugrzęzła w mdłej słodyczy. Otworzyło się szeroko usta, muchy brzęczały naokoło; stanęło się na wyjedzonych jelitach, sięgnęło się w dół, dłoń zacisnęła się na brudnej, żółtawej sierści tuż pod łbem zwierzęcia, martwe, martwe, martwe, przekręciło się łeb tak, przekręciło owak, jak lalka mokra, bezwładna, z górnej szczęki sterczały dwa kły, kopnęło się przednie nogi jelonka, wyżej, do symetrii, i teraz niech spojrzysz do góry tym ślepiem czarnem -

Doktor Konieszyn złapał za marynarkę, szarpnął, odciągnął.

- Co pan wyrabiasz, na miłość boską, ścierwem się bawisz?!

Zwymiotowało się, ledwo zdążył odskoczyć; zgięty w pół, wsparty na lasce, tak zwracało się na ściółkę płynną zawartość żołądka. Doktor, kręcąc głową, szukał po kieszeniach chusteczki.

Obok podskakiwał pan Blutfeld, spocony i zasapany, z obliczem z wysiłku purpurowem, wytrząsając sobie z rękawa próchnicę.

- Taak - mruknął pod wąsem kapitan Nasboldt - to ja już panów zostawię.

Doktor symetryczny podał drugą chusteczkę.

- Wytrzymaj pan sobie ręce, żebyś pan jeszcze jakiegoś paskudztwa nie złapał.

Zakłęło się, uraziwszy spuchnięty palec.

Doktor westchnął, pociągnął nosem, szarpnął się za bokobród i westchnął ponownie.

- Chodźmy stąd.

Odkaszlnęło się.

- Jakiś strumyk... Przeplukałbym usta.

- Może coś przegryziemy, pora by była po temu. Pana Blutfelda, widziałem, małżonka obficie zaopatrzyła.

Pan Blutfeld poklepał się po kieszeniach obszernej marynarki i potrząsnął chlebaczkim przez ramię przerzuconym.

Doktor pierwszy przeszedł na drugą stronę zarośli, rozgarniając wysokie badyle i wdeptując w wielkie grzybnie, z których podniósł się kwaśny śwąd; ubrudził sobie nogawki na zielono i brązowo.

Pod północnym zboczem kotlinki, w cieniu przewieszki, ciągnęło się zawalisko białych głazów, jakby jakiś cyklop tajgi zgruchotał tu ścianę marmurową. Po głazach, wypływając z góry, znad krawędzi zбочa, ciekła wąska strużka wody.

Podeszło się, obmyło się dłonie. Pan Blutfeld czem prędzej skorzystał z okazji i rozsiadł się na głazie obok; z głową odchyloną w cień, wachlował się kapeluszem. Wspierając się na lasce, się zgięło się nisko, by pochwycić strumień wody prosto w usta. Zmieniał kierunek spływu, przeskakiwał po nierównościach kamieni - ochlapał oczy, ochlapał podbródek,



zmoczył bandaż, koszulę i krawatę, dopiero skoczył na moment na język. Rozpryskujące się krople łaskotały skórę dziwnie wrażliwą.

- No, jak na zawołanie - skwitował doktor Konieszyn, sadowiąc się obok Blutfelda. - Bóg jest dzisiaj w dobrym humorze, panie Benedyckie, spełnia wszystkie pana życzenia. Uratował od skręcenia karku, zatrzymał pociąg, pozwolił wykaraskać się z ledwie paroma stłuczeniami i skręczeniami, niech pan tu usiądzie, proszę, co pan woli, ze śledziem czy z kawiozem, a teraz sprzyja panu nawet w rzeczach tak drobnych. - Doktor zaśmiał się na doktorowy sposób, aż pan Blutfeld przestał na chwilę jeść. - Może czas by się Mu odwdzińczyć, nie sądzi pan?

Rozwinęło się grubego butersznytą. Po głazie wędrował żuk, zmiażdżyło się go laską, panczyk owada przykleił się do drewna, starło się go serwetą, w którą zawinięty był chleb. Doktor symetryczny przyglądał się tym manipulacjom, ledwo ukrywając rozbawienie.

Wbiło się Fessarową laskę w mokrą ziemię między stopami.

- Dałby pan już spokój. Sam pan przecież mówił, że Bóg nie jest mu w Historji do niczego potrzebny. To są niskie chwyt. Mam panu obiecać - że co? że namówię ojca na Historję według pańskiego uznania? Konieczna, akurat! Niech pan wejrzy na to: Bóg jest Bóg, czy ludzie, czy lute, wszystko się mieści w Jego wiedzy i zamyśle. Zatem jakabądź próba wojny z Historją, zmiany jej biegu, nawet jeśli dla jego naprostowania - będzie walką z Bogiem. Może Bierdiajew ma rację, może się myli... ja już o to pytałem, spytam inaczej: czy jest moralnie dozwolona samoobrona przed Historją? A? Jedz pan i nie gadaj głupot.

*Herr* Blutfelda natomiast nie trzeba było poganiać, już mu szczęki pracowały z mocą górniczej zgniatarki, rach-rach, sypały się zmiędzy warg obślinionych kruszyny i kawałki całe mięsa i sałaty. Skoro nie mógł przełknąć w tempie gryzu - przełyk wolniejszy od zębów - to dopychał resztę piąchą, jakby szpunt w beczkę dobijał, piąchą zwiniętą i nasadą otwartej dłoni klepiąc i pchając żarcie w gębę, aż się już nie purpurowy, ale czerwono-siny i sino-czarny robił, od wąsów po brwi krzaczaste i linję włosów ciemnych, gęstych, tłusto opomadowanych. Prawie się spodziewało się, że mu nadmiar jedzenia tym sposobem w gardziel ciśniętego uszami wyjdzie, niby z maszyny masarskiej, uszami i nosem, w długich spiralach śluzowatej mielonki. Rach-rach, a ślinę ścierał z brody rękawem.

Odwróciło się wzrok. Jadło się powoli, trzymając chleb rękoma, we wszystkich sześciu zdrowych palcach. Opatrunek wchodził w paradę, zerwało się go z policzka.

- Jak leczę ludzi - mamrotał między kęsami a kęsami doktor symetryczny, spoglądając przed się, w zieleń i cień zielony - jak wpuszczam im w żyły chemję sztuczną, przez rozum

człowieka wynalezioną, ażeby choroby i naturalne dolegliwości wieku uśmierzać - to czy działam przeciw Bogu? Bo sprzeciwiam się porządkowi natury, zwierzęcemu planowi życia i śmierci. Psuję zegary przyrody. „Samoobrona przed biologią”. To jest moralnie dozwolone, mhm?

...Człowiek kieruje się swoim rozumem - dlatego jest człowiekiem. Żyliśmy w lasach, w dziczy - ogarnął gestem tajgę dookolną - w świecie niezmienionym, w ogrodzie nie zaprojektowanym przez człowieka; teraz żyjemy w miastach wielkich, w wysokich budowlach z materiałów nie danych nam w przyrodzie, w ciepłe nienaturalnem, przy świetle nienaturalnem. Żyliśmy w swobodzie rodziny i królestwa; teraz żyjemy zorganizowani wedle rozumowych projektów, w porządkach nienaturalnych, wykoncypowanych przez człowieka. Żyliśmy z pracy ciała; żyjemy z pracy rozumu, przynajmniej niektórzy z nas. Powiedzcie mi, młodzieńcze: żyli my przez wieki i tysiąclecia w naturalnym żywiole Historji, działo się, co się miało dziać, potem czasami spojrzeli my wstecz i to opisywali, ale nurt dziejów parł i prze naprzód nieujarzmiony - lecz dlaczego odtąd nie mielibyśmy żyć w Historji zaprojektowanej przez człowieka?

Przeżuwało się jego słowa w równym rytmie; czasami myśl doktorowa ugrzęzła, nierozgryziona, między zębami i wtedy proces żucia ulegał zatrzymaniu.

- Właśnie dlatego: ponieważ postęp naukowy jest motorem Historji. - Wydłubało się kęs paznokciem. - Czy można przewidzieć wynalazki jeszcze niewynalezione? Czy można włączyć do teoryj historycznych potęgę nauki jeszcze nauce nieznaną? To logiczna sprzeczność, panie doktorze: przewidywanie takiego postępu jest równoznaczne z samym postępem - opisawszy z wyprzedzeniem w stosownych detalach odkrycie elektryki, tym samym dokonujesz tego odkrycia. Toteż nie może istnieć żaden opis Historji wybiegający poza teraźniejszość, żadna pewna teoria Historji, według której moglibyśmy ją zaprojektować; i żadne takie rozumowe działanie nie rozstrzygnie, która Historja nam dobra, która zła.

Doktor symetryczny zmrużył lewe oko, symetrię łamiąc.

- Skoro wiedza o tym, co dobre, co moralnie dozwolone, nie pochodzi z rozumu - to skąd? - Westchnął, przeciągnął się, rozpakował drugą kanapkę. - Mhm, przednia ta szynka, ach, i odetchnąć zielonem powietrzem można, o, to jest zdrowe i naturalne, ruch i pożywienie, mhm, a więc wyobraźcie sobie, że wychodzi tu do nas spomiędzy drzew Syn Boży, ale, uważacie, Syn Boży jak z Ksiąg Świętych, to znaczy kto - spojrzycie: dzikus jakiś nieuczony,

marnie odziany, sandały, skóry, szaty zgrzebne, niechby nawet mówił językami, ale co wie, czy zna maszyny, czy zna pociągi, czy zna moce elektryki i chemji, czy wie wszystko, co my wiemy, i jeszcze więcej: jak materja zbudowana jest z atomów, gdzie Ziemia i Słońce wiszą we wszechświecie między gwiazdami, jak się przenoszą choroby; czy zna mikroskopowy świat zarazków, czy umie latać aeroplanami, jeździć automobilami; czy wie wszystko, co można wiedzieć? Ba, na tym przecie polega człowieczeństwo Jezusa, na ograniczeniu - ograniczeniu, przeciwieństwo absolutu: niezupełność, ułomność, niewiedza. Przede wszystkim niewiedza - pierwsza różnica między Bogiem i człowiekiem: zamknięcie skończonego umysłu w „tu i teraz”.

...Tak łatwo zaakceptować cielesne człowieczeństwo Chrystusa! Że krwawił, że cierpiał, że był zbyt słaby, by unieść krzyż, że jadł, pił, pocił się. Ale gdy przychodzi do rozumu... Wahania ogrójkowe, chwile zwątpienia, napady gwałtownych emocyj nawet - to tak. Ale czy Jezus Pan kiedykolwiek się pomylił? W najdrobniejszej, najprzyziemniejszej rzeczy. Bo jakże to - Chrystus ignorantem? A stanąłby przed byle wykształconym Europejczykiem początku dwudziestego wieku i wyszedłby na głupca; na przesądneho dzikusa właśnie.

...Lecz ponieważ czynił cuda... ponieważ powoływał się na prawdy przeciwrozumowe... Widzi pan, panie Benedyckie? Pan się mu przyjrzy! Pan pomyśli! Kogo panu przypomina? Widzi pan - czego, kogo pan broni? - boga szaleństw Rosji, cesarza obłędu, pasożyta żywiołów - widzi pan, czyja to władza nad Historją?

- Rasputina.

- Tak!

Na to wybuch nagły nastąpił za doktorem symetrycznym, po lewej; spojrzalo się: pan Blutfeld pluł niedogryzkami jabłka.

- Mądrość! - burknął, parsknął i splunął.

Patrzyło się w zdumieniu. Doktor Konieszyn aż wstał, zaskoczony. Otrzeptywał teraz garnitur, spoglądając na Blutfelda spode brwi rudych.

*Herr* Blutfeld otarł chustą twarz, poczem wysmarkał się w nią głośno, energicznie.

- Mądrość! - sapnął i podniósł wzrok na doktora. - O czym wy gadacie? Mądrość to nie wiedza! Jakże on się zwał, ten błazen grecki - Sokrates - co za zaraza, dwa tysiące lat i znowu to samo, a teraz jeszcze maszyny, maszyny, MASZYNY! - Zatchnął się i przez długą chwilę łapał dech, macając się po piersi i świszcząc przez nos. - Mądrość! Że ujrzeli mikroby, to

znają, co dobro, co zło! Kto was uczył? Francuzi pewnie! Angole! Nie rozróżniają: mądrość - roztropność - wiedza. Wszystko litery i cyfry! Tfu! I będą się krzywić z obrzydzeniem: że najważniejsze nauki w historii, nauki otwierające drogę do zbawienia, mogą wyjść z ust niekształconego prostaka! Nie zna dobra, bo nie ma rozumu, rozumu, ROZUMU! Tfu!

Pluł, czerwony. Przypomnił się Miczka Fidelberg u Herszfelda. Podobieństwo było aż niepokojące. Blutfeld - Fidelberg, Fidelberg - Blutfeld. I jak mówił, jak się rozpalał, mówiąc.

- O czym wy gadacie! O tej Historji, o maszynie dziejów, o zamiarach Bożych, ale jak - zawsze patrząc porządku i pewności, im większych, tern lepiej, pana hrabiego-niehrabiego mierzi nawet najmniejsze „być może”, pan doktor chciałby świata ułożonego przez człowieka wedle tego, co być musi - Zima dobra, bo nie dopuszcza niczego poza prawdą i kłamstwem, Lato złe, bo nic w nim nie jest pewne - czy tak, czy nie to od was słyszałem? - więc ja, uff, do kroćset, ja powiem rzecz przeciwną! ja powiem nieoczywistość!

...Lato dobre, Zima zła! Dobra niepewność, zła pewność prawdy i kłamstwa! Dobry chaos, zły porządek! Dobry brak Historji, Historja rozbita, mirjad pomieszanych przeszłości i przyszłości, to dobre! Zła jedna Historja, Historja zła! Zła, zła, ZŁA!

...Złe prawo na nieszczęście milionów pisane, złe władztwo święte, konieczne, na cierpieniu ludów usadzone, zły ład matematyczny kajdan i tiurm. O, gdybyż mogły istnieć porządki niewinne i rządy zwątpienia! Ale w tym tragedia, że każda Historja na Prawdzie zbudowana - czy wy to widzicie, musicie przecie widzieć! - każda Historja w Lodzie zamknięta skuwa nim nasampierw człowieka: Prawda nie zależy ode mnie, Prawda znajduje się ponad mną. Zbędny jest wonczas Bóg i zbędny jest człowiek. Rozum, porządek i Historja powołają najstraszniejsze tyranie, z którymi ani się równać szaleństwu Rasputina, zbrodniom jednego czy drugiego obłąkańca, choćby i cesarza, cara-Boga, ani się równać uciskowi zła bezrozumnego, niezorganizowanego.

...Człowiek wolny - to tak. Człowiek wolny, człowiek w niepewności - człowiek wolny, człowiek minus Historja - człowiek wolny, człowiek pomiędzy prawdą i fałszem - człowiek, człowiek, dusza nad anioły, CZŁOWIEK! Jeden, ty, on i on, i ja, ja, JA!

Jeszcze chciał mówić, zaperzony, nadmuchany, jeszcze chciał krzyżeć, ale zbyt wiele czasu zabierało mu złożenie się do kolejnego zdania, brał je jak siłacz cyrkowy sztangę popisową na klatę zarzuca - pierś, wdech, bary, policzki nadęte, zęby w zgrzycie, nachyla się, napakowany gotowemi kwestjami po uszy - pfuch, wystrzeli -

Nie zdążył, doktor Konieszyn był szybszy atleta słowa.

- Widział ja takich! - zawarczał i ogniowe faworyty nastroszyły mu się z prawa i z lewa. - Ludzi osobnych, wolnych, on i on i ja i ty i każdy swobodny anarchista z własną Historją i własną bombą za pazuchą! Zbierał ja tam nogi i ręce i ciała dzieci maleńkie, po waszych fajerwerkach wolności na Krieszczatiku! Jak przeszła się wolność po Kijowie, to tylko mgła czerwona nad ulicami została. Chaos dobry? Pomieszanie dobre? Ni Boga, ni cara? To już, do lasu, żreć korzonki na Syberji! Dawaj! W stada wilcze, wilczą żądzą gnane, jeden przeciwko drugiemu, bo gdy chęć taka go weźmie, to kto, co go powstrzyma, swobodnego? - do gardła! do gardła! Ani bezpieczeństwa, ani dostatku, nie zbiorą się w ładzie dla żadnego wielkiego czynu, żadnej wielkiej rzeczy nie stworzą, miast nie wzniosą, nauki nie zbudują, cywilizacji nie obronią, a gdy zjawi się wróg sam w porządku silnym ujęty, to co im pozostanie? - umknąć z podwiniętymi ogonami. Ale - swobodni! Ale - wolni! Ale - on i on i on i następny święty idjota, Polaczek-sobiepan i mieszczech-pasibrzech idejami słodkimi nażarty!!

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w tajgę.

Chcąc nie chcąc, się podźwignęło się i pokuśtykało się za nim. Pan Blutfeld zamarudził, zbierając resztki jedzenia; potem podbiegł i od nowa się zasapał.

Zeszła już jednak z niego para. Spojrzało się: znowu ledwo patrzył pod nogi, wyraz ociążałej błogości rozmywał mu oblicze.

- Nie sądziłem - zagaiło się - że pan w ogóle słucha tych rozmów naszych durnych. Mam nadzieję, że nie urażiliśmy pana niechcący; panu doktorowi na pewno zaraz gorączka minie.

Pan Blutfeld przeżuwał coś niemo za wargami; tak zbierał słowa. Przeszło się strumyk, się zbliżyło się do zbrocza kotlinki, nadal nazbyt strome, skrzyło się na północny wschód, przelazło się pień zagradzający wyjście z zapadliska... już straciło się nadzieję, dopiero pan Blutfeld na powrót odnalazł język w gębie.

- Ano, nie gadał, nie gadał. Znacie anegdotę o Żydzie, co wybrał się w podróż daleką w sprawach finansowych? Rozmowy na miejscu się przeciągają, więc idzie nadać telegram do żony. Żeby się nie niepokoiła, bo on musi zostać jeszcze parę dni, kwestja większego zysku, wróci, jak tylko będzie mógł, pozdrawia, Iccak. Dają mu blankiet do wypełnienia, urzędnik pocztowy objaśnia, że opłatę liczy się od każdego jednego wyrazu. Iccak spisał wiadomość, porachował słowa, porachował cenę telegramu - i nuże kombinować, co też mógłby tu wykreślić, bo zbędne, niekonieczne. „Iccak” - no przecie żona wie, że Iccak, kto inny? „Pozdrawia” - no jasne, że pozdrawia, miałby nie życzyć zdrowia własnej małżonce? „Wróci, jak tylko będzie mógł” - no to się rozumie samo przez się; jak nie będzie mógł, to nie wróci. I

tak dalej, słowo po słowie, w końcu skreślił z blankietu całą wiadomość: same oczywistości.

...Otóż, widzicie, ja mam to samo. Nie ze skąpstwa - sam się zniechęcam. Wystarczy, że moment pomyślę nad tym, co zamierzam powiedzieć, zanim powiem. Prawie nigdy nie wtrącam się do rozmów, nie oponuję nawet największym głupotom wygłaszanym w mojej przytomności. Im większe, tem mniejszy w opozycji sens, bo tem jaskrawsze oczywistości musiałbym przeciwko nim opowiadać. Zamykam usta, siedzę w kącie, milczę. Nie ma znaczenia, czy inni rozpoznaliby banalność mych słów - ja ją widzę aż nadto wyraźnie. I to, pojmujecie, to się z czasem obraca w rodzaj ogólnego zniechęcenia, lenistwa wobec ludzi. Ja powiem to, więc oni to, więc ja to, więc oni, więc ja, więc oni, i tak dalej, skolka ugodna - na co mi w ogóle rozpoczynać tę mękę? Siedzę w kącie, milczę.

- Właśnie usłyszeliśmy, jak pan milczy.

- Wiem, że inni tak nie postępują, to nie jest normalne. Nie recytuję więc tu żadnych, uff, banałów i oczywistości. Nie miałby pan szans samemu się domyślić.

- Ale tego wyjaśnienia - już tak, nieprawdaż?

Blutfeld zamknął usta, zmilczał.

Zmilczał - i wtedy usłyszało się te odgłosy z lasu po lewej, zza gęstwiny krzewów iglastych: warczenie i mlaśnięcia i szurnięcia szorstkie. Przystanęło się, uniosło się laskę, zagradzając drogę panu Blutfeldowi. Się rozejrzało się po puszczy. Parów, kotlinka, wyjście na równe - jak ktoś w ogóle wszedł w parów, to pewnie musiał tędy przechodzić - południe-północ - dokąd pobiegł odpędzony przez kapitana Nasboldta ryś? Podało się laskę Blutfeldowi, ujął ją w milczącym zdumieniu. Rozpiąwszy powoli kamizelkę, wyjęło się zza paska zawiniątko z Arcymistrzem. Odplątując szmaty i sprawdzając nabój w komorze, słuchało się powarkiwań ucztującego zwierzęcia.

*Herr* Blutfeld zobaczył broń i zbladł. Przyłożyło się do warg palec na sztywno zabandażowany. Poczem ująwszy Grossmajstera w obie dłonie, pokuśtykało się w krzaki.

Musiał usłyszeć hałas w zaroślach: raz warknął głośniejsze i ucichł. Wyszło się pod dwupienną limbę. Zwierzak odskoczył od ciała Ünala Fessara i odsłonił kły. Zwisły mu z nich czerwone wstążki mięsa, wgryzł się był głęboko w udo Turka. Uniosło się Arcymistrza. Za plecami trzasnęły gałęzie, trzasnął chyba sam pień miazdzonego drzewka - zza brzózek i limby wytoczył się wywijający lagą pan Blutfeld. Ryś syknął i czmychnął.

Blutfeld pochylił się nad Fessarem. Zajrzawszy mu w szkliste oczy, przeżegnał się

powoli.

Schowało się Arcymistrza.

- Panie doktorze! Doktorze Konieszyn! Tutaj!

Odebrawszy łaskę, przyklęło się przy trupie. Leżał na wznak, z obgryzioną nogą podwiniętą nienaturalnie i rękoma rozrzuconymi na boki, jakby w pośmiertnym spazmie próbował się wczepić paznokciami w ziemię. Oprócz rany wyjedzonej przez padlinożercę, rzucała się w oczy krew na łysej głowie: karminowa oblewa czaszki, spływająca gładkimi strugami lukru po skroniach i czole i na oczy otwarte. Serce mocniej zabiło, z przejęcia oblizano się wargi. Dotknęło się tej polewy opuszką palca - lepka, ciepła, wilgotna. Wytarło się palec w koszulę Fessara. Za głową Turka rósł łopianowaty chwast, zerwało się zeń największy liść. Trzepnąwszy nim dla rozprostowania o kolano, przyłożyło się liść do piersi zmarłego: pionowo, prostopadle do mostka, równoległe do promieni słonecznych, przedzierających się tu przez podwójną koronę limby. Poczem przymknęło się lewe oko. I teraz: jedna strona liścia, druga strona liścia, spojrzeć, porównać: światło, cień, światło - czy zgoda i harmonia po obu stronach przegrody? czy też chaotyczne tańce świeceniowe i ciągle wrzenie na granicy słońca i mroku jak w kotle piekielnym? Och, nie ma wątpliwości, Ūnal Tayyib Fessar wyćmieczył się w wagonie Tesli na amen, cud, że w ogóle na nogach się trzymał, że uszedł z arsenału Lata człowiekiem -

- A odejdz pan! Na moment samego zostawić... Co też was tak ciągnie do tej martwiny!

Zapierając się na lasce, wstało się i bez słowa odstało się od zwłok.

Konieszyn wyjął gwizdek kolejowy i posłał w tajgę serię przeraźliwych świstów, które spłoszyły ptaki z pobliskich drzew i zmusiły pana Blutfelda do zatkania uszu. Następnie doktor pochylił się nad nieszczęsnym Fessarem.

- Uch, nieładne, nieładne. Niech-no się przyjrzę... Tu nic. Na pewno nie noga go wykrwawiła. Mhmmm.

Obchodziło się wokoło miejsce spoczynku kupca, rozgarniając łaską leśne poszycie. Pan Blutfeld przysiadł sobie w rozwidleniu limby, otworzył chlebak, pałaszował, czego nie dojadł uprzednio. Doktor Konieszyn po raz drugi w ciągu dwóch dni macał czaszkę Ūnala Fessara, tym razem kręcąc głową z ponurą miną; ręce miał już całe we krwi upaprane. Brodziło się w paprociach i czeremchach. Pojawił się kapitan Dietmar Klausowicz Nasboldt, wraz z nim jakiś patykowaty młodzian z kupieжного, który zaraz pozieleniał i oparł się o pień, oddychając

panicznie. Wlzło się w błoto, but ugrzązł. Pojawił się Jules Verousse i myśliwiec ze szklanym okiem; szklanooki wyjął z kolejki swój gwizdek i dmuchnął przeciągle. Z dala odpowiedziała syrena „Czarnego Sobola”. Zaraz zbiegnie się tu pół Ekspresu. Ignorując łupanie spuchniętego kolana, weszło się głębiej w zarośla. Pan Blutfeld rozdawał resztkę prowiantu. Verousse i jeden z braci-utrącjuszki dyskutowali bełkotliwie przypadki śmiertelnego *delirium*, zagryzając wędzonką. Straciło się ich z oczu, idąc po spirali już poza pierwszym kręgiem drzew, odwracając laską każdy kamień i luzem leżący konar. Przelotnie pomyślało się o rysiu: jeśli opił się krwi tak silnie odmieczonej, nażarł odmieczonego mięsa - ale czy teslektryka, ujemna i dodatnia, czy nie rozprasza się w ziemi? - krąży tu teraz, padlinożerca, drapieznik, ale także coś pomiędzy drapieznikiem i niedrapieżnikiem, pomiędzy rysiem i nierysiem. Czy to się dziedziczy? Nie. Ale gdyby tak hodować zwierzęta, pilnując zawsze, by moment poczęcia następował w gorącym odmieczeniu samca i samicy, w pierwszym, w drugim i w trzecim pokoleniu, w dziesiątym i setnym - ewolucja niekonieczna - ewolucja Fauny Kłamstwa, Darwin oszukany przez Szatana - Królestwo Zwierząt Kotarbińskiego - Przyroda Być Może... Doktor Konieszyn wołał, żeby sporządzić z brzoźek nosze, niech ktoś pobiegnie po stewardów, niech sprowadzi naczelnika. Odwróciło się uwięziony między korzeniami grabu masywny otoczek, jeszcze kroplami wody lśniący. Na krawędzi kamienia pozostała długa plama krwi. Obszedłszy z daleka podwójną limbę i zgromadzone za nią głośne towarzystwo, pokuśtykało się z powrotem do pociągu.

## O Zimie

Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK. Mariińsk, Susłowo, Awiernonowka, Tiażyn, Tisjul, Syberja przemykała za oknem pędzącego Ekspresu. W porze zachodu Słońca po przeciwnej stronie widnokregu pojawiła się nad tajgą rysa ciepłoczerwonego blasku, jak zwierciadlane odbicie łuny wieczornej. Stało się w atdielienju i patrzyło się przez szybę, linja żaru rosła na horyzoncie przed lokomotywą, czasami na zakrętach pokazywała się na jej tle węglowa sylweta „Czarnego Sobola”, jego zimnawowe tęcze nabrały sepiowego oblasku, jakby opalone, okopcone na brzegach. Wyłonił się nisko na wschodzie Księżyc w trzeciej kwadrze: złota księżycówka podobna złotej pięciorublówce, tylko że miał brodaty profil Mikołaja II wyświecła się na niej ucięte w pół lico sienie upiorzycy - tu ślepie zapadłe, tu ucho krzywe, tu kieł, morza lunarne. Przypomnił się negatywowym karmograf doktora Tesli wypalony na



matowej tafli tungetytu. Mrok powoli opadał na Syberję i na oknie poczęły się rysować odbicia wnętrza przedziału, to niknące wobec osłonecznionych jeszcze obrazów lasu i stepu, to od nich wyraźniejsze, odbicia przedziału, postaci mężczyzny, twarzy bladej. Się zbliżyło się do szyby, zmrużyło się oczy. Pozostały sińce i pręgi czerwone, nie tylko warga opuchnięta, ale cały prawy policzek, od kamieni ostrych, a może od gałęzi - pokancerowany z regularnością przemyślanego wzoru, kreski pionowe i kreski poziome. Dotknęło się ostrożnie: gorące, nabrzmiące, boli w dotyku. Się obmyło się zimną wodą, spojrzano się w złotozłobne lustro nad umywalką. I jak tu się ogolić? Nie sposób. Tem bardziej będzie się wyglądać na charakter spod ciemnej gwiazdy, karykaturę urodzonej szuji. Nawlekło się z powrotem na zdrowy palec sygnet heliotropowy, z szafy wyjęło się laseczkę z delfinową rączką. Masywną, poręczną laszkę Fessara trzeba było oddać do depozytu naczelnika składu, opieczętowali ją w atdielienju Turka razem z resztą bagażu zmarłego. Już telegrafowano do Irkucka, coby się stawili tam na stacji przedstawiciele domu kupieckiego Ūnala Fessara. Obróciło się laskę w palcach - wypadła, palce z drewna, kilka nadal w opatrunku. Jak delfin pyskiem obrócony, taka wola, pomyślało się i dopiero spojrzano się pod nogi. Rączka skierowana była ku drzwiom. A może... Uciekło się wzrokiem od lustra. Oszustwo! Bo już myśl inna, już zakład nowy, co to jest - dotknęło się czoła - co za słabość, gorączka febryczna i wewnętrzne drżenie, roztrzepotanie ducha, które szybko objawia się także na zewnątrz: usiąść, nie usiąść, wyrzecz przez okno, nie, położyć się, nie, zabrać się za pracę Tajtelbaumową, nie zabierać, zasnąć, nie zaśnie się, więc wyjść, nie wyjść, wyjść, nie wyjść, wyjść - stoi się przy drzwiach, nasłuchując. Łup, łup, serce, tępy ból głowy, puls czarny pod czaszką, jego krok, tak nadchodzi, nadszedł - Wstyd. A już się zapomniało! Już się wkleiło się między ludzi, się dało się porwać słowom i gestom i czynom gładko odegranem, z rozpędu, z głupoty. Lecz wystarczy raz ten rozpęd utracić, wystarczy parę godzin w samotności zamkniętego atdielienja, wybicie z rytmu, czas pusty dla wyobraźni. I wrócił - wstyd nie wstyd, innego imienia nie ma, a jak lepiej nazwać objawy widoczne w świecie materji? Podniosło się laskę. Teraz każdy ruch to nowa decyzja, nowa walka. Wkłada się trykotówkę Jagera, białą koszulę z fryzowanym w rurki gorse, czarne spodnie z angielskiego sukna, czarne lakierki. Palce się trzęsą przy wiązaniu sznurowadeł, wszystkie oprócz zabandażowanych, i przy wiązaniu szerokiego, miękkiego krawata w srebrne gwiazdy. Zaczesa się włosy, z wodą i pomadą, od czoła i gładko w tył. Wdziewa się kamizelkę i surdut. Zapina się twarde kołnierzyk, wysoki na dobre dwa werszki; kołnierzyk wpija się w osiniaczoną skórę. Jeszcze poprawić spinki mankietów. Chustki. Papierosy. Zapalki. Wróc: rozpiąć kamizelkę, wsunąć za pasek Arcymistrza. Szczotka, sopluczka, *eau de Cologne*, co by tu więcej, nic, trzeba już wyjść -

stoi się w bezruchu. Stoi się, obracając w palcach laseczkę, delfin nie upada, będzie się tak stało do końca świata. Na wschodnim horyzoncie, już ciemnym, rośnie żółta linja, jak zarys bursztynowego muru wyłaniającego się powoli z ostępów tajgi. Wyjść, nie wyjść, wyjść, nie. Ręka sięgnęła klamki, nacisnęła, się obróciło się na pięcie i wykulało się na korytarz. Zamykając przedział, pochwyciło się echo muzyki, niosła się z wagonu wieczornego aż tutaj, mimo hałasu pędzącego z pełną szybkością pociągu, zatem tańce się już zaczęły, dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK.

Gaspadin Czuszyn stał w krótkim korytarzu przed przejściem do wieczornego, przy otwartym oknie ćmiąc cygaro, spocony na twarzy, z rozpiętym kołnierzykiem. Spojrzał - znowu zapłonie na sam widok? znowu opluje wstydem? - spojrzął i rozdziawił gębę, wargi rozmaściły mu się przymilnie.

- Wieniedikt Filipowicz, to wy, no jak żywy! A co za nieszczęście z panem Fessarem, wiecie, co powiadają?

- Co?

- Że ten nasz pociąg - jak statek na morzu, pojmujecie, wy uratowani z brzucha wieloryba.

- Co?

- Jonasz, zobaczcie sami - śmiał się Czuszyn - Jonasz, Jonasz! - I dopiero po długiej chwili, gdy się na jego śmiech nie odpowiedziało ni słowem, ni miną, zreflektował się i zamilkł.

Lepiej by było, gdyby mówił. Cobądź, byle nadal płynął w tym swoim słowotoku, zagadany, niemyślący - ale że zamilkł, zaraz na pewno zaczęły mu się w głowie obracać myśli takie i owakie, gdy próbował na gwałt się sobie opisać w języku drugiego rodzaju - czy nie błazen? czy nie durak balszój? nie małpa towarzyska? - no i spieszył się, szcerwieniał jeszcze mocniej na mordzie; stał teraz i mrugał, a cug zimny mierzwił mu fryzurę; biedny Czuszyn nie potrafił odwrócić wzroku. Gdyby się zaśmiało się, dałoby mu to okazję do powtórnej ucieczki w rehot rubaszny i gruby bełkot - tak by się wydostał z tej pułapki, mógłby coś zrobić, zmienić temat. Ale nie - też tylko stało się i się patrzyło. Jonasz! Czuszyn począł się macać drżącą ręką pod surdudem - czego tam szukał, chustki, pugilaresu, zegarka? Był już lekko pod gazem, lecz to nijak go nie tłómaczyło. No przecież się nie odwróci się teraz na pięcie i nie ucieknie się nazad do atdielienja! Skoro już się wyszło! Niczego lepszego nie można się spodziewać po innych pasażerach, a prędzej czego gorszego, Aleksiej Czuszyn to

nieszkodliwy kretyn, plecie, co mu wódka na język wypłucze. Jonasz! Zagryzłszy wargi, postąpiło się naprzód, bijąc laską o kolana Czuszyzna. Rosjanin podskoczył jak oparzony i -

Otworzyły się drzwi do wagonu wieczornego, do sali kominkowej, wypuszczając na zewnątrz głośną muzykę i głosy wesołe. Pojawił się Ziejcow w towarzystwie kapitana Priwieżeńskiego. Filimon Romanowicz postępował energicznie z przodu, przepychając się przed wojskowym w galowym mundurze; ale jeszcze krok i pokazał się obraz odwrotny: to kapitan, jedną ręką za łokieć, drugą za kołnierz eks-katorznika trzymający, pcha i ciągnie i szarpie Ziejcowa przez drzwi i przejście międzywagonowe, na korytarz i do salonki, z krokiem ostatnim obdarzywszy Filimona Romanowicza ciężkim klepieniem w krzyż, po którym Ziejcow wparł się w boazerję jak półścięty, jak pień prosty na bok obalony. Padł tak na ścianę, głowę pod ramieniem skrywszy, i tylko lament żałosny, modlitewny spod tego ramienia słyhać było.

Kapitan Priwieżeński odwrócił się od niego z pogardą.

- I wy także! - rzekł głośno, wznosząc dłoń w białej rękawiczce z palcem jak lufą Naganta nacelowanym. - Żebym też was tam nie widział, grafie Lodowy, tfu, kulaj mi stąd precz!

Wszystko poszłoby inaczej, odwróciłyby się losy i życia - żeby nie Aleksiej Czuszyn. Który stał, patrzył, gęba rumiana, ślepią wytrzeszczone, cygaro w łapie drżącej.

Się uśmiechnęło się - i już nawet bez lustra wiedziało się, w jaki grymas aroganckiego szyderstwa i złej kpiny wykrzywiła się flzjognomja obita a wypuchnięta, pokancerowana.

Kapitan Priwieżeński zacisnął biały kułak.

- O, to taki pies wściekły, zęby teraz pokazuje, o!

- Won.

- Że kaleki nie tknę? Wierzcie mi, jeszczeście okaz zdrowia!

Akurat w intencje i pięści pana kapitana się nie wąpiło: jak się ten byczek na człowieka rzuci, to ani się zdąży Grossmajstera sięgnąć, odplątać, wymierzyć.

- Nigdy się niczego lepszego po ruskich oficerach nie spodziewał - rzekło się chrapliwie z krtani suchej. - No, dalej, pokażcie, czego was wyuczyli w cesarskich akademjach!

Priwieżeński uniósł pięść, ale z miejsca się nie ruszył. Pot mu na czoło wystąpił, krople

grube, lśniące od zapalonych kinkietów i złotych wyzdobników Luksu.

- Krysa twaja mat'!

- Nu, dawaj!

- Wy! - Sapnął, złapał długi oddech. - Polaki! Stanie i jęczy, że pobity, i taka jego wyższość nad silniejszym, taki honor szcurzy! A pogrzebali was z honorem i bez!

Wyprostował się, zsalutował szyderczo i odmaszerował do sali balowej, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Pokuśtykało się za nim. Ziejcow złapał i zawisł na ramieniu.

- Czego? - warknęło się. Zakaszlawszy, przełknęło się ślinę. Pić, trzeba się napić, splukać to z gardła.

- Ja was, Wieniedikt Filipowicz, ja wam - szeptał katorżnik - podziękować, tak, podziękowanie, Bóg wam błogosławi, a ja dziękuję. - I samemu nie odstąpiwszy (że aż się musiało się cofnąć pod wielki radjoaparat), zgiął się w nagłym pokłonie, bijąc głową do podłogi, raz, drugi, coś mu wypadło z kieszeni, nie podniósł, tylko od nowa przypadł, za łokieć ujął, w ucho szeptać począł, rozgorączkowany: - Ja myślał: on zrobi, jak mówił, on płochy młodzian, tak go obróca, i na drugą stronę, i na trzecią, nie doktor i gaspadin Pocięgło, to insze szakale Historji, przekupią, przekabacą, tak ili inacze, przeciw Bogu, przeciw prawdziwej Historji, bom dopiero pojał, jak doktor jasno rzecz straszną nazwał, gdy was ku niej tam namawiał: mimo zamiarów najlepszych, Bogu miłych - nie jest ludzką rzeczą Historję robić! nie ludzką rzeczą! Ale teraz widzę: czy taki przedajdusza i chłystek chciwy stanąłby bronić biednego Ziejcowa, ba, własnego krzywdziciela od kary słusznej czy by osłaniał? No przecie nie! I znowu się pokazuje, że nie mógł być Bóg lepiej tego ułożyć! Wszystko się -

- A może ja po prostu nie chcę, żeby się rozeszło, dlaczego żeście mnie wyrzucili, a?

Ani się stropił. Kiwał kudłatą łepetyną, radosny, promienny.

- Tak, tak, ja to znam: przebaczyć, ale w oczy nie spojrzeć. Prawdziwie cięży jałmużna nie obdarowanemu, lecz obdarowującemu. Czyż wam nie mówiłem? Ćwiczyć, ćwiczyć się w tym trzeba! Rzuć ćwiartaka żebrakowi i nie uciekaj, ale ustój, wytrzymaj, wysłuchaj jego podziękowań! Oto jest męstwo!

- Precz!

Weszło się do sali kominkowej, w muzykę i światło jasne, oślepiające, w hałas rozmów,

wprost naprzeciw par tańczących. Wbrew pierwszemu wrażeniu i wyobrażeniom uprzednim, bynajmniej nie było ich wiele: po prostu pośród pasażerów pierwszej klasy Transsibu tak znaczną większość stanowili mężczyźni, ludzie interesu i ludzie rozmaitych profesyj syberyjskich, że zdatnych do porwania w tan niewiast znalazło się tu niewiele nad pół tuzina. Się rozejrzało się szybko: nie ma panny Jeleny, nie ma też jej ciotki silnorękiej. Czyż nie słyszało się, jak wychodziły ze swego przedziału? Się oparło się na lasce i odrzwiach, gdy mocniej chybnęło wagonem. Oprócz wszystkich lamp naściennych płonął zimnemi ogniami kryształu i srebra także rozłożysty żyrandol, on najmocniej - żyrandol podwieszony specjalnie na tę okazję pod wypukłym dachem wagonu wieczornego. Kołysał się do rytmu jazdy, zdawało się, że do rytmu muzyki. Grał *monsieur* Jules Verousse, pilnowany przez usadowioną obok Gertrudę Blutfeld, która karmiła go łakociami z położonego na pianinie klosza; na skrzypkach akompanjował jeden z prawadników Luksu. Patykowaty Flamandczyk, z ustami pełnemi słodkości, zerkał co chwila przez ramię na piękną wdowę, którą obracali na parkiecie coraz to inni partnerzy; on jeden, pianista, z nią tu nie zatańczy. Po drugiej stronie, między skrzypkiem a kominkiem, siedzieli księstwo Błucy, księżę podrzemujący, księżna skulona, skurczona na fotelu, drobna kobieta zapiekła w nim jak mięso w formie - poruszy ręką, głową i pięknie skóra, kości przebija spaleniznę. Więc się nie porusza, siedzi nieruchomo, jakby też spała; ale nie śpi: migotliwe światło żyrandola odbija się w szeroko otwartych, wilgotnych ślepiach staruchy. Widzi wszystko. Się skłoniło się jej zaraz za progiem. Nie dała znaku rozpoznania. Tylko stojący za fotelem księcia radca Dusin położył dłoń na jej ramieniu; to był znak.

Szerokość wagonu nie pozwalała oczywiście na urządzenie tu czegokolwiek choćby przypominającego wieczór taneczny z prawdziwego zdarzenia, nie mówiąc o balu. Pary sunęły, trącając się co i raz, w dwóch nieregularnych szeregach, od wejścia do kominka; dalej, i w galerji, stali ci, co nie tańczyli, co odpoczywali lub tylko przypatrywali się tańczącym. Kilku mężczyzn było we frakach; rzucał się w oczy Dietmar Klausowicz w efektownym stroju oficera imperjalnej marynarki wojennej, z bródką siwiejącą w ostry klin przystrzyżoną i blizną szlachetną nad nosem. Kobiety natomiast naturalnie potraktowały tańce transsyberyjskie jako okazję do zaprezentowania, co najlepszego mają w kufrach i skarbczykach podróżnych; od samych brylantów błyskających odbitym blaskiem żyrandola mieniło się w oczach. Wyróżniała się tańcząca z mężem Francuzka: w sukni od oplotkowanego przez księżną Poireta, wąskiej, lejącej, powłóczystej, z jedwabnej satyny lub lamy, bez gorsetu, otworzonej na plecach w długi dekolt, z rozcięciem także na nodze, o talji

dziwnie opuszczonej; taka suknia wydawała się tu nieprzyzwoicie... niekonkretną. I jeszcze ta ekstrawagancka fryzura Antoine'a, którą od początku *Frau* Blutfeld obmawiała... Widać rzeczywiście jechali z dziećmi prosto z Paryża.

Tańczono właśnie wolną polkę, bodaj *Schottische*. Nie czekając przerwy, zdołało się przekuśtykać pod ścianą między parami. Kapitan Priwieżeński stał w kącie przy otwartych drzwiach do galerji, rozmawiając z jednym z braci utracjuszy, kapitanem Nasboldtem i wysokim prokuratorem. Się zatrzymało się po przeciwnej stronie od niego i od pianina, od kominka i usadzonej przy kominku księżnej. Pojawił się steward z napojami. Szampanskoje! Z kieliszkiem przy wargach wyjrzało się przez okno. Na ciemnym horyzoncie przed Ekspresem rosła długa smuga żółto-czerwonego żaru, jaśniejsza od zimnego półksiężyca. Pociąg pędził prosto w ten mur. Łyknęło się szampańskie, załaskotało w nosie, kichnęło się. Za plecami oklaski, gwizdy i śmiech, Verousse skończył grać, namawiają go teraz na coś zwanego Cake Walk.

- Uff, muszę odsapnąć. Więc jednak trzyma się pan na nogach, miałem wyrzuty sumienia.  
- Porfiry Pocięgło capnął z tacy dwa kieliszki, wychylił oba, chuchnął w złożone dłonie. - Że tak pana zostawiliśmy, bo przecież nie będzie mi pan mydlił oczu, nie wypadł pan sam z siebie, w takie cuda to ja nie wierzę. Musi mi pan opowiedzieć, co to za afera. Uff. Strzelanina w Jekaterynburgu, a teraz się okazuje, że ktoś grzebał w moich rzeczach! Dlaczego? Bo z panem rozmawiałem!

- I znowu pan rozmawia.

Roześmiał się.

- To prawda, sam się proszę o nieszczęście.

- Jonasz, co?

- A-a, słyszałem, słyszałem. Pan zna się z tym Amerykaninem, prawda? Z doktorem Tesla. Książę oddał mu swoich ludzi do ochrony wagonu z maszynami.

- Chce pan skończyć jak Fessar?

- Co?

- Zadawał -

- Te same pytania, no tak.

- Nawet nie ma pan pojęcia, jak trudno kryć tajemnicę, która nie istnieje.

- Och, wierzę panu na słowo, nie zna pan żadnej sekretnej technologii zimnaza.

Verousse podjął skoczną melodię, pasażerowie zaczęli klaskać do taktu.

Pociągło zbliżył się i podniósł głos.

- Ale swojemu ojcu pan nie zaprzeczy! Tu już nie ma co kryć.

- Księżnej mówił pan, że nic o nim nie słyszał.

- Noo, nie pisze się o Filipie Gierosławskim w „Sibirskim Wiestniku” i „Irkutskich Nowostiach”. Też nie od razu skojarzyłem; i przecież skłamię, jeśli powiem, że pamiętam nazwisko. Natomiast legendy marcynowe... Widzi pan, wszyscy oni dziecy zimownicy to wielce podejrzana kamradja. - Wyjął z wizytownika bilecik i obracał go teraz w zamyśleniu między palcami, oparty barkiem o rzeźbioną framugę okna; widziało się jego odbicie w szybie, płynne, przeźroczyste, czarno-białe, pan Porfiry cały wyglądał na nim jak odmalowany węglem i wapnem, ćmiatłem i świecieniem. - Prawda, trudno przejść w Zimnym Nikołajewsku przez chodnik i nie wpaść na zimownika, mój szwagier, żeby daleko nie szukać, gania się goły z psami po śniegu na śmietanowym mrozie. Ale *le Père du Gel*... To już cuchnie Marcynem pod niebiosą.

Się zachnęło się.

Pan Pociągło skrzywił się kwaśno.

- Najmujemy ich przecież do pracy w choładnicach, przy obróbce chłódów zimnaza. Ci zimownicy najtwardsi to albo od początku są marcynowcy, albo prędzej czy później się Marcynem zarażają. Pan ma o tym błędne wyobrażenie. W Europie, nawet w europejskiej Zimie, to wszystko jest - zamachał niezbornie - słowa, słowa, słowa. Salonowa mistyka i towarzystwa teozoficzne księżnej pani. Ale w Kraju Lutych - w Kraju Lutych chłopci zabierają swoje żony, dzieci, psy, całą żywinę i, nałykawszy się lodu z samogonem, rozebrawszy się do naga, jeno z ikoną świętą na piersi, włożą tak w soplicową, w gardziel mroźników. To przychodzi falami, niby spokój, a naraz słyszysz: ćwierć przysioła poszło na samozmrożenie. Co się stało? - Wzruszył ramionami. - To nie szaleństwo. Jest w tym spokój i ta cicha, tępa stanowczość chłopska; prędzej religja właśnie.

- Jak za Raskołu.

- Ano. Rosjanie mają to chyba we krwi. A władza, myśli pan, co władza na to? Nie inaczej niż wtedy. Gubernator Szulc wydał prawa przeciwko wszelkim praktykom marcynowym. Kto na nich zostanie złapany w granicach gienerał-gubernatorstwa irkuckiego,

dostaje pięć lat twierdzy, i to nie tu, ale w Orenburgu albo na południowym Kaukazie.

...Więc dopiero potem, w nocy, jak oni poszli pana szukać, dodałem dwa do dwóch. I, mhmm, jak by to panu powiedzieć...

- Mają go za marcynowca, to jasne.

- Panie Benedykcie - rzekł miękko, delikatnie - jest za nim list gończy. Ponoć pociągnął za sobą w Lód całe wioski. Szulc musiał dać cenę za jego głowę.

- Ile?

Pan Porfiry spojrział dziwnie.

- Nie wiem.

- Co to jest? - Przytknęło się palec do szyby. - Widzi pan? Tam, pod horyzontem.

- A, to. Pożar tajgi.

Już nie linja, już nie mur, ale pas ziemi, okrążająca Kolej Transsyberyjską droga ognia - złota półobwódka oddzielona od gwiazdoskłonu obręczą czarną: to dymy z pożaru przesłaniające nocne niebo. Musiał się on ciągnąć dobre kilkadziesiąt wiorst, żeby tu ogarnąć całą przestrzeń pod widnokregiem. Czytało się, iż bywają pożary tajgi tak żarłoczne, na takich dystansach rozciągnięte, że można je palcem rysować na powierzchni globusa. Teraz jeszcze niewiele widać poza urokliwą grą kolorów w ciemności, ale jeśli Transsib rzeczywiście przecina te pola płomieni...

- Mam nadzieję, że zobaczymy się w Irkucku. Może wtedy będzie mi pan mógł opowiedzieć całą historję. - Pan Pociągło podał wreszcie swoją kartę wizytową. - A gdyby los nie sprzyjał... Staramy się opiekować nowoprzybyłymi rodakami.

- Dziękuję.

Oddalił się ku galerji. Się odwróciło się od okna. Steward podsunął usłużnie tacę, złapało się drugie szampańskie. List gończy - całe wioski w Lód - Ojciec Mróz. Nie dziwota, że rozmaite Pielki nawiedzone gotowe są oddać życie w obronie jego syna. Wiara ta sama, ale z tej wiary jedni marcynowcy wywodzą groźbę wielką dla Rosji i zgoła dla świata, a drudzy - obowiązek czci. Zbierz dwóch Polaków, usłyszysz trzy polityki; ale zbierz dwóch Rosjan - trzy drogi do Boga zobaczysz.

Roześmiane pary przemykały na wyciągnięcie ręki, wagon kołysał się pod nogami. W takim tempie do północy się upije się nawet szampańskim. Się rozglądało się po sali ze



szczypiącym język napojem w ustach. Nie ma jej. Może w ogóle nie przyjdzie, zmieniła zdanie. Wrócić, zapukać do jej drzwi? Wystrojona w różową sukieneczkę kilkuletnia dziewczynka przebiegła pod ścianą, piszcząc głośno. Wytrąciła laskę delfinią, laska potoczyła się ku galerji.

Szybsza była ręka cudza.

- *Merci, merci beaucoup.*

- *De rien. Comment vous portez-vous?*

- *Ab, mon jambe? Cela ne vaut pas la peine d'en parler.*

- Nie miałem jeszcze przyjemności -

- *Madame Blutfeld* chyba już nas sobie na swój sposób przedstawiła - się uśmiechnęło się. - Pan prokurator...

- Razbieszow Piotr Leontinowicz.

Skinał przytem sztywno głową, a że uścisk dłoni również miał krótki, zdecydowany, od razu się pomyślało, że to kolejny wojskowy pośród pasażerów Luksu, nic dziwnego, że ciągnęło go do Priwieżeńskiego i Nasboldta. I rzeczywiście, kilka minut towarzyskiej pogawędki i dwa kieliszki później sam potwierdził: dymisjonowany podpułkownik artylerji, obecnie w służbie cywilnej w randze radcy dworu, prokurator w obwodzie kamczackim. Udaje się właśnie przez Władywostok do Pietropawłowska Kamczackiego, dokąd został przeniesiony z urzędu w Błagowieszczeńsku.

- Kamczatka i Półwysep Czukocki, drogi panie, staną się teraz, gdy, daj Boże, podpiszemy pokój z Japończykami, kluczem do pokoju w polityce wewnętrznej, ba, kluczem do całej Syberji.

- Doprawdy? - mruknęło się, bez powodzenia usiłując zajrzeć ponad ramieniem prokuratora do wnętrza galerji. Zamiar był o tyle trudnym do przeprowadzenia, że Piotr Leontinowicz stał tu o dobre pięć werszków wyższy. A mimo swego wzrostu nie miał zwyczaju pochylać się nad niższym rozmówcą; kręgosłup jego nie zginał się w ogóle, pozwalając jedynie na ruchy głową, ale ją też trzymał prokurator prosto. Spoglądał więc spod półprzymrużonych powiek, w dół, ponad wąsem czarnym i podbródkiem ze szramą brzydką - było w tym coś drapieżnego i coś ptasiego. Sęp? Orzeł? Indor? Mnisia łysina połączyła mu się z wysokiem czołem, świecił sponad krzaczastych brwi odbitem światłem żyrandola i lamp. Sęp.

- Nie mieliście może styczności z ablastnikami, Wieniedikt Filipowicz?

- Z kim? Nie sędzę.

- Musicie zdać sobie z tego prędko sprawę, że każda pomoc w ich zamysłach potraktowana zostanie, no niestety, powinienem to wam jasno rzec, jako zbrodnia zdrady stanu.

- Ale o czym pan w ogóle mówi! Nie znam żadnych ablastników!

Prokurator obejrzał się na pana Pocięglę tańczącego z piękną wdówką.

- Kiedy Harriman zbuduje swoją Kolej Dookołaświatową, Wschodnia Syberja stanie się wtem bardzo bliskim sąsiadem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Teraz, gdy wojna z Cesarstwem Japonji nie stoi już na przeszkodzie, co takiego może jeszcze zatrzymać budowę? Przecież mnie rozumiecie. Lód nie posuwa się we wszystkie strony świata z tą samą chyżością. Gdyby można było nakłonić lute, ażeby zwróciły się bardziej na wschód... przez Cieśninę Beringa... do Alaski, do Kanady, do Indjan i kowbojów... skuć Zimą złote prerje...

Westchnęło się głośno.

- A miałem nadzieję, że nazbyt się już zbliżyliśmy do Kraju Lutych! Ile jeszcze podobnych bzdur się nasłucham! Na kamieniu się rodzą, byle słowo, byle słowa przemilczenie - kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Razbieszow uśmiechnął się dobrodusznie. Ojcowskim gestem położył rękę na ramieniu; nie strąciło się jej. Miał dobrze ponad pięćdziesiąt lat, zapewne był ojcem, nie wyczuwało się żadnego fałszu w tych jego odruchach.

- Proszę mi wybaczyć. Prokuratorowska dusza. - Teraz się nachylił, żeby być słyszany przez muzykę, przez hałas pociągu i tańców; ale zgiął się też sztywno, nienaturalnie, musiał odstawić kieliszek i drugą ręką oprzeć się o okno. - Nie żywicie urazy, prawda? Tak samo nie może pan winić *monsieur* Verousse'a, że chce pisać o panu artykuł. Najpierw Jego Książęca Wysokość przepędza pana od stołu, zakładam, że zwykle nieporozumienie towarzyskie, ale potem pan rujnuje seans spirytystyczny Jej Wysokości, potem głośna burda uliczna w Jekaterynburgu, były przecież trupy, potem słyszymy o Ojcu Mrozie, potem *monsieur* Fessar rzuca się na pana w zemście za jakieś krzywizny w interesach, potem wypada pan z pociągu, ale ten sam książę dla pana pociąg zatrzymuje, a potem znajdujemy *monsieur* Fessara martwym. Po prawdzie ta potańcówka - to coś jakby stypa po nim, coś do wypełnienia czasu zamiast stypy, nie sędzi pan?

- No dobrze, słucham, jestem agentem kajzera czy mesmerystą na usługach Rasputina?

Prokurator zaśmiał się ponownie, ścisnął za ramię.

- Jest pan zagubionym młodzieńcem, który dostał się między ludzi władzy i pieniądza, przywykłych radzić sobie z innymi ludźmi władzy i pieniądza, młodzieńcem na tyle inteligentnym, że umie wykorzystać ich nawyki, co nie znaczy, że pan chce je do czegokolwiek wykorzystywać, pan nawet nie ma pojęcia, do czego - jak mówię, jest pan zagubiony - lecz nie potrafi się pan powstrzymać. To rodzaj nałogu.

...Czy zajechaliśmy wystarczająco blisko Kraju Lutych, Wieniedikt Filipowicz?

- *Excusez-moi*, muszę zamienić słowo z doktorem Teslą.

Dojrzało się twarz Serba pod ramieniem Razbieszowa, przesunęła się w głębi galerji, ponad twarzami pasażerów stojących w drzwiach do sali kominkowej, przypatrujących się tańcom i klaszczących do rytmu; wynalazca był wyższy od nich wszystkich. Postawiwszy pusty kieliszek na rzeźbie framugi, podreptało się żwawo ku galerji, przepychając się za pomocą laski. Kapitan Priwieżeński na szczęście był akurat odwrócony.

Zastało się doktora Tesłę przy środkowym z wielkich okien galerji, po lewej; stał i zjadał jabłko, sok ściekał mu po kościstej brodzie na biały fular zawinięty wysoko wokół szyji nad muszką jeszcze bielszą. W kącie galerji stewardzi zawiesili na kolorowych wstążkach kosze z wiktuałami, tu naturalnie zbiegły się nasampierw wszystkie dzieci pasażerów Luksu, wybierając z gniazd wiklinowych kandyzowane owoce i ciastka, migdały w cukrze i czekoladowe łakocie. Dziewczynka i trzech chłopców dokazywali teraz za plecami mężczyzn stojących w progu, nieporadnie naśladowując podpatrywane kroki taneczne. Verousse i prowadnik grali tango. Się zatrzymało się obok Tesli.

- Azja się pali - rzekł, wskazując jabłkiem za okno.

- Gorąco tu.

- Tańczył pan?

- Nie.

- Bardzo pan zarumieniony.

- I duszno.

- Christine ma uciechę.

- Tak, widziałem.

- Ten Flamandczyk nieźle gra. Kiedyś Paderewski próbował mnie uczyć, a, pana rodak zresztą, lwia grzywa, pamiętam te koncerty, damy mdlały.

- Ma pan tu na gorsie -

- O, dziękuję.

Między ludźmi, którzy wzajem sobie zawdzięczają życie - dłużnik i dłużnik, zbawiciel i zbawiciel - jaka tu jeszcze rozmowa? co więcej można wypowiedzieć w języku drugiego rodzaju? Nic.

Patrzyło się na pożar tajgi, piękne widowisko odległej zagłady.

Światła i cienie falowały na skórze i fraku Tesli w nieregularnych odpływach i przyptywach, jakby na niego jednego padał blask z dodatkowego źródła, okrążającego go po pijanej elipsie.

- Kolor pana oczu -

- Mhm?

- Zdawało mi się.

- Miałem ciemniejsze, ale przez lata pojaśniały mi od intensywnej pracy mózgowej.

Nadal przepuszcza przez siebie teslektrykę, się mogło się tego spodziewać, nie powstrzyma go nawet bliskie spotkanie ze śmiercią. Czy panna Filipov wie o tym? Nie tańczyłaby tam, rozradowana, gdyby wiedziała. Nikola nie robi już tego w przedziale, pewnie nawet naćmieczyć się po obiedzie chodzi do wagonu towarowego. Zresztą siedział tam przecież pół dnia po Fessarowem włamaniu.

- Jutro po śniadaniu, dobrze?

- Słucham?

- Zajdzie pan upuścić sobie trochę ćmieczy. - Doktor Tesla odrzucił ogryzek, wytarł białe rękawiczki. - Odrobina... - zakręcił długim palcem przy skroni - *what's the word*, inspiracji? weny? szaleństwa? beztroski? Bo urodzić myśl naprawdę nową, *mon ami*, oto jedyne zadanie godne człowieka i cel życia ludzkiego.

Przycisnęło się czoło do zimnej szyby.

- Zastanawiałem się nad tym. Upuścić... Trochę tak, a trochę nie - widzi pan, doktorze, to nie jest jak w tej pańskiej zabawce optycznej, w interferogra-; fie: albo sznur koralu, i wtedy

Lato, albo dwa punkty, i wtedy Zima. Może na samo światło tak to działa. Może zmienia się ono nagle od pewnego granicznego stężenia, ciśnienia ćmieczy. Ale tu... są stopnie. Mniej Lata, więcej Zimy, Wpompujesz odrobinę ćmieczy, i jeszcze odrobinę - będziemy jak ci zimownicy z miast lutech - i jeszcze odrobinę - jak lutowczycy z Syberji - i jeszcze - jak marcynowcy-samozmrożeńcy - i jeszcze, jeszcze, jeszcze, czarny kryształ za kryształem - ile trzeba, żeby widzieć świat, jak widzą go lute?

- Jak widzi go pana ojciec.

Patrzyło się na dalekie ognie, nie patrzyło się na doktora. Dwa odbicia w szybie ciemnej; pociągnąć linje ich spojrzeń - gdzie się przetną: na szkle, czy tam, nad Azją? Stereometria, nauka o duszy.

- Zamrożony.

- Tak pan mówił.

- Tak mi mówią.

- I jedzie pan do niego...

- Po co? - Się zaśmiało się. - Zagubiony młodzieniec. Ale to prawda, to prawda, jesteśmy już tak blisko Kraju Lutech... Po co do niego jadę? Panie doktorze...

- Tak?

- Pana maszyny... Ta pompa ćmieczy, broń na lute... Będzie pan przecież wpierw musiał w Irkucku przeprowadzić eksperymentu - eksperymentu na ludziach...

- Pan chyba nie myśli się samemu -

- Nie! Jego. Odćmieczyć go, wyciągnąć zeń Lód. - Zamknęło się oczy, przyciskając policzek do szyby. - Wypompować z niego to wszystko, całą jedynoprawdę, całą Zimę. Czy w ogóle da się jeszcze go uratować? Nie pozwolą mi, ludzie Imperatora chcą go wykorzystać, a pan też przecież pracuje dla Mikołaja i nie mogę od pana żądać -

- Oczywiście, że ci pomogę, przyjacielu.

Podał jabłko. Jadło się w milczeniu, sok spływał na podbródek. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, i walczyk szybki. Księżyc wznosił się nad ogniami, Księżyc prześwietlał dwa odbicia na szerokim oknie, złoty imperjał nad siwym lokiem na skroni Nikoli Tesli.

Przybiegła zdyszana Christine, złapała Nikolę za ręce, zakręciła nim wte, wewte, i dalejże ciągnąć starego na parkiet.

Się odwróciwszy się, się przyglądało się temu nie bez sympatji.

- A pan! - zawołała. - Pan co tu tak stoi! Czeka przecież na pana! Ach, nóżka, no tak, nóżka fatalna, niedobra, popsuta nóżka, a to nieszczęście, kto panu kazał rzucać się z pociągu? - Wybuchnęła śmiechem i zatoczyła się w objęcia kapitana Nasboldta. Dietmar Klausowicz wymienił spojrzenia z dobrodusznie zatroskanym Teslą. *Mademoiselle* Filipov, wydawszy wargi, zaczęła się bawić błyszczącymi odznaczeniami i guzikami na piersi wilka morskiego.

Wyszło się do sali kominkowej. Była przerwa w tańcach. Panna Muklanowiczówna stała za pianinem. Obrócona półprofilem, rozmawiała z *Frau* Blutfeld ponad głową delektującego się winem *monsieur* Verousse'a. Się przepychało się między pasażerami, postukując laską. Panna Jelena wybrała tym razem suknię zupełnie inną: jasnobłękitną, marocainową, od gorsetu w dół suto marszczoną, z granatowymi aplikacjami, gors zaś był wysoki, podnoszący biust w odważnym *decolletage*, nad którym już tylko czarna aksamitka na białej szyji, bo i ramiona całe pozostały odkryte, jeśli nie liczyć lekkiego jak woalka *cache-nez*. Po raz pierwszy też panna rozpuściła włosy, spadały czarną falą na szal i na ramiona. Tylko malunek oczu i ust był ten sam: cygański węgiel i jarzębinowy karmin.

Czy to choroba nadawała jej skórze alabastrową barwę? Czy też wszystko - i włosy, i *maquillage*, i suknia, i jej uśmiech tajemniczy - wszystko to pochodziło wprost z gorącej wyobraźni córki garbarza z Powiśla...?

Te plecy proste, ze ściągniętymi łopatkami, i sam sposób trzymania ramion pod kątem do tułowia - one odznaczają pannę od dziecka w gorsecie formowaną. Lecz oczywiście i to można kłamać przez czas jakiś, świadomym wysiłkiem woli pozę bolesną sobie narzucając. Panna prawdziwa, panna fałszywa - nie poznasz.

- *Mademoiselle, puis-je vous inviter?*

Sto lat przypatrywałbyś się tej chwili, nie dojrzysz na obliczu panny Muklanowiczówny najmniejszej oznaki zmieszania.

- Pan Benedykt umie tańczyć.

- Nie bardzo.

Uniosła brew.

Się zaśmiało się.

- Czyż nie wspaniale się składa? Moja noga. - Klepnęło się w udo. - Zatańczmy - raz w życiu mogę się nie przejmować: nikt nie pozna, że tańczyć nie umiem.

- Z wyjątkiem nieszczęsnej pana partnerki.

- Się panna nie boi, będę deptał po własnych stopach.

- Och, w takim razie - cała przyjemność po mojej stronie.

Podąła dłoń w rękawiczce koronkowej.

- *Monsieur Verousse!*

Żurnalista odstawił kieliszek, westchnął teatralnie.

- *Souvent femme varie, bien fol qui s'y fie.*

Uderzył pierwsze akordy, prowadnik pociągnął smyczkiem.

Odrzuciwszy laskę za pianino, spojrzęło się pytająco na pannę Jelenę.

- Karoboczka? Prowadź, sokolniczko.

Rosyjska melodia spotkała się z aplauzem pasażerów. Zaraz pary utworzyły podwójny szereg, kroki wte, kroki wewte, trudno się pomylić w tak zorganizowanym tańcu, panna Jelena obróciła się wraz z pozostałymi niewiastami, trzy stąpięcia do tyłu, klaśnięcie, z powrotem, wziąć się za ręce, teraz na chwilę jest się z nią twarzą w twarz, oddech w oddech - ale już się okręca w miejscu i stoi się przed inną partnerką. Karoboczka! Się minęło się z panną Jeleną, zaśmiała się kpiąco. Żyrandol kołysał się nad głową, wagon kołysał się pod stopami, bolała noga.

Na koniec tancerze stanęli w tych samych parach, co na początku. Jelena dygnęła, poprawiła szal i znowu się zaśmiała.

- Myślałam, że będzie pan zadowolony! Wystarczy robić to, co inni. I podeptać też nie miał pan okazji nikogo.

- Panna to ukartowała!

- Skąd mogłam wiedzieć, że pan nie umie tańczyć?

Się skłoniwszy się, ucałowało się jej dłoń.

- Może chociaż walc-kulawiak...

Szepnęła coś Verousse'owi. Stanąwszy prosto, uniosła ramiona; objęło się ją niepewnie.

Poprawiła ułożenie ręki na plecach, zdmuchnęła sobie z twarzy czarny lok i puściła szelmowsko oko.

- Panie Benedyckcie, niech pan się trzyma.

Raz, dwa, trzy. Po pierwszym obrocie, gdy się przesunęło się przed księstwem Błuckimi i ku galerji, spojrzano się ponad ramieniem panny Jeleny. Patrzyli? Patrzyli. Patrzyli wszyscy, ale - to był taniec! Kto tańczy, póki tańczy - pozostaje tańca niewolnikiem, dozwolone jest, co jest niedozwolne, przyzwoite jest, co jest nieprzyzwoite, przebaczone jest niewybaczalne, czyż nie temu przede wszystkim taniec służy?

- Pan się śmieje.

- Tańczę z piękną kobietą, mam się smucić?

- Olala, kiedyż to nauczył się pan komplementa prawić?

- Upadłem na głowę, zdarzają się potem radykalne zmiany w psychice.

- Co? - Muzyka i hałas i gwar były już zbyt duże, panna przysunęła policzek do policzka, zapach jej jaśminowych perfum wszedł w nozdrza jak ciepłe kadzidło.

- Upadłem na głowę!

Odsunęła się w obrocie, roześmiana.

- I już po komplementach!

Noga bolała coraz bardziej.

Za drugim nawrotem mniej już się myślało o rytmie tego ciasnego, improwizowanego walczyka - walc to taniec matematyczny, wystarczy liczyć kroki i obroty - więcej o tym jej śmiechu, więcej o drobnej dłoni panny zamkniętej w dłoni pół raza większej, o miękkich włosach co trzeci krok opływających rękę przyciśniętą do gorsetu na jej plecach, o szybkim oddechu podnoszącym opięte mocno piersi panny, o panny wargach, które zawsze już teraz pozostawały rozchylone, białe ząbki błyskające między nimi; rozchylone i szeroko otwarte, gdy łąpała głośno powietrze, walczyk płynął i płynął, straciło się rachubę okrążeń sali, księstwo-staruszkowie, Jules Verousse szalejący nad klawiszami, klaskający widzowie, żółta blizna ognia przecinająca czarne tafle okien, przesuwało się to wszystko w zimnosrebrnych błyskach rozhuśtanego żyrandola jak obrazy coraz prędzej kręconego fotoplastikonu, że już dla samego zachowania równowagi się musiało się skupić na tym obrazie najbliższym: panny oczy ciemne, panny lico pod rumieńcem gorącym i jej usta jak do okrzyku ułożone. Od



aksamitki z rubinem spływały między piersi dwie strużki potu.

Się zatrzymało się pod ścianą.

- Panna mi wybaczy, moja noga na razie więcej nie wytrzyma, może -

- Tak, tak, proszę.

Przeszło się do galerji, ale tu też ciżba gęsta, gorąc i duchota, zaraz obracają się ze wszzech stron facjaty roześmiane, doskakuje steward... Jelena wypija kieliszek ciemnego napoju, wachluje się szalem.

- Panna mnie przypilnuje, cobym nie wypadł.

Jelena śmieje się na bezdechu.

Pcha się drzwi żelazne, wychodzi się na podest widokowy; podaje się pannie rękę, panna w balowych pantofelkach przestępuje ostrożnie próg. Przymyka się drzwi kopnięciem, muzyka i głosy ludzkie cichną; zamiast nich: dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK i huk maszyny, przeciągły świst wiatru w ciemnościach nocy.

Jelena, oparłszy się o balustradę po prawej, południowej stronie podestu, wciąga głęboko powietrze. *Cache-nez* zawinęła u góry ramion, tak, że promienie półksiężyca wyświetlają tylko biały trójkąt *decollete* i twarz szczupłą w ikonicznej oprawie kruczych włosów. Zbyt ostry nastął kontrast blasku i cienia, już nie jest piękna miękka, łagodną pięknnością pulchnych dziewczek i dam dobrze odżywionych - wychodzą na jaw wszystkie kanciastości rysów, wszystkie asymetrie i nieproporcjonalności, każda jedna kość pod skórą cienką, napiętą.

Wyjmuje się papierosy, zapala się, spoziera się przez dym.

Brudnożółta rzeka ognia przykryta grzywami czerwonych burz iskrowych rozciąga się za plecami panny Jeleny; północny horyzont jest jednolicie ciemny.

- Jednak go ominiemy. On nas ominie.

Panna patrzy przez ramię. Milczy długą chwilę, zahypnotyzowana spektaklem wielkiego pożaru.

- Dziękuję panu, trochę mi się tam zakreśliło w głowie. Przepraszam.

- Panna i doktor Tesla.

Spogląda pytająco.

Wzrusza się ramionami, strzepuje się popiół.

- Taniec, takie rzeczy jak taniec - to też są sposoby.

- Na co?

- Żeby powiedzieć rzeczy, których nie można wypowiedzieć w żadnym języku zrozumiałym dla więcej niż jednej osoby.

Zakpi? Nie. Wsparta łokciami na poręczu, odchylona w tył, otwiera i zamyka usta, nie mogąc się zdecydować na żadne słowo.

- Ja...

- Wstyd, prawda? Niech panna nic nie mówi, widzę. Wolę takie słowo, chociaż to oczywiście nie jest wstyd. Odwraca wzrok, rumieni się, jąka, traci rezon, szura nogami, ucieka sprzed oczu - to jest wstyd. Ale co ja tu opowiadam? Zachowanie człowieka. Lecz jak mam opowiedzieć to, czego nikt nie widzi, nikt nie słyszy, nikt inny nie doświadcza? - Zwija się dłoń w pięść i bije się w pierś, potem uderza się w surdut rozcapierzonymi palcami, jakby usiłowało się wydrzeć przez tkaninę i kość bijące serce z ciała. - Nie ma języka! Nie ma języka! - Drapie się paznokciami po gorsie i krawacie. - Panna zapewne uratowała mi życie, należało paść na kolana, dziękować, nie zrobię tego, nie zrobię niczego podobnego; winienem panie szczerość, więc będę milczał. - Unosi się wykrzywione w pazury palce przed oczy, spogląda się z lekkim uśmiechem na opuchniętych wargach. - Albo zatańczymy.

Panna Jelena drży. Otula się szczelniej w ciemnobordowy *cache-nez*.

- Bałam się tego.

- Tego?

- Tego.

- Ach, tego!

- Tego, tego.

- Tego, no tak, tego, tego, tego... - Dotarłszy do granicy, mowa międzyludzka pożera samą siebie, trawi wszelki sens i znaczenie; pozostaje obrócić rzecz w żart.

Się uśmiecha się. Jelena widzi uśmiech krzywy, paskudny i pokazuje język.

- Pan to jednak doprasza się o nieszczęście.

Się zaciąga się tytunem.

- Wiem, nie trzeba mi było leżeć w tajgę za Fessarem.

- Christine mówiła mi, że przyszedł do nich Dusiński i próbował zabronić doktorowi Tesli kontaktów z panem.

- Pan Pociągło poznał, że ktoś myszkował mu w rzeczach.

- Pan Pociągło jest nader spostrzegawczy burżuj.

- Ten prokurator z Kamczatki uważa chyba, że to ablastnik.

- A to co? Urząd cesarski? Sekta nowa?

- A mój ojciec ma kolejny wyrok nad głową, najwyraźniej prowadził chłopów syberyjskich na śmierć w Łodzi.

- Niech pan nie wierzy, zawsze najgorsze rzeczy opowiadają.

- Fessarowi ktoś tam rozpuknął makówkę.

- Pan nie sądzi, że to właśnie Turek był liedniackim agentem.

- Nie, niemożliwe.

- Mimo wszystko - ten Ziejcow...

Obejmuje się pannę w talji, przyciąga, całuje. Panna smakuje słodkim winem.

Oparłszy się z powrotem o balustradę, Jelena zawija się w *cache-nez* jak w chustę, obwiązując nim głowę i krzyżując potem ręce na piersiach.

- Na pana miejscu nie spuszczałabym go z oczu.

- Ziejcow leżał urażony u siebie, sprawdziłem, nie poszedł w las.

- Ludzie księcia?

- Dusiński?

- Agent? Nie! Ale jeśli księżna kazała mu wyrzucić Pielkę...

- Tego też nie jestem pewien.

- Coraz mniej czasu. Albo pan Fogiel mówił od rzeczy, albo agentowi został tylko dzień na zniszczenie maszyn, zabicie Tesli, może i na zabicie pana.

- Siedzieć w przedziale, tak?

- Zapraszam do mnie, gdyby się pan nudził.

Panna ściąga prawą rękawiczkę i kładzie sobie na język i do ust dwa palce. Poczem

zaciska zęby. Oderwawszy dłoń od warg czerwonych, podaje ją łaskawym gestem, z miną ani poważną, ani śmiejącą, z oczyma błyszczącymi.

Się pochyla się w formalnym półukłonie i wylizuje się paluszki z ciepłej krwi, do ostatniej kropli, do kropel kwitnących na skaleczeniach jeszcze otwartych. Po pannie przebiega długi dreszcz.

Zdejmuje się surdut, zarzuca się go na jej ramiona. Pęd powietrza podnosi nad balustradą puste rękawy.

- Mądrzej mi chyba jednak trzymać się restauracyjnego, salonki - mówi się. - Abo to trudno otworzyć drzwi wytrychem, wpaść do atdielienja i zanim człowiek głowę obróci - szast-prast; nikt nic nie widział, nikt nie słyszał.

- Trzeba zastawić drzwi krzesłem, oparcie wbić pod klamkę.

- Myślę wszakże o Irkucku. Tu, w pociągu - to pół biedy. Ale w mieście? Żeby tam jeden agent! żeby tylko liedniacy! Słyszysz panna, co o mnie mówią. Nawet doktor Konieszyn mało nie dostał małego rozumu. Będą chcieli ubić, to ubiją.

- Nie sądzę.

Się śmieje się.

- Nie sądzi panna? Nie sądzi? - Rzuca się niedopałek na wiatr. - A to mnie panna pocieszyła! Może jednak argument jakiś?

Panna Muklanowiczówna zgina palce i przeciąga paznokciami nad gorsem sukni. Pozostaje poczwórny czerwony ślad na piersi, świeża blizna po dotknięciu przez coś dzikiego, niehumanicznego.

Patrzy się jeszcze na tę czwórnyś na białej skórze, gdy obok, tuż pod połą angielskiego surduta, nad kroplą krwi na sercu panny kładzie się srebrna gwiazdeczka, maleńki kryształek śniegu. Zaraz topnieje, znika.

Spogląda się w niebo nad ekranem przeciwdymnym. Ale to nie dym, to chmury przesłaniają gwiazdy, a niekiedy nawet półtarczę Księżyca złotą, coraz to gasnącą, coraz rozpalającą się na nowo. Wtedy to, w chwilach przejaśnienia matka-upiorzyca rozwidnia bezładne przestrzenie, równiny leśne Azji nieskończonej, na północ od linii Transsibu i na południe, do pasma płomiennego, korony popiołów nad nim. Chmura, Księżyc, chmura, Księżyc - a Ekspres pędzi przed się, w wycinany zezowatami lampami „Czarnego Sobola”

tunel jasności - Księżyc, chmura, Księżyc - prosto w Zimę. Bo nagle, jak po odsłonięciu kurtyny w operze, widzi się w kolejnym rozwidnieniu: biel, biel, biel, pola bieli, to jest śniegu, ale śniegu już stwardniałego, skrzepłego na drzewach i przesiekach, na bagnach i rzekach, na kolejowym nasypie i mijanych w mgnieniu oka szopach drewnianych, wiatach wpółzapadłych, śniegu zlodowaciałego. Kiedy się to stało? Nie ma granicy, ale jeśli jakaś jednak jest, dawno została w tyle za pociągami. Teraz już tylko biel i śnieg i lód dookoła.

- *Es ist so.*

Sina mgiełka oddechu ucieka sprzed twarzy wraz z ulatującymi w świącie zimnego powietrza słowami, szybko też umykają oczom, porywane przez wiatr, coraz liczniejsze płatki śniegu. Wsuwa się dłonie do kieszeni spodni.

- Ha! Śniła mi się Zima.

Panna Jelena zawija się w szal, pozostawiając jedynie wąską w nim szczelinę na oczy; zaciąga od wewnątrz surdut na sukni błękitnej, obejmując się pod nim ramionami.

Przycisnąwszy marszczony materiał do spiralnych prętów balustrady, wygląda z podestu na południowe pola lodu. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, jeszcze kilka minut i cała przyroda Syberji zamknięta jest pod lodu rzeźbą - żadnej już zieleni, żadnej sylwetki drzewa nawet, a i sam kształt tajgi długimi fragmentami pozostaje ukryty pod grubym kożuchem zmarzliny. Nic dziwnego, że pożary nie wchodzą z Lata w Zimę - ogień nie wgryzie się w knieję zamarznąłą. Można się domyślać życia zatrzymanego tam w mrozie, ale widać jeno mniej i bardziej fantastyczne formacje bieli, fale, grzywy, bałwany, ściany, wieże i turnie, granie i fontanny, zamki i ule, lute i lute.

Na tych bliższych, wyskakujących wtem przy torze, gdy Ekspres mija je w szumie siarczystego wichru, wyświetlają się niczym na prześcieradłach kinematografu obrazy z wnętrza wagonu wieczornego, z sali kominkowej, bo tam nadal trwają tańce, gra muzyka, długoręki *monsieur* Verousse bije opętańczo w klawisze, prawadnik brodaty wywija smyczkiem, wirują pary, gentlemani wyfraczeni i w długich surdutach skrojonych wedle niezmiennego fasonu lodowej Jewropy, damy w kreacjach koronkowych, brylantowych, nad nimi srebrno-kryształowy żyrandol - i tak, wszystko to wyświetla się w obrazach blasku i cienia, prześlizgując się gładko po wklęsłościach i wypukłościach rzeźby śnieżnej, korowody mężczyzn i kobiet w luksusie, tańczących, tańczących.

Panna Jelena kaszle sucho, zapatrzona. Staje się za jej plecami, spogląda się nad jej ramieniem. Panna kaszle przez szal, oddycha przez szal, mówi przez szal.

*Śniła się zima, ja biegłam w szeregu,  
Za procesyją pod niebem, po śniegu.  
Ludzie obok mnie szli dwoma rzędami,  
Kobiety, starce i dzieci parami.*

Się śmieje się krótko, wydmuchując przed pannę mgielne obłoki tego śmiechu, prędko rozpędzane.

Ponieważ jednak opuściło się już ziemie Lata, myśli trochę lepiej przystają do myśli, słowa trochę mocniej przylegają do słów.

*Spojrzałem w twarze: są i mnie znajome;  
Złakłem się: wszystkie jak glaz nieruchome.  
Jedna osoba wyszła z prawej strony;  
Kobieta, świeci okiem przez zasłony.  
Twarz piękna jako Przemienienie Pańskie;  
Wzrok utopiła w Jezioro Albańskie;  
Ciekawie patrzy, nie ruszy powieki,  
Jakby w tej głębi modrej i dalekiej  
Odbite swoje oblicze widziała  
I przed jeziorem róże poprawiała.*

Panna Jelena, nie odwracając się, obraca głowę, błyska oko spod zasłony. Może uśmiechnięta, może nie; szron zbiera się na szalu kryjącym jej twarz.

*Ona ci rzekła z uśmiechem dziecięcia:  
„Rodzice moi chcą mię z innym swatać,*

*Lecz ja jaskółka, chcę daleko latać;  
Wiem ja o twoich wszystkich przyjaciółach,  
Znajdę ich: leżą w grobach, po kościołach.  
Muszę i w lasy, w jeziora przepadać,  
I drzew popytać, i z ziółkami gadać,  
One o tobie dziwne rzeczy wiedzą,  
Wszystko, gdzie chodził, co robił, powiedzą”.*

Zimno, coraz zimniej. Obejmuje się pannę przez surdut niezgrabnie na sukni opięty, panna odsuwa się od poręczy, wtula się w objęcia, też szukając ciepła. Smuga pożaru - jak smagnięcie płomiennym biczem przez białą nieskończoność, wylew gorącej krwi na czystym płótnie - coraz jest węższa i węższa, dalsza i dalsza, cofa się pod horyzont i niknie w końcu za lodowymi figurami. Pozostaje półksiężycówka, gwiazdy między chmurami i tysiączne skierki śniegu, sypiącego niegęsto z obu stron pojezda.

I luna „Czarnego Sobola”, z przodu, na wschodzie, teraz wyraźniejsza - lunarne tęcze zimnazowe, odbijające się od luster lodu. Maszynista szarpie za wajchę syreny, rozlega się przeciągły gwizd motylej maszyny nad krajobrazem Zimy.

Tak, gdy się dobrze wpatrzeć w ten krajobraz, można dostrzec tu i tam potężne wypiętrzenia czystego lodu, które zdają się nie opierać na żadnych formach geologicznych ukrytych pod nimi - samoistne skrzepliska, monumentalne gniazda Lodu rozrzucone na setkach wiorst w zamrożonej tajdze: soplicowa? Może to one, może nie, pociąg nie zwalnia, już zostały w tyle.

Ale są w krajobrazie nieregularności spowodowane samym przebiegiem linii kolejowej. Jak miasta i inne skupiska ludzkie, tak tu, na tym pustkowiu, to Transsib przyciąga lute. Już czwarty, już piąty mroźnik najpierw wyłania się z boku w żółtych refleksach lamp „Czarnego Sobola”, w błękitnych aureolach od jego zórz zimnazowych, i takiego w sekundę-dwie chwyta się spojrzeniem prędkim, taki właśnie obraz połykając łzawiącymi oczyma: luty rozkraczony na tuzinach mrozostrun - luty wypiętrzony arszyny wzwyż ku Księżycowi i gwiazdom - luty rozciągnięty w glacialnym pochodzie wzdłuż nasypu - luty wystrzeliwujący setkami igieł-stalagmitów spod ziemi, luty rozwinięty w potężnej mandali koronkowych

ściegów mrozu, rozszczepiony na milion biało-czarnych nici piorun Lodu, jak kamienne wyładowanie elektryczne przeskakujące po wielkim łuku z północnej strony linii kolejowej na południową... Zaraz pryśnie wstecz i zniknie całkiem w ciemności za pociągiem. Tak blisko przemarzają lute torowiska, prawie że w same tory Magistrali Syberyjskiej wbijając się tysiącpułowami sopłami.

Ekspres przemknął pod długim nawisem i przesunął się arktyczny cień po wagonach i podeście widokowym, sekundowy mróz, bolesny jak chłaśnięcie mokrym pejczem; ścisnęło się pannę jeszcze silniej. Drży; drży się wraz z nią, opierając głowę na jej ramieniu, wydychając słowa mgielne w szal kryjący zupełnie jej oblicze - może w lico blade, może w uszko zmarznięte, może w usta czerwone, gorące.

*I przypomniałem nagle wszystkie błędy,*

*Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,*

*I czułem serce tak mocno rozdarte,*

*Tak jej, i szczęścia, i nieba niewarte.*

A z każdym słowem, z każdym tchnieniem i drzeniem głębiej się wjeżdża w Kraj Lutych, i głębiej wchodzi w człowieka Mróz.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### O rzeźbieniu dymu

- Czusizima, tysiąc dziewięćset piąty. Inne są wojny Lata. Wyszliśmy z Libawy na odsiecz Port Arturowi trzeciego października roku uprzedniego, w dwadzieścia osiem okrętów, pancerników siedem. Potem, w drodze z Bałtyku do Władywostoku, dołączyło do nas jeszcze kilkanaście jednostek. Całą tą Drugą Eskadrą Oceanu Spokojnego dowodził wiceadmirał Zinowij Rożestwieński. Był to największy pochód morski w dziejach nowożytnych wojen. Japończycy zaatakowali w styczniu, bez ostrzeżenia napadając Pierwszą Eskadrę w Port Arturze, Władywostoku i Czemułpo; trzeba wam wiedzieć, że uważają oni uprzednie wypowiedzenie wojny za głupie europejskie dziwactwo. W kwietniu Jego Imperatorska Wysokość powołał Drugą Eskadrę dla wspomżenia Pierwszej i do osłony armji mandżurskiej, walczyło tam ponad pół miliona naszych żołnierzy; ale już w sierpniu Japończycy dobili flotę dalekowschodnią, założyli oblężenie Port Artura. Jasnym stało się, że Drugiej Eskadrze przyjdzie stawić im czoło samodzielnie. Zebrano wszystkie zdadne do walki rosyjskie jednostki, z wyjątkiem tych zablokowanych traktatami na Morzu Czarnem. Tak przytem pośpieszono remonty i budowę nowych okrętów, że nijak nie szło znaleźć do ich obsady wystarczającej liczby doświadczonych marynarzy. Werbowano więc chłopów, ściągano z tium na pokłady przestępców pospolitych i politycznych, a z kadetów petersburskiego Korpusu Morskiego uczyniono przedwczesnymi awansami młodszych oficerów. Tym oto sposobem trafiłem prosto ze szkoły jako świeżo upieczony gardemarin na pancernik „Oslabja”, okręt flagowy kontradmirała Dymitra von Fólkerzahma, zastępcy Rożestwieńskiego. Miałem siedemnaście lat, gdy owego październikowego poranka wypłynąłem na wokółświatowy rejs w najpotężniejszej armadzie Imperjum Rosyjskiego, na największą bitwę pancerną w historii mórz.

Kapitan Nasboldt uniósł czarę kryształową i pociągnął łyk korzennego wina; w świetle tłustych płomieni napój w kryształach zdawał się ciemnoczerwonym i gęstym jak krew. Kamień szlachetny w pierścieniu obejmującym palec oficera był tej samej barwy i gdy opuściło się powieki jeszcze odrobinę, spoglądając przez rzęsy i przez pajęcze nici snu, widziało się ów kamień drgający, pełgający i przelewający się w oprawie czarnego metalu niczym wielka

kropla krwi wątrobowej. Sam pierścień kapitana drugiej rangi był z czystego zimnaza.

Dietmar Klausowicz Nasboldt oparł dłoń z pucharem na poręczy fotela. Z półmroku zza jego pleców wyłonił się steward z karafką gotową do dolewki, ale Nasboldt, nie obracając głowy, wyprostował ponad czarą palec wskazujący i steward się cofnął. Wszystkie kielichy i szklanice na wyposażeniu Luksu były wyższe i o podstawie szerszej niż w zwyczajnych serwisach. Teraz wszakże Ekspres utrzymywał równą prędkość, niemal w ogóle nie przyhamowując, niemal nie zakręcając. A po prawdzie takie lekkie kołysanie wagonu działało usypiająco, pan Pociągło już spał, inżynierowi White-Gesslingowi kleiły się powieki... Kołysanie wagonu, tak, lecz również sam głos kapitana, to podnoszący się, to opadający... mają swoje kołysanki dzieci, mają i ludzie dorośli. Dobrą opowieść smakuje się jak dobry tytuń czy dobrą whisky, nie należy się spieszyć, nie należy popędzać opowiadającego, nie o to tu idzie, by dognać jak najprędzej do puenty, złapać za grzbiet fabułę, poznać losy, sensy i tajemnice, nie o to wcale. Słucha się, zasypia, budzi, wraca się do opowieści, znów zasypia, znów budzi, opowieść przypływa i odpływa, raz zanurzamy się w tę nierzeczywistość, raz - w tamtą; działa czar, zostaliśmy wyjęci z czasu i miejsca Trudniej się temu poddać w pędzie życia miejskiego. Ale tu, zamkniętym na długie dni podróży z innymi słuchającymi-opowiadającymi... Wystarczyło, że kapitan Nasboldt uniósł rękę i wyrzekł pierwsze zdanie. Nikt mu nie przerywa, nikt nie nakłania do powrotu do uprzednich tematów, nikt nie zadaje pytań niecierpliwych. Trzeba dać wybrzmieć frazie. Także milczenie przedzielające kwestje oficera należy do opowieści. Także sen. I ta ciemność dookolna, i ta zimna biel z niej wyblaskująca, i ten ogień, i pochrapywanie pana Pociągły. Prokurator Razbieszow i doktor Konieszyn słuchali najuważniej, ćmiąc jeszcze angielskie papierosy, którymi poczęstował był ich inżynier. Ale i ich zaczarowało.

Poprawiło się pleś na kolanach. Ze wszystkich pasażerów, którzy pozostali po tańcach w sali, siedziało się najbliżej kominka, bijące od paleniska fale gorąca rozpulchniały mięśnie lewej nogi i lewej ręki, wkrótce miało się wrażenie, że połowa ciała zrobiona jest z gumy napompowanej alkoholem. Się osuwało się na krzesło do pozycji półleżącej. Wzrok wtedy uciekał od paleniska, od płomieni, ale ponieważ poza tym ogniem i jedną lampką przy przejściu do salonki nie paliły się tu żadne światła, pozostało błędzić spojrzeniem po omacku na suficie (zimnobłystny żyrandol), po twarzach mężczyzn rozsiadłych wokół kominka (miękkie, krągłe, rumiane), po księżycowej bieli za oknami - byle wbić w coś oko jeszcze przytomne. Wpierw stało się wraz z innymi z nosem przy szybie, szklanicą wódki przy ustach, się gapiąc się po wygaszeniu wagonu wieczornego na lodowe fantasmagorie

przemykające za oknami na tle dalszego lodu. Jednak ta sama monotonia krajobrazu, która nuży każdego podróżującego przez Syberję - step, tajga, niebo, ziemia, godzina po godzinie - znużyła szybko i tutaj: biel i biel i biel i biel, kliniczne piekło bieli. Ile można. Trzeba znać umiar. To rodzaj manji chorobliwej, z tego się przecież leczy w szpitalach obłądu: zapalka do zapalki, z wysuniętym językiem i spojrzeniem tępem, dzień po dniu przez dwadzieścia lat. Tak właśnie Bóg stworzył Azję.

Lód tedy przewalał się w falach kanciastych za oknami Luksu (czasami mignął luty), a tu, w sali kominkowej, bursztynowe oblaski płomieni zalewały wszystko ciepłym woskiem, zarówno ludzi i sprzęty, że nawet kanty i szpice i trójkątne fryzy w boazerji wyglądały niczym wółstopione. Kapitan Nasboldt nie musiał podnosić głosu, słowa też opadały miękko jak płatki śniegu, na skórę, na język, w uszy. Stąd czystymi strumykami płynęły do mózgu.

- Potem próbowałem objąć to rozumem, ułożyć wedle przyczyny i skutku, prawdy i nieprawdy. Próżne dociekania! Ledwo weszliśmy w cieśniny duńskie, ba, wcześniej, bo jeszcze jak staliśmy na redzie w Kronsztadzie, Rewlu i Libawie, już ordynowano ciągłe alarmy i straże nocne i blokady przeciwtorpedowe, spodziewając się skrytego ataku japońskiego, a jak weszliśmy w te cieśniny - toż przy ćwiczeniach artyleryjskich tak się pogubiliśmy w manewrach, że „Oslabja” wpadł na kontrtorpedowiec „Bystryj”, miażdżąc mu dziób, a zaraz potem przysłała z kopenhaskiej placówki wywiadu informacja, że rzeczywiście zaobserwowano już torpedowce japońskie, kutry rybackie z kamuflowanymi wyrzutniami, łodzie podwodne, balony z nieba stawiające miny na drodze Eskadry. Kłamstwo, fantazja? Wywiad marynarki i ochrana dostały pół miliona rubli na tę okazję, może więc wszystko zmyśliły - ale może nie, może nie. Przychodziły już meldunki z naszych własnych okrętów: o nieznanach torpedowcach pod światłami kutrów rybackich, o szkunerach bez bander, ciemnych sylwetach w nocy. Rożestwieński kazał kierować działa na wszystkie mijane statki i palić do przecinających kurs Eskadry mimo ostrzeżenia. Tak żeśmy przeszli cieśniny, ostrzeliwując statki neutralnych bander. Nazajutrz zgubił się nam warsztatowiec „Kamczatka”; odezwał się dopiero wieczorem, meldując, że ucieka zygzakiem przed ośmioma nieznanymi torpedowcami. Rożestwieński ogłosił alarm bojowy. Środek nocy, ławica Dogger, ciemno choć oko wykol, wszyscy czekają ataku. No i wtem rakieta, cienie na wodzie - zapalamy reflektory. A sam stałem tam wtedy na lornecie rufowej, wytrzeszczałem oczy, serce waliło, że Boże ratuj. Patrzymy: dwa większe, mnóstwo mniejszych jednostek, sprawdzamy profil, liczymy kominy, Piotr mówi tak, Iwan mówi owak, Grisza jeszcze inaczej, ale już idzie meldunek: dwa torpedowce w ataku na okręt flagowy i cała flota pręca

nam uparcie pod dzioby. Zapaliły się wszystkie reflektory w Eskadrze, zaczęła się kanonada: snopy światła w ciemności, ogień z luf, huk straszny, paniczne wyszukiwanie kształtów na falach, nagle coś się wyłania z nocy, parę sekund i wybuch torpedy rozerwie cię na strzępy. Poczem się okazało, że to jeno trawlerzy i kutry rybackie. Zdążyliśmy jeszcze odstrzelić komin z krążownika „Awrora”, mało nie zabijając przytem okrętowego popa. Tydzień później bunkrujemy węgiel w Zatoce Vigo, gdy przychodzi depesza z Peterburga. Rosja i Wielka Brytania na krawędzi wojny, rozstrzelaliśmy pięć trawlerów brytyjskiej spółki rybackiej w rocznicę bitwy pod Trafalgarem, zabijając rybaków i uchodząc z miejsca zbrodni, nie udzielwszy pomocy. Tłumy maszerują przez Londyn, żądając wysłania Royal Navy z rozkazem zatopienia naszej armady. Lecz zaraz sprawa płacze się jeszcze bardziej, bo rozjuszeni rybacy zeznają stanowczo o krążącym między nimi do rana rosyjskim kontrtorpedowcu, nie reagującym na wezwania i prośby o ratunek tonących. Ale akurat nie szedł wtedy z nami żaden kontrtorpedowiec! Więc co? Naprawdę zaskoczyły nas między angielskimi kutrami okręty japońskie? Było śledztwo komisji międzynarodowej, myślicie panowie, że do czegoś doszło? Kto nas zaatakował? Czy zaatakował ktokolwiek? Czy meldunki kłamały? Widzieliśmy Japończyków, czy nie widzieliśmy? Przecie sam tam byłem, sam patrzyłem! Czy więc widziałem, co widziałem? - czy myślałem, że widzę, czego nie widzę? - czy też teraz tylko pamiętam zarówno, co widziałem i czego nie widziałem, co było i czego nie było? Z kim stoczyliśmy bitwę? Czy bitwa w ogóle się rozegrała? Taka to wojna bez Lodu, bliad' ływaja!

...Przeszliśmy równik - nikt nie wiedział kiedy; źle policzono siłę prądów atlantyckich, pomyliły się godziny i szerokości geograficzne. Były ciągle problemy z bunkrowaniem węgla, niemiecka kompanja HAPAG nie chciała się wywiązywać z umów, japońskie i brytyjskie dyplomacje zamykały przed nami porty, wymuszając neutralność kolejnych państw; tylko dzięki uporowi Rożestwieńskiego dotarliśmy do Madagaskaru. Tam połączyliśmy się z lżejszemi krążownikami, które szły przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski, i tam, w Nossi Be, doścignęły nas wieści o kapitulacji Port Artura, a także o buntach rewolucyjnych w Rosji i o Krwawej Niedzieli. Z jednej więc strony, z militarnego punktu widzenia, wyprawa nie miała już sensu; z drugiej wszakże, z politycznego, stanowiła dla Imperatora jedną z ostatnich desek ratunku, szansę tak na pokój wewnątrz kraju, jak i pokój z Japonją, bo dopiero położywszy stosownie ważki sukces na naszej szali, można było sięgnąć do układania jakiegoś rozsądnego traktatu z Japończykami, a następnie, po zagaszeniu tego pożaru - odesłać wojsko z frontu dla tłumienia pożarów w samej Rosji. Przeprowadzaliśmy

ćwiczenia w strzelaniu do celu. Na kilka tysięcy pocisków żaden nie trafił. Wiceadmirał Rożestwieński posłał do Peterburga depeszę z prośbą o zwolnienie z obowiązków ze względu na zły stan zdrowia. Admiralicja odmówiła, zgodzili się na przekazanie dowództwa dopiero we Władywostoku. Rożestwieński postawił sobie zatem za cel główny jak najszybsze dotarcie do Władywostoku. I popłynęliśmy skroś Oceanu Indyjskiego, jednym skokiem z Madagaskaru do Indochin. To był rejs...! Nie ma co gadać, męka i ból, mało brakowało, żeby się marynarze pobuntowali, Rożestwieński zresztą szybko wypełnił statek więzienny, brakowało świeżej wody, brakowało jedzenia, brakowało nawet ubrań, ludziom rozpadały się buty, palacze pracowali w łapciach z lin konopnych, szliśmy bez przerwy przeładowani węglem, Rożestwieński panicznie się bał, że zostaniemy bez paliwa, okręty traciły na chyżości po dwa-trzy węzły, płynąc w takim zanurzeniu, toż pasy pancerne na „Oslabji” skryły się pod wodą zupełnie, a mimo to trzeba było ciągle doładowywać węgiel z transportowców, mówię panom, ból i męka - ale jak potem zobaczyliśmy miny Brytyjczyków w Singapurze, kiedy cała Eskadra przedefilowała im cieśniną po samotnym rejsie przez ocean...! Pojąłem, jak rodzą się legendy mórz.

...Rożestwieński postanowił dotrzeć do Władywostoku trasą najkrótszą, to jest między Półwyspem Koreańskim i Japonją. Weszliśmy na te wody w szyku bojowym, z nakazem ciszy w eterze. W każdej chwili spodziewaliśmy się ataku całej floty japońskiej. Znowu zaczęły się wypatrywania obcych okrętów, łodzi podwodnych, czuwania i strachy. W nocy utrzymywaliśmy łączność świecąc Morse’a reflektorami na obłokach na niebie. Na „Oslabji” nastroje były wyjątkowo podle, von Fölkerzahm już od dłuższego czasu nie dowodził, rażony ciężką apopleksją, a wreszcie wieczorem dziesiątego maja oddał ducha. Ale Rożestwieński zabronił zdjąć flagę admirałską z naszego okrętu! Oficerowie mówili, że dlatego, coby morale w Eskadrze nie niszczyć. Von Fölkerzahma zamknięto więc w trumnie pod pokładem „Oslabji” i tak oto płynęliśmy dalej jako okręt flagowy. Zmiarkujcie panowie, jak z fałszu pierwszego biorą się wszystkie kolejne przekręctwa - tak niszczejają fundamenta wszechrzeczy, jak się rysy po lodzie od jednego uderzenia rozchodzą; i tylko tego grzmotu Zeusowego, z jakim pęka lód, tylko grzmotu nie słyhać.

...Gdy rozpada się wszystko, na czym się oprzeć? Mieliśmy wejść w Cieśninę Koreańską w piątek trzynastego maja, więc Rożestwieński zaordynował wpierw dzień bezsensownych ćwiczeń, byle uniknąć bitwy pod feralną datą. Popi oświecili skrupulatnie działa na wszystkich okrętach. Płynęliśmy w trzech, potem w dwóch kolumnach torowych, dzień był szary, mglisty, chmury zasnuwały niebo. W nocy eter trzeszczał od japońskich komunikatów,

wiedzieliśmy, że ich flota jest blisko. O świcie pokazał się pierwszy wraży krążownik, przywołał kolejne, szły równolegle do Eskadry, ale był zakaz strzelania; nareszcie ludzie nie strzymali, pierwszy chyba któryś z artylerzystów na „Oslabji”, trudno orzec, bo jeden strzał i zaraz cała kanonada, raz nawet trafiliśmy - ludzie się jednak palili do bitwy, tak, tak. W południe pojawiły się główne siły japońskie, pancerniki flagowe w szyku, przecinające nam drogę. Byli szybsi od tej naszej zbieraniny okrętów różnoklasowych, przepelnionych węglem, obrośniętych chwastem morskim; byli szybsi, mogli obrać i narzucić pozycję i dystans wymiany ognia, i kurs kątowy, kąt podejścia kolumn torowych. Rożestwieński próbował ich obmanewrować, bez powodzenia, tylko Szyk własny połamał. Musicie wiedzieć, *messieurs*, że w starej taktyce morskiej tata w bitwie pancerników położenie okrętu względem okrętu bardziej na rezultacie starcia może zaważyć aniżeli sama siła dział i moc pancerzy. Okręt wystawiony na pełne salwy burtowe, a sam zdolen odpowiedzieć jeno z dziobowej artylerji, z góry skazanym jest na destrukcję. Oto więc pierwszy manewr prosty: przejść przed dziobami armady, przecinając jej kurs pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Japońska eskadra, szybsza, chodziła nam tak przed dziobami wte i wewte, rąbiąc z sześciu mil ogniem skoncentrowanym, bo od razu widać dostali rozkazy, coby się wcelować nasampierw w okręty flagowe, od najbliższego - a jaki okręt flagowy siedział im jak kaczką pod celownikami? „Oslabja”! Z proporcem trupa na maszcie, kotwiczyliśmy w miejscu, wybici z toru, bo kiedy Rożestwieński na swoim „Kniaziu Suworowie” chciał być wyjść na czoło kolumny, mało nie spowodował masowej kolizji: „Suworow” zagroził drogę „Impieratorowi Aleksandrowi”, „Aleksandr” - „Borodino”, „Borodino” - Arłu”, a między nich wchodziliśmy my, to znaczy „Oslabja” prowadząca drugi zespół pancerników. Stanęliśmy na kotwicach, podnieśli na rejach czarne kule, szyk się rozszedł na boki. Japończycy bombardowali nas bez litości, oba okręty flagowe, ale nasz usilniej, wtedy cudem uniknąłem śmierci, człowieka dwa kroki ode mnie zmiotło z pokładu, odłamki przeharatały mi skórę jak miotła z brzytew. Dziobowy pomost nawigacyjny stał w ogniu, urwało nam kotwicę. Najgorzej, że dostaliśmy dwukrotnie w lewą burtę od dziobu, gdzie wybiło taką dziurę przez pancerz i poszycie, tuż nad linią wody, że trojka wjechałaby tam biez prabliemy, i braliśmy coraz większy przechył, a nie szło tego załatać, fala była wysoka, „Oslabja” próbowała zresztą ująć spod ostrzału, nic z tego, tylko trym ciągnął nas coraz większy, aż po kluzę kotwiczne. Odstrelili nam wieżę dziobową, siadła elektryka na całym okręcie, palił się pomost bojowy, węglowy pył wisiał w powietrzu i kładł się na wszystkim ohydną mazią, lepką, żrącą, oślepiającą, nity i kołki wyskakiwały z metalu tuzinami, płyty pancerne odpadały nam jak strupy wysuszone - dowódca nakazał opuszczenie okrętu, „Oslabja” obróciła się stępką do góry i poszła na dno.

...Widziałem ją unoszącą się na falach, kilkadziesiąt arszynów ode mnie, gdy płynąłem ku zbierającym rozbitków kontrtorpedowcom - trumnę z ciałem admirała von Fölkerzahma. Podjął nas „Bujnyj”; połowa załogi „Oslabji” jednak utonąła, Japończycy nie zaprzestali ostrzału, zresztą nawet już nie było ich widać na horyzoncie, mgła, dymy, szare niebo, szare morze, a oni też malowali sobie kadłuby i nadbudówki farbą ciemnooliwkową, więc już zupełnie nie dało się dostrzec, kto do nas pali, kto morduje, „Bujnyj” - trafiony, „Brawyj” - trafiony; uchodziliśmy w mgłę, byle dalej od bitwy. Tylko huk niosący się nad wodami cieśniny, tylko błyski punktowe przebijające przez tę zawiesinę szarości opowiadały przebieg boju. Kapitan Kołomiejcew szukał eskadry lekkich krążowników, nie wiem, czy błakaliśmy się zagubieni, czy też kapitan chciał wpierw zaprowadzić jaki taki ład na „Bujnym” - ponad dwustu rozbitków musiał pomieścić na pokładzie. Wcisnąłem się na mostek, ledwo obandażowany, z jednym okiem krwią zalanem, przemarznięty, podsłuchiwałem oficerów. Wiedzieli niewiele więcej. Był rozkaz iść za siłami lekkimi i na ich lewym trawersie - ale gdzie się grupowały siły lekkie? Kto dowodził? Czy Rożestwieński żył jeszcze? Nie było żadnego planu bitwy, żaden plan do kapitana nie dotarł. Oficerowie próbowali wyczytać cośkolwiek ze starych rozkazów - kiedy rozkazy nie pasowały do sytuacji. Ledwo weszliśmy w szyk za krążownikami, Kołomiejcew wyrwał zeń „Bujnego”. Wielka trąba dymu, jak odwrócona piramida czarnych chmur na niebie, a pod nią, pod jej wierzchołkiem - płomień czerwony. To „Suworow”, okręt flagowy admirała Rożestwieńskiego, płonął, na wpół już zatopiony. Oficerowie protestowali, że nie ma miejsca na okręcie; kapitan kazał podejść do pancernika i przejąć jego załogę. Wpłynęliśmy pod ostrzał, „Suworow” był nakryty przez artylerię japońską, rozbijali go w drzazgi, a u nas pokład jak na defiladzie, setki ludzi stoją i się gapią, trafi pocisk - rzeź. Szalupy - nie ma szalup; na „Bujnym” wszystkie rozbite, na „Suworowie” wszystkie rozbite lub płonące. Co robić? Kołomiejcew każe podejść jeszcze bliżej - ale fala już wysoka i ogień z „Suworowa” jak z pieca hutniczego i Japońce coraz lepiej się wstrzelują - każe podejść i przejmować ludzi burta w burtę. Tak przrzucali nam z „Suworowa” oficerów i rannych, aż w końcu i „Bujnyj” został trafiony, odłamki ścięły kucharza uratowanego z „Oslabji”. Ciężko zanurzeni, odeszliśmy od tonącego pancernika. Zostałem wezwany do kabin oficerskich, pierwszy kazał mi się zająć sztabowcami z okrętu flagowego. Wchodzę do mesy, która też już była salą szpitalną... kto leży na sofie pod bulajem? Wiceadmirał Zinowij Rożestwieński.

...Ranny w głowę, ranny w plecy, ranny w biodro i w stopę, medycy go opatrują, powtarzam pytanie pierwszego oficera: czy wywiesić na „Bujnym” flagę dowódcy Drugiej

Eskadry? Nie! Przecież on sam jest niezdolnym do dowodzenia, niech dowodzi Niebogatom! Wracam na mostek - Niebogatom nic o tym nie wie, nie może wiedzieć, bo nie ma z nim łączności. Co robić? Długi wieczór na Archipelagu Czuszimskim, szepty oficerów nad posłaniem wiceadmirała, biegam wte i wewte, przenosząc pytania, pytania, pytania i pytania; żadnych odpowiedzi. Ile jednostek z Eskadry ocalało? Gdzie reszta? Gdzie Japończycy? Jakie rozkazy? Jaki plan? Co robić, co robić? „Bujnyj” idzie za zespołem kontradmirała Enquista, ale z uszkodzoną śrubą trudno mu go doścignąć. A tu zmierzcha, a tu ciemniej, widoczność coraz gorsza, fala zła, mgła na bezwietrzu, i tylko komunikaty coraz straszniejsze eksplodują nad głowami panów oficerów jak szrapnele śmiercionośne: „Borodino” ciężko ostrzelany, „Borodino” bierze wodę, „Borodino” się pali! „Ariol” rozerwany! „Aleksandr” tonie, zatonął! Nie uratował się nikt, osiemset ludzi na dno. Zresztą łączność była kiepska, Eskadra rozpadła się poza zasięg radjostacyj. Rożestwieński powtarzał: Władywostok, do Władywostoku. Ale co rozkazuje Niebogatom? Czy na „Mikołaja Pierwszego” dotarł rozkaz admirała? Zanim zapadł zmrok zupełny, weszliśmy jednak w szyk za Enquistem, obok ocalałych pancerników. Niebogatom podniósł sygnały kursowe - a jakże, naprzód, na Władywostok. Czekaliśmy planu bitwy, nie dotarł żaden. Rożestwieńskiego nikt nie śmiał już o nic pytać. W nocy Japończycy będą musieli zaprzestać ostrzału - ale w nocy ruszą na nas ichnie torpedowce.

...Więc znowu: groza ciemnego oceanu, wypatrywanie cieni na wodzie, lornetowanie mroku. Teraz usiłowaliśmy się nie zgubić, trzymać głównych sił - część musiała się w ciemności jakoś oderwać od Enquista i podejść do pancerników, tamci, też przerażeni, wzięli nasze kontrtorpedowce za japońskie torpedowce i zaczęliśmy się strzelać między sobą. Na co Niebogatom przyśpieszył, no i zaraz zostaliśmy w tyle, rozbił się szyk. Zaordynowano całkowite zaciemnienie. Tak wytrwaliśmy w trwodze do świtu, godzinami stojąc w dryfie po awarii kotłów, zagubieni w ciemnościach. Ale nerwów tej nocy nie zapomnę nigdy. Nikt nic nie wiedział, więc wszyscy wyobrażali sobie wszystko. Na „Bujnym” poddawały się kolejne maszyny, gdyby nas wtedy opadły torpedowce, nie uszlibyśmy ani na milę. Biegałem od jednego wysokiego oficera do drugiego, a każdy z innym pytaniem, innym strachem i inną wersją mnie wyprawiał. A nad oficerami, na pokładzie i pod pokładem: jeszcze gęstsza kotłowanina strachów i wyobrażeń upiornych z głów setek marynarzy. Przeszła północ, noc sięgała szczytu, byliśmy pewni, że Japończycy storpedowali już wszystkich poza „Bujnym”, który zagubił się na tych obcych wodach tak dokumentnie, że nawet wróg go odnaleźć nie może. Ja panom nie przedstawię atmosfery tej nocy, tego rozedrgania straszliwego w miljonie niepewności, tego rozpuchnięcia czarnych imaginacji - och, żeby nas wreszcie zaatakowali,



żeby storpedowali, zatopili! Już, już, niechby się zdecydowało! Ale nie. I do czego tymczasem dochodziło... Rożestwieński ze sztabowcami wystosowali propozycję przybicia do brzegu, zatopienia okrętu i poddania się Japończykom, sztabowcy wyciągnęli spod admirała białe prześcieradło i poszli z nim do Kołomiejcewa. Kołomiejcewa wścieklica porwała, poszarpał prześcieradło i cisnął je za burtę. Ale o świcie musiał już posłać przez radio po pomoc, „Bujnyj” się rozpadał, trzeba było przeokrętować admirała ze sztabem. Znalazł nas krążownik „Dmitrij Danskoj” z kontrtorpedowcami „Biedowj” i „Groznyj”; przesiedliśmy się na „Biedowego”. Kontrtorpedowce dały całą naprzód na Władywostok, a „Dmitrij Danskoj” został eskortować „Bujnego”. Potem się dowiedziałem, że to on zatopił „Bujnego” - na horyzoncie pojawili się Japończycy, nie było czasu, jedna bezpośrednia salwa zniszczyła okręt kapitana Kołomiejcewa. A „Biedowego”, jak się pokazało, Rożestwieński wybrał, ponieważ znał jego dowódcę, kapitana Baranowa. Ten Baranow w niczym mu się nie potrafił przeciwzić. Od razu nagotowano białą flagę i wzięto kurs na Dagelet. Nadal jednak szedł z nami „Groznyj”, a z kolei jego dowódcą był Polak, niejaki Andrzejewski. Wieniedikt Filipowicz się uśmiecha - no tak, żadna niespodzianka, jak dalej się historia potoczyła. Baranow podchodzi do Japońców z działami nieruchomymi, Andrzejewski pyta, co się dzieje, Rożestwieński każe mu zmykać do Władywostoku i sam wywiesza na „Biedowym” sygnały kapitulacji i prośby o pomoc z ciężko rannymi - szto dziełajet kapitan Andrzejewski? Lekceważy rozkaz, zawraca i pali z wszystkich dział do Japońców. Wiceadmirała z nerwów o mało udar sercowy nie ścisnął. My się poddajemy, a ten Polak atakuje - i Japońcy ostrzeliwiają obu po równo. Zapytacie mnie teraz, o co się wówczas modliłem: czy żeby nas na dno posłali, czy żeby w jeńców żywych i całych wzięli? Ano, szczerze tak odpowiem, niech mnie ojciec wyklnie, jeśli łzę: i o to, i o to.

- A Bóg wysłuchał?

- Przecie siedzę tu przed wami! Rożestwieński się poddał, poszliśmy do obozu japońskiego.

- A „Groznyj” - spytał doktor Konieszyn - co z tym polskim kapitanem?

- Doprowadził bezpiecznie okręt do Władywostoku. Tylko trzem czy czterem się udało, jemu między nimi. Co prawda sam kapitan Andrzejewski wyszedł z tego z ciężkimi ranami, po fatalnym trafieniu w mostek kontrtorpedowca. - Nasboldt zakręcił winem w pucharze, spuściwszy wzrok w czerwony wir. - Co tu gadać więcej... widzicie panowie: takie są wojny Lata.

...A teraz inaczej się będzie wojować. Żadnych tajemnic nie zdradzę, bo to i pan Pocięgło czy pan inżynier sami wiedzą dobrze, w Zimnym Nikołajewsku pracując, na co bowiem idą transporty najlepszego zimnaza z Sibirchożeta, dla czyich zamówień pierwszeństwo? Tak sobie poprzysiągłem, że wedle możliwości i uzdolnień moich skromnych zrobię wszystko dla zmazania owej hańby, i nie mówię tu jeno o kłesce czuszimskiej. Najpierw pilnowałem tam dla Admiralicji spraw produkcyjnych - teraz już nie w Kraju Lutych, ale na morzu Zimę wygrać trzeba. Wiele się zmieniło od roku tysiąc dziewięćset piątego. Od razu przecież Anglicy zbudowali pierwszego drednota - szybkość, manewrowość, działa dalekiego zasięgu, jednolite parametry, pancierz. I wszyscy poczęli ich kopiować, dostosowując się do nowych warunków bitew. Wszyscy, więc Rosja mogła co najwyżej wyrównać szanse. Ale od nadejścia Zimy, od odkrycia tungetytu i zimnaza mamy tu naturalną przewagę. Drednoty zimnazowe są co najmniej o dziesięć węzłów szybsze od drednotów Lata. Ich pancierz, cieńszy przecież i lżejszy, wytrzymuje mimo to uderzenia najcięższych pocisków. Armaty konstrukcji tomskiej, na chłodach irkuckich, o lufach w Zimnym Nikołajewsku odlewanych, niosą poza zasięg największych armat okrętowych Lata. Bomby tungetytowe, jeśli sprawdzą się w praktyce teraz na manewrach, zatopią w boju jednostki najsolidniejszej budowy, ściągając je w głębiny miljontonowym balastem lodu.

...Jednakowoż artylerje, panczerze, technologie - nie to odmieni oblicze wojny w Zimie. Jewo Impieratorskoje Wielicziestwo spogląda w przyszłość, Admiralicja planuje na lata naprzód, a Rosja - Rosja potrafi wyczekać całe pokolenia, stulecie i więcej, jeśli trzeba. Lód prze przez Azję, rozchodzą się lute, tężeje Zima - powoli, w tempie niepoliczalnym, wedle praw profesorom petersburskim nieznanych, ale ile by to czasu nie miało potrwać, w końcu przecież dotrze fala do granic kontynentu i Lód - Dietmar Klausowicz przygarnął ku sobie gestem szerokim białe krajobrazy zaokienne - Lód zejdzie na morza. Nie mówię, że od razu zamarzną oceany, pewnie nic podobnego nie nastąpi - ale jakże inne będą bitwy morskie pod niebem Zimy! Strzelamy - i wiemy, do kogo strzelamy. Jak trafiliśmy, to trafiliśmy; nie - to nie. Płyniemy tu i tu, nie gdzie indziej. Rozkazy są takie i takie. Zwycięży, kto musi zwyciężyć; przegra, kto musi przegrać. Niekonieczność ulegnie konieczności, fałsz prawdzie. Czy to tylko bajki syberyjskie, czy to jeno legenda bajkalska? Nie! Są plany, są strategie.

...Więc taki jest mój przydział, po to jadę na Pacyfik, taka moja profesja i marzenie najpierwsze: wojny lodowato czyste, geometrycznie piękne, o przebiegu matematycznie nieuchronnym. Gdy się tego nauczymy, gdy opanujemy taktyki Zimy, cóż stanie na drodze Imperjum? kto zagrozi Rosji? Zwycięży, ponieważ nie będzie mogła nie zwyciężyć.

I wzniosłszy niemy toast, kapitan Nasboldt przełknął szybko resztę wina.

- Wszystkie wojny od początku świata tak wyglądały - zauważył z niejakim rozbawieniem prokurator Razbiesow. - Chaos, niepewność i pomieszanie kłamstwa z prawdą - innych bitew człowiek nie toczył.

- Mhmmm, a łączność, bez łączności, jak bez łączności? - ziewnął przebudzony pan Pociągło. - Jeszcze większe poplątanie, wyobrażam sobie.

- Dlaczego „bez łączności”? - spytało się, poprawiając pled na kolanach i odsuwając się od kominka, aż krzesło naparło na krzesło prokuratora.

- Wieniedikt Filipowicz nie jest *au courant* - uśmiechnął się doktor symetryczny. - Może Nikola Tesla panu objaśni. Próbował pan złapać jakąś audycję na tym aparacie z salonki? Za mojego pierwszego pobytu na Syberji, kiedy to było, kilkanaście lat temu, dopiero się próbowali z telegrafem przewodowym i bezprzewodowym. Bezprzewodowy nigdy nie działał dobrze na Zabajkalu. Teraz nawet z kablem są kłopoty. Ale radio - niech pan zapomni.

- Mówią, że to przez Czarne Zorze - mruknął Piotr Leontinowicz. - Że zakłócają. Ale zawsze taki sam szum w eterze, Zorza, nie Zorza. Z Błagowieszceńska poczta idzie Transsibem i kurjerami konnymi, a po kablu to na wschód, do Nikołajewska Amurskiego i Władywostoku, bo w stronę Kraju Lutych tylko Nerczyńsk jest pewny w miarę.

Szarpnęło się wąsa.

- To znaczy, czy dobrze rozumiem, a-a, to znaczy, że w Irkucku nie ma telefonów, nie ma telegrafu...?

- A jeszcze się pan kapitan może rozczarować do całego planu - podjął coraz bardziej ubawiony doktor Konieszyn - jak mu żaden okręt w morze nie wyjdzie, zamknięty w porcie pod kwarantanną Białej Zarazy. A przecie to jest endemiczna choroba Zimy, nieznana na ziemiach Lata. Nawet ci uratowani - wyobraża sobie pan kapitan dowodzenie eskadrą okrętów obsadzonych przez ludzi pozostających pod władzą przeróżnych manij nerwowych, powtarzalnych dziwactw, natręctw ruchu i mowy?

- Pan doktor ich wyleczy - mruknął Dietmar Klausowicz.

- Ha! Oto jest pytanie! - Odkleiwszy papierosa od dolnej wargi, Konieszyn zawiesił między bokobrodami na wysokości ust palec wskazujący, prosty jak nóż. - Czy należy leczyć z Zimy? Czy raczej należy leczyć z Lata? Wszystko to, co wrogowie Lodu biorą za zło i wypaczenie -

- Następny Lodu przyjaciel - zachnął się pod wąsem prokurator, strzepując popiół z niedopałka do podsuniętej przez stewarda ceramiki.

Wyjęło się papierośnicę.

- Pan się zna z doktorem Konieszynem? - spytało się półszeptem.

- Nie, dlaczego?

- Teraz dopiero wspomniał, że mieszkał już na Syberji. To jego, mhm, zauroczenie Zimą... - Zapaliło się. - Tak jak marcynowcy ulegają Lodowi ze względów mistycznych, pozarozumowych, tak pan doktor Konieszyn poddał się czystej idei Lodu. Jeśli pojmujecie, co mam na myśli.

Piotr Leontinowicz nachylił się przez poręcz fotela.

- Namawiał was.

- Co?

- Namawiał, prawda? - Razbieszow machnął wolną ręką. - Oni wszyscy... jak zalotnicy, jak łapówkarze, patrzyłem na to i myślałem: kogo młodzieniec dopuści, kogo wybierze? Czy w ogóle wie, że wybiera?

- Pan kolejny - rajfur Historji.

Nie obraził się. Zmrużył oczy, obrócił głowę sępią na prostym karku.

- Historja, no tak, słyszałem, słyszałem, *tel père, tel fils*. Ale dlaczego? Bo pan ich przyciąga. Jak światło ćmy, gorzej, jak ofiara krzywdzicieli, takiego człowieka można łatwo poznać, a oni poznają najprędzej. Korzystają ze sposobności, tu już serce Zimy - niechże się pan ratuje!

- Ratuje...?

Nachylił się jeszcze głębiej, zaraz mu kręgosłup trzaśnie.

- Nie to, co inni - ale co pan chce z Historją zrobić!

- Ja? - się zaśmiało się przez dym, otwartymi ustami łapiąc oddech pod falą gorąca. - Ja nie chcę nic.

- Co to znaczy? Nie ma pan żadnych pragnień? Nie chciałby ujrzeć świata lepszym, doskonalszym? Każdy chce. Nawet zbrodniarze - ba, oni najmocniej, może mi pan wierzyć, od nikogom nie słyszał tylu projektów ogólnoludzkiej szczęśliwości i marzeń szlachetnych o

raju na Ziemi, co od morderców i inszych złoczyńców wysokiego afektu, a im brudniejsza ich zbrodnia, tern pewniej potem w swej spowiedzi po wzniosłe słowa sięgną, jakby w owym ostatecznym upadku, zrzuceni na samo dno najgłębszej, najciemniejszej studni, mogli już patrzeć tylko wzwyż, tylko jeden obraz przed oczyma im pozostał: niebo, gwiazdy, przestwór anielski. Ów katorżnik-ochlejus, co się tu przed panem był wywnętrzał - niech pan mi powie, o czym mówił, czy nie o zbawieniu ludzkości? Ha!

- Ci, co upadli na dno, wiedzą, na czym stoją.

- Pan się śmieje. Czy to jest rzecz do śmiechu? Nie wie pan, czego chce - jak może pan wiedzieć, kim jest? A proszę się śmiać, proszę bardzo - ja patrzę i serce mi się kraje. Nie mówię, że doktor Konieszyn ma rację. Ale, na litość Boga w Trójcy Jedynej, nie można całego życia rozpuścić w Lecie!

...Ongi ludzie gotowali się na tę Zimę jak na śmierć, to znaczy bez strachu i ze spokojną pewnością siebie, i tak jest nadal na naszej prowincji, na wsiach, prosty lud rosyjski w Zimie rodzi się i umiera, chłop, syn chłopca, syna chłopca, syna chłopca, któren nie mógł mieć nigdy nadziei na żywot inny, jak ten jeden od urodzenia oczywisty: w pracy do ziemi przyginającej, w nieszczęściu, w nędzy, cierpieniu, w beznadziei właśnie. Ale u miastowych, u nas, ludzi kształconych - my pobłogosławieni zostaliśmy narodzinami w Lecie, i to Lato z pokolenia na pokolenie trwa coraz dłużej, teraz już nie tylko dzieciństwo, nie tylko czasy gołowąsne, ale i potem, człowiek dwudziestoletni, człowiek dwudziestopięcioletni, do szkół takich i owakich uczęszczając, po świecie wojażując za rodziny pieniądze, z tego i owego kwiatka nektar miłosny pijąc, ani zawód i karierę pewną obrawszy, ani sakramentem świętym, dośmiertnym z kobietą związany, ani dom dla siebie wzniosłszy - kto on? Ot, motylek roztańczony, świetlik rozmigotany, jasna tęcza. Ale prędzej czy później nadchodzi Zima, ścina go Mróz, i nagle: kim ja jestem? co się stało? skąd bachory, to moje? ta baba, przy której się budzę co świt - taką-m wybrał? ta robota, do której muszę ranek w ranek chadzać, z serdeczną nienawiścią dla każdej jednej w niej czynności - moje życie? Nie tak miało być! Nie tak miało być! Oni to, oni, ścięte Mrozem dzieci Lata, nocą pijaną łapią za cegłówkę, by rozbić nią łeb sąsiadowi zamożnemu, potem nawet niezbyt pilnie kufry mu przetrząsając. Nie tak miało być!

Pod drapieżnym spojrzeniem sępiem spuściło się oczy na pled i parkiet w płomiennych refleksach lśniący, na same płomienie tańczące, migoczące.

- Czemu mi pan prokurator takie rzeczy opowiada?

- Możecie mnie za przesadnego starucha wziąć... Ale wystarczająco długo żyłem na

ziemiach Lodu. Niech pan uważa! W Kraju Lutych nie zdarzają się nagle nawrócenia i rewolty serca, nie słyszałem o łotrach zatwardziałych wtem padających na twarz przed ikonami, ani też o duszach szlachetnych dopiero tu znajdujących upodobanie w występku i plugastwie. Kto jakim tu przybywa, takim najpewniej już pozostanie.

Chyba że ma na podorędziu pompę Kotarbińskiego, pomyślało się zgryźliwie.

Skinęło się na stewarda. Podał popielniczkę. Skinęło się raz drugi - kieliszek wódki.

- Pan prokurator spojrział okiem prokuratorowskim, przebił podejrzanego spojrzeniem na wylot, wie o nim w mig wszystko, i czego on sam o sobie nie wie, to także, to najprędzej.

- Panie Jeroślacki -

- Gierosławski, nazywam się Benedykt Gierosławski!

- *Ob, je vous demande pardon, je n'avais aucune intention de vous offenser.* Panie Benedyckie, proszę mi wierzyć, nie ma w tej radzie żadnych złośliwych zamysłów. Najpierw w wojsku, teraz w służbie prawa, to są profesje, w których wyrabia się oko rzeźnika, oko rzeźnika na ludzi. Raz, dwa, patrzę i wiem i decyduję: tego posłać z takim rozkazem, tego z takim, ten tchórz, czmychnie od pierwszego huk, a ten mężny, pchnąć go pod ogień, wykona wszystko. I tak samo w śledztwie i w procesie: czy mu zawierzyć? czy mógł ukraść? czy mógł zabić? Rzeźnik podejdzie, obejrzy, omaca: z tego będzie dobry comber, tego tuczyć jeszcze, tego sprzedać, a ten na rozplód. Powie pan, że każdy człowiek inny i że człowiek nie bydło, człowiek tajemnica. W powieściach wydumanych i w miastach wielkich, jeden na tysiąc, jeden na dziesięć tysięcy może. Ale w życiu?

...Zdradzę panu mądrość, którą nabyłem po latach: ludzie są do siebie podobni. Ludzie źli podobni są do ludzi złych, ludzie dobrzy do dobrych, tchórze do tchórzy, szlachetni do szlachetnych, kłamcy do kłamców, prawdomówcy do prawdomówców, mordercy do morderców, a głupcy do głupców - osobliwie tutaj, na ziemi Lodu.

- I do kogo ja jestem podobny?

Piotr Leontinowicz Razbieszow wydmuchnął wówczas gęsty kłęb dymu tytoniowego i włożywszy weń dłoń, wykonał nią gest pokrętny, zaciskając przytem raz po raz palce. Na koniec został z pustą ręką i na wpół rozegnanym obłokiem siwym, i z uśmiechem melancholijnym pod wąsem.

Łyknęło się ciepłej wódki, odkaszlnęło się.

- Więc nie będziecie mnie namawiać na lute, nie powiecie mi, co mam ojcu podszeptać... Nie kusi was? Sami mówiliście: każdy ma jakieś wyobrażenie lepszego świata, każdy czegoś pragnie. Jakie jest wasze marzenie?

- Nie.

- Ale dlaczego? A nuż mnie przekonacie!

- Jak mogę was przekonać, skoro nie macie własnego zdania?

- Boicie się wziąć odpowiedzialność!

- Gdybyście rzeczywiście byli moim synem...

- To co?

- Próbujecie się upić?

Machało się na stewarda z drugim i trzecim kieliszkiem.

- „Próbuję”? A bo to może się kiedy nie udać?

- Idźcie już spać.

Wychyliło się szkło na raz. Razbiesow złapał za uniesioną rękę.

- Idźcie spać, wyśnijcie to wszystko z siebie, tak dusza wypaca chorobę; a jak rano wstaniecie, świeży, rześcy, obmyjcie się i ogolicie i zajrzycie w lustro - i będziecie wiedzieli, kim jesteście, czego chcecie i co ojcu rzec wam trzeba.

Rozgniotło się papierosa w pustym kieliszku.

- Tak. Racja. Mam przecież insz-szrukce. Kurjer przybędzie. Nie wierz staremu. Żyjesz!

Pomógł wstać, podtrzymując za łokieć i łapiąc przewracające się krzesło, gdy steward schylił się za kocem opadłym niebezpiecznie blisko paleniska. Nawet nie bardzo rzuciło Ekspresem na boki, nie hamował, nie szarpał, jednak się musiało się opierać co krok o ścianę, o futrynę, na uchwycie żeliwnym. W drzwiach przejścia międzywagonowego się obejrzało się jeszcze przez półmrok i półcień ku jasnemu ognisku pod zimnawym okapem kominka. Inżynier chrapał głośno, z głową wstecz odrzuconą i ustami rozwartymi, doktor Konieszyn i kapitan Nasboldt dyskutowali półgłosem z ponuremi uśmiechami na oświetlonych migotliwie obliczach, a Porfiry Pocięgło częstował prokuratora ze srebrnego portcygara. Majaczące za oknami tumany bieli rozbłyskały nad pasażerami, gdy złoty półksiężyc przebijał na moment chmury. Potrząsnęło się głową. Złudzenie pijackie, przecież Piotr Leontinowicz Razbiesow w

niczym go nie przypomina. Podreptało się do przedziału, szorując barkiem o boazerję i powłócząc nogą sztywną.

Na korytarzu przed swoim atdielienjem stał samotnie książę Błucki-Osiej, w grubym schlafrocku czerwoną nicią wyszywanym, z herbem i inicjałami na sercu, w siatce na włosach i bindzie czarnej na wąsach. Ręce wcisnąwszy w kieszenie, popatrywał przez okno spode łba, w zmrzeniu powiek charakterystycznym dla krótkowidzów. Coś gwizdał lub nucił pod nosem, ale czyniło się za duży hałas, zataczając się w ciasnym korytarzu; zaraz się obejrzał i zamilkł, nie dosłyszało się melodji.

Się przyplaszczyło się do ściany.

- Przep-szam.

Cofnął się.

Próbowało się minąć go, unikając kontaktu wzrokowego i kontaktu cielesnego, ale czy akurat wtedy pociąg raz jeden chybnął się mocniej, czy też w głowie się przelala bania rteci, ciągnąc za sobą korpus i ręce i nogi wbrew poczuciu równowagi - wpadło się na księcia, w ostatniej tylko chwili, chwala Bogu, zaparłszy się przedramieniem o drzwi atdielienja.

- Przep. - Gorąco, wszystkie okna pozamykane, człowiek się tu przecież udusi. Zgięty w niewygodnej pozycji, się mocowało się jedną dłonią z zapiętym kołnierzykiem. - *M'excuser.*

Książę skrzywił się, odstąpił jeszcze o krok i zastukał do przedziału obok. Z którego zaraz wystawił głowę radca Dusin. Książę coś mu szepnął, skinął ponagląco. Radca narzucił na pyjamę tużurek i wyszedł na korytarz - następny do pomocy: wziął pod ramię, stanął bokiem, pociągnął, noga lewa, noga prawa. Dopiero dotarłszy tym sposobem do atdielienja i padłszy na posłanie (Dusin otworzył drzwi wydobyłym z kieszeni surduta kluczem), zdołało się wzbudzić w zaczadzonym umyśle mdłe zdumienie. Książę - dopiero co obić chciał, a teraz jaki miły staruszek, tylko cukierka nie podarował. Dusin - czemu nie byle prawadnik, steward? Pomacało się za pozostawioną na sekretarzyku szklanką wody. Dusin, bo pogadali sobie z ochrannikami Tesli, uwierzyli Fogielowi. Agent sekretny ubiłby w środku nocy Syna Mroza na pustym korytarzu Luksu. Ha! Teraz książę chronić go będzie wbrew swej małżonce. Przyjaciel Nikoli Tesli jest przyjacielem cara, wrogiem lutyh. Hop-siup, wszystko do góry nogami. Gdzie ta szklanka. Ręka spadła, strącając na dywan papiery. Błade odbłaski lodu rzucały po wnętrzu atdielienja zimne zajączki. Czy radca zamknął drzwi? Gdzie klucz? Gdzie laska? Siadło się, zzuło się surduta i buty. Uff, Matko Boska, co za gorąc. Zapukano do drzwi.



- Kogo djabli niosą!

Puka dalej.

- Pana nie ma w domu! Paszli!

Nic to, cholernik puka i puka. A jechał go sęk, niech tam stoi i objaja se kłykcie. Usiłowało się rozpiąć mankiety koszuli, zębami pomagając palcom nieporadnym.

Dusin jednak nie zamknął był drzwi. Uchyliły się z wolna, w lodową poświatę wpłynął cień wysokiej sylwetki.

Krew uderzyła do głowy, oddech zatrzymał się w płucach. Przyszedł! Zabić! Wyszarpnęło się zza paska Arcymistrza - wypadł z rąk, poleciał pod sekretarzyk. Padło się z hurgotem na podłogę, przewracając taburet i strącając na głowę szklankę. Złapało się ją po omacku i cisnęło z całej siły w drzwi. Ekspłodowała na futrynie z hukiem granatu, sypiąc naokoło odłamkami. Cień odskoczył z powrotem na korytarz, pchnięte drzwi trzasnęły o szafę.

Się wyczołgało się spod blatu, odwijając szmaty z Grossmajstera.

- ...*putain de merde, żeby tak, mon oeil, sacrebleu...*

- *Monsieur Verousse...?*

Tyczkowaty dziennikarz wejrzał ostrożnie do przedziału. Jedną ręką trzymał się za policzek, w drugiej wysuwał przed się laskę delfinią.

- ...za pianinem przepraszam pan pozwoli znalazłem myślałem szedł do siebie o tę rozmowę prosić jeśli pan że przepraszam *bonne nuit, bonne nuit, bonne nuit!*

Poczem delikatnie położył laskę za progiem i uciekł.

Stanąwszy wreszcie na nogi, zamknęło się pośpiesznie drzwi.

A więc tym się zamarznie, bez dwóch zdań: tchórzem. Zachichotało się. Poznaj mądrość wielką: tchórze podobni są do tchórzy! Zapaliło się światło. Ruch w zwierciadle - biały gors, przekrzywiony krawat, nieprzyjemna fizjognomja, czarny rewolwer w garści. Rozstawiwszy szeroko stopy, wycelowało się z Arcymistrza w lustro, przymykając lewe oko i wysuwając język. Zamarzaj! Pif, paf, rosyjska ruletka, na kogo padnie, ten wjedzie do Kraju Lutych: hrabia węgierski, bojownik Piłsudskiego, matematyk zwarzjowany, Syn Mrozą, wróg marcynowców, marcynowców przymierzeniec, pies Rappackiego, karciaz nałogowy, blagier i łgarz, przyjaciel Nikoli Tesli, zdrajca i tchórz i bohater wielki, rządca Historji, człowiek,

którego nie ma, a może - Puk-puk.

- Kto tam! Opowiadać się! Bo rosss-czelam!

- Panie Benedykcie? Wszystko dobrze? Usłyszałyśmy hałasy. Nic się nie stało? Panie Benedykcie?

- O, nic, nic, przep-szam stukrotnie, niech Marjolka wraca spać, to jest, chciałem, pani Urszula, już będę cicho, ciociu, ciszej, cichuteńko, ciii. Dobrej nocy pannie Jelenie!

- Mhm, dobrej nocy.

Poszła.

Się schyliło się po szmaty na Arcymistrza i syknęło się z bólu. Podskoczywszy na zdrowej nodze, przysiadło się na taburecie. Odłamek szkła przeciął skarpetę i skórę, wniknął w piętę. Paznokciami nijak nie szło go schwycić, tern bardziej do mięsa obgryzionemi; zdałaby się penceta albo igła jakaś. Znalazło się zmiażdżonego Watermana, stalówka powinna się nadać - zadziór wąski pozostały ze stalówki, reszta tkwi w szyji Jurija. Ale może lepiej zdezynfekować wpierw. Sięgnęło się do minibarku. Co tam się ostało - wódeczka, nu, ładna, ładna. Polało się. I w gardło resztę, po co się ma zmarnować. Następnie przystąpiło się do operacji wydłubywania szkła z pięty. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, zgięty w pałąk na tym taburecie, z nogą koślawo podciągniętą niemal pod brodę, kolanem znowu nieludzko bolącym, z krzywem piórem nacelowanem niczym z szamańskim lancetem... dziab, dziab -

Puk-puk.

Dziab!

- Oż kurwy wasze niekrzczone w dziegciu topione!

Zleciało się z taburetu, waląc przytem łbem o łóżko.

- Pan otworzy.

- Pocięło...?

- Proszę. - I apiat': puk-puk, puk-puk.

Wytrzeszczając oczy na pokryty lśniąciami drobinami szkła dywan, pomaszerowało się na czworakach do drzwi, lewą nogę wlokąc niczym pies kulawy. Sięgnąwszy klamki, się obróciło się na siedzeniu, wykręcając kończyne, by wyszarpnąć z pięty złoconego Eyedropera.

Pan Porfiry Pociągło stanął w progu i w progu go zamuroowało.

- Czego chciał? - mruknięło się, studując nowy kształt fantastyczny, jaki przybrał przydepnięty korpus wiecznego pióra.

- Chyba rzeczywiście... - Pociągło wyjął chusteczkę, starł pot nad brwią, wydmuchał nos; oćmiata została na twarzy ta sama. - Nie najlepsza pora...

Wycelowało się w niego skoljotycznego Watermana, ponownie z krwią na stalówce.

- Gada.

Spojrzawszy szybko w obie strony korytarza, westchnął i przykucnął w progu, łapiąc za wahające się drzwi.

- Uważa pan, chciałem na osobności, przed Irkuckiem... Czy pan mnie słucha? Panna Jelena Muklanowiczówna -

- Panna Jelena!

- Ciii! - Zdenerwował się. - Bądźże pan cicho! - szeptał. - Usz, spił się pan jak świnia.

- Wyp-szam sobie! Pan mnie o-obraża! - Wymachiwało się piórem krwawem przed nosem zirytowanego Pociągły. - Żądam satysfakcji, ta jes, sadysfakcji.

- Torsje pana biorą.

- Pojebunek na - na - na - na cztery, dwa metry, a kto kogo obrzyga - ja rzygam dalej! Chodź pan! Ja dalej, ja rzyg mocarny, nikt jak ja! Tak pana zarzygam, że rodzona świnia pana nie pozna!

Odepchnął rękę z piórem.

- Cham obrzydliwy. A ja myślałem jak do szlachcica, w sprawie sercowej... - Wstał. - Co ona w panu widzi, doprawdy. Tfu!

- Hihih.

Chciał trzasnąć drzwiami, nie mógł, odszedł bez głośnego gestu.

Się cofnęło się na czworakach. W drzwi rzuciło się butem, zamknęły się za drugim razem.

W sprawie sercowej, a to dobre. Zadurzył się w Jelenie czy co. Obwiązało się piętę krawatem. Cham obrzydliwy, czemu nie, piękną karierę można zrobić, chamstwo ma wielką przyszłość, cały świat stoi przed chamstwem otworem, subtelni, wstydlivi i wrażliwi ustępują

przed nim, bo tylko cham by ustał i nie ustąpił, mądrzy nie wdają się w dyskusje przegrane po pierwszym ciosie maczugi, szlachetni litują się nad chama nieszczęściem, cham prze naprzód, nic nie mąci spokoju jego chamskiej duszy, cham się nie wstydzi, nie czerwieni, nie uśmiecha przepraszająco, on nawet nie widzi drwin i szyderstw, nigdy nie czuje się nieswojo i niezręcznie - ponieważ jest chamem. Cóż go powstrzyma? Nie ma takiej siły. Zaprawdę, chamy posiadają Ziemię, chamstwo zasiądzie na tronach świata. Włożyło się łeb w umywalkę i zwróciło się w porcelanę pół litra kwasu i wódki. Dłuk-dłuk-stuk-stuk, do ściany dotoczyła się otwarta buteleczka. Przechyliwszy flaszunię, wytrząsnęło się w gardziół resztkę trunku.

Taak. Zakochał się, biedaczyna. Pociągnęło się na czworakach do łóżka. Do kolana przykleiła się kartka. Zgarnęło się rozrzucone papiery. Co my tu mamy, *Zagadnienie istnienia przyszłości*, furda, przyszłość nie istnieje, zresztą przeszłość także nie; a, i drugi list PPS-u, szyfr równoległej pamięci - skażycie mnie: prawda ili fałsz? I jeszcze te kartki zabazgrane - list do panny Julji! Tak długo się już do niej nie pisało! Zapomniało się zupełnie.

Capnęło się za ołówek. Palce śliskie, wymyka się. *Niech mi panna wybaczy, że tyle czasu mi to zabrało* - ale czemu ten pociąg tak trzęsie! - *aż trzeba mi było się upić* - no przecież tego się jej nie napisze! - *trzeba mi było zajrzeć w oczy śmierci* - o, jak dramatycznie! - *żeby pojać* - co takiego? - *wszystkie błędy, chwile pustoty, szaleństwa zapędy* - pijany, na miły Bóg, no upił się i wierszem pisze! Podłubało się ołówkiem w ucho. *Zdawało mi się, że kocham pannę, jako że była to idea nazbyt piękna, by ją odrzucić* - *cóż bardziej wzniosłego od nieszczęśliwej miłości? Wiem dobrze, że nie dała mi panna po temu żadnych* - a jak uśmiechała się spod grzywki, jak łąpała rączką prędką za nadgarstek, za przedramię i przyciskała do siebie, niby to dla zatrzymania i zwrócenia uwagi, żeby pilniej w słowa się jej wsłuchać, nie uronić jej mądrości krętych, węzowych, ale czy kobiety nie rozumieją takich znaków, czy nie pojmują, że nie pocałunek otwarty, nie obłapianki w bramie ciemnej i nie słowa proste, ordynarne, ale - jedno przelotne spojrzenie, uśmiech zza chustki, muśnięcie paluszka, rąbek sukni pod stołem na nogawkę kawalera opadający -

...Jak wtedy, gdyśmy stali pod lipą w deszcz jesienny, panna coś mówiła prędko, trąc dłonią o dłoń i wdychając głęboko deszczowe powietrze, aż uderzyła nad łęką błyskawica, za lasem druga, zbieraj się, Julka, krzyknąłem, uciekamy spod tego drzewa, trafi i nas! Pobiegliśmy miedzą przez pole i drogą błotnistą do stodoły Wąglów. Potem Julja wytrząsała sobie deszcz z włosów, krople wody jak korale szklane, tylko ich twardego stukotu, gdy padały na klepisko, nie było słyhać - wytrząsała, pochylona w przód, z głową nisko, między kolanami; na łuku jej pleców, u samej góry, nad haftkami, a pod kołnierzem lekkiej sukni,

przez mokry jej materiał przebiły kształty najwyższych kręgów kręgosłupa, guzki okrągłe jak guziki skóry zapinanej na ciełe od tyłu i od wewnątrz, to znaczy jakimiś czerwonymi paluchami chrząstek i ścięgien spoza żeber, od strony mostka, od płuc i serca. Wyciągnąłem rękę i położyłem dłoń na tych kręgach, przycisnąłem palce do karku Julki. Czułem pod nimi każdą kosteczkę, każdy guzik. Obejrzała się przez ramię. Odstąpiłem, zmieszany. Stała w drzwiach stodoły zapatrzona na burzowy krajobraz, za obejściem otwierał się widok na całą dolinę w dżdżu, ziemie ordynacji i las dzierzawiony. Klasnęła radośnie. - To wszystko będzie moje! - Przytaknąłem jej, jak od dzieciństwa zwykłem przytakiwać wszystkim jej planom. Stałem z tyłu, nie patrzyłem poza pannę. Ręce mi się trzęsły, musiałem schować je za siebie. Guziki kręgosłupa rysowały się pod materiałem aż nadto wyraźnie. Tak bardzo pragnąłem ją rozebrać...

Inne są miłości Lata.

### **O przewidywaniu przyszłości**

Śnieżyca okrutna zamazała kształty zabudowań dworca w Kańsku Jenisiejskim, zamalowała smugami białymi cały peron i nawet sam skład Ekspresu Transsyberyjskiego, że po zstąpieniu z najniższego stopnia podstawionych schodków w szare błoto, już zamarzające, widziało się ledwie dwa najbliższe wagony, latarnię peronową oraz starą tablicę ostrzegawczą zawieszoną pod nią, i może jeszcze rozświetlony feerją tęczę maszyw zimnazowego parowozu w oddali, czerń ostrą przebłyskującą przez wszechogarniającą biel - tyle.

Na tablicy spod grubej powłoki szronu czerwieniał krzywy napis:

**Лёд!**

Jakby kogo trzeba było jeszcze informować. Kan i Jenisiej pod krąg, kiście sopli wiszą na drzewach, para buchająca spod maszyn przesuwająca się nad ziemią kanciastymi obłokami. Zapięło się nowiutkie, pierwszy raz włożone futro, naciągnęło się na głowę czapę ciężką i pokuśtykało się ku tyłowi składu. Laska odjeżdżała na boki na zmarzlinie przykrytej świeżą szlają i śniegiem, żadna podpora. W kolanie ćmił piekący ból, we łbie dudniło, żołądek

ściskał się i rozciskał w skurczach, które podnosiły do gardła ciepły kwas, a gardło bolało samo z siebie, poharatane. Przegrzane do niewytrzymania wagony Luksu tak wysuszyły przez noc powietrze w przedziałach, że o świcie człowiek się budził z podeszwą kozackiego kamasza wszytą od podniebienia za językiem, z kamieniem pumeksowym zamiast języka. Wypiło się prosto z kranu bodaj litr wody, dopiero głos ludzki z krtani się dobył. Głos, to znaczy kolejne przekleństwo poranne na widok mordy zakazanej objawionej w zwierciadle. Zasnęło się było z facjatą na liście niedokończonym i teraz pod okiem, jak malunek klauna cyrkowego - karykatura łyzy - odbijał się długi trójkąt grotu ołówka. Ziewało się, aż szczęka trzeszczała.

Ósma rano miejscowego czasu, Słońce słucha się astronomji lata, ale na ziemi - Zima. Zadarło się głowę, próbując zajrzeć do wnętrza mijanego atdielienja panny Muklanowiczówny, ale okno było zasłonięte. Śpią pewnie, jasne, że śpią; też powinno się było spać - gdyby nie natrętne wspomnienie wczorajszych słów prokuratora Razbieszowa, i gdyby nie katzenjammer ciemny, który je raz po raz -

Skrzypu-skrzyp, to nie echo w śnieżycy, to ktoś z tyłu idący, krok w krok podążający. Stańło się, się odwróciło się. Dusin.

- Dzień dobry.

- Witam, witam.

Też stanął.

Zacisnęło się zęby. Się nie odezwie się pierwszym, choćby się miało tu sterczeć do odjazdu Ekspresu.

Radca dopiął pośpiesznie płaszcz, postawił kołnierz, naciągnął na uszy szapkę lisią.

- Pan wybaczy. Kiedykolwiek pan teraz opuści pociąg, przez ten dzień, póki nie dojedziemy do Irkucka - będę panu towarzyszył.

- Ach! - Zamrugało się, gdy płatki śniegu zlepiły rzęsy. - A co na to księżna?

- Ich Wysokości -

- Pokłócili się.

- Wieczorem przed tańcami -

- O mnie.

- Niechcący -

- Wygadaliście się księciu. Uwierzył, że -

- Teraz oni nie -

- Nie rozmawiają ze sobą.

Czym w końcu więc człowiekiem jest Zachary Fieafilewicz Dusin? Przyglądało się mu przez biel wirującą. Stał z rękoma wbitemi w kieszenie płaszcza, z brodą hardo podniesioną, zmijowy wzrok przepalał śnieżycę.

- I wyzbyliście się waszych strachów marcynowych, liedniackich?

- Jego Wysokość kazał, Dusin poszedł. Jej Wysokość kazała, Dusin poszedł. Nie pytajcie o strachy Dusina.

Odkaszlnęło się.

- Ale może to łgarstwo, może teraz właśnie to księżna wam kazała - pójść za mną, nóż mi w nerkę wbić, gdy odwrócę się plecami do anioła stróża.

- Nie kłamię!

Kłamał? (Teraz spojrzeć jak prokurator Razbieszow!) Nie kłamał.

Poszło się do wagonu Tesli, Dusin dwa kroki z tyłu.

Otworzył Fogiel. Szalikiem zasłaniał usta przed mrozem, drugą rękę podał, pomagając wejść. Chciał też pomóc Dusinowi, ale potrząsnęło się głową. - Czekacie na zewnątrz! - Siwy ochrannik spojrział dziwnie i zatrzasnął drzwi przed nosem radcy. Potem z powrotem nasadził sobie na nos binokle, przetarłszy je chusteczką.

Się rozglądnęło się.

- Jest doktor Tesla?

Fogiel wskazał za koce rozwieszane w poprzek wagonu, od obudowy wielkiej pływnicy do sterty pak blaszanych. Laską odwinęło się ciężkie tkaniny. Był to rodzaj przedsiotka, pomyślanego dla zatrzymania ciepła w najdalszej części wagonu, gdzie znajdowały się posłania stróżów, samowar, a teraz także masywny piecyk żeliwny, którego rura kominowa wychodziła z wagonu przez górne okienko, obszczelnione szmatami smołowanymi. Deski podłogi kryła gruba warstwa starych sienników, dziurawych skór, worków z pakułami; stapało się po tym jak po grząskim torfowisku. Na stołku przy piecyku siedział Nikola Tesla, w rozpiętym wielkim czarnym futrze i w meloniku; notował coś w oprawnej w skórę książce, zgarbiony. Na posłaniu, pod kocami i okopconym kożuchem, pochrapywał Oleg. A nad

samowarem, szumiącym i pofukującym, pochylała się *mademoiselle* Filipov, i to ona pierwsza poderwała się z pozdrowieniem.

A spojrzawszy z bliska, wydeła wargi i załamała rękę.

- *Mister* Benedict, ale jak pan wygląda, przecież pan w łóżku powinien leżeć, z panem widać nie może być aż tak dobrze, jak doktor Konieszyn mówił, te tańce, nie powinien był pan, o, jeszcze pan kuleje, co też pan najlepszego z sobą wyprawia?

Ucałowało się ciepłą rączkę.

- Czy oni nas rozumieją? - spytało się po francusku.

- Kto?

- Nasi rycerze kancelaryjni.

- Nie. Nie znają -

- Ale mogą zrozumieć, co najważniejsze - odezwał się Tesla, podnosząc oczy znad notatnika. - Jeśli to, co powiadają o Kraju Lutych, jest prawdą.

Podkuśtykało się doń, ujęło się wynalazcę pod ramię; gładkie futro wyslizgiwało się z urękawiczonej dłoni.

- Pamięta pan naszą rozmowę? - szepnęło się. - Przy ogniu tajgi.

- Tak. - Spojrzał z góry, wciągając suche policzki. - Nie musi pan pytać.

- Dobrze. Pompa Kotarbińskiego - Fessar ją uszkodził, widziałem.

- Pompa... ach, ta. - Zerknął na pannę Christine. - Zreperowałem ją jeszcze wczoraj. - Wstał, strzelił palcami w białej bawelnie. - Już, już serwuję.

Przenieśli ją tu z przodu wagonu, stała teraz na skrzyni przy samowarze, Serbowi wystarczyło zrzucić z niej partowy wór.

- Już poprzednio mnie to ciekawiło - mruknęło się, ściągając rękawiczki, podczas gdy doktor Tesla wpinał do maszyny czarne kable i wtryskiwał między rozkręcające się metale ciepły smar. - Co mianowicie ją napędza, nie widzę żadnych -

- Myśleć, myśleć, młody człowieku! Jak robię korbą i siłę mechaniczną zamieniam w ćmiecz, to w przeciwnej -

- Prawda, energia z baterij teslektrycznych. A wydajniejsze to od maszyn parowych i ropnych?



Wzruszył ramionami.

- Jeszcze same prototypy, liczę tak, liczę owak, zobaczymy. Wygodniejsze, owszem. No, proszę.

Schwyciło się nagą dłonią zimnazową lufę, Nikola Tesla nacisnął spust.

...na pannę Filipov, która przyglądała się bynajmniej nie z lękiem, nie z gniewem i wyrzutem na jasnej twarzy, uroczo spieczonej mrozem w rumieńcach cukierkowych, lecz z jakąś niezdrową intensywnością, z jakąś ironiczną satysfakcją, oczyma niemrugającymi, przymrużonemi. Stukała obcasem o skrzynię i chuchała we włóczkowe rękawiczki. Nie może to być, zaraz nie wytrzyma, wybuchnie oburzeniem, gorzkimi wyrzutami, wybiegnie naburmuszona. Nie, inaczej: rzuci się z piąstkami zaciśniętymi, na Nikołę, na maszynę, wyrwie kable, podepcze. Nie, inaczej: sama złapie za drut zimnazowy, stanie przed Teslą, niech ją teraz rozćmieczy, niech strzela! Jeszcze inaczej: złamie się wtem i uleci z niej cała ironja i wybuchnie panna Christine płaczem, tupiąc po workach i szmatach w dziecinnej frustracji. Nie, inaczej, inaczej:

Wyjęła z rękawa chusteczkę.

- Proszę się doprowadzić do porządku.

- *Merci bien.*

Otarło się brodę, gdzie zebrała się ślina, co wyciekła tymczasem z ust bezwładnie rozwartych.

- Zostajesz? - Christine spytała Tesłę.

Nie odpowiedział, nachylony ze zmarszczonymi brwiami nad pompą, która znów zaczęła w swoim warkotliwym szczekocie pokasływać i świstać nieładnie; podniósł tylko rękę. *Mademoiselle* Filipov zrozumiała.

- Cóż... pan Benedykt w takim razie...

- Bardzo pannę przepraszam...

- Za cóż pan przeprasza?

Zapięła palto, poprawiła etolę i poleciewszy panu Fogielowi, by dopilnował samowara, wyszła; zaraz zaszurgotały odsuwane drzwi.

- O co jej chodzi? - spytało się w dezorientacji. Gdzie rękawiczki? Lewa kieszeń, prawa kieszeń, znalazło się je wciśnięte za łańcuch pływnicy. Jak wciągnąć je bezboleśnie na

oduczone, pogruchotane palce? Nie da się. - Chsss. Bała się, że znowu przydarzy się jakieś nieszczęście, ale teraz...?

- Rozmawiałem z nią w nocy - rzekł cicho doktor Tesla, nadal po francusku, nie odwracając się. Fogiel zagrzechotał pokrywką imbryka i Oleg jęknął przeciągle przez sen. Serb zerknął na ochranników. - Za dużo wypła, siedzieliśmy długo, w końcu powiedziałem jej wszystko.

- To znaczy...?

- Wszystko, mój niedomyślny przyjacielu, pański plan jabłkowy.

- Mój - co?

- A idźże!

Odetchnęło się głębiej, raz, drugi. Buty zapadały się w obłożonym materacu słomy i trocin; pociąg stał, a jednak cały wagon towarowy kołysał się na boki pod miękkimi nogami. Wyszło się za zaciągnięty kocami przedsionek i dopiero przypomniała się laska; zawróciło się. Doktor Tesla nawet nie spojrzał; wyłączył już transformator i podpinał teraz do wywleczonych na wierzch tungetytowych wnętrzości maszyny jakiś przyrząd mierniczy sporządzony z termometru i szklanej kolby zarośniętej gąbczastem paskudztwem.

Drzwi wagonu pozostały odsunięte, zeszło się ostrożnie, Dusin pomógł. *Mademoiselle* Filipov stała obok, uśmiechając się promiennie do tajnego radcy.

Złapało się ją pod łokieć.

- Panna z nim nie rozmawia! - szepnęło się gwałtownie.

- Aj! Nic nie powiem, nie jestem głupia.

Dusin nie ruszył się z miejsca, patrzył w milczeniu, z rękoma z powrotem w kieszeniach, wzrokiem Dusinowo ponurym.

- Chodźmy! - Pociągnęło się pannę w śnieżycę. Zabolało kolano, zakreśliło się w głowie, biel, biel, zbyt wiele bieli, gdzie góra, gdzie dół, w co wbić laskę, to chmura czy zawał śniegu? Skończyło się na tym, że to panna Christine służyła oparciem i orjentacją, pierwsza stawiała nogę. - Przepraszam.

- Musimy potem to omówić - szeptała dziewczynka, przyciskając obrumienioną twarzyczkę do kołnierza futra. - Na osobności. Pomogę wam ze wszystkim w Irkucku.

- Pomogę - z czym...?

- Z ratunkiem dla pańskiego ojca! Nie po to się pan naciąga tą trucizną? Żeby wymyśleć, żeby, jak powiada Nikola, zabełtać sobie w głowie, wyciągnąć królika z kapelusza - prawda? - wymyśleć, jak uratować fatra! Po to!

- Nie. Tak. Nie. - Przystanął się. - Nie mogę, proszę chwilę... - Wsparło się ciężko na lasce wbitej w zmarzlinę, się rozkaszało się głośno, gardło i płuca nie radziły sobie z zimnem powietrzem. - Słucha?

Odwróciła się.

- Nie widzę go.

- Niech panna nie podnosi głosu. To wszystko... nie da się tak opowiedzieć. Prosiłem Nikolę, ale... - Nasunęło się czapę na oczy. - To się tak mówi, bo mówi się łatwo, powie się to, powie tamto, jak chwila człowiekiem zakręci, i może nawet naprawdę wówczas się we własne słowa wierzy, ale - jak w ogóle można mówić o przyszłości? jak można powiedzieć „postąpię tak”, „zrobię to i to”?

- Pan się boi!

- Ha!

- Nie chce pan ojca z Mrozu wybawić?

- Jeszcze nawet nie jesteśmy w Irkucku! Panna wymaga ode mnie, żebym przewidywał przyszłość, wróżył ze śniegu. Wydęła policzek.

- Pan Ziejcow potrafi.

- Co?

- Wróżyć ze śniegu. Krjomancja się to nazywa. Pokazywał mi. Włożyć dłoń do miski wody, ale płasko, otwartą, o, i trzymać na samej powierzchni, tak wystawić miskę na mróz - i patrzeć, jak woda zamarza wokół dłoni. Z tego wzoru cieniutkiego lodu, jak z haftu między palcami, z tego czyta się losy.

- Panna wierzy w te sortilegia, w horoskopy i taroty? Prawda, przecież widziałem pannę na seansie księżnej. To wszystko jest oszustwo terażniejszego umysłu! Gdybym sam się chciał tak mamić - cóż prostszego? Ot, nieszczęsny pan Fessar. Jak go znaleźliśmy, khr, z głową rozbitą, za panny przeproszeniem, z krwią rozlaną jakby w muślin czerwony go obwiązano czerwoną farbą olejną pociągnięto - takim samym jużem go dwa razy wcześniej widział, myśląc sobie wtedy z pewnością zupełną: krew, zabity, martwy nie żyje.

- Widział pan...?

- Proroctwo, powie panna, wróżba, khr - ciągnęło się coraz szybciej mimo drapania w gardle i zmrożonego nosa. - Ale na tym właśnie polega złuda, której ulegają wszyscy, co wierzą, że przeszłość i przyszłość istnieje, że istnieje wczorajszy Ünal Fessar i jutrzejszy Benedykt Gierosławski. Podczas gdy istnieje tylko terażniejsza pamięć przeszłości i terażniejsze przyszłości wyobrażenie! Ponieważ więc teraz pamiętam, że pan Fessar umarł jak umarł, khrrr, pamiętam teraz także moje wcześniejsze obrazy jego śmierci, takie, a nie inne - i oto powstaje w mojej głowie, ze złożenia dwóch przeszłości nieistniejących, przepowiednia ziszczona.

...Kiedy panna czyta horoskop, kiedy słyszy proroctwo, nie istnieje jeszcze opowiadana w nich przyszłość; a kiedy zdarzają się rzeczy pamiętane przez pannę z dawnej wróżby, nie istnieje już ta wróżba - jeno panny pamięć o niej. Na tym samym błędzie zasadza się cała szarlataneria doktora Freuda: nie interpretujemy wspomnień przeszłości, khr, khr, ale doklejamy do interpretacji terażniejszej pasującą nam przeszłość. - Się rozkaszało się na dobre. Znalazło się w kieszeni chusteczkę *mademoiselle* Filipov, przytknęło się ją do ust, oddychając teraz przez materiał, przez rękawiczkę i przez dłoń. - Ja nie twierdzę, że to jest, khr, kłamstwo, że kłamiemy. To są rzeczy poza prawdą i kłamstwem. Chodźmy, bo pociąg znowu odjedzie beze mnie, nie zauważą nas w tej zawieji, khrrr.

- Pan już więcej nie mówi.

- Poza prawdą i fałszem - przeszłość, przyszłość. Fantazjuje, kto opowiada i pisze o przyszłości, i taką samą fantazję tworzy - kto opowiada i pisze o przeszłości, to znaczy o ludziach, rzeczach, krajach nieistniejących. Każda pamięć o tyle tylko jest prawdziwą, o ile nie przeczy terażniejszości. Khkr. Proszę spojrzeć za siebie, widzi panna nasze ślady w śniegu? A zatem skłamię, jeśli powiem, że minutę temu staliśmy tam, a nie tam. I tyle, i to wszystko, co, khrrrrr, co istnieje z przeszłości. A poza tym, a ponadto - widzi panna - nic, białość, białość, białość, nie ma nic, nic pewnego za nami, nic pewnego przed nami. Niech więc panna nie daje się zwodzić, nie daje się czarować temu, co nie istnieje. Niech panna przepędzi precz Ziejcowa. Niech im panna nie wierzy: wróżbitom, strategom, detektywom, planistom, historykom. Każda powieść historyczna to powieść fantastyczna. Khrrrrr.

...Zobacz panna przytem na mechanikę właściwą ludzkiej memorji. To ustrojstwo - się palnęło się laską w szapę - działa według swoich własnych praw, innym prawom niepodobnych. Jak mówię, nigdy nie widzimy przeszłości, jaką była; widzimy ją przez filtr

naszych doświadczeń późniejszych. Wspominasz przyjaciela z dzieciństwa i rękę dałabyś sobie odjąć, że był dzieckiem głośnym i radosnym - ponieważ takim go znasz z wielu lat późniejszych; a może wtedy krył się po kątach i uciekał sploniony na byle słowo ostrzejsze? Nie poznasz, krhr, przeszłość nie istnieje. Wspominasz wypadki dawne, o, pierwsze *rendez-vous* z ukochanym - i nie pamiętasz przecież spotkania z nieznanym, którym wtedy był, lecz już z człowiekiem od lat do serca przytulonym. Stąd tak wielu zaprzysięga się, iż ich miłość była miłością od pierwszego wejrzenia: ponieważ to pierwsze wejrzenie, które pamiętają, niesie w sobie już wszystkie rozkosze i czułości, które przyszły potem. Nie poznasz prawdy, prawda o przeszłości nie istnieje. Khr! Że okoliczność jakąś powtarzalną, pogrzeb, chorobę, podróż - przeżyłaś ostatnio pod znakiem takiej czy owakiej pogody, w takim czy innym nastroju, w takich-owakich ornamentach materji... Było tak już w przeszłości! Khrrr! Znaki-symbole przemówiły do ciebie! A to tylko zgrzyt w machinerji panny pamięci. Zali nigdy nie dotknęło pannę takie wrażenie, przecucie na granicy pewności - że nasze życie, to znaczy nasza pamięć o nim, składa się z ciągu wciąż i wciąż odbijanych ech, zdarzenia przypominają zdarzenia, słowa - słowa, uczucia - uczucia, ludzie - ludzi, przedmioty - przedmioty, powtarzalny wzór organizujący przeszłość całą. Są to obrazy ułudy, iluzje nieistniejącego reflektowane bez końca wewnątrz czaszki.

- A jednak - *mademoiselle* Christine zamyśliła się, pochyliła główkę, śnieg lepki osiadał na jej blond włosach - a jednak muszą być na to sposoby, wyobrażam sobie, co by od razu Nikola zrobił: wziął i zanotował, zapisał co do słowa całą wróżbę pod datą i godziną; i kiedy potem przyszedłoby do jej sprawdzania, to nie pamięć, ale dowód na papierze świadczyłby o przeszłości, rzecz materialna, namacalna.

...A dlaczego nie może pan zaplanować przyszłości wedle swoich zamiarów, tego już nijak nie pojmę. Przecież nikomu nie układa się ona dokładnie tak, jak sobie zamyślił - ale to nie powód, żeby żyć jeno dniem dzisiejszym, chwilą obecną, prawda?

- Panna chce ze mnie wydobyć przysięgę heroiczną: stanę przeciwko ochrannikom, czynownikom i marcynowcom, przeciwko lutym, odmrozę ojca, wywiozę z Syberji. Ale jakże ja mogę dawać słowo za człowieka, którego nie znam?

- To znaczy, za kogo?

- Benedykta Gierosławskiego, którego nie ma!

Zachnęła się.

- Pan to jeszcze większy dziwak jest, jak Jelena mówiła!

Z bieli wyłonił się długi kształt wagonu pasażerskiego. W oknach paliło się światło, szereg jasnych prostokątów wyznaczał granicę śnieżycy. Starło się płatki lodowe z wąsów i zarostu.

- Skąd ja mogę wiedzieć, czy znajdzie się w przyszłości jaki Benedykt Gierosławski, co go dopadnie taka sama desperacja jak wczoraj - jaką się z wczoraj pamięta - he?

- A-a, to dlatego się pan tym czarnym prądem Nikoli strzela? „Nie żyje, ale może żyje”. Co? Nie chce, ale może chce. Boi się, ale może się nie boi! - Dźgnęła palcem wskazującym, poczuło się nawet przez futro, dźgnęła jeszcze mocniej, poczem uderzyła otwartą dłonią z nieporadnego zamachu, mało się nie poślizgnąwszy; złapało się dziewczkę za etolę, objęło za kibić. Nadepnęła energicznie na stopę.

- Ukhr!

- Pan mnie za głupie dziecko bierze! A ja wszystko rozumiem! Wiem, co pan wtedy zrobił z Nikołą! Lecz dlaczego nie wskrzesił pan także Turka? „Nieszczęsnego pana Fessara”!

Odkasznęło się.

- Bogiem a prawdą, nie pomyślałem o tym. Ale z głową rozbitą... przy tylu świadkach... a on już był mocno odćmieczony... Panna sądzi, że ja tym jakoś kierowałem, że - że zaplanowałem, iż Nikola ożyje? To był rzut monetą.

Prychnęła pogardliwie.

- Ale o własnego ojca monetą pan nie rzuci?

Jeszcze od niej trzeba wstyd przelykać! Jeszcze przed nią płonąć, przed aniołem wstydu pod lód się zapadać!

- A co ja teraz robię! - wrzasnęło się przez zaśnieżuchę, obłok gorącego oddechu wybuchnął przed twarzą, biała para, czarna para, mróz. - Co ja teraz robię! Co!

*Mademoiselle* Filipov cofnęła się, wystraszona, z ustami otwartymi i ramionami instynktownie szeroko rozłożonymi.

- Kogo byście chcieli! - krzyczało się, wymachując laską. - Cziudatworca! Gieroja! Nie ma, nie ma, nie ma! Khrrrr! - Ciężka czapa spadła z głowy, odkopnęło się ją w śnieg, pod koło pociągu. Ktoś stał na schodkach, ze światłem Luksu za plecami, sylweta w płaszczu długim. Potrząsało się laską na wszystkie strony, na niego także. - Nie będę kłamał! - wrzeszczało się chrapliwie po rosyjsku i polsku. - Żadnych kłamstw! Jedna prawda! Beze

mnie! Khr! - Się wywróciło się wreszcie i padło się na ziemię, tłukąc łopatką o wysoką zmarzlinę.

O, co za ulga, leżeć tak w śniegu bez ruchu, w ciepłym futrze, pod niebem kojącej bieli, gdy cudownie zimne płatki kładą się na rozpalonej skórze, khr, khr, i spływają do warg malutkimi strumykami, gdy wpadają prosto między wargi, topiąc się już w chmurze ciemnego oddechu - prosto z bieli ponad zwróconymi w dół obliczami kapitana Priwieżeńskiego, tajnego radcy Dusina oraz *mademoiselle* Filipov.

- Nic się panie nie stało?

- My tylko tak głośno rozmawialiśmy.

- Widziałem przecież. Pijany?

- Nie!

- Był w wagonie maszyn doktora Tesli, niech się pan kapitan niczemu nie dziwuje, pamiętam, co wczoraj wyprawiał świętej pamięci pan Fessar; dobrze, że on teraz gdzie w tajgę nam nie uciekł.

- Więc powiada pan, że to jak z temi warjatami, że doktor amerykański ich prądem razi przez mózgownicę i oni potem -

- A nie wiem. No ale widzi pan kapitan.

Śnieg niestopiony spadał na język. Smakował jak najcudowniejsza woda źródłana.

Kapitan Priwieżeński kopnął pod żebra (futro zgasiło impet), splunął i odszedł, skrzypu-skrzyp.

Khr, khr, się śmiało się na bezdechu, leżąc na lodzie, się śmiało się, wstając, gdy Dusin z dziewczką speszoną ciągnęli do pionu, się śmiało się, gdy radca ponury nasadzał na łeb ośnieżoną czapę i prowadził do schodków Luksu i do wnętrza wagonu.

- A panna - poradził jeszcze *mademoiselle* Filipov - nie powinna na Syberji wychodzić z gołą głową, choćby się panie mróz zdawał najlżejszym, tak życie stracić można.

Tylko przytaknęła niemo.

Chichotało się, gdy Dusin korytarzem ciągnął i do atdielienja wpychał.

- Dziękuję Walentemu - zawołało się, szukając rublówki po kieszeniach - niech Walenty zamknie za sobą drzwi!

Tym razem trzasnął nimi mocno.

Padło się na łóżko, w futrze, w czapie i w butach, i tak zasnęło się.

Świecienie tańczyły na ścianach przedziału, na oknie bielą zasnutem, gdy pociąg mijał przytorowe masywy lutyh, dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK; potem pozostały jeno świecienie pod powiekami, te powstałe z odwrócenia czerwonych plam. Pływ teslektryczny łaskotał żyły i rozćmieczzał sny.

### **O temperaturze, w jakiej zamarza prawda**

Prokurator Razbiesow nastroszył brwi sępie, odłożył sztucce, wyjął z wewnętrznej kieszeni okularki na drucie, przetarł starannie szkła, poczem nasadził je na sępi nos. Nasadziwszy, odchylił się na krześle, nie wedle barków i szyji, ale całym kręgosłupem, i dopiero spojrzął ponad stołem i zastawą, ponad rosołem z wermiszелеm, kaczką nadziewaną, kartofelkami *pommes soufflées* i sałatką zimną, a sosem parującym.

- Gaspadin Gierosławski - orzekł - ja cofam, co mówiłem; nie spostrzegłem, a pan przecie już jesteś lutowczyk.

- Zszuszenie - przełknęło się pulpet - złudzenie -

- Dawaj pan rękę do świecy!

Złapał pod mankietem i przyciągnął dłoń nad płomień. Obróciło się ją bokiem, żeby nie zajęły się ogniem opatrunki na palcach. Płomień musnął skórę i na krótką chwilę - mgnienie oka, lecz Razbiesow nie mrugał - zamigotał czarno, zapadając się w swój negatyw, to jest światłozerny płomień ćmieczi.

Piotr Leontinowicz puścił.

- Pan tu mieszkał?

- Co?

- Na Syberji. W Kraju Lutyh.

- Skąd!

- Widywałem ja takie omroki - mówił prokurator powoli - u bywszych choładników, u katorżników z Sibirchożeta, bradiagów znad Tunguzkiej.



- Wiem, pan Pocięgło wspominał. Ale ja... Może pan spytać doktora Tesłę, to przejściowe.

Razbieszow schował okulary.

- Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, nie przesłuchuję pana o nic.

- Nie chciałbym, żeby mnie pan miał za kłamcę.

Razbieszow pokiwał głową.

- Więc jedź pan do ojca.

Grzebało się widelcem w sałacie.

- To też nie jest prawda. Ministerjum Zimy mi zapłaciło, dlatego pojechałem. Ale teraz... Sam już nie wiem.

Piotr Leontinowicz uśmiechnął się pod wąsem.

- Ojcowie i synowie, rosyjska sprawa.

- Mhm?

Otarł wargi chustką.

- O, ten Ziejcow - wskazał wzrokiem na eks-katorżnika, który, jak zwykle, spożywał obiad samotnie, w kącie, przy dostawionym pod okno osobnym stoliku. - Jak opowiadał? Jedź od ojca rodzzonego do ojca duchowego, za pieniądze pierwszego ratować drugiego, sam syn marnotrawny - czy nie taka jego historia? Który inny naród na Ziemi odnajduje tożsamość człowieka w imieniu jego ojca? Wieniedikt Filipowicz. Jeszcze ludy Księgi - żydzi, mahometanie. Bo to jest rzecz święta. W każdym ojcostwie ziemskim odbija się relacja Boga Ojca do Syna Człowieczego, Boga do ludzi. Więc ojca - a dlaczego nie matki, z której ciała rodzi się ciało? Czytał pan *Braci Karamazow*? Czy to jest opowieść o synach, czy o ojcach raczej?

Ziarno przyprawy weszło w dziurę w dziąśle po zębie wybitym, dłużyło się w gębie wykałaczką.

- Mhmm, kiedy pan miał przecież słusność: tak naprawdę nie wiem, po com do tego pociągu wsiadł, i nie wiem, co zrobię, jak z niego wysiądę. Wszystko to dym i iluzje Lata. Że jestem jego synem... tak naprawdę też dopiero teraz mi przypominano. Wcześniej... właściwie nie miałem ojca. Nie, inaczej: miałem ojca, a między jego cechami głównymi, obok cnót i przywar charakteru, była i ta cecha: nieistnienie. Tylko że właśnie - przedstaw pan sobie ich

obu w myśli obok siebie: istniejącego i nieistniejącego. Po czym odróżnisz? Nie odróżnisz. Pojmuje pan? - Wagon restauracyjny podskoczył, się wklęło się w miękkie dżiąsło. - Cholera. Przepraszam.

- Nie będę udawał, że w tym was rozumiem. - Prokurator dotknął palcem czubka nosa, był to gest wykonany zamiast innego gestu, niewykonanego. - Ale nie mogę się oprzeć temu skojarzeniu... Zanim jeszcze przeprowadzono mnie do artylerji, jako młody oficer służyłem na Kaukazie, po powstaniu Alibeka-hadżiego, za czasów wściekłego abricziestwa. Tam nigdy nie ustają wojny miejscowych górali, walczą między sobą i walczą z Imperjum. Jest mianowicie coś takiego w kulturze tych dzikich narodów - pewien wspólny rys, który odnajduję pod rozmaitemi mniejszemi i większemi ich dziwactwami, rzeczami, których nijak nie potrafimy w głowie ułożyć... Otóż są to narody, których mężczyźni w każdym pokoleniu idą na wojnę i w większości z niej nie wracają. Kto wychowuje synów? Matki oraz ojców ideały, to znaczy ojcowie nieistniejący. Ale, uważasz, młodzieńcze, ci synowie sami potem odchodzą zginąć za przegraną sprawę, pozostawiając znowuż swoich synów, teraz oni - ojcowie nieistniejący. *Et cetera*, aż samo nieistnienie staje się ideałem, znaczy: wychowanie przez brak, co nie jest wcale tym samym, co niewychowanie lub wychowanie przez kobietę bez mężczyzny.

- Więc - więc powiada pan, że to rodzaj konieczności dziejowej, że jako dziecko nieistniejącego ojca -

- Nie!

- A teraz mówią: Syn Mroza, *le Fils du Gel*. Czy mam się na to zgodzić? To zbyt łatwe, jak przywdzianie kostjumu teatralnego.

- Pan się mnie pyta? - Razbieszow odwrócił wzrok. - Mówiłem: nie odpowiem za pana.

- Wie pan, ale to właśnie dlatego, że pan... że pan... - Złamało się wykałaczkę, odsunęło się gwałtownie talerz, aż zadzwoniły szkła na obrusie. - Dlatego ja mogę w ogóle pana pytać - pan rozumie? Pan może jest najbliższy zrozumienia ze wszystkich ludzi. - Się nachyliło się ku niemu nad stołem. Nadal nie patrzył, uciekał spojrzeniem w bok, za okno, na śnieżny krajobraz. - Niech pan słucha - nie to mówię, co mówię, ale może pan usłyszysz, może pojmie - niech pan słucha: nie istnieję.

Odchrząknął.

- Że przeszło na pana z ojca? A może to à *propos* Dostojewskiego? Że jeśli nie ma Boga -

a tu: jeśli nie ma człowieka -

- Nie! To nie jest przenośnia. Potrafi pan wejrzeć poza prosty paradoks języka? Nie istnieje.

Prokurator przyłożył dłoń do szyby okiennej, przetarł zaparowaną tafłę.

- Kto wie, czy nie ma pan racji, czy nie jest to najkrótsza droga...

- Droga? Do czego?

- Najpierw odrzucić wszystko, porówny prawdę i kłamstwo, i dopiero -

- Nie, nie, nie! - Kręciło się głową. - Ale... - Spojrzał nareszcie ponad płomykiem dekoracyjnej świeczki. Spuściło się oczy. Zwinęło się serwetę, wstało się. - Dziękuję. - Ukłoniło się sztywno i wyszło się czem prędzej z restauracyjnego. Razbiesz nie wołał od stolika; zresztą ani by się obejrzało się.

W przedziale zastało się łóżko zasłane i dywan uprzątnięty ze śmieci szklanych. Sprawdziło się: barek też został napełniony. Trzeba pamiętać o paru rublach dla Siergieja. Nalało się koniaku. Popołudniowa szarzyzna zwiastowała przedwczesny zmierzch, tylko ta wszechobecna biel oszukiwała oczy. Spojrzało się przez szklanę i przez płyn, na wnętrze dłoni. Czy to świecienie tak się układają w chiromantycznych liniach życia i fortuny, czy też refleksy lodowe rozszczepiają się na rżniętej w rozety szklanicy? A co najgorsze: ta dłoń się trzęsie.

Włączyło się światło elektryczne. Nie chciało się spać, dość się naspalo się. Wyjęło się z sekretarzyka teczkę, przerzuciło się papiery. Ręka zatrzymała się na liście pepeesowców. WIOSNA LUDÓW TAK. ODWILŻ DO DNIERU. PETERSBURG MOSKWA KIJÓW KRYM NIE. JAPONIA TAK. KURYER PRZYBĘDZIE. ŻYJESZ. Jeśli to nie była przepowiednia przyszłości, to co właściwie? Ale ta druga - przepowiednia, której się nie odszyfrowało - i nieskończona liczba równoległych przepowiedni, których się nie pamiętało - dla których brakowało w terażniejszości równie silnych podstaw... Rzut monetą, oczywiście, że rzut monetą. Zstąpi się na peron w Irkucku i -

Spojrzało się w lustro. Hrabia Gyero-Saski, Niesamowita Felitka Kauczuk - to łatwe, nie ma nic łatwiejszego, ziszczają się samo, bez wysiłku, a poniekąd nawet wysiłkowi wbrew. Lecz zrobić rzecz przeciwną: odjąć kłamstwo, skroić je z siebie jedno po drugim jak warstwy cebuli... Cóż pozostanie? Poza łzami w oczach.

Szarpnęło się za lwi ogon, pociągnęło się okno, mróz wbił się do wnętrza atdielienja,

dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, mróz, hałas i wicher siarczysty śniegiem nabity - aż się zachłysnęło się bielą - przetarło się oczy, zmrużyło się płatki lepkie z powiek - i ujrzało się w oddali, ponad lasem zlodowaciałym strzeliste soplicowo, nachylony wbrew grawitacji stalagmit-monument - to już, to tutaj, to teraz, Kraj Lutych, tak, serce Zimy - zaciskając zęby, ściągnęło się z palca pierścień z Korabiem i z całej siły cisnęło się go przez okno. Poleciał dobre dwadzieścia arszynów od toru, w zasy głębokie.

Zamknawszy okno, wykaszliwało się mróz. Pomógł koniak. Wróciwszy przed lustro, zmierzwiło się włosy, już przez wiatr mocno zmierzwione. Po namyśle zaczeszało się je na czoło i na boki, tak i owak, i jeszcze inaczej - ale to nadal nic nie zmieniało. Pokulało się do służbówki.

- Macie tu jakiegoś malczika wprawnego w brzytwie?

Siergiej podniósł głowę znad żurnala.

- Brzytwie?

Wcisnęło się mu banknot.

- A, gaspadin chce się ogolić!

- Kiedy stajemy? Niech zapuka i czeka pod łazienką.

- Za kwadransik, w Kujtun.

Steward-cyruлик zjawił się o czasie, na minutę przed hamowaniem. Na szczęście miał też nożyczki. Siadło się na krawędzi wanny, zarzuciło się na barki ręcznik. Pociąg zatrzymał się z przeciągłym wizgiem, steward spojrział pytająco.

- Tnij.

- Na jaki fason Wasza Wielmożność sobie życzy?

- Do oporu. Byle szybko. A potem brzytwą przejedziesz, glaca ma tu być.

- A to już jak Wasza Wielmożność woli. I brodę.

- Brody nie tkniesz.

Uwinał się bystro, jadąc po czaszce ostrzem gładkiem, raz tylko skórę zaciąwszy. Przy okazji objawiły się dwa guzy pokaźne i sińce rozległe, już dojrzałe, rozlane w wiśniowo-fioletowych plamach, jeden z przodu, schodzący znad ucha ku skroni prawej. Bardzo brzydtko to wyglądało.

- Wasza Wielmożność jest zadowolony?

- Niewymownie. - Szarpnęło. Się chwyciło się umywalki; Ekspres rusza w dalszą drogę. Starają się nadrobić opóźnienie. Wsunęło się w kieszeń malczika trzyrubłówkę. - Kiedy następny dłuższy postój?

- Za godzinę, Wasze Błagarodje. Mamy stanąć na czterdzieści pięć minut w Zimie.

- Czyli gdzie? Od dawna jesteśmy w Zimie.

- Takie miasto, Zima, Staraja Zima, zaraz jak rzeka Zima wpływa do Oki. Znaczy, jak wpływała.

W przedziale wychyliło się do lustra resztę koniaku. Krawat! Trzeba pozbyć się wszystkich tych sznytowych krawatów, węzłów angielskich i spinek lśniących. Co jeszcze? Laska? Laska, niestety, jest konieczna. Futro? Wymieni się w Irkucku na jakiś tani kożuch, zresztą płaszcz sobolowego też należy się pozbyć. Się pomacało się po kieszeniach, ręka zahaczyła o wybrzuszenie ponad paskiem. Co z Arcymistrzem? Oddać Tesli?

Następnie powstaje kwestja pieniędzy. Wyjęło się dieńgi z bumażnika oraz chudy zwitek z dna walizy. Nawet z zimuchowemi wygranemi było to w sumie za mało, żeby od ręki spłacić Ministerjum Zimy. A przecież jeśli na dzień dobry się pójdzie i rzuci się im na biurko ich pieniądze, za żadne skarby już nie dopuszczą Syna w pobliże Ojca Mroza, nie wspominając o dozwoleniu swobody koniecznej dla jakiegokolwiek próby jego rozmrożenia i uprowadzenia z Syberji. Więc kłamstwo - trzeba kłamać, tak czy owak.

Nie! Raz się skłamię, zamarznie to na wieki. Nawet milczące przyzwolenie na kłamstwo - ile zła potrafi wyrządzić! jak wykręcić życie! I to przecież jeszcze daleko przed Krajem Lutych, pod Słońcem Lata. Przesunęło się dłonią po gładkim skalpie, wyczuwając pod skórą drobne wypukłości i wklęsnięcia czaszki, frenologiczną mapę charakteru. Gdyby tak przez deformację czerepu można było sobie duszę przefasonować... To ostatnia chwila, ostatnie stacje przed Miastem Lodu. Skoro nie wiesz, kim jesteś, przynajmniej miej pewność, kim nie jesteś. Wepchnęło się łepetynę w umywalkę, pod strumień wody zimnej. Wcale nie po to, żeby otrzeźwieć do myśli bystrzejszych i umysłu jaśniejszego - lecz żeby właśnie nie myśleć o niczym poza tą zimną wodą, żeby zatrzymać rozémieczoną imaginację, która już przeskakuje do następnej możliwości, i następnej, i następnej, a każda jednako prawdziwa. Trzeba wytrzymać, póki Tesla na powrót nie zaćmieczy tej mózgownicy obtłuczonej, roztrzęsionej.

W futrze i czapie, z laską w ręku i papierosem w ustach czekało się na korytarzu przy drzwiach, gdy Ekspres hamował; wyskoczyło się na peron Zimy, zanim jeszcze pojazd się zatrzymał, omal się przytem nie wywróciło się. Śnieg nie sypał tu tak gęsto, ale ziemię pokrywała ta sama trójwarstwowa skrzeplina: puch świeży na wpół zmrożonym błocie, na lodzie twardym. Stapa się po tym jak po osypującym się zwirowisku, podłoże ucieka spod butów, nogi wykręcają się w kostkach.

Podreptało się, posapując. Zima, jeden z ostatnich postojów, ledwie dwieście pięćdziesiąt wiorst od Irkucka. Dworzec na szkielecie zimnazowym, składy tartaczne, baraki i szopy pod latarniami w marostiekle. Cały peron i wagony za „Czarnym Sobolem” i cała okolica wygląda w ich blasku jak objęta tęczami zimnazowemi, jak zamknięta w kloszu migotliwych refleksów, gdzie śnieżne skierki kręcą się pod światło w powolnym opadzie - w kuli szklanej wypełnionej porcelanowemi cudeńkami dla dziecięcej uciechy; a nad wszystkim pochyła się znad dworca pajęczy masyw lutego. Załomotało się w drzwi, raz, drugi, głośniej, i trzeci - otworzył Oleg. - Jest doktor Tesla? Dajcie-no rękę! - Wypluło się papirosu pod wagon.

Serb nawet nie okazał zdziwienia. Teraz poza nim i Olegiem nie było tu nikogo; Fogiel poszedł po ludzi księcia Błuckiego obiecanych do obstawienia wagonu na czas postoju. Wszyscy robili się coraz bardziej nerwowi, im bliżej było do Irkucka.

- Ma pan tu tę dynamomaszynę? Może szybciej będzie po prostu przestawić pływ w pompie. Proszę!

Doktor Tesla pogładził nagą dłonią wygoloną wargę. Ćmietlane powidoki przesunęły się po jego pergaminowo bladej skórze.

- Na plus?

- Plus, tak, plus: więcej ćmieczy, Mróz. Plus!

Nie ruszając się z miejsca, wskazał pełnym kurtuazji gestem odsłoniętą pompę Kotarbińskiego.

Ściągnęło się rękawiczki, podeszło się do maszyny. Jak zazwyczaj, wybiegały z niej dwa długie zimnazowe kable, jeden zakończony iglicą i spustem.

- Ustawione? Można? Można?

Maszyna pracowała z cichym warkotem.

Złapało się za iglicę, drugą ręką prędko, bez namysłu nacisnęło się cyngiel.

...ze skostniałych palców.

Się pochyliło się, podniosło się ją, by ponownie pchnąć metalowy język.

...powstrzymać drżenia.

- Dajże pan spokój, już pan jest cały siny!

- Jeszcze.

- Wyssie mi pan ćmiecz z połowy słoja. Patrz pan, herbata mi zamarza.

- Jeszcze!

...pomagając stanąć na nogi. Obludzona maszyna lśniła złowieszczo. Oleg podał czapę, która potoczyła się była daleko między szmaty i trociny. Zrazu nie mogło się jednak unieść ręk, by nasadzić ją na głowę łysą, zbyt mocno dygotały. Chciało się ogrzać je oddechem - oddech był zimniejszy, wypłynął przed oczy obłokiem gęstego zaćmiałła. Się rozkaszało się. Nikola podał kubek parującego czaju, wrzątek prosto z samowara. Zacisnęło się na kubku palce. Wtedy spostrzegło się na skórze dłoni rozległy wzór białych i czerwonych plamek, prawie szachownicowy w swej regularności. Ślina szczypała w język i mrowiło całe wnętrze ust; przez nos nie szło oddychać, trzeba było mówić, rozwierając szeroko wargi, starannie i powoli artykułując głoski i biorąc głębokie oddechy między słowami. Spoglądało się przez parę i przez cień oddechu. Noktaureola otaczająca serbskiego wynalazcę była wyraźna jak nigdy, świecienie rosły pod jego rękoma, czarne światło oblewało mu chudą twarz, bardziej wyglądał jak miedzioryt Nikoli Tesli niż żywy Nikola Tesla.

Uniósł nagą dłoń.

- Tak - odparło się.

- Tak - potwierdził.

- I jak najszybciej.

- Miesiąc, może dwa.

- Kiedy tylko.

- *All right.*

- Przez nią.

- Pańskie, jeśli oficjalnie.

- Nieważne.

- Tylko transport.
- Nie złapali.
- Gdzie.
- Się.
- Ha!
- *Bien.*

Dopiło się zimną herbatę, się ukloniło się i wyszło się w turkusowo-różowo-seledynowe feerje marostiekłowych lamp. Oleg zatrzasnął z hukiem drzwi. Obok, między wagonami stał z karabinem przy nodze chłop w mundurze księcia Błuckiego. Przycisnął czapkę do kolan; pozdrowiło się go serdecznie. Ruszyło się wzdłuż wagonów z uśmiechem wymrożonym od ucha do ucha. Po kilku krokach się przewróciło się w śnieg. W spokojnym zdumieniu kontemplowało się akwarelowe barwy po tym śniegu przepływające. Książęcy podbiegł, podał łaskę, otrzepał futro. Kolory, kolory, tak wiele kolorów. Szło się teraz powoli, przyglądając się wszystkiemu z zachłanną uwagą właściwą dzieciom, warjatom i ludziom śmiertelnie chorym. Nawet głową obracało się ostrożnie i miękko, nakierowując na widoki oczy jak ciężkie lufy dział wielkiego kalibru. A więc. Wieczór. Zima. Śnieg. Luty. Dworzec. Ludzie. Wagon. Wagon. Wagon. Dusin. - Musicie mi tak uciekać...! - Zasapany. - Sami się dopraszacie nieszczęścia, jak mi Bóg miły! - Przywitało się go grzecznie, jak z dawna niewidzianego kamrada. Cofnął się, zmarszczywszy brwi. Wagon. Wagon. Ich okna kwadratowe: świetliste otwory w ścianie cienia, za koronkową firanę śniegu. Bo w przedziałach oczywiście palą się lampy, żarówki w kloszach białych i czerwonych, i skoro oko zwróciło się w stronę blasku, ślepnie natychmiast na wszystek zmrok dookoła, na całą resztę świata zatopioną w tym zmroku i półzmroku, tak więc przeskakuje między temi oknami jak między stronicami księgi, albumu fotograficznego, od zdjęcia do zdjęcia, od *tableau* do *tableau*, oko zahypnotyzowane. Widzi: *Frau* Blutfeld pochylająca się nad *Herr* Blutfeldem, perswadująca mu coś energicznie za pomocą zamaszystych gestów, ujęta w tym *tableau* z profilu, wyświetla się na zaparowanej szybie sylwetką masywną, o wydatnym gorsie, i z włosami skręconymi w wysokiej, pyramidowej fryzurze. Obraz dalej: Kapitan Nasboldt wyglądający przez zamknięte okno, z rękoma za plecami, z krótką fajką wilka morskiego między zębami. Dalej: Dzieci francuskiego małżeństwa przyklepiające do szyby twarzyczki różowe, a za nimi, w tle - opiekuńcze cienie rodziców. Ręka kobieca wylaniająca się zza na wpół zasuniętej story, nadgarstek w koronkach, długa cygarniczka z papierosem,



smużka dymu, płynny ruch tej ręki jak opadająca nuta menueta. Książę Błucki-Osiej drzemiący z nosem w książce, z ramieniem nienaturalnie wykręconem nad głową, starzec zamrożony w całej starczej nieporadności. Prokurator Razbieszow rozprostowujący na wieszaku swój prokuratorski mundur, odwrócony tyłem do okna-obrazu, więc elektryczne *tableau* wyświetla tylko szerokie, sztywno wyprostowane plecy bywzego pałkownika-liejtienanta artylerji i nie ma w tym obrazie nic sępiego, nic fałszywego. Bogacz i jego służący pochyleni nad stolikiem, nad szachownicą, służący dolewa panu kawy, pan przesuwa wieżę. Piękna wdowa rozczesująca machinalnie czarne włosy, podczas gdy palce drugiej dłoni tańczą na dolnej wardze, po ustach współmiechniętych. Dwaj bracia siedzący w przedziale *vis-à-vis* siebie w bezruchu i milczeniu, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, dwie mumie suche, dwa profile bezduszne. Kobyłuszczęki *monsieur* Verousse grający na swej maszynie do pisania jak na pianinie, jedną ręką i bez spoglądania na kartkę szybko obracającą się na wałku. Mróz ścisnął gardło i rozsadził płuca. Stańło się w miejscu, zlodowaciałym. Dusin podszedł, dotknął, potrząsnął, zagadał, głośniej i jeszcze głośniej. Się nie mogło się poruszyć, nie mogło się odwrócić wzroku. - Wieniedikt Filipowicz! Wieniedikt Filipowicz! - Musiało się tak stać bardzo długo, że aż krzyczał i szarpał; w końcu zwróciło to uwagę Verousse'a, spojrział znad maszyny. Śnieg padał pomiędzy, trzy arszyny wiatru i śniegu przed szybą rozświetloną, padał na twarz i powieki - ale ani się mrugnęło. Verousse również nie zamrugał. Postąpiło się krok wstecz, drugi, trzeci, skrzeplina błotna trzeszczała pod podeszwami, piąty, dziesiąty, kurtyny tęczowej śnieżycy zasunęły się przed oczyma, zasłaniając złote *tableau* atdielienja, cały wagon Luksu numer jeden, długi kształt pociągu i masyw czarnego robala parowozu zimnazowego pod motylemi skrzydłami zórz.

- Panie Dusin - powiedziało się na mroźnym wydechu - biegnij pan strzec doktora Tesli - *monsieur* Verousse - nie *monsieur* Verousse - on zaraz wysadzi mu wagon w powietrze.

### **O potędze pogardy**

Panna Jelena Muklanowiczówna poprawiła *pince-nez* na krogulczym nosie Pawła Władimirowicza Fogiela. Siwy ochrannik przełożył Naganta z ręki do ręki, wytarł wnętrze dłoni o poję surdutu i skinął głową. Prowadnik przekręcił klucz w drzwiach przedziału Julesa Verousse'a, pchnął klamkę, Fogiel wpadł do środka.

- Nie ma go!

- Mówiłem przecież! - warknęło się z irytacją. - Zmiarkował po jednym spojrzeniu; zdradziłem się; wie, że wiemy. Zabrał bombę i poszedł wysadzić arsenał Tesli.

- Więc na co czekamy? Odjechać stąd czym prędzej! - rzuciła panna Jelena.

Naczelnik Ekspresu pokręcił głową. Wyjął cebulę, zerknął na cyferblat.

- Dwadzieścia pięć minut.

Wyrzało się przez okno.

- Poszedł w śnieżycę, nijak go już nie znajdziemy. Trzeba pilnować Tesli i jego maszyn, to jedyny sposób.

Fogiel ruszył korytarzem ku drzwiom wagonu.

Jelena zakręciła się na pięcie. - Pan Benedykt poczeka, wezmę płaszcz!

Zanim wróciła, wydobyło się spod rozpiętego futra Arcymistrza, rozwinęło się zimnawowy rewolwer z ceraty, sprawdziło się kule tungetytowe w kwiatowym bębunku, poruszyło się lekko węzowym cynglem. Naczelnik przyglądał się temu w konfuzji, dwa razy otwierał usta i dwa razy połykał słowa niewypowiedziane. Na koniec tylko przeżegnał się z ponurą miną.

Machinalnie tarło się kolbą o wierzch drugiej dłoni.

Przybiegła panna Muklanowiczówna.

- A już - szepnęła, bardzo zdyszana - już... że nie... czekał... kobietę...

- Panna chciała przygody.

- Ale... może... zabita...!

- Istotnie. Tym się różni przygoda od wyobrażenia przygody. - Wskazało się przejście. - Proszę.

Popatrzyła jeszcze na Grossmajstera - jej wielkie ciemne oczy w twarzączce bladej - i poszła przodem.

Wyszło się na peron. Zapięło się futro. Laska w lewej, Arcymistrz w prawej ręce, lód pod stopami. Od strony dworca biegł mundurowy żeliezniadarożnik z urjadnikiem i dwoma policjantami z karabinami. Panna Jelena rozglądała się naokoło, wciskając twarz w puszysty kołnierz sobolowy. Luty wisiał nad torowiskiem, rozkraczony nad Ekspresem, nad składami z węglem i drewnem, nad bocznkami i lokomotywami. Pulsujący blask lamp marostieklowych

malował mroźnika falami wodnistych kolorów: bladej zieleni, morskiego błękitu, oranżu mdłego, przepalanej żółci. Nawet śnieg padający, ba, samo powietrze - ono także mieniło się temi barwami.

- A jeśli to nie Verousse?

Zastukało się laską w zmarzlinę.

- Panna ma wątpliwości? Tu się Sherlocki Holmesy rodzą na kamieniu, znaczyt, na lodzie.

- Pan Benedykt żartuje! - prychnęła, zdenerwowana.

- Maszyna pisząca, panno Jeleno. Należy dedukować nie tylko wedle tego, co istnieje, ale także wedle tego, co nie istnieje. Idę do Tesli, panna idzie ze mną albo nie idzie, proszę teraz zdecydować, która Jelena Muklanowiczówna wjeżdża do krainy Lodu.

Spojrzała dziwnie.

- Pan znowu wygląda jakoś inaczej. Cienie pod oczyma - słyszałam, że potem w nocy musieli pana odnosić -

- Idzie panna czy nie?

Wcisnęła dłonie głębiej w kieszenie.

- Pan myśli, że się przestraszę.

- Mam taką nadzieję, to prawda.

Uwolniła z płuc długi oddech, obłok pary rozwinął się przed nią niczym jedwabny wachlarz. Gdy zniknął, inaczej już spoglądała i inny grymas mroził tę twarz. Panna Jelena wyprostowała się, uniosła głowę. Czekają się w milczeniu; wiedziało się przecież, jakie to trudne, jak bolesne - i jak wstydlive, gdy ludzie patrzą, gdy patrzy choć jeden człowiek. Wszak nie idzie tu o strach pospolity. To inny rodzaj trwogi. Nawet ci, co żadną sztuką nie potrafią go wyrazić w języku drugiego rodzaju, odczuwają przecież w owym momencie przemożne wrażenie nieistnienia. Czekają się pokornie, śnieżycy szumiała w uszach.

Odetchnąwszy po raz drugi, panna Jelena stanęła na palcach i cmoknęła szybko w zmarznięty, zarośnięty policzek.

- Dziękuję.

Idąc potem wzdłuż pociągu, co chwila podbiegała i przystawała, oglądając się niecierpliwie przez ramię; lecz nie próbowało się przyśpieszać, obawiając się wypadku z

Arcymistrzem, gdyby się znowu wywinęło salto na tej zmarzlinie. Śnieżycą zresztą zgęstniała, poza rozmazanymi nad ziemią łunami świateł niewiele przenikało przez wirujące tumany. Ludzie przebiegali wte i wewte, wiatr przynosił ich rwane okrzyki, dźwięk gwizdków, trzaśnięcia drzwi wagonowych, skrzyp deptanego lodu. Już dźwigało się rękę z Grossmajsterem, gdy postać wypadła z tężowego śniegu - a to był sałdat, policjant, kolejarz kudłaty, człowiek księcia albo kapitan Nasboldt, on też z rewolwerem do strzału nagotowanym. Uśmiechnął się, przeprosił, uklonił pannie, pobiegł dalej.

- Znowu się tłum zrobi - dyszała. - A potem się okaże -

- Co?

- Mógł się po prostu przerazić i uciec, pana Benedykta czasami nietrudno się przerazić.

- Maszyna pisząca, panno Jeleno. Panna mi sama opowiedziała jego metodę owej nocy przy koniaku. Bo kogo szukaliśmy? Pasażera, co kupił bilet w ostatniej chwili, jako że dopiero w ostatniej chwili liedniacy się zwiedzieli o kompromitacji i postanowili wsadzić w Transsib jeszcze jednego agenta. Więc Ziejcow, więc Pociągło, kolejni podejrzani. Ale - kiedy to panna kupiła swój bilet? panna i Marjolka Bełcik, kiedy kupiłyście, hę? Nie kupiłyście! - Kręciło się głową w tępem zdumieniu. - Wszystko mi panna wyłożyła, a ja nie zrozumiałem; i panna zresztą też nie rozumiała. Podróż to czas magiczny, panno Jeleno. Jesteśmy tym, kim widzą nas nieznajomi. W jaki sposób może panna stwierdzić prawdziwość Benedykta Gierosławskiego? W jaki sposób ja mogę stwierdzić prawdziwość Jeleny Muklanowiczówny? Nie mogę. To samo się tyczy tożsamości każdego z podróżnych. Większość paszportów nie zawiera nawet szczegółowych rysopisów. Co zatem robi agent? Wyszukuje pośród pasażerów Luksu samotnego mężczyznę, takiego, który najpewniej nie ma żadnych starych znajomych pośród innych jadących na Syberję, i -

- Jules Verousse to nie Jules Verousse.

- Nie wiem, jak się nazywa. Prawdziwego Verousse'a pewnie dawno wilcy zżarli. Ten Nie-Verousse - zakładam, że w ogóle nie jest cudzoziemcem. Gadał tak nieporadnie nie dlatego, że nie zna rosyjskiego czy niemieckiego, ale że rosyjski jest jego językiem ojczystym. Mówiłem pannie: należy dedukować także wedle tego, co nie istnieje.

Minęło się grupkę pasażerów z kupiejnego, rozglądających się z zaciekawieniem po peronie, to znaczy po tym jego niewielkim fragmencie, jaki mogli dojrzeć od schodków wagonu, od których daleko nie odeszli: dwaj brzuchaci i brodaci kupcy, muzyk z psem, baba w trzy chusty zawinięta, że tylko oczy mongolskie między fałdami czerwonej tkaniny było

widać, pop chudy - i ledwo się ich spostrzegło, oni także obrócili swoją uwagę, dalejże wykrzykiwać pytania gwałtowne i palcami pokazywać: o, rewolwer wielki, czarny, o, krasawica młoda obok, o, kuleje, ten awanturnik od książąt i bogaczy, on to, o niego sprawa najpewniej, tfu.

Uszło się czem prędzej w śnieg, prawie dopędzając pannę Jelenę.

- Najpierwsze pytanie, khr, jakie powinniśmy byli sobie zadać: dlaczego nie wybuchła afera po tym, jak rozbiłem głowę Fessarowi?

- Nie poszedł ze skargą.

- Przecież nie mam na myśli Turka biednego! W czym przedziale zostawiliśmy na dywanie kałużę krwi?

- Ach! Maszyna do pisania!

- Otwiera swoje atdielienje, wchodzi, patrzy: oto pod jego nieobecność ktoś wykrwawił mu się tu na podłogę. I co wtedy robi, khr, normalny człowiek? Biegnie do prawadnika, do naczalnika, podnosi raban wielki. Co zrobił *monsieur* Verousse?

Panna Jelena wdrożyła się już w logiczną rutynę doktora Watsona, słuchała z napięciem radosnem, przejęta i podekscytowana, że nie pozostało w niej w ogóle miejsce na strach; mróz nie mróz, różane rumieńce i tak obmalowałyby lica blade. Odpowiadała na pół wdechu, połykając wiatr i śnieg.

- Nic.

- Nic! Niech panna dalej patrzy po rzeczach nieistniejących. Co takiego ten żurnalista słynny pisał na swojej maszynie? Gdzież jego reportaże, wywiady, listy podróźnicze, opowiadania z Syberji dzikiej? On wybijał na kartkach czysty bełkot, chaos literowy i tysiączne powtórzenia jednej czcionki, nic więcej. Dlaczego to robił?

- Zaraz... Pan Benedykt nie mówi, ja sama! - Zagryzła wargi. - Nie jest Verousse, tak. Zatem... Ha! Nie umie pisać na maszynie!

- Nie umie.

- Ale przez te ścianki tu wszystko słysząc, a jemu trzeba było zachować pozory. Więc - bił co wieczór sumiennie w klawisze. Tak? Tak?

- Pewnie od razu wyrzuciłby tę Verousse'ową maszynę, gdyby mógł to przewidzieć. Najpierw próbował jednak coś pisać, przepisywał chyba zdania z książki - ale jak to musiało

brzmieć! Zmiarkował, że tak najrychlej się zdradzi, i bił już tylko dla szybkiego dźwięku: trak-trak-trak, jakby grał na pianinie. Bo na pianinie grać umie - i jakżem go teraz zobaczył przez okno, grającego na maszynie do pisania... Pojmuje panna? - Uderzyło się delfinią laską w czapę, aż puch biały się z niej posypał. - Wszystkie oczywistości zamarzyły wraz na swoich miejscach, jakby mi luty na głowę nadepnął.

Luty, na który odruchowo się obejrzała, wisiał nad torowiskiem na wysokości dworca, główny jego masyw - cała rozgwieżdżona lodu ciemnego wypiętrzona dwa piętra nad wagonami - pozostawał stąd niewidoczny; przez śnieżycę i promieniste oblaski lamp przebijały tylko zarysy dwóch nitkowatych odnóży. Odnóży, a może filarów, może korzeni, może pionowych fał geologicznych, nici glacialnego śluzu rozciąganych i pękających godzinami, dniami. Może to w ogóle nie materja się przemieszcza, tylko sam mróz nieziemski, gradient temperatury, ścinający wszystko na swej drodze w czwarty stan skupienia materji: lute. Szron na szybie - on także wędruje wedle -

Się walnęło się laską w szapkę balszaju po raz drugi.

- I następna oczywistość: znajduje krew, milczy o niej - ale co się dzieje? Całą noc nic innego nie robił, tylko przeszukiwał swój przedział, cal po calu, głowę za to dam. Co znalazł?

- Co mógł znaleźć? Wyrzuciliśmy... - Stanęła, z wrażenia nieledwie się potknąwszy; orękwicznioną dłonią sięgnęła odruchowo w ciasno związane włosy. - Moja spinka!

- Panny spinka. Znalazł niewieścią spinkę - z włosiem czarnym. Co więc sobie pomyślał? Kogo zaczął podejrzewać? Byliśmy przecież jeszcze daleko w Lecie. Niech panna sobie spróbuje przypomnieć dokładny początek tego jego niespodzianego afektu dla samotnej wdowy. Która ma długie, czarne włosy i jedzie dwa przedziały od niego.

- Jezu Chryste!

- Uratowało pannę położenie wagonów. Panna sądzi, że on tu jeszcze nikogo nie zabił? Ha! Niech panna pamięta o celu liedniaków: Tesla, arsenał Tesli, obrona Lodu, obrona *status quo* Rosji. Jakikolwiek plan miał uprzednio, to po moim wypadnięciu, jak się *mademoiselle* Filipov wygadała księstwu i książę zaczął pożyczyc swoich ludzi do pomocy ochrannikom - ten Nie-Verousse musiał szybko zbudować plan nowy. Niech sobie panna przypomni - dwie pamięci bardziej prawdziwe od jednej - niech sobie panna przypomni, że on ją pracować nad Fessarem już dzień wcześniej, to nie tak miało przebiec, chciał go wykorzystać zupełnie inaczej -

- Co pan mówi!

- Jak mnie panna wyprawiła, żebym odwracał uwagę pana Pociągły, Fessar wpada wtedy do nas, do galerji, spity pięknie, i bełkocze o maszynach zamkniętych w wagonie Tesli, o moich rzekomych układach handlowych z Teslą, z Pociągłą, Bóg wie, z kim - a wszystko o te maszyny. Skąd mu to do głowy przywędrowało? Kto go tak nakierował? Pytam potem - i co słyszę? Że owego popołudnia Fessar upijał Verousse'a! Kto kogo, panno Jeleno, kto kogo tam tru! Widzieli ich żłopiających wódę w kompanji, a Nie-Verousse z tą swoją mową-sałatą łatwo symuluje zaćmienie umysłowe, więc pomyśleli sobie, co pomyśleli. Ale w istocie kto ma łeb silniejszy: mahometanin do alkoholu nie przywykły czy Rusek niemłody? I następnego dnia przy pierwszej okazji biedny dureń włamuje się do wagonu Tesli. Żeby Dusin z księciem tam wtedy akurat nie przechodzili, kto wie, jak by się rzecz potoczyła. Przecież Turek zrobił był już publiczną scenę i potem znaleziono by na miejscu eksplozji jego zwłoki - niczego więcej Nie-Verousse'owi nie było trzeba, wysadziłby arsenał Tesli w try miga, sprawa załatwiona, żadnych podejrzeń na flamandzkim żurnaliście. Ale nie zdążył, a Turek uszedł w tajgę żyw. Co więc robi agent cwany? Niech panna sobie przypomni! Jaka przeszłość pasuje! Czy inaczej było? On, on, on właśnie pierwszy zakrzyknął za ekspedycją w las, dla ratowania szaleńca! On ludzi pociągnął! Bo musiał go dopaść na osobności, zanim Fessar wróci do zmysłów i wróci do Ekspresu i zacznie rozpowiadać, jak to go słynny dziennikarz był podpuścił. Więc Nie-Verousse sam poszedł za nim czem prędzej, wpierw jednak jeszcze wstąpiwszy do swego przedziału zostawić już naszykowaną bombę; i szczęście mu sprzyjało, a może wystarczyła jeno determinacja, myśmy tam na spacer, na piknik się wybrali, on jeden naprawdę Turka szukał - i znalazł, i łeb mu kamieniem roztrzaskał. Poczem zaraz z powrotem pojawia się na miejscu zbrodni i ręce załamuje, skrobie relację w notesiku reportera, khr, mamrocze mądrości wieży Babel. Więc zabił; zabił i zabije. - Zakaszlało się, zbyt wiele słów, mroźne powietrze znowu drażni gardło. - A wypadek doktora Tesli? To istotnie mógł być wypadek, przyznaję - ale mogła też być ręka Nie-Verousse'a. A dzisiaj w nocy? Zakradł się za pijanym, niby laskę oddać - ale jakbym tam leżał pogrążony we śnie delirycznym, myśli panna, że bym się jeszcze kiedykolwiek obudził na świecie Bożym? Ha!

Nacisnęła językiem policzek, przechyliła główkę.

- A jeśli mimo to... Sam pan mówił: morderców się stwarza. I że takie dedukcje nigdy się nie sprawdzają, że nie da się nic powiedzieć o przeszłości z całą pewnością, że to wszystko jest rozmyte, wieloznaczne, rozchwiane. Że tak złożyć łamigłówkę można w książce, nie w życiu, nie w świecie „być może”, pomiędzy prawdą i fałszem. A przecież gdyby pan nie

zajrzał mu teraz przez okno do przedziału -

Wyjęło się spod futra metalową tuleję interferografu, ściągnęło się czerwony zamsz.

- Panna zerknij. No, dalej, ja proszę.

Ostrożnie ujęła przyrząd między palce w skórzanej rękawiczce, głaszcząc białe pierścienie kości słoniowej. Obróciła się ku zamazanej przez śnieg łunie najbliższej latarni marostiekwowej, ku aureolom błękitu zimnego; na nie skierowała interferograf, Słońca nie było. Przytknąwszy okular do oka, zmrużyła drugie.

- I co panna widzi?

- Światło, światełka, dwa punkciki, jeden nad drugim, takie dwa ślepia małe, mrugają, djabełek niebieski -

- Dwa.

- Dwa. Och! Lód, panie Benedykcie -

Uniosło się Arcymistrza. Wyszedł ze śnieżycy zza panny Jeleny, nie zauważyła go, wpatrzona w interferograf, aż był tuż przy niej - opuściło się rewolwer, to znowu nie Nie-Verousse - był tuż przy niej i odepchnął ją z drogi, ciskając diewuszkę w śnieg i lód, poleciała z cichym okrzykiem, a on już wznosił nad głowę szpikulec długi, ostry, lśniący: soplec niczym sztylet, niczym włócznię. Nie zdążyło się z powrotem nacelować Grossmajstera, zdążyło się tylko spostrzec bosc stopy mężczyzny i tors nagi pod rubaszką rozdartą, i pomyśleć tępo: W Zimie czekali, z chłodu w chłód, w Zimie ubili, święty Marcynie, pomóż -

Dźgnął soplem w serce.

Padło się na ziemię. On zwałił się za ciosem. Soplec nie przeszył grubego futra. Marcynowiec siadł okrakiem, więżąc pod kolanami rękę z laską i rękę z rewolwerem. Czapa ciężka spadła z głowy, uderzyło się nagą potylicą o zmarzlinę ostrą.

Soplicznik spojrział i zawahał się.

- Wieniedikt Filipowicz Gierosławski? - zachrypiał.

- Tak! - warknęło się przez zaciśnięte zęby.

Wziął szybki zamach i wbił soplec w oko.

Szarpnęło się głową w lewo, soplec poszedł po kości policzka, trzasnął w ziemię, lodowe odłamki wkłuły się w skórę, od nowa rwąc blizny świeże.



Marcynowiec odrzucił tępy trzon sopła, do duszenia się zabrał. Ognisćcie zimne łapska zacisnęły się na szyji, kciuki wbił pod brodę, w krtań; straciło się dech, ciało wierzgnęło w panice, on przygniatał je do ziemi jak głaz cmentarny: ramię prawe, ramię lewe, pierś - zostało się ukrzyżowanym, przybitym. Nad głową marcynowca, sino-czerwoną od starych i nowych odmrożeń, biła kolorowa tęcza niewidocznej latarni marostieklowej, obrysowując barczystą sylwetę sekciarza promienistym nimbem godnym postaci świętego na ikonostasie - nie miał on przecie złego wyrazu twarzy, nie mordował z grymasem gniewu, nienawiści bądź strachu, prędzej goryczy, żalości jakiejś desperackiej...

Nimb zgasł, przesłonięty - czarna luneta rozprysła się na skroni marcynowca. Przewrócił się z jękiem na bok i przykrył dłonią krwawiące oko; tak zleął, w śnieg jęczący.

Się tarzało się po lodzie, charcząc, plując i płacząc, gryząc powietrze, nit - widziało się więc, co panna Jelena zrobiła później. Kiedy już złapało się oddech i usiadło się, stała na granicy kręgu widoczności, wpatrując się w śnieżycę, w kierunku latarni i monumentalnej kończyny lutego. Po marcynowcu pozostał tylko roztrzaskany sopel i kręty ścieg kropel krwawych, szybko zasypywanych mokrą bielą.

Znalazło się laskę i Arcymistrza, stanęło się chwiejnie na nogi. Z głębi kolorowej śnieżycy, od strony wagonów towarowych, rozległy się krzyki paniczne i trzaśnięcie drzwiami. Gdzieś w zawieji, w stronie północnej, południowej, zachodniej lub wschodniej, wypalono z karabinu. Zaczął bić dzwon stacyjny. Niski kształt wyskoczył zmiędzy kół Ekspresu: pies, pies tego chłopca z kupiejskiego, ze sznurkiem zawiązanym wokół karku wlokącym się po ziemi. Pod-; niosło się wzrok. W ciemnym oknie wagonu zamajaczył cień, twarz człowieka lub potwora przyklejona do zaszronionej szyby pod niemożliwym kątem. Mimowolnie postąpiło się wstecz. Dzwon bił i bił. Poza kręgiem świata widzialnego przebiegali ludzie, ktoś kogoś gonił, ktoś przed kimś uciekał. Otarło się twarz rękawem futra. Panna Jelena wskazywała coś wyprostowanym ramieniem, drugą ręką podnosząc sobolowy kołnierz, ponad nim czarne oczy spoglądały natarczywie. Tam! Patrz! Front śniegu roztworzył się na moment, ukazując radcę Dusina, kapitana Priwieżeńskiego i kozaka w czapie wysokiej, z bierdanką przy oku; szynel kozaka miał krwawą dziurę pod pachą. Dzwon przestał bić. Panna Jelena opuściła ramię. Spod kopyta lutego, z aureoli marostieklowej wyszedł Nie-Verousse w rozchełstany kożuch, z parą drewnianych prawideł w ręku. Nacisnęło się ogon węża. Grzmot wraził się w uszy lodowymi nożami - mróz ściał rękę, mróz wypełnił płuca, przeszył serce. Padło się na kolana.

Pudło. Pudło, oczywiście - zamiast w agenta liedniackiego, trafiło się obok, w lutego. Ten grzmot trwający w czaszce głuchem echem - to hałas pękającego lodu: luty wali się na dworzec, na torowisko, na wagony, masy czarnego glaciału obsuwają się na Zimę.

Kłęczy się z głową na pierś zwieszoną, pod tym dziwnym kątem przyszpilony do zmrożonej ziemi oszczepem mrozu, i przez długą chwilę tylko słyszy się te efekty strzału chybionego, tylko czuje się drżenie gruntu i wiatr zimny, siarczasty na policzku skrwawionym.

Nie można oddychać płucami zamrożonemi - pierwszy wdech jest tak bolesny, że wrzeszczy się na całe gardło, to nie jest słowo, lecz pusty dźwięk powietrza przechodzącego przez ściśniętą mrozem krtani. Czy ktokolwiek usłyszał - w tym grzmocie - w śwście syreny „Czarnego Sobola” - w kakofonji dziesiątek innych wrzasków - nikt. Aż dopiero miękkie ciepło przenika przez przymarznątą do żmijowej kolby Arcymistrza dłoń, ciepło, dotyk ciała cudzego, i rozrywa się zaszyte szronem powieki, i spogląda się w dół, na tę sabakę w pętli powrozu liżącą rękę zbrojną. Psiak unosi głowę, pokazuje szeroki ozór. Porusza się prawicą w bezmyślnym odruchu, aby go pogłaskać, zanurzyć palce w skołtunionej sierści - pęka lód na rękawie futra, sypią się odłamki cienkiej zmarzliny, błękitno-fioletowej w blasku lamp. Pies odskakuje, spogląda czujnie. Wbija się laskę delfinią w śnieg spiętrzony przed kolanami i się podnosi się; wydychana czarna para opada na ten śnieg maleńkimi płatkami sadzy. Się prostuje się. Gdzie panna Jelena? Co się stało z panną Jeleną?

Śnieżyca jakby na ten krótki moment zelżała, widać Ekspres Transsyberyjski od eliptycznych płyt i łukowatego komina parowozu zimnazowego aż do ostatniego wagonu. Luty złamał się wpół, padł na tory przed „Sobolem” i na wschodnie skrzydło dworca, zmiądzzył szopy i magazyny, dziesięcioarszynowe okorowane pnie rozprysnęły się naokoło, jeden pień, jak słup telegraficzny, sterczy wbity w grunt kilka kroków od torów, gdzie stała była panna Jelena. Peron i ziemię dookoła dworca pokrywa gruby dywan pary, pary lub jakiegoś gazu, gęstego, kłębiącego się w białych falach; rozplywa się on powoli od rozłamanych fragmentów lutego, od jego pancерnej rozgwiadzy rozłupanej na zimnazowych kratownicach dworca, wycieka z pozrywanych mrozostrun, bulgocze z roztrzaskanych odnóży, ulatuje z przestrzelonego filara mroźnika. Ludzie biegnący na miejsce katastrofy brodzą w parze jak we mgle porannej, jak w wyziewach bagiennych. Światło tych latarni, które jeszcze stoją i się palą, nasącza ową parę tęczowymi odcieniami. Spojrzeć w przymrużeniu i zobaczy się ludzi wylanych z obrazu wraz z rozpuszczoną farbą, grzęzną w tej farbie, farba ich oblepia, rozklejają się na barwy podstawowe. Coraz któryś się przewróci,

krzycząc, cięty mrozem po kostkach; przykrywa go biały-niebiały kobierzec powietrznej zawiesziny.

Gdzie panna Jelena? Spojrzało się w drugą stronę. Dwóch kozaków, policjant oraz człowiek w mundurze księcia mierzą w Nie-Verousse'a z karabinów, wparci plecami w wagon doktora Tesli - Nie-Verousse stoi ledwo kilkanaście arszynów dalej, z prawidłem w uniesionej w zamachu ręce - Dusin i Fogiel biegną ku niemu zza wagonu - na śniegu, u stóp liedniaka, leży martwy kozak - pod zatrzaśniętymi drzwiami arsenału Lata spoczywa trup drugi: Oleg z głową przestrzeloną - a za plecami Nie-Verousse'a, od strony rozpękłej goleni lutego, po dywanie tęczowej pary, skrada się panna Muklanowiczówna, czarne włosy rozburzone na sobolowym płaszczu, malunek marostieklowych błysków na białym jak kość profilu, kiel czarnego lodu nagotowany w orękawicznionej dłoni. Z zaciśniętymi wargami, oczyma wielkimi, szeroko otwartymi, z drżeniem ręki, ale - uśmiechnięta; ale - język między zębki wysunięty, głowa uniesiona, w źrenicy błysk.

Panno Jeleno! Niech panna! Na litość boską! Co pannie! On zaraz! Uciekaj! Się krztusi się oddechem nieprzetchniętym, oddech staje w krtani jak kość w gardle. Panno Jeleno! Przecież zmarzlina na pewno skrzypi pod jej krokami, zresztą zaraz się panna potknie tam na czymś w tumanach mroźnikowych oparów i liedniak się obejrzy, musi się obejrzeć. Wstrzymuje się oddech, byle nie krzyknąć. Dusin i Fogiel wybiegają z cienia za wagonem i Nie-: - Verousse woła ostrzegawczo, wznosi prawidło jeszcze wyżej; stają jak wmurowani. Jelena tymczasem jest coraz bliżej bombiera. Rozlega się podwójna syrena „Czarnego Sobola” i grzechot żelazny, gdy wszystkie wagony zderzają się z sobą i lokomotywa pod zimnazowemi zorzami bucha parą brudną, pchając cały skład wstecz, dalej od masy ciemnego lodu, od zgruzowanego cielska lutego grodzącego torowisko. Następni pasażerowie przerażeni wyskakują na peron Zimy. Zamknięty na cztery spusty wagon z arsenałem Lata przesuwają się z wolna za plecami strażników. Nie-Verousse postępuje krok naprzód. Krzyczą już wszyscy. Wtem przez skromne okienka i wąskie szpary w ścianach wagonu Tesli strzelają snopy śmiałła, tnąc marostieklową Zimę poziomymi i pochyłymi linjami ciemności, plamami świeceni wypalanych za zaspami i za postaciami blokującymi śmiałło. Scena konfrontacji naraz przeobraża się w teatr cieni i przeciwcieni; przedmioty, ludzie, krajobraz zmieniają się co uderzenie serca, obracając się we własny negatyw - i negatyw negatywu - i znowu na odwrót - i znowu - światło-śmiałło-swiatło-śmiałło-swiatło-śmiałło. Nie sposób zachować w tym orientację; kręci się w głowie na sam widok.

Nie-Verousse klnie, spluwa i -

Panna Jelena rzuca się do biegu -

Prostuje się ramię i zgina się zlodowaciały palec na spuście Grossmajstera. Grzmot. Mróz. Lód.

Tym razem ustało się.

Bomba wybuchła wcześniej, ale wyrzucony w powietrze wagon towarowy zamarł z kołami pół arszyna nad szynami, przechylony na jedną stronę. W ćwierć długości zamienił się w kolczastą gwiazdę lodu i rozpedzonych odłamków: eksplozja zamrożona w setnej części sekundy - posąg eksplozji. Co dłuższe igły, wystrzeliny lodu, sterczą z tej chaotycznej rzeźby na wysokość cedru; te, który nie szły wzwyż, wbiły się w ziemię wszędzie naokoło. Przebiły kozaka, przebiły Dusina. Fogiel wisi w powietrzu z nogą złapaną w szczęki lodowe. Spory fragment maszyny teslektrycznej, wygięty w spiralę pierścien zimnazowy, wmróził się w korpus policjanta, policjant zawisł w wieczornym półmroku ponad lodowym panopticum, wyniesiony na soplach na wysokość drugiego piętra: figura symboliczna, rozpięty na niebie anioł stróż owej bitwy, to znaczy człowiek zespolony z lodem i z maszyną.

Pozbawiona czucia prawica objija się bezwładnie o futro i laskę, laska wmarzła w ziemię między stopami, jakby zapuściła korzenie w głąb do samej krainy mamutów; poza tym stoi się nieruchomo niczym kolejna rzeźba lodowa, nawet powiek przymarzniętych do skóry oczodołów nie można opuścić, a chciałoby się, gdy patrzy się prosto w lufę egzekucyjną. Kula tungetytowa poszła bowiem nie w wagon i szyny, tam skręcił jeno glacialny rykoszet; mierzyło się było natomiast w ziemię przed Nie-Veroussem, ale z dala od panny feleny, po drugiej stronie zamachowca: zmrozić jego, nie raniąc jej - utrafić z epicentrum Lodu w odległości dla niej bezpiecznej, dla niego zgubnej - taki był zamiar. I oczywiście w ostatniej chwili targnęło się było rękę w bok. Pannie nic się nie stało, podnosi się właśnie ze śniegu - ale też niewiele złego dotknęło tyczkowego agenta Lodu, zmarzlina ścięła go na wysokości kolan, więc nie ucieknie, lecz ominęły go wszystkie iglice i szpile mróz-eksplozji, a zaraz też wyłamał się liedniak z obejmą zmrożonych strug ziemi wyrzuconych z krateru na peronie, uwolnił ręce, złamał łuk żwiru pod pachą, pochylił się, podniósł wintówkę kozacką i mierzy teraz pewnie i spokojnie niczym członek plutonu egzekucyjnego, on nie spudłuje, lufa nacelowana w środek piersi, jakby na tym futrze uśnieżonym wymalowano tarczę - krzyknęłoby się, ale płuca i usta zabite mrozem, przestraszyłoby się, ale mróz w mózgu, on nie spudłuje, oko, ręka, myśl pewna, strzeli prosto w serce, bojowiec Lodu.

Strzela. Ruch z lewej - skoczył - kto? Się zważyło się razem w śnieg. Ból, lecz stary ból,

ból znajomy: mróz w piersi. A przecież on strzelił, on trafił, w kogo trafił? Rękoma zmrożonemi jak ciężkimi kłodami, do prawej przybity rewolwer zimnazy, do lewej - laska, rękoma temi nieczułemi obróciło się ciało mężczyzny, kładąc jego głowę na futrze zawiniętem pod uda. Kapitan Priwieżeński wyszczerzył się krwawo. Huknął kolejny strzał. Spojrzało się. Nie-Verousse zgiął się w tył i padł na plecy, z długimi nogami nadal uwiecznionymi w kajdanach lodu. Wychylony z dziury w ścianie wagonu Stiepan strzelił po raz drugi i trzeci, dobijając liedniaka; potem Nagant wypadł staremu ochrannikowi z dłoni, gdy cały wagon z arsenałem Tesli przewrócił się na bok, zepchnięty z postumentu zalodzonej eksplozji inercją składu, nadal toczony wstecz przez „Czarnego Sobola”. Ta katastrofa się nie skończyła, jej kolejne akty następują po sobie z nieuchronnością lawiny, zdawało się, że nigdy i nic jej nie zatrzyma. Co jeszcze, kto jeszcze...? Kapitan Priwieżeński wypluwał na oblodzone futro ostatnie krople żywota, grymas niezmiernie pogarda krzywił mu usta pod wąsem równo przyciętym. Na mundurze oficera cesarskiego pod rozpiętym płaszczem rozlewała się plama, w świetle ostatniej ocalałej latarni marostieklowej Zimy - raz różowa, raz czarna, raz ciemnoślwkowa. Chciał podnieść rękę - tylko zacisnął dłoń w pięść. Mając powieki zamrożone, patrzyło się mu w oczy, nie mrugając; mając twarz zamrożoną, patrzyło się zimno, mimo Wstydu gorejącego wewnątrz. Szukał tego spojrzenia, dla tego spojrzenia umarł; to był triumf ostateczny Nikołaja Pietrowicza Priwieżeńskiego.

Nie mrugając, nie odwracając wzroku, z pierwszym oddechem-krzykiem rosnącym z głębi piersi zimnej, ogień i lód, wejrzało się w duszę rosyjską: jakaż pogarda większa, niż gdy oddajesz za pogardzanego własne swe życie?

## **O niedokonanem**

Nocą, przy zgaszonym świetle, ze skronią do szyby czarnej przyciśniętą, gdy żandarm na korytarzu głośno rachuje zmarłych po imionach i odczestwach, gdzieś dalej w Luksie szlocha dziewczka, a krew cienkim strumyczkiem spływa spod opatrunku pod okiem: Pogarda jest jedną z twarzy wstydu.

Pogarda jest jedną z twarzy wstydu, jak zawiść jest jedną z twarzy podziwu, a zazdrość - miłości. Się zawinęło się ściślej w grube koce. Kubek z czajem gorącym parzył skórę dłoni, to było dobre. Pociągnęło się nosem. Katar, on pojawia się pierwszy po wyjściu z mrozu. Za oknem atdielienja przesuwawała się syberyjska noc. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK, za kilka godzin,

jeszcze przed świtem lub o świcie, stanie się w Irkucku. Drzwi przedziału pozostawały niedomknięte, wahając się to w szerszym, to w mniejszym odchyleniu, co chwila przechodziły za nimi jasno oświetlonym korytarzem umundurowane i nieumundurowane figury, nierzadko przystając i zaglądając do wnętrza atdielienja. Przestało się zwracać na nie uwagę. Gdyby nie poręka Tesli i papiery ministerjalne... Ale umysł rosyjskiego czynownika w Kraju Lodu nie zna stanów pośrednich, twierdzenia niepewne i półprawdziwe wyslizgują mu się z myśli jak mydło wilgotne zmiędzy palców. Skoro nie przestępnik i terrorysta - szło rozumowanie urjadnika - to nasz człowiek, a co czyni, to czyni z poruczenia urzędowego. Nawet Arcymistrza zwrócili. Wepchnęło się go z powrotem za pasek, zawiniętego w ceraty i szmaty; bez ucisku bryły zimnaza na brzuchu się czuło się okaleczonym, niepełnym, jak po operacji wycięcia funta jelit. Doktor Tesla, wygrzebawszy się z przewróconego wagonu, ani się był zająknął w sprawie Grossmajstera, gdy na jego oczach urjadnik pytał o rewolwer lodowy. Potem się okazało, że pod zawalonym lutym zginęły w dworcu cztery osoby, w tym jakiś święty kaleka, obrazki pobożne podróżnym tu sprzedający. A kto zburzył lutego? Kto ludzi lodem nagłym poprzekłował? *Mademoiselle* Filipov przedstawiła papiery z Osobistej Kancelarii Jego Imperatorskiej Wysokości, stawiające sekret i bezpieczeństwo maszyn doktora Tesli ponad wszelkimi innymi prawami; no i na szczęście było ciało nastajaszczewo terrorysty, a także druga bomba, którą wkrótce znaleziono pod śniegiem, nieodpalony ładunek dynamitu ukryty we wnętrzu drewnianego prawidła. Sześć godzin zabrało oczyszczenie szyn i przetoczenie składu Ekspresu na wolny tor. Wagony towarowe pozostały na stacji Zima, ale wstrzymywać dłużej pasażerów Ekspresu, a już zwłaszcza Luksu, nie leżało w kompetencji lokalnych policjantów i żandarmów, gdy nawet isprawnik okręgowy nie był osiągalnym na wezwanie prędkie. Nikola Tesla został więc w Zimie ze swoim arsenałem pod strażą dwóch sponiewieranych ochranników i połowy sił porządkowych miasta. Zapewniał, że przybędzie do Irkucka w ciągu kilku dni. Większość sprzętu nadawała się do reperacji, zamach kosztować go będzie dwa-trzy tygodnie dodatkowej pracy. Nie miało się szansy porozmawiać z nim wówczas la osobności. Dwa-trzy tygodnie - to znaczy, że przy najpomyślniejszym gwiazd układzie nie wyruszy się z Irkucka na Kieżmę prędzej jak w październiku. A to już nie czynowników Rappackiego bać się trzeba, ale przede wszystkim tych fanatyków od Rasputina. Przecie marcynowiec w Jekaterynburgu zapowiedział był, że czekają, że poszedł ukaz w sekcie, ostrzeżono wiernych w miastach na trasie Transsibu. I nie chadzało się po wypadkach jekaterynberskich na samotne ekskursje, tyle co przemknąć z Luksu do towarowego nazad, ale i to na oczach wszystkich, bezpiecznie. Aż zaczęły się śnieżyce. Wjechało się w Kraj Lutych, zaczęły się śnieżyce i dwa razy pokusiło się los: raz w Kańsku

Jenisiejskim, z panną Christine, i raz w Zimie, z panną Jeleną. Gdyby to Christine znalazła się na miejscu Jeleny... Ale - kto wie? Przecież tak naprawdę nie zna się *mademoiselle* Filipov. Jak i nie znało się kapitana Priwieżeńskiego. Przelknęło się czaj gorący, wszedł w przechłodzone organy jak kwas w drewno. Prawa ręka nie trzęsła się już tak wyraźnie, ból rozmrożenia był do wytrzymania, czucie szybciej wracało do palców. Być może za drugim razem istotnie jest łatwiej. Być może za setnym razem nie cierpi się wcale. Za tysięcznym - być może, że jest w tym wondrous już brutalna rozkosz, zbawienie w upokorzeniu ciała. Tak zapewne zaczyna się droga każdego marcynowca, na taką drogę zapewne wstąpił był Ojciec Mróz. Mhmmm. Gdybyż dało się to obrócić w okoliczność korzystną... Było oczywiście, że znajdują, że dopadną - i dopadli. Czekają także w Irkucku, to pewne jak dwa a dwa cztery, czyli na ziemi Lodu pewne podwójnie. Jak przekonać marcynowców? Czym ich nawrócić? *W Kraju Lutych nie zdarzają się nagle nawrócenia i rewolty serca. Kto jakim tu przybywa, takim najpewniej już pozostanie.* Jeśli by jednak wjechać do Irkucka kim innym, to znaczy nie Benedyktem Gierosławskim - jeśli by się ukryć - zamaskować - zaprzeczyć... Nie! Równie szybko, jak przybyła, myśl odpłynęła, już całkowicie nierealna. Mróz siedział głęboko w kościołach. Za szybą, gdy drzwi się przymykały, zaciemniając atdielienje, majaczyły blade wały śniegu, lodowe krajobrazy Nadbajkała, od trzynastu z górą lat pogrążonego W wiecznej zimie; lecz czasami - w innym położeniu drzwi - ukazywało się tu też potargane oblicze Benedykta Gierosławskiego. Żandarm wyrecytował kolejne imię. Się wykrzywiło się w oknie w grymasie, który nie był uśmiechem.

Pogarda jest jedną z twarzy wstydu, być może tą najszczerzą. Jeśli w ogóle można wiedzieć coś pewnego o drugim człowieku, to właśnie teraz, właśnie tutaj, w Królestwie Lodu. Lecz cóż z tego da się wypowiedzieć w języku drugiego rodzaju?

Model: kapitan Nikołaj Pietrowicz Priwieżeński. Młody, ambitny, wcale nie cyniczny, wcale jeszcze nie rozczarowany, poszedł na służbę z sercem szczerem i umysłem otwartym, z głębi duszy i z własnej woli zaprzysiężony majestatowi Imperatora Wszechrosyjskiego. Ale ta sama szczerść i prostota, gdy postawione w obliczu petersburskich nieprawości, nie pozwoliły mu zamilczeć i z twarzą beznamiętną i sumieniem niemem stawać na każdy rozkaz i kaprys brudny, głupi, bezecny. Im bardziej chciał wierzyć w Imperatora i w Rosję, tym wyżej zółć się w nim podnosiła; im szczerniej bronił swej nie winności, tym grubsze pancerze dumy, pychy i pogardy trzeba mu było cc dzień, co noc wkoło wznosić. Jakimż wstydem - czystym, gorącym, porażają cym jak łuk elektryczny - musiał tam płonąć na służbie dworskiej, jakie energie bezsilne w duszy więzić, pod zbrojami! Aż się kto na szczęście poznał na cierpieniu

jego nieznośnem, dotąd jakoś znoszonom, cierpieniu bynajmniej wiele nie różnem od Ziejcowowego; poznał się i czem prędzej wyprawił kapi tana byle dalej od Peterburga i spraw peterburskich, zanim do jakiej tragedj tam doszło.

...Więc wsiada taki kapitan Priwieżeński do Ekspresu Transsyberyjskiego i zaraz drugiego dnia podróży trafia w rozmowę cudzoziemców o Rosji i po rządku carskim, oglądanym cudzoziemskimi oczyma wedle porządków cudzoziemskich. Naturalnie, że pierwsza podeszła mu do gardła żółć: dalejże postponować i obśmieszać tego cara ziemskiego, ułomnego, który tak żałośnie nie dorósł do pięknego ideału kapitana. Wstyd! Wstyd! Wstyd! Jaka inna siła pchnęłaby go do owej mowy gorszącej, cóż innego pozwoliłoby mu z twarzą otwartą tak nieobyczajne historje z intymnego życia monarchy wobec nieznamomych wyjawiać? Lecz oto - któż jeszcze Imperatora i ojczyzn przy nim obgaduje i poniża? Nie Rosjanin; ba, Polak! Nie byłby Nikołaj Pietrowicz Priwieżeński sobą, gdyby nie wziął tego za celową *lèse-majesté*, ten większą, im goręcej sam przed chwilą na Rosję był psioczył - tu istnieje zależność wprost proporcjonalna: każde własne złe słowo potęguje nieprzyzwoitość podobnych słów przez obcego wypowiedzanych. W głębi duszy kapitan Priwieżeński bowiem czuje, że zgrzeszył przeciwko ideałowi, odwrócił się od Cara-Boga, cokolwiek bowiem Car powie, cokolwiek zrobi i rozkaże, stanowi temi czynami i rozkazami ideał niekwestjonowalny - ponieważ jest Carem Odtąd więc przez całą podróż Transsibem jedna siła, jedna zasada, jeden mu skuł wewnętrzny kapitanem powoduje: wstyd, wstyd, wstyd przemożny.

...Aż wjeżdża w Kraj Lutych i Mróz ścina mu duszę rozgotowaną.

...Nikołaj Pietrowicz Priwieżeński i Filimon Romanowicz Ziejcow - n; różnych stacjach wysiadają, podróż przecie ta sama.

Wciągnęło się przez zęby resztę rumowej herbaty, język dotknął dziur w dziąśle. Ból, człowiek szuka fizycznego bólu, żeby odwrócić umysł od udręk niefizycznych - żeby je zagłuszyć - żeby je odkupić w transakcji związanej. Oto jest hazard djabelski: kto ból wytrzyma, zdobędzie nie prawo do ulgi, lecz prawo do bólu. Odstawiwszy pusty kubek, sięgnęło się pod kocem lewą ręką ręki prawej. Ścisnęło się mięśnie, wepchnęło się kciuk pod łokieć, pociągnęli się paznokciami po skórze przedramienia, po podskórnych wypukłościach nadgarstka. Rozmrożona kończyzna odzywała się pod tym dotykiem impulsu mi piekącego ognia, przyczem nie sposób było przewidzieć, kiedy płomień wystrzeli wzdłuż kości do barku, a kiedy nie, nawet gdy dotykało się raz za razem tego samego miejsca. Palce prawej



dłoni poruszały się już sprawnie, to znaczy te uprzednio sprawne i zdrowe; tylko trzęsły się lekko. Rzecz jednak w tym, że strzelając z Arcymistrza - i to dwa razy pod rząd - wcale się nie wiedziało, czy organizm zniesie to doświadczenie lżej; czy zniesie w ogóle. Mogło się umrzeć. Znacząco, teraz się wie, że nie mogło się umrzeć, ale - strzelało się bez takiej pewności, zupełnie zresztą o tym nie myśląc. W każdym razie nie potrafiło się przypomnieć żadnych takich myśli. Jeno ruch ręki, szarpnięcie, grzmot i mróz. Oto jest hazard bohaterski: skoczyło się na oślep w bitwę i teraz może się o tym opowiadać, ponieważ się ocalało. Ha! Zaraz się obróciło się ku szybie czarnej, by wykrzywić twarz szyderczo, śmiejąc się w odbiciu z myśli tych niesmacznie podniosłych - miast tego spojrzano się w blade oczy odbicia i tylko zacisnęło się wargi, uniosło się wyżej głowę łysą, osiniaczoną, obharataną. Daj jałmużnę - i wytrzymaj wzrok żebraka! Zdobądź się na czyn dobry, odważny - i nie obśmiej go przed samym sobą, lecz stań w prawdzie: to ja zrobiłem! Ja - kto?

Pochyliło się głowę, kuląc się i osuwając na posłaniu na ścianę przy oknie. Się-roz-ta-pia-się.

Drzwi odchyliły się szerzej i do półmrocznego atdielienja weszła w dyskretnym szeleście sukni panna Muklanowiczówna. Stanąwszy, spojrzawszy, nie odezwała się słowem. Przysiadła na krześle naprzeciw posłania, prawe ramię opierając na sekretarzyku; przechyliła główkę, zaglądając pod koce, które zaciągnęło się tymczasem na czerep obolały na podobieństwo kaptura mnisiego. Drzwi wahnęły się raz jeszcze, tak mocne było pchnięcie panny Jeleny, i zatrasnęły się z cichym stukotem, odcinając płynącą z korytarza litanję żalobną żandarma. Odcięły także bijącą stamtąd poświatę elektryczną - i ciemność w przedziale zapadła omal zupełna, wszystek blask pochodził teraz od nocnych bieli zza okna i tyle zdołał z kształtów najbliższych wydobyć, że odróżniało się czerń sylwetki panny od płaskiej czerni ściany.

I tak minęły długie minuty, kwadrans może, gdy czekało się, że panna coś powie, że zapyta albo zapłacze albo się zaśmieje albo zagada o byle co - ale nic. Weszła, usiadła, siedzi. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK. Ile siedzieć tak może, całą noc? Czego chce, po co przyszła? *Jamais couard n'aura belle amie et les grands diseurs ne sont pas les grands faiseurs*, jak powiedziałby Nie-Verousse, niech ucztuje z robakami. Ale przypomniała się noc sprzed trzech dni, noc długich opowieści kłamliwych-prawdziwych, gdy tak samo siedziało się naprzeciw panny przy oknie ciemnem - otóż słowo jest czynem, słowo większej wymaga odwagi niż gest ciała, czyli pusty ruch materji.

A może istotnie nieraz zbierała się już w sobie, by rzec coś, czego rzec nie potrafi, na co nie ma słów w języku międzyludzkim - ale owej hezytacji też nie widać w ciemności. Może zamknęła oczy, zasnęła. Może siedzi i tylko wsłuchuje się w oddech własny i cudzy, liczy serca odgłosy. Może wygląda przez okno. Może zagryza wargi i załamuje ręce. Dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK. Nie widać.

Wyciąga się ramię spod koca, sięga się ku pannie - ach, tego ona przecież również nie zobaczy, prawie-dotyku, prawie-pieszczoty - nie widzi, czego się nie uczyniło, co umarło na próbie czynu.

Ale oto koniec luksusu ciemności: półksiężyc wyszedł zza chmur, rozsrebrzył pejzaże lodowe, pojaśniało w przedziale, i tak wszystko zamarzło: panna siedząca na krześle, z jedną ręką zwieszoną wzdłuż, trochę bezradnie, trochę w zniechęceniu, drugą pod brodę wpartą, z palcem wskazującym wyprostowanym, do policzka bladego przyciśniętym, z oczyma ciemnymi wprost przed się wpatrzonymi, bardzo poważnymi, ale też z górną wargą lekko, leciutko drgającą jak do uśmiechu sekretnego, o którym wie tylko ona i ten, na którego panna patrzy.

Się wysunęło się spod kaptura pledów, w instynktownej reakcji prostując plecy i unosząc prawicę zimną - ale i ten zamiar zamarzył w połowie, niewykonany.

Nie wstało się więc, nie schwyciło się pannę w pół, nie poderwało się jej do pocałunku gwałtownego. Nie nacisnęło się na jej usta, nie połknęło się jej oddechu gorącego, nie posmakowało się jej śliny cukrem i goździkiem przyprawionej, nie objęło się wargami jej wargi miękkiej, spierzchniętej, jej języczka trzepoczącego, kolibra śmigającego w oddechu od policzka do podniebienia. Nie całowało się panny Jeleny, nie.

A i panna nie wczepiła się paznokciami w surdut, kamizelkę i koszulę, nie drapała, nie głaskała po gorsie, szyji, karku, twarzy, po czaszce gładkiej; nie objęła ciężkiej, rozpalonej polodowem gorączkami głowy, nie obcałowała jej; chichocząc, od sińca do sińca, targając pociesznie za uszy, gdy się wyrywało się z jej uścisku niewygodnego, w końcu padając na kolana, z czołem przyciśniętym do sukni gładko opiętej na gorsecie pod skromnym *décolletage*. Nie śmiała się z głębi gardła, przesuwając rozkosznie palcami po obgolonej skórze, łaskocząc nad uszami i wbijając paznokcie pod kość potyliczną.

Nie. Panna siedzi i patrzy, ani mrugnawszy, oko w oko, milczenie w milczeniu, i tylko jej oddech staje się powoli coraz płytszy, coraz bardziej rwany.

Nie sięgnęło się więc z tych klęczek rąbka sukni panny, nie wślizgnęło się dłoni pod

materiał, na kostkę szczupłą w jedwabnej pończosze, nie zacisnęło się dłoni na pęczynie napiętej nad podnoszącym trzewiczek angielskim obcasem - na co panna nie szarpnęła za uszy, nie zwróciła ku sobie oblicza w pół opatrunkiem zakrytego, oczu ku oczom szeroko otwartym, pytającym, przełknięm, rozradowanym. Nie ślizgało się po jedwabiu dłonią zimną, wzdłuż łydki drżącej, do kolanka, tu nie zatrzymując się na moment, gdy panna nie rozchyliła warg, nie wydała cichego westchnienia-chichotu; i ponad kolanko, do podwiązki i granicy jedwabiu, nad którą dłoń nie zeszła na wąski pasaż nagiej skóry uda panny Jeleny. Na co panna nie rzekła ani słowa, nie zamarła w sarnim bezruchu, z paluszkami do krwi zagryzionymi.

Nie. Panna siedzi, zapatrzona, nie mogąc oczu oderwać. To nie jest pojedynek wstydu, jak między rywalami przygodnymi: kto pierwszy wzrok odwróci. Nikt nie chce wzroku odwracać, siedzi się w milczeniu dusznym po dwóch stronach ciasnego przedziału, na wyciągnięcie ręki jedno od drugiego, zamarzli w momencie poprzedzającym jej wyciągnięcie, zatrzymani na sekundę przed. Nie zna się zasad gry, a się gra. Przecież to noc ostatnia, być może więcej się panny Jeleny nie zobaczy, a już na pewno nie w owej atmosferze bezgrzesznej tymczasowości Ekspresu Transsyberyjskiego - nigdy się już ten Benedykt Gierosławski nie spotka z tą Jeleną Muklanowiczówną. Czy panna myśli o tym samym? Najwyraźniej tak - tu, w Kraju Lodu, gdzie przecucia bliższe są przecuciom, fantazje fantazjom, prawdy prawdom, tutaj właśnie, tylko tutaj taka noc. Zawija się ramiona w pled, zakłada się nogę na nogę, zaciska się pięści. Ręka panny Jeleny, ta bezwładna, zniechęcona, krąży ślepo po guzikach koralowych pod gorsem sukni.

Nie zerwie się tych guziczków, szarpiąc tkaninę, mocując się z fiszbinami pod nią, że aż się nie zasapało się i panna nie wybuchnęła śmiechem perlistym, nie odgarnęła materiału własnoręcznie, luzując haftki, zsuwając rękawy z ramion, suknię całą z gorsetu, coraz wolniej i wolniej, by na koniec nie zatrzymać się, nagle zdjęta niepewnością, z ciemnym batystem zmiętym w zaciśniętych piąstkach, spojrzeniem pytającym z jeszcze szerzej otwartych oczu. Szczęście, które się nie przydarza, nie wstrząsnęło wagonem, gdy skład pędził w dół pochyłości (nie pędził), i nie padło się, straciwszy równowagę, razem z panną w suknię zaplątaną, na posłanie zaścielone grubo kocami i futrem świeżo czyszczonym. Jelena nie śmiała się, znowu w figlarno-przekornym nastroju; nie śmiała się i nie zatchnęła się w czkawce chichotliwej, skoro nie całowało się po kolei wszystkie jej paluszki i po nagiej ręce wzwwyż, na dekolt nad halkę białą, do linji czarnej aksamitki z gwiazdką rubinową, kiedy już panna prawie tchu nie mogąc chwycić od tych trzpiotek-chichotek, nie złapała za łepetynę

łysą i nie poczęła targać w dziecinnej swawoli to za uszy, to za los, to za brodę, to za skórę policzków zarośniętych, zrywając przytem opatrunek wcześniej już naderwany - gdy się, jak psiak rozochocony, nie obsłiło lodowo białych piersi panny, drobnych, przeciętych różowymi odciskami od gorsetu, nie złapało się między zęby guziczek czerwony piersi lewej, ściernięty do koralu, do rodzyńka, którego się nie rozpuszczało w ustach, dmuchając i chuchając i tocząc językiem wilgotnym wte i wewte, na co panna nie chwyciła za poduchę spode koców wystającą i nie biła nią w plecy amatora rodzyńków, a potem nie przykryła się nią sama, chowając twarz rozumieaioną i tłumiąc chichoty i jęki. Nie zabrało się następnie do rodzyńka drugiego. Nie wróciło się dłonią prawą, zimną, na jedwab pod kolankiem, jedwab nad kolankiem, jedwabną skórę uda nad jedwabiem. Nie wślizgnęło się palcami zmrożonemi, połamanemi pod perkalową bieliznę panny, co pół cala znacząc powolną pieśczętą nową linię frontu, jakby się pod panny naskórkiem samemi opuszkami wyczuć próbowało przemieszczenia jakiegoś maleńkiego agenta Zimy, śliskiej grudki zmarzliny, która wciąż się wymyka i w górę, ku większemu ciepłu w ciele dziewczynki płynie. Ale capnąć tę drobinę! zmiażdżyć palcami! - dziewczę od razu roztopi się do reszty w objęciach gorących, rozplynie się pod pocałunkiem i pieśczętą niby pęk bitej śmietany - nie. I nie pociągnęła panna ku sobie, pod poduchę, nie ścisnęła udami dłoni tropiącej szpiona lodu do samego źródła gorączki, nie sięgnęła drugą ręką spódnicy i halki, zbierając je i podwijając ponad białe podwiązki, nie szeptała przytem w dusznej ciemności pod poduchą, pachnącej jaśminem i goździkami, słów nieprzyzwoitych z romansów francuskich - na które nie odpowiadało się innemi słowami francuskimi - na które nie otworzyła nóg, wypuszczając dłoń kaleką - która nie dopadła wreszcie i nie schwyciła na ostatnim przyładku rozpalonej skóry maleńkiego agenta Zimy, między palec i palec, delikatnie, miękko, ze złośliwą czułością myśliwego - na co panna nie zakrzyknęła niemo, zaciskając piąstki, by zaraz potem nie rozluźnić mięśni wszystkich rozpulchnionych w długim, głębokim wdechu, roz-roz-to-pio-na -

Tego już pannie Jelenie za wiele, ucieka wzrokiem i myślą, podrywa się z krzesła, strącając z blatu filizankę i spodek, i ruchem tym nagłym burzy powietrze przesączone wonią jaśminowych perfum. Też się chce się poderwać, wybudzony wtem jak z hypnozy - ale rozumuje się i się rusza się nadal z prędkością snu, to znaczy niczym zatopiony w miodzie bursztynowym. Otwiera się usta i się zachłystuje się zapachem; wszedł w płuca, uderzył do głowy. Skojarzenia przybijają do siebie powoli, z geologiczną nieuchronnością. Ten zapach. Ten zapach! Czyż nie prawdę rzekła? Smak szarańczy wyobrażony - w pamięci

nieodróżnialny od smaków doświadczonych. Odtąd jaśmin zawsze już budzić będzie żywe wspomnienie nocy szalonej miłości w Ekspresie Transsyberyjskim, z czasem tem bardziej żywe, tern bardziej realne.

Zataczając się, rączką drżącą szukając po omacku oparcia, na nogach niepewnych, stąpa chwiejnie panna Muklanowiczówna ku wyjściu. Naciska klamkę fantazyjną, zadyszana, obrumieniona, z łokiem nieposłusznym wymykającym się z fryzury dotąd schludnej, jednym, drugim, trzecim; więc sięga, poprawia je, nerwowo przesuwa dłonią po włosach. Wychodząc pośpiesznie na jasny korytarz, mało się nie potyka w progu. Pod światłem elektrycznym osłania oczy i lico od potu lśniące; warg czerwonych, wciąż rozchylonych jak do nieśmiałego pocałunku, ich osłonić już nie może. Odchodzi z głową zwieszoną, bezwładną ręką wodząc po gładkiej boazerji Luksu.

Kto by ją teraz ujrzał, żadnych nie żywiłby wątpliwości, co zaszło za zamkniętymi drzwiami przedziału pana Gierosławskiego. I przecież miałby rację.

Mimo ćmiecze i ćmiatła, mimo wszystkie moce rozumu przeciw Lodowi obrócone: niedokonane - prawdziwsze od dokonanego.

# III

## DROGI MAMUTÓW

„Przypuszczamy, że wprawdzie wszelka prawda jest wieczna, ale nie wszelka prawda jest odwieczna. Jeśli coś jest prawdą w danej chwili, to jest prawdą po wszystkie czasy od niej licząc. Prawda nie ginie, ani się w fałsz nie zmienia z czasem, podobnie zresztą jak fałsz nie zmienia się na prawdę. Jeśli coś istnieje w danej chwili, to istnieć będzie odtąd po wsze czasy. Ale nie wszystko, co będzie prawdą kiedyś, było prawdą zawsze dawniej, nie każdy sąd, który jest dziś prawdziwy, był takim wczoraj, albo który był wczoraj prawdziwy, był takim onegdaj. Są takie sądy, które się prawdami stają w pewnej chwili, są sądy, które się robi prawdami, których prawdziwość się stwarza”.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### O Mieście Lodu

30 czerwca 1908 roku, licząc na kalendarzu gregorjańskim, wczesnym rankiem, opodal rzeki Podkamienna Tunguzka w środkowej Syberji - eksplozja, huragan, trzęsienie ziemi i słup ognia i dymu, tak się zaczęło.

Już od kilku dni obserwowano na niebie kolorowe zorze, innym zorzom niepodobne. Tubylcy mówili o złych snach zwierząt, które nie pozwalają bydłom w nocy spokojnie spać. Lato było ciepłe.

To, co przyleciało, przyleciało z południa lub z południowego wschodu. Świadkowie powiadają, że pozostawiało za sobą na nieboskłonie długi ogon pyłu. Zapamiętali kierunek - z południa na Kieźmę - i jak go zmieniało: zakręt 70 stopni na wschód, po 300 wiorstach zakręt o 120 stopni na zachód, znowu 300 wiorst, i wtedy dopiero uderzyło w ziemię. Wieża dymu wzniosła się na wiorst dwadzieścia. Świadków jest mnóstwo, ponieważ świadczą nawet ludzie oddaleni o sto mil rosyjskich, spoza kręgu polarnego: grzmot ich niemal ogłuszył, a których nie ogłuszył, usłyszeli następnie trzaski i przeciągłe, rytmiczne dudnienie. Ci nieco bliżsi zostali ciśnięci na ziemię; wielu wówczas ucierpiało. W faktorji Wanawara, 60 wiorst dalej, fala uderzeniowa unosiła przechodniów w powietrze na trzy, cztery arszyny, porywała namioty tubylców razem z tubylcami, renifery frunęły nad ziemią, łamiąc sobie nogi i kręgosłupy.

Lasy stanęły w ogniu.

Nastąpiło po sobie kilka najjaśniejszych nocy w historii, gdy przechodnie w Królewcu, Odessie i Londynie mogli o północy czytać na ulicy gazety bez sztucznego oświetlenia. Czerwone, białe i fioletowe zorze rozświetlały niebiosa. Zachody Słońca były precudnej urody.

Ludzie przesądni przypisywali owe fenomeny niepomyślnej konjunktji planet i tajemnym synergjom astrologicznym. Ludzie o umysłach bardziej konkretnych mówili o przejściu Ziemi przez obłok pyłu kosmicznego, tudzież o eksplozji wulkanicznej, wspominając podobne



widoki sprzed ćwierćwiecza, gdy wybuchł Krakatau.

To na świecie; na Syberji opowiadano natomiast o podstępym ataku Japonji. Zrazu bowiem żadna relacja syberyjska nie przedostała się do Europy i nikt nie wiedział o prawdziwych przyczynach zjawisk naniebnych. W ogóle zachował się jeden tylko raport oficjalny z tamtych dni, z Jenisiejska mianowicie, skąd ichni naczelnik policji, niejaki Sołonin, donosił gubernatorowi: *Siedemnastego czerwca o godzinie siódmej rano nad wsią Kjeżemskim nad Angarą z południa w kierunku północnym, przy jasnej pogodzie, wysoko na nieboskłonie przeleciał wielkich rozmiarów aerolit, który w wylądowaniach wydawał dźwięki podobne do wystrzałów armatnich, i zniknął.* Raport przeszedł przez lokalny oddział Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego do Irkuckiego Obserwatorium Magnetyczno-Meteorologicznego. I tu zatrzymała się sprawa na roli prawie.

Wiosną roku 1909 poczęły dochodzić wieści z północy o nowych fenomenach meteorologicznych, mianowicie o nieustępującej zimie, mrozach okrutnych, niesłychanych, skuwających nadal środkową Syberję mimo kalendarzowej zmiany pór roku. Wtedy też po raz pierwszy do instytucji naukowych Imperjum dotarła relacja naocznego świadka o lutym. Korespondent Nikolski pisał dyrektorowi Obserwatorium, Wozniesieńskiemu A. W.: *Kierując się wskazówkami robotników leśnych, prowadzony przez najętego myśliwego, zajechałem jakie osmdziesiąt wiorst na północ i północny wschód od wsi Matyszewki, gdzie za trzecim dniem, o świcie bardzo zimnym, na polu śniegu ujrzeliśmy dziwną formację ciemnego lodu. Formacja ta (załączam szkic) zdawała się utrzymywać na wysokości na niewidocznym szkielecie skalnym. Chcieliśmy się zbliżyć, ale konie odmówiły posłuchu. Czemu przypisuję ocalenie nasze, jako że lód ów dziwny wydaje się promieniować takim mrozem, że nie ujdzie odeń z życiem człowiek ni zwierzę, co pokazałem sobie improwizując eksperymenty takie: raz, rzuciłem weń butelką pełną wody, a woda zamarzała w powietrzu jeszcze, w miejscu rozbicia, t. j. szybko bardzo; dwa, podchodząc, ile się dało, przeciw wiatrowi, który niósł z owej masy lutej świeży pył lodowy, co było nad wyraz nierozsądnem, jako że uderzony podmuchem mocniejszym wraz odczułem odmrożenia silne na skórze twarzy (które po tygodniu nadal doskwierają). Pomierzyłem formację z dala, szacując ją na dwanaście arszynów wysokości, pięć i dwadzieścia arszynów wszerz i wzdłuż. Przenocowaliśmy na miejscu, by ruszyć z powrotem następnego ranka, i wtedy tę jeszcze rzecz spostrzegłem, iż przez noc cały kształt luty musiał się być przesunąć wedle znaków gruntu (kamienie, pochyłości, drzewo i. t. p.). Czego nie pojmując, tern bardziej sumiennie opisuję i donoszę.*

Tempo rozchodzenia się Lodu było takie, że pierwszą jeszcze zimą ogarnął on Kieźmę, a

zimy drugiej dotarł nad Bajkał, po jakichś pięciuset dniach od Impaktu wpędzając lute na ulice Irkucka. W ponad siedemdziesięcioletniej wówczas metropolji na 18 187 budynków zachowanych w ostatnim cenzusie, zaledwie 1190 nie wzniesiono z drewna. Miasto tygrysa i sobola miało długą a niechlubną historję pożarów; czerwcowe ognie z roku 1879 zniszczyły prawie trzy czwarte zabudowy. W Zimie Lutych nieszczęście się powtórzyło - dla ochrony przed mrozem nieludzkim korzystano z wszelkich źródeł ciepła, nie bacząc już zupełnie na bezpieczeństwo od płomieni, a gdy pożar wybuchł, skacząc z drewnianej budy na budę, nie było go jak powstrzymać: wszystka woda zamarzała na kamień. Pożar ten obrócił w popiół i zgorzelinę niemal cały stary Irkuck - tylko lśniące potem lodowym sylwety lutych stały nad czarną równiną rankiem po nocy infernalnej. Wedle szacunków Kancelarji Irkuckiego Generał-Gubernatorstwa, spaliła się żywcem szosta część mieszkańców. Straty rachowano na 70 milionów rubli.

Było jednak pewnem, iż miasto zostanie odbudowane, jak zostało odbudowane uprzednio, i znowu zmieni zupełnie oblicze w architekturze nowej. Już od pół roku zjeżdżały się Transsibem nad Bajkał ekspedycje europejskich uczonych różnego autoramentu. Skupowany od Tunguzów i myśliwych tungetyt wywożono do laboratorjów Sankt Peterburga, Królewca, Wiednia, Paryża. Po pożarze, odkopując masy złomowe spod pogorzeliisk, przez które przeszły lute, znaleziono i opisano pierwsze chłody zimnazowe, bardzo jeszcze nieczyste. Nad Bajkałem, na Konnym Ostrowie na Angarze oraz na północ od miasta, na drodze do Aleksandrowska i Usoli, wymroziły się wielkie gniazda lutych, tam na północy wychynęło także spod ziemi największe i najtrwalsze znane człowiekowi soplicowo. Latem 1911 roku pobudowano w jego sąsiedztwie pierwszą eksperymentalną chłodnicę systemu Kruppa. Mianowany w ekstraordynaryjnym trybie przez Mikołaja II generał-gubernator Timofiej Makarowicz Szulc ustanowił szybko miasto przemysłowe, po Nowonikołajewsku powstałym osiemnaście lat wcześniej nad Obem nazwane Zimnym Nikołajewskiem.

W roku 1912, w Roku Lutych, Lód wgrzyza się w Europę i w obliczu zamętu i klęsk głodu spowodowanych przez zmrożenie plonów, w obliczu wybuchłej właśnie drugiej wojny z Japonją - podnoszą się na nowo ruchy rewolucyjne, anarchistyczne i narodowowolnościowe; a w Irkucku - w Irkucku rosną huty i chłodnice, fabryki i zakłady nowych technologii, spływa tu z całego świata kapitał i lud pracy lubo innej okazji do zarobku szukający. Irkuck wszelako również ma swoją tradycję rewolucyjną. W nim osiedliło się na zesłaniu wielu dekabrystów i pietraszewców, wpływając na jego kulturę mieszczańską. Bunt i myśl przed własnością niepokorna jakoś częściej i łatwiej tu powstają. W roku 1883 przywódca narodowców

irkuckich publicznie policzkuje generał-gubernatora Anuczina; odtąd gubernatorzy bajkalscy unikają wystąpień przed ludem. Od roku 1890 działa w Irkucku komitet Rosyjskiej Socjal-Demokratycznej Partji Robotniczej. W 1902 roku Feliks Edmundowicz Dzierżyński organizuje w gorzelniach Aleksandrowska bunt robotników przymusowych. W 1905, za Pierwszej Rewolucji, strajki i demonstracje robotników i urzędników tak tu przybierają na sile, że przyłącza się do nich także część wojska i kozaków, zwabiając samego naczelnika garnizonu. (Potem ochrana wyaresztuje całą lokalną RSDPR). Za Drugiej Rewolucji rychło powstaje zamiar przejęcia Zimnego Niokolajewsk przez sawiety robotnicze; zbieracze tungetytu i tropiciele mamutów zrzeszają się w towarzystwa i spółdzielnie. W reakcji w 1913 roku, na mocy ukazu carskiego wydanego za poduszczeniem Stołypina, Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew (zresztą krewny słynnego Konstantina Pobiedonoscewa, oberprokuratora Świętego Synodu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i wychowawcy Imperatora) ustanawia Sibirskoje Choład-Żeliezapramyszliennoje Tawariszczestwo, odtąd kontrolujące handel surowcami Lodu i produktami technologii lodowych. *De facto* to Sibirchożeto sprawuje w mieście władzę, bo chociaż burmistrzem Irkucka od dwudziestu z górą lat pozostaje Polak, Bolesław Szostakiewicz, a generał-gubernatorstwem irkuckim zarządza Timofiej Szulc, jeszcze umocniony przez cara na tym fotelu tytułem hrabiowskim i dwójnazwiskiem honorowym, to nie zdarzyło się nigdy, by rozsądzili oni w jakiej sprawie istotnej przeciw woli Pobiedonoscewa. Nie tylko Zimny Niokolajewsk, ale i sam Irkuck odbudowany po pożarze powstał wedle planu i dla interesów Sibirchożeta. Irkuck jest Miastem Lodu, Miastem Zimnaza, i widać to od pierwszego nań spojrzenia.

Ekspres Transsyberyjski wtoczył się pod dachy hal Dworca Murawiowa rankiem dwudziestego piątego lipca. Patrząc przez okno z korytarza wagonu kupiejskiego, nie dostrzegło się budynku w ogóle - tam, w przodzie, nad płataniną torowisk, unosiła się rozpromienna fatamorgana, kalejdoskopowy kłęb słońc, tęcz, ogni, świateł anielskich. Dopiero gdy pociąg zatrzymał się w środku i ujrzało się hale od wewnątrz, powstał w głowie obraz budowli. Tak przedstawiał się odwiedzającym go gościom Irkuck. Otóż cały Dworzec Murawiowa stał na cienkich jak nogi pajęczce szkieletach zimnazowych, a co; puste w ścianach i sufitach pozostało między zimnazem, to wypełniały gigan - tyczne tafle marostiekła. Przepychając się wraz z innymi pasażerami kupiejskiego ku zatkanem spiętrzonem bagażem drzwiom wagonu, wyglądało się z ciekawością przez szyby zaporowane, kryjąc przytem jednak twarz za potrójnym kołnierzem grubego kozucha baraniego, coby agent, szpion czy inszy danoszczik ustawiony na peronie na czatach na Syna Mroza nie dostrzegł i nie

rozpoznał przypadkiem twarzy w oknie. Przypadkiem, a prędzej cudem jakimś, bo wszak uczyniło się wszystko, na co pozwalała prawda, aby rozpoznania uniknąć. A ona teraz stanowiła najlepszą ochronę: nie futra drogie, nie pierścienie i perfumy i krawaty jedwabne opowiadały prawdę o Benedyckie Gierosławskim; zresztą to elegantów takich, bogaczy i arystokratów z Luksu, ich jest najmniej i oni najwięcej przyciągają uwagi. Zejść na ziemię Lodu winien ten i taki sam Benedykt, jaki chodził po ulicach Warszawy; a przynajmniej nie kłamiący tamtego Benedykta. Więc - kozuch prosty, ciężki, który kupiło się tu od Ormianina, sprzedawszy mu ze stratą i futro nowe, i płaszcz szykowny; więc torby parciane i toboły nieforemne miast kufrów i sakw skórzanych; więc pysk poraniony, zarośnięty, ciemny, a nie bużka gładka piękniejsza petersburskiego. Nawet i między pasażerami drugiej klasy prezentowało się nie najkorzystniej. Ale - kto wie, może ludzie carscy i marcynowi otrzymali tu rysopis prawdziwy, warszawski? Czachę wygoloną kryła głęboka czapa. Jeszcze się pociło się w tłoku, w ścisku dusznym korytarza ostatniego wagonu kupiejskiego, choć już każdy oddech ścinał się w powietrzu w mgłę gęstą i mróz ostry jak odłamek lustra rżnął przez gardło - ale zeskoczywszy na kamienie peronu i pociągnawszy z bagażem ku gotyckim łukom wrót dworcowych, zaraz się zatrzęsło się z zimna pod kozuchem, swetrami, podkoszulkami. Wielkie zegary termometryczne o miedzianych tarczach i spirytusowych miernicach (rtęć zamarza w Kraju Lodu) pokazywały dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera w skali Celsjusza. Zegary wisiały po obu stronach zimnawego tympanonu, pod którym przepływał strumień podróźnych. Oprócz peronu głównego, gdzie stały składy Transsibu i Zimnej Północnej, pod lachem marostiekłowym znajdowały się dwa dalsze perony pasażerskie. Prawda, co mówią, myślało się, to szarpiąc toboły, to przystając dla złapania:chu w arktycznym powietrzu; wtedy, pokaszując, się gapiło się na architekturę hal dworcowych jak kolejny kmiotek syberyjski. To prawda, co mówią: Irkuck jest stolicą Syberji. Rosyjska zimnawowa *art nouveau* nadała dachom kształt trzech wielkich liści, zawiniętych przy ziemi prawie pionowo, a w górze, wysoko nad pociągami, zachodzących na siebie jak łuska na łuskę. Ta gładka pochyłość i cały kształt ukośny - się domyślało się - były po to, żeby śnieg łatwo się z nich osypywał i lód się nie gromadził na taflach marostiekła, pozwalając spoglądać przez czyste pryzmaty tęcz na niebo, pozwalając słońcu zaglądać do wnętrza hal. A przecież i tak ktoś na pewno musiał wspinać się tam po filarach zimnawowych, uformowanych na kształt lodyg i żył tych liści, ktoś musiał deptać robotniczymi buciorami pałace anielskie, walić kilofami w zmarzlinę pokrywającą stopniowo marostiekło niezniszczalne, niepekające - czyściciele podniebni, proletarjat łopaty i tęczy... Się złapało się znowu za torby i toboły. Pewnie gdyby nie ten kozuch zgrzebny, już by podbiegł który nasilszczik. Zawołać?

Zamachać? Trzeba by z armaty huknąć, żeby zauważyli człowieka w tym gwarze i tumultcie; a przecie o to sprawa, żeby nie zauważył nikt. Zobaczyło się, że większość ludzi ma twarze obwiązane szalikami, oddycha przez szaliki; czem prędzej poszło się w ich ślady. Kto rozpozna człowieka pozbawionego oblicza? Dotarło się do poczekalni. Pod jedną ścianą rozłożyli tu swe kramy Chińczycy, Żydzi, Mongołowie, tuzin przedstawicieli innych nacyj azjatyckich; rosyjskich przekupniów, jeśli sądzić po widocznych częściach ich fizjonomij, było akurat najmniej. Pod ścianą drugą stali żandarmi, coraz to kiwający na kogoś ręką i żądający odkrycia oblicza oraz okazania papierów; towarzyszyło im trzech kozaków przy szabli. Szarpnąwszy torby, skreśliło się w prawo, byle dalej od nich. Pod drzwiami kasy leżał wilk, pies o wyglądzie wilka; inarodcze dziecko, dziewczynka burjacka czy jakucka, karmiła go z ręki. Za kasą, na czarnej ścianie zimnazowej nad rozkładem jazdy pociągnięto kilkoma białymi linjami wapna lub kredy koślawe zarysy słonia. Ktoś musiał wejść na bardzo wysoką drabinę. Podszurało się z bagażami jeszcze bliżej. To chyba mamut. Niektórzy z tych tubylczych sprzedawców wyłożyli też na skórach mniejsze i większe figurki mamuta - wykonane zapewne z mamuta kości. Inni - spojrzano się - oferowali ćmieczki, wielką obfitość ćmieczek, grubych i chudych, długich i krótkich, prostych i rzeźbionych w kształty o niewątpliwie magicznym znaczeniu. Tutaj ćmieczki są tanie jak barszcz. Wielu z nowoprzybyłych przystawało przy owych kramach prymitywnych i nabywało bez długich targów: ćmieczkę, amulet, woreczek jakichś tajemnych ingrediencji chińskich, tybetańskich, okulary marostiekłowe. Spojrzano się teraz tych, co ponad dolną częścią twarzy, zawiniętą w szal czy inną szmatę, kryją jej część górną za szerokimi, wypukłymi szklami, szklami jak wielkie łyżki stołowe. Ot, i oficjel mundurowy kolei, wychodząc z Dworca, wyjmując i zakładając na nos binokle tęczowe, migotliwe. Ha, teraz już nikt nie pozna! Sapiąc ciężko, doszarpało się ciężary do otwartych pudeł sprzedawcy okularów marostiekłowych i nabyło się bez słowa takie oczki jedne, by zaraz je założyć. Wszystko nabiegło kolorami, jakby kto zdjął z malunku jaskrawego woal gęsty, ciemny. Żadna rzecz nie była już tylko biała i żadna rzecz nie była już tylko czarna, a wiele naturalnie barwnych wymieniało się teraz temi barwami co ruch głową, co drgnięcie oczu; i nie działo się to w przeskokach nagłych jak mrugnięcia, lecz właśnie po ruchach cieczy, po przepływach oleju: barwy łączyły się ze sobą, zlewały, mieszały, wypierały jedna drugą, wyciskając się z kształtów niczym sok z owocu wytłaczany. Spojrzano się na podróżnych. Kolory, kolory, kolory. Spojrzano się na niebo ponad dachem; przezroczystym. Kolory, kolory. Spojrzano się na ręce, na nogi, na błoto na posadzce pod nogami. Kolory. Obok skośnooki sprzedawca ćmieczek zachęcał do zakupu machnięciami i zaśpiewem w łamanym rosyjskim. Złapało się

za toboły. Inna dłoń w rękawicy dwójpalcowej chwyciła tobół najcieńszy. Podniosło się głowę. A to malczik, wyszczerzony w szczerbatym uśmiechu, z blaszanym numerem bagażowego przypiętym do kurty. A zatem wszyscy bogatsi podróżni z Ekspresu zostali już obsłużeni i rozwiezieni. Odsapnęło się z ulgą Malczik, nie gasząc uśmiechu, roztrajkotał się na to po rosyjsku, przedstawivszy się jako Wasilij i opowiadając cuda o wuju Kliaczko, który jest najuczciwszym, najtańszym, najsprawniejszym i najfartowniejszym izwozczykiem po tej stronie Bajkała. Podbiegł zaraz drugi nasilszczik i we dwójkę zabrali się z całym bagażem. Wyszło się po schodach z błękitnego marmuru na plac przed Dworcem. Kolorowa śmietana wisiała w powietrzu, płynęła strugami rozległymi, do wysokości drugiego piętra wypełniając plac, ulice, przestrzenie między budynkami. Tęczowe światło najbliższych latarni, najwyraźniej palących się tu całą dobę, z trudem przebijało przez mleczną zawiesinę. Ludzie wchodzili w nią i wychodzili jak kształty podwodne, wyłaniające się i znikające w obłokach mułu nad dnem rzeki; pędzące sanie przemykały przez plac, pozostawiając za sobą kilwater powolnych wirów i też znikając w śmietanie. Jak oni się w tym orjentowali, jakim cudem się nie gubili? Hałas ruchu ulicznego nie był żadną wskazówką, dochodził ze wszech stron. Patrząc jeszcze ze stopni Dworca Murawiowa, widziało się ponad wyspami dachów (też białokolorowych, bo doszczętnie zaśnieżonych) tylko dwie bliźniacze kopuły cerkiewne, odległe, a w owym śródchmurnem oddaleniu tern bardziej monumentalne, i, jeszcze dalej, samotną wieżę, tak wysoką, że jej wierzchołek ginął w ciemnym cumulusie. Zeszło się do sani, na które Wasilij załadował bagaże, się usadowiło się pod pledem i skórą rena. Ach, widać jeszcze jedną rzecz na wysokościach - jedną i drugą i trzecią - się obkręciło się na siedzeniu, spoglądając za klasycystyczne skrzydło Dworca zwieńczone wielkim pomnikiem Mikołaja hrabiego Murawiowa-Amurskiego - i czwartą, i piątą. Na dziesięcioarszynowych masztach drewnianych, jak na drzewcach flag jakichś upiornych, zwisały tu wszędzie wokół, ponad Dworcem, ponad placem, ponad miastem - stare trupy. Wybebeszone truchła czarnowłosych mężczyzn, zaczepione na wykręconych w tył jak skrzydła ramionach, jeszcze obwieszone funtami kościanych i żelaznych amuletów, sznurami, frędzlami, łańcuchami, ale poza tym nagie, nagie, że aż do kości otworzone na widok publiczny. Lód *ściął* je w pozach posagowych, nie wiszą - wyglądają, jakby stali na tych żerdziach, pogańscy Szymonowie Słupnicy. Zadrzało się. A z głębi miasta, od serca metropolji, z odmętów białokolorowych dobywa się wciąż stłumione, basowe dudnienie, powolny puls mamuci. Zawinęło się ściślej szalik, naciągnęło się niżej szapę. Tak przedstawiał się odwiedzającym go gościom Irkuck.

Dokąd wielmożny pan sobie życzy, pyta Kliaczko, przekręcając się na desce woźnicy i

spoglądając przez ramię, a łza brudnej szarości przepływa z materiału jego wytartego szynela na gębę brodatą pod futrzaną czapką, z nich zaś przelewają się na kołnierze i rękawy Kliaczki strumienie różu, bieli i czerni. Dokąd? Maca się językiem po dźwięśle. A znacie wy, dobry człowieku, jakiś hotel, dom zajezdny, jakiś pensjonat z pokojami o cenach ludzkich, a nie podły bardzo? Na co Kliaczko wyszczerzył się szeroko w brodzie kudłatej, przyczem pokazało się, że nawet szczerbaty był *identico* jak Wasilij. Rodzina! Krew słabych zębów i prędkiego języka! Bo już trzasnął z bata i szarpnął lejce, sanie ruszyły, zadzwoniły ciężkie janczary upręży, a Kliaczko nawija: Wielmożny pan miał szczęście, że trafił na człowieka, który zna miasto jak własne kalesony, to znaczy do ostatniej dziury, ale że dobrego jest serca, nie do nory jakiej zakapiorskiej pana zawiezie, ale do hotelu taniego i wcale przyzwoitego, w którym i szwagier jego pracuje, stąd ręczyć za niego może, a był to zresztą swego czasu dom gościnny drogi i sławny, jeno podupadł na reputacji i klienteli jak cała dzielnica Ujska i bywsze Głazkowskoje Przedmiestje, kiedy się na lewym brzegu w ostatnich latach osiedlać gromadnie poczęli Chińczyki i chłopstwo bezziemne, z syberyjskich wiosek stołypinowskich przez zimę wieczną wygnane. Tak, tak, Wasza Wielmożność, wszystko to zło przez obcych przybłądów i przez djabły lodowe, oby je Bóg ogniem do piekieł zmiótł. Nu, paszo!

Zapytało się go o okulary marostiekłowe. Rzecze, iż to przeciw ślepotcie śnieżnej i na Cziornoje Sijanije. Zapytało się go o truchła na masztach. A, panie, to już rzecz szamanów burjackich, przez Pobiedonoscewa i magistrat najętych. I wydaje odgłos splunięcia, jedną ręką żegnając się, drugą, z batem, wskazując zimnazowy paluch wieży Sibirchożeta ponad miasto ku niebu sterczący. Ale po co im one, się dopytuje się, te nieboszczyki na niebie poniewierane, obraza Boga i ludzi. Strzegą, powiada, ażeby się wróg nie zakradł po Darogach Mamontow. Znacit, ów mamut na ścianie Dworca to też w tej intencji? Chłop żegna się ponownie, wzywając imię Spasitielia. Pomalowali, powiada, na znak wojny z braćmi swojemi, żeby pany mogli rublów więcej robi(na skarbach podziemnych. A ten bęben, ten bęben narastający - co to? To - lute.

Stary Irkuck powstał na prawym brzegu Angary; dzielnica Ujska, wyrosła po Wielkim Pożarze, leży na brzegu lewym, na północ od Irkutu i góry Kajskiej. Niby trzeba skręcić na Most Szelechowa, ale wszyscy jeżdżą po lodzie rzeka nie odmarzła od czternastu lat. Po prawdzie trudno wypatrzyć tu nawe linję brzegową Angary. Po lodzie biegną trakty i ulice nie różne od miejskich A co teraz jeszcze jedziem, to ulica najważniejsza, objaśnia Kliaczko, któremu usta się nie zamykają mimo mrozu, chociaż może dla niego rzeczywiście mało dokuczliwego. To ulica Gławnaja, od Angary, Jaszczika i pomnika Gasudaria Impieratora

Aleksandra III przez cały Irkuck prawobrzeżny biegnąca, to - Amurskaja, a to plac Tichwinskij, tam zaś odchodzi ulica Tichwinskaja, gdzie stoi stara cerkiew z kopją cudownej ikony, do której pielgrzymki z Syberji: całej ciągną, boską wolą z pożarów ocalała, bo na ten przykład nie ocala z nich wielki Sobór Kazański, o którym musiał pan wielmożny słyszeć, nie słyszał? Jak to ludzie zapominają, jak przemija materja świata tego! Tam dalej, o, na jego miejscu postawili choładpramyszlienniki Sabor Christa Spasitielia, jeszcze większy, pasmatritie, pasmatritie! Wymachuje batem na wszystkie strony mgły, w której nie widzi się nic z tego, o czym Kliaczko opowiada Widzi się za to drobne pobłyski poćmiaty na jego czapie, na karku, na brodzie, gdy odwraca głowę, na rękawie szynela; pobłyski drobne, lecz bardzo wyraźne - a może to marostiekło je tak wyjaskrawia? Spogląda się ponad szklami. Teraz jeszcze jaskrawsze. Długo tu życie, się pyta się Kliaczki. A, panie, ja w Kraju Bajkalskim urodzon, ja człowiek sybirski! Się przypatruje się przez okulary. Jest jak Pociągło mówił, połowa z nich to lutowczycy.

Gdy sanie jadą po lodzie Angary, wiatr idący szerokiem korytem rzeki od samego Bajkała chyba, rozpędza mroźne opary i można spojrzeć trochę dale ku północy i południowi, na stary most kolejowy, którym się dopiero co przejechało na wschodni brzeg - na nowy most imienia Grigorija Szelechowa cały z zimnaza, widoczny niemal wyłącznie tęczami, oblaskami i łunami niebieskimi, tak delikatna i koronkowa jest jego konstrukcja pozbawiona przęsł, dźwigarów i filarów - na fantastyczne formacje soplicowa, a może gigantycznego gniazda lutech, piętrzące się na Konnym Ostrowie, narośl na narośli niczym ruina kryształowego pałacu Królowej Zimy pośrodku białokolorowej równiny lodu; a ponieważ rozstąpiła się mgła, na to wszystko splywa rzeńskie słońce letniego poranka, skrząc srebrne ogniki na lodzie i śniegu i rozpalając na moście refleksy zimnazowe. Widać też ruch miejski na Angarze, wte i wewte ciągną grupki i strumienie pieszych, suną dziesiątki sań, w większości zaprzęgów pojedynczych i podwójnych, jak Kliackowy, ale są i trojki, są ciężkie sanie towarowe, ciągnięte przez czwórki i szóstki, a załadowane wysoko stertami dóbr handlowych, kosztami węgla, stosami drewna; i wszystkie, oprócz dzwonek głośnych, zaopatrzone w lampy marostiekłowe, jedną z tyłu, jedną z przodu. Tak że nawet we mgle, jeśli nie nazbyt gęstej, widać przemykające w tumanach bieli podwójne gwiazdy, rozhuśtane, rozmrugane kalejdoskopowo - i słyszeć nieustanne dzryń-dzruń dzwonek.

Wjechawszy w Irkuck lewobrzeżny, z powrotem w zimną wilgoć wiatrem nieporuszoną, zauważa się zmianę tonu janczarów: inaczej niosą się głosy we mgle. Niektóre dźwięki ona wytlumia, niektóre przybliża do ucha - jak to bębnienie senne, rozciągnięte w czasie niczym



jęk zwalniającej płyty gramofonowej. Cóż to, siedzi jakiś luty na Ujskiej? Kliaczko, skręcając na szeroki prospekt, pokazuje batem na południowy wschód. Jak stary dworzec i ruiny Innokientijewskiego sprzed Pożaru, mówi, tak tu idzie Daroga Mamontow najbliższa. Bo przez „Czarcia Rękę” to mroźnik nie przeszedł od ponad roku. Prrr! Zatrzymuje sanie. Co za „Czarcia Ręka”, się dopytuje się. A ot, śmieje się chłop, zeskoczywszy z kozła i łapiąc już za bagaże - ot, wasz hotel przyrzeczony, proszę! Latarnie marostiekłowe świecą po obu stronach szyldu, na którym wymalowano szponiastą łapę porośniętą czarnem włosiem. Czerń łapy przepływa w tłustych bąblach na biało-szarą elewację murowanego budynku, a ta biel i ta szarość z kolei skapują na śnieg; mgła zaś powtarza wiernie kolory latarni, jak prospekt długi i szeroki. Zamyka się na moment oczy. Nawet jak nie ma miejsca, znajdzie się miejsce, szwargocze Kliaczko, ja waszą wielmożność zahoteluję. Wypuszcza się z płuc obłok ciepłej pary i wchodzi się do „Czarciej Ręki”.

Gospodarz wylicza usługi, cenniki i wkalkulowane w nie luksusy (w rodzaju kanalizacji i łazienki na każdym piętrze, tudzież pościeli od robactwa wolnej). Kliaczko wniósł bagaże, wcisnęło się mu sowitą zapłatę. Trzeba się w końcu wyzbyć tych nawyków rozrzutnego hrabiego Gyero-Saskiego - za pokój płaci się już tylko na dwa dni z góry, pojedynczymi rublówkami z chudego zwitka odwijanemi. Kaszle się przez rękawicę. Człowiek zmęczony po podróży długiej, mówi się chrapliwie, załatwimy się z papierami, jak się wyśpię. Wielki Chińczyk podnosi bez wysiłku wszystkie torby i toboły naraz. Gospodarz prowadzi na drugie piętro, tu już ciepło, rozpina się kozuch, zdejmuje się czapę. Spoglądają na osiniaczony łeb. Ale te papiery, mówi władielec, to najpóźniej jutro z rana. Otwiera pokój, wręcza klucz. Ale dlaczego nazwa taka mało gościnna, pyta się, żeby zmienić temat, dlaczego „Czarcia Ręka”? A-a, bo tu słynny czarownik angijskiej swego czasu mieszkał, nazwiskiem Crowley; przyjechał na luty się poznać, czarami swoimi rozumowemi do nich przemówić, nawet z wielmożnym Aleksandrem Aleksandrowiczem Pobiedonoscewem gadał; ale razu pewnego poszedł na wspinacze w Chamar-Daban w soplicowo i nie wrócił, na dole mamy stół z jego szachami, na których grywał długie partje z ojcem Płatonem z Soboru Chrystusa Zbawiciela, późniejszym egzarchą. Mamę też jego zdjęcie, znaczy się: Crowleya, na którym czarnym ogniem w kamerę patrzy. A gdybyście chcieli jedzenia jakiego poza godzinami, uprzedźcie wcześniej. I nie dokładać samemu do pieca, bo doliczymy do rachunku. Spijcie dobrze, śpijcie-zapomnijcie.

Poszli.

Śpijcie-zapomnijcie - co takiego zapomnijcie? Siadło się bezwładnie na wysokim łożu,

zaścielonem kapą wyblakłą i przyozdobionem pięcioma poduchami, jedna na drugiej, mniejsza na większej. Z kąta, od wielkiego pieca o kaflach w kwiaty i zwierzęta malowanych, szły fale gorąca. Odruchowo pomasowało się prawe ramię. Na przeciwległej ścianie wisiała mała, ciemna ikona, na stole pod oknem stały dwie na wpół spalone ćmieczeni. A szyby w oknie były marostiekłowe i nawet po zdjęciu okularów cały świat zaokienny rozlewał się naokoło jak farby na palecie pijanego malarza; cały świat, to znaczy mgła i te kilka dachów we mgle, i nieba szeroka płachta, a na niej czarna piszczel wieży Sibirchożeta, tungetytowe kopuły Soboru Chrystusa Zbawiciela. Biły bębny.

Nadstawilo się ucha. Biły bębny i grała muzyka. Dzielnica to rzeczywiście nie najwyższego autoramentu, południa jeszcze nie ma, i piątek przecie, dzień roboczy, a tu z sąsiedniego budynku głośne melodje i śpiewy i pokrzykiwania pijackie dochodzą, mimo murów grubych i okien szczelnie pozamykanych. Karczma, nie karczma, zabawa tam idzie na całego, tylko odgłosów burdy i bijatyki czekać. Do dźwięków harmoszki i gusli wyrzaskują chłopcy czastuszki prostackie, zaśmiewając się po każdej jednej do rozpuku.

*Francuz zmacał, Szwab obmierzył,*

*Kitajc truł i truł zielskami,*

*Polak wyzwał za obrazy*

*- luty obsrał ich soplami!*

Się rozebrało się, umyło się w nie bardzo zimnej wodzie w misie. Przekładając rzeczy z toreb do szafy, znalazło się Biblię starą, przez rodzinę niejakich Fojcewów podpisaną. Otworzyło się ją na chybił-trafił i dziabnęło się palcem w wers.

Hiob, oczywiście. Trzydzieści siedem, dziesięć. *Gdy Bóg wieje, zsiada się lód.*

Zaraz przypomniało się biblijne kazanie Ziejcowa. Zali świat zamrożony w jedynoprawdzie i jedynofalszu bliższym będzie Bogu? *Jest, jest. Nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest.* Zawinęły się na moment warkocze mgły nad dachami i w oddali, zawieszony nad brzegiem Angary, zaśnieł w słońcu obły kształt lutego. Jest, jest.

*Car miłuje Rasputina,*

*mnich premiera wziął za brodę,*

*Struv zaś klęczy u Marcyna -*

*na Bajkała dnie pod lodem!*

Rzecz w tym, że naprawdę było się zmęczonym, niewyspanym. Od stacji Zima nie zmrużyło się przecież oka. Przeliczywszy i zwinąwszy razem wszystkie banknoty, starym zwyczajem wetknęło się je w bumażniku razem z dokumentami za wezłowie łóżka. Spomiędzy papierów wyciągnęło się list polecający Alfreda Tajtelbauma. Za dzień, za dwa - trzeba będzie stanąć przed czynownikami Ministerjum Zimy i powiedzieć głośno, wyraźnie: tak i tak. (Nie i nie). Ale lepiej wpierw skorzystać z wiedzy i rady przychylnego tuziemca - kogoś, kogo się nie poznało w Ekspresie Transsyberyjskim, kto nie słyszał o Synu Mroza, nie zna kłamstw o Benedykcie Gierosławskim. Wypytać go o ludzi, o urzędy, o robotę Sibirchożeta, może zamiar Ministerjum okaże się nadto oczywistym; może da się plan Rappackiego po prostu przeczekać. Może się wywinie się z niego łatwo i bodaj ten jeden problem sam się rozwiąże. Zanim jeszcze dojedzie tu doktor Tesla ze swoimi maszynami - zanim maszyny uruchomi - zanim je na lutyh wypróbuje - i zanim obmyśli się sposób na wywiezienie pomp i motorów teslektrycznych do -

*Krew topnieje, oko broczy,*

*zaraz żyć się odechciewa*

*człowiekowi, który zoczył*

*morde Pobiedonoscewa!*

Zaciągnęło się story perkalikowe; co hałasów karczemnych i bębna powolnego nie stłumiło, ale przynajmniej zimne światło lodowe, blask słoneczny przez mgłę sfiltrowany przestał się wlewać do wnętrza pokoju. Wsunęło się Arcymistrza pod poduchę. Siennik uwierał pod prześcieradłem, się kręciło się na łożu skrzypiącym wte i wewte. Dopiero po chwili zrozumiało się, dlaczego sen nie chce nadejść, jakiej to pożywki mu brakuje: rytmicznego stukotu kół pociągu. Zdążyło się tak do niego przywyknąć, jakby całe życie spędziło się w podróży - jakby ta podróż w komfortach Luksu naprawdę była całym ży ciem

przeszłem, na tyle prawdziwym, na ile wyraźnie pamiętanem. Lecz oto dojechało się na miejsce.

*Wyli, pili, tańcowali,  
wyjebali też mamuta,  
za co ruble trzy dostali -  
Burjat, Tunguz i Jakuta!*

### **O nocy cmentarnej i poranku zgrobuwstańczym**

Głos i głos.

- Wieniedikt Filipowicz Jerosławski.

- Spit.

- Nu da.

Sen o Warszawie powraca jak fala od brzegu odbita: że weszli, że przy łóżku stanęli, że gapią się i gadają. Się zapada się w głąb, kryjąc głowę pod falą. Pod falą, pod poduchą, pod pierzyną, w kłębie ciała gorącego, w rozgrzanej pościeli - śpij-zapomnij... A oni stoją nad snem pochyleni i szepczą coś uparcie. Potem następuje snu roztrzęsienie i zalewa wszystko czarny, duszny majak, z którego pamięta się tylko tyle właśnie, to znaczy ciemność w głowie i wrażenie duszenia.

Budzi mróz. Ciało dygocze, wychłodzone, drżą członki i dreszcze wstrząsają tułowiem, aż sen zostaje do ostatka z głowy wytrzepany i otwierają się oczy: ciemność.

Ciemność - twardo - zimno - cisza - smród chemiczny - drewno szorstkie pod palcami - nie można się ruszyć - zamknięty - łup, łup, łup, noga, ręka, głowa, tylko walić w to drewno można - z każdej strony - zostało się zamkniętym w trumnie!

Wrzask paniczny rodzi się w gardle, niżej, w piersi, niżej, gdzieś w trzewiach samych. Żaden dźwięk nie wydostanie się jednak przez krtań zaciśniętą w skurczu zwierzęcym.

Się szamocze się między deskami nieheblowanymi, próżno drapiąc palcami i paznokciami krótkimi, poobgryzanymi do jakichkolwiek szczelin, miejsc zaczepienia, żeby

szarpnąć, wyłamać, rozbić trumnę. Tyle tylko się zyskuje, że cała skrzynia poczyną się trząść i telepać, stukając o podłoże. Na co pot gorący oblewa skórę: a zatem nie zostało się pogrzebanym! a zatem to nie grób!

Się miota się z tym większą energią. Zaparłszy się stopami w skarpetach włóczkowych, pcha się kolanami deski pokrywy trumiennej - i pojawiają się między nimi cienkie linje światła, wzdłużne kreski blasku żółtego, zrazu prawie oślepiające.

Napiera się na nie, wali się pięścią.

- Spokój tam! - krzyczy ktoś po rusku i klepie trzykroć w wieko.

- Otwórzcie! - rzezi się z gardła pełnego śliny zimnej.

- Spokój, mówię!

Zamiera się, nasłuchując. Szurnięcie, trzaśnięcie, skrzyp - drzwi zapewne - kroki, dalekie głosy, wycie psa i skowyt jego krótki, gdy ktoś sabakę uderzył, kopnął. Nie słychać muzyki karczemnej, nie słychać bębnienia. To nie jest „Czarcia Ręka”. Chemją jakąś odurzili, porwali, w trumnie wywieźli, Bóg wie, dokąd.

No, gdyby naprawdę chcieli zabić -

- Obudził się.

- Słyszał ja, słyszał.

- Przyszli?

- Aha. I mróz jak Bóg przykazał.

- To gdzie?

- No, grób wykopany, czeka.

- Lew Ignatjewicz powiedzieli -

- Ale to już, już! Bo przed świtem trzeba zasypać i spalić na równo.

- To nie stój jak luty, łapaj się za cęgi.

Zaczęli pracować nad trumną. Wióry sypały się do oczu, oczy się zamknęło. Kiedy się je na powrót otwarło, wieko było już zdjęte, a obaj marcynowcy stali obok pod samotną lampą naftową, z założonymi rękoma, przyglądając się z zainteresowaniem.

Nie pomogli; wydostało się z trumny samemu, mało nie padając na ziemię. Stało się,

podpierając się o ścianę szopy z bierwion nierównych.

- Daj-jcie coś, na litość bossską, zam-m-marzną w gaciach samych!

Spojrzeni po sobie, dzieląc tę samą pogardę. Zimno mu! Oni byli w portkach płóciennych i pojedynczych swetrach, niezbyt grubych; tylko na głowach mieli szapki futrzane.

- A to już jak chcecie. Znajdziecie co dla siebie, to i dobrze; i tak wszyscy w jeden lód idziecie. Byle prędko!

Się rozejrzało się po szopie. Trzymali tu narzędzia - łopaty, kilofy, taczki, wiadra, jakieś butle i kosze, sznury i worki - trzymali materiał na trumny: deski niemalowane; i trzymali trumny już zbite, gotowe. Starszy marcynowiec wskazał ruchem brody dwie leżące na ziemi przy drzwiach. Podeszło się. Spoczywały tam zwłoki starca w starym garniturze sztuczkowym i zwłoki chłopca z łbem rozharatany, w łachmanach okrwawionych. Obaj zaciskali dłonie na piersi na krzyżach łańskich. Się wzdygnęło się - ale czy z obrzydzenia, czy z zimna, tego już nie sposób było odczytać z odruchu ciała. Się obróciło się do grabarzy plecami; szeptali między sobą chrapliwie.

Zdzierając z trupów zgrabiałymi palcami odzież zmrożoną, próbowało się zebrać myśli szarpane panicznym dreszczem. Grób już wykopany! Wszyscy do lodu! To marcynowcy, marcynowcy irkucy, dzieci lutyh ukochane, złapali, uprowadzili, żywego nie puszcza - czy wiedzą o Jekaterynburgu, czy wiedzą o Pielce - co wiedzą, czego chcą - zabić - zakopać w ziemi zimnej, zamrozić. Nikt nie pomoże, nie nadejdzie żaden cudowny ratunek, trzeba się salwować wymówką sprytną i - i - i kłamstwem, nie ma innego wyjścia, nada wrat'.

Dreszcz narasta, rozpędzony rezonans strachu rozkruszy kości, rozpęknie czaszkę, wybije z mózgu ostatnie składne myśli; pozostanie jęk przeciągły, płaczliwy.

Czy uwierzą, że to pomyłka? Że nie jest się Benedyktem Gierosławskim?

Albo że przynajmniej nie jest się Synem Mroza? Że to wszystko - to urojenie Rappackiego i jego ludzi, bajka syberyjska i legenda dworska?

Że nie miało się nic wspólnego ze śmiercią marcynowców jekaterynburskich? Że nie chce się wcale Rosji rozmrażać, że nie jest się wrogiem lutyh? Że nie ma się do nich żadnych planów? Będą chcieli - to się zaprzysięgnie się na wszystkie świętości, ikonę świętego Marcyna się ucałuje, klęknie się przed portretem cara...

Ale to wszystko słowa i gesty puste, wiadomo, że w obliczu śmierci każdy powie, co od niego zażądata. Dlaczego mieliby dać wiarę - nie dadzą. Trzeba im rzec coś, w czym zobaczą

dla siebie zysk z rezygnacji z zamiarów morderczych; trzeba im dać jakieś kłamstwo wielkie, olśniewające, przepiękne. To są marcynowcy liedniaccy, Rasputinowi, bronią lute, bronią Rosji w Lodzie... Czy wiedzą o Tesli, o zamysłach imperatora szalonych, o maszynach do wojny z mrożnikami?

To jest to! Wydać im Teslę! Tak!

I im ściślej się opatulano się odzieżą trupią, im cieplej się zawijało się w łachmany krwawe i garnitur przyciasny, starczym smrodem przesiąknięty, tem głębiej wchodził dygot zły w ciało i w myśl, i tem silniejszy zacisk blokował szczęki; się zagryzło się w tym strachu i desperacji. A marcynowcy spod lampy krzywej - oni patrzyli.

Otworzyły się drzwi, zionęło z ciemnej nocy mrozem siarczystym, kolejny marcynowiec wsadził łeb do środka.

- Wszyscy już! Dawajta go.

Złapali pod ramiona, pociągnęli, kulejącego. Wyszło się na cmentarz.

Potem się dowiedziało się, że był to najstarszy cmentarz Irkucka, zamieniony w chrześcijańskie miejsce święte jeszcze z pogańskich pól umierania. Chowano tu prawosławnych, chowano też katolików, mieli swoje groby protestanci, a po sąsiedzku leżał kirkut żydowski; dalej poniewierały się pod niebem otwartem kości Burjatów i Tunguzów. Zbocze opadało ku zachodowi, ku nocnym światłom marostiekłowym i zorzom zimnazowym miasta przykrytego gęstą mgłą; na tę tu wysokość mgła nie docierała albo też docierała już miękka, rozrzedzona. I tak z siniego jej powabu wyłaniały się fale krzyży, nagrobków zaśnieżonych, rzędy mogił niewyraźnych pod chropowatym pancerzem lodu. Ku północy i południu szły podobne pagórki, uwieńczone grzebieniami zmrożonej brzeziny. To wzgórze zwą Jerozolimskim. Potem się dowiedziało się także, iż szopa grabarzy stała na fundamentach spalonej cerkwi. Ocalała jedna ściana podupadła, pochyłe gruzowisko. Pod jej skrzydłem smolnem czekali pozostali marcynowcy, grupa bodaj tuzina mężczyzn, żaden grubo nie odziany, jeden zimownik nawet półnagi, z torsem sinym na mróz ostry wystawionym, tylko w czapie-uszance naciągniętej na facjatę brodatą. Zaraz zawołali między sobą, obłoczki pary z ust oddając, ciemne bardzo w świetle upiornego półksiężyca; zawołali i poszli w dół zbocza, nad grób świeżo rozkopany, wkoło którego płonęły naftowe ogniska. Poszło się za nimi; grabarze lodowi ciągnęli bez słowa.

Upadło się na kolana między temi ogniami, głową ku dołowi, w którym zebrała się czarna woda, zakrywając dno. Ogniska płonęły na kupach ziemi z dołu wybranej, sterczały

tam jeszcze zza dymu i iskier trzonki łopat w grunt twardy wbitych.

Patrzyli. Nie musiało się oczu unosić i zaglądać im w twarze, rumiane od bliskiego żaru; widziało się wszystko doskonale w głowie. Jak gapią się na klęczącego, rozdygotanego między mrozem i gorącem, w ciuchach trupich, obrzydliwych, za dużych i za małych, z łepetyną fioletowo obsiniaczoną w błoto wciśniętą, dyszącego charkotliwie, na takiego Syna Mroza - co im taki Syn Mroza może rzec, żeby od przykazań wiary lodowej choć na moment się odwrócili, jakim kłamstwem ich ta karykatura od jedynoprawdy świętej odwiedzie?

Pod zimną czaszką, bezdźwięczny, i w krtani zmrożonej, on słyszalny, rósł na strunie rozedrganej flegmy jeden jęk żalorny, przeciągły.

- Z chłodu w chłód, człowiek się rodzi, w chłód odchodzi, zimny jest Bóg, z chłodu w chłód - zaintonował basem siwobrody chłop, żegnając się zamazyście i medaljon zimnazowy całując.

- Z chłodu w chłód!

- Ludzi w gorączce -

- Zmrozi!

- Żądze palące -

- Zmrozi!

- Grzechy ogniste -

- Zmrozi!

- Krew wzburzoną -

- Zmrozi!

- Dusze rozpalone -

- Zmrozi!

- Języki piekielne -

- Zmrozi!

- Świat w płomieniach -

- Zmrozi!

- Żywot popielny -



- Zmrozi!

- Słowo Marcyna!

- Słowo! Zmiłuj się, Chryste Boże nasz, Chryste Zbawicielu nasz, Lodu czekamy, Lodem żyjemy, w Lód wierzymy, w Lód idziemy.

- Amin.

- Widzicie, bracia, człowiek i najlepszy, na tym świecie żyjąc, nie wybiera między dobrem a złem, jeno między złem a złem, a takie dobro największe w czasie przedśmiertnym, że władny jest odwrócić się od zła rozumu ku złu serca, od zła dla własnej korzyści ku złu na korzyść ludzi, na korzyść świata, tak. Spójrzycie: pan z Wielkiej Ziemi, Wieniedikt Filipowicz Jerosławski, synem Batuszki Maroza ogłoszony. Spójrzycie: on.

- On.

- Rzekli nam ojcowie: ten narzędzie zła ottepielnickiego, ten jedzie rodziciela swego na zgubę lutyh obrócić, z polecenia ministerjum wrogów Lodu, z poduszczenia dwarianów ojczyzny nienawidzących i zaprzedańców podłych. Tak?

- Tak. Tak. Tak.

- Oto zło przed nami: krew przelać tego tu człeka bezbronnego. Nu, brat Jerofiej mówi: zanim weźmiemy go na sumienia nasze, zdać go na próbę Marcyna, jak w prorocत्वach zapisano: zmrożony w ziemi świętej, trzynastego dnia Lodu wstanie żywy, z ziemi wyjęty. Ale czemu to brat Jerofiej o tę próbę grobu prosił? Jakiego tu objawienia oczekuje? A?

Uniosło się wzrok. Oni patrzyli na marcynowca stojącego z boku po lewej, u szczytu podłużnego dołu. Poznało się go po krzywo scerowanej rubaszce i starych odmrożeniach, po ranie czerwonej na skroni i policzku, oku opuchniętem od odłamków rozbitego interferografu.

I wszystko stało się jasnym i oczywistym: że tak szybko znaleźli w przypadkowo przecież wybranym hotelu, nawet do księgi gości pod nazwiskiem jeszcze nie wpisanego - że rozpoznali - ten soplicznik, ten warjat ze Starej Zimy - nie uciekł na oślep w śnieżycę, nie, lecz zabrał się Ekspresem do Irkucka, ukrył się gdzieś w pociągu i z oczu nie spuszczał, śledził od samego dworca, albo też dopadł potem Kliaczki i wydusił zeń adres - tak do „Czarciej Ręki” się zakradł, kamradów swoich nocą prowadząc, braci-grabarzy z saniami karawanowymi, z trumną nagotowaną - anioł ze snu, on stanął, on poznał: „Benedykt Filipowicz Gierosławski”. Wszystko stało się jasnym i oczywistym - prócz tego jednego: co takiego rzekła mu była na peronie Zimy panna Muklanowiczówna.

- Inaczej słowo peterburskie brzmi na ziemi Lodu - stwierdził soplicznik, łypiąc ponad ogniem jedynym żywym okiem. - Wiecie dobrze, nieraz tak bywało.

- Co powiesz, bracie Jerofieju? - spytał siwobrody. - Mamy go w marzłość zakopać?

- Niech on powie! - zawołał jednooki marcynowiec, wskazując przez dym ramieniem prostem.

Się podźwignęło się z kolan. Szarpnęło się rękaw marynarki sztuczkowej, przekreśliło się krawat, przestąpiło się na gliniastej krawędzi grobu z nogi chorej na nogę zdrową, obie w buty za małe wepchnięte.

- Benedykt... - Nie słyszeli; odchrząknęło się i powtórzyło się głośniejsze: - Benedykt Filipowicz Gierosławski, tak.

Zacisnęło się pięści, żeby powstrzymać dygot. Jak z bicia strzelającego, fala wzbudzona zejść musi z człowieka w którymś punkcie, wylądować się na końcach członków.

Natenczas przypomniała się scena u stóp księżnej Błuckiej, w sali kominkowej Luksu, tamta eksplozja.

- A róbcie, co wam kazali! - krzyknęło się z rozpaczą w noc cmentarną. - Nic mnie to! Khr! Ani wasz Marcyn! Ani Bóg wasz! Pluję!

I się zakrztusiło się, chcąc naprawdę splunąć; a kaszłąc dalej z rozpędu, mało się nie poleciało łbem naprzód w mogiłę mokrą, zgięty w pół.

Nie ruszyli się, nie odezwali. Ten i ów spojrzął na Jerofieja. Jerofiej stał i czekał.

- Mój ojciec - rzekło się po chwili, spokojniej już, wzrok od nich odwróciwszy - jest jakimś wybrykiem Lodu, nie znam mojego ojca, nie mam ojca. I teraz zamiar: rozmrozić go, zabrać stąd, precz od lutyh. Nie Lód, nie polityki, Historje, religje, nie Rosja, nie sprawy boskie i cesarskie. Ojciec. Tyle. Wszystko. Już. - Zazezowało się do wnętrza grobu. - Mam wejść? Zasypiecie mnie żywcem? - Pociągnęło się nosem. - Cholerny Marcyn. Ze strachu. Khr. No co? Mam wejść? A? Już, skacze, proszę bardzo.

Słowotok taki mógł płynąć jeszcze długo, ale oto nasampierw starzec siwobrody, potem następni marcynowcy - odwrócili się, odstąpili, rozeszli się w mgielny mrok przedświt. Się gapiło się za nimi w roztrzęsieniu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, chuchając w postawiony kołnierz marynarki trupa. Nawet się nie obejrżeli. Zostawili łopaty i ogniska płonące - aż się wypała.

Ostatni stał jednoślepy Jerofiej, niedoszły zabójca z Zimy. Patrzyło się na niego tępo, a zmiędzy warg drżących spadały kaskadą jęki żalose:

- No co, no co, co to miało być, nastraszyć, tak, nastraszyć, zabawa taka czy jak, żeby padł z samego przerażenia, co, khr, uśmieci się, jak tańczy nad grobem, o to chodziło, noc, porwany, cmentarzysko, z trumny jeszcze, żeby już serce pękające, i patrzaj, dół wykopany, do dołu idziesz, nastraszyć, tak, nastraszyć?!

Jerofiej pokręcił głową.

- To jak?! - wrzasnęło się, prawie skoczywszy do niego przez ten płomień błękitny. - To co?! Że niby słów parę - i wystarczy? Co ja jestem, idjota?! - się darło się. - O co tu chodzi! Nie o to przecie! Mogłem cokolwiek! Co za teatr! A gdybym! Że to, że tamto, przerażony. Głupota! Co powiedziałem - że prawdę?! Że prawdę niby?! Przecie nie dlatego puściliście! Dlaczego!

Na co Jerofiej przycisnął tylko do piersi zamknięty kułak i to jedno słowo wyrzekł cicho, stanowczo:

- Zamarzło.

Potem, potem, potem... Siedziało się w sali gościnnej „Czarciej Ręki” pod wprawioną w zagęszczone marostiekło fotografią Aleistera Crowleya i piło się czaj gorący, rumem zalany, gdy za oknami letnie Słońce wstępowało ponad irkuckie mgły. Zaspany garson przyniósł zawtrak. Na ulicy dzwoniły pierwsze sanie, zaczynał się ruch miejski w Ujskim Rajonie, sobota, 26/13 lipca 1924, Miasto Lodu budzi się do roboty, z Zimnego Nikołajewska wraca do domów nocna zmiana proletariatu zimnaza i tungetytu. Na stoliku z szachownicą, na której stały figury niedokończonej partji Crowleya, ktoś położył popielniczkę z niezagaszonym petem. Powstało wrażenie, jakby Anglik dopiero co odszedł od stolika, zaraz wróci, dopali papierosa. Próbowano się jeść, ale dłużej zabierało wydmuchiwanie nosa i odkasływanie flegmy. Trzęsły się ręce, podskakiwały stopy, szarpane skurczami przemrożonych mięśni. Musiało się być zajść wpierv na górę do pokoju, a przebrawszy się, zabrało się też laskę delfinią: na lewej nodze nie dało się już prawie stanąć. Mimo że większą część drogi ze Wzgórza Jerozolimskiego na zachodni brzeg Angary - Łaninską i pod gigantyczną Bramą Trjumfalną górującą nad Moskiewskim Traktem - przebyło się na saniach Jerofieja, to kolano na nowo opuchnięte odmawiało już posłuchu, ba, odmawiała posłuchu cała sponiewierana kończyzna. Ów dygot, który rozpoczął się jeszcze w trumnie zabitej, wciąż jakoś nie mógł do końca zagasnąć: jak nie dreszcz, to tik nerwowy, jak nie tik, to kurcze spazmatyczne, jak nie

kurcze, to dziwne podrygi głowy, a jak nie one, to znowuż dreszcz. Jerofiej pożyczył skóry rena, jechało się zawiniętym w nią i w pled jakiś spod worków wyciągnięty. Marcynowiec się nie odzywał; ale bynajmniej nie zachowywał się gburowato, ukłonił się grzecznie nawet. Czy naprawdę darowali życie? Co powiedzą ojcom sekty, co Rasputinowi zaraportują? A jeśli nowy rozkaz przyjdzie? A może ich jest więcej - nie jedna frakcja Rasputinowa i jedna od Pielki, ale wiele takich, co boją się wpływu Syna Mroza na Historję, i wiele takich, co bronić będą wszystkiego, co od Ojca Mroza pochodzi - może więc za chwilę kolejni fanatycy dopadną i pogrzebać żywcem będą chcieli? Zaciskało się szczęki, żeby zęby nie dzwoniły w dygocie. Co to za przymus dziwny, co za sytuacja surrealna: porwali, w trumnę włożyli, zamordować chcieli, a teraz jedzie się obok mordercy niedoszłego, i nawet nie ma się czelności w twarz tego mu rzucić; jeszcze z wdzięcznością przyjmuje się odeń koc brudny, mało nie dziękując wgłos. Ale on się nie wstydzi, on się niczego nie wstydzi - w tym problem z ludźmi wiary, z poddanymi absolutu, boskiego bądź ludzkiego, że póki wykonują jego nakazy, nie robią nic złego, jakiegokolwiek te nakazy są. Zaduszą ci dzieci, a potem na podwieczorek serdecznie zaproszą, i dziwić się będą, jeśli nie przyjdiesz. Oto jest człowiek żyjący w prawdzie. I jeszcze jedna rzecz, o którą się Jerofieja nie spytało, ponieważ nie pyta się o takie rzeczy: czemuż to o próbę i posłuchanie prosił dla niewiernego skazanego przez ich zwierzchność marcynową, niewiernego, którego dzień wcześniej sam ubić chciał? Cóż takiego się stało? Ale on nie odezwał się do końca. Przewiózł przez rzekę, wysadził, okiem łypnął. - Z Bogiem. - Odkuśtykało się bez słowa. Ręka teraz drży, gdy unosi się szklanicę z czajem. Jeszcze zostały w palcach powbijane drzazgi z desek trumny. Iść do cyrkułu? Nic nie mówił, bo wiedział dobrze, że Syn Mroza tego nie zrobi.

Nie dało się przełknąć bułki, nawet gdy w mleku gorącym zmaczanej; gardło zaciśnięte nie chciało się otworzyć. Po drugiej stronie stolika Crowleya zasiadł do posiłku gruby Ormianin, nadal w wylupiastych okularach marostiekłowych. Wychłęptawszy kawę czarną, rozwinął świeży numer dwujęzycznego „Kuryera Angary”. Na pierwszej stronie było coś o Polakach - spojrzano się, przekrzywiając bocianio głowę - o Polakach, ale zwali ich też „japończykami”; kilka dni temu ktoś wysadził Zimną Kolej, linję na Kieżmę, i podejrzewano „polskich terrorystów”. Przypomnieli się żandarmi i kozacy na Dworcu Murawiowa. To nie z powodu bomby Nie-Verousse’a; tu się toczą inne zmagania, dla których sprawa Tesli i lutyh stanowi ledwie drobne marginaljum. Ormianin obrócił mlecznobarwne szkła ponad gazetą. Się wykręciło się na krześle, odruchowo uciekając wzrokiem - w bok, wzwyż, na obraz wiszący ponad szachami.

Na tem powiększonym do portretowych rozmiarów zdjęciu gładko wygolony mężczyzna w dwurzędowym garniturze stał przed frontem hotelu, wtedy jeszcze pod innym szyldem, a w tle i z prawej strony, ponad mgłą szarą, która zamazywała większą część fotografii, wisiały na niebie węglowe kolumnady. Crowley miał mięsistą twarz o wykrzywionych ironicznie ustach, co było widać bardzo wyraźnie w kontraście z zalodzoną elewacją budynku i śniegiem dookoła, jako że skóra Crowleya, jego zęby między wargami, a zwłaszcza oczy - wszystko to wypaliło się na zdjęciu różnym natężeniem czerni; ciemny był także obłoczek rozciągnięty nad głową Anglika: jego oddech ćmielany. Jak długo Crowley tu mieszkał? Jak prędko obrócił się w tak zakarzeniego lutowczyka? Gospodarz mówił, że Crowley chodził w soplicowa. Czy kryje się w tym jakiś naturalny sposób naćmieczenia, naturalny, to znaczy bez pomocy maszyn doktora Tesli, a nie wymagający spędzenia lat całych w Kraju Lutych? Naładować się teslektrycznością przez obcowanie z lutymi, że nawet oku kamery nie umknie ta migotliwa oćmiata, czern piekielna na ciele i wokół ciała, i anielskie świciecie. W takim razie lute muszą być prawdziwymi zbiornikami ćmieczy - i rzeczywiście, czyż częstokroć ich lód nie zdaje się ciemnym jak lśniąca szkło wypełnione atramentem? Aleister Crowley znalazł sposób, by pić go wprost ze źródła. Stoi na mrozie z odkrytą głową, z uśmiechem szyderczym na grubych wargach. Czy jest mu zimno? Czy drży we mgle? Czy marznie? Już zamarzał, w tym rzecz. Zatrzęsło się w nagłym dreszczu, upuszczona łyżeczka zadzwoniła na talerzyku. Przecież ostrzegali - Pociągło, Razbieszow, Ziejcow - ostrzegali: to inny świat, inne prawa nim rządzą; i gdybyż ograniczały się one do dziedzin fizycznych...!

Zamarzło. Nijak się z tego Jerofiej nie wytłómaczył, to była rzecz do zrozumienia sama przez się. Czy powiedziało się prawdę, czy też się skłamało - czy rzeczywiście takie myśli szczere dla ojca, czy tylko dreszcz desperacji - noc, cmentarz, ognie, Księżyc, grób gotowy - powiedziało się - i zamarzło.

Ile razy stajemy w zdumieniu, usłyszawszy wyrzeczone właśnie przez nas na głos słowa, zwłaszcza w dyskusjach politycznych, religijnych albo w rozmowach o uczuciach: wypowiedziało się, a zatem teraz już zna się swój sąd; wypowiedziało się, a zatem teraz już wie się, do kogo nienawiść, ku komu upodobanie. Wejdz w kłótnię - poznasz swój rozum. Skocz w bój śmiertelny - poznasz swe serce. Albo przynajmniej pohazarduj się o stawki wysokie. Lepiej: zajrzyj do wnętrza własnego grobu, w tę wodę czarną. Co o sobie poznasz, w Lecie poznasz na chwilę jeno i zaraz pewność wiedzy utracisz; ale w krainach Lodu nie można tak poznać niczego, co nie jest w zupełności prawdą lub w zupełności fałszem.

Zamarzło. Czy tym sposobem rzecz, która prawdą nie była, wtem staje się nią, aże po

wsze czasy prawdą już będzie? *Są takie sądy, które się prawdami stają w pewnej chwili, są sądy, które się robi prawdami, których prawdziwość się stwarza.* Ale przecież nawet Kotarbiński miał na myśli wyłącznie fakty przeszłe. Nie można w ten sposób zamrozić człowieka, to znaczy również tego, czego jeszcze ów człowiek nie zrobił. Nie można w dosłownym sensie stworzyć prawdziwości, jak się stwarza dzieło rzemiosła, płód w łonie, formułę matematyczną albo ładunek magnetyczny w ciele. Nawet maszyny ćmieczone, nawet lute tego nie robią. Wysmarkało się nos, wlało się rum w gardło ściśnięte. Ormianin zdjął okulary, miał oczy małego dziecka, spoglądał z dziecięcą bezczelnością. Znowu odwróciło się wzrok. Dym tytoniowy zaległ nad szachownicą Crowleya szarą wstęgą. Wszedł i nie wrócił; poszedł na wyprawę na lute i nie wrócił; wszedł w soplicowo i nie wrócił. Pokręciło się głową. Nie można żadnym aktem fizycznym prawdziwości narzucić!

Potem, potem przypomniał się palec pana Tadeusza Korzyńskiego.

### **O urokach życia rodzinnego**

- Onejromancja szerzy się w krainach Lodu! - grzmiał z ambony ksiądz Różga. - A patrzajcie, mili moi, na owych niewolników snów, co gubią się na jawie, jak się człowiek w marze nocnej gubi, czyniąc z sennego przekonania wszystko to, do czego sen go prowadzi, ale dlaczego, ale po co, ale czy naprawdę chciał to uczynić - przecie śniący nie powie; toż zdaje mu się czasami, że jego samego we śnie jego własnym nie ma wcale, że sen mocą swoją jakąś wewnętrzną wiedzie go od sceny tajemniczej do sceny tajemniczej, śniącego-nieistniejącego. Czy nie znamy takich snów? Znamy takie sny! Siostry moje, bracia! Onejromanci i wróżbici wszelkiej maści żerują na słabości naszej! Spójrzcie na tych, którymi już rządzą ich sny: czy sonnyje raby osiągnęli przez to jaką szczęśliwość? To nie sny przepowiadają im przyszłość, lecz przyszłość przeżywana upodabnia się do snów! Nasampierw tracą rozeznanie w skutkach czynów własnych: nie dlatego dziatki w domu głodne i mróz w izbie, że mąż po szynkach dzień cały Boży błędzi i pracy uczciwej nie zstrzyma - ale bo pies kulawy drogę mu przebiegł, bo gwiazda z nieba mu błysła i cień lutego wskazał północ. Potem w ogóle przestają widzieć sens i znaczenie jakichkolwiek czynów, bo czy co zrobią, czy nie zrobią, sen przecie i tak pociągnie ich swoim nurtem, przepłynie życie wokół nich, i będzie się działo, co dziać się musi. A tak święcie w to wierzą, że nikt ich nie przekona! Znacicie ich - odpowiedzcie w duchu sami sobie: czy to są chrześcijaństwo? jakżesz

może iść za przykazaniami Pana Naszego jedna i druga taka onejromancji ofiara? Czy wejdą po śmierci sonnyje raby we wrota Piotrowe? Nie, i wiecie dobrze, dlaczego nie: w świecie snów nie ma dobra i zła, nie ma prawdy i kłamstwa, nie ma grzechu i nie ma zbawienia! Chrześcijanin - katolik - Polak - to nie jest ten, co czeka na objawienia i konieczności i poddaje się oczywistościom, które za niego robią, za niego myślą, za niego żyją - ale kto sam robi, i wie, czemu robi, żyje, i wie, po co żyje, wybiera, i sam wybiera, nawet tym koniecznościom i oczywistościom wbrew, a jak grzeszy, to też on grzeszy i to jest jego grzech, z jego duszy żywej pochodzący, szczerzy i przytomnie zgrzeszony! Siedzący i czekający na kamieniu przy drodze nie dotrą do Królestwa Niebieskiego; Królestwo Niebieskie jest dla tych, co idą, co biegną, co zmierzają do celu, a nawet jak upadają w bólu i zdzierają sobie skórę z nóg wobec spoczywających na poboczu, niestrudzonych - to na myśl im nie przyjdzie, żeby zejść z drogi i zrezygnować. I nawet jeśli w złą stronę tą drogą idą, to jedno zostanie im policzone: że szli, że szli, szli! Nie wiercie więc wróżbitom - osobiłwie tym, co wróżą prawdziwie!

Takie ksiądz Rózga prawił kazania milionerom polskim w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryji Panny, świątyni rzymskokatolickiej parafji syberyjskiej, największej parafji na świecie.

Słuchało się księdza bez wielkiej uwagi, zza filara wypatrując opisanej przez żebraków sylwety pana Wojsława Wielickiego - a miał to być chłop na schwał, dwa arszyny, dwanaście werszków wzrostu, z brzuchem okazałym, mocno ujętym w gorsecie pod szykownym surdudem, z brodą jasną na dwa rozdzieloną, i jeszcze tym znaczny, że na palcu ręki lewej wielki pierścień tungetytowy z brylantem carycy nosi. I prawda: ledwo do komunji świętej stanęli, spostrzegło się go między panami z ław najbliższych ołtarzowi: wzrost, broda, brzuch, pierścień - toczka w toczkę. Się przesunęło się pod ścianą, by nie stracić go z oczu; ludzie ustępowali kulejącemu, kaszlącemu, laską się podpierającemu. Wojsław Wielicki zasiadał tuż za ławą burmistrza Szostakiewicza i pana Ignacego Sobieszczańskiego. Obok siedziały dwie kobiety w wie: ku balzakowskim i troje dzieci małych, od trzylatka do siedmiolatka chyba. Wielicki niecierpliwił się pod koniec sumy i kilkakroć popatrywał na wyciągany dyskretnie z kamizelki zegarek. Pośpieszył do wyjścia, nie czekając zakończenia śpiewów; pokuśtykało się za nim.

Zastało się go przy saniach na Tichwińskiej, gadał energicznie z woźnicą i instruował w czymś dwóch służących, którzy zaraz obrócili się na piętach i pognali wykonać polecenia. Pan Wojsław zapiął futro wiewiórcze i naciągał właśnie na dłonie jak bochny rękawiczki

plowe, gdy zaszło się przedeń. Wierni zaczęli opuszczać grupkami neogotycki kościół, żebracy podnieśli chóralny jęk. Tu od skrzyżowania do brzegu Angary raj żebraczy: Spasska Cerkiew, Sobór Bogojawlieński i jeszcze Polski Kościół. Pomyślało się, że przecie Wielicki od razu odpędzi jak żebraka właśnie; toteż zanim w ogóle rzekło się słowo, podsunęło się mu pod nos list.

Spojrzał bez zdumienia.

- Wy od kogo?

- Z Warszawy, pan przeczyta, od Alfreda, khrr, Tajtelbauma.

Nawet jeśli nie skojarzył nazwiska, nie dał po sobie nic poznać. Nasadził na nos *pince-nez*, wyjął papier. Mróz był wedle irkuckiej miary niski, że aż niewart wspomnienia: ani piętnaście pod zerem; obłoczki śmietlanej pary odpływały od patryjarszej brody Wielickiego z sekundowem opóźnieniem, bez marostiokoł na oczach widziało się wyraźnie świecenie pełgające na fałdach futra pana Wojsława.

- Ach, to wy jesteście Benedykt Gierosławski.

Się wyprostowało się czujnie.

- Khrr, znacie wy mnie skąd, khrr, słyszeliście, tak?

- Pan Alfred mi pisze, żeście jego druh serdeczny!

Złożył list, zamrugął zza binokli.

- Prosto z Kongresówki, mówicie. Ale - ale wy mi coś cienko wyglądacie!

- Chciałem... czy mógłbym... chodzi o to, że czynownicy z Ministerjum Zimy-

- Znamy to, znamy. Pan się nie boi, już Wielicki nie da rodakowi zginąć. Jesteście pewni, że nic wam nie jest?

Zakaszłało się ponownie; po wyjściu z cieplejszego wnętrza na mróz trudno zapanować nad gardłem podrażnionem.

- Miałem wypadek po drodze, w Transsibie, khrr, no i widzicie... - stuknęło się laską.

Złapał się za głowę.

- To pan przyjechał tym zbombowanym pociągiem! I pan nic nie mówisz! Gdzie pan stanął?

- W „Czarciej”, khrrr, „Ręce”.



Najbogatsi wierni wsiadali do swoich sani ustawionych wzdłuż ulicy, powstał tłok i zamieszanie, a jeszcze do Wojsława przybiegły jego dzieci w krasnalich futerkach, oprószone śniegiem świeżym, pod czapami nieproporcjonalnie wielkimi na główkach małych, że tylko noski i lica pyzate widać było w letnio-zimowym słońcu; złapał jedno, podsadził drugie, podniósł trzecie. Się odsunęło się, by przepuścić niewiasty, laska pojechała po lodzie, lewe kolano ugięło się jak guma, się zachwiało się.

- Ale, na miłość boską, no niechże się pan przyzna, przecież widzę, pan jesteś chory, febra pana trzęsie, ledwo na nogach się trzymasz.

- Przemarzałem wczoraj w nocy, khrr, tak. Panie Wojsławie -

- Pan pozwoli, Benedykt Gierosławski, małżonka moja, Halinko, spójrz na pana Benedykta, czy nie mam racji?

- Ależ ja naprawdę -

- Nonsens! - I skinął na woźnicę. - Jak wróci Tryfon z Zimnego, pošlesz go do „Czarciej Ręki” po rzeczy pana Benedykta. Dzieci, dzieci, nie lizać lodu, mówiłem wam przecież! Weźże je upilnuj, Martuś, dziękuję. No już, już, siada pan. Opowiesz pan nam wszystko, co w Starym Kraju słyhać, i całą awanturę terrorystyczną też, czy wy wiecie, moje drogie, że pan Gierosławski, matematyk sławny warszawski, przyjechał on do nas tym czwartkowym Ekspresem, co to go bombą wysadzili? Panie szanowny, no czemuż pan nie wsiadasz!

- Nazywam się Benedykt Gierosławski, khrr, syn Filipa - powiedziało się powoli, bardzo wyraźnie, ponad okrzykami woźniców, parsknięciami koni i nieodległym bębnieniem szamańskim. - Za moim ojcem jest tu list gończy; zesłali go w tysiąc dziewięćset siódmym, teraz chodzi z lutymi. Ministerjum Zimy ma mnie pod lufą. Będą kłopoty.

- Będą kłopoty! Pan nie dożyjesz kłopotów, jak czem prędzej pod pierzynę nie trafisz! Widzicie go, przyjechał i zaraz gieroj solony! Wsiadaj i nie kryguj się dłużej, łaskawco, a bo to co dzień zdarzają nam się takie wizyty na końcu świata Bożego!

Tak oto trafiło się pod dach państwa Wielickich.

Dopiero przejrzawszy się w wielkim zwierciadle w holu ich domu, się wyzybyło się ostatnich podejrzeń względem szczerości motywów pana Wojsława: zaiste, prezentowało się obraz nędzy i rozpacz, do starych blizn, sińców i strupów doszedł jeszcze bardzo niezdrowy rumień, lśnienie zimnego potu na czole i niedobry błysk w podkrążonych oczach, niechybny znak choroby. Kaszlało się często, długo i z mokrem echem z głębi piersi. A zdjąwszy

wierzchnie odzienie, ujawniło się na dodatek czaszkę poobijaną i palce w sztywnych opatrunkach. Skąd to, panie Benedyckie? Ano, z wypadków pociągowych. W kobietach Wielickiego wyzwołyły się najgorsze instynkta opiekuńcze.

Pan Wojsław Wielicki posiadał kamienicę dwupiętrową w popożarowej południowej dzielnicy na prawym brzegu Angary, przy ulicy Cwietistej, przecznica Zamorskiej; okna wychodziły na lód Angary i południowy kraniec Konnego Ostrowa, a spojrzawszy z pokoiów narożnych, widziało się w dali ponad mgłą maszty trupie Innokientijewskiego Pasiołka, osiedli robotników kolejowych. Jak każdy zamożny mieszkaniec Irkucka, Wielicki trzymał w pogotowiu dla swojej rodziny zapasowe lokum: piętro w dworku za Ujską, za rzeką Kają. Mieli tam drugą spiżarnię, drugie garderoby; para służących utrzymywała puste mieszkanie w gotowości na przyjęcie rodziny; cała służba wyszkolona była w sztuce szybkiej przeprowadzki. Kiedy odbudowywano miasto, wyjaśnił pan Wojsław, nie znaliśmy jeszcze Dróg Mamutów.

Z trzech kobiet w domu - jego żony, jego siostry i jego matki - najgłośniejsza była i najwięcej uwagi angażowała ta najstarsza, którą wzięło się pierwszego dnia za prawdziwą głowę rodziny i zarządcę domostwa, jak to często przecież bywa wedle zwyczaju jeszcze zesłowiecznego, gdy matka lub babka owdowiała pod nieobecność mężczyzn w sile wieku, w pracy, na wojnie, na zesłaniu lub na innej ekspedycji życiowej przebywających, trzyma ręką żelazną całą familję i familji majątek. Drugiego dnia zrozumiało się jednak, że to najmłodsza, Marta Wielicka, rozsądza w istocie wszystkie kluczowe kwestje w tym domu i jej słowo ciche przeważa nad kolorowemi eksplozjami afektu matki. Trzeciego i czwartego dnia, zresztą aż po dzień siódmy, nie rozumowało się nic, leżało się bowiem zupełnie już pogrążonym w majakach gorączkowych, gdy dwaj opłacani przez pana Wojsława doktorzy, jeden Polak, jeden Niemiec, spierali się nad łóżem, czy to zapalenie płuc, czy innego organu wewnętrznego infekcja, a może początek Białej Zarazy. W tygodniu następnym, gdy wstało się z łoża i chodziło się już po domu, jadając posiłki przy stole państwa Wielickich, bawiąc się z ich dziećmi i spędzając popołudnia z kobietami, a wieczory z panem Wojsławem w jego gabinecie narożnym, otwartym wielkimi oknami marostiekłowemi na lód i lód i mgłę, w następnym tygodniu poznało się prawdę najcichszą: nie zarządcą, lecz faktyczną; panią domu na Cwietistej siedemnaście była Halina Wielicka *de domo* Gurgała, albowiem to w jej posiadaniu znajdowało się serce pana Wojsława Wielickiego.

Dzieci - chłopczyk, dziewczynka i chłopczyk - wchodziły wszystkim na głowy, w przenośni i dosłownie. Nieraz się widziało pana Wojsława wypadającego z gabinetu (i to

nawet gdy interesantów tam jakichś po zmroku lub w dzień świąteczny przyjmował), krzyczącego donośnie i tupiącego po parkietach w słoniowym galopie, czemu towarzyszyły piski i chichoty synka lub córeczki, albo też dwojga pociech wraz, które wynosił posadzone na ramieniu szerokim, złapane pod pachę, a raz nawet w zęby kołnierza najmniejszego Piotra Pawła schwycił i tak go przetransportował, oburzenie ogromne okazując, że mu malcy w pracy przeszkadzają, czemu oczywiście nikt w domu wiary nie dawał. Widziało się go przysypiającego po niedzielnym obiedzie na szezłagu w salonie, ramię ciężkie zjeżdżało mu razem z gazetą na podłogę, wypinał się spod tużurka brzuch kopulasty, mimo że tak ściśle opięty, a na to brzuch ogromne, jak na górę zaczarowaną, wdrapywała się, przygryzając wysunięty języczek, Michasia, by zachłysnąć się śmiechem, gdy pan Wojsław budził się już z córką dobrze mu na równiku usadowioną; podskakiwała wtedy niby na piłce dmuchanej, a pan Wojsław wydawał dźwięki pocieszne. Albo też symulował, że śpi dalej i tylko chrapał coraz głośniejsze, wprawiając wąsy sumiaste i brodę rozłożystą w falowanie, a brzuch w trzęsienie, od którego, wedle rytmu głębokich wdechów i wydechów ojca, dziewczynka unosiła się i opadała, na koniec padając na płask i zaciskając piąstki na tej brodzie, żeby nie spaść, tak szalone były to rodea.

Rzekło się pani Halinie, że chyba okropnie rozpuszczone dzieci im wyrosną. Inny zupełnie jest rygor wychowania w dobrych domach mieszczaństwa i bogatej szlachty Kongresówki.

Zdumiała się bardzo.

- Rozpuszczone? Panie Benedyckie, my ich nie rozpuszczamy, my je kochamy.

- Toteż właśnie.

Popatrzyła tylko dziwnie.

Pani Halina, kobieta przeciętnej urody, lecz nieprzeciętnej delikatności i ciepła, ustanawiała rytm życia domowego pod nieobecność męża, czyli przez większą część dnia, gdy pan Wojsław jeździł po choładnicach i fabrykach Zimnego Nikołajewskiego albo w składach swych przydworcowych przebywał. Pani Halina rzadko wydawała polecenia nawet służbie (a jeśli już, czyniła to z dziwną nieśmiałością, szeptem prawie). Po prawdzie nie musiała jednak niczego rozkazywać, ponieważ wszyscy znali doskonale swoje miejsce i powinność i cały dom ułożony był wedle zamysłu pani Haliny. Kiedy spoczywało się w łóżku po gorączce, zaszła raz po śniadaniu z naręczem książek i czasopism, ofiarując się poczytać choremu; i potem codziennie zachodził ktoś o owej porze, pod tym czy innym pretekstem dotrzymując

towarzystwa - czyżby im tak nakazała? Się mogło się założyć, że nie powiedziała ani słowa.

Przyniosła kilka starych Sienkiewiczów, Dickensy, dwa romanse Mniszkówny, epopeję górniczą Zabrzycyckiego-Bałuta, awantury kryminalne Marczyńskiego i Wilka, romans podróżniczy Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego, pięć powieści Wacława Sieroszewskiego drukowanych tu w Irkucku, w tym słynny *Zamróz*, z którego poznało się historię Wielkiego Pożaru i założenia Zimnego Nikołajewskiego. Także kilka numerów tygodnika ilustrowanego „Przez lądy i morza” z powieściami podróżniczymi Karola Maya: *W wąwozach Bałkanu* i *Boże Narodzenie*. Nowszą literaturę polską znalazło się w reaktywowanym peterburskim „Kraju”, który publikował fragmenty *Niedoczekania* Żeromskiego i *Ludzi lata i zimy* niejakej Dąbrowskiej.

Ciekawszą znajdowało się wszelako prasę codzienną Europy i Syberji. Z Sankt Petersburga i Moskwy Ekspres Transsyberyjski dowoził ją z tygodniowym opóźnieniem, państwo Wielicy prenumerowali tam „Russkije Wiedomosti”, „Russkoje Słowo” i „Birzewyje Wiedomosti”, ale także „Sibirskuju Żyzń” z Tomka. W prasie Rosji europejskiej znajdowało się mniej lub bardziej ocenzurowane informacje o polityce zachodniej i wydarzeniach światowych: o kontrowersyjnej inicjatywie powołania Sądu Atlantyckiego, zgłoszonej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, Jamesa Coxa, o falach demonstracyj w miastach przemysłowych Niemiec i Wielkiej Brytanji spowodowanych obniżkami płac i zwolnieniami, o masakrach irlandzkich, o za-; mrożeniu trzeciej wojny bałkańskiej, a nawet informacje z Chin: o kolejnym spisku Krajowej Partji Ludowej przeciwko cesarzowi, za który to spisek ponoć skazano i ścięto publicznie w jeden dzień dwieście sześćdziesiąt osób.

W prasie syberyjskiej czytało się natomiast o lokalnych osobliwościach.? W „Gołosie Bajkała” ogłaszał się bankier Suslikow: ktokolwiek w nocy z siódmego na ósmy lipca bieżącego roku śnił o liljach kwitnących z instalacyj gazowych tudzież o rdzy na skórze, proszony jest o kontakt pod takim a takim adresem, w takich a takich godzinach; przewidziane wynagrodzenie w wysokości rubli pięciu lub więcej. Obok obwieszczenie irkuckiego Koła Socjalistów Chrystusowych: towarzysze Elanty A. S. oraz Pawlikow G. G. okazali się zdrajcami lub prowokatorami od początku nasłanymi z zamiarem kompromitacji SCh, a nasłali ich Północni Mieńszewicy Plechanowa, co czyni się niniejszem wiadomem wszem wobec. A znowuż niejacy państwo Tolek, para komunistów tomskich, ujawnieni zostają jako prowokatorzy ochrony. Czy jednak prowokacją było i samo małżeństwo? *Pani Tolek, oddana zupełnie rewolucji, nie mogła przeboleć zdrady męża i w przystępie*

*melancholji odebrała sobie życie za pomocą szydelka stalowego.*

Stronę dalej reklama chińskiego prostowacza kości, a pod nią reklama cudownej maści przeciw odmrożeniom. Są i anonse kulturalne. Pierwoje Abszciestwiennoje Sabranije zaprasza do swojego gmachu na wieczorek etnograficzny poświęcony odkryciom z wykopalisk z terenu Szpitala Wojskowego w Znamienskoje i z Głazkowa, gdzie znaleziono pierwsze w Rosji groby i przedmioty kultu człowieka epoki kamiennej; odczyt przedstawi profesor Bazow K. Ju.; wstęp wolny. Dalej: wielkie na pół kolumny ogłoszenie o otwarciu *salonu usług czarnoaptecznych przy prospekcie Piotra Wielkiego numer cztery, czynnego w dzień i w nocy*. Spytało się pannę Martę, co to za „usługi czarnoapteczne”. Otóż w Kraju Lutych wyrosła tymczasem wcale silna gałąź farmaceutyki opartej na miksturach, pigułach i tynkturach zawierających sproszkowany tungetyt. Nie stały za tą nową chemią żadne autorytety medyczne i podzielone były głosy w kwestji skuteczności owych środków, co nie przeszkadzało czarnoaptekarzom zbijać fortun na łatwowiecach szukających cudownych medykamentów na raka, Białą Zarazę bądź niepłodność.

Wydawana w Irkucku „Nowaja Sibir”, choć rosyjskojęzyczna, na drugi rzut oka okazała się pismem redagowanym prawie wyłącznie przez Polaków, na oka rzut trzeci - trybuną polityki abłaszniczeskiej. Nareszcie zrozumiało się, o czym mówił w pociągu prokurator Razbieszow. W artykule pt. *Dlaczego Zjednoczone Stany Syberyjskie powstać muszą* niejaki Pawłowski (podpisany jako profesor Uniwersytetu Tomskiego) wykladał konieczność *ustanowienia niepodległości kolonij syberyjskich wobec potęg imperjalistycznych Wielkiej Ziemi*. „Wielką Ziemią” nazywano tu chyba Rosję europejską. Pawłowski („patriota syberyjski”, cokolwiek to znaczyło) przedstawiał bilans handlowy i inwestycyjny prowincji syberyjskich oraz rażąco niesprawiedliwą strukturę wydatków budżetowych Imperjum. Abłasznicy podnosili żądania „dekolonizacji Syberji” od dawna; idea miała wiele odmian, począwszy od pomysłów Ziemi i Woli tudzież półautonomji „kolonji syberyjskiej” wobec Rosji europejskiej, przez Swobodosławie, której przychylny był ponoć nawet hrabia Murawjow-Amurski (może widzący się na fotelu pierwszego jej prezydenta) do federacji stanów inarodczych pod władzą „senatu syberyjskiego”. Były wersje socjalistyczne. Były wersje polskoniępodległościowe (polskie powstanie syberyjskie z 1833 roku prowadzone przez księdza Sierocińskiego i doktora Szokalskiego miało przecież wzbudzić rewoltę ogólnosyberyjską). Oczywiście wszystko to była Historia w wersjach i interpretacjach autorów „Sibiri”.

„Nowaja Sibir” drukowała także obszerny reportaż z postępów w budowie Tunelu

Alaskańskiego. A znalazła też miejsce na przesłódką relację z otwarcia dwóch nowych schronisk dla ludzi „wylodzonych” (to jest: na których domach siadły lute), schronisk wzniesionych *z dala od traktów mamucich* przez fundację filantropijną pana Harrimana. Wszystko to jawiło się propagandą aż nazbyt przejrzystą.

„Sibirskij Wiestnik” był półoficjalnym głosem rosyjskiej władzy, co się łatwo poznawało po samym stylu artykułów. Reklamowały się tu największe firmy Irkucka, wszyscy potentaci Zimnego Niokołajewska. Koncern Thyssena informował o utworzeniu Towarzystwa Akcyjnego Thyssen & Ticholiew, z siedzibą w Irkucku, o sześćdziesięcioprocentowym udziale Thyssena i dwudziestoprocentowym wkładzie z papierów wolno dostępnych na rynku, do których zakupu niniejszym się zachęca; Towarzystwo zostaje powołane w celu eksploatacji *pierwotnych złóż zimnaza naturalnego*. Z kolei Azowskie Towarzystwo Metalurgiczne ogłasza przetarg otwarty na budowę *choładnicy specjalnej do utaczania krwi lutej w procesie przemysłowym przeznaczonej*; podpisani za zarząd: St. Siemaszko, T. Handke. Huczne otwarcie siedziby swej irkuckiej filii zapowiada Ceska Banka. Związek Katolickich Krawców Sybiru zaprasza na pokaz „mody antyparyskiej”, Diegtiewskaja 22. W Teatrze Irkuckim Nowym wystawiano farsę francuską pt. *Kto przynosi kwiaty*, którą wszakże wstrzymano tuż po premierze na żądanie cenzury carskiej; redaktor Wisznyj rozwodzi się nad upadkiem obyczajów w dekadencej Europie i rozkładem zdrowej tkanki społecznej Imperjum przez zarazy moralne już zgniłego Zachodu.

„Irkutskije Nowosti” były dla odmiany typową popołudniówką, pełną doniesień o skandalach w wyższych i niższych sferach, nowych czynach kryminalnych znanych przestępców, o dziwach i szkaradzieństwach zamorskich, a także historii nagłych wzbogaceń i jeszcze szybszych plajt. Całe kolumny zajmowały tu plotki towarzyskie oraz przedziwne relacje z tak zwanych wydarzeń, czyli przyjęć na pałacach krezusów irkuckich, balów u gubernatora, premier teatralnych, ślubów, pogrzebów i procesów sądowych. Relacje te często podpisywano ekscentrycznymi pseudonimami lub samymi inicjałami, a proporcje informacji w nich zawartych prezentowały się tak: jedna część na samo wydarzenie, dziewięć - na drobiazgowy opis ubioru i uczesania pań w nim uczestniczących. Być może nie inaczej wyglądały podobne gazety w Królestwie - tam jednak się ich nie czytało; tylko w chorobie, tylko w łóżku unieruchomiony dochodzisz do takiego stanu wysuszenia zmysłów, że czytasz najgłupszą gazetę od pierwszej do ostatniej strony, i jeszcze ogłoszenia drobne, a potem studjujesz ryciny.

W „Nowostiach” przeczytało się także o procesie szajki Wienemanna. Był to inżynier

metalurg pruskiego pochodzenia, który podczas kolejnej wyprawy na północne soroczysko zgubił się sorokom i Tunguzom w lodowej krainie, by dopiero po pół roku pojawić się ponownie nad Bajkałem, z ręką jedną odmrożoną i jednym okiem zlodowaciałem do mózgu. Twierdził on, że potrafi tym okiem zajrzeć wprost do Podziemnego Świata i że widzi żyły Lodu i łąki mamutów, i za dobrą opłatą wskaże firmom zimnazowym bogactwa nowe; zdolność tę rzekomo nabył *żyjąc w stanie naturalnym pośród lutech*. Nikt z potentatów zimnaza nie nabrał się na Wienemannowe bajki, zawsze jednak znajdziesz w Irkucku naiwnych z pieniędzmi, szukających łatwych a zyskownych inwestycji. Jakież było zdumienie, gdy jeden i drugi i trzeci płacący Wienemannowi wracał uradowany, rzeczywiście znalazłszy złoża we wskazanych miejscach. Coraz większe firmy kupowały od Wienemanna mapy i koordynaty. Zgubiła go chciwość; powinien był uciec wcześniej. W końcu jednak oberpolicmajster irkucki dodał dwa do dwóch i skojarzył przypadek Wienemanna z raportami o nazbyt często ostatnio ginących bez wieści prospektorach i prywatnych geologach. Przyłapano bandytów, gdy torturowali kolejną ofiarę, aby dobyć z niej sekret jej znaleziska. Lodooki inżynier pomocny był im jako efektowny kamuflaż - bo ludzie prędko uwierzyli, że on naprawdę tym ślepiem soplicznem pod ziemię spoziera; cud jawny zamknął usta niedowiarkom. Potem dopiero przywiózł ktoś z Prus wieści, iż Wienemann, acz istotnie człek technicznego wykształcenia, w swoim kraju poszukiwany był od lat za bigamię oraz handel kradzionymi psami rasowymi.

W „Nowostiach” publikowano codzienną mapę Irkucka z naniesionymi wektorami przemieszczeń lutech; podobne informacje drukował „Kuryer Warszawski”, choć w daleko mniejsze detale idąc i nie dzień w dzień przecież, a przede wszystkim: zawołowane mocno w obawie przed cenzurą Ministerjum Zimy. Tutaj, co zrozumiałe, swoboda była większa. W „Nowostiach” zamieszczano uliczne spisy zaladzonych budynków, a także „horoskopy szamańskie”, to znaczy przepowiednie burjackich głaszatajów dotyczące ruchów lutech w najbliższych dniach. Owi „heroldowie” bębniący przed lutymi - jak wyjaśnił z kpiącym parsknięciem pan Wojsław - nie byli to żadni szamani, lecz pierwsi lepsi zimownicy tubylczy, których burmistrz najmuje, żeby ostrzegali ludzi we mgle. Zdarza się, że luty wymraża się gdzieś ni z tego, ni z owego wprost spod powierzchni gruntu, także więc niejednego zaspanego mieszczucha ci głaszataje już uratowali. Oczywiście jeśli wyjdzie glacjusz przez środek piwnicy pionowo w górę, to już nic nie poradzisz. Dlatego im kto w Irkucku bogatszy, tern wyżej żyje. Państwo Wieliccy mieszkali w swojej kamienicy na kondygnacji trzeciej, dziesięć arszynów nad ulicą. A Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew mieszkał na

szczyt wieży Sibirchożeta, na niebie ponad Irkuckiem.

W Warszawie podobnych kłopotów nie miewano. Ale też były to zupełnie różne miasta Zimy: na ulicach Warszawy nigdy nie naliczono więcej jak pięć lutech naraz, a tu, w Mieście Lodu i okolicach, od Bajkała do Zimnego Nikołajewska i Aleksandrowska, od początku rachuby zawsze wędrowała nad ziemią nie mniej niż setka mroźników jednocześnie. Drogi Mamutów, wzdychał pan Wojsław i pykał z fajki dymek gęsty. Sobotni dodatek ilustrowany „Irkuckich Nowosti” zamieszczał również notowania loteryj geologicznych, za gniazda i soplicowa obstawione daleko od Dróg płacono w stosunku jeden do dwustu, jeden do dwustu czterdziestu. Ciągnięcia losów kredytowych ziemskich odbywały się w Omsku, wyniki dowożono zalakowane Transsibem.

Tutaj pisano także wiele (w tonie ekscytującej sensacji) o wysadzeniu przez japończyków linii Zimnej Koleji na Kieżmę. Owe „japończyki”, jak się już wiedziało, nie byli to rodowici poddani cesarza Hirohito, lecz Polacy z Legjonu Japońskiego. Przypomniano przy tej okazji stary list gończy za gasudarstwiennym przestupnikiem Józefem Piłsudskim: lat 57; wzrost: dwa arszyny, sześć werszków; twarz: pod zarostem ciemnym; oczy: szare; włosy: ciemno-blond; bokobrody: jasnoblond rzadkie; usta: normalne; zęby: nie wszystkie; szczególne znamiona: brwi zrastają się nad nosem, a na końcu prawego ucha brodawka. Za wydanie nagroda w wysokości siedmiu tysięcy rubli. A pięćset rubli za każdego jednego japończyka czy innego polskiego zbiega z bronią schwytanego.

Polacy w Irkucku mocno byli podzieleni w swoich sądach na temat metod Piłsudskiego, jego celów politycznych i sojuszu z Cesarstwem Japonji.

- Fatalne jest to dla interesów, panie Benedykcie, trudno rzec, jak bardzo fatalne - kręcił głową pan Wojsław, rozsiadłszy się w swym gabinecie narożnym na wieczorną fajeczkę. Spoczęło się w fotelu dostawionym do pieca, biała narzutka koronkowa pachniała jeszcze pod policzkiem ziołami leśnymi, a tytuń pana Wojsława, rozwinięty wstęgą długą w powietrzu - żywicą gorącą. Paliła się tylko jedna lampa naftowa pod umbrelką z japońskiego papieru; dom, jak większość w Irkucku, był zelektryfikowany, lecz częste awarie sieci elektrycznej i przerwy w dopływie prądu powodowały, że bardziej polegano na nafcie. Mimo późnej pory zdawało się więc, że jaśniej niż w półmrocznym gabinecie jest na zewnątrz, pod rzadkimi obłokami białego śniegu niesionego przez wiatr bajkański nad lodowem korytem Angary, nad Konnym Ostrowem i dzielnicami lewobrzeżnymi. Na dole, po lodzie i we mgle mlecznoszarej, błyskały podwójne gwiazdki sani sunących przez rzekę wtę i wtamtą stronę. A



ponieważ patrzyło się na to wszystko przez szyby marostiekłowe, to już bez mrużenia oczu i bez sennego rozmarzenia widziało się kolory śniegu, kolory nieba, kolory światła miejskich i sanny - jak się zlewają, przepływają, zamieniają miejscami. Wicher przepędził chmury, wyszły nad Irkuck gwiazdy syberyjskie, srebrnobarwne na czarnobarwnym niebie. Wróciło wspomnienie snu z dymu szamana: konstelacje atramentowe i geometrycznie kanciaste Słońce... Na palcu pana Wielickiego błysnął wielki brylant.

- Fatalne, fatalne. Toż już samo to, że mi odcięli dostawy z soroczysk i północnych kopalni - no cóż mieliśmy począć, zamknąć nagle chłodnice, zatrzymać fabryki - a nasi kontrahenci - szkoda gadać. Co przyszło nakombinować, nabłagać się, poprzeplacać pośredników, byle wygrzebać zapasy rud zimnazowych przed konkurencją - ech, co wam będę mówił, łaskawco, wiele, wiele złego narobili.

Przypomniała się scena sprzed kościoła na Tichwińskiej, i jak jeszcze w kościele nie mógł usiedzieć, coraz to na cebulę zerkał.

- Ale już naprawili?

- Tory? A skąd! Wiedział Piłsudski, gdzie je wysadzić - jakiś most przed Kieżmą cały runął, szybko tego nie nareperują.

- Więc pan uważa, że takie walki nie mają sensu, że, jak powiada Porfiry Pocięgło, ciemiężcę trzeba wykupić, nie zabić.

Wielicki bawił się przez chwilę marostiekłowym nożem do papieru, szukając słów dobrych w obłoku wonnego dymu.

- Ja doskonale rozumiem, dlaczego oni robią, co robią. Japończyki, inni im podobni. Piłsudski kalkuluje według żelaznej logiki strategii wojennych: sprzymierz się z nieprzyjacielem nieprzyjaciela swego. Im bardziej wojna z Japonią wstrząśnie Cesarstwem Rosyjskim, tem większa szansa, że powiedzie się powtórka z tysiąc dziewięćset dwunastego. I nawet niewielkie ma znaczenie, czy cesarz Japonji istotnie dotrzyma potem danego słowa, bo przecież armje japońskie nigdy nie wejdą do Europy. Dlaczego więc teraz piłsudczycy wysadzają syberyjskie linje kolei zimnazowej i szkodzą przemysłowi irkuckiemu?

- Żeby złamać rokowania pokojowe Rosji z Japonją.

- No właśnie, logika tej polityki jest niepodważalna. Mój Boże, myśli pan, że w tysiąc dziewięćset dwunastym znalazłby pan tu jakiego Polaka, co nie modlił się za sukces tych powstań i rewolucyj i upadek samodzierżawia? No, może jacyś lojaliści fanatyczni. Ale

większość, ale my, ja, tacy jak ja, nieważne, czy mniej, czy bardziej majątni - o, rękę bym sobie dał uciąć! - Aż obrócił wąski nóż i na moment przycisnął ostrze tęczowe do nadgarstka. - Tylko że Historia, panie Benedykcie, skoro tak lubi pan mówić o Historji, otóż Historia nie prezentuje nam takich wyborów: poświęć to a to, dostaniesz ojczyznę w nagrodę. To jest właśnie trudność największa. Ilu z nich chwytają za karabin, bo walka zbrojna daje najlepszą szansę na sukces, a ilu - bo nie potrafią sobie wyobrazić innego zwycięstwa, jak Polski wywalczenie?

- Podobnie mówił właśnie Pociągło. Pieniądz zamiast karabinu.

- Czy ja słyszę wyrzut? - zaśmiał się Wojsław dobrodusznie. - Słyszę wyrzut!

- Nie, skądże, ja przecież nikogo nie namawiam -

- Nie namawia! Ale ma pan za złe! - Pan Wielicki podrapał się nożem w brodę. - Był pan w Ameryce? Nie, nie był pan. Popłynąłem tam kilka lat temu na zaproszenie współników, do Stanów Zjednoczonych, do San Francisco. Niech pan spojrzy z naszej perspektywy na ich historję. Ludzie z rozmaitych narodów, spod rozmaitych państwowych zwierzchności, albo faktycznie też wyzwani z własnego rządu, albo nie mogący sobie znaleźć miejsca w kraju urodzenia - osiedlają się na ziemi nowej, tworzą państwo nowe, nową ojczyznę teraz mają. Czy więc odnieśli zwycięstwo, czy przegrali? Czy „wywalczyli” niepodległość, czy na odwrót: wyrzekli się jej? Patriotami są czy zdrajcami?

- A nie to właśnie pisze „Nowaja Sibir”? Mówi pan jak abłąstnicy, panie Wojsławie. Zabrali nam Polskę, to stwórzmy - wykupmy - Stany Zjednoczone Syberji!

- Nie. Pociągło nie różni się tu wiele od Piłsudskiego, tylko że Piłsudski staje za kraj, który już nie istnieje, a pan Porfiry - za kraj, który jeszcze nie istnieje. Ja zaś próbuję panu powiedzieć coś innego, mhm, spróbuję raz jeszcze. Popatrz pan. Ci, co walczą o Polskę, o co walczą? O nazwę, geografję, język i pieniądz polski - czy o coś, czemu tamte rzeczy służą, dla czego są środkiem, symbolem, o dobro wyższe? A? Co w takim razie winien uczynić człowiek rozumny, rozpoznawszy, iż w danych okolicznościach inny środek jest po temu skutecznym, tamten zaś, stary - zgoła szkodliwym?

Nie mogło się oderwać wzroku od brylantu w pierścieniu pana Wojsława, kamień wychwytywał światło lampy naftowej, błyskał ostremi refleksami ■w pomieszczeniu pełnym miękkich półblasków i półcieni.

- Khm, ale cóż jest owo dobro wyższe?

Uchyliły się drzwi, do gabinetu wstąpiła pani Halina.

- Przepraszam. Kochanie, mógłbyś zajrzeć do maleństw, Michasia nie chce zasnąć, naprzykrza się Maszy.

Pan Wojsław poderwał cielsko zza biurka.

- Już, już, *mon coeur*, zagadałem się z panem Benedyktem, pan mi wybacz, już, już.

Brylant złapał ostatnie światło, gdy pan Wojsław cofał dłoń z framugi; zaraz zagasło w cieniu korytarza, gdzie zniknął cały Wielicki, jego broda, jego srok mocny i jego głos.

A historia pierścienia z brylantem pana Wojsława była taka:

Wygrany w karty od Katarzyny II przez liejtienanta jej lejbgwardji, prze szedł drogą niejasnych sukcesyj w ręce Gustava Ojdeenka, amsterdamskiego jubilera, który w roku 1914 otworzył swój Dom Djamentów w Irkucku; pochodził zaś ów brylant z kolekcji Wielkich Mogołów, zagrabionej w roku 1739 przez szacha Nadira ze skarbca Delhi. Gustav Ojdeenk nosił go na palcu jako swoistą reklamę i znak firmowy. Geologowie wyprawieni w Roku Lutych nad Podkamienną Tunguzką, zbierając tungetyt i szukając naturalnych złóż rud pod Lodem, trafili między innymi na złoża grafitu (który nie był już grafitem) oraz djamentów (które nadal były djamentami). I skoro przekonał się, że djamenty występują nie tylko na Uralu, zaczęto ich tu szukać na równi z tungetytem. Wojsław Wielicki, podówczas zarządzający dla ojca składem bławatnym i bez rychłych widoków na własny interes, zawierzył zasłyszczanym u znajomych myśliwych podaniom Jakutów o bogactwie djamentów zalegającym u źródeł rzeki Wiluj i, zapożyczwszy się ryzykownie, sfinansował ekspedycję, najmując litewskiego geologa z doświadczeniem afrykańskim. Ekspedycja powróciła po blisko pół roku z próbkami dwu-, trzykaratowych djamentów i mapami potencjalnych złóż. Wojsław udał się z tym prosto do Gustava Ojdeenka, któremu zaproponował sprzedaż map i wiedzy swego geologa za udziały w spółce djamentowej, jako że sam nie miał już żadnych żywych funduszy, długi jeno. Po skomplikowanych negocjacjach, kiedy to nie szczędzono na wódce i kawiorze, panowie doszli do umowy, które jeden z bardziej oryginalnych punktów głosił, iż jeśli rzeczona spółka w ciągu trzech pierwszych lat swej działalności odkryje kamień choć połowy wielkości brylantu zdobiącego palec *mijnheer* Ojdeenka, brylant ten przejdzie na własność pana Wielickiego.

Cztery lata później Wojsław Wielicki zbył za sześciocyfrową sumę resztę udziałów w firmie Wilujskie Djamenty, aby uruchomić swą hurtownię rud lodowych.

Zagadka: czy mogło mu się być nie powieść? W którym momencie za marzył pan Wielicki: bogacz rubaszny, grubas brylantowy, głowa szczęśliwe rodziny?

Szukało się fałszu w tej normalności życia rodzinnego Wielickich, fałszu między Wojsławem i Haliną, między Haliną i jej świekrą, między Haliną; i szwagierką, kłamstwa gdzieś pomiędzy nich wklutego. Nie potrafiło się ni czego podobnego dojrzeć. Wszystkie rodziny nieszczęśliwe są do siebie podobne; każda rodzina szczęśliwa jest inna, bo tak niezwykła w swym szczęściu. Zwłaszcza dla patrzącego z zewnątrz. Ziejcow rozczuliłby się tu rzewnie. Się przyglądało się im z cierpliwością. Spytać ich o szczęście, powiedzą to, co wszyscy: och, ile kłopotów, ile trosk, dzieci wciąż na coś chorują, przechodzą co dzień z mrozu w powietrze nagrzane i z powrotem, Wojsław tak rzadki w domu bywa, zapracowany od świtu do zmierzchu, tem bardziej teraz, gdy tyle chłodnic i zakładów stanęło, a on zamartwia się tylko, jak dostawy surowca cennego wznowić, a tu jeszcze ciągły niepokój o tę wojnę japońską i pogłoski o Białej Zarazie... Widziało się, że są szczęśliwi, że to jest szczęście. Konremplowało się te obrazy w niemem zdumieniu.

Czy Wieliccy byli jakimiś wyjątkowymi ludźmi, a przynajmniej ludźmi dobrymi? Gdzie tam! O starej pani Wielickiej, na ten przykład, mało kto rzekłby inaczej niż „chciwa jędza”. Potrafiła przez pół wieczora rozważać głośno zdrowie najbliższej rodziny, licząc spodziewane spadki wedle kolejności zgonów i dziedziczenia, a czemu nie umrą prędzej, a wuj Gródkiewicz i tak już przecie tylko śpi i pije i śpi, a kuzyn Huśba dwa razy z gangreny cudem się wykaraskał, nie mógłby Pan Bóg szybciej ich wziąć do siebie, no nie będzie jeden z drugim żył do końca życia...!

Szczęście nie pochodziło więc z ich cech osobistych. Nie zależało od poszczególnych elementów, lecz od samego kształtu, w jakim się one ułożyły, to jest od rodziny. Czyż ludzie źli nie mogą być szczęśliwi? Mogą. Szczęście przeżywane w życiu ziemskim nie ma nic wspólnego z dobrem i złem w tym życiu czynionem. Gdyby zgodnie z filozofją księcia Błuckiego świat był zbudowany w ten sposób, że człowiek w nagrodę za dobre uczynki otrzymuje szczęście już w królestwie ciała, ludzie stosowaliby się do Dziesięciu Przykazań, jak dobrze wytresowany pies stosuje się do rozkazów pana - też zaraz otrzymując nagrodę za posłuszeństwo. Kiedy czynić dobro jest słusznie, zyskownie i praktycznie, zło staje się oznaką szlachectwa duszy.

Obserwowało się więc Wielickich z chłodną fascynacją, trochę podobną fascynacji dziecka podglądającego życie mrówek albo sklerotycznego tetryka patrzącego bez

zrozumienia na chaotyczne gry dziełek.

Dopiero gdy stara Wielicka, zatchnąwszy się na moment po długim słowotoku, zapytała z troską, czemuż to pan Benedykt nie się nie odzywa, czemu tak siedzi i milczy, czy naprawdę dobrze się już czuje, może bańki jeszcze trzeba postawić - dopiero się spostrzegło, że istotnie przez cały wieczór w towarzystwie się nie odezwało się ni słowem. Czyżby kompleks *Herr Blutfelda*? Po co mówić, wszystko banał; zanim człowiek otworzy usta, już wstydzi się oczywistości, jakie ma wyrzec. Ale nie, nie o to szło. Zmiana była większa, nie dotyczyła jedynie gadatliwości i milkliwości. To prawda, że choroba polaryzuje charaktery. Nie była to może maligna tak ciężka, nie tak długa (choć gdyby nie opieka Wielickich, i śmiercią mogła się skończyć), niemniej wyszło się z niej odrobinę bardziej cichym, bardziej spokojnym, powolnym w słowach i gestach, trochę starszym. Widziało się to teraz. Jakby wraz z siódmymi potami, z czarną gorączką wyciągniętą na skórę pod bańkami - wypociło się też truciznę gorączki duchowej, tego wewnętrznego rozchwierutania między Benedyktem Gierosławskim a Benedyktem Gierosławskim, które podczas podróży Ekspresem Transsyberyjskim skazywało na kolejne gry fałszywe, kompromitacje i samopalenia we wstydzie. Odeszła więc fewra; się ochłodziło się. Bo może po prostu się adaptowało się powoli do środowiska, to znaczy zadomawiało się w Kraju Lodu: wyrównywało się poziomy ćmieczy z zewnę - trzem, czyli nabiegało się tą ćmieczą jak bibuła w inkauscie zanurzona - nie na godzin kilkanaście po szybkim strzale z maszyny teslektrycznej, po iniekcji ze słoja kryształów solnych, lecz trwale, głęboko, do samego rdzenia człowieczej natury. Po czym poznać lutowczyka, po migotliwej oćmiacie jeno? Słusznie rzekło się doktorowi Konieszynowi: nie opiszesz prawdy innej ziemi językiem ziemi starej. Trzeba wykręcać słowa, wyłamywać myśli z mózgow. Ot, co ksiądz Rózga wołał na kazaniu. Niektórzy lutowczycy najstarsi, zapewne ci słabszego rozumu lub słabszej woli, zapadają na rodzaj chronicznego *déjà vu*: żyją według własnych snów, według symboli odczytywanych co dzień ze świata, ponieważ wszystko jest dla nich wróżbą i znakiem konieczności. Pomiedzy prawdą i fałszem nie pozostało im miejsce nawet na rzut monetą. Chińscy medycy, szarlatani tybetańscy i lamowie przyrządzają i sprzedają zioła niszczące jeszcze przed przebudzeniem pamięć snu; pije się je profilaktycznie, bo sonnyje raby oczywiście pić ich już nie chcą. Wszelkie sortilegja - karty, kości, hafty mrozu, tropy zwierząt na śniegu - stanowią silniejszy lub słabszy znak konieczności. Nie mają więc wielkiego sensu gry na nich oparte; w Kraju Lutyh nikt nigdy nie wyrzucił pięciu szóstek i nie dostał z ręki pokera. Jeśli dobrze opowiada rzeczywistość wiedza medyczna, jakiej profesorowie warszawscy uczyli Zygę, i mózg *Homo*

*sapiens* naprawdę jest takim bębniem na pół losowych spięć elektrycznych, w którym myśli nasze obracają się i przez elektryczne minipioruny się ze sobą łączą - to nic w tym dziwnego, że w krainach Lodu podli pozostają podłymi, odważni odważnymi, gadatliwi gadatliwymi, a także iż nikt się nie staje bardziej mądrym, niż był, i, jak mówił Nikola Tesla, nie da się tu wymyślić niczego nowego, nie sposób w cieniu lutyh wpaść na myśl rewolucyjną. Jak się kreśli mapy izotermiczne i izobaryczne, łącząc izolinjami punkty równego ciepła, równego ciśnienia, tak wykreślić można mapę izoaltheiczną, na której ujrzymy schodzące szerokimi tarasami od szczytu nad Podkamienną Tunguzką fronty nieludzkiego wyżu ćmieczy, pewnie zresztą w dużym stopniu pokrywające się z frontami termicznymi; i tak jak człowiek zanurzony w lodowatej wodzie sam w końcu przemarznie, osiągając temperaturę wody, tak człowiek żyjący pod rekordowym ciśnieniem ćmieczy - przesiąka nią, wchłania ją, asymiluje. Nie ma w tym niczego niezwykłego; w każdych dwóch złączonych naczyniach wyrównują się wysokości luster wody. To fizyka. Tylko jej przedmiot nowy: ta siła czarna, ćmietlana, ta elektryka jedynoprawdy i jedynofalszu. Rychło powstaną instytuty, katedry i uniwersytety czarnej fizyki, spisze się jej prawa, skreśli równania. One każą podzielić czas ekspozycji przez masę ciała i parametr aletheiczny - odczyta się z tabeli dzień i godzinę i minutę, gdy wyszła z duszy gorączka. To matematyka.

...Bo czy się chciało się zmienić? Czy była w ogóle myśl taka: mniej mówić, mniej robić, mniej być - ażeby być bardziej? Nawet się o zmianie nie wiedziało, dopóki inni nie wskazali jej palcami. Nie miało się więc intencji zmiany i nie znało się jej znaczenia. Ale skoro już zaszała, nie miało się też zamiaru ją odwracać. Takim się zamarzyło.

Rzecz jasna, przy każdej okazji wypytywali o Warszawę: co słyhać w Starym Kraju, jakie nowinki z Europy, jak się żyje, co się nosi, co się mówi, jak się myśli. Wówczas poczuło się ową pokusę, o której tyle mówiła była panna Jeletia: żeby skonfabulować, żeby opowiedzieć jakieś historie fantastyczne, anegdoty zmyślone - nie dla korzyści własnej, nie dla celu żadnego; ale ponieważ można i ponieważ oni uwierzą. Kłamstwo kusilo. W prawdzie nie ma żadnej twórczości, mówić prawdę to odtwarzać, kopiować, powtarzać po świecie - co za satysfakcja z relacji bezrozumnej, gazetowej? Ot, mówi się. Ale - skłamać...! Skłamać, znaczy dodać coś od siebie, wbudować w ich obraz świata twory własnego umysłu, powołać do życia ludzi, przedmioty, zdarzenia nieistniejące. Och, jak doskonale się rozumiało pannę Muklanowiczównę...!

I już otwierając usta do odpowiedzi na pytanie panny Marty - a w głowie tuzin fikcyj warszawskich - wspomniało się pierwszy dzień w Ekspresie Transsyberyjskim i ową łatwość

zwodniczą, z jaką kłamstwo, choćby najmniejsze, choćby nie ze słowa, lecz z milczenia zrodzone, oplątuje, opanowuje człowieka i bierze nad nim rząd, aż to, co nie istnieje, staje się silniejsze od tego, co istnieje, i żadnej prawdy nie można już wypowiedzieć, bo nie pozostało z człowieka nic pewnego, stałego, co dałoby się w słowach języka międzyludzkiego wiernie odtworzyć.

- Ach, panno Marto - westchnęło się przeciągle - już miałem pannie zełgać brzydko. Panna mi nie wierzy, nie opowiem prawdy, jeno sny moje o Warszawie. Ma panna chęć na bajki?

Z radością natomiast opowiadało się bajki dzieciom, one chłonęły kłamstwa fantastyczne z otwartymi buziami; im bardziej fantastyczne i przerażające, tym mocniejsze wypieki na puciołowatych policzkach. W tym znalazło się pociechę nieoczekiwaną - bo kto by przypuszczał: bajarz...! Domagały się potem owych baśni niesamowitych, siadywały wokół na podłodze, Michasia wspinała się na kolana, zresztą zasypiała tak czasami, szczególnie, jeśli siedziało się w salonie przed kominkiem z cicho buzującym ogniem, gdy za oknami huczy zawieja zimowa; dziewczynka tak zasypiała powoli, a chłopcy targali za nogawki - jeszcze, jeszcze, co dalej. Kłamstwa niewinne, kłamstwa oczywiste płynęły swobodnym strumieniem: o doktorach-rakostworach, chodzących tyłem, mówiących od tyłu i żyjących wstecz, którzy potrafią odczynić każdą chorobę i odwrócić każde nieszczęście, nikt ich jednak nie zdoła pochwycić i do tego przymusić, bo jak spętać kogoś, kto cofa się przez całe życie chwili w chwilę; o duchach kozaków wysadzonych w powietrze na ulicach Warszawy, wędrujących teraz na widmowych koniach w nocnych śnieżycach, i tak ich tylko można dojrzeć, tak usłyszeć, na Powiślu, na Woli, na Pradze świst nahajek w świcie wiatru, sylwety czarne na ciemnym tle nocy, strzał karabinowy o północy; o Kopciuszku lodowym, sierotce żydowskiej, co zamarzła na śmierć wyrzucona z domu przez krewnych, aż przeszedł po Nalewkach luty i wmroził się pod ziemię razem z dziewczynką, i teraz pojawia się ona, zamknięta w lodzie, zawsze gdy po zaułkach miasta dziecko jakieś zagubione nocą się błąka - zmrożynka wyciąga wtenczas ku niemu sople srebrne, otwiera kolebkę-bałwana i woła trzeszczeniem lodu: pódź-pódź-pódź; o matematykach podziemnych, liczących od dołu geologiczne horoskopy ludzi żyjących ponad nimi, tak jak my odczytujemy horoskopy z gwiazd - oni zaś liczą przeznaczenie z naszych stąpień, wykreślają konstelacje fundamentów miejskich, gwiazdozbiory czarne, a każdy grób to dla nich gwiazda jasna, a każda krew w ziemię wsiąkająca to mgławica świecąca - i jak uciekając przez lochy Cytadeli dzielny bojowiec zszedł w domenę geomatematyków, i nauczył się od nich obliczać przyszłość, i

wyliczył dni śmierci swoich wrogów, i wyliczył losy swoich przyjaciół i rodziny, i wystąpił z grobu, ażeby zażegnać nieszczęścia nieuchronne, a każdy jego matematycznie pewny krok na ziemi zmieniał geometrię podziemnych wróżb...

Czy czar jaki rzucili, urok mesmeryczny dziwny - że zapomniało się natenczas o wszystkich koniecznościach świata zewnętrznego, jak gdyby w istocie świat poza mieszkaniem przy Cwietistej siedemnaście nie istniał, nawet to, co widziało się z niego przez marostieklowe szyby, było jedynie zwodniczną iluzją pomieszanych barw, obrazem kolejnej bajki przerażającej, może przyśnionym, może przypomnianym z dziecinnych wyobrażeń. Tu - ciepło, cisza, tykot zegarów szafowych, stłumione głosy służby za ścianami, czasami tupot nóżek drobnych i śmiechy piskliwe, czasami skrzekliwa opera z patefonu, zapachy nafty, ciast pieczonych i herbaty parzonej; a tam - wycie wichru, biel wielobarwna, fantastyczne krajobrazy miejskiego lodu, podniebne tęcze ażurowego mostu nad rzeką kry zestalonej, wieże obłe krjofortecy na wyspie omrożonej w tej rzece, karawany świetlików przesuwające się w falującej wszystkimi kolorami marostiekla mgle, maszty z trupami ponad mgłą wystające, i jeszcze wyżej ponad mgłą - prosta jak szubienica karykatura wieży Eiffla przykryta chmurą wiecznej ciemności; i wyłaniające się z tej mgły, niczym płetwy rekinie z fał morskich - stalagmitowe grzbiety lutyh. Stawało się tak przy oknie, z rękoma za plecami, prawie dotykając szyby, że oddech ciepły zaparowywał ją lekko, stawało się tak i patrzyło się na białobarwną panoramę Miasta Lodu. Tu - dom; tam - straszna baśń rosyjska. Albowiem przekroczyło się było magiczną linję, weszło się do ochronnego kręgu, gdzie nie mieli wstępu marcynowcy, agienci petersburscy, terroryści i rządcy Historji. Oni pozostali na zewnątrz. Tutaj, w domu nie byli prawdziwi. Nie miało się czego bać. W domu nawet serce bije wolniej, do taktu z tyknięciami starych chronometrów, ze skrzypnięciami parkietu pod nogami dziadka węglowego. Dłonie, w które wtulają się paluszki dziecięce, zapominają kształt pięści, odmarzają od kolby rewolwerowej; język konwersacyj podwieczorkowych nie wypowie grozy brutalnego mord. Grzeczność przy stole i uśmiech ciepły zbawia ludzkość od wojen i zbrodni największych.

Się wdrażało się w normalność szczęśliwego stadła przez samo przebywanie pod tym dachem. Jeden tydzień, jeszcze w chorobie, ale drugi, trzeci - już jadając przy ich stole, już żyjąc między nimi, uczestnicząc w ich radościach i troskach, nawet jeśli zaledwie na prawach gościa. Lecz zmiany największe zachodziły w momentach wymykających się opisowi przez język drugiego rodzaju, gdy właściwie nic się nie dzieje, nikt nic nie mówi, ot, siedzi się czwartkowym wieczorem przy stole w bawialni, grzebiąc łyżeczką w chłodniku serowym,



pan Wojsław obok przegląda zaległe gazety, też w milczeniu, kot śpi na kufrze pod oknem, stara pani Wielicka w fotelu pod zielonym landszaftem kima nad modlitewnikiem, migoczą lampy elektryczne, tyka zegar, nic się nie mówi, nic się nie robi, a przecież czuje się, jak się z każdą sekundą zamarza w tej rodzinie - prawda i oczywistość i konieczność Benedykta Gierosiawskiego - gdy bawiło się machinalnie na talerzyku resztkami chłodnika.

Przybiegł Maciuś.

- Potrafię dotknąć językiem nosa!

- E-e, niemożliwe.

- O! Pan zobaczy! O!

I stanąwszy dumnie z głową uniesioną, napręży się setnie, mało pot na czole nie wykropiłszy, byle sięgnąć języczkiem wyciągniętym czubka nosa.

- Rzeczywiście!

- Widział pan? Potrafię!

- A językiem do ucha? Albo uchem do nosa?

- Aaa, jak...?

- Co, potrafisz?

Aż się zmarszczył w wielkim wysiłku umysłowym, próbując sobie zobrazować te ekscesy anatomiczne, a to zamyślenie dziwne rzeczy wyczyniało z jego buzią piegowatą, bo ani na moment nie przestały się poruszać język wysunięty, nosek zadarty i ściągnięte brwi; widać bardzo poważnie podchodził do swojej kariery atlety mimicznego.

- E-e, niemożliwe - osądził wreszcie.

- A jak zrobię - to co wygram?

- Nie zrobi pan!

- A jak zrobię?

Spojrzał podejrzliwie.

- Nosem do ucha?

- Nosem do ucha.

- Mhm.

- Chodź-no tu. No, bliżej. Bliżej. - Nachyliwszy się jeszcze, dotknęło się nosem jego ucha. - Proszę.

Maciuś się obraził.

- Taaato, pan Benedykt oszukuje!

Pan Wielicki chichotał za stołem, przecierając binokle łątką zamszową.

- Pierwsza rzecz, panie Macieju - rzekł wreszcie, podkreśliwszy węża - co się będzie pan musiał nauczyć w interesach: zawsze dogadać warunków umowy.

- Ja nie będę robił interesów - ogłosił Maciuś. - Ja będę latał ałeroplamami!

- Czym?

Służąca poprosiła do drzwi pana Wielickiego; wyszedł, nadal chichocząc.

- Ałeroplamami, frrrrr! - warkotał Maciuś, biegając w kółko po pokoju z wyciągniętymi na boki rączkami, aż mu się od tego zakręciło w głowie i klapnął na pupę w kącie pod żardinierką. - Frrr, frrr! Brrr, frrr! - Wystawił język, dotknął nim nosa, podbródka, nosa, jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie i zległ jak długi. Otworzywszy oczy, zajrzał pod spód żardinierki. - O, robaczek! A jak on tak wisi do góry nogami, to czy jemu się nie robi niedobrze? A jakby wsadzić robaczka do ałeroplama -

Wrócił Wielicki. Spostrzegło się, że minę ma już zupełnie inną, spoważniałą.

- Kto to był?

Pan Wojsław wyciągnął brylantową rękę z pismem jakimś oficjalnym, wpółłożonem.

- Goniec z Ministerjum Zimy, musiałem podpisać. To do pana, panie Benedyckie. Masz pan się u nich stawić jutro o dziesiątej.

### **O ministerjalnych mamutach i kartografji Podziemnego Świata**

Delegatura Ministerjum Zimy mieściła się w gmachu irkuckiej Komory Celnej, opodal Sroczego Bazaru, naprzeciw Wschodniosyberyjskiego Oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, który przeniósł się tu z drugiego końca ulicy Głównej, znad Angary, gdzie po Wielkim Pożarze miejsce Sibiriakowskiego Dworca generał-gubernatora zajęła podobna topornie ściosanemu głazowi Cytadela, rozparta szeroko na sąsiednie parcele.

Gdyby nie mgła i masyw Soboru Chrystusa Zbawiciela, wieże Cytadeli widać byłoby i z Bazaru.

Przecznice od Komory wisały między dachami dwa lute, trzeci wymrażał się spod trotuaru. Od ciężkiego, powolnego rytmu wielkich bębnow głażatajowych drżały marostieklowe szyby w buchalterjach celnych i kancelarjach ministerjalnych. Woźny w wyłupiastych okularach, w których biel przelewała się z błękitem, stał przed bramą ze wzniesioną ponad głowę lampą, machając nią wte i wewte i zawracając sanie mijające Komorę; dojeżdżając, ujrzało się we mgle wpierw owo światło krążące po półluku, potem dopiero wyłoniły się z szarobarwnej zawiesiny kolumnady, gzymsy, wieżyczki i dachy spadziste sześciokondygnacyjnego budynku. Zwyczajem architektury Lodu kondygnację dolną zaprojektowano bardzo wysoką, bodaj na dziesięć arszynów - wjechało się w bramę jak we wrota zamczyska średniowiecznego. Na dziedzińcu było tłoczno od sani i koni i reniferów, był także jeden zaprzęg psi; tylko niedźwiedzia na łańcuchu brakowało.

Tłok i ruch nie dziwiły, Komora Celna po przeprowadzce z Kiachty do Irkucka ściągała tu cło z całości towarów dalekowschodnich wędrujących dalej na zachód, czyli z większej części wszystkiego, co przechodziło przez porty we Władywostoku i Nikołajewsku Amurskim: z wełny i bawełny z Anglii, mąki, maszyn i broni z San Francisco, mebli, cukru, wina i produktów przemysłowych z Niemiec, z herbaty z Chin. Samej herbaty szło rocznie za czterdzieści milionów rubli (dopóki nie wybuchła wojna). Zwolnione z cła były towary przeznaczone na rynek syberyjski, w szczególności żywność - co tylko otwierało nowe drogi do przekrętw i potęgowało biurokrację. Celnicy zajmowali cztery kondygnacje obszernego gmachu; irkucka delegatura Ministerjum Zimy mieściła się w dwóch piętrach najwyższych.

Była godzina dziewiąta i minut pięćdziesiąt, gdy stanęło się na zabłoconej posadzce holu. Na skórach rozłożonych w kącie przy drzwiach siedział stary Burjat z bliznami zamiast oczu, gapił się przed się z uśmiechem; obok wartowało dwóch kozaków w marostieklowych goglach, szarość z ich płaszczów przelewała się na ściany, z których spływała na ludzkie twarze wapniowa biel. Zdjęło się tęczowe okulary. Burjat spojrzął, uśmiechnął się szerzej. Na przeciwległej ścianie wisały stare plakaty wojenne, na których karykatury rosyjskich sałdatów i marynarzy (chłopy wąsate o licach jasnopszennych i mięśniach jak bochny, kipiących spod pasiastych koszulin) wdeptywały w ziemię i spychały do morza karykatury japońskich sałdatów i marynarzy (trzykroć mniejsze, szczurowate stworzonka o oczkach niczym przecinki). Wieliccy opowiadali, jak to w szczycie działań wojennych cały Irkuck oblepiony był plakatami ostrzegającymi przed japońskimi szpiegami; przez chińską dzielnicę

nieustannie chodziły patrole rewidujące, sprawdzające dokumenty, szukające żółtków między żółtkami. Przed pierwszą wojną z Rosją Cesarstwo Japoni załaziło Syberję masą emigrantów, znajdujących tu pracę jako lokaje i guwernantki w bogatych domach, jako szewcy, krawcy, kucharze, fryzjerzy, także prostytutki w przybytkach uciechy. Z wybuchem wojny wszyscy oni zniknęli, zebrałszy Bóg wie jakie informacje. Cesarstwo planowało na lata, lata naprzód, bardzo w tym podobne Imperjum Rosyjskiemu. Słynna była historia dzielnego oficera japońskiego, który wybrał się na samotną wyprawę konną z Władywostoku do Peterburga: ujęci heroizmem wyczynu Rosjanie gościli go na całej trasie z honorami, nie kryjąc żadnych sekretów kraju - potem dopiero wyprawa ta okazała się jedną z najbardziej zuchwałych i owocnych operacji szpiegowskich. Należy więc mieć się na baczności. Żółtyje szpiony padkarauliwajut wszudu!

Weszło się na schody, postukując zwawo laseczką. Gmach - jak większość reprezentacyjnych budynków Irkucka - wzniesiono z marmuru bajkalskiego, grubokrystalicznej odmiany w barwach białej, różowej i błękitnej. W niszy na półpiętrze stał posąg Piotra Wielkiego wymrożony w lodowym piaskowcu, kamień parował w chłodnym powietrzu, jakby właśnie obłany wrzątkiem. Są takie rudy przelodzone, takie materje pomroźne, mówił pan Wojsław, które odwracają przebiegi ciepła, jako i sam tungetyt je przekręca: weźmiesz młotek, uderzysz w żelazo - żelazo rozgrzejesz; ale walniesz młotkiem w tungetyt - tungetyt wychłodzi. Podobnie bywa z niektórymi zimnazami. Pokazało się mu wtedy Arcymistrza i czarne naboje do niego. Wojsław pogładził brodę. Czy mogę panu coś doradzić, panie Benedykcie? Ależ na radę właśnie od początku liczyłem, nic więcej.

Wspinając się na piąte piętro, w rozpiętym już kozuchu, obracało się w głowie rwane wspomnienia z konferencji nocnej w gabinecie pana Wielickiego; zaraz bowiem, gdy przyszło wezwanie z Ministerjum, Wielicki posłał po mecenasa Kuźmieńcewa. Pan Wojsław zapewnił, że ma do Kuźmieńcewa zaufanie zupełne, tak w interesach, jak i w sprawach prywatnych. Kuźmieńcew - przez znajomych w palestrze i dumie irkuckiej oraz wśród radców Sibirchożeta - miał wgląd w najwyższą politykę syberyjską. Bywał zresztą nieraz u generał-gubernatora Szulca-Zimowego, który cenił sobie jego wiedzę w kwestjach międzynarodowych - Kuźmieńcew w młodości podróżował po Europie, po Indjach i Antypodach, odwiedził nawet otwarte miasta chińskie. Teraz był już stary, miał siwą brodę nie mniej imponującą od Wojsławowej i grzywę włosów barwy mąki z pieprzem. Na ulicy towarzyszył mu zawsze krzepki służący, podtrzymujący go, by starzec nie przewrócił się na śliskim lodzie, po parkietach pan mecenas poruszał się jednak z kostywną energią.

- Wzięliście od nich pieniądze - rzekł, usadowiwszy się przy piecu. Gruba poćmiata położyła się na oparciu fotela, na miejscu cienia i cieniowi wbrew. - Tysiąc rubli, tak? Podpisaliście kwit, tak? I zobowiązanie jakieś też, tak? Macie ze sobą ten papier?

- Nie dali mi.

- A według waszej wiedzy, Wieniedikt Filipowicz - do czego żeście się zobowiązali?

- Mam porozmawiać z ojcem.

- Porozmawiać?

- Porozmawiać.

- Jego ojciec - włączył się pan Wielicki, który przez cały czas dreptał, zaaferowany, od jednego okna czarnego do drugiego okna czarnego - jest figura znaczna, w każdym razie dla tych, co wierzą w wyższe sensy Lodu, pan opowie, panie Benedyckie. Opowiedziało się.

- Pytacie więc - Kuźmieńcew zażył tabaki i kichnął, aż w gabinecie pociemniało - raz, czyje to słowo w Ministerjum Zimy was tu sprowadziło, dwa, jakie są owej figury zamiary względem was i fatra waszego, trzy, czy wierzą oni tu w Bierdiajewa, czy wierzy ów decydent, cztery, jak to się ma do polityki ottepelnickiej i planów doktora Tesli - tak? tak?

- I pięć, Modest Pawłowicz: czy mogę -

- ...się z tego teraz wypisać, tak.

- Bo jeśli -

- Ze strony liedniaków.

- Co więcej -

- Sibirchożeta przeciwko Tesli.

- Albo Pobiedonoscew, albo Rappacki. Nie można -

- ...Historji -

- ...lutych -

- ...jeśli się je roztopi. Tak.

Zażył ponownie tabaki tungetytowej i rzekł ponuro:

- Gardłowa sprawa.

Przytaknęło się niemo. Pytania zostały wypowiedziane; pozostały tylko oczywistości.

Ćmiecz pulsowała w cieniach miękkich od lampy naftowej, w opuchliźnie nocnej za plecami pana Wojsława. Stało się tam minut parę w milczeniu równym ich milczeniu - tak, nie, tak, nie, *Herr* Blutfeld urodzony w Kraju Lutych do śmierci nie wyrzekłby ani słowa.

Na odchodnym mecenas Kuźmieńcew obiecał czem prędzej wywieść się, co i jak, a tymczasem radził usilnie, aby niczego nowego Zimie nie przyrzekać, a już na pewno nie podpisywać, i w ogóle jak najmniej tam mówić, tylko uszy nastawić i oczy mieć szeroko otwarte. Dyrektorem generalnym jest Zygfryd Ingmarowicz Ormuta, ale on od miesiący żyje we śnie; zarządzają wszystkim czynownicy, raz ten bierze górę, raz tamten. Jakby co - oto moja karta.

Rzecz najpierwsza, pomyślało się, wchodząc do izby petentów delegatury Zimy, to pieniądze. Czynownik spytał o miano. Benedykt Filipowicz Gierosławski. Sprawdził w księdze. Ujawszy laskę pod pachę, przełożyło się dyskretnie plik tysiącrublowy z bumażnika do kieszeni marynarki. Czynownik wypisał propusk. Piętro wyżej, lewy korytarz, do końca i pytać o komisarza pełnomocnego Szembucha. Ledwo jednak się odwróciło się do drzwi, on poderwał się zza biurka i zniknął w tylnym wyjściu. Oho.

Szembuch miał inne spotkanie; sekretarz, wymuskany grubas o tatarskich rysach i mdłych świeceniach rozciągających się pod podbródkami niczym białe śliniaczki, kazał spocząć na ławie pod ścianą. Zdjęło się kozuch. Z korytarza dochodziły odgłosy gniewnej rozmowy po rosyjsku, burjacku i chińsku Sekretarz po jakimś czasie wyszedł, pozostawiając drzwi uchylone.

Na nagim tynku po lewej wisiał portret Mikołaja II, przekrzywiony. Podeszło się, poprawiło go do pionu. Mongoł w płaszczu skórzanym, obwinięty szalem jak węzem boa, przestąpił próg i stanął niepewnie, miętosząc w dłoniach papiery; pod pachą miał białą czaszkę psa lub wilka. Rzekł coś w swoim młemłowatym języku. Odpowiedziało się, że sekretarz wyszedł. Mongoł wskazał drzwi za pustym biurkiem. Odpowiedziało się, że jest na spotkaniu. Mongoł zamrugał, kichnął i poszedł sobie; pozostał po nim smród tłuszczów zwierzęcych. Naprostowawszy portret cara, rękawem starło się z niego kurz. Car spoglądał z wyrzutem na ścianę naprzeciwko, gdzie wisiał portret ministra Rappackiego, przekrzywiony w drugą stronę.

W porównaniu z warszawskimi biurami Zimy, wnętrza jej siedziby irkuckiej nie bardzo były reprezentacyjne. Dostrzegło się po drodze sterty papierzysk pod ścianami, na posadzkach - smugi brudu, pod wysokim sufitem - nacieki; nawet pęknięcia tynku i dziury w stiukach. Co

chwila też ktoś przecinał głosem podniesionym urzędową ciszę, jak ci kłótnicy z korytarza. Z dziedzińca docierały stłumione poszczekiwania psów. Błrumm, błrummm, głaszataje walili w bębny we mgle, dźwięczały szyby. Niebo za oknem wylewało swój błękit na ośnieżone dachy Irkucka. Wszedł chudzielec w marostieklowym *pince-nez*.

- Gaspadin Gierosławski! - Wyciągnął ręce. - Prosimy, prosimy!

Złapał za ramię i pociągnął przez boczne drzwi, przez przedsionek biura, skąd dochodził klekot liczydeł i skrzypienie parkietów, oraz przez pusty sekretarjat, do gabinetu z wysokimi oknami wychodzącymi ponad ulicą Główną na podwójny masyw Soboru Chrystusa Zbawiciela. Czerń matowa z jego potężnych kopuł bizantyjskich spływała na rzeki mgły płynące między budynkami; spojrzeć tak dłużej i widziało się miasto zatopione w smole piekielnej.

Chudy był w świeżo odprasowanym mundurze urzędniczym z odznaczeniami, jasne włosy czesał z napoleońską grzywką. Kiedy zdjął binokle, pokazało się, że ma młode, żywe oczy - nie mógł być o wiele starszy. Przypominał się Ormianin z „Czarciej Ręki”, było coś takiego w oczach lutowczyków, a raczej w kontraście ich oczu z twarzami: jakby starzały się w innym tempie, twarze szybciej, oczy wolniej.

Chudzielec uśmiechał się szeroko, roztwierając gębę nieładnie; kilku zębów mu brakowało, kilka innych szerniało całkiem. Ciemny oddech schodził mu po języku rwanymi obłoczkami.

- Już baliśmy się, że się nie zjawicie! Jak doszła nas wieść o tym wypadku bombowym - Boże mój, tierraristy tu, tierraristy tam, co za czasy - dojechaliście szczęśliwie! Ale czekaliśmy, czekaliśmy, i już wszyscy byli pewni, że coś złego się wam przytrafiło.

- Chorowałem.

- Ano, właśnie usłyszeliśmy. Usiądźcie, proszę.

Rozejrzało się po zagraconym pokoju.

- Poczęstujecie się? - Wyjął z kieszeni lizaki lodowe. Potem, z biurka, torebkę cukierków ślazowych. Potem puzderko mineralnych Pastylek Sodeńskich Faya (zdrowe bardzo!). Potem kapciuch machorki, puszkę pestek dyni. Wydobył też z sejfu pudełko cygar i uchylił zapraszająco wieka. Wybrało się jedno, odwinęło się banderolę. Podsunął gilotynkę i ogień. - Widzicie, to nawet nie szkodzi, żeście się spóźnili: dopóki zamknięta jest Zimna Kolej, i tak trzeba czekać. Ważne, żeby nie zmarnować czasu, jak już się Kieżma otworzy.

Się zaciągnęło się dymem.

- Ja nic nie wiem.

- Słucham?

- Mnie w Warszawie nic nie powiedzieli. Dali mi bilet i pieniądze... - Szybkim ruchem wygarnęło się tysiąc rubli i położyło się je na zawalonym papierami stole. - Możecie uważać, że nie dotrzymałem umowy -

- Ależ! - zachnął się. - No wiecie! Bardzo jesteśmy radzi, że się tu do nas pofatygowaliście. - Zamrugął, spojrzął uważniej. - Co wam naopowiadali?

- Kto?

Zagryzłszy cygaro, poderwał się do szafy biurowej, odemknął górne drzwiczki, wyrwał znad głowy rulon papierzyk i kartonów i jął nimi w furji jakiejś bibliofobicznej wymachiwać na wsze strony, rozwijając i zwijając, aż znalazł jedną płachtę poźółkłą i ją z sapnięciem tytuniowem rozpostarł na wierzchu kancelaryjnego bałaganu na dębowym blacie. Skinął ponaglająco. Stańło się obok. Klepnął dłonią otwartą.

- Spójrzycie.

- Co to jest?

- Drogi Mamutów. Widzicie? Tu, tu i tu, i tam, i tu. - Dziabął paznokciem brudnym w miejsca oznaczone krzyżykami i opisane zawijasową cyrylicą. - Raporty o Filipie Filipowiczu Gierosławskim. Według czasu - patrzcie, jak palec przesuwam - tak się przemieszcza Ojciec Mróz po Drogach Mamutów. Widzicie datę ostatnią?

- Ja nic nie wiem.

Zazgrzytał zębami (ile mu ich tam pozostało).

- Polak, no tak. Wam chodzi o ojca - chcecie dostać amnestję na papierze? Oni mogą ją wam załatwić, generał-gubernator podpisze. Ale co wam przyjdzie po amnestji dla głazu lodowego? Oni wam tego nie powiedzą - ja powiem wszystko. Macie, przeczytajcie.

Wyszarpnął z pliku papier opieczętowany, wetknął w dłoń.

Się obróciło się do okna.

*...na siodle doliny, jak schodził nocą, i tak zobaczyli my go o świtaniu: sześć na osiem, w pochodzie lodowym, po ziemi, drzewach i soplach. Pierwszy termometr: minus czterdzieści*



*jeden koma siedem. Drugi termometr: minus czterdzieści sześć koma dwa. Trzeci termometr: minus sześćdziesiąt cztery zero. Rozpoznane: ręka, profil twarzy (lewy), odcisk stopy (skala jeden do czterech). Mrózł po żyłce na północny wschód...*

- O czym oni tu piszą?

- O waszym ojcu.

Kaszlnęło się czarnym dymem.

- Myśleliście - że co? - Szembuch przestawił piepielnicę z parapetu na stół, odłożył na niej ledwo napoczęte cygaro. - Że my go tu gdzieś trzymamy w ministerjalnej tiumnie? Albo że można sobie ot, tak pójść i odwiedzić Ojca Mroza w domu jakimś sekretnym marcynowców czy w obozie bradiagów? Że siądziecie sobie wkoło ogniska i obgadacie rzecz przy samogonie? Boże Wszechmogący, oni wam nic nie powiedzieli! Pobledliście, spoczniście. Myśleliście, że „Ojciec Mróz” to takie marcynowe zawołanie jeno, miano sekciarskie takie? Tak myśleliście! - Aż sam przysiadł na taburecie dosuniętym do stołu. Oparł się łokciem na mapie, strącając przytem listy urzędowe; ani spojrział. - Chcecie się czego napić? - spytał cicho.

- Wiedziałem, że jest zamrożony, znaczy, zaćmieczony, rozumiecie, że Lód go ściał - „potwór Lodu”. Ale - to - co innego - to - lute -

- Taaak.

Podniosło się wzrok.

- Czy on żyje? - spytało się po chwili; i usłyszało się w głowie - jak echo dzwonu szklanego - wysoki głos komisarza Preissa: *Czy Filip Filipowicz Gierosławski żyje! Czy żyje!* Błrumm, błrummm.

- Sprawa wygląda tak. Drogi Mamutów... - Blondas wskazał oczyma kościaną figurkę w gablocie przy drzwiach, gdzie za szkłem (zwykłym) stały rozmaite eksponaty etnograficzne, niektóre dziwnej, prymitywnej piękności, z nefrytu, jaspisu, agatu, onyksu, a przede wszystkim z kości białej, biało-żółtej. - Mamut, to jest „mamantu”, słowo Eskimosów, a znaczy: „ten, który żyje pod ziemią”. Słyszał pan na pewno, jak ciała i rośliny zachowują się w naszej zmarzlinie na lata i wieki i eony. Nieraz tu mamy takie przypadki, naprimier w Znamienskoje i pod Kajska: kopie człowiek fundamenta pod dom, roztapia ziemię, i co wtem wyciąga na wierzch z błota? Trupa świeżego, jak wczoraj pochowanego - wojownika jakiegoś w skórach i z dzidą, sprzed czasów Jermaka. Albo zwierzę: dzisiejsze, wczorajsze. No i są

zwierzęta, które znajdziesz tylko pod ziemią: mamuty. Spytaj pan któregoś tubylca. Nigdy nie widział ich pod niebem, ale w Podziemnym Świecie - i owszem; tam żyją mamuty. Nie spotkasz ich w tajdze, biegające między drzewami, po równinach trawiastych. Można je tylko odkopać. Rozumiecie? Mamut więc to zwierzę podziemne, wypasa się pod ziemią, pod ziemią wędruje w stadach wielkich, słyszą te ich wędrowki, grunt się trzęsie i ryk długi, niski dobywa się spod kamieni. Niektórzy powiadają, że to zwierzęta Środkowego Świata - niedźwiedzie, renifery, szczupaki - po śmierci, po przejściu do Dolnego Świata stają się mamutami. Inni znowu opowiedzą całe legendy o wygnaniu tam mamutów przez ludzi do spółki z bogami. Osobliwie szamani - ci to już cuda same widzą: od Tunguzów naszych oswojonych słyszałem, że, uważacie, mamut to jest „ryba z rogami”.

...A lute wymrażają się spod ziemi, ze zmarzliny. Pierwsze mapy glacyjometryczne skreślono jeszcze przed pożarem Irkucka, u zarania przemysłu zimnazowego. My teraz też przecież dostajemy niemal wyłącznie odpisy z Atlasów Lodu Sibirchożeta, chociaż cenzurowane okrutnie, Pobiedonoscew daje fundusze uniwersytetom i instytutom, a tutaj - o, Towarzystwo Geograficzne to praktycznie filja Sibirchożeta. Najważniejsze bowiem jest, żeby umieć przewidzieć przemieszczenia lutech, żeby znać te podziemne koryta pływów Lodu. Bo przecież istnieją wyraźne regularności, w miastach i poza miastami, ale tu najlepiej możemy je obserwować; istnieją geologiczne ciągi, jakieś termodukty w mierzłoci, którymi mrozą się lute, by tu czy tam wychynać na powierzchnię - najczęściej właśnie niedaleko od takiej drogi podziemnej. Spółki dobywcze zimnaza i towarzystwa chołodnicowe dałyby majątek za kompletną i co do kreski akurata glacyjometryczną mapę Syberji.

- Kartę Grochowskiego.

- Ano. Tymczasem łamią sobie nad tym głowy profesorowie, wróżbici, szarlatani, kto tylko może się pochwalić jaką ziszczoną prognozą. Nasze tu choładpramyszlienniki niekoniecznie pochodzą z najbardziej oświeconych środowisk, jak już zapewne mieliście sposobność się przekonać. Wystarczył jeden i drugi szaman, przy dźwięku bębna i w dymach świętych tarzający się po ziemi, żeby przekonać ich do metody zyskodajnej.

- Sprawdzają się? Ich przepowiednie. Szamanów.

Wzruszył ramionami.

- Czasami tak, czasami nie. Bywają użyteczni, nie zaprzeczę, sam z ich usług korzystam. Faktem jest, że częściej spotkasz lute przy miejscach, gdzie wykopano świeże mamuty. No ale właśnie dlatego tam je wykopano, bo zachowały się dobrze w mocnej zmarzlinie, w

lodzie, a lute to lód chodzący. Szamani powiadają, że w transie opuszcza ich duch i wchodzi bezpośrednio do Dolnego Świata, gdzie widzi wędrówki mamutów - i stąd znają szamani ruchy lutech. Zresztą spytajcie Tunguza czy Jakutę - powie na odwrót, byle na złość Burjatowi. Musicie baczyć, jak się między nimi obracacie, co by przypadkiem zatargu jakiego nowego-starego nie podnieć. Nie objaśniono wam tych rzeczy? Jeśli pójdziecie z Burjatami, miarkujcie każde słowo o lutech i Lodzie. „Małuhun”, „Malusu” - to „Lód” po burjacku. Mamy tu między dzikusami wojnę teologiczną, uważacie, raskoł taki na miarę jurty i tundry pijanej. Jeszcze w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym ponad trzydzieści tysięcy wziętych z Burjatów mężczyzn obrócono w kozaków; wiernie służyli, nadal służą, to pożyteczny naród. No ale, jak by nie patrzeć, dzikusy niecywilizowane, inoplemieńcy poganie. „Burjat” - to po mongolsku „zdrajca”. A dlaczego pracują dla Sibirchożeta? Różnica leży, jak mówię, w ich wierzeniach.

- Duch rządzi materją.

- I tak bywa, jak słyszałem, chociaż nie chadzam na seanse spirytystyczne Burjatom mianowicie zwiźdzały się lute przybyszami z Górnego Świata: cc w tysiąc dziewięćset ósmym przyleciało, przyleciało z nieba. Ale Tunguzi i Jakuci mówią na odwrót: lute to dzieci Świata Podziemnego. Raz, że djabelstwo uderzyło na północy, a północ jakoś miesza im się w głowach z Dolnym Światem, może dlatego, że tam najzimniej. Dwa, one przecież wymrażają się spod ziemi. Dzieci wiecznej zmarzliny. Abaasy, to jest duchy Dolnego Świata, cienie podziemne, wypasające tam stada potworne na łąkach żelaza... Co?

- Nic. Cygaro dobre.

- Taka jest ich wiara, Wieniedikt Filipowicz. Jak marcynowcy wypatrują z lutech lodowego Antychrysta, czy czego tam oni w końcu czekają - tak Jakuci boją się nadejścia najgłośniejszego lutego-abaasa, niejakiego Arsana Duolaja, Brzucha Ziemi, Podziemnego Smoka. Ongi wygnali wszystkie abaasy ze Środkowego Świata, teraz widzą, że wróciły. No a co wobec tego robią Burjaci? Zamiast pomóc je przegnać z powrotem, służą Sibirchożetu, które tylko tuczy się na lutech. Stąd wojna duchowa między Burjatami a Jakutami i Tunguzami. Pobiedonoscew pieklił się i kopytami zapierał, ale w końcu musiał się zgodzić i postawili wszędzie naokoło te maszty trupie. To, widzicie, jest zapora przeciwko duszom wrażeń szamanów, napastujących Burjatów, i duchom abaasowym.

- Wy naprawdę -

- Ależ! Nie w tym sprawa przecie! Ale póki ich nie postawiono, szamani burjaccy nie

chcieli w ogóle zaglądać w Drogi Mamutów i przedsiębiorcy zimnazowi nie dawali Pobiedonoscewowi spokoju, że niby codziennie tracą przez to miliony, w konkurencji nieuczciwej przegrywają, i dalej na tę modłę, aż się ugiął. No i widzicie.

- Ale do mojego ojca -

- Otóż właśnie! Nie ma innej metody, żeby go znaleźć, jak tylko iść wedle Dróg Mamutów. Ale co by mi przyszło nawet z Karty Grochowskiego, gdybym nie wiedział, po których Drogach Filip Gierosławski chadza, jakie są jego obyczaje? Bo jeśli nawet zliczyć jeno Drogi najbardziej uczęszczane, spojrzycie, to te pociągnięte potrójną linią - no to są dziesiątki tysięcy wiorst!

- Tamte raporty -

- Widzicie datę ostatniego. Pułkownik żandarmerji Geist, on jest szef ochrony na Irkuck, odsyła nas do policji. Oberpolicmajster z kolei - do ochrony. Myśleliśmy nawet najać jakichś tropicieli miejscowych, północnych, tunguskich. Ale potem przyjechał ze swoją historją inżynier Di Pietro i poniechaliśmy. To jest przypadek osobliwy: nie idzie o wyrysowanie Dróg jako takich, luty jest luty, nie odróżnisz, zmrożą się razem, rozmrożą na dwa, trzy, cztery - który a który? Wsjo rawno. A Ojciec Mróz jest jeden, oddzielny, szczególny. Więc co nam zostaje? Mapa i ten zbiór dat i koordynatów. Wy jesteście matematyk, tak? Tak. No i to będzie prośba do was najpierwsza, a i zadanie wasze pierwsze oczywiste, skoro macie się w ogóle z ojcem zobaczyć: weźcie te liczby i wyrachujcie nam Drogi Mamutów. No. Pomyślcie sobie, że to jest równanie, które musicie rozwiązać - bo musicie rozwiązać - te liczby i Drogi Mamutów - równanie zimne - waszego ojca. Wyliczycie.

Wcisnął w rękę papiery grubo złożone. Spojrzało się na nie widać z miną nie świadcząca o najwyższej inteligencji, ba, świadcząca zapewne wręcz o otępieniu chorobliwym, bo chudy urzędnik, stroskany, obrócił się do szafy i szybko wydobył z za porcelany karafkę z wodą; rozglądął się za szklanicą.

Miętosilo się bumagi w dłoniach spoconych. *Sześć na osiem, w pochodzie lodowym, po ziemi, drzewach i soplach.* Przecież nawet gdy sądziło się już, że on umknął gdzieś w knieje syberyjskie przed listem gończym i trzeba go będzie dopiero odszukać poza wiedzą Ministerjum Zimy - nie przypuszczało się, iż samo Ministerjum pozostaje tu bezradnem. *Jak porozmawiacie, no, to już będzie dobrze.* Gdy utracimy wiarę w potęgę instytucyj - cóż pozostanie? Zaiste, szamani tylko.

- Więc jak bardzo zamarzał?

- Proszę? - Szembuch kucnął przy szafce w kącie, znalazł blaszany kubek, odrzucił, znalazł kubek porcelanowy.

- Mierzili mu temperaturę. W tym raporcie -

- Ach! Nie wiem, to nie tak się bada.

- Trzy pomiary nawet zrobili.

- Trzy termometry wirowe - bo siłę lutego mierzy się nie temperaturą jego lodu, ona u każdego zawsze taka sama, i nie temperaturą braną z jednej odległości od niego, bo ona zależy od różnicy względem ciepłoty otoczenia, a ta tu jest inna, tam inna, tam jeszcze inna. Mierzy się natomiast gradient temperatury liczony z przyrostów na trzy, sześć i dziewięć arszynów od lutego, najlepiej po linii jego marszu, od frontu. Może być w kieliszku?

- Ale mój ojciec nie jest luty!

- Ale oni tego nie wiedzieli.

Trzasnęły głośno pchnięte drzwi, wpadł do środka buldogowaty starzec w rozpiętym pod szyją mundurze wyższego czynownika. Zoczywszy blondasa prostującego się z grafinem w rękę, wziął się pod boki szerokie.

- To tak! - sapnął. - To się wyprawia, jak tylko oczy odwróć! Myślicie, że wam tego nie zapiszę? Czekaście-no tylko!

- A zapisujcie sobie, dusza wolna. Gaspadin Gierosławski -

- Czyja jest sprawa? Czyja tu odpowiedzialność, a?!

Chudy wzruszył ramionami.

Przesuwało się wzrokiem od jednego do drugiego. Im bardziej Buldog się nadymał, nabzdyczał i puchł wściekłością, tern bardziej blondyn czarnoząb się uspokajał, cichł i jakby tracił zainteresowanie całym zdarzeniem; na koniec, wzdrygnąwszy się dziwnie, odstawił karafkę i odwrócił się plecami, wyglądając przez okno na niebobarwne kopuły soboru.

- Pójdziecie ze mną - zakomenderował starszy czynownik. - No, bierzcie rzeczy. Komisarz pełnomocny Szembuch Iwan Dragutinowicz. Czemu nie stawiliście się, jak wam przykazano?

- Czekałem w sekretarjacie, myślałem -

- Aż tak długo?

Schowało się papiery pod kozuch. Szembuch - Szembuch prawdziwy - poprowadził z powrotem, przez sekretarjat, przedsiónek i sekretarjat, do swojego biura. Tu okna również wychodziły na monumentalną cerkiew. Nad dwoma stołami roboczemi z równo ułożonemi aktami pochylał się tłusty Tatar. Szembuch przegnał go ruchem ręki. Wskazał krzesło dla petentów przeznaczone. Siadło się. Stanąwszy za biurkiem, energicznym szarpnięciem otworzył grubą teczkę biurową i skrzyżował ręce na piersi.

- Dziesiąta dwadzieścia osiem - rzekł, zerknąwszy na zegar szafkowy. - Straciłem przez was dobry kwadrans, zanim was w ogóle na oczy ujrzałem; a wcześniej jeszcze straciłem tygodnie całe.

- Chorowałem.

- To się przychodzi i składa papier o chorobie zaświadczający! - ryknął Szembuch przez biurko.

- Przecież Zimna Kolej stoi, więc -

- A co was obchodzi kolej ta czy inna?! Wasz psi obowiązek: przyjść, zameldować, na rozkaz czekać!

- Ja nie -

- Nie opuście Irkucka bez zezwolenia. Pokażcie paszport. No, już, dawajcie! - Rozłożył kartę, spojrział, prychnął i wrzucił dokument do szuflady, zamknąwszy ją pchnięciem kolana; huknęło jak z armaty, kałamarze podskoczyły na blacie i spadło pióro na podłogę. - Michaił wystawi wam tymczasowy wid na żywicielstwo. I będziecie się tu meldować regularnie, i czekać na słowo, rozumiecie? Rozumiecie?!

- Tak.

- Gdzieście się - a, u rodaka na Cwietistej. No to tam siedźcie. Dobra. - Osunął się w fotel. - Łeb mi pęka. - Wyjął kryształ z ciemną cieczą i kapnął sobie na jęzor na brodę wywalony kropel kilka. - Uch! - zatrząsł się cały. - Dobra. Teraz gadajcie. Co wiecie o Filipie Filipowiczu? Gdzie on się włóczy? Co wiecie o marcynowcach jego?

- Nic. Przepraszam, ale czy Wasze Błagarodje może mi rzec, do czego właściwie jestem potrzebny? W Warszawie powiedzieli mi, że mam z nim porozmawiać, z ojcem, znaczy; ale jak teraz mówicie mi, że powinienem czekać, nawet nie wiem dokiedy, a ja przecież... - Milkło się stopniowo, zamilknąwszy w końcu zupełnie; Szembuch bowiem nie przerywał i nie reagował w ogóle, tylko siedział tak za biurkiem z miną buldogową, łapami złożonemi

wplask przed sobą i wzrokiem wściekłym dobrze wcelowanym na krzesło petenta. Błrumm, błrummm, drżały szyby. Ścisnęło się rękoma kolana.

- Za idjotę! - wrzasnął Szembuch naraz bez ostrzeżenia żadnego, nie zmieniawszy pozy, tylko mordę rozdarłszy, że podgardle zatrzęsło mu się niczym korale indyjskie. - Za durnia ostatniego chyba! Co! Jak śmie! Gównojad bezczelny! Paszoł won! Pomiot kurewski! Żarty jeszcze! Precz! Precz! - Zapluwał się przytem śliną czarną, ćmiecz mu wezbrała pod skórą mozaikowatemi plamkami ciemniejszej krwi.

Wstało się powoli, przyciskając do piersi kozuch zawinięty na lasce, na ręce z papierami.

- Pieniądze zwróciłem - rzekło się, biorąc oddech co słowo. - Aresztujcie mnie, jeśli chcecie. Pierwszym Ekspresem wracam do Europy. Żegnam.

Się odwróciło się i wyszło się z gabinetu komisarza Szembucha, i przestąpiwszy próg, zaraz pomyślało się, że oczywiście nie wróci się do Królestwa - trzeba zostać, ratować ojca. Usiadło się ciężko na ławie przed biurkiem sekretarza. Nie wyjedzie się, a tem bardziej nie Ekspresem: bez paszportu nie kupi się nawet biletu. Utknęło się w tym Irkucku. Podwinąć ogon, wpełznąć tam nazad, przepraszać Szembucha? Gorąca flegma Wstydu podeszła już do gardła, wyżej, zalała usta, wyżej, wycieka teraz spod powiek zaciśniętych. Nawet dudnienia bębnow głażzatajowych nie słycać, tylko łomot krwi.

- ...za długo.

- Proszę? - Otworzyło się oczy.

Tatar nachylił się konfidenjonalnie nad blatem, świecienie spłynęły mu na gors koszuli białej.

- Wy się nie bójcie - szepnął łagodnie - nic wam nie może zrobić, Szulc już o wszystkim wie, odmówił wizyty u Pobiedonoscewa, posłał kozaków, teraz musi negocjować.

- Co? Z kim?

Grubas zachichotał cienko.

- Z lutymi.

Z gabinetu komisarza dobiegł kolejny hałas i sekretarz z powrotem skulił się nad papierami. Zagadnęło się go jeszcze raz i drugi, ale nic już nie rzekł, tylko podsunął, przycisnąwszy doń delikatnie pieczęć wielką, dokument trzymiesięczny na gubernatorstwo irkuckie. Nie podniósł oczu. Schowało się papier razem z papierami chudego

czynownika, mruknięło się coś w podzięcie i wyszło się, nie spoglądając wstecz.

Tak się zakończyła pierwsza wizyta w irkuckiej delegaturze Ministerjum Zimy.

Wróciwszy do domu, siadło się nad mapami Dróg Mamutów i odpisano raportów ministerjalnych. Dzieci pojechały z panią Haliną na ślizgawkę pod Zwiozdoczkę na Irkucie, panna Marta odsypiała migrenę nocną, stara Wielicka siedziała zaś na dole w kuchni. Pokojowiec przyniósł kawę na mleku i kruszonkę zimną z zeszłego wieczora. Nad ciastem i kawą, przy ciężkim stole dębowym, świeżo nawoskowanym, w świetle białym ciekącym przez marostiekło do połowy zalepione śniegiem - wstąpiło się na Drogi Mamutów.

Mapa najgłówniejsza, opieczętowana jako zatwierdzony do oglądu wewnątrzurzędowego reprint z Atlasu Glacjometrycznego Sibirchożeta (*Karta Lda 1923*), obejmowała całe generał-gubernatorstwo irkuckie, ziemie do Oceanu Arktycznego na północy, do granicy chińskiej na południu i część generał-gubernatorstwa amurskiego na wschodzie. Miejsce uderzenia Lodu nad Podkamienną Tunguzką wskazano pięcioramienną gwiazdą. Mapa opisana była potrójną legendą: raz, o samych Drogach Mamutów; dwa, o frontach geokryjologicznych; trzy, o odkrytych złożach kopalin przelodzonych.

...Drogi Mamutów przecinały Azję siecią żył podpowierzchniowych, w których układzie, mimo wpatrywania się w mapę z dala i z bliska i przez lupę, nie udało się wykryć żadnych istotnych regularności. Może geologom łatwiej w tym dojrzeć porządek, może istnieją tu zależności z formacjami skalnymi, typem podłoża, historią skorupy ziemskiej. Były obszary na setki wiorst wszerz i wzdłuż, których nie przecinała żadna Droga; i były takie - jak właśnie Kraj Nadbajkalski - gdzie gęstwiny grubszych i cieńszych linii nie szło odczytać bez szkła magnifikującego. Gdzieindziej Drogi biegły równoległe do siebie, gdzieindziej - przecinały się niczym ulice w mieście; w tym więc były niepodobne rzekom. Poczyniło się wszakże pewne obserwacje. Nie istniało żadne centrum owej sieci; z pewnością nie było w jej strukturze wyróżnione miejsce uderzenia Lodu, położone pośród wielkich białych plam. Nie zawsze, ale bardzo często Drogi Mamutów biegły zgodnie z nurtem pobliskich rzek. Żadna Droga nie przebiegała pod Bajkałem.

...Tu jednak zaraz się zreflektowało się: mapa nie pokazuje przecież rzeczywistości taką, jaka ona jest, jeno obrazuje ludzką wiedzę o niej - a jak ludzie mieliby pomierzyć podlodowe ruchy lutech? To oczywiste, że jezioro stanowi białą plamę. Podobnie wielkie pustkowia i ostępy leśne na Wyżynie Środkowosyberyjskiej - nikt nie widzi, jak często lute się tam wymrażają, czy wymrażają się w ogóle; wypluwane przez ziemię ścierwa mamutów zostają



pożarte przez drapieżniki i padlinojady, zanim zdąży na nie trafić Tunguz czy Jakuta czy inszy myśliwiec. Czy się Drogi przecinają, czy nie, tego też z mapy dwuwymiarowej nie poznasz: ona nie ukazuje wymiaru trzeciego, głębokości. Tę samą zasadę odnieść trzeba do miast. Irkuck, Niżnieudińsk, Krasnojarsk, Kieżma, Ust'-Kut, Jakuck, Czyta, Błagowieszczeńsk, Chabarowsk - wszystkie pod Lodem, wszystkie pocięte Drogami Mamutów. A trudno przypuszczać, żeby ludzie od wieków fundowali swe osady właśnie w miejscach jakichś tajemnych fenomenów geologicznych. Czy więc lute schodzą się ku mrowiskom ludzkim, ponieważ tu prowadzą je Drogi Mamutów, czy dlatego, że tu po prostu zachciało im się zagnieździć? Jak je odróżnić - Drogę jako drogę i Drogę jako linię na mapie sporządzonej przez człowieka?

...Powiedzmy, że Marsjanie pana Wellsa obserwują tak wędrówki człowiecze, nie widząc zupełnie materialnej podstawy ludzkiej cywilizacji, nie widząc formacji geograficznych Ziemi. Czy nie wydedukowaliby jednak z czasem kształtu sieci naszych dróg i linii kolei żelaznej? Czy nie odkryliby tą metodą granic łądów i mórz, położenia pasm górskich? Czy nie odtworzyliby granic państwowych? Jak jednak mogliby odróżnić granicę polityczną od granicy fizycznej? Ta i ta powstrzymuje migracje *Homo sapiens*. Być może lute poruszają się po Drogach Mamutów tylko wtedy, gdy im tak wygodniej; kiedy jednak zmierzają do celu, gdzie żadna Droga nie prowadzi, po prostu z nich schodzą. A kartografowie Sibirchożeta i Ministerjum Zimy łączą skrupulatnie na swoich mapach punkty odnotowanych wymrożeń, wedle ich czasu, częstotliwości i mocy trzema termometrami mierzonej, i każda taka linja jest dla nich Drogą Mamutów, chociaż żadnego truchła słoniowego przy niej nigdy nie wykopano.

...Ale oto już poczyniło się było odważne założenia: że lute myślą, że obierają sobie cele, że mają świadomość, że są czymś więcej aniżeli przejawami bezrozumnego żywiołu nieludzkiego Mrozu, podnoszącemi się ponad powierzchnię ziemi jak fale się podnoszą na wzburzonej wodzie.

...Fronty geoktjologiczne wyznaczały postęp zmarzliny. Była to swoista meteorologia skały. Irkuck, na ten przykład, mieścił się pomiędzy izotermą roku 1909 i izotermą roku 1910. Dlaczego nie wyznaczano raczej frontów geotermicznych? Czy nie dałoby się wykryć Dróg Mamutów właśnie przez pomiary temperatury zmarzliny? Znalazło się czystą kartkę i zapisało się tę kwestję jako punkt numer 1. A pod numerem 2: skoro zmarzlina przyrasta wraz z rozprzestrzenianiem się Lodu (zmarzlina najwidoczniej jest jednym z aspektów Lodu), to czy w pochłoniętych przez nią ziemiach powstają nowe Drogi Mamutów? *Karta Lda 1923* ukazywała przecież Drogi także poza linią roku 1908. Problem w tym, że izotermy najstarsze,

te sprzed ustanowienia Sibirchożeta i sprzed pierwszych opłacanych przez nie wypraw badawczych geokryjologów, pociągnięto leciutką, przerywaną linią: po prostu brakowało rzetelnych danych do wyznaczenia ówczesnych granic wiecznej zmarzliny. Wiedzano, które miasta stały wówczas na zmarzlinie, a które nie; i właściwie nic więcej. Natomiast pomiędzy izotermami najnowszymi kartograf Sibirchożeta odważył się zasugerować ciągami kropek jedynie kilka przypuszczalnych Dróg. W legendzie mapy dopisano tu ręcznie odnośnik do memorjału profesora Hertza. Przerzuciło się dokumenta. Profesor Hertz wysunął był mianowicie hipotezę, iż w czasach prehistorycznych Syberja i w ogóle Azja doświadczała nieraz „przyływów” i „odpływów” marzłoci: były pono okresy, gdy zgoła cały kontynent ścinał podziemny mróz. Wniosek oczywisty: te Drogi Mamutów już kiedyś tam istniały - teraz się tylko otwierają.

...Każde odnotowane na mapie złożo zimnaza czy innych kopalin przelodzonych miało legalnego właściciela, właściciela wyłącznych praw do jego eksploatacji. (Znacznit, odnotowano wyłącznie te, o których pisze się już w gazetach). Oddzielne mapki poświęcono zagłębiu węgla kamiennego nad Angarą, na północ od Irkucka, kopalniom miki na zachód od Bajkała, wielkiemu zagłębiu rud zimnazowych na południowy zachód od Ust'-Kut i terenom złotonosnym Lenzota w Górach Stanowych, w górze i w dole rzeki Witim. Pod Bodajbo znajdowała się jedyna kopalnia puchzłota, najcenniejszego kruszcu świata: złota przelodzonego do gęstości bitej śmietany i ciężaru właściwego mgły irkuckiej.

...Tymczasowych kopalni odkrywkowych i soroczysk na mapach nie zaznaczano, chociaż to z nich pochodził prawie wszystek tungetyt i większość „naturalnych” rud lodowych. Ale było tych miejsc zbyt wiele i podobne mapy pozostawały aktualne nie dłużej jak sezon. A większość spółek wydobywczych i towarzystw sorocznych z pewnością w ogóle nie publikowała tych danych. Bardzo trudno więc oszacować korelację przebiegu Dróg Mamutów z położeniem złóż zimnaza. Nie było przecież tak, że lute „specjalnie” siadały na kopalinach. Toż cała idea choładnic Zimnego Nikołajewska wzięła się z potrzeby sztucznego, przemysłowego przeladzania rud „ciepłych”. Niemniej Sibirchożeto regularnie słało w Syberję zastępy geologów, ażeby wypatrywali pokładów „naturalnego” zimnaza. Okolica każdego soplicowa była skrupulatnie badana; na miejscu długostojącego gniazda lutyh czyniono odwierty i rozsadzano zmarzlinę dynamitem.

...Z relacyj z takich to wypraw geologicznych pochodzą opisy trzech z siedmiu odnotowanych w aktach Ministerjum Zimy spotkań z Ojcem Mrozem. Posegregowawszy papiery, ułożyło się te wyciągi podług daty i zanotowało się pod numerem 3 wszystkie

koordynaty.

61°57'N 101°16'E - 17 czerwca 1919

61°55'N 99°07'E - 8 lutego 1921

54°41'N 102°50'E - 17/18 października 1921

60°39'N 100°33'E - 4-7 stycznia 1922

67°32'N 109°22'E - 28 marca 1922

61°57'N 101°16'E - 3 grudnia 1923

56°44'N 110°11'E - 17,19 kwietnia 1924

...Pociągnąwszy ołówkiem po mapie, jak przesuwiał był po niej palcem nieczystym czynownik Zimy, wyrysowało się kształt podobny pokracczej literze K, z jedną dolną odnogą wspartą ponad Oką i ponad linią Koleji Transsyberyjskiej, drugą dolną odnogą - wbitą w Góry Stanowe nad północnym krańcem Bajkała, i odnogą górną - sięgającą djamentonośnego Wiluju. Przy:zem pomiędzy rozwartemi na wschód ramionami litery, blisko punktu przecięcia, znajdowało się miejsce Impaktu, epicentrum Lodu nad Podkamienną Tunguzką. W istocie cztery spotkania z Ojcem Mrozem - pierwsze, drugie, czwarte i szóste - nastąpiły nie dalej niż 250 wiorst na zachód od epicentrum. Był to niewielki, kilkudziesięciowiorstowy obszar położony 200 wiorst na północ i na zachód od Kieżmy, na zachód od factorji Wanawara.

...Umysł nie odróżniający przesłanek od implikacyj wywiedzie stąd szybko wniosek, iż tam właśnie Ojciec Mróz bywa najczęściej. Tymczasem zależność jest odwrotna: okolice punktu Impaktu - nie ziemie mu najbliższe, ale jak daleko człowiek może wejść w Zimę - są wyjątkowo licznie odwiedzane przez rozmaite ekspedycje naukowe, geologów przemysłowych i wreszcie soroki zbierające tungetyt, tam więc po prostu łatwiej o obserwacje.

...Zazwyczaj ich opisy ograniczały się do krótkich notatek w dziennikach podróży. Dnia tego a tego, w miejscu tym a tym, ujrzeliśmy lód, który wpierw wzięliśmy za fragment wymrażającego się spod ziemi lutego, potem spostrzegliśmy człowieka. Para myśliwych zeznała w delegaturze Zimy, iż ów *człowiek lodowy na ich widok wykonał ruch nieprzyjazny.*

Gieologowie Towarzystwa Wydobywczego Mullera i Synów zasnawszy wieczorem przy ognisku naftowym, spostrzegli o świcie *przysiadła między nimi figurę glacialną, która pochylała się nad ogniem jakby chcąc się roztopić, z wyciągniętymi ku niemu rękami i soplami*. Rosjanin ożenion z kobietą jukagirską spieszył po zamarzniętym Wiluju z chorem dzieckiem do lamy-znachora; minęli *mężczyznę w lodzie, maszerującego po kolana w rzece zamrożonej*.

...Najwięcej uwagi poświęcono w Ministerjum Zimy relacji inżyniera Di Pietro, który spotkał Ojca Mroza w Górach Stanowych w kwietniu tego roku. 17 kwietnia, zmierzając z obozu wyprawy do wyznaczonego punktu pomiarowego, szedł głębokim wąwozem międzygórskim, pod przewieszką wysokiej przepaści. Spostrzegł wówczas w cieniu, ręką i nogą pogrążonego w skorupie lodowej spływającej po ścianie przepaści, *człowieka zamrożonego, pod soplami wielkiemu* Wiedziony naukową ciekawością, chciał doń podejść i przyjrzeć się z bliska, zaraz jednak - pisze - *taki mróz poczułem, że zmuszony byłem odstąpić*. Tak jak go uczono postępować z lutymi, wyjął termometr i zakręcił nim na dziewięciu i sześciu arszynach; na trzy już nie podszedł. Co zwróciło jego uwagę i dlaczego nie pomyślał, iż to po prostu kolejny nieszczęśnik zamrożony pod lodem Syberji? Otóż ów człowiek był nagi, stał, nie leżał, a nadto miał otwarte oczy, które *wydawały się spojrzeć na mnie przez lód i firn całkiem przytomnie, choć nieruchomo*. Półtora dnia później, wracając z pomiarów tym samym wąwozem, nie dostrzegł w nim już Ojca Mroza. Wyszedłszy jednak wyżej, zobaczył odbłask lodu na szczycie przepaści i wyjął lunetę. *Mąż ten lodowy* - pisze - *wyłonił się już po pierś ze skały za przewieszką, rękoma wczepiony w sople olbrzymie*. Stąd inżynier Di Pietro wnosi, iż *Ojciec Mróz sposobem lutyh podróżuje Drogami Mamutów*.

...Tyle konkretów. Większość informacji o Ojcu Mrozie pochodziła jednak z plotek, legend i opowieści marcynowych, rozpowszechnianych najpierw między sekciarzami, potem - między robotnikami-zimownikami, a na koniec słyszało się je po szynkach, schroniskach i przy ogniskach w tajdze, razem z innymi baśniami syberyjskimi. Że wszedł i wyszedł z soplicowa. Że *ujeździł lute*. Że *przemawia wszystkimi językami mrozu*. Że żywi się śniegiem i soplami. Że glacjusze go adoptowały. Że jest pierwszym apostołem Antychrysta Lodu. Że otrzymał w nagrodę *życie wieczne w lodzie*, albowiem *to, co w zmarzlinie tungetytowej raz zatopione, nigdy nie umrze i nie zgnije*. Krążyły dziesiątki bajek - opowieści pochodzących od znajomego znajomego o zbląkanych myśliwych i Sorokach, którym Ojciec Mróz życie uratował w zamian za złożenie bliżej niesprecyzowanej *przysięgi Lodu*. Ten i ów zimownik zarzekał się, że to właśnie od Batuszki Maroza otrzymał dar nadzwyczajnej

odporności na zimno. Co się tyczy oskarżeń, na podstawie których wydano list gończy za Filipem Gierosławskim, to pochodziły one jeszcze z roku 1918, gdy po ułaskawieniu ojciec istotnie związał się z jakimiś ruchami marcynowemi, co prawda podówczas legalnemi; żył jeszcze wówczas sam Marcyn, pono spotykał się z ojcem. Powiązano go z kilkoma zbiorowemi mordami lodowemi i dwoma masowemi samozmrożeniami z lata roku 1919. Brakowało bezpośrednich dowodów (wszyscy potencjalni świadkowie zeszli w Lód), były wszakże silne poszlaki, włącznie z zeznaniem żandarma, który rozmawiał z ojcem w jednej z owych wioski na dwa dni przed samozmrożeniem; załączono także kopję oświadczenia zimownika czeskiego pochodzenia, który twierdził, iż Filip Gierosławski przyznał mu się do poprowadzenia ludzi na oba te zmrożenia, a nawet chwalił się tym jako *zaslugą przed lutymi*. Na koniec, o zgrozo, podpięto zeznanie szamana burjackiego, niejakiego Ürigu Kuta. Stwierdzał on uroczyście, iż widział owe akty dobrowolnych i niedobrowolnych zmrożeń oczyma swojej duszy, która wędrowała wówczas po Drogach Mamutów, i tam zobaczyła zstępujących do Podziemnego Świata ludzi pędzonych przez mężczyznę, który wyglądał dokładnie jak przedstawiony mu na fotografii Europejczyk. Boże drogi, co za ciemnota!

...Numer 4. Policzyło się szybko odległości na *Karcie Lda* i czasy obserwacji, dzieląc wiorsty przez dni i godziny. Miejsce czwartego i piątego spotkania dzieliło ponad 700 wiorst; ojciec przebył je w 80 dni. Dawało to minimalną chyżość 390 metrów na godzinę, czyli wielokrotnie wyższą od chyżości lutyh liczonej na Drogach Mamutów, a co dopiero ponad powierzchnią gruntu. Czego to dowodziło? Że ojciec nie jest lutym...? Ha!

Stanąwszy twarzą do białobarwnego krajobrazu za oknem, zapaliło się papierosa. Na co liczył blondas czarnoząb, przekazując te wszystkie dokumenta? Nawet jeśli się wyrachuje czas i miejsce na spotkanie z ojcem, to przecież nie zdradzi się ich z czystej wdzięczności żadnemu czynownikowi. Ba, a czy tu w ogóle jest co do rachowania? Czy zachowanie człowieka da się policzyć i z tego obliczenia przewidzieć niczym ruch mechanizmu nakręconego? Co najwyżej można mówić o prawdopodobieństwie: skoro widziano go czterokrotnie nad Podkamienną Tunguzką, tam należy pojechać i czekać jego objawienia.

Ale z drugiej strony - spójrzmy chociażby na mapę przemieszczeń pana Wojsława Wielickiego (gdyby ją kto sporządził z podobnych ułamków wiedzy). Dom, praca, praca, praca, dom, i znowu; i tak jest chyba z każdym człowiekiem. Tworzymy schematy, życie zamorza we wzorze regularnym jak gwiazda szronu, któż może o sobie szczerze rzec, iż jest nieobliczalny?

Nie zdając sobie z tego sprawy, nie widząc ich i nie czując, poruszamy się przecież wszyscy wedle podziemnych Dróg Mamutów - w cyklu dziennym, w cyklu tygodniowym, rocznym, a przede wszystkim w skali życia, to jest od urodzenia do śmierci. Potem dopiero przychodzą kartografowie Historji i rysują od naszych czynów, słów i podróży mapy owych Dróg. Tajemne sieci pływów Podziemnego Świata nie determinują wyborów człowieka, jednak przyciągają je ku ścieżkom najłatwiejszym, najczęściej przemierzonym. Chodził do szkół, ożenił się, pracował, spłodził dzieci, umarł. Może walczył. Może majątek zgromadził. Może świat zwiedził. Może zbrodnię popełnił. (Już linje pojedyncze, przerywane). Tak czy owak, pozostają zaledwie osobne obserwacje, pamięć faktów rozrzuconych w czasie i przestrzeni: data ślubu, dzień wyroku, fotografie niewyraźne z domu rodzinnego, spod drzewa, sprzed kościoła, niewyraźne wspomnienia ułamków scen z ostatnich jego lat - co jeszcze da się zapisać w języku międzyludzkim. Przeciągnąć między temi punktami zawieszonymi w nieistniejącej przeszłości trajektorje życia - jaki kształt powstanie? jaka struktura podpowierzchniowa się ujawni?

Pan Wojsław wrócił z pracy dobrze po zmroku. Zdało się mu czem prędzej relację ze spraw ministerjalnych. Posłał z uprzejmem zapytaniem po mecenasa Kuźmieńcewa. Ledwo zamknęły się za pokojowcem drzwi gabinetu Wielickiego (dla pana - brandy, dla gościa nowego - śliwownicy kieliszek), stary Kuźmieńcew przystąpił do rzeczy.

- Szembuch, tak? - Poglaskał się po brodzie. - Szembuch jest człowiek Kruszczowa, Kruszczow to liedniacka opozycja dla Rappackiego.

- Zatem to liedniacy mnie tu sprowadzili?

- Nie. Rozkaz wyszedł od Ormuty.

- Ormuta jest sonnyj rab, sami mówiliście.

- Wtedy jeszcze żył na jawie. Cierpliwości, młodzieńcze, objaśniam anatomję polityczną. Czyj człowiek był Ormuta? Ormuta był człowiek generał-gubernatora Szulca-Zimowego.

- Chadzali razem na iziubry - mruknął pan Wojsław, przełknąwszy alkohol.

Wypuściło się z płuc powietrze.

- To dlatego Szembuch kazał mi czekać! Ormuta somnambulik i teraz nie wiedzą, co ze mną począć! Ani co począć z moim ojcem. Co to w ogóle za pomieszanie funkcji w delegaturze - jakby na dwa Ministerja się rozbili, jedni robią przeciwko drugim. Mało sobie do gardeł nie skoczyli na moich oczach. Co za czynownicy, na miły Bóg!

Kuźmieńcew zarechotał dobrodusznie, rozgrzany śliwowicą; rumieńce piękne zaświeciły mu nad siwym zarostem.

- Czynownicy, tak? Ale tu jest Azja, tu jest Syberja, tu jest Lód! Coście pojęli z całej waszej wizyty? Posady czynowników, Wieniedikt Filipowicz, jak i posady urzędników dworskich, po większej części są już dziedziczne. To znaczy, nie przechodzą tak od razu po linjach krwi, jednakowoż znacznie trudniej otrzymać je człowiekowi z zewnątrz: ci, co je rozdzielają, sami za bardzo od czynowników zależą. Tak? A kto raz usadził się na stołku czynownika, ten do końca życia ma już pewność powodzenia i dobrobytu; no, chyba że wyjątkowym głupcem się okaże albo wtem czort jaki pod skórę mu wlezie, ale na to już nic zaradzić nie można.

- Mówicie o korupcji, Modest Pawłowicz, o wziatkach za przywileje nieprawne.

- Ależ nie! To może u Anglików tak bywa - ale spójrzcie jak Rosjanin. Jakie decyzje podejmuje czynownik, jakie wybory poświadcza w imieniu państwa i Gasudaria Impieratora swoim piórem i pieczęcią? Daleko częściej zdarza mu się decydować między możliwościami, z których każda jest równie słuszna i logiczna; którąkolwiek by nie wybrał, będzie w prawie. Nie musi go łamać, i tak wszystko zależy od jego chęci i upodobania. Tak? I beneficjenci owych decyzji wiedzą o tym doskonale: mógł był komu innemu przychylić dobra, przychylił nam. Czy mu zapomną? Nie zapomną - inni czynownicy nie byliby im tak przychylni. I po latach, gdy czynownik odchodzi z posady... Albo jeszcze za jego urzędu, ale nie jemu, lecz jego rodzinie, przyjaciołom, krewnym... Całkowicie legalnie: posadę, kontrakt, znajomości handlowe, wspólne inwestycje... Jak nie sam beneficjent, to ktoś, kto winien był mu przysługę. A to się zbiera, mnoży przez się, z pokolenia na pokolenie, bo, jako się rzekło, posady i funkcje państwowe są po większej części dziedziczne, tak? Więc mamy familje całe czynownicze, małe imperja gromadzonego wiek i dłużej bogactwa, znajomości, przywilejów, a często też sieci koligacyjne, bo oni się żenią między sobą. Nikt nie ma żadnego interesu burzyć tę konstelację, skoro każdy będący jej częścią odnosi stąd korzyść wielką, a człek z zewnątrz w układ ten uderzający równie dobrze mógłby łbem gołym w marmur bić.

- Skąd zatem ta wojna wewnętrzna w irkuckiej delegaturze Zimy?

- Bo, widzicie, tutaj, w Kraju Lutych, trudniej -

- Ach! Tych wyborów równologicznych i równosłusznych -

- Tak. Widać, że -

- Konieczne.
- Czynownicy -
- Maleją.
- Zamarzają.

Glizdy Lata, robactwo gnilne świata roztopionego między prawdą i fałszem. Cóż im pozostanie do roboty w świecie do reszty zalanym ciemnością, zarzaśniętym w Lodzie? Tyle władzy czynowniczej, ile logiki Kotarbińskiego.

- Wszyscy czynownicy są z duszy ottiepielniki - rzekło się cicho.

- No, ottiepielniki może nie, ale racja, nie pałają oni miłością do Zimy. - Odstawiwszy puste szkło, Kuźmieńcew sięgnął po tabakierkę, nabrał tabaki la długi paznokieć, wciągnął w nozdrze włochate, pomasaował nos. - I tu się odkrywa pierwsza przyczyna zamieszania. Ministerjum Zimy powołano dla zapanowania nad Lodem, tak? Dla zorganizowania życia w Zimie. Na czele postawiono Piotra Rappackiego, demokratę stołypinowskiego, którego teraz mają za ottiepielnika, bo wypowiadał się za konstytucją. A z kolei Sibirchożeto powołano do czerpania zysków z Lodu, tak? Dla Pobiedonoscewa tern większy dochód, im więcej lutych na złożach siedzi. I póki żadna ze stron nie ma rzeczywistego wpływu na Lód, podobne sprzeczności w niczym nie przeszkadzają, ale ja popytałem po ludziach Kancelarii Gienerał-Gubernatorstwa i co się wyjawilo? Uważacie, to są po większej części moje domysły, bo, oczywista, nie powiedzieli mi wprost, ale - tak to właśnie zamarzło.

...Otóż w połowie czerwca przychodzi z Kancelarii Osobistej Jego Imperatorskiej Wysokości pismo do gienerał-gubernatora Szulca-Zimowego z poleceniem przygotowania pomieszczeń, ludzi i zasobów dla umożliwienia w Irkucku nowej pracy naukowej nad lutymi; termin jest miesięczny, a w załączeniu szczegółowe instrukcje i wymagania. Szulc przekazuje rozkaz Towarzystwu Geograficznemu i Akademji Cesarskiej, ale, rzecz jasna, ciekaw jest, w czym dziw, że sam Impierator Wsjerassijskij interweniuje w sprawie jakiegoś naukowca; inżynierów tu przecie mnogo, samych przedlodowych zakładów naukowych stoi w naszym mieście pół setki. Szulc pisze do swoich konfidentów na dworze. Ci mu odpisują, że -

- Nikola Tesla z arsenałem Lata.

- Tak jest. Teraz spróbujcie pójść rozumowaniem gubernatora Szulca: z lewej ma Ministerjum Zimy, z prawej Sibirchożeto, u góry Imperatora, który najwyraźniej wypowiedział wojnę lutym. Sprzeciwić się życzeniom Najjaśniejszego Pana - nie może! Tak?



Tak. Ale dopuścić do zniszczenia Lodu i upadku całej potęgi przemysłowej Syberji - też mu nie wolno. Ja go znam, to nie jest człowiek, który by siedział z założonymi rękoma i patrzył, jak mu się to królestwo złotodajne na powrót obraca w zapomniany przez Boga, cesarza i ludzi kraj zesłańców i wysiedleńców. No i wymyślił między innymi sposób taki: dogadać się z lutymi.

Kuźmieńcew kichnął potężnie, pochwalił Pana, wytarł nos.

- Jak przemówisz do lutego? Nie przemówisz. Ale oto ma gubernator na biurku list gończy za przestupnikiem jericzieskim marcynowym, zesłańcem polskim Filipem Jeroślawskim, Ojcem Mrozem, który - stoi czarno na białym - gada z lutymi. A gdzie ten Ojciec Mróz? Jak do niego dotrzeć?

...Pojęliście?

Usiadło się prosto.

- Wy znacie generał-gubernatora, Modest Pawłowicz, prawda? Od czasu, jak tu przyjechał. Wiecie, jak - jaki zamarzał. Powiedzcie: czy to jest człowiek honoru?

Stary adwokat podniósł brodę, spojrzął spod ciężkich powiek.

- Tak.

- Myśli pan się z nim układać, panie Benedyckie? - spytał Wielicki. - Bo jeśli się pan chce z nim spotkać za plecami czynowników Zimy, to nie będzie takie -

- Nie wiem, nie o to się martwię.

- O co zatem?

- O doktora Tesłę. Zapomniałem o nim zupełnie. Miał już dotrzeć do Irkucka. Z maszynami, ze wszystkim. Ten sekretarz Szembucha wspomniał, jak to Szulc posłał gdzieś kozaków.

- Do ochrony doktora?

- Ale z tego, co mówi Modest Pawłowicz, jasno widać, że hrabia Szulc-Zimowy jest liedniak pierwszej wody, to jest pierwszej kry, nawet jeśli nie z serdecznego przekonania, to z kalkulacji politycznej. Przecie z niczego bardziej by się nie uradował, jak żeby tylko pozostało tu wszystko, jak jest - zamrożone. Pytam, czy to człowiek honoru - czy byłby zdolny nająć agenta-mordercę, coby usunął zagrożenie, zanim ono w ogóle przybędzie do jego miasta?

Pan Wojsław uderzył się w pierś, aż zadudniło.

- Że niby ów terrorysta z bombą - to powiadacie? - z polecenia Szulca pociąg wysadzał?

- Patrzę na okoliczności. Liedniacy mieli tam swojego agenta na etacie ochrony. Ale się zdradził jeszcze przed wyjazdem. I natychmiast posłany zostaje agent następny. A po co posyłać drugiego, jeśli nie dlatego, że dowiedziało się o kompromitacji pierwszego? Ale kto o tym mógł się zwiędzieć? Kto ma takich informatorów w ochronie? I czy Szulc musiał sam najmować człowieka? Wystarczyło mu przecież podsunąć wiadomość liedniakom. Czort wie, czy ów agent w ogóle miał pojęcie, dla kogo pracuje. Ale, to też zauważcie, zaatakował otwarcie - gdzie? W Zimie, w granicach generał-gubernatorstwa irkuckiego. Przypadek, zapewne, zbieg warunków rozmaitych. Dzięki temu mógł jednak liczyć na jurysdykcję swego mocodawcy: cisnąłby bombę, zabił Tesłę, zniszczył maszyny, poczem poddałby się spokojnie i czekał sprawiedliwości hrabiego Szulca. Kuźmieńcew pokręcił głową.

- Nie taki co człowiek, nie taki.

- Wasze słowo, Modest Pawłowicz, maroz prawidłnyj.

Dowód z charakteru: Wielicki ręczy za Kuźmieńcewa, który ręczy za Szulca. Miesiąc temu wyśmiałoby się samą myśl. Ale dziś, ale tutaj - jest to rozumowanie o sile równania matematycznego, C równa się B, B równa się A, ergo C równa się A: *Nie taki to człowiek.*

- ...słusznie, bo Szulc siłą rzeczy broni pryncypiów liedniackich i musi, musi sprzyjać Pobiedonoscewowi, tak? Jak żaden dyrektor Sibirchożeta nie może być ottiepielnikiem, tak samo gubernator Kraju Lutyh nie może żyzyć sobie roztopienia Lodu. I tu, młodzieńcze, leży zamieszania przyczyna druga. - Kuźmieńcew westchnął głęboko, podnosząc na brodzie falę siwą. Splótłszy dłonie na kamizelce na brzuchu, przybrał pozę zatroskanego mędra. - Bo powiedzmy, żeście przez ojca swojego wynegocjowali z lutymi jakiś rozejm, jakiś traktat geograficzny: dotąd Lód, nie dalej; tyle Zimy, tyle Lata; odtąd Odwilż.

Odwróciło się wzrok. PETERSBURG - MOSKWA - KIJÓW - KRYM -

- Powiedzmy, że wszystko poszło po myśli generał-gubernatora - ciągnął mecenas Kuźmieńcew. - To co się wtedy dzieje? Raz, Wiosna w Europie. Tak? Dwa, o, ale dwa to pytanie wielkie, największe: czy w owej Wiośnie odmarza tylko ziemia i przyroda - czy coś więcej, wedle myśli Bierdiajewa i jemu podobnych? Bo jeśli tak, to wtedy jeden przecinek, jeden akcent w tej waszej umowie z lutymi - i upadają monarchje, podnoszą się rewolucje, państwa walą się w gruzy i wojny idą przez kontynenty, od Gdańska do Władywostocu, od

Królewca do Odessy, od Kamczatki do Pekinu. Tak? Tak?

Skryło się twarz za dłonią.

- Zabić Historję.

- Wojsław Christoforowicz, pilnujcie wy go dobrze.

- Zwykłem strzec swych inwestycy - zaśmiał się pan Wojsław. Zerknęło się na niego między palcami. Czemuż to nagle uznał za konieczne przypomnieć o czterysturublowej pożyczce?

- Jaka więc moja dla was rada? - Kuźmieńcew wzdychnął ciężko. - Samiście już powiedzieli, co trzeba wam zrobić: wyjechać stąd czem prędzej. Nie macie paszportu, tak, ale to jest Syberja, tu się ludzie niepomniaszcziję gubią w tajdze setkami. Nie chcę wiedzieć o detalach, gaspadin Wielicki wam na pewno objaśni, co i jak. I nie do Priwislinskiego Kraju jedźcie, bo tam już też Zima; popłynicie do Ameryki, na Antypody może.

- Nie.

Kuźmieńcew uniósł brew krzaczastą.

Odjęło się dłoń od twarzy.

- Rozmrozę ojca mojego, on to ucieknie.

Pan Wielicki przycisnął pięść do piersi. Stary mecenas bardzo był niezadowolony, jeszcze w drzwiach kręcił głową.

- No i po co on mi to mówił, po co...?

Sądziło się, że Wojsław również będzie miał pretensje. Ale on inną rzecz trawił tymczasem w milczeniu.

- W panu krąży ten jad podejrzliwości - rzekł, zawahawszy się w przedpokoju, już obrócony ku sypialni. - Wmarzył w pana na dobre.

- Ma mi pan za złe, że rzuciłem cień na gubernatora?

- Nie zna pan go, wydawało się logicznem, sam pewnie bym tak pomyślał. Ale - Wojsław machnął nad głową, łapiąc słowa, które umykały mu z języka - ale panu przyszło to tak łatwo, tak szybko, tak naturalnie...

- Co pan właściwie próbuje mi powiedzieć?

Wielicki wypuścił powietrze przez nos.

- Pan jest podejrzliwym człowiekiem, panie Benedykcie. Pan nie ufa ludziom, pan się samego złego po ludziach spodziewa, i po sobie chyba też. - Potarł dłonie wielgachne, obrócił pierścień djamentowy na paluchu. - Trzeba panu kogoś do obrony przed tym złem.

### **O starych i nowych znajomych i nieznanym**

- Nie podoba mi się to - mruknął Czyngis Szczekielnikow i pomacał za bagnetem. - Załóżcie okulary. Ciemno jak w dupie Pobiedonoscewa.

We wszystkich oknach, drzwiach i luftach budynku Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademii Nauk płonęły ćmieczki. W śródmiejskiej chmurze nocy od czasu do czasu tylko świecienie wąskie błyskały, ciemność intensywną przesłaniając, gdy przechodzili między źródłami ćmiatła krzątający się w bramie i na dziedzińcu Obserwatorium robotnicy i tragarze, cała chyba drużyna sałdatów oraz zaaferowani pracownicy samego Obserwatorium. Dalej, od ulicy i placu, poza granicą ćmiatła zgromadziło się kilkoro gapiów; zresztą przystawali prawie wszyscy przechodzący, a i sanie zwalniały wyraźnie. Przed główną bramą, na płozach szerokich, obwiązane szmatami i słomą, obsypane śniegiem, leżały wielkie cylindry pływnic teslektrycznych. Między nimi stali kozacy o twarzach azjatyckich przesłoniętych szerokimi goglami marostiekłowemi, z karabinami w rękach.

Widziane przez marostiekła ćmiatło już tak nie oćlepiało. Przeszło się między saniami i kozakami, ich szaremi sylwetami niewyraźnymi. Plamy bezbarwne przepływały z cienia w cień - jedna z plam przypadła, chwyciła za ramię, krzyknęła zdumiona i odstała.

- Gaspadin Gierosławski!

- Cicho, Stiepan, cicho.

Stary Ochranik poprowadził przez główne wejście nowego gmachu Obserwatorium Fizycznego. Tu też stali kozacy, palący papierosy i żujący marhorkę. Ćmiatło przeciekało z zewnątrz i spod okien bocznych, ale w środku paliły się jaskrawe lampy elektryczne i w tej ciągłej walce światła z ćmiatłem, ak w bełtach zupy mleczno-smolnej, kolejne fragmenty muru, posadzki, sufitu, monumentalnych filarów zimnazowych i mebli mamucich - to wyłaniały się, to zapadały się w szarość, w ciemność, mrok podziemny.

Rozpięło się kozuch, zdjęło się czapkę i okulary. Oddech zawisł w mroźnym powietrzu. Skinęło się na Stiepana. Też już mu ćmiecz dobrze zaszła za skórę, nie trzeba było nic mówić

na głos; pochylił głowę i podreptał w mrok.

Rozglądnęło się po wielkiej hali, teraz zabłoconej i zagraconej. Pod sufitem wisiał wysadzany kolorowymi świecidełkami globus. Ścianę wysokiej sieni Obserwatorium (pierwsza kondygnacja na siedem arszynów) pokrywał gigantyczny fresk przedstawiający syberyjski krajobraz letni, fale lasu białozielonego i niebo błękitne jak odwrócone oзеро.

Czyngis Szczekielnikow spojrzał i odcharknął głośno.

- Nie cierpię brzoź, zwłaszcza w lecie. Że tak białe - jakby ptaki je dokumentnie obesrały.

- Pan to jesteś esteta ekstraordynaryjny.

Przejsć się ulicami Irkucka, a niezwykajnemu kulturze Imperjum Europejczykowi uszy uschną, tak plugawy i złem słowem przesycony jest język mieszkańców Rosji wschodniej; i Szczekielnikow nie stanowił pod tym względem wyjątku. Chłop kwadratowy, o kwadratowych łapach i nochalę prostokątnie łamanym, nad kwadratową kością podbródka zwieszonym, wbity w starą gimnastiorkę pod kozuchem podwójnym, w wołokowe pimy do kolan skórą obwijane - tyle miał z osoby kulturalnej, że golił się gładko i nie pluł na dywany. Kiedy go pan Wielicki przedstawił jako człeka sprawdzonego i zaradnego, a przytem męznego serca, co to jeszcze na pierwsze wyprawy djamentowe dla Holendrów chadzał, pomyślało się zaraz, że to jaki zbójca krwawy jest, który stąd się na Syberji wziął, że go z Wielkiej Ziemi za dzieła jego ohydne za Ural na resztę życia słusznie wygnano. Ale to był Sybirezyk rodowity, ponoć urodzony w Republice Żeltugińskiej nad Amurem chińskim. Zbrodnie - popełniał, nie popełniał, no na pewno odziedziczył krew zbrodniczą. Panna Marta chętnie się podzieliła historją Czyngisa. Otóż jeszcze do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zeszłego wieku zasiedlanie Syberji ludnością rosyjską szło tak powoli i opornie, że władze administracyjne rozmaitych nieprzepisowych sposobów się dla tego celu chwycyły, między innymi gubernator Murawjow-Amurski, słynny ze swych oryginalnych inicjatyw, dla podniesienia o kilka tysięcy statystyk „dobrowolnego” zasiedlenia taką metodę obmyślił: pozbierał po wschodniej Syberji wszystkie ładacznicę i dziewczki uliczne, wykreślił identyczną liczbę katorżników, uwolnił ich od reszty kary, a następnie własnoręcznie dobrane pary pożeńił i wyprawił „na osiedlenie”. Czyngis Szczekielnikow był dzieckiem jednego z takich amurskich małżeństw. Trudno rzec, czy zwyciężyły w nim gorsze cechy ojca, czy matki. Nie przedstawiał się otcziestwem. Nie podawał ręki. Nie kłaniał się. Nie mrugał (ta jaszczurcza intensywność spojrzenia najbardziej w nim niepokoiła). Nosił wielkie, wyłupiaste okulary marostieklowe w kościanych oprawkach i dłuwał bagnetem długim pod

kwadratowymi paznokciami.

Pan Wielicki bardzo się przejął listami, jakie zaczęły docierać na Cwietistą siedemnaście już nazajutrz po pierwszej wizycie w Ministerjum Zimy. Nie wszystkie były adresowane do „Gierosławskiego B. F.”; niektóre opisano tak: *Do rak własnych Syna Mroza, Paniczowi Zimy* albo, co gorsza, *Dla Niego*. Zachodzili też jacyś osobnicy zupełnie panu Wojsławowi nieznani, dobijali się do drzwi o dziwnych porach, zagadywali ludzi Wielickiego. Ktoś wrzucił przez okno kamień obwinięty papierem z pogrózkami. Zapowiedziało się wobec tego przeprowadzkę z powrotem do „Czarnej Ręki”, coby nie narażać rodziny Wielickich. Ale ani pan Wojsław, ani zresztą pani Halina, nie chcieli nawet o tym słyszeć.

Nie ma możliwości, żeby tapnięcie w delegaturze Ministerjum Zimy nie poszło głośnym echem po całym Mieście Lodu. Zwłaszcza gdy taka prawda już wszem wobec zamarzła: do Irkucka przybył syn Batuszki Maroza. Ów kamień roztrzaskał także magiczną tarczę ochronną, dotąd oddzielającą domostwo Wielickich od reszty świata. I nagle powróciły wszystkie strachy, któremi żyło się w Ekspresie: jak to każdy człowiek w Irkucku wrogiem jawnym albo jakim agentem chytrym być musi - że dopadną, zabiją - ustrzelą - nóż pod żebro wrażą - ledwo się stanie na irkuckim bruku. Czyż istotnie już pierwszej nocy nie porwali sposobem trumiennym, nie chcieli żywcem w grobie zakopać? Dać im tylko sposobność - rozszarpiać na strzepy. Pamiętało się ów dygot gorączkowy duszy i ciała, w jaki się popadało na samą myśl o tych groźbach - strach - myśl o strachu przyszłym - wtedy, gdy było się także tchórzem.

Pan Wielicki, zawsze przezorny, najał na nadgodziny robotników ze swoich hurtowni, trzech drabów w grubo łatanych płaszczach, zawiniętych w szmaty wojłokowe od stóp do głów, że tylko białobarwne półkule gogli wystawały im owadzio między zawojów. Parujący czarno, pilnowali domu, od podwórza i od ulicy, od rzeki i od strony przesmyku międzykamienicznego, dzień i noc. Kiedy rodzina Wielickich wychodziła do sani, draby kłaniały się paniom i uśmiechały się do dzieci przez szale, chowając wstydliwie za plecami wielkie kije-łamignaty.

Kogo odstraszyli, tego odstraszyli; nie wszystkich jednak. Po zmroku, dwa dni później huk i brzęk głośny rozległ się w domu przy Cwietistej. Obazgrany wulgaryzmami papier obwinięty wokół bryły lodowej, co zbiła okno na piętrze, stanowił tym razem odrywek strony „Irkuckich Nowosti”. Grzegorz, pokojowiec Wojsława, przyniósł go do kuchni i pokazał, rozprostowany. Opatrzony niewyraźną kopją fotografii Nikoli Tesli stojącego dumnie z

rękoma zaciśniętymi na igłach piorunowodów, w krzaczastej aureoli milionwoltowego wyładowania, artykuł ów był zatytułowany: *Doktor gromowładny przybywa do Irkucka!* Z grubym wykrzyknikiem, a jakże, i z fikuśnym podkreśleniem. Posłało się człowieka po najnowsze gazety. Przyjazd Tesli odnotowano we wszystkich dziennikach. „Głos Bajkała” reprodukowało zdjęcie doktora podpisane: *Czarodziej w laboratorjum w Colorado Springs*, na którym Tesla siedział, spokojnie czytając książkę, pod grubymi jak pniaki i długimi na kilkadziesiąt arszynów wężami białych wyładowań; robiło to niemałe wrażenie. Część dziennikarzy spekulowała na temat zamówionych u wynalazcy przez Sibirhożeto cudownych maszyn do produkcji i obróbki zimnaza; inni jednak prawidłowo domyślali się tu ręki Imperatora i intencji bardziej zawikłanych. Kartkowało się prasę nerwowo. Żaden pismak nie dowęszył do szczegółów, niemniej bardzo niepokojącym był sam fakt, że w ogóle znalazł się ktoś, kto połączył ze sobą nazwiska Nikoli Tesli i Benedykta Gierosławskiego. Kto wiedział, że jechało się tym samym Ekspresem? Czy przeciek wyszedł z Ministerium Zimy - jedna frakcja podszeptująca plotki przeciwko drugiej? A może sam Serb wygadał się komuś, podpuszczony? On miewa takie ciągoty megalomańskie, nerw do teatralnej dramaturgji, jak powiedziałyby *mademoiselle* Filipov. Ale potrafi też być paranoicznie skrytym, tygodniami nie wychylać nosa ze swoich laboratorjów.

Pytanie: jakim człowiekiem zamarnie - zamarzał - Nikola Tesla?

Ludzie się zmieniają - aż przestają się zmieniać.

Ale on, on odsysa z siebie co dzień przed śniadaniem prawdę i fałsz wiadrami, butlami, na pudy czarnej soli, na galony ćmieczy. Przyrzekł pomoc? Cóż z tego - pompując się do imentu, przerażony wizją umysłowego Mrozu, zdolen jest zarazem dotrzymać i nie dotrzymać słowa, zarazem zmilczeć i zdradzić, pomagać ottepielnikom i pomagać liedniakom, służyć carowi i służyć Pobiedonoscewowi, równocześnie ratować Ojca Mroza i wydać go w ręce Szulca, jednako szczerze, rozumnie i logicznie.

Stąd wizyta poranna, w porze przed drugim rytuałem teslektrycznym.

Pan Szczekielnikow mierzył wzrokiem bazyliżkowym kozaków ćmiących papierosy przy koszu węglowym pod przeciwległą ścianą (potrafił tak godzinami wbijać w obcego człeka spojrzenie gniewne, zaciekle) i nie spostrzegł, gdy z głębi sieni, spod łuku schodów wyłoniła się wysoka postać Nikoli Tesli. Za długimi krokami Serba starał się nadażyć Stiepan, z dreptającym mu z kolei po piętach drugim siwym okularnikiem. Tesla odpędził ich ruchem dłoni w białej rękawiczce i zgrabnie wyminął Czyngisa. Serb był w eleganckim

garniturze jednorzędowym, na ramiona narzucił futro czarne o rozłożystym kołnierzu. Na rozczesanych symetrycznie od centralnego przedziałka włosach lśniła pomada i pobłyskiwały światło i czarne iskry. Pozostawiał za sobą węglowy powidok, jak ciąg projekcji astralnych, sukcesywnie gasnących; te najbliżej stały jeszcze na schodach, zstępowały na posadzkę sieni i dopiero unosiły głowę na widok gościa niespodziewanego, uradowane.

- Panie Benedyckie.

- Doktorze.

Uśmiechał się szeroko. Uścisnęło się mu dłoń.

- A więc.

- Tak.

Przyglądał się z gorącą sympatją, nachylony na pół opiekuńczo.

- Chorował pan.

- Źle wyglądam.

- Już lepiej.

- Ale.

- Tak. I po oczach.

- Oczach?

Dotknął palcem w bawełnie dolnej powieki.

- Organ, który wchłania promienie émiatła...

- Ach!

A zatem sam był teraz odćmieczony, nie mogło być wątpliwości. Zza doktora wysunął się kwadratowy Czyngis, splunął, pomacał za bagnetem.

Serb spojrział dobrodusznie.

- A on - kto? - spytał, pozostając przy języku niemieckim.

- Nie podoba mi się to - powtórzył pod nosem Szczekielnikow, łypiąc nieufnie na kościstego Serba.

- Co jemu dolega? - zaciekał się Tesla.

- Zdrow, zdrow. Tylko że podejrzliwy nadzwyczaj.



- He?

Się podrapało się pod zarostem gęstym.

- Największy podejrzliwiec i malkontent, jakiego dało się znaleźć po tej stronie Bajkała.

- I na co on panu?

- Ba! A czyj to pomysł, te ćmieczki?

Tesla odprowadzał wzrokiem następną pakę blaszaną wniesioną z ciemności ulicznej przez czwórkę zadyszanych tragarzy.

- No tak. Stiepan i jakiś miejscowy oficer, co go tu nam przysłali, bardzo się boją szpiegów i dziennikarzy, że niby, wyobraź pan sobie, sfotografują maszyny cesarskie i skandal z tego albo krach jaki polityczny będzie.

- Musimy pogadać na osobności.

- Wiem.

- Maszyny.

- Mhm? Co „maszyny”?

Taak, odćmieczony do poziomu dzieciennego rozkojarzenia.

- Wszystko zależy, w jakim stanie ocalały.

- Niezłym. Większość.

- Ile potrwa?

Tesla poprawił futro na barkach, wsunął głębiej chusteczkę do kieszonki wtem w półobrót się na obcasie ku niższemu o ponad głowę Szczekielnikowowi.

- On nas podsłuchuje - stwierdził, zdumiony jawną beczelnością zbója prostokątnego.

- Wszyscy patrzą - stwierdziło się z niejakiem rozbawieniem. - Pan zobaczy: Stiepan i ten tam siwy, oni czekają na pana -

- Mhm, czas, czas, tak, dzisiaj mamy zacząć palić studnię. W takim razie zapraszam do Nowej Arkadji! Christine się ucieszy. I gdy tylko się tutaj urządzę - niech pan zajrzy czem prędzej. Pokażę panu... Zresztą... Ale dobrze, dobrze pana widzieć! Ach - przeskakiwał ze skojarzenia na skojarzenie - opowiem panu, co -

- Dzisiaj jestem umówiony na obiedzie, jutro może.

- Jutro na pewno!

Się zaśmiało się.

- Na pewno.

Ponownie wyciągnął rękę.

- Nie powinni byli zobaczyć nas tu razem - szepnął, schwyciwszy dłoń orękwicznioną w dłoń orękwicznioną.

- Nic pan nie poradzi, doktorze - westchnęło się. - Zamarzło.

Skinął głową.

Uniosło się łaskę.

- Panie Szczekielnikow!

Czyngis nasadził na nochal marostiokła.

- Widział gspadin Je-Gje-Gierosławski, jak on się zestrachał? Ja znam Cyganów, z Cyganami nigdy nic dobrego. Rachuj pan pieniądze w kieszeniach! Widzicie go, jaki lutowczyk tegi - a niby dopiero co przyjechał. Wszystko to ciemna sprawa, mówię wam. A, jebał ich luty.

Jebał ich luty, ryj lodem skuty. Kto o drogę pyta, ten na mrozie zdycha. Kurwa zimna - matka winna; kurwa gorąca - ojca winiąca. Na takie i podobne pagaworki i mądrości uliczne matierszcziną zawieszistą podane człowiek mógł zawsze liczyć z ust Czyngisa Szczekielnikowa. Panna Marta nie wpuszczała go nigdzie wyżej parteru; schodziło się od Wielickich i on czekał w wysokiej sieni na dole. Tu też żegnało się go. Nie podawszy ręki, nie skinąwszy głową, nie mruknąwszy słowa, odwracał się plecami i wbijał piąchy sześcienne w kieszenie podwójnego kozucha. Ranka pewnego zaszło się do kuchni dolnej i zastało się go w towarzystwie dwóch drabów Wielickiego - siedzieli w milczeniu w trójkę przy stole, gniotąc w łapskach kubki z samogonem i gapiąc się ponuro przed siebie. Jedyna różnica polegała na tym, że dra by się nie golili.

Po prawdzie, jeśli odliczyć nowoprzybyłych z Wielkiej Ziemi i sfery naj wyższe, to właściwie nie widywało się tu mężczyzn gładkoliczych: goląc się niszczy mężczyzna naturalne natłuszczenie skóry, stąd łatwiej potem o odmrożenia. Zajrzało się w lustro. Broda zdążyła odrosnąć, choć jeszcze nie do rozmiarów warszawskich; odrosła też czupryna. Zawołało się pokojowca coby na powrót kudły ściał i zdjął po nich szczecinę. Co zamarzło, to za marzło.

Blizny na policzkach pokrył zarost, jedna tylko była widoczna, najdłuższa idąca pod samo oko. Nacisnęło się skórę. Od czego właściwie to znamię? Od upadku z Ekspresu? Od liści żelaznych Podziemnego Świata? Od sopla Jerofieja marcynowca? Spojrzało się w zwierciadło ponownie, już po brzytwie - naga czaszka, czarny zarost zniekształcający rysy twarzy, spojrzenie suchotnika spod brwi czarnych. Otóż było między papierami z Ministerjum (Zim) jedno stare zdjęcie ojca, sporządzone do akt więziennych po jego przybyciu na katorgę, datowane na jesień 1907: Filip Gierosławski, lat dwadzieścia dziewięć, z rasputinową brodą, ostrzyżony na łyso na modłę zesłańcza, w marynarce pomiętej i koszuli starej. Zrzuciło się ubranie. W czasie choroby schudło się jeszcze bardziej, można było teraz żebra liczyć i kości obmacywać, Stańło się profilem, stanęło się tyłem, spoglądając ponad ramieniem. Niewiele trzeba, pomyślało się, ciało to domek z kart: dotknięcie, podmuch - i wszystko się rozpada. Lód - co by nie mówić, jest to jakieś wyjście. Któż może stwierdzić, jak się wykręci umysł człowieka po dziesięciu latach ciężkich robót w rotach leśnych i drużynach górniczych? Epifanja Ziejcowa nie była przecież niczym niezwykłym. Wszyscy prorocy i gnostycy przychodzą z pustkowi, z wielkich odludzi. Na pustyniach palestyńskich widzi się krzaki gorejące i aniołów ognistych; na Syberji - apostołów lodu.

Wdziewając ostatni ocalały garnitur (ekscesy transsibowe kosztowały bodaj połowę nabytej za judaszowe ruble garderoby), pomyślało się, że może jednak rozsądniej będzie zacząć obliczanie ojcowych Dróg Mamutów od drugiego końca, to znaczy nie od objawień mroźnych, lecz od katorgi jeszcze, od pierwszych lat na zesłaniu, i co go do Marcyna wtedy przywiódło, w jakim kierunku szedł, że doszedł, gdzie doszedł - i gdzie dalej pójdzie - dokąd biegnie cienka, przerywana linja jego Drogi - ażeby go na niej dopiero wyprzedzić i tam spotkać.

A garnitur najlepszy był koniecznym - na obiadach proszonych u państwa Wielickich bywają różne znamienite figury z irkuckiej socjety i finansjery, ba, ze sfer rządowych także, taki Giermes Daniłowicz Futjakow na przykład, członek dumy miejskiej, któremu wrózano, iż rychło zastąpi na fotelu burmistrza Bolesława Szostakiewicza. Futjakow przychodził zawsze godzinę przed; zamykali się z panem Wojsławem w gabinecie, skąd rajca wylaniał się rozgrzany i rozpromieniony. - Gaspadin Futjakow - poinformował Wojsław półszepem, nachylając się przez stół - jest bardzo uczciwy złodziej. - Mówił to lekko i z uśmiechem, ale żyło się już w Kraju Lutych wystarczająco długo, by w lot pojąć wagę tych słów. A równa się B, B równa się C, C równa się D, ergo Giermes Daniłowicz Futjakow jest uczciwy złodziej. I dalej: Pierre Iwanowicz Szocza z rodu skoligaconego z Hohenzollernami szwabskimi przez

jakiś rumuński mezalians, młodzian wątlej postury i androgynicznej urody, pojadający od niechcenia po pół kęsa z potrawy. - Słynny kobieciarz i morfinista, leń urodzony - mówi pan Wojsław. A tu znowuż - no kto? Nikt inny jak pan Porfiry Pocięgło, dyrektor Towarzystwa Metalurgicznego i Górniczego Kossowskiego i Boulangiera. - Gienjusz o gorącym sercu. - Dalej: Bittan von Azenhoff, jeden ze starych bogaczy irkuckich, przemysłowiec ery przedzimmnazowej, teraz już tak bogactw syty, że dla rozrywki chwytający się coraz to innych afer i interesów; współwłaściciel domów publicznych i organizator niesławnych kuligów angarskich. - Nieszczęśliwy pabieditiel. - Dalej. Andriej Jusze, młody bankier, świeżo ożenion z siostrzenicą rabiego Izraela ben Kohen. - Dobrze wychowany tchórz. - Pan Saturnin Grzywaczewski, wicedyrektor u Kruppa, zapalony myśliwy, przy każdej okazji wrywający w tajgę; lewe ramię ma nie w pełni sprawne, po spotkaniu z niedźwiedziem pozostała wielka blizna, widać ją spod mankietu koszuli. - Pracowity egoista. - Pan Jeż Wólka-Wólkiewicz, pisujący korespondencje do petersburskiego „Kraju” i „Tygodnika Ilustrowanego”. - Piłsudczyk jawny, zagniewany na cały świat i pół Ameryki. Trzeba wam wiedzieć, że pod pseudonimem redaguje pan Jeż także „Wolnego Polaka”. - *Et cetera, et cetera*; a wszyscy oni srodzy lutowczycy, z ćmieczą wżartą pod skórę i poćmiatą ostrą płożącą się na twarzach, włosach i odzieniu.

Za każdym razem spoglądając wzdłuż stołu, przepowiadało się w myśli Wojsławowe ich charakterystyki, niczym przypisane do gości mocą etykiety tytuły i honory niezbywalne. Jakże to - zawoła wykształcony Europejczyk, czytany we Freudach i Bergsonach - jakże, człowiek to nie przedmiot mierzalny, bryła materjalna opisywalna w skalach i jakościach: że ten jest taki a taki, a ów - taki, nie inny, i tamten - taki dokładnie. Jakże? Zamknąć człowieka w słowach – ba! w dwóch słowach prawdę o nim rzec - niemożliwość! Nie ma tchórzy i nie ma odważnych, nie ma szlachetnych i podłych, nie ma świętych i grzeszników. Nie da się rzec prawdy o człowieku w żadnym języku międzyludzkim! A tu powiedzą: leń urodzony - i to jest prawda! Złodziej uczciwy - prawda! Pracowity egoista - prawda! A jak spóbujesz skłamać - skłamiesz z pewnością zupełną kłamstwa.

Przyglądając się im ukradkiem znad talerza, przesuwano się językiem wzdłuż podniebienia, szukając tego smaku i odczucia pamiętanego z pociągu po sesji u doktora Tesli. Czy więc rzeczywiście istnieje takie miejsce - taki czas - w Lodzie, pod absolutną władzą Mrozu, gdy aletheimetry sięgają końca skali, ćmiecz krystalizuje się w żyłach i teslektryka strzela z palców czarne mi piorunami - takie miejsce, taki czas, że język drugiego rodzaju staje się tożsamym z językiem pierwszego rodzaju i można wypowiedzieć, czego nie można

wypowiedzieć?

Od pierwszego obiadu proszonego o niczym innym się nie marzyło, tyl ko żeby podслуchać jakoś w biesiadnym gwarze słowo szeptane przez pana Wielickiego do ucha któremu innemu gościowi - słowo o Benedykcie Gierosławskim.

- *...est-ce possible? Cest à peine croyable.*

- *Nullement*, sam przecież się tam skusiłem, to jeden z tych doktorów chińskich. Pani spojrzysz - a tych palców nie mogłem w ogóle wyprostować *Alors*, kładziesz się na materacu twardym, wcale nie najczystszym zresztą a Chińczyk wbija ci w ciało igły tungetytowe. Nazywa się to Sztuką Czeń-tsju Osobliwie na reumatyzm i dolegliwości wieku zbawiennem się okazuje. Doktor zapala jakieś kadzidła, żar do igieł przykłada i wtedy takie zimno kojące po mięśniach idzie...

- Słyszałem ja także o doktorach chińskich przyrządzających na tungetycie mieszanki opjumowe - rzekł Pierre Szocza. - Miał pan może sposobność zakosztować i tego?

- A nie, wie pan, nie złożyło się jakoś.

- Otóż, widzicie panie, w czym pono niezwykłość odurzeń czarnoopjumowych - bo sonnyj rab nie potrzebuje niczego, prędzej na odwrót: zioła weń leją, żeby na stronę jawy go przeciągnąć - ale czarne opjum, ach! - rozmarzył się młodzian i w rozmarzeniu tym wbił na widelec i wsadził do ust kartofla całego. - Mmm, czarne opjum, ono działa inaczej zupełnie.

- Pan zażywasz?

- Jak pan Grzywaczewski to ujął ładnie, „nie złożyło się jakoś”.

- Ale zna pan kogo zażywającego?

- I tu przeszkoda następna. Znam, a raczej znałem ja dwóch koneserów orjentalnej medycyny, którzy twierdzili, iż tą czy inną drogą weszli w posiadanie owego proszku. Oczywiście ciekawym będąc jego właściwości, przysiąc sobie kazałem, że zaraz zdadzą mi szczerą relację ze snów i doznań wszelakich, zajędo: przyjemnych i nieprzyjemnych. Ale zawsze potem już do spotkania nie dochodziło; zniknęli gdzieś obaj bez śladu, mgła nasza maroźna ich połknęła, mhm.

- Wszystko to sprawka tych chińskich szajek - burknął Giermes Daniłowicz. - Tych trajad, czy jak je zwą. Biały Lotos! Dzieci Doktora Sun! Pięść w Imię Sprawiedliwości i Jedności! Kto ich tak nazywa? Skaranie boskie Chińczyk a Chińczyk - masz, odróżnij

mrówkę od mrówki. I naturalnie po rosyjsku też nie mówią. A dowiadujemy się tylko, jak znowu jakie plugastwo się od nich po mieście rozlezie, albo jak wtem broń palną u nich znajdziemy.

- Panowie się może boicie chińskiej rewolucji? - zaśmiał się redaktor Wólka-Wólkiewicz.

- E, tam, drogi panie, Chińczyk nigdy w żadne socjalizmy nie uwierzy, za bardzo rodzinni to ludzie, żeby zdać własność od pokoleń gromadzoną albo nad mądrość starców mądrość tłumu przedłożyć. Każdego roku staje w ichnim cesarstwie setka nowych zakładów przemysłowych na milion juanów. Wiem, co mówię, handel z nimi mam. Na chytróści chińskiej niejedną potęgę budujesz! A przytem jak odporny to naród na ideje górnolotne - taka tylko u nich idea: praktyczność. Czytałeś pan Konfucjusza? Jedne nacje, jak Polacy, z przeproszeniem szanownych gospodarzy, mogły sobie żyć w swobodzie z dobrodziejstw ziemi mlekiem i miodem płynącej, i przez to nigdy się nie nauczyły karności i jednomyślności dla przedsięwzięć mocarstwowych koniecznej, a inne nacje, jak chińska, od zarania w wielkie prace rzeki regulujące musiały się organizować, ażeby w ogóle przeżyć, i stąd masz Wielki Mur, stąd nasz imperjum czterechtyślatnie.

- Może się mylę - rzekł Andriej Jusze - ale może się nie mylę, a jak się nie mylę, to jest tak, że oto partja rewolucyjna antymandzurska czeka tylko sposobności dla wystąpienia przeciwko cesarzowi, a że nie ma jeszcze lutech na południu Chin, to tam powstania chłopskie się szerzą, doktor Sun wojska zbiera, i że nie ma Lodu w Hongkongu, to -

- Darujesz mi pan - jęknął von Azenhoff - mnie głowa od tego boli, mnie mózg puchnie i nosem wycieka, jak słyszę o Lodzie i Historji. Bujda, moi państwo, bujda marcynowa na gumie i resorach!

- Jak pan może, doprawdy! - obruszyła się pani Grzywaczewska, rzucając spłoszone spojrzenie na ten koniec stołu.

Von Azenhoff palnął dłonią otwartą w obrus.

- A co mnie tam, że niby w domu powieszzonego nie mówi się o grawitacji? Pan Gierosławski mi wybaczy. A jak mi nie wybaczy, to ja jego nie chcę znać, bo i po co? - Zaśmiał się znowu. - Mam ochotę na szczyptę bezczelności do tej kaczki, *notabene* znakomita, rączki całuję pani Halince; na szczyptę bezczelności dzisiaj. Co pan powie, panie szanowny?

- Też tak sędzę - odparło się, krojąc Michasi mięso. - Że to bujda.

- Ajajaj, ale dlaczegoż musi się pan zaraz ze mną zgadzać? Pan się nadać powinien z delikatności uczuć urażonych, obelgami mnie obrzucić, a w ogóle to cisnąć te sztuce w szkło i trzasnąć drzwiami. O!

- Toż musiałbym chyba w ogóle na miasto nie wychodzić, zamknąć się w pokoju jak Pobiedonoscew w wieży.

- Ha, a wiesz pan, dlaczego Pobiedonoscew na światło nie wychodzi? Czekaście, to jest plotka świeża. Owóż choroba francuska tak go pono przeżarła, że sam własnego widoku ścierpieć nie może i -

- *Herr Bittan!* - huknął z drugiego końca stołu zagniewany pan Wielicki.

- Jak mówię - kontynuował von Azenhoff - kaczka znakomita, znakomita.

Dodać należy, iż Bittan von Azenhoff był z wyglądu starszy pan dystyngowany, patrycjuszowskiej urody, o włosach lekko siwizną ośnieżonych, w garniturze eleganckim z angielskiej wełny, z monoklem wiszącym na klapie i szpilką djamentową w fularze. Przychodził na obiady do Wielickich sam owdowiał w zeszłym wieku jeszcze.

Żona Andrieja Jusze była przyjaciółka serdeczna żony pana Wojsława, plotkowały nieprzerwanie przez stół, mało co w ogóle jedząc; zresztą niewiast tak mocno ściśniętych gorsetami, jak tu, w Irkucku, nie pamiętało się z Królestwa wcale. Rozmawiały o romansach, sklepach nowootwartych, romansach, dzieciach, romansach, migrenach od Czarnych Zórz, romansach, cenach materiałów na suknie balowe, romansach, romansach i romansach Lutowczycy lud wielce kochliwy, pomyślało się, odsuwając krzesło Michasi dziewczynka pobiegła do taty na kolana. Cóż takiego jest w fenomenie zagęszczenia ćmieczy, że powoduje ludźmi ku afektom sercowym? Przecie t(forma obłędu i nagła zmiana w naturze człowieka; zdarzać się to tu nie po winno.

Jeśli jednak jest na odwrót, jeśli mylą się wszyscy poeci, błędzą romantycy - i miłość nie jest stanem w żaden sposób niezwykłym, lecz właśnie naturalną podstawą prawdy o człowieku, od której dopiero się odchodzi, gubiąc się w świecie pomiędzy „tak” i „nie”... Człowiek kochający jest prostszy i bar dziej prawdziwy od człowieka niekochającego. Komplikacje i niepewności rosną wraz z oddaleniem od miłości. Ziejcow by się pewnie pod tym podpisał Można to sprawdzić chociażby na parafjalnych rejestrach ślubów i chrztów generał-gubernatorstwa. Obłęd to egzystencja bez uczuć, choroba to beznamiętność, perwersja to życie po miłości puste. Kto kocha, ten zdrowieje. Uczucie przemawia językiem dogmatycznych pewności; to z suchych rozumowań, pasji i żądry pozbawionych, pochodzi

wszelka niepewność, wszelkie półprawdy i półfałszy. Spojrzeć na Michasię w kamizelę Wojysława wtuloną, tak dziecko zamarznie w prawdzie dziecka; a nie masz jedynoprawdy żadnej w dziecku od rodzica oderwanem.

Się przesiadło się na zwolnione krzesło po prawicy redaktora Wólki-Wólkiewicza.

- Słyszałem, że znał się pan z Filipem Gierosławskim.

Zmieszał się i w pierwszym odruchu nastroszył gniewnie.

- Od kogo to słyszeliście?

- A więc znał się pan! Tu się spotkaliście?

Obrócił się przodem, opierając siwą głowę na rękę wpartej między szkło.

- Drogi chłopcze, naciągasz starca na wspomnienia przy winie, zbyt okrutna zabawa. - Zachichotał chrapliwie. - Przede wszystkim, to nie było tak... ale, ale, ile pan właściwie wiesz o jego robocie podziemnej?

- Nic.

- Nic? Nic. Mhm. No więc przede wszystkim nie było tak, że myśmy się zesłi jako jacyś polityczni bracia, żołnierze jednej idei.

Zamachał na służącą, wskazując kielich; dziewczyna, ominąwszy zgrabnie dzieci rozciągnięte na dywanie, wiążące wielką kokardę na pomiaukującym głośno kocie, nalała do pełna owocówki czerwonej. Pan Wólka-Wólkiewicz przeciągle siorbnał, westchnął i skinął zapraszająco, coby się przybliżyć jeszcze. Się przysunęło się wraz z krzesłem. Pan Jeż założył nogę na nogę, poprawił muszkę pod grdyką wydatną, chuchnął.

- Taaa. Kiedy rozmawiam teraz z młodymi, albo kiedy trzeba coś im w polemice wyłożyć na łamach prasy, widzę, jak trudno pokazać im przeszłość naszą w całym jej ruchu, zmienności, płynności, niezdecydowaniu. Tem bardziej tutaj, pod Lodem, gdzie wszystko zdaje się tak pewnem i wiecznotrwałem. Klątwa! Jak wytłómaczyć, że było się kim innym, niż jest się teraz? Jak przemówić szczerze w imieniu nieistniejącego?

- Usprawiedliwić błędy młodości.

- No właśnie nie, mój chłopcze, nie błędy. Pan zakładasz, że były wówczas rozwiązania lepsze, które się z głupoty czy z ułomności charakteru pominęło. Ale czy dziecko rozumuje jak człowiek dorosły? Czy to jest błąd dziecka, że myśli jak dziecko? Czy to były błędy nasze, że myśleliśmy, jak myśleliśmy?



...Weź pan tysiąc dziewięćset piąty. Wcześniej nawet, tysiąc dziewięćset czwarty, kiedy się PPS począł łamać na tle pierwszej wojny japońskiej. Teraz pan słyszysz: „Piłsudski” i myślisz: „terrorysta”, „bojowiec pociągi wysadzający”, „dywersant japoński”, „syberyjski watażka”. Ale przecie lata długie on był pierwszy socjalista Polski, działacz podziemny PPS-u, za wydawanie „Robotnika” do rewolucji proletariatu agitującego ścigany przez wszystkie policje carskie i za to więzion. Co prawda wtedy niewielu o nim słyszało. A jeszcze wcześniej: czy w ogóle wzięłby się za poważną działalność rewolucyjną, gdyby go na Sybir nie zesłali za niewinność, w tamtym procesie Narodnej Woli o zamach na cara Aleksandra? Pewnie żaden by był z niego konspirator, gdyby nasampierw za konspirę niebyła go na pięć lat nie skazali! Tak fałsz się przypadkiem uprawdziwia. Lato!

- Ale co to ma do fatra mojego?

- Bo z nim to nie inaczej! Myślisz pan może, że on był socjalista z przekonania wrodzonego? Są takie czasy, kiedy idea wchodzi w ludzi jak drobnoustrój z fluidami przenoszony, jak influenza pospolita - czy Piłsudski, czy Brzozowski, jedno źródło idei - nie sposób się uchronić przed zarażeniem, pytanie tylko, jak prędko się ozdrowieje. A wtedy wszyscyśmy chorowali na socjalizm.

Naraz łypnął nerwowo znad kielicha.

- A pan, że tak prosto z lufy zapytam, jak politycznie stoisz?

- A to ja prosto z lufy rzeknę, że politycznie to ja w kącie siedzę.

- A, to takie teraz mody w Kongresówce!

- Nie, proszę pana. W Kongresówce Zima.

Parsknął.

- W Kongresówce Zima, a tu co? Partja Siedzących w Kącie nie zapisała się chlubnie w historii Polski. Pan sądzisz, że jak w kwestjach politycznych milczysz, to to już nie jest polityka? To też jest polityka, tylko że najgłupsza z możliwych! - warczał podwścieklony. - W moim pokoleniu niewielu znajdziesz podobnych naiwniaków. Pan Filip też był przecież człowiek krwi gorącej. Nie potrafił długo usiedzieć w miejscu. Tem bardziej w kącie, he, Do pierwszej wojny japońskiej ideje socjalistyczne chyba do reszty mu już wywietrzały z głowy. Nie, nie znałem go wtedy. Opowiadał mi conieco. Do PPS-u chyba nigdy się nie zapisał. Ale w tysiąc dziewięćset piątym wyraźnie sprzyjał już „starym”; ten rozłam poszedł po linii rewolucji proletariatu i powstania narodowego. Piłsudski wybrał wtedy becję, znaczy:

Organizację Bojową, i wojsko. Pan Filip nie zwierzał mi się z aż takich szczegółów swojej działalności, zesłańcy po katordze bardzo dyskretni w owych sprawach się robią, he, nazwiska, miejsca, daty, nie, nie podam panu.

- Toteż nie pytam. - Kocur okokardowany otarł się o nogawkę; złapało się go za grzbiet, podniosło. Zwinął się w kulę na podołku i wykręcił brzuchem do góry. Drapało się go lewą dłonią, prawą smakołyki ze stołu do pyszczka podając. Oblizywał się z kocią satysfakcją, mrużąc ślepia nie bez pewnej podejrzliwości: karmi, to dobrze, ale może przestać karmić, może się zbiesić nagle, kto go tam wie, człowieka. - Jak go zwolnili w tysiąc dziewięćset siedemnastym -

- Tak, wtędym go spotkał u Wierczyńskiego. Wierczyński prowadził tu dom pomocy dla zesłańców. - Nie odwracając wzroku, pan Jeż przeniósł spojrzenie w inne miejsce, a raczej w inny czas: zapatrzył się w przeszłość. - Bardzo mizernie pan Filip wyglądał, bardzo mizernie. W ogóle nie jest to przecież człek potężnej postury, a katorga zawsze ludzi wycieńcza, karleją, gasną. I to zapamiętałem najlepiej, jak uniósł się honorem na propozycje jakichś datków z litości oferowanych. Po dziesięciu latach robót stał prosto, trzymał głowę wysoko, patrzył w oczy, podawał rękę jak wolny człowiek, miał głos jasny i czysty; w łachmanach, mizerny w ciele, ale trzymał się jak szlachcic. To dobrze pamiętam, panie Benedykcie. Pana ojciec robi na ludziach wrażenie, nie wycieka tak z pamięci jak byle przygodny znajomy-nieznajomy; spotkałeś Filipa Gierosławskiego, to dobrze wiesz, kogo spotkałeś. W tym istotnie podobny jest Piłsudskiemu, też przecież nie Waligórze.

...Myślałem pomóc panu Filipowi - pewnie właśnie dlatego, że pomocy nie chciał. Poprosiłem go, żeby spisał swoją historję; zapłaciłbym mu od słowa. Przecież rozpoznałem nazwisko, czytałem kilka jego rzeczy, miał ostre pióro, może nie nazbyt lekkie, ale ostre, ostre.

- I co, spisał?

Pan Wólka-Wólkiewicz wykrzywił swą twarzyczkę borsuczą, ozdobioną białym pędzlem wąsa.

- Odwiedził mnie w redakcji. Wydawałem wtedy „Sibir-Polaka”. Obiecał mi dziesięć stron pod tytułem *Jak zostałem rewolucjonistą*; i może by i co więcej skreślił. Ale poznał się od razu z tymi i z owymi... - Pan Jeż skrzywił się ponownie.

- Z kim? Z piłsudczykami? Z marcynowcami może?

Stary redaktor uciekł spojrzeniem, szybko pokrywając zmieszanie gniewną irytacją.

- Ja wszystko rozumiem, syn szukający ojca, rozłąka wieloletnia, rodzinna tragedia *et cetera*, ale gdy zaczynasz mnie pan pytać o -

- Nazwiska, miejsca, daty.

- Może kiedy *dementia* na starość mnie rozbierze - ale wtedy, dzięki Bogu, pozapominam wreszcie także tajemnice te niebezpieczne.

Cóż, jest to myśl, która wszystkim prędzej czy później do głowy zagląda: syn spiskowca poszukiwanego przez Imperjum sprowadzony na życzenie i kosztem Imperjum, nie w kajdanach przecie - wobec kogo tak naprawdę jest lojalnym? Przemysłowców i burżujów polskich zimnazowych niewiele to obchodzi, lecz ludzie pokroju Wólki-Wólkiewicza nieustannie mają się na baczności.

- Z pewnością jednak może pan wskazać osoby, które znały wtedy mojego ojca, a nie zostały uwikłane w żadne sprawy polityczne, nielegalne; byli przecież tacy.

- Noo, oczywiście. Ale skąd niby ja miałbym ich znać?

- Gdzie mieszkał? Z czego się utrzymywał?

- Ach, prawda! - Pan Jeż odchrząknął, przeplukał gardło winem owocowym, odchrząknął ponownie. - Tak, u Wierczyńskiego zatrzymał się na krótko. W Irkucku pomieszkiwał... Ale co pan wyrabiasz z tym kotem!

- Uch, bestja nienażarta. Pomieszkiwał...?

- U jakiegoś szewca, byli chyba w jednej rocie, ten szewc dostał piątkę za przemyt czy paserstwo, zaraz, takie prostackie nazwisko - Kucba? Hucpa? Wucba? Wucba! Henryk Wucba!

Henryk Wucba, szewc, tysiąc dziewięćset siedemnasty.

Gdzie on w Irkucku ten warsztat szewski ma? Jadąc nazajutrz do Nowej Arkadji, spytało się Czyngisa Szczekielnikowa. Nie wiedział. Obiecał się rozpytać; zajdzie się tam zaraz z rana.

Nowa Arkadja, wybudowana na miejscu Arkadji dziewiętnastowiecznej, podtrzymywała tradycję najdroższego hotelu Irkucka; w innych Nikoła Tesla nie zwykł się zatrzymywać. Osobista Kancelarja Imperatora, czy kto tam opłacał wydatki Tesli, najwyraźniej nie postawiła finansowych ograniczeń w podobnych kwestjach; może nie ośmielali się mu

odmawiać po wypadkach transsibowych. Mieszkał w sześciopokojowym apartamencie na najwyższym, ósmym piętrze. Z okien rozciągał się widok na mgły, dachy i mgły. Dudnienia bębnow burjackich prawie nie było słychać. Służba hotelowa zastawiła stół na cztery osoby. Kiedy się weszło, poderwały się spłoszone panny: Christine i Jeleną.

Stało się w miejscu, współsparalizowanym.

Panna Muklanowiczówna spłonila się uroczo, oczy spuściwszy i wargi ściągawszy. Uśmiecha się do własnej pamięci i do własnej pamięci rumieńcem płonie - już wspomnienie niedokonanego z ostatniej nocy transsibowej ważniejsze jest od wszystkiego, co dokonane.

*Mademoiselle* Christine zakryła usta obfitym mankietem bluzki. - To ja pójde po Nikole.

Stało się i patrzyło. Jelena zbliżyła się powoli, krok za kroczkiem. Ujęło się jej dłoń, podniosło do ust. Odruchowo zacisnęła ją w piastkę.

- Panie Benedykcie...

- Panna miała -

- Ale pociągi -

- ...do sanatorjum -

- ...wysadził w powietrze -

- Prawda, czekacie więc.

- Czekamy.

Uśmiechała się otwarcie. Pocałowało się ponownie kostki chudych paluszków, raz, dwa, trzy, cztery.

- Trzeba było choć liścik podesłać.

- Po co liścik?

- Żebym wiedział!

- I co by pan zrobił?

Jest w tym rytm - w droczeniu, w przekomarzaniu dziewczęciem - jest melodia.

- Nie chce mnie panna teraz na oczy widzieć, tak.

- Widzimy się przecież. Ale! Niech-no ja spojrzę na pana. - Nie uwalniając ręki, obróciła się od okna. - Musi się pan tak strzyć? Z tą brodą na dodatek - wygląda pan jak jaki zbieg z

katorgi. Czy mi się zdaje, czy schudł pan jeszcze?

- Chorowałem.

- Noga?

- Nie, mróz. - Zrobiło się marsową minę. - Marcynowcy chcieli mnie tu żywcem pogrzebać.

- Co pan opowiada! - Objąwszy wpeł, pociągnęła bliżej okna, za którym szarość chmur ściekała na dachy ośnieżone, biel dachów spływała na ocienione elewacje. - Mówił pan już z nim? - spytała ciszej, a oddech jej wilgotny łaskotał w policzek i szyję.

- On teraz chadza po Drogach Mamutów, przemawia językami lodu.

- Ale pan go z doktorem Teslą -

- Niech panna o tym -

- Nikomu, wiem przecież. Tylko że -

- Co?

Wydychała słowa w dziwnym pośpiechu. - Ja się nad tym. Czy nie myślał pan. Przez moment choćby. Na zimno. To znaczy... Że jeśli nie - jeśli naprawdę z nim pan pogadasz i on z lutymi i one odmrożą Historję, jak my to sobie byliśmy -

- Panno Jeleno, już żeśmy -

- Wiem, że to pana ojciec i -

- Panna chce -

- ...czy warto go odmrażać?

- Panna o polityce!

- Ojczyzna, polityka, Historja, ale - co byś pan poświęcił? Pamięta pan Ziejcowa? - szeptała. - Abrahama i Izaaka? Więc nie czy ojciec syna, ale czy syn ojca -

- Co pannę napadło?!

Wyrwała się.

- Nic, nic.

Się przypatrywało się jej potem uważnie przy kolacji. Inaczej się czesała, ściągała krucze włosy w węzeł grecki, to jej przydawało powagi. Aksamitkę z rubinem zastąpiła koronka

gęsta czarnej *collaquette*. Nie kredkowała warg. Pod jej skórą chorobliwie bladą, cienką, wzdłuż linii żyłek błękitnych już układały się mdłe plamki ćmieczy, śnieżyły się pod rzęsami punktowe świciecie. Przypomniała się scena na stacji w Starej Zimie, moment, w którym panna przekroczyła granicę. Bo kim właściwie zamarzyła Jelena Muklanowiczówna, wirtuoz kłamstw od prawdy nieodróżnialnych? Mówiąc coś po francusku do doktora, przesunęła machinalnie solniczkę na skraj blatu. Odpowiedziało się agresywną reorganizacją baterji karafek. Spojrzała, zdumiona. To są gry Lata, pod Lodem pozbawione najmniejszego znaczenia i sensu.

Naturalne, że zamarzając, musiała się zmienić - ze wszystkich Jelen możliwych w jedną Jelenę prawdziwą.

Ba, a czy trzeba po temu aż jeździć do serca Zimy, czy trzeba ćmieczą ćierpliwie nasiąkać? Podróż to czas magiczny, to prawda; a każda podróż się kiedyś kończy.

- Przestał pan obgryzać paznokcie - zauważyła półgłosem *mademoiselle* Christine, gdy dolewało się jej śmietanki.

Czem prędzej obejrzało się palce. Rzeczywiście, się nie oddawało się onykofagji już od kilku tygodni.

Ponieważ obie panny i tak były wtajemniczone w sprawę, rozmowa swobodna przy kawie w saloniku narożnym naturalną rzeczą kolejją zesła na projekt potajemnego odmrożenia i wywiezienia ojca z Syberji.

- ...i już mieliśmy z tej miejsciny wyjeżdżać. W ogóle przecież nie stalibyśmy tam tyle czasu, ale okazja była wyjątkowa: luty ranny, luty zabity - czy to jest w ogóle możliwym? Chciałem przynajmniej zobaczyć, co się stanie z całym tym Lodem obalonym.

- I co?

- Nic, przemroził się dalej, ale że mu pan Benedykt nogę urąbał, z wysokości strącił, to pociągnął glacjusz wprost po ziemi, przez tory, i w dół w zmarzlinę. *Anyway*. Zachodzę nazajutrz rano, a tam jaki widok? Tłum milczący stoi na torach i wedle torów, jak peron idzie na rozjezdnię towarową; gdzie nasz skład czekał na bocznicy; oni stoją wszędzie wokół. Setka osób, więcej pewnie. Co, Christine?

- *En effet*, niesamowita panorama. Bo to sobie pan Benedykt musi przedstawić w całości obrazu: blady świt, dopiero co przestał padać śnieg, wszędzie białe, ruina dworca przysypana, na horyzoncie jeden, drugi luty, a tu oni stoją, chłopcy, baby, młodzi i starzy, stoją wszyscy w

milczeniu zupełnym. Cisza taka, że śnieg strzela pod stopami niby orzechy miazdzone. I tylko obłoczki pary nad ludźmi, puf, puf, właśnie już jak cienie na śniegu. Ach, co za *tableau*.

- Nie puściliby nas - dziwował się Tesla. - Dopiero ten miejscowy policjant pobiegł po popa, pop oświecił wagony, wszedł nawet do środka i tam jakieś modły odprawił; wtedy odstąpili.

- W mieście przynajmniej tłumy chłopstwa zabobonnego można się nie obawiać.

- W porównaniu z Pobiedonoscewem i całym Sibirchożetem... Wolę chłopów. - Doktor zaśmiał się niewesoło. - Ludzie z ochrony chcą nawet zamontować dookoła Obserwatorium reflektory mrokówkowe, żeby nikt nie mógł strzelić z daleka czy bomby wrzucić przez okno, ani nawet podejść bez wielkiego świecienia.

- Miał pan groźby jakie może?

- Ha! - Serb poderwał się i zniknął za drzwiami gabinetu; wrócił z kopertą szarą. Wyjął z niej niewielką kartkę. - Pan zobaczy, czy to jest groźba.

*Bractwo Walki z Apokalipsą zaprasza pana Nikołę Tesłę do współpracy w największym dziele ludzkości.* Podpisano: Chawrow E. G. I pod spodem herb czy też emblemat taki stylizowany: kwiat na czaszce trupiej. *Zmartwychwstaniemy!*

- Jest jakiś adres? Kto zacz, ów Chawrow?

- Ze wszystkich listów dziwnych ten był najdziwniejszym - westchnęła *mademoiselle* Filipov, spoglądając z niejakim roztargnieniem ponad filiżanką czekolady na miasto białobarwne, na korowody ogników sań we mgle zatopionych. - A dostaliśmy także listy przyjaźni od tutejszych Socjalistów Rewolucjonistów i od jakiejś sekty do samookaleczeń strasznych powołanej. Pokazać je Stiepanowi? Przenieśliby nas do koszar kozackich, Bóg wie gdzie.

- Również piszą do mnie rozmaite oryginały i indywidua ciemne. Gospodarz najął silnorękich; chodzi też ze mną taki jeden antyzbój. Ale nie ma przecież innego sposobu, jak zrobić tu czem prędzej swoje; chyba że od razu się ogon podwinie i ucieknie. A wyście kontrakt wszak podpisali. Z Imperatorem!

- Pan Benedykt wyjeżdża pierwszym pociągiem na Kieźmę? To razem z Jelenką.

- Nie, nie sędzę. - Zerknęło się na pannę Muklanowiczównę, która też obróciła była wzrok na Irkuck wieczorny. - Ministerjum zabrało mi paszport. Czynownicy cesarscy siłują

się z Szulcem i z Pobiedonoscewem. Trudno rzec, jak to się wszystko wykręci. Tymczasem nikt w ogóle nie wie, gdzie znaleźć Batuszkę Maroza.

*Mademoiselle* Christine odłożyła filiżankę i sięgnęła z uściskiem troskliwym ponad stolikiem.

- Panie Benedykcie, to cóż pan pocznie? jak pan go uratuje? jak odmrozi i z Syberji wyprawi?

- Bogiem a prawdą, te opóźnienia są mi na rękę. Doktor mówił o dwóch miesiącach. A to trzeba wpieryw przetestować, nie było przecież jeszcze nijak sprawdzane, prawda?

Tesla pokręcił głową.

- Po tośmy tu przyjechali.

- To znaczy - panna Jelena przesunęła po dolnej wardze paznokciami, jakby badając w zamyśleniu kształt ust własnych - to znaczy jak pan Benedykt myśli to w praktyce przeprowadzić? Powiedzmy, że oni go znajdują. No i delegują pana na miejsce. Ale oczywiście nie samego. A pan, rozumiem, musi zabrać ze sobą stosowną maszynę doktora, to mogą być spore ładunki - jak spore?

- Pompa - mruknął doktor Tesla - i kable, i silnik do pompy, albo baterje, albo -

- Na korbę - nie da się korbą? Jak pana generator.

- Może się da. To też trzeba sprawdzić: jakie ciśnienie ściączy jest koniecznym, w jakim tempie wolno to z człowieka ciągnąć, jaka zależność fizykalna wiąże ściącz z temperaturą, mhm. - Stary wynalazca wydobyl z kieszeni pióro i począł coś notować na odwrocie zaproszenia od Bractwa Walki z Apokalipsą, rozparty na wysokim krześle tekowym, z długimi nogami wyciągniętymi przed się. - Bo na razie znamy przecież kilka *exempli* granicznych, ale nie znamy reguły, to wszystko dopiero przede mną, po tośmy my tu przyjechali. Napisałem pierwszy podręcznik inżynierji elektrycznej i napiszę -

- Co?

- Pierwszy podręcznik czarnej fizyki!

Panny wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, Christine podniosła oczy ku sufitowi. Mieszało się łyżeczką w filiżance. Tesla przez dłuższą chwilę spozierał gdzieś w przestrzeń śnieżnobarwną, poczem nagle przeniósł wzrok na *mademoiselle* Filipov.

- Mówilem ci, żebyś zrobiła coś z temi kolczykami! - zarządził.



Christine odruchowo przycisnęła dłoń do ucha, opuszczając głowę, że jasne loki zakryły jej pół twarzy.

Panna Muklanowiczówna wciągnęła z sykiem powietrze.

- No więc - podjęła głośno - niechby z pompą małą, poręczną - ale jak ją przewieźć pod oczyma ludzi Ministerjum? Panie Benedykcie? Jak potem na miejscu odćmieczy pan ojca? Jak go przemyci z powrotem? Przecież nie pozwolą panu! Aresztują!

- Wiem - rzekło się spokojnie. - Muszę to dokładnie obmyśleć.

- Pan nie ma jeszcze żadnego planu, prawda?

- Pan Benedykt przecież w ogóle nie wierzy w przyszłość.

- Na szczęście tutaj łatwiej realizować nawet najbardziej skomplikowane strategie - odparło się.

- Ale najpierw trzeba je wymyślić! - zawołał Tesla. - Najpierw trzeba wpaść na myśl niepomysłaną, stworzyć coś z niczego! Pan wiesz, jakie to trudne, *mon ami*. Najtrudniejsze!

Nie odwróciło się oczu pod intensywnym spojrzeniem Serba.

- Gdzie? - spytało się.

- Tu - wskazał gabinet.

- Teraz?

Rozłożył ramiona.

- *My machines are your machines.*

Wstało się. Panna Jelena jęknęła teatralnie. Odchrząknęło się, wygładziło się zbyt obszerną kamizelkę i marynarkę. Nikola Tesla podążył przodem.

W gabinecie miał zaciągnięte story, paliły się lampy elektryczne; zapalił jeszcze lampę naftową na szerokim biurku z włoskiego orzecha. W jej miękkim świetle wysoka sylwetka w czarnym garniturze rozmyła się na krawędziach jak woskowa figura podgrzana. Tylko długopalce dłonie w białych rękawiczkach odbijały się dwoma jaskrawymi plamami, przyciągały wzrok jak dłonie prestidigitatora na scenie, pod reflektorem scenicznym, mimowolnie wodziło się za nimi oczyma - gdy złapały za rączkę wielkiej walizy drewnianej, gdy podźwignęły ją na blat biurka, gdy odhaczyły zatrzaski i uniosły wieko, ukazując ceramiczno-stalowo-tungetytowe bebechy urządzenia. Pod wieko podpięte były spirale kabli.

Tesla rozwinął kilka arszynów przewodu i domontował go sprawnie w obejmę naściennej lampy elektrycznej, jednej nieświecącej, rozebranej z klosza i żarówki. Wróciwszy do biurka, drugi kabel poprowadził do słoja szarych kryształów stojącego na półce nad lampą; trzeci kabel zaprezentował na białej dłoni: to był ten zakończony iglicą ze spustem.

- Już? Ciągnie? Już?

Lewą rękę Tesla włożył do wnętrza walizy. Zabrzęczało.

Uśmiechnął się przekornie.

- Sam muszę tu sobie upuszczać ćmieczy kilka razy na dzień, dostałbym chyba umysłowego zatwardzenia. Pan wie, po tym wypadku zamontowałem bezpieczniki, żeby -

Złapało się za zimnazo.

...głosu panny Jeleny.

- Jak dwóch alkoholików! Na miłość boską!

Się oparło się o krawędź biurka; światła gabinetu pulsowały nad głową w oszalamiającym rytmie.

Oddychając przez usta, przypatrywało się pannie Muklanowiczównie.

- No co? - rozeźliła się. - Co znowu do głowy panu strzeliło? - Stanąwszy w progu, wzięła się pod boki.

Po pierwszym kroku się potknęło się na dywanie; się podparło się w przykłęku. Zatoczywszy się jeszcze, schwyciło się pannę za ramię i pociągnęło do biurka. Zbyt była zdumiona, by się opierać. Doktor Tesla uniósł krzaczaste brwi. Ujawszy kabel za izolację, podało się pannie Jelenie lśniąca iglicę. Nadal zdumiona - w tym niemym porażeniu podobna zdziwionemu, oczarowanemu dziecku - ujęła ją w obie ręce.

Stała potem w bezruchu, oddychając powoli; tylko jej gałki oczne się poruszały, śledząc niewidzialne widoki. Kryształy w słoju ciemniały w tempie niedostrzegalnym dla człowieka - nie ma widać innej miary odświeżenia, jak fenomeny ćmiatła i subiektywne wrażenie. Ale skoro tak czy owak wszyscy tutaj odbiegają od teslektrycznej normy w drugą stronę, to jak poznać, który świecień migotliwy na odzieniu panny pochodzi z różnicy potencjałów na plus, a który - na minus? Gdyby wsunąć odświeżowywanemu człowiekowi w usta termometr - albo mierzyć lokalnie przewodliwość elektryczną skóry...

Możliwości znowu płynęły przez myśli wzburzonymi strumieniami, nie nadażalo się z

zapamiętywaniem dziwacznych wyobrażeń.

Potrząsnęło się głową.

- Sądzi pan, że to rozsądne? - mruknął Tesla, przekręcając jakiś wihajster w walizkowej pompie.

- Nie. Tak. Cholera wie. - Przygryzło się wargę. - Trzeba rzucić monetą.

Weszła *mademoiselle* Christine i krzyknęła przenikliwie. Panna Jelena wzdrygnęła się, wypuściła kabel. Doktor Tesla wyłączył maszynę.

Przyskoczyło się do panny tracącej równowagę. Ale miast zdać się na ramię pomocne, wywinęła się i uciekła pod okno, czepiając się ciężkiego materiału zasłon.

- Zimny drań! - zawołała i cisnęła capniętym z etażerki bibelotem.

Się uchyliło się. Porcelana eksplodowała na ścianie.

Wyszczrzyło się zęby i jęło się skradać za panną na ugiętych nogach, wyginając ręce w łokciach w karykaturalnej pantomimie.

Rzuciła kolejnym przedmiotem. Nie trafiła. Zachichotała.

Podskoczyło się na lewej stopie, podskoczyło się na prawej stopie i wtem dało się susa za panną Jeleną.

Pisnęła i skryła się za biurkiem.

- Dzieci, dzieci! - wołał Nikola Tesla, machając długimi ramionami nad walizką niedomkniętą. - Co wy robicie!

- Jak złapie, to poźrrrę!

- Złapie i pozre! - Załamała rączki.

- Jak złapie, cnotę porrrachuję!

- Cnotę porachuje! - Zmarszczyła brwi. - Co takiego?

Obiegło się mebel z drugiej strony. Skoczyła za doktora - ale zaplątała się w kabel niezwinęty i padła jak długa. Próbowwała się jeszcze podnieść, zmiarkowała, że nie zdąży, i miast tego z okrzykiem indjańskim złapała za nogi, gdy podbiegło się do niej - i tak się zważyło się na dywan obok, mało słoja z kryształami teslektryką napchanymi nie strącając.

Panna odtoczyła się w bok. Pochwyciło się ją bez trudu, wąska spódnica krępowała jej

ruchy.

- I co, i nie ucieknie mi teraz.

- Aj!

- Nieładnie, nieładnie.

- Co nieładnie? Tak mnie podejść! - Chuchnęła na potwierdzenie oddechem cienistym.

- Miesiąc prawie w mieście siedzi i znaku nie daje! Bardzo nieładnie!

- A może ja naprawdę nie chciałam kawalera na oczy widzieć?

- Ha! Bo pannę policja szuka, znaleźli Jelenę Muklanowiczównę i polują na oszustkę, panna się ukrywa, a do żadnego sanatorium Lodu nie jedzie!

- Tak jest! - Wydęła wargi. - Przemykam w śnieżycach i wchodzę przez tylne okna! Kto mnie widział, a nie wydał, pięć lat Sybiru!

Przycisnęło się czoło do jej czoła. Jaśmin zalał nozdrza.

- Co panna porabia? - spytało się cicho.

Westchnęła.

- Rysuję. Malować nawet zaczęłam. Krajobrazy lodu - biel, więcej bieli. Portrety też próbuję. Chodzimy do salonów polskich, do dworu Sobieszczańskiego, na spacer do Ogrodu Intendentury.

- Amanci fortuny zimnazowe do nóżek panny rzucają.

- Zazdrosny! - uradowała się. - Ojej, biedny pan Benedykt, teraz będzie mnie śledził we mgle co dnia -

- Grrr!

- A żeby pan wiedział! Pan Porfiry na ten przykład!

- Co?

- Przychodzi codziennie - szeptała - kwiaty żywe przynosi, podarunki, dla mnie i ciotki, na obiady zaprasza, na tańce, ślizgawki, opery.

Kłamie czy prawdę mówi?

Nie potrafiło się orzec.

Się zaśmiało się radośnie i cmoknęło się ją w nosek.

- Chyba jednak każemy służbie ich wyrzucić. - Skórzany pantofelek *mademoiselle* Christine zatrzymał się tuż przy głowie panny Jeleny. - Na mrozie prędko otrzeźwieją. Ta twoja maszyna do nieprzystojnych rzeczy ludzi nakłania.

- To minie - rzekł w roztargnieniu doktor Tesla i zapalił papierosa, poczem zaczął mówić do siebie w nieznanym języku.

Ale rzeczywiście - stanąwszy na chodniku przed hotelem, naciągając rękawice i machając laską na sanie, już po trzech haustach powietrza mroźnego (minus trzydzieści osiem na termometrze Nowej Arkadji) uspokoiło się tętno ciała i tętno myśli. Taak. Panna Jelena. Nikola Tesla. Ojciec. Gubernator Szulc. Jego Wysokość Mikołaj II. Józef Piłsudski. Porfiry Pociągło.

- Abłastnik. Harriman. Ameryka! Khr.

Mierzący rosłego szwajcara swoim wrednym spojrzeniem Czyngis obrócił głowę na dźwięk słów, przyjrzał się, jeszcze mocniej zmarszczony, i widać dostrzegł różnicę w poćmiacie lutowczykowej, bo buchnął przez nos czarną parą i splunął zamasyście.

- Dobrze jest, panie Szczekielnikow - rzekło się i się kaszlnęło. - Władza prześladowuje, kobiety kłamią, a wrogowie grożą. Żyje się!

Zajechały sanie. Wiatr wieczorny od Angary idący zawiewał na ulicę zakręcone w spiralę tumany śniegu, przecinały mgłę niczym dzinny syberyjskie, roztańczone ifryty mrozu.

Czyngis Szczekielnikow nasunął głębiej na oczy kozacką papachę.

- Nie podoba mi się to.

### **O dziwnej glorii Atra Aurora**

Przywieziono prasę z Królestwa i z Galicji. Przed śniadaniem przeczytało się w „Czasie” egzaltowaną polemikę polityczną na temat nowych praw autonomicznych przyznanych przez cesarza Franciszka Ferdynanda, a także obszerny artykuł o wielkich Mszach Obrazoburczych wystawianych przez pana Stanisława Przybyszewskiego na Błoniach Krakowskich, które to spektakle gorszą tłumnie gromadzącą się publiczność i doprowadzają kobiety do omdleń i histeryj. Poza tym w polityce - rzeczy największej dla polityków wagi. *Sejm, Lwów. Pos. Scielibogóski wniósł interpelację żądając wykonywania ścisłej kontroli nad księgarniami*

*kolejowemi i wystawami sklepowemi z powodu nie do zniesienia rozszerzania się pornografii.*

Z kolei w „Kuryerze Warszawskim” pisano w tonie półkpiącym, półsensacyjnym o niejakim Auguście Fądzeli pochodzącym spod Żytomierza, który jest Człowiek-Magnes i przyciąga mocą niewidzialną wszelkie żelazo. Młotki i kowadła kleją mu się do torsu. Zamieszczono nawet rysunek niewyraźny, nad pępkiem mężczyzny wisiał bodaj sierp i kluczy pęk i dusza żelazkowa. Może to bujda jest, pomyślało się, może bujda i blaga jarmarczna, ale może nie, może są tacy ludzie, w których energia magnetyczna wezbrała ponad miarę, a oni sami nijakiego na to nie mają wpływu, nie jest to ich zasługą ani zasługą ich rodziców. Może więc takie same różnice między ludźmi występują w innych zakresach fizycznych, także w fizyce czarnej, to jest w skalach teslektrycznych. Jedni przychodzą na świat nadnaturalnie na ómieciz odporni, wypierający ją z organizmu; inni nadnaturalnie łatwo nią nasiakają. Temperatura ich ciał jest zawsze o ułamki stopnia niższa (lub wyższa). Łatwiej zamarzają (lub zamarzają właśnie trudniej). Nie zdając sobie sprawy, na czym naprawdę polega ich odmienność, rozpoznajemy ich przecież, przynajmniej niektórzy, jakimś szóstym zmysłem albo instynktem z doświadczenia życiowego wyrobionem, chociażby z pracy sądowej, jak prokurator Piotr Leontinowicz Razbieszow.

- Był do pana goniec z listem. Pan prosił o sanie? - zagadnął pan Wojsław, zmówiwszy modlitwę przed śniadaniem.

- Tak, może się czegoś dowiem o ojcu.

- Niech pan uważa - poradziła panna Marta. - Wzeszły Czarne Zorze.

- To niebezpieczne?

Pan Wojsław zakreślił łyżką w powietrzu sinusoidę.

- Ludzie różnie reaguja.

- Łeszyszechoszy - zamlaskał Maciuś.

- Kto je i gada, złe zapowiada.

- Świeci się w nocy!

Podeszło się potem do okna i wyjrzało się na miasto i Angarę. Dzień był wyjątkowo ponury, aura ciemna, chmury musiały kryć całe niebo. (Prognoza irkuckiej stacji meteorologicznej w „Nowostiach”: *Przeważnie pochmurno, od czasu do czasu opady, mierne wiatry, stan niezmienny, pewny*). Ale spojrzeło się uważniej - to nie były chmury, a Słońce

świeciło przecież mocno ponad dachami i mgłą. Od północnego horyzontu rosły na nieboskłonie fale ćmiałta, układającego się w powolnych a rytmicznych zmarszczeniach i rozprężeniach w pionowe pręgi. Zacisnęło się palce na nadgarstku. Raz, dwa, trzy, cztery, trzeba było odczekać ponad setkę uderzeń serca, w tak leniwych przyptywach i odpływach Cziornoje Sijanije nakładało się na siebie w zgodnych amplitudach i w fazach odwróconych się gasiło. W chwilach podniesionej fali pręgi ćmiałta stawały się na tyle wyraźnymi, że wydawało się wręcz, jakby kto zawiesił tam ponad krajem równoległe bloki grafitu, głązy węglowe wielkie jak góra posadził na miejscu obłoków, a każdy jeden obciosany geometrycznie. Pomyślało się, że to pewnie w dużej mierze iluzja marostiekła. Jednakowoż po wyjściu na ulicę, z okularami jeszcze w ręce, gdy uniosło się głowę ku Zorzom - ich ćmiałto uderzyło w oczy z odlepiającą intensywnością i prawie straciło się równowagę, macając naokoło w poszukiwaniu oparcia; pod powiekami rozlała się czarna smoła.

Dopiero Szczekielnikow pomógł usadzić się w saniach.

- Toż po to właśnie te szkła nosić trzeba! Czy żaden pan mądry wam nie powiedział? Durak durakowi kumem!

Wyjechawszy na skrzyżowanie, kiedy już wrócił wzrok, spojrzało się w kierunku wskazanym linjami cieni, na północny zachód, i ponad tęczobarwną mgłą - zobaczyło się tam drugie Słońce rozjarzone promieniście nad Miastem Lodu. Gdy sanie dotarły na ulicę Amurską, mogło się patrzećomalże wprost na ten ogień gorący, grzmiący z wysokości w feerjach i kaskadach. Przypomniał się płomień, który wybuchł z brzucha przez dłoń różową podczas seansu księżnej Błuckiej w Ekspresie. Jeszcze trzy przecznice - i ujrzało się, jak ognisko naniebne rozdziela się na dwa. Były to bliźniacze kopuły bizantyjskie Soboru Chrystusa Zbawiciela.

- Ktoś nas śledzi - mruknął Czyngis Szczekielnikow.

- Co?

Spoglądał przez ramię, w mgłę zalepiającą perspektywę ulicy, gdzie migotały dziesiątki białych i niewyraźnych za dnia lamp sani, pływające między wysokimi aureolami latarni marostiekłowych, nigdy nie gaszonych.

- Jadą za nami od Cwietistej. - Szczekielnikow wskazał rękawicą dwupalcową jakiś punkt w mlecznej zawieszynie.

- Znaczy, wy w ogóle rozróznicie te światła? pamiętacie, które są które?

- Bo co?

Wzruszyłyby się ramionami, gdyby nie futro ciężkie, za duże (wypożyczone przez Wielickiego w kolejnym napadzie bezkompromisowej gościnności).

- Nic. Ale co wobec tego mamy począć? Zaczaić się gdzieś w zaułku? Szczekielnikow wzruszył swoimi kwadratowymi ramionami bez problemu.

- Ja myślał, że może wolałby ich gaspadin nie prowadzić, dokąd gaspadin jedzie.

- Na miłość boską, jedziemy do szewca!

- Cały dzień tylko młotkiem wali, a w gębie gwoździe; szewce podłe zsukisyny.

Wątpliwy to zysk na wiedzy - podejrzania człowieka, który z duszy podejrzewa wszystkich i wszystko.

Warsztat szewski pod szyldem „Kopyta Wucby” mieścił się w suterenie proletarjackiej czynszówki przy jednej z ciemnych ulic dzielnicy Piepieliszcze, opodal linii prawobrzeżnej wąskotorówki łączącej Irkuck z Zimnym Nikołajewskiem, zwanej Marmieladnicą, a to ze względu na nieludzki ścisk panujący, w jej składach pasażerskich, przewożących robotników do chołodnic, hut i fabryk miasteczka przemysłowego i z powrotem. Piepieliszcze znajdowało się na przecięciu jakichś grubszych Dróg Mamutów (zawsąd tu dochodziły echa bębnow głaszatajowych) i w ogóle była to okolica wyróżniająca się *in plus* tylko jednym, a mianowicie niskimi cenami realności i opłat lokatorskich. Że Wucba zmuszony był tu pracować w izbie położonej poniżej poziomu gruntu, stanowiło dowód nędzy zgoła samobójczej.

Szczekielnikow wszedł pierwszy, skopując przed progiem śnieg z butów. Schodki były oblodzone, się podpierało się na lasce i wystających ze ściany cegłach.

W rozległym warsztacie (zajmował on chyba całą przestrzeń kondygnacji) oprócz dwóch pieców paliły się cztery kosze węglowe; powietrze było ciemne i gorzkie od dymu. Nawet on jednak nie zdołał zabić charakterystycznej woni skór i klejów szewskich. Kaszlnęło się raz i drugi. Czyngis wskazał dwie postaci w fartuchach, po lewej, gdzie lampy naftowe oświetlały miejsce pracy szewców. Drogę klienta zamykały z obu stron zwały obuwia, starego, zniszczonego, rozlecanego, rozebranego na części pierwsze, oraz skóry i wołoku jeszcze nieobrobionego, a także niewykończonych kozaków, buciorów o rozmiarach nierzadko gargantuicznych, trzewików, oficerek i pim.

Siwy szewc podniósł się od prawideł, wytarł dłonie w szmatę, podkręcił płomień w



lampie i skłonił się krótko.

- Do usług waszych wielmożności!

- Henryk Wucba?

- Proszę?

- Wyście Wucba? - zapytało się po polsku, rozpinając futro. - Szukam właściciela, Henryka Wucby.

- A, panowie rodacy!

- Rodacy-Polacy, bucik zrobim cacy! - zaskandował, waląc wściekle w kopyto drugi, młodszy szewc; ten był cygańskiej urody, pod wąsem obfitym wargę zajęczą kryjącym bez powodzenia. Świecienie puchły mu pod rękawami i czapką na bakier zsuniętą.

Siwy kopnął w jego stronę zydel i odwrócił się ponownie z szerokim uśmiechem.

- Miarę stopy panom wziąć?

- Henryk Wucba.

- Panowie ze sprawą osobistą? Majster Wucba, świeć Panie nad jego duszą - to już trzy, cztery lata będzie, jak się mu zmarło.

Rzuciło się Szczekielnikowowi wymowne spojrzenie; na tyle po polsku rozumiał. Znowu tylko wzruszył ramionami.

- Szyld został - rzekło się.

- Ano. Ludzie się przyzwyczajają. Jak już co zapadnie im w głowy, trudno to potem wykłamywać.

- Ale znaliście tego Wucbę? Jak żeście przejęli warsztat?

- Od wdowy po majstrze Henryku. Ja żem mu często pomagał, jak zalegał z robotą, więc

-

- To może pamiętacie człowieka, który pomieszkiwał tu w tysiąc dziewięćset siedemnastym, osiemnastym. Filip Gierosławski. Macie tu kąt na górze?

- Ach! Chybam go widział raz czy drugi.

- Wucba mówił wam co o nim?

- Slachcic pono z katorgi, tak? - Szewc zamrugął, pomasaował czoło. - To jego panowie

szukają, a? Nic o tym ja nie wiem, gdzie się podziwia.

- Tak jest! - zawołał szewc młodszy. - Co nam do panów sprawek! Siadaj, majster. Nam buty robić! - Walnął młotkiem z furją. - Buty, buty, buty!

- A zaszyj se jadaczke, jak z klientami godom!

- Słyszysz przecie, że nie sapagi obstalować przyszli! Pana pan tylko obchodzi, pan depcze po narodzie. To i sapagi twarde, ciężkie do tego mieć musi - my szanownym klientom już tu pancerne podeszwy naszykujęm, żeby mocniej i wygodniej nas deptali. Siadaj, majster, do roboty! Buty nam szyć!

- Puknij se tym młotkiem, taką se rewolucję w mózgownicy zrobić możesz, taką rób - twój łeb, twoja krew. Boże mój, a jak se pomyślę, że tacy niedowyrzeńcy wezmą się za młotkowanie czach cudzych - ot, wyklepiesz naród nowy i panów nowych: kwadratowych, trójkątowych, półkolistych, w ząbek, kącik i na krzyż - ludzi od jednego kopyta - to i będziesz miał raj jednokopytny!

- A żebyście wiedzieli! Raj! Że jeden młotkowy drugiemu młotkowemu nie będzie musiał na podrywki buta glansować i nie będzie byle merdak w futrze sturublowem stawiał majstra na bacność, że mu może łaskawca złamańca ze zgniłosierdzia swojego łysopańskiego rzuci! Wot i racja jednokopytna! Bo jak nie, to zawsze majster-klajster znajdziesz kogo z inszego, lepszego kopyta obtłuczonego, żeby mu w pas się kłaniać i klepę przed nim lizać!

Majster za głowę się złapał.

- To taka twoja zadra głębidupna! To cię gryzie w duszy flakiem fastrygowanej, że są na ziemi ludzie wyżsi, że patrzeć w górę ci na nich trzeba. To jest gwóźdź rewolucji: zmłotkować ich w glebę, coby więcej ponad cię nie wystawali! Z tego rewolucja wasza - ze wstydu! Z ambicyj przefermentowanych, w dusztrucznię obróconych! Miast samemu w pany iść i nad narodem stanąć, zjeb wszystkich na swój niż!

- Horror, horror, horror! - zawołał młodziak i cisnął ćwierćbutem aż pod powałę zakopconą. - W pany iść! A co za różnica, kto nad kim z batem z rubli ukreconym stoi, póki są stojący i są klęczący?! Ba, ale żeby w ogóle ambicyje owe szło ziścić...! Przez to przeca leworucja konieczną, że choćbyś milion butów uszył, i tak z nory tej ciemnej nie wyljiziesz, i choćbyś miliard butów uszył, na żadne salony cię dzięki temu nie wpuszczą. Praworucja trzyma rząd! Szewcem się urodził, szewcem zemrze. Zamarzło!

- Przepraszam - się wtrąciło się - możecie mi chociaż rzec, dobry człowieku, gdzie tę

wdowę po Wucbie znajdę?

- Na Stacji Olchon w zajezdzie żydowskim gotuje - rzucił majster i zaraz na powrót obrócił się do czeladnika. - Miljon butów! A wy byście chcieli na takie salony ambicjować, gdzie za szycie butów wpuszczają? No to masz! - Kopnął jeden, drugi, trzeci buci zezwłok. - Włala! Se tu zaraz salony szewskie urządzim! Dziwki szewskie sprowadzim, wódką szewską polejem, szewski raj jednokopytny zaordynujem. Będzie równo, brudno i gówno!

Wyszło się pośpiesznie na ulicę, ślizgając się na schodkach; odgłosy pasji szewskiej nie uchodziły poza sutereneń. Wciągnęło się do płuc czyste, mroźne powietrze. Jeszcze z lekka oszołomionym, wymieniło się spojrzenia z Czyngisem.

- Co im?

Wzruszył ramionami.

- Te zorze.

Pojechało się do Tesli, do Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademji Nauk.

Ciężka chmura ćmiatła kryła pół kwartału - oćmielone domy, oćmielone lody i śniegi, oćmielona ulica i nieliczni przechodnie na niej, w okularach tęczobarwnych i ze świecieniami anielskimi za plecami; żandarmi w jednej i drugiej bramie poukrywani też oćmieleni. Zajechało się przed główne wejście, budząc od sań blask długi, od boków do wnętrza ścinany przez snopy ćmiatła dalsze. To nie ćmieczi, nie pochodnie czarne, ale prawdziwe ogniska i reflektory ćmiatła musieli naokoło Obserwatorium rozpaścić.

Strażnik widać był poinstruowanym, bo przepuścił gaspadina Gierosławskiego bez szemrania. Czyngis Szczekielnikow został w sieni monumentalnej, pod globusem i freskami letniemi; zwinąwszy sobie papierosa, spozierał koso to na woźnego, to na strażników, to na pejzaże słoneczne, na jasnym wapnie rozciągnięte.

Doktor Tesla zajął dla siebie część magazynów Obserwatorium (aranżowanych właśnie na laboratorja) oraz piwnice północnego skrzydła gmachu.

- Rzecz w tym, że piwnic oni tu właściwie nie mają - mówił, maszerując żwawo bocznym korytarzem, zapięty pod szyję w roboczy szynel; stukot ciężkiego kija termometrycznego, bijącego w posadzkę co drugi krok Serba, niósł się pod stropem wysokim. - Całe to Obserwatorium zbudowali czy odbudowali zaledwie kilka lat temu; stawiali wszystko na zmarzlinie, na szkielecie zimnawym, nie idąc z fundamentami głęboko. Tam natomiast zostały murowane piwnice po poprzedniej zabudowie, spalonej do gruntu.

Pchnął drzwi. Na stołku w kącie przedsionka podrzemywał kozak wąsaty przy szabli i Nagancie. Tesla skinął mu przyjaźnie i otworzył drugie drzwi. Kamienne schody prowadziły w ciemność jak atrament.

- *Bloody hell*, znowu prąd zdechł. Nie można tu polegać na elektryczności, to największy kłopot.

- Myśli pan, że to przez Zorze?

- Wcześniej też coraz to coś się psuło. Uważaj pan na głowę, dla liliputów tu budowali.

Zapaliwszy od lampy kozaka drugą lampę naftową, postąpił w dół.

- Psuje się im od początku, to jest od tysiąc dziewięćset dziesiątego. Zaraz po przyjeździe zjrzałem do tutejszej stacji elektrycznej. Zasięg użytkowy przesyłu prądu zmiennego chwilami mają niewiele większy od zasięgu prądu stałego. Czarna rozpacz, mój przyjacielu. Jeśli nic innego, to samo to jest wystarczającym powodem dla rozprawy z Lodem.

Liczyło się stopnie. Schody zakręcały spiralnie. Czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, zstąpiło się na nierówną podłogę lochu. Loch - bo inaczej nie dało się myśleć o tych podziemiach. Ściany z nieotynkowanych cegieł, niskie sklepienie podpierane przez nadkruszone łuki filarów, między filarami - kopcające węglówki. Na hakach wbitych w cegły wiszą lampy naftowe, ich miękkie, cynamonowe światło sprawia, że wewnątrz wydaje się jeszcze bardziej zrujnowane i stare, zgoła starożytne. Brakuje tylko szczurów i łańcuchów z kajdanami. I kości ludzkich.

Za to skądś z głębin ciemnych kazamatów dochodzi miarowe echo potępieńczego łomotu.

- Khm, przynajmniej powierzchnia spora - powiedziało się.

Drugiego końca lochów nie było widać. Tesla postawił lampę na skrzyni przy schodach i ruszył wzdłuż wiązki kabli, opadającej spod sufitu klatki schodowej na podłogę pokrytą rozmiądzonym gruzem, piaskiem i trocinami.

- Te też do niczego?

- Podpięliśmy się do generatora Obserwatorium. Skądś muszę ciągnąć prąd do moich pływnic. Inaczej przyjdzie chyba przerzucić się na maszyny parowe. Albo...

Z naftowego ćmierćmroku wyłoniły się postaci muskularnych robotników, jedna, druga, trzecia, stało ich tam pięciu, nachylających się nad konstrukcją drewnianą wbity w ziemię;

dalej majaczyły waleniuwate cielska dwóch pływnic i innych machin zimnazowych doktora Tesli; kable rozchodziły się na wszystkie strony, rozpięte na wiązki na zbitym z nieheblowanych desek szkielecie; u powały zaś i wokół filarów na żelaznych obejmach i skuwach wisiały lampy z wklęsłymi lustrami stalowymi. Za prowizorycznym stoikiem w głębi, na przykrytej złożonymi kocami beczce, siedziała *mademoiselle* Filipov w rozpiętym kozuszk, obwinięta szalem wełnianym, i kartkowała jakiś atlas matematyczny, do którego zaglądał jej przez ramię siwy staruszek w okularach soczewkowych, gryzący resztką zębów niebieski ołówek.

Rozlegał się rytmiczny huk, chrzęst metaliczny i ciche pokrzykiwania robotników liczących na trzy - na trzy puszczały powrozy i korby, by na jeden ciągnąć i kręcić od nowa. Piąty raboczij stał przy wiadrze zawieszonym na mniejszym wielokrążku.

Podeszło się bliżej. Konstrukcja drewniana otaczała studnię wykopaną w podłożu piwnicznym; za pływnicami, w mroku, piętrzyły się hałdy wyrobnicze. Zajrzało się do wnętrza wykopu. Pięć, sześć arszynów niżej pracowało dwóch rozebranych do koszul chłopów, dziabiąc zmarzlinę kolcem zimnazowym, w jaki uzbrojono masywny kafar, podnoszony i spuszcany przez te czwórkę Herkulesów sybirskich. Nierówne ściany studni, drążonej z grubsza w kształt koła, pobłyskiwały w naftowym blasku mleczno-błękitnie.

Nikola Tesla podszedł do Christine, sprawdził coś w papierach. Cynamonowe świece poruszały się na fałdach jego szynela wyjątkowo energicznie. Zapewne tutaj, w Obserwatorjum, odćmieczerwuje się do woli.

Pocałowało się umazaną inkaustem rączkę *mademoiselle* Filipov. Przedstawiła siwiutkiego staruszka. - Profesor Kliment Rufinowicz Jurkat. - Uścisnęło się wątlą dłoń. Profesor uśmiechnął się nieśmiało. Był to stary lutowczyk, ćmiecz podbarwiała jego skórę niczym sińce płynne.

- Myślałem, że od razu zabierze się pan za eksperymenta na lutyh - rzekło się po niemiecku do Tesli. - I na ludziach.

Serb wbił kij termometryczny w ziemię, ściągnął białe rękawiczki i jął nacierać skórę dłoni mazią jakąś tłustą z pudełeczka aluminjowego.

- To też. Cierpliwości, młodzieńcze. W magazynach na górze dopiero zaczęliśmy się urządzać. Gubernator ma mi przysłać skazańców-zimowników. Nie napawa mnie wizja tych prób wielkim entuzjazmem. Najchętniej -

- Na sobie, tak. Dzisiaj piszą, że Zimna Kolej ma zostać ponownie uruchomiona za sześć tygodni.

- Od rozwiązań cząstkowych lepsze są zawsze rozwiązania totalne; od praw wyjątkowych - ogólne. Poznasz wzory fundamentalne, a z nich łatwo wyprowadzisz szczegółowe opisy. - Naciągnąwszy z powrotem rękawiczki, zbliżył się do studni. Wydobyto właśnie kubeł świeżej krusznicy. Doktor Tesla pogrzebał w niej kijem, dopiero pozwolił robotnikowi wyrzucić urobek na hałdę. - Dali mi do wyboru kilka miejsc, kilka budynków. Jak pan sądzi, dlaczego zdecydowałem się na ten?

Chwilami zdawało się, że ćmiecz przepływa tu między ludźmi w samych słowach, tak oczywista jest odpowiedź, skoro pytanie zostało już zadane.

- Tędy przebiega Droga Mamutów.

- Tuż pod nami. - Stuknął kijem w podłogę. - Dukt trzeciej mocy według szacunku geokryologów Pobiedonoscewa. Co stopę sprawdzamy ciepłotę, kompozycję geologiczną, barwę lodu i ciśnienie pływu teslektrycznego. Dokopiemy się. A wtedy -

- Podłączy pan pompy ćmieczy bezpośrednio do Dróg Mamutów.

Poruszył głową ni to na „tak”, ni to na „nie”.

- Tu się więcej możliwości otwiera. Na razie wolę nie przesądzać.

Nastąpiła zmiana wśród kopiących, nowa dwójka zeskoczyła do studni na miejsce zmęczonych robotników. Ci, wygramoliwszy się na powierzchnię, złapali za butelki, pociągnęli tęgie łyki. Pot parował z przewilgoconych koszul.

- Nie marzną tam?

- To są fenomena syberyjskiego lodu. Zapytaj pan profesora, jego dziedzina. Kliment Ruffinowicz! Jak temperatura?

- Cztery koma siedem, trzyma się. - Staruszek wsunął notes pod pachę, przetarł rękawem okulary i wskazał ogryzkiem ołówka drabinę złożoną pod ścianą. - Zaraz zejść na pomiar, zobaczymy, czy coś się zmieniło. Co powiedział Paweł Pawłowicz? - spytał Tesłę.

- Nic z tego, boi się, że wszystko zawali mu się na głowę.

Spojrzało się pytająco.

- Myśleliśmy o przyśpieszeniu robót przez użycie niewielkich ładunków wybuchowych na warstwach skalnych - westchnął Nikola Tesla. - Pan profesor mówi, że stosował tę metodę

w Jakucku.

- Co prawda nie pod stojącym budynkiem - przyznał profesor Jurkat.

- Nie mądrzej byłoby grunt roztopić? - spytało się.

Kliment Rufinowicz uśmiechnął się pod wąsem.

- No, to dopiero jest pewny sposób, żeby zawalić na siebie cały gmach. Łatwiej pokierować punktowo siłą eksplozji niż ogniem w ziemi. Ale to w ogóle leży poza kwestją. Widzicie ten lód?

- Który?

Siwuszek stanął przy wielokrażku i wskazał przeciwległą ścianę studni, jakieś cztery arszyny od powierzchni.

- Widzicie, jak w tym przekroju idą przez ziemię żyły i słupy i ściany całe lodu? Jak się zmienia jego barwa? Jak tu pod piaskiem i żwirem mamy te skosy łupków ilastych i tam znowu żyłę mlecznobiałą, co się tak świeci - to jest lód kryształowy, kwiecisty.

Podreptał do wysypiska i wrócił ze sporą grudką glinolodu. Pokazał: na boku prostym, uciętym jak od geometrycznej formy, układały się w mozaikę gwiazdki kryształowe, roziskrzone pąki lodu.

- Jest lód i lód. Pan myśli, że tu chodzi o zamrożoną wodę? Mógłbym panu pokazać takie miejsca, gdzie woda bucha gejzerami ze zlodowaciałej ziemi przy minus sześćdziesięciu stopniach. A znowuż, jak bijesz fundamenty przez wieczną zmarzlinę, to czekasz, żeby ci wysięk zamarzał i dopiero lód kujesz. Tworzą się w ziemi nowe ciekie, nowe barjery lodowe przekierowujące spływ wody. Lód sam sobie szaluje ściany. Tak samo tutaj: na czterech stopniach byle co wystarczy, żeby otworzyć wodzie nowy upust i mielibyśmy tu prawdziwą studnię - zalaną aż do punktu zamarznięcia. Trzeba by było kuć od nowa.

- Na czterech stopniach?

- Ha! - zapalił się Klimem Rufinowicz. - W latach trzydziestych zeszłego wieku Kompanja Rosyjsko-Amerykańska zleciła w Jakucku badania głębokości marzłoci. Kupiec Szergin zaczął bić szyb na dziedzińcu swojego domu; szedł tak jak my, sprawdzając warstwy i mierząc ciepłotę. Po kilkunastu arszynach Kompanja przestała mu dawać pieniądze, bo nie było żadnej zmiany: cztery stopnie poniżej zera i cztery stopnie poniżej zera. Ale Szergin się zawziął, płacił z własnej kieszeni; im głębiej, tem drożej. Czterdzieści, pięćdziesiąt arszynów.

Sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Ciągłe cztery stopnie. Biedaczysko się zrujnował, a do niczego się nie dokopał.

- Na ile zeszedł?

- Sto sześćdziesiąt trzy arszyny. I nadal cztery stopnie poniżej zera. Tę studnię może sobie zresztą obejrzyć, kto zajedzie do Jakucka. - Profesor uniósł odłamek lodu do światła. - Widzicie, to jest prawdziwy kamień filozoficzny, tajemnica twarda. W każdym miejscu na Ziemi, na każdej głębokości, niezależnie od temperatur na powierzchni - cztery stopnie poniżej zera. Robotnicy w kopalniach Sibirchożeta po prawdzie żyją w sztolniach, bo przy najsrońszych nawet mrozach tam im się temperatura nie zmienia wcale: cztery i cztery.

- Mhm, a na Drogach Mamutów?

- Otóż to! To jest wyzwanie! Ujrzyć lutego pod ziemią, to znaczy pomierzyć go w przekroju, idącego Drogą, zanim wymrozi się na powierzchnię lodem czarnym - zbadać go wcześniej, pod, pod, w środowisku granitów, piaskowców i kwarców, rozpiętego gradientami temperatur nie w powietrzu, lecz w iłach, glinach, wapieniach!

...Wszystko jest zapisane w zmarzlinie. Cóż my o niej wiemy, prócz tego, że była tu od milionów lat? Może lute już kiedyś nawiedziły Ziemię, a zmarzlina to właśnie pozostałość po nich - podziemne, miljonletnie soplicowo? Może jest ona sama w sobie obojętnym fenomenem fizycznym, martwym ośrodkiem, który dopiero uderzony stosownym materiałem, ze stosowną siłą - jak w tysiąc dziewięćset ósmym - rezonuje i burzy się, podnoszą się na nim fale, niczym fale na morzu - i tak „rodzą się” lute...?

*Mademoiselle* Filipov zwinęła papiery i, szepnąwszy coś do ucha zgarbionemu Tesli, pośpieszyła do wyjścia z rulonami pod pachą.

Profesor zawołał na robotników. Przerwali kucie, złapali się za drabinę. Posapując, zeszedł w głąb studni.

- Oryginał - mruknęło się. - Długo tak „poluje” na lute?

- Od samego początku - rzekł Nikola Tesla. - Ale coś pan taki ponury? Znowu chyba muszę pana odćmieczyć do dna, żebyś pan uśmiech z siebie wykrzesał. - Złapał pod ramię i pociągnął dwa filary dalej. - Panie Benedykcie, ja przecież nie zapomniałem o pana ojcu. Pan się nastawił na jedną metodę, i może istotnie przyjdzie do tego, że wyprawimy pana w Syberję z jakąś pompą ćmieczy do polowego użytku, z nadzieją, że uda się panu ją przemycić pod okiem Ministerjum Zimy i zastosować jakoś ukradkiem na ojcu. Ale to nie jest droga o



największych widokach na sukces, przyzna pan. Proszę się nie bać, będę szedł i w tym kierunku; niech pan zajrzy za parę dni, jak ruszymy z pracami w laboratorium na górze. Tymczasem pozwoli pan, że rozejrzę się za innymi rozwiązaniami. Proszę mi zaufać. To - wskazał kijem studnię - chciałem panu pokazać, bo jeśli powiedzie się w pełni... być może żadne artylerje, żadne bronie na lute nie będą koniecznymi, ani też nie trzeba będzie z osobna rozmrażać Ojca Mroza. Niech mi pan da czas na sprawdzenie pewnych hipotez. Jutro jadę na Bajkał, tam, jak słyszałem, jacyś biolodzy robią odwierty rdzeniowe na kilkadziesiąt arszynów, ponoć widać korzenie soplicowa olchonowego w lodzie jeziora. Profesor Jurkat mówi, że w Instytucie Technologicznym w Tomsku Niemcy mierzą miąższość i rozkład zmarzliny podług zmian oporności elektrycznej w pionowych sondach; sporządziłem sobie teslektrometr z baterją solną i -

- Soplicowo na wyspie Olchon?

- Tak. Pan -

- To się -

- Ach! Z przyjemnością!

- Jutro -

- Zaraz z rana.

Profesor Jurkat wydobył się z wykopu. - Uff! - Wyjął notes, polizał ołówek. - Cztery i siedem, jak brzytwą chlasnął.

Kiedy jednak szło się z powrotem do schodów, doktor Tesla co parę kroków przystawał, wbijając z wysokiego zamachu znad głowy w twarde podłoże kij termometryczny i odczytując po długiej chwili wskazania na poziomej tarczy.

- Wszyscy mi powtarzają, żeby mieć się na baczności - odpowiedział na pytanie. - Jak się nam tu jaki glacjusz wymrozi wtem przed schodami -

- Pułapka śmiertelna.

- *C'est la vie sur les Routes des Mammouths.*

Następnie pojechało się na obiad do restauracji Hotelu Warszawskiego, gdzie się umówiło z panem Pocięglą; na wczorajszy liścik z zaproszeniem odpowiedział był dziś krótko, podając miejsce i godzinę. Okazało się to wszakże stratą czasu.

Restauracja oczywiście nie znajdowała się na parterze. Przez podwójne tafle

marostieklowe widziało się z wysokiego piętra zamglony bulwar i wynurzające się z mgły kolumnady łaźni miejskiej. Między wygaszonymi już kominami następnego budynku wisiał luty. Prószył śnieg i cały zlany z pozamienianych barw obraz miasta, rozmięczony jeszcze przez światło świeczek ze stolików, przypominał ruchomą ilustrację baśni Andersena. Usiadło się przy zarezerwowanym stoliku, zastawionym dla dwóch. Starszy kelner, wyfraczony Grek z brodą siwiuteńką, pośpieszył z kartą win; na płatce podał kopertę. Wyjęło się dobrze już znaną kartę wizytową Porfirego Pocięgły. *Proszę o wybaczenie, okoliczność nagła, przenieśmy rzecz na jutro*, skreślił się na odwrocie. No ale jutro jedzie się na Bajkał! Ze złości zamówiło się trzy obfite dania i butelkę i kalifornijskiego Zinfandela, Sonoma 1919, prosto z San Francisco *via* Włady - i wostok. Łamiąc chleb, pomyślało się o ojcu, który w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym chadzał już po Drogach Mamutów. No dobra, dostaje ulaskawienie, wyrok wadwarienia uniemożliwia mu powrót do Europy - ale czemu idzie nazad na północ, między lute? Czyżby rzeczywiście uwierzył szczerze w te belkoty mistyczne Marcyna? Sądząc z relacji Wólki-Wólkiewicza, ojciec wpadł wtedy raczej w towarzystwo polityczne; zresztą czy katorga choć trochę wyleczyła go z polityki?

Ledwo się uporało się z zupą neapolitańską, w restauracji ściemniało ni - czym w zmierzch grudniowy. Poszedł szum przez salę; ten i ów zawołał głośno o ćmieczki. Wyjrzało się na miasto. Cziornoje Sijanije czerniło się na nie - bie od wschodu do zachodu - już nie ćmiatełka migotliwe, pręgi kolorów ciemnych, lecz plamy monolitycznej ciemności jak dziury w nieboskłonie, z których wylewa się płynny węgiel. Tungetytowa biżuterja świeciła coraz in - i tensywniej. Na odkrytych zimnazowych elementach budynków, pojazdów, latarni, na zimnazowo-tungetytowych reklamach domów handlowych, banków, towarzystw asekuracyjnych rozszczepiały się długie warkocze tęcz, wnikając we mgłę i barwiąc ją pawio, koralowo. Nawet poćmiaty lutowczyków obiadujących w Hotelu Warszawskim napuchły niezdrowo. Kelnerzy przeszli wzdłuż okien, ustawiając na parapetach rzędy ćmieczek. Zaciągnawszy następnie ciężkie story, zapalili te ćmieczki. Świecenie od ich przesłoniętego ćmiałła rozjaśniły salę. Nie bardzo się rozumiało zasady czarnej fizyki. Czy nie wystarczyłoby odciąć samego ćmiałła Zórz? Czym jedno ćmiałło różni się od drugiego? Czy istotnie fale ćmiałła, inaczej niż fale światła, nie dodają się lub gaszą, lecz - wzajem wypierają? Ale to przecież w ogóle nie są fale, nie tutaj, nie w Kraju Lodu. Powróciło najpierwsze pytanie czarnej fizyki: czy; pustka, brak - brak światła - czyli to, co nie istnieje, może oddziaływać na to, co istnieje? Niebyt - rugować byt? Czerwone wino, przepalone jaskrawym świeceniem, malowało obrus i talerze malinową akwarelą. Uniosło się kielich

przed oczy. Od stolika trzy okna dalej szedł szpakowaty gentleman w niemodnym dziewiętnastowiecznym surducie dwurzędowym, z marostiekłowym monoklem w oku, gniotący nerwowo w palcach chustę białą. Oho! Czyżby pana Szczekielnikowa trzeba już zabierać ze sobą także do restauracji? Złapało się dyskretnie za nóż od roastbeefu.

- Pan Gierosławski?

- My się znamy?

- Nie. Ale - czy mogę?

- Czekam na kogoś.

- Przepraszam. - Poćmiata popielna falowała wkoło niego niczym dym wokół płomienia. Spoglądał przez monokl białobarwnem okiem z dziką zachłannością. - Podobieństwo nie myli, tak - pan jest tym jego synem.

- Pan znał Filipa Gierosławskiego?

- Pozwoli pan - Izydor Chruściński.

Powstało się, uścisnęło się mu dłoń.

- Benedykt Gierosławski.

- Pozostaję dłużnikiem pańskiego ojca. Kiedy będzie pan miał czas - wyjął wizytownik - bardzo proszę. Sam teraz jestem z klientem. - Obejrzał się przez ramię.

*Chruściński & Synowie, Składy Spirytusowe, Prospekt Tumannyj 2.*

- I tak mnie pan ni z tego, ni z owego - rozpoznał?

- Widzi pan - ogarnął gestem ręki z chustą salę w świeceniach - teraz takie rzeczy się zdarzają. - Skinął głową. - Tymczasem - proszę mieć się na baczności przed Piłsudskim.

- Słucham...?

- Przyjdzie po pana.

Schowało się jego kartę razem z Pociągłową.

*Teraz takie rzeczy się zdarzają.* Teraz - to znaczy pod Zorzami? Po wyjściu z Warszawskiego ujrzało się ulicę zamienioną w tunel ćmiatła, w którym przewala się szarobarwnymi bałwanami mgła gęsta, a w niej migoczą mdło światła sani i latarni. Za szybami wszystkich okien po obu stronach płonęły ćmiecunki. Na niebie nad Irkuckiem wisiała wielka góra onyksu. Nawet bęben głaszatajowy zza gmachu łaźni bił szybciej niż zwykle.

Wsiadło się do sani, się opatuliło się skórami, mróz szczypał w policzki rozgrzane alkoholem.

- Dlaczego oni palą te ćmieczi, a?
- Gaspadin nie patrzy - warknął Czyngis Szczekielnikow.
- Co?
- Gaspadin założy cholerne okulary. To niezdrowo tak.
- Ale po co ćmieczi?
- A widzieliście cienie od Czarnych Zórz?

Uniosło się dłoń w rękawicy nad kolana. Błady świcień położył się na nierówno zawiniętej skórze baraniej. Zrazu tylko drżał na krawędziach, zwijając się nierytmicznie i puchnąc na zewnątrz, jak każdy świcień zwykły. Ale minęło kilka oddechów mroźnych - i jęło się dostrzegać w jego kształcie i kształtu metamorfozach niepokojące znaczenia, podejrzaną korespondencję obrazu z myślą. A to profil twarzy - czyj? - już się przeczuwa, już się wie. A to krzak piorunów rozszczepiony. A to banknot prostokątny. Rewolwer. Znowu twarz.

- Sonnyje raby powiadają, że tak się zaczyna.
- Co?
- Konieczność. - Złapał za rękę i brutalnie ściągnął ją w dół, gasząc świcień. - Znaczit, prawda pierdolona.

Jechało się przez pogrążone we mgle i nienaturalnych ciemnościach Miasto Lodu, pod Słońcem popołudniowym, pod meteorologicznym fenomenem ćmieczy. Nawet lute miały barwę popiołu (na marostiekle ściekała z nich w śnieg i parowała w niebo). Się obejrzało się na wieżę Sibirchożeta. Jej szczyt, najwyższe kondygnacje z apartamentami Pobiedonoscewa były zupełnie niewidoczne, połknięte przez Cziornoje Sijanije. Królestwo Ciemności. Ciarki przeszły po plecach, gdy przypomniały się obrazy ze snu: niebo Podziemnego! Świata zamienione w swój negatyw, negatywowe Słońce z koślawymi promieniami, odwrócone światło i cień, blask i mrok, dzień i noc, życie i śmierć, byt; i niebyt. Umarli mrożą swe dziurawe kości przy ćmietle czarnych ogni.

Ale oczywiście - dzisiejsze wspomnienie wspomnienia snu tyle ma wspólnego z prawdą, co horoskop przyszłoroczny.

Nazajutrz z rana wyjechało się z doktorem Teslą, Stiepanem i Czyngisem? z Dworca Murawiowa. Pociąg na Bajkał szedł po torach Magistrali Transsyberyjskiej, bo też od czasu zamrożenia Bajkała Transsib przekracza jezioro nie promem do Mysowej, lecz po szynach położonych na lodzie. Tym samym straciły na znaczeniu leżące u ujścia Angary z Bajkała Listwianka, Grubaja, Guba i Port Bajkał, który nie był już portem. A Kolej Krugabajkalska (najdłuższy odcinek drogi żelaznej na świecie) od lat pozostawała zamknięta. Krugabajkałka powstała właśnie po to, ażeby uniknąć konieczności żmudnego przeprowiania przez jezioro składów Ekspresu statkami - lecz Bajkał leży pośród stromych gór, między porośniętymi tajgą wielusetarszynowemi urwiskami, w podłużnej wyrwie w karkołomnych formacjach skalnych, i aby pociągnąć linię kolejową dookoła jego brzegu, trzeba było dokonywać cudów inżynierii lądowej, z którymi dopiero Koleji Alaskańskiej przyjdzie się równać. Wykuto blisko czterdzieści tuneli, połowę tyle galerij wysokich zbudowano, jedna dziesiąta trasy Koleji Krugabajkalskiej biegnie we wnętrzu skały. Efekt był taki, iż po nadejściu Lodu owa Kolej stała się śmiertelnie niebezpieczną: jeden luty w tunelu lub na galerji mógł spowodować katastrofę, a skroś tych gór glacjusze mroziły się raz po raz. Położono zatem tory zimnazowe na lodzie Bajkała; na Stacji Olchon, parę wiorst od wioski Chużyr, linje kolejowe rozchodziły się w pięć stron. Stacja Olchon nie znajdowała się na wyspie Olchon - postawiono ją też na lodzie, w miejscu najdogodniejszym z inżynieryjnego punktu widzenia. Blisko stąd było także do olchońskiego soplicowa, dokąd wciąż jeździły ekipy akademików i specjalistów ze spółek Sibirchożeta. Na Stacji Olchon zaczynała się trasa Zimnej Koleji na Kieżmę - do której stąd chyba miano takie przyległo, że pierwsze kilkaset wiorst biegła po lodzie Bajkała. Było to prawdziwe rozdroże Syberji. Starczy spojrzeć wedle tęcz szyn zimnazowych: na południowy zachód - Irkuck, na północ - Niżnieangarsk i Kieżma, na wschód - Wierchnieudyńsk i Czyta, na północny wschód - Usr'-Barguzin, na zachód - Sarma.

Tylko że wysiadłszy na lodowy peron po siedmiogodzinnej podróży, ani się na koniec wyciągniętej ręki spojrzeć mogło - taka zawieja wściekła szła po białej równinie, tak gęsty tuman śniegu stał w wirze poziomym przed drewnianemi budami stacji. O mgle nie było co gadać; słynne wichry bajkalskie, charachaichy, wierchowiki, kultuki, barguziny, schodzące wtem z gór nad wodę i w atakach niezapowiedzianych potrafiące wywracać całe floty rybackie i zatapiać promy, przepędzały każdą mgłę - ale te same wichry w czasach Lodu i glacialnych rewolucyj atmosferycznych kryły zmrożony Bajkał niemal ciągłą zasłoną śnieżycy srogiej, dzień i noc, mróz mniejszy, mróz większy, burza czy czyste niebo, tak czy owak pruć tu w twarz lepłą mroźliną, biały wiatr walił falami ze wszystkich stron, nie

wiadomo, jak się obrócić, by złapać oddech, taki wiatr potrafi wzmóc faktyczny mróz dwu-, trzykrotnie. Zeszło się na lód i zaraz się pożałowało. Mimo szala grubo obwiniętego wokół twarzy i wielkich okularów marostiekłowych na nosie, mimo futra pana Wielickiego i czapy wiewiórczej - mróz wciął się wokamgnieniu do kości.

Wskoczyło się z powrotem na schodki wagonu, złapało się Nikolę Tesłę za ramię.

- Umawiamy! - krzyknęło się przez świst zawieji. - Tutaj! Gdzie! Godzin!

- Ten zajazd! Pana! Szósta!

- Szósta!

- Wieczór!

- Nie wiem! Czekać!

- Dzisiaj! Tak!

- Czekać!

Pobiegło się do budynku stacji, Czyngis Szczekielnikow szybko wysforował się na przód. Już po kilkunastu krokach, gdy znikaj w tumanie za plecami pociąg, straciło się orientację, gdzie wyspa, gdzie zachodni brzeg jeziora, gdzie linja północna.

Naczalnik stacji wskazał drogę do zajazdu Eljasza Lietkich. Wskazówki Opierały się na dwóch pewnikach: że człowiek odróżnia stronę lewą od strony prawej i że nie przejdzie przez ścianę. Między zabudowaniami Stacji Olchon i wokół nich powbijano kilkanaście wysokich na dwa arszyny płotów z wąskich palików, na tyle solidnych, by zatrzymać piechura, lecz nie stawiających oporu wiatrowi i nie piętrzących zasp śnieżnych. Naczalnik pozwolił sobie jeszcze w progu na złośliwą anegdotę o podróżnych, którzy, wysiadłszy dla rozprostowania kości albo też z konieczności przesiadki, zagubili się zaraz w śnieżycy i, błądząc na równinie lodowej bieli, pomarli tak gdzieś na Bajkale, zmrozeni na głąz; dopiero wtedy wymyślono postawić tu płoty kierunkowe.

Tak więc, potykając się na grudach obmarzliny śnieżnej i macając wyciągniętą ręką po drzewcach olodzonych, dotarło się pod latarnie zajazdu Lietkich - co zajęło bodaj pięć minut, nie więcej; Lietkich się pobudował niedaleko za budami stacji, wedle torów. Chyba cała prowizoryczna architektura Stacji Olchon zorientowana była frontem do któregoś z torów.

W sieni zaraz pojawiła się służąca i, kłaniając się w pas, poprowadziła do sali karczemnej. Na piętrze i w przybudówce znajdowały się pokoje dla podróżnych czekających

na pociąg, najmowane na dziesięć godzin i na dobę, teraz zapewne w większości puste w związku z zamknięciem Zimnej Północnej. W sali przy kominku drzemał staruch w sponiewieranym mundurze urzędniczym; zarośnięty bradiaga w kącie żuł czarny chleb. Otrzepało się futro ze śniegu, stupą się go z butów. Zmaterjalizował się sam pejsaty właściciel, w wytartym surducie czarnym, naciągniętym na sweter gruby; będąc nadto oblicza pucołowatego, różowego, wyglądał niczym pluszowa lalka starozakonnego arendarza. Pokój dla jaśnie panów? Dwa pokoje? Za pół ceny! Najlepsze! I obiad gorący, kartoszka maślana, szczy mięsem gęsta, szaniewi tłuste! Siadło się przy piecu, poprosiło się o grzane wino, uchę i omuła w cieście. Omuła już od dawna nie było; był kawior czerwony, gorbuszowy, bardzo tani, brany prosto z koreańskich transportów. W jowialnej pogwarce o metodach przyrządzania tych i owych potraw łatwo się zeszło na osobę kucharza - a robi może u was w kuchni na pomocy stara Wucbowa? Lietkich zerknął podejrzliwie, zmarszczył czoło, złapał się za brodę. Wucbowa, powiada Wasze Błagarodje? Wucbowa? Na koniec przekonała go moneta w karman surduta wciśnięta.

Spocona kobiecina w czepku ciasno opinającym malutką głowę przydreptała z zaplecza, jeszcze ciągnąc za sobą parę ćmiałistą i bukiet mdłych zapachów kuchennych. Stała obok stołu z rękoma czerwonymi ściśniętymi omal jak do modlitwy i za nic nie chciała usiąść; Szczekielnikow musiał ją posadzić na ławie prawie przemocą. Wtedy na te dłonie zaplecione oczy opuściła, by już do końca ich nie podnieść.

Wielkiego zachodu wymagało wydobyć z niej czeokolwiek ponad proste potwierdzenie lub zaprzeczenie stawianego w pytaniu faktu. Sądziło się, że sama mowa polska uczyni ją bardziej ufną i rozmowną; ale nie. Ściągnęło się czapę i siedziało się przed nią w rozpiętym futrze; nie podnosiła oczu, ale musiała przecie widzieć, z kim rozmawia - nie dostrzegło się w niej jednak najmniejszej nawet oznaki rozpoznania. Przyznało się więc otwarcie: krewny prosto z kraju przybyły szuka zesłańca, pomóżcie, dobra kobieto. I też sięgnęło się po bumażnik, plasnęło się na blat rublem i rublem. Ale z Wucbowej był kwiatek niesamowity: jeszcze bardziej się na to spięła, skurczyła, zacisnęła w sobie, i siedziała tak zestrachana na skraju ławy, jakby ją isprawnik na okoliczność spisku jakiego antycarskiego przesłuchiwał, a nie człowiek płacący pieniędzem żywym o błahe wspomnienia pytał. Aż jej pot na czoło pod czepkiem białym wystąpił, aż ćmiecz na licach pomarszczonych wezbrała i pod oczy naciekła, że jeszcze bardziej chorą, umęczoną i nieszczęśliwą się kobiecina zdawała. O co tu chodzi! Może jej Lietkich żydowina co do strachu nagadał! Może wredny zez Szczekielnikowa ją peszy - odesłało się Czyngisa od stołu. A Wucbowa jak Wucbowa, stęknie

półslówek i znowu kamień. Pytało się coraz głośniejszym głosem, powtarzając się i przybijając kulakami w stół. Czy jej to mąż nieboszczyk miał w tysiąc dziewięćset siedemnaście i osiemnaście warsztat szewski na Piepieliszczu? Czy wówczas pomieszkiwał tam u nich mężczyzna nazwiskiem Gierosławski? A dokładnie - od kiedy do kiedy? Co robił? Co mówił? Czy płacił Henrykowi? Skąd brał pieniądze? Jak dobrze się znali? Gdzie się przeprowadził? Wyjechał? Dokąd? Kiedy? Odwiedzali go jacyś goście?

Jacy?

Zadać jej pytanie, na które nie może odrzec po prostu „tak”, kiwając potulnie głową, a zatknąć się w zamyśleniu z półotwartymi ustami i nie odpowie wcale.

- Pan Gierosławski - mamrotała powoli - jeśli tak się zwał, bo ja nie wiem, nie pamiętam, chyba pomieszkiwał kto taki, tak, tak, skoro pan tak mówicie. Dobrze? Dobrze?

Noż rozpacz i desperacja! Zapomniało się już, jak tępe i nierozgarnięte potrafi być chłopstwo polskie, za długo się żyło w mieście, za wiele się obracało między sobą podobnymi i miejską hołotą - która przecie zupełnie różną jest od hołoty wiejskiej, a już osobliwie w Warszawie, gdzie każdy cwaniak uliczny, byle w swym krzywomieszczańskim środowisku ostawion, przeskoczy sprytem wrodzonym i wyćwiczonym pięciu szlachetków powiatowych, ordynata i jego ekonoma biorąc na pogryzkę. A ta babuszka - czy jej tu kto grozi? czy ma się czego bać? męki jakowejś cierpi?

- Ale pamiętacie czy nie! - wyło się już prawie. - Rzeknijcie prawdę, babo przekłeta, przecież nic wam nie zrobię!

- Tak, tak, tak, wybaczcie, panie.

Złapało się ją i zatrzymało w pół ruchu, bo już na kolana rzucać się chciała, za nogi obejmować.

- Pamiętam, pamiętam - powtarzała - wszystko, jak chcecie.

Pognało się ją precz, zanim złe w człowieka wejdzie i naprawdę krzywdę jaką się boguduchawinnej wyrządzi. Zasapany, czerwony, zdjęło się futro i cisnęło za czapą. Przytuptał cichaczem Żyd z grzańcem i zupą. Staruch przy kominku ocknął się i wołał o wódkę. Starszy sobie ślinę z brody, podjął przerwana na sen lub we śnie opowieść o potopionych w Bajkale przez święte wichry rybakach, którym śpiew piasków wywieszczył żywot pośmiertny potępińczy, i że teraz oni objawiają się pod powierzchnią tafli, by wyjść między ludzi w świetle Księżyca i Zórz Czarnych - a jak, a tak: w bryłach geometrycznych,



kanciastych zatrzaśnięci, rybacy i każdy jeden topielec nieszczęsny syberyjski, spłynęli oni bowiem wszyscy po Drogach Mamutów do Świętego Morza, to jest jeziora Bajkał, jak cała Syberja doń spływa, lecz tylko jedna Angara zeń wypływa, ale właśnie nie wypływa, skuta mrozem do dna, i tak otc z każdym miesiącem więcej i więcej trupów niezmartwychwstałych kotłuje się i z trzaskiem lodowym o siebie wzajem obija pod gładzią białą wszechkry, coraz to ciaśniej im w lodzie, i coraz to mocniejsze parcie idzie na nich z głębin ciemnych, z Podziemnego Świata, że jak kto wyjdzie tu na dwór w rzadką noc pogodną i spojrzy szczęśliwie-nieszczęśliwie na przestwór Bajkała zamrożonego, to zdarzy mu się usłyszeć i zobaczyć rozpęknięcie i huk nagły głuchy? mas glacialnych jak salwę armat podlodowych i, Hosposi pamiluj, trupa w rzeźbie mlecznej, półprzezroczystej wystrzelonego ku gwiazdom spode kry, jak ja byłem zobaczyłem - mówił dziad do ognia. Wrócił Szczekielnikow.

- Podpatruje nas - szepnął, zgarbiwszy się konspiracyjnie nad misą. - Podśluchuje, śledzi zza drzwi, przez szparę.

Tylko się popatrzyło ponuro.

- Przez cały czas - cedził z satysfakcją - i potem, jak już poszła.

- Kto?

- Mam iść, znaleźć?

- A idź.

Wychleptał uchę, posiedział jeszcze chwilę, zakurzył, podumał i poszedł.

Dłubało się wykałaczką w dziurze po zębie. Się pyta się o przeszłość - i się dziwi się, kiedy okazuje się, że przeszłości nie ma? A powiedzmy, że baba powie wte czy wewte - to co? jak to niby pomoże wykreślić przyszłe ojcowe Drogi? Czy nie za wiele się spodziewa się po Lodzie? Palec pana Korzyńskiego! Że niby można tu stworzyć prawdziwość, a zniszczyć nieprawdziwość - jak stworzyło się jedynoprawdziwego mordercę w Ekspresie - to tak stworzy się ojca prawdziwego...?

Wrócił Szczekielnikow.

- Chodź pan.

- Co? Dokąd?

- Łap pan za szubę i chodź, pogadamy pod stajnią, uszła na chwilkę z widoku Żydowi i matce.

- Co?

Odziawszy się pośpiesznie, podążyło się za Czyngisem. Na krótko wyszło się na mróz i śnieg; zaraz skreśliło się pod wiatę głęboką, w cień załomu, między jakąś dobudówką i chyba stajnie, od strony przeciwnej torom; tu, w kącie za sągami drewna, stała zawinięta grubo w chusty i szale młoda dziewczyna-czarnuszka, w dłonie ciemno chuchająca i świecieniem perlistym pokaszująca.

- Liwa Henrykowna Wucbówna - rzekł Czyngis, omal uśmiechnięty. - Gaspadin Wieniedikt Filipowicz Gierosławski.

- Panna jest córką Henryka Wucby? Szewca z Piepieliszcza?

- Tak. Wielmożny pan szuka swojego ojca, prawda?

- Czy ja sprawiam wam przez to kłopot? Wystawiam na niebezpieczeństwo? Jest w tym jakaś tajemnica? Że panna się tak kryje, a panny matka -

- Ach, nie. - Zmieszała się. - Pan nie rozumie...

- Czego?

- Matka... - Liwuszka zawinęła się chustami i szalami jeszcze szczelniej, że już tylko oczka ciemne błyskały między tkaninami; ale oczka też zgasły, gdy odwróciła wzrok. - Pan myśli, że my robimy u Żyda w kuchni w gospodzie zimnej, zawszonej, na końcu świata, na środku pustkowia lodowego - bo tak nam się z głupoty niewieściej uwidziało? - Naraz rozplakała się. - Już by nam chyba pomrzeć z głodu, zamarznąć gdzie po piwnicach przyszło! Boże mój! Jakie podłe ludzie są! Wuj Stefan, co nam warsztat po ojcu zabrał i na bruk wyrzucił - a matka, a matce, a matkę... - Zatchnęła się. - Pan nie zrozumie - że można się pochorować z samej nędzy, że można z nędzy rozum zatracić. Matka jest teraz inna kobieta. Pan myśli, że człowiek boi się czegoś, kogoś - tego, tamtego, tamtego. Ale ona już boi się w ogóle, widzieliście, ona już tylko w zmęczeniu i bólu pociechę znajduje, i w modlitwie za to cierpienie; wtedy jest szczęśliwą, gdy po dniu roboty ją mordującej może ofiarować Bogu wieczorem cierpienia i nieszczęścia swoje, wtedy uśmiech słaby na jej twarzy - Jezu Chryste! Ja nie mogę! Nie mogę!

- Ćśśś, no już, uspokój się panna. - Niekiedy starczy dźwięk języka ojczystego na obczyźnie i puszcza ją tamy.

Otarła oczy rękawem.

- Pana ojciec jest dobry człowiek, to chciałam rzec, pana ojciec uczył mnie czytać i pisać, książki mi dawał, siadywał nocami przy łóżku, historję Polski opowiadał... Pana ojciec - że nie zamarzłam taka jak matka - wszystko dzięki panu Filipowi. Więc jeśli mogłabym jakoś...

- Mieszkał u was.

- Tak.

- Kiedy się wynióśł?

- W tysiąc dziewięćset osiemnastym już. To w sumie rok niecały trwało, tak. - Pociągnęła nosem. - Bardzo mi go potem brakowało, zamęczałam rodziców: a kiedy wujek Filip wróci, a gdzie wyjechał -

- Gdzie wyjechał?

- Nie wiem, czy na soroczyska nie jeździł. Tato coś wspominał... Pan Filip chyba pracował w jakiejś spółce lodowej...

- Tak?

- Nie wiem, może coś pomotałam.

- Płacił wam za lokum?

- Chyba tak. Wychodził na całe dnie, późno wracał, wiem, bo czekałam Żeby mi bajkę opowiedział - o, takich bajek, co on opowiadał - panie Benedykcie, zazdroszczę panu tych skazek. Potem coraz dłużej wybywał - na dzień, dwa, tydzień.

- Goście zachodzili?

- No tak, tak, ale nie pomnę - jacyś panowie - nie wiem.

- A jak się wyprowadził -

- To już jego kobieta panu opowie.

- Proszę?

- No przecież do niej chyba się wynióśł, nie? Ożenił się? Panie Gierosławski?

- Panna zna jej nazwisko?

- Ach! - Przytknęła rączkę do ust za szalem skrytych. - Widziałam ich' przecie, zdarzyło się w kościele czy na ulicy. Rosła żeńszczyzna, żywa, śmiejąca; długi warkocz pszeniczny, cera - piegi słoneczne... I - zaraz! zaraz! - ona pracuje w rym Domu Mody u Rappaporta,

naprzeciw Teatru Nowego! W zeszłym miesiącu, kiedy mnie Maciek - bo widzi pan, ja zaręczona jestem z panem Maciejem Liszką, nie myślę tu życia zmarnować, w tej budzie przewilgoconej, przeklętej - kopnęła w ścianę - jak mateć, zanędzić się na śmierć, zabiedować do ogłupienia - nie! Choćbym - choćbym - nie wiem, co - ja już nie moogę!

- Ćśśś, ćśśś. - Objęło się Liwuszkę, uściśnęło mocno; wtuliła głowę w futro, drżąca.

- Takie cudne bajki - zaszlochała i podniosła ciemne oczęta załzawione. Świetnie się wiedziało, skąd ten potok wspomnień i co panna teraz widzi - kogo - twarz czyją.

- Gospodarz dobrze was traktuje? - spytało się, złożywszy jej na czole ojcowski pocałunek.

- Gospodarz jest gospodarz - wzruszyła ramionami, już się prostując i łapiąc z powrotem oddech.

Wyszperało się z pugilaru dwa czerwońce, i jeszcze jeden, i jeszcze rubelków parę - wcisnęło się je dziewczę w piąstkę.

- Proszę. Niech się panna stąd zabiera, zabiera matkę. Narzeczony pannie pomoże, prawda? Niech panna nie czeka, nie wolno czekać, człowiek się przyzwyczajają.

Schowała prędko dieńgi pod chustę.

- Dziękuję, dziękuję panu wielmożnemu.

- Nie dziękujcie, to też jest rodzaj zapłaty.

Złapała za rękę, nie ubrało się rękawic, złapała za dłoń nagą i przycisnąwszy ją do warg pod wilgotną tkaniną, okręciła się na pięcie i umknęła.

- Naciągnęła was - warknął Czyngis. - Każdemu tak pewnie ślęzy puszcza, dobry interes na tym robi.

- Wiecie, że to nieprawda - rzekło się, wyglądając w zamyśleniu spod wiaty na zawieruchę nad zamrzniętym Bajkałem. - Chodzi o to, panie Szczekielnikow, żeby dać jałmużnę i móc spojrzeć obdarowanemu w oczy. Pojmujecie?

Był w zawierusze krótki moment, gdy rozeszły się na boki kurtyny białe, opadł woal szronny i pokazały się czyste horyzonty pod popołudniowym Słońcem i pod Zorzą Czarną. Błysnęła wonczas na północnym zachodzie, na linii lodowej gładzi, na tle skarp i klifów Iżymeja i Choboja, pod zarysem Gór Przymorskich - djament ostry, lśniący, przepiękny: wielkie soplicowo olchonowe.

Nikola Tesla zjawił się wedle umowy, o szóstej wieczorem; szóstej, bo kwadrans po szóstej szedł pociąg na Irkuck. Bajkał o tej porze był jeszcze bardziej biały - być może coś przesłoniło Cziornoje Sijanije, odcięło potoki śmiałta i dlatego biel zajaśniała żywiej, zaskrzył elektrycznie śnieg i lód i pył zmroźny, pchany nad równiną w poziomych falach. Nałożyło się okulary marostiekłowe - nie przeciw Zorzom, lecz dla ochrony przed arktycznym oślepieniem. Sanie Tesli tylko przystanąły przed zajazdem Eljasza Lietkich, wsiadło się szybko. Skryty pod ciężkim kapjuszonym izwozcik strzelił z bata. Się obejrzało się jeszcze ponad oparciem. Koślawa konstrukcja drewniana - dom pozbawiony fundamentów, na węgiel kładziony - zdawała się dygotać i kołysać pijacko na wietrze; gdyby nie huk wichru, słyszałoby się skrzyp i jęk giętych desek. W krzywem okienku pod krzywym okapem krzywego dachu mignęła plama blada - twarz kobiety - Wucby wdowy? Wucby córki? Wicher zakręcił i zajazd Lietkich chybotnął się w drugą stronę.

W pociągu Tesla wydobyl zaraz notes i ołówek.

- Dowiedział się pan doktor czego użytecznego?

- Ciekawego - o, na pewno. Oni nadal nie przebili się do wody!

Niezależnie od obozu inżynierów Sibirchożeta stał na wyspie Olchon obóz przyrodników Dybowskiego-Bajkalskiego, którzy nie badali soplicowa, lecz samo jezioro. Tak totalne i tyle lat już trwające jego zlodowacenie groziło zupełnym wyniszczeniem wyjątkowej fauny bajkalskiej - zginęły już bezpowrotnie foki bajkalskie, może tylko skorupiaki i ryby głębinowe przetrwają. Sam stary Dybowski jeździł do generał-gubernatora Szulca z projektami budowy sztucznie ogrzewanych akwarjów-przerębli. Zbyt kosztowna byłaby to jednak atrakcja. Tymczasem Towarzystwo Geograficzne i Akademia Lwowska finansowały badania biokryjologiczne: wiercono w lodzie metodą rurową wąskie szyby dla wysondowania głębokości lodu i wejrzenia w tajemnice życia pod nim.

- Nie jest bowiem tak, że zero stopni Celsjusza oznacza zawsze i w sposób konieczny przemianę wody w ciało stałe. Trzeba brać pod uwagę na ten przykład ciśnienie. Bo im wyższe ciśnienie, tym niższej temperatury trzeba, by zawiązać lód. A, jak pan pewnie wie, w głębinach morskich ciśnienie jest znacznie większe: na każdym metrze kwadratowym stoi całą swoją masą słup wody tym cięższy, im niżej zesliśmy, bo tym więcej wody nad nami. Przyjawi szym zatem jakąkolwiek stałą temperaturę zmarzliny - choćby te cztery-pięć stopni profesora Jurkata - łatwo obliczyć graniczną głębokość, poniżej której ów mróz okaże się już zbyt słabym, by ściąć wodę w lód.

- Ale czy tego samego nie da się powiedzieć o ziemi? A co mówił Jurkat? Zeszli sto kilkadziesiąt arszynów w dół i nadal mieli tę czterostopniową zmarzlinę.

- Otóż to, panie Benedyckie, otóż to! I ci limnologzy tutaj też napotkali zagadkę: wiercą i wiercą, a ciągle lód. Ba, jest gorzej niż w przypadku wiecznej zmarzliny, bo tu temperatura wraz z głębokością spada!

- Umarłym ciasno...

- Co?

- Nic, nic. Przyszło mi tylko do głowy... Mogę? - Zapaliło się papierosa. - Hypotezę taką - mogę?

Tesla zamknął notatnik, nachylił się skroś przedziału.

- Kiedy się pan pompował? Przedwczoraj? Musi pan częściej do mnie zachodzić. Codziennie! No ale mów, przyjacielu, mów.

Zmrużywszy oczy, się zapatrzyło się przez dym na biały krajobraz za oknem pędzącego po lodzie pociągu. Spokojny rytm kół na zimnacie - dłuk-dłuk-dłuk-DŁUK - wprowadził umysł w stan hipnotycznego rozluźnienia Wolniej się mówiło i wolniej się myślało - za to z jakąś miarową stanowczością właściwą procesom mechanicznym, inercji mas stalowych: że każde słowo i myśl każda nie tylko jest możliwą i słuszną, ale słuszną i konieczną.

- Kiedy pan opowiadał o podręczniku czarnej fizyki... Pierwsza rzecz to wyprowadzić wzory łączące teslektrykę, ćmiecz i tungetyt z siłami magnetyzmu i elektryki, ze światłem, z temperaturą.

- Tak, tak, to właśnie -

- Zapewne to przez Czarną Zorzę - kiedy ten pijanica w zajeździe opowiadał swój majak - nie tylko w świcieniach, ale już w każdej sentencji człowiek widzi dziwną symbolikę, prawdy przemożne, jeśli pan mnie rozumie, doktorze. Tu spływają setki rzek, a wypływa jedna tylko Angara - która właśnie nie wypływa. Widział pan atlasy Sibirchożeta, Drogi Mamutów wokółbajkalskie? Bajkał to biała plama; tyle zaznaczyli, że im lute przez tunele Koleji Krugabajkalskiej się uporczywie mrozą. Więc proszę pomyśleć o tym jeziorze jak o naturalnym zbiorniku Syberji, filtrze wodnym. Szambie lutyh. Mieszkam teraz u człowieka robiącego w hurcie rud zimnazowych i tungetytu; chcąc nie chcąc, słyszę to i owo. Są jeszcze rzeki nie do końca zamarznęte i są rzeki skute do dna. Na nielicznych Lenzoto nadal prowadzi prace wydobywcze, wypłukuje się złoto spod kry, to znaczy z mas ziemnych

przemysłowo przesiewanych w zbiornikach gorących. I z niektórych owych szurfów pochodzi tak zwany tungetyt piaskowy: Lenzoto sprzedaje pośrednikom lekki tungetyt wypłukany z urobku po złocie. Widzi pan więc, jeśli istnieje jakaś chemiczna czy fizyczna zależność, jakiś naturalny proces, w którym tungetyt wpływa na temperaturę -

- Ach! Na dnie Bajkała!

- Na Bajkała dnie, pod lodem. Naniesiony z wodą, póki nie zamarzył wododział bajkalski -

- Tony czystego tungetytu.

- Jakie reakcje tam zachodzą? Pod takim ciśnieniem - w ciemnościach -

- Pod korzeniami soplicowa.

- Jak głęboki jest Bajkał?

Dobrze w noc pociąg minął Port Bajkał i Listwiankę, przejechał przez szerokie na wiorstę Wrota Angary. Zelzała zawieja śnieżna, widać było niebo ćmietliste ponad gonitwą białego pyłu, to znaczy dziurę czarną między gwiazdami. Nałożyło się z powrotem okulary marostiekłowe, zdjęte po wejściu do pociągu. Doktor Tesla ze swej strony zaciągnął był zasłonkę - blady świcień tańczył na podłodze przedziału i butach podrzemującego Stiepana.

- Myślałem wykorzystać te ich wiercenia właśnie do pomiarów, żeby zebrać kompleksowe dane do tabel teslektrycznych. - Serb założył nogę na nogę, postukał ołówkiem w oprawę notesu, biel jego rękawiczek spływała na nogawki, a ich barwa ciemnoszara wsiąkała w drewno siedzenia. - Ziemia nie jest ośrodkiem tak jednorodnym, zbyt wiele zmiennych trzeba uwzględniać, rozmawiałem o tym długo z profesorem Jurkatem. A tu - czysty lód. Na początek spuszczę sondę ćmieczochłonną. Potem trzeba będzie wybić kilka bardziej odległych od siebie szybów. W punkcie centralnym uruchomię generator tungetytowy i przyjrzę się propagacji ćmieczy. - Otworzył notes, zaczął coś szkicować. - Jak fale teslektryczne rozchodzą się w lodzie, w skorupie ziemskiej? Jaka jest częstotliwość teslektrycznego pulsu planety? Bo gdy posiadę tę wiedzę... - Pisał, mamrocząc pod nosem w ojczystym języku.

Świcień na podłodze przedziału łąsił mu się u stóp, odskakując trwożliwie na każdy ruch starego wynalazcy.

Nazajutrz wypadal termin, by zameldować się w Ministerjum Zimy. Od rana było się w paskudnym humorze. Samo przebudzenie nie zwiastowało niczego dobrego: sen przeciął narastający huk bębnow głaszatajowych. Od Angary zbliżał się luty, jeśli do jutra nie zakreści

albo nie wmrozi się z powrotem pod ziemię, trzeba będzie opuścić Cwietistą siedemnaście. Przy śniadaniu Michasia marudziła okrutnie; skończyło się na tym, że strąciła ze stołu maselnickę i pochlipując, umknęła przed boną. Maselniczka wylądowała na spodniach od ostatniego przyzwoitego garnituru ciemnego. - No, z mojej figury to nic panu nie pożyczę - zaśmiał się pan Wojsław - ale może Grzegorz znajdzie co u siebie. Musi się pan umówić u krawca. - Zaraz zajdę do domu mody, mają tam chyba odzież wierzchnią i galanterję dla panów. - Wcześniej jednak się musiało się stawić pod Sroczym Bazarem, w delegaturze Zimy. Pojechało się w tych spodniach oplamionych, jako tako oczyszczonych; mąką kartoflanką i spirytusem. Nad Irkuckiem rozwarła się gęba ośmiornicy plująca atramentem czarnym, potoki śmiałła zalewały ulice miasta, mąciły mgłę; słońce poranne nie do końca mogło się przez nie przebić. Kwitły cienisto-świeceniowe tęcze. Na Amurskiej stał we mgle mroźnik monumentalny, jeździło się naokoło, powstał zator. Przypomniała się scena ze skrzyżowania Marszałkowskiej i Jerozolimskich, ogień naftowy pod glaciał-meduzą. Na marostiokłach wszystko to pełgało nerwowo, płomieniście. Są pewne obrazy (luty nad środkiem ulicy), których sama kompozycja nadaje im słuszność i wagę; podobnie oko i ręka rysownika zmierza zawsze ku centrum okręgu i trójkąt równoboczny słuszniejszy jest od trójkąta różnoramiennego. A może po prostu Cziornoje Sijanije padło już na umysł. - Jedzie za nami - mamrotał pan Szczekielnikow - śledzi od domu. - Nawet się nie spytało. Z Mostu Szelechowa zesza kolumna piechoty. Ponoć Imperjum przerzuca wojska z frontu japońskiego na Kamczatkę, na budowę Tunelu Alaskańskiego; część oddziałów jednak najwyraźniej odesłano na zachód - może ci utknęli w Irkucku nie przez przypadek, lecz z uwagi na wzrost aktywności Legjonu Japońskiego? Zresztą ze ściany sieni Komory Celnej zdarto już plakat wojenny. Siedząc w sekretarjacie komisarza Szembucha (gruby Michaił znowu gdzieś przepadł), nie mogło się nie zauważyć z kolei portretu cara na przeciwległej ścianie - ktoś go tu celowo krzywo wiesz? Wstać, podejść, naprostować? Siedziało się z futrem na kolanach, kryjącem plamy tłuste. Wszedł siwy wąsacz w mundurze wysokiego dostojnika, stanął pośrodku izby, pierdnął głośno, złożył głęboki ukłon przed obrazem Mikołaja II Aleksandrowicza i usiadł na ławie pod nim. Zerknęło się dyskretnie (co było trudne, zważywszy, że jedna twarz celowała prosto w drugą, jak portret cara celujący w portret ministra). Czynnok siedział sztywno jakby kij łyknął, z potylicą o mur opartą, podbródkiem źle ogolonym wzwyż podanym, gapiący się wytrzeszczonymi oczyma przed się. Nie potrafiło się odczytać owej gry spojrzeń. Czy jest to wzrok gniewny, oskarżający? Czy siwiec spogląda tak „z góry” z pogardą? Z oburzeniem? Pretensją? O co? Poprawiło się futro na kolanach, szerzej je układając. Widzi plamy? Nie widzi? Widzi. Uciekło się oczyma. On siedział w



bezruchu, poćmiata wylewała mu się zza pleców na tynk biały niczym piana z fermentu ściekająca. Czy w ogóle oddycha? Na pewno nie mruga. Przełknęło się ślinę, czując, że mimo wszelkie wysiłki i zaprzysięgi w duszy czynione, na lico wypełzać zaczyna rumień gorący, czerwony kwiat wstydu. - Czekam już dobry kwadrans, komisarz chyba znowu gdzieś wyszedł - rzekło się, co dwa słowa podnosząc głos. Siwiec nie zareagował. W głowie jęły wybuchać coraz dziwniejsze idee - może on naprawdę nie oddycha, bo dostał, jakoś tak po cichu, ataku serca? i siedzi tam teraz naprzeciwko trupa stygnący? i gada się do trupa? z trupem dostojnym spojrzenia się krzyżuje? Powstała wizja wielkiej poczekalni w urzędzie Imperjum, gdzie, ława za ławą, siedzą w ciszy i bezruchu petenci żywi i martwi i ci właśnie w oczekiwaniu na przychylność czynownika powoli konający. A kiedy przychodzi kolej trupa, woźni wnoszą go, zesztyniałego w pozycji siedzącej przed oblicze referenta, prokurenta czy innego biuralisty, albowiem pruskiemu rytuałowi czynowniczymu musi stać się zadość i nie można obrazić powagi Urzędu. Wszedł sekretarz-Tatar. Na widok wąsatego siwuszka zbladł lekko. Ukłoniwszy mu się uprzejmie, zasiadł za biurkiem i wcisnął nos w papiery. Próbowano się pochwycić jego wzrok, dać mu znak oczyma, przesłać dyskretnie minę pytającą - ale ani razu nawet nie podniósł głowy. Sytuacja powikłała się jeszcze bardziej. Te plamy tłuste, obrzydliwe na pewno widać spod futra. Płonęło się. Wtem stary poderwał się z ławy - niemal się podskoczyło. Podszedł, wyciągnął rękę. Odruchowo wstało się i ją uściśnęło, lewicą futro niezgrabnie przyciskając. - Gratuluję - powiedział głośno, wyraźnie. Podziękowało się tępo. Jeszcze skinął głową, złapał, nie patrząc, jakieś bumagi z biurka, poczem odmaszerował. - Kto to był? - spytało się w oszołomieniu. - Pan dyrektor generalny Zygfryd Ingmarowicz Ormuta - odparł półszepetem sekretarz Michał. Westchnęło się. I powiadają, że nie masz w Kraju Lutyń warjatów...!

W Domu Mody Rappaporta nasampierw się zwróciło się do działu męskiego, gdzie bez zbędnych ceregieli nabyło się (jak by nie liczyć, za pieniądze Wielickiego) dwa lekkie, czesunczowe garnitury w miarę dobrze leżące, jednak tanie, bo na manekin szyte i w barwie brudnego brązu, oraz jedną parę spodni czarnych luzem. Przebrawszy się od razu w przymierzalni, wypytało się ekspedjenta i ten skierował na piętro czwarte, pod szyld modystki. Jeśli deskrypt Wucbówny nie kłamał, kobieta nazywała się Leokadja Gwóźdz; „pani Gwóźdz” - mężatka lub wdowa. Szczekielnikow zbliżył się na schodach i szepnął do ucha: - Pan jej pieniędzy nie dasz. - Będę chciał, to portfel cały oddam. - Uuu, serce zjełczałe. - Znikaj pan. - Ta, lekka rączka do cudzego - szydził. Płonęło się.

W Składzie Panny Strojnej, między lustrzanymi galerjami, w których przeglądały się

manekiny szykownie odziane, między półokrągłymi szafami pełnymi lśniącej nowością kreacyj wieczorowych z żurnalów wiedeńskich skopjowanych i między stojakami z futrami błyszczącymi niczym od rosy świeżej, z płaszczami, pelisami, etolami, mufkami, okrywkami futrem obszytymi, pod półkami wysokimi, z których pieniały się tkaniny kolorowe, croisy, sznele, batiki, tafty, adamaszki, organdy, krepdeszyny, marocainy, muśliny, mięciutki pod spojrzeniem samym jak sen dziecinny, od jednej do drugiej wystawy nakryć głowy, owych fantazyjnych, innych wedle czapy ruskiej skrojonych, tak krążąc od pokusy pięknej do pokusy piękniejszej przepływały po marmurach chodnikiem kokosowym wyłożonych niewiasty nie mniej strojne, nigdy same: w grupkach dwu-, trzypodobnych bądź z towarzystwem męskim u ramienia. Były to szyku piętra najwyższe.

Z głębi alkowy światłem miodowym zalanej szedł atak na zmysł kolejny. Kryształowe skarbce perfumerji prezentowały wonności drogocenne w fikuśnych flakonikach marostiekłowych, splatających tęcze blasków papuzich z tęczami zapachów uwodzicielskich. Wystarczyło przejść wedle stoiska pierwszego, nawet człek z nosem w półzatkanym ulegał jakoś urokowi, wystarczyło przeczytać etykiety na blaszkach zimnazowych pod emblematem Eda Pinauda wystawione: *Paquita Lily, Jasmin De France, Violette Princesse, Persian Amandia, Blue Nymphia, Bouquet Marie Louise...* Czyż zmysł zapachu - ten zmysł na niewidzialnym, niesłyszalnym, niedotykalnym operujący - czyż nie on jest najbliższym światu pozamaterjalnemu?

Od razu wyobraźnia podsunęła obraz panny Wucbówny w nieśmiałym towarzystwie niewiele zamożniejszego absztyfikanta, jak spacerują przez Dom Mody popołudniem jedynego ich wolnego dnia w tygodniu albo i miesiącu całym, ażeby przynajmniej naoglądać się widoków pięknych, otrzeć o życie wyższe, popodziwiać tu panów eleganckich i damy wytworne, starsze dwakroć od takiego podlotka, na nie to przecież kroi się modę, na kobiety dojrzałe, ponadtrzydziestoletnie, to jest kobiety ideał: kobieta skończona, spełniona, a nie dziewczka niedojrzała, czyli pół, ćwierć kobiety. *La passion se porte vieux*. Ale tymczasem przynajmniej można pooddychać powietrzem bogactwa - wciągnąć do płuc te perfumowe miazmaty luksusu...

- Pani Gwóźdz?

- Tam.

Poznało się ją po blond warkoczku i piegach. Dobrze zbudowana niewiasta w wieku balzakowskim, z wydatnym gorsem i dłońmi szerokimi, mocnymi. Nie nosiła obrączki.

Wyczekało się, aż odejdzie od klientki; wtedy podeszło się i się przedstawiło się jej grzecznie.

Wyjrzała odruchowo przez okno witrażowe na uliczny świcień.

- Tak myślałam.

- Słucham?

- Śniłam się na cmentarzu. - Odetchnęła, potrząsnęła głową, zacisnęła wargi. - Pan poczeka, odmówię się u klerka.

Pojawiła się po kilku minutach, już w płaszczu z nieco wypłowiałym wydrowym kołnierzem, w toczku futrzanym.

Zbiegła szybko po schodach, naciągając rękawiczki.

- Niech pan szanowny tak nie stoi, znowu zacznie się gadanie.

- To źle?

Ostentacyjnie ujęło się ją pod ramię.

Zaśmiała się gwałtownie, odsłaniając zęby, prawie wszystkie jeszcze białe i proste.

- A proszę bardzo! - Przechyliła głowę, nadstawiając policzek pulchny. - Dziewka wycalowana, szczęście od rana.

Na ulicy to ona poprowadziła, skręcając od razu ku Głównej i widocznym przez mgłę budynkom Towarzystwa Geograficznego i Komory Celnej, skąd się właśnie przyjechało.

- Pan Benedykt? - upewniła się, wyjąwszy z torebki okulary marostiekłowe i nasunawszy je na nos. Przystanąła, by natrzeć twarz jakąś maścią; potem obwinęła się białym szalem ozdobionym wieloma długimi frędzlami, spływającymi po płaszczu bodaj do pasa.

- Mówił pani?

- Mówił, że ma dzieci. Jak pan się o mnie zwiędział?

Powiedziało się.

- Ale skąd zdziwienie? - spytało się. - Mógł był przecież pisać do domu.

- O mnie? - Przysięgłoby się, że ona pod szalem znowu się uśmiechnęła. Zły humor poranny szybko powrócił.

- Pani wie, że moja matka umarła dopiero rok temu, rok i trzy miesiące.

- I sądzi pan, że ona wiedziała?

- Nie. Nie pisał.

- Więc na pewno nie umarła przeze mnie. Dla mnie nie istniała.

- Dla ojca chyba też nie istniała.

- Ach! I pan teraz przyjechał, żeby - co? rzucić mu to wszystko w twarz? A tu jeszcze takie bezeceństwo! Pfch!

- Pani przyznaje, że wiedziała, że był żonatym.

Milczała dłuższą chwilę. Zmieniła rytm oddechu i, gdy już się odezwała, zmieniła też ton.

- Tak nie będziemy rozmawiać, mój panie. - Nie wyrwała ramienia, ale wyczuło się, że rozważyła to; w końcu puściła rękę luźno. - Nie zawstydzisz mnie pan żadnym uczuciem moim szczerem. Ja Filipa kochałam. Kocham. Kochałam.

Nałożyło się marostiokła.

- Przepraszam.

- Za co niby? Pan się wstydzisz za mnie!

Patrzyło się w mgłę białobarwną.

- Jak się poznaliście?

- On jest silnym człowiekiem. Pan to przecież wie najlepiej. Nie znałam nigdy nikogo silniejszego. Mój ojciec, który ćwierć wieku prowadził Gornoje Uprawienie nad Amurem, powiada, że poznasz siłę człowieka po nieszczęściach, jakie na niego spadają. Kto jest giętki, cienki i miętki, ten się bież prabliemy kładzie z nurtem i wiatrem, i wpasowuje się w każdą okoliczność; ale kto twardy, ten opór stawia, a im mocniej się na swoim zapiera, tern mocniej życie przeciw niemu prze. Na koniec czuje, jakby cały świat nań cisnął z czystej złośliwości: złam się, złam, złam! Wszystko inne się ugięło, rozmyło, poddało - a tu jeden kolec wystaje i w bok kłuje. Więc ciężar świata idzie na ów kolec: złamać, wyrwać, zniszczyć. Są takie ludzie-kolce - nie wiesz pan o tym, panie Benedykcie? Że kłują. Że zawsze wszystkich kłują. Podobnych charakterników można szczerze podziwiać i szczerze kochać, ale nie sposób z nimi żyć.

- Rozeszliście się.

- Tak. - Szal jej poszarzał na twarzy od ćmiałego oddechu. - Ale - jak się poznaliśmy! Poznaliśmy się tak, że obić mojego kuzyna i przyniósł go potem do nas do domu, żeby go opatrzyć.

- Wierzę. - Zakaszła się; mróz wchodził w gardło, rósł w piersi. Podniosło się kołnierz futra, kryjąc w nim usta i nos. - Mieszkał wtedy u Wucbów, prawda? Kiedy pani ostatni raz od niego słyszała?

- Odszedł wczesną wiosną tysiąc dziewięćset dziewiętnastego. Potem - jakieś plotki, pogłoski. Raz zaszła do nas ochrana, też wypytywali, czy nie miałam od niego wieści.

- Nie pisał.

- Nie. - Zaśmiała się chrapliwie. - Nie pisał.

- Powiedział pani, dlaczego, chr, dlaczego to zrobił?

Wyszło się na ulicę Główną i skręciło się na wschód, pozostawiając Bazar, Komorę Celną, Towarzystwo Geograficzne i festung generał-gubernatora za plecami.

Dziwne wrażenie narastało w człowieku, im dłużej ulicami Miasta Lodu spacerował: że spaceruje sam. Że nikogo więcej na tych ulicach nie ma; nawet jeśli kto też pieszo z domu wyszedł, zaraz go mgła połknęła. Innych przechodniów widywało się niezwykle rzadko, to jest wtedy, gdy prawie się na nich wpadło, w ostatnim momencie omijając. Dźwięki ich kroków, ich głosy, szum ruchu ulicznego - wszystko grzęzło w tej wacie wilgotnej. Sanie olampjonowane przemykały w brzęku dzwonek po lewej, w rzece oparów niebobarwnych. Niebo miało barwę nieba, ponieważ tak naprawdę miało barwę Czarnej Zorzy, lecz na marostiokłach przelało się z powrotem, niczym żółtko jajka rozbitego, nazad w skorupkę wchlupnięte.

- Ten kuzyn obity - rzekła - pracuje w Zimnym Nikołajewsku przy choładnicach, ma kamradów zimowników, brać mocno wierząca. Od nich to słyszę owe plotki. Ojciec Mróz, zbawienie albo zagłada świata, Ambasador Podziemia.

- Pani temu nie daje wiary.

- Nigdy nie mówił mi za wiele o przeszłości, ale przecież wiem, że wyrok miał za sprawy polityczne, za czyny zbrojne. Tak?

- No ale co to ma do -

- Bo ja długo myślałam, że jemu to już przeszło, w każdym razie wychorował, wymęczył

to z siebie, że się ustatkował - człowiek rodzinny, rodzinę kochający wyzbywa się ambicji utopijnych, one są przywilejem młodości. Ale potem zmiarkowałam -

- Kolec.

- Na wiosnę owego roku, zaraz po sensacji Balonowego Niemoty, kiedy Filip przestał wracać na noc z pracy i dopiero od kuzyna przez jego znajomych z Rud Horczyńskiego się wywiedziałam, że jacyś ludzie po zmroku go tam w Nikołajewsku odwiedzają, że pono Józef Piłsudski ze swoimi Strzelcami Syberyjskimi przez Nikołajewsk jechał, wtedy to -

- Zaraz! - Ścisnęło się panią Leokadję za łokieć. - Ojciec pracował w Rudach Horczyńskiego?

Obróciła głowę, wejrzało się przez marostiókła w marostiókła, kolory rozbełtały się w oczach.

- To pan nie wiedział? - zachnęła się, zdumiona. - Filip jest geolog kształcony! To co miał tu robić? Wzięli go z pocałowaniem ręki, Horczyński nawet o dyplomy nie pytał.

- Czemu zatem tyle czasu u szewców w norze zimnej mieszkał?

- A to ja pytam jego syna rodzzonego: czemu Filip Gierosławski jest, jaki jest? Może syn mi na to prędzej odpowie! Czemu on nie może żyć normalnie jak inni ludzie, czemu sam się przegania z awantury w awanturę, z jednej niemożliwości życiowej w drugą, zawsze sam się w kąć zapędza, że w końcu tylko zęby zagryźć pozostaje i na cud jaki dla niego liczyć! Czemu!

Odkasznęło się.

- Ale pani go chciała takiego.

Zdjęła na moment okulary, by osuszyć oczy (bardzo to nierozsądnie płakać na mrozie) i by nos w chustkę wytrzeć.

- Przecież ja wiem, że żaden ze mnie bagatyr', nie urodziłam się, nie zamarzłam na towarzyszkę legendy. Kim pan jesteś?

- Z profesji? Matematykiem.

- Matematyk. To co, weźmiesz pan sobie koniecznie żonę w liczbach biegłą? Nie. Wyjdzie za Benedykta Gierosławskiego-narzeczonego, ale nie za Benedykta Gierosławskiego-matematyka. Patrzymy na ludzi z jednej strony tylko, każdy swojej; to Bóg może obejrzeć człowieka wraz ze wszech stron, i z góry, i z dołu jeszcze, ha, i od środka.

- Toteż właśnie, pani Leokadjo, z pani strony patrząc -

- Bo on mnie kochał! - Złapała oddech. Barwy płaszcza ciemnego spływały z niej we mgłę, pani Gwóźdź z minuty na minutę stawała się coraz bardziej mglińszarawa i prawie przezroczysta. Trzymało się ją mocno pod ramię. Szła szybko, patrząc przed się. - Czy mam zejść w wulgarne słowa? Wobec syna jego? To nie przystoi. Czemu pan pytasz? Nie znasz pan namiętności prawdziwej? A? To jak ją ludziom innym opowiadasz? Jak objaśniasz?

- To są rzeczy nie do opowiedzenia - mruknęło się. - To są rzeczy nie do pomyślenia.

- Tak! Tak! - Roześmiała się gardłowo, spod przepony, jakby wtem ulgi z czegoś wielkiej doznała. - Żebyś pan kiedy znalazł od kobiety miłość taką, taką pasję duszę pożerającą - pożądanie prawdziwe silnego człowieka, które cię pochłania bezwarunkowo - nie dlatego, że ty pożadasz, ale że jesteś pożądany-

- Bliższy Bogu jest szczery lubieżnik...

- A żebyś pan wiedział!

Bęben burjacki bił z przodu coraz głośniej. To już były peryferje miasta za Łaninską; szło się ponad pół godziny. Wyciekawszy chwilę na mgłę czystą od świateł i cichą od dzwoneczków uprzążnych, przebiegło się na drugą stronę stromej ulicy. Z mgły wynurzyła się tabliczka. Trietja Sałdatskaja.

Pani Leokadja obejrzała się za siebie.

- Jakiś łotr za nami lezie - zauważyła tonem roztargnionego zdziwienia

- A! Mój to łotr.

- Pan kolekcjonujesz indywidua spod ciemnej gwiazdy?

- Różni tacy źle mi życzą. Za to pan Szczekielnikow źle życzy wszystkiemu, co żyje.

- Nie myślał pan stosować się do zdrowszych dla ducha strategij? Miłuj nieprzyjaciół swoje.

- Łatwiej mi je miłować i im współczuć, kiedy pomyślę, khr, co na nich pan Szczekielnikow nożem swoim wykona.

- Gdybyż tak każdy człowiek miał własnego Szczekielnikowa! - Zachichotała grubo. - Zaraz nastaloby na Ziemi Królestwo Boże.

- Wszystko w swoim czasie. Na razie panowie Smith i Wesson sprzedają rewolwery

bardzo przednie.

Parsknęła przez szal świecieniem rzadkim.

- Pan to musisz być atrakcją pierwszą na wszystkich salonach!

- Na salonach za dużo myślę, khr, zapominam języka w gębie i wychodzę na kretyna.

Tak to pogwarzając, wyszło się na drogę gruntową, to jest trakt błota zlodowaciałego między polami białobarwnego śniegu, zaraz skręcający prosto na wschód i jeszcze wzwyż, bo prowadzący w górę stoku Wzgórza Jerozolimskiego. Rozpoznało się - jak przez sen, jak we śnie - ową drogę i owo wzgórze.

Teraz się przyśpieszyło; to pani Leokadja musiała nadążać po stoku stromym. Nie opowiadała drogi, przecież wiedziało się, dokąd się idzie. Rozpoznało się wyrastające ponad powierzchnię mgły pagórki sąsiednie, z ich zaroślami brzeziniowemi, też przykrytymi śniegiem, rozpoznało się nierówne szeregi krzyży, prostych i prawosławnych, pochylonych nad mogiłami pod lodem, i ruinę spalonej cerkwi, i szopę grabarzy rozpoznało się też. Mgła legła tu nisko nad ziemią, brodziło się przez nią niczym przez ten opar gazów wypłutych z lutego na stacji Starej Zimy - białobarwna zawiesina mąciła się od każdego stąpięcia. Cziornoje Sijanije zalewało cmentarz szarem ćmiatłem, padające od krzyży świecienie były prawie niewidoczne na bielutkim śniegu.

Opuściło się kołnierz, by wciągnąć bezpośrednio do płuc lodowate powietrze, może ono otrzeźwi; ale nie, nie pomogło. Szło się między grobami, depcząc twardą, trzeszczącą szreń, czarny oddech parował na ustach. Powoli cała poćmiata nabrała w marostiokłach jadowitych, ostrych kolorów, nie wiadomo, skąd wyssanych; nie było tu żadnego zimnaza, z którego tęczy mogłaby je wykraść. Było natomiast gorące Słońce wrześniowe na niebie oraz dwie gwiazdy zimnego ognia nad miastem: tungetytowe kopuły Soboru Chrystusa Zbawiciela niczym oczy archaniola zemsty - i stąd wszystkie krzyże cmentarne miały już barwę Słońca, to znaczy płonęły żarem białym, bielszym od lodu. Czarne niebo oćmietlało ścieżkę.

Pani Leokadja złapała za rękę. Stało się przed drobnym, niskim płomieniem dwuramiennym. Ktoś dbał o mogilkę, niedawno oczyszczono tabliczkę z omrozu; wystarczyło strącić z niej śnieg.

Ś.P.

**Emilja Darja Gwóźdz**



**Na świat wstąpiła 9 stycznia Roku Pańskiego 1919**

**Bóg wziął duszyczkę niewinną między Anioły**

**27 lutego 1919**

**Kto zliczy łzy**

**Za życie którego nie było**

Pani Gwóźdź padła na kolana, przeżegnała się. W marostiołkach matki płynęły rzeki białobłękitne. Odwróciło się wzrok. Ta mogiła - te krzyże - szopa tam, wykop tu... Grób, w którym miało się zostać żywcem zakopanym, znajdował się nie dalej, jak pięć arszynów stąd. Dziś już stał na nim świeży nagrobek.

Pani Leokadja nie mówiła modlitwy - opowiadała coś swojej córeczce głosem melodyjnym, jak się do niemowląt mówi. Krzyż płonął siarczyście. Spojrzało się wedle świecienia od ściany cerkiewnej - półnagi człowiek z łopata wyszedł w ćmiatło, obrócił głowę, łypnął jedynym okiem. Ukłonił się sztywno. Dotknęło się dłonią urękawiczoną brzegu szapki. Jerofiej uśmiechnął się lekko pod blizną i palnął zaciśniętą pięścią w tors siny. Zwinęło się dłoń w kułak i się uderzyło się w pierś.

Był to czas dziwnych zorzy czarnych i wiele rzeczy w ich ćmiatle czynionych bardziej podobnych było czynom wyśnionym, we śnie koniecznym.

### **O złamanej kopiejce**

- Jako subiekt na przykład, albo pomoc kancelaryjna, albo rachmistrz w buchalterji jakiej.

- Ależ panie Benedyckie! Na miły Bóg! Nikt pana nie wyrzuca! - Paw Wojsław aż się za serce w afekcie wielkim złapał (co prawda pomylił przytem strony ciała). - Naprawdę z przyjemnością pana gościmy! Dzieci pana lubią. Bardzo! Panie też - że mają z kim porozmawiać. Nie tak mówią? - że paw jesteś słuchacz wyborny - nie tak?

- Bo gadam mało.

- Panie Benedyckie! Jeśli frasuje się pan temi kilkoma setkami -

- Muszę zarabiać - powtórzyło się z tępym uporem. - Muszę spłacić długi.

- Ale czy ja pana o terminy pytam! Czy żądam spłaty! Nie!

- Pan jesteś aż nazbyt gościnnym, złego słowa nie mogę rzec. Ale co? - miesiąc, drugi, kto wie, kiedy mnie Szembuch puści - i mam tu za takiego rezydenta-niedojdę robić jak stara ciotka na garnuszku familji dogorywająca? A przecież nie pójde się dopominać o etat u Zimy! Więc pomyślałem o tych spółkach zimnazowych - co drugie nazwisko polskie słyszę - pan wszystkich znasz.

Przełknęło się resztę naparu, odstawiło się filiżankę. Zerknęło się przytem odruchowo na paznokcie: nie to, że poobgryzane (bo nie), ale że już całe bladonie, bez choćby paska różu pod spodem. Był to jeden z widzialnych efektów niskoćmiezowej diety w wysokoćmiezowym środowisku Kraju Lodu. Wciąż miało się też wrażenie, iż poćmiata z ciała i ubioru schodząca inna jest od poćmiat lutowczyków: ta sama intensywność perwersji światła, przeciwny wektor. Ludzie jednak nie zwracali uwagi.

- Nie mówię nawet o panu Porfirym, to pewnie byłoby niezręczne - ale taki Horczyński...?

Pan Wojsław machnął, jakby muchę odpędzał.

- Gdzieżeś pan o dziadku Horczyńskim słyszał? Horczyński dawno się Kruppowi wyprzedził za kwity charbinowe, szesnaście od sta, biedny on. - Poklepał się po brzuchu, szarpnął za brodę i spojrzał badawczo, jakby od nowa człowieka oglądając, z jawnym podejrzeniem oszustwa.

Może on to zobaczy, pomyślało się - lecz nie odwróciło się oczu, tylko właśnie wprost spojrzeniem na spojrzenie się odpowiedziało, głowę jeszcze podnosząc i wargi ściągając. Może on się pozna; co zamarzyło, nie może przecie wtem tak kształtu swego zmienić.

Ale nie - bo skąd niby miałby pan Wielicki znać arkana czarnej fizyki?

Wypuścił powietrze z płuc.

- I dobrze się składa! - Klasnął. - Mężczyzna musi mieć zajęcie, mężczyzna musi czuć wartość w rękach. Nie potrafi sam zarobić, to zdany jest na dobroć cudzą, żyjący jak kobieta na utrzymaniu - masz pan rację! - Złapał za dewizkę, zerknął na sikorę pękata. - Pośle Tryfona, pan Zweigros zdąży dać odpowiedź. To się pan Benedykt szykuje, pojedziemy!

- Teraz? Dopierom wrócił.

- A dokąd pan tak o świtaniu nam ostatnio czmycha, łaskawco? Śniada pan gdzie na

mieście? A może już krasawicę jaką pan Benedykt sobie przygruchał, a? To bym prędzej zrozumiał wycieczki wieczorne, he he. Nie pana pierwszego tak by tu Amor ustrzelił.

Był 13 września, świętego Jana Chryzostoma, sobota, ranek po śniadaniu późnym w domostwie państwa Wielickich. Promienie lodowe od letniego Słońca rozświetlały wysokie okna jadalni, płynne witraże marostiekłowe. Luty zmroził się z powrotem w Angarę, co wszystkich na Cwietistej podniosło na duchu. Maciusiowi wyszedł w nocy ząb mleczny, dostał za niego od ojca ciężkiego półimperjała - świecił nim sobie teraz w oczy, stojąc przy oknie i zajęczki złote przez marostiekło puszczając. Otwierał przytem szeroko buzię, jęczyzkiem pod policzkiem wywijając; tylko wtedy gmerać w dziąśle przestawał, gdy kto nowy wchodził do izby - stary famulus Grzegorz, służąca, kucharka, bona, Tryfon - na co Maciuś obracał ku niemu monetę opolerowaną i świetlikiem go po twarzy łaskotał. - Piniądz mam! - ogłaszał. - Mam piniądz!

Pojechało się z panem Wojsławem do kawiarni Vittela - przecznica od ulicy Głównej, trzecie piętro okazałej kamienicy secesyjnej, nad szyldem nowojorskiej Germanji, wejście z oficyny. Na schodach minęło się z brzuchatym pół-Azją, pośpiesznie naciągającym na grzbiet szubę. - Co, uciekacie? - zagadnął go pan Wojsław. - Gdzie wam tak śpieszno? - Tamten tylko prychnął i zgalopował na dół. - Urzecki - wyjaśnił pan Wielicki. - Z matki kitajskiej, ale starowierca prawosławny, robi wielki pieniądz na herbacie cegiełkowej, chłop wart pół miliona żywcem. - Zrozumiało się, w jakie towarzystwo się wchodzi.

Zanim jeszcze pan Wojsław zdążył wręczyć futro szatniarzowi, dopadł Wielickiego młody Semita pod przylizanym loczkiem czarnym, nakręcony nerwową energją; widać dojrzał Wielickiego przez szklane drzwi westybulu.

Dopadł i zaczął bez wstępu:

- Siedem tysięcy pudów brudnej czartuszki, za trzy dni na bocznicę w Innokientijewskim Jeden, płatne z góry czterdzieści procent, mój człowiek bierze weksle Szturca i Gorubiewa, żyro Bruhe i ska, Fizensztajn dopiero co dawał mi dwadzieścia sześć i pół, półtrzecia taboru Pietryckiego, i co pan powiesz, panie Wielicki?

- On dawał, czemuś pan nie wziął?

- Kto mówi, że nie wziąłem? Czy ja na umie zabaliał, żeby nie brać, jak dają? Wziąłem! Ja pana zapytuję, co pan powiesz, bo ja wiem, że pan masz krew na Fizensztajna.

- Ale jaki tu jest geszeft, panie Rybka?

- Geszeft zawsze jest! - Rozedrgany młodzian pociągnął Wielickiego w bok, nie wiadomo po co, skoro głosu nie ściszył ani trochę. - Ja mogę mieć następne pięć tysięcy pudów na przyszłą sobotę i mogę je wtedy sprzedać za dwadzieścia siedem albo i osiem. Ale -

- Ale do przyszłej soboty to Szulc dziesięć razy zdąży ogłosić otwarcie Zimnej Koleji.

- Toteż ja bym je panu sprzedał dzisiaj za dwadzieścia pięć, no, niech mi Bóg za głupotę pokara, dwadzieścia cztery tysiące i siedem set, i śmiejesz się pan Fiszensztajnowi w twarz, robak zielony żre Fiszensztajna!

- Pan mi sprzedajesz cudze ryzyko, panie Rybka. - Wielicki bez truciury wyrwał się z jego uścisku, pchnął drzwi do głównej sali. - Ja dzisiaj kaufnę pańskie przyszłotygodniowe rudy, a w poniedziałek przeczytam w „Wiestniku” o otwarciu linii kieżmeńskiej i dopiero będą mi się śmiać w twarz.

- Pan mi to powtórz za tydzień, kiedy nie znajdziesz nigdzie czartuszki półczystej niżej trzydziestki!

- Jak pragnę zdrowia, pan to chyba opłacasz Piłsudskiego, panie Rybka.

- Że co? Że jak? Że kogo?

Weszło się na salę. Pan Wielicki pociągnął od razu do stolika pod gigantycznym lustrem w złożonych ramach.

- Gdzie Walduś? - spytał dwóch smutnych blondynów w pomiętych garniturach.

- U Zweigrosa. Czytałeś to? Obraza boska!

- Co tam macie?

Blondas prawy palnął w płachtę gazety rozłożonej między czajem i bakaljami.

- Czy podpiszą pokój, czy nie podpiszą, podatek wojenny zostanie utrzymany co najmniej przez rok z uwagi na, cytuję, konieczność odbudowy potencjału wojennego Imperjum.

- Gdzie to masz? A! Nie oficjalne jeszcze.

- Idę do Pieduszczika - ogłosił ponurym głosem blondas lewy. - Podam mu swoją głowę na tacy. Jak Pobiedonoscew znowu przybije Dziurawy Pałac na wyłączność Thyssenowi, wyprzedają się. Niech mnie luty zetnie, wyprzedają się!

- A tam, wyprzedajesz...! - parsknął pan Wojsław, rozsiadłszy się z sapnięciem na krześle

obok i machnąwszy na kelnera. - Byście się mieli wyprzedać, zrobilibyście to za strajku szamanów. Ile wyciągnąłeś na tramwajach warszawskich, pięćdziesiąt tysięcy? Panie starszy, samowar tu prosimy!

- Pan sprzedał zimnazo na szyny warszawskie? - się wtrąciło się. - A ma kto tam kontrakt na hydraulikę?

- He?

- Bo jak to wyglądało w miastach wcześniej wziętych pod Łódź? Nie wymieniali rur?

- Pan Benedykt Gierosławski - dopełnił formalności Wielicki. - Niedawno z Warszawy przybyły. Słuchajcie, Urzecki stąd wyleciał jak oparzony - to przez ten podatek?

- Notowania ostatnie z Jewropy, Hamburg i reszta giełd, akcje Bankverein pojechały w ryszotok na czterysta pięć koron i pięćdziesiąt halerzy.

- Pokaż-no!

- Rubel stoi na dwieście szesnaście koron z ciurkami.

- A boście też to taki spekulant wielki, myślałby kto, wszystko w czteroprocentowych listach zastawnych i obligacjach rządowych.

- Powiedział pan specjalista od tracenia fortun.

Blondasy smętne byli to bracia Gawrony, synowie Jakuba Gawrona z Łodzi, syna chłopskiego, co dorobił się na maszynach szwalniczych i wyedukował dzieci w szkołach europejskich; zakrzusiwszy się pestką śliwki, zszedł był ze świata znoju i pieniądza w wieku lat czterdziestu czterech, pozostawiając bliźniakom Janowi i Januszowi ponad trzysta tysięcy rubli gotowizny plus kilka inwestycji łódzkich. Incydent ze śliwką zaszedł w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym. Do tysiąc dziewięćset trzynastego bracia zdążyli przepuścić prawie całą majątność. Przepuściwszy ojcową, wzięli się za robienie własnej, a Irkuck epoki zimnaza wydał im się najlepszym po temu miejscem. W czym się nie omylili. Tymczasem Jan ożenił się i spłodził córkę i syna - rosło nowe pokolenie Gawronów. Być może cały cykl powtórzy się znowu.

Przy herbacie i ptifurkach, przy kawie i owocach w gorącym cieście pan Wielicki omawiał tu u Vittela interesa półsierozne, kawiarniane. Zaszedł na moment do stolika rzeczony Fiszensztajn, figura imponująca, z grzywą siwą, siwymi pejsami, w czarnym chałacie, wspierający się na ladze grubej niczym drzewce chorągwi, z okiem lewym

obumarłem i wydłubanem, zastąpiłem we wklęsniętym oczodole przez kulę marostiekłową z tungetytową źrenicą - na co ją obrócił w półślepej spojrzeń, od tego zaraz mu się odmieniały barwy i świecenie w patrzadle nieludzkiem przepływające. Pan Wojsław wstał, przywitali się bardzo uprzejmie, z szacunkiem między kupcami statecznymi zwyczajnym. Zawiązała się po polsku, rosyjsku i w jidysz rozmowa dygresyjna, w której - jak się pod jej koniec zorjentowało się - szło o to, kto za jakim projektem odda głos na najbliższej radzie Sibirchożeta, w szczególności zaś, komu jakie koncensje przemroźnicze zostaną udzielone. Bracia Gawrony nadstawiali uszu. Ani Wielicki, ani Fiszensztajn nie zasiadali między dyrektorami i udziałowcami Sibirchożeta, niemniej obaj mieli jakiś wpływ na głosy zasiadających. Zrozumiało się, że w ten sposób toczy się polityka Irkucka, taki jest głos ludu i takie jego tu przełożenie na wyroki władzy: nie przez dumę i politykę oddolną, lecz przez głos pieniądza.

Kiedy Wielicki oddalił się, odprowadzając Fiszensztajna do wyjścia, Gawrony chętnie objaśnili to i owo, okraszając eksplikacje jęklivymi narzekaniami. Sibirchożeto mogło sobie głosować, co chciało; w praktyce to Pobiedonoscew rozsądzał kwestje tyżące praw eksploatacji gniazd lutyh Zimnego Nikołajewska, jak też całej Syberji. Najtrwalsze i najgłębsze gniazda znajdowały się w tak zwanym Dziurawym Pałacu, którego moce transmutacyjne szacowano na dobrze ponad pięć milionów pudów rocznie. Koncern choładnicowy Thyssena do spółki z towarzystwem Bielkow-Żylcewa otrzymał większość kontraktów z Ministerjum Wojny Rosji, w tym bodaj wszystkie kontrakty na zimnazo do budowy okrętów Zimowej Floty Pacyfiku.

- Jedna rzecz, że podatkami gnębią - zrzędził Jan.
- Od tego podatek, żeby ludzi uczciwych nim gnębić - wtórował Janusz.
- Ale inna rzecz, że póki te prjoryteta wojenne utrzymają, póty się nie dopchamy do choładnic.
- Znowu ceny złóż naturalnych uderzą pod niebios.
- Soroki i gieologi-staratiele będą się po tajdze strzelać.
- Procesy ziemie poblokują.
- Zbójów się namnoży.
- Kraść będą, kraść.
- I szamanów przekupywać.

- Na Drogach Mamutów ubijać.

- Jak na giełdzie charbińskiej zimnazo próby stalowej przebije siedem rubli za pud, od nowa rozgorzeje wojna w Podziemnym Świecie.

- Fiszensztajn mądry człowiek, że w rzeczywistości inwestuje.

- Kto kiedy stracił na handlu ziemią? Tu już nawet nie ma gdzie ludzi chować.

- Cmentarny interes! To jest myśl. Przyjeżdżają tysiącami i co robią? Umierają.

- Byle prawo dobre przez dumę miejską przeprowadzić, coby magistrat płacił za biedniagi wszystkie.

- Nie bój, nie bój, wyciągnie się do gazet popów i żony dostojników naszych miękko serdeczne, kto podniesie rękę przeciwko miłosierdziu chrześcijańskiemu? A?

Wspomniało się wtedy o irkuckich grabarzach, którzy najwyraźniej już samorządzą się pięknie.

- Nie tak, panie Benedykcie. Cmentarz Jerozolimski zamknięto jeszcze w dziewiętnastym wieku; teraz chowa się tam właściwie tylko katolików. Nu, czynne czy nieczynne, kładbiszczce trzymać musi na warcie grabarzy czujnych, coby wpisali w rejestr mogił każde wymarznienie lutego spod ziemi. Potem trzeba za nim iść i zbierać szczątki zmarłego, z powrotem w grób kłaść - tych ćwierćpochówków powtórných mamy trochu, w Irkucku cmentarz spory znajdziesz przy każdej cerkwi, a cerkwi tu mnogo. Bo, widzicie, ta materja w mroźniku ulicami goroda krocząca to nie tylko woda, to znaczy lód, ale także drobiny różne przypadkowe, co on tam zebrał mrozem swoim z ziemi. Czyli również kawałki zwłok zmarłych pod krzyżem pochowanych, jeśli przez nie akurat przeszedł. Chciałbyś pan matkę swoją świętej pamięci rozwleczoną po dachach i trotuarach ujrzeć? Ano, po to płacimy grabarzom.

Się rozglądało się po sali. Przedpołudniowa pora sobotnia sprawiła, że gości można było na razie policzyć na palcach. Chyba rzeczywiście byli to w większości Polacy. Nie spostrzegło się też ani jednej niewiasty.

Pod słonecznym landszaftem naprzeciwko siedział rudy ponurak o posturze Longinusa Podbipięty, jeno z głową dziwnie małą, na długiej szyji pałakowatej zaczepioną, w tej zaś chwili - zwieszoną nisko, nosem w kufel. Oczy pod gniewnie zmarszczonymi brwiami śledziły jednak każdy ruch w kawiarni, nic też zapewne nie umykało uszom rudzielca; znakiem podwyższonej uwagi był błysk czerwony w źrenicach i zaciśnięcie łapsk do siekiery

urodzonych na półpustym kuflu.

- To pan Lewera, nasz lokalny grafoman - szepnął Wielicki, zasiadłszy z powrotem do parującego czaju. - Radzę nie podchodzić.

- A co, gryzie?

- Jak przeczyta co dobrego, a nie swojego. - Zaśmiał się pod wąsem. - A już pod żadnym pozorem nie wspominaj pan w Lewery obecności Waława Sieroszewskiego ani żadnych dzieł jego. Lewera do końca życia mu nie daruje. Uważasz pan, umyślił sobie, że zostanie wieszczem Nowej Syberji, ale co by nie chciał napisać, zawsze o pół roku szybszy jest z tym Sieroszewski.

Dwa stoliki dalej sączył kawę barczysty brodacz w zdobnej kolorowym haftem krzyżkowym rubaszce. Niejaki Gorubski, jedyny tu Rosjanin. A pod zegarem za nim siedział doktor praw Zenon Myśliwski, sekretarz pana Zweigrosa.

- Będzie stał przy drzwiach i witał wszystkich - kontynuował pan Wojsław półgłosem. - Przedstaw się pan mu grzecznie i patrz, czy rękę poda; jak poda, to dobrze jest, wchodzisz. Siądź wtedy gdzieś pod ścianą i tam siedź i słuchaj, póki nie złamiemy. Potem możesz pan rozmawiać o posadzie.

Potarło się grzbiet lewej dłoni, jeszcze mrowiący pod skórą.

- Miałem nadzieję, że mnie pan komu poleci - może komu od Kruppa.

- Oj, przecie to właśnie robię! Jak pan wejdiesz - to już lepszego polecenia nie trzeba, pytaj i proś śmiało. - Chrząknął grubo. - Przyzwoił rzecz byłą, gdybym sam panu -

- Ależ! Doprawdy!

- Nie, nie, przecież mam w firmie tuzin etatów, na których mógłbym pana spróbować. Ale, widzi pan, taki czas, żeby nie Piłsudski, kto wie - ale teraz musiałem właśnie odstawić ludzi od roboty na kilka tygodni. Więc -

- Pan mnie zawstydz, panie Wojsławie.

- Nie, nie, nie - machał chustą, uśmiechnięty w zakłopotaniu. Siorbnąwszy czaju, zerknął na zegarek. - Wpół na dwunastą, będą się schodzić.

Prawda, powoli gości przybywało: wszedł jeden, drugi, trzeci. Wszyscy tu się znali; najpierw przechodzili od stolika do stolika, wymieniając słowa powitania, dopiero znajdowali sobie miejsce i strzelali palcami na kelnera.



Wpadł na moment kupiec futrzany Kozielcow, szukając kogoś. Na widok Gorubskiego sczerwieniał jednak cały na gębę i począł się trząść jak w febrze wsparłszy się obiema rękami na lasce srebrzonej, pluł szeptem teatralnym inwektywy grube.

- Co jemu? - spytało się.

- Kozielcow i Gorubski byli kumy serdeczne, razem trzymali zdrową część i handlu futrami państwowemi.

- Państwowemi?

- Znaczit, z jasaku. Ale Kozielcowowi wpadła w oko córka Feliksa Gniewajłły, zakochał się biedaczysko na śmierć. Witam, witam, pana Porfirego!

Dosiadł się do stolika Porfiry Pocięgło.

- Kiedy to się działo - kontynuował pan Wielicki - zamierzchłe czasy - w tysiąc dziewięćset siódmym chyba.

- A co, ten Gorubski też do niej cholewki smalił?

- Nie, nie. Tylko że pan Feliks Gniewajłło był szlachcic hardy, ani myślał wydawać docz za cesaropapistę. No i Kozielcow się przekreślił na obrządek rzymski. Bo, widzicie, było to po ukazie tolerancyjnym Mikołaja Aleksandrowicza, więc akurat miał prawo konwersji dokonać; rychło Stołypin znowu religie zamknął. Ale - stało się, Kozielcow został rzymskim katolikiem, mężem Polki, i sam się połączyć szybko zaczął. Gorubskiego mało szlag nie trafił. Próbował doń rozumować tak i owak, sprowadzał mu popów, diakonów uczonych, ba, Gniewajłłównę samą obrzydzić kumowi usiłował - wszystko na nic. Pożarli się okrutnie. Im bardziej Kozielcow był katolicki, tern bardziej Gorubski - prawosławny. Im bardziej Kozielcow polski, tern bardziej Gorubski - rosyjski. I tak ze wszystkim. Kozielcow skupuje rogaciznę, to Gorubski akurat sprzedaje rogaciznę, choćby i sobie na szkodę. Kozielcow jest ottiepielnik, to Gorubski liedniak zakuty. Z czasem pewnie by się jakoś zesli i pogodzili, lecz tymczasem nadciągnął Lód i - zamarzło.

Pan Pocięgło kiwał głową, potakując. Wszyscy obserwowali już awanturę rosnącą pięknie między Kozielcowem i Gorubskim.

- Moje grunta, od roku przyrzeczone! - bulgotał Kozielcow po polsku, nie bardzo zresztą słowa przeciągając.

- Pa-russki uże nie gawarisz? - zaszydził na to Gorubski, nie podniósłszy się nawet od

kawy.

- A żeby ci chociaż z tego zysk jaki wyszedł!

- Ciebie już głowa nie boli, mój zysk, mój pieniądz.

- Reakcja przekłeta, wszyscyście psy ogrodnika, sami nie zarobią, innym nie dozwolą!

- A idźcie, idźcie, róbta, co chceta - byle nie za mojego życia na tym świecie! Ani dzieci moich! Weźcie się zamknijcie w jakim chutorze pośrodku tajgi, jak ci skopcy czy insze krzywowierce, na odludziu, gdzie nikogo swoim bezceństwem nie zgorszycie, i tam się rzeżajcie, parzcie się ze świniami, palcie w piecach rublami i ikonami - czy co tam teraz postępowcy najgorętsi świata planują.

Kozielcow był już czerwony jak chiński lampjon, zdawało się, że podgolona sarmacko czupryna naprawdę kurzy dymną poćmiatą.

- Pan jesteś chuj, zbój i propaganda!

- Pan? Pan? - rechotał Gorubski. - Teraz mi już panować będziesz?

Towarzystwo przy stoliku z trudem tłumiło wesołość.

- Może niech kto ich uspokoi - rzekło się. - Zaraz się na siebie rzucą.

- E tam, pogaduszki to takie ino.

- Coś za bardzo polityką pachną.

- Kozielcow zamarzał demokrata wielki - mruknął Jan Gawron, wsunął pod język cukier, łyknął czaju i naraz zmienił temat. - Coś pan mówił o rurach - to prawda być może. Tunguskaja Choład-Żeliezapramyszliennaja Kampanija sprzedała w siłę kontrakta peterburskiego czterysta tysięcy pudów zimnaza wysokowęglowego. Ale to są zawsze targi z radami miejskimi, czy kto tam akurat zamówienia publiczne kontroluje - trzeba grubo smarować, czynownikom się podlizywać. Chyba że bez dekretu zaczną ci i owi kamienicznicy albo towarzystwa wodociągowe wymianę przeprowadzać. Mhm. Rury warszawskie - z czego pan to wnosisz?

- Bo hydraulika w murach pęka i woda zamarza w kranach.

Pan Pocięgło przesunął samowar i nachylił się nad stolikiem.

- Przepraszam za wczoraj, panie Benedykcie, interesy. O czym chciał pan -

Się skrzywiło się.

- Nie tutaj, nie teraz.

Huknęło. To szyba mleczna w drzwiach pękła, z taką wściekłością Kozielcow nimi trzasnęła, wybiegając. Gorubski tylko rozparł się szerzej na empirowej sofie i zawołał o wódkę.

- Po co on w ogóle tu przyszedł?

- Pewnie właśnie po to.

Przegryzło się suchara czekoladowego.

- Często się takie historie zdarzają?

- Jakie?

- Rosjan spolszczonych.

Pocięło otworzył swoją srebrną papierośnicę herbem miasta tygrysa i sobola ozdobioną, oczęstował wszystkich wokół, zapalili; też się zakurzyło.

- Pan Benedykt, jak to Królewski, jedną tylko rację między Polakami i Rosjanami widzi.

- Zaciągnął się, założył nogę na nogę, westchnął. - Pamiętam pana zdumienie w Transsibie. Pan w romantycznych fałszach żyje! Myśli pan, że Polacy to naród z boskiego zrządzenia sam do ucisku i krwio pijstwa niezdoleni? A choćby tu, na Syberji - inarodcy dobrze pamiętają pana polskiego, Jana Krzyżanowskiego, który w siedemnastym wieku tak ogniem i mieczem Tunguzów trzebił, samorządząc się wedle najgorszych obyczajów Łaszcza, i Stadnickiego, że bunt prawdziwy ludności miejscowej w Ochocku tym spowodował.

- Pamiętają?

- To pamięć narodu, nie ludzi. Czy my nie pamiętamy Giermanom Grunwaldu? - Pan Porfiry dmuchnął prowokacyjnie dymem tytoniowym ponad stół. - Powiadam wam, gdyby się inaczej Historia obróciła, to my byśmy rządili Rosjanami od Księstwa Moskiewskiego po Morze Czarne, i to Rosjanie jęczeliby teraz skargi żałosne przed portretami króla Polski i Litwy, skamląc o urzędowej polonizacji i wynarodowieniu, a ichni karjerowicze na wypródkę przyjmowaliby wiarę katolicką i w szaty polskie się stroili.

- Marzy pan.

- Ależ! Syberja to dowód najlepszy. Zawsze są jakieś uwikłania w Historję, jakieś zaszłości i warunki obiektywne, wykrzywające obraz, których nie sposób zmienić, trudno więc wziąć człowieka i człowieka, naród i naród - i porównać: ten bardziej utalentowany, ten

mniej, ten sobie poradził, ten nie, z tych materiałów na Imperjum, a ci tylko przez przypadek ćwiercią globu trzęsą. Ale jeśli był w ogóle kiedykolwiek-gdziekolwiek taki poligon Historji, pole puste, przez Historję nietknięte, jednak ciężkie dla wszystkich, z ukrytymi szansami wielkiego sukcesu dla zdolnych i wolą silnych, i z karą nieuchronną, śmiertelną dla głupich i leniwych - to właśnie Syberja jest tym poligonem.

...I patrz pan teraz: coś z niczego. Tu nie było nic, ani kultury, ani przemysłu, ani ludzi do niego. Jeszcze wiek, półtora temu przejechał pan przez obłast' i nie spotkał jednego człeka piśmiennego. Na kim więc można było budować, z kogo musiała korzystać nawet władza Imperjum, jeśli potrzebny był osobnik inteligentny, wykształcony, samodecyzyjny? A przecie dokładnie takich zsyłano tu w politycznych sprawach! Najpierw więc to zesłańcy wypełniali wszystkie funkcje w państwowej i prywatnej władzy, do których brakowało na Syberji ochotników. A pośród zesłańców, za samymi Rosjanami, najliczniejsi byli Polacy. Ale wyroki miały, i często zostawali i osiedlali się tu bez sądowego przymusu wadwarienia; żenili się albo sprowadzali żony; rosły kolejne pokolenia; a z kraju przyjeżdżali nowi, za pracą i okazją do wzbogacenia się, już z własnej woli - dla zysku! I wzbogacili się! I zbudowali! Coś z niczego - oto, jaka mogłaby być Polska, gdyby Historja z nami zagrała uczciwie.

...Spojrzyj: pan Ignacy Sobieszczański, trzydzieści z górą milionów rubli, pierwszy salon Irkucka, dziesiątki kopalni od Jenisieju do Amuru, fotel po prawicy Pobiedonoscewa, prezes Konwencji Węglowej, wiceprezes Syberyjskiej Rady Państwa do spraw Paliwa. A jak przyjechał tu za Pierwszej Rewolucji, w tysiąc dziewięćset piątym, to miał w kieszeni tylko dyplom inżyniera Instytutu Peterburskiego. Postanowił sobie, że zrobi karierę, i póty łaził po górach i wyżynach, póty rzekami się włóczył i kopał w ziemi, aż trafił na pokłady żelaza, miedzi, węgla, wolframu. Teraz sam zatrudnia głównie Polaków. Byłeś pan w jego dworze?  
*Pan Tadeusz żywy!*

...Spojrzyj: pan Kazimierz Nowak, ten wżeniony w Koziół-Poklewskich. Powiadają, że Polacy rozpili Syberję - Koziół-Poklewscy podbili Rosjan wódką syberyjską. Zайдziesz pan do najdalszej faktorji i stancji w tajdze zapomnianej - na stole Pan Poklewski i Pani Poklewska. Składy tiumeńskie, gorzelnie paduńskie i tu, aleksandrowskie, fabryki świec i ćmieć, kwasów i fosforu. Oni to zbudowali parową żeglugę rzeczną za Uralem. A ile świątyń katolickich, ile szkół polskich wznieśli, ochronek dla sierot i kuchni otwartych i domów dobroczynnych...!

...Inżynier Szymanowski z Towarzystwa Debalcewskiej Fabryki Mechanicznej, milion

dwieście; pan Wicowski z Nowego Banku Irkuckiego, dwa miliony; panowie Becki i Wartysz, udziały w węglu, nafcie i butach Spasowicza, pół miliona i więcej; inżynier Reszke z Północnej Kompanji Mamuciej, udziały w pół tuzinie choładnic, dwadzieścia milionów rocznego obrotu na samym tungetycie; pan Masjemłow, eksport-import transpacyficzny i składy kolonjalne, po otwarciu Koleji Dookołaświatowej wart będzie najmniej milionów sześć; pan Otręba, król w Irkutskom Soliewarnom Zawodie, nawet mimo takiego zagęszczenia tam lutyh, będzie milion czterysta na warzelniach usolskich.

...Ale my wszyscy tu żyjemy jak robaki w obcym organizmie Państwa - a wyobraź pan sobie Państwo z naszej potęgi i dla naszej potęgi zbudowane! Nie chciałby pan takiej Historji?

Nie po to się tu przyszło, nie taka intencja i nie taka myśl w głowie prowadziła - lecz pływ teslektryczny był nazbyt silny, czuło się organicznie owo rozedrganie, roztrzęsienie od każdej komórki palców w blat stolika prędko stukających, do każdej komórki nerwowej mózgu, z której czarne jak ćmiecz piorunki strzelają pod czaszką, losując z tego bębna loteryjnego kolejne obrazy możliwości niekoniecznych, ani prawdziwych, ani fałszywych.

- Nie! - warknęło się. - Nie chcę takiej Historji!

- Oho!

- Potęga polska zamiast potęgi rosyjskiej! Czy, jak pan woli, potęga syberyjska - bo pan jesteś abłaśnik, pan tu chcesz państwo syberyjskie zbudować, czyż nie tak?

- Tak!

- A co za różnica, kto nad kim władzę trzyma i jakim językiem mówią czynownicy? Znowu będą zandarmi buntowników przeciwsyberyjskich nocą ścigający i znowu będą powstania bajkalskie we krwi topione. Nie mów pan, że nie; pan to już wyśniłeś i we śnie o potędze się na to zgodziłeś - widzę - zamarzło.

- A pan byś chciał - jak? bez władzy? bez prawa? Pan anarchista jesteś!

Od razu przypomniała się kłótnia w tajdze doktora Konieszyna i *Herr* Blutfelda. Potrzęsęło się głową w irytacji.

- Nie! Musi być porządek i siła do obrony przed tymi, co zamierują nas zniewolić. Ale nie może być żadnego państwa, żadnej władzy z ziemskich tronów dyktującej dobro i zło - nic, co istnieje, nie może stać ponad człowiekiem.

Pan Porfiry roześmiał się serdecznie.

- A toś pan kalafiora strzelił! Logik uczony! Państwo i nie państwo! Władza i nie władza! Wolność i nie wolność! Atliczna! Jak już pan wymyślisz, jak paradoksa takie ziścić, powiadom mnie koniecznie, nie omieszkam skorzystać z recepty.

Pan Porfiry dopił czaju, przeprosił i udał się do toalet. Ochłonęło się, się schłodziło się szybko. W głównej sali kawiarni gromadzili się kolejni goście, nie przysiadając już nawet, wymieniając pozdrowienia i plotki w grupkach kilkuosobowych. Było ich w sumie dobrze ponad czterdziestu, panowie zażywni, dobrze odziani, ze złotymi i tungetytowymi pierścieniami na palcach, z brylantami i puchzłotem, w pokazie bogactwa, który w Europie jawiłby się nieprzyzwoitym i zgoła wulgarnym. Gwar polskich głosów wypełnił kawiarnię. Zduśiło się papierosa. Na zegarze stała za dziesięć dwunasta. Teraz dawka ćmieczy, pomyślało się, teraz dynamo teslektryczne by się zdało - zamrozić się na tę godzinę, dwie. Bo jak znowu co dziwnego w momencie złym do łba strzeli -

Wrócił Pocięgło. Się poderwało się i dopadło się go jeszcze na osobności, przy ścianie między obrazami.

- Jakoś nie było okazji - zaczęło się zduszonym głosem i z oczami obróconymi na akwarelową panoramę Bajkała - a przecież dawno powinienem był to zrobić: chciałem pana przeprosić za moje zachowanie owej nocy w Ekspresie Transsyberyjskim. - I dopiero wypowiedziawszy to, zdołało się wrócić wzrokiem ku panu Porfiremu.

Spojrzał dziwnie spod tych swoich krogulczych łuków brwiowych, odbłaski świeceniowe błysnęły w błękitnych oczach. Jeśli ukryło się wstyd, to przecież nie pod maską obojętności - Pocięgło pewnie zastanawia się teraz, skąd ten gniew, o co mina chmurna, wroga na obliczu Benedykta Gierosławskiego.

- Tak?

- O wybaczenie proszę. Nie chcę żadnej urazy między nami.

- Ja urazy nie chowam - rzekł ostrożnie.

- Nie chcę żadnej urazy, bo muszę prosić pana o inną rzecz, dla mnie ważną. Pan bywasz u panny Jeleny Muklanowiczówny.

- Ach!

- O co mnie pan wtedy pytał, pamięta pan, sprawa sercowa i tak dalej. - Spróbowało się

rozplątać z twarzy węzły mimiczne, ale chyba bez powodzenia. Przynajmniej wytrzymało się spojrzenie Pocięgły, nie mrugając. - Czy - czy - czy da mi pan słowo honoru, że - wobec panny Muklanowiczówny - że myśli pan o niej - pana intencje - najpoważniej tylko? Zawahał się.

- A jeśli dam?

- Wtedy wam pobłogosławię. Ale jeśli nie albo jeśli zamarznie tu kłamstwo -

- Dlaczegoż więc pan sam nie... No tak, *le Fils du Gel, c'est très fâcheux*. Pan myślisz czekać? Dokąd? Ona wyjedzie, a pan -

- Więc jak będzie?

Przyłożył zaciśniętą pięść do serca.

Skinęło się głową.

- To jest djabelski pakt - rzekł po chwili. - Nie że pakt o kobietę, chociaż - dwóch mężczyzn i kobieta, w tym zawsze czort miesza. Ale pan dobrze wiesz, że ja niczego bardziej nie pragnę, jak Odwilży i zmiany, wyzwolenia Syberji. A po Odwilży - po Odwilży będzie nowy świat i nowe prawdy. Więc paktujesz pan o kobietę - i już wiesz, do czego ojca namawiać nie będziesz. Czy to przystoi - Historję sprzedać za szarm niewieści?

- Pan za długo żyje w Kraju Lutych. W Lecie też znamy honor.

Znowu popatrzył dziwnie.

- Pan mnie jednak zadziwia, panie Gierosławski. Jest w tym jakieś szaleństwo, to znaczy tajemnica. - Pod srogim spojrzeniem powstrzymał się od śmiechu, którym zamierował rozładować sytuację. - To o tym chciał pan ze mną mówić w Warszawskim?

- Nie.

Wybiło południe.

Wybiło południe i naraz wszyscy podnieśli się od stolików, szef sali wraz z panem Myśliwskim stanęli u podwójnych drzwi w głębi, oberkelner nacisnął klamkę i ukłonił się w pas. Za drzwiami zafalowała czerwona kurtyna, wsunął w nią rękę i odchylił materiał, wskazując drogę. Goście zbliżali się po kolei, wymieniali kilka słów z Myśliwskim i znikali między fałdami karminowemi. Poszli bracia Gawrony, poszedł pan Pocięgło, poszedł pan Wielicki. Zauważyło się redaktora Wólkę-Wólkiewicza, przechodzącego przez drzwi po krótkiej zagaduszce z doktorem praw. Wkrótce prócz kupca Gorubskiego i grafomana Lewery

nie pozostał na sali nikt. Oblizano się wargi, przeciągnęło się dłonią po szczecinie porastającej czaszkę (teraz mrowiła skóra na głowie) i podeszło się zdecydowanym krokiem. - Tak? - Pan Myśliwski uśmiechnął się zachęcająco. - Benedykt Gierosławski. - Benedykt Gierosławski - powtórzył, jakby musiał usłyszeć nazwisko z własnych ust. Czy należało rzec coś jeszcze? Czy za pierwszym razem trzeba tu przejść test? Według jakich kryteriów Myśliwski oddziela tych, co wchodzi, od tych, co wejść nie mogą? Obowiązuje rytuał; obowiązuje tradycja. Ale pan Wojsław nie dał żadnych instrukcyj! *Przedstaw się pan mu grzecznie i patrz, czy rękę poda.* Tymczasem odzwierzy stał w milczeniu, nie czyniąc też gestu, najwyraźniej na coś czekając. Ukłonić mu się jeszcze raz? Strzelić obcasami? Wyciągnąć prawicę? Odezwać się - koniecznie. Ale co rzec? Że zostało się przyprowadzonym przez Wojsława Wielickiego? Że jest się synem Ojca Mroza? Powiedzieć, że nie wie się, co powiedzieć? Może po prostu trzeba poprosić. Wielicki powinien był uprzedzić! Stało się jak statua kamienna, gapiąc się z mało przyjaznym zacięciem przed się, chyba nawet oddech wstrzymując, i tylko pływ teslektryczny, struga piekającej minus-ćmieczy poruszała się pod powierzchnią ciała, w żyłach i po nerwach. Tlik-tlak, tlik-tlak, cmokał ubawiony zegar. Szef sali udawał, że nie patrzy na scenę przed nim, w półobrócony z ramieniem w czerwonej draperji. Z każdą sekundą rósł przymus - ta siła wewnętrzna, która przecież z zewnątrz człowieka przychodzi i nie ma z człowiekiem nic wspólnego - przymus bezosobowy, naciągający mięśnie twarzy, rozdziawiający sabaczo usta, palący ogień pod skórą. Zaraz się uśmiechnie się przepraszająco, zaraz wstyd weźmie w posiadanie. Stało się jak posąg. Pan Myśliwski uniósł otwartą dłoń. I dopiero po chwili się zareagowało, ujmując i ściskając ją gwałtownie. Ober wykonał zapraszający gest. Weszło się w miękką czerwień.

Za nią były wąskie, spiralne schody, prowadzące na wyższą kondygnację, a u ich szczytu drugie drzwi, na rozcież otwarte, i dopiero za nimi - obszerna sala klubowa, bodaj dorównująca wielkością sali kawiarni poniżej. Centralne miejsce zajmował w niej stół złożony w kształcie litery T, przy którym zasiedli goście-członkowie klubu. Pośrodku poprzecznej części stołu, na tle okien wychodzących na ulicę Główną, siedział starzec oszpecony licznymi odmrożeniami, z trąbką do ucha przytkniętą - pan Zweigros zapewne. Dostrzegło się tam również panów Pocięglę, Grzywaczewskiego i Sobieszczańskiego. Kilkanaście osób zajęło miejsca na krzesłach, otomanach i ławach rozmieszczonych pod ścianami, między donicami azalij, araukarij i rododendronów. Żywe rośliny domowe - w Mieście Lodu nie mały to luksus. Spoczęło się pod kwieciami białymi, obok Wólki-Wólkiewicza. Chciało się mu od razu zadać pytanie, ale stary redaktor, odjąwszy pióro od



kart notatnika, przytknął je do warg, nakazując milczenie. Rzeczywiście, nikt nic nie mówił, słycać było poświst wichru lodowego zza okien i rozciągnięte przez mgłę echo bębnow. Spojrzało się na ścianę nad głową - wisiał tu portret mężczyzny w ubiorze z siedemnastego lub osiemnastego wieku. W ogóle sala ozdobiona była wieloma obrazami, zarówno portretami, jak i odmalowaniami przyrody syberyjskiej lub scenek rodzajowych na jej tle. Odczytało się mosiężne grawerunki na oprawach kilku najbliższych obrazów: Joachim Leśniewski, Ferdynand Burski, Leopold Niemirowski, Henryk Nowakowski, Stanisław Wroński. Może byli to uznani malarze, a może odpowiednicy Lewery w dziedzinie pędzla, nie miało się tu wielkiego rozeznania. Tożsamości sportretowanych osób nie próbowało się zgadywać. Nie wykręcając już szyji, odczytało się grawerunek ze ściany po prawej: *Pan Mamutów - Karol Bohdanowicz - 1864-1922 - Jego węgiel, Jego żelazo zimne*. Z portretu spoglądał przysadzisty, szpakowaty mężczyzna o krótkiej szyji, głowie masywnej w białej mocno w ramiona, cofniętym czole, z wąsikami i szpic-bródką nad sztywnym białym kołnierzykiem i czarnym krawatem.

Pan Myśliwski zamknął drzwi. Wszyscy wstali, pan Zweigros zmówił modlitwę. Rozległo się głośne „Ciebie prosimy” i „Amen”. Usiedli. Pozostał na nogach jeno Zweigros, wspierający się pięścią kościstą o blat. W krótkich słowach podziękował wszystkim za przybycie, ogłosił tragiczną śmierć jednego z członków klubu, poprosił o hojne datki dla Towarzystwa Dobroczyнного imienia księdza Szvernickiego (w tym miesiącu głównym celem był ratunek przemrożonej Biblioteki Polskiej), poczem oddał głos prowadzącemu konwent panu Sobieszczańskiemu. Inżynier Sobieszczański odczytał z kartki trzy projekty uchwał do przyjęcia przez klub; szło między innymi o jakieś artykuły szkalujące burmistrza Szostakiewicza oraz o odcięcie się „polskich kręgów przemysłowych Syberji” od działań japończyków Piłsudskiego. To sprowokowało dosyć ostrą wymianę zdań między kilkoma klubowiczami. Wólka-Wólkiewicz pilnie notował.

Podczas gdy przy stole dyskutowano kolejne punkty, myśl wolna oderwała się od terażniejszości i wróciła do owej chwili niedawnej sprzed drzwi na dole. Jeśli był to test - to na czym polegał? i w jaki sposób się go zdało? Nie robiąc nic, nie mówiąc nic, stercząc przed Myśliwskim niczym kukła martwa. Czyżby reakcją prawidłową był właśnie brak reakcji, to znaczy zaniechanie? Nie słowo, ale brak słowa? Nie gest, ale brak gestu? Niedokonane - ważniejsze od dokonanego. Lecz o czym owo niedokonane miałoby świadczyć? Jeśli wszedł ten, kto nie prosił, nie kłaniał się, nie dopytywał - to czy odpędzono onych proszących, nalegających? Nie w tym rzecz chyba. Pan Myśliwski spoglądał był okiem osądzającym,

duszę świdrującem - lutowczyk stary - doktor praw i adwokat czynny, w chorobach charakteru ludzkiego doświadczony, charakteru, co na ziemi Lodu jest wielkością pewną i mierzalną niczym ciepłota organizmu albo wymiar przestrzenny przedmiotu materialnego. Nie mogło się nie wspomnieć prokuratora Piotra Leontinowicza Razbieszowa. Bajka! - zakrzyknęło się w duchu. Jakże to? - minuta, dwie, żadnych słów, spojrzął - i już wie? już człowieka poznał? Bajka! Na dodatek wciąż czuło się w ciele przepływy teslektryki pompą Kotarbińskiego o świcie odćmieczonej. Gdyby na odwrót: gdyby się było zaćmieczyło, gdyby się było zamroziło - no, to może miałby Myśliwski co w człowieku dojrzeć. Ale teraz, w rozklejeniu między Benedyktem Gierosławskim a Benedyktem Gierosławskim? Kogo właściwie on zobaczył? Kogo tu przez próg przepuścił? Drapało się nerwowo grzbiet dłoni.

Przegłosowawszy uchwały zaproponowane z funkcji przez inżyniera Sobieszczańskiego, klubowicze przystąpili do omawiania głównego punktu konwentu, to jest stanowiska w sprawie projektu reformy prawa górniczego w guberniach Lodu, ogłoszonego przez premiera Struva. Dotąd obowiązywała w Imperjum zasada, iż własność ziemi obejmuje także wszystkie jej bogactwa naturalne, a ziemie należące do państwa (czyli do Rosji Romanowów, ale nie do samych Romanowów) pozostają otwarte dla górnictwa. Teraz miało się to zmienić. Piotr Struve zamierował upaństwowić Drogi Mamutów. Natenczas rozgorzała już przy stole regularna debata, z waleniem pięściami w blat, przekrzykiwaniem się wzajemnym i dzwonieniem w szkło dla uciszenia rozgorączkowanych - co niewielki skutek dawało. Niektórzy z siedzących pod ścianami podchodzili do klubowiczów, szeptali im coś do ucha; krążyły papiery. Klub był wobec propozycji Struva równomyślny w sprzecznie, radykalne rozbieżności powstały natomiast w kwestji metod przeciwstawienia się projektowi. Ponieważ bił on jednako we wszystkich przemysłowców zimnazowych, niezależnie od ich narodowości, frakcja prowadzona przez Porfirego Pocięglę naciskała na wykorzystanie tej okazji dla zbudowania powszechnego frontu secesyjnego, dążącego do ogłoszenia przynajmniej ekonomicznej niepodległości Syberji. Frakcja lojalistyczna nie chciała słyszeć o żadnych podobnych „prowokacjach wobec cesarza”. Frakcja polonocentryczna ustami Ignacego Sobieszczańskiego zgłaszała pytania o niepodległość Polski w kontekście niepodległości Syberji - czy szanse na tę pierwszą dzięki tej drugiej zwiększą się, czy zmniejszą? i wedle jakich planów geopolitycznych to rachować? Były wreszcie wcale liczne głosy ze strony klubowiczów bardziej ostrożnych, przeważnie starszego pokolenia, którzy powątpiewali w możliwość przeprowadzenia jakiegokolwiek głębszej zmiany pod Lodem - „A czy naprawdę chcemy się Lodu pozbyć?” - i obawiali się zagrożenia ze strony Cesarstwa Japonji w

przypadku opuszczenia Syberji przez armje Imperjum. Kto nas wtedy obroni, obdartusy Piłsudskiego? Pocięło walił marostieklową popielniczką w stół i wołał: - Państwo! Państwo! Inni palili - zapaliło się papierosa.

- Nie przyznają się do tego - zauważył zgryźliwie redaktor Wólka-Wólkiewicz, szarpiąc w gniewie za muchę wysoko na grdyce zaplątaną. - Burzuje zakłamani! Mógłbym panu palcem wytknąć tych, co dawali pieniądze Piłsudskiemu i staremu Pepeesowi. Teraz, jak stracili setki tysięcy przez zamkniętą Kieżmę, żaden się nie przyzna.

- Jakże to, kapitaliści najwięksi opłacają socjalistów?

- Oczywiście! A kto? Przecież nie biedota, co sama na chleb nie ma. A z napadów na pociągi walki zbrojnej masowej nie sfinansujesz.

- Ale gdzie tu logika? Płacą za własną zgubę!

- Pan mieszka w jego domu i nadal nie odróżniasz karykatury burżuja od burżuja prawdziwego! Panie Benedykcie, to są w większości dobrzy ludzie.

- Proszę?

- A co złego może pan rzec o swoim gospodarzu? Czy nie ma dobrego serca? Czy nie lubi ludzi? A ma pieniądze. Dlaczego miałby nie łożyć na walkę o naprostowanie Historji ku powszechnej sprawiedliwości? Czy nie boli go nierówność, czy nie zawstydzają własne bogactwo wobec cudzej nędzy?

Zerknęło się na pana Wielickiego, akurat energicznie za czymś perorującego, słońce rozżęczone błyskało w brylancie *mijnheer* Ojdeenka.

- On...?

- Nie mówię, że pan Wojsław - ale tacy ludzie właśnie, tacy ludzie. Pan myślisz, że jak kto się pieniędzy dorobił, to, kim by uprzednio nie był, mocą jakiegoś magicznego uroku nabiera wtem poglądów reakcyjnych, przeciwludzkich? Umiejętność robienia pieniędzy nijak się ma do gustu politycznego. Wyzyskują, nie wiedząc, że wyzyskują, i szczerze wierząc w ten porządek świata. Owszem, co więksi hypokryci mogą, wzbogaciwszy się, działać ze strachu małego, głupiego wbrew szczerym swym przekonaniom, zwłaszcza jak dadzą wiarę z kolei karykaturom socjalizmu, rozmaitym leninowskim i trockistowskim wizjom klasowego terroru - ale głupota, nieuczciwość i hypokryzja rzadko idą w parze z charakterem predestynującym do sukcesu w interesach. Więcej znajdziesz pan konstytucyjnych demokratów i socjalistów struvowskich między świeżymi milionerami Rosji aniżeli wśród

małych ziemian i starego drobnomieszczaństwa, nie mówiąc o chłopstwie zabobonem, niekształconem. Pan się spytaj, ilu Żydów skąpych a pobożnych łoży - nie na filantropje popularne, ale na takie i owakie ruchy socjalne! Dlaczego? Bo są dobrymi ludźmi.

Też zapalił; podało się mu ogień.

- A druga okoliczność, panie Benedykcie, jest taka, że przecież Piłsudski teraz nie o rewolucję proletariacką walczy, lecz o Polskę. A i Pepees... Zresztą sytuacja w partji bardzo się zamętniła ostatnimi laty. Od nowa kłóć się o majątek po secesji wyrwany, na nic arbitraż Międzynarodowego Biura Socjalistycznego, po dwudziestu latach o drukarnię i stos książek za kłaki się wzięli. Czytujesz pan może bibuły albo prasę krakowską? „Młodzi” w dawnym Królestwie i Galicji mocno chwycili za lejce. Frakcja Rewolucyjna nie bardzo wie, jak się ustawić między nimi i Piłsudskim. A Piłsudski nie chce już nawet tworzyć tu nowej partji, tylko czeka sposobności dla wykorzystania sił wojskowych. Póki jednak Mróz trzyma wszystko od Pacyfiku po Odrę, nie ma wielkiej różnicy między jedną płonną nadzieją i drugą płonną nadzieją.

Się zaciągnęło się w zamyśleniu dymem. Mhm, nie wzięło się pod uwagę, że w PPS-ie schizma nie mniejsza niż u marcynowców. Właściwie z jakiego odłamu politycznego pochodził ten bezuchy pepeesowiec warszawski? Może to wcale nie był piłsudczyk; może właśnie dlatego nie mogą ichni ludzie od lat dotrzeć do Ojca Mroza, że Piłsudski tu na miejscu blokuje im dostęp, przechwytuje posłańców. Żrą się między sobą.

- A powie mi pan, panie redaktorze, która strona w Pepeesie życzyłaby sobie takiej Odwilży: na Zachodzie do Dniepru, nie dalej, Rosja cała pod Lol dem, ale Japonja wolna. Na modłę Szulca: żeby tutaj lute ostawić w spokoju, nie łamać Lodu. Czyja to polityka?

- A od kiedy to istnieją polityki Odwilży? Gdybyśmy mogli o takich sprawach decydować...! - zachnął się i zaraz się zsumitował. - Do pana z tytn przychodzą, co? Ojciec Mróz i synalek jego, no tak. - Zatrzygł borsuczo wąsikami. - Mhm, były o tym artykuły w „Robotniku”, w „Trybunie”, w „Wolnym Polaku” chyba też - ale, rozumie pan, na tej tylko zasadzie, na jakiej rozważa się wszystkie kierunki rozwoju zdarzeń, jak śmierć cara, wojna bał-i kańska, rewolucja na Zachodzie albo obłęd bratobójczy Wilusia, Nikosia i Ferdynanda. Tu więc „młodzi” różnią się nadziejami od „starych” i Piłsudskiego.

...Ci pierwsi liczą na Odwilż zupełną, to znaczy przede wszystkim w Rosji, bo w ten sposób zapaliłaby się rewolucja robotnicza w całym Imperjum - a że na ziemiach polskich, to przy okazji, i że urodziłaby się z tego Polska niepodległa, to już w ogóle sprawa dalsza.

...Ci drudzy rachują szanse polityczne inaczej: po pierwsze, nie w tym rzecz przecie, by uwolnić tylko zabór rosyjski, ale Polskę całą, sama więc Odwilż nie odmieni wtem polityki Habsburgów i Hohenzollernów; po wtóre, nie ma wcale pewności, że Rosja posunięta naprzód w Historji wejdzie w Rewolucję i w socjalizm skory darować wolność narodom w Imperjum zniewolonym, a nie na przykład urośnie w Imperjum jeszcze potężniejsze, bo nowoczesne, na modłę Bismarcka zarządzane. Państwo! Rozumie pan? Państwo przeżyje wszystko.

- Tak.

- I tą argumentacją Piłsudski przekonał w końcu Perla i towarzyszy z Eferu, z Organizacji Bojowej, i Strzelców w kraju.

- I tak oto Józef Piłsudski wyszedł na liedniaka - westchnęło się. - Broni Rosji lodowej, czyż nie?

- No, no, nie żartujcie sobie tak, chłopcze. - Mały redaktor uniósł się w irytacji. - To jest człowiek, który przynajmniej ma konkretny plan i od lat nie ustaje w jego realizacji. Wie, czego chce, wie, jak to osiągnąć, i robi wszystko po temu. O ilu naszych politykierach piwnicznych i idejologach kawiarnianych możesz pan to powiedzieć? Ilu w ogóle wierzy, że Polska jest czymś, co możemy zbudować, stworzyć, wywalczyć, zdobyć własnymi rękoma, a nie dzięki szczęśliwym zrządeniom losu, pomyślnemu układowi gwiazd, wojnie jakiejś fartownej Trójprzymierza z Ententą, albo dzięki kaprysowi potęg obcych, którym wobec tego trzeba się za wszelką cenę przypodobać - albo wręcz dzięki jakiejś magicznej sile Historji? A? Ale czy ludzie go rozumieją? Czy doceniają? Ha! - Fuknął ogniście i przesunawszy papierosa w drugi kąt ust zgarbił się nad notatnikiem.

Po z górą godzinie przegłosowano stanowisko w kwestji prawa górniczego; Pociągło przegrał, zwyciężyła opcja opowiadająca się za suchym protestem, listem z instrukcjami do radców petersburskich i wyczekiwaniem na rozwój sytuacji. Ale zaraz okazało się, że pan Porfiry bynajmniej nie zamierza złożyć broni, to była ledwo uwertura do prawdziwej bitwy, którą przyszło mu teraz stoczyć w sprawie wniesionej przed klub z jego prywatnej inicjatywy. Otóż Pociągło od swoich ludzi (najpewniej agentów handlowych w Ameryce) uzyskał informację, iż konkurent Harrimana z Wall Street i tamtejszy potentat stali i miedzi, John Pierpont Morgan, wyprawił drogą morską przez San Francisco i Władywostok poselstwo w intencji zablokowania prac nad Tunelem Alaskańskim i Koleją Dookołaświatową - przyłączenie taką linią transportową Alaski i Ameryki do Syberji kosztowałoby J. P. Morgana

majątek w stratach giełdowych i kontraktowych i monopolach surowcowych. Odkupując dwadzieścia lat temu od Carnegiego *U.S. Steel*, zapłacił ćwierć miljarða dolarów; dziś koncern był wart więcej niż wszystkie bogactwa Rosji razem wzięte - to już są sfery, w których pieniądz rządzi polityką, nie na odwrót. (Nadstawilo się uszu). Kolej Dookołaświatowa była wszak przedsięwzięciem kluczowym dla trjumfu idei abłaŝnicziestwa. Z powodów czysto ekonomicznych Kolej popierał Pobiedonoscew, a i Szulc-Zimowy rzecz jasna chętnie widział większe uniezależnienie swojego generał-gubernatorstwa od Europy. Inaczej sprawa miała się z Imperatorem i dwarianami i w ogóle liedniakami z Wielkiej Ziemi. Znane były precedensy miljonowych wziętek zmieniających kurs polityki rosyjskiej. Morgana stać na podobną łapówkę. Wcale nie musi przekupywać zastępów czynowników i radców dworskich; wystarczy, że zapewni sobie przychylność Rasputina. (Co rządzi carem - mara senna i miecz samuraja - nie ma logiki ponad boską zachcianką samodzierzcy). Pan Pocięgło bardzo serjo wykładał, iż czysta kalkulacja zysków nakazuje przedsiębiorcom zimnazowym podjąć wszelkie starania dla uniemożliwienia misji J. P. Morgana nawiązania kontaktu z marcynowcami oraz dla ochrony budowy Tunelu. Zapytano, jakie konkretnie działania ma na myśli. Odparł, że znalazłyby się one w gestji tajnego komitetu powołanego w tym celu przez klub. - Hańba! - zakrzyknął ten i ów. - Za kogo waść nas bierzesz, za zbójów jakowychś! Boga się bój! - I tak dalej, i tak dalej, długo to trwało, acz do żadnych konkretów więcej Pocięgło już nie zszedł i dysputa pozostała na poziomie inwektyw oraz ogólnikowych apeli do przyzwoitości, cnót chrześcijańskich i temu podobnych. Poczem głosowano i propozycja pana Porfirego przeszła w stosunku trzy do jednego, przy sporej liczbie wstrzymujących się. Pocięgło wstał, skłonił się, podziękował. - Spytaj się pan, ilu z nich ma udziały w Koleji Harrimana - szepnął redaktor Wólka-Wólkiewicz.

Pan Zweigros podźwignął się z fotela, podniósł kielich z winem czerwonym w toaście za pomyślność w interesach i polskie bogactwo Syberji. Wypito. Stojąc, wszyscy członkowie klubu sięgnęli pod serwety na talerzykach po prawicy złożone i ujęli w palce obu rąk niewielkie monety. Rozległo się przeciągłe trzaśnięcie, jak dźwięk miażdżonej porcelany. Konwent się zakończył. Zaczęła się nieoficjalna część spotkania, pewnie ważniejsza od oficjalnej, jak to zazwyczaj w polityce bywa. Wszyscy się poschodzili w grupki i koła ścisłych znajomości, salę wypełnił gwar rozmów swobodnych. Się rozglądało się za panem Grzywaczewskim, który zginął gdzieś w ciżbie, nie będąc najznacniejszej postury. Dopiero po chwili spostrzegło się, że tuż obok ktoś stoi i przypatruje się z przyjaznym uśmiechem.

Kto? Się obróciło się. Inżynier Reszke z Północnej Kompanji Mamuciej.

- Przepraszam -

- Ja-

- Pan pozwoli -

- Benedykt Gierosławski.

- Tak, tak. Reszke, Romuald Reszke. Czy moglibyśmy -

- Słucham.

- Mam nadzieję, że nie będziecie mi mieli za złe. Tak się złożyło, że zamieniłem o was kilka słów z panem Wojsławem. No dobrze, przyznam się - puścił oko - wypytywałem o was. Od początku bardzo się interesujemy poczynaniami doktora Tesli. Wy, jak słyszę, jesteście jego dobrym znajomym... - Nagle zmienił temat. - Rozmawialiście już z gubernatorem?

- Nie.

- Myślę, że znajdziecie go człowiekiem bardzo rozsądnym, a proponowane przezeń rozwiązanie - jedynym słusznym w naszej sytuacji. Czem prędzej to się zdecyduje, tym lepiej. Obiło mi się o uszy, że tymczasem szukacie tu posady, i -

Zrozumiało się, ku czemu Reszke tak lawiruje: jak przekupić, nie wymawiając na głos słowa nieprzystojnego. Zrozumiało się: oni wszyscy bardzo wiele tracą - całe majątki - gdy cofnie się Łódź. Straci także Wielicki. Oto jest jego inwestycja: wdzięczność Syna Mroza! Jeśliby mogli, wysadziliby w powietrze Tesłę z jego maszynami.

Ach, nie! To są przecież „dobrzy ludzie”! Powstrzymało się chichot zgryźliwy. Że zabrakło Czyngisa Szczekielnikowa, nie ma kto bronić przed żrącym jadem podejrzliwości, biorąc go w siebie; już z powrotem zatruwa duszę. Odszukało się wzrokiem jowialne oblicze pana Wojsława. *Czy nie ma dobrego serca? Czy nie lubi ludzi?*

- ...z doktorem Teslą?

- *Plait-il?*

- W dogodnym dla niego czasie i miejscu, rzecz jasna. Widzi pan, próbujemy się z nim skontaktować, był człowiek od nas u niego w hotelu i w Obserwatorium, ale -

Wzięło się głębszy oddech.

- To nie ma sensu, panie inżynierze. Na pewno miał pan styczność z ludźmi nauki

podobnymi doktorowi Tesli. Nie ma takiego bogactwa, dla którego on wyrzekłby się swych odkryć i sławy odkrywcy, ojca czarnej fizyki. Wybacz pan.

Przelawirowało się między klubowiczami do Grzywaczewskiego.

Poznał za drugim mrugnięciem.

- Pan... Benedykt.

Uścisnęło się mu dłoń, tę zdrową, prawą; chwyt miał jak imadło.

- Słyszałem, że znał się pan z Filipem Gierosławskim.

- Słucham...?

- A to przepraszam.

Pan Saturnin Grzywaczewski odprawił ruchem głowy poprzedniego interlokutora i odsunął się od grupki, odchodząc w wewnętrzny róg stołu.

- Pan Wielicki mi mówił. Jeśli mógłbym jakoś pomóc - wyjął wizytówkę - niech się pan nie waha.

Taak, co drugi przemysłowiec zimnazowy chce tu półdarmo wdzięczność Syna Mroza zakupić. Cóż prostszego, niż po prostu im na to pozwolić? Poprosić o pożyczkę - da bez szemrania, tysiąc, dwa, pięć, co to dla niego.

Się wzdrygnęło się jak od smagnięcia ogniem żywym. Zwinęło się pięści; skóra już prawie nie piekła. Cholerny Myśliwski, doktor praw i sędzia-kat.

- Szukam pracy uczciwej - rzekło się stanowczo, prawie teatralnie. - Etau regularnego.

Pan dyrektor Grzywaczewski, „pracowity egoista” (poćmiata jak czarna aureola), tylko skinął głową.

- Jakie pan masz kwalifikacje? Robiłeś kiedy w przemyśle górniczym, w metalurgji, w handlu może?

- Nie.

- Języki znasz?

- Rosyjski i niemiecki. Francuski ujdzie. Z klasycznymi radzę sobie w piśmie.

- Czym pan się właściwie zajmował w Królestwie?

- Logiką matematyczną. - Skrzyżowawszy ramiona na piersi, cmoknęło się spod dziąsła. -



Logiką eksperymentalną. Obawiam się, że niczym przydatnym w praktyce w handlu czy przemyśle.

- Eksperymentalną, powiadacie. Znaczy, pan naukowiec. Czekaście-no, mam myśl. - Pochyliwszy się nad stołem, skreślił na odwrocie karty wizytowej kilka słów. - Stawicie się z tym w poniedziałek w naszym kantorze w Zimnym Nikołajewsku, skierują was do doktora Wolfke. Zobaczymy, czy się nadacie. To wtedy omówimy warunki.

- Dziękuję bardzo. A o jakim uposażeniu -

- Jeśli Wolfke znajdzie pana użytecznym, to pogadamy. Potem, potem.

- Tak jest.

Burknął jeszcze coś zachęcającego i odszedł.

Nie wiedzieć czemu, pomyślało się w owej chwili o pannie Julji. Dlaczego w Warszawie idea stałej pracy zarobkowej pozostawała tak niewyobrażalną że etatu serjo nigdy nawet się nie szukało? Kryzys, prawda, wszyscy za pracą chodzą, takich studentów zabiedzonych puka wszędzie kilkunastu dziennie - a jednak. Pan Korzyński i jemu podobni na pewno by pomogli w imię pamięci ojca. Gdyby się człowiek naprawdę był zawziął, gdyby się był postarał... Tutaj Syberja; jak mówił pan Pocięgło, wykształconych ludzi biorą na stanowiska nawet z zesłańców. Ale nie w tym rzecz. Rozwarło się pięści, złożył się dłoń płask na blacie, biały kartonik opadł na mahoń. Sine paznokcie, cegielkowe plamy pod skórą... Ćmiecz litrami w kryształ odpompowana w ostatecznym rozrachunku też niczego nie tłómaczy - bo jakie w ogóle może tu być wytłómaczenie? Poznaje się język opisu świata, ale nie poznaje się siebie. Coś się zrobiło, teraz się domyśla się, dlaczego się to zrobiło. I nawet jeśli domysł będzie prawdziwym - nijak się go nie wypowie, to nie są rzeczy do wypowiedzenia w mowie drugiego rodzaju. Co najwyżej można zapytać pana Pocięglę albo pana Myśliwskiego - oni bez skrepowania wyrażą sąd o obcym, i tak oto spojrzy się przez moment na Benedykta Gierosławskiego z zewnątrz. Benedykta Gierosławskiego, który jest taki i taki, bo zachował się tak i tak; ba, zanim jeszcze się jakkolwiek zachował.

Zadzwięczało szkło. Pan Wólka-Wólkiewicz potykał się o krzesła. Korzystając z okazji na darmową popijawę, redaktor przypadł już do zastaw trunkowych i mimo wczesnej pory zdołał w siebie wpuścić przyzwoitą dozę alkoholu - nos mu zaświecił, spiekły się czerstwe lica, pot nad brwi siwe wystąpił, a wąsiki sztywne drżały nieustannie niczym owadzie szypułki.

- Widzę, że pan też ubił jakiś interes - mruknął, zezując ku wizytówce dyrektora Grzywaczewskiego. - To jest zaraźliwe, wie pan, ta atmosfera, ta energia - machnął ręką z kieliszkiem, wino chlusnęło mu na mankiet, nie spostrzegł - ten pęd, tutaj świat szybciej się kręci, dni szybciej przebiegają, godzina wgrzyza się w godzinę, człowiek goni od rana do wieczora, i to bynajmniej nie popędzany do pracy, nie z głodu i biedy, ale ponieważ zawsze jest rubel więcej do zarobienia, zawsze jest okazja, zysk jakiś na widoku - i już błysk w oczach, siła nowa w mięśniach; mogą tak pędzić dni i noce, od rubla do rubla, drapieżniki rynku. Sądzi pan, że ja tego nie czuję, też czuję, chociaż oczywiście młodzi stokroć silniej. Gdy robią pieniądź, bardziej są żywi; gdy wypuszczają pieniądź z ręki, życie tracą. Pana również wzięło, co?

- Może. Trochę.

- Będiesz pan firmę własną składał?

Się skrzywiło się kpiąco, ale zaraz kpina zesła z twarzy. Usiadło się przy stole, trącając łokciem talerzyk pod serwetą; najwyraźniej było to miejsce przeznaczone dla klubowicza, co nie zjawiał się na konwencie.

Własną firmę... Machinalnie się podrapało się między kłykciami. Zbudować interesu od podstaw się nie zdąży; trzeba by było wejść z udziałami w go:owy. Ktoś przecież musi się zajmować transportem sprzętu i prowiantu na odległe soroczyska, za Kieżmę. A to by była idealna przykrywka. Ale skąd wziąć kapitał? Nie lepiej najać ludzi na jeden raz? Nie ma co budować fabryki młotków dla wbicia tuzina gwoździ.

- Chcesz pan póść w zimnazo? - dopytał się Wólkiewicz.

- Mhm? Nie, nie. Musiałbym zresztą wpierw się rozejrzeć, zbadać warunki...

Co za myśl idjotyczna! Firmę zakładać! Człowiek w życiu nie posiadał nawet własnych czterech kątów, a tu wtem o udziałach, kapitałach, przedsiębiorstwach marzy! Nowy napad warjactwa - widać jeszcze nie wyrównały się poziomy ćmieczy w mózgu.

Wólka-Wólkiewicz wzniosł prawie pustem szkłem na pół prześmiewczy toast. - Zdies' raditsia sledujuszczij kapitalist.

- Taa, kapitalista bez kapitału.

- Kapitał? Nie znał się Marks na ludziach! Zobacz pan, eph, zobacz na Żydy: przyjeżdżają bez grosza przy duszy i dwadzieścia lat potem połowa sklepów w miasteczku do nich należy. Kapitał przyplywa i odpływa - a człowiek abo zamarzył do piniądza, abo nie.

Przesunęło się dłoń po blacie, kciuk trafił pod serwetę na monetę. Ściągnęło się ją z talerzyka, podrzuciło na rękę. Była to zeszłowieczna miedziana kopiejka z dwugłowym orłem na rewersie, mała i lekka. Na dodatek podpiłowano ją po średnicy, między głowami ptaka, że obie połówki łączyła jedynie cieniutka linja metalu. Ujęło się ją w palce. Dziecko by złamało.

### **O tym, czego nie można czuć**

Trzeci już raz robiło się tu za model.

- Ale czy może się pan Benedykt nie ruszać!

- Nie ruszam się przecież.

Stołek był niewygodny. Kiedy odwiedziło się pannę Jelenę w pensjonacie Kiriczkińskiej po raz pierwszy, panna była cała umazana węglem, czarne paluszki, smuga pod okiem, plama na nosku, aż ręka sama po chustkę sięgała. Jelena zaczęła była od zamasztych szkiców na wielkich kartonach. Miała też sztalugi, przydatne, gdy próbowała sił w portretach - cioci, służącej, *mademoiselle* Filipov, pana Pocięgły. Pan Pocięgło sprezentował jej komplet akcesoriów malarskich, włącznie z blejtami osiem na dziesięć, wielką paletą i pudłem farb. Jelena rysowała w pokoju narożnym, korzystając ze światła słonecznego podbielonego na lodzie i śniegu, stołek był ustawiony pomiędzy oknami. Krzesła i fotele, bardziej wygodne, okazały się zbyt niskimi, panna Muklanowiczówna musiała mieć twarz modela na stosownej wysokości - ści; nadał się tylko ten ciężki zydel sosnowy.

Drzwi do salonu, gdzie pochrapywała ciotka Urszula, pozostawały otwarte, coby zachować *decorum*. Mówiło się półgłosem, żeby jej nie obudzić. Zaraz po prawej stronie, na splenięcie, na oddech, miało się okienną taflę marostiekłą, zalaną wszystkimi odbarwami bieli; na pannę Jelenę trzeba było zezować okiem lewem. Malowała ubrana w za duży sarafan, bodaj odkupiony od służącej; teraz już cała w węglowych i farbowych rozmazach. Drgnięcie po drobnym drgnięciu, wykręcało się głowę, ażeby pochwycić półprofil Jeleny w tym uroczym zapomnieniu, gdy pochłaniała ją zupełnie sztuka malunku: z języczkiem wysuniętym, wargą przygryzioną, zmarszczona pociesznie, nachylająca główkę tak i owak, aż loki czarne opadały jej na czoło, na oczy, na policzki zaróżowione. Dmuchała wówczas gniewnie, tak odgarniając włosy; albo się zapominała jeszcze bardziej i sięgała dłonią i oto powstawał na twarzy dziewczynki *maquillage* plamisty, jak łąka kwietna kolorowy.

- No dobrze, ale czy on w takim razie nie był bigamista?

- Nie, tutaj z tą Leokadją Gwóźdź żyli na wiare.

- Mimo wszystko - jakie serce nieczułe! Pan Benedykt wybaczy, ale - w Warszawie przecież umierała wtenczas małżonka jego! Prawda? Jak znam wredną naturę ludzką - aż dziwne, że nikt „życzliwy” nie napisał do niej o tym wszystkim, z czystej złośliwości.

- Niezameżna kobieta z dzieckiem - myśli panna, że oni bywali tu gdzie w towarzystwie? Na prowincji rosyjskiej może by to i uszło, ale w Irkucku? Oni właśnie się z tym kryli, nikt chyba nie wiedział o pani Gwóźdź i córeczce.

- Głowa prosto! Zatem - zatem pan uważa, że to dlatego, że to przez śmierć dziecka. Ach! To przecież pana siostra była, siostrzyczka przyrodnia - a jakże się zwała ta niby przez niego zastrzelona?

- Emilja, Emilka.

- Znowu się pan ruszył. - Podeszła, złapała za łokieć i nadgarstek, ułożyła tak, ułożyła owak, przechyliła główkę, przymrużyła oko, wciągnęła policzek - nie, nadal źle.

- Au! Wykręci mi panna rękę.

Obróciwszy dłoń, przyjrzała się jej z bliska.

- No widzi pan, drapie się pan i drapie, może do lekarza powinien pan z tym iść, to jakaś egzema -

- Trudno się powstrzymać, kiedy -

- Maścią. Albo rękawiczki bawełniane nosić.

- Mhm. Jak doktor Tesla.

- O, w ten sposób! I proszę jeszcze przez chwilę wytrzymać! Światło mam wyśmienite na profil i ramię.

Na marostiekłe pływały kształty domów, mgieł i lutech. Pensjonat Kiriczkiej znajdował się w południowej części starego Irkucka, w Grieczieskom Pierieułkie, opodal Innokientijewskiego Pasiołka. Kostuszy paluch wieży Sibirchożeta jak zwykle dzielił na pół pejzaż metropolji, ale Soboru Chrystusa Zbawiciela nie było stąd widać. Spizowe dzwony grzmiały jednak wystarczająco donośnie. Nie padał śnieg, niebo jaśniało czyste, bezchmurne, gładki lazuryt, Słońce stało wysoko ponad mgłami; Cziornoje Sijanije wygasło do reszty. Był to jeden z nielicznych dni, gdy Irkuck oglądany z wysokości otwierał się przed wzrokiem

ludzkim szczerą panoramą, godną fresku albo właśnie obrazu monumentalnego. Już w drodze z kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryji Panny do Ogrodu Intendentury, siedząc w saniach u boku pani Urszuli, zauważyło się niezwykajny spokój, ciszę i bezruch niedzielny, który udzielił się także aurze: wiatry ucichły, z nieba zeszły chmury, nawet mgła zrzędła i opadła w ulice, nisko między domy. Po raz pierwszy można było podziwiać kolorowe okiennice chałup irkuckich, niebieskie, zielone, żółte, przyozdobione w rozmaite wzory szronopodobne, rzeźbione i w fikuśne symetrije, i w geometrije bardziej toporne. Powietrze było cudownie przezroczyste, jak to w dni pogodnego mrozu bywa; najdalszy kształt na horyzoncie odcinał się ostro i wyraźnie. Przybladłe światło latarni marostiekłowych i rozszczepiające się na zimnacie tęcze bynajmniej nie zamętniały obrazu, lecz obrysowywały go grubszymi konturami cieni, że każdy przedmiot, każda sylwetka zdawała się obwiedziona wstążką drogocennego materiału - niczym na wielkiej, ruchomej ikonie. I bębny przycichły, i przekupnie gardeł nie darli, i wcale nie rozmawiało się w saniach - tylko janczarki tak samo podzwaniały na uprząży końskiej. Dzryń-dzruń, sunęło się przez białobarwną ikonę Miasta Lodu...

Intendantskij Sad założono nad brzegiem Uszakówki przed ponad półwieczem, zniszczał on potem doszczętnie dwakroć, i dopiero w kilka lat po Wielkim Pożarze myśl wzrosła w dumie miejskiej Irkucka, ażeby miejsce to dla obcowania mieszczan z naturą przeznaczone przywrócić do życia i funkcji, bez oglądania się na koszt; ważne to nadzwyczaj w ten czas Lodu i zimy wiecznej metropolję od przyrody odcinającej. Wśród fundatorów projektu znalazła się większość znaczniejszych choładpramyszlenników, ich nazwiska oraz tytuły firm i towarzystw zdobiły tungetytem szczerym płyty marmuru postawione u wejścia do Ogrodu, to jest u śluzy, gdzie pobierano opłaty za wstęp w wysokości dwóch i pół rubla od osoby, rubla jednego od dziecka. Opłaty służyły za narzędzie filtracji społecznej, żadna bowiem familja robotnicza nie mogła sobie pozwolić na podobne wydatki dla krótkiej przyjemności spaceru ciepłego; nadto utrzymanie Ogrodu istotnie fortunę wielką rok w rok pożerało. Dmuchawy tłoczące powietrze ciepłe pod marostiekło pracowały nieprzerwanie, pchane silnikami Diesla. Zimownicy po tuzin najmowani łazili nocami, gdy Sad pozostawał dla publiczności zamkniętym, po konstrukcji szklarni gigantycznej, zdrapując narosty lodowe i wypatrując szczelin najmniejszych. Konstrukcja stała na koronkowym szkielecie zimnazowyna prezentującym tę samą manierę architektury, co Dworzec Murawiowa, bo też w głowie tego samego architekta zrodzoną. Rubieckij K. I. wymyślił był sobii Ogród przykryty odwróconymi kielichami lilij tęczowych. W porę słoneczną, jak dzisiaj, niebiańskie światło

rozczesane na marostiekle w łuny miękkie, siedmiokolorowe spada tu wprost na rzeczulki, mostki, zagajniki, łąki kwietne, stawy i fontanny, ławeczki białe i altanki, na damy i gentlemanów alejkami piaskowymi spacerujących, na dziatki w zieleni baraszkujące, poodziewane w pończoszki i falbany *à la* Mały Lord, w ubranka marynarskie ze słomkowemi kapelusikami *canotier*. Odbywa się teatr lata, obowiązuje kłamstwo stroju, zachowania i słowa. Panie odkrywają spod futer i etoli w służbie pozostawionych jasne suknie z halkami jedwabnemi, kostjumy angielskie lekkie i japońskie kroje asymetryczne na gorsetach wysokich, a to wszystko jeszcze pod parasolką wiosenną, jakby rzeczywiście od żaru słonecznego osłaniającą, ściskaną w rączce rękawiczką białą oblanej. Panowie w letnich garniturach trzyczęściowych, niedopiętych kłamią melonikami i homburgami, chudemi laseczkami, lakierkami czystymi o szpiczastych noskach. Hurgot maszyn grzejących przetacza się po Ogrodzie jednostajnym rytmem, tak bije mechaniczne serce tej zieleni. Przez tęcze falistego dachu widać gąszcz masztów trupich okrążających Intiendantskij Sad - nie powstrzymują one jednak lutyh. Ilekroć przejdzie przez Ogród mroźnik, trzeba od nowa sadzić trawę, przeszczepiać drzewa, odbudowywać pejzaż sielankowy kwiatek po kwiatku - wszystko kłamstwo. Strumyki nie wypływają ani nie wpływają do Uszakówki; krążą tu w pętłach dziwnych, ustrojstwami ukrytymi wspomagane, wykładziną izolacyjną od mierzłoci oddzielone - kłamstwo, kłamstwo. Spaceruje się krokiem powolnym, statecznym, od czasu do czasu przysiadając na ławce, przystając nad ruczajem żywopisnym. Się kłania się grzecznie znajomym i nieznanym. Wymienia się puste uprzejmości - ani słowa o interesach, ani wzmianki o życiu prawdziwym, lodowem, broń Bóg o frasunkach rodzinnych czy zdrowotnych jakichś wspomnień! Tu bowiem - Lato. Tu - fałsz ciepłutki, jak muślinowy *cache-nez* na ramiona narzucony. Czymże byłaby *bourgeoisie* pozbawiona prawa do kłamstwa o sobie? Ani arystokracją, ani proletariatem; ani życiem ducha, ani życiem materji. Należy więc przynajmniej raz na tydzień przespacerować się pod Słońcem mieszczańskim, w najlepszym garniturze jasnym, z kobietą wystrojoną u ramienia. Jak się wpadło było pod rozkaz panny Jeleny - ile to niedziel nazad? - w kościele na mszy, pod okiem jej usiadłszy, tak już nie odpuściła i flirtem stanowczym wymusiła towarzystwo w Ogrodzie Intendentury. Gdzie spędza się godzinę-dwie na powietrzu nagrzanem, godząc się chętnie na ów kompromis z prawdą. Ciotka Urszula pozostaje w odległości przyzwoitej, można rozmawiać z panną Muklanowiczówną swobodnie, tern swobodniej, że to znowu jest przecież przechadzka po łące uralskiej, konwersacja tęczowa w Ekspresie Kotarbińskiego - można mówić prawdę najszczerszą, djamentowo prawdziwą - nie pozna - prawda czy fałsz? - przystanąwszy na mostku alabastrowym pod duktem gorąca z machin fabrycznych idącym, wystawiwszy lico

podrumienione na pieszczotę zefira, z powiekami wpolopuszczonymi -

- Jak tam sny u pana Benedykta?

Się przekręciło się na stolku.

- Sny?

- Nie ostrzegali pana? Mnie ostrzegają bez przerwy. I ksiądz dzisiaj znowu na kazaniu mówił.

- Ja nie śnię.

- Każdy śni.

- Nie każdy sny pamięta.

- Pan zażywa może te ziółka chińskie na son griaduszczij?

- Musi się naprawdę co ważnego przydarzyć, żebym potem sen zapamiętał.

- A, bo pan śni o przeszłości! Ale - podrapała się trzonkiem pędzla nad brwią - pan przecież nie wierzy w przeszłość. Pan nie wierzy, że sam istnieje, prawda? To jak pan śni?

- We śnie, panno Jeleno, we śnie istnieję.

- Nie rozumiem.

- Czego panna nie rozumie? Śni się, że się istnieje. Inni śnią tak całe życie.

- Ha! To o czym śni nieistniejący?

- O tym właśnie. - Się przesunęło się na stolku, naprężając i rozluźniając mięśnie. - Się śniło na przykład... Niech sobie panna wyobrazi taki rodzaj choroby: otyłość psychiczną. Że jest się i jest się bardziej. Pożera się, pochłania we własne istnienie coraz to więcej, stopień po stopniu, poza wszelkie granice zdrowia. Bo nasamprzód jest się przecież samym źródłem zmysłów, jakimś punktem cofniętym za oczy, za uszy, pod skórę. W głowie, w mózgu. Ale potem pożera się resztę ciała, korpus, członki: nie jesteś w głowie, ale jesteś głową; jesteś także nogami, jesteś także palcami, paznokieć z kciuka schodzący - to również ty. Czy to jest zdrowe? Tyjesz dalej: nie tylko ciało, bo skoro paznokieć, to i przedmioty wkoło ciebie, materja najbliższa, powietrze wdychane, wydychane, powietrze otaczające. Więcej. Dom. Ziemia, po której stąpasz. Granica między materją ciała i materją ciało dotykającą zaciera się i zanika: to jesteś ty i to jesteś ty, może trochę słabiej - ale ty, ty, ty. I tak wchłania się kolejne dziedziny materji, nie można się powstrzymać. Widziała panna prawdziwych obzartuchów?

Jak jedzą?

...Istnienie to rodzaj chorego nałogu.

Spoglądała poważnie ponad sztalugą.

- Żeby pan przestał się truć tą teslektryką...! - westchnęła po dłuższej chwili.

- Ajajaj, zaraz tam truć!

- Przecież widzę, kiedy pan do mnie zachodzi prosto od Tesli, jak to na pana działa.

- Niby jak?

- Głowa!

- Już, już zamarzam.

- Pan myślał, że mnie skusi - jak kto raz posmakuje, to wpadł na amen, co?

- Ale właściwie co panna ma przeciwko? Nasłuchała się panna od *mademoiselle* Filipov, no tak.

- Boże drogi, pan się dziwi! Przecież to niebezpieczne jest! Nikt nie wie, jak to działa, co z człowiekiem robi; nawet doktor Tesla!

- Więc skąd panna wie, że niebezpieczne?

- Ależ mnie pan irytuje temi swoimi przemądrzalstwami!

- Przepraszam.

- Mało nie umarł od tego!

- Wszystko można przedawkować, nawet tlen, ze skutkiem śmiertelnym.

- Przepraszam.

- Ale po co, po co, niech mi pan powie, po co!

- Bo właśnie jest się wtedy kimś więcej.

- Proszę?

- Nie, nie potrafię.

- Pan Benedykt spróbuje.

- Jesteś, kim jesteś, myślisz, co myślisz, czujesz, co czujesz. Ale jeśli masz wyjść poza, jeśli masz przeprowadzić myśl, której nigdy wcześniej nikt nie przeprowadził - jak wahadło



pchnięte ze stanu spoczynku - musisz się wytrącić z siebie. Być zarazem sobą i kimś innym od siebie.

- Skłamać się.

- Skłamać. Może. Chodzi o to, że... Im bardziej zamierzamy, tym mniej możemy. Im bardziej jesteśmy... prawdziwi - tym mniej czujemy, mniej myślimy, mniejszymi - węższymi - ciaśniejszymi ludźmi jesteśmy.

- A pan Benedykt chce -

- Myśleć niepomysłane.

- Czuć nieczute. - Otarłszy czoło rękawem bluzki Inianej, panna Muklanowiczówna zaśmiała się niepewnie. - Przecie to absurd jest!

- Czyżbyś panna sądziła, że uczucia, do jakich jesteś zdolną, są wszystkimi możliwymi uczuciami?

- No to jakie jeszcze?

- Mam wyrzec słowo, na które nie masz panna słów? Opowiedz smutek człowiekowi, co nigdy o smutku nie słyszał.

- Nie śmieje się. Chce mu się płakać. Świat jest brzydki. Porusza się bez energii. Zniechęcony.

- Panna opowiada zachowanie.

- Tak. - Zadumała się. - Jak pan to już w pociągu rzekł...

*Jak sercu wypowiedzieć siebie?*

*Innemu jakie pojąć ciebie?*

*Będziez twa dusza zrozumiana?*

*Kłamstwem jest myśl wypowiedziana!*

Się poderwało się ze stołka, się złapało się za ucho, się pociągnęło się do szyby i jęło się gwałtownie lizać marostiekło; druga ręka podskakiwała w stawach jak wściekły wąż, wymachując rozcapierzoną dłonią na wszystkie strony; lewa noga kopała prawą; miauczało

się przytem jęklawie i wywracało oczyma.

Zachnęła się.

- Warjactwo.

- To - to - to panny teraz uczucie - sapnęło się między liźnięciami i jęknięciami - ale co czuję ja?

- Brud na języku. Daj pan spokój, co za wygłupy, ciocię obudzisz.

Się odkleiło się od szyby. Splunęło się do kraszarki, poprawiło się surdut. Panna Muklanowiczówna wycierała ręce w chustę, odstąpiwszy od sztalugi.

- Właściwie do czego mnie pan przekonuje? Że ten prąd czarny wywraca człowiekowi mózg na nice?

- A panna Jelena nie pamięta? Co czuła? Jak się zachowywała? Kim była?

Wzruszyła ramionami.

- Są inne sposoby, żeby wyjść poza siebie. Alkohol na przykład.

- Alkohol to chora namiastka. Zamienia jedno więzienie na inne, Mróz na Mróz. - Podeszło się. - Skończyła panna?

Zawahala się.

- Mówiłam, że nie pokażę...

- Ale ja pro-oszę.

Zajrzało się ponad sztalugą.

Bohomaz był to okrutny.

- Cóż za podobieństwo!

Rozpromieniła się.

- Naprawdę pan Benedykt tak sądzi?

- Dwoje oczu, dwoje uszu, i nawet nos widać.

Cisnęła pędzlem w kąt.

- Bo pan się bez przerwy rusza i wierci i kręci i rękami macha! Co spojrzę to inny kształt widzę - to jak mam dobry konkret odmalować?

- A jak się maluje sceny fantastyczne, wymyślone?

Spoczęło się potem w saloniku przy wysokim blacie z drzewa sandałowego. Służąca w niedzielę miała wychodne, panna Muklanowiczówna sama przydźwigała samowar i serwis, nie pozwoliła sobie pomóc. Ze składów kolonialnych w kamienicy obok miała puszek rozmaitych herbat zielonych czerwonych i czarnych, i mieszanek korzennych chińskich, które nosiły krótkie, dziwne nazwy, o brzmieniu podwójnie egzotycznym, gdy wymawiane przez pannę Jelenę. Po pokojach rozszedł się zapach ziołowego czaju, prawie widziało się tę smugę kolorową, snującą się w powietrzu nad dywanami, komodami, otomanami, piecami holenderskimi, kredensami i żardinierkami, nad pochrapującą ciotką Urszulą. Ciotka ocknęła się na moment, mlasnęła i zawinęła się ściślej w szal, by zasnąć ponownie.

Sople za oknem lśniły błękitnie.

Na parapecie, obok rosyjskich wydań powieści przygodowych Mayne-Reida, leżało kilka grubych ksiąg: słowniki rosyjsko-włoskie, włoska gramatyka, antologie italskich poezji. Panna Muklanowiczówna otrzymała je od Porfiego Pociągły, myślała zacząć się uczyć włoskiego „dla zabicia czasu”. Niedawno otwarł w Irkucku swą filję Wszechświatowy Instytut Obcych Języków dla Pań i Panów *The Berlitz School*. - Język jak woda! - zachwycała się, poczem otwierała tom na chybił-trafił i odczytywała kilka zdań bez najmniejszego zrozumienia ich sensu. - Jak płynie, jak się pieni, jak perli, jak faluje!

Zanim usiadła, nie zmieniła poplamionego sarafanu, obmyła tylko ręce. Nożem o kościanej rękojeści kroїła chleb czeremszowy, smarowała kniażenicą.

- Nastajaszczajaja chazajjka.

- Pan Porfiry mówił mi przed kościołem, jak to pan go namawiał na ożenek ze mną.

Się zakrztusiło się.

- Nie. To znaczy... Nie tak. Może on... - Siorbnęło się czaju. - Ja przecież - wyjadę - albo - co z ojcem - nie wiem, jak ze mną będzie. Więc... Żeby postąpić uczciwie...

- To znaczy jak?

- Przepraszam, niech się panna nie gniewa.

- Co pan dzisiaj z tym przeproszaniem...!

- Po prawdzie w ogóle nie powinienem już do panny zachodzić.

Zamyślona, zlizwała z palców porzeczkowe konfitury.

- Ale, panie Benku, ale dlaczego? - spytała cicho.

Również zniżyło się głos.

- Teraz mnie panna znowu pyta o rzeczy, na które nie ma słów.

Wciągnęła z sykiem powietrze.

- Pan się zakochał, to nic wstydliwego. - Poszukała nad stołem ręki; po sekundzie niezdecydowania zacisnęło się dłoń na zimnej dłoni panny. Kciuk przesunął się od nadgarstka po linii kości między kłykcie drobne. Tu pulsowała w rytm uderzeń serca Jeleny żyłka podskórna. Zatrzymało się kciuk na żyłce. Najwyższa i najtrudniejsza forma szczerości ciała...

- Spróbuję - szepnęło się, unosząc spojrzenie na skupioną twarz dziewczynki, z lewym profilem rozświetlonym od blasku lodowego; blask kładł się na pannę, na blat, na samowar, strzelał refleksami z klingi noża. Promienie słoneczne odbite od panoramy białego miasta wpadały do saloniku przefiltrowane przez kalejdoskopowe marostiekło, biel miała tysiąc żywych odcieni, biel wgryzała się w tkaniny, w drewno, w ciało, biel rządziła chwilą, myśli były białe i słowa białe i biały głos.

- Spróbuję, spróbuj się. *Alors*. Czy się zakochało się. Jak ma się prawdę rzec. Panno Jeleno, tak to jest, gdy się przekłada język wewnętrzny na mowę międzyludzką. Skąd się wie, że zakochany? Bo takie słowo między ludźmi, kiedy kwiaty, całusy, schadzki, namiętności, liściki, spojrzenia skryte, w wyznaniach przedślubnych i w sytuacjach romantycznych, w porywach kobiety i mężczyzny i w szaleństwie młodości. Widzi panna? Zachowania, zachowania. Skoro tak się zachowuje - to musi być zakochany. Ale nie w drugą stronę, nie zaczynając od uczucia - bo jak przełożysz, jak wytłómaczysz? Nie wytłómaczysz. Dostał w mordę, odwrócił się i odszedł - tchórz. Ale skąd wiemy, czy tchórz? Bo zachował się jak tchórz. - Zamrugało się, oślepiony. - Czy jest się zakochanym, bo się zachowuje się jak zakochany? Jak porównać duszę jednego człowieka do duszy drugiego człowieka? Nie ma takiej miary, nie ma takiej wagi. Objawiają się tylko ruchy materji: gesty ciała, dźwięki z ust wydobywane, fantazyjne kształty szronu. Ale ponieważ żyjemy w tym od dzieciństwa i nie znamy innego języka, to sami w siebie wmawiamy i wierzymy w to szczerze, że skoro ruch materji podobny, to i ruch duszy ten sam, tak samo zwany - że to nie szron - że ten kształt coś znaczy, że istnieje sam przez się. Tchórzostwo. Odwaga. Nienawiść. Miłość. Mój Boże, czyżbyś panna naprawdę sądziła, że uczucia, do jakich sama jesteś zdolną, są wszystkimi możliwymi uczuciami?!

Uwolniła powoli dłoń z uścisku, przesunęła ją po nożu, po ostrzu i rękojeści gładkiej.

- To jakie jeszcze? - spytała ledwie słyszalnie.

Padło się przed nią na kolana, wcisnęło się palec wskazujący w usta i przegryzło się mięso, poczem, ucałowawszy rąbek sukni farbami ubrudzonej, uczyniło się na panny wargach krwią ciepłą znak potrójny. Wzdrygnęła się. Drugą ręką złapało się dziewczkę za nogę nad kostką, zamknęło się dłoń jak kajdan żelazny. Policzyło się do dziesięciu, czując pływ elektryczny wzbierający w ciele. Za każdym razem, gdy panna otwierała usta, by coś rzec, mocniej zaciskało się chwyt; aż nic już nie chciała mówić. Patrzyło się w milczeniu, nie mrugając, spojrzenie kładąc na spojrzeniu. I Jelena wolno, bardzo wolno skinęła głową. *Voilà!* Z uśmiechem radosnym biło się następnie pięścią w parkiet, póki nie zdarła się z dłoni skóra. Wtedy usiadło się z powrotem na krześle, by dokończyć chińskiej herbatki.

Panna Jelena zdjęła z okna wolumin ciężki; otworzyła, nie patrząc. Dopiero zatrzymawszy paznokieć na obranym ślepo wersie, uniosła księgę ku bieli i odczytała śpiewnie:

- *Qualsivoglia.*

Smakowało się słowo na języku: jak woda, jak fala, jak piana.

- *Qualsivoglia.*

## **O krwi lutych**

W pierwszym dniu pracy u Kruppa stanęła ćwierć choładnic w Zimnym Nikołajewsku i strajk zimowników wstrząsnął przemysłem lodowym.

Zaczęło się od tego, że pan Wielicki znowu uniósł się honorem i słyszeć nie chciał żadnych propozycji zwrotu pieniędzy, jakie przecież musiał być wyłożyć z własnej kieszeni, opłacając draby-łamignaty do ochrony domu wzięte, no i pana Szczekielnikowa, co wszystko razem trwa już drugi miesiąc. A czy oni są jeszcze w ogóle na co potrzebni? Czy jeszcze kto kamieniami w okna ciska, czy napadają na ulicy wyznawcy spiskowych teorii Lodu? Zaraz zaczną się ludzie śmiać, że człowiek wszędzie za sobą silnorękiego bruta ciąga, strachliwiec cudak.

Tak się przekomarzając, zeszło się z panem Wojśławem poniedziałkowym porankiem do

sieni na parterze, i tam się zastało drabów w asyście Szczekielnikowa trzymających przy ziemi muzyka jakiegoś rozwrzeszczanego, podejrzenie lekko odzianego, z czego zmiarkowało się zaraz o jego zimownikowej naturze. - Do Batuszki Maroza! - wrzeszczał. - Zanim będzie za późno! - wrzeszczał. - Wy chuję garbate! - wrzeszczał. - Puście! - Okładali go po grzbiecie i tyłku lagami cedrowemi. Pan Wielicki powstrzymał gorliwców. Okazało się, że pochwycony zimownik przekraść się usiłował przez wozownię, kiedy sanie wyprowadzano. I już go mieli z powrotem za bramę rzucić, gdy spostrzegło się błysk medaljonu na jego piersi sonej, w rozcięciu koszuliny. Spytało się go, czy wyznaje wiarę Marcyna. Splunął krwią tylko. Spytało się go: - Za późno na co?

Owóż historia rozwinęła się od wczorajszej pory obiadowej, kiedy to generał-gubernator Szulc-Zimowy niespodzianie ponownie odrzucił zaproszenie Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa, co więcej, odmówił widzenia z jego Aniołem, miast tego przyjął u siebie w Cytadeli „jakichś czterech Amerykańców”. Poczem wydarzenia potoczyły się bystro, bo jeszcze niedzielnego wieczora wyszedł z Kancelarii Generał-Gubernatora papier nakazujący wzmożenie działań przeciwko sektom lodowym i nocą mroźną z niedzieli na poniedziałek wojsko z zandarmami rozeszło się po Irkucku i Zimnym Nikołajewsku, aresztując dziesiątkami zimowników i nie zimowników, wszystkich podejrzanych o wyznanie marcynowe. Na to już sam pan Wielicki zdenerwował się jawnie i począł wypytywać muzyka; ten rzekł coś niemrawo o wycieplanych choładnicach i zamieszkach w Innokientijewskim Dwa, ale widać było, że niewiele więcej wie i po prostu strach go wziął przed aresztowaniem i stąd, nieprzytomny po nocy panicznej, uderzył do drzwi domu Syna Mroza. Więcej takich może się napatoczyć. Pan Wojsław kazał drabom zamknąć bramę i machnął na Czyngisa Szczekielnikowa, oświadczywszy, że sam także udaje się prosto do Zimnego Nikołajewska. Pojechało się na Dworzec Północny.

Marmieladnica chodziła z rana co kwadrans, a o szóstej w dni pracy szły dwa składy podwójne, coby pomieścić wszystkich robotników na zmianę dzienną do Nikołajewska ciągnących. Na peronie krytym, gdzie stały wagony compartmentowe, którymi jeździli dyrektorzy i inżynierowie i cała brać ponadproletarjacka Nikołajewska, Wielicki spotkał kilkudziesięciu podobnie zaniepokojonych znajomych. Dojrzało się dyrektora Grzywaczewskiego w otoczeniu współpracowników; zanim zajechał pojezd, Saturnin Grzywaczewski zdążył wyprawić z poleceniami trzech gości. Wszyscy panowie w futrach i kozuchach fasonowych, pod czapami uchatemi i w wielkich okularach popatrywali na długi peron otwarty, gdzie zbierali się setkami i tysiącami robotnicy irkuckcy, mężczyźni i kobiety,

pięć wyznań, tuzin narodów, trzy rasy. Marostiołka skutecznie uniemożliwiały odczytanie spojrzeń panów. Na zaśnieżonej tarczy termometrycznej węzowa strzała wskazywała trzydzieści osiem stopni Celsjusza poniżej zera.

W pociągu pan Wojsław, kurząc na wielkim oddechu papierosa z tytuniem mandżurskim, aż mu czerwone skry-opałki leciały na szubę i w brodę szeroko rozczesaną, przepowiadał sobie na głos coraz to nowe teorie od innych jadących tu zasłyszane. Ponieważ od razu wydało się oczywiste, iż owi „Amerykańce” u Szulca obiadujący byli to ludzie J. P. Morgana z misji na pohybel Harrimanowi i jego Kolei Dookołaświatowej do Rosji wyprawionej, pospołu z Wielickim usiłowało się teraz dopasować działania gubernatora do planu Morganowego. Co jawiło się logicznie niewykonalnym - plan Morgana, jak go pan Pocięgło na konwencie Klubu Złamanej Kopiejki był prezentował, stawiał na strategię przeciwną, to znaczy sojusz z Rasputinem, który miałby przekonać Imperatora do zatrzymania budowy Tunelu Alaskańskiego. Jak to pogodzić z nagłą akcją aresztowań marcynowców?

- Ale czemuż zakładacie, że oni Szulca do czegokolwiek przekonali? - zauważyło się, podnosząc głos ponad gwar w długim atdielienju panujący. - Sam Pocięgło wszak mówił, że gubernatorowi też w smak większa niezależność i zbliżenie Syberji do Ameryki.

- To pokusa wszystkich gubernatorów Syberji - przyznał pan Wojsław - od pierwszego, księcia Gagarina z Tobolska. Pan Porfiry zanudza nas zawsze temi opowieściami. Jeszcze za Katarzyny Drugiej istniało tu Sybirskie Carstwo, wybijano monetę z jego herbem; była to kolonia Imperjum nie różna od amerykańskiej kolonii Korony Brytyjskiej. Mało brakowało, a rada miejska Irkucka powoływałaby własny rząd syberyjski pod władzą dziedzicznych carów-gubernatorów. W Peterburgu dobrze o tym pamiętają. Kogo by nie posłali tu na urząd... Ten kraj sam z siebie osuwa się na wschód - pokazał ruchem dłoni z papierosem - ku Pacyfikowi, ku Japonji, ku Ameryce. Słusznie się lękają.

- Więc Jankesom się po prostu nie powiodło; Szulc ich przejrzał. Przecie to ottiepielnicy są, jak by nie patrzeć. Morgana nic by bardziej nie uradowało niż Odwilż zupełna i zapaść zimnaza. Szulc wie, co dla niego groźne.

- Tylko po co ich zaraz aresztować? Rasputin też liedniak.

- Z kim się ci dywersanci jankescy powinni zmówić - wtrącił się młody biuralista w marostieklowem *pince-nez*, oderwawszy się od porannej gazety - to, po pierwsze, z owym wynalazcą przez Jego Imperatorską Wysokość do ubicia lutych najętym.

Parsknęło się.

- No, to Pierpont Morgan pluć sobie będzie w brodę, bo doktor Tesla prędzej z czartem wejdzie w układy niż z kimkolwiek przez Morgana rekomendowanym. Od lat między nimi zadra ostra; Morgan bodaj uciekł z kapitałem z firmy Tesli, do plajty doktora przywodząc.

- Jedyna ich szansa więc - kalkulował pan Wielicki - to nastraszyć Jego Wysokość Mikołaja Aleksandrowicza secesją abłastniczeską, niebezpieczną samodzielnością lokalnych władcyków z drugiego końca Imperjum. Że jak powstanie kolej żelazna przez Cieśninę Beringa, to dopiero gubernatorom w głowach się przewróci. Nic bardziej przerażającego dla samodzierzcy niż autarkja podwładnych.

- A Szulc o tym nie wie? Szulc o tym wie. I wie, że Morgan ma dość pieniędzy, by tak czy inaczej dotrzeć w końcu do ucha imperatorskiego.

Nie zdążyło się zająć dzisiaj do Tesli, złapać za pompę Kotarbińskiego. Organizm wciąż był na minusie ćmieczy po wczorajszem odessaniu, czuło się pływ teslektryczny na podniebieniu i pod skórą dłoni; niemniej z każdą godziną zamarzało się szybciej i szybciej.

Myślało się o lodowej matematyce psychologii: charakter A, więc charakter B, więc charakter C. Przecież oni wszyscy - niewolnicy jedynoprawdy o człowieku - zdają sobie z tego sprawę równie dobrze, nawet jeśli nie potrafią ująć fenomenu w żadnej teorii zgrabnej.

- Ale to się składa wcale logicznie, pomyślcie panowie. Bo co mógł Szulc zrobić, żeby z góry uspokoić Mikołaja Aleksandrowicza o swej lojalności i wiernopoddaństwie? - Prostowało się po kolei palce. - Wyaresztować sekciarzy. Nasłać ochranę na abłastników. Przykręcić śrubę demokratom i socjalistom. Założy się pan? Pan Pocięgło i redaktor Wólkiewicz też pewnie mają dziś gości urzędowych. „Nowaja Sibir” - zamknięta. Po domach prominentnych ottiepielników politycznych - ochrona. A w popołudniówkach przeczytamy o nowej ofensywie przeciwko japończykom Piłsudskiego.

- Prawda, prawda - kiwał głową biuralista, a śnieżna biel i boazeryjny brąz wirowały na jego binoklach. Przewinąwszy gazetę na odwrotną stronę, palnął wierzchem dłoni w papier. - Ot, jakie znaki nam czynownicy dają!

*Afera szpiegowska. Z Aleksandrowska donoszą: Tow. akcyjne „Tunguzja” dało niedawno zatrudnienie u siebie niejakiemu Kohlerowi, żydowi, ślusarzowi z zawodu, człowiekowi bardzo inteligentnemu i dobrze się prezentującemu. Zwracało uwagę, że Kohler, mimo szczupłej płacy, żył dostatnio, utrzymywał żonę i dziecko. W ostatni piątek przyjechał do*



*Aleksandrowska agent policyjny i zawezwawszy interwencji żandarmerji, aresztował Kohlera. Podczas przeprowadzonej w jego mieszkaniu rewizji zebrano wiele pism i broszur. Kohler przybył do Aleksandrowska z Kienigsberga i mówił, że uprawiał szpiegostwo.*

Na peronie w Zimnym Nikołajewsku kłębił się tłum raboczych. Powinni byli od razu wypłynąć spod długiej wiaty na zaśnieżone ulice miasta przemysłowego i przylepionego doń od wschodu miasteczka robotnicznego, Innokientijewskiego Dwa, tymczasem stali tu w kupie, pod obłokami pary ludzkiej, buzujący jakąś niespokojną, gniewną energią. Przez niebo zasnute dymami i tęczami zimnazowemi i zastrugami niemrawej śnieżycy szły jedna po drugiej fale potępieńczego wycia syren, wzywających do choładnic, fabryk, hut, mroźnic i zakładów soplicowych - oni stali. Wysiadający z Marmieladnicy mieszały się z nimi; tłum mniejszy po zlanu z tłumem większym nabrał od razu właściwości tego drugiego: ruch, gwar gniewny, okrzyki i szuranie nogami - w miejscu. Panowie dyrektorowie już nie przystawali, nie przyglądali się - umykali czym prędzej z peronu, przeskakując na drugą stronę torów, pod skrzydła zórz rozpiętych na pajęczych dźwigach i taśmach przeładunkowych.

- W Charbinie zimnazo rekordy wszech czasów pobije - westchnął pan Wojśław, obwijając twarz szalem grubym. - I czemu ja się nie cieszę?

- Chodźmy prędzej - burknął Czyngis Szczekielnikow, wyrósłszy wtem u boku. - Nie podoba mi się to. Chłopów sto, samo zło. Gdzie są kozacy, kiedy ich człowiek potrzebuje!

*Kantor Friedrich Krupp Frierteisen AG* mieścił się na czwartym piętrze Wieży Piątej Godziny, co było równoważne bodaj dwudziestej kondygnacji w niebotykach Lata. Innokientijewskij Dwa to czworaki i slumsy niskie - ale w życiu się nie widziało tylu drapaczy chmur, co tu, w Zimnym Nikołajewsku. Budując na zagęszczeniu Dróg Mamutów, byli skazani na wysoką architekturę, a wykorzystanie stali zimnazowej pozwalało stawiać najcieńsze konstrukcje na filarach szczupłych i lekkich, że w tej zawieji zupełnie niedostrzegalnych. Znało się wszystkie przyczyny i wiedziało się, czego oczekiwać, przecież zaskoczył widok zawieszonych w powietrzu na sześćdziesięciu arszynach klasycystycznych kamienic, nierzadko z rotundowemi galerjami marostiekłowemi, pod wieżyczkami i bizantyjskimi kopułami, z klatkami schodów spiralnych i rurami dźwigów osobowych pod spodem - cały ten architektoniczny misz-masz widoczny przez zasłony śniegu, sam suto obśnieżony i oblodzony, podsoplowany, w otulinie motyli blasków. Wyłaniały się niespodzianie jedna po drugiej, gdy wiatr zakręcił albo opadły na moment firany szronne - wieża po lewej, wieża po prawej, wieża za wieżą, a w istocie gmach na pół z lodowego

marmuru bajkalskiego, na pół z marostiekła złożony, którego kilkanaście dolnych kondygnacyj wymazano z istnienia niczym szkic kredowy z tablicy szkolnej: dokąd sięgła szmata w ręku brzdąca, to znikło. Zresztą kondygnacje ocalałe, podniebne, też znikaly co krok, gdy wylewały się z nich barwy na szklach gogli, a na to miejsce wciekała wszechwładna biel. Za nic nie odróżniłoby się jednej wieży od drugiej; dobrze, że Szczekielnikow wskazywał drogę.

Cały ten teren - to znaczy centrum Zimnego Nikołajewska zorientowane wedle Dziurawego Pałacu i sąsiednich gniazd przemysłowych oraz torowisko z magazynami i przyległościami - sprawiał wrażenie raczej jednego wielkiego placu budowy lub miejsca katastrofy żywiołowej, teraz niemrawo porządkowanego. Ziemia była zryta w nieregularne rowy i doły, tu i ówdzie ziały w niej szyby płótnem na stelażach kryte. Płonęły naftowe ogniska. Obludzone deski prowadziły pieszych krętymi ścieżkami od kalekiego budynku do kalekiego budynku, od soplicowa do soplicowa; kiedy przechodził luty, deski przenoszono, inną z nich drogę układając. A ponieważ lutych w ciągłym ruchu było tu zawsze z dwa tuziny, plan uliczny Zimnego Nikołajewska stanowił coś na kształt graficznej łamigłówki czy też pola gry dwóch przeciwników wzajem sobie przekładających bierki.

Transport urobku i towaru do i z Marmieładnicy odbywał się nie po ziemi, lecz drogą napowietrzną, po rozpiętych na niebie strunach zimnaza. Ich płatanina pozostawała niewidoczną nawet w nieczęste dni pogodne, co dopiero teraz. Prawie się przeraziło się, gdy wtem wychynął z tumanu puchowego nad głową pęk szyn czarnych i, podzwaniając szklanie, sunął tak ku dźwigowni nad torowiskiem. Spoglądając pod wiatr, dostrzegło się jeszcze kilka takich balastów płynących powoli ponad Zimnym Nikołajewskim, pozornie wbrew prawom fizyki: tysiące pudów żelastwa lewitujące wyżej hal, maszyn, bud, szybów, ogni, lutych i ludzi. Potem się dowiedziało się, że nigdy tu nie zaobserwowano lutego wyżej niż na pięćdziesięciu arszynach nad powierzchnią ziemi; gdyby Irkuck zaczęło odbudowywać kilka lat później, pewnie cały wisiałby w powietrzu na szkieletach zimnazowych.

Na windę osobową pod Wieżą Piątej Godziny czekało pół tuzina mężczyzn. Pan Szczekielnikow wskazał schody. Pokręciło się głową. Spozierając prosto w górę, widziało się wielki czarny kwadrat „dna” wieży. Jednak nawet stąd ażurowe jej filary boczne były niedostrzegalne. Zadzierając łeb, obeszło się po obwodzie „fundamenty” konstrukcji. Wieża Sibirchożeta została zaprojektowana i wzniesiona zaraz po Zimie Lutych, a przed europejskim Rokiem Lutych, gdy niewiele jeszcze wiedziano o zimnazię, dlatego wzorowano ją po trosze na wieży Eiffla i zdawała się mimo wszystko tak masywną; podczas gdy Wieże

Zegarowe - jak się z niedowierzaniem skonstatowało - stały na nogach węższych od słupa latarni ulicznej. Jadąc wzwyż grzechoczącą i klekoczącą windą (wiatr wstrzeliwał do wnętrza strumyki białego pyłu), nie mogło się zapanować nad irracjonalnym dreszczem: a jeśli wtem to wszystko się zawali? Ludzie ściśnięci w windzie wymieniali ponure żarty o wojsku, z polecenia generał-gubernatora pacyfikującym choładnice, i o Feliksie Dzierżyńskim powracającym do Irkucka na kolejny bunt proletariatu. Ktoś wspomniał Rasputina, ktoś - Marcyna. Wysiadło się i przeszło się jeszcze cztery kondygnacje wzwyż po schodach z lustrzanego granitu. Na półpiętrach rosły w donicach wielkie białe kaktusy. Za panoramicznymi oknami srożyła się zielona śnieżycą. Na czwartym piętrze skręciło się w lewo i stanęło się w ciżbie interesantów przed drzwiami biur *Friedrich Krupp Frierteisen AG*. Czyngis Szczekielnikow łypnął ponuro, smarknął z jednej dziurki, smarknął z drugiej. - Mam kij. - Miał kij. - Wal pan. Ja będę przepraszał.

*Friedrich Krupp Frierteisen AG*. W 1909 roku zarządzanie koncernem przejął Gustav Krupp von Bohlen und Halbach. Jednym z jego najszcześniejszych posunięć okazała się szybka decyzja o zaangażowaniu firmy w badanie i rozwój technologii zimnazowych. Gustav nie był z krwi Kruppa: ożeniono go z szesnastoletnią dziedziczką fortuny Kruppów, aby objął władzę w koncernie po tym, jak jej ojciec, Friedrich Alfred Krupp, popełnił samobójstwo na skutek skandalu z młodziankami sprowadzonymi z Capri dla uciech cielesnych; a Kajzer pobłogosławił małżeństwu i namaścił nowego generała niemieckiej stali nazwiskiem Kruppa.

Wiele podobnych opowieści usłyszało się od pana Wielickiego jeszcze wczoraj wieczorem. Naturalność, z jaką przeszedł on z roli serdecznego gospodarza do prawie konfratra w bractwie Ludzi Pieniądza, była po prawdzie deprymującą. Szukało się pracy, aby spłacić długi; wszak nie zakładało się żadnego własnego interesu! Ale widać doktor Myśliwski i członkowie Klubu Złamanej Kopiejki wiedzieli lepiej. Wólka-Wólkiewicz zamarzył gniewnym redaktorem-pijaczną, a Benedykt Gierosławski... Benedykt Gierosławski ma na podorędziu pompę Kotarbińskiego. W wieży było ciepło, w tym ścisku przed kantorem - duszno i gorąco; wtoczywszy się w końcu do kolejki za drzwiami, rozpięło się futro, odwinęło się szal, ściągnęło się czapę, okulary schowało się do kieszeni. W lustrzanym granicie odbił się chuderlawy brodac o wąskiej czaszce pod ciemną szczecina. Poprawiło się krawat i kołnierzyk sztywny: bielutki vatermorder. Głowa do góry! Wszystkiego można się nauczyć - także sztuki zarabiania pieniędzy.

- Nasamperw musi pan Benedykt przyjąć, że pieniądz się robi - prawil był Wielicki. - Bogactwo nie powstaje przez kradzież biedy, ani przez przepływ bogactwa z ręki do ręki.

Gdyby rosło się w zamożność jeno komu drugiemu majątek odbierając - że co tu więcej, to tam mniej - no to od początku świata biednielibyśmy z pokolenia na pokolenie, bo dorobku byłoby w sumie tyle samo, a ludzi do podziału - coraz więcej. Ale inaczej Bóg to urządził: że kto pomysłu ma i wolę i siłę, chęć do pracy, ten robi coś z niczego, siebie i ludzkość tym wzbogacając. Dlatego obok instynktu rozmnażania dał nam Pan instynkt bogacenia.

A przecież nie myślało się tu żyć i rabać ani dzień dłużej, niż trzeba dla rozmrożenia i wywiezienia ojca z Syberji. Wielka i niepojęta jest moc zwierciadeł.

Gustav Krupp von Bohlen und Halbach (orli nos, przycięty wąs, czoło wypukłe) spoglądał z szaro-sepiowej fotografii zawieszanej w wewnętrznej sali kantoru nad biurkiem pierwszego klerka. Fotografję podpisano: *12. Oktober 1922*; stanowiła pamiątkę z wizyty prezesa koncernu w Kraju Lutych. Wokół Gustava stało w szubach i płaszczach futrem podbijanych kilkunastu mężczyzn: naczalstwo irkuckiego oddziału koncernu. Dla zrobienia zdjęcia wszyscy zdjęli okulary, niektórzy także czapy z głów ściągnęli. *Herr Direktor* wyróżniał się jako jedyny o twarzy czystej i oczach jasnych; inni wypalili się na błonie z przebarwionymi obliczami, w tłustej poćmiacie. Drugi po prawej ręce *Herr* Gustava stał pan Saturnin Grzywaczewski. W tle widniał krzywy masyw Dziurawego Pałacu i zarysy podniebnych Wież Zegarowych.

Przepchawszy się do blatu, okazało się klerkowi kartę wizytową dyrektora Grzywaczewskiego. Klerk - typowy przykład nowego ludu syberyjskiego, specyficzna mieszanina cech mongolskich i europejskich - przeczytał, postukał w zęby *porte-plume*, zerknął na zegar i zawołał gońca.

- Bo do wieczora nie poczekacie.
- Nie. A w czym rzecz?
- Doktor Wolfke dzisiaj siedzi w Warsztatach. Macie. - Zwrócił kartę Grzywaczewskiego.
- Pokażecie, jakby was puścić nie chcieli.
- Kto?
- No, na okoliczność, że wy szpion Thyssena abo Bielkow-Żylcewa jesteście.
- No wiecie...!
- Idi, idi. Nie mam na was czasu, widzicie, jaki hades tu od rana. - Nie unosząc się zza ksiąg, liczydeł, rachunków i jeszcze większych stert bumagi luzem, ogarnął dłonią z piórem cały kantor gwarem ludzkim głośny, ruchu ludzkiego pełen. Interesanci prawie się tratowali,

prac do drzwi i biur i pulpitów na podestach pół arszyna nad podłogę wyniesionych, skąd księgowi i insze liczykrupy kompanijne przeganiały ich bez powodzenia; szły w ruch pięści, frunęły papiery, po papierach deptano, frunęły banknoty komuś w garść nieuważnie wciskane, po banknotach deptano, aż jeden i drugi padł na kolana wybierać je spod buciorów obśnieżonych, deptano więc po palcach chciwych; pieniądz wisiał w powietrzu. - Co to będzie, co to będzie, durno wszędzie, idiot w rzędzie. Sześć choładnic stoi! Idi, idi.

Się przepchało się nazad, Szczekielnikow kłuł ludzi kijem. Goniec okazał się nastoletnim Burjatem w przyciasnej marynarce; naciągnąwszy kożuch z kapturem baranim, popędził schodami w dół, musiało się podbiec, żeby nadażyć. Nie czekał na windę - szarpnął drzwi zimnazowe i wyszło się z powrotem na mróz i zaśnieżkę. Po oblodzonych stopniach zstępowało się, co krok łapiąc kurczowym chwytem poręcz zimną. Między zasłonami śnieżycy pokazywały się zamazane fragmenty panoramy Zimnego Nikołajewska: Dziurawy Pałac, Wieże Zegarowe, dźwigi i lute i choładnice i soplicowa otwarte i dachy hal fabrycznych, dymy i ognie i tęcze blade i chaos lilipucich domków Innokientijewskiego Dwa. Goniec na moment przystanął, by wskazać wyprostowanym ramieniem pudło mniejsze przybudowane do pudła większego, jakąś wiorstę na wschód od Dziurawego Pałacu. Tam idziemy.

W Warsztatach przy Drugiej Choładnicy *Friedrich Krupp Frierteisen AG* doktor Mieczysław Wolfke upuszczał krew z lutyh. Zażywny pan w średnim wieku, o twarzy nieco buldogowatej, pod wąsikiem małym i z czupryną z boków wysoko podgoloną, stał z odkrytą głową na drabinie kulawej, podtrzymywanej przez dwóch pomagierów-Azjatów, i wygłaszał z niej przez tubę blaszaną instrukcje dla ekipy zimowników, którzy dwadzieścia arszynów dalej, w przejściu do głównej hali choładnicy, manipulowali ciężką aparaturą zimnazową, zawieszoną na wielce skomplikowanym systemie wielokrążków, dźwigni i przeciwwag; drugie końce dzierzonych przez nich długich wysięgników, bardziej pikom i lancom podobnych, ginęły w mlecznych obłokach pary, jaka spływała z boku torturowanego nimi lutego.

Mężczyzna w czapie z uszami niedźwiedzia zagroził drogę, gdy chciało się podejść, zajrzeć zimownikom w twarze zaćmiałone. Zagadało się raz i drugi, ale tylko pokręcił głową. Potem poznało się go jako Busiczkin G. F., asystenta doktora Wolfke jeszcze z Politechniki w Karlsruhe. Busiczkin był niemową.

Zanim uciekł, goniec wskazał biura warsztatowe, naprzeciw choładnicy; w Warsztatach

było zimniej niż na dworze, a biura ogrzewano. Rozpięto się tam futro, przyłożyło się dłonie do pieca. Na stołach i na setkach półek panował nieopisany bałagan, walały się wszędzie części mechanizmów zimnazowych, mnóstwo marostiekła w rozmaite formy dmuchanego, menzurki, ampuły, zlewki, cannule, skraplacze, parownice, ekcykatory, retryfikatory, areometry, termometrów tuziny, książki i czasopisma; pomiędzy oknami - zarówno temi wychodzącymi na zewnątrz, jak i na halę Warsztatów - wisiały białe tablice kredą czarną gęsto zabazgrane. Zdjęto się marostiekła, biel i czern wróciły na miejsca. Wyrisywano tam schematy jakichś urządzeń, sporo było też liczb w słupkach zestawionych i równań rozbudowywanych i skracanych bez wyraźnego finału, z podstawieniami nieznannej symboliki; matematyka wydawała się natomiast stosunkowo prosta, różniczki oznaczone i ciągi liminalne. Na tablicy przy piecu rachowano chyba bilanse cieplne, do ramy przypiętkowano tu kartki z wykalgrowanymi wynikami pomiarów temperaturowych - wahały się od stopnia do trzech.

Knigi także pod względem treści prezentowały obraz chaosu nierozumnego: pięć języków, tematy od Sasa do Lasa, nierzadko przytem jeden tylko tom z edycji wielotomowej - że akurat wyróżnił się spośród nich tytuł polski: pierwszy wolumin *Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Ilustrowanej*. (Dazwolieno cenzuroju). Przekartkowało się go od tylnej oprawy. A, A, A, A.

Ambicja, wyraz ten pochodzi od łacińskiego *ambire* = obchodzić, a oznacza żądę wyniesienia się, albowiem w starożytnym Rzymie, kandydaci ubiegający się o urzędy publiczne, zwykle obchodzili obywateli miasta, zbierając od nich głosy za sobą. (Ob. Ambitus).

Bo po czym poznać ambicję w człowieku? Po ruchu materji tylko. Im większy ruch między ludźmi, tem ambicja w duszy gorętsza. Stygnąc, mniej objamamy się o ludzi i na ambicji tracimy. Taka to miara pędu z porządku pierwszego rodzaju przeliczalna na język rodzaju drugiego.

Dalej. Są i hasła z matematyki.

Algorytm (*Algorismus*), rachunek, a raczej metoda rachunku, zbiór znaków, używanych

w pewnym rachunku; stąd można mówić o algor. proporcji, o algorytmie rachunku różniczkowego. Wyraz ten pochodzi od nazwiska matematyka arabskiego al-Chowarizmi (ob. algebra), którego dzieło w przekładzie łacińskim ma tytuł: *Algoritmi* (t.j. al-Chowarizmi) *de numero Indorum*, a zaczyna się od wyrazów: Mówi Algoritmi. Z biegiem czasu zapomniano o nazwisku autora, a wyraz Algoritmi zaczęto uważać za genitivus łacińskiego wyrazu *Algoritmus*, *Algorismus*. W ten sposób nazwisko osoby stało się nazwą rzeczy. W szczególności oznaczał a. toż co arytmetyka. Tak np. najdawniejszy wykład arytmetyki w języku polskim księdza Tomasza Kłosa z r. 1538 ma tytuł *Algoritmus*, t. j. nauka liczby”.

Do kantoru wpadł rudzielec z wielkim aparatem fotograficznym pod pachą.

- Panowie - czego? - zachrypiał.

- Do doktora Wolfke, z polecenia dyrektora Grzywaczewskiego.

- Od tygodnia mamy wyłączność przyrzeczoną! Mogą sobie strajkować, nie oddamy ani godziny!

Mówił po rosyjsku z ciężkim akcentem. Przedstawił się jako Henrik Iertheim. Kiedy zdjął małachaj i marostiokła, ukazała się nad rudym zarostem facjata niczym z koszmaru: blizny, pomrożenia, platy skóry ćmieczą przebarwionej, dziury w ciele do kości prawie. Był to weteran czarnej fizyki, na froncie nauki Lodu od samego początku, to jest od Zimy Lutyh - pierwszy pomierzył ich mróz, pierwszy utoczył ich krew. Czym nie omieszkał się zaraz pochwalić, ledwo się go uspokoiło, że przyszło się tu w sprawie pracy.

- Zęby na tym zjadłem! - pohukiwał, grzejąc sobie w marostieklowej kolbie na palniku bunsenowskim mleko z czosnkiem i masłem. - Kiedyśmy budowali pierwsze eksperymentalne chłodnice, nie było tu żadnego miasta, jeno ugór lodowy i kupa lutyh. Pierwsze kontrolowane transmutacje odbywały się pod wołokowym namiotem, byle od wichru osłaniającym. Ludzie zamarzali na moich oczach. Jednemu Burjatowi tak obmarzło ramię, że dłoń odpadła mu jak kawał gliny; trzymamy ją przy chłodnicy, może pan sobie obejrzeć, hry hry, dla przestrogi.

Odłożywszy *Encyklopedyę* i odgarnąwszy stertę broszur poplamionych, przysiadło się na krawędzi niskiego stołu.

- Czemu tu taki bałagan?

- A czego się pan spodziewał? Środek Zimnego Nikołajewska, chłodnica na ćwierć

miljona pudów, skrzyżowanie Dróg Mamutów - co chwila musimy się targać ze wszystkim do Wieży i z powrotem.

Przekartkowało się stary numer „Leiden Communication” z artykułem o jakichś ulepszeniach w budowie „krjomaszyny kaskadowej”. Na końcu, pod grupową fotografią kilkudziesięcioosobowego zespołu, dostrzegło się nazwisko Iertheima. Który z tych marsowych brodaczy w czarnych garniturach to był Iertheim? Zdjęcie nie oddawało barwy włosów.

Natomiast bez trudu rozpoznało się okrągłe oblicze doktora Wolfke.

- Właśnie dlatego - rzekł Iertheim, spostrzegłszy przedmiot lektury. - Kiedy opublikowaliśmy pierwsze rezultaty, doktor Wolfke porzucił optykę i wrócił do fizyki niskich temperatur. W Lejdzie u Kamerlingha Onnesa zajmował się krjogeniką ciekłego helu. Krupp go podkupił Zeissowi.

- Ciekłego helu?

- Krew luty! - zacharczał Iertheim, co zabrzmiało jak przekleństwo lub okrzyk bojowy wikinga, poczem łyknął z kolby gorącego mleka.

Otarłszy usta i wąsy, podszedł, podał dłoń; uściśnięto się poharataną prawicę - brakowało jej dwóch palców. Mimo to miał chwyt drwala godzien; a złapał i nie puścił, złapał i ciągnął, przemocą łamiąc stereometrię spojrzeń nieznajomego i nieznajomego.

- Towarzystwo Geograficzne?

- Nie.

- Instytut Tomski.

- Nie.

- Pan nie fizyk?

- Matematyk.

- No, do dobrej teorii ilościowej jeszcze wiele nam brakuje. - Wyszczrzył szczerbate uzębienie i wreszcie puścił dłoń. - Zajmował się pan analizą statystyczną?

Nie czekając odpowiedzi, sięgnął na najwyższą półkę prowizorycznego regału i zdjął ze stosu innych teczek tę najgrubszą. Rozplątawszy nieporadnemi paluchami rzemyki, wyjął dwa pliki kartek gęsto zapisanych czerwonym atramentem. W pierwszej chwili pomyślało się, że to jakieś mozaikowe schematy albo mapy orjentacyjne.



- To nasze - rozłożył - a to z Tomska. Popatrz pan.

- Mhm?

- Laboratoryjne rzuty monetą.

OPOPOPOPOPOPPPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPPPOPOP  
OPOPOPOPOPOPOOOPOPOOOPOPOPPPOPOPOPOPOPOPO  
POPPPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPPPOPOPOPOPOPOPO  
POPOPOPOPOPOPOOOPOPOOOPOPOPOPOPOPOPOPOPO  
PO  
POPOPPPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPO  
POPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOOOPOPOPOPOPOP  
OPOPPPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOOOPOP  
OPOPOPOPOPOPOPOPOPOPOPPPOPPPOPOPOPOPOPOPOP

- Tak?

- Nie widzi pan tu nic niezwykłego? Ale zobacz pan na tomskie.

OPOPPPOPPPOOPOPPPOPOOOOPOOOPOPOPPPOOPOPO  
OOOOOPOOOPOOPPOOOOOOPPPPPPPPPPOPPPPPOPPOP  
OPOOPOOOPOPPPPPOPPPPPOPOOOPPPPOPOPOPPPOO  
OOPOPOPOPPPOOOOOPOOOOPPPPOPPPOPOOOPOPPPO  
PPPPPPPPPOPOOPPOPOOOOPPOOPPOOOPPOOOOOP  
OOOPPPPPPOPOOPPOOPPOPOPOOOOPOOOOPOOP  
PPOPOOOOPOOPPOOOOPPOOPOPOPOOPOOOPOPPOP  
OOOPPPOPPPPOPOOPOPOPOPOPPPOOPOOOOOPPOOP  
POOPPPPOPOOOPOOOOPOPPPOPPPOOPOOPOOPOOPPP

- Większa nieregularność - stwierdziło się. - Przynajmniej na pierwszy rzut oka. To jest stała różnica? Nawet kilka prób o niczym nie świadczy, w końcu to probabilistyka.

- Tutaj - potrząsnął teczką - mamy wyniki z tuzina innych miejsc. Trzeba to porządnie opracować statystycznie, wedle współrzędnych geograficznych, izoterm i Dróg Mamutów.

- Pod Lodem dają mniejszą warjancję, są bardziej uporządkowane, bardziej, jak eta skazat', jednoznaczne. Tak?

Łypnął spode brwi krzaczastej.

- Pan się za bardzo krjogeniką tungetytową nie interesował, co?

Odłożyło się papiery.

- Nie, panie Henryku, ja tu trafiłem z innej przyczyny. Szukam etatu, tak. Ale - Krupp parę lat temu wykupił Horczyńskiego - tam pracował mój ojciec, Filip Gierosławski, geolog. Więc... Spotkał go pan może?

Iertheim palnął się dłonią w czoło.

- Gierosławski, rzeczywiście! - zawołał z ulgą widoczną.

- Zatem znał go pan!

Odwrócił wzrok, niby w przeszłość spojrzeniem sięgając, niby to na halę wyglądając (gdzie doktor Wolfke zszedł już z drabiny i spozierał teraz w okular lunetopodobnego przyrządu, rurą zimnazową poprowadzonego ku lutemu).

- I potym Pan rzekł: Otoś poczęła i porodysz syna, i nazowiesz imię jego Ismael, przeto iż usłyszał Pan utrapienie twoje. Ten będzie dziki człowiek: ręce jego przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciw jemu: a naprzeciwko wszystkim braciej swej rozbije namioty.

Wiatr duł za oknem.

Podrapało się wierzch dłoni.

- Mój fater... - podjęło się, aby przerwać niezręczne milczenie.

- Nasi zimownicy wspominają go czasem pod marcynowem imieniem; zawsze trzymał się bardziej z robotnikami. Ale ja zwę go Ismael.

Iertheim przysiadł na skrzyni pod tablicą, wyjął fajkę i kapciuch, nabił, zapalił, dmuchnął dymem przeciętłonem. Pod rozpiętym kozuchem miał jeszcze białą bekieszę ściśniętą

pasami rzemiennymi. Spostrzegło się teraz, że sposób, w jaki Iertheim trzyma głowę na kręgosłupie niczym na maszynie pionowej, jak się odchyła wstecz i z tego odchylenia na interlokutora spogląda - wcale jest podobnym Razbieszowemu.

- Człowiek - rzekł rudy poharataniec i po „człowieku” dym wolny z nozdrzy puścił - żeby żyć między innymi ludźmi, musi nabyć pewnych umiejętności towarzyskich. Umiejętności przemilczania prawdy: spotykasz znajomego, nie mówisz mu na dzień dobry, że jest świnia, chociaż jest świnia; witasz się z damą, nie mówisz jej, że zbrzydła, chociaż zbrzydła. Umiejętności Stosowania konwenansów: „miło mi pana poznać” - gdy właśnie jeszcze go nie znasz, więc skąd w tym co miłego? Umiejętności akceptowania powszechnego zła: ludzie i najlepsi czynią zło nierzadko bezmyślnie, bezinteresownie, w sprawach codziennych i mało ważnych, zarazem czyniąc wielkie dobro w sprawach najcięższych - trzeba przyjmować jedno z drugim: gburowatość, chwalipięctwo, krzykliwość, kłótniowość, zazdrości i egoizmy; z tym i święci do nieba idą. Człowiek ogładny zamyka na to oczy, nie nazywa po imieniu, żyje obok tego, nie przykłada Dekalogu do drobiazgów, o których milczy Biblia.

- To są różne rodzaje kłamstwa, pan mówi o kłamstwie.

- Nie można żyć zupełnie bez kłamstwa. To znaczy można, ale tak jak idjota Dostojewskiego albo jak wasz fater, jak Ismael: uprzykrzając życie sobie i bliźnim, aż w końcu zostanie niczym ten dziki człowiek: ręce jego przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciw niemu. Będąc słabszej woli, gorzknieje ktoś taki szybko i zamyka się w sobie i ucieka w odludztwo. Ale wasz ojciec nie uciekał; tern bardziej budził gniew i niesnaski prowokował.

...Była na ten przykład, zaraz po wykupieniu Rud Horczyńskiego, sprawa nocnego dozorca Fiedojczuka. Z naczelstwa przyszedł przykaz, żeby puścić pięciu ludzi, bo po co dublować etaty. Fiedojczuka wszyscy lubili, człowiek serdeczny, że do rany przyłożył, czworo drobiazgu, przytem kawalarz przedni. Ale Filip Gierosławski, skoro tylko się o tej nieuczciwości zwiedziało, melduje zwierzchności, że dozorca opał firmowy do domu wynosi - i Fiedojczuk na bruku; jeszcze mu sprawę kryminalną założyli.

...Albo inny z ekipy geologicznej Horczyńskiego, inżynier Pawluszka, który tu w Zimnym Nikołajewsku obrazki nieprzyzwoite z szuflady sprzedawał. Pan Filip Gierosławski spalił mu raz pewnego wszystką tę pornografię. Zgadnij pan, za kim byli ludzie: za Pawluszką od obleśnych widoczków czy za Ismaelem?

...Albo sprawa archiwum kartograficznego - to wiem z drugiej ręki, od ludzi z Działu Geologicznego firmy. Rudy Horczyńskiego zamykały biura i Krupp przejmował wszystkie

materiały; kupił przecież także informacje zebrane przez soroki i geologów Horczyńskiego. Wszelako nie wszyscy zdążyli nanieść je na papier do chwili zawarcia transakcji. Niektórzy byli wtedy na północy, archiwum trzymali w swoich głowach. Wrócili i dostali odprawy. Uczciwie, prawnie i przyzwoicie byłoby wyznać Kruppowi także tę wiedzę niespisaną - ale kto tak zrobi? Ismael tylko. A że zwrócił tym uwagę naczałstwa na innych odprawionych - wyobraża pan sobie, jak ci byli mu wdzięczni. A potem jeszcze przywrócono go do pracy w nagrodę: znaczy, wkupił się.

...Ale czy Ismael zważa na to, jak go ludzie widzą? Nie. On zawsze wie lepiej, czy zrobił co złego. Nie zawstydzisz Ismaela.

- Nienawidzili go.

- Przerwa.

Się obejrzało się za wzrokiem Iertheima: doktor Wolfke wywołał fajrant, zimownicy oderwali się od maszynerji, rana w garbie lutego zamarzała prędko; reszta towarzystwa - Wolfke, Busiczkin, człowiek z notesem, człowiek z reflektorem mrokówkowym - wracała do ogrzanych izb.

Iertheim skoczył za piec, zagrzechotał żelastwem - pokazało się, że trzymają tam samowar stary; Holender podkreślił teraz ogień, wyjął czaju kirpicznego, zmrożonego. Towarzystwo wpadło, zatrzasnęło zaraz drzwi, szparę nad progiem szmatami utykając. Rozsiedli się w bałaganie, czarno dyszący, chuchając w garści, kaszląc i wołając o ukrop. Doktor Wolfke spoczął przy piecu, gdzie na półkach trzymał swoje książki. Złapał za tomiszcze, przekartkował i sapnął z rezygnacją. Dopiero podniósł wzrok i spostrzegł gości niezapowiedzianych. Pan Szczekielnikow pod tablicą ciśnień i temperatur gazów czyścił paznokcie ostrzem na pół łokcia długim. Doktor Wolfke zrobił wielkie oczy. Się przedstawiło się czem prędzej.

- Dyrektorzy przysłali nam matematyka - oświadczył *mijnheer* Iertheim, podając doktorowi herbatę; puścił przytem oko. - Rodak pana.

- Panie Henryku kochany! - jęknął Wolfke i odruchowo przeszedł na polski: - Matematyk, na co komu matematyk! Prosiłem przecie o dmuchaczy szkła amsterdamskich i chemików-metalurgów - a oni mnie matematyka!

Osobliwa była wymowa doktora Wolfke: „matjematik”, „amstierdamskjech”, „śkła”.

- Musi kto z głową na karku poskładać wreszcie wyniki pomiarów. *Door meten tot*

weten! - zachrypiał Iertheim. - Toniemy w tym przecież. Na koniec roku czeka nas ten raport dla Berlina. Kto go będzie pisał - pan? ja? pan Busiczkin? pani Pfetzer może?

Doktor Wolfke zamachał z irytacją.

- Nie mam czasu, nie mam czasu! Jakby nie dosyć na głowie! Słyszał pan - machnął z kolei w kierunku hali - jeśli to się przeciągnie, nam również odejdą zimownicy, już mi zapowiadali: solidarność braci marcynowej i wierność wyznaniu lodowemu i takie tam.

- Pan się dziwi? Pan się dziwić nie powinien.

(Potem się dowiedziało się, że Mieczysław Wolfke jest prominentnym wolnomularzem, Wielkim Mistrzem Łoży Narodowej).

- Ale robota, moi drodzy, robota w lesie! Sprawdził pan szczelność komory węglowej?

- Manometr zamarzał.

Doktor Wolfke wysupłał chustę z ćwierci obrusa chyba wyciętą i wysiakał w tę płachtę nos, mocno zaczerwieniony.

- Wszystko zamarza.

„Siśtko zamazia”. Albo na dodatek do kataru cierpiał na ciężki przypadek zapalenia gardła i krtani, albo urodził się z wadą wymowy. Zamierzało się wystąpić teraz doń z prośbą ognistą, okazać papier polecający, zaargumentować żwawo, lecz usta się nie otwarły. Drapało się grzbiet dłoni. Okna zaparowały, przetarło się nagą ręką marostiekło, chłodna para wodna pozostała na skórze. W hali Warsztatów zimownicy rozsiedli się na pakach i beczkach naftowych (cała maszynerja zimnazowa sięgająca ku lutemu i w głąb chłodnicy przemieszczała się wte i wewte na szynach i każdorazowo po przejściu glacjusza trzeba było stąpić z nich lód). Sześciu chłopa, pół na pół z golemi głowami i w czapach futrzanych, z kurtami lekkimi na grzbiecie albo wręcz w jednej koszuli czy swetrze na ciało naciągniętym - siedzieli, gadali, przeżuwali pajdy chleba, zapijali trunkiem lodowym.

Zapięło się futro, wyszło się na mróz chłodnicowy. Nie spojrzeli, dopóki nie przysiadło się obok na odwróconych taczkach.

Nie nałożyło się czapki ani okularów. Siwobrody, barczysty staruch w fartuchu skórzanym, ten siedzący najbliżej, on poznał od razu. Nie było się pewnym pamięci twarzy muzyka w uszance, który kucał naprzeciwko, ale starego siwobrodacza - tak. I jeszcze jak się odezwał - ten jego głos, którym wyśpiewywał był nad grobem otwartym litanję świętego

Marcyna - on to, on.

- Gaspadin Jerosławski.

Pozostali zamilkli, obrócili spojrzenia.

- Wieniedikt Filipowicz Jeroslawski - powtórzył stary i przełknął ostatni kęs chleba, otrzepał ręce. - Szukaliście nas?

- Trafiłem po Drogach ojca.

Przypatrywał się długą chwilę. Robotnicy-zimownicy przysłuchiwali się w milczeniu. Obłoki czarnej pary unosiły się z nich w przeźmietlonem powietrzu.

- Jak żeście powiedzieli, tak zamarzyło - rzekł.

- Tak. Nie. - Skóra swędziała na mrozie, ale się powstrzymało się. Wsunęło się dłonie głęboko w rękawy. - Zamarza.

- Nachodził was kto?

- Kto?

- Heretyki, przeniewierce.

- Nie.

- I dobrze.

- Wygląda, że będę tu pracował.

Spojrzeli po sobie.

- Ach!

- Powiedzcie mi coś, dobrzy ludzie. Słuchacie się ojca z Wielkiej Ziemi - czy on was słucha?

Siwobrodacz nachylił głowę.

- Co poznam, to powtarzam, a czy słucha - jego to wola.

- Słowo Rasputina ma moc wiele tu zmienić. Wiecie, że te aresztowania nocne - to wszystko ze strachu Szulca-Zimowego przed strachem Batiuszki Caria. Przyjechało poselstwo od pana z Ameryki, będą szukać posłuchu na dworze Jewo Impiatorskawo Wielicziestwa. Będą jątrzyć przeciwko Syberji. Gubernator musi zawczasu dowieść swej wierności. Nasampierw pod nóż poszli ablastnicy, wiecie to przecie.

- Ale gdyby człowiek z człowiekiem nie był w nieszczęściu solidarnym, zjedliby nas pany na sucho.

Zimownicy zamruczeli potakująco.

- To jedno przemyślcie więc sobie - odrzekło się - czy przez tę solidarność umacniacie Łódź, czy też przyśpieszacie tym sposobem Ottiepiel. Za czym stoi Szulc-Zimowy, a za czym - abłaścownicy? Co powiedziałyby na to święty Marcyn wasz? A?

Zmieszali się.

- Wy nie wierzycie w Marcyna - mruknął siwobrodacz.

- Czy prawda mniej jest prawdą, gdy z ust niewiernego pochodzi?

Nic już na to nie rzekli. Kiedy wrócił doktor Wolfke, bez słowa podnieśli się do roboty, chwycili za zimnazową maszynerję, weszli w mróz przemysłowy. Stało się na granicy powietrza zdatnego do oddychania, cienista para przeciekała przez szal zawinięty pod same okulary; wróciło się było po czapę. I tak więcej jak kilka minut ciężko szło zstrzymać; musiało się zachodzić do ogni koksowników po kątach Warsztatu rozstawionych, cofać się do izby piecowej, gdzie kurzył tytuń *mijnheer* Iertheim.

Chłodnica systemu Kruppa - w odróżnieniu od chłodnicy Barnes'a albo Żylcewa - pracuje w układzie otwartym, stąd większa ekspozycja na mróz. Przez dziurę w ścianie oddzielającej Warsztaty od hali chłodnicowej, którą wysoplił się był luty, podglądało się proces transmutacyjny. Na lśniącym czarnym masywie lodu refleksowały światła elektryczne - płynęły po gładziach mroźników zbitych w jedną gigantyczną krjorzeźbę fale poćmiaty i świecienia bladego - kratownice zimnazowe, dźwigi, łańcuchy i suwnice, maszyny rozmiaru domów i maszyny od domów większe otaczały, przesłaniały, oplatały gniazdo. Lute bardzo tu karłały wobec machin człowieczych; a człowiek - sylwetka odległa jednego i drugiego zimownika obsługującego rudobieg chłodnicy - zdawał się zupełnie już nieważną drobiną procesów majestatycznej skali i tempa zaiste glacialnego. Roztęcnione ramiona dźwigów ażurowych poruszały się z teatralnym dostojeństwem. Para ze skraplanego i na powrót uwalnianego w gaz powietrza wirowała w chmurach jak wały bitej śmietany; czerwone ślepie lamp orientacyjnych barwiły ją krwawo. Gdy się spoglądało przez marostiołkę, raz wyglądało to jak obraz piekieł najniższych, a raz - jak niebo ponadobłokowe, przeczyste, zimną barwą oblane. Gdzieś tam płonęły ognie węglowe i biły kafary miażdżące; nie widziało się ich przez dziurę, szedł z niej tylko od chłodnicy pohuk głuchy: wzmocnione i rozciągnięte w czasie, mechaniczne echo bębnowych głaszatających.

Dziura, jak większość okaleczeń architektury Zimnego Niokolajewska, powstała wlasnie na skutek powtarzajacych sie przemrozzen glajcuszy; na podobnym zagaszczeniu Drog Mamutow nie oplaca sie wciadz dokonywac napraw. Na samym poczatku, to jest zaraz po Wielkim Pozarze Irkucka, gdy nie istniaty jeszcze zadne mapy Podziemnego Swiata, zdecydowano sie obudowac tu wielkie soplicowo z przyleglemi gniazdami lutyh molochem przemyslowym godnym Zaglebja Ruhry: z halami wysokimi na dziesiatki arszynow, kopulami zelaznymi szerokimi na setki. Wszelako bardzo szybko zaprzestano kolejnych jego remontow i rekonstrukcyj, dobudowujac jeno w miare potrzeby dodatkowe podpory, coby gmach nie runal; lute przemrazaly sie swobodnie. Tak powstaal Dziurawy Palac, czarno-sniezny monument Zimnego Niokolajewska, o kalekiej architekturze niepodobnej zadnej innej architekturze swiata. Mapa Drog Mamutow odbija sie tu na powierzchni ziemi chorobliwym wykoslawieniem zabudowy.

Choladnica systemu Kruppa pracuje w ukkladzie otwartym, to znaczy, ze rudy zostaja przemrozone przez lute na zewnatrz gniazda, nad poziomem gruntu. Metody bardziej inwazyjne sa zarazem bardziej kosztownymi, wymagaja bowiem wkopania sie pod i wokol gniazda, obudowania go hermetyczna maszynera zimnazowa, przytem niezawodnie transportujaca tysiace pudow urobku w ekstremalnie niskich temperaturach. A nigdy nie mozna miec gwarancji, jak dlugo dane gniazdo utrzyma sie w jednym miejscu. Co prawda wielkie soplicowo Zimnego Niokolajewska stanowi na razie wyraźny punkt koncentracji gniazd glajcalnych - jedyny taki na swiecie - ale ktodz dalby sobie reke uciadz, ze wszystko to razem w tydzień nie wmrozi sie z powrotem pod ziemie, a cale miasto przemyslowe nie pozostanie tu wowczas jeno bezuzytecznym reliktem minionej swietnosci, niczym owe wymarłe miasteczka gornicze w Ameryce, gdy wyczerpaly sie ich zyly zlota? Albowiem tak naprawde nic pewnego o Lodzie nie wiadomo.

Czlowiek interesu dazy do zabezpieczenia swych inwestycji. Krupp i Kruppa konkurencja za glowny cel postawili sobie uniezaleznienie produkcji zimnaza i pochodnych od obecnosci lutyh; na razie sie to nie powiodlo, niemniej w tym wlasnie kierunku zmierzaly wszystkie badania doktora Wolfke oraz naukowcow pracujacych dla pozostalych koncernow. Nawet Petersburski Instytut Gorniczy i Cesarskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne, jako posrednio badz bezposrednio sluzace tym samym interesom, staraly sie znalezc odpowiedzi na owe pytania. Jakie to procesy fizyko-chemiczne zachodza w „organizmach” lutyh? Na czym polega „zycie” Lodu? Jaka zmiana w materji przemrozonej odpowiada za zmiane jej cech fizycznych i chemicznych? Na jakich procesach energetycznych opieraja sie te



transmutacje? Innymi słowy: czym jest Lód?

Zimownicy doktora Wolfke przebijali lute lancami tungetytowymi i łapali w próżniowe krjostaty marostiekłowe ich krew - był to hel. Hel, *helium*, pierwiastek słoneczny, bo dopiero w widmie spektroskopowym Słońca wykryty, jest gazem szlachetnym, czyli obojętnym na wszelkie chemiczne pokusy: nie wchodzi w związki łatwe do znalezienia i zbadania przez człowieka. Profesor Heike Kamerlingh Onnes z laboratorium krjofizycznego w Lejdzie, używając w próbach skroplenia helu spore jego ilości, musiał hurtowo skupować przez Amsterdam monacyt (miał brata w handlu dobrze usadowionego). Lód uderzył 30 czerwca 1908 roku; Kamerlingh Onnes skroplił hel dziewięć dni później. Temperatura wrzenia helu, temperatura, w jakiej zmienia się on z płynu w gaz, wynosi mniej niż pięć stopni w skali Kelvina. Osiągnięcie podobnego mrozu wymagało od Holendrów złożonego systemu sprężarek i rozprężarek, schodzących sukcesywnie coraz niżej - skraplających tlen, azot i powietrze, potem wodór, wreszcie hel. Było to niezmiernie czaso - i energochłonne, pozwalało jedynie na krótkie utrzymanie tak niskiej temperatury i przy byle nieszczelności powodowało gwałtowne ocieplenie substancyj. Tymczasem w lutyh hel płynął swobodnymi strumieniami.

Się zamyśliło się, jak też w ogóle pomierzyć podobne ekstrema mrozu. Zwykły termometr wskazuje zmiany ciepłoty przez zmianę objętości substancji wzorcowej, na ten przykład rtęci lub spirytusu. Tabele temperaturowe rysowane w biurze przy Warsztatach Kruppa nie obejmowały bynajmniej skali Celsjusza, rozpisanej od zera oznaczającego punkt zamarzania wody pod zwykłym ciśnieniem, lecz skalę bezwzględną lorda Kelvina, gdzie zero jest zerem absolutnem: poniżej temperatura w ogóle nie istnieje, podobnie jak nie ma czasu przed początkiem czasu.

- Ale co to w takim razie znaczy? - spytało się, wróciwszy na przypiecek na kubek czaju gorącego. - Że dwa koma dwa stopnia, że jeden koma osiem. Jeśli na końcu jest zero absolutne, czyli brak ciepła - to co to jest? Jak pomierzyć abstrakcję?

- Prawda, bardzo długo mieliśmy tylko pusty model matematyczny - przyznał Iertheim, puszczając kątem ust dym wonny. - Skoro temperatura jest miarą rozciągnięcia, rozprężenia materji, i ciecz jest bardziej rozprężona od ciała stałego, a gaz od cieczy, to granica rozprężenia gazu jest granicą temperatury. Bierzemy pewną objętość powietrza i -

- Schładzamy, poczem mierzymy zmianę objętości, to jest ciśnienia, wyprowadzamy zależność, podstawiamy ciśnienie zerowe -

- Tak.

- Czy gaz może mieć ciśnienie ujemne? Nie może. Mhm.

- Stąd w temperaturze zero absolutne. Równanie pokazuje granicę na dwustu siedemdziesięciu trzech stopniach poniżej zera w skali Celsjusza.

- I tak to mierzycie? Ciśnieniem gazu?

- Cóż, w pobliżu zera absolutnego metoda zawodzi. Termometry elektryczne też nie są najpewniejsze, przewodnictwo elektryczne w niskich temperaturach to jeszcze jedna zagadka. Rzecz wszakże w tym, panie Gierosławski, że naprawdę blisko zera absolutnego -

- W sercu lutego.

- Ba! - *Mijnbeer* Iertheim zdjął nogi z krzesła, obejrzał się na wykresy wywieszone między oknami zewnętrznymi, złapał, co nawinęło mu się pod rękę, długą pipetę brudną, i nią, niczym batutą, wskazał linjał przybity pionowo przy framudze. W jednej czwartej wysokości linjału (a był długi na ponad arszyn) przyklepiono niebieską strzałkę. U dołu widniało wyrzeżane w drewnie wielkie, okrągłe jak jajo zero. - Takie są nasze najlepsze szacunki ostatnich pomiarów.

- Ćwierć stopnia?

- Pfch! Cała ta deska to jedna setna Kelvina - zaśmiał się Holender.

Przełknąwszy gorący łyk, zrobiło się zdumioną minę.

- I niby czym się różni zero koma zero zero trzy stopnia od zero koma zero zero dwa?

- Wyobraź pan sobie gaz na poziomie molekularnym. Wydychasz pan powietrze do bańki szklanej. - Dmuchał dymem do wnętrza kolby marostiekłowej, zatykając ją szybko dłonią z fajką; zakręciły się za szkłem wiry sine, szybko przebarwione na żółto. - Co się dzieje? Mirjad cząsteczek wypada z jednej objętości w drugą. Fiuuu! - wywinął pipetą nad głową. - Ganiają gdzie tylko mogą. Jak się ma objętość płuc do objętości bańki?

- Że niby dmuchamy w próżnię?

- Powiedzmy.

- Im większa przestrzeń, tem niższe ciśnienie. - Potarło się kłykcie o zarośnięty policzek.

- Im niższe ciśnienie, tem niższa temperatura. Ale ciepło to energia - gdzie ucieka ta energia?

- Otóż właśnie odkrył pan Pierwsze Prawo Termodynamiki. A jak zmierzyć ciśnienie? -

Iertheim wcisnął w kolbę po mleku szeroki korek. - Kładę na bańce szczelny odważnik. Co go pcha od dołu?

- Uderzenia tych cząstek.

- Położę odważnik dwukrotnie cięższy. Opadnie niżej. Zmniejszy się objętość, zwiększy się ciśnienie, zwiększy się temperatura. Podgrzałem powietrze.

- To jest miara ruchu molekuł. Sumy ich energii, pędu, z jakim biją w ten odważnik.

- Ale tylko w pewnej części. - Zastukał trzykrotnie pipetą w kolbę, zabrzmiało to jak dzwonek celebranta. - Tu bowiem dochodzimy do Drugiego Prawa. Praca, ruch przekłada się na ciepło jak należy - ale już ciepło przechodzi w pracę zawsze ze stratami energii. Gdybym miał podnieść ten mój wymyślony odważnik na wysokość odważnika dwukrotnie lżejszego przez podgrzanie powietrza w bańce, musiałbym wydatkować w tym ogniu więcej energii, niż poświęciłem na powietrza ściśnięcie. Ta różnica, ta energia uciekająca - to entropja, drogi panie.

...Popatrz pan na ten nasz tu bałagan. - Szklana batuta zatoczyła okrąg. - Żeby doprowadzić pracownię do takiego stanu, trzeba energii na przesunięcie każdego przedmiotu od miejsca w układzie uporządkowanym w dowolne inne miejsce. Ale żeby teraz to wszystko z powrotem w ład złożyć, nie wystarczy już energia dla przesunięcia przedmiotów w dowolne inne miejsce. W najlepszym wypadku bałagan pozostanie taki sam, ale najpewniej jeszcze się zwiększy. Entropja rośnie.

...Kiedy roztopiam lód, entropja rośnie: miałem kryształ lodowy, mam ciecz swobodnie przepływającą. Kiedy odparowuję ciecz, entropja rośnie: miałem płyn zorganizowany wedle powierzchni naczynia, mam chmurę cząstek fruujących byle gdzie.

...Dostrzega pan zależność?

- Im zimniej, tem niższa entropja.

- Co wedle panów Nernsta i Plancka oznacza, iż w temperaturze zera bezwzględnego entropja każdego układu równa jest zeru. - *Mijnheer* Iertheim dziabnął się ustnikiem faji w bliźnię podmrożeniową nad okiem, postukał w zamyśleniu w kość nagą. - W Laboratorium mamy lampę roentgenowską do prześwietleń zimnaza - zauważył, poczem, pomruczawszy jeszcze coś pod wąsem, podjął niemrawą próbę walki z lokalną entropją: jedna półka, druga półka, szafka, skrzynia z papierami, stos teczek, półka trzecia, wreszcie znalazł klaser wsunięty pod krótszą nogę stojaka pompy próżniowej. Trójpalcą dłonią przewracał ciemne

klisze. - Ta. - Wyjął, podniósł ją do światła. - Mosiądz, dzień po stopie.

Zmrużyło się oczy.

- Nic nie widzę.

- No tak. - Zmieszał się. - Rzecz w tym... Były tu gdzieś rysunki. - Znalazł w końcu kawałek kartki wyrwanej ze starego numeru „Irkutskich Nowosti”, na której szerokim marginesie ktoś wykreślił ołówkiem schematy. - Tak wygląda struktura molekularna mosiądzu dzień po wykonaniu stopu.

○ ● ○ ○ ● ○ ● ● ○ ●

○ ● ● ○ ○ ○ ● ○ ○ ○

● ○ ● ○ ○ ● ○ ● ● ●

● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○

○ ● ○ ● ○ ● ● ○ ○ ○

○ ● ○ ○ ● ○ ○ ● ○ ●

- A tak - po kilku miesiącach.

○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ●

● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○

○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ●

● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○

○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ●

● ○ ● ○ ● ○ ● ○ ● ○

- Atomy miedzi i cynku się uporządkowały. Stop ochłódł. - Wyprostował się, podniósł sztywno głowę. - Zgadnij pan teraz, co pokazują wszystkie prześwietlenia chłódów zimnaza?

- Ten ład idealny.

- Tak jest! Atomy stoją jak na musztrze - w najmniejszym opiłku, w najcieńszej nici - jak w kryształach.

Zerknęło się odruchowo na linijkę setnej części stopnia.

- Nie chodzi więc tylko o to, żeby odebrać cząstkom energię, żeby zatrzymać je w ruchu.

- Nie. Do zera absolutnego schodzi się przez -

- Porządkowanie, jednoznaczność, jedynoprawdę materji, tak-tak, nie - nie.

Czyż się tego nie wiedziało? Czy nie doświadczyło się tego podczas podróży Transsibem? Czym innym jest Zima, jeśli nie związaniem chaotycznej, nie pewnej, wieloznacznej materji w matematycznym ładzie idei? Czym innym jest Lato, jeśli nie Królestwem Entropji?

- Gdy od zera dzielą nas tylko tysięczne części stopnia - mówił Iertheim - różnicy nie stanowi żadna energia ruchu - bo nic nie powinno się poruszać - ani energia drgań cząsteczkowych - bo drgać też nie powinny - ani nawet nie porządek struktury atomowej - bo ten jest już absolutnym Procesem porządkowania zachodzi na znacznie głębszym poziomie.

Ćmiecz swędziała pod czaszką.

- Jeśli jednak nie mierzymy tu już temperatury zmianami ciśnienia, to skąd wiadomo, czy ta zimna energia Ładu i Nieładu, Prawdy i Kłamstwa - nie pozwala zejść w stany znajdujące się poza modelem matematycznym, to zna czy poniżej minus dwustu siedemdziesięciu trzech stopni Celsjusza?

Podczas kolejnych przerw wykorzystywanych przez zespół doktora Wolf ke na ogrzanie się *mijnheer* Iertheim pozwolił zajrzeć w jeden z termoskopów zamontowanych na prowadnicach szynowych pomiędzy Warsztatami i chłodnicą, od której szedł nakłuwany luty. Zdjąwszy okulary, pochyliło się ostrożnie nad okrągłym wziernikiem w zimnazowej obudowie. Był to trzeci z termoskopów bocznych, przykręconych w stałym położeniu i nachyleniu kątowym; służył do obserwacji doświadczenia przeprowadzanego na krwi luty w warunkach Mrozu, to jest w aparacie włożonym w bok glacjusza jak grot włóczni

Rzymianina czy paluch Tomasza Niedowiarka w bok Ukrzyżowanego.

Aparat składał się z dwóch marostiekłowych menzurek, umieszczonych jedna w drugiej, w obu znajdowała się krew luty, przyczem menzurka mniejsza zawieszona została nad większą bez bezpośredniego między nimi połączenia, jej dno znajdowało się dwa werszki nad poziomem krwi w dolnym pojemniku, a jej krawędź górna wybiegała wysoko ponad krawędzie tego pojemnika. W eksperymencie mierzono tempo samoistnego przepływu helu w temperaturze bliskiej jednemu stopniowi Kelvina. W okularze wyraźnie się widziało formującą się pod dnem górnej menzurki kroplę krwi mroźniczej. Czysty hel - atom i atom i atom i atom - pełził pchany tajemną energią po ściankach wysokiej menzurki wzwyż, prześlizgiwał się przez jej brzeg i spełzał w dół po ściankach zewnętrznych, skapując do pojemnika poniżej. Ruch helu ustawał, gdy poziomy cieczy się wyrównywały. Skąd jednak krew luty w jednym pojemniku „wiedziała”, że ma zacząć się wspinać? Jaka siła tajemna ją podnosiła wbrew grawitacji? Jaki porządek osiągały w tym ruchu cząstki helu, skoro nie kamienną martwością struktur krystalicznych? Wyglądało to omal tak, jakby jeden z najprostszycy pierwiastków w swej najprymitywniejszej formie nabierał wtem pod Lodem właściwości żywego organizmu. Im bardziej zmrożony - tern bardziej żywy. Oto była czarnofizyczna fizjologia luty.

Doświadczenie mierzyło tempo przepływu ich krwi, ponieważ z pierwszych obserwacyj wynikało, iż pozostawało ono stałe, niezależne od różnicy w położeniu menzurek czy innych warunków; zbierano teraz dane, by wyprowadzić stąd wzór na prędkość przemrażania się luty nad powierzchnią ziemi i po Drogach Mamutów.

W Laboratorjum Krjofizyki Kruppa zaobserwowano także inne fenomena, zresztą skwapliwie raportowane w „Annalen der Physik”. Krew luty była substancją pozbawioną lepkości, a w każdym razie o lepkości milionkroć mniejszej od lepkości helu w Lecie. Przytem przez im węższe szczeliny przepływała, tern bardziej jej lepkość jeszcze spadała. Podobnie przewodnictwo cieplne helu w luty rosło milion razy. Z laboratorjów Thyssena raportowano nadto o niemożności wyznaczenia ciepła właściwego krwi luty w okolicy 2.2 °K, w punkcie największej jej gęstości; aparatura dawała tu absurdalne wyniki.

Jednak wedle słów *mijnheer* Iertheima największym jak dotychczas sukcesem czarnofizyków było opisanie efektu, z którego spodziewali się oni wyprowadzić prawa odpowiadające za najdziwniejsze właściwości tungetytu i zimnaza, to jest ich przeciwciepność. Tungetyt (a do pewnego stopnia także większość chłódów zimnazowych)

otrzymawszy porcję energii - czy to w postaci prądu elektrycznego, siły magnetycznej, czy pracy kinetycznej bądź po prostu ciepła - miał się rozgrzać, obniżyć swoją temperaturę, nie upuszczając wszakże na zewnątrz traconej energii w żaden inny mierzalny sposób. Istnieją wzory określające proporcjonalność tych zmian; doktor Tesla musiał znać wyniki owych doświadczeń, fizycy jednak najwyraźniej nie znali wyników jego prac nad teslektrycznością, ani zasad działania maszyn ćmieczośnych. Poszukiwania szły tu w kierunku czarnej optyki, to jest mierzenia energii ćmiatła.

Zrozumiało się natychmiast, iż brakującym elementem teorii jest ćmiecz: energja logiki, nośnik Mrozu. Mogło się napomknąć Iertheimowi czy same; mu doktorowi Wolfke o odkryciach Tesli - to z pewnością zagwarantowałyby posadę u Kruppa. Nie zdążyło się jednak nawet skrzywić ust na tę myśl: była to rola dla szpiega przemysłowego i zgoła zdrajcy. Nic dziwnego, że Nikola zabarykadował się w Cesarskim Obserwatorium i prędzej otrzyma zaproszenie od jakichś szarlatanów czy innego Bractwa Apokalipsy aniżeli od czarnofizyków koncernów zimnazowych. Nie istnieje nauka zupełnie niewykłana politycznie i ekonomicznie; nawet wysoka matematyka wpływa przecież na oblicze świata, na bieg Historji. A zatem są równania lewicowe, i są równania prawicowe, są postępowe, i są konserwatywne, są ottiepielnicke, i są liedniackie. Za Teslą stał car-Bóg, żądający samowładnie przepędzenia lutyh z jego dominjum; za czarnofizykami - potęgi pieniądza wyrosłe na Lodzie.

I znowu się znalazło się w pół drogi między Lodem i Ottiepielą, to znaczy pomiędzy młotem i kowadłem Historji.

Nie powiedziało się o Tesli ani słowa. Bóg da, nie zwiedzą się tu w ogóle o tej znajomości.

A doświadczenie objawiające podstawy kontrtermizmu wyglądało następująco: w zbiorniku z krwią lutyh zanurzało się do połowy, dnem do góry bańkę o przekroju pionowym podobnym literze  $\Omega$ , to jest z szyjką zwężoną. Poziomy helu w bańce i w zbiorniku były na początku doświadczenia równe. W helu we wnętrzu bańki znajdował się grzejnik. Otóż po włączeniu grzejnika poziom helu w bańce podnosił się: zamiast odparowywać w gaz, który wypiera ciecz w dół, hel przybierał. Krew lutyh, gdy ogrzewana, obniżała swoją temperaturę.

Doświadczenia, nad którymi Wolfke biedził się dzisiaj, dotyczyły z kolei nadprzewodnictwa zimnaza. W Lecie fenomen nadprzewodnictwa obserwowano wyłącznie w bardzo niskich temperaturach; tymczasem niektóre chłody zimnazowe wykazywały zerowy

opór elektryczny także powyżej zera Celsjusza. Otwierało to drogę do zupełnie nowych technologii, począwszy od magnetycznych łożysk beztarciowych i superprecyzyjnych żyroskopów. Były to patenty o ewidentnych zastosowaniach militarnych.

Iertheim i Wolfke narzekali na konieczność słania częstych i szczegółowych raportów do Berlina; Berlin zaś słał im plany całych seryj doświadczeń do wykonania w Zimnym Nikolajewsku. - Niech sobie tu mały tresowane posadzą! - burczał doktor Wolfke nad obiadem, też spożywanym w pracowni przy Warsztatach, w pośpiechu i bałaganie. Mieczysław Wolfke od młodości fascynował się koncepcją lotów międzyplanetarnych i sam raczej poświęciłby czas czysto inżynierskim zastosowaniom zimnaza, na ten przykład projektom wielkich ogniów prądu trwałego. Nie inny rygor jednak cierpieli także naukowcy Bielkow-Żylcewa, prowadzeni przez akademików z tomskiego Instytutu Technologicznego. Mit o jałowości pracy umysłowej w Kraju Lutych był bardziej powszechnym, niż sądził Nikola Tesla.

Po południu pomagało się Busiczkinowi i Iertheimowi przy katalogowaniu próbek zimnazowych, które po długotrwałym przemrożeniu wracały do Laboratorium w Wieży dla dokonania szczegółowych pomiarów ich własności fizyko-chemicznych i prześwietlenia promieniami Roentgena.

Czyngis Szczekielnikow nie spuszczał oczu z zimowników. Zaszedł podczas kolejnej przerwy i oświadczył ponuro: - Nie podoba mi się to, panie Gie. Dlaczego nie strajkują? - Wcale nie większość strajkuje. - Ale oni nawet z ochotą pracują. Strzeż się pan robotnika, co się nie leni! Skory do roboty - będą kłopoty. - Wot, mądrości ludu rosyjskiego.

Się starało się okazać przydatność. Z własnej inicjatywy się zabrało się za porządkowanie papierów zalegających stoły i półki; było to jednakowoż herkulesowe zadanie. Wolfke, zajrząwszy do izby piecowej, nic nie powiedział; potem tylko spytał, czy dobrze zna się niemiecki - wszystka dokumentacja w firmie prowadzona była w tym języku. Odparło się, że się urodziło i wychowało się w Prusiech.

Po czwartej wstąpił do Warsztatów wąsaty żandarm z poleceniem, aby zakończyć na dzisiaj wszelkie niekonieczne prace przy chłodnicach; cywile mieli wracać do Wież. Sądziło się, że Wolfke zrobi awanturę o te „niekonieczne prace”; nie, machnął tylko ręką i zatrąbił w chustę.

Laboratorium Kruppa mieściło się w Wieży Piątej Godziny na kondygnacji siódmej, która stanowiła już coś w rodzaju nieforemnej mansardy pod spiczastymi attykami,



obudowanej panelami z lekkiego zimnaza i przemrożonego szkła. Sala zajmowała całe piętro i była nie mniej zagracona od pracowni w Warsztatach. Porozstawiane tu i ówdzie metalowe szafy dzieliły przestrzeń. Klatka schodowa ciągnęła się jeszcze wyżej, na dach - co dzień na godzinę przed świtem i na godzinę przed zmierzchem wspinali się tam odladzacze, by skuwać świeże przyrosty obmarzliny i strącać śnieg. U podstawy Wież, między ich filarami palono wówczas czerwone ognie ostrzegawcze. Kiedy wjeżdżało się na górę z Busiczkinem i Szczekielnikowem, z ciężkimi walizami próbek metali, chłopcy szykowali już kosze ogniowe. Z samego Laboratorium oczywiście nie widziało się ich płomieni. Lecz chwilę później, ledwo zdążyło się rozdziać i ręce ogrzać przy piecu, po schodach przemaszerowało czterech zimowników w buciorach gwoździami nabijanych; wleźli na dach i zabrzmiało głuche łup-łup-łup. Lampy elektryczne migotały, to rozjarzając się mocniej, to prawie gasnąc - ale nie od owej łupaniny, w Kraju Lutych one tak zawsze. Przypatrywało się *mijnheer* Iertheimowi, który, mimo hałasu, przekomarzał się wesoło z herbaciarką podlewającą rachityczne kwiecie w donicach podokiennych. Szczekielnikow, wyproszony przez doktora Wolfke, zanim zszedł do holu windowego, zdążył jeszcze wygłosić swoją kassandryczną przepowiednię o Holendrze: - Życzliwy, ha, jak kto taki obcemu życzliwy, najpewniej już nóż nagotowany za plecami trzyma! - Póki nie podreptał za szafy do swojego kąta, próbowało się wejrzeć w szpetnego inżyniera oczyma pana Wielickiego, oczyma pana Myśliwskiego. Co to za człowiek? Jaka prawda o tym człowieku? Światło migotało, migotała poćmiata wokół Iertheima, obracał się twarzą ohydną w cieniu i w blasku, raz taki, raz taki, z prawej pamięci - silny uścisk jego ręki, z lewej pamięci - podejrzenie jadowite; się poczuło się zupełnie zagubionym, niczym wobec kolejnego anonimowego towarzysza transsyberyjskiej podróży. Drapało się dłoń, chociaż wcale już nie swędziała.

Wieczorną porą śnieżycą wyraźnie zelżała, a że Słońce nie zapadło jeszcze, z wysokości Wieży Zegarowej rozciągał się dobry widok na większą część Zimnego Nikołajewska i pierwsze chałupy Innokientijewskiego Dwa. Wyglądało się przez panoramiczne okno Laboratorium zorjentowane na Dziurawy Pałac, na północny zachód. Gdy biel szreni przepływała na geometryczne kształty chłodnic, a na pola śniegu i lodu wylewały się brązy i czernie przemysłowe, z maszyn, z dymów, z magazynów - rozkwitał wówczas obraz jak z kościelnego witraża, rozjaśniony blaskami, których źródło leży gdzieś za witrażem, ogień - pod kolorami, światło - pod ziemią. Kominy fabryczne, hałdy urobku, wagony podniebne, procesje robotników, składy kolejowe, potężne dźwigi, węglowe wozy w zaprzęgach reniferowych, kratownice, słupy, trakeje, lampy i latarnie, dachy zakładów, zakładów wrota,

fabryki w budowie, fabryki w rozruchu, murarze na budowach fabryk, fabryki pracujące, fabryczne kominy - promieniste, jasne, święte, święte, święte.

Zamieszki wokół torowiska z tej odległości pozostawały niemal zupełnie niedostrzegalne. Raz, w odpływie barw na szkle, dojrzało się błękitny szereg piechoty z bierdankami w rękach, znikający za gwiaździstym grzbietem lutego. Strajkujący wzięli się pewnie za blokadę Marmieladnicy, a tego już nie można było tolerować. Mignęła w fałszywej-prawdziwej pamięci czuszińska opowieść kapitana Nasboldta. Tu, w sercu Zimy, jakież ma szanse w wojnie matematycznych konieczności spontaniczny bunt przeciwpaństwowy?

Zapaliło się papierosa. Doktor Wolfke, przystanawszy obok, wycierał nos. Zawyły przeciągle trzy, cztery syreny. Mróweczki ludzkie uwijały się na śniegu między monumentami Mrozu i jeszcze większymi pomnikami Przemysłu.

- Też czasem tak myślę - rzekł Wolfke, zapatrzony. („Tieś czasem tak miślie”).

- Dziesięć lat.

- Tak. Więc jaki świat technologii lodowych ujrzą nasze wnuki?

Strzepnęło się popiół, potarło się dłoń.

- Cała Ziemia pod Lodem.

- Aj, to pan też stawia na Ottiepiel!

- Proszę?

- Wszyscy tu Polacy mamy w tym mieszane odczucia. - Przetarł chustą marostiekło, spojrzał w przebarwione odbicie wnętrza Laboratorium. - Pan Henryk powiedział mi o pańskim ojcu. Przepraszam, nie miałem nawet czasu się przywitać.

Machnęło się gniewnie, pozostawiając w powietrzu tytuniowy wykrzyk.

- Sprawa polityczna, zatrzymało mnie Ministerjum Zimy. Dlatego też tak was nachodzę. I jedno mogę panu przyrzec: dopóki będzie u was pracował Syn Mroza, nie zabraknie Kruppowi zimowników do roboty przy chłodnicach.

Na stacji Marmieladnicy błysnęło kilkanaście ogników. Żaden dźwięk nie dotarł stamtąd do Wieży, a i owo światło przemknęło bez trwałego śladu. Patrzyło się w roztargnieniu, strzepując popiół w garść czerwoną od znaków po paznokciach.

Doktor Wolfke burknął coś przeciągle i wyciągnął rękę.

- No to witam w Laboratorjum Krjofizyki Kruppa.  
- Sześćdziesiąt?  
- Pięćdziesiąt.  
- Pięćdziesiąt pięć?  
- Pięćdziesiąt. Potem się zobaczy.  
- Tu wszystko drogie nieprzyzwoicie.  
- Pięćdziesiąt rubli, kochanieńki, nie więcej, taki jest etat dla asystentów i nie zmieni też tego wstawiennictwo inżyniera Iertheima.

- A co z patentami?  
- Pan liczysz na wynalazki?  
- Różne dziwne rzeczy chodzą mi po głowie.  
- To już targuj się z dyrektorstwem.

Uścisnęło się jego dłoń.

- Pięćdziesiąt.  
- Zamarzło.  
- Zamarzło.

Po drugiej feerji błysków rozbiegł się zza wagonów ku Innokientijewskiemu tłum mrówczy: małe ludziki na śniegu, pozostawiające za sobą kropeczki czerwieni, zaraz rozplywające się na marostiekłe w kolejny witrażowy kwiat. Bardzo to było piękne, tem bardziej w ruchu - z białobarwnymi cieniami na niebobarwnej ziemi, gdy zmrok zapada nad Zimnym Nikołajewskiem i długi cień Dziurawego Pałacu wskazuje Siódmą Godzinę. Tak wojsko cesarskie rozpędzało robotniczne protesty.

Maroz carstwował trieskuczij.

### **O śmierci w czasie terażniejszym**

Modest Pawłowicz Kuźmieńcew, zaszedłszy do Wielickich na podwieczorek, podzielił się wieściami ze sfer rządowych, to jest z korytarzy pałacu i Cytadeli generał-gubernatora.

Otóż córka hrabiego Szulca-Zimowego, Anna Timofiejewna, zaręcza się z niejakim Gieruszynem ze starego rodu ziemskiego z guberni olonieckiej; ma się z owej okazji odbyć w pałacu bal wielki, na który Jewo Sijatielstwo sproszą wszystkie znaczniejsze familje Kraju Bajkalskiego. Panna Marta i pani Halina poczęły na to błagać starego mecenasa, coby szepnął słówko gdzie trzeba i sprawił im przyjemność wielką, zaproszenie takowe na dom Wielickich rezerwując. Mecenas gładził się po brodzie siwej, częstował się podsuwanemi mu hojnie łakociami i pomrukiwał pogodnie, zadowolony z uwagi mu okazywanej i wrażenia, jakie informacją tą wywołał. Pana domu mało jednak bale i koligacje arystokratyczne obchodziły; wypytywał ją Kuźmieńcewa o sprawy gospodarczej, państwowej natury, zwłaszcza o nową politykę represyjną generał-gubernatora: czy długo jeszcze terror taki trzymać zamysła? Wszelki niepokój społeczny zły jest dla interesów. Poselstwo J. P. Morgana opuściło już Irkuck, Ekspresem Transsyberyjskim udając się do Wielkiej Ziemi. Mecenas donosił, iż mieli oni pono pełnomocnictwa Białego Domu, przez samego prezydenta Coxa podpisane. Nic w tym jednak dziwnego, zważywszy, że Skarb USA zadłużony jest u Morgana na grube miljarde. Inna wieść bardziej przypadła do gustu panu Wojsławowi: książę Błucki-Osiej dobrze sobie poradził w Hongkongu w rozmowach pokojowych z Japończykami; tak dobrze, że w istocie misja jego przestała być tajemnicą i mówi się już otwarcie o rokowaniach Imperatora z cesarzem Hirohito, niezadługo napiszą o tym rządowe gazety. Pan Wielicki wychylił w tej intencji kieliszek madery.

Usadowiwszy się na szezłagu obok fotela dostojnego starucha (rozespana Michasia zaraz wgramoliła się na kolana), zagadnęło się go półgłosem o postępy w wiadomej sprawie - czy nie słyszał czego nowego? może Szembuch inne wytyczne tymczasem otrzymał? co z Ormutą? kiedy jaki czynownik pieczęć wreszcie przystawi i paszport z powrotem wydadzą? co na radzie Sibirchożeta o Szulcowym pomysle dialogu z lutymi mówią? czy mówią cokolwiek?

Gaspadin Kuźmieńcew westchnął głęboko, aż mu świecienie zaiskrzyły w wąsach i brodzie.

- Sprawa jest to polityczna i nie idzie jej innemi środkami rozwikłać, politycznemi jeno. Tak? Na nic więc się tu zdadzą sztuczki prawne, chytryści proceduralne, czynownikowe znajomości, wziętki i fawory. Zapaść musi względem was decyzja polityczna, względem was, Ojca Mroza, Lodu i Historji. Dopóki nie zdecydują, do czego was użyć i do jakiego użytku w ogóle się nadajecie, to znaczy, za czym sami tu stoicie - dopóty was nigdzie nie puszcza, Wieniedikt Filipowicz, choćby jutro już z rana kolej na Kieżmu ruszyła.

- Ale skoro się za czym tu głośno opowiem, zaraz wrogów sobie narobię. Nie ma chyba takiej możliwości, żebym stanął za czymś i za kimś, a zarazem nie przeciw komuś innemu.

- Och, uludy młodzieńcze! - zarechotał jowialnie staruch. - A bo wy w takiej nadziei jeszcze się uchowaliście, że przejdziecie przez życie jako przyjaciel wszystkich, nikogo sobie wrogiem nie czyniąc, tak? Priekrasno.

- Teraz jeszcze przynajmniej widzą mnie użytecznym i ci, i tamci. Ale jak rzeknę co za Ottiepielą - liedniacy psy na mnie spuszczają; rzeknę co za Lodem - ottiepielnicy zaszczują.

- Nie znałem ja godnego szacunku człowieka, co nie miałby nieprzyjaciół śmiertelnych. - Łyknął kawy z mlekiem, mlasnął, wąs otarł. - Chcecie ojca z Lodu wydobyć, tak? Chcecie się z Irkucka wyrwać, tak? No to musicie zamarznąć w tej czy innej rzeźbie politycznej, dopiero się sprawa ruszy; ktoś - ten czy tamten - opowie się za wami z siłą i przekonaniem, przełamie pat.

- A jeśli ja nie mogę tak zamarznąć? Jeśli wszystkie te ideje wasze są mi zarówno obcemi i przykreimi?

Modest Pawłowicz rozłożył ręce.

- Ba! Wasz atiec, wasza żyzń; ruki swabodnyje.

Michasia zasnęła na dobre; odniosło się ją ostrożnie do łóżeczka, przywołało się Maszę. Myśl, iż trzeba stanąć po jednej ze stron, opowiedzieć się za taką a taką Historją - bo nie mylił się Ziejcow, w ostatecznym czynów i skutków rozrachunku będzie to wybór Historji - myśl ta nie byłaby tak niemiłą, gdyby nie świadomość, że tu, pod Lodem, nie można zamarznąć w kłamstwie. Drapiąc dłonie i przedramiona, chodziło się po pokoju, aż noc zapadła i długo potem; parkiet skrzypiał pod stopami w cichem mieszkaniu. Jeśli się zamarźnie ottiepielnikiem - to będzie się ottiepielnikiem. Jeśli liedniakiem - to będzie się liedniakiem. Jeśli piłsudczykiem - to piłsudczykiem. Jeśli burżujem - to burżujem. Jeśli socjalistą - to socjalistą. A jak szują cyniczną bezidejową - to też naprawdę, że nikt nie będzie miał wątpliwości: szują! Koniec z pompą Kotarbińskiego, koniec z odmieczaniem porannem, po którym wiruje w głowie milion atrakcyj kolorowych i wszystko jest tak cudownie płynne, otwarte, możliwe a niekonieczne - niedokonane - ciepłe - dziecinne...

W Laboratorjum Krjofizyki Kruppa od rana panowało zamieszanie wielkie, a źródłem owego szumu i zamętu był niemowa Busiczkin. Ledwo się siadło za biurkiem przy oknie (przez czyste marostiekło wlewało się słońce poranne), ledwo naostrzyło się stalówkę,

przybiegł pan Busiczkin, wymachując panicznie i za krawat się łapiąc, niczym w chaotycznych próbach samozaduszenia. Tradycyjnie zaszło się było jeszcze przed świtem do Nowej Arkadji, odpompowało się ćmiecz, aż język w gębie zdrętwiał i posiniały palce, teraz więc nie potrafiło się rzec, o co też Busiczkinowi chodzi: tuzin fantazyj strasznych a dziwnych chodziło po głowie na widok agitacji mikrogo chemika. Doktor Wolfke jeszcze się nie pojawił, inżynier Iertheim siedział najpewniej w Warsztatach, reszta pracowników pochowała się gdzieś poza zasięgiem wzroku. Biurko ugięło się pod stosami nieuporządkowanych raportów z tysięcznych doświadczeń przeprowadzonych przez Laboratorium Krjofizyki *Friedrich Krupp Frierteisen AG* tudzież odpisów z artykułów publikowanych przez konkurencyjne laboratorja; współfundowana przez Kruppa *Kaiser-Wilhelm-Gesellschaftfurschwarze Physik* od miesięcy domagała się od doktora Wolfke pełnego sprawozdania i taka to niewdzięczna robota spadła na barki nowego jego asystenta. Oderwało się kawałek zakleksionej kartki z brudnopisu owego raportu i podsunęło się ją Busiczkinowi. POMOCY, skreślił, OGRÓD MI ZAMARZŁ.

Busiczkin, jak się okazało, prowadził projekt badawczy z pogranicza czarnej chemji i czarnej biologji, mianowicie hodował sobie w wielkich kuwetach glebę tungetytową wypełnionych rozmaite gatunki traw, kwiatów i warzyw. Kuwety, aby nie zajmować w Laboratorium miejsca, trzymał wysoko na szafach żelaznych; część kuwet była szczelnie osłonięta od światła, część - rozlokowana blisko okien. Wszystkie rośliny z pewnością jednak wymagały stosownego nawodnienia i ciepła. Tymczasem wszedłszy dziś na siódmą kondygnację Wieży, jeszcze przed brygadą lododeptaczy, zastał Busiczkin salę Laboratorium pod mrozem, z zaszronionymi oknami, piecami zimnymi. Napalił natychmiast i pośpieszył ratować plantacje. Trzeba było ostrożnie zdejmować z wysokich mebli pojemniki ciężkie, Busiczkin pochylał się nad każdym, wtykał termometr w glebę wokół roślinek, kładł próbki pod mikroskop; mało nie chuchał i nie dmuchał na przemarznięte listeczki i łodyżki.

- Awarja? - spytało się go. DOZORCA KRETYN GŁOWY ZAPOMNIAŁ!!! Gdyby zechciał się pracy uczciwej chwycić, oto otwiera się szansa dla pana Szczekielnikowa, z pewnością na dziada węglowego wielkich kwalifikacyj nie wymagają. Jeszcze wyjdzie na ludzi! Potem jednak pomyślało się, że to przecież lutowczyk stary; jaki zamarzył, taki zamarzył - z całą tą podejrzliwością, z grymasem ponurym na mordzie kwadratowej, z nożem.

Ponieważ wszakże świeży pływ teslektryczny buzował wciąż pod czaszką, na tym jednym nie zakończyły się pomysły krzywe, niekonieczne. - Wyhodował pan może jakie rośliny jadalne, panie Busiczkin? - Pan Busiczkin wskazał kuwetę z rośliną dzień-szeng.

DOKTORY KITAJSKIE CZARNYM KORZENIEM DŻEŃ-SZENGA LECZĄ PONO Z DOLEGLIWOŚCI RÓŻNYCH LODOWYCH. To znaczy z jakich? Dźwigając ceramiczne donice, urodziło się natychmiast dwie warjacje nowe: raz, czy nie można przypadkiem leku na Białą Zarazę zdobyć takową metodą, i za ile tajemnica medykamentu poszłaby na rynku charbińskim; dwa, że przecie Kitajce nie inaczej zapewne hodują swoje opjum czarne, o którym cuda opowiadał na obiedzie u państwa Wielickich Pierre Szocza. Bo czy może to istotnie być jeno mieszanka prosta, to znaczy tungetyt sproszkowany dosypany w zwykłe laudanum? Czy nie muszą wpierw wyrósć na glebie Lodu maki i dopiero zbiera się z ich makówek sok czarny? Ubrudziło się rękaw czesunczowej marynarki; ścierając plamę poślinionym palcem, wyiskrzyło się, jak od tarcia jantaru, ideję trzecią: a jeśli cała owa Biała Zaraza, z którą walczyć we Flocie Pacyficznej przyszło doktorowi Konieszynowi, nie jest niczym innym, jak zwykłą chorobą mikrobową roznoszona przez mikroby tungetytem nazarte, na tungetycie wyrosłe? Czy znalazł się już jaki Pasteur, który by wyizolował i pod mikroskopem obejrzał bakterje lodowe? Może stąd się bierze cały kłopot z leczeniem Białej Zarazy, że jej bakcylusy nie mnożą się, nie trują i nie umierają jak bakcylusy Lata, jeno rządzi nimi biologia i medycyna Zimy, to znaczy największego chłodu i jedynoprawdy, najniższej entropji - może ci marynarze i mieszkańcy Władywostoku chorzy są na porządek?

Busiczkin nie uspokoił się do południa; przyszedł Wolfke i Iertheim, wrócili ich asystenci-doświadczalnicy z torbami tungetytu do nowych eksperymentów, pokwitowanego przez głównego księgowego (Wolfke zamknął je w gigantycznej szafie panczernej za swoim biurkiem), pojawiła się z naręczem map pani Pfetzer - a Busiczkin dreptał od jednej osoby do drugiej, załamywał ręce, przewracał oczyma, domagał się bezsłownie sprawiedliwości ludzkiej, to jest zwolnienia dziada węglowego i najęcia pracownika sumiennego do dozoru Laboratorjum dzień i noc.

Podczas przerwy popołudniowej, siorbiąc z glinianego garnuszka buljon gorący, jaki roznosiła o tej porze panna herbaciarka, zaszło się w głąb labiryntu Laboratorjum Krjofizycznego, coby zapoznać się z innemi pracami wiekopomnymi doktora Wolfke i spółki. Przechodząc pod tablicami rezerwacyj choładnic, wedle pieca, a zerknąwszy wpierw uważnie wkoło, capnęło się ręką lewą jedną niedorosłą roślinę Busiczkina, pęd ziemniaka wraz z bulwą w ziemi zakopaną. Wsadziło się ją do kieszeni garnituru; przystanąwszy za szafami, opakowało się jeszcze kartofla w chustkę. Nikt nie widział, bo nikt nie patrzył.

Inżynier Iertheim - buźka, że chowaj dziatki - podrzemywał rozciągnięty na stole laboratoryjnym, między aparaturą jakąś bardzo skomplikowaną, do pomiarów elektryki chyba

służącą, bo opatrzoną wieloma skalami zegarowymi i buczącą cicho a nisko, że włosy podnosiły się na karku. W plątaninie kabli, pospinane tak i siak, leżały druty, sztabki, blaszki i pierścienie tungetytu i chłodów zimnazowych. Majątek w śmieci rzucony, skarby na ugorze. Zawróciło się i przyniosło się Iertheimowi rosołu. Rozbudzony, podziękował niemrawo.

Przysiadło się na taburecie obok.

- Mam myśl - rzekło się.

Ziewnął.

- Powinszować, powinszować.

- Czekać. Mam myśl: zbijemy fortunę na tungetycie.

- Aha. Znaczą, kto?

- Mogę mówić pod słowem honoru? Słuchaj pan. Bo może się mylę. - Siorbnęło się rosołku. Sięgnęło się po chustkę, żeby otrzeć wąsy, ale dłoń trafiła na ziemniak skradziony, i tylko się podrapało się nerwowo. - Słuchaj pan. Soroki zbierają tungetyt, do którego mogą dotrzeć, a mogą dotrzeć tylko do tego, co leży przed izotermami śmiertelnymi dla człowieka, dlatego taki interes na zabój i ceny mordercze i gonitwa za plotką. Bo całe góry tungetytu leżą w samym epicentrum Lodu, gdzie noga ludzka nie powstała - nie?

- Gdzie rąbnęło, tam leży. - *Mijnheer* Iertheim sięgnął machinalnie po młoteczek tungetytowy i stuknął nim lekko w kowadełko termometryczne; wahnęły się wskazówki aparatów. - Jakiś Szwed czarnofizyk pisał ostatnio w „Studien über Thermometrie” o takiej hipotezie: iż cała Zima i Lód stąd tylko się wzięły, że masa kosmiczna tungetytu helem wprost słonecznym jakoś napita rąbnęła w Syberję. Wyobrażasz pan sobie, jakiej energii było to uderzenie. A tungetyt, jak to tungetyt, obrócił ją wszystką w Mróz. Wot i Zima, wot i lute.

- Słuchaj pan! Rzecz w tym, że do dziewięćdziesięciu procent zasobów tungetytu człowiek nie ma dostępu. Chyba że.

- Że co?

- Ano właśnie. Jedno z dwojga: albo zaszczepimy zimowników antidotum jakimś czarnochemicznym dla większej jeszcze odporności na zimno, albo - Odwilż.

Stuknął się młoteczką w kość nagą na skroni.

- Odwilż! Co pan opowiada!

- Pomyślcie! Jak spłyną lody i nastanie Lato - przecie te minerały nie wyparują wtem z



powierzchni Ziemi! Pozostaną, gdzie upadły. Nie będzie lutyh do mrożenia zimnaza, ale tungetytu będzie - potąd! - Machnęło się garnuszkciem pod brodą. - I kto pierwszy w czas Odwilży na nim łapę położy, ten będzie car Sibirchożeta!

Iertheim stropił się wyraźnie.

- Pan patrzy po wartościach rynkowych surowca, to ma pan rację. Ale to taka zamiana, jakby zapytać inżyniera, czy wolałby kopalnię złota miast technologii produkcji stali. Co to za transakcja, ja się pytam! I skąd w ogóle myśl taka panu przyszła do głowy? - Zerknął bystro. - Co, chce pan pójść i pana Filipa za Odwilżą agitować, to jest za śmiercią lutyh?

Zamachało się.

- Nie, nie! - Się przygryzło się język. O arsenale Tesli wygadać się przecie nie można. - Pan wie, że Imperator -

- Imperator! - prychnął *mijnheer* Iertheim. - Jak pan naprawdę myślisz, że przyzwolą tu na jakie ruchy przeciwko Lodowi i zniszczenie przemysłu zimnazowego, toś pan dziecko. - Rozejrzał się po bałaganie na stole, pochylił się i zerknął pod blat, zazezował jeszcze do kosza. - Miałem tu gdzieś gazetę... Nikola Tesla, wielki wynalazca, przybył niedawno do Irkucka. Co? Nie słyszał pan? A wie pan, dlaczego jeszcze go precz nie przegonili? Tam była jego fotografia wiele tłómacząca. Czarodziej! Władca piorunów! Starzec żyjący z dawnej chwały i naciągający czynowników głupich rosyjskich dla spłacenia długów, jakich sobie w Ameryce narobił. Mało kto tu w Zimnym Nikołajewsku nie ma go za teatralnego szarlatana.

Przypomniał się inżynier Reszke z Północnej Kompanji Mamuciej, ale znowu nie rzekło się nic.

- Odwilż! - rozbudził się na dobre Iertheim. - Ha! Pan też się tego nasłuchał? Imperator zły na Zimę, Zima odchodzi! - Prychnął ponownie i ciepnął się młoteczkciem nad okiem. - Wybij pan to sobie z głowy.

- Wobec tego trzeba zimowników jakichś bardziej na mróz wytrzymałych-

- Popatrz pan - przerwał. - Tam na przykład: lodówka. - Wskazał skrzynię stalową podłużną, rozbebeszoną wedle rusztowania drutów i wałów, które wypełniało połowę jej pojemności. - Doprowadzamy prąd, silnik się obraca, tarcie mechaniczne na chłody zimnazowe powoduje obniżenie temperatury wewnątrz. W ścianki mamy marostieklowe izolatory próżniowe i utrzymamy mróz tygodniami, latami. Zaczynaliśmy od pierścieni tungetytowych, ale stopniowo schodzimy na chłody coraz tańsze. Ma pan pojęcie, jaką

fortunę zrobi na tym Krupp, kiedy zmieścimy się z prototypem w cenie, na którą stać będzie mieszczan naszych dobrych?

...Albo to. - Tracił młoteczką niewidoczną strunę rozpiętą między dwoma chwytakami; dopiero w drzeniu wypuściła cienką tęczę i oko pochwyciło obraz napiętej nitki. - Włókno szroncynowe. Też już opatentowane na lewo i prawo. Z nich będą leciuteńkie aeroplany, koszule i garnitury pancerne, na nich zawiśnie architektura nowego Babilonu. Panowie z *Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft* już nam przysłali plany wielkie nowych miast, nowych maszyn, nowych dróg kolejowych podniebnych. A czego nie przysłali - możemy się domyślać. Te okręty i armaty, na które Imperator zamawiał tu zimnazo, za parę lat trzeba będzie oddać do lamusa.

...Zajdź pan kiedy do doktora, może pokaże panu swoją zabawkę: lodowizor. - Iertheim złożył płasko dłonie. - Dwie tafle marostiekła, dolna z wtopioną siatką zimnazową, górna przezroczysta. Pomiedzy nimi zawiesina z drobinami tungetytowemi. Widzi pan, jak kolorowe obrazy leją się po marostiekle. Na lodowizorze będą się tak zmieniać i układać płynnie wedle napięć przyłożonych. Znaczy, jak mu się uda. - *Mijnheer* Iertheim złapał za garnuszek, wychylił resztę rosółu. - Mówi, że musi wyjechać. Ale Krupp go nie puści.

- Mhm, dopytywałem się, jak to tu jest z pomysłami pracowników, i -

Szpetny Holender poklepał przyjaźnie po ramieniu.

- Nie obawiaj się, młody człowieku, nic nikomu nie zdradzę.

A właściwie dlaczego nie? Czyngis Szczekielnikow miał rację, coś tu się nie zgadza, matematyka charakteru pozostawia w równaniach Iertheima wielkie niewiadome albo też ich strona prawa po prostu nie równa się stronie lewej.

- Będzie pan dłużej wieczorem? Ja to przemyślę i jeszcze rzecz omówimy. Coś mnie swędzi, że jest w tym pieniądz do zrobienia.

*Mijnheer* Iertheim machnął zapraszająco.

Wróciło się do sprawozdania dla *Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft*. Liód-kartoszku przełożyło się ukradkiem do karmana szuby. Podpatrywało się i podsłuchiwało się pana Busiczkina, czy aby nie spostrzeże kradzieży. Po południu przyszedł doktor Wolfke i bardzo grzecznie zrugął niemotę: nie taka jest główna praca Busiczkina, nie za uprawy tungetytowe Wolfke przed dyrektorstwem świeci oczyma. Busiczkin odpowiadał bowiem za badania nad krjokarbonem. Węgiel lodowy, pochodzący ze złóż przemrożonych przez lute (dobywany głównie z kopalni

czerechowskich), tym się charakteryzuje, że wrzucony w ogień - w mgnieniu oka gasi go i w eksplozji śmiała spala się w srogim mrozie. Najpierwsza zagadka, przed którą stoi czarna chemja, dotyczy molekularnej budowy krjokarbonu i innych materiałów lodowych, zimnazowych. Czym innym jest bowiem chłód zimnaza węglowego, to jest na przykład przeciągnięta przez chłodnice stal wysokowęglowa, a czym innym - chłód czystego zimnaza, Fe/gł, z krjokarbonem, C/gł. W Tomsku, Sankt Peterburgu i Berlinie rozpisano już „Czarne Mendelejewy” chemji lodowej, które jednakowoż nadal czekają potwierdzenia bądź falsyfikacji. Czy transmutacja lodowa odbywa się właśnie na poziomie molekularnym? Czy jeden atom krjowęgla nadal jest krjowęgłem? Czy więc jest to właściwość każdego pojedynczego atomu - jak ładunek elektromagnetyczny, masa lub wartościowość? Że istnieje pewna cecha materji na tym najbardziej fundamentalnym planie, powiązana z jej charakterem falowo-cząsteczkowym, z energią i stanem uporządkowania, która objawia się dopiero po uzyskaniu wglądu w materję wedle tej cechy odmienioną: nie wiedzieliśmy, że żyjemy w Lecie, dopóki nie nastąpiła Zima. Gdyby było to prawdą, to istniałaby nie tylko inna biologia helu, ale i inna biologia węgla lodowego: chemja organiczna zbudowana na wiązaniach C/gł - lodowe węglowodany, tłuszcze i białka - lodowe rośliny i zwierzęta - lodowi ludzie. Czy pan Busiczkin pobierał od zimowników krew? Czy spalał ją w spektroskopie? Próbował w reakcjach chemicznych? Się zawstydziło się teraz entuzjazmu okazanego przed Iertheimem. Nic dziwnego, że go pomysł nie poruszył: oni tu od lat zapewne grzebią we flakach zimowników i kombinują, jak by to człowieka bardziej na mróz odpornym uczynić. Zapisano się na odrywku papieru: *No 5: Droga Chciwości - poszedł w Mróz po tungetyt?* Ojciec trzymał przecież z zimownikami, z marcynowcami; to wszyscy potwierdzają. Pracował u Horczyńskiego, potem u Kruppa, wiedział, o co biegnie wyścig. W tysiąc dziewięćset jedenastym zabrali jego rotę na jedną z pierwszych ekspedycji w Lód; komisarz Preiss mówił, że większość z nich pomała - zaszli pewnie tak daleko, jak żaden soroka potem, izotermi się przecież przesuwały, Lód prze. Co wtedy zobaczyli? Co znaleźli? Czy dotarli do miejsca Impaktu? Kto jeszcze przeżył z tej ekspedycji? Trzeba wydobyć dokumenty z Ministerjum Zimy. Bo może rzeczywiście najprostsza Droga jest Drogą prawdziwą: poszedł w Mróz, bo skusiły go góry tungetytu; nie miał nic do stracenia, do zyskania wszystko.

Zostało się dobrze w noc - dachowały połomotali i poszli, zapadł zmierzch, pogaszono lampy w odleglejszych kątach Laboratorjum, posłało się panu Szczekielnikowowi słowo, żeby nie czekał, ale uparł się, że czekać będzie - zostało się, póki nie wyszli wszyscy oprócz Iertheima. Schowało się papiery i przybory pod blat. Z niejakim rozbawieniem skonstatowało

się barwę palców, czarnogranatowych od inkaustu. Trzeba będzie postarać się o zaręczalniki biurowe, szkoda marynarki. *Mijnheer* Iertheim wyłonił się z labiryntu szaf, już z małachajem i okularami ubranymi, w kiereji staroświeckiej. Zamachało się nań, złapało się za futro. Schodząc do wind, się zawinęło się szalem, wbiło się dłonie w rękawice. Pan Szczekielnikow obudził się, podźwignął na nogi. Klatka dźwigu była akurat na dole; stanęło się przy oknie za drzwiami szybu, chuchnęło się na tafłę śniegobarwną. Księżycowe tęcze rosły od dachów Dziurawego Pałacu, Zimny Nikołajewsk płynął w dole w jeziorach gwiazd. Inżynier szpetota stanął obok, wydobył zza pazuchy flaszunię, łyknął głęboko. Spojrzało się ponad szklami. Pokazał: mleko. Pokręciło się głową.

- Jak tam zapal młodego milionera? - odkaszlnąwszy, zachrypiał po niemiecku. - Nie ostygł aby?

- Pan ma wobec niego jakiś dług wdzięczności - rzekło się przez szal.

- Co? Nie!

Wiedział jednak dobrze, o kim mowa.

Może to Lód, a może -

- Poznał mnie pan od razu. To znaczy poznał pan jego. Nie prosiłem o pomoc, nie prosiłem o żadne wstawiennictwo u doktora Wolfke.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Mam dobre serce!

- Pan wiele myślał o Ismaelu. - Podjechała klatka dźwigu. Pan Szczekielnikow szarpnął drzwi, jedno, drugie. Wstąpiło się w mróz; żelastwo grzechotało przy każdym stąpięciu. Wszedł Holender, zamknął klatkę, przerzucił wajchę. Ruszyło. - Nauczyłem się... - Podniosło się głos ponad grzechot rytmiczny. - To są dwie strony tej samej monety: wstyd i pogarda, wdzięczność i nienawiść. - Odwróciło się wzrok na przelewającą się w ciemnych kolorach panoramę miasta przemysłowego. - Te prądy ciągną w nas skroś granic dobra i zła: najwznieślijsze intencje rodzą brudne podłości, najczarniejsze żądze pchają do aktów anielskiego miłosierdzia.

- Będzie pan mówił przeciwko moralności, to teraz bardzo modne w Europie, w Lecie.

- Moralność należy do języka międzyludzkiego, zbudowanego na słowach, czynach, ruchach materji; podczas gdy najgłębsze nasze uczucia i motywy bywają nie do opisanania dla

nas samych.

Winda uderzyła w ziemię. Szczekielnikow znowu wyszedł pierwszy. Szło się ku stacji Marmieładnicy po ścieżce z nierówno ułożonych desek. Ścieżka była tak wąska, że mieściło się na niej ramię w ramię tylko dwóch pieszych; gdy ktoś wyłaniał się z mgły z naprzeciwka, trzeba było się zatrzymywać albo schodzić w prawo. Peronu Marmieładnicy oczywiście nie było widać - należało się orjentować wedle Wież Zegarowych. Nie znało się jeszcze topografii Zimnego Nikolaiewska aż tak dobrze. Się rozejrzało się po niebie. Paliło się w Wieży Thyssena, pracowali też ludzie Pobiedonoscewa z Dozoru w Wieży Godziny Południowej.

Zwolniło się, by nie zostawić Holendra w tyle.

- Mówił pan, że nie dało się z nim żyć, że wszyscy go nienawidzili - pan też?

Inżynier przeżuwał coś długo za szalem, pod okularami czarnobarwnymi.

- Jak łatwo pan sądzisz o tych sprawach!

- Bo nauczyłem się też odróżniać prawdę słów od prawdy rzeczywistości, o której opowiadają. - Idąc, poszukało się pod futrem papierośnicy; była pusta. - To, co mówimy, to, co da się wypowiedzieć, jest pewnym znakiem prawdy, ale nie jest nigdy prawdą.

- Nigdy?

- Nigdy.

Wypuszczał przez szal obłoki gęstej pary ćmiałanej.

- Ja umieram.

- ...

- Rak mnie przeżera, panie Benedyckie. Powiadają, że pod Lodem zatrzymują się także choroby. Ale też nikt nigdy tu nie wykurował przypadłości uprzednio nabytej. Myślałem jechać do tego sanatorium na północy... Może pojedę. Nie mówię tego, żebyś mi pan współczuł. Chcę, żeby zobaczył pan rzecz w tej samej skali, co ja. Mierzymy sprawy życia wedle najcięższych tragedii, jakimi los nas dotknął. Dzieci bez troski, których najwyższym zmartwieniem jest zepsuta zabawka - nic dziwnego, że wypłakują oczy nad zupką rozlaną: zupka to już prawie pół zabawki. Ale gdy człowiek poczuje we wnętrzościach pazur Śmierci - na ile problemów pieniężnych wymierzyć Śmierć? na jakie porażki ambicjonalne? na ile kłopotów w pracy? ile miłości straconych to jedno stracone życie własne? Wszystko to

banaty, banaty, banaty, *jongeheer*.

Wsiadło się do dyrektorskiego wagonu. Iertheim, ziewnąwszy, aż mu szalik z brody zjechał, rozparł się na ławce naprzeciwko. Wyglądając przez szybę brudną, nabijał fajkę.

- Żałuje się czasu przeszłego, żałuje się niedokonanego, to tak. - Zakurzył. - Utraty przyjaciela.

- Przyjaciela? Przecie pan go nie znał wcale!

- Nie mówię, że znałem. Spotkać na świecie przyjaciela, panie Benedykcie, trudniejsza to rzecz, niż żonę dobrą znaleźć.

- Ależ pan go nawet nie lubił! Jeśli dobrze rozumiem pana słowa - kim dla pana jest Ismael - Ismael, do którego czuje się instynktowną niechęć, który odpycha jak źle obrócony magnes. A nie przyjaciel!

Aż inni pasażerowie się obejrzel, zerknął srogo Żyd pejsaty znad gazety, zmarszczył brwi czynownik mundurowy. *Mijnheer* Iertheim przyłożył do warg kaleki palec.

Parowóz zagwizdał odjazd.

- Czyżeś nigdy nie spotkał człowieka, którego nienawidzisz od pierwszego wejrzenia? - spytał cicho Holender. - Nic ci nie zrobił, nie zdążyliście się poróżnić słowem ni czynem, ale już, już jesteś pewien, że gryźć się będziecie na byle pretekst jak psy wściekle.

- Mhm, to prawda, zdarzają się -

- Jest twoim nieprzyjacielem, zanim nastąpi jakikolwiek akt wrogości. Ba, był twoim nieprzyjacielem, nim pierwszy raz ujrzeliście się na oczy, nim o sobie usłyszeliście. I nie jest to bynajmniej wrogość wobec przekonań, poglądów, narodowości, religij - ale właśnie wobec osoby, tylko wobec osoby. Pojmuje pan? - Wypuścił dech tytoniowy. - To poprzedza czyny, poprzedza rzeczy dokonane. Każdy człowiek ma setki zawziętych nieprzyjaciół, których nigdy nie spotkał i którzy nigdy się o nim nijak nie zwiedzą. Każdy człowiek ma setki przyjaciół, z których życiem los nigdy nie skrzyżował jego życia. Że ich czasem jednak spotykamy, że przypadek - jak z tej serji rzutów monetą - ciska nas niekiedy blisko siebie, to rzecz osobna. Możemy następnie postąpić tak i owak, podjąć znajomość albo się od niej odwrócić, zrealizować przyjaźń albo jej zaprzeczyć - ale w niczym nie zmieni to faktu, że człowiek spotkał przyjaciela. Nawet jeśli słowa dobrego doń nie wyrzekł. Nawet jeśli w ręce oprawców go wydał.

...Pan się spyta, dlaczego -

- Nie. Nie spytam.

- Miałem wtedy cmentarną szychtę, musiałem zachodzić do Warsztatów koło drugiej w nocy, coby kalibrować ruszty z doświadczeniami, wedle tego, jak się przesuwają luty. Więc wchodzę i widzę przez okna światło w pracowni. Kto tam siedzi o tej porze? Nasłuchuję: mowa polska chyba. Zaglądam: pan Filip Gierosławski i jakieś podejrzane typy: mordy zarośnięte, bradiagowe łachy; tylko mnie zdziwioną zrobiłem, już jeden i drugi za pazuchę sięga, broń wyciąga. Czmychnąłem. I w tydzień czy dwa potem ponownie widzę Filipa Gierosławskiego nocną porą przy Warsztatach. A co on ma tam do roboty, pytam się, co ma do roboty w Warsztatach Krjofizycznych geolog? A przypomina się stróż Fiedojczuk, biedaczysko; trudno, żeby się nie przypomniał. Poszedłem, zaraportowałem.

...Dnia następnego zaraz z rana słyszę, że pan Filip już nie stawiał się w pracy. Miał zostać zwolnionym - ale wieść poszła dlatego, że przyszli tam, do starych biur Horczyńskiego jeszcze, żandarmi wraz z ludźmi z ochrany, z papierami na Filipa Gierosławskiego.

...Nie miałem pojęcia, że on był zesłaniec, że gasudarstwiennyj priestupnik, nie wiedziałem.

- Kiedy to się stało?

- Jakoś na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewiętnastego. - Pyknął z fajeczki. - W marcu? W kwietniu?

- A gdzie te biura Horczyńskiego się mieściły?

- Mhm, nie pamiętam adresu. To ważne?

- Może tam co po fatrze zostało.

Skinał głową.

- Jutro dam panu adres i list polecający wypiszę, jakby było trzeba.

Wysiadłszy na peronie w Irkucku, wyciągnął dłoń trójpalcą, jeszcze nagą od rękawicy. Uścisnęło się ją bez wahania, to znaczy także bez myśli jakiegokolwiek; uścisnęło się ją, ponieważ tak zamarzyły po obu stronach równania charakteru.

Nazajutrz się zwolniło się z pracy wcześniej; było się umówionym z panem Pocięglą na z dawną odkładaną rozmowę. Zaprosił do siebie, do domu, miał mieszkanie w Zaulku Teatralnym, opodal rezydencji generała-majora Kuliga. Na schodach się minęło się z

zasiedateliem i nadzirateliem w szynelach mundurowych. Pan Szczekielnikow odprowadzał ich spojrzeniem jak dwururką nabitą. - Sami idą, nie aresztowali - rzekł. - Znaczy: ostawili w spokoju. Uważaj pan na ptaszka takiego! - To bogaty człowiek jest, bogaty i ustosunkowany. - Na co Szczekielnikow przeżegnał się tylko, raz i dwa i trzy.

Stareńki lokaj poprowadził do gabinetu. Pan Porfiry był w satynowej kamizelce jasnożółtej, właśnie na koszuli świeżej zapinanej; pokojowiec wiązał mu krawat i spinki tungetytowe w mankiety wsadzał - w czym bardzo był powolnym i niezręcznym, jako że pan dyrektor wciąż mu się wyrywał, nad biurkiem pochylał, za pióro łąpał, papierami i gazetami szastał, dokumenta urzędowe do światła podnosił i klątwy im w twarz białotramentową ciskał niczym Hamlet nad grobem do czerepu trupiego przemawiający. Wszedłszy, ściągnąwszy szapkę i marostiokła, zastało się pana Pocięglę w takiej właśnie pozie z piórem wielokartkowym, pieczętiami potężnymi obznaczonym, zezującego z kanciastych oczodołów na zgiętego mu pod bokiem wpół i wskos pokojowego.

- A weździesz to scepnij wreszcie!

- Łełlosszy łan mły nłe łoławława! - Drugą spinkę trzymał pokojowiec w zębach.

- Gdzie z temi paluchami! A, pan Gierosławski! Przekleństwo ciąży nad nami, panie Benedykcie, nie inaczej: muszę pędzić do Cytadeli, kłaniać się towarzystwu i bumażniki czynownikom mościć.

- Dziesięć minut?

- Dziesięć minut, dziesięć minut. - Zerknął na zegar. - Paszo! - Palnął papierami w grzbiet sługi i wysłał go za drzwi. - Nu, dawaj. Panna Jelena?

- Nie panna Jelena. - Się obróciło się, gdzie by tu usiąść, ale nie było w gabinecie mebla stosownego. A gospodarz stał. Mówiło się więc stojąc, w szubie, z czapą ośnieżoną w jednej ręce, z okularami w drugiej. - Proszę nie zaprzeczać, dopóki mnie pan nie wysłucha. Macie ludzi w Ameryce. Macie ludzi u Harrimana; musicie mieć. Musicie mieć umowę z Harrimanem, tak samo wam zależy na przyłączeniu Syberji do Ameryki Koleją Dookołaświatową. To jest sprawa rewolucyjna, bez Odwilży skończycie jak wszyscy abłaśtnicy przedtem; Szulc już przykręcił śrubę. Toteż myślę, że macie także strategie awaryjne: ucieczkę na wschód przez Pacyfik. Są ludzie umówieni, tu i tam, jest transport, są plany. Tak myślę. Inaczej... nie kalkulowałoby się. Więc - więc -

- Tak?



- Pieniądze? Nie mogę panu zaoferować sumy, która by wiele dla pana znaczyła. Nie ma pan wobec mnie żadnych zobowiązań -

Pan Pocięgło cisnął papiery na biurko, skoczył do drzwi, szarpnął klamkę, wyjrzał na korytarz. Nikogo.

- Wyjdźmy - rzekł sucho.

Wdział surdut, już na progu lokaj podał mu futro i uszankę sobolową. Na schodach Porfiry obwijał się długo szalem białym, we wzory szrone haftowanym. Puściło się Szczekielnikowa przodem. Pan Pocięgło zatrzymał się w bramie, pod załomem od śniegu i wiatru osłaniającym; reny przy nagotowanych saniach dzwoniły janczarkami, migotały lampy rozkołysane. Mgła dusiła chrzest kroków przechodniów.

- Pan i pana fater, tak?

- Dwie osoby.

- Ale on będzie człowiek normalny, rozumiem.

- Znaczący, odmrożony.

- Odmrożony. - Pocięgło mlasnął przeciągle, świciecie błysnęły mu pod brwiami. - Odmrożony.

- Wsiądźcie na statek, między ludzi. Inaczej - w ogóle nie miałyby to sensu. Odmrożony, panie Porfiry.

- Papiery?

- Bez papierów. Falszywe, jeśli możecie.

- O wiele pan prosi.

- Wiem. I -

- Panna Jelena -

- To nie jest targ za panną Jelenę! - warknęło się z nagłą. Naciągnęło się czapkę i okulary, machnęło się na Szczekielnikowa. - Podaj pan cenę.

- Dobrze. Skoro mamy iść dla pana na taki hazard polityczny... - Stuknął laseczką w lód. - Cena jest polityczna. Pan zresztą zna cenę. Wypowiedziałem ją chyba już w Ekspresie; w każdym razie mówiliśmy o tym u Vittela.

Kaszlnęło się głucho.

- Ja nie wiem, czy on mnie posłucha. Nie wiem, czy lute posłuchają jego Czy w ogóle go usłyszą odmrożonego. Jak by to przeprowadzić można: najpierw niech z nimi gada, potem z Lodu go wyrwać? Ojciec Mróz albo nit Ojciec Mróz. Tem bardziej nie wiem, czy Historja słucha się lutech. A nawet jeśli. Historja - to idzie jeszcze wolniej od mas glacialnych. Miną lata, najmniej miesiące, zanim się okaże, czy się wywiązałem. Nie możemy czekać w porcie.

- Zdejm pan szkła. Da mi pan słowo.

Podniosło się marostiokła na czoło.

- Słowo Benedykta Gierosławskiego: wasza Historja za bezpieczną ucieczką z ojcem.

Powtórnie stuknął zimnazowem okuciem laski w lód.

- Zamarzło.

Odwrócił się, wskoczył do sań, gwizdnął na woźnicę, woźnica strzelił z bata, zaprzęg reniferów zadzwonił, zachrząścił, pociągnął i rozpląnął się we mgle.

Maszerując pośpiesznie pod adres podany przez inżyniera Iertheima (mrozy srożały z każdym dniem), do rytmu głośniejszej zadyszki obracało się w głowie myśl jedną: zali było to oszustwo?

Zrozumiało się, że oszukuje się tu wszystkich, od początku, mimo wszelkich zakłęb prawdy i intencji szczerych. Nie w tym sprawa, że zamiaruje się złamać słowo dane panu Porfiremu - bo nie. Ale może zaraz zamiar taki powstanie; może zaraz wszystko się odwróci - prawda zamiast prawdy - i równie szczerze zaplanuje się kłamstwo jakieś wielkie.

Zamarzło - lecz odmarza co rano pod pompą Kotarbińskiego u Tesli. Dało się słowo i może się go dotrzyma - ale może nie. Może nie. W Lecie nie dojrzałoby się w tym żadnego oszustwa, bo tam o nikim nic nie sposób rzec z pewnością jedynoprawdy, i każdy mieszkaniec Lata dobrze to wie. Lecz tu - patrzą i widzą: lutowczyk. Patrzą i widzą: a, taki to człowiek! C, więc D, więc E, więc F.  $2 + 2 = 4$ .

Oszustwo nie jest w żadnym czynie dokonanym; oszustwo jest w możli - wości. Nawet jeśli do końca się trzymać się będzie tej samej prawdy - popełniło się oszustwo, bo mogło się jej nie trzymać, mogło się jej zaprzeczyć. Nadal się może. Maszyny doktora Tesli czekają.

Szczekielnikow oglądał się bez przerwy za siebie, jakby rzeczywiście potrafił co w tej mgle śmietanowej dostrzec. Poganiało się go gestem, nie tracąc tchu na krzyki. Zamarzały drogi oddechowe, mróz parł przez szal we wpółotwarte usta. Obrazy płynobarwne bełtały

kszałty mgły i brył budynków, światła z ich okien wysokich i latarni; łatwo się zgubić w takim mieście, jednak żaden lutowczyk się nie gubi. Przystawało się, czekało się cierpliwie na Szczekielnikowa. Pożałowało się skapstwa: należało było nająć sanie. Przechodnie poruszali się charakterystycznym półtruchtem, rozkołysani, na nogach prawie sztywnych, krótkie kroki stawiający. Czasami wpieryw słycać było ich stąpnienia chrzęstliwe, łamiące gruzły firnu i lodu, zanim wyłonił się z kłębów tęczowych ludzki kontur dziwnobarwny.

Stare biura Horczyńskiego mieściły się w budynku poprogimnazjalnym przecznice na południe od zakola Angary, pod dzielnicę Znamienskoje. Solidne, murowane progimnazjum przetrwało Wielki Pożar; tyle co nowy dach położono. Niska architektura pochodząca sprzed czasów Lodu powodowała, że za tę nienajgorszą przecież lokację Horczyński płacił czynsz ledwie symboliczny. Szukał grosza, gdzie mógł. Teraz dwóch niższych kondygnacyj nie wynajmował chyba nikt - kiedy się spytało stróża, dziadka na tyle stron przemarzniętego, że z bliznami czerwonymi na bliznach białych, tylko wzruszył ramionami. Pomyślało się, że może on na dodatek niemota; ale pan Szczekielnikow mruknał mu coś na ucho i dziadek poprosił do pieca w izbie parterowej, odwinął szmaty ze łba, ukazując teraz coś więcej poza licami obliźnionymi, mianowicie oko jedno ślepe, przymarznęte powieką do strupa ropnego, i ucho jak strzęp flanelowy, na siwy zarost oklapły. Pan Szczekielnikow poczęstował dziadka machorką; ot i najlepszy tu list polecający. Dziadek odwdzięczył się, dobywając zza barłogu na piecu rozłożonego butelczynę samogonu. Pokazało się Czyngisowi, aby czynił honory. Przepili raz i drugi. Dziadek rozdziawił dziaśła bezzębne i rozsunął opowieść rzewną, rosyjską o bogactwie i upadku pana złotego Augusta Rajmundowicza Horczyńskiego z Wielkiej Ziemi. Za zabitemi dechami oknami wył wiatr od Angary i Uszakówki. Świecienie obracały się w gębie starca jak robaki świętojańskie w dziupli zapróchłej. Zapytało się go, czy został tu kto ze starych pracowników Horczyńskiego. A gdzie tam! Wszystkich wywiało! Zapytało się go, czy w takim razie pamięta, gdzie ludzie pana Horczyńskiego urzędowali. Co miałyby nie pamiętać! A jakże, pamięta! Zapytało się go, czy pomni geologa jednego, inżyniera Gierosławskiego, tak a tak wyglądającego. Ano, był tu taki. Pokażecie, gdzie ów rabotał? Zostało co w ogóle po Horczyńskim i Rudach? Tego ja nie wiem, rzecz dzieadulo, oni siedzieli na górze samej, gdzie tera kancelaryje jakoweś i biura arszyn po arszynie wynajmowane. Jak co zostało, to znieśli pewnie niżej. Błysnęło się srebrnym rublem. Stróż wysupłał spod kozucha pęk kluczy. Panowie wezmą łampoczki, tam wszędzie ciemno, zimno i straszno. Szczekielnikow zapalił dwie stare latarnie naftowe z górnym uchwytem, żółty, woskowy blask rozpełzł się po graciarni stróża. Ciemno, zimno, straszno - snuł zaśpiewkę-

zastrachkę horror-dziadunio - słyszą Wasze Wielmożności, słyszą? Nadstawcie ucha! (Błrumm, błrummm, błrumm, błrummm). Zawsze są blisko! Siedemnaście razy już odtedy mroźnik przez gmach progimnazjum przechodził. Nocą, jak głowę złożę na piecu, słyszę je przez drzenie kafli: tupot mamutów dzikich pod piwnicami.

Się wspięło się na piętro. Stróż otworzył drzwi na korytarz. Wszędzie leżała śnieżna zmarzlina i lód ciemny. Pogiete, popękane meble, drzwi wypchnięte z wypaczonych futryn, parkiety sfalowane i roztrzaskane od dołu jak po przejściu unoszącej cegły fali, na tym wszystkim sprzęty drobniejsze poprzymarzane w dziwnych konfiguracjach - na co padło światło naftowe, drzące, to ożywało w tunelu rzeźby poglacialnej, niby w jelicie soplicowa jak z opowieści pana Korzyńskiego, które wchłonęło i przetrawiło w lodzie tysiąc przedmiotów ludzkiej pracy, owoców życia ludzkiego. Korytarz był wąski, niski, obmarzlina nawarstwiała się tu latami, rosła niczym naciek solny. Zaczepiło się rękawem o sopel wykrecony - pazur łapy jaszczurczej ze ściany wypchniętej. Się musiało się podpierać o te ściany, buty ślizgały się, stopy zjeżdżały z krzywizny, coś łamało się i pękało pod nimi z głuchym chrobotem - kości lodowe. Dziadunio wskazywał drogę. Na wzmrożonym w sufit potrójnym wieszaku wisiały fartuchy biurowe rozmarznięte w krzyż. Spuchnięte kamiennym śniegiem biurko wyczołgało się na próg gabinetu i tu zdechło. Dywan stalagmitami poprzekłuwany zebrał się w sobie i strzelił falistym garbem do klamki drzwi w granit zalodzonych; nie sięgnął, lód złamał mu jęzor. Dwa regały kancelaryjne zwały się zgodnie, obrzygując się wzajem tomami akt, które zamarzyły tak między nimi w podwójnej strudze, na dole czarna skóra ciężkich opraw, na górze piana stronic obnażonych. Zegar o cyferblacie z kręgu zodiakalnego zapadł się w szczelinę w murze, wystawały Byk i Baran i Ryby, wskazówka pokazywała okno wybite, za którym tuman mgły tęczowej nawijał się powoli na drzewce marostiekłowej latarni. Stróż otworzył kolejne drzwi. W bezokiennym składzie na końcu korytarza zamarzyły geometryczne piramidy paczek powiązanych zielonym szpagatem. Każda paczka to pół puda papierzysk mrozem spieczonych. Dziadek przyświecił bliżej, zdrapał szron z jednej, drugiej, trzeciej tekturowej okładki, dostrzegł pieczęć z cyrylicą. - Rudy Horczyńskiego.

Się zabrało się za rozkuwanie papierzysk. Z odłamanego ramienia kandelabru pan Szczekielnikow sporządził sobie prowizoryczny kilof, którym kuł złożę archiwalne. Fedrowało się w tempie sześciu ryz na kwadrans. Dozorca przytargał kosz węglowy, nad którym roztapiało się co bardziej obiecujące akta. Kartki rozlatywały się jak płatki niedopieczonego ciasta; grube rękawice nie pozwalały na delikatne operacje, a zzuć je z dłoni

- palce szybko drętwieją od dotyku bumag lędowych. Dziadunio usłownie przyświecał, zaglądając przytem przez ramię. Tak odczytywało się pamiętniki buchalteryjne umarłego przedsiębiorstwa.

Pierwszy raz trafiło się na nazwisko „Gierosławski” w raporcie geologicznym datowanym na lipiec tysiąc dziewięćset osiemnastego. Był to odpis odpowiedzi na jakieś memorandum wystosowane do władz spółki przez inżyniera F. Gierosławskiego. Odpowiedź na nie przyszła odmowna. Odłożyło się papier, żeby zamarzał z powrotem, z datą i sygnaturą na wierzchu. Niedługo potem Szczekielnikow wyfedrował teczkę oryginalnych pism działu soroczego Rud. Roztapiało się dokumenta wstecz po datach; lata i miesiące rozłaziły się pod rękawicą w miazgę ciepłą, aforemną. Tysiąc dziewięćset osiemnasty, maj: inżynier Gierosławski wrócił z ekspedycji geologicznej do Nikołajewskiego Zawoda w powiecie niżnieudińskim gubernatorstwa irkuckiego, tabele mineralogiczne pełne są zestawień procentowych syderytu (gęste rudy ponadtrzydziestoprocentowe podkreślone ręką inżyniera Gierosławskiego), pisze się o krzemianach, rudach utlenianych, siarczkach, trappach porfirytowych. Następny raport: o prawdopodobieństwie znalezienia złota. Kwarc, kalcyt, syderyt, piryt, błyszczolów. Wyprawy dookołabajkalskie. Potem znowu nic: grube woluminy jałowej księgowości i umów dostawczych. Zaplątał się nawet pozew cywilny w sprawie *zastraszania tubylczej siły roboczej* (chodziło o terror szamański na Drogach Mamutów).

W trzeciej godzinie pan Szczekielnikow wyfedrował teczkę korespondencyj wewnątrznych między kierownikiem Działu Geologicznego Rud, niejakiem Kalouskiem, a prezesem Horczyńskim. Górne i dolne fragmenty kart zalodziały do reszty, rozpadając się po odmrożeniu w szron-błoto, nie sposób więc było odczytać dat ani sygnatur tych pism. Niekiedy miało się wątpliwość, czy rzeczywiście nadal to Kalousek pisze, czy też cytuje fatra, a może samego fatra to pismo. Nie pamiętało się zupełnie kształtu liter ojcowych. Zresztą już treść trzeciego pisma zmroziła umysł - z głową w chmurze węglowej czytało się pośpiesznie rękopisy topniejące, a po przeczytaniu co drugi rozpływał się w miazgę i leciał strugą brudną w ogień.

Pisał Kalousek lub ojciec o projektach wydobywania z głębokiej Zimy nieruszonych pokładów tungetytu dzięki zatrudnieniu zimowników *mrozem utuczonych*. Inżynier (Gierosławski?) oferował się przeprowadzić eksperymentu na ochotnikach *motywowanych wierzeniami religijnymi*, które to eksperymentu miałyby uodpornić ich na mróz, pozwalając na kilkunastodniowe wypady poza Ostatnią Izotermę. Odlepiło się kartkę od kartki; na odwrocie pismo było nieczytelne. Strona następna zawierała odręczny szkic urządzenia

podobnego do strzykawki tudzież tłoka lewatywowego. Niżej znajdował się schemat anatomiczny krwiobiegu ręki lub nogi lub zgoła układu trawiennego - bezskutecznie próbowało się przywołać wspomnienia analogicznych rycin z książek Zygi - schemat opatrzoney legendą wymieniającą między innymi *tungeccinum*, *żyłę mroźną*, *lodowód*. Skóra paliła pod szalem, z trudem się powstrzymywało się od kaszlu w przyśpieszonym oddechu. Posługując się drzazgą osmaloną, odklejało się kartę od karty. (Błrumm, błrummm, błrumm, błrummm). Prezes Horczyński: obecna sytuacja firmy nie pozwala zaangażować się w tak kosztowne i czasochłonne przedsięwzięcia. Aczkolwiek doceniamy intencje i pomysłu naszego pracowników, *et cetera, et cetera*. Wróciło się do owej ryciny - zachować ją za wszelką cenę! Rozpadała się już na włókna, pasemka, placki rozmiękłe, atrament nikał niczym śnieg topiony. Rzuciło się kartę na lód z dala od ognia. Na próżno: co przeczytane, co ujrzone, co doświadczone - nie istnieje, nie ma prawa istnieć inaczej jak w pamięci. Nit będzie materialnych dowodów; cała przeszłość to królestwo prawdopodobieństwa, Lód nie sięga poza tu i teraz. Może ojciec to pisał, może nie, może istniał, może nie.

Błrumm, błrummm, krup-drup, Szczekielnikow kuł, straszny dziadunio przyświecał: Kalousek albo nie Kalousek prosi o dostęp do opracowań orograficznych Karola Bohdanowicza, zdeponowanych w archiwach Sibirchożeta nie ma odpowiedzi. Inżynier F. G. poświęcił sześć dni roboczych na inspekcję nieczynnego systemu kanalizacyjnego Irkucka. Oto podanie o zatwierdzenie projektu wyprawy hydrograficznej na północ wododziału bajkalskiego. Otc odpowiedź na pismo, którego w pliku nie ma: w związku z przesądzoną sprzedażą przedsiębiorstwa i przyłączeniem go do koncernu Kruppa, wszelkie fundusze przeznaczone na meteorologiczne i geologiczne badania pod kierownictwem inżyniera Gierosławskiego zostają zamrożone. „Meteorologiczne”? Kalousek, trzeba koniecznie znaleźć tego Kalouska, pogadać z nim, Kosztorys podpisany przez - och, zachował się podpis, na lód z nim! - przez Filipa Gierosławskiego, zawijasem ostrym, ukośnym. Lista obejmuje: sześć zaprzęgów reniferowych, prowiant dla ludzi i zwierząt, wynagrodzenie dla tubylców, w tym stawki dla tropicieli tunguskich i przewodników po Drogach Mamutów, a także bardzo drogi sprzęt wiertniczy, wiertła rurowe, kilkadziesiąt arsyzynów zimnaza specjalistycznego, termometry ebonitowe w metalowych łuskach, na siedem arsyzynów długie, termometry łamane Sawinowa, dynamit (dwie skrzynki), sprzęt załatniczkowy i soroczy, trzy jurty izolacyjne, tuzin butli nafty... Kosztorys został przekreślony, a skreślenie parafował niejaki „H. K.”. Kalousek? Może w piśmie następnym -

Ruch kształtu ciemnego zamącił cienie w głębi korytarza i wyłoniła się sylweta zmiędzy

rzeźb brudnego lodu - się poderwało się, teczkę w żar upuszczając - to zażywny wąsacz w futrze niedopiętym, laską na boki postukujący, wraził twarz zdumioną w krąg żółtego światła. - Co tu? Włóczędzy jacyś albo złodzieje, myślałem. Panowie, na miłość boską...! - Już, już zamykam - pośpieszył z zapewnieniem dziadunio. - Ile tam jeszcze? - spytało się Szczekielnikowa. Wskazał kilofem kandelabrowym: dziesięć paczek najmniej. Pośle się go jutro, żeby wyniósł je w całości, nie rozmrażając; może znajdzie się tam co więcej o losie ojca w Rudach Horczyńskiego. Drugi rubelek w rękę dziadka, nie będzie oponował. Wsunęło się te kilka ocalonych od ciepła kartek w okładki tekturowe, zstąpiło się z łupem pod pachą po schodach ciemnych, na ulicę mgłą tęczobarwną wypchaną, nogi same pośpieszały do rytmu rozgorączkowanych myśli, prawie się pędziło, z głową bykiem przeciwko światu nastawioną, dłońmi w pięści futrzane zwiniętymi -

Wyskoczył z tej mgły jak duch topielca z toni bagiennej, od razu sięgając ramieniem brudnym i oczy nagie z oblicza czerwonego wytrzeszczając, a barwy skóry przepływały mu ze skóry na odzienie bradiagowe, a barwy odzienia przepływały mu z odzienia na opar dookolny, a barwa oparu przepływała z oparu na jego skórę: duch, upiór, bladawiec zimny. Złapał za łokieć i zionął (a mówił po polsku):

- On diemon Lda! Uciekaj! Ojca wam pożarł! Polskę pożre! Nie wierz Staremu! Nie -

Łup, mgła zdzieliła go przez kark gazrurką krzywą i zwałił się bladawiec na ziemię, to jest na lód, przestrogi swej nie kończąc. Odskoczyło się pod ścianę, rękawice grube, bulwiaste znowu nie mogły nadażyć z rozpinaniem futra, ażeby dostać się do zawiniątka z Grossmajsterem pod nim - zanim duch drugi, za gazrurką z mgły występujący, odemgli się do reszty i przybierze kolory materji, materją twardą czaszkę roztrzaska. On: maska włóczkowo-marostieklowa pod czapą niedźwiedzią, szynel z wyłogami, buciory wojłokowe skórą wyżej kolan obwijane, chłop zwalisty, oddechem émietlistym przez maskę pluający, świecień srogi za nim na tumanie tęczy.

Postąpił krok jeden i drugi - uciekać, nogi nie uciekają, strzelać, Arcymistrz w szmaty zaplątany - postąpił krok trzeci i wtenczas łapsko kwadratowe mignęło gdzieś na wysokości jego ucha i zalał się chłop krwią spod brody jak świniak zarzynany, i zwałił się chłop na ziemię, to jest na lód, jak świnia zarżnięty. Płuk, stuknęła rurka żeliwna. Pan Szczekielnikow ciepnął bagnetem o cholewę, ostrze zamigotało motyło.

- Pod latarnią zdechnie, djabłu nie ucieknie. Szanowny pan bierze dupę w troki, muszę pajaca uprzątnąć, zanim fest przymarznie.

- Ale!

- No już!

- A ten drugi?

- E tam, dycha. A co, dobić?

- Kto to w ogóle jest?!

- A to dobrodziej ich nie zna? Toż mówił ja, że śledzą. Nu, idi, idi. Tam poczeka - widzi te światła? Traktiernia jakaś czy kabak. Siedzieć nad wódką, nie schodzić ludziom z oczu. Będę, jak się uwinę. Nu!

Potruchtało się ku błękitnobarwnym okienkom knajpy. Dopiero otrzepując się ze śniegu w sieni, spostrzegło się brak teczki z dokumentami z archiwum Rud Horczyńskiego: upuszczona, została gdzieś przy trupie. Wracać po nią - gdzie tam! Siadło się przy piecu w kącie najdalszym, łyknęło się jeden, drugi kieliszek, i dopiero ręka drżeć przestała, zaciśnięta na szyjce grafina z nikolajewką. Pan Szczekielnikow miał rację, to uspokaja: gwar ludzki i ta szczególna duchota knajp rosyjskich, wrażenie ciasnoty i bliskości bliźniego, nawet gdy izba półpusta i drzwi na rozcież otwarte. A tu wewnątrz rozgrzane pozostaje szczelnie zamkniętem wobec mrozów i zawieji na zewnątrz, tylko przez malutkie okna w ścianach niewysokich widać mgłę śnieżną. Powąła wisi nisko, niżej nawet od nieba azjatyckiego. Człowiek przykleja się do człowieka.

Z wysiłkiem odwróciło się myśli od napadu. Trzeci kieliszek roztopił lód w kościach. U-uch. Rozparłszy się na ławie, przymknęło się oczy. A zatem - a zatem - a zatem naprawdę idzie się po ojcowych Drogach Mamutów. Aż strach, jak blisko za nim. Jeszcze kilka miesięcy u Kruppa i pewnie rozpisałoby się co do szczegółu identyczne projekta wydobywania tungetytu z serca Zimy. Jedna przewaga wynika z oszustwa: ojciec nie dysponował pompą Kotarbińskiego, niełatwo mu było zejść na ścieżki mniej oczywiste. Musiał dochodzić do wszystkiego z mozołem, etapami, domysł po domyśle, eksperyment po eksperymentcie, wąską ścieżką konieczności logicznych. Czy on rzeczywiście szprycował zimowników jakąś czarną chemią? Czy którykolwiek z koncernów zimnazowych podjął już takie badania? Jak się tego dowiedzieć? Przecie to właśnie byłaby ich tajemnica największa.

...Z drugiej strony więc. W czim dzieło z meteorologią? Geologia, hydrografia, meteorologia. Może coś *à propos* hipotezy bajkalskiej: umarli spływający pod lód Bajkała, spływający tungetyt - ale jak spływa, skoro wszystko tu już zamrożone? Mhm, lecz czy



istotnie zamrzło wszystko? Co mówił profesor Jurkat o trudnościach z biciem studni przez wieczną marzłość...? A badania Busiczki - pomyślmy - jeśli tungetyt istotnie jest pierwiastkiem, to nie traci właściwości tungetytowych po spaleniu, utlenieniu, rozpuszczeniu, syntezie czy jakiegokolwiek innej obróbce chemicznej jego związków - na końcu zawsze to znowu jest atom i atom tungetytu. Podobnie może wyglądać sprawa z wszelkimi cząsteczkami zimnazowemi. Weźmy te wielkie pożary tajgi, te potopy ognia i dymu idące tysiącami wiorst przez Syberję - widziało się taką ścianę żywiołu. Prawda, jeszcze poza granicami Kraju Lutych. Ale to wszystko krąży, zawraca, nie umyka w kosmos; meteorologia, hydrologia i geologia tworzą zamknięty obieg. Czy po Impakcie nie płonęły tam lasy? A Wielki Pożar Irkucka? Zresztą teraz dzieje się to chyba na nawet większą skalę. Przypomniały się dymy przemysłowe nad Zimnym Nikołajewskiem. I Cziornoje Sijanije - Cziornoje Sijanije też przecie prawom mechaniki atmosferycznej podlegające. Są takie hipotezy w niemieckich pismach czarnofizycznych: o ćmiatle wzbudzanem energią elektromagnetyczną lub wyładowaniami elektrycznymi na lotnych związkach tungetytu uciekającego w niebo nad Krajem Lutych. Kanieszna, nie znając prac doktora Tesli, nie wiedzą, że nie tylko ćmiatło się tym sposobem budzi. Potem pospółstwo kryje się pod marostiokłami, Szczekielnikowy pluja przez ramię, a ksiądz Rózga grzmi z ambony o omamach szatańskich. Bo jak żyć na co dzień w tych świeceniach potężnych, pod ćmiatłem dzikiem bijącym z nieboskłonu z siłą burzy piorunowej, jak żyć w nieustannym seansie wróżebnym? A tu jeszcze - ludzie palą ćmieczi, zażywają tabaki tungetytowej, łykają proszki czarnoapteczne, opjum czarne wdychają; żyją pośród zimnaza, na zimnazie, w zimnazie. To wchodzi do ich organizmów; nie zdają sobie z tego sprawy, nie myślą o tym, ale wchodzi. Kanalizacja! Się uśmiechnęło się w duchu. O to mu szło! Bo przecież resztki są wydalane, i spływa to razem z innymi nieczystościami do ziemi, i wchodzi w sieć cieków wodnych - jeśli nie zamrzniętych. Skupiska ludzkie to naturalne kolektory tungetytu. Przypomniał się sen z dymu szamana poczęty. Zimne żelazo sunie rzekami czarnymi do Podziemnego Świata.

...Ale Drogi Filipa Gierosławskiego prowadzą jeszcze dalej. Tu oszukuje się za pomocą pompy Kotarbińskiego, lecz ojciec miał podstawową przewagę wynikającą z udziału w owej ekspedycji, która podeszła tak blisko miejsca Impaktu, jak żadna potem. Pewne rzeczy brał za pewniki, nie musiał się domyślać, nie musiał zakładać hipotez. Po dziesięciu latach zostaje ułaskawiony z prikazem osiedlenia na Syberji. Nie pisze do domu. Mieszka u szewca-kamrata w dziurze lodowatej. Najmuje się do kompanji zimnazowej. Płodzi bękart. Brata się z marcynowcami, zimownikami od choładnic. Wchodzi w konszachty z piłsudczykami - albo

też piłsudczycy konszachtuja z nim. Planuje geologiczne badania spływów tungetytu, próby ludzkie czarnej biologii. Ale. Umiera mu nowonarodzona córka. Iertheim nasyła na niego ochronę. I ojciec ucieka. Dokąd? Od razu na północ? Niewiele miesięcy później krążą tu już opowieści o Batuszce Marozie. Pono prowadzi wioski całe na samozmrożenia. Pielgrzymuje latami po krainach Lodu, wracając wciąż nad Podkamienną Tunguzką, jak wynika z raportów Ministerjum Zimy. Rozmawia z lutymi.

...Ale! Ale! Jeśli naprawdę rozmawia z lutymi - jeśli go do tego ktoś nakłonił - zdesperowanego, zrozpaczonego po drugiej śmierci Emilki, zaszcutego nową nagonką policyjną, pod strachem powrotu na katorgę - ktoś: Marcyn, marcynowcy, Piłsudski, pepeesowcy z FR-u czy z „młodych” - żeby wszedł na Drogi Mamutów, przemówił do lutech o Historję taką a taką - jeśli... to dlaczego Historja się nie zmieniła? Minęło pięć lat. Lód idzie przez świat, jak szedł. Wyznawcy Marcyna cierpią ucisk, jak cierpieli. Polski nadal nie widać na horyzoncie. Car siedzi mocno w siodle. Ba, ma się jeszcze lepiej: pokój z Japonją uwolni mu wojska, pozwoli Struwowi na podmurowanie gospodarki reformami bardziej kosztownymi. Więc co? Ojcowy plan zawiódł? Lute go nie słuchają? Same mają inne plany? A może to ojciec po zejściu do Podziemnego Świata zmienił zdanie?

...Czy nie z tego właśnie powodu pepeesowcy warszawscy ślą do niego zaszyfrowane listy przez syna wątpliwego?

- On to, on!

Się wzdrygnęło się, rozbudzony. Któż to się dosiadł do stołu, kto się nachyla przez blat i zionie oddechem wódczanym, gorącym prosto w twarz? Jedyiny i niepowtarzalny Filimon Romanowicz Ziejcow!

- Siedzę i patrzę i myślę sobie: on, nie on, on, nie on - ale on, on! Jeny ta broda, i cößeście z włosami zrobili, a cień ponury, lodowy nad wami; musiałem się przekonać. A to nawet nie Zorzy Czarnych pora!

- Dajcie spokój, Ziejcow - westchnęło się. - Nie mam nastroju.

Już się przykleił, na nic protesty.

- Troski w wódce utopić, po co człowiek do szynku zachodzi, po to, na ziemi szczęścia i sprawiedliwości podobne przybytki zioną pustką; a jeszcze w Kraju Lutych, gdzie pijak i największy nie zapomni się nigdy do końca i sobie nie zaprzeczy, po co pić - na znieczulenie, na smutek, na rozpacz bolesną, i po to jeszcze może, iżby braci w grzechu mniej ohydnyymi w

oczach własnych na czas opilstwa uczynić, jako i sami się sobie bardziej wtedy podobamy - jacy zabawni! jacy mądrzy! jacy piękni! Któż się oprze - krasawica żadna. A, woda szatana! Woda kłamstwa! Ogień w trzewiach przeciwko mrozowi! Ale łeb zmrożony nie zapomina, nie zapomina!

Co jęknąwszy, nalał sobie szklanicę pełną, a chlupnąwszy wódkę w gardziół niby limonjadę, zakrzyknął o nową flaszkę.

- No już, Filimon Romanowicz, już, już, czego to znowu zapomnieć nie możecie? Nie spodziewałem się was jeszcze zobaczyć, mieliście przecie od razu wywieźć stąd mistrza swojego, Aczuchowa, nie?

- Siergiej Andriejewicz - nu! - Poderwał się. - Tak, widzę, że palec Boży - musicie pójść ze mną!

- Co?

- Opowiadałem mu o was, o Ojcu Mrozie, dopytywał się. Poznam was - prędzej! nie ma czasu! Nie mówiłem wam? On umiera!

- On umiera, a wy tu pałę zalewacie?

- Robak, robak nędzny, wiem. Prędzej!

I szarpać począł za ramię, za kołnierz, pod łokieć brać i ciągnąć, karafkę z dłoni wrywać - aż mu na bark spadła łapa geometryczna, ciężka i przysiadł Ziejcow jak pies skarcony.

- Ładnie to tak, przypierdalać się do człowieka kulturalnie pijącego?

Machnęło się.

- Zostawcie. Stary znajomy.

Pan Szczekielnikow trzepnął papachą.

- No patrzajcie! Znajomy! - Teraz on złapał, pociągnął. Odstąpiło się za piec. Ziejcow wystawił głowę zza kaffli. Szczekielnikow nachylił się do ucha. - Co to za przypadki-wypadki dzisiaj wieczorem! Gaspadin jest pewien, że tamtego na ulicy nie zna w ogóle?

- A bo ja wiem! Gęba pod maską, słowa nie wyrzekł, a po posturze tylko sądząc, to -

- Nie ten! - syknął Czyngis. - Tamten żywy!

- Bo co?

- Wiedział, co mu grozi. Mhm. - Podrapał się Szczekielnikow w grdykę. - Coś tam

napłótl, zanimem go pogonił.

- Gadał pan z nim?

- Mhm. Że pchał się na Cwietistą. Riebiata go odpędzili. Że słał listy do was. Dostaliście?

Zrobiło się niepewną minę.

- Było tego trochę, głupoty różne.

- I że nie mógł inaczej, bo od tygodni zawsze łązi za wami ten czy inny japończyk.

- Znaczy, ten ubity -

- Ano właśnie. To jakieś wasze polskie awantury, co?

Szczekielnikow błądził wzrokiem po powale. Przyglądało się mu spode łba. Jedyne to podejrzenie, przed którym nie uchroni mistrz podejrzeń: wobec niego samego. Przecież Czyngisowi Szczekielnikowowi płaci Wojsław Wielicki; dla Wojsława Wielickiego jego lojalność. Lojalność! To prawda, że w Kraju Bajkalskim życie człowieka tanie jest bardzo, i że Czyngis jest warwar z krwi i z doświadczenia - ale przecież chyba nie dla tych paru rubli wynagrodzenia ryzykuje głową, dopuszczając się mordu na ulicy, mgłą tylko kryty? Co takiego wiąże go z Wielickim? Jakie dokładnie polecenia otrzymał? Ile wie? Przypomniała się rozmowa z panem Wojsławem o Piłsudskim i jego terrorystach. Pan Wojsław może jest dobry człowiek, ale dobrzy ludzie też mają swoje interesy. Któż wie, co za plan sekretny uknuł z serdeczności swojej.

- Mhm. Bo uciekł mi pan z oczu na moment i on już myślał dopaść pana we mgle. Zanim ten japończyk by się spostrzegł.

- Wojna frakcyjna w Polskiej Partji Socjalistycznej, jak sędzę. Polityka, panie Szczekielnikow.

Bo tutaj, na Syberji, rządzą japończyki Piłsudskiego. I tak to sobie wyobrażają: kto ma dostęp do Filipa Gierosławskiego, ten ma dostęp do Historji. A Józef Piłsudski... *Ojca wam pożarł! Polskę pożre! Nie wierz Staremu!* NIE WIERZ STAREMU - KURYER PRZYBĘDZIE - ŻYJESZ. Nie dotrze list. Nie dotrze posłaniec. Może dotrze syn. PARTYA ROZKAZUJE CZAS KOMPENSACYI TAK ROSYA POD LODEM - WSZYSTKIE ŚRODKI TAK - UWAGA MŁODZI I OCIEPIELNIKI PRZECIW ZIMIE. Jeśli redaktor Wólka się nie myli, ten list zaszyfrowany jest autorstwa pepeesowców z frakcji „starych”, przekonanych do koncepcji Piłsudskiego, że nie wolno odmrażać także samej Rosji, ale nie

przekonanych do samego Piłsudskiego, jawnie mu niedowierzających. Obawiają się z jego strony - czego? Czy Piłsudski naprawdę jest liedniak? Posłał ludzi, żeby śledzili Syna Mroza, pilnowali - może dla sprawdzenia, czy on nie agent ochrony, czy nie prowokator jakowyś, ale pewnie też dla zupełnego odcięcia pepeesowców z Królestwa i „młodych”. Czy wie, że także „starzy” mu już nie ufają? Gdyby poznał treść tego listu do ojca... Ba, gdyby podejrzewał, że otrzymało się taki list do przekazania...! On ma swoje własne plany co do Historji. W końcowym rozrachunku - czy to nie Piłsudski wysłał był ojca na Drogi Mamutów? *On diemon Lda! Uciekaj!*

Odkaszlnęło się, wypluwając z gardła smak wódki, z myśli scharkując opar alkoholowy. Otrzymało się było ostrzeżenie już wcześniej: w Hotelu Warszawskim, w czas Czarnych Zórz, od tego Polaka ze Składow Spiryтусowych. Piłsudski unosi się nad Krajem Bajkalskim jak cień niewidzialnego upiора, drugi kształt olbrzymi, niejasny, wyćmielony na niebie. *Przyjdzie po pana.* Się wzdrygnęło się.

- No to jak będzie, panie myślący?

- Z czym?

- Z nim.

Się obejrzało się na wierzącego się niecierpliwie Ziejcowa.

- Taki dzień, panie Szczekielnikow. Złożymy uszanowanie przy łożu śmierci.

Siergiej Andriejewicz Aczuchow umierał bardzo zdecydowanie, konkretnie, umierał z brutalną pewnością śmierci - nikt nie mógł żywić wątpliwości, że Aczuchow umiera, tern bardziej on sam. Ponieważ wyrzekł się Kościoła ziemskiego i Kościół ziemski wyrzekł się jego, żaden pop nie czuwał w tę godzinę przy Aczuchowie, nie było gromnic, olejów świętych i modlitw przebłagalnych. Skromne mieszkanie na niewysokiem piętrze wypełniał zapach nafty i medykamentów. Z pieca z przytkanym cugiem kopało czarno; gospodyni, babuszka prawie ślepa, zgięta wpół, krzątała się przy nim, trzaskając żelastwem i mamrocząc w dziwnym języku przekleństwa lub modlitwy, nie do odróżnienia. Łóżko Aczuchowa, wciśnięte między piec i okno, było akurat na tyle szerokiem, by zostawić obok miejsce na krzesło. Wstawiono dwa, jedno za drugim, i siedzieli tam teraz, boleśnie wyprostowani, z nogami podciągniętymi, dłońmi złożonemi na zetkniętych razem kolanach, panowie dwaj w czarnych garniturach, o twarzach zniszczonych, pomarszczonych, wargach obwisłych, oczach napuchniętych. Ziejcow rzekł, że byli to bracia tołstojowcy, którzy przyjechali z Tomaska; jeden zapisywał w kajecie słowa umierającego Aczuchowa, drugi tylko palił papierosa za

papierosem. Oni też starali się byli nakłonić Aczuchowa do wyjazdu, lecz Siergiej Andriejewicz pozostawał nieprzejednanym. Kiedy stracił i tę nadzieję, Ziejcow, nie mogąc dłużej świadczyć umieraniu swego drugiego ojca, puścił się w kurs po knajpach irkuckich. Dlaczego mianowicie Aczuchow odmówił był propozycji wyjazdu z Kraju Lutych, skoro pojawiła się taka okazja całkiem legalna? Czy miał za złe Filimonowi Romanowiczowi, że upadł przed „cesarzem ciała”? Czy chciał umrzeć? Nie odpowiedział jasno. Kaszel okrutny, duszący, pierś rozrywający przerywał co chwila monologi Aczuchowa; Aczuchow bardziej szeptał i charczał, niż mówił. Tołstojowcy, nadal sztywni niczym czynownicy Zimy, nachylali się nad nim, łowiąc słowa i tchnienia przedślowne; Aczuchow unosił nad pierzynę dłoń kościstą, chłopską, szeroką - łapali za nią, ściskali, kładli ją z powrotem; podrywał się z poduch, szarpnięty kaszlem lub prawdą wyrzeczoną - kładli go z powrotem; prosił wody - podawali wodę. Potem znowu tylko milczał; milczał i umierał. Broda siwo-czarna, pozlepiana w strąki, zbierała krople śliny i flegmy krwawej. Na obliczu grubo rzeźbionem, nieledwie prostackiem błyszcząły tłuste korale potu. Podejść bliżej, a ponad wonie chemji, nafty i spaleniźny przebijje smród choroby i starości, brudu cielesnego.

Dzisiaj, przed śmiercią, był jasnego rozumu i przytomnie jeszcze patrzył. Miewał wszelako długie okresy, dni i tygodnie nawet, gdy nie dało się odróżnić jego majaków od mowy sensownej. Wpiew Ziejcow sam spisywał był wszystko; potem opuszczał kwestje o treści wątpliwej; w końcu w ogóle zaprzestał notować. Zezując ku łożu blaskiem marostiekłowym oświetlonemu, szeptał teraz o co bardziej szalonych majakach Siergieja Andriejewicza Aczuchowa.

Pono gdy za oknem ćmieczyło Cziornoje Sijanije, objawił mu się na niebie nad miastem czarny anioł - skrzydła z piór kruczych, węglowa szata, włosy cygańskie, lico ćmieczą nabiegle - z onyksowym mieczem w ręku, w poćmiacie silnej, i obwieścił, iż Irkuck zostanie zniszczony. Gniew Boga, rzekł anioł, obraca się na miasta na grzechu ufundowane, grzechem rosnące i grzech czczące - a nie ma większej przewiny w oczach Jedynego aniżeli uzurpacja człowieka wobec Stworzyciela. Jahwe jest Bogiem Zazdrosnym i Mściwym, a ja jestem Jego prawicą zaciśniętą, rzekł anioł. Człowiek nie może znać prawdy - Bóg zna prawdę; człowiek wierzy. Człowiek nie może robić Historji - Bóg robi Historję; człowiek ją przeżywa. Człowiek nie może działać świadomie przeciwko Bożym zamysłom - może; ale wtedy grzeszy, grzeszy, grzeszy!

Mistrz przyzywał też do łoża swoich zmarłych krewnych - szeptał Ziejcow - przyzywał także krewnych żyjących a nieobecnych; co gorsza, oni na wezwanie umierającego

przybywali, a w każdym razie Aczuchow zachowywał się, jakby przybyli: gaworzył z nimi, uśmiechał się do nich, słuchał ich słów w milczeniu, głaskał po główkach dziatki niewidzialne i ścisnął dłonie przyjaciółom z młodości. Potem znowu skręcało go w ataku kaszlu albo duszności, od których na przemian siny i czerwony się robił, i z wyczerpania zapadał w sen płytki, ledwo od śmierci oddzielony. Nikt nie ważył się go budzić - aż budził się sam, po kwadransie, godzinie bądź dniu, i znowu odzywał się do gości swoich, widzialnych lubo niewidzialnych, w mowie trzeźwej albo jawnie lunatycznej albo i w takim płynnym ich pomieszaniu, że człek nie wiedział, czy to gorączkę mózgu z jego ust słyszy, czy mądrości święte; lodem, lodem go obłożyć, może prawda zamarznie.

- ...którzy sądzą, że w ten sposób porozumiewają się z Bogiem. Chrrrkrrr! Ale, przyjaciele, zapytuję was, czyżby Bóg nie wiedział, co leży w sercu człowieczem, dopóki człowiek Mu tego w modlitwie, na głos czy w myśli, nie wypowie? Nie taka to rozmowa! Krrrchrrr! Nie taka!

...Nie w tym więc siła i sens modlitwy. Z Bogiem rozmawiamy nie słowami i śpiewami i gestami rytualnymi żadnymi, bo to są wszystko narzędzia Kłami stwa - chrrrkrrr - powiadam, narzędzia Kłamstwa! Nie, przyjaciele, z Bogiem rozmawiamy tylko przez Prawdę, czyli przez to, czego skłamać niepodobna: przez nas samych, to znaczy przez życie nasze i przez śmierć naszą. To jest człowieka z Bogiem rozmowa jedyna: że człowiek jest, jaki jest, że żył, jak żył, że postępował, chrrrchrrr, jak postępował. I tak samo Bóg przemawia do nas, bo nie głosami samozwańców, autorytet Jego sobie przypisujących, między którymi człowiek szczerzy nie jest w mocy w Prawdzie rozsądzić - ale poprzez Swój czyn, to znaczy poprzez Stworzenie, głosem świata, głosem rzeczywistości, która jest Prawdy instancją pierwszą i ostateczną. Dlatego, krrrchrrr, i to sobie zapamiętajcie, dlatego najczystsza modlitwą Boga jest Prawda nauki, czyli język świata materialnego, który podtrzymuje w bycie ciała człowiecze.

...Ale co ze światem ducha, pytacie. Taka jest racja za modlitwą, jak mi się wydaje. Chrrr. Są oto modlitwy na cierpliwość, są modlitwy na odwagę, modlitwy na pogodę serca, na siłę przebaczenia, na wytrwałość wobec cierpienia, wytrwałość wobec krzywdy i niesprawiedliwości. Ale grzeszy zabobonem i wiarą w magię głupią, kto patrzy na nie jako na te zaklęcia wiedźmie: powiem albo pomyślę słowa przepisane, uklęknę albo idola złotego pocałuję - i Bóg obdarzy mnie łaską, o którą proszę. Jak można takim handlem i kuglarstwem ducha swojego brukać! Krrrchrrr! Kłamstwo to! Kłamstwo! Krrrchrrr!

...Jak się zatem modlimy? A pomyślcie, bracia moi, czyż nie odprawiamy w życiu

codziennem rozmaitych modłów ciała? Ażeby nabrać energii i rozbudzić członki, wykonujemy ruchy szybkie, mocne, krew w mięśniach rozpędzając. Aby zatrzymać chemię gniewu, zaciskamy pięści i zęby, gryziemy wargi. Ażeby przywrócić równowagę pasji i rozumu, zwalniamy oddech, spowalniamy bicie serca. Czy kogo dziwią takie i owakie, chrrr, rytuały gimnastyczne przez atletów uprawiane? Czy dziwi musztra żołnierska? Albo ćwiczenia bokserów, zapaśników?

...Taka jednak względem nich różnica, że modlitw ducha nie widać i człowiek drugiego człowieka nauczyć ich nie jest w stanie. Wszakże prawdziwych ludzi modlitwy poznać nietrudno - krrrchrrr! - tak samo jak poznać przecie łatwo siłaczy i gimnastyków biegłych. Atleta ciała panuje nad swoim ciałem i buduje jego moc; atleta ducha panuje nad swoim uczuciem, nad strachem i żądzą, nad sercem i umysłem, i ich moc ćwiczy. Człowiek silnego ciała mniej się lęka o to ciało, chrrr, jest więc spokojniejszym i uczciwszym w sytuacjach odwagi. Człowiek silnego ducha nie kłamie, nawet jeśli sprowadza to nań prześladowania w świecie materji, ponieważ żaden nacisk materji nie zmieni jego Prawdy.

...Strzeżcie się jednak, moi drodzy, albowiem tak samo istnieją modlitwy złe: do zazdrości, do wściekłości, do czarnych żądz, do nienawiści. Krrrchrrr! Jak często je odmawiamy, nie wiedząc wcale, co czynimy! Powtarzając w zacięciu myśl gniewną, przekleństwo przeciwko bliźniemu jak litanję szepcząc, zacinając się w marzeniach złych, sny budując o krzywdzie i poniżeniu innych, ucząc się radować z ich nieszczęścia, ucząc się trjumfu z ich porażki. Krrrchrrr! Chrrr! Nie wiemy, że się modlimy, a się modlimy - o co się modlimy - do kogo się modlimy - do Szatana, Szatana, Szatana! Krrrrrrrrrr!

Wyczerpany, padł z powrotem na poduchy i najwyraźniej stracił przytomność. Pan w garniturze wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy Siergiej Andriejewicz jeszcze dycha. Dychał. Gospodyni załomotała pogrzebaczem - wszyscy się wzdrygnęli, jak od uroku szamańskiego wtem uwolnieni. Się cofnęło się do przedpokoju.

Ziejcow zaparzył tymczasem kawy, podlej jakości zresztą, woniącej jak onuca zamokła; wpychał ludziom filiżanki w ręce przemocą, jeden Szczekielnikow się oparł. Czyngis spoglądał z progu na rozciągniętego na łożu śmierci Siergieja Andriejewicza Aczuchowa i, dziw nad dziwy, zrazu żadnych komentarzy oskarżycielskich ni pagaworek kwaśnych nie wygłaszał. Dopiero co zarznął człowieka; najpierw poszedł obmyć ręce, a teraz, w półskryty za odrzwiami, obserwował Aczuchowa ze spokojną fascynacją.

- Ile to już trwa?



Ziejcow opowiadał szeptem o długich miesiącach konania w męce. Zanim Filimon Romanowicz przybył tu z gramotą carską i dieńgami raditielia, Aczuchow gnieździł się w jakiejś izbie zawszonej w schronisku dla wylodzonych, odpędzając od siebie lekarzy przez przyjaciół nasyłanych, modląc się tylko długimi godzinami.

- To prawda, co mówią? - zagadnął Szczekielnikow, gdy Ziejcow się na moment oddalił.  
- Że oni od tego rozkosz wielką przeżywają?

- Pan pytasz o ekstazy regilijne?

Zbrodzień pokręcił głową z niesmakiem.

- Trzeba znać umiar w rozpuszcie.

Przełknęło się chichot wraz z kawą ohydną. Skąd to się bierze, że człowiek najchętniej śmiechem bezczelnym by parsknął na podobne sceny tragedji śmiertelnych? Aczuchow umiera - śmieszne? Nie. A jednak jest w całej owej sytuacji coś takiego, na co jedynym zdrowym responsem zdaje się eksplozja prostackiego humoru. Czy istnieje naród, który ma w zwyczaju opowiadać na pogrzebach dowcipy?

A może to wszystko wina tylko pływku teslektrycznego we łbie...?

Noc już zapada, ciekawość zaspokojona, pora wracać doma. Dosyć śmierci na jeden dzień.

- Panie Szczekielnikow, wtedy na ulicy, na śniegu, nie zauważyliście może teczki -

Ziejcow przyskoczył, wyrwał filiżankę z dłoni.

- Obudził się!

Panowie tołstojowcy, uległszy prośbom Filimona Romanowicza, zwolnili krzesła. Z trudem powstrzymując uśmiech głupi i ruchy nerwowe, przysiadła się na tym dalej stojącym od szczytu łoża.

Siergiej Andriejewicz spoglądał z uwagą spod ciężkich powiek.

Poszukało się wzrokiem Ziejcowa - Ziejcow uciekł.

Odchrząknęło się.

- Wybaczcie -

Podniósł dłoń z pościeli.

- Co wy tu robicie?

- Ach. Pan Ziejcow mnie -

- Ja was znam.

- Nie, nie. Benedykt Gierosławski. Pan Ziejcow mówił -

- Widziałem was - wychrypiał powoli, z mozolnym namysłunkiem po każdej sylabie. -  
Pamiętam twarze, pamiętam ludzi.

Czy jemu już do reszty wymieszał się majak z rzeczywistością?

- Pamięć - mruknęło się - to narzędzie Szatana.

- Ach! - Pokazał w uśmiechu resztkę zębów. - Bardzo dobrze. Zbliź-no się, synu. Oni nie usłyszą.

- Mnie też może się wydawać, że różne rzeczy pamiętam. Jaki sens pytać o prawdę tego, co nie istnieje?

- Przeszłość nie istnieje? Aj, zatem tak naprawdę ja nie umieram! Chrrr. - Śmiał się. -  
Filimon dobrze was opisał.

- Tak?

- Jak mogę umrzeć - bez przeszłości? Jak mogę zostać zbawionym - bez przeszłości? Jak  
wy możecie żyć - bez przeszłości?

Się poderwało się. Stary nagle jednak pokazał energię młodzieniaszka: złapał za rękaw,  
przytrzymał. Się będzie się szarpać z człowiekiem stojącym nad grobem? Usiadło się z  
powrotem.

- Już mnie Ziejcow namawiał - syknęło się. - Myśli, że wy mnie przekonacie? Że co - jak  
konający poprosi, to na wszystko przystanę? Pułapka taka, a? Tak to sobie obmyślił! Szantaż!  
Nic mnie nie obchodzi wasza Historja z Królestwem Bożem na dokładkę!

Bawił się coraz lepiej.

- Chrrr. Bo wy, chrrr, nie wierzycie w Historję, chrrr, w ogóle. A przecież - czy tego nie  
widzicie? - jeśli nie ma Historji, nie ma Boga. Chrześcijaństwo jest Prawdą o Historji.  
Odejmij chrześcijaństwu Historję - co pozostanie? Nic! Nic! Krrrr! Nie istnieje Bóg Lata -  
tam są tylko domysły, szkoły spekulacji, parlamenty bożków i koła dyskusyjne proroków.  
Prawdziwe zbawienie możliwe jest tylko pod Lodem; prawdziwe chrześcijaństwo - tylko pod  
Lodem; prawdziwe dobro i zło - pod Lodem.

...Bo jeśli nie ma Historji - nie ma człowieka! Krrr. Nie możesz rzec prawdy o przeszłości, to jaką prawdę wypowiesz o jakimkolwiek czynie swoim? Każdy postępek, każdy wybór rodzi się z przeszłości w przyszłość. W żywocie na jedną chwilkę, na drgnięcie płomienia świecy rozciągniętym - nie uczynisz dobra ni zła. Tylko ten, co istnieje w Historji, może posiadać wolną wolę. Jak osądzisz mordercę, skoro mord zapamiętany, mord, co przeminął i nie trwa na twoich oczach - nie jest już mordem prawdziwym, pewnym? Nie ma Historji, to nie ma człowieka - jest tylko mgnienie molekuł chemicznych, hrrr, i wzór materji pochwyconej w terażniejszości.

- Nie przeczę.

- Nie przeczycie.

- Zdradzę wam tajemnicę - zachichotało się wstydliwie, poczem się nachyliło się nad Siergiejem Andriejewiczem Aczuchowem, aż w nozdrza uderzył smród choroby i starości i ciała zapoconego, nieczystego. Księżna Błucka używała przynajmniej pachnidel. Otworzyło się szeroko usta. - Ja nie istnieję.

- Ach! - zasmucił się.

- Tak, tak - pokiwało się głową z dziecinną satysfakcją, jak z uciechy ze sprytnego psikusa spletanego dorosłemu.

(Może to wina pływu teslektrycznego we łbie, a może wódki w żyłach).

- Jakże musicie być nieszczęśliwym... - Zacisnął palce. - Słyszał kto o głębszej rozpaczy? Jaka większa ciemność duszy i bluźnierstwo cięższe? Mój synu! Nawet samobójca, potępieniec, oddaje tą zbrodnią hołd Stworzycielowi: niszcząc Jego stworzenie, klęka przed Nim i uznaje swą małość wobec Tego, Który Jest. Samobójcom nie zależy na życiu, bo tak bardzo zależy im na sobie. Ale wam, krrr, wam nie zależy na samym sobie! Nie było jeszcze nihilisty tak zupełnego. Chrrrrrr!

Zakrztusił się śliną krwawą. Podało się chustkę. Lewa dłoń drżała mu tak bardzo, że nie potrafił otrzeć sobie ust. Pomogło się mu.

- Chrrr, chrrr, myśleliście, chrrr, że was o słowo u Ojca Mroza poproszę i zaprzysięgnę. Krrr. Nie. - Zamachał chustką, aby jeszcze się przybliżyć. - Ludzie mniemają, iż przed śmiercią sofija i gnoza jakaś wyższa spływają na człowieka, a w istocie trudno wtedy myśli zebrać w najprostszej nawet sprawie, tak wszystko boli. He, he. Oto więc moja dla was mądrość głupia: Idźcie się upić. Idźcie poszaleć z kompanami. Wdrapcie się w góry na szczyt

wysoki. Idźcie w tajgę zapolować, stańcie przeciwko zwierzowi dzikiemu. Znajdźcie sobie dziewczkę na sercu i ciele miękką, rozkoszną. Wystąpcie w jakiej politycznej sprawie przeciw wszystkim. Jadajcie do obżarstwa. Darujcie sobie zawsze minutku, żeby spojrzeć w niebo gwiaździste, na śnieg na gałęzi skrzący, żeby psa pogłaskać, dziecko utulić. Wszystko, co zarobicie, wydawajcie na rzeczy materialne użytku codziennego: ubrania najlepsze, z najprzyjemniejszych w dotyku tkanin, sprzęty najmiłsze dla oka, drobiazgi dłoń cieszące. Macie wybrać jedno z dwóch dań - wybierzcie to, którego jeszcze nie próbowaliście. Macie wybrać jedno z dwóch miast - wybierzcie to, w którym jeszcze nie byliście. Macie wybrać życie - wybierzcie to jeszcze nieprzeżyte.

- To jest modlitwa na istnienie? To jest modlitwa na ciało!

Opadł z sił.

- Krrrchrrr. A zrobicie i tak, jak zapamiętaliście.

Teraz nastąpiły godziny majaków cięższych, kiedy ból stał się dla Siergieja Andriejewicza nie do wytrzymania i przestał on panować nad odruchami ciała, także nad dźwiękami wydawanymi. A że kawa okropna Ziejcowowa nie pomogła (wódka rozgrzała, wódka w głowie zamieszała, teraz wódka usypiała), kimało się w kącie, opierając skroń o ścianę odrapaną. Aż wrzask nowy, krzyk zaplątany w kaszlu i chrypie krwawej z pólśnu wrywał i przecierało się oczy na scenę konania, jakiej to nigdy na płótnach opiewających męczeństwo świętego się nie uwiecznia. Aczuchow, chłop ongi potężny, wysuszony teraz na grubokościsty szkielet, rzucał się po łożu opaskudzonem, krwią i flegmą i wszelką ohydą plując. Gospodyni brutalnie obracała go na pościeli, zawijała go w pledy, unieruchamiając, gdy on chciał zrywać i drzeć wszystko naokoło. Podawano mu wody, medykamentu jakiegoś w wodzie; krztusił się.

Ziejcow zniknął na moment i wrócił z flaszką Poklewskiej. Popijał, wkrótce nie kryjąc się z tym prawie wcale. Łyków trzech mocnych potrzebował, żeby w ogóle wejść i spojrzeć na Siergieja Andriejewicza w takim stanie. Oczy zaraz eks-katorżnikowi wilgotniały, ręce się trzęsły, jęk żalorny dobywał się z gardzieli. Użalał się nad mistrzem, nad światem, nad sobą.

- A co mnie teraz, ech, Boże, na co mi jeszcze żyć, głupiemu, tak i wszystko na ból większy i nieszczęście wokół się obraca, uratować chłopów ciemnych, nie uratuję, uratować Rosję, nie uratuję, jednego dobrego człowieka chociaż uratować, nie, nie, na odwrót zawsze wszystko - na co światu taki Ziejcow Filimon Romanowicz, na obśmiewisko chyba.

- Nie macie tu pracy chociaż jakiej uczciwej?

- Pracy! A bom to ja kiedy za swoje pił?

- Jak otrzeźwiejecie, zajdźcie do Kruppa w Wieżach Zegarowych, Laboratorium szuka stróża sumiennego - pan jesteś kształcony człowiek przecież, zaprezentujcie się dobrze, wezmą i po katordze.

- A co mnie tam praca, kiedy ojciec umiera! Boże! - I cap za Poklewską.

Szczekielnikow raz i drugi pokazał ode drzwi: chodźmy stąd. Pokręciło się głową przecząco. Wysiedzi się do końca. Ziejcow miał rację, to już długo nie potrwa, Aczuchow umrze tej nocy; zamarzło.

On tymczasem charczał niezrozumiałe wyznania, wołał z gniewem, nie wiedzieć, z czego rozpalonym, do ludzi widzialnych i niewidzialnych, wzrok mętny obracał na ścianę, na sufit, na okno, z nimi prowadził konwersacje o sprawach minionych, grzechach dawnych, osobach z przeszłości, prawdziwej lub fałszywej, jak poznać - nie sposób; umierał rozpalony, w gorączce, to znaczy w niepewności. Wołał matki. Wołał braci. Wołał jakichś kobiet Ziejcowowi nieznanym. Wołał Boga. Przybywali lub nie; można było wnioskować tylko po uporze, z jakim powtarza wezwania. Cała izba zaśmierdła już uryną i kałem i krwią starą.

Wołał też Benedykta Gierosławskiego - na przemian z Filipem Gierosławskim. Im z kolei opowiadał o jakimś Czarnym Labiryncie, pod niebem Czarnych Zórz, na polu czarnego lodu. Światło, charczał, nie rządzi się tu prawami światła i oko widzi rzeczy, których nie widzi, to znaczy Prawdę w materji ujętą. Prawda, charczał, ma kształt doskonałej kuli i można ją dotknąć. Labirynt na równinie zniszczenia jest po to, żeby zgubić tych, co nie dostrzegają Prawdy. Sześciu poszło, charczał, żaden wrócił. Lute, charczał, lute płynęły niby rzeka. Słońce wschodziło czarne jak węgiel i kryliśmy się pod żelazem przed żywymi świecieniami. Rzeźby lodu opowiadały nam historję świata: kto ujrzał siebie, zapadał się pod ziemię. Nie musieliśmy jeść i nie musieliśmy pić i nie musieliśmy oddychać; nie dało się umrzeć. Mamuty, charczał, mamuty, mamuty, mamuty wskazują drogę.

O świcie nastąpiło przesilenie. Zasnął na trochę. Panowie tołstojowcy włożyli mu w ręce Ewangelię. Kiedy się ocknął, przerażony, przyciągnął księgę do ust, ale wcale nie w zamiarze pobożnego ucałunku, jeno zakrył się nią jak dziecko, łypiąc zza obwoluty okiem zakrwionem. Śmierć była już blisko - Aczuchow potrafił wydobyć z siebie tylko szept chłopięcy. Kto? Kto? Co? Czego chce? Gdzie? Co? Co? Rozpalony, rozpuszczał się w pytania, coraz to prostsze, krótsze, coraz bardziej ogólnikowe, bezcelowe, jak związek chemiczny, co się rozkłada do samych pierwiastków. Co? Co? Co? Rozkopał pościel i pledy, naga noga, poznaczona

czarnemi żyłami ćmieczy, przebarwiona od licznych odmrożeń i Bóg wie jakich choróbsk, waliła rytmicznie w zanózek łóżka, łóżko trzęsło się i podskakiwało. Siergiej Andriejewicz z wielkiego afektu nie był już w stanie złapać tchu; z ostatnimi słowami wycharkiwał z płuc resztki powietrza i krwi. Nie słyszycie? Nie czujecie, jak trzęsie się ziemia? Mamuty, mamuty przyszły po mnie! Za-za-zapadam się. Zapadł się.

Panowie przeżegnali go, zamknęli mu powieki. Gospodyni dołożyła do pieca. Wstało się. Filimon Romanowicz Ziejcow, pijany jak świnia, klęczał przy łożu i chlipał głośno, przycisnąwszy policzek do dłoni zmarłego. Podeszło się, spojrzano się jeszcze ostatni raz na Siergieja Aczuchowa. Nie poznałoby się go, tak bardzo zmieniły się rysy jego twarzy, kiedy ciało opuściła dusza. Się oparło się o wysoką ramę łóżka, gdy zakreśliło się w głowie. Czuło się, że koniecznie musi się rzec coś podniosłego, wyrzec słowa wielkiej wagi, a zarazem miało się tę pewność alkoholem niezamgloną, że wypowie się tu niechybnie głupotę jakąś błazeńską, której się będzie się wstydzić miesiące i lata, jeśli nie do końca życia. Chwiejąc się, jakby odurzony tą śmiercią i tym smrodem - czy można wciągnąć śmierć do płuc niczym opar opjumowy? - otworzyło się usta i -

Pan Szczekielnikow wyprowadził na ulicę. Otrzeźwiało się od mrozu, jasności poranka i życia miejskiego. Słońce ledwo wychodziło zza podstawy wieży Sibirchożeta. Poszukało się na niebie czystym dachów i baszt Cytadeli gubernatorskiej z jej zegarami ćmietlistemi. Świecień na czerni pokazywał godzinę ósmą. Trzeba jechać do Zimnego Nikołajewskaja, do roboty. Pan Szczekielnikow machnął jednak w przeciwną od Marmieladnicy stronę, na kopuły Soboru Chrystusa Zbawiciela.

Czyngis kupił ćmieczkę i zniknął od razu w nawie. Przystanąło się w pritworze. Kroki draba kwadratowego rozbrzmiewały krótkim echem w pustej chyba zupełnie świątyni. I za kogóż to przyszedł się pomodlić: za piłsudczyka, którego zarżnął w nocy, czy za Siergieja Andriejewicza Aczuchowa? Chichot gardłowy tym razem wyrwał się zmiędzy zaciśniętych zębów. Wodząc rękawicą po murze, z głową w przód podaną niczym przeciw wichurze, podreptało się w głąb wielkiej cerkwi, na wschód, to jest w ciemność świetlistą. Całą nawę, aż do ikonostasu, wypełniały naprzemienne strumienie ćmiatła i światła. Bo nie tylko kopuły ufundowane przez choładpramyszlienników irkuckich, ale i większość sprzętów i dekoracyj wewnątrz wykonano z drogiego tungetytu, z wielobarwnych chłodów zimnazowych, w inkrustacjach złotych. Ćmiatło licznych ćmieczek, padając na tungetyt, odbijało się blaskiem ognistym - ten znowu wpływał w sfery zamroku, gdzie rozpuszczał się jak mleko w atramencie - inne światło, czyste światło słoneczne biło przez okna - ale i dla ćmiatła otwarto

tu okna prowadzące prosto w czarne czeluście piekielne: zwierciadła rozwieszono symetrycznie między ikonami. Ćmiatło ćmieczek reflektowało od nich wte i wewte - kto przechodził wielką pustą przestrzenią od prytwora do anałoja, ten wyćmiałł naokoło świecienie przepotworne, od posadzki do stropu wysokiego, na wszystkie strony świątyni, na tysiąc ikon i niezliczone twarze Boga i świętych na nich uwiecznionych.

Zeszło się czem prędzej w bok, przycupnęło się na ławie pod ścianą. Smak zły, kwaśny wzbierał w ustach, nie było go czym spłukać, wyschła chyba cała ślina. Zewsząd spoglądały ciemne oczy postaci niebiańskich, szeroko otwarte w wyrazie smutnego zdumienia. Chrystus Pantokrator z głównego jarusu ikonostasu wyciągał błogosławiącą rękę ze skrzyżowanymi palcami w geście powstrzymującym lub zapraszającym patrzącego, niełatwo orzec z tej odległości. Ikona Zbawiciela Wielkiego Arcykapłana w rzędzie Deesis - Bóg na tronie zimnazowym, z królami, bestjami i lutymi u stóp - oraz Mandyljon na dole wykonane zostały w technice tungetytowej, z pokrywą puchzłota. Zwierciadła punktowe kierowały na nie pod ostrym kątem ulewy ćmiatła, z których Zbawiciel wyłaniał się w porażającym ogniu odmroku tungetytowego, w chmurze tęcz zimnazowych, abrysowan złotą linią, w aureolach boskiej bieli. Trudno o dobitniejszą symbolikę architektury światła. Schowało się twarz w dłoniach.

Czy Aczuchow miał rację? Czy to jest rozpacz? Przygryzło się język. Ale Siergiej Andriejewicz patrzył był z drugiej strony: nie można wierzyć w istnienie Boga, nie dając wiary istnieniu człowieka. Byt i Historia - Historia, czyli prawda o Byciu w przeszłości - stanowią fundament wszelkiej religii i moralności. A jak zerknąć z bliska, to także podstawę charakteru człowieka. Rozum może przedłożyć milion argumentów za nieistnieniem, ale samo to, że się nie chodzi po ulicy, obrażając, objając, strzelając kogo popadnie - pokazuje, iż rozum tu nie starcza. Każde słowo wypowiedziane, każdy gest i grymas fizjognomji i zachowanie konwencjonalne - dowodzą potęgi Historji.

Lecz nawet gdyby się tego szczerze pragnęło - jak można z postanowienia prostego zacząć istnieć? jak można przejść samowładnie z niebytu w byt?

To jest prerogatywa boska, nie ludzka: bóstwa powołują się do istnienia; ludzie są stwarzani.

Zadanie nieporównanie łatwiejsze: uwierzyć we własne istnienie. Ale jak tu nakazać sobie wiarę? Tak samo jak wiara w istnienie Boga, wiara w istnienie człowieka jest albo spontaniczną, albo nie ma jej wcale. Czy znajdzie się kto taki, co wysłuchał teologicznych argumentów i - tak, przekonał się mnie, chcę wierzyć, pstryk, *et voilà* - uwierzył? Wszak to

absurd!

Się rozkaszlało się w rękawice. Zimna gorycz zalepiała przelyk. Wizerunki Boga i świętych spoglądały przez zasłony ćmiatła i światła. Ktoś przeszedł w oddali wedle klirosów, świecienie wybuchły na lustrach, na moment wewnątrz Soboru Chrystusa Zbawiciela wypełniła nowa architektura przeciwciemności, obrazy Ostatniej Wieczery znad carskich wrót ikonostasu zalśniły puchłotem i kolorami liturgicznymi: czerwienią, błękitem, zielenią, żółcią. Odwróciło się głowę, się oparło się o mur zimny. Wierzą nie dlatego, że kto ich przekonał, ale ponieważ tak zamarli. Nikt w Kraju Lodu nie utracił wiary i nikt tu wiary nowej nie zyskał. Jedyne, na co można liczyć, to pompa Kotarbińskiego i szczęśliwy rzut monetą. A świątynie monumentalne są jako ta forma twarda na wodę zamarzającą. Oj, nie trzeba było wchodzić do cerkwi, czy kto widział w Irkucku prawosławnego w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryji Panny? Przecież nie przeganiają ich ogniem i pałkami - ale nikt nawet się nie zbliża, porażony oczywistością Prawdy i Kłamstwa. Słusznie przewodniki Transsibu mówili: w krainach Lodu nie może być dwóch wiar równie prawdziwych. Prawdziwe jest prawosławie - to nie rzymski katolicyzm; prawdziwy katolicyzm - nie prawosławie. Dostyc się nasłuchało się tu od Rosjan i nie-Rosjan. Polak - a-a, więc heretyk! Nie mają żadnych wątpliwości co do prawdy o historii dziedzictwa Chrystusowego. Historia sama ukazuje tę prawdę: Pierwszy Rzym upadł, bo zbłądził w herezję katolicką; Drugi Rzym, to jest Konstantynopol, tak samo: upadł kilkanaście lat po przyłączeniu się do herezji łacińskiej. Pozostał Trzeci Rzym, Moskwa. Linja dziedziczenia jest jasna i wyraźna: Ruś Kijowska przyjmuje chrzest od Bizancjum; Zofja Paleolog, bratanica ostatniego władcy Bizancjum, poślubia Iwana III Srogię, przytem sprowadzając do Moskwy skarb sofiji chrześcijańskiej, wielką bibliotekę Konstantynopola; Rosja przejmuje od Konstantynopola herb z orłem dwugłowym; miasta średniowiecznej Rusi powstają wedle wzorca architektonicznego Konstantynopola, który z kolei powstał był na zamówienie cesarza Konstantyna jako odwzorowanie Pierwszego Miasta, Jerozolimy. Nie można zaprzeczyć - oto jest prawdziwe chrześcijaństwo. Nie nakłaniają tu przemocą do wyrzeczenia się herezji, bo wiedzą, iż to niemożliwe - zamarłeś heretykiem - ale zarazem nie mają wątpliwości, żeś przekłety w swym zaprzaństwie i pospołu ze wszystkimi kapłanami, biskupami, katedrami i bogactwami Fałszywego Rzymu postępujesz prosto drogą potępienia z każdym krokiem dalej od światła jedynoprawdy Bożej, w ćmiatło, w ciemność gorącą, żelazem cuchnącą, pod czarne Słońce Podziemnego Świata -

Się przecknęło się na moment, ale zaraz głowa z powrotem opadła na pierś. Czy Sobór



jest ogrzewany? Para ćmiałista uchodzi powoli z ust jak krew upuszczana z żyły. Tańczące świece wyświetlają kolejne freski na ścianie przeciwległej. Kiszki wywracają się na nice, organizm podnosi bunt. Może to wódka i potem kawa niezdrowa na żołądek prawie pusty wzięta, może smród śmierci zapadły głęboko w płuca, a może alergja samej Prawdy na Kłamstwo, Kłamstwa na Prawdę - wspomniało się awersję zwierzęcą Gorubskiego do Kozielcowa i Kozielcowa do Gorubskiego - nie trzeba, nie trzeba było wchodzić do cerkwi! Się zgina się w pół i wymiotuje się na posadzkę Soboru. Świece zatrzymują się na ikonach, święci spoglądają w zdumieniu i spogląda wstrząśnięty diakon, przystanąwszy w pół kroku. Osunięty na kolana, ociera się usta szalem; drżąca ręka odruchowo naciąga na oczy marostiokła. Czerń i biel, złoto i srebro, cień i światło przepływają w siebie wzajem, wizerunki świętych zapadają nagle w głębokie kontrasty, w studnie perspektywy, a diakon rozplywa się w figurę ikoniczną, oczy mu ogromnieją, rozciągają się czarne brwi, szczupleje nos, twarz się wydłuża i puchnie farbą jasnożółtą, ryza na kozuchu lśni puchłotem. Się uśmiecha się doń przepaszając, a Wstyd, przyjaciel niezawodny, rozgrzewa już wnętrzości, pierś i lica. W Lecie można się było ukryć pod niepewnością tęczową i zapomnieć nawet o samym pytaniu, ale w Lodzie - w Lodzie wie się dobrze, jaki Bóg spogląda z góry na człowieka. Nie ma wiernych - są tylko znający Prawdę i ci, którzy jej nie poznali. Diakon podchodzi, pochyla się, podaje rękę promienistą o nienaturalnie długich, szczupłych palcach. Odtrąca się ją słabo i, zataczając się wedle ściany, wypada się z cerkwi na ulicę. Kto w Lodzie odchodzi od wiary prawdziwej, ten robi to z jasnego przekonania do Kłamstwa; nie ma błądzących. Kto czyni zło, ten jawnie sprzeciwia się Bogu. A kto w Lodzie umiera, ten umiera naprawdę.

### **O czarnej fizyce, o Państwie Niebytu, o pięknej sztuce pożegnań i racji autorytetów**

24 października ruszyła Zimna Kolej. Przy odbudowanym moście, jak rozgłaszały gazety, wystawiono silny posterunek wojskowy; spodziewano się następnych akcji japończyków Piłsudskiego. Zatwierdzono oficjalnie przedłużenie obowiązywania podatku wojennego, za to uspokoiła się nieco sytuacja na rynku zimnaza i tungetytu, a generał-gubernator poluźnił odrobinę więzy: wypuszczono większość marcynowców, zatrzymując w więzieniach głównie prowodyrów strajków i zamieszek, cenzura pozwoliła „Sibirskiemu Wiestnikowi” zamieścić artykuły o tych wydarzeniach, a delegacja przemysłowców-abłastników złożyła wizytę w

Cytadeli. Pan Pocięgło nie wszedł w jej skład. Potem pan Pocięgło znowu jeździł w interesach po całej Syberji, przy tej okazji z pewnością rozwoząc tajną korespondencję ruchu niepodległościowego i umawiając współkonspiratorów. Przysłał kartę z nazwiskiem i adresem władzywostockim, pod którym mają się stawić uciekinierzy dla bezpiecznego transportu przez Pacyfik; był też adres faktora charbińskiego na wypadek kłopotów po drodze. Dwa komplety papierów fałszywych zostaną dostarczone przed wyjazdem z Irkucka.

Zwyczajem dobrego obywatela Imperjum się uczyło się dostrzegać ruchy robaczkowe Historji, czytając między wierszami artykułów scenzurowanych. *Jak donoszą z Jenisiejska, zamordowano tam pewnego mężczyznę, który w urzędzie celnym skradł wielką liczbę nabojów. W związku z tym morderstwem policja wykryła szeroko rozgałęziony spiszek członków tajnego klubu. W lokalu tego klubu znaleziono wielką ilość masek, narzędzi rytualnych, nabojów, sztyletów i innej broni. Aresztowano wielką liczbę osób. Z nich niektórzy złożyli bardzo ważne zeznania.*

Tymczasem jednak, mimo dobrego połączenia kolejowego z Kieżmą, nie nadchodził z Ministerjum Zimy żaden sygnał o decyzji w sprawie. Ani ludzie generał-gubernatora, ani Szembucha, ani Ormuty, ani nawet ten czynownik-blondas, ni nikt odeń nie pojawił się z nowym poleceniem, nie wypytywał też o ojca; widać nie interesowali się Batuszką Marozem zupełnie. A przecież wiedziało się, że to nieprawda. Za następnej wizyty w delegaturze - zapowiadało się w duchu - zażąda się konkretów. Odszuka się chudzielca-czarnożęba. Się wypyta się o owe pierwsze ekspedycje w Zimę, o udział ojca, o Aczuchowa. Na pewno zachowała się lista ich uczestników, jakieś raporty, sprawozdania; biurokracja imperjalna nie pozwoliłaby przepaść sprawie bez całej szafy papierów i papierów o papierach. Na pewno mają też więcej o Ojcu Mrozie. Z tych map i kopij wciśniętych przez blondasa nie da się wywnioskować nic pomocnego. Za Kieżmą to już Śmiertelna Izoterma - czy tam właśnie ojciec poszedł? - lecz na początku dało się wejść dalej, muszą być jakieś soroki, które to pamiętają. Lecz jak takie znaleźć? Na tym wszak polega ich robota, że nie siedzą ciągiem w Irkucku, jeno włóczą się miesiącami i miesiącami po Syberji lutyh. No, może teraz pobędą w mieście dłużej.

Nadeszły bowiem mrozy zimy bajkalskiej; mrozy, a z nimi mgły kisielowe: na minus pięćdziesięciu, minus sześćdziesięciu stopniach Celsjusza wilgoć w powietrzu zsiadała się w gęstą zawiesinę, którą można ciąć nożem. Pan Szczekielnikow wyszedł przed świtem i pokazał, jak tnie: nóż w dół, nóż w bok, ostrzem na płask, żeby szerszą linję pociągnąć - tak wykreślił w stojącej mgle kwadrat niczym od metra. Figura wisiała w powietrzu

nieruchomersi Rósł mróz i zdawało się, że potęga Lodu tak już jest wielką, iż zaczyna sięgać także w przeszłość: się obejrzało się przez ramię i widziało się w tej mgłę tunel wybity przez ruch ciała, kształt tego ciała sprzed pięciu, dziesięciu, dwudziestu kroków pozostawiony na widok trwały - przeszłość zamrożoną. Ludzie, zwierzęta, sanie, wszystko, co w ruchu, odbijało się w stojącej mgłę ciągami; dziur jak materjalnych cieni nieistniejącego. Można było na własne oczy ujrzyć i prawie obmacać byt sprzed minuty, kwadransa, godziny (jeśli wiatr od Angary słaby). Minus pięćdziesiąt, minus sześćdziesiąt.

Kto koniecznie wychodzić nie musiał, doma na przypiecku siedział. W piecach huczało jak w samowarach zepsutych. Para skraplała się na marostiekłach okiennych, fontanny kolorów wypływały z tej wilgoci; marostiekło nigdy nie zarastało szronem. Za oknami dachy domów i grzbiety lutek żeglowały ponad płynąciami bardzo powoli strumieniami niebobarwnej mgły. A tu - przy lampie naftowej i filizance najlepszego czaju, w ćwierćmroku pluszowym, nagrzanym - pisało się listy do Polski.

Więc nasampierw do Zygmunta, z przekazem na trzydzieści rubli. Czy wierzyciele mocno się dobijają? Utknęło się na tej Syberji. Potem do Alfreda. Utknęło się na tej Syberji, podziękowania gorące za polecenie panu Wielickiemu, pewnie on życie niżej podpisanemu uratował. Prace teoretyczne leżą odłogiem, za to praktykuje się tu inżynierję logiczną, o której ci się nie śniło. Jak doktorat na Lwowskim? Pojawiło się co ciekawego w matematyce logicznej à, *propos* teoryj Kotarbińskiego? Podeślij jakie artykuły nowe, z którymi można się ponieźgadzać, zanim mózg człowiekowi do reszty zeschnie.

Napisało się także do Bolka, przypominając się po latach. Co u niego? Zdrowy aby? Jak mu się powodzi? Ile to kościołów już pobudował? Ożenił się może? Niech odpisuje na ten adres irkucki. Ma się pracę, obywatelem porządnym się jest, zwróci się mu wszystkie pożyczki, oto pierwsza rata. A może tak los człowieka pociągnie, że i na kontynent amerykański się trafi - niech poda kontakt jaki pewny, pod którym można go będzie znaleźć w ciągu roku, dwóch. Brat kochający, Benedykt.

Po zmroku, po kieliszku wiśniówki, i drugim, i trzecim - przyszła pora na list do panny Julji. Co nowego - nic nowego, tyle że się zarabia. Ha, nie sądziła panna, że Benedykt Gierosławski kiedy do uczciwej pracy pójdzie - jak to podróże w kraje egzotyczne zmieniają człowieka! (Plus pompa Kotarbińskiego, oczywista). Ale jakich przyczyn dziwnych, zewnętrznych by tu nie szukać, jakich by usprawiedliwień nie wynajdywać, nie powie przecież panna, że i to nie jest prawda o Benedyckie Gierosławskim. Dlaczego więc w

Warszawie - dziura zawoszona u Biernatowej, korepetycje i prace pokątne, zebrana u Żydów, karty, to było do pomyślenia; ale nie etat żaden, nie przyszłość normalna, banalna? Czy owa niedookreśloność czasu niedojrzałości, owo rozteczenie charakteru naprawdę jest w Lecie matematycznie, biologicznie nieuniknionem - jak forma poczwarkowa w życiu robaczem? Czy też inaczej by to wszystko poszło, gdyby nie właśnie panna - gdyby nie panny dotyk przelotny, ciepły - gdyby nie obietnice ogniste - plany wielkie - wszystkie te przyszłości nieziszczone - panny Julji wina! panny wina i panna o tym wie! Że się zawierzyło temu, co nie istnieje!

Listy, listy, listy, z pozdrowieniem formalnym, z zawijaszem szykownym, na papierze welinowym, grubo okopiejkowane - to też jest jeden z pomniejszych rytuałów mieszczaństwa, jak podwieczorek cichy w gronie domowników, niedzielny obiad, gazeta poważna, rządowa przy śniadaniu czy wieczorna kawa w klubie dla gentlemanów, gdzie, jak u Vittela, opowiada się głosem swobodnym interesy i miłości, politykę i wojnę.

Kupiło się zegarek Philippe'a na srebrnej dewizce, z grawerunkiem herbu Irkucka na wieczku, bardzo miło w dłoni leżący. Kiedy się teraz stało przed lustrem w rozpiętym surducie, z półłukiem lśniącym u boku kamizelki zawieszonym, pod angielskim krawatem granatowym - nie myślało się wcale, kogo to zobaczą nieznajomi, się nie zastanawiało się, czy taki a taki detal pasuje do obrazu i co też może oznaczać w ich oczach i czy nie kłamstwo aby; nie myślało się o tym nawet pod poćmiatą w zwierciadle łyskającą, świeżo odmieczony.

Od kilku tygodni się nie widziało się z Teslą; korzystało się regularnie z pompy Kotarbińskiego w jego apartamentach w Nowej Arkadji po drodze do Marmieladnicy, lecz Tesli już wówczas w hotelu nie było. *Mademoiselle* Filipov mówiła, że Nikola praktycznie nie opuszcza Obserwatorium; tam nocuje i nawet tam jada. Znowu przestał sypiać, rozmawia z sobą wieloma językami, chodzi w lekkiej gorączce, puszcza sobie przez głowę kiloemy ćmieczy i kilowolty prądu elektrycznego.

Przysłał list.

*Drogi B. G.,*

*tuszę, że nie odwiedził mnie Pan jeszcze w nowym laboratorium jedynie przez nadmiar pracy. (A zatem i Pan pracuje teraz nad czarną fizyką!) Czy zmieniły się Pańskie plany w*

*TAMTEJ kwestji? Myślę, że jestem coraz bliżej rozwiązania naszego problemu; proszę nie podejmować żadnych decyzyj, wpierv porozmawiamy. Zapraszam!*

*Oddany Przyjaciel,*

*TGI*

„TGI” stało za „Tesla the Great Inventor”.

Doktor Tesla urządził się na parterze Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademii Nauk, w magazynach na tyłach. Grube jak ramię kable zimnazowe w izolacji włóknistej ciągnęły się korytarzami i schodami, podwieszane pod sufity, we wnękach w ścianach wykutych - do piwnic, do wykopu studniowego, gdzie Nikola „podłączył się do Dróg Mamutów”. On - to znaczy jego maszyny. Ale przecież nigdy nie stanowiło to wielkiej różnicy.

Gigantyczna cewka tungetytowa - torus obwinięty setkami arszynów tungetytowego drutu - zajmowała całą szerokość magazynu. Przesunięto ją na sam koniec długiego pomieszczenia, pod ścianę, albowiem gdy cewka pracowała, nikt nie mógł bezpiecznie przejść mimo niej. Kondensatory zimnazowe oraz megapływnice rozstawiono w szeregu do samego wejścia. Pływnic Nikola używał w kontrolowanych rezonansach dla pomierzenia impedancji, reaktancji i indukcyjnej mocy teslektrycznej cewki, tudzież wyznaczenia ich czarnofizycznych odpowiedników; najbardziej efektowne były jednak eksperymenty, w których cewka stanowiła układ ćmieczonośny w połączeniu z samą Ziemią, to jest z Drogami Mamutów.

- Włamię się do nich! - wołał Tesla i - szynel, rękawiczki, gogle, czapa sobolowa - targał za wajchę maszyny, a robotnicy-zimownicy o azjatyckich twarzach i oćmiacie grubej zakrywali oczy i czem prędzej umykali z laboratorium. - Znajdę tę częstotliwość, niech mnie piorun!

Mróz lutniczy buchał od cewki i matowy szron pokrywał jej uzwojenie i obudowę: to skraplało się i zamarzało powietrze. Ćmiatło płynęło od maszyny gęstymi falami, rzucając za najmniejszym sprzętem świecienie tak intensywne, że bez okularów marostiekłowych nie mógł człowiek na nie zerknąć nawet kątem oka. Dźwięk niski, złowrogi - przeciągłe buczenie, od którego włosy stawały dęba i swędziała skóra - szedł przez budynek i daleko na

ulicę. („Gołos Bajkała” drukował listy ze skargami mieszkańców okolicznych kamienic).

Potem zaczynały się wyładowania teslektryczne. Czarne pioruny, w wiązках po tuzin, sto i milion, strzelały od cewki i niczym pijawki głodne czepiały się na kilka sekund to tego, to tamtego przedmiotu, wijąc się, mnożąc i dzieląc, łamiąc i prostując, poczem przeskakiwały nagle gdzie indziej. Rozlegał się przytem trzask i trzeszczenie i zimny powiew ciągnął przez laboratorium. Niektóre błyskawice węglowe sięgały przeciwległej ściany magazynu, to jest na dobre czterdzieści arszynów. Tem bardziej nie było się tu jak ukryć człowiekowi. Tesla został tak porażony nie raz. Nic sobie z tego nie robił.

- Nawet nie czuje się zimna - mówił. - Człowiek stojący na ziemi nie stawia oporu ćmieczy.

W bocznym magazynie, drzwi obok, urządził sobie kąt dla pracy bardziej na teorji, mniej na praktyce polegającej; na drugim piętrze miał pokój na sypialnię przysposobioną, lecz prawie zeń nie korzystał. Tu, na dole, zaraz nad piwnicami i Drogami Mamutów, trzymał też w klatkach myszy i szczury, które poddawał próbom odćmieczającym i naćmieczającym. Jasnówłosy Rosjanin, o licu gęsto paskudztwem poospowem obsadzonem, prowadził dokumentację eksperymentów: Sasza Pawlicz, biolog polecony przez profesora Jurkata, uprzednio pracujący nad fenomenem życia uspięnego w zmarzłoci.

Izba była ogrzewana. Zrzuciwszy szynel, Nikola pośpieszył zanotować nowe rezultaty; nie miał biurka, zajął dla swoich potrzeb długi blat laboratoryjny, dosunięty tu do ściany pod półkami z najróżniejszymi urządzeniami i częściami urządzeń. Dojrzało się tam podręczną pompę Kotarbińskiego na korbę, ale i dziurawy czajnik. W koszu za stołem tkwiły kije termometryczne i laski z pałakowatemi antenami zimnazowemi - ćmieczometry, jak się potem dowiedziało się.

Sasza karmił właśnie myszy, popiskiwały cicho. Do każdej klatki dochodził kabel, zimnazowy drut obejmował ciasną pętelką jedną z kończyn gryzonia. Dokumentacja leżała w otwartych pudełkach na klatkach, posortowana według pionu: Partja Pierwszego Tygodnia, Partja Drugiego Tygodnia, Partja Trzeciego Tygodnia *et cetera*. Załączone fotografie przedstawiały czarno-białe ciała zwierząt zmrożonych na kość - i wnętrzości gryzoni rozkrojonych pośmiertnie. Pawlicz zakreślił był i podpisał obszary zidentyfikowane jako ośrodki chorób.

Tesla podszedł, zajrzał ponad ramieniem, wyższy o głowę.

- No tak, na razie jeszcze tylko myszy i szczury.

- Pływ teslektryczny je zabił?

- *Well*, jak ze wszystkim, są granice ciężaru ćmieczy, jaki organizm może przyjąć bezpiecznie. Lub jakiego można go bez szkody dla zdrowia pozbawić. Szczura naćmieczona zabija efekt uboczny przepelnienia organizmu ćmieczą: mróz. Szczura odćmieczona - khm, tu przyczyna jest głębsza. Te plamy - Tesla wskazał palcem w białej bawełnie - to ogniska gwałtownego nowotworu.

Się przeraziło się.

- Pompa Kotarbińskiego powoduje raka?!

- No, no, nie ma powodu do niepokoju. Mierzmy to już dosyć precyzyjnie: żywy organizm tej wielkości mieści około siedmiuset skotosów. W każdym razie po odpompowaniu siedmiu setek wydajność pompy drastycznie spada. Można zakładać, że teslektryczna pojemność człowieka jest kilkadziesiąt razy większa. Ta pompa, z której pan korzysta u mnie w hotelu, nie wyciąga nateżenia wyższego niż jedna dziesiąta nokty - to ileż godzin musiałby się pan pompować? A efekty nowotworowe zaobserwowaliśmy dopiero po całkowitem odćmieczeniu organizmu.

Nikola Tesla desperacko starał się ująć fenomena czarnej fizyki w konkretach ilościowych, opisać je zależnościami matematycznymi. Tablice rozwieszane tu na ścianach, zapelnione gęstymi obliczeniami, słupkami cyfr, schematami koślawami - bardzo przypominały te z pracowni krjofizycznej Kruppa. Tesla większość obliczeń wykonywał w głowie i w głowie konstruował swoje maszyny; po tablicach bazgrali głównie Pawlicz i jeszcze jeden pomocnik Serba, niejaki Felix Jago, podesłany mu z polecenia Kancelarii Osobistej Imperatora z Instytutu Peterburskiego: starszy, nobliwy inżynier z monoklem i pod muchą, rachujący teraz w gumowych rękawicach czarne kryształy i pakujący je w słoje marostiekłowe, zamykane następnie pieczęciami Cesarskiej Akademji Nauk.

Odczytało się z tablic symbole czarnej fizyki Tesli. Za jednostkę ładunku ćmieczy obrał 1 skotos,  $\sigma$ , definiowany jako pojemność teslektryczna 1 grama hygroskopijnego  $ZnCl_2$ . Ćmiecz (W) przepływająca w czasie  $t$  charakteryzuje się nateżeniem ( $I_w$ ) mierzonym w noktach,  $n$ .  $I_w = \Delta W / \Delta t$ . Ciśnienie ćmieczy, nazywane też napięciem teslektrycznym ( $U_w$ ), czyli mierzona w ćmach,  $\phi$ , „siła”, z jaką pływ teslektryczny wypełnia nośnik, zależy od nateżenia płwy oraz od chłonności teslektrycznej nośnika - która jest różna dla różnych materiałów i struktur. Bo tu już objawiają się prawa specyficzne dla teslektryki. Nikola rozgadał się przy tablicy zapisanej kilkoma równoległymi wiązkami równań, innych dla każdego z przedstawionych u

góry układów: kuli, sześcianu, tafli prawie dwuwymiarowej, długiego walca. Wpatrywał się w nie, jakby chciał przepalić tablicę spojrzeniem głęboko osadzonych oczu, teraz bardzo ciemnych, jak ćmiecżą nabiegłych; biały lok spadał mu na ostrą kość policzkową, tego nawet nie zauważał. Istnieje najwyraźniej jakaś „stała strukturalna”,  $Q$ , która nie wynika ze składu chemicznego obiektu, lecz wyłącznie z jego budowy, z formy przestrzennej i procesów cieplnych w nim zachodzących, i od tej stałej zależy pojemność ćmieczna przedmiotu, a także jego chłonność i chyba nawet tempo, w jakim on generuje ćmiecz. Albowiem - tak, tak, panie Benedykcie - każde ciało stałe zbiera w sobie stopniowo ćmiecz nawet w całkowitej izolacji teslektrycznej, z samego faktu swego istnienia. Przytem - a mierzymy to, jak możemy najdokładniej - nie zużywając żadnej energii.

- Nie mówi pan chyba o *perpetuum mobile*?

Skrzywił się.

- Nieraz mnie oskarżano o naiwność naukową. *Perpetuum mobile*, ha! Opatentowałem już kilka takich wersji dysku Faradaya. Wyobraź pan sobie jednobiegunowe dynamo elektromagnetyczne, gdzie prąd indukowany jest przez pole magnetyczne Ziemi. Biorąc odpowiednio duży dysk, albo odpowiednio prędko się obracający, albo wykonany z materiału o tysiące razy wyższej przewodliwości -

- Superprzewodniki elektryczne?

- Tak. Mielibyśmy samopodtrzymujące się dynamo: generatory czerpiące z energii planety. Albo z energii kosmicznych: weź dwa takie dyski, jeden na ziemi, drugi zawieszony ponad, wystawiony na promienie kosmiczne, i przyłącz je z dwóch stron do kondensatora. Albo weź kable tak długie, że z jednym końcem uziemionym, a z drugim wyrzuconym w przestrzeń kosmiczną Czy to są jakieś magiczne maszyny prawa fizyki łamiące? Nie, to po prostu silniki bezpaliwowe; energję czerpią skądinąd.

...Ale tutaj mamy do czynienia z odmiennym mechanizmem. Na ile miliardów skotosów winniśmy liczyć ładunek ćmieczny Ziemi? Stała strukturalna wskazuje nam najefektywniejsze konstrukcje ćmieczonośne.

Pomyślało się o krjofizycznej „temperaturze uporządkowania” i mierze entropji. Czy w pomiarach owej stałej Nikola przyporządkował poszczególnym przedmiotom jakąś obiektywną miarę ładu, skalę jedynoprawdy? Czy istnieją geometrja i stereometrja bardziej i mniej „prawdziwe”? Który kształt równociepły większy ład sobą prezentuje: kula czy sześcian?



A człowiek? Jak bliski Prawdy jest *Homo sapiens*?

Ćmiecz samorzutnie przepływa według linii napięcia teslektrycznego, lecz z człowieka tak nie wypłynie, chociaż z drugiej strony jest on doskonale podatnym na naćmieczenie z powietrza, z ziemi, z wody.

Podobnie ma się rzecz z lodem - z pomocą profesora Jurkata Tesla wyróżnił już ponad setkę rodzajów lodu, każdy zachowujący się inaczej w pływie teslektrycznym.

- Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z jego strukturą molekularną - jak się cząsteczki wody ułożyły podczas krystalizacji. Zimownicy siedzą mi tam na dole w studni i przebijają igły zimnazowe z żyły w żyłę glacialną. - Tesla wyciągnął zębatymi szczypcami korek i nalał do kieliszka wody mineralnej. Dowożono mu jej butelki z Nowej Arkadji. - Doszło do tego, że, przy stałym ciśnieniu na pływnicach, potrafię po dźwięku pracujących maszyn poznać kolor i zanieczyszczenie lodu, w jaki się włączyłem.

- Pompuje pan ćmiecz z Dróg Mamutów?

Łyknał wody.

- No, pompuję, ale nie w tym rzecz zupełnie. Pływnice zmieniają mi ją w prąd elektryczny, jestem tu więc samowystarczalny. Tylko że nie myśli pan chyba brać tego jako broń na lute!

- Prawdę mówiąc...

- Sądził pan, że zamierzam wypompować całą ćmiecz z Dróg Mamutów?

- Kiedy mówił pan o rozwiązaniach całościowych, zmiarkowałem -

- Z łyżeczką na ocean! Drogi panie!

- Jak zatem?

Nasłuchiwał przez chwilę echa odległego bębna głaszatajowego, jakieś skojarzenie nagłe oderwało jego myśli od rozmowy; trzeba było odczekać dobrą minutę, dopiero zamrugnął i wrócił wtedy do tematu, jak gdyby nigdy nic.

- Ideja pojawiła się we mnie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku. Oczywiście, ma pan rację, panie Benedyckie, nic wtenczas nie wiedziałem o teslektryczności i Lodzie; nikt nie mógł wiedzieć. Pracowałem nad systemem ogólnoswiatowego telegrafu bez drutu. Jak się cała sprawa z Marconim potoczyła, to inna rzecz; mój pomysł natomiast - jak by to panu najprzystępniej... Imaginuj pan sobie balon wodą napełnion do punktu naprężenia

gumy. W balonie znajduje się otwór z tubą z tłokiem - pchniesz tłok, woda jest wciskana do balonu, balon się rozszerza. Winstaluj w różnych miejscach więcej takich tłoków - będą się podnosić i opadać w rytm twoich wtłoczeń. A teraz zamień balon na Ziemię, fale wody - na prądy ziemskie, a tłoki - na stacje nadawczo-odbiorcze. Fale przenoszą informację, ale fale przenoszą także energię, o czym nadal mało kto myśli. Imaginuj sobie znowu, że wywołuję w tej wodzie eksplozję - fala idzie przez balon - rozpoznaję jej częstotliwość i pompuję tłok zgodnie z nią, ciągle podnosząc amplitudę - po pewnym czasie balon musi się rozpęknąć. Tak samo rozpęknie się Ziemia.

- Chce pan zniszczyć planetę? - Się zaśmiało się. - Lutych się pozbędziemy, prawda, ale jakoś nie sądzę, żeby o to chodziło carowi.

Tesla obracał powoli kieliszkiem, zapatrzony w pływy wody w szkle.

- Przeszedłem się wtedy pewnego popołudnia, wraz ze znajomym, z mojego laboratorium na Houston Street w pobliżu Wall Street, w podziemia jednego z tych kilkunastopiętrowców. Trwały tam akurat jakieś remonty, budynek był pusty, bezludny. Oscylator mechaniczny miałem w walizce. - Drugą ręką pokazał, jak niewielki. - Przymontowałem go ściśle do jednej z podpór stalowych budynku. Dostroilem częstotliwość drgań oscylatora, aż podpora wpadła w rezonans. Po kilku minutach cały gmach trząsał się jak w febrze; inne niebotyki w sąsiedztwie również dygotały; w ogóle okolica wyglądała niczym podczas trzęsienia ziemi. W piwnicy podniósł się pył i kurz, słyszeliśmy już syreny straży pożarnej - chwyciłem za młot i rozbiłem oscylator. W ostatniej chwili uszliśmy z życiem. Taak. Za pomocą owego minioscylatora obalilibym Most Brookliński w niecałą godzinę.

...Ziemia wibruje z częstotliwością godziny i czterdziestu dziewięciu minut. Powiedzmy, że detonuję tonę dynamitu precyzyjnie w takich interwałach, każdorazowo potęgując powracającą falę. W skończonym czasie Ziemia musi się rozpaść, chyba pan w to nie wątpi, panie Benedykcie.

- Ale pan nie chce rozłupać Ziemi - rzekło się, już bez śmiechu.

- *Of that you can be sure.* - Pociągnął białą dłońią po cygańskim nosie, świecień zaświecił mu w oko ciemne. - Ale dla pływu teslektrycznego w Drogach Mamutów też istnieje częstotliwość rezonancyjna. Musi istnieć.

- Skąd ta pewność?

- Zapomniał pan, od czego to wszystko się zaczęło? Od uderzenia!

Nalało się wody do drugiego kieliszka.

- I tego pan próbuje na cewce tungetytowej?

- Zbuduję wtedy młot ćmienny, który roztrzaska wszelki Lód. A przynajmniej... - Westchnął i przysiadł na krawędzi masywnego stołu laboratoryjnego. - Ostatnio spałem i... Pan się tak nie dziwi, sypiam, sypiam.

- Śniło się panu -

- Tak. Że pewnego dnia w ten sposób obalę całe Miasto Lodu. Niech pan nie lekceważy przeczuć przyszłości! Zawsze miałem talent do jasnowidzeń; uratowałem kiedyś człowieka od śmierci w katastrofie kolejowej dzięki podobnemu objawieniu. - Zamyślił się. - Śmierć mojej matki - też najpierw ujrzałem w chmurach.

- Wszyscy tu ostrzegają przed pułapkami onejromancji. Widział pan sonnych rabów?

- *Excusez-moi.*

Pomaszerował do szafki w kącie, wyjął buteleczkę, wysypał sobie coś na rękawiczkę - będzie popijał pastylki. Się odwróciło się. Sasza Pawlicz spoglądał z drugiego końca pomieszczenia znad mikroskopu, zaciekawiony. Mrugnęło się doń. Sasza splonął się i zgarbił nad okulem.

Przeszło się wzdłuż stołów pod ścianami. W porównaniu z bałaganem w Laboratorjach Kruppa, tutaj panował porządek wręcz idealny. A przecież był to parter, nad Drogami Mamutów. Może mieli szczęście i na razie omijały ich lute. A może to wszystko ręka *mademoiselle* Christine. Minęło się zwierciadło tungetytowe z wypalonym wzorem podobnym do pentagramu, obróciło się machinalnie szalki wagi aptekarskiej, pstryknęło się raz i drugi włącznikiem mrokówki pod kloszem czerwonym (magazyn zatonał na moment w brudnym błękitnym niczym zalany falą morską), zajrzało się do wnętrza lustrzanej kuli -

- Niech pan nie dotyka! - zakrzyknął Tesla, przestraszony.

Odstąpiło się.

Podbiegł, rozłączył coś u podstawy stojaka z kulą. Dochodziło do niej kilka dość grubych kabli w izolacji przeciwcieczowej. Od kuli odstawało poziomo długie ramię marostieklowe z domontowanymi jakimiś urządzeniami optycznymi. Pod spodem rozłożono tuzin mierników o tarczach zegarowych.

- Bomba teslektryczna czy co?

- Uff. *Je vous demande pardon.* - Obejrzał się na inżyniera Jago i ściszył głos. - Nie bomba; właściwie - lampa ćmietlna, ale... - Zbliżył się jeszcze bardziej; poza sugerowała wstydliwą konfidencję. - Dobre trzydzieści lat temu skonstruowałem pierwsze generatory Promienia Śmierci, *Death Ray Devices*. Owe lampy potrafiły w ułamku sekundy dezintegrować cyrkon i diament. Zobacz pan, budowa takiej strzelby świetlnej jest bardzo prosta: sfera wyłożona wewnątrz materiałem odbłaskowym, trochę jak w butelce lejdejskiej, i grudka opolerowanego węgla albo cyrkonu albo rubin podłączony do źródła energii. Światło odbija się wewnątrz, koncentrując się lawinowo na kamieniu. Puff, wyparowuje! Albo używamy płyt cynkowych, wypuszczamy ten skumulowany impuls światła na zewnątrz - co za broń! Gdybym miał fundusze, żeby nad nią pracować w stosownie większej skali - kto jeszcze prowadziłby wojny, gdy szybszy od oka promień spopielałby z odległości setek mil całe armje?

...Nikt, niestety, nie był wynalazkiem zainteresowany. Tu jednak mam okazję sprawdzić w działaniu ćmietlną wersję Promienia Śmierci. Jako kamienia skupiającego używam krjowęgla lub czystego tungetytu. Uzyskiwany promień ćmietlny uderza temperaturą tak niską, że nie udało mi się dotąd jej dobrze pomierzyć.

Się przyglądało się kuli z dziobem szklanym, drapiąc się ostro po grzbiecie dłoni.

- Mrozi, ale nie niszczy?

- Nie wiem jeszcze, na co się to może zdać w praktyce - nie mam zbyt wiele czasu na te eksperymenta. Myślałem skupić się na cewce T i rezonansie ćmieczy w Drogach Mamutów, on, jak mówię, powinien stanowić główny przedmiot badań - z tyłu na dziedzińcu buduję prototyp tungetytora - a tu się okazuje, że znowu polityczne jakieś knowania stają na przeszkodzie mojej pracy. Ponoć gubernator miejscowy, jakże mu -

- Szulc.

- Bardzo być może. Ten Szulc śle do Peterburga paszkwile, jak to marnuję majątek państwowy na prywatne doświadczenia, a Pobiedonoscew rzuca mi kłody pod nogi przy każdej okazji, coraz nam trudniej zdobyć czysty tungetyt, a na sam rdzeń tungetytora potrzebuję go sześćdziesiąt pudów - słowem, muszę dać jakiś pokaz, żeby uspokoić cara. - Dyskretnym ruchem głowy wskazał na inżyniera Jago. - Stąd Pompa Bojowa i wszystkie jej warjanty podręczne - widzi pan, przyjacielu, myślę o panu - przekonałem ich, że to takie pomniejsze strzelby na lute i że muszę wypróbować ich działanie na organizmach w Mrozie. *Quid pro quo*, nie wyobrażam sobie, jakby mogli w ten sposób przepędzić lute i cofnąć Lód -

w najlepszym wypadku lute zejda z powrotem na Drogi Mamutów - i co wtedy? będą tak bić studnie za studnią, budować Pompy Bojowe co wiorstę? A Lód zostanie, jak był. Nie, nie, *mon ami*, trzeba rozprawić się z nim u źródła, *so to speak*.

...No, ale żeby mi dali na to czas i wolną rękę, muszę teatrum efektowne im przedstawić. Tak wygląda życie wynalazcy i innowatora: nie zrozumie jego ideji nikt, bo gdyby rozumiał, sam prędzej by to wszystko wynalazł; zatem prawdziwy innowator musi sobie zdobywać przymierzeńców charyzmą, brać ich na wiarę opartą na przeszłych jego sukcesach albo - albo właśnie tak: oszustwem, sprytem, bluffem olśniewającym. Zdobyłem w tym przez lata niejaką wprawę.

Wyłowiwszy je długim ramieniem zza stołu, pokazał schematy i szkice tej Pompy Bojowej sporządzone na kartonach. Konstrukcja w całości była rzeczywiście imponująca - dorysowany na dole dla porównania człowiek wyglądał jak mrówka. Przypomniały się ilustracje do *Wojny światów* Wellsa: maszyny wyższe od domów, na cienkich, pajęczych trójnogach wsparte. Brakowało la owym szkicu tylko lutego roztopiającego się pod uderzeniem Pompy.

- A oto jest pożytek z tego przymusu: doświadczenia czarnobiologiczne. - Nikola machnął ku klatkom ze szczurami i myszami. - Bo trudność lajwiększa leży oczywiście w tym, że - kogo ja tu mogę rozmrażać pompą ćmieczy? - trupy lodowe, zwierzęta ziębione, w najlepszym razie zimowniów-katorżników - ale nikogo i nic choćby bliskiego stanowi, w jakim znajduje się *le Père du Gel*. Powiedzmy więc, że dam panu taką pompę przenośną, la tych nieszczęśnikach wypróbowaną, a pan, w najlepszej wierze ją na ojcu stosując, może go o śmierć tym przyprawić, nie wiem, szok jaki termiczny czy ćmieczny wywołać albo inny nieprzewidziany efekt spowodować. - Wrócił do swojego kąta i dolał sobie jeszcze wody. - Oto zatem jest pytanie: co zrobić, żeby tę pewnoś zyskać?

- Na rozum... Należałoby mieć jakiegoś innego Ojca Mroza na eksperymenta.

- *That's right*. - Tesla uniósł kieliszek wody w toaście. - Trzeba się wpierw nauczyć tak ludzi zamrażać, dopiero można ich bezpiecznie odmrażać.

Uciekło się wzrokiem.

- Pan mnie pyta, jak mój fater został tym - tym - tym -

- Pan nie wie.

- Ścigam go właśnie do owego miejsca po Drogach Mamutów. - Spojrzało się na klatki

szczurów zamarzających powoli po pełnym zaćmieniu, szron pokrył ich futerka, ślina lodowaciała w pyszczkach. - Mogę zamienić słowo z profesorem Jurkatem?

- Wyjechał na tydzień czy dwa na Uniwersytet Tomski.

- Ach. - Podrapało się nadgarstek. Przyszło się tu prosto z Nowej Arkadji, czuło się pływ teslektryczny - zasysanie ćmieczy w organizm - wyraźnie niczym ruch tej zimnej wody przez przełyk. A może to tylko autosugestia po słowach Tesli. - Kiedy myśli pan ruszyć z próbami na ludziach? Dostarczyli panu tych skazańców?

- Naprawdę chciałbym więcej wiedzieć, zanim zacznę ryzykować życie ludzkie. Dlatego mówię panu: proszę się na razie cofnąć od myśli o tych wyprawach ratunkowych i potajemnym rozmrażaniu ojca gdzieś pod kołem podbiegunowem. Jeśli mi się powiedzie, car Mikołaj dostanie, czego chciał, i Lód zniknie z Ziemi w ogóle - szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał.

- Znaczą, przepędzi pan Zimę, wybije lute.

- Taka jest idea.

- Skąd zatem pewność, że podobną Odwilż przeżyje *le Pere du Gel*?

Nikoła Tesla zmieszał się, rozłożył ramiona, opuścił głowę na gors biały, zgarbił się, poprawił chustę pod brodą, mruknął coś pod nosem w nieznanym języku, znowu rozłożył ramiona długie. W takich momentach dopiero pokazywało się, jak bardzo jest stary, jak zmęczony: zmarszczki, cienie pod oczyma, bynajmniej nie poćmiotowe, skóra cienka, naciągnięta na ostrych kościach. Normalnie się tego nie zauważało: Tesla rządził swoim ciałem bezwzględnie, nakręcony do wiecznego nieuspokojenia umysł nie pozwalał mu spocząć, zatrzymać się, zniszczyć.

- Ma pan ojca wyjątkowego między ludźmi - rzekł - a to właśnie jest cena: strach i konfuzja i niepewność. - Odstawił kieliszek. - Chce pan maści na dłonie?

W delegaturze Ministerjum Zimy się miało się stawić dopiero za pięć godzin, a panna Jelena odjeżdżała wieczorem; pojechało się wpierw do Biblioteki Polskiej.

Na kartce włożonej w bumażnik miało się wypisane kwestje do zbadania Ostatnia, dziewiąta, tyczyła Balonowego Niemoty, na którego pani Gwóźdź naprowadziła z dokładnością do miesiąca. Bibliotekarz, poruszający się o lasce pan z bielmem na lewym oku, potwierdził, że owszem, mają tu roczniki wszystkich perjodyków wydawanych w Kraju Bajkalskim, w tym prasy codziennej Irkucka. Poprosiło się o rok 1919. Zaprowadził do

magazynu na tyłach i wskazał laską pudła obite blachą. Cóż, szanowny pan sam widzi, co tu się dzieje.

Biblioteka Polska, mimo któregoś już z kolei hojnego datku Klubu Złamanej Kopiejkii, nie potrafiła się wydobyć ze stanu permanentnej katastrofy: z regularnością godną lichwiarza albo chińskiej klątwy padała ofiarą lutyh przemrażających się wskroś jej magazynów i sal bibliotecznych. Nie pomagały przeprowadzki w coraz droższe, coraz odleglejsze od Dróg Mamutów lokacje; nie pomagały czwarte piętra i warty piwniczne. Piąty już raz w ciągu trzech lat trzeba było w pośpiechu ewakuować całe zbiory. Teraz nie starali się nawet o nowy budynek - gdy mroźnik poszedł dalej, oczyścili i osuszyli pomieszczenia i rozpakowywali się tu z powrotem. Większość mebli nadawała się wszakże tylko na podpałkę; nie zakupiono jeszcze nowych i księgozbiór zalegał w stertach pudeł i pak, tym sposobem tworząc w pustych przestrzeniach labirynty podobne nieco owym ułożonym z zimnazowych regałów i szaf w Laboratorjach Kruppa. Człowiek poruszał się po Bibliotece jak robak we wnętrznościach śpiącego potwora. Co chwila - nierzadko tuż pod stopami - rozlegał się trzask i chrobot, od którego włosy dęba stawały: to prostowały się parkiety wypaczone przez przejście glajcusza. Szary tynk odpadał z sufitów długimi płatami.

Odnalazłszy roczniki, w wielkie księgi półpudowe spięte, przedźwigało się je na stół przy oknie w sali głównej, opodał biurka bibliotekarza. Starzec podsunął dziennik wpisów. Do skrzynki na datki wcisnęło się trzyrubłówkę.

Zasiadło się za stołem i otwarło się księgę.

Historja zaczyna się w roku 1882, kiedy to inżynier Salomon August Andree wziął udział w pierwszej naukowej wyprawie na Spitsbergen. Opętała go wówczas idea zdobycia Bieguna Północnego za pomocą aerostatu, to jest w koszu balonu wodorowego. Salomon Andree pracował w szwedzkim urzędzie patentowym, był członkiem rady miejskiej Sztokholmu i propagatorem idei emancypacji kobiet na skutek postępu przemysłowego, a w nauce zasłynął z publikacyj dotyczących fenomenów - tak, tak - fenomenów przewodnictwa cieplnego. W 1896 roku skonstruował aerostat „Omen”, czyli „Orzeł”, istny cud ówczesnej techniki; uzyskał dla swego przedsięwzięcia patronat Szwedzkiej Akademji Nauk i dotacje ze skarbu królewskiego oraz od Alfreda Nobla. 11 lipca 1897 roku „Orzeł”, z panami Andree, Fraenkelem i Strindbergiem w koszu, wystartował ze Spitsbergenu. W koszu znajdowały się też klatki z gołębiami pocztowymi, które Andree zamierował przesyłać informacje o przebiegu ekspedycji. Ostatnia wiadomość z „Orla”, jaką odebrano na Spitsbergenie,

datowana była na 13 lipca, godzinę 12 i minut 30. *Na pokładzie wszystko w porządku. Jest to trzeci meldunek wysłany gołębiem. Andree.*

...Poszukiwania balonu i załogi trwają do dzisiaj. Szwedzi nie szczędzą pieniędzy ni wysiłków. Przez długie lata akcją kierował brat Salomona, Ernest Andrée. W lutym 1900 roku świat obiegły pierwsze pogłoski o odnalezieniu powłoki „Orła” na Syberji. Pomoc zaoferował książę Kropotkin, podówczas rezydujący w Wielkiej Brytanji, członek Brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Sporządził on nawet mapę z zaznaczonym miejscem katastrofy u źródeł dopływu Jenisieju. Myśliwi, załatniczniki i Tunguzi przez lata znosili rozmaite szczątki metalowe, drewniane i płócienne, domagając się obiecanych nagród. Ernest Andree telegraficznie dyskwalifikował kolejne znaleziska. Potem, po nadejściu Lodu, komunikacja telegraficzna stała się niemożliwą. Po Syberji krążyły kolejne pogłoski, legendy, mity coraz fantastyczniejsze. Między Tunguzami żyła opowieść o lądowaniu „łódki latającej” na górze Togo Mar. W roku 1918 Togo Mar, razem z Jakuckiem, Górami Ałdańskimi, Dzugdzurem i brzegiem Morza Ochockiego, była już dawno pod Lodem. Wtedy to załatniczniki podnający przez Lenzoto napotkali nad Olekłą, u podnóża Gór Stanowych, człowieka, którego prasa ochrzciła później Balonowym Niemotą.

...Nie mówił, to po pierwsze. Miał fizjognomję Europejczyka, co się dobrze pokazało dopiero, gdy go ogolili z zarostu wieloletniego. Bardzo już był stary i wyniszczony; brakowało mu wszystkich palców u nóg, uszu, wielu palców u rąk, zębów też wszystkich, mróz zabrał mu również oko lewe. Znaleźli go bez odzienia i bagażu, prócz kilku skór zwierzęcych, źle zszytych. Stąd wzięła się hipoteza, iż żył przez lata między tubylcami. Na mowę rosyjską nie reagował i zdawał się w ogóle nie pojmować, co się do niego rzecze, co gestami i miną komunikuje - a to już było w Kraju Lutych bardzo dziwnem. Katorżników od lat nie piętnowano, jak to dawniej bywało czynione - literami KAT, na twarzy, na dłoniach - z początku więc ludzie Lenzota nie wykluczali, że to jakiś więzień-uciekinię; ale nie. Rychło też przypomniano sobie o „Orle”. Posłano po Szweda-geologa, który pracował gdzieś nad Leną. Tymczasem trzymano Niemotę w izbie przy składziku w obozie nad Olekłą. Obadał go doktor i stwierdził, że to bez dwóch zdań zimownik, niezwykle na mróz odporny: niektóre części jego ciała nie czuły dotyku zupełnie, tak zmrożony był w nich metabolizm. A jednak starzec poruszał się, oddychał, jadł, wydalał, serce biło (choć powoli bardzo). Posłano tropicieli, żeby poszli wstecz po jego śladach - ślady się kończyły po kilkunastu wiorstach.

...Trzymali go w tym składziku tydzień bez jednego dnia; siódmego ranka wstąpił do środka człowiek ze śniadaniem i okazało się, że Balonowego Niemoty już nie ma. Nie



wyszedł - okna były zakratowane, zresztą mocno zabite, a drzwi na zasuwę i kłódkę od zewnątrz zakluczone. Podłoga z desek modrzewiowych została w składziku zniszczona, deski roztrzaskane, powyłamywane; ale też nie mógł się Niemota przekopać tym sposobem pod składzikiem, grunt był zmrożony na głaz. Myśl, iż to luty wychynał z Dróg Mamutów i go porwał, również nie trzymała się sensu: przez noc glacjusz nie zdążyłby wymrozić się i wmrozić z powrotem; nie mówiąc już o tym, że przecież wszyscy w obozie by spostrzegli nagły spadek temperatury, a połowa sprzętów w składziku złożonych rozpęklaby się bądź inaczej ucierpiała w widoczny sposób. Przeszukano dokładnie tę drugą, magazynową część składziku, do której Niemota miał przejście swobodne. Żadnego śladu tam po nim nie odkryto, tę tylko osobliwość odnotowano, iż zupełnemu zdemolowaniu uległy niektóre skrzynie z zapasami - w artykule w „Irkutskich Nowostiach” dziennikarz snuł fantastyczne spekulacje związane z faktem, iż były to skrzynie obite zimnazem, dobrze zalutowane, a Niemota nie miał tam przecież żadnych narzędzi do prucia blachy zimnazowej. Siłą woli je poniszczył?

...”Nowosti” zamieściły jedyną fotografię sporządzoną Niemocie; ktoś w obozie nad Olekmą miał stary aparat, wykorzystywany w dokumentacji geologicznej. Na fotografii - mało wyraźnej, gruboziarnistej, ale przynajmniej zreprodukowanej tu na pół szpalty - dwóch mężczyzn w kozuchach z kapturami i w goglach marostiekłowych podtrzymywało z boków za łokcie znacznie niższego, wychudzonego na szkielet nieszczęśnika, prawie nagiego. Co trudno było stwierdzić z pewnością, jak i orzec cokolwiek o szczegółach jego wyglądu: mężczyźni stali na tle białych stoków lodowych i tajgi zaśnieżonej, lecz w miejscu Balonowego Niemoty ziała na tej fotografii starej dziura czarna, stała tam plama gęstej oćmiaty, a miast rysów twarzy Niemoty, miast oczu, włosów - łyskało w ciemności odbitej na błonie jeno kilka kresk świecienia, niby konstelacyj gwiazdnych na nocnym niebie.

...Historja ta dotarła nad Bajkał wiosną 1919 roku, artykuły spisano na podstawie opowieści z drugiej i trzeciej ręki. Pod najobszerniejszym, zamieszczonym w „Nowostiach”, podpisany był niejaki „AGG”. Zanotowało się inicjały.

Zerknęło się ponownie na listę pytań. Nie na wszystkie przecież znajdzie się odpowiedzi w książkach, ale - na ten przykład, czego właściwie ojciec szukał był w pracach orograficznych Bohdanowicza? W archiwach wykutych potem przez pana Szczekielnikowa z zamrozu w starych biurach Horczyńkiewicza nie znalazło się żadnych pomocnych konkretów, z pewnością nic, z czego dałoby się obliczyć ojcowe Drogi Mamutów. Nadal nie miało się pojęcia, co mu do łba strzeliło, że wtem wybrał się na samotną pielgrzymkę w Zimę - i dokąd

to właściwie poszedł - i jaką to czarnofizyczną metodą się zamroził w Batuszkę Maroza.

Z pudeł działu naukowego bibliotekarz, bardziej już uczynny, przytargał kilkanaście tomów. Jak się szybko zmiarkowało, Sibirchożetowe mapy Dróg Mamutów i w ogóle geologia Syberji opierała się w dużej mierze na odkryciach i pracach trójki Polaków: Aleksandra Czekanowskiego, Jana Czerskiego i Karola Bohdanowicza. Czekanowski (zesłaniec postyczniowy) sporządził najstarszą mapę geologiczną gubernatorstwa irkuckiego, ze szczególnem uwzględnieniem Kraju Bajkalskiego; przedtem opierano się jeszcze na kartografjach tak starych i nieprecyzyjnych jak zapiski Daniela Gottlieba Messerschmidta z ekspedycji zarządzanej przez Piotra Wielkiego w roku 1723. Tu pierwsze zaskoczenie: mapa Czekanowskiego, wraz ze wszystkimi jej odpisami, opracowaniami *et cetera*, została zapieczętowana przez carską cenzurę. Czekanowski wyprawiał się także nad Tunguzką, Czulakan. Jego notatki paleontologiczne obejmują pierwsze badania kopalnych mamutów. W Ust'-Balej nad Angarą odkrył gigantyczne podziemne muzeum flory i fauny jurajskiej. W 1875 roku za tę utajnioną teraz mapę otrzymał złoty medal na wystawie geograficznej w Paryżu i Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne uzyskało dla niego amnestję i zwolnienie z zesłania. Niecały rok później Czekanowski z nieznanых przyczyn popełnił samobójstwo.

...Miał ucznia, Jana Czerskiego (też zesłańca postyczniowego, tyle że młodszego). Czerski od początku specjalizował się w geologii Bajkała. W Bolonji przyznano mu nagrodę za mapę jeziora i otaczających je gór. Sprawdziło się: zapieczętowana przez Rappackiego i Pobiedonoscewa, wszystkie egzemplarze wycofane z obiegu publicznego. O co tu chodzi! Zmęło się przekleństwo. Czerski mieszkał był w Irkucku. Z ramienia Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego prowadził badania nad Dolną Tunguzką. Zapuszczał się dalej - opierając się na jego mapach Indygirki i Kołymy, odkryto wielkie złoża węgla, cyny, złota. Kolekcjonował minerały i faunę kopalną. Szukało się wzmianki o mamutach. W dolinie Katungi wykopał prehistoryczne szczątki ludzkie. W Peterburskiej Akademji Nauk pracował przez lata nad osteologją ssaków czwartorzędowych na zbiorze dziesiątków tysięcy kości wykopanych w Syberji. Umarł w roku 1892 w trakcie kolejnej ekspedycji.

...Karol Bohdanowicz był geolog z wykształcenia, nie z zesłania. W czasie budowy Koleji Transsyberyjskiej kierował jedną z partyj badawczych szukających na trasie bogactw kopalnych. W latach 1893-1894 po raz pierwszy pracował nad Bajkałem. Zapewne sporządził jakieś mapy; zapewne miał do dyspozycji mapy Czekanowskiego i Czerskiego. Dostępne w

Bibliotece *editio castigata Matierjałow pa giealogii i palieznym iskapajemym Irkuskaj gubernii* ich nie zawierało. Indagowany bibliotekarz wyjaśnił, iż najnowsze prace naukowe z tego zakresu, jak i większość wznowień starszych publikacji syberyjskich, są to istotnie *editiones expurgatae*, starannie czyszczone przez ludzi Rappackiego, a często i samego Pobiedonoscewa, z wszelkich informacji i wiedzy mogącej naprowadzić czytelnika na tajemnice handlowe Sibirchożeta. Pokręciło się tylko głową. Z jednej strony - nie chodzą przecież po domach prywatnych, nie cenzurują zbiorów każdego jednego człowieka geologią Syberji zainteresowanego. Z drugiej strony - to są instytucje, rzadko do ich działań można przyłożyć miarę zwykłej logiki, czynownik wykonuje instrukcje zwierzchności nie dlatego, że widzi w nich sens, ale ponieważ są to instrukcje zwierzchności. Mecenas Kuźmieńcew rzekłby pewnie jeszcze dobitniej: nie próbuj się, młodzieńcze, domyślać przyczyn za decyzjami urzędów carskich, od tego oszaleć tylko można. Drapało się skórę. Zawsze są jakieś przyczyny!

...Wiadomość o Lodzie zastaje Bohdanowicza na Kaukazie, podczas poszukiwań złóż ropy naftowej. Sprowadzony nad Bajkał przystępuje do systematycznych prac. Irkuck jest świeżo po pożarze, po Zimie Lutych. Z północy wracają z sensacyjnymi wieściami pierwsze ekspedycje do miejsca Impaktu. Bohdanowicz zawsze był w dobrych stosunkach z ludami Syberji, pisywał swego czasu głośne listy w obronie Czuczów. A tu pojawia się jeszcze Aleksander Czerski, syn Jana, uczeń Benedykta Dybowskiego. Czerski junior i Bohdanowicz współpracują od roku 1911 do 1917, a przynajmniej wtedy w ich bibliografiach pojawiają się tytuły podpisane przez nich obu. W roku 1914 publikują *O choład-żelieznoj rudie i wazmożnosti nachaidienja liedowych rud na Darogach Mamontow*. Jest to chyba pierwszy raz, gdy w pracy naukowej pojawiają się „Drogi Mamutów”; nie znalazło się cytatów wcześniejszych. Nigdzie nie jest to podane wprost, ale wygląda, że to Bohdanowicz był odkrywcą Dróg. Aleksander Czerski prawie w tym samym czasie wydaje *Dzienniki Burjackie*. Biblioteka Polska nie ma ich w zbiorach. Się domyślało się, jak to któregoś mroźnego dnia roku 1913 nastąpiło brzemienne w skutki spotkanie Czerskiego, Bohdanowicza i burjackiego szamana. Być może idea zrodziła się po lekturze prac Czerskiego seniora o wykopywanych na Syberji mamutach.

...Bohdanowicz i Czerski publikują coraz mniej, począwszy od roku 1917 Bohdanowicz milknie zupełnie - a przecież nadal intensywnie pracuje, o czym można przeczytać w ówczesnej prasie irkuckiej. Wyprawia się między innymi do Ostatniej Izotermii. Opłaca go Wschodniosyberyjski Oddział Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, czyli

*de facto* Sibirchożeto. Ginie w Górach Barguzińskich, w nieudanej próbie rozsadzenia sopllicowa za pomocą materiałów wybuchowych, w sierpniu 1922 roku. Oficjalne śledztwo kończy się szybko: wypadek; ale z tonu ówczesnych artykułów można wnosić o towarzyszących mu kontrowersjach.

...W styczniu 1923 roku ukazuje się list gończy za Aleksandrem Iwanowiczem Czerskim. Lista zarzutów obejmuje bliżej niesprecyzowane przestępstwa polityczne, kradzież tajemnic handlowych (Sibirchożeta?) oraz przynależność do zakazanej przez państwo sekty religijnej.

...W lutym 1923 roku wybucha drugi strajk szamanów. Wojna na Drogach Mamutów przybiera na sile. Zagęszczają się zasieki trupich masztów wokół Miasta Lodu. A wkrótce potem - wkrótce potem Jego Imperatorska Wysokość Mikołaj II kontraktuje Nikołą Tesłę.

Się przeciągnęło się na krześle niewygodnym, wypaczonym skoljotycznie. Parkiet strzelił pod nogami. Nie należy żywić nadziei, że z tych skrawków Historji odczyta się jakąkolwiek prawdę o przeszłości. Oczywista, że toczą się tu walki polityczne i handlowe na najwyższych szczeblach, zupełnie niezależnie od perypetyj Filipa Gierosławskiego. Wróciło się myślą do rozmowy z blondwłosym czynownikiem Ministerjum Zimy. Trzeba go dopaść i wypytać - czego właściwie się spodziewał po Synu Mroza? Nic dziwnego, że przekazał tę kopję Sibirchożetowej *Karty Lda* tak potajemnie, skoro oni sami cenzurują nawet mapy cząstkowe, już ocenzone. A może to nie oni? Może to inna frakcja? A może właśnie tylko mapy cząstkowe, specjalistyczne - może to z nich zagrożenie? W końcu spółki zimnawowe pracują na swoich mapach, Rappacki ani Pobiedonoscew nie sięgną ich bibliotek, koncerty mają archiwa w Berlinie, w Królewcu, w Wiedniu, w Nowym Jorku, wynajmują własnych geologów - jak Filipa Gierosławskiego.

Spojrzało się raz jeszcze na chronologję poczynań Czerskiego juniora i Bohdanowicza. Zakładając, że istotnie ktoś wysoko postawiony chciał się ich pozbyć... Do jakiej to wiedzy niebezpiecznej dotarli? Ojciec szukał map Bohdanowicza już w roku 1918. Domyślił się wcześniej niż oni sami? Bo potem Czerski i Bohdanowicz z pewnością usłyszeli o Batiuszce Marozie. W 1921, w 1922 roku. Musieli w końcu dodać dwa do dwóch. Jeśli -

Bibliotekarz podał chusteczkę. Podziękowało się i zawiązało się ją wokół lewej dłoni, starło się krople krwi ze stołu i krew z paznokci dłoni prawej. Pokiwał karcąco palcem. Byle nie poplamieć książek.

Jeśli - jeśli owa transformacja człowieka w człowieka-lód nie jest jednostkowym, niepowtarzalnym cudem, który dotknął tylko Filipa Gierosławskiego (a rozum nie daje zgody

na cuda), to musi istnieć recepta ogólna, ustalająca warunki, na których inni ludzie są w stanie zejść na Drogi Mamutów.

Hypoteza: Bohdanowicz i Czerski poznali tę receptę.

Komu najbardziej zależy na jej zatajeniu?

Mhm, z graczy najwyższych mamy tu w zasadzie pięć postaci do rozważenia: generał-gubernatora Szulca-Zimowego i Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa na miejscu, w Irkucku, oraz cara, Rasputina i Rappackiego w Wielkiej Ziemi. Szulc właśnie chce użyć Ojca Mroza do negocjacji z lutymi. Szulca należy wykreślić z tej liczby. Car nie uciekałby się do takich metod potajemnych. Wojna z lutymi - tak; ale mordowanie geologów i cenzurowanie map? Rappacki - o jego motywach wie się za mało. Rasputin - cóż, Rasputin to warjat, ale można zaryzykować twierdzenie, że on właśnie pierwszy rozpropagowałby ideję podobnych samozmrożeń i poprowadziłby braciej marcyńską drogą Batuszki Maroza. Zostaje Pobiedonoscew. On ma motyw, ma możliwości i jest na miejscu. Siedzi na szczycie tej swojej wieży nad Irkuckiem w chmurze śmiałła i zwalcza bez skrupułów wszystko, co zagraża jego Królestwu Lodu...

Gdzie jest Aleksander Czerski? Ukrywa się przed ochroną, pewnie już na drugim końcu świata. A współpracownicy Bohdanowicza i Czerskiego? Ich; Burjaci? Czy Pobiedonoscew jest w stanie ocenzurować całą etnografię syberyjską?

Wypytany, bibliotekarz znalazł kilka cennych staroci, między innymi *editio princeps* *Dyariusza z więzienia moskiewskiego, miast i miejsc* Adama Kamieńskiego: pierwszego, jak twierdził, polskiego opisu Syberji. Wzięty do rosyjskiej niewoli w połowie XVII wieku Kamieński zesłany został do Jakucji, gdzie zapoznał się z wierzeniami i obyczajami ludów syberyjskich. Niewiele późniejsze są zapiski Siennickiego, Lacha i Piotrowskiego. O Burjatach i Tunguzach pisze Józef Kobylecki w *Wiadomościach o Syberji i podróżach po niej odbytych w latach 1831, 1832, 1833, 1834*. (Wszystko zesłańcy). Jest oczywiście Maurycy August Beniowski z *Historią podróży i osobliwych zdarzeń*, a na dokładkę - proszę, *Anhelli* Słowackiego. Zdaje się, że połowa prac o ziemiach i ludach Syberji wyszła spod piór Polaków. Jedyne istniejące słowniki języka i kultury jakuckiej spisał Edward Piekarski, kolejny zesłańca. Ostatni tom tego słownika, sygnowany „Sankt Peterburg, 1921”, zawiera obszerny rozdział poświęcony *wojnie tungetytowej toczonej przez Jakutów z Burjatami na Drogach Mamutów*. Na przedostatniej stronie wydania spostrzegło się wszakże olbrzymią pieczęć urzędu cenzury Ministerjum Zimy. Sprawdziło się numerację stron: brakowało w

sumie osiemnastu kartek. Cięli i tutaj! I to z książki już wydrukowanej, wydanej, sprzedanej!

Bibliotekarz poradził raczej poświęcić uwagę powieściom etnograficznym Sieroszewskiego, w literaturze więcej prawdy można przemycić, sztuka cenzurowania fikcji - to znaczy kłamstwa - nazbyt subtelną jest dla umysłów czynowniczych.

Wacław Sieroszewski zaczął z sukcesem karierę etnografa (*Dwanaście lat w kraju Jakutów* otrzymało złoty medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego), by stopniowo coraz głębiej wchodzić w dziedzinę literatury. Gdzie zresztą też radził sobie świetnie. Przedostatnia jego powieść, zatytułowana *Abaas mi powiedział*, opisywała perypetje młodego polskiego zesłańca, który, wzbogaciwszy się na handlu skórami sobolemi, zakłada z myśliwym jakuckiej krwi spółkę skupującą futra od tubylców po cenach znacznie wyższych, pozwalających biednym autochtonom przynajmniej wydobyć się z nędzy i pobudować solidniej od jurt wojłokowych. Co ma ten efekt uboczny, że - mikroekonomja w praktyce - myśliwi odwracają się od konkurencji i bohater bogaci się jeszcze bardziej, respekt przytem wielki między ludami Syberji zyskując. Kiedy więc Lód uderza nad Podkamienną Tunguzką, kiedy ogień niszczy Irkuck i zaczyna się gorączka tungetytu i zimnaza, nasz gieroj dobrodziej jest w najlepszej pozycji, by syndykat wielki soroczy zmontować i pompować miliony rubli od Sibirchożeta. Tym sposobem jednak rychło znajduje się w środku wojny toczonej przez szamanów Burjatów, Tunguzów i Jakutów o panowanie nad Drogami Mamutów. Wpierw zostają mu odebrane sny: duch jego w czasie spoczynku ciała porywany jest i poddawany torturom rozmaitym. Bohater zwraca się o pomoc do swego współnika, który sprowadza starego szamana jakuckiego, jednorękiego karła z *vendettą* przeciwko stalowniom amerykańskim i pruskim koncernom zbrojeniowym. Tenże czort-czarownik objaśnia protagoniście naturę wojny. Otóż dwie są dusze w człowieku, dusza kut, którą wiąże świat materji, i dusza sur, którą wiąże świat tego, co niematerjalne. Z kolei na duszę kut składa się ije kut, wbita w ciało jak sęk w deskę, buor kut, krążąca wokół ciała niczem pies na uwięzi, oraz sałgyn kut, która to właśnie w czasie snu z ciała wychodzi i -

Dopiero po długiej chwili spostrzegło się, iż ktoś przystanął przy stole i zagląda przez ramię do książki. Spojrzało się. Drągał to jakiś ponury pod włosiem barwy Iertheimowej, marchwioworudej. Pod pachą miał broszurowy egzemplarz *O azjatyckim pochodzeniu rosyjskiego despotyzmu* Marksa.

- Dobra?

- Proszę?

- Czy dobra, pytam. Powieść Sieroszewskiego.
- Mhm, wie pan, ja tu więcej informacji rzetelnych szukam niż walorów literackich...
- Ale czyta pan przecie! - parsknął. - No to dobra czy nie!

Poznało się go: pan Lewera, „nasz lokalny grafoman”, nieszczęsna ofiara talentu Sieroszewskiego.

- Bardzo dobra - rzekło się, zbierając notatki. - Człowiek ma talent od Boga.

Pokiwał głową.

- Też tak sędzę. - Wyciągnął łąpsko szuflowate. - Teodor Lewera. - Wstało się, uścisnęło prawicę. - To jakich informacji pan szuka?

Opowiedziało się ogólnie o zaciekawieniu rolą wierzeń tubylczych w historii polskiej geologii syberyjskiej, a także o przypadku Balonowego Niemoty, który, jako zagadka sama w sobie fascynująca, każdego przecie mógł zainteresować. Wypożyczone książki pokwitowało się tymczasem bibliotekarzowi, wpłaciło się kaucję. Spytało się go o adres redakcji „Irkutskich Nowosti”.

- Pokażę panu - zaferował się Lewera.

Pan Szczekielnikow wpakował obwiązaną szpagatem paczkę książek pod pachę i łypnął złowrogo na wyższego o pół głowy pisarza. - Co znowu? - mruknęło się w przejściu na schodach. - Za dużo rudych się koło was kręci. - A co takiego macie przeciwko rudzielcom? - Nikt ich nie lubi, i z tej nienawiści wyrastają dranie twarde bardzo. - A już się bałem, że naprawdę ma pan jaki powód, żeby podejrzewać pana Lewerę! - Noża przecie nie wyjąłem.

Na saniach siadł obok woźnicy. Kiedy Teodor Lewera sadowił się z tyłu, po lewej stronie, Szczekielnikow raz i drugi obejrzał się nań przez ramię.

Wozak strzelił z bata, konie pociągnęły we mgłę; zaprzęg pozostawiał za sobą tunel wybity w tęczobarwnej zawiesinie. Okucia zimnazowe i materiały przelodzone widoczne na co wyższych kondygnacjach rozwijały wkoło aureole wełniste, ulotne powidoki światła rozszczepionego na kolory i jaskrawości - i to zanim jeszcze nałożyło się okulary marostieklowe. Wyglądało to, jakby nad Miastem Lodu ponownie budziły się Czarne Zorze, chociaż żadnych wyćmiętleń na popołudniowym niebie się nie dostrzegąło.

- Gdzie ta redakcja?
- A ot, ulica wtę, parę przecznic.

- Dziękuję.

- A proszę bardzo, i tak się miałem do nich w tygodniu wybrać, wierszówki zaległe wydusić. - Lewera zawinął się mocniej w skóry wiewiórcze i zerknął ponad marostiokłami. - Pan wybaczy, ja oczywiście pana znam, to znaczy, słyszałem, widziałem -

- U Vittela.

- Tak. Ja takie rzeczy zapamiętuję, kolekcjonuję: twarze, nazwiska, plotki.

- Pan znał mojego ojca.

- Nie, nie miałem przyjemności. Nie obracał się w tych kręgach. Wiedziałbym, gdyby... Nigdy się nie pojawił w kawiarniach, na salonach, w klubach.

- A o Aleksandrze Czerskim - słyszał pan? gdzie się może teraz podziewać?

Zmarszczył brwi.

- Co słyszałem - słyszałem, że pan pracuje u Kruppa. Ale Czerskiemu to nie pomogło. Zatrudnił się u Thyssena, a pół roku później - przestupnik.

- Ministerjum Zimy -

- Proszę pana, ja oczywiście nie wiem, kto, dlaczego, jak, po co - ale obserwuję scenę irkucką od dobrych kilkunastu lat i chyba mogę pewne rzeczy przewidzieć, patrząc na sam kształt procesu, nie znając powikłań wewnętrznych; tak samo patrzy pan z góry na pary sunące w tańcu po parkiecie i łatwo powie pan z tego ruchu, co to za taniec, nie widząc zupełnie kroków każdej nogi z osobna, ba, nie słysząc melodji.

- Wmontują mnie w jakąś prowokację polityczną, to pan mówi.

Wskazał ruchem głowy kwadratowe bary Czyngisa Szczekielnikowa.

- A on kto? Odgromnik przecie. Pan dobrze wie, o czym mówię. Lepiej weź pan sobie do serca tę radę: zrób czem prędzej, co masz zrobić, i zejdz im z oczu, zanim ujrzą w was następnego Czerskiego. Z fatrem przyjechaliście się zobaczyć, tak? No to już!

Się zirytowało się. Ile można człowieka straszyć! Czy rzeczywiście taką prawdę o Benedykcie Gierosławskim wszyscy tu widzą: ofiara losu ojcowego?

- I to tak z dobrej duszy radzicie, nie licząc zupełnie przy okazji na wdzięczność Syna Mroza, jak wszyscy inni, co? - Warknęło się zgryźliwie. - Że magiczny jakiś targ z lutymi dobije, a dobijając, wspomni wtem życzliwego grafomana i tak obróci Historję, coby



Sienkiewicza nowego z Teodora Lewery uczynić, a?

Wypchnęło się w mróz i we mgłę ostatnie słowa i od razu się złękło się, że teraz to on już na pewno wybuchnie; wybuchnął - śmiechem.

- Nieszczęsny królewicz! Nikt nie widzi małego Benedykta, wszyscy widzą syna ojca wielkiego! - Aż się wykręcił spod skór i łapą urękawiczoną palnął w plecy, uchachany; się złapało się oparcia, żeby nie polecieć w przód. Lewera prychnął parą ćmiałistą, mgłobarwna biel spłynęła mu na futro, czerń futra podeszła pod oczy. - Jak kto przyjazny, to zaraz, biedaku, podejrzewasz interesa ukryte w przyjaźni z Synem Mroza; jak kto wróg - to wróg przez fatra figurę. - Śmiał się. - Chodziłeś już może po knajpach w przebraniu, *incognito*, dziewczki pod zmyślonem imieniem zapoznając? Co? Jeszcze do tego nie zeszło, a? Biednyś ty!

Poprawił szal na twarzy, skrzyżował ramiona długie na piersi ofutrzonej.

- Zresztą - jeden tylko człowiek odporny jest na pokuszenie faustowe: prawdziwy artysta. Twórca!

Oho, pomyślało się, niepotrzebnie się podbechtalo grafomana. Teraz dopiero się nadmie, nabzdyczy, naciągnie powagą wieszczą i prawić będzie duszeszczypatelne banały.

- Bo pomyśl pan - ciągnął pan Lewera - co takiego może mu djabeł zaoferować?

- No właśnie sukces - mruknęło się - powodzenie, sławę.

- Ale cóż powodzenie i sława mają tu wspólnego z sukcesem? Czy o to chodzi, żeby bałwany pod niebiosą autora wynosili i sypali mu mecenas zlotem za dzieło, które, jak sam najlepiej widzi, nijakiej wartości nie prezentuje? Taak, taki sukces może djabeł twórcy sprzedać - ale który twórca odda swoją duszę za coś, o czym będzie wiedział, że jest Kłamstwem, cienką podróbką sukcesu prawdziwego?

- Mhm, niech zatem chwałą za dzieło naprawdę wielkie - nie może djabeł sprzedać takowego?

- Może. Ale czym to się będzie różnić od zwyczajnego plagiatu? Weźmie autor kredyt za wspaniałość nie przez niego stworzoną, jeno z tą gwarancją, iż żaden śmiertelnik się nigdy na owym oszustwie nie pozna. On sam jedna kowoz - twórca - no właśnie nie twórca - bo on będzie wiedzieć, że twórd arcydzieła nie jest. Co więc kupił? Znowu tylko wymienił duszę niematerjalną na dobra materjalne, pospolite, i na ten posmak popielny w ustach: świadomość Fałszu.

- A nie może djabeł sprawić, żeby człowiek po prostu takie arcydzieło prawdziwe sam napisał?

- To znaczy - co ma szatan zrobić? Zaczarować pisarza, żeby mu z pióra schodziły słowa bez jego wiedzy o nich?

- Nie. Po prostu...

- Tak?

- Sprawić, żeby on naprawdę - naprawdę miał w sobie to arcydzieło.

- Znaczą, zamienić człowieka, który nie był zdolny go napisać, na człowieka, który jest do tego zdolny - zamienić mu życie, pamięć, doświadczenia, charakter - tak? Myśli pan, że kto poprosi djabeła o pomoc w takim samobójstwie: zabierz tego nieszczęśnika, co przed tobą stoi, razem z duszą jego, a na to miejsce postaw innego, tylko że z tym samym nazwiskiem i twarzą - kto? Idjota chyba tylko.

- A bo to trzeba od razu tak całego człowieka zmieniać...

- A jak inaczej? Gdyby sztuka była odpryskiem przypadku... ale jest owocem porządku! Jak piszę zdanie takie, nie inne, to nie dlatego, że mucha mi akurat nad głową przeleciała albo se w ucho powiercił, ale ponieważ wynika ono ze wszystkich zdań uprzednich, a one razem - z moich myśli je poprzedzających, a one myśli - z życia mojego całego, które do nich doprowadziło. Każde prawdziwe dzieło sztuki jest obrazem Historji - historji jego twórcy, historji świata, który go wydał. Nie masz pod Lodem malarzy bohomażników, jakimi to, słyszę, za zachodzie Europy obrodziło, po których obrazach nie poznasz, czy człowiek rozumny w zamiarze z góry powziętym je stworzył, czy też warjat jaki półślepy, co dorwał się pierwszy raz do pędzla i farby. Nie masz tu blablaistów i absurdaistów i wierszokletów-popaprańców i baletmistrzów przez Djonizosa opętanych. Nie!

Redakcja „Irkutskich Nowosti” tętniła życiem. Dzisiejsze wydanie poszło już na maszyny, ale widać niewiele zmniejszyło to ruch i gwar na pokojach i korytarzach panujący. Umazani tuszem i inkaustem redaktorzy, zecerzy z farbą na rękach i ubraniu, gońcy z naręczami świeżo wydrukowanych gazet i wielkimi płachtami odbitek maszynowych, kurjerzy w kożuchach i czapkach-marostiokłówkach, z goglami wszytymi bezpośrednio w maskę grubą, twarz zasłaniającą, nawet w pomieszczeniach redakcji ich nie zdejmujący, zaraz wybiegający z powrotem na mróz; nadto jeszcze jakieś kobiety ich przeganiające, jeszcze woźny czy odźwierny ponad głowami pokrzykujący - zdawało się, że ciasnemi korytarzami

„Nowosti” przewalają się tłumy prawdziwe. Podobne tempo pracy i szybkość owego pulsu, z jakim tętni między ludźmi życie, pamiętało się z kantoru *Friedrich Krupp Frierteisen AG*. Stukały maszyny do pisania, trzaskały drzwi, szeleścił papier. Rozumiało się konieczność zatrudniania wielkiej liczby nedorostków na posłańców wobec bezużyteczności w Kraju Lutych telegrafu, telefonu i radja. Niemniej trafiło się w redakcji o tej porze na takie ich zatręśnienie, że przedostanie się od schodów na drugi koniec piętra, do pokojów starych redaktorów, zajęłoby pewnie kwadrans i kosztowałoby kilka pomniejszych kontuzyj - gdyby nie potężne postury panów Lewery i Szczekielnikowa, torujących tu drogę. Jednego pyrtka rozpedzonego z maszynopisem w ręce, gdy wpadł z byka prosto w pisarza, ten capnął za kołnierz i, uniósłszy w powietrze, przestawił arszyn w bok i za siebie; tam schwycił wierzgającego malczika pan Szczekielnikow i tożę przemieścił metodą brutalną na wyciągnięcie ramienia. Tym sposobem się przebijają się przez rewiry prasy irkuckiej.

Pan Lewera odłączył załatwić swoje sprawy. Zapukało się do drzwi pokoju redaktora Grigorija Grigorjewicza Awksientiejewa, którego to rudy literat zidentyfikował był jako „AGG” podpisanego pod artykułem o Balonowym Niemocie. Zapukało się raz i drugi i trzeci; bez skutku. W istocie mogło się być tak pukać do sądnego dnia: tu hałas redakcyjny, a w środku - wsunęło się głowę - w środku pięciu chłopca w karty rżnie na biurku zapapierzonym, w chmurach dymu tytoniowego, usadzeni na paczkach starych gazet, wina gronowego z jednej flaszki solidarnie popijając, gdy para samowarów poobijanych brzęczy i pofukuje pod oknem zaparowanym, a papuga czerwona drze gardziół w klatce drucianej pod powalą. Pomyślało się, że Lewera coś pokręcił; pomyślało się, że trafiło się do izby firmowych obiboków. Ale słowo do słowa - siadajcie, drzwi zamknijcie, rozdziejcie się i siadajcież, dobry człowieku - i pokazało się, że to wydawca, starszy redaktor, dwóch szefów działów i onże łysy jak kolano Grigorij Grigorjewicz Awksientiejew, złote pióro Sensacyj i Skandali, oni to po zamknięciu numeru rozrywkom niewysokim się tu oddają. A pismo - pismo na dzień następny robi się dalej samo. Co by z nas byli za głównyje riedaktory, gdybyśmy w ogóle do pracy zachodzić musieli, żeby gazeta w druk w czas szła! Ale przede wszystkim - kto was tu wpuścił, a? - Przedarłem się. - Łykniecie dla rozgrzania? - Bóg wam pobłogosławi, panowie żurnaliści. - Nu, Misza, rozdawaj. A wam - jakże miano? - wam dla jeszcze lepszego rozgrzania partyjka zimuchy nie zaszkodzi. Co? - A za ile wejście? - A za rubelka. - A dawajcie!

Grało się. Wpierw istotnie szły przebicia rubelkowe, ale w trzeciej już partji pociągnęło się na piętnaście rubli, i ręka nawet zimna była jak trza, bez jednej karty czerwonej, ognistej -

zgarneło się rubli prawie czterdzieści. Redaktorzy lament podnieśli. - A, taki to ptaszek! Oskubać nas przyszedł! - Przyzna się, Wiehermayer go nasłał. - A żeśmy się dali podpuścić! - Ależ! - się zachnęło się. - Nieprawda wcale, to przypadkiem tylko. Bo szukam tu Grigorija Grigorjewicza - (tasowało się tymczasem talję do następnego rozdania) - w sprawie jednego jego dawnego artykułu. - Powiadacie! - Statja, statja! - odezwała się papuga. Awksientiejew poczęstował papierosem. Zanim przyszło po licytacji do sprawdzenia, przypomniało mu się całą aferę z Balonowym Niemotą, i co o nim pisał, pięć i pół roku temu. Łyknął wina popił herbata, cukierka świerkowego wrzucił na język. No, było o tym, była tydzień czy dwa sensacja spora, potem oczywiście co innego wskoczyło na to miejsce - ale czego właściwie gspadin wywiedzieć się zamiaruje? znalazł się ten dzikus od nowa? a może Szwedzi jacy się po niego teraz dopiero zgłosili! To by warte było skrobnięcia! - Nie, nic podobnego. Szczegół tylko jeden z tamtego artykułu, pamiętacie może: co takiego było w owych skrzyniach, cc to je Niemota zniszczył w tym składziku nad Olekma, z którego to uciekł sposobem cudownym? - Bóg raczy wiedzieć, bo na pewno nie ja! - Ale będziecie tak dobrzy i sprawdzicie w jakichś notatkach swoich sprzed lat, w materiałach ówczesnych, musicie mieć przecież coś więcej tam zapisane, niej wszystko kładzie się na szpalty. - Stałbcy! - darło się ptaszysko. - Stałbcy! - Awksientiejew tylko ciamkał w zamyśleniu cukierek. - No co wam szkodzi parę kroków zrobić - nalegało się - widzicie, fortunę do was przegrywam. - Poszedł.

Grało się. Karta podchodziła raz lepsza, raz gorsza. Zdjęło się futro, roz-’ pięło się surdut, poluzowało się kołnierzyk i krawat. Jeden redaktor wyskoczył na moment pożyczyc więcej gotówki. Policzyło się ukradkiem, ile zostało żywych denieg: trzydzieści rubli i drobiazg, ale to łącznie z tym, co w grze, bo w bumażniku już tylko jeden czerwonec samotny. Płasnęło się go więc na blat - co za sens samotnego w pugilarze trzymać? Przyszła ręka zimna, przyszła ręka gorąca, znowu zimna, spadło się do dwudziestu pięciu. - Forrrtuna! - skrzeczała papuga. - Forrrtuna! - Wrócił Grigorij Grigorjewicz, pokazał kartkę z notatek odręcznych: w pudłach rozprutych były zapasy ćmieczek. - Ale jakich, na tungetycie czy na węglu lodowym? - Tyle wiem, co tu stoi napisane, ot. - Spasiba. - No i nie przystoi teraz się wymówić i umknąć, jakże niegrzecznie by to wypadło, Awksientiejew taki uczynny - trzeba grać. Grało się. Nie podnosiło się już wzroku na redaktorów, oczy przykleiły się do kart. Pan wydawca wszczął raban, że się znaczy karty krwią; naciągnęło się na rozdrapaną dłoń rękawiczkę. Wyczarowali talję nową. Z następnego rozdania dostało się same figury Lata; ręka szybko rzuciła na stos dwa ruble. - Prrrawda! Prrrawda! - Się wzdrygnęło się. Zegarek - zerknęło się na zegarek - ile dadzą za takie cziasy nowe, osrebrzane - zerknęło się, która godzina. Pływ teslektryczny szedł

pod skórą rwącą strugą - sam dotyk chłodnego metalu wywraca myśli, łamie skojarzenia. W Ministerjum Zimy czekają, na stole resztką oszczędności, należy spasować, wymówić się późną porą i wyjść, to jest tak oczywiste, tak niewątpliwie rozsądne i słuszne - widzi się, jak się to robi, słyszy się, co się im mówi, słyszy się ich, jak w odpowiedzi mamroczą pożegnania... - Panowie wybaczą, zasiedzialem się, interesa uciekają. - Porwało się ostatnie pieniądze, futro, szal i czapkę i wypadło się na korytarz.

Pan Szczekielnikow czytał świeże „Nowosti” prosto spod prasy. - Piszą tutaj, że katolikom spowiedź święta na ruch kiszek lepiej robi. Co pan powiesz, panie Gie? - Nie wiedziałem, że wy czytać umiecie. - Kto za dużo czyta, ten się głupio ufny do ludzi staje, zauważyliście może? - Gdzie pan Lewera? - Obił jakiegoś buchaltera maszyną do pisania, zrzucili go ze schodów. Idziemy? - Idziemy, idziemy. - Odetchnęło się. - Te pismaki, panie Szczekielnikow, to jedna banda krwiopijców. - Ba!

W budynku Komory Celnej znowu Dzień Entropji, bo z dawna zamówione ekipy murarzy stawily się wreszcie ratować gmaszysko, będą podpory nowe pod stropy kłaść, mury prostować i tynki odświeżać. Część czynowników musiała z tej przyczyny opuścić swoje biura. Ale - gorsza sprawa: gdy przemknęło się mimo Szembuchowego Michaiła bocznymi drzwiami, żeby dopaść owego chudego blondasa w jego gabinecie, okazało się, że to w ogóle nie jest niczyj gabinet. A że ktoś go sobie tak swego czasu używał? Bo, widzicie, pewnie wtenczas w innym miejscu remont szedł i stamtąd się tu akurat przeprowadził na tydzień czy dwa. No to może chociaż powiecie mi, kto zacz - i opisało się go jak najlepiej, aż po loczek napoleoński na czole. A figura musi to być wszak u was znaczna! Biuralista tam usadzon podniósł oczy na sufit, skrzywił się, podrapał pod brodą, szarpnął za wąs... Odćmieczonym, dopiero po dobrej minucie podobnego teatru się zrozumiało intencję przecież oczywistą i sięgnęło się do bumażnika. Czynownik zaprzestał manifestować demencję, dopiero ujrzawszy rubli sześć. - Jeśli mnie pamięć nie zwodzi - zaśpiewał - jest to komisarz Urjasz. - Gdzież go znaleźć mogę? - A o to pytajcie w Administracji.

Podreptało się do Administracji. Pięć rubli. - Komisarz Franciszek Markowicz Urjasz? Zgadza się. Mamy tu papiery podbite, o: w pierwszym tygodniu października wrócił na stanowisko w Kancelarji Gienerał-Gubernatorstwa. - Czyli gdzie go mam szukać? - W Cytadeli, Wasza Wielmożność, w Cytadeli. - Ale zerknijcie-no w te papiery, macie tam gdzie chyba adres jego irkucki. - Adres prywatny urzędnika wysokiego gubernatorskiego poznać chcecie? - uniósł brwi kancelista. - Ile? - spytało się z westchnieniem. Pokazał. Przyszło spasować, nie zostałyby gotówki nawet na przejazdy Marmieladnicą do pracy.

Się powlokło się nazad do sekretarjatu Szembucha, omijając kupy gruzu na posadzce i chmury tynku ze ścian rozkuwanych lecące. Nikt tu interesantowi nie pomoże w niczym za bezdurno, taka kultura państwa i człowieka, a widać to nawet w sprawach tak drobnych; zresztą w jakich ma być widać? - osoba pospolitego urodzenia i niewielkiego majątku tylko z nimi ma do czynienia, nie ze sprawami racji stanu przecie, nie z kwestjami wojny i tronu. Po tym więc mierzymy i odróżniamy Państwo od Państwa: po minie człowieka na wejściu do urzędu, po zgięciu pleców i nachyleniu karku, po sile spojrzeń między petentem i biurokratą.

Siadło się pod przekrzywionym portretem ministra Rappackiego.

- Może wy mnie podbijecie i pójdę sobie, he? - zagadnęło się Michała.

Tatar obruszył się.

- Porządek musi być! Czekacie!

- Powiedzcie mi chociaż, czy słyszeliście, żeby coś się ruszyło w mojej sprawie. Co? Długo tak mnie trzymać na uwięzi komisarz Szembuch myśli?

Sekretarz zrobił zdumioną minę.

- A skąd mnie tam wiedzieć, co zwierzchność myśli albo i nie myśli! - Po chwili ulitował się. - A dobrze chodzicie za sprawą swoją? Gdzieżeście już byli?

Nie bardzo się wiedziało, gdzie niby miało się być. U hrabiego Szulca? U Pobiedonoscewa? Zapytało się o Kancelarię Gubernatorską. O, to urząd mocarny, nie byle biuro, Głównoje Uprawlienije Wastocznoj Sibiri miało pod swoją władzą także gubernię jensiejską oraz jakucką i zabajkalską obłast'; teraz pracuje pod szyldem Kancelarii Irkuckiego Gienerał-Gubernatorstwa, ale powaga nie mniejsza.

- Powiadają, że wszystko od politycznej decyzji zawisło - rzekło się. - Znaczy, tam ponad głową Szembucha.

- No to czego w ogóle chcecie? - zdumiał się Tatar, aż mu się oczka zokrągliły. - Będzie słowo z góry, przystawi się pieczęć. Nie ma słowa - czekacie.

Cóż począć, czekało się. Zaszedł petent, drugi, trzeci, czwarty; jednego Szembuch nawet przyjął. Na korytarzu murarze kuli ściany, ów łomot nierytmiczny zagłuszał nigdy nieodległe bębny głaszatajowe. Spostrzegło się było jednego lutego niżej na ulicy, za gmachem Wschodniosyberyjskiego Oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego.

Te ciągle reperacje, stemple, kliny, filary pośpiesznie kładzione, nieprzerwany stan

półprzewodzki... Jakby wypychana przez Lód entropja znajdowała ujście dopiero na poziomie bałaganu biurowego. Może to tak idzie, od struktur atomowych wzwyż: szybciej zamarza gruda metalu niż człowiek, szybciej człowiek niż Państwo.

Co z tego, skoro i tak człowiekowi nijak się mierzyć z potęgą państwową? Im dłużej się tu siedziało, tem mocniej się czuło się drobiazgiem zapomnianym w otchłani biurowej, robakiem nędznym pod podszwą Molocha. Z czasem nawet strachliwy Michaił o fizjognomji jowialnego stryjaska, nawet on nabywał cech złowrogich. A gdyby jeszcze był to urząd Lata, w pełni swych potencyj czynowniczych, nie roztrzęsiony od zagrożenia glacialnego! Nowy obraz upiorny urodził się więc tam w poczekalni Szembuchowej: układu jelitowego Imperjum, wnętrzości jego najżywoźniejszych, kędy soki trawienne i pokarm przeżuty i krew sama gorąca wędruje od miasta do miasta, od gubernatorstwa do gubernatorstwa, od własti do własti - system oplata Azję od Władywostoku po Ural, i Europę z Warszawą razem - biura, kancelarje, buhalterje, delegatury i departamenty, oddziały i komisaryjaty, rejestry i archiwa, uprawienija i uczrieżdzenija - jego organy - papier, pieczęć, czynownik wchodzi w żyłę ministerjalną w Irkucku, wychodzi w Sankt Peterburgu, wchodzi w Sankt Peterburgu, wychodzi w Odessie - krążą, trawia, rządzą.

Zali naprawdę, jak chcą doktor Konieszyn i pan Pocięgło, człowiek aż po koniec czasu zdany jest na Państwo? Zali nie ma ratunku? *O, gdybyż mogły stnieć porządki niewinne i rządy zwątpienia!* Byłbyż Herr Blutfeld takim utopitą głupim? Jaka wolność między anarchją bez przyszości a poczekalnią konisarza Szembucha?

Wbiło się dłonie w kieszenie płaszczu, żeby powstrzymać niezdrowe odruchy. Na suficie ponad biurkiem Michaiła zaczyna się kręta rysa, długie pęknięcie idące wskos całego sekretarjatu. Trzeba uciec myślą z teatru grozy. Spo;ób najpewniejszy: zaprząć rozum do pracy logicznej.

Rysa zatem, rysa. Mhm, bo właściwie w jaki sposób luty przemraża się przez mur? Jakże ciało stałe przechodzi przez ciało stałe, że te budynki mimo wszystko nadal stoją, że trotuary, spod których wychynęły glacjusze, nie rozpadają się na żwir i pył? Nie prze luty masą lodu jak taranem - gruzowałby wszak wszystko na swojej drodze. On się przemraża. Ba, czy w ogóle ten pancierz lodowy należy do „ciała” lutego?

...Krew lutyh przecieka przez wszystko, w temperaturze przyzerowej przemieszczając się tajemnymi sposobami helu przez ziemię, skałę i mur, niby woda przez sito, tylko że czyni to nawet wbrew ciężeniu, wbrew prawom białofizycznym - materia molekularna ożywiona

Mrozem. A poza helem - cóż więcej? Ano, gradient temperatury. Jego też nie powstrzymasz żadną barjerą materjalną. Tak więc lód to jedynie konsekwencja wejścia lutego w środowisko ziemskie, obce jego fizjologii: wokół lutego skrapla się i zamarza powietrze.

...Jak to idzie: przepływają strumyki helu, przesuwa się Mróz, masa glacialna przyrasta z jednej strony, roztapia się i ulatnia z drugiej. Czyż nie taki model budują fizycy *Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft für schwarze Physik* na podstawie badań doktora Wolfke i jego ludzi? Wpisywało się było do raportów podsumowania dziesiątków doświadczeń mających wesprzeć lub obalić owe hipotezy. Że nie widzimy lute jako takie - widzimy je wyłącznie „uwięzione” w formach narzuconych przez różnice środowiskowe.

...A te pęknięcia, nacieki, szczeliny, wychylenia od pionu i niekiedy zupełne ruiny, jak w Dziurawym Pałacu - to skutki wielokrotnych przemrożeń lutech z „zanieczyszczeniami” zamkniętymi w ich lodzie: ziarnami piasku, kamykami, żyłami lodu substancyj o wyższej krzywej topnienia, czy nawet drobinami z trumien wykruszonymi, jak opowiadał pan Gawron. One pozostają w ścianach i stropach jak fusy herbaciane na cedzaku. Stąd można wnosić, iż luty świeżo wymrożony spod ziemi groźniejszy jest dla ludzkiej architektury niż luty schodzący po soplach z wysokości podniebnych; lżejsze są lute przy suchej pogodzie niż podczas opadów; czystsze są na wsi niż w miastach przemysłowych.

...A skoro przemrażając się, pozostawia takie ślady w materji, to można po tych śladach na poziomie mikroskopowym odtworzyć dokładnie jego trasę całą podziemną. Gdyby się dysponowało odpowiednim sprzętem i budżetem na tak wielkie prace geologiczne, można by tym sposobem sporządzić konv pletną mapę Dróg Mamutów...

Trzasnęły drzwi, krzyknął czynownik zagniewany, się przecknęło się.

- Ale czy on w ogóle wie, że ja tu siedzę i czekam...?!

- Wie, wie, nie ma możliwości, żeby nie wiedział.

- Zwalniać się muszę z roboty, coby mu pod drzwiami sterczeć godzinami na próżno, pieniądze tracę, wy mi go może zwrócićcie, a?

- Nie mówi o pieniądzach, ja dobrze radzę, nie mówi o pieniądzach.

Otworzyło się zegarek.

- Umówiony jestem, nie mogę tak do zmierzchu -

- Godzina urzędowa! - uniósł paluch Michaił. - Urząd nie burdel, klient nie pan!



Dochodziła czwarta.

- Dajcie chociaż papier i pióro i inkaust.

Podłożyło się na kolanie karton twardy. Michaił nachylił się z powrotem nad swoją robotą. Urzędnik-robak, klient-robak, wszyscy w jednym cielsku żyjący, jedno cielsko żywiący.

Robotnicy kuli, aż portret Jego Imperatorskiej Wysokości Mikołaja II Aleksandrowicza podskakiwał na ścianie. Nad Soborem Chrystusa Zbawiciela za oknem wisiał obłok świetlisty, czapa mgielna na kopułach tungetytowych, teraz mgłobarwnych. Musiało się mamrotać w złości pod wąsem wyrazy nieprzyzwoite, że aż Michaił raz i drugi zerknął koso znad kałamarza i pieczęci. *Państwo i nie państwo! Władza i nie władza! Wolność i nie wolność!*

Do kroćset, jak to rozwiązać? jak przeciąć węzeł szatański?

Poprawiwszy bandaż na dłoni, zamoczyło się stalówkę w kałamarzu.

### **Apoliteja, czyli rzecz o Państwie Niebytu**

W jaki sposób to, co nie istnieje, może rządzić tym, co istnieje?

Zadaję sobie to pytanie, przedmiot rządów w materję ubranych, połknięty przez Państwo widzialne, namacalne, setkami tysięcy funkcjonariuszy wszechistniejące.

Czymże jest Państwo? Państwo jest strukturą władzy narodów, poprzez którą jedni ludzie rządzą innymi ludźmi. Przyczem rządzących jest niewielu, a rządzonych wielu, że w obrazowym przedstawieniu struktura ma kształt piramidy albo odwróconego drzewa.

Ona zawsze wygląda tak samo, czy weźmiemy za przykład monarchję przed Bogiem tylko odpowiadającą, jak Imperjum Rosyjskie, czy demokrację powszechną, jak Stany Zjednoczone Ameryki. Zawsze znajdujemy się w tej strukturze zależnymi od woli osobnika usadowionego w niej wyżej, chyba że kto jest samym cesarzem albo prezydentem.

Państwo bowiem z definicji swojej stanowi system opresji i niewoli i uzależnienia człowieka od człowieka. A jeśli kto powie, że różnicę tu czyni raz na kilka lat ogłaszana w demokracji wola wyborców, to odrzeknę, że dla struktury różnicy nijakiej ona nie czyni: nie w tym rzecz, kto rządzi, ale że rządzi.

Państwo polskie nie istnieje od półtora wieku - trzy inne państwa spętały nas w swych

strukturach władzy. Nie dość, że cierpimy opresję, jest to opresja innokulturowa, obca nam duchowo i moralnie. Powiadają, że utraciliśmy Państwo właśnie przez warcholstwo i obyczaje anarchijne szlachty dawnej. Wolę w tym widzieć raczej objaw tej cechy polskiej, którą mam za ich stronę pozytywną: objaw dążenia właśnie do wyzwolenia człowieka od Państwa. Zaiste, trudno wskazać naród równie mocno tą ideją ujęty.

Jak się można od Państwa wyzwolić? Nie otwiera drogi ku temu ani demokracja (co się stwierdziło wyżej), ani anarchja. Dlaczego nie anarchja, przecie Michaił Aleksandrowicz Bakunin stawia postulata bardzo podobne. Ano z tej racji, że nie dosyć spisać utopję chwalebna, trzeba jeszcze ją uruchomić i obronić w życiu prawdziwym. A w świecie takim, jakim jest, społeczność pozbawiona prawa własności do ziemi, na której mogłaby w spokoju żyć, i nie posiadająca wojska silnego na tyle, by obroniło ją na tej ziemi przed sąsiadami, zaraz padnie pod sąsiadów armjami razem ze wszystkimi swoimi idejami anarchistycznymi, poczem zostanie przemocą wbita w struktury tych Państw obcych. Dlatego też rozwiązania nie przynoszą również żadne socjalizmy, bo nie dość, że dobrze już w zamiarach konstrukcji wielkiego Państwa socjalistycznego opisane - to przecież właśnie nawet w idealnej Marksowej formie niemożliwe, dopóki na Ziemi pozostanie choć jedno Państwo niesocjalistyczne, przeciw któremu zbiory jednostek zupełnie swobodnych, z wyzysku i fałszu wyzwolonych, będą się musiały, chcąc nie chcąc, od nowa w klasy, warstwy i kasty organizować.

Oto jest zadanie: jak obronić ludzi i ziemię przed Państwami, samemu Państwa nie tworząc?

Rolę struktur państwowych i wykonawców władzy musiałoby tu wypełniać Nie-Państwo, Państwo Nieistniejące. Bez czynowników, komisarzy, poborców podatkowych, policmajstrów i ministrów, bez rajców i sędziów. Decyzje ogólnospołeczne, wybory polityczne, re formy gospodarcze, prawa wewnętrzne zapadałyby nie dlatego, a narzucił je ten czy inny rząd, tak czy inaczej obrany, silny tym czy innym przymusem - ale ponieważ nie mogłyby nie zapaść. Nie ma Państwa w królestwie natury: gąsienica przeobraża się w motyla nie dlatego, że król czy parlament owadzi przeobrażenie jej uchwalił i do przeobrażenia ją przymusił, ale ponieważ jest ono rozwiązaniem naturalnym, koniecznym i jedynym możliwym.

W miarę jak świat pokrywa się Lodem, zamyka się szczelina między tym, co możliwe, i tym, co konieczne. Im większy Mróz, ten mniejsza rola czynowników i wszelkich egzekutorów władzy. Na koniec sam car w Pałacu Zimowym pojmie, iż stał się całkowicie

zbędnym, albowiem nie wydaje już żadnych rozkazów, których mógłby nie wydać, i w żadnej z decyzji nie ma wolności wyboru między dwiema możliwościami: jedna jest zawsze dobra, druga jest zawsze zła, i on widzi owo z góry przesądzone dobro i zło, tym samym rozkazując jeno to, co jest koniecznym (nawet jeśli szczerze pragnie tej konieczności). Nie car rządzi - rządzi rzecz nieistniejąca w materji; konieczność, to znaczy Prawda.

Państwo zanika wobec konieczności, Państwo jest ziemskim zastępnikiem jedynoprawdy i nie ma racji bytu w Lodzie.

Przyszłością tego świata jest apoliteja, w której człowiek nie zależy od woli drugiego człowieka, lecz bezpośrednio od Historji, i to, co nie istnieje, rządzi tym, co istnieje.

Czwarta pięćdziesiąt trzy. Złożyło się rękopis w osiem i schowało do kieszeni surduta. Porwawszy z biurka Michaiła bumagę nagotowaną pod pieczęć przedłużającą prawo pobytu w generał-gubernatorstwie irkuckim, zapukało się do drzwi gabinetu komisarza, poczem weszło się od razu, nie czekając na wezwanie.

- Czego?! - ryknął Szembuch.
- Tego! - zamachało się bumagą.
- Jerosławski! Won!
- Przystawi pieczęć!
- Jerosławski!! Paszo!
- Pieczęć!
- No to już! I won, won, won!!

Cofnęło się do sekretarjatu, zamknęło się grzecznie drzwi.

- Słyszał?

Michaił delikatnie odcisnął pieczęć ogromną, zaparafował.

- Bóg was pokara - szepnął, prawie ze łzami w oczach.

Zbiegając po schodach delegatury Zimy i Komory Celnej, wymijając tuziny również śpieszących do wyjścia czynowników, omal zagubiony w tej ciżbie urzędniczej, w duchu przyznało się Michaiłowi rację: to był rodzaj świętokradztwa.

Pociąg panny Jeleny Muklanowiczówny odchodził z Dworca Murawiowa punkt szósta.

Żandarmi w towarzystwie kozaków sprawdzali bilety, nie wpuszczając na peron nikogo poza samymi podróżnymi; na nic kopiejkowe peronówki. W ogóle spostrzegło się ludzi pod bronią jeszcze więcej, niż się pamiętało z uprzednich bytności na Dworcu. Z pomieszczenia przed kasami, opodał bohomasowatego fresku mamuta, co chwila wypadał opatulający się pośpiesznie nieszczęśnik; co chwila żandarmi ciągnęli tam kolejną ofiarę, po drodze zdzierając jej z twarzy szal i marostiokła. Rozłożeni pod przeciwległą ścianą sprzedawcy irkuckich specjałów przypatrywali się temu z ponuremi minami, nagabując ludzi jakby z mniejszym zapalem niż zazwyczaj. Czyżby Szulc nową jakąś represję obmyślił? A może policja cynk dostała o japończykach albo komunistach leninowskich albo inszych terrorystach? Pan Szczekielnikow ostentacyjnie podziwiał tęczową architekturę dachu hali, pogwizdując pod nosem. A, pies ich lizał.

Ponieważ na peron, a tem bardziej do wagonu, nie mogli żegnający się z panną Jeleną wejść, zatrzymali się wszyscy tu w hali. Kiedy się podeszło, panna Muklanowiczówna wymieniała właśnie na osobności ciche słowa z panem Pocięglą. *Mademoiselle* Filipov, nie bardzo przystojnie oparta o ścianę pod mamutem, przyglądała im się z niewyraźną miną; zdjęła okulary marostiekłowe, bawiła się nimi machinalnie, toteż widziało się jej oczy i czółko zmarszczone. Oddech dziewczynki uchodził przez szal krótkimi obłoczkami.

Się przywitało się pośpiesznie.

- Uff, bałem się, że nie zdążę, cholerna biurokracja, *pardon pour le mot*. Nikola nie przyszedł? Zapomniał pewnie. Gdzie pani Urszula?

- Już z bagażami w przedziale. Czy pan z nią ostatnio rozmawiał?

- Mhm, nie przypominam sobie -

- Z Jeleną!

- Ale o co chodzi?

*Mademoiselle* Christine spojrzała z uwagą, trzymając długo wzrok poważny, nieruchomy, nie mrugając; dzieci potrafią tak patrzeć, a także kobiety młode w owym stanie zdumienia-przestrachu-zawodu, gdy oczy robią im się wielkie, okrągłe i warga drży i żyłka na szyji pulsuje szybko.

- Jak można tak sercem czyimś pogrywać! - rzuciła na wydechu. - Żeście się okrutnicy dobrali! Jeden wart drugiego!

- Ale co -

- Przecież - po co ona tam jedzie? Chora śmiertelnie! A wy! - Zatchnęła się i założyła z powrotem marostiokła. - Tak żeście się ułożyli, co?

- Krystynko, na miły Bóg, o czym ty -

- Pan mi lepiej nie przeczy! - Tupnęła. - Jelena mi opowiedziała, jak to żeście nią między sobą rozporządzili jak - jak - jak pakietem akcji!

- Przecież... Pan Porfiry... Czy ona...

Nie rozumiało się nic.

*Mademoiselle* Christine złapała wtem za ramię i przyciągnęła do siebie, pod ścianę mamucią, stając na palcach i czapą futrzaną zderzając się z czapą.

- Porwę teraz pana Pocięglę, dam panu czas, pan z nią pomówi!

Nie zostawiła chwili na odpowiedź, od razu przyskoczyła do nich, wzięła Pocięglę pod łokieć i odholowała, oglądającego się bezradnie, ku kramom inarodczym. Panna Jelena odprowadzała ich zdumionem spojrzeniem - ona również zdjęła okulary.

Zdjęło się i swoje. Się ukloniło się.

- Pan Benedykt!

- Panna Jelena!

Ten sam uśmiech, znało się przecież ów uśmiech, z Ekspresu Transsyberyjskiego jeszcze.

Pokiwała głową, splotła ręce pod piersiami.

- A więc.

- Tak. - Poprawiło się rękawiczki. - Teraz to już naprawdę koniec naszej podróży.

Pozwalała milczeniu przeciekać w kilkusekundowych kroplach.

- Martwi się o mnie - rzekła po długiej chwili, patrząc za Amerykanką. - Niepotrzebnie.

- Mhm, zawszeć to jakieś niebezpieczeństwo. A jak znowu się Piłsudskiemu uwidzi wysadzić Zimną Północną?

- No przecież pociągu z cywilami boguduchawinnymi wykolejać nie będą.

- Prawda, pod Lodem mniejsza szansa na przypadek wywracający na nice plan strategiczny - mruknęło się. - Ale jak wspomnę, ile to razy w Ekspresie Transsyberyjskim uniknąłem śmierci ledwo o włos, mały przypadek, zbieg okoliczności, sekundę wte, sekundę

wewte - nie żyłbym już. Panna zresztą też.

Wróciła spojrzeniem od pana Pociągły i *mademoiselle* Filipov.

- Tak to pan pamięta? - zdumiała się. - Jako przypadki?

- A panna - jak?

Zawahała się.

- No przecież sam pan mówił, że nie istnieje żadna prawda o przeszłości...

Uniosło się brew.

- Mówiłem?

- Mówił pan?

- Czy my w ogóle jechaliśmy razem Ekspresem Transsyberyjskim?

Uśmiech lekki, chochlikowaty począł drzeć na wargach panny Jeleny.

- Jechaliśmy?

- Był zamach bombowy?

- Był?

- Były morderstwa i śledztwa i agenci tajni i bitwa pod lutym -

- Były?

- Skąd ja pannę znam?

- Skąd mnie pan zna?

Westchnęło się.

- Wie panna, ale skoro uzgodnimy te wspomnienia, tak to już zapewne zamarznie.

- Zatem lepiej nie uzgadniajmy. - Uwolniła w parze oddechu cień długi. - Niech mi pan nie mówi, co pamięta. - Mrugnęła szelmowsko. - Niech tak zostanie - roztopione, półprawdziwe. Dobrze?

Dopiero wtedy się zrozumiało. Nawet nie ten cień i nie oćmiata za panną Jeleną tańcząca podpowiedziały - lecz błysk w jej oku i głowa wyżej uniesiona, buńczuczna poza dziewczki jak w owym momencie, we wspomnieniu-ikonie, gdy wyciągnęła rękę wyprostowaną i, wpółobrócona do ciemności za oknem atdielienja, kazała zagasić światło, oszustka-morderczyni.

- Panna była w Arkadji się odćmieczyć.

Nie odpowiedziała.

- To stąd Christine taka w nerwach! - Zaśmiało się niepewnie. - Ależ tragedję z tego robi!

- Chciałam popróbować ostatni raz. - Opuściła oczy. - Zanim zamarznę na zawsze.

- Doprawdy, trzeba mi było powiedzieć. Albo doktorowi Tesli, na pewno nie pożałowałby pannie jakiejś małej ręcznej pompy, ciocia nie musiałaby nic wiedzieć...

- Taak.

Coś tu nie pasuje, parametr ukryty wykrzywia równanie, strona prawa charakteru nie sumuje się do strony lewej...

I znowu olśnienie przychodzi poniewczasie: nie jako ukoronowanie ciągu inferencji logicznych, lecz przez nagłe skojarzenie ze słowami *mijnheer Iertheima*. *Powiadają, że pod Lodem zatrzymują się także choroby. Ale też nikt nigdy tu nie wykurował przypadłości uprzednio nabytej. Myślałem jechać do tego sanatorium na północy...*

- To znaczy... - się zająknęło się, uderzony tą wiedzą niczym kulą zabłąkaną. - Panno Jeleno - ja oczywiście - o Jezu, nie o to mi przecież chodziło - czy Christine myśli, że panna chce popełnić samobójstwo?!

Wzruszyła ramionami.

- To są małe dawki, nie? Człowiek zaraz zamarza z powrotem. O ile się może posunąć choroba, o jeden-dwa dni?

Się walnęło się pięścią w łeb.

- Durak, durak, durak! Nie pomyślałem w ogóle! Musi mi panna uwierzyć!

- Ależ, panie Benedykcie, nie ma o czym mówić.

Się ugryzło się w język.

Panna Jelena odetchnęła głębiej, poprawiła szal na futrze popielicowem.

- I co pan teraz zrobi?

- Przecież panna wie - rzekło się ponuro. - Ojca muszę ratować.

- Co pan robi z życiem swoim.

- A bo to kto może siebie samego zaplanować!

- Ale - gdyby nie ta sprawa z fatrem, co by pan robił?

- Ba! Pewnie dalej u Żydów warszawskich o rubla więcej bym jęczał.

Pokręciła głową.

- Tak nie można, panie Benedykcie, nie, nie, nie.

- Nie każdy jest Niesamowitą Felitką Kauczuk! - się zaśmiało się z wysiłkiem. - Cóż... To wszystko i tak jedna wielka prowizorka. Pomieszkuję kątem u dobrego człowieka, chociaż też chyba na wdzięczność Syna Mroza liczącego. Pracę znalazłem, jakbym rubla na ulicy znalazł. Czekam na wyroki polityczne, każdego dnia może przyjść prikaz wte czy wewte. Nawet panna... - Się rozeźliło się. - Nie jest przecież tak, że pomyślę sobie: chcę tego i tego - i świat się rozbierze przede mną jak jajko na talerzu! Próbuję - próbuję trzymać się prawdy - ale -

Nie zdawało się sprawy, jak wymachuje się rękoma, dopóki Jelena nie złapała jednej i nie zatrzymała jej w powietrzu.

- Niech pan w końcu zostawi te maszyny doktora Tesli - rzekła cicho a stanowczo.

Czuło się płomień wstydu z piersi na szyję i twarz sięgający; odwróciło się wzrok.

Postąpiła ćwierć kroku bliżej.

- Kiedy znowu się zobaczymy? - szeptała. - Nigdy zapewne. To jest pożegnanie, panie Benedykcie, prawdziwe pożegnanie. Nie „do widzenia, do jutra”, ale - ostatnie słowa, ostatni obraz, ostatni dotyk. - Zacisnęła dłoń jeszcze mocniej. - Rozumie pan? Taką Jelenę Muklanowiczównę zatrzyma pan w sobie do końca życia, khk, i z takim Benedyktem Gierosławskim zostaną do śmierci ja. Wszystko, co kiedykolwiek moglibyśmy sobie powiedzieć, wszystko, co moglibyśmy wobec siebie uczynić, cała przyszłość niedokonana - sprowadzona do tego momentu, tych kilku minut. Dla pana - odjadę i jakbym umarła, nawet jeśli nie umrę; koniec, zamknięte, stało się i przepadło w przeszłości, nie istnieje, nie powróci - a zatem - czy pan to widzi? - nie ma już także najmniejszego powodu do wstydu. To jest pożegnanie, przed czym tu się wstydzić u końca czasu? Nie będzie żadnych konsekwencji. Wszystko wolno.

- Wszystko wolno.

- Tak.

Zrzuciło się nieporadnie rękawicę z drugiej dłoni. Mróz wkuł się w skórę. Uniosło się dłoń ku twarzy panny Jeleny. Zanim palce zdążyły się ułożyć do jakiegokolwiek gestu, Jelena



już obróciła, przechyliła główkę i wtuliła się lekko w tę dłoń nagą, zimną - policzek odkryty, też już rumieńcem czerwonym zmrożony, i szal od jej oddechu wilgotny.

Puściła ramię z uścisku. Nie odwracało się wzroku, ale stereometria duszy sama już układała chwilę do jedynoprawdy; ani patrząc, ani mrugając, złożyło się głowę w bok, kładąc ją na chudych, przeraźliwie zimnych paluszkach panny Jeleny. Wsunęła kciuk pod szalik, podążyła wzdłuż wąsa, nacisnęła na wargi, rozchyliło się zęby; tak dotarła do języka, do oddechu, śliny, do źródła ciepła w ćmiałistych tchnieniach uchodzącego z ciała. Powtórzyło się jej ruch - otworzyła usta, chwyciła kciuk zimny zębami.

Teraz - w pętach symetrycznej stereometrii kochanków - weszło się z Jelena w rodzaj rezonansu, napiętego na spojrzeniach, ciałach, oddechach, na ciepłe i ćmieczy między ciałami przepływających. Dworzec Murawiowa, podróżni, łatoszniki, nosilszcziki, żandarmy i kozacy, wszystko, co wykluczone z owego rezonansu, wypadło poza granice świadomości - były to rzeczy tak odległe i kompletnie pozbawione znaczenia, co ruchy konstelacji gwiazdnych na niebie.

Tutaj bowiem - tętno odpowiadało na tętno, oko na oko, nerw podskórny na nerw, świecień na świecień, myśl niewypowiedziana na myśl, język na język, krew na krew, ciepło na ciepło. I naprawdę miało się wrażenie, iż w ten właśnie sposób - to znaczy bez słów - opowiada się pannie wszystkie sprawy nieopowiadalne, i w ten sposób - w owym rezonansie milczenia - panna odćmieczona wypowiada pod Lodem wszystkie swoje niewypowiadalności, wszystkie Jeleny Muklanowiczówny możliwe a niedokonane, i wszystkie ich lęki, tęsknoty, wstydlivości i pożądania - pół-prawdziwe, pół-fałszywe - i wszystkie prawdopodobne, a porówno niekonieczne ich przeszłości, między którymi znajduje się i dzieciństwo chorowitej Jelenki z dobrego domu, i młodość szalbiercza cwanej córki garbarza, i milion innych historyj tak samo dobrze pasujących do jedynoprawdy chwili obecnej; wszystkie możliwe, a jeszcze nieprawdziwe przyszłości, między którymi znajduje się i taka, w której panna Jelena umiera szybko na gruźlicę odnowioną, i taka, w której wychodzi za mąż za Porfirego Pocięglę, i taka, w której skazują Jelenę za mord bestjałski, i taka, w której -

- ...pożegnać!

Pękło.

Zacisnąwszy powieki, odwróciło się na pięcie i odmaszerowało się precz od panny Jeleny, głuchy na wołania Pocięglę, nie oglądając się, aż wyszło się na schody przed

dworcem; wtedy dopiero wypuściło się oddech powstrzymywany. Koniec, się pożegnało się, zamknięte. Zamarzło. Zlizało się z kciuka przegryzionego krew, smakując Jelenę ostatni raz. Wciągnęło się rękawicę” nałożyło się marostiokła. Brudnobarwne mgły stały na placu i w wylotach ulic jak skały wapienne, w których przejeżdżające zaprzęgi wybijają ciemni sztolnie o profilu odpowiadającym abrysowi renów i sani. Tęcze latarni marostiekłowych zrzygały się na elewacje co wyższych domów. Niebo chorobliwie chmurne zsiadło się nad Miastem Lodu w błotobarwną breję gruzłowatą. Na jej de ciemność wokół kościotrupiej wieży Sibirchożeta rosła niczym wrzód, purchawica, gniazdo zgnilizny. Czerwonobarwne sople zwisały ze zwłok na masztach wysokich. Na zegarze termometrycznym wskazówki stały na minus czterdziestu ośmiu stopniach Celsjusza, na chronometrze obok - na piątej pięćdziesiąt. Musi już wsiadać, zaraz odjazd. Zamarzło, zamarzło, zamarzło.

- Wołaj pan sanie, panie Szczekielnikow.

- Pan poczeka na tę sikorkę drugą.

- Wołaj pan, khrrr, sanie!

Poklepał po plecach.

- Pokochał pan jedną, panie Gie, to już nie ma ratunku: pokocha pan inne. To jak z wódką. Albo jak z robotą krwawą. Pierwszy raz i przepadło: zostaje dziura w sercu. - Na dowód palnął się piączę kwadratową w pierś. - Znaczy się, głód, panie Gie, głód.

Kaszlnęło się rehotliwie.

- U was jest żona?

Pokiwał łbem-ceglówką.

- Żona, nie żona, kobieta ona. Chłop bez baby głupiej szybko. A baba bez chłopca - eta cziorta rabota.

Widać nawet Czyngisa Szczekielnikowa nie ominęła konieczność miłosna Kraju Lutych. Strach pomyśleć, na jakie meandry charakteru schodzi taki Szczekielnikow w Lecie.

Pan Porfiry, skłoniwszy z dala głowę, odjechał swoimi saniami. *Mademoiselle* Filipov zaprosiło się gestem niemym. Nowa Arkadja nie jest wprawdzie po drodze na Cwietistą, ale też nie trzeba nadkładać jazdy na drugi koniec miasta.

Przez chwilę sądziło się wszakże, że Christine, nadal urażona, odmówi; ale nie.

- Nierozważność wielka to była z mojej strony - rzekło się, ledwo sanie ruszyły. -

Przyznaję pani rację. Nie powinienem był.

Nic nie odpowiedziała. Nie sposób było odczytać wyrazu jej twarzy - pod szapką balszą, pod marostiokłami, szalem obwiniętą.

- Mogła mi panna przecież powiedzieć, kiedy zachodzę rankiem do hotelu-
- Ja już naprawdę nie wiem, co o panu myśleć. Wydawało się, że zależy panu na Jelenie!
- Sam nie wiem, khrrr, co o sobie myśleć.
- Uuu, błazen, nie mężczyzna.

Patrzyło się prosto naprzód, na mgłobarwne plecy woźnicy i Szczekielnikowa.

- Tak panna myśli. Tak panna widzi. *D'accord*.

Pociągnęła noskiem.

- A proszę, obrażajcie się, proszę! Wszystko to diabłom na uciechę! - Zadrzała. -  
Przeklęte miasto, przeklęte lute, mróz przeklęty! Khkhhh!

Wyciągnęło się ramię, żeby ją objąć, lecz odtrąciła.

- Musi być pani ciężko, teraz tern bardziej; daję słowo, będę pannę odwiedzał, nie tak na minutkę do pompy, ale kiedy tylko -

- Ja już spać przez to nie mogę! W końcu go zabiją, zobaczy pan!

- Co?

- Myśli pan, że się poddali, skoro jesteśmy w Irkucku? W zeszłym miesiącu dwie, w tym już trzy próby były. Mieliśmy też nocną wizytę terrorysty z Organizacji Bojowej eserów, który, khk, pomoc nam oferował w imieniu bierdiajewowców z jego partji; to dopiero było przerażające.

- Ale - Nikola nic mi nie wspominał!

- Nic nie wie! - wybuchnęła Christine. - I tak ma zostać, rozumie pan? Stiepan załatwia wszystko z ochraną i kozakami. To już nawet lepiej, że Nikola nosa nie wychyla z Laboratorium. Świata nie widzi poza tą swoją Pompą Bojową, khhh, i tungetytorem wielkim. Z nim tak zawsze.

- Ale - kto?

- Marcynowcy głównie, jakieś chłopcy nasłane. Gubernator ich pozamykał, to się trochę

uspokoiło; ale teraz znowu. Stiepan powiada: amatorszczyzna. Ale tydzień temu wyłapali tam już studentów z partji jakiejś imperjalnej, studentów z bombą, khhh, która całe Obserwatorium obalić mogła. A jak Nikola wystąpi z tym pokazem - boję się nawet myśleć. Już chyba wołałabym, żeby uwierzyli, że to prawda, khhh, że wszystko jeno szarlataństwo i metoda na wyciągnięcie pieniędzy na jego długi, i przegonili precz w niesławie. Bo jak ci miljonerzy od zimnaza, albo sam Pobiedonoscew, albo Szulc nawet - panie Benedykcie, jak oni dadzą po tym pokazie wiarę, że Nikola naprawdę jest w mocy lute dla cara z ziem jego przepędzić... khhh...

Oddychała ciężko, oćmiata zacieniała szał. W okularach panny przelewały się kalejdoskopowo wszystkie kolory mgły. Popłakała się?

- Może gdybym z nim pomówił... Coby jakoś to ostrożniej rozegrać... - Po prawdzie nie miało się pojęcia, jak. - Może trzeba się zwrócić bezpośrednio do cara o większą ochronę... - No ale żeby car uwierzył, że w ogóle jest co chronić, Tesla musi wpierw odstawić owo teatrum lutobójcze. Tak źle i tak niedobrze. - Dlaczego właściwie nie mówi mu panna o tych niebezpieczeństwach?

- Po co? Jaki sens? Tylko więcej będzie miał na głowie i robota wolniej mu będzie szła, wyższą cenę w nerwach zapłaci - Nikola nie jest już młodzieniaszek, panie Benedykcie - a zamiarów jego i tak to nie odmieni. Skoro się zapał na tę czarną fizykę, khk, to już - już „zamarzło”, jak tu mówią. Niech pan się nawet nie kłopotczy, nikt go do niczego nie przekona, jeśli sam wielki Nikola Tesla w inną stronę sobie rzecz wyrozumował. - *Mademoiselle* Christine obróciła głowę, a wysunawszy orękawiczoną dłoń z mufki, wycelowała ją oskarżycielsko. - Pan! Pan tak samo! Przyjął pan kiedy od kogo radę dołni tylko dlatego, że zawierzył pan radzącemu? A nie przez kalkulacje własne rozumowe? *Well?*

- Khrrr. Panna tak mówi, jakby to co dobrego było. Znaczit, łatwowierność taka.

- Łatwowierność? Łatwowierność? - Przycisnęła rączkę do futra na piersi. - Pan ma w ogóle jakichś przyjaciół? A jak w rodzinie - no tak, ojciec, matka - khrrr - jak tak można żyć - autorytetów żadnych nie mając?

Wzruszyło się ramionami, co pewnie nie było gestem dobrze widocznym pod szubą grubą.

- A jaki to człowiek w ogóle szuka autorytetu? A? Jakiemu człowiekowi autorytet w życiu do czego potrzebny?

- Nie wie, jak postąpić - lepiej, żeby się zdał na kogo mądrzejszego.

- A ten mądrzejszy stał się mądrzejszym nie przez kierowanie się własnym rozumem, lecz też zdając się na rozum innych? Mhm? I po czym człowiek pozna, kto mądrość posiadał, samemu jej nie posiadając?

- Trzeba zawierzyć sądom ogółu, khhh, są przecie ludzie powszechnie za autorytety uznawani.

- Są. Ale znowu: jak odróżnisz autorytet prawdziwy od autorytetu fałszywego, to jest mądrość prawdziwą od pozoru mądrości? Jeśli to potrafisz - to po cóż ci jeszcze jakie autorytety?

*Mademoiselle* Christine rozkaszała się cicho. Długo poprawiała marostiokłą, kryjąc szczelnie twarz całą pod rękawiczką. W rzadkim przyplywie pewności jedynoprawdy przejrzało się myśl interlokutorki: ona wróciła teraz niechybnie do tamtej rozmowy w Ekspresie zatrzymanym pośrodku tajgi, do przesłuchania ze wstydu wiary, jakiemu się pannę Filipov niechcący poddało wraz z Jeleną. Czy nadal sądzi, że się z niej naśmiewa się? Czy ma za złe? Chowa urazę?

- Czyż nie ma spraw, w których rozum okazuje się bezradnym? - rzekła wreszcie, ledwie słyszalnie ponad brzękiem janczarów i zgrzytem lodu pod płozami. - Sprawy dobra i zła, wag etycznych? Tego pan nie obliczysz.

- Zapewne.

- Cóż więc? Nie mogąc poradzić sobie siłą własnego rozumu, poddajesz się tu w ogóle i zostajesz - kim? nihilistą? zwierzęciem amoralnym?

- Ależ panna mówi już o wierze czystej, o religii!

- To pan jednak nie wierzy w Boga!

W perspektywie ulicy Amurskiej, ponad noczkraskowemi zwałami mgły, lśniły białogniście wielkie kopuły Soboru Chrystusa Zbawiciela. Uciekło się od nich prędko spojrzeniem, instynktem zwierzęcym powodowany, jak się rękę od płomienia cofa. *Jak można takim handlem i kuglarstwem ducha swojego brukać! Kłamstwo to! Kłamstwo!*

- W Boga - wierzę. Natomiast nie bardzo wierzę w to, co ludzie mówią o Bogu.

## **O Bractwie Walki z Apokalipsą**

W osiem renów, w wysokich saniach zimnazowych sunących na pajęczych płozach, w czarnem futrze i czapie sobolowej, z kryjącymi oczy i pół twarzy goglami marostiekłowemi, w których niebo i śnieg i Słońce i każda barwa tęczy się przelewa, w migotliwej poćmiacie, pozostawiający za sobą powidoki smolne, z dłonią białą na szczęce baterji ćmieczy, w obłoku pary węglowej - zajeżdża Nikola Tesla po ściętej lodem Angarze na miejsce lutobójstwa, na próg trzypiętrowej maszyny teslektrycznej.

Stało się nad prawym brzegiem Angary, na placu pod pomnikiem Imperatora Aleksandra III, gdzie biegł bulwar widokowy nadrzeczny, ongi oferujący piękny prospekt na Konnyj Ostrow, samą Angarę szeroką, mosty i Irkuck lewobrzeżny; dziś wiatr i śnieżycy zamykały dalsze widoki, wzrok sięgał akurat niewiele za tego lutego zmrażającego się z wyspy na lód i za tę konstrukcję od lutego wyższą, wzniesioną nad nim na końcu cypla. Tesla wybrał owego glacjusza i owo miejsce po pierwsze dlatego, że, chociaż położone w środku miasta, było bezpiecznie oddalone od domów i ulic; po drugie, że dawało gapiom możliwość obserwacji całego eksperymentu, a o to wszak przede wszystkim chodziło.

Na placu pomnikowym, mimo mrozu i zawieji, zebrał się spory tłum. Z pomocą pana Szczekielnikowa się precyzyjnie przemieszczało się na sam przód, na krawędź skarpy oblodzonej. Niektórzy widzowie mieli lunety i lornetki; nie pomyślało się o tym. Za to wszyscy byli w wielkich okularach marostiekłowych, albo przylegających do twarzy jak gogle serbskiego wynalazcy, albo i tak płaskimi szklami oczy całe i pół oblicza kryjących. Gdy Tesla jechał przez Angarę na swoich saniach jak ze wschodniej baśni zimowej wyjętych, sto lustrzanych kalejdoskopów tęczobarwnych obracało się za nim, śledząc każdy ruch i gest drobny. Nie pokazywał się wcześniej w ogóle; dziś wstępował na scenę publiczną Irkucka, był to jego debiut w Mieście Lodu. Błyskały magnezje rozstawionych pod małymi namiotami na podwyższeniach aparatów fotograficznych reporterów prasy bajkalskiej. Opatulone białe damy, w futrach, pelerynach, pelisach, pod ośnieżonymi kapjuszonami, wychylały się z sani zatrzymanych wzdłuż ulicy. Mężczyźni brali na barki brzdące zakutane szczelnie w kożuszkach obłożonych; dzieci spozierały przez marostiokła mniejsze, dziecięce. Nie plotkowano i nie rozmawiano wiele na mrozie trzeszczącym, lecz dało się słyszeć ów charakterystyczny szmer oddechów, poruszeń, westchnień idący przez ciżbę falami. Ponad tłum wschodziły ćmietliste obłoczki pary. Była niedziela, 9 listopada, godzina poranna po nabożeństwach. Doktor Tesla rozpoczął Wojnę z Zimą.

Nasampierw, zanim jeszcze z sani wysiadł, ścisnął szczękę baterji. Musiał być wyjątkowo mocno odćmieczony, nigdy wcześniej nie widziało się podobnego efektu - wstając, nie zdjął z baterji dłoni i ćmiecz runęła weń w nagłym wyładowaniu, czysty pływ przeszedł od ramienia przez tułów, głowę i wszystkie członki, rozlał się po futrze czarnem, na którym kaźden jeden włos stanął jak igła i strzelił piorunkiem teslektrycznym: Nikola Tesla schodził z sań jako żywa, dymiąca pochodnia ćmiatła, rozblaskując co krok jaskrawemi świecieniami. W drugiej dłoni białej miał laseczkę wykonaną z zimnaza stopu specjalnego, zwieńczoną gałką tungetytową próby dwudziestoczerkaratowej. Ta gałka świeciła teraz jaśniej od kopuł Soboru Chrystusa Zbawiciela, z zimnaza zaś szły nieprzerwanie tęcze siedmiobarwne, pulsujące. Renifery w zaprzęgu spłoszyły się i porwały byle dalej od dziwnego człowieka. Czarne błyskawice sekundowe przeskakiwały odeń do sani, do woźnicy, do zwierząt, do Pompy Bojowej, do samego lutego. Serb szedł wyprostowany, pod wysoką czapą sobolową, długim krokiem, nie podpierając się laską, bardziej jak buławę ją dierząc. Biel i czern przepływały wokół niego na marostiokłach niczym pęcherze gazów podwodnych. Śnieg miał barwę Tesli, lód miał barwę Tesli, luty miał barwę Tesli.

...Wynalazca wstąpił na schody Pompy Bojowej. Świecienie zaskrzyły na jej zimnazowych elementach, milion iskier przeciwiennych.

Nikola uniósł rękę, zamachał laseczką. Tłum wiwatował. Strzelały magnezje.

- Jebał mnie kurwiec...! - westchnął pan Szczekielnikow, można wnosić, iż także urzeczon.

Na platformie otwartej na szczycie Pompy Bojowej znajdował się fotel żelazny, wmontowany za szkieletowym pulpitem z pół tuzinem wajch i pokręteł. Tesla zasiadł w fotelu i pociągnął pierwszą wajchę. Pod pomnik Aleksandra III dotarł stłumiony odgłos terkotu silnika ropnego; z wnętrza Pompy poczał się dobywać ciemny dym, zaraz zresztą porywany przez wiatr angarski.

Tesla pociągnął drugą wajchę. Na grzbiet lutego spadło ramię zimnazowe zakończone masywnym pazurem-kafarem, który wbił się w glacjusza na dobre pół arszyna. Wzdłuż ramienia, niczym żyły oplecione na szkieletowym modelu anatomicznym, wiły się grube kable w izolacji ćmieczowej.

Tesla trzecią wajchę pociągnął. Rozległ się wizg niby z odbiornika radjowego poza fale stacji nastrojonego, jeno dziesięciokroć ostrzejszy, a tak głośny, że ludzie w jednym odruchu przycisnęli dłonie do uszu i pochyłili głowy. Wizg stopniowo jednak ścichł - Pompa

pracowała w równym rytmie - Nikola kontrolował operację z dłońmi na przekładniach - niewielkie wyladowania teslektryczne skakały po Pompie i człowieku i lutym - trwali w bezruchu, tylko odmiata gęsta tańczyła wokoło jak od pieca krjowęglowego. Padnie czy nie padnie, złamie go czy nie złamie, odmrozi czy nie odmrozi - ludzie stali i patrzyli, pięści zaciskając i wargi gryząc, jak się na zapaśników skamieniałych w chwycie nieruchomym a śmiertelnym patrzy, całe napięcie jest w tym bezruchu i oczekiwaniu. Na pierwszy znak, pierwszy sygnał słabości, pierwszą krew.

- Ale pan dobrze wie.

- Mhm?

- Nie wystąpiłby, nie będąc pewnym zupełnie. - Niewysoki Polak nie odwrócił nawet głowy, także wpatrzony w Pompę, Tesłę i lutego. Stał tuż obok, słyszało się dobrze słowa wypowiedane półgłosem, z mocnym akcentem wschodnim. Małachaj, marostiokła i szal kryły szczelnie oblicze, można się było tylko domyślać obfitego zarostu i nosa wydatnego. - Pan mu powiesz, że jak przyjdzie do sprawy życia i śmierci, my mu zawsze damy drogę bezpiecznej ucieczki z Imperjum. I dla jego krasawicy Amerykanki, i dla pana też, panie Gierosławski.

- Khrrr. A targ jest w tym jaki?

- Że pan Tesla nie będzie się z Lodem próbował na ziemiach samej Rosji, to jest za Dnieprem. Na zachód od Dniepru - zapraszamy. A i tutaj, na Syberji - ręka wolna. Ale nie w starej Rosji europejskiej. I że nie zda swoich arsenałów nikomu innemu, póki nie pora. Pan zresztą wie najlepiej.

- Myślicie, że on się wystraszy.

- Sam car musiałby tu zstąpić, ażeby osobą swoją go chronić. A i to by pewnie nie powstrzymało Sibirchożeta. Tam w saniach za pomnikiem - widzisz pan? - jeśli się nie mylę, to sam Anioł Pobiedonoscewa się tu pofatygował. Po pokazie dzisiejszym - pan Tesla niech będzie warjat nieulękły, nic to; starczy, że tamci się jego wystraszą. Się nadarzy sposobność, przemówisz mu pan do rozumu. Następnie taki znak w oknie swoim na rzekę wychodzącą dasz: po zmierzchu lampę zapaloną postaw, o północy na ćmieczkę ją zamieniając. Nazajutrz zgłosi się do was człowiek. Maszyny i dokumentacja muszą zostać zniszczone. Powtórz.

- Do Dniepru, nie dalej, zniszczyć maszyny i notatki, lampa w oknie na Angarę do północy, od północy ćmieczka.



- Dobrze. Jeśli dostaną go wcześniej, sami wszystko zniszczą. Jakby co... Was może nie będą podejrzewać.

- Dlaczego nie? On mój przyjaciel.

- Słyszeli my, słyszeli. Ale pan teraz liedniak doktryner, nie tak? Nadojadło wam carstwo przepaństwowione, he? Cóż, to też jakaś droga. W sercach szlchetnych nieszczęście i poniżenie kraju źródłem bywa patryjotyzmu; w nieszczęściu kształcą się charaktery. W tym szczególna natura niewoli moskiewskiej: nie dosyć uderzyć nahają, trzeba im jeszcze, żeby uderzony pocałował narzędzie tortury; mało powalić przeciwnika, trzeba jeszcze wymierzyć zwyciężonemu policzek. A kto tak w pokorze policzek przyjmuje, ten zaiste niegodzien jest lepszej doli. W tę nutę pociągnij, synku; zobaczą prawdę, jak zamarzła.

- Czekaście! Mój interes nie w ucieczce - ja do ojca - czekaście! - to wyście go przecież na Drogi Mamutów posłali - dajcie mi tylko -

Ale już się cofnął między ludzi, rozplynął w tłumie, próżno się obracało się i rozglądało się po ciżbie, był niższy o pół głowy, zniknął bez śladu.

Zakłęło się pod wąsem. Czy naprawdę aż tak bali się agentów ochrony? Czy rzeczywiście jest się nieustannie śledzonym? Czyngis ostatnio o niczym podobnym nie wspominał, ale - kto go tam wie, zobaczył kogo czy nie zobaczył; teraz też przez całą rozmowę ani drgnął.

- Widział go pan, panie Szczekielnikow?

- Drug wasz jakiś? Chodźmy stąd lepiej, panie Gie, każdy tu może w ścisku kosę sprzedać, i nie ma sposobu się ustrzec. Uuu-żesz ty krzywosrańcu, po ludziach deptać, no gdzie się ryje chuj niedowarzony! - I począł się tarmosić z jakimś żulikiem bezczelnym.

Zagryzło się zęby. Musieli śledzić, nie ma innego wytłómaczenia, śmierć draba z gazrurką bynajmniej ich nie zniechęciła. Się nie potrafiło się powstrzymać od rozglądania w tył i na boki, i ponad głowami na kamienice, po oknach. Ale w szybach marostiekłowych tylko kisiel mgłobarwny zobaczysz.

*Pan teraz liedniak doktryner, nie tak?* No, Bogu dzięki, chyba jednak nie! Dzisiaj, mimo niedzieli, również zaszło się jak co dzień do Nowej Arkadji odpompować ćmiecz w mózg wciąż od nowa napływającą.

Lecz przecież na takie właśnie reakcje było się liczyć, oddając *Apoliteję* do druku redaktorowi Wólkiewiczowi.

Nie można powiedzieć, żeby tekst go oczarował. Przeczytał, zrobił minę zdumioną, zrobił minę kwaśną, zrobił minę rozbawioną. Nalał sobie naparstek nalewki ziołowej, łyknął, zastrzygł wąsikami.

- I pan chcesz, żebym ten manifest metafizyczny - co?

- Wydrukował zaraz w „Wolnym Polaku”.

- I jeszcze „zaraz”! - zaburczał stary redaktor z gniewną irytacją.

- Tak jest. A najważniejsza sprawa - widzisz pan na ostatniej kartce, na dole?

- „Benedykt Filipowicz Gierosławski”. Tak z odczestwem? Ale! - Dopiero wówczas pan Wólka-Wólkiewicz wyrozumował sprawę całą. - Przecież nie puszcze pod własnym nazwiskiem pańskim! Pan nie wiesz, że to zawsze trafia do ochrany i do Trzeciego Oddziału? Wszystkie biura policji politycznych Imperjum studjują pilnie te nasze gazetki!

- Taką właśnie ideję mam.

- Ideję ma! - Zakurzył grubego papierosa ręcznie zwiniętego na mandzurskim tytoniu. - Niby nic konkretnego tu pan nie pisze... Ale to brawura głupia, pan się o nieszczęście doprasza! Przyjdą do was, zapytają, jakim sposobem wasze pismo w druku przeciwpaństwowym się znalazło - co pan powiesz? - Zassał dymu, aż mu poliki się nadęły. - Wyprzesz się?

- Nie. Nie wydam was, jeśli to was gryzie. Jakby ochrana miała prikaz się do was przyczepić, toby się dawno przyczepiła, przecież wszyscy was tu dobrze znają. - Szarpnęło się za brodę, usiłując wysłować dla Wólki-Wólkiewicza prawdę jeszcze dobrze niezamarzłą. - Widzicie, ja muszę sobie szybko wrogów politycznych narobić.

Dopalił papierosa w milczeniu - co zabrało dobrych kilka minut, ale jak zamilkł, tak do końca się nie odezwał; tylko miny nakładał wymowne: przerażone, bezradne, grozy pełne, gniewne jeszcze bardziej.

No ale wydrukował, i teraz, proszę, przychodzą japończyki, taką, nie inną prawdę widzą, zaraz pewnie wezwanie do Ministerjum Spraw Wewnętrznych się dostanie, a może znowu ichni czynownicy sami się do domu pofatygują -

Tłum westchnął głośno, zasyczały magnezje. Nie klaskano - wszyscy w rękawicach grubych - miast tego poczęto tupać głośno. Wróciło się wzrokiem do lutego przybitego kłemu Pompy Bojowej. Doktor Tesla stał na platformie, lewa dłoń biała na wajsze, prawa dłoń biała

uniesiona z laską świecącą, z czapy futrzanej dymi oómiata - a luty przed nim poci się krwią mlecznobarwną. Po lodzie, po soplach, mróz-strunach, stalagmitach monumentalnych - płynęły powoli strugi mgielne, może jeszcze płynu, może już gazu gęstego. Się domyślało się, że to hel ucieka z glacjusza. - Chuja jucha - skonstatował z satysfakcją pan Szczekielnikow. Tłum wiwatował. Człowiek pokonał potwora. (Człowiek, to znaczy maszyny człowieka).

Jaki to jednak proces czarnochemiczny zaszedł we wnętrzu lutego? Co się zmieniło po odpompowaniu zeń pływu teslektrycznego?

W Obserwatorjum, już po powrocie z Angary, Tesla wygłosił swoją na ten temat teorię (bo oczywiście miał teorię).

- Otóż, *messieurs*, istnieją takie stany Mrozu, dla których utrzymania konieczna jest nie tylko niska temperatura, ale i wysoki ładunek ćmieczy.

Nawet dosyć dobrze wiedziało się, co to za stany. Po raz kolejny się ugryzło się w język. Mówić czy nie mówić Nikoli o pracach krjofizycznych doktora Wolfke i innych naukowców z Zimnego Nikołajewska? W końcu większość tych odkryć publikowana jest w rozmaitych perjodykach fizycznych, Tesla z pewnością śledzi te badania, może wyciągnąć wnioski na własną rękę...

Wyszedł do tungetytora, zanim się zdecydowało się.

Co też i dobrze się złożyło, bo w pracowni został akurat sam Sasza Pawlicz.

Się przywitało się.

- Nie ma inżyniera Jago?

- Doktor Tesla postawił go przy tungetytorze, dzisiaj od rana próba gieneralna, słyszycie? Ten łomot.

- A, rzeczywiście. A profesor Jurkat?

- Zejdzie zaraz. Chcieliście coś od profesora?

- Po prawdzie... - Sięgnęło się do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjęło się jajowate zawiniątko. Sasza spojrział pytająco. Odwinęło się chustkę, ukazując nadgniły kartofel. Pokazało się na klatki ze szczurami i myszami. - Prosbę mam do pana, pomysł na eksperyment właściwie. Mógłby pan wydzielić kilka egzemplarzy i podać im to jakoś do spożycia? I potem dopiero odćmiecząć. Chciałbym porównać rezultaty.

Pawlicz nałożył binokle (co postarzyło go o dobre dziesięć lat), nachylił się nad

kartoszką.

- Co to jest?

- Ziemiak.

- Widzę.

- Ziemiak, ale nie ziemniak. Znaczący, odmiana czarnobiologiczna.

- Aha!

- Ale - przyłożyło się palec do warg - cicho sza, nie mogę się przyznać, skądem go wziął.

Chodzi mi tylko o to -

Pawlicz ujął ziemniak szczypcami laboratoryjnymi.

- Co w nim jest? Tungetyt?

- Tak sądzę. Wyrósł na glebie tungetytowej. Chyba że sama obecność tego pierwiastka w ziemi odmienia jakoś budowę rośliny.

Położył kartofla na tacce metalowej.

- Pozwolicie, że odkroję próbkę i przyjrzę się pod mikroskopem.

- Byle starczyło dla szczurów.

- Cóż, to z pewnością za mało, by karmić regularnie kilka sztuk. - Sasza przysiadł na taburecie wysokim, przetarł w zamyśleniu binokle. - Wiecie, Wieniedikt Filipowicz, były już takie przypadki.

- Jakie?

- Zatrucia tungetytem. U ludzi. Znajomy, który pracuje tu w Trójcy Świętej, wspominał mi o seryjnych zatruciach, i to wcale nie w Zimnym Nikołajewsku. Potem chyba okazało się, że to fiodorowcy.

- Matko Święta, sekta jakaś znowu...?

- Nie, nie. No, chyba że religię na naukę zamienimy - to wtedy sekta. Mhm. Oni chyba pomarli od tego. - Pomasował kark. - Zajdę do niego dzisiaj, to się dowiem o szczegóły, może co pożytecznego powie. - Spojrzał na zegar. - Ktoś musiał profesora zatrzymać, przez ten pokaz od rana chodzą tu różni tacy... Wybacz pan.

Wyszedł.

Przysiadło się przy stole, opodal prototypu Czarnej Lampy Promienia Śmierci. Urządzenie zostało akurat rozmontowane, gładkie wnętrze otwartej sfery odbijało światło jak djament wypolerowany. Znowu zaswędziały dłonie i zaswędziało pod czaszką. Zakławszy z rezygnacją, sięgnęło się po rękawiczki zamszowe, zakupione przedwczoraj u Rappaporta, gdzie się zaszło do Domu Mody do pani Gwóźdź, o dalsze szczegóły sekretnego życiorysu ojca wypytywać. Lecz po naciągnięciu rękawiczek swędzenie bynajmniej nie ustało. Się zaczęło się bawić puszką ze śrubami motylkowymi. Zwierzęta w klatkach popiskiwały nerwowo. Istotnie dał się słyszeć rytmiczny łomot, od którego kręgi na cieczy w menzurkach powstawały i dźwięczało szkło i metal. Otworzyło się zegarek. ŁubuMMM! - dwadzieścia siedem sekund - łubuMMM! - dwadzieścia siedem sekund - łubuMMM! Nikola Tesla budzi fale na Drogach Mamutów. Ciekawe, czy szamani pójda na skargę do Pobiedonoscewa. Zachichotało się. Puszka wypadła z ręki, śruby rozsypały się po podłodze. Się schyliło się, żeby je pozbierać - i zamarło się tak, z rozcapierzonymi palcami, w pozie dziwnej, garbatej. Co oni mówili o sortilegjach w Kraju Lutych? O grach karcianych? Nikt nigdy nie wyrzucił tu pięciu szóstek i nie dostał z ręki pokera. Śruby leżały w kolumnach równych jak od linjału układane.

Wygrzebało się z pugilaresu półrubłówkę i zaczęło się ją rzucać na blat niezgrabnemi, orękawicznionemi palcami. Orzeł dwugłowy, orzeł, orzeł, orzeł, OOOOOOOO, po ósmym znowu pojawiły się reszki, ale - ale! ŁubuMMM! Pozbierało się szybko śruby. Osiem orłów z rzędu - to nie jest regularność, to fluktuacja chaosu, grzbiet fali entropji. Skóra rąk paliła jak kwasem oblana.

Pojawił się Sasza Pawlicz z profesorem Jurkatem, zaraz za nim wszedł inżynier Jago. Poprosiło się profesora na bok.

- Pytanie mam. Pamięta pan profesor, co mówił mi w piwnicy? O ciekach wodnych pod lodem i wiecznej zmarzlinie?

- Co takiego mówiłem?

- Kwestja jest następująca. Zamarzły rzeki, prawda? Zamarzły do dna. Większość w każdym razie. Tutaj, w wododziale bajkalskim. Mam rację? A z pewnością zamarzła do dna jedyna rzeka z Bajkała wypływająca: Angara. Ale pan profesor twierdzi, że wieczna zmarzlina ma stałą temperaturę, te minus cztery stopnie Celsjusza, i niezależnie od izotermji na powierzchni, w ziemi pod ciśnieniem czasami idą takie ciekły, że jak nieostrożnie kopać studnię, to się wokamgnieniu człowiek zaleje i zamarznie w czystym lodzie - tak?

Kliment Rufinowicz zamrugał, ćmiecz zaległa mu w zmarszczkach skóry

- Nooo, z grubsza -

- Zatem gdybym znalazł gdzie aktualną mapę hydrograficzną Kraju Bajkalskiego, zobaczyłbym tysiąc żywych spływów podziemnych doprowadzających wodę do jeziora. Mam rację?

- Tysiąc? Mapy hydrograficzne -

- Wiem. Ale - tak to powinno wyglądać, prawda? Może mi więc pan profesor rozwiąże ten paradoks: gdzie, czort pabieri, idzie z Bajkała ten cały spływ marzłociowy, skoro nie w Angarę?

Staruszek aż się zasapał.

- Znaczy, pan suponujesz, znaczy, że niby co - że jak - że nie spływa?!

- Znaczy, suponuję, że hydrologią mierzłoci pod Lodem rządzą inne prawa i te mapy nijak by się miały do hydrografji Lata. Suponuję, że, skoro lód na jeziorze się nie podnosi i kolej żelazna jeździ przezeń, jak jeździła, to co najmniej taka sama ilość wody opuszcza Bajkał podziemnymi rzekami.

- Ale to bez sensu! - Siwuszek poprawił na nosie grube soczewki, wziął oddech głębszy, odchrząknął. - Przede wszystkim, drogi panie, hydrologja podziemna krain Lodu bardzo jest ubogą. Tu nawet przed Zimą Lutyh, w czas zim zwykłych, zmarzlina muruje wody gruntowe. Poczytaj pan Middendorffa. Zobaczyłbyś pan tajgę latem, te tysiące wiorst gruntów podmokłych, trzęsawiska, torfowiska, bagniska, ałasy, tobyś pan takich rzeczy nie opowiadał. Jenisiej, Lena, Ob czy nawet Jukon po drugiej stronie Cieśniny Beringa - to gigantyczne rzeki napowierzchniowe, szerokie na wiorsty i wiorsty. A przecież, z opadów licząc, mamy tu klimaty prawie pustynne. Tymczasem - tajga zielona, mokra, na pół kontynentu rozrośnięta. Dlaczego? Ano dlatego, że w ziemię nieprzemarzną zapada opadów siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent, a u nas na odwrót: dziewięćdziesiąt procent idzie do rzek otwartych, idzie po zmarzlinie jak po rynnach tuż pod warstwą gleby ułożonych. Pojmujecie? Nie zostaje tej wody tyle, żeby porządną sieć cieków podziemnych rozwinąć. Nadto Bajkał leży między skałami o bardzo niskiej przepuszczalności, niskiej kapilarności i porowatości. Myśli pan, że pod takim ciśnieniem nie wyciekałby pod ziemią już wcześniej?

- A pan profesor wie, jak zmienia się struktura skały po przejściu lutego? Wielokrotnem przejściu? Struktura skały i tych gruntów marzłociowych, normalnie nieprzepuszczalnych?

Widział pan, jak wałą się gmachy marmurowe postawione głupio na Drogach Mamutów?

Siwy krjogielog zamachał z irytacją.

- Drogi Mamutów! Tak nie można! Najpierw zbadaj rzecz dogłębnie, potem teorie opowiadaj! Co pan sobie roisz? Że wędrówki podziemne lutek rozmiękczają jakoś skałę i ziemię przemarznąją i wobec tego zupełnie nowa hydrografia Syberji rozwija nam się tu wedle Dróg? Pewnie jeszcze od Bajkała wzwyż idąc, naprzeciw spływom całego wododziału? Ha!

Kiwało się głową, nadal jednak inaczej zupełnie rzecz widząc. Tak oto Darogami Mamontow płynie woda tungetytowa, z dna jeziora świętego podniesiona, gdzie śpią zmarli. I ponieważ naturalnym kierunkiem parcia cieczy i lodu jest góra, w końcu te ciekły wychodzą na powierzchnię. Są tu gdzieś może jakieś źródła gorące, termy siarkowe, powulkaniczne kotliny ciepło geologiczne oddające? Słyszało się o takiej lecznicy nad zatoką Chakusy; muszą być i inne miejsca podobne. Oazy czarnej flory i fauny, gdzie nie jeden kartofel, ale cała roślinność wyrasta na glebie tungetytowej, soki tungetytowe w tkanki ciągnąc, a zwierzęta to jedzą, zwierzęta biorą to w krew, i skoro wędrowiec jakiś szczęśny-nieszczęśny tam zabłądzi... Taak.

- Co pan wiesz o lodzie, młodzieńcze? - perorował profesor w złą ekscytację podniesion.  
- Co pan wiesz o wodzie? To są wielkie tajemnice nauki! Pod Ojmjakonem, naprimier, taki cud mają: minus dziesięć Celsjusza i rzeka zamarza; ale schodzi do minus pięćdziesięciu - i chlup, lód roztopiony, nurt płynie gładko niczym pod słońkiem czerwcowym. To pan wytłómacz, potem za hydrologję lutek się bierz!...

Na Cwietistą siedemnaście zajechało się, zanim jeszcze państwo Wieliccy wrócili z kościoła. Pokojowiec wręczył list pod nieobecność przez posłańca specjalnego dostarczony. Zaraz przecucie złe wyobraźnię opanowało. Z nogą jeszcze w piesku drewnianym uwięzioną, na pół rozbuty, rozdarło się kopertę. Jakby piorun ćmielny w kręgosłup strzelił. Było to zaproszenie na drugiego (to jest piętnastego) listopada do pałacu generał-gubernatora Timofieja Makarowicza hrabiego Szulca-Zimowego na uroczystość zaręczyn córki jego, Anny, z panem Pawłem Nestorowiczem Gieruszynem. Wystosowane z podpisem odręcznym hrabiego dla *monsieur* Benedykta Filipowicza Gierosławskiego *et invité, pas de cadeaux, R. S. V. P.* No tego się nie spodziewało się!

Z progu pokoju zawróciło się i zawołało się służącego z powrotem. Czy ten posłaniec przyniósł aby także list dla państwa Wielickich? Służący potwierdził. Przynajmniej więc zachowany zostanie pozór, mogą się ludzić, że istotnie to mecenas Kuźmieńcew zaproszenia

wyprosił. Siadło się zaraz pisać podziękowanie z potwierdzeniem przybycia. Wyprawiało się właśnie gońca, gdy pojawili się Wieliccy. Od razu zapowiedziało się niespodziankę. Pan Wojsław przeczytał i pokazał zaproszenie żonie. Kobiety zaczęły piszczeć z uciechy i obcałowywać wszystkich, kto się nawinał. Radość udzieliła się dzieciom, które, jeszcze nie wysupłane z kozuszków, rozbrykały się po całym mieszkaniu, że je Misza i kucharki musiały gonić, gdy błoto i śnieg nosły po wypastowanych parkietach. Wszelako nie minęło minut pięć, a nastrój się odwrócił zupełnie i panie rączki jęły załamywać i smutne oczy na Wojsława podnosić. Kto to tak widział, ledwo tydzień wyprzedzenia, nie ma czasu się przygotować stosownie, w czym my w pałacu gubernatorskim się pokażemy! Suknie, suknie nowe trzeba czem prędzej u krawców kitajskich na dopasowanie w ekstraordynaryjnym tempie zamówić! Pan Wojsław zaburczał coś w brodę i teatralnym gestem złapał się dłonią z brylantem za kieszeń. Zaproszenie było na Wojsława z żoną oraz pannę Martę. Zbankrutuję, mamrotał, na miły Bóg, moda nieprzyzwoita do plajty mnie doprowadzi! (Piotruś tymczasem wlaźł mu na plecy i za uszy targał). Panie już nie słuchały, obmyślaniami kreacyj wstrząsających zajęte. Ba, także Wojsławowi nieszczęsnemu frak nowy zaplanowały. Nie wypada inaczej! A pan Benedykt - pan Benedykt przecie też nie ma w co się ubrać, skonstatowały z satysfakcją. Jutro wieczorem na przymiarce obaj! Bez dyskusji! Pan Wojsław wziął Piotra Pawła pod pachę i zrejterował do gabinetu. Obserwowało się te sceny familijne z kocurem usadzonym na kolanach, wylizywał on z przejęciem rękawiczki nowe, skórą pachnące. Nikomu nawet nie przyszło do głowy zapytać, po cóż Modest Pawłowicz miałby dopisywać w ostatniej chwili na listę zaproszeń także gościa państwa Wielickich. Jakoś im to nie przeszkadzało, nie postrzegali tego dziwnem - zgadzało się im - równania się sumowały. Się przysłuchiwało się w melancholijnym rozbawieniu.

- I pan Benedykt musi jej dać znać jak najprędzej - przypomniała sobie panna Marta.

- Komu?

- Z kim pan iść zamierza. Ta panna tajemnicza, z którą się widuje -

- Wyjechała.

- Ach. Z kim zatem?

Wstało się przed świtem, w noc ciemną, bezgwiezdną się wyjechało, przebijając się zaprzęgiem podwójnym przez mgłę w zawiesinę wapienną zsiadłą, a mróz ciał taki, że szal i broda i skóra i oddech zamarzały razem, trzeba było co jakiś czas uderzyć się w usta. Latarnie



marostiekłowe świeciły na zielono, grzbiety lutej spływały barwami lata. Bębny głaszatajowe niosły się ponad Miastem Lodu.

Otworzył się apartament Nikoli Tesli kluczem jego zapasowym, zapaliło się światło. Nowa Arkadja też jeszcze spała. Zamierzało się wprawdzie wejść do jego gabinetu, odświeżyć się, ale usłyszało się zza drzwi łączących apartamenty ruch i słowa francuskie, głosem perlistym wypowiedziane. Przystanąło się. Czemużby nie? Przyjemność się jej sprawi. Obiecało się jej przecież. Zapukało się energicznie, raz i drugi.

Otworzyła *mademoiselle* Filipov już w spódnicy porannej z lekkiej *crepe de Chine*, w westce długiej na plisowanej szmizetce, z warkoczami złotopszennymi splecionymi, z filiżanką w ręku. Przy stoliku ze śniadaniem siedział stary Stiepan. Przywitało się z nim przez drzwi bez słów.

- Panno Christine - mogę na chwilę?

Przestąpiła próg, przymknęła drzwi. Lewą ręką strąciła z futra zlepkę śniegu. Zdjęło się czapę i okulary. Ciepłe powietrze rozpychało krtani, zakaszłało się, wysiadało się nos. Czekala, popijając kawę, popatrując ciekawie spod rzęs.

- Do nóżek pannie Krysi padam, do nóżek. Khrrr. Słyszała panna o zaręczynach córki Jego Eksceleencji? Pannie dobrze by zrobiło oderwać się od tych wszystkich zmartwień, od Stiepanów i kozaków i policmajstrów; panna jest pierwsza do tańców, pamiętam przecież. Więc - zamiotło się czapą przed kolanami - jeśli Nikola nie będzie miał nic przeciwko, chciałem pannę poprosić... Co?

Uśmiechnęła się słodko, aż się jej dołeczki w pucołowatych policzkach pokazały.

- Och, z przyjemnością! Jak tylko pan Benedykt przysięgnie, że nigdy więcej nie będzie już tej teslektryki czarnej zażywał.

Się zaśmiało się niepewnie.

- Ale mówiąc poważnie -

- Tak czy nie? - I sięgnęła klamki.

- Ale-

- Tak czy nie?

Się rozglądnęło się bezradnie.

- Dopiero wczoraj się odświeżałem, jakże ja mogę przysięgę prawdziwą złożyć, kiedy -

- Tak czy nie.

- Muszę się zaćmieczyć, żeby mieć pewność! Zresztą - zaklinanie przyszłości...!

- *Oh, well, that's a pity. So, toss a coin. Pile ou face?*

- Dlaczego panna to robi? - się zirytowało się.

Nadal się uśmiechała znad filiżanki do warg przytkniętej.

- Co takiego robię? Nie ma nakazu, że musi pan się pokazać u gubernatora akurat ze mną. Cóż to za problem? Jak pan Benedykt zadecyduje, tak postąpi.

- Ale-

- Ale pan Benedykt już zaczyna rozumieć, że nie potrafi postąpić wedle własnej decyzji.

Się skrzywiło się.

- Są - są nałogi dobre. Rzeczy, czynności, skojarzenia, którym zgodziliśmy się oddać w niewolę. Panna to przecież rozumie, panna nie jest Jeleną. - Tu już spoglądało się gdzieś obok i ponad dziewczką, na stiuki sufitowe, na żyrandol. - Panna rozumie konieczność... wstydu.

- La, la, la! - zatrzepotała rączką. - Tak to może pan sobie prawić właśnie do Jeleny, ja jestem głupie dziewczę, mnie trzeba prosto. Tak czy nie.

Wzruszyło się ramionami, trzepnęło się czapą o udo.

- Tak.

- *Bien.* Kiedy te zaręczyny?

- Piętnastego, w sobotę.

Krsztuk!, roztrzaskała się filiżanka upuszczona.

- I dzisiaj dopiero mi pan mówi?!

W Laboratorium Krjofizyki Kruppa doktor Wolfke gościł metalurgów z działu przemysłowego koncernu, dyskutowali nad kartami spektrografowemi i próbkami rozmaitych chłódów zimnazowych. Siedziało się nad papierami, przysłuchując się ich rozmowie, z rzadka głowę unosząc. Do pióra zdjęło się rękawiczki, swędział każdy dotyk. Dzisiaj to jeszcze nic, myślało się, ale jutro, pojutrze, po tygodniu - przecież zamarnie się, zamarnie się prędzej czy później. Już zaczynało się planować, jak by tu obejść słowo dane *mademoiselle* Filipov. Ćmiecz piekła podniebienie. Wokół Dziurawego Pałacu rosła mgła tungetytobarwna, z wysokości mansardy Wieży Zegarowej Zimny Nikołajewsk wyglądał niczym kaldera mróz-

wulkanu, zionącego powoli czarną parą białej magmy.

Kiedy Wolfke z metalurgami oddalili się na drugi koniec Laboratorium odpalić lampę roentgenowską, zaszło się - niby po drodze do szaf z dokumentacją dawniejszych doświadczeń - do stołu, na którym metalurzy rozłożyli się ze swoimi walizami próbek surowych. Wsunęło się do kieszeni kilka płytek oznaczonych jako standardowe chłody niskowęglowe (tomska jedynka, dwójka, czwórka), a także próbki porównawcze rudy nieprzechłodzonej. Nikt nie patrzył. Przy pierwszej okazji przełożyło się je do futra.

Mniej zachodu było ze zdobyciem wyników badań tych chłodów, opisów struktury molekularnej i tabel nadprzewodnictwa. Po prostu przepisało się wszystkie informacje na oddzielnych kartkach, które następnie schowało się razem z próbkami. Zabawne: ponieważ nie dla konkurencji Kruppa kradło się jego własność, lecz z widokiem na własny zysk tylko, nie czuło się wcale złodziejem; czyn był jakoś czysty, usprawiedliwiony, instynkt bogacenia się, o którym mówił pan Wielicki, pchał do kolejnych konieczności. Zwierzę poluje, człowiek się bogaci. Czy Krupp na czymś tu zbiedniał? Wkrótce cała owa wiedza stanie się publiczną. Czy wyjmowało się pieniądze z jego kieszeni? Nie; te sztabki nie kosztują wiele. Pieniądz dopiero się robi. Cóż to więc za kradzież? Dzielisz informację na połowę i nie masz pół i pół informacji, lecz dwie informacje tak samo dobre. Oto nowa matematyka gospodarki wiedzą! W połączeniu z owym instynktem bogacenia się, gdy powszechnie w ludziach uruchomionym, czyż nie doprowadzi szybko do świata ogólnej majątności i dobrobytu, wedle zasad biblijnego burzujstwa pana Wojsława? Widziało się już tę nieuchronność równie jasno, co nieubłaganą oczywistość rychłego ziszczenia apoliteji.

Przyczem nawet w zimuchę setki rubli wygrywając, nie czuło się takiej ekscytacji jak teraz, naukę czarnoflżyczną na lewo uprawiając. Radość dziecięca! Trochę lepiej rozumiało się Nikołę Tesłę. Wszyscy wielcy odkrywcy i wynalazcy cierpią na pewien wrodzony infantylizm, wręcz „modlą się” oń, jak by powiedział Aczuchow. Z trudem się powstrzymywało się, by zębów do odbicia marostiekłowego nie wyszczerzyć, nie zatrzeć rąk z satysfakcją. (Ćmiecz strzeliłaby pod skórą piorunkami cienia).

Aby jednak zdobyć następne rośliny czarnobiologiczne na karmę dla szczurów Pawlicza, trzeba było włączyć w plan Ziejcowa, nie dało się bowiem niepostrzeżenie wspiąć ku szczytom szaf i wygrzebać z kuwet tungetytowe warzywa, gdy ludzie jeszcze pracowali w Laboratorium. Wyszło się przed Iertheimem, coby podejrzeń nie wzbudzać, i odczekało się w korytarzu piętro niżej, aż Czyngis dał znać, że i Holender wyszedł; wtedy wróciło się i

zastukało się na umówiony sposób. Ziejcow wpuścił. Pośpieszyło się bez słowa do kuwet, żeby zdążyć przed brygadą odladaczy, i wpakowało się do worka pod futro osiem roślin dobrze wyrosłych, po jednej z kuwety, gładko potem zasypując dziury po nich. Busiczkin się pewnie w końcu spostrzeże, ale, z Bożą pomocą, wtedy będzie już za późno na wszelkie śledztwa. Wymknęło się z Laboratorjum, przykazawszy jeszcze Ziejcowowi dobrze w piecach napalić. Pokiwał ponuro głową.

I, tak, to była kradzież niewątpliwa - ale nie dla zysku żadnego dokonana, lecz w pościgu po Drogach Mamutów za ojcem zamrożonym.

Składy Spirytusowe Chruścińskiego i Synów na Prospekcie Tumannym zamykały swe podwoje dobrze po zmroku. Zajechało się saniami spod dworca Marmieladnicy wziętymi i posłało się Szczekielnikowa, by wypytał, czy pan Izydor Chruściński jest na miejscu; nie było go, ale miał się zjawić po siódmej, sprawy jakieś buchalteryjne tu załatwić. Się zapowiedziało się mu przez Czyngisa i się skierowało się do Obserwatorjum Tesli. Świecienie zalegały na mgle w powabnych arabeskach, tunel wybity w niej przez sanie tonął w tęczach czerwonych, krwiobarwnych. Się uderzyło się w usta i obejrzało się na Sobór Chrystusa Zbawiciela. - Nie masz pan wrażenia, panie Szczekielnikow, że Cziornoje Sijanije wisi czas dłuższy nad miastem, ale jakoś niewidoczne, ćmiatłem nie bardzo szyjąc? - Myślicie? - Łypnął ponad marostiokłami. - Znowu ich robota, pokurczów przeklętych, na tyczki ich wszystkich powbijając. - Kogo? - No te czioroty czarowniki inarodcze, a kogo? - Khrrr. Że niby oni mają wpływ na Zorze? - No, to się zobaczy, mają, nie mają. Ale zaszkodzić by nie zaszkodziło przecież.

Pośpieszając przez hol pod freskiem lata, otwarło się zegarek; trzymany przy ciepłe ciała, dobrze się sprawował. Krawiec umówiony był na Cwietistą na wpół do dziewiątej wieczorem, bo pan Wojsław nie mógł się obiecać wcześniej; był więc czas.

U stóp schodów i przed wejściem na wewnętrzne korytarze Obserwatorjum zebrało się z tuzin mężczyzn, część z charakterystycznymi walizczkami z aparatami fotograficznymi; dostrzegło się między nimi Awksientiejewa. Dwaj postawni kozacy grodzili im drogę. Przemknęło się obok, zanim się żurnaliści zorjentowali. Może Grigorij Grigorjewicz nie zdążył poznać. Leżało w naturze Tesli przetrzymać ich tu godzin parę, poczem wystąpić z jakimś fantastycznym oświadczeniem dla prasy. Konie poniosły, pomyślało się, wyjmując zza pazuchy worek z warzywami czarnobiologicznymi. Nikt już tą trojką nie kieruje, a na pewno nie Nikola, i nie Christine, cokolwiek by sobie imaginowała. Ale być może to jej trzeba

przedstawić propozycję japończyków; może istotnie przyjdzie aż do tego, że już tylko o ratowanie życia wynalazcy i *mademoiselle* Filipov będzie szło. Kto wie, czy nie uratuje to życia także ojcu, skoro Nikola miałby jeszcze tej zimy uruchomić ten swój Młot Ćmieczy do rozbicia Lodu na Drogach Mamutów. Z dwojga złego, utrzymanie Lodu na Syberji i Odwilż w Europie bezpieczniejszym jawi się scenarjuszem. Znacził, dobrze list przepowiedział: ODWILŻ DO DNIEPRU - PETERSBURG MOSKWA KIJÓW KRYM NIE - JAPONIA TAK - ROSYA POD LODEM. BRÓN LUTE! Co prawda panu Pocięgle dało się słowo na coś zgoła przeciwnego...

Sasza Pawlicz z inżynierem Jago i jeszcze jednym asystentem Tesli mocowali się z wielkim zwierciadłem tungetytowem. Po wyjęciu czystej tafli tungetytu Tesla zamierzał ją uderzać wiązkami skupionego światła, badając następnie światło odbite lub zmiany w samej tafli; i to samo z ćmiałem powtarzając.

- Przez pół dnia się wte i wewte pompował - rzekł Sasza, odsapnąwszy - i naraz zachciało mu się badać właściwości ćmiałta. Mówi o Maxwellu, Einsteinie, jakimś Plancku i Bohrze, rozmawia ze sobą o promieniach ujemnego prawdopodobieństwa, a wszystko to Goethem przeplatane. Ufch! Pan go lepiej zna, prawda, gaspadin Gierosławski? Cóż to może znaczyć?

- Nowe eksperymenta sobie wymyślił, to dawna jego przypadłość, że przeskakuje tak od ideji do ideji. Zwłaszcza teraz, odćmieczony, łatwo się rozkojarza.

- Nie, nie. - Pawlicz zerknął na inżyniera Jago i pokazał kąt za klatkami szczurzemi. Przeszło się tam, po drodze futro rozdzielając i czapę zdejmując. - Wieniedikt Filipowicz, dzisiaj z rana, dziewiątej jeszcze nie było, zaszedł tu do nas, do pracowni, czynownik wysoki Kancelarji Gienerał-Gubernatora, z osobistego poruczenia hrabiego Szulca, ze świtą wojskową, z kozakami; potem wypytywali nas, każdego z osobna -

- Ten czynownik. Z ciała wątły? Włosy jasne? Zęby spróchniałe?

- Tak, no tak.

- Jak nazwisko? Nie Urjasz?

- Wy go znacie?

- Cóż, nie przedstawiał mi się. - Podało się Pawliczowi worek; zajrzał, schował pod stół. Zdjęło się marostiokła, kontury i barwy ludzi i przedmiotów zamarzyły na swoich miejscach. - I czego od was chciał?

- Mówił długo z Teslą, wyszli na dziedziniec, prototyp tungetytora obejrzeć.

Nastawiło się ucha: Młot Ćmieczy milczał.

- I?

- I powiedział, że zorganizuje nam tu wszystkim pokoje mieszkalne, znaczy, tu, w Obserwatorjum; że gubernator przejmuje całą posiadłość w zarząd na mocy jakiegoś prawa nadzwyczajnego; że lepiej, żebyśmy nie wychodzili na zewnątrz bez człowieka z ochrony. I jeszcze, że gubernator i sam Gasudar' Impierator bardzo się naszą pracą interesują.

- Mhm.

- A po południu...

- Tak?

Sasza przygryzł paznokiec.

- Chodzili naokoło z pochodniami tungetytowymi w ćmiele i grunt znaczyli wkoło Obserwatorjum. Był z nimi jeden ślepy, jeden bez ręki, jeden kulawy, jeden żelazem przebity. Bili w bębny, jakby lutego na smyczy ciągnęli.

- Będą tu maszty trupie stawiać.

- W czym dieło, Wieniedikt Filipowicz?

- To dla waszej ochrony.

- Ale - przed kim?

Czy rzeczywiście jest tak naiwnym? Zajrzało się mu w oczęta jasne, pod brwi jak kępki ostu. Nie mrugał, spoglądał szczerze. Ileż może mieć lat - pod trzydziestkę, młody - a i tak starszy. Czemu więc jak na kogo z urodzenia wyższego, jak na opiekuna z niebios mu danego patrzy? Skąd w ogóle ta poufałość prędką, skąd ten ton porozumienia? Jakby znał człowieka od dawna. I z eksperymentem na szczurach też zgodził się pomóc chętnie, nie pytając o nic.

Zali naprawdę ma się na świecie przyjaciół, zanim się ich w ogóle spotkało, zanim się o nich usłyszało?

- Jakżeś tu trafił?

- Profesor mnie poprosił, mam rodzinę nad Bajkałem, więc często jeżdżę z Tomską, a na uniwersytecie dopiero od wiosennego semestru muszę etat siedzieć...

Biedak oderwany od swoich ksiąg i abstrakcyj naukowych, rzucony wtem pod cepy polityki syberyjskiej - nie dziwota, że połapać się mu trudno.

Zaraz wszakże się zsumitowało się. A niejaki Benedykt Gierosławski od abstrakcyj logicznych w Warszawie siłą prawie odciągnięty, o czym on niby miał pojęcie, do Ekspresu Transsyberyjskiego wsiadając?

I współczucie szczere poczuło się dla tego chłopca uczynnego, wystraszonego poza granice swej wyobraźni.

- Oni dobrze wam mówili: nie wychodźcie nigdzie. Nie będzie już dla was bezpiecznie na mieście; dla nikogo, kto jest blisko doktora Tesli.

- Pan wychodzi.

- A widzieliście tego łamacza gnatów, z jakim się prowadzam? No właśnie.

- Ale - jakże to tak? za co? kto?

- A nad czym tu niby pracujecie? Nad zniszczeniem Lodu. I co, myślicie, że wszystkie potęgi Kraju Bajkalskiego podskoczą z uciechy, kiedy im się fabryka pieniędzy dnia pewnego - roztopi?

Aż otworzył usta.

- Sprzeciwią się Imperatorowi?!

Machnęło się lekceważąco.

- Imperatorowi w tym roku zwiduje się tak, w przyszłym zwidzi się inaczej, a może tymczasem odmienią się jeszcze interesy Rasputina, któż to może wiedzieć, logika tam nie sięga. Ale jak szlag trafi lute, to już ptica ubita, nie będzie więcej złotych jaj, amen.

- To znaczy - przygryzł drugi palec - że ceny zimnaza bardzo musiały zwyżkować po wczorajszej próbie Pompy Bojowej. - Obejrzał się na biurko Tesli. - Kto pierwszy o odkryciu doktora wiedzę posiędzie, ten majątek na giełdzie charbińskiej zbije.

Maładjec! A jednak Sasza Pawlicz zyskiwał przy bliższem poznaniu. Czy on także korzysta po godzinach z pompy Kotarbińskiego? Nie dostrzegano się na nim żadnych mocnych oćmieczeń charakterystycznych dla lutowczyków. Mól książkowy, ha...!

- Ano, zbije, zbije. Chyba że! - Uniosło się palec.

- Chyba że... - Zmarszczył brwi. - Chyba że... - Trzeci paznokieć Saszy poszedł w zęby. - Chyba że się w porę odkryje technologię transmutacyj lodowych!

Klepnęło się go w bark.

- Jaka szkoda, żeście biolog, wielką przyszłość bym przed wami widział w przemyśle i handlu.

Sasza uśmiechnął się pod rumieńcem, który tylko mocniej blizny poospowe na skórze odznaczył.

- Kiedy mnie od szkoły mało co interesuje poza przyrodą żywą, tak już mi się zamarzło.

Czekaj, bratku, zobaczymy po Odwilży.

- No, ale, czas ucieka, muszę -

- Ach! Wieniedikt Filipowicz, wypytałem się o te zatrucia tungetytem.

- I co?

- Dobrzem pamiętał, to fiodorowcy byli. Co wyszło na jaw, gdy zapłacił za ich leczenie pan Fizensztajn. On tu jest między fiodorowcami duża figura, w każdym razie sponsor ich główny.

- Skąd to wiecie?

- Nie mówiłem, nad czym pracuję na uniwersytecie? Nad życiem w zmarzlinie, nad ożywieniami roślin i zwierząt małych z lodu wyjętych. Fiodorowcy od dawna nas nachodzą; czasami płacą za sprzęt i wyjazdy, a potem publikują u siebie wyniki naszych badań, jakoś dziwnie pokręcone. Wydają te swoje broszury, leży to tutaj w każdej księgarni i kawiarni, każdej traffice, widzieliście może, do wzięcia darmo. Pan Fizensztajn bogaty człowiek jest.

- Ale z tymi zatrutymi - co dalej? Fizensztajn zapłacił, wyzdrowieli - czy jak?

Sasza pokręcił głową.

- Rodion mówi, że pomarli wszyscy. W szpitalu się do ostatka bardzo starali, ale nie szło nic zrobić. Nikt z nich w ogóle do przytomności nie wrócił. A tuzin chłopów było, i to tak jednego tygodnia; tuzin, a może i więcej. Tragedja! *Congelationes, thromboangiitis obliterans, embolia et collapsus.*

- *Il semble étonnant*, ale co to znaczy? Odmrożenia i zapaść, tak?

- Hypotermia, wielkie kłopoty z krążeniem, coś jakby *morbus Bürgeri* bardzo przyspieszona, tworzą się zatory, ciało obumiera, zimne jak gład.

- Wszyscy, powiadacie. No, tego nie mamy sposobu wiedzieć.

- Ale mówię panu, że Rodion -



- Logika, panie Pawlicz! Cofając się od skutków do przyczyn, nie zobaczysz wszystkich przyczyn, które do innych zupełnie skutków doprowadzić mogły. Po cóż mieliby wozić do szpitala tych, co to w ogóle bez szkody dla zdrowia przyjęli? - Nałożyło się szkła i czapę. - Fiszensztajn, tak. Leżą wszędzie do wzięcia darmo, co? Karm je pan regularnie i pompuj teslektryką, aż zamarzną. Albo i nie zamarzną. Nu, paka!

Wyszło się tylnymi drzwiami, w zaułek od magazynów. Szczekielnikow pobiegł w ćmiało po sanie.

Pan Izydor Chruściński po przywitaniu przypatrywał się długo, z monoklem marostiekłowym na oku i bez, aż się pomyślało - raz, że w jego osobie na kolejnego rzeźnika duszy się tu trafiło, co to wyświdruje z niej ostrem spojrzeniem całą jedynoprawdę o człowieku, dwa, że poznał się Chruściński na oćmiacie, iż bynajmniej nie z naćmieczenia właściwego wszystkim mieszkańcom Kraju Lutych ona pochodzi, lecz z odćmieczenia mechanicznego, naturze przeciwnego, trzy wreszcie, że znowu efekt jakiś pomniejszy Cziornoje Sijanije wywiera, mając pana Izydora złemi symetrjami świecienia.

Jedno racja: było się nadal nielekkko odćmieczonym, jako że wszystkie owe domysły błędnemi się okazały.

- Wybaczycie mi, że wzrokiem tak was szargam - rzekł, usiadłszy - ale dzisiaj jeszcze bardziej mi go przypominacie. Kiedym go ostatni raz widział, też brodę gęstą nosił. A do czaszki to zawsze się strzygł. I jeszcze, jak tak stoicie - spoczniście, spoczniście! - on na wszystkich patrzył z góry, stał czy siedział czy leżał, z góry. Kropelku?

W pokoju na zapleczu Składów - urządzonym nawet przyzwoicie, z krzesłami skórą obitemi, lampami naftowymi pod złożonemi umbrelkami, landszafcikiem nie bardzo brzydkim - trzy z czterech ścian zabudowano stojakami na butelki z alkoholem. Chruściński i Synowie nie obracali trunkami najlepszego smaku i najwyższych cen, tu jednak, obok spirytusów bardziej podłych i win pospolitych, znalazły się szkła etykietowane wcale szlachetnemi markami. Pan Izydor nalał po kieliszku absyntu.

Posmakowało się go z czubka języka, docukrowawszy i rozwodniwszy mocno. *Na wszystkich patrzył z góry* - czyż już panna Jelena nie wypominała arogancji? Ale - jakiej arogancji, na miły Bóg?! Jakże się mogło patrzeć na ludzi z góry, skoro to oni mieli moc jednym spojrzeniem wstyd czerwony rozpalić, wstydem duszę spopielić? Nijak się takie równanie charakteru nie ma prawa zgodzić!

Odsunęło się kielonek.

- Jakiej właściwie natury była wasza znajomość? - spytało się prosto z mostu. - Pan wspominał o długu wdzięczności...

- Jakiej natury. - Chruściński wyprostował się za biurkiem, przesunął dłonią plamami poddmrożeńiowemi poznaną po kamizelce dropiatej, po podbródku gładko ogolonym, wyjął z oczodołu monokl, zastukał nim w blat z papierów właśnie oczyszczony. - Mój starszy, Radosław... Widzi pan, ten szyld, „Synowie” - to zakłęcie jest, czaruję przyszłość. Jan, owszem, ale Rado sław - siedemnaście lat miał, w tysiąc dziewięćset piętnastym dostał tu dziesiątkę za spiszek przeciwpamiętny. Wasz ojciec... Żeby nie wasz ojciec, Rado sław nie przeżyłby pierwszego roku katorgi. Trafił do jego rot, pan Filip wziął go pod skrzydła, na duchu podtrzymał, życia katorżniczego nauczył - Chruściński poderwał wyżej głowę. - Wyobraża pan sobie, chciałem mu się odwdziżyć, gdy zjawił się w Irkucku.

- Nie wziął niczego.

- Nie. - Pan Izydor uśmiechnął się sucho. - Myślałem, że mnie zruca - Westchnął. - Więc kiedym pana ujrzał pod Czarną Zorzą... Syn za syna, nie taka sprawiedliwość boska?

- Pan mnie ostrzegał przed Piłsudskim.

Chruściński wychylił resztę absyntu nierozcieńczonego.

- Eta diemon Lda! - szepnął chrapliwie. - Uciekaj pan od niego!

- Znacie się z nim?

- A myślisz pan, że przez co Radosław życie sobie złamał? Tutaj - machnął szeroko wedle stojaków butelkowych - tutaj się spotykali, nocami akcje swoje omawiali, politykę robili. I potem pan Filip...

- Co?

Chruściński zacisnął pięść.

- Bo złowił i jego! Przeklęty towarzysz Wiktor! Ściąga ich jak magnes - podejdziesz za blisko i nie oderwiesz się już. Zamarzło! I gdzie teraz pan Filip? Lód syberyjski!

- Znaczy, mówi pan, czy dobrze pojmuję - pan ma wiedzę pewną, że to Piłsudski posłał mi ojca na Drogi Mamutów?

Chruściński odetchnął, skrzyżował ramiona na piersi.

- Rzecz jasna, nie byłem przy tym - rzekł już spokojniej. - Ale mam oczy i uszy, swój rozum mam. Wiem, że dzień przed tym, jak do mnie przyszedł, pan Filip mówił z nim gdzieś

u siebie, w Zimnym Nikołajewsku. Zaraz potem policja zaczęła za nim chodzić po Irkucku. Wpada tu po zmroku, obwiązany szalem, że skrawka twarzy pod marostiokłami nie widać, i kładzie dieńgi na pięć flaszek sażajewki. A nazajutrz już pewnie był na szlaku - tyle go widzieliśmy.

- Sażajewki?

- Na drogę. - Pan Izydor wskazał butelki ułożone w wysokiej warstwie po lewej. - Dziesięć rubli trzydzieści kopiejek, droga używka, prawda, mógł: o tańszego.

Wstało się, zdjęło się ze stelaża flaszkę. Na nalepce wyrysowano panoramę Irkucka z wieżą Sibirchożeta pośrodku; jej korona ciemności rozpromieniała; ię w czarne bukwy nazwy trunku.

## **Сажа**

### **Байкальская настойка**

Zdejmując ją z wysokości, wstrząsnęło się butelką. W przezroczystym płynie, czystej wódce chyba, pływały płatki czarnego śniegu, węglowe śnieżynki-sażynki.

- Ludzie to piją? Nie szkodzi im?

- Wódka zawsze szkodzi, gdy bez umiaru zażywana, panie Gierosławski.

- Ten tungetyt w niej.

- Dlatego droga taka. Piją i ze złotem, piją i z kością sproszkowaną, dlaczego nie mieliby pić z tungetytem? W syropach czarnoaptecznych masz nawet grubsze kawałki.

Potrząsnęło się sażajewką raz jeszcze. Czarne drobiny wirowały powoli.

- Rozumiem, dlaczego żał żywicie do Piłsudskiego -

- Żał!

- Ale - diemon Lda?

- Pan myślisz, że on szczerze pragnie Odwilży? Ha! Omamił tych i owych racjami politycznymi w listach, w pismach zdalnych, z bezpiecznej odległości w Lato słanych, że nikt w charakter autora wątpić nie może. Ale jam go przejrzał: to jest dusza liedniacka; musi Polskę roztopić, żeby niepodległość jej wrócić, ale skoro by tylko pod własną komendę ją

wziął, sam by kraj cały pod swoją jedynowładzą prędko zamroził! - Znowu pan Chruściński pięść zacisnął. - Raz i drugi stanąłem z nim twarzą w twarz i poznałem prawdę o tym człowieku. Oni się tu objawiają częściej niż u nas, jest coś takiego w ziemi rosyjskiej, że łatwiej się człowiekowi oderwać od fałszów i niepewności świata materialnego i złapać wprost za ideję, za Prawdę, Boga za brodę. A jak kto usłyszał głos od Boga, to choćby był świniopas, stanie zaraz bez wstydu przed tłumem i ogłosi się carem prawomocnym, imperatora namaszczonego uzurpatorem przeklinając - a tłum wcale często mu uwierzy.

- Czemu miałby nie uwierzyć? - mruknięto się, zezując w sażajewkę. - Prawda jest prawda, ktokolwiek ją dotknął. Jak Bóg do człowieka przemówi i każe nawet syna swego zabić, to człowiek nie pyta, czy Bogu wolno, tylko za nóż łapie. - Odłożyło się nastojkę. - Zdaje mi się, panie Izydorze, że rację mają ci geologowie, co znajdują prehistorję Dróg Mamutów w najdawniejszych pokładach marzłoci. W Rosji zawsze było... zimniej, jeśli mnie pa rozumie; Rosjanie zawsze żyli bliżej Prawdy. Stąd tylu samozwańców, bożyci szaleńców, proroków, tyle sekt okrutnych, taka zajadłość na drodze do nieb. W Lecie to się rozmywa, niepewność dodaje się do niepewności, częściej sądzi my po pozorach materji. Ale tu...

- To jest naród liedniacki, to pan mówisz.

Usiadło się, zapaliło się papierosa. Pan Chruściński podziękował, dolał sobie tylko absyntu. Zerknęło się w zegarek.

- Pan ma z nimi teraz jakiś kontakt?

Zmarszczył brwi.

- Myśli pan rozmówić się z japończykami?

- Skąd może pan wiedzieć, czego ode mnie chce Piłsudski?

Palnął otwartą dłonią w blat.

- Na miłość boską, niech pan z nim nie wchodzi w żadne targi!

- Panie Izydorze... - złagodziło się ton do miękkiej perswazji. - Ja muszę znaleźć ojca. Jeśli istotnie to Piłsudski wyprawił go w Lód... kogo mam pytać jak nie jego?

Chruściński uciekł oczyma. Drżący cień od lampy naftowej zmieszany z oćmiatą lutowczykową oblewały szlachetny profil kupca spirytusowego fala wte, fala wewte, raz zdawał się zagniewanym, sekundę potem - zasmuconym.

- Mówi się... Nie poszło, jak chciał. Gruchnęła wieść, że do Irkucka przy był Syn Mroza,

a zaraz potem - że Ziuk przyjechał tu specjalnie z Charbina Na pewno chce się z wami zobaczyć. - Przeżuwał coś długo w milczeniu Wreszcie: - Mam posłać słowo?

Rozgniatając powoli papierosa w popielniczce, skinęło się głową.

Stanąwszy do pożegnania, sięgnęło się po pugilares.

- Dziesięć rubli, trzydzieści kopiejek.

Pan Chruściński zrobił obrażoną minę i stanowczym ruchem wcisną dwie butelki sażajewki, odpychając rękę z banknotem.

Odstąpiło się o krok, odliczyło się powtórnie należność całą, nawet bilon drobny, i położyło się dieńgi na stelażu.

- No tak - zamruczał pan Izydor. - No tak.

Na Prospekcie Tumannym otwarta była jeszcze oficyna księgarska i anty kwarcyczna, zajrzało się tam, przetruchtawszy pośpiesznie przez ulicę na mrozie, ale nie mieli żadnych broszur fiodorowcowych. Gdy jechało się już na Cwietistą, przyuważyło się w tęczach marostieklowych szyld traffiki żydowskiej; zatrzymało się sanie. Subiekt starozakonny wskazał stosik przy słojach cukrowych. Leżały tam trzy numery akcydensa zatytułowanego „Waskrieszenije”. Na okładce ostatniego umieszczono rycinę przedstawiającą scenę wyjętą chyba z ilustracji fantazyj Verne’a: maszyny jakieś gigantyczne sięgały ramionami żelaznymi w głąb lodu, unosząc pod snopy buchających z wysoka promieni zwłoki ludzkie, dziesiątki, setki zwłok. Broszury, jak informowano zaraz pod tytułem, wydawało Irkuckie Bractwo Walki z Apokalipsą. Zabrało się po jednym egzemplarzu, nabywając przy okazji pudełko tutek z filtrem tungetowym.

Na Cwietistej chiński mistrz nożyc i igły wziął był już w obroty pana Wieickiego, z głębszych pokoi dobiegały jego porykiwania i pomruki basowe, szczebiot Kitajca. Pani Halina i panna Marta rozłożyły się w salonie z próbkami materiałów kosztownych; zaraz zmusiły do wyrażenia opinii na temat ego i owego koloru, tego i owego kroju z żurnała. Ledwo się zdołało się wymknąć do sypialni, rozdziać się i pochować papiery z tabelami wyników eksperymentów zimnazowych, płytki metalowe, dwie butelki sażajewki oraz brozury fiodorowcowe.

Gdy stary Chińczyk wywijał metrem naokoło ciała i kłuł paluchami twardymi pod koszulę, pan Wojśław, odsapnąwszy po własnych przejściach meżeńskich, zapalił fajkę i ni z tego, ni z owego palnął:

- A Modest Pawłowicz mówi, że zaproszenie dla was to sprawka Pobiedonoscewa.

- Pobiedonoscewa? Myślałem, że między nimi to już na noże. Dlaczego Szulc miałby kogo zapraszać na zaręczyny córki dla przyjemności swojego wroga?

- Iii-tam, wroga; obaj liedniackie interesy mają. - Pan Wielicki uśmiechnął się przez obłok dymu tytoniowego; potem machnął ręką z fajką i brylantem i, czary-mary, uśmiech znikł. - Modest Pawłowicz mówi, że wy teraz gracz polityczny jesteście; że figura kontrowersyjna i radykał. Kogo ja pod lachem swoim żywię!

- Syna Mroza, nie wiedzieliście?

Zabrzmiało to ostrzej, niż się zamierzyło. Żartował przecież. (Żartował?) Ech, nadałby się teraz strzał mocny ćmieczy mrozącej... Dłonie pod rękawiczkami piekły okrutnie, lecz krawiec kazał akurat unieść ramiona, stało się jak głupi, nie bardzo można było nawet odpowiedzieć Wielickiemu uśmiechem porozumiewawczym. To dopiero drugi dzień - ale jeśli rzeczywiście tak się zamarznie...

Na koniec skłębiło się Kitajca i się zamknęło się w pokoju swoim. Za oknami tylko ciemność monumentalna i w ciemności mgła malowana tęczami latarni, a tu - człowiek i myśli człowieka. Jest to pora, gdy najmniejsza rzecz budzi irracjonalną irytację, świat szoruje po zmysłach jak skrobaczka kościana, trudno znaleźć zajęcie dla ciała i umysłu, podnosi się i upuszcza przedmioty, nawet na nie nie spojrzawszy, się ociera się o ściany, o meble, niczym kot pobudzony, drepcze się w zamkniętej przestrzeni. Pora dnia, pora nocy, gdy jeszcze zmęczenie nie naciska do snu, ale przecież już nic nie musi się zrobić, nie musi się nawet udawać, że coś się robi, wyjęty zmiędzy ludzi. Nic nie jest koniecznym; wszystko jest możliwym. Co począć, co począć? Dłonie zaciskają się i otwierają, zdrapałoby się całe ciało, się odrapałoby się do naga. Chłop wtenczas się upijają albo baby bijają albo głupstwa jakieś wielkie, życiów popełniają. Kobiety domy sprzątają (albo się upijają). Schowało się butelkę sażajewki wysoko w komodzie. Postawiwszy lampę na szafce nocnej i zległszy na posłaniu, otworzyło się „Waskrieszenije”. Tłumy zmartwychwstańców maszerowały przez Fabrykę Nieśmiertelności, aleją pod machinami fantastycznymi, za których tronem-pulpitem zasiadała postać wysoka, na tej rycinie szaro-białej, w świetle naftowym - wcale podobna do doktora Tesli. Redaktorem głównym „Waskrieszenija” był Edmund Gierontijewicz Chawrow. Co strona w szlaczkach upiornosielankowych u dołu kartki kwiatki tu wyrastały z czerepów trupich. *Zmartwychwstaniemy! Wskresimy!* Ot, lektura do po duszki.

Owego Mikołaja Fiodorowa opętała była idea, ale nie tak jak człowiek; Zachodu idea

opętuje: że weźmie się on w sobie, rzuci k'sprawie z mocą i albo rzecz zamierzoną osiągnie (z wielkim hukiem), albo klęskę poniesie (z wielkim hukiem), poczem wróci do życia. Ideja Fiodorowa przysła jak to ideje rosyjskie przychodzą: po cichu, szeptem z głębi czaszki, wpierw do duszy, potem do rozumu przemawiając, a z taką siłą, z taką pewnością słuszności i prawdy, że nie było ku czemu od życia się Fiodorowi odwracać, bo ideja wraz zakryła sobą całe to życie, cały świat, całą Historję, i Fiodorowa jednego małego też. Jak najdawniejsi autorzy latopisów, kronikarze mglistej zaprzeszłości Rusi, wspólnym wysiłkiem dośmiertnym tworzyli w odosobnieniu dzieła największe, tak i Fiodorow, pożarty przez ideję, nie myślał się w ogóle ogłaszać przed ludźmi; jeśli co za życia upublicznił, to pod pseudonimem Nie istniał w oderwaniu od ideji; ideja przemawiała przez niego. Żył w ascezie żywotem mnisim zgoła, to jest w samotności, w biedzie, między księgami Z urodzenia bękart księcia Gagarina, z pensji siedemnastorublowej urzędnik najniższy, przepędził żywot w Bibliotece Muzeum Rumiancewa i w Moskiewskim Archiwum Ministerjum Spraw Zagranicznych. A żył lat siedemdziesiąt cztery - przez ten czas przeczytał wszystkie książki dostępne w bibliotekach (ideja rosła) i zapisał dziesiątki tysięcy stron, wykładając na nich szczegół) swojego Projektu. Dopiero po śmierci jego autora zachwycali się Projekterr Sołowjow, Tołstoj, Dostojewski, największe umysły Rosji. Mikołaj Fiodorow zaplanował mianowicie inżynierję nieśmiertelności, jego ideją było zwycięstwo nad śmiercią - ale nie tylko śmiercią przysła, lecz każdą śmiercią, co się kiedybądź w otchłani Historji zdarzyła. Fiodorow sporządził detaliczny przepis na wskreszenie całej ludzkości, od Adama i Ewy począwszy.

*...A zasadzał się on na geologii i hydrologji. Energia czerpana z prądów powietrznych i przekazywana do różnych warstw Ziemi będzie wywoływać w nich regularne wstrząsy, zastępujące dzisiejsze niszczycielskie trzęsienia ziemi, które jednakże umożliwiają przepływ wód, gromadzących cząsteczki prochu zmarłych. Nauka zajmująca się nieskończenie małemi poruszeniami molekularnemi, które mogą być postrzegane tylko wyostrzonym słuchem synów człowieczych, wyposażonych w najsubtelniejsze organy wzroku i słuchu, nie będzie poszukiwała drogocennych kamieni ani cząsteczek metali szlachetnych, ponieważ poszukiwaczami będą nie humaniści, którym wszystko, co rodzicielskie, ojcowskie, jest obce, ale pełnoletni synowie; będą poszukiwali molekuł składających się na istoty, które oddały im swoje życie. Wody, wynoszące z wnętrza Ziemi prochy zmarłych, staną się posłuszne zbiorowej woli synów i córek człowieczych i zaczną reagować pod wpływem promieni świetlnych, które nie będą już ślepe, jak promienie cieplne, nie będą również zimno-niewrażliwe; promienie chemiczne uzyskają zdolność wybierania, to znaczy pod ich wpływem*

*elementy pokrewne będą się łączyć, a obce oddzielać.* Szczegółowość projektów technologicznych jest tem większa, im dalej w technologje przyszłe Fiodorow i jego następcy sięgają. Ponieważ istnieje granica percepcji ludzkich zmysłów, operacjami na molekułach ojców zajmować się będą nie bezpośrednio synowie, lecz małe maszyny zbudowane przez synów, a nawet maszyny zbudowane przez maszyny zbudowane przez synów. Albowiem ta wewnętrzna budowa cząsteczek pochodzących z prochu zmarłych *dostępna jest jedynie niewidocznym dla naszych oczu mikroskopijnym żyłkom, i to pod warunkiem, że byłyby one wyposażone w takie mikroskopy, które rozszerzałyby pole ich widzenia tak dalece, jak nasze mikroskopy rozszerzają pole naszego widzenia.* Oto więc „Waskrieszenije” zamieszcza artykuł o owych awtamaticzieskich czierwjakach, ilustrowany szkicami mikromaszyn, tak małych, że widocznych jeno dla innych mikromaszyn. Czierwjaki Fiodorowa mają formę figur geometrycznych z tuzinami małych ramion-wici; trochę przypominają ryciny mikrobów z atlasów Zygi, a trochę - automaty radjem sterowane opisane w odrzuconych przez Marynarkę USA patentach doktora Tesli.

...Opętany ideją Fiodorow rozważa kolejne problemy stojące na drodze do powszechnego wskrzeszenia. Się ułożyło się wygodniej pod lampą, rzecz była fascynująca, jak często bywają na pierwszy rzut oka cudze obsesje. Jak odnaleźć wszystkie cząstki ongi wchodzące w skład ciał przodków? Wszak zostały one *rozproszone w przestrzeni Układu Słonecznego, a być może również w innych światach.* Problem wskrzeszenia ma zatem charakter *tellurosolaryczny bądź nawet tellurokosmiczny.* Nadto nie umyka uwagi Fiodorowa monumentalna matematyka Projektu: jeśli zbierzemy w jednym momencie Historji wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli, nawet nie kładąc pod uwagę pokoleń przyszłych, to nijak ich nie pomieścimy na jednej Ziemi. Dlatego logiczną konsekwencją Projektu Powszechnego Wskrzeszenia jest konieczność wyjścia poza Ziemię, opanowania otchłani kosmicznych i odkrycia innych ciał niebieskich. *Obowiązek wskrzeszenia wymaga takiego odkrycia, ponieważ bez zawładnięcia przestrzenią niebieską niemożliwe jest jednoczesne współistnienie pokoleń, choć, z drugiej strony, bez wskrzeszenia niemożliwe jest całkowite opanowanie przestrzeni niebieskiej.* Wszak to oczywiste! *Cały wszechświat będzie zjednoczeniem niezliczonych światów nieogarnionych przestrzeni niebieskich, zjednoczeniem dokonaniem przez tysiące tysięcy wskrzeszonych pokoleń, pochłanianych przez Ziemię w ciągu nieskończonej stuleci.* Trzeba emigrować poza Ziemię, kolonizować ciała niebieskie, brat w posiadanie i czynić sobie podległymi systemy gwiazdne, galaktyki.

...Skąd energia po temu, jakaż technologia na to pozwoli? W przedostatnim numerze



„Waskrieszenija”, zaraz na stronie trzeciej zamieszczono kopję owej starej fotografii, na której Nikola Tesla siedzi pod gigantycznymi piorunami wyładowań elektrycznych. Albowiem punktem wyjścia dla technologii Wskrzeszenia będzie, wedle słów Fiodorowa, *odgromnik unoszony w powietrzu za pomocą aerostatu, pozyskujący energję burzową nie tylko, rzecz jasna, do utrzymania przez ludzi własnego życia, ale do przywrócenia życia tym, którzy je utracili lecz jest to zaledwie nikły początek regulacji sił przyrody.* „Regulacja” to słowc klucz; „regulacja”, „porządek”, „władza nad materją”. *Całe życie wszechświata jest nieprzerwaną burzą i nawałnicą o różnym stopniu natężenia, ponieważ siła działająca we wszechświecie nie jest jeszcze siłą poddaną regulacji. Badać przyrodę znaczy poszukiwać sposobu rozładowania energii elektrycznej i przekształcenia jej z niszczycielskiej w energję odradzającą, wskrzeszającą. Zjednoczywszy się w kierowaniu procesem meteorologicznym, w którym skupia się energja słoneczna, synowie człowieczy osiągną zdolność przetwarzania wydobywanego z głębokich warstw Ziemi prochu przodków nie w strawę dla potomków, ale w ciała tych, do których należał.* Na koniec sama Ziemia stanie się maszyną posłuszną w rękach wskrzesicieli. *Badania nad elektrycznością, a jednocześnie nad całą przyrodą, dopiero wówczas osadzone zostaną na niewzruszonym gruncie, kiedy będziemy potrafili wprowadzać Ziemię jako jedno ciało w różne stopnie pobudzenia i dostrzegać wpływ wywierany przez nią na inne światy. Jedność procesu meteorologicznego i kosmicznego tworzy podstawę do rozszerzenia regulacji na System Słoneczny i inne systemy planetarne w celu ich odrodzenia i rozumnego opanowania.* Regulacja obejmie wszystkich czas - bo nie tylko ludzi współcześnie żyjących, więc podległych tej władzy, ale całą Historję i ludzi, którzy wraz z nią przeminęli - oraz wszystką przestrzeń - nie tylko Ziemię, lecz kosmos cały. *Całokształt ożywionych przez wskrzeszone pokolenia światów, pozostających w ścisłym braterskim sojuszu, sam stanie się narzędziem wskrzeszenia własnych przodków.*

...Dalej. Podkreśliło się knot. Dalej, dalej. Skoro ludzkość posiędzie moce i zdolności pozwalające jej realizować podobne przedsięwzięcia, nie będzie to już ludzkość w naszym dzisiejszym gatunku i człowieczeństwa rozumieniu. Nie można być zarazem mężem dojrzałym i dzieckiem; nie można być aniołem i pędzić żywot bradiagi. *Przywrócenie życia zmarłym stworzy istoty nieśmiertelne, niezniszczalne, ponieważ odtworzenie życia z pozbawionej życia istoty dopiero wówczas stanie się nie tylko możliwością (tak było zawsze), ale dowiedzoną rzeczywistością.* Wskrzesiciele i wskrzeszeni ku innym ideałom obrócą swe wysiłki. Człowiek lęka się śmierci i wszystko robi, by przy życiu się utrzymać - ale do czego dąży istota już nieśmiertelna? *Nie tylko funkcje wszystkich organów, ale także morfologia*

*powinna stać się produktem wiedzy i działania, pracy. Trzeba sprawić, żeby mikroskopy, mikrofony, spektroskopy i tym podobne stały się w sposób naturalny, ale i świadomy, własnością każdego człowieka, to znaczy żeby każdy miał sposobność odtwarzania siebie z najbardziej elementarnych substancji, zyskując w ten sposób możliwość przebywania wszędzie. Będzie to zatem pankosmiczna cywilizacja bywszych ludzi, co istnieją nie dzięki ciału, lecz pomimo ciała, bo dowolnie potrafią je sobie zmieniać, przebudowywać, odejmować i dodawać, to tu, to tam. Ostatecznemu zatarciu ulegnie granica między materją ciała i materją nie-ciała: każda cząstka będzie mogła zostać wykorzystana przez awtamaticzeskije czierwjaki do ciała odtworzenia lub stworzenia. Zadanie rodu człowieczego polega na przekształceniu wszystkiego, co nieświadome, co powstające samo z siebie, co zrodzone - w świadome, światłe, rzeczywiste, powszechne, osobowe wskrzeszenie. Jak najdosłowniej rozumiane zmartwychwstanie ciał właśnie dlatego jest tak ważnym, iż w końcu pozwoli wyrwać się z niewoli tego, co cielesne, ku temu, co duchowe. Dopiero dzięki regulacji materji także duch odniesie pełne zwycięstwo nad ciałem.*

...Albowiem motywem i sensem całego Projektu i treścią ideji, co skonsumowała Fiodorowa, jest Prawda religii chrześcijańskiej, Słowo Boże. *Chrystus jest Wskrzesicielem i Chrześcijaństwo, jako religja prawdziwa, jest wskrzeszeniem.* Biblijne zapowiedzi z Apokalipsy nie stanowią i nie mogą stanowić bezwarunkowego opisu przyszłości. W ten sposób odbierałyby przecież człowiekowi nadzieję i wolną wolę. Jest to natomiast plan przedstawiony ludzkości do zrealizowania. Wszystkich, którzy się do nich nie przyłączają, fiodorowcy zwą pogardliwie „chrześcijaninami pasywnymi”, „religji klientami”, „leniwymi Łazarzami”. Tylko fiodorowcy są „chrześcijanami aktywnymi”. Nie czekają bezwolnie na ciał zmartwychwstanie - pracują, by to zmartwychwstanie nastąpiło. Walcząc przeciwko Apokalipsie, wypełniają Boży zamysł Historji. Biorą przykład z Chrystusa najpilniej jak można: będą wskrzeszać, jak On wskrzeszał. *Bo wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy odmienieni będziemy. Prędziuchno, we mgnieniu oka, na trąbę ostateczną (abowiem zatrąbi trąba), a umarli powstaną nieskażonymi, a my będziemy przemienieni. Tak, bracia moi mili, bądźcie stateczni a nieporuszeni, obfitując w robocie Pańskiej zawsze, wiedząc, iż praca wasza nie jest próżna w Panu.*

...Religja wiąże się tu bezpośrednio z nauką, nauka jest narzędziem religji. Nic dziwnego, że jeżdżą po uniwersytetach, instytutach badawczych i sypią dieńgami na takie i owakie badania. Szczególne wrażenie zrobiły na nich przypadki „samorzutnego” wskrzeszenia zwierząt wyjętych z wiecznej zmarzliny. Lód, lód - to już jakiś początek. Sam Chawrow pisze

w broszurze o eksperymentach ze śmiertelnie chorymi ochotnikami, kładzionymi w doły lodowe i wyjmowanymi z nich po kilkudziesięciu godzinach, gdy zdążyli zamarznąć na kamień - wstaną czy nie wstaną? A może nie wstali tylko dlatego, że mimo wszystko choroba ich do reszty zmoęła? (Czy fiódorowcy zdają sobie sprawę, że na swój sposób powtarzają tu rytuały marcynowe?) Lód, lód - im niższa temperatura, tern pełniejsze zamrożenie. Przemysłiwali już nawet nad jakimiś eksperymentami z lutymi. Galwanizowali zmarłych zimowników. Panowie w szubach grubych, z gołemi głowami i obliczami poważnemi nad patrzarszemi brodami fotografowali się obok otwartych mogił w lodzie wykutych, między nimi stał oparty o deskę, sztywny jak sople trup, też lutowczyk, znaczit, zaćmietlony srogo. *Idealna konserwacja ciała jest pierwszym krokiem na drodze do ciał wskrzeszania.* Zagasiło się lampę, nacisnęło się na powieki kciukami. Czyż nie tak brzmi termodynamiczne twierdzenie Nernsta? Dla temperatury dążącej do zera bezwzględnej entropja dąży do zera. Czyli jeśli pływ teslektryczny naprawdę sięga poza dotychczasowe miary temperaturowe... Zzuło się rękawiczki, mrowienie przeszło z dłoni na policzki, czoło. Czy rzeczywiście zero lorda Kelvina to punkt, w którym odwracają się procesy entropijne? I po jego drugiej stronie, w Królestwie Ciemności, skąd tylko lute przychodzą, tam pomieszane będzie się odmieszywać, to znaczy porządkować, zepsute się naprawi, zapomniane - przypomni, zafałszowane - naprostuje, a zmarli - oni zmartwychwstaną?

Wyjrzało się przez okno na Angarę złocistą, płomiennobarwną od kolorów lamp sani po niej krążących, które spłynęły na marostiekłe w kształt rzeki zamarznętej; a śnieg - w niebo; a niebo - na dachy; a dachy... Znowu przetarło się oczy. Półtora dnia bez odćmieczenia i już pewność jedynoprawdy zaczyna wżerać się w umysł. Wyczuwało się bowiem w idei Fiodorowa ową słuszność wynikającą z samej jej totalności, z wszechogarniającej chłoności. Co więc będzie po tygodniu, miesiącu? Jeszcze się tu nawróci się na marcynostwo...! Się zaśmiało się pod wąsem. Prochy ojców. Trup z grobu wyjęty, wysokodostojni fiódorowcy nad grobem. Wróciło się do broszur, zapaliło się na powrót lampę. Znalazło się adres redakcji, a zarazem siedziby Irkuckiego Bractwa Walki z Apokalipsą. Głównaja 72, IV piętro. No, no, reprezentacyjna lokacja. Odpisało się adres do bumażnika.

Redakcję „Waskrieszenija” stać było na tak reprezentacyjną lokację, bo, jak się ujrzalo, zajechawszy tam nazajutrz po pracy, w teje kamienicy mieściły się kantory Fiszensztajnowej spółki import-eksport oraz Nowego Banku Zimowego (w którym Fiszensztajn również miał większościowe udziały). Na kondygnacji drugiej znajdowały się zresztą także biura bajkalskiego oddziału Towarzystwa Asekuracyjnego Lloyda. Fiszensztajn był konkurent

zjadły pana Wielickiego i Wojsław często o nim wspominał (zwłaszcza odkąd ubzrdła sobie, że z biednego matematyka nagle wypoczwarzy się wielki przedsiębiorca). - Fizensztajn jest Żyd, ale dziwny Żyd. Raz, że nie trzyma z Żydami - trzyma z chrześcijanami, wszyscy jego spółnicy to ludzie chrzczeni. Dwa, że rozrzutny niepospolicie: w iluż projektach z góry bezzyskowych topił kapitał! A nie mówię tu o żadnej filantropji Bogu miłej. Trzy, uczony w Piśmie, znaczy, szacunek wielki między rabinami posiadający, i główny fundator irkuckiego bet-hamidraszu. Im bardziej się jednak od nich odsuwa, tern wyżej go cenią. Przejrzyj pan takie paradoksa!

Trzeba widać większej subtelności w rachunkach i oka prokuratorskiego, Razbieszowowego, by rozwiązać równanie Fizensztajna. Ciekawość, jaką to prawdę żyd pobożny widzi w Fiodorowej idei. A może świadomie w kłamstwie żyje? Nie finansowałby tak szczerze Bractwa Walki z Apokalipsą dla byle kaprysu. Inna rzecz, że było go stać: po Irkucku chodziły plotki o fałszywej skromności Fizensztajna, bo ponoć zdążył już zgromadzić pięć fortun, które następnie polokował poza Syberją, w bankach szwajcarskich i włoskich, w kopalniach niemieckich, w realnościach (posiadał rzekomo kwartał kamienic czynszowych w Nowym Jorku). Nu, każdy bogacz chodzi między ludźmi w aureoli kłamstw o bogactwie dziesięciokroć większym, osobliwie ci z plemienia Mojżeszowego.

Na Głównej stał luty; trzeba było zajechać i wejść od tyłu. Zrazu pomyślało się, że budynek w ogóle wyjętym jest z użytku: na dachu też rozpajęczył się glacjusz. Potem dopiero, na drugie spojrzenie, w zaćmieniu cieni wieczornych, zobaczyło się jedynoprawdę kształtu: nie był to glacjusz, lecz glacjusza architektoniczne wyobrażenie, to jest rzeźba potężna maskarowa na szczytach attykowych rozcapierzona.

Drzwi redakcji „Waskrieszenija” zastało się zamkniętymi. Z pokoju obok wychodził akurat człowiek z naręczem zardzewiałego żelastwa; przystanął, spojrzał, zagrzechotał i zagadnął: - Panowie do Bractwa?

Słowo do słowa, wyszło na jaw, że i on fiodorowiec, Arski Jakow Justinowicz, do usług. W redakcji już nikogo nie będzie, ale Edmunda Gierontijewicza pewnie można zastać w firmie, gdzie odpowiedzialne stanowisko zastępcy dyrektora piastuje - a, o, tu, w lewo od schodów. Jeśli sprawa ważna dosyć.

Co można było przewidzieć, wicedyrektor Chawrow ani myślał się z niezapowiedzianym wizytantem w tak późnych godzinach spotykać. Skreśliło się więc szybko dwa zdania i posłało się mu liścik przez klerka. Chawrow - lutowczyk, łysiejący okularnik przy kości, mało

imponującego wzrostu, za to w garniturze dwurzędowym z najlepszej wełny angielskiej - zjawił się zaraz po minucie.

- Prawdaż to? - spytał cicho z kartką w uniesionej dłoni. - Że możecie nam przyprowadzić doktora Teslę?

- Mogę was z nim zapoznać i zagwarantować, że wysłucha was z najwyższą uwagą, tak. - Zdjąwszy marostiokła, wyciągnęło się rękę. - Benedykt Filipowicz Gierosławski.

Uściskał ją prędko. Nie skojarzył, widziało się to wyraźnie, myśl i wzrok błądziły mu gdzieś obok.

- Mówicie, że możecie. I chcielibyście za to - co? wdzięczność naszą w rublach liczoną?

- Wiecie co, zostawię was z tym, prześpijcie się, zasięgnijcie języka, wtedy pogadamy. - Ruszyło się do wyjścia.

Po chwili pan Chawrow wypadł na korytarz.

- Zaraz! Zaraz! Powiedzieliście - proszę wybaczyć - jak? Gierosławski?

Pamiętając metodę doktora Myśliwskiego z Klubu Złamanej Kopiejki, nie odparło się nic, stanęło się tylko w milczeniu, mierząc go okiem ostrem, gniewnem, i powtarzając w duchu niczym zaklęcie: mróz, mróz, mróz, mróz. Co chyba poskutkowało, albo też Edmund Gierontijewicz już decyzję podjął, bo nie wahając się dłużej, zakrzyknął coś na odchodnem do klerków i poprowadził z powrotem do tego pokoju, z którego Arski złom był wynosił. Ale nie był to skład żaden rzemieślniczy, jeno sala klubowa, ładnie urządzona, pod obrazkami malowniczymi i lampami elektrycznymi, z piecem Dauerbrandowym w kącie i oknami wysokimi z szybami ze szkła zwykłego. Szyby drżały w rytm bębnow głażatajowych. Odwiesiło się szubę, spoczęło się w fotelu wygodnym. Pan Chawrow zawołał na służbę. Na stole leżały naczynia po podwieczorku obfitym, popielnice i filiżanki. Parkiet przy piecu lśnił mokro.

- Prawdę mówiąc, dawno już myśleliśmy zapukać do was - sapnął Chawrow. - No ale, widzę, Mahomet, góra, chły, chły. - Śmiał się, jakby piesek pokojowy szczekał. - Wie pan, gaspadin Jerosławski, posłałem doktorowi zaproszenie, sądząc, że słyszał o nas, musiał słyszeć; nie wiem, czy -

- Nie słyszał. Z takiego zaproszenia to można najróżniejsze rzeczy wyczytać, straszne i groźne.

- No tak. Naradzaliśmy się w tej kwestji. Czy wypada przeciwko interesom naszych prominentnych członków -

- Pan Fiszensztajn jest z tych, co będą bronić lute własną piersią, co?

- Stało, że jak już doktor Tesla sam z siebie wie, to przyjdzie. Nie przyszedł. - Służący, uprzątnąwszy bałagan ze stołu, nastawił samowar; Chawrow przesiadł się bliżej samowara, zaczął przestawiać porcelanę, sypać czaj suszony, przebierać grudki cukru. Syberyjskie ceremonie parzenia herbaty często wypełniały całe spotkania handlowe, pan Wielicki twierdził, że więcej interesów ubił przy herbacie niż przy wódce. Edmund Gierontijewicz nalał pierwsze czarki. - Proszę. Pan oczywiście rozumie, jak bardzo zależy nam na współpracy doktora, skoro już tak szczęśliwie się złożyło, że zawitał do naszego miasta. Ów pokaz na rzece, luty roztopiony - i ta czarna elektryka, którą on lutego potraktował - o niczym innym się nie mówi. Mikołaj Fiodorow, jeśli zna pan jego pisma, on przewidział, że -

- Chcielibyście wykorzystać teslektryczność do doświadczeń we wskrzeszaniu ludzi.

Chawrow opuścił oczy na podstawkę, siorbnął czaju gorącego; poczerwieniał lekko, może od tej herbaty, a może - może zawstydzony wobec Syna Mroza.

- Nie musicie przecież dawać nam wiary - rzekł. - Proszę tylko o możliwość sprawdzenia hipotezy. To tak niewiele, gdy przyrówna się rzecz do celu ostatecznego: przywrócenia do życia każdego jednego człowieka. Rok, wiek, tysiąclecie błędzenia i porażek i ośmieszeń - jakież to ma znaczenie? W porównaniu. - Siorbnął resztę czaju. - Gdy na drugiej szali. W alternatywie. Jeśli. Pfch. Jeszcio?

Postępując wedle zasad syberyjskiej grzeczności, odwróciło się opróżnioną czarkę chińską do góry dnem, na wierzchu położyło się bryłkę cukru.

- Wybaczcie, jeśli dał pretekst dla takiego wrażenia. Wcale się z was nie śmieję. Kto wie, być może macie rację, upatrując rozwiązania w teslektryce. Pomówicie z doktorem, zobaczycie sami, że ma otwartą głowę. - Sprzątacze ścierał kałużę pod piecem, odczekało się, aż wyjdzie ze szmatą. Nikola z pewnością ma otwartą głowę, sam przecież utrzymuje, że został przywrócony do życia dzięki odmieczeniu; zarazić go w stosownej chwili ideją Fiodorowa i co najmniej przez tydzień tylko o tym myśleć będzie. Tydzień, może miesiąc, może dwa, jeśli szczęście dopisze i Chawrow *et consortes* okażą się dosyć obrotnymi. A to powinno wystarczająco opóźnić budowę bajkalskiego Młota Ćmieczy i te eksperymenty niebezpieczne z rezonansem fal na Drogach Mamutów. Chawrow ponownie zaproponował dolewkę; ponownie odmówiło się. - Chciałbym prosić o przysługę w zamian za przysługę.

- Słucham.

- Być może pan Fiszensztajn prędzej mógłby mi pomóc.

- Jeśli idzie o finansowe -

- Nie. Idzie o pewne doświadczenia, które, jak sądzę, już przeprowadzaliście. Nie wiem, kto dokładnie, ale wiem, że pan Fiszensztajn zapłacił za opiekę lekarską nad ludźmi, którzy brali w nich udział.

- Ach. - Edmund Gierontijewicz wyprostował się, poprawił okulary, oćmiata zabulgotała wokół jego szyji sztywnym kołnierzykiem objętej.

- Zdaję sobie sprawę, iż nie były to, nie mogły być przedsięwzięcia w pełni legalne, zobowiązani jesteście zachować dyskrecję, pan Fiszensztajn mógłby zostać wwikłanym w bardzo nieprzyjemną aferę, człowiek o jego pozycji nie pozwala sobie na podobne kompromitacje. Nie o wszystkim przecież informujecie czytelników „Waskrieszenija”. Trupa z marzłoci wyciągnąć, śmiertelnie chorych na ich prośbę do lodu włożyć, kundle galwanizować - ujdzie jakoś. Ale zwińczone zgonami zbiorowe zatrucie tungetytem?

- Jeszczo?

- Spasiba.

Nalał.

- Darujcie minutku, pójdę zapytać.

- Rzućcie może słowo, żeby dali co ciepłego mojemu człowiekowi.

- Kanieszna.

Poszedł zapytać, ale trwało to dłużej niż minutkę i kiedy zjawił się z po wrotem, zjawił się nie sam, i nawet nie on pierwszy próg salonu Bractwa przestąpił, lecz Abraham Fiszensztajn we własnej monumentalnej osobie, lagą ciężką się podpierający, pod sztormem siwizny i z hypnotycznym okiem marostieklowo-tungetytowem spode brwi okrutnej tęczującym. Powstało się z szacunkiem. Skinął lekko głową. Służący podsunął mu fotel. Żyd zawinął czarne poły chałata atłasowego, zgarbił się, lewą ręką brodę przycisnął, prawą łaskę za mebel zahaczył, tak usiadł; usiadło się naprzeciw.

Spojrzało się pytająco na Chawrowa. Nie dał żadnego znaku.

- Panie Fiszensztajn -

- Powoli - przeciągnął miljoner głosem niskim - powoli.

Cóż to, tak się zmęczył, że musi teraz długą chwilę odpoczywać w milczeniu? Nie był przecież stary. Nie zadyszał się. Siedział i patrzył okiem zdrowym, okiem martwym kalejdoskopując salon. Pomyślało się, że w czas Czarnych Zórz ta jego tungetytowa żrenica świeci pewnie niczym latarenka srebrna, spod powieki uniesionej i przez powiekę zamkniętą, na różowo wtedy. A może nie, może starczy ciałem od ćmiatła ją osłonić, jak się na seansie księżnej Błuckiej w Transsibie Arcymistrza było osłoniło. I na co tak Żyd spoziera wzrokiem sędziowskim, kapłańskim, za pejs leniwie ciągnąc? Na Syna Maroza, oczywista, atrakcją salonową.

- Gaspadin Fiszensztajn, sprawa jest taka, jak wam gaspadin Chawrow pewnie opowiedział: dla Bractwa waszego okazja na pozyskanie doktora Tesli, dla mnie - informacja naukowa o eksperymentach waszych. Pytanie więc do was idzie - o ów wypadek, w którym kilkunastu chłopów z zatrucia tungetytowego w szpitalu Trójcy Świętej zmarło było.

Abraham Fiszensztajn stuknął łagą.

- Powoli, powoli. - Skinął na Chawrowa; Chawrow nachylił się, szeptał mu coś do ucha. Fiszensztajn słuchał, przeżuwał słowa niewypowiedziane. Wpadł klerk zaaferowany z bumagą w rękę, karandaszem za uchem; Chawrow warknął nań, rozeźlon. Pan Fiszensztajn uniósł palec. Edmund Gierontijewicz wyszedł, klerk wyszedł, służący wyszedł, zamknął drzwi. Błrumm, błrummm, były bębny burjackie. Żyd odcharknął, westchnął. - Zapukał młodzian do mędrca - zanucił basem. - Rebe, pyta, dwie dziewczki miłuje, którą mam za żonę wziąć? A która ciebie miłuje, pyta rebe. Ta mówi, że miłuje, i ta mówi, że miłuje, powiada młodzian, ale skąd mnie wiedzieć, czy miłuje naprawdę. A która lepiej kucharzy, pyta rebe. Jedna okropnie, mówi młodzian, i druga paskudnie, ale obie wyuczyć się przysięgają, tylko skąd mnie wiedzieć, czy się wyuczają. A która wierną i posłuszną jest, pyta rebe. Oj, rebe, teraz każda w ogień skoczy i świata poza mną nie widzi, ale za lat dziesięć, dwadzieścia - skąd mnie to wiedzieć! Rebe pokiwał głową i rzekł: Żeń się z brzydszą. Ale dlaczego z brzydszą, dziwi się młodzieniec. Na to objaśnia mędrzec zasadę szczęścia sprawiedliwego: jedną i tak odepchnąć musisz, a ładniejsza łatwo sobie znajdzie męża innego. Nie zrozumiało się.

- Nie rozumiem.

- Pomyśli sobie pan szanowny, jaki piękny byłby świat, gdyby wszyscy ludzie podług tej zasady dobrej postępowali! - westchnął Fiszensztajn. - Jak pięknie interesa by się prowadziło! Jak wszyscy byśmy do majątku na prostej drodze dochodzili!



- Ach! Słowo daję, że pan Wielicki nie ma z moją wizytą nic wspólnego i w ogóle nie wtajemnicza mnie w swoje plany handlowe; anim ja mu kum, ani spółnik.

- Powiadacie.

- Powiadam.

Żyd zamrugał, tęcze zamigotały.

- A Fiszensztajn nieszczęśliwy dać wam wiarę musi, że Wielickiemu panu nie pomyśli się nieporęcznego mu jęwieja w śledztwa krzywe multanowe, kiszyniowskie wpuścić, na które zaraz rozdzwonią się gazety impierja całego w tę nutę: mord straszliwy na krześcijanach, Żydy bogobójce lud prawosławny rzną, potruli nam muzyków dobrych nad Bajkałem dalekim, rychło w mieście naszym truć i skrytopalić będą, Hospodi pamiluj.

- O Jezu, nie, Wielicki nie taki to człowiek, a ja ani słowa nikomu, na krzyż święty się wam zaprzysięgnę!

- Zaprzysięgniecie się? - Fiszensztajn podniósł ręce nad głowę. - Już-ście się zaprzysięgli. Zamarzło! - Opuścił ramiona, stuknął łagą. - Prawda, syn Batuszki Maroza do Abrahama Fiszensztajna przyszedł. - Uśmiechnął się. - No, na co wam wiedzieć te rzeczy, o które pytacie?

- Szukam ojca, panie Fiszensztajn, muszę odkryć, jak on zszedł na Drogi Mamutów. Ci wasi ochotnicy - wzięliście ochotników tylko, zakładam - w jakiej postaci tungetyt przyjmowali? w jakich porcjach? doustnie? dożylnie? w jakiej temperaturze? Zimownicy to byli? Przeżył który? Jak choroba przebiegała?

- Niestety, porażką to skończyło się zupełną. Taak. - Zakołysał się w fotelu w przód i w tył. - Edmund Gierontijewicz pokaże wam notatki. Wiedzieć wam trzeba, że zabroniłem ja podobnych prób - póki mój pieniądz tu idzie, wszystko wpierw na zwierzętach robione będzie.

- A Fiodorow pisze w ogóle o zwierzętach? Nie przypominam ich sobie na Sądzie Ostatecznym u świętego Jana.

Tu Abraham Fiszensztajn zamilkł ponownie. Odwrócił spojrzenie tęczowe. Błrumm, błrummm, zliczyło się tuzin łomotów głaszatajowych, zanim Żyd do słowa wrócił; a i wtedy nie mówił dla odpowiedzi i uwagi drugiego człowieka - palce sękaty na ladze zaciśnięte, oko i oko powieką przykryte, oddech płytki w brodzie zagubiony - mówił obok.

- Był pono taki szaleniec w Irkucku, Piegnar, Aleksiej Piegnar, jewrapiejskiego rodu, z ojca nie naszego i nie ruskiego. Co on robił? On ludzi ćwiartował. Nieprędko to na światło wyszło, ale jak wyszło, zebrał się naród pod tiumą i nic władza nie zdiełała, rozszarpali Piegnara na ulicy. Tak więc Piegnar skończył, że nie ma grobu nawet i nie zejda się szybko jego prochy pod ziemią, tak oto.

...Piegnar chadzał na północ pod sam ocean biały, na ziemie niskiego Słońca. Znana to jest rzecz, pójdiesz samojeden w te krainy, na umie odcierpisz każdą noc nieprzespaną - kto tam nie zwarzował, aj, warjowali starzy szyprowie wedle Koła do Archangielska statkami handlowymi idący i kupcy poważni, a co dopiero myśliwce zabłąkane. Piegnar przeciw śnieżycy stanął, głupi; potracił zwierzęta, potracił zapasy. Że nie umarł - ano, potem w Irkucku kobiecie się zespowiadał: znalazł tam w lodzie pod śniegiem innych nieszczęśników, jakiś namiot czy jurtę zasypaną, zamrożoną, z ludźmi w środku. Tak się wyżywił, to znaczy trupy z lodu jedząc, oto jak.

...Potem, wyratowany, wrócił nad Bajkał, gdzie mu warjactwo postukiwać w głowie głośniej poczęło. W szopie nad oзерem trzymał zmrożone członki ludzkie i korpusy rozćwiartowane i głowy w lodzie. Czasami je do smaku spożywał, zachód Słońca nad wierchami śliczny podziwiając, a czasami używał inaczej: gojlemy lodowe sporządzając, znaczy, ludzi nowych, frankensteinowych w zmrozeniu układając. Bradiagę samotnego, katorznika zbiegłego, biedniagę bezimiennego, a i inarodcze ofiary liczne, i kto mu się nawinał na bezludziu w Górach Przymorskich - ćwiartował, rozkładał, potem do kupy składając; ale inaczej. Ojch, Boże, co tam oficjele sądowi potem znaleźli w lodzie u niego: zamrożeńce czwororękie, zamrożeńce sześcionogie, czyli dwa tułowia ludzkie razem, z głową na końcu i trzema parami nóg wedle barków i miednic przyłączonemi, albo same łańcuchy kończyn na zawiasach torsowych, albo wieńce głowoszyjne, albo trupki dziecięce na nogach muzyków wielkich, albo niewieście wdzięki między łapy burjackie ohydne włożone. Takie oto kreacje bluźniercze Aleksiej Piegnar sobie sporządzał.

...A jak go w śledztwie zdążyli spytać, rzekł, że życie nowe im tym sposobem dawał, albowiem jest Artystą Siły, Inżynierem Ciała, Odkrywcą Białych Harmonij. I zaraz coś mu w głowie puknęło i mówił na odwrót: że to nie on, że on wcale nie jest Aleksiej Piegnar. Nic to, że wszyscy go rozpoznali - on nie Piegnar. Kto zatem? On stworzenie Piegnarowe, nowe, z głową samego Piegnara przez inne jeszcze majstry-zamrożeńce nasadzoną, ale nie Piegnar urodzony, nie Piegnar! I kiedy tak rozszedł się tłumowi w rękach na części, niezadługo legenda wedle słów szaleńca po Irkucku krążyć poczęła: rozszedł się, rozpadł, no bo nie

dosyć mocno był zmrożony; taka.

...Ci ochotnicy zimowniczy, co do nas przyszli, gdy pan Chawrow ogłoszenie wystawił - byli i marcynowcy szczerzy między nimi, były sonnyje raby, co już im się wyśniło, że w komunji krześcijańskiej waszej tungetyt jedli i pili, ale było i dwóch z Dzieci Piegnara, zimownicy biało-czerwono-sini od przemrożeń dawnych i świeżych, otepiali od Zórz Czarnych, zaklinający się na wszystkie świętości Krystusowe, że nie są ludzie z niewiasty zrodzeni, lecz stare Piegnarowe ulepierce, ino teraz przez doktorów trupich ochrony na powrót ożywione i z tajnymi rozkazami imperatorskimi w noc posyłane - na dowód blizny odmrozeniowe po łączeniach członków pokazujący, i proszący głośno, aby dać im tungetyt i uratować ich tym sposobem przed śmiercią, to znaczy rozpadem, tylko bowiem silniejsze zmrożenie zapewni im przetrwanie w ich formie nowej, gojlemowej. Więc zjedli tungetyt i zamazli na wsze czasy. Czekaliśmy dni czterdzieści i drugie czterdzieści na moje naleganie - żaden nie wstał żywy, nie.

...Dziś myślę ja sobie: a co my lepszego od Aleksieja Piegnara zrobili, a? Pan Chawrow bardzo był zły, alem się uparł, żeby wieźć ich do doktorów. Skoro wszyscy zostaną wskrzeszeni, to czy to znaczy, że nie umarli wcale? Lecz jak mogą zostać wskrzeszeni, skoro nie umarli? Doktory mówią o ludziach do życia przywróconych po półgodzinnej śmierci lodowej, kiedy to nawet serce im zastanęło. O ilu takich topielcach z przerebli wyciągniętych, co zrazu ani pulsu, ani tchu, ani ciepła ludzkiego nie pokazywali, o ilu takich wskrzeszeńcach się słyszy! Pół godziny - a może pół dnia - a może pół miesiąca? Jest-li to śmierć czy nie?

...Zwierzęta - zwierzętom już Jahwe dopuścił tę nieśmiertelność. Widziałem ja chrabąszcze i muszki gnusa syberyjskiego z lodu starszego od mamutów wyjęte, sprzed tysięcy, tysięcy lat, jak się z wilgoci otrzepują, otrząsają ze zmrożenia, czyszczą skrzydłaczki i - wylatują pod Słońce naszego czasu. Gdzieś pomiędzy robakiem i człowiekiem, tu się tajemnica śmierci i wskrzeszenia schowała. Od strony człowieka albo od strony zwierzęcia, tak czy tak, dojdziemy do niej, dojść musimy.

Wzdychnął, zakołysał się, powstał.

Odprowadziło się go do drzwi.

- Nie macie więc nic przeciwko doktorowi Tesli.

- A czemu to miałbym co mieć?

- Że pracuje na Odwilż, co was przecież fortunę całą kosztować może.

- Byle się do Projektu Wskrzeszenia przyczynił, byle nam dopomógł; zresztą niech pracuje, nad czym chce, co do tego Żydowi zduraczonemu?

Nijak nie potrafiło się rozwiązać tego równania, jedynoprawda Abrahama Fiszensztajna pozostawała zakrytą, B nie wynikało z A i dwa plus dwa nie równało się czterem.

Pan Chawrow musiał dostrzec konfuzję; zapewnił, że dopilnuje, by czym prędzej dostarczono wszelkie zapiski z przebiegu fatalnego eksperymentu. Pokiwało się głową w zamyśleniu.

- To oko - spytało się, wdziękając już futro - wybaczy mi pan, jeśli -

- Oko? Stracił Zimą Lutyń, wyżegane w pożarze Irkucka.

- A!

Nie nazajutrz i nie dnia zaraz po nim następnego, lecz dopiero w piątek, piątkowym wieczorem, a raczej nocą już piątkową, to jest z piątku na sobotę się przetaczająca, w przednoc balu gubernatorskiego, w onczas to wreszcie tak wszystko się zorganizowało, aby do grobów zimowników fiodorowcowych tungetytem potrutych bezpiecznie się dostać. Pan Szczekielnikow zwołał jeszcze trzech drabów przytomnych, do kilofa, łopaty i drąga zdalnych; grabarz marcynowy Jerofiej przyrzekł cmentarz bezludny. Mróz zresztą stał mleczny, mgła zawieszona murowała ulice i place Irkucka, ściany wilgoci powietrznej zamykały ze wszech stron tunel wybijany saniami po zmroku przez Miasto Lodu pędzącymi; na tych ścianach rozmazywały się kolory świateł latarnianych, one z kolei przepływające w okularach na ziemię, na niebo, na plecy woźnicy i sylwety chłopów barczystych, zakutanych w skóry pod skórą pod futrami, bardziej monstrem jakimś z bajek burjackich podobne. Błrumm, błrummm, bębny ostrzegawcze niosły się daleko, izwozczyk nawigował zaprzęgiem na słuch. Na Wzgórzu Jeruzolimskim pochowano siedmiu z dziewiętnastu ochotników, co wzięli udział w doświadczeniu; część zmarła niedowieziona do szpitala. Wjeżdżając na cmentarz, się wybiło się ponad powierzchnię morza mgły - w marostiokła uderzyły naziemne konstelacje ogników zimnych: płomień naftowy na mogiłach fiodorowców rozpalone. Wysiadło się na śnieg, firn ostry strzelał pod buciorami, pan Szczekielnikow poganiał robotników, to był jedyny głos ponad trzeszczenie przymarzliny się dobywający. Nie padało, wiatr dało się wytrzymać. Mimo szala grubego oddech zimny wchodził jednak w gardło jak sopliczny sztylet; oddychało się kątem ust, z językiem na zęby zawiniętym. Jakow Justinowicz Arski machał od pierwszej mogiły, gdzie Jerofiej dusił już płomień, drąc ziemię roztopioną uderzeniami kilofa. Arski miał dopilnować, ażeby pochowano fiodorowców z

powrotem bez uszczerbku na ich pośmiertnej godności. Podejrzewało się wszakże, iż znalazł się tu głównie z powodu rozbudzonej w Edmundzie Gierontijewiczu Chawrowie ciekawości; nie zdradziło się mu, co takiego ma się nadzieję odkryć, podejrzewał więc wszystko. Arski raz próbował się odezwać, zagadać ponad grobem - zakrztusił się na mrozie i długą chwilę walczył z konwulsyjnym kaszlem. Pan Szczekielnikow zabrał jednego rabocziewo i poszedł rozkopywać następny grób. *Luna crescens*, znacznie jaśniejszy niż w Europie, stał tuż nad zachodnim horyzontem, za Bramą Trjumfalną, za miastem i Angarą i Ujską, wyzłacając się na dachy zalodzone i grzbiety lutek sterczące ponad waniljową galaretę mgły. Kilofofy uderzyły w drewno; bardzo płytko tu chowano trumny. Draby wbiły łopaty między deski, podhaczyły pokrywę, pan Arski nachylił się nad dołem z lampą w wyciągniętej ręce, cienie atramentowe chlupnęły z mogiły. Trup leżał w skrzyni jak żywy, to znaczy zamarzyły zaraz po śmierci i nic a nic nie rozgniły, w garniturze szadzią skutym i z krzyżem łacińskim wielkim w białych dłoniach; no ale tego się spodziewać należało, tu wojowników prehistorycznych wykopuje się z marzłoci jeszcze z mięsem mamuta między zębami. Pokazało się rękoma: zakopać z powrotem. Przeszło się do grobu drugiego. Smród nafty wwiercał się w nozdrza. Pan Szczekielnikow, wpółoparty o wyrwany z ziemi krzyż, kurzył papierosa, za każdym dymkiem odkrywając i zakrywając facjatę skórą szczeciniastą. Siedmiu połknęło tungetyt w proszku, w tynkturze czarnoaptecznej, odmierzonej po pół funta, co jest porcją bardzo kosztowną (i też o rzędy wielkości pokażniejszą od wkładów w sażajewkę wpuszczanych i z ćmieczek wdychanych). Popili wódką i poszli spać. Siedmiu spożyło chleb z tungetytem upieczony, krojąc sobie pajdy do napchania brzucha; z tych dwóch najdłużej się męczyło, to byli pewnie ci, co w nierównym podziale najmniej zjedli. Pięciu się zdało na inhalację całonocną tungetytu z kadzideł palonego; to byli ci, co najpierwsi pomarli, poduszeni, krwią czarną plujący. Jerofiej odbił wieko trumny drugiej. Fiodorowiec - trup - jak żywy - śpi. Zasypać z powrotem! Szło się od płomienia do płomienia. Nie próbowali fiodorowcy biedaków zatungetytowanych teslektrycznością razić, zaćmieczowywać - ale też przecież ani Balonowy Niemota, ani Aleister Crowley, ani ojciec nie znali zasad czarnej elektryczności doktora Tesli, nie mieli dostępu do jego maszyn. Łopata - trumna - trup - zasypać. A znowuż odwracając monetę drugą twarzą do oka - także elektryczność biała występowała w naturze, zanim pan Faraday pierwsze dynamo i silniki prądowe pobudował. I są ludzie nieliczni - jak ten August Fądzela spod Żytomierza - urodzeni z właściwościami białą - czy czarnofizycznymi na krańce skali przesuniętemi, jak przecie naturalnem jest w każdym rozkładzie w przyrodzie występującym, iż to pośrodku skali gromadzi się w nim większość: mało jest karłów i olbrzymów, daleko więcej ludzi ani wysokich, ani niskich; mało jest kretynów patentowanych

i gienjuszy niewątpliwych, daleko więcej szaraczków do przeciętności przeznaczonych. Nie jak Crowley. Nie jak ojciec. Łopata - trumna - trup - zasypać. Ale błysnij monetą do Księżyca raz jeszcze: jakżeby to miało w szczegółach przebiec? Luty jest hel przemrożony, przeciekający samowolnie przez najmniejsze szczeliny, po liniach spadku i wznwyż. Ale człowiek? Człowiek jest mięso, kości, ciało stałe, nie przecieknie przez glinę i piasek na Drogi Mamutów - tu organizm konkretny, zwierzęcy, a tu formacje geologiczne. Nie może to być! Co za fizyka, co za biologja na coś podobnego pozwoli? Logiki, logiki w tym brak! Łopata - trumna - trup... Nie ma trupa. Jakow Justinowicz mało nie wpadł do dołu, nachylony za lampą. Pan Szczekielnikow podważył był wieko i otworzył trumnę i trumna okazała się pustą. Arski podał lampę Czyngisowi, ten poświecił niżej. Pozostała miazga zmrożona: ziemia, drzazgi i szczapy, strzępy czarnej tkaniny. Wieko jest nietknięte, ale dno trumny nie istnieje. Pan Szczekielnikow zapalił papierosa, draby dyszały zaćmiecżą, Księżyc rozlewał się po kładbyszczu, śniegu, mgle i Mieście Lodu. Podniosło się krzyż, odczytało się imię fiodorowca. Iwan Tichonowicz Kopytkin. Umarł, dopiero zstąpił na Drogi Mamutów.

### **O Córce Zimy i dziewczkach priekrasnych, o wojnie ducha z materją i trudnej miłości do ciała**

- Szósty dzień.
- Co pan tam mamrocze?
- Zamarznę.
- W tańcu zaraz się pan rozgrzeje.
- A tu już pannę przeproszę, żaden ze mnie tancerz.
- *Sans blague*, tańczył pan przecież z Jeleną w Ekspresie.
- A, wtedy nogę miałem chorą.

*Mademoiselle* Filipov naburmuszyła się, usteczka wydymając i spod rzęs śnieżnojasnych spojierając z wyrzutem.

- Pan Benedykt obiecał, że nie będzie już więcej warjata grał!
- Ja nie gram - przysięgło się z dłonią białą orękwacznioną, przyciśniętą do jedwabnego renwersu fraka. - Ja nigdy nie gram.

Pchnęła w gors złożonym wachlarzem jak sztyletem.

- Dlaczego pan mi to robi? Nie może pan chociaż dzisiaj - jak normalny człowiek? Sam mnie pan prosił, a teraz -

Złożyło się szarmancki pocałunek na jej okoronkowanej rączce.

- Niech mnie piorun strzeli i na szmelc spali, jeśli się tu zaraz tuzin kawalerów do panny nie stawi!

Rozglądnęła się po galerji kryształowej.

- Nie znam przecież nikogo... - bąknęła.

Ale istotnie, Christine Filipov prezentowała się spektakularnie - z włosami złotojasnymi upiętymi wysoko, diademem lekkim, srebrnym jeszcze objętymi, z biustem wysoko podniesionym pod odkrytymi ramionami i niepytko wygorsowana, jak to zamarzyło w modzie dziewiętnastowiecznej tu, pod Lodem, w kibici ściśnięta mocno suknią z jedwabiu najszlachetniejszego szelestu. Zarumieniona, pod *rougem* balowego *maquillage'u*, bardziej jeszcze przypominała pulchnego podlotka, nie do końca w kobiecość rozkwitłego - debiutantka na pierwszym swoim balu.

Spod galerji wypływały na posadzkę hallu, sali balowej i komnat otwartych kolejne pary, *mademoiselle* Filipov wychylała się, by się im przyjrzeć z wysokości; tło stanowiła tajga zaśnieżona w oblasku księżycowym. Pałac generał-gubernatora stał trzydzieści wiorst od Irkucka, w majątku gubernialnym, na setce pajęczych przęseł zimnazowych - zawieszony na niebie nad puszcza między chmurami i gwiazdami, gdzie żadne lute hrabiego i jego gości nie dosięgną. Wjeżdżało się tu po serpentynowej pochylni na pół wiorsty długiej, tak łagodnego nachylenia, aby renifery bez kłopotu mogły wciągnąć sanie po lodzie. Pałac zbudowano w dużej części z czystego marostiekła - marostiekłowa była podłoga i ściany przynajmniej pierwszej kondygnacji. Gdy palono we wnętrzu wszystkie lampy i świece, jak teraz, tajga nocna zdawało się, że po sam horozynt tęczy i kalejdoskopuje.

- A to - to nie księżniczka Tatiana? A hrabia Szulc - pan rozpozna hrabiego Szulca, panie Benedykcie? - szeptała *mademoiselle* Christine, wskazując dyskretnie zza wachlarza te i owe osoby. - Pan Pobiedonoscew chyba się nie pojawi, co? Ale wczoraj w hotelu słyszałam, że specjalnie do Irkucka zajechał generał Mierzow ze swiątą. *Il y a du monde ici!*

- A przynajmniej Syberja.

Może to przez ten post sześciodniowy - kolejna pewność jedynoprawdy błysnęła w

głowie, ostra, oślepiająca.

- Panna nie była nigdy w życiu na żadnym balu. Obracała się panna w socjocie nowojorskiej... jako kto?

Znowu się spłoniła.

- Ach, więc pan też zakłady czynił, nie mam racji? W pociągu, jak wszyscy. „Córka jego, wnuczka czy kochanka?” - Wzięła oddech głęboki, mało jej piersi z *décolletage*'u nie wyskoczyły. - No więc powiem panu, jaka jest prawda -

Złapało się ją czem prędzej wkoło talji ofiszbinowanej, obróciło, palec biały na ustach kładąc, usta nim zamykając. Zrobiła wielkie oczy.

- Tsss! - zasyczało się. - Nic mi panna nie powie! Żadnych takich! Nie chcę wiedzieć! Niby nie mogłem samemu Nikołą już dawno temu wypytać? Ale nie! Będę się bronił do ostatniej kropli ćmieczy! Żadnej pewności o kobiecie, rozumie panna?

- A-ale - zająknęła się - dlaczego nie?

- Doktor Konieszyn miał słuszność, to jest męska przypadłość.

- Co takiego?

- Prawda. - Się cofnęło się od balustrady. - Chodźmy, pora przedstawić pannę towarzystwu.

- I pan mnie będzie przedstawiał? - wydeła znowu wargi, poprawiając odruchowo rękawiczki balowe i fałdy sukni, z tyłu pod skromną turniurę schodzącą.

Podąło się jej ramię.

- Wydrukowałem sobie nawet bilety wizytowe na tę okoliczność. Ale nie, nie ja. Sądzi panna, że nie przestudjowałem wpierw ichnich obyczajów?

- Szkoda, że z ksiąg akademickich nie można się wyuczyć tańca - westchnęła, zstępując po schodach kręconych na marostieklową posadzkę, to jest na niebo nad tajgą.

- Gdyby się dało wszystkich podobnych rzeczy nauczyć z ksiąg, bylibyśmy tym, co przeczytaliśmy, panno Christine, i niewielka pozostałaby różnica między spisaną instrukcją na człowieka a człowiekiem żywym. Pozwoli panna: pan mecenas Modest Pawłowicz Kuźmieńcew, przyjaciel dworu; *mademoiselle* Christine Filipov.

Dygnęła zgrabnie. Staruch wyfraczony, podtrzymywany przez lokaja w liberji domu



Szulcowego, złożył pocałunek na dłoni panny.

- Uroczą, uroczą - zamamrotał z głębi brody. - Doprawdy, Wieniedikt Filipowicz nie oddał panie sprawiedliwości, niech spojrzę na ten uśmiech, dziecko moje, ach, trochę ciepła jeszcze na kości stare...!

Panna rozumieniała się różanie, co tylko więcej czaru niewinnego jej dodało.

Mecenas skinął laską na oficerka smagłego w galowym mundurze gwardyjskim, kłaniającego się opodal drzwi dwóm jędzom salonowym wagi ciężkiej, które zupełnie zatarasowały drogę reszcie gości.

- Pomyślałem, że nikt lepiej, jak nasz wojak młody po szkołach angielskich - no chodźże tu, skaranie boskie, znowu go uprowadziło - porucznik Andriej Awiwowicz Rostocki z pułku preobrażeńskiego, *mademoiselle* Christine Filipov, prosto z Ameryki przez Europę do nas przybywająca, z zaproszenia Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa, tak? - ale to już, dziecko, sama mu opowiesz - zaopiekuj się panną, Andriusza - bo ja poproszę gaspadina Jerośławskiego na stronę, uff, zaraz, zaraz... - Odkroczył dostojnie do komnaty obok, asystowany już przez lokajów dwóch. Rzuciło się *mademoiselle* Filipov spojrzenie porozumiewawcze - czy spostrzegła? Już się płoniła zalotnie do porucznika Rostockiego, cudownie zawstydzona, a ten, przystojna bestja, bródka-hiszpanka i zęby bielutkie, czarował ją komplementami angielskimi, akurat pewnie szczeremi.

Modest Pawłowicz spoczął na poduchach na otomanie, pod kolekcją paszczek wilczych zawieszonych tu na ścianie marostiekłowej; zaraz za ścianą przepływał nowy nurt gości, fraki czarne, gorsy białe, mundury dwubarwne, a wszystko od gwiazd orderowych i szarf pstrokatę, tualety dam też kolorowe, złoto, djamenty, złoto, djamenty, arystokracja i burżuazja najwyższa Syberji carskiej.

Mecenas zastukał laską w posadzkę - daleko pod jego stopami, ponad puszcza zimnobarwną, wiatr kręcił z tumanów pyłu śnieżnego kogiel-mogiel, jeden obrót zawieji spiralnej na dwie wiorsty.

- Byliście na galerji?

- Nie ma go tam.

- Czekajcie zatem przy schodach. To jest taki właśnie człowiek -

- Mhm?

- Stanie w cieniu, będzie się przypatrywał z góry. Na galerji albo za kolumnadą, to też go dojrzą, jak przez hol będzie szedł.

- A Anioł?

- Anioł jeszcze nie przyszedł, mają mi szepnąć, jak przyjdzie. Może nie przyjdzie wcale, Pobiedonoscew przysłał życzenia z przeprosinami.

- To po co by na mnie nalegali?

- Pfffch, tysiąc powodów, większość dla was tragicznych. Gdyby co, nie daj Boże - przeżegnał się, raz, dwa, trzy, na koniec pierścień całując - to macie kogo, żeby wam plecy strzegł, a?

- Tu? Na balu u gubernatora?

- Wiecie, ilu tu otłepiaków specjalnie na zaproszenie hrabiego Szulca przyjechało? Że już nie wspomnę o dworzanach przez Rasputina dotkniętych.

- Nikt mnie nie zna.

- Tak się wam zdaje, co? - zarządził stary i zażył tabaki. - Przynajmniej frak na was jakoś leży, ale - moglibyście się ostrzyć po ludzku!

Przejechało się rękawiczką po gładkiej czaszce.

- Właśnie się ostrzyłem.

- To i brodę trza było zgolić! Wyglądacie jak - jak -

- Jak?

- Pustynnik jaki ze skitu na pałace przemocą wyrwany! - Kichnął, sapnął, stracił na zapale gniewnym. - Ale może to i lepiej, czegoś się ludzie przecież spodziewają po krwi Batuszki Maroza, tak? Pamiętajcie tylko: gaspadina Wielickiego w tym nie ma zupełnie.

Się uderzyło się pięścią w pierś.

- A jakby co - rzekło się po niemiecku - mam rewolwer mocny.

Kuźmieńcew zakrył oczy dłonią.

- Na rany Zbawiciela, kogom ja na salony wpuścił...

Miał czatować przy schodach, się wspięło się z powrotem na galerję i tam przysiadło się w kącie najdalszym, cienistym - który znalazł się w pałacu szklanym gubernatora dopiero

właśnie na piętrze, gdzie podłogi i część ścian już z cegły zwykłej wymurowano, jako że przecież nader nieprzyzwoitem byłoby czynić dom przeźroczystym na wszystkich jego poziomach i we wszystkich przekrojach.

Jak to zwykle bywa na takich przyjęciach - a przynajmniej sądziło się, iż stanowi to normę - więcej ciekawych rzeczy działo się naokoło głównej atrakcji wieczora niż w centrum powszechnej uwagi, to jest w marostieklowej dans-komnacie wielkiej, wzorowanej chyba na Galerji Zwierciadlanej Ludwika XVI, pod żyrandolami tungetytowymi, od ćmiatła ćmieczek zakapturkowanych oblaskującymi ognisćie. Tam, pięćdziesiąt arszynów dalej, po drugiej stronie galerji, szykowali się muzycy, pobrękujący i podzwaniający na instrumentach strojonych; tu, od strony wejścia, schodzili się i rozchodzili pod galerją - w sześć korytarzy i tuzin saloników szklanych, krewni - znajomi, przyjaciele i wrogowie, kochankowie i *hommes d'affaires*, Rosjanie i Polacy, Rosjanie i Niemcy, Rosjanie i Francuzi, Rosjanie i poddani cesarza Austro-Węgier, Rosjanie i ci już tak wysoko urodzeni, że nie przyznający się do końca do żadnej narodowości i żadnego poddaństwa: mówiący językami salonów i lojalni wobec domów za nic mających granice i polityki i religje. Książę Wasyl Orłow z księżniczkami, Wielikij Książ Dymitr Pawłowicz, *Prinz* Grzegorz z domu oldenburskiego z księżną, Wielikij Książ Mikołaj, stryj cara, wygnany przez Rasputina z Europy, generał Mierzow z małżonką... Damy oddawały peleryny *sortie de bal*, odbierały karneciki ozdobne, panowie dopieszczali na podgardlach muchy białe... Hrabia Szulc-Zimowy w mundurze galowym - to musiał być on - witał gości dostojnych w przewężeniu holu, stojący na de wielkiego wiru śnieżnego.

Przypatrując się im, ich odbiciom i figurom pryzmatycznym przelewającym się z luksusu w luksus na marostieklowych ścianach i kolumnach, doznało się dziwnego poczucia oderwania: Bóg zacisnął pięść i odsunął pałac Szulcowy na pół zmysłu dalej. Spoglądało się do wnętrza terrarjum. Albo też z wnętrza terrarjum zamkniętego - na nich, żyjących na wolności. Wszak są to w najbardziej podstawowym, biblijnym sensie dwa światy rozłączone zupełnie, tafla szkła pancernego między nimi. Cóż biedny matematyk-korepetytor, syn polskiego zesłańca robi na balu u generał-gubernatora Szulca-Zimowego? Wywieźć Jakutę z tajgi na dwór peterburski, niech się spróbuje odnaleźć w tak obcym dlań żywiole! I co - śmiać się z tego wszystkiego? czy raczej drzeć trwożliwie? Najgorsze, że skóra na rękach nie piekła już wcale.

Galerją przeszły dwie pary, przebiegł kamerdyner zaaferowany, panienska wstążkami karminowemi powiewająca, piesek i służąca ścigająca pieska pani, lokaje z krzesłami dla

dam, ktoś wszedł i zeszedł, ktoś wszedł i zamachał przez balustradę, roześmiany, ktoś wszedł i cygaro zakurzył.

Pod żyrandolem tungetytowym anonsowano występ Jewgienija Vittinga i Fritza Vogelstroma, ponoć słynnych bardzo tenorów.

- *Quel dommage.*

- *Pardon?* - Obejrzał się, cygaro od ust odjąwszy.

- *Le Pere du Gel n'a pas pu venir.* - Wstało się, podeszło. - Wyobrażacie sobie - objęło się cały pałac szklany jednym gestem - takie *tableau* zamrożone na wieki w lodzie najczystszym: wszystkie wasze bogactwa, wszystkie miny napuszone, orderzy butne, niewiasty ocukrowane. Kropla Historji, Historja w kropli zamarznętej.

- Gaspadin Gierosławski łyknął wina polityki - rzekł Franciszek Markowicz Urjasz i poczęstował cygarem spod fraka wyczarowanym. - Język mu się płacze od aluzji pijanych.

- Po coście mi dali te mapy tajne i raporty Zimy?

- No jakże. Żebyście ojca odnaleźć mogli.

- Aha. - Zapaliło się. - Ojca odnaleźć. A wtedy - co?

Poprawił blond loczek na czole, świecień przepłynął mu po obliczu bladym.

- Kropla Historji, mówicie. - Przesunął cygarem ponad widokiem tęczowym, jakby miarę na obraz brał. - Widzicie tam księcia Folche? Do Jego Ekscelencji się właśnie przyssał. Księżę miał ongi majątek na piętnaście tysięcy dusz i milion rubli rocznie. Teraz zebrze po dworach i domach krewnych.

- W niełaskę popadł?

- Niełaskę? - parsknął Urjasz. - Nadszedł Lód, ot co. Księżę włożył był fundusze ogromne w przedsięwzięcia, które zaraz po wejściu technologii zimnazowych okazały się *passee* i poplajtowały zgodnie.

- Ach. Ottiepielnik więc.

Urjasz nasadził na nos binokle, spojrzął z bliska z klinicznym zdumieniem.

- Lepiej usiądźcie, Wieniedikt Filipowicz, zbyt dużym to szokiem dla was będzie. Ci ludzie, ich większość - no ale będę szczerzy: ci ludzie prawie wszyscy, wyjąwszy może niektórych urzędników najwyższych własną ambicją na urzędy wyniesionych, jak Timofiej

Makarowicz, wszyscy ci ludzie nie mają żadnych godnych uwagi poglądów politycznych, bo są zwyczajnie głupi. Ja wiem, że to jest dolegliwość zupełnie obca waszemu doświadczeniu i trudno wam się zdobyć na empatję, ale spróbujcie: oni są głupi, jeden w drugiego, głupi jak kłoc rzeźniczy. „Liedniacy”! „Ottiepielnicy”! To by znaczyło, że coś tam w łepetynach swoich wyrozumowali na korzyść własną: że opłaci im się lepiej polityka taka albo taka, Historia w tę lub wtamtą stronę płynąca. Ale posłuchaj choć chwilę ich rozmów banalnych, dyskusyj durnych z powagą wielką prowadzonych. Dziecko lalką się bawiące ma większe rozeznanie w anatomji ludzkiej niż oni w sprawach świata pozasalonowego. Damy znudzone spotykają się dla przeżycia czego ekscytującego na wieczorkach spirytystycznych i odczytach teozoficznych, i tak, z mody, gąspadin Gierosławski, z mody, w kręgi Rasputinowe wpadają, i oto słyszę, że mamy w Rosji jakichś „marcynowców dworskich”. Ha! Albo jeden ziemianin z drugim, spici w knuta, z niedźwiedziem tańcząc, do jeszcze większych warjactw się wzajem podbechtują, a o: że w politykę wejdą - a jaka teraz moda polityczna? Demokraci? Narodowcy? Socjaliści? Liberały? Liedniaki? Ottiepielniki? No to już! *Et voilà!* Tak zawsze było w Rosji, i tak będzie, skoro już zamarzło. Bo tern bardziej, gdy pod Lód tu przyjeżdżają - jaka o nich prawda - tu począł dźgać cygarem od figury dostojnej do figury - głupiec! głupiec! głupiec!

Spuściło się po języku długi wąż dymu.

- Co się stało? - spytało się półgłosem.

Otworzył już usta, lecz w ostatnim momencie się powstrzymał. Uśmiechnął się tylko i schował cwikier.

- Proszę iść za mną. Na dziesięć kroków, żeby plotek nie obudzić. No, Wieniedikt Filipowicz, spróbujemy coś zaradzić na wasze nieszczęście.

Zstąpił spokojnie z galerji i skręcił w korytarz po lewej. Podążyło się za nim równym krokiem, cygare pomagało zachować pozory nonszalancji. Co się stało, myślało się, nie spuszczać oczu z pleców chudzielca, ano stało się to, że znowu jakiś rozkaz durny, przeciwlogiczny spadł na Szulca i ludzi jego i wywrócił im plany polityczne, pokrzyżował szyki, zniszczył strategje już nagotowane. Sfrustrowany Franciszek Markowicz ziejże teraz goryczą na Sankt Peterburg i wszystko, co petersburskie. D wynika z C, które wynika z B. I gdzież się w tej mozaice wielkiej polityki imperjalnej znajdzie Ojciec Mróz...?

Urjasz wskazał wejście do pokoju narożnego, nieprzeźroczyściego, to jest o ścianach od reszty pałacu go oddzielających z cegły lub drewna postawionych. Weszło się do środka;

kazał czekać cierpliwie, cofnął się z progu i zamknął cicho drzwi. Ściany zewnętrzne oraz podłoga, nieprzykryta żadnym kobiercem, ukazywały przebarwioną panoramę nocnej tajgi pod Księżycem w pierwszej kwadrze, wielkie przestrzenie lodu i śniegu różnokolorowego. Otworzyło się zegarek. Siedem do dziewiętej. W głębi pałacu zabrzmiały pierwsze takty muzyki. Poszukało się popielniczki. W gablotach i na wewnętrznych ścianach tego prywatnego gabinetu wyeksponowana była bogata kolekcja kości mamuciej i cziernarodków. *Mijnheer* Iertheim pokazywał kiedyś jednego: grudkę tungetytu zebraną przez soroki z powierzchni ziemi, wczesny odprysk od głównej masy upadłej nad Podkamienną. Była to najcenniejsza forma tungetytu, ponieważ jego wartości nie liczone tu wyłącznie wedle wagi, ale przede wszystkim - według kształtu i kompozycji. Czernarodki przypominające figurki ludzkie i zwierzęce szamani Burjatów uważali za najpotężniejsze talizmany. Istniały też chołodowniki poliminerale: tungetytu wżylowanego w kwarc, w granit, koślawe czernarodki piaskowcowe i temu podobne. Kolekcja hrabiego Szulca musiała wartać grubo ponad sto tysięcy rubli. Podziwiał się eksponaty, spacerując wolno wzdłuż szaf i stelaży zaszkłonych. Kilka czernarodków robiło wyjątkowo duże wrażenie, trudno było się oprzeć przekonaniu, iż jakimś cudem zostały z tungetytu odlane przez inarodzkiego artystę - w kształt kobiety w stanie błogosławionym, mamuta, człowieka klęczącego, człowieka z jeleniami rogami... Przypomniały się zlepierce-zmrożeńce szalonego Piegnara. Się wzdrygnęło się.

Usiadło się w fotelu w kącie, to jest w powietrzu nad przepaścią. Mimo woli skrzyżowało się ramiona na piersi, w odruchu obrony ciała przed mrozem. Powiedzmy, że plan się powiedzie i gubernator udzieli protekcji swojej, da błogosławieństwo i papier na wyprawę ku sercu Zimy z przewodnikami i szamanami, i że uda się przemycić i na miejscu zastosować pompę Kotarbińskiego, dostrojoną jeszcze tymczasem przez Teslę na ludzi, i że ojciec tym sposobem odmrożony nie umrze, no więc powiedzmy, że wszystko to ułoży się pomyślnie - to jak potem umknąć razem z fatrem spod uwagi całej kompanji, jak wywinąć się na lodowych polach Syberji tropicielom państwowym i do Charbinu czy na statek we Władywostoku się bezpiecznie przedostać? Nawet jeśli udałoby się ubić interes z japończykami, tyle tylko się zmieni, że się znajdzie się z ojcem w rękach Piłsudskiego, a nie generał-gubernatora. Bóg jeden wie, co gorsze.

Tak czy owak, choćby miało to oznaczać niewolę jawną, trzeba się szybko decydować, zanim Nikola przejdzie do prób Wielkiego Młota Ćmieczy na Bajkale - bo wówczas to już rzeczywiście czysta loteria: wypłuty gdzieś na pustkowiu jak ten Balonowy Niemota, nawet jeśli ojciec przeżyje samą Odwilż, jeśli go ten rezonans fali ćmieczy nie roztrzaska, jak to

przepowiada całemu Lodowi ze zwykłą mu pewnością siebie Nikola -

Się poderwało się, podbiegło się do drzwi, szarpnęło za klamkę. Zamknięte. Zawyło się wściekle.

Jak można takim idjotą być! Że się słowa pannie Filipov dotrzymać chciało - i proszę, umysł zamrożony na kamień, tłuc go młotem, ani pół myśli świeżej nie odpryśnie!

Zamknięte, zamknięte, a to jedyne drzwi, dobrze Urjasz izbę wybrał, nikt nie zobaczy przez ściany, a okien pałac gubernatorski, rzecz jasna, nie posiada, zresztą co by przyszło z okien, przepaść tu przecie. Kopnęło się spluwaczkę, zadzwoniła o marostiecko; kopnęło się nogę sofy, zasyczało się z bólu.

Zamknął, poszedł powiadomić Szulca, odczekają, aż bał się skończy, wtedy przyślą drabów swoich albo i żandarmów pod jakimś pretekstem umówionych; tak się sprawa cała zakończy. Klnąc pod wąsem bez ładu i składu, wyrwało się zza paska Arcymistrza, rozwinęło się ceraty. Czarny rewolwer zatęczał zimno w dłoni białej.

Zagryzło się zęby na cygarze. A zatem od początku był to błąd, nie trzeba było tu przychodzić. Co się stało - ano stało się to, że teraz już Szulcowi nie zależy na Ojcu Mrozie, takie widać rozkazy przyszły, że nic mu już nie pomogą żadne z lutymi negocjacje, ba, sama tu obecność Syna Mroza zapewne jest dla gubernatora kompromitującą, mecenas Kuźmieńcew coś przeczuwał, zaproszenie przyszło przecie na skutek machinacji Pobiedonoscewa, coś tu od początku się nie sumowało, ale jakże człowiek nadaży za obrotami trybów Państwa, jak przeniknie myśli cara-Boga - nie przeniknie. Sprawdziło się nabój tungetytowy w bębenku, odciągnęło się kurek-skorpion. Strzelić w marostiecko podłogi? (Daleko w dole, pod stopami, obracała się nad knieją spirala tumanów śnieżnych). W najlepszym razie nie wypadnie się, łamiąc od razu kark - za to równie pewnie zamarznie się w parę minut. Strzelić w drzwi? A jak Urjasz postawił kogoś za nimi? No to w ścianę może. Spojrzało się na szafy z eksponatami i nareszcie idea oryginalna pod czachą zagrzechotała.

Ramy, stojaczki druciane i świeczniki były z zimnaza, z chłodu wysokowęglowego. Ułożyło się je wzdłuż ściany wewnętrznej, w najdalszym miejscu od drzwi, przesunawszy meble na boki. Wcisnęło się druty pod boazerję, wbijało się kandelabry w ścianę, kolbą Arcymistrza w metal chłodny tłukąc. Bo nic nie przyjdzie z samego zmrożenia ściany; ścianę trzeba rozsadzić, a to może uczynić tylko mróz materją napierającą, to znaczy lodem. Czarnarodki posłużą za główną masę kontratermiczną. Z drugiej strony, jeśli ciepło uderzenia

obraca się w materiale kontrtermicznym w mróz, to jak taki materiał zachowa się pod uderzeniem mrozu? Odda gorąc? Wszak tungetyt świeci pod ćmiatłem. Lecz jak to przeliczyć, w jakiej skali - taką falę przeciwcieplną? Idąc przez tungetyt, odwracałaby się co atom: zimniej - cieplej - zimniej - cieplej - zimniej... Czy to właśnie roztrzaskało lutego? Lecz przecież tungetyt nigdy się nie ociepla, tern bardziej na mrozie. Być może istnieją takie specyficzne chłody zimnazowe, na przykład ten nikłowy użyty do konstrukcji Arcymistrza - on musi zimno tungetytowe w konstrukcji iglicy i lufy stłamsić... Próbowało się odtworzyć z pamięci-niepamięci szczegóły wypadków na stacji Zima, model całej owej mróz-eksplozji. Gdzie uderzyła kula, jak mróz wszedł na szyny zimnazowe. I co pisał doktor Wolfke w swoich wnioskach z doświadczeń w pracowni chołodnicowej. Skroplenie i zestalenie powietrza... Młoteczek tungetytowy inżyniera Iertheima stukający w kowadełka termometryczne... Superprzewodliwość cieplna... Zgromadziło się czciarnarodki w jednej czarnej piramidzie, rusztowanie zimnazowe odchodziło od niej po ścianie labiryntowemi zakosami, bluszczem poplątanym niby obwód elektryczny z barokowych okuć zmontowany. Odstąpiwszy w przeciwny kąt, za otomanę, wymierzyło się z Grossmajstera. Cała instalacja, jak się tak patrzyło jednym okiem wedle jaszczura-lufy i rogu-muszki, przypominała ołtarzyk jakiegoś pogańskiego kultu - a może miejscowe dzikusy sporządzają sobie takie -

Otworzyły się drzwi i weszła najpiękniejsza dziewczka, jaką się w życiu widziało.

Zamarło się, odruchowo na nią broń obróciwszy. Dziewuszka pisnęła i usta dłonią zasłoniła, spoglądając w dziecinnym zdumieniu na Arcymistrza. Potem obróciła powoli spojrzenie na konstrukcję zimnazowo-czciarnarodkową i oczęta zogromniały jej jeszcze bardziej.

Opuściło się rewolwer. Jej suknia bieluteńka, obłokami błękitnego tiulu wkoło gorsu obudowana, puch-złotem obchłodzona, wisiała nad otchłanią śnieżną niczym chmurka anielska z obrazka dewocyjnego. Dziewuszka postąpiła krocdek i falbany, koronki, haleczki rozsześciły się jakby wiatr powiał. Postąpiła krocdek drugi i trzeci - stało się jak wryty - ona, miast uciekać, podeszła i dotknęła lufy Arcymistrza paluszką wyciągniętą. Srebrno-perłowa kolja migotała na jej piersiach alabastrowych z każdym oddechem pośpiesznym.

Wyjęło się z ust zagryzane cygaro, wytchnęło się obłok tytuniowy.

Krasawica zaśmiała się perliście.

- *Que c'est beau!*

We włosy kasztanowe, rozpuszczone na chłopską modłę, wpięty miała kwiat nieznanego



gatunku, fioletowo-purpurowy. Zachłodzone w marostiekłowych kolczykach djamentowe gwiazdki błyskały na przemian z kolją. Powstrzymało się odruch obronny: unieść ramię, zasłonić oczy.

W progu nowy tumult: Urjasz z panem wyorderowanym, z dwoma lokajami, jeszcze z ludźmi z tyłu się tłoczącymi. Diewuszka zerwała się jak ptak spłoszony, obróciła na palcach, pomknęła do drzwi, dopadła dostojnika, którego dopiero teraz się poznało. - *Oh, papa...!* - i objąwszy go za szyję, jęła mu coś do ucha szeptać.

Schowało się czem prędzej Grossmajstera pod frak i białą kamizelkę *pique*.

Franciszek Markowicz wypchnął w końcu resztę towarzystwa na korytarz; został tylko sam generał-gubernator Szulc-Zimowy i jego służba, czem prędzej podsuwająca mu fotel, aranżująca obok fotela kosze kadzidlane, podstawiająca pod rękę wyciągniętą stół z kryształami i marostiekłami, nalewająca trunku szybciej, niż pan palcem kiwnął. Hrabia spoczął z westchnieniem w fotelu gotyckim, skrzyżował w kostkach nogi wyciągnięte, lokaj podsunął mu pod nie empirowy podnózek.

Następnie Szulc skinął przyzwalająco i usiadło się na krześle przygotowanym przez służącego w stosownej odległości. Inny służący wyrwał z ręki cygaro. Siedziało się prosto jak do deski przybity, z kolanami razem i dłońmi na kolanach. Źle schowany Arcymistrz kłuł w nerki.

Wedle matematyki charakteru Kraju Prawdy (Wielicki, więc Kuźmieńcew, więc Szulc) generał-gubernator gubernatorstwa irkuckiego był człowiek sukcesu, to znaczy ktoś z istoty swej wyróżniający się w wysokich sferach Imperjum Rosyjskiego, bo nie na wysokości urodzony (z której tylko co najwyżej spaść można), lecz wzwyż się samodzielnie pnący; nie do sukcesu społecznego przyzwyczajony, ale sukcesy odnoszący; nie sukcesów łaknący, lecz łaknący czegoś, do czego dzięki sukcesom może dopiero aspirować. Pochodził z podupadłego rodu ziemiańskiego, fotel gubernatora otrzymał w zwieńczeniu kariery wojskowej i ministerjalnej. Jednak generał-gubernatorstwo irkuckie po Zimie Lutych nie prezentowało się jako miła nagroda dla faworyta dworskiego, lecz niebezpieczne wyzwanie i pole ciężkiej pracy - w innym przypadku zapewne nie otrzymałaby go osoba pokroju Timofieja Makarowicza Szulca.

Hrabia uniósł dłoń, w którą zaraz włożono mu chustkę; zakaszał w nią, obróciwszy głowę w strugę wonności kadzidlanych. Siwiejącą brodę przystrzyżoną miał na szwedzką modłę, jeno z bujnemi szpakowatemi faworytami. Łysiał mocno, światła lamp naftowych

odbijały się na glacy wysokiej. Na piersi lśnił mu Order Świętego Andrzeja Pierwozwannawo zawieszony na ciężkiej kollarze trójogniowej, z medaljonami czerwono-niebieskimi, srebrno-niebieskimi, czerwono-złotymi, z figurą ukrzyżowanego apostoła na krzyżu świętego Andrzeja na złotym orle dwugłowym umieszczonym, w inkrustacji tungetytowej. Orła na ośmiopromiennej gwiazdzie orderu otaczał napis: *Za wiero i wiernost*'.

Hrabia zamrugał, spojrzął na Księżyc, spojrzął na tajgę zalodzoną pod nogami, spojrzął na instalację zimnazowo-cziernarodkową i znowu opuścił powieki.

- Ale wy nie jesteście żaden fanatyk marcynowy, co?

- Nie, Wasze Sijatielstwo.

- Bogu dziękować. - Kaszlnął raz jeszcze i odrzucił chusteczkę lokajowi. - Wybaczycie mojej córce, usłyszała o Synu Mroza i cóż, nie powstrzymasz ciekawości kobiecej. Dziecko to jeszcze. Ale wy - naraz spojrzął bystro - jakże wam, Wieniedikt Filipowicz, tak?

- Tak, Wasze Sijatielstwo.

- Wy robicie wrażenie konkretnego człowieka. Franciszek Markowicz mówi, żeście matematyk. Co, przyznam się, nie znajduję gwarancją wielkiej praktyczności w sprawach życiowych. Czytałem ja tę waszą, mhm, *Apoliteję*...

- Wasze Sijatielstwo czytuje podobne gazetki?

- A gdzie co ciekawego można dziś przeczytać? Przecież nie w prasie przez naszych czynowników prawomyślnych błogosławionej. Nie przejdzie tam nic, co mogłoby wzburzyć umysły Rosjan dobrych. Chcesz wiedzieć, co w duszy rosyjskiej głęboko trzeszczy, czytaj bibuły nielegalne. Zbierają je dla mnie co tydzień, niezwykle pouczająca lektura.

...Więc, tak - wciągnął dym kadzidlany do płuc - więc wy uważacie, że nasz Pan Najmiłościwszy i premier i wszyscy ministrowie i urzędy wszelkie i ja na ten przykład także - że Lód nas wszystkich uczyni zbędnymi?

- Tak.

Uśmiechnął się pod wąsem.

- Wasze Sijatielstwo sam widzi - nacisnęło się - że i Gasudar' Impierator ma tę pewność, że snu i przecucia, jeśli nie z wiedzy; i dlatego tak się broni, dlatego chce wojny z lutymi.

- Aleksandr Aleksandrowicz sądzi, żeście liedniak.

- Pobiedonoscew?

- Za drugim razem spostrzegłem jednak, iż napisaliście ów tekst w ten sposób, żeby nijak nie można się było wyznać: czy naprawdę chcielibyście takiego Państwa Niebytu?

- Proszę o wybaczenie, ale co to właściwie -

Drgnął, pierwsza iskra irytacji błysnęła mu w oku.

- Może was ochranie rzucę - rzekł - a może do rodziciela z amnestją poślę, ale na jakikolwiek pożytek zdecyduję się was obrócić, muszę wpierw poznać narzędzie, które w rękach trzymam, prawda?

Się skrzywiło się.

- Poznać człowieka...

- Mówiliście coś? - warknął.

- Nie jestem liedniak - powiedziało się ostro, spoglądając mu w oczy. - Nie jestem ottiepielnik.

- Ale wierzycie w Historję pod Lodem. To kto wy jesteście, a?

Kto? Zamknęło się na tę chwilę oczy przed lustrami i kryształami i oczyma cudzemi. Szósty dzień Mrozu. Kto?

- Jestem... matematyk. Matematyk Historji, *le Mathématicien de l'Histoire*.

Hrabia Szulc-Zimowy złączył dłonie czubkami palców, oparł podbródek na kciukach. Spoglądał teraz trochę spode brwi, spod czoła wysokiego.

Służący usunęli się z pola widzenia. Poza dymami z kadzielnic płynącymi, nic nie przesłaniało horyzontu syberyjskiego, nieba czystego, zagwieżdżonego i wichrów śnieżnych pod nim, obracających się w powolnych protuberancjach tęczobarwnych. Fotel gotycki, podnózek, krzesło twarde, kadzielnice - wisiało się tu nad Krajem Lutych jak słowa wypowiedziane w absolutnej ciszy.

- Trzy miesiące - rzekł gubernator. - Czy zdołacie dogadać się z nim w trzy miesiące?

- Jeśli go odnajdę.

- Pan Urjasz dał wam wszystkie mapy i wskazówki.

- To już nieaktualne. Ekscelencjo, nie da się tak obliczyć Dróg Mamutów Batuszki Maroza.

- Czemuż to?

- Ich jest więcej niż jeden. Co najmniej trzech, może czterech.

- Ojców Mrozów? - zachnął się.

- Ludzi, którzy zstąpili ciałem na Drogi Mamutów. - Prostowało się odliczane palce. - Balonowy Niemota. Niejaki Iwan Tichonowicz Kopytkin, biedny zimownik z sekty marcynowej katolickiej. Filip Filipowicz Gierosławski. Może Aleister Crowley. To proces czarnofizyczny, a nie cud boski.

- Więc, mówicie, nie uda się wam.

- Tego nie powiedziałem. Ekscelencjo, co się stało z Karolem Bohdanowiczem i Aleksandrem Czerskim?

Zmarszczył brwi.

- Z kim?

- Geologami, którzy pierwsi opisali Drogi Mamutów.

- Nie znam sprawy. Pytajcie Franciszka Markowicza.

- Mam podejrzenie... Wasze Sijatielstwo mi wybaczy, będę mówił szczerze.

- Będiesz mówił szczerze, nawet łącz.

Się zaśmiało się z ulgą.

- To prawda! Nawet łącz; zwłaszcza łącz. Ale tutaj... Wasze Sijatielstwo nie poświęca mi swego cennego czasu na zaręczynach córki dla byle kaprysu pana Urjasza - lecz ponieważ taka konieczność polityczna go przymusiła. Wasze Sijatielstwo widzi, że mnie nie idzie o dieńgi griażnyje od Rappackiego; idzie mi tylko o ojca. Ekscelencji zależy na czasie i mnie zależy na czasie. Trzy miesiące, tak. Zgaduję, iż to jakieś ultimatum z Peterburga, może robota agentów Morgana. Powody nie mają w tej chwili znaczenia. Bo nade mną też wisi miecz. Ekscelencja wie o imperatorskim kontrakcie doktora Tesli.

Skinął głową.

- Doktor Tesla jest mój drug - ciągnęło się, nie zmieniając tonu i nie odwracając oczu, co było teraz już bardzo trudnem - ale doktor Tesla zapowiada Odwilż totalną i śmierć Lodu i ja wierzę, że może mu się udać, to jest taki człowiek, który karierę zrobił na osiągnięciu rozumem rzeczy przez wszystkich przed nim za niemożliwość uznanych. Nic i nikt go nie powstrzyma, nie myślę bowiem, żeby Wasze Sijatielstwo -

- Nie mówcie więcej, rozkaz Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa. Doktorowi włos tu z głowy nie spadnie.

- Otóż to. Otóż to, taka zależność tu jasna, matematyczna. Ja też nie dam mu przecież nic złego zrobić - a zarazem -

- Ratować ojca musicie, tak.

- A jaki dla mnie na to sposób jedyny? Imperatora słowo. On odwoła Tesłę, on zabroni Odwilży i wszelkiej podobnej inżynierji przeciwlodowej, on Ekscelencji wtedy też Kraj Lutych ostawi w spokoju. Wcześniej jednak lute muszą się cofnąć według umowy politycznej, trzeba rozparcelować Historję. Wam zostały trzy miesiące; mnie - czas do Odwilży. Widzicie, że o to samo nam idzie, obaj na ziszczeniu jednego celu zyskamy.

Gubernator oddychał powoli kadzidłem słodkiem, przechyliwszy się w fotelu; ordery przekrzywiły mu się na mundurze.

- Co widzę - widzę, że szczerze kłamiecie - rzekł i uniósł gwałtownie rękę, gdy otwarło się usta do protestów. - Miałem ja do czynienia z Polakami urodzonymi: największe kręactwa - ale szczerze do kości, bo zawsze zostaje ta wasza duma, ta arogancja głupia, której nie potraficie się wyzbyć nawet w obliczu śmiertelnej groźby, że w Lecie byle chłop płaszczyć się przed klientami potrafiący kantuje was łatwo. Za to w Zimie - obsadziłbym wszystkie urzędy w Cytadeli Polakami, gdybym mógł. „Apoliteja”, a jakże! - Wyprostował się w fotelu. - Taką wam umowę na moje słowo daję: do końca stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku dostarczycie dowód porozumienia z lutymi; na to dostaniecie zaraz wszystkie permisje urzędowe, ludzi z pułku błagowieszczęńskiego, pieniędzy na konieczne wydatki, w rozsądnych granicach, ma się rozumieć, oraz zawieszenie wszelkich wyroków na ojca waszego. Jeśli Gasudar' Impierator da się w rezultacie przekonać, macie moją wdzięczność. Jeśli nie... cóż, rzecz i tak znajdzie się już poza moją władzą.

- Dowód, dowód - powtarzało się pod wąsem. - Jaki to dowód zadowoli Jewo Impieratorskoje Wielicziestwo? Lód tak szybko się nie cofnie.

- Jesteście pewni?

- Pracuję u krjofizyków Kruppa, wiem, jakie prędkości są w Mrozie możliwemi. Niech sobie Ekscelencja imaginuje Historję jako lodowiec górski, schodzący po stoku w dolinę.

Hrabia odkopnął podnózek.

- A zatem - nic z tego, *c'est la fin*.

- Czekajcie! - W odruchu bezmyślnym, bo przecież nie swędziały już wcale, poczęło się drapać dłonie przez rękawiczki bawełniane. - Jakie to dowody najsilniej trzymają w Zimie? Co się tu obroni pod logiką bardziej nawet od świadectwa zmysłów?

- Mówcie jasno!

- Wasze Sijatielstwo czytuje Cyncerona? W starożytnym Rzymie o wyroku w procesie przesądzał często tak zwany „dowód z charakteru”, to znaczy świadectwo prawości oskarżonego przez innych prawych Rzymian składane - choćby sto dowodów materialnych, rzeczowych świadczyło przeciwko niemu. Co jest bowiem ważniejsze, co bliższe Prawdy? Nóż i ciało czy duch i idea?

- Ach! - Hrabia Szulc-Zimowy wyciągnął rękę, kaszlnął w podaną chusteczkę, poczem cisnął ją za siebie; zwinny sługa złapał ją w powietrzu. - Pojmuję. Racja, racja, tak trzeba zrobić. Ktoś już zaufaniem przez Miłastiwawo Gasudaria darzon... - Znowu złożył w zamyśleniu dłonie pod brodą. - To się nawet dobrze składa, że teraz, na balu - wy zostaniecie, posłę wtedy jeszcze po was - na pewno znajdę kogoś takiego. Jest tu dwóch Wielkich Książąt, ale oni... Mhm.

- Tymczasem inna rzecz wymaga jeszcze domówienia. - Zwilżyło się wargi językiem. - Treść owego porozumienia z luty. Ekscelencjo, czy mam tu wolną rękę?

- Wiecie chyba, od doktora Tesli chociażby, co zadowoli Imperatora: uwolnienie spod Lodu Rosji europejskiej, miast zwłaszcza. Sankt Peterburg bez luty - to już kupi nam rok, dwa.

- Znam ja ten, khm, uraz Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa, słyszałem, słyszałem. - Uciekło się wzrokiem na księżycobarwne wichry śnieżne. - Ale to przecież nie jest jeno kwestja temperatury -

- Wy mnie pytacie, czy ja wierzę w teorie Mikołaja Bierdiajewa? Otóż nie wierzę. Możecie sobie uprawiać matematykę Historji, byleście tak Lód ustawili, żeby i Imperatora uspokoić, i przemysłowi irkuckiemu nie zaszkodzić.

Się ugryzło się w język. Choć to trudne do pojęcia pod Lodem, to przecież im więcej tu niedopowiedziane, tern lepiej. Po cóż w ogóle ten temat podnosić? Wszak nie zapyta się generał-gubernatora Imperjum Rosyjskiego: czy, naprimier, sprzeda Synowi Mroza wolną Polskę w zamian za gwarancje bogactw zimnazowych.

- Nie wyjaśniliście jeszcze - rzekł hrabia, powstawszy z fotela nad puszcza, z tronu

Syberji - jak zamierzacie ojca odnaleźć, skoro nie z obliczeń Dróg Mamutów.

Się podniosło się również.

- Karol Bohdanowicz i Jan Czerski, oni zapewne znali tę tajemnicę. Cenzuruje się mapy geologiczne, prace naukowe i opisy wierzeń inarodczych. Jest na tym pieczęć Ministerjum Zimy, ale i Sibirchożeta.

Hrabia rozłożył ręce.

- Nie moja władza nad Rappackim i Pobiedonoscewem. Z Aleksandrem Aleksandrowiczem sami musicie załatwić sprawę. Myślicie nająć ichnich szamanów? Żeby tropili Batuszkę Maroza po Drogach?

- Inna metoda jest też możliwą: gdy tylko zmiarkuję w szczegółach czarnofizycznych, jak oni na nie schodzą, poślę na Drogi Mamutów tropiciela takiego... - milknęło się z wolna, spostrzegłszy, iż hrabia Szulc od jakiejś chwili znowu przypatruje się z uwagą ołtarzykowi cziernarodkowemu w kącie gabinetu.

- Wyście to zrobili.

Się zmieszało się.

- Pan Urjasz kazał czekać i -

Przymrużył lewe oko.

- Ładne.

Zapytał lokaja o czas, nadstawił ucha na muzykę z głębi pałacu płynącą, poprawił mankiety i ordery.

- Przysługę mi oddacie - rzekł, odwracając się już ku drzwiom. - Moja Annuszka zażyczyła sobie jednego tańca, rozumiecie, na oczach towarzystwa, już sobie Syna Mroza w karnecik wpisała.

- A-ale...! Ja nie umiem...!

- No, no - śmiał się generał-gubernator, wychodząc, poprzedzany przez służących, ze służącymi z kadzielnicami w *arrière-garde* - nie bójcie się, młody człowieku, Anna może bywa energiczną bardziej niż niewieście przystoi, ale krzywdy wam nie robi, he he.

Ostatni lokaj wcisnął z powrotem w dłoń wygasłe cygaro.

Wyszli.

Tym razem drzwi pozostały otwarte na rozcież. Nikt nie wartował za progiem. Gwar ludzki i muzyka płynęły kryształowemi korytarzami pałacu jak dźwięk pchany rurami organów.

Poprawiając wepchnięty za pasek tłumok kanciasty z Arcymistrzem, taką się myśl krew mrozącą przemyślało: że gdyby nie zachcianka gniewna *mademoiselle* Filipov, gdyby nie ów post sześciodniowy, kto wie, w jakie rozedrganie fantazyj strasznych się zdążyłoby się było tu wprowadzić - roztopiony, rozdygotany jak ten Benedykt Gierosławski z Ekspresu Transsyberyjskiego, czyż nie strzeliłoby się w panicznym odruchu w pierwszą osobę, co stała w drzwiach?

Wyszło się prędko na komnaty.

*Herr* Bittan von Azenhofs stał w grupie dyskutantów przy fotelu mecenasa Kuźmieńcewa, nachylając się co chwila ku starcowi w ironicznej manierze miny i ciała. Pierre Iwanowicz Szocza przekomarzał się ponad fotela oparciem z popem i damą w peruce chińskiej, co może było modą znaną i przyjętą w Nowym Świecie i Europie pozalodowej, ale tu podobna *coiffure* sprawiała wrażenie niestosownej, że aż wulgarnej. Zmiarkowawszy, iż nie da się po prostu podejść i pogadać swobodnie z Modestem Pawłowiczem, przystanęło się w pozie roztargnionej pod szklaną ścianą, na dystans głosu cichego (cygaro znowu pomagało).

- Otóż nie, otóż na odwrót, otóż przeciwnie zgoła! - perorował pop, szarpiąc postawnego wiarusa za guzik na mundurze huzarskim. - Nie mógł być ci tego Mierzow uczynić, od kiedy to jazda na umocnienia szturmą samodzielnie przypuszcza? Tydzień szli z Szantunu pod ostrzałem Japońców, jeszcze mieliby się wykrwawiać, ścigając ich na ślepo w góry Zibo? Gdzie ta mapa, kto zabrał mapę?

- Małżonka porwała pana pułkownika do tańca - ziewnął *monsieur* Szocza.

- Otóż robi się to tak, jak pan generał zrobił! - perswadował huzarowi duchowny; huzar tylko węża długiego, wypomadowanego za ucho kręcił i wargi gryzł, a pop, zgarbiony, suwał palcem po wojaka piersi wydatnej, tak kreśląc taktyki Kampanji Pohajskiej Mierzowa. - Najpierw gonisz jazdą, potem ciągniesz piechotę i inżynierów i front zakładasz, cisnąc nieprzyjaciela w gorsze i gorsze pozycje, aż się wycofać musi, i oto zdobyłeś ziemię; na tym sztuka militarna polega!

- Jak też ojciec się zna na wojennych arkanach...! - zaszcebiotała dama.

- Teza pana kapitana - powiedział von Azenhoff, częstując się czziort-tabaką



Kuźmieńcewa - jak ja ją pojąłem, jest inna. Nie przeczy on wcale taktycznej celowości poczynań generała. Odmienną kwestją jest wszakże strategia, w politykę już mocno zawikłana. *N'est ce pas?*

- Niechby wykrwawił się Mierzow dwakroć bardziej, niechby wszystką armję w trjumfie swoim wytracił - zaburczał kapitan - ale niszcząc przytem całe siły lądowe Hirohito, a nie pozwalając im odstąpić składnie, że znowu nie ma zwycięstwa jasnego, konkretnego, tylko pakty, rozejmy, układy i pokoje przy biurku atramentem wywalczane - a zatem nie prawdę na papierze odbijające, jeno fałsz ów papierowy próbujące narzucać światu.

- Nie bili się pod Lodem - mruknął Modest Pawłowicz i kichnął.

- *À tes souhaits* - pośpieszyła z powinszowaniem dama.

Von Azenhoff pokiwał z politowaniem głową nad starym prawnikiem.

- A wy znów swoje zaczynacie. Ileż można! Nie wyobrażam ja sobie, żeby tak się dali ogłupić podobnym bzdurom mistycznym Niemcy czy Anglicy *Hochgeboren*. Czy Francuzi nawet. Kto kiedy widział Historję? Kto ją zmierzył, obmacał, zważył?

- *Monsieur* Bittan nie będzie przecież przeczyć, iż lute zaburzyły porządek świata - włączył się młodzian blady, z dziewczką znużoną ramienia mu uczeponą.

- A jak zaprzeczę - uniósł się von Azenhoff - to jak pan dowiedziesz, żem w błędzie, he?

- Po Drogach Mamutów -

- A czy kto widział Drogi Mamutów?

- Nikt też nie widział prawdy, sprawiedliwości, narodu i miłości - pogroził palcem pop.

- *Bien entendu!*

- Nikt nie widział prędkości, czasu i koloru. Nikt nie widział myśli.

- Ja widzę kolor - zdumiała się dama. - O, *par exemple* suknię mam lawendową.

- Pani nie widzi koloru lawendowego - stwierdził autorytatywnie kapłan. - Pani widzi, że pani suknia jest lawendowa.

Dama nie zrozumiała. Zrobiła kwaśną minę, potem uśmiechnęła się zalotnie, a kiedy i to żadnego wrażenia nie wywołało, wzniosła oczy do nieba.

- Herbaciarka mojej siostry - podjęła, jakby ten właśnie wątek jej przecięto - jest z matki kitajskiej, chadza ona jeszcze do ichnich bałwochwalców i powtarza od nich wierawanija

stare, lamów i czarowników rozmaitych mogolskich, hinduskich. Co powiecie, *messieurs*, że u nich z dawien dawna mówią o takich „żyłach energetycznych”, oplatających glob od jednego miejsca świętego do drugiego, po których to żyłach przepływają dusze ludzkie, i w ogóle wedle takiej geografii orii świat dzielą i dzielili, zanim jeszcze ktobądź o Drogach Mamutów słowo rzekł - ha, co powiecie?

Pomyślało się o jednym z rozlicznych projektów doktora Tesli, projekcie przemysłowego zużytkowania energii ćmieczy Drogami Mamutów bieżącej. Może należy podsunąć mu ten wątek mitologiczny? Sam się przecież przyznawał, że nieobce są mu doświadczenia spirytualne, ezoteryczne. Zajęłoby go na kolejne kilka dni poszukiwanie map z religij tutejszych pochodzących i obmyślanie budowy siłowni teslektrycznych w miejscach świętych lamaizmu czy hinduizmu.

- Co by nie mówić - wtrącił Pierre Szocza - jest jakaś dziwna moc przyciągająca w Drogach Mamutów. Choć nikt ich nie widział - tu skłonił się ironicznie von Azenhoffowi. - Moi znajomi w przyjemnościach bardziej wyrafinowanych gustujący -

- Opjumiści - szepnęła teatralnym głosem dama huzarowi.

- Moi znajomi - podjął Szocza - popróbowali raz i drugi niesławnego czarnego narkotyka

-

- Opowiadał pan, że przepadają bez śladu - przypomniał von Azenhoff.

- Owóz ślad jest taki właśnie, że jednego, co ostatnio czarnego soku makowego posmakował, służba dopiero po dniu całym poszukiwań odnalazła, w negliżu i zmarnowanego bardzo, na ziemi, przecznic kilka od domu. A uprzedził pokojowców, żeby go z oczu nie spuszczała. Pewnie błąkał się tam jak sonnyj rab, biedaczysko.

- Mało to rzeczy dziwnych ludzkie w stanie odurzenia wyczyniają? - westchnął pop. - Miast Bogu się oddać, chemji pokątnej wolą duszę zawierzyć.

- Ale co chciałem rzec: że gdzie go znaleźli - na Drodze Mamutów właśnie. Leżał przymrożony, ze skórą zdartą z ramion i nóg, nieprzytomny zupełnie.

- Może jeszcze na dodatek na lutego tam wpadł.

- No, tego by nie przeżył.

- Pan pułkownik - kapitan podkręcił węża, ujął damę pod rękę - miał razu pewnego taką przeprawę z lutymi...

Opowiadał dalej, kogucim krokiem i z pierśią w przód podaną prowadząc damę wystrojoną; towarzystwo podążyło za nim, ku holowi głównemu i sali balowej, tylko von Azenhoff spoczął na kanapce pod portretem ponurego protoplasty Szulców, by wachać, zadumany, chusteczkę koronkową niewieścią.

Podeszło się do fotela Kuźmieńcewa, lokaj służył ogniem, pufchnęło się dymem tytuniowym. Mecenasa uniósł pytająco brew. Nachyliwszy się mu do ucha, streściło się rezultaty rozmowy z generał-gubernatorem.

- Znaczy, chyba osiągnęliście, coście zamierzali, nie?

- Nie wiem, co się dzieje, Modest Pawłowicz. Musicie mnie tu wspomóc swoją wiedzą i intuicją.

- Mhm? - Łypnął spode grzywy siwej.

- Nie takie były przecież ich plany. Kiedy mnie pan Urjasz w Ministerjum Zimy na Ojca Mroza napuszczał, inaczej to zupełnie sobie układali, do innych celów, innymi ścieżkami zmierzając. A teraz - Urjasz jadłem gorzycznym plując i hrabia powtarzający: „trzy miesiące”. Trzy miesiące!

- Więc - zmieniło się. Cóż w tym dziwnego? Odróżnijcie politykę od matematyki. Świat zresztą nie wokół was się obraca, ani na dobre, ani na złe. Nie przenikniesz rozumem przyczyn wszystkich zdarzeń, które cię dotykają. Ani większości nawet. Od tego tylko pomieszania zmysłów można dostać: cały świat w głowę sobie wepchnąć, żeby go tam samodzielnie na części rozebrać, jak zegarek szwajcarski, i na powrót złożony, patrzeć, dlaczego jego trybiki obracają się, jak się obracają, dlaczego tyka. A tego byście chcieli, nie?

- Myślałem, że przynajmniej tu, w Kraju Lodu...

- Co? Dostacie wszechwiedzy? - parsknął drwiąco.

Potrząsnęło się głową.

- Tesla przeprowadził z powodzeniem pokaz Pompy Bojowej. Do Imperatora pojechała delegacja Pierponta Morgana, nastawiająca go przeciwko Kompanji Rosyjsko-Amerykańskiej, Koleji Dookołaświatowej i przeciw Szulcowi. Szulc ciśnie represjami. Podpisano pokój z Japonją. Nie chciał tego okazać, ale - trzy miesiące! Modest Pawłowicz, czy Imperator może hrabiego Szulca zdymisjonować z generał-gubernatorstwa irkuckiego?

Mecenasa Kuźmieńcew poruszył się niespokojnie w fotelu. Przystąpił doń lokaj; mecenasa

odepchnął go laską.

- Imperator może wszystko - mruknął zrzędlawie. - Imperator jest imperator. Tak?

- Tak. Tak.

- Nie myślicie chyba, że podobne ultimatum, jeśli je Jewo Wielicziestwo Mikołaj Aleksandrowicz naprawdę wystosował, podane zostanie do public® nej wiadomości. Gdy przyjdzie pismo odwołujące Timofieja Makarowicza, to przyjdzie w ostatniej chwili, i hrabia odejdzie z honorami, z pochwałami, z orderem jakimś nowym pewnie. - Stary otworzył tabakierkę, podsunął, aby się poczęstować; pokręciło się przecząco głową. - Za wiele sobie wyobrażacie. Ostygnijcie, Wieniedikt Filipowicz.

- Czyż nie na tym polega dar poznania? - mruknięto się w roztargnieniu. - Na pewności jednej jedynej prawdy spośród wszystkich prawd możliwych?

- Porzućcie wreszcie tę matematykę przeklętą!

- Gaspadin Jeroślawski?

Się odwróciło się.

- Anna Timofiejewna prosi Wasze Błagarodje do sali balowej - rzekł kamerdyner, nie podnosząc oczu od tajgi lodowej oksiężycowanej.

- No, no, no - zasapał Kuźmieńcew i kichnął potężnie.

Bittan von Azenhoff spoglądał ponad batystem do warg przyciśniętym, wyciągnięty nieelegancko pod mrocznym konterfektem. Zamrugało się. Kamerdyner czekał w ćwierćukłonie. Nie było wyjścia, poszło się zatańczyć z córką generał-gubernatora.

Setki osób w sali olbrzymiej, światła rozteczone na ciałach, tkaninach, biżuterjach, zamiast ścian - horyzont gwiazdny Syberji nocnej, zamiast podłogi - biała ziemia Syberji nocnej, powietrze migoczące od tysiącznych odbła - sków piękna, a ona pośród tego wszystkiego najpiękniejsza, krasawica w bieli liljowo-złotej między innymi krasawicami *en grandes toilettes*, patrzącymi oczyma wielkimi, na bezdechu, w ciszy nagłej - gdy się podeszło, skłoniło i poprosiło się *mademoiselle* Szulc do tańca.

Westchnęły głośno. Dygnęła, ujmując podaną dłoń, rękawiczka rękawiczkę. Zafurkotały wachlarze. Muzykanci pociągnęli pierwsze takty melodji, nie miało się bladego pojęcia, co to za taniec, jaki krok do niego. Wyprowadziło się hrabiankę na środek nieba. Szelesty sukni rozhalkowanej, rozkoronkowej w obłok wiosenny - mąciły w głowie. Wszyscy patrzyli. Pot

ciekłą strużką krętą po czaszce nagiej, środkiem czoła i wzdłuż nosa. Szaleństwo. Panna uśmiechnęła się uśmiechem zachłannym, kapryśnym. Przełknęło się ślinę. Wszyscy patrzyli.

- *Le Fils du Gel* - szepnęła.

- *La Fille de l'Hiver*.

Ruszył tan - tańczyło się.

- Wcale nie jest pan zimny.

- Zdaje się panience. Już panienkę zmroziłem.

- Co?

- Bajki, *mademoiselle*, bajki; proszę w to nie wierzyć.

- Porywacie ludzi w lód, sprowadzacie na Drogi Mamutów, na lutyh jeździec.

- Kiedy wybiję północ, obudzi się panna w bryle lodowej pod Bajkałem.

- Pan sobie żartuje!

- Zatańczyła panna z Synem Mroza, przepadło.

Tańczyło się.

- Pan nie robi krzywdy papie.

- Ja? Panu hrabiemu?

- Nie robi mu pan nic złego, ja pana proszę.

- Ależ! Rewolwer nie był na niego. Mam wrogów.

- Ach! Ale nie papę.

- Papa panienki łaskawy dla mnie nad wyraz.

Tańczyło się.

- Dlaczego pan zamyka oczy?

- Okazuje się, że mam lęk wysokości.

- To po co patrzeć w dół?

- Żebym panience po nóżkach nie deptał.

- Z zamkniętymi oczyma to chyba jeszcze trudniejsze.

- Cóż mogę rzec, kręci mi się w głowie, jak z panną tańczę.

- Jaki pan zabawny!

Tańczyło się.

- Panna już się zaręczyła, prawda?

- Tak jest, już się papa nagadał, obcałowały nas ciotki, kuzynki, stryjenki, żeby pan to widział...! Pan nie widział?

- I narzeczony nie będzie miał za złe?

- Będzie!

- Oj. Mam uciekać?

- Pan nie ucieknie.

- Nie?

- Nie.

- Skąd panna wie takie rzeczy?!

- Pan zły na Annuszkę?

- Panna lubi taki bilard charakterami ludzkiemi uprawiać, co? Zaiste, Córka Zimy!

- Pan się gniewa -

- Panna nawet nie zna innego świata, innych ludzi! Magnes do magnesu, woda na ogień, choleryk na sangwinika, strach na strach, duma na zazdrość -

- A Paweł Nestorowicz na Syna Mroza -

- Ależ się panna okrutnie bawi!

- Pan nie robi krzywdy Pawełkowi, ja pana proszę.

- Wszyscy się na nas patrzą, panna z góry to rozpowiedziała!

- *Comme vous l'avez dit vous-même, monsieur: le Fils du Gel et la Filie de l'Hiver:*

- *Excusez-moi.*

Się wyrwało się. Przelawirawawszy między tańczącymi, przeszło się za kolumnady i do komnaty bocznej. Spoczęło się na taburecie. Łydki jeszcze drżały. Usłużny lokaj podsunął tacę. Łyknęło się całą szklanekę jakiegoś trunku piekącego, nawet nie rejestrując jego smaku.

Muzyka nadal płynęła, kamarinskaja chyba, taniec trwał, widziało się przecież tańczących przez marostiekłowe ściany, przepływających na nich strumieniami kolorów, zdawało się, iż tylko przypadkiem ujmowanych w abrysy pań pięknych i panów przystojnych; widziało się więc doskonale także zbliżający się wzdłuż ściany kaskadą kalejdoskopowych rekonfiguracji abrys dziewczki rozgniewanej - panny Anny - przepłynęła ścianę bliżej - nie panny Anny - weszła, strzeliła wachlarzem, przygryzła wargę. Jeszcze podejść chciała, ale coś ją zatrzymało gwałtownie, jakby w kolejną szklaną ścianę uderzyła.

- *It just eludes me how could you possibly...* - Zatchnęła się i tylko krzyknęła bezsłownie z rozpaczą. Wzbierał pod nią wichur lodowy, frontem na wiorsty szerokim podnoszący tumany tęczobarwne ze zmrożonego lasu. - Wielki Syn Mroza! - prychnęła z pogardą.

- Pokazywali mnie palcami, co?

*Mademoiselle* Filipov zakłęła po angielsku bardzo ordynarnie, zawirowała w szeleście jedwabiu i wróciła do przypatrującego się wszystkiemu przez ścianę smagłego Andriuszy, liejtienanta wyakselbantowanego. Podała mu zaraz dłoń zapraszającym gestem. Wmieszali się między tańczących.

Wiatr lodowy łamał sople drzewa. Księżyc refleksował na stalagmitowych grzbietach lutych. Noc balu gubernatorskiego dopiero się zaczynała.

Kiedy tańczyło się z Jeleną... Już teraz wspomnienie tańców z Ekspresu Transsyberyjskiego zdawało się bliższe, żywsze i jakoś bardziej... prawdziwe. Nie było się w stanie obudzić żadnego jasnego obrazu z tańca przed chwilą zaledwie przerwano - jakby to naprawdę ktoś inny tańczył, jakby nawet nie to ciało tańczyło; nijak nie chciała ta przeszłość zamarznąć.

Na taburecie obok klapnął grubas we fraku opinającym go niczym pęcherz rybi. Chłopska twarz z tysiącem zmarszczek i tuzinem plam podmrożeńowych miętosła się w nieustannych zrywach między miną a miną, jakby fizjognomją tego człowieka zawiadywało kilku wzajem skłóconych mieszkańców rozdętego cielska i żaden nie potrafił osiągnąć trwałej przewagi w wojnie mimicznej.

- Pietruchow Iwan - przedstawił się, z widocznym przekonaniem, że samo nazwisko wszystko wyjaśnia; od razu przytem wyciągnął łapę do powitania. - Aleście obrócili tą laleczką Szulcową, hie, hie! I tak ją cisnąć precz - poszło jej w pięty - pali się rumieńcami, aż swąd idzie, hie, hie, hie! - Wyginał oblicze flakowate w kpinie-radości-prerażeniu-zdumieniu.

- Czego chcecie, Pietruchow?

- Czego chcę? Niczego nie chcę! Przyszedłem podnieść kamrata na duchu. - Tu klepnął się w udo rozpychające nogawkę gładką. - My, ludzie lodu, Pietruchow i Jerasławskij, nam trza mieć się przed nimi na baczności, nie lecieć w miód ich słodki jak muchy na lep, w te błyskotki-ślicznotki, w te pięknotki ślazowe.

- „My”?

Plasnął się w udo ponownie.

- Ja i wy, no zobaczcie sami, dwa wyrzutki, i jak na nas pozierają, kiedy myślą, że nie widzimy -

- Jesteście w błędzie, Pietruchow, nic nas nie łączy, w niczym nie jesteśmy podobni.

- Nie? - Fizjognomja załopotala mu między miną przymilną, smutną, gniewną i obojętną.  
- Myślicie, że dopuściliby was na salony swoje kryształowe, gdyby przypadek ich tak nie przymusił, że zatykają nosy, odwracają oczy i udają, co to nie widzą, jak chamy, hie, hie, chamy, powiadam, cióreczki lukrowe im oblizują? Temi rękami - zacisnął łapska włochate, pokancerowane - temi rękami wszystko! Że się pociągnęło wiorstę dalej w mróz morderczy i tungeciak wielki jak obora wysoroczyło - przypadek! Tylko taka między nich droga, tylko takie wejście: z przypadku. Ale soroka przy milionach nadal dla nich soroka. - Ciepnął się piąchą w pierś od orderów pustą. - Zamarzło! Cham na salonach! Hie, hie, hie!

Wstało się bez słowa, korzystając z pretekstu, gdy za ścianą pojawili się państwo Wieliccy. Muzyka ucichła, rozległy się oklaski, podniósł się szum rozmów, pary przekalejdoskopowały między marostiekłowe kolumnady.

Pan Wojsław ocierał czoło szerokie z perlistego potu.

- Uff, zabije mnie, zabije, ja już nie młodzieniaszek jak pan Benedykt, serce moje, litości...

- Nie wiedziałam, że z pana taki tancerz wyborny! - serdeczniła się tymczasem pani Halina. - A tak się pan krygował!

Cmoknęło się ją w rączkę.

- Może mi to pani wyjaśni jakoś: jak to możliwe, kiedy ja tańczyć nie umiem wcale?

- Czemuż się pan upiera, że nie umie, skoro umie?

Prawda czy fałsz? Pokręciło się głową, gryząc wąsa i zapewne tępy bardzo wyraz twarzy



prezentując. Przeszłość nie istnieje, wszystkie wspomnienia, co nie przystają do teraźniejszości, z definicji fałszywymi być muszą, jeśli więc teraz się tańczy...

Lecz czyż w istocie nie dotyka to niemal wszystkich ludzi? Ponieważ jednak jest nie do wyrażenia w języku drugiego rodzaju - na zawsze pozostaje zamknięte w prywatnej tajemnicy serca. Na zewnątrz natomiast przeciekają cienkie destylaty doznań, krzywe opisy przeczuć, wrażeń niejasnych.

Że coś tu się nie zgadza. Że nie do końca jesteśmy tym, kim się pamiętamy. Że żyje w nas ktoś inny, obcy, o obcym doświadczeniu i pamięci. I w tych krótkich chwilach, gdy to on bierze górę i przejmuje władzę nad ciałem, odsłonięta zostaje głębsza prawda. Wiemy, co ujrzymy za następnym wzniesieniem, chociaż nigdy nie byliśmy w tym kraju. Po życiu spędzonym za blatem kancelisty, w momencie nagłej przemocy chwytny za karabin - nigdy nie trzymaliśmy karabinu w ręku - i oddajemy zeń bezbłędny strzał. Sądzą nas w towarzystwie wysokim, pod manierę cudzoziemską, o której pojęcia nie mamy i mieć nie możemy, a wtem - sztuce w dłoniach, konwersacja nad stołem, słowo i gest i *savoir vivre*, i okazuje się, że obracamy się w tym bardziej gładko nawet od nich. Uczył nas ktoś? ktoś podpowiedział? znamy to - skąd? Ojcowie dobrotliwi, mężowie potulni - podnosimy wtem pięść na dziecko, na niewiastę w odruchu naturalnym dla zbrojnego zatwardziałego. Tańczymy, chociaż nie umiemy tańczyć.

Coś tu się nie zgadza. Życie nie pasuje do życia, przeszłość do teraźniejszości.

Ale jak oddać to doznanie w mowie międzyludzkiej?

Przeszłość nie istnieje.

- Może talent wrodzony posiada. - Pan Wojsław schował chustę, zgasił uśmiech, mrugnął porozumiewawczo. - Pozwolisz, serce, na momencik, uff, słówko z panem Benedyktem.

Odeszło się za filar.

- Zbieraj się pan i wskakuj w sanie! - z miejsca zakomenderował Wielicki. - Co panu do głowy strzeliło, tak ją publicznie zawstydząć! Wszyscy widzą, co się szykuje, jacyś oficerkowie podjudzają już narzeczonego Szulcówny. Jakby potrzebował jeszcze ostrogi! Nie bądź pan dureń, nie prosz się pan o nieszczęście.

- Nie mogę. Nie mogę, panie Wojsławie, jestem po słowie z Szulcem, da mi bumagi na ojca, na mnie, układ cały, czekam teraz właśnie -

- To się jakoś umówicie! Potem, potem! No pomyśl pan sam, co pan z Szulcem ugadasz,

jak ten jego zięć przyszyły kości panu zaraz porachuje albo, co gorsza, pan choć palec na zięciuniu drogim połóżysz! Bierz pan dupę w troki!

Zagryzło się zęby.

- Nie ucieknę.

- Jezu Kryste z ran krwawiący! No i co z tego, że was Synem Mroza obszeptali - dzisiaj taka, za tydzień inna atrakcja salonowa - pan przecież sam w te baśnie syberyjskie nie wierzysz -

Urwał, przeniósłszy wzrok na odbicia po marostiekłe płynące.

- Za późno.

Się obejrzało się. Grupka kawalerów wyelegantowanych, pół na pół cywile i mundurowi, zbliżała się zwawym krokiem, na przedzie czerwony jak burak młodzian, tykowaty nieco, we fraku przekreślonym szarfą orderu niskiej klasy, z monoklem wściekle ściskany w oczodole, co przydawało mu dandysowatego rysu.

- To on? - mruknięło się pod wąsem.

- Paweł Nestorowicz Gieruszyn.

- Odejdź pan.

Wielicki zachnął się, zamachał gniewnie, błysnął brylantem - niemniej po tym krótkim wahaniu cofnął się za filar, do żony, wachlującej się nerwowo. Z komnaty obok wyszedł Pietruchow, stanął pod ścianą ze szklanicą w garści, z miną nabożną-radosną-złośliwą-pocziwą czekający widowiska pikantnego. Na ścianie przeciwległej kątem oka złapało się liljowobarwny kontur witrażowy *mademoiselle* Szulc: przygląda się z oddali puszczonemu przez siebie w ruch karambolowi, z tym samym uśmiechem zachłannym, tak samo piękna anielsko. A zza ścian dalszych, wskroś pałacu gubernatorskiego patrzy zapewne cała elita Syberji, panie, panowie, hrabiowie, książęta, generały, milionery i arcymilionery.

Pan Gieruszyn stanął, założył ręce za plecami, zakołysał się na piętach, odchrząknął głośno.

- Domagam się... - głos mu zaskrzeczał i Paweł Nestorowicz pokraśniał jeszcze mocniej; odchrząknął po raz drugi. - Żądam! Żądam, abyście niezwłocznie przeprosili Annę Timofiejewnę. I... I opuścili... Niech... - Odchrząknął po raz trzeci. - Wynocha!

Nic się nie odrzekło.

- Ale najpierw przeproście! - zakrzyknął Gieruszyn na bezdechu.

Nic się nie odrzekło.

Towarzysze Pawła Nestorowicza szemrali mu gniewnie za plecami. Poprawił monokl, zaszurał nogami.

- W mordę drania! - zawołał jakiś oficer.

Gieruszyn zacisnął pięści, postąpił krok naprzód -

Się uśmiechnęło się.

Odskoczył.

Pietruchow wybuchnął knajpianym rechotem, szklanica wyleciała mu z ręki, złapał się za brzuch, rechotał wpółosunięty po ścianie, w spazm ubawiony.

- A to wyborne! - zakwiczał. - O, nie mogę! Panna se rycerza znalazła! Trzymajta mnie! Będzie pudełek gryzł po łydkach Syna Mroza! Hau, hau!

Gieruszyna krew zalała, monokl mu wypadł z oka, zatrzęsł się biedaczyna cały niczym w febrze gorącej. Tuzin odbić jego tęczowych spąsowiało także, jeszcze jaskrawiej. Pałac płonął wszystkimi odcieniami wstydu.

Zimniej, zimniej, zimno, Mróz. Dopadło się do Pietruchowa, capnęło się go za klapy fraka, potrząsnęło, aż chłop do reszty stracił równowagę i, mając ramionami jak łopaty, ześlizgnął się na podłogę, to jest na księżycobarwny Front wichrów lodowych.

- Chamy między urodzonych puszczać! - ryczało się. - Co cham widzi, co cham myśli, tym pluje!

Doskoczył i Paweł Nestorowicz, pociągnął próbującego się podnieść Pietruchowa za kołnierz, Pietruchow znowu stracił balans i padł na czworaki, łbem w oszołomieniu wte i wewte wywijając, ogonami fraka mając, jęzor jak pies wywalił, gęba mu latała od grymasu do grymasu, roztopił się bywszy soroka do reszty.

Gieruszyn nasadził okular w oko wybałuszone, nachylił się, nacelował i kropnął Iwana z szerokiego zamachu w zad wypięty - oj, przydzwonił solidnie, grubas pojechał po marostiekle jak po lodzie, brzuchem i gorsem podłogę glansując, nadal przytem wiatrakując rękoma, a im dalej sunął między kolumny pryzmatyczne ku sali balowej, tem głośniej wył i piszczał; zahaczył o coś kolanem i począł wirować, jadąc dalej; zgubił but; zgubił chustkę; nareszcie huknął w wazon kwiatowy i tam się zatrzymał.

Echo śmiechu gromkiego szło przez pałac, wszyscy patrzyli i wszyscy się śmiali - a Paweł Nestorowicz Gieruszyn najgłośniej, z ulgą dobrze słyszalną, aż dłonie jak do modlitwy złożywszy. Towarzysze jego stłoczyli się wokół, klepiąc go po plecach i dowcipy wulgarne w kilku językach wymieniając; poczuło się też na łopatkach jedno i drugie uderzenie. Trzymając minę obojętną, suchą, cofnęło się powoli za ścianę, w komnaty. Kawalerowie rozchodzili się w grupkach, ubawieni. Figura liljowa Anny Timofiejewny zniknęła z witraży po marostieklach świecących.

Wieliccy spoglądali z troską pomieszaną z dziwnym onieśmieleniem.

- Uff, panie Benedykcie, ależ pan masz nerwy, myślałem, że mi serce wyskoczy, muszę się napić. Jak to jednak szczęśliwie się ułożyło, cud, cud, żeś się pan wywinął -

- Nie cud - odparło się - i nie szczęście, jeno matematyka, panie Wojsławie, zimna matematyka. - Trochę kręciło się w głowie, miękki dygot szedł po mięśniach, się oparło się o odrzwia. Zewsząd tłoczyły się przebarwione, rozcekinowane obrazy Syna Mroza. Zaprawdę, wielka i niepojęta jest moc zwierciadeł. - W jednym masz pan rację: trzeba się napić.

Się rozejrzało się za lokajem z napojami. Miast lokaja wszedł w oczy Franciszek Markowicz Urjasz. Przedstawiło się go panu Wojsławowi; Urjasz mruknął coś pod nosem i wskazał korytarz do pokoju nieprzeźroczystych. Przeprosiło się Wielickich.

- Jewo Sijatielstwo sami mnie prosili... - zaczęło się pojednawczym tonem, zrównawszy się z blondasem, który ani się obejrzał, by sprawdzić, czy się za nim podąża.

- Ich zabawy salonowe - burknął - jeszcze jedna głupota!

Przystanąwszy przed drzwiami uchylonemi, dał jednak radę ostatnią:

- Ale teraz - wchodzicie i robicie wrażenie najporządniejszego człowieka pod Słońcem.

- Cóż, jak zamarzło, tak zamarzło.

- To byście nadal w poczekalni u Szembucha sterczeli!

Weszło się. Zawieszeni na niebie nad Syberją generał-gubernator Szulc-Zimowy i książę Błucki-Osiej odwrócili się na dźwięk kroków.

- Pozwoli Wasza Wysokość, oto ów człowiek -

- My się znamy - wycodził książę, poczem ropuszmy ruchem ust poprawił ułożenie sztucznej szczęki.

Się skłoniło się - księciu, a także księżnej, którą spostrzegło się podrzemującą w fotelu w

kącie.

- Gratuluję Waszej Książęcej Wysokości podpisania traktatu pokojowego.

Hrabia szybko wyczuł, jak zamarza sytuacja.

- Gaspadin Jerosławski służy nam jedynie za pośrednika - zapewnił. - Wasza Wysokość nie miał chyba okoliczności poznać jego ojca?

- Nie.

- Spotkała mnie przyjemność podróżowania razem z Jego Książęcą Wysokością Ekspresem Transsyberyjskim - rzekło się.

- Mało przez was cały pociąg w powietrze nie wyleciał - mruknął książę Błucki.

- Co też Wasza Wysokość opowiada! Nie tak to było przecie!

Gdyby wzrok uderzał z impetem fizycznym, pół pałacu roztrzaskałoby się w pył pod spojrzeniem hrabiego.

- Jak mówiłem - warknął - ponieważ, co nie ulega wątpliwości, świadectwa Wieniedikta Filipowicza nijak nie można uznać za zadowalające dla Najjaśniejszego Pana, a oczywistym jest również, iż Jego Książęca Wysokość nie będzie się fatygował za Batuszką Marozem po ostępach tajgi, świadectwo przedstawi osoba, którą Jego Wysokość znajdzie całkowicie zaufania godną. Książę zgodził się pozostać u mnie w gościnie do waszego powrotu; usłyszy relację z ust własnych swojego człowieka i zda osobiście relację carowi. Książę cieszy się bowiem całkowitem zaufaniem Jego Imperatorskiej Wysokości Mikołaja Aleksandrowicza. Pojmujecie, Wieniedikt Filipowicz?

- Doskonale, Wasze Sijatielstwo.

- *Sacré nom de Dieu!* - mlasnął gniewnie książę Błucki, machnął z irytacją, poczem wymaszerował bez słowa więcej, przerabiając krótkimi nóżkami żwawo bardzo jak na osobę tak wiekową.

Hrabia strzaskał drugą połowę pałacu, sapnął przez nos i pośpieszył za księciem. Lokaje stłoczyli się za nim w drzwiach. W komnacie pozostała tylko słodka woń kadzidła.

Wypuściło się powietrze. Chyba nieźle poszło. Zważywszy wszystkie okoliczności. Mhm. Widać, że hrabiemu też mocno zależy. Otrzymał od cara takie ultimatum na dymisję czy nie? Marostiekło było bardzo zimne w dotyku, dłoń w rękawiczce nie wyciepliła jednak żadnego śladu. Chuchnęło się na ścianę. Pół-Księżyc zaszedł mgłą oddechu ćmiałego. Pan

Wojśław ma pewnie rację, co było do ugrania, to się tu ugrało, nie ma po co dłużej ich drażnić, zwłaszcza po tym tańcu fatalnym z panną Szulcówną. Taniec... Oparło się czoło o mróz-szkło.

Prawda czy fałsz? Przeszłość nie istnieje, wszystkie wspomnienia, co nie przystają do teraźniejszości, z definicji fałszywymi być muszą, jeśli więc teraz się tańczy... Z drugiej strony: zamarzło się przecież. (Zamarza się).

Stukot rytmiczny, natarczywy wbił się w myśli. To księżna Błucka waliła laską w podłogę.

Może przyzywała lokaja, może ducha Dusina; cała służba popędziła była za hrabią. Podeszło się ostrożnie. Uniosła rękę, spod koronek czarnych ją wydobywając; cała suknia księżnej uszyta była z koronek, pół wieku temu zapewne kilka wsi kosztowała. Pocałowało się pomarszczoną skórę. Księżna cuchnęła ziołami i starością nawet silniej, niż się pamiętało (albo pamiętało się słabiej, niż cuchnęła naprawdę).

- Gaspadin Gierosławski - zaskrzeczała, jakby mimo wszystko rozbawiona.

- Ano, ja, Wasza Wysokość, ja, ja, ten sam.

- Chodź-no tu, hultaju.

Się pochyliło się jeszcze niżej, jak wonczas w pociągu, w wagonie wieczornym.

Dyszała ciepłą zgnilizną cielesną.

- Co tobie się stało?

- Ta blizna pod okiem -

- E, blizna. - Wyprostowała palec wskazujący i dźgnęła paznokciem w renwers fraka. - Tobie co się stało. Jeszczem przecie nie ślepa, khlr.

- A co się miało stać? Przeżyłem tu jakoś, chociaż mnie marcynowcy Rasputinowi wasi żywcem zakopać w mierzłocie chcieli.

Złapała za brodę, szarpnęła, syknęło się z bólu; się wyrwało się, odstaąpiło.

- Wiedźma! - mruknęło się.

- Durak!

- Liedniak przeklęty!

- Bezczelny smarkacz!

Się śmiało się razem z księżną.

Sięgnęła do archaicznego *ridicule'a*, wygrzebała chustkę, otarła wargi obwisłe, na których zbierała się lepka ślina. Się przyglądało się ze z trudem ukrywanym obrzydzeniem.

- Ale Pielki Waszej Wysokości nie daruję!

- Jakiego, khe, Pielki?

- Te wasze rozgrywki marcynowe -

Machnęła chustką.

- Pfch! Zamarzło.

- Już się więc Wasza Wysokość w to nie bawi? Jak tam sny w Kraju Lutych? Pod Czarnemi Zorzami? He? Książę podpisał dobry pokój, już Wasza Wysokość go nie złamie.

- A tyś taki uradowany z tego powodu, a?

Wzruszyło się ramionami.

Zachichotała w chusteczkę.

- I powiedz mi teraz, synku, czyż nie miałam co do ciebie słuszności? Żle mi się przyśniłeś? A?

Nie ukryło się konsternacji.

- Ależ ja nie spełniłem żadnych zamysłów Waszej Wysokości!

- Nie?

- Ba, życie doktorowi Tesli uratowałem - czy zapomnieliście? - który Lód teraz będzie łamał.

Kiwała głową, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Nie szkodzi, khr, nie szkodzi. - Łypnęła bystro. - A widziałeś tu może, kochaneczku, szanownego Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa? Albo ludzi jego?

- Nie.

- Krhm, chrmm.

Dłoń plamista dygotała jej na lasce, drugą przyciskała do ust, nad którymi też do końca zapanować nie mogła, ciało zdradzało ją na wszystkich frontach, zewsząd uderzała z niego w zmysły ohyda starcza. Odstąpiło się jeszcze o krok, by wyjść z tego smrodu. Lecz sama

księżna Błucka-Osiej, to znaczy istota zamieszkująca ów cuchnący worek skóry i kości, jej nic nie mąciło złośliwej radości, zamarzała z grymasem złej satysfakcji duszę wykrzywiającym.

Uciekło się od niej, precz z tej komnaty. Lęk niejasny bił w rytm pośpiesznych kroków nawracającymi falami. Z czego ona się tak ucieszyła? Co, kogo zobaczyła? Liedniaka gotowego bronić Lodu i lutyh? Przecież to nieprawda! Nieprawda!

Pani Halina siedziała pod paprociami w towarzystwie młodziutkiej pani Jusze, kreacja z szyfonu z *paillettes* i kreacja z tafty z perłami. Odpoczywając, popijając wino owocowe z pucharków srebrnych, obgadywały znajomych wśród widocznych przez ścianę tańczących.

Przeprosiło się, cmoknęło się na pożegnanie okoronowaną rączkę pani Wielickiej.

- Wybaczcie, najrozsądniej będzie, jeśli daruję sobie resztę wieczora, pan Wojsław -

Pani Halina nie wypuściła dłoni.

- A panna, z którą pan przyszedł? - szepnęła, obracając się dyskretnie od pani Jusze.

- Zna pani *mademoiselle* Filipov, prawda? Gdyby ją pani spotkała, proszę-

- Nie wierzę. Pan tego nie zrobi, pan nie jest taki człowiek.

- Jaki? O co znowu chodzi? *Mademoiselle* Christine najpewniej wytańcowana najlepiej z nas wszystkich, Modest Pawłowicz znalazł jej mundurowego bawidamka, przebalują całą noc

-

- Zabrać pannę na bal wielki, być może największy, na jakim w życiu była -

- To prawda. Ona nie -

- Zabrać - pani Halina podniosła głos, pierwszy raz widziało się cichą zazwyczaj małżonkę pana Wojsława w podobnej irytacji - by wcisnąć ją przy pierwszej okazji w ramiona nieznajomego - kto tak robi? Tylko człowiek kompletnie pozbawiony wrażliwości albo też nie zważający zgoła na uczucia cudze, potwór gruboskórny.

- Ależ! Ja tu nie dla zabawy jestem, inne sprawy muszę załatwiać, i *mademoiselle* Filipov z góry doskonale o tym wiedziała.

- O czym pan w ogóle mówi? To wszystko nie ma znaczenia! Nie traktuje się tak kobiety, tern bardziej w owym wieku delikatności szczenięcej.

- Nie, nie, nie, pani źle to sobie wyobraża, między mną i panną Krystyną nie ma żadnych



tonów romantycznych, myśl taka wcale -

- Panie Benedyckie! Na litość boską! Jakie to wszystko ma znaczenie? Zabrał pan dziewczę na bal! Jeśli pan tego nie czuje, to niechże pan to sobie obliczy. No?

Zerknęło się na panią Jusze, która podsłuchiwała, już nie kryjąc się z tym zupełnie. Odwróciło się wzrok.

- Być może... istotnie... pewna niestosowność...

- Idź pan do niej!

Ba, ale jak znaleźć dziewczę jedną na wielkim balu gubernatorskim? Między tańczącymi się jej nie wypatrzyło. Na marostiekłach pryzmatycznych migotały setki postaci płynobarwnych, co druga mogła być Christine Filipov. Trzeba się pilnie przyglądać, wyłapywać nieroztęczowane twarze, odróżniać obraz prześwielany od odbicia podwójnego, potrójnego, poczwórnego. Weszło się na galerję, mając nadzieję, iż z wysokości, w widoku dobrym na całą dans-komnatę, szybciej się pannę odnajdzie. Nic z tego. Dostrzegło się natomiast, jak jedna i druga para wymyka się za kolumnady i, niby to w przypadkowym spacerze, znika zupełnie z tafli marostiekłowych, chowając się w komnatach prywatnych, nieprzeźroczystych. Więc to tak! Nu, ładna.

Nie będzie się przecież wścibiać się do każdej izby w pałacu, ile tu pięter zostało dla gości otwartych, dwa, trzy? Jak nic, się wpakuje się w kolejną kabałę, do tego to ma się talent niewątpliwy. Zapaliło się papierosa w cieniu na galerji zalegającym. Złapawszy służącego, rozpoznanego jeno po muszce czarnej i guzikach złotych, poprosiło się o kieliszek wytrawnego wina; może splotce zaległy na podniebieniu zapach-smak obrzydliwej cielesności starczej. Na dole nastąpiła przerwa w muzyce, parujący ćmiecżą podochocony admirał, gęsto wyorderowany, klaskał i przytupywał, wołając gości do chodzonego - podniosły się spod zwierciadeł także damy bardziej dostojne - chłopcy w liberjach rozrzucili z balkonów wysokich deszcz złotego *confetti* - szeregi par weszły na zalodzoną tajgę, wedle nurtu wichru księżycobarwnego. Lokaj przyniósł wino. Mignawszy mu przed oczyma banknotem, opisało się w policyjnych słowach *mademoiselle* Filipov i porucznika gwardji. Zanim chodzony się skończył, lokaj powrócił; pokazał ruchem głowy, by iść za nim.

Była to jedna z palarni na piętrze, tak zwany Chiński Pokój, jak szepnął służący, gdy wręczyło się mu pieniądz przed drzwiami zamkniętymi. Ściany, choć z marostiekła, zawieszono od wewnątrz szczelnie jedwabiami, zastawiono parawanami, co zapewniało izbie prywatność. Zapukać? Niewiele myśląc, zaciągnawszy się tytunem, nacisnęło się klamkę i

zajrzało się do środka. Porucznik gwardji i panna Filipov, zaplątani wzajem w swych objęciach, ani spostrzegli najście gościa nieproszonego. Na sekundę zamarło się w progu. Współleżąc na szezłagu adamaszkiem obitym, pod lampjonem papierowym, zaciem zielony rzucającym, na tle syberyjskiego widnokregu zagwieżdżonego para kochanków oddaje się grzesznym rozkoszom - ani dźwięk z ich ust, bo usta złączone - ani ruch ich ciał, bo ciała splecione - zamarzli. Jej stópka w pantofelku francuskim z kokardką złotą, jej łydka w pończoszce perłowojasnej, łydka i kolanko i uda fragment nawet niewielki, bo uniosła nóżkę nieprzystojnie, spod halek, falban, koronek, spódnic ją wydobywszy, by zahaczyć i przyciągnąć bliżej, ciaśniej kawalera w mundurze białym. Jego dłoń w *decolte* panny brutalnie wbita, pierś jej całą pod gorsetem obejmująca, ściskająca, gniotąca, miętosząca - niczym polec mięsa - to jest mięso - ciało na ciele. Jej *maquillage* rozmazany, i ślad wilgotny, czerwony na policzku od warg idący - wilgoć pod wargami, wilgoć na szyji - ślina - jej - jego - pomieszane wydzieliny ciała. Mięśnie jego nóg i pośladki pod obcisłymi spodniami munduru napięte. Jej palce na jego ramieniu zaciśnięte. Jego żyła - tłusta, gruba, nakrwiona - pod uchem mu pulsująca. Czerwony kark. Nadgarstek owłosiony. Ramiona nagie w oparciu szezłaga wgniezione. Ślina. Język. Ręka. łydka. Szyja. Pośladek. Pierś. Mięso. Mięso. Mięso przegniłe, seledynowe.

Umknęło się, gubiąc gdzieś papierosa. Wypadło się z powrotem na galerję. Z naprzeciwka szedł pan Gieruszyn w towarzystwie trupio opudrowanej matrony, pani gubernatorowej zapewne; się oddaliło się ku balkonowi muzyków. Flankowały go naturalnej wielkości rzeźby z jakiegoś rzadkiego minerału silnie przelodzonego, który w temperaturze pokojowej parował ćmiałście i pocił się wilgocią czarną. Skryło się za posągami, przysiadło się na postumencie zimnym. Rzeźby stanowiły niezwykle wierne kopje figur greckich lub rzymskich; rosyjska eklektyczna *art nouveau* zastygła pod Lodem zwrócona ku biegunowi klasycyzmu. Każdy muskuł i ścięgno oddano w tych statuach z anatomiczną precyzją, nagi pasterz zasłaniał oczy przed nagą łuczniczką, cień tłusty kopcił z nich aż pod sufit. Jeszcze tylko Priapa brakuje. Skręciło się wzrok. Afrodytę akurat przyodziano, wisiała na jej ramionach marynarka mundurowa. Ponad muzyką, głośną tu bardzo, dosłyszało się jeszcze głośniejsze razgaworki zebranych przy balustradzie panów, młodych kawalerów głównie. Wymieniali opinie na temat dziewczek wypatrywanych z wysokości na glas-parkiecie nocy syberyjskiej.

- ...w pięć koni.

- Czekaście-no, czekajcie, a ta kobyła w różach?

- Tekla Pietrowna? Najgorszemu wrogowi bym nie życzył.
- Miłuszyn po półlitrze zapowiedział, że do córek Reptowa uderzy.
- Obu naraz? He, he.
- Która go z miejsca nie przepędzi.
- Ambitny człek. Sam bym... A, gładkie sarenki!
- W tych cycuszkach śmietanowych -
- O, jak kuperkiem kręci!
- ...na desperatów wkoło księżniczki! Zadepczą się, zatłuką, cherlawce biedne.
- Ale dla Jewo Sijatielstwa też zaraz kłopot w rękach: jak krasawica ślepkami już świeci, jak na uśmiechy łowi, biust wypina.
- Żeby jeszcze miała co wypinać!
- Nie to co nasza Agafia po dwóch mężach, co?
- O, nie mów pan złego słowa o Agafji!
- Jak oddech bierze, wszystkie świece się kłaniają.
- To powiedz pan jeszcze o wiatrach drugim końcem z niej wychodzących.
- W zeszłym roku na salonie u Heissów -
- O! A starsza Kuroginówna?
- Pan Piotr czuje głęboką potrzebę pokuty. Pan Piotr wiele przeciwko kobietom nagrzeszył.
- Pokuty, mhm. Dwieście tysięcy rubli plus działka z fabryk Kurogina, kiedy stary kopyta wyciągnie.
- Krzywe ślepie i zęby krzywe, ale za to prosta droga do fortuny.
- I tę zaletę paskuda posiada, że głupia jest niewymownie, zobacz pan na jej mać, Kurogin żadnej diawocze nie przepuścił, z bękartów Kuroginowych szwadron dobry mógłbyś wystawić, a tej kobyle ani myśl podejrziwa nigdy nie zaświeciła.
- Czuję, że mnie afekt nagły zdjął, moi drodzy, zakochałem się, toż wy ideał kobiety znaleźliście!
- A pułkownikowa Mieruczkinowa? Świeże to jeszcze i płodne chyba.

- Ba, ale cała dwakroć zastawiona! Popatrz pan na jej suknię.

- To jest dobra receptura: liczyć je wedle wagi puchłota na -

- Precz!

- Co?

W pierwszego cisnęło się wściekle marynarką z Afrodyty ściągniętą.

- Zeszli mi z oczu! - warknęło się, czując, jak wzbiera wewnątrz gorączka zła, czerwony ogień, równie co Wstyd pałacy, a w istocie wszak Wstydu przeciwieństwo. - Zwierzęta! W łąnie wam się tarzać, nie między ludźmi żyć!

- Ale co pan -

Muzykanci uderzyli w mocniejszą nutę; podniosło się głos jeszcze bardziej, zaciskając pięści.

- Rzeźnikom! - wrzeszczało się, zupełnie już się nie hamując. - Mięso! Mięso! Mięso!

Patrzyli jak na warjata. Ten i ów mruknął coś pod nosem, spuścił wzrok. Przystojniak w mundurze kadeta dziabnął sąsiadów łokciem, zaczęli się cofać ku bocznej galerji, ktoś wpadł na rzeźbę oszczepnika, powstało zamieszanie; odwrócili się i odeszli pośpiesznie, ostatni posłał przez ramię słowo wulgarne.

Siła odpłynęła równie szybko, jak wlała się w żyły, się oparło się bezwładnie o poręcz. Poniżej tańczono trepaka, widzowie klaskali. Trąby i bębny huczały za uchem. Trzeba stąd uciekać, uciekać! Zamknęło się oczy, ale to nie pomogło, jeszcze jaskrawiej rysowały się na powiekach *tableau* balowe, a pierwsze to z *mademoiselle* Filipov. Bo tam nadal targ mięsny, wystawa ohydy, fale powtarzanego do muzyki ruchu: ręka, noga, ręka, noga, ręka, noga, po grób, a wtedy robaki.

- Dlatego właśnie nie bywam.

Stanął obok, wyszedłszy zza greckich golasów. Jeden tylko order zdobił jego pierś, nie rozpoznało się zresztą rodzaju i klasy odznaczenia. Mąż był to szczupły, trzymający się w oficjalnej pozie, że prawie w tył przechylony, z głową podniesioną; się wyprostowało się, był wyższy o kilka werszków. Bardzo blada twarz, gładko wygolona, prawie wolna od świcieni, miękki uśmiech na wargach. Prawosławny krzyż tungetytowy zawieszony na szyji aż raził oczy na białym gorsie.

- Ziel Arkady Hipolitowicz. - Ukłonił się.

- Benedykt Gierosławski. - Przypomniały się wtem karty wizytowe; znalazło się wizytownik, wręczyło się bilet Zielowi. Nawet nie zerknął.

- Wiem. - Płynnym, baletowym ruchem ręki z kartą ogarnął salę w dole. - Jego syn.

- No tak. - Teraz płomień się odwrócił, teraz palił do wewnątrz; powracał Wstyd. Się ugryzło się w policzek, żeby tylko się nie uśmiechnąć, nie zsabaczyć przepraszająco, przymilnie. - Obawiam się, że znowu scenę zrobiłem. Tak naprawdę... Nie taki ze mnie człowiek, nie tak zamarłem. Mam nadzieję.

- Nie taki człowiek, żeby grzech głośno nazywać grzechem, a cnotę cnotą? - Schował bilet, pokazał w lewo; poszło się przodem, Arkady Hipolitowicz odsunął się, coby się nie stłaczać między rzeźbami. - W uszach mi dzwoni. - Wróciło się w cień galerji, Ziel zatrzymał lokaja, poprosił o szklanke wody. - Dlatego właśnie nie bywam, ocierasz się o ludzi i to się na tobie osadza, jak szron wyziewami hutniczemi zaczerniony, jak kurz uliczny, jak tłusty brud. - Sącząc wodę, zajrzał do komnaty obok. Zapici panowie rzucali kieliszkami w kominek w przeciwległej ścianie. - Nie mówię o brudzie na ciele, rozumiecie mnie, Wieniedikt Filipowicz.

- Tak.

- Czystość, najtrudniej zachować czystość. Gdybyśmy żyli w świecie, w którym możliwe jest samo dusz obcowanie... - Westchnął. Głos też miał miękki, płynący w powolnych falach, wzwyż i w dół, była w nim melodia, rytm. - Jaki ideał wyższy? Człowiek minus ciało.

- Czytaliście Fiodorowa?

- Czystość, bracie, czystość. Widzę przecież, że ten sam wstręt odczuwacie, to samo skrępowanie, ciężar.

- Ja -

- Tak Bóg zrządził, że rodzimy się na ten świat w worze łajna, łajnem ochrzczeni, łajno spożywający; w łajnie brodzimy, łajnem zatykają się nam zmysły, łajno oddajemy innym w wyrazie miłości; łajno nasze szczęście, łajno rozkosz. - Nachylił się z troską. - Trzeba nam przynajmniej próbować się oczyścić! Nie można z ciała wyjść - ale można -

Szarpięty, się zatoczyło się; się oparło się o pryzmat-ścianę. Kto to? *Herr* Bittan von Azenhoff ciągnął bezczelnie ku schodom, wzrokiem szyderczym klując Arkadego Hipolitowicza, który tylko przyglądał się scenie owej dziwnej z miną smutną, łagodną.

- Zabieram pana - oświadczył stanowczo von Azenhoff.

- Czegóż pan chcesz, na litość -

- Aleksandr Aleksandrowicz powita was z nadzieją - mówił pan Ziel. - Mogę wam zdradzić, że Aleksandr Aleksandrowicz czytał waszą *Apoliteję* z wielką uwagą, duże słowa wypowiadał.

- Kto to jest? - spytało się na płytkim wydechu, wrywając się wreszcie na schodach z żelaznego uścisku Prusaka.

- Anioł Pobiedonoscewa. Jakże więc, masz tu pan jeszcze co do roboty? Bo widzi mi się, że dosyć naborsuczyłeś jak na jeden wieczór.

- Ale co pan w ogóle wyprawiasz?!

Wyszczерzył zęby.

- Ratuję was, młodzieńcze. - Strzelił palcami na służbę o okrycia wierzchnie. - Jeszcze trochę i wsadziłby was na białego konia.

- Co?!

Fajerwerki strzelały na niebie nad pałacem kryształowym, gdy sunęło się po serpent-pochylni w tajgę zakszęzycowaną, wichrem huczącą, pierwsze sanie, drugie sanie, trzecie sanie, kompanija rozbawiona, rozhlukana, czwarte sanie - w czwartych siedziało się pod skórą niedźwiedzią z Bittanem von Azenhoffem i owym postawnym kapitanem huzarów. Po pierwszej serji fajerwerków ognie sztuczne odpalono spod pałacu, ale te już ładunkami krjowęgłowemi napakowane, że wybuchnęły wielkimi kwiatami ćmiatła; one to dopiero przechodząc przez zimnazowo-marostieklową konstrukcję pałacu, wyteczniały się na tysiiąc i jedną rzekę koloru i świecienia. Się znajdowało się już na niższej pętli pochylni, pałac gubernatorski majaczył na gwiazdoskłonie po lewej ręce, się nie musiało się wykręcać do tyłu, co byłoby zresztą prawie niemożliwym, skoro zostało się tak na mur zakutany w futra, skóry, pledy, szale i łaciate przesywki tuzinów skórek wiewiórczych, zajęczych, sobolich. W zależności od kąta i odległości, z jakiej przekłuwano pałac frirtwerkami, tak się malowały na niebie kolaże ćmiatła i światła, rozgwiadzdy jasność pożerające, rozgwiadzdy jasność siejące; a jedne przelewały się w drugie, a drugie zarastały pierwsze, a wszystkie na koniec spadały na tajgę lodową drobną mżawką iskier i niskier. Renifery, ogłupiałe, potrzasały łbami, dzwoniły głośno ich ozdobne janczary. Syberja na przemian gasła i wyświetlała się z nocy głębokiej niczym kraina ze snu Boga, na którą On to spoziera między palcami, to zasłania ją przed

Swoim spojrzeniem i istnieniem.

- Łowi was, widziałem - chrypiał istniejący-nieistniejący von Azenhoff przez szalik i mróz. - Kto tylko jest gotów odciąć kotwicę ciała, khr, wyrzec się grzechów cielesnych.

- Do samobójstwa?

- Nie! Samobójstwo grzech! To człowiek od Seliwanowa, od chłystów i skopców zeszlowiecznych. Khr. Pod Lodem wróciła im ta pewność wiary, znowu rzezają.

- Pobiedonoscew -

- Jego - kto tam wie. Ale Ziel, khr, khr - niby dlaczego Aniołem go zwał? - Prusak pociągnął dłonią w rękawicy wte i wewte przez obłok pary émietlistej, rach-ciach, jak nożem.

- Askaplienije uczyniło zeń anioła!

- Mówi pan, khr, eunuch?

- Wybielony! Otrzebieniec pod carską pieczęcią. - Rach-ciach, machnął znowu. - Jajca i kutas, wsjo. Kobietom piersi też palą, do kości.

- Pan myślał - się zachłysnęło się mrozem - że ja bym się zgodził, żeby mi -

- Ba! Sam to sobie zrobił.

- Khr!

- Toteż właśnie - trzeba mi was odtruć, zanim tak zamarzniecie. - Von Azenhoff wyłonił się z kolejnego zamroku z grymasem ironicznym, kaśliwym. - Mój dobry uczynek na ten miesiąc!

Huzar wybuchnął basowym śmiechem.

Wjechało się na lód rzeki, Angary lub jakiejś jej odnogi czy dopływu. Po dwóch zakrętach pałac i jego światła-émiatła, fajerwerki-frirtwerki, tęcze i zaćmienia - skryły się za skarpami lodu, za szeregami drzew zamrożonych, przykrytych kożuchem roziskrzonego śniegu. Korytem rzeki - zimnikiem - można było jechać szybciej, to był trakt główny, w drodze na bal też skorzystało się ze ściętej Angary. Woźnice strzelili z bata, pijany burżuj z pierwszych sań rzucił w Księżyc flaszą, ktoś na saniach drugich chciał z kolei rzucić w niego, podmuch wiatru go pchnął, że nie trafił, trafił w rena, zaprzęg chybnął się w bok, chybnął w drugi, zaczęły się slalomy dzikie na białej gładzi, panowie wyli do nieba jak wilcy, chrypnąc szybko, jedyna dziewczka z balu w kompanię porwana piszczała sopranem, ów burżuj wstał spod futer i wygiął się przez sań oparcie, sięgając lampy zadniej, podmieniając ją

po chwili na wielką lampę refleksyjną z knotem krjowęglowym, jako że pierwszy i drugi zaprzęg wjechał naraz w kotłowanisko cieni i świcieni, od których zwierzętom pomieszały się kierunki świata i kulig rozbił się w pięć stron; miast reniferów biegły po czarnobieli kalekie reniferów negatywy; miast drzew stały w tajdze pokraczne chwasty żelaza; lód obrócił się w rozżarzoną ciemność, w potok węglowej lawy; ludzie-cienie, podziurawieni świecieniami jak przepalone papierowe wycinanki, gięli się na wietrze, rozsypując się w pędzie w *confetti* śniegu-sadzy; niebo pojaśniało, Księżyc pociemniał, noc wywróciła się na nice. Hulaj, hul-laj, huuulaj! Kulig piekielny pędził przez Krainę Ciemności.

Tak zajechało się do Kociego Dworu.

Dom stał pod wzgórzem, to znaczy dobrze osłonięty od wichrów angarskich, a że daleko od Dróg Mamutów, to pewnie nie przejmowali się tu zbyt niebezpieczeństwem od ziemi. Jak wzgórze szło na sto-dwieście arszynów sierpem wklęsłym, tak i ciąg zabudowań pod nim, z domem dwupiętrowym pośrodku. Sanie zajeżdżały od razu w powozownię na rozcież otwartą, świątecznie oświetloną. Na podjeździe, na ostatnim zakręcie na drodze od rzeki, stali muzyki zakożuchowani szczelnie, niczym stwory jakieś małpopodobne, pochodniami gości w tajdze nakierowujący. Więcej sań już tu wcześniej przybyło, może też z balu generał-gubernatora, raczej prosto z Irkucka. Miś na łańcuchu krążył za zajezdnia, podnosząc się na tylne łapy, gdy nowy zaprzęg rozdzwoniony wypadał z puszczy, i krzywiąc nań pysk z dysgustem.

Sanie nie mogły zajechać wszystkie naraz, utworzyła się mała kolejka. Huzar podniósł się z siedzenia, wołał do kogoś na werandzie. Słyszało się muzykę dochodzącą z dworzyszczca. Szczekała rozbudzona psiarnia. Z dobudówki na tyłach wypadły w kłębach pary wrzeszczące i piszczące postaci, poczęły się gonić i tarzać w śniegu, mężczyźni i kobiety, golutcy jak ich Pan Bóg stworzył; odwróciło się wzrok. Na polanie za drewnią dwaj panowie w futrach drogich, w lewych rękach antałki pękate ściskający, prawymi mierzyli w tajgę, huczał strzał za strzałem z rewolwerów długolufych - do czego palili, do sopli chyba.

Wysiadło się, pan von Azenhoff poprowadził przez werandę do drzwi głównych, obświetlonych pochodniami i lampami. W wąskich oknach przesuwwały się sylwety gości rozbawionych, roztańczonych, dzika muzyka, w niczym niepodobna statecznym melodjom z kryształowego pałacu, wrywała się w las przez grubobelkowe ściany.

Tańczą... Nie myśli chyba *Herr* Bittan do tańca znowu namawiać? Odwiązało się szalik, otrzepało się śnieg z czapy, zzuło rękawice. Prawda czy fałsz? Przeszłość nie istnieje,



wszystkie wspomnienia, co nie przystają do terażniejszości... Z trzeciej strony: po tylu odpompowaniach ćmieczy, tylu rzutach monetą...

- Maruszka! - gruchnął nad uchem z basu głębokiego pan kapitan i rozłożył ramiona. Wpadła mu w nie rozpromieniona dziewczka w sukni nieprzyzwoicie wygorsowanej, butlą szampanską wywijająca. Chłopcy w rubaszkach kolorowo wyszywanych pomagali gościom się rozdziać, podawano kubki czaju gorącego, szklanice rumu i wódki. Ledwo nos się przetkał, poczuło się woń słodką, kwiatową w powietrzu zapisaną.

O nogawkę otarła się ruda kotka; odsunęło się ją butem.

- Co to za miejsce? - spytało się von Azenhoffa, który wydawał polecenia starszemu muzykowi.

- Och, Kaszaczij Dwor, moja ustroń od trosk miasta. Niech pan się czuje zaproszonym jako gość mój osobisty, specjalny.

Huzar wychylił kieliszek szampana, podkręcił wąsa oszronionego, złapał wpół rozgilgotaną krasawicę, ucałował siarczyście, za tyłeczek, za biust oblał, poczem zaśmiał się gromko.

- Dom uciech, mój panie Mrozie, najlepsze *bordello* na wschód od Uralu!

Von Azenhoff musiał chyba spostrzec minę niewyraźną, bo złapał bez ceregieli za frak i pociągnął w głąb sieni, między ludzi. U drugiego ramienia pojawiła mu się kobieta w sukni czerwonej, z wargami i rzęsami puchłotem pociągniętymi, urody czysto rosyjskiej, o warkoczu długim, jasnopszennym przez ramię zawiniętym. Cmoknęła Bittana w policzek.

- Panu jedna nauka jest potrzebna - mówił pruski patrycjusz, głos ponad gwar podnosząc.  
- Że człowiek to też zwierzę, że kobieta to zwierzę, zwierzęcami własnymi smakami i chuciami powodowane, zwierzę najpiękniejsze. Katju, zaopiekuj się Synalkiem Mroza.

- *Ce serait un grand plaisir pour moi.*

Przypomniały się dziwki warszawskie, ich pocałunki kwaśne, obłapianki-przylepianki pokątne, w cieniach wilgotnych oficyn, szynków, dziewczęta te blade, wiecznie niedomyte, od których i w trakcie aktu brudnego dłonie same uciekały, w odruchu odrazy estetycznej i bardzo rozumnej odrazy do bakcyliuszów, robaków i wszy, jakich z pewnością dziewczki były siedliskiem, nawet jeśli nie z ulicy, lecz ze znajomości kamienicznych, cyrkułowych przygruchane, córki praczek, córki krawcowych, córki dekarzy i zdunów; z rzadka córca pana mecenasa czy doktora, przez prace korepetytorskie albo kumpla-studenta poznana - z

którą jednakowoż właśnie nigdy poza całus i uścisk przelotny nie dało się pójść. Ciało miało dostęp jedynie do przyjemności nieczystych, im bardziej upadających, tern łatwiejszy. Zamykało się było oczy, odwracało się było głowę, wyprzeć się próbowało z nozdrzy odory wstrętne - byle zwierzę zdążyło zrobić swoje: zawładnąwszy ciałem, użyć je i uwolnić z opętania zwierzęcego. Aby potem natychmiast o tym zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć.

Aż się przypomniało. Wstyd uderzył między oczy, młot sześćofuntowy.

Się cofnęło się w sień ku drzwiom, ręce unosząc na znak, by nikt nawet się nie zbliżał.

- Ja o tym wszystkim wiem doskonale! Zwierzę, tak! Nie musisz mnie pan przekonywać wizytą w przybytku rozpusty. Dziękuję pięknie za pańską gościnność, von Azenhoff.

- Podziękujesz mi rano. - Skinąwszy na Katję, szepnął jej coś do ucha. - Nie myślisz pan chyba, że tak łatwo się poddam gaspadinowi Bezkuśnemu. Co, na piechotę zamierzasz wracać do domu? Bo ja ci sań nie użyczę. No, już, bez dramatów.

Katja, starsza przecież wyraźnie od innych dziewcząt Kociego Dworu, spoglądała z uśmiechem domyślnym, trochę smutnym, trochę ironicznym, trochę zniecierpliwionym. Złapawszy za ucho służącą, syknęła jej jakieś polecenie. Poczem odgarnęła warkocz i wskazała wąski korytarz odchodzący w bok pod schodami.

Skląwszy von Azenhoffa i owo rozkojarzenie, oszołomienie, w którym się pozwoliło się wywieźć tu bezwolnie niczym dziecko, chcąc nie chcąc, postąpiło się za krasawicą.

- Bittan powiada, że pragniecie oczyszczenia - mówiła, otwierając kolejne drzwi, a głos trzymała niski, miły, bliżej szeptu melodyjnego ułożony, że mimo woli człowiek nadstawiał ucha i chylił się ku Katji karminowo-złotej. - Powiada, że to młodzieńczy *Weltschmerz*. Nie mamy na to ziół, ale bania też dobra. Proszę.

Dom łączył się tu z owym budyneczkiem, w którym mieściła się łaźnia. Już w przedsionku panowała wilgoć i gorąc; Katja zatrzymała się w progu, poganiając do przejścia. Klaszcząc nagiemi stopami po zachlapanej podłodze, poddreptała łaźiebna: wieśniaczka krzepka, rumiana, w koszulinie i spódnicy półprzemoczonych. Katja klasnęła jęczyzkiem i cofnąwszy się, zamknęła drzwi. Zrobiło się jeszcze goręcej. Frak, kamizelka, koszula, ubranie całe drogie - zaraz przewilgotnieje na amen. Łażiebna wzięła się za spinki, za guziki. Odepchnęło się ją brutalniej, niż się zamierzało. - Sam! - Odwróciwszy się do niej tyłem, pośpiesznie się rozdziąło się, Arcymistrza w spodnie zawijając, i przeszło się do komory z baliami, cebrami, z płynącą wodą gorącą i zimną, aby się obmyć się przed wejściem do parni.

Tu już zastało się jedną zapamiętaną w amorach parę, dziewczkę zaplątaną bez sensu w płótno mokre, przezroczyście i różowego jak prosię grubaska, ganiającego ją ze śmiechem z wiązką brzożowych witek w garści. Grubas był goły, dziewczka półgoła, nie kryła ich para i nie zakrywali swej nagości sami; rozchichotani popędzili w kłęby białe, plask, plask, plask. Się obmywało się czem prędzej, zagryzając zęby. Co to za obyczaje barbarzyńskie, co za bezwstyd, zaiste tylko domowi kurew przystojący!

A w tej parni ogromnej, zbudowanej na kamieniach i ponad jedną kondygnację wysokiej, człowiek mógł się zgubić, tak gęsto zaparowane tu było powietrze, a nadto - temperatura i mokrość i ta lepka przyduszość bani coś dziwnego zaraz robiły z głową, że już po paru krokach szło się przez kłęby sine niczym przez mgły nieskończone krainy pozaziemskiej: kręci się w oczach, kłamie świat przez oczy postrzegany. Trzeba sięść, opuścić powieki, pooddychać równo, spokojnie. To jest takiej bani zaleta największa: tysiąc rzeczy w jej parze zobaczysz, ale nikt nie zobaczy ciebie, ukrytego, zamazanego.

Już po minucie, po dwóch czuło się, jak pot ciężki i brudny wychodzi z ciała wszystkimi porami. Było to uczucie tak wyraźne, tak dojmująco fizyczne, to znaczy bez żadnej wątpliwości z organizmu, nie z ułud myślowych pochodzące, że zimaginowało się wręcz obraz tłustych robaków, dżdżownicom i wągrom podobnych, utoczonych ze wszelkich nieczystości wewnętrznych, jak się wypychają przez otwory skóry, wypływają z nich długimi kroplami-flegmami, wypocone, pozostawiając naczynie mięsne lżejszem, miękkiem, bielszem, czystsze. Nawet jeśli nie zostaje oczyszczony, człowiek z pewnością oczyszczonym się po wizycie w bani czuje. Słyszało się rytmiczne bicowanie innych parników. To uderza do głowy. Sięgnęło się po omacku, chlusnęło się w twarz wodą z cebra. Więc - więc - więc Anioł Pobiedonoscewa to skopiec z płci wyrzezan. Ale von Azenhoff jest w błędzie, sądząc, iż widzi się w tym kolejnym szaleństwie syberyjskim, w tej niby koniecznej i nieomyślnej drodze do rosyjskiego zbawienia - że widzi się w niej cokolwiek z Prawdy. Przecież to obłąd jasny! Jakże mógł takie przypuszczenie w ogóle poczynić?

Otarło się wodę i pot z czoła, z oczu. We mgle obracały się kształty migodiwe. Czy palono tu lampy marostiekłowe? Cienie ludzi nagich - pięknych i ohydnych - przesuwają się w parze; para doklejała im trąby słoniowe, rogi bycze, przyrodzenia końskie, stopy żabie, skrzydła anielskie. Ponownie zacisnęło się powieki. Wszystko przez ten post sześciodniowy. Zamarza się. Rzuciło się monetą tak i owak, ale na koniec Benedykt Gierosławski widać wraca do Benedykta Gierosławskiego. Z czego bowiem począł się być hrabia Gyero-Saski i wszystkie kolejne jemu podobne fałsze? Z garniturów drogich, koszuli czystej, perfumy

pachnącej, z pierścienia zdobnego i brylantyny na włosach, z miazmatów luksusu. Warszawa, kamienica Biernatowej, obesrany wychodek, całe życie cuchnące, zawszone, rzygu tylko godne - ciach, ostrze gilotyny odcięło tę prawdę. Przeszłość nie istnieje. Jest się chwilą teraźniejszą. I proszę! Tańczyło się!

A jednak - wszystko to kłamstwo. Zamarza się w sercu Zimy, to już nie podróż transsyberyjska, to Miasto Lodu, ćmiecz napiera; już nie można równocześnie być sprzecznościami dowolnymi. Ciach! Gilotyna tnie do końca, każda rzecz przynależy albo po stronie lewej, albo po stronie prawej. Ciało lub duch. Życie doczesne lub byt pozaczasowy. Pan Blutfeld lub doktor Konieszyn. Lato lub Zima. Człowiek lub Bóg. Truchło przegniłe, cuchnące, rozkładające się w upale, pod miljonem much - lub matematyka. Tyrania przypadku człowieczego - lub apoliteja. Zwierzę - lub -

Się obchlusnęło się resztką wody. Tylko jaki ma w tym interes Bittan von Azenhoff, coby Syn Mroza nie dał się wyanielić? Nie ma Szczekielnikowa, ażeby brał na siebie ciężar podejrzeń, trzeba się truc nimi. A to coraz trudniej; coraz częściej wpierv się działa, zanim wyobrazi się tuzin możliwości zdrady i kłamstwa i wstydu. *Pan jest podejrzliwym człowiekiem, panie Benedykcie.* W porównaniu na pewno sprawiało się takie wrażenie - bo oni nie podejrzewają. Podejrzliwość to stan niepewności - a oni dotknęli jedynoprawdy, ćmiecz płynie w ich żyłach, zmraża mózgi. Paradoksalnie, dlatego Czyngis Szczekielnikow stanowi tarczę idealną: on z góry wie, że każdy jest mu wrag i że życzy mu najgorzej. Z kim by się porozumiał najlepiej: z jednookim Jefriejem od świętego Marcyna.

Ostatni robał wypełził z ciała, wyszło się z parni, zataczając się i po ścianie dłonią lekką, papierową ciągnąc; się obmyło się ponownie, tym razem wodą lodowatą; łąziebna podała wódkę i kimono, się odziało się w jedwab miękkie, cudownie gładkie, wychyliło się szklanicę gorzałki; wkroczyło się w chłodne, przejrzyste, wonnościami przesycone powietrze Kociego Dworu. Anioł stapał po dywanach perskich.

Wokoło zwierzęta oddawały się zwierzęcym żądom. Nie wszyscy pokryli się po komnatach prywatnych, za zamkniętymi drzwiami. Przy stole długim, mięsiwami i ciastami zawalonym, panowie obmalowani tłuszczem i winem napychali się kolejnymi smakołykami, całemi łychami i garściami jedzenie przez blat rzucając, owoce drogie, z ciepłych krajów sprowadzane na dekoltach diewoczek rozgniatając, lejąc im w usta trunki tej i innej barwy, suknie wykwintne plamiące. Koty spacerowały między srebrną zastawą. Bankier i radny, jeden w binoklach, drugi w peruce, poza tym goli, wylizywali kawior z zakamarków obfitego

ciała dziwki już śpiącej, czerwoni i sapiący jak w biegu syzyfowym; dziwka chrapała, oni wiercili nosami i jęzorami w jej fałdach, szczelinach i zapadłościach, włosiem ciemnym zarośniętych, potem zalanych, kawiozem zaczernionych. Koty przypatrywały się im spod portretu carycy Katarzyny. W izbie turecko urządzonej, na podłodze przykrytej setką poduch kapitan huzarów ujeżdżał wypięty zadek Maruszki, głową i ramionami zupełnie w te poduchy wciśniętej, zatopionej, że wszystko, co z dziewczki na chybotliwy blask świec wystawało, to plecy piegowate, uda chude, drżące i pupcia od razów chwackiego wojaka już krasnąja, w którą pan kapitan posuwał Maruszkę w rytmie dobrze do cwałów i szarż wyćwiczonym, tors przytem w przód wypinając, pośladkami obwisłymi, pomarszczonemi kłapiąc i pofukując idjotycznie, aż mu wąs pod oko wybałuszone podwiewał. Koty wędrowały między poduszkami. Młodzian gładkolicy, w wieku gimnazjalnym ledwie, portek gdzieś po drodze pozbawion, zaległ z krasawicą z kolei od pasa w górę obnażoną - jego nogi na etażerze, głowa na szezłagu, ręka w nocniku w rzygowinach, druga pod spódnicą dziewczyny, jej głowa wkręcona mu pod pachę, śpią oboje zaplątani w tej niemożliwej pozycji, obsmarowani wydzielinami ciała, jak śluz ślimaczy lśnięciami. Koty je zlizywały.

*Herr Bittana von Azenhoffa* i jego *Katję* znalazło się w saloniku narożnym na parterze. *Vesti la Giubba* płynęła z patefonu. *Katja*, nóżki podwinawszy na otomanie pluszowej u boku dystyngowanego Prusaka, szczebiotała mu coś do ucha. *Von Azenhoff* kurzył faję długą, kolorową, z cybuchem z koralu ceglatego, spod opuszczonych powiek wyglądając przez okno naprzeciwko na tajgę lodową, wichur białobarwny nad nią szalejący, na *Księżycu* połówkę jak kałużę granatowego atramentu i wystający ponad drzewa grzbiet lutego koloru *Księżycu*. Pachniało arakiem.

Stanął się w progu, nagie stopy mocno w dywan wbijając - bo jak się ma anioł gorący, wypocony zakotwiczyć w ziemi przeciwko temu roztrzęsieniu, temu obrzydzeniu i gniewowi świętemu?

Pan Bittan przyłożył palec do warg. Faję wykonał zapraszający gest, już senny, powolny. Zawahawszy się raz i potem drugi, jednak usiadło się w fotelu między oknami, długie poły kimona skrzętnie na nogi zawijając, ramiona splotło się na piersi. *Katja* ani spojrzała; maczając paluszek w kieliszku araku, przesuwając nim po wargach *von Azenhoffa*, gdy ten ustnik zmiędzy nich wyjmował.

Kot ziewał pod otomaną.

Płyta się skończyła, Bittan się przecknął, sięgnął cybuchem i zatrzymał urządzenie.

- Katju - zanucił - nasz gość jest samotny.

Katja wyciągnęła rękę po dzwonek.

- Nie! - zawołało się. - Poczekam do rana i zabiorę się z pierwszym wracającym do Irkucka.

- To nieładnie, nieładnie - mruzczał stary szlachcic. - Taka niewdzięczność, taka pogarda.

- Pogarda! - prychnęło się.

- A owszem. Kiedy pan je - zakrywa pan usta, odwraca głowę. Kiedy się pan upija - to w samotności, prawda?

- Przyzwoitość, ona wymaga -

- Przyzwoitość! - zachnął się. - Tak pan sobie kłamie? Że pana wyuczyli, wytresowali?

- Nie - odparło się ciszej. - Nie potrafię inaczej.

- Założę się, że sam pan wybrał, i pewnie nawet familji całej wbrew - tę matematykę, logikę. Tak?

- Nie pamiętam siebie innego. - Się wyprostowało się. - Ale pamięć, cóż pamięć? To jeszcze nie znaczy, że -

- A z miłości - co pan kiedy publicznie zrobił niskiego, zwierzęcego powodowany żądzą miłosną?

- On teraz jest czysty - rzekła miękko Katja i przytuliła się mocniej do von Azenhoffa.

- Taka u was miłość...! - się zaśmiało się szyderczo. - Niech mi pan lepiej zdradzi, czego pan ode mnie chciał, że zaciągnął mnie do tego lupanaru.

Wzruszył ramionami, pufnął dymem.

- Niczego.

I od razu dostrzegło się tę prawdę jego charakteru. On, może jako jedyny pośród nich wszystkich, z całą pewnością niczego od Syna Mroza nie chce, nie ma żadnych planów i lęków i nadziei z nim związanych - nic go bowiem nie obchodzi Historia, nie obchodzą państwa, religie, narody, nie obchodzi Bittana von Azenhoffa przeszłość ni przyszłość: tak skupiony jest na sobie samym i przyjemności w danej chwili kosztowanej. Jego absolutny egocentryzm gwarantuje szatańską bezinteresowność. Ani święty nie czyni wszak dobra dlatego, że tak mu się to kalkuluje, ani djabeł nie czyni zła wedle jakichś zimnych strategij -

robią, co robią, ponieważ to właśnie jest im najmilszym.

- *Mauvais sang ne saurait mentir* - mruknięło się i się wzdrygnęło się na powiew chłodny od okna. - Pana to bawi, pan bierze ludzi w niewolę, rozkosz im dając, zamyka pan obrożę na zwierzętach w ludziach żyjących.

Katja dołała jeszcze araku. Von Azenhoff zlizywał powoli alkohol z jej opuszków.

- Co mnie bawi... - westchnął, poprawiwszy się na otomanie. - Przynajmniej nie pluje pan na mnie łacińską moralistyką. Rosjanie jednak mają bardziej przedmiotowy stosunek do ciała. Z jednej strony - Seliwanow, z drugiej - Daniło Filipowicz; a wiara ta sama. Tylko że oczywiście tutaj to od razu w ekstrema piekielne idzie: albo prawda skończona, albo leż potępieńcza, nic pomiędzy; tną i palą z siebie płeć i pożądanie albo orgje nieustające całych gmin religijnych urządzają. Najtrudniej - kiwnął sobie dłonią przed twarzą - utrzymać się pomiędzy. A pan - pan szybko się osuwa. Zresztą - matematyk.

Się zjeżyło się.

- No to co, że matematyk? Od liczb jeszcze nikt się nie wywałasył!

Skrzywił się znowu, dmuchnął dymem.

- Nuuada - zaintonował - on zaczyna być nuuudny. Katju, co zrobimy z *monsieur* Mrozkiem, mhm?

- Pan tak zabawić się mną chciałeś, rzucić między zwierzęta i patrzeć, jak bestja wyłazi z Syna Mroza!

- On teraz jest czysty - powtórzyła Katja, smutna czemuś na twarzy, złotem i świecieniem owitrażowanej.

Pan von Azenhoff, przelożywszy faję do lewej ręki, ręką prawą objął krasawicę zza pleców i wpuścił dłoń w gors sukni różoczerwonej, by następnie miękkiem, sennym ruchem wydobyć z niej na światło naftowo-księżycowe pierś białą, objąć ją w kołyskę palców starych i obrócić między nimi sam piersi pęk, różoczerwony jak ta suknia.

- Zabawa, zabawa, zabawa - nucił - ale jaka przyjemność dla kogoś, kto przyjemności wszelkie już kupił dawno? Zjesz tysiąc ciastek więcej? Wypijesz wiadro szampana więcej? Więcej brylantów i złota w skarbcu zgromadzisz? Pałace kryształowe pobudujesz, izby inni zazdrościli jawnie - i stąd niby satysfakcja? Może za pierwszym, drugim razem. Ale gdy tak się wzbogacisz, że nikt ci już w tym bogactwie nie zagrozi, gdy zazdroszczą już wszyscy - co

wtedy? Konkurenci do pokonania - pokonani. Wrogowie do upokorzenia - upokorzeni. A kolejny milion czy dwa miliony - co za różnica? Wszystkie przyjemności, które możesz kupić - ponieważ możesz je kupić, nie dają ci przyjemności.

...Zaszedłem do tego składziku pasmanteryjnego, rozstawszy się z damą sprzedajną na progu Arkadji; nie wziąłem dorożki, rozpadał się deszcz, skoczyłem pod markizę, zabrzączał dzwonek, klient wychodził - wszedłem. Sklepek mały, ciemny, przytulny, za ladą dziewczyna milutka, pisklę pulchne, ledwo z dzieciństwa wyrosłe - spostrzegła płaszcz, surdut, pierścienie, oczka jej zogromniały, połknęła oddech. Uśmiechnąłem się, ukloniłem. Dygnęła, uśmiech oddając, ząbki bielutkie pokazując. Deszcz siekł srogo, cóż miałem lepszego do roboty, zagadnąłem panienkę, zażartowałem, oko puściłem. Gadu-gadu, a panna jednak nie tylko uśmiechać się potrafi, jakie przyjemne zaskoczenie: rezolutna, z witzem, opowiada o babce ślepej, po twarzach wszystkich interlokutorów drapiącej, o wujku z podagrą ciężką, co tak z bólu kiedyś oszalał, że odrąbać sobie stopę próbował; a to jest ich sklepik rodzinny, ona za sprzedawczynię w nim stoi popołudniami. Ani się obejrzałem, deszcz przestał padać, pół godziny albo więcej przeszło na rozmowie miłej.

...Tydzień czy dwa później, takiego dnia, gdy bardzo już byłem zmarnowany po długich rozmowach bankowych, przejeżdżając tamtędy, spostrzegłem szyld pasmanteryjny i zaraz pomysł zaświecił, jak to humor sobie poprawić mogę. Wstąpiłem. Dziewczyna za ladą. A pan co kupić przyszedł? I już oczka się jej śmieją. Zachodzili klienci, ale żartowaliśmy sobie dalej. Na odchodnym rzuciłem na ladę banknot dwudziestopięciorublowy. A za co to, marszczy brwi panna. A za czas poświęcony, wołam z progu, i już mnie nie ma. Za następną wizytą panna chce mi zwrócić te ruble, wciska w kieszeń - wywijam się ze śmiechem, dokładając drugie tyle. Powstaje więc gra między nami: ja daję po uważaniu, ona się kryguje, a im bardziej się kryguje, tym mocniej dieńgi odpycham. Na tym gra polega - tak naprawdę więc już nie zależy pannie na zwróceniu tych pieniędzy. Wychodzę i płacę; a reszta to szarm i flirt.

...Wiosna się ładna zrobiła, czy nie zamknęłaby panna sklepiku wcześniej, i tak klientów nie ma, a godzina teraz najlepsza na spacer po mieście. Ale nie mogę, panie Bittanie, wujek na mnie polega. Wyciągam banknot tęczyowy. Dla wujka interes najlepszy, zapłacę, zapłacę za kwadrans choćby. Śmiejemy się oboje. A Irkuck wiosenny uroczy zaiste.

...Odtąd zawsze już płacę przed - przed rozmową, przed spacerem, przed czasem. Elementem gry jest także wysokość sumy. Jeśli wtem niższy nominal wyciągnę, panna zagra



rozczarowanie wielkie i buźkę zasmuci: a czemuż to dewaluacja taka? Więc jedna droga: wzwyż, na więcej, więcej. Dłuższe rozmowy, dłuższe spacery, w rewiry wyższe prowadzące, że już się kłaniam i uchylam kapelusza, a panna pod rękę ujęta też przedstawiona zostaje. Do teatru, proszę, wieczorem wszyscy idziemy do teatru! Na co odciąga mnie czem prędzej i szepcze, że nie może - ale dlaczego - nie ma się w czym socjocie pokazać. Zatem kupuję pannie suknię wieczorową. Jeszcze pyta o cenę i kwaśną minę robi; lecz za piątym, siódmym, dwunastym razem - buciki, biżuterje, woale, rękawiczki, toalety wykwiłtne całe - już tylko na ich piękno patrzy. A ja wyłącznie piękne rzeczy kupuję, najpiękniejsze!

...Za spacer, za obiad, za kolację, za teatr - kiedy mnie panna całuje, płacę ja i za całusa - kiedy pomysłunkiem własnym zaskakuje, płacę i za tę inwencję. Płacę, a zatem kupuję, a zatem wymagam, wybieram, oceniam; nie przez to, że akurat k'temu nalegam, lecz przecież nie ma zakupu bez tych warunków, jak nie ma światła bez koloru, dźwięku bez tonu. Koafiury, kreacje mnie się mają podobać; taka, nie inna linja spódnicy; taki, nie inny gors. Samo panny zachowanie - skapitulowałaby przecież grę, gdyby nie podołała - głowa wysoko, uśmiechaj się, przed tym dygnij, tego zignoruj, z tym porozmawiaj, z tym zatańcz. A potem: półsta rubli, jeśli z panem prokuratorem poflirtujesz; setka, jeśli żonkę wicedyrektora do furji zazdrosnej doprowadzisz; setka i więcej, gdy dziadowi zasuszonemu błysniesz w oczy kolankiem, że mowę mu odejmie. Dwieście, jeśli przez wieczór cały będziesz taką a taką kobietą. Piękną! Najpiękniejszą! Czteryście, jeśli przez noc.

...Bo w tym rzecz, *monsieur* Gierosławski, iż gdybym wszedł i powiedział dziewczęce niewinnej ze sklepiku ze wstążkami: „Wyplacę ci fortunę, jak kurwą moją na noc zostaniesz” - toby mi w pysk tylko dała i po policjanta pobiegła. A z tego przecie cała zabawa i satysfakcja, żeby kupić rzecz, której nie można kupić.

- Pan ją uwiódł po prostu.

- Czy ja cię uwiódłem, Katju?

Katja podała mu na palcach krople araku.

- Pan mnie kupił, *Herr* Bittan.

Przełknąwszy słowo złe, się przyjrzało się jednak Katji z nową uwagą. Puder i *maquillage* złoty kryły już zmarszczki niedrobne. Była dojrzałą kobietą, powinna mieć dzieci, rodzinę, przyszłość szeroką w rodzinie. Ten smutek w jej oczach jasnych - to nie była mina przelotna; taka jest prawda o Katji, dziewczynce ze wstążkami.

- Kiedy to się działo? Wiosna, mówi pan. Przed Zimą Lutych, tak?

- Rok przed. - Pocałował Katję w nadgarstek. - Kupiłem ją, i tak zamarzło.

Tworzyli zaiste fascynującą parę - jak fascynujący bywa człowiek ze śmiertelną naroślą nowotworową albo dziecko o dwóch głowach. Się otrząsnęło się.

- Zabawa! - jęknęło się chrapliwie, oczy zasłaniając. - Dalej pan się mną bawić chcesz. Dlaczego nie wziął pan sobie w łóżko byle putany spod latarni, zamiast deprawować dziewczę niewinne? To już nie zwierzęca chuć, to podłość pospolita!

Von Azenhoff zacmokał z rozczarowaniem. Wypluwszy długi wąż dymu, uszczypnął Katję w blade mięso piersi; wbiła mu paznokieć w brodę. Uśmiechnął się pod nosem.

- To ci, co nie znają i nie doceniają przyjemności ciała, największy fetysz właśnie z ciała czynią - rzekł, faję na stolik obok odkładając. - A przecież ciało, choć przyjemność umożliwia, samo przyjemności nie daje. Gdyby były to grzechy czysto cielesne, jak to pan sobie w idejalizmie swoim młodzieńczym przedstawia, grzechy, od których nóż ostry i żelazo rozżarzone wybawi-to zaiste słuszność mieliby kozojebcy i naśladowcy Onana, że wystarczy nerw stosowny dobrze podrażnić i wot, wsjo. A tak nie jest! Co czyni różnicę: nie ciało, lecz ta świadomość w tobie, kto przez oczy owego ciała na ciebie spogląda. Skąd więc ekscytacja największa i z czego *la puissance d'Éros*: ze spotkania z duchem ciałem rządzącym. Dlatego nie rozпали we mnie ognia bliad' nawet najpiękniejsza, najmłodsza, o krągłościach posągowych i ustach jak miód, jeśli za jej oczyma widzę tylko głupie dziecko od krów oderwane, ani świadome własnych czynów, ani wysławić się o nich potrafiące. Za to kiedy spotykam kobietę silnego ducha, z intelektem rozbudzonym, tysiączne fantazje w każdej sekundzie rozpędzającym, równą mi rozpiętością myśli i żądz... *Monsieur* Gierosławski, czasami nie musi nawet do zbliżenia ciał dojść, wystarczy, że spojrzę jej w oczy. Im większa świadomość *présence d'Éros* za oczyma niewiasty, tern większa z jej ciała przyjemność.

...Jak pan widzi - śmiał się - jestem największym orędownikiem emancypacji kobiet!

Przygarnął Katję i naszeptał jej coś w uszko. Katja odstawiła arak i zsunęła się z otomany na dywan, stopy bosc pod sukni karminowej pokazując. Nie zapięła gorsu, nie podciągnęła ramiączek. Opadłszy na czworaka, podniosła złote spojrzenie, z oczu poważnych, zupełnie nie mrugających, niczym w hypnozie głębokiej otwartych - że się też wzroku, raz w nie wpuszczonego, nie potrafiło oderwać i odwrócić. Warkocz długi spadł jej wzdłuż ramienia, po kobiercu głaszcząc, gdy Katja powolnym, lamparcim ruchem sunęła tak skroś komnaty. Suknia szeleściła, kot mrucał.

- Nie znajdziesz pan w moim Dworze dziewczęcia, co nie umiałoby czytać i pisać, w językach konwersacyj o sztuce i polityce prowadzić - mówił Bittan von Azenhoff. - Nie znajdziesz dziewczęcia humorów własnych nieobliczalnych pozbawionego, niezdolnego wydrapać ci oczu w chwili gniewu, a sobie żył w desperacji pociąć. Gdyby nie Katja, nie poradziłbym sobie z tym domem heter. Ale za to -

Dotarłszy do fotela, sięgnęła wzwyż, pociągnęła poły kimona, złote wargi błyszcząły mokro, powiodła chłodną dłonią wzdłuż łydki i uda -

Się poderwało się, wybiegło się w korytarz, w sień i do drzwi, pod którymi muzyk w kożuszku baraním drzemał; przewróciło się muzyka, wybiegło się na ganek i z ganku na śnieg i mróz. Powietrze lodowate uderzyło w skórę i wlało się w płuca jak ciecz paląca, kwas żrący. Skrzetuszony, padło się na kolana.

Śnieg, nieskalany, biały śnieg, gładź lustrzana, roziskrzona - lód, lód najczystszy - zebrało się garściami wierzchnią zmarzlinę, wtarło się w twarz rozpaloną, w pierś. Wiatr potrzasał lasem obsoplowanym, na horyzoncie Księżyc refleksował na bryle lutego, cienie i światła z okien wyższej kondygnacji Dworu migotały na szreni, tam ludzie bawili się, pili, cudzołożyli, tańczyli... Jadło się śnieg, piło się mróz. Prawda czy fałsz? Prawda czy fałsz? Przeszłość nie istnieje, wszystkie wspomnienia... Z czwartej strony: palec, palec pana Korzyńskiego!

Poczuło się futro na ramionach - von Azenhoff zawijał w szubę, ciągnął z powrotem do ciepłego wnętrza. Się wzdrygnęło się, się wyrwało się na moment - ale nie było się w stanie oprzeć jego uściskowi stalowemu. Lód topniał w ustach.

- Weźcie sobie najczystszą, najbielszą, najniewinniejszą - szeptał Prusak w oddechu tytuniem i arakiem woniejącym. - Nie mam dla was dziewicy, nie mam anioła. Mam zwierzęta piękne, przyjemności głodne - i to, co za ich oczyma.

## **O Królestwie Ciemności**

Winda zimnazową rozgrzechotaną jedzie się w piekielną czerń, co wisi na niebie nad Irkuckiem.

- Nie patrzcie na niego - mówi Anioł Pobiedonoscewa. - Nic nie zobaczycie, ale i tak nie patrzcie.

- To dlatego żyje w ciemności.

- Dlatego żyje.

Wieża Sibirchożeta ze środka zdaje się znacznie mniejszą; nie niższą, lecz węższą. Mijane w zgrzytliwym chrobocie piętra - pięćdziesiąte drugie, pięćdziesiąte trzecie, pięćdziesiąte czwarte, gdzie mieszczą się biura Tawariszcziestwa - powierzchnią nie przekraczają połowy Laboratorium Kruppa w Wieży Zegarowej. Apartamenty Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa to kondygnacje sześćdziesiąta dziewiąta i siedemdziesiąta, lecz nad nimi znajduje się kratownicowa nadbudówka dźwigu z drugim wieńcem reflektorów mrokówkowych oraz masztami Obserwatorium Magnetyczno-Meteorologicznego (Sibirchożeto sponsoruje badania Czarnych Zórz). Z bliska wieża Sibirchożeta sprawia przytem wrażenie jeszcze bardziej topornej, ordynarnie zaprojektowanej, skleconej z kowalskim polotem: nity wielkości końskich łbów, wielgachne kratownice, teowniki i pręty i blachy, zimnazo na zimnazio - ani ćwierci tej lekkości i subtelności architektonicznej, co w wieżach Zimnego Nikołajewska i nowszych konstrukcjach technologii Lodu projektu pana Rubieckiego.

Na wysokości pięćdziesiątego piętra minęło się instalacje teleskopowe, lunety na wysięgnikach i ramionach zimnazowych z platform na zewnątrz wieży wystające. Stąd policyjni geologowie śledzą nadziemne przemieszczenia luty, by konsultować z szamanami Burjatów oficjalne prognozy glacialne ogłaszane potem w biuletynach publikowanych przez Sibirskoje Choład-ŻeliezapramyszliennejeTawariszcziestwo.

Powyżej pięćdziesiątego piętra bowiem zmierzch narasta już z każdym arszynem przebywanym ku niebu. Się zanurza się w cieniu, wstępuje się w noc. Podczas gdy na Mieście Lodu poniżej słońce poranne wyiskrza z bieli śnieżnej tysiacyjne słoneczka-migoczki, a mgła płynąca ulicami - ulicami jak linjami papilarnymi na kciuku wciśniętym w Angarę - tęczy soczyście.

Do sześćdziesiątego szóstego się milczy. Na sześćdziesiątym siódmym nie wytrzymuje się i pyta się półgłosem:

- On także odciął się od ciała?

- Nie.

- Aha. Myślałem, że to przez to -

- Nie.

Ćmiatło na przemian ze świecieniami zalewa klatkę windy, nie sposób odczytać gładkiej twarzy Anioła.

Wjeżdża się na sześćdziesiąte dziewiąte. Dźwig staje, otwierają się drzwi, pan Ziel wchodzi pierwszy.

Antyszambry i całe to piętro dolne, ponieważ pozbawione okien, toną w porcelanowym blasku świecienia od wielkiego mroku za ścianami. Przechodzi się przez krótką sień lustrzaną, gdzie mongoloidalny służący w ciemnej liberji odbiera futra i czapy, szale i rękawice. (Osobista służba prezesa Sibirchożeta składa się ze zruszczonych Burjatów). Ziel prowadzi ku schodom. Podłogę z płyt zimnazowych kryją skóry zwierzęce, stąpa się niepewnie, zapadając się i potykając na nierównościach.

W wąskiej izbie pozbawionej mebli dwóch silnorekich Burjatów w gimnastiorkach z godłem Sibirchożeta odsuwa ze ściany aksamitną zasłonę. Ta ściana to w istocie jedno wielkie okno marostiekłowe, podobne panoramicznym oknom Wież Zegarowych. Jeden z mrok-reflektorów najwyraźniej został przekręcony do wewnątrz: izbę zatapia czarna piana ćmiatła.

- Idźcie.

- Dokąd?

- Idźcie, idźcie.

To kolejny ich środek ostrożności. Kiedy przechodzi się przez pokój, na przeciwległej ścianie tańczy świecień sylwetki idącej: pokraczny bohomasz negatywu ciemności, przelewający się na krawędziach wte i wewte. Burjaci wpatrują się weń z wielką uwagą.

- Stój!

Jeden za lewą, drugi za prawą rękę chwyta, wpychają łapy do kieszeni, za kołnierz, pod marynarkę, pod kamizelkę, wyjmują pakunek kanciasty. Obnażywszy Arcymistrza, odskakują, oślepieni. Anioł Pobiedonoscewa krzyczy, światła przemykają na tle okna, świecienie skaczą bełkotliwie po ścianach. Rewolwer płonie.

Zasuwa się zasłonę. Wraca monochromatyczna jasność, Grossmajster gaśnie.

Ziel spogląda z miną bardzo ponurą.

- A toście nas okłamali.

- Zapomniałem. Zawsze z nim chodzę. - Rozkłada się ręce. - Ja też mam wrogów przez samo to, że istnieję, przecież dobrze wiecie.

Ziel odkopuje Arcymistrza pod nogi przyczajonych Burjatów.

- Chce rozmawiać z wami na osobności, lecz bez broni jesteście przecież dla niego takim samym zagrożeniem.

- Nie jestem dla Aleksandra Aleksandrowicza żadnym zagrożeniem!

Anioł ściąga wargi bezkrwiste, spleta długie ręce za plecami, pochyła czoło.

- Wiem, kogo zobaczyłem na balu u gubernatora, i wiem, kogo widzę teraz. Ale ten rewolwer -

- Zapomniałem, na rany Boga, nie myślałem, że w ogóle obszukiwać mnie będziecie!

- No właśnie. I czemuż on z tungetytu wykonany?

- Nie z tungetytu. To taki chłód niklowy wysokiej przeciwciepności - żeby strzelca mróz nie zabił na miejscu. Bo kule - kule są z tungetytu.

- Kule. - Anioł ogląda się na Burjata, który, ująwszy Arcymistrza w dwa palce za lufę jaszczurczą, podnosi go do oczu. - Tak, to jest broń Syna Mrozą. - Gaspadin Ziel prostuje się chorobliwie (czy kręgosłup mu nie pęknie, wygięty wstecz?), chrząka i zamyka na moment oczy. - Proszę poczekać - rzuca i wspina się szybko w ciemność siedemdziesiątego piętra.

Zostaje się z dwoma Burjatami, jeden z nich wciąż dzierży w wyciągniętej ręce Grossmajstera niczym zdechłą żmiję. Pucółowate oblicza inarodców nie wyrażają żadnych emocyj czytelnych dla białego człowieka. Przemówić do nich, tłómaczyć się, podejść może, gest przyjaźni wykonać? Matematyka charakteru, algorytmika rasy nie pozostawia wątpliwości: to na nic, na innych aksjomatach zbudowano te systema, nie przeliczy się przez nie człowieka. Stoi się w bezruchu z miną równie pustą. Słyszc tylko odległy grzechot dźwigu i wizg trących o siebie elementów metalowej konstrukcji wieży.

Anioł zstępuje z ciemności, wykonuje zapraszający gest dłonią. Wchodzi się do apartamentów Pobiedonoscewa.

Wszystkie ściany są z marostiekła, ćmiatło ostre leje się zewsząd. Arkadego Hipolitowicza i sprzęty wypełniające apartamenty postrzega się ich ułamkowemi świecieniami. Są tu wszelako meble, których kształtu ni funkcji nie potrafi się w ten sposób wydedukować - wieszaki tuzinramienne? stelaże druciane? obrotowe klatki?

Niesymetrycznie skrzyżowane przepierzenia dzielą piętro na nierówne ćwiartki; Ziel odchyła kurtynę i odsuwa się na bok. Jego świecień na przepierzeniu rozpościera krzaczaste

kończyny, wybulwia się krowim łbem, pączkuje elektrycznymi mackami.

- Nie patrz - szepcze.

- To światło -

- On.

Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew, którego nie widział na oczy żaden mieszkaniec Irkucka, przewodniczący rady dyrektorów Sibirchożeta i faktyczny władca Miasta Lodu gorzej zimnym ogniem na podeście między zwierciadłami ciemności, oblewany ćmiatłem z otaczających wież reflektorów krjowęgłowych - abrys negatywu tej czerni, kształt żaru lodowego, tyle z Aleksandra Aleksandrowicza widać. Osłania się oczy przedramieniem, tak się zbliża się do podestu.

- Możecie założyć okulary - odzywa się z prawa i z lewa głos metaliczny, i aż się wzdryga się, kręcąc głową naokoło i wysłepiając się spod snopu jasności w ciemność, bezskutecznie. Wyjmuje się nerwowo marostiokła, nasadza się je na nos. One rozpuszczają skupiony świcień w tęcze i kalejdoskopy miękkoopłynne, w których tern bardziej twarzy ni kształtów wewnątrzsylwetowych nie sposób odkodować.

Zaszyfrował się, myśli się, przystanąwszy pod podestem. Pachnie tu oliwą i smarami mechanicznymi, a także ozonem. Ten podźwitek metaliczny - to tuby patefonowe, głośniki pomontowane po bokach, z nich dobywają się słowa Pobiedonoscewa. Kto patrzy, nie zobaczy człowieka, jeno drzewo świczenia; kto słucha, nie usłyszy człowieka, jeno płytę zdartą. Pozostaje sama treść jego słów, a to bardzo mało. Zaszyfrował się, on, pierwszy lutowczyk, najlepiej znający zasadę Kraju Lutych; tak się kryje przed matematyką charakteru, ażeby nikt nie mógł go rozwiązać. Toteż mimo lat pod Lodem, pozostaje dla wszystkich w dosłownym znaczeniu nieobliczalnym. Czy nie stąd jego potęga?

- Wieniedikt Filipowicz Gierosławski - mówi zewsząd, i tym razem się powstrzymuje się od rozglądania na boki.

- Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew.

Coś zgrzyta w głośnikach, krchr, trtrtr, krkkkk - to śmiech Pobiedonoscewa.

- Przyszliście do mnie z rewolwerem. Ach, ach! Zabić mnie chcecie.

- Po co? Po co miałbym pana zabijać?

Krchr, trtrtr, krkkkk.

- Nie macie powodu, więc nie zabijecie.
- Nie mam powodu.
- Za waszego przyjaciela, Nikołaja Milutinowicza Tesłę.
- Zatem to prawda, dybiecie na jego życie.
- Prawda.
- Płacicie za jego głowę.
- Prawda.
- Zamordować go jeszcze w drodze na Syberję chcieliście.
- Prawda.

Prawda, prawda, prawda, ćmiecz wymraża wszelkie niepewności, kryształ prawdy rozrasta się jak struktura lodowa pod mikroskopem.

- Zwiedziliście się o liście Imperatora do generał-gubernatora i posłaliście słowo liedniakom-dwarianom, oni swojego agenta specjalnego za doktorem Teslą pchnęli, na śmierć, na zniszczenie jego maszyn. Macie ludzi także w Trzecim Oddziale? Skąd wiedzieliście, że pierwszy agent spalony?

- Ach, ale tak naprawdę nie macie powodu, zdradziliście się w *Apoliteji*, wy też nie chcecie maszynowej Odwilży Tesli. Że on wam drug -

- Na życie.
- To uratujcie go, przepędźcie precz.
- Mój ojciec -

- Wasz ojciec! - huczy z tub stalowych, a żelastwo na podeście terkocze, piszczy, chrzęści. - Zapomnijcie o nim! Mówcie mi o Państwie Niebytu, o Królestwie Lodu!

Ściąga się na moment okulary, pociera się nasadę nosa. Oczy pieką. Gdy tak spojrzeć w bok od ognia wyćmietlanego zwierciadłami z Pobiedonoscewa, widzi się przez szerokie okno za jego plecami wspaniałą panoramę Irkucka, metropolję bieli siedmiobarwnej, owatowanej mgłami kisielowemi, olukrowanej rozgwiazdami lutyh, z tysiącem wstążek dymów kominowych, z tysiącem cekinów lamp marostiekłowych. Prawda, prawda - kiedy nie przyjmuje gości, a przecież bardzo rzadko przyjmuje, on stąd ogląda swoje miasto, w dzień i w nocy, zawsze z mroku patrzący, ogląda miasto, liczy lute, kalkuluje zyski, splata plany



dalekosiężne.

- A co właściwie zrozumieliście z *Apoliteji*? - rzecze się półgłosem i na chwilę aż się zdumiewa się tą beczelną dezynwolturą. Moment mija. - Wszyscy ci, co wierzą w Historję zamrożoną pod Lodem, czy liedniacy, czy ottepielnicy, zawsze budują na tym taki sam obraz: Historja szła, jak iść winna, aż tu wtem huknęło, łupnęło, zmroziło i mamy pod Lodem wypaczenie Historji miast Historji właściwej. Owym to się podoba, innym nie, ale djagnoza jednaka. Zamarzło. Lecz ja tu już miesiące parę żyję, a przynajmniej w tym jeszcze nie poddałem się Mrozowi, że mam odwagę wyciągać z tej rzeczywistości wnioski oryginalne. Lód zamraża wszystko w jedynoprawdzie, Lód sprowadza każdą rzecz do jej kształtu koniecznego lub własnego zaprzeczenia, kształtem mu jednak identycznego, jak negatyw obrazu równy jest abrysem pozytywowi. Kraj Lutych to Kraj Prawdy. A zatem z uderzeniem Mrozu w tysiąc dziewięćset ósmym nie nastąpiła tu żadna katastrofa i deformacja Historji - Historja pod Lodem jest taką, jaką być powinna. Bierdiajew prawidłowo odczytał z materji ruch idej, jeno od błędnego założenia wyszedł, Boga za każdym faktem historycznym widząc, głos niebios w obrocie epok słysząc. Jako że trudno to sobie w głowie ustawić, trudno oderwać myśl od tego, co braliśmy za oczywistość, to najtrudniej. Bo my od czasów niepamiętnych żyliśmy właśnie w Historji przypadku, niekonieczności, niepewności i półprawd. Cokolwiek sobie filozofowie niemieccy roili, były to tylko przybliżenia prawdy, domysły zgrubne i wpychanie przemocą koślawej Historji w geometryczne figury. A dopiero tutaj, pod Lodem będzie można ją ująć w ścisłych regułach, wyprowadzać z matematyczną precyzją zależności epok i następstwa ustrojów, inferować ideje z idej. Zima niczego nie wypaczyła; Zima objawia jedynoprawdę Historji. Bez Lodu nie ma Historji, a bez Historji nie ma Boga i nie ma człowieka - bo nie istnieje poza Lodem przeszłość. Rządy Nie-Państwa, w których taki interes powzięliście, Aleksandr Aleksandrowicz, bezpośrednia władza Historji, ona możliwą jest tylko pod Lodem. W Lecie natomiast - w Lecie rządzi człowiek, to znaczy przypadek, pół-prawda, pół-falsz, miliard możliwości niedokonanych. Osobliwie tu, w Rosji, gdzie zawsze było zimniej i zawsze odruchowo wypatrywaliście ziemskiego namiestnika Historji; tu rządzi kaprys nocny samodzierzcy, który sam dla siebie stanowi wszelką Prawdy miarę.

Chrobocze, klekocze, stuka ukryty w żarze świeceni mechanizm tronu-łóża Pobiedonoscewa, gdy szef Sibirchożeta wychyla się na podeście ponad zwierciadłami, mało, a z ogniska rozćmielnego się wydobywając.

- Ach, ach! Słusznie więc Najjaśniejszy Pan czyni, śląc doktora Teslę na; wojnę z lutymi.

Pewnie była w tym kpina, podźwięk tub głośników zaciera niuanse tonu.

Zakłada się ręce za plecami, opiera się stopę na krawędzi podestu.

- Ale wy będziecie walczyć przeciwko niemu, wy będziecie walczyć o Królestwo Lodu.

Długo tylko stalowe milczenie idzie z trąb dookolnych. Wieża zimnazowa drży i trzeszczy pod nogami, świszcz wiatr za ścianami marostiekłowemi.

- Kiedy Cziornoje Sijanije wyćmietla się na niebie - zaczyna Pobiedonoscew powolnemi słowy - zdaje mi się, że to już nie od reflektorów ciemność mnie obejmuje, że *Atra Aurora* przepływa atramentowemi falami przez wierch wieży, czuję je na skórze, na języku, w żyłach; zasypiam w nich i budzę się w nich. W snach, na które doktorzy każą zioła chińskie pijać, w snach i w hipnotycznym świeceniu miasta na dole, jak w układzie kości ręką szamana rzuconych - widzę przyszłość Syberji, przyszłość świata, która dzięki mnie się ziści. Tak poznaję rzeczy, których nie poznaję; taką oto mam maszynę sortilegijną do czytania wiedzy zakrytej: Miasto Lodu i Mgły.

...Myśleliście kiedy, jak świat będzie wyglądał, gdy Lód w końcu pokryje go od bieguna do bieguna, wszystkie kontynenty, państwa wszystkie i wszystkie narody? Liedniacy i ottiepielnicy, bierdiajewowcy i niewierzący, marcynowcy i chrześcijanie prawi opowiadają sobie rozmaite bajki-wieszczby. A ja wiem, ja widzę. Nie będzie wojny z lutymi. Widzę, jak ludzie żyją z nimi w kohabitacji. Lute pod ziemią i na powierzchni, ludzie - ponad, w metropoljach tęcz, w grodach wystrzelonych pod niebo na zimnazowych przęsłach, w Alhambrach wiszących nad wiecznym śniegiem. Cziornoje Sijanije rozćmietla nieboskłony na każdej szerokości geograficznej, dzień w dzień, noc w noc. Nie ma dróg w Królestwie Ciemności oprócz Dróg Mamutów, po których wędrują lute. Ludzie podróżują kolejami podniebnymi, na strunach kryształowych rozpiętymi; albo aerostatami z jeszcze lżejszych materiałów przemrożonych. Nowe technologie lodowe otwarły dla nas niebo, wyprowadziły w gwiazdy. Nikt nie głoduje, nikt nie cierpi bez potrzeby, zniknęły choroby Lata. W cieplarniach marostiekłowych hodujemy pod ćmiałem gatunki zbóż i owoców odpornych na wszelkie zarazy. Nigdy nie brakuje nam ciepła i prądu elektrycznego.

...Ach, myślicie, że nie wiem, czego doktor Tesla w swoim Obserwatorjum dokonuje? On czerpie energję wprost z Dróg Mamutów. Nie będą nam potrzebne elektrownie wodne - wszystkie rzeki zamarzną; nie będziemy musieli węgla ni ropy spalać - wszystek węgiel zmieni się w krjowęgiel, a ropa, ropa zamarznie. Pompować będziemy energję bezpośrednio z ziemi, z Dróg Mamutów. Planeta będzie naszą elektrownią i każdy człowiek dowolnie wielką

moc z Lodu pobierze.

...A teraz, ach, ach, przeczytałem waszą *Apoliteję* i ujrzałem duchowe fundamenta tego Królestwa Ciemności. Bo zaiste, będzie to jedno Królestwo, jeden organizm międzyludzki: Państwo Porządku i Sprawiedliwości, pod sankcją Prawdy równie twardej i oczywistej, co reguły arytmetyki. Żadnych w nim buntowników, bo któż się buntuje przeciwko chemji i fizyce, tabliczce mnożenia i grawitacji? Żadnych w nim rewolt w imię religji czy ideologii, bo nie ma sporu, która wiara i idea prawdziwa. Jedna jest prawda, jedynoprawda. Rządzi Historja. Odchrząkuje się.

- To... imponujące.

- To nieuchronne! - huczy Pobiedonoscew z trąb stalowych.

- No, chyba że przyjdzie Odwilż.

- Pojmujecie więc, dlaczego trzeba Tesłę oderwać od Lodu. W ten czy inny sposób.

- Mówilem wam - warczy się. - Nikola jest mój drug!

Nie wiedząc kiedy, dosunęło się na podest lewą nogę i oto stoi się na trzy wyciągnięcia ręki od przewodniczącego Sibirchożeta ukrytego w kokonie świecienia, za zwierciadłami ciemności. Gwałtowny świst i grzechot niewidocznych mechanizmów poprzedza rekonfigurację światła i cienia - cała instalacja odjeżdża ku oknu, a snopy émiatła zwracają się na wprost i mrok gęsty jak smoła bucha w twarz, wlepia się pod już zaciśnięte powieki; czuje się jego kleisty dotyk na skórze.

Się cofa się, zstępuje się z podestu.

- Bądźcie pewni, że opowiem mu o wszystkim!

Krechr, trtrtr, krkkkk.

- Ach, opowiedzcie, opowiedzcie! Wy usłyszeliście ode mnie, on usłyszy od was - dojrzy prawdę i konieczność, i wyjedzie.

Tak to sobie obmyślił. Tylko czy istotnie świadcowało się tu wyłącznie prawdzie? Omrok zaćlepia, tuby foniczne ogłuszają.

- Ach, i wy sami miejcie się na baczności - trzeszczy dalej Pobiedonoscew. - Chciałbym widzieć was u swego boku w dniu ufundowania Królestwa, rzadkie to szczęście, spotkać brata w idei. Lecz tymczasem zadajecie się z Szulcem, z marcynowcami, w Zimę na północ za ojcem iść myślicie... jakbyście nie wiedzieli, że po *Apoliteji* ottepielnicy tern bardziej

uosobienie Mrozu w was widzą: już nie tylko syna Batiuszki Maroza, ale Lodu pierwszego idejologa. Zwiedzają się też niezawodnie, że rozmawialiście ze mną.

- Do ojca - powtarza się z naciskiem, spuściwszy oczy - do ojca iść muszę.

- Cóż ojciec? Figura lodowa. Ani wy mu pomożecie, ani on wam.

Potrząsa się głową.

- Chcecie mi pomóc? Proszę. Co się stało z Karolem Bohdanowiczem i Aleksandrem Czerskim? Dlaczego cenzurujecie mapy geologiczne i prace o tubylcach?

- Ach! Ach! O tajemnice Towarzystwa mnie pytacie!

- Istnieje metoda, istnieje przepis. Kto chodzi z mamutami? Ale wy zakazaliście, wymazaliście, barykadujecie tę wiedzę. To nie są przypadki. Otworzyć pospólstwu bramy do Dróg Mamutów - wydrze wam sekrety geologiczne, stracie miliony, miliony.

- Co z was za człowiek? - burczy żelaziście Aleksandr Aleksandrowicz. - Ja do was dłoń przyjazną wyciągam, Królestwo Ciemności przed wami roztwieram, a wy do mnie bykiem z oskarżeniami, z jadem!

- Pomożecie czy nie?

Znowu długa nuta metalicznej ciszy.

- Co wam mogę rzec, uparty młodzieńcze... W tysiąc dziewięćset szesnastym wystarałem się w ministerjum o ukaz przeciwko fałszowaniu geografji syberyjskiej. Nie wiecie, że szamani inarodczy posiadają moc wykrzywiania krajobrazu, wichrowania odległości, zaginania na ziemi i niebie linii prostych? Nie ma prawdy o Syberji w kartografji czynionej z tubylców pomocą, na tubylców ziemi, nad Drogami Mamutów, po których krążą dusze ichnich czarowników. Oglądaliście stare mapy Syberji, te z czasów Jermaka? A już odkąd wojna między nimi tu gorzeje - fałsz na fałszu! Im dalej ku Latu, tem gorzej. Nieraz wracali geologowie Towarzystwa z pachodow długich, podczas których żadna góra nie stała na swoim miejscu, żadna rzeka nie płynęła jak trzeba.

...Projekt premiera Struva zmiany prawa górniczego ma choćby w części zapobiec tym oszustwom. Syberja musi zostać policzona! Co do wiorsty, co do puda bogactw podziemnych! Skończy się piractwo geologiczne! Bo przecież ja dobrze widzę, że ten chaos jest na rękę różnym pomniejszych firmom zimnazowym, konkurencji tu nieuczciwej, wyciągającej lewe patenty pierwszeństwa z Gubernialnego Zarządu Majątek Państwowych.

Karta Grochowskiego - ach, słyszeliście o niej - jak zrobią się przy wódce trochę bardziej szczyrzy, zaraz Grochowszczyk im na myśl przychodzi: mityczna kartografia jedynoprawdy. Władza nad światem spoczywa w rękach gieodety!

- Nie próbowaliście więc swoich ludzi posłać na Drogi?

- Ach! Nie róbcie tego!

- Próbowaliście! - krzyczy się. - Aleister Crowley! Jego z wami rozmowy - soplicowo grób - czy to w ogóle było soplicowo?

- Nie róbcie tego! Nie da się -

- Czego? Czego się nie da? - Omal się z powrotem nie wstępuje na podest, szurając po omacku nogą do przodu. - On żyje? Nie żyje?

- Idźcie już. Będę na was czekał, nie skłamałicie *Apoliteji*, będę czekał w Królestwie - ale teraz już idźcie.

Czy to zmęczenie w jego głosie słyhać? Nie słyhać, rurami idzie fala dźwięku blachą kanciastą obitego.

- Gdybyście mogli, zapełnilibyście Drogi Mamutów swoimi agentami - mruczy się w brodę. - Co takiego trzeba, żeby zejść na Drogi, czego nie jest w stanie kupić całe Sibirchożeto?

- Idźcie! Idźcie! Idźcie!

Się cofa się, zdjawszy okulary, trąc oczy w ciemności. Głos Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa słabnie. Może on rzeczywiście się zmęczył... Ta jego chwiejba nastrojów, ten śmiech niewczesny... Czemu się kryje w świeceniach, w aparaturze ómielnej - może rację ma plotka i *Herr Bittan*: szef Sibirchożeta jest chory, śmiertelnie chory, to ostatnia faza jakiejś straszliwej maladji, nie może się już nawet przemieszczać o własnych siłach, nie może ustać, porusza się jedynie wraz ze swym łóżem-tronem, mówi szeptem przez trąby-pogłaśniacze, traci siłę po półgodzinie rozmowy. *Powiadają, że pod Lodem zatrzymują się także choroby. Ale też nikt nigdy tu nie wykurował przypadłości uprzednio nabytej.* Nie może wyzdrowieć, pewnie i tak by nie mógł - ale póki pod Lodem, póty nie umrze, skoro już zamarznął, a raczej - skoro zamarzło jego ciało. Gruźlica, nowotwór - jakich jeszcze chorób efekt ten dotyczy? Bo z pewnością nie wszystkich, ludzie tu przecież jednak umierają, umarł Aczuchow, umarła Emilka... Jak poznać, która przypadłość nabyta na Kłamstwie polega, a która właśnie Prawdę o człowieku opowiada? Bez wątpienia starość i wszystkie ułomności ze

starością związane należą do porządku naturalnego.

Cóż, czy takie jest rozwiązanie równania Aleksandra Aleksandrowicza Pobiedonoscewa? Będzie walczył o Królestwo Ciemności z powodu słabości swego ciała? Zali naprawdę materja rządzi duchem?

Przystaje się za przepierzeniem, uderzony myślą niesmaczną. Bo gdy się już na dobre zamarnie, jaką jedynoprawdę ujrzy się we wspomnieniach przeszłości? Czy to wszystko, łącznie z *Apoliteją* i przekonaniem dzisiejszymi najgłębszymi, z sytuacją polityczną w Irkucku i stosunkami, interesami tutejszymi - nie stanowi matematycznego rozwinięcia owego popołudnia warszawskiego, gdy dwaj czynownicy ministerjalni obudzili człeka w chłód, tarabaniąc mu się do izby i nad łóżko nieproszeni, wgniatając w brud, smród i ubóstwo swoją własną czynowniczą, melonikami czarnymi i vatermörderami śnieżnobiałymi, wpędzając we Wstyd najgorętszy prosto ze snu spokojnego? I co - i z tego teraz Pobiedonoscew Królestwo Ciemności będzie budował...?

Ale niby jak rodzą się w człowieku poglądy polityczne? Nie wysysa ich przecież z mlekiem matki, nie uczy się ich, jak się uczy algebry czy geografji. Nabywa je natomiast - jak smak gastronomiczny, gust w kwestjach sztuki i upodobanie do danego rodzaju kobiet, to znaczy po części z warunków urodzenia i wychowania, ale po części - czy nie większej? - z własnych przypadków życiowych. Czyż nie dostrzegało się odbicia tej prawdy w biednym Ziejcowie? Został socjalistą, anarchistą, a teraz chrześcijaninem radykalnym - ponieważ usłyszał hańbę ojcową i zobaczył nędzę chłopstwa. A z jakich przypadków życiowych rodzą się demokraci? Z jakich - monarchiści? Z jakich - piłsudczycy? Kiedy będzie się w stanie z pewnością stuprocentową to obliczyć, polityka istotnie zejdzie do klasy upodobań banalnych: ci wolą cygara, a tamci tytuń fajkowy.

Dobrze prawil Pobiedonoscew: pod władzą Nie-Państwa, pod bezpośrednimi rządami Historji w żadnej istotnej kwestji politycznej spór nie będzie już możliwym. Powstaną natomiast partje miłośników takiej i owakiej estetyki, stronnictwa koneserów kuchni mięsnej i bezmięsnej, frakcje parlamentarne amatorów płci pięknej oraz smakoszków pederastji. Debata toczyć się będzie na kolory, fryzury i rymy. Kanclerzem zostanie elokwentny przystojniak z dobrym krawcem.

Dopiero w klatce dźwigu pan Ziel zwrócił Arcymistrza.

- Spasiba.

- Prikaz dał. - Anioł stanął w przeciwnym kącie pudła zimnazowego, twarzą zwrócony na

zewnątrz, że pozostał w środku jeszcze dobry arsyzyn wolnej przestrzeni; i nawet gdy już się wyjechało z podniebnej ciemności, Anioł Pobiedonoscewa był jeno cieniem sylwetki szczupłej, niezdrowo wygiętej. - Spadamy. Lżej. Lżej, lżej. Kocham te chwile.

- Jeszcze mniej ciała.

- Tak. Kiedy pan -

- Zapomnijmy o tym.

- Pan będzie próbował zapomnieć, ale nie zapomni. Ciało gniecie. Ciało uwiera.

- Zapomnijmy o tym, w sobotę na balu byłem zdenerwowany.

- Bóg cię przywoła.

Zatrzęsło zwalniającą klatką dźwigu.

- Módl się pan, żebyś nie dożył Odwilży - rzekło się, zapalając papierosa. Mróz nad Irkuckiem układał się poziomemi falbanami bieli, spadało się z jeziora smoły w morze mleka. Wsunęło się Arcymistrza pod szubę. Myślało się już o czym innym: dwa dni po balu, słowo dla *mademoiselle* Filipov nie obowiązuje - dlaczego nie pójść się odpompować? Nie do Nowej Arkadij; do Obserwatorium Tesli. Dlaczego nie? Po pracy.

Po pracy, zaraz na dworcu Marmieładnicy przyczepił się redaktor Wólka-Wólkiewicz. Musiał być tu czekać, czaił się - wypadł z tłumu zakutanych, pozbawionych oblicz postaci okłębionych parą, jeszcze jedna pałuba ludzka we frędzlowatej oćmiacie, i zanim się rozpoznało pana Jeża, już u ramienia wisiał, pod szapkę gdakał. Zdążyło się tylko zatrzymać przed ciosem łapę Szczekielnikowa. Redaktor Wólkiewicz jednakowoż nie zwrócił uwagi.

- Panie Benedyckie! Cóż pan narobił! Głowę mi urwą! Ratuj mnie pan!

Zaszło się do pierwszego bliskiego kabaka. Odsupławszy szal, zdjawszy okulary, odmroziło się gardło czajem gorącym. Redaktor ujął swoją szklanicę w dłonie orękawicznione, ale nawet do ust jej nie podniósł.

- Ratuj mnie pan! - szarpnął głos, żeby gwar wódczany przebić. - Skonfiskowali mi maszyny. Wymówiono mi lokal. Nachodzą mnie jakieś straszne figury policyjne, ochrona nie ochrona, znam przecież ochronę irkucką -

- Znacził, z mojego to powodu?

- A czyjego! Przez *Apoliteję* cholerną! Panie Święty nad łąkami! Najcięższe pamflety przeciwcarskie drukowałem i nie było takich burz!

Trząśł się z gniewu - ale przeciw komu skierowanego? Spozierał to tu, to tam, głową na boki rzucając, grdyka chodziła mu pod brodą niczym guma pompki laboratoryjnej, zaciskał garście na szklance, chlapiąc z niej herbatą. Pan Szczekielnikow, raczący się napitkiem szczekielnikowym, uśmiech krzywy nad ramieniem redaktora pokazał: oto kolejna ilustracja czarnych pagawerek Czyngisa, Gniewny Tchórz. Prawda? Prawda.

- Nie dziwne, że dopiero teraz? - mruknęło się.

- Pewnikiem teraz ktoś tam u nich na górze artykuł pański przeczytał. Nie trzeba, nie trzeba mi było go puszczać! - Palnął szkłem w blat, reszta czaju wyplusnęła. - Żeś mnie pan namówił...!

- No bardzo pana przepraszam, słowo daję, że ja pana nie wydałem, zresztą nikt mnie nawet nie pytał -

- Dranie bezkrwiste! Nawet rubelku na czaj nie wzięli, tylko wszystko po urzędowemu, i jeszcze wezwanie do prokuratora podpisać musiałem. Jak to się szybko nie zatrzyma, aresztują mnie, proces nakręcą, siedzieć pójdę na stare lata.

- *Za Apoliteję?* Eee...

- Oczywiście, że nie! Co innego w bumagi wpiszą! Nie wiesz pan, jak to się robi? Przecież ja nie mam pozwolenia na wydawanie „Wolnego Polaka”! Jak mógłbym mieć? O tyle rzecz była legalną, iż przez lata Szulc tolerował tu te wszystkie ruchy ludowe, koła krzewienia kultury takiej i owakiej, towarzystwa mieszczańskie, partje abłastniczieskie. Dopiero ostatnio - owa fala aresztowań - serce w gardle miałem! - Przełknął raz i drugi. - A teraz rzeczywiście po mnie przyszli. Widzisz, Boże, a nie grzmisz!

- Nie myślałem, że taki to skutek wywoła. - Potarło się w zamyśleniu wierzchem dłoni o brodę. - Nawet nie bardzo widzę, czyja to mogłaby być robota, ani Szulc, ani Pobiedonoscew

-

- Ratuj mnie pan! Wypisz mi pan kartę polecającą do generał-gubernatora, takie rzeczy można tylko od góry odkręcić, i to prędko, prędko.

- Jakbym ja mógł kogo polecać gubernatorowi...! - się zaśmiało się.

- Nie kpj pan ze mnie! - zirytował się Wólka-Wólkiewicz. - Masz pan przecież ucho Szulca.

- Skąd pan takie bzdury bierze?



- Pół miasta wie, żeś pan z nim gadał długo na balu, i z księciem Błuckim jeszcze. Niech pan tu niewiniątka nie odgrywa, panie Mróz i Państwo Lodu!

Słuchało się tego z niemiłym poczuciem *déjà vu*. Czyżby powrót hrabiego Gyero-Saskiego? Różnica w tym, że teraz się już zamarza; teraz to prawda. Siorbnęło się czaju.

- Uspokójcie się. Wypiszę tę kartę. - Sięgnęło się po wizytownik. - Chociaż zdziwię się bardzo, jeśli to coś pomoże.

- Na okaziciela proszę.

- He?

- Nie jestem taki naiwny, mnie nie dopuszczają; mam znajomych bardziej reprezentacyjnych.

Odkręciło się z westchnieniem pióro.

- No dobrze, wyrzuty sumienia mnie kopią, niech będzie, napiszę, że „w sprawie nie cierpiącej zwłoki”. Może pan też coś dla mnie zrobisz. Nie, nie, nic takiego; chciałbym się po prostu dowiedzieć więcej o Abrahamie Fiszensztajnie, o jego przeszłości zwłaszcza, co to za człowiek jest - więcej danych potrzebuję.

Pan Jeż łypnął ponad marostiokłami.

- Więc zabrał się pan jednak za robienie pieniędzy.

- Co? Nie. Z innej strony sprawa: Fiszensztajn jest donator Bractwa Walki z Apokalipsą i trzeba mi -

- To i z fiodorowcami się pan teraz maca, a?

Na fiodorowca wpadło się znowu u Tesli. Do Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademii Nauk zajechało się, wstąpiwszy wpierw na Cwietistą po laboratoryjne próbki metali oraz butelkę sażajewki. Ponad chmurą ciemności kryjącą budynki Obserwatorium sterczały w wieczorne niebo maszty ze świeżymi trupami na tyczki nawleczonemi, jeszcze sople nie zdążyły pod nimi urósć; świecienie rozciągnięte od nieboszczyków wyznaczały na niebie wierzchołki pentagramu. Kozacy wpuścili, w korytarzu od magazynów się minęło się z inżynierem Jago, udał, że nie widzi. Pracownię zastało się obezłudnioną. Lepszej okazji próżno czekać. Zrzuciwszy szybko futro i czapę, wydobyło się zza inszych prototypów i instalacyj eksperymentalnych bombę ćmielną Tesli, na szczęście złożoną z powrotem do kupy. Wymieniło się w ognisku lampy krjowęgiał na czysty tungetyt. Sprawdziło się kable.

Oscylometry pokazywały napięcie jak trza. Wpięło się przed dziób wylotowy odblaskowej sfery płytkę tungetytu. Próbną strzał wyiskrzył na niej blask punktowy bardziej oślepiający niż ogień kopuła Soboru Chrystusa Zbawiciela. Wyjęło się notatnik. Hypotezę zapisało się było jeszcze w czasie, gdy z niedoboru ćmieczy pięć teoryj naraz po łbie kołatało; teraz nie brzmiała już tak przekonująco. Policzyło się: dwadzieścia strzałów na próbkę, żeby dotknąć obszar większy niż łebek szpilki, a próbek osiem: nieprzechłodzone rudy, stal wysokowęglowa, zimnazo niskiej jakości. Kwadrans, jeśli się pośpieszy się. Zanotowało się godzinę i minutę, na wypadek, gdyby efekt miał zanikać w czasie. Zaczęło się od zimnaza podłego. Czesztyk, czesztyk, pykała Maszyna Promienia Śmierci. W chwili strzału na marostiokłach rozlewała się tęcza wszystkich istniejących i nieistniejących kolorów. Powietrze musiało jednak odrobinę rozpraszać promień, bo także płatki tungetytu w wodce błyskały blado. Odstawiło się flaszki sażajewki na stół obok.

Nadal nie miało się do końca przekonania, co się z nią zrobi. Myśl była taka: zapisać się wódką tungetytową i, miast znowu odćmieczając się nałogowo, na odwrót: zaćmieczyć się, ile tylko ciało wytrzyma. Być może poranna wizyta u Pobiedonoscewa dała duchowi ostatnią ostrogę, że w końcu przyznało się otwarcie: jak łatwiej ojca na Drogach Mamutów znaleźć, niż właśnie na Drogi za nim schodząc? Ideja, którą się rzuciło na odczepnego hrabiemu Szulcowi, już od dłuższego czasu głowę drażyła, była przecież aż nazbyt oczywistą. Że ludziom Pobiedonoscewa się nie udawało, to nic nie znaczy, na początku każdej nauki działa się głównie na ślepo, na setki porażek przypada jeden sukces; tak było z silnikami parowymi i spalinowymi, z awioniką, z elektromagnetyzmem, tak jest i z czarną fizyką. Z drugiej strony, nie znało się ścisłego przepisu, pewnych rzeczy tylko się domyślało się, na razie więc chciało się jedynie zbadać reakcje organizmu. Powiedzmy: pół litra i dwa tysiące skotosów.

Ale może mądrzej i bezpieczniej popróbować tego wpierw na kim innym. Ciekawe, jak radzą sobie w Mrozie szczury Saszy Pawlicza karmione kartoszką Busiczkinową. Gryzonie w klatkach pod odległą ścianą wyglądały na zdrowe, lecz przecież nie pozna człowiek, która to już partja; tamte wzięte do eksperymentu mogły już co do jednego wyzdychać.

Tak czy owak, na obrachowanie marszruty ojca po Drogach nie ma co liczyć. Trzeba chwycić się śledztw bezpośrednich, polegających na materji, nie na matematyce. Pomysł z posłaniem za Ojcem Mrozem duszy sałgyn kut nie był bynajmniej najbardziej zwarjowanym. Inną nadzieję wiązało się z zakazaną hydrografią Bajkała, pan Urjasz obiecał w ciągu tygodnia wydobyć kopje starych map Karola Bohdanowicza. A także raporty z pierwszych ekspedycyj carskich do Zimy, w tym owej feralnej ekspedycji, w której brali udział Filip

Gierosławski i Siergiej Aczuchow.

Problem w tym, że wszystko to razem mało przybliżało do rozwiązania drugiego problemu, bardziej przecież istotnego, a mianowicie: jak bezpiecznie rozmrozić ojca, skoro już się go odnajdzie. Tu nie ma metod określonych, półśrodki, półdomysły tylko zagrożenie zwiększają. Trzeba albo poznać dokładnie cały proces czarnofizyczny pozwalający człowiekowi zejść na Drogi Mamutów, albo mieć do dyspozycji na testy żywe co najmniej jednego innego takiego abaasowca. Tymczasem znaleźć Balonowego Niemotę, Kopytkina czy Crowleya równie trudno jak ojca. A i chlać sażajewkę w tym celu nie bardzo jest sens: zabaasować trzeba by kogoś, na kim można swobodnie przeprowadzać dowolne doświadczenia.

Czasu zaś coraz mniej. Nazajutrz książkę Błucki-Osiej miał przedstawić swojego pełnowiernika, Franciszek Markowicz przychodził z kosztorysem wyprawy i zaufanym tropicielem inarodczym, nazajutrz musiało się już zacząć realizować konkretny plan. Planu nadal nie było. Kalkulacja zimna podpowiadała, iż czas porzucić kalkulacje i popробować metod bardziej desperackich.

Sasza na widok wódki wyjął prędko dwie menzurki.

- Nie, nie - zamachało się - to pomoc naukowa jest.

- A, „pomoc naukowa”! Ale myślicie dziś wieczorem pouprawiać naukę? W towarzystwie może?

- Samotność szczypie duszę, co?

Kłapnął przy swoim stole, nos zwiesił na kwintę.

- Ech, Wieniedikt Filipowicz, co wam będę maślił oczy - jak w twierdzy tu żyjemy.

- Gdzie Nikola?

- Ten wasz Chawrow pół dnia mu zajął, poszli teraz na dziedziniec, do tungetytora. Słyszycie? Przerwa w łomocie. Po coście go w ogóle poznawali z fiodorowcami, zupełnie go opętali, teraz wszystko tu leży odłogiem.

Poklepało się ospowatego biologa po ramieniu.

- Przejdzie mu, zawsze takie fascynacje mu przechodziły, prędzej czy później. - Zakurzyło się papierosa; poczęstowało się Saszę, podziękował. - A że w twierdzy, to, wierz mi, najlepsze wyjście na razie. Pobiedonoscew zagiął parol na doktora.

Pawlicz podniósł głowę, zaiskrzyło mu w oczach, świecień na lica spłynął.

- Właśnie! *Mademoiselle* Filipov przyniosła nam tu wieść, że mówiliście z gubernatorem i z sekretarzem Aleksandra Aleksandrowicza.

- Ach tak, *mademoiselle* Filipov...

- Właśnie, właśnie! - Zapalił się, aż mu cera dziobowata znowu wysypką ceglastą zaszała.  
- Jak na balu było, opowiadajcie!

- Co, nie mówiła wam, jak to Syn Mroza córkę generał-gubernatora sponiewierał? - Westchnęło się przez dym. - Bal jak bal, targowisko próżności, ciała kwiatkami i koronkami przybrane i pachnidłami okropione, ażeby mniej jak ciała wyglądały i mniej jak ciała cuchnęły. Co z naszymi szczurami?

Zamrugął.

- Szczury. - Wydobył z szuflady kajecik. - Nu sztoż, wiadomość zła jest taka, że wszystkie zamarzły na kość. Jak prosiliście, zakopywałem je w klatkach w piwnicy przy studni. Żadnych nadzwyczajnych efektów, jak dotąd. Możecie sprawdzić, poprowadziłem tam kabel do ćmieczometru na murze.

- Jest wiadomość dobra, zakładam.

- Ano. W parach kontrolnych nie wszystkie egzemplarze zamarzały po takim samym czasie, mimo równych dawek teslektryki i równych porcyj karmy tungetytowej.

- Mhm. Ale dłużej to trwało niż ze szczurami na karmie zwykłej?

- Tak, zdecydowanie. Proszę, do stu dwudziestu procent.

Przejrzało się zestawienia liczbowe.

- Warjancja nie przekracza doby.

- Ale jednak.

- Prawda. - Strzepnęło się popiół do kuwety, podniosło się wzrok na sufit dawno zakopcony. - Wnioski. Wbrew pierwotnym założeniom doktora Tesli każdy obiekt materialny, w każdym razie przedmioty ożywione, ma określoną pojemność ćmieczną. Jeśli wpompujemy w organizm pływ teslektryczny ponad tę pojemność, spadek temperatury w końcu spowoduje zatrzymanie procesów życiowych.

- To z grubsza było już wiadomem.

- Dalej. Pompowanie teslektryką tungetytu powoduje przełożenie energii ómieczy na energię kinetyczną, pośrednio także cieplną. Wedle tej zasady działają przeciw silniki Tesli, dzięki którym mamy tu prąd i światło - machnęło się papierosem - a wszystko na energii z Dróg Mamutów ciągnionej.

- Zatem organizm nafaszerowany tungetytem - podjął Sasza Pawlicz, mrużąc oczy i dymem z kąta ust strzykając - gdy pompowany teslektryką, dłużej pozostanie ponad punktem zamarzania, jako że zachodzą w nim na tungetycie procesy częściowo niwelujące wpływ Mrozu.

- Toczna tak. - Zatrzymało się dłoń trącą o kamizelkę. Ach, jakby się teraz przydało pięć minut pod pompą Kotarbińskiego...! - A pomyśl: organizmy w całości oparte na czarnej biologii miałyby pojemność ómieczną nieskończenie wielką: same ich procesy życiowe zachodziłyby poprzez zamianę pływ teslektrycznego na ruch, ciepło, chemję komórkową.

ŁubuMMM! - przeszło drzenie przez budynek - łubuMMM! - łomot głęboki, wnętrze uszu drażniący - łubuMMM!

- Z drugiej strony - myślał na głos Sasza - każda reakcja endotermiczna powodowałaby obniżenie temperatury organizmu.

- Więc zamarzłyby czy nie?

- Ale jednak żyłyby!

- Zamarznięte.

- Może. Nie. Jakoś inaczej.

Zdjął *pince-nez*, pomasaował nos. Patrzył ze szczerą ciekawością i równie szczerem współczuciem.

- Myślicie, że on właśnie tak żyje?

- Tak, Sasza, myślę, że on żyje. Ważyłem to w głowie długo. I skoro nawet szczury -

Nikola Tesla i Edmund Gierontijewicz Chawrow wpadli do środka, oprószeni śniegiem, parą ómietlistą buchający, skopując zmarzlinę z butów. Pawlicz poderwał się. - Nie błócić tutaj, panowie, bardzo proszę, nie błócić! - Ani się obejrzeni. Chawrow, rozpędzony w lansadach i prysiudach, zmieniwszy marostiokła na soczewkowe okularki druciane, zoczył zaraz flaszkę sażajewki i, zatarłszy ruki, zabrał się do rwania korka. Zanim zdążyło się doskoczyć, zaprotestować, chlusnął sobie w gardziół solidnie. Odetchnął, łysina mu z

rozkoszy pokraśniała. - Uch, od razu mróz z człowieka schodzi. - To saza jest, Edmund Gierontijewicz, patrzcie, co pijecie. - No i co? Polać?

Ze swojego kąta wyłonił się Tesla ze szklankami i butelką Chivas Regal. Przepadło.

- Inżynier Jago się odmeldował - rzekł Serb, musztrując szkło na blacie laboratoryjnym. - Pokład jest nasz.

- Co świętujemy? - westchnęło się.

Gaspadin Chawrow, mało w tej chwili dyrektorski w posturze i minie rozumienionej, złapał i uścisnął prawicę, cały gorączkujący w kordjalnych konwulsjach.

- Trjumf wielki przeciwko Apokalipsie, gaspadin Jerosławski!

- He?

Parsknął tchem spirytusowym.

- Nie udawajcie! Doktor Tesla opowiedział mi, jak to go wskrzesiliście.

ŁubuMMM!

Sasza wytrzeszczył głaza, binokle mało mu nie spadły z nosa.

Się skrzywiło się z irytacją.

- To było w Lecie, w Lecie! Takie tam wskrzeszenie...

Nikola Tesla wychylił szklankę do dna, wyprostował się, uniósł ramię - to już była wysokość podsufitowa - i zamarzył w tej pozie gromowiedlnej, marynarka garnituru czarnego zadarta, krawat przekrzywiony, ptasia czaszka nachylona nad celem, lok siwy oczodół głęboki przekreślający - czekając znaku - łubuMMM! - chwila - wtedy cisnął szklanką z całej siły.

Rozprysła się na posadzce przy drzwiach w tysiąc drobin, które zatrzymały się w regularnej formacji rombu: witraż kryształowy, djamentowa mandala.

- Młot Cmieczy! - zakrzyknął Tesla. - Kto posiedzie ową wiedzę, wykuje nim na falach ćmieczy cuda i zmartwychwstania i dowolne arabeski entropji!

Poczem rozpoczęła się popijawa.

Szkła mając na podorędziu pod dostatkiem, porwali się - i Chawrow, i młody Pawlicz także - za zabawy negentropijne, tłukąc naczynia dla co lepszego efektu artystycznego, a sztuka polegała tu na wyczekaniu odpowiedniego momentu między uderzeniami Młota, to jest punktu, gdy fala idąca w polu teslektrycznem Dróg Mamutów schodziła w wysokiej

amplitudzie w lokalne minimum, w ekstremum przeciwentropijne. Powstała symfonia łoskotu i okrzyków nie całkiem przytomnych; kadencja szła zaś następująco: Młot - rozprysk - głos radości lub zawodu. Sasza tak się rozochocił, że huknął i oburącz swoimi menzurkami - z czego powstał symetryczny obraz dwuskrzydłego anioła.

- Musicie stąd czem prędzej uciekać - szepnęło się doktorowi Tesli.

- He?

- Rozmawiałem z Pobiedonoscewem. Człek jest wpółobłąkany, będzie bronił swego królestwa za wszelką cenę, choćby otwarcie miał się przeciwzić carowi, choćby wszystkich waszych kozaków wyróżnić musiał. Nie jesteście bezpieczni, uchodźcie z życiem. Mogę wam bezbolesną ucieczkę zorganizować, w sekrecie przed wszystkimi, rzeknijcie tylko słowo.

- Czyli nie dość, że miałbym się nie wywiązać z kontraktu z Imperatorem, to jeszcze uleć przed Lodem i oddać czarną fizykę w cudze ręce?

- Własnego życia panu nie szkoda, miej pan chociaż wzgląd na Christine!

- Gdybyż mnie ona słuchała...!

- Na litość boską, to nie są żarty! Ten agent w Ekspresie Transsyberyjskim za *monsieur* Verousse'a podstawiony - już to była sprawka Pobiedonoscewa.

- A nie mówiłem! - ucieszył się Serb i toast niemy wzniósł.

- Bardzo się panu nastrój odmienił - rzekło się, nie kryjąc zdegustowania. - Często się pan ostatnio pompuje? - Zerknęło się na jego oćmiatę, ale, przynajmniej tu i w tym świetle, nie wydawała się różnić szczególnie od zwykłej (to znaczy niezwykłej) oćmiaty Tesli.

- Nie muszę. Pij pan, nie marudź! - I wcisnął w dłoń szklanicę z whisky.

- Gdyby Christine to widziała... Co pana napadło?

- Eksperyment przeprowadzam!

- Eksperyment?

- Nie mówili panu, że w Zimie nie sposób się porządnie upić? Nawet przed nadejściem Lodu - Rosjanie mieli silniejsze głowy, tu zawsze potrzeba było więcej alkoholu. Ale Młot bije w obie strony! Pij pan!

Sasza Pawlicz dolał sobie sażajewki.

- Naukę uprawiamy! - chichotał.

ŁubuMMM!

- Zobacz sam. - Tesla podszedł do czarnej tafli położonej płasko pod lampami. Na matową gładź wysypano brunatny piasek i białą krupę. Tesla szarpnął taflą, drobiny przemieszały się. Poczekał, szarpnął znowu - odmieszały się w dwóch trzecich, rozchodząc się na lewo i prawo od linii niemal pionowej.

Rozpoznało się w tafli zwierciadło tungetytowe.

- To zaniechał pan też doświadczeń nad naturą ćmiatła?

- Ćmiatło, ćmiatło, ćmiatło... - Wykonał białymi dłońmi skomplikowane gesty, zapewne mające oddać równie skomplikowane idee. - Jak zbudować hipotezy na hipotezach? Nie wszystko przecież wiemy o samym świetle.

Jeszcze łyknąwszy i przysiadłszy na taburecie wysokim, opodal Lampy Ćmiatła (odstawiło się ją było na miejsce), popłynął wynalazca w meandryczny wykład swoich teorii ćmioletnych. Nasamprzód wyciągnął swego ukochanego Johanna Wolfganga von Goethego. Gienjusz literatury ogłosił rewolucyjną teorię optyczną w liczącej półtora tysiąca stron pracy *Zur Farbenlehre*, opublikowanej w roku 1810, której poświęcił lata eksperymentów z pryzmatami i którą uważał za dzieło swego życia. Wedle Newtona i innych klasyków optyki ciemność jest po prostu brakiem światła; von Goethe utrzymywał natomiast, iż światło i ciemność są jak przeciwne bieguny magnesu i jedno wpływa na siłę drugiego, kolory zaś nie są zawarte w świetle białym („rozszczepianym” na pryzmacie w spektrum), lecz powstają na liniach granicznych między ciemnością i światłem. Żółć i czerwień, gdy światło biegnie ponad ciemnością, a błękit i fiolet - gdy ciemność ponad światłem. Ciemność - to znaczy coś, co teraz nazywamy ćmiatłem - oddziałuje bezpośrednio na światło. O zachodzie Słońca stań na czystym tle przed zapaloną świeczką, powiada Johann Wolfgang, i obejrzyj swój cień: zobaczysz mocny błękit. Światło nie musi mieć natury falowej, aby człowiek postrzegał kolory, widma i tęcze; widzimy to przecież.

...Inne konstrukcje wzniosł Tesla na teoriach młodszej daty. Jeśli weźmiemy tę hipotezę szaloną, że światło w Lecie jest zarazem i cząstką, Einsteinowem *Lichtquant*, i falą, bo falą bytu, to znaczy przyplływem i odpływem prawdopodobieństwa istnienia cząstki światła - wówczas ćmiatło byłoby analogicznym fizycznym przejawem nieistnienia, to znaczy uderzeniem cząstek „prawdopodobieństwa ujemnego” światła; strumień ćmiatła byłby strumieniem niebytu światła. Przybrało się minę świętego Tomasza. Czy to znaczy, że istnieją jakieś „molekuły niebytu”? Ale jak może istnieć niebyt? Byt to to, co istnieje; niebyt - to, co



nie istnieje. Lecz tak samo, zauważył Nikola, wolno pytać przy okazji interferencji świetlnej: jak coś, co istnieje nie do końca, bo ułamkowo, w prawdopodobieństwie jeno - jak coś takiego wpływa na byty widzialne, namacalne? Ćmiałto wypierające światło nie stanowi więc żadnego nowego efektu. Prawdopodobieństwo ujemne niweluje prawdopodobieństwo dodatnie.

...Wszelako czym wówczas są świecienie? Tu już Tesla wymachiwał długimi ramionami jak wiatrak, przywołane w głoś świecienie wystąpiły mu na garnitur w większej obfitości, ćmiec brudziła skórę pomarszczoną. Wszystkie rozkłady widma świecienia oraz doświadczenia z ekranami foliowymi, prawil dalej, pokazują, że co do zasady jest to znowu zwykłe światło. Widocznie, przechodząc przez materję stałą - przez to, co istnieje w sensie absolutnym - ćmiałto ponownie ulega odwróceniu w swych prawdopodobieństwach. A czy także w przećmietlanej materji zachodzi jakaś zmiana? Jeśli tak - to na poziomie submolekularnym lub zgoła na poziomie energii ćmieczy, bo niczego pewnego nie udało się tu Tesli wykryć. Nie określił również zależności długości fali światła/świecienia od długości fali ćmiałta - bo też wcale nie muszą to być fale.

- Ale przecież światło rozchodzi się także w częstotliwościach niewidzialnych dla ludzkiego oka. Znacznit, jeśli to są częstotliwości...

- Podczerwień - beknął Serb.

- Na przykład. To jak to jest z ćmiałtem?

Nikola znowu zamachał rękoma, co wzięło się wpierw za kolejny bełkot mimiczny - ale on to właśnie chciał pokazać na sobie: świecienie, oćmietlenia.

- Człowiek ciepły - rzekł i zamilkł na chwilę, wsłuchując się w pracę swego organizmu; uspokoiony, że wszystko tam w środku działa jak trzeba, jeszcze dołał maszynerji paliwa  $C_2H_5OH$  i podjął: - Człowiek ciepły świeci z samego ciepła, tylko że tego nie widzimy. Natomiast człowiek o zaburzonym bilansie ćmieczy, *vide* lutowczyk, nooo, czym on jeszcze promieniuje? Pobaw się przyzmatami, zobaczysz, jak, przechodząc przez inny ośrodek, światło zmienia charakter. Może być i tak, mój chłopcze, iż dobywając się z wnętrza materji, promieniowanie takie, nawet jeśli z początku ćmietliste, odwraca się w świecień na tkankach wierzchnich. Jedynie z tych warstw zewnętrznych uwalniane może ujść ćmiałto niezakłóconem. Więc jeśli się nie mylę, to stąd na mieszkańcach Kraju Lutyh owe fenomeny optyczne.

- A Czarne Zorze? A że świecienie ciągle się tak międlą, bełtają, galaretują? A te wróżby

od nich? Czytał doktor, co przyniosłem mu od Kruppa, te teorie berlińskie? Bo że jakiś związek ze stanami umysłu człowieka przećmielanego tu zachodzi, tegom pewien.

- Ba! Może sama ta hipoteza Borna i di Velocego fali de Broglie'a jako skoków prawdopodobieństwa istnienia, ona sama może być fałszywą! Tak w Zimie, jak i w Lecie!

- I o jakim to „ujemnem prawdopodobieństwie” pan mówi? Matematyka jasno definiuje prawdopodobieństwo: od jedności, to znaczy zdarzenia ziszczonego lub równie jak ono pewnego, do zera, to znaczy zdarzenia bez żadnej szansy zajścia. Jakże szansa mogłaby być mniej niż zerową? Znaczi - szto? nie tylko rzecz dana w żadnym razie się nie zdarzy, lecz na dodatek - no cóż jeszcze? Czy można „nie być” i „nie być bardziej”? Zali nieistnienie jest stopniowalnem? Na Boga, Nikola!

- Pij, pij.

ŁubuMMM!

Pan Chawrow rozdział się z marynarki i kamizelki, krawat rozsupał, rękawy podwinął: zabiera się do picia jak do ciężkiej pracy fizycznej, łupania kamieni. Sasza zrzucił już był płaszcz laboratoryjny. W pracowni widać zachomikowano niemałe zapasy trunków, bo ni z tego, ni z owego pojawiły się jeszcze dwie pękate flachy syberyjskiego chanszynu. Się przyglądało się temu z nietajonem zdumieniem. Zapewne było się jeszcze nazbyt trzeźwym, zapewne zbyt krótko Młot Ćmieczy w głowę bił - lecz z zewnątrz oglądane, miało to wszystko pozór zbiorowego opętania: duch zły w nich wszedł i ciałami, umysłami powoduje. Trzask-prask, będą chlać na umór. Co za trans przedziwny! Inaczej się piło w Warszawie: od kieliszka do kieliszka, kwadrans po kwadransie, kumpel przepijający do kumpla, przy zagryzce, przy rozmowie; się ścinało się jakoś tak niepostrzeżenie. A tu: piją, żeby pić. Przecież zawołanie Chawrowa to pretekst pusty, co innego równie dobrze mogło za znak posłużyć. Jeszcze Pawlicza rozumiało się o tyle, że w jego stanie ducha - zamknięty tu jak w twierdzy zaiste, przerażony, wyobcowany, na wieczory i noce sam sobie pozostawiony - każda droga do zapomnienia dobra. Ale doktor Tesla? Założywszy nogę chudą na nogę, zgięty bociano na taburecie, smakuje szkocką długimi łykami, z uśmiechem dobrodusznym na wicedyrektora i biologa spoglądając, którzy stroją miny głupie do szczurów i myszy.

Zaszedł do pracowni stary Stiepan i kozła fiknął zaraz za progiem na kobiercu szklanym. Się śmiało się razem z innymi. Ochrannik gramolił się niezgrabnie, klnąc skrzekliwie. Jak wszyscy rechotali, tak wszyscy wraz rzucili się mu pomagać, ubranie z odłamków otrzepywać, do stołka prowadzić, jedną, drugą szklanę w dłoń wpychać. Edmund

Gierontijewicz, dobrze już podgrzany, wyciągnął ze szkafa miotłę i, bardzo tym ubawiony, zamiatał kryształowe rozpryskowisko; zaraz też jął przy robocie śpiewać (baryton operowy) i na taki takt długi melodię rozpiął, coby sunąć miotłą w rytmie zgranym z uderzeniami Młota Ćmieczy. Opanowawszy krok i zamach, uprzątnął podłogę w sześć łomotów.

Sasza tymczasem, rozserdeczniony różowo, aż mu ta miłość bliźniego pryszczami i dziobami z facjaty wychodziła, dosiadł się z resztą saży po kolbach miarkowych rozlanej i, wcisnąwszy je wszystkim, spowiedź jakąś gwałtowną Tesli na ucho czynił, szarpiąc go przytem za połę i sobie w pierś chudą pięścią bijąc. Nie słyszało się, co opowiadał.

Chawrow przywalcował z miotłą w objęciach; wychylił kolbę do dna, zlizął z warg tungetyt.

- No i co, Wieniedikt Filipowicz, wiele dobrego wam przyszło z zabaw cmentarnych?

- A to Arski wam nie opowiedział?

- Powiedział, powiedział. - Edmund Gierontijewicz oparł podbródek na trzonku miotły, oko puścił. - Za Ojcem Mrozem drogi szukacie, a? - Zebrał czubkiem języka ostatni płatek czarny. - Tungetytu się najadł i pod ziemię wmarzł, a?

Szkocka podrapała przelyk, odchrząknęło się.

- Najadł, napił, naćmieczył.

- I co? Teraz - Chawrow zakręcił ramionami w nieporadnym *crawlu*, nie podnosząc brody od miotły - teraz pływa sobie pod ziemią, chły, chły.

- Otóż i ból, drogi panie, bo człowiek żywy nie może oczywiście po Drogach Mamutów chodzić.

- O! Nie może?

- Bo jak? Człowiek nie dżdżownica.

- Ano nie.

- Ale to was ucieszy. - Kopnęło się w miotłę, Chawrow poleciał w przód, podtrzymało się go za ramię. - Jak on wędruje po Drogach Mamutów, skoro nie człowiek żywy? Tak: umiera i zmartwychwstaje.

Fiodorowiec zaszczekał pudelkowato, rozbawiony.

- Umiera i zmartwychwstaje!

- Słyszysz? - ŁubuMMM! - Oto, co płynie Drogami. - Postawiło się szklanicę na środku zasypanego piaskiem i kaszą czarnego zwierciadła. - Odmiesza pomieszane, złoży rozbite, oświeży zgniłe, skleji rozerwane, ożywi martwe. - Znowu się nachyliło się ku Chawrowowi, słuchał teraz z ustami wpółotwartymi; złapało się go za policzki, potargało łbem okrągłutkim. - Nie przemarza po Drogach ciałem zbitem, oddychającym w zamrożeniu. Nie, nie! On płynie jak hel - przecieka - prze jak zmarzlina - włókno, kosteczka, grudka krwi, nitka skóry - i gdy fala się odbija, składa się nazad do kupy, niczym gojlem Piegnarowy. - Się zaśmiało się. - Pod ziemią, na ziemi. Mój ojciec! - Się śmiało się coraz głośniejsze. - Na fali ćmieczy, w temperaturze poniżej zera absolutnego - czy żyje, czy nie żyje... Istnieje jeszcze bardziej! Istnieje stokroć mocniej! Istnieje ponad wszystko!

- I ten marcyńowiec - tchnął Chawrow, pijacko przejęty - ten -

- Kopytkin.

- A tak, Kopytkin!

- Pamiętacie go? Co to był za człowiek?

- Iwan Tichonowicz Kopytkin, cham nie do zniesienia, brutal i dzikus.

- Ale co go od innych ochotników różniło? Arski wam opowiedział, przekopaliśmy mogiły ich wszystkich - jeden Kopytkin zeszedł w marzłość.

- Oj, nie znałem ja ich przecież tak dobrze. Co go różniło - jeszcze większy gbur i nieokrzesaniec.

Puściło się Chawrowa.

- Szczury prędzej mi powiedzą - burknęło się.

Wyprostował się, palec uniósł.

- Szczury mądre zwierzęta!

- Co takiego wam szczury powiedzą? - zapytał Tesla, z zacieklą pedanterją wyrównując sobie mankiety i rękawiczki.

- Dlaczego jedne prędzej od innych zamarzają - pośpieszył z wyjaśnieniem Sasza i, z braku stołka, podsadził się i na blacie obok Maszyny Promienia Śmierci klapnął.

Cisnęło się szklanką o ścianę. Odbiła się jak od gumy i wróciła do dłoni, ani pęknięta.

- Bóg stworzył ludzi nierównymi! - zawołało się. - Jedni fortuny przepijają, a drudzy

żelazka na piersi magnesują! Pan doktor pomierzy stałą strukturalną duszy! Kto więcej ćmieczy zdzierzy, kto istnieje bardziej niż inni!

- Szczur-Herkules! - szepnął Sasza. - Myszka jedynoprawdy!

- Khrm, mhm, chrkm - pochrząkiwał dłuższą chwilę Tesla, aż wreszcie popił wódki i mowę mu wróciło. - Powiadasz, *mon ami*, że nie ma na to żadnego przepisu fizycznego, chemicznego, biologicznego, bo trzeba nadto zamarznąć - z duszy?

- Z charakteru.

Gaspadin Chawrow zmarszczył się w wielkim wysiłku umysłowym, a mózg mu od tego tak zaciążył, że znowu wicedyrektor na mietle wesprzeć się musiał, wpółłożony jak scyzoryk.

- Pan chcesz charakter człowieka w liczbę ujęty w równaniach fizycznych umieścić! - wyartykułował w końcu.

- I co w tym dziwnego?

- No jakże! Fizyka, matematyka, nauki przyrodnicze, wartościami mierzalnymi obracające - one nie traktują o człowieku. Co najwyżej o jego ciele; ale nie o człowieku! Nie, nie, nie! Do człowieka masz pan literaturę, poezję, psychologię, filozofję i religję, do człowieka masz słowa, nie liczby!

- A cóż to za dogmatyka nowa! I to z czyich ust - Fiodorowa wyznawcy!

- Dogmatyka? Ach, pan jesteś - począł pluć sylabami znad miotły - pan jesteś determinista, lamettrienista, zegarmistrz duszy!

- *Au contraire*. Czy naprawdę wszystko o świecie poza człowiekiem da się opowiedzieć prostą mechaniką zegarmistrzowską-newtonowską? Jeśli czytał pan dyrektor szanowny cośkolwiek o pracach Plancka, Einsteina i Grossa, to wie pan, że nie. A jednak nie wyjmuje to fizyki more, moke, mokle, molekularnej z dziedziny liczby, nie wyjmuje jej w dziedzinę literatury i poezji. Dlaczegoż więc umysłu ludzkiego nie wolno potraktować w tym samym rygorze? A? Zobacz pan, jeszcze kiedyś powstaną matematyki duszy, wedle elektryki mózgu i oddziaływań jakichś dla nas na razie niemierzalnych opisujące charakter człowieka w systematyce godnej Mendelejewa. - Złapało się oddech. - Albo i nie zobaczy. Jak dożyjemy. - Dolało się szkockiej. - Albo jak zostaniemy wskrzeszeni.

Doktor Tesla bił ledwie słyszalne, bawełniane oklaski.

- *Well said*, Benedictus!

- Czasami - się zwierzyło się mu ponad lustrem tungetytowem - czasami zdaje mi się, że potrafię wypowiedzieć to, czego nie da się wypowiedzieć. - Pokiwało się głową ze smętną powagą. - Wtedy największe głupoty mówię. O, jakie głupoty! Arcydziela duractwa! Majstersztyki kretynizmu! Rewelacyjne bzdury, gienjalne bałwanizmy!

ŁubuMMM!

Trzy butelki później Stiepan, wczółgawszy się pod okablowane stelaże, przeżuł jakieś druty i tak się prądem i pływem poraził, że skry mu biało-czarne leciały ze zlodzonej skarpety, kiedy się go ciągnęło za nogę nazad spod żelastwa. Ledwo się wywlekło starego ochrannika, wpęzł tam półgoły dyrektor Chawrow w pościgu za myszą, której nie zdążył się naspowiadać z życia swego całego dyrektorskiego; zaszlochany, wołał za nią basem - czmychała przerażona. Gryzonie rozlazły się po pracowni, pod stoły, na stoły, w aparaturę. Sasza z początku je gonił, teraz wlaź na szafę stalową i stamtąd miotał po komnacie śrubami i zwijkami kabla, ledwo który zwierzak nos czy ogon pokazał; raz Pawlicz trafiał, raz nie, wedle uderzeń Młota. Najspokojniej zapił się doktor Tesla, który po prostu zasnął, twarzą w lustro tungetytowe plasnawszy, że mu się ciemne i jasne drobiny na niej poprzylepiały, jedno na policzek prawy, drugie na policzek lewy - co mogło coś oznaczać, ale nie musiało. Oddech ćmietlisty szedł mu z ust półotwartych, mgłę na zwierciadle kładąc.

Wyciągnawszy Stiepana, wyrwało się też pęk kabli, poczem, rozsiadłszy się wygodnie na posadzce, z bańką marostiekłową na czachę nasadzoną i laską ćmieczometryczną zawieszoną na szyji, zabrało się za świeżą flachę chanszynu, to elektryką, to teslektryką z drutów nagich zagryzając. Młot walił przez skronie na wylot. Zamykało się oczy na przemian, łapiąc obrazy wypalane z kolejnymi łykami, czarne, białe, czarne, białe. Wódka z ćmieczą smakowała lepiej; od prądu zęby cukrem cytrynowym obkwitały. Łup, śruba odbiła się i uderzyła w piętę. Złożyło się dłonie. Krzaczkę węglowego szronu zarastały palce, sięgając paznokci bladoróżowych. Zamykało się i otwierało pięści, kolczaste energie wdrapywały się żyłami i nerwami w górę rąk i do serca, do głowy. Łup. Złapało się w locie odbitą mutrę i rzuciło się nią w Pawlicza. Biolog spadł z szafy, zabijając mysz i szczura. Poturlał się po zaśmieconej podłodze, wymachując ramionami. Schowało się butelkę za plecy. - Ostatnia! - jęknął Sasza. Wyciągnęło się dłonie przed oczy, mozaika blado-różowa wybiła spod skóry, szachownica papilarna. Przymknęło się oko lewe. Sasza złapał za rękę.

- *Zzzimny!* - zasyczał.

- Puści!

Wytrzepał sobie z rękawa truchło myszy.

- Też zamarzła, bibibidula.

- A to dobre.

- Co?

- Tym okiem - dziabnęło się w powiekę - widzę tylko cienie, a tym - światła tylko.

- A mnie, mnie którym widzicie?

- Błu-błu-błu, a błu-błu! - perorował obok Stiepan do skarpety, naciągnawszy ją sobie na dłoń; skarpetka odpowiadała kaczym kwakiem.

- Pół na pół - mruknęło się i pociągnęło się z gwinta, na ząb biorąc kabel skotosowy. Szczeka zdrętwiała.

Sasza mrugał, odlepiony.

- Za mamutami, za mamutami chcecie -

- Dżle on jada? Dżle? Młapy!

- Zzzamrozić! - Z przejęcia Pawlicz przygryzł ogon myszy. - Nie pozwalam! Zzzabraniam!

- Tyłe łat! Je to proszto ssiemi? Dżle ołaza!

- Nie-nie-nie!

- Błu-błu-błu!

Ale czemu wszyscy tak bełkoczą, pomyślało się, i łyknęło się głębiej dla przeczyszczenia strun głosowych.

- Jak żyją - rzekło się, artykułując słowa bardzo wyraźnie - jak nie żyją, czy co tam abaasy robią - ale nażreć tungetytu się muszą - nie? - Objęło się Saszę za szyję. - Się wysra, się wyszcza, się to wypoci, wydycha. Bababalonowiec odmarzł. Nie?

Nic nie pojmując, Sasza kiwał poważnie głową, mysza wahadłowała mu pod brodą.

- Więc - więc - więc - się podrapało się kablem w ciemność. - Co się chciało powiedzieć... Sasza, Sasza!

Wypluł truchło.

- Żreć tungetyt. Zamarzać. - Podźwignął się na nogi, chwycił za łagę ćmieczometryczną, pociągnął. Bania marostiekłowa spadła i rozpekła się w geometryczny witraż. - Stawaj! Stawaj, mówię!

Wstało się. Sasza upadł. Podźwignęło się Saszę. Po kroku się przewróciło się. Następnie Sasza pomógł stanąć, poczem samemu chybnął się na czworaka. Obwiązało się mu szyję kablem i poderwało się go do pionu. Złapał się za kabel pół arszyna nad czupryną jasną i w ten sposób utrzymał się wyprostowany na nogach. Tymczasem wróciło się na podłogę po flaszkę. Ale flaszkę porwał był już dyrektor Chawrow; lał teraz wódkę w pyszczek ściskanego w garści gryzonia, topiąc go nieporadnie. Pod kolanami strzelały mu elektryczne snopy. Uścisk duszący postawił przed oczyma gwiazdy czarne, kwadratowe - to Sasza Pawlicz ciągnął za laskę. Prawą ręką trzymając się w pozycji wertykalnej za kabel pod brodą opętłony, lewą holował za ćmieczometr. Tak wymaszerowało się na korytarz. ŁubuMMM!

Błądziło się po pustych nocą zakamarkach Obserwatorjum, objijając się o ściany i tłukąc się o sprzęty. Sasza prowadził, ciągnąc się za drut-wisielnicę to tu, to tam. Się potknęło się o nogi kozaka śpiącego na stołku za progiem. Sasza zawrócił. Zaczął bardzo głośno liczyć drzwi, w czym szybko się go poprawiło, bo gubił liczby między trójką i czwórką, między siódemką i szóstenką. Naraz zatrzymał się, powiesiwszy się przy drzwiach żelaznych o zakratowanym okienku.

- Masz! - charknął i przydusił łagą do tych drzwi, aż się broda po nitach i rdzach przeszorowało.

Zajrzało się do wnętrza cienistego, słabo blaskiem z korytarza oświetlonego. Była to izba ciasna o gołych ścianach, w celę widać teraz obrócona - z sienników podnosiły się na hałas postaci łachmaniarskie, tarły oczy, gęby zarośnięte rozdziawiały.

- Masz! Z nich weź i zamarzaj!

- Kto-

- Imperator kazał! Katorżniki, dobrowolce! Ha! - Czknął i wyżej się powiesił, na palcach stając. - Masz! - kwiknął.

Spojrzało się na nich okiem ciemności, spojrzało się na nich okiem światłości. Wyniszczeni, stłamszeni, do ziemi przygniecen, nawet teraz odruchowo kregosłupy gną i spode łba, z dołu spozierają; a na którego wzrok czarno-biały się zwróci, ten ślepią spuszcza i szczyrzy się przymilnie, sabaczo, bezzębny.



- Gównu, nie abaasy - prychnęło się.

- A?

- Pomarliby wszyscy.

- To kogo -

ŁubuMMM!

- Ismaela! - ryknęło się i się wyrwało się z laski, ażeby paść na kolana i obrzygać nogawki dyndającego pół arszyna nad podłogą Saszy Pawlicza. Ćmiecz węglobłystna płynęła wraz z sokami żołądkowemi.

- Ismaela - jęczało się, usta ocierając.

Zasnęło się tam, w pracowni Tesli w Obserwatorjum, pod korpusem małej pływnicy, w futro cudze zawinięty, lagę ćmieczometryczną pod pachą ściskając (pozostaną siniaki). Młot Ćmiatła, Młot Ćmieczy bił skroś snów, roztrzaskując je jeden po drugim. Co było jednak niezwykłym: że się w ogóle cokolwiek z tych snów zapamiętało, że przedarły się na stronę jawy - co nieczęsto się zdarzało, nawet tu, w Kraju Lutych. Ale Młot wbił je głęboko w duszę. ŁubuMMM! Katorżnicy zamknięci w tym magazynie, naskoro na tiurwę zamienionym, gryźć się poczęli i zjadać nawzajem, czego odgłosy zwierzęce, ohydne wybiegały na zewnątrz. Odsunąłem wiszącego przed drzwiami Pawlicza, ale nie starczyło antabę podnieść - trzeba było kluczy do zamka. Pobiegłem do kozaka-wartownika. Kozak nie potrafił zrozumieć, co do niego mówię: zamiast słów, strumień krjowęgła leciał mi z ust. Sałdat przeładował i strzelił raz i drugi: głowa, pierś. Blask ognisty buchnął z otworów. Zatykając je dłońmi, wróciłem pod celę. Sasza wisiał już trzy arszyny nad podłogą, nadal podciągając się wzwyż. Zajrzałem przez kratkę. W środku pozostał tylko jeden katorżnik, zagryzłszy, rozszarpawszy współwięźniów. Wpierw nie rozpoznałem sylwety żabio-pajęcznej przycupniętej na stosie poodrywanych członków, czerepów i tułowi. Odjąłem rękę od czoła. Promień cyklopi rozjaśnił celę. Katorżnik podskoczył, zadreptał siedmioma kończynami i odwrócił się ku drzwiom, nadal wplask nad kamieniami rozcapierzony. Na Piegnarowem zlepisiku części ciał bodaj od tuzina osób pochodzących, na szyji jeszcze dobrze do nich nie przymrożonej telepała się głowa Siergieja Andriejewicza Aczuchowa. - Nie ma człowieka! - charczał, a korona piorunów teslektrycznych krzaczyła się wkoło niego. - Nie ma Historji, nie ma człowieka! Rozpacz, rozpacz, rozpacz! Nawet samobójca! Upijcie się! Nie ma człowieka! - Inna część gojlema podniosła jednak bunt, łapa przymrożona do lewej łopatki sięgnęła karku i zerwała zeń głowę Aczuchowa; nowy łeb ze stosu wygrzebała i nasadziła go na to miejsce.

Ten dobrze obmaczany był we krwi i nadgnieciony nieco nad skronią, poznałem jednak od razu krągłe oblicze *Herr* Blutfelda. - ...zła, Zima zła, Zima zła, Zima zła, zła, zła! - burczał, naburmuszony. - Historia zła, Historia zła, Historia zła... - Krzywo nadziana, łepetyna Blutfeldowa szybko wszakże spadła, spadła i odtoczyła się w mrok. Przymierze kończyn przednich z powrotem usadziło na tronie karku czaszkę Aczuchowa. - Nie ma Historji, nie ma człowieka! - zawył on od nowa i łypnął wściekle. - Mamuty, mamuty! Za-za-zapadam się. - Zaczem zapadł się istotnie, gdy trupy i kamienie i ziemia rozstały się pod wszystkimi jego nogami i rękami, których przybywało i przybywało (koalicje członków zbroiły się wciąż nowymi kończynami wygrzebywanymi z pobojowiska). Napałem na drzwi, usiłując wejrzeć w otwierające się w tiurmie Darogi Mamontow. Zmarzlina pękała przy wtórze trzasków i huków godnych salw armatnich. Zatkaną uszy; wtedy uderzył Młot. ŁubuMMM! Młot, Młot, trzeba go zatrzymać, zanim będzie za późno! Prototyp czy nie, nie można mu pozwolić budzić na Drogach takich fal! Wybiegłem na dziedziniec Obserwatorjum. Machina zimnazowa podobna żurawiovi studziennemu była w ziemię kafarem tungetytowym w kształt popiersia Mikołaja II Aleksandrowicza wykutym. Przed nią dookoła klęczały lute. Na grzbiecie największego glacjusza siedział okrakiem Nikola Tesla i walił z zamachu długich ramion piorunami czarnymi - walił w ten krater, który car-młot wybił do Dróg Mamutów. Buchało zeń ćmiatło, w którym tylko od czasu do czasu świeceń koślawy błyskał i pokazywał się w nim abrys sylwetki ludzkiej, ręka wzniesiona błagalnie, profil męża cierpiącego. Rzuciłem się w tę ciemność, prowadzony światłem z serca i z głowy, lecz już po kilku krokach poczułem mróz tężejący wokół galaretowemi falami, wżerający się w ciało, wiążący je w czasie lutyh. Następny krok, następny - mijały kwadransy, godziny. Lute obracały się na swych pajęczych stalagmitach, nachylając ku mnie ciemnobłystne meduzy lodu. Wyciągały po mnie sople ćmieczą nabiegle. Imperator szczyrzył się lunatycznie z Młota, świecąc jak kometa na łuku w dół, gasnąc na łuku kugwiezdnym. Coś leciało w kipiel ćmietlną z wysokości, nie gwiazdy - drobiny szare zmrażane w locie gromami doktora Tesli. Powoli, powoli, powoli obróciłem do góry oczy i lancę światła zmiędzy oczu bijącą. To Sasza Pawlicz - Sasza podciągnął się był na kablu wisielczym ponad maszty trupie; majaczył teraz na czarnem niebie, kołysząc się lekko pod Księżycem w pierwszej kwadrze, a z lewego rękawa sypały się mu szczury i myszy. Szczury i myszy, pomyślałem, niech się ojciec pożywi przynajmniej nimi: ciepła krew, ciepłe mięso, ciało żywe. ŁubuMMM! O Chryste! ŁubuMMM! Mamuty, mamuty idą po mnie, łubuMMM, trzęsie się ziemia, gdy przez nią wędrują.

Lecz zanim zdążyłem zstąpić do Królestwa Ciemności, pojawił się pan Szczekielnikow, zgruchotał Młot, naszczał w krater ćmiatła, opluł lute i odwiózł mnie na Cwietistą. Gdzie spało się już bez snów, by nazajutrz obudzić się za to z katzem mamucim.

### **O rozkoszy pokuszeń odpartych**

„Irkutskije Nowosti” donoszą, iż nowa aberracja dotknęła sonnyje raby; redakcja radzi rodzinom trzymać nieszczęśników w zamknięciu, albo i krępować na noc - ciągnie ich bowiem na miasto, w największy mróz nawet, a nie zważają przytem zupełnie na własne zdrowie. Pytani, opowiadają o przyjacielu w potrzebie lub podobnych bzdurach. Gazeta o tym już nie pisze, ale wiedziało się przecież, dokąd oni ciągną na jawie, która jest snem, który jest jawą. Zachodzą mianowicie do Obserwatorjum Tesli, z daleka widoczni wielkimi świecieniami; grzecznie proszą kozaków, żeby ich przepuścili; i nie opierają się, gdy kozacy krępują ich i przekazują żandarmom. Stiepan opowiadał, że odkąd Nikola uruchomił prototyp Młota, naszli Obserwatorjum w liczbie bliskiej dwóm setkom. Żebracy i bankierzy, cyrulicy i izwozczyki, panowie oficerowie i biedniaki, dziewczki-niedorostki i matrony siwe, Rosjanie i Niemcy i Polacy i Chińczyki, nawet pop jeden i popadia. Wszyscy - niewolnicy konieczności, poddani jedynoprawdy. Pomyślało się, że przynajmniej taka korzyść wyraźna z odćmieczenia długiego: że nie śni się. To znaczy, do teraz.

*W pensjonacie przy ul. Pietropawłowskiej wczoraj wieczorem poderżnął sobie brzytwą gardło 40-letni werkmistrz Apollonjusz Ćwibut. Pan Cwibut przybył niedawno do naszego miasta ze Lwowa i skarżył się bardzo na sny w czas Czarnych Zórz. Policja zasięgnie opinii metropolitarnych czarowników burjackich.*

„Russkije Wiedomosti”, gazeta, moskiewskich liberałów, więcej o polityce europejskiej piszą. Pokój hongkoński najwyraźniej przyjęto w Rosji jako bez mała trjumf cara. Oktiabryści-liedniacy, Jarkowa, Mierzyńskiego i nawet starego Guczkowa, a także kadeci-milukowowcy, nie mówiąc o prawicowych lojalistach i nawróconych trudowikach, wszyscy zgodnie wystosowali w Dumie wiernopoddańczą uchwałę gratulacyjną. Do Rady Państwa, jak to słusznie był przewidywał Miczka Fidelberg, wróciła od razu sprawa ziemstw zachodnich guberni i dawno wstrzymanej drugiej reformy podatkowej wedle projektu Stołypina. Czyżby Lód puszczał? Japonja i Hongkong brytyjski należą jednak jeszcze do dominjum Lata. I jeśli impuls przychodzi stamtąd... Potarło się skronie, w nich nadal bił Młot

Ćmieczy. Czy można tak Historję rozkawałkować, że pół świata stoi, a drugie pół - mimo to swobodnie do przodu postępuje? Zamrozić część człowieka - umrze człowiek cały. Wszak nie przestaną wtem obowiązywać zasady przyczyny i skutku. Logika załamuje się na granicy Lata i Zimy, jak światło załamujące się na granicy różnych ośrodków, a przecież promienie jakoś przez granicę przechodzą. Ba, „Russkije Wiedomosti” w komentarzu odredakcyjnym również uderzają w optymistyczny ton. Nareszcie pokój! Wojna pożerała rok w rok tyle pieniędzy, że nigdy dobrze nie poczuliśmy prosperity wzbudzonej przez boom zimnazowy; teraz, a już na pewno po uruchomieniu Linji Alaskańskiej, Imperjum Rosyjskie wejdzie w Złotą Erę (jeśli tylko mądrze rządzone).

Sięgnęło się z łóżka po „Tygodnik Ilustrowany”, złożony na nachttischu w stosie razem z innymi świeżymi pismami przywiezionymi z Królestwa ostatnim Ekspresem Transsyberyjskim, wczoraj czy przedwczoraj. W „Tygodniku” dwie szpalty zajmowała odezwa wystosowana przez Warszawskie Towarzystwo Miłośników Zwierząt. Wieloletnia Zima spowodowała nie tylko wyginięcie gryzoni miejskich i przegnała z Warszawy ptactwo, ale w ogóle pozbawiła miasto i jego mieszkańców kontaktu ze zwierzętami, jeśli nie liczyć koni użytkowych, też już przecież traktowanych bardziej jak biologiczne maszyny. Nie dosyć, że wyginęły kundły uliczne i koty-piwniczniki - ludzie, wygodni egoiści, przestali po większej części trzymać w domach zwierzęta, zwłaszcza psy stały się w chowaniu bardzo uciążliwymi. Towarzystwo apeluje o społeczny wysiłek w celu ponownego przygarnięcia do ognisk domowych „naszych małych przyjaciół”, Towarzystwo w tej intencji sprowadzi ze wsi setki kociąt i szceniąt doskonałej kondycji - do odebrania za symboliczną opłatą i poręczeniem imiennem w siedzibie Towarzystwa. Szczególnie familje obdarzone dziećmi winny zapewnić im możliwość codziennego obcowania z żywymi psami, kotami. Skoro dwudziesty wiek ma być wiekiem maszyny i bezosobowych pragmatyzmów pieniądza i techniki, skoro nadto żyjemy w metropolji odciętej od natury, lodem przykrytej - dbajmy przynajmniej, by nie zatłamsić w sobie tych uczuć, które rodzą się w człowieku z bytowania w bliskości z życiem małym, bezbronnym. Natura ludzka nie zmienia się równie szybko co cywilizacja (jeśli zmienia się w ogóle). Nasi ojcowie, dziadowie, pradziadowie - tak się przecież ćwiczyli w czułości i miłości, tak się wychowywali do afektów dorosłych i wrażliwości dojrzałej, tak każdą kropelkę Życia cenić się uczyli: z dotyku ciepłej sierści wiernego wyżła, z radości kociąt rozbrykanych, cudownie nieporadnych, z drżenia chrap źrebaka w dłoń wtulonych, z roztrzepotanego serduszka ptaka zamkniętego w garści. Człowiek wychowany w lodzie, cegle i zimnazię nigdy do końca nie otworzy swej duszy.

Pomiędzy tym i następnym pokoleniem zatracona zostanie zdolność odczuwania pewnych emocyj; stopieniu ulegnie zmysł empatji. Inni ludzie - ludzie lodowi - złożą nas do grobów. Będą mieli swoje romanse, swoje namiętności i czułości - ale już sparciałe, ociążałe, blade. Naszych poezyj, naszych dramatów, naszych żyć - nie pojmą do końca; zdamy im się nadpobudliwymi histerykami, irracjonalnymi lekkoduchami. Ślepotą i głuchotą duchową opanują ludzkość. Warszawiacy, chowajcie psy i koty!

Stary Grzegorz przyniósł kufel wody z kiszonych ogórków na katzenjammer, a wychodząc, nie domknął za sobą drzwi; przez szparę wcisnął się kocur Wielickich. Leżał teraz w nogach łóżka, przeciągał się, ziewał i mrugał, zdumiony lekko. Podagrę to z człowieka kocisko wyciągnie, ale katza? Zegar w salonie wydzwonił wpół do dziesiątej, Młot łomotał we łbie. Łyknęło się jeszcze kiszunki, absmak zastępował absmak. Dobrze, że wzięło się było wolne przedpołudnie na okoliczność spotkania z księciem i jego człowiekiem, przynajmniej nie zrobi się pośmiewiska u Kruppa, pokazując się w takim stanie. Pozbierało się prasę, się podciągnęło się na poduchach. Kot przemaszerował dystyngowanym krokiem po pierzynie, poczem najpierw spróbował wejść na głowę (odepchnęło się go z jękiem), a następnie wcisnął łebek pod brodę i owinął się wkoło szyji na podobieństwo żywego kołnierza futrzanego. A kiedy się go przemocą oderwało, drapnął pazurem przez policzek, rozeźlony. Do pioruna z wszystkimi Towarzystwami Miłośników Zwierząt! „Duszę otwierać”, akurat! Bestja, sycząc i kły pokazując, krążyła wokół łóżka. Się podniosło się, wyгнаło się ją z pokoju, zamknęło się drzwi.

Się powlokło się odsłonić okna. Biel chlusnęła po źrenicach. Za oknami wirowały tumany tęczowe - śnieżycą okrutną męczyła miasto od świtu. Odcharknąwszy do kraszarki, przytknęło się na moment czoło do zimnego marostiekła. Trzeba się jakoś rozbudzić z tego łomotu, przecknąć z otępienia, zmęczenia sennego, wyplukać gorycz. Dzisiaj tak wiele może się rozstrzygnąć... I wcale nie ma się pewności, czy właśnie Lodu teraz trzeba. Jakże tęskniło się za tym poczuciem lekkości, rozpiętości w możliwościach tysiącznych, za tym wichrem w głowie: myśl taka, myśl owaka, przeskakują bez wysiłku, napierają tuzinami, porywają w dziki gon ponad polami wyobraźni... I za owym towarzyszącym im wciąż podniecającym przekonaniem: że tak wiele jeszcze jest możliwe, że prawie każda przyszłość otwarta; nic stuprocentowo pewne, a wszystko jakoś prawdopodobne. Więc - odćmieczyć się! Odpompować Mróz! Obracało się czerep po zimnym okładzie marostiekła. Bo dlaczego nie? Cóż broni? (Oprócz woli świadomej). I tak trzeba wkrótce wziąć od Nikoli pompę do odmrożenia ojca; będzie się mogło odćmieczyć się w każdejbądź chwili. Tymczasem coraz

bardziej się zamarzało. A przecież nie inaczej to przebiegało w chorobie zaraz po przybyciu do Irkucka. I jak się skończyło? Otóż się dorwało się do pompy Kotarbińskiego przy pierwszej okazji. Tylko taka różnica, że wówczas zamarzało się z musu, a teraz - z wyboru. Tylko taka - aż taka! Odjęło się głowę od okna, zmiędzy zawieji i strug śnieżnych wychynął Konny Ostrow, ciemne gładzie glacjuszy, blade światła sań na Angarze. Wokół masztów trupich spiralowała gruba zawierucha. Zrazu próbowało się pochwycić odbicie twarzy w szkle, ale szybko cofnęło się spojrzenie; to też było przekleństwo Lata: władza zwierciadeł. Na szybie pozostała natomiast czerwona plamka: odcisk ranki pod okiem, rozdrapanych starych blizn. Roztarto się go w ukośną smugę. Śnieżyca poróżowiała. Krew zalała Miasto Lodu.

Ubrawszy się powoli, przedreptał do łazienki i nazad, zasiadł do jadalni do spóźnionego śniadania. Byle coś ciepłego... Ale: owsianka - kwas; kawa - kwas; jajecznic - kwas, kwas.

Smęciło się tak nad butersznyt z twarogiem, gdy zaszła panna Marta.

- Nie smakuje? - zapytała słodko.

Skwasiło się minę jeszcze srożej.

- Panno Marto kochana - zachrypiał się - ambrozji bym teraz nie przełknął.

- Ano, masz pan! - Założyła ręce na gorsie. - Kto krąży nocami po melinach jakichś brudnych, ścięty w trupa o nieludzkiej godzinie wraca, i to jeszcze w dzień roboczy, no to ma za swoje!

- Melinach...! - westchnęło się, ale bez najmniejszej ochoty na kłótnię. W progu pojawił się kocur; śledziło się go ponurym wzrokiem. Wzdychnąwszy po raz drugi, połało się na ser miód ziołowy. - Bogu dziękować, przynajmniej dzieciarnia mi po mózgowicy nie galopuje.

- Są z Maszą i matką na robótkach parafjalnych. Aha, panie Benedykcie, zakazał pan się budzić pod klątwami straszliwymi -

- Tak?

- Tak, tak. To nie budziłyśmy pana. Jedna pani bladym świtem chciała się z panem widzieć, Polka, powiedziała, że się śpieszy do pracy, więc -

- Panna z nią mówiła? Przedstawiła się?

- Gwóźdź.

- Gwóźdź?

- Gwóźdź.

Oblizalo się palce z kleistej słodkości, smak odwracał się na podniebieniu, się wyprostowało się nad stołem.

- Po co przyszła?

- Nie wiem, tego nie rzekła. - Panna Marta przysiadła naprzeciwko, zajrzała w oczy. - Oj, prawda, marniutko pan wygląda. Zranił się pan gdzieś na dodatek?

- Nie, to tylko -

- Ale to spirytusem trzeba. Zaraz, zaraz.

- Czego to kocisko piekielne ode mnie chce! - burknęło się, odsuwając je stopą pod stołem.

- Wory ciemne, wzrok tłusty, i te cienie jak pod Czarnemi Zorzami... - ciągnęła panna Marta nie bez satysfakcji, idąc po medykamentu.

- Iluzje optyczne, wszystko iluzje.

Ale co to właściwie za kable gryzło się było do wódki? Ile teslektryki gęstej w ciało weszło? I co jeszcze robiło się nocą w Obserwatorium Tesli, gdy już na umie czioty wodocznyje pliasały, że w pamięci z tego czasu pozostały jeno majaki bzduarne? Mimo woli dotknęło się omiodowanym palcem środka czoła.

Potem kot wylizał palec.

W Cytadeli - zwanej Jaszczikiem z racji topornej architektury, jak od kufra rysowanej - ogłoszono chyba alert, w każdym razie po ruchu, ogólnem podnieceniu i liczbie żołnierzy pod bronią sądząc, rozkaz jakiś mocny musiał niedawno z pokojów gubernatorskich wyjść. Pan Szczekielnikow stwierdził naturalnie, iż mu się to nie podoba, poczem nic już nie mówił, bo przydzielony w wewnętrznej wartowni sądat posłyszał jego przekleństwa i nie spuszczał go z oczu; zresztą zatrzymano Czyngisa zaraz na pierwszym piętrze. Pomyślało się, że jak wyciągną zeń ten ćwierćarszynowy nóż, a jemu samemu puszcza nerwy, może drab kwadratowy długo nie wyjść na słonko z gubernialnej fortecy. Przezornie tym razem nie zabrało się Arcymistrza - przezorność ta okazała się zbędną.

Zaprowadzili do północno-zachodniej wieży Jaszczika i kazali czekać w przedsiionku sali. Co chwila przebiegał tędy zaaferowany sługa czy urzędnik; odwróciło się do nich plecami. Z

wąskiego okna otwierał się widok na Most Szelechowa i Głazkowo, aż do wyjścia Troickiej na Angarę, gdzie Zimą Lutyh zamarzył był na amen most pontonowy imienia cesarzewicza Mikołaja Aleksandrowicza. Śnieżycy duła akurat od Bajkała, więc nie prosto w szyby, ale i tak słyszało się jej wycie i wystarczyło przysunąć dłoń do ramy, by poczuć na skórze ukąszenie mrozu wściekłego. Musiało być blisko pięćdziesiąt stopni poniżej zera Celsjusza, a na wietrze - jeszcze zimniej. Kolumna piechoty śpiesząca do Cytadeli pokonywała podwzgórze już biegiem, byle czem prędzej skryć się wewnątrz: białe pałuby garbate, nie ludzie. Koszary irkuckie znajdowały się za miastem, z dala od Dróg Mamutów; kwatery w Cytadeli mieściły na stałe góra pół pułku. Tymczasem tyle wojska się tu zebrało, jakby generał-gubernator szykował się do odparcia jakiegoś szturmu. Przypomniały się widywane już od tygodni, od miesięcy oddziały takich i owakich formacyj maszerujące przez Irkuck, sałaty na przepustkach, pan Wojsław też często wspominał o opóźnieniach na linii Transsibu powodowanych przez transporty Ministerjum Wojny - ściągano ludzi z roztopionego frontu japońskiego, przerzucano ich do Wielkiej Ziemi, ale widać wzmocniano także obsadę Miasta Lodu. Japoński Legion Józefa Piłsudskiego nieźle zalaźł im za skórę. Mimo woli się uśmiechnęło się pod wąsem, przyglądziło się surdud. Oddział wbiegł do środka, zatrzaśnięto bramę. Na jękliwą nutę wichru nawleczony, uderzał przez szyby także powolny puls śnieżycy - echo bębnow głaszatajowych? - Młot Cieczy? -

- Wasze Błagarodje.

Młodziutki untieraficer wprowadził do sali, gdzie przy wielkiem palenisku kominkowem, z ogniem buzującym, że hej, generał-gubernator konferował ze swoimi sztabowcami i czynownikami; prawie wszyscy byli w mundirach, kilku przy broni. Na stole za kominkiem, między mapami i dokumentami, walały się półmiski zimnego jadła i kielichy opróżnione. W dłuższej ścianie po prawej otwierało się pół tuzina drzwi - co chwila ktoś przez nie wpadał i wypadał, gońce i ordynansy z wieściami i rozkazami. Wysoko pod sufitem wisiał wielki portret cara Mikołaja II w ramach tungetytowych, lśniących lekko pod czarnym orłem dwugłowym.

Za ekranem kominkowym spoczywał w fotelu skórą obłożonym książę Błucki-Osiej. Czytał gazetę, mrużąc ptasio oczy za owalnymi szklami.

Wypolerowana na porcelanę posadzka odbijała ostro dźwięk każdego kroku. Mimo woli przyśpieszyło się, stawiając stopy mocniej, w równym rytmie. Untieraficer szedł przodem. Kilku mundurowych się obejrzało, nie przerywając dyskusyj. Lica rozgrzane, spocone,



wąsiska i bokobrody burzowe, ordery, pagony, szamerunki, brzuszyska.

Nigdy jeszcze się nie czuło się tak bardzo Polakiem.

- Aa, nasz Wieniedikt Filipowicz, maładjec!

Kapitan huzarów zaszedł od stołu, rozwierając ramiona szerokie, mentykiem powiewając. Się ukloniło się mu grzecznie, ale to go nie zatrzymało: złapał, uściskał, sapnął w ucho sprośności rubaszne - ano, widać, że jeszczeście nie wydobrzelili po naszej nocy! nie każdy jest urodzony jebaka! ale Lidija cud-diewoczka, a? posłaliście potem prezencik jakiś? Tss, tss, tss, a trzeba! Wypada! Należy!

- To i z kapitanem Frettem się znacie - zauważył kwaśno księżę ze swojego fotela, z gniewnym szelestem składając gazetę.

- Wasza Wysokość.

- He, he, znamy się, znamy! - Huzar był chyba w najlepszym humorze ze wszystkich osób tu zgromadzonych, rumieńce i nos różowy wskazywały, iż albo dopiero co wrócił z mrozu, albo, mimo pory przedpołudniowej, niejeden kielich zdążył wychylić.

- Kapitan - ciągnął księżę, nie podnosząc bynajmniej głosu, toteż musiało się podejść do niego i do paleniska; fala gorąca uderzyła w prawe ucho, poczuło się to niczym chluśnięcie wrzątkiem. - Kapitan, choć zgodzę się, iż na to nie wygląda -

- Wasza Wysokość nazbyt łaskawa! - śmiał się wojak wąsaty.

- Kapitan cieszy się moim nieskończonym zaufaniem. Kapitan... - Tu księżę Błucki przymknął oczy, wstrzymał oddech, poruszył szczęką wte i wewte; dopiero podjął: - ...jest człowiek honoru i człowiek służby. Rozumiecie?

- Tak.

Skinął palcem artretycznym. Na czym polega ta ich władza przedziwna, że najmniejszy gest mnożą w jego znaczeniach tysiackroć, aż czyta się ich całych jak żywe świecienie - drgnięcie warg, pół mrugnięcia, oddech, palec? Się przybliżyło się. Myślało się, że chce coś powiedzieć w prywatności, szeptem, jak to jego małżonka miała w zwyczaju; ale tylko zmrużył oczy, popatrując zza szkieł soczewkowych, w których migotał refleks wysokich płomieni. Napatrzywszy się, machnął zniecierpliwiony.

- Polak nie Polak - zamarzło.

Odstąpiło się.

Między czynownikami wybuchła tymczasem sprzeczka, urzędnicy zaczęli pokrzykiwać przez stół, ciskać w siebie papierami, włączył się siwy pułkownik, ktoś strącił padnos, grafinczyk, ten roztrzaskał się na posadzce z głośnym hukiem. - Izmienna! - charczał tęgi czynownik w mundurze Ministerjum Zimy. - Izmienna, priedatielstwo! - Wyprowadzono go z sali.

Księżę podźwignął się, podszedł do hrabiego Szulca. Jął coś perorować, wywijając generał-gubernatorowi przed nosem tym palcem krzywym. Nadstawiło się ucha.

- ...na miłosierdzie Imperatora. Dyplomacji, sztuki rozmów i negocjacyj musicie się nauczyć, mój hrabio. Przemocą niczego jeszcze nie rozwiązano na świecie.

Generał-gubernator spojrział jak na warjata, ale prędko pokrył odbitą na twarzy niepochlebną myśl neutralnym wyrazem uprzejmości; oćmiata jego ani na jotę się nie odmieniła.

- Wasza Wysokość raczy być w błędzie. Wszystko, co w dziejach świata zostało w ogóle rozstrzygnięte, rozstrzygnięto za pomocą ognia, miecza i prochu. Dyplomacja przychodzi w sukurs, gdy braknie siły; kupuje czas, lecz nie rozwiązuje problemów. Gdybyśmy mogli zepchnąć Japońców do oceanu, nie musiałaby Wasza Wysokość jeździć się z nimi układać.

...Ale dosyć o tym. Wiecie przecież dobrze, że ja takich myśli u nikogo nie toleruję. - Odwrócił się, przytknął na moment chustkę do ust, odnalazł wzrokiem pułkownika. - Jutro z rana poprowadzę sąd, precz z nim do tiumy.

Pułkownikowi krew odpłynęła z oblicza drożdżowego, zachwiał się, sięgnął jak po omacku, coby się wesprzeć na stole; niepotrzebnie, już cudze ręce dawały mu oparcie, cudze ręce szablę mu odpinały, cudze ręce przemocą z sali: iagnęły.

- Ależ! Wasze Sijatielstwo! - jęczał. - Ja tylko! Tylko Waszemu Sijatielstwu!

- Precz!

Odbiwszy się od serca, krew wróciła mu do głowy. Rozpalony, wiśniowo-śliwkowy na mordzie od potu świecącej, zebrał się w sobie pułkownik, wyrwał tuzinowi ramion, popędził wkoło stołu - ktoś mu nogę podstawił, oficer runął na posadzkę, odcisk śliny na gładzi lustrzanej pozostawiając, orderami o nią dzwoniąc, zgrzytając - wszakże i wtedy się nie zatrzymał: potruchtął ku generał-gubernatorowi na czworakach.

Złapał go pod kolana, łeb siwy do nich przykleił.

- Ja pies wierny! Co tylko Wasze Sijatielstwo powie! Błagam!

Hrabia Szulc-Zimowy kopnął go ze wstrętem.

- Ale już!

Wywlekli go jak psa.

Księżę Błucki-Osiej przyglądał się temu przez binokle małe z zimną uwagą niczym pokazowi nowej metody pastowania parkietów.

- Co się dzieje? - spytało się półgłosem kapitana Fretta.

- A jak myślicie, czemu mnie tu Jego Książęca Wysokość trzyma przy sobie?

Nawet się nie wymieniło spojrzeń, wystarczył ton głosu, ciemność zlała się z ciemnością.

- Bo jesteście człowiekiem honoru i człowiekiem służby - mruknięło się be: ironji.

Kapitan odwinął kołnierz munduru.

- Słyszeliście o naszych przygodach w Hongkongu? Na misję dyplomatyczną z pułku mnie wyrwali i do księcia przyordynowali. Tutaj zatrzymał się miecz samuraja.

Przez jedne z drzwi po prawej wpadł pan Urjasz, nie zdążyło się dopytać kapitana. Franciszek Markowicz, nie przywitawszy się nawet, zadyszany z włosami jasnymi niezaczesanymi, rzucił na mapy teczkę, poczem ją wykladał z niej na stół dokumenta niczym karty w pasjansie.

- Tu macie świadectwo błaganadźności, tu paszport na trzy miesiące podbity, to są papiery na ojca, tu - parol od listów gończych i spraw kryminalnych, tu są wasze pełnomocnictwa wobec władzy wojskowej w generał-gubernatorstwie irkuckim, a to jest list kredytowy dla Pierwszego Banku Bajkalskiego. Sporządźcie rachunek na wszystkie rzeczy, za jakie zapłacicie z kasy urzędowej.

- Sporządzę.

- Dobrze. Tu podpiszcie. I tu. Dobrze. Mówiliście z hrabią?

- Nie.

- Chodźcie.

Hrabia stał przy oknie; czytając wręczony mu właśnie list, wdychał dym z kadzielnicy tu ustawionej. Pan Urjasz zaszepotał mu do ucha; hrabia nachylił głowy, tęczowe światło śnieżycy błysnęło na jego łysinie; tak szeptał dłuższą chwilę, nareszcie Szulc-Zimowy

spojrzał ponad ramieniem Franciszka Markowicza. Się ukloniło się.

- Może być i tak - burknął generał-gubernator - może i tak. Co powiecie?

- A o co Wasze Sijatielstwo zapyta? - strzeliło się, nie odwracając wzroku.

- Wot, Paliak biesstydneyj - uśmiechnął się hrabia.

- Jewo Sijatielstwo chciałby wiedzieć, jak szybko możecie się wywiązać ze swojego zadania - rzekł pan Urjasz.

- Umowa była, że do końca stycznia i -

- Wiem - uciął hrabia. - Pytam teraz o waszą szczerą ocenę. Jak szybko. Stać was na bezczelność? Nu!

W obramowaniu śnieżycy jego ościata nieruchoma i ćmiecz w zmarszczkach skóry były tem wyraźniejsze. Pomyślało się, że gdyby teraz zdjąć zeń fotografię, nie zostałyby się na niej żadne odcienie szarości ani kształty wewnętrzne, jeno dziura atramentowa w oknie bieli. Jaka jest prawda o hrabim Szulcu-Zimowym? Ano taka.

- Nie potrafię rzec - odparło się. - Nie wcześniej niż za trzy tygodnie. Mówiłem Ekscelencji, trzeba mi dopiero znaleźć tropiciela, który zeszedłby bezpiecznie na Drogi Mamutów i -

- Trzy tygodnie - westchnął gubernator; moment i stracił zainteresowanie. - A jeszcze musielibycie wrócić... *Mais bon*. - Wrócił do lektury listu.

Franciszek Markowicz nie był zadowolony z przebiegu rozmowy. Ze ściągniętymi wargami pakował swoje papiery do teczki, szarpiąc z irytacją jej rzemienie.

Złapało się go za rękę.

- Umowa była, że do końca stycznia!

- Niech się gaspadin nie boi, Jewo Sijatielstwo dotrzyma słowa. Szkoda tylko... Ech. Potrzebujecie tropicieli, tak? No to proszę. - Nie oglądając się, pomaszerował do drzwi, mało nie zderzając się w progu z dwoma oficerami jeszcze ze śniegiem na brwiach i wąsach.

Zebrało się pośpiesznie dokumenty, wcisnęło się je pod surdut. Kapitan Frett po przekątnej stołu podniósł kielich w toaście. - Następnym razem napijemy się z waszym ojcem! - Skinęło się mu uprzejmie.

Pan Urjasz zbiegł cztery kondygnacje i skręcił w bok od sieni przed dziedzińcem

zewnątrznym. Wiele drzwi i wrót szerokich otwierało się tu i zamykało, jeśli nie na podwórzec, to na korytarze i przejścia na podwórzec prowadzące - temperatura dobrze poniżej zera zeszła, wydychało się obłoczki émietlne i ślinę lodowatą się łykało; mury z przemrożonego granitu parowały tłusto. Należało wrócić po wierzchnie odzienie futrzane zostawione gdzieś na piętrze razem ze Szczekielnikowem. Ale blondas-czarnoząb, sam w mundirze jeno, raz rozpędzony, drałował na długich nogach jak knutem gnany; wartownicy otwierali drzwi bez słowa. W jednym tylko przypadku musiało się odstąpić pod ścianę, gdy szereg strzelców - okutanych w szuby regimentowe, z głowami obwiązaniem ściśle niczym pielgrzymka trędowatych i z tornistrami marszowemi na plecach - przetruchtał środkiem zugu do wozowni i stajni Cytadeli. Znowu odezwał się instynkt syna narodu podbitego: przykleić się do kamieni, odwrócić wzrok, wtopić się z miną obojętną w martwą naturę, może nie spostrzegą, może nie złapią, do lochu nie wrzucą, Polaka samotnego w sercu fortecy carskiej - instynkt irracjonalny, tem bliższy prawdzie serca.

Za wozownią znajdowały się jeszcze pomieszczenia izwozczyków, chyba od dawna nieużywane, teraz rozłożyli się tam wedle piecyków węglowych inarodczy myśliwi i szamani. Przyczem nie była to jedna grupa, a dwie, mniejsza i większa, i od razu spostrzegło się, jak silna wrogość ich dzieli, to znaczy łączy. Stańło się przy pierwszym piecyku, zagrzało się dłonie. Franciszek Markowicz zagadał do trójki postaci w grubych tułupach, pogryzających wędzoną słoninę czy inne tłuszcze brudne; na to reszta, pod przeciwną ścianą zgromadzona, nastroszyła się i odwróciła ostentacyjnie, naciągając głębiej kaptury, kryjąc się pod skórami.

Urjasz szybko podźwignął jednego z trójki i podszedł z nim do piecyka Inarodiec kulał wyraźnie. Zmiędzy skór i zawojów widać było tylko ciemne oczka w zaćmionych fałdach skóry i kilka kosmyków czarnych włosów powiązanych wstążkami wypłowiałemi.

Skłonił się, głowy jednak nie odsłoniwszy.

- Garbus ni? - wychrypiał (to łub coś podobnego).

Urjasz jął mu coś tłómaczyć w łamanym tunguskim.

- *Sami, Huta Ü-Nin* - mruknął dzikus przez szmaty; ogniki ironji błysnęły w węglowych tęczówkach, a może tylko tak się zdawało - tak się przeliczyło znak nieprzeliczalny z algorytmiki innej rasy.

- To Tigrij Etmatow z Drugiego Rodu Czarabuskiego, z nerczyńskiego ułusu - przedstawił go Franciszek Markowicz. - Wierchnie-Amurskaja Zołatapramyszliennaja Kampanija najmowała myśliwych z jego ułusu, kiedy się wreszcie na zimnazo i tungetyt

połasiła i wysłała swoich geologów na zachód. Teraz my z Czarabusów korzystamy.

- Szaman - stwierdziło się.

- Wasz tropiciel po Drogach Mamutów.

Zadrżało się z zimna.

Tigrij wyczarował spod tułupa niewielki bukłak, ciepnął na cztery strony mira po kropelce dla duchów krainy.

- *Araky umynanny?*

- Wieniedikt Filipowicz się napije - poradził Franciszek Markowicz. - Pijaki to są straszne, te inarodce zimowe, na śmierć się zapijają, powiadam wam, cała rodzina się uchła w kamień, posną wszyscy, ogień w jurgie zagaśnie, i tak zamarzną; nu, nie przepijesz - nie uwierzą.

Przytknęło się bukłaczek do ust. Był to jakiś ciężki samogon o ostrym, ziołowym posmaku. Się skrzywiło się jak trza. Tigrij zachichotał. Oddawszy burdjuk, się nachyliło się ku szamanowi.

- Mówisz po rosyjsku? Ro-syj-sku - rozumiesz?

- *Ahym sara lucza turannan oczem sara.*

- Jego bracia mówią trochu. Zresztą tam pod Lodem na pewno jakoś się dogadacie. - Franciszek Markowicz zatarł ruki. - No, on was poprowadzi. Możecie popytać u geologów, nasz Tigrij ma nosa.

- Nie dokładnie to miałem na myśli, gdy mówiłem o posłaniu tropiciela na Drogi Mamutów... I czemu Tunguz?

- Pójdziecie na północ, ku Tunguzkiej, nie? To nie są ziemie naszych Burjatów. Chcecie się strzelać przy pierwszym spotkaniu na szlaku? A dla was to i podwójnie dobrze, Tunguzi teraz ciepłe serce dla Paliaków mają, polskie inżynierzy od Transsibu żenili się z Tunguzkami, spółki myśliwskie takie -

- Ale samiście mówili, że te ich religje... Że Burjatom to lute spadły z Górnego Świata, ale Tunguzi, Tunguzi widzą w nich abaasy, duchy upiorne Podziemia - nie?

- Toteż właśnie - pan Urjasz zbliżył się konfidencyjnie i zniżył głos, jakby Tigrij Etmatow mógł go jednak zrozumieć - trzeba mi było znaleźć Tunguzów, jak by to powiedzieć, przekonanych do przeciwnego bieguna swojej wiary.

- Znaczących, takich tunguskich satanistów...?

Franciszek Markowicz przestąpił przy piecyku z nogi na nogę, spojrzął z troską.

- Ale wyglądacie, jakbyście ducha zobaczyli. - Zerknął na szamana i z powrotem. - Znać się może z Tigrijem?

- Nie, nie. - Odkaszlnęło się, smak ziołowego samogonu wmarzał w język. - Sen dawny, złudzenie... - Się zaśmiało się niepewnie. Ogrzaną dłonią starło się krew z otwartych przez kota starych okaleczeń, liśćmi drzew żelaznych na policzku wyrysowanych. - To tylko przeszłość dokleiła mi się do chwili obecnej: jedna więcej spełniona wróżba dla maluczkich. Sen mara, sen wiara.

Sen, przeszłość, niebyt biały. Śnieg zalepił okulary, wciskał się do oczu - miasto, niebo, sanie, pan Szczekielnikow i woźnica, wszystko wymazywało się z istnienia. Nad Irkuckiem szalała nastajaszczą purga, nic dziwnego, że nawet tubylcy chowali się w Jaszcziku. Szum wichru głużył wszelkie inne dźwięki - nie istniały inne dźwięki. I z barw - inne niż biel. Nawet światła latarni i lamp zaprzęgowych z trudem przebijały - nie kolorem bynajmniej, lecz bielą jeszcze intensywniejszą. Bóg kartkował księgę świata wstecz, do początków sprzed czasu stworzenia, do pierwszych, czystych stronic. Myślało się, zapakowany w futra głębokie: a jeśli się nie uda? jeśli się go nijak nie znajdzie? Bo nie uda się. Nie uda.

Wysiadłszy z Marmieładnicy w Zimnym Nikołajewsku, dopinając z powrotem szubę pod wiatą płytką, zmacało się odruchowo za ciężarem Arcymistrza za paskiem. Ale rewolwer został przecież na Cwietistej. To wszakże przypomniało o próbkach metalu obstrzelanego Bombą Ćmietną - leżą tam razem z wczorajszym ubraniem, chyba że służba wzięła je do prania. Wrócić się do Irkucka? Trzeba sprawdzić, czy nic się nie zmieniło w dyżurach; jeśli dzisiaj nocną szychtë ma inżynier Iertheim, może uda się z nim zamienić. Mhm.

Wczorajszą ścieżkę od stacji do Wieży Piątej Godziny przegrodził w nocy luty, trzeba było iść naokoło; pan Szczekielnikow kroczył z zadartą głową, z głębi zasznurowanego kaptura wypatrując napowietrznych ciągów towarowych. Nie spostrzegł więc żandarmów drepczących gęsiego pod wiatr od Dziurawego Pałacu. Zderzył się z pierwszym, dopiero odstąpił na bok. Wlekli między sobą jakiegoś nieszczęśnika ze spętanymi rękoma. A było ich ośmiu, cały oddział.

W Laboratorjum, mimo wczesnej jeszcze pory, paliły się wszystkie światła Śnieg pozalepił panele marostiekłowe, doktor Wolfke i jego zespół pracowali tu jak w batyskafie zanurzonym pod powierzchnię oceanu mleka. Piece huczały głośno, pofukiwał samowar,

herbaciarka roznosiła aromatyczny wrzątek; ledwo się przestąpiło próg, nadal strzepując lodowy opróch, ona pośpieszyła z filiżanką czaju.

- Spasiba. Skażycie mnie, gdzie siewodnia inżynier Iertheim -

- Panie Benedyckie! - rozległ się głos doktora Wolfke zza szaf blaszanych. - Widzimy się, ale już, zaraz!

Zdjęło się tylko czapę.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze, ale, khr, zapowiadałem wczoraj, że w sprawie urzędowej muszę -

- Masz pan sprawę urzędową! - prychnął Wolfke, po swojemu zmiękczając spółgłoski, i palnął na biurko bumagą opieczętowaną.

Odstawiło się filiżankę, podniosło się pismo do oczu. Było to wezwanie do irkuckiej delegatury Ministerjum Zimy, wystawione na Benedykta Filipowicza Gierosławskiego, na dzisiaj, opatrzone wszelkimi zaklęciami prawnymi, z groźbą grzywny i aresztu włącznie, podpisane przez komisarza pełnomocnego Iwana Dragutinowicza Szembucha.

- Przyszli tutaj - opowiadał doktor Wolfke, ocierając chustą twarz nalaną - szukali pana, mało rewizji nie zrobili, wyobraża pan sobie?

- Żandarmi? Zabrali z sobą kogoś?

- Tego nam tylko brakowało! - Wolfke złożył chustę, szarpnął wąsik. - A co, myślicie, że za kimś jeszcze chodzą?

- Nie, nie wiem, nie.

- To sprawa kryminalna jest?

- Niestety, polityka, panie Mieczysławie. - Schowało się wezwanie razem z papierami Urjaszowemi. - Sądziłem, khr, że wszystko już załatwiłem, a tu wtem coś takiego... - Trzepnęło się szapką o blat.

Doktor Wolfke nachylił się przez biurko zavalone knjami, notatkami i arkuszami liczbowemi.

- Gdyby coś przez Kruppa pomoc można było - rzekł z troską - to się pan nie wahaj, ja i dyrektor Grzywaczewski...

- Dziękuję, dziękuję bardzo. Ale obawiam się, że to nie jest kłopot tego rodzaju. To już



nawet ponad głową Kruppa się rozstrzyga.

- Zaczyna się od artykułów w podziemnych gazetkach, a kończy się w lochu zimnym - westchnął Wolfke, zboląły. - Nie miałem ja z początku nadzieji, że pan się na wiele nam przyda, ale teraz strach mnie bierze, że bez pana od nowa utoniemy w całej tej biurokracji niemieckiej. Nie taka to jednak prosta rzecz, znaleźć człeka zarazem naturę pracy naukowej rozumiejącego i samego w liczbach biegłego, a potrafiącego się przytem wyrazić na piśmie w językach firmy i państwa, nadto rodaka i danego z polecenia braci najwyższego zaufania.

- Ale ja przecież zapowiadałem wam, że to na czas jakiś tylko. Tak czy owak, za kilka tygodni muszę się pożegnać.

- W środku zimy chce pan za ojcem do Ostatniej Izotermii iść?

- Pan wie...?

Zamrugnął, kryjąc współczucie i, tak, litość mało szlachetną.

- Wszyscy wiedzą.

Ćmiecz i ćmiecz i ćmiecz, niewiele oczywistości można tu zamaskować między prawdą i fałszem. Wszyscy wiedzą. Pokiwało się głową.

- Proszę to przemyśleć - rzekł doktor, opadłszy z powrotem na oparcie. - Nic nie zostało przesądzone. Jaką inną przyszłość ma pan przed sobą? Pamięta pan, o czym mówiliśmy pierwszego dnia? - Spojrzał przez okno i zaraz odwrócił się od wszechbieli. - Świat jutra należy do technologii lodowych. Tymczasem to może jeszcze wygląda trochę chałupniczo, ale obaj przecież dobrze wiemy, że nie ma dziś na Ziemi wspanialszego miejsca dla młodych, gorących umysłów. No, może w Tomsku, gdzie przytem Mróz mniejszy. Zresztą pan zdaje sobie sprawę: wiążąc się teraz poważnie z *Friedrich Krupp Frierteisen* zrobisz pan najmądrzejszą rzecz w życiu. A mnie trzeba ludzi, którym mógłbym tu ufać. Niech pan pomyśli.

A najgorsze, że on miał rację, i że widziało się tę przyszłość słuszną-dostatnią równie wyraźnie. O podobnych „przypadkach” życiowych, dopiero z perspektywy dekad postrzeganych jako życiowe nieuchronności, opowiadają na starość ludzie spełnieni: co sprawiło, że taką akurat drogę kariery obrał, co pomyśl na interes zyskowy mu poddało, jak wspólników swoich spotkał, co mu zasugerowało kierunek badań, który do odkrycia wiekopomnego doprowadził - to zawsze są takie „odskoki w bok” od pierwotnej ścieżki, chwilowe przystanki na drodze do celu, które dziwnym zbiegiem okoliczności przeciągają się

na miesiące, lata, na życie całe; i o tamtym celu już się nie pamięta. Widziało się to: pracę w rozrastającym się molochu Kruppa, awanse w nim i podwyżki, i jak górę nad *le Mathématicien de l'Histoire* bierze *homme d'affaires*, człowiek pieniądza, którego przeczuło się już na spotkaniu Klubu Złamanej Kopiejki, ale to przeczucie zmienia się szybko w zimną jedynoprawdę, i takie życie jest już odtąd jedynem możliwym: *Herr Werkführer*, *Herr Direktor*; udziałowiec koncernu, w końcu - burżuj brodaty, dobrze odżywiony, w drogim garniturze, z monoklem w oku, z melonikiem w dłoni, z głową wysoko nad vatermörderem podniesioną, tak fotografuje się on przed frontem swego pałacyku, a może na dachu napowietrznej willi irkuckiej, patriarcha rodu syberyjskiego: Benedykt Gierosławski, brat karmiczny Gustava Kruppa von Boblen und Halbach.

Odetchnęło się i rześkość jakaś elektryczna w płuca chlusnęła.

- Nie.

Wolfke machnął, zrezygnowany.

- Jedź pan do nich.

- Będę z powrotem, jak tylko rzecz załatwię. - Nałożyło się marostiokła. - Aha, kto ma dzisiaj nockę w Warsztatach? Pan Henryk?

- Tak.

Wyszło się, pogwizdując (dopóki kaszel znów za gardło nie chwycił).

Więc nazad do Irkucka, do Komory Celnej. W Marmieładnicy pan Szczekielnikow poradził, coby zalepić sobie lico bandażem czy plastrem jakimś: po wejściu w gorąc pieców domowych rana, jak widać, rozmarza i krew cieknie strumyczkiem w brodę. - No to co, nie wykrwawię się przecież. - Nie idź pan gadać z władzą na ofiarę już przyozdobiony! - Słucham? - Raz uderzony, każdy uderzy; raz wyjebany, dupa na talerzu. - Zdjąwszy rękawicę, przejechało się poślinionym palcem po skaleczeniach. Czyli co? czynownik bestja drapieżna, poczuje posokę i z miejsca wbije w człeka kły paragrafowe?

Komisarz Szembuch przywitał w swoim gabinecie po szembuchowemu, to znaczy rykiem, od którego tatarskiemu sekretarzowi oczka załzawiły i czmychnął biedniaga za drzwi.

- W zdradę! - ryczał mianowicie Iwan Dragutinowicz, ledwo odwróciwszy się od pieca. - Przeciwno Najmiłociwyszemu Panu teraz, tak?! Tak?! - Łup, łup, walił do taktu piąchą w blat stołu szerokiego, aż kałamarze i piórniki ozdobne podskakiwały. - Wot, wdzięczność padalcza, wot, honor polski, gliździarski, tfu, tfu, syn wypierdek z gówna ojcowego!

- Odklej się pan od mojego fatra!

- O! - Szembuch odegrał wyraz wielkiej obrazy. - Szczeka, sabaka!

Przestawiło się krzesło spod ściany, usiadło się, zapaliło się papierosa. Wierzchem dłoni otarło się policzek. Drugą ręką wyjęło się bumagi od Urjasza, znalazło się stosowny dokument i zamachało się nim komisarzowi z daleka.

- Nie pana już władza, gaspadin Szembuch. Do generał-gubernatora apelujcie, jak chcecie. Nawet mi paszportu zwracać nie musicie. Ostatni raz moja noga tutaj. A jak znowu poślecie mi do pracy chamów waszych mundurowych, mecenas Kuźmieńcew skargi formalne na was osobiście ślać zacznie, że do końca życia papierów sobie nie wyczyścicie.

Szembuch pacnął na siedziszcze. Poluźnił kołnierzyk, szarpnął jedną, drugą, trzecią szufladę; znalazłszy, tyknął kropelki swoje, chuchnął.

- Wczoraj wcisnął się na salony, dzisiaj koneksjami straszy - mruknął półgłosem, wzrokiem morderczym świdrując. - Szulc...! Szulc tyle o was pamięta, ile mu sekretarze na minutę przypomną. Kto wy dla Szulca? Cóżecie sobie uroili? To polityczna rozgrywka jest między figurami najwyższymi.

- Wiem przecie.

- Wiecie? Pokażcie te papiery!

Schowało się je pod surdut.

- Przyślijcie mi pismo, mecenas Kuźmieńcew wam odpowie.

- Nie wycierajcie sobie gęby Kuźmieńcewem, jak z wami skończymy, żaden mecenas nie będzie was chciał w celi odwiedzać!

Wstało się.

- Czas tylko na was marnuję. Żeście przegrali przepychankę między czynownikami, musicie upuścić z siebie żółć - wyżyjcie się na sekretarzu. Żegnam.

- Siadać! - rozdarł się.

Siadło się.

- Ażeby wrócić w ogóle do Europy żywym i nie pod włosiem siwym jeszcze - uśmiechnął się słodko komisarz, rozciągając wtem gębę buldogowatą w obcym jej grymasie - zrobicie tak. Zdeponujecie u nas wszystkie dokumenty otrzymane z pieczęcią gubernatorską. Złożycie

w obecności pułkownika Geista i radcy von Ecka pełne zeznania o waszych knowaniach ze zdrajcą Szulcem i całą rolę waszą w jego planie przeciwcesarskim opowiecie, to znaczy, jak żeście się zgodzili wypaktować mu u lutych przez Ojca Mroza Królestwo Syberyjskie. Poniał?

Się gapiło się na niego w niemym zdumieniu.

- A jak nie - uśmiechał się Szembuch - a jak nie, to raz-dwa sami w tiurmie się znajdziecie, pod oskarżeniami śmiercią ważonemi, i żaden Szulc-Zimowy wam nie pomoże.

Uniosło się papierosa do ust.

- To jest szantaż?

- A co wam się zdaje?

- To jest szantaż! - stwierdziło się z nieukrywaną radością, a Jewo Błagarodje Iwan Dragutinowicz Szembuch zamrugął w konsternacji nagłej, jak na warjata spozierając, nawet oćmiata jego przywiędła nieco.

Szantaż! Co za ulga! Prawie się chciało złapać komisarza za podgardle obwisłe i ucałować dubeltowo z wdzięczności szczerzej - że taką szansę otwiera. Szantaż! Szantaż w Kraju Lodu, lodowato czysty i jasny: groźba śmiertelna za kłamstwo oczywiste. Mój Boże, szantaż prawdziwy jak z dramatu, jak z powieści dusznej!

Dmuchało się po raz ostatni dymem tytuniowym, poczem pstryknęło się niedopałkiem w Szembucha.

- Dla mnie tiurma. Bóg z wami, mój Iwanie.

I nawet nie trzasnęło się drzwiami na odchodnem.

- Dobrze poszło? - dopytywał się pan Szczekielnikow.

- Mhm?

- Żeście tak uradowani.

- Obiecał mi karę śmierci. Dożywocie najmniej.

Czyngis przystanął między piętrami na podeście schodów marmurowych. Osunąwszy się plecami kwadratowemi na ścianę przy posągu parującym, począł się śmiać donośnie, w końcu za brzuch i przeponę się łapiąc.

- Co? - mruknięło się, nadał wyszczerzony; czubkiem języka pochwyciło się z wąsów

kroplę krwi. - No co?

- Ni-nic, panie Gie - wysapał. - Masz pan ten swój rewolwer?

- Zaraz zabiorę. Chodźmy, dzień ucieka.

Pojechało się na Cwietistą, po Arcymistrza i próbki metali. A potem znowu Marmieładnicą do Zimnego Nikołajewsk, do Laboratorium Kruppa. *Mijnheer* Iertheima nie zastało się jeszcze przy jego stole, mechanizmy zimnazowe i tungetytowe układy elektryczne, plecionki nici szroncynowych, cieńszych od promienia słonecznego, i żarówki marostieklowe, wszystko to wałało się tam w zwyczajnym bałaganie; w zeszłym tygodniu odbyła się kolejna kilkudniowa ewakuacja z Warsztatów (luty prawie wmroził się w pracownię) i entropja na Wieży jeszcze nie opadła do normalnego tu stanu. Skrobało się przy swoim biurku raporty urzędowe, przy oknie białem, zaśnieżonym, pod lampą naftową, pod migoczącymi lampami elektrycznymi, przy dźwiękach pyrkającego samowara, blaszanym grzechocie jakiejś nowej aparatury testowanej właśnie przez doktora Wolfke oraz świście nieodległego wiatru; skrobało się piórem z nie do końca przyjemną świadomością, iż to już jeden z ostatnich takich dni, że nieubłaganie kończy się owo interludium. Irkuck, Nikołajewsk, Krupp - był to pewien etap w życiu, zapewne konieczny. Lecz teraz czas stąd odmarznąć.

Inżynier Iertheim pojawił się po godzinie trzeciej, pod pachą targał blaszane pudło; chwilę ogarniał się, otrzepując się ze śniegu i rozgrzewając przy piecu. Wyjęło się ze schowka flaszeczkę rumu, kapnęło się mu do czaju. Podziękował. Ledwo mógł utrzymać szkło w małopalce dłoni, zgrabiałej, nieposłusznej. Pudło zostawił tuż za progiem. - Bo się roztopi. Muszę zaraz wrzucić do pojemników.

- Co pan tam ma?

- Lód. - Wypił, kapnęło się mu w szklanke rumu samego. - *Dank u*. Pomyślałem sobie, że sprawdzę, co pan mówił o drugim obiegu hydrologicznym związków tungetytowych.

- Popytał pan o tych ludzi?

- To też. Umpch. Zaraz. Pomóż mi pan.

Przeniosło się pudło między szafami i stelażami do stanowiska inżyniera. Zrzucił z siebie szubę i małachaj, odplątał szale, poczem zamaszystym gestem oczyścił fragment blatu. Od Busiczkina pożyczył tuzin tac głębokich. Wykładał teraz na nie z pudła kawały lodu, sople i firnową zmarzlinę śnieżną. Jeden płat był cały czarny. Przesunęło się palcem po gruzłowatej

masie.

- To z sadzy, khr, z kominów. Wlaziłem na dach mojej kamienicy. Umówię się z naszą brygadą odladzaczy dachowych, żeby mi odłupali też kawałek tutaj.

Oczywistość.

- Roztopi je pan, odparuje wodę, spali osad w spektrografie, pomierzy proporcje chemiczne i zawartość tungetytu.

- Zaraz, żeby nie pomylił, skąd który lód pochodzi... - Miał to zanotowane, ale kartka mu zamokła, krzywił się teraz i mrugał, próbując odczytać deskrypcje kształtów lodu, a maszkarowa fizjognomja nabierała w tych grymasach szlachetnej regularności: treść nie kryje się w przypadkowej szpetocie ciała, wszelka treść pochodzi z ducha ciałem powodującego.

- I czego się pan dowiedział, panie Henryku?

- Mhm? A, no więc ten Kalousek, o którego mnie pan prosił, zaraz, to też zapisałem - Hilo Kalousek, pracował u starego Horczyńskiego do samego końca, to się zgadza, pan Filip mu podlegał, była jakaś publiczna sprzeczka między nimi, ale tu już się szczegółów nie wywiedziałem, pana ojciec, jak wiecie, często-gęsto sprzeczki i kłótnie i nawet awantury pięściarskie wywoływał, toteż ludzie pamiętają nie rzecz samą w sobie, lecz echa podobnych zdarzeń uprzednich, jak w smaku tysięcznego papierosa czujesz już tylko echo poprzednich przyjemności tytoniowych; a widać dla pana Filipa to także był nałóg. Postaw to pan tam na szafkach. I te dwa jeszcze. - Odsapnął, a przypomniawszy sobie o smaku tytoniu, wydobył fajkę i kapciuch, nabił cybuch. - Mmm, i po zamknięciu Rud Horczyńskiego Kalousek rzeczywiście nie znalazł pracy u Kruppa -

- Mówiłem panu, że sprawdzałem u nas w papierach.

- ...ale nie wyjechał z Irkucka. Spotkałem wczoraj w klubie pana Makarczuka, który jest młodszy wspólnik w kancelarii prawnej, i zgadało się o testamentach -

- Niech pan znowu nie zaczyna, długie życie przed panem.

Zapalił, dmuchnął, machnął ręką w dymie.

- Co przede mną, to inna boleść. W każdym razie Makarczuk powiada, że wykonuje też testament jednego żywego nieboszczyka i że pewnie znowu ochrana będzie im klientów straszyć. Jakiego „żywego nieboszczyka”, się dopytuje, na co Makarczuk wspomina coś o geologu przez policję poszukiwanym, na co ja od razu myślę o ojcu waszym i nuże

Makarczuka wypytywać.

- No gadaj pan!

*Mijnheer* Iertheim uśmiechnął się pod rudym zarostem.

- Hilo Kalousek, okazuje się, pozostawił był tu rodzinę. Siostrę i siostrzenicę bodajże. Makarczuk, jako wykonawca testamentu Kalouska, pilnuje renty wypłacanej im przez towarzystwo ubezpieczeniowe. Rzecz w tym, iż towarzystwo otrzymuje anonimy, a ostatnio także półoficjalne donosy z Trzeciego Oddziału, iż Kalousek swoją śmierć na ekspedycji północnej sfingował, ażeby uciec przed śledztwem w sprawie, słuchaj pan, „polskich geologów poszukiwanych listami gończymi za zbrodnie przeciwpaństwowe”. Się poderwało się.

- Wymienił nazwiska?

*Mijnheer* Iertheim dla większego efektu wpierw wypuścił nosem dym.

- Aleksander Iwanowicz Czerski.

Się roześmiało się.

- Miałem rację! Klucz do Dróg Mamutów leży w sekretnej hydrografji Bajkała! Co wypływa tu gdzieś na powierzchnię z wód tungetytowych, i z drugiego obiegu atmosferycznego, może już chemicznie odmienione, może już związane biologicznie - oni poznali tajemnicę - Bohdanowicz, Czerski, mój ojciec, pewnie i Crowley, i Kalousek - przepis, metodę szamanów, a może tylko kartografię - współrzędne geograficzne Czarnej Oazy! Myśli pan, że coś takiego naprawdę istnieje? - Złapało się go za rękę. - Musi mnie pan z nią poznać, z tą jego siostrą. Ona na pewno ma sposób na skontaktowanie z Kalouskiem! A Kalousek doprowadzi mnie do Czerskiego i skoro będę dysponował mapami Karola Bohdanowicza i mapami od gubernatora -

- Powoli, powoli! - śmiał się Holender. - Nigdzie nie uciekam.

- Ale mnie ucieka czas. Panie Henryku, w ciągu tygodnia-dwóch muszę już ruszyć z Irkucka, Szulc daje mi sprzęt, pieniądze, ludzi - a teraz nareszcie pojawiła się realna szansa, konkret, który mogę pochwycić i -

- Więc wyjeżdża pan.

Puściło się go.

- Tak.

Pokiwał głową. Lewą ręką machinalnie trącił wte i wewte stop-iglicę zegara laboratoryjnego.

- Staram się panu pomóc, panie Benedykcie - rzekł, odwróciwszy wzrok - a przecież -

- Myśli pan o tym, co ja mu powiem o panu.

- Nie. To znaczy... nie to najważniejsze. - Ssał przez chwilę ustnik fajki. Oćmiata tężała. - Jak ten ksiązę wynegocjował pokój z Japończykami, tak pan ma wynegocjować pokój z lutymi, prawda? Układ terytorjalny: czy Łód się cofnie, czy nie. Ale zanim pan wyjedzie... Rozumie pan, bo jeśli istotnie Odwilż, to ja...

Oczywistość.

Się rozejrzało się po zawalonym ćwierć - i półproduktami lodowych technologii stole inżyniera Iertheima, po rozbebeszonych maszynerjach i pokrywających ściany i szafy szkicach i przekrojach urządzeń rozmaitych, tabelach właściwości fizykalnych i chemicznych, fotografiach gniazd lutyh i soplicowów, odwzorowaniach mikroskopowych chłodów zimnazowych. Wygarnęło się spod baterji elektrycznej wpółzaplamiiony papier, pośliniło się ołówek. Inżynier przyglądał się przez ramię rysowanemu schematowi.

- Dynamomaszyna - rzekł.

- Ale tu wstawiamy tungetyt. Proszę uważać, jak opisuję uzwojenie.

Zamrugął.

- Ro-rozumiem.

Wręczyło się mu kartkę.

- Nikomu pan tego nie pokaże. Zbuduje pan taki gienerator do własnego użytku tylko. Proszę się ładować mrozem z tego dynama rano i wieczorem. Sam pan pozna granicę, straci pan czucie od zimna.

- To działa w Lecie?

- Tak.

Schował kartkę do kieszeni.

- Niech się pan nie martwi, nie ogłoszę tego, wiem przecież, że pan od początku myślał nad wynalazkami -

- Właściwie... - Ale się powstrzymało się przed zaprzeczeniem - i samo to zaniechanie



sprostowania fałszoprawdy odczuło się niczym wylew zgagi kwasowej, nawrót najcięższego katzenjammeru. Szybko wzięło się głębszy oddech. - Panie Henryku, taką prośbę mam do pana - pan ma dzisiaj wartę cmentarną, chciałem się z panem zamienić, powiedzmy: akonto następnej nocki. Zgodzi się pan?

Rozłożył ramiona.

- A z miłą chęcią! W takim razie spróbuję jeszcze dzisiaj wieczorem pomówić z Makarczukiem.

Filimon Romanowicz Ziejcow zjawił się równo z ekipą dacholazów. Od dłuższego już czasu widywało się go wyłącznie trzeźwym. (Zachodziło się w głowę, czy wziąć to za dobry, czy za zły znak). Ucieszył się, gdy zobaczył, że zastępowało się Holendra.

W sumce skórzanej, wraz z pajdą smalcem i cebulą przekładaną, przynosił sobie teraz na nockę nie flachę Pani Poklewskiej, lecz tomiszczą grubą. Pokazał wstydliwie, ledwo ostatni asystent doktora Wolfke opuścił siódme piętro: antologię nowej poezji metafizycznej, dzieła jakieś religijne, a na dokładkę *O pracy chwalebnej* marksistów chrześcijańskich antystruwowych. Strach pomyśleć, jaki nowy Ziejcow po śmierci Aczuchowa na tych wszystkich nawozach duchowych wyrośnie.

- Tylko żebyście się tu nie zabrali znowu za agitację - ostrzegło się go. - Akurat najgorsza chwila po temu.

- Słyszał ja, słyszał: zamykają, wypuszczają, zamykają. Ech, Zima.

Wicher huczał i jęczał za oknami Wieży jak sto pękniętych trąb jerychońskich, czuło się pod nogami wibr idący przez konstrukcję całą zimnazową, zaczątek rezonansu. Tesla by pewnie od razu policzył częstotliwości, pomyślało się, policzył i aparacikiem kieszonkowym roztrzaskał i Wieże, i Pałac Dziurawy, i całe napowietrzne torowisko Zimnego Nikołajewska. Przytknęło się czoło do szyby, osłaniając dłońmi oczy od blasku naftowo-elektrycznego - ale nawet światła innych Wież trudno dojrzeć w tej śnieżycy arktycznej, w zmierzchu zimowym. Otworło się zegarek. Dwa razy trzeba się przejść do Warsztatów przy Pałacu, może trzy, jeśli Wolfke się rano spóźni przez zaspę. Łup-dłup-łup, łomotali nad głową dacholazy-lodobije.

Odczekało się, aż zejda, i wyjęło się torbę z próbkami metali zbombardowanych Promieniem Śmierci.

- Słuchajcie, Ziejcow, te książki bardzo nużące muszą być, nie zdarza wam się przysnąć tu niekiedy?

- Nie, nie, to zupełnie -

- Co? Na cztery godzinki, no, tak do północy? Powiniennem się uwinąć.

Ziejcow podrapał się w brodę skołtunioną.

- Ale ja nie zelgam, jak mnie zapytają.

- Jak zapytają, to już i tak będzie po sprawie. Tylko nie odpowiadajcie nie pytani, tyle chyba możecie dla mnie zrobić, a?

To było okrutne - bo jak miał się urwać z haka wdzięczności, wdzięczności choćby za tę pracę, nie mówiąc o zamachu na życie w Ekspresie Transsyberyjskim odpuszczonym? Wisiał, na wylot przebity, niczym robak na igle.

Opuścił wzrok, ale i to nie pomogło, nie uwolnił się; przycisnął do chudej piersi książkę otwartą, pokiwał głową.

- Ale nie ukradnie pan niczego? Co pan zamiaruje?

- Sfotografuję promieniami Roentgena trochę żelastwa. - Zagrzechotało się torbą. - Maszyna stoi w drugim kącie, nawet nie usłyszycie.

Nie pomyślało się tylko o błonach naświetlonych, co z nimi, to znaczy, co z ich brakiem, jak zamaskować manko. Prawda, w tym bałaganie po szybkiej przewodźce z Warsztatów ma prawo się zgubić nawet kilkanaście egzemplarzy. Ale można jeszcze bardziej utrudnić inwentaryzację doktorowi Wolfke i przenieść tu wszystkie błony od choładnic... Idąc na kalibrację maszyn ustawionych tam do doświadczeń lodowych, zabrało się pęk kluczy do wszystkich pomieszczeń przemysłowych Kruppa.

Był już środek nocy w aurze dobrze zimowej, śnieżycą waliła z ciemności w ciemność, wichurki ciał każdy niebacznie odsłonięty skrawek skóry, szło się prawie po omacku, stąpając według desek w zmarzlinie ułożonych, na azymut ku Dziurawemu Pałacowi i Drugiej Choładnicy Kruppa; zaspany pan Szczekielnikow postępował bezwolnie krok w krok. Okulary marostiekłowe stanowiły już konieczność także dla ochrony oczu przed brzytwą-wiatrem. Śnieżynki i całe pecyny zmroźne przelatywały jak plamki na podświetlonym papierze chińskim - dopiero zerknąwszy ponad szklami, postrzegło się, co to za wyblaski jasne w atramencie nocy: nie śnieg sam, lecz jego oświecenie. Czyżby Czornoje Sijanijskie znów stało nad Irkuckiem?

Choładnice pracowały na trzy zmiany, przez całą dobę, więc i teraz tysiące ludzi w

Zimnym Nikołajewsku rabotało, ale równie dobrze mogło się tak maszerować przez pola śnieżne Antarktydy: ani żywej duszy w zasięgu wzroku, znaczyt - w całym świecie zmysłom dostępnym, czyli na wyciągnięcie ręki wokół. A nawet gdyby ktoś się na ścieżce napatoczył - chochoł człowiekopodobny, w skóry i futra od stóp do głów zakutany, śniegiem oblepiony, niezdolny słowa słyszalnego z siebie wyrzucić - nie, nie ma tu ludzi.

Luty w hali przychłodnicowej marzył w kształcie półjeźdźcy ku ziemi rozwiniętego, co się nauczyło się rozpoznawać jako dosyć pewną (bo statystycznie potwierdzaną) zapowiedź zejścia glacjusza pod poziom gruntu. Tymczasem wisiał on na setce czarnych strun przymrożonych do dachu i ściany, przez którą też jeszcze mrózł częścią swego meduzowatego cielska. Zapaliło się reflektory przy wejściu, snopy elektryczne rozlały plamy płynnej rtęci na grzbiecie i nogach-stalagmitach mroźnika. Zza niego, z dziury płynął zwyczajny huk pracującej chłodnicy i machin przychłodnicowych. Chuchało się w rękawice do jego rytmu, wybierając z pęku klucz do pracowni. Co zajęło chyba z minutę, a na koniec okazało się niepotrzebnym, albowiem drzwi nie były wcale zakluczone.

Ktoś znowu zapomniał, pomyślało się, truchając do pieca (prikaz jest napalić zawsze wieczorem przed wyjściem). Natenczas pan Szczekielnikow gwizdnął z rukawa nożem i zwałił się jak zaspą wpół podcięta w kąta za piecem.

Zabrzmiał kwik prosięcia zarzynanego, podskoczyło się lampę tu zapalić, zapaliło się... Pan Szczekielnikow przygwoździł do ściany przedramieniem muzyka sinego w koszulinie podartej, drugą ręką szykował się przebić go swoim bagnetem ćwiercárszynowym - muzykowi ślepa ze łba już wyszły, teraz źrenice usiłowały wyskoczyć z gałek ocznych, obróconych wraz na nóż i na kwadratowy łeb pana Szczekielnikowa pod kapturem i papachą; tak powstał zez majestatyczny, pędzła El Greca godzien.

- Puśćcie go, znam człeka przecie, to, khr, jeden z naszych zimowników.
- Źe jak po znajomości was ubije, to mniejsza dolegliwość? Czego się tu czaił!
- Puśćcie go!

Istotnie, był to raboczij z dziennej zmiany, widywało się go w brygadzie owego siwobrodego starca, co to w grobie na Wzgórzu Jerozolimskim pogrzebać był żywcem chciał. Muzyk też twarz poznał, gdy tylko się szale odwinęło. Zaraz począł jęczeć coś nieskładnie o nieszczęściach wielkich, ciężkim losie i karze niebios, że nijak nie szło go zrozumieć - zupełnie jakby zwyczajnie chłopstwa polskiego podpatrzył i tak teatralnie je tu dziś naśladował; ale widać chłopci wszędzie tacy sami. Dopiero Czyngis ponownie musiał mu ostrze pod nos

podsunąć, żeby się marcynowiec w duchu zebrał i jedno i drugie słowo wedle myśli rozumnej złożył.

A myśl u niego była taka, żeby czem prędzej Syn Mroza z Nikołajewska i Irkucka uciekał, albowiem Osoby Urzędowe za nim chodzą i o niego pytają; sam marcynowiec to właśnie uczynić zamierza, jak tylko świt wstanie, to znaczy przemycić się do linii Transsibu i zabrać się pierwszym składem gdzieś w Syberję pod mianem nowem. Ale cóż go tak wystraszyło? (Oprócz pana Szczekielnikowa teraz). Ano, naszli ich fajrantem wieczornym żandarmi w wielkiej zgraji i nuże wypytywać o sprawy marcynowe, o Ojca Mroza, o Syna Mroza, o konszachty jakieś polityczne zdradzieckie - o których muzyk pojęcia najmniejszego nie miał - a kiedy starzec toż zaparł się wiedzy wszelkiej, obili go okrutnie, a kiedy na ten widok z kolei gniew zdjął innych zimowników i rzucili się z piąchami samotrzeć na żandarmów, ci tak ich pałkami oćwiczyli, że jeden na miejscu ducha wyzionął, a dwóch w balnicu wieść trza było. Niesłychane to rzeczy! - nerwował się muzyk. Nawet jak przed tygodniami wszystkich tu jak leci w tury pakuwali, to przecież nie ubijali przytem na miejscu! Oj, gniew jest śmiertelny w sercach panów na marcynowców, i na Syna Mroza widać też - niech ucieka, ucieka, ucieka!

- Pan komisarz Szembuch szepnął słówko pułkownikowi Geistowi - mruknięło się zgryźliwie w brodę.

Szczekielnikow wyglądał jednak na zaniepokojonego. Wykopawszy zimownika za drzwi, długo czyścił w zamyśleniu nóż o rękaw.

- Pan sobie wrogów możliwych narobiłeś, panie Gie.

- Cóż, taka była intencja. Za to mam jeszcze bardziej możnego sprzymierzeńca. Jutro rzeknę słowo, komu trzeba.

Czyngis nadal kręcił głową.

- Ale oni wiedzieli, że pan się o tym dowie.

- Toteż właśnie: nastraszyć mnie chcieli.

- Dlaczego nie przyszli na Cwietistą?

- Bo po sądach bym ich ciągał, khr, a tu mogą sobie tarosić biedniaków, ile dusza zapragnie.

Schował nóż.

- Szyją na was wyrok, panie Gie.
- Gadanie. Pan to zawsze najgorsze -
- Słucha się Szczekielnikowa, wnuków się dochowa.

Ziejcow musiał mieć jednak zachomikowane gdzieś na Wieży zapasy trunków procentowych, bo za powrotem z drugiej wizytacji w Warsztatach zastało się go w jego kącie przy piecu w misia ululanym, z nosem i brodą wbitemi między stronice wierszy transcendentalnych, zionącym perfumą spirytusową. Cwana bestja, zanim się wódką ukołysał, schował flaszkę z powrotem. Przez całą drogę w Marmieladnicy i saniami przez Irkuck pod purgą zabelony, że nawet Słońca wschodzącego nie było widać, się trzęsło się z zimna i mało się zębami nie dzwoniło, marząc o szklanicy rumu albo śliwowicy.

Pan Bóg poskapił. Wbiegło się na drugie piętro, stupalo się na progu śnieg, jeszcze w szubie i szapce, z torbą na ramieniu, a tu już panna Marta woła i od kuchni Leokadję Gwóźdz prowadzi. - Panie Benedyckie, gość do pana! - Co było robić, poprosiło się ją do salonu, służąca przyniosła kawy i chleba świeżo wypieczonego z miodem.

- Mhm, pani wybaczy - mamrotało się z pełną gębą, rzuciwszy się na ten pieried-zawtrak - ledwo się trzymam na nogach po nocy -

- Ochrana u mnie była - rzuciła pani Gwóźdz, obejrzawszy się za wychodzącą służbą.

Westchnęło się boleściwie.

- Wiem, wiem, pani Leokadjo, nadepnałem tu kilku osobom na odcisk, to się zaraz ułagodzi, ale jeszcze przez parę dni -

Palnęła otwartą dłonią w blat stołu, a dłonie miała jak robotnik chołodnicowy, podskoczyła cała zastawa, spadła pokrywka cukierniczki, zadzwoniła lampa naftowa.

- Panie Benedyckie! Ja nie przysłałam pana ostrzegać! Pan jesteś człowiek postrzelony, a przytem dziko uparty w swoich warjactwach, i mało w gruncie rzeczy od ojca swego różny, widzę to teraz; ja chcę, żebyś pan ode mnie ich na dobre oderwał! Rodzinę mi nachodzą! Ludzi straszą! Wczoraj jeszcze gorzej - do Rappaporta przyszli, naczalstwo sterroryzowali - ja pracę straciłam!

Popiło się chleb ciepły kawą gorącą, fale temperatury życiodajnej rozchodziły się od wnętrza organizmu, rozleniwienie i senność naturalna naszły zaraz po nich, się osunęło się na krześle z miną zapewne o nie najwyższej ostrości intelektu świadcząca.

- Ale co ja na to mogę - przeprosić, no przepraszam - tak czy owak rychło wyjeżdżam, więc samo się -

Nachyliła się przez blat.

- Coś pan im nagadał, na miłość boską! Przecież ci, co z ochroną chodzą-

- Mhm?

- Pokazali mi papiery! - Zaciśnęła pięści. - Chcą ją wykopywać.

- Proszę?

- Emilkę, siostrę pańską! - syknęła. - Chcą grób rozkuć, trumienkę wydobyć, otworzyć... Po moim trupie! - Znowu palnęła pięścią w stół.

Się otrzeźwiało się.

- Zaraz - ekshumować Emilkę - zaraz! - tak pani mówili? - no przecież - zem nie pomyślał! - krew z krwi, kość z kości Batiuszki Maroza - a ktoś z Bractwa Walki z Apokalipsą musiał się im wygadać - Szembuchowi? Pobiedonoscewowi? Pani Leokadjo! - Złapało się ją za tę dłoń zaciśniętą. - Proszę sobie przypomnieć! Czy oni się jakoś przedstawiali? Mówili, czyja to wola? Czyim nazwiskiem grozili? No tak - no przecież - no oczywiście! Ale dziecko małe, niemowlę - czy mogła? - nie mogła - jaka jest stała strukturalna podobnego abaasa...?

Pani Gwóźdź spojrzała ze zgrozą i przez pół chwili miało się wrażenie, że wybuchnie gniewem już niepowstrzymywalnym, nawet cofnęło się ręce, odsunęło się od stołu - zdemoluje serwis, roztlucze lampę, wywróci meble - ale chwila pękła na drugą stronę i z pani Leokadji cała para uszła naraz w postaci głuchego śmiechu.

Machnęła zrezygnowana.

- Nie do życia ludzie.

- No bardzo panią -

Wszedł Wielicki. Podniosła się, dygnęła, ucałował podaną dłoń, zaczęły się pogaduszki grzecznościowe, towarzyskie; wyłączyło się uszy. Kto wysługuje się tu ochroną? (Wieczorem trzeba zajechać do Modesta Pawłowicza, zasięgnąć rady). Kto ma władzę taką i ambicję w tym kierunku obróconą? Szembuch? To jasne, iż rzecz łączy się z szantażem komisarza Ministerjum Zimy, ale Szembuch jednak jest figura mikra; może się umówić z pułkownikiem Geistem na obiad w Arkadji, ale nie postawi swoim słowem na nogi ochrony. Więc kto? Kto

ma tu odwagę stanąć przeciwko generał-gubernatorowi? Pobiedonoscew tylko. Się skrzywiło się, błąd w równaniach, znowu coś tu nie sztytuje. Pobiedonoscew po tym spotkaniu w wieży Sibirchożeta prędzej przecie otoczyłby swoją opieką idejologa Państwa Lodu, a nie -

- Panie Benedyckie?

- Tak, tak.

Się pożegnało się z panią Gwózdź. Pan Wojsław przystanął jeszcze w przedpokoju, wiążąc pod brodą fular biały. Z głębi mieszkania dobiegały zaspane głosy dzieci odmawiających modlitwy poranne, w kuchni na dole stuknęła rytmicznie makutra; świt już minął ponad godzinę temu, ale zaklajstrowane śnieżycą okna równie dobrze mogłyby być szczelnie zasłonięte, wszędzie paliły się lampy; dziadek węglowy chodził od pieca do pieca, dzwoniąc wiadrem i popieluchem. Pan Wojsław wcisnął w końcu fular w kamizelkę, obkręcił djament na paluchu, poklepał się w zamyśleniu po globusie brzucha.

- Znajdzie pan dzisiaj dla mnie czas? Po pracy. Mhm? Trzeba nam się i obgadać to i owo.

- Co na przykład?

- Bardzo to dla mnie przykre, mój drogi, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo... ale muszę cię chyba poprosić, żebyś znalazł sobie jaki kąt własny. Oczywiście nadal jesteś u nas najserdeczniej witany! Najserdeczniej! Ale -

- Odwiedziła pana może policja w mojej sprawie?

- Co? Nie! Widzi pan, panie Benedyckie, inną rzeczą jest pomoc rodakowi, w najcięższej nawet opresji kryminalnej, a inną zupełnie - afiljowanie się człowieka interesu z taką czy inną stroną polityczną. Przecież wszyscy wiedzą, że pan u mnie pomieszkujesz.

Rozumiało się pana Wojsława doskonale. Jego zmieszanie było szczere, jego zawstydzenie było szczere, lecz szczerą również - stanowczość prośby. Taki to człowiek, Wojsław Wielicki, że i konkurencję do plajty niszcząc, podpisuje ostatni kontrakt zabójczy, wdychając melancholijnie i o zdrowie splajtowanego z troską pytając.

- W każdym razie pan chyba poważnie mnie za liedniaka nie bierze.

- Liedniaka? - zaśmiał się. - Pan się za rzadko w lustrze przeglądasz, panie Benedyckie! W innych skalach was teraz widzą na mieście.

- Jak niby? No, powiedz-że! Sam przecie siebie z zewnątrz nie obejrzę.

Uniósł brwi.

- Otóż pan abłąstnik jesteś i przeciwko Imperatorowi świętemu spiskujesz.

- Co takiego?!

Śmiał się jeszcze donośniej, ubawiony setnie.

- A co? Nieprawda? - Wyjął chusteczkę, otarł łzy, wytrąbił nos. - Jak szybko się rzeczy zmieniają od balu gubernatorskiego! Prawie jakby już mała Odwilż w powietrzu. (Chroń nas, Panie Boże!) W Charbinie ceny zimnaza i tungetytu przybrały o trzydzieści procent. Trzydzieści procent! Może pan i o tym coś wiesz, he? - Klepnął przyjacielsko, puścił oko. - Nie pana to aby sprawka, serdeńko? - I zaśmiał się po raz trzeci.

Lecz prawda była taka - widziało się wyraźnie - iż pan Wojsław Wielicki sam wcale tego do końca za żart nie uważa.

### **O planach wielkich, to jest o władzy człowieka nad przyszłością i przeszłością**

Nikola Tesla poprawił mankiety śnieżnojasne, naciągnął ściślej rękawiczki, obejrzał się z miną tajemniczą przez prawe ramię, przez lewe ramię, poczem gestem prestidigitatora wydobyl z kieszeni fraka czarny kamyk i postawił go na stole. Był to tungetytowy pocisk rewolwerowy. Ujęło się go między palce. II. P. M. 48. Tesla wykonał gest drugi - drugi nabój stuknął o laboratoryjny blat. II. P. M. 41.

- A-ha! - Nabiegł ćmieczą na obliczu, zadowolony z siebie. - Z powinszowaniem urodzinowem! - Puścił oko. - Poprosiłem ładnie Stiepana.

- Ja-

- Nie?

- A rzeczywiście! Skąd pan wie?

- Christine mi powiedziała.

Odchrząknęło się.

- No, doprawdy...

- To ile to będzie?



Policzyło się w myśli, odejmując datę od daty, jak zawsze zdumiony tym jednym rachunkiem prostym.

- Dwadzieścia cztery.

- *A, un Enfant du Siècle!* - uśmiechnął się Tesla.

Zamknęło się naboje w dłoni.

- Ale co panu taką myśl -

- No jak to, prosił pan przecież o nie.

- Prosiłem?

- Przedwczoraj w nocy - nie pamięta pan? Kiedy już połamaliśmy wieszaki. Że musi pan - jak? - „na wszelki wypadek”, o. Ale ja słyszałem strach! - Uniósł biały palec. - Słyszałem strach!

Mówił prawdę. Nie pamiętało się niczego podobnego, Nikola zasnął przecież szybko z głową na zwierciadle tungetytowem, jakże mogło się go o cokolwiek wtedy prosić? Teraz zaś mówił prawdę.

No ale wtedy bił bez przerwy Młot Ćmieczy, roztlukując w kruszon każdą chwilę minioną, zanim na dobre zamarzła. Więc - prosiło się Nikołę Tesłę o kule do Arcymistrza - prawda czy fałsz?

- *Merci, merci beaucoup, mais...* mhm, sądzi pan, że będę ich potrzebował?

- Nie pozbył się pan tego rewolweru.

- Nie. - Zerknąwszy na drzwi (pracownia była pusta, wszyscy czekali na generał-gubernatora w głównej sieni, pod cekinowym globusem i freskiem letnim), wyjęło się zza paska zawiniątko i odplątało się broń. Arcymistrz zatęczował matowo. Złamało się go wpół i chuchnęło się w komory puste. - Ci agenci ochrony, którym dał pan oręż lodowy... - Wsunęło się kule w kielichy kwiatowe. - Na ludzi, w Ekspresie zwłaszcza, niezbyt przecież byłby przydatnym. Czy wyście się naprawdę obawiali, że to lute same podejmą jakiś ruch obronny przeciwko arsenałowi Lata?

- A pan takim jest już pewnym, że do myśli ni obrony żadnej nie są one zdolnemi?

- Nie żartujmy. Przecież nie po to zamówiliście te rewolwery.

- Bo to była serja eksperymentalna, przed pompami Kotarbińskiego, przed choćby myślą

o tungetytorach. A że przytem wyszła broń na ludzi potężniejsza od zwyczajnych...

- Kula tungetytowa uderza w lód - i co? Jeszcze więcej lodu. Dlaczego akurat na lute -

- A jednak ustrzelił pan jednego.

Dotknęło się opuszką palca włożony w rewolwer nabój.

- Doktor Wolfke na razie tego nie badał.

- Czego?

- Zachowania wysokoenergetycznego tungetytu w płynnym helu, we krwi lutech. Tak jak istnieją chłody zimnazowe o pełnej symetrii przeciwcieplnej - cen zamek, komora, lufa - tak i związki tungetytu... Mam rację? Poniżej zera Kelvina... Taki miał pan może pomysł na zniszczenie Dróg Mamutów?

Strzasnęło się Grossmajstera z powrotem. Odruchowo podrzuciło się go na wysokość oka, spojrzęło się wzdłuż lufy wężowej. Róg pokazywał środek tabeli świętych geometryj lodu.

- A właśnie, doktorze drogi, pomierzył pan wreszcie te stałe strukturalne? Bo w końcu zapomniałbym.

Tesla zaburczał coś pod nosem w obcym języku.

- *Pardon?*

- Wiadomo, że ludzie się różnią! - zazrędził. - Pomierzysz oporność elektryczną na ciałach człowieka i człowieka, to ze stosownie czułą aparaturą zawsze odmienne wyniki dostaniesz. Ale charakter? Jak pomierzyć człowiekowi charakter?

- Ale pan rozumie, że ja muszę mieć te dane, zanim pojedę za ojcem. - Schowało się Arcymistrza. - Przewędruję po lodzie tysiąc wiorst z pompą Kotarbińskiego, a na miejscu się okaże, że ojciec szybciej zbiera w sobie ćmiecz, aniżeli pompa zdąży ją odciągać - i co wtedy? Co gorsza, jeśli prawdą jest, że abaasy mogą tam nadal rosnać i dojrzewać, na ten przykład zszedłszy na Drogi dzieckiem, to i stała pojemności teslektrycznej z charakteru -

- Pompa! - poderwał się Tesla.

Oczywistość przeszła po ćmieczy niewidzialnym piorunem.

- Ma pan?

- Wczoraj -

- Gdzie?

- Proszę.

Wyciągnął spod stołu przy swoim stanowisku pod czarnymi tablicami skrzynię drewnianą zapelnioną z wierzchu rumoszem elektronicznym, kablami, lampami, popalonem uzwojeniem; odgarnął je, ukazując blaszaną obudowę piecyka naftowego.

- Wewnątrz?

- Pod zbiornikiem.

- Kable -

- Szpulowo.

- Gdy się rozpali -

- Próbowałem.

- Ach! Gienjalne! Nikt nie zauważy, temperatura na plus.

- I nie korbą, lecz -

- Para.

- Lub z baterji ćmieczy. Patrz pan.

Tupot wielu nóg na korytarzu oznajmił przybycie dostojnych wizytantów. Tesla wkopnął skrzynię pod stół, wyprostował się na całą wysokość, ponownie poprawił mankiety. Powróciła myśl, że może jednak lepiej wymknąć się niepostrzeżenie i nie afiszować się tak przed hrabią Szulcem-Zimowym znajomością z doktorem Teslą, który jest przecież cierń w boku hrabiego, cokolwiek by hrabia oficjalnie twierdził; nie kłuć go tym w oczy - zanim wszakże zadziałało się wedle tej myśli, otwarły się drzwi i wmaszerował inżynier Jago, ponury jak chmura gradowa, po nim zaś stary ochrannik Stiepan i cała już grupa pracowników Obserwatorjum, czynowników, kozaków, a także inarodców w ich skórkach brudnych, w środku zaś grupy szedł Franciszek Markowicz Urjasz w mundurze wcale nie galowym.

- Sprawy wagi państwowej - szepnął Sasza Pawlicz doktorowi Tesli. - Hrabia jest zajęty.

Serb zaczął rozpinać frak.

- Ja też jestem zajęty! - warknął gniewnie.

Komisarz Urjasz dostrzegł go ponad siwą głową rozgadanego dyrektora Obserwatorjum.

- A, nasz czarodziej! - zawołał i wyrwał się świecie nachalnej. Wysiłając się na uśmiech rażąco sztuczny - uśmiech fałszywy - potrząsnął energicznie prawicą wynalazcy, że aż stary Tesla wsparł się na stole. - Moi Burjaci pytają, czemu to wasz bęben dziś nie bije - zagadnął go dalej pół-serjo Franciszek Markowicz.

- Wyłączyłem - mruknął doktor.

- Ale chyba nie zarzuciliście badań? Gubernator niezmiernie jest ciekaw waszych postępów. - Fałsz w głosie, fałsz w minie, fałsz w pozie ciała.

Po drugiej stronie prawda tu była zaś taka, że ostatnimi dniami Tesla niemal zupełnie poświęcił się coraz to bardziej szalonym pomysłom fiodorowców (w nocy wskrzeszali myszy pod Młotem Ćmiatła, Sasza zarzekał się, że na kilka sekund, to jest w ekstremum fali negentropijnej, wracały gryzoniom oznaki życia) i postępów żadnych po prostu nie miał.

- Bardzośmy radzi z zainteresowania Jego Ekscelencji - skłonił się inżynier Jago.

Pan Urjasz zmierzył go poważnym już spojrzeniem.

- Taak - westchnął. - Nie wątpię. - Odegnął krótkim gestem nagabującego go zza łokcia dyrektora. - Gaspadin Gierosławski, słóweczko. - Odszedł w kąt, dłonie na kaflach gorących położył.

- Ja właściwie sam mam do was interes - się odezwało się.

- O?

Zaczem opowiedziało się mu w żołnierskim skrócie o wypadkach z żandarmerją w Zimnym Nikołajewsku i o ochranie znajomych ojca tu nachodzącej.

Nie można rzec, żeby się zdumiał widocznie.

- Głupi, wszyscy oni głupi - mamrotnął, oparłszy o piec czoło pod lokami jasnemi mocno wysklepione. - Wy to przecież widzicie, musicie widzieć - Wtem zerknął bystro. - Będziecie honorować układ z Jewo Sijatielstwem, jakkolwiek zatańczą kości!

- Ale rzeknijże pan jasno, gaspadin Urjasz! - Strzeliło się z irytacją, bo nie mogło się pojąć, czemu tak trudno przychodzi czytać tę prawdę - jakby wtem ktoś specjalnie zaciągnął umysł zasłoną półfałszu.

- Odwilż w Europie, Zima w Syberji. Daliście słowo!

- Słowo - odparło się powoli.

- Pamiętajcie: tylko Szulc u władzy może zapewnić bezpieczeństwo wam i waszemu fatrowi. Tigris Etmatow i jego ludzie mnie są wierni - będą wierni wam. Pojmujecie? Jewo Sijatielstwo może nie wierzy w zamróż Historji, lecz ja...

- Ale - co się dzieje? Kto policję wkoło mnie rozsyła? - Postąpiło się jeszcze bliżej. - Pobiedonoscew? - szepnęło się na wydechu.

- Głupi, głupi, głupi - powtarzał cicho piecowi pan Urjasz. - Gdyby koniecznie nie musiał, nie postawiłby Imperator na gienerał-gubernatorstwie człowieka jak Szulc, to znaczy obrotnego, ambitnego, samodzielnie myślącego - charakternego! - Rumieńce mu już niezdrowo lica opaliły, odkleił się wreszcie od pieca. - Albowiem w tym najmocniej przejawia się zasada rządów w państwie samodzierzcy: ten bezpieczny pozostaje we władzy z góry mu udzielonej, kto głupi, panie Gierosławski, kto głupi, bo tym mniejsze wówczas zagrożenie dla autarchy stanowi. Który żyje w nieustannym strachu - szepnął - przed każdym, komu zmuszony został odstąpić choć część swego potęgi absolutnej.

A jednak prawie w ogóle nie zdziwiły te słowa przeciwnaństwowe z ust czynownika Kancelarji Gienerał-Gubernatora. Mimo wszystko musiało się już więcej owej jedynoprawdy po ćmieczy dotknąć, aniżeli potrafiło się jej w słowach - w języku drugiego rodzaju - wypluć na świat materjalny.

- Sami więc widzicie - rzekło się z nutką sarkazmu w półgłosie - wyjście stanowi tylko władza Historji. Nie człowieka żadnego i nie zbiorowości ludzkich. - Podniosło się i upuściło pogrzebac; załomotał o drzwiczki pieca. - Czyż istnieje niesprawiedliwa grawitacja? Zali są podle astronomje? Nieuczciwe matematyki?

- Tak, wiem, Aleksandr Aleksandrowicz wystosował do gubernatora list obszerny... Ale w tej chwili - Franciszek Markowicz obejrzał się na Teslę - w tej chwili inne sprawy uwagi się domagają. - Przedmuchał nos, co zabrzmiało jak westchnienie konia. - Posłucha, jeśli go poprosicie?

- O co?

- A myślicie, że po co się tu fatygowałem? Życie mu ratować.

- To Jewo Sijatielstwo nie ręczy już przed Imperatorem za bezpieczeństwo doktora Tesli?

Pan Urjasz parsknął tylko.

- Cóż, spróbować należy, dla spokoju sumienia choćby. Często u niego bywacie?

Pomyślało się o pompie Kotarbińskiego ukrytej w piecyku. Czyż tak nie będzie łatwiej?  
(Nareszcie myśl oryginalna w zamrożonym łąbie!)

- Powiedzcie swoim Tunguzom i komu trzeba w Jaszcziku, coby zaprzęgi i sprzęt cały zgromadzili tu, w Obserwatorjum.

- Nie chcecie się pokazywać w Cytadeli?

- A te mapy, któreście mi obiecali -

- Tak, już, już, dzień, dwa - gdybyście wiedzieli, ile teraz mam na głowie!

- To ważne, inaczej nie obliczę, gdzie ojciec -

- Tak, tak, tak! - warknął. - Mnie też się nie uśmiecha wojna i rasko! - Odetchnął. -  
Wybaczcie. Więc nie posłucha was, co? Doktorze Tesla! Pozwolicie!

Pojechało się do pracy. Było już bliżej drugiej, śnieżycy jednak nadal szalała wściekła, zamykając człowieka w wirze białej otuliny o średnicy dwóch kroków, że doprawdy nie pojmowało się, co Czyngis Szczekielnikow mógł mieć na myśli, pokrzykując wtem zza kołnierza na peronie Marmieładnicy: - Śledzi was! - Dopiero w windzie Wieży Zegarowej spróbowało się go wypytać, ale oczywiście żadnego opisu konkretnego podać nie potrafił. Być może zasugerowała go przelotna gra świecieni, przemożna symbolika konieczności - bo okna zalepione przymarzliną świeciły już wszystkie perlowo i nawet ze ścian blask lekki szedł, czego wcześniej się nigdy nie spostrzegło. Wielkie i czarne-najczarniejsze Sijanijsze musiało stać nad Krajem Lutych.

Toteż inżynier Iertheim także we wnętrzu Laboratorjum nie zdejmował okularów marostiekłowych. Nie dało się odczytać wyrazu jego oczu i krzywo biegły spojrzenia, gdy, przywoławszy gestem wysokim zza szaf, rzekł poważnie:

- Anioły nad panem czuwają, panie Benedykcie.

- Tak?

Wcisnął w dłoń bumażkę zwiniętą.

- Jutro o ósmej wieczorem. Ona pamięta Filipa Gierosławskiego, brat musiał jej opowiadać o swojej pracy. Pomówi z panem.

Odczytało się adres. Przecznicza Amurskiej, blisko Cwietistej.

- Dziękuję.

Bliznami po palcach podrapał blizny na twarzy.

- Słyszał pan plotki?

- Które?

- Co pisali w gazetach, jak to sonnyje raby teraz warjują. Ponoć pchają się do Transsibu. Jak szczury. Chodzą słuchy o wojnie, ale nie z Japonją.

- To przez Zorze, panie Henryku, sam pan mówił: pod Zorzami zawsze tak.

- W kantorach Kruppa - wskazał kciukiem podłogę - panika od rana, *Herr Direktor* kazał skupować surowce po każdej cenie.

- Mhm, w Cytadeli też niespokojnie. - Zakurzyło się papierosa, podumało się. - Co pan myśli?

- Pobiedonoscew na dobre pożarł się z Szulcem?

- Mhm. Nie, nie to.

- Chińczyki?

- Też czytałem o nowych powstaniach przeciwmandżurskich. Ale KPL co najwyżej pofika na południu, poza Lodem. Lód, Lód trzyma, panie Henryku, co tu się może zmienić?

Wyszło się przed siódmą, żeby zdążyć do Rappaporta. Leokadja Gwózdź już tam nie pracowała, ale tak czy owak musiało się kupić odzież (kilka rozmiarów za dużą, skurczy się na mrozie i wilgoci) i oporządzenie całe na podróż w serce Zimy. Się zapakowało się z tym wszystkim z powrotem do sani, z tobołami, torbami, i z najbardziej nieporęcznym pakunkiem, z nartami syberyjskimi (to jest nartami oprawionymi skórą z renów, z włosiem specjalnie pod kierunek jazdy ułożonem, co z zawodowym zachwytem prezentował sprzedawca).

Na Cwietistą zajechało się już po ciemnicy, nawet tęcze latarni marostiekłowych nie potrafiły przedrzeć zasłon śnieżnych, ulicami Miasta Lodu huczała biała ciemność arktyczna, o której czytało się było tyle u podróżników krain północnych; biała ciemność rozmazana nadto na szklach w kaszę dziwnymi kolorami doprawioną. Ale człowiek się przyzwyczaja, człowiek przestaje zwracać uwagę. Kształt, ruch - to tak. Reszta traci na znaczeniu. Nie widzi się, co się widzi, lecz co mózg rozszyfruje z bohomazów gwałtownych na źrenicach malowanych.

Wir - bałwan morski - chmura pierza - cień barwny - sylweta pięcionożna, trójreka - bestja Piegnarowa z grzywą sopliczną - człowiek skaczący na sanie - chłopak w kurtce

lekkiej, ze śniegiem w czarnych włosach, lodem na brwiach i rzęsach - kto - on - Miefodij Karpowicz Pielka, żywy.

- Gaspadin Gierosławski! Idą aresztować Wasze Błagarodje -

Tyle zdążył krzyknąć, zanim pan Szczekielnikow zamknął na nim uścisk kwadratowy i pociągnął z sań. Zwalili się obaj w zaspę. Się poderwało się, strącając narty i ciężki zawój koldry zajęcej, pomniejsze pakunki poleciały prosto na ulicę. Oni tarzali się gdzieś w śnieżycy, kształty niewyraźne, niedźwiedź i mała. Zawołało się raz i drugi. W bramie kamienicy Wielickich błysnęło światło. To draby-pałowniki śpieszą z pomocą. Zatluką tego Pielkę. Skoczyło się w purgę huczącą.

Wiatr tak szybko nie zawieje śladów głębokich, podreptało się za nimi - tu Czyngis wtłoczył Pielkę na arszyn w zaspę, tędy włókł za kończyne, tu Pielka wierzgał jeszcze, na wszystkie strony szugę rozkopując, a tu - tu pan Szczekielnikow dusi marcynowca wątego, przybiwszy go do muru przedramieniem pod brodę wklinowanem. Zaraz ostrzem przespili, jak już tego robotnika chołodnicowego chciał był przedźgnąć; taki obyczaj Szczekielnikowowy.

Szarpnęło się Czyngisa za rękę - ani drgnął.

- Do środka! - krzyknęło się mu do ucha, ściągawszy szal z twarzy.

- O! - Pokazał na ziemię pod stopą Pielki. Leżał tam nóż rzeźnicki o karykaturalnie szerokim ostrzu, jak z dziecinnych obrazków zbójów-ludojadów.

- Do środka go! - powtórzyło się.

Pan Szczekielnikow wzruszył ramionami - co miało i ten skutek, że uwolniony Pielka odpadł od ściany, krztusząc się i po szyji w panice macając.

Przyczłapały draby z lampami i kijami. Kazało się im pozbierać towar z sań. Poczem, złapawszy Pielkę za kołnierz kurtczyny lichej, pociągnęło się go do sieni i na piętro. Pan Szczekielnikow podążał z tyłu, z miną zde gustowanego konesera obracając w łapie potworny nóż Pielki.

Wepchnęło się roztrzęsionego marcynowca do pokoju przykuchennego, jedne jego drzwi zaraz zamykając od wewnątrz, pod drugimi stawiając Czyngisa z przykazaniem, żeby nikogo nie wpuszczał. Zrzuciło się szubę, szapę, rękawice, szale, podpinkę, swetry wierzchnie, zdjęło się okulary, zzuło się buty; przystąpiwszy do pieca, położyło się dłonie płask na kaflach gładkich, gorących - pierwsza rzecz, jaką robi Syberyjczyk po powrocie, niczym podanie ręki



domowi na powitanie.

Chyba że jest zimownikiem-marcynowcem i odsuwa się odruchowo w kąt od pieca najdalszy. (Kaszłąc i chrypiąc i topniejąc raptownie z włosów i odzienia letniego).

Wydmuchawszy nos, pchnęło się Pielce krzesło. Usiadł niezgrabnie, niewygodnie, jak uczeń przed oblicze pryncypała doprowadzony, na krawędzi samej, nogi razem trzymając, nie wiedząc, co z rękoma począć (skrzyżował je na piersi, wepchnął pod pachy, na kolanach złożył, do kieszeni wciskał).

Spostrzegło się teraz bandaż brudny spod rękawa lewego mu wystający; bandaż widoczny był także przez rozdarcie w szwie na barku.

- Jesteście ranni?

- Złamałem wtedy rękę. - Kaszlnął. - Wasze Błagarodje musi -

- Kiedy? Ach. - Jako że zdjęło się marostiokła, nie było już obrony przed świecieniami ze ścian i z okna czarno-białego zza figury Pielki powstającymi, ostro cięła po oczach oćmiata Miefodija Karpowicza: tak i tak, nie i nie. - Jak wyskoczyliście z pociągu, ano. Więc z kim to mówiliście owej nocy?

Otworzył usta, zamknął, otworzył.

- Nie żyw już, to powiem Waszej Wielmożności. Pan radca Dusin przyszedł mnie ostrzec, cobym uciekał, albowi Jej Książęca Wysokość zwiedziła się od czeladzi o mnie, zaraz ludzi pośle. No tom wyskoczył.

- Księżna Błucka też mi wtedy ratowała życie, dlaczegóż miałaby... Ach, ona marcynowiec - to wszystko po wierze marcynowej poszło!

- Gmina Jej Wysokości i moja gmina są w Moskwie w wielkiej nieprzyjaźni, krew między nami, Prawda między nami. - Opuścił oczy. - Rasputin zadusił własnoręcznie batuszkę naszego. Ale, Wasza Wielmożność, nie czas -

- Zaraz! Wpierw to musi zamarznąć! Dlaczego Dusin - zaufany księżnej, więc siłą rzeczy też pewnie marcynowiec - ale -

- Pan Dusin był człowiek wierny Ich Wysokościom, ino nasz brat. Przyrzekał, że pomoże wam jeszcze - co, nie pomógł?

Zamarzło.

- Dobrze. - Wydmuchało się nos po raz drugi. - To niby za co mają mnie aresztować?

- Za morderstwo gubernatora Szulca.

Chusteczka poleciała na podłogę. Klapnęło się na stołku pod piecem.

- Nie kłamiecie.

Pielka przeżegnał się nerwowo, pocałował medaljonik.

- Na zbawienie duszy mojej!

- Skąd u was takie wieści?

Przygryzł wargę.

- Ale nie zdradzicie mnie.

- Nie zdradzę, Pielka, nie bójcie się.

- No. To tak. Jakżem tu przyjechał za Waszą Wielmożnością, dobry miesiąc temu, to gdzie mi się było podziąć? Do braci moich, do przyjaciół przyjaciół się zwróciłem. Czas jeszcze się kurował, alem zaraz posłał słowo, że jak tylko co Wasze Błagarodje dotknie - a tu każdy podążający drogą Marcyna słyszał przecie o Synu Mroza - ma wieść do mnie przyjść, a jam już dusił wszelkie zamysły niebezpieczne głów rozpalonych, coby w spokoju Wasze Błagarodje ostawili. I tak właśnie dziś nowina straszna doszła od brata naszego, który, ale błagam Waszą Wielmożność, żeby nikomu - który jest sługa w domu pułkownika Geista i powiada, oj, co on powiada: był zamach krwawy na Jewo Sijatielstwo hrabiego Szulca-Zimowego, z którego pierwsze oskarżenie i śmierć szybką-pewną wypisali już na Wieniedikta Filipowicza Gierosławskiego. A że jeszcze gaspadina w kajdany nie wzięli, to pewnie jeno przez to, że się szykują do wielkich akcyj żandarmowych w całym Irkucku. Co może życie gaspadinowi uratować: niech ucieka!

Otarło się czoło i dopiero spostrzegło się pot na skórę wybity. Się odsunęło się od pieca.

- Kiedy ten zamach?

- A ot, wte i wewte jak przebiec zdążyli z alarmem - to ile? Godzinku?

- Siedź tu.

Wyszło się do salonu. Krzyknawszy o papier i pióro, skreśliło się trzy zdania do szanownego Modesta Pawłowicza Kuźmieńcewa i posłało się służącego wierzchem, rubla mu w karman wciskając, coby na złamanie karku przez purgę popędził.

Panna Marta dopytywała się, co się dzieje - pan Szczekielnikow nadal stał na korytarzu

pod drzwiami, tyle że koszmar-nóż za pazuchę schował. Ucałowawszy z przeprosinami rączki panny, poprosiło się ją, by zapukała, skoro tylko pan Wojsław z pracy przyjedzie, porwało się z kuchni czekoladę gorącą i wróciło się do Piełki.

Nie chciał czekolady; nalało się do jednej filiżanki. Siedział z licem sinem przyciśniętem do zimnej szyby; prawem okiem czarnem, smutnem na biały przestwór wypatrywał, lewem po izbie błdził, zez wylupiasty, rybi prezentując.

Dmuchało się w czekoladę.

- Kto wy w ogóle jesteście, Piełka? - spytało się cicho. - Czemu wy za mną przez pół świata jeździcie, ludzi dla mnie ubijacie, głowy nadstawiacie?

Szerzej jeszcze wyślepił głaza wilgotne.

- No jak to! Wasze Błagarodje! Czemu!

- Wiara szczerą, rozumiem, ale -

- Wiara! - tchnął i rozkaszał się. Długą chwilę masował gardło pod ręką Szczekielnikowową zranioną.

Starając się mierzyć każdą myśl i gest wedle wewnętrznego taktu, żeby żaden rytm obcy nie mógł, narzuciwszy się ciału, narzucić duchowi, przełykało się czekoladę drobnymi łykami liczonemi na liczbach pierwszych, to jest na jeden, dwa, trzy, pięć i siedem. Nie odrywało się przytem wzroku od Miefodija. Dziedzic i parobek, stójkowy i ulicznik, Polak i Rosjanin.

- Po prawdzie, to o co wam chodzi? - ciągnęło się konwersację łagodną. - Znaczą, marcynowcom? Czego chcecie? Na co czekacie?

Zdumienie i konsternacja przelewały się w Piełce od miny do miny.

- A wy, katoliki - o co wam chodzi? Czego chcecie? Na co czekacie?

- Więc nie wiara, dobrze. Co zatem?

Zmieszał się, uciekł spojrzeniem; ale równie dobrze mógłby próbować się zerwać z drutów zimnazowych.

- A bo panowie to zawsze tak... - mruknął.

- Jak, Miefodij, jak?

- Tacy babsko gadający. - Potrząsnął łepetyną. - No i czemu Wasza Wielmożność nie ucieka?! Aresztują was!

Otarło się wąs z czekolady.

- Ty dobry maładjec jesteś, nie baba, ale powiedzieć możesz, co ci w duszy gra; to męska jest rzecz, Miefodij, nie o czułostkach błahych paplać, ale wejrzeć w siebie i nazwać jasno jednego i drugiego ducha do czynów największych mężczyznę napędzającego. Bo i słusznie widzisz, Miefodij, u panów taka umiejętność oka i słowa, duszy i rozumu częstszą bywa; a chłop nawet jak sąsiada zarąbie, to nijak wgłos sędziemu nie potrafi się obtłómaczyć, na co, po co, dla czego to uczynił. Tem bardziej nie wypowie się, czemu życie całe przepędził na roli, jak ojciec jego i ojciec ojca; nie ma w tym jego żywocie żadnego „czemu”. Ot, zamarzło.

- Rozprowadziło się słodką czekoladę językiem po podniebieniu; jej smak i gęstość gładka, pulchna czar odcisnęły na języku, że się wypowiadało się już tonem i rytmem isticie czekoladowym, to znaczy płynnie, miękko, nisko, słodko. - Natomiast panowie... Jak myślisz, Miefodij, o czym jest cała sztuka, jaką się w miastach i na dworach zachwycają, wszystkie opowieści teatralne i książkowe?

- Żeby baby do grzechu łatwiej zbałamucić - burknął.

- To też. Ale nie po co sztuka jest, pytam - a o czym, o czym? Otóż o tym właśnie: że człowiek robi coś wielkiego - postępek szlachetny, postępek podły, czyn niespodziewany - coś innego, co jakby spoza niego przyszło, i jakie tego następnie konsekwencje ponosi, i jak próbuje sobie i innym opowiedzieć, dlaczego zrobił, co zrobił; i zazwyczaj opowiedzieć w żadnym ludzkim języku nie potrafi - po to więc sztuka jest również, ona opowiada.

- Ja się nie znam - rzekł Pielka. - Ja nie czytały.

- Ale jesteśmy na ziemi Lodu, tu nawet muzyk, co w życiu w zwierciadło czyste nie zajrzał, potrafi się na paluchach paru obliczyć. - Odstawiło się filizankę. - Powiedz-że, Miefodij: za kogo się tak bardzo wstydzisz?

Przytknął skroń do szyby, zacisnął powieki.

- Za radicieliej moich, za nich.

- Kto oni?

- Kto? - wzdychnął. - Już z mamutami chodzą.

- Ale wstyd ciągnie.

- Wstyd ciągnie, panie, ciągnie, oj, jak ciągnie.

- Za co?

- Za podłość, za wredność nieludzką, serca czarne i życie moje, taki wstyd przed Bogiem i ludźmi, taki... - Zatchnął się omal. Przyłożył kułak do piersi, skłonił głowę. - Ciągnie, ciśnie, rwie tak pazurami ognistymi, że dychać prawie się nie da, czasami tak.

- Wiem, Pielka, wiem. Ale i to wiem, że nie żyjemy grzechami rodziców. Gdybyśmy wszystko po nich dziedziczyli tak z pieczęcią skazy pierworodnej, to w tylu a tylu pokoleniach powstałoby na Ziemi królestwo szatana: każde dziecko do grzechów przeszłości dokładałoby nadto grzechy własne. Ale jest na odwrót, Pielka, jest na odwrót!

- Kiedy przeze mnie, dla mnie i o mnie! - zawył Miefodij. - Że żyję!

- Cóż takiego zrobił?

- Ja... Pięć lat temu, pięć lat temu ja był taki wyrostek po śniegu z wilczurami ganiający, skaranie boskie dla matki i ojca, po lesie się włóczący i jadło podkradający, od pracy uciekający. Żyliśmy w Mracznietowie, w takiej dierewni podleśnej, z wolnego prawa kanclerza Stołypina postawionej, jeszcze przed lutymi; stąd sto wiorst może.

- Była Zima.

- Była Zima i była zima, i ja, durny, poszedłem z chłopakami w las wnyki zakładać, chcieliśmy skóry sprzedać, rubli zarobić, a inny malczuk butlę siwuchy zabrał, a inny jeszcze... Spilimy się wszyscy, tego już pamięci nie mam żadnej, ale spilimy się i posnęli tam na noc, przyszły mrozy sorokowikowe, ścięły nas w kamień... Powiadają, że nie żyłem.

- I co się stało?

- Ano, zawitał nocą do Mracznietowa Batuszka Maroz.

- Znaliście go już.

- Nie. Tyko że, Wasze Błagarodje, tyko że uprzednią niedzielą isprawnik stanął w wiosce i u sołtysa przybił takie apawieszczienije za Batuszką Marozem z setką rubli złotem przyrzeczonych dla tego, kto go władzy odda. Z fotografią wielką.

- Ach!

- Setka rubli złotem dla chłopca! A on przyszedł o mrozie największym, znacził w mrozie, mrozem, na mrozie. Goły był całkiem i tak przez śnieżycę szedł. Stary Gosiew go pyta, po co przybył - Ojciec Mróz mówi, że idzie za czarnem Słońcem i żeby chorych mu dać, będzie leczył, co da się uleczyć, choróbska wymrażał.

- On mówił?

- Mówił. Wtedy. Tak.

- Tysiąc dziewięćset dziewiętnasty?

- Tak. Ale bo to musicie wiedzieć, że nie był on jeszcze tak z wszystkim Ojciec Mróz, jak dzisiaj wiem; i nie pomnę, czy nawet takim mianem obwieszczon. A co mi ludzie opowiedzieli: że chodził, że siadał, że gadał po żywemu, że wódkę nawet pił - tyle że wszystko powoli jakoś i dziwnymi ruchami, i że skrzypiał, i śnieg i lód z niego sypały, i w ogóle zimny był bardzo, nie szło dotknąć, w izbie zstrzymać, sople do ziemi.

- I co? Mów, Miefodij.

Przesunął policzkiem po marostiekle niczym kot łaszący się do - do mrozu.

- I mat' przybiega rozpaczająca: ratuj dziecko moje! pomarżli riebiatizki na śmierć! Do nóg pada, zimno, ale mało, a by go sama zaciągnęła. Gdzie psy myśliwych zaprowadziły - poszedł.

- I co?

- I żyję, widzicie.

- Co zrobił?

- A kto go w tym wie! Czterech nas było, upitych-zamarzniętych; jednego ruszyli, odkuwać go od ziemi się wzięli, to ręka zlodowiona mu nasampierw odpadła, ciało się rozpękało - tak i zostawili i po popa posłali. A baby Batuszkę Maroza przywiodły. Jak my tam leżeli pod drzewami, na mierzłoci nagiej... pierw długo z nami co tam robił, we krwi grzebał, powiadają, że do serc nam sople czerwone wmrażał... a potem wziął i zszedł z nami na Drogi Mamutów.

...Trzy dni czekali raditielie i do obrazów się modlili; czwartym świtem wyszedł z ziemi ze mną i Pietją. Pono całkiem przy świadomości my byli; nie pamiętam. Ale, widzicie, panie, żywi, żywi i zdrowi i kumaci. Jeno to nam zostało do śmierci: mróz w kościach. Znacził, Pietji na dni ledwie parę, bo zamróz go nie puścił, chocia lód i kamienie i ziemię rzygał, i krzepy czarne nożem sobie z ciała wyjmował, w ogień się kładł; ale ja -

- Chodziłeś po Drogach Mamutów, Pielka.

- Nie wiem. Powiadają, że chodził. No tom pewnie chodził. Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz, ale - zamarzło.

- Ano. Tako i to potem: jak nazajutrz sotskije i diesiatniki z isprawników całą gromadą na

Mracznietową zjechały i obstrzeliwać Batiuszkę Maroza z daleka poczęły, i jak on, połupany kulami jakby glinę kruszyć, w ziemię się rzucił, w Drogi Mamutów spływając, ale znowu powoli, powolutku, w mrozie, na co go bagnetami, kijami, kosami, żelastwem wszelakiem tłukli i siekli, i końmi tratowali, i łańcuchami rozrywali, Boże mój, i głązy na niego zrzucali, tak przez wieś całą, i na ugór, i do lasu, aż jakoś w końcu nura dał pod ziemię, strzęp stargany.

...Zaczem wypłacili ojcu memu i matce sto rubli w złocie.

- Ach.

Miefodij tarł twarzą po szybie w zapamiętaniu jakimś transowem prawie, pięścią zaciśniętą w pierś się bijąc.

- A ja żyję! Ja żyję! Sto rubli za zdradę zbawiciela! Upasi Gaspod'!

- Ale on też przeżył, Ojciec Mróz, on też żyje.

Pielka zacisnął wargi sine.

- Miesiąc minął może - ale mnie tam już nie było, odesłali mnie raditiele do dziadków pod Wyszniy Wołoczok - miesiąc, jak wrócił, isprawniki dawno już odjechali, nikt nie widział w nocy, jak się wymrażać począł od studni, rankiem już prawie na nogach stał, ale tą razą nie dało się do niego przemówić i on nie mówił już wcale ludzkimi słowy, i tyle wiem, że ci, co wtedy zara z rana w sanie wsiedli i z Mracznietowej uszli, ci życie zachowali, bo jak żandarmy tam zajechali po dniach, jeden tyko zamróz zastali, lód, lód, lód, chaty roztwarte, pokrzywione, zaśnieżone, sprzęty zasopłone, bydłeta skamieniałe, i ani żywej duszy, ani ciała ciepłego. Jeny krzyż wielki, z pniów sosnowych wpółzmrożonych, na środku wsi stojący.

- Zabrał ich.

- Poszli.

- Wioskę całą.

- Sprawiedliwie, Wasza Wielmożność, sprawiedliwie za zło na dobro wyrządzone.

- Aty -

- Ja Waszej Wielmożności - ja Waszą Wielmożność - ja -

- Inny by się mścił jeszcze.

Tłukł się w pierś chudą zapamiętane.

- Mnie - mnie ciągnie, mnie piecze, mnie pali. Żeby chociaż słowo. Ale od kogo? Od

niego? Nu, nawet gdyby - czy on mnie, czy ja jemu - co tu jest do przebaczenia! Wasze Błagarodje to rozumie? Ja nie rozumiem! - Złapał się za głowę. - Nie rozumiem! Nic!

- Tu nie ma przebaczenia, Piełka. Jest tylko wstyd.

Zamarzło.

Nie mogło się jednak nie nawracać wciąż myślą goryczną: co za przekleństwo Ismaelowe - rubli sto, rubli tysiąc, sprzedany przez chłopów, którym dobro tylko przyniósł, sprzedany przez rodzzonego syna, wydany przez towarzysza pracy, „przyjaciela prawdziwego” - co za przekleństwo Ismaelowe! - zali na tym się zasadza owa „stała strukturalna” charakteru, że się ludzi, chcąc nie chcąc, przeciwko sobie obraca, złość i gniew i obrazę w nich budzi, do zdrady jawnej w końcu jakimś tajemnym magnetyzmem serca przywodząc? *Ten będzie dziki człowiek ręce jego przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciw jemu: a naprzeciwko wszystkim braciej swej rozbije namioty.* Ismael, człowiek Prawdy, człowiek-abaas, żywe dynamo teslektryczne, boska baterja ćmieczy. *Podobnych charakterników można szczerze podziwiać i szczerze kochać, ale nie sposób z nimi żyć.* Trudno nawet rzec, czy gorszy los dla nich w Lecie, gdzie miotać się jeno mogą między półfalszami, czy tu, w Zimie, w kraju absolutu. Tak czy owak, nie do życia to ludzie, nie do życia...

- Pasmatri, Miefodja -

- Wasza Wielmożność musi mnie posłuchać, uciekać bez zwłoki -

- Nu-

Zapukano.

Wyszło się na korytarz.

Pokojowy zdejmował z pana Wielickiego futra i szale. Wojśław ściągnął okulary, podźwignął ucałować Michasię, która, już do snu się szykując, przydreptała jednak zaraz do taty, misia szmacianego imieniem Pan Ciepcej za sobą ciągnąc.

- Panie Benedykcie... - zaczął ponad główką córki, piszczącej mu w brodę, że zimny niemożebnie w dotyku lica i nosa.

- Pozwoli pan na słówko w tej sekundzie, pilne bardzo.

Oddał Michasię bonie.

- Chciałem was właśnie... - sapnął. - Bo tuż przed wyjściem z firmy plotki osobliwe nas doszły, a pan się dzisiaj w sferach rządowych znowu obracał - nie?



- Mam tu człowieka, który opowiada, że godzinę-dwie temu zamordowano Szulca-Zimowego. I, uważacie, prawdę mówi.

Pan Wojsław zmartwił. Lód w brodzie rozłożystej jeszcze nie zdążył mu roztopnieć, skrzył się teraz iskrotnie na tle oćmiaty wyraźnej, ozdabiając srebrem milczenie Wielickiego.

- Z drugiej strony - ciągnęło się - wiem, że gdzieś tam po drodze złamał ktoś fałsz, bo człek powiada mi też, w tej prawdzie swojej, że, uważacie, mnie za to morderstwo aresztować chcą; a jam dzisiaj do Cytadeli nawet się nie zbliżył, dopiero co z Kruppa wróciłem.

- Co pan opowiada! - wykrztusił Wielicki.

- No i właśnie, czy waszego dworku -

- Czekać! Trzeba to w pierw sprawdzić! Modest Pawłowicz -

- Napisałem już do niego. Prawda Kuźmieńcewa to już prawie prawda Szulca.

Pan Wojsław, zamyślony, zzuwał powoli buty na piesku drewnianym.

- A te plotki - to jakie? - spytało się.

- A, inne zupełnie. Że przyszła z Pałacu Zimowego nagła dymisja hrabiego Szulca i książę Błucki-Osiej ma tu pułkami imperjalnemi porządek nowy zaprowadzić.

- Jasny piorun.

- Cziornoje Sijanije, panie Benedyckie, wszyscyśmy po trosze sonnyje raby, znak prawdy za prawdę biorący, wróżbę za konieczność ziszczoną. - Zzuł drugiego buta. - Zaraz poślę Tryfona, nie ma co panikować pochopnie. Ma pan u siebie jakieś przedmioty, na których ochrana mogłaby sprawę zrobić?

- Nie... nie mam.

- A ten człowiek wasz?

- Mhm, to racja.

Wróciło się do Pielki. Podziękowało się mu, rozsądnie nie wciskając denieg ani żadnego innego wynagrodzenia nie proponując. Kiwał głową, ale patrzył nadal gdzieś obok, skrepowany pamięcią wstydu (która sama wstydem pali). - Teraz musisz już iść, Miefodij, tym najlepiej mi się przysłużysz. - Ale uciekniecie! Uciekniecie! - Z pewnością nie mam zamiaru iść pod nur za zbrodnię, której-m nie winien.

Wyprowadziło się go z pokoju. Pan Szczekielnikow łypnął podejrzliwie. Jedną dłoń nadal

miał schowaną, na rękojeści bagnetu zapewne. Pokazało się, żeby zwrócił zimownikowi narzędzie rzeźnicze.

- Po co ci był ten nóż? - spytało się Pielkę w progę.
- A bom ja wiedział, czy zdążę? A jakby Waszą Wielmożność już brali -
- Rzucić się na żandarmów z tym myślałeś.
- Co mi pod rękę pierwsze podeszło.
- Tak wypadłeś, pognałeś - znaczy, nie tyś dzisiaj wcześniej mnie śledził
- Ja? Nie, Wasza Wielmożność, ja nie.

Za progiem odmiany serca jeszcze doznał i zawrócić usiłował, znowu nie pokojem gwałtownym porwany: - Nie odstąpię, dopóki Wasza Wielmożność bezpieczny nie ujdzie! - aż musiało się go odprowadzić po schodach i do bramy, i z pomocą drabów-lagobijów pod lampą wyjazdową z wiatrem w Cwietistą wypuścić; śnieżycą go porwała, połknęła.

Zegary domowe wybiły pół do dziewiątej. Zjadło się wieczerec gorącą z żurkiem zawieszonym i chlebem cebulowym chrupiącym. Stara pani Wielicka wyszywała przy kominku na tamburku, co chwila znad płótna okiem wiedźmiem łypiąc: pół fizjognomji pomarszczonej w ogniu migoczącym pół - w cieniu i zaćmieniu. Kocur-drapigęb grzał się u jej stóp.

- Ale w żadne złe towarzystwo nie wciągnął kawaler naszego Wojsława? - poskrzypywała słodko.

- Nie, proszę pani.
- W żadne burdy polityczne, a?
- Nie, proszę pani.
- Wojsławek ma takie dobre serce...
- Bardzo dobre.

Nie mogło się pojąć, jakim sposobem stara wyimaginowała sobie taką prawdę, że się pana Wielickiego przemocą nagięło do czegokolwiek wbrew jego przekonaniom, ba, wbrew dobru jego rodziny. Toż musiałyby się być zaiste światowej sławy mesmerystą! (Albo Aleisterem Crowleyem).

Za pięć dziewiąta zakołatał goniec do Wielickiego z papierem od człowieka z jego firmy.

Na Dworzec Murawiowa wjechał mianowicie pociąg pełen wojska, niby z tych pułków z frontu japońskiego odwołanych; pędem wysadzano i formowano sałdatów w oddziały, trzy roty długie. Wielicki odpowiedział poleceniem zebrania dodatkowych ludzi do ochrony składów.

Siedziało się w salonie przy lampach naftowych i ogniu pieca i kominka, próbując wkleić się do konwersacji, która wszakże sama z siebie rozpadała się raz za razem; atmosfera wyczekiwania udzieliła się wszystkim. Z Wielickim siedziała tu i pani Halina, i panna Marta; tutaj biło serce domu. Służba donosiła kawy i ciasteczek (które jeden pan Wojsław chrupał, za to garściami).

Przed pół do dziesiątej na Cwietistą przybył mecenas Kuźmieńcew. Zasapany, zaśnięzony, czerwony od mrozu, czarny od ćmieczy, prowadzony przez famulusa pod rękę, pierw musiał się dobrze w fotelu umościć i łyknąć jeden i drugi naparstek śliwowicy, zanim do przytomności pełnej i do głosu wrócił - już się wszyscy zdążyli od nowa w nerwach naciągnąć.

- Khrrrm! Tak. Umf! Nie mnie, dziadowi, po nocy przez mrozy stalowe ganiać. Mało, a by mnie wcale z Jaszczika nie puścili -

- Z Cytadeli jedziecie?

- Ano, widzicie, Wieniedikt Filipowicz, szybciej wieść straszną od was otrzymaną przeczytałem, aniżeli szef kancelarji burmistrza, który u mnie na madżongu -

- Ale co tam się stało! Powiedzcie wreszcie!

- No mówię przecie! Nie? Mówię! - Co rzekłszy, zasapał się od nowa i dopiero trzecia riumaczka głos mu przywróciła. - Brrr! Sławcie Pana, albowiem nie znacie dnia ni urzędu! W gabinecie swoim, nad papierami gubernatorskimi, jego własnym nożem listowym udźgany został dziś wieczora nieszczęsny Timofiej Makarowicz Szulc!

Kobiety krzyknęły, przeżegnały się. Staremu Grzegorzowi taca wypadła z rąk - krzyknęły po raz drugi. Obudzony kot smyrgnął po tej tacy, grzechocząc metalem i miauczając przeraźliwie.

Pan Wielicki zapalił fajkę.

- Do czorta z nimi wszystkimi.

Stara Wielicka mało spazmów nie dostała.

- Mamusia pójdzie spać - rzucił jej pan Wojsław, nie spojrzawszy nawet. Przysunawszy taburet do fotela mecenasa, nachylił cielsko ku starcowi dostojnemu, na ile pozwalała figura jego własna, nie mniej monumentalna. - Kto go ubił?

- A, szubrawce jakieś kloaczne, ochrana zaraz ich capnęła, dwóch ich było, ponoć anarchiści czy nihiliści czy komuniści, ale nic więcej pewnego na razie nie wiadomo. Teraz kotłują się tam nad łóżem konającego, lekarz jego osobisty i armja doktorów wszystkich znaczniejszych, cywilnych i wojskowych, i znachory kitajskie i burjackie nawet. A po korytarzach żołnierzyki pod bronią ganiają jak oszaleli, zanim noc minie, postrzelają się w tej gorączce na byle cień-świecień, nie? Postrzelają się.

- Ale powiedzcie, Modest Pawłowicz, jak to się stało? - się dopytywało się uparcie. - Był jakiś spisek? Poszły nakazy aresztowań? Bo takie plotki nas dochodzą. I jeszcze o dymisji od Imperatora, która też właśnie miała na biurko Szulcowi spaść.

Kuźmieńcew pogłaskał brodę siwą, łypnął krwiście.

- Ano, prawdę mówicie. Jest rozkaz imperatorski, o którym-em od takich ludzi słyszał, że jakbym go ujrzał na własne oczy. Rozkaz „podjęcia wszelkich koniecznych działań w celu stłumienia rebelji Szulca”.

- Jakiej rebelji?! - zachnął się Wielicki.

- Księżę Błucki-Osiej nigdy by nie przystał na żadne skrytobójstwo... - mruknęło się pod wąsem. - Ale Geist i Szembuch, wszyscy ci ochrannicy i czynownicy Zimy nienawidzący...

- Myślicie, że owi zamachowcy zostali posłani na generał-gubernatora przez ochranę?

- Modest Pawłowicz, z waszych ust prawda o hrabim Szulcu - jaki to człowiek: czy poddałby się pokornie, gdyby pewnoś miał niesprawiedliwości i knowań czarnych za dymisją stojących? Modest Pawłowicz! Czornoje Sijanije nad nami! Czyż inna oczywistość hrabiego Szulca? Mecenas przytknął dłoń sękatą do skroni.

- To mocny człowiek jest, to prawy człowiek jest.

- Widzicie! Łatwiej i bezpieczniej zdymisjonować trupa. Zwłaszcza tu, na Syberji, dziesięć tysięcy wiorst od pałacu Imperatora.

- On nigdy by przeciwko Najjaśniejszemu Panu -

- Ale czy Najjaśniejszy Pan potrafi się przed takim strachem opędzić?

Mecenas Kuźmieńcew kręcił tępo głową.

Pan Wielicki wskazał fajką od fotela w stronę stołu.

- Słuchaj pan - szepnął - jak to jest prowokacja ochrony, to rzeczywiście może być coś i na Polaków. Bóg jeden wie, kogo wskazał pułkownik Geist.

- Mam się pakować?

- Rozumiecie, byle pierwsze dni, póki się wszystko nie uspokoi; potem Modest Pawłowicz wystosuje pisma, wyjaśni się rzecz urzędowo - no siejczas byle szarpanina z sałdatami i kulę w łeb zarobić można. Po co Fortunę drażnić?

- Pan chyba nie do końca to jasno widzi - syknęło się ostrzej, niżli się zamierzało. - Szulc był mój protektor, to Szulc dał mnie i fatrowi mojemu paszporty wolne, to on do lutyh użyć mnie myślał; na Boga, on mnie tu w ogóle sprowadził! Po śmierci Szulca ja jestem ściervo między wilkami.

- Myśli pan, że stąd ta plotka o nakazie aresztowania...?

Wszedł pokojowiec.

- Pan dyrektor Pocięło do pana Gierosławskiego.

Wielicki pyknął z fajeczki pytająco. Rozłożyło się ramiona: zaskoczenie.

Porfiry Pocięło nie chciał postąpić do salonu. Ledwo przekroczył próg na drugim piętrze. Nie zdjął czapy ani okularów marostiekłowych, tyle, co szubę rozpiął i rękawice zsunął. Trzepał nerwowo temi rękawicami we wnętrze dłoni.

Uściskałszy szybko rękę, prosto z progu rzucił krwią:

- Gubernatora urznęli.

- Wiemy.

- Wiecie? - Odetchnął. - Ano, wiecie. Bo, widzicie, przyszła dymisja -

- Wiemy.

Zabeltały mu w szklach maślane kalejdoskopy.

- Panie Benedyckie, powiedz pan, że to nie pańska robota.

- Co?

- Dzięki Bogu! - Dopiero zdjął okulary, uśmiechnął się lekko. Pod krogulczemi brwiami błyskały świciecie jak krople płynnego srebra. Ostrupały, okrostowany był mocno na twarzy

znowu nieogolonej, świeżą brodą zarośniętej, jakby wprost z dziczy syberyjskiej najmroźniejszej przybywał. - Przyjechałem was ostrzec, ale skoro już wiecie... Spakował się pan? Mogę pana zabrać swoimi saniami. Ta droga przez Charbin, co prawda, w tej chwili niemożliwa raczej, ani się da Transsibem, będą sprawdzać każdego z osobna, ale jakoś -

- Więc jest na mnie nakaz!

- Rany boskie, panie Benedyckie, z waszego polecenia tam przecież weszli!

- Co?!

- Na waszej karcie wizytowej, z własnoręcznego waszego polecenia gubernatorowi Szulcowi!

Się oparło się o ścianę. Mamuty przecwalaowały pod fundamentami domu, wszystko się zatrzęsło, sekunda, dwie, nadal nie mogło się złapać równowagi; Pociągło zawołał na służbę, usiadło się na przyniesionym stołku.

- Szembuch - szepnęło się, gdy krew wróciła do głowy.

- *Pardon?*

- Szembuch, Geist. Że też taki drobiazg irkucki przeciwko generał-gubernatorowi się ośmielił...

Pan Pociągło zmieszał się wyraźnie.

- Nie tak to w prawdzie wygląda, panie Benedyckie drogi.

Skupiło się wzrok na jego obliczu omrożonem, ośmietlonem, na jego oczach przedziwne wrażenie wstydu-radości oddających.

- Ale on dycha jeszcze, tak? - spytało się cicho.

Pokiwał głową.

- Trzy pchnięcia, dużo krwi, modlą się wszyscy, da Bóg, wyżyje.

- Wy też się modlicie, wy, abłaścicy, secesjoniści, modlicie się najgoręcej. Uciekł spojrzeniem ku lampie, przestąpił z nogi na nogę, zmarzlinę z butów strącając.

- Co to jest - zakrzyknęło się głucho - że zawsze przybiegacie ze wstydem swoim, z wyrzutami sumienia i chęcią zadośćuczynień - *post factum*, jak już wszystko złe do końca wyrządziliście! Wtedy - przyjaciele! Wtedy - do rany przyłóż! Ale wpierw - z waszej ręki ta rana.

- Wie pan przecież, że umowa honorowa między nami z mojej strony wysła jak najbardziej szczerą: ugadujecie się na Odwilż z lutymi, jak było mówione - tu Lato, w Europie Zima - a ja was bezpiecznie do Ameryki przemycam.

- Szczerą. Ale od początku, od tego posiedzenia Klubu Złamanej Kopiejki albo i jeszcze wcześniej, jeszcze na swoich wożach syberyjskich, równie szczerze pracował pan na triumf idei abłasniczieskiej inną drogą zupełnie. Spiski, tak! Spiski jak szwajcarski zegarek - w jedynym czasie i miejscu na Ziemi, gdzie naprawdę są one możliwemi: tu, pod Lodem! Nie musi pan potakiwać - wycelowało się w niego palec - ja widzę!

Zaczęło się liczyć.

- Sukces traktatu pokojowego księcia Błuckiego. A zatem! Koniec blokad morskich. A zatem! Wznowienie handlu Syberji z Ameryką, wskrzeszenie Kompanji Rosyjsko-Amerykańskiej, powrót do budowy Tunelu Alaskańskiego. A zatem! Dramatyczny spadek cen stali na giełdach zapacyficznych. A zatem! Panika w głowie J. P. Morgana i rozkazy bezlitosne dla jego agentów w Moskwie i Peterburgu, miliony na wziętki. A zatem! A zatem! Kalkulacja Porfirego Pocięgły i abłasników jego: wcale nie torpedować misji Morgana - ale pomóc mu właśnie, pomóc, ile się da, w oczernianiu przed carem generał-gubernatora.

...Matematyka charakteru! Algorytmika Historji! Kryminał Lodu! Pewny jak dwa a dwa cztery, jak dedukcja Sherlocka Holmesa! Pan się zna osobiście z hrabią Szulcem, pan zna jedynoprawdę hrabiego. Co zrobi Szulc niesłusznie przez cara o zdradę oskarżony i zrzucony ze swego tronu syberyjskiego, wygnany z królestwa zimnaza?

- Na dwoje babka wróżyła - mruknął.

- Karambol więc. Ale równie obliczalny w obu swych warjantach. Taki to człowiek! Zagoniony pod ścianę, wepchnięty w kłamstwo, w niesprawiedliwość - czy ugnie się? czy też ogłosi niepodległość Syberji? I zatrjumfują abłasnicy!

...Nie pomyślał pan tylko, że car też się zabezpieczy. Szembuch, ha! Szembuch, Geist, akurat! To nie przeciwko nim, lecz przeciwko carowi samemu była gra! Jego rozkazy tu Ministerjum Zimy i Trzeci Oddział w spisek lodowy postawiły, on mnie w mordzie politycznym umaczał. - Się wyszczerzyło się ponuro. - W intrygach jakichś irkuckich, między jednym i drugim czynownikiem to mogłem liczyć człowieka na człowieka - ale co poradzę przeciwko Imperatorowi Wszechrosyjskiemu?

Pan Pocięgło spojrział z góry.

- Tyle mówiliście o Historji. No więc właśnie zostaliście kopnięci przez rozpędzoną Historję. Boli? Nie może nie boleć. Wszystko inne rozmiękczy się w opar uludny - ona jedna pozostanie twardą realnością. Nie jęczcie więc znowu jak w pociągu. Dotknęliście nagiej materji Dziejów!

- A ja pana za człowieka charakteru miałem!

Parsknął ironicznie.

- Przecenia pan moje przecherstwo. Nie istnieje żaden taki spiszek, żadna taka intryga oszczercza, którą mógłbym tu, pod Lodem spowodować, iż hrabia Szulc skłamię samego siebie, to znaczy stanie się kimś, kim nie jest. Nie potrafię ja Prawdy dowolnie fabrykować, czynić wedle kaprysu Prawdę z Nieprawdy. Gdyby rzecz przeczyła kształtowi duszy hrabiego, książę Błucki-Osiej pierwszy by to ujrzał i opowiedział carowi, iż Prawda jest taka, że w charakterze gubernatora Szulca-Zimowego nie ma zdrady, że wierność jego silniejsza od ambicji, i nigdy on Syberji Najjaśniejszemu Panu nie odbierze. I na tym by się skończyło, i sam Szulc też o tym dobrze wiedział. Tymczasem cóż on robił? Setkami zamykał wolnomyślicieli na byle cień podejrzeń secesji, kozakom do ludu strzelać kazał, hołdy wiernopoddańcze przy każdej okazji Peterburgowi składał i własnych ludzi nie dość samodzierzcy przyjemnych raz-dwa w tiumy rzucał.

Przypomniała się scena w Cytadeli, sponiewieranie przez Szulca przed księciem owego pułkownika o nazbyt szczerym języku. Zaiste, Matematyka Charakteru - bo czym się różniła owa pogrywka od zagrywki Iwanem Pietruchowem na balu w pałacu gubernatorskim?

W Królestwie Idej matematyk będzie najpraktyczniejszym z ludzi.

- Nie skłamałbym Klubowi - ciągnął pan Porfiry. - Myśl przyszła dopiero potem, po wizycie Amerykanów u Szulca, kiedy to zareagował on temi nagłemi aresztowaniami... I musiałem przecież zejść z widoku, żeby się zaraz nie zdradzić. Co się dało, załatwialiśmy na papierze, listami, obcymi posłańcami.

- Ale kiedy umawiał się pan ze mną - wtedy już tak - ta policja - to z rozkazów petersburskich, nie? Co pan wtedy zrobił? - przyznał się do spisku zdradzieckiego abłaścniczieskiego pod tajną komendą gienerał-gubernatora? Kłamał pan, musiał kłamać!

- Kiedy ja naprawdę liczyłem na wasz układ z lutymi! Nadal liczę. Bez Odwilży na Syberji... kto wie, jak daleko uda się tu w ogóle niepodległość popchnąć. Widzicie, cała idea opiera się na tym, że impuls nie przychodzi z Lodu, bo z Lodu żaden impuls nowy,



rewolucyjny przyjsć nie może - ale daleko spoza Zimy, z Ameryki, z giełd nowojorskich, od Morgana i od cesarza Japonji. Karambol, powiada pan. Tak. Bila uderza bilę - na tej półkuli, na tamtej półkuli, stuk-stuk-stuk, i nie widać samej ręki bilardzisty, jeno ruch niespodziany, wszechogarniający. Tak się robi Historję.

...Żeby jeszcze choć na rok, choć na dwa lata puścił tu Lód na tyle, coby jedna zmiana od drugiej i trzeciej zdołała się głębiej odbić, zanim na nowo zamarznie!

- Zapomnij pan o Odwilży! - się zaśmiało się ponuro. - Żadnych negocjacyj nie będzie. Ucieszę się, jak sam z życiem ujędę. Wszystko djabli wzięli. Tyle z planów wielkich przyszło! Żem się naspiskował. Tfu!

- Jest pan pewien, że -

- Niby jak!

- Może gdyby -

- Taką Odwilż! - Świecień okrągły błysnął na ścianie za dyrektorem Pocięglą i mało się ze stołka nie poderwało się. - Ale! Na litość boską! Tryfon! - zawołało się.

Pojawił się Tryfon.

- Wasze Błagarodje sobie zyczy...?

- Ubieraj się raz-dwa i pędź do Obserwatorjum Fizycznego Cesarskiej Akademji Nauk, do doktora Tesli. Powiesz mu, że gienerał-gubernator podnosi bunt przeciwko Imperatorowi i że doktor Tesla musi natychmiast uciekać, póki Szulc bez ducha wykrwawion leży. Że pan Gieroslawski to mówi. Poniał?

- Poniał, Wasze Błagarodje, poniał.

- Tylko żeby nikt inny was nie podsłuchał!

Pan Porfiry zapalił papierosa.

- Pan się boi, że on może jednak przeżyć - mruknął gorzko. - Pan się modli o klęskę wolnej Syberji. A przecie teraz już tylko Stany Zjednoczone Syberji od stryczka pana ratują! Zapomniał pan? Jak Szulc zemrze, carscy czynownicy zasądzą pana jego współmordercą, już nasz Mikołaj Aleksandrowicz tego dopilnuje.

- Jak Szulc zemrze, to pół biedy: rząd tymczasowy, wojenny wpadnie w ręce księcia Błuckiego, to znaczy z powrotem w ręce cara, i doktor Tesla tem bardziej otrzyma wspomóżenie państwowe, i może się pan nawet doczekasz Odwilży, maszynerją Tesli

rozbudzonej, kto wie.

- Wiele mi po niej wtedy...! - zachnął się.

- Ale jak Szulc wyżyje i władzę zachowa, to co pierwsze uczyni, stanąwszy jawnie przeciwko Jego Wysokości Mikołajowi Aleksadrowiczowi? Co to za sprawa, jedna jedyna, która mimo gniewu Imperatora może mu kupić i Pobiedonoscewa, i wszystkie potęgi Kraju Lutych?

...Obrona bogactw zimnazowych przed wojną, co ją lutym szalony car wypowiedział!

- Będzie musiał zrozumieć, że w zamrożonej Historji takiej zmiany rewolucyjnej na dłużej nijak nie obroni. - Pocięło mlasnął, dym wydmuchując. Przełożone do lewej dłoni rękawiczki wyświetlały się na boazerji obrazem słonecznego pajaka, zaplątanego w tuzinie grubych kończyn. - Oderwanie Syberji od Imperjum Rosyjskiego bez Odwilży -

- Panie Porfiry, hrabia Szulc-Zimowy nie wierzy w Matematykę Historji.

Zagryzł wargi, strupy na wargach.

- Musicie, musicie porozmawiać z ojcem!

W Królestwie Idej matematyk będzie najpraktyczniejszym z ludzi - tymczasem jednak nie Historja, nie apoliteja rządzi Syberją, Rosją i światem. Plany najlepsze, najgłębiej przemyślane, szachy kryminalne i spiski matematyczne - zawodzą, bo nie do końca prawda oddzielona została od kłamstwa, nie sami Ismaelowie tu żyją i mimo wszystko zawsze wedrze się skądś zarodek entropji. Jeszcze materja nie zamarzła.

- Ech, czior pabieri, uciekać, nie uciekać, a bo to jest sens w ogóle...

Ścisnął za ramię.

- Panie Benedykcie, nie można tak! Weź się pan w garść. Wiem, że wygląda, jakby niebo się panu na głowę obruszyło, ale to przecie nie koniec. Nie bywał pan w gorszych opresjach? A jak z Transsibu pana w Azję wyrzucili? Co? Poddał się pan? Tak nie można!

Wręczył drugiego papierosa, już zapalonego. Ujęło się go dłonią roztrzęsioną.

- Bo skoro nawet tutaj nie sposób oprzeć się na rozumie, na koniecznościach logicznych... - się zaciągnęło się - to co pozostaje? Wróżyć ze świecieni, ze szronu? Stanać pod Zorzą Czarną jak sonnyj rab?

- Zabiorę was - powtórzył. - I tak muszę uchodzić z miasta. Ściągam ludzi, przeczekamy. Wymówiłem w firmie. Rusz pan kości! Nie powinienem był w ogóle tu przychodzić; docień

pan, że się jakoś poczuwam do winy, chociaż nie było przecież u mnie żadnej intencji złej. Ale nie sterczę tu dłużej. No! Nie obiecuję wygód - przynajmniej będzie pan bezpieczny!

Bezpieczny!

Odrząciło się rękę Pocięły.

- Daj mi pan już święty spokój.

Urażony, zamachał rękawicami w dymie.

- O cóż panu znowu chodzi? Coś pan się taki kolczasty zrobił? Jeżu marmurowy, jak Boga kocham!

Pstryknęło się mu niedopaloną papierosem w szubę. Odsunął się odruchowo.

- Żem w potrzasku, to niby muszę za bezcen wdzięczność sprzedawać? - Wstało się. Nie było się wcale wyższym od Pocięły, ale przynajmniej się wyłamało się z pozy bezradności i przygnębienia. Pocięło postąpił kolejny krok wstecz. - Przyjacieli! - warknęło się z jadowitą pogardą. - Konfident! Dłoń pomocna!

Abłastnik wytrzeszczył oczy.

- Co za djabeł pana opętał!

- No idź pan już, idź, świętuj swoją Swobodosławie!

Zamrugnął, oćmiata gęsta przepłynęła mu po licu. Odetchnąwszy, wykonał przed twarzą nieostro ruch nagą dłonią, jakby ćmiecz lepka z oddechu sobie zdejmował.

- Rozumiem. - Obliczył. - Pan mi nigdy nie darujesz, żeś ją tak wypuścił.

Wybiła dziesiąta. Poszło się do sypialni, zaciągnęło się story i na parapecie w oknie na Angarę wychodzącą, między tkaniną i marostiekłem, postawiło się zapaloną lampę naftową. Zagasiło się inne lampy w izbie. Śnieżycą jakby traciła na srogości, więcej świetlików sań na rzece dało się dojrzeć, czystsze kolorami czerni błyskało nocne niebo.

Kształt ciemny przepłynął przez pokój, wsunął się między stopy - kocur. Podniosło się go, wróciło się do salonu. Zwierzak kleił się do koszuli, tarł łebkiem o gors. Co go znowu napadło? Położyło się go przy kominku koło pochrupającej cicho starej Wielickiej. Lecz zaraz się powłókł pod stołem, ósemkę wkoło nóg jego kręcąc, i wdrapał się na kolana, ledwo spoczęło się na krześle pod zegarem.

Dopiero Maciuś go przegonił, a to by samemu zająć miejsce kociska, ziewający,

rozespany, przeciągający się i wiercący - ale nie, nie wróci do łóżeczka. Wszystkie dzieci się pobudziły, może od podniesionych głosów dorosłych, może od ogólnego szumu i hałasu ciągłego ruchu, a może jakimś mniej oczywistym sposobem udzieliło im się napięcie domostwo całe już przenikające, owa atmosfera wyczekiwania na nieuchronną wieść wielką a straszną. Panna Marta, zawinawszy się pośpiesznie w chusty i szale, przemknęła do sąsiadów ze starej familji czynowniczej dwie kamienice dalej; wróciła z wieściami o równie niejasnych niepokojach. Przeglądano tam stare papiery po sekreterach i chowano złoto. Nie powiedziało się nikomu o nowinie przez dyrektora Pocięgłę przyniesionej, o tym liście polecającym na szafot. Przybył tymczasem pan Jusze z innemi plotkami nieprzyjemnymi, bankierzy żydowscy mianowicie rodziny i bogactwa po nocy pakowali i najwyraźniej uchodzić z Irkucka myśleli czem prędzej. Pan Wojsław, nasadziwszy na nos srebrne *pince-nez*, kreślił przy stole list za listem, śląc z nimi na wszystkie strony miasta najmłodsze nawet pacholki. Służące smyrgały przez salon wte i wewte, z czajem, z kawą, z nalewką, z ciastem czy butersznyttem wieczornym dla gościa. Andriej Jusze maszerował po parkiecie trzeszczącym, wymachując długimi ramionami. Co to będzie! Co to będzie! Może i mądrzej umknąć na czas jakiś, schować łeb jemieński przed władzą. Jak pan myślisz, panie Wielicki, pan zostajesz? Pan Wojsław pisał listy, skulona na podółku Michasia dmuchała mu spod ramienia na bumagi inkaustem czernione i podsuwała karty świeże, przejęta bardzo swą funkcją młodszego kancelisty. Jusze przypadł z kolei do Modesta Pawłowicza. A pan, pan mądry co powiesz? Na co pan czekasz? Gdzie to w ogóle siedzieć powinienesz w noc taką, no chyba nie tutaj właśnie? Mecenas Kuźmieńcew zaburgotał w brodę, łypiąc na pana Jusze spode brwi. Tutaj właśnie, rzekł, ja czekam, czy generał-gubernator ducha wyzionie, czy przy życiu i mocy pozostanie.

Przecknęła się stara Wielicka; zawinawszy na palcu artretycznym haftową nić niczym różaniec, poczęła odmawiać w ogień modlitwę trwożliwą. - *Omnem spem et consolationem meam, omnes angustias et miserias meas...* - Zegar wielki tykał nad głową, liczby stukotały w myślach. Siedziało się w milczeniu, głaszcząc Maciusia po czuprynce skołtunionej, i rozkoszowało się tą satysfakcją słoną - jak szlachetną świadomością doświadczonej zdrady - że otóż się wcale nie boi się, że nie drży się na każdy trzask drzwi i tupot nóg służby, nie wyczekuje się w napięciu najścia żandarmów. Przyjdą, to przyjdą; nie przyjdą, to nie przyjdą. Znowu - to była jedna z tych chwil - pomyślało się o pannie Julji. Panna Julja, ojciec - żadnej z owych figur pamięci nie potrafiło się wyobrazić drżącej w trwodze przed niepewną przyszłością. Porażka - to porażka; cóż, stało się, teraz idziemy na katorgę albo skaczymy z

okna. To, co nie istnieje - przeszłość, przyszłość - nie trzyma nad nimi żadnej władzy. Nikt ich nie zawstydzi. Nie są nieulekli - ale czego się boją przede wszystkim? Siebie chyba. Oboje plany wielkie budowali - na Polskę niepodległą, na życie wygodne - które nie z ich winy się nie ziściły. (A czyja to wina była?) Zegar wybił jedenastą. O północy trzeba lampę w oknie na ćmieczkę zamienić. Może japończyki dojrzą znak, może zdążą ucieczkę zorganizować. A może nie.

Będzie lewolucja? - dopytuje się Maciuś, przewierciwszy się w kłębek na drugi bok. (Lewolucja śni mu się smokiem jakimś Piegnarowym, pożerającym ludzi, ruble i zabawki, a rodzącym jeno sonnyje raby). Przyjdzie dzisiaj? Nie rewolucja, nie. To inna bajka, królewska. Bajkę, bajkę wujek opowie! - dopomina się zaraz. To i opowiada się bajkę - o królu starym, co, przez wrogów pochwycon, uciekł się do wiedzy czarodziejskiej zakazanej i umknął przed prześladowaniami ziemskimi w krainy podziemskie, do Odwróconego Świata, gdzie czarne Słońce o połamanych promieniach mrozi pastwiska żelaza, po których galopują mamuty, a duchy tuczą się cieniami życia, dopóki nie zbiorą z nich dosyć siły, ażeby wybić się do świata powyżej, między synów i córy Ciała. Król, zstąpiwszy wśród mamuty, sam oddał swe ciało ziemi. Tuziny czarowników i mocarzy próbowało, nie przeszli; król wszakże jest król. Ale z każdym dniem było mu pod czarnem Słońcem zimniej i zimniej i zamarzał na łąkach rdzawego metalu coraz bardziej, broda sopłowa mu urosła, krew mu w kamień zimny się obróciła, włosy zeszroniły, skóra stała się jak lustro. Kiedy próbował wrócić z ćmiatła na światło Boże, tylko lodowcem wielkim, topornym, jak lodowiec powolnym na powierzchnię ziemi się wypiętrzał - ludzie migotali wokół niczym robaczki-światliczki roztańczone, mryksmyk i nie ma; a jak udało mu się którego dotknąć, ten gasł zaraz i umierał, zmrożony; a jak próbował do którego przemówić, ryk śnieżycy syberyjskiej jedynie z siebie dobywał; a jak na nieprzyjaciolach dawnych zemścić się pomyślał, to już mu się mścić nawet nie chciało, tak był zimny. Co mu więc począć, z mamutami ma marznąć do końca czasu? Ach, ale król miał syna dzielnego - który za mały był jeszcze, by mu pomóc, gdy wrogowie króla pojмали, ale teraz przybył na wezwanie ojca i... I jak królewicz go uratuje? Samemu zstąpi do Podziemnego Świata? Zamarznie i on. Podejdzie do ojca lodowego - ani ojca dotknie, już mróz straszliwy na miejscu go zabije, ścinając ciało ciepłe, wrażliwe. Jak więc ma królewicz wyciągnąć króla z krainy mamutów?

- Oddaje się skarb - stwierdził Maciuś stanowczo.

- Skarb?

- Coś za coś.' Wtedy czarownicy puszczają.
- Kiedy tu nie ma żadnego czarownika, co króla zuroczył. Król sam zszedł w Lód.
- Musiał kupić sekret od czarownika! - upierał się malczik.
- Nie, nie, król się taki urodził.
- A nie zgubił czegoś? Pirścioneł złoty, miecz magiczny, o, krzyżyk? Musiał zgubić!
- Ale! Panie Macieju, on poszedł bez niczego w ogóle, golutki zupełnie.
- Golutki? - zachichotał wierzcipolek i wykręcił się na kolanach znowu do lewego ramienia. - Król golutki?
- Ano.
- To może, może, może dać mu co trzeba? Czego nie ma. Czego król nie ma najbardziej?
- Kłamstwa.

Pół do północy, zmarli prostują kości, cisza za oknem, za to trzeszczy cały rozgrzany dom na Cwietistej, gdy *mademoiselle* Filipov pędzi przez schody, korytarze i pokoje, jak tornado oddechem ćmiałistym parujące, migotliwe ośnieżynki naokoło rozprószając. Pani Halinka ledwo na moment zdołała ją zatrzymać, tyle co *mademoiselle* Filipov szapkę i okulary kalejdoskopowe zrzuciła i tchnęła w biegu słowa czy dwa wyjaśnienia. Piotruś Paweł, schowany bezpiecznie za spódnicą matki, odprowadzał rozgorączkowaną dziewczkę jankeską wielkimi oczyma.

Wstało się, zsadzając Maciusia z kolan. Christine uśmiechnęła się do niego blado, lecz nie marnowała ani sekundy na grzeczności i powitania, i rzuciła od razu po francusku:

- Czwarta przed świtem, pod pomnikiem cara Aleksandra, niech pan się pakuje!
- Kto?
- Tunguzi na waszych zaprzęgach.
- Był pan Urjasz od gubernatora?
- Nie.

Wieliccy i pan Jusze i nawet stary Kuźmieńcew przysłuchiwali się z uwagą. Poprosiło się *mademoiselle* Filipov do izby prywatnej. Przymknęło się drzwi, stopą odpychając kocura. Zapaliło się jedną lampę stojącą; świecenie na ścianach zbladły i spelzły za meble i w szczeliny podłogi.

- A wy? Panno Christine, gubernator przeciwko carowi obrócony nasamprzód pozbędzie się doktora Tesli, siedzicie tam pod strażą jego kozaków. Przed Pobiedonoscewem was strzegł? Strzegł dla siebie! Jeden rozkaz z Cytadeli i *finito*. Uciekajcie! Transsib zamknięty, ale Tunguzi mnie mają być wierni i -

Ściągnęła rękawiczki, cisnęła energicznie futro na fotel. Rumieńce od mrozu obmalowały jej całe lica, na warkoczu grubym iskrzyły śnieżyczki kryształowe. Zaciskała wargi.

- Co ja o panu słyszę, panie Benedykcie, pan w spisek na życie gubernatora się wdałeś?!

- Skąd panna takie plotki -

- Pan Porfiry wstąpił do nas dopiero co. Nikola mimo pańskiego ostrzeżenia oczywiście ani myślał uciekać, i kiedy wpadł dyrektor Pociągło... Ależ to jest bezczelny impertynent! Swoją drogą, co pan mu o mnie opowiadał? Myślałam, że przemocą będzie nas porywał, teraz już nie dyrektor - dzikus zupełny. Mężczyźni! - prychnęła, nie całkiem przekonująco, i zamachała rączką do piersi podniesioną, by na siłę w słowach zawrócić wbrew nurtowi myśli.

- Ale - ale co panu do głowy strzeliło!

- Kiedy to nie tak...

- Co, może znowu, jak w Ekspresie Transsyberyjskim, obca ręka w kłamstwo pana ubrała, iż nawet nie spostrzegł pan kiedy - a tak dobrze ono na panu leży, że wszystkich naokoło w błąd wprowadza?

- Nie. - To było niemożliwe, nie w Kraju Lutych. - Nie, panno Christine. Nie wiem, co pan Porfiry wam rzekł, ale, widzi panna, w jednym na pewno nie ma racji: tu prawdę się stwarza. - Świeże zakupy od Rappaporta leżały przy komodzie. Wyciągnęło się sakwojaze skórzane i objuki wojłokowe, się zaczęło się pakować. Na początek rzuciło się całą zawartość szafy na łóżko. W półmroku zimowej nocy, pod bladymi świeczeniami i bladym blaskiem naftowym, za zaciągniętymi storami od śnieżycy - rozdzielało się dobra materialne od dóbr, jak życie od życia. - Nie wszystko, co będzie prawdą kiedyś, było prawdą zawsze dawniej, panno Krystyno, nie każdy sąd, który jest dziś prawdziwy, był takim wczoraj, albo który był wczoraj prawdziwy, był takim onegdaj. Są takie sądy, które się prawdami stają w pewnej chwili, są sądy, które się robi prawdami, których prawdziwość się stwarza. Ja... zamarzałem. Zamarzałem. I teraz dopiero - jako ostatni chyba, ale tak to zazwyczaj bywa, bo przecież w tym też są wyjątkowi ludzie Lodu, że tylko nimi nie rządzą lustra - dopiero teraz przekonuję się w co, w kogo.

- W kogo?

Się uśmiechnęło się melancholijnie, bez napięcia już żadnego, bez nerw i strachu.

- Widzi panna przecież.

Postąpiło się na drugą stronę łóżka, gdzie służba kładła buty rozepchane, natłuszczone, i dziewczka cofnęła się prędko.

- A więc - pociągnęła noskiem - to jednak prawda.

- Czy prawdą jest, że hrabia Szulc stanął przeciwko carowi, ażeby Państwo Syberyjskie dla siebie tu wykroić? Nie wiemy. Ale czy car jest w błędzie, za zdradę go karząc? Nie! Bo hrabia Szulc to taki człowiek. Co się zdarzyło lub nie, prawda materji - czymże jest wobec prawdy idej, prawdy ducha? Że upadły plany i nie znajdę ojca, nie potarguję z lutymi - co za znaczenie? Zamarzłem Synem Mroza. Jedenaście dni od ostatniego pompowania ćmieczy. Gram Historją. Układam Algorytmikę Dziejów. Rachuję przeciwko carowi. Taka jest prawda, *mademoiselle*.

Spoczęła na tym fotelu, w szubę krzywo rozłożoną się zapadając, dziewczynka w objęciach puchatego zwierza. Powróciło wspomnienie - spoza Lodu, a więc wspomnienie przeszłości ani prawdziwej, ani fałszywej - pierwszej z nią rozmowy, spotkania na stoku uralskim pod niebem Europy i Azji, jej troski rozbrajającej o doktora Tesłę. Jak zamarzyła w Kraju Lutych Christine Filipov? Różanolicy anioł wstydu - czy zamarznie kiedykolwiek? Gdyby nie porzuciło się jej na balu gubernatorskim...

- Muszę pannę przeprosić.

Uniosła główkę.

- Za co?

- Za całe moje zachowanie. Na balu i -

- Ależ naprawdę -

- Nie chcę, żeby mnie panna zapamiętała takim...

- Kim?

- Arogantem. - Przyklęknąwszy obok, cmoknęło się ją w grzbiet zimnej rączki. - *Je suis désolé, pardonnez-moi, je vous en prie.*

- Pan rzeczywiście się już więcej nie odpompowywał.



Spojrzenie i spojrzenie, powstawała symetria zgubnej intymności; jednak nie uciekło się wzrokiem.

- Nie. Co więcej, panno Christine, nie chcę się odpompowywać.

Uśmiechnęła się; w tym był fałsz - odjęła uśmiech.

- Niech mi pan powie, ale od serca: dlaczego wypuścił pan Jelenkę?

- Jakże mogłem jej nie puścić do sanatorium!

Wydeła wargi.

- Wie pan, o co mi chodzi.

- Tak. - Westchnęło się. - Nie potrafię pannie odpowiedzieć.

- Nie chce pan!

Ścisnęło się jej dłoń.

- Nie, panno Christine, właśnie chcę, chcę. Ale... To tylko tutaj, lutowczykom, ludziom Zimy, tylko im i Ismaelom dana jest ta pewność, ta geometryczna konsekwencja kształtu duszy. Ja się wtedy przecież systematycznie odmieczałem, byłem dziecko ognia. A my, ludzie Lata, my, cóż my... Dym, motyl, tęcza. - Dmuchnęło się z odętych policzków, machnęło się przez wydech drugą ręką. - Robimy coś lub czegoś nie robimy, a potem przez resztę życia zachodzimy w głowę, dlaczego tak akurat postąpiliśmy.

...Puszczam ją, nie wiem, dlaczego; nie puszczam jej, nie wiem, dlaczego; puszczam albo nie puszczam, tak samo bez przyczyny, którą mógłbym pannie wypowiedzieć. Uciekam z Irkucka, nie wiem, dlaczego; nie uciekam, nie wiem, dlaczego; uciekam albo nie uciekam, nie opowiem. Szukam ojca, dlaczego, nie wysłowię; nie szukam ojca, dlaczego, nie wysłowię; szukam lub nie szukam, zarówno tajemnica. Zrobię co złego, nie znajdę w sobie argumentu za ni przeciw; zrobię co dobrego, nie znajdę w sobie argumentu za ni przeciw; zrobię co złego czy dobrego, tak samo bez racji żadnej do wyrażenia argumentami wtę czy wtamtą stronę.

- Jakie wspaniałe usprawiedliwienie wszelkich niegodziwości!

- Nie usprawiedliwiam się. Biorę odpowiedzialność.

- Odpowiedzialność? Jaką odpowiedzialność! Pan przecież uważa, że nie istnieje!

- Otóż to. - Machnęło się znowu.

Wyrwała dłoń, oburzona. Wróciło się do pakowania. Siedziała niedowinięta w szubę

ciemną, półcieniem-półświecieniem przykryta, zacierając rączki nadal nierozgrzane. Kot mimo wszystko wcisnął się do pokoju; otarł się o nóżki panienki i zaraz na łóżko wskoczył. Trzepnęło się go zwiniętymi koszulami. Pokazał pazurki.

- Nie rozumiem, jak pan tak może... - ciągnęła, w powietrze mówiąc. - Nie istnieje - a nadal jak inni pracuje, rozmawia, żyje między ludźmi...

- Nie rozumie panna... przecież żyłem, żyło się tak od urodzenia. Co się zmieniło? Tylko tyle, że powstał dodatkowy punkt widzenia - pokazało się nad kark - punkt z tyłu głowy, skąd widać to wszystko w prawdzie, to znaczy w całym nieistnieniu.

- Nie wierzę. To obłąd jakiś.

- Na odwrót: to właśnie jest wyjście z obłąd. Wszyscy w Lecie poddajemy się owej ułudzie, owemu oszustwu języka, obyczajów, konwencji międzyludzkich: że istniejemy. Prawda zaś jest dla nas jasna od początku, na początku - z urodzenia, w dzieciństwie: nie powiemy „ja”, póki matka, niania, rodzina nas nie zmusi. Potem zaś kłamstwo nawarstwia się na kłamstwie, przyzwyczajenia wzmocniają przyzwyczajenia, aż wreszcie w ogóle zapominamy, że możliwy jest język inny, nie zawieszony na fałszach międzyludzkich, nie wyjęty z krzywych odbić lustrzanych - język prawdy, język tego, co poprzedza „ja” i słowa przez „ja” wypowiedane. Nawet nam do głowy nie przyjdzie zadać sobie pytanie...! Porusza się ręka, podnosi przedmiot - podniosło się pakę книг szpagatem obwiązanych - i mówimy: „ja podniosłem”. I tak to idzie - oglądamy ciało w srebrnych refleksach, w zwierciadłach cudzych oczu, opowiadamy się ich językami, które też pochodzą z zewnątrz, zapychamy sobie zmysły i myśli materją - tak rośnie - „ja”, „ja”, „ja”.

- Ależ pan teraz mówi, że nie istnieje w ogóle nikt!

- Może są tacy ludzie... co myślą, że istnieją i istnieją naprawdę. Ci, co zamierzli w jedynoprawdzie swojej całej. Skryształizowana prawda żywa. Może. Ale my - to, co język bierze pod słowem „my” - tak żeśmy nażarli się materją, że za dowód ostateczny istnienia bierzemy powiązanie tego, co myśli, z tym, co odczuwa ciało.

...Słyszała panna może o eksperymentach chirurgicznych, w których doktorzy tną w pół przez mózg warjata? Kompan, co na lekarza się uczy, opowiadał mi o podobnych próbach. Ciach, i miast jednego - warjatów dwóch. Taka to podstawa niewzruszona wszelkiej prawdy, że byle nóż ją rozkrawa! Próbujesz zrozumieć „obłąd” mój? No to przeprowadź panna *gedanken experiment* odwrotny: antyciach. Jeden warjat - zero warjata.

- Zabiera pan te książki?

- Czego jeszcze nie przeczytałem. A co mi pozostanie do roboty na wygnaniu?

- Wygnaniu?

- Krystynko, pozwól mi chociaż spróbować! - zawołało się półgłosem. - Z panem Szczekielnikowem, z ludźmi z Obserwatorium, ze Stiepanem, z pomocą Tunguzów - załatwimy to jakoś. Najwyżej da mu się w łeb i wywlecze nieprzytomnego - ale uratujecie życie!

- Niech pan da spokój - rzekła cicho. - Wie pan przecież... taki to człowiek.

Się zaśmiało się pod wąsem.

- Tak. - Spojrzało się na nią z uwagą. - Myśli panna, że w ogóle ujdę z miasta?

- Fatalista?

- Nie, po prostu dotąd wszystkie plany... No, powiedzmy, że Tunguzi przechowają mnie w jakiejś stancy zapadłej - miesiąc? dwa? W Irkucku się w tym czasie wszystko może obrócić tak i nazad i na wywrót. Poza Krajem Lutych zaopatrzyłbym się w telegraf bezprzewodowy, ale tu... - Wysypało się na koc rzeczy warszawskie, szpargały matematyczne, oryginał zaszyfrowanego listu piłsudczyków, nieukończony list do panny Julji, talję Fryderyka Welca...

Się wyprostowało się.

- Jak panna wyszła - Młot bił?

Otworzyła usta i połknęła oczywistość; zaćmieczyło jej w oczach.

- Tak - odparła.

Przetasowało się szybko karty i, nadal tasując, zaczęło się je wykladać na łóżko w rzędach.

- Dobrze. Zapiszę pannie procedurę dla doktora. Nie wiem, jaki jest tego zasięg po Drogach Mamutów, ale dopóki będzie mógł, niech bije.

Usiadłszy przy stole, skreśliło się kilka zdań po łacinie. *Mademoiselle* sumiennie schowała kartkę. Marszczyła brwi, przyglądając się, jak zbiera się z łóżka karty.

- Żart? Śmieje się pan.

- *Oh, c'est rien*. Podarunek od nieistniejącego przyjaciela. - Wzruszyło się ramionami. -

Sztuczki umysłu, panno Christine, opowiadałem pannie przecież, jak oszukuje nas pamięć spełnionych horoskopów. Przeczytasz tysiąc, zapamiętasz ten jeden, który się sprawdził. - Potrząsnęło się pudełkiem z talją Piatnika. - Przepowiednia! - parsknęło się z sarkazmem. - Dar losu!

Taniec, kule do Arcymistrza, karty z rąk wdowy Welc - one przyciągają uwagę, bo można łatwo wskazać sprzeczności przeszłości i przeszłości, wszystko w jednej pamięci; lecz ile podobnych szczegółów (albo i nie szczegółów, lecz zdarzeń zgoła kluczowych), pochodząc spoza zamrożonej Historji, podszywa się pod Prawdę zupełnie niezauważenie? Spoza Zimy, spoza Lodu - Warszawa? Wilkówka? ojciec, matka? Broniek, Emilka, panna Julja? Było? nie było? Tak ili inaczej, eta wsjo łoż.

Szczęśliwi spłodzeni na ziemi lutyh! Nie muszą pamiętać, nie muszą znać prawdy - są prawdą. Mówi się: „zamarzło”. Ale kto mówi? Urodzeni lutowczycy nie będą znać takowo izrieczenia. Co najwyżej: „roztopiło się”.

Wybiła północ. Pomyślało się o lampie i ćmieczce - warto? Coś mignęło w szparze drzwi - Maciuś podpatrywał, noskiem do futryny przylepiony. Pogroziło się mu palcem. Tup-tup-tup, uciekł.

Zapaliło się ćmieczkę, wystawiło się ją na parapet zamiast lampy; po zasunięciu zasłon pojaśniało w izbie.

*Mademoiselle* Christine w mig chwyciła i tę oczywistość.

- Kto znowu?

- Japończyki Piłsudskiego. Miałem z nimi układ, że wywiozą was bezpiecznie. Nie mówiłem pannie?

- Pan rzeczywiście wmarzłeś w to wszystko z butami.

- Ba! Ale gdyby oni jednak -

- Ja tak nie potrafię, panie Benedyckie, to pan jesteś matematyk. - Wsunęła ręce w szubę, podniosła się. - Muszę wracać do Nikoli. Nie wymyśli pan znowu czego głupiego, jak tylko wyjdę?

Pokazało się na bagaże.

- Zamarzło. Czwarta pod pomnikiem imperatora Aleksandra.

- Dobrze. Bo już zdawało mi się, że pan wcale nie myśli się ratować - westchnęła.

Poczem nastąpiły trzy krótkie kroki i szybki pocałunek w policzek zarośnięty.

- A za cóż to było? - się zdumiało się.

- Mój prezent! Na urodziny! Pana Benedykta! - wołała z progu i zza progu, już zakręcona w tornado ciemnego futra i jasnego warkocza, umykająca pośpiesznie tą samą drogą przez pokoje, korytarze, schody, przez dom trzeszczący.

Pokojowy zniósł bagaże do sieni. (Było tego w sumie sześć tobołów i waliza - widać zdążyło się tu jednak obrócić w dobra mieszczańskie). Pan Szczekielnikow spał już; obudziły go draby. Wyszedł ponury jak kat na katzu. Poprosiwszy go na osobność, opowiedziało się mu w prostych słowach, co i jak.

- Znaczy, pan szanowny generał-gubernatora zakłuć zakomenderował.

Nie potwierdziło się. Nie zaprzeczyło się.

- Aha. - Pokiwał głową. - No tak. No tak.

Równie dobrze mógłby palnąć się piąchą w pierś medwieżą i zaryczeć: „Zamarzło!”. Otóż nie trzeba wcale Czarnej Zorzy na niebie, nie trzeba ćmieczy gęstej między człowiekiem i człowiekiem; tern bardziej nie trzeba tego ubierać w nieporadne słowa języka drugiego rodzaju, szukać metafor, przybliżeń. Patrzysz i wiesz. W owej chwili po raz pierwszy pojmoowało się całą jedynoprawdę bez zawiłych operacyj w Matematyce Charakteru, samym zwierzęcym instynktem - zmysłem prawdy - którym z taką łatwością posługują się tu ludzie pokroju doktora Myśliwskiego czy jednookiego Jerofieja. Nic dziwnego, że na pytania rozpaczliwe wykrzykiwane nad pustym grobem marcynowiec odpowiadał jeno milczeniem i gestem symbolicznym. Bo co tu można wytłómaczyć? Ze jeden człowiek uważa, iż prawda jest taka, a drugi - inna zgoła? Tyle pojmie z tego dziecko Lata: ot, rozbieżność opinij. A przecie - to oczywiste - prawda jest jedna, twarda jak djament, pewna jak - jak dwa a dwa cztery.

To tylko pompa Kotarbińskiego wszystko mieszała, wywracała, zaciemniała, rozkłamywała.

- Imperator - rzekło się.

- Imperator. Nu, ładna historja. - Spojrzał okiem jaszczurczem. - Jużem panu mówił, pora na pana, panie Gie.

- Pora.

- To jak?

- Czwarta, bulwar nad Angarą.

Wyciągnął łąpsko kwadratowe, uściśnęło się je mocno.

- No, nie ma co dłużej tu cziorta kusić.

Poszedł sanie zaprząc.

Wiedziało się: Czyngis Szczekielnikow.

Wróciło się na górę pożegnać się z Wielickimi. Pan Jusze tymczasem wyprosił się do innego domu panikować w towarzystwie, wymknęła się też znowu panna Marta. Piotruś zasnął w objęciach pana Wojsława, wespółwieszony przez ramię potężne, z paluszkami wplecionymi w brodę ojcową. Wojsław podniósł się do pożegnania, nie budząc malca, z chłopcem przyklepionym mu tak do piersi; bez słowa podał rękę. Piotruś poruszył się przez sen, gdy potrząsnęło się prawicą pana Wielickiego; poruszył się, jęknął i wsadził kciuk do buzi. Maciuś i Michasia popatrywali natomiast spod stołu, przez wielkie oka w koronkowym obrusie.

Pani Halina przyniosła z kuchni ciepłe wypieki w len pachnący zawinięte. Podziękowało się cicho, ucałowało się dłonie mąką omalowane. Przyciągnęła impulsywnie w uścisk serdeczny, głowę sklonioną do gorsu przyciskając. Wzruszenie w gardło weszło, krtań drażniąc i oczy zwilgacając. Błysnęła w głowie przeszłość niezamrożona: księżna Błucka w Ekspresie Transsyberyjskim, tamte wzruszenia.

- Za ojcem dalej? - szepnęła pani Wielicka. - Czemu raczej nie pójdzie pan poszukać matki?

- Przepraszam. - Odchrząknęło się. - Nie powinienem był was i dzieci narażać. Ja wiem... nie do takiej familji, nie do takiego domu. Zbyt dobrzy byliście dla mnie. Nigdy mnie nic lepszego - tylko -

- Tak, tak, tak.

Wiedziało się: pani Halina Wielicka.

Pobłogosławiła krzyżem na czole i piersi skreślonym. Z ciepłym pakunkiem pod pachą obróciło się szybko ku drzwiom. Stary Grzegorz podał szubę, szapkę, szale. Tup-tup-tup za plecami. Spojrzało się przez marostiokła. Maciuś i Michasia stali w progu, oczka okrągłutkie, buzie w podkówki.

- Wujek wróci - rzekło się, naciągając rękawice. - Wróci, wróci.

Ale to były dzieci Zimy, urodzone lutowczyki. Odwróciły się od kłamstwa i uciekły z płaczem.

Pan Szczekielnikow zagasił lampy na saniach. Śnieżycą ustała była do reszty. Nawet wiatr wywiały gdzieś z ulic irkuckich, że wielkie zasy i pochylnie złodzonego śryżu wysokie na dwa piętra objawiły się teraz pod tęczowym blaskiem latarni marostiekłowych nieruchomymi monumentami jak falami wzburzonego oceanu wtem zatrzymanego w pół konwulsyj; i nawet kolory stosowne, to znaczy morskie, zielonkawe-niebieskawe, przybrał cały ów krajobraz nocny Miasta Lodu pod oblewą świeżego śniegu. Nieruchome, tak, i jeszcze ciche, niemożliwie, nieludzko ciche było miasto, gdy się przez nie jechało w saniach w trojkę zaprzężonych, z panem Szczekielnikowem u bata, Arcymistrzem prawie nagim w kieszeni szuby przez rękawicę ściskany. Się obejrzało się w seledynobarwną perspektywę Cwietistej, świecieniami geometrycznymi od budynków pokreślonej. Ani żywej duszy, ani ruchu żywego. - Dokąd? - zapytało się plecy Czyngisa i słowo zabrzmiało pod niebem gwiazdnym donośnie jak jęk w cerkwi. - Pod pomnik już? - Trzy godziny, panie Gie, trzeba poczekać. - O tej porze? Gdzie? - Gdzie nikt za wami nie zajrzy, w melinie starych morderców.

Kabak piwniczny zakapiorski mieścił się zaraz po drugiej, ujskiej stronie Angary, a po prawdzie nie miało się pewności, czy istotnie był to już jej przeciwny brzeg, czy jeszcze sama rzeka zmrożona, w której, wprost w lodzie, wykuto pod składami węglowemi lochy niewysokie, gdzie bradiagi i bandyty bezprizornie czarnego autoramentu przesiadywały noce ponure nad wódką najpodlejszą, najtańszą. Zstępowało się tu po schodach krzywych w zmarzlinie wyrżniętych. Ściany świeciły brudnoperłowo; Czornoje Sijanije malowało w nich i w stropie kształty hypnotyczne, przewalające się w lodzie powoli niczym czarno-białe foki, morsy, wieloryby. Niejeden zbrodzień, spity do imentu, ujrzał w owym miejscu objawienie mamutów i w transie sennym rzucał się za nimi, rąbiąc w ściany ławą i flachą, łbem i kułakiem, dźgając w nie nożami, a nawet paląc z rewolwerów. Lód przymarzał i odmarzał i przymarzał. Tu, pokazał pan Szczekielnikow, ślad czerwony po gębie Szweda-Złojeda; tu - kula Iwana Grigorjewicza Kuta, Ściubikiepa zwanego, albowiem napada i okrada on dziewczki uliczne, ażeby na bilet do Kalifornji Złotej sobie uzbierać; tu - płat skóry z policzka świętej pamięci Lipki od Słoja; a tu - ząb mój. Poczem Czyngis odwinał wargę i zaprezentował jeden ze swoich malowniczych wykrotów zębowych. Pomrukiem wyraziło się uznanie. Zawołał o wódkę. Meliniarz podniósł się z barłogu, otworzył łariec pancerny i wydobyl butlę na wpeł

zmrożonego samogonu. Za pasem szynela kozackiego miał toporek na pół arszyna długi. - Drzwi zamarzają - wyjaśnił pan Szczekielnikow i wyrwał korek zębami szczerbatemi.

Łyknęło się z ostrożna. Rozpiąwszy futro, zerknęło się na zegarek. Pierwsza i minut siedemnaście. O czym przez dwie i pół godziny nocy zimowej gadać z patentowanym złoczyńcą w knajpie morderców?

Stała tu w powietrzu para smrodliwa, mgła wypacana przez ściany wilgotne i ciała brudne. Oddychało się przez szal-maskę. Tylko okulary się zdjęło. We mgle i w ścianach perłowych przepływały kształty niewyraźne, cieniste.

- Tego japończyka, coście zarżnęli, wtedy, pod Horczyńskim -

- Da?

- Zachodziłem ja wówczas w głowę, czemuście to zrobili. - Się zaśmiało się w brodę i zawój. - Na co to Wielicki was najał, ile zapłacił.

- Nie widzieliście jasno.

- Nie - pokręciło się głową - nie widziałem.

Wychylił szklanicę.

- Że też już dawno wcześniej was wilcy nie zjedli, taką ofiarę naiwności własnej, za przeproszeniem.

- Żal mnie wam było.

- Co się stary nad młodym ulituje, to młody staremu nie daruje. O, ten Lipko od Słoja wziął kiedyś z mrozu półdzikusa wygłodzonego, do chałupy przygarnął, jadła nie skąpił, po mieście pod skrzydłem prowadzał. Wszyscy widzieli, tylko nie Lipko; mówili mu: zostaw inarodca przekłętogo, nawet spojrzeć wam w oko niekrzywo nie potrafi. Ale Lipko zaparty człek był. Tak i dzikus nocy którejś następnej wziął i zaciukał Lipkę i z powrotem w tajgę na głodówkę uszedł.

- Takoj charaktier.

- Ano, takoj charaktier.

Szklaneczka.

- No pan inszy okaz, panie Gie.

- Tak?



Nagarbił się przez blat nieheblowany, łypnął konfidencjonalnie, niczym w zмовie skrytobójczej.

- Pan drań wielmożny, o!

- Powiadacie.

- Słuchaj, bo kto przeżył, mędrszy przez to z boskiego zrządzenia anizeli wszystkie zsukisyny w mogiłach umoszczone! - Chuchnął ćmietliście. - Jaka prawda: chuj chujowi podobny.

...Chadzał ja po ścieżynach północnych pod flagą Sibirchożeta i nie Sibirchożeta, pod kamandirami temi i owemi, a jedną wiosną późną trafił mi się taki młodzik po szkołach jewrapiejskich świeży, chudzina blada gołowąs, na gieodetę nam naczalnego obsadzon. Nu, poszlimy z panem gieodetą. Zaraz też pokazało się, że malcziszka to krew lżejsza, wyższa, a, ślachiecka. Wszyscy uciechę z niego wielką brali, bo i w rzeczach najprostszycy syberyjskich obeznania żadnego nie miał, i posłuchu żadnego między ludźmi, i nawet wysrać się zawsze gdzieś daleko poza widok uciekał, wstydzący się bardzo. Mruk też okrutny, bo zacinał się na to zaraz i dniami całemi ani słowa; tyle co liczb parę przez zęby wydusił. Nu, zaszlimy tak pod Jakuck, już z dwoma nieszczęśnikami mocno poodmrażanymi, połową olieni przez wilki pożartych; mielimy się tam zejść z główną ekspedycją kompanji. No i obóz, prawda, stoi, ale splądrowany dokumentnie, a ludzie postrzelani na śniegu pozostawieni, już całkiem przysypani, toż nadgryzieni. Bradiagi jakie naszły ich wcześniej. Ale do Jakucka jeszcze wiorst dwieście ponad, a tu reszka spirytusu, żarcia też ledwo co, zwierzęta się nam pokładają, i burza nowa idzie. Rukawaditel nasz główny zobaczył, w cziom dieło, i tylko splunął; tyle my widzieli jego i trzy nasze reny najlepsze. Oho, myślę ja sobie, kryska na pana Szczekielnikowa. Natenczas gieodeta malec wyciąga Naganta, w młodszego rukawaditielia mierzy i powiada tak: on mnie do miasta poprowadzi, jeden zaprzęg weźmiem, wy zarznijcie ostatniego olienia najslabszego i urządzcie się tu z resztą sprzętu na przetrwanie zawiejuchy, a ja was odnajdę i pomoc sprowadzę. I wziął i pojechał. A tydzień później wrócił z zapasami i tak wyratował nas wszystkich.

- No i?

Pan Szczekielnikow spojrział po symetrii.

- Nic. Chuj chujowi podobny.

- Pfch! Powiastki o gierojach sybirskich dla podniesienia ducha!

Pokiwał paluchem w rękawicy. Się wyszczerzyło się zza szala.

- Kiedy zaszczyt większy dla meliny starych przestupników i kustarników - rzekł - bo szuler, szmugler, paser, bandit, wywrotowiec jaki może, ale nigdy tu nie pił zabójca generał-gubernatora i osobisty nieprzyjaciel Batuszki Caria!

Bo tak czy owak, niedokonane prawdziwsze jest od dokonanego. Nieważne, co w porządku materji zdarzyło ci się odmienić - ręka, noga, ręka, noga, ręka, noga, aż po grób - ważne, jakim człowiekiem zamarzyłeś. W czym odkrywasz się bardziej: w prawdzie materji czy w jej fałszu, który prawdę ducha odbija?

Uniosło się szklanę.

- Za naszych wrogów!

- Za wrogów! Cziort im dupy oliwił!

Poczem huknęło się szkłem w ścianę. Odłamki wgrzyły się w zmarzlinę. Lód je zarośnie, wejda w czarno-białe tło, na wieczną rzeczy pamiątkę. O, tu: wódka Syna Mroza.

Pod pomnikiem Aleksandra III Tunguzi zjawili się dobrze przed umówioną godziną; gdy zajęchało się tam kwadrans do czwartej, czekali już przy niskich, długich saniach, ciężko obciążonych, w cztery reny zaprzężonych. Sanie, z ich szerokimi, giętkimi płozami i dociśniętym do ziemi środkiem ciężkości, przeznaczone były nie na drogi Irkucka, lecz na zabajkalskie bezdroża. Z pośpiesznego szwargotu Tigrija Etmatowa i obu jego pobratymców tyle się pojęło, że wyjechali z Obserwatorjum nie bez kłopotów, rękoczynami chyba jakimiś zakończonych. Z kim się szarpali - z Teslą? z kozakami Szulca? z wojskiem carskiem, przez księcia Błuckiego już nasłanem? Świecienie wyblyskiwały kształty długie i ostre, car Aleksander na pomniku stał w pozie żołnierskiej, w mundurze i przy szpadzie, ponad masywną rzeźbą orła dwugłowego, wygiętego drapieźnie ku ofiarom w dole. Etmatow podskakiwał w miejscu, pobudzony bardzo. Uniosło się głowę, lecz samego oblicza statuy nie dało się już dojrzeć.

Mgła tymczasem zaszła bowiem miasto niczym bielmo starca oko. Mróz trzymał sorokowikowy, to znaczy dobrze ponadczterdziestostopniowy, może już bliżej nawet minus siedemdziesięciu o tej porze nocy. Tunguzom, zawiniętym w skóry i futra i szmaty po najwęższą na oczy szczelinę, rychło zmroziło krtanie, że przez kaszel i rżenie chrapliwe zeszedli do czujnego milczenia. Zwierzęta parowały kanciastymi obłokami cienia. Śnieg pod stopami trzeszczał jak deptane szkło, to znaczy bardzo głośno w tej pustej nieskończoności

biało-tęczobarwnej. Mgła - najgęstsza mgła śmietanowa, kisielowa - zaklajstrowała szczelnie place, bulwary, prospekty aż po szczyty najwyższych kamienic. Nawet grzbietu lutego niedaleko tu po Angarze ku Konnemu Ostrowowi marznącego nie było widać. Pochowali się też najwyraźniej Burjaci-głaszataje, nie mącił bowiem ciszy mgielnej puls ich bębnow szamańskich. Przez mgłę przesączały się wyłącznie kalejdoskopowe rozlewiska barw z marostiekłowych latarni - oraz symfonje węglowe z organów naniebnych Czarnej Zorzy.

Pokazało się na migi, żeby wpiery wyjechać bezpiecznie poza miasto i wtedy przeładunkiem i podziałem bagaży się zająć. - *Ila?* - charknął Tigris i rozchrypiął się na dobre; chrypiąc, machał krótkimi rękoma na wszystkie strony świata, tak miotał cienie łopotliwe w monumentalnym świecieniu Aleksandra III. Zrozumiało się, że pyta, dokąd ma z miasta prowadzić. Stanęło się na saniach za panem Szczekielnikowem, rozglądnięto się po bieli noczkraskowej. Po prawdzie... Po prawdzie...

Mgła wstrzymała ich dźwięki, aż wjechali na sam plac i wtedy wtem uwolniła je wszystkie wraz: kopyta na śniegu, trzeszczenie upręży, szczęk mechanizmów strzelb, chrapliwe oddechy zwierząt i krótkie komendy żołnierskie. Pan Szczekielnikow bez zastanowienia zaciął karennika, sanie szarpnęły, poleciało się w bagaże. Wygrzebawszy się z tobołów miękkich, ujrzało się ponad tylnym oparciem wyłaniające się z mgły tęczowej sylwety pół tuzina jeźdźców, niczym duchów wypluwanych z otchłani upiornych oparów. Te same barwy bowiem przepływały i po mgle, po śniegu, i po koniach i sałdatach, tyle że znacznie prędzej ściekały w nie i wyciekały z ich abrysów konkretnych. Ale i to nie był przecież żaden ruch szybki, rwany, wojskowy; wszystko poruszało się w jakimś osobliwym zagęszczeniu, spowolnieniu, jak - jak - jak cienie mamutów w ścianach podrzecznej meliny ubijców. Może i nie powinno się było pić wódki z Czyngisem... Trzymało się kurczowo rozkolebanych sani, pan Szczekielnikow okładał konie batem. Mgłobarwne huzary szły w nocnej ciszy półstępa, na przedzie wysoki oficer z obnażoną szablą migotliwą. Poznało się go mimo twarzy szczelnie szalem obwiązanej, że nawet koniuszek wąsa nie wystawał; poznało się z cienia i świecienia, taka była oczywistość.

Dwaj jeźdźcy odłączyli się, podążając za saniami Tunguzów, którzy zakręcili tymczasem od Głównej na Uryckiego. Sałdaci wołali na dzikusów, żeby się zatrzymali; głosy szybko zjadła mgła. Kapitan Frett nie wołał. Tęczowe sylwety huzarów ogromniały z każdą sekundą. Jeden z nich szarpnął wierzchowca, stanął w strzemionach - latarnia obarwiła chochoła grubego, pałubowatego, z lufą od łba sterczącą, bardziej gojlemowi Piegnarowemu podobnego - wstrzymało się oddech, ale strzał nie huknął. Żołnierz schował z powrotem

karabin i wyciągnął szablę. Wszyscy wyciągnęli szable - huzary bajkalskie, lodowe, idą w szarży, tnąc i tratując, gdy mróz blokuje zamki broni palnej. Pan Szczekielnikow chlasnął batem. Nic to nie da, dogonią przecież raz-dwa. Strzelają - znaczyt, chcą zabić na miejscu. Kapitan Frett dostał od księcia rozkaz jak od samego cara świętego, wykona co do joty; a jaką prawdę książe Błucki-Osiej poznał o Benedykcie Gierosławskim, dobrze wiadomo. A więc B, więc C, więc D. Skoczyło się do Czyngisa, pokazało się na lewo - skręcił z bulwaru w przecznicę wschodnią. Zaraz za rogiem się rzuciło się z sań w zaspę.

Nie podniosło się, nie uciekało się - nie ma czasu. Jak się wpadło w śnieg wysoki, tak się leżało; zapadł się od razu i załamał, przysypując z głową razem. Zawinięty szczelnie w szubę i szale, nie czuło się nawet żadnego większego zimna. Jak przez wosk i puch słyszało się czwór galop ciężki - sześć oddechów i wsiąkł we mgłę. Policzyło się jeszcze oddechów dwadzieścia i się zaczęło się wygrzebywać z wału śnieżnego.

Stanąwszy na nogi, się cofnęło się od razu pod mur kamienicy. Wtedy dopiero pojęło się, że ucieczka się nie powiedzie - że nie ma możliwości zgubić pościgu na ulicach Miasta Lodu - zobaczyło się bowiem przeszłość, to znaczy niebyt. We mgle kalejdoskopowej, śmietanowej, mocno zmrożonej każdy ruch, każdy przedmiot przemieszczony pozostawiał wybite tunele nie-mgły, pustki po mgle, ostre jak od noża korytarze złożone ze wszystkich bywanych istnień przedmiotu. Cofając się od zasy do muru, pociągnęło się było smugę niebytu wysokości i szerokości człowieka: wyraźnie istniejący abrys nieistnienia. Machnęło się ręką. Machnięcie zawisło we mgle i wisi i wisieć będzie - póki nie wróci znad Bajkała do Irkucka wiatr, czyli do świtu zapewne.

Jak uciec, gdy przeszłość ciągnie się za tobą negatywem każdej chwili minionej? Po huzarach też pozostały wielkie pasaże nie-mgły, przebite środkiem ulicy, zakręcające za róg na bulwar nadrzeczny.

Tak i weszło się w nie-konie i potruchało się w nich z powrotem ku pomnikowi Aleksandra III.

Już po kilku krokach musiało się wszakże zwolnić do kulawego spaceru - każdy szybszy wdech ciął gardło i płuca w strzępy. Nie przemożesz mrozu; poznać temperaturę w Kraju Lutych po sposobie, w jaki ludzie chodzą po ulicach (i czy w ogóle po ulicach chodzą). Wykluczone są wszelkie ruchy energiczne, zmuszające ciało do nagłych zrywów; sam ubiór - gruby, wielowarstwowy, krępujący członki - uniemożliwia swobodny krok. Człowiek kolebie się z nogi na nogę jak jakaś lala pakułami do pęknięcia wypchana, jak chochoł właśnie. I

masz, uciekaj tak!

Się oparło się o cokół pomnika. Tu niebyt splątany najmocniej przebijał terażniejszość. Nie-sanie, nie-konie, nie-ludzie rozchodzili się na cztery strony przeszłości: chwila, co zamarzła. Oddychając powoli, miarowo, wyjęło się Arcymistrza, odwinęło się ostatnią szmatę z gad-rewolwera. Zaświecił pod Czarną Zorzą blaskiem obrazów świętych. Nasłuchiwało się dźwięku janczarów, tętentu kopyt po szkle, głosów ludzkich. Nic. Chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, jeden oddech tylko. Zacisnęło się zeszczone powieki. Skąd oni się tu wzięli, na rany Chrystusa?! Gdy się odjeżdżało z Cwietistej, mgła jeszcze nie zakleiła ulic, nie mógł więc Frett pójść za niebytem sań Szczekielnikowa. Kiedy Fretta na miasto spuszczone? - godzinę temu, dwie? Czy to znaczy, że Szulc w końcu skonał? Z pewnością kapitan dostał od księcia konkretny rozkaz: ubić czem prędzej - to zamarzło. Wziął ludzi, pojechał... Nie zabiłby na oczach Wielickich, wywiózłby za miasto. Czy Kuźmieńcew albo Wieliccy słyszeli słowa Christine - gdy podawała czas i miejsce spotkania? Nie, nie, oni nie zdradzili - to także zamarzło. Co zatem zrobił Frett? Trzy miejsca, gdzie znaleźć można Benedykta Gierosławskiego: Cwietistaja siedemnaście, Obserwatorjum Fizyczne Cesarskiej Akademji Nauk, Laboratorjum Krjofizyki Kruppa w Zimnym Nikołajewsku. Co zrobił - ano, pojechał do Obserwatorjum. Czy kozacy gienerał-gubernatora go wpuścili? Tesla też by przecież nie zdradził. Ale - inżynier Jago! D, więc E, więc F. I potem już starczyło jechać za nieistniejącymi saniami Tunguzów. A oni coś przeczuwali - Cziornoje Sijanije na niebie - zobaczyli to niebezpieczeństwo. Widziało się je w świecieniu cara Aleksandra. Bo skąd Frett wiedział, dokiedy jeszcze czekać, a kiedy z mgły już zaszarżować? Się zdradziło się dźwiękiem jakimś nierozważnym? Okrzykiem nieburjackim? Nie, Frett również zobaczył. Ta pewność jedynoprawdy, ta konieczność jak przymus logiczny, hipnotyczny pod Czarnymi Zorzami, ta oczywistość olśnień rozumowych, jakiej doświadczyło się już na stacji Starej Zimy... Jasne abrysy mamutów od węglowego słońca przepływają w tęczobarwnej zupie niebytu. Zamarzło.

Tszrtuk-tłuk, kopyta na szudze zlodowaconej. Się schowało się za cokół. Z mgły wyszedł osiodłany koń bez jeźdźca, ze strzępem płaszcza w strzemię zaplątanym, z wodzami wlekańciami się po ziemi. Kulejąc, skręcił w ulicę Główną i rozmył się w tęczach czarnych. Tszrtuk-tłuk.

Myśleć, myśleć! (Ale mróz we łbie). Myśleć, do cholery! (Taa, teraz panika!). Myśleć! - jaki tu ratunek? Uniosło się głowę. Ani Księżycyca w sierp uciętego, ani gwiazd, jeno mgła wielobarwna i kolumnady ćmiatła na niebie. Królestwo Ciemności rozpościera się nad

Miastem Lodu. Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew w swoim tronie hydraulicznym na szczycie wieży Sibirchożeta, czytający z wysokości kartograficzne wróżby z kształtów mgłobarwnych pod Czarnemi Zorzami -

Khrr! Tylko on!

Ale którądy? Prawda, najmądrzej ruszyć z początku w niebycie huzarów, w dziurze wybitej w terażniejszości przez huzarów przeszłych, czyli nieistniejących - jak ten koń bez jeźdźca - wzwyż Głównej. Się wygrzebało się zza pomnika, pomaszerowało się po śniegu sfirniałym; pękał pod butami z hukiem rac jarmarcznych. Szło się z głową pochyloną, obracając z zamachu barkami, niewiele nogi w kolanach zginając. Tłupp-trłup, tłupp-trrrukr. Grossmajster świecił w rękawicy.

Irkuck stał cichy jak sen o Irkucku. Cienie-majaki kamienic przepływały z lewa i prawa. We mgle szybko psuje się perspektywa: zdawało się, że kamienice wznoszą się dobre kilkadziesiąt arszynów dalej, za to ogromne ponad wszelkie ludzkie dzieło. We mgle, w głodzie zmysłów, szybko też każdy bodziec potężnieje do rangi alarmu. Się obraca się na wszystkie strony i podskakuje co krok nie przez zajęcze serce i nerwy dziewczęce, ale ponieważ najmniejszy nawet ruch i najcichszy dźwięk tak mocno wkłują się w mózg. Byle cień, byle migot latarni, byle trzaśnięcie rosnącego lodu. Szło się przez Irkuck nocnych mgieł jak przez dym szamana, tłuste abaasy płynęły w dymie.

Cień z przodu - mamut - smok - bestja Piegnarowa nowa - odskoczyło się z korytarza nie-mgły. To koń bez jeźdźca, ten sam koń ze szmatą w strzemieniu - wracał teraz ścieżką własnego niebytu. Odetchnęło się. Szal od tchu wilgotnego przymarzył już do wąsów i brody, że nie dało się go poprawić, nie rwąc przytem zarostu ze skóry.

Dalej, dalej za nie-huzarami. Mróz wcinał się już w unty i pod zawijacze z zajęczych skórek. Nie ma co przyspieszać kroku, trzeba trzymać rytm. Tłupp-trłup. Pomyślało się o biegu samotnym przez nocny Jekaterynburg. Pomyślało się o panu Szczekielnikowie i o Tunguzach - co z nimi? Pomyślało się o pannie Jelenie; uśmiech zabołał pod zawojem oblodzonym. Soplowe sztylety dźgały płuca. Tunel nie-mgły skręcał tu w prawo, ku cieniom budynków. Światło latarni urosło pięknie w zawieszynie mlecznobarwnej. Nie-huzarzy przechodzą tuż przy murze; postąpiło się jeszcze krok i ujrzało się w blasku tęczowym pancernopajęczy masyw lutego zarosły środek ulicy. Pionowe fale mrozu stały między nim i ścianą. Godzina? Dwie? Wystarczyło. Nie przejdzie się tędy, trzeba inną drogą, inną ulicą... Wówczas pojęło się, że w żaden sposób nie dotrze się na piechotę na

pięćdziesięciostopniowym mrozie do wieży Sibirchożeta. Odetchnęło się po raz drugi. Szron wrastał między zęby.

Luty mroził się po stalagmitach i strunach czarnych rozpiętych siecią wysoką do drugiego piętra. Okna były ciemne. Nie były bębny głaszatajowe. Drzwi do domów po obu stronach na pewno dobrze zabezpieczono (w miastach Zimy istniała przestępcza profesja zimowników-grabieżców). Po raz ostatni zerknęło się na mroźnika. Szedł albo spod ziemi, albo pod ziemię - połowa masy, ta lewa, północna, spoczywała bezpośrednio na bruku zalodzonego. Natomiast tu, nad nie-huzarami, rozprysł się glacjusz koroną tysiąca cienkich i jeszcze cieńszych sopligieł, sięgających wzwyż, we mgłę, w niebo, i do elewacyj kamienic, i do latarni (jeszcze pracujących). Kalejdoskopy zimnych kolorów obracały się na nieforemnym cielsku, przelewając się po obłóściach, jakby to nie sam refleks złudny, lecz naprawdę jakaś farba lodowa wraz z jego helową krwią w kryształowym organizmie- nieorganizmie lutego podróżowała.

Ostrzegł świcień zza pleców rozpościerający skrzydła na masyw mroźnika, gra blasków na tej farbie. Się obejrzało się, w tym celu całym ciałem wół się obracając. Nadjeżdżał już z uniesioną szablicą - klinga była marostieklowa, siedmiotęczowa - odchylony zza łba końskiego do czystego, gładkiego szlachu, z licem odkrytem, z szalem czarnym za kołnierz powiewającym, wąsem zmrożonym, podwiniętym pod zabełtane bielą szkła okularów-gogli, z ustami rozwartymi, z których tłusty obłok émiatła wyłazi. Na szczęce miał ranę otwartą, krwawą. Czerwień tej krwi skapała mu w szynel - którego szary brąz ściekł w sierść końską - której czerń spłynęła na lód - którego biel eksplodowała w mgłę - której błękitno-zielone odcienie zassał blask oślepiający Arcymistrza, gdy uniosło się go na prostym ramieniu, mierząc w środek szerokiej piersi kapitana Fretta.

Szarpnął wodze, miotnął się na siodle w lewo. Koń posłusznie skreślił, ale widać potknął się lub poślizgnął na świeżo zaszrenionej łapie-korzeniu-żyle lutego, bo wtem podłamały się pod nim przednie nogi i poleciał, rozpędzony - kłęb dziki zwierzęcia i człowieka - w zaspę trotuarową, cudem latarnię omijając. Bolesny kwik wierzchowca przedźgnął mgłę. Chmura śniegu karobarwnego podniosła się na miejscu upadku; stało się i patrzyło się na tę chmurę, jak małe dziecko, zafascynowane, zaczarowane. Kilka długich oddechów minęło, dopiero jąła opadać; zdawało się, że mróz tężejący od lutego zmraża płatki jeszcze w powietrzu.

Na oddech kolejny wyszedł z obłoku spieszony kapitan Frett, już bez czapy i okularów, lecz z tą samą szabłą-tęczokosą w garści. Czerń spływała po nim tam, gdzie oblepił go śnieg

kryształowy. Wąs sterczał wiechciem-soplem krwiobarwnym, krwią dymiącym.

Przyjaciół, któremu życie się zawdzięcza - tak zamarzło - i nieprzyjaciół, który właśnie życie ci odebrać przyszedł - tak zamarzło - cóż w podobnych sytuacjach można jeszcze powiedzieć? I tu, i tu nie pozostało miejsce na żadne słowa w języku drugiego rodzaju; nie ma miejsca nawet na wstyd. Są tylko konieczności, są tylko oczywistości.

Kapitan Frett mrugnął, splunął śniegiem ćmietlistym, zamłynkował od piersi błysklingą i wbiegł pod glacjuszowy świecień. Strzeliło się mu w brzuch. Lód rozerwał huzara na strzepy.

Upadło się na twardą obmarzlinę, pojechało się po bruku kryształowym. Zbyt blisko! Firany mrozu nieludzkiego zamknęły się ponad. Noc zmarszczyła się i wygięła, jakby wtem przez szkło wypaczone oglądana. Coś złego stało się także ze słuchem: trzask i cisza, ale nie cisza jako brak dźwięków, lecz cisza jako brak zmysłu na dźwięki wrażliwego. Coś złego stało się ze wszystkimi niemi zmysłów ducha z ciałem łączącymi: pękły albo tak się splątały, że niewiele lub zgoła nic nie docierało po nich na stronę ducha. Leżało się na plecach na ulicy irkuckiej, ale nie czuło się pod plecami nawet dotyku odzieży, nawet tego, że tam jest „dół”, a tu, przed oczyma, „góra”. Nie czuło się ruchu na zewnątrz i nie czuło się ruchu wewnątrz. Nie czuło się oddechu. Nie czuło się czasu upływającego. Noc falowała w pętli domkniętej: chwila i chwila i chwila.

Wstać. Skąd przyszedł ten impuls? Ciało poczęło wykonywać chochołowate gesty. Spostrzegło się światło z prawicy zaciśniętej buchające. Arcymistrz. Nie czuło się tej ręki ani zresztą ręki drugiej.

Pogubiło się też kierunki w mgłę kolorowej. Wstało się, obróciło się, by krok po lodzie postąpić, i dopiero zobaczyło się czarnośniejące cielsko lutego - sopol, stalagmit, struna, żyła, meduza, brzuch - zobaczyło się je bliskie na wyciągnięcie ręki, na pół arszyzna. Firany mrozu drżały motyło.

Ten pot biały ściekający po boku glacjusza - to powietrze skroplone.

Ten cień pod glacjusza skórą - to hel poruszający się samowładnie w temperaturze, gdzie nie porusza się nic.

Ten lód - to Prawda ziszczona, materja sprowadzona poniżej zera Kelvina.

Wyprostowało się ramię. Wystarczy pchnąć dłoń do sopła.

Pomyślało się o palcu pana Korzyńskiego.



Pomyślało się o palcu, o liście zaszyfrowanym z drugiej przeszłości, o wszystkich tych tańcach, których nie mogło się znać, o zmartwychwstaniu Nikoli Tesli, o innych przeszłościach niedomarzniętych. Są rzeczy, które się robi prawdami, których prawdziwość się stwarza.

Pomyślało się, że przecież i tak się nie żyje: żaden organizm Lata nie może stanąć pod lutym i przeżyć.

Noc marszczyła się i gięła.

Cziornoje Sijanije wyświetlało z glacjusza świecienie wielkie, priekrasnyje, mesmeryczne.

Się przytuliło się do lutego.

...Przebity na wszystkie strony rozgwiadą chirurgicznych sopli, kapitan Frett wisiał nad ulicą zamrożony w tuzinie większych i setce mniejszych kawałków. Rozgwiadza trzymała go jeszcze w całości, choć niepoprawnej anatomicznie, to pozwalającej się jednak dopatrzeć w zalodzonej rzeźni kształtu ludzkiego. Przeszło się między udem i jelitami a głową z fragmentem kręgosłupa, pod półlukiem ręki zgiętej, nadal szablę marostieklową dzierżącej. Arcymistrz wykrzesał na klindze milion tęcz oślepiających.

Oślaniali od nich oczy, podchodząc. Obaj pogubili gdzieś swoje okulary. Dlaczego zsiadli z koni? Zobaczyło się zwierzęta na krawędzi mgły, we mgle, cofające się trwożliwie w mgłę gęstsza. Huzar niższy, ten z plamą krwi na barku, zrobił dwa kroki i odskoczył jak oparzony, dysząc ciemno. Huzar wyższy, ten z karabinem, chuchnąwszy w zamek broni, złożył się do strzału; nic z tego, karabin nie zadziała. Również odbiegł kilkanaście arszynów, we mgłę.

Ale huk wystrzału Arcymistrza tak czy owak wkrótce sprowadzi resztę, trzeba -

Co? Potrząsnęło się głową. Planowało się było - co? Oddać się pod opiekę Pobiedonoscewa?

Wyszło się ze świecienia kapitana Fretta i pierwsze uderzenie bólu przebiegło po ramieniu do karku; ledwo się ustało.

Się musiało się zachwiać - niższy huzar, ten z szablą, wytrzeszczając ptasio oczy, zebrał się, by skoczyć do pchnięcia. Widziało się w kształcie jego świecienia od Czarnej Zorzy całą konieczność kolejnych ruchów sądata, następstwo logicznych nieuchronności. Jak we śnie - jak sonnyj rab - spowolniony między spowolnionymi - odstało się w bok. Huzar pchnął w powietrze.

Krzyknął i uciekł.

Teraz pozostała już tylko mgła i to, co we mgle.

Podchodziły do samej granicy rajskiego światła latarni: mamuty, abaasy, gojlemy Piegnarowe. Obserwowało się kolorowe konwulsje nocy. Niechby który w końcu wystąpił i pokazał jasno oblicze swoje nieludzkie. Niechby skoczył i porwał we mgłę, w dym. Jak przyzwać je wyraźniej? Jaka ofiarę złożyć?

Czekało się cierpliwie na rukawaditielia do Podziemnego Świata. Czekało się, dopóki starczyło sił, czyli Mrozu - to znaczy, jak długo? Moment senny, minutę, dwie, kwadrans, godzinę, całą resztę nocy? Stojąc jak wmrózony na środku ulicy Głównej, pochodnia tungetytowa w dłoni, świecenie odwęglowe na tumanach bieli. Umysł wychłodzony nie zaświadczy zmianom, jak nie wykujesz niczego na djamencie, ani nie odcisniesz informacji w kryształach doskonale uporządkowanym. Chwila zlewa się z chwilą, czas przyjmuje formę koła, język przestaje służyć do przekazywania złożonych myśli. Chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr, chrrr-khr.

Kiedy bowiem zajechali tu saniami, leżało się na bruku zalodzonego dobre dwadzieścia arszynów od lutego i Fretta, trzęsąc się w dreszczach śmiertelnych, zgięty w pół, z kolanami w pierś tłukącymi, zębami klekoczącymi, rękoma bijącymi nieporadnie w śnieg. Oddech nie chciał wejść do zamrożonej tchawicy. Nie mogło się wydać nawet jęku cierpienia.

Podnieśli, złożyli na saniach obok zakrwawionego pana Szczekielnikowa, zawinęli szybko w skóry zajęcze i reniferowe, rozwarli siłą szczęki i włąli w gardło ciepłe zioła. Zawiązali całego w futra jak niemowlę. W szczeliny wąskiej podskakiwało niebo gwiazdziste i mgła tęczowa. Straciło się przytomność i do przytomności się wróciło; i znowu, i znowu. Sanie sunęły coraz szybciej, słyszało się świst lodu pod płozami i pokrzykiwania woźniców - język polski, polsko brzmiący. Raz mignęło nad szczeliną oblicze zarośnięte, pokazało uśmiech szczerbaty. Się próbowało się wykrzywić w odpowiedzi, ale tylko się ugryzło się w wargę i język. Dreszcze przypominały bardziej atak epilepsji, kwas ognisty płynął żyłami, kaci zdierali skórę z mięśni, rozrywali ciało na części, gruchotali kości i wlewali w te kości miast szpiku ołów płynny. Chciało się rzec uśmiechniętemu brodaczkowi, iż wszystko się rozumie - lampa, o północy ćmiecza, Piłsudski też pragnie wygrać swoją Historję na śmierci generał-gubernatora - ale on prędko wepchnął do ust otwartych płat zwierzęcego tłuszczu i nie rzekło się nic. Na niebie Cziornoje Sijanije zasłaniało i odsłaniało bajkalskie gwiazdozbiory. Nie widziało się żadnych dachów, latarni, tęcz od lamp marostiekłowych.

Tylko jeden i drugi maszt trupi. Odprężeni już japończyki śmiali się głośno z rubasznych żartów żołnierskich. Łzy bólu krzepły w oczach. Nic, nic nie poszło według planu. Nie odnajdzie się ojca, nie odmrozi się ojca, nie naprawi się Historji; za nic, za nic oddało się pannę Jelenę. Żując surową słoninę, zamrożony, opuszczało się Miasto Lodu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### O duszy liedniackiej

Układał pasjansa.

- Założyłem sobie, że jeśli mi ten pasjans wyjdzie, to będę dyktatorem Polski.

Usiadło się na ławie przyściennej po drugiej stronie stołu, się zawinęło się w skórę reniã. Piec wielki, na ćwierć izby po sułtańsku rozparty, nagrzał chatę mocno; ale mróz dobrze w kościach siedzi. Kości swoje stare grzał na tym piecu ogromny wilczur-zszarpaniec, ślepiów już prawie nieotwierający; co na węż ze świata weźmie, na tyle jeszcze obecny w tym świecie. Kiedy się przechodziło od drzwi z kuchni, gdzie siedzą przy szaniegach serowych pan Krzysztof i drugi japończyk, pies podźwignął łeb i obracał nim powoli za wskazaniem nosa, ślepy. Usiadło się, się zawinęło się w skórę, wyjęło się tytuń i bibułę, skrzyło się pomału papirosa. Słońce poranne pada znad ramienia, nie trzeba mrużyć oczu. Mrużył oczy pod zrosniętymi brwiami krzaczastymi, siwymi - on, układający pasjansa.

Bo za oknem białej gornicy - na skrzydle lewym, ponad ramieniem - tam pola oślepiającego śniegu, tam gładź błękitnojasna jak z minjatury akwarelowej, a dalej bór iglasto-cedrowy, wysoki, gęsty, nie do reszty kołdrą puchu kryształowego zaciągnięty, że najpierw czerń pni zacienionych, dopiero - płaskowyż lodowych koron. Można by chyba po nim stapać, zwierzęta tamtędy smyrgają, wiewiórki, sobole nieliczne; spostrzegło się je raz i drugi po drodze z Irkucka, na tle nieba. I tak to idzie - biel, czerń, biel - wzwyż, do Słońca prawie, bo po całych stokach gór stromych, zwieńczonych na południu strzelistymi iglicami. Przez okienko widać formację potrójnych wierchów - tam siedzi warta japończyków, lornetująca okolicę i błyskająca ostrzeżenia przed obcymi wędrowcami. W nocy palą ognie na szczytach. Łańcuch alarmowy ciągnie się naokoło dobre kilkadziesiąt wiorst. Tunka to forteca przyrody. Jedna karkołomna ścieżka na wschód, jedna - na zachód. Inaczej nie dojedziesz: góry, góry, lasy zaśnieżone, zamrożone, a w nich tylko sekretne drogi myśliwych. Wymarzona kryjówka bojowców przeciwpaństwowych.

Wczoraj wyszło się na spacer w towarzystwie pana Krzysztofa, Adinem, Jedyńką zwanego. Nie miał on wcale pierwszej pozycji w Legionie Japońskim, przezwisko wzięło się

od karku skręconego. Znaczący, widać prawie był go skręcił i taki już pozostał: podłamany, zwichnięty, w dół i w bok, do ramienia przekrzywiony, że z profilu, z abrysu, a już na pewno w świecieniu pod Czarnemi Zorzami malował się pan Krzysztof (z natury dobrze wyrosły i niczym brzoza smukły) obrazem cyfry jeden: tu korpus wąski, prosty, a tu - szyja i główka w kącie ostro ku ziemi podane. Tak chodził, w grunt wcelowany, na kwintę od obojczyka spuszczonej. Spytało się go, co właściwie mu się przydarzyło - w jakiejś awanturze wojennej kontuzji doznał? Adin tylko wzdychnął melancholijnie, opowieść całą życiową w tym wzdechu streszczając. Tak się poznaje ludzi bezpiecznym od fałszów słownych. Wydychnęło się płuca w równie szczerym response, a poćmiata omalowała parę na wargach zaszonionych.

Oddychało się powietrzem syberyjskim, oddychało się mrozem Azji otwartej, oddychało się głęboko, jak na wakacjach przez doktorów przepisanych w badzie wysokogórskim. Inne tu było życie, inne światło, niebo, kolory, inaczej czas ślizgał się po lazurach lodowych. Słusznie prawil redaktor Wólkiewicz: tam, w Irkucku, żyje się na zegarze minutowym, w sprzężeniu jakimś namiętne - co chwila miniona, to chwila stracona - można więcej, można szybciej, trzeba szybciej! Zarobić? Zrobić, zrobić! To, tamto, cokolwiek - byle wyrwać się z bezczynności, byle dopisać sukces do sukcesu. Bezczynność to grzech największy. W mieście, tem bardziej w takim mieście - człowiek jest tym, co robi, tym, co zrobił. Szlachcice uciekają na wieś nie dlatego, że tu mają majątki i dusze chłopskie pod rządem feudalnym, ale ponieważ tu bardziej się jest. Cokolwiek zrobi lub nie zrobi książę pan, nie przestanie być księciem. Miasto natomiast, miasto przemysłowe, handlowe, bankowe - ono jest żywiołem Szulców tego świata.

- Macie może wieści o gubernatorze? Jak przechyliła się władza w Irkucku?

- Nic nowego nie przyszło, panie Benedykcie - rzekł Adin. - Myśmy ostatni z miasta przyjechali, potem nic, cisza.

Cisza nad polami, cisza nad lasami. Skoro nie ma dźwięku do odmierzenia sekund i minut, nie żal tych sekund i minut niepostrzeżenie upływających. W mieście już by niecierpliwość wielka zdjęła człowieka, już by się do myśli, do działania, do konieczności jakiej okrutnej spiał. A tu - wyszło się na pola, przeszło się po bieli świeżej między chatami, po kolana w śniegu kopnym się zapadając, tropę poczworną, regularną w nim pozostawiając, przebrodziło się w powietrzu mroźnym, krystalicznym... A po co? A po to: żeby chodzić, żeby oddychać. Która godzina? Nie patrzy się na zegarek. Jaki dzień? Poniedziałek lub wtorek,

dwudziesty czwarty lub dwudziesty piąty listopada. Lub dwudziesty szósty. Tak jakoś. Około. Mniej więcej.

Skoro opuściło się osadę, między chat i szkieletów jurty starych występując, się wspięło się na pierwsze wzgórze pod lasem, by tu przystanąć z widokiem otwartym przed oczyma, ostro na słońcu bijącym. Wsparty na kij, uniosło się marostiokła. Raz, dwa, trzy, sześć, tuzin i jeszcze dwa dymy - z tyłu kominów znak na niebo wyczerniony. Przed nadejściem Lodu liczyła Tunka dobrze ponad sto rodzin, nie włączając w rachunek przejezdnych Burjatów; teraz więcej tu chyba japończyków Piłsudskiego siedzi aniżeli starych osadników. Były dwie cerkwie, drewniana i murowana, były składy towarowe dla stepowców burjackich, mongolskich... Teraz jeno śnieg i lód i zmarzlina. Czym mieliby się ludzie wyżywić? Oni żyli tu z rybołówstwa, z myślistwa, bydło hodowali, chajnyki, charłyki i owce. Ale nie wypasiesz bydła na soplach. Także i rolnictwo w Zimie zamiera. Pan Krzysztof, fajkę zakurzywszy, podobnie na lasce traperskiej wsparty, opowiadał, że nie inaczej wygląda to w całym Kraju Bajkalskim. Pokazywał pod światło mrozu-słońca, gdzie ułusy jurty burjackich stały, prawil o życiu Lata, o obyczajach ówczesnych. Zawsze się zachodziło do tała Burjatów, tałów rodu najstarszego pogańskiego, gdzie częstowali sałamakiem śmietanowym i tarasunem pędzonym z krowiego i kobyłego mleka, kwaśnym bardzo w smaku, ale bijącym jak z kopyta... A kto dziś pozostał? Niedobitki jakieś, popatrz pan, panie Benedyckie, bo taki sam los po wszystkich wsiach i miasteczkach syberyjskich, czy starych, tubylczych, i tych z osadnictwa osiemnastowiecznego, czy tych najnowszych, z prawa stołypinowskiego, przez biedniaki zza Uralu zasiedlonych. Co ongi stanowiło wielki i główny przemysł Syberji - przyroda, panie Benedyckie, przyroda, owoce tajgi, płody ziemi, dobrodziejstwa wód - z tego teraz nikt już prawie nie wyżyje. Syberja stoi przemysłem ciężkim, zimnazowym, tungetytowym. Naród z prowincji Kraju Lutych ciągnie do miast, osobliwie do Irkucka. Żywność sprowadza się pociągami długimi, w drugą stronę skarby Zimnego Nikołajewska wywożąc. Odwróciło się wszystko, na głowie stanęło. (Tak powiada pan Jedyńka, z łepetyny na pierś spuszczonej oczyma miękkimi, wilgotnymi spozierając). Odwróciła się Historia i trza by ją na powrót na fundamenta stare usadzić.

- Nie wierzcie, co wam towarzysz Wiktor nagadał - rzekło się mu na to. - Nikt nie ma takiej magicznej władzy nad Historją.

- Ach, to nieprawda to, że u Szulca-Zimowego Odwilż dobrą pan wypaktował?

„Wypaktował Odwilż!” Westchnęło się. Pokiwał głową zwieszoną. Wot i cała opowieść.

Cisza ponad polami, cisza ponad lasami. Nie słychać na przykład ptaków. Odleciały wszystkie? Poginęły od mrozu nieustannego? Weszło się w przesiekę od przeprawy irkuckiej idącą. Irkut wpada do Angary zaraz przy Irkucku i pierwsze kilka wiorst od miasta japończyki ciągnęli byli właśnie po rzece szerokiej (przed Rokiem Lutyh też zamarzała na siedem miesięcy przynajmniej, w zimnik wygodny się zmieniając). Mieli tam odwód po wojskowemu z góry przygotowany, konie i reny zapasowe, tam wyczekali na resztę oddziału. Potem jednak jechało się dzień i drugi lasami, ciasnemi alejami międzydrzewnymi, że równie dobrze mogło się krążyć po zamkniętej pętli - może się krążyło - była tylko tajga, tajga, tajga: biała cisza zamrożona.

Cedr, modrzew, pichta, sosna, brzoza, przelodzone, obsnieżone, zasoplowane - więc las, ale taki las, jakby już w ćwierć przemiany do krajobrazu świata lutyh przeciągnięty. Brak nie tylko ptaków, brak ruchu wszelkiego. Drzewa się nie poruszają, nie kołyszą gałęziami, nie nachylają koron. Idzie się przez tajgę niczym przez koronkową formację tworów geologicznych. To jest przyroda - ale ta człowiekowi najdalsza, najpłycej życiem naznaczona. Przystanął się, obejrzało się na ciąg śladów nóg i lasek, jak bukw białych wypisanych na karcie czyściutkiej po conocnych opadach. Tunka i jej dymy zniknęły już za masywem boru. Cisza, cisza, bezruch, biel, mróz. Odwinęło się szal z brody, nabrało się powietrza w pierś jak się wodę z przerębli w ceber nabiera - i chlusnęło się w tajgę głosem spienionym. Adin słuchał przeciągłego krzyku z podbródkiem na kozuchu opartym, z miną wyrozumiałą. Powróciło słabe echo. Odkasznęło się, otarło się usta rękawicą. Zapewne wszyscy krzyczą.

Tak naprawdę przecież w ogóle nie poczuło się Syberji przez te miesiące w Irkucku, nie czuło się, że się żyje na Syberji - miasto jest miasto, Zima jest Zima - dopiero teraz, stanąwszy w maleńkości samotnej na szerokiej palecie tajgi, mimo że zewsząd górami zamkniętej, to jakoś bezgranicznej w ogromie swym azjatyckim, pod niebem jeszcze szerszym, pod nieba pyskiem gładkim, mongolskim do ziemi przyklejonym, pod Słońcem skośnym... Syberja. Dopiero teraz. Ile się słów w sumie wypowiedziało do pana Adina od opuszczenia chaty? Trzy tuziny może.

Zakłuł w sercu pierwszy przedból owej „dusznej choroby sybirskiej”, którą usiłował opowiedzieć w Ekspresie Filimon Romanowicz Ziejcow - jak to się spotkali z Siergiejem Andriejewiczem Aczuchowem, jak rozpoznali się bez słów, porozumieli poza językiem drugiego rodzaju... Tu, pod górami Azji, w przyrodzie przedludzkiej. W ciszy. Bo zazwyczaj człowiek wypowie słowo i już pół uwagi odchodzi od człowieka - od tego, kim jest - na

prawdziwe lub fałszywe znaczenia słowa. Bardziej pracowite gaduły potrafią się niemal zupełnie wymazać z istnienia powodzią słów wylewanych minuta po minucie, sens po sensie. Ale spróbuj wyrzec się z bytu w tej ciszy oceanu białej tajgi, spróbuj się wygawarit' do zera pod niebem mamucim....! Szło się z panem Krzysztofem w towarzyskim milczeniu.

Stara chata śródleśna, pierwotnie zapewne kryjówka kontrabandzistów za Bajkał złoto krwawe szmuglujących, kryła się za cedrami wiekowymi, sto kroków od przesieki. Tunguzi mieli prikaz nie wychylać nosa, żeby nie podejść w oczy Burjatom z Tunki, awantura niepotrzebna zaraz by się z tego zrobiła. Po drugiej stronie od Irkutu - japończyki pokazali jeszcze w drodze z miasta - stoją tu kurhany ze szczątkami bohaterów po jakiejś dawnej wojnie mongolsko-rosyjsko-burjackiej. Czy przez Tunkę wiodą Drogi Mamutów? Legioniści wzruszali ramionami, kręcili głowami. W nocy, przy świetle łojówki, do rytmu dobrze nakręconego zegarka, wykładało się na nieheblowanym drewnie pasjans sortilegijne - bez skutku.

Sanie stały za chatą, reny schowano pod wiatę prowizoryczną. Na ławie na werandzie, z łbem kwadratowym o zasopiony balasek opartym, wysiadywał na mrozie pogodnym pan Szczekielnikow. Dosiadło się obok. Adin poszedł zajrzeć do inarodców. Pan Szczekielnikow podniósł powiekę, poprawił bandaż, poprawił szal, opuścił powiekę. Się spociło się w marszu od Tunki, się zmachało się do tchu zarwania, do gardła zarznięcia; dopiero jak się spoczęło tak dech głębszy złapać, zmęczenie na dobre ciałem zawładnęło. Słabość pozmrozeniowa nie wyszła jeszcze do końca z organizmu. Siedziało się, dysząc powoli, do kolan zgięty. Pan Szczekielnikow podniósł twarz do nieba, obręcił się na ławie jak warzywo na grządce, k'słońcu lgnące. Odkaszlnąwszy, wróciło się do cichszego rytmu oddechów. Białe światło mrozu przekłuwało źrenice. Na soplach migotały tęcze kryształowe. Jedna chmurka biała wkleiła się pod nieboskłon - pokazało się panu Szczekielnikowowi tę chmurkę ręką wyciągniętą. Pan Szczekielnikow pokazał na korony drzew zalodzone - smyrg-smyrg, biało-czarny kłębek futra przemknął między gałęziami, wychudzony gronostaj, ostatni chyba. Nasunęło się z powrotem marostiokła na oczy, jasność rozlała się na cały świat, już rozmiękczone, nadtopiona. Oddychało się coraz wolniej, mróz głąskał policzki jodłowymi wiechetkami. Wcale nie chciało się spać - ale się zapadało się w ten sam spokój wszechogarniający, w którym (jak we śnie) słowa są doskonale zbędne, słowa tylko przeszkadzają. Wyszedł za Adinem Tigrij Etmatow, w garnuszku glinianym nagotował nową porcję maści z cedrowej żywicy. Schowało się maść pod szubę. Tigrij mlasnął z satysfakcją, pokulał naokoło ławy i klapnął po drugiej stronie, zadowolony z siebie bardzo na okrągłym



obliczu. Pan Szczekielnikow łypnął na niego ponuro; szaman wyszczerzył się radośnie. Oparło się o węglową ścianę. Mróz. Mróz. Światło czyste. To pozostanie już na zawsze, nawet jeśli zapomniane, niewspominane, niebrukane słowami, ba, wtedy tern bardziej mocne: piętno lutego. Pamięć dotyku Lodu. Nie mogło się było go dotknąć, to przeszłość skrzywiona, załamana na granicy ośrodka Prawdy - niczym promień słoneczny załamany, odbarwiony na krawędzi pryzmatu. (Palec pana Korzyńskiego). Nie mogło się było dotknąć lutego; przecież nic już nie wyjmie z serca owego doświadczenia. Prawda czy fałsz, dokonane czy niedokonane - bez znaczenia. *We wspomnieniu nie ma różnicy między światem i wyobrażeniem świata.* Mróz, mróz siedzi w kościach. Na marostiokłach rosła plama lodowego Słońca. Białe światło mrozu przekłuwało źrenice. Cisza. Tajga. Syberja.

W drodze powrotnej pan Krzysztof raz się odezwał - się wspięło się na ten wzgórek z widokiem na Tunkę, cienie zimowe zaczęły wypełzać zza budynków, drzew i zasp, wieś pływała w czarnoolejnych rozlewiskach, i brnęła przez nie także grupka myśliwych z fuzjami na plecy zarzuconymi, wracająca z polowania z pustymi rękoma; Adin wskazał ich laską na placu mirskim, a szczególnie jednego mikrogo myśliwca między nimi.

- Jak się z panem rozmówi - rzekł, głowę od piersi odkleiwszy, ćmiecżą ołzawion - jak już myśl poweźmie, po tym poznać.

- Poznam?

- Czy Odwilż po tej Zimie. On to czuje jak pies posokę zwierza ranionego, na nos, na nerw.

- Słabość Historji, znaczy się.

- Ba! - Zachichotał. - Stary zęby na niej zjadł.

Od wczoraj nie przyszedł jednak żaden goniec z wieścią świeżą z Irkucka. Wciąż czekali; wiedziało się z podsłuchanych ich rozmów oraz z ich uwag zupełnie jawnych, głośnych, wymienianych, gdy pan Krzysztof z drugim japończykiem poprowadzili teraz od chaty przycerkiewnej do tej tu chiżyny niskiej: że czekają powrotu oddziału ostatniego, który o wojsku wychodzącym z Jaszczika ma zaraportować. Zapowiadał im bowiem Stary akcję jakąś nową. Zburzenie kolejnego mostu? Wysadzenie w powietrze pociągu? Jeśli tylko Historja dobrze się z wiatrem obróci. Jeśli pasjans wyjdzie.

Zapaliło się papierosa. Położył w zamyśleniu kartę, podrapał się w brodę gęstą. Zapakowany w dwa swetry grube, zdawał się tęższym i szerszym w barach, przecież w istocie

niewielkiej był postury. Mrużył od słońca oczy popielnoszare. Powinien chyba nosić okulary. Pociągnął kartą po wydatnym nosie, mruknął coś pod wąsem. Wówczas, na pokazie Pompy Bojowej, nie poznało się go mimo wschodniego akcentu i słów jasnych. Odplunęło się dym. Według listu gończego - brodawka na końcu prawego ucha. Przypatrywało się mu otwarcie.

Wtedy spojrzął w charakterystycznym skupieniu-zagniewaniu.

- Założyłem sobie, że jeśli mi ten pasjans wyjdzie, to będę dyktatorem Polski.

Wiedziało się: Józef Piłsudski.

Strzepnęło się popiół do miseczki kościanej. Na ścianie za oknem, na krótkiej półce z książkami, stał zegar w porcelanie, przedziwna zabaweczka delikatna w tej chacie topornej z bali grubo ciosanych na ostatnim zadupiszczu Syberji. Zegar był zepsuty, w każdym razie stał na godzinie siódmej i dwudziestu minutach. Ponad jego tarczą okrągłą, jak w heraldycznym zwieńczeniu, labwerki obejmowały zdjęcie w porcelanę wprawione: portret kobiety wyjątkowej urody. Zapewne to była jego żona, Marja, słynna piękność wileńska, zabita przez kozaków podczas zamieszek rewolucyjnych w Roku Lutych.

Piłsudski przyglądał węża, dolał sobie czaju w kubek kamionkowy.

- Zauważył pan może - rzekł, spode brwi burzowych wzrokiem przenikliwym szyjąc - że to wszystko, co zwie się intuicją, myśleniem pozaświadomem, karleje i zanika w pracy intelektu. Ludzie chwytają się różnych sztuczek, iżby intuicję uwolnić - jedni mianowicie modlą się lub kontemplują, w pępek się gapią, paciorki różańca liczą, inni wpadają w pewien rytm mechanicznych powtórzeń czynności, słów, myśli wreszcie. To pozwala odgrodzić świadomość i pchnąć na przód sceny intuicję. Mój umysł jednak żyje nazbyt prędko, ogniście, ażeby go takie metody poskromiły. Zajmuję go więc pasjansem, przymuszam do rozwiązywania jego komplikacyj. I wstaję odeń nierzadko już z całymi problemami nieświadomie tymczasem rozpracowanymi. Nieraz zdobywałem się na czyny, przed którymi cofnąłby się niejeden, między innymi dlatego, że z góry miałem stąd powziętą pewność lub prawie pewność powodzenia.

Napadał na pociągi, banki, więzienia, urzędy carskie, po tej i tamtej stronie Uralu. Sam z więzień uciekał; podnosił więźniów bunty - za pierwszego zesłania zbuntował tiumny w Irkucku właśnie, krwawa awantura z tego powstała, jeszcze mu wyroku dołożyli. Strzelał dygnitarzy carskich, figury wojskowe i arystokratyczne, na wojnie i po miastach, przez rozkaz rękoma ludzi swoich i osobiście, z browninga krótkiego. Jeździł po świecie, za Polską agitując, na sprawę Polski fundusze zbierając, w imię Polski sojusze zawierając - Wiedeń,

Zurych, Berlin, Paryż, Londyn, Ameryka, Japonja, Chiny. Tworzył i tracił wojska tajne, partyzanckie; tworzył je od nowa, jawne już prawie, tu, na Syberji zwłaszcza, po drugim, trzecim zesłaniu (z których oczywiście uciekał). Wysadzał w powietrze gmachy rządowe, koszary, mosty, zaporę jedną eksplodował nawet. Wrogów i konkurentów pozbywał się z jednaką bezwzględnością, nie do końca chyba między nimi rozróżniając. Już mu tuzin razy ochrana i kozactwo siedzieli na karku - uchodził bez szwanku. W Charbinie agenci cesarza Hirohito pod lufą go trzymali - wywinął się na słowie honoru.

- Sonnyje raby też łatwo zdobywają taką pewność przyszłości pozarozumową - się odezwalo się przez dym.

- Słyszał pan może o inżynierze Ossowieckim. Od dawna miałem to przekonanie o sile myśli z czasu i przestrzeni wyzwolonej. Pan Stefan pokazał mi -

Położył kartę i wtem poderwał wzrok. Się obejrzało się ponad ramię, przez okienko prosto w biel oślepiającą. Ale to nie śnieg kolorem słonecznym w oczy był.

- Adin! - zawołał Piłsudski.

Pan Krzysztof wsunął do izby głowę opuszczoną. Stary pokazał na światła południowe. Adin pośpieszył na zewnątrz, ludzi od razu wołając. Nie zapytało się. Piłsudski przełknął czaju, otarł wąsa, brodę.

- Pana przyjaciel, doktor Tesla -

- Został.

- Jest niedaleko od Bajkała takie miejsce, o którym chodzą między Burjatami opowieści, jak to nawet w mrozy najcięższe kwitnie tam życie zimne, powolne, ciemne, jak abaasy tam ludzi i zwierzęta do Podziemnego Świata porywają, w mamuty zmieniając, a kto -

- Wiem, że jest. Domyśliłem się. To znaczy... obliczyłem. - Się zaciągnęło się dymem odświecłym. - Od pana to ojciec o nim usłyszał. Miał tylko parę flaszek sażajewki na początek, nic by -

- Sam chciał! - Piłsudski plasnął kartę z gniewem. - Sam poszedł!

Się zaśmiało się cicho.

- Wiem. On, nikt inny, on sam.

- Dam panu mapę -

- Powoli. - Podniosło się dłoń z papierosem, skóra renifera zsunęła się z ramion. - Wcale

mi nie śpieszno w Łód. To samobójcza impreza.

Zmarszczył brwi.

- Jak dla kogo. To pan mnie szukał przez Chruścińskiego, pan chciał ze mną mówić, panie Gierosławski. Cóż, więc teraz nie tego już pan pragnie? Ojca odnaleźć?

- Ojca odmrozić, ojca uratować... A na co wam taki Gierosławski odmrożony, co z lutymi nie gada?

Skrzywił się.

- Pan w złą nieufność się przeciw mnie wbiłeś, czy ja w czym krzywdę wam spowodowałem?

Wówczas wyjęło się zza pazuchy kożucha kartkę potarganą, w osiem złożoną. Rozprostowało się ją powoli na stole. Piłsudski spojrzał w konfuzji.

- Cóż to znowu za matematyka?

- Nie matematyka, jeno list zaszyfrowany od pepeesowców warszawskich do Filipa Gierosławskiego, który miałem mu mimo waszej tu straży ścisłej przekazać.

- I niby co tam piszą?

- Wiosna Ludów - tak. Odwilż do Dniepru. Petersburg, Moskwa, Kijów, Krym - nie. Japonja - tak. Partja rozkazuje: czas kompensacyj - tak; Rosja pod Lodem. Wszystkie środki - tak. Uwaga: „młodzi” i ocieplniki przeciw Zimie. Broń lute. Nie wierz Staremu. Kurjer przybędzie. Żyjesz.

- Aha.

- Myślę sobie więc - ciągnęło się powoli - że ojciec nie do końca z waszą polityką musiał się zgadzać. Widać napisał do starych towarzyszy, zanim zstąpił na Drogi Mamutów. Umówił się na korespondencję, na szyfr. Może właśnie ostrzegał ich przed Józefem Piłsudskim? Bo poszedł był do lutech, poczem minął rok, drugi, trzeci, czwarty - i co? Dalej strzelacie się z kozakami po bezdrożach Syberji, a Polski jak nie było, tak nie ma.

- Tak łatwo Historji nie skręcisz.

- Ale Łód, Łód zejść by z niej wpierw musiał! A tu nic - Zima jeszcze większa. Chyba że pan nie daje wiary Bierdiajewowi - ale wtedy po co się w ogóle o Odwilż starać? Dla upadku przemysłu zimnazowego tylko? A?

- Słaba u mnie głowa do metafizyki, zresztą abstrakcje logiczne Marksa też jakoś nie pasują do mego mózgu. Mam się przede wszystkim za praktyka, panie młody-matematyczny, i nawet jeśli całych teoryj Bierdiajewa nie biorę za prawdę, to widzę przecie - właśnie dlatego, iż po praktyce patrzę - że coś jest tu na rzeczy. Inaczej niż wszyscy oczekiwali Historia się toczy. - Obrócił się na krześle, wskazał kartą (dama pik) półkę z książkami. - Zobacz pan tam na Seesterna. No, weź, weź, zajrzyj.

Wstało się, zdjęło się książkę. *1906: Der Zusammenbruch der alten Welt*, reedycja wydania lipskiego z 1907 roku, autorstwa niejakiego Ferdinanda Grauthoffa, w *editio princeps* ukrywającego się pod *nom de plume* „Seestern”. Przekartkowało się wstęp. Książka najwyraźniej przepowiadała wojnę Imperjum Brytyjskiego z Niemcami spowodowaną jakimś śmiesznym incydentem w kolonii na Samoa, w reakcji na który Royal Navy atakuje Cuxhaven, rozpalając tym sposobem gigantyczny konflikt europejski.

- Widzi pan, kiedyś mieszkał tam w Europie - opowiadał w tonie gawędy Stary - uderzyło mnie, w jak wielu powieściach, i to tych popularnych, groszowych, po żurnalach drukowanych, w jak wielu powieściach opisywano wówczas - i lata przed - taką przyszłość, na którą wszyscy najgoręcej liczyliśmy: wielkiej wojny między mocarstwami, z której wychodzi szansa dla Polski wolnej. Potem nawet próbowałem te romany skolekcjonować - ale słabo trzyma się mnie majątek w takim życiu, książka tu, książka tam... Było tego dziesiątki tytułów, jeśli nie setki. W literaturze niemieckiej, angielskiej, francuskiej nawet. Romany Curtisa, Le Queuxa, Cole'a, Oppenheima, Eisenharta, Niemanna, Heinrichki, Müncha, Tracy'ego, Bleibtrea. Głównie o inwazji Niemiec na Wielką Brytanię i rozmaitych wojnach imperjum Hohenzollernów. Była i taka, w której na ratunek Brytyjczykom przychodzą Japończycy. A ta tutaj - zobacz pan na sam koniec, na finał historii wojennej.

Znalazło się zakładkę między stronicami zaczytanymi i fragment zakończenia ołówkiem zakreślony.

*Los świata nie spoczywa już w rękach dwóch morskich potęg rasy germańskiej - Wielkiej Brytanji i Niemiec - lecz na lądzie przeszedł on w ręce Rosji, a na morzu - Stanów Zjednoczonych Ameryki. Sankt Peterburg i Waszyngton zajęte miejsce Berlina i Londynu.*

- Wielka Wojna wisi, wisiała nad głowami, i przed Rokiem Lutyńskim ludzie w Europie to czuli, swąd prochu unosił się w powietrzu. Co poniektórzy już nawet w głos to przyznawali; no, pod myślą świadomą każdy pewnośc miał: duch nerwowy, bojowy się podnosi, armje na ostre sprawdziany bitewne się szykują, buduje się okręty, kupuje się działa, młodzież nogami

przebiera, dziewczki oficerów przed ołtarze ciągną, a dyplomaci sami się w szpiony zmieniają. Dynamit podłożono, lont pociągnięto, brakowało jeno zapalki - no i tak to zamarzło.

- Ale pan chyba nie liczy się do tej partji, co uważa, że to Historja robi ludzi, a nie ludzie Historję.

- Zobacz na... a, nie, tutaj jej nie mam. *O cywilizacjach Zimy* Feliksa Konecznego. Co jest podmiot Historji - cywilizacja, powiada Koneczny, czyli sprzęg taki ścisły kultury, praw, moralności, religji wyjątkowy dla danych ludów, ich metoda organizacji życia zbiorowego.

- Nie musi to być Państwo.

- Och, musieć nie musi. Weź za przykład cywilizację żydowską, najstarszą żywą cywilizację świata. Być może prawdziwie nieśmiertelną! W tym bowiem różnica z organizmami jednostkowymi, ludzkimi także, w których to kategorjach lubią przemawiać Spenglerowie: że rodzi się, dorasta, przekwita, niedołąźnieje i na koniec umiera organizm Historji każdy. Ale Koneczny powiada: prawa Historji różne są od praw przyrody i wszelkich innych znanych człowiekowi systemów.

- Własnej, osobnej nauki wymagają. To pan mówisz? Własnej algorytmiki ścisłej, na regułach nowych zupełnie.

- Tak. Toteż cywilizacja może być nieśmiertelną. Zmiażdżona nawet zupełnie, może się odrodzić, odbudować w instancjach widzialnych, materjalnych. Jakim sposobem? Ano takim, że cywilizacja to nie ziemia i miasta, nie zamki i fabryki, nie armje i populacje milionowe nawet - ale przede wszystkim i nasampierw: zdrowy, spójny związek moralności, wiary, prawa i obyczaju.

- Zarodnia idej.

- Tak! Z tego wyrasta wszystko! Także naród jako naród - bo czymże jest naród bez prawdziwej ideji narodu? A kto buduje na kłamstwie i fałszu, zawsze słabszym będzie wobec tego, co buduje na prawdzie. Tak samo wódz, który opiera się w walce na kłamliwych wieściach, kłamliwymi raportami się kieruje, idzie prosto do przegranej - i tak samo naród, który z kłamstwa swe ideje wywodzi, do zguby niechybnej zmierza.

- W Zimie zatem -

- W Zimie cywilizacja nie umrze.

- Ale czy w Zimie się zmieni? Czy ozdrowieje? Czy wydobędzie się z duszącego uścisku innych cywilizacji zamrożonych?

- Dlatego właśnie, panie Benedykcie, potrzebna jest nam Odwilż w Królestwie i na Litwie, w Galicji, ale i Austro-Węgrzech całych, do Dniepru na wschodzie - ale nie dalej, nie w Rosji samej; jej szanse ozdrowienia, unowocześnienia dać nie można.

Odstawiło się książkę na miejsce, spoczęło się z powrotem na ławie, wyjęło się nową na tytuń bibułę. Światło białe lodowe biło znad głowy, Piłsudski siedział w nim jasno obkreslony na liniach ciała, wycięty z tła kontrastami blasku mroźnego. Jak figura jednobarwna na witrażu ukazana, gdy zamarł tak w namyśle z kartą kolejną w palce ujętą - zamrożony.

I przejrzało się go niczym witraż szklany właśnie, to znaczy na wylot.

W jaki sposób uwolnić ziemie Polski spod wszystkich zaborów? Odwilż nie wystarczy, konieczna jest właśnie wielka wojna ogólnoeuropejska - albo Rewolucja powszechna, według planu Bronsteina-Trockiego przez świat krocząca. Piłsudski sprzedawał Japończykom pomysły na rozbięcie rozmrożonego Imperjum Romanowów na części narodowe, z których powstałyby mniejsze kraje niepodległe, ale i potęgi dalsze, nie zagrażające Japonji, jak na przykład Polska Rzeczpospolita Federacyjna, niewiele różniąca się od Polski Jagiellonów. Inne koncepcje obejmowały przyłączenie Królestwa Kongresowego do cesarstwa Habsburgów, ale na równych prawach, że powstałby twór nowy: Austro-Węgry-Polska. Wszystko zależało, jak mocno rozewrze się szczęki Historji, innemi słowy: na ile puści Łód.

...PPS rozłamała się na tym tle: jedni optowali przede wszystkim za Rewolucją, czyli rozmrożeniem całego Imperjum Rosyjskiego, drudzy - za insurekcją narodową, czyli rozmrożeniem Polski i Litwy. Według tego, co mówił redaktor Wólkiewicz i co mówią tu japończyki, Piłsudski przekonał starą Partję i swoją Frakcję Rewolucyjną, że właśnie Rosja pod Lodem, skuta wszystkimi bizantyzmami i archaizmami samodzierżawia, nie rozpędzona w XX wiek, spięta w wiecznym napięciu przedrewolucyjnym, tylko taka Rosja gwarantuje rozmrożonej Polsce szansę sprawiedliwego wzrostu do jej naturalnej siły państwowej i jej naturalnego miejsca w Europie. Co jest logiczną kontynuacją sporu Piłsudskiego ze świętej pamięci Romanem Dmowskim, bo na jakiej padlinie ma się nowa Polska utuczyć do siły mocarstwowej? - przecież nie na Niemczech i Austrii, jeno na słabiźnie zamrożonego Wschodu. Być może zresztą Ziuk pozostaje szczerze przekonany, iż Rosja puszczona spod Lodu bynajmniej nie pójdzie ścieżką proletarjackiej rewolucji, jak wierzą „młodzi”, i stąd też spór.

...Ale nawet stara PPS, która zgadza się z temi rozumowaniami, nie ma zaufania do Piłsudskiego! *Nie wierz Staremu!* W czym mianowicie ma mu Ojciec Mróz nie wierzyć?

Teraz jednak wiedziało się: Józef Piłsudski. Miał rację Izydor Chruściński - tę samą jego jedynoprawdę dojrzał.

- Pan naprawdę jest liedniak!

Położył kartę.

- Mhm?

- Z serca, z duszy - liedniak! Po co wam Lód w Rosji - po to, żeby z powrotem nim Polskę powlec, skoro tylko powstanie ona w kształcie wam odpowiadającym! - Zapaliło się nowego papierosa. - Niech zgadnę: Państwo! Państwo potężne, o, dyktatura sprawna, kraj niepodległy pod pana władzą absolutną! Już się zaczęło - machnęło się ręką w dymie - już pan tak sobie wojsko pod sobą budujesz, ludzi w hierarchjach zamrażasz, widzę przecież; nie skłamięz samego siebie, to jest prawda o Józefie Piłsudskim.

...Ale polska tradycja -

Wybuchnął.

- Tradycja-sradycja! - prychnął obficie plwociną na stół i pasjansa. - Nie w mówisz mi pan głupoty takiej, że Polska o tyle tylko może być Polską, o ile warcholstwa, swarności i prywaty, samowolstwa swoje dawne tolerować będzie!

Wstał, przemaszerował od ściany do ściany i od ściany do pieca, tłukąc głośno butami podkutemi w podłogę, aż się sabaka obudziła i łeb siwy podniosła, ślepiów jednak nadal nie otwierając; węszyła za Piłsudskim, zaniepokojona.

- Jak nam się sprzeciwić Państwu rosyjskiemu? - spytał, rzuciwszy krótkie spojrzenie przez okno. - Na czym się oprzeć? Na zrywach spontanicznych, romantycznych, chaosie gorączkowym, rewolucyjnym zamęcie? Nie! Dostyc tego już było! Dopóki bojowiec nie będzie polegał na rozkazach dowódcy jak na słowie Boga Jedynego, dopóty nie mamy szansy przeciwko Cesarstwu Rosyjskiemu.

- Wojsko zatem.

- Wojsko! Cywilom zapleśniuchom zdawać się może, że tak zwani terroryści, bojownicy bomby ciskający i rozbijający Państwo ciemieźcze, są siłą chaosu, ekstremistami Lata - nic bardziej mylnego! Posłuchaj pan ich dobrze: z wyjątkiem bakuninowców szczerych, wszyscy



oni stoją za Lodem, ba, za Państwem jeszcze zimniejszym - tyle że innym Państwem, ich Państwem, wedle ich marzenia zbudowanym. Nie moja to zasada - to zasada każdej rewolucji. Że mosty wysadzam? Wysadzam, by móc budować!

- Ale co to za wybór: Państwo albo Państwo?

- Tak, wiem, Polacy są nieufni każdej biurokracji i zawsze skłonni do działań samodzielnych, anarchicznych. Jesteśmy najbardziej cywilnym narodem na świecie! I jeszcze chępnymi się tą państwową abnegacją, tą kulturą bezpieczeństwa!

W kuchni rozległ się szybki tupot, Stary podszedł do drzwi, zamienił z kimś kilka słów; odstąpił, lecz odstąpiwszy, zaraz się wrócił i plunął przez próg rozkaz. Odtupotali.

Mignęli potem przez okno na śniegu, biegnący przez Tunkę: jeden, drugi, trzeci, ze strzelbami na plecach, zionący parą czarną.

Parsknęło się kpiąco.

- Doprawdy, jakby celem waszym głównym było takie ułożenie ludzi pod sobą, ażeby posłani w bój wykonywali bez refleksji każdy rozkaz zwierzchności, zaiste jak od Boga samego pochodzący. Co z kim tu u was rozmawiam, jednaka odpowiedź: „będzie, jak Stary każe”, „co Stary powie, to najlepsza droga”, „słuchaj Starego”. Nawet pieśni dawne narodowe, religijne pod Józefa Piłsudskiego przerabiają! Oto jest ideał Państwa! Oto marzenie dyktatora: posłuszeństwo Abrahama.

Zamknął drzwi.

- Powiedz mi pan, panie matematyk: zali żołnierz nie wszystkim rozkazom wodza posłuszny być winien?

- Są z pewnością takie, których nie przystoi wykonać niezależnie od okoliczności.

- Zabijać niewinnych.

- Zabijać niewinnych, tak - odparło się ostrożnie, nadmuchawszy się dymem świeżym.

- Kto to jednak może rozstrzygnąć? Kto wiedzę właściwą dla rozsądzenia o prawomocności wojny i metod wojennych posiada? - Piłsudski przystanął przy piecu, potargał sierść psa; psina oblizwała mu rękę z budzącym litość entuzjazmem. - Widzisz pan, w jakich czasach żyjemy: agentów pojedynczych i podwójnych, szpicli ochrony, konspiratorów, prowokatorów i tajnych układów sięgających skroś kontynentów, języków i cywilizacji. Spójrz pan, od czego zawisła niepodległość Polski. Kto to umie objąć jedną myślą, jedną

opowieścią? Pan może potrafi obliczyć Polskę, panie Gierosławski młody?

- Mhm. Może... Nie, nie potrafię.

- Dzisiaj żołnierz, który samodzielnie chce rozstrzygać na polu bitwy - a polem bitwy, jak pan widzi, jest cały świat - rozstrzygać, co należy do wojny dobrej, a co już do wojny złej wchodzi, żołnierz taki staje się dla wojska i dowódcy obciążeniem. Nie można już wojen prowadzić na modłę rządów Lata, to znaczy za przyzwoleniem i zrozumieniem pospolitego ruszenia panów braci. Generałowie tłumaczący słuszność i konieczność każdego ruchu przegrają z pewnymi mechanicznej efektywności generałami Lodu. Strategie jawne i powszechnie zrozumiałe przegrają ze strategiami tajnymi, dwulicowymi, w których tylko wodzowie są obznajomieni. A i to jeszcze nie bierze w rachubę różnic najbardziej oczywistych: że wódz dlatego jest wodzem, iż widzi dalej, lepiej, ostrzej aniżeli żołnierzyk każdy niższy. Wiele by nawojował Bonaparte, gdyby tylko te ruchy wykonywał, które przychylnie pod względem strategicznym i moralnym osądzili jego szeregowcy! Prawa wielkości inne są niż prawa małości.

- Więc tak prowadzi pan swoich Strzelców ścieżką terroru: słowem wodza.

- Też wolałbym nie - westchnął. - Wolałbym taką Historję konieczną, idealną.

- Bez wodzów - zakpiło się.

- A pan myśli, że ja to dla siebie, że dla prywaty jakiejś? Znaczit, że ta władza celem jest? A coś pan sam napisał w *Apoliteji*? Gdybym pragnął jeno tego dreszczu potęgi i samowoli absolutnej, trzymałbym się Lata. - Wrócił do stołu, podniósł kartę nową, popatrzył po pasjansie. - Nie matematyczne obliczanie sił własnych i przeciwnika właściwe jest wodzowi, ale ryzyko. Wódz musi umieć rachować i przebywać tam, gdzie rachunek już zatracą pewność, gdzie są tylko prawdopodobieństwa. W Lecie. Pod Lodem bowiem - co pozostaje? Matematyka, panie Gierosławski.

Położył kartę - i poderwawszy wzrok, nagle znowu schmurzył się, nabiegł ćmiecżą, zakamieniał.

- Ale tego właśnie trzeba Polakom! - Zacisnął pięść. - Lodu! Lodu! - Grzotnął w blat masywny. - Ulubiony argument Polaków: emocja! Umiłowany stan Polaków: niezdecydowanie! Dopiero zamrożeni w Państwie swoim potężnym, koniecznym, to jest wychłodzeni na dobre ze wszystkich tych warcholskich sarmackości, parlamentarnych gadulstw, liberumowych wielomości, rozanarchizowania salonowego, tej królewieckiej

bylejakości i bylemysłności, szcurzego rozpartyjnienia - dopiero Lodem ściśnięci, koniecznością przytłoczeni - dopiero wielką Polskę stworzyć mogą!

- Zwycięży, ponieważ nie będzie mogła nie zwyciężyć.

- Tak! Tak!

Diemon Lda!

Się poderwało się z ławy, byle wyłamać się spod tej stereometrii tyrannej.

- I dlatego wam nie wierzą! Dlatego ślą ostrzeżenia Ojcowi Mrozowi!

Zaraz jednak odetchnęło się. Zabrawszy w dłoń kościaną piepielnicę, odmierzało się na nią popiół trąceniami rytmicznymi. Znaleźć rytm wewnętrzny - on zawsze przynosi spokój i odrywa od fiksacji z zewnątrz narzucanych.

- Gdyby jeszcze wszyscy sądzili, że coś realnego możecie w tym zamyśle zrobić... - mruknięto się. - Ale cokolwiek tam sobie roicie, przecież nie przesuniecie własnoręcznie Lodu po mapie Europy. Lecz jeśli z takim poleceniem posłaliście mojego fatra na rozmowy z lutymi... Kto w Pepeesie wierzy Bierdiajewowi, ten słusznie teraz do kości przerażony.

Zaciskając palce na piepielnicy i papierosie, świadomym wysiłkiem woli i ciała podniosło się wzrok od popiołu na Józefa Piłsudskiego. Patrzył prosto, lekko tylko zgarbiony, świdrując w głąb duszy w poszukiwaniu zarzewia wstydu najmniejszego.

- Pan za długo na ziemi ruskiej żyjesz - powiedziało się, stukając papierosem o krawędź miseczki. - Zbyt głęboko to w pana weszło, poza Lodem nie można tak ludzi brać, z takiego zatrucia jedynoprawdę to sekciarze-rzezańce i cary-samozwańce się rodzą.

- I od kogo ta perora! Coś pan sam w *Apoliteji* napisał! Państwo Lodu! Państwo Niebytu!  
- Pogroził palcem niczym dziadek wnuczce psotnemu. - Znam ja was, inteligenciaki opieszczuchy! Na papierze to dowiedzie każdego systemu totalnego, im bardziej totalnego, z tem większą rozkoszą, w słowach nabożnych, poetyckich go poda, Hegle, Marksy i Bierdiajewy, że inne dusze postępowe w ciepłych salonach całego świata zakrzykną z podziwu, panienki rączki załamią i w objęcia padną, studenciaki z wypiekami po kawiarniach czytać sobie będą... Ale jak przyjdzie kto zrealizować ów projekt doskonały, doskonale opisany - to wraz krew cała z pana inteligenta odpływa i zakrywa gienjusz oczęta: ach, to ofiara bezwinnna, ach, ach, to trup - jak cuchnie! jaki brzydki! zabrać go ode mnie! Trzasnęło się piepielnicą w parapet.

- Nic pan nie rozumiał! Cały sens apoliteji w tym, żeby żadnemu człowiekowi władzy nad innym człowiekiem nie dozwolnić, wszystkie konieczności na Historję bezpośrednio zdając - a nie coby dyktatorów niezwykniętych, w dyktaturze swojej zamrożonych tworzyć! Apoliteja to właśnie wolność od takich Demonów Prawdy jak pan! - Tu wycelowało się weń palec, palec przeciwko palcowi. - Od dyktatorów, carów, ministrów, czynowników! Nie ma w niej już miejsca na wolne decyzje rządów państwowych - są tylko jasne, oczywiste konieczności historyczne!

- Nie rozumiałem? - Piłsudski uśmiechnął się z przekąsem z głębi gęstej brody. - Rządzi Historja - ale kto rządzi Historją, panie Gierosławski? Kto rządzi Historją? - Obszedł stół, zachodząc od pieca, na cztery, trzy, dwa kroki. - Pan wyklinasz rządy ludzkie, ludzkie dyktatury i imperja - ale car i najpotężniejszy, z milionem czynowników, milionem szpicli i agentów, z arsenałem ukazów ekstraordynaryjnych, kto on jest wobec rządów Historji? Dziecko nieporadne! Anarchista prawie! A spróbuj przeciwieć się Historji, spróbuj wcisnąć łapówkę konieczności logicznej, prześlągaj matematykę, zastrasż ideję...!

...Tak jest! Otóż człowiek, który weźmie władzę nad tym aparatem rządu dziejami - taki człowiek - dyktatura, od której nie sposób pomyśleć okrutniejszej - carstwo, od którego nie sposób pomyśleć większego - autarkia ostateczna - samodzierżawie równe boskiemu - taki człowiek - taki człowiek-

Nie wiedzieć kiedy się zaczęło się cofać przed Starym, strącając z ławy skóry, upuszczając papierosa, w końcu dobijając plecami do ściany - a on postępował dalej, celując palcem w pierś - jego palec zwyciężył.

- Gierosławski! - wołał Piłsudski. - Gierosławski! Po to was posłałem, po to was posyłam - zwinął kułak kościsty - żebyście wzięli Historję za mordę!

Zimno, zimno, zimniej.

- A ilu posłałiście po ojcu?! - Skoczyło się do stołu, jednym zamachem szerokim zmiotło się z niego cały pasjans, karty zafurkotały niczym stadko spłoszonych wróbli, aż sabaka na piecu uniosła łeb. - Gdzie znajdziecie takiego Ismaela jak mój fater? Kto charakternik prawdziwy, ten właśnie was nie posłucha ślepo! Nie zaczarujecie abaasa! Ci, co dla was, dla Pobiedonoscewa, dla cara na Darogi zejda - nie zejda!

Uśmiechał się, teraz anielsko spokojny.

- Dlatego właśnie - rzekł - tak się uradowałem, gdy przeczytałem waszą *Apoliteję*. -

Wyciągnął rękę otwartą. - Kłóćcie się, ale z kim się kłóćcie - z samym sobą, nie ze mną, bo przecież już dobrze znacie tę o sobie prawdę. Ja nie muszę was do niczego przekonywać. Sami śnicie o Lodzie. Prawda? Prawda. Zamarzło. Teraz tylko idźcie do pana Filipa, pokażcie się mu, porozmawiajcie szczerze, jak syn z ojcem, jak Mróz z Mrozem. No. - Przystąpił energicznie z tą ręką wyciągniętą. - Przecież widzę, co z was za człowiek.

Zimno, zimno, zimniej. Księżna Błucka, ona pierwsza wiedziała. Potrząsnęło się głową. Co takiego wydarzyło się owej nocy na ulicy irkuckiej? Przecież tak naprawdę nie dotknęło się lutego - nawet jeśli się pamięta, że dotknęło się lutego. Z innej, innej przeszłości się pochodzi.

Stary patrzył.

Oblizalo się wargi.

- Mają posłać kurjera -

- Nie bój się pan, nie dotrze.

Zamrugalo się, uderzony w oczy bielą ostrą, kryształową z okna zza Starego bijącą.

- Polska pod Lodem - szepnęło się.

- A resztę świata może pan zatrzymać dla siebie.

I tak - ponad Historją - uścisnęło się dłonią zimną prawicę Józefa Piłsudskiego.

Wyjechało się w godzinę później, ścigając się z południowem Słońcem i kozakami. Adin i Ciecierkiewicz (Adina towarzysz krzywonogi) prowadzili wzwyż po stokach zalesionych, najpierw do jeszcze głębiej wbitej w góry wsi Szymków, gdzie, jak zapewnili, żywej duszy od lat nie uświadczysz, jako że wszystkich rolników Zima dawno wyгнаła - a z Szymek zjazdem dramatycznym na drogę gubernialną, którą szybko się przeskoczy na Bajkał, by w końcu zniknąć wszelkiemu pościgowi w Górach Przymorskich. Japończykom pozostałym w Tunkach ze Starym łatwiej będzie się wymknąć i rozpuścić po tajdze, nie są bowiem obciążeni bagażami, sprzętami, zapasami. Jechało się w dwóch zaprzęgach: tunguscy prowadnicy na swoich niskich saniach, potem zaprzęg poczwórny z saniami japończyków, przystosowanymi do bezdroży i pól lodowych Syberji. Na te ostatnie przeładowało się bagaże z sań Szczekielnikowa, a także kufer z piecykiem Tesli z ukrytą pompą Kotarbińskiego i szpulami kabli zimnazowych. Adin i Ciecierkiewicz wzięli siedłowyje reny i wyrwali pół wiorsty naprzód, sprawdzając przejazd po opadach nocnych. Im wyżej w góry i im głębiej w tajgę, tern mróz jakby cięższy, złośliwszy. Śnieg trzeszczy pod płozami jak przecierana

wiklina. Nikt nic nie mówi, wszyscy dyszą cieniście, nawet Tunguzi. Pan Szczekielnikow, raz obróciwszy się od lejców, sapnął przez szmaty półszepem chrapliwym: - Poznaliby mnie. Złapali pewnie tego wypierdka, co mu żywot z czarnej gęby wyrwałem, wygadał im się. Zarznęliby mnie, panie Gie. - Ale poza tym nikt nic nie mówił i rozlegające się sporadycznie z dołu doliny wystrzały słycać było bardzo wyraźnie, niosły się przeciągiem echem ponad krajobrazem białej przyrody. Naliczyło się palb osiemnaście. Ścieżka podeszła pod grań, między szczytami rzadszych tu limb i cedrów dało się wejrzeć bezpośrednio w misę Tunki. Kozacy rozjechali się między chaty, sprawdzali ślady prowadzące do lasu. Rozległ się kolejny wystrzał - cofnęli się za osłony. W takim śniegu tylko ślepy nie odczyta tropu pozostawianego przez dwa zaprzęgi z saniami i Piłsudski obiecał odpędzić ten oddział, a przynajmniej zatrzymać go na tyle, by zdążyło się tymczasem zjechać na trakt gubernialny. Najbardziej jednak żałowało się, że nie można było poczekać na meldunek tych japończyków wysłędzonych tu przez kozaków i nie wie się nadal, jaka sytuacja w Irkucku, kto władzę tam dzierży, na który bok Historia się przekreśliła i jakie właściwie rozkazy pchnęły tu wojsko. Się pomacało się po futrze: pod spodem talja piatnikowa Fryderyka Welca. Tesla - żyje? nie żyje? (Trzeba czym prędzej zjechać na Drogi Mamutów!) A pod kartami w tej kieszeni - mapa odręczna Piłsudskiego ze wskazówkami do Czarnej Oazy, grobu otwartego wprost do Podziemnego Świata. Sekretna hydrografia Bajkała pokaże panu, jak zstąpić między abaasy, panie Gierosławski. I co? - ma się teraz człowiek nachlać, nazreć tungetytu i modlić o szczęśliwe zmrożenie? Nie, nie, nie! Nie pojedzie się tam! Kozacy wypadli z cerkwi, oddali zgodną salwę, popędzili ku lasowi. Stańło się w saniach i machnęło się na Tigrija, żeby przyspieszył. Nie pojedzie się do Czarnej Oazy - gdzie zatem? Pan Szczekielnikow świsnął batem, olieni szarpnęły pod górę, zeskoczyło się w śnieg, odciążając sanie. Nad głową nachylały się zasopłone cedry. Zaprzęg Tunguzów zniknął za zakrętem. Z doliny dobiegł pojedynczy strzał i krzyk śmiertelny. Znikąd ratunku, donikąd ucieczki, nigdzie domu bezpiecznego. Śnieg, tajga, góry, człek zagubiony na Syberji. Truchtało się obok sani, nawet nie bardzo kaszłąc na mrozie. Czuło się mróz także w kościach, ruch gładki, lodowy po wewnętrznych krzywiznach ciała. Maść nie do reszty pomogła. Biegło się w milczeniu, w parze ćmiałistej, licząc w głowie wszystkie błędy popełnione, i tak, z każdym dorachowaniem głupstwem, przeszłość pamiętana zamarała kształtem poplątanym, rozłożystym, finezyjnym, barokową arabeską szronu wokół zupełnie już zamrożonego Benedykta Gierosławskiego. Albowiem prawda niepodważalna, oś i rdzeń wszelkiej prawdy - to chwila obecna: ten zangisan zlodowaciały, ta tajga zaśnieżona i echo strzelaniny odległej, to niebo jasne, czyste, Słońce zimowe, góry pod Słońcem, i ta wyprawa szaleńcza w ślepej pogoni za Ojcem

Mrozem: parujące reny, sanie obładowane, Tigrij Etmatow i jego czciciele abaasów, Adin i drugi japończyk krzywy, a także pan Szczekielnikow (i jego noże).

### **O kości jama u mu kon**

- *Emukol ela!*

- *Alatka.*

- *Ili mat!*

Tunguzi wypatrzyli coś na Bajkale. Wyszło się z namiotu na mróz, mocniej dochę pasem ściskając, twarz skórą obwiązuje. Ósmy poranek syberjady straceńczej - czyżby pościg nadal trzymał się śladu? Adin i Ciecierkiewicz przysięgali byli, że każdy tropiciel zgubi się pięć razy na lodzie Bajkała, w zawieji, w wichrach wściekłych. Się zsunęło się po skarpie lodem obskorupiałej na krawędź wykrotu, który tu otwierał się ponad wierzchołkami zasopionych drzew na gładką nieskończoność Świętego Morza. Tigrij Etmatow i jego dobry kuzyn kucali w śniegu, zapatrzeni w biel przelewającą się z ziemi na niebo i z powrotem.

- *Ru, ru, ru* - mrucał szaman.

Zdjęło się marostiołka, obraz liod-oziera zamarzył gwałtownie. Na południowo-wschodnim horyzoncie, gdzie gapili się inarodcy, stał ciemny przecinek, plamka drobna, jak stare zadrapanie na fresku. Był akurat jeden z tych nielicznych momentów, gdy wiatry bajkalskie cofają się w góry i śnieżne zasłony nie kryją oblicza Świętego Morza. Gdyby się znajdowało się nieco wyżej, dostrzegłoby się zapewne samą Zimną Kolej, może i skład jakiś towarowy pod czarnymi kłębam dymu po lodzie sunący. Mhm, albo i nie uświadcząłoby się żadnych składów - czy Irkuck i Zimny Nikołajewsk utrzymują jeszcze kontakty z resztą Syberji?

- *Smatri, smatri!* - wymachiwał rękoma dobry kuzyn Tigrija.

Wyteżyło się wzrok. Czy ta kreska na horyzoncie w ogóle się porusza?

- *Syrgá?* - spytało się. - *Lú-cza?* - Tak po tungusku mówiło się na „sanie” i „Rosjanina”.

Szaman przesunął poziomo przed piersią otwartą dłoń, co stanowiło gest przeczenia.

- Kto eta? Kazaki?

Kuzyn zaszwargotał z Etmatowem, znowu wgapili się w widnokrąg. Na skarpie pojawili się pan Szczekielnikow z Ciecierkiewiczem w poćmiatach parnych.

- Jedziem, panie Gie? Zwiniem się w kwadransik.

- Czekaście, riebiata wypatrzyli kogoś za nami.

Ciecierkiewicz pośpieszył do Tunguzów, wywijając na lodzie przedziwne hołubce, i wcisnął głowę między Tigrija i kuzyna; Ciecierkiewicz ćwierkał dobrze po ichniemu, pewnie dlatego Piłsudski posłał był go z Adinem.

Czyngis zakurzył papierosa.

- Mówił ja: wleżą na ślad, to jakby w dupę wleźli, wyrwiesz ino z krwią serdeczną.

- Adin łeb dawał sobie uciąć, żeśmy już zgubili kozaków.

Ciecierkiewicz wyprostował się, zamachał rękoma, podskoczył, odwinął szalik.

- Mówią, że to nie kozaki.

- Chwała Bogu! - odetchnęło się.

- Mówią, że inny pościg.

- Znaczy, nas, nas gonia? - się zachnęło się.

- Tigrij chce polecieć do nich po Drogach Mamutów.

- Wpierw dociągnijmy na Drogi w Środkowym Świecie. Wieczorem sobie pokamła.

Pan Szczekielnikow pufnął dymem lucyferowym.

- Jak się zanosi na drugie wyścigi przez zimową Zimę, to nie o pustym żołądku. Przemyślał pan sprawę, panie Gie?

- Co, ten futor górski?

- Połowa załatniczników i sorok idących na Lenę kupuje zapasy u Łuszczija. Trzydzieści wiorst nie najtrudniejszej drogi, będziemy przed południem.

- Pójdzie wieść. Tisze jediesz, dalsze budiesz.

- Gałodna jediesz, skarieje padiosz. A sami wywiemy się tego i owego, może mają nowiny z miasta. Wy naprawdę myślicie, że cała Syberja na nas się ogląda?

- No, ktoś jechał za nami. A i teraz - sami widzicie.

- Za Paliakami-tierraristami! A z racjami i paszą dla renów na dwa tygodnie - ani do



Kieźmy dociągniemy.

- A po co ja miałbym jechać na Kieźmę?

Wetknął papierosa między szmaty, bluzgnął dymem czarnym.

- A dokąd my zmierzamy, panie Gie? Wiem, że teraz na Drogi Mamutów, ale - dokąd?

Się obejrzało się na Bajkał biały i odległy przecinek zakreślony na tej bieli.

- Uciekamy, Czyngis, uciekamy.

Taka była prawda: pościg nieustanny ciągnący od Tunki zwalniał z konieczności obrania kierunku i ogłoszenia racjonalnego celu tej wyprawy. Lecz już wczoraj, gdy stanęło się tu obozem, zszedłszy z Bajkała zawichrowanego, trudno było wymawiać się od pytań piłsudczyków i Szczekielnikowa; dzisiaj nieodwołalnie trzeba zadecydować. Więc - Czarna Oaza? Oaza i śmierć lodowa? Niedoczekanie! Ale jak inaczej w ogóle zbliżyć się do ojca? Pierwszej nocy spokojnej policzyło się było przy mętym świetle z piecyka naftowego położenie Oazy na mapce Piłsudskiego względem zraportowanych miejsc spotkań z Batiuszką Marozem. Jeśli Piłsudski się nie mylił, wyfiltrowany z podlodowego Bajkała tungetyt wychodzi z ziemi duktami hydrologicznymi, wybitymi przez lute po Drogach Mamutów na północnym wschodzie od Bajkała, tuż za Górami Bajkalskimi, jakieś sto wiorst od miejsca, gdzie siedemnastego i dziewiętnastego kwietnia tego roku inżynier Di Pietro spotkał ojca (jeśli nie innego abaasowca), przemrażającego się po ścieżkach kamienia i gliny. To było ostatnie spotkanie zapisane w papierach Franciszka Markowicza Urjasza. Zachodziło się w głowę: ten abaasowiec przez inżyniera włoskiego dostrzeżony - on szedł do czy z Oazy? Jak szybko obracają się metabolizmy ludzi na Drogach Mamutów? Zamrożeni, przesuwani pływami helowemi przez formacje geologiczne - czy w ogóle wytracają z organizmów tungetyt, że muszą go znowu po czasie jakimś uzupełniać? Przecie to wcale nie są organizmy! To nie jest życie! A może italski inżynier widział tam kogoś zupełnie nowego, ani fatra, ani Crowleya, ani Niemotę, ani Kopytkina, lecz kogoś ze świeżego, kwietniowego zmrożenia? Nazajutrz drugie pytanie zapukało w mózgownicę: a co właściwie Di Pietro z kompanją swoją tam porabiali? Jakie to pomiary w Górach Stanowych na zlecenie swojej firmy lub Sibirchożeta przeprowadzali? W bumagach Urjaszowych słowa o podobnych szczegółach nie ma. Zapewne tu właśnie zaczyna się obszar wiedzy przez Sibirchożeto cenzurowanej. Czyż koncerty zimnazowe nie domyślały się bogactw w Bajkale zebranych? (Nie mówiąc o zagadce tego dziwnego tungetytu, co z Bajkała uchodzi). Taki między innymi był powód utajnienia czarnej hydrografji Kraju Lutych, się mogło się założyć. A skoro, odmieczając się

pompą Kotarbińskiego, dotarło się do idei Czarnej Oazy w parę tygodni, po jednej ledwo podróży na Olchon, to inżynierowie Sibirchożeta, nawet jeśli zakuci lutowczycy, musieli byli tu jakoś na nią trafić przez te wszystkie lata. Dlaczego zginął Karol Bohdanowicz? Gdzie przydarzył mu się ten „wypadek”, czy nie w górach nad Bajkałem właśnie? I co od szamanów usłyszał Czerski, że car zaraz go gasdarstwieniym priestupnikiem ogłosił i nagrodę za głowę jego wystawił? Należało było wypytać Piłsudskiego, czy to nie japończyki zbiec Czerskiemu wonczas dopomogli. Jeśli dobrze pamiętało się daty... On pisał o Burjatach już dziesięć lat temu, mógł się znać z Piłsudskim od samej ucieczki Starego z trzeciego zesłania, wszak Strzelcy Piłsudskiego walczą tu w Legionie Japońskim przez większą część drugiej wojny rosyjsko-japońskiej; a zatem: Czerski powiedział Piłsudskiemu - Piłsudski powiedział ojcu - ojciec zszedł na Drogi Mamutów. Mogło tak być, mogło; bardzo gładko to do terażniejszości domarza.

...Takie to sny o przeszłości snuło się nocami na jawie, zakopany pod skórami cuchnącemi, w zaduchu namiotu wojłokowego, zasłuchany w chrapliwe oddechy Adina, Ciecierkiewicza i Szczekielnikowa. Mimo zmęczenia nieraz długo nie mogło się zasnąć. Próbowano się rozkładów talji Welca, skrobiąc paznokciem zera i zera - bo jak dotąd wszystkie rozkłady wychodziły normalne: nawet jeśli Tesla bił Młotem Ćmiatła według przepisu, zbyt słabo rozchodziła się od prototypu fala ćmieczy, by czytać ją łatwo z dala od Dróg Mamutów. A na Drogi Mamutów nie miało się czasu zbaczać - jako że uciekało się.

Pan Krzysztof przyniósł lornetę, przytknął instrument do oczu, odchyliwszy się specjalnie, coby łepetynę na karku złamanem do pionu jakiego-takiego doprowadzić, i tak zalornetował na Bajkał.

- I co pan rzeknie? - spytało się.

- Pieszko idą.

- Pieszko?

- I bez sań chyba. Ale w tę stronę, panie Benedykcie.

Westchnęło się czarno.

- Nu, zła nasza. Panie Szczekielnikow - do Łuszczija!

Czyngis gwizdnął na Tunguzów. W kilka minut reszta obozowiska została zwinięta i wpakowana na sanie. Założyło się na unty człapakami z kości i skóry, żeby się w zaspy nie zapadać, gdy przyjdzie zeskoczyć z sań i maszerować obok; na narty był to teren nazbyt

nierówny. Tunguzi poruszali się po śniegu na tak zwanych łyżwach, to jest lekkich deszczułkach na ponad arszyn długich, trzy werszki szerokich - ale do nich trzeba mieć wprawę wyjątkową.

Przed odjazdem się obejrzało się, czy nie pozostało coś znacznego w miejscu noclegowiska, ale tubylcy i japończyki uprzątnęli wszystko, nawet stos gałęzi pod namioty co wieczór podkładanych. Zaraz zresztą znowu spadnie śnieg i nawet odciski na zmarzlinie przykryje.

- *Ila?* - dopytywał się szaman.

- Łuszczij. - Pokazało się na pana Szczekielnikowa. - A potem na Drogę Mamutów. Poniał?

- Mamantaw, mamantaw - mamrotał w skóry Etmatow, szurając łyżwami jakby w zakłopotaniu.

Zakrzyknęło się na Czyngisa, Czyngis strzelił z bata, sanie ruszyły.

Może istotnie wtedy na ulicy, ostatniego irkuckiego dnia zaszło coś więcej. Przecież gdyby japończyki albo Tunguzi widzieli taką prawdę o Synu Mroza, jaką się pamięta, ani dnia nie daliby się wlec po bezdrożach Syberji. Zdjęło się na moment obie pary rękawic, dwupalcowych i pięciopalcowych, wydobyło się kompas, zegarek, mapę i notatnik, poczem zapisało się (kreśląc szybko po pół słowa między podskokami sani) czas oraz kierunek podróży, a także uwagę o rzekomym pościgu. Bez znających kraj przewodników nawigacja była tu praktycznie niemożliwą: kompas kłamie przez kilkudziesięciostopniowe odchylenia magnetyczne, Słońce porusza się po niebie ponad 30 stopni poniżej linii wschód-zachód; ale nie można też tak bez reszty zdać się na łaskę przewodników. Codziennie sumiennie sporządzało się notatki. O świcie odczytało się było na termometrze minus czterdzieści siedem stopni Celsjusza - palce powinny szybko zgrabieć, czucie odejść z dłoni, skóra winna teraz już blednąć mlecznie. Nie postępowało to jednak tak szybko. Maści tunguskie nie pomagały, bo widocznie nie miały na co pomóc. Był to proces czysto biologiczny, podobny temu, który przeszedł mały Pielka.

Z drugiej strony, domyślało się także efektu palca pana Korzyńskiego. Dotknęło się prawdy i prawda zamarzła - ale odrobinę inna od uprzednich wyobrażeń kłamliwych, do odrobinę innych przeszłości i przyszłości pasująca. Nie pamiętało się zmiany i nie pamiętało się tego poprzedniego Benedykta Gierosławskiego, bo i jakże? - prawda jest jedna, jedynoprawda - a to serce Zimy, nie ukraińskie stopy Lata. Można więc co najwyżej

wnioskować po subtelnych nieciągłościach, sprzecznościach z wnioskami o przeszłości wyciąganymi na podstawie tego, co nie polega na wspomnieniach. Które właśnie tak samo należą do na nowo zamrożonej teraźniejszości, jak i ciało na mróz bardziej odporne. Bo pamięta się, jak drżało się było z zimna na byle powiew chłodny jeszcze podczas podróży Ekspresem Transsyberyjskim - a gdyby stanął tu teraz jaki współpodróżny z Luksu, czyż opowiedziałby tę samą historję o hrabim Gyero-Saskim, jekaterynburskim mrozie, wypadnięciu z pociągu i katastrofie na stacji Stara Zima? Przeszłość nie istnieje.

W rzeczywistości więc wcale się nie zmieniło się. Zmiana możliwa jest tylko w Historji, a nie ma Historji poza Lodem - i nie ma Benedykta Gierosławskiego sprzed Mrozu.

Nieraz myślało się, że mimo wszystko daje się to wyćwiczyć. Nawet jeśli pojemność aletheiczna jest stałą właściwością, z którą się człowiek po prostu rodzi - to przecież i mimo złych predyspozycyj fizjologicznych wiele da się w życiu osiągnąć z treningu usilnego, z upartości samej, powtarzanych doświadczeń. Jeśli nie jak bardzo zamrozniesz, to przynajmniej - kim zamrozniesz. Czyż nie o tym mówił Aczuchow w ostatnim swem nauczaniu o modlitwie?

Jak zatem się ćwiczyć. Usadzony bokiem na załadowanych saniach, akurat po gładkim stoku w górskim krajobrazie sunących, bez wielkiego przekonania próbowało się złożyć do kupy wspomnienia warszawskie i przedwarszawskie; łatwiej przychodziło przywołać te z Transsibu. Jak się ćwiczyć - ano, są metody scholastyczne: obierz tezę i broń jej w towarzystwie do upadłego. Byłe jaką: tę, tamtą, przeciwną, i jeszcze inną - im więcej, tem lepiej, im bardziej różne, tem lepiej. Tylko w ten sposób bowiem wyrobisz i rozpoznasz w sobie przekonania szczere w sprawach dobra i zła, religji i polityki, ludzi i świata: ścierając się z przekonaniami cudzemi. Dlatego chrześcijanie wychowani między chrześcijanami tak mdli i niewyraźni są w swej wierze, tak - roztopieni.

Są zapewne i metody bardziej brutalne, metody polegające na bezpośrednim łamaniu wstydu. Tu jednak impuls musi przyjść z zewnątrz - bo któż jest rządcą własnego wstydu? Panna Jelena chyba tylko. Wessało się przez szmatę mróz w usta tnący jak pył djamentowy. Panna Jelena! Oto zagadka: dziewczka rozsmarowana po tyłu możliwościach, że sama patrzy na siebie jak na fantazję jakąś dziecinną, powiastkę podaną we flircie pół-serjo - a przytem prawdziwa, o, jak prawdziwa, do bólu głowy, do bólu serca prawdziwa. *Zaiste, phénomène de la nature...!* Kłamstwo ziszczone! Zali istotnie urodziła się taka - czy taką sama się zrobiła, to znaczy opowiedziała się od początku do końca jak Felitka Kauczuk?

Ale też jakie to świadectwo wystawia mężczyźnie, który w kobietę podobną się zapada i podobnej kobiecości szuka?

- Powiedz pan, panie Benedykcie - zapytuje pan Krzysztof, kłapnąwszy na sanie po drugiej stronie - zdążymy z tym, żeby wrócić na Narodzenie Pańskie?

- Jak Bóg da, jak Bóg da.

Co było prawdą najszczerszą, bo faktycznie tylko w łasce niebios wypatrywało się już ratunku. Odwróciło się marostiokła od Adina, coby zniechęcić go do dalszych indagacyj. Ciągający od Tunki pościg stanowił w oczywisty sposób wybawienie: ot, uciekało się. Ale przecież wszyscy oni - Tunguzi, japończyki, Szczekielnikow - wlekli się zimową porą przez Syberję tylko po to, żeby pomóc Synowi Mroza w spotkaniu z Ojcem Mrozem, w rozmowach z lutymi, w negocjacjach Historji. Otóż prędzej czy później trzeba będzie przed nimi stanąć i powiedzieć jasno: Ojca Mroza nie znajdziemy, świata nie zbawimy, nic w ogóle nie sdiełamy na tej syberjadzie durackiej.

Tymczasem poganiało się Tigrija, coby do Dróg Mamutów poprowadził - bo to była szansa jedyna: znak od Tesli, że sprawy w Irkucku szczęśliwie się ułożyły i można wracać bezpiecznie.

Czy jednak towarzysze w syberjadzie sami nie kryją sekretów? Adin i Ciecierkiewicz mają swoje rozkazy od Starego, z którymi się nie zdradzają; na pewno przykazał im dopilnować odpowiedniego przebiegu rozmów z Ojcem Mrozem, cenzurować pakty ku Historjom nie po myśli Piłsudskiego idącym.

Ale nawet Tunguzi - że Urjasz wynalazł na zawołanie oryginały takie, trudno było uwierzyć. Między knigami zabranemi z Irkucka, które teraz w podróży czytało się w namiocie w czas wichru i purgi, były i dwie o ludach inarodczych traktujące (co prawda głównie o Burjatach). Otóż już w XVIII wieku wszedł mocno na Syberję buddyzm tybetański. Nutugi i tołbony i ułusy-irgeny całe przyjmowały tę wiarę, budowano klasztory i świątynie buddyjskie, w których to dacanach opiekę duchową nad tubylcami sprawowali lamowie, stopniowo wypierający tym sposobem szamanów. U Burjatów podział przebiegał po linii Bajkała: ci z ziem na zachód od Świętego Morza pozostali przy wierze szamańskiej, jeśli nawracani, to na prawosławie pod auspicjami Cerkwi Rosyjskiej; i z nich to Sibirchożeto werbowowało swoich agentów i żołnierzy Podziemnego Świata. Lecz Tunguzi też przecież musieli zostać jakoś ujęci w radawoje upravljenije projektu Michaiła Spierańskiego. Ilu zatem im tam teraz szamanów rytu dawnego pozostało? i ilu spośród nich tak przedziwnie w wierze ku abaasom

się obróciło?

Zagadnęło się o to Tigrija przed zjazdem w kotlinę, za którą stała skalna strażnica Łuszczija. Śnieg na stoku zacienionym był twardy, zlodowaciały, śliski bardzo. Przeprzęgano reny, Tunguzi pierwsi spuszczać mieli swoje sanie lżejsze, pomagało się im z kijami-zapieradłami.

- Jak to jest, Tigrij, powiedzże mi, przecież nie ma na świecie ludzi, którzy przyznają się przed samymi sobą, że szczerze dla złego robią.

- *On?*

- Ano wy nie jesteście jak Burjaci, wy macie lute za szatańskie abaasy, złe duchy Podziemnego Świata, upfch, a jednak, a jednak - panie Ciecierkiewicz, patrz pan, gdzie łapami wiatrakujesz! - a jednak czcicie je jakoś, chronicie je, teraz też pomagacie mi w ich ochronie przed gniewem imperatorskim. Więc jak to jest? A przecie nie powiecie mi tu, że pomieszały wam się strony, góra i dół, piekło i niebo, dobro i zło.

...Czy można szczerze wierzyć w jawny fałsz? A?

Szaman zakulał wkoło sań, zaszwargotał po ichniemu, kiwając głową obkutaną szczelnie, potem zbliżył się do Ciecierkiewicza i znowu jemu opowiadał coś długo. Zrozumiało się słowa *Un-Illu*, czyli „Lód”, oraz *hákin*, „żołądek” i *bōm*, „ciasnota”.

- Mówi, że to dobrze, że lute Ziemię zamrożą - rzekł Ciecierkiewicz, wybijając wolną ręką na futrze skoczny rytm. - Mówi, że ludzie są źli i zasłużyli na Lód. Że trzeba obudzić Smoka, on wszystkich pożre, i dopiero w brzuchu Smoka, Pana Lodu, tam spełni się władza, on, panie Benedykcie, przetrawi każdego na ładnego, posłusznego mamuta.

- W brzuchu Smoka - mruknęło się, zapierając sanie na pochyłości - ściśnięci jak śledzie w konserwie.

- *Łot ajat ujdeni!* - entuzjasmował się szaman, wbijając co krok łyżwy drewniane w ciemny lód. Oni rzeczywiście często zdawali się jak dzieci, łatwo w stany szczęścia i smutku popadający, łatwo się do ludzi przywiązujący i na ludzi obrażający. W tym szaman nie różnił się od swoich kuzynów.

Dwaj kuzyni Tigrija Etmatowa (czasami zresztą zwali się jego braćmi, szwagrami czy innymi krewnymi-powinowatymi w powikłanych tunguskich familjach klanowych) z twarzy i postury bardzo byli do siebie podobni - jednakie korpusy beczułkowate na nogach krótkich, jednakie oblicza okrągłe i oczy wąskie, mongolskie pod czarnymi, prostymi włosami - a już

zakutani w skóry i futra, którymi dość swobodnie wymieniali się w namiocie, pozostawali niemalże nie do odróżnienia. Upatrzyło się ratunku w tym, że kuternoga Etmatow najwyraźniej trwał w gniewie i pogardzie wielkiej względem jednego z kuzynów i stąd łatwo przychodziło wskazać kuzyna dobrego i złego.

Po kilku dniach wszakże spostrzegło się ze zdumieniem, że oto inny z krewniaków jest przedmiotem jego niechęci, innemu on fawor okazuje.

Prawdą zamrożoną więc pozostawało, iż był przy Tigriju kuzyn dobry i był kuzyn zły; wszelako owa funkcja szamańskich sympatyj i awersyj operowała już na parametrach wymiennych.

- To dobre, eph, dobre pogańce są - sapał Ciecierkiewicz. - Brudne i śmierdzące, ale pocziwe. Nie to, co Jakuty przekłete. Te to same złodzieje chytre, cwane mydlioczy. A i jakie podłce z natury: imaginuj pan sobie, syn ojca żywcem w ziemi zakopuje, takie u nich na starość pożeganie raditielia z miłości. Khr! Że nie ma niby śmierci, jeno w ziemi -

- Trzymaj pan tego kija.

- A chleją inarodce wsje, ale Jakuty to już pijaki urodzone, spotkasz trzeźwego, pisz do gazety. I kiedy -

- Trzymaj!

Ale Ciecierkiewicz musiał się wtem koniecznie podrapać pod szapką; kij zapierający sianie na lodzie wymusknął mu się z jednej ręki i ciężar cały runął po stoku w dół. Rzuciło się z drągiem pod płozy. - *Czuok, czuok!* - krzyczeli z tyłu na reny kuzyni Tigrija. Z sani spadł niedowiązany toból, potoczył się w kotlinę, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści arszynów, nabierał rozpędu...

- Goń go teraz! - warknęło się na Ciecierkiewicza.

Piłsudczyk stał i drapał się w ciemię.

Ciecierkiewicz był człowiek rozklejony, to znaczy wszystko w nim chodziło na ślinie i szpagacie, ledwo-ledwo i z nadmuchem pijackim: jak krok, to taneczny, zgoła płasawica; jak ruch głową, to że mało mu ta głowa nie odpadnie; jak czynność jaka bardziej złożona, to z tyloma gestami niekoniecznymi, nadmiarowymi, że patrzący łatwo się gubił w tym chaosie rozpasanym i tracił rozeznanie, co też właściwie Ciecierkiewicz robi, czy jest najmniejszy sens w jego robocie. Nawet w spoczynku palce mu bezustannie podskakiwały, powieki mrugały, dygotały kolana, mimika bulgotała na powierzchni fizjognomji sekundowymi

erupcjami grymasów niejasnych. Bardzo w tym podobny był Iwanowi Pietruchowowi, to jest wspomnieniu Iwana Pietruchowa z balu gubernatorskiego. A i ościata podobną aureolą go obkreślała: miękka, meduzowata.

Miało się pewne podejrzenie, nie do sprawdzenia tu podejrzenie. Tak jak istnieją ludzie o wysokiej teslektrycznej stałej strukturalnej, wybryki ponad normę ludzkiej pojemności Prawdy i Fałszu (ojciec i inni abaasowcy), tak, wedle wszelkich zasad statystyki, powinny istnieć analogiczne *phénomènes de la nature* na drugim krańcu skali aletheicznej urodzone. Nie żywe zagadki w rodzaju panny Muklanowiczówny - ale prawdziwe dzieci Lata, ludzie, którzy nigdy do końca nie zamarzną w danym kształcie charakteru, nigdy nie da się o nich rzecz w logice dwuwartościowej, iż są tacy lub tacy. Znaczą, owszem, powiesz z pewnością to właśnie: że rozedrgani, niekonkretni, że rozklejeni.

Jaka z nich osobliwość w świecie? Czy istotnie lgną tak w entropję, przypadek? Ciecierkiewicz niczym specjalnym zdawał się nie wyróżniać. Zamieniło się z nim po kilka zdań na postojach i rankami (jako że wieczorem, w namiotach wszyscy byli już tak umęczeni, że zasypiali szybko, ledwo co ciepłego przełknawszy). Być może jednak w tym rzecz cała - bo jakie jest przeciwieństwo wyjątkowości, niezwykłości? Ciecierkiewicz, Ciecierkiewicz, wyrzut sumienia i blizna pamięci. Jak się na niego teraz patrzy... czyż nie tak lutowczycy postrzegali hrabiego Gyero-Saskiego w Ekspresie Transsyberyjskim? Tutaj widać to może i wyraźniej, bo w kontraście. A że się w Kraju Lutych w końcu zamarzło - cóż z tego? Jeszcze przed wypadkiem z lutym zyskało się mocne przekonanie, że bynajmniej się nie urodziło się aletheicznym przeciwieństwem Pietruchowa; że na owych wykresach Tesli bliżej się znajduje się właśnie Ciecierkiewiczów niż Ismaelów. Ot, i stała strukturalna Benedykta Gierosławskiego. W Czarnej Oazie czeka śmierć pewna, nie ma po co jechać do Oazy...

Słońce iskrzyło na lodowych szczytach górskich, cień gładki, ostro ucięty przesuwiał się po zboczach od grani i płynął lukrem czarnym po białym lukrze śniegu. Natomiast w marostiokłach granica blasku i zamroku rozmaślała się, jakby kto ogień pod blachą Kraju Bajkalskiego rozfajczył; wystarczyło jeszcze przechylić głowę, pozwolić przelać się kolorom (a zostały się właściwie tylko dwa) i już w tym krajobrazie gór zimowych nie szło zupełnie odróżnić nieba, turni, chmury, lodowca, doliny ciemnej. Wszystko to były koślawe plamy jaskrawości, doskonale zamienne. Podróżowało się przez taką Syberję jak przez szkic węglem na kartonie wykonany, pociągnięty we frenetycznym pędzie ręką silną: zakosy, szarpnięcia linii, łuki przez pół horyzontu, połamane formy geometryczne przekreślające nieskończoność. A między tym i na tle tego - maciupęńkie figurki ludzkie, też pośpiesznie i



mało delikatnie w rysach oddane: bez twarzy, bez palców, bez żadnych cech szczególnych, toporne i gruzłowate, gojlemowate, w kłębach pary kroczące.

Futor Nikołaja Pantielejmonowicza Łuszczija usadził się na przełęczy nad głęboką kotliną, z otwartym od wschodu widokiem na wielką połąć białego Bajkała, na długi odcinek Zimnej Koleji. Nie była to pierwsza żeliezniadarożnaja stacja Łuszczija. Wpierw pracował jako ogniskowy na Koleji Krugabajkalskiej, kilkadziesiąt wiorst na południe od Portu Bajkał. Kiedy jeszcze jej linja pozostawała czynną, Łuszczij odpowiadał za utrzymywanie tam przekładni i rozstawni w stanie używalności, to znaczy niezamarzniętych. Transsib i Wschodniochińską zbudowano na materiałach Lata i dopiero od niedawna stopniowo wymieniano szyny na zimnazowe; wcześniej trzeba było najmować ludzi, żeby pilnowali, by mechanizmy działały mimo najsroższych mrozów. Najczęściej więc po prostu palono na torach ogniska. A i po przejściu na zimnazo kłopot do końca nie zniknął. Zimnazo co prawda od mrozu się nie rozpękuje, nie przymarznie też samo na kamień i nie popsowają się urządzenia z zimnaza wykonane, przecież narosł pancerna lodowa unieruchomi każdą przestawnię, glacjusze mają szczególne upodobanie do dróg żelaznych. A na Bajkale był z tym kłopot podwójny - tylko idjota-samobójca rozpali ognisko na torach położonych na złodzonem jeziorze - stąd nie nazbyt wygodne pod innymi względami zgromadzenie wszystkich rozjezdni Zimnej Koleji na Stacji Olchon. Nikołaj Pantielejmonowicz po zamknięciu Krugabajkalskiej wpierw przeniósł się właśnie na Olchon, gdzie - jak wieść sybirska niosła - proszkami opjumowemi w pociągach na skrzyżowaniu Azji handlować próbował, kryjąc przemyślnie przed isprawnikami swój towar narkotykowy w samym lodzie Bajkała; takie były początki Łuszczijowej fortuny. Potem zdarzył się jeden i drugi wypadek na Zimnej i z rozkazu gienerał-gubernatora Szulca poczęto budować na wysokościach Gór Przymorskich te strażnice kolejowe. Z uwagi na wichry bajkalskie i zawieje pyłu śnieżnego, zazwyczaj kryjące płaszczyznę jeziora, komunikację oparto na sygnałach świetlnych i ómietlnych: patrole ustawiały przy „zjedzonych przez lód” fragmentach torów reflektory ómietlne (w dzień) i świetlne (w nocy), alarmując najbliższą stację, która powtarzała alarm po linii strażnic wysokogórskich, że tym sposobem docierał on w minut parę do Portu Bajkał, Kułtuku i Stacji Olchon i tam zatrzymywał narażone na niebezpieczeństwo pociągi. Nie był to wszelako kanał o wielkiej przepustowości informacyjnej i wątpiło się, czy Łuszczij otrzymał nim jakie wieści z przeciwnego kierunku, to znaczy z samego Irkucka.

Futor zbudowano po większej części metodą krugabajkalską, to znaczy z obfitem użyciem materiałów wybuchowych w skale. Podziurowaną ścianę granitową następnie

oblano-obmurowano, przebijając jeszcze tu i ówdzie okna i drzwi, a główne i jedyne na poziomie gruntu wejście ofortyfikowano palisadą, która obejmowała także budynki gospodarcze. Łuszczij, kupiec drugiej gildji rosyjskiej, dobrze strzegł, czego się dorobił po dwudziestu latach lewych interesów; trzymał tu zresztą składy dóbr wszelakich, po żydowskich cenach sprzedawanych podróżnym w potrzebie, rozwożonych po obozach sorocznych i geologicznych po połowie zachodniego Nadbajkala. Ale nawet z bliska, z kilkudziesięciu kroków niełatwo było rozpoznać stancję pod pokrywą śnieżno-lodową - tyle że z otworów najwyższych w skale były strugi dymu, życie ciepłe wewnątrz zdradzając.

Wyszły naprzeciw dwa draby z wilczurami. Zajechało się pod palisadę. Był cennik na wszystko, także na wpuszczenie zwierząt w schronienie nagrzone. Się umówiło się z Adinem i Szczekielnikowem, że postój będzie możliwie krótki. Tak w trójkę z nimi weszło się do środka, nie odwiązując szmat z twarzy i okularów marostiekłowych nie zdejmując; się umówiło się, że oni również oblicz nie odkryją. Ruble zostały już odliczone, płacić miał Adin. Mówiło się wyłącznie po rosyjsku.

W środku, w sieni głównej, stało przy ogniu czworo chłopca, w tym sałdat jeden w mundurze podoficerskim. Wszędzie plątały się psy, małe, duże, od wilków, od kundli pochodzące, zaobrożowane i luzem; śmierdziało zjełczalym tłuszczem i uryną. Pan Szczekielnikow odetchnął pełną piersią. Charaszo w kraju radnom, pachniet sienom i gawnom! Pan Krzysztof poszedł wybrać zapasy. Nikołaj Pantielejmonowicz Łuszczij, człeczyna podlej postury i krzywego spojrzenia, siedział w izbie przysiennej za stołem pod białym obrusem i czytał gazetę; nagie stopy na ławie wzdłuż wyłożył, staruszka w czarnej sukni i czepku ciasnym dopieszczała je jakimiś maściami, od których i sień cała ziołem w nos swędzącem przewoniała, przebijając nawet ostry smród amoniaku. Kichnęło się w szal. Pan Szczekielnikow kiwnął się pytająco. Pokazało się mu gazetę. Poszedł zapytać.

Był to błąd. O czymże to się myślało, że sprawą delikatną, na słowie, nie nożu polegającą, Czyngisa Szczekielnikowa posyłając! Akurat zdążyło się obrócić głowę, żalonym skamleniem szczeniaka podrażniony - to niedorostek w zdobnej rubaszce, z fizjognomji sądząc: syn Łuszczija, w kącie przy schodach wzwyż skały prowadzących lał i kopał nieprzytomnie psiaka małego, do krwi i kości na granicie go masakrując - akurat odwróciło się głowę, kiedy zaraz z przeciwnej strony inny jęk i łomot dobiegł. Się obejrzało się z powrotem. Strąciwszy samowar i odepchnąwszy babinę, pan Szczekielnikow rozłożył plackiem na stole Nikołaja Pantielejmonowicza i właśnie zabierał się go dusić. Gaspadin Łuszczij wierzgał bosemi stopami i szarpał się w obrusie jak Łazarz w całun zaplątany - co

oczywiście ani trochę nie wzruszało nachylającego się nad nim zbója kwadratowego. Zawoławszy gromko Adina, się rzuciło się do Czyngisa, klnąc i odciągając nożownika. Na koniec odsapnął i puścił. Łuszczij pozbierał się na czworaki i zakwiczął coś szeptem. Stłoczeni w przejściu z sieni ludzie gapili się tępo. Łuszczij wzywał zapewne do pomsty krwawej, ale pan Szczekielnikow zmiażdżył mu krtań i nie dało się słów Nikołaja Pantielejmonowicza rozpoznać. Niemniej sens i intencję wszyscy przecież prędko pojmy. Wyciągnęło się pugilares z resztą rubli, zamachało się banknotami. Przybiegł pan Krzysztof. - Płać i znikamy! - syknęło się doń. Poczem, zasłaniając go ciałem i dieńgami, wypchnęło się Czyngisa ze stacji i poza palisadę, do sani. Krzyknęło się na Tunguzów, żeby pobiegli czem prędzej po zapasy. Pan Ciecierkiewicz rozmawiał z wilczarzami, jeden z psów już go zdążył ugryźć (szuba ochroniła rękę). Popędziło się go, coby obrócił sanie do szybkiej ucieczki. Czyngisa pociągnęło się na drugą stronę zaprzęgu, chowając go z widoku od futuru za reniferami. - Co was napadło! Mielicie go tylko o wieści z miasta wypytać! - Na co pan Szczekielnikow sięgnął rękawicą nieforemną za pazuchę i wygarnął stamtąd kłęb zmietolony gazety. Rozprostowało się papier na kolanie. - Z października jeszcze! - się zachnęło się i cisnęło się „Wiestnika” w śnieg. - Ale po coś go pan dusił, na miłość boską! - Czyngis machnął ręką. - Brzydkie słowo mi rzekł.

Uszło się w końcu z życiem ze stacji Łuszczija, co prawda nie wszystkie zapasy zabierając, a za te zabrane słono przepłacając; na pożegnanie jeszcze mołojce Łuszczijowe palnęły z okien skalnych salwę karabinową, śmiertelnie wszystkich strasząc.

...Długo później zrozumiało się, iż awantura zakończyła się bezkrwawo wyłącznie dzięki obecności owego żołnierza, zapewne na okoliczność akcji terrorystycznych do strażnicy kolejowej przydzielonego.

Przez resztę dnia na każdym postoju męczyło się Czyngisa wyrzutami i pytaniami, dlaczegóż to taką głupotę popełnił i o co naprawdę tam poszło. Znali się może z Łuszczijem z jakichś dawnych kombinacyj przestępczych? Dopiero już o zmroku, gdy zesza emocja i mogło się znowu spojrzeć na zimno, to znaczy w prawdzie, zaprzestało się gorączkowych działań rozumowych i się zdało się na chłodny instynkt lutowczyka. Czyngis krzątał się przy rozbijanym namiocie zły i obrażony, nic już nie mówiąc, czekając byle pretekstu, by na kimś gniew wyładować. Nie kłamał, niczego nie ukrywał. On naprawdę rzucił się zadusić obcego człowieka - w środku opresji ciężkiej, otoczony siłą przemożną, na zgubę siebie i towarzyszy swoich wszystkich wydając - dlatego że ten mu złe słowo powiedział. Wot i cały Czyngis Szczekielnikow. Czyż nie wiedziało się tego? A co to za człowiek na środku ulicy gardła bez

wahania podrzyna? Co za człowiek z ochotnika na podobne wyprawy samobójcze się zgłasza? Jakiego człowieka bawi niańczenie Syna Mroza i igrce na ostrzu noża ze wszystkimi potęgami Syberji?

To też jest Matematyka Lodu. Nie można wziąć cziorta za druga i potem dziwić się, że dziatki ci znieprawił, żeńszczyńę zbałamucił, kocięta dla czystej przyjemności zameczył i w kaplicy nasrał.

- Panie Szczekielnikow.

- Czego?

- Czemuż on tak lał tego szczeniaka?

- Mhm?

- Na pulpet sabakę skatował malczik Łuszczijowy.

- Każdy musi mieć na tym świecie kogoś, kto strach śmiertelny przed nim odczuwa i kim można do woli poniewierać.

Był to jednak rodzaj ślepoty: owa niemożność dostrzeżenia jedynoprawdy charakteru. I nie miało się na myśli biegłości doktora Myśliwskiego czy prokuratora Razbieszowa, lecz zwyczajne ludzkie obycie ze słabościami, irracjonalizmami, szaleństwami. Już w Ekspresie Transsyberyjskim się zmagano z tym na różne sposoby - trzeba było aż wjechać w Zimę, żeby obliczyć prosty model kapitana Priwieżeńskiego; trzeba było kilku obiadów w domu Wielickich, by w ogóle wdrożyć się w takie rozumowania.

Na czym jednak dokładnie polega owa właściwość Kraju Lutych - to jest cecha środowiska tak mocno ćmieczą przesączonego - że rzeczy, skoro w myśl i język ujęte, łatwiej objawiają się tu w swej jedynoprawdzie, w tym i charaktery ludzkie? Nie była to przecież właściwość umysłu, bo nie nabywał człowiek nowych zdolności poznawczych, ani nie stawał się każdy mędrcom jakimś wielkim i znawcą tajemnic duszy. Nie zyskiwało się też żadnych gwarancji, iż częściej na rozstajach niewiedzy skęcimy na stronę prawdy niż fałszu. Skąd zatem ta ostrość spojrzenia u ludzi ćmieczą nabiegłych?

Zbierało się znowu na śnieżycę nocną, co częstym było teraz zjawiskiem nad Bajkałem, i japończyki poradzili przenocować w jednym namiocie, na kształt szerokiej jurty go rozbijając, a na żerdziach drugiego namiotu osłonę dla zwierząt postawić. Psy wzięliby Tunguzi do środka, ale psów się z Tunki nie zabrano; reny pozostawały na zewnątrz, kałatuszkami jeno na szyjach obciążone, ażeby daleko nie odwędrowały. Zapaliło się pieczku,

uchylając pokrywę dla oświetlenia wnętrza. Skrzynia z drugim piecykiem, tym naftowym, przeróbką Tesli, znajdowała się gdzieś między bagażami rozłożonymi w pierścień pod ścianami namiotu. Nie ściągało się futer; jurta nagrzewa się jako-tako dopiero ludźmi ciasno zapchana. Obyczajem inarodczym jest wtedy rozebrać się do naga i rzucić się na kupie pod skóry - japończyki go nie praktykowali, za wielce niehygieniczny uważając.

- *Zmanda tyküllen* - oświadczył zły kuzyn, jako ostatni kryjąc się w namiocie i sznurując wejście. Pan Krzysztof postawił na piecyku czajnik, połupał rybę mrożoną, przetrząnął piłą ciężką chleb. Tigrij Etmatow rozniecił własny ogień, usadziwszy się pod przeciwną ścianą: położył przed sobą glinianą miskę, wymościł podpałką roślinną, jeszcze śmieci jakieś, proszki i zioła dosypując, plując w nie i z włosów coś sobie wyjmując i także w mieszankę dokładając, i wszystko to razem zapalił. Swąd nieprzyjemny rozszedł się po jurcie, chrześcijanie zakleli jak jeden mąż, ślurpiąc nosami ciekąciami.

Tigrij zachichotał, zaszwargotał wesoło, a sięgnąwszy za siebie, wyszarpnął spod tobołów długą pałkę kościaną i bębenek skórą malowaną obciągnięty.

- Mówi, że jesteśmy nad ścieżką mamutów - rzekł pan Ciecierkiewicz, zrzuciwszy kozuch i zawiąawszy się w kukłankę obszerną, że tylko mu głowa z niej wystawała, głowa i dłoń, gdy przytykał w brodę flaszunię metalową ze spirytem, tak to bowiem miał w zwyczaju co noc się rozgrzewać aż do kompletnego ululania; inaczej spać na szlaku nie potrafił.

Próżno dociekać, czy dlatego taki rozklejony-roztrzęsiony z Ciecierkiewicza człowiek, że od ciągłego pijaństwa zżył się już on dobrze z łagodnymi dolegliwościami stanów delirycznych - czy też dlatego bez flaszki zstrzymać nie może, iż takim właśnie jest człowiekiem: rozmemłanym, bylejakim. Kolejność zdarzeń nie ma znaczenia, i tak istnieje jedynie prawda zamrożona w Teraz.

- Ale handel zimnazowy nie stanął - rzekł Adin, zaparzywszy czaju kirpicznego.

- Mówiliście tam z kim u Łuszczija?

- Zamieniłem dwa słowa, zanim awantura poszła. Pytałem o ceny i czy transporty jakie świeże z miasta mieli, no bo wszystko drożej, jeśli tam wojna na całego; alem usłyszał tylko, że zimnazo i tungetyt stoją na swoim.

- To by raczej znaczyło, że Błucki-Osiej wziął mocno rząd dla cara nad Irkuckiem i Nikołajewskiem.

- Pomódlcie się raczej, żeby Łuszczij nie posłał za nami swoich mogilszczików.

- I dokąd jutro, panie Gie? - zachrypiał Czyngis.

- Zaraz. - Uniosło się rękę, nakazując milczenie, i wyjęło się z sakwy talję kart piatnikowych. Wiedzieli, co nastąpi; już nieraz próbowało się było tych pasjansów szyfrowych.

Pan Krzysztof, westchnawszy melancholijnie, jeszcze niżej zwiesił głowę tak, wpółzłamany, lał wrzątek z czajnika wyżej oczu uniesionego. Para zamglila wnętrze namiotu.

- Jak szeroka ta ścieżka? - spytało się Tigrija.

- *Sotja birakan.*

- Mówi, że wąska jak potok.

- Mhm.

- Nie masz pan tego na tych swoich mapach sekretnych zapisanego, panie Gie? Tam, tam albo tam, tyle wiorst a tyle. Hę?

Na szczęście Tigrij zaczął walić w bęben. Wpierw siedział chwilę zagapiony w swój ogień, ściskając nad nim kawałek mięsa, drżąc dziwnie na ciele i twarzy, czkając i pokaszując dziecinnie; potem pot grubszy wystąpił mu na lica, powieki opadły i dreszcz chorobliwy począł nim miotać, dreszcz, to znaczy duchy przewodnicze, „strażnicy ośmionodzy dwunastu ułusów”. Wtedy capnął za bęben.

Pan Szczekielnikow przeżuwał struganinę, skrobiąc zalodzoną rybę od ogona do głowy swoim nożem długim, wąskim, bagnetowym. Wyjęło się notatnik i ołówek, otworzyło się obok na skórze zegarek, stasowało się karty. Czyngis popatrywał na to spode łba z wyrazem ponurej podejrzliwości na obliczu topornem - ale to też nie było niczym niezwykłym. Lutowczyk nie powinien się nigdy dziwić, że człowiek jest, jaki jest. Należało było przewidzieć, jak Szczekielnikow na Łuszczija i Łuszczij na Szczekielnikowa odpowiedzieć może, i to bez żadnego liczenia, bez całej Matematyki Lodu, z samego „spojrzenia”, jak to lutowczyki najgłupsze przecież potrafią.

Wpierw przypisywało się fenomenowi podstawy psychologiczne, zgoła fizjologiczne („zwierzęcy instynkt prawdy”!), upatrując jego przyczyn w długotrwałym wpływie ćmieczy na elektrykę mózgu i temu podobnych mechanizmach - że oto wszyscy żyjący pod Lodem przejawiają tendencję do tak ostrych, pewnych kategoryzacji i zgoła sekciarskiego fanatyzmu w sprawach najdrobniejszych, codziennych. Teraz, po miesiącach, sądziło się, iż zjawisko ma raczej wiele wspólnego z tym, jak zmienia się w Zimie, w logice dwuwartościowej siła reguły

wyłączonego środka. W Lecie bowiem nie mają władzy prawa arystotelesowskie, iż dwa zdania sprzeczne nie mogą wraz być fałszywymi, ani że jeśli jedno zdanie sprzeczne jest fałszywem, to drugie musi być prawdziwem. W Lecie powiesz „Każdy dobry djabeł ma ogon” oraz „Niektóre dobre djabły nie mają ogonów” i nie znajdziesz pośród tych dwóch sprzeczności żadnej prawdy. Pod Lodem jednak wszystkie „dobre djabły” i podobne były samobędne wypadają z języka, wypadają z logiki. Pozostaje tylko to, co reguła wyłączonego środka z góry zamroziła w ostrem albo-albo. Dlatego tak samo, jak nie uświadczysz w Kraju Lutych dobrego djabła, tak samo - nie poznasz tu Timofieja Szulca o zajęczem sercu ani miłosiernego, ufnego Czyngisa Szczekielnikowa. Lutowczyk patrzy i lutowczyk wie: tak-tak, nie-nie.

Logika Lodu - mrozące umysł natężenie pola teslektrycznego - uniemożliwia myśl o przedmiocie, człowieku, idei, charakterze nie mieszczącym się całością abrysu w jedynoprawdzie lub jej negatywie.

Taki Ciecierkiewicz - teraz czyniący do swego odbicia na flaszcze opolerowanej nerwowe grymasy błazeńskie - w Lecie zapewne wcale nie wyróżniałby się pozą i zachowaniem, i niczyjej uwagi by nie przyciągał. Lecz tu, pod Lodem, nie jest się w stanie inaczej go postrzegać, inaczej o nim myśleć, innych słów doń przyłożyć i innym we wspomnieniu zamrozić. Jak każdy podmiot zdania pozostającego pod władzą zasady niesprzeczności -

Pam-płam! Pam-płag! I - *a młuki duki mułuki! uluuuuki mułuki!* - zawodzi jękliwie Tunguz obliźniony, kiwając się nad cuchnącym dymem i dla urozmaicenia co chwila wydając z siebie przenikliwe dźwięki zwierzęce. Wyłożyło się dwa tuziny kart, zanotowało się porządek rozkładu - kropka lub kreska, jeden lub zero wedle miary jego nieprawdopodobieństwa - i zebrawszy karty z powrotem, tasowało się je z talją, aż sekundnik na srebrnym zegarku minął kolejne dwadzieścia sekund; wtedy znowu wyłożyło się serię i postawiło się znak. Pam-płam! Pam-płag! Dobry i zły kuzyn, wychłęptawszy ukrop herbaciany i rozpuściwszy na języku rybę, zakopali się pod skóry; teraz, na rytmiczne bębnienie i zawodzenie szamana, wydobywali się na powierzchnię niczym mamuty wywoływane spod ziemi, powoli, mozolnie, nieruchomiejąc w półśnie na długie chwile. Etmatow nie patrzył, ślepka wążutkie miał zamknięte, zaciśnięte, a kiedy nawet je odmykał, głową wstecz zarzucając i gębę zaślinioną roztwierając, to już całkiem na biel wywrócone i ślepowidzące. Blizny geometrycznymi ściegami na licach pozszywane pokraśniały mu jarzębinowo, jakby z mrozu przypiekane. Pan Krzysztof kaszłał, wachlując się skarpetą zajęczą - tak ogień szamański zadymił jurte całą. Oddychało się przez usta, nie podnosząc oczu od kart, zamykając umysł na hipnotyczne

melodje kamłania. Zero, jeden, zero, zero. Fala po Drogach Mamutów ma wedle przepisu iść w częstotliwości trzech uderzeń na minutę, co oznacza, iż nawet bardzo zwięzła wiadomość wymaga około kwadransa na przesłanie; jednak krótsze okresy fali zbytnio utrudniałyby odczyt, skracaly ekstrema. Się umówilo się było, że wiadomości nie przekroczą trzydziestu znaków. Odbiór zabierał więc około godziny: rytm fali wyczuwało się po kilkunastu tasowaniach, koniec sekwencji rozpoznawało się po powtórzeniach, a drugi odczyt i tak był koniecznym dla kontroli przekłamań. Dopiero więc zanotowawszy w ten sposób blisko setkę zer i jedynek wyciągniętych z rozkładu kart, dopisywało się pod nią, również w alfabecie Morse'a wyrażone, zerojedynekowe hasło wyznaczone *mademoiselle* Filipov i doktorowi Tesli - 10110110111011110111111001001, czyli AUFERSTEHUNG - by następnie odszyfrować oryginalną treść w odwrotnych operacjach logiki matematycznej. Które to Jerzy Boole wyłożył w swoim *An Investigation of the Laws of Thought, on Which Are Founded the Mathematical Theories of Logic and Probabilities*, gdzie, ażeby ująć prawa logiki Arystotelesa w formuły algebry, obrał dwa liczbowe reprezentanty: właśnie 0 oznaczające Nicość i Nigdy, albowiem  $0 \times y = 0$  dla każdego  $y$ , i 1 oznaczające Wszeczeńświat i Wieczność, albowiem  $1 \times y = y$  dla każdego  $y$ . Na takich to więc symbolach Fałszu i Prawdy dokonuje się prostych obliczeń, jak na przykład tych w alternatywie wykluczającej, co dwa zera lub dwie jedynki obraca zawsze w zero, a jedynkę i zero - w jedynkę. Bo skoro fale teslektryczne może odczytać na Drogach Mamutów każdy, trzeba się było spodziewać, iż prędzej czy później ktoś wpadnie na pomysł zarejestrowania tych fluktuacyj - wpadnie nań właśnie dlatego, że fala teslektryczna idzie po Drogach Mamutów i co dwadzieścia sekund najdziwniejsze kombinacje idei iskrzą w każdym mózgu. Stąd szyfr.

Tigrij zamilkł, odleciawszy (a może z wyczerpania). Wpadło się było w rytm tasowania i wykładania kart, niewiele różny od rytmu bębna i jęku szamana: chodziło o to, żeby w powtarzanych sekwencjach ruchu odłączyć ducha od ciała - ciało robi swoje, a duch wędruje swobodny. Rósł szum śnieżycy wichrowej, chwiały się ściany namiotu. W prawdziwej jurcie pozostawiono by otwór u szczytu na uchodzący dym; zima w Kraju Lodu nazbyt była srogą, by dawać tak z własnej woli najmniejszy dostęp mrozowi. Dym z piecyka wyprowadzała na zewnątrz rura obszczelniona, lecz dym ze spalenizny szamańskiej, a także para mgielna ludzkich oddechów ćmietlistych - gromadziły się one wewnątrz, otumaniając, usypiając, ułatwiając zapaść hipnotyczną. Jeden, jeden, jeden.

Tigrij wybudził się, powróciwszy z podróży po Drogach Mamutów, i uderzył w bęben raz a mocno, na co kuzyn dobry i zły zakotłowali się pod skórą. Pan Ciecierkiewicz wzдрыgnął



się jak batem chlaśnięty, też z majaka jakiegoś alkoholowego zapewne wytracon. Przeklął Tunguza. Tigrjij Etmatow schował pałeczkę, wypił z czarki czaj ziołowy i wyszczerzył zęby, rozświetlając lica spocone szerokim uśmiechem. Zaczął coś tłumaczyć z przejęciem, poklepując się po udach.

- Mówi, że djabyły za nami ciągną -

Uniosło się rękę, nakazując milczenie; nie odwróciło się oczu od zegarka. I szybko: karta, karta, karta, pół talji kart w zadziwiającym porządku kolorów zimnych i gorących - poczem następna jedyńka zapisana w notesie.

W końcu zapętlilo się wiadomość całą dwukrotnie. Trzy przekłamania się zdarzyły, to znaczy niezgodności odczytu fali lub jej braku - trzeba przyjąć tam równoległe wersje deszyfru. Polizało się ołówek. Sam początek... Nie ma początku. Zapomniało się bowiem wyznaczyć znak stopu; zresztą on właśnie byłby dla każdego podejrzany, skoro wyjęty spod szyfru. Pozostawało więc próbować kolejnych z trzydziestu przesunięć - aż pokaże się sens.

Obracało się prędko w głowie ciągi zerojedynekowe, jak walce woskowe z nagraniem muzykami prawdy i fałszu.

```
01011101000101011011000111001000
10110110111011110111111100100110
11101011111110101100111011101110
```

••• —•—• •••• ••— •—•• —•• •—•• • —••• —

SCHULZ LEBT.

*Szulc żyje. Nie wracaj. Car dookoła. Tesla pracuje tu w areszcie. Czekamy. Wiadomość szła kołowo, bez początku, więc kontekst i akcent można było dowolnie w niej przesuwac. Czekamy. Szulc żyje. Nie wracaj. Car dookoła. Tesla pracuje tu w areszcie. Albo: Car dookoła. Tesla pracuje tu w areszcie. Czekamy. Szulc żyje. Nie wracaj.*

Szulc żyje. Znacznit, żyje i przy władzy, inaczej rządy Imperatora nie zatrzymałyby się na horyzoncie, lecz księżę Błucki wziąłby z powrotem w imieniu Jewo Wielicziestwa Mikołaja Aleksandrowicza Irkuck i Zimny Nikołajewsk i cały Kraj Lutych. Tymczasem Szulc-Zimowcy

siedzi ze swoimi regimentami w Jaszcziku, a handel zimnazowy idzie w najlepsze po linii Transsibirskiej Żeliezniadarożnej Magistrali, i zapewne też pisma dyplomatyczne chodzą od Bajkała do Zatoki Newskiej i nazad. Szulc, zwłaszcza póki do końca nie wykurowany z rany omal śmiertelnej, przede wszystkim zabiegać będzie o przychyłność przemysłu syberyjskiego oraz pilnować terminowego zaopatrzenia wojsk imperjalnych na wystyglým froncie japońskim: taki jest szton złoty bywszego gienerał-gubernatora, dzisiejszego samodzierzcy sybirskiego, że kto kontroluje Transsib, ten trzyma nóż na gardle Władywostoku i całej wschodniej Azji; dlatego też Sankt Peterburg nie odetnie Szulca od Europy, blokując Transsib jeszcze gdzieś przed gubernatorstwem irkuckim. To jest klincz ciasny, w którym żaden z zapaśników drgnąć silniej nie może, żeby go drugi muskułem własnym zaraz nie skontrolował. (Polityka Lodu). Bo Cesarstwo Japonji oczywiście też wygrać chce sytuację nową dla siebie i zoczywszy szansę taką, w mig zapomni o traktatach pokojowych i przysięgach wszystkich uroczystych. Strzec musi teraz Szulc Transsibu jak skarbu rodowego. I z tego samego powodu Józef Piłsudski ze swoimi Strzelcami z Legionu Japońskiego za wszelką cenę będzie się starał wysadzić drogę żelazną w powietrze. Zapewne już pierwszy-drugi rozkaz Szulca po odzyskaniu przytomności posłał kozactwo w Syberję dla ochrony Transsibu i likwidacji japończyków.

...*Czekamy*. Czekają. Na co czekają? Tesla pracuje, co się rozumie samo przez się: inaczej wiadomość w ogóle by nie szła po Drogach Mamutów. (Wiadomość mówi o Tesli w trzeciej osobie - kto ją zredagował, *mademoiselle* Filipov?) Prędzej czy później Szulc pozbędzie się jednak serbskiego wynalazcy. Schowało się karty, zapakowało się z powrotem notatnik i talję. Czaj wystygł. Szulc trzyma tam Nikolę jako kolejną swoją przewagę w targach z carem (ile Jewo Impieratorskoje Wielicziestwo da za pozostawienie przy życiu Doktora Lata z wiedzą jego lutobójczą w głowie?) i z opozycją miejscową (bo póki Tesla żyje, póty potentaci Sibirchożeta nie mogą być bezpieczni od Odwilży). Ale czy rzeczywiście w ten sposób hrabia wytarguje coś trwałego? Państwo niepodległe...? Przeczekując, szantażując, grając na zamrożenie *status quo*. Z drugiej strony patrząc, dla reakcji siłowej Mikołaj II musiałby zdecydować się posłać wojska na wojnę bajkalską... Z Japonją na karku? Nie zrobi tego. Bardzo trudno jednak uwierzyć w jakąkolwiek znaczącą zmianę polityczną pod Lodem.

...A przecież wyrwać podobną metodą własne dominjum najłatwiej w takim kraju feudalnym, ufundowanym na zasadzie samodzierzawia, gdzie nie ma żadnej sankcji ponad sankcją samej władzy właśnie, żadnej innej sankcji uprawomocniającej rządu tego czy owego autokraty. Bo nie wybiera go naród ani narodu przedstawiciele, nie zależy tu władca od prawa

(przeciwnie: prawo zależy od niego, jego wola jest prawem), i w ogóle nie istnieje miara słuszności władzy różna od tej jednej: on dzierży władzę, a zatem taka była wola Boga. Samozwaniec, któremu się powiodło, to Boży pomazaniec. Prawo, kompromis i umowa międzyludzka nie mają siły tam, gdzie wszyscy nieustannie wypatrują znaku Prawdy.

...I car doskonale zdaje sobie z tego sprawę - stąd jego wieczna nieufność i terror wobec poddanych, strach przed utalentowanymi ministrami, generałami, czynownikami. Czyż nie o tym mówił Franciszek Markowicz na balu gubernatorskim? Się wgryzło się w rybę surową, odtajała już dobrze, przez co kładła się na języku niczym ślimak oślizgły, półmartwy. Zasada Prawdy organizuje życie rosyjskie we wszystkich dziedzinach, od obyczaju do polityki wysokiej.

...Dlatego nie można powiedzieć, że nawet po definitywnym zwycięstwie Szulca cokolwiek się tu zmieni. Pan Pocięgło przechytrzył był sam siebie. Żadna jutrzienka wolności nie wstanie nad Krajem Lutyńskim. Żyli w gubernatorstwie irkuckim, gdzie hrabia Szulc-Zimowoy trzymał wszystkich za mordę w imieniu Jego Imperatorskiej Wysokości Mikołaja II Aleksandrowicza - teraz żyć będą w tak czy inaczej nazwanym państwie irkuckim, gdzie hrabia Szulc-Zimowoy trzyma wszystkich za mordę w imieniu hrabiego Szulca-Zimowego. Czy istotnie abłasnicy sądzili, że rozmrożą tu Historję jednym karambolem sprytnym spoza Lodu bitym? Nic się nie zmieni. Symbol zastąpi symbol, lecz samej treści równania nijak to nie poruszy. Zawsze będzie kuzyn dobry i kuzyn zły.

...Żuło się rybę ohydną. Nic się nie zmieni i Szulc nie będzie do zmiany dążył. Nawet gdyby się wynegocjowało dlań u lutyńskich -

- Nie idzie ich ubić. Już nie żyją. Oni jedzą śmierć.

- Co?

Tigrij Etmatow zapakował na bębenku dla oznaczenia ciężaru słów.

- *Jokó-Awāhe, niu-un.*

- Mówi, że, mhm-a-a - Ciecierkiewicz ziewnął szeroko - że Jakuci-Awahici, sześciu djabłów.

Przełknęło się, popiło się lurą tłustą.

- Spytaj go, czy wie, kto ich posłał. Car? Znaczą, ochrana, książę Błucki? Czy Szulc?

- Nie wie.

- Mhm, w tych śnieżycach i tak ich szybko zgubimy.

- Mówi, że oni nie idą po śladach w Środkowym Świecie. Prowadzi ich, ach, szaman jakucki. - Ciecierkiewicz łyknał sobie jeszcze i wyciągnął się pod futrami w pozie półleżącej, zahaczając przytem łokciem o pochrapującego pana Szczekielnikowa, na co ten odwinął się przez sen i gruchnął piąchą w kark Ciecierkiewicza. - Ugh. Mówi, że trzeba, mhm, udać się pod opiekę. Pyta, co pan wywróżył.

Już przedtem próbowało się im tłumaczyć, że nie jest to żadna magia sortilegijna czyniona na podobieństwo ich szamańskich wróżb z gotowanych i palonych kości; na próżno.

- To nauka, pojmujecie? - na-u-ka; nie czary i zabobony żadne.

- Mówi, a-aaa, mówi, że to duchy wyższe wybierają szamana, nie szaman wybiera.

Zaczem rozmiękczone udane lotem pozacielesnym Tigrij Etmatow popłynął w zwierzenia gawędziarskie - w namiocie ciasnym, dusznym, zadymionym, w półmroku sadzowym i wilgoci tłustej, gdy na zewnątrz duje śnieżycy i rośnie mróz.

- Szaman od początku, od czasu dziecięcego różni się od innych i cierpi codziennie różnicę: inaczej widzi świat, inaczej widzi siebie.

- *Aja!*

- Szaman ma za dużo kości, jedną kość za dużo.

- Co?

- *Jama u mu kon!*

- Sto i jeden. Ta kość sto pierwsza, a, rozumiem - ta kość to zawsze jest jakiś defekt, ułomność. Albo przechodzi szaman w dzieciństwie śmiertelną chorobę, przez co na resztę życia pozostaje oszpeconym, okaleczonym. Albo zostaje uśmierconym i na powrót przez duchy ożywionym w rytuale stosownym, starodawnym: złożony do kupy nie całkiem z tego samego materiału. Albo - albo coś mu się łamie w środku. W każdym razie kość sto pierwsza odróżnia go od wszystkich ludzi i upośledza w codziennym życiu.

- Jedna noga krótsza, naprimier.

- *Aja!*

- Dalej, szaman widzi zawsze, jak odkleja się niewidzialne od widzialnego. Mhm, zaraz -

- Duch od materji - rzekło się, międląc na dziąśle ostatni skrawek ryby, zupełnie już

smaku pozbawiony.

Ciecierkiewicz i Etmatow zaszwargotali, pomagając sobie rękoma.

- Duch od materji - beknął wreszcie japończyk. - Ten świat - machnął po namiocie - gniecie ich, męczy. Został im, ach, został narzucony, skazano ich na niego; on jest przyczyną choroby ducha.

- *Aja!*

- Czują to bez przerwy. Próbują się wyrwać, uwolnić.

- Trzecią duszą - mruknięło się - do Górnego Świata.

- Szaman - ciągnął pan Ciecierkiewicz, samemu zapadając w zaśpiew gawędziarski - żyje pod władzą przymusów niewidzialnych. Mówi: pod władzą duchów. Co szaman czyni, nie szaman czyni, lecz jest czynione poprzez szamana. Da?

- *Aja!* - klasnął Tigrij i pokazał gestem szybkim nad dogorywającym w czarce ogniem: tasowanie i rozdawanie kart. I uśmiechnął się szeroko.

Czy on nadal sądzi, że odprawiało się tu karciany rytuał w magji jakiejś szamańskiej? Że też ulatywało się na Drogi Mamutów, jeno zamiast bębmem i dymem - wspomagając się talją, zegarkiem i blaknotem?

- Powiedz pan mu, że jestem matematykiem, nie szamanem - mruknięło się. W odruchu nerwowym poczęło się macać za tytuniem i bibułami. Ręka wróciła do kubka, zacisnęła się na nim kurczowo. - Kości mam, ile trzeba; nie urodziłem się z żadną ułomnością. Niech on lepiej pomyśli, gdzie tu pójść bezpiecznie na jakie grubsze Drogi Mamutów, miałem przekłamania w odczycie, parę razy musiałem zgadywać fałę.

- Mówi, że podejdziemy od Murinu Onocką na Lenę, na rozgałęzienie potrójne Dróg. Mówi, że tam na pewno go pan spotka.

- Co...?

- *Agawūt-Ü-Nin!*

Tego było już za wiele.

- Nie mam pojęcia, gdzie szukać Ojca Mroza! - Cisnęło się kubkiem w ścianę; odbił się od żerdzi. - Rozumiecie, Tigrij? Te wszystkie mapy, te wszystkie obliczenia, rachuby tajemne, śledztwa o przeszłości ojca czarnej, pakty z czortami politycznymi - wszystko to funta kłaków warte! Niczego się nie dowiedział! Uciekam w Syberję, bo mnie ścigają, ale dokąd - dokąd

- donikąd! A teraz dowiaduję się, że póki co i wrócić do Irkucka nie mogę. I jeszcze Szulc albo ochrana carska śle za mną tropicielei tubylczych, jakieś trupojady, jak powiada - no co?! - się wydarło się na Ciecierkiewicza, który nie tłumaczył już Etmatowowi, jeno gapił się na ten wybuch nieprzystojny z miną głupią, miną przerażoną. - No co?! Nie mogę dłużej przeciw prawdzie was trzymać. Nie ma żadnego planu! Chyba że kto się zgłasza na ochotnika do grobu lodowego, to proszę, możemy się przejść do źródeł bajkalskiego tungetytu - kto ochotny?

- Uspokój się pan - szepnął spod koca Adin.

- Mówi... mówi, że -

- A może by się przymknął wreszcie! - warknęło się na szamana, zawijając się w szubę i bokiem do snu się układając.

- Mówi, że mądrzyście bardzo.

- Pfeh!

- Że mądrzyście bardzo. - Japończyk łyknął dymu i zakaszał; szaman czekał. - Ale czemu nie policzyliście, że to przede wszystkim raditiel chce odnaleźć *huta*, to znaczy syna swego?

...Mówi, że -

Tu odezwał się znowu bębenek kalekiego Tunguza; pan Ciecierkiewicz podjął tłumaczenie słów wyśpiewywanych:

- Czy nie dlatego wyszliście z miasta w Zimę otwartą? Czy nie dlatego kazaliście się prowadzić do Dróg najszerszych? Pół serca w ogniu, pół serca w lodzie; idziecie do niego tak, żeby nie dojść, szukacie, żeby nie znaleźć. Ale jakże ojciec z abasami chodzący może pozostać ślepym na czarne światło syna? Jakże może nie wyjść doń, gdy *huta* podążył mu naprzeciw z otwartymi ramionami? Jego psy, jego wilki, niedźwiedzie - o duchach mówi - poprowadzą go do ciebie przez Podziemny Świat. Wystarczy wyjść w pół drogi, wyciągnąć rękę, otworzyć jurkę. Zawołać jak syn do ojca. Na rozdrożach mamucich. Jakże ojciec może nie przyjść do syna? Jakże może nie przyjść? Choćby dźwigał na plecach cały *Un-Ilu*. Przyjdzie.

**O liczbie émy**

Ćmieczometr ma kształt laski zakończonej pałakowatym kiwadłem. Sposób jego użycia podobny jest sposobowi użycia termometrów wirowych: trzeba stanąć na wolnej przestrzeni i zakręcić kiwadłem. Laska jest gruba, z „bulwą” zimnazową pod pałakiem - tam mieści się mały generator teslektryczny o z góry ustalonej wydajności i budowie gwarantującej standardową stałą strukturalną,  $Q$ . Ćmieczometr mierzy ciśnienie pływu teslektrycznego,  $U_w$  uwalnianego po pałaku w powietrze. Jako że znamy chłonności właściwe  $Q_1$  i  $Q_2$  (to jest stałej powietrza), znamy pojemność generatora oraz samo ciśnienie - to łatwo obliczyć ostatnią składową równania: natężenie dookólnego pola teslektrycznego. Im niższe ciśnienie na ćmieczometrze, tym mniejsza różnica potencjałów. Na dziedzińcu Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademii Nauk w dzień spokojnego nieba Tesla czytał z podziałki wyrysowanej na lasce sto dwadzieścia i pół ćmy. Stąd przypisywał miastu gubernialnemu Irkuckowi izoaletheię dziewięciu dziesięciotysięcznych nokty. Idąc na północ, ku miejscu Impaktu, należało się spodziewać systematycznego przyrostu Mrozu. Dzień po zejściu z gór, na wysokości pięćdziesiątego czwartego równoleżnika, wyciągnęło się ćmieczometr spod piecyka Tesli i o świcie, przed zwinięciem obozu zamachało się ustrojstwem nad głową, parując czarno pod Słońce mlecznobiałe. (Tunguzi złapali za swoje amulety żelazne). Późem zanotowało się odczyt, jednym pociągnięciem karandasa zamrażając kalendarz.

*7 grudnia 1924 roku, 116 ćm.*

Tunguzi brali rzecz za zabobon i temu nie było się co dziwić, ale przyuważyło się i pana Szczekielnikowa, jak znak krzyża czyni ukradkiem. A japończyki, choć niby kształceni Europejczycy i ludzie doświadczeni w dziedzinie Lodu, też woleli zawsze w porę pomiaru ćmieczy znaleźć się gdzieś po drugiej stronie obozu, za zwierzętami, za namiotami, odwrócenie. A kiedy próbowało się ich wypytać, zrazu na wesoło jeszcze, umykali w wymijające półsłówka.

Jak osobliwie przecinają się tu ścieżki scjencji i zabobonu! Wesołość cała odeszła, gdy pojęło się, że przecież nijak się nie zdoła ich rozplątać: ta pielgrzymka ciągnęła do Batuszki Maroza, który zstąpił na Drogi Mamutów i powozi Historją w zaprzęgu lutyh. Jak przetłómaczyć do końca na język nauki taką skazkę? Nie można i po prawdzie nie należy nawet próbować. Wszak właśnie dlatego podążają posłuszni i nie podnieśli buntu, gdy wyszło, iż dotąd się ich tu prowadziło na oślep, bezrozumnie - właśnie dlatego, że nie rozum nimi powoduje, nie kalkulacje racjonalne. Zamarzyło się Synem Mroza, i takie są

konsekwencje.

A więc już nie tylko karty wieczorem, ale i ćmierzometr o poranku - rytuały szamana matematycznego. Przedtem nie mówiło się z towarzyszami wiele, żeby z bezplanem się przypadkiem nie zdradzić; teraz nie mówiło się wcale - bo nie było o czym mówić: miast zrosnąć się pod Mrozem z językiem pierwszego rodzaju, języki drugiego rodzaju rozpekły się po całej długości. To wszystko byli obcy ludzie. Patrzyło się na nich na obozach i podczas jazdy w cichym zdumieniu - niczym przez odwróconą lunetę, odsuwającą obraz przedmiotu w nieskończoną odległość. Rozmywali się na marostiokłach ze swych abrysów, że jeśli dłuższą chwilę nie poruszało się głową, potrafili się roztopić w kałużę bezkształną bieli, rozlać po równinie śnieżnej i horyzoncie szerokim: ślad nie pozostawał. Zresztą cóż ocaleje w tej otchłani białości? Ginęły narody i geografje.

Bo to wszystko byli obcy ludzie. Tunguzi - wiadomo, inarodcy. Ale i piłsudczycy - melancholijny pan Krzysztof i roztrzepany Ciecierkiewicz - jeśli spotkani gdzieś na salonach Irkucka, nie byliby warci ani krótkiego słowa, ominięci wzrokiem po pierwszym spojrzeniu, po najpłytszem dotknięciu *gestaltu* ich jedynoprawdy. I pan Szczekielnikow, który, dopóki konieczność śmiertelna nie zrządziła inaczej, pozostawał przecież zaledwie grubo szkicowaną sylwetą kwadratową; w jeden wieczór w knajpie podlodowej zakapiorskiej więcej zdań się z nim zamieniło niż przez miesiące wcześniej. To byli obcy ludzie i pozostaną obcymi, choćby się przeżyło z nimi w namiocie ciasnym rok długi syberyjski. Są obcy nie dlatego, że się ich nie zna, lecz przez zupełnie obcą geometrję ich charakterów.

Lepiej się teraz rozumiało inżyniera Iertheima. Przeciwiństwem przyjaciela nie jest wróg, lecz osoba, której się nawet nie zauważa, która zaraz wypada całkiem ze spojrzenia i z pamięci. Co z tego, że spędzisz z takim Ciecierkiewiczem sto wieczorów długich, skoro łączą was jeno słowa banalne o pogodzie, renach, czaju i odmrożonych palcach? A nawet jeśli da się on jakoś głębiej poznać - to, co poznane, nie wzbudzi gorętszych emocyj, przepłynie mimo bez śladu.

I teraz doceniło się też całą niezwykłość panny Jeleny. Co zaszło w Ekspresie Transsyberyjskim - co pamiętało się, że tam zaszło - to spięcie charakterów symetrycznych, spotkanie przyjaciela i przyjaciela. Zanim się w ogóle pannę Muklanowiczównę poznało, zanim się pierwszy raz ujrzało ją w wieczornym półnagliżu na korytarzu Luksu, ba, zanim wsiadło się do tego pociągu - już było się przyjaciółmi. Jej potem słowa, co powiedziała i czego nie powiedziała, jej kłamstwa i prawdy, gesty i zaniechania, mimo że przecież jeszcze



głęboko w Lecie czynione - nie miały i nie mogły one mieć najmniejszego znaczenia. Zimna Matematyka Charakteru z góry przesądziła o wszystkim. Jelena lepiej sobie z tego zdawała sprawę. *Spotkanie człowieka z człowiekiem nigdy nie jest nudne: coś prawdziwego dotyka czegoś prawdziwego.*

I skłamałoby się, utrzymując, że nie myśli się tu w Mrozie coraz natrętniej o pannie czarnowłosej. Wracła o poranku; nachodziła wieczorami; podczas jazdy i marszu przez tajgę podgóorską wyświetlała się ze śniegu oślepiającego na marostiokłach, ledwo zmrzyło się powieki. Zagadka, fenomen, kłamstwo prawdziwe, żeńszczina. A przede wszystkim: fantom przeszłości. Nie istniała przecież. To, co istniało, to ciepła zmora umysłowa w kształcie chorobliwie szczupłej dziewczynki, przemykająca swobodnie od wspomnienia do wspomnienia. Miło było się zapomnieć po zmroku, w zawoju skór zajęczych, przytulony do piecyka, w mdłej od żaru poświacie, podgotowywanej na krawędziach cieni - cień wte, cień wewte i oto zmora krasiwaja wtem pochyła się nad zawojem. Rozewrzeć szerzej oczy, unieść do niej rękę... Spało się. Gładziła po policzku dłonią zimną. Czasami późno w nocy, między pochrapywaniami pana Szczekielnikowa, słyszało się jej cichy kaszel gruźliczy. Nie stało na niebie Cziornoje Sijanije i nie śniło się snów głębszych. Panna Muklanowiczówna istniała o tyle, o ile się o niej akurat myślało. Czyli coraz natrętniej.

Jeszcze w górach powstała obawa, iż łatwo przerodzić się to może w kolejny nałóg. Bo do kogo tu gębę otworzyć - do Adina, Szczekielnikowa? (To wszystko byli obcy ludzie). Zacznie się gadać z ułudami pamięci. Czyżby nadciągała samotność? Nie doznało się samotności przez wszystkie te lata warszawskie nad równaniami i teorjami spędzone, nie doznało się jej w rozpaczliwym zagubieniu w Transsibie, ani nawet się nie czuło się samotnym po przybyciu do Irkucka, nie pamiętało się takiego odczucia. Samotność struła duszę teraz: w ciasnej, dusznej bliskości obcych ludzi.

Zwierzęcą reakcją paniczną powodowany - uciekło się znowu do lektur. W tych knigach zabranych z Biblioteki Polskiej opisywali rodacy (podróżnicy i etnolodzy) zwyczaje tajemne rozmaitych ludów syberyjskich; dało się wydłubać okruchy nieocenzurowanej wiedzy z powieści Sieroszewskiego. Po tym, co Tigrij napłócił o osobliwościach szamanizmu, wyszukiwało się zwłaszcza fragmenty ich dotyczące. W powtarzanych z drugiej ręki obszernych cytatach ocalały u Polaków także prace rosyjskie, jak *Ewaljucyja cziornoj wiery u Jakotów* niejakiego Troszczanskiego N. F., w całości zakazana przez cenzurę Sibirchożeta. Pod kiścią sopli modrzewiowych, pod nawisem lodowym na postoju w wąwozie, przy ogniu na szczapach żywicznych tańczącym - czytało się z papieru zimnego, trzeszczącego w

rękawicach jak wielki płat szronu.

Powtarzały się w relacjach wywiadowanych szamanów doświadczenia nieciągłości: zawsze był taki moment w ich żywocie, gdy przeszłość odrywała się im zupełnie od przyszłości, a po zlepieniu, zszyciu na powrót - nie do końca już do siebie pasowały. Ten zgrzyt, ta skaza wewnętrznego pęknięcia (jak wada ukryta w nieuporządkowanej strukturze metalu), ta pamięć niedomarznięcia - ona czyniła człowieka szamanem. Zazwyczaj była to śmierć. Kandydat na szamana umierał - powalony ciężką chorobą febryczną, skonsumowany przez duchy, wrzucony w przerębę, wywarem trującym napojony - poczem powracał już kimś odmienionym, to znaczy szamanem. W punkcie nieciągłości, gdzie załamywała się jego historia, tam kwitły nowe wspomnienia szamanów: że „tak naprawdę” urodzili się oni gdzie indziej, kiedy indziej, z innych rodziców, w innym ulusie, pod inną gwiazdą; że inne miano nosili; że cała ich wiedza szamańska nie jest wiedzą nową, nabytą, lecz właśnie do nich należała od początku, posiadli ją bowiem, żyjąc od zawsze jak szamani (czego nikt prócz nich nie pamięta); że „w rzeczywistości” więcej czasu niż między żywymi spędzali z duchami w Górnym i Dolnym Świecie. Przez chwilę nieciągłości przeprowadzał ich zazwyczaj zwierzęcy przewodnik spirytualny, niedźwiedź lub ptak ogromny, żelazny. Była mowa o ziemi, żelazie i lodzie. Była mowa o bólu: ćwiartowaniu, zeszkrobaniu mięsa z kości, wyjmowaniu organów wewnętrznych, zastępowaniu ich nowymi, kamiennymi i żelaznymi, wpuszczaniu nowej krwi; wszystko to bolało. (Rozszarpaniu pamięci towarzyszyła pamięć rozszarpania).

Na obozie wieczorem siódmego grudnia, opodał na wpół wmrózonego w skałę lutego, podsunęło się Tigrijowi pod nos fizyczną mapę okolicy, od Gór Przymorskich do Kudy, każąc wskazać, gdzie konkretnie owo kluczowe rozgałęzienie Dróg Mamutów się znajduje. Etmatow długo dumał nad kartą, kiwając się w zasepieniu na piętach, aż pomyślało się, że on znowu w trans jakiś zapadł; nareszcie dziabnął kością żelazną w punkt. Się nachyliło się, lampką przyświecając.

- Ale tutaj to my teraz stoimy!

- Zaw-tra - wydukał. - Nie-da-lie-ko.

- Słowo poganina, uwierzy dziecina; wlażł poganin między pany, chrześcijanin wyjebany  
- mruknął pan Szczekielnikow, rozwieszający na żerdziach cuchnące skarpety kaczeńcowe.

Dobry i zły kuzyn zachichotali zgodnie.

*8 grudnia 1924 roku, 110 ciem.*

Na Drogach Mamutów stał zamrożony trup konia oraz wrak sań europejskich, półspopielony. Koń trzymał się na trzech nogach - jedną chyba odgryźli mu wilcy, zanim do reszty zamarznął i pokrył się bryłą lodową.

Się przyglądało się temu posągowi przez dłuższą chwilę, podczas gdy japończyki i Tunguzi rozstawiali namioty i przenosili bagaże.

- Tu? Jesteś pewien?

- Da. Zdies - stwierdził Tigrij i kopnął łyżwą w śnieg zeskorupiały. - Da-ro-gi Ma-man-taw - mlasnął, poczem rozłożył szeroko ramiona, jakby długość ryby złowionej pokazywał.

Okolica - poza tym truchłem i wrakiem - niczym specjalnym się nie wyróżniała. Od północy i północnego wschodu szedł tu las iglasty, modrzewiowo-sosnowy, teraz mocno oblodzony; na południe otwierała się równina bieli. Wschodni horyzont wyrastał zaś ponad tajgę falistą linią Gór Przymorskich.

- Jak długo... zanim przyjdzie?

Szaman zamachał energicznie. (Przypomniało się, jak na polanie przy Transsibie zrywał z twarzy pajęczyny ćmieczy - ale kto? nie on przecie). Zamachał, wywrócił oczyma, podrapał się po bliznach, fajtnął krótszą nogą, pokazał rytualnym gestem na północ i na ziemię. Zrozumiało się, że zaraz zejdzie po fatra na Drogi.

Odpiąwszy narty, obeszło się dookoła sanie zatrzaśnięte w lodzie. Przechylone lekko na bok, wrąbane płożą pod powierzchnię gruntu, z zadem ku Słońcu wypiętym, na węgiel osmalonym, prezentowały się obrazem żalosnej ruiny; wiele takich połamańców przydrożnych widywało się pod rogatkami Warszawy, na granicy Lata i Zimy. Skąd jednak wziął się ten tutaj - pośrodku Wyżyny Onockiej, dokładnie na szerokim rozgałęzieniu Dróg Mamutów? Koń stał z łbem poderwanym jak do rżenia panicznego, jeszcze w chomości i z lejcami. Wyglądało to omal tak, jakby lód zaskoczył go w pół ruchu; jakby nie zdążył przed lodem uciec. Prawie przyklejając nos do bryły mlecznokryształowej, zajrzało się do wnętrza sań. Spoczywały tam na siedzeniach toboły jakieś nieforemne, długie kształty zacienione, brudem w lodzie przesłonięte. Zwłoki pechowych podróżnych? Zagadka była o tyle trudną, iż ze śladów materji zachowanej w lodzie nie sposób wnioskować o czasie: kiedyż to mianowicie zaprzęg nieszczęście tu spotkało? miesiąc temu? rok? lat dziesięć? Dy szel był ułamany, ława izwozcika rozpękła. I skąd z tyłu ta osmalenizna? Co ich zabiło - ogień czy mróz? Palili się, jadąc przez Syberję, i wtem - no có: takiego się wydarzyło?

Pan Szczekielnikow z siekierą na ramieniu pomaszzerował drwa narąbać (Wpierw trzeba rozpalic ogień, żeby pień zakamieniały w ogóle naruszyć) Jeśli przyjdzie dłużej tu czekać - może rozsądniej byłoby urządzić się w cha cie jakiejś? Albo chociaż postawić jurty na skrzyniowych rusztowaniach, jak Pan Bóg przykazał? Się schowało się w namiocie, wyjęło się mapy i raport) Ministerjum Zimy. Już na Cwietistej liczyło się było chyżość Ojca Mroza na Drogach Mamutów. 390 metrów na godzinę, osiem i trzy ćwierci wiorsty na dobę, ale zakładając, że nie śpi, nie męczy się, że nie przystaje (nie żyje). Lecz wszystko i tak zależy, gdzie znajdzie go wołanie Tigrija Etmatowa (jeśli znajdzie). Bo może akurat gdzieś pod Norylskiem albo za Jakuckiem. Porachowało się szybko w głowie. Biorąc za punkt startu miejsce Impaktu, czyli mniej więcej geometryczny środek jego wędrówek przez Urjasza zapisanych, otrzymało się dystans 860 wiorst. Kiedy w takim razie przybędzie? Najwcześniej za 100 dni (jeśli nie żyje).

...Może akurat znajdować się dalej, może znajdować się bliżej, lecz taka rachuba jawi się najbardziej prawdopodobną. 100 dni, trzy i pół miesiąca, koniec marca. Zapasów, według ostatnich szacunków pana Krzysztofa, starczy na cztery tygodnie. Mchu i porostów suszonych dla renów - na dłużej, skoro nie będą do wysiłku codziennego przymuszane. No ale co później? Reny pewnie coś sobie wygrzebią spod śniegu. Można polować. Małe szanse wszelako, że cokolwiek żywego na tej równinie lodu pod lufę podejdzie. Można znowu na jakiej stacji czy faktorji zapadłej jadła i nafty dokupić za resztę rubli. Nie puszczając tym razem Czyngisa między ludzi, demaskacji Syna Mroza nie ryzykując. Ale czy z kolei nie większy hazard japończyków tak samych z dieńgami posyłać? I co, jeśli tam w faktorji już czekają z listami gończymi carskimi? Bo nawet gdyby hrabia Szulc myślał mimo wszystko dochować paktu, to tu przecie nie jego ziemia, nie jego włast' - jeno Mikołaja Romanowa.

...Chyba że coś się zdążyło zmienić. Szerokie rozgałęzienie Dróg, fala powinna płynąć mocna - wyjęło się talję, otwarło się zegarek. Ciecierkiewicz skrobał sobie grzyb z odcisków na oplamionych odmrożeniami stopach. Się odwróciło się do ściany, rozłożyło się pierwszy ciąg. Zero.

Po godzinie wiedziało się, że nie zmieniło się nic. *Nie wracaj. Car dookoła. Tesla pracuje tu w areszcie. Czekamy. Szulc żyje.* Pewnie ślą tę właśnie wiadomość od samego początku. Pewnie Tesla automat jakiś do regulacji prototypu Młota Ćmieczy w tym celu zamontował. Ich samych mogli już aresztować i wywieźć z Obserwatorjum, mogli już nawet ubić doktora i *mademoiselle* Filipov - a Młot nadal tłucze tam w polu teslektrycznym zapisaną mu mechanicznie sekwencję. Dopóki kozacy nie przyjdą i nie roztrzaskają ustrojstwa. Pam-

płam! Pam-płag!

Poderwało się głowę. To Tigrij w namiocie obok wali w swój bębenek i rzeźbi przez zęby niczym zwierzę szlachtowane. Pochowało się bumagi, obwiązało się blaknot gumą i ceratą, wyszło się na słońce południowe śnieżnobiałe (promień odbity strzelił w źrenice nagie od marostiokoł). Na horyzoncie północnym, w stronie Lodu, od Serca Zimy - rósł wał chmur atramentowych. Nowa śnieżyca zapewne. Może przejdzie bokiem, wiatr tu zdechł. A może to w ogóle żaden naturalny fenomen meteorologiczny - może jest tak, że jeśli podejdziesz wystarczająco blisko, to i gołym okiem dojrzysz naniebne odbicie tajemnych procesów zachodzących w Królestwie Zimy, za Ostatnią Izotermą, gdzie nie powstała noga człowieka i gdzie tylko łuny ćmieczy między górami tungetytu płoną - w Czarnym Labiryncie, pod niebem Czarnych Zórz, na polu czarnego lodu - w ojczyźnie samożywego helu - gdzie Prawdę materjalną dotknąć można - gdzie lute płyną niby rzeka - i nie da, nie da się umrzeć -

Pam-płag! Potrząsnęło się głową. Tu, nad szerokimi Drogami Mamutów, gdy idzie nimi fala teslektryczna pomiędzy ekstremami entropji rozpięta - byle warjactwo potrafi z nagła do łba wskoczyć, myśl najbanalniejsza wykręca się w skojarzeniach najmniej prawdopodobnych. By zaraz wrócić do starego porządku rzeczownika, przymiotnika i czasownika.

Jakież więc zwidy i sny ziołowe krzesa w takim miejscu łże-szaman tunguski? Weszło się do jego namiotu. Smród czarny wisiał w powietrzu. Się rozkaszało się. Opadła na wejście skóra i ściemniało zupełnie. Nastąpiła chwila paniki, gdy postąpiwszy naprzód, się potknęło się na czymś, to coś poruszyło się gwałtownie, podcięło nogi - kuzyn dobry lub zły, rytuałem kamłannym otepión, czołgający się w milczeniu po jurcie. Upadło się, klnąc pod nosem. Pam-płam! *Dunda że-lē! Duuunda!* Etmatow wył jak żywcem palony. Pomasowałem głowę obtłuczoną (wirowały plamy czerwone, to był jedyny blask). - Cisza! - zakrzyknąłem, rozeźlony, wodząc ręką po ścianie namiotu ku wyjściu. Żeby chociaż światła tu trochę wpuścić, trochę powietrza... Odgarnąłem w końcu skórę i wywlokłem się na czworakach na zewnątrz. Czarny promień strzelił w źrenice nagie. W ogrodzie żelaza, między jabłoniemi rdzy i gruszami żużlu, stała drewniana wartownia pod godłem Romanowów, szlaban grodził jedną połowę gaju od drugiej. Podniosłem się, otrzepałem garnitur biały, podszedłem, zapukałem. Wyłonił się na ćmiatło dzienne Pan w Meloniku, dokumentnie podziurawiony i wycnicowany. Nic nie rzekł, podkreślił jeno półwąsa, zerknął na mankiet zapiskami mlecznymi zagryzmołony i wyciągnął rękę. Wpierw zamrugałem w konsternacji - czego on chce? - potem sobie przypomniałem. Wyjąłem wizytownik, odnalazłem kartę Pana w Meloniku, położyłem mu ją na dłoni. Nasadził sobie na pusty oczodół monokl marostiekłowy i podniósł

doń bilet. Obrócił, spojrział na rewers: *Benedykt Gierosławski*, stało zapisane. Skinął z zadowoleniem i kopnął wajchę kamienną, unosząc szlagbaum z orłem dwugłowym. Przeszedłem na drugą stronę ogrodu. Szkielety ptaków klekotały z gałęzi melodje czastuszkowe. Czarne Słońce o kanciastych promieniach przypiekało tu mocniej, mróz zagwizdał w kościach. Spostrzegłem, że krwawię światłem białym: pozostawiałem na ziemi kałuże lśniącej mazi. Przystanąłem, i to okazało się błędem tragicznym, ta ziemia nazbyt była miękka, nazbyt głodna, wyposzczona, połknęła moje stopy, nie mogłem już kroku zrobić, połknęła mnie po kolana, po łądzwie, próbowałem się zaprzeć rękoma, połknęła i ręce, pozostało krzyczeć, krzyczałem - połknęła usta, połknęła oczy, głowę całą, całego mnie. Poczem jęła mnie trawić, i to się zaczęło nie od nóg, lecz od wnętrzości, dokąd sięgnęła przez usta przemocą roztwarte i odbył rozkleszczony. Ziemia, glina, żwir, kamień - wlewało się to we mnie w torturze nieznośnej powolności, to znaczy gram na rok, kilogram na wiek, aż wreszcie - nafaszerowany, przetrawiony - tak się rozpuchłem na wiorsty i wiorsty, tak się rozszedłem w szwach w glebie żelaznego ogrodu, że jedną dłonią dotykałem góry na wschodzie, drugą - zachodniego wulkanu; jedną stopę moczyłem w jeziorze lawy, drugą - w wodopoju mamutów. Pomiedzy nimi trwałem, wkamieniały, dopóki nie poczułem ruchu niewłasnego w masach geologicznych; ciarki przeszły mi po kręgosłupie, to znaczy lute. Myśl magmowa uderzyła do formacyj mózgowych. Zacząłem się odwracać pod płytą kontynentu. Natenczas z piekła, zza pleców - on złożył rękę na mem ramieniu.

*9 grudnia 1924 roku, 109 ciem.*

Pan Szczekielnikow chandrę cierpiał. Pan Szczekielnikow zawsze w nastroju chandrycznym się znajduje (ot i urok jego Szczekielnikowowy), ale teraz już wzięło go tak mocno, że w ogóle zstrzymać obecności drugiego człowieka nie mógł; mazutową nienawiścią napompowany, na byle słowo, byle gest, oddech głośny - rwał się z mordem w oczach nieszczęśnikowi do gardła. Dwa tygodnie w ciasnej bliskości z bliźnimi... Jakie jest przeciwieństwo samotności dla takiego podejrzliwca złowidzającego, ludźmi pogardzającego? Wziął siekierę, machorkę, spirytu półflaszki i uciekł w biel szklistą, ledwo Słońce wstało.

Pomierzyło się natężenie pola teslektrycznego (minimalne wahnięcie od wczoraj) i miało się właśnie wrócić do lektur ksiąg syberyjskich, kiedy od reniferów zaszli drogę japończyki.

- Panie Benedykcie... - zagaił jękliwie Adin, łepetynę kornie spuściwszy.

- A?

- Trzeba nam datę obrać.

- Aha, aha, datę! - podskoczył obok pan Ciecierkiewicz, dmuchając cieniem z nozdrzy, uszu i spod szapki.

- Chodźcież do środka!

- Tutaj, tutaj - rzekł pan Krzysztof.

- Ale czemuż akurat na mrozie! Namiot pusty.

- Bo na mrozie powiesz pan prędko tak albo tak.

Oj, ani chybi rozkaz Piłsudskiego.

- No więc co wam o tak ślicznym poranku gnębi dusze, panowie moi?

- Pan będzie tu czekać na ojca, prawda, panie Benedykcie? Ale pan nie wie, kiedy ojciec przybędzie? Pan nie może podać dnia?

Się wsparło się w zamyśleniu na lasce ćmieczometru.

- Cóż, Tigrij utrzymuje, że fater usłyszał wołanie i że jest w drodze. Tylko że odległości w Podziemnym Świecie nijak się mają do naszych odległości. Inna to geografja. I inny czas, inaczej biegnący. Policzyłem sobie conieco, i wyszło mi, że najbezpieczniej przyjąć zakład na termin marcowy. Ale i daty majowe, czerwcowe nie są całkiem wykluczonemi. Dlatego też myślałem o postawieniu tu schronienia jakiegoś trwalszego -

- Marcowy! Majowy! - załamał ręce Adin. - Panie Benedykcie, nie taka była mowa! Idziemy, znajdujemy, załatwiamy.

- Co, Stary kazał wam się uwinąć, zanim z ofensywą jaką nową zbójecką ruszy?

- No i czemu pan tak źle o Ziuku mówi? - zasmucił się pan Krzysztof. - Aboto wyrządził wam krzywdę jaką? Aboto od śmierci-więzienia nie uratował?

Machnęło się ćmieczometrem.

- Prawda, jakie to teraz wszystko ma znaczenie... - Pomyślało się o pożegnalnym uścisku ręki z Józefem Piłsudskim, o tym pakcie idjotycznym z nim zawartym, i na moment zwątpiło się znowu: zali istotnie zamarzyło się tak w kształcie własnym Benedykta Gierosławskiego, czy to jednak Piłsudski przeklętnik zdołał człowieka szarmem swoim brutalnym omamić? - Chcecie wracać? Wracajcie!

Spojrzeni po sobie, biel odbiła się od bieli w marostiokłach szerokich.

- A nie mógłby pan, panie Benedykcie, listu jakiegoś do niego napisać?

- Coby się na was nie pogniewał, żeście mnie nie upilnowali?

- No, zostaniemy do Trzech Króli; damy panu miejsca i nazwiska, żeby miał pan jak wrócić samemu. A potem -

- Potem już wszystko jedno? Cóż on znowu zaplanował, że taka ochota do wojaczki was rwie? He?

- Jakby Stary się komu spowiadał z planów swoich...! - wzdychnął Adin.

- Mhm. A mówiłem wam, że Szulc żyw, trzyma Irkuck.

- Mówił pan. Z kart wywrózone. Tylko że -

- ...ale co pan wyprawiasz, na Boga miłego, użarło pana co w zadek?!

Ciecierkiewicz miotał się obok na śniegu, powiewając ramionami i krztusząc się czkawką paniczną. Nareszcie pojęło się, że był jednak w podrygach zamiar konkretny: piłsudczyk pokazywał w punkt za namioty, na wschód - tylko że ręce mu latały pół łuku od punktu w każdą stronę.

Spojrzało się ponad okularami. Pan Szczekielnikow walił nazad przez śnieg susami wielkimi, siekiera refleksowała ogniście nad barkiem. Ręka sama skoczyła do Arcymistrza. Zwarjował! Szajba mu odbiła na równinie bieli, pomorduje wszystkich! Wpadł między namioty, cisnął topór w lód, sięgnął ramieniem długim przez otwór pod skórą i wyciągnął dwururkę w futerale futrzanym. Powystrzela!

- Jadą do nas, panie Gie - sapnął. - Szykujcie się, no - nie sterczcie mi tu jak chuje na parady!

Adin wyczarował lornetę, obpatrzył wschodni widnokrąg.

- Trzech albo czterech, reny siedłowyje i sanie jedne.

Zawołało się na Tunguzów. Nastąpiła chwila chaosu zupełnego, gdy wszyscy łapali za broń, wrywali sobie lornetę, pokrzykiwali w trzech językach przekleństwa i pytania, nie wiedząc, czy brać się do zwijania obozu i pakowania sań (nie zdąży się), czy się fortyfikować naprędce przeciwko wrogowi (nie ma jak). Chociaż o tym nie rozmawiano, przecież słowa Etmatowa o pościgu od Bajkała idącym mocno siedziały w głowach. Wyjęło się w końcu Arcymistrza, bazyliškowy rewolwer zatęczał lekko.

- Panie Ciecierkiewicz! - zawołało się. - Bierz pan reny i uchodź w las! - Jak zwierzęta ustrzelą, to już ludzi dobijać nie muszą. A Ciecierkiewicza rozklejonego od hysterji do



gierojstwa nie chciało się mieć w szeregu pod ogniem.

Capnęło się lornetę z ręki przebiegającego kuzyna złego. Fakt, czwórka ludzi na renach. Lecz tamci na Bajkale - Tigrij mówił, że szli pieszo.

- Nie strzelać, jak nie powiem! - rozkazało się. - Opuść pan lufę, do czorta!

I na koniec okazało się, że wszystkiemu winną była wrodzona podejrzliwość Czyngisa Szczekielnikowa, który w każdej osobie napotkanej na syberyjskim szlaku zbójcę lub szpicla carskiego od razu widzi, i po nóż i dubeltowe sięga, bo taki jego odruch pierwszy zawsze i wszędzie.

Tymczasem były to dwie soroki (jeden Rosjanin, jeden Francuz) z przewodnikiem i przybłąkanym w górach popem, do Irkucka przez Bajkał z Gór Stanowych wracające. Zobaczyli dym na horyzoncie białym i skręcili tu, aby zapasami się wymienić.

- Spirytu może co na zbyciu macie - prosił Witalij Uskańskij. - Może co mięsa.

Przyjęło się ich w ciepłe namiotu, rozdiali się, przy pieczce zagrzali. Pop połowę palców miał podmrażanych, rany i strupy okrutne na obliczu; inni prezentowali się niewiele lepiej. Zwyczajem szlakowym na obozie oglądali się wzajem, białych plam wypatrując. Spytałoby się ich, skąd dokładnie idą, pod jaką izotermą soroczyli, gdyby to z kolei nie uchodziło na szlaku za impertynencję grubą i powód słusznej obrazy.

- Ale czemu nie zabraliście się Zimną Koleją ze Stacji Olchon?

- Stacja zamknięta, wojskiem okrażona. Strzelają bez pytania do każdego. Nie wiecie, co to za sprawa?

- Gienerał-gubernator się z Imperatorem powadził. Czyje to sałaty na Stacji - Szulca czy Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa?

- Ba!

- No to w stacji jakiej po drodze trzeba było się zaopatrzyć.

- Nie inaczej my zamiarowali - pokiwał głową Uskańskij. - Poszlimy specjalnie do futuru Łuszczija. Nu, Gaspadin Niebiesnyj oko odwrócił. Nie ma już futuru Łuszczija.

- Co też opowiadacie! Dopiero my tam...!

- Grób jeden - rzekł pop, siurpiąc nerwowo kawę tłustą.

- Myślelimy, że stacja opuszczona, że może wojsko ich przegnało abo co. Ale brama

roztwarta, w obejściu truchła psów złodzone, idziem dalej, jeden trup, drugi, ludzie pomordowani. - Prospektor przeżegnał się. - Baby i dziatki, wszyscy.

- Ale wcale nie jak zbójcy - włączył się Francuz łamaną ruszczyzną. - Jak - jak - jak bestje nieludzkie. - Pokazał, unosząc suchara do ust i wgrzając się weń gwałtownie. - Rozerwani, roztluczeni, wyjedzeni.

- Wyjedzeni?!

Coś mu się wyjęczyło. Ale nie, sens był oczywisty. Powiedziałyby co innego - pod taką ćmiecą równie dobrze pojęłoby się tę oczywistość.

- Trupojady - mruknął pan Szczekielnikow i wyjął polerować swój bagnet.

Tigrij Etmatow podrapał się po bliznach, wyciągnął spod kurty żelazne medaljony, zagrzechał kościanymi figuynkami. Przesuwał między palcami podobizny zwierzęce niczym paciorki różańca. - *Ru, ru, ru.*

- Ucieklimy czem prędzej - skwitował opowieść Uskańskij.

- Nie dawaliście potem wiele odpocząć zwierzętom.

- Nie.

- Mhm.

Przed zmierzchem czerwonym - to jest syberyjską godziną popołudniową - wyszło się z jurty wypalić papierosa. Ażeby uciec samotności, trzeba wpierw uciec spomiędzy ludzi.

Poczuło się zaraz mróz niczym wkłucie chirurgiczne w płuca. Lecz tern mocniej się zaciągnęło się dymem i powietrzem lodowatem; była w tym przyjemność dziwna, nieprzystojna, jakby się powoli uzależniało się od cierpienia temperaturowego: że bardziej żywym się człowiek czuje pod igłami sorokowików aniżeli w jurcie dusznej, nagrzaney, zasmrodzonej. Słońce zachodziło nad Azją śnieżnobiałą w ciszy zupełnej, nawet wiatr nie akompanjował. Trszk, trszkkk, trzaskała zmroźlina pod tarbasami. Przysiadło się na bryle obładzającej podniesioną płożę wpółwywróconych sani. Cienie trzech namiotów prawie stykały się ze sobą, rozciągnięte ku wschodowi w długie treny kiru. (Soroki przenocują we własnym szatrie). Wyszło się bez marostiokoł, ze wzrokiem nagim. Reny, choć już zgrzeblem na noc wyczesane, świeciły szatami djamentowemi: każdy włoszek sierści obrastał prędko kryształem lodowym. Pierwsze gwiazdki świdrowały z wysokości prosto w źrenice. Zamrugało się, a szron na rzęsach załaskotał powieki.

Trupojady. Bajka pogańska. Uskańskij na reniferach, Jakuci na piechotę - musiałyby ich jakoś niepostrzeżenie wyprzedzić gdzieś między strażnicą Łuszczija a Onocką... Bajka! Kaszlnęło się dymem przez zęby. Jeśli jednak istotnie pościg od Bajkała idzie - to prosi się o nieszczęście, kto tak beztrosko lekceważy wszelką ostrożność i przygotowania zbrojne. Choćby chata jakaś myśliwska, z pni grubych postawiona, półziemianka może, jeśli uda się grunt rozcieplić... Przecież gdyby to naprawdę tropiciele carscy dzisiaj z zaskoczenia zajechali, a nie czwórka wędrowców w potrzebie, nie ustałoby się przeciw nim długo. Ba, nie ustałoby się w ogóle: Ciecierkiewicz rozciecierkiewiczowany, Adin rączki załamujący, Tunguzi w panice, Szczekielnikow wali naraz z dubeltowy... jeden burdel. A miejsce jest, jakie jest: ani tu się ukryć (chyba że w las uchodząc), ani fortecy wielkiej postawić. Jak spadnie na kark oddział cały z isprawnikiem, to wiadomo, krewa. Ale czterech-sześciu inarodczych awanturników...? A trzeba się tu utrzymać, jak długo można. Abaas na Drogach Mamutów zawsze będzie wolniejszy. Pozostaje więc czekać i mieć nadzieję.

...Czyli to samo, co od początku. Poprawiwszy szmatę na twarzy, rozejrzało się po krajobrazie niczym fresku czarno-biało-czerwonym, niskim a szerokim, jak ze ściany Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademji Nauk zdjętym. Trudno, żeby się nie czuć zagubionym. Ale nie, to nie zagubienie, raczej piekące poczucie opuszczenia: ogień, światło, ludzie, wszystkie delicje i ponęty świata ciepłego - zostało to porzucone, zaprzepaszczone, przekreślone. Syberja zimna, cicha, oglądana z bryły lodowej - to jest to, co pozostaje po odjęciu z życia wszelkich jego potencyj. Panna Jelena - odjęta. Karjera u Kruppa - odrzucona. Żywoć bezpieczny, rodzinny, mieszczański - zamieniony na absurd błąkaniny po śnieżnych bezdrożach z wyrokiem śmierci nad głową. Ambicje naukowe - w kloakę wylane. *Et cetera*, można ciągnąć litanję czyścicową. I żeby się jeszcze dało rzec, iż taka czy taka kalkulacja stała za każdą tą decyzją, iż przeważyły takie a takie racje moralne, argumenta rozumowe...! Kiedy nic podobnego. Wspomina się przeszłość doklejoną w pamięci do tej terażniejszości - i obraz jak ślad węża na piasku, to znaczy zygzak po zygzaku. Co plan, to zniweczony; co nadzieja, to rozbita w drobny mak; co szansa normalności, to na kolanie połamana. Cóż za obłęd jakiś dziwny, co to za nałóg! (Żyje się).

...I tyle na koniec pozostaje: Syberja.

Cisnęło się niedopałek w sanie. Ognik stoczył się po gładzi kryształowej i zgaś w ciemności. Wstało się, dźgnięty podejrzeniem niejasnym. Koń, dyszel, sanie, lód - coś tu zgrzyta w skojarzeniach naocznych. Może to cienie wieczorne, a może... Czy sanie się odrobinę nie przesunęły? Czy koń w lodzie nie postąpił pół kroku na nogach trzech?

Odstąpiło się pięć, dziesięć arszynów, spojrzano się pod ostatnie promienie Słońca. Lodowa rzeźba na tle Syberji. Nic się porusza jak okiem sięgnąć. Cisza, martwota, mróz. Się zatrzęsło się pod szubą. *Choćby dźwigał na plecach cały Un-Ilu. Przyjdzie.*

Noc zalała Azję.

*10 grudnia 1924 roku, 101 ciem.*

*Nie wracaj. Car dookoła. Tesla pracuje tu w areszcie. Czekamy. Szulc żyje. Nie wracaj. Car dookoła.*

Pierwsi podnieśli raban Tunguzi, *manumunanumamununan* i *akkulukai*, hałasy na mierzłoci i walenie w zmrożone ściany namiotów. Się budziło się jak przez glinę, jak przez miód, mozolnie prac ku przytomności. Bardzo wielki mróz bynajmniej nie trzeźwi elektrycznie - usypia raczej; przed tym się ostrzega wszystkich na syberjadach: ażeby nie posnęli w zmęczeniu na zimnicy, nie pokładli się w śniegu „na minutku”, na oddech. Nie wstaną potem. Otworzyło się oczy zaszronione - uniosło się rękę zgrabiałą - oddech mgielny zawisł w trzeszczącym powietrzu. Biała szadz pokrywała wszystkie powierzchnie we wnętrzu jurty. Ogień w piecyku ledwo ćmił. Zachrypiało się na pana Szczekielnikowa. Zawinawszy się niemrawo w kożuchy dwa, wylazł na zewnątrz. (Mróz buchnął przez otwór jak obłok dymny). Nadstawiło się ucha. - Dupy w troki! - zakrzyknął. - Lodowiec idzie!

...A do jutrenki jeszcze godzina. Wyszło się ze szczapą płonąca, Francuz-soroka przyświecał świecieniem od ćmieczi w garści rękawicznej zamkniętej. Z mroku nocy wylaniały się migotliwe obrazy obłych kształtów na pięć, sześć arszynów wysokich, górujących nad ludźmi i namiotami. Etmatow tańcował na śniegu, plamy cieni odszamańskich skakały po masywach zwierciadlanych. Lód, lód wyrósł spod ziemi. Podreptało się bliżej - to nie luty - dało się podejść na dotyk, pod sam nawis glacialny. Mróz tu parł pancerny, ale można było ustać przez chwilę, wstrzymując oddech. Zajrzało się w głąb. Szczapa w ręce zaskwierczała i zgasła. Zobaczyło się jednak te rzeźby ciemne wewnątrz, kłęby dymu zamrożone: konia i sanie w lodzie. Ów nawis nad głową - to był gigantyczny łeb koński. Obeszło się formację dookoła. Dziewięćdziesiąt sześć kroków. Soplicowo jak Pan Bóg przykazał.

...W promieniach wschodzącego Słońca objawiło się w całej swej arktycznej krasie, wały zmarzliny, grzebienie sopli, aleje mlecznych stalagmitów, przęsła kryształowe, bloki przezroczyste a kolorowe wtopione w siebie pijanemi szeregami. Słońce przyzmatowało na soplicowie w tysiąc tęcz. Szaman miotał się w nich, pianę z ust tocząc. Omijało się go w

bezpiecznej odległości, nie mogąc oderwać wzroku od masywu lodowego, od tajemnicy w nim zatrzaśniętej. Co i raz podchodziło się i zaglądało w lustra słoneczne. Serce biło jak w cwale gonione. W ustach - suchy sopel języka. W oczach - skry tęczowe niby odłamki zwierciadła, tnące do łez. W płucach - śnieżycyca. W głowie - jedna myśl paniczna: on? on? on? Nie on. Podchodziło się i zaglądało. Wołali z obozu - nie zwracało się uwagi. Soroki zwinęły się i pojechały w swoją stronę - ledwo się spostrzegło. Zaczął padać śnieg w słońcu - niech pada. Podchodziło się i zaglądało. On? on? on? Nie on. Nie ma go. Były w soplicowie wyrwy, rozłamy cieniste, feerjami jutrzennemi napompowane, niby aleje śródlodowcowe, o których opowiadał pan Korzyński. Ale jak wejść, gdy ledwo starcza siły na czas jednego oddechu? Wstąpić w serce soplicowa i tam w pierś powietrze stalowe wbić... nóż pod żebra wrażony mniej groźnym. A jednak za każdym podejściem był krótki moment - tuż zanim powstrzymało się nogi od tego jednego kroku więcej - kiedy wszelki lęk i rozum przesłaniało wspomnienie z ostatniej nocy irkuckiej, wspomnienie jak refleks snu cudzego: czarno lśniący brzuch glacjusza - dłoń do Lodu wyciągnięta - Prawda przygarnięta do ciała żywego. Cóż tam soplicowo marnie! Przeżyło się lutego! A jednak za każdym podejściem - się zatrzymywało się na granicy. Spojrzenie wchodziło na kilka arszynów, dalej grzęzło w brudach lodowych, kefirowej zawieszynie, w kalejdoskopach jaskrawych. Konia i sanie dało się rozpoznać plamami niewyraźnymi, lecz centrum soplicowa znajdowało się gdzie indziej. Zaglądało się na próżno. On? Nie on. Bo czy mógł przybyć tak szybko? Przecież nie mógł. Strach i nadzieja zamały rozsądek. To rozgałęzienie Dróg Mamutów, coś dziwnego, że wymrażają się tu soplicowa? Należało się było tego spodziewać. Koń i sanie - należało się spodziewać. A Ojciec Mróz, kiedy przybędzie, jeśli przybędzie... Serce biło jak w galopie.

Trzeba było przenieść obóz poza mróz największy. Zdecydowało się o budowie chaty pod lasem, najprostszą metodą zaimkową, na węgiel, z pni nieheblowanych i obladrów, bez fundamentów, których niepodobna byłoby tu w grunt na granit zmarznięty wpuścić. Tak się zresztą od wieków na ziemi marzłocią ściętej buduje, to znaczy stawiając domy-pudełka na lodowych powierzchniach, które, gdy przychodzą czasy cieplejsze, rozmiękczają się w masę niestałą, i przekrzywiają się, wypaczają, zapadają dzielnice całe drewnianych chatynek. O czym zaraz pan Szczekielnikow opowiedział w tonie ponurej przepowiedni, powołując się na częste bytności w Jakucku, dotkniętym ową przypadłością architektoniczną w latach przed Zimą. Chata wszelako miała służyć najwyżej parę miesięcy i z pewnością odwilż żadna tymczasem jej nie zagrozi. Pan Szczekielnikow z kolei więc zrzędził i burczał, iż prędzej tu nadciągnie Batuszka Maroz, niż zdążą drzew zalodzonych narąbać i na mrozie takim z całą

robotą się sprawić. Pokazał, jak się siekiera od pnia przemrożonego odbija: jak od zimnaza.

Ale zagoniło się do roboty także japończyków i Tunguzów - oprócz Tigrija, który bodaj ani razu przez dzień cały do przytomności zupełnej nie doszedł, jeno ciągiem odprawiał swoje szamańskie rytuały pod soplicowem, jedną duszą na tym, drugą - na tamtym świecie przebywając.

W sześć chłopa, tuzin rąk zdrowych - zdołało się do zmroku zwalić wszystkiego dwa modrzewie i napocząć pichtę grubą. Kuzyn zły przytem spalił sobie rękawicę, a Ciecierkiewicz mały stopy nie odrąbał. Konieczność opalania pni przed ścięciem powodowała najwięcej komplikacyj - bo naturalnie nasampierw roztopiał się lód i śnieg dookoła drzewa zalegający i drwał wtem znajdował się zapadłym po pas pod walącym mu się na głowę potworem sopligrastym, w błocie zimnem, w dymie lepkiem, gryzącym. Nie należało przytem operować siekierą z marostiokłami na oczach. No a bez marostiokół dzień od świtu do zmierzchu pod otwartem niebem spędziwszy, cierpiało się ból oczu oślepiionych, a także lekkie natręctwo myśli naginanych hypnotycznie.

Schowawszy się do przeniesionego namiotu jako ostatni, zastało się pana Ciecierkiewicza skulonego pod ścianą, naburmuszonego, oćmiatą srogą pełgającego, po raz pierwszy wszakże w czymś przypominającym bezruch ludzki.

- Ciecierkiewicz, duszo zbita, co wam?

- Słucham, jak mi włosy w uszach rosną.

- Zajrzał w soplicowo - rzekł Adin. - A powiadali księża mądrzy: nie podchodzić, nie patrzeć, nie dawać wiary.

Spoczęło się przy posłaniu, odłożyło się ómieczo metr. Pan Krzysztof przyglądał się, jak sporządzało się notatkę dzienną. Wpierw wszakże dłuższą chwilę chuchało się na palce i przykładało dłonie do piecyka.

- I jak?

- Spadło osiem ciem. Nagły skok natężenia ómieczy. Mhm - zerknęło się na Ciecierkiewicza - może i coś w tym jest. Wyłazi soplicowo, to skacze teslektryka. Bo że go tak wtem wzięło -

- O pana pytam. - Adin opuścił głos i głowę. - Rano wyglądał pan jak gorączką jaką złą zdjęty. Jak opętany prawie.

Pośliniwszy ołówek, kaligrafowało się bukwy regularne.

- Tigrij dobrze gadał - ciągnął japończyk półszepem konfidencjonalnym. - Pan się nie spodziewał. Niby mówił pan inaczej, ale tak naprawdę pan nie wierzył, że podobna możliwość w ogóle istnieje.

- Ach, tak naprawdę... - mruknęło się z przekąsem.

- Że go pan znajdzie. Że on pana znajdzie.

Zatrzasnęło się kajet.

- Zatem poznaliście tajemnice mego serca! Wyrzucam przez okno dieńgi grube, wyroki polityczne na siebie ściagam, życie w hazard stawiam, na pustynię lodową wyprawiam się, durak ostatni - ale tak naprawdę, a skądże!, tak naprawdę wcale nie chcę fatra ratować! - się zapluwało się w gniewie czerwonym.

- No, no, no - mitygował Adin - nie sroźcie się. Wszyscy my trochę trząśnięci. Przecież widzę, że dobry z was człowiek.

- Widzi! - szydziło się. - Dobry!

Uśmiechnął się smętnie, ćmiecz kałała sine wargi.

- Gdybym ja takiego ojca miał... też najbardziej lękałbym się obrazu w jego oczach.

Spojrzało się nań wzrokiem pustym.

To wszystko byli obcy ludzie.

*11 grudnia 1924 roku, 96 ciem.*

*Car dookoła. Książę w Aleksandrowska. Atak. Szulc i Pobiedonoscew. Tesla chory. List za Pociągłą. Nie wracaj. Car dookoła. Książę w Aleksandrowsku. Atak.*

W nocy przyśniło się, jak to w nocy wstali i zabili. Dlaczego mieliby zabić? We śnie w ogóle nie zabręsyło takie pytanie. Ot, wstali, otoczyli posłanie, zatłukli. Patrzyło się na to z góry, spod szczytu namiotu, duszą sałgyn kut. Czyngis Szczekielnikow, Adin, Ciecierkiewicz. Żadnego zdumienia. Rankiem mierzyło się ich spode łba, z zaciśniętymi wargami. Pan Szczekielnikow pierwszy wyszedł na wyrąb; rozłożywszy karty i poczyniwszy pomiary, dołączyło się doń na granicy lasu. Czyste słońce lodowe djamentowało na odległym o ćwierć wiorsty soplicowie.

- Jaką liczbę pan rzeknie, panie Gie? - charknął, ciskałszy piłę przez pień.

- Myślicie, że jeszcze urosło? - I obejrzało się na lodownię tęczową. - Liczba idzie na Mróz, na potęgę. Albo to istotnie Cziornoje Sijanije nad nami, albo mamuty pod nami, albo -

- Co?

Poprawiło się rękawice.

- Zaczyna mnie -

Stary inarodiec, wpółzgięty, wylazł zmiędzy picht.

Pan Szczekielnikow zawinął łapą znad głowy i cisnął siekierą. Wrąbała się w starucha aż po trzon. Nieszczęśnik ani stęknął; fiknął kozła i zległ jak długi, drzewcem topora ku niebu.

- No i cóżeś pan, na rany Chrystusa...!

- Źle mi wyglądał - mruknął Czyngis.

Źle mu wyglądał! Źle mu wyglądał! Nie wiedziało się, czy kłosem drewnianym po łbie mu dać, czy za Arcymistrza od razu łapać. Przecie taki ubijca zakamieniały -

Z tajgi wyszło pięciu kolejnych półnagich dzikusów, w szmatach i talizmanach żelaznych. W rękach mieli włócznie i bierdanki. Drugi z lewej na barkach szerokich kołysał małą głową czarnookiego Miefodija Pielki. Ćmiecz z nich buchała tłustymi kłębami nocy.

Pan Szczekielnikow spojrział, charknął, splunął, trząchnął kułakiem w pierś i rozprostował plecy kwadratowe.

- Mam nóż.

Miał nóż.

## **O trupojadach**

Rozstrzelawszy i zadźgawszy pana Szczekielnikowa na śmierć, pomaszrowali ku obozowi.

Trzech ich zostało. Zabrali strzelby Awahitom przez Czyngisa rozprutym i ładowali je teraz w marszu, stąpając powoli, tym samym statecznym krokiem tysięczmilowej wędrówki.

Tymczasem zdążyło się rozpiąć szubę, wyjąć i odpakować Arcymistrza, zzuć rękawicę nieforemną, odciągnąć kurek, wycelować -



Strzelić.

I trafiło się z celnością zimową. Awahita zamarzył w półrozerwany, to znaczy zatrzaśnięty w choinie lodu: ramię na jednej gałęzi, głowa na innej, noga nad głową. Drugi, zagarnięty falangą mrozu, padł w śnieg głęboki i tak zalodział: piętami do Słońca.

Zaciskając zęby, uniosło się lewą, żywą rękę i ponownie odciągnęło się skorpioną. Pozbawiona czucia prawica nie poddawała się woli; uklękawszy, zamknęło się wężową kolbę w obu dłoniach. Pielkowy piegnarowiec postępował z włócznią wzniesioną. Strzeliło się mu w pierś. Sople czerwony przebił go niczym lanca anielska, stalagmit gruby jak lufa armatnia rozsadził go od środka.

Się podniosło się na nogi. Przybiegli japończyki. Wokoło na trupach mozaikowych stał zagajnik szrapneli lodowych, drzewa kryształowych igieł, brzytew i rozgwiad.

- Panie Benedykcie, co się -

- Kto to jest?!

- Czyngis nie żyje - rzekło się i odkaszlnęło się smoliście. Z jaszczurczej lufy Grossmajstera zionęła ćmiec gęsta. Schowało się go za pas, pod rozpiętą szubę.

Ciecierkiewicz wyrwał z futerału sztucer.

- Gdzie? Kto? Gdzie? Co? Co? Co?

Przytrzymało się go za ramię. Zamarzył na chwilę.

- To ci z Bajkała, te djabły Etmatowa. Ktoś posłał za mną gojlemy piegnarowe. Ochrona carska zapewne. Trzeba by tu chyba postawić maszty trupie. Gdzie nasi Tunguzi?

- Skaczą dookoła soplicowa - rzekł Adin, poczem padł w śnieg biały z wystrzelonym z czaszki mózgiem.

Ciecierkiewicz wrzasnął i wypalił na oślep.

Zza gaju lodowego wykulał Awahita z dziurą po siekierze w pierś. Niezgrabnymi paluchami ładował nowy nabój do bierdanki.

Ruszało się także coś w zaspie: wygrzebywał się ten wmrożony piętami do góry.

Głowa Jakuty nadziana na iglicę drzewa-eksplozji otworzyła oczy pod szronem i jęła mlaskać rytmicznie.

A Jakuta stary, ten kulejący - on nie mógł sobie tak poradzić z nabojem, bo miał osiem

paluchów u ręki, każdy z innej parafji.

- Nie zabijesz ich - rzekło się piłsudczykowi. - To sprawa dla szamana.

Ale Ciecierkiewicz właśnie rozkleił się do imentu, to znaczy postradał zmysły. Wytrzeszczywszy oczy na pandemonjum nieżywe, cisnął sztucer na ziemię i pognął do obozu, do renów.

Stary Jakuta podźwignął bierdanę do oka, nacisnął spust. Nie wypaliła. Mróz. (Albo Młot Ćmieczy).

Obróciło się w głowie witraż warjantów logicznych jak szybę szronem arabeskowym zamalowaną. Reny - na renach prędko ucieknie się pieszemu pościgowi - ale jak daleko? Nie zdąży się przecież zwinąć obozu, zabrać zapasów. Dopędzą. A Etmatow - jeśli jego zabiją, to już żadna szansa nie zostanie.

Się odwróciło się i pobiegło się do soplicowa.

Biegło się przez śnieg zapadlisty, jakby się w ruchomych piaskach brodziło, od pozy statycznej do pozy. Się nie oglądało się przez ramię, kula mogła uderzyć w plecy w każdej sekundzie, był to zakład ze Śmiercią. Krok, i krok, i krok, i krok, i nadal się żyje, nadal cisza biała i tylko skrzyp zmarzliny i oddech czarny, rzęźliwy.

Huknęło. Staneło się z nogą ugiętą. Ponad białym polem przepłynął wrzask śmiertelny pana Ciecierkiewicza. Opuściło się nogę.

Krok, i krok, i krok, i się nie oglądało się przez ramię.

Tunguzi musieli słyszeć strzelaninę, wyskoczyły zza soplicowa sylwetki w skórach, zaraz schowały się z powrotem. Zawołało się, raz i drugi. Bez odpowiedzi.

Huknęło. Kula wizgnęła koło szapki.

Krok, i krok, i krok.

Tęcze soplicowa objęły skrzydłami motylemi, jedwabne kolory starły z oczu łączy wysiłku.

Dopadło się pierwszego bloku lodowego i runęło się na kolana za jego osłoną, dysząc i kaszląc.

Bajka syberyjska. Starło się z brody sople śliny. Bajka syberyjska, gojlemy, Awahici, szamani, trupojady nieśmiertelne, bajka, bajka. (Nawoływali się tam od tajgi pieśniami zwierzęcemi). Wstało się. W soplicowie odbiła się sylweta czarna z wulkanem kwiatowym bijącym z brzucha. Odruchowo złożyło się nagą dłoń na ogonie rewolweru. Bajka.

- Tigrij! - wołało się, obchodząc róg masywu. - *Jokó-Awāhe! Iii mat! Bakturanegin!*

Tigrij Etmatow opuścił kościane ostrze po raz drugi i poderżnął gardło dobremu kuzynowi. Wyszczrzywszy się radośnie przez pianę na ustach zamarznąłą, potrząsnął głową, wyrócił oczyma i pokulał w głąb soplicowa. Mleczne firany mrozu zawinęły się za nim jak całun trumienny.

Podeszło się powoli do mandali czerwieni rozchlapanych tu na wydeptanym śniegu. Malunki krwawe otaczały niewielkie postaci Tunguzów zakutanych szczelnie w skóry i futra; obaj leżeli w tych samych figurach symetrycznych, jeden głową ku wejściu do soplicowa, drugi przeciwnie. Jeszcze parowali. Z dobrego kuzyna jeszcze tryskała posoka, jeszcze drgały mu członki. Gdy zarzynany, ani kwiknął.

Etmatow zabrał ich ze sobą tylko po to, żeby wykrwawić w stosownej chwili u wrót Lodu.

Stawił się u Urjasza na syberjadę z tym jednym zamysłem: iż Synem Mroza otworzy sobie drzwi do abaasów.

Od początku było wszak powiedziane: kłaniają się temu, co sami w prawdzie jasnej złem największem widzą; śnią o wiecznej niewoli w brzuchu Smoka.

Od początku było pokazane: te Tunguzy odwrócone - to są djabły, a ten drug nożownik - to jest morderca, a to - to jest śmierć.

Wiedziało się przecież. Nikt nie kłamał, nie oszukiwał, nie było nawet takiej możliwości. Prawda stała czysta, oczywista. Widziało się dobrze.

A jednak dotąd nie zdołało się przebić owej barjery między wiedzą a czynem, język pierwszego rodzaju nie dał się przełożyć na mowę międzyludzką; są rzeczy, które można wiedzieć, ale których nie można opowiedzieć i osądzić. I teraz sterczy się nad karminową zmarzliną, zionący parą grafitową i blademi świecieniami, rozpaczliwie zdumiony - sapliak, głupiec, dziecko.

Krszkyp, trsztypp, maszerują gojlemy piegnarowe, chwieją się na śniegu ciała pozlepiane, wymachując nieproporcjonalnymi kończynami. Stary Jakuta znowu unosi do oka bierdankę oszronioną.

Ttuk. Nie wypaliła.

Przeżegnawszy się zimno, wbiegło się do soplicowa.

Wąskie przejście między ścianami blasku słonecznego zakręcało co chwila w zygzakach koślawych, jak ułożył się w losowych rozpęknięciach labirynt lodu. Już po trzech obrotach utraciło się rozeznanie kierunków świata i położenia względem ściany wejściowej.

W mróz-tęczach majaczyły kształty widmowe, cienie w kamieniu mgiełnym. Gdzieś tu koń kary ciągnął spalone sanie w geologicznym pędzie. Biegł szaman tunguski we krwi. Maszerowali Awahici. Gdzieś tu Prawda stężona płynęła Drogami Mamutów.

Powstrzymywało się oddech z całych sił, aż w końcu nie spostrzegło się, kiedy tama puściła i weszło w płuca pierwsze i drugie technienie Lodu. Przystanęło się w widłowym trójrozpadlisku lodowca i dopiero zauważyło się, iż Mróz chodzi już w piersi wte i wewte niczym wodospad arktyczny. Przycisnęło się zimną dłoń do zimnej kurty. Ruch ręki pozostawił w powietrzu powidok niebytu - nie było mgły, ale jakoś w tym rozslonecznieniu pryzmatycznym, rozdjamentowaniu milionfasetowym przeszłość trwała na widoku odrobinę dłużej, przyszłość zaś przesuwiała się w kalejdoskopach jasnobarwnych. Mróz uderzał do głowy niczym wino odurzające i naraz pomyślało się o balu na niebie Syberji w pałacu kryształowym generał-gubernatora Szulca-Zimowego; za filarami szklanymi przebiegła krasawica olśniewająca, Córka Zimy. Się ukloniło się i -

- Panie Gieeee...!

Gdzieś tu łeb Szczekielnikowa na zlepieńca piegnarowego namrożony wyje za swą ofiarą ostatnią, krwiożerczą tęsknotą powodowany. Maszerują Awahici.

Uciekało się przez labirynt na oślep, na odruch, na panikę.

I mało nie wpadło się na nich z rozpędu, postępowali w szeregu długim, na przedzie ten barczysty z głową Pielki. Dźgnął włócznią, co zobaczyło się na lodzie mgnienie wcześniej - odskoczyło się.

Mgnienie, ułamek sekundy, czarny oddech na języku, myśl kryształowa w czaszce. Co robić?

Arcymistrz w ręce. Strzelić w gojlemy? Nic nie da; mróz ich życie. Strzelić w lód, zablokować przejście? Znajdą drogę, obejdą.

Zostały jeno dwie kule.

Młot Tesli uderza trzy razy na minutę - to zaledwie kilka sekund w szczycie fali.

Ale jakie inne wyjście?

Się cofnęło się pod stalagmit i skierowawszy Grossmajstera pionowo w dół, strzeliło się między stopy.

Mróz -

- zarósł do reszty okienko na podwórze studzienne: esy-floresy i hafty koronkowe, geometryczne grafy i plamy jak rozbłyśki słońca w szronie sfotografowane. Podkreśliłem knot lampy, w izbie pojaśniało. Wicher duł w kominie. Odłożyłem niedokończony list do panny Julji, otwarłem traktat *O prawdzie* Alfreda Tajtelbauma. Ktoś zapukał do drzwi. Odruchowo złapałem się za pugilares - czy Zyga zapłacił Biernatowej komorne za ten miesiąc? Zmarszczyłem się w wysiłku daremnym. Jaki właściwie mamy miesiąc? Rzut oka na okno: okno zarośnięte, a za oknem oczywiście zima.

Zapukano ponownie.

- Proszę!

Weszła i zaraz zamknęła za sobą drzwi. Z płaszcza o szerokim kołnierzu sobolim sypały się kaskady drobnego śniegu. Wstałem; wyjęła z mufki rączkę mocną, chłopięcą; ucałowałem zimną dłoń. Na każdym palcu widniała wąska obrączka z lśniącego zimnaza ozdobiona tungetytowym inkrustunkiem.

- Byli już? - spytała, obejmując pomieszczenie spojrzeniem szybkim. Lico dziewczęce malował rumieniec od mrozu, włosy jak złota pszenica uciekały spod toczka.

- Kto?

- Czynnicy Zimy, panowie w melonikach.

- Nie-

- Idziemy!

Nie zostawiła luki na sprzeciw. Zawróciła do drzwi; wpierw wyjrzała ostrożnie, potem wszakże, nie czekając już ani chwili, pociągnęła na korytarz i popędziła ku schodom, stukając ostro obcasikami. Zawahałem się nad pierwszym stopniem. Wtedy ona znów zawróciła, mało co mnie nie przewracając; zakręciliśmy się w hulajsnopie sobola, śniegu, mrozu i cierpkiego pachnidła pannicy. Syknęła coś przez wargi sine. Zerknąłem w dół ponad krzywą poręczą. Wielgachne cienie karaluchowe płynęły po ścianach klatki schodowej. Wychyliwszy się głębiej, pochwyciłem obraz sylwety szerokiej w czarnej szubie, w obłym meloniku. Dwóch ich było, prowadziła Biernatowa. Łup-dłup, stawiali stopy z siłą kafara, kamienica prawie się

trzęsła pod nogami czynowników.

Pobiegliśmy do schodów węglowych. Panna skądś знаła te wnętrza półciemne, anatomję całą cuchnącą czynszówki artretyzmem architektonicznym wykręconej. Prowadziła pewnie, przeskakując po dwa stopnie, paltem po ceglach zaszronionych szorując. Tak zstąpiliśmy piętro, i drugie, i trzecie, i czwarte, i dopiero pojąłem, że nie jesteśmy już w Warszawie zbudowanej człowieczemi rękoma. W pasażu podziemnym ponad ściekami w czarne gruzły zamarniętymi lśniły stalaktyty ohydy i skondensowane nacieki brudu fosforyzującego. Z poskręcanych w supły niemożliwe rur buchała czarno-biała para. Na ceglach wielkości kufrów królewskich świeciły zielonym grzybem wydrapane znaki przedludzkiego alfabetu. Pod nogami, w lodowej gnojowicy i ściętej w gnój-porcelanę pianie nieczystości widziałem ślady stóp i łap i narządów obcych ssakom ziemskim. Na wysokości czterech metrów wystawała zmiędzy cegieł, wpółwynurzona z murarki, główka niemowlęcia.

Dziewczę przeskoczyło nurt kamienny i wskazało w niską ciemność, między fundamentami wykruszonemi, jak pilastrami starożytnego grobowca. Zbliżyłem się ostrożnie. Zionęło zgnilizną i swądem rdzy. Popchnęła mnie energicznie. Wszedłem wpółzgięty. Ciemność opływała nas strugami zimnego oleju. Szliśmy w dół, potem w górę, potem znowu w dół, potem i te kierunki się pomieszały. Sypały się na nas drzazgi lodowe, deszcz nieustanny drobin przetrawionych i wydalonych przez ziemię, w tym także przedmioty człowieczego pochodzenia: guziki, szpilki, bilety, ogryzki, zęby, monety, kłębki włosów, niedopałki papierosów, łańcuszki z krzyżykami, kamyki zamarniętej flegmy, okruchy fajansu, pieczętki, dzwonki, broszki, wykałaczkki, kości palców, szklane oczy, gumki, zapaliki, grzebyki, tabakiery, cukierki, paznokcie, łyżeczki, stalówki, pierścionki, klucze, różańce, nieśmiertelniki żołnierskie, sztuczne szczęki, gwoździe, fotografie podarte, strzępy listów miłosnych, wszystko, co po człowieku można znaleźć w rynsztokach, na śmietnikach podmiejskich, pod krawężnikami, w studniach starych i korytach rzek. Przeciskało się to mozolnie przez sito ziemi i spadało tutaj, zagęszczone na ujściu do mocnego strumienia. Co jakiś czas ulewa ustawała albo właśnie jeszcze narastała - po wstrząsie gwałtownym, łomocie głuchym przetaczającym się podziemiami. Dziewczyna chwytala mnie wówczas za rękę, nakazując przeczekać sejsmiczne niepokoje. Skorzystawszy z chwili bezruchu, wykręciłem boleśnie szyję, spojrzałem wzwyż. Na niebie czarnej gliny wyświeślały się konstelacje kroków ulicznych, płuły blado mgławice cmentarnych mogił, geologiczne fronty chmur bazaltowych wyznaczały wektory poczucia i śmierci. Połamana grzechotka uderzyła mnie w nos i opuściłem głowę. - Jesteśmy na Drogach Mamutów. - Chodź.

Wyszliśmy w krypcie między martwymi monarchami. Na katafalkach wyrzeźbiono podobizny mężów wyciągniętych w pozach pośmiertnych, wpółzatopionych w kamień. Zdało mi się, że poznaję rysy zimne tego i tego i tamtego, że poznaję wręcz rodzinne podobieństwo między nimi. Odpowiadali mi spojrzeniami ślepiemi, gładkiemi; ledwo jeden i drugi mrugnął, językiem granitowym po wargach spękanych przesunął, wąsem zastrygł spod pleśni. Nie poruszyli się, gdy przebiegliśmy do drzwi na powierzchnię.

Panna szarpnęła klamką bezsilnie; były zamknięte. Sięgnąłem pod jej toczek, włosy wysypały się na sobole i ramiona dziewczuki. Odkluczywszy zamek spinką wygiętą, cisnąłem metal na posadzkę. Raz zadzwonił i zamilkł. Wszystko wraca do ziemi.

W bocznej nawie garbaty kościelny czyścił wota srebrne przed figurą Maryji Panny. Przyklęknąwszy i przeżegnawszy się, usiadłem w pierwszej ławie przed ołtarzem głównym, ozdobionym ciemną barwą adwentową, pod krzyżem ogromnym, na którym Chrystus Pan krwawi z serca i głowy i dłoni i stóp.

Panna przystanąła, obejrzała się i zawróciła; niecierpliwiła się prędko.

- Nie wolno się zatrzymywać! Nie można się zatrzymywać!

Przytknąłem palec do warg, nakazując jej milczenie. Krzyż stał nachylony nad ołtarzem, ciało Zbawiciela wisiało nad nim wygięte w półłuk. Wielkie jak wróble krople krwi uderzały w materiał lśniący od języków świec, plask, plask, słychać było w całym kościele; musiał się być poruszyć na krzyżu. Pojawiła się zakonnica, zabrała pełny kielich, postawiła na ołtarzu pusty.

Zapach starych kadzideł przyprawiał mnie o mdłości, zapach kadzideł i krwi, podobny woni starego żelaza. Złamało mnie w pół, schowałem głowę między kolana. Oddychałem otwartymi ustami.

Panna nachyliła się nade mną, objęła ramieniem i przykryła płaszczem sobolim, swoim pachnidłem zasłoniła trucizny kościelne. Ścisnęła me skronie silnymi dłońmi.

- Przypomnij sobie i zapomnij - szepnęła mi do ucha. - Zdejmuję z ciebie twoją przysięgę! Zdjęłam z ciebie przysięgę! Nie przysięgałeś! Odmarzło - zamarzło.

Dotyk zimnaza przyniósł otrzeźwienie. Wyprostowałem się.

- Nie przysięgałem...?

- Chodź.

Wyszliśmy w noc. Warszawa spała pod śniegiem i lutymi. Wokół wysokich latarni pęczniały aureole włóczkowego blasku; dobre duszki wysnuwały się z nich na niciach babiej zimy. Cienie kozaków majaczyły w bieli i czerni ulic zaśnieżonych, zamglonych, zawsze o jedną przecznicę odległe. Klekot kopyt na lodzie niósł się alejami i zaułkami. Nad dachami domów przykrytych do snu czapami zasp śmietanowych uśmiechał się jednooki Księżyc.

Diewuszka wybierała zaułki - zaułki, pasáže wąskie, podwórza ciemne, ścieżki złodzieji i szpiclów. Tak zaszliśmy pod tylne drzwi kamienicy piętrowej, które otwarła bez pukania i bez klucza. Ponagłając mnie nieustannie, wspięła się ostrożnie na piętro. Też stawiałem stopy z wyjątkową delikatnością, bojąc się jednego dźwięku zdradzieckiego. W tym domu spali ludzie.

Na piętrze wepchnęła mnie do bocznego pokoiku i cofnęła się na korytarz.

W ostatniej chwili złapałem ją za rękaw.

- Kim-

- Cśśś! Zaraz przyjdzie.

Na ulicy już powstał rejwach, słyszeliśmy rzenie koni, gniewne zawołania policyjne.

- Kim jesteś?

Przestąpiła przez próg i pocałowała mnie w czoło. Lód wybuchł mi pod czaszką, aż zatoczyłem się na łóżeczko dziecinne.

- Emilja.

- Poznałbym cię przecież!

- Nigdy się nie widzieliśmy - rzekła i umknęła, zatraskując drzwi.

Coś oddychało, coś poruszało się w tej ciemności. Zamarłem, nasłuchując. Rosyjskie pokrzykiwania wulgarne wypełniły dom, krzyki i łomot butów żołnierskich i wysokie głosy kobiece i trzask pękającego drewna. Ktoś biegł korytarzem na piętrze. Odsunąłem się pod ścianę. Wtem drzwi otworzyły się i do środka wpadł -

- blask jasny, ciepły, powieki i lica łaskoczący. Zamrugało się; pękł szron. Zakaszłało się; spadły sopte. Wciągnęło się w płuca powietrze; puścił pancierz lodowy. Krzyknęło się i wypadło się na śnieg.

Wszystko bolało. Się przewróciło się na plecy. Ze ściany soplicowa spoglądała twarz lustrzana, wykrzywiona grymasem cierpienia - tyle że na arszyn wielka. Był wieczór i cały



lód płonął różowo, czereśniowo, skupiając promienie zachodzącego Słońca niczym soczewka. Usiadło się. Wszystko bolało, lecz był to ból jak po wielkim wysiłku, po biegu długim, nie zaś po torturze złośliwie ciało niszczącej. A więc tak zostaje się zimownikiem, pomyślało się. Wstało się i kopnięciem rozbiło się sople, w którym wisiał Arcymistrz. Uderzeniem o kolano strzaskało się następnie zmarzlinę wewnętrznego mechanizmu rewolweru. Złamało się jaszczura: jedna kula w kielichu kwiatowym. Się rozejrzało się za gojlemami-zmrożeńcami.

Wtedy dopiero spostrzegło się więcej faktów niezgodnych z ostatnią pamięcią. Koń zamarznięty i sanie współspalone znajdowały się po lewej, kilkanaście kroków od zewnętrznej ściany soplicowa. Soplicowo zdążyło się przesunąć dobre trzydzieści arszynów. Osłoniwszy oczy od ulewy słonecznej, spojrzano się w stronę obozu. Kilka tyczek i jeden strzyp płachty wołkowej smętnie nad zaspami świeżymi powiewający, chorągiew-horragiew. Po renach ani śladu.

W bezmyślnym odruchu wyszarpnęło się spod szuby, kurty i swetra dewizkę. Zegarek oczywiście stał, zamarznięty. Potrząsnęło się głową, bokser prawym sierpem przez Pana Boga podzielony.

Na niebie wieczornem wiszą pojedyncze pasma budyniowych chmur.

Nic żywego nie porusza się na pustkowiu onockim.

Martwa cisza wyciska z mrozu pojedyncze trzaski i szurnięcia obsuwającego się śniegu.

Od horyzontu po horyzont - żadnego znaku królestwa człowieka.

Daleko na południowym zachodzie - pojedyncza skorupa wysokiego lutego.

Zza Gór Przymorskich wylewa się noc.

Minął bowiem dzień, a może miesiąc, a może rok, a może lat tysiąc i tymczasem zniknął ród ludzki z powierzchni planety. Podczas gdy w Zimie, pod Lodem nic nie przemija i nic nowego nie przychodzi. Jest to, co jest. Tu zamarza Historia, ale co to za Historia, gdy dzień nie różni się od dnia i wszystko trwa w niewzruszonym porządku? Prawda jest jedna i Prawda się nie zmienia, jako że każda zmiana oznaczałaby zmianę w Fałsz. Nie odkryło się w lodzie palca wbrew pamięci odgryzionego - jest się tym palcem. A wszystko, co poza chwilą terażniejszą - nie istnieje.

Powłócząc nogami, poczłapało się do obozu. Tu i ówdzie wystawały spod śniegu kawałki sprzętów, oblodzone kształty bagażu, żerdzie połamane, płoza wywróconych sań. Znalazło się pręt zimnazowy od kociołka Tunguzów oraz szczapę ciężką, mocną. Za ich pomocą rozkuło

się zaspę na miejscu, gdzie stał był namiot japończyków. Wydobyło się piecyk, lodowy skrzep skór renich, zgniecione pudło blaszane na medykamenta i naftę, kilka książek zamrożonych i sakwę myśliwską Adina. Obeszło się obóz dookoła. Gdzie spostrzegło się nierówność nienaturalną, dźgało się prętem. Tak odkryło się między innymi tylną nogę rena, a także zamrożoną z zaciśniętą pięścią rękę Ciecierkiewicza.

Słońce zachodziło; wróciło się do piecyka. Gdyby tylko udało się... Co? Nawet jeśli piecyk nie całkiem zepsuty, nawet jeśli znajdzie się doń na czas dosyć drewna... Może przetrzyma się jedną, drugą noc - ale co dalej? Nogi w końcu się ugięły, się osunęło się pod żałobny sztandar skostniałego wojującego. Nie ma renów, nie ma jak wrócić do ludzi, do życia. Może wygrzebie się jeszcze jakieś szczątki, zapasy zachowane w lodzie. Potem zostaną truchła reniferów. Potem ten koń. Potem - Ciecierkiewicz. Ale kiedy już zje się trupy ostatnie...?

Pomacało się pod szubą, jeszcze twardą, przelodzoną. Papierośnica, zapalki - wszystko w szronie, mokre, zresztą ręce się trzęsą, palce nie chcą słuchać. Długą chwilę się przyglądało się w tępe zdumieniu nagiej dłoni sienie. Gdzie podziały się rękawice? Zimownicy też nie każdą temperaturę wytrzymują. Zamarznie się. Papierosy wysypały się na śnieg. Ha, teraz to Emilja nie przyjdzie, nie pomoże...! Dygot zły rósł z głębi piersi; się zawinęło się w szubę, przycisnęło się kolana pod brodę. Zagryzło się zęby. To zwierzę próbuje się wydostać. Nie pozwolić mu wyjść! Kryształki łez kłuły w oczy. Nie pozwolić na tę rozpacz dziką, histeryczną! W obecności drugiego człowieka przyszedłby tu z wielką pomocą Wstyd niezawodny; bez ludzi trzeba się ratować inaczej. Poczęło się liczyć puls w skroni bijący. Obróciło się wzrok wzwyż, na niebo Azji, na gwiazdy pierwsze - czy zna się te konstelacje? czy potrafi się je nazwać? Wieszało się oczy na refleksach pięknych z soplicowa kwitnących. Próbowało się w tym świetle wątkiem odczytać słowa i zdania z książek spod śniegu wykopanych. I tak, jeszcze nie rozpoznając oderwanej od soplicowa lodowej figury ojca, podniosło się ręką drżącą najbliższą książkę, zmrożoną stronicami otwartymi ku niebu.

*Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział AnHELLI na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.*

*Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.*

*A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: Poznałem was, nie kryjcie się; Aniołami jesteście.*

*Przychodźcie-li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?*

*I rzekli mu ci młodzieńcy: Oto przyszedliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.*

*Przyszedliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.*

*Przyszedliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.*

**IV**

**UN-ILU**

„A wyłącznym przedmiotem wszelkiego czynu jest to, co może być i może nie być, nie jest ani konieczne, ani niemożliwe, co leży w sferze obustronnej możliwości; jest to sfera działania, sfera czynu; sfera rzeczywistości nie jest sferą czynu, czyn się kończy tam, gdzie zaczyna się prawda, prawda się kończy tam, gdzie się zaczyna czyn. Istota wszechwiedząca nie mogłaby nic stworzyć, istota wszechmocna - nic wiedzieć”.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### O ojcu najzimniejszym

13 grudnia 1924 roku - niechaj to będzie ten dzień.

Zamarzło.

Ramiona ojca - skrzydła stalaktytów. Nogi ojca - kolumny lodowcowe. Pierś ojca - glacialny pancernik. Ojca przyrodzenie - róg sopliczny, ciemny. Ojca głowa - tysiącpułowa eksplozja cierni kryształowych, pół nieba rozdzierająca. Palec wskazujący jego - rapier szklany, kulę ziemską przebijający. Jego oko otwarte, patrzące - perła anielskiego błękitu.

- Tato?

Ani drgnie.

Podchodzi się. Nie spojrzysz.

Wyciąga się rękę. On zionie mrozem.

Się boi się go dotknąć, to lód śmiertelny.

Siada się na śniegu u stóp ojca.

Ojciec stoi w milczeniu, monumentalna postać lodowa.

Rozpostarty spod ziemi w skrzydle cukrowej marzłoci na dobre pięć arszynów, przesłania ostatnie tęcze czerwone soplicowa, rzucając cień długi, głęboki; siedzi się w tym cieniu, zadzierając głowę na kolanach wspartą, niczym małe dziecko.

On patrzy z góry, z wysokości, na jakiej wisi wmarznięty w bloki rzeźby lodowej, soplicowym kunsztem wyogromniające wszystkie kształty ciała.

- Tato?

Ani drgnie. Powietrze skrapla się na jego masywie białymi łzami.

Siedzi się pokornie w bezruchu. Minuta, dwie, trzy - nazbyt wolno, by dostrzec ruch żywy, w końcu obróciło się przeciw spojrzeniu fatra lodowego. Patrzy - widzi.

Wstaje się. Zdejmuje się szapkę. Ociera się twarz i brodę ze szronu.

- To ja, Benedykt.

Nie słyszy, oczywiście, jakżeby mógł usłyszeć? Ale też na pewno od razu poznał syna - jakżeby mógł nie poznać?

Stoi się w milczeniu. Nie można podejść, nie można dotknąć, nie można usłyszeć ani zostać usłyszonym.

Cisza nad Azją, tylko ciemność trzeszczy na śniegu, rozrastając się pajęczynowo.

Drży się.

Zaraz noc zapadnie zupełna, zgaśnie soplicowo, zgasną lodowce ojca.

On patrzy z góry i milczy jak luty.

Idzie się do zasypanego obozu, wygrzebuje się z sakwy myśliwskiej zapalniczkę naftową, wyjmując się z piecyka bańkę nafty. Zbiera się kilka wykopanych szczap i pręt zimnawowy i idzie się pod las, na miejsce wyrębu. Tu wszystko zasypane śniegiem, zalodzone. Dźga się prętem za siekierą Szczekielnikowa. Bez skutku; nie sposób zgadnąć, gdzie cisnął ją Jakuta. Zbiera się kilka starych gałęzi połamanych, jakieś krzewy zaszronione. Znosi się to wszystko do ojca. On tymczasem przesunął się o pół arszyna w fali Mrozu, opuścił nieco ku ziemi głowę ciężką: wielkie Słońce otoczone koroną szabel i szpil lodowych, na dwa arszyny długich. Spogląda spod opuszczonych powiek brzytwami orzęsowanymi.

Zapala się dwa ogniska, pod prawą i pod lewą ręką ojca. Płomienie ani go sięgają, dym idzie naokoło, jakby odpychany odeń prądami zimnego powietrza. Zapadł już zmierzch zupełny i jedyne światło na szklanych gładziach ojca - jeśli nie liczyć gwiazd odległych - to ten blask dwóch skromnych ognisk. On nadaje ojcu pozory życia: rozedrgane płomienie, roztańczone cienie, pełgające kolory.

Poza tym - martwe tło nocnej Syberji.

- Tato!

Patrzy.

Drży się. Ponownie wyjmując się papierośnicę, odpala się nieforemny papierosa od szczapy z ogniska wyjętej. Tytuń smakuje wyjątkowo gorzko. Z dłonią sino-czerwoną dygoczącą przy ustach, obchodzi się ojca wokoło. Na koniec staje się poza ogniskami i poza ojca spojrzeniem. Gwiazda jego głowy obraca się zbyt wolno, by odczytać intencję spojrzenia. To mowa kamienia - może tylko przywalić masą granitową, jeśli człowiek w czas

nie umknie.

Papieros spopiela się do reszty. Dorzuciwszy do ognisk, siada się z powrotem na łodzie, się zawija się w szubę, naciąga się małachaj na uszy, się obwija się szmatami. W ciemności trzeszczy zmarzlina. Ojciec zgiął kciuk lewej dłoni, miecz kryształowy celuje teraz w niebo. Próbuje się poruszyć palcami w tarbasach przelodzonych, ale spostrzega się, że nie czuje się tych palców w ogóle. Pojmuje się, że najprawdopodobniej nie przeżyje się tej nocy. Ten dreszcz niekontrolowalny - to już hypotermja. Opowiadał Sasza Pawlicz przy różnych okazjach. Tak przychodzi śmierć sybirska: najpierw chłód kłuszący i nieposłuszeństwo mięśni, uciekające spod człowieka nogi, zbyt słabe ręce, potem zagubienie i lęk dziwny, potem dreszcze coraz silniejsze, w których dzwoni się już zębami i głową rzuca jak epileptyk, potem poczucie zagubienia w czasie i ból okropny, a potem odchodzi ból, odchodzą dreszcze i człowiek sztywnieje powoli, tracąc czucie i świadomość, stopniowo upodabiając się do trupa - aż upodobni się doń zupełnie, wymroźnięty na śmierć. Kwestja godzin. Nie przeżyje się nocy.

Chce się płakać. Nie chce się płakać.

Ojciec patrzy. (Obróciła się gwiazda cierniowa).

Cisza. Syberja. Lód.

Mróz tnie płuca i niszczy ciało.

Koniec.

I prawie że widzi się, jak do tej chwili nieuchronnej, jedynej koniecznej domarza stopniowo cała przeszłość pamiętana. Pod spojrzeniem ojca nieruchomieje prawda. Oto jest błogosławieństwo Batuszki Maroza. Im większe zimno pod skórą i im powolniejsza krew, tern większa pewność, że w istocie żadne inne spotkanie syna z ojcem najzimniejszym nie było możliwym - tylko takie: na pustkowiu bezludnym, w miejscu odciętem od innych miejsc, w czasie odciętem od innych czasów, na ostatniej wysepce maleńkiej w oceanie nieistnienia. Tem silniejsza oczywistość - że cała ta wielomiesięczna podróż do raditielia była niczym innym jak matematyczną redukcją do jedynoprawdy Benedykta Gierosławskiego: najpierw, w Ekspresie Transsyberyjskim, odcięło się wszystkich fałszywych Benedyktów Gierosławskich, wszystkie kłamstwa, któremi się żyło w Lecie, jak to żyją z rozpędu w iluzjach ciepłych ludzie, którzy sami nie wiedzą, kim są, dzieci nie z krwi Ismaelowej zrodzone; potem, w Irkucku, odcięło się wszystkie nadzieje przyszłości Benedykta Gierosławskiego, wszelkich innych możliwych Benedyktów Gierosławskich, którzy łatwo znaleźliby swoje szczęście w



wyparciu, odrzuceniu dziedzictwa Ismaelowego - już przecie się tak żyło, już prawie się nimi było, omal się zamarzło; potem wreszcie, potem-teraz, na chirurgicznym stole Syberji odrąbano całą resztę: ludzi, świat, Historję, Wstyd, przeszłość i przyszłość, nawet pewność samego życia i na życie dalsze widoki. Pozostała naga, zimna jedynoprawda podana na białej karcie Lodu: kilka cyfr, kilka liter.

Tylko tak Ojciec Mróz może się spotkać z Synem Mroza.

Kilka cyfr, kilka liter... Się podrywa się, podbiega się do ogniska, wyjmuje się z płomieni długą szczapę czarną. Wchodzi się z nią na plac białego śniegu wprost pod milionpudowe spojrzenie ojca. Ręce się trzęsą, krew z rozpekanych warg zamarza na szmatach i brodzie, skóra pod ubraniem złodzonem odrywa się płatami przy każdym ruchu.

A jednak zamiera się z ręką bezradnie opuszczoną, stanąwszy już na miejscu pierwszego słowa - bo jakie to słowo? co tu można powiedzieć? Pomiędzy ojcem a synem, pod Lodem, to jest w prawdzie absolutnej - co tu można powiedzieć? W języku pierwszego rodzaju - cóż tu pozostało do powiedzenia? Ojciec jest ojciec, syn jest syn - cóż jeszcze między nimi?

Cóż można powiedzieć, kiedy już można powiedzieć wszystko?

Się ogląda się przez ramię na zolbrzymioną w lodzie płomienną twarz ojca, brwi zmarszczone pod śniegiem, szczęki zaciśnięte, podbródek uniesiony, stalowy gwóźdź żrenicy. Miecze otaczające jego głowę rozcinają gwiazdozbiory Azji.

Czarną spalenizną rysuje się na śniegu wielkie litery:

WYBACZ

Ojciec patrzy.

Gieologiczne myśli tężeją w lodzie. Góry zmarzliny napierają na siebie. Ćmiecz leje się w światło. Płomienne odbłaski przesuwają się po igłach arszynowych. Ojciec Mróz poruszył palcem.

Rapier-stalaktyt przemarza przez ziemię, pozostawiając za sobą na powierzchni mierzłota ścieg kruszonu posoplowego.

W, potem B symetryczne, potem C jak pół skorupki jajka, potem Z z dwóch szronzygzaków złożone...

Trwa to minuty i minuty.

W B C Z J M Y W N I E M I

Sięga się na czysty śnieg krok dalej.

DLACZEGO

Ojciec patrzy.

J A J A J A J A J A J A

Przerywa się ten ciągnący ku nieskończoności wzór zmarzliny.

ŻYJESZ

Na to nie odpowiada; milczy, to znaczy zamarza w bezruchu.

Skurcze szarpią ramionami. Ująwszy szczapę dwoma rękami, kreśli się mocno:

WRÓĆ

Ojciec patrzy.

Powoli odkruszają się sople liter.

Z M N N N A D O L N I E K Ł A M N I E

LEOKADJA BOLEK JA

KŁAMNIE

Kłamgo! Ciska się szczapę precz, odchodzi się w mrok. Się zatacza się jak pijany. Nie można płakać, zamarzają powieki. Sięga się znowu po papierosa - zbyt trudne przedsięwzięcie, jeden, drugi, trzeci, sypią się zmiędzy palców drewnianych, pozbawionych czucia. Stoi się odwrócony plecami do ognia i ojca, bo to jest cały świat - dalej tylko czarna nieskończoność Zimy. Wszystko odcięte, odrąbane, odjęte od tej jednej konieczności zimnej. Próbuje się przywołać obraz panny Jeleny, ale bliższe to wydobywaniu trupa spod lodu: kształt sztywny, kamiennej rzeźbie bardziej podobny aniżeli żywemu człowiekowi. Nie istnieje.

Zawraca się na pięcie, dopada się szczapy.

POLSKA LÓD PIŁSUDSKI LUTE MÓW

Lecz próżno się czeka odpowiedzi w znakach ziemi. Miast tego - spostrzega się po kwadransie - ojciec opuszcza dłoń otwartą w bryle mlecznej, zgina skalne ramię wyciągnięte do dołu. Ćmiecz tej nocy przepływa gęstymi falami, pojmuje się fatra w pół gestu: to jest zaproszenie, on wyciągnął rękę w zaproszeniu.

Po to przybył.

Świat tańczy przed oczyma. Postępuje się krok wstecz i się przewraca się. Wstaje się nieporadnie, kończyny nie chcą słuchać, zginają się w najmniej odpowiednich momentach, głowa skacze na boki jak na rozchwierutanej lalce, słyszy się rżenie dziwne, nieludzkie, płynące między zębów klekoczących. Się zatacza się na ognisko; znowu się upada. Ojciec patrzy z wysokości, jedna dłoń-głaz otwarta, druga dłoń iglasta kłuje ziemię szpilą siedmioarszynową, sędzia-pantokrator.

#### K Ł A M N I E

Kłamgo. Kłamgo! Się uderza się pięścią w skroń, coby wybić się z otępienia sennego. (A może to szczyt fali na Drogach). Podźwignąwszy się na czworaka, prawie wciska się pysk w ognisko. Płomień przesuwają się po skórze, ciepły język kota. *Czego król nie ma najbardziej?*

Podpierając się na lodzie rękoma, małpio zgięty, się wlecze się do zasypanego obozu. Sztandar wojłokowy oznacza miejsce. Żerdzią ułamaną i płatem lodu szuflowym odkopuje się spod zasp skóry i futra, w kamień zamrożone, wyrywa się pokancerowanymi łapami nieforemne bloki obmarzliny, bryły przelodzonego bagażu. Próbuje się przyświecać zapalniczką; zapalniczka wyslizguje się z palców. Zgaduje się: który to głaz śniegu stwardniałego - ten? ten? tamten? Tamten. Rozbija się mozolnie skorupę kanciastą, tracąc na to już niemal wszystkie siły i ciepło - by na koniec odkryć pod spodem paczkę czaju kirpicznego złodzoną wraz z workiem soli.

Następuje moment załamania. Pada się pod horragwią z sercem i umysłem pustym, bezwolnym. Cisza, ciemność, mróz, dobrze, zasnąć, dobrze. Drobinie śnieżne spływają na twarz. Odruchowo ściera się je - nie czuje się ani palców, ani nosa, policzka, czoła. Się przestało się nawet tak bardzo trząść. Dobrze, dobrze, dobrze, najlepiej.

Nie. Się podciąga się do następnej bryły. Skuwa się z niej obmarzlinę węzową rękojeścią Arcymistrza. Charkot kolczasty przez krtani przechodzący wyznacza tempo uderzeń. Wyłania się pokrywa kufra. Nożem wydobytym z sakwy myśliwskiej przecina się pasy, podważa się wieko. Odskakuje z trzaskiem pękającego szkła. W środku piecyk doktora Tesli.

Tocząc go po śniegu i lodzie, wraca się do ojca. Ogniska przygasły; dorzuca się resztę drewna. Postawiwszy piecyk możliwie blisko płomieni, odmyka się górną część konstrukcji, dłonią nieporadną sięga się pod pusty zbiornik nafty. Jest tam bolec zimnazowy, którego wypchnięcie powinno wyrzucić na zawiasach ukrytą pod spodem pompę Kotarbińskiego. Nie potrafi się jednak w żaden sposób wyczuć bolca pod palcami; palce należą już do trupa.

Usiłuje się zajrzeć do środka przez szczelinę w obudowie. Usiłuje się wyszturczać w środku ten trzpień kurewski prętem. Usiłuje się wyrwać zbiornik. Na nic wszystko. W ostatecznej frustracji, zrozpaczony poza granicę hysterji, tłucze się prętem w piecyk na ślepo, ciskając nim wte i wewte, przez ognisko i pod stopy ojca, i z powrotem. Wywrzaskuje się przytem bełkotliwe przekleństwa się śmieje się i warczy i jęczy i gaworzy bez sensu.

Ojciec patrzy z góry okiem zimnem, milcząc kamiennie.

Kopnięty po raz kolejny, piecyk się rozpada. Długą chwilę stoi się w tępem zdumieniu, chwiejąc się pijacko. Poczem dopada się do pompy, przyciąga się mechanizm sponiewierany do ognia, ogląda się go ze wszystkich stron z obsesyjną czułością, wyjmuje się szpule kabla zimnazowego, wciska się jeden jego wtyk w otwór, pstryk, kabel pasuje, prawie że klaszcze się z uciechy, sprawdza się pojemnik z baterją kryształową ćmieczy, czarny jak węgiel, i z drugim akumulatorem, ten biały jak śnieg, rozwija się kabel na całą długość i przekręca się na próbę tarczę mocy pompy, wrrr, pracuje w środku dynamo pływnicy - tak! tak! tak! Wyłączywszy je zaraz, łapie się za drugą końcówkę kabla i, podpierając się prętem, podchodzi się do ojca. Nie spoglądając w ogóle ku wysokiemu nawisowi jego oblicza, rzuca się mu kabel na nogi. Kabel zsuwa się po lodzie gładkim. Rzuca się po raz drugi. To samo. Pozbawiona izolacji końcówka, nagi drut zimnazowy ma jakieś trzy werszki długości; wyprostowawszy go na pręcie, kładzie się go delikatnie na lodowym jezorze okrywającym stopę ojca. Wraca się do pompy, przekręca się tarczę. Wrrr, ale w oczywisty sposób nic się nie dzieje, pompa jest zbyt słaba, żeby wyssać ćmiecz przez lód, zresztą pływ rozkłada się teraz na całą formację i pewnie schodzi na same Drogi Mamutów. Stoi się z rękoma wahadłowo opuszczonemi, pomnik bezwoli umysłowej, apoteoza kretyna. Pada śnieg. Ojciec patrzy. Zebrać do kupy jedną myśl oryginalną - nie sposób, zamarzniete, wszystko zamarzniete, łeb i rozum i dusza. Z ogłuszającym trzaskiem zakleszczających się lodowców domarza do znieruchomiąlego Teraz cała przeszłość skamieniała, to znaczy Historia. Bo pamięć, tylko w niej jeszcze coś się rusza, robaki w mogile. Więc - więc - więc jak Tesla, jak Tesla to robił? Przypomina się scena spod Końskiego Ostrowa z Angary, pokaz Pompy Bojowej: ciężkie ramię maszyny zakończone kolcem zimnazowym wbite głęboko w lutego -

Owija się nagi drut dookoła pręta; pręt służył do wbijania w ziemię, zakończony jest długim szpikulcem. Odkręca się z drugiej szpuli wolny kabel i jego nagą końcówkę zaczepia się na tarczy mocy pompy. Z garści całkiem już niewrażliwej sypiąc na śnieg popiół dymiący, wyczekuje się dobrego wzoru.

Zataczając się, upadając raz i drugi i trzeci, podbiega się do ojca, ciągnąc po bieli kryształowej dwa węże czarne. Trzeba siły, trzeba impetu, nie można się zatrzymać się. (On patrzy). Wbiega się mu na stopy, wskakuje się na grzebienie kolan, się rzuca się na pochylnię ud. Uniósłszy w zamachu rękę nieczułą, dopiero unosi się wzrok.

Ramiona ojca - skrzydła stalaktytów. Nogi ojca - kolumny lodowcowe. Pierś ojca - glacialny pancernik. Ojca przyrodzenie - róg sopliczny, ciemny. Ojca głowa - tysięcpudowa eksplozja cierni kryształowych, pół nieba rozdzierająca. Palec wskazujący jego - rapier szklany, kulę ziemską przebijający. Jego oko otwarte, patrzące - perła anielskiego błękitu. Jego serce - Prawda zakamieniała.

Przez lód i ćmiecz, z wszystkiej siły z życia pozostałej - wbija się ostrze. Druga ręka szarpie wtenczas kabel, uruchamiając pompę: pływ teslektryczny strzela po drucie cichym piorunem cienia. I ten ból jedyny czuje się w prawicy trupiej, gdy wpada się w zimne objęcia ojca.

## **O Lodzie**

Które zaraz zwierają się w uścisku geologicznym,  
miażdżąc ciało i łamiąc kości i zamykając  
w matematycznej pułapce ojca i syna  
nie do życia nie do życia nie do  
ruchu oddechu słowa myśli  
one też zamarzają aż  
wszystko się  
zatrzy  
mu

je

i do

piero

po chwili

gorąca krew

zaczyna rozpychać

ciało, którego nie czuję

inaczej niż w cierpieniu, to jest w walce o istnienie,

o zaistnienie ciała, o zaistnienie mnie, o mnie samego, istniejącego, choć by w stanie najniższym, najpodlejszym, z ustami pełnymi brudu, unurzanego w błocie, ukamienowanego, pogrzebanego, ale mimo to, ale właśnie dlatego ale tern bardziej - walczącego o wydobycie się do życia, na powierzchnię, do powietrza i słońca i nieba i ludzi, tak wrywam się z ciemności, wyciągam su na oślep przeciwko sile ciężenia, póki w nozdrza nie wchodzi pierwszy powiew wiatru ciepłego, a w oko brudem jeszcze zalepione wlewa się wyświetlony na łzie obraz zielonego poranka, pod błękitem białochmurnym, w szumie drzew i śpiewie traw, pod znakiem szybującego jastrzębia - wiosna.

**O tym, czego nie można wiedzieć**

Wyszedłem na świat między trupami. Syberja rozcieplona spływała wodami płodowymi z północy, południa, wschodu i zachodu. Step i tajga, góry i wyżyny, doliny i niziny - wszystko stało w błocie. Wylazłem z błota, taki zawsze jest początek: życie z gnoju i gliny.

Miałem kamienie w ustach i piasek w uszach, miałem żelazo w dłoniach. Rdza wrosła mi w skórę, odpadała płatami i sypała się prochem czerwonym, gdy czyniłem pierwsze kroki; rdza, a może inna krwawa wydzielina ziemi. Wkoło mnie wystawały z gruntu kości i członki całe: ręce, nogi. W kałuży mętnej pływało oko ludzkie. Ptak wydziobywał palce między młodej trawy. Odpędziłem go żelazem. Poderwał się do lotu z czerepu gnijącego. Podniosłem tę głowę, złapawszy za wiecheć ciemnych włosów. Ojciec spojrzał oczodołami pustemi, wyszczerzył uśmiech bezzębny.

Taka była pierwsza moja myśl głośna i pierwszy czyn w pełni świadomy: pochować ojca. Znalazłem miejsce suche i wykopałem dół. Potem poszedłem pozbierać jego ciało.

Znalazłszy trzecią rękę (a wszystkie prawe) i czwartą stopę, zmiarkowałem, że nie da się wyjąć z Syberji jednej tylko śmierci mego ojca. Wszystko umiera i wszystko się rodzi; ziemia trawiła zwłoki Jakutów, Tunguzów, pewnie i coś z pana Szczekielnikowa i japończyków wala się tu w błocku, pewnie i z jeszcze dawniejszych sybirczyków. Linja zielonej tajgi na północno-wschodniej stronie odpowiadała pamięci czasu zimy: wyszedłem niedaleko miejsca wymrożenia soplicowa. Tu ojca najgęściej - głowa, ręka, kość - lecz przecież nasze ciała po większej części są anonimowe. Któż rozpozna swój własny kręgosłup i miednicę, kto przyzna się do jednej z dziesięciu mu okazanych łydek, nawet jeśli czystych i nie bardzo podgniłych, kto wskaże właściwe kciuki w wiązkach po tuzin serwowanych, ba, kto poda policyjny rysopis swego serca? Wszystko to są tajemnice. Nie znamy samych siebie w sensie najzupełniej dosłownym, to znaczy anatomicznym, materjalnym, masarskim. Zaiste, pozostaje nam liczyć na fiodorowców przyszłych stuleci i ich awtamaticzieskije czierwjaki, bo gdyby przyszło co do czego, sami spartolilibyśmy ciał zmartwychwstanie jak wszystko inne.

Zbierałem ciało z błota, podobnie od błota czarny; był tylko brud i smród i gnój i glina, że owo rozklejone na kawałki ciało w dotyku i uścisku ciepłym nie zdawało mi się ani trochę bardziej wstrętnem. Po prawdzie nic z rzeczy podlegających dotykowi nie budziło mego wstrętu. Nawet muszki drobne, wściekle atakujące, wpychające się do nosa, oczu, ust - przeklinany od wieków syberyjski gnus - nawet one widziały mi się wcale sympatycznymi z samego faktu istnienia: są, to dobrze. Potem zrozumiałem, że przez kilka pierwszych godzin

po wyjściu na świat trwałem w rodzaju znieczulającej euforji, o ile zdumienie tak potężne, że prawie ogłuszające, można zwać euforją.

Dopiero więc spełniwszy wszystkie powinności wobec ciał cudzych (miejsce pochówku oznaczyłem kopcem kamieni, zamiarując później krzyż tam zatknąć), zwróciłem uwagę na ciało własne. Obmywszy się w bajorze opodał, zdrapawszy narosty glinne i świeże strupy pod nimi, wyrwawszy ziemię i roślinną zgniliznę z włosów i brody, spostrzegłem wreszcie rzeczy, które winne były mnie nasamprzód poruszyć. Źle mi się chodziło - ano, miałem ranę długą na nodze prawej, przez udo, kolano, do pięty prawie. Rana wyglądała na zrośniętą, ale noga nie sprawowała się dobrze, krzywo stąpając, chrobocząc w stawach, zginając się nazbyt gwałtownie; chudsza i w ogóle znacznie mizerniejszą od lewej się prezentowała. Stopy zaś stapały krzywo, bo pozbawione były zupełnie palców, zapewne odmrożonych. U dłoni zresztą także brakowało kilku (jednego u lewej, dwóch u prawej; na szczęście ocalały kciuki). Miałem też kłopot z lewym okiem: to, co brałem za błotną zakrzeplinę, stanowiło w istocie gruby zrost wmiążdżonej kości czaszki, guza napuchłego i zaropiałej powieki; nie widziałem na lewe oko nic i po prawdzie nie miałem pewności, czy tam pod spodem to jeszcze gałka oczna się obraca, czy jakaś rozdęta bulwa wewnętrznej gangreny. Straciłem także lewe ucho (ale słyszałem na nie). Zdałoby się zwierciadło, bo w kałużach zawieszistych każde odbicie straszło potwornem wykarykaturzeniem. Widziałem, że duże płaty skóry - na rękach, na udach, na piersi - przebarwiły mi się dziwacznie, od odmrożeń omal-śmiertelnych najpewniej, że wyglądałem niczym żywa mapa krain bagna, torfu i wrzosu. Niektóre z tych fragmentów pozostawały nieczułe na dotyk. Pod skórą przesuwaly się guzy twarde, na podobieństwo kamyków lub chrabąszczów pancernych. Obmacałem językiem wnętrze ust: liczba zębów po lewej inna była od liczby po prawej, górna od dolnej. Kiedy zaś zamachałem ramionami, zgrzytnęło mi coś pod karkiem i zabolalo w plecach - tak poznałem, iż jedna łopatka wisi teraz niżej od drugiej i ręka nie sięga, gdzie sięga ręka. Kiedy się schyliłem do ziemi, cień zachodni wyświecił na ziemi profil lekkiego garba.

Ale żyłem. Żyłem. Żyłem!

Rozejrzałem się, gdzie wedle krawędzi tajgi winien był stać nasz obói Oczywiście nic znacznego nie wystawało ponad trawami. Podpierając się żela stwem (było to chyba jakieś okucie z owych sań niedofajczonych), przespacie rowałem się po równinie. Mnóstwo owadów migotało i brzęczało nad ziele nią, także okazałe motyle w barwach tygrysiach. Na obalonym pniu świerk; stójkował mały burunduk, opalając pasiaste futerko w słońcu wiosennem mrużył przytem ślepka węglowe i rozdziawiał pyszczek. Zagwizdałem. Tylko obrócił łebek. Jak



dawno temu ustąpiła Zima? Który właściwie mamy rok?

Znalazłem resztki żerdzi namiotowych. Grzebałem w ziemi, kłusem żelazem. Trafiłem na drewno przepróchniałe i blachy zimnazowe, one akurat dobrze zachowane. Wywlokłem z zapadliska kilka szmat przetłanych i dwa nieforemne płaty skóry. Po godzinie-dwóch odkryłem zapiaszczysko między kamieniami, gdzie z roztopami spłynęła najwyraźniej większość dobytku z namiotu piłsudczyków, bo wyrwałem tam z kleistej gleby strzępy wołoku, dwie nierozbite skrzynie, przerdzewiałą lufę dubeltówki, kłęb futer przegniłych, żalosne szczątki piecyka i kilkanaście funtów innego szmelcu, dobrze przemieszanego ze żwirem i gliną.

Jedna ze skrzyń zawierała prowiant; woda dostała się była do środka, niszcząc produkty. Znalazłem konserwę z owocami witaminowemi firmy Mielke & Sohn. Sprawiała przyzwoite wrażenie, przy potrząśnięciu solidna i głucha jak trza. Rozprułem ją na kamieniu za pomocą żelastwa. Pokazały się zмумifikowane truchła owoców, teraz bardziej orzechy włoskie przypominających.

W drugiej skrzyni były moje rzeczy, co może i uznałbym za wyjątkowo szczęśliwy traf, gdyby nie fakt, że i przez nią przeszła woda. Tkaniny i papiery rozpadały się pod najlżejszym dotykiem, zglajcowane w jednej błotnej breji. Ocalał tylko pakiet w ceratę i gumę szczelnie zawinięty, czyli mój notatnik z codziennym przybornikiem. Rozsupłałem pakunek, niespodzianie tym znaleziskiem rozbawiony.

Papier pożółkł, podpleśniał, pismo wyblakło. Ostrożnie przewracałem kartki. Ostatnia notatka: *11 grudnia 1924 roku, 96 ciem. Car dookoła. Książę w Aleksandrowsku. Atak.* I tak dalej. Śmiałem się, kręcąc głową nad błaknotem. Pod spodem, ściśnięte gumką aptekarską, znajdowały się karty Piatnika. Wyjąłem, przetasowałem powoli. Figury królów i dam ukazywały blade oblicza, tło kart z czasem nabrało barwy wiekowej kości słoniowej, pokryło się siecią drobnych pęknięć jak zmarszczek starczych. Nadal jednak potrafią załśnić w blasku słonecznym, puścić refleks promienny, od którego mruży się oko. Uniosłem wzrok. Słońce nie dociągnęło do zenitu, nie ma jeszcze południa. Czy potrafię bez zegarka utrzymać przez pół godziny rytm dwudziestosekundowy?

Czy w ogóle prototyp Młota Ćmieczy Tesli nadal bije w irkuckim Obserwatorium Fizycznym?

Notowałem patykami na ziemi: zero, zero, zero, jeden, zero - i *Auferstehung*.

*Szulc sprzedał Tesłę. Uciekaj. Pociągło ratuje. Układ z Pobiedonoscewem. Sojusz*

*liedniaków. Trzyma Zima.*

Ale wiele było przekłamań w tej wiadomości szyfrowanej, sporo znaków musiałem zgadywać. Zakłócenia zresztą narastały w rytmie około trzynastu fal, to znaczy ponad czterech minut, co bardzo wyraźnie wyszło na powtórzeniu kontrolnym. Zadumałem się z brodą na żelastwie wspartą, patrząc na zabazgraną tablicę błota.

Trzyma Zima, akurat! Wiadomość jest w oczywisty sposób nieaktualna. Czy to możliwe, że fala chodzi po Drogach lata po wyłączeniu Młota? (Który mamy rok?) Szyfrogramy słała prawie na pewno *mademoiselle* Christine, raczej nikt jej w tym nie pomagał, a jeśli pytała się Nikoli, to on też przecież nie jest człowiek najbystrzej zorientowany w kwestjach przyziemnych, politycznych. Należy więc czytać tę kryptodepeszę, biorąc poprawkę na ich ignorancję i naiwność. No ale Zimy z Latem nawet oni nie pomylą.

Istnieje też taka możliwość, że wiadomość w ogóle jest kłamliwą.

*Uciekaj.* Gdyby wiedzieli o Awahitach... Skąd mieliby wiedzieć? Nie sądziłem zresztą, iżby za misją tych bezsmiertelnych zlepieńców stały jakoweś kalkulacje polityczne - wtedy przede wszystkim poszczuto by ich za, Piłsudskim, Pocięglą czy inszemi abłastnikami, anarchistami, rewolucjonistami sybirskimi. Dla kogo tu bowiem największą groźbę prezentowała urojona władza Syna Mroza nad Historją? To była sprawa wiary, a nie rozsądku politycznego. Taki rozkaz mógł wydać ochranie car, nową maligną nocną pod koszmarami Pałacu Zimowego udręczon. Albo Rasputin.

Tak ili inaczej, teraz nie ma to wszystko najmniejszego znaczenia - bo nie ma już Syna Mroza, nie ma Ojca Mroza, i nie ma Historji. Odmarzło.

Zmazałem z ziemi notacje zerojedynkowe.

Między żelastwem wydobytem z zapiaszczyska było sporo drutu, z którego dałoby się sporządzić wnyki; wiedziałem z teorii, jak powinny one działać, a skoro pokazała się mniejsza zwierzyna leśna, warto przynajmniej taką metodą zapolować w tajdze, może do wieczora złapie się jakie mięsiwo na ruszt. Wyszukując druty i kable i listwy stalowe, trafiłem na nieco wygiętą laskę ćmierzometryczną. Oparłem się na niej na próbę - wytrzymała. Obtarłem ją trawą i szmatą, zdłubałem piasek i glinę. I kiedy zakręciłem kiwadłem, w środku zawarczało małe dynamo teslektryczne. Zimnazo nie rdzewieje!

*314 ciem.*

Nie ma wątpliwości: Lato.

Poszedłem w tajgę. Żadnej tu regularności typowej dla lasów europejskich: pień, prześwit, pień, i tak dalej; nic z tych rzeczy. Tajga pijana, to jest rosąca na zmarzlinie, gdy odmrożona, prezentuje nieład naturalny: drzewa istotnie zataczają się jak pijane, tak płytko na marzłoci wkorzenione, że byle wiaterek je wychyla i przewraca. Stąd też tyle tu drzew obalonych, tudzież rosących mimo pozornego obalenia: pijak wsparty na pijaku, ale nadal żywy, krzepki, rozłożysty.

Znalazłem jagody niedojrzałe na krzewach kolczastych; obzarłem się nimi na głupiego, licząc, że to jakaś nieszkodliwa dla zdrowia odmiana syberyjskiej oblepichy, o której doktor Konieszyn nam mówił. Nagle bowiem poczułem głód, jakby nowy zupełnie zmysł czucia wewnętrznego się we mnie włączył: ciało przemówiło bezpośrednio, własnym dialektem organicznym. Jeść!

Oczywiście zaraz zwymiotowałem. Zwróciłem jagody, żółc żołądkową, piasek i ziemię i kamyki drobne.

Potem od nowa objadłem się oblepichą.

Po zmierzchu wróciłem tam sprawdzić druciane pułapki - co znowu nie było rozsądnem, jako że po zmierzchu większości z nich nie odnalazłem. Zresztą tylko w jedną z odnalezionych złapało się co żywego: gryzoń szczeropodobny, niewiele od burunduka większy. Na dodatek, wracając przez las po ciemku, zaplątałem się w krzaki wikliny i czeremchy i nadepnałem na gałąź oberwaną czy korzeń ostry, przekłuwając sobie stopę. Kulałem wyraźnie.

Rozpiąwszy na żerdziach połamanych resztki skór i wojłoku, spędziłem następnie pół nocy pod tą prowizoryczną od wiatru osłoną, usiłując rozniecić ogień sposobem najprymitywniejszym, to znaczy bez zapalek czy zapalniczki: już to tłukąc kamieniem o krzemień, już to trąc patykiem o patyk. Myślałem zresztą, czyby nie napocząć tego szczura leśnego na surowo.

Kiedym w końcu skrzesał ogień i najdę niezgrabną z pniaka rozłupanego zbudował, ażeby ten ogień bezpiecznie przez noc utrzymać, opiekłem gryzonia, pośpiesznie oskórowanego za pomocą zimnazowej blachy, i zeżarłem go w kilka chwil, jeszcze gorącego, plując kosteczkami drobnymi. Potem paluchami panierowanymi we krwi, ziemi i popiele dłużyłem w zębach za sierścią twardą.

Poczem zległem brzuchem do gwiazd, najedzony. Łykowate mięso wbiło mi się we wnętrzości ciężkim kułakiem, pięść pancerna rozpychała mnie od środka. Beknąłem raz i

drugi. Coś bulgotało i burczało w niewidzialnych organach, chlupotały we mnie płyny i smary organiczne, przesuwały się gazy, nakręcały zegary zgnilizny i sprężyny entropji. Położyłem dłoń na pępku. Na osi świata obracały się nade mną jasne ścieżki życia mieszkańców Górnego Kraju, przepalała się przez czarny nieboskłon krew aniołów. Zmacałem naokoło ziemię miękką. Trafiłem na ćmiecometr i błaknot. Odetchnąłem.

Przewracałem stronicie żółte przy blasku niemrawych płomieni, znacząc papier brudem lepkiem. Przed pierwszemi zapiskami z syberjady były jeszcze uwagi do prac o logice matematycznej i komentarze do Kotarbińskiego i Tajtelbauma - zupełnie o nich zapomniałem. Jeszcze wcześniej - jakieś wspominki warszawskie... Kartkowałem to obojętnie, prześlizgując się wzrokiem po bladych kaligrafjach. Ziewnąłem; wypadły papiery luzem. Uniosłem je do światła. Niedokończony list do panny Julji.

Śmiać mi się chciało. Czknąłem głośno; odezwała się sowa. Która tu strona pierwsza... Mój Boże, ileż to ja ich przez te miesiące wszystkie zabazgrałem! Dobrze ponad tuzin. Najdłuższy list świata. A zaczęło się - odczytałem sam początek - zaczęło się od tego, że wróciwszy do siebie z wizyty ostatniej w domu u panny Julji, gdzie nakrzyczałem na nią w obliczu jej fatra i wyznałem głośno całą jej przewrotność wężową, wróciwszy, już po kilku chwilach począłem tego żałować szczerze i tłuc się z wyrzutami sumienia, szarpać w pętach Wstydu. Była tam jakaś flaszka karmelówki, przez Zygę nieopatrznie zostawiona... Zacząłem ten list od gorącej prośby o wybaczenie. *Czy zechce mnie panna jeszcze na oczy widzieć?* Ale na wiele więcej sił mi nie starczyło; głowa pacnęła na blat, znużenie i alkohol wzięły górę. Rankiem jeszcze dopisałem zdanie czy dwa, poczem wyszedłem na miasto. I usłyszałem, że panna Julja rzuciła się z okna na piętrze, co prawda niewysokiem, ale fatalnie sobie kregi łamiąc, i leży teraz w Dzieciątku Jezus bez czucia i świadomości, najpewniej na życie sparaliżowana, ani martwa, ani nie martwa. O tym jest listu ustęp drugi i trzeci. *Panna nie możesz mnie tak zostawić wobec ludzi i Boga!* Śmiałem się już na głos. Boleści sercowe biednego studenta, kopiejans od strony! Jakżem ja mógł to w ogóle pisać serjo? *Modlę się o panny ozdrowienie, wszystko się odwróci, nawet panna sama o tym zapomni.* Szło to w coraz, żałośniejsze kłamstwa i iluzje, bo ona przytomności nie odzyskiwała, a ja wyznawałem jej na papierze kolejne uczucia poważne, spowiadałem się w języku międzyludzkim z sekretów najgłębszych, snułem plany i marzenia zupełnie już fantastyczne, od świata i prawdy oderwane... Ponieważ wiedziałem, że nigdy tego listu nie wyślę. Że nikt go nie przeczyta. Pisałem do panny Julji - która nie istniała, nie istniała, nie istniała.

Cisnąłem notatnik i papiery wszystkie w ogień. Płomień strzelił z najdy pod

gwiazdoskłon Azji iskrami wesołemi.

Przeciągnąłem się na twardej ziemi, układając do snu krzywe kości; krew aniołów rozlała się szeroko nad Syberją. Tam kończy się wiedza, gdzie zaczyna się czyn. Taki już pod Słońcem i Księżycem porządek panuje, którego nie wypowie język pierwszego rodzaju. Działanie, to znaczy zmiana, jest naturą Kłamstwa; bezruch, to znaczy niezmiennność, jest naturą Prawdy. Ten, kto by istotnie poznał pełną prawdę o sobie, wstąpiłby tym samym do królestwa idei, powszechników wiecznotrwałych, pomiędzy sylogizmy, konjunkcje i liczby nagie.

Ojciec był na koniec temu bliski - na koniec, gdy uciekł od życia. Póki jednak obracał się w świecie materji, póki działał - czy rzeczywiście w ogóle przejmował się matematyką swego charakteru? czy myślał o tym choć przez chwilę? Żaden rodzaj wstydu nie miał doń przystępu.

Poznali go przez jego czyny. Poznali go przez ciało.

Kto pragnie posiadać wiedzę o samym sobie, pragnie śmierci.

Kto pragnie posiadać wiedzę o świecie - ten pragnie życia.

Zasnąłem i spałem zdrowo, aż mnie trele ptaków i dotyk słońca wiosennego rozbudziły. Wstałem, pozbierałem, co się mogło jeszcze okazać przydatnem, i ruszyłem w świat.

## **O niekoniecznem**

Szedłem na północ, północny wschód, ku Górom Przymorskim i Bajkalskim, ku Lenie. Słońce i gwiazdy silne prowadziły mnie przez geografję zwichrowaną, przez krajobrazy wielkiej odwilży syberyjskiej.

Widziałem całe doliny i wąwozy rzeczne zawałone zwałowiskami błota, drzew, kamieni, widziałem góry o oberwanych zboczach, zbocza zsunięte hektarami w fałdy jak fale dywanu, widziałem obnażone wnętrza tych organizmów geologicznych, z żyłami cieków, kośćmi skały, tłuszczami piasków, muskularni gliny - wydartemi po raz pierwszy od milionów lat na światło słoneczne.

Widziałem, jak po deszczach wiosennych idą równiną potopy nagłe, jak rzeczki skromne, chude strumienie górskie w pół dnia na dobre trzy arszyny się podnoszą, rwąc szeroko po

nowych korytach albo bez koryta żadnego, frontem błotnym płynąc po trawie, pagórkach, zagajnikach.

Widziałem, jak po takiej ulewie schodzi z ziem starych pożarów Czarna Woda, skumulowana pod odtajałym lodem spalenizna z wielkich ogni syberyjskich zmieniających w węglową pustynię połacie tajgi, z których i pięć księstw europejskich można by wykroić. Czarna Woda ma gęstość tokaju i barwę płynnej ćmieczy, wchłania wszelkie światło, oddaje mrok bezbarwny.

Widziałem lasy pni dwuarszynowych, ściętych równo ponad głową człowieka, jakby olbrzym jaki przeszedł się z sierpem po tajdze, kosząc z zamachu wiorstę knieji na wysokości piętra.

Widziałem Namioty Ziemi: pagóry na kilkanaście arszynów szerokie, na trzy wysokie, do wnętrza których wchodzi się przez szczeliny niby rany cięte w boku zielonym; a w środku: zimna ciemność i szare słoje lodu nieroztopionego nad głową. Sypiałem w tych Namiotach. Wiele ich zwłaszcza tu wkoło Bajkała: rosły długimi latami, wypiętrzając się powoli, pompowane od dołu lodem, to znaczy wodą w lód pod ciśnieniem bitą, a także powietrzem w pęcherzach inkluzyjnych tłoczonym. Potem lód i powietrze uchodziły i zostawał pusty Namiot Ziemi.

Widziałem kratery pośrodku tajgi, jakby kto bomby ze sterowca tam zrzucił: doły wielkie z rozrzuconymi naokoło drzewami połamanymi, rozprysniętą ziemią.

Widziałem całe pola ałasów: zapadlin na kilka arszynów głębokich, niekiedy znaczących równinę w nieregularnych układach długimi wiorstami, a niekiedy po tuzin tylko grupowanych: dół, dół, dół, dół, niczym ślady po przejściu Mamuta Mamutów, odbicia jego nóg.

Widziałem wyplute z lodu, z ziemi i przyniesione z wodą truchła zwierząt, białe i żółte kości, siodła końskie, deski i fragmenty całe domów drewnianych, sprzęty człowieczego rzemiosła, skóry i szmaty, a także zwłoki ludzkie nagie i odziane - rozrzucone po nocnym rozlewie nagłym na środku równiny, jak zabawki wypadłe z dziurawej kieszeni Pana Boga. Tak zdobyłem portki na półtora nogawki i kapelusz rozdarty: z trupa świeżego a wiekowego, ledwo co podgniętego. W kieszeni spodni miał zepsuty kompas i pieczęć czynownika Charbińskiej Komory Celnej datowaną na rok 1812.

Widziałem pioruny burz wiosennych rozkrawające ciemnogramatowe niebo pazurami koślawymi od horyzontu po horyzont, tak kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie;

szedłem pod płaszczem piorunów.

Ósmego dnia, od czterech dni nie spożywając niczego prócz zielska i grzybów wątpliwej jadalności, pijąc mętną wodę podeszczową, od której żołądek w kurcze bolesne mi wpadał - zacząłem tracić przytomność. Zacząłem mdleć w marszu, upadając bezwładnie, co w końcu przyplaciłem guzem potężnym i rozciętą na czele skórą.

Kręciło mi się w głowie, szedłem wolniej, ciężko wspierając się na ćmieczometrze; dłużej musiałem odpoczywać. Przewróciłem się znowu i znowu i znowu; zwichnąłem nadgarstek.

Syberja bezkresna rozciągała się przede mną równinami zielonemi, mokradłami błyskającymi milionem kałuż niebobarwnych, tajgą żywą, świerkowo-modrzewiową, z białymi przecinkami brzoź, ciemniejszymi wyspami olch i cedrów. Góry się przybliżyły, ogarnęły widnokrąg ramieniem muskularnem. Nigdzie nie dostrzegał znaku człowieka. I coraz częściej podchodził mnie ten lęk biblijny: że istotnie pozostałem z rodu Seta ostatni. Że reszta ludzi pomała - *jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej*, a mnie to samo czeka.. Zwłaszcza, nocą, bezbronny - samotny w ciemnościach. Drżą ręce i serce bije płytko, bez rytmu, tuż pod skórą.

Dziewiątego dnia zwymiotowałem krew. Szedłem, zataczając się. Robiłem nie więcej niż piętnaście wiorst dziennie. Potem teren stał się jeszcze bardziej podmokłym, grzązłem przy każdym kroku.

Dnia dziesiątego straciłem przytomność podczas deszczu i upadłem w bajoro gęste, małym się nie utopił. Otworzyła się rana na pięcie prawej stopy - musiałem stąpać na palcach, których nie miałem. Jęły nachodzić mnie halucynacje, o których wiedziałem, że są halucynacjami.

Później już słabość w nogach i zawroty głowy tak się nasiliły, że szybciej i bezpieczniej było mi poruszać się na rękach i kolanach. Tak przeszedłem dzień i pół następnego. Nachodziły mnie halucynacje, których nie potrafiłem odróżnić od jawy.

Posuwałem się arszyn po arszynie, od wzniesienia do wzniesienia - dobrze, że krajobraz był tak górzysty i tajgą przesłonięty, dzięki temu mogłem obiecywać sobie ratunek za każdym szczytem bliskim, i następnym, i następnym, i następnym. Woda płynęła w dole pomiędzy nimi, wystarczyło opuścić głowę i łyknąć breję zimną. Rzygałem błotem i krwią.

Wyczołgałem się na wzgórze nad faktorją i tam mnie znaleźli.

Ponieważ miałem przy sobie pieczęć czynownika imperjalnego i ponieważ z powrotem panowało tu Lato, wzięli mnie do siebie, opatrzyli, nakarmili, pozwolili zasnąć pod dachem. Kiedym się ocknął na dobre i podziękował im za ocalenie życia, nie mogli mnie już przecież wyrzucić.

Było ich czterech chłopów w tej faktorji kupieckiej, postawionej tu dla zarobku ze staratielei, załatniczników i sorok w dorzeczu Leny rabotających. Jeden chłop pojechał z faktorji do Kacziuga po wieści i rozkazy z firmy oraz towar świeży rzeką tam dostarczany; zostało trzech. Jeden pojechał do obozu prospektorów gdzieś w stronę starego Wiercholeńska po złoto i tungetyt, i dotąd nie wrócił; zostało dwóch. Barykadowali się na noc w tej skrytej pod wzgórzem chacie z grubych bali cedrowych, nierzadko czuwając godzinami przy oknach-strzelnicach z karabinami w rękach, przy lampach wygaszonych. Rano, młodszy, Alosza brał psy i wychodził rozglądać się za niepowracającym towarzyszem, a przy okazji ustrzelić jarząbka czy kuropatwę, jeśli Bóg dobry ptaszynę pod lufę posadzi. Starszy Gawriło siadywał przy odbiorniku radjowym i na delikatnym aparacie lampowym marki Groppa usiłował złapać Irkuck, Charbin, Tomsk, Nowosybirsk, Jakuck lub Władywostok, skąd też już czasami szły w eter krótkie audycje. Przywieźli sobie to radjo zeszłego lata, gdy zaczęły puszczać lody. Nastąpiła Odwilż i odkąd na dobre zniknęło z nieba Cziornoje Sijanije, fale elektromagnetyczne podróżowały przez bywszy Kraj Lutych wedle tej samej fizyki, jaka władała resztą świata ludzkiego. Że aparat się psuł i mało co było zeń słów zrozumiałych słyhać, to insza inszość. Ściszywszy głośnik do szeptu, Gawriło zapalał radjo także nocą - lubił się tak z uchem przy pudle, czasami łowił wtedy Muzykę Zachodu, to znaczy piosenki na amerykańskich melodjach, emitowane w eter z nadajników Royal Navy w Hongkongu i przynoszone tu porą północną w magicznych przypływach fal niewidzialnych. Częściej płynęły szумы splątane z szumami, przedziwne serenady jękliwe, zmieniające ton i rytm i nutę, kiedy się człowiek zbliżył lub oddalił od aparatu, poruszył ręką czy głową, nachylił czy odchylił korpus. Była to czynność magiczna. Słuchaliśmy tak radja godzinami. Gdzieś tam w ciemności, na wysokościach, w otchłaniach kosmicznych fale nakładały się na fale - i oto rodził się nowy potwór ryku szeptanego, chrobotów miaukliwych. Antenę zimnazową ukryli faktorzy w gałęziach brzozy rosnącej na dachu chaty. Alosza spał na posterunku przy oknie, z karabinem Mausera pod ręką, gdy cichutkie nuty ragtime'u i dixielandowego jazzu sączyły się w noc syberyjską.

Był kwiecień 1930 roku i na Pacyfiku trwała Wielka Wojna Czterech Flot, a armje Mikołaja II Aleksandrowicza szły przez Rosję europejską, żelazem i ogniem wypalając



Rewolucję. Puścili stare traktaty wojskowe rozpięte między mocarstwami, te pakiety dyplomacji domów panujących, spinające Europę i jej kolonie siecią sztucznych zależności, wyrozumowane jeszcze przez Bismarcka. W Azji natomiast cesarz chiński wyrzynał miliony swoich chłopów zbuntowanych, cesarz japoński, zagarnawszy ostatecznie Koreję, walczył z Amerykanami o Czukotkę. Syberją nie rządził nikt.

Nocami byli bardziej rozmowni, to znaczy Gawriło bywał, bo Alosza, zwyczajem chłopstwa nieśmiałego, burmuszył się i gburzył w obliczu obcego, z trudem mi słowem krótkim odpowiadając. Gawriło natomiast pewnie i rad był ze sposobności do pogawędki nowej. Nie od razu zmiarkował, że z Wielkiej Ziemi pochodzę; wpierw ta pieczęć go zmyliła, potem patrzył po poćmiacie i brał mnie za lutowczyka z krwi i urodzenia; wreszcie - za sorokę od dawna w tungetycie robiącego. Było Lato, więc uciąć to musiałem prędko i stanowczo: Benedykt Gierosławski, rzekłem, przyszpiliwszy go cyklopowym spojrzeniem szczerem, Benedykt Gierosławski, Polak z listami gończymi albo i wyrokami cesarskimi nad głową.

Uwierzył, nie uwierzył - gdym się pierwszej nocy tak do niego przysiadł przy radju śpiewającym i wizgającym cicho, to poczęstowawszy mnie niezgorszym tytuniem, właśnie na interesu tungetytowe zaraz zeszedł. Że sami nie wiedzą, co robić, i czekają rozkazów z firmy jak słowa Spasitielia, bo jakby przyszedł tu do nich jaki soroka spóźniony z workiem tungetytu, to co? - skupować? po ile rubli od funta? a cziernarodki? Nie wiedzieli tu, czy w ogóle jest jeszcze rynek wysoki na nie. W zeszłym roku upadł przemysł Lodu i odtąd nie dostali nowych cenników. Pytam, czy słyszeli, żeby ktokolwiek na Syberji skupował teraz tungetyt. Oj, to zła godzina dla handlu wszelkiego jest, gaspadin Jerosławski - stary faktor pyka z fajeczki, kręcąc śrubami w radju. Nasampierw djabli biorą lute i nie mamy już zimnaza, fortuny uciekają z Syberji. Potem djabli biorą tu rząd i prawo i nie może już człowiek wyjść na trakt z dobrem na handel czy pieniądzem z handlu zarobionym, bo zaraz go obłupi ta czy inna partja bradiagów, rewolucjonistów, marcynowców, narodowców takich czy owakich albo zbójców po prostu. Wreszcie ludzie już sami nie bardzo do jakichbądź interesów w czasach tak niepewnych są chętni. Kto nie musi, nosa nie wyściubia. A akurat tungetyt i tak teraz trudniej wysoroczyć, zwłaszcza cziernarodki, gdy lód się roztopił, stopniały śniegi, przeszła woda i wszystko się zapada w błoto, w ziemię.

...Mówi, że umarł przemysł Lodu - słyszał może, co się w Irkucku i Zimnym Nikołajewsku podziało? W radjo szemrzy orkiestra nowoorleańska i pohukują sowy w tajdze potężnie szumiącej, gdy Gawriło opowiada losy świata w dziczy sybirskiej tu podsłuchane.

Nie ma Zimnego Nikołajewski, gaspadin Jerosławski. Kto rządzi Irkuckiem? A któż to może wiedzieć! A czy chodzi nadal Kolej Transsybirska? O ile to czy inne wojsko nie wysadziło jej w powietrze. A gubernator Szulc-Zimowy? Nie on u władzy? Ano, naszego władzę Szulca, tfu, czioroty porwały jeszcze za pierwszej ruchawki, to jest w lutym zeszłego roku, w dzień Ostatniej Zorzy, jak się tam w Irkucku wyrzynać poczęli - tak i słuch po nim zaginął, zaciukali go gdzie po cichu; nasamorządził się cztery z górą lata i chwatit. A doktor Tesla? Faktor marszczy brwi niedźwiedzie. Kto taki? A księżę Błucki-Osiej? Tylko kręci głową w dymie tytoniowym. A Piłsudski? Znaczit, kto znowu? Terrorysta polski słynny. A-a, panie, wsje oni tierraristy powyłazili tera na wierzch i z wojskami własnymi się jawnie prowadzają, co osada w tajdze czy trakt znaczniejszy, to pod inszym sztandarem trzymany: Armja Czerwona, Armja Zielona, Pułki Polskie, Germańskie, Bojowcy-Anarchiści, Bojowcy-Lojaliści, kamandy biedniaków w nowej gorączce marcynowej, a nawet zbrojne oddziały Kitajców i zdziczone sotnie kozaków burjackich pod atamanami-samozwańcami!

Słuchałem bez zdumienia, w poczuciu zimnego oderwania od świata i Historji. Ongi podniecałbym się tym bardzo i gorączkował o szczegół każdy, a teraz - pytam jak o zdrowie nielubianych pociotków. W końcu czegoż innego mogłem się spodziewać? Tak samo jak przez przyrodę syberyjską, tak idzie Odwilż przez Historję. Odmarzło.

A z Europy, dopytuję dalej leniwie, przemilczawszy dwie serenady jazzowe, zaciągając się przytem mocno z gruzłowatego papierosa - a z Europy nie słyszeliście czego? Iz Polski, naprimier? Spogląda ponuro. Tu zbóje, mruczy, ale w Wielkiej Ziemi wojna. A ja słyszę, że jest w tym smutek szczery, smutek szczery u starego Syberyjczyka w dziczy najgłębszej zakopanego - na wieść o Europie zniszczeniem gwałtownem zagrożonej. Nigdy nie był za Uralem, a i więcej w Gawrile płynie krwi azjatyckiej, a jednak zasmucił się, niczym na wieść o nieszczęściu, które dotknęło raditieli jego przyjaciela. Rozczuliło mnie to dziwnie - że bardziej jego to wzrusza niż mnie, to właśnie mnie wzruszyło. Poklepałem go przyjaźnie po ramieniu dla pocieszenia. Skulił się, odpowiadając mi spode wąsa uśmiechem przymilnym, sabaczym. To ja byłem Europejczykiem.

Stanąwszy na nogi, nabrawszy sił nieco, począłem się puszczać z Aloszą na niedalekie spaceru myśliwskie. Użyczyli mi broni, dwulufki lekkiej, a celnej; rozumiało się samo przez się, iż pan z Wielkiej Ziemi ma rękę do polowania ułożoną. Od razu im rzekłem, że to nieprawda; że żadnego większego doświadczenia z bronią nie posiadam i nigdy zwierzyny nie podchodził. Uwierzyli? Było Lato.

Alosza znał tu każdy wykrot i pagórek, wychował się tutaj; teraz, odsłonięte spod lodu, poznawał je na nowo. Zwierząt było jeszcze niewiele, zaczęły wracać dopiero z zeszłorocznymi roztopami, nasampierw ptactwo. Pokazywał mi klucze po niebie rozciągnięte, w wysokim locie z krain odległych, zachwycony jak dzieciak zabawką magiczną; odbijało się to w jego oczach, jedynie wtedy radosnych i bez strachu do ludzi otwartych. Wszak nie znał żadnego z tych gatunków, nie potrafił ich nazwać, nie potrafił opisać, nigdy w życiu ich nie widział. Każdego dnia wychodził odkrywać nowy, egzotyczny świat, niczym podróżnik wysadzony na brzeg fantastycznego kontynentu. Jedyna różnica polegała na tym, że przemieścił się nie on, lecz przyroda - nowy świat eksplodował mu co rano pod stopami. Zdarzało się więc, że to ja zdradzałem mu nazwy i opowiadałem mitologię zwierząt (to jest głuszec, który nierzadko parzy się z cietrzewiem, z czego powstają bezpłodne mieszańce dwugatunkowe, a to iziubr, morałem też zwany, jeleń syberyjski, który zniknął zupełnie w czasie Lodu, że nawet hrabia Szulc zaniechać musiał nań polowań), ja bowiem pochodziłem z ich świata. Byłem Europejczykiem, było Lato, a to była prawda rozsmarowana równo z fałszem.

Mijał czas; zdałem sobie sprawę, że nie liczę tego czasu mijającego. Wpadłem w rutynę. Gawriło i Alosza mnie nie przepędzą, mogę sobie tu łązić po górach i lasach, uczyć się strzelać do wiewiórek, grzać kości na słońku i słuchać nocnego jazzu z trzeszczącego radja. Nikt mnie nie znajdzie. Zresztą, nikt mnie nie szuka. Zleżłem w trawie soczystej na słonecznym zboczu nad ruczajem, z rękoma z laską pod głowę włożonemi oglądałem chmury nadęte jak balony, defilujące ponad tajgą, jeden, drugi, trzeci, i pochód siedmiu w łańcuch długi powiązanych, i dwa baloniki okrągłutkie, i balon rozpekły, sflaczały, na pół nieba rozstrzępiony... Sabaka Aloszy ułożyła się obok, wywaliła ozór, dysząc ciężko, szczęśliwa ze zmęczenia po gonitwach z myśliwcem młodym. Muszki błękitne kłębiły się nad łąką. Machnąłem przed twarzą. Ruch był powolny, niezborny, bezcelowy - ni to dla odgonienia gnusu, ni to dla osłonięcia oka od Słońca, ni to dla przywołania psa... Zasnąć? Nie zasnąć? Zejść wykapać się w tym strumieniu zimnym, polodowym? A może na górę nową z Aloszą się wdrapać? Może pójść za łosiami? Może na dobre ruszyć się stąd, z Syberji? A może nie robić nic? Chmury nakrywały mnie cieniami miękkimi. Chlupotała woda.

Nastąpiła Odwilż i nic nie było już konieczne. Żaden przymus wewnętrzny ni zewnętrzny nie dawał mi konkretnej przyszłości. Nie muszę pracować, żeby długi spłacać, dla świata i tak jestem martwy; nie muszę w ogóle do starego świata wracać. Nie mam powinności wobec rodziny, nie mam powinności wobec ludzi ni państwa - nie mam rodziny, nie mam państwa.

Nic mi nie grozi, jeśli zrobię lub nie zrobię tego lub tamtego. Dotąd zawsze wmrożony byłem w oczywistość: długi warszawskie, prikaz i groźby Ministerjum Zimy, ojciec. Żyło się. A teraz - wszystko jest niekonieczne, nawet samo życie. Pies wyciągnął mi się na piersi; dmuchnąłem mu w nos. Oblizął się szeroko. Nakryła nas kolejna chmura. Zapach ciepłej trawy i lasu wilgotnego rozpychał nozdrza. Pomyślałem: to jest punkt zero, to jest początek układu współrzędnych.

Bo zaczyna się od rzeczy niby prostej i oczywistej, a przecież jak niewielu ludzi się na nią zdobywa. (Żyje się). Otóż należy naprawdę - do głębi duszy, to jest nie na modłę argumentacyj rozumowych, lecz prostej, chłopskiej wiedzy zapisanej w mięśniach i kościach - należy uświadomić sobie nie konieczność każdego naszego czynu i zaniechania, niekonieczność każdego dnia przeżytego tak, nie inaczej. (Żyje się). Że się wstaje na ósmą do biura - to niekonieczne. Że się mieszka w mieście, między ludźmi - to niekonieczne. Że się pracuje dla pieniędzy, pieniądze wydaje - to niekonieczne. Że się żeni, dzieci chowa - to niekonieczne. Że się postępuje według prawa i obyczaju, przestrzega konwenansów i uzusów - niekonieczne. Że się chodzi na dwóch nogach - niekonieczne. Że się żyje - (żyje się) - niekonieczne!

Ujrzyć to od razu w całej oczywistości, od razu do każdej rzeczy przyłożone: może być tak, może być inaczej, i żaden sposób bardziej prawdziwy od innego.

Ujrzyć i przyjąć ją jako najpierwszą zasadę: niekonieczność.

Zacisnąłem dłonie na karku sabaki, zacisnąłem mocniej, gdy zaczęła się rzucać i pazurami mnie drapać. Pisk rozpaczliwy nie mógł wyjść jej z pyska, kiedy tak dusiła się na oddechu ostatnim.

Zadusić psa - paczemu? Życ dozwolić stworzeniu - dlaczego niby? Zrobić co lub nie zrobić - z jakiej przyczyny? Nie ma przyczyn. Zdechnie albo nie zdechnie - bez różnicy. Postąpi się tak lub owak - na jedno wyjdzie. Wsje darogi atkrytyje, żadna rzecz bardziej oczywista od innej. Życie psa, życie człowieka, własne życie - wszystko to jak obracanie literami nieznanego alfabetu, jak gwiazdozbiory na niebie, kształt chmury nad lasem: puste i całkowicie niekonieczne.

Mogę zrobić wszystko, nie muszę robić niczego.

Wówczas pomyślałem o wilku uralskim i pannie Jelenie wyciągającej do bestji rączkę naga.

Cisnąłem psa precz, podniosłem się i, tak jak stałem, niczego więcej z sobą nie zabierając, nie wracając do faktorji, nie oglądając się wstecz i nie odpowiadając na wołania Aloszy - ruszyłem na Kieżmę.

Do Kieżmy było dobrze ponad pół tysiąca wiorst. Obmyśliłem sobie, że przynajmniej do Ust'-Kut popłynę Leną, a potem skorzystam z Zimnej Koleji. Inaczej wszakże potoczyła się ta Włóczęga Druga. Lena schodząca z Gór Bajkalskich nie jest spławna i przy najlepszej pogodzie. Przed Rokiem Lutych w miesiącach letnich szły nią dalej na północ wielkie transporty pni - ale teraz, po pierwsze, nikt nie pracował przy wycince i nikt nie skupował drewna, a po wtóre, nadal zdarzały się prawdziwe fale potopowe, w których Lena odkrzuszała nagromadzoną przez długą zimę flegmę: brudnobrunatne wylewy gęstej zawiesiny błota, zimnej wody polodowcowej oraz milionów pudów porwanej przez ten obryw lodu ziemi i roślinności. Z wysokości gór nadrzecznych dwakroć miałem sposobność obserwować przejście takiej fali, było to widowisko jak z kart Księgi Rodzaju, mimo woli przystawałem, przysiadałem, zatykając uszy przed smoczym rykiem uwolnionej spod Lodu przyrody. Lena płynie tu w bardzo głębokim korycie, miejscami między skałami strzelającymi ku niebu prawie na pół wiorsty; to znów popuszcza pasa i rozkłada się nieprzystojnie w szerokim łożu. Odbija niski błękit lustrem gładkiem: tu niebo na niebie, a tu niebo na ziemi. Potem skały na powrót zatrząskują się na niej; tam woda ryczała najwścieklej. Płyty skalne ułożone są zresztą tak regularnie, w tarasach geologicznych jak laboratoryjnych przekrojach skorupy ziemskiej, że nieraz wbrew rozumowi myślałem o tej przyrodzie jako o tworze człowieczym: ktoś to zaprojektował, ktoś wyciosał drogę nurtowi, komuś spodobały się kolory krajobrazu leśnego nad rzeką wygiętą i cienie ostre wyciągnięte na niej wieczorem od skał chirurgicznie ciętych - zamyślił sobie obraz i ziścił go. Niejeden raz zasypiałem tam, nad Leną, przy ognisku dogorywającym, z wyobraźnią wypełnioną kształtami geologicznymi, zapadając się w sny powolne o ziemi, skale i ciekach zimnych wędrujących w ciemności pod hefajstosowem ciśnieniem.

W spokojniejszych Leny dopływach łowiłem ryby, wyklepawszy kamieniem i ćmieczometrem haczyk zgrabny z drutu wysupłanego z soroczego sita. Po wylewach flegmy rzecznej znajdowałem na brzegu w zakolach różne sprzęty wyplute z ziemi wraz z jej śmieciami. Jadłem te ryby z przerdzewiałej misy płukacza złota. Miałem także puszkę aluminiową na wodę. Pewnej nocy przysiadł mi się do ognia i ryby inny podróżnik syberyjski, z biegiem Leny idący. Przedstawił się imieniem Jan, powiedział, że urodził się w Pradze poddanym Franciszka Józefa, na Syberję przyjechał był na posadę zarządcy kopalni, a

teraz nie ma już posady i nie ma kopalni, teraz idzie za pochodem szalonych marcynowców, którzy uprowadzili mu żonę i dziecko - wyciąga rewolwer wielki i mierząc mi w pierś, żąda, ażebym się zaprzysiągł, iż nie jestem z żadnej wiary marcynowej. Od razu przypomniał mi się Ekspres Transsyberyjski. Zakręciłem ómieczometrem, 313 ciem, Lato. Musiał widzieć moją oćmiatę ciemną, to dlatego. Nałożyłem mu resztę ryby i opowiedziałem historję Syna Mroza; starczyło nocy. Nie strzelił. Rankiem zeszliśmy do Kacziuga.

Port i miasto trzymali ludzie niejakiego Faszujkina, który, jak słyszeliśmy, był ongi untieraficerem między dozorcami rot katorżników, na wyręb tajgi nad Lenę tu zsyłanych. Po Ostatniej Zorzy skrzyknął jakoś strażników razem z więźniami i bradiagami, że zebrawszy się w sile, przejęli kontrolę nad całym spływem rzeczonym. Jednakowoż to samo bezhołowie i bezprawie, które umożliwiał im takie samorządztwo, sprawiło, iż zamarł na dobre w Azji rosyjskiej wszelki handel i Faszujkin, zamiast bogactwo łatwo a beztrosko tu zbijać, trudzić się musiał wielce, coby w ogóle miasto utrzymać pod władzą, a ludzi obronić i wyżywić. Zeszliśmy tam dwa dni po przejściu owej pielgrzymki sekciarzy, za którą podążał Jan. Rozegrały się krwawe potyczki, marcynowcy chcieli się dostać do magazynów miejskich, do składów nadrzecznych; milicja ochotnicza Faszujkina stawiała im opór, strzelali się przez rzekę, ostrzeliwali się z okien budynków. Których część spłonęła. Faszujkin, drab dorodny w szapce wojskowej i przy nahaji, chodził po ulicach ze swoimi przybocznymi bradiagami, wściubiał we wszystko nos, pokrzykiwał na zbrojnych, popędzał uprzątających ciała, pochylał się nad babami z dziećmi, które co chwila z prośbą żalosalną drogę mu zastępowały; na koniec całowały go w rękę i, pochlipując, dawały się odciągnąć zbójcom ponurym, mimo wszystko pocieszone. Byliśmy świadkami takiej sceny na nabrzeżu. Patrz uważnie, rzekłem Janowi, tak się rodzą Stany Zjednoczone Syberji. Spojrzał na mnie dziwnie i wskazał kantor przy magazynie (niespalonym). Zmrużyłem oko. Wisiał tam plakat, z daleka dosyć podobny plakatowi antyjapońskiemu z czasów wojny. Podszedłem. Ktoś oddał dół, kula przeszła napis na samej górze - pozostało jednak, co najważniejsze. Była to odezwa do Ludu Syberji, na modłę gazetowych historyjek obrazkowych wygłaszana przez postawnego drwala o mało słowiańskiej urodzie. Drwal obwieszczał z plakatu, iż ziemie te i ich bogactwa ma w posiadaniu już nie Impierator Wsjerassijskij, lecz lud Syberji - albowiem 17 października 1929 roku w Tomsku ustanowione zostały Sajedinionnyje Sztaty Sibiri, które oddają Syberyjczykom demokratyczną nad nimi samymi władzę. Tomską Proklamację podpisały rozmaite komitety polityczne, między innymi Nowi Narodnicy i esery-wieszatiele Sawinkowa, jednak pierwsze na tej liście było Wsjeobszczije Abłastnicziestwo,

reprezentowane przez Pociąg P. D. Niżej, pod lewą ręką rębaczka, ciągnęła się przemowa o planowanych działaniach Tymczasowego Rządu SSzS; tego fragmentu brakowało. Zapytałem Jana, czy słyszał co o tym rządzie. Kto jest kanclerzem? Nie jaki Polak aby? Jan wszelako nie miał owego projektu państwowego w wielkiej powadze. Zabawy to salonowe panów politykierów, mruknął, przypatrując się trupom wyławianym z rzeki przez flisaków inarodczych. Że w ogóle chce im się taką propagandę po kraju rozsyłać - ilu tu ludzi umie czytać, he? Poczem poszedł do mogił południowych, tam szukać swojej kobiety i riebionka.

Strawiliśmy w Kacziugu trzy dni, czekając okazji, żeby zabrać się łodzią w dół rzeki. Jan pierwszy zrezygnował, wołąc podążyć za marcynowcami na piechotę. Podobnych włóczęgów były tu setki, wszyscy tak samo bez pieniędzy, zebrzący po ludziach o jaką strawę ciepłą i kąć nad głową. Pieniądze zresztą wielkiej różnicy by nie uczyniły: jak się szybko spostrzegłem, rubla carskiego wkrótce po Odwilży pożarła inflacja, a nie lepiej wyglądały inne waluty europejskie; wartość trzymał jeno dolar amerykański, no i kruszec złoty oraz djamenty. Faszujkin płacił za uprzążenie miasta i służbę porządkową kartoflami, rzepą i cebulą oraz kwitami dłużnymi jego Syndykatu Drzewnego. Przepracowałem dwa dni przy trupach, przynajmniej najadłszy się potem do syta. Kwity służyły do podcierania tyłka.

Jan stracił cierpliwość i ruszył na północ traktem tartacznym. Dogoniłem go potem, już wędrującego w grupie kilku skazańców, którzy wymknęli się spod władzy Faszujkinowej i, korzystając z niespodzianego wyzwolenia przez Odwilż, próbowali wrócić do domu, do Europy. Więcej było takich niby-uciekierów, którym kajdany same spadły z nóg, gdy puścił Lód i puściły okowy Państwa. Część kierowała się na południe, do Irkucka, licząc na transport Transsibem albo morzem przez Władywostok, albo wręcz zamierzając przejść przez Mongolję i Charbin i obłowić się na Rewolucji Chińskiej. Inni, jak ci towarzysze Jana, szli od razu na Krasnojarsk. Jeszcze inni - tych najmniej - nie bardzo mając do czego wracać ani nie orientując się w świecie szerokim, liczyli, iż najmądrzej obstawią Fortunę, pozostając pod skrzydłami Faszujkina *et consortes*.

Z towarzystwa bywszych katorżników jedna korzyść była na pewno: nie zginą oni z głodu w tajdze zielonej i nie zginie z głodu człowiek przy nich. Napadli zresztą po drodze na jeźdźca mundurowego, kradnąc mu karabin i amunicję, i raz potem zdarzyło im się ustrzelić tłustego jelonka. Co znowu stało się przyczyną rozstania z Janem, bo nie chciał on marnować dnia kolejnego na sprawienie zwierzęcia i przyrządzenie mięsa na podróż dłuższą.

Wpadłem na Czecha kilkadziesiąt wiorst dalej, już niedaleko Ust'-Kut.

Zdumieliliśmy się, widząc tam na wzgórzach nad Leną obóz jakiejś siły zbrojnej. Wpierw myśleliśmy, że to kozacy carscy, potem - że sotnia zdziczała, potem, gdy naliczyliśmy z oddali więcej twarzy europejskich - że banda zorganizowana eks-katorżników podobna Faszujkinowej. Postawili palisadę, okopali się porządnie, mieli wartowników z lornetami i przynajmniej dwa ciężkie karabiny maszynowe systemu Hirma Maxima, co wypatrzył skazaniec młody ze świeżem doświadczeniem z ck armji. Postawili też maszt anteny radjowej. Nie nosili żadnych mundurów, co jednak nie umniejszało lęków eks-katorżników, oni woleli cofnąć się w tajgę i ominąć obóz z daleka. Ja jednak zwróciłem uwagę na świeże błoto zalegające tu wszędzie na brzegach Leny i na lśniące w słońcu poszycie statku rzecznoego, kuprem wzwyz z tego błota wystającego. Rozłożywszy ręce, z uśmiechem szerokim na twarzy, stając powoli i miarowo, wyszedłem z lasu ku obozowi.

Nie ustrzelili mnie. Więcej włóczęgów się do nich schodziło, człowiek w takich czasach przede wszystkim szuka bezpieczeństwa, pragnie się oddać pod władzę. W środku nie zrobiłem dziesięciu kroków, a przypadł do mnie Jan, wyrwawszy się od roboty saperskiej, do jakiej najwyraźniej zapędzali tu wszystkich bradiagów. Pojawił się przełożony warty, nie rozumiejący rosyjskiego; rozmówiłem się z nim po francusku i to chyba przeważało. Nad głównym namiotem obozu powiewała flaga, której nie rozpoznałem nawet z bliska - a dlatego, że nie były to barwy żadnego państwa ni domu panującego, lecz towarzystwa dobywczego *Societe Miniere de la Siberie*, pod pakietem kontrolnym kompanji Empain-SPR. Edouard Louis Joseph Empain do spółki z innymi wielkimi firmami europejskimi i amerykańskimi, które za rządów Stołypina i w czasie *boomu* zimnazowego weszły głęboko z inwestycjami w Syberję, zorganizował ekspedycję w celu wydostania z rozmrożonej Syberji pracowników tych firm wraz z rodzinami. W Ust'-Kut znajdowały się warzelnie soli o milionowym dochodzie, a także główne składy tungetytu na północ od Kacziuga, tędy szły wszystkie transporty z soroczysk pod Ostatnią Izotermą: Zimną Koleją przez Bajkał, Olchon do Irkucka. Tym oddziałem ratunkowym dowodził ogorzały Bur, pułkownik van der Hek, ludzi miał jeszcze z egipskich ekspedycyj barona Empain i z Makao, sprawdzonych żołnierzy, wielu z nich na paszportach francuskich - dowiedziałem się, iż w odróżnieniu od Wielkiej Brytanji, Francja utrzymała po Odwiliży sojusz z Cesarstwem Rosyjskim, zbyt wielkie były inwestycje francuskich kapitalistów na ziemiach rosyjskich. Plan van der Heka przewidywał ewakuację Leną, Jenisiejem i Obem do portów północnych, tych zbudowanych w Zimie dla potrzeb transportu lodowego. Mieli na każdej z owych rzek statki i łączność radjową z nimi. Cudzoziemcy z Ust'-Kut wyszli byli wedle rozkazu, zebrali się z rodzinami i dobytkiem tu,



na południe od miasta, poczem nastąpiły dwa nieprzewidziane zdarzenia: raz, wpadła na nich wędrowna armja marcynowców, dwa, Lena wykaszła nową porcję flegmy, zatapiając statek van der Heka. W efekcie ekspedycja Empaina siedziała w tym prowizorycznym forcie, czekając na nowy transport i odstraszać wędrowne bandy.

Jan, który w swej histeryczno-fatalistycznej huśtawce nastrojów przechodził właśnie fazę niepowstrzymanej gadatliwości, w pół minuty zdążył wypaplać przełożonemu warty cały mój życiorys. A ten, usłyszawszy, że Polak, matematyk i pracownik koncernu Kruppa, zaprowadził mnie do pułkownika. Pułkownik pogawędził ze mną sympatycznie przy szklaneczce ginu, popytał o to i owo, i przeprosił grzecznie. Nie trzeba gienjusza oćmiezonego, żeby zmiarkować, iż poszedł zapytać przez radio, czy w berlińskich rejestrach *Friedrich Krupp AG* mają w ogóle pracownika nazwiskiem Gierosławski. Przeciągnęło się to do zmroku i dobrze w noc, kiedy to łączność się poprawiała; zanim pytanie i odpowiedź przeszły na falach eteru i kablem telegraficznym przez pół świata tam i z powrotem, nad Syberją zdążyła się rozgwieździć kolja Wielkiego Wozu, a żółty lampjon Księżyca przebył połowę drogi do Chin. Pułkownik van der Hek zaszedł mnie przed świtem, gdy przyglądał się z podestu palisady Księżycowi pływającemu na falach Leny. W płwocinie rzeki zebrały się także ciała z Kacziuga, Księżyc obracał jednym i drugim trupem z leniwem rozbawieniem, podskakiwały fajtlapowato, rozdęte, rozpulchnione. Bur poczęstował mnie cygarem ze stalowego etui. - A więc działa niemiecka biurokracja. To nie znajdują się oni przypadkiem po przeciwnych stronach frontu teraz, Mikołaj i Wilhelm? - W Niemczech rewolucja robotnicza, sami nie wiedzą, po której stronie frontu się znajdują - rzekł van der Hek. - *Alors*, ludzie interesu zawsze są po tej samej stronie. Wojny i polityki, cóż one znaczą dla pieniądza? Przepłynie i tak, znajdzie sobie drogę; *Societe Miniere de la Siberie* ma wielkie interesy także z Kruppem. Sprawdzili, znaleźli dwóch Gierosławskich. Kazali mi się upewnić, że to nie ten starszy. Baron Empain wyleguje się pod palmami w Heliopolis, jestem w tej sprawie pod komendą Kruppa. - Mój ojciec nie żyje. - Wypaliliśmy cygara w milczeniu, słuchając powolnego oddechu tajgi. Bur przyglądał mi się kątem oka, uśmiechał się półgębkiem, gdy łąpałem go w spojrzenie bliskie. - Pan nie wraca do Europy - stwierdził w końcu. - Nie. - Dokąd zatem? - Za Kieżmę. - Zimną Koleją daleko pan nie zajedziesz, linja chyba naprawiona, ale zaraz za Ust'-Kut pociągi przechwytyje Kościół Świętego Marcyna. Możemy wysadzić pana w Kireńsku. Pójdzie pan stamtąd na zachód, do Podkamiennej Tunguzkiej. - Dziękuję. - Niech pan się nie boi, nie zdradzę nic Kruppowi. - Dopiero gdy odszedł, zrozumiałem, iż van der Hek sądzi, że ja, wykorzystując Odwilż, zmierzam teraz za Ostatnią

Izotermę, do miejsca Impaktu. Myśl ta rozpała natychmiast tuzin innych myśli z planów, z nadziei przeterminowanych, roztopionych. Bo może i da się tu zamrozić co z powrotem...? Siedziałem na palisadzie do świtu, smakując bez pośpiechu jedną niekonieczność po drugiej, rozdziałając je na podniebieniu końcem języka niczym opłatek od opłatka.

Do Kieżmy dotarłem na początku maja, nie bez kłopotów - większość mostów stałych została zerwana, mostów sezonowych po Odwilży nie postawiono wcale, zresztą wszyscy się tak przyzwyczaili do podróży po zimnikach, że rwące rzeki wiosenne okazały się wtem przeszkodami prawie nie do pokonania, przez byłe strumień trzeba było nadkładać wiorsty i wiorsty. Inny kłopot brał się stąd, że, chcąc nie chcąc, nadal podążałem śladem owej chłopskiej armji marcynowej. Myślałem, że się z nią rozszedł już nad Leną, ale nie: jako rzekł pułkownik van der Hek, trzymali oni całą Zimną Kolej za Ust'-Kut. Zbliżając się do Kieżmy, napotykałem coraz więcej marcynowców podróżujących w mniejszych grupkach - zbierali się tu z całej Syberji niczym zwierzęta instynktem jakimś niewypowiedzianym w hordę jedną ściągane. W końcu nie musiałem się nawet przed nimi kryć, bo widzieli oczywistym, że i ja - w tę samą stronę idący - jestem ich brat z wyznania. Nie zaprzeczałem; to wystarczało. Było Lato.

Jak się wówczas zgadało przy nocnem ognisku na trakcie: szli, ponieważ miał się odbyć na grobie Świętego Samozmroźca zbor wielki z udziałem wszystkich ojców zimnych, a i samego Rasputina, precz z Carskiego Sioła i z Jewropy przegnanego, zbor wraz Kościoła Rasputinowego i wszech jewo siekt otszczepienczieskich, marcynowców heretyckich; szli tam wszyscy w zgodzie, to znaczy nie mordując się po drodze. (Było Lato). Zagadnąwszy niewinnie o to i tamto, wywiedziałem się następnie, iż grobu świętego Marcyna tak naprawdę nie ma, bo nikt nie wie, co się z Marcynem stało (wierzą, iż zszedł żywcem w Lód), natomiast za grób symboliczny biorą stary Marcyna erem, przez kozaków na rozkaz carski do gruntu wyburzon. Na to mi skóra ścierpła, bom przypomniał sobie, gdzie mianowicie ten erem stał.

Postanowiłem za wszelką cenę zdobyć wierzchowca. W Kieżmie, teraz na pól spalonej, a i przedtem mieścinie raczej niewielkiej i mało reprezentacyjnej, kłębił się tłum pielgrzymów, doprawiony sporą porcją mierzwy ludzkiej przyniesionej tu wiatrem Historji. Wedle map van der Heka i wskazówek uzyskanych od mieszkańców Kieżmy, czekał mnie jeszcze marsz co najmniej tygodniowy. Tłum ruszał nazajutrz; a pierwsi pielgrzymi zapewne już są na miejscu. Wieczorem z dzwonnicy cerkwi popatrzyłem po okolicy. Ogniska migotały od horyzontu po horyzont, te dalsze gęściej świecące niż gwiazdy na niebie. Zebrało się tu kilkadziesiąt tysięcy luda. Jak wyżywić takie rzesze? Jak utrzymać w nich porządek? Wiara szczerza wszystkiemu

nie zaradzi. (Zwłaszcza że było Lato). Ojcowie marcynowi starali się zaprowadzać ład, racjonowali zbierane przemocą po drodze jadło, wyznaczali strażników... Ale tylko w ruchu, tylko dopóki zmierza do jasno określonego celu, da się taka masa ludzka kontrolować.

Na dzwonnicy wlałem, coby zaobserwować ruchy tych strażników: oni mieli konie. Mieli też broń palną. Przypomniałem sobie, jak eks-katorznicy stracili z siodła jeźdźca w zasadzce śródleśnej. Rzecz była do przeprowadzenia i w pojedynkę, zaplanowałem ją sobie bardzo dokładnie. Zaczaiłem się za pierwszym zakrętem śródleśnym na drodze od Kieżmy najczęściej przez konnych marcynowców wybieranej. Wybrałem drogę mocny, poręczny i znalazłem drzewo uczynnie nad traktem nachylone. Wspiąłem się na jego konar i czekałem, ukryty w mroku nocnym, w nocnym oszumie lasu. Plan miałem prosty i logiczny. Raz, dwa, trzy.

Nic nie poszło według planu. (Było Lato). Co prawda trafiłem kijem w jeźdźca, ale ten, zamiast wylecieć gładko z siodła, capnął odruchowo za ów kij i pociągnął mnie razem z nim, że zwaliliśmy się w pędzie na jeden kłęb: ja, marcynowiec, koń, drogę i konar ciężki. Marcynowiec złamał kark, ja wybiłem sobie parę zębów, a koń pogruchotał nogi. Zanim zdołałem dojść do zmysłów nad tą katastrofą zbrojecką, na trakcie od strony Kieżmy zamajaczył kolejny jeździec. Padłem za kwiczącego przeraźliwie rumaka i jałem jeszcze głośniejsze wołać o pomoc w imię Marcyna. Jeździec zbliżył się, zatrzymał. Wyrwałem spod siodła karabin i strzeliłem mu pod brodę. Tak zdobyłem wierzchowca, dwie sztuki broni i prowiantu na tydzień.

Pod Przełęcz Mleczną dotarłem trzeciego dnia, późnym popołudniem. Na łąkach górskich zebrał się już tłum niemały. Miejsce, gdzie znajdował się był erem Marcyna, otoczono prowizorycznym kręgiem kamiennym, stali tam pod bronią kozacy-marcynowcy. Pociągnąłem okiem wzwyż, nad tajgą rzadką, po wzgórzach i turniach kanciastych. Czarna ruina sanatorium profesora Kryspina majaczyła na niebie ponad łąkami i lasami: ząb spróchniały na profilu grani szczyrbatej. Jedno spojrzenie i wiedziałem: spóźniłem się miesiące, lata.

Siedziałem w siodle, zmęczony i obolały po forsownej galopadzie, i długie minuty gapiłem się tępo na ten obraz ponury wyświetlony na ciemniejszym błękitcie. Który ciemniał stopniowo niczym skóra zdrowa sińcem fioletowym podtapiana. Krwawe Słońce lało na wszystko wiśniowy poblask. Wiatr syberyjski grzebał mi chłodnymi palcami w brodzie, we włosach długich. Gapiłem się w bezruchu. Na koniec coś mi tąpnęło w piersi, za mostkiem -

jakby narodziła się kamień odpadła od serca - i oderwałem wzrok, oderwałem myśl; zsiadłem, padłem na trawę, zasnąłem bezsennie.

Tak znaleźli mnie ludzie z gwardji Rasputinowej. Owa spontanicznie sformowana pretorja Grigorija Jefimowicza składała się wyłącznie z zaprzysięgłych mu zimowników; że zbierali teraz do niej wszystkich zimowników spośród strażników trzody lodowej, to ze strachu przed nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami, jakie zawsze budzi zgromadzenie wielkie ludzi pasją religijną powodowanych, osobliwie gdy przedmiotem zgromadzenia jest spór o rzeczy najważniejsze. Miała się tu odbyć bitwa teologiczna. A ponieważ ja wyglądałem jak wyglądałem, no i przybyłem na koniu strażnika, z jego rynsztunkiem - trafiłem między pretorjan Świętego Grzesznika. Nie miałem siły ni ochoty zaprzeczać. (Lato). Rasputinowcy rozłożyli byli swoje namioty na wschód od eremu, nad strumieniem lodowcowym. Zimownicy obmywali się w jego nurcie kości mrozem łamiącym, był to rodzaj ablucyj rytualnych, jak pojąłem po niedwuznacznych spojrzeniach, gdy rzucił swoje rzeczy na posłanie pod pałatką. Trzeba mi było także pójść i obmyć się w mrozie płynnym. Woda - od Słońca na nieboskłonie właśnie zarzynanego - miała barwę świńskiej juchy. Ściągnąłem odzienie. Poniżej, na łąkach, rozłożyły się setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Nikt nie patrzył. Rasputinowiec kąpiący się obok mnie również miał odmrożone palce u stóp i skórę płątami przebarwioną brzydko, a na fizjognomji mongolskiej blizn okrutnych wiele; i tak samo jak ja, nie potrafił się do końca wyprostować ze skrzywienia kalekiego. Wymieniliśmy powitanie w imię Boga Zimnego. Spostrzegł, iż oko ucieka mi wciąż ku ruinie czarnej na wysokości. - Był tam kurort naukowy dla Jewrapiejców bogatych - rzekł. - Przyjeżdżali mrozić się dla zdrowia ich ciał, zdrowie duszy za nic mając. Jeden pustelnik święty im wadził! - Spytałem zatem, co miało sanatorium do eremu Marcyna. Ano to, że profesor Kryspin poskarżył się był władzy imperjalnej, że mu tu nieustannie typy podejrzane się schodzą, złe impresje na kuracjuszach wywierając, no i władza zrównała erem z ziemią. Na co w słusznym gniewie, gdy tylko przyszła Odwilż i padło Państwo na Syberji, Rasputin Najzimniejszy kazał spalić dwór na przełęczy. I poszli wierni nocy jednej zeszłego roku, włamali się w dom bogactw zachodnich, podłożyli ogień. Sługi sanatoryjne ich przepędzili, ale pożar szedł już jak burza, popalili się niewiercy i papiści potępieńcy. Chowali się tam jeszcze tygodnie, na próżno po pomoc do isprawników śląc; w końcu próbowali przemknąć drogą na Kieżmę, ale ich brać wyłapała. Zapłacili życiem za bezbożność bezczelną. Chałodnyj jest' Bog!

Lodowata woda koła mi ciało bolące, zanurzyłem się w niej cały, gdybym mógł, spocząłbym na dnie pod prądem mroźnym, z okiem otwartym na chmury purpurowe i zieleń

górniskich, tak bym zamarzył najchętniej. Każda kolejna niekonieczność męczyła mnie bardziej. Zagadał do mnie przy wieczerzy jeden i drugi marcynowiec - prowadziłem rozmowy w milczeniu. Poruszałem się powoli, zamierając w pozach zapomnienia na chwile długie. Zmęczony, zniechęcony, przegrany, zamarzyłbym wtedy najchętniej.

Przyjęli mnie jak brata.

Po wędrówce wielotygodniowej i ciągłej szarpaninie nerwowej na szlaku, spałem teraz długo w dzień, wcześniej też po zmierzchu się kładąc. Wyszła ze mnie energia. Ponieważ nic nie było konieczne, wszystko było możliwe. Zamarzyłbym najchętniej; a tak - liczyłem chmury, leżąc w trawie. Widać i w tej manierze duszy nie wyróżniałem się specjalnie między zimowników rasputinowych, bo nikt mi nie czynił uwag ni wyrzutów - a może puszczałem je mimo uszu, nie zapamiętując - a może przeganiałem niechętnych już pierwszym spojrzeniem. Chodziłem z innymi na dół, między pielgrzymów, gdy trzeba było porządek zaprowadzić. Muzyki mieli respekt przed zimownikami, zazwyczaj starczyło parę słów gniewnych; raz musiałem zdzielić awanturników laską ćmieczometryczną. Zdawało się, iż każdego dnia przybywa na łąki kilka tysięcy marcynowców. Było dla mnie oczywiste, że podobne zbiorowisko eksploduje tu prędzej czy później w panice, hysterji czy innej gorącej emocji masowej - tern bardziej że już gazami religijnymi napompowane, że przecież na głodówkę nieuchronną i nędzę wystawione. Część z nich to byli ascetycy, bodaj samą wodą i korzonkami się żywiący; część - jakieś marcynowe odłamy chłystów czy bogomiłów: odprawiali publiczne akty pokutne, przy akompanjamentie wycia bab i szlochu dzieci biczowali się do krwi, cięli się „pasami cierniowymi”, gnietli łańcuchami. Prawie każda grupa prowadziła przytem swojego ojca zimnego, „świętego starca” - przeważnie łatwo ich było poznać, bo to byli ci najmocniej cuchnący i w brudzie zakonserwowani. Ruchy mieli nerwowe, wzrok febryczny, odpowiadali na pytania biblijnymi zagadkami i następnymi pytaniami, pozbawionymi jasnego związku z poprzednimi. Prawie każdy zdołał jednak wyrazić jakieś osobliwe życzenie: a to, żeby na południe od jego posłania nie spoczywała żadna niewiasta, a to, żeby mu psalmy w czasie snu recytować (inaczej budzi się natychmiast, skoro mu Szatan do snu wlezie), to znów, żeby przedstawić mu czem prędzej największego grzesznika w zgromadzeniu (zgłosił się siedemdziesięcioletni buchalter z Niznieudińska). Większość domagała się lodu. Nikt tu oczywiście nie miał na podorędziu ani kawałka masy zmrożonej.

Mierziło mnie to wszystko okropnie. Żeby nie musieć z ludźmi obcować, zgłosiłem się do grupy odpowiedzialnej za przygotowanie schronienia Rasputinowi. Postawiliśmy chatkę

jednoizbową czterdzieści kroków od kręgu eremu. W kręgu, przy ruinie pustelni, mieli pono radzić starsi zboru.

Postawiliśmy chatkę; cieśla-zimownik został sprzęty do niej jeszcze wykonać, łoże dla mnicha lodowego, stołek jakiś, blat, ławę. Rasputin miał przybyć za dzień czy dwa. Żeby zniknąć im z oczu na popołudnie długie, wybrałem się do lasu. Co wszakże poczęło się jak ucieczka od ludzi, prędko zmieniło się w spacer przez zieleń słoneczną, pachnącą wilgocią zdrową, w cieniach kojących, masujących dotykiem motylim rozpalone skronie. Jakem przez lasy pod Wilkówką i majątkiem dziadków był wędrował, dziecię beztroskie, bezrozumne, jeno wszystkimi zmysłami chłonać świat jaskrawy, gąbka na świat, gąbka na kolory i dźwięki materji rozbuchanej... Aż chce się pamiętać takie dzieciństwo. Śpiewały ptaki. Pajęczyna ciepła przylepiła mi się do policzka. Napilem się wody na skale omszałej zebranej. Mrówki weszły mi w buty. Las szumiał mi w głowie.

W lesie wstąpiłem na piaszczystą drogę krętą, która zaprowadziła mnie na Przełęcz Mleczną, do sanatorjum profesora Kryspina.

Przełęcz Mleczna - bo kiedy Zima leżała na Syberji i lute chadzały ścieżkami ludzi, ten łańcuch górski, choć niewysoki, stanowił granicę i barjerę dla prądów klimatycznych: po stronie północnej, gdzie zbocza były łagodniejsze, otwierała się równina wyżynna schodząca już bez żadnych naturalnych przeszkód aż do miejsca Impaktu, do Najniższej Izotermji; i różnice temperatur, ciśnień, wilgotności, mechanizm wichrów, a może gradient innych sił czarnofizycznych powodował, iż wzbierały wówczas do przełęczy, a czasami nawet przelewały się przez nią na stronę południową, jak opowiadali marcynowcy nadal grozą zdjęci - mgły o gęstości i konsystencji mleka, których dotyk dłuższy potrafił kruszyć najtwardsze metale Lata. Pamiętałem z należącej do panny Jeleny broszury reklamowej sanatorjum nawet taką fotografię niewyraźną: dwór górski nad odmętami mlecznemi. Profesor Kryspin donosił był o temperaturach sięgających poniżej minus stu stopni Celsjusza. Najpewniej z tej też przyczyny żył tu przez lata w swojej norze z kamieni, kłód drewnianych i lodu Marcyn: aby móc swobodnie wchodzić i wychodzić z Mrozu. Marcyn był tu przed Kryspinem; możliwe, iż właśnie plotka gazetowa o osobliwych zwyczajach pustelnika podsunęła profesorowi pomysł. Próbował był on leczenia zimnem już wcześniej, rozwijając teorię barona Lorreya, chirurga napoleońskiej kampanji moskiewskiej, który na tysiącach przypadków zmrożeń organizmów żołnierzy zaobserwował przedziwne efekty dobroczynne mrozu. Wszelako z nadejściem Lodu krjoterapie zyskały zupełnie nową skuteczność.

Wszedłem w gruzy przez główną bramę, ona ostała się nieuszkodzona. Przez szczątki wielkiego holu dworzyszczą mogłem przejść wprost na tylny dziedziniec, wszystko tu się popaliło i zawaliło na jedną kupę rumoszu, całe dwa piętra wraz z dachem; stąpałem po śmieciach, a z głębokości zawału mogłem wnioskować o planie architektonicznym budynku. Stała ściana zachodnia oraz wieżyczka obserwacyjna na wschodnim skrzydle - stąd podobieństwo do dwóch czarnych kłów sterczących po bokach bezzębnej poza tym szczęki.

Z północnego dziedzińca można było następnie wyjść przez furtkę po lewej lub na stok poniżej. Nad stokiem, pod wiatą murowaną, orzeźbioną w fale i grzywacze, krył się dziwny mechanizm zimnazowy. Postukałem weń laską. Odezwał się niczym dzwon pęknięty, rloommm!, płosząc z ruiny ptaki dwa. Oglądałem urządzenie ze wszystkich stron. Był to chyba kołowrót - ale jakie liny na bęben wewnętrzny nawijał? jaki napęd nim obracał? Starłem rękawem rubaszki brud z zimnaza. Odczytawszy napis na firmowym odlewie, parsknąłem głośnym śmiechem. Kołowrót został wykonany w Zimnym Nikołajewsku przez *Friedrich Krupp Frierteisen AG*, z pierwszego patentowanego wychłodu mosiądzowego zimnaza w Dziurawym Pałacu.

Podszedłem do krawędzi nad stokiem, przysiadłem na murku. Zielono-żółta panorama mogła zawrócić w głowie, podobnie jak hypnotycznie działa pierwszy widok otwartego morza, masywnymi piąchami wody bijącego z nieskończoności o brzeg, na którym stoisz, człowieczek mały w obliczu potwora. Tutaj otwierała się przede mną nieskończoność oceanu Syberji. Niebo poszminkowane beżowo i bordowo wciskało pysk napuchły w micę pól trawiastych, ciemnych mokradeł i soczystej tajgi. Pomiedzy górnym i dolnym światem, na jedno wyciągnięcie jęzora Słońca, szybowały ptaki rozciągnięte w długich konstelacjach. Wsparłem się jeszcze na lasce i wciągnąłem głęboko powietrze nowej Azji. Zapach i smak mokrej ziemi wszedł mi z powrotem na język, w gardło, wkleił się w zatoki. Wszystko rodzi się z ziemi, nic dziwnego, że wraca to do mnie. Tak wtedy myślałem, było Lato. Laska pokazywała 310 ciem.

Siedziałem tam może godzinę, może dwie. Z łąk południowych dochodziło echo ryków szaleńczych tłumu marcynowców; nie miałem ochoty do nich wracać. Opuściwszy wzrok na zbocze tuż pode mną, dojrzałem ciemną nić wijącą się przez zieleń. Była to lina zimnazowa, najwyraźniej wypuszczona z mechanizmu kołowrotu; na jej końcu, dobre ćwierć wiorsty dalej, majaczył jakiś kształt pudełkowaty. Domyśliłem się, iż był to rodzaj wózka - sań? kabiny luksusowej? - w którym profesor Kryspin spuszczał pacjentów w Mróz, dozując im ze swego gabinetu obserwacyjnego precyzyjne uderzenia leczniczego zimna. Wpierw zbiło mnie

trochę z tropu, iż nie dostrzegłem na pochyłości żadnego toru ani nawet dróżki w miarę prostej, jeno same wykroty, głązy i zarośla. Zaraz wszakże zobrazowałem sobie sanatorium pracujące w warunkach Zimy: leży tu gruba skorupa lodu, kajuta osadzona na płozach zsuwa się bez problemu.

Wyszedłem z dziedzińca przez boczną furtkę. Dwa kroki i stanąłem - był to cmentarz. No tak, nie wszystkie choroby zatrzymywała cudowna kuracja profesora Kryspina, i nie wszystkich z tych, co chorobie tu jednak ulegli, transportowano wielkim kosztem do cmentarzysk w ich ojczystej ziemi. Nagrobki stały w równych szeregach, wykonane według jednego wzoru. (Zapobiegliwy profesor zapewne zamówił liczniejszą partję z upustem hurtowym). Jednak teraz, po Odwilży, mogiły zapadły się, zakłęśły, niczym zassane od środka; a kilka na odwrót: wypiętrzyło się, rozpuchło. Siłą rzeczy także kamienne tablice nagrobne nie trzymały pionu. Pijana tajga, pijane cmentarze, ludzie jak pijani... Wszystko się rozmiękcza, rozkleja, roz-roztapia.

Dalej, za limami nachylonych w przykłęku płyt kamiennych, na ugorze rozciągniętym już w stromiznę górską, znajdowała się druga część kładbiszczka. Co odkryłem, nadepnawszy na drewno w chwastach ukryte. Rozgarnąłem je laską. Krzyż. Otóż takich topornych krzyży, łacińskich i prawosławnych, było tu ze dwa tuziny. Sklecili je naprędce, w pośpiechu grzebiąc ofiary pożaru w ziemi rozmarzłej. Zbyt płytko wbite, po Odwilży zupełnej wszystkie krzyże legły na płask i szybko zakryła je roślinność świeża.

Pamiętam, że uśmiechałem się przez czarną melancholję. Powodowany przecuciem przyszłości równie pewnem co pamięć rzeczy przeszłych - jak - bym na nowo odgrywał wspomnienie spaceru po Wzgórzu Jerozolimskim u boku Leokadji Gwóźdz - stapałem przez chwasty, badając ziemię cierpliwie i metodycznie niczym dobry ogrodnik, okiem, stopą i laską. Na krzyżach wydrapano koślawe nazwiska, bez daty śmierci, często bez imion. Przewracałem deski napisami do słońca; niekiedy trzeba było zetrzeć z nich glinę, mech i grzyb. Robiłem to powoli, spokojnie, z cierpliwością archeologa. Pewność była tak wielka.

## **Е Муклянова**

Jedna z najdalszych, tuż pod skarpą. Przysypana kamienistym kruszem, wąska mogiła, ułożona nierówno z innymi, na pochyłości i w skrzywieniu, na wpół skłębnięta. Niespodzianie rozczulił mnie ten bieda-grób w absurdalnym skojarzeniu - była ciała tak wątłego,



chorowitego, kosteczki jej rączki chudej ledwo trzymały się pod skórą bladą... Rozebrały ją robaki.

Na powrót wbiłem krzyż w ziemię, zmówiłem *Wieczne odpoczywanie* i zszedłem między żywych.

Przybył Rasputin, stąd rejwach i krzyki. O zmierzchu ojcowie zimni wygłoszą swoje mowy - ale już trwały przepychanki i kłótnie zajadłe między wiernymi, już się opluwali, okładali klątwami i kijami. Stanąwszy nad strumieniem zimowników, z wysokości mogłem czytać ze spazmów i zawirowań tłuszczu przebieg prądów mistycznych i siłę poszczególnych herezj. Miała się tu odbyć bitwa teologiczna. Nie zdawałem sobie sprawy, w jak wielkim stopniu wiara marcynowa polegała na starych schizmach poraskołowych, jak wiele czerpała z tradycji staroobrzędowych: był w ziemi rosyjskiej, w ludzie rosyjskim głód straszliwy prawdy absolutnej, który tym czy innym sposobem musi zostać zaspokojonym.

Widziałem, że na zachodzie, pod pichtami, filipom i denisowowcy marcynowi już ścierają się z jerwitami, wyznawcami Państwa Łodu. Fiedosiejewcy bezzenni piorą liubuszkinów i akulinowców wolnomiłujących. Małakanie komuniści zgodnie stają przeciwko palibotom jedynostniejącym, z łacińska solipsystami zwanym, akurat widać dzielącym wspólny sen. Jehowiści wypierają cerkwiarzy lojalistów. Rasputinowcy zaś trzymają się mocno, blisko kręgu Marcyna.

Było Lato - ale cóż z tego? Przez wieki tu, w Rosji, rzeźli się, palili, żywcem zakopywali, okaleczali i mordowali pod trzystoma ómami. Osobliwie młodzież męska gołowąsna i starcy siwowłosi płci obojga, oni czują dotyk Prawdy najgłębiej, gniew sprawiedliwy, krew podnoszący ich zbiera na samą myśl, że oto żyją obok nich ludzie Prawdzie zaprzeczający, Nie-Prawdę głoszący, przeciw Prawdzie świadczący. W wierze istinnoej nie może być dwóch Prawd. Prawdę można tylko powtarzać wiernie; a po tym poznać kłamstwo, że kłamstwo się zmienia, że jest go więcej niż jedno. Obrzucali się błotem i ekskrementami, szczuli na siebie wzajem dzieci i psy, ciskali kamieniami i pluli śliną gorącą - a jeszcze nie zaczęły się mowy, jeszcze nie pokazał się Rasputin.

Grigorij Jefimowicz siedział w swojej chatce, odpoczywając po podróży forsownej. Nastawiłem ucha przy wieczerzy (skromnym posiłku z owoców lasu i prosfory). Wedle najmniej popularnej i najciszej powtarzanej przez zimowników plotki, którą wszakże miałem za najbliższą prawdy, Mikołaj II przegnał Rasputina i wyrok na niego wydał po spowodowanej hemofilją nagłej śmierci cesarzowicza Aleksieja, kiedy w Carskim Siele w

jedną noc straszną zaklęć i ceremonij cudosprawczych Rasputin w szale pijackim zabił przyjaciółkę cesarzowej, Annę Wyrubową. Nie przemawiał na jego korzyść fakt, iż Grigorij Jefimowicz głośno żałował odejścia lutech, a z tego przecież Imperator rad był niezmiernie; ani sprawa wielkiej wzięty brytyjskiej przyjętej przez mnicha lodowego na Traktat Bosforski - o który teraz wojna przez Europę idzie, gdy się na koniec Rosja, Niemcy i Wielka Brytania o Turcję i Morze Czarne pobiły. Rasputin był Syberyjczyk z urodzenia, pochodził ze wsi Pokrowskoje, z guberni tobolskiej, i wykorzystując przyjaźń innego szalbierza dworskiego, doktora medycyny tybetańskiej Badmajewa, Burjata zresztą, salwował się z owej opresji ucieczką za Ural. Tu miał zebrać „lud Boży” i z tą siłą nową wrócić do Wielkiej Ziemi, do Sankt Peterburga, gdy konflikt zbrojny dosyć wyniszczy Imperjum i Jewo Impieratorskoje Wielicziestwo. Przynajmniej tę ostatnią plotkę zimownicy powtarzali otwarcie.

Tymczasem doszło pod Mleczną Przełęczą do pierwszego mordu: marcynowiec-ottiepielnik zadusił w szale polemicznym marcynowca-bagamolca, w połowie przeprowadzanego przezeń dowodu na szatańską naturę Boga Stworzyciela. Zaraz nas zwołano na miejsce zbrodni, abyśmy schłodzili emocje tłumu i nie dopuścili do rozbuchania przemocy teologicznej. Tam, tłukący lagą zimnazową po głowach i rękach wzniesionych, wołający o zmiłowanie w imię świętego Marcyna, zostałem wypatrzony z tłumu przez Jana z Pragi.

Widziałem, że mnie poznał. Dał mi znak; nie odpowiedziałem. Przepchał się do pierwszej linji, pod samo drzewo, gdzie spoczywały zwłoki (mordercę już odwleczono do kręgu Marcyna). - Benedykt! - wołał, wymachując ramionami, czym akurat tylko upodobił się do reszty. - Benedykt! Gierosławski! - W końcu przepchał się tak blisko, że krzyczał mi prawie do ucha. - Czego? - odwarknąłem. - Musisz mi pomóc! Ciebie posłucha! - Co? Kto? - Okazało się, że biedny Jan jednak znalazł żonę i dziecko. Kłopot w tym, że żona tymczasem posmakowała Prawdy i nie chciała z Janem nigdzie iść. - Zaczarował ją ten staruch świniopas! - lamentował Czech. - Nadja patrzy w niego jak w ikonę, grzeje go w nocy, po nogach całuje, wodę mu w dłoniach do ust nosi! - Ale co ja mogę? Dajże mi spokój, chłopie!

Udało mi się go odepchnąć, wyrwać się z uścisku. Zawołałem na zimowników, żebyśmy nie czekali na słowo, ale zabrali się stąd z ciałem czem prędzej. Wycofaliśmy się za strumień, dźwigając trupa na barkach.

Pora była najwyższa. Słońce chowało się za zboczem góry, przy ruinie eremu zebrali się już ojcowie zimni. Chciałem skryć się gdzieś z dala od tłumu, lecz starszy gwardji stwierdził,

że „mam posłuch łatwy” i że „widać na mnie cień Lodu”, i postawił mnie u wejścia do kręgu, wraz z trzema zimownikami o bardziej niedźwiedziowatych posturach. Wręczono mi stareńką wintówkę i kazano trzymać ludzi na siedem kroków. Spytałem, ile to wszystko potrwa. Starszy wzruszył ramionami. - Dzisiaj pierwszy dzień - rzekł. Pomyślałem, że przynajmniej jedną konieczność mam już jasną: trzeba mi uchodzić stąd, pókim żyw.

Zaszło Słońce, ktoś wystrzelił trzykroć w powietrze i na głazy nade mną wstąpił goły jak Śmierć staruch, ojciec zimny marcynowców-postników. Tak zaczął się prawdybój.

Mówili, dopóki nie schrypli, nie spadli, utraciwszy równowagę w homilijnym rozgorączkowaniu, albo nie zostali ściągnięci lub skamienowani. A ponieważ każda jedna Prawda była tu herezją ohydną dla dzieci tuzina Prawd innych, miałem pewność, że kamienie z którejś strony polecą na pewno, prędzej czy później. Różnica w tym, czy przemawiający potrafi wyczuć ów moment, czy też tak się zasłuchał we własne słowa, że utracił łączność z całym Bożym światem. Tych ostatnich trzeba nam było ratować - my ze straży dawaliśmy palbę ponad głowami ciżby, a ludzie w kręgu ściągali proroka na ziemię; sami ratowani bronili się głośno przed ratunkiem. Potem przeładowywaliśmy broń, gotując się na nowe Objawienie; tłum przybliżał się o stopę; na głazy wstępował następny marcynowiec-lutowczyk ćmieczą nabuzowany.

I tak obracała się noc.

Po pierwszym starcu, prędko skamienowanym, stanął nad morzem ludzkim diakon, jak się okazało, z posłaniem od archimandryty - tego ściągnięto na ziemię, ledwie bumagę zdążył sobie pod oczy rozwinąć. Dla odmiany wlaź więc na gruz-ambonę głupek jurodiwy, prostaczek Boży dwóch zdań logicznie złożyć nie potrafiący. Jego słuchali wszyscy z przejęciem wielkiem i gorączką mistyczną w oczach, i do końca bełkotu długiego nikt krzykiem obrażonym się nie zaniósł i nie wyrwał się mordować świętego idjoty.

Poczem znowu dla słowa obrotu wystąpił bywszy mnich sołowiecki. A nie przeczył on wcale jurodiwemu, boć niepodobna rozumnie zaprzeczyć zdaniu sensu pozbawionemu - jeno z miejsca ogłosił: wszystkie nieszczęście przez błędne odczytanie matematyki Apokalipsy! Jak obliczyli ojcowie święci z Konstantynopola, świat został przez Boga stworzony na żywot siedmiu tysięcy lat, wedle rachuby Pańskiej dnia tysiącletniego - „albowiem tysiąc lat przed oczyma Twymi jako dzień wczorajszy, który przeminął” - co jasno też opisał ludowi rosyjskiemu Abraham ze Smoleńska, a, jak wiemy z pierwszego latopisu, chrzest Rusi nastąpił w roku 6496 od Stworzenia, świat zatem niechybnie zakończyć się musiał z rokiem

1491 kalendarza cesarskiego - ale się nie zakończył! Nie zakończył! Jak to możliwe, zapytuję was, bracia! Ano, uczmy się widzenia prawdy od Mikołaja Bierdiajewa. Co bardziej zaufania jest godne: matematyka święta czy świadectwo materji przegniłej? Jedno więc z dwojga: albo my już nie żyjemy i świat nie istnieje, albo Istorija tak naprawdę nie doszła do roku 1491 po narodzinach Christa. Oto zatem jest zadanie Lodu i tym są lute: aniołami przez Boga zesłanymi, aby zamrozić nas w postępie dziejów, póki nie spełni się wszystko dla Powtórnego Przyjścia. Dlaczegoż najmocniej zalodziały miasta wielkie europejskie, czemuż właśnie na siedzibach ludzkich Zima najsroźsza legła? Bo tam się toczy Historja! Mrozili nas tak przez wieki, nieświadomych, i mrożą nadal, raz słabiej, raz silniej, że pokolenia zastępują pokolenia, a my nie jesteśmy wiele bliżsi Królestwu Bożemu - i taka jest Prawda.

Poczem wystąpił marcynowiec liedniak ortodoks bagamilski i ogłosił, że nie, że wręcz przeciwnie, że Lód był znakiem zniszczenia Stworzenia Złego, wedle słów własnych świętego Marcyna: jako że świat ciała powstał z woli i kreacji Boga-Satanaela, a człowiek paktem jest pokracznym między Satanaelem, który ulepił mu to mieszkanie zwierzęce z mięsa i kości i krwi, a Bogiem-Ojcem, który tchnął w nie życie, a następnie zesłał na ów świat zła Christa-Logosa. A czymże był Lód, jeśli nie Logosem w materję skrzepniętym, kładącym boski ład i porządek na bezład, grzech i niesprawiedliwość Ziemi Satanaela? Trjumf Lodu, to znaczy zniszczenie całkowite starego świata, ono otwarłoby pierwsze wrota do tronu Chrystusa - bo nie w roku 1491 jakkolwiek liczonym, lecz tu i teraz, na naszych oczach, pod postacią lutech i lodu oglądaliśmy Początek Końca, tak, w Logosie zimnym przybył do nas powtórnie Pan - i taka jest Prawda.

Poczem wystąpił marcynowiec-łabuszkowiec, od chłystów wiarę swą wywodzący, i rzekł, że nie, nie był to wcale Chrystus - lecz dopiero pułapka na Chrystusy, to znaczy na ludzi. Bóg bowiem wciela się w ludzi ciągle, nie jeden tylko raz w Jezusa, ale płynie Duchem Świętym przez nas nieprzerwanie, a znakiem doskonałości duszy jest wcielenie zupełne - jak w przypadku Daniła Filipowicza, żywcem wniebowziętego, Iwana Susłowa, trzykrotnie ukrzyżowanego i też do niebios porwanego, i wszystkich Chrystusów po nich: Prokopiusza Łupkina, Fiodora Sawickiego czy Awwakuma Kopyłowa, który miał zwyczaj prowadzić rozmowy w cztery oczy z Bogiem Wszechmogącym. Człowiek w lodzie zamrożony istnieje, nie umiera, ale nie żyje, to znaczy nie grzeszy - wyjęty z czasu, z Historji, i wyjęty ze zła, taki człowiek to jest naczynie doskonałe dla Ducha Świętego oraz zatrzask-pułapka na Chrystusa. W świecie Lodu zamarłby ostatecznie ruch materji - poruszałby się tylko Duch Święty, dmący przez ludzi niczym przez rury organowe, wygrywający na nich melodje piękne ku chwale

Najwyższego. Że przyszła Odwilż, łamiąc ów plan wspaniały, to znak, iż złych ludzi prowadziliśmy na samozmrożenia, złe, pęknięte naczynia schodziły w Lód - nasz to błąd był, iż podsuwaliśmy Gołębiowi dusze brudne - tylko więc przez umartwienie, przez oczyszczenie, odcieleśnienie przywołać możemy mroźników z powrotem - i taka jest Prawda!

Poczem wystąpił marcynowiec-hilarjonowiec i zakrzyknął, że nie, że przeciwnie zgoła: naczynia były zbyt doskonałe! Cnotliwi przeważyli nad grzesznikami! Ocalona została Sodomia dzięki sprawiedliwym! Tak samo jak właśnie w roku 1492, Bóg zdecydował cofnąć wyroki zapowiedziane i odroczyć Koniec Świata i Sąd Ostateczny, przekonany wiarą szczerą chrześcijan ruskich. Lód był się posuwał, dopóki wystarczająco wielu Sprawiedliwych, to znaczy marcynowców czystego ducha, nie zeszło na Drogi Mamutów - Bóg zobaczył siłę wiary ludu rosyjskiego i cofnął zagładę białą - i taka jest Prawda.

Poczem wystąpił starzec święty Braci Odwróconych i zaprzeczył poprzednikowi gwałtownie, pięści artretyczne wznosząc i brodą trzęsąc. Zali wszyscy zapomnieli Proroctwa świętego Marcyna?! Zali tak się im w głowach pomieszało, że nie potrafią odróżnić dzieł Boga Prawdziwego od dzieł Boga-Złego Stworzyciela? Czyjeż to słowa opowiadają nam Koniec Świata? Miał być ogień, ogień, który spali wszystko, morza i lądy, kamienie i powietrze - a był lód wszystko zmrężający. Miało być objawienie mocy niebieskich, armij skrzydlatych zstępujących z wysokości w glorii Pana, przy dźwięku trąb archaniołów Michała i Gabryjela - a było objawienie mocy podziemnych, lutej ciemnej krwi mamuciej, wyladzających się z piekieł, w ciszy śmiertelnej. Miało być zmartwychwstanie sprawiedliwych - a było sprawiedliwych samozmrożenie. Jaki to zatem Koniec Świata? Końca odwrócenie! Apokalipsa na głowie postawiona! Anty-Sąd i Anty-Zbawienie, dalsze dzieło Anty-Boga i powrót Anty-Chrysta - oto był Lód - taka jest Prawda!

Ten spadł sam, poślizgnąwszy się, gdy na zbyt zamaszyste gestykulacje w zapale oratorskim się porwał. Zimownicy wtenczas rzekli mi zza kamieni, żebym przesunął wartość. Spojrzałem w stronę strumienia, skąd ruszyły się światła. Bo zobaczyli ludzie, że do kręgu zmierza Rasputin i szarpnął się tłum w przód.

Nie było jak ich powstrzymać, choć stroiliśmy miny srogie, krzyczeli groźby i bili po nogach, odpaliliśmy też znowu salwę ponad głowami. Na próżno. Tyle pola przed nami czystego zostało, coby się karabinem ciężkim zamachnąć. A i to nie - wyskoczywszy z tłuszczy, przypadł do mnie Jan, zanimem zdążył się zastawić.

- Wyrwiesz ją od niego pod bronią! Puści ją! Musi!

- Oszalałeś!

- Bo wydam cię! Powiem im, kim naprawdę jesteś!

- Na pewno uwierzą! - parsknąłem i uciekłem za kamienie, byle zejść mu z widoku. Tak, trzeba mi stąd zmykać czem prędzej.

Rasputin, otoczony kordonem swych zimowników zaprzysiężonych, wkroczył między głązy z głową podniesioną wysoko; długa broda i grzywa siwych włosów jaśniały srebrzyście w świetle pochodni i ognisk. Był w czarnym płaszczu mnisim, z krzyżem drewnianym na piersi. Przywitał się z innymi ojcami zimnymi trzykrotnymi pocałunkami, co za każdym razem entuzjizm głośny budziło w tłumie; niektórzy całowali go nadto w dłoń, na co on odpowiadał, również klękając i w dłoń ich całując. Zgromadzeni marcynowcy ze wzruszenia wielkiego na ten widok prawie się poszlochali.

Miał dłonie wielkie, ciężkie, o długich, mięsistych palcach; widziałem z bliska, jak błogosławi zbór, wszedłszy na głązy, naga dłoń odcinała się na tle czerni.

Zaczął cicho; natychmiast wszyscy zamilkli.

Wilgotnemi, głęboko w głowę wbitemi oczkami mierzył naród niczym kolejnego zagubionego desperata na prywatnej audiencji, co przyszedł do Bożego Człowieka po cud i nawrócenie.

- Bracia moi! Siostry moje! Dzieci grzesznicy!

...Opuścił nas! Odszedł! Dlaczego? Powie mądry tak, powie mądry inaczej - nie ma, nie ma Łodu! Odkryj się prawda przede mną! Przydź słusność słowa!

...Do Ciebie, Panie, będę wołał, Boże mój, nie milcz przede mną: abyś kiedy nie milczał przede mną i zstałbym się podobnym zstępującym do dołu. Nie pociągaj mnie pospołu z grzeszniki i z czyniącymi nieprawość nie zatracaj mię! Daj im według uczynków ich i według złości wymysłów ich. Albowiem nie zrozumieli spraw Pańskich i uczynków rąk Jego: zepsujesz je, a nie zbudujesz ich.

...Błogosławiony Pan! Bo wysłuchał głos prośby mojej! Pan pomocnik mój i obrońca mój!

...Dzieci grzesznicy! Czytajcie z psalmów, com wysłuchał w prawdzie na świętej górze Afon: byle nie zatracić się pospołu z czyniącymi nieprawość! oby nie upodobnić się do tego, co złe, przez niewiedzę i pomieszanie!

...Zbierzcie myśl całą czarną, żołądkową i spróbujcie przedstawić sobie obraz Antychrysta, co największą grozę podnosi. Bo cóż to takiego? Kto on będzie?

...Czy to będzie ten, który czyni tylko zło? Aaa, tak, widzę, ręce składacie - ale pomyślcie tylko! Ujrzyjcie abrys jasny! Zali taka prawda? Zadrzyjcie w trwodze! Antychryst nie niesie prawdy, on nie niesie żadnej prawdy!

...Widzicie: to będzie potwór zdolny za jedno do największego dobra i do największego zła! Bo nie czyste zło, które też jest prawdą niezmienną i PORZĄDKIEM, i przez zaprzeczenie jawne opowiada nam Boga równie głośno co chóry anielskie - ale POMIESZANIE dobra i zła, prawdy i kłamstwa, NIEODRÓZNIALNOŚĆ dobra od zła, prawdy od kłamstwa, niebios od piekieł - to jest groza najcięższa! groza nad grozy wszystkie!

...Gdyż Antychryst to djabeł, anioł i bies, światło i mrok, jutrzienka i obłudna gwiazda, lew i baranek, król i męczyciel, fałszywy prorok i arcybiskup, dobroczyńca i prześladowca, czyściciel i paskudźciel, przystań i topiel, bóg dla bezbożnych, wróg dla chrześcijan, pasterz dla kochających świat, kochających Boga prześladowca!

...A oto bez Lodu właśnie żyjemy tu w Wiecznym Raskole, w Wiecznej Smucie, to znaczy w pomieszaniu wszystkiego ze wszystkim, w pstrokaciznie, która splata niegodziwość z pobożnością - nie do odróżnienia! - klątwę z błogosławieństwem, męczeństwo z dobrodziejstwami, miłosierdzie z jego brakiem, łagodność z bestjalstwem, nieporządek z przyzwoitością - nie do odróżnienia! - trzeźwość ze szkodliwością, śmiertelne z wiecznym, wilka z barankiem, drzewo błogosławione z przeklętym, trójzłazone z dwuczęściowym, cerkiew z kościołem - nie do odróżnienia! - papieżników z kapłanami, zachodnich ze wschodnimi, lachów z ipodiakonami, Polaków ze służbą cerkiewną, relikwie świętych z heretyckimi trupami, ikony świętych z Bogu obmierzłymi obrazami - nie do odróżnienia! nie do odróżnienia!

...Lód zaś przywracał nam porządek świata dobra i zła. Sam on Lód, ani one lute, nie były Antychrystem, ni Bogiem prawdziwym. Ale tylko dzięki Lodowi mogą Oni w ogóle istnieć dla poznania człowieczego! Inaczej Chrystus nieodróżnialny jest od Antychrysta, Bóg od Nie-Boga - a prawd, słyszeli wy, prawd to mamy tysiąc, jak sobie różnych, tak po jedno prawdziwych.

...Lód, królestwo lutech, Zima - ona dopiero jest świat prawdy i prawdy, dobra i zła! A to, to wszystko, co poza Lodem, to nasz straszny bezkres SMUTY, ZAMĘTU. W którym żyć pókićzas musimy, modląc się każdego dnia o rychły Lodu nawrót. Co i wam polecam, dzieci

grzesznicy, z błogosławieństwem Pańskim, idźcie i miłujcie się, bo choć rozum skłamię, choć serce skłamię, to mniejszy grzech w kłamstwie dla miłości, tak śpijcie w Bogu, amień.

Zamyśliłem się potem na dłużej, słowami Rasputina mimo woli dźgnięty. Ludzie poczęli się rozchodzić, święty lubieżnik wrócił do chatki, prowadzony pod ręce w ciasnej grupie przybocznych - siadłem na trawie pod kręgiem, zacisnąłem oko. Z Pomieszania, ze Smuty... przeciw Porządkowi... Bo oto rozmarzło i zaraz utonęli w czyścicu Kotarbińskiego, między prawdą i fałszem; rozmarzło i nie ma Historji. A władca zapowiedzianego przez Pobiedonoscewa Królestwa Ciemności - on przecie dźrzyłby wajchę Ziejcowa: w którą stronę ją przekreśli, takie zapadnie dobro i zło, taka Prawda i taka Konieczność. On stanąłby przeciwko Pstrokaciznie, on rozciąłby świat na Zero i Jeden... Człowiek, który wziąłby władzę nad aparatem rządu dziejami - carstwo, od którego nie sposób pomyśleć większego - samodzierżawie równe boskiemu - taki człowiek... taki człowiek... Może i zdrzemnąłem się tam na trochę. Bo nie słyszałem, jak po mnie przyszli - dopiero ktoś mną potrząsnął, uniosłem powiekę, i oni już stali nade mną, ponurzy strażnicy-zimownicy z pałami i karabinami w rękach.

Zaraz wyrwali mi flintę. Postawili mnie na nogi. Dwa słowa: Polak! Heretyk! Gdyby od razu powiedli mnie w knieję, powiesić gdzieś w ukryciu, byle nie na oczach trzody marcynowej, pewnie nie zdążyłbym się zebrać do konieczności bardziej energicznego oporu, ucieczki, walki. Żebym chociaż zaprzeczył głośno...! Było Lato, ich prawda nijak nie utrzymałaby się jedyną Lecz nawet nie otworzyłem ust. Pozwoliłem się szarpać i tarmosić, ciągnąć i popychać; dzięki lasce przynajmniej nie upadłem.

Nie poprowadzili mnie jednak w las, ale za strumień, do chatki Rasputina. Ojciec zimowników jęwrapejskich, którzy przybyli z Grigorijem Jefimowiczem, chciał mnie w progu jeszcze na kolana obalić i rubaszkę z grzbietu mi zedrzeć, rzemień z portek wyrwać, laskę odebrać, pewnie i obić porządnie na wejściu na wsjakij słuczaj - ale go Rasputin jednym pomrukiem niedźwiedzim z głębi chaty powstrzymał. Wszedłem o własnych siłach.

Trzy świeczki o knotach w pytajniki obwiedłych paliły się na stole zbitym z nierównych desek.

- Zamknijcie - rzekł stary rozpustnik święty.

Pociągnąłem drzwi, zasunąłem skobel. Szczeliniaste okiennice też były zamknięte, coby prywatność zapewnić tu mężowi Bożemu jaką-taką. Światło od trzech płomieni wypłukało z jego podługowatej, końskiej fizjognomji setkę cieni, płynących teraz korytami głębokich



zmarszczek. Siedział na łożu niskim, pewnie chciał już zlec do snu; ale nadal był w czerni mniszej i tylko ta twarz - za duża - i te dłonie - za duże - wybijały się z woskowego ćwierćmroku. Na blacie pod ścianą stała samotna flaszka - z wodą? z samogonem? Zakorkowana jeszcze.

- Siadaj, synu, siadaj.

Przysiadłem ostrożnie na taburecie kulawym.

Podniósłszy teraz na powrót oko na Rasputina - ja i on na jednym poziomie, ja i on w jednej klatce - zobaczyłem, jak zadzierzga się między nami ciasna stereometria spowiedzi, prośby, przekleństwa, przebaczenia, zbrodni.

Może po to był mrok, czerń i świece i w mroku dwoje oczu jego jak perły oleiste - żeby złapać rozmówcę i nie puścić. Wraz przypomniałem sobie wszystkie opowieści o mocach hipnotycznych Rasputina, o uzdrowieniach nagłych pod jego dotykiem, o gorącu i zimnie nadnaturalnem oblewającym ludzi pod jego wpływem, o wpadających w przyjaźń i miłość doń po pierwszym spotkaniu damach petersburskich, dworianach, jepiskopach, generałach, i carowej i carze samym. Arystokratki szanowane do nóg mu się rzucały, na czworakach za nim podążały, spódnice podkasując, oferując się publicznie dla jego żądz - agenci ochrony w szpiegi na niego słani oddawali mu się pod rozkazy -

- Miałem taki rewolwer - rzekłem - taką broń Lodem strzelającą, to znaczy Lód po uderzeniu kuli eksplodującą... Strzeliłem raz w lutego. Co się stało? Luty się rozbił, urwało mu nogę. Jak to możliwe, zachodziłem w głowę. Dlaczegoż uderzenie lodu w lód nie miałyby tylko jeszcze większego lodu przynieść? Mróz plus mróz nie da ognia. Nieprawdaż?

...Alem dzisiaj wysłuchał waszej mowy o Pomieszaniu i pojąłem to prawo czarnej fizyki: życie to Nieuporządkowanie. Wszelka materja istnieje o tyle, o ile zanieczyszcza idealny Porządek. Ja. Wy. Ten stół. Te drzewa. Kamienie. Zwierzęta, ludzie, przyroda cała, kosmos nad nami. Także lute.

...Wychłodzenie do absolutnego Ładu, zero, jeden, zero, jeden, zero, jeden, zero, do czystego Tak i Nie - wymazuje z bytu. Miałem rewolwer, który strzelał Prawdą.

...Bo we wszechświecie-kryształe lodowym nie istnieje nic i nic się nie zmienia, nie ma więc nawet czasu. U jego początku było słowo, i to słowo, ponieważ różne od Porządku zimnego, to słowo było Kłamstwem, i tak powstała materja i życie i człowiek: z Fałszu, z Pomieszania. To mówił Marcyn: świat stworzył Bóg-Kłamca, istniejemy na mocy Kłamstwa -

i taka jest Prawda.

Rasputin przeżegnał się powoli, raz, dwa, trzy.

- Wy jesteście Jerosławski Polak, Ojciec Mróz.

- Z jego krwi, tak.

Cofnął głowę, patrząc z uwagą ciężką - a spojrzenie nie musiało mu przytem skakać w lewo i w prawo, skoro w jedną źrenicę wcelowane - potem złapał za krzyż na piersi i już myślałem, że do egzorcyzmów jakichś czy klątw armatnich się zabierze, lecz wtem odkręciła się sprężyna w Rasputinie w drugą stronę i rozkleił się chłop w uśmiech szeroki, przymilny, potrząsnął grzywą jak pies skołowany, zgiął się wpół na siedząco i pocałunek lepki złożył na grzbiecie mej dłoni kalekiej.

- Ja grzesznik, ja grzesznik, ja grzesznik w pyle pełzający!

O, jak oczywiste są te karambole dla kogoś, kto sam praktykował Matematykę Charakteru!

Więc miast podnieść go pośród grzecznych zaprzeczeń:

- Błagaj o przebaczenie! - warknąłem.

Łypnął spod zmierzwionej siwizny, teraz sam pochwycon w kleszcze niewidzialne.

- Nie ma dla mnie przebaczenia! - zaskomlał, przebijając stawkę, i tym bardziej jał mnie po ręce obśliniać. - Nie ma, nie ma! Nie ma od ludzi, może od Najwyższego będzie - ale tu, w tym bajorze gnoju i grzechu... Jeno człek tak samo w nim zanurzon objąć mnie i wybaczyć może. - Tu łypnął znowu. - Ty, ty, panie! - Zwalił się na kolana, prawie mnie ze stołka ściągając w impecie cielska dorodnego. - Zabiłeś niewinnego.

- Tak.

- Grzesznym rozkoszom ciała się oddawałeś.

- Tak.

- Kłamałeś.

- Tak.

- Kradłeś.

- Tak.

- Przeciwno raditeliowi słowo, rękę podniosłeś.

- Tak.

- Zwątpiłeś w miłosierdzie Boże.

- Tak.

- Boga się wyparłeś, Bogu złorzeczyłeś.

- Nie.

- Pódź tu! - Wciągnął mnie w ramiona chłopskie, mimo wieku silne. - Wiesz ty dobrze, jaką nowinę ja od początku niosę: zbawienia przez grzechy. - Uniósł ku powale dłoń wielką. - Pan widzi, że nie ma takiego grzechu, któryś popełnił, żebym nie był go winien i ja, Pan widzi. I dlatego! - ryknął, poderwawszy się na nogi. - I dlatego właśnie! Że w grzechu! Że od grzechu! Że poprzez grzech! - Rozpędzał się coraz mocniej, z każdym słowem rosła jego przewaga, spoglądał z góry, z góry krzyczał. - Dlatego! Dlatego Bóg mi -

- Czemuś mnie ubić kazał?

Wyrwało mu dech z płuc.

Zwalił się na posłanie; zatrzeszczały deski.

- Co...?

- Braci marcynowców przez kraj cały na mnie nasyłałeś. Powiedział ci kto, że otłepielnik?

Sapnął.

- A nie? Samiście mówili: Lód wróg wszelkiego istnienia.

- Ale nie mówię ja przecie, że to rzecz znowu tak wspaniała - istnieć.

Pogubił się.

Prędko pokrył to grymasem wysiłku myślowego.

- No to kto jesteście? Czego właściwie chcecie?

Zawahałem się. Tu mnie miał.

I niczym stary ogar myśliwski, wiedzion wieloletniem doświadczeniem instynktem do maszynowej pewności wyćwiczonym, rzucił się natychmiast naprzód i wraził kły głęboko po korzenie.

- A, Jerosławski? Czego tu szuka? Po co przylazł między lud marcynowy? Po co wiernego udaje? Czego chce? A? Czego chce!

Czego chce! Mogłem skłamać, i może nawet uszłoby mi to za prawdę, ale kwilem w tej samej pułapce, no i powiedziałem prosto:

- Niczego.

- Ha! Niczego! Nu, na durnego myśli trafił! Jakiemu...

Zamilkł. Wkłuł we mnie oczka ostre.

Dodał charakter do charakteru i zrozumiał.

- Niczego. Ano, Odwilż, trzeba się zebrać, zewrzeć, zmarznąć na nowo, rak, człek pobożny zawsze na Bogu właśnie oprzeć się może, ale bezbożnikowi, ale komu wątpięmu - jak znaleźć grunt jaki twardy w tym bagnie? A? - I już zacisnął szczęki: - Daj ruku! Na mnie się wesprzyj! Ja ci będę kamień niewzruszony!

I zdało się, urósł od cieni i świecieni w barach, w szerokości oblicza bladego, w długości ramion - rozparł się osobą swoją hypnotyczną na ciemność całą, że nie było linji między szatą czarną i mrokiem od płomieni świeczek czmychającym. Rasputin, Rasputinowi, Rasputinie, Rasputina - nagiął się wzrok ku niemu, przyginała się myśl.

- Nie - odszepnąłem.

- Więc kto? - spytał cicho, miękko, z łagodnością wtępną zgoła niewieścią. - Więc co? Zapadniesz się, synu, widziałeś, jak się zapadają. Czy ja nie wiem? - sam się zapadłem. Kradłem konie, za dziewczkami się uganiałem, w wódce topiłem - bo czemu nie, a? Czemu nie? Nażreć się, nachlać, poruchać - wsjo.

- Ciało nie może być celem ciała.

- No to co? No to kto? Co zrobisz? Dokąd pójdziesz? Gdzie głowę złożysz, pod jakim ołtarzem marzenie znajdziesz? W czym zastawie życie sobie wyszacujesz? Kto ci prawdę da do życia?

Dociskał mnie bez litości - cóż mi pozostało poza kłamstwem? Z milczenia uporczywego wyłuskałby mnie prędzej czy później.

- Ja - odrzekłem, wrywając oko z jego spojrzenia.

- Hy?

- Ja!

- Wy?

- Ja! - warknąłem, i dreszcz lodowaty mnie przeszedł, bo nagle poczułem, że nie ma już w tym kłamstwa, że mam tu pod ręką siłę równą jedynoprawdzie Rasputinowej.

Wróciłem doń okiem. Zazgrzytał zębami.

Otarłem ślinę zimną z dłoni. - Ja.

Potrząsnął łbem. Oj, nie pójdzie z Rasputinem tak łatwo. Drugie tyle, co maślanych cieni od płomieni żółtych - wyłazi mu na gębę świecieni pełgających; ómiec w worach pijackich wisi mu pod oczyma; na tchnieniu zimnem odmiata lutowczykowa wkoło weń staje. Oczywiście, nie nazywa sobie tego temi słowami, nie ujmuje w teorii logiczne - przecież stąd jego władza niezwykła nad ludźmi, iż zna Rasputin dobrze Algorytmikę Charakteru, bo sam pod dotykiem Łodu tak długo żył.

- Szaleństwo - syknął wtem, kuląc się jakoś dziwnie w sobie i jedną rękę tylko ku mnie wysuwając - warrriactwo, obłąd niechybny was czeka. Przyjdzie. Już przyszedł! Wypędzalem ja demony, mocowałem się z djabłami, Lucyferowi w ślepią plułem, Chrystus Pan Zbawiciel stał po mej prawicy, oddech jego słodki na policzku niosłem, obejmował mnie czule i szeptał do ucha: Dawaj, Grisza, dawaj! Nie słuchaj, co mówią, nie patrz, że śmieją się i palcami wytykają, oczy z pogardą odwracają. Nic to! Nie znasz wstydu! Cóż spojrzenia ludzkie? Ja stoję przy tobie! Potęga największa!

...Jak ci, panie Lachu, Bóg wprost miłośnie szepcze, ażebyś na nic nie zważał, jeno robił, co z Boskiego nakazania - to nie liczysz już wedle miary grzechów cerkiewnych, nie z wysokości ulicy patrzysz!

...Cożeś słyszał o mnie najgorsze - a prawda, prawda wszystko! Bóg przy mnie stał! Pojmujesz?

- Co Bóg każe, to jest dobre, ponieważ Bóg to kazał.

- Tak! Tak! Tak! - Przesunął się Rasputin po łożu ruchem psim, na rękach się wspierając i pysk w przód wysuwając, mało jezora nie wywaliwszy. - Chłać na umór i zarzyganie - grzech! Ale Pan mi mówi: Ja stoję przy tobie! Rób, co dozwalam! I wtedy widzę, że i uchlać się - dobra wcale to rzecz.

...Diewoczki czyste cnoty pozbawiać, mężatki w cudzołóstwo ciągnąć, lubieżnościom

niskim dnie i noce całe się oddawać - grzech! Ale Pan mówi: Ja stoję przy tobie! I widzę wtedy, że i to - cnota.

...Mam Prawdę! - zaszczekał. - Mam Prawdę, więc niestraszne mi wyroki ludzkie! I dla nich jasne, że Prawda, że Bóg -

- Aż przyszła Odwilż.

Zawył, zajęczał, szarpnął się za brodę, łupnął kulakiem w ciemność.

- Czego sobie ojczulek Mikołaj umyślił lute przepędzać! A teraz synek mu zmarł wykrwawion, Imperjum stoi w ogniu, a najgorzej, najgorzej, że... Gaspadin Jerosławski! Co was ustrzeże? Też żeście słuchali Jego rozkazów, prowadząc ludzi w Lód, na śmierć wioski i sioła skazując - i wiedzieliście: tak dobrze, tak podoba się Panu. Jak się obronicie tak sami sobie zostawieni - „ja!”, „ja!” - gdy nawet w głos Boga zwątpić przyjdzie?

...Szaleństwo! - Walnął łbem siwym o ścianę. - Szaleństwo!

- Nie ma obrony. - Wzruszyłem ramionami. - Wszyscy tak żyjemy, odkąd zostaliśmy wygnani z raj. A w obłąd najczęściej popadają ci, co choć przez chwilę posmakowali owocu Prawdy.

- Jak Lód nie wróci... Szaleństwo!

- Istnieje taka maszyna...

Spojrzał podejrzliwie.

- Maszyna?

- Wynalazek taki, na tungetycie i zimnacie. Że można się samemu Mrozem napompować.

Zamrugnął powoli. Znowu strategia obracała się przeciwko niemu: zapyta o pompę i będzie go miał w równaniu ciasnym, z jednym możliwym rozwiązaniem.

Usiadł, wyprostował plecy, przyglądał brodę. Lewa świeczka zgasła - odpalił ją od sąsiedniej.

Zbierał myśli dłuższą chwilę, mlaszcząc coś do siebie pod wąsem.

- Się nie boicie - mruknął wreszcie, porachowawszy tak i owak. - Każę was obatożyć. Ze skóry obdrzeć. Końmi rozerwać! - Rozpędzał się na nowo. - Powiem, żeście zdrajca Marcyna i zjedzą was żywcem, ha! No co, nie boicie się?

- W tym dworze na przełęczy - wskazałem laską na ścianę północną - tam była lecznica

Mrozu, kazałeś ją spalić.

- Hy?

- Pół serca mi spaliłeś.

Posunął się w przód, nachylił, podniecon.

- Krasawica jakaś?

- Nieważne.

- Żoneczka, a? - Oblizał się. - Dziaćki może?

- Nieważne.

Zatarł dłonie mięsiste.

- Tak, tak, ja morderca, ja grzesznik, grzesznik. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Kazałem spalić, racja, ja spaliłem!

O, to był wyjątkowo silny splot - tym razem Rasputin zdołał mnie podgotować emocjami jaskrawymi, i musiałem się z nimi jakoś zdradzić, choćby napięciem mięśni, ułożeniem ciała, zaciśnięciem ust, bo cham dębowy wyszczerzył się jeszcze szerzej i aż klasnął z uciechy.

- Biedny pan Jerosławski!

Wstałem, przeszedłem wzdłuż ściany, wte i z powrotem, kopnąłem drewno, przeciągnąłem kłykciami po drzazgach igielnych, zamachałem laską... Spojrzałem: 313 ciem.

Przycisnąłem zimnazowy generator do skroni.

- wybaczeni ci - powiedziałem.

- Co?

- Wybaczam ci.

Zachnął się.

- Gówno tam!

Pokiwałem głową.

- Jebał go dziort, przebaczyli! - Machnął, zdenerwowany. - Zaraz cię rozszarpia moje wilki. - Powiercił się na posłaniu, przesiadł się na stół, pokręcił się na stołku... Spojrzał na mnie spode łba. - Akurat, przebaczył! - Świdrował mnie swoimi oczkami hipnotycznymi, ale nie odwróciłem wzroku, przyciskając tylko zimnazo do narośli guzowatej mocniej i mocniej.

- Tfu! - splunął zamaszycie. - Zaraz cię moje wilki... No i co? Uuu, heretyk rzymski!

Miałem go, nie wyrwie się, zatrzasnęła się w półmroku migotliwym siatka spojrzeń możliwych i koniecznych jak diagram kwadratu logicznego: tak - tak, nie - nie.

Szarpał się jeszcze; nadaremno. Gryzł nadgarstek, popatrując na mnie badawczo. Otarłszy krew czarną połą, złapał za krzyż i uniósł go w moją stronę, jakby podając do pocałunku, a może do przysięgi. Ale i z tym wytrzymał zaledwie kilka sekund. Opuścił ramię, zwiesił głowę. Słyszałem, jak mamrocze pod nosem najcięższe przekleństwa. Zimnazo paliło mnie w czoło, malutkie dynamo teslektryczne jeszcze kręciło się w środku, zerknąłem na skalę: 311 ciem.

Rasputin zaczął się śmiać rubasznie, bijąc piąchami o uda - ale i tu poniósł porażkę: pięć rechotów i histerja rozbiła mu śmiech w paniczny chichot. Wycelował we mnie palec wskazujący. - Kłamie! Kłamie! - Patrzyłem. Zwinął palce w pięść, bo zaczęły mu się trząść. Złapał za blat stołu, jakby i stół dreszczy miał teraz dostać. Plecy Rasputina wygięły się w naprężeniu do wysiłku wielkiego. - Kłamiękłamiękłamiękłamię... - I wtem poderwał się, jednym ruchem podnosząc i rzucając mebel ciężki.

Padłem na podłogę. Stół huknął o ścianę i runął mi na nogi.

- Paszli! Moja sprawa! - ryczał Rasputin, gdy załomotali w drzwi zaniepokojeni zimownicy.

Wyrzebałem się spod desek. Paliła się tylko jedna ze strąconych świeczek, z Rasputina w małej chatce pozostał głównie cień ogromny, rozchlapany po ścianach, suficie, sprzętach.

- Kłamie! - syczał. - Kłamie!

Chwycił za nogę stołka i ruszył na mnie z tym stołkiem, wznosząc go jak maczugę koślawą.

- No! I co? No! - Łupnął mnie z lewa, łupnął mnie z prawa; przewróciłem się i powstałem. Chyba złamał mi zebro. - No? No?! - warczał, wywijając masywnym taburetem. Zbije mnie na miazgę. Grzmotnął od dołu z prawej, nie zasłoniłem się laską, piorun poszedł mi po nerwach od biodra. Wrzasnąłem z bólu.

- A! - trjumfował. - Teraz wybaczej! Teraz się do siebie mierz!

I dalejże bić mnie, gdzie popadło, i raz, i raz, i raz - umknąłem za stół wywrócony, umknąłem za łóżko, dopadł mnie i tam - zasłoniłem się od głowy, zasłoniłem się od kolan,



zgruchotał mi palce na lasce - upadłem, bił mnie po grzbiecie. Połamie mi kręgosłup, zabije.

Kopnął mnie w kąt.

- No! - ryczał. - Dawaj! Wybacz mi! I to! - Łupnął mnie w ramię; wypuściłem laskę. - I to! - Łupnął mnie w głowę nieosłoniętą; krew zalała mi oko. - I to też jeszcze mi wybacz! Prędeż, prędeż! No wybaczaj!

Łup, łup, łup. Miałem ciało zbudowane z włókien bólu, istniałem wyłącznie tym bólem.

- I kto ci teraz rękę poda?! - Łup. - Kto świat udźwignie?! - Łup. - Kto zbawi?! - Łup, łup.

Zmacałem po omacku laskę i machnąłem na ślepo z całej siły. Znowu wypadła mi z rąk, gdy trafiłem. Rasputin jęknął, coś gruchnęło ciężko. Obtarłem oko. Gramolił się na czworakach, krztusząc się; usiadłszy, złapał się za szyję, za przykryte brodą podgardle. Wstałem, podniosłem stołek, do czego musiałem użyć obu rąk. Rasputin kraśniał indyczo, kwicząc coś niezrozumiale przez nos. Nie wątpiłem, że zaraz dojdzie do siebie, to tylko chwila. Zamachnąłem się taburetem i trafiłem go prosto w skroń. Zwalił się na podłogę bez świadomości.

Usiadłem na łóżku. Ręce mi się trzęsły, cały się trząsałem. Krew nadal ciekła mi z czoła. Bolało mnie przy wdechu, bolało mnie przy wydechu, bolało mnie przy ruchu każdym. Podniosłem butelkę, wyrwałem zębami korek. Powąchałem. Wódka żelazem cuchnąca. Łyknąłem raz i drugi. Rozkaszlałem się.

On kaszłał z podłogi. Szorując brodą po deskach, czołgał się ku mnie, zaplątany w czarne poły, cień krwawy pośród cieni, dłonie białe z niego jak nagie kraby. Charczał coraz głośniej.

- Chto...! chro...! prasti...!

Podszedłem z taburetem, stanąłem nad starcem okrakiem i rąbnąłem nad plecy, łamiąc mu kark.

- Ja! - warknąłem i odplunąłem krew i wódkę. - Ja!

Odrzuciłem stołek, podniosłem laskę. Znalazłem dwie pozostałe świece, zapaliłem je i ustawiłem na okiennicach. Obmacałem głowę za otwartymi ranami. Palce połamane ścisnąłem pod pachą, smakując w milczeniu ból rozkoszny.

- Chrrr. Krrr!

Spojrzałem. Przewrócił się na plecy i szarpał się teraz z krzyżem na piersi, wybałuszając

oczy ślepe ku powale.

Przyklęknałem nad nim i wcisnąłem laskę pod brodę jego siwą; następnie napałem na ćmieczometr i policzyłem do dwustu, dusząc Rasputina i pewnie do reszty miażdżąc mu też krtań. Potem jeszcze sprawdziłem oddech starucha - nie oddychał.

Podźwignąłem się, zmęczony straszliwie, obolały. Kolejne trzy łyki paskudztwa spirytusowego pomogły opanować drzenie i słabość zapowiadającą rychłe omdlenie: szczypało mnie w język i podniebienie, chłód i gorąco na przemian zalewały ręce i nogi, kręciło mi się w głowie. Zgiąłem się wpół, wpierając dłonie w uda, oddychając głęboko. Trzeba mi -

Podniósł się na kolana, stukał krzyżem o ścianę. Podbiegłem, wałnąłem z zamachu laską, łeb mu pękł jak dynia, wałnąłem znowu, i znowu, i znowu, krew zalała włosy białe i szatę czarną, leżał już nieruchomo, z rozrzuconymi na boki członkami, głową wykręconą, materją mózgową na wierzchu. Zatrzymałem się dopiero po to, by zwymiotować: wyleciała ze mnie wieczera zimowników, jagody niedojrzałe, grzyby i prosfora zapleśniała, chlusnęły kwasy i wódka.

Ściągnąłem rubaszkę podartą, oświnioną, wytarłem czystym skrawkiem tkaniny twarz i wargi rozbite. Patrzyłem na leżącego w cieniu pod ścianą Rasputina i powoli przestawały mi dygotać ręce. Nie żyje, ale może żyje. Było Lato, przecież wiedziałem, jaka jest konieczność - to znaczy sprawiedliwość - to znaczy Prawda. Zakląłem cicho. Nie żyje, ale może żyje. Było Lato.

Rozbiłem flaszkę i wyrzuciłem Rasputinowi serce z piersi.

Poczem odnalazłem w tylnej ścianie deski, na które nie starczyło nam przy budowie gwoździ, podważyłem laską jedną, wyrwałem dwie poniżej i przecisnąłem się na zewnątrz. Byłem między pierwszymi drzewami tajgi, kiedy ktoś zajrzał do chaty i ogłosił krzykiem śmierć Grigorija Jefimowicza Rasputina. Jęk przeciągły, omal zwierzęcy przeszedł ponad łąkami górskimi, by na koniec eksplodować w pełen gniewu ryk. Chaos zapanował nad dziećmi Prawdy.

Owej nocy pod Przełęczą Mleka, nad nieistniejącym grobem Marcyna oddało Bogu ducha ponad cztery setki wyznawców Lodu, zdeptanych, zatłuczonych, zaduszonych, zagryzionych. Niedługo potem zaczęto o niej mówić jako o Nocy Sądu Marcyna. Oto Marcyn wstał z Dróg Mamutów i pokarał uzurpatora. Samozwaniec nie sięgnął władzy: nie miał prawdy po swojej stronie.

Było Lato - ale tak zamarzło.

### **O ufundowaniu pierwszego Towarzystwa Przemysłu Historji S. A.**

Dźwig nie działał; powlekli mnie po schodach krętych, krzywych. Drugi prowadzony wrywał się i miotał na boki i chyba wołał się nawet rzucić na złamanie karku z wysokości, anizeli zostać żywcem doprowadzonym przed oblicze Pierwszego Ministra; szedł jak na skazanie.

Obejrzałem się z podestu, gdy otwierali nad nami pancerne drzwi zimnazowe. Kozacy Siemienowa już odjechali, rząd jeźdźców zniknął za ruinami przeciwnych Wież. W kraterze pośrodku (jedyne, co pozostało z Dziurawego Pałacu, to wielka Dziura) ułożyło się jezioro polodowe, dzieci miejscowych puszczały na nim łódki z patyków i papieru. Poranny błękit nieba odbijał się w wodzie, refleksy mogły oślepić. Zamrugalem, pod powieką wybroczyła mi pojedyncza łza.

Na korytarzach Krzywej Wieży wały się śmieci, ułamki sprzętów biurowych, kłęby makulatury. Niczym w rynsztoku ulicznym, zalegało to pod ścianami po niższej stronie pomieszczeń. Przechył wynosił jakieś dwadzieścia stopni, nie więcej, co nie przeszkadzało, gdy się szło pod górę lub zgodnie ze spadkiem, ale już spacer po trawersie niewygodne były bardzo. Skazaniec potknął się raz i drugi, przewrócił; zaczęli go ciągnąć za kołnierz i włosy, na co rozskamlał się głośno, żałośnie, bijąc przytem pięściami i piętami o ściany. I okazało się, że ktoś tu jednak mieszka lub pracuje - w pokojach z wyplutymi oknami, w salach z oberwanymi stropami - bo co chwila ktoś z nich wyglądał na korytarz, lamentami wrzaskliwymi wypłoszony.

- Ziejcow!

Pchnęli mnie na ścianę. Zakrzyknąłem ponownie. Jakże on miał na imię? jakie otczestwo? Ziejcow, stary warjat!

Eks-katorżnik Aczuchowy cofnął się, przystanął, zmarszczył brwi. Dźwigał pod pachą futerał na skrzypce, na nosie miał okulary. Postarzał się znacznie, przygarbił. Mrużył teraz oczy za soczewkami, bezskutecznie usiłując dopasować głos do fizjognomji.

- Puszczaj, chamie! - warknąłem na sałdata. - Ziejcow, to ja, do cholery, nie pamiętasz, jakżeś mnie z Transsibu na łeb wyrzucił?

Ziejcowowi futerał wypadł z rąk i potoczył się na ścianę.

- Gaspadin Jeroślawski...?

- A trzeźwy ty jesteś, co?

- Gaspadin Jeroślawski!

- Niech on zejdzie mi z pleców!

- Boże Wszechmogący! Wy żyjecie!

- No już, już.

Draby pod szapkami sztatskimi, zielono-białymi, puścili mnie wreszcie, stanąłem o własnych siłach - nie na długo, Ziejcow wpadł na mnie z impetem, znowu wylądowałem na ścianie. Cóż, natura taka pocziwa, z jednakiem przejęciem morduje i się raduje. Pozwoliłem mu się obściskiwać przez chwilę.

Odstąpiwszy, przetarł szkła, spojrzął, uśmiechnięty od ucha do ucha. Chyba pierwszy raz widziałem go gładko ogolonego, co wydobyło na widok otwarty wszystkie szkaradziejstwa fizys jego poblźnionej, mrozem popalanej.

- Wieniedikt Filipowicz! Na miły Bóg! Co się z wami działo! Wszyscyśmy już dawno was pogrzebali!

- No, to wcale blisko prawdy byliście.

- Ale jak wy wyglądacie! - Złamał ręce. - To te hultaje tak was urządziły? - I łypnął groźnie na sztatskich.

- Nie, nie. Przygody różne miałem po drodze. Teraz idzie mi o widzenie z premierem, złapałem nad Leną ten oddział pod barwami Sztatów, ale się chyba nie dogadaliśmy... Nu, przynajmniej dotarłem. Powiedzieli mi, że tutaj siedzi.

- Złamał nogę. Ale pozwólcie! Umyjcie się chociaż, ogarnijcie jakoś! Macie w co się przebrać? - Znów obejrzał się na sztatskich. - Gdzie bagaże gaspadina Jeroślawskiego?

Parsknąłem śmiechem.

- Niech mi laskę oddadzą!

Oddali.

- Ot, moje bagaże. Słuchajcie, Filimon Romanowicz, wy tu teraz figura jakaś znaczniejsza jesteście?

- E, gdzieżby! - A równocześnie zamachał gniewnie na sztatskich i ci zaraz grzecznie się oddalili, wlokąc drugiego więźnia, który przypomniał sobie, że jest śmiertelnie przerażony i na nowo podjął arję szlochów błagalnych; echo szło przez pustą Wieżę. - Takie tam, roboty dla władzy tymczasowej... - Ziejcow podniósł futerał i poprowadził mnie po schodach marostiekłowych piętro wzwyż. - Ano, widzicie, jak żeście mi ten etat dozorczy u Kruppa załatwili...

- Tak?

- Z Odwilżą wszyscy stąd uciekali, znaczy, ludzie przemysłu, ludzie nauki, urzędnicy i burżuje, widziałem z dnia na dzień, z nocy na noc, jak gasną Wieże dookoła - no ale dokąd ja miałem uciekać? Zostałem na stróża, w końcu sam jeden w całej Piątej. A potem rozciepliło się do reszty i Wieże poczęły się walić jedna po drugiej. Serce mi się krajało, panie Jerosławski, powiadam panu, nie mogłem na to patrzeć. Szukałem ludzi od gubernatora, szukałem z Sibirchożeta, z władz miejskich - żeby jakoś się zorganizować, coś zrobić... Ale to już roztopiło się wszystko; i żadnej własti twardej tu nie uświadczyłeś, odkąd zapadło się wielkie soplicowo. No to skrzyknęliśmy się z zimownikami, z robotnikami chłodnicowymi, co zostali tu w Innokientijewskim bez pracy, z żandarmami paroma nawet i inarodcami, i zabralimy się ratować Wieże. Znalazł się jeden inżynier od Thyssena, ktoś w szalunkach marzłociowych doświadczone... Widział pan, co żeśmy się musieli narobić przy filarach: i w głąb, i po powierzchni, i betonem, ale to też prędko materiału zbrakło, więc i z filarów przywleczonych od tych Wież, co już padły... To dopiero na końcu, pierwsze sześć od razu się zawaliło; powalczyliśmy jeszcze przy Dwunastej, nu, na koniec ostała się Siódma i Pierwsza, po przeciwnej stronie.

Tymczasem zaszliśmy na koniec korytarza, po wyższej, północnej stronie Wieży. Ziejcow wyłuskał spod pocerowanego żakietu pęk kluczy, otworzył drzwi. Weszliśmy do pokoju. Ongi był to chyba salon dyrektora potęgi przemysłu lodowego. Między zsuniętymi pod południową ścianę sprzętami spostrzegłem szezłag skórą obity i piękny regał z ciemnego orzecha. Książki i porcelana walały się w fałdach afgańskiego dywanu.

Podszedłem do szerokiego okna. Wszystkie szyby zeń wyleciały, między framugami powiewały zielone story sznelowe. Rozgarnąłem je na boki - w ruinę salonu wstrzeliło słońce.

Zaatakowała mnie pszczoła; odgoniłem owada laską, kiwadło się zakręciło, 310 ciem. Kichnąłem. Osłaniając dłonią oko, stanąłem z boku w cieniu.

- Ale Pierwsza też leży. - Pokazałem na horyzont za Dziurą.

- To już potem się stało, jak bili się tu z bolszewikami Centrosibiri i cesarskimi. Wpierw wleźli tam trockiści i strzelali do wszystkiego, co podeszło na widok. Abłastnicy z Sawinkowem i nowonarodnikami przepędzili tędy bolszewików; pod Aleksandrowskiem była bitwa z imperatorskimi. Potem oni wszyscy się wycofali na linię Transsibu i tak jakoś od miesiąca front rewolucyjny stoi na Irkucku i Angarze. A Wieżę Pierwszej Godziny wysadzili w powietrze leninowcy, snajper trockista ustrzelił im kamandira.

- Więc teraz Zimny Nikołajewsk trzymają siły Zjednoczonych Stanów Syberji. - Ziewnąłem. - Złamał nogę, ale chyba przyjmuje gości?

- Pójdę zapytać. Zaraz podeślę wam Kitajca z ciepłą wodą i jakimiś łachami. Mamy tu królestwo szabru. Ogotilibyście się może też, co? A i prowiant się znajdzie. Spocznijcie, zmęczeni jesteście. Już, już pędzę. - I rzeczywiście popędził, podzwaniając kluczami; drzwi trzasnęły za nim same. Zapomniałem zapytać o te skrzypce.

Mimo woli uśmiechając się pod wąsem, klapnąłem na szezłag. Wot, przyszła Odwilż i nawet w takim Ziejcowie na tyle wywrócił się charakter, że oto zapity marksista-tołstojowiec wykrzesał z siebie odrobinę energii przedsiębiorczej. Przymknąłem oko pod ciepłą piesszczotą Słońca. Pszczoła brzęczała mi nad głową.

Stary Chińczyk przydzwigał misę i wiadro wody zagotowanej, a także czyjeś ręczniki i przybory łazienne oznaczone łacińskimi inicjałami „R. Z. W.”, a za drugim kursem - cztery walizy pełne garderoby męskiej nie najgorszej jakości. Wertowałem ich zawartość z rozbawieniem, zgadując pochodzenie i tożsamość właścicieli. W jednej znalazłem niemiecki modlitewnik, w innej - *Astrologiczny poradnik człowieka interesu w Azji* po francusku. Wynikało z niego, że do letniego ekwinocjum Roku Pańskiego 1930 nie jest mądrze po wschodniej stronie Uralu zawierać większe transakcje z ludźmi spod znaku Strzelca, Barana i Koziorożca. Przesądny przedsiębiorca zaopatrzył się był także w *Sennik kupiecki, Frenologję w pracy i w towarzystwie oraz Tarota giełdowego*. Pod kingami odkryłem wszakże trzy bardzo twarzowe koszule barwy srebrzystego popiołu.

Zrzuciłem stare odzienie, przeżarte brudem, poprzecierane na wylot, cuchnące pod niebiosa. Obszorowałem się raz i drugi i miałem właśnie złapać za brzytwę, gdy w dolnej ścianie otwarły się drzwi i wlało dwóch sztatskich. Obróciłem się do nich, nagi, z gębą omydloną.

- Czego?!

Cofnęli się, zawstydzeni.

- Sekretarz pana premiera kazał przekazać... Umówili was na kwadrans w południe.

- Dobra.

Znalazłem pod regałem odłamki lustra, wybrałem z nich największy. Ogoliwszy się, zwątpiłem. Zarost jednak do pewnego stopnia krył blizny, przebarwienia, deformacje; teraz wszystko wyszło na światło jak u Ziejcowa.

E tam. Jedna ohyda. Cisnąłem ćwierćclusterko przez okno.

Włosami już się nie zajmowałem; zamiast przycinać, związałem je na karku. Wyszukałem bieliznę i garnitur. Wszystko było na mnie ciut za duże lub ciut za ciasne. Stanęło w końcu na spodniach, które musiałem mocno ścisnąć paskiem i podwinąć im nogawki, oraz jednorzędowej marynarce marengo, której rękawy, gdy uniosłem ramiona, schodziły mi prawie do łokci; jedynie astrologiczna koszula pasowała jako tako. Zamiast krawata zasuplałem na podwójny węzeł windsorski białą chustę.

Tylko buty zatrzymałem stare: kozaki z popękanymi cholewami, które ściągnąłem byłem z trupa nad Tunguzką.

Wyszedłem poszukać zegarka. Młody Rosjanin, kurzący papierosa nad dziurą po marostiekłowym witrażu (wietrzyk płynął tędy na durch przez Wieżę), poczęstował mnie tytuniem i bibułą. Zgadaliśmy się o literaturze niemieckiej i pięknie przyrody syberyjskiej. Obiecał przysłać mi człowieka zorientowanego. Potem dopiero dowiedziałem się, kto on jest, ów maładjec gładysz: Minister Bezpieczeństwa w rządzie Sajedinionnych Sztatow Sibiri. Pytał mnie o moją oćmiatę odsłoneczną, nie wiedział, co to takiego, przyjechał z uniwersytetów Zachodu tuż po Odwilży, nie znał wielu lutowczyków, oprócz premiera. Powiedziałem mu, że sam fakt, iż ma oczy wrażliwe na ćmiatło, wiąże go jakoś z Krajem Lutyh. To mu się spodobało. Zapalił drugiego papierosa. Przynosili mu papiery do podpisu; fajkował je ogryzkiem ołówka na plecach sałdata, nie czytając wcale. Wyroki śmierci, pomyślałem potem, i wspomniałem lamentującego współjeńca. Kto wie, gdyby nie Ziejcow...

Wróciłem do pokoju, miałem czas pospać jeszcze trochę. Pszczoła wybudzała mnie natrętnie - rozciągnięty na szezłagu odpływałem i przyplýwałem do ciepłej jawy. Wstałem, rozprostowałem kości, wysikałem się przez okno. Dzieci puszczające stateczki na wodach zapadliska po Dziurawym Pałacu pokazywały mi sobie rękoma i machały, roześmiane; odmachałem im dostojnie. Nad wodą kłębił się gnus, obłok maleńkich muszek, ślepni, żygalek. Po bezchmurnym błękicie szybowało dzikie ptactwo.

Pobuszowałem w stercie knig pod przewróconą biblioteczką. Słowniki, encyklopedje, księgi okolicznościowe. Wróciłem do waliz z łupami. Do *Tarota giełdowego* załączona była kieszonkowa talja według syberyjskiego wzoru Egipskiego Tarota Crowleya. Przysiadłszy na piętach, licząc rytmicznie pod nosem, rozłożyłem na nagiej podłodze zimnazowej dwie setki ciągów sortilegijnych. *Pocięło ratuje. Układ z Pobiedonoscewem. Sojusz liedniaków. Trzyma Zima. Szulc sprzedał Tesłę. Uciekaj.* Zakłócenia mocniej tu dawały się we znaki, ale ponieważ znałem już treść tego ćmieczogramu, mogłem pominąć luki i przekłamania. Jedno było pewne: to nie Tesla ani Christine - eta uże awtamaticzieskij Czmietnyj Małot bjot.

Zapukał aparatczyk sztatski. Poszliśmy na dach.

Dach Wieży Siódmej Godziny nie miał dookoła żadnych balustrad, barjerek ochronnych i, stanąwszy na pochyłej płaszczyźnie, odruchowo zaparłem się laską przeciw spadkowi. Wiatr nadmuchał mi połę marynarki; zapiąłem guzik. Wyczyszczona, wyglansowana powierzchnia zimnazowej okładziny błyszcząca pod nogami jak tafla jeziora rてci, słońce refleksowało co krok na wsze strony, szło się niczym przez wnętrze wielkiej żarówki elektrycznej. Pan Porfiry Pocięło, Pierwszy Minister Rządu Tymczasowego Zjednoczonych Stanów Syberji, siedział pośrodku dachu przy okrągłym stoliku. Przez nasadzone na jastrzębi nos czarne okulary czytał papiery serwowane mu z grubej teki sekretarza. Unieruchomioną w łupkach nogę wyciągniętą miał na podnóżku obitym spłowiałą purpurą. Światło stalowe opływało Pocięłą ze wszystkich stron, był drutem żarnikowym tej lampy.

Sekretarz nachylił się, szepnął mu do ucha. Pan Porfiry uniósł głowę. Stałem naprzeciwko.

- A któz to jest? - parsknął on, zdumiony.

Sekretarz i aparatczyk spojrzeli po sobie, skonsternowani. Sztatski złapał mnie mocno pod ramię.

Stuknąłem laską w zimnazo.

- Nie kupiłem wam Historji u lutyh - rzekłem - ale widzę, że i bez tego sobie poradziliście.

Zerwał okulary.

- Pan Benedykt?! To pan?! To naprawdę pan?!

Podszedłem, wyciągnąłem rękę.



- Niechże uścisknę dłoń męża stanu.

Spojrzał na mą prawicę trójpalcą, na blizny i deformacje. Podniósłszy się lekko z fotela, ujął ją w obie dłonie, zamknął w objęciu silnej, serdecznej.

- Nawet nie pytam. Też przeszedł pan niejedno. Siadaj pan.

Machnięciem odprawił ludzi. Spocząłem na krześle wiklinowym. Srebrne żagle światła łopotały wokoło, znowu łzawiło mi oko - świat rozplynął się w błękit i zieleń i to srebro migotliwe, jego tu najwięcej.

Pocięło też milczał przez chwilę.

- Niechże się pan napije - rzekł cicho, dzwoniąc grafinczikiem i szklanką. - Nalewka z syberyjskiego rokitnika, rok leżakowana. Tłumi bóle wszelkie.

Prawie po omacku umoczyłem w niej wargi.

- Drugi dzień nic nie jadłem.

- Mój Boże, Benedykt Gierosławski... - Kręcił głową z niedowierzaniem. - Żona mi nie uwierzy, jak jej napiszę.

Szklanka wyslizgnęła mi się spomiędzy palców. Trur-rurururt! - potoczyła się po dachu i poleciała w przepaść.

- Ona nie żyje!

- O czym pan... Ach, tak, panna Jelena! Spaliła się w tym Sanatorjum Lodu, wiem, wiem.  
- Zaśmiał się wtem z ulgą dziwną. - Moja Krystynka, ona mi nigdy nie... A, bo pan przecież o niczym nie słyszał, prawda? Ile to lat - pięć? sześć? - W podnieceniu mało do Porfirego Pocięły przystającem sięgnął po pugilares. - Pokażę panu, Andrzejek, Andrew, na tym zdjęciu - trzy miesiące.

- Ożenił się pan z Christine Filipov.

- O, proszę. Zrobione w zeszłym roku przed naszym domem przy Rua Dos Pescadores.

Na fotografii rozpromieniona Christine Pocięło, odziana w luźną, jasną suknię, z twarzą wpółskrytą w cieniu słomkowego kapelusza, siedzi z niemowlęciem w objęciach na ławce w ogrodzie przed willą. Po prawej ma samego pana Porfirego, spoglądającego w obiektyw z głębi ciemnych oczodołów ze zwyczajną krogulczą intensywnością. A za ich plecami, pośrodku zdjęcia rysuje się wysoka sylwetka Nikoli Tesli. Już z siwymi włosami i twarzą jakby wysuszoną, kościstą, stoi jednak wynalazca nadal wyprostowany i w tej samej pozie

roztargnienia-zaaferowania, jakby został sportretowany w ostatniej chwili, nim na powrót ucieknie do swoich prac tajemnych. Ćmiecz załała ciemnym tuszem fałdy i zmarszczki jego garnituru, stoi obmalowany nocą. Dom za nimi to okazała budowla w hiszpańskim stylu kolonialnym, z bielonemi ścianami i długimi balkonami na wszystkich kondygnacjach. W cieniu arkadowego patio, w dwóch szeregach ustawiała się do zdjęcia liczna służba, w liberjach i bielutkich fartuchach. Palmy i figowce osłaniają podjazd z obu stron, kwiaty hibiskusa gapią się z otwartymi kielichami-pyszczkami na niewiastę i niemowlę.

- Gratuluję.

- Rośnie jak na drożdżach, będzie chłopak na schwał. Ledwo od piersi odstawion, a już jak rozrabia! Piszą mi, że -

- Tak. - Oddałem mu fotografię. Chlusnąłem nalewkę do kieliszka. Głowa, lekka bardzo, kołysała mi się na szyji jak balonik słabo przeciw wiatrowi uwiązany. Łyknąłem ostro. Mhm, może to przez światło zewsząd napierające. Siedzieliśmy tu jak ślepe jaszczury w terrarium słońca. - Pan wie, teraz najchętniej zrzuciłbym pana z tego dachu.

Pocięło z powrotem założył czarne okulary.

- Nie wyszło panu, co? - rzekł cicho. - Z ojcem -

- Nie żyje.

- Z Jeleną -

- Nie żyje.

- Z Historją -

- Też trup.

Odchyliłem się na oparcie, oko i usta otwierając szeroko na błękit nade mną, czekając zimnej kropli tego błękitu. Tęcze rozświergotane masowały mi skronie, słuchałem ich chichotów i gilgotań kolorowych.

Pan Porfiry dobrze wyczuł mój nastrój. Przeczekał, kartkując dokumenta. Notował coś w kajecie wiecznym piórem, stalówka szurała przyjemnie po papierze.

Milczałem, na powrót zepchnięty w depresję niekonieczności. Ciepły zefir kołysał moją głowę, płynna jasność perliła się mi na skórze, szczypiąc, piekąc, gryząc. Roz-roz-roztopiony... Młasnąłem głośno.

- Pan ich wywiózł.

- Kogo? A! Tak. Owej nocy, jak pan z Irkucka uciekał - wtedy wpierw pokłóciłem się z Krystynką okropnie. - Zaśmiał się znowu. - Dałaby się za Nikolę pokroić! W końcu wyrwałem ich Szulcowi, uciekliśmy przez Charbin, przez Chiny. Jak na pierwsze sygnały Odwilży zaczęły się te rozmowy u Brytyjczyków w Hongkongu, to oczywiście skorzystałem z okazji i wstąpiłem do Makao - no i prędko klamka zapadła, taaak. Wzięliśmy ślub tam na miejscu, w Igreja de Sao Domingo. Nie sądź pan, że pochopnie, że w pośpiechu nieprzystojnym - jechałem na wojnę, na powstanie zbrojne, które mogło się źle skończyć na tysiąc sposobów. - Wyjął papierośnicę, tęcze wybuchły na herbie Irkucka. Zapalił. - Nadal może.

...Popatrz pan, panie Benedykcie, jacy my głupi byliśmy. Z panną Jeleną, znaczy się. Gdyby mi po naszych umowach bzdurnych na Złamanej Kopiejce nie dała kosza... Ach, przepraszam, jeśli woli pan nie... Mhmmm. - Dmuchnął w słońce. - Pan rachował, ja rachowałem. Była Zima, no tak, był Lód, pewnie nie dało się inaczej. Ale... To jest ogień! - Potrząsnął kułakiem zaciśniętym pod szklami czarnymi. - To jest żądza! - Palnął w stolik, aż zadźwięczały naczynia i podskoczyły papiery, spadła gazeta. Przyszpiliłem ją laską, zanim wiatr ją zmiótł z dachu. „Nowaja Sibirskaja Gazieta”, nie wiedziałem, że mają tu już prasę poodwilżową.

Oddałem ją Pocięgłe i wróciłem pod błękit.

- To jest żądza - powtórzył ciszej - to jest prosta symetria pragnień egoistycznych. Nie pytasz. Nie ważysz szans. Nie włączasz w ogóle rozsądku. Czy ja postąpiłem rozsądnie? Gdzież tam! Rozsądnie to byłoby przeczekać rewolucję i wtedy wrócić się Krystynce oświadczyć. A co ja zrobiłem? Machnąłem ręką, panie Benedykcie. Machnąłem na to ręką!

- Naprawdę, czy to nasza głupota była, pod Lodem wtedy? - Błądziłem wzrokiem po pustym niebie. - Głupota i rozsądek nie miały tu nic do rzeczy, panie Porfiry. Liczyło się, co prawda, a co fałsz. Że się ludzie tak zakochiwali - to nie przez wpływ jakiś hipnotyczny Czarnych Zórz, lecz z prawa logiki dwuwartościowej. Tego samego, które pozwalało nam sądzić z żelazną pewnością wedle jedynoprawdy charakterów ludzkich, a panu spiski karambolowe w Historji wyżętej z entropji ustawiać.

...Najstraszniejsza bowiem jest w uczuciu owa niepewność, owa tortura zwątpienia i rozdarcie pomiędzy TAK i NIE: kocha, nie kocha, kocha, nie kocha; i jeszcze głębiej, wobec samego siebie: czy kocham, czy tylko wydaje mi się, że kocham? Ale to wszystko jest klątwa Lata, to jest miłość Kotarbińskiego! W Kraju Lutych miałeś tylko dwa bieguny na magnesie

duszy i większość tych zbłądzeń i omyłek osądu pozostawała tam nie do pomyślenia, nie do zamrożenia. Jedyne taki jak ja... - Potrząsnąłem głową. - To nie była głupota, to była pompa ćmieczy doktora Tesli.

- Ale! - prychnął. - Nie mam pojęcia, o czym pan plecie!

- Kiedy zapadła panu w sercu pieczęć na Christine Filipov? Gdy uciekaliście przed Szulcem, pod Lodem, panie Porfiry, pod Lodem.

- Znowu chce pan zrozumować sprawę na śmierć. A przecie słusznie pan nam wondrous mówił: Co to jest miłość? Rzecz nie do wysłowienia. Mamy tylko ludzi, którzy zachowują się tak i tak, że powiadamy: to z miłości. Ale dopóki jeno miny rozdierające czynią, pod Księżycem się snują i wiersze złe piszą - to co to jest? Miłość? Ha! To sztuka o miłości! Obrazek o miłości! O miłości opowieść! Miłość w cudzysłowie!

- To kim ona jest? Córką, wnuczką Tesli - czy jego kochanicą?

- Kochanicą! - oburzył się szczerze. - No wie pan!

Zahuściłem się na krześle, balansując laską w tył i w przód.

- Ale Makao? - Kłasnąłem językiem o podniebienie. - On tam coś robi.

- Tesla? No przecież! Morgan Junior dogadał się z Mikołajem Aleksandrowiczem Romanowem, Nikola wybrał Makao ze względu na Drogę Mamutów w Chinach, tam postawił ten swój Wielki Młot, na Ilha de Macau, na wzgórzu w centrum. Morgan wszedł hojnie z kapitałem w *Tesla Tungetitum Company* i Nikola wydzierżawił od Portugalczyków Fortaleza da Guia, cały kompleks starowieczny pod latarnią morską. Która świeci teraz do rytmu uderzeń Młota. Całe Makao żyje pod Młotem, pozamykali wszystkie domy gry w mieście, chirurdzy odmawiają tam operacyj, a Kitajce szaleją z suszonym krwawnikiem; za to palarnie opjum prosperują cudownie. - Pocięgło machnął szeroko, obejmując ręką z papierosem ruiny Zimnego Nikołajewska zarośnięte świeżą zielenią. - Nie zauważył pan? Lód puścił! Historia ruszyła z miejsca!

Pufch! - pękł pęcherz w mojej piersi, przespilony. Roześmiałem się na długim wydechu, do nieba, do Słońca.

- Więc to nie ja zabiłem Zimę!

Zaczem wpadłem w czkawkę na pół histeryczną, na pół w prawdziwym rozbawieniu zbudzoną, wciskając mi słowa niewypowiedziane z powrotem w krtań. Żem przez chwilę

tylko gulgotał jak głupi.

Pan Porfiry mierzył mnie czarnem spojrzeniem - zaraz odwróciłem odeń oko nazad ku błękitowi. Powoli uspokajałem oddech. Czort z pęcherza uwolniony podskakiwał mi w piersi jeszcze minutę, dwie; wydychnąłem go w długich chuchach wprost w blaski srebrnotęczowe.

Pan Porfiry kliknął pokrywką zegarka.

- Musi mi pan potem opowiedzieć wszystko -

- No dobrze. - Usiadłem prosto, starłem łzę z oka, Pocięło i dach Krzywej Wieży zakrzepili na ten moment. - Mam interes do pana.

- Interes?

- Interes. - Klasnąłem. - Plan zarobku znacznego. Sposób na pieniądze wielkie.

Strzepnął popiół na wiatr.

- Panie Benedykcie, ja teraz jestem człowiek Państwa.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ba, największe fortuny robi się na Państwie.

- Pan sobie żarty stroisz! - Zjeżył się. - Pan od początku nie brałeś poważnie sprawy abłaściznieskiej. Lecz wiedz, że dla mnie to jest idea najpierwsza: Syberja wolna, niepodległa, państwo syberyjskie samorządne, silne przed potęgami świata!

- Wiem to, panie premierze, wiem. Ale -

- Patrzysz pan i widzisz teraz dziki kraj awanturników, zesłańców, chłopów niepiśmiennych i zabobonnych autochtonów, tysiące wiorst zimnych pustkowi w każdą stronę i puszcze największe na Ziemi, gdzie noga ludzka nie postąpiła; a co się tu ucywilizowało, to - znowu machnął wedle wielkiej panoramy syberyjskiej ze szczytu Wieży Zegarowej otwartej - widzisz pan, zapada się właśnie z powrotem w błoto, najlepsi ludzie stąd uciekają. Tak? A ja spojrzę w przyszłość za sto lat - i ujrzę moc światową. Stany Zjednoczone Syberji!

Zaciągnął się dymem tytoniowym, na sekundę wyświectliły mu się pod szklami smolnemi świecienie i zaćmiata ciemna wyszła na oblicze pociągłe, pod Słońcem oprązone.

- Ale pan nienawidzisz Państwa! - syknął. - Apoliteję - to tak; lecz rządy ludzi, rządy Lata - tego byś pan najchętniej w ogóle zabronił. I pan mówisz, że nie jesteś liedniak!

- Bo nie jestem, panie Porfiry, nie jestem. Liedniacy chcą zamrożenia, zatrzymania Historji w kształcie już dobrze znanym. A ja właśnie -

- Liedniak najgorszego rodzaju: żyjący dla Lodu, nie dla ludzi! Pana przecież to wszystko nic a nic nie obchodzi! Nie Syberja, dobrze - a spytał pan w ogóle o Polskę?

Zachnąłem się.

- Co z tą Polską?

Rzucił niedopałkiem w tęczę.

- To samo. Czyli nic.

Poprawił nogę załupkowaną, podciągnął się na fotelu.

- Nie ma Polski - rzekł, złożył dłoń pod brodą. - Tylko Polacy się tam wzajem wyrzynają pod obcemi sztandarami.

- A Piłsudski? Miał układ -

- Układ! Piłsudski dorobił się generała u Franciszka Ferdynanda, może teraz bić cara w otwartym polu - ale myśli pan, że Austria odda mu choć kawałek Polski na własność w podzięce za usługi wojenne? Musieliby się wprawdzie zaborcy sami tak do reszty wykrwawić, iżby Legjony Piłsudskiego czy różne miejskie oddziały partyj polskich stały się wtem na owych ziemiach siłą na czas jakiś dłuższą najznacniejszą. Co, przyznasz pan, nie jest przecież prawdopodobnym obrotem Historji.

...A tu - proszę: ziemia i Państwo do wzięcia. To jest druga Ameryka, Gierosławski. Bogatsza Ameryka! Sprawiedliwsza Ameryka! Naprimier, autochtoni - oni swoich wyrznęli, ja naszych biorę do władzy. Stany Zjednoczone Syberji! - Postukał palcem w rozłożone przed nim papiery. - Będą mieć swoją obłast' Burjaci, Tunguzi, wsje inarodce. Żadnych rezerwatów, jeno miejsca w senacie. Pojmujesz pan? - Skrzyżował ramiona na piersi. - Buduję tu Państwo, czynię własnymi rękoma Historję! A pan do mnie z obietnicą dzieńg przychodzisz...!

...Zresztą! Nie mam teraz już czasu, czekam na Sawinkowa, skaranie boskie z tymi eserowcami, znowu chcą pisać listy perswazyjne do księcia Gieorgija Jewgienjewicza, jeśli to on akurat na urządzie pierwszego ministra Imperjum zasiada, bo i to się zmienia prędko bardzo; jutro więcej pogadamy. - Zmitygował się. - No, przepraszam, że tak -

- Czas pana premiera na wagę złota.

Skrzywił minę.

- Daj pan spokój!

Uśmiechnąłem się.

- Czegóż się pan wstydzi? Pan jest premierem.

Podaliśmy sobie ręce nad blatem, w świetle ogłuszającym.

- Co z Wielickimi?

- Nie wiem, panie Benedykcie, nie miałem wiadomości.

Powstawszy, zatoczyłem się; znowu laska mnie uratowała.

- Ta wasza nalewka na pusty żołądek... - mruknąłem. Otarłem łzę mankietem. - Jak pan tu wytrzymujesz, doprawdy, oślepnąć można...

Odprowadził mnie sekretarz, czekający już na schodach z Borysem Wiktorowiczem Sawinkowem. Oklepując chustą przepoconą wysoką łysinę, słynny pisarz i terrorysta obmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Rewolucje, socjalizmy, anarchizmy, nacjonalizmy - będzie się to wszystko musiało jakoś ułożyć razem, wpasować w jedną maszynę. Pomyślałem, że to mógłby być haczyk na Pociągę: powrót Historji. Czy dałoby się sprzedać pomysł w podobnym opakowaniu? Schodziłem po schodach, przystając co kilka stopni. Było Lato, to były Drogi Mamutów, a Wielki Młot Ćmieczy w Makao bił nieprzerwanie.

Młot. Tesla musiał mozolnie szukać tej częstotliwości rezonansu, a przecież - wszystko zaczęło się od uderzenia.

Kręciło mi się w głowie. Powinienem był przynajmniej znaleźć sobie jakiś kapelusz. Tak się objawia udar słoneczny. Przyłożyłem zimne okucie ćmieczometru do czoła.

Potem, przy posiłku sporządzonym przez Chińczyków z najświeższych łupów rządowych (sztatscy nazywali to „podatkiem państwowotwórczym”), zanim zaciągnąłem zielone stopy i padłem na szezłag odespać zmęczenie długie, Ziejcow opowiedział mi to i owo o wypadkach z lat ostatnich. Słuchałem co prawda niezbyt uważnie, myślami krążąc wokół moich planów, które zamianowałem sprzedać Porfiremu Pociągę, a i Ziejcow opowiadał po Ziejcowowemu, na zaśpiewie ruskim, w narracji jak majak alkoholowy rozciągniętej... Przeszłość, cóż przeszłość? - rozmrożona, nie istnieje tem bardziej. Może było tak, może inaczej. Liczy się, co pod palcami, co w uścisku, co pod władzą ciała. Jadłem łapczywie, wpychając w gębę mięso pikantne w cieście kwaśnem zapiekane i sałaty z rybami zimnemi mieszane i chleby przyprawiane orzechami i ryżowe zasmażanki i kartofle świeże masłem chrzczone; krztusiłem się, plułem i jadłem. Przy okazji, półgębkiem, spożywałem Historję.

Chińskie, w chińszczyźnie, chińskimi rękami gotowane - ano, mieli tu teraz tyłu Kitajców, bo za Wielkim Murem też wojna i zawierucha dziejowa. Powiadał Ziejcow, iż

Krajowa Partja Ludowa Chin i Liga Związkowa zebrały już armię ponadmiljonową, dowodzoną przez „chłopskiego generała” Lao Te, który poprzysiągł własnoręcznie ściąć cesarza Pu Ji i zgładzić wszystko, co z krwi jego. Front chińskiej wojny domowej przesuwa się na północny zachód; Lao Te wpierv odgrodził cesarza od portów. Zresztą tak to od początku wyglądało: siły rewolucyjne szły z południa, z Lata. Nanning i Kanton znalazły się pod kontrolą KPL i chińskich trockistów Czena Du Xiu jeszcze przed Odwilżą. Portugalczycy ułożyli się z KPL i Sun Jat-Senem w Makao w roku 1926. Ziejcow niedwuznacznie sugerował, iż zawarto jakieś porozumienie między żółtymi otłepielnikami doktora Sun, Morganem Juniorem i doktorem Tesłą. Wielki Młot Ćmieczy zaczął bić w 1928; zaraz jeły wybuchać powstania chłopskie. Latem 1928 wizytował laboratorium doktora w Fortaleza da Guia Winston Churchill, minister wojny Korony Brytyjskiej. Równolegle toczyły się w Oslo rozmowy rosyjsko-brytyjskie w kwestji bosforskiej i bałkańskiej. Car znalazł się w bardzo niewygodnej sytuacji, nie mógł się odwrócić plecami ani do Zachodu, ani do Wschodu. Secesja Szulcowa i groźba japońska wiązały mu ręce w Azji. W roku 1929 Lód puścił w Irkucku i djabli wzięli hrabiego Szulca; nie marnując wiele czasu, Cesarstwo Kwitnącej Wiśni uderzyło powtórnie na Koreję i wschodnie porty Imperjum Rosyjskiego, wchodząc w Chiny od Władywostoku do Czengczunu i Charbinu. W Mongolji święci mężowie buddyjscy poprowadzili tubylców przeciw Chińczykom, Rosjanom, wszelkim cudzoziemcom. W Nankinie Tungmonghuei doktora Sun ogłosił powstanie Republiki Chińskiej; debatowano nad konstytucją dla Państwa Środka, pierwszym jego prawidłym parlamentem, nad nowymi podatkami i nowymi warunkami handlu z barbarzyńcami, i nad wysokością emerytury dla cesarza. Mikołaj II musiał rzucić wojska z powrotem z Europy za Ural. Co z kolei otworzyło mocarstwom europejskim okazję nazbyt dobrą, by ją przeczekały w pokoju, i tak, po krótkim ultimatum Londynu, wybuchła wojna o Bosfor i Dardanele.

- To kto w końcu obalił hrabiego Zimowego? - spytałem, opychając się ryżem z rybami. - Mmm, eserowcy? Nowi Narodnicy?

- A-a, gaspadin Jerosławski, po Odwilży to już tam mało kto wie, co się w Irkucku działo. Nie bardzo nawet wiedzą, co się dzieje teraz. Jest plotka, że Szulc przeczuwał był to wszystko i wyprawił z Syberji rodzinę swoją całą jeszcze przed dniem Ostatniej Zorzy.

- Znacxit, kiedy?

- W lutym, rok temu. Nie byłem ja tam, ludzie mi opowiadali. Zamieszki urosły od wypadku na Marmieładnicy: ziemia roztopiona siadła pod torami, skład pełen proletariatu



rozbił się ledwo parę wiorst od Irkucka, i poszła wieść, że to robota agentów księcia Błuckiego, to jest Imperatora, nasłanych, ażeby czem prędzej przemysł zimnazowy do upadku przywieść i tym samym hrabiego ze stołka samowładcy Syberji strącić. Szulcowi to nawet na rękę było, znaczit, plotkę taką w ludzie trzymać. Ale głowy już muzyki mieli gorące, „Krasnojarskij Raboczij” opublikował świeże zdjęcia Trockiego w Ust'-Kut, wiązały się sawiety po miastach, po siołach... No i pobili się zaraz ottiepielniki z liedniakami Imperatorowi wiernymi, a hrabia głupotę zrobił, bo kozaków ostrych na tę tłuszczę posłał. A co uchodziło pod Lodem, nie uszło w Lecie: zamiast się rozbić, rozpuścić po mieście, pochować po domach w strachu przed władzą, zebrali się wraz w gniewie gorącym i poszli na Jaszczik przez fałszywego Bronsteina prowadzeni. I taki był koniec hrabiego Szulca, odpuść Panie grzechy jego niezliczone.

- Słuszny gniew ludu, mmm. Motłoch wybiera swoją Bastylję napędzany estetyką strachu. Albo Jaszczik, albo wieża Sibirchożeta, mmm.

- Ano. Wszystkich tam wtedy w Cytadeli rozdziabali na kawałeczki, sałdatów nie sałdatów, czynowników nie czynowników. Ale tak konkretnie - kto, gdzie, jak, czyimi rękoma? Bóg jeden wie. Nawet grobu hrabia nie ma. Stąd zresztą dalsza w mieście nędza i bezhołowie, bo jak przyszło wreszcie lato, to wszystko to wylazło z ziemi rozmrożonej, trupy, znaczy się, zgnilizna, ścierwo wszystkie, i zaraza ciężka na Irkuck siadła. A że wybiła kolejne tysiące, i że tych także nie miał kto po chrześcijańsku pochować ani spalić choćby, bo niczyj rząd silny od Odwilży nie trzyma Syberji ni miasta - no, to tylko się pomór wzmógł, i tak umierali następni, gnijąc znowu po domach i ulicach, aż pierwszy mróz naturalny przyszedł i przymknał na miesiący parę ten piec choróbski i śmierci. Ale teraz - wsjo wnow'. Pan premier mówi: Miasto Much. Nam tu też gnus doskwiera, ale tam... Tyfus, cholera, żółtaczkę, dżuma, wybieraj-przebijaj. No więc z tej też racji sztatscy nie kwapią się brać Irkucka. A że w nim nadal tłucze się na przemian pięć partyj zbrojnych, takich i owakich, to insza inszość.

Potrafiłem sobie przedstawić ów obraz chaosu i bezwładzy zupełnej, widziałem ostatnio takich scen pewnie więcej niż Ziejcow. Częstokroć trudno mi było nawet rzec, jakiego projektu politycznego zwolennikiem jest dana kupa zbrojna, ciągnąca przez Syberję szlakiem łupiestwa i mordy, instalująca po wsiach i mieścinach akurat niespalonych rządy swoje jakieś pajacowate. Ottiepielnicy czy liedniacy, za czy przeciw samodzierżawiu carskiemu - nawet tego nie sposób było rozstrzygnąć. Szli w bój z najbardziej osobliwymi hasłami: „Za caria i sawietskiju włast'!”. Pomieszanie, smuta, pstrokaczna panowała niesłychana.

Spytałem Ziejcowa o Kolej Transsyberyjską; pułkownik van der Hek wspomniał mi o konwojach pod znakiem Czerwonego Krzyża, organizowanych przez różne Towarzystwa narodowe, wywożących stąd dzieci i kobiety. Doszło mnie też, iż Japończycy, honorując porozumienie z Piłsudskim, wyratowali tak przez Władywostok całe sierocińce i ochronki polskie. Ziejcow pewnie z tego pytania zmiarkował, że sam Transsibem wytransportować się stąd zamierzam. Objął pod miną smutną, że od Irkucka do Obu najmniej w dwóch miejscach stoją na torach zapory wojskowe; ze względu na ofensywę japońską nie ma też stałego połączenia z Władywostokiem. Chodzą nieregularne składy do Nerczyńska i Krasnojarska, ale i to nic pewnego, bo Pobiedonoscew zaminował linię na kilkudziesięciu wiorstach i straszy, że wysadzi Kolej w powietrze. Już dwie bitwy nowonarodnicy z trockistami stoczyli o Port Bajkał i bajkalski prom kolejowy.

- Zresztą tuzin plotek sprzecznych przychodzi każdego dnia. Mamy tu radja działające i kabel telegrafu we wschodnią stronę otwarty. Przedwczoraj mówili, że Hirohito kazał uderzyć na Pekin. Wczoraj - że Japońce podpisali sojusz z Sun Jat-Senem. Jutro pewnie dowiemy się, że cesarz chiński abdykował. Albo że Ameryka bije się z flotą japońską o Czukotkę. Księżę Lwow wysłał Imperatorowi swoją rezygnację tak mniej więcej co drugi nów. Jewo Wielicziestwo Mikołaj Aleksandrowicz czasami je przyjmuje, czasami nie, czasami sadza Gieorgija Jewgienjewicza w areszcie, a czasami orderami zasypuje i o powrót na urząd błaga. Przeważnie nawet nie wiadomo, kto akurat ster rządu petersburskiego trzyma. Co za różnica? Jeden bałagan. Borys Wiktorowicz wczoraj mówił, że towarzysze nowy wyrok na premiera wydali; ale tam było w Peeserze już siedem czy osiem rozłamów, powyklinali się nawzajem dokumentnie, strzelają teraz posłów i odszczepieńców na sam widok, bo każdy może być zamachowiec-samobójca w przebraniu idejowym - tylko papier jeszcze w miarę bezpieczny. We wtorek byliśmy z rządem Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa w „pokojowych rozmowach”, w środę - zatraceni nieprzyjaciele Imperjum Rosyjskiego jesteśmy. Łeb pęka, panie Benedykcie.

Nazarłem się ryżu i Historji po uszy.

Koło północy obudził mnie dźwięk wystrzałów. Padło ich trzy lub cztery; może wcześniej przespałem cichsze. Strzelano w oddali, echo szło przez Zimny Nikołajewsk. Stałem przed oknem wybitem na noc, rozgarnąłem zasłony. Paliło się kilkadziesiąt świateł - z wysokości mogłem zarysować na ciemnej perspektywie elipsę określającą dawny krąg Wież Zegarowych i półkiszyc Innokientijewskiego Dwa. Ludzie się tu gnieździli w ruinach, a także w tym, co ocalało z gmachów przemysłowych, i w budach i szałasach postawionych z

materiałów pozostałych po budynkach zniszczonych, w ziemię rozcieploną zapadłych. Nadstawiłem ucha: ktoś na dole grał na flecie. Płakało dziecko. Stukała maszyna do pisania. Ujadał pies. Noc to wszystko mnożyła przez pięć, podawała na czarnej poduszce ciszy, dźwięk i dźwięk i dźwięk, eksponaty dla ucha. Wiatr zliżał mi pot ze skóry; nie zdawałem sobie sprawy, że spocilem się, śpiąc. Znowu śnił mi się koszmar podziemny. Skoro ludzie warują, gdy żywcem pod płytą nagrobną zakopani, cóż rzec o nieszczęśniku unieruchomionym na wieki pod płytą kontynentu? Pomyślałem o papierosie i wtedy uderzyła pierwsza błyskawica. Jak więc? obudziły mnie były wystrzały karabinowe - czy ów suchy trzask piorunów? Sto trzydzieści jeden, sto trzydzieści dwa, sto trzydzieści trzy... nad Zimnym Nikołajewskiem przetoczył się grom. Powiało elektryczną wilgocią. Otworzyłem usta i łyknąłem to powietrze burzą letnią naciągnięte, cierpki koktajl ozonowy, *parfum de Tesla*. Drugi grom - lunęło. Deszcz nie musiał zacinać, sama Wieża ułożyła się podeń, wychylona w tył. Stałem tam, póki burza nie obmyła mnie dokładnie. Usiadłem następnie na środku pustej podłogi zimnazowej i gapiłem się na strugi dżdżu rozchlapujące cienie w cieniach; z kształtu ich rozprysków zgadywałem fazy Młotów. Powietrze schłodziło jeszcze bardziej. Rozciągnąłem się na wznak na zimnej stali. To było... przyjemne.

Gromy przeciągłe kołysały nocą.

- Lodu - szeptałem. - Lodu!

Rano zaszedł do mnie pryszczaty pomocnik sekretarza i powiedział, że pan premier nie znajdzie dla mnie czasu przed obiadem, a najpewniej i do wieczora; mam siedzieć i czekać. Wyszedłem do Nikołajewska.

Słońce powróciło w całej swej glorii królewskiej, w szatach złotych i biało-lazurowych, nakryło Syberję płaszczem światła. Kałuże, roziskrzzone gęsto po trawie i szybko schnącym błocie, kłuły mnie w oko złośliwymi zajęczkami. Wyszedłem z cienia Krzywej Wieży i dopiero przypomniałem sobie o kapeluszu. Podbiegł do mnie pies, obwąchał, wystawił jęzor, zadyszał przyjaźnie. Ktoś gwizdał na niego uporczywie spod gęstwiny podpór, lin, powikłanych rusztowań zimnazowych i całej tej inżynieryjnej prowizorki, jaką Ziejcow i jego pomagierzy uratowali Wieżę Siódmej Godziny przed zawałem w rozmiękczoney grunt. Teraz gnieździła się tu z setka bezdomnych, pod pałatkami płóciennymi i koślawymi konstrukcjami z blach zimnazowych. Gotowali właśnie wodę w czajnikach i bieda-samowarach, szedł zapach chińskiej herbaty, a wraz z nim - szklane pobrzękiwania, modlitwy ciche. Starzy Ormianie chwalili Pana pod zmartwychwstałym Słońcem.

Ścieżkami krętymi między budami i ruinami Zimnego Nikołajewska wędrowali Kitajce, sprzedający i kupujący w handlu wymiennym dobra wszelakie, przyczem największy obrót mieli ze śmierdzących maści na gnus oraz z jedzenia podlej jakości; widziałem, jak bezzębna babuszka kupiła za złotą plombę pół sabaki niezbyt tłustej. Być może ci biedacy spod Wieży bali się, że chcący-niechcący uprowadzę im obiad.

Kilka rodzin, które urządziły się pod złamaną w pół ścianą hali przemysłowej, założyło obok ogródek, próbowali wyhodować tam ziemniaki i kapustę. Ktoś zawsze stał na straży z kijem i nożem. Wymieniłem uprzejmości z postawnym wartownikiem w surducie i binoklach. Przed Odwilżą był kancelistą sądowym przy Prokuratorze Izby Karnej, z pensją roczną czterystu osiemdziesięciu rubli. Skarżył się, że Mongołowie ukradli mu ostatnią perukę.

Na Godzinie Dziesiątej familja Małorosów trzymała w klatkach trzy dzikie ptaki nieznanego gatunku. Obrzucali się przez gruzowisko wyzwiskami i kamykami z dziewczętami uratowanymi z Instytutu imienia Cesarzowej Maryji; panny ponoć próbowały w nocy ukraść jednego z tych ptaków.

Na Godzinie Jedenastej, za dawną chołodnicą studzienną Żylcewa (pozostało zapadlisko bagienne), klan wychudzonych na śmierć Tunguzów wypasał dwa swoje renifery oraz ponad dwadzieścia koni będących własnością SSzS. Rząd Tymczasowy płacił im za usługi solą i mąką. Zwątpiłem tu w rozeznanie polityczne pana Pocięgły i spółników jego. Osobliwa to bowiem metoda stanowienia państwowości: pół kontynentu wielkiego pod władzę biorą i planują stanąć naprzeciw potęg światowych - a nie przyznają się do swoich własnych obywateli pod oknami im koczujących, handlując z nimi jak sąsiad z sąsiadem.

Na Godzinie Pierwszej, na kupie rumoszu po Wieży, pod pałatką krzywą i taflą marostiekła przyjmował pacjentów niemiecki doktor. Rumiana zakonnica w czarnym habicie kierowała doń chorych w cień ruiny, jednego na raz. Kolejka ciągnęła się chyba aż do następnej Wieży. Większość tych ludzi rzeczywiście wyglądała na ofiary chorób zakaźnych, zapewne z tego właśnie powodu uszli z Irkucka. Pocięgło powinien zaprowadzić tu prawa kwarantanny, inaczej Zimny Nikołajewsk padnie ofiarą tych samych epidemij, co Irkuck.

Idąc wzdłuż kręgu zegarowego, przyglądałem się nieszczęśnikom; nikt tu nie odwracał wzroku pod sępią ciekawością, wstydem zdjęty. Ci głośno kaszlący i rzeżący bliżsi jeszcze byli życia - gorsza z owymi milczącymi, nieruchomymi, co z zamkniętymi oczyma spoczywają na słońcu, w słońcu palącym obwinięci w kozuchy i szuby. Najsmutniejszy widok prezentowały oczywiście dzieci, chuchra blade o błyszczących oczkach, trzęsione fewrą

zimną, zagapione obojętnie w przestrzeń. Każdy miesiąc, każdy tydzień Ottiepieli mógłbym przeliczyć na cierpienie i życie dzieciaków niewinnych. Pewne rodzaje niesprawiedliwości - pewne rodzaje zła - są pod Lodem niemożliwe. Nie miał racji *Herr Blutfeld*, świat rozumnie uporządkowany dążył będzie do stanu najmniejszej krzywdy; to przeciwko entropji walczy wszystko, co żyje.

Zaciekawiło mnie, czy Niemiec pobiera od nich jakieś opłaty. Przychodzili z pustymi rękami, nie mieli nic. Być może Państwo zaczyna się tak: od struktur spontanicznej pomocy. Kilku młokosów zawiązało sobie nad łokciami białe chusty i roznosili tu wodę, pilnowali kolejności, ustalali z zakonnica hierarchję chorób. Doktor, zakonnica, ochotnicy - Pocięło winien czem prędzej wziąć ich pod sztandary SSzS.

W dwóch trzecich kolejki dojrzałem znajome oblicze, rudą brzydotę kostropatą, której nie sposób zapomnieć. *Mijnheer Iertheim* siedział na dziurawej beczce; gryząc ustnik pękniętej fajki i oganiając się od gnusu, czytał artykuł na przedartej wkos płachcie gazety. Jego bekiesza, ongiś biała, teraz nosiła na sobie barwy błota, trawy, spalenizny i Bóg wie jakich nieczystości.

Podszedłem. Gazetę wydrukowano farbą tak podłej jakości, że litery co do jednej rozmazały się w smugi-uchy liter, już na wpół zdmuchnięte z papieru. Holender garbił się, mrużył oczy.

- Co tam w polityce? Chińczyki trzymają się mocno?

Nie poznał mnie.

- Osobiście obstawiam Japońców - mruknął. - Ci przynajmniej nie biją się między sobą.

- Panie Henryku, Słońce pana oślepia.

Wstał.

- Zaraz... Nie. - Nachylił się nade mną, zajrzał mi w twarz. - Juroczkin?

- Jaki Juroczkin! To ja, Gierosławski!

Szarpnął się w tył, potknął o beczkę, padł w błoto; wiatr porwał gazetę.

Podąłem mu rękę.

- Benedykt, panie inżynierze, Benedykt. Niech pan się nie boi.

Usiedliśmy na tej beczce, Iertheim wyciągnął chustę brudną, wytarł w nią dłonie, wysiąkał nos. Zauważyłem, że oczy lśnią mu wilgocią świeżą - rozczulił się na samo

spotkanie osoby znajomej, też go musiał los doświadczyć mocno ostatnimi czasy. Spostrzegłem również plamy ćimieczy pod oczami i oćmiatę lutowczykową na jego włosach i brodzie skołtunionej, na kołnierzu i rękawach. Na lewym rękawie miał zaschniętą krew.

- Co się stało? Jest pan ranny?

- Nie, nie. - Zatrąbił raz jeszcze i schował chustę. - Zabili mi gosposię i chłopaka, musiałem uciekać z Irkucka.

- Kto?

- A, leninowcy, Centrosibir'.

- Cóż pan ma do leninowców?

- Nic! A bo to trzeba co mieć? - Zazgrzytał zębami. - Wpadniesz jakiej bandzie w oko, to przepadło.

- No to czemu...? - Machnąłem ku Pierwszej Godzinie.

Wyjął fajkę z ust. Dłonie nadal drżały mu lekko.

- Boję się, że to teraz ruszy lawiną. Jak już puści Lód - trach! Rozpadnę się, rozsypię - odwrócił wzrok - rozkleję.

Złapałem go za rękę.

- Jaką miał pan ostatnią diagnozę?

- Chodziłem do Trójcy Świątej w Irkucku. Doktor mówił, że nie posuwa się naprzód. Ale, panie Benedyckie - przyciągnął mnie, chuchnął mi prędkim szeptem prosto do ucha podartego - ale straciłem moje dynamo, zostało w mieszkaniu w mieście, nie Mroziłem się od tygodnia prawie!

- Zbudował pan sobie ten ręczny gienerator teslektryczny.

- Tak! Jak pan mi powiedział! I dobrze szło ponad rok, miałem tyle Zimy, ile mi było trzeba. Aż... - Puścił mnie. - Czuję, że to się już zaczyna. - Położył dłoń na bekieszy ściśniętej ciasno na brzuchu. - Zaczęło się.

Przytknąłem chłodne okucie laski do skroni. Łodu, Łodu!

- Złap pan za to.

- Co?

- Trzymaj pan. Zakręcę. Trochę nieporęcznie, ale...

Obracałem ómieczometrem, aż rozpędziło się małe dynamo w środku.

Inżynier Iertheim marszczył brwi krzaczaste.

- To nie jest -

- Nie, to tylko mierzy różnicę potencjałów. - Odczytałem wskazanie na skali. - Pięćdziesiąt sześć ciem, mhm. - Złapałem sam za koniec kiwadła, zakręciłem znowu. - Trzydzieści jeden.

- To nie nasza miara.

- Nie, to Nikoli Tesli. - Podrapałem się w zarosi po odjętych palcach. - Khm. Coś mi się wydaje, że tak nie ustalimy krzywej bazowej. Izwinitie.

Poprosiłem dwie matrony, następne w kolejce. Już wcześniej przyglądały się nam, zaciekawione.

Im ómieczometr pokazał jednakowo: po 301 ciem.

- Poziomy się już prawie wyrównały. Półtora roku, to wystarczyło.

- Djabelska Odwilż... - mamrotał z głębi brody inżynier.

Podniosłem się.

- Odwilż niczego nie zmienia, panie Henryku. Technologia jest technologia. Człowiek potrzebuje Lodu, człowiek robi Lód. Chodź pan.

- Dokąd niby?

Pokazałem laską na Krzywą Wieżę, z której powybijanych okien powiewały zielono-białe flagi.

- Obecnie rezyduję u sztatskich. Gość Pierwszego Ministra. Czyja to była siedziba, francuskich kompanij? Nie wierzę, że nie znajdziemy materiału na małą pływnicę tungetytową dla pana. No! Głowa do góry!

- A to aby na pewno bezpieczne?

- Postara się pan nie podpaść tej bandzie, co?

Sztatscy pilnujący schodów puścili nas bez mrugnięcia; na tych na górze musiałem nakrzyczeć i nazwiskiem Pocięgły ich postraszyć. Zostawiłem Iertheima u siebie w pokoju,

zakazując mu na razie wychodzić. Złapałem pierwszego Kitajca, co się nawinął, i posłałem go po gorącą wodę i posiłek świeży; oczywiście udawał, że nic nie rozumie, jak oni wszyscy po Odwilży - trzeba było pokazywać na migi.

Następnie poszedłem posoroczyć po Wieży na własną rękę, zaglądając po kolei do przeważnie bezludnych pomieszczeń, i tym sposobem trzy kondygnacje niżej trafiłem do redakcji „Nowej Syberyjskiej Gazety”. Gdzie pan Jeż Wólka-Wólkiewicz przygotowywał właśnie do druku nowy numer. Nagarbiony nad klekoczącą mu pod palcami maszyną do pisania, kopał czarny tytuń i nucił pod nosem skoczną piosnkę. Nad biurkiem zwiślało z pochyłej ściany oprawione zdjęcie Porfirego Pociągły w wojskowym szynelu, z karabinem pod pachą, na śniegu.

Poznałem redaktora po borsuczym profilu z siwym wąsikiem. Przyglądałem mu się z progu kilka minut, aż wszedł ktoś bocznymi drzwiami i spytał, czego chce; redaktor Wólkiewicz obejrzał się przez ramię, prychnął dymem i wrócił do pisania. Wyszedłem bez słowa.

Po południu, kiedy inżynier Iertheim majsterkował w kącie nad walizą złomu, który-m mu nazbierał, a ja siedziałem w oknie, żując machorkę i oganiając się od nieznośnej meszki, do drzwi zapukał Ziejcow.

- Mówi, że się panowie znacie... - zaczął, wsunawszy do środka głowę. Ale zaraz odepchnął go i wpadł do środka sam redaktor Wólkiewicz. Z ramionami chudemi szeroko otwartymi, rozserdeczniony gorąco popędził mi na powitanie wzwyż podłogi, mało się nie wywróciwszy na rozciągniętym przez Iertheima drucie.

- No jakże! Pan Benedykt! Że też nie poznałem! Dopiero! Jakem usłyszał! Uff! Co za niespodzianka! Radosna! Radosna! - I nuże mnie obściskiwać.

Odsunąłem go spokojnie.

- A mówiłem im! - ciągnął, bynajmniej nie zdeprimowany. - Nie chcieli wierzyć, mówiłem: wyjdzie pan Benedykt i z tej opresji, nie złapali ojca, nie złapią syna. Tylko pan Wielicki był jeszcze podobny optymistą, że -

- Co z Wielickimi?

- A-a, nie wiem, nie byłem w Irkucku od Odwilży. Zabrałem się z naszym wodzem. - Puścił do mnie oko i wskazał kciukiem na sufit. - Wielki Polak, wielki Syberyjczyk. Panie Jeżu, mówi do mnie, nic po naszych trjumfach, jeśli nikt w ogóle nie pozna, że takie oto



państwo nowe na Syberji istnieje. Czego potrzebujemy? Potrzebujemy gazety, gazety popularnej, w nakładzie wielkim do ludu trafiającej. No to jak? Stałem! Panie Porfiry - tu pan Jez puknął się starczą pięścią w pierś starczą - na redaktora Wólkę-Wólkiewicza możesz pan liczyć!

- Więc już nie Piłsudski.

- O Piłsudskim też będzie, nie ma strachu. Ale ten numer -

- A to jest tygodnik? dziennik?

- A czytał pan w ogóle? O! Czekaj pan! - I popędził w dół do drzwi.

Splunąłem za okno, zerknąłem pytająco na Ziejcowa. Rosjanin wzruszył ramionami. Starłem sobie meszkę z twarzy, rozgniotłem owady na dłoni. Ziejcow odkorkował flaszkę samogonu. Pokręciłem przecząco głową. Wrócił Wólkiewicz. Wręczył mi niepomięty egzemplarz „Gazety”.

- Po rosyjsku cała - mruknąłem.

- Dla Syberyjczyków! Musi być po rosyjsku, większość tu zna właśnie rosyjski. Znaczit, większość nie zna, ale, pojmujecie, z tych piśmiennych... - Przysiadł na futrynie obok, zasapany.

Przekartkowałem. Pierwsze cztery szpalty wypełniały różne podniosłe deklaracje ablastniczieskie i apele polityczne, dalej szły wieści ze świata, głównie doniesienia z frontów wojen Wschodu i Zachodu, nie bardziej precyzyjne od plotek przez Ziejcowa powtarzanych, tyle że podane w języku udatnie naśladowującym czynowniczy; a potem już zupełny misz-masz: przepisy rolnicze dla „nowych osadników wiosny”, recepty z *Syberyjskiego almanachu gastronomicznego* (czarna polewka na krwi jeleniej, zupa z cebulek saranowych, sałaty z chwastów, kasza z głogiem), chiński horoskop, karykatura Mikołaja II zagubionego na rozdrożu Europy, z portkami do kostek opuszczonemi, niewyraźne zdjęcie przedstawiające (jeśli wierzyć podpisowi) Władywostocką Rzeź, dwa wiersze o przyrodzie Syberji i trzy kawałki prozy, w tym fragment biografii Wacława Sieroszewskiego pióra Teodora Lewery.

- Cóż jemu się stało? Lewera i Sieroszewski są przecie konkurencja zajadła.

- Ale to przedtem, panie Benedyckie, to przed Odwilżą.

Otóż Wacław Sieroszewski, który był piłsudczyk zaprzysięgły, skoro tylko Józef Piłsudski zabrał swoich japończyków nad Wisłę, bić się o Polskę rozmrożoną, porzucił pióro

na rzecz karabinu i wstąpił do Legionów. Poczem poległ w pierwszej potyczce podleśnej, rykoszetem jakimś fatalnym trafion, żonę burjacką i dzieci bez męża-ojca pozostawiając. Tym samym Lewera pozbył się swej Nemezis i ducha prześladowczego literatury syberyjskiej.

I co następnie zrobił? Zabrał się za pisanie hagiografii Wacława Sieroszewskiego!

- Widać nie byli aż tacy wrogowie - podsumował historję pan Jeź.

- Sieroszewski pewnie Lewery nawet nie zauważał - mruknąłem - ale Lewera cierpiał prawdziwą obsesję Wacława Sieroszewskiego. - Przeczytałem kilka akapitów biografji. - Nie widzi pan tego, co? Rozmazuje się obraz jedynoprawdy wyjętej z Lodu - złożyłem gazetę - jak ten druk rozżęcniony.

Wólkiewicz zmieszał się. Prędko wszakże pokrył konfuzję kolejnym ruchem energicznym i mową podnieconą.

- A teraz, a ten numer, pan zobaczy - wyjął spod pachy tekę grubą - będzie o naszym panu premierze. O! Mam już wywiady z jego starymi przyjaciółmi, ze współpracownikami, mam jego cenzurę gimnazjalną, fotografię z bierzmowania, co prawda, niezbyt, mhm... I z Towarzystwa Metalurgicznego i Górniczego Kossowskiego i Boulangiera. I z początku powstania. I wcześniej, z Hongkongu...

Miał także to zdjęcie, które wczoraj pokazał mi pan Porfiry, oraz kilka podobnych, w tym samym czasie i miejscu zrobionych. Christine Pocięgło osłaniała się od tropikalnego blasku kapeluszem ugiętym; doktor Tesla położył dłonie w białych rękawiczkach na ramionach Christine i Porfirego, nachylając się ku małemu Andrzejkowi; kocur pasiasty wspiał się na ławkę i ułożył na podolku Christine, sięgając łapką do dziecka. Zmrużywszy oko, studjowałem fotografie pod światło niskiego Słońca.

- Był pan tam u nich w Makao?

- Ha, towarzyszyłem panu Pocięgle podczas rozmów w Hongkongu, zabrał mnie -

- Więc jak się to odbyło na ślubie? Musiało wyjść oficjalnie, kim właściwie jest dla Christine Nikola Tesla.

- Sam się tym interesowałem. - Stary redaktor czem prędzej chwycił się tematu. - Słyszałem plotki, a jakże, ale człowiek Morgana Juniora, podpiwszy sobie na przyjęciu, opowiadał inną jeszcze historję. Zna pan to może, panie Benedyckie? W pewnym okresie, w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, doktor Tesla stanowił główną atrakcję nowojorskich salonów, ciesząc się przyjaźnią wysokich osobistości, Teodora Roosevelta,

Marka Twaina, Rudyarda Kiplinga, naszego Ignacego Paderewskiego, Augusta Saint-Gaudensa czy Johna Muira.

- A, wiem, to opowiadał mi.

- I między innymi wszedł Tesla w bliską zażyłość z dobrze umocowanym w tamtejszej *high society* małżeństwem Johnsonów, Robertem i Katharine. Katharine była już wówczas dojrzałą kobietą, miała dwoje dorastających dzieci. Ha, ale irlandzka krew nie stygnie aż do śmierci.

...Romansowali przez lata, panie Benedykcie. Dziwny to był romans, jak dziwni w nim kochanek i kochanka. On tygodniami potrafił nie opuszczać swego laboratorium, żywiąc się tylko piorunami i idejami fantastycznymi; pisywał do niej epistoły długie. Ona swatała go z kobietami z towarzystwa, nierzadko inne mężatki podsuwając. Nie bardzo też kryła się z tym przed swoim mężem; a sam doktor Tesla pozostawał z *mister* Johnsonem w serdecznych stosunkach.

Strzyknąłem przez zęby śliną czarną.

- Christine zatem to córka Tesli z tą panią Johnson?

- Nie, raczej nie. Robertowa Johnson nazbyt już była posuniętą w latach. Według człowieka Morgana inna plotka wówczas krążyła: że to któryś z tych romansów zaaranżowanych przez Katharine zaowocował dzieckiem nieślubnym, a Katharine, jako „czarna matka chrzestna” *sui generis*, wzięła je pod swoją opiekę, dając mu dom i wykształcenie, gdy serbski gienjusz przemierzał świat od jednego księżycowego przedsięwzięcia do drugiego.

- Ale dlaczego „Filipov”?

- Ano, tak Tesla nazywał Johnsonów. Wzięło się to bodaj od jakiegoś poematu o serbskim bohaterze narodowym. I potem Katharine to już zawsze była dla Tesli „pani Filipov”. Też się zresztą z tym specjalnie nie kryli, tak ją opowiadał w towarzystwie. Sam pan wie, że nasz doktor nie jest zdolnym do żadnych podobnych intryg między ludźmi, co innego w całości zaprzęta jego głowę.

- Więc jednak córka... Przyznała to sama?

- Ależ skąd! Zaprzecza gorąco! Są zresztą i inne plotki... *Alors, il n'y a que la vérité qui blesse.*

Spojrzałem ostro na Wólkiewicza. Uciekł wzrokiem.

Opuściłem oko z powrotem na fotografię z Makao.

- Sztoż, nie dziwota, że nie da się wyciągnąć z niej jedynoprawdy przeszłości: żyje tuż obok bijącego nieprzerwanie Wielkiego Młota Ćmieczy. Mhm. Ładny dzieciak.

Półprawdziwy, półfałszywy wnuk Nikoli Tesli poczęty i urodzony pod tym Młotem, Andrzej Pocięgło: *l'Enfant de l'Été*. Dziwny dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie krzywym. Wpatrywałem się w tę bladą plamkę niemowlęcej twarzyczki, jakbym próbował rozszyfrować oblicze mego śmiertelnego wroga, generała wrogiej armji.

- Ale! - Pan Jeź nie pozwolił nazbyt urosnąć milczeniu. - Zapomniałbym! Pan przecież mnie prosił, jak żeśmy się ostatni raz widzieli -

- Jak żeśmy się ostatni raz widzieli, panie Wólka?

Przełknął ślinę, grdyka podskoczyła mu ptasio - niemniej uśmiech serdeczny nie zszedł z oblicza gęsto pomarszczonego.

- O Fizensztajnie chciał pan wiedzieć - nie? No więc wywiedziałem się na ten przykład o historję jego rodzinną. Znał pan to? Że w Wielkim Pożarze Irkucka stracił wszystkich, ale to wszystkich, całą familję niemałą: spalili się w ich domu drewnianym, co się zawalił jeden z pierwszych. Abraham Fizensztajn wtedy był na jakichś rozmowach handlowych późnonocnych, wraca, a tu dom w ogniu, i żona, dziatki, rodzice, bracia i siostry, kuzyni, wszyscy się pieką żywcem - ponoć słyhać ich było na ulicę, krzyczących. Pobiegł w ten ogień.

- Oko.

- Tak jest, wtenczas oberwał się na niego strop i żagwią jakąś czy ogniem żywym wypaliło mu oko, co to je teraz tungetytem sobie zaślepia. Wywlekli go nieprzytomnego; nikogo, rzecz jasna, nie uratował. Jak mówię, wszyscy poszli z dymem.

- W popiół i proch.

- Mhm, tak.

Plasnąłem się w policzek, rozgniatając meszkę w krwawą plamę na skórze.

- No, dziękuję bardzo, panie redaktorze, to się faktycznie może okazać przydatnem.

Rozpromienił się.

- A do usług, do usług, szczęśliwym, jeśli pomogę!

- Ale lepiej z tym nie przesadzajcie, co? Żadną wdzięcznością nie wpędzicie mnie w taki wstyd, żebym nie mógł wam zawsze w twarz powiedzieć, żeście zdrajca i gnida sprzedajna ochrony.

Wólkiewicz poderwał się, upuścił tekę i resztę papierów, zamachał rękoma, podskoczył, rozglądając się po pokoju, pierś kogucio nadymając, jakby szukał u świadków wsparcia w swojej obrazie, jeszcze zmarszczył brwi i podbródkiem bojowo w przód rzucił - poczem zmienił zupełnie strategię i zapadł się wokamgnieniu w pozę pokrzywdzonego: wzrok smutny spod opuszczonej głowy, ramiona zwieszone, ból na wargach; wyciąga dłoń w niemem pytaniu. Jakże ja tak mogłem! Cóż za nieczułość i nieuprzejmość, barbarzyństwo nagie! Wstyd, wstyd, wstyd!

- Co mnie zastanawiało - rzekłem, nie dając się wciągnąć w tę żalną komedię zebraczą - to jakim sposobem udawało się wam tak wszystkich pod Lodem zwodzić, oszukiwać i w fałszu tak dobrze żyć. Polacy dopuszczali was na posiedzenia Klubu Złamanej Kopiejki, doktor Myśliwski niczego nie podejrzewał. Ale potem odwróciłem przyczynę i skutek: właśnie dlatego ochrona do was przyszła, że byliście już w zaufaniu u ludzi ważnych. A tę skazę, tę prawdę o fatalnej skazie waszego charakteru widzieliśmy przecie jasno: bo na cóż się tak gniewaliście, z czego się brała irytacja wasza ciągła i drażliwość na ludzi? - Starłem krew z policzka. - Matematyka Charakteru jest nieubłagana, panie Wólka, godzicie się na zdradę i odtąd jesteście zdrajcą, zdrada stoi we wszystkich równaniach. Jedyne, co możecie zrobić, to przesunąć ją na stronę świata. Macie wielką pretensję, macie żal, ból i gniew i wściekłość słabo chowaną na świat, za to - żeście zdradzili przyjaciół. I nie obchodzi mnie, jaką przeszłość chwalebna sami w pamięci nosicie. Zdradziliście przyjaciół. - Wstałem, odtrąciłem jego rękę wyciągniętą. - Taka jest prawda. Zachnął się.

- Co pan...! - Zamilkł. Twarz mu załopotana w pędzie min niezgodnych, niczym Pietruchowowi albo Ciecierkiewiczowi; zatrzymała się na moment w rozpaczy czystej, ale i z niej się roztopiła. Redaktor zajęczał coś niewyraźnie. Uciekwszy oczyma na ścianę, odchrząknął i szepnął: - Nie powie pan Pocięgle...

- Zdrajca.

- Panie Benedyckie, na litość boską...

- Zdrajca.

Cofnął się o krok.

- Miejże pan serce...!

Postąpiłem za nim.

- Zdrajca.

- Co panu teraz, przecież żadnej już tu ochrony... nijak nie zaszkodzę, choćbym...

- Zdrajca.

- Zemsty, dla zemsty brudnej, tak?!

- Zdrajca.

Kolejny krok w tył i nagle gniew:

- Co pan z tym zdrajcą, jaki zdrajca, gdzie pan masz dokumenta twarde, ja nie pozwolę takich oskarżeń, co, pan to może z Ruskimi nie gadał, nie układał się, dzień od nich nie brał?! A?! Znalazł się, sędzia wszystkowiedzący, jeden bezgrzeszny!

- Zdrajca.

- Toż wszyscy musieliśmy się jakoś -

- Zdrajca.

- Jakim prawem, się pytam, jakim prawem! To tylko Bóg w niebie -

- Zdrajca.

- No, no, nie bądź taki Gierosławski!

- Zdrajca.

Krok w tył i teraz łzy:

- Wyjadę, wyjadę, jeśli pan chce, co panu po cierpieniu starca, mnie już i tak niewiele na tym padole -

- Zdrajca.

- Taka drobnostka to była, skąd mogłem wiedzieć... poprosili mnie... niczym nie chciałem krzywdy przecież -

- Zdrajca.

- Widzi pan, całe moje życie, co dobrego dla ojczyzny uczyniłem, przez lata w robocie

podziemnej się narażając, niechże chociaż pamięć między ludźmi, panie Benedyckie kochany

-

- Zdrajca.

Krok w tył -

- i poleciał w przepaść, podcięty w nogach okiennicą pustą; jeszcze się rękoma w ostatniej chwili próbował zasłon schwycić, i nawet złapał w palce mocno jedną, ale zdarła się jak bibuła, i poleciał, poleciał w przepaść pan Wólka-Wólkiewicz, w furkocie materiału miękkiego i lśnieniu przesłonecznionej zieleni. Był - nie ma go. Spadł. Spojrzałem. Sztatscy podchodzili do trupa z uniesionymi karabinami.

*Mijnheer* Iertheim wychylił się przez okno obok. Pochwyciłem, jak burczy coś pod nosem o Ismaelu. Drgnął, spostrzegłszy, że go słyszę; już otwierał usta do tłumaczeń, ale minąłem go bez słowa.

Pozbierałem z podłogi papiery rozrzucone przez redaktora; ześlizgnęły się przez pód pokoju. Ziejcow, odstawivszy flaszkę i szklanicę, podał mi kilka kartek i broszurę szarą.

- Nie trzeba było - szepnął.

- Jegom akurat nie tknął palcem.

- Stary człowiek. O litość prosił...

- Cóż poradzę? Taka prawda: zdrajca był.

Ziejcow zwiesił głowę, mruknął coś niewyraźnie i wyszedł.

Siadłem z powrotem w oknie. Skręciłem sobie papirosa grubego. Te palce, które mi pozostały, były bardzo pewne, spokojne. Sztatscy odciągnęli już zwłoki redaktora pod Wieżę. Zionąłem dymem na muszki i komary przekłete. Czerwone Słońce chowało się za ruinami Wieży Dziewiątej Godziny. Piskliwe nawoływania kitajskich handlarzy niosły się o tej porze wyjątkowo donośnie, świat się rozrzedził w wieczornem uspokojeniu. Oparłem potylicę na okiennicy. Z olejnych barw nieba i Słońca ściekała we mnie melancholja tłusta, zawieszona. Ale jaki sens żałować, że prawda jest, jaka jest? Jaki sens rozważać warjanty przeszłości nieistniejącej? (Kto pragnie posiąść wiedzę o samym sobie, pragnie śmierci). Trzeba się z tego otrząsnąć! Tyle wyrzutów sumienia, ile entropji.

Wyprostowałem kręgosłup krzywy, przycisnąłem kolanem do futryny plik pomieszanych papierów Wólkiewicza. Wysunęła się zmiędzy nich ta broszura obskurna, o dwakroć

mniejszym formacie. Stanisław Brzozowski, *Wybór pism*. Na trzeciej stronie odręczna dedykacja, datowana na rok 1908: *Dla JWW - obyś nigdy nie zapomniał pierwszych przysiąg*. Parsknąłem dymem. A to dobre! Sztama między zdrajcami! Ciekawym, jakież to były ich „pierwsze przysięgi”? Na co przysięgają zdrajcy? - na Kłamstwo? na Tajtelbaumowy język pusty?

Przerzuciłem strony. Przyszłość marksizmu, potęga filozofji rewolucyjnej. Brzozowski przynajmniej zdawał się rozumieć Historję. *Gdy się czyta pisarzy filozoficznych z epoki przedkantowskiej, czy to Kartezjusza, czy Leibniza, czy mistyka Boehmego lub Spinozę, uderza tu brak historycznej atmosfery. Człowiek styka się bezpośrednio z Bogiem, przyrodą itd., tak jak gdyby myśl rozwijała się w jakiejś pozadziejowej próżni. Świat jest zły albo świat jest dobry. Tak stoi kwestja.*

Tymczasem - *gdy dziki Jakuta mrze z głodu, winien jest nie tylko brak ryb w rzece lub mróz; winną jest także ta pierwotność produkcji, która stanowi podstawę jego życia. Świat jest zawsze dla człowieka tym, co uczynił on z niego i co zaniedbał uczynić. Człowiek robi Historję, nie Historja robi człowieka. To znaczy, owszem: Historja robi człowieka, o ile człowiek jej na to pozwoli, o ile nie rozpozna jej jako siły podległej jego sile i nie uczyni użytku z tej świadomości i władzy. Inaczej, jak za czasów Greków o Kole Dziejów śniących czy Kartezjusza kreślącego absolutne współrzędne wszechświata - pozostaje nam, z pokornie opuszczoną głową, poddać się Historji w żywiole dzikim płynącej, w żywioł nas porywającej.*

A cóż takiego możemy zmienić w świecie, żeby unieważnić jedne formy Historji i uruchomić inne? Ano, postęp naukowy, postęp cywilizacyjny, on zmienia wszystko, bo pod żadnym czarem Historji nie wejdą ludzie na uniwersytetach kształceni, pociągami przez kontynenty jeżdżący, każdego dnia w radjo i gazetach dostający wieści z tuzinów różnych kultur i pracujący w fabrykach i biurach elektrycznych - nie wejdą wtem w stosunki niewolnicze jak z Egiptu faraonów, nie przyjmą za swoje obyczaje życia plemiennego z epok przedpiśmiennych. *Stosunki pomiędzy człowiekiem a światem zależą od jego własnych organów fizjologicznych i od tych organów sztucznych, tj. narzędzi, jakie wytworzył. Ponieważ w ciągu rozwoju dziejowego ludzkości człowiek nie pozyskał nowych organów, wszystkie jego postępy zamknięte byłyby w granicach przez fizjologiczną organizację jego zakreślonych, gdyby nie nieustannie rewolucjonizujący wpływ wynalazków i udoskonaleń technicznych. A na końcu tego procesu jest - co? awtamaticzieskije czierwjaki Mikołaja Fiodorowa? Nie można dodać sobie nowych organów i nowych zmysłów, ale można dodać narzędzia owe funkcje spełniające.*



Albowiem w Historji posuwa się naprzód nie nagi człowiek, lecz człowiek plus nauka.

Meszka wleciała mi w usta; splunąłem. Ba, ale tych czierwjaków to pewnie w ogóle bym nie poczuł, choćby mi w oko masą włożyły... Maszyny widoczne dopiero pod mikroskopem, maszyny wielkości bakcyliuszów. Abraham Fiszensztajn marzący o wskrzeszeniu bliskich z prochu rozniesionego przez wiatr w powietrze, wodę i ziemię, on jest może szaleniec, ale to właśnie tacy szaleńcy przyczyniają się do kielznania Historji. Przecież zniszczenie wizji Fiodorowa domknie również wielki plan marksistów: ludzie potrafiący się w dowolne konfiguracje ciała i bezciała odtworzyć, wbrew śmierci, wbrew czasowi i przestrzeni, oni posiadają tym samym całkowitą władzę nad Historją. „Historja” stanie się po prostu inną nazwą dla działań człowieka swobodnie wedle swej woli ugniatającego świat i siebie w świecie. Człowiek żyć będzie w Historji jak dziś żyje w Przyrodzie. *Trzeba było zrozumieć, że nawet przyrodę, w jakiej żyje człowiek, przyrodę pojmowaną jako teren działalności ludzkiej, sam on wytwarza, aby móc postawić inne pytanie: jaki cel mają dzieje, co ludzkość ma uczynić z siebie?*

Znowu ta „ludzkość”. Strzeliłem petem pod Słońce. Dlaczego Brzozowski nie potrafi pojąć, że w Lecie nigdy nie nastąpi zgoda nawet co do najogólniejszych celów i przeznaczeń ludzkości? Zdałoby się oprowadzić tych filozofów po jednym i drugim prawdyboju marcynowców czy innych sekciarzy religijnych, poznaliby różnicę między światem idei zimnych i gorącą materją entropji poddaną. *Nie świat to rozstrzygać ma, czym ma być ludzkość, lecz ludzkość sama stanowi, co ma uczynić z siebie i ze świata.* Ba! Ale rozstrzygnij tu cokolwiek, gdy Lód pękł i Prawda rozlazła się w szwach.

Pod Lodem - to owszem. Opuściłem powiekę, karmin wieczorny zalukrował ją szczelnie na oku żywym. Pod Lodem - owszem, ale właściwie jak by to miało wyglądać w praktyce? Spróbowałem ułożyć sobie w głowie obraz logiczny i zaraz powróciło wspomnienie snów wieszczych Pobiedonoscewa. Kto bowiem rządziłby tak Historją - jeden człowiek czy grupa jakaś ekspertów, bez znaczenia, przyjmijmy więc, że jeden - stanowiłby w całym Królestwie Ciemności nie tylko zasady własti, zasady prawa i gospodarki, ale także oczywistości wszelkie moralne i religijne i estetyczne nawet: one tak samo składają się na tkanę żywą Historji. Inne jest dobro i zło plemienia Mojżeszowego przez pustynię wędrującego, a inne - Imperjum Wszechrosyjskiego. Bo czy zmienił się tymczasem Bóg? Nie. To oni przesunęli się w Historji.

Władca Królestwa Ciemności dzierżyłby w dłoni swojej ową wajchę Dobra i Zła, którą

Ziejcow kazał panie Jelenie przestawiać kurs Ekspresu Transsyberyjskiego. Otworzyłem oko, zamknąłem oko, otworzyłem oko - wajcha w lewo, wajcha w prawo.

Lecz w praktyce oczywiście nie ma tak łatwo. Jak bowiem objąć władzę nad ideją? *Duch ludzki narzuca prawa światu poprzez dłoń. Myśl, nie pozostająca w żadnym stosunku z ręką, jest czczym mamidłem.* To tylko za czasu lutyh roili sobie ci i owi (a ja chwilami dawałem im wiarę), że starczy nagiąć do swojej woli Ojca Mroza, pasterza mroźników, a one już zamrożą nam Historję wedle wskazanego przepisu. Ale nadeszła Odwilż i prysnęła bajka. *Dopóki bowiem nie mamy żadnego bezpośredniego oddziaływania idejowości na świat, całe znaczenie idej polegać będzie na znaczeniu ich dla sił wytwórczych ludzkości.*

Potałem zrosłami pobliznowemi po zaroście spod skóry kielkującym, szczotka druciana szurnęła mi po mózgu, skry krzesząc. Bo tu przecież Brzozowski nie do końca ma rację - przecież właśnie Odwilż, właśnie rozpuszczenie Historji nagłe wedle reguły Bierdiajewowej - ono nie inaczej zostało spowodowane, jak przez bezpośredni wpływ ze świata idej: wszak Nikola Tesla nie uderzył swoim Młotem w gabinety ministerjalne i parlamenty światowe, nie w materję bił -

- Mam! - zakrzyknął inżynier Iertheim.

- Mrozi?

- Czekaj pan, wplasałem tungetyt w polu elektromagnetycznym, zaraz zobaczymy. Ale kręci się gładko i mam świecienie na uzwojeniu!

*Rozumiem, iż dla ludzi, których cała praca fizyczna polega na pisaniu, przykrą i trudną do zrozumienia jest myśl, że piękno nawet dramatów Szekspira lub dzieł Platona nie ma żadnego znaczenia wobec brutalnej i ślepej materji, i że wskutek tego pożądane byłoby wykryć jakiś tajemniczy związek pomiędzy wartością moralną, estetyczną - a żywiołem. Póki jednak jedynym takim związkiem jest posłuszeństwo, jakie jest w stanie nakazać dłoń ludzka siłom przyrody, póty wszelkie przewyciężenia marksizmu nadawać się będą do tej samej kolekcji, w jakiej mieszczą się dzieła alchemików i astrologów.*

- *Oh, Mijn God, Ijs, Ijs!* - śpiewał Holender, kręcąc koślawym bębniem zimnazowym. Szron biały rósł mu na dłoni i oćmiata smolna skakała po abrysie przysadzistej sylwety czarnofizyka.

*Jedyną konsekwentną próbą przewyciężenia marksizmu jest magja.*

Jakby mnie samego piorun zimny przez mózg i kręgosłup strzelił - poderwałem się,

strącając papiery redaktorskie, połowa poleciała za okno. Lód! Sam tak Iertheimowi rzekłem: Odwilż niczego nie zmienia, technologia jest technologia. Człowiek potrzebuje Lodu, człowiek robi Lód! Człowiek robi Lód! Człowiek robi Historję!

Otóż właśnie znamy bezpośrednie oddziaływanie idei na świat! Otóż właśnie to jest związek żywiołu z wartością moralną, estetyczną, jako i z wszelką inną: czarna fizyka!

- Chce pan może, panie Benedykcie?

- Nie, nie potrzebuję. - Odetchnąłem. - Tylko niech pan z tym nie przesadzi. I lepiej nie opuszcza pokoju. Muszę iść.

- A jak będą pytać o żurnalistę?

- Cóż wtedy? Powie pan prawdę.

Porfiry Pocięgło, usadowiony przy stole pośrodku słonecznego zwierciadła dachu, spożywał kolację w towarzystwie brodatego księdza; mogolski cyrulik równocześnie doglądał pod stołem złamanej nogi Pierwszego Ministra, świeże maście w nią wcierając, świeżymi bandażami ją obwijając. Oczekałem na schodach, aż zejda obaj, cyrulik i ksiądz. Słońce tymczasem do reszty skryło swój ciężki łeb, tylko jego grzywa oranżowo-purpurowo-złota pozostała na niebie, rozczesana na pół horyzontu. Zamarł zupełnie ruch powietrza i gnus szalał, kąsając wszystko, co żywe i ciepłe. Chińscy służący rozstawili wokół stołu Pocięgły sześć kadzielnic, dymem przeciw komarom obficie rzygających. Gnus syberyjski wściekły potrafi wszakże i ogień zagasić, popiołem owadzim go zasypując.

- Czuje się niczym na audiencji u Szulca-Zimowego.

- Siadaj pan. Głodny?

Miał mleko ciepłe i konfiturę z wiśni i chleb miękki w miarę, a także kilka czar pełnych rozmaitych kitajskich przysmaków warzywnych.

- Kawa?

- A proszę. - Podsunął puszkę.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio kawę - mmm -

- Waśnie, nie opowiedział mi pan przecież. Gdzież to się pan podziewał przez te wszystkie lata?

- Na Drogach Mamutów.

- Szukał pan fatra?

Wciągałem w nozdrza woń ostrą, cynamonową.

- Mmm, znalazłem, znalazłem. Na Drogach Mamutów, panie Porfiry, w Podziemnym Świecie.

Nie zmienił wyrazu twarzy.

- I co z fatrem?

- Odwilż.

- Ach tak. Mówił pan, że nie żyje. Bardzo mi przykro.

Podniosłem wzrok.

- Nie mamy o czym gadać, skoro bierze mnie pan za warjata.

Roześmiał się. Pękło.

- Dobrze, dobrze, panie Benedyckie, jak za dawnych czasów! Już się pan nastroszył!

- Albo jeśli nie ma pan przekonania do mojej prawdy. - Wypiłem resztę filizanki, odstawiłem fajans, złożyłem puste dłonie symetrycznie na blacie. Patrzyłem prosto na Pociągę, trajektorje spojrzeń niczym od *équerre* i cyrkla pociągnięte. - Czy ja mówię prawdę? Panie Porfiry! Pana słowo. Czy ja jestem prawda?

Światło czerwone grzęzło w gęstym dymie, chwila się ślimaczyła. Czekałem. Oko - jego oczy.

- Dawaj - zachrypiał.

- Zakładamy kompanję przemysłu zimnazowego. Gierosławski, Pociągło, pewnie i trzecia osoba ze względów finansowych; o tym za chwilę.

- Nie ma przemysłu zimnazowego.

- Toteż skoro ją założymy, będzie to monopol.

- Nie ma przemysłu zimnazowego, nie ma lutyh, nie ma chłodnic, nie ma jak rud przemrażać. Skończyło się.

- Ja zaczynam. Mam technologję produkcji zimnaza, trzeba do tego tylko tungetytu i energii elektrycznej. - Uderzyłem otwartą dłonią w blat. - Panie Porfiry! Czy ja jestem prawda?

Bawił się czarnymi okularami.

- Tak.

- Zakładamy kompanję.

- Dlaczego ja? Mógł pan z tym do innych pójść.

- Pan ma ludzi, pan ma siłę militarną i ziemie tungetytowe w zasięgu. Bo to po pierwsze: natychmiast musi pan pchnąć wojsko sztafskie, żeby zajęło i zabezpieczyło terytorjum za Ostatnią Izotermą. Nastąpiła Odwilż, lecz przecież tungetyt nie roztopił się i nie zniknął cudownym sposobem z powierzchni Ziemi; co najwyżej siadł trochu w błocie. Pamięta pan szacunki geologów Sibirchożeta? Dziewięćdziesiąt procent zasobów tungetytu pozostawało niedostępnych dla ludzi. Ale teraz nie ma już Ostatniej Izoterm, nie ma Zimy! A skoro sekret mojej technologii wyjdzie na jaw, to właśnie wielkość zapasów tungetytu będzie o wszystkim decydować. Pośle pan wojska, ustawi kordon, kula W łeb za przemyt.

Założył smolne szkła.

- Pan tam był.

- Zawędrowałem od Kieżmy.

- I co pan widział?

- Góry tungetytu, panie Porfiry, góry tungetytu.

Góry tungetytu, krajobrazy przeorane przez czarne lodowce, roztrzaskane maczugą gwiezdą, przyrodę zniszczoną doszczętnie pod mrozem nieludzkim, ściętą w kryształ lodowy i potem z tego kryształu sproszkowaną do śniegu szarego, do piasku od piasku drobniejszego, że w samym sercu bywczego Kraju Lutych pozostały na doskonale płaskiej równinie z życia wyczyszczonej - tylko te głazy gigantyczne, coraz gęściej i gęściej zasadzone, kształtami dziwnymi, fantazyjnymi ku niebu sięgające... Weźmij w garść ów piasek, dmuchnij przez palce - zostanie miał tungetytowy. Po tungetycie depczesz, w cieniu tungetytu śpisz, tungetytem oddychasz, Słońce wschodzi i zachodzi w aureoli na tungetycie rozpiętej... Podczas burzy atramentowe pioruny skaczą wokół między masywami Czarnego Labiryntu i Mróz pędzi falą jak ściana szklana... Wtedy, tam - można dotknąć, posmakować, połknąć Prawdę...

Wypuściłem powietrze.

- I widziałem między nimi innych wędrowców - podjąłem - może tylko z ciekawości tam

zabłądzili - a może to już zwiadowcy byli - Cesarstwa Japonji? Harrimana? tego drugiego generała z Kaukazu, co wypowiedział Romanowom homagialną? Kto zawładnie owemi ziemiami, posiadzie największy majątek świata. Ten chaos polityczny nie utrzyma się wiecznie. Trzeba chwycić okazję, póki czas.

- Taak... - Pocięło szarpnął głową w lewo, w prawo; magma purpurowa przelewała mu się na okularach. - Pan najwyraźniej zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, do czego mnie zapraszasz. Sam bym się na drzewie powiesił za taką zdradę idei, za które zginęły pod moim rozkazem setki ludzi dobrych. Żeby się teraz tu wzbogacił! To taki ja człowiek dla was jestem? - Nachylił się nad stołem, na ile noga sztywno wyprostowana mu pozwalała. - Taki człowiek?

Smarowałem sobie pastą warzywną grubego butersznytka.

- Nie. Pan jesteście państwowiec szczerzy i dla pana mam ja w tym interesie Państwo. - Siorbnałem jeszcze kawy. - Dla pana, dla pana mam Historję.

- Od nowa ta sama bajka! Po Lodzie -

- I cóż z tego, że Historja rozmarzła? Cóż z tego, że roztopił się Lód? Tsss! - uniosłem nóż masłowy pod dym i światło krwawe - ja mówię! Cóż z tego, że Odwilż? To i tak był żywioł, Lód, panie Porfiry, spadł na nas niczym dopust Boży: ani go rozumieliśmy, ani potrafiliśmy nim zakręcić na naszą korzyść. Jaką podstawę w metodach praktycznych miały te wszystkie rozważania o rządzeniu Historją przez człowieka? Jeden przesąd marcynowy o Ojcu Mrozie! Nawet zimnazo dobywaliśmy sposobem myśliwych i koczowników, niczym łup z doskoku potworowi magicznemu wykradany.

- Pan ma technologję.

- Ja mam technologję, nu, nie w etom dieło. Zimnazo sprzedamy lub nie sprzedamy, zrobimy na nim fortunę lub nie zrobimy - znaczyt, zrobimy, zrobimy, ale to drobiazg, nie na nim ideja główna, nie dlatego pan wejdiesz w tę spółkę. - Spalaszowałem kanapkę, odkroiłem kromkę drugą. - Mhm. Bo ja nie mówię jeno o kolejnej kompanji zimnazowej. Mówię o pierwszym towarzystwie przemysłu Historji. Mówię o produkowaniu Państw i spekulowaniu kursami Dobra i Zła. Ja wam obliczę i zamrozę Sajedinionnyje Sztaty Sibiri, przed którymi klękną wszystkie imperja świata.

...Cóż z tego, że Historja rozmarzła? Cóż z tego, że roztopił się Lód? Skoro mamy tungetyt i znamy mechanizmy czarnej fizyki - niech pan sam pomyśli. - Oblizałem palec z

konfitury słodkiej. - Po pierwsze, powiadam, zbierzemy cały pozostały tungetyt. Ale nie po to, żeby go na rynek rzucać, na pieniądź szybki wymieniać. Owszem, trochę go przeznaczymy na potrzeby technologii produkcji zimnaza. Ale przede wszystkim... Niech pan pomyśli: Nikola Tesla bije swoim Młotem w niszczycielskim rezonansie ćmieczy i tak rozbił Łód, rozbił okowy Historji. Lecz my będziemy mieć tysiąc, milion, miliard razy więcej tungetytu! Będziemy mieć wszystko, co trzeba: tungetyt, energję i wiedzę, to jest mapy Dróg Mamutów, i mnie, który po nich w ciele chodziłem, a także Bajkał, który jest dziś prawdziwym akumulatorem tungetytu - a ja znam i jego ujście przez Drogi. Panie Porfiry! Od czego ruszył Łód? Od czego zamarzła Historja? - Grzmotnąłem pięścią w stół, znowu jakieś naczynie spadło i potoczyło się w przepaść; żaden z nas nie odwrócił wzroku. - Od uderzenia! Przez zamianę w masie tungetytowej energji kinetycznej i cieplnej w teslektrykę, od której w geologicznych falach poszła z Syberji na glob cały logika dwuwartościowa i ten jej porządek biblijny, wymrażający entropję aż do Lodu. Że wszystkie prawa materji ćmieczą nabiegłej stały się bliższe prawom idej, w tym prawa rządzące człowiekiem, w tym Historja. Ale nie był to żaden cud boski: weź pan karatowy młoteczek tungetytowy, uderz - też poczujesz Mróz. Czego więc trzeba? Masy tungetytowej odpowiednio dużej, energji do przepuszczenia w ćmiecz czystą oraz wiedzy naukowej, jak to wszystko wykonać. A potem, gdy już będziemy mieli rozstawiony na Drogach Mamutów cały system tych Arcymłotów, wystarczy obliczyć stosowne sekwencje uderzeń: tu więcej Lodu, tam mniej, tu popuścić Historję, tam przytrzymać... Petersburg - Moskwa - Kijów - Krym - Odwilż do Dniepru - Japonja - Wiosna Ludów - Rosja pod Lodem. Dzieje potoczą się wedle najzimniejszej mechaniki idej, od Prawdy do Prawdy.

- A obliczy to - kto? pan?

- Czyż nie mówiłem, że jestem Matematykiem Historji? - Otarłem usta chustą. - Sajedinionnyje Szaty Sibiri będą najpotężniejszym, najdostatniejszym, najspokojniejszym państwem na Ziemi.

- Nie musi mi pan aż tak -

- Pan nie pojmuje. To nie jest obiecanka polityczna, czcza przechwałka. Zwycięzą, ponieważ nie będą mogły nie zwyciężyć. Taka będzie konieczność historyczna. Kto pokona prawo natury? Kto sprzeciwi się grawitacji? Równie dobrze mogliby się buntować przeciwko tyranji prawa Pitagorasa czy jedynowładzy algebry.

Pocięło błysnął swoją papierośnicą, podziękowałem, zapaliłem.

- A pan będzie pilnował kursu Lodu. - Porfiry stukał rytmicznie portcygarem w blat. - Pan będzie wykreślał Historję świata.

Dmuchałem, dym do dymu. Słońce zaszło, krew zalała Syberję, zgasły na zimnazowym dachu Krzywej Wieży symfonje światła, siedzieliśmy w gęstniejących cieniach.

- *Je suis le Mathématicien de l'Histoire* - powtórzyłem.

Również zapalił. Czy widział jeszcze przez czarne okulary? Czemuś nie chciał ich zdjąć.

- Apoliteja - mruknął.

- Mhm?

- Pan to już wtedy zaplanował?

- Jakże mogłem zaplanować?

- Nie wiem. Z Teslą? - Stukał papierośnicą coraz szybciej. - Gdyby on wpierw Lodu nie rozbił, nikt nie mógłby się do tego tungetytu dostać.

- To pan jest od spisków wielkich, nie ja.

- Taa, pan tylko obliczasz Historję świata - rzucił z przekąsem. Zaciągnął się głęboko. - Potęga Państwa za cenę rezygnacji z Państwa.

- Ale pan nie jest Piłsudski, pan ma na widoku szczęśliwość ludzi tysiąca narodów. Cóż Państwo? - narzędzie toporne Historji, prędzej czy później człowiek i tak by je porzucił.

- Myślę. - Tuk, tuk, tuk, tuk. - Pan chce kierować tą spółką, prawda?

- Pięćdziesiąt procent plus jeden głos. Za to pan będzie premierem, prezydentem, kim pan-

- Skoro pan tak obliczy. - Tuk, tuk, tuk, tuk. - Daję ziemię i ludzi do zagarnięcia tungetytu. Pan daje wiedzę, przyznaję, to kluczowa tu rzecz. Jeśli -

- Jak pan stoi finansowo?

- Ja? Czy moje Państwo?

Machnąłem papierosem po linji zgruzowanych Wież.

- Cofnęliśmy się tutaj do wymiany towarowej, rubel padł, nie istnieje żadna gospodarka, żaden ruch handlowy poza granice Sztatów idący. Potrzebujemy jakiegoś umocowania w silnej walucie. Kiedy już pójdzie produkcja zimnaza, będziemy mogli finansować budowę



sieci Arcymłotów z zysków, ale żeby w ogóle ruszyć z miejsca, potrzebujemy kapitału zewnętrznego. Czas, panie Porfiry, ma wielkie znaczenie. Nie oszukujmy się: jeśli ja tego pod Lodem Historji nie ustawię, puszczony w żywioł Lata nijak nie obronisz swoich Sztatów przed Imperjum Rosyjskim i Japonją. Jaka armję wystawisz przeciwko armjom Hirohito? Łaciate pułki tych bradiagów niedożywionych? Muszę nas zamrozić, zanim stare mocarstwa podejda nam do gardła. Należy czem prędzej ściągnąć maszyny, materiały, inżynierów sprawnych. Kapitał potrzebny jest od zaraz.

- Na początek rzucimy więc trochę czystego tungetytu na rynek amerykański.

- Nie, nie, nie! Nie wolno nam tego robić! Musi pan patrzeć na dziesięć, dwadzieścia ruchów w przód. Przecież gdy tylko wykuję na świat mój Lód, w stolicach innych potęg spostrzegą się, co się dzieje, i przedsięwzją środki zaradcze.

- Postawią swoje Młoty i Arcymłoty.

- Nie inaczej.

Pocięło zaśmiało się niepewnie.

- Pan mówisz o wojnie historjozoficznej, o jakichś globalnych bitwach filozofów idei, Matematyków Historji.

- Na Młoty Ćmiatła sobie gwizdę, byle fizyk z oscylatorem poradzi sobie z ustawieniem fal przeciwnych w fazie. Ale Grossmłoty Rosji, Japonji, Stanów Zjednoczonych Ameryki, Wielkiej Brytanji, Niemiec, Francji czy Austro-Węgier - one mogą mi namieszać w równaniach. Jeśli proporcja mocy będzie jak dziewięć do jednego na moją korzyść, to powinienem sobie poradzić bez prabliemy, zresztą oni na pewno nie przyjmą jednej zgodnej strategii. Ale im więcej tungetytu poza naszą kontrolą, tem bardziej skomplikowana Algorytmika Dziejów. Możesz być pan pewien, że w kilka lat skupią do swoich arsenałów cały tungetyt z wolnego rynku i rąk prywatnych. Car pewnie po prostu go znacjonalizuje. Nie sprzedajemy ani grama!

- Jakie wyjście zatem? Wprowadzić do spółki kogoś jeszcze? - Skrzywił się. - Ale komu moglibyśmy tu zawierzyć na tyle, by przypuścić go do najgłębszych sekretów firmy z gwarancją, że nie zdradzi ich z lojalności do swojego państwa, nacji, familji? Mowa przecież o kompanji przemysłowej *de facto* władającej krajem, ba, żeby tylko krajem...

- Nic nowego pod Słońcem, Kompanje Wschodnioindyjskie dwa wieki połową Azji rządziły. A człowiek, proszę: Abraham Fiszensztajn. Muszę tylko się wywiedzieć, czy w

ogóle żyje.

- Żyje. - Pocięło strzepnął popiół do pustej filiżanki. - Siedzi w Irkucku.

- Nie uciekł? Ale chyba nie popłajtował w krachu odwilżowym?

- Fiszensztajn? Wpierw Szwajcarja musiałaby splajtować. Nie, Fiszensztajn ma układ z Pobiedonoscewem i Centrosibirju, zdaje się, że nawet zarabia na Odwilży: wykupuje za grosze ziemię dla jakichś papierowych firm zarejestrowanych w Hongkongu, Makao czy nawet w Nowym Jorku. - Pan Pocięło zassał dym z peta i uśmiechnął się złośliwie. - Planowałem mu to wszystko zabrać jedną ustawą, Stany Zjednoczone Syberji nie podpisywały żadnych umów międzypaństwowych.

- Opowie mu pan tę anegdotę na rocznicę ufundowania naszego towarzystwa akcyjnego. Ma pan kontakt z Irkuckiem? Trzeba posłać po Fiszensztajna.

- Ale dlaczego on, panie Benedykcie?

- Bo on także wejdzie w to dla idei.

- Państwa Syberyjskiego? Władzy nad Historją? Wątpię.

- Dla idei zwycięstwa nad Apokalipsą, dla idei zmartwychwstania powszechnego. - Przeciągnęłem się na krześle, kości krzywe nie chciały się ułożyć na swoich miejscach. - Abraham Fiszensztajn jest fiodorowiec zagorzały, zrobi wszystko, byle przyczynić się do postępu nauki wskrzeszania.

Pocięło rozłożył pytająco ręce.

- A my do Fiodorowa mamy - co?

- Po pierwsze, wykroimy z zysków pokaźny procent na badania technologii wskrzeszeńczych. Ale, przede wszystkim, po wtóre: ja tak obliczę Historję, coby jak najszybciej ziściły się wizje Mikołaja Fiodorowa. Fiszensztajn dostanie gwarancję, że - może nie za jego życia, ale - tak, wszyscy jego bliscy powstaną ciałem z martwych. To znaczy: na pewno za jego życia, bo oczywiście on powstanie z martwych również. Powita ich w domu, żywych, nieśmiertelnych.

Pan Porfiry obrócił na mnie czarne szkła, zamarł na długo w porządku Słońca i gnomonu, gwiazdy i sekstansu. Nad Zimnym Nikołajewskiem podniósł się tymczasem wietrzyk wieczorny, dym z koszy stalowych kładł się na boki, przepływając między nami ponad stołem; lecz to były jedyne zakłócenia.

- I on weźmie od pana taką gwarancję.

Siadłem prosto.

- Panie Porfiry! Czy ja jestem prawda?

Wyrzucił niedopałek, zdjął okulary. Oczy miał zaczerwienione, od tego dymu zapewne.

- To mnie właśnie w największą trwogę pcha - szepnął - że pan wszystkie te rzeczy masz pod prawdą absolutną.

Wyciągnąłem doń rękę.

- Spółka.

Poprawił nogę sztywną, pochylił się, uściśnął moją dłoń kaleką.

- Spółka.

Uderzyłem się pięścią w pierś.

- Zamarzło!

On przeżegnał się tylko.

- Dobrze. - Dolałem sobie i wypilem duszkiem resztę kawy chłodnej. - Mam już jednego człowieka na stanowisko, inżyniera Henryka Iertheima, on robił ze mną u Kruppa; lepiej wprowadzonych w czarną fizykę nie znajdziesz.

Pocięło machnął obojętnie.

- Pana sprawa, kogo najmujesz. Wiem, że się znasz.

- Jak pan pośle ludzi do Irkucka po Fizensztajna, niech się rozejrzą za innymi niedobitkami przemysłu zimnazowego. Zresztą, zaraz sporządzę listę. Kiedy wyjeżdżają?

Wyjął zegarek.

- Kwadrans przed północą najwcześniej. Oddział nad Podkamienną Tunguzkę pójdzie jutro, muszę ściągnąć ludzi, większość stoi nad rzekami i wedle Transsibu.

- Ziejcow wam do czegoś potrzebny? Wezmę go tu na podręcznego.

Pan Porfiry ponownie machnął przyzwalająco.

- Musimy też pomyśleć o formule prawnej - ciągnąłem. - Kodeks gospodarczy Stanów Syberji dopiero się napisze, ale tymczasem trzeba zamrozić rzecz na papierze. Znaczą, jak się już dogadamy z Fizensztajnem. Ma pan tu jakichś kumatych kauzyperdów?

- Pan jesteś pewien, że tego nie planowałeś?

- Mhm? A co takiego znalazł pan w pamięci?

- Och, Ünala Tayyiba Fessara na przykład. Miał przecie co do pana słusność zupełną. Pan się wtedy zapierałeś gwałtownie. A na czym stało?

- To były kłamstwa, tam w Ekspresie Transsyberyjskim w Lecie - to wszystko były kłamstwa.

- Albo z Wielickim na schodach po wyjściu z Klubu Złamanej Kopiejki. Pan jest kapitalista przecie, panie Benedykcie, przedsiębiorca z krwi i ducha.

- Kłamstwa, kłamstwa.

- Ale pan je właśnie prawdą uczyniłeś. - Uśmiechnął się, trochę drwiąco, trochę pobłaźliwie. - Żadnych planów, skądże. Nie wierzy w przyszłość. Coś pan mówił? Przyszłość nie istnieje.

- Przyszłość nie istnieje - powtórzyłem wolno. - Mogę z niej zrobić, co tylko zechcę. - Zacisnąłem półpięść. - Wszystkie moje plany sprzed Odwilży roztopiły się na błoto. Ulepiłem sobie potem nowe marzenia. Ale jeśli pan ma wyobrażenie jakiejś makiawelicznej konspiracji... Ja jedynie oddzielam prawdę od kłamstwa.

Zakaszłał, wypluwając dym.

- Wiem, czytałem pańską *Apoliteję*. To nie jest plan w rozumieniu moich spisków kulawych... Raczej jakby ze wszystkich stron, z przodu i z tyłu i z boków-

- Z przyszłości i przeszłości -

- Układały się do pana -

- Domarzały.

- Ludzie, zdarzenia, konieczności.

- Szron na szybie.

- Co?

- Jak szron na szybie.

- Tak. - Przełknął ślinę. - Pewne rzeczy pamiętam, pewne rzeczy sobie dopowiadam. Pan mówisz: Abraham Fiszensztajn - po to, żeby złapać kapitał założycielski od człowieka, którego kupimy razem z duszą za Fiodorową ideję wszechwskrzeszenia. A ja mówię: Historia

zrobiona pod Fiodorowa - po to, żebyś pan mógł wskrzesić swojego fatra. O, pannę Jelenę może też. - Oparł się kłykciami na stole, nacelował na mnie nos jastrzębi i oczy głębokie, ciemne. - Teraz mi pan powiedz: czy ja jestem prawda?

Wskazałem palcem niedoprostowanym tuleję leżącą po prawicy Pociągły, za kubkiem i cukiernicą.

- Co pan tam ma?

Otrząsnął się.

- Ach, Nikola mi podarował. Cobym wiedział, kiedy pora mi podnieść powstanie.

- Niech pan spojrzy.

Wzruszył ramionami.

- Lato.

Wstałem.

- Kiedy interferograf na powrót pokaże dwa światła, wtedy mnie pan zapyta o moje plany na przyszłość dowolnie odległą, a ja panu odpowiem. Dobranoc, współniku.

Gdy odszedłem, zaraz zbliżył się do Pociągły sekretarz i kitajskij sługa. Pan Porfiry siedział nieruchomo, oni obskakiwali go dookoła. Dymy obramowały ten obraz, gwiazdy przykryły go z góry, od dołu miał zwierciadlane odbicie nocy. Pociągło siedział w półzwrócony ku Zimmemu Nikołajewsku, z łokciem niepewnie wpartym między zastawę, drugą ręką zwieszoną, z marynarką brzydtko sfałdowaną na plecach i karku, koszulą białą do serca rozpiętą; cienie gliniaste zalepiły mu oczodoły. Pomyślałem: człowiek przygnieciony.

Myśl zaraz pierzchła. Zbiegłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. I bez tego serce biło mi szybciej. Wygrałem! Udało się! Zamarzło, jak chciałem!

Pierwszego napotkanego sztafskiego malczika posłałem po Ziejcowa. Na kawałku czystej kartki zapisałem pożyczonym od Iertheima ołówkiem, za kim mają w Irkucku patrzeć ludzie Pociągły. Nie miałem lampy ani świeczki; siadłem w oknie, pisałem przy świetle gwiazd. Gnus i głosy uchodźców koczujących na zgliszczach miasta płynęły do mnie na falach ciepłego powietrza. Raz uniosłem głowę, spojrzałem na panoramę ognisk Innokientijewskiego pod jasnemi konstelacjami. Tu będzie nasza stolica, rzekłem sobie w duchu, miasto nowe, już nie pod imieniem carskiem. Tu stanie siedziba Towarzystwa Przemysłu Historji. Drogi Mamutów nie zmienią przecież przebiegu w skorupie ziemskiej.

Znowu strzelą tu pod niebo wieże wysokie; nie zmieni się jednak czarna fizyka, te same równania wyznaczą nam bezpieczne wysokości. Tylko że to już będzie miasto od początku całe zbudowane na architekturze Królestwa Ciemności, na materji przemrożonej. Naprimier, nie będziemy w ogóle ciągnąć dróg żelaznych na powierzchni gruntu i narażać się na wypadki jak na Zimnej Koleji czy Krugabajkalce - pociągniemy linje napowietrzne, na strunach zimnazowych zawieszone. A stąd, z mojego gabinetu -

Pojawił się Ziejcow. *Mijnheer* Iertheim, zaćmieczony, zasnął był w dolnym kącie, zawinawszy się w bekieszę i dywan; przycisnąłem palec do warg, nakazując Rosjaninowi ciszę. Wręczył mi kilkanaście kopert i szepnął, że to poczta, która przyszła do mnie jeszcze przed Odwilżą, przekierowana na Kruppa - Ziejcow chomikował to wszystko aż do samego końca, wyniósł z zawałonej Wieży kilka pudeł książek i dokumentów firmowych; teraz sobie przypominał, że były tam też i te listy. Podziękowałem mu szczerze. Dałem mu listę; przebiegł ją wzrokiem, mrużąc powieki. Obiecał przynieść zaraz lampę naftową. Przeczytał listę raz jeszcze. Ująłem go pod ramię i powiedziałem, że otwieram firmę wraz z premierem Pocięglą - czy chciałby dla mnie pracować? I tu mnie zaskoczył, bo pewien byłem, że ucieszy się wylewnie - a on zawahał się, przygryzł wargę i umknął mi, zanim-em w konfidencję przyjazną go schwycił. Cóż, Lato, pomyślałem sobie; już nie ten sam to człowiek. Ale Ziejcow się zreflektował, rzekł, że bardzo chętnie, uklonił się i wyszedł.

Rozdarłem pierwszą kopertę. Wezwanie prokuratorskie sprzed pięciu lat. No tak, przecież dzięki cholernemu Wólce wziąłem udział w zamachu na życie generał-gubernatora. Pod władzą Imperjum Romanowów jestem poszukiwany jako gasudarstwiennyj przestępnik z przypieczętowanym wyrokiem śmierci. Zapewne do końca życia nie dane mi będzie opuścić granic Stanów Zjednoczonych Syberji. Może pod statusem dyplomatycznym od Pocięgły...

Było tych pism czynowniczych jeszcze pół tuzina; wyrzuciłem je wszystkie. Następnie otwarłem kopertę ofrankowaną na poczcie Korony Brytyjskiej. List bez adresu zwrotnego przywędrował nad Bajkał przez Hongkong i Władywostok. Wychyliłem się ku jasnym gwiazdom Azji.

*29 października 1928,*

*Fortaleza da Guia,*

*Cidade do Santo Nome de Deus de Macau*

*Panie Benedykcie drogi mój,*

*niewdzięczność jest gorsza niż kradzież, a czas to żywioł dziki - piszę, aby rozejm zawrzeć z sumieniem zagniewanem. Zaszedłem wczoraj do starego Chińczyka, który odczytał wróżby Księgi. Kiedym ostatnio spał, to samo się mi śniło. Widzę to w morzu i w chmurach i w świeceniach w laboratorium: że nie ma Pana między żywymi. Lecz nie potrafię się pogodzić z krzywdą kolejną. Ani mi Pan wybaczy, ani da przyzwolenie. Ale napisać muszę.*

*Nie jestem człowiekiem bezdusznym, w liczby i maszyny jeno zapatrzonym, jakim to mnie często w złości Christine nazywa, a i Pan, myślę sobie, mógł taki obraz w sercu zachować. Inaczej bowiem patrzymy na innych, inaczej na siebie. Ujrzawszy w cudzem ciebie, pod cudzem nazwiskiem czyni, słowa, uczucia, których sami jesteśmy nie mniej winni, sąd wydajemy nierzadko odwrotny zupełnie; i nie z hypokryzji jakiejś zapiekłej, lecz w szczerem przekonaniu o prawdzie. Nie mówię, że tak samo byś na moim miejscu postąpił (choć zaiste - postąpiłbyś Pan tak samo). Wspominam o tym po to jedynie, ażeby zobaczył Pan teraz jasno, co mną powoduje. Ten list to nie objaśnienie; to zaledwie instrukcja do objaśnienia prowadząca: spójrz Pan w siebie, a zrozumiesz. Zamienilibyśmy się duszami - czy ktoś poznałby różnicę?*

*Dopiero w późniejszym wieku dowiadujemy się, co nas spotkało w młodości. Miałem brata, stokroć bardziej odemnie uzdolnionego, on zginął niedorostkiem jeszcze, spadłszy fatalnie z konia. Zastanawiałem się nieraz, czy z równą pasją mógłbym się rzucić w inny tor kariery, siły całe nakierowując na ten przykład na życie rodzinne i szczęście między ludźmi, na wychowanie dzieci i miłość do kobiety. Jednak to, co nas wyróżnia - mnie i Pana i innych nam podobnych - to pewne szczególne wyczulenie na Prawdę, i to na ten najwyższy jej rodzaj, nie pochodzący z badań wnętrza duchowego ani z badań życia społecznego - nie jesteśmy poetami, sędziami, politykami, lekarzami - lecz z najgłębszego porządku rzeczywistości - jesteśmy matematykami, fizykami, chemikami, odkrywcami zagadek bytu i wynalazcami metod wykorzystywania cudownej natury świata. Czyż można się odwrócić od takiej Prawdy? Któż z widzających z własnej woli wylupie sobie oczy, jako że przyszło mu żyć między milionem ślepców? To o nas pisał Platon. Te cienie - to świecienie; to światło - to ćmiałło.*

*Spodobało się Bogu przeprowadzić na świecie eksperyment pt. Nikola Tesla; eksperyment zbliża się ku końcowi. Największy dreszcz na ciebie, gdy zbiera się burza i rośnie grzmot w*

*pokładach atmosferycznych; bo uderzenie pioruna to finał nieskończenie krótki. Zawsze dotąd byłem pewien, że piorun dopiero uderzy, że właściwa kulminacja dopiero przede mną - a teraz widzę już kształt błyskawicy i słyszę przedecho gromu, od którego zadrży ziemia. Wielu z moich uprzednich przedsięwzięć nie pozwolono mi doprowadzić do końca, ludzie lub okoliczności stawali na przeszkodzie; wiele sam porzuciłem w pogoni za wspanialszymi wyzwaniem; a które mi się powiodły, te w dużej części skrupulatnie zapomniano albo przypisano innym. Ale tego nie przegram: to ja rozbiję Lód.*

*Poczuję to w sercu z pierwszym uderzeniem maszyny: zapewne zabijam tym sposobem także Pańskiego Ojca. Pan by zrobił to samo. Niech Pan powie: dlaczego? Słucham.*

*Księżyc w pełni zagląda mi przez palmy i kratę w murze starożytnym, świecąc z zachodu na gwiazdozbiórze Barana. Portugalczycy postawili mi tu straż. Na dole, w porcie czeka na mnie kuter Royal Navy. Ludzie cara rozmawiają z ludźmi lorda Curzona. J. P. Morgan zadławił się był na koniec chciwością swoją i oddał ducha Bogu; teraz syn jego, przejąwszy fortuny wszystkie, naprawia grzechy ojca, przede wszystkim mając przecież na uwadze interesy koncernów stalowych. Piszę więc ten list do Pana, jako że jutrzejszym świtem mam do nich popłynąć i rzec „tak”. Pan tego nie przeczyta, ale napisać i posłać muszę, zanim złamię dane słowo. Miał Pan od początku na sobie ten znak gniewnej desperacji, jak mój siostrzeniec, który zaparł się był zostać pięściarzem; odradzałem mu, nie posłuchał. Zginął na ringu.*

*Modłę się, żeby Bóg przynajmniej po śmierci połączył i pojednał Pana z Pańskim Ojcem.*

*Nikola*

Czy nie warto mu odpisać? Od Porfirego i tak dowie się, że żyję, ale wypadłoby przesłać słowo serdeczne. Zaraz jednak pomyślałem o mojej firmie. Ta technologia produkcji zimnaza korzystać będzie przecież z wynalazku Nikoli Tesli. Oczywiście, Sajedinionnyje Sztaty Sibiri nie mają żadnego obowiązku respektować obcych patentów. Niemniej...

Rozdarłem następną kopertę. Bronek pisał z Peru. Dostał mój list, ale odpowiedział nań najwyraźniej dopiero wtedy, gdy trafiła w jego ręce jakaś bibuła, w której wymieniano mnie jako poszukiwanego przez Imperjum mordercę politycznego. List od brata stanowił przedziwną mieszankę noworoznieconej troski, wyrzutów gorzkich i politycznych połajanek.



Jak mogłem być tak głupi! Nic nie pomogę ojcu, spiski krwawe na sanowników carskich rozpętując! Musiał się być jednak spodziewać, że list przejdzie przez ręce agentów Trzeciego Oddziału. Na koniec wspominał o swoim szczęściu rodzinnem (wziął sobie żonę z katolickiej familji niemieckich kupców, wiek temu osiadłych w Peru; teraz wykłada zasady nowoczesnej architektury na Universidad Nacional de San Agustin de Arequipa, w Białym Mieście u stóp Białego Wulkanu) i wyciągał rękę w nieśmiałym zaproszeniu. *Gdyby Cię kiedy wiatry Fortuny w te strony pchnęły.*

Czy nie warto odpisać? E, prędzej wyczyta z gazet.

Ostatnia koperta była największa, wielokroć ją gięto, łamano, zwijano, tak nieporęczne miała rozmiary. Tę schowałem sobie na spodzie pliku, bo od razu spostrzegłem na niej nazwisko Jeleny Muklanowiczówny. Kitajec przyniósł tymczasem kołpaczkową lampę naftową. Postawiłem ją na podłodze, przywiązałem szpagatem do okna. Usiadłem obok, skrzyżowawszy nogi, i otworzyłem kopertę.

W środku nie było listu, jeno kilkanaście kartonów ze szkicami ołówkowymi Jelenki. Głównie krajobrazy lodowe widziane z wysokości Przełęczy Mleka. Rozpoznałem stok północny i południowy; strumień i ruina eremu Marcyna pozostawały oczywiście niewidoczne pod lodem i śniegiem. Przez zmarzniętą tajgę pod oknami przechadzały się lute. Jeden rysunek przedstawiał budynek sanatorium pod czapami puchowemi i koronami sopli, cienie sylwetek ludzkich w oknach. Na innym jakaś postać niewyraźna, pałubowata parła przez zasy ku linii tajgi zamrożonej; wicher siekł przez szkic ukośnemi kreskami. (Wszystko to było pomięte, pomarszczone, podblakłe). Następna karta: czarne pudełko w chmurach. Następna: panie i panowie w strojach wieczorowych, siedzący przy długim stole, z ponuremi, martwymi minami. Następna: mężczyzna zamrożony. Następna: puste okno czarne. Następna: twarz w ramie.

Przysunąłem lampę jeszcze bliżej. To była panna Jelena, sporządziła swój autoportret z odbicia w wysokim lustrze owalnym. Czarne włosy luzem na ramiona puszczone, szczupła twarz, oczy chorobliwie duże, niepokojąco wyraźne pod brwiami jak węglem pociągniętymi - te brwi zostały pociągnięte węglem. Na szyji miała tę samą aksamitkę z rubinem. Po lewej stronie wisiał kształt nieforemny - fragment czyjejs sylwetki? mebla? cień w lustrze? Jakby ktoś spoglądał Jelenie przez ramię, ktoś drugi, trzeci - Jelena malująca obok Jeleny odbitej w zwierciadle - wszak malarze zazwyczaj nie oddają siebie takimi, jakimi się właśnie widzą, to znaczy malującymi obraz, na którym malują obraz, na którym malują obraz, na którym...

to zatem autoautoportret; autoportret ze znakiem cudzysłowu; obraz prawdy w wersji Tajtelbaumowej. Panna Muklanowiczówna patrzyła prosto w tremo, prawą rękę wyciągnęła poza kartę w zagadkowym geście - wskazującym? przywołującym? odpychającym? Nawet tam nie spoglądała. Co to miało znaczyć? Obróciłem szkic tak i owak, położyłem na podłodze, popatrzyłem z góry. A jednak umiała rysować! Może za bardzo to ekspresyjne, zbyt szybko i gwałtownie szkicowane - nie wymazywała złych linii, poprawiała je kolejnymi, dziesiątkami, setkami pośpiesznych kresek - ale potrafiła uchwycić obraz i nastrój obrazu. Podrapałem się w oko ślepe. Ta ręka uniesiona w bok, poza wzrok i kadr... Przypomniałem sobie. *Zagaś*. I ruch ramienia w półmrocznym atdielienju Ekspresu Transsyberyjskiego. Jelena Muklanowiczówna prawdziwsza od Jeleny Muklanowiczówny - to ona.

Z kim pojedynkowała się na prawdę i kłamstwo w Sanatorjum Lodu? Czyją krew na języczku ciepłym smakowała? Komu się opowiedziała, zanim zamarzyła na wieki?

Zamazane, pogięte, wyblakłe. Przeszłość nie istnieje - mam za to ten rysunek, przedmiot materialny obecny w chwili terażniejszej. Odkaszniałem. Nie uśmiechała się wcale, wargi zaciśnięte, nosek zadarty nieco. Bluzka z koronkami na gorsecie wysokim... jeszcze coś na krawędzi. Nie koronka. Zamazane, wyblakłe. Domyślałem się litera po literze. Podpis? Nie.

## **La Menzogna**

- *La Menzogna* - powiedziałem na głos, i inżynier Iertheim przewrócił się we śnie na drugi bok. Pod Wieżą szczekał pies, obrzucali się matierszcziną Rosjanie. W płomieniu lampy zaskwierczał gnus. - *La Menzogna*.

Jak woda, jak fala, jak piana.

Popołudniem dnia po dniu następnym wrócili z Irkucka sztatscy. Nie przywiedli z sobą Abrahama Fiszensztajna. Żyd siedział zabarykadowany ze zbrojnymi pod miastem; przysłoby do ciężkiej strzelaniny, gdyby pan premier dał rozkaz brać bankiera siłą. Było poniekąd zrozumiałem, że nie palił się on opuszczać bezpiecznego schronienia na niejasne zaproszenie od siły politycznej wrogiej siłom trzymającym obecnie władzę w Irkucku. Uradziliśmy, że napiszę do Fiszensztajna list z bardziej szczegółową propozycją, choć oczywiście nie zdradzający żadnych sekretów spółki. Sztatscy przywieźli zaufanego człeka Fiszensztajna, który dostarczy mu pismo.

Poza tym znaleźli dwóch majstrów choładnicowych i jednego klerka, co przed Odwilżą pracował tu w Zimnym Nikołajewsku w kantorze Bielkow-Żylcewa; cała trójka bez wahania przyjęła oferty pracy. Akurat taki mieliśmy czas, kiedy bezrobotni są właściwie wszyscy. Wystarczy obiecać ochronę, dach nad głową i strawę ciepłą; pieniądź to już luksus.

No i znaleźli sztatscy Saszę Pawlicza.

Jak tylko zobaczyłem jego nazwisko na liście podfajkowane, kazałem przyprowadzić go do siebie.

Wszedł przygarbiony lekko, mrużąc nieśmiało oczy za binoklami (stałem przed oknem, w słońcu). Schudł od czasów laboratorium Tesli, tracąc do reszty młodzieńczą miękkość. Zarost barwy jasnego popiołu krył jego facjatę dziobatą, co też mu na korzyść wyszło. Prócz tego wszakże - ten sam Pawlicz.

Naturalnie on mnie nie poznał.

- Sasza, szcurzy doktorze, to ja, Benedykt!

Poddreptał, zdjął binokle, zamrugał, założył binokle.

Przeszedłem w cień, otwarłem ramiona.

- Ja!

Dopiero morda mu się roześmiała!

- Żywy!

- Ano, żywy!

Wpadł mi w objęcia.

Zaraz jednak musiał znowu sprawdzić, czy widzi dobrze - odstał, wytrzeszczył oczy.

- Żywy!

- Żywy!

- Żywy!

- Żywy!

I tak dalej, przierzucaliśmy się słowem i śmiechem, podkrecając w radości jeden drugiego, aż nam tchu zbrakło.

- Ufff, nie wierzę.

- Ano, ja, ja, ja.

- A jak zapukali do nas ci zbóje z karabinami i zaczęli wypytywać, kto pracował w Obserwatorium, no, tom sobie pomyślał: koniec żywota pięknego, kulka w łeb.

- Wybacz, tak im w pośpiechu zapisałem. Ale chyba nie brali siłą?

- Jak przychodzi taka zgraja wojenna, to już człowiek nie czeka, żeby groźbę jawną rzucili, sam idzie prędko. Abo to nie wiesz, jak to dzisiaj jest? Ten rządzi, u kogo Nagant w garści.

- Nie ma prawa.

- Nie ma władzy prawdziwej. - Jeszcze raz przetarł *pince-nez*. - Znaczy się, ja teraz pracuję - gdzie? Masz tu jakiś interes ze sztatskimi?

- No, chyba że wola u ciebie inna. Czekaj, opowiem ci. Zachomikowałem conieco...

Ziejcow, miejscowy król grabieżców rewolucyjnych, zdołał mi tymczasem wynaleźć kilka biedermeierowskich mebli, na pierwszy rzut oka wcale nie uszkodzonych: biurko małe, zgrabne, krzesła o nogach kauczukiem podklejonych, szafę kancelaryjną, którą postawiliśmy za regałem, zapierając je przy ukośnej ścianie jedno za drugie, a także stół lekki. Przysznurowałem go przy oknie po prawej; jadałem pod widokiem na słoneczne ruiny przemysłu roztopionego. Ziejcow również znosił był mi naręczami papiery pozostałe po kompanjach gimnazjowych, miałem już ich pełne półki i sześć pudeł do selekcji, przewilgocone dokumenty zalegały mi na biurku i stole.

Zmiotłem je na podłogę.

- Flaszeczka, a proszę.

- Za zmartwychwstanie cudowne!

- A żebyś wiedział!

- Siup!

- Uch. I za, khk, sukces mojego Towarzystwa!

- Mamona ci teraz przyświeca, a?

Wzniosłem szklanicę ku sufitowi krzywemu.

- Pieniądze, drogi Sasza, są po to, żeby nie musieć zarabiać pieniędzy.

Siedliśmy w oknie pod niebo wcelowanem.

- W Irkucku dają za bochenek chleba klejnoty rodowe - westchnął Pawlicz.

- Nie bój się, ty też przy mnie utyjesz.

- Czyli do czego właściwie miałbym się przydać?

- Do tego, w czym biegłość największą masz: do spraw życia z lodu podnoszonego. Będiesz mi, uważasz, dyrektorem Oddziału Walki z Apokalipsą. - Dolałem sobie i jemu. - Zrealizujesz projekt Mikołaja Fiodorowa wskrzeszenia ludzkości. A przynajmniej rozpoczniesz jego realizację. Mhm?

Sasza chwycił się mocniej futryny.

- Na miłość Zbawiciela, cóż ty za przedsiębiorstwo szalone tu otwierasz?!

Opowiedziałem mu.

Przy następnej butelczynie (kukurydzianka kozacka, spaleniżną zalatująca), gdy już spuścił w przepaść oba buty i schował binokle z nosa spoconego zjeżdżające, rozczulił się Sasza i jął w głos uzalać się nade mną - co też się ze mną stało, jakich to nieszczęść straszliwych doświadczyłem, co na ciele i duszy przecierpiałem, że wyglądam, jak na kole połamany i spod kosa Śmierci wyciągnięty, i że ponurość taka sędziowska wisi nade mną cieniem kruczym - nie wróci, co przeminęło - młodość, naiwność, pochopność niewinna - biedny ty, Wieniedikt, oj, biedny!

Wystarczyło wszakże, że opowiedziałem mu o spotkaniu z ojcem.

- A więc zszedłeś ciałem na Drogi Mamutów! - Podskoczył prawie. - Jak tam jest? He? Cóżeś widział w końcu? - Beknął i złapał się za brzuch. - No, jakie to wrażenie w ogóle?

- Nieraz śniłem, że schodzę na Drogi, tak. - Kiwnąłem się wstecz i przełożyłem nogę z powrotem. - Ale, ale wydaje mi się, że tylko raz zszedłem naprawdę.

- I?

- Żadne „i”. Człowiek nie może żyć na Drogach Mamutów.

Skrzywił się kwaśno.

Zamachałem niezbornie.

- Jak opiszesz prawdę ostateczną, porządek, od którego nie może istnieć ład doskonalszy? Powiesz dwa słowa - i już go zburzysz, bo drugie słowo inne od pierwszego i wot, nastąpiła zmiana, a zatem - odstępstwo od Prawdy!

...A w świecie lutyh - nie tu, na Ziemi, gdzie i lute ulegają częściowej Odwilży i poruszają się, zmieniają, łączą i dzielą, ale w Lodzie poniżej zera Kelvina - tam żadna zmiana Prawdy nie jest możliwą. Możliwe jest tylko trwanie czystych idei.

- Czyli co?

Wyprostowałem palec wskazujący. Sasza zagapił się nań, zmarszczywszy brwi płowe. Milczenie się przedłużało. Nie poruszałem się. Nabrał powietrza.

- To - powiedziałem.

- Co?

Zmilczałem znowu. Palec. Bezruch. Monotonja lustrzanej symetrii.

Pojął chyba.

- Liod - czknał - L-l-l-liod.

Uniosłem pustą butelkę do Słońca, blask rozbełtał się na szkle grubym, przystawiłem tę lunetę do oka. Można, można upić się światłem.

- Zimno, Sasza, wlezie w ciebie niczym gorączka opjumowa. Jak mi Pierre Szocza mówił - to prawda, nigdy nie zapomnisz, nie przestaniesz tęsknić. Ale o prawdziwym zimnie mówię, o tym dotyku lutyh, którym profesor Kryspin leczył chorych, a marcynowcy Boga w nim doświadczali. Dlaczego zimownicy specjalnie wystawiają się na mróz? A? Przecież to boli, to zawsze i każdego boli. Ale zarazem przyciąga z taką siłą potężną - z kości, z trzewi, spod serca - instynktem zwierzęcym, pragnieniem wpisanem w samą naturę rzeczywistości, jak głód czy pożądanie cielesne - do Lodu. To jest najpierwszy tropizm człowieka, Sasza.

- Mróz?

- Porządek. Ład doskonały. Prawda!

Rzuciłem flaszką w Słońce. Zakreśliła krótki łuk i runęła w dół, mijając dolną krawędź Krzywej Wieży. Nie usłyszeliśmy potem brzęku, jeno przekleństwa sałdatów wystraszonych.

- Jak zwierzęta - jęknąłem. - Nie rozumiemy, nawet nie zdajemy sobie sprawy - a lgniemy do niego, przyciąga nas, wabi nieustannie. Lód! Lód! Wszędzie, zawsze, pod każdą postacią i mianem każdym, w każdej sprawie i skali: w sztukach pięknych, w architekturze, w muzyce, ale także w polityce, w religji, w formacjach prawnych, duchowych i doktrynowych, także w naukach przyrodniczych, w fizyce zwłaszcza, i w naukach dedukcyjnych - bo ten jest dobry matematyk, kto ujrzy w równaniu piękno i porządek, zanim jeszcze ujrzy Prawdę.

Gdyż są to te same rzeczy, Sasza, te same rzeczy. I twoja robota również: czego pragnął był Mikołaj Fiodorow? Odwrócenia praw rozkładu, cofnięcia tego pomieszania, tego zapomnienia w materji, które zwiemy śmiercią.

Pawlicz zasalutował dziarsko.

- Wiwat Bractwo Walki z Entropją!

Zlazłem z okna po następną flaszkę.

- A może przekąsiłbyś coś?

Sasza zajrzał sobie w pępek.

- Nie pogardzimy, nie pogardzimy.

- Zawołam Kitajców.

Przy łykowatej kaczce z ryżem i zielskim surowem wygadałem szczegóły spotkania z fatrem. Czego nie powiedziałem nikomu, to zdradziłem Saszy Pawliczowi. Chociaż przecież nie musiałem. Ale popłynęło - jak z rozdartej tętnicy, zdanie za zdaniem szczerości gęstej, krzepnącej.

Linje spojrzeń drżały nad pochyłym blatem stołu, Rosjanin uciekał i wracał nieśmiało, ja pchałem się mu bezczelnie w oczy, niechby rzekł tak albo tak, poznałbym zaraz, co Prawda.

- Mmmm - żuł długo mięso i myśl twardą - mmm, ale w końcu - udało ci się, nie? Znaczy, rozmrozić go.

- Nie wiem. - Sam dłubałem kością między zębami rozkoślawionemi. - Trudno mi tę myśl wyprzeć, że ojciec wiedział był o wszystkim. Że tak samo, jak wiedział, gdzie wyjść mi naprzeciw, tak orjentował się w polityce irkuckiej i w planach Imperatora i Tesli. On to rozumiał. - Splunąłem w chustę. - Lute... nie wiem, czy wolno rzec, iż one rozumieją cokolwiek, że są zdolne do rozumienia. Popatrz: gdyby wpierw nie został odćmieczonej, może ojciec nie dopuściłby w ogóle do Odwilży, przesuwając stosownie Lód i Historję. Jeśli istotnie miał nad mroźnikami władzę taką perswazji czy siły czy manipulacji naukowej.

...Potem jednak znowu myślę, że ta pompa Kotarbińskiego, wpakowana mi w ostatniej chwili przez Nikołą w piecyk podróżny, nie mogła przecież odćmieczyć Ojca Mroza tak skutecznie: to była pływnica na ludzi, nie na abaasowców potężnych. Mhm?

- Ale - przebiłeś mu serce.

Zachichotałem.

- Pewnie nawet nie poczuł.

Sasza podniósł oczy smutne. Wzruszyłem ramionami.

Odsunął talerz, sięgnął po grafinczik z nalewką, powąchał. Poczęstowałem go tytuniem, zwinęliśmy papierosy. Huśtałem się na tylnych nogach krzesła.

- Myślę sobie... Tam, wtedy, pod Lodem, wedle Matematyki Charakteru... To musiało tak pójść. Musiał być wiedzieć.

Paliliśmy w milczeniu.

Sasza wysikał się do nocnika, siadł z powrotem na oknie. Ja wyciągnąłem się na dole na szezłagu, nogi przez oparcie przewieszając. Rozciągnięte skroś pokoju nici spojrzeń wisiały teraz między nami cienkie i słabe niczym pajęczyna letnia.

Zajrzał do środka goniec z ponagleniem o list do Fiszensztajna; kazałem mu wrócić po zmierzchu.

Sasza obserwował z góry krzątające się po mieście uchodźców ludzkie mrówki. Zamajtał bosemi nogami i przypomniał sobie o Czyngisie Szczekielnikowie.

- Byle nie zaszedł świętego Piotra w jakim zaułku ciemnym. - Pawlicz uśmiechnął się na swój chłopięco-melancholijny sposób. - Parę razy, com go widział, zawsze miałem stracha, że go czymś uraziłem, zaraz rzuci się na mnie z piąchami.

- To był zły człowiek.

- Ale że go tak zarabali...

- Cóż poradzi zabijaka i największy przeciwko takim, co nijak zemrzeć nie chcą?

Sasza parsknął, pokręcił głową.

- Gojlemy? Trupy składane do kupy?

Nałożyłem minę poważną.

- Jest to rodzaj inżynierji czarnobiologicznej, pewna gra na entropji, jak sądzę. - Dmuchałem dymem pod sufit. - Pamiętasz, jak tłukliśmy po pijaku szkło pod Małym Młotem Ćmiatła? Czy może inaczej ci to zamarzło? Mhm? No a historia ze zmartwychwstaniem Tesli? Zanim staną się przedmiotem nauki, są takie rzeczy treścią zabobonów rozmaitych. Drogi Mamutów miały przecież swoje tętno, swoje przypyły i harmonje, zanim jeszcze doktor Tesla je policzył, zanim do rytmu pierwszy raz Młotem



uderzył. Cóż dziwnego, że postawiony niespodzianie wobec takich „cudów” jeden i drugi człek prostego umysłu w obłąd popada? „Inżynier Ciała”, ha!

...Pomyśl - jak w ogóle abasowcy chodzili po Drogach Mamutów? Jakież życie jest możliwym dla organizmu człowieka tam w skale, w lodzie? Mówiłem ci: żadne. Nie żyje on wtedy. Płynie z krwią luty. Tesla od początku miał rację: wszystko jest kwestją rezonansu, złożenia częstotliwości. Bo zmiana musi przyjść z zewnątrz: nikt nigdy samowładnie nie wydobył się z niebytu. Fale, przyływy i odpływy, Sasza, czę-sto-tli-wo-ści. Trszsz-cztr-szszsz... Przyłożysz ucho - nie, stetoskop jakiś specjalny - nie, odbiornik radiowy. Odbiornik radiowy do Dróg Mamutów podłączysz - i usłyszysz tę niewyobrażenie splątana symfonię delikatnych szeptów teslektryki, jak nocą w radio syberyjskim słyszysz także najlżejsze trzeszczenie atmosfery z drugiej strony globu - trszsz-cztr-szszsz... A każdy taki szept czarny - to mrozący się w pływach żywego helu luty; a każdy trzask - to abasowiec istniejący-nieistniejący, odbijany po Drogach od entropji do negentropji i z powrotem.

...Pojmujesz już, dlaczego szamani biją w bębny? Dlaczego oni ciągle biją, biją, biją w te bębny?

...Tak, Sasza, jesteśmy falami na powierzchni oceanu, wzorem szronu na szybie. Czy kto istnieje, czy tylko zdaje mu się, że istnieje... W Lodzie jest bytem niezniszczalnym, wiecznotrwałym - jak liczba, twierdzenie matematyczne czy sylogizm. Ale czy liczba żyje? Czy zmienia się z sekundy na sekundę? A tym jest żywot każdy: zmianą, zaprzeczeniem siebie samego sprzed chwili, to znaczy Kłamstwem. Wierzaj mi: człowiek na Drogach Mamutów nie żyje. Wraca do życia potem. Składa się do kupy, jak szkło rozbite. - Beknąłem. - A pewnie czasami wymieszają się przytem odłamki.

- Tyś też się wymieszał?

Saszę rozbawiło to niezmiernie. Podśmiewywał się dłuższą chwilę; co mu przechodziło, to spojrzał na mnie z góry i znowu w rechot gilgotliwy wpadał.

Klasnąłem.

- No już, już.

Opanował się.

- Znacznie prostsze wyjaśnienie - rzekł, z wysiłkiem przybierając ton poważny, naukowy i minę wyniosłą pana biologa - jest takie, że w miejsce prawdy pamiętasz swoje majaki z choroby hypotermicznej powstałe, z głodu, z rozpacz. Ludzie odmrożeni, wyciągnięci z lodu

po długim czasie, cofnięci od progu śmierci krjonicznej - różne dziwne historie mistyczne opowiadają. Przecież tam na ulicy irkuckiej - tak naprawdę też nie dotknąłeś lutego; nie żyłbyś z pewnością. A że pamiętasz cuda-dziwy... Czytałem ja takich relacyj mnogo. I nie marcynowców wcale; wcześniejsze znacznie. A powiadasz jeszcze, że Tunguzi truli was tam w podróży swoimi dymami nasennymi. Więc - jak ty to mówisz? - taka przeszłość ci zamarzała.

Zakręciłem dłonią z papierosem nad okiem, dym zawinął się w serpentynę piękną.

- Spałem tylko.

Milczeliśmy. Babie lato spojrzeń lekkich, niepewnych wisiało między nami w świetle wieczornem. Wyhodowany w zalanym kraterze gnus podnosił się o tej porze, szalejąc w poszukiwaniu ciepłego pożywienia. Sasza oganiał się energicznie; ja co chwila rozgniatałem owady na skórze. Człowiek się przyzwyczaja także do zapachu własnej krwi, do tej przegniłej perfumy życia.

- A! Nie mówiłeś mi, co tam u ciebie. Nie miałeś wrócić do Tomska?

- Iii, wszystko się tu urwało po secesji Szulca-Zimowego. Tomsk i Uniwersytet Tomski trzymał już car, granica szła tak wedle Obu. A że na dodatek profesor Jurkat stanął przy hrabim... Po ucieczce doktora Tesli Szulc zamknął nas w Jaszcziku na dwa miesiące.

- Że niby pomagaliście Pocięgle?

- Znaczy, nie wrzucił nas do tiumy. Pozamykał w pokojach we wschodniem skrzydle. Może zresztą nie on, tylko ten jego komisarz do nagłych poruczeń, jak mu tam -

- Urjasz. Ale przecież już w Obserwatorjum siedzieliście w areszcie, nie?

- Bo to poszło tak. - Sasza obrócił się w futrynie w moją stronę, nachylił się w dół pokoju. - Zaraz jak uciekłeś spod śledztwa, książę Błucki wyjechał z Irkucka. Usłyszeliśmy, że zbiera wojska carskie w Aleksandrowsku. Toczyły się ponoć jakieś sekretne rozmowy przez Pobiedonoscewa: książę, hrabia, Impierator, Sibirchożeto. Mieliśmy też strzelaninę w ćmietle pod Obserwatorjum, kozacy gienerał-gubernatora nas obronili, szła na nas cała armja bradiagów. Strach błady legł na wszystkich. Aż jednej nocy zjawia się pan Pocięgło, przebrany za isprawnika, z przepustką gubernatorską w rękę, i powiada, że hrabia ma na biurku gotowy rozkaz wygnania doktora Tesli. Ale, rozumiesz, takiego wygnania, żeby nikt nawet zwłok potem nie znalazł.

- No, to była kwestja czasu jeno. Sibirchożeto na pewno postawiło warunki: żadnej

Odwilży ani szantażu Odwilżą.

- Książę Błucki miał ruszyć z kozakami na Irkuck, pan Pocięgło mówił, że właśnie po Tesłę, każdego dnia szła przez miasto plotka o rychłym szturmie. I wtem wszystko się odwróciło: Nikola uciekł, a Pobiedonoscew wystąpił w jawnym sojuszu secesyjnym z hrabią, podpisali gwarancję eksterytorjalności Transsibu, choładpramyszlienniki zaś wystosowali petycję pokojową do Najjaśniejszego Pana z kontrybucją dziesięciomiljonową, a książę Błucki wycofał się na linię Obu. - Sasza zamachał, przeganiając meszkę; może zresztą był to jego gest dezorientacji zupełnej. - Pojmujesz coś z tego wszystkiego?

- Historia, kochanieńki, Historia. Gdyby nadal trzymał Lód, obliczyłbym ci to i owo - ale teraz, po Odwilży, siedem wersji na każdy fakt rodzi się co godzina, żadna prawdziwa, żadna fałszywa.

- Kto to jest?

- Mhm?

Obróciwszy się w futrynie, Sasza wskazywał papierosem na ścianę zachodnią. W gustownej oprawie po certyfikacie dobywczym, wystawionym przez Gornoje Uprawlenie dla nieistniejącej już spółki, powiesiłem tam czarno-biały autoportret panny Jeleny.

- Prawda, nie znałeś jej.

- Ach, ból sercowy!

Ale i tu nie dotknął mnie wstyd żaden.

- Tak. - Strzepnąłem popiół na zimnazo. - Źle zamrożone wspomnienie. - Zasłoniłem twarz dłonią, spojrzałem na obrazek przez dziurę po palcu. - Choćby dla tego jednego warto zawańczyć o Lód.

- Dla czego?

- Dla tej logicznej pewności uczuć. Miałem to przed oczyma od początku, to przecie jest jedna z podstaw Matematyki Charakteru, może ta najważniejsza.

Sasza poczłapał do ściany, cieniem długim po pudłach i meblach szorując, przytknął nos do obrazka, zamruczał coś niewyraźnie z papirosem na wargach.

- Co?

- Ale to rysunek z fantazji skreślony? - Przeciagnał paznokciem po załamaniach kartonu.

- Czemu?

- Nie istnieje taka dziewczyna żywa, *n'est ce pas?*.

Tymczasem osunąłem się na szezłagu do drzemki ciepłej.

- Co za różnica, Sasza, i tak mamy Odwilż... A wszak my dwaj - pomyśl... Nie znamy się wcale dobrze, nie... Bo to zanim się w ogóle z człowiekiem spotka... Pod Lodem... Przyjaciół, nieprzyjaciół, miłość, nienawiść - zanim się taką osobę widziało, zanim dla zmysłów zaistniała... Już Prawda! Więc co za różnica...? Wszystko matematyka... - Zasnąłem.

Oficjalne spotkanie fundacyjne Towarzystwa Przemysłu Historji Gierosławski, Pociągło & Fiszensztajn odbyło się sześć dni później, w samo południe, na słonecznym zwierciadle dachu Krzywej Wieży.

Pan Porfiry wznosił pierwszy toast - nie jako w spółce udziałowców większościowy (to ja byłem udziałowcem większościowym), lecz jako Pierwszy Minister Stanów Zjednoczonych Syberji. Stał na tę okazję na własne nogi, wsparł się ręką lewą na lasce. Mówił o świetlanej przyszłości SSzS, o potędze wynikającej z wyjątkowych zasobów naturalnych Syberji, o prawie narodów Syberji do korzystania z przewag im przez Boga przyznanych, pod każdą postacią i w każdej dziedzinie. Mamy dwudziesty wiek, mówił, Wielka Brytania i Niemcy czerpią swoją siłę nie z wyzysku chłopów, lecz z pracy swych przedsiębiorców, z bogactwa swych koncernów narodowych. Oto więc Pierwszy Minister daje przykład i tworzy podwaliny pod gospodarkę Stanów Syberji, fundując Towarzystwo Przemysłu Historji GPF!

Oklaski. Wstałem i ja. Słońce świeciło ostro pod chmurami burzowymi. Podniosłem kielich pełen światła.

- Albowiem sukces naszego Tawariszcziestwa związany będzie nierozłącznie z sukcesem politycznym sybirskiego projektu państwowego - tak właśnie! Nie przeżyje Tawariszcziestwo bez Sztatów i nie przetrwają Ształy bez Tawariszcziestwa! Świętując jedno, świętujemy drugie! Będziemy produkować zimnazo na sprzedaż dla każdego, ale Historji nie sprzedamy nikomu! Oto nasz przemysł narodowy, którego nie oddamy: oddając Historję, oddalibyśmy niepodległość naszą, kto bowiem z sąsiadów, jakie mocarstwo inne pozwoli nam tu przetrwać na mapach świata? Ze wszystkich dóbr wysokocennych to jest najsrożej reglamentowane: Historja.

...A przecież, moi drodzy, skoro istnieją mechanizmy obiektywne Historji i prawa rządzące następstwem Dziejów równie pewne i obliczalne, co prawa chemji, fizyki i biologji,

a te potrafimy już wyzyskać dla naszych celów i wygod, że to człowiek rządzi Naturą, a nie Natura człowiekiem - skoro istnieją takie prawa Historji, to było tylko kwestją czasu, że człowiek nie inaczej podporządkuje sobie Historję i obmyśli technologie sterowania Dziejami dla swojego komfortu i pożytku.

...Kto pierwszy przedsiębiorstwo silniki ropne produkujące założył? Kto fabrykę urządzeń elektrycznych pierwszą uruchomił? Kto fortuny na chemji nowoczesnej i taktwie maszynowem porobił? Kto bogactwa z technologii zimnazowych czerpał największe? Nic to wobec niechybnego sukcesu pierwszego Tawariszcziestwa Promysła Istorii!

Oklaski, tupanie, oklaski.

Dla większej pompy przytoczyłem jeszcze słowa markiza de Condorcet z osiemnastowiecznego *Szkiu obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje*: jak to „matematyka społeczna” sprawi, że „prawdy nauk moralnych i politycznych staną się równie pewne jak te, które składają się na system nauk przyrodniczych”, *et cetera, et cetera*. Młody żurnalista z „Nowej Syberyjskiej Gazety” notował skrupulatnie, spocony i oślepiiony. Pan premier życzył był sobie wystąpienia pod otwartą przyłbicą; no to proszę, ma.

Chociażem go przez całe dwa dni naszych negocjacyj trójstronnych usiłował odwieść od tego, zaparł się był Pocięgło na amen: albo wystąpimy jawnie przed światem jak ze zwykłym interesem czystym, albo on nie wspomże Towarzystwa ani jednym rządowym żołnierzem. Powiedziałem mu, że handel wyrzutami sumienia uprawia, że na ryzyko niepotrzebne wystawia i Towarzystwo, i Państwo swoje. Pan Porfiry pozostał tu wszakże nieugiętym.

Gdyby tak samo murował się w negocjacjach właściwych, pewnie musiałbym się obejść trzydziestoma-czterdziestoma procentami. Ale na koniec pojąłem, że on nie chciał brać w posiadanie pakietu kontrolnego GPF.

Takem rozwiązał Porfirego Pocięglę:

Państwo można sobie wywalczyć, można zbudować z niczego, można wycierpieć przez mękę stuleci, lecz kto kupuje je od Historji bezkrwawo, bezboleśnie, z negocjacyj przy stoliku i kalkulacyj zimnych - ten nie jest właścicielem tego Państwa, jeno najemcą jego chwilowym. Co zostało darowanem, może zostać odebranem. A nawet jeśli odebrać Państwa już nie ma kto - przecież pozostanie w ludzkiej pamięci łaskawego suwerena, który im Państwo sprezentował; przez pokolenia stać im będzie za plecami duch jedynowładcy, z łaski którego żyją sobie tymczasem w tej niby-niepodległości. Nie zabili cara - car pozwolił im się w Państwo zabawić.

Rozwiąawszy owo równanie, bez słowa podpisałem papier, którym obejmowałem w posiadanie 50 001 ze 100 000 imiennych akcji Towarzystwa Przemysłu Historji Gierosławski, Pociągło & Fiszensztajn, na kapitale zakładowym nominowanym w funtach brytyjskich wedle honorowego rozliczenia udziałowców. Wiedziałem: gdy tylko zamrozę Historję, Pociągło nie zawaha się mnie zabić. Pod grymasem skiereszowanej twarzy kryłem uśmiech krzywy. Bo wiedziałem i to: gdy tylko zamrozę Historję, nie zabije mnie nikt. Królobójstwo jest do pomyślenia wyłącznie w określonych kulturach i określonych formacjach historycznych. Nie o to przecież idzie, aby odegrać na ulicach teatr krwawy - powiesić, rozstrzelać, spalić, zgilotynować - lecz by doprowadzić naród do takiego stanu ducha, w którym spełni on ów dramat naturalnie, sam z siebie, bez najmniejszego smaku teatralności. A to już nie jest kwestja stryczka, gilotyny, stosu i plutonu egzekucyjnego - lecz rządzącej epoką idei. Której nie stworzy żaden mord polityczny; która jest pierwotna względem mordu i rodzi się z tego, co niewidzialne, co tylko pod Arcymłotami kształtować można.

...Wygram, ponieważ nie będę mógł przegrać.

Fiszensztajn przez całe negocjacje najmniej się odzywał. Gdy ja biłem w stół laską i darłem się na całe gardło: - Pięćdziesiąt jeden! Dla mnie! Przy mnie! Moje! Ja! Ja! - to Żyd głaskał się tylko po brodzie siwej i śledził okiem tungetytowem ślizg obłoczków lukrowych po nieboskłonie. Ożywił się, gdy omawialiśmy kwestję zaangażowania doktora Tesli. Przyznałem bowiem otwarcie, iż odkrycie moje było możliwem wyłącznie dlatego, iż zajmowałem tę wyjątkową pozycję pomiędzy czarnofizykami Zimnego Nikołajewska i laboratorjum Tesli, obznajomiony z teorjami z tej i tej strony; przyznałem nawet, że przeprowadzałem doświadczenia na patentowym sprzęcie Serba. Fiszensztajn domagał się dopuszczenia Tesli do zysków. Zależało mu nadto na udziale wynalazcy w pracach przeciwko Apokalipsie. Ponoć Nikola przeprowadzał eksperymenta wskrzeszeńcze także w Makao, pod Wielkim Młotem. Dyrektor Chawrow, który uciekł zaraz z początkiem Odwilży i podróżował teraz po krajach Orjentu, donosił, iż gazety brytyjskie w Hongkongu pisały o osobliwej „pladze trupiej” gnębiącej Makao. Z kolei pan Porfiry, z uwagi na Christine, nie chciał rzec słowa przeciwko Tesli. Przeważył jednak właśnie Młot: Tesla pozostawał związany kontraktem na zniszczenie Lodu, a wszak nasampierw GPF postawić musi Młoty niwelujące wzbudzone przez Serba niszczycielskie rezonanse pola teslektrycznego - trudno zapraszać człowieka do projektu obracającego wniwecz największy trjumpf jego życia. Sam wszelako czułem pewne wyrzuty. Konkurencję zdrową i wyścig technologiczny Nikola na pewno

zrozumie, lecz kradzież idei...? Gotów byłem oddać wobec świata należne honory starcowi; co się zaś tyczy kompensacji finansowej - możemy, naprimier, wykupić patenty na silniki bezpaliwowe Tesli, superprzewodnictwo elektryczne zimnaza stworzy tu nowe możliwości przemysłowe. Nabędziemy prawa do nich za procent zysku dla Tesli, ale i tak na tym zarobimy. Abraham Fiszensztajn kiwał głową. Skoro tylko zagwarantował sobie realizację Fiodorowowego planu wszechwskrzeszenia, nie ryzykował ostrych targów w żadnej innej sprawie.

Także teraz nie kwapił się do wygłaszania toastów. Kiedy go zgromadzeni wytupali i wyklaskali zza stołu, podzwignął się ciężko, burknął z twardym akcentem kilka słów optymizmu, poczem klapnął z powrotem w fotel. Nie podniósł się z niego do końca celebry na dachu - wyjąwszy ten jeden moment, gdy jednoreki bradiaga, wynaleziony przez redaktora Wólkę-Wólkiewicza jako fotograf „Gazety” zabrał się do ustawiania fotografii pamiątkowej. Ziejcow trzymał żagiel od wiatru i Słońca osłaniający. Stanęliśmy na tę okoliczność we trójkę przy górnej krawędzi dachu, fotograf-kaleka dyrygował nami, wpółzgięty za aparatem: a w lewo, a w prawo, a uśmiechnąć się, uśmiechnąć, panowie!

Zdawało mi się wówczas, jakbym był między właścicielami Towarzystwa jedynym prawdziwie uradowanym z jego narodzin.

Pan Porfiry spędził następne godziny na ożywionych dyskusjach z nowonarodnikami, byli też na przyjęciu posłowie od leninowców i trockistów, był ktoś z wieściami z Charbinu (poszła plotka, że cesarz Pu Ji chce wykorzystać Transsib do taktycznego przerzutu wojska poza front rebeljancki). Pod wieczór inżynier Iertheim zjawił się z człowiekiem, którego przedstawił jako bywłego zarządcę Dziurawego Pałacu; Holender znalazł go przy drodze na Usolę, sprzedającego pęcherze z wodą pitną. Zarządca, ongi wybitny metalurg, stał przede mną w łachmanach cuchnących, trzęsącymi się dłońmi ściskając czapkę, wyniszczony przez nędzę i nieszczęścia niczym Cygan wiekowy, sto zmarszczek czerstwo spieczonych poruszało się na jego obliczu na jedną myśl strachliwą. Powiedziałem, że owszem, weźmiemy go; niech mu kto da mydło i ubranie. Siedziałem wtedy jeszcze przy stole z Fiszensztajnem - złapałem pierwszą lepszą tacę lakową z przysmakami kitajskimi i wręczyłem biedakowi. Oczy zaszczyły mu łzami, zaślinił się mimowolnie; nie był to ładny widok. Spojrzałem nań z uśmiechem pogodnym. Ukłonił się. Odszedł już bardziej wyprostowany, lżejszy bez Wstydu na plecach.

- Sztuka rozdawania jałmużny - rzekłem Fiszensztajnowi - polega na zdolności do absolutnego egocentryzmu. Czemuż pan siedzi taki ponury, jak z ducha wyżęty?

Fiszensztajn wzdychnął ciężko, nagarbił grube bary pod chałatem lśniącym, odświętnym, przymrużył powieki na czerni i bieli.

- Ano, panie Gierosławski mocny, ja się cieszę, cieszę, tylko zawsze myślę ja sobie przytem tak głupio: ty się cieszysz, Fiszensztajn, ale gdybyś ty nie był Fiszensztajn, ale inny Żyd, równie pobożny i w Słowie Bożym obznajomiony, czy też byś się cieszył wtedy, a? I już cieszę się mniej, bo co cieszy jednego Fiszensztajna, to cieszy jednego Fiszensztajna, ale co radowałoby każdego Żyda na Ziemi, ba, co ja mówię!, co radowałoby każdego człowieka - taka dopiero rzecz radowałaby na pewno Pana. Zrobisz coś przeciwko bliźniemu - jego nie uradujesz, nie uradujesz więc i Pana. Ale żeby zrobić taką rzecz, która każdemu zrodzonemu z męża i niewiasty byłaby miłą... Czyś pan kiedy zrobił rzecz taką? A?

- Nasze Towarzystwo Przemysłu Historji - rzekłem, kręcąc laską machinalnie - ja wierzę szczerze, że przyniesie ono dobro dla ludzkości całej. Znaczą, Historja przeze mnie obliczona będzie Historją cywilizowaną, obłaskawioną, komfortową i łagodną. Albowiem dotąd żyliśmy w dziczy, Fiszensztajn, żyliśmy w dziczy.

Żyd kręcił masywną głową, klejnot nocy błyskał mu spod siwej grzywy godnej Izajasza i Mojżesza.

- Aj, bo widzi pan, panie Gierosławski, wszelka mądrość od Boga pochodzi. Ale wiedza - nie wszystka już od Niego jest. Drzewo wiadomości dobrego i złego, z którego jedli Rodzice, nie dlatego Bóg opowiedział niebezpiecznem, że kłamstwo ono w owocach swoich wydaje, lecz że wydaje prawdę. Człowiek idzie ku mądrości, co zawsze zdrowem się okazuje dla duszy jego, ale człowiek idący ku wiedzy - nie wie on, czy do nieba, czy do piekła zmierza. Każde działanie takie, odmieniające obraz świata i człowieka w świecie, ku nowemu poznaniu go pchające - hazard to dla duszy wielki. Czy mądrym więc jest dla żyda pobożnego poświęcać życie, by owoc kolejny z drzewa wiedzy zerwać? Nie jest to mądre. Nie jest mądre.

...A przecież świat zmienia się i bez nas, i wbrew nam; człowiek zmienia się tak czy owak; sami, żyjąc w świecie i między ludźmi, się zmieniamy. Trzydzieści lat nazad - kto o jakichś metalach lodowych myślał, kto maszyny zimnizowe projektował, komu się lute i tungetyty i ćmiatła śniły? Na Ziemi Lodu inaczej nasze wnuki żyć będą. Inaczej my żyjemy od naszych dziadów. Czy możemy stanąć przeciwko Historji jako dziełu Złego i wyprzeć się wszystkiego, co z wiedzy niebezpiecznej pochodzi? Zapewne, najdalsi od błędu są owi pastuszkowie, życie między owcami na łąkach czystych, zielonych spędzający, gdzie z



pokolenia na pokolenie nie zmienia się nic, nawet krój przyrodziewku.

...Historja ich jednak omija; Historja dzieje się poza nimi. Którzy marcynowcy mieli rację: ci, co utrzymywali, że dopiero pod prawdą Lodu Historja pędzi wedle myśli Bożej, czy też ci, co mówili, że Lód Historję zatrzymał w jej biegu naturalnym? Bo teraz myślę ja sobie w głupocie mojej, że Historji w ogóle już nie ma. Że to jest koniec, że tak się urwała, rozbiła, roztrzaskała. Nie przyjdzie Mesjasz do narodu wybranego ani nie wstaną zmarli w porządku waszego Objawienia. Czasy ostatnie już były - teraz mamy to, co przychodzi po końcu czasu, to znaczy nie rząd Historji Boga, jeno rząd Historji człowieka. Teraz Historję my robimy. Towarzystwo Przemysłu Historji Spółka Akcyjna Gierosławski, Pociągło i Fiszensztajn! A skoro i ten owoc wiedzy zerwiemy, to powstaną między żywych wszyscy zmarli - nie dlatego, by wypełnić Fiodorowową wizję chrystusowców, ale ponieważ człowiekowi tak się akurat zwidziało. Czy to będzie mądre? Czy to będzie dobre? To będzie możliwe - a zatem konieczne, panie Gierosławski. - Siorbnał czaju zimnego. - I pan mi to obliczysz.

- Ja wam to obliczę.

Zaczął kropić deszcz i przenieśliśmy się wszyscy na dół, do wnętrza Wieży. W moim pokoju Sasza Pawlicz nakręcił patefon skrzekliwy (kolejny łup Ziejcowa). Mieliśmy płyty z arjami niemieckimi i marszami wojskowymi, a także jedną z piosenkami rosyjskimi; ta grała w kółko. Kiedy tam zszedłem, jacyś ludzie tańczyli już przy świetle lampy naftowej i świeczek po meblach pochyłych rozstawionych. Rozpoznałem jednego z naszych majstrów chłodnicowych; kobiety to były ochotniczki do rządu SSzS przyklejone, tudzież żony sztatskich. Wpierw chciałem ich przegnać, ale byłem w zbyt dobrym humorze, machnąłem ręką. W pokoju obok grano w karty. Zajrzałem tam z kieliszkiem w dłoni; zaraz cofnąłem się. Rozpadało się mocniej i, gdy oddaliłem się na drugi koniec korytarza, stalowy brzęk kropel tłukących o Wieżę prawie zagłuszał skoczną melodję ludową. Maładjec w rozchełstany mundurze obściskował się tam w cieniu z piersiastą dziewczką o mongolskich rysach, sapali bardzo głośno. Perkusja dżdżu zagłuszyła także moje kroki, nie usłyszeli mnie. Stałem i przyglądałem się, alkohol cierpki sącząc. Duch nocy balu gubernatorskiego siadł mi na ramieniu, zabełtał w oku: ciało plus ciało plus ciało plus ciało... *usque ad nauseam*. Rączką pulchną gmerała mu w rozpiętych portkach. Załomotałem ćmieczeniem o ścianę i nakrzyczałem na nich, że widowisko nieprzystojne czynią. Czmychnęli, skraśniali ze wstydu.

Wróciłem do siebie. Majster gdzieś zniknął, pojawili się nowi hulajdusze; nie znałem nikogo. Odstawiłem pusty kieliszek na pudło z mapami geologicznymi, laskę cisnąłem pod

szezłag. Czekaj przecież robota, stos papierów do przejrzenia, decyzji do podjęcia, trzeba zająć Czarną Oazę, trzeba wyznaczyć granice kordonu wokół Ostatniej Izotermii, trzeba pociągnąć transport do głównych złóż tungstytu, już doradcy Pociągły się spierają: czy drogę żelazną kłaść, czy na traktach wodnych polegać; a kłopot będzie także z transportem maszyn transmutacyjnych, przemysłowych Bomb Ćmiatła i wielkich induktorów teslektrycznych do Arcymłotów. Przez Władywostok i Transsibem do Bajkała? Była propozycja druga: ponieważ pan Porfiry miał tak dobry układ z Harrimanem, najlepiej zakupić sprzęt ciężki za pośrednictwem jego agentów w Ameryce, z tamedycznych banków Fiszensztajnowych, i dostarczyć od razu przez Czukotkę, Tunelem Alaskańskim. Tak byłoby najszybciej i najbezpieczniej, pod warunkiem wszakże, iż uspokoi się zawierucha wojenna i Harriman wreszcie otworzy Tunel dla użytku, a i zbudowana zostanie Linja Północna z Nikołajewska Amurskiego. Przyczem ja w ten sposób musiałem rzecz rozegrać, aby do samego końca nie mogli ze specyfikacji zamówień wydedukować z pewnością zupełną istoty „ciepłego” procesu chłodniczego.

...Wszystko to było płynne, niedomrozone, rozpisane na zdania hypotetyczne i możliwości tęcze. Każdy warjant wymagał planu skrzytnege; papiery mnożyły się same; nic dziwnego, że czynownicy i biuraliści rozkwitają w Lecie. Pudła map, pudła bumag inkaustem bladym zakaligrafowanych... Tymczasem huczało mi we łbie, sztatscy szaleli wokół do muzyki skrzekliwej.

Miałem puste ręce. Przymknąłem oko. Piosnka zaczęła się od nowa. Ktoś mnie potracił. Pachniało wilgocią świeżą, orzeźwiająca. Podeszedłem do okna, pod półmrok wieczorny. Tańcząc na pochyłej podłodze, w naturalny sposób ściągają wszyscy ku dołowi; tu zostaje wolna przestrzeń. Deszcz szybko przemoczył mi marynarkę i koszulę. Przeciągnąłem dłonią po twarzy. Do reszty zmyło ze mnie podniecenie i cały humor dobry.

Wrócił Pawlicz.

- Musiałeś akurat u mnie tę maszynę wyjąca instalować? - mruknąłem zrzędlawie.

- *Mademoiselle* Filipov mówiła, że uwielbiasz tańce.

- Trzeba mi wreszcie wystosować w tej sprawie oficjalne *dementi*.

Pawlicz w rękach miał gustowny kuferek, kamieniami kolorowemi inkrustowany. Puścił do mnie oko i uchylił wieka. Zajrzałem. Puzdro pełne było cziernarodków.

- Skąd...?

- Słowo wyrwało się na świat już przedwczoraj. Chińczycy tam na dole wykupują teraz od ludzi tungetyt. Ta kolekcja poszła za dwie kury i dziesięć funtów ryżu.

- A tyś ją kupił...?

- Kitajcowi żona zapadła na malarję, szukał chininy, wie, że mamy tu doktora do pana premiera. Ostatnie imperjały oferował, już nie po piętnaście rubli, ale na wagę złota one teraz. A bo i samo pudełko, popatrz: kornelian, nefryt, topaz. Dynastia Song! To ile, tysiąc lat? Ponoć z łupów lorda Elgina z drugiej wojny opjumowej, z pekińskich Ogrodów Doskonałej Jasności. O! Teraz pora na takie okazje, jak kto ma dobro jakie na zbyciu czy choć pozór władzy, bogactwa prawdziwe za bezgrosz zdobyć można. Odwilż! Wszystko w ruchu!

- Ale - malarja! Trzeba by zrobić coś z tym bajorem na Dziurawym Pałacu.

Sasza stanął obok.

- Tu żeś go wyrzucił, mhm? - Udał, że wygląda w przepaść. - Brrr.

- Kto ci takich głupstw...?

- Chłopak z „Gazety”. Potem poszli na skargę do Pocięgly. Wiesz, co im odpowiedział?

- Co?

- Że zostaniesz osądzony, gdy powstaną sądy i napisze się prawo.

- A, taką ma nadzieję, w to wierzę. - Podstawiłem głowę pod deszcz wcinający, krople wkłuwały mi się w skórę grubo zbliźnioną. - Nie przy podobnych przypadkach drobnych, ale słyszałeś na pewno, jak się powiada o figurze publicznej: „osądzi go Historia”. Co to znaczy? Że nie ludzie. Że jest jakaś miara zdarzeń w na tyle wielkiej skali stosowalna, iż nie do użycia w perspektywie mniejszej niż wiek; i że te zdarzenia do owej skali przyłożone dają ocenę na tyle oczywistą, iż nie mają już wówczas wagi takie czy odwrotne uprzedzenia oceniających - miara prowadzi do jedynoprawdy z żelazną logiką. Ale - trzeba odczekać, żeby zobaczyć. Dla operacyj na skali lat, tygodni, dni - brak ścisłego aparatu myślowego. Nikt jeszcze nie napisał podręcznika Matematyki Historji. Nawet o aksjomaty się kłóć. Historia osądzi - ale nie dzisiaj, nie jutro, nie w tym roku; w Lecie zamarza to tak powoooli. Żyliśmy w żywiole mętłym, Sasza, żyliśmy między nieistniejącą przeszłością i nieistniejącą przyszłością, na ruchomych piaskach półprawd Kotarbińskiego. Chodź, poczuj ten deszcz. Ależ tu duszno!

Zataczając się, przebił się między tańczącymi inżynier Iertheim. Pod pachą miał teczkę biurową. Stał poza zasięgiem dżdzu i zamachał na nas tą teczką.

- Co tam?

- Obraz historyczny! - Rozejrzał się po pomieszczeniu w świetle migotliwym, po ścianach cieniami skaczącymi malowanych. - Gdzie by go... - Podeszedł do autoportretu Jeleny, pomacał ramę. - W Trójcy Świętej taka zastrzyki daje... - Wyjął z teczki fotografię dużą, przymierzył ją na ścianie. - Tak. Tak. Mhmm.

- Pokaż pan.

Zajrzeliśmy mu przez ramię. Zdjęcie pamiątkowe przedstawiało trójkę fundatorów Towarzystwa: pan Porfiry Pocięgło w garniturze jasnym, eleganckim, ze wstążką sztatską w klapie, nachylony ku obiektywowi, wsparty sztywno na lasce, z obliczem jakby właśnie od tego wysiłku mocno zaciętem; Abraham Fiszensztajn pod grzywą włosów siwych, z brodą jak gors biały na piersi rozpostartą, przebity na wylot pustką zimną w miejscu oka tungetytowego; ja zaś stałem pośrodku, najniższy między nimi: plama ćmiatła w kształcie człowieka, ręce i nogi jeszcze jakoś obszarzałe, ale twarz - węgiel. Za nami wisiało niebo chmurne, pod nim horyzont azjatycki, niewyraźne ruiny miasta przemysłowego.

W prawym dolnym rogu oznaczono fotografię emblematem Towarzystwa: zawijaśnemi inicjałami GPF. Sekretarze Pocięgły pewnie już obmyślają pieczęci, karty wizytowe i papeterje.

- Brakuje tylko daty - powiedziałem.

- Dwudziesty ósmy czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, Zimny Nikołajewsk. Ufundowanie pierwszego Towarzystwa Przemysłu Historji. Benedykt Gierosławski, Porfiry Pocięgło, Abraham Fiszensztajn. Czy ja zostawiłem tu u pana narzędzia...? Czekaście, przyszpilę na drucie. Mhmmm.

- Ziejcow znajdzie zaraz jakiś obraz stary, podmienimy.

Sasza pokręcił głową.

- Ziejcow zachlał się już na dzisiaj. Widziałem go z futerałem piętro niżej.

- On naprawdę uczy się skrzypiec?

- Iii tam. W jednej połówce ma baterję wódeczek rozmaitych, w drugiej - pisma liryczne, duszeszczypatielnyje. Zaszedłem go tak przedwczoraj. Siada sobie w słonku, otwiera futerał, wyjmuje książkę i flaszkę, i fiuuuu - poleciał! - Sasza nadał policzki. - Artysta!

Skrzywiłem się.

- Zarżną tę płytę.

- Zaraz, zaraz, zaradzimy.

Poszedł pomajstrować przy patefonie. Siadłem w oknie. Zapaliłbym papierosa, gdyby tak nie padało; wolałem moknąć, to było dalece przyjemniejsze. Płyta stanęła, tańczący podnieśli głośny lament; Pawlicz puścił uwerturę z bębnami i trąbami, na co zagwizdali i zatupali w proteście; zatrzymał i tę muzykę. Zaczęły się pokrzykiwania i jęki błagalne. Ktoś wyjął na Saszę Naganta, inni chwycili napaleńca wół i wynieśli na korytarz, zaraz zrobiło się luźniej, jaśniej. Spostrzegłem, iż na moim szesławu śpi gruby Burjat w czapce sztatskiej, w oficerkach ubłoconych. Westchnąłem tylko. *Mijnheer* Iertheim, kołysząc się na nogach szeroko rozstawionych niczym szyper stary w porcie, z ustami w brodzie pełnymi drutu i szpilek, przymierzał fotografię pamiątkową obok rysunku panny Muklanowiczówny. Półnagi kozak, z wytatuowanym na piersi młotem i pługiem na czerwonym krzyżu trójbelkowym, wyjął harmonijkę ustną, zagrał kozaczka. Cienie zafurkotały po ścianach i suficie krzywym. W drzwiach na dole, pomniejszonych i wygiętych w jakimś absurdalnym *tricku* perspektywy, zamajaczył Ziejcow. Zamachałem doń. Filimon Romanowicz, nachylony w marszu pod górę jakby przeciw huraganowi straszliwemu parł, zbliżał się do mnie kolejnymi wyświetleniami spod cieni i zmiędzy tańczących: piętnaście, dziesięć, pięć kroków ode mnie - figurka w koślawem pudełku rozklekotanej mozaiki blasku i ciemności. Im wyżej w geometrię chorą, tem wolniej i z większym mazołem ciągnął; ale głowy nie podnosił, zgięty wół. Na koniec zebrać musiał w sobie wszystkie siły, prawie skacząc z półprzysiadu, z rękoma w przód małpio wyciągniętymi -

Kuferek nefrytowy trafił go w żebra, Ziejcow upadł pod okno, poderwałem się, nóż zjechał mi pod stopy.

Sasza podbiegł, przydepnął ręce Ziejcowa. Krztuszający się szpilkami Holender złapał go za nogi.

Ziejcow wierzgał i pluł. Strzaskane okulary zsunęły mu się z nosa. Był pijany, ale akurat w przypadku Ziejcowa stanowi to okoliczność mocniej obciążającą. Zwinąwszy się wężowato, uwolnił lewe ramię i wskazał mnie palcem dygoczącym.

- On! On!

Pawlicz spojrzał pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

- Tak już ma. - Podniosłem nóż, przejechałem kciukiem po klindze. Ostry jak brzytwa. - Od czasu do czasu krew go zalewa i rzuca się na mnie Filimon w zamiarze morderczym; potem do nóg pada, serce sobie rozdziera, przebaczenia prosi. - Zawołałem na sztatskich, którzy stanęli w tańcu, zdumieni następnym teatrem przemocy szalonej. - Zamknijcie go gdzieś, niech dojdzie do siebie.

Powlekli go, wierzgającego, w dół pudełka pijanych linii.

- On! - rzeźił Ziejcow. - On!

Aż zniknął razem z nimi w dolnym krzywokącie.

Podąłem Saszy kuferek.

- Spasiba.

- Mpfch chmych? - spytał *mijnheer* Iertheim.

- Kto go tam wie. O redaktora-zdrajcę może. - Postukałem nożem w podbródek. - Gdzie pan to w końcu... - Spojrzałem na rysunek Jeleny. *La Menzogna*. Dlaczego Ziejcow mógł mnie w ogóle tak zaskoczyć, że do ostatniej chwili nie widziałem w nim mordercy? *La Menzogna*.

- Wypluj pan to! - Wycelowałem nóż w Holendra.

Wypluł.

- Gdzie pan ją widziałeś? - warknąłem. - W Szpitalu imienia Trójcy Świętej? Ale przyjrzyj się! No!

Otrzeźwiały prędko, obejrzał się czarnofizyk na autoportret panny Jeleny.

- No... może podobna. - Zamrugał, popatrzył z bliska. - Nie. Nie ona przecież. Tylko że te włosy. I może oczy... Nie ona, panie Benedykcie.

Wbiłem nóż w regał biblioteczny.

- Jutro z rana jadę do Irkucka.

Pawlicz zachnął się.

- Nie szalej! Nieszczęścia szukasz? Przecież powiedział, że nie ona!

- I co z tego?

Sasza w rozpaczy łupnął łbem w chiński zabytek.

- Sam żeś mówił, że nie żyje!

- Nie żyje, ale może żyje.

- Byłeś na jej grobie!

- Nie widzisz? - Zagarnąłem zamaszystym gestem wieczorny pejzaż Zimnego Nikołajewska pod deszczem. - Mamy Odwilż!

- Cóż takiego -

- Mamy Odwilż! - Wróciłem okiem do szkicu wyblakłego. Panna Jelena wskazywała ręką poza wzrok wyciągniętą na coś, co nie istniało. Nie było uśmiechu na jej wargach, żadnej ironji. *La Menzogna*. Kłamstwo prawdziwsze od prawdy. - Mamy Odwilż. Nie żyje - ale może żyje. Może żyje.

*Mijnheer Iertheim* wyplątał z brody ostatni drut.

- To nie ona.

- Nieważne.

- Zwarjował - jęknął Pawlicz.

Odwróciłem się do okna.

- Zabierz stąd gramofon, niech już idą.

Wychyliłem się na deszcz, coraz zimniejszy. Czy Pociągło ma rację? Czy ja to wszystko jakoś domarzam do siebie? Nie planowałem. A co planowałem, to się nie powiodło, obróciło na pośmiewisko planów wyrozumowanych. Przeszłość nie istnieje, przyszłość nie istnieje. Ale szron na szybie też niczego nie planuje, nie ma w kryształach lodowych żadnej myśli organizującej strukturę dookolną. A jednak układa się ona wokół niego wedle z góry zadanej konieczności - jak ten porządek przeciwentropijny molekuł metalu wychłodzonego. Ojciec, marcynowcy. Tesla, czarna fizyka, Krupp, nowa technologia zimnazowa. Piłsudski, Drogi Mamutów. Fiodorowcy, Fiszensztajn. Bieda chroniczna, bezczelni czynownicy, Ekspres Transsyberyjski, Ministerjum Zimy, Królestwo Ciemności, apoliteja, Rasputin, Towarzystwo Przemysłu Historji. Ojciec roztopiony, ojciec zmartwychwstały. Panna Jelena. A nawet tak drobne rzeczy, jak karty Wekowe czy umiejętność tańca towarzyskiego. Prawda czy fałsz? Prawda czy fałsz?

Zmyłem to z siebie.

Przed świtem, ubrawszy się już do podróży, zaszedłem do Ziejcowa. Zamknęli go na

dole, na pierwszej kondygnacji, w klitce narożnej pozbawionej okna (żeby nie mógł wyskoczyć). Przed drzwiami drzemał sztański z bierdanką na łokciu. Kazałem mu otworzyć i przynieść lampę.

Eks-katorżnik budził się powoli, przygnieciony kamiennym ciężarem katzenjammeru. W końcu usiadł na podłodze gołej, w dolnym kącie, podciągając kolana pod brodę, owinięty nogi rękoma. Kucnąłem naprzeciwko, przy górnej ścianie. Wystarczyło pomilczeć chwilę, sam wpadł w nastrój pokutny.

Łypnął potylicą w drewno, raz, drugi.

- Paszo! - jęknął. - Nie smatriet'! Nie smatriet'!

- Nu, szto?

- Tfu! Satana!

Przeżegnałem się powoli.

- Filimon Romanowicz, co wam?

- Nie macie wy Boga w sercu!

Przytknąłem ómieczometr do skroni.

- Mam Boga w rozumie.

- Satana!

- Krzywdę ja tobie wyrządził? Kiedy? Jaka?

Zasłonił sobie oczy, oślepiiony może po nocy ciemnej.

- Żem ja was już wtedy w pociągu nie zabił...! - jęczał. - Żem wam życie pozwolił...!

A! Wyrzuty pokutne czynił sobie nie za próbę mordy, ale - że mu się ona nie powiodła.

Westchnąłem ciężko.

- To chyba przez Odwilż. Już żeśmy przez to przechodzili w Lecie.

- Alem wtedy nie widział, że wy naprawdę będziecie robić Historję! - Łypnął spod rękawa. - Że sobie do tego maszyny pobudujecie, że naukę całą sporządzicie, że siebie posadzicie u steru dziejów i będziecie je wedle zamysłów własnych obliczać: to konieczne, to niemożliwe - i takie będzie! to dobro, to zło - i takie będzie! to piękne, to brzydkie - i takie będzie! to zbawienie, to potępienie - i tak się rozdzieli! to niebo, to piekło - i tak pójda masy



ślepe! dla Rosji i świata - apoliteja; dla ludzi - los rabów sonnnych! I żadnej ucieczki! Żadnej myśli o ucieczce! Nie będzie nawet w kogo bombami rzucać - skoro obrachujesz swoje KONIECZNOŚCI HISTORYCZNE! - Znowu zakrył głaza. - Groza, groza! Tyran ludzkości idealny! Mechanik satanokracji!

Powtórzyłem, o co mnie wtedy zapytał, zanim z Ekspresu w Azję wyrzucił.

- Czyś ty zapomniał już swoich dogmatów marksistowskich? Wierzyłeś w to przecie. Zresztą także Bierdiajew wierzył. Człowiek zapanuje nad Historją prędzej czy później.

- Może i zapanuje - ale co wy robicie - Wieniedikt Filipowicz, wy skazujecie na wieczne przekleństwo ludzkość całą! Historja jest jedynym sposobem komunikacji Boga z człowiekiem, a odtąd to nie Bóg będzie mówił do nas przez stulecia i dzieje człowiecze, lecz - matematyk warszawski! - Ponownie jął grzmocić łbem w ścianę. - Matematyk warszawski! - łup! - idejalista chory! - łup! - Wieniedikt Jerosławski!

- Sam jesteś nieuleczalny idejalista - mruknąłem.

- Ja? Ja wierzę w ideje dla ludzi, z miłości do ludzi - z tej cierpiętnej, szalonej rosyjskiej miłości do człowieka! A wy, wy wierzycie w ideje dla idej, z miłości do idej, wy już żyjecie między idejami! I taka będzie wasza Historja, taka będzie apoliteja wasza: Lód! Lód! Raj buchalterów i rabów bezdusznych!

Przymusiłem się, żeby wziąć w nawias emocje złe i rozważyć słowa Ziejcowa rozumem samym. (I zaraz pomyślałem: a trzeba było właśnie się wściec!

Za późno).

Bo w czym aczuchowiec może mieć tu słuszność... Brzmiała przecie w jego słowach pewna prawda oczywista. Ci wszyscy studenci żyjący codzien między książkami, bo między ludźmi żyć nie potrafią, żyjący między słowami, liczbami i idejami, bo między ciałami ciepłymi nie ma dla nich życia, w ciałach ciepłych znajdujący jeno przedmiot obrzydzenia i zezwierzęcenia - w odróżnieniu od idealnego wyobrażenia ciał... Myśliciele, wynalazcy, poszukiwacze Prawdy wszelkich epok, ci wszyscy Nikole Tesle, którzy nigdy się nie ożenili i prędzej dojrzą piękno matematycznie opisywalnej maszyny niż niedojrzałe, niedokończone piękno panny Filipov - wszyscy ci, co swoimi pasjami szczeremi pchają naprzód świat - którzy kształtują obraz świata przyszłego... O czym oni śnią, o czym marzą? Czego pragną w kraftwerkach swoich serc nakręcanych? Lodu! Lodu! Świata i człowieka pod Lodem, Historji pod Lodem! Wtedy zaiste będą najpraktyczniejszymi, najbardziej życiowymi z ludzi - gdy

mowa pierwszego rodzaju zgodzi się z mową drugiego rodzaju - gdy nie pozostanie już najmniejsza różnica między rzeczywistością idei i rzeczywistością materji.

Pod Lodem nie będzie możliwa żadna wynalazczość, żadna oryginalność - lecz pod Lodem nie będzie ona potrzebna, jako że prawda myśli odpowiadać będzie bezpośrednio prawdzie doświadczenia i operacja na idejach o świecie opowiadających sprowadzi się do prostej operacji na liczydle. W rzeczy samej abakusy idei, idejometry - one najpewniej powstaną pierwsze. W Królestwie Ciemności filozof będzie matematykiem, a matematyk - generałem gromowładnym. Stereometria spojrzeń stanie się mową wszechrozumiałą, a mowa Tajtelbaumowa, jedyna wówczas możliwa - narzędziem absolutnej Prawdy.

- Prawda, Ziejcow - powiedziałem na głos. - To będzie świat ziszczonej Prawdy. Byłabyż ona niemiłą Bogu?

- Gdyby Bogu o prawdę chodziło, stworzyłby sobie suwaki logarytmiczne miast ludzi!

I splunął na mnie flegmą brudną.

Wstałem, podniosłem lampę. On dalej bił głową w ścianę. Łup, łup, łup.

- Czemuś nie przyszedł, nie powiedział? - spytałem cicho. Cisza stała teraz między nami ta dla spowiednika i grzesznika. Kulił się u mych stóp. - Czemuś nie wyznał, co ci na duszy leży? Czyż doprawdy takim tyranem mnie już widzisz, że sztylet tylko do mnie dotrzeć może, tylko ostrze zimne w sercu poczuje? Znamy się przecie.

- Znałem was, tak. Wtedy, pod Lodem. Ale teraz. Jakżeście tu po latach wrócili. Co ja wiem. Gaspadin przedsiębiorcy Jerosławski! - zazgrzytał zębami popsutymi. - Jak to jest, że z pustymi kieszeniami przychodzicie, a oni dają wam miliony, fotel pierwszy w przedsiębiorstwie wielkim jak państwo, że kupują od was na słowo technologie sekretne i też na jednym słowie o Historji przyszłej przez was obliczonej, na tym słowie polityki całe budują. Jak to jest! Napisaliście tę *Apoliteję*, tak. Jesteście syn Ojca Mroza, tak. Stoicie w blasku czarnym, tak, już w Ekspresie byliście jak lutowczyk. Ale czy to cokolwiek tłumaczy? Jak to jest, Wieniedikt Filipowicz! - Popatrzył na mnie wzrokiem dzikim. - Ha, sami nawet żeście sobie pytania nie zadali, taka dla was oczywistość! Ani spojrzycie w lustra. Omamiliście ich z marszu. Jak ci wszyscy przed wami: samozwańce nasze ruskie, proroki ziemi, dziady święte, jak Marcyn, jak wasz Piłsudski, jak Rasputin - jak Rasputin - Rasputin! - Tu znowu jął się zapluwać. - Oślepiłiście ich Prawdą waszą czarną! Znam to, od marksowej braci jeszcze, sam Trocki - kto on jest? Matematyk Historji przeklęty!

Wyszedłem. Sztatski, ziewając, zakluczył kamierę ciemną.

Niosło się to z niej za mną, gdy oddalałem się w górę korytarza: łomot rytmiczny i potępińczy skowyt duszy zgnębionej.

- Matematyk! Boże mój, żem ja nie ubił gada...! Matematyk! Wiedziałem! - wył Ziejcow z głębi krzywej studni stalowej. - Matematyk! Matematyk! Mateeemaaatyyyyyyk...!

### **O duszy kolektywnej i dyktaturze miłosierdzia**

Deszcz rozmył obraz miasta, barwy i kształty rozlewały się mi na źrenicy marostiekłowo. Wjechaliśmy w Irkuck lewobrzeżny od strony dzielnic biedoty, przez Kaję, Irkut i górę Kajską, w północne kwartały Ujskiej. Padało już prawie dzień cały bez przerwy, konie ślizgały się w błocie. Miasto Tygrysa i Sobola pływało w dżdżu, rozmiękczone, niekonkretne. Pierwsze upadły maszty trupie, nie ujrzałem żadnego na Trakcie Moskiewskim, na rogatkach ani potem, w Ujskiej. W mrozie lutym przynajmniej widoki stały ostre, jasne, po horyzont otwarte w powietrzu krystalicznie przejrzyste; z nadejściem Odwilży Pan Bóg przeciągnął po szybie brudną szmatą.

Sztatscy wybrali lewy brzeg, bo on ostatnimi tygodniami nie bardzo interesował główne siły polityczne trzymające Irkuck pod terrorem rewolucyjnym. W slumsach północnej Ujskiej - a widziałem tylko szeregi bud i szałasów niskich, w ziemię moką zapadłe, już barwą ziemi powleczone - urodziła się była partja Samopomocy Chłopskiej, ona jednak nie aspirowała do władzy państwowej i nie wdawała się w przepychanki krwawe z trockistami, leninowcami, monarchistami i nacjonal-demokratami; jej chodziło wyłącznie o wykarmienie irkuckiej biedoty, która prawie w trzech czwartych składa się z biedniaków niedawno od ziemi oderwanych. Sztatscy Pociągły mieli z chłopami jakiś układ: zatrzymano nas w deszczu dwa razy i zaraz puszczono, po kilku zdaniach wymienionych. Słowa wsiąkły w deszcz, nie słyszałem tych rozmów pośpiesznych z muzykami w pały i łańcuchy zbrojnymi. Jechaliśmy przez miasto jak duchy półmaterjalne przez krajobraz podmorski, chaty, lepianki i kamienice czynszowe płynęły z lewa i z prawa, deszczobarwne, ziemiobarwne, nierówne, rozlaźle, rozmyte. W świecie bez linii prostych Prawda umyka spod wzroku, człowiek patrzy i nie bardzo wie, co widzi, nawet gdy widzi.

Zatrzymaliśmy się w składzie węglowym, przecznicę od Prospektu Kiesztyńskiego.

Dwóch sztatkich poszło sprawdzić most. Stał jeden Most Szelechowa; wszystkie starsze, słabsze konstrukcje zniszczyła kra na początku roztopów, most pontonowy spłynął do Oceanu Arktycznego. I niekiedy dało się swobodnie przejść po Szelechowie, a niekiedy rewolucjoniści ze wschodniego brzegu strzelali bez ostrzeżenia; w innych znowu okresach za przepustkę starczał jakiś datek w naturze. Sztatcy poszli, mieli wrócić za godzinę. Rozsiadaliśmy i wytarli konie. Napiliśmy się spirytu ciepłego, zapaliłem papierosa... a potem nie miałem już co robić, i wyszedłem się przejść. Człowiek powraca do miasta po latach, miasto przesunęło się w czasie, człowiek przesunął się w czasie, trzeba od nowa wyspacerować mapy zmarszczek i blizn. Gdzieś tu przy Kiesztyńskim stała „Czarcia Ręka”...

Nie paliły się latarnie, dopiero teraz to spostrzegłem. Prawie wpadłem na taki słup zimnazowy. Uniosłem głowę. Latarnia, no przecież! Mimowolnie obejrzałem się na Stary Irkuck, na niebo podchmurne - czy wisi tam obłok ćmiatła kryjący szczyt wieży Sibirchożeta? Ale deszcz zakrył ją o wiele szczelniej, w ogóle nie dojrzałem wieży ni kopuł Soboru Chrystusa Zbawiciela, nic zupełnie z Irkucka prawobrzeżnego. Miasto rozlało się w kompleks plam ołowianych, sinobarwnych, niczym pośmiertnych wylewów na skórze nieboszczyka - tak na ziemi, jak i na niebie.

W pewnym momencie musiałem źle skręcić - wlałem w jakiś zaułek, zavalony pod pierwsze piętro śmieciami już gnijącymi. Zawróciłem. W ostatnim spojrzeniu pochwyciłem abrys człowieka w stercie odpadków: tam wyrzucano także odpadki ludzkie. Ilu zmarło w Irkucku od chorób zaraźliwych, ilu - z głodu? Wycofałem się, zasłaniając usta rękawem daździewika. Jak we mgle zimowej, podobnie teraz, za zasłonami dżdzu, przemykali przechodnie po ulicach Irkucka, prawie nie widząc się wzajem. Próbowałem wejrzeć im w twarze, niekryte już wszak okularami marostiekłowemi i szalami. Wynędziali, o cerze niezdrowej, z oczyma ciemno podsiniaczonymi, nie od ćmieczy, lecz z ciągnącego się miesiącami niedożywienia... Dopóki Irkuck eksportował na świat bogactwa zimnazowe, mógł sobie pozwolić na sprowadzanie w Zimę żywności wszelkiej; teraz jednak złamał się porządek i równowaga, nie ma za co kupować pszenicy i ryżu, nie ma kto kupować, w ogóle sama idea kupiectwa została zawieszoną na czas rewolucji. Rolnictwo syberyjskie jeszcze się na dobre nie obudziło; dopiero trzeba wygnać chłopów z miast z powrotem na rolę, w gospodarstwa na własność przez państwo poprzydzielane, w step i tajgę darmo rozparcelowaną. Pan Porfiry miał to wszystko opisane w projektach prawnych, gotowe do uruchomienia. Partje kontrolujące Irkuck już zdążyły wydać kilka zarządzeń Reformy Rolnej - każde straszące karami okrutnymi, jeśli kto posłucha zarządzenia nieprawomyślnego; trudno

się dziwić brakowi entuzjazmu u chłopstwa. Oczywiście, skoro Lód nazad skuje Syberję, trzeba będzie raczej zawierzyć rolnictwu Królestwa Ciemności, owym farmom podniebnym na glebie tungetytowej pracującym, pod ćmiatłem ciężkiem...

W „Czarciej Ręce” było tłumniej, niż zapamiętałem. A może po prostu takie to czasy, że wszyscy przesiadują dniami całymi tutaj, w sali na dole, nie mając co robić na mieście w chaosie i nędzy otepieńczej pogrążonym. Zaciekawilo mnie, jak też się gospodarz rozlicza z gośćmi swoimi - w jakiej walucie? na jakich cenach? czy znajduje dla nich żywność w ogóle? Zawiesiwszy przy drzwiach palto przemoczone, odstawiwszy laskę, przysiadłem na wolnym miejscu pod oknem. Dym tytoniowy wypełniał salę ciepłą mgiełką, dym i para z samowarów cicho popufkujących. Czaj, on był dla każdego. Pod fotografią Aleistera Crowleya panowie o europejskiej aparycji dzielili na chustce z monogramem herbowym zeschniętą na kość porcję żółtego sera; za miarę służyły wykałaczkę. Syberyjczyk (to jest pół-Azjata) w grubym i topornego kroju garniturze z szetlandzkiej wełny, siedzący przy stoliku, gdzie ongiś leżały szachy nieukończony partji Crowleya i ojca Platona, czyścił i oliwił rozebraną na części wintówkę Mosina. Obok, przy piecu zimnym, podrzemujący starzec moczył nogi w blaszanej miednicy. Ledwom usiadł, podszedł do mnie Ormianin o oczach dziecka i zapytał, czy przyjechałem Transsibem. Zdziwiłem się. Czy Transsib nadal jeździ? Ormianin był drobnym kupcem od „towarów okazyjnych”, teraz bezrobotnym. Na udrożnienie Transsibu czekali tu wszyscy jak na znak od Boga. Każdy skład z Władywostoku dawał powód do święta. Za Syberyjczykiem z Mosin-Nagantem stał odbiornik radjowy; goście i znajomi z okolicy zbierali się tu w godziny audycji charbińskich i obskich słuchać wieści ze świata; nocą chwyтали fale z Hongkongu i z dalsza. Zapytałem o nowiny z Europy. Ormianin potrafił rzec tyle tylko, że Franz Ferdynand podpisał z Mikołajem II Aleksandrowiczem jakiś „rozejm krakowski” dla specjalnego sojuszu przeciwrewolucyjnego. Ponoć płonął Lwów. Lato w Europie było wyjątkowo suche i gorące.

Olbrzymi Chińczyk roznosił herbatę w filigranowych filiżaneczkach. Nie miałem nawet pugilaresu, nie mówiąc o dieńgach uczciwych. Rozłożyłem ręce i powiedziałem, że nie zapłacę. Pokiwał głową łysą i postawił przede mną gorącą filiżankę. Podziękowałem. Cukru, miodu, soli ni mleka czy śmietany oczywiście nie było. Maczano w czaju współpleśniałe skórki limony i pomarańczy. Zęby, rzekł Ormianin i wyszczerzył się szczerbato. Zęby wychodzą. Wtem wpadł z ulicy parujący dżdżem żandarm w zdekompletowanym mundurze zabłoconym. Panowie, zawołał i ścichł gwar kawiarniany, panowie, nowa rewolucja idzie! Poczem wyjął zza pazuchy papier zmietolony i rozpostarł go sobie na piersi. Spojrzałem:

„Nowaja Sibirskaja Gazieta”. Było tam zreprodukowane owo zdjęcie celebracyjne, na szczęście tak okropnej jakości, że równie dobrze trzy choiny miast trzech mężczyzn mogło przedstawiać. Żandarm odczytał artykuł propagandowy organu prasowego SSzS. Jeszcze zanim skończył, na sali w „Czarciej Ręce” rozgorzała dyskusja zacięta. „Towarzystwo Przemysłu Historji”! A co to znaczy, do kroćset! Ale na ten przykład Ormianinowi zaświeciły się oczy. Zimnazo chcą produkować! Ajajaj, toż nowy rynek na tungetyt będzie! Słusznie jednak zaraz ten i ów zauważył, że Pociągło potrzebuje do tego przede wszystkim kontroli nad Linją Transsyberyjską. A zatem czym prędzej wejść musi do Irkucka i ułożyć się z Pobiedonoscewem i Centrosibirju. Znowu będą się bić o miasto! Przeżegnali się, zawołali o zmiłowanie Boże, splunęli. Na to przecknął się dziadulo z nogami w wodzie. Pociągło, zrzędził, Pociągło, Fiszensztajn, Gierosławski. Patrzcie-no, dwóch ich to Paliaki, a trzeci - też jakby Paliak, bo Żyd! Co to za spiszek przeciwimperatorski, przeciwrosyjski...! Przepędzić tę zarazę precz z Imperjum! Syberyjczyk pogłaskał go łapą masywną po głowce - a uspokójcie się, ojczulku, Imperjum już nie ma.

Zegar wybił godzinę. Przeprosiłem, wstałem, na mnie pora. Ormianin przyglądał mi się, gdy wdziewałem płaszcz - czy mógł mnie jednak poznać? Nie mógł. Postawiwszy kołnierz, wyszedłem na deszcz, błoto lubieżnie wessało buty. Gdzie Prospekt Kiesztyński, gdzie Angara, któredy do sztatskich... Rozejrzałem się. Brak linii prostych - ale to więcej niż złudzenie oka w słońcu, te kamienice naprawdę się pogięły, pokrzywiły, rozkoślawiły i skłęsy. A-o, kabak po drugiej stronie: toż on z lewej do pół okna się już zapadł, mało co, a wykusz-balkonikiem w ulicę wdepnie. Obejrzałem się na „Czarcia Rękę”, czy hotel także nie obsunął się w grunt którymś skrzydłem. Ormianin stał przed wejściem z parasolem nad głową, gapił się na mnie natarczywie. Zasalutowałem ćmieczometrem do skroni. Zmieszał się. Izwinitie, gaspadin, kakoje... Wzruszyłem ramionami. Czy myśmy się już kiedy widzieli? Kupiec zbliżył się ostrożnie. Ja wcale nie myślę, żeście Transsibem przyjechali, wyznał, przeszepując deszcz gęsty. Jak już żem się wam przyjrzał... Wy człowiek Czarnej Zorzy jesteście, poznałem. Mruknałem coś niezobowiązująco. Zbliżył się jeszcze bardziej, chowając mnie pod parasol. Wczytał się mi w twarz jak w księgę szyfrową. Czy nie znacie tej plotki?, spytał przez deszcz. Tyle teraz plotek, tyle plotek nowych od Odwilży! A niektóre prawdziwe, a niektóre jawnie kłamliwe, a niektóre takie i takie. Że pod dobrą wróżbą on schodzi na miasto i wędruje samojeden między ludźmi, nierozpoznany, nieznan, obcy, tak się dosiadając na moment to tu, to tam, podsłuchując-nasłuchując, zagadując szczerze, nabierając w usta smaku i ducha miasta. Nikt go nie nazwie jego imieniem - nikt go bowiem pod imieniem na

oczy nie widział. On to czy nie on? On? On? Nie on. Pobiedonoscew!

Odszedłem bez słowa. Przystanąłem po drodze na zakrętach raz i drugi, coby sprawdzić, czy Ormianin za mną nie idzie; ale nie. Sztatscy czekali z człowiekiem w pelerynie kauczukowej. Szelechow pod lufami bandy Rieptija, ten tu człowiek przepawi was przez Angarę, idźcie. Czekamy tu dwa dni do północy, jak było mówione; potem jedźcie na piątą milę Marmieładnicy albo zostawcie wiadomość w składzie Pielewina. Podziękowałem, pożegnałem się. Człowiek w pelerynie najpierw przedstawił się jako Lew, a potem jako Paweł, jakby zapomniawszy, że już imię podał. Zapewne oba były fałszywymi. Po drodze opowiadał mi mapę polityczną miasta, nowy odłam eserów wszedł w sojusz z nacjonal-demokratami i zajęli wczoraj Dworzec Murawiowa i składy przydworcowe. Centralny Ispañitielnyj Kamitiet Sawietow Sibiri zajął siedemnastowieczny klasztor w Znamienskoje, wydając zakonnice do zabawy tłumowi bradiagów pod czerwone sztandary zwerbowanych. Trockiści zdobyli szamba miejskie. Była strzelanina o wodociągi; monarchiści napadają na beczkowsy.

Żeby to było miasto jakie europejskie, miasto w kraju między miastami, na mapie ciasnej osadzone! Ile by się mogli tłuc? tygodni parę? Układ sił zewnętrznych przycisnąłby sprawę wte czy wewte, sytuacja krajowa i sytuacja państw sąsiednich wymusiłaby zwycięstwo tych czy tamtych. Ale Irkuck, ale taka metropolja syberyjska, zawieszona samojedna w pół nieskończoności azjatyckiej na cieniutkiej nitce Transsibu - rozumiałem to dobrze - tu mamy świat cały oderwany od świata, miesiące, lata mijają, zanim konieczność ze wschodu czy z zachodu przeważy szalę dziejów. Tymczasem wszystko obraca się w niekonkretach, półzwycięstwach i półklęskach; wot, taka to Rewolucja nedorobiona, Historia według Kotarbińskiego.

Zeszliśmy na brzeg Angary na wysokości starego mostu kolejowego, przed zakrętem rzeki na wschód. Z trudem mogłem rozpoznać przez falujące na wietrze zasłony deszczu zarys prawobrzeżnego Irkucka. Miasto - abrys cienia - wspomnienie miasta. Nurt był zaskakująco spokojny, fale nie wyrastały ponad pół arszyna. Woda w Angarze miała barwę starego błota. Dwaj pomagierzy Lwa Pawła wyciągnęli łódkę na łąkę żwirową, pchnęliśmy ją wczwórnił na rzekę. Jakby co, wydyszał mi Lew Paweł, gdy zaczęliśmy wiosłować, jakby co, mówcie, że byliście tam po lekarstwa. To znaczy - jakby co? Zali to w oczach partyj rewolucyjnych przestępstwo jakieś: na drugą stronę miasta przepłynąć? Gorzej, sapnął. Zdrada!

Rozmiękczony profil Starego Irkucka malował się powoli na niebie zachlapanem. Dobiliśmy pod bulwarem widokowym. Trzy razy światło o parzystej godzinie, rzekł Lew Paweł i odwiosłował z powrotem, ledwom na grunt stały wyskoczył. Malcziki umorusane przyglądały mi się z góry przez balustradę. Zrobiłem do nich minę wilczą. Ani drgnęły ich buźki poważne, ani mrugnęły oczka szeroko otwarte.

Wylazłem na ulicę, nurzając się przytem w bloku po kolana. W oddali, na południowym krańcu bulwaru, leżał na bruku obalony i wespółzetrącony pomnik cara Aleksandra III; na pustym cokole czwórkatnym sterczały kawałki kamiennych stóp imperatorowych. W połowie bulwaru piętrzyła się wielka sterta mebli, sprzętów gospodarczych, połamanych sani, książek i papierów luzem; na wierzchu, jak wisienki na torcie, czerwieniły się zmasakrowane ciała nagich mężczyzn. A na sędziowskim fotelu ustawionym pośrodku pustej przestrzeni siedział pod parasolem młodzieniec może szesnastoletni i czytał książkę; przez kolana przełożone miał dwa karabiny, lufa do kolby. Skręciłem czem prędzej w pierwszą przecznicę.

Latarnie się nie paliły - paliło się było na nich co innego, póki deszcz nie stłumił płomieni. Irkuck podtrzymywał tradycję masztów trupich, rewolucjoniści wieszali na latarniach oblanych naftą burżujów i rzucali w nich po - chodniami; pozostały kukły węglowej spalenizny, nie do rozpoznania ponad ogólny kształt człowieka. Żaden z nielicznych przechodniów nie podnosił głowy, by na nie spojrzeć - to była różnica z masztami trupiemi szamanów burjackich, na które, z obrzydzeniem, bo z obrzydzeniem, ale gapili się wszyscy niczym na atrakcję turystyczną. Lecz obywatele Irkucka chodzili teraz ze wzrokiem wbitym tuż pod nogi, przelękniemi samą możliwością nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z drugim człowiekiem. Wymazywali się z istnienia, na ile potrafili. Nie patrzę, nie widzę, nie zostanę zobaczony, nie ma mnie. Przyklejeni do murów, przemykający jak najdalej od jezdni, z ramionami obwisłymi i głowami na pierś zwieszonymi. Rozmywali się w dżdżu, nie wydawszy dźwięku, nawet stąpienie ich stóp nie było słychać. Nikt nie rozmawiał.

Przy skrzyżowaniu z Główną spostrzegłem na latarniach kilka sylwetek jasnych: powiesili ich już w deszczu. Rozpoznałem mężczyznę w zielonej batystowej kamizelce, dyndającego pod oknami niegdysiejszej siedziby Sądu Okręgowego: burmistrz Szostakiewicz. A więc znaleźli go jednak! Pocięło utrzymywał, że Bolesław Szostakiewicz uszedł do Charbina z początkiem Odwilży - widać wolał mimo wszystko pozostać w swoim mieście, na dobre czy na złe. Znaczy, na złe, na złe.

Nie mogą wszakże wszyscy oni powieszoni być dawnymi politykami czy



przedsiębiorcami wywleczonymi wtem z ukrycia. Nawet jak tak patrzyłem wzdłuż ulicy deszczem przesłoniętej, widziałem z tuzin trupów na latarnie wciągniętych. Przez rok cały bezwładny buntownicy irkucy zdążyliby powywieszać każdą jedną osobę z list swoich czarnych. Kogo zatem wieszają i palą teraz, skoro nie wrogów klasowych, bluźnierców religijnych i służaszczich bywszej władzy?

Ano, widać wieszac muszą. Po czym człowiek odlodzony pozna w materji przesunięcia frontów idej? Bo która partja kontroluje w tym tygodniu północne dzielnice Starego Irkucka za Główną? Taka to nowa wojna na Drogach Mamutów: nie plemienia inarodcze, lecz ruchy polityczne, i nie dla odpędzenia wraży duchów, lecz dla pogńębienia cudzych projektów historycznych - maszty trupie nad Irkuckiem stawiają. Raz bierze górę świat ciała, raz - świat ducha. Ale walka jedna i ta sama.

Chłopakowi powieszonemu przy następnem skrzyżowaniu przywiązano do stopy tabliczkę informującą, iż wyrokiem Rady Robotniczej skazany został za „cziastryj chlieb”; stąd poznałem, że znajduję się na terytorjum leninowców. Bo tom akurat wiedział jeszcze od sztatskich: że ze względu na panujący w Nadbajkalu głód, Centrosibir' zarządziła, iż wyłącznie pożywienie przez nią oficjalnie rozporcjowane i przydzielone jest legalnem; pochodzące z wszystkich innych źródeł musi zostać oddane Komitetowi, a karą za konsumpcję prywatną jest śmierć. Odżywianie się stanowi czynność publiczną, dozwoloną jedynie pod ścisłą kontrolą władzy ludowej, „obszczieje pitanije”. Podejrzan są każde zbyt gwałtowne ruchy szczęką i przetykania ukradkowe. Wypróżniający się w godzinach nocnych podlegają nagłym kontrolom fizjologicznym. Istnieje plan zważenia każdego mieszkańca Irkucka i stałego bilansowania wszelkiej masy organicznej pozostającej pod rządem Centrosibiri. Rachmistrze marksistowsy już ruszyli z liczydłami na Materję.

Gmachy sąsiadujące z budynkiem Szpitala imienia Trójcy Świętej w większości zakłęsty się w pół niczym z nieba nadepnięte; jeden przedstawiał obraz ruiny zupełnej, z czarną od spalenizny elewacją i wybitymi oknami. Pożar liznął był też sam szpital, pozostawiając tygrysie pasy na cielsku murowanem, między załzawionymi szybami z marostiekła i szkła mlecznego.

Ledwom wszedł do sieni balnicy i złapał balans na jej podłodze pochyłej, sfalowanej - grzmot przeciągły runął przez okolice i zatrzęsła się ziemia. Junacy z opaskami Centrosibiri na ramionach, co strzegli frontowych drzwi, wybiegli na ulicę, by po chwili powrócić z wieścią, iż zawałiła się połowa Soboru Chrystusa Zbawiciela. Ten i ów przeżegnał się

odruchowo. Przybiegł komisarz grubiotki, do cna przemoczony, i zabrał z sobą tych młodych żołnierzy rewolucji, jak i każdego leninowca z twarzy rozpoznanego: trzeba strażę prędko organizować, zanim się rzucą ludzie rozkradać tungetyt z kopuły rozbitej. Znacznik, już także w Irkucku z powrotem tungetyt w cenie. Pomyślałem, że to dobry znak, Historia układa się w swoim łożysku.

Na tym zagasł mi optymizm. Zaraz na schodach zatrzymał mnie pętaś z aż trzema opaskami leninowców na obandażowanej ręce, znużony spluwaniem na odległość do ordzewiałej kraszarki, i gdy odmówiłem mu papierosa, jął posapywać groźnie i mamrotać złośliwości polityczne. Skąd reakcja taka? Panna Jelena powiedziałaaby, że znowu zachowałem się arogancko, nawet nie będąc arogancji świadomym. Przeliczyłem to w głowie. Poczem spytałem leninowca, jak długo tu, w Świętej Trójcy, przebywa. Pochwalił się, że przestrelili go w trzech miejscach. Pokazał: ramię, bark, bok nad biodrem. Rozpiąłem palto i wyjąłem spod swetra zapakowaną w brezent teczkę szyldkretową. Popatrzcie, widzieliście tu w szpitalu taką dziewczynkę? Pomaga przy rannych zamiast sióstr. Leninowiec wślepił się w autoportret Jeleny, nagle bardzo afekcyjny i po rosyjsku współczujący. Ach, ukochanej szukacie! Pokiwałem głową, omijając słowa języka drugiego rodzaju. Przypatrywał się rysunkowi długo bardzo; na koniec stwierdził, że panny takiej tu nie widział.

Ale! Nie smućcie się niepotrzebnie, tawariszcz, mogłem widzieć, mogłem nie widzieć, mogłem zapomnieć - chocia takiej krasawicy to bym nie puścił mimo pamięci. Nu, zapytać trzeba osoby odpowiedzialnej. Idi, idi, sprawdzimy u siostry przełożonej, ona wszak wszystkie ochotniczki w bolnicy się udzielające znać musi.

Ruszyliśmy zatem na poszukiwanie siostry; ranny komunista otrzymał wtem nową misję bojową i rzucił się do roboty z rewolucyjnym zapalem. Zaszlimy wpierw na trzecie piętro, gdzie pierwsza siostra przełożona zazwyczaj rezydowała; tam nas odesłali do chirurgji. Na chirurgji panował chaos większy niż zazwyczaj (jak zapewnił mnie prędko leninowiec, sam z deka oszołomiony). Nie dość, że nikt wiele nie wiedział; wszyscy byli na dodatek zbyt zagonieni, by zmiarkować, czego nie wiedzą. Milicja Komitetu zaczęła właśnie zwozić ofiary z Soboru, wszędzie pełno było błota, krwi i płynów fizjologicznych barwy błota. Sobór nie runął bowiem w gładkim porządku obalonego domku z kart. Fundamenty w rozmrożonym i podmytym gruncie zapadły się z jednej strony i na tę stronę „zjechała” część monumentalnej świątyni, gruzując dobre pół kwartału. Wozami i na grzbietach końskich i na taczkach i na rękach ocalałych sąsiadów wreszcie - docierali do Świętej Trójcy ranni, konający oraz zmarli, których dopiero doktor ogłosić musiał zmarłymi, ażeby rodzina uwierzyła. A i wtedy wierzyła

nie od razu: nie żyli, ale może żyli. Krążyłem w tej burzy krzyków, płaczów i tragedji ludzkich z rysunkiem panny Muklanowiczówny w ręku, jak kolejny krewny przypadkowej ofiary, ogłuszony nagłem nieszczęściem, ściskający w ślepej nadziei ikonę świętą. Próbowałem pytać lekarzy, siostr. Nawet jeśli odpowiadali, to w roztargnieniu i pośpiechu widocznym. (Nikt z nich Jeleny nie rozpoznał).

Pod wieczór uspokoiło się nieco. Tawariszcz kamunist zjawił się poczęstować mnie machorką i oznajmić nowy plan znakomity. Kto mianowicie oprócz pierwszej siostry przełożonej widzieć musi koniecznie każdego człowieka pracującego w szpitalu? Ano, komisarz specjalny przez Komitet do szpitala przydzielon, przepustki w imieniu Komitetu podpisujący! A znam ja Wasyla Pietrowicza jeszcze z czasów kelnerowania - zapewnił mnie mój leninowiec - zaraz sprawę rozwiążemy.

No to poszliśmy do komisarza Centrosibiri. Wasyl Pietrowicz rannego kamrada istotnie poznał, acz nie objawił chęci do rozpamiętywania dawnej z nim komitywy. Zapytany, czy wystawiał przepustki takiej oto dziewczynie, na nazwisko Jeleny Muklanowicz lub jakiegobądź inne, z miejsca począł dociekać, zmrużywszy oczka nakrwiłone: a kto zaczął? a kto on pytający? a iz-za cziewo triewoga takaja? a czyj interes polityczny? a krasawica - czemuż tak po burżujsku na tym obrazku wystrojona? Polka, a? Polka? I zrobiłem rzecz bardzo głupią, bo wyznałem Wasylowi Pietrowiczowi prawdziwe moje nazwisko i prawdziwe okoliczności sprawy. Lecz było Lato, a i on z urodzenia niezbyt był bystry - nie skojarzył, nie poznał, żaden świecień nie obrysował mu oczywistości. Na koniec Wasyl przestudjował uczciwie autoportret panny Jeleny i oświadczył, iż nie dostała nigdy od niego bumagi obywatelka taka ani do niej choćby podobna.

Podziękowałem, wyszedłem na korytarz. Nie żyje. Strzyknąłem do sopluchaczki resztką machorki. Mały leninowiec próbował mnie jeszcze pocieszać. Siadłem sobie na taburecie pod oknem białosłepem, rozprostowałem plecy skoljotyczne. Cuchnęło w balnicy kwaśną chemją i krwią starą. Wilgoć pleśniowa wisiała w powietrzu. Za oknem deszcz bębnił coraz głośniejsze. Oparłszy się o parapet, poczułem, jak chłód wionie przez szpary w murze, ciągnęło mnie do tego chłodu. Po ścianach biegły rysy zygzakowate, szczyrzyły się z nich brunatne dżiąsła cegieł i zęby pokruszonej zaprawy. Cały Irkuck się wali.

Co teraz, pyta współczujący komunista, może pójdziecie sprawdzić u jej krewnych? Wzruszam ramionami. Ona nie ma tu krewnych. Poczekamy na siostrę przełożoną. Że to niby Wasyl nam prawdy nie powiedział? Ano, powiedział, nie powiedział, bo czy prawda jakaś

teraz w ogóle istnieje...? Spluwam na sucho prawie. Malczik-leninowiec widzi, że sprawa duszna mocno, nuże wymyślać pociechy fantastyczne. A może pomylił wam ją drug ów z pacjentką! Może wcale nie robiła tu za ochotniczkę w rejestrze wpisaną, jeno raz czy drugi pomogła w czym z dobroci serca, na wizycie będąc, a on ją spostrzegł wtedy akurat i tak sobie pomyślał. Chora jest na co? Ano widzicie! Może zresztą z odwiedzinami u kogo znajomego tu była. Może wreszcie działo się to za przesuniętego frontu, kiedy Świętą Trójcę trzymali trockiści albo bomba-esery, potem uszła część personelu, oskarżeń o zdradę się bojąc, i tak przecie ochotnikami są tu prawie wszyscy - bo czy kto im płaci pensje jakies? czy zarabiają na leczeniu chorych? Nie! Oto jest jutrzienka komunizmu: pomoc bezinteresowna obcemu człowiekowi w potrzebie. A kto wyczyszczać chce cierpiących i konających, ten słusznie uchodzi przed sprawiedliwością ludową! Tak uciekł stary ordynator Kesselman, który mnie jeszcze wpierw do kupy tu składał, tak uciekł słynny chirurg Busanskij, doktorzy Waramij, Konieszyn, Alholz-Streier, sam dyrektor Putaszkiwicz, ponoć zresztą całą kasę szpitalną opróżniwszy wcześniej, o, dla takich to od razu sznur i latarnia -

Konieszyn! To pracował tu doktor Konieszyn? I co się z nim potem stało? Leninowiec poderwał się i wywiedziało zaraz: uszedł Konieszyn z nacjonalistami, zatrzymał się w dawnym Szpitalu Miejskim. Ale co to? Co wam ten doktor? To już nie dziewczuki szukacie?

Wybiegłem na ulicę, schowawszy pośpiesznie rysunek. Lało jak z cebra. Ruszyłem na wschód, zamierzając skręcić w pierwszą przecznicę południową. Na skrzyżowaniu doszły mnie strzały; przebiegli ludzie, kryjąc się za załomami i rogami. Po katastrofie Soboru szykuje się niespokojna noc, trockiści będą chcieli wykorzystać okazję. Poszedłem okreżną drogą, przez Balszą i Iwanowską. W zdemolowanym pasażu Wtorowa czaiła się kupa zbrojna na koniach, z karabinami nagotowanymi pod pelerynami, tylko czekająca znaku do ataku. Nie wiedziałem, czy to jeszcze leninowcy, czy forpoczta innych już historjorobów. Było zbyt ciemno, a i bez deszczu w twarz zacinającego dało się wypatrzeć jeno sylwety anonimowe, cienie na cieniach.

I tak ulica po ulicy. Ktoś kogoś goni, ktoś kogoś strzela, ktoś kogoś woła przez burzę... Łubum, łubum, łubum! Błysnął piorun w chmurach nad Irkuckiem, zobaczyłem, że stoję przed budynkiem Obserwatorium Fizycznego Cesarskiej Akademji Nauk. Za mną na mieście nadal rewolucjoniści strzelali się z zapalem, wrzeszczeli trafieni, płakało dziecko, rżał panicznie wierzchowiec. Łubum, szło przez ziemię drzenie od uderzeń Młota Ćmieczy. Wszedłem do środka.

Główna sień Obserwatorium rozpękała się była wpół, cała strona zachodnia legła w ruinie. Stapałem po gruzowisku, podpierając się laską. Trudno się wyznaczyć w półmroku... Zapaliłem zapalniczkę. Z odłupanego fragmentu fresku spojrział na mnie jelonek przeglądający się w zielonym jeziorze. Łubum! Dlaczego nikt nie wyłączył prototypu doktora Tesli? Bije tak przez lata od jego ucieczki. Czyżby się bali maszyny piekielnej? Z przesądu zwykłego? Sasza nie wspominał, co tu się potem działo; nie wrócił na miejsce po upadku Cytadeli. A przecież w samej aparaturze pudry tungetytu tu leżą!

Nie wchodziłem w korytarze mroczne, w drzwi w histerji niemej wykrzywione w rozpękłych murach. Ciemność i cisza; opuszczona świątynia scjencji. Po kątach smęca się duchy teslektryki i powidoki lutek. Tylko deszcz słyhać ciekący strumykami gęstymi. Coś smyrnęło w mroku, zaszurało, zapiszczało. Nie zapalałem kolejnej zapalniczki. Kot? Mysz? Szczur? A może żyją tu jakieś bradiagi, może skryli się inni ludzie przed walkami ulicznymi.

Wspiąłem się na zawał do pół piersi wysoki i zeskoczyłem na drugą stronę. Wyjście na dziedziniec blokował gigantyczny stos drobnych śmieci, skłajstrowanych mocno błotem i zwirem. Musiałbym się chyba pod ościeżnicą na czworakach przeciskać, przeczołgiwać. Wróciłem się do zakrętu, wszedłem do bocznej sali; jeśli pamięć mi dobrze zamarzyła, to było pomieszczenie za magazynem Tesli, w którym testował on swoją czarną cewkę - w dłuższej ścianie powinny tu być dwa okna na dziedziniec wychodzące. Stukałem po niej laską, licząc kroki od kąta. Nareszcie rama - ale szyb brak: siadający budynek wypchnął marostiekło z futryn. Nacisnąłem - okiennica spadła z zawiasów. Łubum. Wyjrzałem na dziedziniec. Szszszszszszszszszszsz.

Uderzył jeden piorun. Nic nie zobaczyłem. Łubum! Uderzył drugi piorun. Zamigotała setka malutkich ślepi wprost we mnie wlepionych. Małom się nie wywrócić, pchnięty w tył. Szczury stały w bezruchu pod deszczem siekącym, zamarłe jak na fotografii błyskawicą wypalanej: wszystkie na tylnych łapkach wyprostowane, wszystkie z pyszczkami w jedną stronę zwróconymi. Łubum! Poruszał się natomiast kafar Młota Ćmiecznego i z jego uderzeniem przeszła po zwierzętach fala-dreszcz, jakby kto zmiął i szarpnął tę fotografię. Serce podskoczyło mi do gardła. Co właściwie działo się później z gryzoniami do doświadczeń teslektrycznych przez Saszę Pawlicza wykorzystywanymi? Tu w Obserwatorium zostało wszystko jak w dniu ucieczki Nikoli Tesli. Pracował prototyp Młota, podpięty kablami zimnazowemi do pływnic z Dróg Mamutów energię teslektryczną pompujących. Zwierząt nikt chyba z klutek nie wypuścił, pozostały zamknięte. Ale - pracował prototyp Młota. Wystarczyło było jedno ekstremum fali teslektrycznej... Łubum!

Na tych kablach wisiały teraz girlandy śmieci, warkocze drutów dziwacznie skręconych, z wplątaniem w nie talizmanami cywilizacji człowieka: ołówkami, piórami, monetami, kluczami, nakrętkami, korkami, grzebieniami, wykałaczkami, tutkami, monoklami, sprężynami, setką innych drobiazgów.

Cofałem się powoli od okna, bojąc się zerwać ową więź przedziwną, trzymającą szczury w stuporze stadnym. W końcu przecięła ją ściana. Odwróciłem się wtedy i pobiegłem do wyjścia, potykając się na gruzach i tłukąc gołennie.

Sądząc po echu strzałów tłumionych przez deszcz, walki uliczne przeniosły się na wschód, ku Dworcowi Północnemu. Przebiegłem na południową stronę Główną. Po jakichś dwustu krokach minąłem resztki barykady grodzącej jezdnię i trotuary. Na bruku leżały obok siebie martwy koń i martwy pies, co wyglądało na kompozycję godną Goi. Zapatrzyłem się. Kula wiznęła obok, rykoszetując od kostki. Rzuciłem się do bramy. Okazało się, że na podwórzu studziennym kryje się tam dwóch eserów, jeden krwawiący pod koszulą, drugi z trzema rewolwerami za pasem, a każdy rewolwer o pustym już bębenu. Pokazali mi przejście do tylnej bramy na zachodni zaułek i kazali trzymać się strony angarskiej. Kto to strzela, zapytałem. Nie wiedzieli. A czemu tu nigdzie nie palą się w oknach światła? Ludzie się boją, chowają się za ćmieczkami. Niech pan patrzy po plamach ćmiałta, tam idzie bitwa.

Wybiegłem na zachód. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał zatoczyć w drodze ku Szpitalowi Miejskiemu szeroki łuk przez pół Irkucka. Na narożnej kamienicy neogotyckiej spostrzegłem szyld Nowego Ralmejera (sam sklep miał witryny zabite deskami) i pojąłem wówczas także to, że znajduję się na wysokości Konnego Ostrowa i że zaraz po prawej ręce mam Zamorską i Cwietistą.

Cwietistaja długimi fragmentami wyglądała na kompletnie wyludnioną. Złe przecucie przecięło mnie jeszcze kilka domów wcześniej, gdy w ponurej oprawie nocnego dżdżu widziałem jeno popalone skorupy budynków; chyba cała strona przyrzeczna od numeru jedenastego tak się prezentowała. Zabudowania wychodzące na brzeg Angary posłużyły za umocnienia wojskowe podczas pierwszych, najsroższych walk o kontrolę nad Irkuckiem, zaraz po Odwilży.

Dom państwa Wielickich zionął z pustych oknodolów ciemnością atramentową. Przynajmniej facjata stała nienaruszona. Półbrama huštała się na jednym zawiasie, jęcząc żałośnie na wietrze. Po schodach popękanych wspiałem się na piętro. Przykro było nakładać na obraz zniszczenia wspomnienia jasnych, ciepłych dni spędzonych u familji Wielickich. Po

prawej kuchnia, pokoje służby - wszedłem. Podłoga zarwana, parkiety zwęglone, piec roztrzaskany. W drzwiach po lewej zamajaczyła mi plama biała - to grzyb jakiś zdążył już na wilgoci rozrosnąć się po ruinie liszajami długimi. Laską przewróciłem tynki i deski na sztorc szczipione. Jakieś ptaki uwiły tu sobie gniazda. Nieczystości zalegały pod murami, cuchnęło ekskrementami. Woda ciekła szczelinami i pęknięciami w sufitach i ścianach. Drugie piętro. Wszystko zagrabione, a czego nie mogli wynieść - to porąbali i spalili. Kredensy w salonie, zegar wielki stojący, szafy z orzechowego drewna - pozostały szczapy i węgiel. Gdzie pan Wojsław popołudniami niedzielnymi bawił się z dziećmi na szezłagu, kałuża błota teraz stoi, w niej pływa niedojedzone truchło wrony. Pod oknem przekrzywionem walają się łuski po nabojach. Obracałem się z jednym okiem otwartym na noc dżdżystą, drugim - na przeszłość nieistniejącą. Tu - salon; tam - jadalnia; tam - gabinet pana Wielickiego. Biegały dzieci, stuknęła makutra, pachniało kutią ryżową i czajem gorzkim, bił zegar, stara pani Wielicka mamrotała różaniec, huczał ogień w piecu. Tak, nie, tak, nie. Wiało deszczem zimnym, zmurszałe szczątki dobrobytu mieszczańskiego chrzęściły mi pod butami. Gdzie pani Wielicka siadywała w fotelu nad kanwą haftową i robótkami drutowymi, ziała dziś dziura o poszarpanych krawędziach: zjechał tędy w gruz na dole cały pion kominowy, gdy tąpnęła ściana nośna. Szedłem od drzwi do drzwi. W sypialni Wielickich - spalona rama łoża małżeńskiego. W mojej sypialni - pozostałości po ogromnym ognisku. Pogrzebałem ćmieczometrem w błocie popielnym. Czegóż tu nie palili, nawet porcelanę, obrazy i zwierciadła rzucili na stos. Traćłem oblamaną figurkę słonia indyjskiego, potoczyła się przez próg i spadła w dziurę czarną. Pojąłem, czego szukam, melancholją nerwową pchany, bojąc się znaleźć: ich zwłok, śladów jakichś końca fatalnego Wielickich, materialnego dowodu. Bo przecież jeśli by mieli czas się spokojnie wyprowadzić, na pewno zabraliby ze sobą więcej rzeczy. W pokoju bibliotecznym uchowała się od ognia część książek; potem przegniły, zapleśniały, rozpadły się tu, na niepogodę i słońce palące wystawione. Kilka kart tytułowych dało się jeszcze odczytać. *W pustyni i w puszczy. 101 zabaw towarzyskich. Zamróż. Pamiętnik z Samarkandy.* W kącie kolejne truchło. Dźgnąłem laską. Nie, to plusz i gałgany zamokłe z misia dziecięcego. Ktoś rozpruł brzuszek Pana Ciepceja i tak porzucił zabawkę zniszczoną. Szukali bogactw Wielickiego w pluszance Michasi? Pan Wojsław nie oddał po dobroci? O ile nie powiesili go pierwszego, razem z najznacześniejszymi burzującymi irkuckimi, zaraz po Odwilży. Nie zwróciłem uwagi, czy wiszą w ogóle na latarniach na Cwietistej trupy jakie. Podeszedłem do wschodniego okna.

Akurat w porę, by podejrzeć kolejny akt niezwalniającej rewolucji. Trzech wyrostków

zbrojnych przycisnęło pod lufami czwartego, zapewne do innej prawdy politycznej przynależącego. Działo się to po drugiej stronie ulicy, widziałem tylko ich plecy. Wiązali właśnie ręce nieszczęśnikowi. Sznur już przerzucili przez latarnię - mieli opracowaną całą technikę wieszania, na jeden koniec sznura szedł kamień i tym kamieniem ciskali ponad poprzeczką słupa. Skazaniec był gotów; wpierv coś na nich krzyczał, ale wcisnęli mu w gębę garść błota.

Teraz pętla na jego szyję, dwójka wieszateli łapie za przeciwny koniec sznura, na znak pociągną -

Wypadł na nich z deszczu oddział konny, czterech jeźdźców zaledwie, ale aż nadto wystarczyło: stratowali tego, co trzymał skazańca pod lufą, zastrzelili jednego wieszatelia, drugiego zagonili pod mur. Jak prędko obraca się Prawda w rozmrożonym nurcie Historji! Niosła ofiara, uwolniona z pęt, złapała teraz tego trzeciego wieszatelia i powlokła, wierzgającego, pod latarnię. Pętłę mieli już zadzierzgniętą - wolny koniec sznura przymocował do siodła jeden z jeźdźców - tylko spiąć wierzchowca ostrogami - aż się wychyliłem z okna, oto jest owa gorączka egzekucyjna, co i przygodnego widza łatwo w dreszcz pasyjny chwytą - plujący błotem ocaleniec zacisnął stryczek na szyji swego kata -

Pękła pode mną deska, posypały się cegły, runąłem na pierwsze piętro.

Kiedym się otrząsnął z szoku i podźwignął na kolana, obolały, macając się za połamaniami kośćmi, oni już stali wokół z wymierzonymi karabinami. Uniosłem ręce do góry. Byle się podnieść na nogi, związać wzrok ze wzrokiem, nie mam przecież przy sobie broni ani żadnych papierów inkryminujących -

Na wsjakij słuczaj nasampierw stłukli mnie do nieprzytomności.

Napuchło mi z tego bardzo drugie oko, jedyne oko dotąd jeszcze widzące, czegom nie czułem, zanurzony w bólu równo rozłożonym, i myśl najszybsza po powrocie do reszty zmysłów była taka, że zmysł wzroku - on nie wróci mi nigdy, bo mnie oślepiłi, dlatego nie widzę. A to mnie trwoga zdjęła! Trwoga i gniew i żądza zemsty jakaś zwierzęca - począłem się miotać, w baleron związany, po powierzchni niegładkiej, obijać o sprzęty i ściany, wykrzykiwać groźby i przekleństwa. Aż ktoś podszedł (słyszałem kroki) i łupnął mnie znowu w ciemność, i znowum w nieświadomość utonął.

Potem już byłem rozsądniejszy. Oprzytomniawszy, leżałem cicho i tylko głową kręciłem wte i wewte, obijając się o deski; takem namierzył ból szczególny w powiece rozkwaszonej i bąbel krwi na oku narosły. Przekłułem go na drzazdze ostrej. Poczulem ciepło spływające po



twarży. Zacząłem walczyć z powieką: choćby milimetr, choćby szczelina na blask światła - ciach, strzeliło mi w źrenicę światło czerwone. Obróciłem się na bok, by z tej pozycji robaczej, krwią zalany, przez krew na więzienie swoje patrzeć.

Znajdowałem się w długim pomieszczeniu przeszklonym na ścianie przeciwległej szeregiem wysokich okien marostiekłowych, na których teraz tylko refleksy obrazów wewnętrznych się bełtały; na zewnątrz stała noc ciemna, burzowa, słyszałem regularny łomot deszczu i pomruki gromów odległych. Tu natomiast paliły się lampy elektryczne; słabo, i tak jedna na pięć, niemniej była to pierwsza elektryka w Irkucku po Odwilży, jaką ujrzałem, nawet w Szpitalu Trójcy Świętej obywali się bez.

Na jednym i drugim końcu pomieszczenia szły w górę i w dół zimnazowe schody kręcone, i ktoś bez przerwy po nich zbiegał i wbiegał, przeważnie mężczyźni pod bronią, z opaskami czerwono-czarnymi na ramionach. Próbowałem sobie przypomnieć kod barw rewolucji, jak to go sztatscy mi objaśnili. Zieleń i biel to był SSzS, czerwień - leninowcy, czerń i biel - nacjonał-demokraci, a czerń i czerwień - komuniści Trockiego chyba?

Nie byłem tu jedynym ich więźniem. Tuż obok po prawej leżało pod ścianą trzech nieszczęśników w jeszcze gorszej od mojej kondycji, bo z rękoma na plecach związanymi i w workach na głowach. Zresztą po jakimś kwadransie zjawili się kilku dryblasów z bierdankami i wywlekło tych trzech za nogi, zapewne na egzekucję pośpieszną. Zadrzałem.

Po lewej natomiast miałem zwierzęcą klatkę, w której leżał goły trup zmaltretowany okrutnie, cały w ranach, strupach i sińcach, z odrąbaną lewą stopą i palcami poodrżynanymi. Znacził, takim wpierw pomyślał - że trup - ale on się w pewnej chwili poruszył, obrócił w klatce w moją stronę, łypnął okiem zakrwionym... Aż mnie wstrząsnęło z zaskoczenia i obrzydzenia mimowolnego, z którego nie potrafiłbym się wytłómaczyć, jako że najwyraźniej dopiero życie w tej masakrze dotknęło mnie ohydą; śmierć bym przełknął. A on spostrzegł, że go widzę i na dodatek uśmiechnął się do mnie bezzębnie, dziąsła pokancerowane szczyżąc. Na czole wysokim, wypukłym miał cztery szramy jak od pazurów drapieźnika. Lok włosów siwych przykrzepł mu nad nosem rozłupanem. Oddychając, świstał dziwnymi dziurami w twarzy. Maż bezbarwna ciekła mu z ucha.

- Priwiet w czistiliszczie - zachrypiał mi przez pręty; jeszcze zakaszłał, zaświstał, poczem zachichotał głupekowato, i wtedy, w krótkim błysku ćmieczy, rozpoznałem kalekę storturowanego: Franciszek Markowicz Urjasz.

Znamy się z Jaszczika, mówię, widywałem Wasze Błagarodje w sprawach urzędowych,

szto słuciłóś? A on: chry-chry-chry - i to jest chichot pana Urjasza, on się śmieje; i wtedym pojął rzecz drugą: Franciszek Markowicz saszoł s uma.

Ile go tak trzymali w niewoli okrutnej? Popytując ostrożnie, słówko po słówku, wydobyłem historję nieszczęścia: złapali go zaraz po Odwilży, ale nie trockiści wcale, jeno oddział rojalistów liedniackich, którzy wtedy jeszcze w Irkucku siłę jaką mieli; chcieli oni mianowicie przede wszystkim pokarać hrabiego Szulca za zdradę wobec Jewo Impieratorskawo Wielicziestwa niewybaczną, a pan Urjasz napatoczył im się jako gienerał-gubernatora zauszniak pierwszy, z którego wszelką możliwą metodą wyciągną sekret kryjówki zdrajcy. Albowiem liedniacy, nie ujrzawszy na własne oczy trupa hrabiego, nie dawali wiary wieściom o jego śmierci i zawzięli się dotąd męczyć biednego Franciszka, aż im on tajemnicę wyjawi. Tylko że Franciszek tajemnicy żadnej nie znał. Hrabia Szulc-Zimowy nie żył. Była Odwilż, plotka równała się plotce równała się prawdzie. Mówił, ale nijak nie potrafił ich przekonać. Gdyby co wiedział, wyznałby pierwszego dnia. A tak - torturowali go tygodniami. To wtenczas począł tracić rozum. On mi tego nie rzekł tak wyraźnemi słowy, rzecz oczywista, lecz historja była jasna: męczyli go nie do punktu Prawdy, lecz do punktu rozmrożenia zupełnego. Zwarjował. Wtedy sprzedali go leninowcom.

Ci wpierv na proces publiczny pokazowy sprawiedliwości ludowej zamiarowali go użyć, ale szybko zdali sobie sprawę, że tylko pośmiewisko z procesu uczynią, takiego oskarżonego na widok i przykład wystawiając. Ale zabić go ot, tak, bez pożytku żadnego i bez decyzji politycznej - na to też się nie zdobyli. Trzymali go więc w piwnicy ciemnej, karmiąc jakimiś robakami i odpadkami, aż przesunęły się fronty rewolucji ulicznej i kwartał cały zajęli trockiści. W ich rękach pan Urjasz doświadczył cierpień nowych, między samymi trockistami bowiem nie było zgody co do ich drogi politycznej na Syberji, i spierały się tam ze sobą rozmaite grupy spiskowe i wewnątrzspiskowe, każda na nauki Lwa Dawidowicza Bronsteina się powołująca. Tak więc, gdy ci już na latarnię pana Urjasza ciągnęli, wpadała kamanda insza i nie, powiadała, my życie gubernatorskiego zauszniaka na korzyść Rewolucji prehandlujemy! Tak oto trafił do tej klatki zwierzęcej, jak zwierzę - wilczur jaki czy chart - w niej ściśnięty, w czworaczej pozie trzymany tygodniami. Podczas gdy trockiści targowali się z Pobiedonoscewem o jeden pociąg więcej, o bezpieczny transfer tomski, o jakieś koncesje energetyczne. Lecz Pobiedonoscew widać lekce sobie ważył pana Franciszka Markowicza. Urjasz szczerzył się z dumą sabaczą. Nigdy on mnie nie cenił, chry-chry. Trzymają mnie na gulasz, na gulasz, gdy głód podejdzie do gardła Rewolucji, wtedy mnie zjedzą, chry-chry-chry.

I kiedym sobie tak szepty i chichoty warjackie z zezwierzęconym czynownikiem gubernatorskim wymieniał, zaszedł do nas pod ścianę jeden trockista w kurtce skórzanej, fasonowej, z trzema dziurami po kulach na piersi, lampę gazolinową nad głową wznoszący. Zamilkłem, gdy spostrzegłem ruch cieni na powierzchniach drewnianych. On stanął, pokiwał się na obcasach butów kozackich, wysokimi cholewami lśniących, nachylił się, przystawił mi do skroni umbrę lampy gorącej. Szarpnąłem się wstecz. Złapał mnie za połę marynarki, poderwał do pozycji siedzącej i jął przeszukiwać kieszenie. Pugilares zabrali mi już wcześniej. Ten bojowiec był wszakże bardziej skrupulatnym. Co chwila zerkał mi przytem w oko; a i ja pod dziwnem wrażeniem się znajdowałem, iż znam skądś tego młodzieńca czarnowłosego, o obliczu topornem, pod gniewnymi bruzdami zamarzłym, z wąsem sumiastym usta kryjącym, o dłoniach spracowanych, od odcisków twardych. On? On? Nie on. Znalazł mi pod brezentem szyldkret z rysunkiem panny Jeleny, zabrał, otworzył, przyświecił sobie nad kartonem, uśmiechając się pod zarostem cygańskim. Krzyknąłem protest pusty - zdzielił mnie na odlew, nawet pięści nie zacisnąwszy. Ale skóra pod okiem ślepem pękła mi niczym od cięcia. Gdy odchodził, pod blaskiem gazolinowym dojrzałem tę gwiazdę jasną na palcu jego serdecznym: pierścień z wielkim brylantem, krwią teraz olepionym. Który już łatwo rozpoznałem z pamięci zimnej - on? on! - jako brylant Wielkich Mogołów pana Wojsława Wielickiego.

Zadrzała podłoga i dreszcz przebiegł po budynku całym, zadzwoniły szyby w oknach: przejechał pociąg. Trzymali nas gdzieś niedaleko drogi żelaznej - czyż nie pod trockistów kontrolą znajduje się Innokientijewskij Pasiołek i wszystkie te osiedla robotników na południe od Dworca Murawiowa? Leżałem zgnębiony myślami coraz bardziej ponuremi. Pomordowali wszystkich, mnie zamordują. Specjalista od marnowania planów algorytmicznie obliczonych! Miał Historję przed sobą na biurku, to nie, musiał w entropję najgłębszą sam poleżeć! Strużka ciepła ślimaczyła mi się po policzku, drażniąc okrutnie nerwy na skórze; tarłem twarzą o deski. Ból, ból, ból. Urjasz przypatrywał mi się okiem dzikiem. Głupi, syczał, głupi, głupi oni wszyscy! Smatri, jak tańczą, jak złotem w ślepiu sobie świecą, jak pod kryształami ziewają, krasawicami, orderami się puszą! Gdzie teraz książęta, jenerały, admirały? Gdzie one? Czistiliszcze!

Zaiste, gdzie oni teraz? Zapytałem spiałego komisarza o księcia Błuckiego. Stał on przecie z siłami carskimi w Aleksandrowsku najpierw, a potem, po pakcie tym dziwnym z Pobiedonoscewem i hrabią Szulcem-Zimowym, cofnął się na Ob. Czy Imperator nie dał mu jakichś rozkazów po Odwilży? Na to Franciszek Markowicz zatrzęsł klatką, tłukąc się o prety

w histerji nagłej. Chry! Chry! Chry! Księżę Błucki! Księcia Błuckiego małżonka jego własna otruc chciała! Taki to pakt z Pobiedonoscewem liedniacki był, i taka siła hrabiego Zimowego na tronie Syberji: Lód! Lód! Ale się rozpekło. I tera mnie zeżrą. Chry!

Zamknąłem oko. On już rozmrożony zupełnie, pamięć wycieka mu uszami. Mogło być tak, mogło być inaczej. Pogmerałem palcami nieporadnymi w pętach - nie, nie rozplączę. Naprężyłem mięśnie. Nie zerwę. Co chwila ktoś przechodził jak nie przez samo pomieszczenie długie, to po schodach z lewej lub prawej; nie ucieknę tak. Żebym chociaż wiedział, na co patrzą te okna wysokie... Marostiekło łatwo nie pryśnie, ale może da się z rozpędu wybić okno razem z futryną i wyskoczyć na zewnątrz - lecz co, jeśli to druga, trzecia wysoka kondygnacja, a do ziemi nic, jeno przepaść? Złamię kark. Ale może nie. Może na jaką hałdę węglową albo daszek albo wagon na bocznicę wyskoczę. Otwarłem oko. Poderwać się, rozpędzić, dziesięć kroków, łup, okno czarne. Więc jak? Uda się? nie uda? Przeżyję? nie przeżyję? Skakać? nie skakać? Zanim przyjdą i na latarnię powiodą albo, co gorsza, wsadzą do klatki i do obłądu doprowadzą. Przygryzłem język. Prawda czy fałsz? Prawda czy fałsz?

Przyszli wcześniej, niż w tym do reszty zamarzyłem. Ten z brylantem holenderskim i dwóch jeszcze osiłków - postawili mnie na nogi, rozcięli więzy. Pociągnęli bez słowa. Szedłem, nie opierając się, tylko zezując spod powieki napuchłej na pobliskie okna.

Nie doszliśmy do schodów. Wepchnęli mnie do kantorka zagraconego, klitki kwadratowej pod nagą żarówką żółte światło lejąca, bez stołka choćby jednego, za to z trzema blatami zawalonemi gazetami, obwieszzeniami, bibułami, knjigami zaczytanymi. W głównej ścianie nie było okna, co zaraz skonstatowałem z bierną rozpaczą. Wisiał tam za to wielki, bohomazowaty afisz przedstawiający muskularnego Robotnika z podwiniętymi rękawami, depczącego na bruku ulicznym szczurą Monarchję, a wszystko to na tle bliźniaczych czarnych kopuł i kościotrupiej wieży. Nawet liternictwo było identyczne jak na plakatach agitacyjnych z czasów wojen z Japonją. *Abszczenarodnaja Riewaliucyja!* I wiele szarości czerwien symbolizującej.

Maładjec brylantowy wcisnął mi w dłoń ciężką słuchawkę telefonu, poczem wyszedł, zatraskując za sobą wąskie drzwi. Spojrzałem, zdumiony. Mieli tu telefon! Który widać naprawdę działał. Zdażyli pociągnąć po Odwilży druty - ale dokąd? Nie poza miasto przecież.

Przycisnąłem chłodny metal do pólucha bolącego.

Iiijuuuuuuu, wi-iiiiij, uiiiiiiju... Łiii-ii-iisk! Krkkkk.

Wiatr elektryczny duł po kablu. Odłożyłem słuchawkę, podkradłem się do drzwi - stoją



- Warunek. Dostaniemy mapy ładunków wszystkich.

- Sam siebie nie wysadzę.

- Ale potem, potem.

- Na granicy zatem.

- Na granicy. *D'accord*. Zamarzło.

- Zamarzło, dałby Bóg, żeby zamarzło.

Odetchnąłem.

- I co, tyle?

Krchrrr.

- Aleksandr Aleksandrowicz?

Iiijuuuuuu, wi-iiiiij, uiiiiijju...

- Aleksandr Aleksandrowicz, a co z waszym Królestwem Ciemności? To już nie chcecie świadczyć trjumfalnemu powrotowi Lodu? Co z waszemi marzeniami, z wizjami wielkimi, któreście mi opowiadali jak drug drugu? Miałem zasiąść u waszego boku. Odwróciło się to. A?

Uuiuiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii...

- Aleksandr Aleksandrowicz! - Coś tu nie sztykuje. Oczywiście, mamy Lato, nie policzę charakteru człowieka z pewnością zupełną, zwłaszcza kogoś takiego jak Pobiedonoscew. Niemniej... Czy można aż tak łamać algorytmikę duszy? To się nie sumuje! To się nie kalkuluje! - Co tam się stało? Powiedzcie. Przed Odwilżą jeszcze. Słyszę, żeście się umawiali z księżną Błucką-Osiej na trucicielskie zamachy na księcia samego. Co to za prawda?

Krchrrr.

- Gaspadin Jerosławski...

- Ale powiedzcie, powiedzcie!

- Wiecie przecie, że Jego Książęca Wysokość cięty był na was od początku. Słyszałem, że to sprawy jeszcze z podróży Ekspresem. I jak tylko słowo poszło -

- Huzarów swoich za mną pchnął.

- I to pierwsza irytacja jego wielka, boście mu człowieka dobrego wtedy ubili. Ale

księżna, księżna i... i ja... myśmy przede wszystkim chcieli ochronić Lód, obronić lute. I pana, gaspadin Jerosławski. A księżę, to znaczy Imperator -

- To wy posłaliście na Tesłę tę armję bradiagów!

- Ale zobaczcie! Nie miałem racji? Dziękować mi powinniście! Że się tak za doktorem piorunowym ujmujecie - to wbrew wszelkim racjom, wbrew logice, wszak stoicie na przeciwnych biegunach idej, on bije w Lód, wy z Lodu apoliteję chcecie budować - po dwóch stronach frontu walczycie - gdzie tu logika?

- Ile razy wam mówiłem, gaspadin Pobiedonoscew? On mój drug!

- *Les amis de mes amis sont mes ennemis - mais c'est absurde!* Mój Boże, żem go wcześniej usunąć nie kazał, jak mogłem jeszcze! Teraz chwali się po wszystkich gazetach świata: „Człowiek, Który Rozbił Lód”. *Quelle bouffon!*

- A jednak medjowaliście między hrabią Szulcem i księciem Błuckim.

- Ach, nie tak to szło. Księżę się już szykował do szturm gieneralnego, uradziliśmy, że księżna poda mu czaj zatruty, posłałem pana Ziela z chemją błyskawiczną, ale go pojмали ochranniki; nie wiem, czy im się wygadał, no, na pewno wygadała się księżna. Imaginuj pan sobie tumult w głowie księcia starego! Wyprawił prędko małżonkę do jakiejś lecznicy nerwowej zamkniętej, a na ślad za Synem Mroza tropicielei specjalnych Geista spuścił, księżna tak mu naopowiadała o zwycięstwie Lodu i Polakach Gierosławskich...! Ale stracił już zupełnie Jego Księżęca Wysokość serce do Syberji i kwestyj politycznych, wojennych. A potem Tesla uciekł hrabiemu Szulcowi i było po sprawie.

- I weszliście w sojusz otwarty z hrabią, i Syberja ogłosiła niepodległość.

- Co było robić? Bez Lodu -

- Wy umieracie.

Tarłem słuchawką ranę na skroni. Pulchny Robotnik z afisza na przeciwnej ścianie spozierał na mnie oczkami jasnemi, paluchy jak parówki zawinał na wintowce, bużka knedlowata przelewała mu się nad kołnierzem białej koszuli. Rzecz w tym, że oni tu wszyscy musieli byli spodziewać się Rewolucji. Odwilż co najwyżej uwolniła Historję dotąd zamrożoną. Szulc wszak wywiózł wcześniej całą swoją familję. Pobiedonoscew zaminował w sekrecie setki mil torów. I co, i teraz -

Właściwie jednak po cóż przewodniczący rady dyrektorów Sibirchożeta miałyby minować

Transsib? To byłby wyśmienity argument w negocjacjach hrabiego Szulca-Zimowego z carem, bo odcięcie Peterburga od pacyficznych portów Imperjum to dla cara Mikołaja groźba najwyższa - lecz cóż tu Pobiedonoscew...?

I skoro tylko Lód trzymał go przy życiu w chorobie skądinąd śmiertelnej - jak w ogóle przeżyłby rok z górą po Odwilży? Jak?

Co on najlepszego wyprawia, siedząc tam na szczycie wieży, pośrodku miasta zajętego przez bojowników partyj jednako mu wrogich, i wyszantażowując sobie od nich dzień za dniem?

Zacisnąłem oko zasiniaczone. Stoję na peronie Starej Zimy, biel dookoła, każdy może być tym, kim się z kłamstwa w prawdę przerobił, z Lata w Kraj Lutych wjeżdżając, a ja muszę wnioskować przede wszystkim z tego, co nie istnieje - z tego, co nie istnieje - nie istnieje - nigdy nie istniało -

Iiiiuuuuuu, wi-iiiiij, uiiiiiju... Łiii-ii-iisk!

- Czemu pan Franciszka Markowicza swojego wiernego nie wykupuje, panie hrabio?

Krchrrr! Krchrrr! Krchrrr!

- Na co Pobiedonoscewowi sługa generał-gubernatora...

- On męki piekielne tu cierpi.

Uuiuiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii...

- Wiem.

Ale nie zaryzykuje, to już obudziłoby podejrzenia. Na co Pobiedonoscewowi sługa generał-gubernatora?

I nie przyzna mi się przecież wgłos. Skąd może wiedzieć, kto słucha?

Bo z kim rozmawiam? Z wiatrem elektrycznym, z falą dźwięku przez kabel szorowaną, z wizgiem metalowym na tubach ukrytych modulowanym. Czego nie widzę, czego bezpośrednio nie doświadczam - tego nie ma. Przeszłość, przyszłość - pustka. Zali istotnie stałem twarzą w twarz z Aleksandrem Aleksandrowiczem Pobiedonoscewem? Zali mówiłem kiedykolwiek z człowiekiem takim jedynostajnym?

Przycisnąłem czoło do bakelitu chłodnego. Lodu! Lodu!

Może istotnie on umarł krótko po Odwilży, może tak to przebiegło. Uciekając przed



tłuszczą mordującą, dokąd miał się Szulc zwrócić, jeśli nie do kryjówki naniebnej swego sojusznika przeciwoctepielnickiego? Więc dociera cudem jakimś w noc rewolucji do wieży Sibirchożeta, a tam - kto? Trup Pobiedonoscewa na tronie hydraulicznym zamrożony? Mogło tak być, mogło.

Nikt nie widział jego oblicza, nikt nie słyszał głosu nagiego. Po śmierci jego Anioła - ilu ludzi, prócz wiernych sług burjackich, miało doń dostęp wolny? Cóż prostszego, jak zająć miejsce świeżych zwłok?

Mogło tak być? Nie, chyba nie. Ktoś musiał wszak przemówić przez tuby zimnazowe, żywa ręka musiała nacisnąć zgrzytliwe wajchy, żeby wpierw rozkaz wydać i dopuścić hrabiego na szczyt zaćmietlony, przed tron ciemności. Szulc przyszedł, stanął, zażądał azylu i... Pobiedonoscew odmówił? chciał go rzucić tłumom na pożarcie? pokłócili się, hrabia wdarł się między automata, sięgnął ciała - mogło tak być - sięgnął ciała, i co? zabił? Zabił. By następnie skryć się pod maską Niewidzialnego, pod maską imienia.

I odtąd to nie Pobiedonoscew mówi głosem Pobiedonoscewa, nie Pobiedonoscew rządzi przez zimnazo Pobiedonoscewowe. Bo kto pozna różnicę? Nikt nie widział twarzy. Nikt nie obrachował charakteru.

Lecz - nikt nie widział twarzy Aleksandra Aleksandrowicza od samego jego przybycia do Irkucka!

Gdzie zatrzymać podejrzenie, na czym oprzeć granicę? (Lodu! Lodu!) Gdy zgubimy miarę prawdy - co decyduje? Cokolwiek.

Przecież -

- Czy Pobiedonoscew w ogóle istniał?

- Co?

- Czy istniał. - Odcharknąłem. - Taki człowiek: naczałnik Sibirchożeta. Musieliście przynajmniej widzieć zwłoki.

- Ależ...!

- Nie do rozpoznania, tak.

Obszedłem wokoło blat do ściany, na ile sznur od aparatu pozwalał. Ciało obolałe, ze wszech stron obtluczone paliło przy każdym ruchu. Ale to dobrze, to są atrybuty entropji: nie można obliczyć - trzeba zgadnąć. Więcej ruchu, więcej bólu, więcej nieporządku w materji

mózgowej.

Szulc/Pobiedonoscew zakaszłał grubo.

- Myślicie, że -

- Wy przecież zastąpiliście go gładko i nikt się nie wyznał, nieprawdaż? Co, widzieliście go kiedy za życia na oczy?

Iiijuuuuuu, wi-iiiiij, uiiiiijju...

- Czy się kiedy spotkali otwarcie: Pobiedonoscew i hrabia Szulc. O to pytam.

- W Sankt Peterburgu, przed laty, na obiedzie u premiera Struwa.

- Ale tutaj, w Irkucku!

- Wedle tego, co Rasputin i jemu podobni po dworach rozpowiadali... wiara taka, taka nadzieja... wielu ludzi jeździło w Kraj Lutych w chorobie śmiertelnej. Są też dolegliwości bardziej wstydliwe, w których człowiek od początku od bliźnich ucieka, odsuwa się w cień, wymazuje. Rozumiecie wszak.

- Miałem już to samo podczas podróży pociągiem z Lata... - Rąbnąłem kantem dłoni w kant blatu, spadły papiery, zabrzczały metalowe wnętrzości telefonu. Ból popłynął przez ciało strugą świeżą. - Powinienem był się domyślić! Ten *modus operandi* jest aż nazbyt oczywistym. Zwłaszcza pod Lodem: co większą prawdę o tobie zdradza niż kłamstwo od ciebie samego pochodzące? Tak się opowiadasz światu. A on przecie przyznał mi się otwarcie, że posłał na Tesłę agenta tym sposobem pod żurnalistę flamandzkiego podszytego. Taka była prawda! Taka Pobiedonoscewa metoda szczerza! Takie kłamstwo najprawdziwsze!

...Przyjechał chory śmiertelnie i umarł prędko, albo i mu w tym dopomogli jakoś. Ponieważ już się był krył przed światem, świat się nie dowiedział. Czy wynajęli człowieka, żeby za trąbami i pneumatykami na szczycie wieży siedział i ich rozkazy głosem swoim zaszyfrowanym przekazywał? A może sami na zmianę rolę tę odgrywali, po dniu, po tygodniu?

- Kto?

- Sibirskoje Choład-Żeliezapramyszliennoje Tawariszcziestwo! Dyrektorowie z rady! - Przyciskałem słuchawkę do ucha, czoło do deski, oko puchnące do gwoźdźcia zimnego. Ślepiec wbity łbem w ścianę, taran głupoty myślowej przeciwko tępacie materji. To dlatego łamały się dedukcje prowadzące od agenta-zabójcy do Pobiedonoscewa: nie było żadnej

jedynoprawdy charakteru za tym rozkazem stojącej. Uradzili to, przegłosowali, wykalkulowali, wyinferowali z konieczności ratowania swoich fortun zimnazowych, procent i procent, rubel i rubel, pakiet akcji i pakiet akcji.

- Miastem Lodu od początku rządził pieniąż! Rządził nim bezpośrednio Lód i zimnazo, wahania kursów charbinowych i wojny geologiczne na Drogach Mamutów! Nie żaden człowiek, lecz Konieczność - nie słowo cara, którego słuchali tyle, ile musieli - i nie Aleksandr Aleksandrowicz Pobiedonoscew. Który nie istniał, nie istniał, nie istniał!

Uii-iiłł-iii-ii-iisk...

Krchrrr.

- Ale... uiuiiii... mówicie... hiiizg!... o tym... Królestwie Ciemności... iiiiiiiiiii... i przyjaźń waszą w projekcie przyszłego świata Lodu... kto... wi-iiiiij... skoro nie... izg!... No kto? Rada dyrektorów? Głosowali te sny? Przedawali sobie akcje przyjaźni zaplanowanej?

Zaiste, kto marzył, kto śnił? Skoro nie istniał - czyją prawdę w kłamstwach tych opowiadał? Jaką tajemnicę duszy kolektywnej objawił w kazaniu żarliwym o Królestwie Ciemności, zza świecienia i ćmiatła opowiadający, zza hurgotu stalowego - on, wzór szronu pomiędzy dyrektorami Sibirchożeta rozrosły, on, Człowiek, Którego Nie Było?

O czym śni Sibirchożeto? O czym marzą spółki giełdowe i korporacje miliardowe? Jakie koszmary lodowe napędzają biurokratyczne dusze Akcjoniernych Obszyczestw, *Societes Anonymes* i *Aktiengeselhchaften*?

Wtedy, na wieży zimnazowej - rozmawiałem z istotą bez ciała i mózgu, i nawet nie z mechanicznym tworem przecież, nie z inteligencją maszynową, kalkulatorem jakimś Leibnizowym na trybach i taśmach nakręconym; sojusz swój i przyjaźń oferował mi ktoś inny, coś innego zupełnie... Jak my jesteśmy dziećmi materji i stąd w górę, ku światom idei kwitniemy, tak ono urodziło się między idejami i stamtąd dopiero niepewnie w materję sięga. Dziecko Historji, z taką samą naturalnością poruszające się po gradjentach konieczności dziejowych, z jaką my między pokojami domu murowanego przechodzimy.

Za herolda i powiernika jedynego znajduje sobie - kogo? Anioła wyrzezanego, człowieka prawie już od ciała odjętego, odklejonego od materji. Na przyjaciela szuka - kogo? Matematyka, Algorytmistę Idej, Benedykta Gierosławskiego nieistniejącego.

Że akurat urosło na pożywce pieniądza... Inne urosną na polityce czystej, na wojnie, jeszcze inne - na przyrodoznawstwie. Organizmy z idei miast białka zbudowane. Nie ma na

razie na nie nazw, nie ma języka.

- Cóż, teraz i tak nie dojdziemy tu prawdy. Odmarzło.

Krchr, trtrtr, krkkkk, kch-kaar! A to już śmiech Szulca/Pobiedonoscewa.

- Ach, ach, przecież ja wiem, jak jest: hrabia Szulc nie żyje, on nie żyje! - I śmieje się dalej.

Nie dojdę prawdy. Może to Szulc kłamie Pobiedonoscewa, a może Pobiedonoscew kłamie Szulca. Może być tak i może być tak. Jest tak i tak.

Lato.

Biję łbem w ścianę. Iiiiuuuuuuuuu! Na zewnątrz deszcz łomocze na blachach, stuka w drewno. Otwieram oko. Drożdżowy Rewolucjonista przeży muskuły.

Wydech.

A jakież to wszystko ma znaczenie...? Byle doczekać Lodu. Stanie się prawda i fałsz, byt i niebyt, Jeden i Zero.

- Daję wam słowo. A teraz powiedzcie im, żeby mnie puścili.

- ...uiuiiii... zawsze... wjuiiiizzz... słowo... izzzz!... Jerośławskiego...

Odłożyłem słuchawkę obok aparatu, zapukałem w drzwi. Brutal brylantowy zmierzył mnie rzeźniczym spojrzeniem i minął w progu bez słowa. Chwilę słuchał głosu na drucie wyjącego. Potem poszedł po zwierzchność, dwóch inszych wartowników mi stawiając. Czekałem cierpliwie.

Zjawił się trockista starszy, ze snu zapewne wyrwany, o tak mętym zrazu wzroku. Nie bardzo widać zorientowany był w sprawie: wpierw zagadał z brylantowym, potem długo rozmawiał z Szulcem/Pobiedonoscewem. Na koniec rozłączył się i machnięciem wysłał bojowników z kantoru. Dopiął marynarkę pomiętą, zapalił papierosa... Mrugałem, składając na źrenicy jego obraz rozmyty. Przypatrywał mi się, kaszląc w dłoń przy ustach zwiniętą. Dopiero zaczęło mi coś w oku i głowie zamarzać - karty, papuga, AGG, nie, tamten był łysy jak kolano.

Odchrząknąłem.

- Byliście redaktorem „Irkutskich Nowosti”.

Poczęstował mnie papierosem, podał ogień. Zaciągnąłem się. Mrużył oczy, wciąż

oślepiane przez żółtą żarówkę.

- Pewnie powinienem zatrzymać pana na targi z Pociągłą, gospadin Jerosławski...

- Ładny handel żywym towarem teraz u Lwa Dawidowicza przechodzi. Może od razu na latarni mnie wywieście.

- Ech, Paliaki. - Strzepnął popiół w garść drugą. - Nie wywijaj pan mi przed oczyma nazwiskami, Trocki nocował u mnie nieraz, wiszę na Liście Czterystu.

- Spisek elit! - Uśmiechnąłem się wargami krwią naciągniętymi. - Jak zrobić rewolucję proletariatu w kraju bez proletariatu? Ano, inteligencją żydowską, która wie, co dla proletariatu najlepsze, proletariatem nie będąc. Skąd wie? Z kalkulacji historycznych. Ale kto się bierze za Matematykę Historji nie jak uczone zimny, bezstronny, na liczbach i wewnętrznym pięknie algorytmiki jeno skupiony, lecz jak misjonarz, sekciarz, z góry jedynoprawdą swoją świętą oślepiiony i wedle niej wszystko ujmujący, na prawdybój przeciwko światowi stający - ten nigdy dobrego wyniku nie dostanie. Zabolalo studentów cienkoskórych cierpienie prostego człowieka i poszli nawracać Rosję na religję Marksową nową. Rachunki humanistów! - prychnąłem. - No to macie sprawiedliwość ludową i nowy porządek świata: głód, terror, trupy na ulicach i ludzie w klatkach zwierzęcych, jak zwierzęta trzymani.

Redaktor-trockista przeciągnął się, zmęczenie, znużenie głębokie usiłując z ciała i umysłu strząsnąć.

- Nie mam na was nerwów... - Przysiadł na stole, ale to go w pozę niską wbiło; spostrzegł się i wstał. - Przecież pan jest inteligentnym, kształconym człowiekiem, czytałem pański artykuł, pan musi widzieć, że sama idea jest słuszną. W tym zaś dzieło, ażeby zgodzić świat z ideją. Gdyby Pobiedonoscew nie zaminował Transsibu, gdyby bolszewicy nie złamali przymierza rewolucyjnego, gdyby nie blokady japońskie i wojna chińska, gdyby nie przeciwjapoński Pakt Pacyfiku samodzierżawcy z Amerykańcami, gdyby nie epidemie ciągłe w mieście... Wot, błoto, miazga, bałagan, mierzwa. To świat nie pozwala nam zrealizować ideji!

- Żeście zaczęli wszystko od złego końca: najpierw trzeba oddać świat pod władzę idej zupełną, potem dopiero brać się za inżynierję dziejów.

- Zgłosimy się do waszego Tawariszcziestwa z pierwszym zamówieniem - splunął kwaśnym sarkazmem redaktor zmiętolony i na tym urwała się konwersacja, bo wrócił

brylantowy bojowiec z moimi rzeczami. Oddali mi palto, laskę, pugilares, szyldkret z rysunkiem panny Jeleny, nawet pudełko tutek podwilgotniałych.

Redaktor pochwycił spojrzenia moje krzywe na pierścień na rękę mołojca świecący i wtem, wprost z rozespiania, ze starczego zmęczenia, eksplodował w gniew bełkotliwy, rycząc na młodziana taką nawałnicę przekleństw, złorzeczeń, gróźb śmiertelnych i matierszczinowych bluzgów, że junosza wprysk zamarzył przed nim pośrodku kantorka na bacność, ruki pa szwam, głaza w patałok, i czeka pokornie wyroku bojara, w kamień zrugany. Wspomniałem ryki urzędowe komisarza Szembucha. Chamstwo stosunków tych pańszczyźnianych, półniewolniczych długo jeszcze nie wyjdzie z Rosjan, wte czy wewte obróci się Historia. To jest właśnie owa miazga i mierzwa klócają projekty idejowe, gdy budowane na entropji. Przyjdzie tu Królestwo Boże Filimona Romanowicza Ziejcowa i aniołowie rosyjscy też będą się prać po pyskach i od kurwy synów opluwać wedle rang niebieskich, z góry na dół, wódką ciepłą nachlani i czerwono spoceni pod piórami śnieżnobiałymi.

Nareszcie redaktor zdarł bojowcowi pierścień z palca i wypchnął trockistę z kantoru.

- Komu go ukradł? - spytałem, zapiąwszy płaszcz, rękawem krew z twarzy ścierając, oko macając ostrożnie zasiniaczone.

Wzruszył ramionami.

- Krawcy, szewcy, śmieciarze - sapnął - ot, takie u nich pojęcie sprawiedliwości ludowej: zabrać bogaczowi. Cóż się dziwić ciemnocie biednej? No, chodźcie, chodźcie, musimy was wyprawić, żeby Pobiedonoscew wykretów nie szukał. Dokąd to szliście?

- Do Szpitala Miejskiego.

Odstawili mnie na granicę cyrkułu trzymanego przez nacjonal-demokratów, za Bajkalską od starej przystani rzecznej, zaraz na zachód od Innokientijewskiego. Tymczasem rozpadało się jeszcze mocniej, chmury zasnuły szczelnie niebo nocne nad Irkuckiem i kształt miasta rozmazał się zupełnie na cieniach głębszych od cieni: jedna plama mroku, bohomaz rozchlapany, czerń rozlazła w maślane ni-to-ni-owo. Tylem widział na oko spuchlizną zaciśniętą, dżdżem i wysiękiem różowym zalewaną: jak to pływa, jak przelewa się z abrysu w abrys, gorzej, rozsadza wszelkie linje abrysu. Nie miałem okularów marostiekłowych - miasto rozpuściło się samo.

Przekulałem przez ulice graniczne, kryjąc się pod murami. Paliło się światło w

wieżyczkach i mansardach Szpitala Miejskiego, tylko dzięki temu rozpoznałem jego budynek. Jak po pożarze w 1879 roku, tak i po Wielkim Pożarze w 1910 sprowadzono do Irkucka wielu młodych architektów, w nowe mody światowe zapatrzonych, ażeby odmienili oblicze metropolji bajkalskiej. Z początkiem epoki Lodu dodatkowe okoliczności się narzuciły: technologia zimnazowa i bezpieczeństwo przed lutymi; zbyt szybko jednak szła restauracja, by odbiły się one znacząco na obrazie śródmieścia. Szpital Miejski odbudowany został jednak z opóźnieniem dwuletnim z uwagi na jakieś skandale defraudacyjne; w końcu dołożyło się z funduszami swoimi Wschodniosyberyjskie Towarzystwo Krzyża Czerwonego, oddając lecznicę pod zarząd Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Tymczasem otrzymała ona projekt zupełnie nowy i gmach powstał już bardziej pejzażowi Zimnego Nikołajewska pasujący: na pierwszej kondygnacji na kilkanaście arszynów wysokiej, na filarach zimnazowych, w formy ażurowe wychłodzonych, w ścianach wielkimi płytami marostiekła objętych, z tuzinami neogotyckich wykuszów i secesyjnym wzornictwem roślinnym między oknami puszczone, w pilastrach i reliefach.

Światła paliły się w skrzydle wschodniem; dopiero jak podszedłem pod sam budynek, zobaczyłem, iż skrzydło ciemne zapadło się było w grunt rozmrożony - niewiele, arszyn może, ale to wystarczyło, żeby rozpruć zupełnie konstrukcję wielopiętrową i wyłamać z futryn wielkie tafle marostiekła. Jak odcina się od organizmu kończynę gangreną objętą, strupieszalą, tak tu odcięto od zdrowej części bolnicy część obumarłą. Życie i światło krążyły na prawo od szybu schodów i wind.

Gdzie wszakże chaos panował chyba większy jeszcze niż w Świętej Trójcy. Nasampierw, zaraz po wejściu z sieni, trafiłem na scenę rozdzierającą, gdy dwie kobieciny zaszlochane szarpały się z tobołkiem brudnym, same z kolei odciągane przez siostrzyczki; dołączyli się do burdy mężczyźni i nawet zrywny młodzian pod bronią. Obszedłem to z daleka. Siostrzyczka, która zoczyła mnie na izbie rejestrów i nuże obwiązywać mi opatrunkami czystymi poranioną głowę, lejąc roztworem nadtlenku wodoru czy inszym zabójcą bakcyli, siostrzyczka, dobra dusza, opowiedziała, że tragedia owa to przez gorączkę szcurzą: dziecko zmarło, trzeba je spalić, zaraza się szerzy. Krematorjum mieli w skrzydle ciemnym.

Wydobyłem karton z brezentu (wypadł mi raz i drugi z palców rozpuchłych). Taka panna, taki doktor, Konieszyn nazwisko - zna siostra?

- Doktor Konieszyn operuje w siódemce.

Razumiejetsia, myliła się. Pod numerem siedem (których to sal zresztą było trzy: 7A, 7B i

7B) żadne zabiegi nie mogły się odbywać: te pomieszczenia znajdowały się już za linią rozłamu, wiatr wcinał tam deszcz przez wylupione okna na sprzęty spiętrzone pod ścianami dolnymi. Obszedłem zatem całe piętro operacyjne. O stanie ogólnego bałaganu i bezhołowania świadczyło najlepiej, iż wędrowałem tak sobie swobodnie, człowiek z ulicy, w palcie wodą jeszcze ociekającym - tu noga odrzynana, tam dziesięć łóżek z nieszczęśnikami w męce jęczącymi, tu góra bandaży czerwonych na wnętrznościach wyprutych, tam poród skomplikowany, tu pierś i żebra na rozcież otwarte, tam kolejka niedobitków ze strzelaniny nocnej - i nikt na mnie nawet wzroku zdziwionego nie podniósł. Siostrzyczki z pełnymi rękoma dreptały tam i nazad, bez uwagi ludzi na korytarzach mijając. Panowie doktorzy - czterech ich naliczyłem o tej porze tu pracujących, czyli wszyscy chyba, jakich dało się ściągnąć, noc była krwawa, wojenna - wołali głosem gromkim o takie i takie medykałja, o wodę, o światło, o szmaty czyste i rękę pomocną. Witraże łukowe nad ich drzwiami umieszczone przedstawiały sceny ewangeliczne, głównie uzdrawianie chorych i wypędzanie złych duchów; Jezus był tam zawsze odwrócony plecami, odróżniony jeno jasnością sylwetki.

Pod numerem 3B (stado świń opętanych) doktor Konieszyn, krojący płuco jakiemuś grubasowi o głowie w kulę zabandażowanej, krzyczał o sączki i nici; znalazłem je dwie sale dalej. Siostra asystująca Konieszynowi podziękowała mi, nie wypuszczając z palców w pierś pacjenta włożonych pulsującego splotu żył. Cuchnęło naftą, krwią i zgnilizną, przede wszystkim naftą: stół operacyjny obstawiony był ze wszech stron lampami kopącymi pod sufit. - Nie zasłaniać, nie zasłaniać! - burczał doktor rudy, przesuwając sobie językiem na wardze krótki niedopałek, gdym tylko zbliżył się do stołu. Obszedłem salę pod oknami marostiekłowemi, brodząc w kopach zakrzepłych opatrunków i szmat, w pociętej odzieży i ścinkach ciała. - Panie doktorze - spytałem, opierając się o zimnazowe drzewo oliwne między szybami wysokimi wbudowane, bo już mi się z wielkiego zmęczenia, bólu i napięcia ciągłego w głowie kręcić poczynało - panie doktorze, gdzie pannę Muklanowiczównę znajdzie? - Nie teraz - warknął - nie teraz! Czekaj pan, ona tylko za dnia pomaga, nie znam adresu. O siódmej przychodzi jej zmiana. Mmm, jeszcze mi zemrze, taki syn!

Siadłem na stołku w kącie. Zeszła ze mnie gorączka; ochłódnę. Krew spłynęła mi do nóg, do dłoni opuszczonych. Laska stuknęła o posadzkę. Musiałem przycisnąć głowę do muru, inaczej skolebałaby mi się z karku w prawo lub w lewo. Opatrunek na oku zsuwał mi się coraz niżej, że już widziałem tę scenę w miodowych światłach lamp - z doktorem błyskającym okularkami w drutach srebrnych, w fartuchu płynami organicznymi zachlapanym, z siostrą białą i cielskiem wielkiem na katafalku rozprutem - widziałem w



połowie, w ćwierci, w jednej ósmej. Doktor pracował we wnętrzu oddychającego ciała ruchami kuchmistrza, po raz stutysięczny krojącego marchewkę i szatkującego buraki: raz, dwa, trzy, cztery, uciąć, wyrwać, przesunąć, zeszyć. Porozumiewał się z siostrą bez słów, odprawiali nad ciałem rytuał stuletni, nic nowego między człowiekiem i materją. Jakże posunął się w latach - schudł, zesechł, zmizerniał, zmarniały mu także faworyty, ongi bujne, lewy teraz przecinała blizna szeroka, mlecznobiała; tak zgubił, zatracił symetrię swoją doktor Konieszyn... Zamknąłem opatrunek na oku.

Ocknąłem się pod zimnem światłem deszczowego świtu.

Zdarłem bandaż.

- Która godzina?!

- Kwadrans po szóstej. - Doktor Konieszyn gmerał skalpelem w piersi grubasa, zwalniał powoli klamry, wyjmował zeń dreny, kleszczyki i szczypczyki, haki i zaciski, ale wszystko to ślamazarnie, od niechcenia, jedną ręką, w drugiej unosząc wysoko świeży papieros. - Po prawie powinienem was wyrzucić, ale - i tak zdechł mi drań. - Zaciągnął się, odchylił głowę prawie poziomo i chuchnął dymem tytoniowym pod sufit. - Ach, znowu młody! Omal jak za dni frontowych.

Z ulicy, stłumiony przez deszcz, dobiegł odgłos pojedynczego wystrzału.

Doktor zachichotał, poczem strzepnął popiół na serce trupa i podniósł na mnie wzrok czysty, trzeźwy - tak trzeźwy może być człowiek tylko o świcie porcelanowym po nocy bezsennej: nerwy na wierzchu, skóra jak pergamin, mózg pulsuje w czaszce otwartej.

- Pan od nich może? Czego pan chce od *mademoiselle* Jeleny?

- Wszystkiego. - Wstałem, wyciągnąłem doń rękę ponad stołem operacyjnym. - Benedykt Gierosławski.

- Wy? - Wycelował we mnie lancet, zmrużył lewe oko, spojrzął po linii ponad szklami okularów. - Jerosławski. Jerosławski? Jerosławski. Pokażcie-no facjatę! Mhmmm. No, nieźle musieli tu was obrobić.

Przełożył lancet do drugiej ręki, otarł prawicę o fartuch i uściśnął dłoń podaną.

- Miał pan leczyć Białą Zarazę w portach pacyficznych - rzekłem.

- Wygląda, że doktor Tesla ją wyleczył. Bum, bum, bum. A ja utknąłem w Irkucku w pół drogi, próbując wrócić do Europy Ekspresem Transsyberyjskim; nie było to rozsądnem.

Mhmmm. - Zaciągnął się znowu. - Tak, pamiętam pana dobrze. *Franchement*, często zastanawiałem się potem, jak pójdzie panu sprawa z fatrem i z Historją. A teraz, proszę, wielki Nikola Tesla... Mhmmm. - Przyglądał mi się przez dym. - I czy nie prawda? Wszak skręcił pan dzieje, pokierował Lodem. Nie namawiając lute przez ojca, jak się wszyscy spodziewali, ale wcześniej, w czasie podróży Ekspresem Transsyberyjskim. Los był nagięty na śmierć doktora Tesli i długie panowanie Lodu, widać to teraz jasno, a pan, niech policzę, pan uparcie: raz, od zamachu zdradzieckiego ochrannika, dwa, z martwych już podnosząc, trzy, bombowca na czas wykrywając - pan wciąż i wciąż Teslę od losu mu przeznaczonego ratował.

- Panna Jelena panu opowiadała.

- Od innych też słyszałem. Jak Serb ogłosił się w Makao... Mhmmm.

Opuściłem wzrok.

- Tak, i ja miewam podobne wrażenie. Że wszystko najważniejsze zdarzyło się podczas podróży Ekspresem Transsyberyjskim.

Zmilczał, dymem gryzącym dmuchając.

Zdjąłem płaszcz, przerzuciłem przez ramię. Na horyzoncie rozmytym ponad miastem, za taflą marostieklową, gdzie i tak wszystko w deszczu pływało, pełgały plamki jaśniejsze, jaskrawsze. Tam, na zachodzie, na południe od Ujskiej - to chyba Głazkowo się pali. Przynajmniej w tym niepogoda mokra stanowi błogosławieństwo dla Miasta Odwilży, że zdusi pożary po nocy prawdybojów.

Oko mimowiednie wracało mi do wnętrzości trupa rozkrojonego. Zlatywały się pierwsze muchy. Na atlasach anatomicznych Zygi inaczej zupełnie to wyglądało, *duodenum*, *jejunum*, *ileum*, tam to były prawie schematy maszyn inżynierskich: to część taka, to - taka, ta - temu służy, a ta - do tego doczepiona. A tutaj: jakby kto łychę toporną zamieszał w człowieku rozwartym, jeden bigos, jedna maź brunatno-czerwono-żółto-fioletowa, z twardszemi kawałkami mięsa w niej zagrzechłymi. Człowiek z błota powstał i błoto w sobie nosi.

- Pokaż pan. - Doktor Konieszyn postąpił ku mnie od nóg trupa, sięgając mi do brody, do policzka.

Odrząciłem go.

- Nic!

- Może dałoby się naprostować... To są zrosty złe. Kto panu trepanacje robił?

- Nikt.

Mierzył mnie wciąż spojrzeniem sceptycznym.

- Cóż to - parsknąłem - we frenologię jeszcze się bawicie?

Zdjął powoli fartuch.

- Wtedy w pociągu zdawaliście mi się taki...

- Jaki?

Rzucił fartuch na autoklawę, ręką z papierosem wykonał gest pusty, beztreściowy.

- Nijaki.

Zaśmiałem się.

- Wiem.

Zerknął podejrzliwie. Waga przechylała się na moją stronę, linje zbiegały się do mojego oka, oko trzymało doktora Konieszyna w tej chwili zaklejonego jak owada w bursztynie.

Wzdrygnął się.

- Nabraliście niby wielkiej mądrości życiowej, he?

- Mądrości życiowe zostawiam rabinom i starym ladacznicom. Powiedzmy, że odkryłem kilka praw rządzących Matematyką Charakteru.

- Na przykład?

- Charakter człowieka powstaje przez odejmowanie.

Podejrzliwość rosła w nim z każdą sekundą. Teraz obchodził mnie po bezpiecznym łuku, na pięć kroków, niczym matador byka. Ręka z papierosem dymiącym służyła za muletę. Siny truposz brzuchaty stanowił zasłonę.

- *Mademoiselle* Jelena pokazywała mi, co o was ostatnio pisali. Tu każda gazeta to propaganda nachalna, kłamstwo na kłamstwie. Ale pamiętam i dyrektora Pocięglę. Dzisiaj wy razem politykę ablastniczską robicie. Mhmmm?

- Nie uważam się za polityka, jeśli o to pan pyta. To przestarzałe rzemiosło.

Doktor asymetryczny przystanął, oparł stopę na poprzeczce stołu operacyjnego. Z rozkrojonego tłuszczocha kapąły ostatnie krople życia. Konieszyn nachylił się nad nim ku

mnie, próbując wejść w pozę konfidencji, poufności, zwierzeń niepoważnych.

- To co to będzie? - spytał cicho.

- Co?

- To państwo syberyjskie nowe dyrektora Pociągły. Republika? Jakiś anarchizm zinstytucjonalizowany? Związek ziemstw narodnickich? A może komunizm? A może Pociągło jedynowładcą jego się mianuje? Powiedz pan.

- Prawdę mówiąc...

- Co, nie wiedzą jeszcze?

Zawinałem ręką z płaszczem gest szeroki, całe miasto rozpuszczone nim obejmując.

- A niby jak ma to samo z siebie zamarznąć?

Podniosłem ómieczometr, zakręciłem nim z nerwem, zerknąłem na skalę. 366 ciem. Za marostiokłami płynęła akwamarynowa rzeka.

- Pewnie zacnie się od jakiejś demokracji - mruknąłem. - Choćby po to, żeby odciągnąć naszych rewolucjonistów kochanych od de Saint-Simona *et consortes*. Zreformowani eserowcy i struwowcy z czasem wezmą górę. Głosowania, partje, elekcje - wpierw one zamarzną; stracą wówczas na atrakcyjności ascetyzmy polityczne Proudhona, Bakunina i Kropotkina. - Klasnąłem językiem. - Demokracja, tak, demokracja.

Doktor asymetryczny skrzywił się z niesmakiem.

- Mówi pan o demokracji, jakby była ona jakąś ideologią, niosła w sobie jakąś treść, cel, ideał; słyszę to wciąż od tutejszych napaleńców marzących o gilotynie dla Batuszki Caria. A nic bardziej mylnego! Demokracja to pusta forma, w której zamarznąć może tysiąc rozmaitych substancyj, i dobrych, i złych. Podobnie nóż - złapał za skalpel brudny i zaszermował nim nad trupem - nóż sam w sobie nie jest dobry ni zły: możesz pan nim jabłko pokroić, możesz chorego zoperować, ale możesz i w burdzie jakiej karczemnej pod żebro komu go wrazić i życie tym nożem odebrać. Demokracja ludożerców wyniesie na parlamenty ideje równego podziału trupów. Demokracja miłosiernych przegłosuje przebaczenie ludożercom. A demokracja dzieci - wybierze, do czego nakłonią ją dorośli.

- Narzędzie nie do końca pozostaje jednak obojętnem względem celu. Czego dokonasz nożem, nie dokonasz młotkiem, i *vice versa*. Są pewne ideje, które lepiej kwitną w demokracji, i są takie, które w niej więdną i usychają. To samo tyczy się innych systemów

rządów, jak monarchji, samodzierżawia.

...Widzi doktor, pierwsza rzecz w praktyce Algorytmiki Dziejów to nauczyć się czytać ideje z materji niskiej. Rozmawialiśmy już o tern w Ekspresie z Ziejcowem - pan tam był wtedy? - o modach, melodjach, obyczajach, gustach. Co to jest? - Podniosłem przed siebie trencz zabłocony, zakrwawiony. - Płaszcz. Ale zobacz pan na krój jego: dłuższy? krótszy? kołnierz jaki? jakie zapięcie? jak wyłogi idą? jak kieszenie? ramiona w kwadrat czy po spadzie? poły rozciąć czy nie rozciąć? wciąć talję - jak bardzo? Policz guziki.

I z czego one: z kości? z rogu? z drewna? z metalu? I ile rzędów. Gdzie pas, gdzie stan, jaka sprzączka. Jaki kolor. Materiał jaki. To wszystko nie są przypadkowe wypryski fantazyj krawieckich, nieprzymuszonych koniecznością użytkową, lecz znaki ducha epoki, to znaczy idei rządzących ludźmi w każdej dziedzinie życia. Nie ma bowiem innej idei dla polityki, innej - dla muzyki, innej - dla sztuki gastronomicznej, a innej - dla mody architektonicznej czy galanteryjnej. Idea obejmuje wszystko. Dlatego *par exemple* nadejście wielkiej wojny europejskiej można wyczytać na lata przed w powieściach popularnych, groszowych, tych sprzedawanych w nakładach stutysięcznych. A płaszcze oficerskie, kołnierzyki vatermórderowe i gorsety ciasne - one też wszystkie jedną prawdę odbijają. To, co niewidzialne, poprzedza to, co widzialne, *monsieur le docteur*. Najpierw idea wypiera ideję, a potem dopiero krawiec myśli sobie: „Nie, lepiej przytnę trencz w fason ostry, dodam patki, pagony i pas szerszy, skórzany, to się sprzeda prędzej”. Moją zaś rzeczą jest ująć to w liczby i symbole konkretne, każdą tę ideję za krawcem i carem stojącą umieścić w systemie Algorytmiki Dziejów.

...Tak, mój doktorze, ja tak właśnie patrzę na demokrację. - Laską ćmieczometryczną wskazałem palto; gest był teatralny, z pokazu magika salonowego wzięty. - Płaszcz. Demokracja. *Voilà!*

...Mogę założyć, mogę zdjąć. Nie jestem politykiem. Polityki i politycy to zmienne w moich równaniach.

Zajrzała do sali siostra z papierami w płóciennej teczce. Doktor Konieszyn wziął od niej bumagi szpitalne. Zapiąwszy mankiety koszuli, przetarłszy szkła okularów, kreślił szybko pozycję za pozycją, mruczając do siebie pod nosem.

- Ale porządku, ale Państwa! - zakrzyknął wtem, przestraszywszy siostrzyczkę. - Tego pan demokracją samą nie dostarczysz, panie Jerosławski! Prędko to z dyrektorem Pocięglą zrozumiecie: ludzie sami sobą rządzić nie potrafią. Tyle ładu i sprawiedliwości, ile nad

człowiekiem władzy konkretnej. - Oddał dokumenta siostrze. Rozgniółszy niedopałek na zimnazowym odlewie pnącza winnego, przetarł rękawem zaparowane marostiozło. - Zwłaszcza teraz, zwłaszcza tutaj. Od demokracji zaczniesz? Skończysz na śmietniku!

Odetchnął, posmutniał. Zdjął okulary; spoglądał teraz na miasto w falach barw mętnych zmrużonymi oczyma krótkowidza, spod zmarszczonych brwi rudych; surowe, czerstwe oblicze żelaznego mieszczanina piętnował mu wyraz bolesnej troski. Ach, zapomniałem już, że Historia to dla doktora sprawa osobista, że bierze on sobie te rzeczy do serca; miał doktor z Historją porachunki niedokończone, głęboko w duszę go ugryzła.

- Nie - szepnął - nie uda się wam. Ilu ich tu po Odwilży w tym pływa? Demokracja to tylko kocioł odrobinę solidniejszy. Niczego w nim nie uwarzycie.

...Popatrz pan! Jak to się roztapia, degeneruje. Hegel się mylił. Historia postępuje w dół od tego, co konieczne, twarde, logiczne - do tego, co niejasne, miękkie, przypadkowe. Od teokracji, przez monarchje boskie, absolutne, przez monarchje konstytucyjne, do demokracji wreszcie; a dalej - dalej już tylko komunizm i nihilizm i anarchja. Co najwyraźniej widać tu, w Rosji, gdzie tak długo utrzymał się - zamrożony - pierwszy porządek i teraz nagle wszystko roztapia się od razu w to błoto ludzkie, w ten - ten - ten gnój cuchnący. Spójrz pan za okno. Spójrz!

...Ta Odwilż to klęska żywiołowa Historji.

Stanąłem obok, na krok od szyby wysokiej, przed kupą szmat trupem woniejących, wsparłszy się na lasce. Pożar w Głazkowie przygasł i żaden kolor żywszy nie przebijał już przez pionowe kałuże dżdżu na marostiekle się bekające. Irkuck ściekał powoli do rynsztoków.

- Niech się pan nie boi, doktorze. Zamarznie.

- Powiada pan?

- Czyż nie do tego namawialiście mnie jeszcze w pociągu? Spełnią się pańskie marzenia: człowiek naprostuje Historję do ładu idealnego, matematycznego.

- Powiada pan...

- Nastanie apoliteja.

- Apoliteja?

Doktor Konieszyn nie znał mojego artykułu. Nie było Konieszyna wtedy w Irkucku,

przyjechał już po Odwilży. Co mu Jelena mówiła? Nie wszystko przecież.

Więc odmalowałem mu w słowach - jak sądziłem - suchych i beznamiętnych koncepcję rządów Historji, Państwa Niebytu i najwyższego porządku, w którym żaden człowiek nie ma władzy uciskać i dręczyć drugiego człowieka; a także tę moją konkretną jej realizację: na technologiach Lodu, w przyszłości pankosmiczną nieśmiertelność Fiodorowa oferującej, całe to Królestwo Ciemności, gdzie ludzie wyrwą się wreszcie z niewoli ciała, bytując już między idejami czystymi - materja zrówna się z duchem, język drugiego rodzaju z językiem pierwszego rodzaju. *Duch jest, który ożywia: ciało nic nie pomaga.*

Żadnego więc Państwa. Żadnej władzy ziemskiej, żadnych carów, żadnych czynowników. Żadnego cierpienia fizycznego. Żadnej biedy. Żadnego kłamstwa. Żadnej niesprawiedliwości, Prawda obliczalna na pierwszy rzut oka. Żadnej śmierci. Żadnej dostojewszczyzny w duszy. Miłość pewna jak matematyka, matematyka pewna jak miłość. Tyle Lodu, by zachować jeszcze życie; tyle życia, by cieszyć się niebiańskim porządkiem Lodu.

Spodziewałem się, że właśnie Konieszyn pojmie rzecz w lot, że przejrzy wskroś całe djamentowe piękno wizji - czyż to nie on prawil mi z pasją: znaleźć sposób na uleczenie Historji! wziąć obowiązek na siebie! wedle własnego rozumu rozsądzić! nie zważać na pokusy ze świata zmysłów płynące, z życia, które jest takie, a mogło być inne! wziąć na siebie Historję! - czy nie on? On, on, on! I krzyczał był najgłośniej: Historja może istnieć tylko pod Lodem! On, on to wołał o Historję zaprojektowaną przez człowieka!

A teraz - milczy, wargi zaciska, ręce na piersi zakłada... Nie wie, co odrzec. Trze przez koszulę cienką ramiona zgarbione. Dreszcz po nim chodzi.

- Kiedy pan to tak opowiada...

- Co? - zaśmiałem się cicho, pokrywając tym śmiechem zawód piekący. - Przestraszył się doktor?

- Ja wam mówiłem o naprawianiu, leczeniu Historji. - Oderwawszy wzrok od miasta płynącego, spojrział na mnie z bliska. - Do tego jednak trzeba mieć duszę lekarza. Nie... matematyka. - Przeżuwał chwilę myśl jakąś cierpką. - Jak to będzie wyglądało? Przemyślał to pan? Jak ludzie będą żyli naczodzień? Ktoś będzie nimi chyba rządził? W Ekspresie nie zdradzał pan podobnych przekonań.

Zachnąłem się.

- To nie pamięta pan swojej kłótni z *Herr* Blutfeldem? Ma pan przecież tę pamięć, nie tylko ja z nią zostałem, *n'est ce pas?*

Pokiwał głową.

Odetchnąłem.

- *Alors*, apoliteja to właśnie jedyne możliwe rozwiązanie waszego sporu: wolność od tyranji człowieka nad człowiekiem, a zarazem, powiadam, Porządek i Prawda wybawiające ludzkość od całej tej biedy, niesprawiedliwości, wszystkich tych niekoniecznych śmierci i cierpień.

...Bo pan się myli, doktorze, Historia przez wieki wcale nie traciła na sile i zwartości. Wy tu w Rosji macie skrecony ogląd rzeczy, Mróz wszedł wam w kości, podwyższone ciśnienie teslektryczne zezwyczajniło wam Prawdę. A to idzie na odwrót zupełnie.

...Popatrz pan. Egipcjanin spod pyramid czasu faraonów: on Historji nie czuł w ogóle, rodził się i umierał w tym samym świecie, pod takim samym strojem i religją, pod nieruchomemi gwiazdami.

...Ale obywatele rzymscy czasów Republiki, chrześcijanie Europy Karola Wielkiego i Barbarossy - oni już czuli pierwsze naciski Historji, już im się Historia objawiała spoza woli władców: mieli na przykład tę świadomość, że żyją u schyłku lub zarania pewnej kultury, że jedna cywilizacja wypiera drugą cywilizację, że krew wypłukuje krew, ludy nowe zajmują miejsce ludów starych, a kult zabija kult i młody Bóg strąca z niebios bogów zniedołężniałych. A dlaczego akurat te formacje historyczne odchodzą w zapomnienie, w czym przewaga ich następczyń? To już było nie do rozpoznania; zmiany zachodziły przez pokolenia; ruch Historji był wyczuwalny, wszak nadal nieopisywalny, niemierzalny.

...Lecz oto przyszedł czas Rozumu i rewolucyj czynionych ze świadomością rewolucyj, na podstawie teoryj rewolucji - Historia wzięła między palce poszczególnych ludzi. Już w jednym życiu człowieczem mogłeś zobaczyć, jak się świat przepoczwarza - nie wedle takiej czy owakiej decyzji władcy, nie wedle zamysłu czyjegoś prywatnego czy przypadku przyrody, lecz z konieczności historycznej.

...A teraz jeszcze bardziej to przyspieszyło, teraz już czytasz o ruchach Historji w gazetach. Kto kazał Stołypinowi reformę rolną czynić, chłopów na swoje za Ural wypuszczać, ziemiaństwo w nowe systema gospodarcze zaprzęgać, nowe metody podatkowe wymyślać? Ani Carskie Sioło nie było temu chętne, ani Pałac Taurydzki. Ale zrobione zostać to musiało:



inaczej Rosja przegrałaby z temi państwami, które się unowocześniły bez ociągania. Widzisz to jeszcze wyraźniej w zmianach sztuki wojennej: czy kto im kazał wszystkim wtem drednoty miast starych pancerników w stocznjach zamawiać? Nie. Ale jest oczywistem: kto nie idzie z Historją, ten przegrywa, a Historja strawi go tak czy siak, przegryzionego, przeżutego, zmiądzzonego na papkę równą. A już najdokładniej pokazane to zostało po nastaniu technologii lodowych, gdy w kilka lat krótkich obróciły się wiatrowskazy nauki, gospodarki, postępu na wszystkich kontynentach. Czy mogły się nie obrócić? Fizyka jest fizyka. Historja jest Historja.

...Więc przemnoż to pan przez dziesięć, sto, tysiąc, zobacz w powiększeniu na codziennem życiu mieszczańskiem. Do czego jeszcze będzie komu potrzebne Państwo? Do czego - czynownicy? Do czego - politycy? Historja wejdzie w ich funkcje i garnitury. Podatki - tylko takie, jakie być muszą: ani wyższe, bo przegramy w konkurencji kupieckiej z temi o podatkach niższych, ale i nie do zera wymazane, bo bez nich nie utrzymamy porządku społecznego. Prawo - podyktowane ściśle przez oczywistości epoki: nie sprawdzi się Kodeks Hammurabiego w Szwajcarji dwudziestowiecznej, ani *Bill of Rights* u gołych dzikusów południowych, kamieniem o kamień ogień krzeszących. Może i ostaną się parlamenty jako rozrywka ludu, będą tam dla osobliwości swojej wybierani kolorowi krzykacze, a przedstawienia ich pseudopolityczne zabawią gawieź skandalami alkowy, nienawiścią jednego charakteru do drugiego albo kłótniami patetycznymi o barwy narodowe czy melodję hymnu, zupełnie wyzbytymi znaczenia dla spraw pieniądza i nauki, dla szczęśliwości obywateli zwykłych. Nadchodzi bowiem czas apoliteji.

...Rządzi Historja.

Uciekł ode mnie oczyma. Rrrrrłum, dreszcz przeszedł tym razem po samym budynku, zdrzało wszystko, ściany i sprzęty i instrumenta medyczne, a trup na stole za nami beknął ostatnimi gazami. Trzęsienie ziemi? Często się nad Bajkałem zdarzają, zwłaszcza od Odwilży, jak słyszałem. Ale nie, to chyba tylko marzłość puszcza, ta najszybciej odchodząca zmarzlina przypowierzchniowa.

- Jak zatem chce pan z kolei rządzić Historją? - spytał doktor nierówny, stanąwszy szerzej na nogach. - Skoro cała ta apoliteja nieuniknioną jest i z góry przesądzoną -

- Ach, ale zadaj pan sobie pytanie, doktorze: co sprawia, iż Historja takie akurat konieczności objawia? - Wsparłem się mocniej na ćmieczometrze. - Zna pan obyczaje przyrody. Że z gąsienicy motyl się rodzi, a nie z motyla gąsienica, o tym biologia decyduje, z

jej właściwymi prawidłami i zależnościami. Lecz jaka biologia dziejów określa, że stan rycerski, szlachecki przepoczwarzyć się musi w burżuazję, nie zaś na odwrót? że lenna dynastyczne zamienione zostają na państwa narodowe - nie na odwrót? że przemysł niszczy ziemiaństwo - dlaczego, dlaczego nie na odwrót?

- Tak to już Bóg urządził...

- Sam pan mówił, że Bóg nie jest mu do niczego potrzebny! - zawołałem trjufalnie.

Nabrał powietrza, lecz nic nie odpowiedział. Nie została mu już żadna prawda pod nogami, żeby stanąć na niej przeciwko mojej Matematyce Historji.

Czemu się sprzeciwiał? Dlaczego przeczył własnym słowom z moich ust płynącym? Zapewne sam nie potrafiłby rzec, nie w języku drugiego rodzaju.

- A właśnie Lód pokazał nam, mój drogi doktorze - ciągnąłem spokojnie już - jak to można wpłynąć i na tę biologję Dziejów. I tak się prędzej czy później stanie, będziemy żyć w Historji zaprojektowanej przez człowieka. Nie ja, to kto inny pomyślałby o tym pierwszy. Królestwo Ciemności czeka na władcę. Na koniec tak czy owak materja sklei się w jedno z idejami, to znaczy z liczbą, a Historja stanie się naszym środowiskiem naturalnym, naszym powietrzem i chlebem, jedynym ośrodkiem życia ludzkiego.

...*Monsieur le docteur, vous comprenez, vous!* Pamięta pan z przypowieści Ziejcowa ową wajchę do przestawiania zwrotnic pociągu Dziejów. - Podniosłem laskę na wysokość oka, kiwnąłem nią w lewo, kiwnąłem w prawo. - Czy Bóg zakazał zabijać, bo zabijanie jest złe - czy też zabijanie jest złe, bo Bóg zakazał zabijać?

Na takie *dictum* spłoszył się mi doktor do reszty. Spoglądając pod nogi, podszedł do umywalki, nalał sobie wody, ale rąk nie umył; odwrócił się, oparł o porcelanę plecami. Krążył wzrokiem po sali zabałaganionej, starannie mnie jednak omijając. Na koniec zatrzymał się na zwłokach nagich pośrodku prezentowanych.

- No to jak, panie Jerosławski? czy zabijanie będzie złe?

Wyplątałem się ze szmat przy oknie, podszedłem do stołu, wcinając się w spojrzenie doktora. Smak-zapach śmierci, ta słodka zgnilizna dla zmysłów ludzkich nie bardzo różna od gnilnego flaworu podkruszałej dziczyzny, przyjemnego przecież, weszła mi w usta, osiadła w ślinie, przykleiła się do podniebienia. Przelknąłem raz i drugi. Cmentarna perfuma mdląca przyciągała mnie i odpychała. Kto potrafi powstrzymać się od drapania rany świeżej, bolącej? Wielkie brzucho delikwenta ręką Konieszynową rozciętego szczyrzyło wnętrze wilgotne,

przypominające w białym świetle poranka grób rozkopany - nawet robak się tam już ruszał, to znaczy mucha. Głowę natomiast miał zmarły szczelnie opakowaną płótnem bandażowem. Złożyłem na tej bulwie ślepej dłoń ułomną, poklepałem czule bezduszne mięso przez całun czysty.

- Znowu chce mnie pan do czegoś namówić? O coś prosić?

Konieszyn podszedł niepewnie z drugiej strony stołu, ujął w swoją rękę zwieszoną rękę trupa, poczem ułożył mu ją symetrycznie wzdłuż boku - nie zwalnając jednak na koniec uścisku z nieboszczykiem.

- O dyktaturę miłosierdzia - szepnął.

Nie potrafił mi jednak wejrzeć przytem w oko.

Wychodząc, przystanąłem jeszcze w progu, obróciłem się pod świniami demonem nafaszerowanymi.

- No i jednak otarł się pan o Historję - powiedziałem w tonie celowo lżejszym. - Jednak dotknął pan jej ciała w ruchu, poczuł fakturę Dziejów pod palcami. Nie o tym pan marzył, doktorze? Wpłynąć choć w stopniu najmniejszym. Otóż wpłynął pan na mnie.

Doktor Konieszyn stał nadal nad tym pacjentem nieuratowanym, wzrokiem smutnym mierząc ohydę materji. Słońce rozmeźnione przez deszcz i marostiekło obkreślało go z tyłu, podpalając bokobrody rude.

Dopiął pod szyją koszulę.

- Zimno mi.

Wydobywszy z powrotem mocno już pocięty i podwilgocony rysunek panny Muklanowiczówny, zacząłem od nowa obchodzić bolnicę, wypytyując siostrzyczki i w ogóle każdego, kto nie na pacjenta mi wyglądał. Jedni powiadali, że nigdy dziewczynki takiej na oczy nie widzieli, inni, że owszem, była tu taka i zmarła, jeszcze inni rozpoznawali w niej swoją krewną; nie przejmowałem się tym już zupełnie. Nawet widoki sal pełnych nieszczęśników konających od ran czy zarazy dżumowej, ospowej nie mogły zepsuć mi humoru. Godziny po świcie to w szpitalu pora głośnego cierpienia: budzą się po nocy ci, co noc przetrwali, i witają dzień nowy jękami, kaszlem, szlochem suchym, a najczęściej przekleństwami płaskimi, mechanicznymi, wypluwanymi w litanjach nieskończonych; kobiety natomiast odmawiają litanje modlitewne. Brudna melodia tych głosów krzywych, chrapliwych spina się z wonią medycznych chemikaljów i smrodem ciał ludzkich w pocie, moczu, kale i krwi leżących.

Chcesz zmierzyć się z cesarzem ciała - wpierw do szpitala zajdź.

W sali pod witrażem przedstawiającym kobietę z glinianymi flakonami pod siedmioma cieniami czarnymi usłyszałem głos znajomy, głos męski, niemieckie słowa wymawiający, który od razu zadzwonił mi w pamięci echem długim. Bittan von Azenhoff! Stałem, odwróciłem się na pięcie. Łóżko po lewej, łóżko po prawej, łóżko pod ścianą - on mówi. Podszedłem. Nie poznałem z ciała; głos pozostał, ale z ciała było von Azenhoffa tyle, co strzęp. Skopał z siebie koc i prześcieradło krwią i ropą przesiąknięte, i leżał teraz z koszulą pod pierś podwiniętą, goły poza tym, to znaczy w bandażu szerokim na brzuchu, który wszakże zrywał z siebie, ale i na zerwanie opatrunku nie miał siły, szkielet chudziutki w skórę jak pęcherz rybi obleczony. Z oblicza pruskiego arystokraty nie pozostał nawet nos ostry - nos miał złamany, lica zapadnięte, zarostem siwym, starczym upstrzone w kępkach nierównych. Dziadulo stuletni, bezzębny, drżącymi paluchami jak szpony ostatnich życia się czepiający.

- *Es wurde mir schwarz vor Augen, Katja... wurde mir dunkel...*

Stałem obok i nie widział mnie. Oczyma szeroko otwartymi wgapiał się w ścianę spękaną. Cuchnął pod niebiosa. Na materacu pod nim widniała wielka plama po kale nieszczyszczonym. Owrzodzone genitalja przypominały raczej gniazdo glizd podziemnych. Spod opatrunku ciekła gęsta maź brązowa.

Dotknąłem jego ramienia. - *Herr Bittan?* - Ale czy w ogóle usłyszał? Wołał swojej Katji. Zapewne od tygodni żyje tak w majakach od jawy zupełnie odklejonych.

Podniósłszy jednak wzrok, ujrzałem ją od drzwi z miską i ręcznikiem idącą. Usiadła na taburecie obok, wykręciła ręcznik z gorącej wody i podwinąwszy rękawy kaftanika szarego, jęła obmywać starucha. Na mnie ani spojrzała. Włosy jasnozłote - teraz nie złote, spłowiałe szaro - związała pod czepkiem lnianym, z którego uciekały kosmykami nieporządnymi. Na twarzy zmarszczkami od tysiąca trosk poznaczonej nie przetrwał ani ślad radości dziewczęcej, ni cień uśmiechu niewinnego. Minałbym ją na korytarzu, za sprzątaczkę biorąc.

- Co mu jest? - spytałem cicho.

- Widły chłopskie.

Von Azenhoff wymachiwał niezdornie poza ramą łóżka, cofnąłem się odrobinę.

- Znałem go - rzekłem - przed laty, przed Odwilżą, kiedy jeszcze - kiedy w Kocim Dworze -

- Nie znaliście go - ucięła.

Trafił na jej rękę i czepił się jej kurczowo.

- *Es dunkelt, meine Katze, es ist so finster...*

Uwolniła się ostrożnie.

- Jego krewni może - podjąłem - ma przecież na pewno majątek za granicą, nie można go tak -

- Rozdał wszystko.

- Co się stało?

- Odwilż.

Przyglądałem się im dłuższą chwilę. Co było w najwyższym stopniu nieprzyzwoitem, jednak żadne z nas nie okazywało wstydu.

- Zostaliście z nim - mruknąłem.

- Zapłacił mi - rzekła obojętnie - że go nie opuszczę samego w ciemnościach.

- Zapłacił? Przecież - rozdał wszystko.

- Idźcie, on i tak umrze, nic nie dostaniecie, idźcie, idźcie. Podsunąłem jej rysunek Jeleny. Katja spojrzała, a następnie wskazała mokrą dłonią otyłą siostrę w sali naprzeciwko.

- Z nią ją często widywałam. Powiesicie ją?

- Co? Nie!

- Aha.

Poczem ją bardzo delikatnie obmywać twarz Bittana von Azenhoffa.

Siostrzyczka grubiutka wyznała, iż Jelena Muklanowiczówna wcale tu nie pracuje; sama przychodzi chyba na jakieś badania i zna się dobrze z doktorem Konieszynem. Ale często pomaga na dziennych zmianach, gdy potrzeba rąk do chorych. A czy przyjdzie dzisiaj? Pewnie nie. Gdzie mieszka zatem? Tu siostra poczęła natężyć pamięć wątlą. W pensjonacie bodaj. Na ulicy - Włoskiej? Hiszpańskiej?

Tylem już potrafił zamrozić samemu. Podziękowałem i zbiegłem po schodach długich w deszcz.

Do Grieczieskiego Pierieulka nie było stąd daleko, ile razy jednak przeszły po mnie na przemian fale euforii elektrycznej i czarnej beznadzieji, nie do zliczenia to. Co krok w świetle

porannem, na wilgoci powietrznej roztecznionem - unosiła mnie radość pewności rychłego spotkania z panną Jeleną. A co krok pod chmurą ciężką, pod cieniem kamienicy nad ulicą nagarbioną - wgniecionym w ziemię, wciśniętym w błoto, wdepniętym przez mamuta. Jakby i mnie w końcu zdołało rozpuścić Miasto Odwilży, Miasto Błota i Zgnilizny. Aż chciałem złapać za kolbę ćmierzometru i pomierzyć sobie temperaturę charakteru; aż chciałem lustro jakie znaleźć i spojrzeć w nim na siebie okiem obcego. Niemy strach Porfirego Pociągły ani mnie dotknął, pasja pijacka Ziejcowa spłynęła po mnie jak ten deszcz, ale trwożliwe zwątpienie samego doktora Konieszyna - tom poczuł, tom wziął do serca. I jeszcze Herr Bittan von Azenhoff, niezłomny rycerz ciała, ciałem przecież nie inaczej niż Siergiej Aczuchow umierający... *Es ist so finster...* Ciemniało - jaśniało - ciemniało. Kto pragnie osiąść wiedzę o samym sobie, pragnie śmierci - a ja szedłem do pensjonatu Kiriczkinej, zastanawiając się, czy Filimon Romanowicz mógł jednak jakąś prawdę niejasną o mnie wypowiedzieć. Czy przestach doktora Konieszyna nie bierze się mimo wszystko z racyj rozumu, z tych racyj, których nie idzie wysłować w języku międzyludzkim. I czy naprawdę to właśnie czeka mnie u steru Historji: *ciemność zimowa i większa okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.*

## **O nas**

Pensjonat Kiriczkinej zastałem ruiną współspaloną. Gołe cegły wyzierały spod czarnych płatów elewacji zapiekłej. Klatką schodową, co rozpekła się na ulicę niczym drzewo od łyka przepróchniałe, wspiałem się na piętro. Drzwi do pokojów, ongiś wynajmowanych przez pannę Jelenę z ciotką, wybite z zawiasów, wahały się smętnie na wietrze deszczowym. Tylko zajrzałem do środka - splądrowane skorupy mebli, truchła ptaków rozgnięte, popiół i grzyb - i zszedłem na dół. Załomotałem laską zimnazową w drzwi gospodarza. Po długich minutach nieustępliwego werbla ktoś - mężczyzna - krzyknął przez drewno grube, żebym sobie poszedł, bo on ma tu dwie rusznice naładowane i pistolet wojskowy na podorędziu. Zapytałem o pannę Muklanowiczównę z góry. Powiedział, że nic nie wie. Zapytałem o Kiriczkinową. Powiedział, że zginęła w płomieniach w noc wzięcia Cytadeli.

Padalo i padało. Schowałem się na półpiętrze pod przewieszka ocalałego dachu; usiadłem w kącie, zawinałem się w płaszcz. Kap, kap, kap, kap. Nie zamarznie przecież.

Obudził mnie stukot obcasów korkowych na cegle. Otwarłem oko. Wspiwała się po

schodach, w jednym ręku torba ciężka, w drugim - parasolka wpółłożona. Już mnie minęła, szła wyżej. Kaptur ciemnej peleryny krył profil jej oblicza.

Poderwałem się, pokuśtykałem za nią, laską na gruzie się podpierając.

Usłyszała mnie; na piętrze odwróciła się, odstępując pod mur. Upuściła parasolkę, która potoczyła się w dół. Złapałem ją i wtedy huknął strzał i kula świsnęła mi tuż nad barkiem.

Podniosłem ręce.

- To ja!

Rewolwer w męskiej rękawiczce zamszowej ani drgnął. Nie poznała. Zastrzeli.

- Panno Jeleno... *qualsivoglia!*

Poznała. Nie poznała. Poznała. Nie poznała. Poznała.

Opuściła broń.

Podszedłem, oddałem jej parasolkę. Schowawszy ten krótkolufy rewolwer, sięgnęła po umbrelkę drugą ręką i wtedy czarny piorun ćmieczy strzelił ku niej ode mnie po zimnacie laski. Ukłuta teslektryką lodowatą, krzyknęła dziewczuszka cicho - tak poznałem głos panny Jeleny.

Zsunąłem jej kaptur z głowy. Mój Boże, jak wynędzniała, jak wychudła. Dotknąłem dłonią trójpalcą jej policzka, pocałowałem ją w czoło od deszczu mokre. Nie pachniała jaśminem.

- Jelenko.

Przytuliła się. Podniosłem torbę. Panna pokazała wzwyż ruiny. Wspięliśmy się schodami wąskimi na strych nad spalonymi mieszkaniami. Strych wyglądał nie lepiej, dało się jednak przejść po deskach krzywych na drugą stronę, gdzie widniały w ścianie murowanej drzwi zimnazem wzmocnione, z zamkiem i kłódką. Panna Jelena wyjęła klucze.

Miała tu dwa pokoiki poddaszowe, przyklejone do muru sąsiedniej kamienicy wyższej. Pokoik mniejszy, gdzie na nafcie pichciła posiłki skromne, był ślepy; okno większej izby, w której stało łóżko, kredens i kilka porządniejszych sprzętów ocalonych z apartamentów Kiriczkinej, wychodziło na Grieczieski Pierieulek i tę samą północną panoramę Starego Irkucka, jaką pamiętałem z moich wizyt w pensjonacie przed laty.

Zdjąłem płaszcz. Posadziła mnie na krześle, sama przysiadła na łóżku naprzeciw. Powstrzymała mnie, gdy uniosłem rękę; przyglądała mi się tylko, minutę, dwie, zbyt długo,

by liczyć, rozciągnęło się to w chwilę wyjętą z czasu, siedziała i patrzyła, wodząc po mnie spojrzeniem ptasim - ciemne oczy, brwi krucze, blada cera, blade wargi, języczek czubkiem gładkim między zębki wysunięty - aż sama w końcu sięgnęła i, zzuwszy rękawiczki, jęła przesuwać paluszkami kościstymi, na kość zmarzniętymi, po moich włosach, po moich ranach i bliznach, po oku ślepym i szczękach nierównych... Ale bez wstydu, ale pod wzrokiem całkowicie bezwstydny i litości nie znającym, jak kaleka kalekę - na szyji po lewej miała brzydkie znamię pooparzeniowe, lewa powieka drżała jej lekko w nieustannym tiku nerwowym, nie pamiętałem tego z dawnej Jeleny Muklanowiczówny, entropja weszła i w nią - jak kaleka kalekę więc. Chciałem jej rzec, że to ciała tylko, jakaż z nich prawda między nami, panno Jeleno, jaka w materji prawda - i otwarłem usta, a ona już czekała mi na podbródku przycupnięta, wślizgnęła mi się na język i wtuliła pod dziąsło i policzek - ugryzłem - ach, teraz uśmiechnęła się szeroko - zliziałem krew z paluszków brudnych. Jelena westchnęła z ulgą głęboką, widziałem, jak spadają z niej ciężary, uchodzi napięcie, zamyka się powieka.

Roztopiona, spokojna, umościła się panna na łóżku niezaścielonem niczym dziecko w kołysce, tak w butach obłożonych i odzieniu mokrym, i zasnęła.

Siedziałem, czuwając nad nią. Nakryłem ją pledem. Oddychała równo. Zawinałem jej za uszko włosy na twarz wciąż opadające. Oblizwała się przez sen. Wstałem na moment, żeby napalić w piecyku żeliwnym; zaraz wróciłem na miejsce. Krople pukały o szyby i parapet, zug przez strych idący klekotał deskami za drzwiami - ale wszystko to było stłumione, rozmiękczone, coraz odleglejsze. Pokój się powoli nagrzewał. Zasnąłem. Obudziłem się. Zasnąłem. Obudziłem się. Zmieniały się cienie na ścianie i komodzie, musiały mijać godziny. Panna Jelena spała przy mnie, na wyciągnięcie ręki. Wyciągałem rękę i dotykałem ją lekko przez pled - ramię, biodro, kolano, szyja, piąstka zaciśnięta. Zasypiałem, budziłem się. Nic nie trzymało mych myśli przy tej chwili beczasowej - miałem wielki kryształ pamięci zamrożonej do obejrzenia w słońcu z okna rozpostartem, wielki kryształ zdarzeń, ludzi, miejsc, słów i czynów doskonale uporządkowanych, wmarzniętych w strukturę zupełnie już wyziębioną, zorganizowaną wokół mojej przeszłości pamiętanej-istniejącej niczym chłód nikołajewski wysokiej próby: zero, jeden, zero, jeden, zero, jeden, czynownicy warszawskie Ministerjum Zimy, Transsib, Jelena, Tesla, Ziejcow, doktor Konieszyn, Pociągło, kapitan Priwieżeński, Podziemny Świat, Irkuck, lute, hrabia Szulc, Fiszensztajn, Wielicki, Szczekielnikow, Tunguzi, Piłsudski, ojciec, Rasputin, znowu Irkuck, znowu Konieszyn, znowu Jelena, znowu - zero, jeden, zero, jeden, zero - zasypiałem, budziłem się.



Znalazłem w drugiej izbie wiadra i butle pełne, postawiłem imbryk na nafcie, znalazłem też ług gruby i umyłem się, bardzo oszczędnie korzystając z wody. Myszkowałem cicho po półkach, dzbankach i puzderkach. Było trochę mąki z jakimiś trocinami pomieszanej, sól zakamieniała, czaj kirpiczny, garść suszonych fruktów nieznannej rośliny, zjelczały tłuszcz w kamionce, trochę kwiatów czosnku niedźwiedziego... A dzisiaj przyniosła tu Jelena tuzin kartofli pędy już puszczających, dwie cebule i garnek owoców czernopłodnej riabiny. Obrąłem kartofle, nieporadnie nożem ciężkim operując, postawiłem wodę na płomieniu... Ale Jelena spała nadal. Zaparzyłem czaj. Posolić? Wypadły mi rozkruszone kryształki z garści dziurawej, pobiegły po blacie. Patrzyłem, rozespany, jak układają się w symetryczne wzory na ceracie żółtej. Zgarnąłem je i rozsypałem ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. Te Młoty biją, one biją nieprzerwanie, a tu, w Irkucku mały prototyp zagłusza nawet w swych krótkich falach Wielki Młot Tesli. Momenty ekstremum entropijnego będą się zdarzać, takie przebłyski sekundowe niemożliwych myśli, niemożliwych skojarzeń, niemożliwych uczuć. Odtrutka na Łód. Gdyby dało się... Uciekło. Stałem i czekałem, nie poruszając się, w tej samej pozie, w ten sam punkt na ceracie patrząc, te same obrazy w głowie obracając. Łłbum. Gdyby dało się - na tronie Królestwa Ciemności - myśleć niepomysłane, czuć niepoczone - wyjść poza siebie - być sobą i zarazem kimś innym - kłamać - kłamać - kłamać w prawdzie. Łłbum. Zebrałem sól co do ziarenka.

Miała filiżanki piękne, na chińską modłę malowane, z cieniutkiej porcelany. Usiadłem z powrotem przy łóżku, chuchając w herbatę parującą. Panna Jelena oddychała ustami otwartymi, rumieńce gorączkowe zabarwiły jej lica. Poprawiłem pled. Deszcz przycichł nieco, w ogóle cisza spadła na stary budynek, cisza i światło słoneczne jasne, snopami tęczowemi przez marostiekło bijące. Ręka unosząca filiżankę poruszała się tak powoli... Zobacz, Alfred: oto jest wszystko, co naprawdę istnieje: tu, teraz.

Zasypiałem i budziłem się.

Stała nade mną z nożem w dłoni, srebrne słońce przelewało się po ostrzu.

Złapałem ją w oko żywe. Patrzyła wcale przytomnie, w zamyśleniu długim. Ile tak stała? Zdjęła już odzienie wierzchnie, była w prostej bluzce białej i wełnianej spódnicy. Nóż chwiał się jej w dłoni. Stereometrja trzymała jednak stalowa. Nie poruszyłem się, nie uśmiechnąłem.

Wróciła do kuchenki, do garnka na ogniu.

Herbata jej wystygła zupełnie. Poszedłem zaparzyć świeżej. Panna Muklanowiczówna

krzątała się przy kartoflance.

Zjedliśmy w milczeniu. Nie było dwóch krzeseł, potem Jelena siadła mi na kolanach, gdy przysunąłem się do okna. Ustał nareszcie deszcz, tęcze wyprysnęły nad miasto. Było ciepło, letnie popołudnie. Bawiła się moimi włosami spiętymi na karku. Przycisnąłem jej rączkę do suchych ust. Od strony placu Tichwińskiego i kwartału bankowego rozległy się strzały, koń bez jeźdźca przegalopował trotuarem. Wieża Sibirchożeta zwieńczona nieproporcjonalnie wielką buławą ciemności zachwiała się, poczem niezdolnie powoli ją kreślić na tęczowym niebie łuk własnej, czarnej tęczy, do końca wszakże - do samej ziemi - zachowując geometryczną zwartość konstrukcji. Nie usłyszeliśmy grzmotu. Przewróciła się na wschód, ku Moskiewskiej Bramie Trjumfalnej i Wzgórzu Jerozolimskiemu. Po chwili zapadły się kominy nowej szkoły junkierskiej. Cały Irkuck zbudowano na zmarzlinie, a wszak nie była to naturalna geologia Nadbajkała. Po dachach widocznych z okna izdebki mogliśmy wskazać: ten dom krzywy, ten pochyły, ten zapadnięty, ten podmyty. Coraz trudniej o linje i kąty proste. Siedzieliśmy w ciepłe przy czaju cierpkim, słonym i patrzyliśmy, jak padają stare potęgi Mrozu.

Potem rozległy się kolejne strzały i ciemność inkaustowa rozlała się ku Zaułkowi Greckiemu od serca miasta, tak głęboko zranionego upadkiem Szulca/Pobiedonoscewa. Czy rzeczywiście spełnił on groźbę i wydał rozkazy na jego śmierć detonujące ładunki podłożone pod torami Koleji Transsyberyjskiej? Tak ili inaczej, nowy prawdybój tu teraz rozgorzeje. Było jeszcze jasno i mieszkańcy Irkucka chronili się jak mogli, a, czego jak czego, ćmieczech mieli tu pod dostatkiem. Jezioro mroku rozlewało się kwartał za kwartałem. Panna Jelena też wyjęła z kredensu ogarek w ceramicznej obejmie, postawiła w oknie, zapaliła. Chlust, spadło na nas ćmiałto jak atłasowa peleryna, skuliliśmy się pod połą płaszczu czarodzieja, nikt nas teraz nie mógł zobaczyć, sami się widzieliśmy jeno połówkami, temi podświetlonemi od świecienia skaczącego na ścianie po prawej. I tak, chociaż siedziała mi na kolanach i tuliła się do piersi, widziałem zaledwie pół panny Jeleny, profil wyjęty z nicości; druga Jeleny połowa nie istniała.

I ona mnie wpółwidziała, półistniejąca.

- Tylko oko ma pan jeszcze tamtego młodzieńca.

- Niewielki koszt, panno Jeleno, niewielki. Kiedy pomyślę... Była panna na Cwietistej? Wieliccy, ich dzieci - uratowali się? żyją?

- Tak, nie, nie wiem.

- Ottiepiel, da. Ach, z panną miałem to samo.

- O?

- Byłem na panny grobie u Kryspina. Dopiero potem... Odwilż, Lato, wszystko odmarzło, panna znowu jest wraz gruźliczką w romansach zaczytaną i zabójczynią pociagową - a jaki sposób lepszy, by wszelkie śledztwa i pościgi uciąć, aniżeli pochować tam samą siebie, pod imieniem ukradzionem? Ale tu trafiła panna z powrotem na doktora Konieszyna, który zna pannę z Ekspresu, pannę chorującą właśnie, no i imię się obudziło.

Przesunęła paznokciem po bruzdach, gruzdach i pokaleczeniach na moim czole.

- A pan Benedykt której Jeleny szukał?

Objąłem ją mocniej.

- Niech panna zrozumie - szepnąłem. - Ja potrzebuję przy sobie takiej kobiety - kobiety właśnie - takiej kobiety, która w tej samej chwili zarówno oddać może za mnie życie, jak i nóż mi w serce wbić.

- Dziwnie pan mówi. Pan - „potrzebuje takiej kobiety”?

Pociągnąłem ją w mrok, na stronę niebytu.

- Przy mnie, przy tronie Królestwa Ciemności - szepnąłem. - Taką kobietę, Królową Lata: wierną towarzyszkę i zdrajczynię, przyjaciela i wroga - nie odróżnisz! - matkę i dzieciobójczynię, tarczę prawdy i miecz kłamstwa, panią litościwą i panią zagłady - nie odróżnisz! - kochankę naiwną i wyrachowaną staruchę, dziewczę płocze i obraz mądrości przebiegłej, serce krwawiące i kamień z Golgoty - kobietę i kobietę.

Wyrwała się na stronę światła.

- Pan Benedykt nawet oświadczyć się nie potrafi!

- Panna wie, o czym mówię, panna pokazywała doktorowi Konieszynowi artykuły, zna moje projekta, widzi prawdę o Towarzystwie Przemysłu Historji. To nie będzie przecież po prostu Sibirchożeto nasze prywatne. Nie idzie o bogactwa materji.

- Wiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie odziedziczył pan tego, nie spadło na Syna Mroza z kłamstwa po ojcu. Wszystko to z pana czynów, z pana charakteru.

- Niech się panna nie wymiguje. Zostało policzone. Od początku - tak właśnie - z panny czynów, z panny charakteru.

- Cóż takiego?

Obróciłem ją znowu na granicę ćmiałła i światła.

- Wilk uralski.

- Wilk! - Spojrzała bystro. - A pan nazywał to - jak? odwagą? głupią brawurą? Bezwstydem. Czy inaczej zapukałabym w ogóle do pana przedziału, do obcego mężczyzny?

- I wcześniej: to panna przecież się włamała, szperała mi po bagażu - czy źle pamiętam? Ale panna pamięta także!

- Tak. - Obróciła wzrok ku przeszłości, to znaczy w niebyt. - Przeczytałam ten wasz długi list do miłości fałszywej. Poznałam pana, zanim się spotkaliśmy.

- Zanim się spotkaliśmy... Ano, zostało policzone: przyjaciel, nieprzyjaciel, miłość, nienawiść. - Cmoknąłem cicho. - Ale listy cudze czytać... Cóż, może istotnie w Lecie nie da się inaczej. Tylko - dlaczego akurat do mnie się panna włamywała? Na samym początku - wtedy nie znała mnie panna w ogóle. Dlaczego więc?

- Akurat do pana? - Śmiała się. - Do innych także.

- Ale - dlaczego?

- Bo mogłam. - Spoważniała. - Czy pan Benedykt rozumie? Cóż to, nie wie pan, jakiego lekarstwa w Łodzi chciałam? „Przy tronie Królestwa Ciemności”, no ładnie - ale myśli pan, że w ostatnim momencie cofnę ten nóż? Żeby pan wiedział, o co proszę, żeby nie zdziwił się potem! Nie cofnę. W każdej chwili - w dowolnej chwili - bez powodu, panie Benedycku, bez powodu - bo mogę. O to pan prosi? Nie cofnę! Nie cofnę! To już nie gra dwojga nieznanym w podróży, już nie noc niewinnych kłamstw i prawd. Skoro stanę u pana boku - to bądź pan pewien: stanę i ta, i ta.

Odruchowo szukałem jej drugiego oka, czarno-białe półwidoki tylko w błąd prowadziły, nie wiedziałem, do której Jeleny mówić: istniejącej czy nieistniejącej.

Odmarzło, zawahałem się.

- Nie jest przecie panna zimnym złoczyńcą, nie można tak skłamać samej siebie. Tych rumieńców, tego głosu drżącego, tych wszystkich spojrzeń pytających i niepewności ciała.

- O czym pan mówi? - zachnęła się. - Czy do zła zdolni są tylko nieogoleni brutale i jędze jadowite, ludzie wulgarni, bezczelni i pozbawieni delikatności uczuć, o duszy niewrażliwej i ciele niezawodnym? Pan dał się zwieść romantycznej poezji, teatrom łzawym!

- Ale - czy panna w ogóle uczyniła w życiu jaką naprawdę złą rzecz?

- Nie ma znaczenia, co zrobiłam! - Zirytowała się, ta istniejąca. - Czemu pan Benedykt udaje? Jeśli nie ukradłam, nie oszukałam i nie zabiłam, to nie dlatego, że to jest złe - ale ponieważ tak wybrałam, ponieważ tak akurat chciałam: nie ukraść, nie oszukać, nie zabić. Lecz nic mi nie bronilo, nic poza mną, nic we mnie. Mogłabym. Ani jednej myśli więcej, ani odrobinę większy wysiłek, nic.

...Co pan sam mówił? Prawda czy fałsz - jaka różnica? Niedokonane prawdziwsze jest od dokonanego. Raskolnikow Dostojewskiego to kukła dla grzecznych dzieci. Po co siekiery, po co trupy, po co konieczność udowadniania czynami w materji? Sam pan mówił! To, co niewidzialne, poprzedza to, co widzialne. Najpierw jest mord w charakterze zapisany, potem - może - może! - mord dokonany. Bo i co zmieni: zrobię? nie zrobię? Jestem takim człowiekiem.

...Rozumie pan? - Wpiła się mi palcami kościstymi w ramię. - Tak samo do świętości najwyższej, jak i najniższej podłości. Od nieskończoności do nieskończoności. Nic nie powstrzyma. Nie dlatego, że nie wiem, co dobro, co zło. Wiem. Ale - mogę. Mogę. MOGĘ.

...Czy nie takiej Królowej Lata pan szuka?

Całe życie jak ta chwila nad ruczajem roztopowym z dłońmi zaciśniętymi na szyji psa - całe życie z nożem krwią ociekającym w jednej ręce i sercem kochającym na drugiej podanem; tu prawda i tu prawda, bez różnicy.

Zagarnąłem pannę Jelenę w uścisk mocny, objąłem z całej siły. Drżała jeszcze przez chwilę; drzenie ustało. Oddychała szybko; oddech się uspokoił. Błądziła palcami to tu, to tam; palce się zatrzymały. Powieka skakała; powieka ustała. Przesuwałem nas głębiej w ćmiatło. Powoli, powoli, powoli zamarzała.

- Panie Benedykcie... - szepnęła, tyle zdążyła, zanim przerwał jej atak kaszlu.

Przycisnąłem głowę do jej gorsu, ucho-półucho do miękkiej tkaniny apreturowej, i dopiero ulga mnie zdjęła - gdy usłyszałem narastający w piersi Jeleny chrobot śmiertelnej gruźlicy.

Model: panna Jelena Muklanowiczówna. Dziewczkę z dobrego domu, córeczka ukochana familji mieszczkańskiej zacnej, oczko w głowie tatusia, pieścidelko mamusi, brzdąc bystry i energią życiową przepełniony. Ale - przychodzi choroba. Przychodzi choroba, jedna, druga, dziesiąta, maladje przeciągłe, nieokreślone, z influenzy w anginę się przelewające, z anginy w

anemię, z anemji w influencę... Choroba jest w dziewocze samej, gorączki i słabości to objawy z ciała. Wyleczysz jedne, najdą inne. Rodzina nie szczędzi przecież rubli, nie ustaje w wysiłkach, sprowadza doktorów sławnych, do klinik i badań modnych dziewczę wysyła, kuracje każde cudowne funduje, najmuje opiekę kwalifikowaną, ażeby maleństwo w domu, w łóżku miało komforty najwyższe szpitalne. Niech się nawet nie podnosi! Niech nie wychodzi! Nie rusza się niepotrzebnie! Co pozostaje Jelence na lata długie? Widok z okna, książki fikcję o świecie opowiadające oraz słowa wizytantów.

...Tak zaczyna się obsesja wolności pierwsza: czego nie przeżyje, to wyobrazi sobie przeżyte - równie prawdziwe. Jest granica wysiłku umysłowego i zaangażowania ducha, poza którą nie ma dla charakteru człowieka różnicy między czynem i wyobrażeniem czynu. To dlatego Pan Bóg na równi zakazał cudzołożyc i o cudzołóstwie marzyć. Zrobiłeś, nie zrobiłeś - dla duszy jeden grzech; tak czy owak jesteś już kimś innym. I nie trzeba też noża w serce żywe wbijać, wystarczy możliwość szczerza, szczerze przeżyta. A czegoż to Jelena nie doświadczyła, leżąc tam tygodniami i miesiącami i latami, zamknięta pod kloszem hermetycznym! Miłości wielkie jak z romansów nieprzyzwoitych. Awantury i skandale. Małżeństwa, macierzyństwa, starości, smutki i euforje. Podróże. Pościgi, ucieczki, zbrodnie, śledztwa, procesy. Kochała i nienawidziła, walczyła i cierpiała, zwyciężała i padała ofiarą bezsilną, kłamała, cudzołożyła, zabijała, zdradzała. Bo mogła. (Ponieważ nie mogła).

...I tak zaczyna się obsesja wolności druga: jako że nie ma różnicy między czynem i wyobrażeniem czynu, nie pozostała żadna granica do przekroczenia - panna Jelena wszystko to już przecież zrobiła (choć nie zrobiła), zna dreszcz, uczucie i myśli towarzyszące, zna ścieżki duszy. Wydeptała je szeroko. Nasampierw ze spinki lub broszki sporządza sobie wytrych i otwiera zamek w drzwiach pokoju, w którym ją dla jej dobra więżą. Wolność! Tak się zaczyna. Może, a zatem wymyka się na spacerzy nocne po domu cichym, myszkuje po kredensach i izbach służby, lasuje smakołyki zakazane, próbuje alkoholi i tytoniu. Może, a zatem włamuje się do pokojów i tajemnic cudzych, do gabinetów, sekretarzyków, biur, czyta cudze listy, pamiętniki, wysysa z nich życie do szpiku samego. Może, a zatem podpatruje i za dnia, ukryta - ich przecherstwa, podlotki, strachiatka, romansiki, szlachetności drobne. Może, a zatem kłamie: o tym, o tamtym, o rzeczach ważnych i nieważnych, kiedy tylko się da, ile się da, do samej granicy kłamstwa. Każda możliwość otwarta stanowi pokusę wolności nie do odparcia. Nie trzeba powodów, racyj, motywów żadnych, one właśnie niosłyby ze sobą ograniczenie, zniewolenie nowe; to zbędne. Panna Jelena może. Nie zrobiła, ale zrobiła. Fałsz prawdziwszy od prawdy.

Pchnąłem Jelenę w świecień rozlany po mej prawicy elektryczną kałużą; okręciła się mi panna na kolanach, spódnicę wysoko zawijając. Oddychała chrapliwie, a ten oddech, do twarzy jak chustka wilgotna mi lgnący, wyraźnie już pachniał mokremi liśćmi.

- Zabiorę pannę zaraz do Nikołajewska, precz z tego bagna Historji. Mam tu jeszcze sprawę z jednym szewcem... Ale potem, byle o godzinie parzystej -

- Wszystko już pan z góry obrachował!

- O Historji? Tak.

- Och. To jest może też miejsce dla Polski w tych pańskich równaniach?

- Kolor sztandarów, imię waluty, hymny i języki - nie to przecież w życiu najważniejsze, panno Jeleno. Ale, cóż, mam tę umowę z Piłsudskim... Niech sobie Stary wywalczy tam Państwo swoje. To nieważne teraz. Teraz - zabieram pannę stąd i -

- A mnie to pan Benedykt nie zapyta? Czy ja się zgodziłam na te pańskie projekta wielkie warjackie? Nic nie -

Jedną dłonią kaleką za szyję, wedle blizny ogniowej, drugą dłonią kaleką po nodze jej do uda i wzwyż pończoszki dziurawej - aż diewuszka zaskoczona otworzyła szeroko oczy, zatrzymana w niepewności między możliwością i możliwością.

- Nie będę pytał - warknąłem. - Co innego plany wobec świata: dobrze, że panna je rozumie. Ale co ja wobec panny - moja to rzecz! - Przyciągnąłem jeszcze bliżej jej główkę nade mną nachyloną, że nie tylko oddechem, ale i skórą nagą się zmieszaliśmy w materji. Jelena nie opierała się, lecz naciskałem tak mocno, żeby nie miała tu wolności żadnej, chociażby chciała się opierać ze wszech sił. - Czyś panna kiedy zaznała takiej pasji duszę pożerającej - pożądania, które cię pochłania bezwarunkowo - nie dlatego, że ty pożadasz, ale że jesteś pożądaną?

Z zewnątrz, spoza światła i ćmiatła, z Historji dobiegły wystrzały szybkie i okrzyki przerażone. Rżał koń męczony. Panna Jelena złapała dech.

- Wtedy nie był pan taki... zdecydowany.

- Zdecydowany? Wtedy nie istniałem!

Chciała się zaśmiać; zakaszła.

- Nie wstydz się więc pan wgłos prawdę wymówić! Ma pan słowa na rzeczy nie do opowiedzenia!

Pokręciłem głową.

- Żyjąc w Lecie, Jelenko, nigdy nie nauczymy się języka idej i nie zobaczymy jasno prawdy o rzeczywistości. Znamy natomiast prawdę o naszych słowach o rzeczywistości. - Odchyliłem się w niebyt, by lepiej ujrzeć kobietę półistniejącą, oko do oka. - Kiedy mówię, że pannę kocham - czy ja pannę kocham? - ale mówię prawdę, kiedy mówię, że pannę kocham.

Tymczasem Historia podchodziła nas coraz bliżej, w ciemności łomotały na bruku buty Rewolucji, pękało pod kolbami drewno, pryskało szkło. Panna Jelena na powrót zatoneła pod falującą powierzchnią ćmiatła.

- Dobrze, stanę przy panu w Zimie kłamstwem serdecznym, obronię przed tą pańską matematyką, żebyś nie skończył jak fater nieszczęsny, tak. Ale, panie Benku, ale zanim pan maszyny swoje uruchomi, zanim zamrozi Historję... Jaki dla mnie ratunek? - Kasłała boleśnie. Głębiej i głębiej w niebyt ciemny grzęzła, za kołnierz, za rękaw, za rany i strupy się mnie czepiając, lgnąc gorącą chorobą w ćmiecz chłodną. - Lód! - szeptała na bezdechu. - Lód! - co teraz Lód dla mnie?

- Ja.

*maj 2005 - kwiecień 2007*



## EX LIBRIS

### Źródła cytatów wykorzystanych w książce

Motta wszystkich części, a także niektóre cytaty w tekście pochodzą z artykułu Tadeusza Kotarbińskiego *Zagadnienie istnienia przyszłości*, który ukazał się w tomie XVI „Przeglądu Filozoficznego” w roku 1913.

Powieściowe kwestie Józefa Piłsudskiego oparto na: *Pomniku Kata* („Robotnik” 1898/29), liście do redakcji „Przedświtu” 1893/5, przemówieniu poznańskim z 12 października 1919, *Odezwie do robotników w sprawie pomnika Mickiewicza w Warszawie* z 16 grudnia 1898, przemówieniach na zjazdach legionistów w Krakowie 5 sierpnia 1922 i we Lwowie 5 sierpnia 1923, *Memoriale o organizacji werbunku do Polskiej Siły Zbrojnej* z 26 grudnia 1916, wywiadzie w „Tygodniku Ilustrowanym” z 6 stycznia 1917, przemówieniu podczas składania prochów Juliusza Słowackiego do grobów wawelskich 28 czerwca 1927, rozmowie z Arturem Śliwińskim („Niepodległość” 1938, t. XVIII) oraz książkach: *Komendant-Wychowawca* Karola Lilienfelda-Krzewskiego i *Józef Piłsudski w życiu codziennym* Marii Jehanne Wielopolskiej.

Wykorzystano również fragmenty wiersza *Śniła się zima* Adama Mickiewicza, *Silentium!* Fiodora Tiutczewa (w przekładzie Włodzimierza Słobodnika) oraz fragment *Anhellego* Juliusza Słowackiego, a także cytaty z pism Mikołaja Fiodorowa: *Filosofija obszcziogo diela, Soczinienija, Sobranije soczinienij w czetyrioch tomach* (w przekładzie Cezarego Wodzińskiego) i cytaty z *O poznanii antichristowoj prieliesti diakona Fiodora* (w przekładzie Elżbiety Przybył). Parafraza wiersza Siergieja Jesienina (*Śnieżysta równina, biały krąg Księżycy...*) na podstawie przekładu Zbigniewa Dmitrocy.

Wyjątki z *Beschreibung der chinesischen Reise* Adama Branda i *Driejaarige Reize naar China, te lande gedaen door den Moskovischen afgezant* Everta Ysbrantsa Idesa podano, wykorzystując *Zapiski o ruskom pasolstwie w Kitaj (1692-1695)* (w przekładzie Edwarda Kajdańskiego).

Cytaty ze Stanisława Brzozowskiego wyjęte zostały z jego eseju *Drogi i zadania nowoczesnej filozofii*, napisanego w kwietniu 1906, pierwotnie publikowanego w latach 1906-

1907 w „Przeglądzie Społecznym”.

Wszystkie fragmenty Pisma Świętego przytoczono w przekładzie księdza Jakuba Wujka.

Transkrypcja dialektu tunguskiego oparta jest na standardzie słownika polsko-tunguskiego, zamieszczonego w *Dziennikach syberyjskich podróży Kazimierza Grochowskiego* (1910-1914), zebranych i opracowanych przez Edwarda Kajdańskiego.